

Biblioteka  
Warszawska

Mf 12439

Warszawa  
1850 r.

t. 1-2

poz. Mf 12439

Biblioteka Warszawska

warszawa 1850 t.1-2,og.zb.37-38(m-c I-VI),  
sp.rzeczy

Oryg.:ZNiO sygn.117.152

neg. Mf 12439

# **BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1850.**

**Tom piérwszy.**

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXVII.

P

117152

117152



**WARSZAWA.**

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,

przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Zaluskiej.

1850.

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1850.

## Filozofia.

	Stron.
Początki filozofii krajowej. Przegląd, przez <i>A. Tyszyńskiego</i> .....	122, 313

## Materyały historyczne.

Gabinet historyi naturalnej i ogród botaniczny wileńskiego uniwersytetu, przez ks. <i>Stanisława Jundzillę</i> .....	39
List <i>Ign. Krasickiego</i> o trefnisiach czyli błaznach.....	161
Odpowiedź <i>Drabska</i> .....	167
Kościół Śgo <i>Andrzeja</i> i <i>Kanoniczki</i> w Warszawie. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> .....	197, 477
Wykład <i>Odpowiedzi Drabskiej</i> , w zeszytcie styczniowym zamieszczonej. Przez <i>X. J.</i> .....	384
Historya angielska <i>Macaulaya</i> . <i>Wilhelm</i> książę <i>Oranii</i> .— <i>Burnet</i> .— <i>Wilhelm</i> i <i>Marya</i> .— Przez <i>F. Z.</i> .....	442
Wiadomość o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, przejranych po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych, a zwłaszcza rzymskich, w latach 1846 i 1847, przez <i>Alexandra Przędzińskiego</i> (dokończenie).....	529

## Biografia.

Stron.

Wiadomość o życiu i pracach naukowych ks. Stanisława Jundzilla, przez <i>Jana Jundzillę</i> . (Z wizerunkiem).....	15
Adam Śmigieński chorąży nadworny koronny, starosta gnieźnieński. 1703—1716. Przez <i>Kazimierza hr. Tarnowskiego</i> .....	245

## Nauki społeczne.

Ekonomia polityczna i stan jej w naszym kraju, p. <i>Felixa Zielińskiego</i> ....	100
Wypadki finansowe i ekonomiczne zniżenia ceł w Anglii. Przez <i>F. Z.</i> ....	388

## Opisy i podróże.

Przygody myśliwskie p. <i>Coultera</i> w zachodnio-południowej Ameryce, w Kalifornii i na wyspach oceanu Spokojnego.....	222
Podróż do źródeł Wisły, odbyta w roku 1849, przez <i>Eudwika Zejsznera</i> ...	421
O stosunkach społecznych Kantabryi czyli prowincyj Baskich, przez <i>Dra T. Triplina</i> .....	397

## Literatura.

Klechdy polskie i obrobienie ich, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i> .....	1
Listy miłosne z czasów Stanisława Augusta; przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i> ....	116
Przysłowia polskie używane na Litwie, a nieobjęte w zbiorze przysłów <i>K. Wł. Wojcickiego</i> . Przez <i>Eust. hr. Tyszkiewicza</i> .....	165
Nowo odkryte utamki 98 księgi Liwiusza. Przez <i>F. Z.</i> .....	573
Stan piśmiennictwa rosyjskiego w roku 1848. Przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> .....	574

## Poezye.

Fryderyk Szopen. Fantazyja <i>Włodzimierza Wolskiego</i> .....	60
--	----

## Powieści.

Pieniądze i klejnot szlachecki. Część pierwsza i druga.....	67, 266
Wieś Krupa. Zdarzenie historyczne z 1715 roku. Przez <i>Antoniego Wieniarzskiego</i> .....	463

## Rozbiory.

Starożytności Warszawskie; wydawane przez <i>Alex. Wejnerta</i> . Warszawa. 2 tomy. 1848. Przez <i>St. Lisowskiego</i> .....	140
Bigos Hultajski. Bzdurstwa obyczajowe, przez <i>I. Blepońskiego</i> . Tom II. Wilno. 1849. Przez <i>T.</i> .....	146
Rocznik Literacki. Pismo zbiorowe, pod redakcją <i>Romualda Podbereskiego</i> . Wilno. 1849. Przez <i>Wł.</i> .....	153

Przekłady poetów polsko-łacińskich, epoki Zygmunto- wskiej. Poemata Klemensa Janickiego. Przekład Władysław Syrkomli. Wilno. 1848. Przez <i>St. Lisowskiego</i> .....	365
Pokojówka. Szkic obyczajowy, przez Tadeusza Padalicę. Wilno. 1850. Przez <i>Wł.</i> .....	377
Pamiętnik Naukowo-Literacki. Pismo zbiorowe umiejęt- ności, literatury i sztuki. Pod redakcją <i>Romułda Podbereskiego</i> . Zeszytów trzy, sta- nowiących tom Iszy. Wilno. 1849. Przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> ...	557

### Język polski.

Rozbiór uwag fizyologicznych nad abecadłem polskim, przez Dra Ludwi- ka Natansona, umieszczonych w Bibliotece Warszawskiej, w zeszy- cie październikowym, r. 1849. Przez <i>T. Kurhanowicza</i> .....	337
---	-----

### Nauki przyrodzone.

Systematyczny spis ptaków, uważanych w dawniej ziemi krakowskiej. Przez <i>Kazimierza hr. Wodzickiego</i> .....	351
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Astronomia i fizyka kuli ziemskiej, przez <i>J. B.</i> .....	579
Fizyka, przez <i>S. P.</i> .....	175, 588
Chemia, przez <i>J. B. . . . .</i> .....	176, 589
Historia naturalna. Zoologia, przez <i>A. W.</i> .....	179

### Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Zarzut na zarzut. Przez <i>T. Lipiń- skiego</i> .....	578
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	190, 391, 591
Doniesienia literackie.....	191, 391, 591
Wiadomości literackie i artystyczne, przez <i>F. M. S. J. R. S.</i> i przez <i>β.</i>	168, 171, 387
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astrono- miczném warszawskiem:	
za miesiąc listopad 1849 r. ....	193
— — grudzień 1849 r. ....	393
— — styczeń 1850 r. ....	593





# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1850.

## Filozofia.

	Stron.
Początki filozofii krajowej. Przegląd, przez <i>A. Tyszyńskiego</i> (ciąg dalszy)..	295

## Materyały historyczne.

<i>Lukasz Górnicki</i> , przez <i>Wacława Alexandra Maciejowskiego</i> .....	1
Dopełnienia i poprawki pierwszej części rozprawy p. <i>Juliana Bartoszewicza</i> , pod tytułem: Kościół Śgo Andrzeja w Warszawie, w Bibliotece Warszawskiej na miesiąc lutý r. b. umieszczonej. Przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> .....	91
Najdawniejszy zabytek polszczyzny. Przez <i>And. Kucharskiego</i> . (Z ryciną).	113
Przywilej <i>Kazimierza W.</i> z r. 1350, <i>Spytkowi kasztelanowi krakowskiemu</i> , na kopanie rud kruszcowych w własnych tegoż dobrach, przez <i>Alexandra Przeddzieckiego</i> .....	413
Słów kilka z powodu przywileju <i>Kazimierza W.</i> z r. 1350, dla <i>Spytka z Melsztyna</i> , na kopanie rud kruszcowych w własnych tegoż dobrach, przez <i>Hieronima Łabeckiego</i> .....	415
Sfragistyka. Wiadomość o pieczęciach polskich, z autografu ś. p. <i>Tadeusza Czackiego</i> . Przez <i>Ambrozego Grabowskiego</i> ..	567

## Biografia.

Nekrolog ś. p. <i>Sylwestra Grozy</i> .....	570
---	-----

Czy strona, która w procesie cywilnym czuje się być obrażoną na sławie zarzutami, jakie przeciwko niej druga strona w piśmie obrończém na audyencyi sądowej przywiodła, może drugą stronę tę pociągnąć przed sądy karne po wymiar kary? Przez <i>Augusta Heylmana</i> .....	509
---	-----

**Nauki społeczne.**

Porównanie prawodawstwa pruskiego z naszym, co do pomieszania (confusio) w jednej osobie przymiotów dłużnika i wierzyciela hipotecznego, z odniesieniem do kredytu ziemskiego na kapitał obrotowy rolniczy. Przez <i>Adama Bagniewskiego</i> .....	115
O bankach na słowo uczciwości.....	189
O związku kredytu w ogólności, a mianowicie kredytu ziemskiego, z instytucjami zabezpieczenia od losowych wypadków, przez <i>W. Łuszczewskiego</i> . ....	274
Jeszcze słów kilka o pomieszaniu w jednej osobie przymiotów dłużnika i wierzyciela hipotecznego, przez <i>Adama Bagniewskiego</i> .....	324
Spór ekonomii politycznej z rzeczywistością, niewłaściwie wszczęty przez p. <i>Felixa Zielińskiego</i> .....	333
Dziennik Ekonomistów z roku 1848. Przez <i>W. Ł.</i> .....	575

**Statystyka.**

Materyały do statystyki królestwa polskiego. Przez <i>Ludwika Wolskiego</i> . Ludność. (Z 2 tabellami i litografowanemi tablicami).....	205, 472
--	----------

**Literatura.**

Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> .....	55, 528
Najnowsze romanse w Niemczech.....	587
Ruch umysłowy w Hiszpanii.....	592

**Powieści.**

Pieniądze i klejnot szlachecki. Powieść. Część trzecia i ostatnia. Z francuzkiego <i>J. Sandeau</i> .....	18, 419
Odmęt Maelstrom w północnej Norwegii. Przez <i>M. M.</i> .....	173
Ęmeryt. Powieść przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> (ciąg dalszy).....	241

**Poezye.**

Pieśń życia, przez <i>Henryka Cieszkowskiego</i> .....	268
Wezwanie do modlitwy. Z <i>Wiktora Hugo</i> , przez <i>Kl.</i> .....	505

**Sztuki piękne.**

Wspomnienia koncertowe. <i>Zofia Bohrer. Lubowski</i> . Przez <i>J. Sikorskiego</i> . ....	183
--	-----

## **Rozbiory.**

Stron.

<b>Felicyta, czyli Męczennicy Kartagińscy.</b> Dramat w pięciu aktach, przez Antoniego Edwarda Odyńca. 1849 r. Przez <i>T.</i> .....	142
<b>Wiadomość o założeniu uniwersytetu krakowskiego, napisał Józef Muczkowski.</b> Kraków, 1849 r. Przez <i>J. Bartoszewicza</i> .....	159
<b>Hersylia.</b> Powieść obyczajowa przez Ewę Felińską. Wilno, 1849. Przez <i>J. R. S.</i> .....	167
<b>Krótki rys dziejów ludu Izraelskiego od jego początku aż do naszych czasów, ułożył A. Paprocki.</b> Warszawa. 1850. Przez <i>St. Lisowskiego</i> .	348
<b>Wymarzony kochanek, przez Tadeusza Strzemieńca.</b> Wilno, 1848. Przez <i>J. R. S.</i> .....	352
<b>Opis królestwa polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym.</b> Warszawa, 1850. Część druga. Przez <i>Wł.</i> .....	555
<b>Godzina rozrywki.</b> Zbiór powieści, szkiców i obrazów, przez Paulinę z L. Wilkońską. Warszawa. 2 tomy. Przez <i>J. R. S.</i> .....	561

## **Język polski.**

<b>Odpowiedź na rozbiór uwag fizyologicznych nad abecadłem polskiem, napisany przez p. T. Kurhanowicza w Bibliotece Warszawskiej w zeszycie lutowym na rok 1850.</b> Przez Dra <i>Natansona</i> .....	80
---	----

## **Gospodarstwo.**

<b>O obrocie handlu zbożem i innymi płodami ziemskimi w Gdańsku w r. 1849.</b> .....	374
--	-----

## **Nauki przyrodzone.**

<b>Wypadki z dostrzeżeń meteorologicznych, robionych w roku 1849 w Mińsku (na Litwie), przez <i>Rodziewicza</i>.</b> .....	383
<b>Sprostowanie błędu botanicznego, popełnionego przez p. Ludwika Zejsznera, w jego artykule pod napis.: „Podróż do źródeł Wisły”, w zeszycie Bibl. Warsz. na marzec r. b. umieszczonym, przez <i>Jakóba Wągę</i>.</b> .....	384
<b>Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:</b>	
Fizyka, przez <i>S. P.</i> .....	388, 595
Chemia, przez <i>J. B...ę</i> .....	390, 596
Historia naturalna. Zoologia, przez <i>A. W.</i> .....	394
Mineralogia, przez <i>J. Bocheńskiego</i> .....	404

## **Korrespondencya.**

<b>Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przez <i>X.</i></b> .....	195
<b>Wyjątek z listu J. I. Kraszewskiego do A. Przędzieckiego.</b> .....	386
<b>Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.</b> .....	572

	Stron.
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	198, 457, 599
Doniesienia literackie.....	199, 408, 600
Wiadomości naukowe i literackie.....	361
<b>Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém:</b>	
za miesiąc luty b. r.....	201
— — marzec b. r.....	409
— — kwiecień b. r.....	601
<b>Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryum warszawskiém w r. 1849 robionych.</b>	



*Za pozwoleniem Cenzury Rządowéi.*

# KLECHDY POLSKIE I OBROBIENIE ICH.

PRZEZ

*W. A. Maciejowskiego.*

---

## **Tło klechdy i zapatrywanie się na nie z historycznego stanowiska.**

Szczebiocze dziecię, skoro z niemowlęstwa wyszedłszy, nauczy się mówić; opowiada po swojemu o czém dowiedziało się lub słyszało, i aż do wieku męzkiego klekta o tém, co niegdyś mocno wyobraźnią zajmowało jego. Ale w następstwie czasu coraz poważniej, coraz głębiej rzecz pojmując, nowo ją sobie wykształca w umyśle, aż wreszcie przyjdzie do tego przekonania, że gdy bawiąca go, gdy serce i umysł zajmująca mu gadka, jest próżną uludą, więc dla rozrywki lepiej się ludzi gienialnymi poetów tworam, niż wykształcać i upiększać powiastki, dziecinnym przystojne umysłom. Wtedy porzuca klechdy i w poezji rozrywki szuka, podobając sobie w uprawdopodobnieniu rzeczywistych, lub w wyobraźni wieszczą wymarzonych rzeczywistościach, przenosząc nad opowieści ludu sztukmistrzów opowiadania. Tak więc zaczyna się rozrywać czytaniem romansów, (które im więcej naród jaki ma rozwiniętą cywilizacją, tém doskonalsze posiada, bo tém więcej sztuczniejszych a prawdopodobniejszych tego rodzaju pism w swojej literaturze liczy), aż zestarawszy się, i we własnem zgnuśniewszy piśmiennictwie, wraca się znowu do bajek, klekąc dziwolągi o świecie, i miłosne tworząc powiastki; przez co właśnie znać daje, iż dziecienniął, gdy się takowemi lubi zajmować bajdami.

Tę kolej przebiegła literatura grecka, która się klechdami rozpoczyna i kończy (1), a które coraz piękniejsze, coraz wykształceńsze pokazując

(1) *Groddeck: Initia historiae Graecor: litterar.* wydanie drugie w Wilnie w dwóch tomach. Porównaj II, 98 nstpn.; 165 nstpn.

się, wpadają znowu po upływie kilkunastu wieków w dzieciństwo, a nawet w niedorzeczność (2). Podobnego rodzaju pismami rozpoczynają się i pierwotne polskie druki (3), lecz i one z czasem coraz poważnieją, coraz męźnieją, dzieciństwo porzucając. Od klechd téż, częścią rodzinnych, częścią wspólnych im z takowemiż sąsiednich ludów, rozpoczynają się opowiadania wszystkich Słowian. Najstarsze posiadają Serbowie, gdyż klechdy ich w pieśniach narodowych napomykane (nikt dotąd ludu nie zapytał o nie, i nie spisał ich), mają podobieństwo do greckich (4). W pierwotnej prostocie tkwią one dotąd, nie postąpiwszy nawet o tyle, co litewskie, o różnych ludów narodowość ocierające się, klechdy. Bo w sobie samym zamknąwszy swoją narodowość Serb, nie dał jój wyprysnąć z rodzimój skorupy, by tak nie skalala się, potraciwszy o sąsiednich a obcej wiary będących ludów opowiadania. Przeciwnie Litwa czyniła: ta albowiem chętnie przyswajała sobie sąsiednich ludów powiastki. Otoczona Skandynawczykami (których do snu i do czuwania zaprawiała klechda, którzy się guślarzami i czarownikami otaczali wiecznie) (5), tak dalece marzeniami ich przesiąkła, że nawet mistrzów swych przeszła w tworzeniu nowych i coraz nowszych klechd; przez co takiej dostała sławy, że jedna litewska kraina (Kuronia), uchodziła za siedlisko wróżbitów, guślarzy, czarowników, i na jednej z nimi szali kładzionych lekarzy. Pełną była dziwów ta kraina, jako téż okalające ją ziemie. Tu albowiem stała świątynia, w której smoki cześć odbierały boską (6). Wokoło Kuronii leżące wyspy i lądy, zamieszkiwały rycerskie Amazonki, ludkowie mali (którzy, Bóg wie zkąd przybywszy, nawiedzali co rok sąsiednie okolice, a złupiwszy je, uciekali niewiedomo dokąd), kobiety brodate, Sylwany, czarnoksiężnicy słowami potęgi wszystkiego dowodzący, wszystko co się na świecie działo wiedzący (7). Bajdy te za wątek do opowiadania wzięwszy Litwini, potworzyli z nich dziwne klechdy, mające w sobie coś uroczonego, coś nadzwyczajnego, nadprzyrodzonego; jedném słowem, coś fantastycznego. To właśnie charakter ich stanowiąc (obszernie o tém powie się przy rozbiorze literatury litewskiéj), stawia je w środku między skan-

(2) *A. L. Grimm: Märchen der Griechen und Römer*; wyszły bez oznaczenia roku w Grimma.

(3) Rozmowy Salomona z Marchołtem.

(4) Syn, który pojął za żonę własną matkę i znalazł w rozplatanéj rybie klucze rzucone w morze. Srpsk. piesm. II, 73, 74. Podobnie bajali Grecy o Edypie i Gigesie.

(5) Rozważ, co o Duńczykach i Norwegczykach opowiada Adam Bremeński u Pertza IX. 320, 326, 350.

(6) Kraj Kuronów u Adama Bremeńskiego; tamże 340, 374.

(7) Adam Bremeński, tamże 375, 379, 382.

dynawskimi, a następnie na ruskość je i polskość nagina, wprowadzając przez to litewskie powiastki na ocean słowiańskiej klechdowości.

Gdy nie jest naszym zamiarem puszczać się tu na obszerne badań pole, przeto rozpatrzmy się po niém ogólnie tylko, zastanawiając się nad klechdami, o ile wyrozumienie polskich i litewskich, wymaga bliższego się z klechdziarstwem reszty Słowiańszczyzny zapoznania. Powiem więc tylko, iż wszystkich słowiańskich ludów klechdy mają coś powszechnego a własnego i obcego, tudzież posiadają coś wyłącznego a miejscowego i swojskiego; że ponieważ wielki ten ogrom powieściarstwa wpływał na siebie wzajemnie, i w jednej jakoby osnowie się płacząc, jedną niby stanowił całość; i gdy znowu całości ogromnej całości téj odstając od siebie, odrębne tworzyły masy: przeto niepodobną byłoby rzeczą znaleźć się w tym zamęcie, gdybyśmy choć w kilku słowach nie opisali granicy, oddzielającej klechdy jednego ludu, od takowychże ludu drugiego. Wątek ich powszechny a własny stanowią przeobrażenia, i udatni głuptasowie, o których wymarzone koncepta skupiono w Sowizzale, rozstrzelone tak wielkiego słońca promienie, w jedném przez to jakoby zebrawszy ognisku. Takowegoż rodzaju klechdy (obcość za podstawę mające) uosobistniono w bohaterach, junakach, rycerzach, złych duchach, potworach, nadawszy tym istotom częścią niemiecki (skandynawski mianowicie), częścią swojski charakter. Głównie rossyjskie i serbskie, i w środku stojące między niemi polskie, odznaczają się w téj mierze klechdy; z tą atoli różnicą, że gdy w pierwszych osoby owe zupełnie po obcemu, przeciwnie w drugich po narodowemu działają. Nigdzie bowiem taka, jak u Serbów zażyłość bohaterów z bóstwem, nigdzie tak blizki, jak tu, nie zachodził między ludźmi a duchami stosunek. Coby wyłącznego a miejscowego i swojskiego posiadały polskie klechdy, wykazaliśmy wyżej, uwagę zwróciwszy na to, że obywatelskość głównym jest ich charakterem, i że się najdobitniej w klechdzie o Twardowskim (szczegółowo rozwiniemy ją niżej), przebija. Rossyjskich klechd tłem jest przemysł, wydatny w kupieckim rozumie handlarzy ruskich (8). Naprózno starałem się coś podobnego odkryć w klechdach Rusinów; nie znalazłem w nich nic wydatnego, coby je od takowychże, własnością panujących niegdyś nad nimi Litwinów i Polaków będącą, odróżniało wielce: wyjąwszy może to, że religijność, główna cecha czeskich klechd, góruje następnie w klechdach ruskiego osobliwie ludu. Wiém o tém dobrze i wyznawam, że wszyscy w ogóle Słowianie, a nie sami Czesi i Rusini, od-

(8) *Źródło i treść ruskich Skazek*, w Athen. r. 1843. I. 189 r. 1845. V. 118 i nstpn.



znaczali się religijnością; ale wiém i to, że głównie w klechdach tych ludów żywioł religijny przeważa (9), że o czém w klechdach Słowian innych czarci lub zwierzęta rozprawiają zwykle, o tém w czeskich czynią pogadanki pustelnicy, księża, czarownice i t. p. (10), z religijną zabobnością czeskiego i ruskiego ludu ściśle powiązane istoty. Wszakże tło klechd słowiańsko-narodowych tak dalece jest na przedstawiającym go obrazie zagwazdane, że prawie niepodobna rozeznąć go, i swojskość na niem od obczyzny odróżnić. Co poszło ztąd, iż skoro tylko został raz pierwotny pomysł klechdy obcemi dodatkami zagmatwany, te, coraz więcej napływając na niego, zatarły jój wizerunek do niepoznania. Chcąc dojść pierwiastku, chwycono się dziś analizy, i za pomocą jój zdejmując z klechdy jedną powłokę po drugiej, usiłowano tak wynaleźć samo jój ądro. Oprócz mnie, wystąpił na tém polu ksiądz Jan Wagilewicz, który wykazał, jak w postać czarta oblokłszy lud ruski tatarskiego bana, utworzył ztąd klechdę o dziwnym potworze, ruską niegdyś trapiącym ziemię (11). Nie dziwujmy się temu, że nikt więcej nie próbuje swych sił w badaniu tego rodzaju. Jakże bowiem rzecz roztrząsać, gdy jój dotąd nie zebrano w jedną całość? gdy dotąd nie mamy razem zgromadzonych klechd, i właśnie przez to, nie mogąc się przypatrzeć zblizka ich całości, wątku ich nie dochodzimy?

### **Zbiory podań i klechd polskich, ich znaczenie, podział i obrobienie.**

Pismo, które tygodniowo wychodzi od lat czternastu w Lesznie, zaczęło pierwsze drukiem ogłaszać u nas podania ludu i klechdy. W trzy lata później pokazały się klechdy, czyli, jak je wydawca nazwał, starożytnie podania i powieści ludu polskiego i Rusi, które zebrał i spisał p. Kazim. Wład. Wojcicki. Odtąd w małych przerwach czasu, wychodzić zaczęły i ciągle wychodzą takoweż zbiory, w krajach niegdyś słowiańskich, a dziś całkiem lub w części zniemczonych, jakoto: w Prusiech (królewskimi niegdyś i książęcemi, a dziś wschodniemi i zachodniemi zwanych), na Pomorzu, w Saksonii, na Szlązku, w Łużycach, w państwach austriackich (w Czechach, Arcyksięztwie, Korutanach, słowackiej ziemi), w Me-

(9) Porównaj najpiękniejszą według mego widzenia czeską klechdę, pod napisem: *Szwanda dudak*, Maleho bachorky. I. 63 nstpn.

(10) U Maleho, III. 14. IV. 38 nstpn.

(11) *Szeledywy Bunijak Berda w Kryczu*, Biblioteka naukowego zakładu imienia Ossolińskich XI. 181 nstpn. VII. 151 nstpn.

klenburgii, w Zgorzelicach czyli w starój i nowój Marchii, Westfalii (12). Odtąd téż, t. j. od ukazania się pracy p. Wojcickiego, wychodzą zbiory polskich podań i klechd, i znajdują się w *Wspomnieniach wielkopolskich*, przez Ed. hr. Raczyńskiego, w dwóch tomach, (są tu li tylko podania); w *Powieściach ludu spisanych z podań przez Karola Balińskiego* (13); w dziełku niemieckim jedno-tomikowém, z trzech poszytów składającém się, które pod napisem: *Gross-Polens Nationalsagen, Märchen und Legenden und Lokalsagen des Grossherzogthums Posen*, podał w Bydgoszczy 1842 do druku p. Neumann, (zmyślone nazwisko *San-Marte* przybrawszy); w zbiorze pieśni łużyckich pp. Haupta i Smolerja (14); w piśmie cztero-tomikowém, w *Petersburgu* 1844 i nstpn. wydaném, pod tytułem: *Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach*, przez Jana Barszczewskiego; w *Podaniach i Legendach polskich, ruskich, litewskich*, które zebrał *Lucyan Siemieński*, w *Poznaniu*, 1845. Rozważmy co się ważnego w tych znajduje zbiorach.

Aczkolwiek większa część tych pisarzy, którzy podania i klechdy ziemczonych Słowian zbierali, li tylko w księgarskim widoku pracowała, godząc w to, by zbieraniną swą uludzić publiczność i grosz za kupno książki zyskać od niój; wszelako u każdego z nich natrafisz na ten lub ów szczegół ważny dla wyjaśnienia literatury ludu o Wiłach, których pro-

(12) Porównaj: *Die Volkssagen Ostpreussens, Lithauens und Westpreussen von Tetau und Temme. Berlin 1837. Pommersche Sagen v. E. Hellm. Freyberg, Pasewalk 1838—Die Volkssagen von Pommern und Rügen, von Temme. Berlin 1840—Sagen, Legenden, Märchen und Erzählungen aus der Geschichte des sächsischen Volkes v. Adolf Segnitz. Meissen 1839, tom I, z sześciu poszytów złożony. Slesischen Sagen, Historien und Legenden-Schatz herausgegeben v. Hermann Goedsche. Meissen 1839, jeden tomik w trzech poszytach — Volkssagen und Volksthümliche Denkmale der Lausitz v. H. G. Gräve. Bautzen 1839—Die Volkssagen der kaiserstaates Oesterreich v. Ludw. Bechstein. Leipzig 1840, jeden tomik w trzech poszytach—Meklenburgische Volksmärchen, Sympathien und andere Thorheiten, von Mussäus; Meklenburgische Volkssagen und Volksaberglaube, von Günther; Aberglauben in Meklenburg, von Beyer; rozprawki te znajdują się w tomie piątym, ósmym i dziewiątym, pisma zbiorowego, które pod tytułem: *Jahrbücher des Vereins für Meklenburgische Geschichte und Alterthumskunde (herausgegeben von Lisch)* w Szwerynie od r. 1836 wychodzi. *Märkische Sagen und Märchen*, które wydał Kuhn, wyżej przywiódłem. *Die Volkssagen der Altmark, Tangermünde 1844*, w dwóch tomikach:—*Westfälische Volkssagen und Erzählungen v. I. Krüger. Siegen und Wiesbaden 1845*, jeden tomik.*

(13) Wyszyły według wyboru i wydania K. Wład. Wojcickiego, w Warszawie, 1842.

(14) Przy drugim tomie są tak zwane *baśniczki* i *bamziczki*, czyli klechdy i legendy.

wadzenie się rozpustą cechuje Bechstein; o wyroku, który według Krügera, wydał w Westfalii djabeł, chcąc przez to poprawić wyrok sądowy, podobnie jak to on u nas uczynił, sprostowawszy wyrok trybunału lubelskiego. Żaden atoli ze zbieraczy nie uczynił by najmniejszej wzmianki o tém, że klechdy i podania, które przywiódł, są powszechnie między Słowianami znane (15). Jeżeli zaś, jak gdyby od niechcienia, powiedział, że mniemanie to lub owo (o liczbie siedmiu) jest słowiańskie, lub na niemieckiej dziś, a niegdyś słowiańskiej powstało ziemi (16), ostrzegł cię natychmiast, że byś na tém nie budował; lub mylném rzeczą pojęciem wprowadził cię w błąd.

Nic dziwnego, że dawniej, kiedy jeszcze między Słowianami a Niemcami trwała nienawiść narodowa, że dawniej, mówię, wszystkiém, co złe i szpetne było wzajemnie się darząc, co najlepszego zachowywano wyłącznie dla siebie; lecz dziwno, że i dziś trwa ten obyczaj, czego jawny dał dowód p. Kuhn. Nie przecząc on temu, że nad Łabą, między zniemczonym ludem, istnieją dotąd dawne podania słowiańskie, utrzymuje wszakże, że tylko obrzydłe, lub w wyobraźni przesadzone postacie, są pochodzenia słowiańskiego (17). I nic dziwnego, gdy ani języka nie znał ludu, o którego klechdach wyrokować nie wahał się (18); ani miał by najmniejsze narodowości słowiańskiej pojęcie. Toż samo i o reszcie zbieraczy klechd powiedzieć należy: i ci bowiem nie zgoła dla wyrozumienia literatury ludu nie uczynili. Na usprawiedliwienie zaś swoje to tylko zapisał jeden i drugi zbieracz, że dosyć uczynił, gdy podanie i klechdę opowiedział; że napisał co mógł, nie będąc w stanie wywiedzieć się o wszystkiém, gdyż lud słowiański ukrywa się z swoją literaturą (19); że nie troszczył się o wybadanie pierwiastku i narodowości podań, gdy wiadomo, że słowiańskie nad Łabą i w Prusiech zachodnich (Pomorze gdańskie) mieszkające ludy, wynarodowiły się do tego stopnia, iż nawet o podaniach swych zapomniawszy, niemieckie powtarzają tylko (20). Zeznania to są

(15) W zbiorze Segnica podrzucone dziecko przez czarta, *der Wechselbalg*, wypędzanie śmierci i t. p.

(16) *Das Wendenthor*, w: *Volkssagen der Altmark*.

(17) *Wesz, rak, znora, olbrzym, pałac jutrzeński*; porównaj wstęp do jego dzieła.

(18) *Gaza*, bóstwo gospodarcze, dotąd u karpaccich górali *gazda* gospodarz; *Mallineken*, malinki, maliny; *Zamkal*, zamek, starost. wyraz (porównaj Miklosicza *mk, promknąti*); *Lach* od lacha, zamiast od *ljecha*; (porównaj Adelunga i Miklosicza p. w. *Lache, ljecha*). Kuhn 24, 36, 41, 184.

(19) O Kaszubach powiedział to p. Temme, we wstępie do pomorskich klechd.

(20) To braci Grimmów zdanie powtórzył Tettau i Temme, w przemowie X, XI., do podań pruskich.

ważne: wyraźnie albowiem gloszą, że (pracę p. Kubn wyjąwszy) wszyscy zbieracze ograniczyli się na spisaniu tego, o czém się dorywczo dowiedzieli; że ludu nie wybadywali, i pochodzenia podań nie śledzili. Nam przeto należy zastanawiać się nad tém, nad czém się zbieracze owi nie zastanawiali; do nas należy podań i klechd nadłabańskich, pomorskich, pruskich, pierwiastek słowiańsko-polski wykazać (udowodniwszy to podobieństwem do naszych); a należy tém więcéj, gdy cała zasługa zbieraczy owych polega tylko na stylu, który u niektórych jest prawdziwie ludowy, bo prosty i niewinny (21); tudzież na wstępach, a zresztą żadnych nie ma zalet. We wstępach mianowicie obszernie się nad tém, co właściwie podanie, a co klechda znaczy rozwiódłszy zbieracze, usiłowali z uczynionego sobie zarzutu, że spisy swe porobionemi z kronik wyciągami pozapychali, nie przedstawiwszy rzeczy tak, jak ją lud opowiada; że podania i klechdy pomieszali razem, a biorąc jedne za drugie, nie pokazali nam właściwego ich oblicza. Gdy zarzut ten zarówno na niemieckich jak i na polskich klechd zbieraczach ciąży, bliżej przeto zastanowić się nad nim należy.

Przez podanie rozumiemy to opowiadanie, które na kronikach lub wieści polegając, przekazuje bądź rzeczywiste nago i bez żadnych ozdób poetycznych, bądź téż przydatkami upstrzone i poezyi szatą przyodziane dzieje, które uwieczniały się pismem lub słowami z ust do ust przechodzącymi, dla nauki i zabawy czytających je i powtarzających. Dwoiste to opowiadanie w tym się ma do dziejów stosunku, co historia i romans historyczny. Przeciwnie klechda zawiera opowiadanie takie, które na wyobraźni polegając ludu, uprawdopodobnia zdarzenie, przyczepione do czynu lub osoby wymarzonej w wyobraźni ludu, a przedstawiające ten czyn tak, iż czytelnik lub słuchacz za prawdziwe je mając wierzy w to, że istotnie miało ono lub mogło mieć miejsce. Klechda przeto romanssem jest obyczajowym, uczuciowym, fantastycznym i t. p.; powstaje z wyobraźni ludu, zamieszkuje między ludem, i jest najdobitniejszym uczuć jego wyrazem; gdy przeciwnie podanie, poza wyobraźnią ludu biorąc swój początek, i w szrankach się dziejów albo miejscowych opowiadań trzymając, jest wyrazem ducha narodowych wspomnień, jest tłem historii, nieraz nadpsutém lub skałaném, które naprawić lub oczyścić historia jest rzeczą, a które nie lada kto dziejopisarza uczczony mianem, sprostuje; gdyż właśnie sprostowanie ich do najtrudniejszych odgadnień należy. Pracowaliśmy na tém polu, sprobowawszy w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy wykazać prawdę, w podaniu o najdawniejszych dziejach polskiego

(21) Kubn, Temme, Tettau, Siemieński.

i litewskiego narodu zewnętrznych i wewnętrznych w kronikach zawartém; i usiłowawszy nadto wydobyć owę prawdę z rozlicznych a społecznych i wiary godnych źródeł. Tak wykazawszy już, jaki pożytek ciągnie z podaj historya narodu, wykażmy teraz, jaki z nich ma historya literatury, a mianowicie: czy, i o ile opowiadanie jakie, w zakres działania lub klechdy wchodząc, maluje umysłowość narodu, jest jego usposobienia moralnego wyrazem dobitnym, i bądź własnej wyobraźni ludu jest płodem, bądź rośliną z obcej na ojczystą przesadzoną ziemię.

Podanie, bądź rzeczywiste, bądź przydatkami upstrzone, styka się blisko z klechdą, wsiąka ją w siebie, lub w nią przechodzi. Boć tém samém, że podanie, zanim go dziejopis do godności historyi wyniesie, za urojenie poczytywane bywa; bo tém samém, że przydatkami upstrzone będąc, w krainie marzeń choć częściowo przebywa; bo tém samém, że dopóki przez krytykę (niby duch pokutujący przez ogień czyscowy) nie przejdzie, i nie wykaże, iż się na historycznym wspiera wątku, jest wszelkie podanie klechdą, polega na mniemaniu ludu i żyje doczesném lub wieczném życiem; gdyż jak w niego uwierzono, tak téż wiara ta ustać może, skoro się obali lub krytyka piórem, lub powątpiewaniem (w miarę postępu ludu w oświacie), lub skoro pójdzie w zapomnienie; zwłaszcza, jeżeli się ku nowszym podaniom lub klechdom zwrócą umysły, i o dawnych zapomną. Tylko głęboko dla swój dziejowości lub szczytności w umysł nietylko ludu, lecz całego narodu wkorzenione podania lub klechdy trwają wiecznie, istniejąc i wtenczas, gdy się o ich przekonano ułudzie. Tak podanie o Lechu, tak klechda o Twardowskim, nigdy nie zaginie, aczkolwiek dziś w bytność Lechów a nie Lecha wierzymy, aczkolwiek wcale inne mamy o czarcie i czarach wyobrażenie. Ważność albowiem i piękność tych bajd, zaginąć im nie da nigdy.

Z innój atoli podanie uważając strony, znajdziem je wielce od klechdy różném. Gdy albowiem o tamtém, że coś prawdy w sobie mieści, domniemywamy się zawsze; w téj przeciwnie nie przypuszczamy nic prawdziwego, nic zgoła aż do imienia. A jak podanie, im więcej przydatkami jest upstrzone, tém bardziej się do klechdy nachyla; tak znowu klechda im więcej się od miejscowości oddala, tém dalej w krainę wyobraźni zachodzi, i nakoniec w marzeniach poety ginie. Pożytek atoli ze wszystkich, lubo nierówny, ciągnie historya. Wszystkie albowiem malują nam usposobienie umysłowe ludu, wszystkie są wyrazem moralnego jego uczucia; lecz największą korzyść odnosi historya literatury z miejscowych, lub z obcych a do miejscowości zastosowanych podaj i klechd; gdyż takowe za utwór lub wyrób ludu wyobraźni uważając ona, słusznie według nich mierzy poetyczne, stopniowo rozwijające się ludu usposo-

bienie; resztę zaś do rzędu tego nienależących tworów ma za wskazówkę, jak i co sądzić mamy o stanie umysłowości tych ludzi, którzy sobie w takowych podobają marzeniach. Zgoła literatura ludu zostaje w ścisłym stosunku do literatury narodu; według bowiem tworów, które przedstawia, sądzi się jój dobroć, wnioskuje o usposobieniu umysłowym ludu; podobnie jak z dzieł, które narodowa literatura daje, o pisarzach się i czytającej publiczności dziś sądzi.

W objaśnieniu literatury ludu nader mało postąpiono dotąd. We wstępach do zbiorów powiedzieli nieco wszyscy pisarze (22), przypisami ten i ów szczegół objaśnili, ale bezskutecznie. Nie o to bowiem w tego rodzaju badaniach chodzi, ażeby szczegóły podania lub klechdy objaśnić; lecz raczej o to, ażeby wykazać ducha, który je ożywia. P. Barszczewski obrał sobie nową drogę. Wystawił on, jak w domu szlachcica Zawalni, lubiącego podaniowe i klechdowe pogadanki, zbierała się ciekawa tego rodzaju opowiadań hoża drużyna, i nawzajem udzielała sobie, co kto wiedział. Cała zaleta pisma polega na tém, że drużyna owa opowiada wiernie, gdyż co mówi, zgadza się z rzeczywistością (23): wszakże nie chodzi o to, co było (aż nadto bowiem wiele o tém wiemy), lecz czemu tak było, i co znaczyło. Ja przeto obiéram k'temu inną drogę. Mimo puszczając rozbiór podań (gdź wyjaśnienie ich nie do historii literatury, lecz do dziejów narodu należy), zwrócę uwagę na to, jak się treść ich mieszała z klechdami; następnie zaś na same tylko bacząc klechdy, powiem, co się o najszczytniejszój z nich (klechda o Twardowskim) nowo wysledzić dało. Poczém wykazawszy po szczególe, jak z téj nowe powstawały klechdy, opowiem o przesadzonych z obcej na ojczystą ziemię, tudzież o tych, które giną w marzeniu, lub są wybujałój umysłowości ludu płodem, a zakończę rzecz udowodnieniem tego, że podania i klechdy są istotnie dobitnym wyrazem moralnego usposobienia polskiego ludu.

### ● podaniach i legendach, które w klechdy przeszły.

Mało zna lud podań rzeczywistych, czyli z kronikami zupełnie zgodnych; ale takich posiada wiele, których tło nadpsute lub skalane zostało długością czasu, powtarzaniem wiekowém, przechodzeniem z ust do ust;

(22) Siemieńskiego zdanie, niżej pod liczbą szóstą tego oddziału szczegółowo rozberzemy.

(23) Uderzyła mnie powieść o Twardowskim i jego towarzyszu, III. 11 nstpn. Według Bogumiłów, czarci mieli istotnie ożywiać martwe ciała, ukrywając ducha swojego w trupie.

których osnowa, z miejsca swojego ruszoną zostawszy, dała wątek opowiadaniu, na inném miejscu niby wydarzonemu, i t. p. Lud albowiem pełen będąc wyobraźni, przekształca, upiększa lub wykoślawia o czém się dowiedział z dziejów, wysnuwając ztąd czego w nich nie było i nie ma, usuwając zaś, co się im na nic nie przydało i przydać nie może: przy czém poddaje historii swoje rozumowanie, i tak powoduje dziejów czyny, nie będąc w stanie wyobrazić sobie, że się niejedna na świecie dzieje niesprawiedliwość, i robią krzywdy, bez żadnej przyczyny. Takich, według wieści posłyszanych podań, a mających naruszoną prawdę, pełne są wyżej od nas wyliczone zbiory, które jednak są nie mniej ważne od zapisanych w księdze dziejów, a ważne przez to, iż właśnie swém przeistoczeniem, lepiej niż rzeczywiste podania, przedstawiają sposób myślenia ludu. Przywiodeę na to przykłady.

Podanie o Bolesławie Łysym księciu lignickim, który około r. 1278, skazał człowieka na śmierć, a który mimo to zgładzony ze świata nie został, przeistoczył lud szlązki, twierdząc, że i owszem został on zgładzonym (bo jakże nie, kiedy kazał księżę?), i że po śmierci chodził po świecie w postaci ducha (24). Co znowu przeistoczywszy lud polski i opowiedziawszy, iż tylko obraz, a nie samego człowieka zgładzono, zastosował to opowiadanie, do Władysława Łokietka (25). Napad Tatarów na Szlązk, skutkiem czego zaszła krwawa a nieszczęśliwa dla Szlązaków bitwa pod Lignicą r. 1240, wyrozumował lud tak, iż napad ten miał być następstwem zemsty hana, gdyż w mieście Srodzie nocujące w przejeździe tatarskie księżniczki, mieli pomordować Szlązacy (26). Przygody Walgirza i Heligundy, według zachodnich i słowiańskich opowieści opisane od Boguchwały (27), nie przeszły do ludu polskiego w téj, jak ją kronikarz przedstawił postaci, lecz raczej według śpiewu serbskiego (28), lub innéj opowieści jakowéj, którą nasz lud po swojemu przerobił. Śpiewają dotąd Czarnogórcy o rycerzu i olbrzymie, którzy wzajemnie, pod wpływem takichże przygód co Walgirz a Wisław, i z takimże skutkiem, walczyli z sobą. Matka rycerza owego zakochała się w olbrzymie; lecz ten poślubić jój nie chciał, obawiając się jój syna, dzielnego wojownika.

(24) Polska. I. 82. Goedsche 179.

(25) U Siemieńskiego pod liczbą 42.

(26) Goedsche 203. Toż samo powtarzano w Morawii z przyczyny bitwy Morawian i Czechów r. 1241, z Tatarami pod Olomuńcem zaszłej. Porównaj przypisy do rękop. króloworskiego, wydane w Pradze 1829, stronnica 218.

(27) Pamiętniki II. 77. Grimm und Schmalers Lateinische Gedichte des zehnten und eilften Jahrhunderts. Göttingen, 1838.

(28) Srpsk. pjesme II. 26.

Ta przeto, chcąc się przypodobać kochankowi, narażała młodziana na różne, podobne jak Heligunda Walgirza, przygody. Zwycięzko wyszedł rycerz z walki, i matkę zdrajczynią żywcem spalił. Podobneż zdarzenie opowiada lud polski, w klechdy oblokłszy go szatę; w której tyleż, co w podaniu owém, i tyleż, co w owój pieśni występuje osób, lecz osoby te inaczej w klechdzie polskiego działają ludu, lubo z tym samym, co i tam skutkiem. Bo nie żona, nie matka, lecz siostra zdrajczynią tu jest, która brata na różne przygody naraża, byle się przez to przypodobać olbrzymowi swemu kochankowi. Z czém pomieszzał lud podania wzięte z pogaństwa, czarnoksiężstwa, bajecznych dziejów greckich, rzymskich, niemieckich, a nawet i z pisma ś. starego zakonu dosłyszane przez siebie. Wszystko razem pomieszawszy, bajął: o cudownej studni w borze, o czarnoksiężkiej aptece w zamkowej wieży pod kopułą, i zaczarowanej maści, którą zlepione członki zrastały w jedno ciało; o zaczarowanym ogrodzie, w którym złote jabłka rosły pilnowane od jędzy; o królownie przykutęj do żelaznej kuli łańcuchami, o wilczycy karmiącej w jamie, o czarodziejskiej sile tkwiącej we włosach olbrzymiej brody (które w siedmioro splecione, nie mogły być rozerwane żadną mocą), o cudowném źródle uzdrawiającém ślepotę i t. p. Wiemy, że istniały u Słowian cudowne studnie w borze, lub na polu pod drzewami (29). Począwszy od owój Medei, umiały czarownice przysposabiać cudowne maście, i niemi ożywiały popłatanę w kawałki ludzkie ciała (30). Sławne były u starożytnych ogrody z jabłkami złotemi, pilnowane od smoków: sławną jest Andromeda przykuta do skały, którą uratował mężny Perseusz i pojął za żonę; sławną wilczyca, karmicielka Romula i Rema. A kiedy słowiańskie czarownice (podług późniejszych wyobrażeń), umiały ze dzwona i z powroza (31), a nawet z księżycą (jak w zabytkach pogaństwa tamże powiedziałem), mléko doić: czemużby go nie umiał był (mniemał lud), wysączyć rycerz z pełnych wymion wilczycy? Owe jabłka zerwane, ta naczerpna woda, to udojone mléko, miały za cel podnieść krasę lica: o czém prawiąc klechda, mówiła zgodnie z prawdą, gdyż po wszystkie wieki ubiegały się za pięknością niewiasty (32). We włosach tkwiła siła hebrajskiego Samsona i niemieckich olbrzymów: zrobiony z nich splot w siedmioro (święta u Słowian liczba, jak w zabytkach pogaństwa powiedziałem tamże), nie dał się zerwać ludzką mocą. Łagodnego charak-

(29) Pierwotne dzieje 456. Kuhn 248.

(30) Ovidii Metamorph. VII. 176 nstpn.

(31) Polska, IV, 156.

(32) Polska, IV, 23, 24.



teru lud polski nie mógł przypuścić tego, ażeby się olbrzym srożej od panów mógł obejść z jeńcem swoim, którzy (Mazepa jest tego przykładem najnowszym), winowajców puszczała na zgubę, do grzbietu dzikiego konia przywiązawszy ich. W rybim płynie obmywszy mu oczy, przywrócił młody Tobiasz wzrok ojcu staremu. Czemużby (myślał nasz lud), nie miał tegoż dostąpić każdy, ktoby w świętym źródle, (a wiele takich było i jest u nas), obmył ślepotą zarażone oczy? Rycerz miecza zwyciężkiego, łącznie z łagodnością polskiego charakteru, ukarał zdrajczynią siostrę; ho pogardził nią, nie chciał nawet spojrzeć na wyrodną. Ale kiedy się przekonał, że niczem od knowania zdrady odwiedzioną być nie może, wtedy na drobne, wraz z olbrzymem jej kochankiem, porąbał ją sztuki.

Inne podania opowiada lud goło, czyli nie miesza ich z klechdami (33); trudno atoli wysledzić, czy one są miejscowości utworem, lub czy są wymysłem nowszym, w duchu pojęć ludu, lecz nie przez lud opowiadany (34). Podanie o Bolesławie Śmiałym, które niżej przywiodę, dostało się z Czech do górali tatrańskich, a stało się narodowem, tak przez treść swoją, jako też i przez pokładaną w niem żywą wiarę ludu. Zresztą może być w zbiorach pp. Wójcickiego, Balińskiego i innych niejedno podanie; lecz czy oprócz obrobionej o miejscowości zmianki, jest w nich coś historycznego, czy mają tło dziejowe chociażby i nadpsute? wysledzić tego żadną miarą nie mogłem.

Podania religijne, które legendami (35) nazywać zwykliśmy, nie tak treścią, jako raczej istotowością występujących tu osób, odznaczają się. Działają w nich bowiem bądź święci, bądź błogostawieni mężowie, duchy wszelkiego rodzaju, czarodzieje wreszcie; a działają zupełnie lub w części religijnie, tak, iż cokolwiek przedsięwiorą, cechę na sobie religijności lub przesądu (występowanie czarodziejów) nosi. Wyobrażenia z takowemi wiążące się podaniami, panowały u Słowian już za pogańskich czasów; lecz za chrześcijaństwa poszły w ohydę, a świecki przybrawszy charakter, stały się rzeczywiście klechdowemi hieroglifami, zniżone będąc do wątku bajek, jakiemi piastunki bawiły i dotąd bawią pielęgnowane przez siebie dziatki. Potrączę o nie, zanim przejdę do właściwych legend.

Gminne u Słowian panowały rządy, aż wreszcie monarchie lub rzeczypośpolite od monarchij zawisłe, ustaliły się u nich. Powolnym szło to krokiem, gdyż niechętnie poddawał się lud władzy jednego. Kiedy przemogło zdanie za królewskimi oświadczone rządami,

(33) U Siemieńskiego pod liczb. 45, 47.

(34) U Siemieńsk. pod liczbą 4, której lud, w ten jak je tu przedstawiano sposób, opowiadać nie może.

(35) Du-Cange, p. w. *legenda*,

przybrano wieść opowiadaną o tém w postać gadki, czyli alegoryi, wyprowadzając na scenę ubóstwiane snadź niegdyś istoty. Prawiono więc: jak niegdyś ptacy wybierali sobie króla, i jakie dla tego *za i przeciw* odzywały się głosy. Opowiadano, jak toż samo pod takiemiż okolicznościami, uczyniły ryby. Jak ptacy odtąd, niby pasterze trzody (gromad ludu), pasali takowe po bujnych trawach i jałowych rolach, a gdy paść nie umieli, przeto trzoda słuchać ich nie chciała. Gadki te sami tylko nadłabańscy Słowianie (36) opowiadali; oni bowiem, z przyczyny niezgody na zasadę nowo tworzących się monarchij, padli pierwsi ofiarą zmienionych o rządzie wyobrażeń. Opowiadania te przeistoczono następnie na bajki o zwierzętach, zwracając głównie myśl na wilka (przyczém się bez uderzających częstokroć dziwactw (37) nie obeszło), i nieraz biorąc za tło opowiadania Ezopa bajki, wcześniej u wszystkich Słowian, Moskwę wyjąwszy, upowszechnione. Z bajkami, bowiem Ezopa, dopiéro na początku XVII wieku Polacy obznajmili Rossyan (38).

Ważne są legendy i w nie bogate jest ludowe powieściarstwo, aczkolwiek największa część takowych z podaniami pomieszaną być się ukazuje: bądź, że legend właściwych mało ma lud polski (czemu wierzyć trudno), bądź, co pewniejsza, że jeszcze nie zostały odszukane takowe. Podanie o dwóch przychodniach cudotwornych, którzy w domu Piasta i Rzepichy jadło i napitek rozmnożyli, przeistoczywszy w legendę (39), opowiadano o dziadku (miał nim być ś. Piotr apostoł), za którego łaską biędna wdowa miała pomnożony półsetek płótna. Chcąc zanieść do żyda kilka ztąd łokci, by za to kupić cbleba i soli, zaczęła go mierzyć; i mierzyła aż do zachodu słońca (40).

Legend pomieszanych z klechdami jest bardzo wiele. Występują naprzód takie, do utworzenia których dostarczyły wątku, zabytki pogaństwa i chrześcijańskie wyobrażenia, wyprowadziwszy na scenę Bogarodziecę, Chrystusa, świętych Pańskich (41), w miejsce aniołów czyli dobrych duchów, tudzież czarta czyli złego ducha. Tego rodzaju baśnie zrobiły na gminie tém większe wrażenie, że zdawały zgadzać się z podaniami znanemi już w czasach pogańskich. Bo przypominam, że bę-

(36) Jahrbücher (Meklenburg). N. 74. Kuhn, 293 i nstpn. Smoljer.

(37) Porównaj klechdę o *żelaznym wilku*, wierszem przez p. Czajkowskiego w Bibl. Warsz. z miesiąca stycznia 1845 r., pięknie oddaną.

(38) Jakiś Goźwiński urzędnik przy poselstwie polskiem przełożył je. Porównaj Podberesk. w Athen. I. 189 nstpn.

(39) Jest w zbiorze p. Balińskiego pod napisem: *Jałmużna*.

(40) Toż samo pomorska legenda u Temme, 166 nstpn.

(41) Łużyckie legendy są w tój mierze nader ważne.

dąc poganinem wierzył w to Słowianin, iż pokutująca po śmierci dusza tuła się po ziemi, bądź przedzierzgnięta w różne postacie, bądź za pomocą czarodziejstwa przybierając na siebie kształty różne, i znowu wracając do pierwotnej istoty swój. Dziwy te, z zupełną w nie wiarą, w IX jeszcze wieku powtarzano za Karpatami, i wskazywano ludzi, którzy sztukę przedzierzgnięcia się w zwierzęta posiadać mieli (42). Z tego źródła wypłynęło mniemanie o wilkołakach, nad którym rozwiodłem się wyżej. Gdy w to wierzył lud, że złożeni po śmierci do grobu ludzie nie zostają tamże wiecznie uwięzieni, lecz że ich dusze bujają niekiedy po ziemi; nic więc dziwnego, że przywiązywał wiarę do wypadku, który za chrześcijańskich czasów zająć miał u Bretonów w VII po Chrystusie wieku. Zdarzenie to, upowszechnione w Niemczech przez Saksonów, doszło i do nas. Z początku samopas snadź powtarzana ta baśń będąc, została w XIII wieku do podań o czarcie zastosowana: następnie przyczepiona do powiastki w przestworze średnich wieków o łozu Amadejowém opowiadanej; u Polaków zaś, z powodu jakowegoś rozbojnika (którego snadź od owego Amadeja nazwały adejem nasze klechdy), pomieszana będąc z miejscowymi opowiadaniem, dała powód do różnych gadanin. W r. 671 opowiadano o niejakimś człowieku w Brytanii, który zmartwychwstawszy, udzielił ludziom wiadomości o miejscach kary w przyszłym życiu i ogniach czyscowych (43). W r. też 1090 pewny ksiądz saski, zostając w zachwyceniu, był do piekieł porwany. Powróciwszy opowiadał o katuszach zgotowanych tamże dla bezbożnych (44). Powiastki te zastosowane do czarta, mieszkającego (podług mniemań w XIII wieku upowszechnionych), zwykle wspólnie ze swą matką lub babką (45), zrodziły owę klechdę o rozbojniku Madeju.

(42) Luidprand u Pertza Y. 309, mówi o bułgarskim królu Symeonie w IX wieku panującym: „qui duos filios habuit, unum nomine Bajanum, alterum qui nunc usque superest, potenterque Bulgaris principatur, nomine Petrum. Bajanum autem adeo foere (fere) magicam dedicisse, ut ex homine subito fieri lupum quamvecunque cerneret feram”.

(43) Ann. Xantens. u Pertza II, 220.

(44) Ann. Augustani u Pertza V, 133.

(45) Grimm: Deutsche Mytholog. Wyd. I. 565. Jak zły duch bijął, a nawet zabijał swą babkę, opowiada Kuhn 249.





X. STANISŁAW BONIFACY JUNDZIŁŁ.

Professor historyi naturalnej  
wb. Uniwersytecie wileńskim.

**WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PRACACH NAUKOWYCH**  
**KSIEDZA STANISŁAWA JUNDZIŁŁA.**

PRZEZ

*Jana Jundziłła.*

(Z wizerunkiem).

---

Naturae vero rerum vis atque maiestas in omnibus momentis fide caret, si quis modo partes ejus ac non totam complectatur animo.

*Plin. H. N. lib. 7 c. 1.*

**W** połowie miesiąca kwietnia roku zaprzeszłego, jak już o tém doniosły pisma krajowe, dokonał dni swoich w Wilnie, znany zaszczytnie nestor naszych naturalistów, ś. p. ksiądz Stanisław Bonifacy Jundziłł, wysłużony zwyczajny professor historii naturalnej w b. cesarskim wileńskim uniwersytecie, ś. teologii i filozofii doktor, członek towarzystw: b. kr. warszawskiego przyjaciół nauk, badaczyw natury w Moskwie, botanicznego w Gorenkach, b. rolniczo-gospodarczego w Warszawie, i farmaceutycznego w Petersburgu.

Żywot tak znakomitego w świecie uczonym i zasłużonego krajowej oświacie męża, ponieważ nie mógł być dostatecznie przedstawionym w ciasnych ramach zwyczajnego nekrologu, bo wszystkie szczegóły naukowego jego zawodu, powiązane są z ważnemi w kraju dla instrukcyi publicznej wypadkami, a w ogólności z całym bytem i dolą uniwersytetu wileńskiego, którego, od wznowienia aż do zamknięcia najpracowitszym był członkiem; nim więc przyjdzie kiedy do ogłoszenia auto-biografii tego znakomitego męża, w której ten ciekawy obraz z właściwą sobie przedstawia dokładnością, godzi się tymczasem choć krótką jej treść podać do publi-

cznej wiadomości, dla pokazania w skupionym widoku ważniejszych zasług zmarłego i odświeżenia w ziomkach wdzięcznej pamięci na mnogie prace i ofiary, jakie za życia, dla postępu swój nauki i publicznej w kraju oświaty, podejmował.

Ksiądz Stanisław Jundziłł, syn Benedykta i Róży z Dowgiatłów, urodził się w b. województwie wileńskim, powiecie lidzkim, w szczupłym ojcowskim majątku Jasięcach r. 1761 d. 6 maja n. s. Początkowe nauki aż do lat czternastu, pobiérał po większej części w domu rodzicielskim od prywatnych nauczycieli, którym był winien gruntowne zasady języka łacińskiego. Z postępem czasu, ojciec począł go wprawiać do różnych czynności prawnych; wszakże nie tamując dalszych widoków syna, oddał go później do szkół publicznych ks. Pijarów w Lidzie, gdzie odbywszy korzystnie trzy pierwsze klasy, młodzian zaledwo 16-letni, powziął stanowczy zamiar poświęcić się stanowi duchownemu w tém zgromadzeniu, w którym, mając otwartą drogę do wyższej oświaty, spodziewał się przepędzić życie na pożytecznej posłudze spółziomków.

Roku więc 1777 w miesiącu lipcu przeniósł się do Lubieszowa, dla odbycia zakonnego nowicyatu, a w téj nowój szkole, trafił szczęśliwie na mistrzów odpowiednich żarliwej swojej do nauk ochocie, jakimi byli: ks. Stefan Borzdyński łaciny, wymowy i poezyi, tudzież ks. Stanisław Buczkiewicz języka francuzkiego, historii i geografii professorowie, pod których przewodnictwem oddając się przez dwa lata usilnej pracy naukowej, tyle postąpił, iż ważniejsze dzieła w pomienionych językach, sam już z wielkim pożytkiem mógł czytywać. Ale ustawiczne w tak młodym wieku nad księgami ślęczenie, które raptownie zbogcało jego umysł, przyplacił pod koniec swego nowicyatu ciężką nerwową gorączką, a co gorsza, utratą wzroku prawego oka, które jasna ślepotą (*amaurosis*) na zawsze zasłoniła. Jedno więc oko lewe, a i to (jak powiada) jeszcze w małości znacznie od ospy osłabione, do dalszych mu prac naukowych pozostało.

Zgromadzenie ówczesne Pijarów litewskich w którym rozpoczynał swój zawód naukowy, aczkolwiek wierne powołaniu nauczycielskiemu, chlubnie się odznaczało między innemi uczącemi w kraju naszym zakonami; po stracie jednak w owój epoce najświetlejszych swoich luminarów, jakoto: Dogiela, Syrucia, Siemaszki, i t. p. zdawało się nieco upadać na duchu i nie dorównywać świetnej w Koronie przewadze nieśmiertelnej pamięci Konarskiego. Szczęśliwém atoli przeznaczeniem, mając wówczas na czele swoim znakomitego z cnót i nauki prowincyała, ks. Tadeusza Langa, w jego gorliwości i w kształcącej się pod rządem tego męża młodzi zakonnój, miało rękojmię świetniejszej swojej przyszłości,

którą niebawnie młody nasz nowicyusz począł na sobie z chlubą zgromadzenia uiszczać.

Jakoż r. 1779 po uczynionėj professyi zakonnėj, wszedł w obowiązki nauczycielskie w szkołach pijarskich, ucząc przez pierwsze dwa lata, naprzód w Rosieniach początkową, a potém w konwikcie wileńskim pierwszą klasę. Przeznaczony następnie do słuchania w Wilnie dwuletniego kursu nauk filozoficznych, w nowo-darowanym od rzeczypospolitėj domu pojezuickim na Śnipiszkach, gdy r. 1781 nastąpiło uroczyste przez kommissyą edukacyjną odnowienie akademii wileńskiej, w której, sławni naówczas professorowie: Gilibert historją naturalną, a potém Sartoris chemią, pierwsi u nas systematycznie, lecz w języku łacińskim wykładali; nie przestając zatém na dawanych w swoim zgromadzeniu przedmiotach fizyczno-matematycznych, uczęszczał pilnie wraz z innymi kolegami (mimo oporu niektórych członków starszyny pijarskiej), na publiczne lekcyje w akademii, do czego wkrótce tém większą miał zręczność, gdy w roku następnym, staraniem zacnego prowincyała Langa, cała młodzież pijarska zwróconą została do domu w mieście położonego, a opatrzonego we wszelkie pomoce naukowe, i osobnych do fizyki i matematyki nauczycieli.

W roku 1783 po ukończeniu kursów filozoficznych, został na miejscu w Wilnie dla słuchania teologicznych, i w drugim roku ich biegu, t. j. 1784 r. na końcu grudnia, nie mając jeszcze spełna lat prawem kościołóm oznaczonych, przyjął za dyspensą dyecezalnego biskupa kapłańskie święcenie. Pełnił tóż razem wówczas obowiązki dozorecy konwiktu, od których zbywający czas, poświęcał na słuchanie w akademii lekcyi chemii, ćwiczenie się w językach, i czytanie dzieł rozmaitych. W tych tóż wolnych od zatrudnień chwilach, zrobił pierwszą dla literatury naszej przysługę, przez wytłumaczenie z włoskiego na polski język dzieła sławnego fizyka Jana Beccaria: *O elektryczności*, oraz listów tegoż autora o elektryczności sztucznej i naturalnej (1). Dogadzając zaś prośbie ówczesnego w Wilnie chirurgii professora Regnier'a, jako mniej biegłego w języku polskim, trudnił się dla niego tłumaczeniem z danych sobie dzieł francuzkich, różnych wyjątków w przedmiotach lekarskich, przez co się wprawiał w gruntowną pomienionego języka znajomość i gładkie na ojczysty język przekładanie.

(1) Przekład tego dzieła ogłoszony drukiem, wyszedł pod tytułem: *O elektryczności sztucznej i naturalnej*, ks. Jana Beccaria, księgi dwie, z włoskiego na polski język przez ks. B. S. Jundziłła przełożone. W Wilnie, w drukarni Ks. Pijarów, 1786 (w 8ce, str. 509).

Ze wszystkich atoli prac naukowych jakimi dotąd był zajęty, czując w sobie szczególny pochop do nauk przyrodzonych, do nich się téż najwięcej przykładał; a chcąc gruntownego poznania różnych królestw przyrodzenia porządnie nabywać, pierwsze swe usiłowania skierował do botaniki, nauki dotąd w szkołach naszych zaniedbanéj, i której katedra nawet w akademii wileńskiej, po oddaleniu się Gilberta, wakowała. Poprzednie jednak z tym naturalistą stosunki, i dzieło jego: *Flora lithuanica inchoata*, wielce sobie ważąc, powziął ztąd podniecie, do pierwiastkowej swojej w botanice pracy.

Z taką dążnością dostawszy się r. 1785 do Szczuczyna, gdzie zwierzchny dozór szkoły tamecznej, i uczenie klasy trzeciej miał sobie powierzone, ważną téj szkole domierzył przysługę, nietylko przez urządzenie jej, podług nowych ustaw kommissyi edukacyjnej, których duchem był przejęty; ale oraz przez zaprowadzenie tamże upodobanej sobie, a przepisanej temiz ustawami lekcyi botaniki, i założenie stosownego, do miejscowej uczniów potrzeby, botanicznego ogródka. Czyn ten, był pierwszym jego, jakkolwiek słabym jeszcze w botanice krokiem. Szkoła zaś szczuczynska po szczęśliwej ks. Jundziłła reformie, w której mieli udział i dwaj młodsi jego koledzy, księża Izydor Sieklucki, i Julian Maliszewski, zyskiwała odtąd najchlubniejsze światłych wizytatorów świadectwa, i długo w Litwie za najcelniejszą, między pijarskimi była uważaną.

R. 1786 wezwany do Wilna, dla wykładania logiki i metafizyki młodzi pijarskiej w klasztorze śnipiskim, zaledwie rozpoczął te lekcyje, gdy od prowincyała Langa, skutkiem usilnych starań Scypionów, podstolstwa litewskich, dziedziców Szczuczyna, obowiązany został do zajęcia się edukacją ich synów, i w tym celu przeniósł się do ich mieszkania w murach akademickich. Pełniąc ten prywatny obowiązek przy dobrych ze wszech miar uczniach, tém więcej miał razem czasu do pracowania nad samym sobą. Jakoż czytał niezmiernie wiele, a z publicznych kursów słuchał w tym roku powtórnie chemii, i pierwszy raz zoologii, którą professor Jerzy Forster wykładał. Lecz że kurs zoologii miał trwać do końca szkolnego roku, a botanika w następującym dopiero rozpocząć się miała; zyskawszy przyjaźń profesora Forstera, uprosił go wspólnie z Janem Czenpińskim i Szymonem Malewskim (znanymi potem z chlubnych zasług w krajowej oświacie), iż im wiosną 1787 r. prywatny kurs téj nauki wyłożył, i zbierane w okolicach Wilna rośliny, praktycznie determinował. Forster wszakże tegoż roku, zwabiony inenimi widokami, Wilno opuścił, lecz nie przerwał, podobnie jak i Gilbert, przyjaznych i naukowych z ks. Jundziłłem stosunków, których tkliwa pamięć w listach tych mężów, z zagranicy do niego pisywanych, dotychczas istnieje.



Odtąd już stanowczo, i że tak powiem namiętnie oddając się naukom przyrodzonym, czas na nie poświęcony, rozdzielał na właściwe w każdej porze roku zatrudnienia. Wysłuchawszy prywatnie całkowitego prawie kursu anatomii, od nieodżałowanego doktora medycyny Jana Czenpińskiego, który wówczas był korrepetytorem przy profesorze Janie Andrzeju Lobenwejnje, począł przy pomocy wyuczonego swoim staraniem wypychacza, zgromadzać zbiór ptaków krajowych. Latem zbierał owady, z gąsienic wychowywał motyle, herboryzował około Wilna, mianowicie w kwiecistych zaroślach Rybiszek, w czasie zaś szkolnych wakacyj około Lidy lub Szczuczyna, i takie były jego przez cztery lata, póki przy Scypionach zostawał, zatrudnienia. Zbiory te dość liczne owadów i ptactwa, w czasie rewolucyi pod niebytność ks. Jundziłła w kraju, zaginęły.

Przez takie prace postąpiwszy znakomicie w naukach przyrodzonych, r. 1790 wezwany został od swojej zwierzchności, do wykładania po raz pierwszy dla młodzi pijarskiej historii naturalnej, a mianowicie zoologii i botaniki. Kurs ten rozpoczął uroczyście w obec licznych świadków przemową łacińską, wystawiając w niej gruntownie przedmiot, ważność i cel swojej nauki; a że katedra jej wakowała naówczas w akademii, miał więc i z niej wielu uczniów, stale kursu jego słuchających.

Historia naturalna, a w szczególności botanika, lubo oddawna miały u nas swoich zwolenników, czego dowodem są dawne herbarze czyli zielniki Falimierza, Marcina z Urzędowa i Syreniusza, dziś liczone do najrzadszych osobliwości bibliograficznych; atoli dzieła te, jakkolwiek dla nas szacowne pod względem wewnętrznej ich wartości, szczególnież zaś pod względem polskiej nomenklatury roślin, nie mogą się jednak uważać jak tylko za szczeble do prawdziwej botaniki; gdyż nieoparte na żadnym naukowym układzie, a nawet dziwaczne w swojej teorii, i tylko ze stanowiska lekarskiego traktując o botanice, jako o nauce podrzędnej: temu samém nie zdołały podnieść jej do właściwego znaczenia i oswobodzić z więzów krępujących jej postęp. Ale było to kolej powszechna, której wszystkie części historii naturalnej ulegały nietylko u nas, lecz i w innych krajach Europy, dopóki ten nieprzebrany skarb wiadomości, siłą i pracą późniejszych gieniuszów, a osobliwie Linneusza, nie został gruntowniej zbadany, pojęty, a oparty na właściwym systemacie, w program instrukcyi publicznej wprowadzony. Za panowania Stanisława Augusta, kommissya edukacyjna podnosząc ogólną w kraju oświatę, zwróciła szczególny wzgląd na nauki przyrodzone; i gorliwości tej magistratury winniśmy ich stanowcze i we właściwym stopniu, tak po szkołach głównych, jako i wydziałowych, zaprowadzenie. Co do botaniki, już od roku

1785 z polecenia téjże kommissyi była książka elementarna, pod tytułem: *Botanika dla szkół narodowych*, przez zacnego ks. Krzysztofa Kluka; ale ta prócz suchego wykładu terminologii roślinnej, nie więcej w sobie nie zawierała, i do praktycznego poznania roślin była niedostateczną. Taki stan rzeczy pobudką był dla ks. Jundziła, do wypracowania dzieła ułatwiającego bliższe i systematyczne poznanie wszystkich roślin krajowych; do czego się sposobiał przez ciągle wartowanie dzieł botanicznych tak dawnych krajowych, jako i nowszych zagranicznych; przez pracowite herboryzacye i naukowy układ zielników: dokonał nareszcie chlubnie swego zamiaru, i w r. 1791 wydał po raz pierwszy szacowne po dziś dzień dzieło, pod tytułem: *Opisanie roślin litewskich, podług układu Linneusza* (2). Niesłuszną byłoby rzeczą przymierzać to dzieło do dzisiejszego wzrostu nauki i upatrywać w niem uchybień lub niedostatków, kiedy sam czas, a w nim nowe odkrycia i doświadczenia, naprowadzając naturalistów na coraz nowsze o rzeczach pojęcia, zbogaciły niezmiernie masę wiadomości wszystkich nauk przyrodzonych, i wspanialszą im dziś nadały postać. Sam téż szanowny autor, nie miał o téj pierwiastkowej pracy swojej przesadzonego wyobrażenia. Ale to nie przeszkadza ocenić nam ją według rzetelnej wartości. Pomnieć bowiem należy, że dzieło to w swoim czasie pod względem układu, języka naukowego, a nawet dokładności, było jedyne w naszej literaturze; że wyłącznie poświęcone Florze krajowej, dało ziomkom poznać po raz pierwszy w naukowym systemacie bogactwo roślinne ziemi naszej, rozciągnęło użyteczność swoją do wielu innych nauk, związek z botaniką mających, i tém samym wywarło stanowczy wpływ na dalszy postęp téj umiejętności w kraju naszym. Jakoż publiczność ówczesna, przyjęła to dzieło z prawdziwém zadowoleniem, które podzielając król Stanisław August, obdarzył autora przy uprzejmym liście, złotym medalem *merentibus*. Zaszczytu tego z Pijarów litewskich pierwszy ks. Jundziłł dostał, którym i powtórnie od tegoż panującego został udarowany, gdy w roku następnym z doświadczeń swoich, odbytych na miejscu, ogłosił drukiem rozprawę: *O źródłach słonych i soli w Stokliszkach* (3), którą,

(2) Taki jest tytuł dzieła tego w powtórném r. 1811 wydaniu, w Wilnie u Józ. Zawadzkiego (w 8ce, str. 333). Pierwsze zaś wydanie wyszło pod tyt.: *Opisanie roślin w prowincyi W. ks. l. naturalnie rosnących i t. d.*, w Wilnie, w drukarni ks. Pijarów, r. 1791 (w 8ce, str. 570), do którego dołączona jest we wstępie uczona autora o botanice rozprawa, z historyczną wiadomością, o dawniejszym jój stanie w kraju naszym, i biografia głównego historyi naturalnej reformatora Linneusza. Rozbiór tego dzieła przez nieznanego w Królewcu pisarza, i pochwała jego, w różnych potem niemieckich dziennikach powtarzane były. Patrz: *Usteri, Annalen der Botanik, viertes Stück*. 1793, p. 183.

(3) W Wilnie r. 1792 u XX. Pijarów (str. nieliczb. 20).

wraz z próbkami soli przez zamrażanie wody wydobytemi, przesłał był królowi do Warszawy.

Kommissya edukacyjna widząc w tych pracach młodego krajowego naturalisty, większe jeszcze na przyszłość nadzieje, i idąc w pomoc życzeniu i staraniom samegoż ks. Jundziłła; zamierzyła sposobić go na profesora historii naturalnej w szkole głównej litewskiej, gdzie jej katedrę długo po Forsterze wakującą, zajął w tym roku sprowadzony z Wiednia Ferdynand Spitznagel, późniejszy w uniwersytecie medycyny professor. A chociaż zamiarowi temu stawili różne przeszkody niektórzy profesorowie akademii, ks. Jundziłł atoli, obecny wówczas w Warszawie, rezolucją kommissyi z dnia 16 maja 1792 r., mianowany został vice-profesorem historii naturalnej, i otrzymał koszt żądany na wyjazd za granicę dla dalszego doskonalenia się w naukach przyrodzonych. Wyjazd ten, nastąpił tém rychlej, że już burza polityczna, która zwykle niweczy plany naukowe, poczęła zagrażać krajowi. Zwiedziwszy więc naprzód po drodze Kraków i okolice Karpat, d. 10 następnego miesiąca czerwca stanął w Wiedniu, jako w głównym punkcie dalszych swoich naukowych wycieczek. Zaznajomiwszy się tam ze sławnym botaniki profes. Jaquin'em, (ojcem), pierwsze prace poświęcił téj nauce, zwiedzając naprzód, podług rady jego, bogaty ogród botaniczny w Schönbrunn, a potem w samym Wiedniu nietylko akademicki, ale i inne odznaczające się osobliwością gatunków i porządkiem. Tyle zaś z tych botanicznych zatrudnień odniósł nowych korzyści, że mógł o nich jeszcze przed jesienią przesłać akademii wileńskiej obszerny raport. W jesieni, za rozpoczęciem się kursów akademickich w Wiedniu, zajął się z całą pilnością słuchaniem publicznych lekcyj mineralogii, której dotąd słabe miał tylko początki, i chemii, wykładanej podług nowego układu Lavoisier'a. A że z publicznego kursu mineralogii profesora Jordana, nie spodziewał się odnieść pożądaných korzyści; nagradzał to sobie kursem prywatnym, mając staraniem zacnego ziomka p. Józefa Wodzickiego, bawiącego wówczas na naukach w Wiedniu, otwarty wstęp do szacownego zbioru minerałów ks. Arnolda, gdzie codziennie prawie uczęszczając przez ciąg zimy 1793 r., obeznał się dostatecznie z układem mineralogicznym Borna. Następna wiosna zwróciła go znowu do botaniki, którą praktykując w znakomitszych ogrodach Wiednia, tudzież w jego okolicach: Baden, Brül, Mödling, i t. d., oswajał się coraz bardziej z florą austryacką. Chcąc zaś w nauce mineralogii obszerniejszych nabyć wiadomości, na początku jesieni tegoż roku wybrał się był umyślnie do Saxonii, w nadziei słuchania téj nauki we Freibergu pod sławnym Wernerem, i poznania tamecznych górniczo-metalurgicznych zakładów. Jadąc na Pragę czeską, zwiedził pilnie to wszystko,

cokolwiek ta stolica pod względem nauk przyrodzonych miała osobliwszego. Podobnie postąpił i w Dreźnie, gdzie uzyskawszy elektorskie pozwolenie, udał się do Freiberga; a lubo tu pozbawiony był możności słuchania prywatnych kursów samego Wenera, wszakże główne zasady i cały układ jego nauki, powziął łatwo od wielu bawiących tam jój zwolenników, między którymi zastawszy i młodego ziomka Józefa Domejkę, kosztem kanclerza Chreptowicza dla téjże nauki wysłanego: wespół z nim, jako obeznanym dobrze z miejscowością, obejrzał i zbadał dostatecznie wszelkie roboty górnicze i metalurgiczne we Freibergu, Olbernau i Münchenbergu, i oglądał tamże z niemałym pożytkiem różne ważniejsze zbiory tworów przyrodzonych. Tym sposobem dopiąwszy głównego celu swojej wycieczki, wyruszył znowu do Dreżna, gdzie gościnnie zatrzymany od bawiącego tam wówczas ks. Hugona Kołłataja podkancl. koron., zwiedził jeszcze sławny ogród elektorski w Pilnitz i hr. Łobkowitz, oraz gabinet morszczyzn uczonego Gershejma, i dnia 3 stycznia 1794 r. wrócił do Wiednia. Gdy zaś w roku przeszłym utworzona przez konfederacyą targowicką oddzielna dla Litwy kommissya edukacyjna, dla upadłych w kraju banków nie mogła ks. Jundziłłowi należnego na dalszy pobyt za granicą przesłać zasiłku; upatrzył sposobność w miesiącu marcu udać się z Wiednia do Warszawy, gdzie zastawszy kommissyą znowu do dawnój przywróconą powagi, tojest zarówno litewskiem i koronnem zawiadującą interesami, otrzymał od niej łatwo potrzebny koszt na zwiedzenie jeszcze kopalni i zakładów górniczych w Węgrzech, a przytém nowe polecenie poznania jak można najdokładniej i opisanie istniejącej w Wiedniu szkoły bydłeco-lekarskiej, na wzór której podobnaż miała być założoną w Wilnie. Poleceniu temu uczynił zadość, przesyłając kommissyi za swoim do Wiednia powrotem, dokładny raport o wszystkich szczegółach tyczących się téj szkoły. Wybrał się potém niezwłocznie do Węgier, i stanąwszy w Schemnitz czyli Szczawnicy, jako w środkowym punkcie kopalni węgierskich, zastał tu także przydatnego sobie rodaka niejakiego Klemensiewicza, rodem z Bochni, ucznia górnictwa na funduszu cesarskim, z którym ułożywszy plan każdego-dziennych zatrudnień, opatrzone paszportami *kamery* górniczej wiedeńskiej, zwiedzał łatwo wszelkie roboty górnicze nadziemne i podziemne, zbadał cały proces metalurgiczny w Kremnitz, Neusohl, Tajowa, Herrengrund i Glas-Hüte; a wszędzie po drodze zbierając do nauk przyrodzonych potrzebne wiadomości, z obfitym ich pło- nem miał już wracać do ojczyzny, gdy odgłos coraz groźniejszych nad nią gromów politycznych, zmusił go znowu wrócić do Wiednia. Przybywszy do téj stolicy w fatalną epokę upadku narodu, a z powodu rozprzężenia się władz rządowych nie mając już żadnych z kraju zasiłków,

byłby niezawodnie narażony na smutne skutki niedostatku, gdyby temu nie zapobiegła uprzejma pomoc przychylnych mu ziomków, którzy się wówczas gromadnie do Wiednia zjechali: wielu też z nich biorąc od ks. Jundziłła prywatne lekcye botaniki i mineralogii, podawali mu tém samém przyzwoity do utrzymania się sposób. W takim składzie okoliczności, mieszkając jeszcze cztery lata w Wiedniu, nigdy się nie rozmiął z głównym swoim celem coraz gruntowniejszego historyi naturalnej zgłębiania, już przez praktyczne różnych jój przedmiotów i zakładów badanie, już przez czytanie dzieł ku temu celowi służących. Nadto, chcąc poznać nową, lecz z historią przyrodzenia w blizkim związku będącą naukę weterynaryi, słuchał porządnie przez dwa lata rozmaitych jój teorycznych i praktycznych kursów. A że szkoła ta, jakkolwiek wzorowie urządzona, nie miała jeszcze wyłącznego ku potrzebie swojej lekarsko-botanicznego ogrodu; niedostatkowi temu chcąc zapobiedz główny jój rządca professor Knobloch, prosił ks. Jundziłła, znanego sobie z biegłości w botanice, aby w miejscu na to przeznaczoném, żądany ogród założył. Nie odmówił mu téj przysługi; i przy pomocy kilku dodanych sobie z pomienionj szkoły uczniów, zebrał znaczną ilość potrzebniejszych gatunków, a przeniosłszy je na plac między murami szkoły, założył porządny botaniczno-lekarski dla téjże szkoły ogród. Pamiątkę tego dzieła, równie jak i postępu naszego naturalisty w sztuce bydłeco-lekarskiej, przechowało po dziś dzień urzędowe świadectwo profesora Knobloch, które się tu dosłownie przytacza (4).

Zjednawszy sobie nauką i talentami wziętość u cudzoziemców, nie dziwnego, że od wielu znakomitych ziomków wówczas w Wiedniu goszczących, odbierał nieustanne dowody uprzejmości i szacunku, oraz przełożenia jedne od drugich korzystniejsze, do zajęcia w ich patronatach odpowiedniej swemu powołaniu i talentom duchownej posady. Wszakże te wszystkie widoki jakkolwiek powabne, ustąpić musiały ważniejszym względom. Skoro bowiem r. 1797 otrzymał od ks. Poczobuta, rektora akademii wileńskiej listowną wiadomość, iż przy utwierdzeniu przez Cesarza *Pawła* téjże akademii ze wszystkimi jój przywilejami, plac vice-

(4) *Dass der Herr Stanislaus Jundzill, ein Pohle meine Vorlesungen über die gewöhnlichsten Krankheiten und Seuchen des Hornviehs, der Schafe und Schweine durch ein ganzes Jahr nicht nur sehr fleissig besucht und sich mit sehr gutem Erfolg auf die Thierarznei Kunst verlegt, sondern auch durch seine ausgezeichneten botanischen Kenntnisse dem botanischen Garten in K. K. Thier-Spital wichtige Dienste geleistet habe, bezeuge hiemit. Wien, d. 12 April, 1797.*

*Johann Knobloch  
Med. Doct. und Professor.*

(Pisane na ówczesnym stęplowym arkuszu, i opatrzone pieczęcią tegoż profesora)

professora historyi naturalnej zachowanym dlań został; przekładając publiczną w kraju służbę nad wszelkie prywatnego dobra widoki, opuścił Wiedeń, i tegoż roku d. 3 paździer. wrócił do Wilna, gdzie Opatrzność chciała, aby do ostatka dni swoich pracował w ciężkim zawodzie naukowym, dla dobra krajowej oświaty i osobistej sławy.

Wszakże za powrotem z za granicy, zastawszy w Wilnie zmienioną całą prawie postać rzeczy naukowych, tak w zgromadzeniu pijarskiem, jak i akademickiem, nie mógł zrazu obiecywać sobie znakomitego w nich udziału. Bolała go srodze strata najlepszych ze swego zgromadzenia przyjaciół, a mianowicie, pełnego cnót i zasług męża ks. Langa prowincyała, i dwóch młodych wielkiej zdolności Pijarów: ks. Juliana Maliszewskiego i Józefa Parfimowicza, którzy zawczesnym dla nauk zgonem, unieśli z sobą do grobu najpiękniejsze nadzieje. Inni zacni tegoż zgromadzenia członkowie, wśród klęsk krajowych rozproszyli się byli po różnych stronach. Kommissya litewska edukacyjna z nowych zupełnie złożona członków, i oddana pod zwierzchność cywilnego wileńskiego gubernatora, nie mogła natychmiast zająć się promocją ks. Jundziłła; tém bardziej, że w samej akademii, zapelnionej po większej części cudzoziemcami i oddawna niechętni Pijarom ex-jezuitami, nie mógł znaleźć prawdziwych przyjaciół. W takim więc składzie okoliczności, przestając na skromnym tytule i pensyi vice-professora historyi naturalnej, podzielał publiczne swoje obowiązki z professorem Spitznaglem, wolne od nich chwile poświęcając na dawanie życzącym tego osobom prywatnych lekcyj. Atoli niedługo trwał taki stan rzeczy; wkrótce bowiem gruntowna nauka i talenta, z którymi się dał poznać przed sądem publiczności, a których zaćmić żadna zawiść nie była w stanie, wywiodły go na obszerne pole rozlicznych prac i zasług w tym zakładzie naukowym, którego potem stał się głównym zaszczytem i ozdobą.

R. 1798 osiągnąwszy w akademii wileńskiej stopień doktora filozofii, czytał przy otwarciu kursu nauk d. 27 sierpnia rozprawę do powszechnego pojęcia zastosowaną: *O główniejszych w świecie kopalniach i o ilości kruszców z nich się wydobywających*, która łącznie z prospektem lekcyj akademickich, na rok tenże wydrukowaną została (5). Następnie przyszło mu zająć się dwiema ważnemi dla postępu swój nauki pomocami, które przy tylu innych w dalszym ciągu jego zawodu dokonanych dziełach i pracach naukowych, były nieustanném aż do końca służby jego publicznej zatrudnieniem.

(5) Obacz: *Index lectionum in alma academia vilnensi. Anno 1798* (in folio), za którym umieszczona jest pomieniona rozprawa.

Chociaż bowiem katedra historyi naturalnej, od nastania jój w Wilnie, przez trzeciego już profesora była zajmowana; atoli pomimo właściwej każdemu z nich gorliwości, zapomaganej ofiarami szczodrych dla dobra ogólnego obywateli, nauka ta, nie miała dotąd nieodbitnie potrzebnych dla pożytku uczniów zakładów, to jest: odpowiedniego istotnej potrzebie botanicznego ogrodu, i porządnie ułożonego gabinetu tworów przyrodzonych, któreto oba zarówno ważne i zaszczyt akademii przynoszące zakłady, stały się wyłącznie dziełem ks. Jundziłła.

Zbiór gabinetu naturalnego, składał się wtedy: po 1<sup>sz</sup>e, z zostawionych przez Giliberta konch i minerałów; 2<sup>re</sup>, z nabytych od Jana Jerzego Adama Forstera konch, ryb i owadów oceanu Południowego; 3<sup>cie</sup>, z minerałów darowanych przez ks. Jana Wicherta kanon. inflantc.; i 4<sup>te</sup>, z minerałów podobnie darowanych przez Michała Ogińskiego hetm. W. lit., co wszystko w kollegium ś. jańskim, w refektarzu niegdyś jezuickim, późniejszej auli, leżało na obszernych rusztowaniach bez należytego porządku, a co gorsza, wystawione na wielorakie uszkodzenia. Zbiór więc takowy, aby miał właściwe sobie znaczenie, i odpowiadał godnie swemu przeznaczeniu, potrzebował koniecznie przyzwoitszego pomieszczenia, układu naukowego i inwentarza.

Podobnie należało utworzyć ogród botaniczny; bo oprócz szczupłego zakładu, zrobionego jeszcze przez Giliberta na dziedzińcu kollegium medycznego, z małą bardzo oranżeryą, nie więcej nie było. A lubo na żądanie Forstera, który znał dobrze niedostateczność tego zakładu, kommissya edukacyjna nabyła w pięknym położeniu plac na Sorokiskach z domem murowanym: wszakże do powrotu z za granicy ks. Jundziłła, nie było tam jeszcze żadnej stanowczej plantacyi, bo plan przez profesora Spitznagla na to podany, za niedogodny uznany został. W takim stanie rzeczy, kommissya r. 1799 za zniesieniem się z cywilnym wileńskim gubernatorem Frieselem, wydała rezolucyą, mocą której założenie ogrodu botanicznego i bezpośredni rząd nad nim ks. Jundziłłowi poruczyła, zalecając z 600 rub. sr. na ogród i gabinet wówczas przeznaczonych, użyć 400 na sam ogród. Posłuszny tak zaszczytnemu wezwaniu, niezwłocznie zajął się naprzód zrównaniem nieforemnej powierzchni pomienionego placu, i przygotowaniem go do tak różnorodnej plantacyi, a z kolei przystąpił do założenia podług swego planu, botanicznego ogrodu. Praca, jaką w szczególności temu zakładowi swemu poświęcił, zwyciężając przez lat 27 rozmaite trudności, i pomnażając ciągle zasoby ogrodowe, liczy się bez wątpienia do najcelniejszych ks. Jundziłła zasług, którą ci chyba najlepiej ocenićby mogli, którzy się jój kiedy w podobny sposób poświę-

cali. Rozległość tego zakładu, powiększona w r. 1801 szczodrym dla akademii darem przyległego placu, i domku panów Wawrzeckich, a w r. 1808 nabyciem placu od M. Berenta, dała sposobność rozprzestrzeniać i pomnażać coraz bardziej plantacye botaniczne, do czego z drugiej strony posługiwały mu, troskliwie zawiązywane i utrzymywane stosunki, z najpiérwszemi zakładami botanicznemi, w kraju i za granicą. Tąż troskliwością ciągle powodowany, pozakładał do hodowania delikatniejszych roślin nieodbitie potrzebne cieplarnie i inne budowle, opasał tenże ogród ze strony mniej bezpiecznej murem i sztachetami; a z jaką gorliwością to ulubione rąk swoich dzieło pielęgnował i rozkrzewiał, czyli jaki był stopniowy wzrost bogactw ogrodowych, najlepiej to wykazują co drugi rok prawie drukowane katalogi, z których wyciąg jest następujący:

R. 1799 przy objęciu ogrodu od profesora Spitznagla, zastał podług autentycznego inwentarza, oranżeryjnych i gruntowych gatunków 492. W r. 1802 piérwszy raz drukowany katalog z nazwiskami polskimi obok układowych, zawierał 1072 gatunków; w r. 1804—1526; w 1807—1958; w 1808—2000; w 1809—2400; w 1810—2872; w 1811—3410; w 1814—3861; w 1815—4366; w 1817—4635; w 1819—4951; w 1821—5570; w 1824—6565. Przy niezliczonych trudach w zebraniu i pielęgnowaniu takiej ilości rozmaitych roślin, samo téż wydawanie układowych katalogów, nie było zaiste owocem mechanicznej tylko pracy!

Założenie ogrodu botanicznego, przypadło właśnie na sam koniec 20-letniego w akademii rektorstwa ks. Poczobuta, po którym urząd ten objął ks. Strojnowski ex-pijar, mąż niemniej o dobro nauk gorliwy. Teżoż roku, pomimo tak mozolnych około ogrodu zatrudnień, ks. Jundziłł wydał zebrane jeszcze w Wiedniu z różnych wypisów wiadomości o ważniejszych używalnych roślinach, pod tytułem: *Botanika stosowana* (6). Dzieło to, w rzetelném świetle podając ciekawe i użyteczne wiadomości o rozmaitych roślinach, będących przedmiotem handlu, przemysłu i gospodarstwa, nietylko dla zwolenników botaniki, lecz i do ekonomiki powszechniej stało się wielce przydatnem; a dla rzadkości dziś swojej, zasługiwałoby na przedruk. Wśród tych zatrudnień, odbył jeszcze jesienią na rozkaz rządu, wraz z ks. Mickiewiczem b. professorem fizyki, podróż w okolice Nieświeża, Mira i Lachowicz, dla zbadania tam pokładów torfu, o których w przesadzony sposób doniósł był doktor O'Connor do Pe-

(6) *Botanika stosowana*, czyli wiadomość o własnościach i użyciu roślin w handlu, ekonomice, rękodzielach, o ich ojczyźnie, mnożeniu, utrzymywaniu; według układu Linneusza. Przez ks. B. S. Jundziłła, historyi naturalnej wice-professora. W Wilnie, w drukarni dyecezalnej, r. 1799 (w 8ce str. 496, prócz spisu roślin na końcu dzieła).



tersburga; z wyprawy więc téj nie ważnego odkryć się nie mogło. W r. 1800 po otrzymaniu w akademii wileń. stopnia doktora teologii, d. 19 lutego mianowany został duchownym ksiąg cenzorem, któryto urząd dość naówczas kłopotliwy, przez dwa lata sprawował.

Oprócz założenia ogrodu botanicznego, kommissya edukacyjna polecila jednocześnie ks. Jundziłłowi, ułożenie gabinetu historyi naturalnej i zrobienie planu szaf dogodnych na jego pomieszczenie; a chociaż niektórzy członkowie akademii różnili się w zdaniu z ks. Jundziłłem, ówczesny jednak wojenny gubernator wileński Kutuzow, i cywilny Friesel, oraz prezes kommissyi biskup Jan Kossakowski, zwiedzając r. 1800, w miesiącu lipcu, ogród botaniczny i przy nim sale na gabinet przeznaczone, rys szaf ks. Jundziłła utwierdzili i koszt na nie przeznaczony, jemuż znowu powierzyli. Na mocy czego jął się również gorliwie i do tego dzieła, tak, że w roku następnym (1801) gabinet historyi naturalnej z murów pojezuickich do nowych sal przy ogrodzie botanicznym, zupełnie został przeniesionym, i uszykowanym w naukowym porządku, według którego sporządził systematyczny całego zbioru inwentarz. Odtąd więc nastala szczęśliwsza i dla tego zakładu epoka, czego dowodem dalszy jego wzrost i porządek. I tak: w roku 1805 gabinet zbogacony został przeważnie darem kosztownych konch i minerałów, przez Michała Walickiego podstolego koron., któryto dar później jeszcze pomnażany hojnością tegoż obywatela, zaszczycony został przez Cesarza Alexandra wyłącznym tytułem: *zbioru Walickiego*, a uszykowanie jego i spisanie podług naukowego porządku, było dziełem ks. Jundziłła. Podobne zatrudnienie spotkało go i w r. 1813, gdy nabyty za radą jego, przez uniwersytet po zmarłym adjunkcie Symonowiczu, kosztowny zbiór minerałów, do 16,000 sztuk wynoszący, wcielony został do publicznego gabinetu. Pomniejsze też dary i nabytki, jakie różnemi czasy i od różnych osób wpłynęły do tegoż gabinetu, pomnażając materyalną i naukową jego wartość, nie samej tylko szczodroblewości darodawców, lecz i starań ks. Jundziłła były skutkiem. Z tych ostatnim, a nader rzadkim nabytkiem, były dwie ogromne, do 200 funtów, bryły żelaza meteorycznego, spadłe na Wołyniu, w dobrach hr. Rokickiego.

Lecz żeby czytelnikom dokładniejszy dać obraz początku i wzrostu, tak ogrodu botanicznego, jak i gabinetu tworów przyrodzonych, póki te pod zarządem ks. Jundziłła zostawały; umieszczamy zaraz za nekrologiem, własny jego obu tych zakładów opis.

Wracając do chronologicznego porządku namienić wypada, że roku 1801 jedynie z własnej gorliwości wykładał prywatny kurs mineralogii dla wielu studentów akademickich, między którymi liczyli się znakomici

później profesorowie medycyny uniwersytetu wileńskiego: Mikołaj Mianowski, Jan Wolfgang i znany filantrop doktor Jakób Szymkiewicz. Dostał też wówczas dwóch naukowych zaszczytów, to jest, dla różnicy od nowych adjunktów, jako dawniejszy vice-professor, otrzymał prawo noszenia togi professorskiej, a Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie członkiem go swoim jednomyślnie mianowało.

Gdy na początku tego lata szerząca się w południowych prowincjach szarańcza i północnym zagrażać zaczęła; gubernator Friesel wezwał ks. Jundzillę do podania środków ku zapobieżeniu téj klęsce. Podał więc sposoby niszczenia tego owadu, które w drukowanym okólniku rozesłano po wszystkich powiatach; a pismo to pomnożone obszerniejszemi uwagami, stało się osnową rozprawy, którą czytał na publiczném posiedzeniu d. 29 września i tegoż roku na jaw ogłosił (7).

Roku 1802 z powszechném młodzieży akademickiej i publiczności krajowej zadowoleniem, dostał należnego nauce i talentom swoim zaszczytu, przez otrzymanie posady profesora zwyczajnego historii naturalnej w akademii wileńskiej; bo gdy po śmierci O'Connora professor Spitznagel przeniesiony został na katedrę terapii i kliniki, ks. Jundziłł jako dawny vice-professor, na mocy statutu akademickiego, katedrę jego bez trudności osiągnął. Stanąwszy na tym świeczniku nauk przyrodzonych w szkole głównej litewskiej, mąż niespracowanej gorliwości znalazł się tém samym w zupełnej możności rozkrzewiania swojej nauki z coraz większym dla ziomków pożytkiem. W miesiącu maju tegoż roku, dla sprawdzenia pogłoski o soli w Birzjach znajdować się mającej, z polecenia wojennego gubernatora wileńskiego Beningsena, zwiedzał tameczne okolice, ale pożądanego tam jój bytu w pokładach ziemnych, żadnych śladów nie odkrył.

Na początku 1803 r. odbył znowu urzędową podróż do Wiszniewa, dóbr Adama hr. Chreptowicza, dla obejrzenia i opisania tamecznych fabryk żelaza, które w jasnym i obszernym raporcie rządowi przedstawił. Rok ten, był początkiem ważnych dla ogólnej oświaty krajowej dobrodziejstw, przez uposażenie wspaniałomyślnością nieśmiertelnej pamięci Cesarza Alexandra uniwersytetu wileńskiego, podwyższenie pensyi profesorom czynnym i zapewnienie jój wysłużonym. Byłato ze wszech miar nowa epoka oświecenia narodowego, która zagrzewając nowym

(7) Dysertacya o szarańczy i sposobach jój wygubienia, czytana na publiczném posiedzeniu akademii wileńskiej w dzień obchodu koronacyi N. Imperatora Alexandra I. przez ks. B. S. Jundzillę, duchownego ksiąg cenzora, historii naturalnej w uniwersytecie wileńskim vice-professora. Roku 1801 (w 8-ce, stronic nieliczb. 44).

niejako duchem gorliwość mężów w nim pracujących, pobudziła i ks. Jundziłła do owych prac i zatrudnień. Między innemi, ważniejszym wówczas było jego zajęciem, napisanie uwag nad dwiema książkami elementarnemi dawniej kommissyi edukacyjnej (botaniką i zoologią), których niedostateczność przedstawił na radzie uniwersytetu d. 15 października. A że niedosyć zganić dawne elementarne dzieła, ale na ich miejsce utworzyć lepsze; prospekt więc do tego, czytał na następnym posiedzeniu d. 22 tegoż miesiąca, który książkę kurator niezwłocznie potwierdził i samegoż ks. Jundziłła do napisania takowych dzieł, pochlebną swą rezolucją wezwał. Skutkiem tego, było naprzód napisanie fizjologii roślin i nauki wyrazów czyli terminologii botanicznej, które w następnym roku pod tytułem: *Początki botaniki* wytłoczono w Warszawie (8). Za napisanie dzieła tego, znanego powszechnie ze swój klassycznosci, najłaskawiej od Cesarza Alexandra brylantowym pierścieniem udarowany został.

Lecz właśnie kiedy uniwersytet wileński w epoce swego odrodzenia, zakwitał szczególnie gorliwością pracujących w nim rodaków; z drugiej strony napływ jakkolwiek uczonych i potrzebnych na wakujące katedry cudzoziemców, zwiększając naturalnie ich liczbę i przewagę w uniwersytecie, ośmielał ich razem do lekceważenia zasłużonych krajowców: ztąd nic dziwnego, że i w tym naukowym zgromadzeniu, zawiązały się były dwa przeciwne sobie stronnictwa, dla pogodzenia których i przytłumienia szkodliwych naukom nasion niezgody, przybył do Wilna roku 1805 znany powszechnie z gorliwości swojej o dobro nauk ś. p. Tadeusz Czacki. Jakoż mąż ten, rzadkim a właściwym sobie darem pojednawczym ukoił i przytłumił na czas te zatargi, a przynajmniej rektora Strojnowskiego ze wszystkimi członkami uniwersytetu pogodził. Jego też staraniem zawiązała się była wówczas spółka literacka do pisania *Dziennika wileńskiego*, który przez dwa lata pod główną redakcją ks. Jundziłła i Jędrzeja Śniadeckiego zostając, ich też pracą i artykułami najwięcej z bogacany, liczy bez wątpienia najchlubniejszy istnienia swego okres (9)

(8) *Początki botaniki* p. ks. S. Jundziłła; w Warszawie, w drukarui ks. Pijarów. 1804, w 8-ce. Część pierwsza: *Fizjologia roślin*, str. 113. Część druga: *Nauka wyrazów*, str. 112, prócz tablic rytowanych. Tegoż dzieła wydanie drugie 1818 i trzecie 1829 r. w Wilnie u Józ. Zawadzkiego w 8-ce, str. 153.

(9) *Pisma* ks. Jundziłła w *Dzienniku wileńskim* ogłoszone, są następujące:

1. Uwagi nad pytaniem: czyli jaskółki zimę w wodzie przepędzają? *Dzien. wil.* 1805. Nr. 1, str. 54.

2. Rozbiór dzieła pod tytułem: *Nowy dykcyonarz historyi naturalnej*; w Paryżu, 1804. Nr. 1, str. 77.

Nie obeszło się wszakże bez pewnych i między uczonymi krajowcami nieproczumień. W r. 1806, gdy adjunkt Symonowicz protegowany szczególnie przez ks. Strojnowskiego, dobijał się w uniwersytecie o katedrę mineralogii przez rozprawę swoją o stanie ówczesnym téj nauki, ks. Jundziłł powodowany sumienném przekonaniem, uwagi swoje o ważniejszych w niej uchybieniach naprędce skróśliwszy, radzie uniwersytetu przedstawił; które potem, gdy wybór Symonowicza skutku nie wzięt, przez niechęć jego i gorszące nadużycie, wydrukowane zostały, łącznie ze wspomnianą rozprawą i odpowiedzią na rzeczony uwagi (10). Wszakże polemika ta, niewłaściwie odkryta przed publicznością, nie przyniosła dla obrażonego Symonowicza żadnego tryumfu.

3. Kamienie meteoryczne. Nr. II, str. 23.
  4. — — — wypis drugi. Nr. III, str. 1.
  5. Nowe postrzeżenia względem wosku. Nr. III, str. 27.
  6. Ośpica owiec. Nr. IV, str. 10.
  7. Krótka wiadomość o jedwabnikach bengalskich Tussech i Aryndy. Nr. IV, str. 17.
  8. O jajach ptastwa domowego. Nr. V, str. 32.
  9. O potrzebie układowej nomenklatury w przedmiotach historyi naturalnej. Nr. VI, str. 163.
  10. O piórach ptasich w handlowym i technicznym względzie. Nr. VII, str. 247.
  11. O włośniku (robaku). Nr. VIII, str. 400.
  12. Ośmioletnia podróż generała Saryczewa do północno-wschodniej Syberyi, na morze Lodowate, tudzież na północno-wschodnią część oceanu Spokojnego. Nr. IX, str. 448.
  13. O dawnych i nowych sposobach oszczędzania kawy. Nr. IX, str. 513.
  14. Ośmioletnia podróż generała Saryczewa: wypis drugi. *Dzien. wil.* r. 1806. Nr. X, str. 62.
  15. O zabezpieczeniu drzew od mrozów przez konduktory mrozowe. Nr. X.
  16. Ułamki nauki bydłoco-lekarskiej. Nr. XI, str. 131.
  17. Nowe postrzeżenia względem ryb elektrycznych. Nr. XII, str. 250.
  18. O niektórych pokoleniach owiec azjatyckich. Nr. XII, str. 273.
  19. O znakomitych roślinach ogrodu botanicznego. *Dz. wil.* r. 1815, t. I, str. 273
  20. O przymiotach potrzebnych w sztuce ogrodniczej. *Dzien. wil.* r. 1815, t. I, str. 460.
  21. Wzrost ogrodu botanicznego cesarskiego uniwersytetu wileńskiego. *Dzien. wil.* r. 1815 t. I, str. 310.
  22. O żelazie meteorycznym spadłym w dobrach hr. Rokickiego; doniesienie radzie cesarskiego wileńskiego uniwersytetu. *Dz. wil.* r. 1821 t. III, str. 486.
- (10) *Odpowiedź Romana Symonowicza, na pismo pod tyt.:* Uwagi nad pismem p. Symonowicza o dzisiejszym stanie mineralogii, przez ks. B. S. Jundziłła, w wileńs. uniwer. prof. botaniki. W Wilnie, nakładem i drukiem J. Zawadzkiego, w 8ce, str. 155.

R. 1807, w którym Jan Śniadecki mąż znanych zasług w świecie uczonym, sprawować zaczął z prawdziwem dobrem krajowej oświaty urząd rektora uniwersytetu, i pożądaną między wszystkiemi wprowadzał jedność; ks. Jundziłł dnia 29 czerw. wybranym został na prefekta kandydatów stanu nauczycielskiego, któryto urząd przez lat trzynaście i miesięcy cztery (t. j. do d. 31 grud. 1821 r.) gorliwie sprawując, układ nauk dla kandydatów pewny i porządkowy zaprowadził, i karność w tym zakładzie nieodbicie potrzebną, obostrzył, a skutek okazał ważność i użyteczność tych odmian. W miesiącu wrześniu otrzymał nowy zaszczyt literacki, t. j. dyplom na członka towarzystwa badaczy natury w Moskwie.

Przed końcem tegoż (1807) roku, przysłużył się ks. Jundziłł znakomicie krajowej oświacie i literaturze, wydaniem zoologii swojej krótko zebranej we trzech tomach (11). Dzieło to, wierne panującemu wówczas układowi Linneusza, w jasnej i zwięzłej treści obejmuje cały kurs zoologii, a mianowicie: o zwierzętach ssących, ptakach, rybach, płazach, owadach i robactwie, i z tego powodu dzieli się na sześć odrębnych części, z których każda najistotniejsze o swym przedmiocie zawiera wiadomości. Jakoż, w skróconym rysie tak obszernej nauki, jaśniej i gruntowniej niepodobna ję wyłożyć. Nie naszą jest rzeczą, wchodzić w szczegółowy dzieła tego rozbiór; zaszczyt zaś, jakiego dostąpiło w instrukcyi publicznej, jest dostateczną jego pochwałą. Nietylko bowiem jako elementarne zaleconém zostało po wszystkich szkołach podwładnych uniwersytetowi wileńskiemu, ale za podobneż i od izby edukacyjnej księstwa warszawskiego uznaném zostało, która właśnie w roku następnym, uprzejmą swoją odezwą wezwawszy ks. Jundziłła do układu podobnych dzieł i dla szkół swoich, otrzymała od niego w ofierze pomienione w przedmiocie botaniki i zoologii elementarne dzieła. Stały się więc one dla wszystkich szkół polskich ważnym upominkiem, a w prelekcyach uniwersyteckich służyły autorowi za text do rozwoju obszernej swojej w tych przedmiotach erudycyi, z której każdy uczeń, jako z pełnego i czystego źródła, mógł czerpać zawsze najpożyteczniejsze wiadomości. Szło za tém niezbędnie, iż ktokolwiek słuchał korzystnie obszernego wykładu tak uczynnego profesora, nie mógł się obejść bez obfitych notat, zwiększających masę wiadomości, zawartych w drukowaném jego dziele. Żyjący zaś je-

(11) Zoologia krótko zebrana. *Część pierwsza*: zwierzęta ssące (stronnic w 8ce 277). *Część druga*: ptactwo (str. 288). *Część trzecia*: płazy i ryby, oraz *czwarta*: owady i robactwo (str. 432, prócz rejestrów materyi przy każdym tomie); w Wilnie, drukiem Józ. Zawadzkiego, r. 1807. Powtórne wydanie r. 1825 u tegoż.

szcze w nieskąpłej liczbie uczniowie niegdyś ks. Jundziłła, pomną zapewne jaki urok i mocne zajęcie wzbudzało w nich opowiadanie jego pełne jasności, nauki i toku męskiego, któremito przymiotami, i pisma wszystkie jego szczególnie się odznaczają. Tym też sposobem podnosząc nieskończenie wartość swojej nauki, tém miłszą i korzystniejszą robił ją dla swych uczniów.

Wśród takich prac nauczycielskich i innych publicznych obowiązków, troskliwy ciągle o wzrost ogrodu botanicznego i gabinetu historii naturalnej, wciąż się niemi najstaranniej zajmował. Po wzniesieniu w ogrodzie botanicznym ważnych i nieodbitie potrzebnych budowli dla należytego pielęgnowania czulszych roślin, gdy ich liczba coraz bardziej wzrastać począła, a summa 900 rub. sr. etatem na utrzymanie ogrodu rocznie przeznaczona, niedostateczną się okazała; wyjednał staraniem swoim r. 1808, iż fundusz ten w dwójnasób został powiększony. Taż troskliwość o ogród, nakazywała jego założycielowi starać się o jak najlepszych ogrodników, w wyszukaniu których nieskończone miał trudności, póki nareszcie sam ich swoją pracą i staraniem nie ukształcił. Jak wielką do tego przywiązywał wagę, przekonać się można z rozprawy, którą czytał r. 1809 d. 30 czer. na publiczném posiedzeniu: *O przymiotach potrzebnych w sztuce ogrodniczej*. Niemaló też zniósł utrapień, ochraniając w różnych czasach swój zakład botaniczny, już od pożog wojennych, już od szkodliwego natręctwa próżniaczéj zgrai, która do tego zakładu, nauce jedynie poświęconego, chciała w każdéj chwili i w taki sposób otwarty mieć wstęp, jak do każdego miejsca przechadzki.

R. 1809 uczczony został dyplomatem towarzystwa botanicznego w Gorenkach pod Moskwą, którego założycielem był hr. Razumowski minister oświecenia, a z którego to zakładu ogród uniwersytecki niemaló się zapomógł. R. zaś 1811, otrzymał dyplom na członka towarzystwa rolniczo-gospodarczego w Warszawie.

Ogród botaniczny wileński, tyle się już odznaczał zamożnością i porządkiem, iż w roku następnym 1812, przed samém wybuchnięciem wojny, t. j. d. 19 kwiet. zaszczycony został odwiedzeniem bawiącego wówczas w Wilnie niezrównanego dobroczyńcy uniwersytetu, niewygastéj pamięci Cesarza Alexandra, który o różnych szczegółach zwiedzanego przez się zakładu dobrotliwie z założycielem rozmawiać, i zadowolenie mu swoje osobiście wynurzyć raczył. Z licznego zaś naówczas i świetnego orszaku tego monarchy, kanclerz państwa hr. Rumiańców, dostojny opiekun nauk i uczonych, powziąwszy szczególny dla ks. Jundziłła szacunek, bywał niemal codziennym gościem w ogrodzie botanicznym, i ku jego ozdobie, brązowe popiersie Linneusza, późniéj z Petersburga nadesłał.

Gdy wśród klęsk wojennych tegoż roku, zatamowany handel wewnętrzny spowodował nadzwyczajną w Litwie drogość soli, tak, że garniec po ośm złp. w Wilnie płacić musiano; rozeszła się była znowu pogłoska, jakoby w powiecie wiłkomirskim w starostwie kupiskiem, sól oddawna znajdować się miała. Z polecenia więc kommissyi rządowej w miesiącu październiku jeździł ks. Jundził do Kupiszek, dla sprawdzenia téj wieści; lecz ze ścisłych na miejscu prób i badań, przekonał się, że była zupełnie bezzasadną.

W chwalebnych dla zakładów i nauki widokach, chcąc, aby te kiedyś przekazane były godnemu po nim następcy, którego własnem staraniem pragnął ukształcić i przelać zawczasu w niego ducha swojej gorliwości; skoro r. 1813 lut. 1, Makary Bogatko dotychczasowy pomocnik ogrodu botanicznego uwolnił się od tego obowiązku, professor Jundził upatrując ze szczególnem zadowoleniem prawdziwą ochotę i zdolność do historyi naturalnej w imienniku swoim Józefie Jundzille, przybrał go sobie za pomocnika, i wyjednał potwierdzenie go w tym obowiązku przez uniwersytet na dniu 1 marca, roku następnego. Temuż w r. 1817 przeznaczył z własnego funduszu potrzebny koszt na trzyletnią podróż za granicą, z której gdy wrócił szczęśliwie, r. 1821 wyrobił mu urzędowe polecenie do zwiedzenia pod względem botanicznym północno-zachodnich Litwy powiatów, a ile z tych starań, kosztu i nauki swego opiekuna umiał korzystać młody ten naturalista, udowodnił to najlepiej późniejszą swoją w uniwersytecie pracą, i wydaniem własnego o florze krajowej dzieła.

W r. 1815 na początku marca, zaszła niepomyślna dla uniwersytetu wileńskiego i jego okręgu zmiana. Mąż wielkich zasług i talentów, Jan Śniadecki złożył urząd rektora; tymczasowym jego zastępcą mianowanym został Jan Andrzej Lobenwein. Przyjaźń ugruntowana na wzajemnym szacunku, łącząca oddawna ks. Jundziłła ze Śniadeckim, dała mu do tkliwie uczuć tę zmianę. W tym téż czasie zagrożony był słabością oczu, której lubo zaradzili naprędce koledzy z oddziału lekarskiego, w roku jednak następnym, ta niemoc przybrawszy niebezpieczniejszy obrót, nie dozwoliła mu przyjąć przewodnictwa w komitecie naukowym, do czynienia postrzeżeń historyczno-statystycznych, do którego był urzędownie powoływany. Wszakże r. 1817 za rektorstwa Szymona Malewskiego, doświadczywszy ulgi w cierpieniu, nie mógł odmówić osobistej prośbie kuratora, co do przyjęcia udziału w nowo utworzonym przezeń komitecie szkolnym, mającym na celu ulepszenie wszystkich szczegółów, instrukcyi publicznej; w tym komitecie, aż do skończenia akademickiego swojego zawodu, nie przestał być gorliwie czynnym.

Roku 1819 d. 5 maja udarowany został dyplomatem na członka honorowego towarzystwa farmaceutycznego w Petersburgu, chociaż zaszczytu tego przy tylu pracach i obowiązkach naukowych, nie zdało mu się przyjmować. Jakkolwiek zaś, przy osłabionym wzroku, więcej go już utrudzała każda praca piśmienna; jednakże na prośbę ucznia, a później następcy swego Fortunata Jurewicza, chętnie się podjął dopomagać mu w przedsięwziętém tłumaczeniu, *Opisów różnych przedmiotów historyi naturalnej*, które w roku 1820, poczęły zeszytami wychodzić w Wilnie (12). A że text dzieła tego, przeznaczonego dla młodzieży, prawie całkowitem jest tłumaczeniem samegoż ks. Jundziłła (jak to i sam wyznaje), śmiało więc do pism jego może być zaliczonym.

W dalszym ciągu prac swoich, odznaczających się nieprzerwaną gorliwością, r. 1821 d. 15 listopada, czytał na posiedzeniu rady uniwersytetu, doniesienie o żelazie meteorycznym, przysłaném za jego staraniem do gabinetu, przez hr. Ludwika Rokickiego. W roku zaś następnym 1822, domierzywszy lat dwadzieścia pięć publicznego w uniwersytecie nauczycielstwa, któremu nie mogąc dla starganych sił dłużej podolywać, czytał na posiedzeniu rady d. 1 października, prośbę swoją, w której krótko i skromnie, lecz w rzetelném świetle przedstawiwszy szereg prac dokonanych w zawodzie naukowym, upraszał o uwolnienie siebie od obowiązków dotychczas w uniwersytecie sprawowanych, i przyznanie mu na mocy ustaw wysłużonej pensyi i tytułu.

Roku 1823 w oczekiwaniu na skutek téj prośby, czując się coraz bardziej na zdrowiu i wzroku osłabionym, przesłał rektorowi ówczesnemu Józefowi Twardowskiemu, urzędowe zawiadomienie, iż lekcyj w następnym roku dawać nie może; skutkiem czego wyznaczony został do wykładania botaniki, adjunkt uniwersytetu Józef Jundziłł, zoologii Fortunat Jurewicz, obaj z celniejszych ks. Jundziłła uczniów. Ogród botaniczny zdany r. 1824 rzeczonemu następcy, liczył roślin przeszło 6,500 gatunków. Gabinet zaś historyi naturalnej, składający się z wymienionych kosztownych zbiorów, przeniesiony został do sal anatomii porównawczej, pod zawiadywanie uczonego profesora Boianusa. W tym téż roku w miesiącu listopadzie, otrzymał ks. Jundziłł urzędowe uwolnienie od wszelkich w uniwersytecie obowiązków, z pensją zupełną i tytułem wysłużonego profesora.

W taki sposób, zakończył znakomity swój zawód służby publicznej w uniwersytecie. Zawód ten, był nietylko najpiękniejszym wzorem

(12) Opisy przedmiotów historyi naturalnej, z rycinami kolorowanymi. Wilno, 1820, nakładem Fr. Moritza, w typografii Ks. Missyonarzy, w 4ce.



pracy i poświęcenia się dla dobra nauk i uczącej się młodzieży, ale oraz osobliwszego talentu rozwijania z wielkim uczniów pożytkiem nauki, która pod piórem i wykładem jego przybrałszy nową i właściwą sobie postać, stanowi u nas epokę systematycznego w języku polskim wszystkich części historii naturalnej wykładu, utworzenia naukowego w niej języka, i przyswojenia literaturze naszej skarbu, najcenniejszych pojęć i wiadomości w tych tak ważnych przedmiotach.

Lecz nie na tém jeszcze koniec czynów i zasług tego znakomitego męża! Wierny zawsze celom uczonego powołania, któremu przez całe życie hołdował, i wyrzekłszy się dla niego, nietylko wielu godziwych uciech życia towarzyskiego, lecz i dostojenstw duchownych, które go spotykały (13); nie mógł i po zstąpieniu swoim z tak pracowitej w uniwersytecie katedry, zostać obojętnym dla dobra nauk i krajowej oświaty: jakoż dowiódł tego nietylko dalszemi uczonej pracami, ale oraz wspaniałym czynem swojej szczodroty. Chociaż bowiem już dawniej i w różnych czasach nietylko bliższych krewnych swoich, lecz i dalszych powinowatych niematem i wspierał darami; chcąc nadto trwałe dla nich lepszego wychowania i wyższego oświecenia zapewnić środki, uczynił wieczysty fundusz w klasztorze ks. Pijarów wileńskich na edukacją dwóch krewnych imienników swoich, a w niedostatku ich, dalszych powinowatych, lub obcych nawet ubogich szlachetnych młodzieńców, i na fundusz ten wyliczył tymże ks. Pijarom 15,000 rubli srebrnych, pod temi warunkami: iżby przyjęci młodzieńcy przez lat sześć, przy skromnych wygodach życia, korzystali ze wszelkich naukowych pomocy, a po upływie tego czasu, po 300 rubli sreb. uposażenia na raz jeden dostawali; oddzielny zaś ich dozorca, jeden ze zgromadzenia pijarskiego, za swe trudy po 50 rubli sreb. corocznie pobierał. Fundusz takowy dnia 28 lipca 1824 r. przez darodawcę podpisany, a przez zwierzchność ks. Pijarów, tojest ks. Macieja Kupscia prowincyała i ks. Alexandra Głogowskiego rektora wileńskiego przyjęty, przedstawiony został za pośrednictwem kommissyi sądowej edukacyjnej,

(13) W r. 1810 w miesiącu grudniu był wybrany i potwierdzony kanonikiem katedralnym wileńskim, ale godności téj, jako niedogodnej dla obowiązków jego naukowych, zrzekł się dobrowolnie. Niektóre tylko probostwa w kollacyi uniwersytetu będące, bardziej dla celów dobroczynnych i dla ogrodu botanicznego przydatnych, niż dla własnych korzyści, miał kolejno pod swoim zarządem, jakoto:

1. Probostwo bystrzyckie od r. 1802 do 1812.
2. — niemenczyńskie od r. 1807 do 1808 kwiet. 11.
3. — mereckie od 1813 do 1824 stycz. 24.
4. — kościoła ś. Jana w Wilnie od 1817 do 1820 lip. 17.
5. — kaplicy ś. Kazimierza przy katedrze, od r. 1824 aż do zgonu.

ministrowi narodowego oświecenia, ku najwyższemu potwierdzeniu, które nastąpiło na początku 1826 r. Gdy zaś po zgaszeniu uniwersytetu, otworzony został r. 1834 przy gimnazyum wileńskim instytut szlachecki w murach klasztoru niegdyś pijarskiego; ks. Jundziłł czyniąc zadość propozycji uczynionej sobie od ministra narodowego oświecenia, i upatrując w tém dla wychowawców swych niemałe na przyszłość korzyści, zgodził się na przeniesienie swego funduszu do pomienionego zakładu, z dodaniem warunku: iżby póki zgromadzenie pijarskie w kraju istnieć będzie, przewyżkę od utrzymania dziś dwóch uczniów w ilości 275 rub. sr. pozostającą, temuż zgromadzeniu corocznie wypłacano. Po mogącym zaś nastąpić zniesieniu pijarskiego zgromadzenia, taż przewyżka na utrzymanie w tymże instytucie i uposażenie trzeciego ucznia użytą była.

Lubo już do zarządu ogrodu botanicznego bynajmniej nie należał, jednak w roku 1825 d. 6 czerwca miał zaszczyt w nim witać dostojnego gościa, księcia Oranii, następcę tronu niderlandzkiego, a szwagra Najjaśniejszego Cesarza; i dopóki jako emeryt uniwersytetu oraz proboszcz kaplicy ś. Kazimiérza, zajmował toż samo co i piérwój mieszkanie przy ogrodzie botanicznym (t. j. aż do r. 1832), nie przestawał z rodzicielską, że tak powiem troskliwością, zajmować się losem tego swojego zakładu, i zmian, jakim tenże aż do r. 1838 ulegał, dokładny zostawił nam opis (14). Obok tego, powodując się dobremi chęciami dla następcy swego na katedrę zoologii, podjął się pisania z nim zoologii elementarnój dla szkół powiatowych, i dwie piérwsze części, t. j. o zwierzętach ssących i ptastwie, wypracował; któryto rękopis między papierami zmarłego 1827 r. Fortunata Jurewicza, zaginął.

Coraz jednak słabsze siły fizyczne, wskazując niezbędną potrzebę spokojności i użycia środków lekarskich, skłoniły go naprzód r. 1825 udać się wśród lata do wód siarczanych w Widzach; które, gdy nie zdziałyły pożądanego skutku, w r. następnym 1826 czując w sobie dotkliwe symptomata zamulania wątroby, za radą znakomitszych lekarzy wileńskich udał się do Karlsbadu, gdzie z lepszym skutkiem siedm tygodni przebawwszy, miał nadto przyjemność zwiedzać po drodze w znakomitszych miastach, jakoto: Warszawie, Dreźnie, Pradze i Wrocławiu sławniejsze zakłady botaniczne. Roku 1827 dla ponowienia przeszłorocznój kuracyi, znajdował się cały miesiąc w Warszawie u wód sztucznych; a i w téj na-

(14) Ostateczna zmiana, jakiej uległ ogród botaniczny wileński, przerobiony teraz na publiczny fojal, opisana jest szczegółowie w fejtynie gazety Ruski: Inwalid, z r. 1847 paźd. 1. N. 217, gdzie téż chlubnie są spomniane zasługi ks. Jundziłła.

wet podróży zajmowały go różne zjawiska przyrodzenia. Doznawszy jednak największej ulgi w cierpieniach swoich z użycia naturalnych wód karlsbadzkich, gdy w następnych latach cierpienia te poczęły przybierać groźniejszy charakter, zwiedzał jeszcze po raz drugi i trzeci, to jest w latach 1833 i 1835 uzdrawiające źródła Karlsbadu, w towarzystwie wychowawca i lektora swego p. Adama Wolańskiego, wszędzie z uprzedzającą uprzejmością witany; i na ostatniej do tego przybytku higieny podróży, z której wracał na Berlin, zakończył pamiętnik życia swojego. Jakkolwiek zaś za powrotem do Wilna, czuł na zdrowiu znaczne polepszenie; biedził się jednak coraz bardziej ze wzrokiem, i już częściej niż przedtém w pracach i zabawach literackich wyręczać się musiał pomocą lektora, którego następnie miał w osobie drugiego Józefa Jundziłła, doktora medycyny, synowca swego. To ciągłe nawyknięcie do pracy, sprawiło, że i ostatka lat swoich nie spożył w bezczynności. Przy osłabionych bowiem siłach fizycznych, zachowując całą, rzec można, potęgę umysłu, obdarzonego dziwną pamięcią i przytomnością, a osobliwszém losu zrządzeniem sam jeden przeżywszy od początku aż do końca całe istnienie uniwersytetu wileńskiego, którego los zawsze go żywo zajmował; zostawił porządnie ułożone z dawniejszych i późniejszych wspomnień swoich różne różne o tym naukowym zakładzie wiadomości, które służyć mogą za szacowny materiał dla późniejszego da Bóg historyografa, a tymczasem w różnych także, wyjątkach, mogą być publiczności w piśmie peryodycznych udzielane. Szacowną téż po nim puścizną są rozbiory krytyczne niektórych dzieł nowszych, a mianowicie Pedagogiki B. T. pod względem nauk ścisłych i dziejów krajowych, oraz pismo humorystyczne *Bibliophobia* czyli księgo-wstręt zwane, snąc twór swobodniejszej dla umysłu chwili, w którym pod imieniem Wawrzyńca Kostrzyki opowiadając dzieje niby dawniej Rzeczypospolitej *Babińskiej*, odkrywa nieznacznie wady i śmieszności dzisiejszych naszych pół-mędrków. Przy schyłku nawet dni swoich, bo w r. 1846, pomimo zupełnej niemal utraty wzroku, jeszcze dał publiczny dowód głębokiego swego o nadzwyczajnych zjawiskach przyrodzenia sądu, ogłaszając przez organ redakcyi *Kuryera Wileńskiego* zdanie swoje o tak zwanych *jętkach* i *mannie*, spadającej z powietrza (15). Lecz to już był ostatni głos nauki uczonego męża! W roku bowiem następnym 1847 dożywszy lat 86, po kilku-dniowej słabości z przypadkowego we własném mieszkaniu upadnięcia, dnia

(15) *Kuryer Wileński* z r. 1846 d. 13 sierp. Nr. 62 zawiera w swoim fejletonie to zdanie ks. Jundziłła, pod tyt.: „O owadach spadłych w Wilnie na zielonym moście, tudzież słowo o mannie.”

27 kwietnia (n. s.) zakończył religijnie i z powszechnym żalem chwalebny swój żywot (16).

Niepodobna wątpić, aby który z uczonych naszych naturalistów, ze względu na ważność zasług, nie podjął się ze stanowiska czysto naukowego, ocenić godnie i bezstronnie wszystkich jego prac i pism, o których tu tylko pobieżnie się wspomniało. Byłby to najwłaściwszy hołd jego pamięci, a razem korzystna dla historii nauk przyrodzonych w kraju naszym przysługa. Ulotne bowiem tu i ówdzie pochwały, jakkolwiek sprawiedliwe, nie dają przecież zupełnego jeszcze o samych dziełach wyobrażenia i sądu. Po wierném więc ich wyliczeniu, nie wkraczając w ten obcy dla mnie przedmiot, przestaję, stosownie do założenia mojego, na tym rysie biograficznym, który pamięci zacnego imiennika poświęcam.

Pisałem w Iwacewiczach, d. 20 stycz. 1849 r.

(16) Nie będzie może zbyt rzeczą przytoczyć tu z listu p. Józefa Jundziłła dokt. med., synowca nieboszczyka (pisanego do mnie z Wilna d. 3 maja 1847 r.) dosłowną wiadomość, którą, jako nieodstępny świadek, udzielił mi o ostatnich jego chwilach:

*„Przepędzisz w dobrym stanie zdrowia zimę, która zawsze dla niego była trudną do przebycia, za nastaniem pięknych tegorocznych dni wiosny, mając wkrótce rozpocząć ulubioną przechadzkę do b. botanicznego ogrodu, a czując się jeszcze na siłach, dnia 7 kwietnia udał się pieszo do kościoła ś. Jana i wielkonoćną odbył spowiedź; za powrotem z którego rzewnie się rozczulił, czując się mocno sfatygowanym, a potem nieco uspokojony, powtórzył znajomy wiersz: WIOSNA MOJA I LATO, JAK PTAK OKNEM ULECIAŁY! i t. d. Nazajutrz, t. j. 8 kwietnia po zwykłym ranném czytaniu, jakby przeczuwając blizki swój zgon, usnął mi dawał informacyę, tyczącą się familijnych interesów, i słowny, iż tak rzekę, uczynił do testamentu codicil. W nocy zaś z 8 na 9 kwiet. o godzinie drugiej po północy wstając z łóżka, utracił, jak sam powiadał, równowagę, i całym ciężarem osłabionego już wiekiem ciała upadł na podłogę, przez co dostał silnego wstrząśnienia mózgu (commotio cerebri), tak, iż niektóre słowa z trudnością wymawiał. Wezwani trzech lekarze, jego uczniowie: Woelk, Adamowicz i Czarnocki, wszelkich dokładali starań, iżby dni tak drogie dla nich ukochanego swego profesora, jakkolwiek przedłużyć. Prózne starania! Siły fizyczne coraz wątlały i chyliły się do upadku; rzecz tylko dziwna, przytomność umysłu prawie taż sama, aż do śmierci pozostała. Dnia 14 kwiet. wezwany kapłan dał ostatnie pomazanie; było to o godzinie 6ej wieczorniej, a następnj nocy, t. j. 15 kwiet. (v. s.) w pół do czwartej po północy, spokojnie oddał ducha Bogu”.*

*„Dnia 18 kwiet. czcigodne jego śmiertelne zwłoki przeprowadzone zostały z kościoła XX. Franciszkanów do kościoła OO. Bernardynów, gdzie nazajutrz odbyło się żałobne nabożeństwo, a znany katedralny kaznodzieja ks. Krasieński, piękną pogrzebową mową uczcił pamiętkę zmarłego. Całe też miasto część mu należną oddało. Nakoniec stosownie do ostatecznej swojej woli, na mogiłach XX. Bernardynów w katakumbie, umyślnie na ten cel w ziemi wymurowanej, złożonym został”.*

*„Molliter decumbant ossa illius”.*

Tenże p. Józef Jundziłł przyozdobił i uczcił wkrótce grób stryja i dobroczyńcy swego pięknym ze szlifowanego granitu pomnikiem, na stronie głównej z napisem następnym: HISTORI! NATURALNEJ W KRAJU ROZKRZEWICIEL, OGRODU BOTANICZNEGO W WILNIE TWÓRCA. Na odwrotniej: CONCRESCAT UT PLUVIA DOCTRINA SUA. FLUAT UT ROS ELOQUIUM MEUM.

# GABINET HISTORII NATURALNEJ.

## I

# OGRÓD BOTANICZNY

WILEŃSKIEGO UNIwersYTETU.

PRZEZ

*Hos. Stanisława Jundzilla.*

---

### **Gabinet Historii naturalnej.**

Epoka odnowienia akademii wileńskiej r. 1781, jest oraz epoką wprowadzenia do kraju nieznanej dotąd u nas historii naturalnej nauki, i pierwszego zarodu pomocniczych ku rozkrzewieniu jęj zbiorów. Jan Emmanuel Gilibert, Francuz, naprzód staraniem Antoniego Tyzenhauza, nadwornego podskarbiego litewskiego, z Lyonie do Grodna sprowadzony, a w pomienionym roku przez kommissyą edukacyjną do Wilna, na profesora przyrodzonych nauk przeniesiony, znaczną ilość konch i minerałów z sobą przywiózł; niemało zaś skamieniałości, zwierząt, ptaków, ryb i owadów krajowych, z okolic już Grodna, już Wilna, zgromadził, i bibliotekę nieodbitie potrzebnemi dziełami opatrzył.

Następca jego Jerzy Forster, r. 1784 na katedrę historii naturalnej wezwany, zbiór ten rzadszemi mórz australnych konchami i kilkudziesiąt gatunkami amerykańskich motylów pomnożył; systematyczny zaś zbiór saskich minerałów, w drobnych wprawdzie sztukach, publicznej wystawie poświęcony, z Drezna sprowadził. Na kupno tych minerałów, książę Michał Poniatowski, prymas królestwa, 200 czerwonych złotych,

z prywatnej swój szkatuły ofiarował. Tenże professor bibliotekę gabinetową, rzadkimi, wybornemi i kosztownemi dziełami wzbogacił.

Po oddaleniu się Forstera r. 1787, katedra historii naturalnej w akademii aż do r. 1792, tojest do przyjazdu profesora Spitznagla z Wiednia, wakowała. W tym przeciągu pozostałe po Gilibercie zbiory zwierząt, ptaków, ryb i owadów, zupełnie zniszczały. Lecz w miarę krzewienia się przyrodzonej nauki we wszystkich Europy krajach, znaleźli się i u nas światli i gorliwi mężowie, którzy dla zaszczeplenia jej w ojczyźnie naszej, prywatne swe zbiory ku publicznej instrukcyi poświęcać poczęli. Dwóch takowych obywateli, prawdziwemi fundatorami gabinetu historii naturalnej nazwać można.

Roku 1791 Michał Ogiński hetman Wielki litewski, zbiór swój w kamienie, kruszce, konchy, korale i inne morszczyzny bogaty, bez żadnych warunków, akademii darował. Tegoż roku ks. Jan Wichert, kanonik inflancki, podobnyż zbiór ze szlifowanych po większej części agatów, jaspisów, chalcedonów, labradorów, kryształów górnych i t. d. złożony, testamentem akademii zapisał, wkładając obowiązek utrzymywania i edukowania wiecznemi czasy, publicznym kosztem dwóch imienników jego. Oba te zbiory w roku następującym 1792, z Warszawy do Wilna sprowadzone zostały. Ku wygodnemu tych darów pomieszczeniu, nie miała długo akademii żadnej wygodnej i odpowiedniej budowy. Pierwiastkowe Giliberta i Forstera zbiory, wraz z biblioteką, były wprawdzie w dwóch ciasnych i mało oświetlonych izbach collegium medycznego rozłożone; lecz Ogińskiego i Wicherta, dla niedostatku miejsca i wynikłych w tym czasie wojennych zaburzeń, w pakach zamknięte leżały. Dopiero r. 1795 przed przejazdem ś. p. króla Stanisława Augusta, miejsce na rozłożenie ich w domu świętojańskim, w refektarzu niegdyś jezuickim spiesznie przygotowano, i wszystkie te zbiory, wraz z kosztownemi dziełami i rycinami, na pulpitach i stołach wystawiono.

W tém to miejscu i w takim rozłożeniu zastałem gabinet historii naturalnej, gdy w jesieni r. 1797 z naukowej podróży do Wilna powróciłem. Nieład i rażące nieochędństwo stawiły w smutnym widoku ten szacowny nauk przybytek. Morszczyzny, korale, konchy, kruszce i kamienie zawały obszerne, nieforemnie sklecone i niczém nieochronione ryszowania; kurz z ceglanej posadzki powstający grubo je pokrywał, i wszystkie charakterystyczne zacierał cechy. W rozkładzie nie było żadnego metodycznego porządku; współrodzajowe nawet gatunki, nie były do siebie zbliżone. Wstęp wolny każdego tygodnia, nietylko dla studentów, lecz i dla całej niesforniej publiczności, narażał na niechybną kradzież i wszelkiego rodzaju uszkodzenia; tém łatwiej, iż najkosztowniejsze na-

wet twory żadaém zamknieniem obwarowane nie były. Zgorszony tém bezprzykładowém drogich tych zbiorów zaniedbaniem, począłem natychmiast przekładać już rektorowi Poczobutowi, już ówczesnej kommissyi, niezwłoczną potrzebę wygodniejszego i bezpieczniejszego ich pomieszczenia. Zbieg jednak przeciwnych okoliczności, nie dozwolił rychłego spełnienia gorliwych życzeń moich.

Dom przy ogrodzie botanicznym przez polską jeszcze kommissyą kupiony, na skład gabinetu historyi naturalnej oddawna był przeznaczonym. Spitznagel, wkrótce po swém przybyciu, dał wprawdzie rys zamczystych szaf na rozłożenie tych zbiorów; te już wygotowane, lecz za dług prywatny stolarza u obywatela Andrzejewskiego zatrzymane, w rok dopiero usilném staraniem mojem, przy pomocy rządu pozyskałem. Ale sprowadziwszy je do sali, do której właśnie zrobione były, uznałem zupełną ich ku objęciu tak licznych przedmiotów niezdatność; uznał to komitet do obejrzenia ich przeznaczony; uznał nakoniec sam rektor Poczobut, a zbiory na dawném miejscu i w dawnym nieładzie do dalszego czasu pozostały.

Przed końcem roku 1799, kommissya, chcąc zapobiedz temu nieporządkowi i ochronić gabinet od całkowitego zniszczenia, staranie o zbudowanie dogodniejszych szaf, oraz przeniesienie i uszykowanie zbiorów mnie samemu, niezależnie od Spitznagla poruczyła, a wojenny gubernator Kutuzow, na ten koniec 1450 rub. sr. ze skarbu, za kwitem moim, wyliczyć kazał. Rys takowych szaf miał być na posiedzeniu oddziału fizycznego uprzednio roztrząśnionym i potwierdzonym. W tym celu, złożone było nadzwyczajne posiedzenie; że jednak rektor Strojnowski wyniesieniu gabinetu z domu świętojańskiego, do ogrodu botanicznego był przeciwnym, inni, że byli gniewni, iż to bez naczelnego wpływu Spitznagla uskutecznić się miało; rys mój za niedogodny uznanym i uchylonym został. Zrażony tym stronniczym oporem, nie podjąłem się powtórnej, a dla tychże przyczyn pewnie nieużytecznej pracy; i wzięte z izby skarbowej pieniądze, do kassy uniwersytetu odesłałem.

W miesiącu lipcu roku 1800, gubernatorowie: wojenny Kutuzow i cywilny Friesell, oraz biskup wileński Kossakowski prezes ówczesny kommissyi, sale w domu akademickim przy ogrodzie botanicznym oddawna na pomieszczenie gabinetu przeznaczone, obejrzeni, rys szaf przemnie wygotowany potwierdzili, budową ich zająć się i gabinet przenieść rozkazali. Zagrzany szczerą zachowania od zguby kosztownych, mianowicie kopalnych ciał, gorliwością, zawarłem niezwłocznie ze stolarzem Lortzem stosowny w tój mierze kontrakt; a w roku następującym,

dzieło to zupełnie dokonaniem było. Dnia więc 1 lipca począłem przenosić zbiory do nowego pomieszczenia; i mimo trudy i mozolne wszystkich, mianowicie drobno krystalizowanych sztuk czyszczenie i mycie, w ciągu jednego miesiąca przeniosłem, i w wygodnych, okazale zbudowanych szafach, rozłożyłem (1).

Przeniesienie to było epoką nowąj świetności gabinetu naszego, początkiem rzadkich bogactw, któremi uniwersytet dziś tak chlubnie szczycić się może. Światlejsi obywatele, ujęci nieznanym dotąd symetrycznym co do widoku, i metodycznym co do nauki rozkładem, wspierając gorliwość krajowego naturalisty, ubiegali się zasilać, wedle możliwości, ten początkowy nauk przyrodzonych zakład. Następujące zapisy niech służą ku wdzięcznej pamięci dla tych mężów, którzy darząc gabinet bądź pojedynczemi, bądź liczniejszymi rozmaitych istot ofiarami, do wzrostu nauk i narodowej oświaty hojnie się przykładali.

Na początku r. 1802 Joachim Littawor Chreptowicz, kanclerz litewski, mąż w dziele narodowego oświecenia niespracowanie gorliwy, przysłał do gabinetu naszego zbiór wulkanicznych Wezuwiusza produktów, pod okiem sławnego Anglika Hamiltona w Neapolu zrobiony, z przeszło 600 sztuk złożony. Metodyczne ich opisanie, we włoskim języku drukowanym inwentarzu, jest zawarte. Tegoż roku generał kawaleryi baron Beningsen, wojenny litewski gubernator, ofiarował piękny stolik z różnofarbnych szlifowanych sybirskich kamieni ułożony.

Roku 1803 Alexander Chodkiewicz przysłał kopalny ząb trzonowy mamuta, w dobrach jego na Wołyniu znalezionej. Generał Kochowski ofiarował nieoprawną tabakierę z sybirskiego awanturynu, *orlec* zwanego. Później nieco, tenże generał obdarzył gabinet rękawicą z amiantu podobnie sybirskiego zrobioną.

Roku 1804 Józef Doboszyński, pisarz magistratu wileńskiego, ofiarował piękny kubek ze słoninca czyli *spekszteinu* chińskiego wyrobiony. Karol Wagner, właściciel apteki w Wilnie, darował dziób młodej ryby *Squalus Pristis L.* i dwie ususzone jaszczurki, *Lacerta Stincus L.* Major Buchowiecki złożył piękny i dobrze zachowany exemplarz ptaka *Tan-*

(1) Opóźnienie budowy szaf ochraniających i przedłużenie rzeczonoj nieporządku, wielkie pierwiastkowym tym zbiorom zadało kłeski; zbiór mianowicie Ogińskiego znaczne w różnych swych częściach poniósł straty. Delikatne krystalizacye kruszców i kamieni, od kurzu i nieumiejętnego w czasie częstych odwiedzin ujmowania, prawie całkiem pokruszone i zatarte zostały; droższe szlifowane kamienie, rzadsze gatunki konch i wiele sztuk rodzimego srebra i złota, zupełnie znikły; czerwonego kruszcu srebra ślad prawie nie pozostał; kosztowniejsze w bibliotece dzieła, stracily najrzadszych zwierząt, ptaków, ryb i owadów ryciny, i t. d.



*talus ruber* L. Adam Chreptowicz przysłał ząb trzonowy mamuta, w majątku jego Szczorsach w powiecie nowogrodzkim znaleziony.

Roku 1805 Michał Walicki, podstoli koronny, ryczałtowym darem kosztownego zbioru swojego, gabinet nasz zamożnie wzbogacił. Zbiór ten z kilku tysięcy rzadkich kamieni, kruszców, konch i różnych morszczyzn złożony, na początku lutego z Warszawy do Wilna przeniesionym został. W zbiorze tym z tak licznych i różnorodnych tworów żaden gatunek nie był układowie oznaczonym, i brakło zupełnie szczegółowego ich inwentarza. Życzeniem zaś było tak samego darodawcy, jak uniwersytetu i kuratora, aby te dwie tak niezbędne potrzeby, najrychlej ułatwione były. Zająłem się niezwłocznie tą mozolną pracą, i w przeciągu siedmiu miesięcy, przy nieustannych około uprawy ogrodu zatrudnieniach, wszystkie tak kopalne, jak zwierzęce twory najskrupulatniej, pierwsze według układu Wernera, drugie według Linneusza, oznaczyłem, w porządnym w łacińskim języku inwentarzu opisałem, i dnia 1 września dwa egzemplarze rzeczonoego inwentarza, przy stosownym raporcie radzie przedstawiłem. Cesarz Alexander I, za uczynioném sobie o tak znakomitym darze doniesieniem, zbiór ten dla wiecznej pamięci i zaszczytu darodawcy, zbiorem Walickiego nazawsze mianować kazał. Tenże obywatel nie ograniczył hojności swojej tym tak ze wszech miar szacownym darem; owszem w ciągu nieprzerwanéj swéj ze mną korespondencyi, obowiązał się dobrowolnie dopełniać go, wedle możności, później nabyć się mającemi, mianowicie świeższych wynalazków minerałami, i innemi nowościami i rzadkościami odznaczonemi tworami. Jakoż w miesiącu październiku tegoż roku, przysłał z Petersburga ogromną, rzadkiej piękności sztukę kruszczu ołowiu czerwonego z kopalni berezowskich, podobną sztukę z jednej strony oszlifowaną malachitu z kopalni ekaterynburskich, i dwa wielkie ułamki skamieniałości *Cornu Ammonis* z Syberyi.

Zbiór ten jakożkolwiek kosztowny i liczny, roku następującego 1806, nowym darem znakomicie pomnożył. Oprócz bowiem kilkudziesiąt rzadkich nowoodkrytych norweskich minerałów, mianowicie zeolitów, przysłał nadto z Petersburga przeszło dwa tysiące konch, oraz mnóstwo zoofitów i litofitów, kilkadziesiąt gatunków z rodzajów *Echinus* i *Asterias*, pięć dziobów rybich, *Squalus Pristis* L. i jedną całkowitą sztukę téjże ryby wypchaną i t. d. Ponieważ w tym zbiorze, równie jak w pierwszym, żaden gatunek konch i innych morszczyzn nie był oznaczonym; oznaczenie to nowéj kilkumiesięcznéj kosztowało mię pracy, a szczegółowy inwentarz wskazuje liczbę, rzadkość i wybór zawartych w nim istot. Rodzaje konch, mianowicie *Voluta*, *Turbo*, *Conus* *Haliotis*, *Ostrea* i t. d., bogate są w najrzadsze i najwyżéj u naturalistów cenione gatunki.

Roku 1810 liczne te i kosztowne dary pomnożył jeszcze nową następujących minerałów ofiarą: 1) sztukę platyny bitój, ważącą funtów 3, funtów 29; 2) chryzoprazu z Kosemitz w Szlązku, sztuk 3; 3) litomargi chryzoprazowego koloru, zładze, sztukę 1; 4) asbestu drzewiastego sztuk 2; oraz rogowcu, chalcedonów, jaspisów, opalów i kruszcu kobaltowego, *Speiskobalt*, sztuk kilkadziesiąt. Nadto r. 1812 przysłał podobnie z Petersburga, okazała sztukę siarki krystalizowanej na marglu stwardniałym z Potozi; która, wedle prywatnych wiadomości, ze zbioru królów hiszpańskich w Madrycie, uwięzioną być miała. Roku 1817 przysłał z Warszawy bryłę chryzoprazu z Kosemitz w Szlązku, kilkadziesiąt funtów ważącą, i podobnejże wielkości sztukę agatu wstęgowatego, *Band-Achat*, z Rochlitz w Saxonii. Nakoniec roku 1819 nowym darem czterech sztuk złota z Peru, trzema ułomkami szlachetnego opalu z Czerwienicy w Węgrzech, i dziewięcią sztukami fajansu, znanego pod nazwiskiem *Majolica di urbino*, gabinet uniwersytetu wzbogacił.

Współczesne lub późniejsze innych darodawców ofiary, są jeszcze następujące. Roku 1810 generał-major Jerzy Morawski darował gabinetowi wypchanego krokodyla, przeszło trzyłokciowej wielkości. Tegoż roku Tomasz Wawrzecki, prezes kommissyi sądowej edukacyjnej, ofiarował piękną, około dwóch funtów ważącą sztukę bursztynu, w Szyrwintach, w powiecie wileńskim, dawniej nieco znalezioną. Roku 1811 Ignacy Onacewicz, student uniwersytetu, darował grzbietową tarczę żółwia morskiego, *Testudo Mydas L.* Roku 1814 doktor medycyny Niechwiedowicz przysłał kość goleniową mamuta z rzeki Uy, w gubernii tobolskiej wydobytą, oraz parę rękawic z amiantu sybirskiego wyrobionych. Roku 1816 Ignacy Byczkowski, starosta jankuński, ofiarował dobrze zachowany skorupiak gwiazdy morskiej, *Asterias rubens L.* Roku 1819, Michał Poliński, professor algebry w uniwersytecie, złożył w darze rzadki i w zupełnej całości zachowany gatunek płazu *Proteus anguinus Lar.* z podziemnych wód w Karnioli.

Te są celniejsze, już cząstkowe, już ryczałtowe ziomków naszych na zakład i wzbogacenie nieodbitie potrzebnych ku rozkrzewieniu przyrodzonych nauk dary. Roku 1813 nadarzyła się zręczna sposobność świetnego wzbogacenia gabinetu naszego, za pomierną z funduszu naukowego opłatę. W tym roku d. 29 stycznia, zszedł z tego świata Roman Symonowicz adjunkt uniwersytetu, zostawiając po sobie kosztowny zbiór minerałów, który przy hojnym wsparciu tegoż uniwersytetu, był zgromadził. Lubo w opłakanym ówczesnym stanie, to jest wkrótce po wrzawie wojennej i ustępie wojsk francuzkich z kraju, wszelkie względy kazały oszczędzać ile możności kasę zgromadzenia; drogi ten jednak i ważny

dla nauk zabytek, za radą i staraniem mojem, a dzielnym przyłożeniem się rektora Śniadeckiego, za 12,000 rub. sr. od sukcesorów zmarłego kupionym został. Że zaś zbiór ten, z szesnastu prawie tysięcy rzadkich i wyborowych sztuk złożony, żadnego nie miał inwentarza, a minerały po większej części w pakach zawarte lub na kupy zwalone leżały; rektor do porządnego ich ułożenia, a co najbardziej, ścisłego i metodycznego oznaczenia gatunków i spisania w inwentarz, Makarego Bogatkę, Felixa Drzewińskiego i Józefa Jundzillę, wyznaczył; mnie zaś do przewodniczenia w tej pracy zobowiązał. Dzieło to, po usunięciu się Bogatki, w miesiącu kwietniu rozpoczęte, przed końcem sierpnia całkowicie ukończonem zostało; tak, iż dnia 14 września, na nadzwyczajnym rady posiedzeniu, raport o całej czynności i wygotowany inwentarz uniwersytetowi złożyłem.

Ostatnia do gabinetu, w czasie mojego zawiadywania tym zakładem zdobycz, jest następująca. Roku 1820 powziąłem wiadomość o nadzwyczajnej rudzie żelaznej w powiecie rzeczyckim, w Brabiniu, majątku Ludwika Rokickiego, znalezionej, której dla wielkiego z klepalnym żelazem podobieństwa, na wyrabianie różnych narzędzi, bez zwyczajnego uprzedniego topienia, doświadczać miano. Oglądając ułomek tej rudy adjunktowi Horedeckiemu przysłany, uznałem go prawdziwym meteorycznym żelazem, i niezwłocznie rozpocząłem korespondencyą z rzeczonym obywatelom, w celu uzyskania największej ile być może z tej mniemaniej rudy ilości, i powzięcia wiadomości o wszystkich tak ważnego zjawiska tyjących się okolicznościach. Jakoż w połowie października roku 1821, otrzymałem w części skutek starania mojego. Rokicki przysłał sztukę rzonego żelaza, około 40 funtów ważącą, z doniesieniem, iż r. 1809 lub 1810, dwie prawie równe bryły w Brabiniu, w miejscu Kucówka zwanym, na piaszczystych między błotami pagórkach, znalezione zostały. Przysłana bryła, doświadczana przez kowalów miejscowych na wyrobek używalnego żelaza, była widocznie w wadze swój i objętości uszczuploną, a w powierzchownych cechach znacznie uszkodzoną; bok mianowicie jeden w ogniu mocno nadpalony i zżużlony. Przedstawiłem ją radzie na naukowym d. 15 listopada posiedzeniu; a w ciągu nieprzerwaniej z Rokickim korespondencyi, o przysłanie drugiej, wedle doniesienia nierównie większej, a co najbardziej, kowalskimi doświadczeniami niezepsutej, upraszałem.

Nakoniec d. 25 marca 1822 r., po dwuletniej prawie korespondencyi, odebrałem drugą tę długo oczekiwaną i w niczym nieuszkodzoną, przeszło 200 funtów ważącą bryłę, i tę naprzód d. 6 kwietnia obecnemu tu wtedy kuratorowi przy zwiedzeniu gabinetu, a d. 15 tegoż miesiąca, radzie przedstawiłem. Nadzwyczajajoy ten ze wszech miar przy-

rodzenia utwór, którego początek i tworzenie się niezbadaną dotąd w fizyce jest tajemnicą; okazały wielkością, a w kraju naszym pierwszy raz postrzeżony i przezemnie oznaczony: był największą z pomiędzy pojedynczych, przezemnie uczynionych dla gabinetu zdobyczą, będzie na zawsze główną i szacowną zbiorów naszych ozdobą, trwała i pochlebiam sobie, należyciej u potomności cenioną gorliwości mojej pamiątką (1).

Gdy przed kilku laty professor weterynaryi i zootomii Bojanus, prócz zbioru swego zootomicznego, zbiór oraz zoologiczny w salach świeżo ze spaskiej cerkwi przerobionych zgromadzać począł, i gdy ja w roku 1823 dla słabości wzroku od dawania kursów zoologii i botaniki uwolniony zostałem; rada uniwersytetu, już dla wygodniejszego rozłożenia, już dla połączenia wszystkich królestwa zwierzęcego istot, konchy i inne zwierzęce twory, staraniem mojem zdobyte, do rzeczonych zootomicznych sal przenieść postanowiła. W skutek takowego postanowienia, rzeczony zbiory w połowie miesiąca października tegoż roku z domu botanicznego, wraz z porządnym, dawniej przezemnie spisany inwentarzem, przeniesione i pod dozór profesora Bojanusa oddane zostały.

Co do zbioru mineralogicznego: gdy ogromnego po zmarłym adjunkcie Symonowiczu nabytego zbioru, w przepelnionych już przy ogrodzie botanicznym salach pomieścić niepodobna było; uniwersytet obrał dwie wielkie w domu świętojańskim sale, w których niegdyś biblioteka się znajdowała, i w nich stosowne szafy zbudować kazał; a przeniesienie i połączenie wszystkich minerałów, nadzwyczajnemu mineralogii profesorowi Ignacemu Horodeckiemu, poruczył. Ten, gdy w marcu 1824 r., nie rozpoczynając tego dzieła życia dokonał; uniwersytet przeniesienie to, oraz wygotowanie ogólnego inwentarza, profesorowi fizyki Felixowi Drzewińskiemu i pomocnikowi mojemu Józefowi Jundziłłowi, pod przewodnictwem mojem polecił. Na początku więc sierpnia tegoż roku 1824, wszystkie minerały, tak te, które dotąd w domu botanicznym, jak w da-

(1) Bryła ta meteorycznego żelaza jest największa ze wszystkich znajomych mi w różnych Europy krajach, postrzeżonych w tym rodzaju utworów. Bryła bowiem blisko Agram w Kroacyi odkryta, w zbiorach wiedeńskich chowana i dotąd za największą poczytana, 100 funtów wagi nie przechodzi. Pallas odkryciem tego żelaza w Syberyi, które długo u mineralogów za rodzime poczytanem było, imię swe unieśmiertelnił. Moje postrzeżenie i zdobycie do zbiorów uniwersytetu, z oziębłą w tém zgromadzeniu przyjęte było obojętnością; a dwuletnich starań i usilnych zabiegów, ten tylko ślad w protokule pozostał, iż obie rzeczony bryły przezemnie radzie przedstawione były. Rozbiór chemiczny przez profesora Śniadeckiego zrobiony, na posiedzeniu naukowem czytany i w Dzienniku Wileńskim 1822 r. jest drukowany.

wném mieszkaniu Symonowicza złożone były, do rzeczonych sal w domu śgo Jana, przeniesione zostały.

Historyczną tę wiadomość o początku, wzroście i rozmaitych pomieszczeniach przyrodzonych uniwersytetu zbiorów, które przez dwadzieścia siedm lat w bezpośredniém mojem zostawały pielegnowaniu, a do których nabycia, dozoru, chronienia, spisania i uszykowania zwierzchnie i naczelnie przez tak długi czas należałem, własnoręcznie podpisuję.

### **Początek i wzrost ogrodu botanicznego.**

Jan Emanuel Gilibert pierwszym był w Litwie botaniki nauczycielem i pierwszym botanicznego ogrodu w Wilnie założycielem. Professor ten, jak się rzekło, staraniem Antoniego Tyzenhauza, nadwornego podskarbiego litewskiego, z Lyonu do Grodna dla założenia szkoły chirurgii i sztuki położniczej sprowadzony, zasady układowej botaniki uczniom swym tłumaczyć począł, i znaczną liczbę roślin, do ogrodu na Horodnicy, zgromadził. Roku 1781 przeniesiony do Wilna na katedrę botaniki i historyi naturalnej, większą część roślin z sobą przewiózł: gruntowe w szczupłym ogródku na dziedzińcu domu *Collegium medicum* zwanego, zasadził, delikatniejsze zaś w ciasnym, naprędce zbudowanym trejhbauziku, pomieścił. Zbiór ten później przysłanemi od Pallasa sybirskimi ziołami i krzewami do 2,000 gatunków pomnożył. Szczątki tego ogrodu widzieć się do dziś dnia dają na lewym i prawym boku tegoż dziedzińca, na upiększenie mieszkań professorskich zostawione.

Po oddaleniu się Giliberta w r. 1783, Jerzy Forster, na katedrę jego r. 1784 następcą, zbiór ten pierwiastkowy w całości wprawdzie utrzymywał, lecz dla szczupłości miejsca, i w oczekiwaniu od władz edukacyjnych obszerniejszego i dogodniejszego na ten zakład placu, żadnych prawie nowych gatunków nie wprowadził.

Gdy w r. 1787 Forster akademią opuścił, a katedra botaniki aż do przybycia Ferdynanda Spitznagla, to jest do początku roku 1792 wakowała; zbiór Giliberta, czulego dozorczy pozbawiony, do połowy prawie gatunków zubożonym został. Stary po Gilibercie pozostały ogrodnik, same tylko ozdobniejsze rośliny i krzewy, oraz jarzyny kuchenne na korzyść swą utrzymywał, a mieszkający w *Collegium* profesorowie, większą część szczupłej zakładnąd przestrzeni ogrodowej, na stajnie, wozownie i ekonomiczne składy obrócili. Był już wprawdzie przez kommissją edukacyjną na zakład ogrodu botanicznego plac na przedmieściu Sorokiński zwaném kupiony, lecz dla zaszłych w tymże roku i potem długo

trwających rewolucyjnych i wojennych wypadków, Spitznagel nie był w stanie rozpocząć tego dzieła, którego przedsięwzięcie, rozwinięcie i dokonanie, mnie niejako przeznaczenie zostawiło. W wykonaniu czego jakich doznałem trudów i przeciwności, i z jakim wytrwaniem je pokonywać musiałem, następująca okaże wiadomość:

Plac na Sorokiszkach, pod górami: zamkową, krzyżową i bekieszową położony, niegdyś do familii Alexandrowiczów należący, jeszcze za rządów polskich, jak się rzekło, od późniejszych właścicieli, Regnier i d'Aubry, za sumę 40,000 złotych polskich nabyty, leżał przez wiele lat odłogiem bez żadnej uprawy; a nie mając żadnego ogrodzenia, służył za powszechny wywóz śmieci i gnojów z całego miasta. Sterczące na nim drewnianych budowli zwaliska, były przytułkiem kilku nędznych wyrobników; kupy gnojów, zwykłym dla sąsiedzkich świń barłogiem; porastające zielska, paszą dla błakających się krów żydowskich; trzy głębokie kałuże, sadzawkami zwaue, mieszkaniem żab i robactwa: a brzegi o Wilenkę oparte, gęstym i wysokim chwastem porośłe, kryjówką psot i rozpusty zbierającej się tam dla kąpeli wszelkiej miejskiej gawiedzi. Naczelny dom murywany, na składy wojenne i kwatery rzemieślników wojskowych oddawna zajęty, drzwi, okien, pieców, podłóg pozbawiony, gruzami i śmieciem zawalony, wewnątrz i zewnątrz obmierzłą wystawiał pustynią. W tymto domu nieco oczyszczonym, i w kilku dolnych izbach naprędce zreperowanych, d. 30 lipca r. 1798, wskazane sobie zająłem mieszkanie, i niezwłocznie jako vice-professor historii naturalnej, przygotowaniem rzeczowego placu na zakład ogrodu botanicznego, trudnić się począłem.

Piérwszém staraniem mojem było zrównać i uforemnić powierzchnią, górami gnojów i gruzów nastroszoną, i zasypać cuchnące sadzawki i głębokie rowy od nich do Wilenki wykopane; znieść stare i napół rozwalone budowle, wydobyć fundamenta, bruki, sklepy, które na tym gęsto niegdyś zamieszkanym placu, w wielu miejscach się okazały. Roboty te, już dla swój trudności, już dla szczupłości funduszu, trwały prawie przez rok cały; tak, iż ledwo w jesieni r. 1799, na zrównanej i oczyszczonej przestrzeni, podłużne i poprzeczne ulice, oraz główniejsze kwatery i całą przyszłą postać ogrodu, oznaczyć mogłem.

W tych pierwiastkowych trudach, zaraz na wstępie silne i zrażające napotkałem przeszkody. Będąc vice-professorem Spitznagla, winienem był stosować się do urządzeń jego, a nawet i pieniądze na wydatki z rąk jego odbierać musiałem. Spitznagel, praktyce lekarskiej zupełnie oddany, rad był wprawdzie, iż go w tej pracy wyręczałem; lecz bojąc się o powagę swoje i prerogatywy naczelnika, wymagał koniecznie, aby wszystkie działania moje, piętnem zwierzchnictwa jego oznaczone były, w czém od

rektora Poczobuta i wszystkich prawie członków, silnie był popieranym. Podał on był dawniej nieco rys założyć się mającego ogrodu, w którym rozkład kwater, sadzawek i miejsce na budowlę trejbhauzowe oznaczył; takowy rys rektor Poczobut podpisem swym utwierdził. Ja znajdując go z wielu względów niedogodnym, inny z méj strony, i wedle moich myśli, nakreśliłem. Rektor, dla porównania i pogodzenia tych planów, wyznaczył komitet z professorów: Langmajera, Smuglewicza i Jędrzeja Śniadeckiego złożony. Dnia 17 października 1799 r., dwaj ostatni profesorowie, przybywszy na miejsce, obejrzawszy place, wysłuchawszy moich uwag i porównawszy złożone przed sobą rysy, plan mój jednomyślnie przyjęli. Langmajer zaś przewidując dobrze wypadek téj narady, długo oczekiwany nie przyszedł.

Poczobut zdanie to komitetu poczytał za wyraźne Spitznagla pokrzywdzenie; a przypisując je mojemu wpływowi, oskarżył mię przed cywilnym gubernatorem Bułhakowem, który wtedy zwierzchnie uniwersytem zarządzał, o uchybienie należnej naczelnikowi uległości. Bułhakow przy zdarzonej okoliczności, wymówić mi tego nie omieszkał; wszakże co było moją pociechą, obstając więcej za powagą niż za zdatnością i talentami Spitznagla, podanemu przezemnie planowi pierwszeństwo przyznawał.

Niezgięty temi przeciwnościami, na początku wiosny r. 1800 opasawszy acz nikczemnym, ze starych materyałów płotem plac ogrodowy, przeniosłem nań wszystkie gruntowe, po Gilibercie pozostałe gatunki, i te już na kwaterach, już na rabatach rozsadziłem. Liczba ich 200 nie przechodziła; ale ciągłym przenoszeniem z łąk i lasów krajowych roślin, pomnażać starałem się. W następującym 1801 r. otrzymałem znaczny zbiór nasion z Krakowa od profesora Szejta i z Daugieliszek od młodych kanclerzyców Platerów; między piérszemi wiele było rocznych gatunków, między drugimi znaczna ilość sybirskich krzewów znajdowała się. Posiane, wszystkie prawie szczęśliwie weszły, i pierwiastkowy zbiór mój zasiliły. Tegoż roku 1801, obywatele Wawrzeccy: Benedykt starosta brasławski, Józef generał wojsk polskich i Tomasz chorąży litewski, bracia rodzeni, dworek swój dziedziczny, z placem ogrodowym stykający się, akademii darowali; przez co szczupła ogrodowa przestrzeń znacznie się rozszerzyła, i wszelkie z tak blizkiego sąsiedztwa wyniknąć mogące niedogodności, na zawsze uprzątzione zostały.

Roku 1802, miesiąca marca 27 d., po przeniesieniu profesora Spitznagla na katedrę terapii szczególnéj, na katedrę profesora botaniki i historyi naturalnéj, jako dotychczasowy tych nauk vice-professor, postąpi-

łem. Zdarzenie to w tém istotnie korzystném było dla ogrodu, iż uwolniony od przykrój temu zwierzchnikowi uległości, swobodnie już wszystkie plany moje wykonywać, i całą prawie sumę 900 rs. na uprawę samego ogrodu obracać mogłem.

W r. 1803, Cesarz Alexander I wiekuiście pamiętnym aktem potwierdzenia, dawną akademią wileńską tytułem cesarskiego uniwersytetu zaszczycił, i wielu nowemi ważnemi dla nauk i kraju ustawami obdarzył. Ustawy te, przy najhojniejszém wszelkich naukowych zakładów uposażeniu, podniosły botanikę do osobnej i oddzielnej od historyi naturalnej katedry. W nowym etacie summa na utrzymanie ogrodu i opłatę ogrodnika 900 rubli, prawie jak dawniej wyznaczoną została; o dyrektorze zaś ogrodu, i szczególném jego za nadzwyczajne prace wynagrodzeniu, żadnej wzmianki nie uczyniono.

Mając już, jak się rzekło, i przestrzeń ogrodu znacznie rozszerzoną, i ziemię do uprawy roślin należycie przygotowaną; otrzymawszy za pośrednictwem przyjaciół i gorliwych nauki miłośników, znakomite z Wiednia, Paryża, Hali, Montpellier i t. d. nasion posylki, gdy z nich jednak same tylko roczne i gruntowe pielegnować mogłem gatunki; pragnąłem usilnie wzniesić i wystawić oranżeryą i trejbhauzy, w którychby delikatniejsze i cieplejszych klimatów rośliny, utrzymywać się mogły. Tę potrzebę, gdy kilkakrotnie a zawsze bezskutecznie rektorowi Strojnowskiemu przekładałem, d. 9 maja r. 1804 wniosłem do rady uniwersytetu na piśmie w tój mierze przełożenie. Rektor, zajęty innemi widokami i oszczędzając wyraźnie dany sobie 45.000 rub. sr. kapitał, na kupno domów, najęcie mieszkań i nadzwyczajne pensye dla przybywających z zagranicy professorów; pod pozorem, jakoby dawniej nabyte, a przezemnie rozszerzone i przygotowane place nie były dość dogodne do założenia ogrodu botanicznego, d. 11 tegoż miesiąca wyznaczył komitet do roztrząśnienia: czyliby nie było lepiej ogród i budowle jego w Małym Zakrecie założyć? i do składu tego komitetu kilkunastu członków mianował. Komitet ten, już dla wielkiej liczby wyznaczonych osób, już dlatego, iż nikt nie czuł się być przyzwyczajonym w tój mierze sędzią, nigdy na obrady się nie zebrał; więc wzniesienie projektowanych budowli w niezamierzoną poszło zwłokę.

Prawda jest, iż place na ogród botaniczny oddawna przeznaczone, nie zawierają w sobie wszystkich dogodności i warunków, jakich tego gatunku ogród potrzebuje. 1<sup>od</sup>, przestrzeń w ogólności, niedość jest obszerna; 2<sup>re</sup>, położenie niskie i wilgotne; 3<sup>cie</sup>, ziemia z rozkładu gnojów zbyt tłusta i próchnowata. Co do przestrzeni: ta zaiste jest mała; dwa albowiem rzeczzone place z sobą połączone, morgów tylko 3 i prętów 26,80 w sobie zawierają. Z tój ilości potrąciwszy na podłużne i poprzeczne uli-



ce, sadzawki, miejsca pod trejbhauzy, inspekta, szopy składowe i t. d., ledwo trzy części na kwatery roślinne pozostaną. Lecz z drugiej strony, w klimacie naszym, niewielka liczba roślin da się utrzymać pod otwartém niebem; a główne roślinne bogactwa, w budowlach utrzymywać musimy. Oprócz tego oglądać się należało na szczupłość etatowego funduszu, przy którym utrzymanie obszerniejszego ogrodu w należytych porządku i oszczędztwie, i pomnażanie bogactw jego, niepodobnémby było. Co do położenia: to w ogólności jest niskie, lecz trzy są tylko kwatery nieco wilgotne, a te na rośliny łąkowe wielce są przydatne; inne wszystkie, tak są suche, iż na nich wszelkie gatunki wygodnie się utrzymują. Co do natury ziemi: ta zapewne z rozkładu gnojów jest utworzona, lecz im dłużej się uprawia, tém coraz się doskonali, a nowego nawozu przez długi czas potrzebować nie będzie. Ale gdzież i komu znany jest botaniczny ogród, w którymby położenie i natura ziemi, zawierały w sobie wszystkie najdogodniejsze przymioty do pielęgnowania rozlicznych roślin gatunków? W którymto można utrzymywać łatwo i pomyślnie rośliny wodne, błotne, torfowe, piaskowe, skalne, alpińskie? Wszystkie podobne zakłady mają w téj mierze względne swe przywary i przymioty, a w tém przyrodzenie dla nas nie zrobiło wyjątku.

Nakoniec po długich namysłach, d. 28 stycznia 1806 r. rektor Strojnowski, zebrał pod własną prezydencją komitet z kilku członków złożony; na którym podany przezemnie, a przez Michała Cado wiceprofesora architektury narysowany plan budowli trejbhauzowych jednomyślnie przyjęto, i 8,000 r. s. na dokonanie wyznaczono. Zająłem się więc niezwłocznie zgromadzeniem potrzebnych materyałów, a d. 17 kwietnia tegoż roku, na fundamenta oranżeryi i dwóch wysokich trejbhauzów, węgielny kamień położyłem. Rozpoczęta robota szła tak spiesźnie, iż przed końcem jesieni cały gmach, wraz z mieszkaniem ogrodnika i czeladzi ogrodowej, z murów wyprowadzonym i pokrytym został. Następującego zaś lata 1807, sufity, piece, podłogi, oraz wszelkie stolarskie i szklarskie roboty, podobnież przed jesienią ukończone były; i delikatniejsze rośliny, dotąd w ciasnej Gilibertowskiej oranżeryjce utrzymywane, wygodniejsze znalazły pomieszczenie.

Gdy rozpoczęte budowle tak szczęśliwie się dokonywały, wielka zachodziła trudność wynalezienia zdadnego do pielęgnowania coraz liczniejszych gatunków ogrodnika. Był wprawdzie w tym obowiązku od Giliberta jeszcze w Grodnie za ucznia przyjęty, Antoni Kiersnowski; lecz ten z praktyką wyższego ogrodnictwa zupełnie nieobeznany, a dla wieku i namiętności do doskonalenia się niesposobny, nie mógł w tych ważnych pracach użytecznym być mi pomocnikiem. W miesiącu więc października 1806

r., wyrobiwszy mu w uniwersytecie przyzwoite za długą służbę wynagrodzenie, od obowiązków uwolniłem. Na miejsce jego w tymże czasie, przyjąłem zaleconego z Mińska, Józefa Brzuszkiewicza; ten gdy wkrótce nierównie większym od pierwszego okazał się nieukiem, zaraz na początku wiosny 1807 r. oddalonym został. Po oddaleniu Brzuszkiewicza, wezwałem z powiatu nowogródzkiego Jana Leraka, który oddawna w wielu znakomitych domach służył, i miał sławę nietylko dobrego ogrodnika, ale nawet i architekta ogrodowego. Przybył on d. 15 lipca tegoż roku, i w pierwszych zaraz początkach, tak w mnożeniu i pielęgnowaniu roślin, jak w dokonaniu trejbhauzów, należytej wprawy i gorliwości okazał dowody. Lecz w zimie następującej, porobiwszy sobie w mieście liczne związki i znajomości, tak się tym zabawom towarzyskim oddał, iż zaniechawszy zupełnie pielęgnowania roślin, próżnym i niepożytecznym dla kassy ogrodowej stał się ciężarem.

Zawiedziony tym sposobem w oczekiwaniu mojem, napisałem list do księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, z prośbą, o przysłanie mi, jeśli być może, ze sławnego puławskiego ogrodu obeznanego jakiego z początkami ogrodnictwa młodzieńca. Książę ten oddawna wielce mi przychylny, znajdował się podówczas w Wiedniu; tam mając sobie od naczelnego rządcy cesarskiego w Schönbrunie ogrodu Boos, zaleconego młodego czeladnika Jana Pipera, kontrakt z nim niezwłocznie zawarł, i kosztem własnym do Wilna przysłał.

Przyjazd tego ogrodnika d. 15 czerwca 1808 r. tém bardziej był pożądanym, iż właśnie w tym czasie zdarzyła się szczęśliwa zręczność nabycia licznych i w rzadkie gatunki bogatego roślin zbioru. Generał Beningsen, będąc przed niejakim czasem w Elblągu, kupił za 1000 duk. znakomity zbiór roślin trejbhauzowych, i te do Zakretu sprowadził. Zbioru tego połowę odstąpił hrabiniej z Potockich Choisełowej; że zaś trejbhauzy jej w Pawłowie nie były jeszcze ukończone, łatwo otrzymałem, iż przezimowanie tych roślin w nowo zbudowanych trejbhauzach naszych, staraniu mojemu poruciła, z tym korzystnym warunkiem, iż wszystkie gotowe i zrobić się mające duplikaty, własnością botanicznego ogrodu pozostać miały. Tym sposobem zdobyłem ryczałtem i w jednym dniu kilkaset kapskich, nowoholandskich, amerykańskich, po większej części rzadkich, dorosłych i okazałych gatunków, a zbiór ten był pierwszą zasadą bogactw, które ogród nasz dziś zdobią i na przyszłość zdobić będą.

W tymże roku 1808 uniwersytet na przedstawienie moje, nabył od żyda Markusa Berenta, za rub. sr. 2100 plac niegdyś pojezuicki, na prawym brzegu Wilenki pod górami krzyżową i bekieszową położony: przez co ogród zyskał w przestrzeni dwa morgi i prętów 98,22' ziemi do

uprawy roślin zdatnej, i dom browarny murowany, który na wygodne mieszkanie łatwo zamienionym być może (1).

Tak więc w jednym prawie roku, wzniosłem pierwsze do pomieszczenia gorącej i umiarkowanej strefy roślin nieodbitie potrzebne budowle; zdobyłem bez żadnego kosztu okazały zbiór rzadkich gatunków; podwoilem zbyt ograniczoną pierwiastkową przestrzeń przeznaczoną pod ogród ziemi, i sprowadziłem zdatniejszego do kształcenia tego zakładu i pielęgnowania przyszłych bogactw ogrodnika. Lecz te same tak pomysne wypadki, dawały czuć dotkliwie niedostateczność rocznego etatem przeznaczanego na ogród funduszu. Summa bowiem 900 rubli, ledwo wystarczająca na utrzymanie obecnego rzeczy stanu, o dalszych, również nieodbitie potrzebnych budowlach i o stopniowanym wzroście bogactw, iżby te z czasem innym podobnym wyrównywały zakładom, myśleć prawie nie dozwalała. Wielkiem to było dla ogrodu szczęściem, iż wtedy właśnie Jan Śniadecki urząd rektora w uniwersytecie sprawował. Szanowny ten miłośnik nauk i znawca, przychyłając się do żądania mojego, najprzód radzie d. 1 grudnia tegoż roku nieodbitą potrzebę podwojenia rzeczonych ilości z przychodów beneficyalnych, potem ministrowi Razumowskiemu przedstawił. Na co gdy minister chętnie zezwolił, zaraz od początku r. 1809 po 1800 rub. sr. na potrzeby ogrodu pobierać począłem.

Pierwiastkowym opasaniem ogrodu były, jak się rzekło, z chrustu uplecione płoty i nizkie ze starych po większej części materiałów parkany, które zbiorów roślinnych od napaści bydła i ludzi nie ubezpieczały, a bezustannie rozkradane, ciągłego i kosztownego potrzebowały odnawiania. Dopiero w r. 1810 poczęto stawiać murowany parkan, i ten ze strony ulicy od końca domu mieszkalnego, aż do upustu przeciagniono. W r. 1811 podobnyż parkan od upustu w dół Wilenki na 310 łokci przedłużono; całkowite zaś opasanie murem, dopiero w r. 1815 dokonaniem zostało.

Roku 1810, gdy liczba roślin trejbhauzowych znacznie się pomnożyła, a wysokość pierwszego gorącego trejbhauzu do pielęgnowania młodszych zwrotnikowych gatunków, niedogodną się okazała: z oszczędzonej od summy ogrodowej pozostałości, nowy, nizki, naprzeciw wysokiego gorący trejbhauz wystawiłem. W roku następującym 1811, z podobnegoż

(1) Wymieniona tu przestrzeń nabytego od Berenta placu, o samej tylko kwaterowej płaszczyźnie i pochyłości podgórza, rowem opasanej, ma się rozumieć; ogółem zaś obręb jego w granicach swych jest nierównie obszerniejszy, z czasem należycie uprawiony i obwarowany, tak ku ozdobie całego ogrodu, jak ku zasadzeniu wielu drzew i krzewów, mianowicie ponad brzegiem Wilenki, przydatnym będzie.

oszczędzenia, drugi nizki, téjże obszerności, na gatunki kapskie i oranżeryjne zbudowałem.

Rok 1812 wojennemi klęskami pamiętny, tę tylko w gospodarstwie ogrodowém uczynił przeszkodę, iż gdy wszystka czeladź częścią do wojska się udała, częścią do domów się rozeszła; pozostawszy sam jeden z ogrodnikiem, więcej niż przez siedm miesięcy z niewprawnymi i codziennie prawie odmieniającymi się wyrobnikami, wszystkie około gruntowych i trejbhauzowych roślin prace ułatwiać musiałem. Chlubném zaś to było dla mnie i na zawsze pamiętném zdarzeniem, iż Cesarz Alexander I, założywszy swą główną kwaterę w Wilnie, ogród botaniczny w towarzystwie generała Ożarowskiego zwiedzić i o stanie tego zakładu uprzejmie ze mną rozmawiać raczył.

Roku 1816 hrabia Mikołaj Rumiańcow kanclerz państwa, darował uniwersytetowi i przysłał z Petersburga brązowe popiersie Linneusza, do postawienia w ogrodzie botanicznym. Postawienie to, dla niedostatku wtedy dogodnego miejsca, do dalszego czasu odłożyłem.

Roku 1817, most drewniany na Wilence dla przechodu z lewój strony na prawą, gdzie świeżo kwatery urządzone i roślinami zasadzone były, zbudowany został. Około tegoż czasu, stary od Berenta wraz z placem nabyty browar, na wygodne mieszkanie był przerobiony.

W połowie r. 1818, ogrodnik Piper, upatrzywszy dogodniejszą sobie służbę w cesarskim białostockim ogrodzie, niespodziewanie i bez poprzedniego wypowiedzenia, zażądał niezwłocznego od obowiązków uwolnienia. Mogłem wprawdzie, mocą kontraktowych warunków, oprzeć się temu niewczesnemu żądaniu; lecz przewidując więcej szkody, niż korzyści z mimowolnego i przymusowego dłuższego jego pobytu, zgodziłem się na takowe uwolnienie; tém chętniej, iż dla zwyczajnej narodu swego i wychowania szorstkości, coraz przykrzejszym i nieznośniejszym się stawał...

Przysłany z Rygi tymczasowy zastępca jego, Jan Heller, zaraz na wstępie zupełnie niezdatnym się okazał. Nieuk w ogrodnictwie, nałogowy pijak, pośmiewisko uczniów ogrodowych; gdy w zbliżonej jesieni zbiór nasion rozpoczął, zniósł wszystkie gatunki, i porządną ich dotąd nomenklaturę tak zatart, iż długiego potem czasu i mozolnej pracy potrzeba było, nim należyty w téj mierze porządek na nowo przywrócić mogłem.

Po oddaleniu Hellera d. 31 grudnia, zostałem znowu bez ogrodnika, a cały ciężar pielęgnowania zamożnego już w rzadkie i kosztowne gatunki zbioru na mnie samym się oparł, bez nadziei prawie rychłego temu nie-

dostatkowi zaradzenia. W tém przykrém położeniu, w podwojonej gorliwości mojej i między własnymi uczniami, musiałem szukać pomocy.

W liczbie uczniów ogrodowych, najdawniejszym wtedy był **Kazimierz Korkuć**, słabego wprawdzie objęcia, lecz zarozumiałością nie zarazony, młody, trzeźwy, stateczny. Ten pracując pod bezpośrednim kierunkiem moim przez rok cały, i postrzegając wstręt mój do zagranicznych wędrowników, a ztąd tusząc sobie niemyślne prawie osiągnięcie korzystnej w ogrodzie służby, tyle się do różnych manipulacyj przyłożył, iż i mnie do końca zawodu mojego dogodnym był pomocnikiem, i dla następcy mego, jeżeli niezupełnie biegłym, przynajmniej dość wprawnym i z miejscowością obeznanym będzie ogrodnikiem.

Roku 1821 założyłem trzeci niski trejbhauz, do pielęgnowania szczególniejszych kapskich i nowo-holandzkich gatunków przeznaczony, i ten z oszczędzonej ogrodowej summy, przed jesienią tegoż roku zupełnie dokończyłem.

Każdy nowy zakład, a mianowicie naukowy, bardzo powoli wzrasta, doskonalili się i wzbogaca. Wzrost téż ogrodu mojego tém był powolniejszy, im liczniejsze na wstępie i w całym dwudziesto-siedmio letnim przeciągu trzeba było pokonywać trudności. Niezbędne w samych początkach ze Spitznaglem niesnaski, jezuicka ku mnie Poczobuta niechęć, opór Strojnowskiego, i długo zwlekane zbudowanie trejbhauzów; szczupłość pierwiastkowego, i niedostateczność etatowego funduszu, brak dobrego ogrodnika, odległość od botanicznych ogrodów, drogość opłat pocztowych w posyłkach i korespondencyi zagranicznej: tego były jawne i każdemu wiadome przeszkody, dla których ogród nasz, mimo całej usilności mojej, nie mógł rychléj powstać, i w bogactwach swoich wyrównać innym podobnym zakładom. Pochlebiam jednak sobie, iż żaden prawdziwy znawca, widząc i zewnętrzną postać, jaką miejscowe położenie nadać mu pozwoliło, i stan zbioru, do jakiego go doprowadziłem; nie odmówi mi téj sprawiedliwości, iż gorliwie i z należytą rzeczą znajomością, w powołaniu mojem pracowałem.

Stopniowany wzrost bogactw ogrodowych, okazują co drugi rok prawie drukowane katalogi w następującym chronologicznym porządku. W roku 1802 było już 1,072 gatunków; w r. 1804—1526; w r. 1807—1958; w r. 1808—2,000; w r. 1809—2,400; w r. 1810—2,872; w r. 1811—3,410; w r. 1814—3,861; w r. 1815—4,366; w r. 1817—4,635; w r. 1819—4,951; w r. 1821—5,570; w r. 1824—6,565.

Winienem tu wymienić z należytą wdzięcznością imiona tych szanownych krajowych i zagranicznych mężów, którzy już z prywatnych swych zbiorów, już z publicznych, któremi zarządzali, ogrodów, nasionami i ży-

wemi roślinami bojnie mię wspierali. Zpomiędzy ziomeków naszych szczególną w tej mierze szczodrocią odznaczali się: pp. Platerowie z Daugieliszek, Adam Chreptowicz ze Szczors, Xawery Niesiołowski z Woronicy, Eustachy Karp' z Johaniszkiel, Mikołaj Rumiańcow z Petersburga i Homla. Z publicznych krajowych ogrodów, professorowie: German, Ledebour i ogrodnik Wejnman z Dorpatu, tenże później z Pawłowska; pr. Hoffman z Moskwy, Dr. Fischer z Gorynek, Szejt z Krakowa, tenże później; Besser z Krzemieńca, Esterejcher z Krakowa, Szubert z Warszawy, ogrodnik Bartels z Charkowa. Z ogrodów zagranicznych: rządca królewskiego ogrodu Otto z Berlina, prof. Sprengel z Hali, Schrader z Göttyngi, Thouin z Paryża, Broussonet z Montpellier i t. d. Kupiłem zaś za pieniądze znaczną ilość rzadszych nasion u dr. Hanneman w Londynie, a rozmaite w różnych czasach żywych roślin gatunki, u ogrodników: Zigra i Wagner w Rydze, Cels i Noisette w Paryżu, Brejter w Lipsku, Sejdel w Dreznie, Senff w Królewcu i Buck w Petersburgu.

Takito był początek, taki wzrost tego pierwszego w kraju naszym botanicznego zakładu, i taki stan jego w końcu roku 1824, gdy skołatany wiekiem i kłopotliwą a nieprzerwaną przez dwadzieścia siedm lat pracą, za uprzednią prośbą od professorskich obowiązków uwolniony zostałem. Następcy moi, mając staraniem i zabiegami mojemu przestrzeń jego należyście rozszerzoną, budowle<sup>1</sup> trejbhauzowe ukończone, a co najbardziej, fundusz na utrzymanie podwojony: mogą go, wedle swój myśli i upodobania, zdobić i piększyć. Lecz niech pomną, że w oczach prawdziwych znawców sama tylko liczba, wybór i rzadkość gatunków, oraz doskonałe ich pielęgnowanie są rzetelną zaletą botanicznego ogrodu; że nauka i oświata młodzi są jedynym tego zakładu celem, a ubieganie się z jakiegokolwiek względu, za zmiennymi i niestatecznymi gustu fantazyami, jest próżnym czasem i funduszu marnowaniem, jest zgubnym tego celu uchybieniem.

### **Dodatek.**

Zaraz na wstępie, gdy ogród botaniczny zakładać się począł, okazała się we wszystkich klassach publiczności silna i powszechna dążność podbicia go, iż tak rzekę sobie, i zamienienia w miejsce otwartej, rozrywkom poświęconej przechadzki (1). W roku 1799, biskup wileński Jan Nepo-

(1) Nie było wtedy jeszcze w bliskości miasta żadnego wygodnego do publicznych przechadzek miejsca; a bulwary dzisiejsze, dopiero później przez wojennego gubernatora Korsakowa, utworzone zostały.

mucen Kossakowski, powziął myśl założenia publicznego dla przechadzki ogrodu pod górą zamkową, na placach zniesionego niedawno szpitala rochitańskiego. Ogród ten, jednym mostem z botanicznym, a ztąd drugim z bernardyńskim miał być połączony; tak, iż trzy te różnej natury i różnego przeznaczenia place, wzdłuż zakrętów Wileńki, od kościoła katedralnego aż na przedmieście Zarzeczne, nieprzerwaną stanowić miały przechadzkę. Mimo najgruntowniejsze z méj strony przedstawiania o niedogodności i nieprzyzwoitości tego bezprzykładnego wcielenia naukowego zakładu w ogród rozrywkowy (1); cywilny wileński gubernator Friesell, w połowie tegoż roku wyznaczył szczególny komitet, który ułożeniem planu i kierowaniem robót miał się zatrudniać. Jerzy Wielhorski marszałek dworu, Józef Kossakowski brat biskupa, professor Regnier wraz ze mną do składu tego komitetu wezwani byli. Fundusz zaś na rozpoczęcie i dokonanie tak rozległego i kosztownego dzieła, złożyć miała publiczność, do której hojności i gorliwości, biskup czułą i wymowną napisał odezwę. Lecz gdy publiczność ku czynieniu podobnych ofiar żadnej

(1) Niektórzy przesądem i namiętnością powodowani, twierdzili i twierdzą, iż botaniczne za granicą ogrody, służą wszędzie za otwarte dla publiczności przechadzki. Co jak jest mylném, kilka następujących okaże przykładów. Ogród botaniczny instytutu francuzkiego w Paryżu, *l'Ecole de Botanique*, kratą żelazną od publicznej przechadzki jest oddzielony, i nikt doń bez pozwolenia na piśmie od administracyi, wchodzić nie może; straż wojskowa przy bramie postawiona, ściśle tego przestrzega. W Wiedniu wszystkie kwatery ogrodu uniwersyteckiego, gęstemi morwowemi szpalerkami są opasane, a wejścia do nich zamknięte; tak, iż bez wiedzy profesora lub naczelnego ogrodnika, nikt do nich nie ma wstępu. We Wrocławiu ogród uniwersytetu podobnie ściśle jest zamknięty, i prócz dni piątkowych latem, nikt tam nie uczeszcza, a wszedłszy dla ciekawości, do późnego wieczora przechadzki nie przedłuża. W Berlinie, lubo królewsko-uniwersytecki ogród samém swém od miasta oddaleniem bezpiecznym jest od częstych i tłumnych odwiedzin publiczności; wszelako prócz dwóch dni w tygodniu, i to za wyraźnym rządzący pozwoleniem i z przydanym od niego przewodnikiem, nikt tam nie wchodzi. Dowodem tego jest następująca w gazecie berlińskiej 1814 r., 4 maja ogłoszona ustawa: *Häufige Besuche zu ungelegener Zeit machen die wiederholte Bekanntmachung nöthig, dass der königl. botanische Garten, nur Freitags Nachmittags, und Sonntags Morgens den Besuchen des Publicum offen stehet; sonst aber jedem, der nicht Berufungsgeschäfte hinführen, verschlossen ist. Wer die Anstalt in den genannten Tagen in Augenschein nehmen will, hat sich dem königlichen Garten-Inspector, Herrn Otto zu melden, und durch eine von diesen dazu beauftragte Person umherführen zu lassen. H. Lichtenstein Dr. interimistischer Director des königl. bot. Gartens.*

Podobnemi ustawami i we wszystkich innych krajach, należne naukowym zakładom poszanowanie i całość zbiorów jest zabezpieczona.

nie okazała skłonności; komitet na pierwszym posiedzeniu d. 2 września skończył swe obrady, a projekt w zupełne poszedł zapomnienie.

Wkrótce jednak, gdy opuszczone dawniej i mało komu znane sorskie pustynie przyjemniejszą i foremną wzięły postać; gdy kwatery roślinami, a rabaty kwiecistymi okryły się krzewami; gdy wznosił się okazały gmach pierwszej oranżeryi i trejbhauzów: publiczność nie znając i nie umiając cenić istotnego w tym zakładzie celu, wszystko to dla swojej tylko wygody utworzonem być mniemała, a na basło skarbowego ogrodu, rzuciła się tłumem na tę niby umyślnie dla siebie przygotowaną i wystawioną zdobycz.

Kto przed dwudziestu kilku laty był świadkiem niakiego jeszcze w prowincjach naszych cywilizacji stopnia; kto widział, jak ziomkowie nasi mało wtedy cenili i poważali nauki, uczonych i naukowe zakłady: ten tylko sobie wyobrazić może, na jakie ztąd nadużycia ogród nasz w pierwiastkach swych był wystawiony. Twórca nowego tego i dotąd w kraju nieznanego przyhytku Flory, sam jeden opiekun i obrońca całości coraz wzrastającego roślin zbioru, nie mogłem być obojętnym na to, co albo we względzie obyczajów świętość tego miejsca kaziło, albo w pielęgnowaniu z wielkim kosztem sprowadzonych ziół i krzewów, nieuchronną czyniło przeszkodę, albo w całości ich częstokroć nienagrodzony zadawało uszczerbek (1). Zacząłem więc utrudniać i ile możności ograniczać te tłumne i bezwarunkowe, od poranka do późnej nocy trwające, nieprzyjaznych gości odwiedziny; zacząłem dla natrętnie wciskających się umyślnie nawet w przechadzkach zrządzać niedogodności. W tej gorliwości o dobro, przystojność i bezpieczeństwo naukowego zakładu, mało wspierany od uniwersytetu (2), głośne i powszechne na mnie ścیا-

(1) Pierwsze egzemplarze rzadszych wtedy gatunków: *Cactus mamillaris*, *Gloxinia speciosa*, *Lilium superbum*, *Tulipa suaveolens*, i t. d. przez nieprawych i nieobyczajnych amatorów wykradzione zostały.

(2) Roku 1804, miesiąca kwietnia 27 dnia, rząd uniwersytetu, chcąc powściągnąć natrętność wdzierającej się do nowo założonego ogrodu publiczności, postanowił, i u wrót ogrodowych zawiesić kazał, następujące urządzenie:

„Imperatorski uniwersytet uważając istotną potrzebę porządku, względem wpuszczania różnych osób do ogrodu botanicznego, który, będąc przeznaczony do nauki, nie może służyć do przechadzki ani publicznej, ani prywatnej czyjśkolwiek; postanawia następujące przepisy”:

1) „Ogród botaniczny ma być zawsze zamknięty; bez wiedzy i wyraźnego pozwolenia rektora uniwersytetu, lub profesora botaniki, nikt nie ma być wpuszczanym.”

2) „Professor botaniki będzie dozwalał wejścia do ogrodu botanicznego, osobom dobrze wychowanym, i w przyzwoity sposób wstępu tego życzącym, nie dla przechadzki, lecz dla obejrzenia roślinnego zbioru; w zaufaniu, iż wchodzący i całość tego zbioru, i samo miejsce nauce poświęcone, należycie szanować zechcą. Professor za każdą razą wyznaczy kogo do oprowadzenia, i ukazania tak całego zakładu, jak znakomitszych roślin gatunków; oraz wskaże godzinę, ku takowemu



gnąłem okrzyki. Nie dbałem wprawdzie o płocze młodzików i brukobojów przekąsy; lecz otwarte i dotkliwe grubijaństwa poważniejszych napozór osób, owszem przesadzone do rządowych władz skargi i doniesienia, wiele gorzkich i dotkliwych zrządziły przykrości.

Niezrażony jednak temi przeciwnościami, i przekonany, że ogród botaniczny, bez uchybienia istotnego swojego celu, w publiczną i każdemu otwartą przechadzkę zamieniony być nie może; że młodzież wśród tych redutowych tłumów, zamiast nauki i oświecenia, znajdować będzie zepsucie i zgorzenie; że czeladź ogrodowa w pracach swych niechybnie będzie mieć roztargnienie: nieugięty miotanemi potwarzami, broniłem go z taką wytrwałością, iż nakoniec osłabiwszy nieco tą długą walką zbyteczną publiczności natrętność, spokojniejsze następcom moim zostawiłem władanie.

Falszem jest jednak, co niektórzy, w ostatnich mianowicie czasach głosili, iż ogród botaniczny ze wszech stron ściśle zamknięty, oczom ludzkim był nieprzystępny. *Naprzód*: studenci wszysey kursu botaniki słuchający, mogli każdego dnia latem od godziny piątej do ósmiej ranniej, swobodnie doń wchodzić i wszelkie rośliny pod otwartym niebem na kwaterach rosnące, przeglądać; a nadto: po każdej lekcyi, po kilkunastu z kolei sam do trejbhauzów wprowadzałem, i tam rzadsze gatunki z obszernym wykładem przyrodzenia, ojczyzny, przymiotów ich i użycia, ukazywałem. Demonstracye takowe, zawsze do trzech godzin lekcye moje przedłużały. *Powtóre*: znakomitým urodzeniem lub wyższemi urzędami zaszczyconym, zagranicznym i krajowym gościom, oraz znawcom i miłośnikom roślinnej nauki, sam w każdej porze roku towarzyszyłem. *Potrzenie*: ktokolwiek zaś z miasta lub z prowincyi życzył sobie oglądać roślinne zbiory, i o to w przyzwoity sposób prosił, byli zawsze na pogotowiu urzędowi lub prywatni pomocnicy moi, którzy wyręczając mię, tym ciekawym przewodniczyli. Warunkowe to więc zamknięcie ogrodu, tak potrzebne do jego całości, bezpieczeństwa i przystojności, nie było nigdy przeszkodą tym, którzy w nim albo nauki, albo pożytecznej zabawy szukali.

obejrzeniu dogodną. Po siódmej godzinie wieczornej, oglądanie takowego, miejsca mieć nie będzie.“

3) „Gdy za wiedzą profesora będzie komu otworzony ogród botaniczny, libera nie ma wchodzić; a stróż ma szczególnie pilnować, aby psy na moment do ogrodu wpuszczane nie były.“

4) „Stróża powinnością będzie każdego czasu najpilniej postrzegać, aby rośliny i kwiaty przez nikogo nie były zrywane lub psute.“

Urządzenie to na mało wtedy cywilizowanej publiczności, żadnego prawie nie sprawiło skutku; owszem, kopie jego częstokroć zdzierane, i od grubijańskiej zgrai obelżywie deptane były, a przemocą wyłamywane sztachety, utrudnione do ogrodu otwierały wejście.



# FRYDERYK SZOPEN.

## FANTAZJA

*Włodzimierza Dolskiego.*

---

„A kiedy się rozśmieję, to jak za pokutę,  
A kiedy będę śpiewał, to na smutną nutę.“

*Malczewski.*

### I.

Czy słyszycie zpod dłoni kobiety namiętnój,  
Pieśni jego rozkoszne i dziwne uroki?  
Czy widzicie w jój oczach ten ogień głęboki,  
Jakby obłęd pałacy, a jak wiara smętny?  
Czujecie, jak w tój nagłej i mistrzowskiej nucie,  
Nietylko tonów przemoc duszę jój podbiła,  
Lecz inne, nowe jakieś powstaje uczucie,  
Jak krzywda bolejące, głuche jak mogiła?

### II.

A tony się płaczą; jak siecią pajęczą  
Dokoła nas wiążą wrażenia nitkami:  
I śmieją się, płaczą, i tęsknią, i dźwięczą,  
Drżą w uchu, lśnią w oczach, i nikną nad nami.  
Lecz w sercu zostają. Uśmiechem prorocstwa  
Daleką gdzieś palmę wskazują w pustyni;  
A potem, jak w oczach namiętnój mistrzyni,  
Drżą żalem tęsknoty, wrą bólem sieroctwa.

### III.

Ból! sieroctwo!—To nie krzyki,  
To wnikliwszój dźwięki mowy!  
Tak jak oddźwięk tój muzyki,  
Cichy, rzewny, pogrobowy.

Ból! sieroctwo!—To nie krzyki,  
To jest prawdy dźwięk niemylny!  
Tak jak oddźwięk téj muzyki,  
Dziwny, smutny—ale silny.

#### IV.

Lecz cóż śpiewać wyrazami,  
Gdy muzyka na pamięci,  
Tak wonnemi myśl wieńcami  
Opasuje—i tak smęci!....  
Od mazurków wieńca zacznę,  
Co to wrzkomo bałamutne,  
Świetne, lekkie i dziwaczne,  
A tak smutne, a tak smutne.....

„Jak to dziewczę, co to brata  
Wciąż z wojenki się spodziewa,  
I ze łzami warkocz splata,  
I ze łzami piosnki śpiewa.

W taniec proszą rówiennice.  
Choć do tańca jest ochota,  
Dziewczę smutno skłania lice,  
Bo gdzież tańczyć ma sierota?

Na bułanym wtém ktoś jedzie....  
Dziewczę biegnie, klaszcze w ręce,  
Obcy człowiek konia wiedzie,  
A brat zginął na wojence” (1).

Smutne, smutne to mazurki!  
Jak ta matka, co dla córki,  
Na wesele przystrajała  
Białą suknię.—Lecz martwica  
Wnet poczuła—i zatrula  
Tchem śmiertelnym córki lica.

Matka białą suknię szyła,  
To téż w białą przystroiła  
Córki zwłoki—pochowała:  
Śpij, śpij cicho—lilio biała!

#### V.

Teraz brzmi ów tańca dźwięk,  
Co i w czapkach go tańczono;  
Co na zwrocie w szablę szcęk,  
Pas podjęto, wąs kręcono!  
„Już się snują pary tłumne,  
Wygolone głowy dumne.  
Wąs sumiasty, lub ze szwedzka,  
Ale mina tak szlachecka,

(1) Z pieśni gminnej.

Że kto nawet i z kielicha  
 Jój nie pozna—to zjé licha!  
 A tu przy nich tanecznicę,  
 Tak urodne,  
 Tak rzewnością tchaące lice,  
 Choć w robronach, tak swobodne!"

Polonezów jednak tony,  
 Czasem tworzy dziwaczniejsze;  
 Mazur smutny, rozżalony,  
 Te bolesne, posępniejsze.  
 Jakby dworek modrzewiowy,  
 Nizki, stary, pochylony;  
 A na ganku od ogrodu,  
 Siedzi starzec pogarbiony,  
 Z szramą podłuż tysój głowy,  
 Patrzy w krwawy blask zachodu.  
 A tam—tam, ku zachodowi,  
 Wiejski kościół, słomą kryty,  
 Dalej cmentarz, i krzyż wbity  
 Tu i owdzie. A starcowi  
 Czoło marszczy się powoli,  
 Gdy zachodu barwy chyże,  
 Zrumieniły czarne krzyże:  
 Jakby mówił: „Jam sierota!  
 Krzywda losu człeka boli.  
 W te-m cmentarza—proste wrota,  
 Zawiózł syna mego zwłoki.  
 Drugi gdzieś tam w świat szeroki  
 Pierzchł, i zniknął; zginął trzeci.  
 Starzec! krzywdę mam bez dzieci.”

Jeszcze jakby z ust sędziwych,  
 Wyszło kilka skarg za żywych,  
 Ale w niebo spojrzął stary  
 I zapłakał—pełen wiary,  
 Wtém chłopczyna z jasnym włosem,  
 I z oczyma niebieskimi  
 Wbiegł, i zaczął srebrnym głosem  
 Nucić piosnkę.—Starzec z ziemi  
 Znowu podniósł wzrok ku niebu;  
 I tak słuchał piosnki wnuka,  
 Jak rozrywki to się szuka,  
 Kiedy wróci się z pogrzebu.

## VI.

Teraz taniec ten niemiecki,  
 Niby wesół—a tak mglisty,  
 Tak powolny—a ognisty,  
 Tak przelotny, i zdradziecki.

W jakież barwy kształtne, świetne,  
Nowe, rzadkie i szlachetne,  
Dziwne pieśni te ustroi!

Jakby dumał, jakby roił,  
O mazurkach, krakowiakach,  
Kołomyjkach, kujawiakach,  
Śród Webera tęsknych czarów.  
Jakby dumkę ktoś zanucił,  
Śród Czarnego Lasu jarów,  
A niedawno Dniepr porzucił.

## VII.

A słyszycie marsz żałobny?—  
Dzwony dźwięczą śpiew przedgrobny,  
I karawan zwolna sunie,  
Ten, co go to dają biédzie.

Na nim trumna, a na trumnie  
Pałasz z czapką w krzyż złożone,  
A za trumną nikt nie idzie.  
Niebo szare, zachmurzone.

Ani trąba nie uderza  
Wojennego marszu dźwięki,  
Ani matki, braci jęki,  
Nie zatęsknią na mogile  
Sieroty—żołnierza.

Przecie nagle—ktoś na chwilę,  
Wyrzał z okien pałacowych:  
Jakaś twarz kobiety blada,  
Oczu szarych, włosów płowych,  
I łza po łzie jój opada.

Czy sieroctwa współcierpienie?  
Znała-ż tego, co chowają?  
Dawnych marzeń, łez wspomnienie?—  
Dość, że płacze.... Dzwony grają.

## VIII.

Lecz ziemi już dosyć!  
Teraz trzeba lot wznosić!  
I na Tatrów trza szczytach  
Słuchać dźwięków potoku,  
Gdy po siwych granitach,  
Pędzi fale—o mroku.

Trzeba słuchać jak w borze,  
Jodły szepczą tak zcicha;  
Trzeba słuchać, jak morze  
Rozburzone oddycha.

Harmoniã letniêj nocy,  
Melodyã dziwnã mroku,  
Tęsknã groźbã północy,  
I poza-świat uroku

Trzeba słuchem muzyka,  
Pojąć, ująć, i stworzyć;  
Trzeba drzwi te otworzyć,  
Które gieniusz odinyka.

Tęczowych marzeń trzeba,  
Odblaski pojąć lśniące,  
Kiedy płyną do nieba,  
Fantazyami tęskniące.

Albo dusza, gdy chmurna,  
Pół boleje, pół śpiewa,  
I w ustępy nokturna,  
Żalów boleść wylewa.

Trzeba pojąć śpiewaka,  
Gdy dla siebie śpiewa,  
I lotem króla-ptaka,  
Nad te góry i drzewa,  
Nad ludzi, skrzydła wzbil.  
A świat pierzcha daleko,  
Jak mgła ranna nad rzekã,  
Jak pył!

I czasem się zatrzyma,  
Gdzieś nad wioskã płonąçã.—  
Dym kłębam i się wzdyma.  
Matki z twarzą cierpiącą  
Do piersi tulą dzieci.  
Płomień bucha czerwony,  
On w niebieskie swe strony  
Leci.

Trzeba wpoić się w żal,  
W młodej duszy rozczyć;  
I zrozumieć, że w chwale  
Najpiękniejsza korona  
Ta, co łzami zroszona  
Ofiary.

## IX.

Bo nie wszystkim jest dane,  
Umieć siebie wynucić,  
I marzenia rozwiane,  
Wstęgã chwały obrzucić.

I nie wszystkim też dane,  
Pojąć chwały tój blaski,

I najdroższe klejnoty,  
Z téj kosztownej przepaski,  
Spoić w jeden strój złoty.

**X.**

Bo gieniusz choć z wszystkiemi,  
Sam przez życie przechodzi;  
Tylu wiedzie na ziemi,  
Ale sam schodzi.

Sam tylko jeden śród ludzi wielu,  
Których tak różna robota,  
Łączy ją, wznosi do swego celu—  
Sam tylko jeden—sierota.

**XI.**

Ból, sieroctwo, i wiary promieniące koło,  
Przędę pieśni, w żalobnych kwiatów wieńczę zwoje...  
Tworząc postać z tych pieśni, ubrałbym jój czoło  
W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje.

Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,  
Ta moc cierpień, uniesień, co uświęca wzrok;  
Usta ubrałbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,  
Dniem za nią, przed nią świecił—a wkoło niej mrok.

**XII.**

Bo to mroku był śpiewak, tak cichy i łzawy,  
Jak od listka akacyi drżący cień na ścianie;  
A czasem tak posępny—lecz mało—jaskrawy,  
Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.

On swemi marzeniami, on swemi pieśniami,  
Wszak o szarej godzinie najmiléj nas pieści;  
On tęsknoty dźwiękami, i tęsknoty łzami,  
Wyśpiewał chwilę żalu, siły, i boleści.

O! to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki,  
Przypominał mu słońca swojego odbłyśki;  
I łudził go, i nęcił, że świtania blizki,  
Lecz mrok wieszca swojego, omroczył na wieki.

**XIII.**

I losy skrzywdziły słowiańską ziemice,  
Że smutku śpiewaka tak nagle zabrały;  
I dzieciom jój licznym, zsepiło się lice,  
Że o jednego, znów osierociały!

Ale ty blady, uroczy cieniu!  
Już wynucieś, co nucić miałeś;  
Ty na melodyi srebrnym promieniu  
Leć, leć w te strony, którym śpiewałeś.

Pieśni twych tęskne, świetne przedziwo,  
Już się wiecznym snuć będzie ciągiem.  
Ty w sercach naszych, co biją żywo,  
Choć bez posągu—będziesz posągiem.

Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!  
Leć bracie do braci swojej!  
Tam stary Bojan ciebie powita  
I gęśl rodziną nastroi.

Wzleć, wzleć wysoko znad ziemi szlaku,  
Tam Mozart ujrzyć cię żąda,  
Tam Weber tęskni, tam cię, śpiewaku!  
Wielki Beethoven wygląda.

Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!  
Leć bracie do braci swojej!  
Tam cię z nich każdy pieśnią powita,  
I czoło blaskiem ustroi.

#### XIV.

Był ongi zwyczaj, że gdy chowali  
Zasłużonego rycerza w hoju:  
Pili na stypie—pieśni śpiewali,  
By wędrowała dusza w spokoju.

Ty, śpiewak, w obcym usnąłeś kraju,  
Obcy ci piasek w oczy się sypie;  
Ja, według przodków naszych zwyczaju,  
Choć pieśń żałoby nucę na stypie.





# PIENIĄDZE I KLEJNOT SZLACHECKI.

P O W I E Ś Ć.

---

## Część pierwsza.

### I.

Nierozsądek i śmieszności ludzkie, są nieuleczone: Molier nikogo nie poprawił. P. Levrault z bogaciwszy się sprzedaż sukna przy ulicy Niewińątek, zamknął swój handel; ale raz z interesów wycofawszy kapitały, gorączka dumy i ambicyi, nierozsądnymi marzeniami głowę mu zawróciła. Trzebaby wierzyć, że złoto upaja podobnie jak wino. Skoro się ujrzał posiadaczem trzech milionów, ucziwie i pracowicie nabytych w sklepie swoich ojców, dzielny ten człowiek upojony majątkiem, odkrył, że bogactwo, które dotąd uważał za cel swego dążenia, było dopiero punktem rozpoczęcia nowego życia: uczuł potrzebę zupełnego przeobrażenia się, wydzwignienia z zaciemnionego stanowiska w którym dotąd przebywał, niejako wyklucia się jak motyl ze swój pupki, i wzniesienia do świetnej sfery, do jakiej czuł, że jest urodzony.

Z początku niepewne, trwożliwe myśli krążyły po głowie p. Levrault, i zwolna, nieznacznie ogarniały umysł; lecz później, przybrały olbrzymie rozmiary. Dalecy wówczas byliśmy od demokratycznych wyobrażeń, wyrodzonych z lipcowej rewolucyi; i pomimo tego, że arystokracja pieniężna w ogóle poglądała z niejaką pogardą na swą starszą siostrę, znalazła się przecież niemała liczba dorobkowiczów, którzy potajemnie wdychali: do herbów i tytułu szlachty. P. Levrault wdychał prócz tego do przystrojenia swój figury w togę magistracką; udział w zarządzie kraju wabił go do siebie. Wyzywające widma wszędzie, a nawet w czasie snu go ściagały.

Byłito ministrowie, parowie Francyi, szlachta, których znał niedawno; widział jednych w swoim kantorze, gdzie mu przynosili wexle do eskonty, drugich, kiedy im sprzedawał kazimierek z sławnych rękodziel-

ni w Elbeuf albo w Louviers. Używając nieustannie zwykłych wyrażen: „My wielcy rękodzielnicy, fabrykanci; my wielcy przemysłowcy“, skończyło się na tém, że zwolna zapominał, iż zebrał majątek ciulając grosz do grosza w szczegółowym handlu.

Lubił on przebiegać w myśli wszystkie artykuły, ukute dla stworzenia parów, i mówił sobie, że po skrupulatném obliczeniu, jeżeli zechce, może płacić 3,000 fr. bezpośredniego podatku. Pewnej nawet nocy miał sen, że jego odzwierny wręczył mu wielki zwit papierów, z napisem: „do p. barona de Levrault“. Drżącą ręką rozpieczętował pakiet, i znalazł w kopercie..... nominacyą na para Francyi!..... Nazajutrz jeszcze pod wpływem doznanego wzruszenia, dał 5 fr. odzwiernemu, który gubił się w domysłach, zkąd się wzięła ta hojność jego pana. W czasach, kiedy pieniądze mogły zdziałać cuda, podobny sen milionera, mógł się urzęczywistnić na jawie, gdyż nie cechował się niepodobieństwem.

Ztémwszystkiém nie ma wątpliwości, że żona z bogaczonego handlarza, byłaby go porządnie wyłajała za podobne marzenia, nie szczędząc śmiałych zastosowań, prostodusznych wyrażen; naprzykład:

„Levrault, jesteś głupcem; zrób mi tę przyjemność i usatuj się. Nie mamy nic wspólnego z zaszczytami i tytułami; bogactwo samo z siebie jest pięknym darem, umiejmy go tylko skromnie używać; pieniądze niewszystko mogą, i niech co chcą mówią, zebrałiśmy trzy miliony, które nic a nic nie dodały do naszej osobistej wartości.“

„Idźmy ubitym już gościńcem, nie zapierajmy się przeszłości. Żyjmy nadal między ludźmi, którzy nas szacują. Im więcéj się tobie przypatruję, tém większą mam pewność, że nikogo nie zdołasz omamić. Co do mnie, im mocniéj się nad sobą zastanawiam, tém mniéj znajduję w sobie zdolności do przedzierzgnięcia się w wielką damę. Nawzajem, jako znakomici kupcy, z bogaceni w handlu, któregośmy, zaprzestali, posiadamy i właściwą postawę, i to wszystko, z czém się w naszym obrębie, bez ubliżenia sobie i drugim pokazać możemy.“

„Porzuc te głupie myśli: nabądź jaki nieruchomy a korzystny majątek, którego wartość będziesz umiał powiększyć. Ponieważ masz ambicyą, więc zostań merem w twój dzielnicy, kuratorem w twój parafii. Zajmuj się połowem ryb na wędkę: byłato niegdyś twoja namiętna zabawka. Uprawiaj georginie, które lubisz, staraj się o przyjaciół, wspieraj biednych.“

„Nakoniec zaślub twą córkę z młodzieńcem, któryby nie wstydzil się jej rodziny, i nie lękał się kiedyś wspominać swoim dzieciom: „Wasz dziadek był godnym człowiekiem, handlarzem sukna przy ulicy Bourdonnais; jeżeli macie chléb powszedni, a nawet coś więcéj, to go po największej części jemu jesteście winni.“

Oto są zdania, które pani Levrault nie omieszkałaby wynurzyć mężowi, i bez wątpienia udałoby się tój poczciwój kobiécie zwrócić go na drogę właściwą. Niestety! już od lat dziesiątka nie żyła, uniosłszy do grobu zdrowy rozsądek z swego domu.

Pan Levrault pojmował, że zaszczyty i godności, których tyle pragnął, nie zapukają same do jego mieszkania w antresolach przy ulicy Bourdonnais. Już zrobił rozbrat z przyjaciółmi, jednakże nie piérwój chciał rozpocząć nową epokę swego żywota, dopóki córka nie ukończy wychowania. Nie ułożywszy sobie jeszcze planu z którój strony ma przypuścić attak do podwoi wielkiego świata, przedmiotu tyle przez siebie požądanego, rachował na natchnienia panny Laury Levrault, która odpowiadała godnie oczekiwaniom swego ojca.

P. Laura Levrault, była wychowywaną na pensyi, jednéj z najwięcéj arystokratycznych w Paryżu. Możeby jój nie odmówiono przydomku pięknej, gdyby ją kształcono stosownie do swojego skromnego stanu. Przeniesiona w towarzystwo córek hrabiów i margrabiów, wczesnie wdzięk naturalny straciła; a jak ów wolny wróbel zamknięty w jednéj klatce z kolibrami, w poranku życia czuła poniżenie, nauczyła się cierpieć z powodu swego urodzenia. Żarty i uszczypliwe docinki, których jój towarzyski nie szczędziły, powiększały cierpienia Laury. Dziéwczęta bywają nielitościwe między sobą: sąto już kobiety. Zamiast swawolnicom, które sobie z jój upokorzenia zabawkę robiły, odpłacać własną ich monetą; przeciwnie Laura, odżywała w głébi duszy niechęć do sklepu, gdzie się urodziła, obrzydzała sobie całą ulicę Bourdonnais, a nawet swoje nazwisko, które ją do rozpacy przywodziło. Kiedy to szkaradne nazwisko Levrault, prawie zawsze z przesadą wymawiane, zabrzmiało w szkolnéj sali, lub na przechadzce: wówczas drżała z boleści i czuła śmiertelne męki ze wstydu. Pewnego dnia wdziała strój sukienny; mała B... rzekła do niój:—„Patrz, masz ubiór, za który tylko od roboty zapłaciłaś.“ I wszystkie towarzyski na ten przycinek parsknęły śmiechem, prócz Laury łzy swoje tłumiącój. Innym razem zrobiono zapytanie: czy który z jój przodków nie jeździł po złote runo? Wkrótee panny R... i C.... obznajmione już z heraldyką, zajęły się utworzeniem dla Laury tarczy herbowój; było to zbyt mówiące godło. W polu zieloném leżał złoty łokieć, podtrzymywany przez dwóch srebrenych zajęcy, jakby do biegu za workiem piéniędzy. Laura przypłaciła to chorobą.

Temi sposobami w każdém zdarzeniu, zatrutowano i odnawiano jój rany. Zostawiam wreszcie domysłowi, jaką sympatyą, i tajemne porozumienie, takie wychowanie musiało sprowadzić między panem Levrault,

a jego córką; obie te próżności spotkawszy się na jednej drodze, musiały się zrozumieć i wspierać wzajemnie.

W ósmnastym roku życia Laury, zgodzono się na nazwanie jój piękną: biała, rumiana, miała śliczne włosy ciemne, oczy w ładnej oprawie, czoło gładkie, kibić wysmukłą, a w całej postaci przebijało się coś niepospolitego. Jój pochodzenie nie zdradzała owa cecha, którą się w sklepie nabywa, a którą jeszcze umiała bez wysilenia pokryć.

Uważając Laurę ze strony moralnej, jój charakter nosił piętno rzeczywistości: wyobraźnia czerstwa, serce pewne siebie, które się nigdy nie zabłąkało w krainy marzeń i utopii. Próżność lodowatém technieniem ścięła w niój wszelki kwiat, tak pięknie rozwijający się i zdobiący poranek życia dziewicy. Gdyby matka Laury żyła jeszcze, byłaby bez wątpienia umiała wypielegnować piękne zarody, które duma zabiła. Zawsze oddana sama sobie, zaniedbała Laura, jako nieużyteczne chwasty, wszelkie dobre przymioty, a hodowała im przeciwnie. Popełnilibyśmy niesprawiedliwość, gdybyśmy chcieli odmówić jój talentów, zwykle wiek młodych dziewic zdobiących. Ciągłe poniżana przez swe towarzyski, nie zaniedbała niczego, czémby się nad nie wzniesć mogła. Posiadała niezłe muzykę, i malowała widoki z tą zręcznością, jakiej tylko można wymagać od tego, co pięknej natury nigdy nie widział. Uczyła się grać od Fryderyka Chopin, a malować od Pawła Huet, zawsze przez próżność. Po ukończeniu pensyi zaszczytnie, poznawszy bogactwa ojca, łakomy wzrok utopiła w świetną przyszłość, jaka się przed nią jawiła. Nie zbywało jój na przenikliwości w zrozumieniu swego położenia: że z milionem posagu a dwoma spodziewanemi, nie może żądać, ażeby ją kto zaślubił z miłości. Miłość ją bynajmniej nie zajmowała. Co do małżeństwa, utworzyła sobie Laura pojęcia bardzo jasne i stanowcze. Wiedząc, że człowiek żądający jój ręki, będzie w tym związku upatrywał prosty interes; chciała sama zająć się wyborem męża, zgodnie i odpowiednio jój ambicyi. Oświadczyła też bez ogródki i stanowczo ojcu, że nie zaślubi innego, tylko szlachcica. Pan Levrault przycisnął do piersi swą córkę, własną krew w niój poznając. Zresztą, byłto jedyny i najprędszy sposób wciśnienia się w towarzystwo, do którego pałał żądzą należeć. Nie taił on przed sobą, jaka przepaść rozdziela go od zamiaru; ale przepaść tę spodziewał się przebyć szczęśliwie na barkach swojego zięcia.

Szło tylko o to, aby go wynaleźć: bo też bez wątpienia nie znajdował się przy placu Niewiniątek. Pan Levrault wmówił w siebie, że ze wszystkich departamentów Francyi, stara Bretania była najobfitsza w starożytne szlacheckie rodziny, że tam zamki były tak liczne, jak chatki. Stanowczo wierzył, iż wieżycy wyrastały tam jak grzyby. A więc trzeba się

usadowić w Bretanii; tam trzeba rozwinąć blask bogactwa, i zastawić złote sidła, w które miał się nwickłać ów fenix zięciów. Taki plan ułożywszy, p. Levrault napisał do notaryusza w Nantes, którego znał jako dependenta w Paryżu:

*Mój kochany panie Jolibois!*

„Nareszcie nadszedł czas spoczynku w świecie, którego ton i zwyczaje z moim smakiem się zgadzają. Wśród zatrudnień przemysłowych, często marzyłem o schronieniu na starość, uświęconém przez wielkie imiona w naszej historyi. Bretania zawsze mnie wabiła swemi bohaterскими wspomnieniami.“

„Laura, której dałem jak powinienem najświetniejsze wychowanie, godne jej stopnia, nieraz opowiadała mi o tej ojczyźnie rycerzów. Nie zadziwi cię przeto doniesienie, że mam zamiar kupić w Bretanii jaką bogatą posiadłość. Pragnę tylko, mówiąc językiem pospolitym, nie kupować kota w worku.“

„Nim się na to zdecyduję, uważam piérwój za konieczność przejrzenia tego kraju, poznania miejscowości, zbadania zwyczajów. A więc kochany panie Jolibois z całą ufnością udaję się do ciebie. Najmij dla mnie na cały rok jaki zamek w okolicy Nantes, którego położenie, dałoby mi sposobność zawiązania stosunków towarzyskich z sąsiednią szlachtą. W ciągu roku będę mógł zbadać całą prowincyą, a tym sposobem łatwo zrobić wybór. Uważam za zbytęczną wzmiankę, iż pragnę żyć wspaniale, i prowadzić dom na stopę magnata, bo tego zapewne się domyślasz. Rachuję nawet na pana, że zajmiesz się urządzeniem wszystkiego, zacząwszy od przedpokoju, aż do psiarni; od piwnicy do stajen, od podwórza aż do salonu. Wyjawszy garderobianęj mojej córki, całą służbę spodziewam się zastać na miejscu. Byłoby mi przyjemnie, nie ukrywam tego, gdybym mógł znaleźć koło siebie kilku sług starych, owych typów poświęcenia i wierności, dla których zamek pana, jest kolebką i miejscem śmierci:] staraj się zwerbować czterech lub pięciu takich zuchów. Niechaj wszystko będzie gotowe na nasze przyjęcie; nie oszczędzaj niczego, mam trzy miliony. Życie, które zamierzam prowadzić, będzie ciągiem uroczystości i gościnności książęcęj. Niech wiedzą w całej okolicy, kto jestem. Uprzedź sąsiadów o moich pracach, zamożności; jedném słowem, żebym był upragnionym, oczekiwanym.“

„Jakkolwiek nie będę żył tylko z najwyższą arystokracją tameczną, jednakże dla ciebie kochany panie Jolibois, będą zawsze otwarte drzwi mojego gabinetu, i kiedy niekiedy przybędziesz, upolować ze mną jelenia. Już naprzód raduję się samą myślą, że zakończę dni w ojczyźnie Clissonów i Du Guesclinów. Laura często mi wspominała o tych panach, i o ich

dzielności oręza: jakże będę szczęśliwy poznać godnych następców, ugościć ich przy mym stole. Nie zapomnij tylko, żebym miał pod ręką sam kwiat arystokracji, i oglądał z moich okien z jaki tuzin zamków starodawnych, z wieżycami, fosami i mostami zwodzonemi.“

Bądź zdrów mój kochany panie Jolibois. Liczę na twoją akuratność jak ty możesz rachować na moją przychylność.

„Levrault“.

Szczególnym trafem, notaryusz byłto człowiek dowcipny i przebiegły. Co do mnie, znałem takich dwóch lub trzech, którzy się znajdowali w podobnym zdarzeniu. Pomocnik notaryusza w Paryżu, w trakcie kupienia posady na prowincyi, nadskakiwał milionom pana Levrault, a nawet pewnego dnia ośmielił się odezwać o rękę panny Laury. Mówił on sobie, że jeżeli książę de Lauzun myślał o zaślubieniu wnuczki Henryka IV, Stefan Jolibois może sięgnąć po rękę córki p. Levrault. Ale p. Levrault z pyszną pogardą przekonał go, że się grubo mylił. Stefan Jolibois cichaczem się wycofał, bez nadziei odsłużenia kiedyś dumnemu ojcu Laury. P. Jolibois mimo całej urzędowej powagi, zacierał ręce z radości, czytając list niedoszłego teścia, który mu pożądaną sposobność odwetu nastęczał. Głupstwo i prostactwo wiejące z tego pisma, wyzwałyby do szyderstwa umysł najmniej obraźliwy. Młody, wesoly, lisowaty, p. Jolibois uchwycił skwapliwie sposobność zemścić się za odkosz, która mu za jednym zamachem nastęczała wyborny interes do zrobienia. W ośm dni potém tak odpisał panu Levrault:

„Pośpieszam donieść ci panie, że nająłem pałac odpowiedni, ile sobie poehlebiam, wszelkim wymaganiom pańskiego stopnia, i jego delikatnemu smakowi. Jestto piękny zamek tegoczesnego stylu, nad brzegami rzeki Sèvres położony, wpośród Tifauge i Clisson, o ośm mil od Nantes. Nie waham się powiedzieć, iż dumny jestem z tego, a razem uszczęśliwiony, iż mogłem tak spieszenie usprawiedliwić położone we mnie zaufanie. Bez straty czasu, zająłem się urządzeniem domu na stopę, odpowiednią stanowisku, jakie pan w świecie zajmujesz. Niczego nie zaniedbałem, i cieszę się myślą, że będziesz pan zadowolony. Za piętnaście dni wszystko będzie gotowém na pańskie przyjęcie. Bez wysilenia pojąłem całą wzniosłość myśli jego: chcesz żyć z równemi sobie. Z tym taktem i pewnością, które z pana zrobiły orła przemysłowców, zwróciłeś uwagę na jedyny zakątek ziemi, godny, ażeby cię posiadał. Wybór towarzystwa o jakim marzyłeś, znajdziesz na twoich progach. Zamki w Tifauge, Mortagne i Clisson, wyciągają do pana ręce. Według pańskiego życzenia, mówiłem o nim. Okoliczna szlachta wie teraz kim jesteś, i pośpieszy na wyścigi, ażeby cię przyjąć i ugościć szaczątnie. Wie ona, że obecnie prze-

mysł dierży berło świata, i czuje dla pana poważanie z sympatją. Nie myśl jednakże, aby kolosalny majątek miał jakikolwiek udział w tój serdeczności; owszem, osobista pana zasługa jest źródłem niecierpliwości, z jaką go oczekują. Od chwili zapowiedzianego przybycia pana, każdy mówi o nim; nie mogę zrobić kroku, abym nie był obarczony zapytaniami. Otaczają mnie, badają, aby się dowiedzieć, w którym dniu i godzinie pan przyjedziesz. Piękność jego córki budzi miłe wspomnienia z dawnych rycerskich wieków. Brakuje mi czasu do wyliczenia zaraz wszystkich znakomitych rodzin, napełniających zamki z pańskim sąsiadujące. Najmniej starożytne sięgają drugiej krucyaty. Panna Laura, której pamięć tak pięknie jest zbogacona, nie spotka bez wzruszenia o kilka kroków od pańskiego parku potomka Godefroi de Bouillon, szlacheznego starca, z którym rozmowa odsłoni skarb pamiątek. Trochę dalej znajdzie ostatni odzimek rodziny, będącej przez parentele w koligacyi z Baudouenami, i Lusignan: jestto wice-hrabia Gaspar de Montflanquin. Młody, piękny, rycerski, zbyt może bezinteresowny, któryby nie potrzebował jak tylko zapragnąć bogactw, wyciągnąć po nie rękę: nowy dwór, dumny że go zdołał, przyciągnąć do siebie, robi wszystko dla niego. Nosi on za herb lwa czarnego z ogonem widlastym na grzbiet obróconym; koroną, paszczą i pazurami czerwonymi, w polu srebrnym. W nadglówku na tle błękitnym 3 złote pieniądze."

„Wice-hrabia de Montflanquin będzie wam towarzyszył w wycieczkach, stanie się przewodnikiem w wyborze towarzystw i przyjaciół. Przybawajcie więc, spiescie się. Przyjeżdżaj pan pod cienie Trelade (jestto nazwisko jego zamku) zapomnieć szlachejnych trudów, jakie zapełniały pański zawód. Bądź pan pewny, że nie nadużyję pozwolenia odwiedzania czasami jego gabinetu, któreś mi tak szlachejnie ofiarował; wiem jak wielki przedział nas rozłącza, jednak nie wyrzekam się przyjemności polowania z nim na jelenia. W przeciągu roku, jeżeli pan namyślisz się osiedlić w naszej Bretanii, mam nadzieję, iż liczyć go będę między swoich klientów; imię pana stanie się zaszczytem mojego urzędu.

Racz przyjąć WW. Pan zapewnienie mojego najwyższego poważania, z którym pozostaje sługa

„Jolibois”.

Tegoż samego dnia notaryusz Jolibois napisał drugi list następującej treści:

„Interes, jaki pan br. dla siebie umiałeś wzbudzić, skłonił mnie do uczynienia doń kroku w przedsięwzięciu bardzo delikatnym; spodziewam się, a nawet jestem pewny, że go stosownie ocenisz. Nigdy bez smutnego uczucia nie mogłem poglądać na porysowane mury pańskiego zamczy-

ska. Nieraz przypomniałeś mi sir Rawenswooda. Zawsze spotykałem p. hrabiego zamyślonego; nieraz przy pożegnaniu marzyłem o sposobach podźwignienia upadających murów jego domu. Nakoniec dzięki Bogu, nastęcza się sposobność; do pana hr. należy jój nie opuszczać, od niego samego zależy odnowienie tarczy herbowej, odkupienie i zjednoczenie rozproszonych części dziedzictwa wice-hrabiów de Montflanquin”.

„Pewien mieszczanin-szlachcic, p. Levrault, który w handlu suknem zyskał trzy miliony, zamierza kupić dobra w Bretanii. Nim się namyśli spełnić kupno, pragnie piérwój poznać kraj, i w tym téż celu najął mieszkanie na rok w zamku Trelade. W piętnastu dniach najpóźniej tu przybędzie. Znam go oddawna, patrzyłem jak dumniał; teraz chce się uszlachcić, a razem znaleźć zięcia, któryby mu udzielił paszport do krainy zaszczytów, i służył za szczebel do szczęścia, jak on je pojmuje. Z drugiej strony, panna Levrault radaby jak najprędzej zamienić swoje pospolite nazwisko na takie, któreby jój otwarło podwoje salonów i u dworu. Nie potrzebujesz pan jak tylko się przedstawić, a w trzy miesiące otrzymasz płac boju. Pojmuję, że to cokolwiek będzie pana hr. kosztować, aby się zmusić do takiego zjednoczenia; lecz chociaż mieszczanka, panna Laura jest piękną. W zamian za świeżą twarzyczkę, przebaczysz jój niskie urodzenie—a przytém, trzy miliony panie wice-hrabió!... Prawda, że cię pieniądze nie obchodzą: znana mi jest piękna dusza pana. Potomek starożytnój rodziny, z odwagą straty majątkowe znosisz: bo twe wielkomyślne serce, otoczyło się nieprzebitą tarczą na pociski losu. Nie idzie tu więc o pana, ale o utrzymanie świetności imienia swoich przodków. Trzy miliony, panie wice-hrabió!... Kości Montflanquinów wzruszą się, aby cię błogosławić. Nie trać czasu, a skutek niezawodny, bylebyś umiał trzymać w szachu rodzinę Rochelandierów; oni tylko są niebezpieczni, oni mogą walczyć z panem o wydarcie zdobyczy, jaką samo niebo ci zsyła. Staraj się pan hr. uprzedzić ich, i nie dozwól, aby ci smaczny kęs z przed ust sprzątnęli. Niech pan Levrault i jego córka nie zbliżą się do ich siedliska, niechaj im nawet przez myśl nie przejdzie, że istnieją jacy Rochelandierowie na świecie. Rachuję na pański dowcip, na ten miły rozsądek, którego wdzięku nikt nademnie lepiej ocenić nie zdoła.“

„Wspomnij pan hr. na ten piękny dzień, w którym z rąk teścia dostaniesz posag książęcy, jaki da swojej córce. Co za tryumf dla pana! jaka radość dla jego przyjaciół!—a uroczystość dla mnie spisującego waszą intercyzę!... Nie myśl pan hr. o nagrodzie dla mnie—o podziękowaniu; znasz moje uczucia dla pana, nie możesz przeto wątpić o rozkoszy jakiej doświadczałam, niosąc mu tę małą przysługę. Być użytecznym dla



ludzi których kocham i poważam, służyć im bezinteresownie — jestto moją najmiłą zasadą”.

„Jeżeli interes przyjdzie do skutku, nie wymagam innej nagrody za informacją, jak tylko zwrotu 80,000 fr., które pan hr. winien mojemu ojcu, a od których z dziesiątek lat przepomniałeś zapłacić mi prowizyi”.

„Racz pan hr. przyjąć zapewnienie uczuć poważania; ale powtarzam — strzeż się Rochelandierów.” — „Jolibois”.

I ten sam kurjer powiózł obie depesze.

W piętnaści dni potem, pocztowa karetka, do której cztery konie były zaprzężone, stała przy ulicy Bourdonnais przed bramą domu p. Levrault. Ubożsi plebejusze byliby udali się drogą żelazną aż do Tours; pan Levrault chciał z całym blaskiem rozpocząć życie wielkiego pana, a zarazem zemścić się na wszystkich fiakrach, jacy go co niedziela przez 20 lat wytrzęśli naokoło Paryża. Konie parskały; pocztylion czekał na siodło. Sąsiedzi w oknach, z niejaką zazdrością śledzili ten wyjazd. W chwili opuszczenia na zawsze skromnego mieszkania, gdzie obok swój żony, tyle lat spędził wśród miłych zatrudnień, Levrault uczuł się wzruszonym. A Laura?... Laura z tryumfem radosnym toczyła wzrok po swoim pokoju; dla murów, które jój przypominały niskie urodzenie, nie uczuwała żalu. Skoro się pojawili na progu domu, głowy ciekawych wychyliły się ze wszystkich okien, ciche chichotanie słychać było ze wszystkich pięter; żadna dłoń nie uściśnęła ich rąk na znak pożegnania.

Wsiedli odważnie do powozu, pocztylion trzasnął z bicia, i konie wnet ich uniosły z przed oczów ciekawych. P. Levrault uprzedził notariusza Jolibois, o dniu i godzinie swojego przybycia do Trelade.

Nazajutrz po ich wyjeździe, pewien podróżny w ubiorze strzeleckim, wskoczył lekko na wierzch dyliżansu, udającego się z Paryża do Nantes: byłto wice-hrabia Kasper de Montflanquin.

## II.

Domyślcie się, że podróż p. Levrault i jego córki, odbyła się wśród rozkosznych marzeń. List p. Jolibois podrażnił jeszcze chętkę byłego kupca sukna. Wydatniejsze ustępy tego pisma, wyglądające jak bławatki wpośród zboża na polu, nie uszły też uwagi panny Laury; tylko zamaskowanych drwin nie przeniknęła. Dlaczegożby miała niedowierzać p. Jolibois, nie wiedząc o tém, że śmiał prosić o jój rękę? W wygórowanych pochwałach, nie upatrywała, tylko cześć przynależną bogactwom. Laura niczego więcej nie pragnęła. Nawiasowo powiedzmy prawdę, że

panna Levrault, nie wszystkie pretensye ojca brała za dobrą monetę. Pochlebiała im dla swoich widoków; była jego współnicą, ale nie uczestniczką głupstwa. To téż, jak donosił Stefan Jolibois wice-hrabiemu Montflanquin, jedyném jój życzeniem, była zmiana nazwiska rzemieślniczego swój rodziny na takie, któreby jój otworzyło salony arystokracji i dworu. Przynęła ona sobie, że skoro już dopnie zamierzonego celu, wtedy dawca dni zajmie drugie miejsce w jój przeznaczeniu.

Co do p. Levrault, ten dumniejszy ze swoich talarów niż Montmorency z przodków, znajdował to rzeczą bardzo naturalną, iż szlachta bretańska z takim upragnieniem oczekiwała na jego przybycie i ugoszczenie. Spodziewał się traktować ją jak władza władzę, przy zdarzonej sposobności upokorzyć, a nawet górę nad tymi pankami pozyskać. Pan de Turcaret był dla niego tak dobrym, jak i pan Jourdain. Nietylko nie przypuszczał, aby komu przyszło do głowy żartować z człowieka posiadającego trzy miliony, ale i w piśmie p. Jolibois nie dostrzegał cienia, co by jego skromność mogło obrazić. List notaryusza umiał na pamięć, i w czasie kiedy konie galopowały wzdłuż brzegów Loary, on sobie go w myśli powtarzał.

Wiosna z całym przepychem się rozpoczynała. Od Blois aż do Saumur, droga jest czarującą. Cały zatopiony w sobie p. Levrault nic nie widział, i zaledwie kiedyniekiedy słówko przemówił. Jego ambicya, co to dawniej musiała się kryć w cieniach nocy, albo osłaniać senną marą, teraz niczém nieskrępowana, wśród jasnego dnia błyszczała na czole zbogaconego handlarza. Wspierając się na zięciu, wspaniałym krokiem wstępował po schodach pałacu luxemburskiego. Przez poświęcenie, usilność, ciche ale wierne głosowanie, zasłużył sobie na wdzięczność gabinetu, jakikolwiek on był; jego dobra w Bretanii podniesione zostały do godności baronostwa.— Żył w ściślejszj zażyłości z hrabiami i książętami.— Król, skoro go choć zdaleka ujrzął, spieszył ku niemu, wołając: oto i nasz baron Levrault. — Tak słodkie marzenia nie pozostało jak tylko urzeczywistnić!...

Ze swojej strony Laura, także nie zważała na piękności okolicy, którą przebywali.— Czuta się ona szybko unoszoną do upragnionych brzegów.— Już wtenczas w jój wyobraźni, snuła się niewyraźna postać wicehrabiego Montflanquin. Laura nie troszczyła się bynajmniej, czy dobrze będzie wyglądać tarcza herbowa, przy kolorze jój karety. Ten lew w srebrném polu, z widlastym ogonem, na tylnych łapach wspięty, zawrócił głowę dziewczycy.

Jakieżto odwet za przycinki heraldyczne panien de R... i de C.....!— Młoda, piękna, w zachwycającym stroju, Laura pieściła się zazdrością,

jaką jej pojawienie na wielkim świecie obudzi.— Tam spotkała dawne swe towarzyski, współuczennice, które ją wzgardą upokarzały; ona je nawzajem pognębi blaskiem przepychu, świetnością swego nazwiska.— Rozkosze zemsty, krasły dla niej tryumf próżności.

Kiedy p. Levrault i jego córka tak sobie marzyli, wiosenny powiew roztaczał po drodze miłą woń rozkwitających pączków. Wszystko się odradzało, ogrody ustroiły się kwiatami, ptaszki z całych sił śpiewały, Loara toczyła nurty srebrne po zielonych błoniach Turenii i Anjou. P. Levrault z córką pierwszy raz znajdowali się w obliczu pięknej natury, pierwszy raz oddalili się o sześć mil od Paryża.

P. Levrault dowiedział się w Nantes, że jeszcze wczoraj Jolibois pojechał do Trelade. Nazajutrz w południe opuścił za nim Nantes, aby na oznaczoną godzinę przybył do swego zamku. Rachował, że mu Jolibois zgotuje jaką niespodziankę, a on, jak dobry władca, chętnie ją przyjmie.

Powóz szybko się toczył po bruku przedmieść w kierunku do Clisson. Z utkwionym wzrokiem w drzwiczki pojazdu, Levrault chętnie przypatrywał się okolicy i wszędzie szukał zamków. Wszakże się spodziewał, że począwszy od Nantes, podróżować będzie wśród lasu wieżyc, baszt i okopów. Zaledwie Laura mogła go przekonać, iż nawet w Bretanii, zamki nie są tak liczne, jak oberże stojące na drogach.

Z zachodem słońca, pocztylion opuścił główny gościniec, i udał się boczną drogą, prowadzącą przez pola. Po upływie godziny zatrąbił przed zamkiem, a na ten odgłos odpowiedziały mu wszystkie psy, i echa sąsiednie. Jakby dotknięta czarodziejską różeczką rozwarła się wchodowa brama, cały dziedziniec zajaśniał kolorowemi lampami, konie okryte pianą, zatrzymały się przed tarasem pałacowym w Trelade. Jolibois w paradnym ubiorze, stąpił poważnie ze wschodów, między dwoma rzędami lokajów trzymających zapalone pochodnie, dla przyjęcia nowego kasztelana. Sam otworzył drzwiczki karety i spuścił stopnie, pomagając wysiąść z powozu p. Levrault i jego córcę.

— Dobrze Jolibois, wybornie — rzekł niedbale pan Levrault, osłupiały na tę ceremonią, ale usiłując nadać sobie poważną minę wielkiego pana, który przywykł do podobnych uroczystości, do podobnego przyjęcia.

I wspierając się na ramieniu swój córki wstąpił lekko na wschody tarasu.

— Jak się macie moje dzieci, jak się macie? — odezwał się do służby tonem protektorskim, która z pochylonemi głowami, prawie do ziemi, wołała. „Niech żyje pan Levrault”.

Poprzedzany przez p. Jolibois, którego zimna krew ani na chwilę nie opuściła, a więc i nie zdradziła, przeszedł do jadalnej sali bogato ozdo-

bionej, gdzie czekała nań wspaniała wieczerza. Stół obciążały kryształ, jarzące światło i kwiaty. Usiadłszy między notaryuszem i córką, Levrault zaledwie mógł ukryć wzruszenie; mimowolnie też chwalił przystrojenie sali, układ całej uroczystości przyjęcia. Najwyszukańsze potrawy, najwyborniejsze wina, szybko się zmieniały. Trzech lokai w białych rękawiczkach, w niebieskiej liberyi bogato galonowanej, usługując biesiadnikom w milczeniu, sauto się jak cienie. Nawet Laura była zmieszana. Co do p. Jolibois, ten sobie pił i zajadał jak ów, co się i za dziesiątek lat podobnej stypy nie spodziewa. Po skończonej wieczerzy, poszli do lasku, gdzie Jolibois nową niespodziankę im przygotował. Przechadzając się po świeżym murawie, nagle ich uwaga została na sklepienie niebios zwrócona, po którym przebiegła świetna rakietą: p. Levrault i Laura na kilkanaście kroków przed sobą, ujrzeli mur płomienisty. Tuzin słońc kręciło się, wyrzucając miryady iskier. Wszystkie ścieżki oświecone były bengalskim ogniem. Świece rzymskie wymykały się z klombów liści, i spadały niby deszcz gwiazdzisty. Dotychczas p. Levrault jak mógł zachowywał poważną minę, ale świetny fajerwerk pokonał go nareszcie. Uchwyciwszy rękę notaryusza, głosem drżącym od wzruszenia, którego już utaić nie zdołał, rzekł do niego:

— Jestem zadowolony; ten dzień będzie najpiękniejszy w mojem życiu. A jednakże—zmieniając nagle swój głos ciągnął dalej—te rakiety, te słońca, budzą w mej duszy okropne wspomnienie. Mój syn! moje biedne dziecię, mój drogi Timoleon...

I pan Levrault poniósł chustkę do oczów.

— Wielki Boże! — zawołał Jolibois uderzywszy się w czoło—zapomniałem o tém straszném nieszczęściu.

— Niestety! od owego smutnego wieczoru, nie mogłem patrzeć na rzymskie świece, bez doznania w sercu bolesnego wrażenia.

— Naturalnie—dodał Jolibois.

— Tak piękne dziecię—mówił Levrault przytłumionym głosem;—tak białe, blondynek, rumiany, w którym się tak wczesnie umysł rozwinął.

— Ah panie! cóż uczyniłem! — zawołał Jolibois ściskając sobie głowę obiema rękoma na znak zmartwienia.—Przebacz niewadze, pochodzącej ze zbytnej gorliwości. Każę natychmiast, aby zaprzestano puszczania ogniowych wieńców.

— Bynajmniej, bynajmniej, Jolibois—rzekł Lavrault, chowając chustkę do kieszeni;—chcę widzieć owe wieńce.

— Ależ panie, byłoby to powiększać mój błąd, przedłużać twoje cierpienie!

— Chcę koniecznie ujrzyć ogniste wianki—powtórzył p. Levrault z przyciskiem.— Mówię ci, jestem zadowolony, i mimo przykrego wspomnienia, będzie to najpiękniejszy dzień w mojem życiu. Zobaczmy wieńce, Jolibois...

Na dany znak przez notaryusza, wieńce zajaśniały; a p. Levrault mógł mniemać przez kilka chwil, że wszystkie gwiazdy spadły do jego parku. Twarz długa byłego handlarza, promieniejąca radością, zdawała się być częstką sztucznych ogni. Laura, której takie festyny w głębi serca pochlebiały, nie mogła wstrzymać się od uśmiechu, pomyśliwszy, że to jój ojciec płacił za proch, i że w gruncie rzeczy, p. Jolibois urządził fetę dla siebie. Wieczór był piękny. Kiedy wracano do zamku, ujrzeli przy dogorywającym blasku bengalskiego ognia, grooma niewiele wyższego od kirasyerskiego buta, naprzeciw nich postępującego.

— Coto jest? czego chcą odemnie?—zapytał p. Levrault z miną ministra zatrudnionego, który nie ma chwili do stracenia.

— Jestto Galaor — odrzekł notaryusz — poznaję go.

— Galaor!—zawołał Levrault, robiąc wielkie oczy.

— Pan Levrault?—zapytał się groom, przystąpiwszy śmiało do towarzystwa z parku wracającego.

— Co chcesz od niego mój przyjacielu? ja nim jestem.—Wtedy Galaor wyjął z kieszeni list, i wręczył go w milczeniu panu Levrault, który zadumał nad pieczęcią herbową. Była to pierwsza, jaką widział w swoim ręku. Przypatrzywszy się tarczy herbowej, jakby ją chciał rozpoznać, złamał nareszcie pieczęć, i czytał na głos co następuje; a tymczasem młody niewolnik zapłonionej z radości Laurze, przedstawił bukiet uwity z prześlicznych róż i jaśminu.

„Wice-hrabia Kasper de Montflanquin z niecierpliwością dowiaduje się, czy pan Levrault i jego córka szczęśliwie podróż odbyli. Uprasza ich także, aby mógł pozyskać zaszczyt przedstawienia się im nazajutrz o godzinie drugiej w pałacu Trelade; nareszcie poważa się złożyć u stóp panny Levrault, kilka róż ze swojego ogrodu.

— Patrz panie Levrault—odezwał się notaryusz — zaćdzie przybyłeś, a już najświetniejsze imiona tutejszej okolicy, cisną się koło ciebie.

— Jestem bardzo zobowiązany. Galaor, podziękuj wice-hrabiemu Kasprowi de Montflanquin, a twojemu panu, za jego uprzejmość. Powiedz mu, iż przybyliśmy karetą we cztery konie pocztowe zaprzężoną, i że jutro o którejkolwiek godzinie spodoba się przybyć do nas paniu wice-hrabiemu, będziemy szczęśliwi przyjąć go u siebie.

Galaor skłonił się z uszanowaniem; i wkrótce jego sukienne kamazsze, galonowany kapelus, metalowe guziki z cyframi i koronami wice-hrabiowskiemi, zniknęły w zakręcie alei.

— A więc, drogi Jolibois, zdaje się, jakbym był oczekiwany? — rzekł pan Levrault, biorąc się pod rękę z notaryuszem, z rozkoszną poufałością.

— Nim upłynie ośm dni panie, całą arystokracją téj okolicy ujrzysz cisnącą się do twoich salonów, snującą się po twoim parku. Usłyszysz wkoło siebie wymawiane wielkie imiona, imiona sławne; ale wiédz o tém, panie Levrault, że na dziesięć mil kwadratowych nie spotkasz znakomitszego, sławniejszego, nad to, jakie nosi wice-hrabia Kasper de Montflanquin.

— Wierzę ci. Wszakżeś mi donosił, że jest spokrewniony z domami Baudouin'ów i Lusignanów? Tym sposobem będzie on trochę w kolidacji ze starcem, którego imię tak pięknie brzmi w tragedyi „Zaira”.

— Niewątpliwie panie.

— Dumnym będę z tego, gdy mu dłoń uścisknę.

— Dodaj pan, że jeśli jest ostatnim potomkiem w swéj rodzinie, to rzeczywiście godzien być pierwszym. Nigdy wspaniałomyślniejsze serce nie biło w piersiach szlachcica; powiem w kilku wyrazach, jestto staroświecki charakter. Przed kilku laty, przyłączył się do linii Orleanów; powody, które go do tego kroku skłoniły, nie są jeszcze świadome. Czy to stracił wszelką nadzieję powrotu legitymicznego księcia, czyli został zachwianym przez nalegania dostojnych osób, bądźto nareszcie, chcąc zamknąć przepaść niezgód domowych; dosyć, że wice-hrabia de Montflanquin nie sądził, aby dłużej odmawiać wsparcia czerwcowemu tronowi. Niektórzy mu przyganiiali, inni pochwalili jego postąpienie.

— Dobrze zrobił — rzekł żywo p. Levrault; — na jego miejscu inaczejby nie postąpił.

— Czy wiéksz pan, co zaszło między królem i wice-hrabią, kiedy ten pierwszy raz przedstawił się na dworze? — Pan Levrault nadstawił uszy; Laura naprzód idąca, zbliżyła się do notaryusza. Pewny swoich słuchaczy, tak dalej mówił p. Jolibois:

— Jestto scena, należąca do historyi. Wice-hrabia de Montflanquin, którego się względami zaszczytam, opowiedział mi ją kilka razy. Przedstawienie się dostojnych osób miało miejsce w sali tronowej, w obec królowej, książąt, księżniczek, i wszystkich dygnitarzy kraju.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł wice-hrabia bez dumy, ale i bez uniezienia — przyłączam się szczerze do twojej dynastyi. Pozwoli tylko Wasza Królewska Mość, iż położę jeden warunek. — Na te ostatnie wyrazy, król zmarszczył czoło, a wszystkie oblicza w jednéj chwili z zadziwienia, przeszły w osłupienie.

— **Wice-hrabio**—odezwał się król nawzajem—nie przyjmujemy warunków, ale je wkładamy. Jednakże mów; dla uszczknienia jednego więcej kwiatka do naszej korony, nie będzie nic takiego, czegobyśmy nie zrobili.

— **Najjaśniejszy Panie**—odrzekł wice-hrabia—przyłączam się do twój dynastji pod warunkiem, abyś Wasza Królewska Mość nic nie zdziałał dla mnie, i pozwolił mi nadal pozostać tak ubogim, jak dotąd.

— **To szczytnie**—rzekła Laura.

— **To bardzo pięknie**—dodał p. Levrault.—I cóż mu król odpowiedział?

— **Monarcha** podał rękę wice-hrabiemu de Montflanquin, i długo długo przytulał go do piersi. Nie potrzebuję dodawać, iż oczy jego były łzami zroszone. Nareszcie rzekł król z dobrocią:

— **Nic nie uczynię dla ciebie**, ponieważ tego wymagasz wice-hrabio. Nie będziesz niczém, nawet parem Francji. Lecz cokolwiekbyś zażądał, bądźto dla samych krewnych, bądź dla przyjaciół, wszystko otrzymasz szlachetny młodzieńcze, co tylko może zdziałać nasza łaska królewska.

— **Doprawdy? tak król powiedział?**—zawołał pan Levrault.

— **Nie byłyto słowa na wiatr rzucone**—odpart Jolibois głos wznośsząc.—**Zniszczony przez rewolucyę**, zamknąwszy się w zamku swoich naddziadów, opuszcza go tylko czasami, dla przepędzenia kilku tygodni w Tuilerie, albo polowania z książętami w Chantilly. Żyjąc oszczędnie, prawie bez ojcowizny, wice-hrabia de Montflanquin jest przecież pierwszym mężem Francji, osobą najpotężniejszy wpływ na dworze wywierającą. Wiem nie o jednym dygnitarzu, który mu winien swoją karierę. Kilkakrotnie ofiarował mi prefekturę, gdyż powiadam wam, on pragnie mojego szczęścia. Częstość powtarza mi; „Jolibois, nie jesteś na swoim miejscu”. Ciągłe odmawiałem; moje opinie polityczne nie pozwalają mi przyjmowania udziału w rządzie.

— **W rzeczy samój**, zawsze cię posadzałem o dążności republikańskie. Ale nie powiedziałaś nam, czy wice-hrabia ożeniony?

— **Wice-hrabia de Montflanquin nie ma żony**—odrzekł Jolibois.

I po chwili milczenia; w którym można było widzieć twarz p. Levrault zaczerwienioną jak piwonia, Jolibois mówił dalej:

— **Wice-hrabia nigdy się nie ożeni.**

— **Czy być może?**—zawołał p. Levrault.

— **Dlaczegoż to?**—zapytała Laura z uśmiechem.—**Czy wice-hrabia został maltańskim kawalerem?**

— **Panno Lauro**—odrzekł pan Stefan—jestto prosta, ale tkliwa historia, która powinna być opowiedzianą przez poetyczniejsze usta, niż

biédnego notaryusza z prowincyi. Wice-hrabia Kasper de Montflanquin zaledwie miał lat dwadzieścia dwa, kiedy pokochał młodą i szlachetną dziewczę, piękną jak pani: Ferdynandę Amedee de Chanteplure. Wszyscy którzy ją widzieli, musieli przyznać, że nigdy godniejsza kochania istota nie dotykała ziemi. A więc Kasper uwielbiał Fernandę, i zyskał wzajemność: Fernanda uwielbiała Kaspra. W przeddzień w którym się mieli połączyć, dwoje tych pięknych dzieci przechadzało się nad brzegiem rzeki Sevres z margrabią i margrabiną de Chanteplure. Fernanda zawisała na ramieniu matki jak kwiatek lili; Kasper i margrabia postępowali za niemi. Margrabia cierpiał na pedogrę, szedł więc powoli i z trudnością, a Kasper wspierał jego kroki z synowską troskliwością. Wtém usłyszano krzyk przenikliwy. Kasper spieszy, i cóż ujrzał? margrabinę nad brzegiem rzeki załamującą ręce, a Fernandę nurzającą się w falach.

Chcąc uszczknąć lilią wodną, pośliznęła się jój noga, a pęd wody uniósł ją pod koła młyńskie. Cóż robi Kasper?... rzuca się w nurty, szybciej od biegu wody chwyta żelazną prawicą Fernandę, walczy z falami rzeki, wrywa zpod zębów kół, które miały zgruchotać nadobne ciało dziewczicy, i po nadludzkich wysileniach, wynosi Fernandę omdlałą nad brzeg rzeki. Ale niestety! już nie obudziła się więcej. Sine znaki śmierci na ustach, nie dawały żadnej nadziei. Możecie sobie wyobrazić boleść margrabstwa, ale nikt nie pojmie rozpacz Kacpra. Klęczący przy swój narzeczonej, połączył się z nią sercem na wieki, a biorąc niebo na świadka, poprzysiągł pozostać jój wiernym. Dotąd dochował święcie przysięgi.

— W istocie tkliwa historia—powiedziała Laura. A więc wice-hrabia jest bohaterem romansu?

— Powiedziałem pani, że to jest starożytny charakter: jego wyrażenia, nie znajdują się tylko w Plutarchu.

— Ba! ba! — zawołał Levrault, wice-hrabia skończy na tém, że się ożeni.

— Nie znasz go panie—odparł Jolibois dobitnie.—Najbogatsze, najświetniejsze związki były mu proponowane, gdyż jak wiadomo wice-hrabia ma rozległe stosunki; ale tym wszystkim żądaniom nielitościwie odmówił.

— To istotne głupstwo, Jolibois. I ja także widziałem dziewczę, umierającą dla mnie z miłości; wszakże wypadek ten nie zniechęcił mnie do ożenienia się z panią Levrault, która mi przyniosła sto tysięcy talarów w posagu. Wice-hrabia zupełnie się w tym względzie myli.

— Ależ panie, podzielam wasze zdanie. Jako człowiek, uwielbiam Kaspra; jako notaryusz, ganię. O ile mogę nakłaniam moich klientów do małżeństwa; muszę przecież zapłacić za mój urząd.—Panie wice-hrabio



trzeba się nareszcie ożenić—rzekłem mu jednego razu.—Jolibois—odparł z wyrazem na twarzy, który nigdy nie zapomnę—można zerwać z żyjącymi, ale nigdy, nigdy z umarłymi.

— Ba!—powtórzył p. Levrault—zaręczam, że się ożeni. Ileż ma lat wice-hrabia?

— Najwięcej dwadzieścia ośm; lecz szlachetne trudy, przedwcześnie zmarszczyły jego czoło.

— Powiedz mi panie Jolibois, jak wygląda ten model pośmiertnej miłości?— zapytała Laura, skubiąc z roztargnieniem listki róży, która się w jej ręku znalazła.

— Pani, wice-hrabia jest pięknym, smutny i szlachetny. Jestem jednym z tych, co go uważają brzydkim; ale też należę do okolicy, w której nie mają wyobrażenia o prawdziwej piękności. Niepodobna nie dostrzedz smętnego blasku w jego spojrzeniu, szlachetności w rysach twarzy, wdzięku w obejściu. Co do mnie, żartuję sobie z czystości krwi przodków; nie przypuszczam, aby istniała inna arystokracja, prócz rozumu. Jednakże skoro ujrzę wice-hrabiego de Montflanquin, muszę przyznać, że owa czysta krew pokolenia, nie jest czcym wyrazem.

Tak rozmawiając wrócili do salonu. Laura rzuciwszy jeszcze raz wzrokiem na nowe mieszkanie, udała się do swego pokoju. P. Jolibois chciał równo ze świtem odjechać; pilne interesa wzywały go do obowiązków. Resztę wieczoru poświęcono oglądaniu przy świetle pochodni wszystkich części zamku Trelade. Wszelkie zlecenia p. Levrault skrupulatnie były dopełnione: jego dom w świetny sposób został urządzony. Dziesiątek koni rżało w stajni; powóz, karetę, bryczki spacerowe wypełniały wozownie, a sfory gończych i ogarów psiarnie. W przedpokojach snuli się lokaje, w kuchniach kucharze z czeredą kuchcików. Kilkakrotnie p. Levrault musiał objawić swe zadowolenie notaryuszowi, idącemu obok niego z kapeluszem w ręku, w postawie skromnej, oraz pełnej uszanowania.— To dobrze, Jolibois, bardzo dobrze—powtarzał kiedyniekiedy, uderzając go przyjacielsko po ramieniu. Uważał p. Levrault potrzebę niektórych zmian w zamku, ponieważ jego architektura nie miała zupełnej postaci obronnego grodu: ani wieżyc, ani baszt, ani też więzień. Mieszkanie w Trelade zdawało się cokolwiek tchnąć mieszczaństwem; lecz w ogóle nie mógł narzekać na brak gorliwości swojego intendenta.

Nazajutrz, ze wschodem słońca, kmotr Jolibois sam sobie osiodłał konia, i opuścił Trelade zacierając z radości ręce; wesół jak ów lis, który wymknąwszy się z kurnika, z rozkoszą pysk sobie oblizuje.

## III.

Słońce już dawno zeszło na widokrag, kiedy się pan Levrault przebudził. Zeskoczywszy z łóżka, otworzył okno, i zagłębiając wzrok w okolicę, napróżno szukał dwunastu zamków, które według życzenia, objawionego p. Jolibois, miały się tam koniecznie znajdować. Nie odkrył on nic więcej, prócz kilku rękodzielni płótna w Chollet, bielejących wśród maju liści. Dolina była ciasna; nie mógł też p. Levrault wymagać, aby się w niej wszystkie okoliczne zamki zgromadziły na schadzkę, dla życzenia mu szczęśliwego przybycia.— Obraziloby to ograniczony umysł, że się znajduje w sąsiedztwie rękodzielń zapełniających brzegi rzeki Sevres; ale p. Levrault, który tu przybywszy chciał być uważanym za księcia przemysłowców, nie rumienił się początku swoich bogactw, i nie obawiał, iżby mu to kiedy przypomniano.

Widok, jaki się przedstawił jego oczom, rozweselił myśli. Naokoło zamku wszystko oddychało wspaniałością pańskiego życia. Służący p. Levrault wychodzili i przychodzili, krzyżując się w rozmaite strony. Tam przez łowczych prowadzone psy na smyczy, szczekaniem zapełniały powietrze miłego i świeżego poranku. Tu konie pokryte dekami, powracały od wody. Ogrodnicy gracowali allee parku, skrapiali murawy darniny. Wolno chodzące pawie, ciągnęły swoje wspaniałe ogony po wschodach tarasu; a łabędzie kąpały się w niewielkim stawie, otoczonym wierzbami i topolami. Na ten widok oznaczający wszędzie dostatek, bogactwo, uśmiechnął się pan Levrault, i uczuł, jak mu serce z dumy i radości mocniej bije. Zdawało się, że cały ten hałas, ta wrzawa, cała harmonia doliny, śpiew ptasząt, pomruk wiatru, łoskot słuz, krzyk pawiów, gruchotanie gołębi na dachu gołębnika, kwokanie kur, aż do rżenia koni i szczekania psów, zmieszały się, zlały w jeden potężny głos, jak huk oceanu; a głos ten powtarzał nieustannie: pan Levrault ma trzy miliony. Do téj wielkiej całości, brakowało, tylko zakończenia ze znanéj bajki.

Ośloniony kaszmirowym szlafrokiem w świetne palmy, pan Levrault poszedł do parku, gdzie Laura przechadzała się blisko od godziny.

Panna Levrault będąc już naturalizowaną w téj atmosferze zbytku i elegancyi, poruszała się też w niej i oddychała, jak w powietrzu sobie właściwém. Nie dostawało jéj więcej, jak tylko pozbyć się swego znienawidzonego nazwiska Levrault, które dla niej było straszniejsze, niż dla księżniczki w bajce Peraulta, owa osła skóra, służąca jéj za całe odzienie.

Gadatliwość p. Jolibois zaczęła już wydawać owoce, których się chytry kmotr bez wątpienia spodziewał. Jeżeli opowiadanie o przedstawieniu się wice-hrabiego królowi, obudziło nadzieje panny Levrault: to historia

Fernandy i Kaspra skutecznie działała na wyobraźnię jego córki. Nie dlatego, ażeby jęj umysł zdolniejszym był do wzniosłych uczuć; gdyż od dawna próżność je zabiła, ale właśnie przez tę próżność skutek osiągniętym został.

Czysta miłość dwojga dzieci, tak gwałtownie przez śmierć zerwana, tragiczny koniec panny Chanteplure, ginącej w falach jak młoda Tarentynka, słabo dotknęły serce Larry; lecz uporna wierność wice-hrabiego de Montflanquin, ubodła ją do żywego. Uczynić Kaspra niewiernym, krzywoprzysięcą, zdawało się dla nięj być dziełem godném jęj ambicyi.

Otóż tak była uitorowana droga dla wice-hrabiego; nie potrzebował on jak tylko się pokazać panu Levrault, aby wzięwszy za godło wyrazy Cezara, zobaczył i zwyciężyć.

Cały czas po obiedzie przeszedł w oczekiwaniu. Godziny ubiegały, wice-hrabia nie przybywał. Laura zmieniła trzy razy swój ubiór. Pan Levrault w stroju wiejskiego szlachcica, chodził od ganku do kratowanej bramy, od bramy do ganku; ale nikogo nie ujrzał. Od czasu do czasu zamknięty w swoim pokoju, przeglądając się w lustrze, znajdował że ma szlachetną postać. Mówiąc do służących, przybierał ton i postawę nakazującą. Jednakże słońce zbliżało się ku zachodowi, a wice-hrabia nie przybywał. Pan Levrault znajdując takie postąpienie wice-hrabiego zbyt lekkim, po obiedzie wynurzył się o nim z całą swobodą. Bo też trzeba wiedzieć, że pan Levrault w ostatnich latach restauracyi, był jednym z najwydatniejszych demokratów w całym cyrkule Saint-Denis. Dziesięć lat życia sklepowego, przepędził on na szermierstwie językowym przeciw wszystkim znakomitym imionom całej Francyi. Zebrawszy majątek, opinia jego jakoś mimowiedzy, ale się znacznie zmieniła; pozostała przecież w głębi serca reszta staręj nienawiści przeciw dawnęj szlachcie. Poszukując ją, chcąc się do nięj zbliżyć przez próżność i rachubę, sekretnie, a razem z przyzwyczajenia ją nienawidził, i nie szacował tylko szlachtę, której tytuły nie przechodziły 1830 roku.

W jego oczach, godność, szczęście i sława Francyi, rozpoczynała się dopiero w epoce, w której zrobił majątek. Rozdrażniony całodzienném próżném oczekiwaniem, zdecydowany nie dozwolić sobie deptać po piętach, utrzymać górą i silnie sztandar nowęj arystokracji; jako jeden z jęj walnych reprezentantów, pan Levrault oddał się z całą swobodą żywemu nieukontentowaniu: nie potrzebując oczekiwać, jednakże oczekiwał. Stosował się on do owych wieśniaków bez szeląga, umierających z głodu w zniszczonych zamkach; a jednakże lekceważących sobie znakomitych koryfeuszów przemysłu.—Jeżeli ci pankowie zubożeli, ale nadęci tytułami mn:emają narzucać nam prawa, o! to bardzo się mylą!—mówił Levrault

chodząc wielkimi krokami po pokoju, kiedy Laura usiadłszy do fortepianu, niedbale wygrywała śpiewki Schuberta. — Ich panowanie już minęło; — ciągnął dalej Levrault; — powinni się uważać za szczęśliwych, jeżeli ich chcemy użyć za podnóżki do naszego wyniesienia, zakupić ich imię, aby przedłużyć nasze.

— Lecz mój ojciec — rzekła Laura nie odrywając ręki od fortepianu — dopiero jest po południu. Wice-hrabia może jest zatrudniony, i bez wątpienia przybędzie.

— Nie mam znakomitych naddziadów — odpowiedział pan Levrault — ale za to trzy miliony. Za tę cenę, mogę nabyć tyle, ile zechcę Baudouinów i Lusignanów. Wice-hrabia nie powinien zapominać, że *my* znakomici przemysłowcy, nie lubimy oczekiwać. Nie przez to, ażebym nie wierzył, lub nie dbał o jego pochodzenie, o jego lwa z widlastym ogonem na tarczy herbowej. A co się dotyczy jego złotego medalionu, wolałbym, aby go raczej miał w kieszeni niż w herbie. Janie! — zawołał na lokaja przebiegającego przez dziedziniec — każ zaprządz, pojedziemy.

— Który z powozów? — zapytał Jan.

— Odkryty pojazd, zaprzężony w cztery konie. Ciekawy jestem, gdzie mieszka wice-hrabia? — dodał pan Levrault, obracając się do córki. — Zrobię sobie przyjemność, przejeżdżając koło jego siedziby; chcę pokazać temu szlachcicowi, z jakiej materyi jesteśmy ulepieni, my znakomici przemysłowcy.

— Mój ojciec, wice-hrabia ma prawo przybyć, kiedy się mu podoba — odparła Laura nieporuszona — gdyż sam oświadczyłeś, że o każdej godzinie z przyjemnością będziem go widzieć u siebie.

— Wice-hrabia powinien być punktualniejszy; przecież wie, z kim ma do czynienia.

Kiedy pan Levrault kończył te wyrazy, otwartą się drzwi sali, i lokaj wymienił nazwisko wice-hrabiego Kasptra de Montflanquin.

Laura powstała, pan Levrault przybrał postawę pełną godności.

Wice-hrabia spadł jak piorun. Cokolwiek powiedział o nim Jolibois, a mógłby mnie poczciwy notaryusz do gminu policzyć, wice-hrabia nie był pięknym, a nawet ośmielał się twierdzić, że był bardzo brzydki, i to w całym znaczeniu brzydki. Rozpatrując się w nim pilnie, można jeszcze było odkryć, że cecha jego pochodzenia, na ruinach młodości stała się niewyraźną, jak napis na szyldzie w dwóch trzecich częściach zartarty. Być może, iż nie miał jak lat dwadzieścia ośm; przecież bez obrażenia prawdy można mu było śmiało policzyć trzydzieści pięć, dzięki jego szlachetnym trudom, z powodu których czoło jego pobladło. Przedstawił się wyszukanie ubranym. Wstążeczka cudzoziemskiego orderu, bły-

śkała przy guziku. Krótko przypięty do kamizelki bukiet z brylantów, spadał mu na piersi.— Nizki, lecz zgrabny, a w ruchach nie zbywało mu na manierze arystokratycznej, ale podejrzanej; lekki, natarczywy, chępliwy i absolutnie o wszystkiem rozprawiający; trzeba się było zadziwić, widząc go mieszkańcem Bretanii. Właściwsze dla niego miejsce można by naznaczyć w Paryżu, między towarzystwem zbankrutowanej szlachty, która w téj epoce wykonywała to правило: „Szlachectwo obowiązuje, i zyskuje swój znak rycerstwa na polu bitwy, przy grze rulety lub djabelka.”

Wice-hrabia wszedłszy, trzy razy się nachylił nakształt ukłonu, a potem zwracając się kolejno to do pana Levrault, to do jego córki, rzekł:

— Przepraszam pana po tysiąc razy. Przebacz mi pani. Państwo oczekiwaliście mnie: uchybiłem mojemu obowiązkowi. Jestem zniestawiony, i może już nigdy tego nie wynagrodzę. Jednakże zaręczam szlacheckiem słowem, inaczej uczynić nie mogłem. Wyjechałem z Montflanquin w południe; spieszę, a wtém na zakręcie drogi spotykam się z hrabią Kerlandec. Czy wiiesz, rzekł zaczepiwszy mnie z uradowaną miną; pan Levrault już przybył.

— Panie wice-hrabio—powiedział p. Levrault—zechciej usiąść.

— Ztamtąd o pięćset kroków, — ciągnął dalej wice-hrabia, rzucając się w fotel, — zastąpił mi drogę stary kawaler de Barbanpré, jeden z potomków Godfryda de Bouillon po kądzieli. — I cóż zawołał z zapalem, pan Levrault już przybył!—Wiém o tém, jadę doń z odwiedzinami. Chciałem się wymknąć, ani sposób; stary kawaler trzymał mnie za guzik od sukni; zapomniałem się, rozmawiając o panu.

— Panie wice-hrabio — rzekł p. Levrault — może życzysz się czém ochłodzić?

— Trzysta kroków dalej, znalazłem się oko w oko z margrabią Francastel, który mi powiedział: — Czy wiiesz? o niczém nie mówią w całej okolicy, tylko o tém, że wczoraj wieczór przybył pan Levrault do Trelade, w pocztowej karecie we cztery konie zaprzężonej... Racz mu to powiedzić, iż byłbym szczęśliwy, gdybym mógł urządzić dlań i dla jego córki bal w moim zamku; ale niestety! muszę jutro wyjechać do Paryża.

— Panie wice-hrabio—przerwał Levrault—może przyjmiesz kieliszek wina cypryjskiego, lub alicantu?

— Nie, rzeczywiście. Byłem zmuszony zatrzymać się blisko godzinę, aby rozmawiać o tobie z margrabią, który następnie zabrał mnie na obiad do swojego zamku, gdzie znalazłem hrabiego Kerlandec i kawalera Barbanpré. O niczém tam nie mówiono, tylko o twoim, panie, przyjeździe. Załedwie się obiad ukończył, zaraz wymknąłem się z zamku pozostawia-

jąc w nim tylu zazdrosnych, ilu gości. Nakoniec panie, widzisz mnie zawstydzonego, zmieszanego, lecz szczęśliwego, że cię mogę oglądać, i może zbyt śmiałego, że się poważam rachować na twoje przebaczenie.

— Panie wice-hrabio, nie potrzebujesz przebaczenia—rzekł pan Levrault, którego gniew łagodniał i niknął, jak niknie śnieg przed wiosennym słońcem.—Raczej muszę ci podziękować za pośpiech w przybyciu do mnie.

— Panie—rzekła Laura—pozwól z kolei podziękować sobie za piękne kwiaty, przysłane przez grooma. Przyjęłam je jako zakład uprzejmości, którą spodziewamy się znaleźć w tym pięknym kraju.

Na pierwszy dźwięk głosu Laury, wice-hrabia zadrżał, jakby w pierś jego uderzyła iskra elektryczna. Nagle zwrócił się do młodej dziewczyny, na którą zaledwie spojrział dotychczas; wsparł się na krzesło, i utkwił w nią wzrok z zadumaniem, jak pielgrzym przy stopach Madony. Laura zmieszana się i spuściła oczy; pan Levrault nie wiedział, co o tém sądzić.

— Rzecz dziwna—odezwał się nareszcie wice-hrabia, przeciągając ręką po czole, jak człowiek budzący się z lunatyzmu. Potém zbierając zmysły i wróciwszy do przytomności, uchwycił wątek rozmowy, jakby nie dostrzegł pomieszania Laury, zadziwienia jój ojca, a to z taką łatwością, jak gdyby nic nie zaszło.

— Jestem dumny z tego, pani! zem był tyle szczęśliwy pierwszy zpośród Bretańczyków, oddać ci cześć, jaką każdy winien piękności. Spiesząc naprzeciw was panie, nie uczyniłem nic więcej nad powinność, a nigdy ta nie była przyjemniejsza, łatwiejsza do spełnienia. Mój notaryusz nieraz opowiadał mi o waszych pracach, bogactwach, które miałyby małą wartość w moich oczach, gdyby nie były owocem waszj zdolności, nagrodą waszego rozumu. Uczyniwszy wybór ze mnie do robienia wam honorów w téj okolicy, Jolibois nabył prawa do méj wdzięczności.

— Także i do mojej—powiedział p. Levrault. Chociaż my wielcy przemysłowcy, wszędzie jesteśmy przyzwyczajeni do dobrego przyjęcia; muszę jednak przyznać, panie wice-hrabio, iż nie spodziewałem się tak uprzedzającej grzeczności, jaką tu znajduję.

— Jako panie?... Jeżeli jeszcze tu i owdzie można napotkać margrabiego dziwaka, zasklepionego w swoje tytuły, który wzbrania się uporczywie postępować z duchem czasu, i który zagrzebał się żywcem w niepowrotną przeszłość: jesteśmy pierwsi, którzy żartujem sobie z jego dziwactw, z jego uprzedzeń. Szlachta przestała być ową niezdobytą fortecą, przeciw której wzniosła się zacięta, a często sprawiedliwa niechęć; słusznym skargom trudno zaprzeczyć! Obecnie wyższa szlachta chętnie

przyjmuje między swe szeregi wszelką chwałę, otwiera podwoje dla wszystkich i talentów znakomitych zdolności. Chcę być szczerym, panie, i wyznam otwarcie, że jest gotowa przyjąć cię wpośród siebie.

— A więc panie wice-hrabio, zechciej udzielić mi listę zamków, które powinniśmy odwiedzić.

A Laura dodała:— Bądź przewodnikiem w naszych wycieczkach po kraju, o którym mówią, że jest prześliczny.

Usłyszawszy głos panny Levrault, zadrżał wice-hrabia, i znowu ręką zasłonił czoło.

— Jestem zawsze gotów na usługi państwa—odrzekł tłumiąc swe wzruszenie.—W istocie ten kraj jest bardzo piękny; razem go zwiedzimy. Jeżeli pozwolicie, będę miał zaszczyt przedstawić państwo w sąsiednich zamkach. Ale to tylko mnie zasnuca, że za trzy tygodnie muszę pojechać do Paryża, a zatém was opuścić.

— Byłoby to prawdą!—zawołał Levrault przerażony.

— Co pan chcesz? świat mało ma dla mnie powabu; skromny mająteczek, jaki ocaliłem po rewolucjach, nie dozwala mi utrzymania w należytych blasku mojego imienia. Straszny cios uderzył we mnie, zniszczył wiosenny kwiat mego życia. Równie przez skromność, jak i przez zamilowanie, żyję w odosobnieniu. Miłuję spokój niw, i samotność lasu. Jednakże są wymagania, którym nikt nie jest w możności odmówić. Odebrałem dzisiejszego poranku zaproszenie od jednego z książąt, w którym naznacza mi schadzkę w Chantilly. Proszę pana, w mojem miejscu cobyś uczynił?

— Pojechałbym natychmiast — odpowiedział p. Levrault bez wahań.

— Dodaj pan jeszcze, że król i królowa żalili się już na moję długą nieobecność. Prawie od dwóch lat moja noga nie postąpiła w Tuileriach. Cała rodzina królewska jest tak uprzedzająca dla mnie, tak miła, że nie chciałbym zasłużyć sobie od niej na wymówki.

— Masz zupełną racją, mości wice-hrabio; kiedy się ma dobre znajomości, nie trzeba ich zaniedbywać.

Rozmowy raz w tym przedmiocie zaczętej, niełatwo chciał poprzestać p. Levrault. Udało się mu utrzymać ją bez wysilenia. Wice-hrabia opowiedział mu owę sławną prezentacją przed królem, potwierdził wszystko, co kmotr Jolibois wczoraj mówił, i nie zmęczył się odpowiedziami, jak pan Levrault nie utrudził zapytaniami. Na człowieka, którego kwiat życia uderzył cios w samej wiosnie, miał język bardzo giętki, niezmordowany.

Stanowczo przekonał, że rozrządza faworami dworu. Niczego nie żądał, ale mógł wyjednać wszystko. Pan Levrault słuchał wice-hrabiego jak wyroczni, i w duszy rachował sobie wszystkie korzyści, jakie może osiągnąć z takiego zięcia. Widział już w nim ów most, po którym miał przebyć przepaść, dzielącą go od zaszczytów; drabinę, po której miał wzniosć się do godności i władzy; nareszcie klucz, służący do otwarcia podwoi w pałacu luxemburskim. Od czasu do czasu Laura wsunęła parę słówek do rozmowy. Ale jak tylko otworzyła usta, wice-hrabiego natychmiast napadała drżączka; obracał on się do niej, i zaczynał dumać. Laura nie gniewała się bynajmniej o skutek, jaki jój głos sprawiał na nerwach ostatniego potomka Montflanquinów. Nawet p. Levrault był tém zaintrygowany, ale ani jedna, ani drugi nie śmieli żądać objaśnienia téj osobliwości.

Na prośby Kaspra, młoda dziewczica usiadła do fortepianu. Słuchając jój, wice-hrabia szalał z uwielbienia, potężne sypał oklaski, jak gdyby się znajdował na balkonie w teatrze włoskiej opery.

Bez zaprzeczenia Laura miała piękny talent, i grała na fortepianie dosyć znośnie. Wykonawszy kilka świetnych fantazyj, zaśpiewała jedną z rozkosznych melodyj Webera. Głos jój był miły, który udało się zbytkiem zarozumiałości zepsuć. Po ukończeniu spiewki, Laura ujrzała wice-hrabiego napół drzemiącego w fotelu, nieruchomego, z oczyma wzniesionemi do sufitu, prawie znaku życia nie dającego.

— Panie wice-hrabio—odezwał się nareszcie p. Levrault, coraz więcej zadziwiony; — zdaje się, że ta śpiewka zrobiła na panu niemiłe wrażenie.

— Przebacz, ach przebacz!—zawołał Kasper, zrywając się z krzesła. — Pani! twój głos zachwyca, ale zarazem obudza niepojęte uniesienie. — Mamże wyznać? kiedy śpiewasz, to nie pani głos słyszę, lecz uwielbionój istoty, która tylko przemknęła się między żyjącemi na ziemi, i w mém sercu na wieki spoczęła. Ona nietylko miała głos pani, ale także i jój rysy; tylko ją słyszę, skoro pani przemówisz; widzę ją również, kiedy na panią patrzę.

— Jakto panie wice-hrabio?—zawołał p. Levrault z zadowoleniem pychy, której nie myślał pokryć—moja córka byłaby podobna do panny Chantepiure?

— Spostrzegam, — odparł wice-hrabia, — że Jolibois odkrył wam tajemnicę mojej boleści. Nie chciałem tego. Ale tak panie, panna Chantepiure zupełnie była podobna do pańskiej córki. Ten sam dźwięk głosu, też same nakłonienia, skład twarzy, toż samo spojrzenie i kolor włosów. Jednak uważam, że Fernanda nie miała tak regularnych rysów, mianowi-



cie nosa, który był mniej delikatny, mniej królewski. Oprócz téj małej różnicy, przysięgam na słowo szlachcica, nigdy pod niebem nie istniało więcej uderzające podobieństwo.

— Panna de Chanteplure nieszczęściem utonęła — dodał Lepvrault z miną bolejącą.

— Ach! panie! — krzyknął Kasper z oznaką rozpacz.

— Panie wice-hrabio — rzekła Laura, która się nie uważała za upokorzoną tém podobieństwem z córką margrabiego. — Żałuję nieskończenie, że ciągle obecność moja jest wskazaną na to, aby obudzać w panu przykre wspomnienie.

Kasper nie odrzekł, ale na pannę Levrault rzucił tak przenikające spojrzenie, tak czułe, tak miłosne, że się uczuła zwolnioną od wszelkiej niespokojności, od wszelkich wyrzutów.

Następnie rozmowa przybrała nie tak smętny charakter. Wice-hrabia miał ten wyborny przymiot, że jego żalosne wrażenia, krócej trwały od majowego śniegu. Słyszac go opowiadającego o śmierci panny Chanteplure, możnaby uwierzyć, że mu nic nie pozostaje, jak tylko odebrać sobie życie; ale w pięć minut potem, gawędził wesoło to o tém, to o owém, swobodny jak zięba, która po ulewnym deszczu suszy na słońcu swe piórka. Umysł jego był pociągającym, żywym, a w obejściu miał coś dziwnie wdzięcznego, coby nie uszło uwagi przenikliwego badacza; ale tych sprzeczności rażących nie zdołał dostrzedz dawny mieszkaniec z ulicy Niewińątek, przyjmując wszystko od wice-hrabiego za dobrą monetę.

Dotykał on wszystkich przedmiotów rozmowy, prześlizgując się z wielką łatwością, przyczém zapominano o jego brzydocie. Rozprowiał o szlachcie okolicznej, i uprzedził p. Levrault, iż wiele najznakomitszych rodzin było nieobecnych w swoich dobrach, lecz pozostałe potrafią uprzyjemnić pobyt wielkiego przemysłowca. Zresztą między innymi, domy panny Kerlandec i Barbanpré, nie ustępowały żadnemu co do świetności i dawności pochodzenia.

Jednakże już było dosyć późno. Pan Levrault ofiarował się odprowadzić wice-hrabiego w odkrytym powozie, zaprzężonym w cztery konie, aż do bramy jego mieszkania. Kasper odpowiedział, iż pójdzie piechotą, tak, jak przyszedł; i dodał utkwwszy słodkawe spojrzenie w Laurę, że potrzebował, dla uspokojenia serca, ciszy niw drzemiących.

P. Levrault nie nalegał, ale z taktem delikatnym bogacza, który rzuca swe złoto w oczy biednemu, wymógł od p. Montflanquin, aby nim się oddali, zrobił przegląd jego zamku, stajen, psiarni i wozowni. W tym względzie był tak akuratywny, że nie pominął żadnego pokoju, żadnego powozu, psa i konia. Kasper mówił o blasku swego imienia, o związkach

z książętami rodziny panującej, o względach, któremi się szczylił u dworu; p. Levrault w odwecie zadzwonił mu swemi milionami. Szczęściem, ten dźwięk miłym był dla ucha wice-hrabiego.

— Nie zapomnij pan — rzekł doń p. Levrault — że jutro obiadasz w Trelade. Nie pochodzę od Godefroy de Bouillon, ale przekonam pana, że mój stół niegorszy jest od waszych.

Kasper skłonił się przed Laurą, z wylaniem uściśnął dłoń p. Levrault, i oddalił się zapewniając, że od śmierci panny Chanteplure nie pamięta, aby nawet na królewskim dworze tak mile wieczór przepędził.

— Jakże ci się podobał? — zapytał Levrault swęj córki, skoro sami pozostali w salonie.

— Jest brzydkim—odpowiedziała Laura bez ogródki.

— A więc można się prędko przyzwyczać do wice-hrabiego. Na pierwszy rzut oka wypada dlań nieprzychylny wyrok; jednakże pojmuję, że z czasem można będzie nazwać go pięknym. A przytém co za głowa!... dowcip! obejście! Trzeba wyznać, dodał utopiwszy ręce w kieszenie, to pochlebia, kiedy tacy ludzie nas odwiedzają.

#### IV.

Pan Levrault wkrótce przekonał się, że Bretania w rzeczywistości nie jest owym krajem, o którym marzył. Zamki rozsypujące się w gruzy, szczęty murów osłonięte bluszczem, rozpadliny zamieszkałe przez puszczki i sępy, były liczne w okolicy Trelade; ale mieszkalne pałace z ich właścicielami rzadsze, niż sobie wyobrażał pan Levrault. Tym sposobem zamki w Clisson, Mortagne i Tifauge, które do niego miały wyciągać ramiona, mówiąc językiem pana Jolibois, oddawna stanowiły tylko szczątki ruin. P. Levrault z osłupieniem dowiedział się, że wszystkie te znakomite rodziny dawno wymarły, i że musi wyrzec się tój pociechy, aby ich potomków kiedyś u siebie przyjmował. Od dwóch miesięcy jak przybył do Bretanii; zamiast zapowiedzianego tłumu arystokracji, która miała przepelniać jego salony, dotąd towarzystwo ograniczało się na wice-hrabim Montflanquin, hrabi Kerlandec i kawalerze Barbanpré. Co się dotyczy balów, festynów, odwiedzin, zapowiedzianych, roztrąbionych przez Jolibois, okazało się niezbitą prawdą, że oprócz ze swęj piwnicy, wielki przemysłowiec u nikogo nie wypił ani kieliszka wina.

Hrabia Kerlandec, byłto zręczny paliwoda, który względem Kaspera znajdował się w tém samém położeniu, co i notaryusz Jolibois. Kasper został mu dłużnym kilka tysięcy talarów, zabezpieczonych na po-

sagu żony wice-hrabiego, i na mgłach rzeki Sevres, gdyż o dobrach Montflanquinów od świętej pamięci nie było ani wzmianki; a kiedy p. Levrault mówił o gołębniku wice-hrabiego, pocziwie człeczysko nie wiedział co powiedział, i ani mu przez głowę nie przeszło, jak właściwego użył wyrażenia.

Hrabia Kerlandec nieprzyjaciel mieszczan, którym nie mógł przebaczyć wzniesienia się i bogactw; młody jeszcze umysłem, bystry, szyderca, mimo swych sześćdziesięciu lat i pedogry dokuczliwej: ów hrabia skwapliwie pochwyił sposobność odzyskania długu i za jedną drogą ubawienia się kosztem bogatego, ale głupiego mieszczucha.

Nakoniec ponieważ nie posiadał ani koni, ani powozu; hynajmniej nie gniewał się hrabia, że mógł wozic spodagrowane nogi w pojeździe p. Levrault.

Kawaler Barbanpré w rzeczy samej kazał się uważać za potomka Godefroya de Bauillon. Byłto stary szlachetka, prostaczek, ubogi, pieczeniarni, i któryby za dobry obiad oddał całe drzewo genealogiczne. P. Levrault niewiele miał trudności w przyciągnięciu go do siebie. Kawaler uczęszczał do Trelade; zauważano nareszcie w okolicy, że nigdy tam nie udawał się po obiedzie, a przed daniem na stół nie wychodził.

P. Levrault dobre znalazł przyjęcie z Laurą u tych rodzin, u których go Kasper przedstawił; lecz czyto Kasper jak doświadczony sternik, żeglował z nim do przyjaznych brzegów, gdzie nie obawiał się współzawodnictwa; bądźto, że rzeczywiście brakowało w tych stronach materiału z którego się zięciowie wyrabiają: dosyć, że ani Laura, ani jęj ojciec nie znaleźli kawalera, któryby wyglądał być zdatnym na męża. Na przekorę trzem milionom, p. Levrault spostrzegł, że go wszędzie przyjmują z tą zimną grzecznością, która graniczy z lekceważeniem; bilety wizytowe, przyozdobione tarczą herbową, z której wyglądał kask lub korona, odpowiadały tylko jego wyprzedzającym i osobistym odwiedzinom. Mimo wystawnego życia i ponęt bogactw, Montflanquin, Barbanpré i Kerlandec byli jedynemi, którzy mu nadskakiwali, składali jego towarzystwo. Po dwumiesięcznym pobycie pod niebem staręj Armoryki, nie widział owych tłumów, które miały go oblegać. Kerlandec, Barbanpré, Montflanquin zawsze jedni i ciż sami byli jego gośćmi. Z trzech owych dworaków, wice-hrabia był najgorliwszym; on starał się pocieszać pana Levrault w doznanym zawodzie.

W końcu trzeciego tygodnia, Kasper zaniechał zamiaru udania się do Chantilly. Wścigi były odłożone do jesiennęj pory. Kasper nieustannie przesiadywał w zamku Trelade, przybywał z rana, a wychodził późno wieczorem. Zaledwie nie przyszło do tego, żeby tam kazał przy-

nieść swój szlafrok i pantofle. Zamek p. Levrault stał się niejako jego własnością, przedmiotem do niego należącym. On tam we wszystkiém przewodniczył; nie się bez wice-hrabiego stać nie mogło. Każdego wieczoru nim się oddalił, układał program wycieczki na dzień następny. Należał do wszystkich zabaw, do każdój przechadzki. Łatwiej byłoby ujrzyć p. Levrault bez własnego cienia, jak spotkać go bez Kaspra. Żywy, obfity w pomysły, udzielający się, zawsze w dobrym humorze, wice-hrabia posiadał przedziwną łatwość napelniania zamku Trelad zgielkiem, nadać tam życie, wzbudzić wesołość. Uczył p. Levrault jeździć konno, opowiadał dykteryjki o królewskim dworze, pochlebiał jego głupstwom, potakiwał dziwactwom. Utresował dla Laury pięknego rumaka, wynuczył go klękać i biegać za nią jak owca.

Każdego dnia wynajdywał nową rozrywkę. Krócej mówiąc, rozpoczynawszy swój zawód od stania się użytecznym, skończył na tém, że był nieodzownym.

P. Levrault, który sądził, że znalazł fenixa, nie miał czasu zastanawiać się nad pomyłką w swoich rachubach. Bo i po cóż przybył do Bretanii? Znaleźć zięcia, któryby mu utorował drogę do zaszczytów, do godności, a taki właśnie się nawinął. Kasper posiadał wszystkie żądane przymioty: znakomite imię dla Laury, wielki wpływ u dworu dla pana Levrault. Był więc zięciem, o jakim oboje marzyli. Nieszczęściem, Kasper zdawał się tego nie rozumieć. Pogardzał znaczeniem, i o swoim ubóstwie mówił z rozkoszą; w jego oczach, dostatki nie miały żadnego powabu. Pomijając przytłumione westchnienia, kilka ognistych spojrzeń, które bez wątpienia wymierzone były do obrazu panny Chanteplure, nie można go posądzać o zakochanie się w Laurze. Zwykle powtarzał, że jego zawód skończony, że się już nigdy nie ożeni.

Pan Levrault zwątpił, czy Kaspra złowi kiedyś w swoje sieci: wszakże wice-hrabia był rybą, a on rybakiem. Rozmowy, które miewał Levrault w parku z hrabią Kerlandec i kawalerem Barbanpré, podniecały jeszcze jego pragnienie. Hrabia i kawaler wynosili pod niebiosą zasługi Montflanquin'a. Byłato czysta korzyść dla Kerlandec'a, a Barbanpré nie mógł okazać się niewdzięcznym dla tego, który go wprowadził do domu, gdzie dawano tak smaczne obiady.

Kiedy p. Levrault trawił się niecierpliwością, Laura czuła się coraz więcej drażnioną. Laura nie kochała wice-hrabiego; ale nie mogła znieść jego obojętności. Gdyby Montflanquin oświadczył się o jęj rękę, nie mogłaby sobie powiedzieć, czy go zaślubi; ale jątrzyło ją tak często powtarzane postanowienie wice-hrabiego, że się nigdy nie ożeni. Powtarzamy, ona go nie kochała; najwięcej, kiedy się jęj podobał, a przecież zazdrościła

dziewicy, którą uwielbiał, uważała się ponizoną wiernością, dochowywaną tak święcie wspomnieniom.

Nareszcie dokazała tego, że stanowisko wice-hrabiego widocznie się zmieniło. Kasper zesmutniał, stał się fantastycznym, milczącym. Kasper bywał zadumany. Mieszkał się obok Laury, i nie podpadało wątpliwości, że to nie obraz panny Chanteplure sprawił w nim ten niepokój. Nie wspominał już o Fernandzie. Ponury smutek zniszczył jego żywość i wesołość. Symptomata ważniejsze, jawniej się objawiały przy stole; pił bardzo mało, potraw zaledwie dotykał. Zmiana taka, nie uszła przenikliwej uwagi pana Levrault. Wice-hrabia jeszcze się nie oświadczył, ale jego uczucie w każdym kroku jawnie go zdradzało; najmniej przewidujący byłby się tego domyślił.

Upojony radością, pan Levrault nareszcie dosięgnął mety swych życzeń. Żeby zaś miał rozważyć skutki nietajnej już miłości wice-hrabiego pod względem szczęścia swojej córki, o tém wybornemu ojcu ani przez myśl nie przeszło... Mniemał tylko z własną pociechą, że zięć tak silnie rozkochany, okaże się bardzo łagodnym w chwili, kiedy przyjdzie na stół kontrakt ślubny. Bezinteresowność Montflanquin'a, jego pogarda bogactw, miłość ubóstwa, zabezpieczały od wygórowanych żądań, niejako zapewniały, że te będą nazbyt skromnymi. Pełen próżności, ale sknera, p. Levrault cieszył się w skrytości ducha, że znalazł szlachcica, który do tyłu przymiotów. łączył najszaconiejszy, bo bezinteresowność w targu. Co do Laury, widząc się kochaną, jęj próżność była zaspokojoną; radowała się swoim zwycięstwem, i bynajmniej nie troszczyła się o wice-hrabiego.

— Trzeba patrzeć i czekać — mówiła do swego ojca, który rozprawił o małżeństwie jęj, jakby o czynie blizkim dokonania. — Nic nie przekonawa dotąd, ażeby wice-hrabia był zdecydowanym prosić o moję rękę; gdyby zaś tak w istocie było, roztropność nakazuje nie spieszyć się, i dohrze w nim rozpatrzyć. Niepodobna, ażeby w całej Bretanii wice-hrabia był jedynym kawalorem, któryby mógł się ożenić.

— Czegoż ty jeszcze się spodziewasz? — odpowiedział Levrault, nie rozumiejąc wahania córki. — Ostatni potomek Baudouinów i Lusignanów!... Sądysz, że takich jak on łatwo po drodze nabierać?... Zresztą przetrześliśmy wszystkie zamki w całej okolicy, i jeżeli nie masz ochoty poślubić hrabiego Kerlandec, lub kawalera Barhanpré, dalibóg nie upatruję nikogo, na którego byś z wyborem miała jeszcze oczekiwać.

— Nic nas nie nagli — odpowiedziała stanowczym tonem Laura. — Zaczekajmy. Wszakże uprzedził nas sam Kasper, że najznakomitsze ro-

dziny nie znajdują się w swoich dobrach. Być może, iż niezawsze wicehrabia stanowić będzie całe nasze towarzystwo.

— Do licha, moja droga, zbyt jesteś wymagająca. Wielkie imię, rozległe wpływy, a w dodatku jego wrząca miłość!... Miał słuszość Jolibois, ten Montflanquin nie dzisiejszej daty jest człowiekiem. Nikt go nie posądzi, że się ubiegał za naszym majątkiem. Badam, ani się tego spodziewa; przenikam co się w nim dzieje. Przysiągł pozostać wiernym tej nieszczęśliwej Ferdynandzie; walcząc z sobą, przez nią kocha cię na zabój. Czyni on sobie wyrzuty, oskarża się, szaleje; mimo tego cię kocha: uczucie to silniejsze jest nad wszystko. Otóż, pomimo milionów twój ojca, potrafiłaś wzbudzić szlachetną miłość, i jeszcze ci mało na tém? Ożeni się z tobą przez skłonność, i to ci jeszcze nie wystarcza? Winszuję i życzę ci, abyś sobie lepiej poradziła.

W ostatnich wyrazach p. Levrault, było coś takiego, co łechtało miłość własną i próżność Laury. Nie miała ona pretensyi zostać heroiną romansu. Byłto, jak już powiedzieliśmy, umysł zimny. Córka handlarza wyobrażała sobie małżeństwo jako cel swój ambicyi, jako kwestyą czysto kupiecką. Jednakże cieszyło ją to, że potrafiła obudzić miłość bezinteresowną, być kochaną dla niej saméj. Jój towarzyszki z pensyi nie opuszczały sposobności powtarzać, że może zgłosi się jaki szlachetka, co ją z miłości jój talarków zaślubi. Laura wystawiała sobie ich zakłopotanie skoro się kiedyś dowiedzą, z jak wysokiego rodu dostała małżonka, który ją jedynie z miłości zaślubił.

O uczuciach wicehrabiego i jego bezinteresowności nie można było ani na chwilę powątpiewać, i Laura miała dosyć rozsądku, aby sobie powiedzieć, że podobna sposobność nie trafia się często w życiu młodej dziewicy, obciążonej milionem posagu. Kasper nie był pięknym, ale jego szlachectwo i herb były prześliczne. Laura nie kochała Kaspra, ale to bynajmniej ją nie obchodziło. Ani razu nie pomyślała, że przecież trzeba kochać swego męża. Co ją wszakże martwiło, to jedynie to, że Kasper był tylko wicehrabią; onaby pragnęła przynajmniej margrabiego. Ale i tytuł wicehrabiny nie był do pogardzenia, kiedy się kto nazywa prosto panną Levrault, i pamięta, że jój ojciec mierzył łokciem sukno przy ulicy Bourdonnais.

Jednego razu jadąc konno, Laura zatrzymała się przed gołębnikiem Montflanquina. Jój próżność zbyt była drażniętą, patrząc na ten zbiór starych murów, rozsypujących się w gruzy, które Kasper szumnie nazywał zamkiem swoich przodków; ale też czuła się dosyć bogatą, aby mury te podźwignąć. Nakoniec Laura musiała uznać, iż niewiele ma trudności w wyborze. Tygodnie upływały, a znakomite rodziny nie spieszyły

się z powrotem do dóbr swoich. Nadaremnie p. Levrault przejeżdżał się po drodze do Nantes w powozie przez czwórkę ciągnionym, z dwoma żokejami w pomarańczowych aksamitnych kaszkietach; napróżno jego masztalercze przeprowadzali konie, a psiarczyki psów sfory, z rozkazem opowiadania przechodzącym: oto są psy i konie pana Levrault; daremnie roztaczał blask swój fortuny po wszystkich drogach, po wszystkich zakątkach; nie nie pomogło, ów zapowiedziany tłum gości był zawsze ten sam w Trelade. Nareszcie Laura musiała zgodzić się na zdanie swego ojca, i w takim położeniu rzeczy nie pozostawało, jak czekać na oświadczyzny wice-hrabiego. Po ciężkich westchnieniach, mogli się spodziewać, że nie będą na nie długo oczekiwać.

A więc wszystkie nasze osoby były uszczęśliwione, i nie wiadomo w której opowieści znalazło się tyle osób szczęśliwych. Kilka dni zwłoki, a pan Levrault wstąpi na ziemię obiecaną. Laura widziała się już przedstawioną u dworu. Mości pan Kasper nie potrzebował jak tylko wyciągnąć swoje pazurki, dla zagrabienia milionka, tyle dlań potrzebnego. Kmostr Jolibois cieszył się naprzód odebraniem swoich 80,000 franków, a hrabia Kerlandec kilku tysięcy talarów. Kawaler Barbanpré zacierał ręce z radości, myśląc o rozkoszach weselnj uroczystości. Nakoniec Ga-laor kolysał się słodką nadzieją, że hrabia przecież zaślubiwszy córkę milionera, przypomni sobie o zapłaceniu dawno należących się zasług. Tak stały rzeczy, kiedy niespodziewany wypadek zmienił ich postać, i nadał inny kierunek.

Pewnego poranku po śniadaniu, Laura jak zwykle pojechała konno, wzięwszy tylko jednego służącego. Piérwszy to dopiéro raz udała się bez większego towarzystwa, zwłaszcza ojca i Montflanquin'a, dla zwiedzenia niw, okrytych plonami rolnika. Wprawdzie Kasper ofiarował się jój towarzyszyć, ale ojciec Levrault postanowiwszy zmusić wice-hrabiego do wyraźnego oświadczenia swj miłości dla Laury, zatrzymał go u siebie, który z boleścią serca przystał na to; jednakże pod warunkiem, aby Laura skierowała swą przechadzkę ku zamku Clisson, gdyż, jak utrzymywał, okolica Tifauge była niebezpieczną, mogłaby więc tam spotkać ją jaka nieprzyjemność.

Posłuszna upomnieniom wice-hrabiego, Laura naprzód trzymała się brzegów rzeki; lecz wkrótce znudzona drogą tak dobrze znajomą, rzuciła się w ostrowia poprzerzynane pagórkami, i pędząc śród zarośli, wkrótce zniknęła w dębowym lasku. Poprzecinany wązkiemi drożynami, gubiącemi się w krzakach, las ten prawdziwy labirynt stanowił. Laura przebiegając go galopem, ujrzała na krawędzi, że nie pośpiesza za nią służący, który bez wątpienia zgubił jój ślad wśród nieustannych zakrętów. Szczę-

ściem, że panna Levrault nie była zbyt poetyczną; doświadczyła téż więcej radości niż bojaźni, znalazłszy się sama jedna wpośród pola. Nie dbając na pogróżki wice-hrabiego, puściła cugle, i pozwoliła samopas błędzić koniowi.

Byłto jeden z tych dni posepnych, pozbawionych blasku słońca, ale nie pozbawionych pewnego wdzięku, który porze letniej nadaje smętne tło jesieni.

Odświeżona ziemia spoczywała po upale lipcowym pod sklepieniem niebios, tak przyjemném, smugami obłoków urozmaiconém. W jakimżeto czarodziejskiém miejscu, Laura spotkała się oko w oko z piękną naturą? Jakże się to stało, że owa dziewica, która dotąd nie żyła tylko dumą i próżnością, miała objawienie choć niejasne, bogactw i wdzięków stworzenia? W téj chwili Laura zapomniała o swoich milionach, i tarczy herbowej wice-hrabiego. Widziała kłosa kołyszące się przy swoich stopach, słyszała szmer wietrzyka, oddychała balsamiczném powietrzem; jéj serce stopniowo pozbywało się poziomój ambicyi, która przed chwilą je napełniała. Bo téż dobra i Boska przyroda, posiada tajemniczy wpływ, nawet na zakamieniałe serca; ona przemawia do duszy tak wymownym językiem! Widok dzieł Boga więcej przekonywa o znikomości i próżności doczesnej, niż wszystkie mowy pogrzebowe Bossueta i Massillona. Nie- szczęściem złe było zbyt zakorzenione w Laurze, i biędne to dziewczę, niedługo znowu musiało się ugiąć w brudne jarzmo, w którém ją wychowano, a które zniszczyło wszystkie dobre w niéj skłonności.

Laura jechała tak od dwóch godzin, spuściwszy się na wolą swego rumaka, ani pomyślawszy, że w amazonce, w kastorowym kapeluszu z zieloną zastoną, samotna i swobodna, błędząc po jarach, sto razy była piękniejsza, niż w salonach ojca. Kiedy chciała zwrócić się do Trelade, napróżno szukała drogi wśród obszarów pni po ściętych drzewach i rozrzuconych krzaków. Błąkając się tak jeszcze czas niejaki na los szczęścia, mniemała, że poznaje brzeg jednego jaru, do którego Kasper niedawno nie radził się zbliżać, powiadając, że to jest przesmyk pełen niebezpieczeństw, przecięty strumieniami i nieprzebrnionemi błotami.

Zeszłego roku, pewna pasterka odważyła się ścigać uciekającą w tę stronę krowę; zwłaszcza w przesmyku, który nazywają *Djabelską drogą*. Pasterka i bydlę przepadli na wieki. Laura osądziła, i bardzo słusznie, że podobny wypadek nigdyby się był nie przytrafił, gdyby na wstępie drogi zrobiono przekop, lub położono kłoc jaki, służący za prostą zaporę. Na taki argument musiałby Kasper uwielbiać dowcip i przenikliwość panny Levrault, a razem dziwić się głupocie ludzkiej w tutejszej okolicy.



Znajdując się tuż naprzeciw drogi djabelskiej, Laura zatrzymała się, aby ją rozpoznać, i rozpoznała téż rzeczywiście. Był to alea kręta, okolona dwoma pagórkami, zapadła i pelzająca między gęstwiną jaworów, jak wężykowaty strumyk pod zielonym dachem gałęzi.

Laura miała się już oddalić, kiedy ujrzała dziewczynkę z rozpuszczonymi włosami, bosą, wychodzącą naprzeciw niej z alei, i krówkę przed sobą poganiającą. Wyobrażenia bujniejsza upatrzyłaby w owę dziewczynę cień pasterki, pędzącej widmo zaginionej krowy, o których żalosnym wypadku opowiadał wice-hrabia; lecz panna Levrault nie był to dziewczyna, łatwo poddająca się poetycznym marzeniom.

— Malcze!—zawołała Laura na dziewczynkę—czy ta dróżyna z której wyszłaś nazywa się przesmykiem djabelskim?

— Djabelskim przesmykiem!—powtórzyła pasterka z przerażającą miną.—Moja piękna panienko, w całej okolicy nie ma drogi, któraby się tak nazywała.

Jakto?—zawołała Laura—nigdy nie słyszałaś, aby mówiono o djabelskiej drodze?

— Z przeproszeniem pięknej panienki, słyszałam o niej od księdza proboszcza, ale jej nigdy nie widziałam.

— Wiiesz przynajmniej, że to przejście jest niebezpieczne, prowadzące na bagna, między które niedobrzeby było się zapuszczać? Podobno przeszłego roku pasterka taka jak ty, zginęła tam ze swoją krową.

— Mnie się zdaje, że panienka chce zadrwić ze mnie. Drożyna ta jest tak pewna, jak wielki gościniec prowadzący do Nantes; ażeby z niej wyjść żywą, nie trzeba się tam udawać umarłą.

— A więc—zapytała Laura z zadziwieniem—gdzież ta droga prowadzi?

— Do naszego folwarku, piękna panienko, i do zamku w Rochelandier.

Po téj odpowiedzi pasterka poleciała za krową, która w najlepsze pała się na polu zasianém koniczyną.

Laura jakby przykuta do miejsca, mordowała się nad znalezieniem rozwiązania powieści Kaspra, lecz nadaremnie. Musiał ten zamek Rochelandier, którego nazwisko nie pierwszy raz obito się o uszy Laury, być kupą gruzów, jak zamki Tifauge, Mortagne, i Clisson; w przeciwnym razie Kasper nie omieszkałby go zamieścić na liście, którą złożył p. Levrault, kiedy szło o zawiązanie stosunków z okoliczną szlachtą. Że ten zamek był niemieszkalnym, o tém nie powstał ani cień powątpiewania w umyśle Laury; lecz dlaczego Kasper wskazał tę drogę jako niebezpieczną? z kąd się wzięło to nazwanie drogi djabelskiej? co znaczy owa historyjka o pasterce i krowie zatraconej w błotach lub bagnach?.....

Po kilku chwilach rozwagi, Laura zacięła swego konia, i zapuściła się w ciemną drogę, prowadzącą do zamku Rochelandier.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# EKONOMIA POLITYCZNA

## I

### STAN JÉJ W NASZYM KRAJU.

PRZEZ

*Felixa Zielińskiego.*

---

**Z**e wszystkich nauk, żadna u nas nie stała się tyle przedmiotem mody, żadna tylu nie zyskała zwolenników, co ekonomia polityczna. Nie mamy prawie wcale dylettantów geologów, tak pospolitych w Anglii, — miejscowość zainało ku temu nastrocza podniety;—botanika zbyt szczupłe liczy grono lubowników; ale powszechnie poczytuje się za obowiązek, za kamień probierczy wyższego ukształcenia, zajmować się stosunkami ekonomicznymi, i uważać je z wyższego, naukowego stanowiska. Jaki taki dorwawszy się fortuny ojcowskiej, zapuszcza odlogiem całe pole, już i tak niezbyt uprawne, swój wiedzy; jeden tylko jego kawałek, jakby ogródek przy domu, zostawując sobie do troskliwszego pielęgnowania. Ta ogrodowa uprawa dość dobrze wygląda, dopóki raczej dla niewinnej rozrywki, niż dla praktycznego użytku jest prowadzona; lecz gdy ją potem zechce się przenieść na większe obszary, gdy chce się pod nią podciągnąć ogólne stosunki ekonomiczne kraju: próba zawodzi, i zamiast zdrowego plonu pracy i rozwagi, wybujate krzewią się marzenia.

Takim sposobem i takim tylko wytłumaczyć można, jak obok rozgąłżonego zamięłowania w ekonomii politycznej, najgrubsze co do stosunków miejscowych, najżywiéj nas obchodzących, panują uprzedzenia; a panują tak wielowładnie, rozpostarły się tak szeroko, że aby targnąć się na nie, istotnej potrzeba odwagi. Zamieniły się one w pewniki, które każdy przyjmuje bez dalszego dowodzenia.

Na nieszczęście pewniki te, około których obraca się większa część rozumowań w przedmiotach gospodarstwa krajowego, są często wprost przeciwne zasadom ekonomii politycznej, której hołd i pokłon złożę, i szacunek swój dla niej wyznać, każdy prawie musi być swoim obowiązkiem. Sprzeczność taka nie mogła ująć uwagi powszechniej; ustrzeżono ją, lecz wynaleziono łatwy środek na jej pominięcie. Tak zwykle się zdarza, kiedy naprzeciw zasadom staną namiętności i uprzedzenia, kiedy teoria choćby najzdrowsza, stanie w sprzeczności z rutyną choćby najbłędniejszą. W nierównej tej walce, pierwsza zwykle niemal zawsze ulegnie drugiej. Czy przytém z większą lub mniejszą, że tak rzeczem ceremonią, teoria na bok wyproszoną zostanie—w ostatecznym wypadku nic nie zmienia.

Anglicy utrzymują, że prawa rządzące całym światem, w jednej Irlandyi nie mają zastosowania. Coś podobnego wielu chce upatrywać w stosunkach ekonomicznych krajowych. Tak zawsze i wszędzie; zamiast przyczyny niepowodzeń na polu teorii czy praktyki szukać w sobie samych, ludzie starają się zrzucić ją na przedmiot.

Mniemana wyjątkowość stanu ekonomicznego kraju, nie może przecież uwalniać go od działania głównych praw ekonomii politycznej. Nie zaprzeczam, że ta nauka wzięwszy swój początek i wzrost w krajach przemysłowych, nabrała właściwej barwy od stosunków, których rozważanie do wzrostu jej dopomogło: jak woda rzeki niesie z sobą ślad gruntów, które obmyła. Lecz jak woda nie zmienia swojej natury, czy ją glina pomąci, czy piasek oczyści, czy rozkruszona skała poczerwieni: tak i ekonomia polityczna, chociaż przesiąkła, że tak rzeczem, stosunkami przemysłowemi, nie traci przez to prawa do urządzenia i stanowienia o wszystkich jakiegobądź rodzaju i w jakiegobądź stronie zachodzących stosunkach ekonomicznych.

Zamierzamy stosować ekonomią polityczną do stosunków krajowych, i okazać, że one nie przedstawiają nic anormalnego, nie takiego, co by je od działania głównych praw ekonomicznych wyłączyć mogło. Jakkolwiek samo ujęcie w karby nauki faktów, których dotąd pod nią podciągnąć nie umiano, czy nie chciano; względem których zawczasie może i zaśmiało niekompetencją nauki wyrzeczono, stanowi najlepszy, bo praktyczny dowód ogólności sfery zastosowania tej nauki: to przecież ażeby zamknąć naszym przeciwnikom ostatnie wrota, ostatnią, jeśli tak rzec wolno, teoretyczną furtkę, którąby wprzód nim zadanie nasze rozwijać zaczęli, wyuknąć się nam mogli; musimy jeden możliwy zarzut rozebrać i odeprzeć.

Zarzut do przewidzenia jest taki: Chcemy stosować wypadki naukowe gdzieindziej otrzymane do kraju naszego. Tymczasem najcelniejsi tej nauki mistrze, sami, zdaje się, uważali ją za niemogącą znaleźć bezpośredniego zastosowania w czystości swoich zasad. We Francyi, Rossi uznał ekonomią polityczną w tém, co ma w sobie ogólnego i niezmiennego, za naukę opartą raczej na rozumowaniu, niż na doświadczeniu; za naukę mającą za punkt wyjścia szczupłą liczbę czynów ogólnych, i wywiedzionemi z nich wnioskami, dochodzącą do wszystkich swoich wypadków. Jednym słowem, Rossi odróżnił ekonomią polityczną racjonalną, od ekonomii politycznej stosowanej, naukę od sztuki; i uznał, że czas, miejsce i stan narodowy sprawują odmiennosc wypadków zastosowania, tak samo jak opór powietrza sprawuje, że rzeczywista linia, którą przebiega wyrzucony pocisk, odmienną jest od linii matematycznej, będącej wypadkową siły rzutu i ciężenia, którą ten pocisk przebiegłby w próżni. (1).

Rozróżnienie swoje ekonomii politycznej czystej i stosowanej, wziął Rossi z angielskiej szkoły Ricard'a, gdzie z większą jeszcze niż on dosadnością, powiedziano: „że ekonomia polityczna jest zbudowana na przypuszczeniach, mających ścisłą analogią z temi, które pod nazwą definicyi, są podstawą innych oderwanych (abstrakcyjnych) nauk. Geometrya np. ma za swoje przypuszczenie definicyą dowolnie przyjętą linii, jako mającej długość bez szerokości. Takim samym sposobem ekonomia polityczna ma za swoje przypuszczenie definicyą dowolnie przyjętą człowieka, jako istoty czyniącej niezmiennie to, przez co mogła otrzymać największą ilość rzeczy do potrzeby, wygody i zbytku służących, za użyciem dla osiągnięcia tego celu najmniejszej potrzebnej w bieżącym stanie wiadomości ludzkich, ilości pracy i fizycznego poświęcenia. Ztąd więc wnioski wywiedzione przez ekonomią polityczną, równie jak wnioski geometryczne, są tylko oderwanym sposobem (in abstracto) prawdziwe” (2).

Z temi głosami francuzkich i angielskich pisarzy, łączy się zdanie Niemea, Fryderyka Lista; lubo ten w inny sposób do podobnego, co tamci, zmierzał celu.

Ogólność zasad, w której inni widzieli tylko powód do stawienia ekonomii politycznej w rzędzie nauk ścisłych i odróżnienia od niej ekonomii politycznej stosowanej, List uczynił przedmiotem zarzutu; traktowa-

(1) Rossi, Cours d'économie politique, année 1836 — 37, 2-de leçon. Już w Sava: Cours complet d'économie politique, znajduje się wzmianka o potrzebie rozróżnienia ekonomii politycznej, czyli, jak ją zwąć radzi społecznej (sociale), od ekonomii publicznej (économie publique) czyli narodowej.

(2) Edinburgh Review, Październik, 1848. Nro 178. Recenzja dzieł Milla.

nie dotychczasowe nauki wziął za kosmopolityczne, i naprzeciw niemu chciał postawić swoją metodę, rozwijać ekonomią ze stanowiska narodowego. Według niego (1) Say, i wszyscy późniejsi, mówią tylko o interesach wszystkich narodów, całej społeczności ludzkiej; lecz nie roztrząsają pytania: jakim sposobem dany naród w obecném położeniu świata i we właściwych swoich stosunkach, może stan swój ekonomiczny utrzymać i polepszyć?

Pomijając kwestyą osobistą zaczepionych pisarzy, widoczną jest rzeczą, że List, jeden z elementów wytkniętych przez Ross'ego, jako mających wpływ na zmodyfikowanie wypadków ekonomii politycznej czystej, t. j. stan narodowy, wyosobnił, i usiłował dać jego teorią. Przedmiotem badań Lista było nietylko zastosowanie ekonomii politycznej do stanu narodowego pewnego kraju, np. Niemiec, ile pytanie: w jaki sposób rozdział społeczności ludzkiej na pojedyncze narody, wpływa na zmodyfikowanie zasad ekonomii? Lecz tego pytania, List stawiać nie chciał tak, jakśmy je wyrazili; opierając się na tém, że społeczność ludzka rzeczywiście tylko w podziale na narody istnieje, List dawnym zasadom, jako odnoszącym się do społeczności ludzkiej w ogóle, odmówił wszelkiej prawie wartości; i nie modyfikować je, lecz nowe zupełnie tworzyć postanowił. Jednym słowem, List zstąpił z ogółu nie do pojedynczości, lecz do szczegółu; z rodzaju do gatunku, nie do indywiduum, i jak widzimy, mogąc się wygodnie pomieścić w ramach nauki, wołał głosić, że mu w nich zaciasno, i że je rozbić potrzeba. Pierwiastek przecie, który List w ekonomii politycznej podniósł i rozwinął, jakkolwiek ważny, nie jest tego znaczenia, iżby mógł za podstawę do nowój zupełnie budowy całej nauki posłużyć.

Cóżkolwiekby, zawsze przyznać należy, że przeciwnicy nasi, mogą wyprowadzić przeciw nam do bju silne zastępy i argumentów pozornie za nimi mówiących, i pisarzy powszechnój wziętości używających. Niech jednak téj pomocy, którąśmy sami przeciw sobie przyzwali, zbyt nie zawierzają: bo zdarzyć się może, że w ciągu rozprawy znaczną część sił nieprzyjacielskich po naszej znajdzie się stronie.

Wyłożyliśmy przedwstępne argumenta, jakie przeciw zadaniu naszemu użyteby być mogły. Wystąpiły one u nas w więcej naukowej formie niż te, w której zwykle slyszć się dają; lecz wywołując je przed sąd ogólny, chcieliśmy je podnieść do téj naukowej potęgi, która jedynie jakąś wartość im nadać, i publicznego rozbioru godnemi uczynić je może. Zresztą, łatwaby było rzeczą, brzydką sójkę okazać w całej jój przyrodzonej szpetności, ogolociwszy ją z pożyczanych piórek, w których może sama siebie nie pozna.

(1) Das nationale System der politischen Ökonomie, von Dr. Friedrich List,

Gdyby nawet uznać wypadło w ekonomii politycznej cechy, mieszczące ją w rzędzie nauk ścisłych, jeszczeby z tego nie wynikło, że w rozbiórce pytań praktycznych pominać ją się godzi; że dlatego właśnie, iż zasady jej są wszędzie i zawsze prawdziwe, nigdzie stosować ich nie można. Odmienność wypadków doświadczenia, nie uchyla jeszcze zasad nauki; każdy wypadek doświadczenia, każdy czyn, winien naprzód być poddany rozbiorowi naukowemu, a dopiero nabyte na tej drodze przekonanie, że same czyste zasady nauki na wytłumaczenie go nie wystarczają, może upoważnić do dalszego dochodzenia, jakie szczególne okoliczności wpływają w danym przypadku na modyfikowanie wniosków, do których doprowadziła teoria? Lecz nie godzi się przypuszczać a priori, że doświadczenie koniecznie przyniesie wypadek od wskazanego przez teorią odmienny, a jeszcze mniej godzi się odrzucać tłumaczenie naukowe wypadku doświadczenia, zgodnego z wnioskami teorii, dlatego tylko, że jest naukowym, a zatem musi być oderwanym. Ci tylko tak czynią, którzy teorii nie znają, a nad praktyką zastanawiać się nie umieją.

Cóż mówi o tym ten sam Rossi, z którego przywiedliśmy rozróżnienie ekonomii politycznej czystej i stosowanej? Czyliż pierwszą na to tylko tak wysoko postawił, aby ją tym dalej odsunąć od zastosowania w rzeczywistym życiu? Przeciw temu owszem występuje jak najmocniej. Nie można utrzymywać, powiada „że różnica narodowości sama przez się zmienia zasady nauki” (1). Przypuszczając, że okoliczności zrządzić mogą odmienność między wypadkami doświadczenia i wnioskami teorii, Rossi nie dozwala tej odmienności zbyt daleko zachodzić, nie mniema, żeby wszelkie możliwe modyfikacje, zdolne były doprowadzić do wypadków przeciwiających się kardynalnym zasadom teorii. Używając znowu porównania matematycznego; Rossi tak się wyraża (Lekcja 29): „Można przyjąć, że jeden trójkąt jest większy lub mniejszy od drugiego, nie ma w tym niepodobieństwa; lecz gdyby kto chciał nadać szerokość linii, albo długość punktowi, zatrzymalibyśmy go mówiąc: „To już nie jest geometria”.

Tak sądzą ci nawet, którzy uważają ekonomię polityczną, za naukę oderwaną, czysto rozumową. Mniemanie to przecież wspólne p. Rossi ze szkołą Ricarda, nie jest bynajmniej powszechne i nietrudno bezzasadność jego wykazać.

Ekonomia polityczna jest nauką społeczną; przedmiot jej wchodzi w zakres stosunków i działań człowieka. Lecz gdy te działania są wy-

(1) „Evidemment on ne saurait affirmer, que le fait seul de la nationalité puisse alterer les principes de la science.“ Rossi, lekcja 32.

plywem wolnej woli, nie może w nich zachodzić podobna regularność, jaką postrzegamy w zjawiskach przyrodzenia. Dlatego ani ekonomia polityczna, ani żadna z nauk społecznych do nauk ścisłych zaliczyć się nie da. Przedmiot ekonomii politycznej nie jest czysto wysnutym z umysłu ludzkiego, jak przedmiot geometrii; nie potrzebuje ona czynić dowolnych przypuszczeń względem natury człowieka, lecz tę naturę uważa i na niej swe wnioski opiera.

Szkola Ricarda sama zaczyna te prawdy uznawać; zmierza ku ich uznaniu określenie ekonomii politycznej, dane przez p. Mill (John Stuart), jednego z najcelniejszych obecnie ekonomistów angielskich. Według niego, fenomena tworzenia się i rozdzielania bogactw, polegają na prawach natury ludzkiej, i pod tym tylko względem uważane, stanowią przedmiot ekonomii politycznej (1).

Działania człowieka opierają się na wolnej jego woli; lecz wola nie stanowi jeszcze całej istoty jego ducha. Gdybyśmy ten jeden pierwiastek wyosobnili, w działaniu człowieka, nie więcej widzieć nie chcieli nad wolny wybór z którego nastąpiło; ścieśnilibyśmy naturę ducha, i na tym gruncie, na gruncie czystej dowolności, ani ekonomia polityczna, ani żadna nauka społeczna powstaćby nie mogła. Głębsze zastanowienie nad naturą człowieka wykrywa, że każdy wybór, który on czyni, każde przyjęte przez niego postanowienie, jest wypływem całej pełni jego istoty, całej osnowy jego ducha; a tak, gdy nie samą tylko dowolność w działaniach ludzkich widzieć należy, mogą one ulegać, jakoż podciągnięte zostały pod pewne ogólne prawa.

To przeciągnięcie kwestyj ekonomicznych na stanowisko filozoficzne, nie jest naszym widzeniem. Sprowadził je sam postęp nauki. Prace p. Queteleta znakomitego statystyka belgijskiego, wykazujące tak dziwną stateczność fenomenów społecznych, które w pojedynczości zdają się zupełnie zależnemi od woli człowieka, zatrwożyły umysły lekkie i wznieciły w nich obawę: co się stanie z pojęciem wolnej woli, i czy ją za złudzenie uważać nie przyjdzie, kiedy wypadki wolnych w pojedynczości działań, w masę zebrane, ulegają matematycznemu rachunkowi i doprowadzają do praw ogólnych? Akademia bruxelska wyznaczyła komitet do rozbierania pytań, następczonych przez tak ważne zagadnienie; ciekawego komitetu sprawozdanie, jeszcze w r. 1846 akademii złożone zostało (2).

(1) Political economy, is the science which treats of the production and distribution of wealth, as far, as they depend on the laws of human nature.

(2) Quetelet: Essais de statistique morale. Bruxelles, 1848.

Ogólność praw ekonomii politycznej polega na jedności natury ludzkiej, nie oderwaną, nie taką, jaką sobie wymarzy teoretyk; ale taką, jaką wykazuje doświadczenie wieków i narodów. Tę jedność przeczyć dziś już nie pora.

Niepotrzeba ekonomistom dowolnie przyjmować, że bogactwo, dostatek, polepszenie bytu, są jedynym celem żądań ludzkich; dla niego dość jest oprzeć się na tej niezaprzeczonej prawdzie, że to żądanie, w różnych czasach i narodach mniej lub więcej silne, jest przecież stałym i powszechnym. Ogólność tej prawdy nie daje jej koniecznego zastosowania do tej lub owej jednostki, tego lub owego indywiduum: bo prawda w naukach społecznych, jak to już nazwa tych nauk wypowieda, odnosi się do ogółu, nie do pojedynczości. W tym prawa, będące podstawą nauk społecznych, różnią się od praw, którymi rządzi się przyrodzenie. I nic dziwnego: społeczność składa się z jednostek obdarzonych wolną wolą; w przyrodzeniu żaden szczegół od ogólnego prawa uchylić się nie może.

Z tego stanowiska zapatrując się na ekonomię polityczną, przyznajemy, że oderwane traktowanie tej nauki, nie jest ani potrzebnym, ani pożądanym. Zawodzi ono nieraz badacza na bezdroża, bo gdy w ciągu oderwanego badania, zapomni o jego hipotetycznej podstawie, łatwo pomiesza świat rzeczywisty z umysłową krainą swojej teorii, i wnioskiem, które tworzy, przyrzuca znaczenie nienależne im w rzeczywistości,

Tak już dzisiaj w Anglii sądzą Ricarda.

„Przyjął on, (mówi Przegląd edynburski, październik 1848 r. Nr. 178, str. 302—303), że w każdym kraju znajduje się ziemia różnego gatunku, i że przychód ziemi czyli renta, jest wartością różnicy, zachodzącej pomiędzy urodzajnością najlepszego i najgorszego z gatunków ziemi, w uprawie będących. Resztę wyplodu ziemi rozdzielił między zyski i zarobki, czyli cenę najmu. Przyjął, że najem nie kosztuje mniej ani więcej nad wartość tego, co jest potrzebnym do utrzymania robotnika i jego rodziny przy zdrowiu i zdolności do pracy. Przyjął, że z postępem ludności i bogactwa, praca rolnicza staje się stosunkowo coraz mniej produkcyjną. I doszedł stąd do następstwa: że udział w ogólnym wyplodzie ziemi, przypadający na część właściciela i robotnika, musi statecznie wzrastać, udział zaś kapitalisty, musi się zmniejszać.“

„Byłoby loicznym następstwem, i miałoby prawdę rzeczywistą, gdyby przyjęte założenia były prawdziwe. Niestety, każde z nich prawie jest mylnym. Nie jest prawdą, że dochód z ziemi powstaje skutkiem różnic w urodzajności różnej dobroci ziemi w uprawie będącej; dochód ten istniałby i wtedy, gdyby cały obszar jakiego kraju, składał



się z ziemi jednostajnej żyzności. Nie jest prawdą: że robotnik dostaje *zawsze* zapłatę, ściśle odpowiednią wysokości potrzeb życia, lub tego, co zwyczaj za takie potrzeby uważać mu każe. W krajach ucywilizowanych prawie *zawsze* dostaje daleko więcej; w krajach nieucywilizowanych czasem dostaje mniej. Nie jest prawdą: że z postępem ludności i bogactwa, praca rolnicza staje się coraz mniej wyplodną. Najlepsza uprawa zboża w Anglii, wymaga dzisiaj mniej pracy, niż wymagała jój najgorsza uprawa w tym kraju przed laty 300, lub niż dziś jeszcze kosztuje pracy, najgorsza uprawa w Polsce. (1). Nie jest prawdą: że udział w wyplodzie ziemi, przypadający na część kapitalisty, bywa najmniejszym w krajach najbogatszych. Przeciwnie, sąto właśnie kraje, w których ogólna wysokość tego udziału, jest największą.“

Nie znamy, nawiasem mówiąc, lepszego zbiecia teorii Ricard'a nad te kilka twierdzeń bez dowodu postawionych, bo dla oczywistości swojej go nie potrzebujących.

Cóżkolwiekby, wyłączwszy ekonomią polityczną z rzędu nauk ścisłych; wykazawszy, że (z niektórymi wyjątkami) nie jest i nie była traktowaną sposobem oderwanym, a ztąd, że niema powodu oddzielania nauki czystej od stosowanej (dlaczego, przecież zasady niemniej ogólnie w praktyce stosować należy); wykrywszy podstawę ogólności działania praw ekonomicznych: rozwiązaliśmy, zdaje się, zadanie nasze usunięcia wszystkich (mówiąc językiem prawnym) excepcyj, które przeciw stosowaniu ekonomii politycznej do stosunków miejscowych uczynioneby być mogły, i do tego stosowania wprost już przystąpić możemy.

Nie będziemy tu uciekać się do kunsztownych zasad naukowych, weźmiemy piérwszy lepszy, najpospolitszy, najwięcej znany ze wszystkich axiomatów ekonomicznych, ten, który powiada, że cena wszech rzeczy zależy od ich dostawy i pokupu. Zdaje się, że niepodobna, ażeby tak ważna i zarazem tak jasna prawda, miała być pominiętą z uwagi, przy rozbiorze jednego z głównych fenomenów ekonomicznych, na który uwaga każdego myślącego człowieka zwracać się winna, przy rozbiorze stosunków najmu, czyli pracy robotnika i jego zapłaty.

Tymczasem stało się przeciwnie, jak to wykazać jest właśnie naszym zamiarem.

Zapłata robotnika ulega niewątpliwie prawu ekonomicznemu, urządzającemu ceny wszech rzeczy. Lecz człowiek nie jest martwém narzę-

(1) Miejsce to dla ważności jego, umieszczamy w oryginale: „The corn now raised with the greatest labour in England, is raised with less labour, than that which was raised with the least labour 300 years ago, or than that which is now raised with the least labour in Poland.“

dziem; jeśli ma pracować, musi w wynagrodzeniu za pracę znaleźć możliwość wyżywienia się i utrzymania; a ten wzgląd, przeważnie wpływa na ustanowienie pewnego minimum, niżej którego tylko w nadzwyczajnych wypadkach, zapłata robotnika spaść może. Wzgląd ten zmniejsza cokolwiek wabianie się cen najmu; zawsze jednak zostawia aż nadto może obszernie pole do działania ogólnego prawa cen.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób prawo to działa w kraju tak przeważnie jak nasz rolniczym.

W kraju rolniczym, głównym przedmiotem pracy jest ziemia tego kraju i jej plony. Przy wzroście ludności, z postępem kultury, ogólna rozległość ziemi nieużytecznej coraz się zmniejsza, rozległość ziemi użytkowej, przedmiotem pracy ludzkiej będącej, coraz wzrasta. W czasach upadku, stosunek jest odwrotny. Czy przecież społeczność postępuje, czy się cofa, ruchy jej w oboim kierunku nie są zwykle raptowne; a tak od roku do roku nie wpływają na stosunki najmu w sposób znaczący.

Również powolnym jest działanie ulepszonych metod uprawy roli; ulepszenia te w ostatecznym wypadku, zmniejszają ilość potrzebnej pracy, a przeto wprowadzenie ich przeciwważy skutki zamiany nieużytków na ziemię użytkową. Wszakże i pod tym względem postęp jest w powszechności powolny, a tém samym wpływ na stosunki najmu nieznaczny.

Czy wreszcie rok jest urodzajny czy głodny, ilość ziemi użytkowej, będącej przedmiotem pracy, prawie się nie zmieni. Zmniejszenie zajdzie tylko wtedy, i to zwykle w mało znaczącym stosunku, kiedy w roku głodnym, nie wszyscy będą w stanie grunta swe obsiać.

Tak więc możemy przyjąć bez wielkiej chyby, że ziemia jako przedmiot pracy, potrzebuje od roku do roku równej prawie ilości rąk, a przeto na zmiany w stosunkach najmu, niewiele ma wpływu.

Inaczej się rzecz ma z drugim wielkim przedmiotem pracy ludzkiej w krajach rolniczych, t. j. z plonami ziemi; ulegają one nagłym i wpływ ogólny wywierającym zmianom.

Jeżeli rok jest tani, jeśli się dwa razy tyle zboża zrodziło co w roku głodnym, trzeba będzie dwa razy więcej zboża zebrać, dwa razy więcej związać w snopy, ułożyć w mendle, zwieźć do stodoły; dwa razy więcej wymłócić, wywieźć na targ, do młyna, i t. d. W latach urodzaju wreszcie, bydło lepiej wyżywione, da więcej nawozu, i więcej go też w pole wywieźć będzie potrzeba. Wszystko to zwiększy w ogromnym stosunku ogół pracy krajowej; a tak plony przez nagłe swe powiększenie lub zmniejszenie, mogą sprawić, jakoż sprawują wielkie wstrząśnienia w sto-

sunkach najmu. Postaramy się wysokość tego wstrząśnienia w cyfrach wystawić, położwszy do rachunku naprzód niektóre zasady.

Różnica w urodzajach rzadko bardzo bywa tak znaczna, aby w jednym roku dwa razy tyle zbierano, co w drugim; przytém nie każda z prac, których plony ziemi są przedmiotem, wzrasta w stosunku ściśle odpowiednim pomnożonej ilości plonu. Żniwo np. w roku obfitym, wymagać nie będzie pracy dwa razy większej niż ta, której wymagało w roku nieurodzaju.

Z drugiej strony, różnica w urodzajach nie może być przyjętą zbyt nisko, bo właśnie opuszczamy lata średnie, jako normalne co do stosunków najmu. Zbiór zboża podamy w kopach, bo choć urodzaje słomy i zboża nie są ściśle sobie odpowiednie, przecież mieszcząc w rachunku cyfry pod wszelkim względem za niskie, możemy bez wielkiej myłki stosunkowość tę przyjąć. Wreszcie, rzeczą jest niewątpliwą, że znaczna część prac około plonów ziemi, wzrasta w stosunku odpowiadającym powiększonej ich ilości.

Na tych założeniach oparci, wskażemy liczebnie, lubo tylko częściowo, w jak ogromny sposób wzrasta potrzeba i użycie pracy w kraju naszym w latach urodzaju.

Przystępując do tego obliczenia, żalować nam przychodzi, że statystyka rolnicza na zbyt niskim jeszcze u nas zostaje stopniu, żeby wyrachowania na nięj oparte, nawet w przybliżonym sposobie za dokładne uważać się dały. W braku przecież cyfr dokładnych, musimy przestać na tych, jakie zebrać mogliśmy, kombinując je w taki sposób, aby od rzeczywistości zbyt nie odstępowały.

Królestwo polskie ma rozległości okrągło biorąc 2,300 mil kwadratowych. Podania statystyki różnią się co do ilości włók ziemi ornęj; w przecięciu można ją przyjąć na 360,000 (1).

Gospodarstwo trzypolowe, tak znacznie jest jeszcze przemagające, że je bez wielkiej myłki wziąć można za zasadę obliczenia rodzajów uprawianego zboża; a tak przyjmujemy:

że trzecia część 360,000 włók czyli włók 120,000, przypada corocznie pod zasiów oziminy;

że tę samą ilość gruntu zajmują pola jare;

(1) Kalendarzyk polityczny na rok 1844 podaje (str. 23 części 2giej), rozległość królestwa na mil  $\square$  2,320, czyli włók 757,893, z czego na grunta orne przypada włók 370,933; na lasy 210,379; na łąki 97,971; na wody i drogi 78,610. Cyfry urzędowe podają na rok 1843 roli ornęj włók 358,317; na rok 1846 włók 366,638 $\frac{1}{2}$ . P. jeszcze ciekawą statystykę rolniczą królestwa w Korrespondencie Gazety Codziennęj na r. 1849.

ostatnia trzecia część wreszcie ugoruje.

Włoka zawiera morgów trzystoprętowych trzydzieści, lub licząc na morgi dwustoprętowe, jako powszechnie w gospodarstwie używane, morgów takich 45. Liczba zatem dwustoprętowych morgów pola, corocznie w kraju naszym obsianego oziminą, będzie 5,400,000.

Wziąwszy za podstawę rachunku inne elementa statystyki, jakoto: podaną ilość wysiewów, ilość zbiorów, zboże potrzebne do wyżywienia ludności krajowej, z dodatkiem tego, co się staje przedmiotem wywozu za granicę, do tych samych mniej więcej dojdziemy wypadków, z tą zawsze uwagą, że raczej zanizko przyjęte okażą się.

Według tych danych, trzeba będzie wielkiego nieurodzaju, żeby ilość zebranych kop oziminy, średniej więzi, wyniosła mniej niż 7,000,000. Przyjąwszy tę ostatnią cyfrę, samo wymłócenie takiej liczby kop, pracą ręczną, zajmie dni roboczych 14,000,000.

Ilość tę dni zajętych zmniejszyć jednak wypadnie, z uwagi na skrócone prace, około omłotu przez zaprowadzenie młocarni.

Zwróciwszy znowu uwagę na to, że cała ludność włościan i mieszczan, trudniących się uprawą roli, młocarń nie używa: że dotąd większa część folwarków nie jest w nie zaopatrzona: że tam nawet gdzie się znajdują, często, zwłaszcza w latach nieurodzaju tylko do wymłotu na zasiów są używane; że wreszcie i młocarnia ręki ludzkiej potrzebuje: nie uczynimy zbyt niskiego przypuszczenia, przyjmując, że  $\frac{1}{10}$  ogólnej pracy około omłotu zboża, oszczędzoną jest przez młocarnie, w latach nieurodzaju, a tak liczbę dni roboczych, potrzebnych do omłotu samej oziminy, ustanowimy na nasz kraj w roku nieurodzaju na 12,600,000.

Licząc na człowieka w przecięciu dni roboczych na rok 250, wypadłoby, że omłot zboża ozimego, przedstawia w kraju naszym w roku nieurodzaju całoroczną pracę ludzi najmniej 50,400.

Dodając połowę téj ilości na jarzynę, będzie summa ogólna ludzi młocką zajętych w roku nieurodzaju 75,600.

Porównajmy z temi wypadkami cyfry lat urodzajnych. Przyjąwszy powiększenie się zbiorów w tych latach, w kopach tylko o  $\frac{2}{7}$ , co nie jest wiele, gdy lat średnich nie mamy tu na względzie, będzie liczba dni potrzebnych do omłotu oziminy 18,000,000. Przypuściwszy, że powiększona czynność młocarni, oszczędzi w takim roku nie dziesiątą, lecz dziewiątą część pracy około młocki, wypadnie liczba dni omłotu 16,000,000; a tak omłot ten przedstawiać będzie całoroczną pracę ludzi 64,000, a z dodatkiem zboża jarego ludzi 96,000.

Przyjąwszy powiększenie się urodzaju o  $\frac{3}{7}$ , cyfry te dojdą 71,200 i 106,800 ludzi.

A tak wypadnie, że sama młocka w roku urodzajnym potrzebować będzie najmniej o 20,000 — 30,000, ludzi więcej, niż w roku nieurodzajnym (1).

Obliczmy teraz, ileto pracy przyczyni w roku urodzajnym sama wywózka zboża na targi. Spójrzmy na te jednokonne furki, zalegające wszystkie nasze trakty i urągające ulepszonemu stanowi komunikacyi, lichym swoim czterokorcowym ładunkiem. Wciągnijmy w rachunek, ile to z powiększoną ilością zbioru i obfitszym zapasem ziarna, przybędzie zmarnowanego czasu, którego wartość włościanin utracą, czekając na zmienie przywiezionego do młyna półkorca. Zastanówmy się, ileto zajmie czasu wywózka na pole zwiększonej, przy lepszym utrzymaniu bydła, ilości nawozu, odbyta wózkami, mieszczącymi w sobie mało co więcej, od dobrych taczek. Gdy te i tyle innych stosunków gospodarskich weźmiemy pod uwagę, przekonamy się dopiéro, o jak ogromną ilość potrzeba pracy, większą jest u nas w roku tanim, niż w roku drogim.

Lecz gdy potrzeba pracy wzrasta, wzrasta i jój żądanie czyli pokup. W stanie ludności przecież, pracą około roli i jój plonów zajętej, od roku do roku nagła nie zachodzi zmiana; a tak ogół pracy, którym rolnictwo rozrządza w roku urodzajnym, żadnego nie dozna powiększenia. Ilość pracy w targu będącej, czyli ofiarowanej za najem, zmniejszy się nawet znacznie, gdy włościanin obok powiększenia się pracy w domowym gospodarstwie, mniej znajdzie czasu do pracowania za domem. A tak, gdy pokup pracy w latach tanich jest większy, dostawa zaś mniejsza, ceny najmu idą w górę, i brak najemnika, w większych zwłaszcza gospodarstwach, czuć się daje. Przeciwnie, w latach głodnych, najem mniej jest poszukiwany, a ceny mają dążność do spadnięcia, miarkowaną cokolwiek potrzebą zapewnienia exystencyi robotnika.

W latach nieurodzaju powszechna objawia się staranność prywatnych i rządu o otworzenie zarobków dla klass ręczną pracą zajętych, młocarnie ustają i wykonywają się prace niepodobne do wykonania w latach tanich.

(1) Cyfry téj, nikt nie weźmie za mało znaczną, kto zważy na stosunek ludności robotczej, oddanej ciężkim pracom, do ogółu ludności krajowej. Wszystkie fabryki w kraju zatrudniają w okrągłej cyfrze 46,000 ludzi; wszystkie rzemieślniostwa 75,000, a wieleż to jeszcze wchodzi w tę cyfrę niedorostków i kobiet? Dziesięciu ludzi, w naszym rachunku przedstawia 2,500 dni pracy, co niemałym jest wsparciem dla obszernego nawet gospodarstwa. Ogólna oszczędność lub pomnożenie pracy przez nieurodzaj lub obfitość, daje lub odejmuje tę pomoc kilku tysiącom wiosek.

Wszystkie te atoli środki, zaledwie dostateczne są do zatrudnienia ludności roboczej: bo różnica potrzebnej ilości rąk w gospodarstwie w roku tanim i w roku drogim, tak jest wielka, że zbywającą w latach ostatnich ludnością, nie stodołę wiejską postawić, ale piramidy egipskie budować, i nie kawałek rowu dla osuszenia łąki wybić, ale takie kanały, jak Augustowski kopaćby można (1).

Zamiast tych wypadków na doświadczeniu i teorii opartych, jakież zdanie upowszechniło się u nas? Co czytamy dziś jeszcze w pismach z powszechnym prawie poklaskiem przyjętych?— Oto stosunki najmu, przez nas wykazane jako normalne, kładzione są na karb lenistwa włościan, których, gdy jeść co mają, do pracy nakłonić ma być niepodobna! O głównej zaś, stanowczej przyczynie podrożenia i braku najmu w latach tanich, trudno doczytać się i słowa.

Nie łatwo uwierzy temu czytelnik, nieobeznany z przedmiotem; obwini nas może o przesadę; przytoczymy więc wyjątki dosłowne, z jednego z pism gospodarsko-ekonomicznych, znacznej wziętości używających.

Oto co w niém czytamy:

*Że łatwość wyżywienia daje u nas wielką potuchę lenistwu, że przez to główną jest przyczyną braku najemnika, tego mamy najlepszy dowód w latach nieurodzaju, albo podczas tak zwanego przednowku. Wówczas liczba robotników najmu szukających, mnoży się w cudowny sposób, tak, że się dziwić wypada, z kąd się ich tyle wzięło, kiedy ich w innej porze wcale niema?"*

Zdziwienie o którym tu mowa, ustałoby zapewne, gdyby zamiast puszcząć refleksyą samopas po wypadkach, starano się poznać wzajemną ich zależność i związać je w jeden łańcuch rozumowania; gdyby pamiętano o tém, że stosunki ekonomiczne, są stosunkami ogólnokrajowymi, że więc nie można poglądać na nie ze stanowiska partykularnego, ze stanowiska Wólki lub Woli, lecz że je z punktu widzenia ogólnokrajowego uważać należy. Nie skarżonoby się może wówczas tyle na brak najemnika, na niedostatek ludności, lecz uznanoby ze wszystkiemi gospodarzami, którzy mieli sposobność porównać gospodarstwo krajowe i zagraniczne, uznanoby ze światłemi wydawcami Roczników Gospodarstwa Krajowego, że u nas ludności około roli pracującej nie brakuje,

(1) Około kanału Augustowskiego, budowanego głównie przez sześć lat (1825 — 30), pracowało 5—7,000 ludzi rocznie. Przyjmując średnią ilość 6,000 i rachując, że roboty trwały co rok przez siedm miesięcy, wypadnie ilość catorocznej pracy ludzi 21,000. Jestto ilość więcej, niż pokryta różnicą pracy około samej młocki w latach tanich i drogich.

że jest jój stosunkowo więcej nawet niż w Anglii, lecz że nieoszczędność, nieumiejętne użycie, jedném słowem marnotrawstwo pracy jest głównym powodem kłopotu, w jakim się często znajduje gospodarz. W dzisiejszych stosunkach wiejskich, to właśnie jest główną wadą, że do marnotrawstwa pracy, dają pochop i zarazem bacność od niego odwracają. Nie może być dziełem jednej chwili złemu zupełnie pod tym względem zaradzić, nigdy przecież złe usunięciem nie będzie, jeżeli przyczyny jego nie wskażemy tam, gdzie się rzeczywiście znajduje.

Nie czytaliibyśmy równie i tych słów po części przeciwnych piérwszym, po części sprzecznych ze wszystkiém, co najświetlejsi dzisiejsi ekonomiści utrzymywali i utrzymują.

„W Anglii, we Francyi, w Niemczech” mówią nam, „mnóstwo jest ludzi nic nieposiadających i z głodu prawie umierających, których na zarobki wypędzać nie trzeba, bo sami ich szukają; gdyż głód miejsce włodarza najskuteczniej względem nich zastępuje (1)... ale u nas, w Polsce, nie mamy dotąd tego szczęścia posiadania milionów ludzi nic nieposiadających i ciągłym prawie głodem zagrożonych”.

Do czego zmierzać może ten przesadzony obraz? — istotnie nie pojmuję i radbym w nim widział tylko igraszkę dowcipu piszącego.

Wyjąwszy jedną Irlandyi, która przecież nie jest Anglią, nie wiem, gdzie są te miliony ludzi nietylko ciągłym prawie głodem zagrożonych, ale co większa, rzeczywiście już z głodu prawie umierających; wiadomo mi owszem, że ludność robotnicza wiejska lepiej bez porównania jest wyżywioną i utrzymaną w krajach wymienionych, niż u nas. To tylko jest prawdą, że w krajach tych więcej niżeli nasz przemysłowych, mianowicie zaś w Anglii, w której ludność przemysłowa większą jest od ludności rolniczej, ubytek zarobków w roku nieurodzaju, nie jest stosunkowo do ogółu pracy krajowej tak znacznym, jak u nas; a gdy i plony ziemi nie stanowią stosunkowo tak znacznej, co u nas części kapitału obrotowego, którego posiadanie jest warunkiem użycia pracy, łatwiej więc niżeli u nas ten ubytek zastąpić.

Gdy tak dwa stosunki stanowiące o cenie najmu, t. j. żądanie jego i ofiarowanie, dostawa i pokup, stateczniejsze są niżli u nas; względ ekonomiczny chcący mieć, aby robotnik w wynagrodzeniu za pracę, miał zapewnioną dla siebie i swój rodziny możność utrzymania się i wyżywienia występuje wybitniej, i nie dopuszcza zbytniego wabania się cen najmu.

(1) Według piérwszego z przywiedzionych ustępów zdawałoby się przecież, że i u nas głód czasami włodarza w szlachetnych obowiązkach wyręcza.

W takimto kraju mógł Ricardo uczynić założenie, że cena najmu z natury swój utrzymuje się w wysokości, zapewniającej robotnikowi i jego rodzinie utrzymanie się przy zdrowiu i zdolności do pracy.

Lecz nawet w Anglii założenie Ricarda nie okazało się zupełnie prawdziwem; zbijali je Ramsay, Tooke i inni. W tym kraju, zresztą, przesilenia handlowe i przemysłowe wpływają na ceny najmu silniej może, niż głód lub urodzaj.

Więcej zbliżony jest do położenia naszego stan innych krajów.

We Francji np. prawo ekonomiczne cen, stawiające je w zależności od dostawy i pokupu, odzyskuje w stosunkach najmu zupełną przewagę.

Patrzmy co mówią o tém Buret (*De la misère des classes laborieuses en Angleterre et en France*), i cytowany przez niego Droz (*Economie politique*).

„Najczęściej”, mówi Buret, (rozdział VI) „w latach nieurodzaju zniżają się ceny najmu, a nawet następuje zawieszenie pracy; która wówczas właśnie więcej bywa ofiarowaną: chyba, że spekulacya zechce korzystać z drożyzny, aby wymóżyć na robotnikach obniżenie najmu, przeciw któremu głód nie dozwoli im się opierać. Cena najmu, mówi Droz, nie stosuje się do cen żywności; w czasach głodu widzimy jak współubieganie nędzy, zmusza robotników do proszenia się o robotę za najlichszą zapłatę”.

Buret przesadza jak zwykle; miałko zastanawia się on nad stosunkami ekonomicznymi; i nie dlatego przywiedliśmy go tutaj, aby w nim tłumaczenia faktów ekonomicznych szukać, lecz jedynie, aby nam ogólność tych faktów zaświadczył.

Nikomtu przecież za granicą nie przyszło na myśl w lenistwie i apatyi ludności roboczej szukać tłumaczenia faktów ekonomicznych, które istniałyby nawet wtenczas, gdyby w całej ludności nie było ani jednego leniwa. Wykroczone tam raczej w przeciwnym kierunku; chciano złe zwać na przemysł, na spekulacyę, jedném słowem na klasy wyższe. Ta różnica w sposobie zapatrywania się sprawiła może, że stosunki najmu te same u nas co za granicą, za wcale odmienne uważać zaczęto.

Ze ten lub ów mając kartofli i chleba podostatkiem, woli w domu zostać niż wyjść za najem; że w roku tanim mając sobie ofiarowaną zapłatę taż samą lub nawet wyższą, niż ta, której chciwie poszukiwał w czasach drożyzny, nie przestaje na niej, lecz żąda więcej: sąto fenomena z natury stosunków ekonomicznych wypływające, które zjawić się muszą wszędzie, gdzie ceny najmu są przedmiotem wolnej ugody, lecz które do zarzutu lenistwa przeciw całej klasie ludności roboczej, nie dają jeszcze powodu. Na ogólny stan ekonomiczny, lenistwo tego lub owego mało wpływu wywiera; jeśli w latach tanich niektórzy nie chcą pracować, za to ogół ludności w tych latach lepiej wyżywiony, silniejszym jest do



pracy, i nędza mniej chorób sprowadza. Ubytek pracy, powstający z lenistwa części ludności, którą, jak mówi nasz autor, głód tylko albo władarz do pracy z domu wypędzić potrafią, znajduje w tych stosunkach dostateczną przeciwwagę.

Okoliczność, że w latach urodzajnych praca rolnicza niezmiernie się powiększa, a przecież prawie zupełnie wykonana zostaje, najlepiej wykazuje bezzasadność zbyt ogólnie uczynionego zarzutu. Gdyby przedmiot nie był za poważny, dodalibyśmy przecież w zakończeniu, że oskarżeni mogliby oskarżającym dać taką odpowiedź, jaką w dowcipnej komedyi Beaumarchais'go daje Figaro hrabi Almaziva:

„A ce compte la combien des maîtres trouveriez vous, qui fussent dignes d'être valets?”



# LISTY MIŁOSNE

## Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA.

PRZEZ

*Hazi. Dł. Wojcickiego.*

---

**N**asi powieściopisarze są w wielkim zawsze kłopotcie, gdy przyjdzie w obrazie upłynionej przeszłości przedstawić polskich kochanków. Nie mając zasobów historycznych, tworzą ideały do niczego niepodobne, postacie zupełnie nie rodowe; to naciągane kolorytem ekliwój sentymentalności niemieckiej, to czułości francuzkiej, nie mającej w sobie ani prawdy, ani rzeczywistego uczucia. Inni znowu, co niby więcej przeczuwają przeszłość, przedstawiają polskie dziewice tak zimne, tak bez uczucia, iż зда-je się, że sąto raczej automaty, które się poruszają na głos tylko rodziców, lub na brzęk kluczy, aby miejsce szafarki w domach staropolskich zastępować.

Ze jak jedni tak drudzy błędzą, pomniki dziejowe stawiają nam na to dowody.

Kiedy w XVIIym wieku ogłada włoska, wraz z literaturą i sztukami pięknymi do nas zawitały; widzimy już obok całej prostoty, serenady wyprawiane dla swoich bogdanek. Pisano miłosne do nich liściki, posypywane złotym piaskiem, na które uroczę i wabne Polki umiały odpisywać, i w nich określać swoje uczucia.

Język miłości do razu się wykształcił, i w literaturze wiele cudnych pomników zostawił.

Ale nie o tak dalekiej przeszłości mamy mówić: zatrzymamy uwagę nateraz nad listami romansowemi z czasów Stanisława Augusta.

W starych papierach, do przejrzania mi danych, w paczce oznaczonej, iż kiedyś należały do Zakrzewskiego, sławnego a zacnej pamięci prezydenta miasta Warszawy, był zwitek razem związany, w którym oprócz

innych nie nieznaczących, znalazłem 13 listów, jedną ręką pisanych. Po przeczytaniu ich pilnym, okazało się, że te listy są pisane przez pannę do kochanka, i że są pisane w czasach panowania Stanisława Augusta: a co najważniejsza, że stanowią całość pewną. Imię i nazwisko tej czulej dziewczyny są niewiadome, równie jak nazwisko kochanka.

Dramacik ten miłosny odbywa się to w jakimś klasztorze (1), gdzie autorka nasza zapewne na wychowaniu była; to we wsi *Karwaczu*, gdzie ubóstwiony *Franulek* przemieszkiwał (2). Że ów *Franulek* miał znaczenie niemałe, pokazuje się, że pan łowczy *bardzo go szanował* i wysoko cenił, pani łowczyzna pisywała do niego w interesie utrzymania stosunków romansowych z naszą nieznaną bohaterką (3), pani sędzina zaś (4) ułatwiała zbliżenie się kochanków, bo zabierała pannę z klasztoru do siebie, i z nią razem do onego *Franulka* zjeżdżała na obiady.

Marychna, służąca panny, przносиła listy, lub gdy napisać nie mogła ani słów kilka, wysyłała ją do kochanka, aby mu ustnie zlecenie lub troski swój pani opowiedziała (5).

Ale jak prawie w każdym romansie są przeszkody, i tu w tej zapamiętałej miłości, główny wróg występuje. Jest nim jakiś *D!* okrutny. Przed nim zaleca kochankowi ostrożność w przysyłaniu listów, dla niego widzieć się z nim nie może.

Otoż wszystkie wiadomości, jakie zebrać mogliśmy o bohaterach całego dramatu; przystępujemy więc teraz do podania w wiernym a sumiennym odpisie listów, w których najlepiej się nam maluje nieznaną autorka.

## I.

„Pomyślności większej nie mam nad tę, gdy mam sposobność te kilka liter wyrazić, przez które mogę się cokolwiek statecznemu sercu przypomnieć i oddać się, bez którego ja ledwo żyję... I nie wiem co dalej po-

(1) „Nie tęsknij, jutro w klasztorze będziemy się widzieli” (list 3).

(2) W królestwie polskim jedyna jest wieś *Karwacz*, położona w dawnym województwie plockim, obwodzie i powiecie przasnyskim. Wedle *Tabelli* r. 1827 wydanej (Tom I str. 199), miała 32 dymy, i 222 ludności wiejskiej.

(3) „Łowczy do nóg ci upada: dziś pisał, że ma przyjechać z Warszawy, i prędko nie pojedzie w Sandomierskie” (list 3).

„Łowczyzna płacze co tęskni (po wyjeździe męża) i słaba, że na mszę nie mogła jechać. Jutro można z listem przystać, to da respons” (list 7).

(4) „Jmć Pani Sędzina przystała po mnie, która jutro będzie u ciebie. Dostało mi się tego szczęścia, mogę wyrazić, że najmilszego” (list 6).

(5) „Chociaż sama być jutro u ciebie nie mogę, to aby Marysię posyłam, która ci wszystkie moje umartwienia opowie, lepiej jak wyrazić w liście” (list 6).

czne, gdyż w tak ciężkich zostają tęsknościach i martwieniach; możesz się domyśleć, jeżeli w podobnych zostajesz, ale ja daleko bardziej, bo nietylko przez oddalenie, że się widzieć z osobą nie mogę, ale i korespondować mi zabroniono do ciebie, moje serce kochane. Proszę moja panienko kochana, donieść mi o swoim zdrowiu, w jakim możesz zostawać. Na co tu mocno ubolewam, że nie mogę wiedzieć; o tamtym interesie (?) nie piszę, bo się obawiam, ale jeżeli ci się to zdaje, tak jak do ciebie w domu pisała, to tak zrobimy. Moje serce najukochańsze! miałabym ci co donieść, tylko, że listowi nie kredytuję, i sposobność mi też skróca; tém się tylko kontentuję, że mogę ci przez tę literę zastać serdeczne uściskanie i ucałowanie po milion milionów razy. Adyje moje najukochańsze pieśczoty! mój aniołku najzdobniejszy! moja rybko najgustowniejsza! mój F (ranulku) najpiękniejszy! mój najukochańszy na świecie, i nad wszystko! Adyje, adyje, adyje! ach nieszczęśliwe adyje!"

(na boku dodano)

„Jeżeli byś do mnie pisał, to niech Marychna nauczy tego człowieka, i niech osobno ten list od ciebie odda, żeby mi go oddał; tylko żeby D! nie wiedział!"

Z tego pierwszego listu jasno widzimy, że już dawniej *gorąca* (jak nazywali starzy Polacy) miłość, zajęła serca młodych, że przeszkodami jątrzona zapal powiększała, co popiera następny list.

## II.

„Że twoje oświadczenia mocno mnie kontentują, wierz mi, że i ja niczego sobie nie życzę, jak cieszyć się z tobą. Ta moja największa szczęśliwość, kiedy mogę na ciebie patrzeć, i miłe twoje usteczka serdecznie ucałować: jak że nie można osobiście, to przynajmniej przez literę po milion milionów razy ściskam serdecznie miłe usteczka i oczęta, i rączki i wszystko, mój w życiu nad wszystko najukochańszy Franulku, moja najmilsza panienko, moje ukochane pieśczoty, moja pociecho, moje jedyne delicye, moja najgustowniejsza rybko! Adyje, adyje do prędkiego obaczenia, gdyż i ja mocno tęsknię bez ciebie, moje kochane serduszko!"

W trzecim liście opisując niewypowiedzianą radość, z odebranego listu od Franulka, zapewniając go o stałej swjej miłości wśród największych przeciwności: takie; w końcu dołącza wiersze:

„Uważ Boże sercem władający,  
W oddaleniu afekt mój gorący;  
Stateczności przyjm serca ofiary,  
Niech twe będą rekompensą dary.  
Ja gdy nadzieją cieszę moje troski,  
Ty nie desperuj, minie wyrok Boski”.

Pan Franciszek snadź, że pocieszał kochankę w strapieniach, że budził w niej nadzieję szczęścia, że zaklinał, aby nie płakała tak często: bo ona tak mu odpisuje:

„Proszę moje serce, niech cię nie martwią moje łzy, bo nie pochodzą z tego, żebym się miała obawiać, że się odmienisz, tylko, że cię tak dawny czas (sic) nie widziałam, i z tego mocno mi tęskno; rozumiem, że już sto lat, kiedy cię momentu nie widzę, tak cię niewypowiedzianie kocham, że radabym się zawsze cieszyć z tobą, i spodziewam się wzajemności. Być wesolą nie mogę, chyba jak moje najmilsze pieczyoty obaczę i ucieszę się z niemi. Adyje moja najukochańsza pociecho! Spodziewam się prędko widzieć z tobą”.

Pan Franciszek widać donosił kochance o jakichś ciężkich umartwieniach, bo ona w następnym liście (V) dzieląc je, pociesza strapionego.

„Gdy ty zostajesz w tak ciężkiem umartwieniu, cóż rozumiesz o mnie, gdzie ja daleko w większych zostaję tęsknościach? bo nic mi nie jest milego bez ciebie, i nic sobie pomyślniejszego nie zakładam na świecie jak szczególnie cieszyć się z tobą. Przynajmniej mi się tak zdaje, że nikt lepiej nikogo nie może kochać, jak ciebie. Teraz cię serdecznie listownie ściskam, a w niedzielę sama cię uściskam i ucałuję. Adyje, bywaj zdrów kochanku”!

Na ten list odbiera odpis; i tak się z tego powodu wyraża:

„Dopieroć cokolwiek ożyła, jak odebrałam ślicznej rączki charakter, który mnie mocno ukonsolewał; a cóż dopiero, gdyby osoba! O! takby mi się szczęśliwą w tym punkcie poczytać przyszło! Pisziesz moje serce, żebym nie tęskniła. Jak to można bez tego nie tęsknić, co jest komu na świecie najukochańszego? Tak ja bez moich pieczętów ledwo nie umieram, i te tylko mnie w mojem życiu cieszą”.

W umówionem miejscu mieli się kochankowie widzieć; ale cieszyli się próżną nadzieją, bo wróg *D!* stanął na przeszkodzie.

„Ledwie mi (pisze) te kilka liter wyrazić przed łzami, których żadnym sposobem uspokoić nie mogę, a to z téj przyczyny, że mi się zapewne miała widzieć z tobą, widzieć moja jedyna pociecho! Teraz nie mogę się widzieć przez *D*, bo nie odjedzie chyba we środę, a tak te dni w umartwieniu przepędzę: bo gdy cię nie widzę, ledwo nie umieram, spokojnego snu nie mam, bo zawsze o tobie myślę”.

Po tym liście nastąpiło widzenie się, a pan Franciszek chciał nowych zapewnień miłości od swój kochanki. Ta mu zaraz odpisuje:

„Bądź o tém upewniony mój w życiu i nadewszystko na świecie najukochańszy Franulku, że wszystkie moje żądze i myśli są o tém szczególnie, żebym cię pozyskała na zawsze, jak najprędzej szczęśliwe dni

i momenta z tobą przepędzać, i kochając cię tak niezmiernie i niewypowiedzianie, że życie i wszystko gotowam dla ciebie dać: i gdybym całego świata widziała piękności, żadnymby sobie nie obrała do gustu; żeby cię między niemi nie było, tobym wszystkimi pogardziła, bo mi się na świecie nikt nie zdaje piękniejszy nad ciebie. Przymiłem ci miljonowe zasylam uściskanie i ucałowanie, mój śliczny aniołku, moja panienko na świecie najpiękniejsza i nad wszystko najukochańsza i najgustowniejsza rybko! moje serduszko kochane, moje pieszczoty najmiłsze, moja pociecho kochana! Adyje!”

Z listu następnego widać, że przejęto korespondencją panny, na co wpływał ów przesładowca *D!* Zabroniono jęj nietylko widywać się z kochankiem, ale i pisywać do niego, a jak sama wyraża: „cieszenia się z literą twoją”.

W końcu wyraża:

„Bądź tego pewien, że cię tak niezmiernie kocham, że pomyśleć nie mogę, żeby cię kochać nie miała. Rozumiem, żeby mnie wszystkie nieszczęścia ogarnęły, i póty nie przestanę, póki tchu stać będzie we mnie. Jeżeli nie wierzysz teraz, to potem uznasz”.

W następnym powtórzenie tych zażaleń, a snadź ten jakiś *D!* dobrze panny pilnował, bo przed nim nawet listu od kochanka przeczytać nie mogła. Znalazła jednak chwilę na danie odpisu na bilecik pana Franciszka, w którym donosząc jęj o swojej chorobie, wyraził, że list jęj był dla niego uzdrawiającem lekarstwem. Cieszy się z tego niewymownie biędne dziewczę, i tak kończy swój list pełna radości:

„Nic w mojem życiu pożądanieszego, miłszego, szczęśliwszego być nie sądzę, jak tego kochać, temu być wierną, i gdyby można poprzysiądz, kogo kocham i on mnie wzajemnie. O! jak częste mi nocy na bezsennych przychodzi trawić myśleniach, jak wiele razy w mych zamysleniach przychodzisz mi na oczy! Chwytam odecknąwszy się, tylko sen, mara; przynajmniej i ta miła, gdy najukochańszego przed oczy stawia”.

Uderza teraz godzina rozwiązania naszego dramatu. Ów *D!* nienapróżno działał: postanowiono rozdzielić kochanków, przerwać między niemi wszelkie stosunki, a pannę wywieźć w dalekie strony, aby zapomniała swój miłości. Na samym odjeździe, nieszczęśliwa skrycie pisze pożegnanie.

Na tym ostatnim liście, znać wielkie wzruszenie, i rękę drżącą, i łyż rzewne. Ze kształtu liter, z bladości i braku atramentu, widome: pośpiech nadzwyczajny, tajemnica, i wzruszenie.

Mój Boże! ileż jęj serce cierpieć musiało, ile uczuwało boleści! Patrząc na ten list, cała się jęj niedola wyczytać daje.

Posłuchajmy go w całości:

„Ostatnie czynię na tym moim nieszczęśliwym wyjeździe pożegnanie, przy którym milionowe zasylam uściskania i całowanie. Zważywszy wszystko, mogę się policzyć między nieszczęśliwemi! Więcej pisać nie mogę, bo się zalewam łzami, których żadnym sposobem zatrzymać nie mogę. Adyje! bywaj zdrów i łaskaw; już cię żegnam mój najmiłszy kochaneczku! Adyje sercem ukochane pieszczoty!

„Przyjdzie mi cię pożegnać napót z płaczem,  
Bo się podobno nie zaraz zobaczem;  
Z płaczem ci mi z płaczem pożegnać z tobą,  
Wolałabym się cieszyć zawsze twą osobą.  
Miłe w kupie zabawy nam obojgu były,  
Teraz przykre chwile, co nas rozłączyły”.

Co się dalej stało? Czy ów zły *D!* był tylko prześladowcą dla interesu, czy się kochał w pannie i z nią się ożenił; czy bohaterka nasza z żalu umarła, lub została żoną innego, albo też wstąpiła do zakonu, w którym będąc na wychowaniu, poznała pierwsze uczucie tak mocne miłości; czy ubóstwiony przez nią Franulek przeżył smutne rozłączenie, i czuły jak *Adolf Kropińskiego* skonał z miłości:— to zostawiamy naszym powieściopisarzom do domysłu i sprawdzenia. My kończymy nasze badania, i pewni jesteśmy, że jeżeli nie wszyscy, to *Korzeniowski* i *Kraszewski* wdzięczni nam za nie będą.



# POCZĄTKI FILOZOFII KRAJOWEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

*A. Tyszyńskiego.*

---

**Z** rokiem nowym zaczęliśmy rok środkowy naszego stulecia. Tak niedawno witaliśmy jeszcze początek tego naszego stulecia, i oto oglądamy już środek. Czyżo idzie czas naszej ziemi. Czas ten przed wiekiem niedawnym, albowiem przed kilkudziesiątkiem dopiero stuleci, dla jakichś celów zaczęty, goni do nich przez chwile, dni, wieki, a z każdym dniem, każdą chwilą, tłum tworów, tłum nowych zjawisk wyrzuca nieznanych od dni stworzenia. Czas ten i nas też ukazał, i przyniósł na nasze chwile. Dziedzice pośród stworzenia *myśli*, dziedzice *pojęć*, zamysłamy się dziś i pytamy: cóż jest ta cała przeszłość, która tak znikła? ta cała przyszłość nowa, która ma nadejść? jaki związek masz z niemi? jak mamy przebyć te doby, na które przyszliśmy?

Sądzymy, iż nie możemy lepiej uczcić, użyć tej chwili, jak czyniąc i ponawiając przed sobą równą treść pytania. W treści tej, tkwić właśnie musi i część odpowiedzi.

Znamy wszyscy plody myśli ludzkości od jej zrodzenia, i znamy, iż plody te lubo plody jednej i téjże ludzkości w różnych okresach, nie są jednak jednej i téjże cechy wewnętrznej w każdym okresie. Wiek nasz, nie jestto ów np. wiek dawny ziemi pierwotnej, gdy ludzkość jej, jakby ludzkość—dziecko, nie wiedząc jeszcze co jutro, co istnieje dzisiaj, dopytywała się tylko u matek nazwisk istnących rzeczy, pierwotnych czasów stworzenia, legend przeszłości. (*Wschód*). Nie jestto ów równie wiek młody, gdy żywość chwili kazała jej zapomnieć na przyszłość, na wszelką przeszłość, a czcić tylko, pieścić swe dzisiaj (*Rzym i Grecya*).



Doba nasza w nową moralną cechę ludzkość dziś przyodziła; po dziecinnym i młodym, ludzkość ta wstępuje już dzisiaj w okres swój męzki. Wzrost ciała i pełność myśli sąto cechy wieku męzkiego; szybkość ruchu w zmianach zewnętrznych, głębszość myśli w drodze wewnętrznej, muszą być przeto cechami tego okresu (1). Żyjemy dziś w ogóle ludzkim przez rok jak przez wieki, łączymy się z podstopcami naszymi jakby stojący obok, a w naszej moralnej stronie, w jej płodach, *rozważa* i *zamyslenie*. Ludzkość czuje, że już przebyła lata swe młode, i że się przybliżyła do czasu swoich rozwiązań. Myśl o żywocie przyszłym, przemianach, o śmierci wieków, wstępuje dziś mimo woli we wszelki umysł téj ziemi. Wszelki twór z ducha dzisiejszego idący (*z ducha żywego*), cechę tę nosi. Przeszłość, czujemy to żywiéj niż kiedy, znika nam, aby nie wrócić; obecność będzie dla nas jutro przeszłością; przyszłość tylko, i stosunek nasz do niéj taki lub inny, jest jedynie rzetelném naszym dziedzictwem. Bodźcem naszych nauk, dociekań, nie jest już dziś, jak niegdyś *ciekawość* lub tylko *śródm chwili popis*, ale ich *cel*. Umiejętność w drodze swéj głównej, szuka dziś pierwiastków stworzonych rzeczy, jednéj ogólnej formy istnienia, *zadania* jéj. Nauka w gałęzi swéj kaźdój, patrzy najprzód na swe *związki* z innymi, na ostateczne swe *końce*; dzieje kraju lub krajów, zajmują się wykładem ich *missyi*, prawa budową *utopii*, religie śledzeniem swych *proroctw*, a sztuka w utworach swoich odbija ten ruch i te dojścia. Nauka, która o źródle, związku i celach stworzonych rzeczy w uosobieniu względów tych mówi, która dotykając spólnego pierwiastku znanych przez ludzi rzeczy: *poznania*, czyni rozbiór zasad poznania; nauka ta (filozofia) zawstydzila się także z innymi swoich oderwań, swéj dawnéj istoty, i w téj przemianie, w nową *rzeczywistości*, oraz *żywych stosowań* przeszła już fazę.

Mówić o téj nauce i téj jéj fazie, jestto więc wchodzić w sferę pytań, o których rzekliśmy. Faza ta (jak to wnet ujrzeć mamy) w ostatnim swym kroku, właśnie na pole myśli naszej krajowéj przypadła. Mówić o filozofii krajowéj, o jéj początkach: jestto więc bezpośrednio się znaleźć *śródm owéj sfery*.

Początki te filozofii naszej czyliż jednak już są? a filozofia, ta własność myśli nie ludu, ale ludzkości, czyliż być może? i czyliż zwać się ją godzi krajową?

(1) Przy końcu zeszłego wieku (że się tu poprzemy na chwilę jednym przykładem), pierwsze np. zwołanie we Francyi zgromadzenia *Notablów* i pierwsze wydanie w Niemczech pisma „*Kritik der reinen Vernunft*”, dwa te fakta tak brzemienne blizką przyszłością w dwóch owych kierunkach, prawie w jednym roku przypadły.

Ludzkość byt wiedzie przez doby, a te doby, moralne jak i fizyczne, przez czynność szczególnych ludów odznacza. Wszelki lud, lubo członek jednej i téjże ludzkości, jak ma odmienny język, cechę moralną zewnętrzną; tak odmienne ma tło czyli pole swój myśli, swą cechę moralną wewnętrzną. Pole to w danym mu czasie, już z gruntu, już z ziaren *wziętych*, plonem swym i kwiatem plonu zabłyska; lecz ziarno, które wydaje, jest martwém dla tego pola, i w roku drugim iżby w nowy urosło, na sąsiednie (jak to jest w świecie fizycznym) przejść musi. Kwiat więc myśli danego narodu, ten nowy, czasowy moment w dziejach ogólnego myślenia, nie może oznaczonym być jaśniej jak nazwiskiem tegoż narodu.

Wnet ujrzymy, przez jakieto doby i fazy odznaczała przebieg swój filozofia, jak i jakie przez upływ wieków odznaczyły je ludy szczególne; tu wzmieńmy tylko: że już pisarz ksiąg świętych zawartych w Biblii, dostrzegł był i zapisał, że mądrość przez narody przenosi się (1), że czynność ta, która już była jawną za dawnéj epoki, tém jawniejszą być musi za nowéj epoki, za epoki dobitniejszego wyrobienia się krajowości, i rozwijającego się w ogóle dziejów drobiazgowiej i żywiej ich biegu; i wreszcie, iż okres ostatni który w rozwiciu się filozofii żywotność swą i odrębność, jawnie objawił, był w kraju dla nas sąsiednim, w Niemczech. Kraj Niemiec był ostatnim sród dziejów moralnych ludzkości, który rośliną swój myśli, wyraźny w nich moment odznaczył, który ją wzniosł, rozwinął, i kwiat jój wydał; kwiat ten jednak już wydał (2), i spadkobierstwo ziarna

(1) A będąc (mądrość) jedyna, wszystko może, i w sobie trwając, wszystko odnawia, i przez narody w dusze święte się przenosi, przyjaciół Boże i proroki ustanawia. *Księgi Mqdr. VII, 27.*

(2) Publikacje filozoficzne niemieckie, z ostatnich lat kilku, o ile je tu znamy, lub o nich czytamy, pomimo swą obfitość i sobie właściwą cechę, tak przebytego okresu myśli jak pracy, w gruncie jednak już nie ową żywotność kłosa do kwiatu biegącego, jak niegdyś, lecz tylko widok raczej opadających listków i pokwiatowy zamęt nam dają. Publikacje te są poświęcone wyłącznie prawie monografiom swych dawnych (od *Leibnitza* począwszy) mistrzów, sporom o ich pierwszeństwo, walczeniu, (i to najczęściej) z zasadami, ostatnio u siebie najpełniej rozwiniętego systemu (Hegla) i t. p. Kiedy przed parą laty jeden z pisarzy naszych, mówiąc o filozofii niemieckiej, filozofią tę ze stanowiska wypadków systemu Hegla potępiał; oceniacz jego, redaktor literacko-krytycznej gazety Berlińskiej, (filozoficznego postępu u siebie czujny świadek) w tych słowach między innymi odtrącał to potępienie: „Gdyby nawet, mówił, zarzuty które autor uczynił Heglowi były zasadne, zarzuty te stosować się nie mogą do filozofii niemieckiej, bo z Heglem nie umarła ta filozofia, bo nowa droga którą odtąd duch niemiecki postąpił, da nam zapewne wkrótce nowy systemat. (Wenn die Vorwürfe, die der Verfasser der Hegelschen Philosophie macht, auch alle gerecht wären, so hätte er damit noch keineswegs bewiesen, dass Hegel in Lösung einer im speciell zu-

innemu ustąpić musi.—Środki, sąsiedztwo, położenie ziemskie, wymagana nowość plemienia, to spadkobierstwo, tę kolej ku naszej zapewne przed innemi wskazują stronie;—jakoż przed czasem już nawet pewnych wyjaśnień, przed wypuszczeniem nawet tych kielek, o jakich rzecz mamy, po germańskich i po romańskich, głos powszechny pokoleniom słowiańskim dobę przyjscia na kolej tę wróżył.—Staramy się nie podzielać uprzedzeń i nie dzielimy bynajmniej téj wiary, jaką niektórzy z najbardziej nawet żywotnych pisarzy naszych (*Prelekye, Modlitwa P. i t. p.*) dziś objawiają: iż okres kwiatu myślenia ludów słowiańskich, ma być okresem osiągniętego już ostatecznie poznania prawdy i przyjscia prawdy. Wiareg równą mieli właśnie filozofowie germańscy o swym okresie; wiara ta więc zamiast wzorem, byćby raczej powinna dla nas przestroga. Filozofowie niemieccy, po rozwinięciu, po przeprowadzeniu moralnego zadania swego (t. j. rozbioru *myślenia*) przez wszystkie koleje, odcienia: doszli w końcu (a dojście to było właśnie wypadkowym ziarném okresu ich), iż po dwóch różno-barwnych w dziejach ludzkości walki z prawdą okresach, naznaczonym jest dla tych dziejów trzeci:—zwycięstwa prawdy; zarazem zaś wnieśli i uwierzyli: iż zwycięstwo to ma właśnie dopełnić okres germański.—Brzmia nam jeszcze w uszach teorye, teorye ustawodawstwa, sztuki, religii, zasad myślenia, wszystkich słowem gałęzi rozwicia ludzkości tak nowo i żywo przez momenta swych dziejów przeprowadzane, a w których stan ich kwiatu, na fizyczno-moralne pole narodu Niemiec stanowczo był oznaczonym. Teorye te jednak przeszły, raj (dotąd przynajmniej) nie przyszedł, i oto świadkami jesteśmy, iż pokolenia nowe z żywymi równie, i owszem z żywotniejszemi jeszcze środki na kolej nad-

getheilten Aufgabe Philosophisches Denken nicht dennoch wesentlich gefördert, am aller wenigsten aber, dass es mit deutschen Philosophie nur überhaupt zu Ende sein; er hat Ahnung davon, dass dem deutschen Geist eben hierdurch eine neue Bahn des Wissens geöffnet sein könnte, eine Bahn, auf welcher die Verständigung zwischen Christenthum und Philosophie *vielleicht* nicht länger ein frommer Wunsch bleiben würde). Wróżba ta, krytyka co do filozofii niemieckiej czyli się spełni?—nie jest jeszcze wiadomém; sam jednak wyznał w ten sposób, iż doskonalszy i nowszy pośród téj filozofii, od Hegla system, jest dopięro przedmiotem wroźby. System Hegla był bez zaprzeczenia, ze swój istoty i rozwinięcia, kwiatem filozofii niemieckiej; a jedna i ta sama roślina, nie wydaje po dwakroć kwiatu. Recenzent uczyniłby trafniej, gdyby w tym razie na tę raczej dostrzeżoną i zapisaną (o rozwiciach moralnych ludzkości) przez samego Hegla regule, raczył był wspomnieć: „Dem Volke, dem solches (t. j. kwitnący) moment als natürliches Princip zukommt, ist die Vollstreckung desselben in dem Fortgange des sich entwickelnden Selbstbewusstseins des Weltgeistes übertragen. Dieses Volk ist in der Weltgeschichte, für diese Epoche, *und es kann in ihr nur einmal Epochē machen, das Herrschende*”. *Hegel's Werke VIII. 347.*

chodzą. W owém przejściu, docieczeniu okresu, zdobyte zapewne zostały i tkwiły dwie wielkie cnoty, t. j. *Nadzieja* i *Wiara*;—w tém jednak, jak we wszystkiém brak był trzeciój, która jest główną; która jest nad inne żywotną, a którą jest: *Miłość*. Teorya, która kłaść każe swe plemię za ostateczne, najwyższe, ma za grunt swój *egoizm*, nie miłość. Chcemy strzedz się, iżbyśmy nie budowali także docieczeń na równym gruncie.

Jeśli wszakże wierzymy co do nas, iż w owym okresie nowym, okresie prawdy, lud wszelki równy i równoczesny udział mieć ostatecznie musi; iż skutek ten (t. j. ów okres) nie jest tak nagle blizkim; iż owszem nietylko jeszcze niejedno plemię téj ziemi, lecz nawet niejedna część ziemi zdobywanie jego przeciągnie: nie zaprzeczamy wszakże bynajmniej (i owszem wiarę tę piérwsi nawet ile wiemy, w języku naszym objawiliśmy) (1), iż plemię przychodzące po drugiem na kolej działania, postępnie ją musi spełnić i silniój koniec przybliżyć; iż *język*, *olbrzymiość* pierwiastków wszelkich (t. j. w *różnych* kierunkach), *czas*, *położenie* i zarazem objawiona ostatnio wyraźnie *żywość* moralno-duchowa, wskazują, iż dla owój kolei moralnej czas wreszcie Słowian już przyszedł.

Wiara, sztuka, społeczność, poznanie i t. p., każda z tych gałęzi rozwoju ludzkiego mają odznaczyć, objawić w szczegółach swoich ten okres: my mamy tu mówić tą razą o ostatniej z nich tylko; sfera jój jednak obejmuje téż lubo pośrednio i sferę poprzednich.—Kraj nasz od wieków już szczęściu i więcéj, albowiem od początku prawie obudzonego u siebie myślenia, zajmował się uprawą i kształceniem zasad myślenia (filozofii); przez przeciąg tych wieków kilku, każdą zmianę sobie społeczną tego kształcenia, w krajowych i znakomitych nawet nieraz utworach, odbijał. Wszakże w latach dopiéro ostatnich kilku, drogę jedynie przerabiań i odbić porzucawszy, a wypadkowe ziarna ostatniego okresu moralnego za ziarna źródłowe przyjąwszy, odrębniejszą téż jawnie a żywo na polu tém myślą zabłysnął: Jeśli przeto, chcąc tu dotknąć i mówić o ostatniej fazie filozofijnej, nie o innéj, możemy mówić jak o krajowej; chcąc mówić o filozofii krajowej, nie możemy dziś jeszcze mówić jak o jój początkach. —Początki te, obfity wprawdzie jak na początki, i w różnych kierunkach roli zabłyśnięty dają nam widok; lecz mając rzecz o piérwszych po większój części krokach i pracach naszych pisarzy, pisarzy przeto, których całość zadania, znaczenia, jeszcze nie jest nam znana: zajmować się tu raczój będziemy charakterystyką pism, nie pisarzy, i nazwiska ich nazwiskami tych pism, nie zaś właściwością własnych ich nazwisk, będziemy oznaczać.

(1) Bibliot. Warsz. z r. 1841, mies. wrzesień. *Rys Ośw. Słow.* w oddziale: *Wnioski ogólne.*

Pisarze, którzy w ostatnich latach, lubo nie wszyscy (jak wszędzie pisarze filozoficzni *przejścia*) językiem krajowym, w końcu jednak najobszerniej krajowym piszący; którzy w pismach swych ową odrębność, myśl żywą, pewną cech nowych łączność i stanowisko spólne odznaczyli, a o których rzecz mamy, są:

Autor filozoficzno-matematycznych pism w języku francuzkim, oraz *Prodromu Messianizmu i Metapolityki Messianicznej*, którego od ostatniego, głównie tu należącego pisma nazywać będziemy *Autorem Metapolityki* (autor już ukończonój, jak się zdaje, missyi: *Hoene Wroński*);

Autor dzieła w języku niemieckim *Grundlage der Universellen Philosophie 2 t. i Vorstudien zur Wissenschaft der Natur*; oraz w języku krajowym, między innymi: *Pedagogiki 4 t. i Systemu krajowój Loiki 2 t.* którego tu nazywać będziemy *Autorem Loiki*;

Autor *Prolegomenów do historiozofii* w języku niemieckim i kilku pism w języku francuzkim, którego tu od ostatniego jego pisma (w języku krajowym) *Modlitwa P.*, nazywać będziemy *Autorem Modlitwy*;

Autor *Początków filozofii chrześcijańskiéj*. Tomów II;

Autor *Filozofii i krytyki*;

Autor *Odpowiedzi* (zmarły już ks. *Choloniewski*) i t. p.

O pismach tych chcąc uczynić uwagi, przedstawić krytykę ich (ocenie), powinniśmy zacząć zapewne od przytoczenia ich treści; wszakże uwagi, sąd wszelki o daném piśmie, przedmiocie, o tyle być skuteczniejszym mniemamy, o ile ten sam się jest zdolnym utworzyć w umyśle czytającego, w skutek przedstawienia przedmiotu; tę krytykę być żywotniejszą sądzimy, która się nietyle dowodząc i rozbierając, ile raczej wskazując dopełnia: iżby przeto treść i znaczenie tych pism, o których rzecz mamy, przedstawiły się jaśniej, winniśmy wskazać najprzód czego następstwem były, to jest z jakiego mianowicie moralnego rozwicia wyszły, czém było, i jakie koleje przebywało owo rozwicie?

Potrzebę przedstawienia téj drogi tém konieczniejszą widzimy, iż przedstawienia dziejów zasad myślenia, t. j. uprawy ich (filozofii) chociażby w rysie, nie mamy jeszcze prawie w naszym języku (1).

(1) Nauka *historii filozofii* stworzoną została, i dotąd prawie wyłącznie była i jest uprawiana w Niemczech: *Brucker, Tiedeman, Tanneman, Hegel, Ritter, Ernst Rejnhold* i t. p. W języku naszym mamy skrócenie Tannemana (T.2) przez *Rzezińskiego*. Książka ta rzetelnego szacunku pod względem przedstawienia całości i wskazówek źródeł, uważa jednak filozofią jako naukę metod poznania, metod przygodnych, i stroni od zastosowań w wykładzie, jakby od zbrodni filozoficznój.

Przed skreśleniem więc owéj treści i uwag, przedstawić tu najprzód musimy, *rys dziejów filozofii* od jéj początku.

W rysie tym nie powiemy tu może nic, coby obcém być miało znawcom tych dziejów, oraz tych głównych utworów, które wydały; ostrzedz winniśmy wszakże, iż mając *określać* naukę, ze sfery którój, jest już i samo *określenie*, za metodę w tém określaniu przyjmujemy względ na ową frakcyą w nauce téj, która jest jedną z ostatnich, a którój przymiotem jest *stosowanie*.

Nasz *rys* czyli rzut oka na filozofią w rozwiciu jéj, dopełnimy tu przeto w ten sposób: iż wskazawszy na momenta jéj główne utworów które dały kierunek i stworzyły owe momenta, przytoczymy treść krótką; w treści téj wskazywać będziemy na te szczególnie rysy, które są odrębnością i właściwością utworów danych; rysy zaś te upatrywać i wybierać będziemy nie ze sfery metod i dyalektyk, ale raczej wypadków, to jest ze szczegółów *stosowane* pośród systemów punkta stanowiących.

A najprzód więc, filozofia o dziejach którój rzecz mamy, czémże jest? gdzie oraz? i w jaki sposób ukazał się jéj początek?

Filozofia (w najprostszym i najjaśniejszym znaczeniu tego wyrazu), jestto poznawanie umysłem stworzonych rzeczy, dociekanie więc ich istoty, ich prawdy; nie jestto przyjmowanie pojęciem prawd już gotowych, to jest idących z przekazu czyli tradycyi, albo z bezpośredniego natchnienia czyli objawienia i t. p., ale ich *dociekanie*.

Dociekamy *rozwagą*; filozofia jest więc kształceniem i objawianiem się naszej rozwagi. Rozwaga w życiu ludzkości tego zbiorowego człowieka, nie przyszła razem z nią na świat (1), jak nie przychodzi u pojedynczego człowieka; początków więc filozofii nie możemy szukać sród pierwszych czasów nastania ludzkości, a nawet sród pierwszych czasów obudzenia się wzrostu myślenia pośród ludzkości. Piérwszém źródłem poznania naszego, kiedyśmy byli dziećmi, była tylko, jak to wiemy wszyscy, nauka matki i *pamięć*; piérwszém źródłem poznania ludzkości być musiało (i było) tylko *podanie*. Okres moralny *tradycyi* w dziejach ludzkości, było ów wielki okres, który fizycznie rozpoczynawszy powrót rozpadłéj na jednostki ludzkości do jéj jedności, z jednostek tych poksztalił był najprzód jednostki zbiorowe (kraje), i wydał był piérwsze ustawy i piérwsze religie. Wydane przez okres ten księgi, dotąd przetrwały (jak *Wedy* i *przykazania Manu* u Indyan; *Zendawesta* u Persów; *Księga Y* i *cztery Konfucyuszowe* u Chińczyków; *Sanchoniaton* Fenicyan; *Pięcio-ksiąg Mojzeszowy* i t. p. równocześnie prawie lubo w krajach niewiedzących się

(1) Przez *świat* rozumiemy tu jego bieg już zaczęty.

wzajem o sobie powstałe, wybitną a wszystkim im wspólną cechą zewnętrzną i wewnętrzną są odznaczone. Zewnętrzną ich cechą jest wykład nie dowodzący, ani dociekający, lecz wprost szereg prawd pewnych i faktów moralnych i fizycznych przedstawiający; wewnętrzną zaś cechą jest treść, której podobnej żaden następnie okres nie wydał. Treścią tą były wszędzie wzmianki o ziemi początku, opisy tworzenia się jój (genesis), sił które poprzedziły jój utwór, kosmogonie i teogonie czyli rodosłów Bogów (t. j. Boga i duchów podrzędnych), wykład stosunków człowieka do owych sił, czyli ustawy religijne, ustawy życia i t. p.

Po okresie tym, nastął był dla pierwotnej ludzkości wiek jój pierwszych lat młodych czyli *fantazyi*, to jest: okres bujania nad inne siły moralne, i bujania nad wszystkie późniejsze czasy, pośród życia ludzkości, *fantazyi*. Byłto ów okres przemiany pierwotnych podań na *mitologie*, stworzonych nieb i podziemi, okres na ziemi *piramid* i *obelisków*, wruszania harmonią dźwięków lasów i skał, pierwszych *poematów* hobaterskich, pierwszych *dramatów*, stworzenia *gatunków* poezyi i t. p.

Po tych wiekach dopiero nastął był czas, pewnego już wzrostu *rozwagi* w duchu ludzkości; a fakt ten objawić się musiał nowym moralnym okresem, t. j.: okresem rozumowań i badań, czyli *dociekań*.

Te przemiany okresów i wieków, przypadły już były w czasach, kiedy, jak rzekliśmy, ludzkość z obszernej różności, poksztalciwszy się na jednostki zbiorowe (szczególne ludy), już przez łączność *danego ludu*, bieg swój odbywać miała.

Do straży i rozwijania prawd pierwotnych z okresu tradycyi, do straży ich, mimo twardość następnych wieków, wybranym był lud *Hebrajski*; wiek dziwów nieba i ziemi, *fantazyi*, uosobiły i przekazały nam głównie, ojczyzna epopei olbrzymich i massy potwornych bożyszcz:— *azjskie Indyje*; wiek *dociekań* rozpoczęła i rozwinęła była w pełni, a przed innemi,— *Grecya*.

*Grecya* byłto lud, mówiąc faktycznie, naznaczony, wybrany do uosobienia pierwszych lat młodych ludzkości. Lud ten odbit był w części i okres *fantazyi*, czas wesołej gry wyobraźni, pierwszych szlachetnych uniesień; lud ten wszakże, biegiem już wieków, pochodzeniem plemiennym, zamieszkiwania miejscem, oddalony od pierwszych tradycyj, a z sercem czującym prawdę oraz pragnącym prawdy, poznanie jój mógł już tylko zdobyć, rozpocząć *rozważą*, t. j. przez *dociekanie*.

*Rozwaga*, ta jedna z sił moralnych rośliny ludzkiego życia, jest także rośliną w sobie, i w rozwiciu swém wszelkie doby każdej innej rośliny

moralnej przebywać musi. Pięrszą dobą myśli człowieka, jest, jak właśnie uważaliśmy, *pamięć*. Pięrszą dobą wzrostu rozwagi musi więc być także pamięć, a pamięć podniesiona do względu, do stopnia rozwagi, jakoby pamięć złożona—*doświadczenie*. Rozwaga pogardza dalej tém swém criterium, pięrszém, pół-obcem, gdyż wzrasta i sądzi *sama*; lecz chwila ta pięrsza jój sądu, jest dobą jeszcze sądu jakoby o pięrszej swój sile, czyli sądu pod przewagą *chwili* zostającego. Rozwaga na tym stopniu będąca to tylko ma za istotne, co widzi w chwili; to za uczucie wieczne, co czuje w chwili; temu tylko słowem wierzy, co widzi, dotyka i t. p., czyli temu, o czém jój mówią zmysły. Sąd jój rośnie, a doba jego pełności, jest téż dobą pełności i kwiatu rozwagi (o ile myśli). Rozwaga w nowój téj dobie wzgardza więzami momentu, z punktu unosi się w przestrzeń, z chwili w czas, odrzuca świadectwo zmysłów, i przechodzi w kraj nadzmysłowy (umysł), i wreszcie nad-umysłowy nawet (*idei i ducha*).

Trzy te doby, odznaczają przebieg rozwagi; trzy te doby (t. j. uosobiające je naukowe trzy systemata filozoficzne: *doświadczalny*, *zmysłowy* i *umysłowy*) odznaczać téż muszą, przebieg całości nauki filozoficznej w rozwiciu ludzkim, przebieg na skalę mniejszą każdego okresu jój oddzielnego.

Filozofia śród Grecyi, mówiąc ze stanowiska jój wypadku, kwiatu jój (Arystoteles), miała zapewne za zadanie swe główne, wyrobić i odbić pięrszą filozoficzną fazę, t. j.: *empiryzm*; lecz mówiąc ściślej, była to całkowita faza w pełni swój doby rozwita, musiała więc jako wszelka ludzka, wszystkie téż myśli i zasad myśli odcienia, w całości téj odbić, wyrazić.

Wschód Grecyi, miejsce stykające się z resztą Wschodu, ludami Azji (Jonia), byłoto pięrsze miejsce ukazania się nowego kierunku z nową cechą wzrostu myślenia. Mędracy powstali w téj stronie, zetknięci z wiekiem tradycyi, zwracali się jeszcze głównie w swój myśli do czasów pierwotnych ziemi, przyczyny ziemi bez innój jednak wiary, jak w własne zmysły lub umysł; za jedyną porękę prawdy, t. j. jój dojścia przyjmowali fakta poznane, i wsparci świadectwem cząstek, za jedyną przyczynę i źródło, a zatem i ostateczny cel rzeczy i świata, uznali tylko grę, istotę żywiołów:— za pierwiastek ten (jakoby Boga ziemi) kładąc naprzemian już *wodę*, już *ziemię*, *powietrze* i t. p. (*Szkoła jońska*; szef *Tales*).— Lud który tę naukę postyszał, naukę nową, dał mistrzom swym w podziwieniu nazwisko *mędrców*; lecz mistrze ci, rzetelnie umysłem wyżsi, czuli i wyznali to sami, iż nie znawcami są jeszcze, lecz tylko miłośnikami prawdy, i zamiast *sophos*, przyjęli tylko nazwisko *philosophos*.



Od faktów obserwacji ogólnej, myśl grecka postąpiła była wnet dalej, do ich rozbioru; i biorąc przed sobą przedmioty w stanie ich danym, a wyróżniając je od przestrzeni i czasu, zwróciła wnet pierwszą uwagę *na chwilę i ilość*. Szkoła, która zaczęła i rozwinęła była ten rozbiór (*Italska; szef Pythagoras*) w liczbie, ilości, uznała *jestestwo żyjące*. Poznanie liczb położyła za źródło, za zasadę wszelkiego poznania. Same występki i cnoty, według niej, byłyto liczby (cnota była jednością, występki wielością). Dążenie (które było obowiązkiem każdego) do cnoty, doskonałości, byłto dążenie z wielości do jedności i t. p. Szkoła ta dotknęła zewnętrznych granic przestrzeni i czasu, a jako poprzednia (jońska), rozpadła się czyli rozwinęła dalej na wielkie gałęzie umiejętności, rozbiegające istotę ciała, jako: *fizykę, nauki przyrodzone i sztukę lekarską*;—tak *italska*, stała się dalej źródłem *nauk matematycznych*.

Cobykolwiek dotknęły, objęły zmysły, i jakbykolwiek pojęły zwrócone do całości natury, istotę natury: to jednak wśród tej całości pojętej przez zmysły, będzie zawsze brak tej reszty całości, która zewnątrz jest zmysłów; brak będzie np. przyczyny zmysłów, brak tego, o co wśród przestrzeni i czasu nie uderzają te zmysły i t. p. Wzgląd na to powiódł do uznawania, badania nadzmysłowej strony natury, a zwrot ten drodze dociekań w Grecji dał *Xenofanes*, i odbiła go szkoła zwana *eleacką*, tudzież jedna z jej odnóg: *megarska*. Nauką tą, to jest główną zasadą nauki Xenofanesa (a ztąd i szkół z niego idących) było: iż gdy świadectwo, które nam dają zmysły, jest tak ułomne jak zmysły, a przeto jest ułudą, fałszem i jakby niebytem; zatem i wszystko to, co pojmujemy przez zmysły, równie jest w sobie niebytem. *Ruch* np. *wzrost, koniec, początek, czas, liczba, ciała* (mówiła ta szkoła), jestto rząd ułud. Rzeczywistością wśród świata jest jedynie *tożsamość, trwanie, i wielka jedność* (Hentopan).

Rząd moralnych badaczy wśród tych dróg i kierunków zbudzonych, coraz się mnożył. Jedni z nich (jako *Leucyp*) uważając same dusze w ich oderwaniu za zbiór żyjątek, których objawem są: *ruch, ciepło, myślenie* i t. p., posuwali do ostatnich punktów i mgnień zapatrywanie się materialne, i wydali szkołę nazwaną *atomistyczną*; inni odrywając się znowu od chwil i punktów, szukali przeciwnie przyczyn i skutków w całościach przestrzeni i czasu, i już wskazywali na byt człowieka, jako tułacza z nieba, a jakoby wygnanego czarta (Empedokles), już na ciągłą obecność *jednego ducha* szykującego (*Anaxagoras*). Największość jednak wkrótce zajmując się badaniem moralnym, już przez naśladownictwo, za cel główny nauki brać zaczęła samą naukę, zamiast dojść prawdy, popis; patrząc nie na cel dowodzenia, ale sposoby dowodzenia, zajmowała się wynajdywaniem jedynie formuł, któremiby wszystko stwier-

dzie i wszystko zaprzeczyć się dało. Filozofia w ten sposób na tej swój drodze przeszła z badania prawdy *w gmatwanie prawdy*, z pierwotnego twierdzenia i rozjaśnienia, w przeczenie bytności jakiegobądź prawdy. Lud uczący się spostrzegł, i wkrótce tych nowych mędrców (jak *Protagoras, sorgias* i t. p.) twórców wniosków pozornych, t. j. biorących jedynie za podstawę *formułę, fałsz*, zamiast *sophos*, obelżywém nazwiskiem *sophistos*, (Sofistów) mianować zaczął.

Smutny ten dla nauki upadek, stał się też jednak zarazem źródłem jój podźwignienia. Śród świata, który ma byt i istnieje, istnieć też musi prawda taka lub inna. Bytność rzeczywistą jest w sobie, wątplenie więc wszelkie jest fałszem. Prawda jedną jest, i do poznania jój dojdą tylko te drogi, które są z prawdy. Tak rzekł uczeń Anaxagora, *Sokrates*, i natchnął miłością prawdy, a duch ten (miłości prawdy), nowém życiem i siłą, leżące w myśli ludzkiej pierwiastki, rozwinął. Wiek uczniów Sokratesowych i bezpośrednich następców ich, był wiekiem najświetniejszym okresu myślenia śród Grecyi. Okres ten odznaczyli zwłaszcza dwaj spadkobiercy moralni, i uprawcy (śród tego ducha nowego) dwóch owych kierunków, które odznaczyły były szkoła *italska* i *eleacka*, t. j. materyalnego i idealnego—dwaj zarazem przedstawcy najwyższego wzniesienia myślenia jako myślenia, czyli dociekania starożytnego: *Plato* i *Arystoteles*.

Żaden zapewne z pisarzy greckich, pisarzy dawnych, nie był tyle w ostatnich czasach przez przekład na wszystkie mowy żyjące rozpowszechniony, tyle jużto w ogólnych, już szczególnych traktatach i dziełach badany i rozbierany, jak *Plato*; żaden jednak równój wartości i żywotności pisarz, nie był przez swych spółczesnych i blizką potomność mniej uczutym i ocenionym. Najznakomitszy z uczniów Platona, *Arystoteles*, wznosił właśnie wprost przeciwny Platonowemu systemat. Żadna szkoła nie przeciągnęła śród kraju nauki Platona. Pisarze tak spółcześni jak i potomni, przez wieków kilka umieli go tylko wspominać, potępiając lub szydząc (1). Platon błysnął był jednostkową myślą śród swego

(1) Pisma greckie w ogóle mało obejmują wzmianek o Platonie, każde jednak prawie, jak powiadamy, jest na niekorzyść; tak np. *Dyonizyusz Halikarnaski* w liście do Pompejusza o *Herodocie, Tucydysesie, Platonie* i t. d. szydzi z słów napuszonych i nadętego stylu, a razem czezości zasad Platona; o dyalogach jego głównych, jak *Parmenides, Gorgias, Hippias, Protagoras* i t. p. mówi, iż były nie z przekonania, lecz tylko przez zawisć dla tych, których imiona noszą, a którzy byli poprzednikami Platona, pisane.—*Ateneusz w Biesiadzie Mędrców, (Eruditi viri coenantes)*, wspomina, iż gdy przyjaciele Sokratesowi obchodzili pamiątkę śmierci swojego mistrza, a przybyły tu *Plato* wznosił toast do *Apollodora*, dając

czasu, dla odznaczenia tylko całości w rozwitój tarczy myślenia; lecz myśl ta w innych wiekach dopiero przyjęcie i miłość pozyskać, i skutek wyrzćć miała.

System *Platona* był wpływem systemu *Xenofonesa* co do zasady, a *Zenoua* z *Elei*, twórcy niedługo przedtém *dyalektyki* czyli sposobu dowodzenia przez starcie się zdań przeciwnych, co do metody. W prawdach głównych był system ten odbiciem nauki bezpośredniego mistrza *Platona*, *Sokratesa*. *Sokrates* owszem tyle nam tylko prawie jest znany, ile dał poznać go *Platon*.

System *Xenofonesa* (z odniesieniem do prawd *Sokratesa*), był przez *Platona* rozdrobnionym, wzniesionym, sprawdzonym i do wszelkich szczegółów świata rozwiniętego, zastosowanym. *Dyalektyka*, którą czynił ten rozbiór i wykład, była przezeń za główną pomoc i środek poczytywaną. „*Dyalektyka* w dociekaniu, mówił, jest tém, czém jest bóstwo wśród świata, to jest, iż rozkłada i składa rzeczy światowe.”

*Platon* wykładał i rozwinął system swój w *Dyalogach*. System ten nie ma nigdzie w *Platonie* wykładu organicznego, i tylko domyślnym być może. Rysy wszakże, które w tym systemie wyraźne są, i pewny ogół, który się ująć daje, są następane:

Świat ten, to wielka jedność (*Hentopan*). Jedność ta stoi. Świat ten, co do nas, częścią poznajemy *myslą*, częścią *zmysłami*. To co poznajemy *zmysłami*, jest przyczyną naszego omamienia raczćć, aniżeli poznania. *Zmysły* nasze ograniczone są chwilą, miejscem, swoją naturą śmiertelną: to wszystko więc o czém nas uczą, musi równie być ograniczonóm, ułomném. *Przyroda* zewnętrzna rusza się, więc ukazuje się nam coraz czémś inném. To jednak, co się nam zdaje *ruchem*, *rośliną*, *zwierzęciem*, *dniem*, *rokiem*, to są tylko różne stopnie *wszech trwania* i *wszech jedności* w swém odniesieniu do naszych *zmysłów*. Rzeczywistością pośród natury jest *wszystko*, cząstki złudzeniem; każda rzecz jest cząstką całości, więc cząstką siebie: więc wszystko jest témże, czém cząstka (1).

zrozumieć, iż nic przez ową śmierć nic nie stracili; *Apollodorus* odtrącił z oburzeniem toast i rzekł: iż wolałby wziąć truciznę z rąk *Sokratesa*, jak wino z rąk *Platona*. Inny przytacza: iż gdy *Platon* opowiadał raz sen w którym widział, iż ptak, który siedział na głowie *Sokratesowej*, przeleciał na głowę jego, ktoś z słuchających rzekł: iż byłoto oczywiście wróżbą, że miał w swych *dyalogach* tysiące głupstw głowie *Sokratesowej* przypisać.

(1) ...„ergo, „mówi np. *Plato* w głównym *dyalogu* swym o *ideach*”; si nunquam alterum in eodem est, nihil est ex iis qui sunt, in quo per aliquod tempus ipsum alterum erit. Nam si per aliquod tempus sit in aliquo, per id tempus in eodem

Kiedy spojrzymy w źródło lub inne ciało polarne, widzimy tam zwierzęta, rośliny, domy, przedmioty, barwy, a jednak to *omamienie*; kiedy zamknijemy oczy, a senna mara nas spotka, widzimy przed sobą ludzi i rozmawiamy z nimi, a jednak to *omamienie*; przedmioty i rozmowy na jawie, to tylko dłuższy i wyższy stopień omamienia.

W świecie wszakże jest, tkwi jakaś prawda; prawdę tę, jakże poznać możemy? O czém uczą nas zmysły, jest, jak już wiemy to, fałszem: prawda więc jest nie w świecie zmysłowym czyli zewnętrznym, ale w wewnętrznym. Prawdę poznać możemy więc tylko *myślą*, a nie zmysłami. To tylko, o czém nas uczy *rozum*, jest prawdą (1). Świat rzetelny jest przestrzeń, która jest jedną. Czas rzetelny jest trwanie;— prawdą więc jest: ich łączny, spólny pierwiastek, pierwotny *powód*, *idea*. Wszystkie rzeczy, zjawiska świata, sąto objawy *idei*, lub mówiąc językiem ludzkim, *częstek* i *zrodzeń* téj idei (ideów); jedném z takich zrodzeń (ideów) jesteśmy sami (dusza człowieka).

Ta była ogólna zasada systemu Platona; przechodząc jednak w dialogach, traktatach, do szczegółów rzeczy praktycznych, musiał się stawać i w sądach więcej praktycznym. W sądach tych, musiał schodzić i mówić do uczuć codziennych i pojęć codziennych, a wykład ten czynił zawsze ze stanowiska owych ideów (idealnego). Plato wierzył w początek świata, lecz przeciw najpowszechniejszemu twierdzeniu swych poprzedników, zaprzeczał, iżby go wydały żywioły. „Twierdzić, iż przyczyną świata są elementa, mówi *Sokrates* w dialogu *Phaedon*, jestto to samo, co twierdzić, że dlatego siedzę w więzieniu, iż mam kości i nerwy; co innego jest *treść*, a co innego *przyczyna* rzeczy.” Świat stworzyła owa *idea pierwotna*, Bóstwo. Dusza ludzka, to żywa częśćka owéj idei; lecz upadła, na świat wygnana, na wygnaniu połączyła się z ciałem. Dusza ludzka w swojej pierwotnej ojczyźnie, jak boża, była wszystko wiedzącą; związana światem, *przypomina* tylko swój stan poprzedni; przypomnienie to źródłem jest główném nauk i sztuk. Jeśli nas spotka forma w owym czasie nam znana, taką formę, ten przedmiot zowiemy *piękność*, i budzi w nas *miłość*. Stopień dobywania z siebie przypomnień, jest stopniem wzniesienia wiedzy, poznania naszego. Ten stopień o tyle się wznosi, o ile przemagamy moc zmysłów, które nas łudzą. Prawdziwy mędrzec niczego tyle nie życzy, jak zupełnego wyjścia zpod władzy zmysłów, t. j. tego

ipsum alterum erit... sequitur: unum ab iis qui non unum, et quae non unum ab uno per ipsum alterum altero esse nequeat”. *De idels, seu, de uno rerum principio*. (Przytaczamy tu przekład łaciński, jako wierny, a powszechniejszego użytku).

(1) „Śmieję się z twego *rozumu*, a wierzę tylko świadectwu *moich zmysłów*”, rzekł *Dyogenes* do *Platona*. „Sam więc świadczysz, że masz tylko ostatnie”, odpowiedział mu *Plato*.

co nazywamy śmiercią; wtedy bowiem wyswobodzona z więzów swych dusza, z całą pełnością i prawdą będzie znała.—Co do świata ziemskiego, ten jest zbiorem *dobra* i *zła*; dobre i złe tu walczą, a ta walka stanowi rozwijanie się świata. Rozwijanie się to zewnętrzne, dzieje się przez działanie wewnętrzne, przez wewnętrzne działanie cząstek świat składających, t. j. idei, czyli *dusz*; sam ten świat obracany jest przez *duszę świata*. Świat ludzki czyli społeczność ziemską składają kraje, które także są duszą odrębną, z dusz jednostkowych złożoną. Taką będzie rzeczpospolita, mówi Plato w swym traktacie o rzeczypospolitej, (który był ostatcznym wypadkiem praktycznym, i może jednym z głównych celów całej teorii Platona), jakeimi jej dusze, jednostki;—bieg ziemi, jak rzeczpospolitej. — Celem starań, ustawy rzeczypospolitej, winna być głównie jej wewnętrzność, moralność, cnota (1). Fałszem celu jest staranność o sławę zewnętrzną.

(1) Środki, które w tym celu podawał Plato, stały się głośne i sławne ze swiej utopii. Lud, mówił, w rzeczypospolitej przedstawia *żądze*, wojsko kraju jego *uczucie*, rząd kraju *rozum*. Izby żądze zamienily się w cnotę, izby kierowało je do tego uczucie, winien się o to starać, za obowiązek mieć rozum. Rząd kraju (rzeczypospolitej), każdemu z członków kraju dostarczy pracę i powoła do pracy stosownej do zdolności jego; — do skarbu kraju składanym będzie produkt pracy każdego, i obracany będzie na użytek każdego;—własność nie będzie potrzebna żadnemu członkowi kraju, bo jego własnością będzie własność krajowa. Rząd czuwa, izby każdemu z członków płci męskiej kraju od lat 30 do 55, dodaną była niewiasta od lat 30 do 40, która by była mu żoną przez te lat 10, i wydawała dzieci dla rzeczypospolitej. Dzieci te po urodzeniu będą zabierane od matek i oddawane tym, które pierwój porodzyły; tak, izby wiedzieć nie mogły czyjemi są dziećmi. Ułomne usunięte zostaną z świata; innym wychowanie i wykształcenie da rzeczpospolita i usposobi je na członki dla ogołu pożyteczne. Płeć żeńska też ćwiczenia odbiera jak męzka, też dalej obowiązki pełni. Rodzina nie będzie równie znaną w rzeczypospolitej jak własność; w ten sposób zginą potrzeby zbiorów, zawiści, spory, kradzieże i wszelka zbrodnia. Każdy członek przechodząc przez stopnie kształceń i nauk, których skutku rząd dopilnuje, wykształci w sobie w roku 50 życia myśl boską; różność jednostek zewnętrzną, zamieni się tym sposobem w równość wewnętrzną, a różność wewnętrzną, w równość zewnętrzną. Rzeczpospolita przedstawi obraz rzeczywisty jedności,—członki jej, cnoty. Będzie to w pewien sposób społeczność bogów.—*Polybiusz* znakomity historyk grecki, czyniąc w jednej z ksiąg swego opisu wojen punickich rozbiór tych kształtów rządu, jakie były mu znane, temi słowy rozbiór ten kończy. „Co się zaś tyczy rzeczypospolitej, o jakiej pisze Plato, o tej nic nie powiemy; mówimy tu bowiem tylko o tém, co jest na ziemi; zaś rzeczpospolita Platona jest tylko w piśmiech Platona, a nie na ziemi”. Jeżeli rzeczpospolita Platona uważaną była tylko jako utopia za wieku dawnego, tém więcéj uznawaną być musi za taką za wieku nowego. Wiek nowy mażarczenie w swój wierze stopniowego wyzwiania się

Od tego systemu Platona, wprost odmienny wyłożył system *Arystoteles*, uczeń Platona. Mistrz ten, który miał zostać największym z mistrzów wśród kraju i mistrzem wieków, jakkolwiek różniący się w szczegółach, naukę swą, filozofią, równie jednak jak Plato, nie za formułę, ale za dociekanie prawdy uważał, a prawdy równie w widzialnym jak niewidzialnym świecie istnącej. „Boską i uwielbienia godną, mówił Arystoteles (w przypisaniu traktatu o *świecie* swemu królewskiemu uczniowi) zdała mi się zawsze, Alexandrze, miłość mądrości, a zwłaszcza ten przymiot jój, gdy się wznosząc do rozpatrywania w rzeczach stworzonych, *dochodzi istnącej w nich prawdy*. Nie dano nam wznieść się ciałem do światów, które nad sobą widzimy; lecz w duszy naszej znajduje się oko boskie, które może rzeczy boskie przegłądać”. Tęż naukę obrawszy za przedmiot, i tenże cel w tej nauce co Plato, Arystoteles odróżnił się jednak z gruntu, w uznaniu środków. Plato, uważa Arystoteles, za zasadę w swych dociekaniach położył jakąś *ideę*, a zatem *domysł*, i z niego dopiero do poznania rzeczy pewnych chciał schodzić. Metoda do dojścia prawdy właśnie wprost przeciwną być musi: nie od ogółu iść do szczegółów, nie od tego co jest niepewne do tego co pewne, ale od szczegółów, od tego co dotykalnie jest pewne, zaczynać poznanie należy. Nie z uznania *przestrzeni* i *czasu* dojdziemy do poznania *chwili* i *punktu*; lecz z rozbioru chwili i punktu pójść możemy do poznawania dalszych ich granic. Metodą do dojścia prawdy winna być nie *indukcja* (jak u Platona), ale *dedukcja*.

Pierwszém źródłem poznania człowieka, o niczém niewiedzącego dziecka, są zmysły; to też o czém nas uczą zmysły, jedynie jest ściśle pe-

woli, godności, każdej z jednostek; celem rzeczypospolitej Platona było uwiązanie woli jednostek, przez to, co mienił władzą w rzeczypospolitej. Plato, który pisał dla dusz i bytu, jakie były za społeczności pogańskiej, nie przypuszczał możności bytu tego wewnętrznego serc rządcy, o którym miał rzec, którego miał dać wiek chrześcijański. Powtarzanie i ponawianie środków przez Platona podanych, wśród wieku nowego, jak jest anachroniczném, tak też musi się stawać powodem cofnień. Możliwość ukształcenia sumienia jednostek w kraju, przez władzę w kraju, było główną utudą Platona, jego utopii. Środki, któremi dzieci pozbawiał od pierwszych kroków opieki rodziców, rodziców ich dzieci, kobiety stanu matek i żon, każdego swobody mienia, swobody kroku, swobody uczuć, były wstrętem po wszystkie czasy dla czytelników utopii; ale Plato ideał swój kraju łagodził tém, iż sam podaje go za ideał, do którego zbliżyć się tylko możemy. Ostrość, niewykonalność środków, nagradza za każdym słowem duchem swojego celu; cel ten: ogół braterski, cnota, niebieskość w myślach,—cel ten w końcu rozbraja czytelnika utopii, i traktat Platona o rzeczypospolitej, nie stał się jak widzimy przeszkodą, iżby mu sam wiek chrześcijański nie dodał przydomku *boski*.

wném. Żadne uczucie, wiadomość, wcale wrodzone nam nie są. Dziecko, każdego zrazu ma za ojca, za matkę. Myśl o tyle się tylko wznosi, dochodzi, rozwija, o ile obszar jój wiadomości z bogacie są zdolne zmysły; ze zmysłu rodzi się *pamięć*, z pamięci po kilkakroć powtórzonej *doświadczenie*, to staje się dalej źródłem, podstawą całego szeregu nauk i sztuk (1).

Zmysły nasze zwrócone do świata, odróżniają w nim *rzeczy, przedmioty*, a w każdej z tych rzeczy, przedmiocie, oddzielne ich własności, warunki i t. p. Istotą każdej rzeczy jest dziesięć przymiotów, szczegółów, czyli względów, pod którymi uważaną być może. Względy te czyli własności (kategorie) są: *substancja, ilość, jakość, podobieństwo, miejsce, czas, położenie, posiadanie, czynność i bierność*. Każda rzecz odrębną jest w sobie i prawdą w sobie; rzetelną prawdą jest tylko *różność*, nie *jedność*. Arystoteles szydził z *jedności Platona, nieskończoności, przyczynowości, ideów* i t. p. Nieskończoność, mówił, nie może być żadna ani w przestrzeni, ani czasie; co bowiem jest, jest ilością, co jest ilością, być nie może nieskończonością (1). „Jeżeli, dodaje, wszystko co jest uczynione, ma, jak twierdzi Melius, przyczynę; to więc co uczynionem nie jest, nie ma żadnej przyczyny”. Zwierzę, uważa gdzieindziej, według Platona, jestto idea śmiertelna; jeżeli jest zwierzę ideą, jakoż śmiertelnem być może, albowiem jakąż śmierć mieć może idea? Arystoteles uznawał wprawdzie byt duszy: dusza jest tém dla człowieka, czém, mówił, jest wzrok dla oka; dodawał jednak, iż zdanie najroztropniejsze zdaje mu się być tych, którzy twierdzą, iż jak ciało bez duszy, tak nie może być dusza bez ciała. Arystoteles uznawał byt Boga. Nazwiska Boga używał we wszystkich prawie ogólnych twierdzeniach o świecie, w każdym traktacie, a w niektórych szczegółowie nawet to uznanie określał. „Czém, mówił, dla okrętu jest sternik, dla rzeczypospolitej prawo, tém Bóg dla świata (2). Jakkolwiek Bóg jeden jest, różnie go jednak zowią; zowią go: *Zeus, i Dios, i Chronos* (3). Bóg jest we wszystkiém i nawzajem wszystko jest w Bogu; wszystko się bowiem rusza z powodu mieszającego w nas bóstwa (4). Arystoteles przyznawał w ten sposób Bogu rząd światem, i przyznawał téż cel każdej rzeczy; uznań tych oderwanych wszakże nie stosował i nie przeprowadzał w grunt swój nauki. Przy-

(1) Oritur ergo ex sensu memoria, tum ex memoria aliquoties repetita nascitur EXPERIENTIA... ex ipsa omnis artis ac scientiae principia proficiscuntur. *Anal: Poster. II. 18.*

(1) *Physicorum. l. 2. i d.* (2) *De mundo. 7.* (3) *Ibid.* (4) *Ad Eudemum. 7.*

czyną rzeczy były jedynie owych 10 własności rzeczy (kategorie). Te własności działając bez związku, dają tłum zjawisk i tworzą stanowiącą się co dnia *przygodność*. To jest dziś, tak było i wczoraj, tak było odwiecznie i będzie wiecznie. „Używamy wprawdzie niekiedy (mówi) tych słów nawet w nauce: od *początku świata*; lecz jestto tylko wyrażenie naukowe”. „Bóg rządzi, lecz rządzi nie rozkazując, ale tylko widzieć się dając”. Bieg dziejów, to bieg przypadków; pomiędzy człowiekiem a Bogiem, nie może nawet być żadna miłość; miłością bowiem zowiemy tylko uczucie wzajemne, t. j., które takim być może; nikt z nas nie może rzec, kocham wino; szalony byłby ten, któryby rzekł: kocham Jowisza” (1).

Co do postępów naszych, ich doskonałości, miara tej doskonałości jest także skutkiem ilości; równowaga passyj zowie się cnotą. Szczęście ludzi zawisło od cnoty, więc obowiązkiem jest cnota. Najlepszym środkiem utrwalenia cnoty wśród kraju, jest jedynowładztwo (monarchia): różna wszakże tyle od rządu Pizystrata w Atenach, ile od oligarchii i demokracji.

Taki był w głównych wypadkach i rysach system Arystotelesa. System ten z pewnej strony nie pomnożył zapewne wcale skarbu poznania człowieka. Wychodząc z tego uznania, iż jedyne prawdziwe świadectwo dają nam zmysły, Arystoteles w ostatecznym wypadku tego tylko jedynie nauczył i dowiódł, o czym wie każdy człowiek, który ma zmysły. Dojścia jego o owym kraju niepewnym o którym mówił, są w ogóle żadne.— Ale w rozbiorze, poznaniu tych rzeczy, tej części bytu, którą wziął za przedmiot rozbioru, Arystoteles do ostatecznych możliwych (przynajmniej za stanu sobie współczesnych nauk) krańców postąpił. Każdą rzecz, jej własności, przymioty, tak ze sfery faktów fizycznych, jak faktów moralnych, pod codzienne pojęcie podpadających, Arystoteles pod tysiącem względów rozpatrzył, rozpoznał, porównał, ocenił i rozszykował. Całe rozrozdzenie istoących nauk i sztuk uważając za jedność, to jest uprawiane w różnych gałęziach i stopniach poznanie natury, nauki te i gałęzie zebrat, obejrzał, zbliżył, i w pewną spólną jedność napowrót połączył. *Fizyka, metafizyka, nauki przyrodzone* w ich szczegółach, *psychologia etyka, loika, analiza słów, myśli, okresów, sztuka* (retoryka i poetyka), *polityka*; traktaty o *obyczajach, zwyczajach*, i (zagubione) *dziejach* wszystkich ludów znanych, weszły w skład prac i pism Arystotelesa. Każdy traktat, wszelkie w traktatach tych kwestye, Arystoteles przeprowadzał nietylko krytycznie, ale historyczno-krytycznie, to jest zgromadzając

(1) *Magnorum Moraliū* II. 11.



i przywodząc zdania i dojścia w danym przedmiocie, równie dawnych pisarzy greckich, jak znanych mu wschodnich. Zgromadziwszy w ten sposób w jedno, te wszystkie jakby prowincye i rozrodzone moralnie kraje swego okresu, a pod jedną formę i władzę swoją ująwszy, Arystoteles odznaczył pismami swojemi czas kwiatu tego okresu. Roztrząsnąwszy i rozwiniąwszy docieczenia epoki swój, ogłosił jakby ogólny pokój moralny, oraz ten szczyt docieczeń, do jakich zdolny był okres. Arystoteles było rzecz można, w porządku moralnym, Cezar August starożytności.

Po Arystotelesie, jak po Platonie, dalsze dociekanie wśród Grecyi nie przerwało się wprawdzie, i owszem cała Grecya, wszystkie jej miasta, okryły się szkołami docieczeń; szkoły te jednak były tylko naśladowaniem, przerabianiem, drobnieniem, lub wreszcie stosowaniem do życia zasad Arystotelesowych. Ztąd z głównem powodzeniem utrzymywały się szkoły, których cechą było *zwątpienie*, a to już o treści prawd wszystkich moralnych, (*cynicy* tak zwani od wyrazu *kuon* pies; mistrz pierwszy niegdyś *Antystynes*), już o fizycznych, cielesnych (*Cerenaicy*), już wreszcie równie o jednych jak drugich (*sceptycy*, pierwszy mistrz *Pyrrhon*), i wreszcie mistrzami szkół ostatecznych i następnie przez kilka wieków, wyłącznie tak w Grecyi jak zewnątrz Grecyi przeciągających się, byli: zakładający powinność człowieka jako najszlachetniejszego ze stworzeń na szukaniu przedewszystkiém szczęścia wśród chwili, *Epikur*; i powołujący do cnoty, lecz za całe criterium uznania jej, kładący prawo: „idź za zdrowym rozsądkiem”—nauczający w Atenach w Portyku *Stoa*, *Zeno z Cypru*. Taki był przebieg i skutek docieczeń pierwszej doby rozwagi ludzkości, uosobionej i do swych kresów rozwiniętej w Grecyi, czyli myślenia człowieka (mówiąc językiem zwykłym) o samych siłach człowieka. Uznanie jednostki i chwili za nicosć najwyższą (Plato), i uznanie jednostki i chwili za prawdę najwyższą (Arystoteles). Pierwsze znikłe z swym mistrzem, jakoby zakwit błędny, drugie w ostatnim wypadku przerodzone w najwyższą cześć chwili (*epikureizm*), i ostateczne zwątpienie, metodą tylko od nauki sofistów różne (*stoicyzm*).

(Dalszy ciąg nastąpi).



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Starożytności Warszawskie. Dzieło zbiorowo-zeszytowe, wydawane przez Alexandra Wejnerta magistra prawa i administracyi, konserwatora akt dawnych miasta Warszawy. Warszawa, w drukarni Józefa Unger. 1848. Tom I str. 383. Tom II str. 411.*

Nikt nie zaprzeczy, że ogłaszanie drukiem pomników dawnych, mających służyć za źródło do następnych badań historycznych, wielką jest zasługą przed uczonym światem: bo tym sposobem wrywając zupełnej zagładzie i upowszechniając pojedyncze fakta nieznanne, do jednej całości sprowadzone, jesteśmy jakby powtórnymi ich twórcami; i dlatego zasługa tém jest większa, im wybór pod względem interesu lub ważności, więcej ogółu lub szczegółu dotyczy, zajmuje go, lub koniecznym się staje. Tego rodzaju pracę przedsięwziął p. A. W., a o ile dopiął swego celu w wywiązaniu się z tego zadania, bliższy rozbiór to wykaże.

Już tom pierwszy niniejszego dzieła, uczony W. A. Maciejowski w Ateneum z roku zeszłego ocenił; lecz przy całej względności dla dobrych chęci autora, aż nadto widać, że go chciał pochwalić, i istotnie pochwalił. Lekkie tylko albowiem czyni zarzuty niezgadzenia się ze zdaniem p. Wejnerta, tam właśnie, gdzie swą uczoną krytyką całą błędność jego twierdzeń zbić powinien. Zdaniem, naszym jakkolwiek należy oddać sprawiedliwość za ogłoszenie rzeczy nieznanych, to przecież nie godzi się przepuszczać mimo uchybień, przez autora wyłącznie a błędnie wyrozumowanych, żadnymi lub tylko nakręconymi dowodami popartych: bo tym sposobem utwierdza się go w mniemaniu, że utwór jego jest wyrozumowany tak gruntownie, iż następcom za podstawę do przyszłych badań i dowodzeń posłużyć może. Dlatego nie bacząc na rozbiór już uskuteczniiony, pracę tę przedsięweźmiem na nowo tém ochotniej, że autor ma zamiar obdarzyć czytelników dalszym ciągiem swojego dzieła.

A najprzód zacznijmy od herbu miasta, którego początek autor, idąc za zdaniem Vossberga, upatruje w herbie książąt mazowieckich, chcąc koniecznie widzieć w pieczęci tegoż Vossberga, przedstawionój w dziele Koennego, w jednej połowie nie niewiastę, lecz męża, a w drugiej nie postać rybią, lecz skrzydlatego smoka; i ztąd wyciąga wnioski, szeroko się rozwodząc, iż przez połączenie herbu książąt mazowieckich, z połową gryfa bełzkiego, utworzył się herb dla Warszawy, pół męża z połową oskrzydłonego smoka!!! Dążąc do poznania i wyświecenia na jaw prawdy, uczyniliśmy pilne poszukiwania w celu sprawdzenia jednego i drugiego: widzieliśmy odlew z oryginału Vossberga, widzieliśmy odbicie w dziele Koennego, lecz oba nie wzbudziły w nas nawet myśli, nawet podejrzenia upatrywania tego, co p. Wejnert chce widzieć. Wszędzie wyraźne brzuch i ogon rybie, a raczej łuską okryte; a to co p. W. za skrzydła uważa, przyjąc raczej należy za skrzela lub pletwy. Ciałą zasadą do uważania w ten sposób herbu miasta Warszawy, jako połowę smoka czy też gryfa, są łapy; które jakimby sposobem znikły, wraz ze skrzelami na wyobrażeniach herbu późniejszych, do dziś zostało dla nas zagadką. Być może, iż wiele na to wpływało wykształcenie estetyczne rytownictwa; i zanim coś stanowczego po przeprowadzeniu wszystkich badań, powiedzieć będzie można, śmiało twierdzimy, iż początek herbu ani z mazowieckim, ani z bełzkim nie ma nic wspólnego, lecz jest samoistny, pod różnym tylko w różnych czasach przedstawiający się nam kształtem. Powiedzieć zaś, że Jarzemski w swoim opisie z nieumiejętności wziął gryfa za syrenę, będąc przyzwyczajony widzieć je często na teatrze jako muzyk królewski (zob. Tom I. str. 27), jestto wystawić się na posądzenie o taką samą nieumiejętność. Bo Jarzemski musiał mieć pewne wykształcenie, gdy się wziął do opisywania Warszawy, a czyniąc to w roku 1643, mógł wiedzieć i powiedzieć o syrenie, gdy w aktach dawnych miasta Warszawy w głównym archiwum przechowywanych, napotykamy wyobrażenie syreny zupełnie do dzisiejszej podobnej, już w r. 1628, a zatem o lat 15 wcześniej od opisu Jarzemskiego, a 14 tylko późniejszej od załączonej przez p. Wejnerta na figurze 4tój tomu I rycinie. Różnica w tém atoli wyobrażeniu jest ta, iż postać z r. 1628 w lewo jest zwrócona, a miecz w ręku jest prosty; gdyż dzisiejsza w prawo patrzy, i zamiast miecza, pałasz w ręku trzyma. Kształt herbu dawny, to jest z łapami i skrzelami albo pletwami, na podobieństwo skrzydeł, jak autor w tomie II str. 184 przedstawił, bardzo późno się utrzymywał, bo napotkaliśmy je na pieczęciach jeszcze w r. 1766 i 1768, zatem blisko dwadzieścia lat później, jak autor przyjmuje, bo na str. 25 tomu I powiada, iż kształt herbu został niezmieniony aż do czasu między r. 1747—1750. Przynętem zastanowiło nas niepomału, iż pieczęć

o której mówimy, widocznie w nowszych robioną była czasach, a w napisie *Varsaviae*, znajdujemy *W* podwójne.

Lecz dosyć o herbie; w innym czasie rzecz tę na nowo i z naszego stanowiska rozpatrzmy; tymczasem zwracamy uwagę czytelników naszych, iż herb miasta zawsze był syreną, a raczej potworem pod tém nazwiskiem i pod różną tylko przedstawiającą się postacią, a nie połączeniem połowy męża z połową gryfa. Nie symbol, jak się autor wyraża (str. 8) nieudolności, lecz prędkiej godłem splawniej i znakomitiej w Polsce rzeki, nad którą położona Warszawa, jako przystań dla statków żeglownych, jako skład produktów wywożonych w dalekie strony, bezpieczne i wygodne dla flisów dawała schronienie; bo jak wieże lub bramy, przybierały za godło obronne miasta; tak czemużby osada rybacka, jaka w początkach nad brzegami Wisły zamieszkiwała, a od której datuje się główny początek Warszawy, nie miała przyjąć za godło nimfy wodnej tej rzeki, która im obfitego dostarczała pożywienia, a na swym grzbiecie przynosiła żeglarzy, dostarczających wielu innych surowych produktów.

Opis historyczny szpitala św. Ducha i Panny Maryi, poczynający się na str. 31 tomu I, najlepiej jest z całego dzieła obrobiony; mianowicie zaś część rachunkowa, i w tém p. W. sprawiedliwość oddać należy; lecz ustęp o *jus patronatus* zupełnie tu nie w miejscu i niedostatecznie obrobiony; lepiej go więc było całkiem wypuścić. Opis ten w przerwach na str. 120, 125, 210, 350 tomu pierwszego, oraz str. 123, 248, 279 tomu drugiego, utrudniający czytanie i łatwiejsze objęcie ogółu, przeplatany jest przywilejami tém ważniejszymi, iż w łacińskiej swjej treści są zamieszczone.

Rzecz o głównych podziałach miasta Warszawy, rozpoczyna autor twierdzeniem, jakoby po oswoobodzeniu gmin w XIII wieku od panów lennych, powstał dopiero stan miejski (str. 65). Błędne to twierdzenie! albowiem nie wszędzie odrazu i w jednym czasie oswoobodzenie takie miało miejsce, a we Włoszech i Francyi daleko wprzód się zaczęło. Zapędziwszy się w pochwały dla urzędzeń Starego Miasta, dziwi się autor ich pod owe czasy dokładności, i oświadcza, iż tam wszystkie urzędzenia swój początek wzięły; a gdzież więc wziąć mogły, gdy innych części nie było? gdy te dopiero później powstały! Z tém samém uniesieniem, Solec, lichą pod owe czasy mieścinę, z kilką zaledwie może magazynami, i to nie dla Warszawy właściwie, ale jako w miejscu na przystań dogodnym umieszczonemi, porównywa autor z Sycylią, tym spichrzem starożytnego Rzymu, (stron. 76); a ów Rzym razem ze swą Sycylią pod owe czasy, zmiesciłby się w okręgu dawnego Kapitolu!!!

Opis trzech bram nowomiejskich, z dołączeniem objaśniającej ryciny, mógłby zupełnie zadowolnić czytelników, gdyby nie trywialne jakoby na żart rzucone rozumowanie autora, wypływające z niewłaściwego zastanowienia się nad planem *à vol d'oiseau* wykonanym. Autor zapewne inaczej myśli; lecz dlaczego chce w nas wmówić, że w r. 1673 nie było kominów w domach w téj stronie miasta budowanych, że dym wychodzi drzwiami i oknami, a ogniska w bramach zakładano? — tego bynajmniej pojąć nie możemy. Gdyby to napisano w powiastce o kurnych chatach włościańskich, nie mielibyśmy nic do zarzucenia; lecz napisać coś podobnego o mieście, pod owe czasy, już znakomitę bo stołeczną, w dziele, które ma być wskazówką i zasadą do badań historycznych tego miasta, jest to nie mieć litości nad przyszłym pokoleniem, które może kiedyś uwierzyć gotowe, że w końcu XVII wieku Warszawianie jeszcze wędzili się w dymie, bo autor (na str. 112) jakby na wyszydzenie swych czytelników oświadcza seryo, iż będzie mocno zadowolony, gdy trafi do przekonania czytających.

Obrobienie pojedynczych jurydyk, całą niegdyś Warszawę składających, z sumiennością dokonane, niepośledniej jest wartości; równie jak wszystko, co autor bez swoich rozumowań, ale tylko jako surowy materiał podaje. Wyrażenie położenia, rozciągłości, praw na jakich te jurydyki istniały, służy wielce do ocenienia stopniowego rozwinięcia się i wzrostu całej Warszawy. Lecz jak przy opisie szpitala św. Ducha wmieszał się ustęp o *jus patronatus*, tak tu znowu; przy opisie jurydyki Żadzikowskiej, rozwódzi się autor podobnie nad znaczeniem i rozciągłością prawa *immunitas ecclesiastica*, oraz *jus asyli*, co bynajmniej do rzeczy nie należy.

Co do jurydyki Leszno, dodamy, iż ta, według przywileju potwierdzającego przez Jana Kazimiérza d. 20 czerwca 1654 roku, porównaną została z drugimi małemi miasteczkami, i przy nadaniu prawa chełmińskiego, miała pozwolenie na obiór wójta i sześciu ławników, a nie czterech jak autor twierdzi (str. 185); przyczém miała wyznaczone dwa osobne jarmarki, cechów jednak osobnych posiadać nie mogła (1). Inne jurydyki w krótkości opisane, polegają wiernie na znanych autorowi aktach urzędowych; przytoczenie zaś pod opisem jurydyki Alexandrya, że ta ugruntowana była na prawie magdeburksiém, podlega wątpliwości, i jak się zdaje pochodzi z prostéj omyłki, gdyż u nas *jus theutonicum, culmensense, magdeburgense*, najczęściej w jednóm i tém samym znaczeniu sąbrane.

(1) Akta Metr. kor.

Wiadomość historyczna o pierwszych okopach Warszawę otaczających, objaśniona ryciną, przepelniona gorzkim uniesieniem autora przeciwko rządowi Zygmunta III, w dalszym ciągu zawiera ciekawe szczegóły, dotyczące się morowego powietrza w r. 1770 grasującego, i stanowi bardzo ważny materiał dla historyka miasta.

Przypatrzmy się teraz tomowi drugiemu:

Zamieszczone w nim: opis historyczny Pragi, jój herbu i jurydyk, są równiej wartości, jak i opisy pojedynczych jurydyk Warszawę składających, bo polegają na dokumentach urzędowych. Toż samo powiedzieć można o wyrokach kommissyi porządkowej (*boni ordinis*). Co się zaś tyczy przywileju, przenoszącego do Warszawy rezydencyą królów z Krakowa, to ten jakkolwiek ciekawy co do swój treści, nie zasługuje przecież na tak szerokie rozpisanie się autora i rozumowanie, do żadnego szczególnego niedoprowadzające wypadku; tém bardziej, gdy przywilej ten w żadne cechy autentyczne opatrzony nie jest, a przeniesienie stolicy w następstwie lat *de facto* ugruntowane, już dzisiaj nie potrzebuje dowodzenia.

Ciekawym jest artykuł o pałacu pod nr. 369 (dom obok Dobroczyńności); lecz zwracamy uwagę autora, iż napad na dwa domy Radziejowskiego przez Elżbietę Słuszczańkę żonę jego, wraz z bratem Bogusławem dokonany, nie miał bynajmniej miejsca w domu dziś nr. 410 oznaczonym (1), bo Radziejowski nigdy w téj okolicy domu nie posiadał. Radziejowski po pojednaniu się z królem i otrzymaniu przebaczenia, miał sobie zlecone poselstwo do Turcyi; a jakby przewidywał tamże blizką śmierć swoją, odstąpił całego powróconego sobie majątku, na rzecz żony i szwagra z którymi się pogodził. Tranzakcyje zaś co do domów, we Lwowie w tym celu roku 1663 sporządzone, wymieniając ubikacyą, bynajmniej na okolicę przez autora podaną nie wskazują. Jeden z tych domów w Krakowie na rynku, murowany narożny *pod Krzysztofem* zwany, odstąpił Służce (2) Zygmunтови chorążemu lit.; drugi zaś w Warszawie na Krakowskiem-Przedmieściu naprzeciw Bernardynów reformowanych, pod wałem leżący (3), a sobie niegdyś przez żonę darowany, od-

(1) Obecnie własność generała wojsk cesarsko-rossyjskich hr. Wincentego Krasieńskiego.

(2) Sama donacya w aktach Metr. kor. ks. 203, str. 169 tak się wyraża: *curia seu lapidea in circulo fori civitatis cracoviensis acialiter sita, murata sub Christophoro appellata.*

(3) Donacya w tychże aktach str. 232, położenie tak oznacza: *fundum ac curiam in suburbio varsaviensi penes vallum antiquum ex opposito monasterii religiosorum patrum ac fratrum Bernardinorum reformatorem acialiter, penes fundos seu hortos Generosi Ducis in Ostrog et Zaslav, ac successorum olim Reverendi domini Gniewonsz Episcopi Vladislaviesis jacentem, etc.*

stąpił na rzecz Władysława Reja z Nagłowic skarbnika nadwornego. Podobnież i wyroki w sprawie przeciwko Radziejowskiemu, opisując tumult, potwierdzają, iż scena ta miała miejsce blisko wału starego, pod bokiem prawie królewskim (1).

Omyłka którą autor popełnił, pochodzi, iż dosłownie zrozumiał wyrażenie łacińskie *sub vallo*, i przeniósł miejsce działania w okolice, gdzie się te wały podówczas rozciągały; tymczasem *vallum antiquum*, odpowiada dzisiejszej ulicy Podwale, w tych czasach także *vallum civile* czyli miejskim nazywanęj. Święcki lepiej się nad tém zastanowił, i położenie wskazuje na dom, dziś pod nazwą Rezlera znany. Zresztą Stanisław Albrzycht Radziwiłł w pamiętnikach swoich mówiąc o całym tém zdarzeniu (2), wyraża się, że podkanclerzy (Radziejowski), „nad wałem warszawskim, pałac Kazanowskiego, pierwszego męża żony swój, mocą opanował, bez wiadomości jój. Ona zmówiwszy się z bratem swoim Służką podskarbin nadwornym litewskim, niespodzianie przez sług swoich na pałac napadła, i żołnierzy męża swego ztamtąd wypędziła” i t. d.; co potwierdza, że Radziejowski nie miał własnego w Warszawie domu nad ten, który ożeniwszy się z wdową po Kazanowskim, w dzierżeniu trzymał.

Tom drugi zakończony wiadomością o zabawach i widowiskach teatralnych, wiele ciekawych i nieznanych objawia nam szczegółów; lecz i tu wcisnęła się niestosowność, bo zamieszczenie portretu Macieja Kamińskiego, pierwszego oper polskich kompozytora, z objaśnieniem starożytności warszawskich najmniejszego nie ma związku.

Aż teraz słów kilka o sposobie wydania tego dzieła.

Niestosowność zewnętrznej postaci tomu pierwszego, spostrzegł już sam autor i uniknął jój przy wydaniu tomu następnego; lecz nie uniknął błędów, które nadzwyczaj licznie się powciskały, a przez to użycie tego dziełka niedogodne czynią. Napotkawszy jakowąś wątpliwość, trzeba się wprzód zapewnić, czy ona jest podług oryginału zachowaną, czy téż tylko prostą druką omyłką. Równie jest niedogodnym przerywanie ciągu jednego artykułu, artykułem drugim, który znowu niedokończony, każe szukać swego dalszego ciągu po kilkunastu dopiero kartach, albo co gorzej jeszcze, w następnym tomie. Autor w przypisach nie szczędzi obietnic na przyszłość, lecz pominąwszy to wszystko, pominąwszy niekiedy błędne tłumaczenie przywilejów łacińskich, (jak np. tom 2 str. 190, gdzie autor błędnie słowo *inseri* zrozumiał i objaśnił, bo ono w łacinie dyplomatycznej nic więcéj, jak tylko *wpisać* znaczyło), trzeba przyznać autorowi

(1) Akta wyroków piotr. ks. 215, str. 287. (2) Tom II, str. 456.

znakomitą zasługę w dobrych chęciach i ogłoszeniu ważnych a nieznanych dotąd szczegółów.

W końcu nie możemy także pominąć i odezwy autora do czytelników, w której dziękując pp. Tymoteuszowi Lipińskiemu (a nie Tadeuszowi, jak go autor przechrcił) i Antoniemu Muczkowskiemu, za wspieranie go i czynną pomoc w przedsięwzięciu, z drugiej znowu strony prawie ubliża pp. W. A. Maciejowskiemu i Ignacemu Zagórskiemu, wyrażeniem, iż: *ci uczeni spoczywają na laurach swych długoletnich badań*: bo uczeni ci nie spoczywają wcale, lecz coraz z dniem prawie każdym powiększając zakres swój działalności, obdarzają nas nowymi płodami trafnych badań, połączonych z głęboką nauką i niezmqordowaną pracą. Za obowiązek przytém poczytujemy sobie zwrócić uwagę autora, jeżeli trwa w zamiarze dalszego wydawania swego dzieła, iżby ile możności baczył więcej na własne rozumowanie, a najlepiej zupełnie go unikał, gdyż dotąd ile razy tego sprobował, najnieszczęśliwiej mu się udało. Gdyby autor wyrabiał z gruntu rys dziejów Warszawy, pozwolilibyśmy chętniej na uniesienia i zboczenia; lecz ponieważ zamierzył podać tylko materyał dla następnych badaczy, niechże go przeto tłumaczeniem i objaśnianiem po swojemu nie zaciemnia, a stokrotną w wdzięczności i uznaniu następców otrzyma nagrodę.

*St. Lisowski.*

*Bigos Hultajski. Bzdurstwa obyczajowe przez Izaśława Blepońskiego. Tom. III<sup>ci</sup>. Nakładem i drukiem Teofila Glücksberga. Wilno.*

Znakomite wołyńskie damy, mówi autor w przedmowie, objawiły urazę, iż w poprzednich tomach powieści jego, wyszydzone zostały w osobie pani *Wiercickiej*. Autor uczuł swój grzech, i w nowo wydanym tomie, przedsięwziął skreślić już nie ideał śmieszności, ale ideał doskonałości.

Bohaterką tomu III *Bigosu*, jest więc stworzona przez autora postać *Helena Milska*, ideał doskonałości.

Treść powieściowa tego tomu jest nader krótka.

Alfred Milski, młody i majątny dziedzic Wołynia, lubiący trochę książki, trochę psy gończe, przepędziwszy dla poznania świata, jakiś czas za granicą,—dla wybrania towarzyski życia, zatrzymał się jakiś czas w Warszawie, i tu poznał Helenę, ideał dziewic. Ideał ten polubił Alfreda, Alfred Helenę, i poślubieni, przyjechali na wieś do *Gwiazdogrodu*.

Helena i Alfred, byłyto istoty stworzone oczywiście dla wzajemnego szczęścia. Alfred, który jak właśnie rzekliśmy, lubił i psy i książki, więcej jednak (ile na wsi) te pierwsze, i żył raczej w świecie realnym, nie zważał



na marzenia swęj żony; wybaczal jęj, iż była zbyt żywą stronnicką (jak mówil) pani *Przodalskiej* (Dudevant) i nie dbal, że ją zajmował nad innych niegdys mistrz, a dziś jego sąsiad dzierzawca, poeta *Bardon*. Helena zaś, która kochała to wszystko, co kochał Alfred, więcej jednak książki niż psy Alfreda, patrzyła w świat idealny, i nie uważała nawet, iż Alfred za żywo i coraz żywiej zajmował się jęj przyjaciółką Julią (znaną już czytelnikom z poprzednich tomów), dziś separatką, której dała przytułek w Gwiazdogrodzie.

Mieli też racją oboje. Bo chociaż Helena istotnie nad wszystko zdała się lubić rozmowy, a wpośród rozmów te, w których miał udział Bardon; chociaż Bardon czuł wdzięczność, i mógł o sobie mówić jak niegdys Trembecki, że jest podobnym do Hekli, która ma łysą głowę, a wewnątrz ognie: to jednak Helena lubiła raczej poezją, niżli poetę; Alfred zaś, który już oddany był żonie, już Julii, już innym pięknym damom, równoważył także uczucie, i według czulego wyrażenia autora, był „jak osioł, który postawiony między workami z owsem, nie wie na który worek ma piérwój się rzucić”.

Taki jest początek zarysu osób wprowadzonych do tomu III, taki też jest i koniec. P. *Blepoński* (którego tu przez oszczędzenie smaku czytelnikowi (1), nazywać tylko będziemy autorem powieści) w swęj kompozycji *Bigosu*, tomem tym chciał oczywiście odznaczyć fazę jedynie *sosu*, i złożył go prawie wyłącznie z konwersacyj, dysput i rozpraw.

Przedmiotem tych dysput i rozpraw, jest to wszystko, co bywa zwykle przedmiotem śród towarzystwa rozmów, co bywać może: kraj, język, ludzkość, prowincya, klasy społeczne, literatura piękna, owszem pleć piękna i t. p.; wszystko to po kolei, jak w panoramie, przedmiotem staje się kwestyi w powieści. W każdej z kwestyj tych autor swe stanowisko wskazuje, i ślad swój znaczy. Przytaczamy tu je pokrótce:

*A Jove principium*; początkiem naszym na ziemi jest niewiasta; i autor początek swych rozpraw zaczyna od niewiast. Powiedzieliśmy już, iż celem tomu nowego miała być *expiacia*, i autor ze szczególną skrupułą dopełnia jęj.

Autor uniewinnia się najprzód, iż do budowy obrazów swych towarzyskich, używa żywiołu miłości; dowodzi, iż żywioł ten lubo oklepany, również jest jednak potrzebnym w powieści, jak codziennie pokarm i na-

(1) Mówimy przez oszczędzenie; istotnie bowiem nie słyszeliśmy jeszcze, iżby czyje usta wymówiły kiedy nazwisko autora i jego pisma. Autor w użyciu pseudonimu, poszedł za epidemią moralną swojej prowincyi; ale przyzna nam, że w potworzonych przez siebie nazwiskach tak siebie jak pisma, przypomina nam pewną epidemią fizyczną, której właśnie świadkami byliśmy.

pój; dowodzi dalej potrzeby hołdu dla płci pięknej, i objawiwszy zdanie: iż sfera sztuki, gwałtownych namiętności wymaga, powołuje się w tém na *naturę* i *rozum*. „Gwałtowna ku niewiastom namiętność, mówi, jest prawie warunkiem potęgi poetycznej; nawet dwa największe wieszczu Hebrejów, Dawid i Salomon, byli razem tymi, co najwięcej kobiety miłowali”..... „Wieczna wiosna i wiecznie piękna i młoda kobieta, są jakby przedstawieniem raj u szczęścia nieśmiertelnego: patrząc na jedną i drugą, nabywamy jakichś uczuć, przeczuc, wzniesienia ducha, jakich inaczéj pojąćbyśmy nawet nie mogli”. Co tylko mamy pięknego w literaturach, wszystko to prawie winni jesteśmy natchnieniom piękności za lat młodych, chociażby głos natchnięty czém inném zajmować się zdawał; a jeżeli ten głos niedołącznym jest niekiedy, jeżeli np. poezya nasza dotąd nie odzworowała typu krajowej piękności „to dla téj saméj przyczyny, dodaje autor, dla której nie zdolni jesteśmy wiernie odtworzyć słońca, choć tylko za pomocą jego promieni, resztę świata i oglądać i określać możemy”.

Od tego panegiryku niewiast (który, jeżeli autor nie jest odludkiem, lecz jest w pozycyi Alfreda, rzeczywiście jest hołdem dla niewiast), autor przeszedł do rozprawy o *exaltacyi*. Exaltacyi stronnicką była Helena, przeciwnikiem był Alfred. Bardon bronił Heleny, bronił tych wiar, tych nadziei, których exaltacya jest źródłem, tych następstw, które wydaje, upadków nawet, które zrządać może.

„A zatem, odpowiedział mu raz, wysłuchawszy Alfred, czyż prosty rozsądek nie radzi, unikać raczéj wyskoków, które złamanie karku za sobą mogą pociągnąć? Wierz mi, że większość tak sądzi jak i ja, a tylko w zapalonych głowach wielkich młodzików, i rzadko kiedy w tak starych głowach jak twoja, marzy się coś, czego wyraźnie określić nie potraficie nigdy. Już przyznasz, że niéma ludzi skłonniejszych do włóczenia się po pustkach umysłowych, jak Niemcy; jednak oni, jako ludzie porządni i systematyczni uczynili z tego stan i właściwą na to porę oznaczyli. I tak: każdy Niemiec do lat 20 ma professyą exaltowanego, entuzjasty, zapalenca; skończył zaś je, bierze dymissyą od tego obowiązku, zostaje prawnikiem, rzeźnikiem, doktorem, cyrulikiem lub czémś podobnym, i zmienia zrojoną gałąź laurową, którą skronie swe umajał, w rzeczywistą szlafmycę, co mu istotnie głowę grzeje.

„I cóż to dowodzi?—odpowiedział Bardon—że większość Niemców do lat 20-tu jest tylko narodem żyjącym, a potem składem machin, porządnym organizmem obdarzonych. Ale powiedz mi, czémby byli Niemcy, gdyby żywot swój cały tak trawili, jak świetnie rozpoczynają jutrzeńkę jego? Lat kilkanaście zaledwie w zapale i młodości z całego kresu swego żyją, a gdzież znajdziesz potężniejsze duchowe objawy, jeśli nie u nich?

Zład w tym jednostronnym tylko kierunku są oni wielcy, i tę wielkość swą winni temu 20-to letniemu li w całym życiu zapałowi. Lecz gdyby go przeciągnęli poza kraniec oznaczony ich ociężałą naturą; gdyby nie tak prędko przemieniali, jak mówisz, wawrzyn w szlafmycę, a potoku poezyi młodocianej nie zalewali potokami gęstego piwa: to i w zawodzie czynu bylibyśmy im wszyscy poddani, i składalibyśmy im hołdy, jak niegdyś cały świat znajomy Rzymowi. Patrz obok na Francuza, mniej skłonnego do marzeń, i rzeczywistość dotykálną jedynie pojmującego, ale który umie być młodym aż do grobowej deski, i zapału nigdy się nie wyrzeka; a zobaczysz, iż wpływem tej żwawości, nabył on nad dalekimi nawet ludami potęgę, której się one wypierają, lecz której niezaprzeczenie są uległe, wtenczas nawet, gdy najmocniej przeciw Francuzom sarkają i poniżyć ich pragną”.—Bardon przeciągnął dalej wymowną obronę zapału, i tak zakończył: „Goethe rzekł: iż pospolicie człowiek osiąga na starość tego, o czém za młodu pilnie myślał. Podstawmy w tej formule zbiorowego człowieka zamiast pojedynczego, przyszłość zamiast starości, i wierni w nieomylność tego zdania, dajmy bodziec duchowi naszemu”.... i t. d.

Po tej rozmowie między Bardorem a Alfredem o exaltacyi, nastąpiła wnet obszerniejsza o pismach teologiczno-filozoficznych, sądach wzajemnych, między *Bardorem* a nowoprzybyłym do Gwiazdogrodu gościem panem *Książkowiczem* i t. p. Dla okazania stanowiska autora, przestaniemy tu na przytoczeniu jego opisu tej nowej (idealnej zapewne) postaci.

Autor w rozmowie o exaltacyi, dowiódłszy potrzeby i korzyści stopniowego kształcenia i wznoszenia ducha, pragnął, jak się zdaje, wnet okazać praktycznie, jaką stratę dla piśmienności i dla każdego mającego misyą reprezentanta jój, jest niewiara w ową potrzebę i ową korzyść.

„Jak gdyby dla uzupełnienia tych rozpraw, mówi, przybył także do Gwiazdogrodu z głębokiej naddnieprzańskiej Ukrainy, p. *Jan Książkowicz*, ultra-konserwator i czynny korespondent Tyg. Pet. Nowy ten spótzawodnik był człowiekiem zdolności znakomitych, nauki wielkiej, i odczytania rozległego... Uczucie tych zalet i pochlebstwa obficie mu sypały, podnosząc jego zarozumiałość, zrobiły z niego człowieka dogmatycznego, i jakikolwiekby kierunek wzięły jego wyobrażenia, nie byłby zdolny jako filozof, biorąc duch swój jedynie za igielkę magnesową, w wielkie zagadnienia ludzkości i towarzystwa wnikać, ani téż jako wieszczek natchniony, przekroczyć poza granicę piękności plastycznej i bytu istniejącego. Professor raczej w nim przemagał, i to professor mocno wzburzony, gdy mu jego uczniowie i słuchacze jakąś obiekcyą czynić ośmielali się.... Rozpoczął walkę z instynktami wieku, i mniemał to być bohater-

stwem, iż przeciw powszechności wojuje; a nie zważał na potężne sojusze, jakie mu nadały zasady, których gorliwym stronnikiem został. Jestem przekonany, iż to stało się mimo woli jego i w uniesieniu walki, że ani widoki osobiste, ani pochlebstwa, ani żadne względy nie zagnały go na drogę, w której tak bolesno go spotkać; ale zawsze dobijają się podobnej kary ci, co odtrącając potęgę zbiorowego ducha ludzkiego, ulegają duchowi pojedynczemu człowieka lub kast”.

Te zasady, potrzeby kształcenia ducha, czuwania nad tém kształceniem, skłania też dalej autor prócz do praktyki piśmiennój. i do praktyki życia towarzyskiego i przeciw niektórym pisarzom swojej prowincyi i dowodzi, iż żywotność danego towarzystwa nie od powrócenia form dawnych, ale od kształcenia pośród nich myśli z duchem nowego czasu zgodnych, rzeczywiście zawisła.

„Jeżeli społeczeństwo ludzi, mówił kończąc rozwijanie tego twierdzenia generał Walnicki (wuj Heleny) w rozmowie z swą synowicą, nie ma żadnej zasady moralnej, żadnej myśli, do którejby członkowie towarzystwa choć oddzielnymi środkami dążyli: będzie ono mimo form staroświeckich, któreby mu dodano, garkuchnią i pijatyką, a niczém więcej. Lecz jeśli zaś ty droga Heleno w te formy, które łatwo ułożyć każdemu majątniejszemu człowiekowi, zdołasz siłą rozumu i wdzięków twoich wprowadzić życie podobne do tego dawnego żywota, którym stare towarzystwo jaśniało; jeśli przy stosowaniu się do potrzeb obecnych wieku, z domu twego rozsiejesz zamięłowanie nauk, sztuk pięknych i tego, co każdy człowiek prawy zawsze najszczytniejszém uważał; jeśli twym przykładem zachęcisz drugich bogaczy, by tą szlachetną postąpili drogą, o! wówczas zasługę wielką uzyskasz, i zostaniesz nie Joanną bojów, jak we Francyi, lecz Joanną społeczeństwa naszego!”

W następnych wreszcie rozdziałach, autor rozwija obszernie rozumowanie o sztuce i (książka z prowincyi autora, jakżeby mogła się obejść bez tego ostatniego szczegółu) o arystokracji rodowej. W rozprawie o istocie sztuki, autor rozjaśnia, dlaczego dzieło sztuki uważa raczej za utwór ducha, jak myśli (która według autora jest dopiero samopoznaniem ducha), a ztąd, iż sztuka za własnorodność istotną, a nie za naśladowanie stworzonej natury uważaną być musi.

Autor wskazuje, iż sztuka porywając owszem stworzone rzeczy w swą sferę, unosi je w kraj nowej pewnej równości; i temu, co tu liचे lub pyszne, przeciwne w nim nieraz miejsca naznacza.—Stańmy, czyni tu autor uwagę, przed pięknym pałacem, koło którego stoi upadająca chatka, a nikt z nas zapewne nie spojrzy nawet na chatkę; gdy spotkamy starego żebraka i tuż idącą o przyjemnych rysach dziewczynę, będziemy patrzeć

tylko na dziewczynę; gdyby zastawiono przed nami z jednej strony wspinałką ucztę dzisiejszą, a z drugiej strony posiłek z owego czasu, gdy gospodarz sam bił woły i ze skóry je odzierał: nie wahalibyśmy się w wyborze; przenieśmy jednak téż obrazy na pejzaż, a pałac zniknie przy chatce, panna przed żebrakiem, opis dzikiéj ucztéj Homera poetyczniejszym widzi się dla nas, niż opis najwykwintniejszego spółczesnego obiadku.

Przystępując wreszcie do myśli o *arystokracji*, autor uprzedza, iż jak z jednej strony jest przeciwnikiem jéj stronników, tak z drugiej, nie będzie powtarzał tyle już oklepanych o niéj za i przeciw zdań; i to rzekłszy, całe następnych kart 30 (140 — 171), t. j. całą szóstą część tomu przedmiotowi temu poświęca.

Jestto prawie jedyny oddział w rozumowaniach autora, na który nie zgodzilibyśmy się zupełnie, i w którym autor w przeciwność swym zwykłym zasadom, mimowolnie może, jak ów konserwator, o którym wspomina, okazuje się także zwolennikiem kast.

W rozumowaniu tém o przedmiocie, autor podobnym jest do bohatera swego Alfreda, który mówi przy początku powieści do żony: „Wywietrzała mi z głowy arystokracja od czasu, jak widziałem w Paryżu adwokatów i professorów ministrami, oraz w Londynie bogactwo kupców i lordów, *ale nie żyję z mojm sąsiedztwem, gdyż jest licha.*” Autor w rozumowaniu swoim oświadcza się przeciw arystokracji krajowéj, nie dlatego jednak, iż nią jest, lecz dlatego, iż nią nie jest; rozwija pogląd dziejowy na żywioł możno-władny w Europie, z zazdrością mówi o dawnéj francuzkiéj i dzisiejszéj angielskiéj arystokracji, i żałuje, że u nas dawniej była tylko zawsze *de facto*, a nigdy *de jure*. Pominęlibyśmy te zdania, ale zboczenie jedno, wnet musiało poprowadzić autora do drugich gorszych. Obok panegiryku arystokracji, autor musiał dołączyć wnet potępienie klasy, która jest możną, a nie jest arystokracją, i którój z tego względu dał nazwisko *dorobkowiczów*. Nie znamy prowincyi autora, lecz ciekawi byliśmy istotnie poznać tę klasę, którój równéj, według autora, cała reszta rodu ludzkiego nie obejmuje. Rodziny dorobkowiczów, mająto być steki i arcydzieła lenistwa, próżności, głupoty, wszelkiéj obydy. Źródłem wzniesienia się ich, ma być jedynie oszustwo i przeprowadzenie na swoje mienia arystokracji. Nie znamy, powtarzamy, prowincyi autora; wszakże pozwoli nam autor, że nie uwierzimy zupełnie jego określeniom. Nie pojmujemy np., jak może klasa, która się odznacza wyłącznie według autora dowcipem, oświeceniem, rozumem (arystokracja), stawać się ciągle ofiarą, dawać się oszukiwać, i połowę mienia swego oddawać klassie, którój jedynie *lenistwo* i *głupstwo* ma być przymiotem. Już owszem w samym doborze nazwiska, do którego autor

przywiązał wyobrażenie ohydy (dorobkowicze), tkwi fałsz, który mówi przeciwko niemu. Autor chciał potępić lenistwo, i napisał apologią lenistwa. Nie przypuszczamy, iżby w całej prowincyi autora, nie miał się znaleźć niejeden, np. lekarz, artysta, prawnik, niejeden szczęśliwy handlarz, szczęśliwy dzierżawca, prawy sługa, zyskujący obfite wynagrodzenie i t. p. któryby się w połowie, albo przy schyłku życia, nie mógł cieszyć owocem swój pracy; ci wszyscy jednak, podciągnięni są przez autora pod jeden obraz ohydy. Określeniom *autora powieści* tém mniej ufać możemy, iż nieraz nader jawnie są stronne. „Dorobkowicze, mówi np. kończąc ich opis, podobni są do wieprzów, które tylko przez swój zgon korzystać przynoszą.” Ospałość, próżnowanie, nadętość, nie pojmujemy dlaczego mają nadawać podobieństwo do wieprzów, jedynie dorobkowiczom.

Taki jest w krótkiej treści rys tomu III *Bigosu*. Część dramatyczna jego jest prawie, jak widzieliśmy, żadna. Miały go złożyć głównie ideały doskonałości, lecz ideały doskonałości w powieści, snadź są tém dla powieści, czém pokój śród dziejów, t. j. iż są dobre tylko dla siebie. Szczęśliwym w powieści jest Alfred, szczęśliwa Helena, szczęśliwe są wołyńskie damy, których jest typem; ale nieszczęśliwym zostaje czytelnik, który zapłacił za książkę, iżby widział obrazy przygód obyczajowych i nie znajduje żadnych przygód.

Ścieśnienie lub raczej całkiem odrzucenie akcji, pozbawiło czytelników tomu III widoku jednego z głównych przymiotów pióra autora, to jest kreślenia charakteru swych figur przez położenia. Treść tomu złożyły rozmowy, a rozmów: przedmioty oderwane, w dotykaniu i rozwijaniu których interesowanym był osobiście sam autor; zbyt jawnie więc w swe osoby się wcielał, sam się w każdój przedstawiał, i jeżeli nie niszczył, tedy jednak niejednokrotnie niszczył ich charakterystyczne różnice. Stary generał Walnicki, mówi tu nieraz np. jak młody człowiek zapału; oryginał poeta Bardon (którego czytelnik przy końcu tomu zostawia rozciągniętego na marach, dla przekonania się, czy Helena go kocha) jak mąż nader roztropny (1) i t. p. Moglibyśmy także zarzucić, iż autor i tak zarozwlekłe na powieść rozumowania, mnoży jeszcze takimi, w których nic nowego nie mówi (jak np. o mówieniu językiem krajowym), i że wreszcie w rozprawach swych granice prowincyi zdaje się

(1) Poeci miewać mogą *extrawagancye*, lecz i w samych extrawagancjach są poetyczni. Dziwactwo i gieniusz być mogą, i owszem zwykle są łączne; ale niepodobnym jest z siebie, iżby jednocześnie w kim istnieć mogły *rozum* i *glupstwo*. Karykatura w jakiej ciągle autor stawia Bardona przed czytelnikiem, nie dodaje zapewne temuż zachęty do przyjmowania jego uwag.

uważać za granicę kraju, dwóch lub trzech bliżej siebie będących pisarzy, za wyraz całej literatury krajowej (1) i t. p.

Te są według nas ułomności tomu; ułomności te jednak ani znoszą, ani zacierają owych nader liczniejszych zalet pióra autora, które są już znane czytelnikom.

Autor ten jest jednym z tych naszych pisarzy, którzy w ostatnich latach literatury krajowej, pewne łączne cechy przymiotów pióra i ducha żywego nam przedstawili. Cechą zewnętrzną pióra jego są: jasność, ozdobność, siła; wewnętrzną zaś: pewna niezależność w kreśleniu rysów, stawianiu myśli, nieraz lot poetyczny, a głównie i przede wszystkim zawsze myśli i pióru przytomny *cel*, t. j. wzgląd na ogół rozwicia, społeczność, znaczenie każdej jednostki; i odnoszenie obrazów i rozumowań do tego względu.

Na polu powieściowém, a zwłaszcza wśród sfery społecznej towarzyskiej powieści, autor jest u nas jeden, który te cechy w swęj gałęzi odznaczył.

Na polu rozumowania obrawszy za jego formę rozmowy, walczy jeden z pisarzami swojej prowincyi, obszerniej nawet od siebie rozwiniętemi, i walczy zwykle skutecznie.

Przy tym talencie autora, przy zasobach mniej powszedniej nauki i śladach poprzedniej pracy, przy tęg większej u nas niż gdzieindziej potrzebie kształcenia czynnie literatury, byłibyśmy może więcej mu wdzięczni, gdyby nam dał kompozycyą, któraby cechę więcej ześrodkowanej pracy nosiła; któraby przedstawiała pewną jedność i całość; któraby będąc powieścią, nie zamieniała się w dyalogi i nie dawała nam figur z charakterem podwójnym; któraby w każdym razie strzegła jednej zasady, jednych założeń, wniosków i t. p. Pióro autora jednak, jak właśnie rzekliśmy, uważamy za jedno z odznaczających nowy okres w naszej literaturze, i prosimy go chociażby o dalszy *Bigos hultajski*. T.

---

*Rocznik Literacki. Pismo zbiorowe, pod redakcyą Romualda Podbereskiego. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego. 1849 r., 8-vo majori. Z portretem St. Moniuszki i winiętami Wincent. Smokowskiego, tudzież z widokiem chatki syberyjskiej i wnętrza świellicy ruskiej. Str. 208. (\*)*

Rok to już czwarty, jak p. B. Podbereski, zacząwszy w Petersburgu wydawać Rocznik pomieniony, przeniósł się obecnie do Wilna, i tu

(1) Np. przy kwestyi o rozprawach religijno-filozoficznych i t. p.

(\*) Porównać z recenzyą w Bibl. Warsz. rok 1849, m. czerwiec, str. 601.

czwarty tom pisma pod swoją redakcją ogłosił. Jeżeli o poprzednich Rocznikach niewiele możnaby dobrego powiedzieć, w których tylko wielkość formatu, piękny papier, ryciny i nuty na uwagę zasługiwały: to inaczej rzecz się ma zupełnie z Rocznikiem na rok bieżący, i dlatego obszerniejsze sprawozdanie podajemy.

Pomijając obszerną przemowę *wydawcy*, zatrzymamy uwagę nad jednym ustępem:

„Trud *wydawcy nakładcy*, zaczyna dziś przybierać wyższe znaczenie, osobliwie u nas na Litwie, w kraju, w którym, jak mawiał poczciwy O'Nacewicz, na tyle milionów ludności, *nie urodził się dotąd ani jeden mecenas nauk*. Bo proszę mi wskazać pomiędzy naszymi bogatymi ludźmi choć jednego, coby zasłużył na to nazwanie, w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu? Tu i owdzie poświęcają talenta, tu i owdzie powstają potrzeby i życzenia ogółu wydawania zbiorowych pisemek, tu i owdzie znajdują się rękopisma bardzo warte ogłoszenia; ale gdzież jest człowiek, coby choć milionową część swoich dochodów na ich publikacją poświęcił? Na miłość boską ukażcie mi choć jednego! Hrabia Edward Raczyński był jedynym, ale i to nie u nas! U nas dają bale, dają obiady, wiwatują szampańskiem, jeżdżą w przepysznych ekwipażach, i mieszkają jeszcze w pyszniejszych salonach; ale gdzież jest choćby najmniejsza książeczka kosztem ich wydana, chociażby jój nakład nie dochodził i połowy rocznego utrzymania jednego z ich zbytkowych kuchcików? Gdzież jest choć jeden zdolniejszy młodzieniec, rozpaczą i nędzą w moralnym upadku pogrążony, coby ich ręką został z niedoli podźwigniony? Każdy szamocze się o własnych siłach, i dlatego tém odkrytszą wzgardą płaci bogaczowi, przy piérwszej zręczności wzięcia się za pióro, i ta wzgarda zamienia się w prawdziwie demokratyczną nienawiść. Oto przyczyny niepojednanego rozdziału pomiędzy arystokratą szkatuły, i arystokratą myśli. Widząc obok siebie, tuż pod bokiem, zbytek rozwalający się na aksamicie w pozłocistym salonie, z wiecznym dymem w ustach; człowiek w pocie czoła, w osamotnieniu, w ubogiej izdebce pod strychem na kawał chleba pracujący, którego wszystkie dążenia ku dobru ogółu skierowane, czyż niema prawa lekceważenia sobie nadzianego złotem futerału?”

„Otóż w takim stanie rzeczy, w tym wiecznym rozbracie ubożca z bogaczem, jedynymi *mecenasami* byłiby u nas księgarze, gdyby nie wyłączny ich cel spekulacyi i brak podpory w czytelnictwie, względ wyłączny na chwilowy, modny gust publiczności, nie zmuszał ich do oglądania się na swój interes, i nie odводził od podawania ręki pomocy dzielniejszym prywatnym przedsięwzięciom. Ale czyż księgarzowi, obracają-



cemu pewny kapitał, aby wyrobić swoje procenta (co jest bardzo słuszną) wznosić dla kraju pomniki, które za ledwo kilkadziesiąt osób oceni, a nikt wyłożonego kapitału nie wróci? Czyż nie słusniejsza uczynić to temu, co bez osobistej pracy, szczęśliwy posiadacz ziemi, ślepym trafem odziedziczonej, ciągnie łatwe dochody z licznych swych włości”?

„Otóż, kiedy księgarze zaczęli otrząsać ręce, musem konieczności powinni byli pojawić się redaktorowie-wydawcy, bo przecież myśl narodu, musiała znaleźć dla siebie drogę, przywodząc w ruch czcionki; ztąd powstał *Rocznik literacki* w Petersburgu, *Lud i Czas* w Wilnie, *Gwiazda* w Kijowie, *Rubon* na Białej Rusi i t. p. Uparta obojętność księgarzy wywołała spółubieganie się prywatne, które się może zamienić w przedsiębiorstwo na większą skalę, jak już dała dowody tego spekulacyjna Warszawa w swojej Bibliotece”.

„Tak tedy pojawił się u nas wyraz *wydawca*, wcale w nowém znaczeniu, takiem, jakie wyrobił sobie ten tytuł w zachodniej Europie. Według większej części panujących u nas po miastach wyobrażeń, wydawcą nazywa się kapitalista, używający swoich pieniędzy na drukowanie cudzych utworów, nie mając zręczności albo usposobienia, puszczać się na innego rodzaju entreprizy. Wszakże takie pojęcie, wynikłe wprawdzie z rzeczywistego stanu rzeczy, jest w gruncie jednostronném; trudno nam wyobrazić edytorstwo, jako osobną gałąź pracy; trudno przypuścić, że ono wymaga takiego zamiłowania, i takiej znajomości rzeczy, jak wszelka inna gałąź pracy, dokonywaną z samouznaniem znaczenia swój działalności. Ów poświęca się handlowi zbożem, ów lnem i pieńką, inny ciągnie korzyści z fabryk, inny browarami opaja stan wieśniaczy, i razem tuczy woły karmne na sprzedaż: dlaczegóżby wydawca dzieł użytecznych, mogących wyrzucić wpływ moralny, nie mógłby stanąć jeżeli nie wyżej, to przynajmniej na równi z temi użytecznymi dla kraju ludźmi? A nawet w pewnych okolicznościach i czasach, czyż nie jest to rodzajem służby sprawie publicznej oddanej? Tak tedy przyszedł już czas, że wyraz *wydawca*, i w wyobrazeniach naszych powinien nabyć prawa obywatelstwa”.

Nie możemy odmówić całej prawdy, jakkolwiek przykrój temu ustępowi.

W przedmowie powyższej, napotykamy list Tadeusza Łady Zabłockiego, znanego naszego poety z Kaukazu, w którym znajdujemy ciekawe szczegóły o pracach naszych braci, tam przebywających. Tę wiadomość przywiedziem tu w całości:

„Strzelnicki, poemat Rej-Bułat już skończył. Onufry Pietraszkiewicz, autor *Dwóch Olbrzymów*, w ostatniej wyprawie w góry, raniony był w brzuch kulą, która się tam została. Cierpienia konwulsyjne, jakich od

tego czasu zaczął doznawać, spowodowały go udać się do *Piatihorska* do wód mineralnych, zkąd, jeżeli wyżyje, ma udać się do kraju, bo już otrzymał uwolnienie. Leon Janiszewski, ogłosił w Warszawie *Barkarolę*, wyjątek z poematu, i swój przekład *Cyganów* Puszkina, o którym tak się chlubnie odezwał M. Grabowski w Tygodniku Petersburskim. Dwa zaś tomy poezyi, które miał drukować w Wilnie, nie wyszły z powodów od niego nie zależących. Szczególnie poemat dramatyczny *Dwa dni*, uderza oryginalnością pomysłu, i głębokością uczuć i myśli. Teraz pisze *obrazy i wrażenia z podróży na Kaukaz*, które będą wyższe od *Marlińskiego*. *Michał Andrzejkiewicz*, ciągle pracuje nad *Opisaniem Kaukazu*, pod względem historycznym, etnograficznym, statystycznym i t. d. Wyjątek z tego dzieła pełnego erudycyi niemieckiej, odesłał Kraszewskiemu do Athenaeum. Teraz pisze *Szkice Kaukazu*, w których historia, etnografia, archeologia, będą podrzędną rzeczą, i wydaje pod imieniem *Butowta*. Hugo Korsak, młody chłopak, pisze powieść z podań Gruzji, p. n. *Kikoli*. Będzie to obraz zwyczajów, obyczajów, przesądów i charakterów mieszkańców tego kraju. Wyjątki które mi czytał, odznaczają się trafnością spostrzeżeń. *Jan Wierzbicki* przegląda Kaukaz pod względem medycyny i historii naturalnej, i rezultata swoich badań przygotowuje do druku. *Konstanty Zach*, obeznawszy się z tutejszemi językami, śledzi podań i tłumaczy gminne piosnki Tatarów zakaukaskich i Persów. W przeszłym roku (1842), straciliśmy *Stanisława Winnickiego*. Młodzieniec ten wielkich nadziei, umarł z gorączki w fortecy *Groźnej*. Poemat jego *Artem Popowicz*, którego początek ogłoszony był w pierwszej (zda się) części *Rusalki* już był skończony, lecz przy jego śmierci nikogo z ziomeków naszych nie było, i poemat ten gdzieś się zawieruszył”.

„Literatura nasza zaczyna interesować i tutejszych mieszkańców. Książę *Erystawi* przełożył na język gruzyjski *Sonety Krymskie* Mickiewicza, i improwizacją jego zaczynającą się od słowa *Samotność*; a książę *Tumanawi* jedną z moich poezyi, pod tytułem: *Alazańska dolina*.”

„Ale przy tém wszystkiem, pomimo najlepszych chęci i usposobień, wszystkiem nam prawie brakuje, nie tylko materyalnych pomocy, lecz nawet czasu i zdrowia.”

Z prozy *Rocznika Literackiego*, główną i jedyną ozdobą są *Listy o Syberyi*, pisane do rodziny przez Teresę z Wierzbickich Bułbakową. Prostota opowieści, rzewność i smutek, przeplatają te listy, pisane pięknym i czystym językiem.

*O sposobie prowadzenia wojny u starożytnych Litwinów*. Rozprawa ta zawiera wiele ciekawych w téj mierze szczegółów. Jest to przekład z oryginału litewskiego; autorem jój jest Jakób Łaukis. Tekst jój

nie trafnie wydawca przyozdobił drzeworytami, które znakomity nasz artysta W. Smokowski do poematu Witoloraudy przesłał. Co tam było stosowném, tu żadnego znaczenia nie ma.

Reszta prozy złożona z tłumaczeń i oryginalnych, nie warta wspomnienia; nie wyjmując fantazyi samego wydawcy, w której miał zdać sprawę o kantacie mitologicznej *Milda*, wedle poematu Witolorauda, muzyka St. Moniuszki, słowa Ed. Chłopickiego.

Autor w uniesieniu erudycyjném, wprowadzając wyraz dawny *gęźba* w użycie, na poparcie trafności jego, popiera się takim wypisem z Siennika: „Osieł w nienawiści wszelką gęźbę ma.” Całe zaś sprawozdanie zarywa na ćwiczenie szkolne, podobnie jak powieść Januarego Filipowicza, pod napisem: „Już go niema.” Treścią jej jest śmierć młodzieńca; dwaj jego przyjaciele byli w okropnym smutku, bo doktor *silnej* wziętości, nie robił żadnej nadziei.

Mały wyjątek następny, da dostateczne wyobrażenie wartości tej powieści:

„Głowa moja paliła mię, i serce mię paliło, i biło się tak silnie w piersiach, że zdaje się, rozłamie je i polecą tam, gdzie on cierpi. Musiały także same uczucia i Edwarda dręczyć, gdyż znagła, przerywając dumanie, zawołał z wyrazem rozpaczny :

— Ha! nic nie pomoże, bezsilni, bezsilni jesteśmy! choćbym duszę własną z ciała wyzionął, jego nie ocaleę.” I z wysilenia czuł się tak osłabionym, iż mu głowa mimowolnie na pierś spadła. Jakiś chaos, męt, pył, tysiąca różnych myśli, kręcił się wirem w méj głowie—czułem jak mię gorącość paliła” (1).

Inaczéj rzecz się ma w Roczniku Literackim z poezją; odrzuciwszy dosyć wierszyków, które mogły spoczywać w tece spokojnie, znajdujemy wiele prawdziwém natchnieniem i uczuciem o promienionych. Stawiamy tu na czele elegią *Tęsknota*:

Czemuż siedząc wśród kwiatów pod temi drzewami,  
 Raz się zalewam łzami,  
 Drugi raz wzdycham; znowu czoło zasmucone  
 W różną obracam stronę?  
 Czyliż w téj okolicy, gdzieś rósł, gdzieś chowany,  
 Jakie widzę przemiany?  
 Taż sama wieś, ten domek co był moim światem,  
 Łąka barwiona kwiatem;  
 Tenże gaj, sady, drzewa, plenne kłosem niwy,  
 Gdzieś ja nieuk szczęśliwy,  
 Młode i niemyślane przepędzając chwile,  
 Złociste łowił motyle.

(1) Zwracamy uwagę, że styl zarywa na liche tłumaczenie z rosyjskiego.

Oddawna milczący ukochany nasz poeta Antoni Edward Odyniec, wystąpił w Roczniku z oryginalnymi poezjami. Cieszymy się, że idzie z czasem i postępem naprzód, i uznajemy całą prawdę wzniosłą i szlachetną, zawartą w pięknym wierszu: „*Starość ducha.*”

Pomijamy tu wiersze Odyńca pisane w albumach, i okolicznościowe; ale nie możemy ominąć pięknej i rzewnej poezji na śmierć ks. Stanisława Parczewskiego, zmarłego w Rzymie 1830 r., przyjaciela naszego poety, i następane *Memento-Mori*:

O ludzie! ludzie! gdybyście wy czuli,  
Jak wątłe życie tych, których kochacie,  
Czyżbyście sami tyle chwil im truli,  
Chwil, co tak mało do użycia macie?

Cóż, że dziś duma winę z siebie zwali,  
Że serce, ranie podobne świerzbiącój,  
W łzach lub drażnieniu, na gniew co je pali,  
Kosztuje ulgi, ból tylko łechcącój?

Przyjdzie czas, przyjdzie, kiedy te powieki,  
Co dziś dzień cały krzywd niewinnych płaczą;  
Znużone łzami, zamkną się na wieki,  
I już twój późnej skruchy nie obaczą:

Gdy te ramiona, co dziś nadaremnie  
Wznoszą ku tobie uścisk pojednania,  
Złożone na krzyż, ostygną wzajemnie,  
Na łzy pokory i pocałowania.

Kiedy to serce, co dziś tak surowo  
Krzywdzisz, jak tyran poddanego sobie,  
Pewny, że łatwo przebłagasz na nowo,  
Czuć już nie będzie, by przebaczyć tobie.

Gdy to oblicze, co jak zorze ranne,  
Światłem pociechy na twą duszę biło,  
Na wieki oczom twoim odebrane,  
Grabarze ciężką narzucą mogiłą.

Pomysł nieszczęsny! gdy wrócisz do domu,  
I znajdziesz pustki okryte żałobą;  
Co poczniesz wtedy, gdy nie będzie komu.  
Ni cię pocieszyć, ni zapłakać z tobą?

Gdy wspomnisz miłość, coś miał, a odrzucił,  
Gdy wspomnisz szczęście, coś mógł, a nie użył,  
Chwile coś zatrul, dni coś może skrócił,  
I cierpiąc, będziesz czuł, żeś sam zasłużył?

Próżno natenczas na kolanach skruchy,  
Przyzywać będziesz kochanego ducha,  
Ty, coś był w życiu na głos jego głuchy,  
Śmiałybyś mniemać, że cię on wysłucha?

I tak dzień po dniu—aż rozpaczą wściekłą  
 Sam zaczniesz na się wzywać pomsty Bożej,  
 Szczęśliwy jeszcze! gdy to ziemskie piekło,  
 Bramę litości twój duszy otworzy!

Obok takiej poezji, jakże smutno spotykać niemal na tychże kartach, wiersze p. Ludwika Podbereskiego, a brata wydawcy Rocznika; bo trzeba wiedzieć, że tu cała rodzina państwa Podbereskich złożyła swe płody umysłowe, fojest: p. Podbereski Romuald wydawca, Ludwik, i dwie Podbereskie: Róża i Weronika.

Owoż pan Ludwik umieścił swe wiersze pod ogólnym nadpisem *Aerolit*; co w przypisie wydawca Rocznika Literackiego tak objaśnia:

„Aerolit czyli kamień meteorologiczny, który siłą atrakcyi do dwóch centrów pociągany, krąży pomiędzy niebem a ziemią, to zbliżając się do słońca, to ku ziemi pomyka, nareszcie na ten lichy padół upada. Rozkład chemiczny pokazał że aerolit jest natury żelaznej. Oto co dało autorowi powód do upatrzenia podobieństwa między swemi poezjami, a tym poetycznym fenomenem.”

Pod takim wspaniałym godłem, czytamy wiersze p. n.: *Zgasłe miłości słońce, Do rozrywki, Rozumna panna, Pomyłka na Zosi*, która tak się zaczyna:

Mnie się zdało, że to Zosia,  
 Lecz nie Zosia to na Boga!  
 Ani Zosia, ni Antosia,  
 A któż jesteś moja droga?

Ze wszystkich tych poezji, zaprawdę najstraszniejszy jest wiersh p. n. *Noc cholery*. Miara sama, dreszczem przejmując; posłuchajmy trzech strof początkowych:

Nocy bezsenna mów!  
 Ja nie mam myśleć co!  
 Uczucie zmarło me,  
 Nie stało mowy już!  
 (po pauzie).

Nocy bezmówna milcz!  
 Gdy głosić nie chcesz nic!  
 Ja dumy przeszłych lat,  
 Rozsnuje w nowy dym!

O! nocy ciemna, głucha!  
 Dymna, zasmucona!  
 Oboje niemi, zimni,  
 Zacichła nasza moc!

Spuszczamy zasłonę na resztę tego straszliwego obrazu, i już więcej przytaczać wyjątków nie mamy odwagi.

Obok poezyi Zana i Odyńca, wydatniejszą poetyczną utwory *Władysława Syrokomli*, który od pierwszego zjawienia swego zapowiedział niepospolity talent, i mistrzowskie władanie językiem. Jestto znany już teraz tłumacz wyborny naszych polsko-łacińskich pisarzy, jak Klemensa Janickiego, onego chłopka, co łaską możnowładcy Kmity wspierany, umarł tak młodo, i głośną sławą znamienitego Kazimiérza Sarbiewskiego. *Dyferencya*, gawęda zaściankowa p. Syrokomli, dosadnością obrazowania, schwytaną charakterystyką szlachty zagrodowej, i językiem szczero-polskim, stanowi główną ozdobę *Rocznika Literackiego*. Mniejszej są wartości *Sonety* tegoż autora.

Gdy w prozie, jakkolwiek się wydawca silił, humorystyki ani cienia pochwycić nie zdołał, w kilku wierszach nieznanego poety, p. n. *Wybryki dobrego humoru*, znajdujemy, ją niewątpliwie jak w tém przenicowaniu znanéj pieśni z *Dziadów*:

Z pałaców sterczących dumnie,  
Zejdź luba do mojej chatki,  
Tylko zabierz swe manatki,  
Bo chołotę znajdziesz u mnie.

Święte pustki wszędzie, wszędzie,  
Ale nie marz nic o chlebie,  
Bo kochanek wierny, ciebie  
Czułościami karmić będzie.

Zrana ci wianek uplotę,  
Na obiad dam szmer strumyka,  
Na wieczerzę spiów słowika,  
A na noc marzenia złote.

A gdy cię dumanie czyste,  
W niebieskie sfery uniesie,  
Przez otwory w mojej strzesie,  
Obaczysz niebo gwiazdziste!

Przy końcu, bo na okładzinach (1) *Rocznika Literackiego*, redaktor p. Romuald Podbereski, zapowiedział wydanie jakoby w dalszym ciągu *Rocznika: Pamiętnik naukowo-literacki, w sześciu zeszytach*, którego trzy poszyty nadeszły do Warszawy. O tém piśmie nie omieszkamy zdać sprawy czytelnikom Biblioteki Warszawskiej.

Wł.

(1) Na końcu Wstępu, na karcie XXIII.



# ROZMAITOŚCI.

---

## *List Ignacego Krasickiego, o trefnisiach czyli błaznach.*

(Z własnoręcznych rękopismów, dotąd nieogłoszony drukiem).

**L**ist odebrany umieszczam z tém większą ochotą, ile że rzecz, lubo mniej poważna, zawiera w sobie z krytyką naukę i wdzięk powieści.

**M**Panie co tydzień, a radbym żeby i co dzień, ale że co dzień byłoby **W**Panu przykro, a jako sam powiedziałeś, iż i co tydzień rzecz godną czytania wydać ciężko, przestaję i na zdania i na nazwiska, a proszę abyś bez śmiechu raczył rzucić okiem na głęboko-płaską dyssertacyą, którą przyłączam.

**P**isano o głupstwie, a czemużby o błaznach pisać nie można? Ale ja o tych tylko wzmiankę czynić przedsięwziętem, coto urzędownie błaznami będąc, drwili po większej części z onych, którzy ich przechowywali. Dawne to jest rzemiosło, miało nawet bożka swego w Mithologii **Momusa**; tego była powinność, jak to zwyczajnie błaznów, bawić w **Olympie** bożki inne żartami, a czasem i gniewać, zwłaszcza gdy sobie ambrozyą podochocili.

**L**uboćby poniekąd godni tego cechu i ten, co się ustawicznie śmiał, i ten co płakał, i ten co siedział w becze; przez szacunek jednak filozofii, której się tytułem zaszczytali, lepiej o nich zamilczć.

**S**koda to jest wielka, iż nie było gazet u **Assyryjczyków**, **Egipcyan** i **Persów**, albo jeżeli były, iż do wiadomości naszej nie doszły; wieleby to wsparło historią błażeństwa; rzecz albowiem trudna do wierzenia, iżby **Sardanapal**, lub **Kambyzes**, mieli się obejść bez błaznów na dworach swoich. Dawni dziejopisowie, w tém późniejszym ustąpić miejsca powinni, iż pisali dla nauki, a nie zabawy; ztąd też poszło, iż lubo wiemy o dzie-

łach państw, odmianach rządu, prawodawstwie każdego w szczególności, cnotach rządców, urzędników przymiotach, nie w zupełnej jesteśmy niewiadomości o błaznach.

W Homerze Tersytes zdaje się coś zarywać na błazna, ale nie może wniknąć w poczet urzędowych. Był widokiem i celem żartów i naigrawań, tak z postaci, jako i z sposobu mówienia; ale się o to urażał, co samo znakiem było, iż nie miał prawdziwego powołania.

Rzeczypospolite (ile można wiedzieć), błaznów nie miały, a jeżeli który z obywatelów trefnisia przy sobie chował, gdy o panu takowym żadne dzieje nie czynią wzmianki, tém bardziej o słudze godnym takiego pana. W Athenach możeby takowe nad innych wzniesienie, ściągnęłoby było ostracyzm. W prawach Likurga znajdujemy, iż kazał niekiedy umyślnie poć niewolników, ażeby się przypatrując naówczas ich głupstwu, dzieci wstręt brały od niewstrzeżliwości. Błaznowały więc poniewolnie lloty, i wino było a nie przemysł przyczyną takowego błaznowania.

U Rzymian w czasie obrządków Saturna, było coś podobnego do błazeństwa. Pora pierwiastkowej równości, źródłem bywała wspólnych żartów; wolno było naówczas sługom przymawiać panom swoim, a uczniom mistrzowi. Ztąd ów dyalog w satyrze Horacyuszowej:

„Age libertate decembri—utere.”

Usłuchał pana swego długo milczący Dawus, i skończyło się jak zwyczajnie między nierównymi, na kiju.

„Unde mihi lapidem unde sagittas.”

U tychże Rzymian najokazalsza i najpoważniejsza uroczystość, obok siebie miała błazeństwo; z tryumfem wjeżdżający na Kapitolium zwycięzca, miał błazna za wozem, który się z pobitych natrzasał, a często się i bijącemu dostawało; tak, jak doświadczył *Juliusz*, gdy wojsko śpiewało *przywodziemy wam Rzymianie tysego lubieżnika, mężowie chowajcie żony*.

„Calvum maechum adducimus

Mariti servate uxores”....

W komedjach tak greckich jako i łacińskich, znajdują się umieszczone krotofilne osoby; i ztąd poszło nazwisko *Mimus*, od *Momusa*, ale ci na teatrach tylko lud zgromadzony bawili, a zatem do szczególnych nie należą. Bardziejby w tej liczbie być przystało parazytom, to jest wyjadaczom, nadskakiwaczom, pochlebcom; ale ta zgraja, którą *Terrenyusz Ardelionami* mianuje, według jego zdania, i sobie była przykra i drugim nieczarna: *sibi molesta, aliis odiosissima*; błazny zaś jeżeli uczciwych i rozsądnych nudzili, byli wdzięcznymi podobnym sobie, a zatem ogromną mieli pluralitatem.



Późniejsi Azyi monarchowie że mieli błaznów, wieść od tamtejszych współczesnych pisarzy powzięta, doszła nas o tém; a choćbyśmy jój nie mieli, domyślićby się można, iż musieli mieć tak jak i teraz jeszcze mają. Przystoi albowiem wcale braciom słońca, wujom księżycy, powinowatym planet, mieć takowych urzędników na dworze. Jeden z dawniejszych Kalif Harun-al-Baschid, który mieszkał w Bagdadzie, stolicy niezmiernych państw swoich, miał sławnego na dworze swoim błazna, który się zwał Bahalul; tego gdy się raz pytał, wiele jest błaznów w mieście? rzekł błazen: *długoby trzeba rachować; ale dla skrócenia czasu pozwól, iżbym piérwój rozumnych spisał; to nie zabawi, a z reszty poznasz wiele masz błaznów w Bagdadzie.*

We Francyi miasto jedno hrabstwa Szampanii, miało przywilej błaznów królowi dodawać, a może nie bez zazdrości poblizszych na takowe monopolium. W témże królestwie, a w mieście stołeczném księstwa Burgundy, Dijon, było bractwo błaznów pod rządem przeoryszy, którą zwano matką głupią albo głupich (*la mère folle*). To zgromadzenie upoważnione było przywilejem zwierzchności, miało swoje wieczyste schadzki, obrządki, prawa, i trwało przez kilka wieków.

Że Henryk IV król francuzki miał błaznów, daje się to poznać z odpowiedzi sławnego jego ministra Sullego. Ten gdy był wezwany do dworu, a postrzegł wchodząc na pokoje, iż się z niemodnej jego odzieży nasmiewano, rzekł synowi Henryka, Ludwikowi XIII: „Najjaśniejszy Panie! kiedy mnie nieśmiertelnój pamięci twój ojciec do rady wzywał, wypędzano błaznów z pokoju”.

W początkach panowania swojego miał jeszcze błazna Ludwik XIV, zwał się Angeli; a że przy ugodzie dał mu go był zbuntowany niegdys k. Kondeusz królowi, a o innych męzach zacnych co za nim byli poszli, zapomniał, rzekł z nich jeden: *Ze wszystkich nas błaznów, cośmy z nim byli, sam tylko d'Angeli wskórał.*

W Niemczech, kiedy ta moda nastąpiła, wieści niemasz; to pewna, iż się była rozkrzewiła znacznie; a że ten naród w przedsięwzięciach stateczny, trwała najdłużej, do tego stopnia była nakoniec przyszła, iż to było znakiem niejakiu udzielności, albo przynajmniej znamienitego stanu, kto błazna nadwornego chował. Karol V cesarz, miał swojego, i tak był śmiałym, iż pana do bractwa już chciał być wpisać, wtenczas, gdy Franciszka I króla francuzkiego z niewoli puszczał; a gdy tenże potem cesarz jadąc do Flandryi na Paryż drogę obrócił, Franciszkowi w ręce się podał, a ten mu dozwolił wyjechać, i na miejscu Karola osadził Franciszka. Jest wyobrażony na blasze portret Klaussa, błazna elektora saskiego z opisem wierszami znamienitych i dzieł i odpowiedzi jego.

W Polsce dość trudno powziąć o rzeczach dawnych dostateczną wiadomość. Leszki, Mieszki i Popiele, musieli mieć błaznów, ale jak się zwali, nic o tém w Kadlubku niemasz. Następcy tych jedynowładców, jakoto: Chrobry, Krzywousty, Kazimierz Wielki, nie zaprzęтали się błażnictwami; zwłaszcza ostatni, który sprowadzając z zagranicy mistrze do szkół, głupstwu był wojnę zawypowiedział; dogadzając jednako zwyczajowi, kto wie czy nie miewali ich niekiedy. W téj liczbie ja kładę ze wszech miar znakomitego pierwszego Zygmunta, którego błazen nadworny zwał się Stańczyk. Ten, gdy król córkę swoją Izabellę wydawał do Węgier za Jana Zapolitę, niedość gruntownie na tym tronie osiedziałego, radził, żeby jój ojciec zawczasu od przygody kamienicę w rynku krakowskim najął; i wyróżył co zapowiedział; niewczesne małżeństwo źle poszło, i po śmierci męża musiała się do Polski wrócić.

Bielski pisze, iż gdy tenże król Zygmunt w Niepołomicach przywiezionego z Litwy niedźwiedzia szczwać kazał, a Stańczyk się skrył, żartował z niego mówiąc: *iz to błazen, co się niedźwiedzia boi. Ja nie wiem kto większy, rzekł Stańczyk: czy ten, co się niedźwiedzia boi, czy ten, co go z klatki wypuszcza.*

Za Zygmunta Augusta był Gąska; ale czy był błaznem królewskim, czy na dworze którego z panów, czyli téż błaznował bez pana—niemasz o tém wiadomości; cóżkolwiekby wstawił go Jan Kochanowski nadgrobkim w Fraszkach:

Już nam, Gąska nieboże, nie będzie błaznował,  
 Już pod Operząszem nie będziesz harcował,  
 Ani głotów z rękawa sypał na chłopięta,  
 Kiedy cię więc opadną, jakoby szczenięta.  
 Jużeś leciał za morze, Gąsko, jużeś w dole,  
 A czarnej Persophonie spaczkujeś przy stole,  
 A duszyce się śmieją, że ten, coby grzeczy,  
 Słowa wyrzec nie umie, nowy cień człowieczy.  
 Więc my téż, pamiętając na jego zabawki,  
 Nowej mu nie żałujmy usypać rękawki.  
 Nad nim miasto proporca, suknią szachowaną  
 Zawieśmy, i na grobie geś twardo kowaną.  
 A to żeby mógł każdy, kto tędy pobieży,  
 Domyślić się zarazem, że tu Gąska leży.

I drugi jeszcze nagrobek Kochanowski temuż Gąsce napisał, a z niego dowiadujemy się, iż żył przeszło lat ośmdziesiąt; rzadko się to mędrcom przytrafia; błaznom raz wraz.

Przepraszam, że WPana fraszkami zatrudniam; i zostawam z szacunkiem.

Z powodu zwyż położonej odezwy, niezawadzi się nad tém zastanowić, jakie mogły być przyczyny trzymania błaznów, a więc téj mody pra-

wie powszechniej. Epocha czasu objaśnia i uspokaja w tej mierze ciekawość naszą, gdy zważymy, iż wtenczas, kiedy kunszta i nauki najbardziej kwitnęły, rodzaju tego zabawy nie były w używaniu. Ta więc najistotniejsza przyczyna trzymania błaznów, iż kto rozumu nienawidzi, ten w głupstwie się kocha. Nie może słuchać uczonych rozmów, któryby je słysząc nie zrozumiał, dla błachego pojęcia swego; udaje się więc do rzeczy jedynie tylko krotofilnych, żeby czczym śmiechem czynił sobie rozrywkę, i krócił ile możności czas, którego użyć nie umie.

Błaznów trzymanie i te jeszcze mogło mieć przyczyny; najprzód: iżby umysł zbyt natężony, czy działaniem, czyli pismem, w tej rozrywce znalazł odpoczynek. Potrzeba wprawdzie umysłowi zbyt natężonemu odetchnienia; ale nie idzie za tém, iżby to odetchnienie, ten spoczynek, brał się z rzeczy nieludzkiej i podłej. Upodła rodzaj swój ten, który wyciąga od innych, iżby niegodną rozumnego stworzenia brali na siebie postać, łączy z dumą nieludzką, cieszyć się z widoku, który raczej zasmucać czulego człowieka powinien.

Drugą przyczyną błaznów trzymania, kładę dumę: iżby się porównaniem cudzego głupstwa, nasz rozum lepij wydawał. Musi naówczas nie być znamienitym, kiedy takowych sposobów do okazania wartości swojej potrzebuje.

Błaznów trzymanie dla powagi lub dla zwyczaju, usprawiedliwienia żadnego znaleźć nie może, choćby je kto z powodów jak najpozorniejszych przywodził. Zwyczaj ten płodem był dzikości i grubiej prostoty, i jeżeli się o nim uczyniła wzmianka, do tego ona jedynie tylko zmierza, iżby dać uczuć, do jakiego stopnia głupstwo przyjść może tam, gdzie nauka umysły nie oświeca.

*Przysłowia polskie używane na Litwie, a nie objęte w zbiorze przysłów K. Wł. Wojcickiego 1830 r. wydanych (1).*

### I. Siedli makiem jak Petyhorcy.

Porażka tak lichego żołnierza jak Petyhorcy, musiała dać początek temu przysłowiu. „*Siąść makiem jak Petyhorcy*”, znaczy przegrać sprawę, źle sobie doradzić, zginąć bez powstania.

(1) Otrzymałszy tę ciekawą notatę od E. hr. Tyszkiewicza, jako materiał do drugiego wydania przysłów, umieszczamy ją w całości.

P. R.

## II. Nie wzięwszy na duszę, Nie chodzić u kontuszu.

To przysłowie ludu prostego, zdaje się tłumaczyć, że sumiennie żyjąc na świecie, trudno stać się bogatym. Wziąć na duszę, znaczy uczynić krok, za który duszą odpowiedzieć w przyszłości potrzeba.

## III. Pisuj na Berdyczew.

Kazać komuś pisać do siebie na Berdyczew, znaczy nie chcieć z nim w żadne wchodzić związki i korespondencje; pospolicie używa się tego przysłowia z ludźmi, o których się nie dba. *Pisuj na Berdyczew*: wyraża jeszcze, że nic z tego nie będzie, nie lękam się ciebie, nie potrafisz mnie oszukać: bo starego wróbla na plewy nie złapiesz.

## IV. Wart Pac pałaca, a pałac Paca.

Znakomita niegdyś rodzina Paców na Litwie, wyprowadzająca z Włoch swój początek, szczególny w budowlach i architekturze gust miała; czego dowodem są liczne gmachy i świątynie przez nich fundowane. Nikt im nie zrównał w wspaniałości i guście budowania; przysłowie więc to szlusznie im się należy: wyłącznie jednak od pałacu w *Jeznie* pod *Kownem* początek swój wyprowadza. Używa się zwykle, gdy ktoś stosownie, dostatnio i odpowiednio jedno drugiemu co uczyni. Podobną grę słów, można dotąd w Wilnie na kościele Śgo Piotra, fundacyi téjże rodziny znaleźć, w napisie: „*Regina Pacis, funda nos in Pace.*” Co znaczy: *Królowo pokoju, zachowaj nas w pokoju*. Nieznający języka łacińskiego, różnie te kilka słów tłumaczą. Przed dwoma laty słyszałem dewotkę czytającą ten napis, poczem z ubolewaniem rzekła do mnie: „Mój Boże, wieleto dawniej tych Paców było”.

## V. Łaska pana Szemesza, Ni pomoże, ni zamiesza.

Niedawno zmarły obywatel dawnego województwa mińskiego, Szemesza, dał początek temu przysłowiu, używanemu zwykle w gubernii mińskiej. Niejaki obywatel U.... mający chęć rymowania, zostawszy na urząd wybranym, mimo silnej ze strony Szemesza przeciw niemu forsę, publicznie w czasie sejmików rzekł głośno: że łaska pana Szemesza, ni pomoże, ni zamiesza. Przysłowie to stosuje się do ludzi, nie mających dosyć siły ani pomódz, ani zaszkodzić.

## VI. Daleko, jak święty Michał od Nieświeża.

O kilka wiorst od Nieświeża, miasta książąt Radziwiłłów, jest kościół ś. Michała, gdzie 29 września licany zbiór bywa nabożnych osób. Bliskość miejsca dała powód do powyższego przysłowia. Gdy więc ktoś

jest blisko już swych życzeń, a gra rolę zbyt od nich oddalonego, mówią zwykle, że jest tak daleko, jak święty Michał od Nieświeża.

### VII. Pal z bicza, pani pisarzowa jedzie.

Początek temu przysłowiu miał dać stangret ś. p. Mirskiej pisarzowej litewskiej, pani z cnót obywatelskich, dostatków i wystawnego życia w Wilnie przed laty znanój, który w sztuce klaskania z bicza, przeszedł wszystkich swoich kolegów. Dotąd na Litwie słysząc dobrze klaskającego biczem, powtarzają zwykle: „pal z bicza, pani pisarzowa jedzie”.

### VIII. Za koroła Sasa, Było chleba i mięsa.

IX. Był król Sas,  
Było chleba z nas,  
Nastał Poniatowski,  
Susim nie takoski.

W ustach ludu przechowało się dotąd wspomnienie spokojnego i długiego panowania u nas dwóch królów z dynastyi saskiej.

### X. Przyyli Polaki, Ni chleba, ni tobaki.

Lud na Rusi litewskiej, tak się wyraża mówiąc o kimś, co z dostatków przyszedł do ubóstwa.

### VI. Każden dudek, ma swój czubek.

Powiadają tak o młodzieży ufryzowanej, co się bardziej stara, żeby na głowie porządniej było, niż w głowie; biorąc porównanie od ptaka, pospolitego w litewskich lasach, co się dudkiem nazywa, i ozdoby czubek nosi.

E. T.

### Odpowiedź Drabska.

(Z dokumentu autentycznego, z zachowaniem oryginalnej pisowni) (1).

Wedlije najjasznyeyszego xyszaczya a pana pana Sigmuntha z bożey mylosczy, krolya polskyego wyelkyego xyszaczya Lytbewskyego, Ruskych y Pruskych zyem pana y dziedzycza & pana naszego namylosczy-

(1) Szan. korespondent, który nam ten wypis udzielił, przyrzekł w następnym dopięro zeszyte Biblioteki dodać historyczne objaśnienie do niego, zostawując przez to czytelnikom przyjemność odgadywania w ciągu miesiąca. P. R.

wszego, thobye oszwyczonemu xyszaczycu a panu olbryhtowy margraby brandemburskyemu mystrzowy, zakonu krzyszownycznego kthory yest wszyemy pruskyey y thwemu zakonowy thwym poddanym sthadla wszelkyego duchownego y szwyczkyego. Ja M. trzepyewsky Rothmystrz krolya yego mylosczy drabsky srothą szszwą sthowarżisziny służebnyky a pomocnyky memy gy smemy a mogych thowarżyschow służebnykow gy pomocnyky pomocnyky, othpowyadam thym tho lysthom dothand do kandby król yego myloscz pan mój, namylosczywszy, sthobą walką wijodł, moya czesz ogradzayacz. Kczemu szwą pyeczacz przyloszył. Dan w grudzyadzu w szobothą przed nyedzylia kthorą szową oculi, Anno domi. Mllmo quingentesio vigesio.

*Metr. Kor. Vol. 34, 287.*

### *Wiadomości literackie zagraniczne.*

#### Literatura angielska.

*Vanity Fair. A novel without a hero. By Willam Makepeace Thackeray. London.*

*(Rynek próżności; romans bez bohatera, przez Wiliama Meksisa Tekkereja).*

Celem najnowszego piśmiennictwa angielskiego jest głównie pogląd praktyczny na życie ludzkie, i wierne przenoszenie jego wypadków w ramy powieściowe. Wszystko, cokolwiek w towarzystwie zasługuje na nagane, wyszydzenie lub pochwałę; wszystko, cokolwiek zawiera ono w sobie dobrego lub złego: słowem, najmniejsze jego odcienie, znajdują najdokładniejsze odbicie we współczesnych angielskich powieściach. Jednakże nikt więcej w ostatnich czasach nie zwrócił na siebie tak powszechniej uwagi, jak Wiliam Makepeace Thackeray, autor romansów: „Papers by M. Yellowplush i Vanity Fair”.

Po utworach Karola Dickensa, a zwłaszcza po ostatniem jego dziele: „Dombi i Syn”, londyńska publiczność z najwyższem zajęciem przyjęła niedawno wydane: „Vanity Fair” i autobiografią: „Jane Eyre” (Dziena Fjr). Twórca ostatniego dzieła nie jest nam wiadomy. Literaci angielscy domyślają się, że *Jane Eyre* napisała guwernantka pana Thackeraya, któremu w drugiem wydaniu praca ta została poświęconą. Lecz są znowu tacy, którzy nie bez jawnych dowodów wątpią, aby w tém jakikolwiek udział miało pióro kobiety. Trzeba dodać, że ten romans, ze względu na jego główną myśl, zupełnie jest sprzecznym ze zna-

komitym utworem Thackeraya. W obudwóch wprawdzie romansach bohaterką jest guwernantka, osierocona dziewczyna, zmuszona do utrzymania życia własnymi środkami; ale charakter dwóch kobiet nie ma nic z sobą wspólnego.

*Vanity Fair*, od początku aż do końca nacechowany niemiłosierną satyrą na współczesne angielskie towarzystwo, można nazwać dagerotypem zwyczajów i obyczajów mieszkańców Wielkiej Brytanii w XIXtym wieku. Wszyscy, którzy mają choć cokolwiek pojęcia o życiu wyspiarzy, podzielają to zdanie w zupełności; jedno tylko pismo „Quarterly-Review” stanowi tu wyjątek.

„Pan Thackeray, są jego słowa, doświadczonym pędzlem znawcy odtwarza współczesną rzeczywistość z jej sztuczną uludą i prawdziwą nędzą. Jestto jedna z najwięcej zajmujących książek, jakie tylko mieliśmy zreczność czytać w ostatnich czasach; ale musimy przyznać, że rzadko która satyra zostawia po sobie tak bolesne wrażenie, jak *Vanity Fair*. My przynajmniej nie mogliśmy żadną miarą oddalić od siebie tego przykrego wrażenia, prześladowającego nas od pierwszej aż do ostatniej stronicy. Ażeby sobie ulżyć cokolwiek, chcielibyśmy przypuścić, że autor w wielu miejscach przesadza, że opisuje nieprawdopodobne sceny, które się tylko w jego własnej wyobraźni wylęgły; ale na nieszczęście, mimowolnie przyznajemy, że wszystkie osoby na „Rynku próżności życia” są nasi najukochańsi przyjaciele i znajomi, których codziennie i na każdym kroku spotykamy. Przechodząc koło tych osób, nie mamy najmniejszej chęci moralizowania i czynienia im wyrzutów; lecz położywszy rękę na sercu, mimowolnie powtarzamy z westchnieniem: „Niestety! jestto mój brat!”

„Każdy aktor w licznych teatrach życiowego rynku, przedstawia pewny typ ogólny, wzięty ze zwyczajnego życia, gdzie w dziwny sposób poplątano i poinieszano: dobro i zło, szczęście i nieszczęście, piękność i szpetność. Oto przed nami łagodna, kochająca kobieta, zawsze gotowa na poświęcenie się z miłości do fałszywego przedmiotu, który na najmniejszy wzgląd nie zasługuje; a tam, obok niego, znajduje się próżny, słaby człowiek, nawpół dobry i nawpół zły”.

„Ale mówiąc otwarcie i sprawiedliwie, nie możemy mieć najmniejszego współczucia do głównej bohaterki romansu. Nie, Bekki, ty nie należysz do nas; a serce nasze nie oblewa się krwią na widok twoich fantastycznych przypadków! Jesteś rozsądna, ukształcona, posiadasz wiele znakomitych talentów; i my bardzo doskonale pojmujemy, że warsztat twojego ojca był niegodziwą szkołą moralności dla młodej dziewczyny.

Od dzieciństwa bowiem rzuconą zostałaś w głęboki wir egoizmu, występ-ków, samolubstwa, intryg, i fałszu; ale jeszcze raz powtarzamy, że nie należysz do nas, pani Bekki, i nie zasługujesz na nasze współczucie. Wyższe towarzystwo Londynu z jakiegokolwiek powodu, nigdy nie przypuści do swego koła takiego prawdziwego *dziecka piekiel*’...

„Tworząc jednak swoją heroinę, autor wytrącił prawie broń z rąk naszych, nadając jej cudzoziemskie pochodzenie. Matka Rebeki jest Francuzka, nie mogło bowiem być inaczej. Organizacja tego potwora, po diabelską przejęta jest duchem francuzkim; nie widzimy w nim ani ciała, ani krwi brytańskiej. Takie igrzysko natury, jakim jest kobieta bez serca i bez sumienia, byłoby w Anglii nadzwyczajnym wypadkiem. Jedną tylko Francya może wydawać na świat takie syreny, z twarzą kobiety i s pazurami bajecznego smoka”.

J. R. S.

### Literatura czeska w roku 1849.

— *Wacław Hanka* w trzeciej edycji wydał sławną kronikę po czesku *Dalemila*. Kronika ta wierszem pisana, opiewa cały okres dziejów od przyjęcia Czecha, do roku 1314. Na pierwszej zaraz niemal karcie, stanowiącą objaśnienia, że *Lech*, byłato nazwa nie imienia, nie rodu, ale pewnego stanu.

— Szafarzyk wydał po raz trzeci „*Slovanski narodopis*.”

— W bibliotece uniwersyteckiej w Jena, odkryto *staro-czeski* rękopis z XV wieku, nadzwyczaj ważny i zajmujący, ozdobiony przepyszniemi malowidłami, przedstawiającemi wiele ciekawych scen z wojen Hussyckich. Nieoceniony ten zabytek tak w historycznym jak archeologicznym względzie, zawiera: illustrowane dzieło *Bogusława z Czechtie o Antychryście: „Odpornost Kristowa s Antykrystem.”* Następnie dowcipny i ciekawy polityczny pamflet: *Odalrychu Kalenica*, o stanie Czechu za czasów *Podjebradzkiego*; przytém wiele listów *Jana Hussa*, pisanych w konstancyeńskim więzieniu; dalej: *Rozmowy ojca Hussyty z synem*, a nakoniec: „*Mały skarbiec moralny.*” Ferdynand *Mikowiec z Pragi*, wypracował obszerną rozprawę o tym rękopiśmie do czasopismu: *Czeskie Muzeum*, i wkrótce ma się zająć: wydaniem całego zabytku.

— W Bradze czeskiej wyszedł poszyt 5-ty dzieła: „*Archiv cesky, cili staré pisemné památky ceské i morawské. Díl IV, swazek 5*”.



— Katalog Śto-Michalskiego jarmarku w Lipsku w r. 1849, obejmuje tą razą 4,192 nowych dzieł, pomiędzy którymi zawsze jeszcze polityka pierwsze miejsce zajmuje. Stare i nowe (trzech króli) prawo zasadnicze, tak jak i pruska ustawa; prawo wexlowe, wypadki w Szlezwigu, Węgrzech, w Badeńskim i t. d. dostarczyły najwięcej materyałów. I tak: zarysów do różnych nowych praw, wyszło 36; 31 dzieł różnych krajowych ustaw, i 57 broszur z uwagami nad niemi; 16 dzieł praw wexlowych, z objaśnieniami i bez objaśnień i t. d. Z całej téj literatury politycznej najważniejszym dziełem zdaje się być: „*Das deutsche Parlament*” i p. Laubego, we trzech tomach. Reszta dzieł rozpada się na różne przedmioty. Co jednak wielce zadziwia, i co może służyć za odbicie czasu obecnego, t. j., że pomiędzy powyższą ilością nowych dzieł, znajduje się wiele dzieł kucharskich, o których w ostatnich czasach nikt w Niemczech nie myślał. Miałożby to dowodzić, że Niemcy wracają już powoli do rzeczy *pożywnych* i zaczynają w nich smakować?—dodaje żartobliwie Niemiec.

— Nowe dzieło H. Gagern'a: „*Der deutsche Student in Anfang unsers Jahrzehntes. Ein romant-nationales Sittengemälde*”, znalazło wielki pokup w całych Niemczech.

— Pieśni: „*Juniusliedern*” Geibla, jednego z najpiérwszych tegoczesnych lirycznych poetów, wyszło już 4te wydanie.

— W Wiedniu wychodziły dotąd następujące gazety:

- 1) „*Wiener-Zeitung*” (z dodatkiem wieczornym) . . . . . Ex. 8,000.
- 2) „*Die Presse*” (także z wieczor. dodatk. umiarkowana). — 16,000.
- 3) „*Korrespondent*” (ministeryalna) . . . . . — 3,000.
- 4) „*Ostdeutsche Post*” (opozycyjna) . . . . . — 5,000.
- 5) „*Lloyd*” (konserwatystowska) . . . . . — 3,000.
- 6) „*Wiener-Volkszeitung*” (ministeryalna) . . . . . — 4,000.

— Dwutomowe dzieło M. A. Leymarie, p. t.: „*Histoire des paysans en France*”, przez swą dokładność w opracowaniu, zasługuje na wielką pochwałę.

— Alfons Karr zapowiedział nowe pismo: „*Fa Dièze*”.

— Dzieło Ludwika Desroches: „*Mémoires d'une fille du peuple*” z wydaniem 5, 6 i 7 tomu ukończone zostało.

— Montalemberta: „*Histoire de sainte Elisabeth de Hongrie*”, ukazało się już 5te wydanie w Paryżu.

— „*Histoire des ducs de Guise*”, przez René de Bouillés, wyszedł tom 2gi.

— Oto są znaczniejsze dramatyczne dzieła, wyszłeniedawno w Paryżu: „*Les Puritains d'Ecosse*”, dramat w 5 aktach i 12 obrazach, przez Pawła

Féval; dalej komedya: „*Griselde ou la fille du peuple*”; „*La Conspiration de Mallet*”, dramat w 5 aktach, przez Bayard'a i Warnera; „*La chute de Sejan*”, tragedia p. Wikt. Sejour; „*Dion*”, tragedia w 5 aktach, p. A. PASCALIS; „*La guerre des Femmes*”, dramat w 5 aktach p. A. Dumasa; i nakoniec: „*Piquillo Alliaga, ou trois chateaux en Espagne*”, dramat w 5 aktach p. Bourgeois i Massona.

— Francuzka literatura dla robotników, rozciąga się aż do dzieł, pisanych dla dzieci. Niedawno ślusarz Gillaud, wydał: „*Conteurs ouvriers*”, które przypisał dzieciom klasy pracującej. Pani Dudevant dodała swą przedmowę.

— Krótko przed śmiercią ukończonego dzieła sławnego Grandville: „*Les Etoiles*”, wyszedł w Paryżu poszyt Iszy. Całe dzieło ma się składać z 50 poszytów, i będzie w r. 1850 ukończone.

— W nadwornój drukarni w Wiedniu, zaczął wychodzić z dniem 1 września 1849 r.: „*Dziennik praw austr.*” w dziesięciu językach.

— Agricol Perdiguier, przedtém czeladnik stolarski, a teraz reprezentant narodu w Paryżu, zajmuje się pisaniem dzieła: „*Histoire démocratique des peuples anciens et modernes*”, którego już kilka tomów opuściło prasę. Całe dzieło ma się składać z 8 tomów.

— Akademia francuzka wyznaczyła nagrodę na rok 1850 za dwie następujące rozprawy: 1) Za pochwałę pani Staël, i 2) za rozwiązanie pytania: Zkąd pochodzi, że literatura historyczna Francyi, przedstawia się prawie tylko pod formą historycznych pamiętników? Na rok 1852 wyznaczyła nagrodę 5000 fr. za najlepsze tłumaczenie dzieł Pindara.

— Pod tytułem: „*Les Supercheries litteraires dévoilées*,” wychodzi w Paryżu dzieło, które wykrywa wszystkie przybrane lub ukryte nazwiska autorów francuzkich, piszących w trzech ostatnich wiekach. Wydawcą jest I. M. Querard. Dzieło to będzie się składać z 3 tomów, z których dwa już wyszły.

— Dziennik paryzki: „*L'Assemblée nationale*” zaczął drukować od początku października r. 1849 szereg zajmujących i kwiecistym stylem pisanych powieści, pod głównym tytułem: *Les Romans de la famille*, przez Pawła Féval, autora romansu: „*Les Amours d'un fou*” i innych. Szereg ten rozpoczęła powieść: „*Les belles de nuit*,” która już w Bruxelli przedrukowaną została.

— Niezmordowany i jak się zdaje niewyczerpany Alex. Dumas, wytrząsł znowu z rękawa w końcu października trzy nowe romanse: *Louis Quinze*,” „*Les Mariage du père Olifus*” i „*Le maître d'armes*.” Tenże zapowiedział nowy romans: „*Mille et un Fantomes*,” a oprócz tego, romansu „*Vicomte de Bragellone*” wydał tom 1 — 14. Jeżeli w takim sto-

sunku płodności nie przestanie dalej pracować, wtedy cała sława Lopez'a de Vega, za napisanie 2000 dramatów, przypadnie.

— Pod dziwnym tytułem: „*Le diable rouge*”, ukazał się w Paryżu na r. 1850 kabalistyczny noworocznik, który zawiera w sobie tabelle działających potęg na fizyczny i moralny stan ludzi, i spis dobrych i złych duchów. Układ ma być podług Nostradamus.

— „*Journal de Francfort*”, pomimo, że jest jedyną gazetą francuzką, wychodzącą w Niemczech, ma jednak tylko zwykle 1300 prenumerat.

— W r. 1836 rozpoczęte dzieło Aleyda d'Orbigny: „*Voyage de l'Amérique méridionale*”, z wyjściem 90go poszytu ukończone zostało. Dzieło to składa się z 620 arkuszy tekstu, w 7 tomach, i zawiera 415 rycin i 18 kart. Kosztuje 1200 franków.

— Nowa powieść George Sand'a, pod tyt.: „*François-le-Champi*”, ma się już pod prasą znajdować. Toż samo ma być z powieścią: „*Un caprice de grande dame*”, przez Foudras'a.

— Romans Juliusza Sandeau: „*Un Héritage*”, do którego dodano powieść: „*Karl Henry*”, wyszedł w dwóch tomach.

— Zachwalony węgierski romans bar. Cötvös: *Notaryusz wiejski*, wyszedł także w tłumaczeniu angielskiem.

— Pseudonym PP. jest w obecnym czasie najznakomitszym duńskim romansopisarzem. Jego dwie powieści: „*Peter Tordenskiold*”, i „*Niels Juel*” były z wielką chciwością w całej Skandynawii czytane. Od czasu Jugemanna, żaden autor nie miał tam tak wielkiego powodzenia.

— Ostatniej tragedyi Oehlenschlaegera: „*Kiartan og Gudrun*”, wyszło w ciągu roku trzy wydania. Oehlenschlaeger jest teraz tém dla Danii, czém Szyller i Goethe dla Niemiec.

— Tłumaczem na język angielski najnowszego dzieła Alex. Humboldta: „*Ansichten der Natur*”, jest pani Sabine, ta sama, która Kosmos przetłumaczyła.

— Edwarda Bulwera Lytton, ukazał się świeżo nowy romans, pod tytułem: „*The Caxtons. A Family Picture*”, 3 vols. Ten romans drukował się od dawnych czasów bezimiennie rozdziałami w Blakwood'a Edynburskim Magazynie, i ztądto pochodzi, że nie zwrócił prawie żadnej uwagi na siebie. Teraz, gdy dzieło to już jest ukończone, i autor jest wiadomy, rzucono się ze wszech stron do czytania. Czegoto nazwisko nie może dokazać!

— John Macgregor, znany statystyk i członek parlamentu angielskiego, napisał nowe dzieło, pod tyt.: *The Austrian Empire and Hungary, including a preliminary view of the several states of Europe, in the year 1848.*

— Od czasu ukazania się Berghausa sławnego atlasu, geografia fizyczna znalazła wielu pracowników w Anglii. I tak: niedawno ukazało się nowe wydanie Somervill'a: „Physical Geography” w dwóch częściach; Johnstone, wydawca atlasu Berghausa w języku angielskim, wydał go teraz w zmniejszonym wymiarze (we 24 kartach) po cenie funt. st. 2. 12 6.; dalej sławny niemiecki geograf August Petermann, tylko co ukończył fizyczny atlas w 15 kartach, kosztujący 1 gwin. Do szkolnego użycia wykończył C. Hughes mały fizyczny atlas, po cenie 1 szyl., a Gover, podobny za 2 szyl. 6 d.

— Sławna autorka Fryderyka Bremer, znajduje się obecnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie z wydawcą Putnam uktada się o wydanie nowego romansu.

— U Putnama w New-Yorku ukaże się wkrótce 2gi tom dzieła: „Flora of North America”, wydawane przez dwóch najslawniejszych botaników Stanów Zjednoczonych: prof. John Torrey i prof. Asa Gray. Pierwszy tom, który pod względem naukowego obrobienia, może służyć za dzieło źródłowe (Standard work) amerykańskiej Flory, odznacza się oprócz tego zewnętrzną ozdobnością, tak, że pod względem druku i papięru, nie ustępuje najpięknieszym wydaniom dzieł tego rodzaju w Europie. Szczególniej kolorowanie rycin zwraca uwagę. Cena wyszłego tomu jest 6 dollarów.

β.



# WIADOMOŚCI

## na drodze postępu nauk przyrodzonych.

### FIZYKA.

Pan Segurier po obejrzeniu różnych linii telegrafów elektrycznych w Anglii, stosownie do poleconej mu misyi, zdał następny raport, o różnych apparatach, używanych do przesyłania znaków. Anglicy przekonali się, że przed wszelkimi urządzeniami na staoyach telegrafów galwanicznych, zasługują na pierwszeństwo proste igielki magnetyczne, poddane na działanie strumieni, krążących po drutach telegrafu, łączących dwie przyległe stacye. Najlepszy zaś stos galwaniczny, składać się winien z wielkiej liczby elementów miedzianych i amalgamowanych cynkowych, zanurzonych w kąpeli z delikatnego piasku lekko zwilgoconego, wodą zakwaszoną kwasem siarczanym. Jako środek na odosobnienie drutów, wiodących elektryczność wtedy, gdy są zanurzone w wodzie lub ziemi, używać należy gutta percha, a prostych naczyń glinianych polewanych, gdy druty są zawieszony w powietrzu, wzdłuż kolei żelaznej (*L'Institut*, no. 815).

\* Następne są wypadki kilku doświadczeń, wykonanych przez p. Despretz w przedmiocie działania ciał ciepłych i zimnych na igłę magnesową. Trzymając rękę w odległości kilku cali od dzwonu szklanego, pokrywającego czuły galwanometr, po kilku minutach dostrzedz można na igle zboczenie, wynoszące  $5^{\circ}$ ,  $10^{\circ}$ , a nawet  $20^{\circ}$ . Zboczenie jest jeszcze większe, gdy działamy na igły magnesowe bez drutu multiplikatora. W żaden sposób nie można było wywołać zboczenia w igle magnesowej, z pewnej odległości przez kurczenie i wyprostowywanie ręki.

Śledząc przyczynę tego zjawiska, Despretz poznał, że jedyną przyczyną jego jest ciepłik promienisty ręki. Stozek palący się, przymocowany do tafli szklanej, węgle rozżarzone, ułożony na tafelce, mocniejsze od działania ręki objawiają skutki. Tafla kwadratowa rozpalona do tego sto-

pnia, że na termomultiplikatorze okazywała zboczenie podobne do zboczenia przez rękę objawionego; będąc trzymaną w bliskości galwanometru, także same jak ręka sprawiła zboczenie w położeniu igły. Lód w temp. 0° także okazuje zmianę w położeniu igły. Umieszczając między ręką a dzwonem, pokrywającym galwanometr, dwa arkusze papieru lub taflę szklaną, działanie ręki znacznie się osłabia. Podobny skutek okazuje pokrycie arkuszem ołowiu dzwonu z téj strony, która ku ręce jest zwróconą. Z tych doświadczeń wyprowadzić można wniosek, jak starannie potrzeba unikać trzymania w pobliżu galwanometru podczas obserwacji wszelkich ciał ciepłych lub zimnych. (*L'Institut no. 817*).

\* Pod dyrekcją p. Kupfer, urządzone zostało w Petersburgu centralne fizyczne obserwatoryum, które już rozpoczęło swe prace. Celem tego ważnego zakładu jest umieszczenie stosowne instrumentów, potrzebnych do doświadczeń fizycznych, wymagających i znacznych nakładów, i wielu warunków zabezpieczających dokładność mających się wykonywać obserwacji. Drugim zaś przeznaczeniem tego centralnego zakładu, ma być zaopatrywanie w aparata dokładnej budowy różnych obserwatoryj fizycznych, rozrzuconych w obrębie cesarstwa. (*L'Institut, no. 818*).  
S. P.

---

#### CHEMIA.

P. Chevreul czytał w Akademii umiejętności paryzkiej swoje spostrzeżenia, tyjące się działania wywieranego przez światło na farbę zwaną błękitem pruskim, w próżni. Wypadki téj pracy są takowe: że pod wpływem słońca, błękit pruski w próżni, traci swą barwę błękitną, bo pozbywa się sinnika a i kwasu sinowego wodorodnego; że odzyskuje swój błękit natychmiast, po zetknięciu z gazem kwasorodnym zupełnie suchym; że przy tém powtorném zafarbowaniu, tworzy się pewna ilość niedokwasu ostatniego żelaza, odpowiadająca ilości żelaza, które pozbyło się sinnika. Powyższy niedokwas ostatni rozpuścić można w kwasie solnym; że wytłumaczyć należy w przyszłości, dlaczego błękit pruski utwierdzony na bawełnie i jedwabiu, może być odfarbowany utracając swój sinnik lub kwas sinowy wodorodny, a napowrót zafarbowany za przystępem kwasorodu, i to aż do pięciu razy, bez widocznego uszczerbku w kolorze, i bez udzielenia wtedy widocznej ilości niedokwasu ostatniego żelaza kwasowi solnemu. (*L'Institut z 19 Septembre 1849*).

\* O użyciu w połączeniu octanów zasadowych ołowiu i kwasu 2 siarkowego przy wyrabianiu i czyszczeniu cukru, przez Dra Scoffern. Dr. S. udzielił towarzystwu brytańskiemu następnych w tym przedmiocie

wiadomości. Nasamprzód zastanowił się nad przypadkami wstrzymującymi częstokroć przedsiębiorców cukrowni; zapewnia on, że ilość rzeczywista cukru czystego białego i krystalicznego, znajdującego się w soku trzciny cukrowej, wynosi 17 do 23 na sto soku; zaś w trzcinie jest 90 na sto; z téj jednak ilości soku otrzymują tylko średnio 60 na sto, a z niego zaś wydobywają jedynie trzecią część cukru surowego w nim zawartego, który wtedy jest brudny, chociaż powinien być biały i czysty. W osadach zamorskich (koloniach) używają do dziś dnia wapna przy otrzymywaniu cukru, które chociaż oddziela niektóre nieczystości, a inne rozkłada, uskutecznia to ze stratą dwóch trzecich cukru pierwiastkowego. Dla zapobieżenia temu, różnych chwytano się środków, to jest zamiast wapna, chciano zastosować wodan glinki, ale skutek nie odpowiedział oczekiwaniu. Ostatni zasadowy ołowiu, znany jest jako środek jeden z najdzielniejszych oczyszczających, nie mógł jednak być odpowiednio zastosowany, bo nie było dokładnego sposobu, do odłączenia w zupełności téj soli z soku. P. S. wyłącza ją kwasem 2gim siarkowym, a sposób jego został zastosowany w pewnej wielkiej rafinerji angielskiej. Korzyści zaś z niego mają być następujące:

1. Za pośrednictwem powyższego sposobu, z soku trzciny cukrowej lub innych soków naturalnych cukier w sobie zawierających, w całkowitości wszystek cukier otrzymać można, zamiast jednej trzeciej, jak to dziś następuje. Oprócz tego, cukier będzie zupełnie biały bez użycia węgla z kości. Z powodu całkowitego wydzielenia nieczystości, sok nie pieni się przy wrzeniu. Wreszcie całe oczyszczenie odbyć można w krótszym o trzecią część czasie.

2. Sposób powyższy w rafinerji cukru, nawet do takich cukrów surowych może być zastosowany, z których już dawniej żadnego nie ciągniono użytku, bo otrzymuje się z nich przez to tak piękny cukier, jak jest najpiękniejszy rafinowany, a w krótszym przeciągu czasu. Przy tym sposobie niepotrzeba już cedić piany, używać krwi i wapna; a zatem postępowanie mniej od dawnego rafinowania kosztuje.

Na zarzuty, że kwas 2gi siarkowy (podkwas siarkowy) przyciąga kwasoród, a przez to przechodząc w kwas 5 siarkowy (witryol) psuje cukier; oraz że podkwas siarkowy nadaje smak i zapach nieprzyjemny cukrowi; odpowiedział p. S., okazując kawałki cukru niemające wad im zarzuczanych. (*Treść z L'Institut z 3 Octobre 1849*).

\* Wiadomo, że Voelker znalazł fluor w popiołach rośliny *Statice armeria*, rosnącej blisko morza i jod w sobie zawierającej; później odkrył ten pierwiastek w roślinie *Cochlearia anglica*. Dzisiaj p. M. G. Wilson

donosi, że wykrył przez liczne doświadczenia ten pierwiastek w wodach morskich. Podobno także p. Pearsall okazał, że to ciało istnieje w wodach wielu źródeł i rzek. (*Tamże w treści*).

\* P. Mége zawiadomił akademią umiejętności paryzką o sposobie wydobywania cukru bez utworzenia melasu. Zamiast użycia siarkanu 2go sody (*sulfite de soude*), jak to doradza Melsens, p. Mége kropi na zimno buraki całe, lub miazgę burakową pewną ilością kwasu siarkowego (witryolu) rozcieńczonego wodą, ten zaś potem zobojętnia węglanem wapna, a dopiero przystępuje do wyciskania soku i wyparowania. W czasie tej ostatniej czynności, należy nieustannie ciecz mieszać, aby przeszkodzić zetknięciu się syropu z powierzchnią metaliczną rozgrzaną, przez co tenże nie ulegnie zepsuciu. (*L'Institut z 10 Octobre 1849*).

\* *Wódka z jagód jarzębinowych.* Przy otrzymywaniu kwasu jabłkowego z niedojrzałych jagód jarzębinowych, przekonano się, że sok z nich tak jak sok wyciśnięty z winogron, sam przez się w zwyczajnej temperaturze przechodzi w fermentację. Robota ta wyfermentowana, po przepędzeniu jej i stężeniu powtórném przepędzaniem witki, wydała wyskok czysty, z trudnością od wódki pędzonej z wiśni odróżnić się dający. Zapewne jarzębina musi zawierać znaczną ilość cukru, kiedy ilość wódki (50° areometru stustopniowego mającej) wynosiła 4 na sto objętości użytego soku.

Przy końcu przepędzania powtórnego wódki, przechodziła ciecz mleczna. Po kilku dniach okazała się na niej pewna ilość błyszczących kryształków stearoptenu; z powodu jednak niewielkiej ich liczby, ściślejszych z niemi doświadczeń nie robiono.

Z wyfermentowanego soku jarzębinowego, tyle można otrzymać jabłkanu wapna, co ze świeżego; widać przeto, że kwas jabłkowy przy fermentacji wyskokowej nie ulega zmianie.

Sądzę, mówi p. J. L. (*Justus Liebig*), że dodanie soku z jagód jarzębinowych do zacieru zwyczajnego ziemniaczanego, przeszkodziłoby tworzeniu się przy zafermentowaniu olejku przypalonego ziemniaczanego, bez udzielenia wywarowi własności szkodliwych; ale jagody jarzębinowe do powyższego celu zupełnie dojrzałe brane być powinny. (*Treść z pisma Annales der Chemie und pharmacie. Juli 1849*).

J. B..a.



## HISTORIA NATURALNA.

## Zoologia.

Rozpoczęła się z nocą 14 grudnia, wielka obława na szczury po wszystkich drogach podziemnych Paryża. Te podkopy ciągnące się na 150 mil (lieues) w różnych kierunkach, przez lat sześćdziesiąt kosztowały miasto Paryż przeszło pięćdziesiąt kilka milionów franków.

Tak wszechstronnie umiano się wziąć do dzieła, że łowy wszelkie oczekiwania przeszły, i więcej niż 250,000 szczurów ubito. Mówią że ta liczba dojdzie do 600,000. Zarząd miejski ma nadzieję, że cztery razy na rok wypłaszania ponawiając, uwolni Paryż od tych rabowniczych gości.

Liczne roty kloaczników używały różnych sposobów dla dostania tych zwierząt. Najskuteczniejszém się okazało użycie wielkich worków skórzanych, w które zakładano po funcie baraniego łoju, rzeczy nader ponętnej dla szczurów. Dowcipny mechanizm tych worków pozwalał wejścia do nich, a tamował wyjście. Te nowego rodzaju zasadzki pomieszczano w rogach ulic, i umiejętném kołatanem, wpędzano szczury do worka.

Najwięcej ich wypłoszono na placach i ulicach przyległych Sekwanie. Rynki, pobrzeża małej rzeczki Bièvre, ulica Paskala, przedmieście Saint-Marceau niezmierne plony łowcom przyniosły.

W tej liczbie 250,000 ubitych szczurów, okazało się tylko około 600 czarnych, zwanych *angielskiemi*. Kloacznicy wybrali z nich dwie sztuki, które mają oddać do Ogrodu roślin, jako przedmiot ciekawości.

Od wierzchołka ogona do końca mordki, dwa te szczury angielskie, mają 51 centymetrów długości. Oczy ich są czerwone jak u białych myszy; sierść tak czarna i lśniąca, jak barwa na kapeluszu jedwabnym, a tak wielka żarłoczność, że dwa w przeciągu dziesięciu minut ze szczętem pożarły pięknego szarego szczura Norweskiego.

Na wysepce pustoszyieli (*île des Ravageurs*), która jest na Sekwanie, wszystkie te szczury poduszono i poodzierano. Czynność ta nie odbyła się bez niebezpieczeństwa.

Mówią, że dwóch fabrykantów rękawiczek z Grenoble mają kłopot z naczelnikiem rôt kloaczników paryzkich: przerazili się oni liczbą skór szczurzych, do których przyjęcia obowiązuje ich umowa na piśmie. Rozumieli, że ta liczba nie będzie przechodziła 100,000. Ale p. John Warton, bogaty białoskórnik londyński, nie zraża się choćby i kilkuset tysiącami skórek szczurzych, i korzystniejsze przyrzeka układy podziemnym myśliwcom. (*Journ. des Débats*, 1849 19 grudnia)

\* *Quatrefages*, *O rodzaju Hermella*. Ci naturaliści, którzy sądzą, że pierścienice rurki zamieszkujące nie mają głowy, zmuszeni są masę powstającą z połączenia się czulków, uznawać za działy ciała występujące nad pyszczek. Autorowie ci muszą oraz szczeciny na okrywkach uważać za jedno co szczeciny nogi. P. *Quatrefages* innego jest zdania. Nietylko on uważa że te części ciała są odmienne, ale nawet w naturze szczecin i ich rozwijaniu się różnice postrzega. Według niego, szczeciny do chodzenia, czyto pojedyncze czy złożone, rozwijają się w osobnym organie, który powstaje z fałdy skóry, wywróconej jak palec u rękawiczki. U podstawy tej fałdy leży, zwykle nakształt wielkiej brodawki poduszka, złożona ze skupienia substancji ziarnistej. Z této poduszki wychodzą szczeciny, zawarte z początku w pochwie, w której wolno leżą. Szczeciny zaś na okrywkach u wyszczorek (*Hermella*), wynikają zpośród gotowej tkanki, jak się zdaje, przez zgrubienie miazdry (*derma*); nie ma tu nic podobnego do pochwy. Bardzo długie korzenie ich wszędzie się raczej bezpośrednio ztykają z tkanką w której powstały. Szczeciny te odpowiadają raczej złożonym z wapna haczykom miazdry u Synaptów; i te i tamte są wyrobem skóry. W samej gromadzie pierścienic niepotrzeba długo podobności z tém szukać: okrywka u rurecznych (*Tubicolae*) jest tylko prostym wypoceniem materji urynowej, czyli wapna; rozwija się ona na końcu czulków, których położenie jest to samo co u wyszczorek. Autor uważa przeto złożoną koronę u tych ostatnich, za odpowiednią mniej lub więcej prostym okrywkom rurówek i niektórych piaskiełek. Jeżeli tedy przyjmiemy z autorem, że wszystkie szczeciny głowowe u wyszczorek tak są zlane z sobą, iż tylko ślady dawniejszej rozdzielności pozostały, otrzymamy okrywkę której budowa będzie zupełnie taka jak u niektórych pierścienic rurecznych.

Tułuw u wyszczorek składa się, według autora, z pięciu pierścieni; przyglądając się mu powierzchownie, możnaby z Savigny'm tylko 4 przyjąć. Rozstrzyga tu układ nerwowy; śledząc go od tyłu ku przodowi, znajdujemy na każdy pierścień dwa gangliony (ganglion główny i poboczny); otoż prócz ośmiu par ganglionów i miejsc ich położenia, znajdujemy jeszcze zbieg nerwów i nowe nabrzmiałości ganglionarne, z których się rozchodzą nerwowe gałęzie połyku. Według tego co autor u innych pierścienic widział, gałęzie te rozłączają się, gdy łańcuch ganglionów odwłoka, zaczyna się w najpiérwszym pierścieniu po tym, w którym pyszczek leży. Autor sądzi że to samo i u wyszczorek przyjąć wypada; przestrzeń ograniczona lekkimi fałdami, na której leżą trójkątnego kształtu wąsiki (*cirrhos*), jest przeto prawdziwym do tułowu należącym pierścieniem, a nie przyczepką głowy.

Powszechnie przyjmujemy, że pierścienice nie mają wątroby; i autor nigdy jej nie znalazł oddzielny, w sobie ograniczony organ składający. U niektórych jednak czerwiów i zwierząt miękkich jest także to samo; i u nich wątroba nie stanowi masy jednej, ale się rozpościéra ponad kanałem kiszkowym, jako mniej lub więcej rozległa warstwa. Pomiędzy zwierzętami kręgowymi, okazuje coś podobnego rodzaj *Amphioxus*. Autor sądzi, że u wszystkich pierścienic w ogólności, a w szczególności u wyszczerek, jest to samo; znalazł on, że budowa kiszki, w odwołku jest wcale insza niż w tułowiu i ogonie. Kosmkowato ziarnista tkanka, ściany jej tworząca, zdała się autorowi podobną być do tkaniny która otacza kieszkę ślepą grzbietową u węp (Aeolidia), i mieć swoje oddzielne funkcye. Sądzi że u pierścienic taka sama zastępuje wątrobę.

U wyszczerek, a może i u wszystkich bezkręgowych zwierząt, bardzo ważną gra rolę jama ciała; ciecz ją wypełniająca, obejmuje może w części wyroby trawienia; w niej się ukazuje limfa i chyl; a jak wielkimi są jej wyżywiające własności, daje się widzieć już z tego, że ona ogarnia wyroby organów rodnych w stanie rudymenarnym, te zaś w krótkim czasie całkowicie się w niej rozwijają. bynajmniej się ze krwią nie stykając.

Ciecz ogólnej jamy ciała musi już mieć oddzielny dla siebie rodzaj oddychania, uskuteczniający się częścią w nodze, jeśli ta opatrzona jest drgającymi rzesami, częścią zaś, a pewnie i powszechnie, w pyszczkowych wąsach (cirrhes buccales). Tylko nader delikatne błony odcedzają tu ciecz od obciążonego wodą powietrza; powietrze więc mogłoby tu endosmotycznie do jamy ciała wchodzić. Wyszczorki miałyby w tym przypadku podwójną respiracyą: jedną która przez skrzelą powietrze dla krwi przynosi, drugą która w rozmaitych miejscach ciała, ciecz jego ogólnej jamy powietrzem nasycą. Rozciąga się to do wielkiej liczby pierścienic.

Różnica pomiędzy krwią wenalną a arteryalną, nie daje się u wyszczerek w tak wyraźny sposób jak u wyższych kręgowych zwierząt wyznaczyć. Pomiędzy układem wen a arteryj, środkują wielkie, każdego czasu otwarte połączone przestrzenie, a oprócz tego, wielkie naczynia podłużne strony dolnej, są daleko mniej ściągalmi niżeli górnej. Z takowego rozporządzenia wynika ruch krwi niekiedy wsteczny, a przez to krew wenalna i arteryalna nieraz mieszają się z sobą.

Pomiędzy krążeniem u pierścienic, które Milne-Edwards badał, a głównym krążeniem u wyszczerek, stanowi różnicę tylko obecność pnia środkowego, leżącego pomiędzy dwoma bocznymi w górnej części ciała (trons latéro-supérieures). Rzeczony pień, dany tylko dla trzewiów, odznacza się swoim ku tyłowi zwróceniem; funkcye jego będą odpowiada-

ły funkcyom naczyń trzewiowego u nalepianów (*Arenicola*); zgromadza on, podobnie jak żyła bramna (*vena portae*), krew krążącą w wątrobie, ażeby ją do głównego krążenia odnieść.

Skrzela wyszczorek nie mają dwojakiego układu naczyń: krew arterialna miesza się z wenalną w jedynéj jamie; ta zaś zostaje w połączeniu z pewną liczbą dzbałeczkwatych jamek, w których się uzupełnia sprawa oddychania. Zupełnie podobne rozporządzenie daje się widzieć u wszystkich pierścienic z wyraźnemi skrzelami. U niektórych pierścienic przenośnych, jakoto gatunków z rodz. *Spio*, u których czułki miejsce skrzel zastępują, jedna część organu ukazuje przysposobienie zwyczajne, gdy druga, ta w której ukrwawienie (*haematosi*s) zachodzi, okrywa się rzęsami i przybiera budowę znamionującą organ oddychania.

Symetria w ciele, należy niezaprzeczenie do charakterystyki pierścienic, a jednak autor sądzi, że rzeczywiście nie okazano dotąd teoretycznie równego rozdzielenia organów na dwie połowy ciała. Wyszczorki to potwierdzają: w całym ich odwłoku dwie boczne połowy ciała, połączone są tylko pokryciem, kanałem pokarmowym, i siatką naczyń; w obu dwu końcach ciała zaciera się ta rozłączność coraz bardziej. Głową, pierziami i ogonem różnią się w ogólności daleko mniej niż środkowemi częściami ciała, od innych pierścienic.

Ze wszystkich organicznych przyrządów, układ nerwowy najwyraźniej okazuje rozdział swój na dwie połowy. On przeto ze względu na systematyczne stanowisko wyszczorek, jest bardzo ważnym: odnosi wyszczorki, tymczasowo przynajmniej, do pierścienic bokonerwnych (*pleuronères*), a oddział ten obejmuje także pierścienice rureczne, np. *Peripate* Milne-Edwardsa i *Malacobdella* Blanszarda, i wyobraża do pewnego punktu pierścienice przenośne i pijawkowate. Z tego stanowiska uważając, widać że jeszcze jedynéj tylko analogii, bokonerwnych z dżdżownicami brakuje, ażeby wszystkie właściwe pierścienice w jedną wielką grupę *bokonerwnych* połączyć.

Rodzaje *Hermellea*, *Peripate*, i *Malacobdella* kładzie autor, tymczasowo tylko i z pewnemi ograniczeniami, do jedynéj grupy z sągwi (*Nemertes*), wyplawkami (*Planaria*) i innemi pierścienicami gładkiemi. Zasadnicza cecha téj grupy, rozdział nerwowego układu na dwie wyraźne połowy, wyrażona jest najzupełniej u wszystkich prawdziwych bokonerwnych. Autor nie znalazł wszakże u nich ganglionów prawdziwych, kiedy trzy sąsiednie zworza, gangliony mają. U wyszczorek prócz tego, obydwie sznurki ganglionów wzdłuż całego ciała łączą się licznemi ciągami nerwów. Rodzaje *Peripate* i *Malacobdella* różnią się jeszcze od prawdziwych bokonerwnych rozporządzeniem organów rodnych; zdaje

się że w rodzaju *Peripate* nogi, nie sąto nogi pierściennic. Autor wreszcie sądzi, że trzy ostatnie zworza może potrzeba będzie później złączyć w oddzielną grupę, która pomiędzy właściwe a bokonerwne pierściennice przypadnie. (*Fror. Not.* 214, z art. o wyszczorkach w *Annales des sc. nat.* na r. 1848).

\* J. Budge, *O odlepce dwuocznój* (*Clepsine bioculata*) (1). Odlepki, jak wszystkie pierściennice pijawkowate, są dwoisto-płciowemi. Ich jajeczniki, sąto dwa gruszkowate ciała wielkości główki od śpilki, które mają swoje ujście do jajowodów, a te wpadają znowu w macicę, ciałko czworoboczne na którego stronie dolnej, prawie pod 27 pierścieniem ciała, leży zewnętrzny otwór rodny. Za rozcięciem tego jajecznika, wychodzi rurka bardzo rozmaitej średnicy, w niektórych miejscach szeroka, w innych aż do przewężistości ścięsniona. Każdy jajecznik zdaje się mieć jedną tylko taką, rozmaicie pogiętą rurkę, a w niej leżą jaja, pęcherzykiem zarodkowym i zarodkową plamką opatrzone. Wielkość jaj jest bardzo rozmaita. Nader delikatny drugi płci otwór, leży w okolicy 25 pierścienia.

Układ nerwowy przedstawia dwa oddziały: nerwowy sznurek, i sympatyczny układ nerwowy. W obudwu oddziałach zawierają się te same pierwiastki, te same ciała ganglionarne, i pierwotne włókna nerwów. Nerwowy sznurek, wydobyty z ciała, przedstawia cienką, białą, na  $\frac{1}{25}$ '' szeroką nitkę o 23 drobnych węzłkach. Nitka ta jest bardzo sprężysta i rozciągliwa: zwykle nieco pogięta. Najpierwszy węzełek, który mózgiem nazywać można, i najostatniejszy są największemi; wszystkie inne są równe sobie,  $\frac{1}{20}$ '' długie; mózg więcj niż dwa razy dłuższy, a węzełek ostatni jeszcze dłuższy, ale nie tak szeroki. Odległość węzłków od siebie, niezupełnie jest jednakowa; trzy pierwsze i trzy ostatnie leżą bliżej siebie, niżeli inne. Pierwszy węzełek odpowiada prawie 5—8 pierścieniowi; leży on przed kanałem pokarmowym, na połyku.

Z wyjątkiem pierwszego i ostatniego węzła, wszystkie inne mają zupełnie jednakową budowę: to jest, każdy składa się z sześciu ganglionarnych ciałek, dwoma rzędami za sobą, czyli trzema przy sobie leżących: dwa środkowe zawsze są nieco mniejsze od czterech innych: te ostatnie mają  $0,0425$ '' średnicy. Przy każdym węzłku ukazują się z boku dwa nerwy, z których jeden zdaje się być w połączeniu z przednim, drugi z tylnym ganglionarnych ciał rzędem. Nigdzie nie dostrzegął autor, ażeby z ciała ganglionarnego wychodziła nitka nerwowa, co się daje widzieć

(1) Rodzaj *Clepsine*, w Monografii pijawkowatych p. Maquin-Tandon, jest pod *Glossiphonia*.

często w ganglionarnych ciałkach sympatycznego układu. Każde ganglionarne ciało ukazuje w środku jasne jądro, otoczone drobno-ziarnistą masą.

Najpierwszy, owalny węzełek, czyli mózg, ma około 0,17" długości, i składa się ze dwóch połówek, w przednim końcu półkulistych, w środku rozłączonych niegłęboką szparą; obejmuje on mnóstwo ganglionarnych ciałek: na boku, gdzie się wyraźniej widzieć dają, można ich 8 do 10 naliczyć, z czego zdawałoby się, że ten węzełek z 4 do 5 mniejszych jest złożony. Z tego pierwszego wielkiego węzła, rozchodzą się nerwy na bok; są one bardzo delikatne i do zerwania się łatwe, przez co nie można o ich liczbie być pewnym.

Na ostatnim węzłku nerwowego sznurka widać zwykle 7 do 8 przewięzistości, które wskazują że tyleż drobnych węzłków stopiło się w jeden długi węzeł. Sam sznurek nerwowy składa się ze dwóch połów, przynajmniej w części rozłączonych błoną. Widać tę błonę jakby ciemną linią po obu stronach i w środku nerwowego węzła. Właściwe nitki nerwowe, które się pomiędzy temi liniami objawiają, są nader delikatne; ciągną się one nieprzerwanie ponad ganglionarnemi ciałami, nie zostając w widocznym z niemi związku: nie zdają się nawet być w połączeniu z nerwami wychodzącemi z boku. Te ostatnie są nierównie grubsze, niżeli włókienka sznurka,

Włókna nerwowego sznurka ciągną się naprzód, ponad środkiem mózgu; okrywają one leżące pod sobą ciała ganglionarne, i przekraczają przedni koniec mózgu; tu kędzierzawią się, poczem zdają się zawracać czyli tworzyć zadzierni, ale w części idą także wążutkami wiązeczkami do obu oczu.

Sznurek nerwowy zaczyna się przed kanałem pokarmowym, prawie na piątym pierścieniu: początek jego zwykle jest nieco pochylony ku jednej stronie; ukazuje się potem dopiero po prawej stronie kanału pokarmowego; dalej ponad trzewiami aż do smoczka, w który ostatnim węzłem wstępuje, a za nim przechodzi w włókna, których autor nie mógł dalej śledzić. Nerwowy sznurek w związku jest z częściami rodnemi, do których wiele dochodzi gałęzi. Gdy zwierzę jest w stanie skurczenia, nerwowy sznurek w rozmaite układa się zakręty; raz naprzykład lub kilka razy zakłada się na kanał pokarmowy. Boczne rozgałęzienia rozchodzą się na wszystkie strony, a najhojniej organa rodne zaopatrują.

Drugi oddział nerwowego układu, uważany przez autora za układ sympatyczny, nie ma już tej wielkiej mierzytelności, która nerwowy sznurek cechuje. Wprawdzie ciała ganglionarne tego układu są liczne, naderemnie wszakże szukalibyśmy w nim stałego uporządkowania. Oprócz

tego wysyłają one włókienka nerwowe, czego nie ma nigdy przy ganglionarnych ciałach sznurka nerwowego. Włókienko takie, wychodząc z ganglionarnego ciała, z niem jest połączone, i zdaje się być niejako przedłużeniem jego. Według R. Wagnera, Robina i Biddera, jestto bardzo zwyczajném, że nerwowe włókna z obudwu końców ciała ganglionarnego wychodzą; ale autor, mimo najusilniejsze starania, nie mógł tego sprawdzić u odlepek. Nerwowe włókno układu sympatycznego jest nierównie cieńsze, niżeli sznurka nerwowego. Tę różnicę ukazali i u kręgowych zwierząt Remak, Volkmann, Bidder i inni.

Do sympatycznego układu należą: 1) bardzo mały, nieparzysty, bezpośrednio za okiem leżący ganglion, którego związku z nerwami autor nie mógł odkryć; 2) dwa większe, bezpośrednio za mózgiem leżące węzły, i 3) mnóstwo ganglionarnych ciałek rozpościerających się ponad dwoma sznurami muskularnemi które wyścielają kanał pokarmowy. Z rzeczonemi ciałkami wiąże się wiele pierwotnych włókien nerwowych, które równo naprzód jako i wtył do żołądka biegną; biegnące wtył, zdają się przy przednim końcu pokarmowego kanału tworzyć zadziergi i nazad się wracać, w części zaś łączyć się z włóknami nerwów sympatycznych. W bliskości sznurów muskularnych zdają się także połączenia z gałęziami nerwowego sznurka zachodzić. Na kanale pokarmowym i na bokach żołądka, leżą także ganglionarne ciała i połączone z niemi nerwowe włókna.

Układ naczyń złożony jest ze czterech większych sznurów i licznych, w związku z niemi zostających gałęzi. Jeden pień główny leży bezpośrednio pod warstwą mięśni skóry grzbietowej: autor go zowie naczyniem grzbietowém. Drugi towarzyszy nerwowemu sznurowi: autor go zowie naczyniem brzuszniém. Trzeci i czwarty otaczają całe ciało; leżą one po obudwu bokach, i łączą się z przodu i z tyłu; autor nazywa je naczyniami bocznemi. Naczynie grzbietowe leży w środku ciała; gdy się zwierzę wyciąga, biegnie ono prosto, gdy się skurcza, ono przyjmuje zakręty odpowiednie pierścieniom. Naczynie grzbietowe zaczyna się blisko 60 pierścienia ciała, i ciągnie się aż do 28. Naczynie grzbietowe rozchodzi się niejako na dwa oddziały: tylny, od 60 do 49 pierścienia idący oddział, wysyła obfitą siatkę naczyń, która kiszki cienkie ościela i w związku jest z naczyniami bocznemi. Oddział przedni grzbietowego naczynia, ma grubsze, ściągłiwsze ściany, tudzież przyrządy osobne, usługę kłap sprawujące, a które przedni oddział grzbietowego naczynia na 15 komórek rozgradzają. Każda kłapa składa się ze słupka ściągliwych włókien, który przechodzi w trzonek osadzony na wewnętrznej ścianie naczynia; kłapy te są ruchome, przy

spokojném ułożeniu zwierzęcia, leżą one równolegle do podłużnej osi naczyń; jest ich 14; pierwsza kłapa należy do drugiej komórki. Z pierwszą i czterema ostatnimi komórkami, łączą się inne naczynia; komórki zaś od 2 do 11 tylko z sobą się łączą. Przewięzistość pierwszej komórki łączy się z tylną częścią naczyń grzbietowego; w témże miejscu wpadają do téj komórki najpierwsze naczynia pierścieniowate kieszki cienkiej. Naczynie brzuszne w przednim i tylnym końcu rozchodzi się w gałęzie; pomiędzy końcami biegnie nie rozgałęziając się; postępuje ono za biegiem nerwowego sznurka, tuż przylegając do niego. Górny jego koniec przyjmuje dziewięć gałęzi, z których sześć, z trzech ostatnich komórek grzbietowego naczyń wychodzące, przy sobie leżą. W okolicy 62 pierścienia ciała, naczynie brzuszne rozgałęzia się: ośm do dziewięciu gałęzi rozchodzą się na obiedwie strony, jedna zaś w tył idzie. Tamte zbiegają się przy smoczku, tworząc u ostatecznej granicy jego tyleż zadziergów. Z zadziergów wynika po jednej stronie naczynie, które się wpoprzek kieszki grubiej ciągnie, i przyjmuje gałęzie zadziergów z drugiej przybywające strony, równie jako i gałąź naczyń bocznych, ażeby się stać początkiem grzbietowego naczyń.

Naczynia boczne leżą z obu stron ciała; łączą się one z przodu ponad głową, równie jak i od końca tylnego, gałęziami węższymi. Oprócz tego żyłkują się wewnątrz każdego pierścienia naczyńiami poprzecznymi, których wszakże trzem pierwszym pierścieniom i ostatniemu brakuje. Oprócz tych żyłkujących się naczyń, naczynia boczne rozsyłają jeszcze gałęzie do naczyń grzbietowego: one także zaopatrują pierścieniowate naczynia kieszek; nawet naczynie brzuszne łączy się gałęzią z bocznymi.

Kulki krwi są bezbarwne, częścią okrągłe, częścią jajowate; wielkość ich na środku  $\frac{1}{300}$ '' wynosi. Niekiedy zlepiają się one w gromadki, może dlatego, że są porowkowane. Najwięcej tych gromadek czyli grudek znajduje się w naczyńiach bocznych.

Odlepka dwuocznna żyje razem z innymi gatunkami odlepek i saszek (*Nephele*) na trzcinie wód stojących; mało się ona porusza; trzymana w szklanym naczyńiu z wodą, chętnie przywiera do ścian jego, ale po długim więzieniu najczęściej utrzymuje się na dnie. Ujawszy się smoczkiem, buja nieraz resztą ciała w poziomym kierunku; pływa rzadko i powoli; wyjęta z wody wkrótce osycha i staje się po zornie nieżywą, lecz chociażby i całą godzinę w stanie tym zostawała, w wodzie znowu ożywa. Szuka ona wody, gdy odlepka przezroczysta (*Clepsine hyalina*) woli uschnąć, niż się dobrowolnie w pobliską wodę udać. Jeśli się jój smoczek odetnie, życia nie kończy, i przykleja



się jak przedtém, do ściany naczynia. Odlepka tak odmienia miejsce, jak pijawka: ujmuje się przednim końcem, ściąga ciało, poczem uchwycą się tylnym końcem przy smoczku, wyciąga się, ujmuje się na nowo częścią przednią, a końcem tylnym puszcza się, i ciało jak przedtém ściąga. Zwija ciało tak zupełnie, że przybiera kształt oliwki, czego w tym stopniu żadna inna pierściennica nie czyni.

Między częściami wewnętrznymi, kanał trzewiowy i pokarmowy odznaczają się wielką ruchliwością; przednia część trzewiowego kanału może się w kształcie ryjka wysunąć. Kanał pokarmowy ma własność poruszania się, nawet po odłączeniu od reszty ciała. Podobną własność okazują także pod temi samemi okolicznościami jajeczniki, lubo nierównie słabiej i krócej. Gdy ciało na dwie połowy jest rozdzielone, komórki grzbietowego naczynia pulsują jeszcze czas niejaki. Poruszenia odciętego ryjka trwają częstokroć godzinę.

Jesito zapewne skutek wielkiej ruchliwości kanału pokarmowego, że pokarm krótko tylko w nim bawi: często widać połkniętą wodę w kształcie baniek zniżającą się, nieraz nawet pokarmy z żołądka weń wracają, ażeby przez pyszczek wyrzucone zostały: ale to wszystko odbywa się tak szybko, że kanał pokarmowy prawie zawsze jest czczy, gdy kanał trzewiowy prawie zawsze jest napełniony.

Kształt żołądka i kiszki cienkiej zmienia się szybko i rozmaicie do czego się nadewszystko ruchliwość błon wyściełających przykłada. Poruszenia te sprawują wypróżnienia się żołądka i kiszki, które jednak nie zawsze w kierunku odchodka, ale nieraz i przez pyszczek następują. Autor mniema, że na granicy żołądka i kiszki cienkiej leży kłapa, która zawartość żołądkową od zawartości kiszki odłącza; obiedwie są bardzo odmiennych własności.

Pokarm odlepki zdaje się być zwierzęcym; szuka ona przedewszystkiem różnego gatunku zątoczków (*Planorbis*), w których ślimakowatą skorupę ryjek swój zapuszcza. Przez kilka miesięcy żyć może o głodzie, ale jej podczas lata, przynajmniej co ośm dni, wodę odmieniać potrzeba. Jaja niesie żółtawo-białe, i przykleja je śluzem do brzucha, gdzie i młode się rozwijają.

Odlepka ma z pewnością zmysł widzenia; oczy jej złożone są z przezroczystej błonki, tworzącej torebkę napełnioną barwidłem, do której nerwy i naczynia dochodzą. Ryjek, którego nerwy należą głównie do sympatycznego układu, możnaby uważać za organ dotykania lub smaku.

Odlepki do kropli wody włożone, łatwo ją opuszczają i wychodzą na suche, po którymś daliej się czolgają, i, jeśli im wilgotny pomost nie został, usychają; jakkolwiek ślad pamięci zaprowadziłby je nazad do blizkiego

elementu życia; ale téj zdają się całkiem nie mieć. Chętnie zdają się podawać ku światłu; na dotykania są czułe, skurczają się i zwijają. Żadne z ich poruszeń nie zdradza postanowionego zamiaru; najmniejsza mechaniczna przeszkoda zmienia ich drogę.

W przedmiocie oddychania odlepek tyleż jest niepewności, co względem wszystkich pijawkowatych. Tych pęcherzyków na boku, które się znajdują w rodzaju pijawki, (1) nie mógł autor znaleźć u odlepek. Ale zdania o tych organach są jeszcze w ogólności bardzo podzielone: jedni je do oddychania, drudzy do wydzielania przeznaczonemi być sądzą. Samo tylko dokładne poznanie i pewne oznaczenie układu naczyn, może to pytanie rozwiązać.

Kiszka gruba u odlepek opatrzona jest drgającą przyślužnią. Gdy zwierzę osłabnie, ustają i poruszenia rzęsowe; jeśli podczas żywego ruchu rzęs przy kiszce grubéj, przetnie się zwierzę, w mgnieniu oka i ruch ustaje. Drgająca przyślužnia jest tu więc nie taka jak u innych zwierząt, u których jéj rzęsy, po odłączeniu od żywego zwierzęcia, długo jeszcze drgają. W tém miejscu gdzie poruszenie drgające zachodzi, nierozdzielony dotąd bieg naczynia brzuszego, rozgałęzia się, i autor wnosi że w miejscu tém odbywa się oddychanie, zresztą zdaje się mu, że cała skóra do procesu oddychania służy.

Uważanie krążenia krwi nader jest skrępowaném; u każdej żywej odlepkę łatwo można widzieć cztery do sześciu przednich komórek; tylne zakryte są barwidłem. Strumień krwi w naczyniu grzbietowém zdaje się postępować od tyłu ku przodowi: w naczyniu brzuszniém od przodu ku tyłowi. Co do naczyń bocznych, nie było przeważającego kierunku; już naprzód, już w tył postępował strumień. W części grzbietowego naczynia komórkami opatrzonej, mierzytelny zachodzi rytm poruszeń. Podczas ściskania się jednej komórki, graniczące z nią, przednia i tylna, rozszerzają się; przednia przyjmuje tę krew, która ze ściśnionej została wypchniętą; po chwili rozszerza się komórka tylko co ściśnięta, gdy ścisną się znowu przedtém rozszerzone. W chwili w której jedna ze czterech przednich komórek ścisną się, krew pędzona jest w rozchodzące się od niéj naczynia; gdy zaś komórki rozszerzają się, wpływa ona po części naczyniami nazad do komórek. W tych naczyniach krew płynie potem, w miarę chwilowego usposobienia połączonych z niemi komórek, już naprzód, już w tył; a ten sposób płynienia rozciąga się aż do téj rzeczonych naczyń części, która w naczyniu brzuszne uchodzi. Do miejsca, w którym naczynia w łuk się zginają, pulsują one izochronicznie ze

(1) *Poches de la mucoité Moquin—Tandon.*

ściśnieniami pomienionych komórek; w naczyniach powrotnych nie było widać pulsowania. Gdy zwierzę jest osłabione, natężenie ściśnień zmniejsza się, i obieg krwi odstępkuje od normy. Pulsują także i naczynia łączące się z najostatniejszymi komórkami; równie te, które na cienkiej i grubiej kiszce, jak i te które na końcu ciała leżą. Liczba uderzeń grzbietowego naczynia, wynosi 12 do 17 na minutę.

I przednia połowa naczynia brzuszego okazuje ściśnienia; brakuje im wszakże mierzytelności. Również niemierzytelnie ściskają się naczynia boczne; krew płynie w nich bardzo szybko, daleko łatwiej jednak ustaje, niżeli w naczyniu brzuszнім. Niektóre naczynia zdają się być skłonniemi do długo trwającego rozszerzenia się, do utwarzania niejako zatok.

Znaczenie tych wszystkich naczyń wtedy się dopiero z pewnością da określić, gdy zostanie wskazaném miejsce organów oddychania. Jeżeli się domysł autora sprawdzi, naczynie grzbietowe będzie należało do arteryalnego, brzuszne do wenalnego układu; naczynia czterech przednich komórek wypadnie porównać z aortami, zadzierni naczyń przy tylnym końcu ciała z wenami płucnemi, siedm gałęzi, od przodu do naczynia brzuszego wpadające, z wękawami, a gałęzie tylne tegoż naczynia z tętnami płucnemi. Znaczenie naczyń bocznych trudniejszém jest jeszcze; mogłyby one może szoroko rozpostartemu układowi naczyń limfatycznych odpowiadać. (*Id. no 216. z monografii odlepek umieszczonej w Verhandlungen des naturhistorischen Vereines der preussischen Rheinlande und Westphalens, na rok 1849.*)

A. W.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WARSZAWA.

69. Nowa książka do nabożeństwa dla Polek (,) przez Paulinę Krakow. Z godłem:

„Jestli kto utrapiony pomiędzy wami, niech się modli, jest kto dobrej myśli, niech śpiewa Panu”.

(List powszechny ś. Jakóba).

12ka. Warszawa. 1849. Nakładem Sennewalda, druk Ungra. Str. 309, i rejestru karta 1 (z ryciną). Złp. 12.

70. Zwierzenia się, albo pamiętniki A. Lamartina. Tłumaczył z francuzkiego Leon Rogalski. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1849. Nakład G. Glücksberga, druk Jaworskiego. Tom I, str. 139. II, 258. W każdym napisów kart 2. Złp. 8.

W I L N O.

71. Troje rymów Jmć Pana Innocentego Staruszkiewicza (Ant. Edw. Odyńca). Wydał A. E. O. 16ka. Wilno. 1849. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 60 i rejestru karta 1.

1850.

WARSZAWA.

1. Kalendarz powszechny na rok zwyczajny 1850. Mający dni 365. Na wzór najslawniejszych almanachów zagranicznych..... 4ka. Warszawa. 1850. Nakład i druk Orgelbranda. Kart 4, str. 47 i XII. Złp. 2 gr. 10.

2. Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok 1850, który jest rokiem zwyczajnym, mającym dni 365. Opisy roślin, rok trzynasty. 4ka. Warszawa. (1850). Nakład i druk Jaworskiego. Str. 40 i 8. Złp. 2. (Z tabli. roślin).

3. Kalendarz Warszawski popularno-naukowy, na rok zwyczajny 1850, mający dni 365. Rok piąty. 4ka. Warszawa. Nakład i druk Ungra. Kart 3, str. 48 i 8. Złp. 2 gr. 10.

4. Stanisława Janickiego Kalendarz domowy i gospodarski, na rok zwyczajny 1850, mający dni 365. Ułożony na południk i poziom warszawski. 4ka. Warszawa. Nakładem wydawcy, drukiem Jaworskiego. Str. 72 i 8. Złp. 2 gr. 10.

5. Krótki rys dziejów ludu Izraelskiego od jego początku aż do naszych czasów (,) (Dla Izraelitów) (,) Ułożył A. Paprocki N(auczyciel) S(zkoły) R(abinów). 12ka. Warszawa. 1850. Drukiem S. Orgelbranda. Kart napis. 2, str. IX i 327.

6. Mój Dziennik (,) albo pamiętniki Ludwika Filipa byłego króla Francuzów (,) Przełożył z francuzkiego S. P. 12ka. 2 tomy. Warszawa. 1850. Nakład i druk S. Orgelbranda. Złp. 12.

7. Rafael czyli karty pisane w dwudziestym roku życia (,) przez Al. de Lamartine. Przełożył z francuzkiego S. P. 12ka. Warszawa. 1850. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów kart 2 i str. 318. Złp. 6.

8. *Historja, literatura i krytyka. Literatura polska w rozwinięciu historycznym.* Jana Majorkiewicza. Wydanie drugie pomnożone. 8ka. Warszawa. 1850. Nakładem G. Sennewalda, druk J. Ungra. Kart napis. 2. Str. 449. Rejestru kart 2. Złp. 12.

9. *O wychowaniu dzieci pod względem lekarskim(.) czyli sposób unikania chorób dzieci, rozpoznawania ich i leczenia środkami domowemi, ze wskazaniem przypadków, w których pomoc lekarska jest koniecznie potrzebną(;) oraz historia rozwijania się płodu ludzkiego(.)* Z rycinami (1 tablica). Przez M. Studenckiego, lekarza klasy I i akuszerę w Warszawie. 12ka. Warszawa. 1850. Drukiem S. Orgelbranda. Napisu kart 2. Str. VII i 240. Złp. 6 gr. 20.

10. *Wiadomości historyczno-numizmatyczne o koronacyach obrazów Matki Boskiej w dawniej Polsce.* Podał Tymoteusz Lipiński. (Oddruk z Biblioteki Warszawskiej). 8ka. Warszawa. 1850. Drukiem St. Strąbskiego. Karta napisowa 1 i str. 36. (Z 4 tablicami medalów). Złp. 3.

WILNO.

11. *Pokojówka. Szkic obyczajowy* przez Tadeusza Padalicę. 16ka. Wilno. 1850. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 168. Złp. 4.



### *Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

J. I. Kraszewski oddał do druku typografii J. Zawadzkiego w Wilnie dalszy ciąg powieści Ostapa Bondarczuka, p. n.: *Jaroma*.

Obrazów Litewskich, nowa serya we dwóch tomach, opuściła prasę w téjże drukarni.

Księgarz Gustaw Sennewald, wydawszy nową edycją Literatury polskiej Jana Majorkiewicza, obecnie zaczyna druk dzieła z rękopismów pogrobowych we dwóch tomach, p. n.: „*Historja serca i rozumu*” uczucia i wiedzy). Trzy te tomy będą całość stanowiły, z dodaniem czwartego (zbiór rozpraw rozmaitych) wszystkich pism, jakie zostawił tyle ceniony i zasłużony, a tak młodo zmarły Majorkiewicz.

Michał hr. Tyszkiewicz, przedsięwziął szacowne dzieło *Edwarda Raczyńskiego* o Medalach Polskich, kosztem swoim dokończyć, opuszczone w niem zabytki numizmatyczne dopełnić, i doprowadzić zbiór ten do terażniejszych czasów.

Nakładem autora, wyszedł z druku: „*Krótki rys dziejów ludu Izraelskiego od jego początku aż do naszych czasów*”, ułożony przez A. Paprockiego N. S. R. W tym krótkim ale treściwym rysie, wystawiona jest historia tego ludu, po całej ziemi rozproszonego, tudzież obraz literatury hebrajskiej i rabinicznej wszystkich czasów.

Nakładem księgarza J. Bernsteina, zaczęły wychodzić poszytami po dwa na miesiąc: „*Zyciorysy znakomitych ludzi, wstawionych w różnych zawodach*”. Każdy poszyt w formacie wielkiej ósemki, z trzema

rycinami, zawiera trzy biografie. Poszyty 1 i 2 obejmują życiorysy: Kazimierza Brodzińskiego, Elżbiety z hr. Krasińskich Jaraczewskiej, znanéj powieściopisarki, Horacego Werneta, Wiktora Hugo, Bürgera, Dantego. W poszycie 3m i 4m umieszczone zostaną biografie: Ignacego Krasińskiego, Franciszka Siarczyńskiego, Stanisława Trembeckiego, Alexandra Orłowskiego słynnego malarza, Berengera, i Kenera poetę niemieckiego.

U Gosoborskiego w Wrocławiu wyszła w r. b.: Elementarna grammatyka języka greckiego. Z niem. przełożona przez Morawskiego.

W tych dniach skończy się u St. Strąbskiego druk dzieła, pod tytułem: „Prawo hipoteczne w Królestwie Polskiem, objaśnione przez Wal. Dutkiewicza, b. prof. pr. cywilnego, pomocnika naczelnego prokur. IX Dep. Rząd. Senatu”.

(Nadesłano).

„Oddawna powzięto myśl przedrukowania szacownego dzieła ojca Jaroszewicza reformata: *Matki świętych Polski*. Dzieło to stanowi, że tak rzec można, dalszy ciąg *Żywotów śś. Skargi*, z zastosowaniem do Polski; gdyż nie tylko zawiera żywoty naszych 18u świętych, a 44 błogosławionych, oprócz których 164 męczenników, ależ i tych innych królów, rycerzy, kapłanów, matron i zakonnic, którzy się szczególną cnotą i pobożnością odznaczyli, życie dokładnie opisuje.

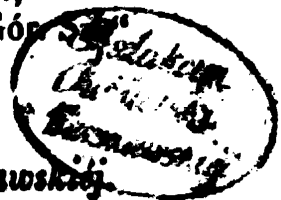
*Żywotów śś. Skargi* 5000 exemplarzy szybko rozprzedano w kraju, których połowę na Szlązku wyprzedano; ufajmy że i *Matka śś. Polska* odpowie oczekiwaniom pobożnych czytelników a prawdziwych miłośników dziejów starożytnych. Przeto rozpoczyna się w Piekarach przedruk tego dzieła, które wyjdzie w dwunastu tomach w 8ce na pięknym papierze. Cena jednego tomu po złp. 1 się stanowi, a więc całego dzieła 12 złp.; do tego zaś płaciło się 30 złp. za exemplarz in folio. — Kto 60 złp (10 talarów) zapłaci z góry, otrzyma 7 exemplarzy całego dzieła. Druk się natychmiast rozpocznie, jak skoro pewna liczba prenumeraty zebrana będzie.

Wzywa się zarazem szanowne zgromadzenia duchowne, i pobożnych duchownych i świeckich rodaków, aby przysyłać raczyli do Niem. Piekar przy Bytomiu w Górnym Szlązku, pod adresem X. Kanonika *Fietzka*, opisy żywotów mężów i niewiast świętobliwych, którzy od roku 1764 szczególną cnotą w kraju naszym w różnych się odznaczyli zawodach, i w wszelkiej żyli kondycyi. Już od lat kilku przyobiecano zbierać materiały, z których się następnie wyda dalszy ciąg: *Matki śś. Polski*, od wstąpienia na tron Stanisława Augusta aż do dziś dnia, pod tytułem: *Nowa Matka śś. Polska*. Skoro się tylko materiały zbiorą, drukować się będą poszytami bezzwłocznie, za osobném uwiadomieniem.“

*Adres.* „Do Redakcyi Tygodnika Katolickiego  
w Niem. Piekarach,  
przy Bytomiu w Górnym Szlązku

— 183 —

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAŃSKIÉM.**

***Listopad 1849.***

Listopad 1849.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskiém.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>,7 względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 <sup>o</sup>				TERMOMETR stusstopniowy				Wielkość na 100 cz. średn. dziennej	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. ■	
		6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	de- szczy	sne- gu
		rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
1		750.61	751.07	750.44	750.51	+ 3.4	+ 5.0	+ 7.1	+ 7.2	88	br. pogod.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
2		750.84	750.84	749.99	749.91	+ 6.1	+ 9.5	+ 8.5	+ 7.8	95	mgła	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
3		748.37	748.25	746.60	746.15	7.9	8.8	8.4	7.8	96	mgła	mgła	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	—		
4		744.40	744.46	742.01	741.30	3.5	5.0	9.5	10.5	95	mgła grub	mgła grub.	pr. pogod.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
5		741.27	742.54	740.80	742.52	8.3	10.5	12.9	9.0	94	pochmurny	pr. pogod.	pogodny	napół pog.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
6	☾	743.42	744.61	745.55	747.07	+ 6.8	+ 10.9	+ 11.9	+ 10.3	96	pochmurny	dészcz rzad.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Z.	0.3	
7		749.19	750.15	751.93	754.53	7.5	9.0	4.9	3.3	88	pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	pogodny	Z.	PdZ.	Z.	Z.	5.6	
8		756.66	758.06	758.23	758.29	3.1	3.8	5.1	5.6	89	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
9		759.38	759.60	757.64	757.10	5.2	6.7	10.6	9.6	93	pochmurny	mglisty	pochmurny	pochmurny	Z.	Pd.	Z.	Z.		
10		755.61	755.66	753.37	753.61	8.3	9.5	9.0	8.6	95	dészcz	pochmurny	dészcz	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	7.4	
11		754.22	756.85	758.46	760.65	+ 8.5	+ 7.4	+ 5.4	+ 1.4	85	dészcz dr.	pochmurny	pr. pochm.	pr. pogod.	Z.	Pn.	PnW.	PnW.	2.4	
12		757.44	756.09	753.69	752.54	2.2	5.0	8.0	5.3	92	pochmurny	dészcz	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	Z.	Z.	0.5	
13	☾	752.60	753.26	750.37	749.86	4.8	5.5	7.9	3.9	91	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	Z.		
14		750.50	751.07	750.21	748.27	4.2	6.5	3.7	0.4	91	pochmurny	pochmurny	mgła	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	Pd.		
15		746.02	745.77	743.80	743.40	− 0.2	3.0	3.6	2.9	99	mgła	mgła	mgła	mgła	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
16		741.34	740.83	737.37	737.32	+ 1.2	+ 1.9	+ 5.3	+ 4.9	97	mgła zr.	pogodny	napół pog.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	—	2.8	
17		740.68	743.45	744.95	747.09	+ 3.1	+ 3.7	3.7	3.0	95	pochmurny	pogodny	napół pog.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	—	1.0	
18		748.60	750.77	751.20	751.47	2.3	3.4	4.1	2.9	94	pochmurny	mgła lek.	dészcz b. dr.	dészcz b. dr.	PnZ.	Z.	PnZ.	PnZ.		
19		750.11	751.35	754.39	755.58	3.1	3.1	1.8	1.4	99	dészcz dr.	dészcz dr.	dészcz b. dr.	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	PdZ.	5.6	
20		753.96	754.02	752.67	750.99	− 1.1	0.5	0.7	0.1	94	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	—	Pd.	PdZ.	Z.	Pd.		
21		749.47	750.04	750.29	750.04	0.0	+ 0.5	− 0.2	+ 0.4	96	—	—	—	—	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
22		750.03	750.83	751.27	751.15	− 0.2	+ 0.1	− 1.4	− 0.9	91	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	Z.	PnZ.	Z.	Z.	2.4	
23		750.82	751.10	750.93	750.63	− 2.5	− 1.7	− 1.7	− 3.0	99	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	0.3	
24		748.31	748.14	745.70	744.14	− 5.6	− 5.5	− 1.9	− 1.8	97	mgła	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	—		
25		741.32	742.13	741.67	741.56	− 2.1	− 5.4	− 12.6	− 14.2	10	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PnW.	PnW.	PnW.		
26		742.14	742.88	742.98	743.53	− 14.5	− 13.5	− 12.9	− 12.8	10	pochmurny	pochmurny	—	—	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
27		741.96	742.07	742.62	745.45	− 12.4	− 11.5	− 14.1	− 14.1	10	—	—	—	—	Pn.	Pn.	Z.	—	4.8	
28		749.24	751.84	753.14	750.74	− 8.0	− 5.4	− 5.7	− 6.5	93	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	Pd.	Pd.	PdW.	Pn.		
29		747.48	747.47	746.43	745.90	− 5.8	− 4.3	− 4.0	− 1.1	98	—	—	—	—	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	8.0	
30	☽	747.72	748.78	750.04	750.12	+ 0.1	+ 0.5	+ 0.7	+ 0.6	99	pochmurny	—	—	—	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	3.2	
Śre.		743.765	749.463	748.891	749.044	+ 1° 24	+ 2° 42	+ 2° 61	+ 1° 75	94									25.6	18.7



Średnia wysokość barometru miesięczna	749.042	27	8.048
Najwyżej dochodził — d. 11 o g. 10 w.	760.65	28	1.193
Najniżej — — d. 16 o g. 10 w.	737.32	27	2.851
Średnia zmiana dzienna barometru	3.57		1.58
Największa zmiana dzienna barometru d. 27—28	10.52		4.66
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	1.463		0.648
Średnia temperatura listopada wynosi: +	750.505	27	8.696
i ta jest wyższa o	20.00	C.	+ 10.60 R.
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.62	„	0.49 „
Największe ciepło dochodziło d. 5 o g. 4 w.	+ 1.38	„	1.11 „
Najmniejsze d. 26 o g. 6 r.	+ 12.9	„	+ 10.3 „
(Termometrograf wskazał: Maximum: + 12.00 R. d. 5 wieczór. Minimum: — 12.05 R. d. 26 z rana.	— 14.5	„	— 11.6 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.61	„	2.09 „
Największa zmiana dzienna d. 24—25 o g. 4 w.	10.7	„	8.6 „

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 94,7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 4,81 gramów pary wodnej na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 1; napół pogodnych 5; pochmurnych 24.

— deszczu 10 (d. 6, 7, 10, 11, 12, 16, 17, 18, 19, 30).

— śniegu 8 (d. 20, 21, 23, 26, 27, 28, 29, 30).

— mgły 12 (d. 2, 3, 4, 9, 13, 14, 15, 16, 18, 21, 22, 30).

Wody z deszczu spadło milim. 25,6 czyli 11,34 linij paryz., z śniegu 18,7 milim. czyli 8,28 lin.; razem 44,30 milim. czyli 19,62 lin., to jest o  $\frac{1}{4}$  więcej jak w stanie normalnym.

Listopad r. b. był wilgotny, mglisty, niepogodny, o pół stopnia R. cieplejszy, jak zwykle. Pierwsza połowa miesiąca była znacznie ciepła; przeciwnie druga zimna, a w szczególności 10 dni ostatnie mroźne. Deszcze i śniegi często i obficie padały. Wilgotność powietrza jest o 5 setnych większa, jak zwykle. Dzień 5 był tak pogodny i ciepły, jak w lecie. Najcieplejsze dni były: d. 5. 6. 7. 9. 10. Najzimniejsze d. 26. 27. 28. W nocy z d. 26 na 27 śnieg spadł blisko na 10 cali wysoko. Wichrów nie było. Wiatr silny l. PnW. Wiatr pannyjący był Zachodni, częste były także Południowe.

D. 27. Nad słońcem zachodzącym wznosił się słup świetny.

D. 5. Plamy na słońcu uważano.

# KOŚCIÓŁ

## Ś<sup>go</sup> ANDRZEJA I KANONICZKI

### W WARSZAWIE.

PRZEZ

*J. B.*

---

#### Od autora.

Rok 1849 będzie wspomniany wiecznie w kronikach Warszawy, bo w murach naszego starożytnego grodu zaszedł niedawno wypadek, jaki zwykle stanowi epokę dla dziejów każdego miasta. Dnia 4 listopada poświęcony był w Warszawie nowy kościół, pod imieniem św. Karola Boromeusza. Nie ta jednakże okoliczność, że nowy kościół stanął w murach naszych (bo ludzie pobożni budowali i budować będą świątynie Boga), stanowi epokę dla Warszawy; wypadkiem ważnym dla naszego miasta jest, że nowy ten kościół został parafialnym. Dotąd przez lat 75, to jest przez trzy ćwierci wieku, Warszawa do rzędu swoich parafij liczyła i parafią św. Andrzeja. Nabożeństwo już wprawdzie od roku 1818 odbywało się u Reformatów, ale imię zostało. Dzisiaj nawet imię ustąpić musi. Od dzisiaj znika parafia św. Andrzeja, a poczyna życie parafia św. Karola. Mały więc kościół, który dziś posiadają Kanoniczki, fundowany przez Potockiego prymasa, w krótkim swoim życiu tyle już doświadczył, tyle przeżył kolei, jak żaden z kościołów Warszawy, i może już liczyć to życie swoje na epoki. Siedziba Jezuitów, po kassacie zakonu chociaż szczupły i młody, został parafialnym kościołem dla zasług Karola Wyrwicza. Ale nie cieszył się długo tym zaszczytem, i zachowu-

jąc tylko swoje imię dla parafii, innemu kościołowi ustąpił pierwszeństwa, a sam został siedzibą dla nowych znajomych, bo otworzył podwoje swoich murów dla zgromadzenia zakonnego dam świeckich, t. j. dla Kanoniczek.

Nam się zdało rzeczą sprawiedliwą, w chwili kiedy zgasła najcenniejsza ozdoba kościoła św. Andrzeja, opowiedzieć dzieje téj budowy, dzieje ciekawe i zajmujące: bo przy kościele św. Andrzeja płaczą się i wspomnienia potężnych kiedyś ludzi w Rzeczypospolitej, i pamiątka kilku pisarzy naszych i całego zakonu, i jedynéj u nas kapituły Kanoniczek. W niniejszej zatém opowieści, spostrzegliśmy, że potrzeba nam aż trzy oznaczyć przedziały:

*W pierwszym* opowiemy o fundacyi kościoła, o prymasie Potockim, i o Jezuitach, którzy tutaj mieli swoje *Collegium Nobillium*.

*W drugiej* części opowiemy dzieje parafii i proboszczów, na których czele Wyrwicz, i położymy życiorysy proboszczów.

*W trzeciej* opiszymy koleje, jakie przebyło u nas zgromadzenie Kanoniczek, osadowane najprzód na Marywillu, a potem u św. Andrzeja.

Zresztą praca ta nasza oddawna już zapowiedziana była.

5 grudnia, 1849 r.

## CZEŚĆ PIĘRWSZA.

Za czasów Augusta II, w początkach jego panowania, Warszawa nie budowała się w kościoły. Lat trzydzieści przeszło upłynęło wpośród wojen zaciętych, prowadzonych to ze Szwedami, to z rozmaitemi stronnictwami w kraju, i taki stan rzeczy naturalnie nie sprzyjał rozwinięciu się wewnętrznego życia. Z konfederacją tarnogrodzką i sejmem niemym, nastąpiła chwilowa spokojność, która jednakże pozorną była, bo stronnictwa wciąż się gotowały do nowego boju, który ze śmiercią Augusta miał wybuchnąć. Jednakże, jakkolwiekbydź, Rplita nie słyszała już szczęku broni i mogła odpocząć po napaściach szwedzkich, po zdzierstwach wojsk niemieckich, które król-elektor sprowadził dla obrony swojej z Saxonii.

Wtenczas to zapewne powziął myśl wybudowania kościoła nowego Jezuitom w Warszawie książę Teodor Potocki bisk. warmiński, a potem arcybiskup gniezn. i prymas. Myśl ta nie była postanowieniem jednéj chwili. Potocki zapewne żywił ją oddawna w sercu, bo kochał Jezuitów, był człowiekiem pobożnym, szczérym, otwartym, wypełniał ściśle obowiązki swojego biskupiego urzędu, a szukał wszędzie czci Bożej; i Opatrzność dozwoliła, żeby się wzniósł do najwyższych dostojeństw

w kościele polskim. Opatrzność dała mu bogactwa, świetne imię, udzielne księstwa i znakomite znaczenie w Rplitéj. Opatrzność chroniła go starannie wpośród burz, które miotaly krajem, a które niejedną sławę pokryły hańbą, niejedną wielkość przyémily. Miał więc za eo dziękować Opatrzności Teodor Potocki. Chciał złożyć jój hołd powinnego serca, i postanowił wznieść nowy kościół w stolicy.

Ale zwyczajem swojego czasu, Potocki znowu zabardzo kochał Jezuitów. Byłato słabość powszechna podówczas: im więcej naród oddalał się od swoich zasad tolerancyi, które z mlekiem macierzyńskim wysał z piersi, tém więcej przywiązywał się do Jezuitów. Panowie polscy patrzali na zakon Lojoli jako na gniazdo, z którego wychodzili na świat wielcy ludzie serca, nauki i wiary. W zakonie Jezuickim widzieli wszystkie cnoty, wszystkie zalety—samo nawet zbawienie. Widzieli, jak szli Jezuici pomiędzy dzikie narody Ameryki i Azyi opowiadać wiarę, i ginąć śmiercią męczeńską; widzieli, jak pisali dzieła pełne cytacyj z pisma św. i z Ojców kościoła, dzieła ciężkie od erudycyi, nauki, mądrości, a to na zbicie błędów i fałszów, jakie niewiara rzuciła na świat. W Jezuitach widzieli poświęcenie się, zapal, natchnienie i ogień. Stawiali więc im kościoły, kollegia; budowali klasztory, oddawali im w zarząd sumienia swoje, wychowanie dzieci własnych powierzali ich staranności i pracy. Nie można o tę dziwną namiętność oskarżać dawnych przodków naszych; powiedzieliśmy, że miłość ta, byłato choroba czasu, i niejednen bez zeznania własnego ulegał wpływom téj choroby, tego zapomnienia się na wszystko.

Teodor Potocki kochał może jeszcze więcej Jezuitów, jak spólcześni mu panowie. Nietylko jak obywatel, ale kochał on ich jeszcze jak biskup. Na jego dworze pełno zawsze było synów Lojoli. Bez nich żyć nie mógł. Wylany szczeropolską gościnnością dla wszystkich, dla Jezuitów wylałby wszystką krew ze swojego serca. Marzył całe życie swoje o pobożnych fundacyach dla tego zgromadzenia. Chciał im kościoły wznosić, uposażać kollegia; ale długo wojna, zamieszania wewnętrzne w kraju nie pozwoliły mu zamiarów pobożnych przyprowadzić do skutku. Mając na myśli cześć Bożą, zapragnął w Warszawie wznieść kościół, i oddać go przeważnemu zakonowi; chciał tém zadosyć uczynić wewnętrznym serca zachceniom, tojest wdzięczności ku Stwórcy i przywiązaniu ku Jezuitom.

Stał wprawdzie już jeden kościół Jezuicki w Warszawie, na Staróm Mieście, obok kollegiaty św. Jana. Zakonnicy Lojoli mieli już tam i *domum professam*, mieli i szkoły dosyć licznie uczęszczane przez młodzież świecką, a chciwą nauki. Mimo to jednak, Potocki postanowił wznieść drugi kościół dla tego zakonu nie w samym mieście, a za wałami, w pu-

stój zupełnie stronie za Senatorską ulicą, na placu, który leżał za Samsnowskim gruntem i za budowlami Hier. Petrykowskiego stolnika rożańskiego, wprost gmachów i klitek, wzniesionych kiedyś przez M. Kazimięę, i rząd nazwanych jednem imieniem Marywillu. Miał zapewne myśl Potocki, żeby wybudowaniem w téj stronie kościoła, przyczynić się do ozdobienia téj części przedmieść stolicy, i do ułatwienia mieszkańcom tamtych okolic wszelkich posług religijnych.

Warszawa właściwie miała wtenczas trzy parafie, które z miasta i na przedmieścia szeroko się rozciągały. Miała kilka, kilkanaście jurydyk, które choć porozrzucane w różnych stronach za wałami, przecież zabudowane były i miały ludność dosyć znaczną. Tymczasem wszystkie kościoły były w samej stolicy, i prócz kościoła św. Krzyża, kościoła zakonników św. Jana Bożego i Brygidek, oraz Reformatów, przedmieścia warszawskie nie miały prawie osobnych dla siebie świątyń. Leszno i Grzybów, obszerne miasteczka, były bez kościoła. Wprawdzie wielu mieszkańców tych stron mogło chodzić do Woli na nabożeństwo; ale zawsze ubliżało to jurydykom i Warszawianom szukać kościoła aż na wsi, wtenczas, kiedy pod ich bokiem siedziała stolica ze swoim zamkiem, z kolegiatą, z kopułami tylu kościołów świeckich i zakonnych. Potocki niezawodnie miał w myśli i ten cel, budując kościół za wałami Warszawy, żeby ile możności zbliżyć odległe przedmieścia do murów stolicy.

Ale kiedy zaczął fabrykę? kto stawiał Jezuitom nowy kościół?—o tém milczą podania i kroniki staréj Warszawy. W archiwum miejskiem, w aktach konsystorza, możnaby zapewne znaleźć objaśnienie zagadki; ale kiedy ani jednego, ani drugich nie mamy pod ręką, musimy puścić się tylko na domysły i przypuszczenia, które może niedługa przyszłość w fakt zamieni.

Powiedzieliśmy, że Warszawa nie budowała się z początku panowania Augusta Mocnego w kościoły, i że przyczyną temu były zaburzenia krajowe. W istocie za czasów szwedzkich w Polsce, za dyktatury Karola XII a rządów Stanisława Leszczyńskiego, o budowlach ważniejszych, a zwłaszcza w stolicy, ani podobna było pomyśleć. Szwedzi wypędzali Sasów, Sasi Szwedów. Konfederaci jedni drugich gonili przez Warszawę, a z wojskami posiłkowemi bywał nieraz w stolicy i car Piotr Alexiejewicz. Uwzięły się stronnictwa przyjazne i nieprzyjazne, swoje i cudze, żeby niszczyć pamiątki Warszawy. Pod kontrybucjami jęczało wciąż nieszczęśliwe miasto: przechody, kwaterunki, do szczytu zrujnowały mieszczan warszawskich. Zapewne nikt w tym opłakanym czasie domnie o sobie nawet nie wystawił na ulicy, a cóż dopiero mówić o kościele! Z upadkiem Karola XII nie skończyła się wojna domowa i wrzenie

w umysłach. Z Turcyi wypadaly niesforne tłumy konfederatów, pod Kraków nawet i na Mazowsze, ocucając zadawniałe niechęci, pobudzając do nowych zapasów. Nareszcie konfederacya tarnogrodzka ostatnią była burzą, która się zakończyła osłabieniem zupełném Rplitéj. Wtedy to i po r. 1717, nie prędzej, mógł Potocki wznosić mury swojego kościoła.

W czasie wojen szwedzkich, myśl ta mogła się dopiero w głowie biskupa urodzić, zamienić w chęć stanowczą, w zamiar niecofniomy. Kiedy walka wrzała, Potocki mógł zapewne układać plany, gromadzić fundusze, wybierać miejsce dla przyszłych budowli (ile zdaje się, kościół stanął nie na własnym gruncie biskupa): mógł zatem wtedy naradzać się z Jezuitami o wybór miejsca, o potrzebny nakład, o budowniczego. Kiedy wojny kończyły się, Potocki szczerze przystąpił do dzieła. Plac kupił, materiały zgromadził; na funduszach mu nie zabrakło, bo rodzina jego była jedna z najznakomitszych i bogatszych w Polsce, i zapewne wtedy budował. Może podstawy gmachu jeszcze przed konfederacyą tarnogrodzką założył, może nawet wyniósł już mury sklepienia, może już wiązanie na dachu nad nowym kościołem zarzucił; ale kiedy zważymy, że ta budowa mogła nie trwać roku jednego, kiedy przypuścimy, że może kilka razy rozpoczynaną i przerywaną była dla okoliczności czasowych: zawsze wyjdzie na domysł nasz, że kościół dopiero po r. 1717 zaczął być dla Warszawian nową świątynią dla nabożeństwa.

Gazet nie mamy z téj epoki, a żaden pomnik historyczny, piśmienny, dotąd nie powiedział nam wszystkiego, co potrzeba o kościele ks. Jezuitów na Senatorskiej ulicy. Ztąd nie wiedzielibyśmy, ani kto nową świątynię otwierał, ani kiedy była oddana Jezuitom, ani kto poświęcał ten kościół, gdybyśmy na gazety ówczesne spuszczać się mieli. Potocki sam fundator, nikomu téj czci nie ustąpił, a ukończywszy budowę, kazał rozrzucić rusztowanie, i ulubionemu zgromadzeniu oddał kościół dla chwały Bożej, jako hołd wdzięczności dla Stwórcy.

Byłto dzień, ten dzień otwarcia kościoła, uroczystą chwilą dla mieszkańców okolic Marywillu. Już oddawna po jurydykach warszawskich, po Starém Mieście, latały powieści rozmaite o nowym kościółku. Powiadano, że bogactwo Potockich wysiliło się na nowy dla Pana przybytek, że kościół cackiem jest wewnątrz, cackiem zewnątrz. Mówiono, że z nadzwyczajną wystawnością kościelną kilku biskupów otworzy nabożeństwo w tym nowym domu Bożym. Powieści jak wszędzie, tak i tym razem miały w sobie wiele prawdy, a wiele dodatków. To jednakże wiedzieli wszyscy w Warszawie z pewnością, że Stefan Potocki brat rodzony biskupa, referendarz koronny, brał żywy udział w fundacyi, którą za rodzinną uważał. On z żoną swoją Urszulą Bieganowską starością mosto-

wską skupował wszystkie sprzęty do zakrystyi, a nie żałował nakładu. Sam biskup kupował srebro i naczynia kościelne.

Nadchodził czas poświęcenia kościoła, kiedy jeden wypadek więcej jeszcze blasku dodał całemu obrzędowi, który przygotowywano. Umarł arcybiskup gnieźn. Stanisław Szembek; i wkrótce po nim mianowany już przez króla prymasem Ludwik Bartł. Załuski biskup pł. przeniósł się także do wieczności. Prymasem i arcybiskupem nominattem został Teodor Potocki, pod koniec r. 1722.

Nie czekając bulli na nowe dostojęństwo, dotychczasowy warmiński biskup postanowił otworzyć kościół Jezuitów. Zaprosił na tę uroczystość miejscowego biskupa Tarłę, i suffragana krak. księdza Michała Kunickiego (Kunicki był także członkiem rodziny Potockich). Tarło poświęcił mury klasztoru, Potocki pierwszą w swoim kościele mszę śpiewaną odprawił, Kunicki pierwsze z ambony powiedział kazanie, a lud mnogi, panowie, szlachta, modlili się z gorącością ducha. Na czele panów znajdował się Stefan Potocki, a ksiądz prymas był szczęśliwy, wesół, że myśl swoją przecie przyprowadził do skutku. Uroczystość była całkiem familijna (1).

Nie wiedzieliśmy także, z jakiego powodu nowój świątyni dostał się tytuł św. Andrzeja. Miałże Teodor Potocki, myśleliśmy sobie, tak mocne nabożeństwo do tego świętego patrona? Powiadają, że w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej, ten gorliwy apostoł przedarł się przez dzicz scytyjską i sarmacką, i że stanął w ziemi oddawna słowiańskiej, nad Dnieprem, nowym ludom opowiadać wiarę Chrystusową. Miałżeby Teodor Potocki budowlą swoją chcieć oddać cześć świętemu patryarsze rodu Słowian? Na to przypuszczenie przystać nie mogliśmy. Dawni Polacy stawiając kościoły, nigdy myślą swoją nie zaglądali w tak odległą przeszłość: ich pobudki nierównie były zrozumialsze, a pobożność ich nie była tak uczoną, żeby przedwiekowe poruszała mogiły i szukała wspomnień w czasach tak znakomicie odległych. Dawni Polacy kościoły swoje stawiali na cześć tajemnic wiary i patronów narodu, na cześć świętych, których nosili imiona, na pamięć cudów których doznali, na uczczenie

(1) O dacie poświęcenia kościoła i o szczegółach, któreśmy tu podali, znaleźliśmy wiadomość nie w żadnych gazetach i rękopisach, ale tam, gdzieśmy się téj wiadomości najmniej spodziewali, to jest w kazaniu księdza Grodzickiego proboszcza św. Andrzeja, drukowaném w jego „Mowach parafialnych“, a mianém w rocznicę 73-letnią samego poświęcenia. Ale i to kazanie było bez daty. Okoliczność, że Potocki był nominattem arcybiskupem, objaśniła nam wszystko. Dnia tylko i miesiąca, oznaczyć nie możemy, a dla téj przyczyny opowiedzieć jaki Tarło poświęcał kościół wtedy.

wreszcie ojca i matki, dziada, babki, żony, dzieci albo przywiązanych krewnych. W rodzinie Potockiego jednak nie znaleźliśmy znowu objaśnienia zagadki, dlaczego kościół stanął pod imieniem św. Andrzeja. Ojciec biskupa prymasa był Paweł kasztelan kamieniecki, matką Eleonora Sołtykówna. Inni znowu nazywają jego ojca, chociaż niesłusznie, Andrzejem. Rzecz dziwna, nawet w genealogii Potockich znajduje się taka niepełność podania, taka niewiadomość. Gdyby w samej rzeczy, ojcem Teodora był Andrzej, trudność zdawałaby się całkiem usuniętą.

Tak myśleliśmy, zanim badanie bliższe przyczyn, nie oświeciło nas prawdy blaskiem. Prymas Potocki nie św. Andrzejowi stawiał kościół, a Bogu, wznosząc nowe budowle ku uczczeniu męki Zbawiciela, ku podniesieniu tajemnic wiary. Kościół Jezuitów więc nazwany był imieniem św. Krzyża. Była już na Krakowskim-Przedmieściu świątynia Missyonarzom oddana, naprzeciw prawie gmachów Kazimirowskich, stanowiąca oddzielną parafią, i znana już także pod imieniem Krzyża św. A jednak prymas Potocki swojemu kościołowi nadał ten tytuł pełen znaczenia, bo nie spodziewał się potem, że konieczność zmusi do zmiany nazwiska. Budował swój kościół dla zakonników, nie dla parafii.

Myśmy jednak, przypuszczając pierwiastkowo, że tytuł św. Andrzeja nadany był jeszcze przez założyciela, badali przyczyn, szukali powodów, robili wnioski i domysły, jakby dlatego, żeby się naocznie przekonać, ileto imaginacya umysłu lubiącego się zabawiać przeszłością, może się ludzi pozorami i zgadywać to, co nie jest, co być nigdy nie mogło. W głowie naszej uprządl się już cały systemat rozumowań, zrodziła się już powieść o przyczynach; a czas, rozpatrzenie się, przekonały wreszcie, że ten systemat rozumowań był budową na piasku, był zamkiem na lodzie. Zawsze to święta prawda, że człowiek zamiłowany w przeszłości, przez samą dla tej przeszłości miłość, może nieraz więcej się oddalić od prawdy, jak ten, co chociaż nieobeznany z nauką, podaje fakt prosto, jak go słyszał, bez żadnych rozumowań i wniosków.

Jak wyglądały te nowe zabudowania klasztorne i kościelne św. Krzyża? — także powiedzieć trudno. Zdaje się jednak, że musiały mieć niewiele różną postać od dzisiejszych gmachów panien Kanoniczek.

W lat kilkadziesiąt, musiał być takim kościołek, jakim go zbudował Potocki. Za drugiej swojej epoki był murowany, długi na łokci 37, szeroki na 14, z sufitem gipsowym, z kolumnami jonickimi przy ścianach. Wewnątrz miał ołtarz wielki, drewniany, pozłocisty, z obrazem Zbawiciela ukrzyżowanego. Miał i dwa ołtarze mniejsze, po bokach połączone: jeden św. Franciszka Xawerego, drugi Stanisława Kostki, zakonników Jezuickich. Dwa jeszcze mniejsze ołtarze, poświęcone były czci św. J6-



zefa i św. Ignacego. Postawił Potocki w kościołku cztery konfesyjonały i ławek kilkanaście, wszystko dębowe. Organy i dzwony sprawił; zegar zawiesił na kościele, co bił kwadrans i godziny. Ambonę żelazną umocował przy ścianie.

Obok kościoła, stanął i dom mieszkalny dla zakonników, z obudwu boków świątyni. Jak w klasztorze, ciągnęły się przez ten dom korytarze długie, a w nich celki. Był do tego obszerny dziedziniec, były w podwórzu nowe oficyny, stajnie i zabudowania gospodarskie. Dostyć placu zajął prymas Potocki na kościółek św. Krzyża. Na tym placu mogła nawet większa rozwinąć się świątynia; miał zapewne to Potocki na myśli, i albo sam możeby nowy nakład przedsiębrał, albo sądził, że następcy po nim, dziedzice albo dobroczyńcy, kościoła Jezuitom przyczynią. Wszystko jednakże zbudował gruntownie; drzwi wszędzie dębowe, okna wszędzie w olów oprawne. Kościół stanął w parafii św. Jana, wprost Marywillu, wzdłuż ulicy, która wychodząc ze Starego Miasta, zaczęła się teraz zdobić w gmachy i pałace, od czego ulicą Senatorską nazwaną została. Z drugiej strony, zaczęła się formować nowa ulica ku Nalewkom, od królewskiego pałacu na Krak. Przedmieściu idąca, a potem nazwana Bielańską przez zepsucie, na pamiątkę sławnego marszałka koronnego, surowej cnoty człowieka, który właśnie wtenczas w tej stronie Warszawy zakładał jurysdykę Bielino. Nieco opodal, poza tą drugą ulicą, stał kościół Reformatów, o jakie trzysta kroków od św. Krzyża odległy. Zresztą okolica, w której Potocki postawił swoją świątynię, była zupełnie pustą, i dopiero za Augusta III zaludniać i budować się zaczęła.

Uposażenie swojej fundacyi, w dobrach ziemskich wyznaczył Teodor Potocki. Zapisał kościołowi św. Krzyża wieś dziedziczną Łazniewo, w ziemi warszawskiej, położoną o półtoręj mili od stolicy. Wieś ta graniczyła na północ ze wsią Wąsami i Pilaszkowem, na wschód ze Świętymi, na południe ze Świętymi i Kopytowem, na zachód dobiegała do rzeki Rnowa i do wsi Wilków. Po granicy Łazniewa szedł także gościniec pocztowy warszawski do Błonia. Ładna to była wioseczka; wszystko w niej było podług staropolskiego przysłowia: ryby i grzyby, mączka i łączka. Były zabudowania gospodarskie, ogrody, pańszczyzny dosyć, grunt dobry, a co największa, wioseczka blisko leżała od Warszawy i wszystkie potrzeby do stołu, do wygody w domu, łatwo było z niej opatrywać. Nie wiemy, jakie prawa przepisał Jezuitom Potocki i pod jakimi warunkamiłożył tak wielki nakład na zabudowanie kościoła, i uszczuplał podarowaniem Łazniewa dochody własne i rodziny, czyli przyszłych swoich dziedziców. Zdaje się, li tylko wyłącznie chwałę Bożą

miał na celu; a może myślał i o szkole dla okolicy Marywillu, o podaniu ręki dobroczynnej dla oświaty dzieci mieszczan téj strony Warszawy.

Zakon Jezuicki żył dla nauki i dla rozszerzania wiary. Gdzie tylko było dwóch Jezuitów, już tam szkoła i młodzież ucząca się być musiała. Zapewne więc i Jezuici u św. Krzyża od początku swojego wprowadzenia się do nowych murów, trudnić się musieli edukacją młodzieży, którą dosyłali im rodzice z przedmieść Warszawy. Kollegium na św. Jańskiej ulicy, bogato było uposażone i kwitnęło na wysoką skalę: miało już swoją przeszłość, swoje pamiątki, i swoich dobroczyńców. Młodzież do kollegium na s-to Jańskiej ulicy uczęszczająca, należała do rodzin wyższych, znakomitszych, składała się z senatorskich dzieci: tam więc szkoły musiały być wyższe, i nauki wykładane staranniej i z większym dowcipem. Kościółek św. Krzyża małeńki był; nie mógł zapewne rościć sobie praw dumnych, żeby przywoził oświacie stolicy, a nawet przedmieść Warszawy. Ztémwszystkiém nie była to missya czasowa, nie był to kościółek na chwilę stawiany, na chwilę oddany Jezuitom, żeby o uczeniu pomyśleć nie mieli. Do szkoły u św. Krzyża, z kollegium staro-miejskiego nie szły jednak rozkazy. Professorów nie przysyłano tutaj z domu professorów ze św. Jańskiej ulicy. Potocki swój kościół włączył do prowincyi koronnej, a kollegium w staréj Warszawie należało do Litwy; koronnemi zatem Jezuitami klasztor obsadził i dobrał professorów polskich. Nie ma wątpliwości, że miał w myśli fundacją swoją rozwinąć, jakeśmy to już uważali: bo inaczej, po cóż szerokie za kościołem skupował place? Mogła téż i fundacya zwrócić na siebie oczy dobroczyńców. W Polsce nie jeden zakład miłosierdzia albo oświaty, stawał składką mimowolną, przyłożeniem się obywateli, co grosz własny chętnie poświęcali dla dobra ogólnego. Jednakże z początku szkoła u św. Krzyża z samego przeznaczenia swojego, była szkołą podrzędną, była wstępem, otworem do kursów wyższych, które się wykładały w kollegium staréj Warszawy.

Panowie polscy dlatego tak wiele zakładali kościołów Jezuitom, że uczony ten zakon poświęcał się przedewszystkiém pracom około wychowania dzieci. Teodor Potocki musiał mieć toż samo na względzie.

Jako arcybiskup gnieźn. od r. 1722 wysokie w Rplitéj zajmował stanowisko. Nie tylko razy król wyjeżdżał do Saxonii, Potocki tyle razy zastępował go w godności i rządzie. Był wtedy najznakomitszą osobą w kraju ojczystym, już nie jako senator, ale jako i władca losów narodu. Prawdziwie był patriarchą wśród szlachty. Łowicz pod niebytność króla był stolicą Polski. Zjeżdżali się tam do arcybiskupa senatorowie, panowie utytułowani i bez tytułów, magnaci z Korony i z Litwy, z Rusi

ze Żmudzi, z Prus i z nad granie węgierskich. Jak królowi oddawali swoją cześć, jak królowi mówili o stanie swoich prowincyj, o szlachcie, o sejmikach, o kłótniach. Czasami powiadali mu o swoich tajemnicach rodzinnych, o postanowieniu dzieci, o ślubach i małżeństwie, o nowém kupnie majątku, o spadkach i dziedzictwie. Rzekłbyś, że to członki jednej rodziny spowiadają się głowie własnej o najtajemniejszych swoich pomysłeniach, o najdroższych uczuciach, o biciu serca. Słuchał wszystkich ksiązę prymas z wrodzoną sobie słodyczą charakteru i uprzejmością, i jak prawdziwa głowa ogromnej rodziny, brał spółudział w powszechnej radości, w uczuciach braci. Jeździł często zaproszony w okolicę, bo spieszyli się wszyscy na wyścigi mieć drogiego w domu gościa, mieć pierwszego senatora Rplitéj pod rodzinnym dachem, u domowego ogniska. Teodor Potocki był panem polskim w całym znaczeniu tego wyrazu. Tu więc ksiązę arcybiskup dawał ślub, tam błogosławił nowo-wzrastające pokolenie, tam kościół święcił, tam znowu celebrował nabożeństwo na odpuście. Cisnęło się wszędzie po drodze do nóg jego ubóstwo. Potocki wspierał radą i datkiem, wśród głodu żywił biédaków, a o wdowach, sierotach i młodych dziewczicach bez posagu, pamiętał. Nazywano go też ojcem ubogich, a panowie ciągle jeździli do Łowicza, a czasem do Skierniewic, żeby się księciu przypatrzeć, żeby się z nim dosyć nagadać.

Zjeżdżał czasem prymas i do Warszawy. Miał w stolicy pałac wspaniały, wprost pałacu krakowskich biskupów. Ale Teodor Potocki nie lubił wystawności i zbytków: zgodny, cichy, skromny, skromnemi jaśniał cnotami; wołał zatem na ustroniu mieszkać, jak w książęcym pałacu, wołał bawić wśród zakonników, z którymi mógł się namodlić, jak otaczać się służbą dworną, a do niczego. W Łowiczu i w Skierniewicach, w pałacu prymasowskim w Warszawie, trzymał dwór świetny; ale dla imienia, dlatego, że to przystało pierwszemu panu i obywatelowi w Rplitéj. Wołał jednakże Jezuitów swoich, jak liberyą i służbę z galonami.

Ztąd, budując Jezuitom kościół św. Krzyża w Warszawie, miał na myśli i własną wygodę. W klasztorze wystawił kilka celek, jedynie dla własnego użytku. Ile razy przyjeżdżał do Warszawy jako prymas, jako ksiązę, ile razy jechał do króla albo na sejm, stawał w prymasowskim pałacu; ale kiedy do stolicy zawitał jako prywatny człowiek, wołał zajrzeć do Jezuitów i tu mieszkać w swoich celkach. Bywały nieraz przykłady, że dwór odesłał do pałacu, a sam stawał u św. Krzyża. Tu, pobożności i modlitwie oddany, mógł chwalić Boga: pewny, że mu nikt nie przeszkodzi w świętych praktykach. Miał kościół pod bokiem, miał zakonników, których lubił, miał mszę na każde zawołanie, miał towarzystwo

bogobojne, spokojne, ciche i skromne. Ztąd też ile razy wypadło mu być w Warszawie podczas postu wielkiego, rekolekcyje zwykłe u św. Krzyża odbywał. Tutaj przyjmował gości, tutaj jałmużnę rozsypywał pomiędzy ubóstwo. I stało się tak, że kościół św. Krzyża Jezuicki był prawdziwie domowym, kochanym Teodora Potockiego kościołem, był mieszkaniem doczesnym, z którego ze łzami w oczach spoglądał na niebo i modlił się za ziemię rodzinną, za króla Augusta, za drugiego króla wygnança, który gdzieś aż tam w Lotaryngii pędził dni niewesołe; modlił się za rodzinę własną, za siebie, za wszystkich.

Miał u siebie w Łowiczu księżę kilka razy króla w przejeździe, miał gości pełno i w Warszawie. Nie przykładem Radziejowskiego, który umyślnie wicherzył, nie Stanisława Szembeka wzorem, który dynastyi niemieckiej służył wiernie aż do końca swojego życia, księżę Teodor Potocki nie należał do żadnego stronnictwa. Tylko interes kraju ojczystego miał na celu; wiązał się zatem ze wszystkimi magnatami Polski, wiązał się jednak najwięcej w tymże czasie z Józefem Potockim kij. Wdą, człowiekiem co wielką już rolę odegrał, a gotował się do nowych wypadków w przyszłości. Patrząc na prymasa i wojewodę, powiedzieć było można, że to jedna dusza, jedno serce. Ciągłe z sobą, ile się tylko razy widzieli, czyto w Warszawie w pałacu prymasowskim, czy u św. Krzyża, czy w Łowiczu, w Skierniewicach, Swarzędziu, czy w Krotoszynie, obadwaj ciągle naradzali się i o sprawach Rplitej i o sprawach rodziny. Obadwaj byli Potoccy, i choć daleko ród jeden wiódł od drugiego, zawsze nazywali się braćmi: bo synami byli jednego szczepu, jednego imienia. Ileż ciekawych rzeczy mogłyby nam o tych rozmowach powiedzieć celki Jezuickie św. Krzyża, gdyby mówić umiały!

Budując jednak i ozdabiając kościół Jezuicki prowincyi koronnej w Warszawie, księżę nie zapominał i innych nakładów, które za swoją powinność uważał. Że powiemy tylko o stolicy: pałac swój prymasowski zaczął naprawiać, do starych gmachów nowe wlał życie, powiększył znacznie ten pałac i postanowił w nim wybudować kaplicę. Niemałych starań, niemałych pieniędzy kosztowało to przedsięwzięcie. Robota nie trwała także rok jeden. Ale już wtedy stał kościół św. Krzyża, i miał księżę pewne schronienie, z robotą zatem nie spieszył. Nareszcie i gmach prymasowski nowo odbudowany, stanął na dawnych popiołach i nowym życiem tchnęła nowa kaplica.

Odbyswał właśnie księżę prymas podróż z wojewodą kijowskim po Wielkopolsce (1731), zaproszony od Macieja Koźmińskiego kasztelana kal. do Swarzędzia. Przed kilką miesiącami zaręczył u siebie w Warszawie, zapewne w celi Jezuickiej, kasztelana z córką Potockich rodu,

Teressą, wojewodzianką czerniechowską. Na Zielone Świątki dawał im ślub sam w kollegiacie łowickiej, a teraz właśnie wyjechał na przenosiny do państwa-młodych. Wlókł się za nimi cały orszak panów i szlachty w tej podróży po Wielkiej Polsce. Książę musiał zrobić więcej drogi, jak myślał; ciągle zapraszany to tu, to owdzie, zbaczać musiał do wsi i miast, żeby brać udział w rodzinnych uroczystościach wielkiej szlacheckiej rodziny. Ledwie powrócił do Łowicza, ztąd wybierał się do Warszawy, zobaczyć nową swoją kaplicę. Były i inne powody, co go przyciągały do stolicy. Powiadano wtedy w Koronie i Litwie o dwóch wielkiej wagi wypadkach, które chociaż nie obchodziły Rplitej, obchodziły naród, a zatem pośrednio i kraj cały. Po hetmanie polnym litewskim została się bogata wdowa, ostatniego Sieniawskiego córka, pani, co w swojej osobie skupiła kilka rodzin znakomitych a już wygasłych majątek, i młode dziecko, córka, bogata posagiem macierzyńskim i ojcowskim. O rękę wdowy i sieroty ubiegało się wielu panów polskich; i nie dziw, uposażenie Denhoffowy i Denhoffówny mogło nawet udzielnemu herzogowi niemieckiemu służyć za piękny majątek. Nad wszystkich w umyśle wdowy przeważał książę August Alexander Czartoryski, generał gwardyi koronnej; jemu obiecała oddać serce swoje i rękę. Układy familijne zakończyły i narady względem losu córki: tu nawet łatwiej poszło. Matka, pani już własnej woli i własnych widzi mi się, mogła wybierać długo i radzić się serca; w córce nie mogło być serca, bo wtedy rodzice i familijne układy stanowiły o wszystkiem, o całej przyszłości dzieci. Stało więc na tém, żeby córkę wydać za młodego księcia Janusza Sanguszkę, który był synem Pawła marsz. nadw. lit. i Lubomińskiej, dziedziczki wielkiej ordynacyi po Ostrogskich i Zasławskich kniaziach na Wołyniu.

Książę prymas miał dawać ślub tym dwojgu nowym stadłom; z całym zatem świetnym dworem swoim zjechał z Łowicza do Warszawy, i był tak przywiązany do św. Krzyża, że nie do pałacu, a tutaj zjechał, służbę tylko odesławszy na dworzec prymasowski. Zwiedził swoją kaplicę w pałacu i był kontent, a nazajutrz po przyjeździe dawał już ślub księciu Czartoryskiemu z wdową wojewodzianą połocką. Był książę prymas tak zazdrosny o swój kościół św. Krzyża, że nie gdzieindziej, tylko tutaj u księży Jezuitów prowincyi koronnej udzielał błogosławieństwa związkowi, który wysoko podniósł znaczenie rodziny Czartoryskich. Spieszył się w dalszą podróż, ale bywał na zabawach, i oczywiście przyjmował zaprosiny nowo poślubionych; wołał jednakże swoich zakonników, i raz obiad zjadłszy u Jezuitów, opuścił Warszawę. Było to w lipcu. W sierpniu znowu książę wrócił do stolicy i nową parę błogosławił. Wśród mszy w kościele św. Krzyża, rozpostarłszy ręce nad parą prawdziwie młodych, bo dzie-

ci, wzywał dla niej łaski niebios, a ślub tegoż wieczoru nastąpił w pałacu Błękitnym Czartoryskich, niegdyś Orzelskiej Anny, za kościołem Reformatów. Widzimy w tém dowód wysokiego przywiązania Teodora Potockiego do murów jezuickich św. Krzyża; mógł dać ślub zapewne w którym z kościołów stolicy, mógł u św. Krzyża na Krakowskim-Przedmieściu, który także winien wiele jego szczodrobliwości; mógł u św. Jana w kollegiacie królewskiej, w godności z katedrami porównanej; mógł wreszcie u Reformatów, których kościół najbliżej leżał pałacu Błękitnego. A jednak książe wybrał swój ustronny kościółek, i kochając go, pieszcząc, lubując się nim, chciałby, żeby wszyscy go kochali, żeby patrząc na te mury i fronton świeżo wybudowany i piękny, przypominali sobie, że w murach téj świątyni znaleźli szczęście i urzeczywistnione nadzieje.

Miał jeszcze niejednen dowód tego przywiązania od Teodora Potockiego kościół Jezuicki św. Krzyża. Kiedy musiał, kiedy go względy światowe i stosunek do króla wiązały, występował w pałacu; ale uroczystości familijne, obchody serca, wszystkie u św. Krzyża w celkach Jezuickich musiały się odbywać. W październiku tegoż roku, w którym dwa śluby o jakich wspomnieliśmy pobłogosławił, wyjechał prymas z Łowicza naprzeciw królowi wracającemu do Warszawy z Saxonii. Podejmował go znowu suto na swoim zamku, i oczywiście potem do Warszawy odprowadził, prawie nieodstępny od boku Augusta Mocnego. Mieli ten zwyczaj za czasów saskich panowie polscy, że kiedy król bawił w Warszawie, zjeżdżali się tłumnie, nawet z dworami swojemi do stolicy, i stawali po pałacach i domkach, które albo sami pobudowali po przedmieściach, albo po przodkach odziedziczyli. Grzeczność, wychowanie, obowiązki rycerski, ściągaly ich ze wsi i z zamków feudalnych do stolicy. Cały czas kiedy bawili w Warszawie, starali się rozrywać, zająć Augusta. Z jego wyjazdem do Saxonii, i Warszawa traciła na wesolości, na ludności, na zbytkach: panowie także się rozjeżdżali, każdy w swoją stronę.

Prymas Potocki nigdy téj wyrozumowanej grzeczności nie uchybił, i towarzyszył zawsze królowi swojemu. Tak było i tym razem. Stanawszy w pałacu prymasowskim, tutaj dawał wtedy bale, obiady, tutaj przyjmował gości; ale modlił się zawsze u św. Krzyża. Woził z sobą zawsze księdza Sienińskiego, którego zrobił kanonikiem gnieźnieńskim, prałatem i jakby referendarzem, to jest sprawozdawcą przy sobie. Sienińskiego znała Warszawa; było w swoim czasie człowiek uczony, świątły i dobry kaznodzieja. Kuryer Polski, ówczesna jedyna gazeta w stolicy, nazywała Sienińskiego *dignissimus ecclesiastes*. Otóż uwolniwszy się od ciężarów przyzwoitości i rządów, książe arcybiskup często z pałacu prymasowskiego zabiegał do św. Krzyża, i modlił się tutaj na mszy jakiego

ojca Jezuity, albo słuchał kazania księdza Sienińskiego. Czasem sam ubierał się w ornaty i mszę odprawiał. A jeżeli mu zdrowie, albo może jakie przyczyny nie pozwoliły dopełnić aktu bezkrwawej ofiary, zawsze z całą gorącością ducha i z nabożeństwem dwóch, trzech mszy słuchał. Musiał mieć u św. Krzyża i tron swój arcybiskupi, a jeżeli nie, to krzesło albo kłęcznik przynajmniej.

W dzień imienin swoich dnia 5 listopada 1731 roku, zaraz nazajutrz po mianém posłuchaniu u króla, książę prymas sam mszę świętą celebrował. Piękną być musiała ta uroczystość; kapłan i naczelnik kościoła, starzec blisko już 70-letni, z natchnieniem modlił się i rozmyślał przy ołtarzu.

D. 13 listopada książę bal dawał u siebie w pałacu z powodu imienin, bal świetny, uroczysty, wspaniały; a jednak widzieliśmy, że sam dzień św. Teodora spędził na modlitwie i nabożeństwie. Byłto zapewne jeden z największych dni księcia w ciągu roku całego, a Potocki go święcił w kościele Jezuitów koronnych.

D. 29 grudnia dawał znowu książę obiad dla króla i znakomitych gości, znowu oczywiście w pałacu arcybiskupim. To było wszystko z powodu względów światowych. Ale kiedy był tyle szczęśliwy, że przyjacielowi dawnemu, prawie rodzonemu bratu, miał dawać ślub wojewodzie kijowskiemu; znowu na ten cel obrał cichy kościółek św. Krzyża. Wojewoda kijowski był także starcem niewiele młodszym od księcia prymasa. Żona jego Wiktorya z Leszczyńskich, daleka krewniaczka króla Stanisława, umarła dnia 1go maja 1732 roku, w dobrach swoich na Rusi. Wspaniały pogrzeb sprawił jej mąż wdowiec i syn Stanisław starosta halicki. Po ukończeniu jednak żałobnych obrzędów, stary wojewoda zapragnął na nowo wejść pod chorągiew hymenu. Józef Wandalin Mniszech marszał. wiel. kor. miał córkę, na której spoczęło oko starca wojewody. W kilka miesięcy po śmierci pierwszej żony, Józef Potocki znalazł już drugą.

Nie z wystawnością, ale jednak okazale odbyły się te nowe zaślubiny z powodu niedawnej śmierci i żałoby. Warszawa już ucichła troszkę po długim pobycie króla, i po sławnym kampanencie, o którym w całej Europie gadano dziwaczne powieści i cudowne legendy. Ślub ten ożywił ją nieco, bo wielu panów polskich wyjechało już do siebie, a zostali zwykli mieszkańcy Warszawy. Zobaczmy, jak książę prymas kochał ten kościółek św. Krzyża, i jak starał się wiązać do niego wspomnienia i wypadki.

D. 27 października 1732 r. zjechał do Warszawy z Łowicza, z wielą krewniami, i orszakiem służby otoczony. Wyjechali przeciw niemu wo-

jewoda kijowski, i drugi Potocki Antoni Michał wojewoda belzki. Oprócz tego, ojciec panny marszałek wiel. kor. i ksiądz Lipski, podkanclerzy koronny, także na czele orszaku. Prymas prosto pojechał do pałacu Mniszcha, a tam zahawiwszy z godzinę tylko w gronie przyjaciół, zaraz pospieszył do księży Jezuitów koronnych, i tutaj stanął w celkach swoich. Było mu po drodze wstąpić do pałacu Mniszchowskiego, ale nie po drodze do pałacu prymasowskiego; bo zwyczaj, nałóg i przywiązanie, zatrzymały go przy św. Andrzeju. Ksiązę wiozł wtedy z sobą bogate skarby dla swojego kościoła. Zaopatrzył go w sprzęt potrzebny do odprawiania nabożeństwa, posprawił ornaty, kapy, alby i stuły; pokupował dawniej świeczniki i ozdoby do ołtarzów. Ale kościół św. Krzyża mało jeszcze miał srebra z jego szczodrobliwości, i dotąd przy sprawowaniu ofiary św., Jezuci prostemi naczyniami obywać się musieli. Dawno już o tém myślał ksiązę prymas, aby troszkę uposażyć to zakonne ubóstwo. Wstyd mu było, że w jego fundacyi, w jego kościele nie ma skarbcu i bogatych sprzętów. Teraz wiozł z sobą liczne piękne i nowe ozdoby, to jest: świeczniki srebrne wielkie, pacyfikaly czyli relikwiarze i krzyż srebrny wielki. Krzyż był z trupa główką, świeczników sześć ogromnych, pacyfikał z relikwią: wszystko herbem prymasa ozdobne, misternej roboty, wysokiej ceny. Gromadził już te srebra oddawna w Łowiczu; teraz z powodu nowój uroczystości dla swojego serca, wiozł je do Warszawy na ofiarę Stwórcy i Jezuitom. Podziwiali wszyscy tę piękną i bogatą *argenterya*: dar prawdziwie pański i książęcy. Nie pierwsza to być musiała ofiara; monstrancyą, srebrne kielichy, pozłacane patyny, ornaty i inny sprzęt kościelny, ksiązę już dawniej dla św. Krzyża zakupił, teraz tylko mnożył bogactwa, uzupełniał swoją fundacyą.

Nazajutrz po przyjeździe prymasa, zebrali się krewni i zaproszeni goście do pałacu Mniszchowskiego, a ztamtąd w karétach, każdy z ogromną kalwakatą, w porządku, który już sam był pięknoscią, udali się do kościoła Jezuitów koronnych. Arcybiskup srebra swoje oddał kościołowi, prosząc ojców zakonnych, aby modlili się za parę nowo-zaślubioną, za pomysłność doczesnego jój życia. Ślub sam odbył się w komnatach pałacu Mniszchowskiego, a ojca panny-młodój, tegoż samego dnia o godzinie 6tej wieczorem. Ubrano ołtarz w pokoju teścia bogato i pięknie, a gdy goście pojeżdżali się do pałacu, a panna-młoda była już stosownie przybrana w szaty weselne, ksiązę prymas nadjechał z większym jeszcze orszakiem gości w karétach, które wystane były naprzeciwko niego, dla oddania mu czci i poszanowania. Usiadł przed ołtarzem arcybiskup, a kiedy przystąpili do niego państwo-młodzi, połączył ich nierozzerwanym węzłem według biskupiego obrzędu. *Veni Creator* zaśpiewano na nutę



gregoryańską, i ozwała się pełna trąb, kottów i waltorni, zgiełkliwa a uroczysta kapela. Po ślubie 12 razy z dział uderzono, zaczęły się tańce, bal, maskarada, kolacya, a książe prymas wymknął się pocichu do swojego kościołka. Dla niego na tém się uroczystość skończyła. Potém woj. kijow. świetnie częstował gości, bił z armat na przenosiny młodej małżonki do jego pałacu.—Bywał prymas i na innych zjazdach i uroczystościach, a kiedy za dni kilka wyjeżdżał z powrotem do Skierniewic, odprowadzali go aż pod Wolę marszałek Mniszech, państwo-młodzi i ksiądz biskup łucki podkanclerzy.

Niedługo potém umarł w Warszawie król August. Teodor Potocki zjechał do stolicy, i objął prawem mu należną najwyższą władzę. W pałacu swoim naradzał się z senatorami, ale do św. Krzyża biegł dla nabożeństwa. W dzień popielcowy (18 lutego 1733 r.) u księży Jezuitów modlił się; a przypominając sobie znikomość rzeczy ludzkich, dał sobie posypywać popiołem głowę. Znajdował się wtedy i na kazaniu Sienińskiego. Ułatwiwszy sprawy krajowe, myślał do siebie na prowincyą wyjechać na święta Wielkanocne; ale namyślił się, a raczej namówili go panowie, że został w stolicy. Biskup łucki nominat krakowski ksiądz Lipski, najwięcej może wpłynął na to postanowienie Potockiego. Jeździli też do siebie obadwaj, a raczej Lipski prymasa przyciągał do siebie, bo wszyscy wiedzieli, że arcybiskup myśli o Leszczyńskim, a ksiądz podkanclerzy i nominat krak. cały los swój winien Augustowi Mocnemu; nie dziw, że Saxonią i Niemców pokochał. Fetował zatém prymasa, i raz wyrwawszy się od niego Potocki, w noc już późną powrócił do Jezuitów na rekolekcyę. W innym czasie, odbywałyby te rekolekcyę z całą gorącością ducha; dzisiaj sprawy publiczne nie dawały mu pokoju. Siedząc w celkach swoich u św. Krzyża, zewsząd odbierał doniesienia, listy; przyjmował raporta, odpisywał panom w różne strony Korony i Litwy. Cieszył się pocziwy starzec, bo wszystkie sejmy stawały pod aktem konfederacyi i wszystkie od tronu wyłączały cudzoziemców, odzywając się jedynie za Piastem. Naród trafił w myśl prymasa, a raczej powiedzmy, prymas zasłużył na to, że dla jego cnót, dla jego przymiotów, wierzył mu naród i szedł za jego natchnieniem. Elekcyą Piasta zdawała się jedyną, wybór obcego niepodobnym. Już teraz nie szło nikomu o to kogo wybiierać, a wszyscy troszczyli się i pisali do księcia, żeby przyszłego króla koniecznie zobowiązać do tego, żeby chodził w kontuszu i żupanie, żeby pomiędzy pakta konwenta umieścić ten jedyny narodu warunek. Odbierał książe listy i od elektora saskiego następcy po ojcu, który chciał przysłać ludzi swoich z Saxonii dla strzeżenia pałacu na Krakowskiem-Przedmieściu. Z tego powodu, odbierając ciągle listy i odpisując, miał Teodor

Potocki często przerwał w swoim nabożeństwie, a jednak znalazł czas u Jezuitów i Bogu oddać co był powinien, i nie zawieść Rzeczypospolitej. Służyło mu ciągle zdrowie wśród tych prac mozolnych, a skończywszy rekolekcyę u Jezuitów, objeżdżał kościoły warszawskie, zaczawszy wprzód od lamentacyi u Sakramentek.

Mieszkał w pałacu wtenczas, jak w bezkrólewiu piérwszy senator i książę. Tutaj przyjmował posłów zagranicznych i występował po królewsku. Do Jezuitów biegł na dzień Wielko-piątkowy i słuchał kazania księdza Sienińskiego, kiedy ten kanonik pełnym zapału głosem, o mecę Pańskiej rozpowiadał pobożnym.

Wiadome są prace Teodora Potockiego w czasie bezkrólewia, wiadoma usilność z jaką się starał zapewnić wybór Leszczyńskiego. Chorował nawet z wyteżenia umysłowego. Przewodniczył sejmowi konwokacyjnemu, potem elekcyi. Bywał w kościołach na różnych nabożeństwach, i słuchał często kazań Sienińskiego. Przed samą elekcyą, książę pretendent angielski pisał do niego z Rzymu, że Ojciec Św. kapelusz kardynalski przeznaczył dla niego, i chce mu go przesłać do Warszawy. Potocki odpisał do księcia York; dziękował Rzymowi za tę łaskę, oświadczając w szczerości swojej enoty, „że ma dosyć ciężaru z prymasostwa, że chce w równości szlacheckiej umierać, jako z niej przy wszelkiem ukontentowaniu żył“ (1). Wiadomo téż, że ogłoszwszy Leszczyńskiego królem, musiał się zaraz cofać z murów Warszawy, opuszczać nawet zamki swoje w Łowiczu i Skierniewicach. Do Gdańska ze swoim elektem usunął się prymas, a potem poświęcił się szlachetnie jako zakładnik Münnichowi. Długi czas jeszcze August III chwiał się na tronie, i Rplita uspokoić się nie mogła. Ale kiedy nadzieja utrzymania Leszczyńskiego upadła, a Francya Lotarynią i księstwo Baru kosztem Polski nabyła, prymas powrócił do Warszawy po dwuletniem oddaleniu się, i złożył hołd nowemu królowi. Odtąd nie zaglądał już do stolicy, tęskniąc za swoim wybrancem, i pocieszając się tylko przyjaźnią dawnego Wdy kij. a dzisiaj hetmana wielkiego w Koronie. Sposepniał książę prymas, i siedział odtąd ciągle w oddali od dworu, zajmując się dobroczynnością. i przywozzeniem dawnych planów do skutku. Budował znowu i zakładał konwikta, uposażał zakłady otwarte dla nędzy, kościoły naprawiał. Nie mamy śladów, czy świadczył jeszcze co Jezuitom kor. w Warszawie. Zdaje się, że nie lubił teraz Warszawy, że rzadko już do niej zaglądał, chyba na sejm albo dla powitania króla; ale i król także ciągle przesiadywał w Saxonii, i dopiero go do

(1) Kurjer Polski ówczesny. R. 1733, nr. 192.

Polaki przypędziła wojna siedmioletnia; przeto i powód przyjazdu do Warszawy zniknął już dla prymasa, i kościółek téż św. Krzyża osierociał, bo rządzić widywał swojego dobroczyńcę.

Nareszcie i czas śmierci nastąpił. Umarł Teodor Potocki w Warszawie 13 listopada 1738 r. Nazywano go *wielkim prymasem*. I w istocie byłto zaszczyt i ozdoba senatu polskiego. Żył lat 75. Na łożu śmierci pamiętał przecie o Jezuitach koronnych, serce swoje u św. Krzyża pochować kazał, bo zwłoki z wielką okazałością miały być przewiezione do Gniezna.

Ze śmiercią Teodora Potockiego, zakończyła się pełna wspomnień epoka dla kościoła św. Krzyża. Następcy po nim na dostojności biskupięd, nie mieli powodu, ani myśli rozciągać opiekę zmarłego prymasa nad nowo wymurowanym kościołkiem. Jak w każdej świątyni w stolicy, kwapił się i tutaj naród na nabożeństwo. Odprawiały się tutaj msze, wotywy; Jezuici miewali kazania. Ale zniknął już człowiek, co całą wagę swojego urzędu przywiązywał do kościoła św. Krzyża. Umiérając musiał Potocki jakieś zostawić nadanie i zapisy; przed śmiercią nie mógł zapewne zapomnieć swojej świątyni, bo dzieło nie byłoby skończone. Ale jakieto były fundusze, i jakie nowe zapisy — milczy znowu kronika Warszawy.

Za Augusta III ta okolica Warszawy zaczęła się coraz więcej zaludniać. Budowały się pałace, a koło nich czepiały się dwory i dworki, które zaczęły się wyciągać w ulice, i rozsiadać po placach wokoło. Mówiliśmy już o pałacu Mniszchowskim i Błękitnym, który własnością był Czartoryskich. Wokoło zabudowań św. Krzyża leżały prócz tego dworki i place znakomitych panów. Na Samsonowskim gruncie budować się zaczęli jeszcze za Augusta Mocnego Petrykowscy; po nich grunta kupiła Marya Ludwika Bielińska, córka Morsztyna podskarbiego koronnego. Był tu niegdyś i opustoszały Kryszpinowski dworek. Po Bielińskich Dejblowie budowali w tych stronach, a potem na ich miejscu pałac stawał Jabłonowski, pan na Ostrogu, generał i wojewoda rawski. Stał tutaj w okolicy, przy tym dworcu Jabłonowskich, pałac Flemmingów, leżały kamienica Witowój, grunta Diupontów. Wprost kościoła rozciągał się Marywill, o którym także mówiliśmy, i ściągał oczy wszystkich dziwną swoją strukturą, różnaitością towarów, rzeczy, osobliwościami, które w sobie mieścił i pokazywał ciekawym. Z tyłu za kościołkiem św. Krzyża, wznosił się stary Danilowiczowski pałac, teraz własność Załuskich, a w szczególności księdza biskupa krakowskiego Stanisława Andrzeja. Cała Warszawa, cała Rplita wiedziała o nauce Załuskich, o ich pracach dla dohry publicznej. Powiadano, że szczególnie brat młodszy referendarz koronny, chlebem tylko i sérem obywatł się, żeby fundusze rodzinne,

dochód kilku opactw krajowych i francuzkich, na kupno książek obracać. Biskup krakowski pałac swój Daniłowiczowski oddawał na bibliotekę, którą brat gromadził. Za Augusta III co chwila coraz nowsze skarby literackie zbiegały się do tej skarbnicy przeszłości i pamiątek. Załuscy kochali także Jezuitów; referendarz koronny dzieckiem był jeszcze, a już się pragnął zaciągnąć na służbę Bożą, pod chorągiew zakonu Lojoli. Gromadząc naukowe skarby powiadał Józef Załuski, że odstąpi kiedyś bibliotekę na własność dla Rplitéj, i że wiecznymi opiekunami swojego zakładu zrobi Jezuitów. Tak powoli, powoli, zaczęła ta strona Warszawy nie tylko się budować, ale i zakładami swoimi i pamiątkami zwracać na siebie uwagę. Stara stolica Zygmunta III wyrzała za mury, i ściśnięta w szczupłych granicach, całą swoją znakomitość i przyszłe znaczenie oddawała przedmieściom.

Reformacka ulica zaczęła się prostować, docięrać do św. Krzyża, i łączyć się z szeregiem domów, co miały utworzyć Senatorską ulicę. Bielańska także rosła dworkami, i na niej także zaczęły się ukazywać mury. Z tyłu za Daniłowiczowskim pałacem, stanął pałacyk Poniatowskich, nowój rodziny w kraju, która pchała się gwałtem do rodzin dawnych. I takim sposobem zmieniła się wkrótce postać powierzchowna Warszawy w tej stronie. Potocki kościółkiem swoim niezawodnie do tego wzrostu się przyczynił.

Dziwna jednakże to była postać. Tuż obok pałacu z bramą, z zajazdem wielkim, z herbami, obok pałacu przy którym stała straż zbrojna, pacholki, a nawet armaty, leżał mały dworek drewniany, topolami albo lipą zastłonięty, a obok dworku grunt pusty, a za gruntem znowu dworek nędzny, starością pochylony do ziemi; i znowu plac pusty, i znowu szereg domów i drugi pałac, a potem trzeci i czwarty. Nie było tam ciągu, nie było tam ulicy. Widać, jak każdy stawiał domy i dworki, nie dla miasta, nie dla ozdoby pustych placów, a dla własnej wygody. Marywill dziko wyglądał: poszarpany i obdarty, tylko klitkami świecił. Był to gmach ogromny, niby dwór gościnny w Wilnie za czasów Jagiellońskich. Wszystkiego tam dostał, wszystko tam kupił. Żydowstwo, kupcy i mieszczanie, szlachta, wszystko tam się mieściło. Od niedawnego czasu jeszcze, pani Zamojska sprowadziła do Marywillu zgromadzenie pańien Kanoniczek, niby zakonne, niby świeckie. A tak doprawdy Marywill był targiem; odbywał się w nim nieustający jarmark.

Nad taką grudą domów, dworów i pałaców, nagromadzonych bez ładu, poprzedzielanych gruntami i polkami, obrosłemi drzewem, nietworzących ulicy, a błakających się tu i owdzie, górowały dwa kościoły: Reformacki jeden, który już wiek cały liczył swojego istnienia, i nowy

Jezuitów św. Krzyża. Reformacki większy i dawniejszy, był jedynym kościołem dla nowój jurydyki, która się jeszcze za Augusta Mocnego w tamtych stronach tworzyła, a od swoich założycieli przybrała nazwisko *Wielopola*. Za Wielopolem powstawało teraz właśnie nowe miasteczko jurydyka Bielino, rozszerzając się zabudowaniami swojemi aż po Grzybów, który także na wiek już liczył swoje ubiegłe życie. Wielopole i Bielino miały najbliżej Reformatów, i do tego kościoła uczęszczali pobożni z tych dwojga jurydyk; św. Krzyż ściągał do siebie mieszkańców Marywillu i okolic rozciągających się pod samą Warszawą ku Nalewkom i ku Podwalowi. Tak Reformaci byli wtenczas jeszcze zamiejskim przedmieściowym kościołem, kiedy św. Krzyż dotykał się właśnie samej stolicy, mając się niedługo ujrzyć nawet w murach starożytnego grodu warszawskiego.

Pod koniec właśnie panowania Augusta III zaszedł wypadek, który niezawodnie miał wpływ wielki na losy kościołka św. Krzyża, i osadzonych w nim Jezuitów. Zakon Lojoli tak się rozmnożył w prowincjach Rplitej, że mu już nie wystarczał podział na dwie prowincye: koronną i litewską, a chciał jeszcze większego rozdziału. Większą z prowincyj rozłożono zatem znowu na wielkopolską i małopolską. Niewielkich zabiegów kosztowała Jezuitów ta sprawa, która naturalnie aż o Rzym się oparła. Podług nowych ustaw, kościołek i kollegium św. Krzyża należały teraz do prowincyi małopolskiej. Wielkopolskiej najwyższym rządcą zrobiony był wtenczas ksiądz Franciszek Koźmiński. Odtąd i assystent nowój prowincyi mieszkał w Rzymie, a w chwili nowego podziału był nim Franciszek Dunin rektor kaliski. Małopolskim prowincyałem został ksiądz Moszyński. Rozdział ten nastąpił r. 1756.

Ze w nowój małopolskiej prowincyi najwięcej było kościołów w Mazowszu, że Mazowsze nawet w całym tym obszarze krajów Rplitej największą część zajmowało, wbrew nazwaniu urzędowemu, które Rzym przyswoił, Jezuitów małopolskich zaczęto nazywać mazowieckimi, i całą prowincyą mazowiecką. Odtąd pod innym tytułem jak dotąd, natrafiamy wzmianki w gazetach współczesnych i pismach o kościołku Jezuitów św. Krzyża. Za Potockiego czasów mówiono, że ksiądz prymas pojechał do Jezuitów prowincyi koronnej. Teraz powtarzano, że u Jezuitów mazowieckich odbyło się nabożeństwo takie i takie, sprawiono egzekwie, odśpiewano psalmy. Mówiliśmy, że podział prowincyi koronnej na dwie oddzielne, niepodległe względem siebie części, wpłynął znakomicie na los kościoła Jezuitów św. Krzyża. Tak jest niezawodnie, bo nowa prowincya zaczęła się także krzątać, aby w sławie, w znaczeniu, jeżeli nie przewyższyć, to dorównać dwom siostram. Przedtem cała Korona liczyła

wiele kollegiów, rezydencyj, missyj; teraz jedna jój połowa, powinna była zrównać dwom dawnym. Od tego zatem czasu datujemy wzniesienie się szkoły Jezuickiej u św. Krzyża na większą stopę. Jeżeli fundacya Potockiego rezydencyą tylko była, od czasu rozdziału prowincyi musiała się wynieść na kollegium. Jeżeli dotąd Jezuici koronni nie uczyli dzieci i czekali na dobroczyńców, to teraz niezawodnie otworzyli wyższe kursa nauk. Prowincya mazowiecka nie zniosłaby poniżenia pod żadnym względem, a tém bardziej pod względem głównym, dla którego stworzony został zakon. Kollegium Jezuickie więc niezawodnie w tych czasach u św. Krzyża powstało. Dotąd nie znajdujemy wzmianki o szkołach warszawskich prowincyi mazowieckiej; teraz spotykamy się kilka razy z tym nowym naukowym zakładem w stolicy Rzeczypospolitej. Jezuici zaczęli więc uczyć u św. Andrzeja, a zwyczajem swoim uczyli tylko młodzież szlachecką. Ztąd nowe ich kollegium nazywało się szlacheckiem, *nobilium*. Było utworzone na wzór tego, któremu Wyrwicz później w Starém Mieście przewodniczył, wbrew Konarskiemu Pijarowi, który także zakładał *Collegium Nobilium*. Edukacya zatem młodzieży warszawskiej w epoce pierwszych dni Stanisława Poniatowskiego, była zupełnie w ręku zakonników; miała trzy osobne, niezależne, oddzielne od siebie ogniska, z których dwa były Jezuickie. Ale Jezuici tego czasu nie byli już ludźmi zeszłej epoki, która jeszcze głęboką ciemnotą zatęczała. Nowe pokolenie rodziło się dla nowych czynów, a za czasów Wyrwicza już nietylko Pijarów można było obywatelami kraju nazywać. Wielka reforma Konarskiego była wypadkiem dokonany.

Z *Wiadomości Warszawskich*, pisma, które poświęcało się polityce, a wychodziło peryodycznie już w początkach panowania Stanisława Augusta, wyciągamy ciekawe bardzo szczegóły o *Collegium Nobilium S. J.* prowincyi mazowieckiej. Nie wiemy, czy poprzednio ogłaszali Jezuici przez gazety wiadomości dotyczące się szkół swoich, i odbywanych w nich egzaminów; ale pierwszą dotąd o tém wzmiankę, znajdujemy pod r. 1767. W sierpniu tegoż roku odbył się u św. Andrzeja uroczysty examen, czyli jak wyrażają się *Wiadomości Warszawskie*: „Jchmć pp. kawalerowie biorący polor in *Collegio Nobil.* pod dozorem księży Jezuitów prowincyi mazowieckiej, publiczny różnych dni dali dowód rocznego swego postępuku w naukach”. Król Poniatowski, który z ochotą pokazywał się człowiekiem nader przyjaznym dla nauk, i chciał grać niby rolę mecenasa, która mu niebardzo była do twarzy, był na tym examinie u Jezuitów, zadawał pytania, wdawał się w szczegóły, jakby chciał popisać się ze swoją znajomością rzeczy, i oczarować mądrością i professorów, i kawalerów *biorących polor*. Instrukcyja wtedy już nie była tak zaniedbaną, jak za czasów

dawnych. Jezuitom już nie szło wtedy o to, ażeby z uczniów swoich robili pobożnych dewotów, i wrogów każdej nietolerancyi w kraju. Przykład Pijarów działał, i oni się też ich wzorem wzięli do praktyczniejszej pracy. Uczyli już nietylko filozofii i dysput, które zupełnie prawie wygnano z kollegiów, ale i innych nauk koniecznie potrzebnych w życiu, a których zastosowanie co dzień się spotykało. Tak np. uczniowie collegium św. Andrzeja popisywali się przed królem z budownictwa wojennego, które miało na celu naukę, jak bronić i jak zdobywać fortece. Dalej z artyleryi i prac obozowych w polu. Pokazywali rysunki, które pod okiem nauczycieli robili, plany fortec, plany rozstawiania dział i artyleryi. Pochlebiało to królowi, który założył korpus kadetów w Warszawie, jedyną szkołę rycerską w kraju, a której utworzenia dopominała się wciąż w pactach konwentach od królów swoich Rplita. W samej rzeczy nauka artyleryi i architektura żołnierska, krzepiły wtenczas ducha narodowego, a z młodzi dotąd zakonne, w pobożności wychowywanój, przysposabiała obywateli dla kraju. Widząc, że król zapala się do rysunków, które mu przedstawili, uczniowie ofiarowali je Stanisławowi, i Poniatowski z wdziękiem przyjął miły dar dla siebie. Prócz tych praktycznych nauk, popisywali się panowie kawalerowie z historii rzymskiej, z geografii politycznej naturalnej, z prawa natury, z początków języka francuzkiego, z początków języka łacińskiego, i tłumaczenia autorów dawnych. Ostatni dzień egzaminu przypadł 10 sierpnia w poniedziałek, który był uroczystym aktem rozdania nagród „w wybornych księgach łacińskich, francuzkich, polskich, i w atlasach geograficznych, kawalerom, którzy pilności i postępu swego największe dali dowody”. Imiona ich drukowane być miały w *Wiadomościach Warszawskich*.

W tém ostatniém oświadczeniu widać jeszcze dawne nałogi Jezuitów, z których odrazu otrząsnąć się nie mogli. Czynili Jezuitci dla chwały swojej, że *wyborne* rozdawali księgi, a obiecując drukować listę nagradzanych w gazetach, oddawali przez to hołd próżności szlacheckiej, i zaszczepiali dumę niepotrzebną w dzieciach. Bo wtedy imiona i nazwiska drukowano razem z tytułami. Dziecko, co miało lat 10, już i po gazetach, i po dziennikach, i w potoczném życiu nosiło tytuły: to podstolica, to starościca, to wojewodzica nawet; zdaje się nadto, że w rozdaniu samych nagród miano wtenczas więcej względów dla rodziny, jak dla pilności uczących się, którzy często pochwały i cześć odbierali nad zasługi i nad sprawiedliwość.

Te krótka wzmianka o *Collegium Nobilium* św. Krzyża, wzięta z *Wiadomości Warszawskich*, rzuca pewne światło na stopień i na całą przeszłość téj szkoły. Niedługo żyło to collegium. Burza nad zakonem Je-

zuickim wznosiła się ogromna, i wtedy właśnie rozegrała się w całej si-  
le; byłoby właśnie chwile, kiedy konał zakon. Ze śmiercią zgromadzenia  
Lojoli rozproszyły się i kollegia ich, i akademie i szkoły. Tak więc kol-  
legium u św. Krzyża, lat może najwięcej 20 liczyło swojego istnienia,  
i zstąpiło potem do grobu. Gdyby nie te wzmianki w gazetach, wiadomo-  
ści o nich trzeba by szukać gdzieś po szczątkach akt Jezuickich, a kto  
je znajdzie i to jeszcze w naszym czasie? Kollegium św. Krzyża żadnym  
sposobem rywalizować nie mogło ze starszą siostrą swoją, zamkniętą  
w murach stariej Warszawy, pod kollegiatą śgo Jana; ani fundusze, ani  
gmach, ani pomieszczenie klasztorne, do tego porównania się w stopniu,  
nie dawały prawa Jezuitom u św. Krzyża. Mogli mieć od tyłu kościoła,  
w dziedzińcu klasztornym zabudowanie szkolne; ale te zabudowania ani  
tak rozległe były, żeby pomieścić klasztor i kollegium rozwinięte na wię-  
kszą skalę, ani tak obszerne, żeby wielką liczbę uczniów pomieścić; sa-  
mych zakonników mieściło się tutaj więcej, jakby się spodziewać mo-  
żna. Widzimy też, że strojąc się w pyszny tytuł *Collegium Nobilium*, Je-  
zuici utrzymywali u św. Krzyża szkołę troszkę więcej nad początkową.  
Uczyli tylko początków języka francuzkiego i łacińskiego. W czasie, kie-  
dy mowa dawnych Rzymian jedynym była i głównym przedmiotem  
w edukacji młodzieży polskiej, zastanawia i objaśnia wiele ten wyraz *po-  
czątków*. Dalej nie widzimy wcale wykładu matematyki, która zapewne  
z naukami wojennemi łączoną była. Historia tylko na rzymskiej się koń-  
czyła, a o powszechniej ani słyhać. Wymowy, poezyi także nie było.  
Przecieżby nie opuścili tego w swoim sprawozdaniu w gazecie Jezuici,  
gdyby wykład tych nauk zaprowadzony był w ich kollegium. Że uczyli  
budownictwa wojennego, przypisać to należy naśladowaniu Pijarów i du-  
chowi pochlebstwa dla króla; a i tak wykład tych wiadomości powierza-  
ny był zapewne w ręce świeckiego nauczyciela (1).

Kollegium zatem św. Krzyża, więcej tytułem jak rzeczą ściągalo na  
siebie uwagę. Jezuici woleli trawić czas napróżno, jak rozwijać swój  
zakład, jedyny w tej stronie Warszawy. Żadne miasteczko stolicy, ani  
Wielopole, ani Bielino, ani Grzybów, ani Leszno nawet, nie miały wten-  
czas szkoły publicznej na wyższą skalę uorganizowanej. A przecie Poto-  
cki nie bez funduszków musiał zostawić Jezuitów prowincyi koronnej  
w Warszawie. Później kościół św. Krzyża zamieniony w parafią, żywił  
i utrzymywał więcej wikarych, niżeli było potrzeba; a to dlatego, że obo-

(1) Zdaje się, że kollegium samo mieściło się nie u św. Krzyża, a na Starém  
Mieście w kamienicy księży Jezuitów koronnych, i tam odbywały się examina.  
Professorowie dochodzili z ulicy Senatorskiej, a kilku może mieszkało w kamie-  
nicy. W gmachach Potockiego może mieściła się tylko szkoła początkowa.



wiązki te sprawowali Jezuici, a pomieścić ich nie było można gdzieindziej. I za czasów trwania jeszcze kollegium, dosyć znaczna liczba księży tutaj mieszkała, a to dowodzi i znaczniejszych funduszków. Być może, opuściło się zgromadzenie, śmierć bliską przewidując.

A jednakże liczyło tyle członków, że wystarczyłoby na rozwinięcie wszystkich przedmiotów w kollegium. Rektorem był właśnie wtenczas ksiądz Tomasz Grodzicki. Prócz niego mieszkali tu Jezuici: ksiądz Franciszek Kantembryng, Franciszek Xawery Książkiewicz, Michał Wiercieński, Augustyn Mierzejewski, Maciej Fryze, Adam Łabęcki, Wojciech Komorecki, Jan Powahl. Wszyscy w następstwie czasu użyci zostali do posług parafialnych, jako wikaryusze. Zdaje się, że tutaj do kollegium św. Krzyża należał i ksiądz Grzegorz Zacharyaszewicz, potomek ormiańskich rodziców ze Lwowa, ale tutaj w Warszawie wstawiony swoją nauką i kazaniami. Był tutaj i staruszek, ksiądz Jan Przyłuski Jezuita.

Jeżeli prócz tego zważymy, że kościół św. Krzyża nie dał się wyprzedzić żadnemu kościołowi stolicy w sprawowaniu świętych obrzędów, modlitw i uroczystości; że tutaj w skromnej świątyni księcia prymasa Potockiego, odbywały się wielkie nabożeństwa i odpusty, na których celebrowali biskupi, a zapraszani celniejsi mówcy z ambony słowo Boże głosili: łatwo przyjdziemy do tego wniosku, że skład zgromadzeń Jezuitów u św. Krzyża nie był tak szczupły, żeby i obszernemu nabożeństwu, i pracy około edukacji młodzieży wystarczyć nie mógł. Na karb zatem niedbalstwa i dobrowolnego opuszczenia się zakonu klasztoru musimy to, czego kollegium św. Krzyża nie dostawało.

Uroczystości tutejsze do murów kościoła ściągały świat wyższy. Na dorocznym nabożeństwie w dzień patryarchy zakonu (31 lipca 1767 r.) sam król był przytomny, a celebrował biskup Załuski.

Tak i 15 listopada tegoż samego 1767 r., odbyła się tutaj doroczna uroczystość św. Stanisława Kostki. Król jegomość z panami znajdować się raczył znowu na mszy świętej i słuchał kazania, które powiedział zaproszony ksiądz Reder, kaznodzieja kollegiaty św. Jana. Summę śpiewał Krzysztof Hilary Szembek ksiądz sieluński proboszcz plocki, koadjutor biskup chełmiński.

I później już na uroczystych summach grzmiał tutaj donośny głos Zacharyaszewicza. Za rządów Młodziejewskiego na biskupstwie, zdarzała się ciągle sposobność wystąpienia ze słowem Bożem, publicznie przed wielkim pokutującym zebraniem narodu, przed orszakiem pięknie postrojonych panów, z których wielu wtedy frymarczyło sumieniem dla złota. Młodziejewski lubił Jezuitów, i pańską protekcją wspierał ich, to jest obiecywał im wiele, nie dotrzymując niczego. Nakazywał ciągle to

czterdziesto-godzinne nabożeństwo przeciw różnym plagom; to w czasie zarazy zaprowadzał nowe modlitwy, to otwierał jubileusz zwyczajny rzymski, czyli jak wtedy nazywano *'miłościwe lato'*. Przykładowy biskup, Młodziejowski, bywał po kościołach warszawskich w czasie nadzwyczajnych wypadków, klęczał, bił się w piersi i modlił się. Pozorne znaki mogłyby zaświadczyć, że to był święty człowiek. Młodziejowski miał pewną słabość do kościoła św. Krzyża. Słabość tę odziedziczył po prymasie Potockim. Z ochotą modlił się tutaj, a Jezuitom mazowieckim oddał zupełny zarząd swojego sumienia i przyszłe zbawienie duszy. Ksiądz Tomasz Grodzicki aż do śmierci przychylnie Młodziejowskiego zachował.

W poście wielkim w roku 1771, z rozkazu Młodziejowskiego odbywała się u św. Krzyża z kolei dwu-tygodniowa missya. Mówił na niej z ambony Zacharyaszewicz, i słowami groźnemi wzywał do pokuty, powiadając, że czas nadszedł utrapień i męczarni. Zbięrał się tutaj lud pobożny, słuchając natchnionego kapłana, a zgryzotę w sercu do domu zanosił. Chciwy imienia młody kaznodzieja, po skończonej missyi wystarał się o pozwolenie wydrukowania tych kazań, któremi kościół św. Krzyża chciał wstawić, i szukał aż w Bobrujsku prowincyała księdza Szymona Paszkowicza. W kwietniu dał pozwolenie prowincyał, a w lecie już wydrukował u Jezuitów na Starém Mieście tom spory, do 400 stronnic, prawie z jedenaściami kazaniem. Niema tam nic wielkiego, ale na czas swój, na wiek Jezuicki, jest tam zapalu dosyć i język polski. Pierwszą swoją pracę dedykował Zacharyaszewicz Młodziejowskiemu, którego herby wybił na tytułowej kartce. Mile przyjął ksiądz kanclerz te pierwiastki młodego kapłana w Pańskiej winnicy. Była to missya nakazana w post wielki, w czasie trwającej zarazy. Młodziejowski zawczasu temata kazań wyznaczył, w książce więc Zacharyaszewicza znajdował jakby wcielenie myśli własnych, jakby odpowiedź na swoje zadania.

W dwa lata potem groźna bulla wypadła ze szczytów Watykanu, zdruzgotała zgromadzenie Ignacego Lojoli. Rozpierzchli się po całym świecie Jezuici, i albo do nowych zakonów wstąpili, albo zmieniali suknie na odzież świeckiego duchowieństwa. Piorun za jednym ciosem obalił budowę dwóch kollegiów Jezuickich warszawskich; nastały nowe pokolenia i nowe czasy.

(Część druga nastąpi).



# PRZYGODY MYŚLIWSKIE P. COULTER

w zachodnio-południowej Ameryce, w Kalifornii i na wyspach  
oceanu Spokojnego (\*).

---

**P**an Coulter jestto lekarz, należący do osady statku, na połów wielorybów udającego się; trudno jednak z ogłoszonych pamiętników powołanie jego odgadnąć. Nie troszczy się bynajmniej o zdrowie żeglarzy, i słusznie: bo ludzie należący do wyprawy w celu połowu wielorybów, naprzemian ogniem równikowym przepalani, lub lodami biegunowemi mrożeni, wcale nie są podobni do omdlewających kobiet; lekarz więc znajduje się między niemi tylko dla zadosyć uczynienia przepisom praw morskich. P. Coulter myśli jedynie jak najlepiej czas na statku przepędzić, należąc do zatrudnień osady, i jak nie uchybić żadnej hulanki, jaka się przy wysiadaniu na ląd wydarza. Wypadki przez niego opisywane, najwierniej charakter opowiadacza malują.

## I. *Zatoka Gwajakwilska.*

Znajdujemy się na oceanie Spokojnym, między wyspami Jerzego a Chili: tam nas lekarz nie lubiący długich wstępów odrazu przenosi, zaczynając opisywać podróż, przed trzema przeszło laty odbytą. Tam też od *Valparaiso* aż ku południowemu biegunowi, schroniły się wieloryby od północnego bieguna wypędzane; lecz i ten ostatni przytułek nie ochrania od pocisków haka, rozproszonych ostatków olbrzymiego zwierząt rodu. Dwa statki połowem wielorybów zatrudnione, znajdują się w bliskości:

(\*) *Adventures on the Western Coast of south America and the interior of California*, by John Coulter. London. 2 vol. Longman.

opowiadacz jest na jednym z nich, zwanym *Stratford*. Pierwszy angielski, drugi amerykański. Oba współzawodniki w zupełnej są gotowości; baty przyrządzone do spuszczenia na wodę za pierwszym pojawieniem się wieloryba; wśród uroczystego milczenia, tylko szmer wałów morskich niepewnym brzmi odgłosem. Kapitan okrętu angielskiego, chcąc ludzi swoich zachęcić, obiecuje dać kurtkę i spodnie pierwszemu, który dojrzy wieloryba. W tej chwili zapal wzrasta, maszty i liny okrywają się majtkami. Kapitan amerykański zdaje się przeciwnie oszczędniejszy, to też drogo tę oszczędność opłaca.

Zaledwie widzialny punkt czarny ukazuje się na horyzoncie, wykrzyk z wierzchołka mniejszego masztu angielskiego okrętu uwiadamia, że gołe oko tabitskiego majtka wyprzedziło dalekowiedz kapitana; to w istocie ogromny wieloryb ku statkowi zmierza. Powszechny okrzyk na *Stratfordzie* się rozlega, a gdy czołna na morze spuszcza ją i ludzie z ochotą lecz w porządku do roboty gotują się, olbrzymi zwierz zbliża się, ścigany chmurą żaglową amerykańskiego statku. Nakoniec po spadnięciu z hałasem batów na wodę, po przygotowaniu ich przyrządzenia, polowanie rozpoczyna się z tym większym zajęciem dla widzów, na zatrzymanym okręcie pozostałych, że honor narodowy z chęcią zysku łączy się. Czołna amerykańskie wchodzi w zawody z wioslarzami angielskimi: to prawdziwa chwila uroczystego oczekiwania. W miarę zbliżania się żeglarzy z hakiem podniesionym, potwór morski, niby na usiłowania nieprzyjaciół niezważający, ciągnie dalej; lecz gdy spostrzega, że rzucony dziury jużby go mógł dosięgnąć, zanurza głowę pod wały morskie, potężnym uderzeniem ogona wodę na wszystkie strony rozpryskuje, i znika wśród spienionego zamętu.

To wszakże nie zraża łowców odważnych, bo wiedzą, że wieloryb dłużej jak przez pół godziny lub trzy kwadransy nurka dać nie może, i że często pod wodą w tym samym, co i na jej powierzchni płynie kierunku; lecz ponieważ prawidło to nie jest bez wyjątków, badają chciwie wszystkie strony widnokregu; baty wciągają znowu na okręt, lub je za nim holują. Jakby dwa konie wyścigowe, oba okręty walczą w szybkim jedną drogą pędzie. Kapitan angielski z gorączkową niecierpliwością przebiegając pomost sążnistymi krokami, to zaleca ludziom: „każdy cal wody mieć na oku!” to znowu woła kuchmistrza, aby mu szklanek grogu podał, w nadziei, że ta ostrożność dobremu skutkowi nie zawadzi. Piana bieleje po bokach obu okrętów, z równą prędkością posuwających się. „Niech żyje stara Anglia (hourra for old England)!” Wreszcie wieloryb zdaleka ukazuje się, czarny a ogromny, jakby okręt przewrócony; łodzie lecą za nim w pogoń: Anglicy, Amerykanie, wie-

loryb, wszystko to miesza się przed okiem niespokojnych widzów. W trzech batach ludzie hakami uzbrojeni, z podniesioną czekają ręką; dwa haki razem prują powietrze, wieloryb znowu zanurza się wśród obłoku kroplistego: lecz hak w nim utkwiał, a jeden z batów wynurza się z zamglonej zasłony, ciągniony z taką szybkością, jak lokomotywa w najbystrzejszy bieg puszczona. Oficer łodzią tą dowodzący, należy do osady *Stratfordu*; powiewa nad głową czapką, niesiony pędem niesłychanym, i wreszcie znika w dali, potrójnym okrzykiem radości zachęcony.

Lecz wieloryb raptowném wysileniem zmienia kierunek; nagle kapitan angielski błednieje, spostrzegając, że zwierz jak piorun ku okrętowi zmierza; bo łatwo przewidzieć, że pomimo ciężkiego ładunku statku, nie go nie ochroni od zgubnego uderzenia przez morski potwór. Natychmiast więc kapitan obrót rozpaczą prawie kierowany wykonywa; to téż zwierz ogromny, tak blisko statku zostawia ślad krwi i piany, że żelazna rękojeść haka w ciele jego utkwionego, rysuje brzeg okrętu. Tymczasem ludzie znajdujący się na łodzi, zwijając zwolna linę żelazcem zakończoną, zbliżają się do wieloryba; ciągłe uderzenia czerwienią wokoło niego morskie fale, woda rozpryskuje się pod rzutami konającego zwierza; gdy się zanurza, łódź znowu liny przypuszcza: wtedy już ostatnia, najstraszliwsza nadchodzi walka. Wieloryb na wszystkie rzuca się strony, zamachem ogona jedną łódź na drobne roztrzaskuje części; wreszcie po tém wysileniu, po téj ostatecznej zemście, roztwiera ogromną paszczę, ciętko na bok się przewraca — i kona.

Wypadki takie, są dla statków połowem wielorybów trudniących się bardzo zwyczajne; *Stratford* zatém na nich nie poprzestaje. Jak myśliwiec, przebiegający wszystkie zakąty lasów lub dolin dla wypłoszenia zwierzyny; tak okręt ten nie zatrzymuje się w biegu wpośród gromady wysp, zachęcających do spoczynku. Od początku świata wyspy te choć zaledwie geografom znane, i jakby rzucone wśród niezmiernéj przestrzeni, pomiędzy lądem stałym Ameryki a gromadą wysp Markizkich, przypominają jednak wystawne stoły dla królewskich przygotowane wygod, zachowując dla strudzonego długą podróżą majtką, ukryte wśród cienistej drzew gęstwiny jaja żółwie i różnego ptastwa, a na brzegach tysiące muszli, równie smacznych, jak obfitych. Zrazu z prawdziwą rozkoszą patrzy się na te bukiety morskich kwiatów, naprzemian ukazujące się i znikające. Lecz pomimo zapału, jaki widok przyrodzenia o różnych dnia godzinach wzbudza, czyto gdy południowe słońce nurza w morskich falach świetne promienie, czy téż, kiedy zachodząc lub wstając z obłokowego łoża, jak rozpalone a bezpromienne żelazo przy widnokręgu ginie, czy wreszcie, gdy księżyc białawym blaskiem odbija się o wód powierzchnię;

zawsze cuda te w końcu stają się dla oka jednostajnymi, i nużą widokiem bez zmian, coraz powracającym.

Na szczęście też żeglarzy, niektóre wypadki przecinają tę jednostajność. Razu jednego wśród nocy, wśród owój jasnej podzwrotnikowej nocy, kiedy w porównaniu z błękitnym przyświecaniem księżyca, nasze grudniowe słońce powstydziby się musiało; słyhać wśród milczenia natury, jakiś odgłos niezwyčajny, jakby z głębi morza wychodzący. Żaden z żeglujących majtków odgłosu takiego nie przypomina sobie, choć każdy dobrze ze wszystkimi dźwiękami morskimi obeznany. Tylko człowiek głos taki niczém nie określony wydawać może; księżyc dopiero co zaszedł, niczego na przestrzeni wód nie widać. Czyżby to były westchnienia okrętu, co wedle podań morskich, jest tylko widziadłem *Flying Dutchman*? Wypadek zdaje się tak niezwyčajnym, że spychają bat na morze; napróżno płynąc w różnych przypadkowych kierunkach, światło zapalanych na nim pęków chrustowych, ukazuje się tu i owdzie niepewne wpośród ogromu przestrzeni, blaskiem tym nagle zaćmionój. Poza tym jasnym okręgiem, dostrzedz tylko można czarne fale, a pod falami uciekające rybki, fosforycznie świecące. Nakoniec wyraźne uchwycić można westchnienie, zrazu słabe jak oddech alcyona, w wydrążeniu fali drzemiącego, potem mocniejsze, jak krzyk oddaleniem stłumiony; już nie ma wątpliwości, to ludzka istota w niebezpieczeństwie życia pomocy wzywająca. Kilkakrotne powtórzenie osłabionym głosem wyrazu: *pihi* (statek, w języku tahitskim) przekonywa o tém osadę płynącej łodzi; wreszcie znajdują roztrzaskaną łódkę, a wniej Indyanina z dzieckiem z wysp Markizkich. Ci nieszczęśliwi opuścili byli wyspę *Fetuiva* z pięcią lub sześcią innymi statkami, gdy w tém gromada młodych wielorybów w szybkim przepływie, nie wiedząc nayet o tém, całą flotę wyraca, a reszka jój rozbita, błąka się już od dni czterech; tak, że cud tylko. donosząc do *Stratfordu* ostatnie tchnienia konających żeglarzy, od pewnej ocala ich śmierci. Indyanin wraz z synem przywieziony na okręt, wysiada następnie na wyspę ojczystą, bo okręt szuka przystani dla naprawy beczek, z których wycieka olej, będący owocem tylu prac i niebezpieczeństw.

Wkrótce naczynia sporządzone, a lekarz żegna z tęsknością wyspę Bożego Narodzenia, udając się w dalszą nieskończoną pogoń wielorybów, na otwarte morze, wpośród skał podwodnych, rozlicznymi niebezpieczeństwami brzemienych. Po upływie dni i tygodni, z wyspy Bożego Narodzenia przenosimy się do zatoki Gwajakwilskiej. Tu p. Coulter znajduje się w ulubioném położeniu, bo jest na lądzie, i opowiadanie jego zyskuje na porzuceniu morskiego języka. Próżno udaje morskie zwyczaje

je; wszystko w nim zdradza miłośnika stałego lądu: a jeżeli znajdujemy go wśród łowów płynącego jeziorami lub rzekami, to czyni, jak się zdaje, by się i owszem więcej od morza oddalić. Dotąd zdaleka tylko był świadkiem walk z wielorybami, widział tylko, bez osobistego niebezpieczeństwa, rekiny; ocean Spokojny zaludniająca; teraz sam słuchać będzie ryku dzikich zwierząt w dziewiczych lasach.

Kapitan *Stratfordu* przybywszy w okolice przylądka *Blanco*, który jest miejscem w Peru najbardziej na północ posuniętym, a przeciwnie stanowi południowy kraniec zatoki Gwajakwilskiej, zamierza, dla zaspokojenia potrzeb okrętu, zarzucić kotwicę przy mieście Takamie. Szczególniej to miasto budowy. Piętnaście do dwudziestu domów je składających, otacza nieprzebyty pas lasów i *jungłów*, to jest gąszczy krzaków i bambusów. Domy te wzniesione na 10 do 12 stóp nad poziom gruntu, spoczywają na mocnych palach w ziemię wbitych. Ściany ze pni bambusowych jedno na drugie układanych, a do mieszkań napowietrznych, prowadzi tylko drabina, starannie na noc odejmowana; bo bez tej ostrożności, mogłyby w nocy zawitać tygrysy i pantery, albo też mieszkańcy byłiby wystawieni na niegrzeczne odwiedziny małp, pewnego bardzo rosnącego gatunku. W ten sposób zaś zabezpieczeni osadnicy, mogą spokojnie zasypiać wśród odgłosu fal morskich i wycia dzikiego zwierza, nie troszcząc się o tę ponurą i straszną harmonią, która sama spoczynkowi ich towarzyszy.

Na wszelki wypadek, lekarz w nadziei przepędzenia dnia jednego na lądzie, bierze z sobą strzelbę, najstaranniej opatrzoną; nad spodziewanie też szczęście mu służy. Mieszkańcy Takamy chorują na biegunkę; na ich więc żądanie p. Coulter zgadza się na pozostanie jakiś czas między nimi. Po kilku dniach, dzięki przepisom lekarza, wszystko wraca do porządku, a on zbiera owoce uczynności w różnych przysmakach i znacznej kwocie gotówki. Szóstego dnia rano, p. Coulter, zapomniawszy nawet wśród zatrudnień lekarskich o nowym przeczyszczeniu strzelby, wybiera się na polowanie, z najętym przez siebie Indyaninem, zwanym Jakób, a znanym pomiędzy białymi mieszkańcami pod skróconym imieniem *Jack*, który staje się dla lekarza więcej jak najemnym przewodnikiem, a nawet towarzyszem niebezpieczeństw, bo p. Coulter znajduje w nim prawdziwego wiernego przyjaciela.

Naprzód lekarz składa w bezpieczne miejsce zarobioną kwotę; potem bierze do torby trochę żywności, a zarzuciwszy strzelbę na ramię, wychodzi w podróż z Indyaninem. Zrazu idą boczną, dość szeroką drogą, mającą po obu stronach gęstwiny, prawie nieprzebytą; tak zrosła silnemi latoroślami winnemi. Na wierzchołkach chwiejących się drzewin, ogromne

mały pokazuje im z różnemi wykrzywianiami niekształtne oblicza; czasem długie wyciągają łapy, chcąc ni by złapać za rurę strzelby, lub ściągnąć czapkę z głowy lekarza. Trochę go to wprowadzie niepokoi, ale *Jack*, przewodnik, tylko się śmieje zapewniając, że to żarty babuinów, radujących się z widoku kogoś obcego. Wreszcie zwolna silna roślinność znika, ścieżka ginie w niezmiernym borze; już nie widać pnączów (*lianes*) oplatających krzaki, lecz za to ciemne sklepienie zastaniając niebo, słabe tylko, lecz ostre jak strzała przepuszcza promienie słoneczne, na mech po ziemi rozpostarty. Węże wszelkich barw i wielkości zwolna przewijają się między ziołami, a suche liście pod niemi szeleszczą; *Jack* zapewnia znowu, że one dla własnej znajdują się tam przyjemności, tak, że lekarz stara się tylko, aby ich nogą nie nadeptać. Nagle przy wejściu do gęstego zarośla Indyanin staje, a zdala dochodzą oderwane odgłosy lwa amerykańskiego, które mieszając się z żalonym rykiem coraz się zbliżają. Indyanin powiada szybko towarzyszowi: „Patrz na mnie”, a potem milczy, rozmawiając tylko na migi. Chwila to uroczysta; oba postępują tylko z *brodą na ramieniu*, jak mówią Hiszpanie. Przed niemi jar głęboki, a na dnie kałuże, odbijające ciemną liści zieloność. Przez chwile zatrzymawszy się na brzegu, myśliwcy przysłuchują się harmonii lasu, jeżeli tak nazwać można dziką mieszaninę różnych przerażających świstów, skowyczeń i ryków. Potem odważnie w rozpadlinę zapuszczają się; ale zaledwie na dół zstępować zaczęli, okropne wycie tuż przy nich się rozlega. Indyanin rzuca się na ziemię jak długi; lekarz toż samo; znowu kilka minut oczekiwania. Wreszcie łowcy spostrzegają wypadające z końca jaru dzikie źrebię, jak wiatr pędzące, a za niemi w ogromnych skokach dwa pyszne tygrysy. Biedny zwierz wycieńczony znużeniem i strachem, pada na piersi tuż przy kryjówce strzelców. Jeden z tygrysów zbliża się czołgając, potem skokiem ze dwadzieścia stóp wynoszącym rzuca się na grzbiet koniowi, i chwyta za gardło z okropnym miauczeniem; drugi nakoło niego się przechadza, bijąc boki ogonem i wydając głuche pomrukiwania. Tygrysy zanadto ofiarą swoją zajęte, aby mogły zwietrzyć świadków ich walki. „Czyś gotów?”— „Tak.” Oto krótka rozmowa myśliwców; każdy z nich naciąga kurek strzelby, i dwa wystrzały rozlegają się pod gęstemi sklepieniami padołu. Jeden tygrys, konwulsyjnie rzucając się po piasku, wreszcie przewraca się; to kula Anglika go trafiła. Indyanin nie był tak zręczny albo tak szczęśliwy; drugi tygrys przez niego mocno skaleczony, zachowuje jednak siłę i dzikość. Pomimo przedstawień p. Coulter, *Jack* dobywa długiego noża i idzie ku zwierzowi, które raną rozjątrzone, pazurami z wściekłością ziemię ryje i tumany kurzu sypie. Indyanin bez trwogi w tę chmurę się rzuca, a lekarz dostrzega



tylko naprzemian ramię krwią zbroczone, połyski podnoszącego się i spadającego noża, jaskrawe dwóch burych oczu spojrzenia, i dwa ciała jedno na drugim przewracające się. Każdy ryk tygrysa jest dowodem nowej rany, jaką mu nóż *Jacka* zadaje; nakoniec zwyciężone zwierzę pada na miejscu, chrapie, ostatni raz drga jeszcze i kona. „To djabeł” — woła *Jack* powstając. Już wtedy zostaje tylko zdjęcie pysznych futer ze dwóch straszliwych zwierząt. Przewodnik lekarza dobrze przez dzień zarobił; polowanie przyniesie mu przynajmniej z dukata.

Już z tego cośmy przytoczyli pojąć można, jak opis p. Coulter jest zajmującym. Szczególny to podróżnik. Mało uważa i opisuje, ale bardzo wiele opowiada. Zwiedzając dalekie kraje, wystrzega się dróg zwyczajnych, omija wielkie miasta, albo się w nich jak najkrócej zatrzymuje. Wszędzie zmierza raczej do lasów, do niezwydanych jeszcze ustroni, i doświadcza tysiącznych wydarzeń, podobnych tym, któreśmy przytoczyli. Wprawdzie zanadto trochę lubi opowiadać swoje walki, bo choć w nich oddać musimy cześć jego odwadze i zręczności, jednak znajdujemy prawie zawsze tych samych przeciwników, i także same rozwiązanie. Męczą wreszcie te ciągle pochody w dziewiczych lasach, w towarzystwie tylko niedźwiedzi, tygrysów, i szakali. Chętniej też zatrzymujemy się nad ustępami, w których człowiek przeważa łowcę.

Po krótkim wypoczynku, wydarza się p. Coulter i jego przewodnikowi, nowa sposobność zadosyć uczynienia szczególnemu ich zamiłowaniu. Nad wieczorem zatrzymują się w *estancyi*, nad jakąś rzeką położonej. Właściciel tego folwarku, z Hiszpanów, lecz już z rodu mieszanego pochodzący, najlepiej ich przyjmuje. *Estancia* jakby jakie gniazdo wśród tej puszczy rzucone, bo podobnie jak domy w Takamie na palach zbudowana, jest powném dla mieszkańców schronieniem, ale ogrodzenia niedostatecznie bydlę właściciela zabezpieczają. A ponieważ spodziewane jest w nocy nawiedzenie już wytropionego drapieżnego zwierza, p. Coulter obiecuje właścicielowi pomoc chętnie przyjętą. I w tém polowaniu, równie jak w pierwszym, p. Coulter szczęśliwy. Dwa pewne strzały powalają nocnego gościa, to jest ogromnego tygrysa. Tym sposobem lekarz sownie dług gościnności płaci.

Niedługo myśli on znowu o dalszej z przewodnikiem podróży. Za pieniądze w Takamie zarobione, p. Coulter kupuje sobie łódkę dla płynienia w górę rzeki, do znacznej od *estancyi* odległości. Wybierając się rano, z pewném zadowoleniem przekonywa się, że jest o szesnaście mil od ujścia rzeki, a o dwadzieścia mil od swego okrętu. Rzeka ta pod Takamą płynąca, toż samo nosi nazwisko. Łódka szybko po wodach niezwydanych prawie jeszcze posuwa się. Po obu brzegach gęsta mgła z bujnej wycho-

dzi roślinności; lecz ją wkrótce zwrotnikowe słońce rozpędza. Anglik z Indyaninem płynąc schyleni, widzą przemijające dzikie krajobrazy. Rzeka ciągnie się pod zagajeniem z drzew gęstwiny, i zimorodek nad powierzchnią wody buja; papugi w liściach ukryte napełniają powietrze przeraźliwem świstaniem; gdzieś widać chatkę na palach, jakby miejsca dla gnieźdzących się olbrzymich błotnych ptaków; małpy na pnączach bujają się; w cieniu drzew tysiączne krzyżują się głosy, zagłuszane niekiedy rykiem tygrysa, w legowisku po śnie przeciągającego się. Po kilku godzinach téj podróży niezawsze bezpiecznej, p. Coulter poznaje, że się o sześć mil więcej od *Stratfordu* oddalił.

Tymczasem rzeka coraz się zwięzając, staje się wreszcie w jednem miejscu jakby tunelem, nakrytym sklepieniem z liści i gałęzi. Oba żeglarze na brzeg wysiadają, łódkę wyciągają na ląd, i dążą ku chatce pomiędzy drzew wyglądającej. Wychodzi przeciw nim wysoki murzyn i mówi z uśmiechem: *Cumusta, segniours*, co lekarz za dwa wyrazy hiszpańskie poczytując, tak tłumaczy: Jak się macie panowie? Podróżnicy znajdują w chatce murzyna serdeczną gościnność;—wszyscy razem umawiają się na zrobienie obławy w okolicznych lasach. Lecz pomijamy już szczegóły téj obławy, w której niezmordowani strzelcy ubijają tygrysa i dwóch danieli. Z powrotem do chatki, przy Homerycznej wieczerzy, murzyn, Indyanin, i biały, każdy z nich pierwotwór trzech głównych pokoleń ludzkich, przesadzają się w zabawie opowiadania sobie wzajemnie swoich wypadków. Ale zwierzenia się obu towarzyszków lekarza, niebardzo budujące. Murzyn, dawniej niewolnik w Peru, odzyskał wolność przez zamordowanie swego pana. Zaś Indyanin *Jack* należy do jednego z owych strasznych dzikich pokoleń wyższej Kalifornii, co rozpościerając zniszczenie od gór Skalistych aż do oceanu Spokojnego, nigdy zbrojnego toporu w ziemię nie składa, wojując jużto nad brzegami Kolumbii, lub Buenawentury, już téż niekiedy aż przy ujściu Czerwonej rzeki. Nieraz *Jack* w tułackich wyprawach, wystawiony był na ogień amerykańskich strzelców; a choć o tych spotkaniach z umiarkowaniem tylko mówi, łatwo jednak z powieści jego wnosić można, że nieprzyjaciołom zuhowato się stawiał. Przyznaje wprawdzie, że niekiedy czupryny z czaszek białych ludzi zdzierał; ale zawsze jako do téj ostateczności przymuszony, różne łagodzące przytacza okoliczności. Szczególny tylko wypadek zmusił na czas jakiś, to awanturnicze istnienie do poddania się pod jarzmo karności. Przybywszy na amerykański okręt, połowem wielorybów trudniący się, a przy porcie w San-Francisco stojący, dla wymiany futer, za proch i arak; *Jack* zatrzymany został przez kapitana *Yankee*, potrzebującego gwałtownie uzu-

pełnić osadę, ucieczką majtków pomniejszoną. Tak tedy chcąc nie chcąc, opryszek borowy na majtka zmienił się. Po dłuższej a bezowocnej żegludze, wysadzono go nareszcie w Takamie, i tamto lekarzowi za przewodnika nastreczył się. Żałował tylko, że uchybił sposobności popisania się ze swą zręcznością skalpowania na czaszce kapitana *Yankee*.

Wkrótce lekarz i *Jack* rozłączają się z gospodarzem, i dalszą wśród podobnych jak z początku wydarzeń, wycieczkę odbywają. Te długie pochody, jużto po zaroślach olbrzymich drzew, gdzie igrają małpy lub świszczą ary (papugi), jużto po bagnach zapelnionych węzami i alligatorami; te nocne w puszczech przystanki, te godziny snu ciągle przerywanego skomleniem szakałów, zdala jakby granie psów gończych odzywającem się: sąto wszystko obrazy, pełne bez zaprzeczenia wdzięku; ale, powtórzyć należy, zbyt drobiazgowo, temi samemi szczegółami, przez angielskiego podróżnika napelnione. Przybywszy nareszcie do wioski nazwiskiem Tolo, p. Coulter zamyśla o powrocie na okręt. Jednak zmuszony jest kilka dni w Tolo pozostać. Mieszkańcy tak są szczęśliwi z posiadania europejskiego lekarza, że wszystkich napada szczególna ochota puszczania krwi. Zaledwie p. Coulter zadosyć uczynić może żądaniom tak nagle otwartéj praktyki, a chociaż z wszelką przyzwoitością lancetu używa, znakomicie jednak kieskę napelnia. Ułatwiwszy się wreszcie z mieszkańcami w Tolo, rusza w drogę do Takamy; ale i tu nie koniec jego wydarzeń. Jakiś oddział rozpuszczonych żołnierzy przebiega okolice, i rabuje pojedynczych podróżników; lekarz z *Jackiem* uzbrają się na nich, i w spotkaniu się są równie szczęśliwi, jak w zajściach z tygrysami i szakalami. Rozbójnicy ostrzej przyjęci, jak się tego spodziewali, zmuszeni są do oddania łupów, a w kilka dni po téj utarczce, nieustraszeni wędrowcy, wróciwszy zdrowi i cali, spokojnie przechadzają się po pomoście angielskiego statku.

## II. *Zatoka San-Francisco.*

Opuszczając brzegi Takamy, *Stratford* zmierza ku Kalifornii. Po kilku dniach żeglugi zatrzymuje się na wyspie Kokosów, leżącej pod 5° 30' szerokości północnej, i 86° 30' długości zachodniej. Tu szczególne wydarzenie spotyka p. Coulter i nieodłącznego jego czerwono-skórnego przyjaciela. W czasie nowéj na lądzie wycieczki, deszcz zmusza ich do schronienia się wśród skał, ozdobnie choć bez porządku skupionych, a tworzących zupełne przykrycie przez nachylenie się i zetknięcie wierzchołków. Wychodząc z tego przesmyku, niespodziewany a wspaniały

uderza ich widok. U stóp ich rozciąga się obszerna dolina, a wśród zielonego jęj okręgu, jasne, przezroczyste i spokojne wody jeziora, odbijają przelotne pasy chmur deszczowych. Wokoło zaś miłego i zachwycającego krajobrazu, widać góry lasem obrosłe. Zstąpiwszy aż nad brzeg jeziora, wędrowcy posilają się skromnym zapasem z torby dobytym, i uwielbiają dziką piękność miejsca, nigdy jak się zdaje stopą ludzką nie nawiedzanego; lecz właśnie w chwili, gdy lekarz cieszy się z oglądania wyspy zupełnie pustej, niespodziewany świadek, a do tego człowiek, obraz ten ożywia. Przybylec w koszuli, spodniach wełnianych czerwonych, kamaszach łosiowych i czapce futrzanej, zdąża ponad jeziorem ku podróżnikom. To i ubiór i postać Robinsona *Crusoe*. Nieznajomy wprawnie po angielsku odzywa się. Poważnym i uroczystym głosem wita grzecznie wędrowców i zaprasza z sobą. Lekarz chętnie to serdecznie przyjmuje wezwanie, a po niedługim pochodzie, wszyscy przybywają do chatki, ukrytej w najciemniejszym doliny zakątku. W niej znajdują łoża z suchych liści, skórami koziemi przykryte, stół i stołki proste, narzędzia ciesielskie i broń palną. Po uczęstowaniu gości smacznym zrazem dziczej pieczeni, gospodarz nazwiskiem Stevenson opowiada, że przy schyłku handlowego zawodu z różnym szczęściem prowadzonego, burza wyrzuciła go na tę wyspę wraz z kilku towarzyszami nieszczęścia, między którymi znajdowali się mężczyźni i kobiety. Mizantrop jakiegokolwiek narodu byłby poprzestał na odosobnieniu, podzielanym z dwoma lub trzema rodzinami, lecz mizantrop Anglik więcej wymaga. Dlatego Stevenson postanowił żyć jak najdalej od reszty ocalonych z rozbitego okrętu. Ci zaś, wszyscy Hiszpanie, założyli osadę o trzy mile ztamtąd. P. Coulter i do nich się udawszy, znajduje wygnańców zupełnie szczęśliwych i nie myślących bynajmniej o opuszczeniu żyznej ziemi, gdzie ich burza morska porzuciła. W dalszych dopiero podróżach p. Coulter nie bez zadziwienia dowiadyuje się, że odludek Stevenson powrócił do uczuć bardziej towarzyskich, a nie mogąc dłużej pozostać wiernym myśli przekształcenia się na nowego Robinsona, osiadł w Lima, gdzie oddawszy się na nowo dawnym zatrudnieniom kupieckim, doskonale prowadzi interesa.

Ten wypadek na wyspie Kokosów, jest jedynym ważniejszym zdarzeniem w ciągu podróży lekarza z Takamy do zatoki San - Francisco. Nie należy jednak pominąć rozłączenia się jego z wiernym *Jack'iem*, bo gdy okręt przepływał około Monterey, nie mógł on oprzeć się chęci powrócenia do dawnego wędrownego życia wśród meksykańskich lasów, i wskoczywszy w łódkę, po serdecznym uściśnieniu ręki lekarza, wysiadł na rodzinną dolinę. Nakoniec *Stratford* zarzuca kotwicę w ogromnej zatoce San-Francisco, przed *missyą* zwaną *Yerba-Buena* (dobre ziele)

z przyczyny otaczających ją bogatych i tłustych pastwisk. P. Coulter cierpiąc na reumatyzm, którego się nabawił na pomoście *Stratfordu*, chętnie przyjmuje gościnę u kapłana missyi. Kapitan zostawując mu obfity zapas prochu, kul i śrutu, umawia się z nim, iż mają się zjechać za trzy miesiące w Tahiti. Pierwszém, jak się łatwo domyśleć, staraniem p. Coultera jest wyleczenie się z reumatyzmu, a do tego używa silnego i skutecznego dawnych Azteków sposobu, to jest łaźni parowej, wziętej w pewnym rodzaju pieca, zwanego *temaskal* lub *termaskal* (1).

Kraj téż w którym lekarz przychylną znajduje gościnność, wyborne przedstawia dla wychodzącego ze słabości rozrywki; a teraz, gdy tak głośne jest świeże odkrycie kopalni złota nad żyznemi brzegami rzeki Sacramento, nieodległej od San-Francisco, szczegóły o tej ciekawej części wybrzeżów meksykańskich, podwójnej niejako nabierają wartości. Zanim Kalifornia stała się sławną bogactwami mineralnemi, słuszny należał jej się rozgłos dla zasobów rolniczych, starannie i umiejętnie przez misjonarzy rozwijanych. Pięć missyj otacza zatokę San-Francisco, to jest missye: Dolores, Santa-Clara, San-Jose, San-Francisco i San-Rafael. Nazywają *missyą* ogromne budowle, urządzone do wspólnego pożycia, a to w ten sposób, iż w jednóm zagrodzeniu ciągnie się długi szereg komórek, z których każda ma drzwi, okno i wedle zwyczaju w krajach gorących, wystawę na słupach. Komórki te tak są liczne, że pomieścić mogą tysiąc do tysiąca sześciuset rodzin. W tych pięciu missyach liczą blisko piętnaście tysięcy Indyan, i dwustu lub trzystu mieszkańców białych.

Chów bydła doszedł w missyach meksykańskich do znakomitych wypadków. Konie i woły obficie się tam znajdują. Jedna sztuka kosztuje zwyczajnie 5 do 6 piastrow (45 do 50 kilku złotych); cena owcy była zwykle pół piastra (przeszło 4 złote). Nie można zaprzeczyć, że dla utrwalenia tego pomyślnego bytu, potrzeba było wielkiego poświęcenia i nieustraszonej wytrwałości Jezuitów, założycieli tych osad. W pierwszym okresie założenia, misjonarze poprzestawali na prostém ogrodzeniu, małym domku i skromnej kapliczce. Nieraz dzikie pokolenia, w pobliżności mieszkające lub na łowy przybywające, niszczyły powstające zakłady. Jezuita nie zrażając się, trwali po przejściu burzy w opowiadaniu słów apostoelskich, i w usiłowaniach szukania codziennego pożywienia w uprawianych własnemi rękoma gruntach, w okolicznych jeziorach i lasach. Z czasem Indyanie zaczęli ich szanować, uwielbiając tak odważną wytrwa-

(1) Jestto budka z chrustu wystawiona, ostrokągowato zakończona i grubo gliną pokryta. Nie od rzeczy tu zamieścić uwagę, że wyraz *temaskal* lub *termaskal* nie jest jedynym wyrazem języka Indo-meksykańskiego, mającym pochodzenie greckie: toż samo znajdujemy w wyrazie *teokali* (dom boży, świątynia).

łość. Lecz gdy missyjonarze mogli już być spokojniejsi od tych dzikich pokoleń, zaczęły ich znowu napadać kupy europejskich awanturników. Zbiegli majtkowie, rozpuszczeni żołnierze, z rozboju żyjący, przedsiębrali często wyprawy na Jezuickie mieszkania. Z niezłomowaniem też mężstwem i cierpliwością, pierwsi missyjonarze wytrzymywali najsroższe próby wśród niebezpieczeństw i walk, coraz odnawiających się, wśród codzienną i ciężką pracę.

Chociaż missye przy tylu przeszkodach nie wzrastały nagle, jednak się utrzymywały; a i to już nie małą było rzeczą. Gdy znaczna przestrzeń kraju została wykarczowaną, potrzeba było zwolenników przywabić. Po wielu namysłach, Jezuici dość zręczny obrali sposób. Starali się schwytac kilku dzikich Indyan, siłą do missyi ich sprowadzali, a po niedługim przytrzymaniu i dobrze się z nimi obchodząc, napowrót puszczali. Jednak w tém nowego rodzaju polowaniu, ponęta szczególna była potrzebną. Sprowadzono więc do missyi w północnej Kalifornii, trzydziestu do czterdziestu Indyan już dawniej nawróconych, i w kwitnących missyach części południowej osiedlonych. Za zebraniem znacznej liczby niewolników, połączono ich z ochrzczonei Indyanami. Zrazu jeńcy sądząc, że missyjonarze będą się na nich mścić krwawo za dawne najazdy, śmiertelnie zaczęli zawodzić śpiewy; lecz z wielkim zadziwieniem dostrzegali, że są owszem przedmiotem dobrotliwej i ojcowskiej przychylności. Zamiast stosu lub szubienicy, widzieli więzy kruszone, słyszeli słowa pokoju, dostawali obfitą żywność. Wreszcie jednoplemienni bracia, mówili im z zapalem o chrześcijaństwie i jego apostołach. Po kilku dniach wygód o jakich nawet wyobrażenia nie mieli, zostawiano im wolność opuszczenia missyi, i ojcowie sami wrota otwierając, z przyjaznym wyprawiali ich podarunkiem. Zpomiedzy tak odsyłanych Indyan, jedni z radością wprawdzie wracali do tułackiego życia, tylu uroczemi wypadkami okupowanego; lecz znajdowali się i tacy, co nie mogąc zapomnieć słodkiej niewoli, wracali dobrowolnie po kilku dniach w polu spędzonych, i prosili ojców o gościnne przyjęcie. Wkrótce zagrody missyi stawały się zbyt szczupłemi, i tymto sposobem wzrosły już nagle do stopnia pomysłności, na jakim je dziś widzimy.

Jeżeli zaś zaszczyt takiego rozwinięcia w znacznej części Jezuitom przypada, to sprawiedliwe znowu przyznać i udzielić należy pochwały szczęśliwym usiłowaniom, do dziś dnia błogi ten stan utrzymującym. Ci, co zblizka missye meksykańskie widzieli, poświadczyć mogą, jak dobroczynne i płodne są skutki, zadziwiającego zastosowania teokratycznego rządu, wśród naszego XIXgo wieku. Słusznie mówimy, rządu, bo w oczach Indyan, missyjonarze posiadają prawdziwą dyktatorską władzę. Indya-

nin w missyi porzucił zupełnie dumę i ostrość rodu swego; z dawniej me-  
xykańskiej cywilizacji zachował tylko: zewnętrzność malowniczą, bogaty  
ubiór i naiwne podania. Nic wyrównać nie może potulności, spokojowi  
tęj ludności, z pracowników i nowo nawróconych złożonej. Srogie dzie-  
cię łąk dzikich, po kilku tygodniach w zagrodzie missyi spędzonych, staje  
się uczniem czekającym na znak mistrza do modlitwy, do pracy, do rozry-  
wki. Czasem nawet, wyznać trzeba, mistrz władzy swój nadużywa,  
i z batem w rękę prowadzi wychowañców do kościoła lub w pole. Dzi-  
wny to widok w niedzielę, gdy przed godziną nabożeństwa, jeden z ojców  
na mule siedząc, pędzi przed sobą tłum Indyan, a batem którym ciągle  
wywija, dosięgnie nieraz nogi lub plecy opóźniających się, wśród po-  
wszechnych śmiechów. Po niedzielnym nabożeństwie, missye jeszcze  
ciekawsze przedstawiają obrazy. W tym dniu zdaje się, że życie w dzi-  
kości napowrót mieszkańców ogarnia, bo Indyanie ze wszelką wolnością  
używać mogą odwiecznych swego rodu rozrywek. Wśród zagłuszających  
wrzasków wyścigi konne, walki byków, tańce wojenne, jedne po drugich  
następują; Indyanie najbogatsze przywdziewają ubiory. Wstęgi rzemien-  
ne świetnymi przyozdobione piórami, otaczają i przytrzymują długie kę-  
dziory włosów; srebrna przepaska błyszczy na czole; golenie w sztuki da-  
nielój skóry obwinęte; po barkach płaszcz sukieny, pstro ubarwiony, spły-  
wa. Szczególniej pięknie wydają się konno, uzbrojeni strzelbą i wojenną  
dzidą, wywijający z dziką radością maczugą lub nożem. Wtedy trudno  
w zuchwałych rycerzach poznać owych lękliwych neofitów, co zrana je-  
szcze drżeli przed słowem lub skinieniem słabego starca. A wszakże  
nazajutrz wszystko do dawnego wraca porządku, i przykre powinności  
pracownika krajów cywilizowanych, zastępują przez cały tydzień ucie-  
chy pierwiastkowego dzikich życia. Karności tej wprowadzić nie można  
przedstawić za ostateczny wzór dla marzących o wytepieniu w Nowym-  
Świecie ostatnich barbarzyństwa zabytków; godzi się jednak poczytać ją  
za postęp, za przygotowanie do lepszego stanu, mniej wolność ludzką  
krępującego, a to bez obrażenia prawdziwych celów chrześcijańskiej  
oświaty. Wreszcie dzieło Jezuitów, jakkolwiek niedoskonałe, przedsta-  
wiło wypadki i dla Europy i dla Meksyku godne pamięci; przez nich wpływ  
naszych obyczajów dosięgnął najdziksze części Nowej Hiszpanii, koczujące  
pokolenia zamieniły się na ludność osiedloną, pracowitą, puste krainy  
okryte są użytecznymi zakładami, a rolnictwo pobudziło na długo niewy-  
czerpane źródła pomyślności.

Stan ten kwitnący, skutek tylko rolniczej uprawy, obiecuje dzisiaj  
większe jeszcze Kalifornii rozwinięcie się przez niespodziewane odkrycie  
licznych żył złotodajnych, których rozgłos, ożywił nawet w krajach euro-

pejskich zniechęcony zkądną ruch handlowy. Nie obejdzie się pewnie bez zawodów dla wychodców, wabionych ze wszystkich stron świata do tego nowego *Dorado*; lecz gdy się zastanowimy nad tém, że co się teraz niewłaściwie kopalniami złota nad brzegami rzeki *Sacramento*, i w dolinach Monterey zowie, jest rzeczywiście tylko napływem z gór potokami naniesionym i po powierzchni rozproszonym, jakież budować możemy nadzieje na wynalezieniu i użytkowaniu prawdziwych kopalni, tak świetnie w próbkach okazujących się! Prócz tego, poszukiwacze złota znajdują zawsze w razie zawodu obfite wynagrodzenie w rolnictwie, położoném w Kalifornii w tak korzystnych ze wszech niar okolicznościach. Inni osadnicy znajdują w handlu równie zyskowne zajęcie. Obszerna przystań San-Francisco, stanie się pewnie składem i główném tranzytowém miejscem między oceanem Chińskim i Indyjskim, a wewnątrz Ameryki. W każdym więc razie dzisiejszy do Kalifornii zapał, choćby niezupełnie był uzasadniony, sprowadzi dla kraju tego stan pomysłny, z korzyścią dla osiedlającej się tam ludności, a to bądź przez dobywanie kopalni, bądź przez podniesienie rolnictwa, bądź wreszcie przez zakładanie miejsc handlowych.

Chociaż p. Coulter cieszy się przyjemną missyonarzy gościnnością, wkrótce jednak to życie zbyt jednostajne, zbyt spokojne, przykrzeć mu się zaczyna. Bo wokoło zagród missyi, bogate a wspaniałe Nowego Świata przyrodzenie, rozpościera przepych najponętniejszy. Wybrzeża Kalifornii w okolicach San-Francisco, okryte są pysznymi i pełnymi zwierzyni lasami. Podróżnik spotykać może w cieniu wysokich sosen, pomiędzy leszczyną i wonną magnolią, to szare papugi, to cietrzewie, to kury gwinejskie; jeziora zapelnione łabędziami, gęsiami i kaczkami dzikimi, a odbijające się co noc o uszy lekarza odległe ryki goszczących w sąsiednich górach jaguarów, pumów (lwów) i szarych niedźwiedzi, zdają się go drażnić i wyraźnie wyzywać. I trafunkowe téż zdarzenie doskonale dla p. Coulter wypada, bo przybywa właśnie do missyi jeden z najzawołanych myśliwców w Kalifornii, a lekarz tylko na doświadczonego czekał przewodnika. Jestto także jeden z najciekawszych pierwotworów owego społeczeństwa, na wpół oświeconego, na wpół dzikiego, łąki amerykańskie zaludniającego; żyje on wśród tysiącznych utrudzeń i niebezpieczeństw, z poszukiwania i handlu drogiemi futrami. Po kilku miesiącach w puszczy strawionych, strzelcy amerykańscy lub kanadyjscy przybywają do jednego z portów kalifornijskich dla sprzedaży zapasu futer. W ciągłych wędrówkach, muszą się oni bronić jużto od niedźwiedzi i tygrysów, jużto od koczujących Indyan, już wreszcie od licznych w całym Meksyku rozbójników. Dziś jeszcze te zgraje *condottier'ów*, co nieraz niszczyły po-



czątkowe zakłady missyonarzy, są równie w Kalifornii straszne, jak w wieku XVII. Często myśliwiec kanadyjski z którym p. Coulter znajomość zabiera, miał do czynienia z temi zbójcami; a opowiadane przez niego wydarzenia, pełne są różnorodnego i dziwnego zajęcia. I tak, razu jednego na dolinie w wyższej Kalifornii, stawić musiał czoło sześciu takim napastnikom, i poświstując spokojnie jakąś starą piosnkę normandzką, wszystkich sześciu sprzątnął. Dostatecznie zaś znani są tacy nieustraszeni wędrowcy, aby powieści podobnych za przesadzone nie uważać.

Z tymto nowym przewodnikiem, lekarz wybiera się dla zwiedzenia po myśliwsku borów i gór wokoło missyi leżących. Tym razem wziął się szczególnie na szarego niedźwiedzia, co na tamecznych łąkach jest najstraszniejszą zwierzyną; bo w istocie szary niedźwiedź przewyższa w siłę żubra, a w zajadłości tygrysa. Najwprawniejsi strzelcy nie mogą ani zręczności, ani zimnej krwi swojej ufać przed tym potwornym przeciwnikiem, co po trzykrotnym strzale jeszcze straszniejszy często rzuca się, a kule jak grudki śniegu otrząsa. Dla Indianina zwycięstwo nad szarym niedźwiedziem jest najpyszniejszą chlubą, a jego pazury jak naszyjnik nawleczone, zdobyczą najgodniejszą zazdrości. Takięto zdobyczy p. Coulter pragnie, i wkrótce też wydarza mu się sposobność zaspokojenia tej żądzy ze wszystkiemi już oswojonego, i zwyczajnemi wypadkami znużonego myśliwca.

P. Coulter i jego przewodnik przybywają do stóp góry San-Bernardino, leżącej około 34° szerokości północnej. Noc nadchodzi, zabiierają się właśnie do wytchnienia pod gołym niebem, nie spodziewając się, że nocny wypoczynek nagle przerwany będzie. Jeszcze się pali ogień przy którym udziec zwierzyny piekli, gdy spostrzegają przy tém świetle straszliwą paszczę szarego niedźwiedzia, o 30 kroków z pomiędzy dwóch skał wychylającego się i ku nim dążącego. Zrazu pozostaje tylko strzelcom ucieczka, a skoro się cofnęli, niedźwiedź z kryjówki wolno wychodzi i stąpa ku ogniskowi; bo trzeba wiedzieć, że niedźwiedź szary nie unika blasku płomienia, jak inne dzikie zwierzęta. Widać zresztą, że ten jest głodem nagłony, a gdy mu resztki zwierzyny przy główkach znalezione nie wystarczają, idzie wprost na strzelców w pewnej odległości stojących. Wprawdzie towarzysz p. Coulter dlatego tylko odwrót wojenny wykonał, aby nie zawstydzić zbytecznie Anglika, który poprostu pierwszy zaczął uciekać; ale i ten w obec niebezpieczeństwa całą odzyskał odwagę. „Dla mnie pierwszy strzał”, rzecze myśliwiec amerykański. Ogromny zwierz trafiony gdzieś w głowę, bo ją wstrząsa, ryk w lesie się rozlega, i krew z rany bucha. Lekarz ręce zacięra z radości, że ugodzony nieprzyjaciel, lada chwila zapewne padnie. „Na cóż czekasz z twoim strzałem“

odzywa się Amerykanin, prędkiej a nie chybiaj!” Lekarz przykłęka, aby lepiej wymierzyć, ale towarzysz jego tylko ramionami ruszył, bo kula za ledwie tułowa dosięgła. Ogień więc nie powinien ustawać, i w miarę jak jeden myśliwiec nabija, drugi strzela. Tak prawie przez milę gonią niedźwiedzia; lecz on choć wielu kulami postrzelany, wciąż przed nie- mi ciągnie. Wreszcie po ostatniem zawyciu pod 15tą pada kulą; maczugą go dobijają. „Widzę, kochany niedźwiadku, woła kanadyjski strzelec druzgocząc mu czaszkę, że z całego twego rodu, ze wszystkich których kiedy miałem na celu, jesteś najzaciętszym i najuporczywszym zuchem.”

Tymczasem nadchodzi chwila pożegnania lasów, zarośli i wszelkich ich gości. Zbliża się czas odjazdu do Tahiti, gdzie lekarz z kapitanem *Stratfordu* ma się połączyć. W ostatniej tedy części *Odyssei* p. Coulter, wspomnimy tylko o miejscach głównie uwagi godnych, to jest o wyspach *Kingsmill* i o *Nowej Gwinei*.

### III. *Nowa Gwinea.*

W przejeździe z *San-Francisco* w Kalifornii, do wysp *Kingsmill* (pod 1° 25' szerokości południowej, i 174° 50' długości wschodniej), nie wydarza się nic zajmującego. Bryg zwany *Hound*, na którym p. Coulter do Tahiti płynie, odwiedza główne wyspy tej gromady, jakoto wyspy: *Taratarji*, *Mankii*, *Nową Irlandyą*. Dopiero przy wylądowaniu na wyspę *Nowej-Brytanii*, ciekawe następuje spotkanie. Znowu jakiś *Robinson*, godny brat mizantropa z wyspy *Kokosów*, znajduje się na niej, a lekarz opisuje nam jego historią, podobną zapewne do owych długich opowiadań, pełnych dziwnych wypadków, jakie nieraz są przedmiotem rozmów i zabawy angielskich majtków. *James Selwin* (tak się nazywa mieszkaniec *Nowej-Brytanii*), wsiał był na jeden z tych okrętów, co jak się zdaje, we wszystkich wyprawach zawistnym jakimś losem są ścigane. W ciągu długiej żeglugi po morzach *Oceanii*, bryg *Thomas* napotykał tylko niegościnne krainy; w każdym prawie przystanku wyspiarze osadę mu dziesiątkowali; uakoniec nawałnicą rzucony został na jakąś wyspę, przyległą *Nowej-Brytanii*. Zrazu mieszkańcy wyspy z troskliwą skwapliwością przyjęli jedenaście osób z rozbicia ocalonych, między którymi znajdował się kapitan, dozorca ładunku i sam *Selwin*, tak dalece, że dozorca dostąpił zaszczytu poślubienia córki naczelnika wyspy; ale w chwili, gdy się właśnie zajmowali budową statku z resztek brygu, ośmiu ludzi zostało nagle zabitych i prawie natychmiast zjedzonych. Napróżno

mieszkańcy wyspy starali się pozostałych zaspokoić; kapitan, dozorca i Selwin, co prędkiej na wykończonym uciekli statku, w nadziei znalezienia dla siebie i rodzin swoich pewniejszego na jakiej przyległej wyspie schronienia; dozorca uległ wkrótce pod ciężarem czarnego smutku; straszliwy rekin pożarł kapitana. Sam tylko Selwin z żoną i z wdową po nieszczęśliwym dozorczy pozostał. Taka jest historia, opowiedziana przez biednego majtka doktorowi *Trainer*, kapitanowi brygu *Hound*. Ten po kilku dniach pobytu na wyspie, ofiaruje Selwinowi odwiezienie go do Europy. Jednakże już on odwykł od życia w krajach cywilizowanych, chociaż do życia dzikiego jeszcze zupełnie nie przyuczony: ze smutkiem więc żegna pierwszych swoich współkrajowców, od lat siedmiu napotkanych, miotany naprzemian to boleścią z ich odjazdu, to znowu niechęcią opuszczenia dziwnych przyzwyczajzeń, już prawie w drugą naturę zmienionych. Takie to smutne sprzeczności serce ludzkie przedstawia. Sam tylko naród angielski pomnaża jeszcze codziennie przykłady owych licznych nieustraszonych wędrowników, których Robinson Daniela Foe jest pierwowzornym wyobrazicielem. Pan Coulter dwa już takie dziwne zjawiska napotkał, Stevensona i Jamesa Selwina; niedługo i trzeci taki obraz ujrzymy. We wszystkich zakątkach kuli ziemskiej, znaleźć można takich zbiegłych odludków, przez ród angielski porzucanych, a widać w nich taką żądzę do odosobnienia się, jak w kupcach tegoż narodu do zawiązywania coraz nowych stosunków. Ci myślą tylko jakie z podobnych sobie korzyści ciągnąć, tamci jak ich unikać.

Z wysp Kingsmill, *Hound* kieruje się ku Tahiti. Pomijając długie obroty jego pomiędzy wyspami polinezyjskimi, przychodzimy zaraz do najbardziej dramatycznego ustępu całej podróży, to jest do wylądowania kapitana *Trainer* i lekarza na Nową Gwineę. Tak zowie się dość znaczna wyspa, na północ Australii położona, i od niej tylko cieśniną Torresa oddzielona. Podjechawszy pod tę wyspę, *Hound* zarzuca kotwicę w szerokiej zatoce, u stóp wulkanów, rozpościerających co noc po wodach morskich czerwone, ponure światło. Niedaleko od miejsca, gdzie okręt stanął, widać ujście znacznej rzeki, z brzegami najbujniejszą roślinnością pokrytymi. Morskie brzegi uzbrojone szeregiem skał podwodnych, bieleją zbiorami piany, ciągłym uderzaniem wałów tworzonej. Ziemia ta zdaje się pustą, jakby dopiero co z rąk Stworzyciela wyszła. Kapitan, lekarz i czterech innych ludzi, uzbrojeni od stóp do głów, wybrawszy się na zwiedzenie wyspy, postępują ku wzgórzom o kilka mil od rzeki odległym. Nigdzie nie widać ludzkiego śladu. Sploty węzów, gromady ogromnych szczurów przechodem podróżynych wcale nieploszzone, dzikie koty patrzące na nich iskrzącymi oczami z wierzchołków drzew, potworne igua-

ny na słońcu igrające, czarne kaczki nad bagnami trzepoczące się, szare sokoły, papugi tysiącznej barwy, rajskie ptaki w przelocie jakby złote blaszki na błękitie nieba migające: oto jedyna różnaitość tego wspaniałego a spokojnego krajobrazu. Lecz wkrótce po szczątkach roślinnych, bliżej morza okrywających brzegi rzeki, następują nierówne nasypy, porozrzucane skały, potoki skrzepłej lawy. Wśród téj smętnej pustyni, wędrowcy przy zachodzie słońca zabierają się do odpoczynku, słuchając tylko ponurych odgłosów ptastwa nocnego i szelestu niedoperzów, co w ukosnym i ciężkim polocie, krzyżują się z gromadami komarów. Równy ze dniem, bufięć ciągnie dalej, lecz ostrożniej jak dnia poprzedniego, bo liczne ślady stóp ludzkich dowodzą, że wyspa jest zamieszkałą. I w istocie wkrótce po tém odkryciu, w chwili właśnie gdy kapitan z towarzyszami skromnie posilają się kawałem dziczego mięsa z przyprawą z bananasów upieczonego, gość niespodziewany obok nich siada. Człowiek to olbrzymiego wzrostu, płachtę tylko za ubiór noszący, dzidą uzbrojony; za nim dwa potężne brytany; a choć strój dziwaczny, i długie a najeżone kędziory włosów na barki mu spływają, jednak z białości skóry i rysów poznać można Europejczyka. Piérwszém poruszeniem kapitana i jego towarzyszy jest schwytnie za broń, lecz wstrzymują się, gdy nieznajomy przemawia do nich łamanym angielskim językiem. „Jestem z rodu Irlandczyka, los zrobił mnie królem jednego z najznakomitszych pokoleń ludu Horaforasów. Dziękujcie Bogu żeście mnie spotkali; bo moi wojownicy ztąd blisko, a o milę dalej nie uszlibyście ich strzał. Teraz zaś już jesteście pod moją strażą, poddani moi będą was szanować, jako królewskich przyjaciół. Pozwólcie tylko niech téj pieczeni skosztuję, a idąc dalej opowiem wam moją historią.” To rzekłszy, król Horaforasów zabięra się do ogromnego zraza pieczonęj szynki, nieprzeszkodzony od współbiedniaków, bo im nie przystoi bronić udziału takiemu gościowi, chociaż nie mały w zapasach czyni uszczerbek. Opowiadanie króla Horaforasów można w tych krótkich zawrzęć wyrazach. Zanim został królem dzikiego w Nowęj Gwinei pokolenia, człowiek ten nazwiskiem Terencyusz Connel, bardzo nieporządne prowadził życie. Urodzony w hrabstwie Kerry w Irlandyi, zrazu żołnięrz, potem dezenter, późnięj należący do rzędu owych *kawalerów północy*, co postrach po Irlandyi roznosili, w zupełności dopełnił warunków potrzebnych do wywiezienia go do Botany-Bay; ale niedługo w téj karnęj osadzie Australii zostawał, gdyż ułożywszy z jedenastu towarzyszami zamiar ucieczki, ze skutkiem go wykonał. Schronieniem jego stała się Nowa-Gwinea, gdzie sam jeden ze wszystkich jedenastu towarzyszy zostawszy, dostał się naprzód do niewoli Horaforasów; lecz wkrótce, za uznaniem jego wyższości, królem ich był ogłoszo-

ny. Takito człowiek ofiaruje w państwie swoim gościnność, oddziałowi przez kapitana Trainer dowodzonemu. Przed udzieleniem odpowiedzi, Anglicy z niedowierzaniem wzajemnie na siebie spoglądają; ale noc się zbliża, a horaforascy wojownicy niedaleko. Zresztą Terencyusz Connel ostrzega ich, że kraj wcale nie jest bezpieczny i że właśnie spodziewają się napadu nieprzyjacielskiego pokolenia Papuasów. Te powody skłaniają podróżnych do przyjęcia opieki Irlandczyka, i do udania się ku jego obozowi.

Ruszają więc wszyscy w pochód, przyspieszając kroku, bo ostatnie słońca promienie, już tylko niepewne światło pomiędzy liści rzucają. Po przejściu gęstego lasu, zaczynają się podróżni przekonywać o prawdziwości doniesień Connela. Tu i owdzie wojownicy zpoza drzew wychylając się, zbliżają się do wodza, i na czynione zapytania, odpowiedzi otrzymują. Connel wskazuje towarzyszom inne posterunki na wierzchołkach drzew poosadzone, dla rozpoznania, i dokładnego, póki jeszcze dzień, uważania okolic. A że Anglicy postępują właśnie drogą, którą iść zamierzali, widoczna więc, że strzelby na nichy im się nie były przydały przeciw nieprzyjaciołom, co jak węże w ziołach się kryją. Lekarz też dziękuje Bogu za spotkanie wygnańca z Botany-Bay.

Noc już zapadła, a po godzinnym pochodzie, Anglicy z przewodnikiem nad brzeg małej rzeczki przybywają. Niezgrabny przewóz, z drągów gałązkami przeplatanych złożony, a przejście ułatwiający, jest wynalazkiem Irlandczyka, i największy w oczach poddanych zaszczyt mu przynosi. Niedaleko od rzeki, wznosi się w cieniu szeroki wzgórek ze szczytem spłaszczonym, okrytym drzewami, rosnącemi w kształcie parasoli. Tamto obozuje pokolenie białego dowódcy. Porozkładane ogniska wskazują drogę, a przy ich niepewnym blasku, Anglicy rozpoznają wkrótce, że chaty Horaforasów, jakby jakie ptasze gniazda, pomiędzy gałęziami drzew są pobudowane. U stóp jednego z najgrubszych pni, zatrzymując się Connel, rzecze do towarzyszków: „Otóż u mnie jesteście.” Na silne jego świśnienie, inae podobne odpowiadają świsty, i wkrótce porozpalane pochodnie błyszczą na wierzchołku każdego drzewa, tworzą wśród boru wspańniętą iluminacją. Na rozkaz wodza, wypraszają mieszkańców z dwóch domów dla pomieszczenia sześciu Anglików, a po obfitej wieczerzy, irlandzki dowódzca z grzeczną wyrozumiałością zostawia gości samych, dla dania im czasu do potrzebnego nader wypoczynku.

Nazajutrz, skoro świt, lekarz z gniazda wyszedłszy, zwiedza z Connelem i kapitanem Trainer tę szczególną wioskę. Na jednym brzegu wzgórza, wznoszą się chaty Horaforasów; widać tam grono rycerzy, wojennemi malowidłami ozdobionych, bardzo ożywioną zajętych rozmową. Za zbliże-

niem się wodza z gośćmi, koło z uszanowaniem rozstępując się, odkrywa leżącego pośrodku trupa, obcego pokoleniu Connela wojownika, jak to poznać łatwo z odmiennych białych malowideł. Ciało jego czterema przeszły strzałami, przywiązane jest do długiego drąga, który widocznie do przyniesienia go posłużył, a który niezłe z kształtu rożen przypomina. Po wypytaniu się ludzi trupa otaczających, Connel gościom donosi, że to posterunek nieprzyjacielski dopiero co ubity. Prosi zarazem Anglików, aby się oddalili dla uniknięcia okropnego widoku. Jakoż z wsadzenia ciała tą razą na wyraźny rożen i z rozpalenia ognia, dokładnie widać na co się zanosi. Europejcykowie ze wstrętem odchodzą, a Connel przyznać jest zniewolony, że dozwala poddanym ludożerstwa z obawy, aby władzy swój naczelnej nie osłabić.

To pobbżanie Connela dla zwyczajn tak oburzającego, niebardzo Anglików co do przyjaznych zamiarów gospodarza zaspokaja. Położenie tóż coraz staje się drażliwszém. Czaty przez Connela wysłane donoszą, że potężny oddział nieprzyjacielski przebiega okolice, w nadziei pochwywania białych, skoro tylko wioskę, gdzie przyjazne znaleźli schronienie, opuszczą. Kapitan oświadcza, że chce już do okrętu wrócić, lecz Connel łatwo go przekonywa, że nierównie dla niego bezpieczniej pozostać z wojskiem Horaforasów. Z wierzchołka wysokiego drzewa nad okolicą panującego, ukazuje Anglikom obóz nieprzyjacielski. W kilku chwilach, Pappasowie mogą na tratwach rzekę przebyć i wkroczyć do wsi Horaforasów. Nie ma więc wyboru między wątpliwymi przyjaciołmi, a pewnymi wrogami; a choć niebezpieczeństwo z obu stron grożące, niebardzo przyjemne Anglikom nastęcza myśli, postanawiają jednak zostać między Horaforasami.

Dla rozpedzenia dość ponurych myśli gości, Connel wymyśla dla nich uroczystość. Na uderzenie w chiński miedziany bęben, przy wejściu do jego chaty zawieszony, mnóstwo przybywa wojowników, kobiet i dzieci na gołoborze, za plac publiczny wsi służące. Zdaje się, że to nagła zmiana przez zręcznego machinistę spełniona. Wojownicy wykonywają przed europejskimi widzami różne narodowe tańce, wyobrażające polowania i potyczki. Po skończeniu widowiska, Connel myśląc zawsze o przyjemnej dla gości rozrywce, prowadzi ich do kotłów, gdzie wyrabia się i gotuje trucizna śmiertelna, do maczania strzał przeznaczona. Wreszcie ogromna uczta, składająca się ze stosów pieczonej wieprzowiny, z kup ignamów, bananów i owoców chlebowego drzewa, zakończy to święto, dzień walki poprzedzające. Wkrótce oprócz wart na brzegach wyniosłości i na szczytach drzew czatujących, cała wieś w śnie się pogrąża. Niebo ciemne, grzmot się rozlega, błyskawice chwilami ponuro

oświecają [puszczę, a dalekie ryki mieszające się ze świstem nawalnego wiatru, kołyszą na szczytach drzew uspione całe pokolenie wojowników. Za ustaniem zaś burzy, i gdy ogniska nieprzyjacielskie powoli gasną, Connel ostatni raz gości odwiedza. W ciągu nocy nowe przybyły zdarzenia. Dwie przednie straże ubito; jeniec nieprzyjacielski zeznaje, że Papuasowie chcą tylko dostać ludzi białych w obozie Horaforasów schronionych, że nawet zupełnie oddalą się, jeżeli im Connel ich wyda. Lecz Irlandczyk tak silne okazuje oburzenie przeciw tym, co posądzać go mogli o taką niecność, że Anglicy zupełnie się uspokoiwszy, podają mu dłoń serdeczną, a król Horaforasów idzie dopilnować ostatnich do walki przygotowań.

Równo ze dniem, uderzenie ręką naczelnika dzikich w bęben na znak niebezpieczeństwa, budzi uspionych Anglików. Connel znowu do nich przybywa, a za nim niosą obfity posiłek. „Jédzcie, rzecze Connel, bo już może do zachodu słońca nie będziecie mieli chwili do posilenia się”. Jakoż już zewsząd palące się pochodnie błyszczą między drzewami, a Anglicy mogą z okien widzieć wojsko dzikich ludzi w szeregi szykujące się. Na widok ich srogięj postawy, szkaradnych malowideł ciała ich okrywających, podróżnikom przypomina się raczej jakiś szatański popis, zamiast wojennego zebrania. Siły Connela z ośmiuset pięćdziesięciu ludzi złożone, dzielą się na jego rozkaz na trzy części. Dowódca z Anglikami znajduje się w oddziale środkowym, skrzydłami lewém i prawém dowodzi dwóch wyprobowanych w wielu razach rycerzy. Skoro pierwsze światło dzienne wierzchołki drzew oświeca, całe pokolenie rusza w pochód przez las, i pomimo wielu miejscowych przeszkód, z takim porządkiem, że Europejczycy od podziwienia wstrzymać się nie mogą. Liczne straże z dalekich przybyłe posterunków, łącząc się z głównymi siłami, donoszą o przejściu nieprzyjaciela przez rzekę. Wojsko tak szybko postępuje, że ciszę pustyni tylko ciężki dech rycerzy przerywa. Po wyjściu z lasu, już rozpalony okrąg słoneczny ponad wschodnimi górami ukazuje się; i nieprzyjaciela téż widać, w większej sile, po téj stronie rzeki postępującego. Wkrótce oba nieprzyjacielskie pokolenia naprzeciw siebie o czterysta blisko kroków zatrzymują się. Jeden z naczelników Papuasów z szeregów występuje, i na wzór starożytnych bohaterów, wyzywa pociski przeciwników. To prawdziwy olbrzym, przypominający Goliata pisma św. albo starożytnych Gallów. Broda i włosy krédą ubielone, twarz i całe ciało zakrywają białe malowidła: ma to być, wedle twierdzenia Connela, jeden z najdzikszych Papuasów, postrach samą swą przytomnością szerzący. Śmierć naczelnika tego, stanowiłaby prawie o wygraniu bitwy; Connel więc uprasza, aby najlepszy z pomiędzy Anglików strzelec, wziął go

na cel. Kapitan wskazuje na lekarza; lecz ten nie wiedzieć dlaczego wymawia się. Jeden więc z majtków, mniej się zastanawiając, strzela, a skoro tylko wiatr dym prochu odpędził, spostrzegają wszyscy papuańskiego Goliata podnoszącego ręce do góry, i padającego na ziemię, jakby jaki ogromny posąg z podstaw ruszony. „Otóż dzięki Bogu, zawołał Connel, już szatan zginął”. Lecz w téjże chwili całe wojsko nieprzyjacielskie posuwa się dla pomszczenia śmierci naczelnika, a Connel ze swéj strony nakazuje odparcie napadu Papuasów. Jedną ręką trzymając krótki toporek, drugą długi a mocny drąg, „Niech żyją Horaforasy i stara Irlandya” woła Connel, i tym wykrzyknikiem, gdzie dawne wspomnienie z obecną chlubą łączy się, daje hasło natarcia.

Pan Coulter żałuje, że nie może z dostateczną spokojnością uważać dziwnych szczegółów walki dwóch dzikich pokoleń, bo sam wśród największej znajduje się wrzawy. Wystawić sobie można wpośród gęstéj chmury kurzawy, ciała szkaradnie malowane w zapasy wchodzące; straszliwych Kannibalów miotających silnemi dłońmi, to ciężkie maczugi, to ostre topory. Trudno przypuścić połączenia dzikszych odgłosów, jak tam gdzie wycia, krzyki, chrapania, głuchy trzask czaszek pałkami gruchotanych, towarzyszą najokropniejszym obrazom. Czasem wiatr unosząc tumany kurzu, odkrywa ziemię już trupami zastaną. Nakoniec wojownicy bialo malowani, zaczynają naprzód małemi hufcami, potem całemi oddziałami uciekać, a niedługo ogólny okrzyk zwycięstwa, świadczy o wygranej wojsk Connela. Wtedy już najzupełniejsza rzeź się zaczyna. Horaforasowie pole bitwy przebiegając dobijają tych, którym jeszcze maczugi, sztylety i strzały resztki życia zostawiły. Connel z téj zawiei kurzu i wpośród strumieni krwi, wychodzi cały zbroczony, tak, że ręce, topor, dzida, wszystko nią zbryzgane, a malowideł na ciele jego wcale rozpoznać nie można. „Na miłość boską, rzecze mu kapitan, czyż nie możesz ludzi twoich wstrzymać od mordowania tych nieszczęśliwych rannych? Te krzyki konających są okropne”. „Tego nigdy nie dokażę; prędjéjby wiatr pokierować zdołał. Dziś już pewnie ostatni dzień pokolenia *białych wojowników* (white painted)”. To mówiąc, Connel ociera pot krwawy czoło jego zlewający, i rzuca się ze znużenia na zczernioną trawę. Dzieło śmierci dokonywa się na polu bitwy, stopami walczących już ze wszelkiej zieloności wytartém, gdy tymczasem sokoły i sępy radośnie ponad trupami krążą.

Po wypoczęciu na miejscu walki, Connel w tryumfie odprowadza Anglików do okrętu. Napróżno kapitan namawia Irlandczyka do porzucenia dzikiego życia, i ofiaruje mu bezpłatny do Europy powrót. Król Horaforasów przysiągłszy nie porzucać pokolenia, umrze wśród lasów



Nowej Gwinei, a wojownicy czerwono malowani tańcować będą wokoło stosu ognistego, kości jego pożerającego. Kapitan silniej nalega; już wprawdzie łaża w oku Connella błyszczy, i przez chwilę w milczeniu na współkrajowców spogląda; lecz nagle puszcza ręce kapitana, które dotąd ściskając trzymał, wydaje przeraźliwe świstnienie i znika w lasach, dziękami otoczony.

Oto ostatni obraz podróży. Okręt przybywa do Tahiti, gdzie właśnie *Stratford* potrzebne uzupełnia zapasy. Pan Coulter widzi, jak bryg *Hound* odpływa do Chili, gdzie później jego przyjaciel kapitan Trainer osiada, i żeni się z młodą, bardzo bogatą kreolką. Dziś p. Trainer żyje szczęśliwie i spokojnie w Santjago, stolicy rzeczypospolitej Chilijskiej; doktor zaś Coulter w jakąś sobotę zawija do Londynu, a nazajutrz nie bez wzruszenia przysłuchuje się odgłosowi dzwonów, zwołujących wiernych do świątyni na nabożeństwo.



# ADAM ŚMIGIELSKI

CHORAŻY NADWORNY KORONNY, STAROSTA GNEŹNIEŃSKI.

1703 — 1716.

PRZEZ

*Kazimiërza hr. Tarnowskiego.*

## I.

Znanemi są powszechnie ważniejsze wypadki wielkiej wojny północnej, u nas drugą wojną szwedzką zwaną. Karol XII zwyciężywszy potężnych nieprzyjaciół, wchodzi do Litwy a następnie do Polski, zajmuje Warszawę, odnosi zwycięstwo pod Klissowem, bierze szturmem Kraków, zwycięża Sasów pod Pułtuskim, zdobywa Toruń a następnie Lwów, wchodzi do Saxonii, i zmusza Augusta II do zatwierdzenia pokoju, zawartego przez jego ministrów w Alt-Ranstadt. Uciążliwemi były dla króla Augusta warunki tego pokoju. Musiał się zrzec korony polskiej i tytułu króla polskiego (1), oddać dyplom swój elekcyi Stanisławowi, a nawet napisać list, winszując mu wstąpienia na tron. W ciągu wojny, posłowie rzeczypospolitej, ajenci króla Augusta i ministrowie innych mocarstw, ofiarować chcieli Karolowi XII korzystne warunki pokoju; lecz król szwedzki nie przyjął ofiarowanego mu zadosyćuczynienia, chciał bowiem zemścić się na głównie działającym w koalicji trzech mocarstw, pozbawiając go korony. Po bitwie pod Puławą, Karol XII przestaje zwyciężać i władać; wtedy August II wraca do Polski, a król Stanisław Leszczyński ustępuje do Pomeranii (2).

(1) August II zrzekł się tytułu *króla polskiego*, ale zachował tytuł króla bez dodatku *polskiego*. *Przyp. aut.*

(2) Histoire de Charles XII par M. J. A. Nordberg, ci-devant Chapellain et Confesseur de S.M.; à la Haye. 1748. 4 tomy w 4ce. Ob. t. I. 50. seq. 127. 136. 246.

## II.

W czasie téj wojny, wojska szwedzkie, saskie i sprzymierzone wojska koronne i litewskie przebiegają kraj, przechodzą szybko z jednéj prowincyi do drugiéj, ścierając się z nieprzyjacielem lub ustępując mu miejsca, zbierają kontrybucye, i nieraz palą całe wsie i miasta. Tysiące ludzi ginęło skutkiem działań wojennych w bitwach, utarczkach, przy zdobywaniu miast; nie mniejsza liczba padła ofiarą głodu i zarazy. Od 20 czerwca do 20 września 1708 r., t. j. w ciągu trzech miesięcy, zmarło w Warszawie w skutek morowego powietrza 15,340 osób (1). W 1708, 1709 i 1710 r. w Wilnie, na Litwie i Żmudzi, panował głód i morowe powietrze (2). W Prusach polskich grasowało silnie morowe powietrze w r. 1708. Mocne zimna w grudniu tegoż roku, wstrzymały jego rozprzestrzenienie się, lecz gdy ustały, zaczęło znowu ukazywać się, nawet w miejscach, które piérwéj wolnemi były od téj plagi (3).

## III.

Oprócz wojsk regularnych krajowych i zagranicznych, walczyły jeszcze w obronie stronnictwa Augustowskiego i Stanisławowskiego, oddziały partyzantów, pod dowództwem Radomickiego, Śmigielskiego, Chomętowskiego, Grudzińskiego, Baranowicza i innych. Adam Śmigielski (4), starosta gnieźnieński, był jednym z najzarliwszych i najużyteczniejszych stronników króla Augusta. Wielkopolskie miasto Śmigiel, było gniazdem rodu Śmigielskich. W XIV wieku Śmigiel należał do Wincentego z Kępy wojewody poznańskiego, który czynny miał udział w wojnie domowej Grzymalczyków z Nałęczami (1383 r). Za przychylność okazaną królowéj Jadwidze, a następnie Władysławowi Jagielle, otrzymał w darze dobra Bnin, i z Bnina pisać się począł. Jeden z jego potomków, dziedzic Bnina, Radzewa, Opalińca, Śmigla, Poniecy i Rogalina, rozdał dobra te sześciu synom swoim, i rozkazał im w testamencie przybrać od dóbr tych nazwiska; ztąd powstały domy: Bnińskich, Radzewskich, Opalińskich, Śmigielskich, Ponińskich i Rogalińskich. Z rodu Śmigielskich herbu Łodzia, pochodził Adam Śmigielski starosta gnieźnieński, następnie chorąży nadworny koronny, o którym mówić zamierzylimy. W r. 1703 naznaczo-

(1) *Histoire de Suède sous le regne de Charles XII*, par M. de Limiers. Ob. t. V. 85.

(2) Wilno, przez J. I. Kraszewskiego, t. II. str. 84. 85.

(3) *Geschichte der Lande Preussen Polnisches Antheils unter dem Könige August dem zweiten*, von Gottfried Lengnich. Danzig. 1755, fol. 238.

(4) Niektórzy nowsi pisarze błędnie piszą: *Szmigielski*. W dziełach bowiem krajowych i zagranicznych z piérwszej połowy XVIII wieku, w aktach, listach i innych rękopismach, czytamy *Śmigiel* i *Śmigielski*. *Przyp. aut.*

nym został przez sejm deputatem do boku króla Augusta, i kommissarzem dla oznaczenia granic od Szlązka. Podczas wojny z Karolem XII, Śmigielski odznaczył się śmiałością przedsięwzięć, odwagą, stałością i szczęściem w ich wykonaniu; pierwszy strwożył Szwedów, gdyż ustawicznie na ich stanowiska napadał, i nieraz z pomyślnym skutkiem z nimi walczył (1). Lud wielkopolski nie zapomniał o Adamie Śmigielskim, i teraz jeszcze słyszeć można w Gnieźnieńskim wesołą piosnkę o panu Śmigielskim śpiewaną.

#### IV.

W roku 1703 zawiązały się w Polsce konfederacye rozmaitych odieni. Konfederacya wielkopolska, zawiązana w Środzie pod laską Piotra Bronisza starosty pyzdrskiego, miała na celu uspokojenie kraju, zawarcie przymierza z królem szwedzkim, nie naruszając jednak praw Augusta II. Chorągwie koronne w Wielkopolsce stojące, złączyły się z konfederacyą wielkopolską, i obrały sobie za regimentarza Stanisława Leszczyńskiego, wojewodę poznańskiego (2). Na wzór téj konfederacyi, potworzyły się inne w województwach: sieradzkiem, brzesko-kujawkiem, płockiem, chełmińskim, malborgskim, pomorskiem i w ziemi Dobrzyńskiej. W styczniu 1704 r. na zjeździe w Warszawie, wszystkie te konfederacye złączyły się w jedną całość, i utworzyły generalną konfederacyą warszawską, która coraz bardziej ulegać poczęła wpływowi szwedzkiemu. Na sejmiku w Opatowie w dniu 29 stycznia 1704 r., szlachta województwa sandomierskiego zawiązała konfederacyą zwaną sandomierską, pod laską Stanisława Dönhoffa łowczego W. Ks. litewskiego, na obronę Augusta II. Później, szlachta innych województw złączyła się z konfederacyą. Sześciuset szlachty z województw kaliskiego i poznańskiego, którzy pod starostą Radomickim zaprzysięgli w Kościanie związek we wrześniu 1703 r., później złączyli się z konfederacyą sandomierską. Armia koronna po przejściu hetmana wielkiego Lubomirskiego do konfederacyi warszawskiej, złączyła się prawie cała na obronę praw króla Augusta, i obrała sobie za marszałka Stanisława Chomętowskiego, starostę radomskiego (3).

#### V.

August II użył wszelkich środków w celu zjednania sobie stronników i obrócenia praw swych do korony; zamiary bowiem Karola XII

(1) *Historya Narodu Pols. Naruszewicza*, ks. XXVIII. *Niesiecki* III. 139. *Ob. Herbarze Szymona Okolskiego i Duńczewskiego*.

(2) *Ob. list Bronisza z dnia 13 maja 1703 i laudum konf. wielkopolskiej z d. 14 listopada 1703 r. Rękopism fol. nr. 294 biblioteki rządowej warszawskiej*.

(3) *Lengnich. l. c. fol. 149, 158, 163*.

coraz widoczniejszemi się stawały. W liście pisanym do Śmigielskiego, datowanym z Ujazdowa d. 18 października 1703 r., król August dziękuje mu, że własnym kosztem zaciągnął znaczny oddział wojska; oświadcza, iż przyjmuje ten oddział na żołd skarbu nadwornego, i poleca, aby przestrzegał porządku wraz z innemi starostami, bronił domów szlacheckich od najazdów, nie dozwalał aby posiłki i żywność nieprzyjacielowi były dostawiane, łupy z kraju wywożone; nakoniec, aby ścierał się z nieprzyjacielem przy zdarzonej sposobności, pomnąc na sławę, która go czeka i na wdzięczność Rzeczypospolitej (1). W Wielkopolsce król August miał dwa partyzanckie oddziały pod dowództwem Śmigielskiego i Radomickiego, które wiele złego przeciwnikom narobiły. Oddział Śmigielskiego miał się składać z 200 Polaków i 30 Sasów. Zdobył Śmigielski Leszno, dziedziczne miasto wojewody poznańskiego, nałożył kontrybucye na dobra konfederatów warszawskich, i podstąpił pod Poznań, gdzie zabrał około stu koni szwedzkich pasących się na łąkach. Generał Mardefeld z oddziałem jazdy chciał go sam ścigać, lecz w działaniu nastreczyły się trudności; wysłał więc w pogoń pułkownika Dobrosolskiego z czterema chorągwiami jazdy koronnej, i podpułkownika Hagen ze 100 końmi. W odległości półczwartej mili od Poznania dogonili oni oddział Śmigielskiego, i w zaszłej utarczce (d. 27 maja 1704 r.) część tego oddziału poległa, reszta ustąpiła z placu; konie jednak szwedzkie odbitemi nie zostały (2). Radomicki generał-starosta wielkopolski z bratem swoim kasztelanem poznańskim i Śmigielskim złączył się z armią saską, przybyłą do Polski pod dowództwem Schulemburga. Śmigielski zajął stanowisko nad Wartą, i nie przestawał niepokoić Szwedów w ziemi poznańskiej stojących (3).

## VI.

Zimę 1705 r. Karol XII przepędził w Rawiczu, małym mieście wielkopolskim, położoném niedaleko od granicy szląskiej. Miasteczko to otaczał wokoło mur, lecz tak zniszczony, że jeździec mógł go przeskoczyć. Bram strzegło kilkunastu mieszczan; wszystkim wolno było wchodzić i wychodzić. Ciekawość sprowadzała wiele osób z zagranicy, ze Szlązka, chcących widzieć króla szwedzkiego; wśród téj ciżby mogły się weisnąć do miasta osoby, mające złe zamiary. Z tego powodu, radzono królowi

(1) Ob. przypisy, nota I.

(2) *Histoire de la vie et des campagnes de Charles XII*, par Gustave Adlerfeld, Chambellan du Roi. Amsterdam. 1740. 4 vol. 8-vo. Ob. II. 50. 321. Nordberg. I. 449. 450. Limiers III. 352.

(3) Adlerfeld. l. c. II. 231. Lengnich. fol. 183.

sprowadzić dla bezpieczeństwa kilka kompanij piechoty, a to tém bardziej, iż często w okolicach miasta ukazywały się oddziały nieprzyjacielskie. Młody król nie uważał na to, codziennie wyjeżdżał konno z nielicznym orszakiem; zaraz po Nowym Roku udał się do Wielunia, a następnie odbył przegląd pułków, rozłożonych na zimowe leże. W kilka dni później dowiedziano się, na jakie niebezpieczeństwo narażonym był król. Pewien szlachcic polski, wzięty w niewolę przez Śmigielskiego, znalazł sposobność ucieczki, przybył do Rawicza i uwiadomił, iż około trzech tygodni przedtém, partyzant na czele oddziału złożonego z 200 koni stanął w lesie najbliższym miasta, w zamiarze porwania króla szwedzkiego. Widział króla jadącego z trzema innemi osobami, lecz ponieważ jechano powoli (co nie było zwyczajem Karola XII), mniemał, iż się omylił, i że króla tam nie było; polegając na tém, tych czterech jeźdźców przepuścił, nie chcąc robić hałasu. Dowiedziawszy się później, że to istotnie król przejeżdżał, oddalił się zmartwiony, że mu się przedsięwzięcie nie udało. Wszystkie okoliczności stwierdzały prawdziwość tego opowiadania, i król nie mógł już wątpić, iż rzeczywiście narażonym był na wielkie niebezpieczeństwo. Otaczające go osoby i hrabia Schippenbach poseł dworu berlińskiego, korzystali z téj okoliczności i ponowili prośby, aby się więcej nie narażał. Karol XII odpowiedział, że ma w Bogu nadzieję, iż go obroni od zamachów nieprzyjacielskich, i że zresztą nikt go żywego w niewolę nie weźmie. Mimo to jednak, zaczęto ostrożniej dowiadywać się o osobach wchodzących do kwatery królewskiej, i ogłoszono, iż ktoby dostawił Śmigielskiego, otrzyma 12,000 złotych nagrody. Partyzant dowiedziawszy się o tém, odstąpił ku Krakowowi (1).

## VII.

Śmigielski rozegnał sejmik ziemi sieradzkiej, i porwał marszałka Iwańskiego. Następnie wziął w niewolę w okolicach Łęczycy 60 ludzi z oddziału, zostającego pod dowództwem Grudzińskiego. Województwo sandomierskie z początku sprzyjało królowi Augustowi, lecz następnie nieprzyjaciele króla zaczęli brać górę. Śmigielski na czele 2,000 Sasów, wojska konfederackiego i własnego, rozproszył szlachtę na sejmik w Opatowie zebraną, zwyciężył znaczny oddział jazdy szwedzkiej, która miała bronić miasta, i wziął w niewolę podkomorzego sandomierskiego, który był marszałkiem sejmiku, kasztelana sandomierskiego, kasztelana radomskiego Morsztyna, kasztelana małogoskiego, sekretarza, kilka osób znaczniejszych i odesłał do Brześcia Litewskiego (1 czerwca 1705). Te korzyści niewiele pomogły stronnictwu Augustowskiemu; wojewodowie

(1) Nordberg. I. c. księga VII.

i panowie wszyscy prawie albo skłaniali się do stronnictwa przeciwnego, albo coraz obojętniejszemi dla sprawy króla Augusta stawali się. W piętnaście dni po rozpędzeniu przez Śmigielskiego, sejmik w Opatowie na nowo zebrał się, z większą jeszcze żwawością powstawano na konfederacyą sandomierską, i tym sposobem prawie zniesioną ona została tam właśnie, gdzie zawiązaną była (1).

### VIII.

Po wzięciu Torunia, Karol XII umyślił przywieść do skutku swój zamiar detronizowania Augusta II i dania Polsce innego króla. Lecz dopiero w styczniu 1704 r. utworzyła się generalna konfederacya warszawska, a kardynał prymas Radziejowski uniwersałem swoim z d. 2 maja 1704 r. ogłosił bezkrólewie. Król szwedzki chciał oddać koronę polską jednemu z synów Jana III, którego czyny wychwalał (2); lecz gdy królewicze Jakób i Konstanty, na drodze między Olawą i Wrocławiem ujęci i z rozkazu Augusta II do Saxonii zaprowadzeni zostali, a królewicz Alexander pomimo nalegań Karola XII i jego ministra hrabiego Pipera, nie chciał przyjąć ofiarowanej mu kandydatury (3); wtedy król szwedzki postanowił wynieść na tron polski 27-letniego wojewodę poznańskiego, Stanisława Leszczyńskiego, którego dawniej poznał i polubił. W d. 12 lipca 1704 r. Stanisław Leszczyński obrany został królem, pomimo sprzeciwienia się posłów podlaskich, i nieobecności kardynała prymasa, Lubomirskiego hetmana W. K. i innych senatorów. Nominował go Święcicki biskup poznański, pomimo klątwy rzuconej przez papieża na duchownego, któryby w nowej elekcji brał udział (4). Wybór ten niezupełnie jeszcze zadowolnił króla szwedzkiego; mniemał on, iż nic trwałego zdziałaném nie zostało, dopóki król Stanisław koronowanym nie był, i dlatego przyspieszał ten obrzęd. Ogłoszono uniwersały, celem zwołania szlachty na sejmiki, mające uczynić przygotowania do przyszłego sejmiku koronacyjnego. Śmigielski wpadł do Warszawy, rozkazał porozdzierać uniwersały księcia kardynała i marszałka Bronisza, a ogłosić wezwania Augusta II, powołujące szlachtę, aby wsiadała na koń dla obrony króla i konfederacyi sandomierskiej. Sejm zwołany do Warszawy nie był tak licznym, jakim być był powinien. Śmigielski z oddziałem swoim stanął

(1) *Histoire de Pologne sous le regne d'Auguste II*, par M. de Parthenay; à la Haye. 1734. Ob. t. III str. 91, 92, 97, 99. *Obraz Polaków i Polski w XVIII w.* t. I. 124. Nordberg. II. 17.

(2) W czerwcu 1702 r. Karol XII odwiedził dwa razy zwłoki króla Jana Sobieskiego, złożone w kościele OO. Kapucynów w Warsz. Nordberg. I. 236.

(3) *Lengnich.* fol. 175.

(4) *Adlerfeld*, II. str. 130—136.

niedaleko stolicy, w zamiarze porwania senatorów i posłów jadących do tego miasta, jako należących do stronnictwa Stanisławowskiego. Z powodu ciągłych napadów ze strony podjezdźników Augustowskich, posłowie wielkopolscy nie śmieli udać się do Warszawy. Na prośbę króla Stanisława, generał Nieroth z czterema pułkami jazdy, otrzymał polecenie zaślania Warszawy, gdzie sejm się odbywał. Król Stanisław udał się następnie z Rawicza do Warszawy z trzema posłami szwedzkimi, pod eskortą dwóch pułków szwedzkiej piechoty (1). W dniu 3 października 1705 zaprzysiął król Stanisław *pacta conventa*, a nazajutrz arcybiskup lwowski Konstanty Zieliński, koronował go w kościele św. Jana (2).

## IX.

Prusy polskie ciągle były najeżdżane przez oddziały podjezdźników Augustowskich. Pułkownik szwedzki Ekeblad dowodzący w Elblągu, uważał się, iż ma trudność utrzymania żołnierzy w karbach obowiązku, i że prawie niepodobna mu jest sprowadzać żywność i zbierać kontrybucye. Major Gustaw Oxenstirna został odkomenderowanym na czele oddziału, złożonego z 300 koni, do Warmii, dla zbierania kontrybucyi. Dano mu rozkaz obrania kwatery w Heilsbergu, jako w środku prowincyi, i wysyłania małych oddziałów w okolice, tak, aby miał zawsze przy sobie 160 żołnierzy. Nie wiadomo czyli ten rozkaz ściśle był wykonanym, dosyć, iż pewnego dnia, hrabia Oxenstirna obiadując z żoną swoją, został napađnięty przez Śmigielskiego (22 września 1705 r.). Partyzant udał się zaraz do zamku i wziął w niewolę wszystkich, którzy się tam znajdowali; porucznik, 3 podoficerów i 24 żołnierzy, zmuszeni zostali do złożenia broni. Hrabina Oxenstirna otrzymała pozwolenie powrócenia do Elblągu; poczem partyzant odstąpił, uprowadzając jeńców i zdobycz. W kilku innych miejscach Warmii, Śmigielski wziął w niewolę oddziały szwedzkie, wysłane dla zbierania kontrybucyi, i odebrał im pieniądze na ten cel złożone (3).

## X.

W tym czasie, gdy Śmigielski działał w okolicach Heilsbergu, Chomętowski wszedł do Prus i wziął szturmem Malborg (d. 29 września 1705 r.). Z 80 Szwedów, 28 poległo, reszta wzięta w niewolę; w mieście pozwolono żołnierzowi rabować przez trzy godziny (4). Z Warmii udał się

(1) Nordberg, II. 22. Adlerfeld, II. 409, 415, 438.

(2) Adlerfeld, II. 466—476.

(3) Nordberg. II. 30. Adlerfeld. II. 463.

(4) Parthenay. III. 127. 8. Lengnich fol. 202. Parthenay powiada, że Śmigielski zdobył Malborg, a Lengnich utrzymuje że Chomętowski. Poszliśmy za ostatnim, gdyż mógł mieć dokładniejszą wiadomość, i jego zdanie jest więcej podobne do prawdy.



Śmigielski do Małopolski. Garnizon krakowski złożony z chorągwi Stanisławowskich, w części wyciął, w części wziął w niewolę. Spotkawszy za Krakowem chorągwie starosty spiskiego, które po 40 tynfów podymnego na siebie wybierały, nagle na nie napadł i większą część w niewolę wziął. Między zdobyczą znajdowała się jedna chorągiew Stanisławowska, na niej były haftowane jakby połamane saskie miecze, a nad nimi orzeł polski z podniesioną w górę głową, i z napisem z psalmu wyjętym: „Confregisti Domine gladius inimicorum et exaltasti caput meum.” (Połamaleś Panie miecze nieprzyjaciół, i wyniosłeś głowę moję). Śmigielski przeprowił się następnie przez Wisłę pod Zawichostem, i pod Kielcami zwyciężył dwie chorągwie wojewody kijowskiego. Chciał wziąć zamek kielecki, lecz Grudziński dowódzca załogi mężnie się bronił, i Śmigielski musiał odstąpić (1).

## XI.

W dniu 8 stycznia 1706 r. król Stanisław uwiadomił króla szwedzkiego, iż wie z pewnością, że Śmigielski ma zamiar przejścia na jego stronę, byleby mu dano amnestyą za to wszystko, co się dawniej stało. Karol XII rozkazał natychmiast wygotować list bezpieczeństwa dla partyzanta, zapewniając go przytém o swój protekcyi i życzliwości. Śmigielski nie korzystał z tego, ciągle zostawał stronnikiem Augustowskim; wraz z generałem Szulcem wysłany na podjazd, ścierał się ze Szwedami, gwardye Stanisławowskie zabierał, na Pradze pod Warszawą zniósł pułk generała Skorzewskiego. Dnia 30 stycznia 1706 r. przybył król August do Tykocina, gdzie spotkał Śmigielskiego; przyprowadził mu on kilku jeńców ze stronnictwa Stanisławowskiego, między innemi Urbanowskiego sekretarza konfederacyi warszawskiej, wziętego wraz z rejestrami (2). Po bitwie pod Wschową niepomysłnej dla Sasów (14 lutego 1706 r.) król August wrócił do Warszawy, a następnie udał się do Krakowa. Wydał rozkaz fortyfikowania miasta, Śmigielskiego zaś wysłał dla obserwowania Szwedów, i niepokojenia przez podjazdy (3).

## XII.

Hrabia Truchses pułkownik szwedzki, zwerbował w Prusach pułk dla króla Stanisława. Ponieważ ten pułk miał służyć pod wojewodą Potockim, to wojewoda ułożył się z nim o warunki kupna. Zaledwie 400 ludzi zostało zwerbowanych i umundurowanych; Śmigielski dla rozproszenia pułku wszedł do Prus królewskich, przeszedł Wisłę po lodzie,

(1) Życie Stanisława I. 1744. Limiers. IV. 108.

(2) Limiers. IV. 113. Nordberg. Pamiętniki Otwinowskiego.

(3) Adlerfeld. II. 550.

i nagle ukazał się w okolicach Malborga. Truchses ostrzeżony zaczął odstępować, lecz tak opieszale i niezręcznie, że Śmigielski dopędziwszy go, wziął w niewolę wraz z całym prawie oddziałem, z którego część poległa, a bardzo mało kto uszedł. (Marzec 1706). W końcu tegoż miesiąca Śmigielski odstąpił ku Warszawie, gdzie był garnizon Augustowski, opuścił Prusy królewskie dowiedziawszy się, że generał Renschild wystął przeciw niemu znaczny oddział swego wojska (1).

## XIII.

W nagrodę za tyle zasług, August II oblarzył Śmigielskiego dostojnościami i dzierzawami królewskimi. Dobra królewskie Piętno, położone w województwie kaliskim, powiecie konińskim, po śmierci Filipa Konarzewskiego starosty konińskiego, oddane zostały w posiadanie Adamowi Śmigielskiemu, przywilejem z dnia 6 lutego 1703 r. (2). Dobra Kazuń położone w województwie mazowieckim, posiadane przez Stanisława Leszczyńskiego wojewodę poznańskiego, nadane zostały Adamowi Śmigielskiemu, staroście gnieźnieńskiemu, pułkownikowi J. K. M., przywilejem datowanym w Warszawie d. 16 lutego 1706 r. (3). Otrzymując dary królewskie, Śmigielski nie zapomniał o towarzyszach broni. Na jego wstawienie się, dobra Żakowice nadane zostały Stanisławowi Malczewskiemu, rotmistrzowi J. K. M., przywilejem datowanym w Łowiczu d. 22 lutego 1706 r. (4). Franciszek Szembek otrzymał urząd stolnika koronnego; a wakujące po nim chorążtwo nadworne koronne, oddane zostało Śmigielskiemu, przywilejem z d. 13 kwietnia 1706 r. Porucznikostwo znaku huzarskiego, po otrzymaniu przez Stanisława Rzewuskiego referendarza koronnego buławy polnej, oddane zostało Śmigielskiemu, przywilejem z d. 5 maja 1706 r. (5).

## XIV.

Stojąc w Krakowie, otrzymał Śmigielski wiadomość, iż w okolicach ukazują się oddziały szwedzkie. Wyszedłszy z miasta, napadł na 300 Szwedów stojących w Kazimierzu, którzy ustąpili z przedmieścia i schroniwszy się do poblizkiego kościoła OO. Kamedułów, dawali odpór. Zpieczył połowę kawaleryi saskiej i swoją dragonią, znaczną część nieprzyjaciół położył trupem, a żywcem wziął kilku oficerów i 83 żołnierzy, których dnia 19 maja 1706 r. królowi Augustowi w Łobzowie oddawał. Wesóło i wspaniale przyjętym został, jako mężnie i wiernie królowi swe-

[1] Nordberg. II. 82. Limiers. IV. 140. 141.

[2] Registrum expeditionum regni 1702 — 1706, fol. 22; w Archiwum głów.

[3] Registrum fol. 212. (4) Registrum fol. 214. (5) Registrum fol. 226. 232.

mu i krajowi służący (1). Otrzymałszy pomoc i widząc się na czele oddziału, złożonego z 3,000 ludzi, częścią Polaków, częścią Sasów, Śmigieński postanowił uderzyć na wojewodę kijowskiego Józefa Potockiego, który wraz z wojskiem swém udał się do Prus. Niedaleko Torunia wziął w niewolę niewielki oddział, i to pierwsze powodzenie podało mu myśl wzięcia samego wojewody, który miał kwaterę w Alhauzen, a wojsko rozesłane w różne strony. Za zbliżeniem się Śmigieńskiego, Potocki śpiesznie udał się do zamku, gdzie zamknął się z resztą wojska, które miał przy sobie (d. 18 czerwca 1706 r.). Partyzant rozkazał natychmiast swoim dragonom saskim zsiąść z koni i iść do szturm. To działanie nie miało pomyślnego skutku; poległo przeszło 40 ludzi, między innymi podpułkownik Hoppe i kilku oficerów. Śmigieński odstąpił ku Toruniowi, przeszedł po moście toruńskim na drugi brzeg Wisły, i następnie złączył się z armią królewską. Wojewoda kijowski zebrałszy wszystkie swoje oddziały, poszedł za nim, lecz pomimo pośpiechu, nie mógł go dogonić. Mając podejrzenie, iż obywatele miasta Torunia dali pomoc Śmigieńskiemu, wszedł do miasta i nałożył znaczną kontrybucyą. Pułk Stanisławowski dragonów Skorzewskiego z Leszna przybyły, stanął także w Toruniu, i przez miasto żywionym i opłacanym być musiał. Nakoniec d. 24 lipca miasto pozbyło się nieprzyjemnych gości, gdy wojewoda udał się do Wielkopolski, gdzie miał stać z wojskiem swym, podczas gdy król szwedzki wtargnął do Saxonii (2).

## XV.

August II stał z wojskiem pod Stawem, o dwie mile od Kalisza, gdzie był obóz szwedzki generała Mardefelda, i oczekiwał się z wydaniem bitwy, gdyż wysłał był posłów w celu zawarcia pokoju z Karolem XII, i otrzymał wiadomość o zawarciu traktatu. Pfingsten przywiózł wraz z traktatem zawartym w Alt-Ranstadt listy Karola XII i króla Stanisława, do Mardefelda i do wojewody kijowskiego pisane; lecz te listy zapóźno, bo już po bitwie doszły. August II ostrzedz miał nawet Mardefelda, iż dla nieściągnięcia na siebie podejrzenia generałów sprzymierzonego wojska, jakoby wszedł w układy z królem szwedzkim, będzie musiał pomimo zawartego pokoju, wydać bitwę, i radził mu odstąpić zpod Kalisza. Generał szwedzki uważał ten krok za podstęp, i uczynił przygotowania do bitwy. Z drugiej strony król August pobudzony naleganiami Menżykowa i prośbami Śmigieńskiego, wydał bitwę, uwieńczoną zwycięstwem, w dniu 29 października 1706 r. Na prawem skrzydle postawiono wojsko ros-

[1] Niesiecki III. 139. Ob. wyjątek z współczesnego rękopismu, umieszczony w dziele: Kraków i jego okolice. 1844, str. 305.

[2] Nordberg. II. 98. Lengnich fol. 211. 212.

syjskie, uszykowane we trzy linie, na lewém saskie we dwóch liniach. Armia koronna dowodzoną była przez hetmanów Sieniawskiego i Rzewuskiego. Śmigielski na czele 12 chorągwi polskich i dwóch pułków dragonii, stał przy wsi Kosielnowicach. Działania rozpoczęły się między trzecią a czwartą po południu. Szwedzi walczyli mężnie, lecz liczbą nieprzyjaciół pokonani zostali. Odznaczył się generał Krassan i pułkownik Gustaw Horn. Piérwszy zdołał się przebić wraz z małym oddziałem. Generał Mardefeld ranny, wzięty został w niewolę wraz z czterema pułkownikami i znaczną częścią wojska. Piechota szwedzka do szczętu rozbitą została, jazda w ucieczce prawie zupełnie zniesiona przez Śmigielskiego i oddział wojska rosyjskiego. Siedmiuset Szwedów poległo na placu. To zwycięztwo przed trzema miesiącami możeby poprawiło położenie zwycięzcy, lecz w okolicznościach w jakich się znajdował, więcej mu szkodziło niż pomagało. Pokój w Alt-Ranstadt podpisanym już został przez ministrów króla Augusta, a cała prawie Saxonja była zajęta przez wojska szwedzkie (1).

## XVI.

W bitwie pod Kaliszem, wzięci zostali w niewolę: wojewoda Potoski, Tarło kuchmistrz koronny i kilku innych panów. Karol XII żądał ich uwolnienia, król August polecił Śmigielskiemu odbić ich Sasom i wydać Piotrowi I. Po odbytej pozornój bitwie, Śmigielski odebrał jeńców i zaprowadził ich do Przemyśla pod strażą swoją. Następnie udał się do Żółkwi, gdzie była kwatera generała Menżykowa, dla uwiadomienia go o tém, co się zdarzyło. Otrzymał naganę za to, iż sam chciał przedstawić jeńców Piotrowi I i rozkaz wydania ich natychmiast. Urażony Śmigielski, a przytém wiedząc, iż August II zrzekł się korony polskiej w traktacie zawartym z Karolem XII i uwolnił poddanych od przysięgi, postanowił oswobodzić wojewodę i przejść na stronę Stanisława. Wróciwszy do Przemyśla, uczynił propozycją jeńcom, iż z nimi uda się do Saxonii, jeżeli go zapewnią, iż amnestyą od króla szwedzkiego otrzyma. Wtedyto panowie uradowani, uczynili mu wiele obietnic, a wojewoda kijowski przyobiecał mu dać córkę swą za żonę. Śmigielski rozbroił 150 dragonów stojących w Przemyślu, na drodze wziął generała Pfluga i dwóch pułkowników, zaprowadził ich do Poznania, i oddał pod straż garnizonu. Generał Brand poszedł za przykładem Śmigielskiego, i wraz z wojskiem zostającym pod jego rozkazami, wszedł w służbę króla Stanisława. Udawszy się do Saxonii, uprzejmie przyjęci zostali przez obu

(1) Lengnich, fol. 214. 215. Nordberg, II. 127. Adlerfeld III. 78. Pam. Otwinowskiego. Parthenay, III. 168.

królów (grudzień 1706 r.). W Leśnigu, w odległości mil sześciu od Lipska, mieszkał wraz z dworem swoim król Stanisław. Tam on przyjmował panów polskich, którzy łączyli się z jego stronnictwem, tam rozdawał wysokie dostojenstwa krajowe swoim stronnikom (1).

#### XVII.

W wojsku Stanisławowskiem, Adam Śmigielski otrzymał stopień generała-majora. Zarzut mu czyni Otwinowski, iż gardzić zaczął polskimi pocztami, a zbierał cudzoziemskie rajtarye, które nie na wiele mu się przydały. Utarczki z kwarcianami, z Kozakami i Kałmukami, częścią niepomyślne, częścią szczęśliwe były. Pułkownik Świniarski na czele kwarcianego wojska zdobył Kalisz, z którego ustąpić musiał Śmigielski, i w mieście tém zabrał wiele broni, przygotowanej dla nowych pułków Stanisławowskich. Świniarski wracając przez Piotrków, rozpędził trybunał, który tam zaczął sądzić w imieniu króla Stanisława. Pod Koronowem napadłszy na Kałmuków, zadał im znaczną klęskę Śmigielski, lecz za zbliżeniem się tłumy Kozaków i wojska regularnego, zmuszonym został do odstąpienia. Wkrótce potem Śmigielski rozproszył oddział wojska, odebrał zabrane przedmioty, między innemi: obrazy, statuy, naczynia kościelne i t. p. (2).

#### XVIII.

W Lublinie zawiązała się była konfederacya, złożona z tych stronników Augustowskich, którzy, niezadowoleni z abdykacyi króla Augusta, nie chcieli uznać Stanisława, i powzięli zamiar obrania sobie innego króla. Konfederaci lubelscy, nieprzyjaciele stronnictwa Stanisławowskiego, kilkakrotnie napadali na wojska Stanisławowskie i szwedzkie (sierpień 1708 r.). Aby pomścić się za te zniewagi, Śmigielski przeprowił się przez Wisłę na czele oddziału, złożonego z 6,000 ludzi, i poszedł atakować Rybińskiego. Wojsko tego ostatniego, dosyć liczne, stało pod Skrzynnem. Z początku mężnie się broniło, lecz zmieszane rozpierzchło się, i z wielkim pośpiechem było gonione. Część oddziału poległa, część wziętą została w niewolę; reszta rozproszona, i tym sposobem Rybiński stracił przewagę z której się chełpił (3). Wojewoda Potocki zpod Lwowa ruszył do Małéjpolki, i złączywszy wojsko swe z oddziałem Śmigielskiego, obległ Wieluń, gdzie zamknęło się 27 chorągwi, należących do wojska Rybińskiego. Chorągwie te zmuszone zostały poddać się i złożyć

(1) Nordberg, II, 136. Adlerfeld, III, 118. 160. Parthenay, III, 192. Limiers, IV, 205. 206.

(2) Limiers, IV, 254. Pamiętniki Otwinowskiego, str. 124. 129.

(3) Nordberg, II, 257.

przysięgę na wierność królowi Stanisławowi. W okolicy Łowicza połączone wojska Potockiego i Śmigielskiego, otoczyły i wzięły w niewolę oddział Brzuchowskiego, a następnie udały się na Litwę (1).

### XIX.

Podczas gdy król Stanisław bawił we Lwowie (1709), i bezpiecznym być się mniemał, nadeszła wiadomość, iż hetman Sieniawski pod Międzyborzem na Podolu złączył się z baronem Golcem i wojskiem rosyjskiem; po tém złączeniu się miał zamiar wprost iść na Lwów. Śmigielski chcąc wstrzymać ten pochód, przedsięwziął zdobyć Brzeżany, dziedziczne miasto Sieniawskiego; lecz załoga i działa obroniły miasto, a przybyły pułkownik Krosnowski, zmusił Śmigielskiego do odstąpienia. Karol XII rozpoczynając oblężenie Pułtawy, chciał aby wojsko Stanisławowskie i pułki szwedzkie w Polsce stojące z nim się złączyły. Rozkazy jednak jego nie doszły do Lwowa, gdyż wszystkie przejścia zajęte były przez oddziały Golca i Sieniawskiego; komunikacja była zupełnie przeciętą, przez ośm tygodni nie miano żadnej wiadomości z obozu szwedzkiego (2). Zaczęły następnie nadchodzić wieści o nienajlepszym powodzeniu Szwedów, a nakoniec o bitwie pod Pułtawą. Z początku nie wierzono tym wiadomościom (3); lecz kuryer przysłany od króla szwedzkiego, potwierdził ich prawdziwość. Generał Krassan, zebrał wojsko szwedzkie znajdujące się w Polsce, którego było około 10,000 i postanowił ustępować ku Prusom i Pomeranii, nie mogąc opierać się połączonym wojskom konfederacyi lubelskiej, rosyjskiemu i wkrótce potem przybytemu saskiemu. Oddziały polskie wojewody kijowskiego i Śmigielskiego, były pomocą i obroną dla odstępujących (4).

### XX.

Śmigielski oddawna sprzyjający królowi Augustowi, gdy się dowiedział, iż ten wraca do Polski, powziął zamiar udania się wraz z dywizją swoją do konfederacyi sandomierskiej. We wsi Ostrówach za Częstochową, uczynił wojewodzie kijowskiemu przedstawienie, aby wraz z nim poszedł do jedności i złączył się z hetmanem Sieniawskim. Potocki usłyszawszy tę propozycyą, uniesiony gniewem, niepomny, iż winien był wolność Śmigielskiemu, a przytém nie chcąc podobno wypełnić danéj obietnicy wydania zań córki swéj, uwiadomił o tém króla Stanisława i gene-

(1) Limiers, V. str. 11. 12. 87.

[2] Der nach der Poltawischen Schlacht unglückselige König von Schweden, Karl der XII, von Anlander. 1716. 8ka, str. 18.

[3] Ob. list króla Stanisława do Ponińskiego, z d. 24 lipca 1709. Starożytności historyczne polskie. 1840. t. II. 56.

[4] Limiers, V. 117. Życie Stanisława, I. 1744.

rała Krasson. Ten ostatni rozkazał natychmiast przytrzymać Śmigiel-  
skiego i uwięzić w Prusiecku pod Brzeźnicą. Król Stanisław wraz z woj-  
skiem szwedzkim udał się do Pomeranii, a Śmigiel-  
skiego pod strażą  
poprowadzono za wojskiem do Szczecina; wkrótce jednak uwolnionym  
został. Obawiano się, aby Śmigiel-  
ski jako człowiek pełen działalności  
i silnej woli, nie wykonał zamiaru, który objawił. Zdaje się jednak, że to  
była tylko przemijająca chęć, a nie stały zamiar, jak to okazały później-  
sze wypadki (1).

### XXI.

August II w listach swych pisanych z Lipska w styczniu i w lutym  
1711 r. do Sieniawskiego hetmana W. K., do księcia Golicyna dowodzą-  
cego wojskiem rossyjskiem w Polsce stojącym, do generała Eberstedta,  
do Gałęckiego wojewody poznańskiego i do Radomickiego wojewody  
inowrocławskiego, poleca im, aby użyli wszelkich środków obrony,  
w celu zasłonięcia granic ze strony Podola i Ukrainy, jak również ze  
strony Wielkopolski. Obawiano się bowiem wejścia Turków na Podole  
i wtargnięcia Szwedów z Pomeranii. W listach swych król rozkazał  
także, aby piechota saska i dwa pułki dragonów, które miałyby być posłane  
do Danii, pozostały w Wielkopolsce (2). Śmigiel-  
ski zostając w Pome-  
raniu, zamierzył uczynić wycieczkę do Wielkopolski. Król Stanisław za  
działania wojenne w Polsce, obiecał mu dać w nagrodę rękę Zofii Poto-  
ckiej wojewodzianki kijowskiej, która z matką wówczas w Szczecinie  
bawiła. W Wielkopolsce zebrał Śmigiel-  
ski ochotników (w kwietniu  
1711 r.) i podstąpił pod Kępno. Idąc lasami niespodzianie napadł na  
Sasów, którzy się byli w trzech wioskach rozkwaterowali, zabrał kasę  
wojskową, sztandar, i zmusił podpułkownika dowodzącego do podpisania  
rewersu, którym się zobowiązał stawić się w Szczecinie jako jeniec wo-  
jenny. Sztandar i rewers wspomniony krwią zbрызany, odesłał Śmi-  
gielski królowi, jako znak zwycięstwa. Następnie podstąpił pod Toruń,  
zabrał sprzymierzonemu wojsku znaczną liczbę wozów z bagażami, spalił  
magazyny, i ze zdobyczą wrócił do Pomeranii (3).

### XXII.

Król August w liście swym, pisanym do hetmana Sieniawskiego  
d. 25 września 1711 r. z Pomeranii, uwiadomił go, iż otrzymał donie-  
sienie od dezertarów, jakoby Śmigiel-  
ski miał zamiar udać się z oddziałem

(1) Pamiętniki Otwinowskiego. str. 161. 164.

[2] Ob. przypisy, nota II.

[3] Materiały do historii króla Stanisława Leszczyńskiego, wydane przez  
E. Raczyńskiego, str. 40 41. 44. Nordberg, II. 458. Anlander. I. c. str. 141.

swoim lekkiej jazdy z Szczecina w Krakowskie, dla złączenia się z wojewodą kijowskim, który miał się ukrywać u stronników Stanisławowskich. Rozkazuje w tym liście król postawić w Krakowskim znaczny oddział wojska koronnego, pod dowództwem człowieka doświadczonego i pewnego, w celu schwytania wojewody kijowskiego i Adama Śmigielskiego. Ta wyprawa Śmigielskiego nie miała miejsca, lecz list królewski dowodzi, iż otrzymawszy pogłoskę, i znając nadzwyczajną śmiałość chorążego nadwornego, obawiano się, aby istotnie nie przysłała do skutku (1). Król Stanisław udał się z Szczecina do Stralundu, w końcu września 1711 r., a stąd na fregatach przewozowych do Szwecji, uiściwszy się pierwój z danej Śmigielskiemu obietnicy, którego ożenił z córką wojewody kijowskiego (2). Adam Śmigielski i kilku znakomitych Polaków, towarzyszyło królowi w tej podróży.

### XXIII.

Król Stanisław wylądował w Karlskronie, i lądem udał się do Sztokholmu. Przybywszy do stolicy, zatrzymał się w domu prywatnym, a nazajutrz o godzinie piątej po południu, dwaj senatorowie Horn i Fersen, przybyli z pojazdami królowej matki, aby zaprowadzić króla do zamku, gdzie przygotowano dlań pokoje. Gdy wysiadł z karéty, wszyscy senatorowie wyszli na jego spotkanie, i zaprowadzili go do sali, w której oczekiwała królowa matka i królowna. Podczas pobytu swego w Sztokholmie, król obejrzał arsenał, park artylerji i magazyny. Oglądał także Drotningholm, rezydencją letnią królewską. Po przybyciu królowej Anny, udał się wraz z nią do Christianstad, i tam bawił do września 1712. Wtedyto wojska wysłane zostały do Pomeranii; generał hrabia Steinbok udał się dla objęcia dowództwa nad temi wojskami, a wraz z nim wsiadł na okręt król Stanisław (3). Aby mieć pewną wiadomość o tém, co się działo z Karolem XII, posłał król Stanisław Śmigielskiego do Benderu. Wysłany, spodziewając się pomyślniejszych wypadków, napisał do króla upraszając go, ażeby pośpieszył z przybyciem do Benderu, dla objęcia wraz z królem szwedzkim dowództwa nad wielką armią, którą Karol XII od sultana niechybnie miał otrzymać. Próżna ta nadzieja, naraziła króla Stanisława na trudy i niebezpieczeństwa długiej podróży (4). W czasie tych działań stronników króla Stanisława i kr. szwedzkiego

[1] Ob. Przypisy nota III.

[2] Zofia Potocka, córka Józefa Potockiego i Wiktoryi Leszczyńskiej, po rozwiązaniu pierwszego małżeństwa (1716), weszła w powtórne śluby z Piotrem Kosakowskim kasztelanem podlaskim, um. 1729. Niesiecki, III. 692.

[3] Nordberg, II. 464.

[4] Życie Stanisława I. 1744.



w Turcyi, odkryto w Polsce zmołę, mającą na celu wydanie Augusta II królowi Stanisławowi (1713). Miało do niej należeć kilku wojewodów i dygnitarzy koronnych. Sekretarz królewski Paoli, którego chciano wciągnąć do tej zmoły, uwiadomił króla. Wojewoda ruski Jabłonowski głównie działający, sekretarz jego Urbanowski, Czarnkowski podskarbi króla Stanisława, żony wojewody kijowskiego i generała Śmigielskiego i panowie inni przytrzymani zostali. Ten wypadek podał sposobność do przyzwania na nowo wojsk saskich i sprzymierzonych do Polski (1).

#### XXIV.

Na sejmie warszawskim 1712 r., Stanisław Chomętowski wojewoda inazowieckiznaczony został do traktowania o pokój z Turcyą. Po wielu trudnościach zawarł on traktat z Portą w d. 22 kwietnia 1714 r. Odnowiony został traktat karłowicki, pozwolono wolny przejazd Karolowi XII przez Polskę do swoich krajów, i obiecano, iż wojska rossyjskie ustąpią z Polski. W skutek zawarcia pokoju, Polacy którzy znajdowali się w Turcyi utracili nadzieję, aby Porta wypowiedziała wojnę Augustowi II, i tém wsparła stronnictwo Stanisławowskie. Wkrótce potem ogłoszono ogólną amnestyą dla stronników Stanisławowskich. Potocki wojewoda kijowski, książę Wisniowiecki, Sapieha starosta bobrujski, Tarło, Śmigielski, Grudziński i inni wrócili do Polski, i znowu przypuszczeni zostali do łaski królewskiej. Inni zaś Polacy zostający w Turcyi przy królu Stanisławie, jakoto: Poniatowski, Urbanowicz i Kryszpin, postanowili mu być wiernymi, a następnie udali się z królem do księstwa Dwóch Mostów (2). Adam Śmigielski otrzymał pozwolenie ustąpienia starostwa gnieźnieńskiego d. 24 grudnia r. 1714, lecz nie znajdujemy śladu, aby istotnie to starostwo komu odstąpił (3). Niedługo cieszył się Śmigielski widokiem miejsc rodzinnych, niedługo używał odpoczynku po tylu trudach; w kilkanaście miesięcy po powrocie do Polski, zakończył burzliwe życie: umarł na początku 1716 r. Starostwo gnieźnieńskie, po śmierci Adama Śmigielskiego chorążego nadwornego koronnego, nadane zostało Ludwikowi Boruckiemu miecznikowi brzesko-kujawskiemu, przywilejem datowanym w Warszawie dnia 17 marca 1716 r. (4). Chorą-

[1] Limiers V. 402.

[2] Lengnich, fol. 275. 289. Nordberg III. 153. Życie Stanisława I. 1744.

[3] *Matricula expeditionum 1712 — 1716*, fol. 108, w archiwum głównym. Niesiecki daje Śmigielskiemu tytuł cześnika koronnego, w *Matrykule* nazywają go miecznikiem koronnym; nie znalazłem jednak nadań na te dwa urzędy. Może to są tylko dwie pomyłki; zamiast chorąży N. K. napisano miecznik lub cześnik koronny.

[4] *Matricula* fol. 197.

stwo nadworne koronne, oddane zostało Franciszkowi Golczowi, staroście sieradzkemu d. 17 lutego 1717 r. (1).

## XXV.

Nordberg dziejopis niebardzo sprzyjający Polakom, nazywa Śmigielskiego sławnym i zręcznym partyzantem; mówi także, iż Śmigielski był jednym z najwierniejszych i najwięcej znaczenia mających stronników króla Augusta. Parthenay tak się odzywa o Śmigielskim: „Ce staroste, l'un des plus braves, des plus fins et des plus heureux partisans qu'il y eut en Pologne, venait de faire une nouvelle capture”. Otwinowski nazywa Śmigielskiego bardzo szumnie: *Hektorem polskim*; Niesiecki *sławnym wojownikiem*. Te zdania i nazwy pokazują, iż imię Śmigielskiego, musiało być głośnem w pierwszej połowie XVIII wieku. Lecz po upływie lat stu trzydziestu cóż z téj sławy zostało? Nie wielu z nas wie kto był Adam Śmigielski. Jednak i w pismach nowszych pisarzy znajdujemy wzmianki o Śmigielskim. W Dzienniku Warszawskim 1830 r. w oddziale rozmaitości czytamy krótką wiadomość o Śmigielskim. M. Baliński w swojej *Historji Polskiej* (2), wspomina, iż Śmigielski uczynił podjazd z Pomeranii (1711), podczas gdy Grudziński wypadł z Wołoch. W dziele pod tytułem: *Obrazy Starodawne* (3), napotykamy następujący ustęp: „Powstaje jakby z popiołów wielkiego Czarnieckiego Śmigielski, rozwija pierwszy chorągiew trwogi zwyciężkim sztandarom Szwedów; pieśń milczy, czy oniemiała pod nieszczęść ciosami, czy przy huku dział i płomieniu pożogi przewiała bez powrotu”.

## XXVI.

W Dzienniku Krajowym znajdujemy opis podróży, odbytej w Kaliskiem i Kujawach przez Ad. K.... (4). W artykule tym napotykamy wzmiankę o Śmigielskim, i dlatego przytoczymy tu dwa ustępy: „...Historycznie Prusiecko znane jest także. Własność w różnych czasach różnych znakomitych naszych familij, Dönhoffów, Potockich, Myszkowskich i Męcińskich, szczególniej zaś w obu wewnętrznych wojnach szwedzkich ważną grało rolę; w pierwszej tu była główna kwatera generała Möllera, znanego z daremego oblężenia Częstochowy, w czasie drugiej tu był więziony sławny Śmigielski gnieźnieński starosta, ów, który dla pięknych oczu dziedziczki tego miejsca, Potockiej, złamał przysięgę, i jak niesie podanie, piekłu oddał duszę.” Powiedzieliśmy wyżej, iż Śmigielski urażony na wodza wojsk sprzymierzonych, chcąc uwolnić panów polskich, których miał pod swą strażą, i nie widząc innego króla w Polsce nad Stanisława,

(1) Acta inscriptionum, 1716 — 1720. fol. 134. (2) Warszawa 1844, 8-vo, str. 224. (3) Warszawa 1843, t. II, str. 234. (4) Ob. rok 1843, nr. 139.

gdyż August II zrzekł się korony, udał się do Saxonii, i złożył hołd królowi Stanisławowi. Podanie ludu wyżej wspomniane oddajemy na użytek poetów i romansopisarzy, dziedzina historyi nie rozciąga się bowiem poza zakres życia ziemskiego. W przytoczonym opisie podróży, nieco niżej czytamy: „Silny, odrębny w swym wieku był charakter Śmigielkiego: awanturniczy, *humorystyczny*, odważny, przebiegły i czynny, nigdy nie upadł na sercu, żadną przeciwnością złamanym być nie mógł, każdej sprawie którą przyjął służył z jednakim zapalem i dzielnością; powiastce lub romansowi historycznemu, jego życie wyborne tło i wątek mogłoby nastroczyć.” Autor *Listopada i Zamku krakowskiego*, miał napisać nowy romans historyczny, w którym Adam Śmigielski jest główną osobą. Z wdzięcznością przyjmujemy; z przyjemnością czytać będziemy ten nowy utwór uzdolnionego pisarza, jeżeli w głównych przynajmniej zarysach swego romansu, zechce szanować świadectwo historyi.

Pisałem w Warszawie, d. 10 grudnia 1849 r.



## PRZYPISY.

### I.

*List przypowiedni króla Augusta II do Śmigielkiego starosty gnieźnieńskiego (\*).*

August wtóry z Bożej Łaski etc.

Urodzonemu Adamowi Śmigielkiemu, Staroście naszemu Gnieźnieńskiemu łaskę Naszą królewską. Urodzony wiernie nam miły, mając z dawna zaleconą wierności Waszey przez PP. Rad Naszych partykularney ku Maiestatowi Naszemu życzliwości, doznaliśmy iey in præsentii, kiedy wierność Wasza nieżałując substancyi swoiey, y onę onerowawszy znaczną liczbę ludzi na usługę Naszą zebrał, co iako osobliwym Pańskiéy Naszey łaskawości y pamiętnym przyimuiemy respektem, tak tym ludziom od wierności Waszey zaciągnionym, służbę Naszą nadwornę przypowiadamy niniejszym listem Naszym, z którymi to ludźmi Uprzeżmość Wasza, Ordynansów Naszych słuchać będziesz, y publicznemu pokoiowi invigi-

(\*) Ob. rękopism nr. 274 biblioteki rządowej warszawskiej.

are zechcesz, który pod takowy czas ludzie swawolnie alieno inhiantes, zwykli interturbare, et sub favore hostilitatis bunty, najazdy y inne violencye cum summo publicæ tranquillitatis domów ślacheckich y innych præindicio czynią. Intimujemy zatem Wierności Waszey, abyś a prima notitia takowych intervencyei znosił się zaraz z Wielmożnemi i Urodzonymi Starostami Naszemi, którym legibus regni takowe securitatis provivisio incumbit, y onymże auxilio et adminiculo przeciwko takowym kupom swawolnym był. Przestrzegać także Wierność Wasza serio będziesz, aby żadne com meaty, posiłki, suplementi, nieprzyjacielowi od postronnych nie były przyselane, tudziesz aby za granice spolia krajów Naszych hostilitate hac złupionych zebrane, wywożone nie były, wszakże i jeżeli się iaka exercendæ militaris gloriæ Wierności Waszey podała okazy, lub iunctim z wojskami koronnemi, lub innym sposobem, zechcesz Wierność Wasza zarabiać na nieśmiertelne imię, y pamiętną Rzeczypospolitey reflexyę, którym to ludziom, gdy żołd skarbu naszego nadwornego naznaczamy, Wierność Waszę obligujemy aby ci ludzie jak najskromni y według artykułów wojskowych obchodzili się y żadnych aggrawacyei ubogim ludziom nie czynili, ani hiberny y consistencyi na wojsko computowe należący prætendowali, ale tylko z żołdu swego żyli, którą Wierności Waszey expremissis aplikacyę przynależytych wdzięczności pańskimi y Naszemi respektami nadgrodzić zechcemy. Dan w Ujazdowie d. 18. 8bris. A. 1703.

Augustus Rex.

### III.

*List króla Augusta do księcia Galicya (\*).*

August wtóry etc.

Wielmożny Uprzejmie Nam miły. Wdzięczni bardzo jesteśmy, że Uprzejm. Wasza w tych koniunkturach rezolucyey Porthy Otthomańskiej do przeprowadzenia Króla Szwedzkiego przez państwa nasze Rzplitej, dla zaszczytu spólnych z Najjaśniejszym Carem J. M. interesów oświadczasz się nam, y w liście Wielm. Podkanclerzego K. z ochotną na wszelkie potrzeby swoją y wojsk auxyliarnych pod commendą Uprzejm. Wéy będących przysługą. Mieliśmy y My wiadomości o tychże rezolucyach Porthy Otthomańskiej, y natychmiast pisaliśmy, tak do JW. Kasztelana Krakowskiego Hetmana W. K. iako y do innych Wielm. Hetmanów, aby

(\*) Protocolon expeditionum Cancellarius Regni. A. 1711. fol. 35. Znajduje się w bibliotece rządowej w Warszawie.

się nieodwłocznie znosili z Uprzeym. Wą, aby za wczesnemi dyspozycjami, ściąganiem woysk tak Naszych Rzplitey, jako auxyliarnych Cara JMci na granice, mógł być należyty odpór dany wszelkim imprezom nieprzyjacielskim, aby cokolwiek Uprzeym. Wa widzisz bydź ad eum finem potrzebnego, aby siły nieprzyjacielskie in ipso limine złamać y potłumić, niepozwalając onymże na piérwiastkach żadnego awantażu, któryby mógł serca y śmiałości nieprzyjacielowi dodawać, żądamy usilnie, abys do tego wszelką swoją raczył conferre aplikacją y we wszystkiém znosił się z JW. Kasztelanem Krakowskim, Hetmanem W. K. a My tę tak chwalebłą w spólnych interessach aplikacją na świeżey lokować będziemy pamięci, do świadczenia wszelkich Uprzeym. Wey respektów. Dobrego zatém Uprzeym. Wéy od Pana Boga życzymy zdrowia. Dan w Lipsku d. 15 Stycznia roku 1711. Panowania naszego 14 roku. P. S. Kiedy zaś Uprzeym. Wa na złączenie z woyskami koronnymi, ad danda incunctanter repressalia, Nieprzyjacielowi wojska auxyliarne Jego Carskiego Włectwa gromadzić będziesz, pewni iesteśmy iż Uprzeym. Wa tych regimentów Infaterzey do Daniey destynowanych, jako y dwóch dragońskich do tegoż transportu naznaczonych na tę imprezę przeciwko Turkom y Tatarom nie zażyjesz, ale tylko z tą kawaleryą którą masz pod swoją komendą concertata z Wielm. Hetmanami Obojga narodów, bez żadney zwłoki do exekucyey przyprowadzić zechcesz, zostawiwszy na swoich kwartyerach pomienione corpus infanterzey y Regimenty dragońskie do Daniey destynowane, gdyż in casu wtargnienia Szwedów z Pomeraniey, które ma bydź razem jak się potencya Turecka od Benderu ruszy pomienionych regimentów złączonych z naszemi, zażylibyśmy przeciwko Szwedom.

### III.

*List króla Augusta II do Adama Sieniawskiego hetmana W. K. kasztelana krakowskiego (\*).*

Monsieur. Il y a huit jours passés que l'officier que Vous aviez envoyé, est parti d'icy, pour s'en retourner auprès de Vous, avec mes réponses sur les depeches qu'il avait portées. En m'y remettant je Vous diray par celle cy, que les deserteurs, qui viennent presque tous les jours de Stralsund, rapportent unanimement, que Smigielski en est sorti avec ses gens legers, pour aller à Stetin, et de là vers Cracovie à la rencontre

(\* ) Protocolon expeditionum Cancellarius regni. A. 1711. fol. 342.

du Palatin de Kiiovie son beau-père. Il est donc très-necessaire que Vous commandiez sans aucun delay quelque gros corp de l'armée de la Couronne sous un comandant affidé et experimenté dans le palatinat de Cracovie, pour observer et couper le Palatin de Kiiovie, avec ses autres adherents suèdois, et tacher d'enlever aussi bien le dit Palatin, que son beau-fils Śmigielski. J'attends des nouvelles du mouvement du Roy de Suède et de l'issue des conferences de Messrs Nos Plenipotentiaires avec les agas, continuant icy les dispositions necessaires pour l'attaque de Stralsund et de l'isle de Rügen. En recommandant cependant a vos soins mes regiments, qui sont dans le comput, et qui veillent icy actuellement à la securité de toute la Republique, afin qu'ils soient payés ponctuellement en vertu de Nos assignations en Prusse et dans la Grande Pologne suivant la cæpitution, je prie Dieu, qu'il Vous ait dans sa sainte garde. Donnée au camp devant Stralsund, le 25 de 7bre 1711.



# PIENIĄDZE I KLEJNOT SZLACHECKI.

P O W I E Ś Ć.

---

Część druga.

V.

Panna Levrault przejechałszy spieszenie przez pole suche, na którym ani śladu bagien nie było, stanęła przed niewielkim pagórkiem u stóp zamku, który jakkolwiek przez czas nadwerżony, przecież resztki dawniej świetności zachował, pyszniąc się nimi, jak ów Hidalgo podziurawionym płaszczem. Zawsze dobroczynna natura, osłoniła jego rany kwiatem i zielonemi listkami. Wiklina i wierzby rosły w fosach, gdzie skrzeczały żaby; bluszcz i jeżyna pięły się aż do szczytów wieżyc; ze wszystkich szpar i rozpadlin wyglądały polne gwoźdźki i stokrocie. Do przedsiionka z podwórza, prowadziło dziesięć wspaniałych stopni. Okolica zamku bardzo tchnęła wiejszczyzną, a nawet trochę dziko wyglądała. Rękodzielnie i fabryki jeszcze tu nie zawitały. Sèvres nie rzucało w tę stronę nawet cienia zbyt kownego przepychu. Wioska leżąca od zamku w odległości dwóch karabinowych strzałów, stanowiła gromadkę tu i owdzie rozrzuconych folwarczaków, które okalały wiejski kościółek.

W tej chwili dziedziniec był pusty; zdawało się, że nawet zamek jest bezludnym. Nic na zewnątrz nie wykrywało śladu żywej duszy; najmniejszy szmer, ani ruch, ani też niebieskawy dymek wymykający się z komina, nie okazywały, aby zamek był zamieszkałym. Przez bramę na oścież otwartą, można było dostrzedz trawę, rosnącą w spokoju między szczelinami schodów i starym brukiem na dziedzińcu. Jeżeli ta siedziba nie była wskazana na zaniedbanie, to przynajmniej musiała należeć do jednej z nieobecnych rodzin, o których wice-hrabia wspominał. Ale zapytajmy się jeszcze raz, dlaczego miejsce to przedstawił wice-hrabia jako

niebezpieczne, poprzerzynane błotami i bagnami: tę drogę tak miłą, wiodącą po pulchnój murawie bez zawał do prześlicznego pagórka, do podnoża samotnego zamku? Dlaczego nazwisko Rochelandierów nie wymknęło się ani razu z ust wice-brabiego? Takie zapytania robiąc sobie panna Levrault, porównywała téż smutną postać zameczku Montflanquin'a, ze wzniosłą a nawet zuchwałą jeszcze miną tutejszego feodalnego mieszkania. Byłoto porównanie kretowiska, z orlem gniazdem.

Laura zsiadła z konia, i unosząc suknię amazońską, postąpiła kilka kroków na dziedziniec, dla zbadania zblizka tarczy herbowej, wyrytej nad bramą zamkową. Widok blanków i wież, dostatecznym był do rozproszenia wrażeń, jakimi ją piękna natura natchnęła; głaz na którym herb wykuto, rozwiął w niej cały urok, poezją łąk i niw okolicznych. Laura miała się już oddalić, kiedy poważna matrona ukazała się na zamkowym tarasie. Piérwsza myśl Laury była o ucieczce, ale szlachetna pani zamku nie dała jój na to czasu.

— Spodziewam się, mościa panno — rzekła dama ze słodkim uśmiechem — że moja obecność nie nabawiła cię strachu. Nigdybym w życiu nie przebaczyła sobie tego, gdybym przeraziła tak młodą, lubą i piękną istotę.

— Pani — wyjąkała Laura zarumieniona — wybacz mojej śmiałości; wszystko tu kazało mi sądzić, że zamek jest niezamieszkały.

— A więc piękna dziewico, jesteś ukarana za swe roztargnienie, gdyż zostałam moją branką. Mam nadzieję, iż nie odmówisz spoczynku przez kilka chwil, u margrabiny La Rochelandier.

I margrabina podała dziewczycy piękną i białą rękę, dla zachęcenia jój do przebycia stopni, prowadzących do przedsionku.

Panna Levrault nie widziała się nigdy na takich godach; nie czekając przeto powtórzenia próby, przyjęła rękę margrabiny, która ją wprowadziła do obszernego salonu, gdzie nie było widać przepychu, ale gdzie mogła znaleźć gasnące już szczątki dawnój wspaniałości. Wszystkie nadedrzwia ozdobione były widokami, malowanemi w rodzaju obrazów Watteau, Lancret i Franciszka Boucher. Na szerokim kominku z białego marmuru, stało wielkie zwierciadło, którego ramy przedstawiały w rzeźbie mnóstwo splełanych gałęzi, a kończyły się niszami i wieżyczkami. Wszystko było nadniszczone i zakopcone; krzesła i fotele osłonięte pokrowcami białemi, więcej dla pokrycia starości, niż dla ochrony przed niszczącym czasem. Obicia z szerokimi szlakami pokrywające mury, wymagały naprawy. Mniemam nawet, że kilka więcéj mebelków, nie byłoby zbyt przydatnych w tym wielkim salonie, którego najcelniejszą ozdobę, rodzinne wizerunki stanowiły. Byli tam wszyscy Ro-



chelandierowie w swoich gotyckich ramach, zbrojni żelazem lub odziani w gronostaje, zdobni krzyżami, uszamerowani wstęgami. Między portretami dam, jedna szczególniej zwróciła uwagę Laury. Była to znakomita pani w stroju pasterskim; ubiór jej składał się z czarnej sukni morowej, kapelusika ledwie tył głowy osłaniającego, i czerwonych pończoch; w ręku trzymała koszyczek i kij pasterski. Stała ona poważnie wpośród swój trzody, a przed nią na témże samém płótnie, przedstawiony był La Rochelandier, w jedwabnym kaftanie, z szerokimi rękawami i peleryną, w kapeluszu z dużemi skrzydłami, podający jej w pokornej postawie białego królika, osłoniętego w koszyku różami. Portret margrabinyni najmniej nie szpecił tego zbioru arystokratycznych postaci. Chociaż młodość margrabinyni dawno już przeminęła, jednak była jeszcze piękną; szła ona ze wzniesioném czołem, krokiem pełnym godności, a postawa jej była jakby jakiej królowej. Wszystko w niej oddychało panowaniem. Usta jej uśmiechające się i uroczego wdzięku, zdawały się przeciwz dołniejsze do wyrażania pogardy, jak przychylności. Duma rodowa tkwiła na czole. Oko badacza za pierwszym rzutem dostrzegłoby w niej kobietę, uprzejmą z wyrachowania, nakazującą z natury, którą Bóg stworzył do panowania mniej przez powab słabiej płci, a raczej subtelnością umysłu, i dzielnością nieugiętej woli.

Zaledwie Laura weszła do salonu, wymieniła nazwisko swego ojca, a Bóg raczy wiedzieć, ile ją kosztowało wymówienie tych prostych wyrazów: „jestem córką pana Levrault”, pod piorunującym wzrokiem wszystkich portretów rodziny margrabinyni, które zdawało się, że w nią oczy utkwiły. Laura za wymówieniem nazwiska Levrault, upatrywała szydzącego uśmiechu na twarzy każdego wizerunku, który z martwego płótna wylatywał jak strzała, i prosto zmierzał do jej serca. Następnie opowiedziała, jakim trafem znalazła się samotna wpośród pola, jak ciekawość popchnęła ją aż na dziedziniec zamkowy.

— Jaktó!—zawołała margrabinina, —pani jesteś córką bogatego przemysłowca, który zamieszkuje w Trelade? Często mówiono mi o ojcu pani. Wiem, że odwiedził wiele rodzin w okolicy. Wyznaję, iż rachowałam, że zamek La Rochelandier nie będzie ostatnim, gdzie się p. Levrault przedstawi. Tego poranku jeszcze dziwiłam się, że ojciec pani postanowił inaczej sobie postąpić, ale obecnie bardzo tego żałuję.

— Pani margrabinino—rzekła Laura z pośpiechem—mój ojciec jest mniej winnym, jak go raczyłaś osądzić. Jesteśmy obcemi w tych stronach. Osoba, która się podjęła kierować wyborem mających się zawiązać znajomości i stosunków, nigdy nam nie wspomniła o istnieniu zamku La Rochelandier. Ani razu imię pani nie było wspomniane w Trelade, od

czasu jak tam zamieszkujemy; przypadek zdarzył, że go przed godziną pierwszy raz usłyszała. Bez wątpienia wice-hrabia nie wiedział, że pani margrabina do swoich dóbr powróciła, inaczej trudno byłoby pojąć....

— Wybacz—odparła margrabina przerywając Laurze—czy osobą tą, która się podjęła kierować wyborem waszych stosunków, byłby przez szczególne zdarzenie....

— Wice-hrabia Montflanquin.

— Teraz pojmuje—odpowiedziała z dumą margrabina, że wice-hrabia Montflanquin, nie mógł otworzyć drzwi, do których nie posiada klucza. Ależ pani—dodała wesoło—jeżeli pan Levrault odwiedza tylko te domy, gdzie go wice-hrabia wprowadza, to bez wątpienia musi żyć w zupełnej samotności.

— Tak jest pani margrabino, niewiele widujemy osób—odpowiedziała panna Levrault, która zaczynała rozważać znaczenie wyrazów margrabiny. Mieszkamy od trzech miesięcy w Trelade, a kółko naszych znajomości ogranicza się dotąd na wice-hrabi Montflanquin, kawalerze Barbanpré, i hrabi Kerlandec.

Zaledwie Laura wymieniła te nazwiska, margrabina wybuchła serdecznym śmiechem, podobnym do szmeru kaskady; trzęsła się nie mogąc usiedzieć w swoim krześle, kiedy Laura z zakłopotaną miną nie wiedziała, co ma z sobą począć.

-- Ah przebacz, przebacz — rzekła nareszcie pani La Rochelandier, kiedy wybuch jej wesołego śmiechu cokolwiek się uspokoił:—czuję, jak nieprzyzwoite jest zachowanie się moje względem osoby, którą ojciec pani nietylko w swoim domu przyjmuje, ale i poufnością zaszczyca. Już mi się to drugi raz nie zdarzy. Nie racz tylko nadal sądzić o bretańskiej szlachcie, według owych trzech próbek, których nazwiska dopieroś pani wymieniła.

— Lecz pani margrabino, wice-hrabia Montflanquin mówił nam, że domy Kerlandec'ów i Barbanpré, nie ustępują żadnym innym, co do świetności i starożytności; sądziłam nawet, że wice-hrabia Montflanquin z tymi dwoma herbowemi panami, stanowią sam kwiat arystokracji tu-tejszej.

-- Przestańmy o tém mówić—odpowiedziała margrabina, zaledwie się powstrzymując;—inaczej pobudziłabyś mnie znowu do śmiechu, a to sprawia mi przykrość, i jest nieprzyzwoicie.

Tu margrabina ze zmartwieniem Laury, zmieniła osnowę prowadzonej rozmowy. Panna Levrault, której nieufność i ciekawość względem osoby wice hrabiego, w szczególny sposób zostały obudzone, starała się

wtrącić na nowo jego nazwisko do rozmowy, lecz nadaremnie: bo margrabina co do tego przedmiotu zachowała ściśle milczenie, które jest gorszym od wyjawienia nagiej prawdy. Nawzajem obsypała Laurę tysiącem grzeczności, okazała się dla niej, obok powagi, z ujmującą dobrocią. W obejściu posiadała margrabina ów takt wyższej arystokracji nieodłączny, który wartość choćby najmniejszej przystugi podwyższa, zdawkową mouetę grzeczności w złoto zamienia, pospolity kwiatek w drogocenny bisior przeistacza. Grzeczność ta była jej wrodzoną, ale pochlebstwo wyszłe z ust margrabiny, pozór samej prawdy przybięrało.

Służący przyniósł tacę obciążoną pysznymi owocami i sokami. Margrabina pragnęła osobiście ugościć młodą amazonkę; spełniła to z całą dwornością, która niezmiernie pochlebiła próżności panny Levrault. Następnie obie damy przeszły się po tarasie zamkowym i aleach parku, który jakkolwiek był nierozległy, ale przyjemny, dzięki zaniedbaniu w jakim go zostawiono od lat dwudziestu. W mieszkaniu margrabiny nie przypominało zbytku i świetności, jaka panowała w zamku Trelade. Przeciwnie, wszystko tam tchnęło zaniedbaniem, ubóstwem; ale też za każdym krokiem, można tam było znaleźć niestarte ślady długiego szeregu naddziadów. Laura za te tarcze herbowe, za te portrety familijne, za te wieżyce zębate, chętnie oddałaby zamek Trelade, psiarnie i konie swojego ojca, a razem pp. Barbanpré, Kerlandec i Montflanquin w dodatku.

Godziny upływały. Panna Levrault wróciwszy z margrabinią do salonu, chciała ją pożegnać.

— Zobaczymy się znowu, nieprawdaż?—powiedziała margrabina z serdeczną uprzejmością.

— Możesz być pani pewną, że mój ojciec pospieszy złożyć jej swoje uszanowanie, i podziękować za przyjęcie, jakiego doznałam w zamku La Rochelandier. Co do mnie, to nigdy nie zapomnę doznanej tu miłej gościnności.

— Zechciej pani powiedzieć z méj strony panu Levrault, że posiada córkę godną uwielbienia. Słyszałam o jego bogactwach, jednakże wątpiłam, aby tak drogi skarb posiadał; lecz mniemam, pani—dodała margrabina,—że nie możesz powrócić sama do Trelade. Nasze drożyny są ci nieznane, albo przynajmniej mało uczęszczane. Zatrzymaj się pani z odjazdem, aż mój syn powróci; dla Gastona będzie prawdziwą przyjemnością jej towarzyszyć.

Dotychczas pani Rochelandier nie wspomniała ani słowa o swoim synie. Na tę niespodziewaną wiadomość Laura zadrżała. W tej prawie

chwili kopyta końskie zatętniły na dziedzińcu pałacowym, a w kilka sekund piękny młodzieniec wszedł do salonu. Oblicze jego było miłe, a razem wyniosłe, rozsądek błyszczał na jego czole, które pukle jasnych włosów ocieniały. Chociaż wiosna jego życia dopiero się rozpoczęła, jednak smętne spojrzenie, i postać cierpiąca, zdradzały tajemny niepokój duszy młodzieńca. Wysoki, szczupły, ubrany był starannie, ale skromnie, i zdawało się, że najwięcej dwadzieścia pięć lat mógł liczyć. Ujrawszy go Laura, pojęła nareszcie sens moralny bajeczki, utworzonej przez Montflanqui'na. Zjawienie się syna margrabiny oblało jakby potokiem światła umysł dziewicy, rozjaśniło ciemności djabelskiej drogi. Dosyć było ujrzyć Gastona, ażeby zdjąć maskę z Kaspra.

Młody La Rochelandier uklonił się poważnie dziewicy, i ucałował rękę matki z czułością, oraz poszanowaniem.

— Gaston—rzekła margrabina—wróciwszy nie spodziewałeś się bez wątpienia znaleźć tak piękny kwiat, zabłąkany wśród naszych starych murów. Podziękuj przypadkowi, który ci zgotował tak miłą niespodziewankę. Panna Levrault raczyła dozwolić, abyś jej towarzyszył aż do Trelade. Jeżeli zastaniesz pana Levrault, oświadczyć mu moje pozdrowienie.

Gaston, co znał całą dumę swojej matki, rzucił na nią ciekawe spojrzenie; ale powstrzymując się, rzekł w téjże chwili:

— Pani, jestem gotów na twoje usługi; mój koń stoi jeszcze nierozsiodłany, pojedziemy skoro tego zażadasz.

Panna Levrault usiłowała oszczędzić przymuszonych trudów młodzieńcowi. Ale gdyby ją pochwycono za słowo, byłaby może tego żałowała. Szczęściem nie tak się stało, bo margrabina tyle nalegała, że nareszcie Laura prośbie uledez musiała. Gaston przez grzeczność połączył swe nalegania z wymaganiem matki. Pani La Rochelandier towarzyszyła im aż do podwojów pałacu, patrzyła jak na koń wsiadali, ścigała ich wzrokiem w całej długości alei, i nie powróciła do salonu, dopóki wśród zakrętów cienistej drogi, z oczów jej nie zniknęli. Wchodząc do pałacu, na obliczu margrabiny malowało się zadowolenie, że dzień ten nie był dla niej straconym.

Bez wątpienia, poeta, albo tylko lubiący dumać, ujrawszy tych dwoje dzieci jedzących koło siebie, pod czystym niebem, wśród woniejących łąk, musiałby zawołać: oto jest dwoje zakochanych! I dusza dumającego zabłąkałaby się wśród tkliwych wspomnień, drogich sercu pamiątek. Co do mnie, gdybym się puścił za polotem mojej fantazyi, powiedziałbym, że dwoje tych młodych ludzi zwolna uczuło pociąg wzajemny, usiłowałbym cofnąć się do mych dni młodości, aby zanucić czułą pieśń, pod cieniem drzew, na brzegu strumienia, przy pochyłości pagórka. Na nieszczęście,

historya ta nie jest sielanką, i z całego serca żałuję tych, którzy spodziewali się znaleźć w niej świeżość, poezją i wdzięk sentymentalnych uczuć.

Czy chcecie wiedzieć, czém się zajmowała panna Levrault jadąc obok Gastona? powiem wam zaraz. Otóż nie zajmowała ją ani piękna postać młodzieńca, ani elegancya jego ruchów, ani smętne spojrzenie... ale jego tytuł margrabiowski. Nie mogła tego nie widzieć, że Gaston był daleko młodszy, piękniejszy, lepiej ułożony jak Montflanquin; ale nad to wszystko, Gaston był jeszcze margrabią, a Montflanquin tylko wice-brabią. Obojętne dla niej były przymioty duszy, wartość osobista jój towarzysza; ale łechtało jój miłość własną, że przybędzie do Trelade w towarzystwie margrabięgo. A potem, co to za piorunujący cios dla Kaspra! Już naprzód cieszyła się jego osłupieniem, jego zgryzotą. Ukryć przed wzrokiem Laury mężczyznę młodego, pięknego, z którego byłby wyborny mąż, to niewielką wyrządzonoby jój krzywdę; ale ukryć przed oczami Laury margrabięgo, to była zbrodnia w przekonaniu jój nie do darowania. Osądźcież teraz, czy podobne rozmyślenia, mogły w sercu dziewicy obudzić uczucie miłości.

Co do młodego La Rochelandier, w czasie kiedy jechał obok Laury przez gęste zarośla i drużynę tak wąską, że nieraz jój zastona od kapelusza o twarz jego się otarła, mimowolnie nasuwały się mu na myśl miliony pana Levrault; a ponieważ Gaston miał delikatne i dumne uczucia, to takie uwagi nie mogły przywołać do jego serca miłości, jeżeli miłość błąkałaby się około jego młodzieńczego serca.

Cierpiąc przez swe ubóstwo, nie chciał jój ubliżyć; ale téż za nic na świecie nie chciał się przed bogactwem uniażać. Z tych powodów w obliczu panny Levrault przybrał postać zimną, obojętną, cokolwiek nawet dumną. Gdyby jak on była Laura ubogą, byłby bez wątpienia zwrócił uwagę na jój zgrabną kibić, piękną postawę, gdyż Laura rzeczywiście była piękną; lecz wówczas kiedy ona widziała w nim tylko margrabięgo, on téż upatrywał w niej, tylko córkę milionera.

Kiedy rzeczy tak stały, nie ma potrzeby dodawać, że przechadzka Laury z Gastonem nie miała w sobie nic sentymentalnego. Gdyby ktoś zbliżka słuchał jój rozmowy, musiałby się wstydzić za Laurę. Panna Levrault usiłowała przekonać margrabięgo La Rochelandier, że ona nie była córką dawnego handlarza sukna, jak o tém złe języki po okolicy rozniosły; nieustannie wspominała o swoich związkach z dziećmi wyższej arystokracji. Jój dawne towarzyszki pensyi, których z duszy serca nienawidziła, były wszystkie dla niej przyjaciółkami od serca. Słuchając jój Gaston, kilka razy nie mógł powściągnąć uśmiechu.

Przez zręczne obejścia, Laura starała się zbadać, jak trzyma jój towarzysz o Montflanquin'ie; ale Gaston zachowywał się w tych samych szrankach, co i jego matka. Tylko, kiedy Laura zapytała się o pannę de Chanteplure, przygryzł wargi, nie mogąc stłumić wybuchu wesołego uśmiechu. Po dwugodzinnej podróży, spostrzegli nareszcie spośród liści wymykające się szczyty zamku Trelade.

— Pani—rzekł Gaston, który bynajmniej nie miał ochoty składać swojego uszanowania panu Levrault—oto jój mieszkanie, mój obowiązek spełniony; jeżeli zezwolisz, dalej nie pójdę.

Laura inaczej rozumiała. Obecność margrabiego była nieodzowną, dla zrobienia efektu przy jój wejściu do salonu; a nadto pragnęła, ażeby młody La Rochelandier, uniósł z sobą dokładniejsze wyobrażenie o przepychu i bogactwie pana Levrault.

— Nie przebaczyłby mi mój ojciec—rzekła—gdybym panu w ten sposób odjechać dozwoliła. Rozumiem, że pan margrabia chcesz uniknąć jego podziękowań. Znalazłam gościnne przyjęcie w zamku La Rochelandier, zechćiej więc spocząć w zamku Trelade. Nie znajdziesz tam wdzięku i dowcipu matki pana, ale ojciec mój będzie szczęśliwy poznać go, i z własnych ust pana usłyszeć pozdrowienie, jakie pani margrabina raczyła przesłać przez niego.

Gaston nie zdawał się być przekonany o potrzebie składania hołdów nowemu panu zamku Trelade; Laura nie ustawała w naleganiach. Mała ta sprzeczka trwała jeszcze, kiedy obadwa konie zatrzymały się przed bramą pałacową.

## VI.

Ze sposobów, jakimi pan Levrault nalegał na wice-hrabiego ażeby pozostał w Trelade, zrozumiał Montflanquin, że nareszcie stanowcza chwila dlań nadeszła. W istocie, wstając rano przyrzekł sobie wielki przemysłowiec, iż dzień ten nie może się inaczej skończyć, tylko uwięzieniem jego nadziei. Postanowił on dla przyspieszenia rozwiązania zrobić tak z Montflanquin'em, jak Mahomet z górą: czyli jaśniej mówiąc, zdecydował się narzucić zręcznie wice-hrabiemu swoją córkę i swoje talary. Otóż pan Kasper dobija do brzegu. Od dwóch miesięcy czuł on luby dźwięk milionów pana Levrault; ale zamiast pochwycić je skwapliwie i na sztych się wystawić, przez pośpiech ujrzał je prześlizgujące się jak piskorze między swemi palcami, wołał czekać dla większego bezpieczeństwa, ażeby same przyszły do jego kieszeni. Szczególny to i jedyny może był widok w dziejach łowiectwa.

Zapewniwszy się, że Laura pojechała w stronę Clisson, zupełnie przeciwną zamkowi La Rochelandier, wice-hrabia pełen dobrego humoru wrócił połączyć się z panem Levrault, pod cieniem drzew parku.

Pan Levrault całą noc poświęcił na kombinowaniu manewrów, które powinny były oskrzydlić Kaspra; gdyż pocziwiec ten uważał, iż trzeba było brać się do rzeczy z całą zręcznością i umiejętnością, lękając się, aby mu zdobycz jego nie umknęła.

Dla utorowania sobie drogi, i zbudowania złotego mostu dla wice-hrabiego, p. Levrault rozpoczął rozmowę z pozorną dobroduszością, o swoich zamiarach, o swoich planach. Byłyto jego marzenia o zaślubieniu swój córki w Bretanii, zakupieniu wielkiej posiadłości w okolicy Trelade, gdyż strony te bardzo mu się podobały. Mąż Laury powinien być potomkiem uszlachetnionej od wieków rodziny; co do majątku, to dlań rzecz obojętna, i jakkolwiek byłby ubogi jego zameczek zrujnowany, to on się postara, ażeby mury i wieże były naprawione, czynszownicy zgromadzeni, zgoła, majątek naddziadów do dawniej świetności przyprowadzony. Od czasu do czasu p. Levrault zapytywał się o zdanie Montflanquin'a.

— Jak pan to uważasz? co pan o tém myślisz? Wice-hrabio, wszakże mam w tém słusność?

Wice-hrabia słuchał pytań z miną roztargnioną, kiwał głową, i zaledwie odpowiadał. Cbiał on pozostawić zaszczyt zwycięzcy, wyłamania bram otwartych, ostrzelania bastyonów bezbronnych, i zmuszenia poddania się fortecy, ogołoconej z załogi.

Po wyłożeniu swoich zamiarów, pan Levrault dowcipném przejściem, przystąpił nareszcie do uwag nad losem i przyszłością wice-hrabiego. Dziwił on się i nie pojmował, dlaczego potomek tak znakomitej rodziny, wskazywał się z pociechą serca na bezczynność, ciche i nieznanne życie, zamiast szukać sposobów odnowienia świetności swojego domu. Żywy współdział, uczucie prawie ojcowskie, jakie przebijało się dla Kaspra, upoważniało p. Levrault do mówienia z całą surowością. A więc Kasper był winowajcą; Kasper się zaniedbywał, zdradzał zarazem pamięć swoich naddziadów.

Co o tém mogły sądzić cienie Baudouin'ów i Ldusignan'ów? Dawniejszy handlarz sukna z ulicy Bourdonais, całą tę rozprawę prowadził z tak wspaniałą wymową, o której nie jestem w stanie dać dokładnego wyobrażenia. Żaden z Rohanów nie lepijby perorował nad obowiązkami, nieodłącznymi od wielkich imion.

Pan Levrault sam siebie musiał uwielbiać, i cieszył się upokorzeniem Kaspra. Kasper jakby przywalony ciężarem niezbitych i ciężkich

prawd, które właśnie usłyszał, szedł z pochyloną głową, zatrzymując się kiedyniekiedy, dla poniesienia ręki do czoła. Tu i owdzie chytry kmostr ośmielił się wcisnąć słówko, jakąś odpowiedź. Dla podniecenia walki, bronił każdej piędzi ziemi, ustępował tylko z żalem, i odzyskiwał niekiedy pobojuwisko, które na chwilę utracił. Nakoniec przyszła chwila, w której był pewny swego zwycięstwa; pan Levrault postępował w rozprawie jak hipopotam, przez ciernie kolące po drodze. Wice-hrabia musiał z pokorą uznać się zwyciężonym.

— Słuszność na twój stronie, panie, przyznaję—zawołał wice-hrabia z rezygnacją.—Twój głos oświecił mój umysł: teraz pojmuję, iż uchybiłem wszelkim moim obowiązkom. Dlaczegóż nie spodobało się Bogu, abym cię piérwój poznał panie?! Oświecony, kierowany twojém wyższém doświadczeniem, nie strawiłbym najpiękniejszych dni młodzieńczych w suchój bezczynności. Teraz już zapóźno. Łącząc się z młodszą linią Burbonów, spaliłem moje okręta. Nie potrzebowaliśmy jak wyrzec jedno słowo u dworu, aby pozyskać łaski; ale tego słowa nigdy nie wyrzeknę.

— Pochwalam cię panie wice-hrabio. Nie Levrault to będzie ci doradzał niekzemność. Oceniam delikatność uczuć twój pięknej duszy. Nie chcesz aby cię posądzano o połączenie się przez rachubę, w interesie osobistym. Zachowaj twój wpływ dla krewnych, przyjaciół, ale nie żądaj nic dla siebie samego. Montflanquin się oddaje, ale nie sprzedaje. To pięknie, to szczytnie, rycersko; na twojém miejscu, panie, inaczejbym nie postąpił. Szczęściem wice-hrabio, masz jeden środek zaszczytny i pewny podźwignienia swego domu, zajęcia w świecie wyższego stanowiska, jakie ci się z urodzenia należy.

— Jakizto sposób, panie — zapytał Kasper z niedowierzającym uśmiechem.— Uczyniłeś mi zaszczyt, zwiedziwszy moje wice-hrabstwo; wiész przeto, co mi zostawiły w dziedzictwie rewolucye.

— Panie wice-hrabio — odrzekł p. Levrault głosem uroczystym.—Minęły czasy, kiedy szlachta i mieszczenie żyli z sobą, jak pies z kotem: przebac mi to wyrażenie, pożyczone od gminu. Niegdyś rywale, dziś szlachta i mieszczenie pogodzili się pod cieniem lipcowego tronu. Te dwie władze, dążą codziennie do coraz większego zbliżenia; nie jestto już osobliwością widząc ich podających sobie dłonie, mieszających swą krew, swoje interesa, i udzielających sobie wzajemnego wsparcia. Teraz szlachcic nie uważa się za zhańbionego, zaślubiwszy córkę bogatego bankiera, lub zamożnego przemysłowca. Znam twe uczucia panie wice-hrabio; nigdy nie myślałeś potępiac podobne związki, które coraz więcj



są częstszymi, i stają się jakby zarysem, niejako ogniwem łączącym przeszłość z przyszłością naszej pięknej ojczyzny.

— Łącząc się z dynastją lipcową—odpowiedział Kasper z powagą, jawnie oświadczyłem mój sposób myślenia w tym przedmiocie. I dlaczego się połączyłem, jeżeli nie dlatego, aby potwierdzić to zlanie klasy mieszczańskiej z kastą szlachecką? Trzeba, ażeby przykład szedł z góry; zrobiłem z siebie ofiarę. Zawsze poważalem mieszczan. Nigdy nie tailem się z sympatją, jaką dla nich uczuwam: nie czekałam aż ogarną władzę, aby się z tém oświadczyć. Szacuję ich prace; oddaję cześć ich cnotom. Mieszczaństwo wierne swoim dziełom, teraz panuje i rządzi; jest reprezentantem żywotnej siły narodu; samo z siebie stało się arystokracją, którego tytuły zostały zapisane na każdej karcie w złotej księdze Francyi.

— Rozumié się—dodał pan Levrault—że tu nie ma mowy o tój pośredniej klasie, która trzyma jeszcze z ludem, jako połączona z nim przez swe obyczaje i potrzeby, ale o znakomitych bankierach, przemysłowcach, którzy sami jedni nową arystokracją przedstawiają. A więc panie wicehrabio, dlaczego w jój szeregach nie szukasz związków, czemu nie chcesz połączyć się z tém mieszczaństwem, któremu oddajesz sprawiedliwość, dla przywrócenia blasku swojemu imieniu? Przecież nie możesz wiecznie oplakiwać panny de Chanteplure! Nasze obowiązki na tym padole, ograniczają się na pogrzebaniu zmarłych; my mamy co innego do zdziałania. Ja, co ci to mówię, miałem jedyne go syna; strata tego anioła nie przeszkodziła mi przecież do zrobienia trzech milionów. Panna de Chanteplure utopiła się; bez wątpienia jest to nieszczęście; ale twoje łzy choćbyś ich zdroje wylał, nie przywrócą ją do życia. Przysięgłeś pozostać jój wiernym; wszyscy rozkochani podobnie przysięgają. Panie wicehrabio, nadszedł czas aby zacząć życie użyteczne. Nie po to nas Bóg przysłał na ziemię, aby szlochać całe życie jak małe dzieci. Masz obowiązki przedłużyć twą rodzinę: jest to spuścizna, którą następcom przekazać koniecznie potrzeba. Słuchaj więc, co przez usta moje mówią do ciebie Montflanquin'owie Baudouin'owie, Lusignan'owie: wicehrabio Kasprze, trzeba się ożenić.

Tak rozprawiając zbliżali się do zamku, i nareszcie weszli do salonu. Na te wyrazy: trzeba się ożenić, Kasper upadł na krzesło, i zakrył oczy rękoma. W takim stanie długo pozostał, kiedy pan Levrault stojąc przed nim, nieporuszony z założonemi na krzyż rękami, spoglądał nań okiem zwyciężkiem.

— Mam cię!—mówił sobie dawny handlarz, upojony szczęściem i dumą.

— Złapał się — mówił sobie Kasper, krztusząc się od radości i od śmiechu, który rękami zasłonić usiłował.

— Świadczę się niebem — zawołał wice-hrabia głosem przytłumionym — nigdy ambicya nie osłabiła w mém sercu pamięci o pannie Chanteplure. Na cóż mi się zdadzą honory, bogactwa, świetność mego plemienia, odbłysek tarczy herbowej? Niech raczej zginie w niepamięci ludzi imię Montflanquin'ów, niż w mojem sercu słodkie imię Fernandy! Tak, przysiągłem jój wierność; lecz niestety, dyament nadweręża dyament, a miłość uczyniła mnie krzywoprzysięcą.

I jakby przerażony wyznaniem, które mu się wyrwało, pochylił czoło na poręcz krzesła, na którym siedział, aby ukryć pomieszanie i wstyd przed wzrokiem pana Levrault.

— A więc! panie wice-hrabio, zgoda na miłość — zawołał wielki przemysłowiec. — Nie piérwszy to dopiéro figiel wyplatał ten złośliwy bożek. Laura, co zna historiją Francyi na palcach, często wspominała mi o jednym królu, którego miłość dla pewnej damy, popchnęła go do odzyskania królestwa. A więc zgoda z miłością, panie wice-hrabio! Czego się rumienić? dlaczego spuszczać oczy? dlaczego zasłaniać przed moim wzrokiem tę twarz szlachetną? Podnieś głowę bohaterski młodzieńcze. Dostyc już wycierpiałeś, dostyc długo walczyłeś; panna de Chanteplure nic więcej od ciebie wymagać nie może. Jeżeli jój cienie nie są jeszcze zadowolone, to już nie wiem czego im potrzeba. Mów, odstoń zupełnie twoje zapaly, powiedz staremu przyjacielowi, twojemu staremu Levraultowi, imię téj piękności, która cię zachwycić potrafiła. Którakolwiek byto była, zaręczam ci, będziesz szczęśliwy. I jakażto rodzina nie zapragnęłaby cię mieć wpośród swych progów domowych? któraż kobieta nie byłaby dumną, podbiciem takiego serca jak twoje? któryż z ojców nie pyszniłby się, że cię może nazwać swoim zięciem?

Czyż Kasper mógł się oprzeć téj pociągającej wymowie? Zerwał się więc nagle, jak djabełki na sprężynach, kiedy otworzą pudełko w których są zamknięte. Błogosławieństwo wybranych jaśniało na jego czole, momentalnie zdawało się, jakby był przemieniony. Zrobił kilka kroków ku panu Levrault, który utkwiał w nim wzrok czarodziejski, usta wicehrabiego miały już wyrzec tajemnicę jego duszy, kiedy w téjże chwili z trzaskiem drzwi się otwały, i weszła Laura z wyniosłością, w towarzystwie margrabiego La Rochelandier.

Na to niespodziewane zjawienie, Kasper pojął, że statua Komandora i cień Banka w porównaniu z temi dwoma figurami, nie były jak tylko dziecinną igraszką; został jakby skamieniały na swém miejscu. Ze swój

strony pan Levrault niepomalu się zdziwił, widząc wchodzącego gościa, który nie był ani kawalerem Barbanpré, ani hrabią Kerlandec.

— Mój ojciec—rzekła Laura jakby nie uważała obecności wice-hrabiego—przedstawiam ci pana margrabiego de La Rochelandier, który raczył mi towarzyszyć do Trelade.

I dziewczica w krótkości opowiedziała, jak szczególne zdarzenie zawiodło ją aż do zamku Rochelandier'ów, własności młodego margrabiego. Kasprowi byłoby daleko wygodniej w cierniowym krzaku, albo na rozpalonym różcie; oddałby był swoje dewizki dyamentowe, swój order, złote ostrogi, aż do ostatniej cegiełki swego zamku, aby w tej chwili, z narażeniem nawet życia, uczuł zapadającą się podłogę salonu pod swemi nogami. Pomieszenie, złość, wstyd podzieliły się jego sercem. Wystawcie sobie jastrzębia, gotującego się do oskubania ptaka, a tu widzi spadającego orła, który mu zdobycz uniesie.

Co do pana Levrault, cały zajęty sobą, nic nie odgadywał, żadnego nie miał podejrzenia, że tu wąż znajduje się w ukryciu. Przybycie margrabiego do Trelade, nie zwichnęło biegu jego myśli. Nie miał co zrobić z La Rochelandier'em, nie odstępował też wice-hrabiego, bo mu był wystarczającym do jego dumnych zamiarów. Nie był niewdzięcznikiem, i nie pochlebiał sobie próżną nadzieją, znalezienia kiedyś zięcia lepiej dobranego. Kasper był wzorem wszystkich zięciów. Gdyby p. Levrault był jego autorem, inaczéjby go nie utworzył. Nakoniec imponująca postać Gastona, słusznie nie mogła zawrócić głowy znakomitemu przemysłowcowi. Poważny i milczący, zimny i wstrzemięźliwy, Gaston miał butną postawę, która tak przystoi ubogiemu naprzeciw bogacza. Pan Levrault znajdował, że ma minę zuchwałą.

— Panie margrabio—rzekł nareszcie Kasper, który czuł potrzebę trzymania się zbrojną ręką—nie wiedziałem, że powrócicie do dóbr swoich.

Gaston spojrział nań z dumą, i odpowiedział zaledwie lekkim skinieniem głowy. Nie wypadało, ani nie przystało młodzieńcowi przyjmowania roli, jakabądźby była w komedyi, która odbywała się w Trelade. Po niejakiéj chwili, Gaston pożegnał pana Levrault i jego córkę, oddalając się tak jak wszedł, tojest bez przywitania i pożegnania wice-hrabiego Kaspra Montflanquin.

Uwolniony od obecności niebezpiecznego gościa, Kasper odetchnął swobodniej. Krótkie zjawienie się margrabiego, wstrzemięźliwość w jego obejściu, niekorzystny efekt jaki wywarł na panu Levrault, samo milczenie pięknej dziewczicy, która wstrzymała się dotąd od najmniejszej wzmianki o drodze djabelskiej, zwolna ostudziły przerażenie wice-hrabiego, który postanowił kończyć z teściem rozmowę, na nieszczęście przerwana

w miejscu najinteresowniejším. Lecz Kasprowi nie miało tak ujść na sucho.

— Panie wice-brabio—rzekła Laura tonem suchym i cierpkim, nie dobrego nie zapowiadającym—nie wiedziałam, że są jacy La Rochelandierowie w naszej okolicy; jeszcze dziś o tém nie wiedziałabym, gdyby traf podobne jak pan zachowywał milczenie. Zdaje mi się przecież, że margrabina La Rochelandier i jój syn, warci są hrabiego Kerlandec i kawalera Barbanpré. Zechciój uważać mości wice-brabio, że o panu wcale nie wspominam.

— Oświadczam, że ten margrabia wcale mi się nie spodobał—zawołał pan Levrault z najżywszą pogardą.— Coto jest ten La Rochelandier? z kąd się to wzięło? gdzie się to poławia? Piérwszy raz słyszę o tych ludziach.

— Powtarzam—odpárt Kasper, udając spokój, którego nie miał w duszy—nie wiedziałem, że La Rochelandier'owie do swoich dóbr powrócili.

— To rzecz bardzo zadziwiająca, panie wice-brabio—dodała Laura z roztargnieniem, hawiąc się ciągle szpicrutą, którą w rękę trzymała.— Otóż od trzech lat jak margrabina z synem swoich dóbr nie opuszczali: brakowało panu czasu, aby się o tém dowiedziéć.

— Pani—odrzekł Kasper —mniemam, iż powiedziałem o wyjeździe margrabiny i jój syna do Frohsdorf przy końcu zeszłej zimy. Powiniennem tu jeszcze dodać, że La Rochelandier'owie należą do téj frakcyi szlachty, którą dawniej widywałem, ale teraz wcale nie widuję.

— Ah! pan nie widujesz La Rochelandier'ów.... Powinnam się była tego domyslić, panie wice-brabio, odgadnąć ze sposobu, z jakim pana powitał margrabia wchodząc i odchodząc.

— Co to wszystko znaczy?—krzyknął pan Levrault, nie mogąc zrozumieć, do czego mowa jego córki zmierza.— Ten margrabia jestto młokos, który wartby był dobrej nau czki. Czy nie uważałeś wice-brabio, że nie miał dla mnie tego uszanowania, jakie się mojemu stopniowi przynależy. Aż litość bierze, jemu być dumnym!.. A założę się, że w méj kieszeni więcéj jest złota, jak potrzeba do zapłacenia za jego majątność, jego zamek i jego herby.

Wymówiwszy to dawny handlarz, wyciągnął z kieszeni pełną garść złota, którym zaczął brzękać w swych szerokich dłoniach. Kasper uczył się wspartym przez p. Levrault; zaczął więc mówić z większą pewnością:

— La Rochelandier'owie nie mogą mi przebaczyć, że się przyłączył do lipcowego tronu, uspokoił Wandę, i zniszczył na Zachodzie ostatnie nadzieje legitymistów, ściganych przez władzę. Przedstawiają oni w Bre-

tanii tę niepoprawną szlachtę, która niczego się nie nauczyła, a o niczym nie zapomniała. Zarażeni wszystkimi przesadami ich kasty, chętni i napuszeni ze swych tytułów, główni nieprzyjaciele wszelkich nowych wyobrażeń, żalują rządów feodalnych, i marzą w swych walących się zamkach, o przywróceniu służebności i wazalstwa. Ponieważ im pozostało dwie albo trzy wieże zrujnowane, sądzą się być powołani do restauracji monarchii z bożej łaski. Nie mówcie im o mieszczaństwie, oni go nienawidzą. Przemysł, ta chwala Francji, ten młody władca świata, dźwignia obecnego czasu, oni nim pogardzają, lekceważą, oni go szykanują. Wszakże oni uważają mieszczan za lud, mieszają z motłochem; w ich oczach, wielki przedsiębiorca, przemysłowiec, tyle znaczy co i kramarz.

— To zawiele!—krzyknął p. Levrault.

— Tak panie; patrz jakimi są La Rochelandier'owie. Widziałeś dopiero margrabiego. Co za pycha, jaka zuchwałość! W czasie tych krótkich odwiedzin, czyż ten szlachetka aby raz okazał, że się znajduje w obliczu znakomitego reprezentanta wyższego przemysłu? Cierpiałem za pana i za niego nawet. Jest jeszcze młody, jesteśmy w równym wieku; może być, że o dwa lub trzy lata jest młodszy odemnie. Nie powiedząż o nim, że to jest margrabia Carabas? Co do jego matki, ona jest zupełnie podobną do margrabiny Pretintailles.

— Panie wice-brabio—odparła Laura, która słuchała całej rozprawy bez zmarszczenia się; — od czasu jak pan widywałeś margrabinę i jej syna, niezmiernie się oni zmienili. Pani La Rochelandier jest uosobnioną grzecznością. Onato sama naprzeciw mnie wybiegła, sama wprowadziła do starego zamku. Zamku chyłącego się, jak pan zauważyłeś. Wszystko co wiem, to to, że on jeszcze cały stoi; znam inne w Bretanii, o którychby i tego powiedzieć nie można. Nie wiem, czy margrabina jest nieprzyjaciółką mieszczaństwa; lecz co mogę potwierdzić to tylko to, że mówiła o moim ojcu z wszelką względnością, o jego pracach z całym szacunkiem.

— To szczęście!—powiedział pan Levrault, głaszcząc się pod brodę.

— Nakoniec panie wice-brabio—mówiła dalej Laura z przyciskiem każdy wyraz—nie było tej posługi, tej grzeczności, którejby mi margrabina nie okazała, z tym wdziękiem i dowcipem, z tém obejściem, o których przyznam się, że dotąd nie miałam wyobrażenia. Co do młodego margrabiego, jeżeli jest butnym, to bez wątpienia z tej przyczyny, że ma do tego niezaprzeczone prawo. Uważam, iż wcale nie do twarzy byłoby szlachci-cowi, któryby głowy wzniośle, i z pewną dumą nie nosił.

— Pani — odparł Kasper ze znaczącym uśmiechem — margrabina jest bardzo dobrą matką. Być może, iż gdybyś zechciała szukać, to nakoniec wyszperałaśby pani przyczynę tych pieśczot.

— Co pan przez to rozumiesz—odparła Laura tonem obraźliwym.— Czy pan chciałeś powiedzieć, że fetując i przyjmując mię z odznaczeniem, kadzono tylko bogactwom mojego ojca?... Szperając tajemnicy pochlebstw margrabin, możeby się wynalazły powody nadskakiwań, któremi jesteśmy zaszczytani od chwili przybycia naszego do Trelade.

Kasper zerwał się z krzesła, pobladły z gniewu. Bledszy od Kaspra, oniemiały z przestachu pan Levrault, kolejno patrzył to na córkę, to na wice-hrabiego, i pytał się, czy nie jest przytomny zabójstwu swoich nadziei. To go tylko pocieszało, iż wszystko mniemał być igraszką snu straszego.

— Usiądź panie wice-hrabio — rzekła Laura słodziuchnym głosem jakby nie nie zaszło.—Nigdy ani na chwilę nie powątpiewałam o pańskiej bezstronności, bezinteresowności, o jego uczuciach i uczciwym charakterze. Bądź pan łaskaw usiąść. Nie chcę, abyśmy się w ten sposób rozstali. Jeżeli mi się wymknęło jakie słówko, mogące zadrasnąć słuszną podejrzliwość pana, bądź szlachetnym, i przebac.

— To mi się podoba!—zawołał pan Levrault, którego ostatnie wyrazy Laury przywołały do przytomności.—Lecz co ci się stało, jaki robak cię ukąsił? Podajcie sobie ręce, moje dzieci, i na Boga, dajcie pokój tym La Rochelandier'om.

Sam Kasper sądził się być ocalonym. Wziął rączkę dziewczicy, lecz kiedy ją miał do ust podnieść:

— Panie wice-hrabio—powiedziała Laura z nieubłaganą zimną krwią— czy nie chciałbyś się pan troszkę zabawić, mówiąc o drodze djabelskiej?

Kasper zadrzał i cofnął swą rękę, jakby uczył pazury zdradziecko wsuwające się pod suknie, i zagłębiające się nagle w jego ciało.

— Pani—rzekł przygryzłszy wargi aż do krwi—oddalam się, zostawiając was nowój przyjaźni. Obyś nie żałowała kiedyś téj, z którą w tak niegodny sposób się obchodzisz! Oto jest jedyne i ostatnie życzenie szlachetnego i czułego serca, które za nagrodę swego poświęcenia, nie odbiera jak tylko niewdzięczność i obelgi.

I wyleciał jak huragan. Nie dlatego, aby miał opuścić stanowisko, nasz przyjaciel Kasper nie był jednym z tych ludzi, coby tak łatwo dali sobie wydrzec milion posagu; ale czuł, że w chwili w której rzeczy tak stały, trzeba było stanowczy krok uczynić. Nie wątpił, że pan Levrault przywoła go, lub gońców za nim wysła dla sprowadzenia do siebie. Miał potrzebę zebrania myśli, zastanowienia, jakich należy użyć sposobów, aby naprawić doświadczone niepowodzenie.

Nie ośmielam się malować osłupienia wielkiego przemysłowca: wyobraźcie sobie rozstrojenie dziecka, które tylko co miało posypać soli na ogonie ptaszka, a widzi go ulatującego na sąsiednią gałązkę. Pierwsze

jego poruszenie było gonić za Montflanquin'em; nogi mu odmówiły posłuszeństwa, jakby przykute do posadzki. Chciał wołać, ale głosu mu zabrakło w piersiach. Tymczasem rozciągnięta na dywanie Laura, uderzała szpicrutą po swój amazonce, i z największą spokojnością śledziła muchy, spacerujące po malowanym suficie.

— Bodaj przepadli, zginęli ci La Rochelandier'owie—zawołał nareszcie pan Levrault, przechodząc nagle z osłupienia do gniewu i rozpacz. — Co się tu stało? co się dzieje? gdzie jest wice-hrabia? Jakież ja nieszczęśliwy, tyle zadawszy sobie trudów, tyle napracowawszy się przez dwa miesiące, jedynie aby go przywabić! Heż zmarnowanego dowcipu, obrotów, aby tylko zbliżyć się do celu! Zwalczyłem jego skrupuły. Z otwartemi rękami oczekiwałem go, miał mię już nazwać swoim teściem. Trzy miesiące jeszcze, a byłbym baronem, zasiadałbym w izbie parów. Powiedz, co on ci zrobił, ten wzór wszystkiój szlachty? Dla ciebie, gotów był rzec się ubóstwa tyle dlań drogiego, wdowieństwa w którym postanowił dotrwać aż do śmierci; on dla ciebie zdradził pamięć o panie Chanteplure; chciał się z tobą ożenić. I oto ni ztąd ni zowąd, bez przyczyny, przewracasz wszystko na wywrot, kolesz go, trąpisz, harcujesz, rzucasz mu w twarz obelgi. Takżeto nagradzasz jego bezinteresowno poświęcenie, i to szlachetne serce!

Kiedy rozpacz p. Levrault cokolwiek się ukoiliła, Laura opowiedziała wszystko, jakim sposobem wpadła na ślad podejrzenia, owój bezinteresowności i dobrej wiary Kaspra, jak z początku wątpliwe podejrzenie, powoli zamieniło się w pewność.

— Niech szatan porwie zamek La Rochelandier'ów—krzyknął pan Levrault, kiedy Laura wszystko opowiedziała.—Miałaś też po co wciskać się w tę jaskinią Szuanów! Ma racją wice-hrabia: ludzie ci nie mogą mu przebaczyć, że się zjednoczył z dynastją wielkiego króla-obywatela, zadał ostatni cios upartym legitymistom, téj partyi wstecznej, którąśmy w r. 1830 usunęli od władzy, my wielcy przemysłowcy. Twoja margrabina i jój gagatek synalek, niech im Bóg przebaczy, nagadali ci, co może być najgorszego o Kasprze; nie dziwię się temu. Partya ta nie zna innéj broni tylko oszczerstwo, nie licząc w to obcych bagnetów. Utrzymuję, że wice-hrabia Montflanquin jest uosobnionym honorem, uczciwością samą. Dlaczego Jolibois przedstawił go nam jako kwiat arystokracji? Dlaczego hrabia Kerlandec i kawaler Barbanpré, ci dwaj burgrabiowie staréj Armoryki, śpiewali mi z rozmaitych tonów i każdego dnia pochwały Kaspra, jego zasługi, jego cnoty?

— Lecz, mój ojczcie, z kądto pochodzi, że margrabina wybuchła śmiechem, usłyszawszy nazwiska tych dwóch burgrabiów?

— Jeszcze jeden cios! Dajmy pokój twój margrabinie. Chcę natychmiast pospieszyć za Kasprem do jego wice-hrabstwa. Jeden z Levraultów może gonić bez wstydu za potomkiem rodziny, która przez swe koligacye, łączy się z Baudouin'ami i Lousignan'ami.

Laura stanęła odważnie we drzwiach salonu, i z energią drogę mu zamknęła. Ona obstawała tyle przy swym margrabim, ile ojciec przy wice-hrabi.

Przypomnijmy sobie, że Laura nigdy nie czuła sympatyi do Kaspra; długi czas walczyła z upodobaniem ojca, i wtedy dopięro ustąpiła z placu, kiedy znużona walką, niejako przekonała się, że w całej Bretanii nie było innej partyi dla niej, nad Montflanquin'a. Dotąd jój podejrzenia były uśpione, ale zjawienie się na scenie margrabiego zmieniło postać rzeczy, wyróciło jój serce jak rękawiczkę. Prócz tego, ten margrabia był przystojny, i jeżeli chodziło pannie Levrault, żeby miała męża ładnego i młodego, to jeszcze więcej szło jój o to, aby nie stała się żoną człowieka brzydkiego i przekwitłego.

Z tém delikatném przeczuciem, jakie w wysokim stopniu posiadają kobiety, Laura pojęła jak wielki przedział istnieje między Montflanquin'em a La Rochelandier'em. Ani na chwilę nie omyliła się co do zapachu arystokracji, rozlanego w gotyckim zamku, gdzie ją szczęśliwa gwiazda zaprowadziła. Opinie polityczne margrabin i jój syna bynajmniej ją nie obchodziły; zbyt mało troszczyła się o to, czy jój ojciec zasiędzie w izbie parów, lubo mówiła sobie z dumą, że jeżeli nie będzie bywać na dworze królewskim, za to będzie uczęszczać do ksiąząt na przedmieściu St. Germain. Nie wiedziała ona, że od r. 1830 ulica Bourdonais bliżej była Tuilleries, jak szlacheckie przedmieście.

Takie były marzenia Laury; lecz chociaż nicby nie pozyskała ze strony margrabin, powróciła jednakże do Trelade z tém mocném postanowieniem, zerwać zupełnie z wice-hrabią. W kilku godzinach umiała go poznać. Nie wspominając pięknej bajeczki o zaginionej pasterce i o krowie, samo milczenie margrabin i jój syna, dostatecznie objaśniło ją o Kasprze; to potępiające milczenie dopełniło reszty. Nakoniec, obserwując młodego La Rochelandier'a, zrozumiała, że Montflanquin nie jest szlachcicem tylko z imienia. Ostupienie Kaspra za spostrzeżeniem margrabiego, dumne i pogardliwe obejście Gastona z wice-hrabią, otworzyło jój zupełnie oczy.

Pomimo tego, że pan Levrault rzucał się, wyrzekał i zamykał na wszelkie przełożenia uszy; udało się przecież Laurze otoczyć go matnią, przekonać niezbitemi uwagami, wypływającemi z przeświadczenia i rozumu, że uareszcie musiał przed córką kapitulować.



— Wszystko o co proszę, czego żądam—mówiła Laura zachwiawszy zaufanie ojca do Montflanquin'a—jest tylko to, aby działać roztropnie i z niczém się nie spieszyć. Zamiast upędzac się za wice-hrabim, pozostań spokojnie u siebie. Powróci, bądź tego pewny mój ojciec. Dziś w wieczór lub jutro, będziesz miał radość ujrzeć go u siebie. Uważaj go, miej się na ostrożności, a jestem pewna, że nim tydzień upłynie, pierwszym mój ojciec będziesz, który mu swój dom zamkniesz na zawsze.

Chcąc nie chcąc, pan Levrault musiał poddać się radom swojej córki.

Czytelnik z ciągu opowiadania nie mógł się domyśleć, że Laura miała przewagę nad ojcem, i robiła zawsze z nim co chciała. Dzień upłynął smutno, obiad zszedł ponuro. Wielki fabrykant, którego obecność Kaspra nie bawiła, wściekłego był humoru; łajał swych służących o wszystko, i dwóch lub trzech wypechnął za drzwi.

Jego ufność zachwiana na chwilę, po upływie godziny była tak silną, tak niewzruszoną, jak nigdy. Nie pojmował on nic, i nie przypisywał niczemu innemu jak tylko potwarzy, która poważyła się napastować Montflanquin'a, zaćmić to istne zwierciadło rycerskości.

Nadzieja ujżenia Kaspra wracającego, podtrzymywała pana Levrault aż do zapadnięcia zmroku; lecz gwiazdy zajaśniały na sklepieniu niebios, i jak Malborough, Kasper nie wracał. Nieszczęśliwy p. Levrault wpadł w dziką melancholię. Włóczył się z pokoju do pokoju, złorzecząc La Rochelandier'om, i domagając się od swój córki wice-hrabiego, jak stary August swych legionów od Warusa.

## VII.

Obejrawszy się ze dwadzieścia razy, czy pan Levrault lub który z jego służących nie ściga za nim, usiadłszy z dziesiątek razy pod cieniem żywych płotów, i czekając tam z kwadrans, aby dać czas wielkiemu fabrykantowi, albo jego wysłańcom dogonienia go, wice-hrabia wszedł nareszcie do zamku swoich przodków. Ale o nieba! w jakim stanie, ławo sobie wyobrazicie. Zaledwie go mógł poznać Galaor, i zadrzał o swoje zasługi. Zamek składał się z kupy walących się kamieni, wpośród których pozostało jedno skrzydło mieszkalne. Dowcipnisie tutejszej okolicy mawiali, że dom Montflanquin'a stoi na jednej nodze. Ta jedna noga opierająca się ręce czasu, była mniej bezpieczna jak malownicza, i nie dawała spokojnego schronienia w czasie dni burzliwych.

W témto ojczystém schronieniu, Kasper od czasu do czasu przybywał spocząc, po burzach życia paryzkiego, i ukryć się przed natręctwem niektórych ludzi. Wnętrze zupełnie odpowiadało wyobrażeniu zbytku

i wspaniałości, jaka zewnątrz panowała. Nie dodam nic więcej o mieszkaniu Montflanquin'a, przez uszanowanie dla pamięci Baudouin'ów i Lusignan'ów.

Nadewszystko za nadejściem godziny obiadowej, wice-hrabia uczył całą zgrozę swego położenia. Od trzech miesięcy codziennie jadał w Trelade. Galaor żywił się na swój rachunek, i dla przyrządzenia sobie strawy, nie miał nic tylko swój niewyczerpany przemysł. Żył więc tylko z kradzieży i rabunku. Myszkował on nieustannie koło kurników, zakradał się do królikarni, zastawiał żelazka na króliki. Na dwie mile kwadratowe nie było podwórza, gdzieby hultaj nie wybrał dziesięciny. Jaja zaledwie były zniesione, a już przemknęły się do jego kieszeni. Nie przeszedł jeden dzień, żeby który z rolników nie skarżył się na lisa, że mu wyjadł jaja, porwał gęś, albo indyka. Tym lilem był Galaor, który walczył się dla zaradzenia swoim potrzebom, jak Caleb dla utrzymania honoru domu swego pana.

Wice-hrabia przywykły do wybornych win, do wyszukanych potraw w Trelade, niestety! co się z nim działo, widząc na stole dymiący się schab królika, który sobie Galaor przygotował! Potrawka ta składała cały obiad Kaspra z szaską cienkusz, i kawałkiem owczego séra, który przemyślny chłopak porwał wczoraj w pobliskim folwarku.

Wsparty na krawędzi stołu bez nakrycia, trzymając czoło w obu rękach, wice-hrabia nie mógł się odważyć na dotknięcie potrawy z kuchni Galaora. Coraz czarniejsze myśli snuły mu się po głowie, kiedy uczył przyjazną rękę, trącającą go po ramieniu. Błyskawica pociechy przebiegła po jego nerwach: i któżby to był, jeżeli nie pan Levrault. Kasper zerwał się z krzesła... i ujrzał się oko w oko z p. Jolibois.

— I cóż! mości wice-brabio—rzekł wesoło notaryusz, który przybył dla czuwania bliżej nad zbiorcem ziarna zasianego—gdzież jesteśmy? Nasze interesa postępują? rychłóż będziemy przewietrzać talarki papy Levrault?

— Wszystko stracone!—odparł wice-hrabia, skurczywszy się w swoim krześle.

— Jaktó? kroćset djablów—krzyknął kmotr Jolibois, myśląc o swoich 80,000 franków.—Chcesz żartować panie wice-brabio.

— Nigdy mniej nie miałem ochoty. Wszystko stracone, powtarzam ci. Jesteśmy zrujnowani, zrabowani jakby w lesie. La Rochelandierowie zjawili się!...

Kmotr Jolibois skoczył prawie do sufitu, jakby rakietą pękła mu między nogami.

— Krew i zniszczenie! — wrzasnął wice-brabia z gestem, którego dziękij energii nic nie zdoła odmalować. Wyszafować więcej talentu niż Talleyrand na kongresie wiedeńskim, wynaleźć więcej kombinacyj dowcipnych, zużyć tyle rozumu, cierpliwości, zręczności, żeby wystarczyło na zdobycie jakiego królestwa; nic nie zaniedbać, wszystko wyrachować, wszystko przewidzieć, a pomimo tego utonąć przy brzegu! Głupi traf, niech będzie przeklęty! Bylibyśmy tryumfowali, Jolibois. Nareszcie oskrzydliłem tego batwana Levraulta! trzymałem go, złapał się. Doprowadziłem do tego, że mi chciał narzucić swoją córkę, swoje miliony. Komedia została odegrana. Jego twarz błyskała głupotą i radością, wyciągał do mnie ręce, miał mnie już nazwać swoim zięciem!...

— I cóż, mości wice-brabio?

— I cóż, Jolibois, w tęto stanowczą chwilę weszła jego córka, ciągnąc za sobą tego niegodziwca La Rochelandiera.

— Lecz — zawołał Jolibois tupiąc w zgniłą posadzkę — nie zachowałeś ściśle moich przestroż?

— Gdzie tam — wołał Kasper — cóż to, za dziecko mnie bierzesz? Dziś, tego jeszcze poranku, przed kilku godzinami, ojciec i córka, po trzech miesiącach pobytu w Frelade nie domyślali się jeszcze, że istnieją jacy La Rochelandierowie pod słońcem. Aby ich trzymać w oddaleniu od fatalnego zamku, który chciałbym otoczyć wilczemi dołami, wszystko robiłem, co tylko jest w ludzkiej mocy: wymyśliłem nawet legendy. Próżne usiłowania, Jolibois! Trzeba było, aby ta mała jaszczurka, Laura, pojechała harcować przed oknami La Rochelandierów, a przekłeta margrabina, która, przysięgłbym, od trzech miesięcy siedziała w oknie, jak pajak czatujący na zdobycz, rzuciła się na Laurę, jako na swą ofiarę.

— To nie żarty, panie wice-brabio: margrabina pewno mówiła o tobie.

— I czy sądzisz, że mnie oszczędzała. Dzięki Bogu nie mogła nie złego o mnie powiedzieć. Nie uchybiłem mojemu urodzeniu, zachowałem czyste imię moich przodków; ale, po wszystkie czasy, La Rochelandierowie okazali się nieprzyjaciółmi dla naszego domu. Nie łącząc się z lipcowym tronem, mógłbym się z nimi pojednać. Nakoniec margrabina zbyt wiele ma interesu, ażeby mnie zgubić w umyśle Levraulta, i dlatego też nie mogła zabawić się śpiewaniem moich pochwał przed Laurą.

— To bardzo ważna okoliczność, panie wice-brabio — powtarzał Jolibois, kiwając głową.

— Gdyby tu tylko chodziło o mnie — dodał Kasper — to wiedziałbym, co mam czynić. Wszedłem w ten interes tylko dla ciebie, mój drogi pa-

nie Jolibois. Nie pracowałem tylko dla ciebie. Wiédz o tém, że gdyby tylko szło o mnie, nigdybym był nie poniżył do tego stopnia mojej godności, mojego charakteru, żeby gonić za dziewczyną i milionami dawnego handlarza sukna. Przyjaźń jaką czuję dla ciebie, wdzięczność jaką ci winienem, mogły mnie jedynie do tego kroku skłonić. Co mnie teraz najwięcej boli, to ta myśl, że musisz jeszcze czekać jakiś czas na odebranie summy, którą ci pozostaję dłużnym.

— I czy téż przypadkiem, panie wice-hrabio, nie zechcesz mnie obarczyć tą obelgą, sądząc, że skłoniwszy pana do tego przedsięwzięcia, choć na chwilę pomyślałem o sobie?... I czy do tego stopnia powątpiewałeś o szczerości mojego poświęcenia, że mogłeś mniemać, abym nastęczając ci sposobność polepszenia twój fortuny, nie miałem na celu, jak tylko odzyskanie mojego długu?

— Głośno wynurzyłem się—zawołał wice-hrabia podnosząc głowę—że Montflanquin'owi o nic więcej nie powinno chodzić, jak tylko, aby zachował swój klejnot szlachecki bez skazy. Nie dla bogactw, ale dla ciebie, dla ciebie samego Jolibois, mogłem się zgodzić na poniżenie przed zamożnością.

— Nie mam herbów szlacheckich, ale mam herb mojego urzędu—zawołał pan Jolibois z wyniosłością—i również dbam o zachowanie go bez skazy, jak pan mości wice-hrabio, o swą tarczę herbową. Wskazując ci miliony pana Levrault, myślałem tylko o panu, o przyszłości twojego domu. Miałem zaszczyt o tém donieść: iż służyć bez żadnej wstecznej myśli osobom, które poważam i kocham, było zawsze mojem najmilszém prawem.

— Otóż kilka lat upłynęło, jak jestem twoim dłużnikiem—rzekł hrabia ze skromnością.

— Na Boga, panie wice-hrabio, przestańmy mówić o tój bagateli. O cóż idzie w gruncie rzeczy? O sumnę ośmdziesiąt tysięcy franków, od których zaniedbałeś pan przez dziesiątek lat zapłacić procentu. Jeżeli się uparł wice-hrabio, dodajmy dla uregulowania w zupełności rachunku aż do dnia dzisiejszego, małe, lecz okrągłe summki, jakie panu pożyczyłem, a które ci dozwoliły przedstawić się przyzwoicie w zamku Trelade. W tém wszystkiém nie upatruję nic takiego, coby mogło zakłócić twoją spokojność. Jeżeli w ostatnich czasach byłeś zbyt naciskany, z powodu tych ośmdziesiąt tysięcy franków, to nie mnie przypisuj winę, ale sukcesorom mojego ojca.

— Tym sposobem mój dobry, mój drogi panie Jolibois, zechcesz poczekać kilka tygodni. Być może, iż fortuna przeciw mnie zażarta, zmorduje się w prześladowaniu.

— Jeżeli nie raczysz mnie obrażać, i za drzwi wypchnąć panie wicehrabio, nie mówmy już o tém. Nie rzekłeś mi ani słówka co zaszło w Trelade, po powrocie Laury.

Kasper opowiedział wszystko, jak przed lekarzem lub spowiednikiem, żadnej okoliczności nie opuściwszy.

— Ah! dzięki niech będą Opatrzności!—zawołał Jolibois — rzeczy jeszcze nie stoją tak źle, jak z początku mniemałem. Nie wszystko stracone, panie wicehrabio. Mamy przeciw sobie pannę, ale za sobą jej ojca.

— Co mówisz, mój biędny Jolibois; powiedziałem to już sobie opuszczając Trelade. Znasz mnie i wiesz, czy się dam łatwo zbić z toru przez szykanę. Liczyłem na natchnienie mojego gieniuszu. Nie przypuszczałem, ażeby pan Levrault nie poszedł albo nie wysłał kogo w pogoń za mną. Widziałem się już wprowadzonego w tryumfie. Niestety! nic się nie sprawdziło. Levrault pozostał w swoim siedlisku, a mój umysł tak obfity w wynalazki, nic a nic mi nie doradził. Jolibois, moja gwiazda zbladła. La Rochelandierowie zwyciężyli.

— Jeszcze nie, mości wicehrabio, nie jeszcze. Jeżeli mają zwyciężyć z łaski Opatrzności, to przynajmniej będziemy mieli zaszczyt stoczyć z nimi walkę o miejsce. Nie upadniemy bez chwały, nie złożymy broni bez wystrzału. Dalej, zbierz pan siły. Tylko odważnie i z dobrą nadzieją! Często losy się zmieniają. Wypadek dzisiejszy był dla nas porażką pod Waterloo, być może, że jutro będzie dla nas zwycięstwem pod Austerlitz.

— Jolibois, szlachetny przyjacielu, — zawołał Kasper, którego pochmurzona mina rozpogodziła się jakby czarodziejskim sposobem — czy upatrujesz nadzieję ocalenia, sposób odzyskania twoich pieniędzy?

— Widzę jedyny sposób wznowienia świetności imienia Montflanquin'ów! — zawołał Jolibois głosem, jakby był proroczym duchem natchniony.

Obadwa rzucili się w objęcia, i tak długo pozostali w uściskach.

— Mów, wyjaw ten sposób, jakiz on jest?—zapytał Kasper z łakomą ciekawością.

— Pomówimy przy deserze... Ah, ah! panie wicehrabio,—dodał kmotr Jolibois, wodząc niespokojnym wzrokiem po stole—czy to jest cały twój obiad?

A gdy wicehrabia spuścił oczy i nie odpowiadał:

— Nie powiedzą—zawołał notaryusz napuszysto — że patrzałem na ostatniego potomka niegdyś znakomitój rodziny, jedzącego obiad w zamku swoich ojców, który się składał z potrawki króliczjej. Galaor — dodał

pół głosem—osiodłaj mojego konia, biegnij do Clisson i przywieź nam wszystko, abyśmy jeść i pić mogli przyzwoicie. Idź mój synu, ja dzisiaj częstuję.

I wsunął mu w rękę kilka srebrnych sztuk.

W godzinę potém, Galaor powrócił, i rozłożył na stole dwie sakwy potężne, których widok rozweselił zupełnie wice-hrabiego.

Uczta była wesola. Obaj godownicy jedli i pili za czterech. Ufność ducha pana Jolibois, udzieliła się nareszcie i sercu wice-hrabiego. Levrault był wątkiem ich rozmowy; można się domyśleć, czy dwaj dobrzy apostołowie oszczędzali go przy dobrym humorze. Oddając się wesomości z całego serca, pomiatali dawnym handlarzem, jak piłką albo wolantem.

Gdyby się pan Levrault skrył gdzie w kąciku, wyobrażam sobie, żeby z ich rozmowy był niezupełnie zadowolony. Przy deserze, według obietnicy, kmotr Jolibois wyłożył swój plan batalii, którą chciał nazajutrz rozpocząć.

Szło tu najprzód o wstrzymanie postępów La Rochelandierów, i otrzymanie placu za jedném śmiałym natarciem. Nie wątpili oni i przedewszystkiém przypuszczali, że niczego nie zaniedbała Laura, coby mogło ugruntować uprzedzenie ojca do wice-hrabiego. Jolibois miał się zająć wielkim przemysłowcem. Powinien on dołożyć starania, aby zgubić margrabinę i jój syna w przekonaniu Levrault'a, a podnieść wice-hrabiego, postawić go wyżej niż kiedykolwiek. Tymczasem Kasper miał się rzucić do nóg Laury, i usprawiedliwić przez sam zbytek miłości, wszystkie manewra, których sobie użyć pozwolił dla oddalenia La Rochelandierów. Kmotr Jolibois największe nadzieje gruntował na dobrze odegranej scenie uczuciowej, dobrze prowadzonej i we właściwych miejscach z ogniem wydeklamowanej. Wice-hrabia przyrzekł być ognistym i natarczywym.

Kasper znając obowiązki gościnności, uprosił notaryusza, aby przemocował u niego w zamku. Ponieważ padał drobny deszczyk, Jolibois przyjął ofiarowaną mu gościnność. Jeszcze było daleko do północy, a obaj nasi przyjaciele zajęci rozmową, nie myśleli o spoczynku; dla zabicia więc czasu, Kasper zaproponował kmotrowi Jolibois partya lanc-knechta.

— A karty?—zapytał Jolibois.

— Galaor—rzekł wice-hrabia—poszukaj w kieszeni mego starego tuzurka. W pięć minut potém, z niezmierném podziwieniem p. Jolibois, Galaor położył na stole ogromny pakiet kart.

— A pieniądze?—zapytał znowu Jolibois.

— To prawda—odparł wice-brabia, że jeszcze nie odebrałem ostat nich rat czynszów; lecz dzięki tobie, pozostało jeszcze kilka talarów w mojej sakiewce.

Grali jeszcze o drugiej godzinie po północy, a pan Jolibois przegrał summkę dosyć okrągłą.

Zjadłszy śniadanie, składające się z pozostałych resztek uczyt wczorajszej, Stefan Jolibois i Kasper Montflanquin udali się jednocześnie do zamku Trelade; Kasper piechotą, Jolibois na koniu, aby przybyć pierwój, jak to już było ułożoném.

Notaryusz jechał zwolna, i układał sobie mowę, z jaką miał wystąpić przed panem Levrault. Jeszcze na trzy lub cztery strzały karabinowe znajdował się od mieszkania wielkiego fabrykanta, kiedy postać jego szczególnie dziwny wyraz przybrała.

Djabelska myśl przebiegła po głowie kmotra Jolibois.

## VIII.

Nazajutrz wstawszy pan Jolibois, nie był już ożywiony tym zapalem, co dnia wczorajszego. Sen i rozwaga, ostudziły w nim gorącą chęć wspierania wice-brabiego. Kiedy się ma dwadzieścia cztery godzin przed sobą, to nie ma tak niebezpiecznego, tak delikatnego przedsięwzięcia, któreby się zdawało trudném, albo niepodobném do wykonania. Nie wątpimy o niczém, jesteśmy w sobie zaufani; umysł jest płodnym w najskuteczniejsze sposoby, mamy na podręczu tysiące kombinacyj dowcipniejszych jedne od drugich, a z których każda dostateczna jest, do odniesienia zwycięstwa nad przeszkodami. Wszystko powinno iść jakby po mydle; aby się udał zamiar, trzeba go tylko przedsięwziąć. Jednakże z upływem godzin, skoro się chwila działania przybliży, trudności przedsięwzięcia wynurzają się ze mgły, która ich przed naszym wzrokiem zasłaniała. Miesząmy się, wahamy, i kiedy nareszcie ostatnia godzina wybija, znajdujemy, że kombinacye od których spodziewaliśmy się cudownych skutków, nie są zgodne ze zdrowym rozsądkiem; odkrywamy z osłupieniem, że zastępy na które najwięcej rachowaliśmy, przemieniły się w wojsko papierowe.

To się przynajmniej przytrafiło naszemu panu Jolibois. Pojechał do Trelade, z postanowieniem popierania komedyi aż do końca; ale już zaczął powątpiewać o odzyskaniu swoich ośmdziesiąt tysięcy franków. Ztémwszystkiém nie pokazał tego po sobie, utaiwszy swą obawę przed Kaspresem, aby go nie odstręczył, i nie sparaliżował uradzonych sposo-

bów. Wyjeżdżając, jeszcze miał jaką taką nadzieję; ale zostawszy sam z sobą, wśród pól, oko w oko z rzeczywistością, uczuł się nagle zachwianym. I czegoż miał próbować, co zrobić? jeżeli nie ugrzęznąć w błocie po szyję, albo utonąć wraz z Montflanquin'em.

Wszystko stracone—mówił sam do siebie, i ten hultaj wczoraj miał zupełną rację; jego gwiazda pobladła; La Rochelandier'owie zwyciężyli.

Z którejkolwiek strony Jolibois rozpatrywał się w położeniu wicehrabiego i swoim, z każdej widział niepodobieństwo, i dziwił się samemu sobie, jakim sposobem mógł je inaczej pojmować. Margrabina była, jak to mówią, szpakami karmiona, Laura nie głupia, i przypuszczając że pan Levrault nie opuścił jeszcze strony wicehrabiego, to przecież nie można było bez nierozsądku utrzymywać, aby w obecnej chwili, kiedy rzeczy tak zaszły, w duszy dawnego handlarza nie obudziło się powątpiewanie, i że zgodzi się na przyjęcie za zięcia Kaspra, jak piérwój z zawiązanymi oczami. Nadto wicehrabia był uosobnioną cnotą, ale jedną z tych, które zblizka badać nie należało.

Z drugieój strony kmostr Jolibois przyznał z pokorą, że jeżeli nieufność Levrault'a co do Kaspra została obudzona, to i na nim w części cięży wina, że wprowadził do Trelade człowieka, ów model arystokracji, tę perłę rycerskości. Z jakimże czołem pokaże się w obliczu wielkiego przemysłowca i jego córki? Co im odpowie teraz lub później na ciężkie zarzuty, jakie mu słusznie uczynić mogą? Niepodobieństwem było, aby prędzej lub później prawda nie wyszła na wierzch. Rusztowanie złożone z kłamstw, podobne jest do gmachu z kart: jedna z nich wyjęta, a już cały budynek rozsypał się w gruzy. Jolibois nie tał przed sobą, że w całym tym interesie odegrywał rolę, z której przyrzekł sobie zyskać mniej chwały, a więcej korzyści, a która nawet miała mu przynieść tyle chwały, ile korzyści.

Tym sposobem, z którejkolwiek strony oglądał przedmiot tak drażliwy, z każdej widział przepaść, niepodobieństwa i poniżenie. Odstąpić interesu, na to się nie mógł zgodzić. Myślał on o swoich ośmdziesiąt tysięcy franków, o zaliczeniach które jeszcze poczynił, dla podtrzymania Galaora i jego pana, o obiedzie który wczoraj zapłacił, o stu talarach, jakie mu dzisiejszej nocy wydarł w lancknechta zaciekły wicehrabia, pod pozorem zabicia czasu. Na dobitkę nieszczęść, myślał także o klientelli pana Levrault, która mu się wymknąć mogła, i pytał się z rozpaczą, czy przypadkiem nie odgrywał roli gapia w tej farsie, Geronta w komedyi. Co tu wymyśleć? Przygryzał paznogie. Za dobry pomysł, byłby oddał swoje pieczęć notaryśną, swoich klientów i swój urząd. Już tylko kilka kroków był oddalony od Trelade, widział już dachówki, rumieniące się



przy blasku słońca między liśćmi; słyszał ujadanie psów, rzenie koni,— a nieszczęśliwy nic a nic w swój głowie nie wynalazł: gdy wtém jakby błyskawicą oświecone, zajaśniało czoło pana Jolibois; wspiął się dumnie na strzemionach siodła, i z wierzchołka pagórka z którego miał zjeżdżać, notaryusz rzucił wyzywające na Trelade spojrzenie.

Stefan Jolibois był w położeniu człowieka, który nie mając nic do stracenia, na wszystko się bezkarnie odważa. Kiedy się kto znajduje w takim przypadku, to wielkomyślne serce nie słucha innéj rady, tylko głosu rozpaczki; mądrość jest za jéj granicami, sama tylko śmiałość ufa w powodzenie. Jeżeli mamy upaść, spadnijmyż z wysoka, jeżeli ma w nas uderzyć piorun, niechże to nastąpi jak w Tytanów, którzy się do nieba wdrzć chcieli. Takie jest moje zdanie, i takie było naszego przyjaciela Jolibois.

Å więc! zamiast gonić za ślepą fortuną jak jaki łapigrosz, zasapać się ściganiem nędznych kilku tysięcy franków, których pochwyć nie miał nadziei, dlaczegożby nie miał probować, jednym zamachem zostać panem pola walki, na którém mieli się spotkać La Rochelandierowie z wice-brabią? Zamiast łożyć starania na podźwignienie ponizonego sztandaru, dlaczegożby nie miał usiłować zatknąć swojego na szkatule pana Levrault? Dlaczegożby nie miał się wmieszać jak trzeci złodziej w bajce, i to w samę porę, aby prowadzić na uzdeczce Merkurego znakomitego przemysłowca? Już raz krążył koło milionów wielkiego fabrykanta, ale to był tylko atak bojaźliwy, wykonany zbyt wstrzemięźliwie. Tym razem obłączenie powinno nastąpić według wszelkich prawideł, a potem cios za cios, gdyż lepiej było upaść, walcząc za swą własną sprawę, niż dzielić porażkę i wstyd z Montflanquin'em.

Nie upłynął kwadrans, a już ułożony został plan walki najstraszniejszej, jaką kiedykolwiek przedsięwziął generał, dowodzący armią w odwrocie. Starał on się zasłonić swój honor, a zarazem zyskiwał niezbite prawo do wdzięczności pana Levrault i jego córki; zmuszał milionera do uznania, że nie miał szerszego przyjaciela, gorliwszego, z większym poświęceniem, jak on na téj ziemi. Kto mógł przewidzieć, jak daleko posunie się wdzięczność wielkiego przemysłowca? W każdym przypadku, Jolibois uniknie podejrzania o znowę z Kasprem, i jeżeli nie załapie milionów, to na zawsze zapewni sobie przyjaźń, szacunek, a z niemi klientellę milionera. Robiąc przegląd naprzód i wspak wszystkich swoich obrotów, bynajmniej nie wątpił, że ugłaskać i przyswoić głupiego mieszczanina potrafi, że zdoła go odwrócić od stron przeciwnych, i nadać jego próżności nowe dążenie. Co do córki, jeszcze czas o niéj będzie pomyśleć; Jolibois, który nie znał przymiotów umysłowych Laury, wszak-

że pooblebiał sobie, że tym samym prądem co i ojciec porwana zostanie, jak łódka w pędzie trzechpokładowego okrętu.

Kto nic nie ryzykuje, ten nic nie ma: Jolibois nie nie ryzykował, a mógł wszystko zyskać. Uniesiony szaleństwem, które zwykle towarzyszy ostateczności, wymuskany, leciuchny i uradowany, że się już pozbył współki z swym przyjacielem Kasprem, że będzie działał tylko na własny rachunek, kilkakroć trzasnął w powietrzu szpicrutą, i śmiało pojechał do Trelade. Montjoie i St. Denis! górą nasi! Z kolei wchodził teraz sam w szranki, nie jako giermek, ale w szyszaku na głowie, i z kopią w ręku. Do zyskania zwycięstwa nie potrzebował, jak zadać ostatni cios wicehrabiemu, zmierzyć się z La Rochelandierami, i pójść w zapasy z drapieżną i chciwą arystokracją na talarki wielkiego przemysłowca.

W całej tej sprawie było coś awanturniczego, co szczególnie lechtało wyobraźnię młodego notaryusza. Jolibois dziwił się tylko, dlaczego o tym wcześniej nie pomyślał. Jeżeli się mu nie uda, to wróci do dawnego stanowiska, zostanie tym samym Stefankiem, co i pierwój. Jeżeli zaś dopnie celu, jaki zaszczyt dla niego! Nie wspomina się tu o milionach; posądzonoby go o chciwość na pieniądzu.

Notaryusz Jolibois był sobie republikaninem. W tych czasach, każdy departament liczył z dumą jak tuzin notaryuszów i plenipotentów, marzących o potrzebie różnych zmian. Od wielu lat dała się czuć potrzeba nowój rewolucyi; pomiędzy niektórymi urzędnikami na prowincyi, myśl ta była najwięcej upowszechnioną. Pan Jolibois zaciągnął się pod tę chorągiew niższej biurokracyi, która wzdychała do zniszczenia jarzma na niej ciążącego. Pod postacią umysłu lekkiego i szydłego, Jolibois ukrywał surowe cnoty. Jego wyobrażenia o braterstwie i równości nie zostawiały nic do życzenia. Jeżeli pogardzał komornikami i sekwestratami, jeżeli sobie nie robił ceremonii z pełnomocnikami, jeśli obchodził się z swemi dependentami trochę za ostro, jeżeli nakoniec klientów niewypłacalnych traktował jak Turek albo Maur swych niewolników, to nawzajem złyby się ten wybrał, co by w jego przytomności śmiał utrzymywać, że notaryusz niższym jest od marszałka Francyi, albo od innego wysokiego urzędnika. Kiedy się mu zdarzyło obiadować w domu zamożnym, obojętném okiem poglądał na przepych i elegancją; nigdy zadość nie zakradła się do tego szlachetnego serca: tylko nazajutrz zapytywał sam siebie, dlaczego ludzie mniej warci od niego, pozwalają sobie jadać na srebro, kiedy on, Jolibois notaryusz, jada skromnie, tylko na porcelanie.

Co w nim najwięcej przeważało, to ta wzgarda złota, ta starodawna bezinteresowność, która się tylko spotyka w duszach republikańskich.

Strzeżcie się więc posądzać go o chciwość; uderzcie czołem z uszanowaniem przed tym najczystszy charakter, którym się szczycą obecne czasy! Zgodziwszy się nareszcie ścigać za milionami, toć bynajmniej nie dla swęj korzyści; Jolibois skromny w życzeniach, myślał tylko o nędzy ludu, o sposobach jęj zaradzenia. Zamek, do którego drzwi biedak nigdy by napróżno nie zapukał; obszerna posiadłość, w którejby mógł najwięcej rąk zatrudnić; pałac w Paryżu, gdzieby mogli się zbierać jego prawdziwi polityczni przyjaciele, dla naradzania nad przyszłością klasy ubogięj: oto wszystko co żądał Jolibois; takięto były skromne marzenia tego orędownika demokracji.

W czasie, kiedy pan Jolibois zbliżał się do Trelade jako zdobywca, pan Levrault siedział w najokropniejszych mękach. Przepędził on noc bardzo niespokojnie, i gotował się do spędzenia dnia jeszcze smutnięj. Słońce już wysoko wbiło się na niebie; cień drzew widocznie zmałał, a wice-hrabia nie pokazał się. Pan Levrault błąkał się cały poranek, jak dusza na mękach, wychodził na drogę prowadzącą do wice-hrabstwa. Gdyby Laura ściśle nad nim nie czuwała, niewątpliwie poczciwo człęczysko byłoby się zapuściło aż do gołębnika Kaspra.

— Widzisz—mówił do córki z rozpaczliwą miną—wice-hrabia nie powraca. Bezkarnie nie znieważa się Montflanquin'a; wice-hrabia na zawsze dla nas stracony.

— Bądź spokojny mój ojczę, wice-hrabia powróci—odrzekła Laura z pewnością, która ją ani na chwilę od wczorajszego dnia nie opuściła.

Pan Levrault zwiesił głowę, i płakał w dubcu straconego zięcia. Zięć z tak dobrej rasy, a który tak mało kosztował! Po śniadaniu, zamknął się w swoim gabinecie, już dla uwolnienia się od obłążenia Laury, która bezustannie nań nacierała, już dla puszczenia cugli gorzkim rozmyślaniom. Laura jednakże tyle dokazała, że ojciec nie wiedział czego się ma trzymać; tyle razy powtarzała natarcia, że głowa wielkiego przemysłowca podobna była do rozległych szranków, na których przeciwne myśli krzyżowały się z sobą, ścięrały z zajadłością, i niszczyły wzajemnie jak dzikie zwierzęta.

Pan Levrault nigdy nie znajdował się w podobnym i tak krytycznym położeniu. Mówiąc jaśniej, błąkał się w zupełnej niepewności. Były chwile, w których widział Kaspra białęgo jak śnieg, i chciał już iść do niego; to znowu następowały inne, gdzie zaczęły się mu otwierać oczy, i sam siebie zaczął pytać, czyli córka nie ma słuszności. Jużto oburzała go potwarz nie oszczędzająca, i w tém oburzeniu tłukł pięściami o meble, z rozwianym szlafrokiem chodził wielkimi krokami po pokoju; już tęcz pogrążony w dumaniu, rozważał wszystko co mu Laura odkryła.

Tym sposobem jak okręt miotany falami, czasem Kasper wznosił się pod niebiosa, niekiedy znowu zostawał pogrążony w bezdenną przepaść. Walka straszna, cicha, której Bóg tylko był świadkiem, a pan Levrault jedyną ofiarą.

— Nie, nie, to być nie może,—zawołał nagle dumny handlarz sukna, grożąc z patetyczną mimiką widmom, na niego nacierającym:—nigdy nikogo Montflanquin nie zdradził; zresztą nie z Levraulta to żartować sobie można, mistyfikować jak chudego pacholka. Znam się przecież na szlachcie. Jeżeli Kasper nie był w zupełności tém, czém się okazywał, to nie potrzebowałbym czekać, ażby mnie ktoś ostrzegł; byłbym sam zdjął z niego maskę. Wice-hrabia godnym jest swojego rodu. Jak ów rycerz, o którym mi Laura często mówiła, jest on bez bojaźni i bez skazy. Nakoniec, dlaczego Jolibois tak go nam zachwalał? Dlaczego przedstawił, jako upostaciowany honor i chodzącą uczciwość? W jakiém wyrachowaniu wybrał go za naszego przewodnika, towarzysza we wszelkich wycieczkach? Jolibois jest uczciwym chłopcem, zna czém jestem, i jaki szacunek dla mnie się należy. Nie wprowadziłby on do mego domu człowieka wątpliwych obyczajów. Czyż on to nie wie, z jakiej matery jesteśmy ulepioni, my wielcy przemysłowcy? i że niekażdy zyskuje nasze zaufanie?

— Nie, nie, to być nie może—powtarzał Levrault z coraz większym uniesieniem. Zgniotę potwarz jak brzydkiego węża; wice-hrabia będzie moim zięciem.

I tym razem postanowiwszy stawić czoło swojej córce, chciał się wymknąć z zamku, aby pobiedz do wice brabstwa, kiedy wtém dały się słyszeć kroki śmiałe i szybkie na schodach, prowadzących do jego pokojów.

— To on, otóż go mamy!—krzyknął pan Levrault upadając na krzesło, i gotów swą zdobycz pochwycić.

Jednakże z tętnem kroków coraz więcej się zbliżających, mieszał się głos malujący pośpiech, niecierpliwość, który napróżno silił się rozpoznać.

— Gdzie jest pan Levrault?—krzyczał ten głos, niebędący głosem Kaspra—gdzie się on znajduje? Prowadźcie mnie zaraz do niego! muszę go widzieć, muszę z nim mówić. Każda chwila jest droga; nie ma ani momentu do stracenia!

Pan Levrault sądził, że pożar wszczął się w Trelade. Z najwyższym przerażeniem wybiegł z pokoju, i o mało co nie przewrócił notaryusza.

Jestże to ten sam Jolibois, nasz Jolibois, któregośmy najwięcej przed kwadranssem zostawili na drodze do Trelade prowadzącej. Jolibois zmienił się do niepoznania. Jakieżto gimnastyczne ćwiczenia odbył, aby

się tak nagło i zupełnie zmienił? Ktoby spojrział na jego zakurzone bóty, zabłocone spodnie, chustkę na szyi w nieładzie, i cały jego ubiór w największym rozprzężeniu będący, powiedziałby, że Jolibois galopując przynajmniej ze sto mil zrobił na siodle. Jego oblicze zgadzało się z odzieniem. Ze wszystkich stron dmuchające wiatry, musiały walczyć z jego czupryną, ażeby ją w tak straszny nieporządek wprawiły. Broda notaryusza najeżona, przypominała runo Calchasa. W jego oczach, w jego postaci, ruchach było coś tak dziwnego, niezwyczajnego, że pan Levrault zadrzał z podziwu i przerażenia.

— Nic nie zrobiono? nic nie ukończono? przybywamże na czas? — krzyczał jednym tchem Jolibois, z obłąkaną miną wpadłszy jak powietrzna trąba do pokoju.

— Jeżeli zapóźno, przekleństwo niech na mnie spadnie! Ja cię to panie zgubiłem, ja popchnąłem w najczarniejszą przepaść.

— W przepaść! — zawołał p. Levrault poblady; — w przepaść! — powtarzał wodząc niespokojnym wzrokiem naokoło. — Co przez to rozumiesz? w jaką przepaść mnie wtrąciłeś. Czy Szuani się pokazali? czy chcą uderzyć na zamek Trelade? Sądzę, że wice-hrabia połączywszy się z lipcowym tronem, położył koniec rozruchom domowym.

— Powiedz panie, ach mów — zaczął znowu Jolibois, niemogąc się uspokoić. — Nic, nic tu nie zaszło, nic nie ukończyliście? Nie trzymaj mnie pan w tej strasznej niepewności, zlituj się nad mojami cierpieniami.

— Czyś sobie przysiągł, ażeby mnie przywieść do utracenia zmysłów? — zawołał pan Levrault, który przypatrując się zmienionym rysom twarzy notaryusza, powiększał swoje przerażenie. — Co ci się stało? o czym chcesz mówić? o co chcesz pytać? Jakże mam zlitować się nad twojém cierpieniem, jeżeli nie zechcesz mieć litości nad moją męką. Jeżeli mi nic nie powiesz, jakże ja mam ci odpowiedzieć?

— To prawda — odrzekł Jolibois uderzając się w czoło. — Straciłem już głowę, a przynajmniej ją stracę. Przebacz panie mojemu wzruszeniu. Przybywam z Nantes. Ażeby cię ocalić, jeżeli już nie zapóźno, zrobiłem ośm mil w pięciu kwadransach. Mój koń padł ze z mordowania przed kratami twojego pałacu: wątpię aby powstał. Szlachetne zwierzę! Po wysileniach na jakie się zdobywał, zdawało się jakby odgadywał, że tu idzie o pańskie ocalenie, i jego lubj córki.

— Do rzeczy, Jolibois — do rzeczy! trzymasz mnie jakby na zarzewiu. Mam dziesięć koni w mojej stajni, jeżeli twój nie podniesie się, to go równie szlachetnym zastąpimy. Nikt jeszcze nie stracił służąc Levrault'owi. Tłumacz się jaśnie i węzłowato. Jakie niebezpieczeństwo nam zagraża?

— W téj chwili, panie, w téj chwili. Muszę tylko wiedzieć, czy nie przybywam zapóźno, aby cię wydzwignąć z przepaści, w którą pana wtrąciłem. Kontrakt jeszcze nie jest podpisany. Któżby się spodziewał, niestety! że kto inny nie Jolibois?.... Ale zamilczę; nawet uzalenia się prawo utraciłem. Kontrakt ślubny jest podpisany? A więc!—dodał Jolibois głosem wahającym, utkwivszy wzrok w pana Levrault, w którym przebijąca się niepewność i niepokój duszy.—A więc panie! wszystko skończone? spełniło się przeznaczenie? Nic już cofnąć go nie zdoła? Czyliż jestem wskazany, abym cierpiał wiecznie wyrzuty sumienia? Odpowiedz, choćby odpowiedź pańska miała we mnie jak grom uderzyć: czy ślub już się odbył?

— Jaki ślub?—zapytał pan Levrault z miną człowieka, który spodziewał się dostać w głowę kamieniem, tymczasem widzi tylko bańkę mydlaną o jego nos się roztrącającą.

— Ależ panie—odrzekł Jolibois nie bez pewnego zadziwienia—jedyne małżeństwo o którym w téj chwili mówią w całej Bretanii, to jest pańskiej córki z wice-hrabim Kasprem Montflanquin.

Po tém co zaszło wczorajszego dnia, w delikatném położeniu w jakim się znajdował pan Levrault względem wice-hrabiego, ostatnie wyrazy pana Jolibois zakrawały bardzo na szyderstwo, którym, wielki przemyślowiec chwilowo mógł mniemać, że jest dotknięty. Za całą odpowiedź stulił ramionami, wcisnął po łokcie ręce w kieszenie szlafroka, i zaczął przechadzać się po pokoju, jak niezgrabny niedźwiędź.

— Tym sposobem—rzekł notaryusz, którego oblicze powoli się rozjaśniało, małżeństwo jeszcze nie doszło? Więc pańska córka nie jest połączona z wice-hrabią Montflanquin nierozzerwanemi związkami, nieodwołalną przysięgą?

— Ale nie!.... mój drogi, wcale nie!—zawołał Levrault z przyciskiem—małżeństwo bynajmniej nie zostało zawarte. Zkąd przybywasz? zkąd się wzięłaś? kto ci dmuchnął takie bajdy? Dajmy temu pokój, proszę cię. To niewarto było tyle sobie zadawać trudów.

Więc się nie połączyli!.... Wielki Boże, bądź pochwalony!—zawołał Jolibois z niebiańską radością.—Przyprawiliś nogi gazelli, spokojnemu człapakowi skromnego notaryusza z prowincyi. Dozwoliłeś przybyć mi na czas, ażeby uratować niewinność, zniweczyć zamiary niegodziwych. Chciałeś, abym mógł naprawić zło, które mimowolnie popełniłem. Wcześniej mnie oświeciłeś; nie ścierpiałeś, ażeby cnota służyła za tryumf dla występku. Dzięki ci o Boże!.... oni jeszcze się nie połączyli.

Ze złożonymi rękami, z podniesionymi oczyma do nieba, pan Jolibois zdawał się rozplýwać w religijném uniesieniu. Pan Levrault patrzył na

niego z osłupieniem, i pytał się sam siebie, czy ten człowiek rzeczywiście ma głowę na karku.

— Mój kochany panie — rzekł nareszcie p. Levrault drapiąc się w ucho, — chciój mi wytłumaczyć, co to wszystko znaczy? Dotąd nie słyszałem z ust pana ani jednego wyrazu, któryby mi tę zagadkę mógł wytłumaczyć. Zamordowałeś swego konia, wpadasz do mnie jak bomba; objaśnij mi dlaczego? Zaślubieni albo niezaślubieni, co cię to może obchodzić? Czyż to ma być powodem, abys stracił zmysły, lub chciał się tym sposobem ubawić?

— O najlepszy z ludzi! o trzykroć szlachetne serce! — zawołał pan Jolibois z doskonale udanym uczuciem, że pan Levrault skruszony, sam nie wiedząc dlaczego, ledwie wstrzymał się od płaczu. Nie był on podejrzliwym, ufał on wszystkiemu. Ze zmysłem kupieckim, byłato sama niewinność i prostota dziecięcia. Szedł on wpośród zasadzek z uśmiechem, igrał nad brzegiem krateru, który mógł go pochłonać.

Spotykamy niekiedy uprzywilejowane istoty, podobne do artezyjskiej fontanny; mieszają one swe wody z błotem całego świata, bez zamącenia kryształu swego źródła.

— Nieszczęśliwy — mówił Jolibois wzniesionym głosem, uchwyciwszy gwałtownie rękę wielkiego fabrykanta; — czy pan wiesz, kto to jest ten wice-hrabia Kasper Mon flanquin? powiedz, czy pan wiesz o tém?

Byłto grom grzmotu rozdierającego sklepienie niebios. Na to straszne zapytanie, pan Levrault zbladł i zadrzał. Biały jak chusta, ze wzrokiem osłupiałym, trzęsąc się jak wróbel, kiedy wpadnie w pazury drapieżnego kobusa, poglądał na kmotra Jolibois, który mu ścisnął rękę, jakby żelaznymi kleszczami.

W tym stanowczym momencie, Stefan Jolibois miał w swoim spojrzeniu, w swjej postaci coś zimnego, coś straszego, co przypominało Bertrama, owego tajemniczego towarzysza Roberta Djabła. Kilka chwil upłynęło w imponującym milczeniu, które zwykle zwiastuje odstonienie wielkiej tajemnicy. Jolibois pierwszy przerwał to milczenie.

— Ah! — zawołał przechodząc się wielkimi krokami po pokoju — ani jeden wyraz nie wyszedł z ust moich, któryby nie był zagadką dla pana? Ah! nie domyślasz się, co mnie tu sprowadza? Ah! zaślubieni lub nie, to nie powinno być rzeczą obojętną! Ah! pan niczego się nie domyślasz? A więc panie o wszystkiém się dowiesz.

I następnie bez przedmowy, (głosem krótkim, zjadliwym, siekącym, pan Jolibois opowiedział wszystko, co czytelnik, więcej przewidujący jak p. Levrault, odgadł już oddawna. Jolibois rozebrał Kaspra i przedstawił go w całej nagości. Zburzył rusztowanie, które pomagał sam ustawić;

zniszczył wążek przez siebie usnuty. Każde słowo uderzało jak ciosy maczugi w marzenia wielkiego przemysłowca, który widział swego wicehrabiego szarpanego sztuka po sztuce, kawałek po kawałku.

Montflanquin pochodził z dawniej rodziny szlacheckiej w Bretanii, ale swój klejnot szlachecki obrzucił błotem, zszargał po wszystkich rynsztokach. Strwoniwszy ojcowiznę, handlował swoim imieniem, i przyłączył się do lipcowej dynastyi; ale król, królowa, księżęta i księżniczki wkrótce się od niego odsunęli ze wzgardą. Obarczony długami, nie mając ani grosza, zbyt dobrego urodzenia, aby się miał pracą zająć, żył w Paryżu z gry w ruletę lub w lancknechta, albo też z łaski kilku wdów, z których żadna nie chciała mieć z niego męża. Co do panny Chanteplure, ona tak szybko przeminęła na ziemi, że nikt z żyjących nie mógł sobie przypomnieć, ażeby kiedy na nią istniała. Przygotowany od wczorajszego wieczoru, do dzisiejszych powierzeń, pan Levrault czuł za każdym wyrazem notaryusza, spadającą kataraktę z swoich oczów. W przeciągu kwadransa, nie pozostało ani śladu z wicehrabiego.

— Nędznik!—dodał Jolibois, skoro już wszystko opowiedział;—w dodatku zrobił sobie ze mnie igraszkę, a razem współnika. Tego poranku jeszcze, przed kilku godzinami, jak pan miałem w nim zupełne zaufanie. O nic go nie posądzałem. Przed tygodniem milczałem, kiedy mi mówiono, że wicehrabia ma zaślubić córkę pana, że kontrakt jest podpisany: cieszyłem się nawet z tego. Przyznaję jednak, że zdziwiłem się trochę, iż nie zostałem wybrany do napisania intercyzy; kołysałem się bowiem tą miłą nadzieją, że z czasem zostanę notaryuszem pańskiej rodziny. Ale Jolibois nie jest samolubem, nie myślałem tylko o waszém szczęściu. Poklaskiwałem sobie, że byłem ogniwem stanowiącém związek, łączący domy Levraultów z Montflanquin'ami; kiedy tego poranku wstając z łóżka, jeden z najpiérwszych jurzédników miasta przybywa do mnie z doniesieniem o tém wszystkiém, co panu dopiéro opowiedziałem.

— Piekło i przekleństwo! Czy pan pojmujesz moje przerażenie? pojmujesz, dlaczego zajeździłem mojego konia, dlaczego wpadłem do pańskiego pokoju jak bomba? Pojmujesz pan nakoniec, że tu idzie i o mój honor, i o wasze ocalenie!

— Trzeba przyznać—zawołał pan Levrault—że ten wicehrabia jest bezczelnym łotrem. Dotychczas nie wiedziałem, co mam sądzić o jego rzeczywistej wartości. Załedwie trzy razy go widziałem, a już spostrzegłem w nim coś podejrzanego. Powiedziałem sobie zaraz: on nie jest prawdziwym szlachcicem. Wierzaj mi, Jolibois, że nigdy nie zgodziłbym



się na oddanie mu mojej córki; ale przyznaję, że daleki byłem, abym mógł pomyśleć o takiej śmiałości i przewrotności.

— Pan masz, niedaleko twojej bramy—odrzekł Jolibois kręcąc głową—pewien zamek, o którym ostrzegam, abys się miał na ostrożności, aby ci się nie zdarzyło wpaść z Charybdy na Scyllę, wyjść z jednej pułapki, aby wpaść w gniazdo padalców.

— O jakim zamku chcesz mi mówić? —zapytał wielki przemysłowiec.

— O zamku La Rochelandierów. Mieszka w nim, uprzedzam pana, pewna margrabina, jeszcze niebezpieczniejsza jak wice-hrabia. Jeżeli pana nie ostrzegam, kiedyś przybył osiedlić się w Trelade, to dlatego, że mniemał, iż jest nieobecną w swoich dobrach. Powtarzam panu, strzeż się zamku La Rochelandier. Margrabina jak Joanna Orleańska, znana jest w całej Bretanii, jako najzacieklejsza stronniczka partyi legitymistów. Pan posiadasz wpływy, jesteś zamożny, zajmujesz wyższe stanowisko w świecie. Margrabina niczego nie zaniedba, aby cię skłonić powoli do przysłużenia się twojami milionami jej synalkowi, i partyi do której należy.

— Aha! —krzyknął pan Levrault—to rozbójnicza jaskinia ta Bretania, którą mi jednakże przedstawiano, jako klassyczną ziemię, pełną godności i honoru!

— I cóż ci odpowiem panie? Chciałeś się pokumać ze szlachtą, i zostałeś według życzenia usłużony. Wice-hrabia Kasper Montflanquin, czyni ci zaszczyt w bezinteresownej przyjaźni. Przyjmujesz przy twoim stole wspaniałe kawalera Barhanpré, który nie pojmuje, że Ezaw sprzedał swoje prawa pierworodztwa za talérsz soczewicy, ale któryby sprzedał swoją duszę za jedną pularcę z truflami. Wozisz w swojej karecie hrabiego Kerlandec, szlachcica czystej krwi, któremu Kasper winien piętnaście tysięcy franków, i który rachuje, że odzyska swój dług z posagu panny Laury. Nakoniec przybywa do tej trójki margrabina La Rochelandier, posiadająca więcej wykrętów, więcej chciwości, jak tamci panowie. Tym sposobem widzisz wszystkich zbiegających się do twoich bogactw, jak ową trzodę komarów, około zapalonej lampy. Byłoby twojem marzeniem, zawiązać stosunki z arystokracją; powinienes być zadowolony. Kiedyś mi zwierzył się z twoimi zamiarami, z twojami nadziejami, milczałem, szanując pańskie marzenia. Moje polityczne opinie znane są panu; bez wątpienia byłbyś mnie posądził o stronność. Ach gdybym mógł mówić!...

— No i cóżbyś mi powiedział, panie Jolibois?—zapytał Levrault kłapiąc go po ramieniu.

— Cobym powiedział?—zawołał notaryusz z zapalem;—powiedziałbym: panie Levrault, jesteś zaszczytem i chwałą Francyi, a kiedy taki

człowiek, i z taką osobistą wartością łączy się ze szlachtą, nie wznosi się, ale upada, nie przywłaszcza, ale abdykuje. Powiedziałbym także: zbliża się czas, w którym spełnią się wielkie wypadki, a w takim razie, opierając się na barkach schorzałych, wątłych swój starszej siostry, nowa arystokracja czyż może sobie pochlebiać, aby stawiała czoło burzom, które jej zagrożą.

— Jakim burzom?—zapytał pan Levrault z zadziwieniem.

— Jakim burzom? panie, i pytasz się o to!—zawołał Jolibois. Czyż nie spostrzegasz gromadzących się chmur na widokregu? nie czujesz drgania, a nawet trzęsienia gruntu pod swemi stopami? Francja się porusza, cały świat jest w oczekiwaniu.

— Co mówisz, panie Jolibois. Nigdy Francja nie była tak szczęśliwą, nigdy przemysł tyle nie kwitnął. Mieszczaństwo jest przy sterze rządu, i czegoż jeszcze może sobie życzyć?

— A lud, panie?—zapytał pan Jolibois, zwolna zakładając na krzyż ręce na piersiach;—cóżto lud za nie liczysz?

— Lud!—odparł pan Levrault—czegoż mu brakuje, na czém mu zbywa? Nie zebrałem trzech milionów? Któż zabrania, ażeby każdy tak uczynił?

— Powiadam panu—odrzekł poważnie pan Jolibois—wielkie wypadki się gotują. Lud obecnie stoi w tyle ze mieszczaństwem, jak niegdyś mieszczaństwo stało za szlachtą. Mieszczaństwo zabiło szlachtę, lud zabije z kolei mieszczaństwo.

— Ej co tam prawisz! — zawołał pan Levrault; — mój dziennik nie o tém nie wspomina.

— Lud jest wielkim, szlachetnym—ciągnął dalej Jolibois tonem uroczystym;—ale lud jest strasznym, i nie powinienem przed panem tacić, że w dniu, w którym mieszczaństwu przyjdzie przed nim zdać rachunek cierpkie chwile będzie miało do przebycia. Wtenczas miliony będą okropnym ciężarem; znam niejednego bogatego bankiera, któryby się miał za szczęśliwego, gdyby tylko za złoto mógł ocalić swą głowę.

— Czy nie żartujesz tylko, panie Jolibois?

— Bynajmniej, niestety!... Myślę o panu, o twój lubój córce. Wiem, że nie nie zroiliście, coby mogło na was ściągnąć niechęć i przekleństwo ludu. Zawsze zdążałeś pan naprzeciw jego potrzebom, w każdym zdarzeniu, wspomagałeś [nędzę; nie należysz do liczby tych bogatych samolubów, tych nielitościwych, którzy głoszą i wierzą, że nikt nie umarł z głodu, kiedy są po dobrym obiedzie. Jednakże wiesz, że wpośród burzy rewolucyjnej, częstokroć niewinni za winnych karani bywają.

Cóżby się z wami stało, wielki Boże? Ach! bez wątpienia czuwać będę nad wami, nad twoją córką. Uspokoję gniew lwa rozkutego, ujrzysz go na mój głos posłusznym, przychodzącego z pokorą lizać twoje stopy. Lud mnie zna i kocha; lecz któż może powiedzieć, kto przewidzieć, gdzie będziemy, pan i ja, podczas rozruchów? Czyliż nie zapóźno przybędę, aby własnym ciałem zasłonić pana, aby od was odwrócić cios śmiertelny, aby was unieść na własnych rękach? Wierzaj mi, panie, nie rachuj zawiele na Jolibois: zamiast szukania związków z szlachetnie urodzonym, który nie posłuży ci jak tylko do przedszego wystawienia na sztych, a tém samym na zemstę ludu, oddaj swą córkę doświadczonemu republikaninowi, który w każdym razie twe życie i twój majątek ochroni.

Na tę myśl zaślubienia córki z republikaninem, pan Levrault parsknął niewstrzeżliwym śmiechem, zacierając ręce w wybuchu szalonej wesołości.

— Straciłeś zmysły, mój drogi—rzekł nakoniec do pana Jolibois trochę zmieszanego—Lud jest zupełnie zadowolony, on nie pragnie więcej rewolucyj. Dziwię się nawet, że tak dowcipny młodzieniec jak ty, w materji politycznej ma koślawe wyobrażenia. Radzę ci, abys mój dziennik zaprenumerował.

Jolibois powracał do szturm, lecz nadaremnie. Pan Levrault nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć. Wszystkie napomknienia uczciwego republikanina, odbijały się o twardą mózgownicę wielkiego przemysłowca, jak kule o skórę słonia. Notaryusz oddalił się z wściekłością i śmiertelną urazą w sercu.

Na zakręcie drogi, o kilka staj od krat pałacowych, Jolibois spotkał wice-hrabiego. Kasper cokolwiek się opóźnił idąc około żywych płotów, nie uganijając się zapewne za motylami, lecz dla uszykowania pewnej liczby frazesów, które wynalazł w popiołach swój młodości, i za pomocą których spodziewał się przywieść do poddania kamienne serce panny Levrault. Teraz pewny już skutku, przyspieszył kroku, a wtém Jolibois zastąpił mu na drodze.

— A co? Jolibois?—zapytał wice-hrabia z niespokojnością.

— Niech uderzą w kotły i trąby, dla ogłoszenia tryumfu—zawołał Jolibois, wywijając szpicrutą, z miną zwycięzką.—Niechaj wszyscy murarze całej Bretanii zbiegną się na ten odgłos! niech twoje wieże pochyłone wzniosą czoła pod niebiosy! niech kamienie twojego zamku powstaną na dźwięk talarek wielkiego przemysłowca, jak niegdyś mury Teb, na głos liry Amfiona. Spiesz, i każ pozawieszać tarcze herbowe z klejnotem szlacheckim twój rodziny! Niechaj Galaor wdrapie się na blanki i rozwinię sztandar Montflanquin'ów! Niech Baudouin'owie i Lusignan'owie

zatrzęsą się w swoich całunach! Zwyciężyłeś, panie wice-hrabio! Nie potrzebujesz jak tylko się pokazać, a miliony pana Levrault są twojemi.

— Powiedz, że są naszymi!—zawołał wice-hrabia w uniesieniu radośnym z wdzięczności, nie mogąc się pohamować.—Dla nas miliony!—zawołał wyskakując na brzegu ścieżki.—Wcielona djablica margrabina uschnie ze złości. Jolibois, jakże cię przyjęto? czy mocny opór znalazłeś?

— Nie mogę przed panem ukrywać, mości wice-hrabio, że kiedy przybyłem, twoje papiery cokolwiek spadły. Nie wątpiono o pańskiej uczciwości, i któżby śmiał o niej powątpiewać; to prawda, jednakże się wahano. Mówiłem, ażeby zmienić postać rzeczy. La Rochelandierowie zagrzebani są na sto łokci w ziemi, a pan stoisz lepiej niż kiedykolwiek. Bez próżności, panie wice-hrabio, mogę sobie pochlebić, że w tym razie dzielnie pana naprzód popchnąłem, i jak to mówią, nie żałowałem ani czapki, ani papki.

— Wspaniały Jolibois, szlachetny przyjacielu, mój zbawco!—zawołał rycerski Kasper, szukając w téjże chwili wybiegów, za pomocą których mógłby się wykręcić swoim wierzycielom—mogę się teraz panu wywdzięczyć.

— Panie wice-hrabio, masz się obecnie zająć ważniejszymi sprawami! Coś mnie winien, mniejsza o to; staraj się naprzód wyptać dług swoim naddziadom,—odpowiedział wielkoduszny Jolibois, który myślał w duszy, czy już nie nadeszła godzina zemsty, za wszystkie doświadczone zawody.

— Czy tak?—zapytał wice-hrabia, którego kocie oczy błyszczały na słońcu, jak dwa szmaragdy—trzymamy go dobrze, tego małego i dobrego baranka? Już się nam pan Levrault nie wymknie? Jesteś tego pewny Jolibois?

— Niezawodnie, panie wice-hrabio, jak gdybyś już miał w twój kieszeni milion ośm kroć sto tysięcy franków posagu, który papa Levrault daje swojej córce.

— Milion ośm kroć sto tysięcy franków!—krzyknął Kasper, widząc otwierające się niebo dla siebie.

— Ani mniej, ani więcej, panie wice-hrabio. Dodaj tylko sto tysięcy franków, jakie p. Levrault przeznacza na koszt uporzędowania gospodarstwa. Dostaniesz je do ręki gotówką w chwili podpisania interczy słobnej. Macie się zaślubić pod prawem wspólności majątkowej; nie sądzą bowiem, aby mogli zrobić lepszy wybór, i znaleźć podobnego zięcia jak pan jesteś.

— Wyborne człeczysko ten pan Levrault. Czy nie zdaje ci się, że wczorajszego wieczoru, cokolwiek za lekko o nim mówiliśmy? A więc, Jolibois, nigdy nie będę się rumienił za mojego teścia. Kiedy otworzę

moje salony, niech sobie co chcą myślą, lecz na honor szlachezca, ujrzą tam pana Levrault.

— Dalej, panie wice-hrabio—dodał wesóło Jolibois zacierając ręce— otóż wydobyleś się z przykrego stanowiska, i jak to mówią, pójdzie ci teraz jak po mydle. Złe godziny już przeminęły. Twoja gwiazda panie zajaśniała nowym blaskiem. Będziesz wiódł wspaniałe życie, zgodnie z twoim smakiem, z twoim instynktem, nareszcie z twoim stopniem. Znakomite dobra w Bretanii! pałac w Paryżu! konie! łoża na operze włoskiej i w teatrze Buffo!...

— Ej tak, mój Boże!— odrzekł wice-hrabia z rezygnacją. W lecie będę podróżował: pojedę do wód w Baden lub Hombourg.

— W części będzie to chwałą dla innie, zem, się choć pośrednio przyłożył do spełnienia życzeń pana, do urzeczywistnienia jego marzeń. Moje dzieci, jeżeli ich kiedyś mieć będę, dowiedzą się, że ich ojciec przyłożył się do przywrócenia świetności waszego imienia, do pomszczenia się nad zawistnym losem. Gdybym tylko zostawił im tę kartę z mojego życia, nie będą mieli prawa powiedzieć, że są wydziedziczeni.

— Spodziewam się mój kochany panie Jolibois, że zechcesz mnie odwiedzać w Paryżu, lub w moich dobrach.

— To zbyt dobroci, panie wice-hrabio.... Ale tracisz czas drogi. Pan Levrault czeka cię niecierpliwie z otwartemi rękoma, dla nazwania swoim synem, gdyż tak pana już mianuje. Nie jesteś jego zięciem, ale synem najukochańszym.

— Mówiłem ci zawsze, iż to jest godny człowiek—zawołał Kasper z uczuciem.—Być może, że jak każdy, ma swoje ułomności, lecz jaką duszę! co za serce!...

— Złote serce, panie wice-hrabio! Idź więc, spiesz do Trelade, leć, gdzie oczekują na cię dostatki. Ale pomyśl, że od odegrania sceny przy nogach Laury, nie jesteś uwolniony....

— Powiedz: panny Laury Levrault, mój kochany panie Jolibois; tak, panny Levrault.

— Przy nogach panny Laury Levrault—odparł Jolibois obojętnie— ową scenę, którąśmy wspólnie ułożyli. Bądź ognistym, panie wice-hrabio, tak, ognistym, natarczywym, niezwykłym. Nadewszystko panna Levrault dba o to, aby natchnęła cię gwałtowną miłością; zrób jój tę przyjemność. Jeżeli za czasów króla Henryka, Paryż wart był jednej mszy, milion ośmkróć sto tysięcy franków dzisiaj, warte są miłosnego oświadczenia.

— Dziękuję za twoje dobre rady, panie Jolibois—odpowiedział wice-hrabia, który według natury dusz wielkich, czuł budzącą się w sobie

godność, wraz z polepszeniem losu.—Rady twoje bez trudu będę zachowywał. Rola, jakąś mi skreślił do wykonania, nie jest nad moje siły. Jeżeli mam być ognistym, nieustraszonym, będę takim bez przymusu, i nie będzie to dla mnie zasługą. Jeszcze czas burzliwej miłości dla mnie nie przeminął, i nie widzę nic w tém niestosownego, że młoda i piękna osoba jak panna Levrault, wymaga, aby ją uwielbiano dla jój wdzięków, i swych pięknych oczów. Bywaj zdrów, mój kochany panie — dodał wice-hrabia, podając dwa palce notaryuszowi;—w całym życiu nigdy tego nie zapomnę, coś pan uczynił dla mojego domu.

Po tych wyrazach, zaledwie powstrzymując swe uczucie, które go pobudzało do podskoczenia jak kozioł, Kasper z całą powagą poszedł drogą, prowadzącą do Trelade. Gdyby się był obrócił po niejakiem czasie, i spotkał się ze spojrzeniem, które wpoił w niego kmostr Jolibois, stojący nieporuszony w jedném miejscu, sądzę, że naszego przyjaciela Kaspera, od stóp do głów zimnyby dreszcz przebiegł.

## IX.

Po odjeździe pana Jolibois, wielki przemysłowiec wrócił do salonu, gdzie się jego córka znajdowała. Laura, która cały poranek spędziła w głębi parku, ani się domyślała, że notaryusz odwiedził zamek Trelade. P. Levrault ani słówka jój o tém nie wspomniał. Krążąc jakiś czas w milczeniu około krzesła, na którém Laura siedziała, nagle zawołał:

— Nakoniec rozważywszy dobrze, wypada, że to nic wielkiego ten twój wice-hrabia! Zapytuję sam siebie, jakim sposobem mogliśmy się na to zgodzić, aby go przyjmować u siebie z taką serdecznością.

— Nareszcie mój ojciec — zawołała Laura — przechodzisz na moję stronę.

— To jest—odpart pan Levrault—ty nareszcie skończyłaś na tém, że dzielasz moje tajemne przecucia. Przypomnij tylko sobie, jak się wyraziłem nazajutrz o wice-hrabim, po naszym przybyciu do Trelade. Jeszcze go nie ujrzałem, a już mu niedowierzałem; jeszcze się nam nie przedstawił, a już mi coś szeptało, że ten Montflanquin nietylko wart, jak o nim mówią.

— Nie zapomniałam o tém—rzekła Laura;—ale także przypominam sobie, że zaledwie się wice-hrabia przedstawił, a już zupełne współczucie ojca pozyskał.

— Moje współczucie? — zawołał wielki przemysłowiec.— Trzeba było niemało sobie zadać pracy, aby cię wywieść z błędu, że mojej sympatyi wcale nie obudził. Wszystko w nim wstrętem mnie przejmowało:

jego postać, głos, jego dewizki, aż do sposobu przedstawienia się w Trelade. Nie dałbym ani szeląga, co się mnie tyczy, ani za jego Baudouin'ów, ani za Lousignan'ów, za jego lwa czarnego z widlastym ogonem i na grzbiet zarzuconym, ani na koniec za jego pieniążki złote w tarczy herbowej. Ani na chwilę nie byłem w błędzie, co do jego ciągłych nadskakiwań. Powiedziałem sobie natychmiast: patrzcie, co mi za zuch, który wie z jakiej strony wiatr wieje.

— A jednakże—dodała Laura, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu—przyjmowałaś go mój ojciec, wyprawiałaś dlań fetę, przysięgłaś sobie, że będzie twoim zięciem.

— Ale przez Boga, nie widziałem, że ci się podobał, żeś go kochała, że go chcesz zaślubić za jakąbądź cenę? Aby ci się nie sprzeciwiać, udawałem, że mi się podoba. Ma się rozumieć, iż nie miałem najmniejszego podejrzenia o jego moralnym prowadzeniu. Nieraz sobie powiedziałem: ten panicz czyha na moje talarki; strzegłem się wszelako uważać wicehrabiego za człowieka zacnego. Mówiłem sobie także: on nie jest pięknym, ani młodym; bolałem nad tém, żeś się rozplywała w tym gagatku, ale nadewszystko, to był twój interes, bynajmniej zaś nie mój. Wczoraj, dzisiejszego poranku jeszcze, broniłem go w twojej sprawie. Jój namiętność zaślepia ją, mówiłem, kocha się na przekór. Jednakże, kiedy tu idzie o twoje szczęście, mniemam, że ten przedmiot wymaga głębszej rozwoji. Wprawdzie rzadko się zastanawiam, ale kiedy się wezmę do rzeczy, to już w całym znaczeniu biorę się nie na żarty. Zamknąwszy się w moim pokoju, po dwugodzinnéj rozwadze i rozmyślaniu w głębi ducha, uznałem, że twój wice-brabia nie jest niczém więcej, tylko kuglarzem, i urwiszem.

— Nakoniec mój ojciec powiesz—rzekła dziewczica coraz więcej się śmiejąc—że to ja także przyczyniłam się, abyś został jego stronnikiem.

— Wszakże przekonywałaś mnie o tém, nieprawdaż, że on odmówił wszelkich łask dworu? Tyś kazała mi wierzyć, że się rzucił w wodę dla ocalenia panny Chanteplure? Ej do licha! niechno się wice-brabia pokaże w Tuillerach, a przysięgam, że król i księżęta tyłem się do niego obrócą. Co do panny Fernandy, mam podejrzenie, czy ona kiedykolwiek istniała na świecie. Ale wolę już milczeć o twoim Kasprze, nie brzęcz mi tylko za uszami o twojej dla niego miłości, o twojem uwielbieniu, i że tylko jego chcesz zaślubić. Czas już, aby się ta komedia skończyła.

— Ale, mój ojciec...

— Żadnego ale, nic nie chcę słuchać; zabraniam ci wspominać jego imię w mojej obecności. Nieszczęśliwy! co za zuchwalstwo! śmieć igraszkę sobie robić, z takiego jak ja człowieka! Kiedy pomyszę, że moja cór-

ka śmiała kochać takiego kuglarza, matacza, cała krew Levrault'ów burzy się i kipi w moich żyłach.

— Ale na Boga, mój ojciec... łaski...

— Żadnej łaski!—krzyknął wielki fabrykant.—Żałuję, że prace przemysłowe nie dozwoliły mi ćwiczenia się w szlachećnym władaniu orężem. Piérwszy raz żalę się przed Bogiem, że się nie urodził synem żołnierza. My wielcy przemysłowcy, jesteśmy marszałkami pokoju. Ah! gdyby Tymoleon nie zginął, byłby za jednym razem zemścił się za siostrę i za swego ojca! Niech się tu pokaże przecież, ten szlachecki synek, ten młody i piękny Kasper; niech się ośmieli naigrawać z mojego gniewu! Wyrzucę mu jego postęпки, a zdartszy z niego maskę, w twarz mu ją poprostu rzucę. O! nie zna on, coto jest Levrault obrażony!

— Otóż i wice-hrabia!—rzekła Laura, podniósłszy zasłony od okna, która w téj chwili ujrzała oblicze Kaspra, przesuujące się przed prętami kraty pałacowej.

— Czy być może?—zawołał pan Levrault.

— On sam; patrz mój ojciec, czy go nie widzisz?—pytała Laura, uchylając lepiej zasłony.

— Ah! jak on jest okropny—wołał pan Levrault—jaką lisią ma minę. Niechże tu kto zrozumie ludzi, którzy utrzymują, że on jest piękny? Moja droga, zechciej się tylko przypatrzeć, z jak lodowatą grzecznością przyjmę go u siebie.

— Jeżeli pozwolisz, mój ojciec, to ja dzisiaj przyjmę Kaspra. Sądzę, że nie zgadzałoby się z twoją ojciec godnością, gdybyś się miał kiedykolwiek oko w oko z nim spotkać; racz się oddalić, spuść się na mnie, już ja mu dam przyzwoitą odprawę.

— Masz słusność. Znam siebie: we mnie płynie krew nie woda. Niepotrzeba jak tylko jednego nierozsądnego słówka, uśmiechu dwójznanego, zmarszczenia czoła, krzywego spojrzenia, abym jak mina wybuchnął: będzie daleko przyzwoicięj, kiedy uniknę jego spotkania.

I pan Levrault, mając niejakie podejrzenie o wice-hrabim, że jest z professyi zawadyakiem skłonny do pojedynków, bynajmniej się nie gniewał, iż może złożyć na córkę kłopot załatwienia tak drażliwego interesu; i kiedy Kasper wchodził do pokojów przez drzwi z przedsionka, on tymczasem wymknął się szklanymi drzwiami, prowadzącymi do ogrodu. Była to scena jedna z arcy-dramatycznych, którą wywołało obłąkanie i namiętność.

Kasper zrobił tylko jeden skok od drzwi salonu do krzesła, na którym siedziała Laura; potem, zgiąwszy się przy nogach panny Levrault, jakby był watą wypchany, upadł na kolana, i z desperackim porusze-



niem, które bardzo zakrawało na ruch szalenie rozkochanego, zasłonił twarz obiema rękami. Stało się to tak szybko, tak nagle i niespodziewanie, iż powiedzielibyście, że wice-hrabia prawie czarodziejskim sposobem u nóg dziewczicy się znajdował. Laura nieporuszona, bawiła się od niechcenia z piórami chińskiego wachlarza, i spokojnie poglądała na Kaspra, jakby na jakie domowe zwierzątko, które przy jej nogach zaległo.

— Ah tak jest! prawda, oszukałem cię — odezwał się wice-hrabia przytłumionym głosem.— Tak jest, wszystko co mogłem zrobić, wymarzyć, aby panią oddalić od zamku La Rochelandierów, wszystko zrobiłem, wszystko wymyśliłem. Podstępny, podejścia, płaskie zabiegi, niczego nie szczędziłem, niczego nie zaniedbałem. Obarcz mnie swoim gniewem, ale nie przygniataj pogardą; kochałem cię i byłem zazdrosny. Dziecię zaledwie kosztujące życia, źródło świeże i czyste, w którym się błękit niebios odbija, kwiat niewinności, wdzięków i powabów, kwiat dziewiczy, zroszony łzami jutrzenki: nie wiesz jak pożyczy ogień ogarnął lato dni moich, nie możesz pojmować, jakie namiętności burzliwe szarpią sercem zawiedzioném. Są dusze, dla których miłość jestto strumyk wody ciekący jasno, cicho po zieloném łożu; są inne niestety! których miłość jest gwałtowną falą, porywającą wszystko co spotka na swój drodze, ryjącą swe łożysko wpośród zwałisk. Tak, oszukałem panią; tak, zrobiłem sobie igraszkę z twój łatwowierności; tak, jak zły duch wszędzie i w każdej chwili czuwałem nad tobą, nad każdą twą myślą, nad każdym krokiem. Poniżyłem się aż do kłamstwa, ja, wice-hrabia Montflanquin! Byłem zazdrosny względem powietrza, którym oddychałaś, wietrzyku, który muskał twe włosy, trawki, którą deptałaś stopami, względem róż, które dotykały twe usta. Chciałbym cię ukryć przed wzrokiem całego świata, wzniesć koło ciebie mur niebotyczny, schować, utaić w mém łonie, jak skąpiec swój skarb najdroższy. Bądź nielitościwą, ale nie pogardzaj mną; kochałem cię, i byłem zazdrosny.

Tu Kasper przerwał swój monolog i wzniosł oczy, aby sądzić o skutku swój wymowy, z której dosyć był zadowolony. Laura nie przestawała bawić się wachlarzem; to składała, to go rozwijała, badała wykonaną na nim robotę, uwielbiała świetność kolorów, i zdawała się nie słyszeć pięknych frazesów, z jakimi wice-hrabia przed nią się popisował. Kasper oniemiał.

— Słucham pana wice-hrabiego—powiedziała nareszcie dziewczica.

Te kilka wyrazów powiedziane były tak słodziuchnym głosikiem, tak pieśczołliwym, że nasz przyjaciel Kasper zupełnie się uspokoił.

— Chociaż zbyt młodym byłem—odrzekł ze smutkiem—mniemałem jednakże, iż dawno przeminęły, a może na zawsze zagasły burze mego

serca. Uderzony gwałtownym ciosem w dwudziestym roku życia, pożegnałem na wieki uśmiechające się obrazy w poranku dni moich; wyrzekłem tkliwe i wieczne pożegnanie miłości. Moje serce stało się tylko resztą popiołów. Nie pozostało mi, jak tylko odziać się kirem i zasnąć w mym grobie, kiedyś pani się zjawiała. Pociecha i błogosławieństwo zstąpiły razem na ziemię, aby uleczyć rany, wskrzesić umarłych! Widząc cię, czułem, że się odradzam, i jak Łazarz do życia przywrócony, wyciągnąłem rękę do nieba.

— Mów pan, panie wice-brabio—rzekła znowu Laura Kasprowi, chcąc obudzić pamięć cokolwiek za leniwą.

— Ujrzałem panią i pokochałem. Poprzysiągłem przy stopach umierającej, razem z nią pogrzebać moje serce, żyć tylko jój wspomnieniem; ujrzałem panią i stałem się niewiernym, krzywoprzysięzcą. Ach jakże zostałem przerażony spostrzegłszy, że nie zamarłem na wszystko, co żyć każe, że byłem jeszcze uczuciem młody, że mogłem kochać, że kochałem! O luba istoto, ileż łez i cierpień mnie kosztowałaś! Chciałem cię unikać, ujsć z tych miejsc; ale jakaś niewyciężona siła przykuwała tam, gdzieś się znajdowała. Każdego wieczoru opuszczając cię, przysięgałem w duszy nie powracać tu więcej; powracałem przecież nazajutrz, nieszczęśliwszy, więcej zakochany jak wczoraj. Ach! ileż wycierpiałem, ach! ileż walk stoczyłem! Ty tylko wiesz mój Boże, ty, który czytasz w tajnikach duszy!

— Ileżto razy wracając wieczorem przez samotną ścieżkę do zamku moich ojców, zdawało się, że widzę w cieniu poruszenia gniewliwego widma panny Chanteplure! Ileżto razy zdawało się, że słyszę jój głos oskarżający mnie w załosnym szeleście wietrzyka. Jakże byłem nierozsądny! nie pojnowałem, że jój luby cień nie oburzać się, ale cieszyć się powinien. Nie jesteś pani żywym obrazem Fernandy? Czyż nie ją to uwielbiam w osobie pani? Nie, ja nie zdradziłem méj wiary, nie, ja nie stałem się przeniewiercą! Panna Chanteplure żyje, jestem u jój stóp; w jójto wdziękach się przeglądam, ją ubóstwiam, jój dłoń dotyka mojej... O moja luba! marzyłem żeś umarła. A ty żyjesz, jesteś mi zwrócona, daleko młodsza, jaśniejsza i piękniejsza niż kiedykolwiek. Spójrz na mnie, przemów jak za dni naszego szczęścia. Nic nie odpowiadasz. Czyliż przestałaś mnie kochać? Nie jesteś moją Fernandą? nie jestem więcej dla ciebie twoim Kasprem?

— Panie wice-brabio—odpowiedziała Laura głosem, jak tylko może być najstodszym, usuwając rękę z ognistych uścisków Montflanquin'a—skłamałabym, gdybym chciała utrzymywać, iż jesteś mi obojętnym. Bądź

przekonany, iż mi wielce pochlebiały, o ile być mogło, owe oddawane hołdy przez takie serce, jak pana. Spodziewałam się, nie mogę przeczyć, że nasze losy zjednoczą się, że skończymy na połączeniu. Miłoby mi było, przyznać, nosić pańskie nazwisko; z dumą bym go nosiła. Nieszczęściem, panie wice-hrabio, że to pannę Chanteplure, ale nie mnie kochasz; nigdy bym się nie zgodziła na to, abym dla mojego męża była tylko portretem, samém wspomnieniem.

I wymówiwszy te wyrazy, Laura powstała, wzięła z fortepianu swoje rękawiczki, kapelusz, woalkę, i wyszła nie spojrzawszy nawet na wice-hrabiego, ciągle przed krzesłem klęczącego.

Nasz przyjaciel Kasper nie był głupcem; widział, że wszystko stracone, wszystko przepadło. Stłumił w piersiach ryk lwa zranionego, naciągnął kapelusz na głowę i wyszedł. Jednakże przechodząc przez dziedziniec, Kasper przypomniał sobie dobre usposobienie pana Levrault, w jakim go Jolibois zostawił. Przyczepił on się do milionów wielkiego przemysłowca, jak żmija do swój ofiary. Zawrócił więc do zamku, ale wtém usłyszał stentorskim głosem wymówione z okna wyrazy:

— Germain, każ niech zaprzęgną; pojedziemy do zamku La Rochelandier.

Wice-hrabia wznosił oczy, i poznał w oknie pierwszego piętra wielkiego fabrykanta, który wyciągał się w kaszmirowym szlafroku, gaskał sobie podbródek, uważał z kądem wiatr wieje, i zdawał się mało troszczyć o to, że wice-hrabia Kasper de Montflanquin zostawał na dziedzińcu. Nie czekając dłużej, Kasper przyczaił się, chyłkiem przemknął wzdłuż murów, otworzył bramę, i czmychnął w milczeniu.

Co zaszło w Trelade po odjeździe pana Jolibois? Była to tajemnica, którą Kasper napróżno usiłował przeniknąć. Tutaj tracił głowę. Nie mógł bowiem przypuścić, aby Jolibois, dotychczas jego towarzysz, knotr, chciał sobie jego kosztem zrobić igraszkę. To tylko zdawało się jasnym wice-hrabiemu, że ani pomyśleć nie mógł o zagrabieniu milionów pana Levrault; z pewnością była to stracona partya, bez nadziei odwetu. Kasper nie był jednym z tych ludzi, co się wysilają na dopięcie życzeń niepodobnych do spełnienia, rozwodzą bezowocne żale. Pocieszał on się myśląc o powrocie do Paryża, dzięki stu talarom, które Jolibois dozwolił mu swobodnie wygrać wczorajszego wieczora. Paryż! tylko w Paryżu wice-hrabia oddychał z rozkoszą; drżał on na to nazwisko, jak wygnaniec na imię swój ojczyzny. A więc do Paryża! Prowincya niegodna była posiadać tak miłego człowieka. Pocieszał się także Kasper wyobrażając sobie grymasy, jakie będzie robił Jolibois, kiedy się dowiędzie o rozwiązaniu awantury; w myśli, że ten zuchwały i chytry wierzyciel znajdzie się w po-

łożeniu kruka w hajce, było coś uśmiechającego się dla wice-hrabięgo, pocieszającego dla jego dobrego serca.

Kiedy się zbliżał do zamku swoich ojców, Kasper ujrzał trzy osoby dwuznacznych postaci, siedzące spokojnie na kamieniach przed jego drzwiami, jakby przed jaką oberżą. Bryczka, zaprzężona małą bretańską szkapą, stała niedaleko pagórka, na którym sterczały ruiny zamczyska. Kasper zbliżył się bez podejrzenia, łamiąc sobie głowę, co to za jedni mogli być, owi trzej nieznanymi goście. Wszyscy powstali, kiedy Kasper stanął przed nimi.

— Czy mam zaszczyt mówić z wice-hrabią Kasprem Montflanquin?  
— zapytał jeden z drabów ochędoźniej ubrany, ale z nich najbrzydszy.

— Z nim samym. Cóż od niego żądacie?

— Bez wątpienia ten list objaśni pana wice-hrabięgo z treścią małego interesu, który nas tu sprowadził.—Kasper złamał pieczęć i przeczytał:

Panie wice-hrabię!

„Nie chciałem opuścić Clisson i powrócić do Nantes, bez okazania panu nowego dowodu współczucia, jakie we mnie obudziłeś. Noc, którą przepędziłem pod dachem twoich naddziadów, nie zesłała na wzburzeniu przez grę wywołaném. Ponure świsty wiatru, nie pozwalając mi zmrużyć oka, w téjże chwili napawały mnie drzeniem i bojaźnią o pańskie bezpieczeństwo. Nie powiniennem ścierpieć, aby ostatni potomek znakomitęj rodziny, ujrzał którego poranku zawałające się mury nad jego szacowną głową. Racz więc przyjąć, panie wice-hrabięgo grzeczność moję, przez którą zostawiam ci do wyboru mieszkanie, gdzie możesz spać spokojnie, kiedy będą wyć wiatry północne.“

„Mam honor ponowić panu wice-hrabięmu, zapewnienie, moich uczuć, z jakimi pozostaję.

„Jolibois.“

— Co to znaczy?—zapytał Kasper, zadrżawszy jak jelen, kiedy dośły odgłos rogu i psów ujadanie.

— Panie wice-hrabięgo—odrzekł komornik (niestety! onto był jedną z tych trzech nieznanomych figur), wyciągając z brudnej kieszeni zwit papierów, pod pieczęcią fiskusa—jestem zobowiązany przez pana Jolibois do wykonania wyroku, który cię panje wskazał na zapłacenie summy, jaką zostałeś winien, pod karą osobistego przymusu, stosownie do litery prawa. Jestem w porządku; oto są papiery, wszelkie formalności dopełnione. Wyrok jest w ostatniej instancyi i prawomocny, który może być w każdej chwili wyegzekwowany. Czy pan jesteś w możności zapłacić na moje ręce sto pięćdziesiąt tysięcy, trzysta trzy franków, siedmdziesiąt

pięć centymów, to jest summę przysądzoną, tak w kapitale, jako téż procentów i kosztów procesowych?

— Ah! zdrajca Jolibois! ah! przeniwierca! ah! zbójca! — mrucał Kasper, gniotąc konwulsyjnie w rękach obrzydliwy list notaryusza.

Potém obróciwszy się do małego grooma, który całej téj scenie był obecny z niespokojną ciekawością:

— Galaor — zapytał obojętnie, — czy znajdziemy w domu sto pięćdziesiąt tysięcy franków, i kilkadziesiąt nędznych centymów?

— Pójdę zobaczyć panie wice-hrabio — odpowiedział szczytny chłopiec.

Wice-hrabiemu mignęła chwilowa myśl ucieczki albo oporu; roztrząsnawszy uważnie swoje położenie i przypatrzywszy się dwom buldogom, którzy ani na jeden moment nie spuścili go z oczów, nad każdym jego poruszeniem czuwając, poznał nieszczęśliwy, że mu nie pozostała inna droga, jak tylko poddać się smutnemu przeznaczeniu.

Po kilku chwilach, Galaor powrócił.

— Panie wice-hrabio — rzekł — do summy, którą pan wymieniłeś, brakuje tylko kilku tysięcy talarów.

— A zatém bądź zdrów, mój synu, do lepszych czasów! — odpowiedział Kasper ze smutkiem; — powierzam twojej pieczy zamek moich ojców.

W kwadrans potém, uboga bryczka unosiła do Nantes ostatniego potomka rycerskiego plemienia, siedzącego skromnie między dwoma drabami, mając naprzeciw siebie komornika. Tymczasem Galaor, stojąc na progu bramy, załamywał ręce, rwał sobie włosy, i krzyczał jak Sganarelle w komedyi:

— **Moje zasługi! moje zasługi! moje zasługi!**

(Część trzecia w następnym zeszytcie).



# POCZĄTKI FILOZOFII KRAJOWEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

*A. Tyszyńskiego.*

---

(Dalszy ciąg).

Taki był szczyt docieczeń myślenia jako myślenia. Ale źródłem i rodzicielką tych prawd, które wchodzą w skarb wiedzy człowieka, i których moralną piastunką jest myślenie człowieka, nie jest jedynie myślenie.

Dociekające (filozoficzne) pojęcia, systemata dawne i nowe, oddając się rozbiorowi myślenia, jego zasad, istoty, zawsze prawie przymuszone były przypuszczać, uznawać pierwiastek jakiś istnący w myśleniu, jego źródło, który nie jest samém myśleniem. Takim np. u Platona pierwiastkiem były owe *idee* (i ich zrodzenia, o których mówił, *noemata*), u Arystotelesa wspomniane w traktatach co chwila *Dios* i *Entelechii*, u nam społecznych, jak to wnet ujrzyć mamy, badaczy myśli: *monada*, *absolut*, *subjekt* i t. p. Ten pierwiastek tak przyznawany powszechnie, czyliż? i jaki jest?

Za warunek położyliśmy wyżej, mówić tu *stosowanie* i jasno; jeśli więc w czém, tedy w oznaczeniu pierwiastku tego (gdy schodzimy do niego), to jest rzeczywistych pierwiastków składających nas, nasze poznanie, winniśmy być prości i jasni. Gmatwanie w tém oznaczaniu, jest właśnie, jak wiadomo, przyczyną i źródłem tych wszystkich gmatwań, jakie są w budowie systemów, w wykładzie systemów, w całym tém rozwinięciu dyalektycznych dociekań, jakie są dotąd. Ów pierwiastek o którym mówimy, t. j. który jest źródłem naszego myślenia i źródłem poznania, czyliż więc istotnie jest w nas? a jeśli jest, jakiz jest w swém praktycznym znaczeniu, a w naszym codziennym nazwaniu?

Patrząc na człowieka na ziemi, na samych siebie, czujemy lub widzimy to jasno, iż dwa są jawne pierwiastki, które składają człowieka: 1) pewna materya widzialna, która rośnie, rozwija się, kształci i potem kona i znika, a którą zowiemy *ciało*; i 2) pewna materya niewidzialna, niewidzialna, ale materya, albowiem podobnie rośnie, rozwija się, kształci, a potem kona i znika, a którą zowiemy *myśl*.

Ale oprócz *ciała* i *mysli*, tkwi w nas jeszcze, czujemy, pierwiastek trzeci, pewne *towarzystwo tajemne*, które kieruje naszym ciałem i myślą, nieraz nawet bez woli i wiedzy tego ciała i myśli; a kieruje nimi do jednej ogólnej harmonii, z innymi ciałami oraz myślami. Zawsze równie świadomy i równie silny, pierwiastek ten tkwiąc w nas z dziecka, ani rośnie, ani się kształci, ani się rozwija, przeto nie jest materyą; a jako niebędący materyą, zwanym jest *duch*.

Byt w nas tego pierwiastku tak jest i jasnym i pewnym, jako jest pewnym to: iż jest *szuk* i *harmonia* w całości ludzkiego rozwicia, jako jest pewnym to: iż wszelka *całość* złożyć się musi z części, i że się nie stają *skutki* bez *przyczyn* (1). Trzy pierwiastki: *ciało*, *myśl*, *duch*, składają pojedynczego człowieka; też pierwiastki składać i kształcić też muszą ludzkość czyli złożonego człowieka.

Pierwiastek odpowiedni ciału ludzkości, wydał *Dzieje ludzkości*.

Pierwiastek odpowiedni myśli ludzkości, wydał *Nauki ludzkości*.

Pierwiastek, którym jest duch, to sprawił, że te Nauki i Dzieje, stosownie do celów ludzkości, téj a nie innéj natury były w każdym swym czasie.

Ciało jest wykonawcą ducha w porządku cielesnym; myśl zaś jest wykonawcą ducha w porządku moralnym. Wszelkie działanie ducha na ciało człowieka, z przyczynieniem działania ciała musi się stać, i wszelkie działanie ducha na myśl człowieka, z przyczynieniem téj myśli musi się stać; lecz obecnością bezpośrednią ducha to nazywamy w ciele, gdy to dopełnia krok jaki, bez udziału swych starań, swéj woli; a obecnością bezpośrednią ducha wśród myśli to nazywamy, gdy ta coś w sobie uznaje, bez otrzymania pojęć od innych myśli, bez swych dociekań. Forma, przez którą w ten sposób duch bezpośrednio pojęcia do myśli człowieka wnosi, zwaną jest *objawieniem*.

(1) Każde słowo postyszane przez jednostkę w dzieciństwie, takie nie inne; każdy krok postawiony tam, nie gdzieindziej (nieraz np. od śmierci o włos chroniący), są oczywiście najściślej związane z dalszą misją téjże jednostki, której przyście połączone jest znowu ściśle z misją większej liczby jednostek, danéj społeczności, okresu i t. p.

Nie mówimy tu z głównego zadania tym razem, ani o *dziejach ludzkości*, ani też o wszystkich częściach *myślenia* ludzkości; nie piszemy tém więcéj ani rozwijać będziemy traktatu o *duchu* jój. Nie będziemy tu mówić np. ani o tym *kraju duchowym* w ogóle, ani o związku ducha z całością danéj jednostki (*duży*), ani o sposobach działania, rodzajach *duchów*; jako o duchach *dobra* i *złości*, *prawdy* i *falszu* i t. p. nie będziemy więcéj mówić i o rodzajach *natchnień*, *objawień*, jako i które są z prawdy, które są z fałszu i t. p. Gdy jednak jak każda cząstka, tak każda chwila ludzkości, będąc wyrazem ludzkości, musi też być razem odbiciem jój wszystkich pierwiastków; —jakkolwiek przeto mówimy jedynie o poznaniach przez dojścia, t. j. o pierwiastku myślenia jako myślenia, mówiąc jednak o całości tego poznania w danym okresie, nie możemy nie mówić i o pierwiastkach innych i faktów nie wskazać.—Z czcią, co do nas, istotną dla myśli, rozwagi myśli, téj żywéj w człowieku cząstki, wymieniliśmy główne punkta jój dojścia w fazie doby jój 1éj, w okresie greckim. Z czcią wskazaliśmy na te fakta, te prawdy, do których docho- dziła w swych przejściach, które zdobyła. A jednak nie możemy zaprzeczyć, iż jeśli oddzielimy z zdobyczy tych, to, co było tylko czasowém narzędziem, metodą, formułą, (jako dyalektyka, logika i t. p.), a rachować będziemy wypadki, wypadki ostatecznie związane z rzetelnym losem człowieka, zadaniem człowieka; tedy też wyznać to przyjdzie, iż wszystko co nam przyniósł ten okres jest prawie żadném, iż jest owszem szczuplejszym nawet od tego, co był przekazał poprzedni mu okres tradycyi; i owszem wyznać wprost trzeba: iż jeśli ten okres nauczył nas prawdy jakiej nowéj z téj sfery nadzmysłowéj i nadpotocznój, winien to był, a raczej wziął był ją żywcem z okresu tradycyi. Wszystkie np. prawdy, pojęcia, takie lub inne o ziemi początku, o Bogu, o duszy, o stosunkach człowieka do Bóstwa, o obowiązku cnoty, naturze jój i t. p., wszystkie te prawdy, mówimy, były już poprzednio w religijnych księgach ludzkości i wierze ludów, nie wyjmując saméjże Grecyi.

Prawd tych w drodze dociekań, a przed trybunałem dociekań, był najwyższém sprawdzeniem system Platona, a najwyższém przeczeniem system Arystotelesa; to jest, iż owo sprawdzenie najwyższe téj było istoty, iż mogło jeszcze wydać, i owszem, wnet wydało swoje przeczenie; a to najwyższe przeczenie téj było istoty, iż nie odejmowało w swym gruncie możności na nowo twierdzenia; i stało się: że jedynym i ostatecznym wypadkiem dojść téj rozwiniétej rozwagi było, jak właśnie rzekliśmy, samo *wątpienie*.

Bez nowych wprost z ducha objawień, nie mogła już pójsć daléj myśl ludzka; że zaś nie mogła, dowodem tego jest: iż nie poszła. Dociekanie wśród Grecyi skończyło się na wątpieniu, rozpoczęte na Wschodzie (i w In-



dyach), nazajutrz po rozpoczęciu umarło. Trzebaby chyba na nowo świat stworzyć, albo stworzenie cofnąć, iżby twierdzić, iż ludzkość ta mogła coś dalej filozoficznie dociec bez objawienia; iżby zaprzeczyć temu, co przy-  
niósł *fakt*.

Albowiem, gdy oto myśl ludzka zwrócona do drogi dociekań, poznania prawdy, przebywszy wśród Grecyi swe wzrosty, wszystkie swe szczyble, doszła wreszcie za ostatnich swych czasów do tego jedynie wypadku, iż jedyną wśród świata prawdą jest, iż jój niéma; kiedy uosabiający cel dziejów starożytności, lud rzymski, zamierzwszy wśród stosunków społecznych zdobyć w swém rozwiciu swobodę dla każdej z jednostek, skończył na odjęciu jój wszystkim, światu całemu; kiedy w ten sposób najwyższe wzniesienie myśli za świata starożytnego (Grecya), i najwyższe mocy ciała wzniesienie za tegoż świata (Rzym), nietylko nie zniszczyły, nie zniosły, ale owszem rozszerzyły i wzniosły dawne cienie i kłamstwa, nędze i ucisk, rozpusty i śmierć, owe znaki dopuszczonego wśród świata: władania *złości*, lub mówiąc językiem religijnym: *książęctwa czarta*;—powstał i dał się słyszeć w tegoż świata zakątku głos,—głos już niedociekający lub dowodzący, ale wprost usta objawiający: że już dopełniły się czasy, i że się już przybliżyło dla świata—*Królestwo Boże*.

Ta radosna dla świata nowina (Ewangelia), nauka jój, poparta życiem, czynami, albo raczej wolą swojego Dawcy, wnet przez świat przyjętą została i (połączona z jakimś faktem wewnętrznym, który przeważył bieg jego), przemieniła to wszystko, co składa ten świat.

Mówimy, iż przemieniła; przemieniła bowiem duch ludzki, któremu podległy, i od losu którego, w swoim losie zawisł ten świat.

Lecz oto nauka ta, która o obowiązkach, istocie, o bieżących i ostatecznych celach każdego w szczególności człowieka i wszystkich w ogóle ludzi (ludzkości i świata), tak jasne objawienie podała, a za obowiązki owe na drodze téj, głównie *uczynki*, tudzież odnowienie i oczyszczenie *ducha* przepisała; nauka ta, czyliż potrzebną dalej czyniła, i owszem czyliż mogła znosić drogę dociekań? Lub jasniej: ukazanie się i przyjęcie przez ludzkość religii chrześcijańskiej, czyliż mogło dopuszczać i znosić kształcenie, lub poznawanie nawet, dawnéj filozofii pogańskéj? i budowanie chociażby nowéj chrześcijańskiej, bez *filozofii*?

Istotnie, patrząc na fakta nie stronnie, lecz prosto i historycznie (1), nie możemy nie przyznać: iż jeżeli nauka chrześcijańska po ukazaniu się

(1) Wszystkie fakta przez Ewangelią podane, nie jako fakta innych religij wschodnich, (np. Chin albo Indyi) giną w pomroce dziejów, lecz owszem stały się już na dłoni dziejowój; żaden fakt historyczny nie był, owszem równie stwier-

stwém, już nietylko jednego lub dwóch stronników, nietylko szkołę, lecz całe ludy i kraje wnet pozyskała, skutek ten nie przez rozumowanie, wymowę, nie przez działanie myślenia jako myślenia, w swych zwłaszcza pierwszych (jakkolwiek najnaglejszych i najżywszych) krokach był osiągnięty. Ukazanie się i przyjęcie nauki téj wprost, owszem i bytność owe-go pierwiastku wyższego nad myśl i ciało, o którym dopiero rzekliśmy (ducha), i siłę bezpośredniego działania jego, dobitnie ukazało.

Uczniowie Jezusa Chrystusa, mówiąc ściśle, nie przyjęli byli jego nauki ani w skutek dowodzenia rozumowego, albo widoku cudów (cuda nieraz gorszyły uczniów, i świadkami ich byli wszyscy; o nauce wyrażali się, iż jest twarda) (1), z drugiej zaś strony nie w skutek rozkazu władzy, albo z widoków zysku, lecz tylko—w skutek wewnętrznego pociągu.

Dlatego téż, opowiada nam Ewangelia, kiedy uczniowie Chrystusa zapytani byli przez Mistrza, kim go być rozumieją? a jeden z tych uczniów (Szymon) odpowiedział i rzekł: „Tyś jest Chrystus, syn Boga żywego”,—odpowiedział mu Chrystus: „Błogosławionyś jest Szymonie Baryona, bo *Ciało i Krew* nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest w Niebiesiech”.—I uczył tenże: „Żaden-ci do mnie przyjść nie może, jeśli go Ojciec mój, który jest w Niebiesiech nie pociągnie”.—I kiedy rozsyłał swych uczniów, a rozsyłał ich na Południe i Północ, na Wschód i Zachód dla pokonania silnych i przekonania mądrych, nie odziewał ich ani w jakoweś środki ciała, ani środki myśli, lecz mówił: „Przyjmcie *Ducha Świętego*”.—Schodząc zaś do strony moralnej i użyciu słowa, zamiast uczenia dyalektyki jakowej lub logiki, tę tylko metodę podał: „Nie *myślcie*, co byście mówić mieli” i t. d.

Duchem Chrystus, duchem téż nawracali do wiary uczniowie Chrystusa. Najwięcej racjonalny w metodzie i nauczaniu apostoł Paweł, sam to co chwila wyznawał. „Żydowie” pisze on np. w jednym z swych listów do części nawróconych Koryntyan, „szukają w przepowiadaniu naszym *cudów*, Grecy *mądrości*, a my jednym i drugim przepowiadamy Chrystusa umęczonego, co zaiste dla Żydów zgorzeniem się widzi, dla Greków *głupstwem*; a jednak podobało się Bogu przez to *głupie przepowiadanie* zbawić wierzące; albowiem nie w *mojcie* jest królestwo Boże, ale w *mocy*” (2).

dzony dziejami, albowiem nietylko *pismem*, lecz życiem, t. j. poręką charakteru i *śmiercią* da prawdę świadectwa, świadczących historyków, a nadto nieprzerwanym szeregiem *następstw* do dni dzisiejszych; dlatego téż fakta te historycznymi zowiemy.

(1) Jan VI. 60.

(2) I. *Korynt.* I. 21. IV. 20. podobnie:— „A mowa moja i przepowiadanie moje, nie było w przytudzających mądrości ludzkiej słowach, ale w okazaniu ducha

Duch więc nawracał i działał; duch był w téj nowéj nauce jak źródłem, tak i celem nauki; a jednak powiedzmy to najprzód: i *myśl*, jéj istota, uprawa, potrzeba uprawy jéj, nietylko potępionemi nie były przez wiarę nową, lecz owszem zalecane jawnie przez księgi jéj.

Pismo św. starego przymierza prawie w każdéj swéj księdze, a w Prorockich prawie na każdéj swéj karcie, zaleca *naukę* i *umiejętność*, *rozum* i *mądrość*. W zbiorze ksiąg tych, są owszem oddzielne *Księgi Mądrości*. Król Salomon, mówi to pismo, który był przeniósł mądrość nad wszystko, za nagrodę otrzymał wszystko. „Gdyżes żywot twój mądrze sprawował, a *rozum* twój nazwałeś *matką*, mówił postanieniec Pański do Esdrasza (1), i dlategoż ukazałem ci zapłaty u Najwyższego”. A ten rozum, ta mądrość, nauki, nie było to oznaczenie jedynie oderwanego poznania istoty Bożéj lub obowiązków człowieka, lecz téż kształcenie wszystkich szczegółów tego poznania, badania natury, uprawy sztuki i t. p. (2). I owszem, przepowiadaniem było w piśmie wyraźnie rozszerzenie nauki, nagrody dla ich przedstawców i t. p. (3).

i mocy”. 1. *Korynt.* 11. 4. „Co téż opowiadamy nie przez wyuczone powieści ludzkiej mądrości, ale przez naukę *ducha*” i t. d. *l. c.* 14.

(1) Księgi Esdrasza były śród ksiąg starego zakonu odbiciem właśnie fazy dociekającej, i są czysto filozoficzne; odznaczył je tylko, jak wszystkie Biblijne, odcielnictwo prorocтва, t. j. iż spólczesną sobie filozoficzność, tylko jako *formę* odbity.

(2) Pismo Ste tak np. określa mądrość Salomonową:

„I przechodziła mądrość Salomonowa mądrość wszystkich ludzi i Egipcyanów; mówił téż Salomon 3000 *przypowieści*, a *pieśni* jego tysiąc i pięć.”

„Rozprawiał téż o drzewach od Cedru, który jest na Libanie, aż do Hisopu, który wyrasta z ściany; i mówił o *zwierzętach* i *ptakach*, i *plazie* i o *rybach*.” *Z Kr. IV.* 30—33.

Tak téż i pisarz Ksiąg Mądrości (może tenże Salomon): „On mi dał tych rzeczy *które są*, prawdziwą wiadomość, abych wiedział rozrządzenie okręgu ziemi i mocy żywiołów,—początek i dokończenie i środek czasów. Roczne biegi i rozrządzenie gwiazd, przyrodzenie zwierząt i gniewy bestyi, moc wiatrów i *myśli ludzkie*, i którekolwiek są skryte i niewiadome nauczyłem się; *wszystkich bowiem rzeczy robotnica* nauczyła mnie *mądrość*.” *Ks. mądrości VII.* 17. 21.

(3) „I poznają błędzący duchem *rozum*, a szemracze nauczą się zakonu.” *Izaj. XXI.* 24.

„I dam wam pasterze według serca, i będą was paść *umiejętnością* i *nauką*” *Jerem. III.* 15.

„Bo *myśl* człowiecza będzie wyznawała tobie, a *ostatki myśli* będą święto święcić”. *Ps. LXXV.* II.

„A którzy uczeni będą, świecić będą jako światłość utwierdzenia: a którzy ku sprawiedliwości wprawują wielu, jako gwiazdy na wieki wieczne. *Mnody przyjdą* i będzie *rozmaita umiejętność*” (et multiplicetur scientia).— *Dan. XII.* 2. 4.

Ewangielia potwierdziła to wszystko, co było w tém piśmie. Wychodząc z tego co wieczne, i mówiąc o tém co wieczne, co przeto w każdym miejscu i czasie jest prawdą, nie zwracała się ona wprawdzie wyraźnie do tego, co jest w *rozwiciu*; mówiąc o początku i końcach, nie mówiła o przejściach: równie o przejściach *mysli* jak i *ciała* (dziejów) ludzkości. Nauka jój jednak, co do zasady w kierunkach tych, była jasną. Dawca jój gromił nieraz ciemność swojego ludu, i przykładami pogan go zawstydział (1). Nakazywał przynosić owoc (w miłości) setny i sześćdziesiąty. A w przypowieści o darach, które na świat z sobą człowiek przynosi, uczył wyraźnie, iż grzebanie i nierozwijanie ich, ściągnie zemstę Dawcy. Uczniowie Jezusa Chrystusa, powoływali też przedewszystkiém podobnie do wiary, miłości, uczynków; nie przepominali też jednak w nauce i *rozumu* człowieka, to jest powoływania do jego użytku, jego *kształcenia*.

Najsurowszy i najprostszy w powoływaniu tém Piotr, pasterz ustanowiony od Pana, pisał: „Wy... dodawajcie w *wierze* waszój *cnotę*, a w *cnocie* *umiejętność*” i t. d.

Św. Paweł, który wyznawał, iż nawracał głównie *duchem* i *mocą*, wyrażał jedynie, to jest zwracał uwagę przez to: iż duch jest wyższy nad rozum, iż przekonanie i wiara, t. j. skutek, od woli wyłącznie ducha były zależne; niejednokrotnie też jednak zalecał i kształcenie uprawę rozumu, zalecał owszem i żądał, iżby sama nauka ewangeliczna nietylko wiarą, lecz też i rozumem była przyjmowaną.

„*Bracia*, pisał, *nie bądźcie dziećmi wyrozumieniem, ale bądźcie dziećmi złością, a wyrozumieniem doskonałemi bądźcie*” (2).

„*Cheć, iżby była rozumną służba wasza*” (3) i t. p.

(1) „Królowa z południa, mówił, powstanie na sędzie z tym narodem i potępi go, iż przyjechała z krajów ziemi słuchać mądrości Salomonowej”. *Matt. XII. 42.*

(2) *L. Korynt. XIV. 20 i 21.*

(3) Apostoł ten pisał też wprawdzie „iż mądrość tego świata głupstwem jest u Boga”; oraz: „patrzcież, iżby was kto nie oszukał przez filozofią” i t. p.; lecz przez twierdzenie Isze wyrażał jedynie, że mądrość ludzka jest głupstwem przy Bożej; że zwłaszcza mądrość owego wieku pogańska, głupstwem jest przy chrześcijański; pisze bowiem gdzieindziej: „A powiadamy, mądrość między doskonałemi, a mądrość nie wieku tego ani książąt wieku tego” i t. d. *I. Korynt. II. 5, 6.* Przestroga zaś druga, wyrażona w liście do Kolossensów, stosowała się tylko, stosować się tylko mogła, do ówczesnej filozofii greckiej, t. j. *stoickiej* lub *Epikurejskiej*, a jak uważa Ś. *Klemens Alexandryjski w Stromaton*, jedynie do *Epikurejskiej*, która kwitnęła wtedy u Kolossensów; nie mogła się zaś stosować do filozofii w ogóle, albowiem i same listy Sgo Pawła (wykładające rozumowo: przepisy, system, rozwicie nauki ewangelicznej kościoła, a nawet sam fakt zbawienia), były właśnie ze sfery filozoficznej.

Tak więc stary jak nowy zakon w chrześcijaństwie, nie tylko nie pętyały, ale owszem zalecały wyraźnie uprawę rozumu;—obaczmyż więc, czyli? i na co? po przyjęciu prawd nowych, mogło zdać się zwracanie rozumu tego do filozofii, czyli do drogi dociekań.

Objawienie ewangelicznej nauki, nauka ta, przyszła była udoskonalić i wesprzeć dalsze ludzkości rozwinięcie, ale nie przyszła była przeciąć to rozwinięcie. Pocieszające słowo téj ewangelii, oznajmiło było wprawdzie dla świata przybliżenie się Niebieskiego Królestwa; dopiéro jednak *przybliżenie* się, nie już nadejście. Objawiło bowiem zarazem, iż lubo już dopełniała się miarka sprawiedliwości, jeszcze jednak nie dopełniła się była, i że świat jeszcze karana być miał (1).

Królestwu Bożemu przez naukę i życie Chrystusa, założoném było tylko dopiéro ziarno, a przeniesione na ziemię warunków, musiało rozwijać się dalej według tychże ziemskich warunków. Mając dopiéro stać się przez odnowienie się, wyćwiczenie postępu ducha ludzkiego (2), duchową drogę tę według momentów roślinnego rozwicia miało przebywać (3).

Ewangelia przepowiedziała i podała człowiekowi naukę prawdy; wszakże nie dosyć jest, jak samo pismo uczy, jedynie pieścić ją (i mówić jak owi Hebrajczycy z czasów Judythy, chcący się poddać wojsku Holofernesowemu, „lepiej jest chwalić Pana więźniami, niż umrzeć ze wzgardą”), ale należy téż jeszcze wznosić i ogradzać, zdobywać warunki wznoszenia prawdy.

Ewangelia nie przemieniła bytu, nie przemieniła więc była warunków bytu, czyli natury ludzkości. Jedną z cech, czyli warunków istoty człowieka, jest tkwiąca w nim myśl, oraz rozum; w chwili w którejby myśl i rozum przestały być warunkiem istoty człowieka, istota ta utraciłaby nazwisko człowieka. *Myśl* ta, tak jak i ciało (dzieje), otrzymały były od Twórcy razem ze swém poczęciem, jak uważaliśmy, pewne swe losy, koleje, doby swojego rozwicia; nauka więc ewangeliczna, nie zniszczyć, ale tylko odznaczyć miała owe losy, koleje i doby jednych i drugich.

Ewangelia przyjmowaną była przez pierwszych chrześcian pośród żywości piérwszój tradycyi, przez wiarę; lecz oto miał dalej przyjść czas,

(1) Według tego dotąd tajemnego dla kościoła w swych szczegółach wyrażenia „a on (Duch) będzie karał ten świat: z *grzechu, sprawiedliwości i sądu* i t. d.

(2) A będąc (Chrystus) spytanym od Faryzeuszów: kiedy przyjdzie Królestwo Boże?—odpowiedział im i rzekł: „Nie przyjdzie Królestwo Boże z postrzeżeniem; ani rzeką: oto tu, albo tam. Albowiem oto Królestwo Boże *wewnątrz was* jest”. Łuk. XVII. 21. 22.

(3) I mówił (Chrystus): „Tak ci jest Królestwo Boże, jako gdyby człowiek wrzucił nasienie w ziemię... Boć ziemia sama z siebie owoc rodzi, najprzód *trawę*, potem *kłos*, a potem *pełne ziarno* w kłosie”—Mar. IV. 26. 28.

w którym musiała osłabnąć żywość tradycyi, miał przyjść czas czyli doba nieprzebyta jeszcze przez ludzkość pełnego i męskiego jój wieku, wzrosłej rozwagi, a w czasach tych, wiarę w prawdę mogło tylko zastąpić, miała podtrzymać *poznanie* prawdy. Poznanie to, stać się mogło przez kształcenie jedynie poznania, t. j. kształcenie wszystkich gałęzi, odcieni gałęzi poznania (jako rozrodzonych nauk umiejętności i t. p.), przez przeprowadzanie stopniowe każdej z gałęzi tych do stanu jój prawdy, iżby się w końcu, a w epoce swój, jako prawda jest jedną, zbiegły w jedno, t. j. tak w jedno z *sobą*, jako téż z *ciałem* (dziejami), oraz *duchem* (religią) ludzkości (1). Jedną z gałęzi tych, i owszem jakoby matką wszystkich była, jak widzieliśmy, filozofia; filozofia przeto po odnowieniu ducha i drogi, musiała zacząć dalsze a nowe rozwicie.

Przez jakież szczegóły, fakta, odznaczyło się i wyraziło dalej rozwicie to?

Duch, którego bezpośrednio (t. j. niezależne od woli *ciała* i *myśli* człowieka) działanie, tak się objawiło wyraźnie wśród szczegółów, towarzyszących faktowi zbawienia, którego byt odbił się zwłaszcza był w całej pełni wszechmocy swój i wszechwiedzy, w życiu, osobie Zbawcy; duch ten, stosownie do jakiegoś raz przez siebie upatrzonogo porządku, cofnął dalej swe silniejsze działanie, i zostawił dzieje ciała i myśli ludzkości ich przyrodzonemu, widomemu na skale oka naszego, rozwiciu.

Opowiadanie chrześcijańskie słowa, zwrócone do Rzymian i Greków, spotkawszy jako opór moralny myślenie rzymskie i greckie, musiało dalej z myśleniem, walczyć myśleniem; a dla odbycia i wytrzymania walki, musiało pierwój poznać, z czém miało walczyć. Fakt ten, wbijając całe zdobycie moralne dawne na tło ducha nowego, w nowój dotąd nieznanój barwie (którą odbili zaraz piérwsi pisarze chrześcijańscy), zawód rozumowań przedstawił. Barwa ta tyle była nad dawną wyższą i tyle z całości ducha do całości ducha płynącą, iż na sposób spoglądania na rzeczy, nawet tych, którzy nie przyjmowali nowój nauki, wpłynąć, i do odnowionych szkół filozoficznych powieść musiała.

Szkoły filozoficzne, któremi była okryta cała Grecya, rozwijając i wyznając jedynie, jak widzieliśmy, system Arystotelesa zmysłowy, nader prze-

(1) Mechanizm ten dojścia dalej do celu pewnego przez ludzkość, przez działanie równie myśli jak ducha, i konieczność obu tych działań, określił właśnie Ś. Paweł w jednym z swych listów: „Wstąpiwszy [Chrystus] na wysokość, wiodł więźnie pojmane, dał *dary* ludziom”.

„*Azbyśmy się wszyscy skupili w jedność wiary i poznania. Abyśmy więcej nie byli dziećmi, unoszącemi się i chwiejącemi od każdego wiatru nauki.*” *Effez. IV. 8. 13. 14.*

konanemi były o nicości swój wiedzy, a ztąd nader skłonne do szukania nowych dróg, nowój nauki; to właśnie sprawiło było i uprzejme przyjęcie przez mieszkańców Aten Pawła apostoła, którego, jak piszą Dzieje Apostolskie, wiedli sami ciekawie, posłyszawszy, iż im coś nowego przynosi (1); to sprawiło było pszukiwanie i zgromadzanie ksiąg religijnych ze wszystkich krajów Wschodnich; a punkt środkowy zejścia się tego nauk ówczesnych Zachodu i nauk Wschodu, *Alexandrya*, wnet głównie polemiką religijną i nową filozofią zabłysła. Religie i religijne księgi Wschodu, będąc wykwitem w swój treści okresu tradycyi, okresu *ukończonego*, a zatem obejmującego *całość* poznania ludzkiego, lubo na stopniu tradycyi, nie o skończoności mówiły, lecz o *nieskończoności*; tło to tém więcej poparła nauka chrześcijańska, a dla pojęć tłem tém przejętych, już nie czcący chwilę i zmysły Arystotelizm, ale powabniejszym widział się już, mówiący o *ideach* Platonizm, i odznaczyły się w czasie tym szkoły, już stosujące rozumowe docieczenia Platona do religijnych objawień, zwłaszcza chrześcijańskich (*Neoplatonizm*), „już wykładające objawienia religijne przez rozumowe poznanie, *gnosis* (Gnostycyzm).

*Neoplatonizm* i *Gnostycy* byłyto pierwsze na polu czysto moralném skutki starcia się z pogaństwem chrześcijaństwa, i wśród całej swobodności rozwicia swego i sporu, zakończone były tryumfem chrześcijaństwa.

Pierwsze cztery wieki chrześcijaństwa, były w ogóle epoką świetnych zjawisk moralnych, i są uważane za złote pośród literatury, a zwłaszcza filozofii, chrześcijańskiej. Wieki te wydały rząd pisarzy, których pisma również są odznaczone nauką, oraz siłą *mysli* i *słowa*, jak *ducha*; pisarzy, którzy już lubo nie w porządku czysto duchowym, tedy moralnym, mogli się nazwać założycielami chrześcijaństwa, i którzy ztąd *ojcami kościoła* nazwani zostali.

Nie mówiąc już o nacechowanych szczególną a niedościgłą *żywością ducha* pism bezpośrednich uczniów Chrystusa (Ewangieljach i Listach), wspomnimy tu, mając wzgląd głównie na przedmiot o którym mówimy, o pismach św. *Justyna* pisarza z wieku IIgo, który wszelką naukę również jak religią, poczytywał za idące z jednego źródła, to jest objawiającego się w nas *logos* bożego; na pisma Ś. *Klemensa z Alexandryi*, który rozrodzenie się religij wschodnich i dogmatów ich porównał, zdania Pisma we wszelkich kierunkach moralnych rozważył, i o potrzebie uprawy nauk

[1] „A niektórzy z Epikurów i Stoików filozofów.... porwawszy, wiedli go do Areopagu, mówiąc: Możemyli wiedzieć, co to jest znowu za nowa nauka, którą ty powiadasz? Bo jakieś nowe rzeczy przynosisz do uszu naszych.... A wszyscy Attnieczanie, i ci co tam mieszkali goście, żadną się inszą rzeczą nie bawili, jedno powiadaniem, albo słuchaniem *nowin*”. *Dz. Apost.* XVII. 32. 34.

i sztuk dla tryumfu religii chrześcijańskiej głównie nauczał; o pismach Ś. *Bazylego Wielkiego*, od którego mamy między innymi i rozprawę „o korzyści, jaką mieć może młodzież z poznania pisarzy pogańskich” (1); *Origenesa* jednego z najświetniejszych komentatorów każdego wersetu ewangelicznego; *Hieronima św.*, który całe swe życie téżże pracy względem całości pisma poświęcił; św. *Chryzostoma*, wykładającego dogmata racjonalnie, i wreszcie św. *Augustyna* (2), zwolennika przedewszystkiém Platona, i zowiącego go pod pewnym względem nietylko boskim, ale więcej niż boskim (3); który w historyach filozofii podawanym jest zwykle za twórcę systemu wiary w nauce chrześcijańskiej; który jednak właściwie, racjonalnie tylko, jeden i tenże system zawarty już w ewangeliach i listach św. Pawła wyłożył, a główném swém dziełem: *O mięście Bożem*, jedném korytem następstw, to jest przez św. *Anzelma* i św. *Tomasza z Akwinu* (Lejbnitz), stał się źródłem dzisiejszej idealnej filozofii, a przez *Bossueta* i *Vico*, *Historyozofii*, któreto obà koryta dalej znowu złączyć się mają.

Lecz uznawanie potrzeby poznania nauk pogańskich jako konieczność, t. j. dla pokonania pogaństwa, znikło z pokonaniem pogaństwa; spotkanie ozdoby głównie pośród nauki pogan, wieść mogło do szczególnej miłości nauki pogan; względy te przemieniły więc dalej pierwotny pozór moralny chrześcijaństwa, i stając się moralnym czynnikiem fizycznych potrzeb rozwicia, smutny i długi, gdyż więcej niż kilka-wiekowy widok moralnej stanności wydały. Różne były potrzeby czyli powody roślinne, z mechanizmu praw raz naturze nadanych, wyływające, które wpłynęły na tę stanność.— Czas ten, było w życiu ludzkości okres jój przejścia z żywego wieku *młodości* (błyskającego moralnemi siłami lubo nie najomylniej, ale najświetniej) do wieku kiedyś *męzkiego*, t. j. dojrzałego poznania; okres mówimy *przejścia*, który przeto ani jednym, ani drugim być nie mógł. Było okres w rozpoczętej i wydanej roślinie religijnej

(1) „Jako liście na drzewie, mówi tu, lubo nie są *owocem*, są jednak ozdobą gałęzi drzewa: tak téż *nauki świeckie*, lubo nie są owocem prawdy wśród drzewa naszego poznania, są jednak właśnie jak owe liście, które i upiększają i ostanowią owoc”.

(2) Niektórzy z tychże wieków pisarze religijni chrześcijańscy, jak *Tertulian*, *Laktancyusz* i t. p. wszelką naukę świecką, a zwłaszcza filozofią, za zgubną i z szataną idącą poczytywali; uważać jednak należy, że właśnie ci, o których wyżej rzekliśmy, przez kościół pod *strazą* tradycyi pierwotnej rozwijający się, za ludzi rzetelnie świątobliwego ducha uznani zostali.

(3) „*Labeo*, mówi św. *Augustyn*, chciał Platona wśród bogów umieścić, i nie ganię mu tego, albowiem jakkolwiek Plato w przekonaniu mojem jest niższym od najlichszego z Chrześcijan, wśród pogan jednak był wyższym nad samych ich Bogów.” *De Civ. Dei*.



chrześcijaństwa, jój wystrzelenia w pewne zaprzeczenie ziarnu swojemu (jakkolwiek wmięszczające zawsze całą treść jego), i ukazania jój jakby łodygi, dążącej dopiero do wydania kwiatu i ziaren; było czas pierwszego starcia się wiary i dojsć rozumowych, i musiał przedstawić fakt, który następstwem jest zawsze pierwszym starcia się, uderzenia dwóch ciał, to jest *stanność*; byłoby wreszcie koniecznym faktem, w porządku dziejowemu odpowiednym. Czynność moralna dziejowa, która się odbywała za okresu dawnego przez *lud* wybrany, odbywać się miała dalej przez *ludy*; musiały się więc najprzód pokształcić i oddzielnemi cechami swojemi odznaczyć ludy.

Smutny ten obraz moralny, objął przeciąg wieków dziesiątka. Pozorne w nim nad czynnością rozumu zwycięstwo wiary, okazało się w końcu nieszczęściem głównym dla saméjże wiary; myśl i rozum nie znikły były bowiem przez wieki te z istoty człowieka, lecz niekształcone, służyły tylko do chwilowych zwichnień, usprawiedliwień przed wiarą, i wieki te wydały tylko fizycznie rząd bojów, ucisków, okrucieństw, oraz rozpusty wszelkiej. Tłumy ciemne szły w nich łatwo za każdym silniejszym głosem, bez względu na wiarę, i równie też łatwo wnet poszły za głosem każdego pierwszego lepszego reformatora saméjże wiary.

Ten był obraz ogólny; wszakże ten obraz ogólny nie znosił rysów szczególnych, które też odznaczyły przez czas ten, żywość duchową.

Potrzeba utrzymywania missyi, strzeżenia pisma, wykładu pisma, sprawowania obrzędów, mówienia nauk dla ludu, utrzymywania hierarchii, te moralne warunki społeczności chrześcijańskiej, sprawiły, iż niepodobnym już było odpadnienie w zupełną martwość téj społeczności, iż owszem tkwić w niej zawsze musiało kształcenie moralne; a za ustaleniem się bytów oraz pokoju w krajach, rosło kształcenie się to. Szczególne ukształcenie moralne wymaganem było zwłaszcza od mających piastować wyższe stopnie duchowne, i zacząwszy od krajów najbliższych głównej władzy duchownej we wszystkich chrześcijańskich krajach, ukazały się dalej liczne zakłady naukowe. Ogół nauk w zakładach tych, składały zrazu encyklopedye, złożone z resztek zabytków nauk starożytności (*Trivium, Quadrivium*), a nauki te udzielane jedynie były jako świadectwa zacności rozumu, udzielonego ludziom od Boga.

Przyniesiony do Europy przez Maurów (a wyniesiony niegdyś na Wschód przez *Nestoryanów*) Arystoteles, nowy odcień w téj nauk uprawie, odcień zwłaszcza gałęzi zwróconej do uprawy zasad myślenia, zwanej tak zawsze *filozofii*, nadał. Obowiązkiem nauki téj stało się, znane prawdy teologiczne, dowodzić i sprawdzać przez nowego autora formy dyalektyczne, jako *Syllogizmy, topiki* i t. p., a filozofia tak urządzona

z powodu, iż te dowody jój nie wychodziły za granicę raz przez szkołę podanych, szkolnej czyli *scholastycznej* nazwisko dalej otrzymała.

Urządzenie zakładów wyższych i narodzenie się umysłów wyższych, do wykładu w nich filozofii powołanych, nadały jednak wkrótce nauce téj, pewien wzrost. Począwszy od *Abelarda* (obudzenie którego ku sobie piérwszój idealnej miłości, stało się było zapewne figurą pociągnięcia kiedyś do moralnej miłości prawdy, całej ludzkości), filozofia nie wychodząc w swym gruncie z zasad przez szkołę podanych, posunęła się do własnych docieczeń, t. j. swobodnego zapatrywania się na naturę rzeczy; a posunięcie się to zaraz w piérwszych swych krokach, na dwa sobie przeciwne i wzajem walczące sposoby widzenia tych rzeczy, rozdzieloném zostało.

To, co przed sobą widzimy i o czém mówimy, że widzimy, jestli w sobie istotnie takiem, jak je *widzimy*? czyli téż tylko jest takiem przez to, iż je *zowiemy*?

Twierdzenie piérwsze przypuszcza byt rzeczy niezależny od sądu naszego; twierdzenie drugie byt tylko sądu naszego w oderwaniu od rzeczywistości owych rzeczy. Zwolennicy w wykładzie prawd scholastycznych, biorący za zasadę piérwsze twierdzenie, *realistów*; drugie, *nominalistów* otrzymali nazwisko. Piérwsi przypuszczając prawdę bezwzględną, byli w gruncie *idealisci*; drudzy przypuszczając jedynie względną, *materyaliści*; piérwsi kładli *wiarę* nad *rozum*, drudzy nie odrzucając wiary, raczój wznosili rozum! Rozum nie jest zapewne niebezpiecznym dla wiary, i jest témże co wiara, jeżeli doskonała jest wiara, i doskonałym jest rozum; rozum jednak nie był zapewne takim za czasów scholastyki, ztąd trwoga, przeczcucia duchów i napaść na jednostkowy rozum, który w istocie miał wnet powieść do *reform, przekształceń, przejść* wszelkich; ztąd spory o słowa i rzeczy *Nominalistów* i *Realistów*, (1) spory przeciągające się przez wieków cztery (XII—XVI); a w sporach tych odznaczyła się mianowicie walka *Scotystów* uczniów *Dunsa Scota* realisty (zwanego *Doctor Subtilis*) i *Tomistów* uczniów *Tomasza z Akwinu*, autora jednego z najznakomitszych dzieł racjonalno-teologicznych, *Summa Theologiae* (zwanego *Doctor Angelicus*) nominalisty. Zwycięztwo przy no-

(1) Walka ta *realistów* i *nominalistów*, nie byłoto wszakże w gruncie powtórzenie walki starożytnych *idealistów* i *materyalistów*: niżsi od nich dowcipem świetnym, tém jednak w poznaniu swoim byli już nader wyżsi, iż wsparci na objawieniu i wierze, nie wychodzili z przeczenia prawdom, nie mieli np. za kłamstwo *zmysłów*, albo za kłamstwo *ducha*; różnili się zaś tylko w uznaniu kierunku, w jakim te albo inne rzeczy do poznania naszego są odnoszone.

minalistach zostało. Z wiekiem jednak XVIym skończył się czas staności i zaprzeczania; nowe poksztalciły się ludy, wśród ludów nowe cechy krajowe, i począł się nowy bieg żywszy, moralnie jak i dziejowie.

Widzieliśmy, jakie przebywa doby kształcona rozważa, jakie odbiła wśród Grecyi w swym pierwszym podroście; doby te miała znowu powtórzyć, lecz już odbić na skalę większą, rozwite i szersze, w swym nowym wzroście.

Kraj sąsiedni głównej władzy kościelnej, kraj pierwszych wstawionych wszechnic, miejsce zbioru i zejścia się szukających nauki ze wszystkich krajów, ojczyzna pierwszych arcydzieł sztuki za ducha nowego, pierwszych w nowej mowie śpiewaków, kraj słowem *Petrarków* i *Dantych*, *Tassów* i *Raphaelów*, pierwszy też podzieliwszy ogólną metodę uprawy zasad myślenia, w uprawie tej odważył się uczynić krok dalej, i wydał ziarno, a ziarném tém było pismo *Campanellego*, t. j. odpowiedź na zapytanie, które też razem jest i nazwiskiem pisma: „*Czyli godzi się po pogańskiej nową mieć filozofią*” (1)? W piśmie tém autor przedstawił jako wniosek: iż obdarzeni tą swobodą myśli jak starożytni, możemy; lecz ze zasadą tej filozofii, mają być nie powaga gotowa, nie syllogizmy, topiki, formy scholiczne, ale swobodna i własna *obserwacya*.

To wypadkowe ziarno epoki filozofii scholicznej, a ziemi włoskiej, w opadaniu swém, dla zamienienia się w ziarno źródłowe na ziemi nowej, prześcigło morze, i ukazało się na gruncie Wielkiej Brytanii. Odbił je *Bakon*, w piśmie swém mianowicie: *O zacności i pomnożeniu nauk*, i owszem, od Bakona rachowanym jest nowy okres filozofii obserwacyjnej.—Byt rzeczy, które człowiek docieka, i dociekanie to, nie są, uważał *Bakon*, sprzecznością z sobą; jeżeli filozofia różną się od natury być zdaje, powodem tego jest tylko sposób jej traktowania: „Prawda bytu i prawda poznania jest jedną, różnią się tylko jak prosty płomień światła od złamanego”; jeżeli ogół szczególnych nauk nie jednoczy się z sobą, i jest od poznania natury w tém lub owém daleki, przyczyną tego jest mylna metoda; rzetelną jedność może tylko przywrócić metoda rzetelna, a tą rzetelną metodą być winna indukcyja fizyczna, czyli poznawanie rzeczy przez *doświadczenie*.

Ta *nowa metoda* Bakona, była śmiercią scholastycyzmu, i ukształciła dalej *empiryczny* (we wszystkiém) gieniusz Wielkiej Brytanii (2); ale ta

(1) *Ultrum liceat post Paganis novam condere philosophiam.*

(2) Odbiły go np. w urzędzeniu społeczném kraju nowe rządu kształty, w religii mnogość sekt, w naukach przyrodzonych rząd wynalazków, w poezyi pisarze odbijający wszelki rodzaj charakterów i obyczajów bez wewnętrznej jedności (jak *Szekspir*, *Walter-Scott* i t. p.), różność gatunków sztuki, jak powieści, romansów i t. p.

metoda Bakona przypuszczając indukcją jedynie fizyczną, dotykana przedstawiała próżnię w użyciu indukcji, a nadto z innej strony była jedynie metodą, t. j. wskazaniem jedynie *metody* nie zaś *systemu*. Strony te byłyto punkta ujemne dzieła Bakona (o ile organicznego) i byłyto punkta wyjścia dla następców; jakoż jedni z następców a spółkrajowców jego, indukcją fizyczną rozciągnęli do indukcji moralnej, t. j. do zbioru faktów obserwacyjnych w świecie-moralnym, inni łącząc oboje, a opierając się głównie na indukcji fizycznej, w końcu wydali *system*.

System ten uosobiło jedno z najślawniejszych pism w rozwiciu *dziejów filozoficznych* (ze względu zwłaszcza swych następstw, t. j. stworzonej przez siebie szkoły i jej reprezentantów) pismo *Locka: O naturze pojęcia ludzkiego*. „Mając niejednokrotnie spory, mówi ten autor we wstępie do tego pisma, o pojęciu tych albo innych przedmiotów, przekonałem się, że sposób pojmowania przez nas przedmiotu nietyle zawisł od natury przedmiotu, jak raczej od stopnia rozwiniętego poznania w każdym z nas”; wniósł więc, iż badać istotę rzeczy, jestto badać nasze pojęcie, ztąd pismo swe mające badać i oceniać poznanie nasze natury, nazwał rozbiorem pojęcia. Zasady z których wyszedł Lock w tym rozbiore, byłyto też prawie, które był spisał Arystoteles, i o których nauczało przeto XX wieków; różnicą zaś były tylko, *forma* i *zakres*. Nic nie mamy, twierdzi w swém piśmie Lock, w naszym pojęciu, coby nie było w naszej pamięci; nic zaś nie mamy w pamięci, o czémbyśmy zawiadomieni nie byli przez zmysły. Twierdzić, że człowiek przynosi z sobą idee wrodzone, jestto śmieszność; gdzież bowiem, pyta autor, te idee wrodzone u dzieci? u dzikich? u głupców? i t. p. Idee są rzeczywiście źródłem zdań naszych i sądów, ale i same idee, to wykwit *wrażeń*; t. j. wpływ najprzód sił postrzegania naszego zewnętrznego — *zmysłów*, i pewnej duszy naszej operacji wewnętrznej, tak zwanęj *reflexyi*. Wyobrażenie o *uchu*, Lock usunął z swego traktatu, „albowiem wyobrażenie o *uchu*, mówi, przechodzi nasze pojęcie, a mamy badać to tylko, o czém nas przekonywa pojęcie”. Przebiega jednak dalej wszystkie szczegóły świata, które są w naszym wyobrażeniu, nawet najoderwańsze na pozór, jako: wyobrażenia *czasu*, *przestrzeni*, *cnoty*, wszystkich odcieni szczegółów świata, *mysli* i nawet *Boga*, i praktycznie to co założył, sprawdza, iż początkiem każdego z tych wyobrażeń naszych są nasze *zmysły*.

Pismo Locka byłoto wypadkowe ziarno myślenia w Brytanii, t. j. jej pierwotnego własnorodnego myślenia; a jako scholiczne Włochy wydawszy myśl empiryzmu i przerzuciwszy ją na ziemię W. Brytanii, same dalej drogą swą poszły; tak i ojczyzna Bakona to wypadkowe swych za-

sad wydawszy ziarno, przerzuciła je na sąsiednią ziemię, a pozostała i dalej sama przy swym gieniuszu. System, który wydały zasady Locka, było ów sławny system, który odznaczył wiek XVIII, a który materyalnym jest zwany; system ten w biegu wieku przez pisarzy myślących wszystkich krajów był przyjętym i wyrabianym, lecz główną reprezentantką jego tak na polu teorii jak w skłonieniu do praktyki, była Francya. Ostatnim tego systemu wyrazem był we Francyi zmarły już za dni naszych pisarz filozoficzny *de Tracy*; najwyższym przy końcu wieku zeszłego *Condillac* i *Encyklopedia*.

System ten doprowadzony na polu teorii do swych krańców, wnet też się musiał odbić i odbił we wszystkich szczegółach moralnego rozwicia, jako w *sztuce*, teorii *sztuki*, *obyczajach*, *stosunkach społecznych*, *umiejętnościach*, *naukach* i samej *religii*. Wypadki teoretyczne do których system ten doszedł, które za nieomyślne na polu teorii uznał, za konieczne do stosowania na polu praktyki podał, za grunt rozwic moralnych we wszystkich gałęziach przyjął, pokrótce, a w głównych twierdzeniach są następane:

„Najwyższością w naturze, czyli wśród świata, *jest materya*, *Materia* była od wieków i była pierwiastkiem rzeczy, i rozwijając się niegdys stopniowo, wydała zwierzęta i ludzkość. Ludzkość jest wpływem materii, a kwiatem rozwinięcia ludzkości jest jęj *pojęcie*. Myśl i duch, sąto w swęj istocie odcienia materii, jęj kwiaty wewnętrzne. Celem ludzkości na ziemi jest śmierć i przemienienie się dalej w inną materią. Historia w szczegółach swych, zwłaszcza drobnych, jestto: „przypadkowość przypadkowości”—t. j. objawianie się przygodnie faktów, według różności i własności tęg lub innęg materii. Warunkiem dalszego bytu ludzkości jako ludzkości, jest dalsze jęj rozwijanie się. To dalsze rozwijanie się, jestto dalsze doskonalenie się. Doskonalenie się dalsze ludzkości, to jest jęj bytu, jestto doskonalenie jęj dobra. Cóżto jest dobro ludzkości? Dobrem ludzkości jest to, co właśnie powiększa granice dobrego jęj bytu—bogactwa jęj dotykalne oraz moralne, czyli mówiąc językiem zwykłym, meteryalne i niematerjalne. Szczytem najwyższym udoskonalenia się ludzkości, jest dobro całej ludzkości. Ostateczną i najwyższą każdęj z jednostek ludzkich powinnością, jest więc staranność o dobro ludzkości, miłość jęj (filantropia). Godziwością według swęj prawdy wewnętrznej, jest wszelki środek, który ma na celu to dobro.”

System materyalny myślenia, dotykając strony zewnętrznej rzeczy, z natury swęj blizkim był praktyki, i bieg który go miał uosobić, powiódł przed innemi do praktyki. Zmysły wszakże to śmierć, i praktyka, która miała za zasądę ten grunt, musiała także w swém rozwinięciu dalszém

napotkać śmierć; śmierć o tyle, o ile grunt prawdy na którym się opierała, nie był całością z prawdy.

System materyalny myślenia, sądził wprawdzie, iż obejmował całość stworzenia, albowiem i o idealnym myśleniu mówił, jako o części materji; idealność jednak, myślenie, uważał jako służbę materji, jako jój utwór błędny, nieokreślony, i był zwróconym wyłącznie do kraju zmysłów.

Ludzkość i świat, równie jednak są *umysłowe*, jak i *zmysłowe*; zasady, któreby ukształciły pełniej *poznanie* człowieka, winny więc obejmować zarówno, dotyczyć obu tych światów; jeżeli więc dochodzące do wieku swojej mężczyj pełniłości myślenie ludzkości, wydało i objawiło na skalę wielką, fazę swego materyalnego poznania, musiało téż jednocześnie objawić i wydać fazę idealnego.

Zapisujemy i wskazujemy fakta, nie naciągając ich do żadnego systemu: bo nie fakta do systemu naginać, wskazując wiernie, lecz z nich system wyciągać winniśmy. Mówimy o ziarnach i kwiatach wydawanych przez myślenia krajowe, gdyż widzimy; lecz nie określamy dróg i kierunków tych kwitnień. Rozwicie i stosowanie systemu materyalnego, miała głównie odznaczyć i odznaczyła Francya; lecz ten kraj Abelardów i cudów, swe wypadkowe ziarno, które na pole sąsiednie upaść i w okresową całość wzrosć tam miało; — w innej drodze miał wydać. — Ziarnem tém były: pismo Dekarta, *Zusady*, i poprzedzające go *O metody*; pismo odrzucone od spółkrajowców, lecz które przyjęte i pochwycone być miało dalej przez blizkie Niemcy.

„Nic nie mamy moralnie w sobie, w naszym pojęciu, czegobyśmy nie nabyli przez zmysły”, rzekł był dawno materyalny empiryzm, „oprócz samego pojęcia”, dodał Kartezjusz. Materyalny empiryzm zwalczając sceptycyzm bytu, a kładąc na bok ułudy moralne; mówił: *czuję więc jestem*. „Chociażby pewnym być miało, mówił Dekartes, iż wszystko to, o czém myślę jest fałszem, prawdą jednak to jest, iż myślę, iż piérwój niż cokolwiek wyrazić zamierzam, myślę; rzetelnym więc naszego bytu dowodem, jest nasza myśl: *Myślę, więc jestem*.”

Cokolwiek uderza nam zmysły i na nie wrażenie sprawia, nie pod innym warunkiem sprawia, jak, że to lub inne pojęcie, taka lub inna siła, skłania nas do odbierania w ten albo inny sposób tych wrażeń. W chwili odbieranego wrażenia, mamy już gotowe takie lub inne nazwisko na to wrażenie. Źródłem naszych uczuć i wrażeń, są jakieś niewidzialne siły nam wrodzone. Z uzuania sił tych wychodząc Dekartes. całą resztę świata przez nas znanego oceniał; odbijając w pewien sposób system Platona, zmieniony formą, i o zakres prawd objawionych powiększony.

System ten Kartezjusza, jak powiadamy, został rozwinięty przez Niemcy, i sprawił okres w dziejach myślenia; twórcą zaś i źródłem

w Niemczech tego systemu, był bezpośredni następca Dekarta i z wielu względów jego naśladowca, *Lejbnitz*.

Myśl Lejbnitza była wprost przeciwieństwem myśli Locka, którego pisma, tak samo jak w swych naśladowaniach, zbyt większe jednak społecznie spólczenie i powodzenie zyskiwały. Stronnik i dalej twórca szkoły myślenia idealnego, Lejbnitz, przeciw każdemu twierdzeniu Locka w piśmie jego: *O naturze ludzkiego pojęcia*, wprost odwrotne stawiał twierdzenie, i pismu, które w tym celu ogłosił, tenże nawet dał napis, t. j. „*O naturze ludzkiego pojęcia*” (w języku francuzkim).

Metodą do dojścia prawdy, według Locka, jak według empiryków, była *obserwacya*; Lejbnitz świadectwo zmysłów uznawszy z poprzednikami swój teoryi za fałsz i ułomność, za metodę w badaniu prawdy przyjął nie *obserwacyą*, lecz *demonstracyą*.

Wszystkie rzeczy sąto substancye złożone; co jest złożonóm, musi być składem pierwiastków; jeżeli są substancye złożone, są więc i pojedyncze. Rozbierając skład każdój rzeczy oddzielnie wziętój, dojść musimy do jakichś ostatecznych pierwiastków. Początkiem więc każdój rzeczy, rzekł Lejbnitz, i wszystkich rzeczy, są jakieś pierwiastki jednostkowe, czyli jednostki pierwiastkowe, *monady*. Źródłem wszystkich rzeczy na świecie, są monady; pojęcie nasze jest jeduém z tych wszystkich rzeczy; źródłem pojęcia naszego są więc także monady. Platon za pierwiastek wszystkich rzeczy podawał *idee*, lecz rzeczywiste *monady* nie sąto czyste idee. Kartezyusz dowodząc pewności bytu, powiedział: *myślę, więc jestem*, lecz oto myśl każdą stanowi nietylko podmiot (siła myśląca), lecz téż i *przedmiot*, każdy albowiem który myśli o jakimś przedmiocie, myśli; nietylko więc idea jest prawdą, lecz téż i byt zewnętrzny; monady, sąto więc pierwiastki nietylko natury wewnętrznej, ale téż i zewnętrznej. Monady przez to samo, iż sąto jednostki, sąto ilostki; co jest ilością, musi być i wielkością, przeto *materyą*; jakoby wreszcie z niemateryi mogły powstać wszystkie rzeczy, to jest *materya*. Pierwiastkiem wszystkich rzeczy maż więc być rzeczywiście materya? I sam Bóg (według Lejbnitza *monada monad*), maż więc być także materyą? Lejbnitz wyjaśniał, iż monady jego jakkolwiek nie sąto czyste *idee*, nie są wszakże materyą; żadna rzecz nie może bowiem być tém, co nie istnieje, a materya, ściśle mówiąc, nie istnieje. Ani *czas*, ani *przestrzeń* nie są materyą; co mamy za materyą, sąto złudzenia, które winni jesteśmy naszym zmysłom, dotykającym jedynie o chwile i oderwania. Co do stosowań, Lejbnitz był wyznawcą *harmonii przedwiecznej*, jak wszyscy prawie znakomitsi racjonalisci chrześcijańscy, jako np. w pismach swych śś. *Paweł*, *Augustyn* i *Tomasz z Akwinu*, którego dzieło *Summa Theologiae*, było właśnie źródłem *Theodycei*,

Podanie całego istnącego świata za utwor *myśli* i żywy wykład Lejbnitza, stworzyły szkołę i okres, którego zadaniem było rozwinąć i do ostatnich krańców posunąć badanie myśli; Leibnitz wszakże właściwie mówiąc, ku okresowi temu wskazał jedynie drogę i był jeszcze jakby pisarzem przejścia. Rzetelnym zaś założycielem i twórcą badania idealnego, okresu filozofii ściśle niemieckiej, był dopiero jeden z następców jego, *Emmanuel Kant*.

Prawdy praktyczne do których Kant doszedł, były nader nieliczne; ale okres filozofii niemieckiej miał za główne zadanie badać *myślenie*, *metoda* jest ze sfery myślenia, Kant więc, który był twórcą nowej metody badania myślenia, uważanym jest za założyciela tego okresu.

„Całość rzeczy, poznajemy naszym rozumem; nim przeto wyrzeczemy co stałe o tej całości, winniśmy piérwój ocenić sam nasz rozum”, rzekł Kant. „Filozofie poprzednie, nie zaczynały od tego sposobu, nie byłyto więc filozofie prawdziwe”.

„Mamy oceniać nasz rozum czyli *pojęcie*, lecz czemże je ocenimy? Nie rozumem, albowiem mamy go rozbierać dopiero; odkładamy więc nasz rozum na stronę, a jednak go oceniamy, czemże więc?—siłą, którą nie określimy zapewne samym rozumem, która jednak jestto jakowaś siła wśród nas istnąca, nami będąca, i jakby pod wewnątrzem naszym leżąca, jestto nasza *jaźń*, *podmiotowość* (das Ich, Subjectivität). Ta siła, będąca pierwiastkiem samego rozumu naszego, jest nietylko nadzmysłową jak rozum, lecz też nadumysłową (transcendentalną); filozofia rzetelna, *transcendentalną* więc w gruncie być musi”. Oznaczenie *podmiotu* i postawienie w *badaniu* (już nietylko natury zewnętrznej, ale samego) *myślenia* metody *krytycznej* przeciw *dogmatycznej*, sąto dwie główne cechy kroku uczynionego przez Kanta (1).

Do podobnego pod pewnym względem wypadku, doszedł spółczesny Kantowi, główny jednak jego przeciwnik, filozof bawarski *Jacobi*.

„Nie możemy przez rozum, mówiąc ściśle, poznać przyrody, gdyż i sam rozum jest przyrodą, nie możemy tém więcéj przez rozum dociekać i poznać Boga; rozum w swych dociekaniach poznaje i porównywa tylko rzeczy skończone; nie możemy zaś przez rozum skończony, ocenić i poznać to, co jest nieskończone; a jednak i poznajemy i oceniamy, wznosimy się nietylko do pojęcia nieskończoności, lecz też pojęcia Boga, musimy więc mieścić w sobie inną jakąś siłę poznania jak rozum; siłą tą, rzekł *Jacobi*, jest *bezpośrednie* tkwiące w nas znanie, czyli *wiedza*.”

(1) Główne dzieła Kanta tu należące, są: *Krytyka czystego rozumu*, *Krytyka praktycznego rozumu*, i *Krytyka sądu*.



Ta *bezpośrednia wiedza* Jacobiego, była zapewne w gruncie jednym i temże, czém *podmiot* Kanta; — wyrazy te jednak jak zrazu sporu, tak dalej dwóch całkiem różnych systemów spoglądania na całość rzeczy, przyczyną się stały.

Jakoż istotnie, bezpośrednio Jacobiego *wiedzenie*, było już samo przez się *wiedzeniem*, *znaniem*; podmiot Kanta dopiero *źródłem* *wiedzenia*. Skutkiem uznania bytu *bezpośredniego wiedzenia*, musiała być *stanność* *moralna*; jaźń jako *zaród*, podawała żywotność w rozwiciu; *bezpośrednie wiedzenie* (według tego znaczenia słów, z którego wytlumaczyliśmy się wyżej, i którego tu stale trzymamy się) było *duchem*, zaś podmiotowość Kanta, *myślą*. Okres filozofii niemieckiej, miał za zadanie badać roztrząsać, rozwijać kraj *umysłowy*, miał za zadanie główne nie tyle uprawę ducha, jak *myśli*, nie rozwinięcie i żywot ducha, lecz tylko jego badanie, zgłębianie; okres ten więc odrzucił *bezpośrednią wiedzę*, a jako żywotną na drodze uprawy *myśli*, pochwycił metodę Kanta.

Na wypadku systemu Kanta w krainie krytyki pojęć, *Fichte* jak na pierwiastku zbudował własny. „Cokolwiek istnieje, o czém twierdzą że istnieje, nie pod innym warunkiem jeśli to twierdzą, istnieje, jak że to twierdzą (uznają); cokolwiek przeto istnieje, jestto *me ja*.” To wszelkie istnące *me ja*, o tyle jest *me ja*, o tyle jest dla mnie, o ile je znam; lecz cokolwiek znam, nietylko istnieje dla mnie, lecz i dla siebie. Całość rzeczy składa więc dla mnie *me ja* i moje *nie ja*. *Moje ja*, ze mnie wychodząc, pragnie bujania, lecz spotyka *nie ja*, jest przez *nie* odparte, wraca więc i w powrocie tworzy to, co zowiemy *wyobraźnią* i cały świat *umysłowy*. *Nie ja*, z którym postawiony zostałem w związku, wchodzi do mnie, lecz odpięra je moje *ja*, t. j. stopień udzielonego mi pojęcia, i moje *nie ja* ograniczone w ten sposób przez moje *ja*, jest naszą wiedzą, to jest przyrodą zewnętrzną, nauką, umiejętnością. Nauki i umiejętności są postępnym wydobywaniem się mego *ja* z ograniczoności, w którą go wwiązało *nie ja*; stopień rozwicia w sobie naukowości, jest stopień rozszerzania się granic naszego *ja*; — zniknięcie mego *nie ja* (jak przez śmierć), sprawia dla *ja* żywot doskonalszy i nieśmiertelny.

System ten rozszerzył i w wielu względach rozwinął *Schelling*. Jaźń *Fichtego* jest *rzeczywistość*, tak jak i podmiot Kanta; lecz jaźń *Fichtego* nie jestto podmiot Kanta. Jaźń nasza jest częścią jako *podmiotowość* ograniczona przez *nie ja* (świat umysłowy) i jest jako *przedmiotowość* z cechą ograniczoności przez *ja* (świat zewnętrzny). Jaźń nasza nie jest więc wyłącznie podmiotowością, i nie jest wyłącznie przedmiotowością, ale jest jednym i drugim łącznie, to jest podmiot przedmiotowością, lub jest to raczej, jak dodał *Schelling*, jakowaś oddzielna bezwzględność, jakowys

*przedmiot-podmiot* absolutny, *absolut*. Na absolut ten wskazał Schelling jako istnący nie tylko w nas, w naszym *ja*, lecz też w naszym nie ja, czyli w całej naturze. Pojmowanie to natury przez *ja*, czyli *filozofią natury* głównie rozwinął; a w roztrząsaniu związków myśli człowieka i przedmiotów natury, zwrócił główną uwagę na rzeczy, noszące najjawniejsze cechy tych związków, i jako na najcelniejszą pomiędzy temiż, wskazał na *sztukę*.

Kant i stronnicy Kanta rozwinęli byli system dociekania idealnego głównie w badaniu *pojęcia* jako pojęcia; Schelling i szkoła Schellinga, w badaniu pojęcia obróconego na zewnątrz czyli *natury*; myśl, która następnie przyszła, przyjść była winna, by stać się kwiatem systemu, objąć musiała całość, to jest połączyć badanie pojęcia jako pojęcia i badanie pojęcia na zewnątrz czyli natury.—Tą myślą i tym kwiatem systemu, była myśl *Hegla*.

System Hegla był w gruncie odbiciem i rozwinięciem wszystkich poprzednich systemów idealności; a cechy, które go odróżniły i ukształciły, głównie były: oznaczenie *wypadków*, owe objęcie *całości*, oraz *metoda*.

Mając łączyć dwie strony, i występować z trzeciej, to jest *całości*, Hegel w miejscu dualizmu jak dotąd, rozróżnił i oznaczył *trynizm* w rozwijaniu się pojęć.

„Schelling rzekł, iż rozum nasz nie *myśli*, ale *widzi*; takie twierdzenie jest błędem, a ztąd wszystko, co z niego poszło w Schellingu. Do *wiedzy absolutnej* nie przez widzenie wewnętrzne, ale przez wzniesienie powszechnego uznania, do stopnia filozoficznego uznania, dojść tylko możemy (1)”.

Oto mamy przed sobą *naturę* i *świat*, i chcemy poznać i uznać co są i z kąd się wzięły? Przedmioty natury i świata, które mamy, widzimy, przed sobą, zbyt różne są i rozstawione bez związku. Przedmioty te przez tysiączne odcienia, łączą się jednak wzajem, mają więc jakiś łączny *rozwój* (*Entwicklung*); wewnętrzną *jedność*. Pragnąc poznać te rzeczy, musimy dojść najprzód do poznania ich źródła, owej *jedności*. Nie dojdziemy do tej jedności, jak niszcząc postępnie różności: lecz oto jakkolwiek byśmy w rzeczach które są oddzielnością niszczyli ich różne własności, nie zniszczymy całkiem różności: bo gdyby się już nie odznaczały różno-

(1) Główne pisma *Fichtego* i *Schellinga* odnoszące się do tych teoryj, stanowiących główną właściwość ich misji są; *Fichtego*: *Filozofia umiejętności*; *Zasada główna całej nauki umiejętności*; *Istota Filozofii* — *Schellinga*: *Filozofia natury*; *Wstęp do nauki filozofii natury*; *Pierwszy rys systemu filozofii natury*; *O Duszy świata*; *System idealizmu transcendentálnego i t. p.*

ścią, nie byłyby już oddzielnością, to jest szczególną rzeczą; i nie dojdziemy inaczej do pierwiastku jedności rzeczy, jak gdy dojdziemy do zupełnego zniszczenia tych rzeczy, t. j. *nicości*. Cóż jest ta nicość? to *nic*? To *nic*, jakkolwiek zowiemy je *nic*, skoro jednak zowiemy, a przeto obejmujemy myślą, jest naszą *myślą*; myśl jest bytem, a przeto i *nic* jest bytem.

Źródłem rzeczy, jedności rzeczy, jest więc *myśl* czyli *byt*; i poznania przeto naszego (którem *wszystko* oceniać mamy), pierwszym momentem jest *myśl* jako myśl, to jest myśl oderwana.

Myśl wszelka, o tyle jednak jest myślą, o ile ma treść, jakiś przedmiot, gdyż inaczej nie byłaby myślą; ten przedmiot myśli musi być *zewnątrz* myśli; drugim przeto momentem poznania naszego musi być *przedmiot*. Wszelki przedmiot przedmiotem jest w sobie, dla siebie istnieje, i dopiero w powrocie swoim, w odbiciu o naszą myśl, przychodzi do swęj całości (w swoim stosunku do nas), czyli tworzy *ideę* siebie. Idea czyli połączenie przedmiotu i myśli, jest więc trzecim i ostatecznym momentem naszego poznania. Rzeczywistością każdej rzeczy, jest *idea* (1).

Jaki jest stosunek naszej myśli, twórcy naszego małego świata do tego świata, taki też jest stosunek *wszeczeńswiata*, do jego pierwotnej przyczyny (Boga). *Myśl* jego jest Twórcą świata; przedmiot tej myśli jest *świat*, złączenie jest najwyższą ideą, najwyższym *duchem*.

Znamy więc drogę i sposób tworzenia się w nas wyobrażeń, śledzenia prawdy; ta metoda i droga, działające w nas zawsze nawet bez wiedzy naszej, są źródłem tych wszystkich nauk i poznań, jakie mamy.

Moment naszego oderwanego myślenia, daje nam naukę myślenia czyli form myślenia, t. j. *logikę*.

Moment zatrzymania się myśli na jej przedmiocie, *przyrodzie*, dał nam naukę i filozofią *przyrodzenia*.

Moment wreszcie powrotu przedmiotu i zamienienia się go w *bezwzględną ideę, duch*, daje nam naukę o *duchu*.

Każda z nauk tych, rozpada się znowu na swą potrójność, na swoje skale, stosownie do rodzaju; a ta potrójność na dalszą potrójność.

Tak np. całość *logiki*, składają oddziały: *byt*, *istota*, *pojęcie*.

Nauki *przyrodzenia*: *mechanika*, *fizyka*, *organizm*.

*Duch* dzieli się na *podmiotowy*, *przedmiotowy*, i *bezwzględny*;

(1) Tak np. na skale jasną wskazać można przedmiot ze sfery optyki. *Światło* jeżeli istnieje, nie pod innym warunkiem istnieje, jak że jest i *ciemność*. Ta *ciemność* jak jest *przeczeniem*, tak jest *przedmiotem* światła; *światło* połączone z *ciemnością*, daje wreszcie *ideę—kolor*; kolor dopiero jest rzeczywistością optyczną.

*Podmiotowy daje nam antropologią, fenomenologią i psychologią;*

*Przedmiotowy prawo, moralność, społeczność;*

*Bezwzględny wreszcie, sztukę, religią i filozofią, to jest, iż duch bezwzględny, ostateczny wpływ myślenia i przedmiotu naszego myślenia, przedstawia się nam w pierwszym momencie swoim jako *piękność prawdy*, w drugim jako *uczucie prawdy*, w trzecim jako poznanie czyli *wiedza prawdy*.*

Ta wiedza prawdy, którą dał system Hegla, którą w zastosowaniu tak do nabycia jej (logiki), jak i przedmiotu (przyrodzenia i nauk) szczególnie w oddzielnych traktatach przeprowadził, jakąż była w swych głównych praktycznych wypadkach?

Prawdy do których doszedł, na które wskazał ten system, ten kwiat okresu badania idealnego, takie więc były:

Najwyższością w naturze jest *duch*, idea ducha. Duch najwyższy jest: Jeden, Bezwzględny, Troisty. Duch ten (mówiąc na skalę pojęcia naszego) w momencie swego przeczenia, odbił się i rozwinął w to, co zowieśmy szczegółami oraz dziejami wszechświata; w dzieje te i my (ludzkość) weszliśmy jako warunek. Człowiek jest owym najwyższym duchem, najwyższą ideą na drobnej skali, jej podobieństwem. To co tworzy, jest też pewnym harmonijnym małym wszechświatem. Odbijając on żywioł bytu *ducha powszechnego*, w zjawisku zewnętrznym wydaje *sztukę*, w uczuciu, *religią*, w czystym, swobodnym myśleniu, *filozofią*, w rzeczywistości zaś zlanie całej tak wewnętrzności jak zewnętrzności, *dziejowość ludzką*. Każda z tych gałęzi rozwicia, w swoim własnym rozwiciu odbija owe momenta, które są momentami każdego rozwicia. Tak np. pierwszym momentem w rozwiciu uczucia religijnego, były religie Wschodnie, czyli część *bóstwo* w ich oderwaniu od ludzi i dziejów; drugim były religie *grecka* i *rzymska*, stanowiące jakby przeczenie bóstwa, i topiące go w ich przedmiotach (jako postaciach ludzkich, ich dobrych oraz złych czynach i t. p.); trzecim wreszcie momentem jest religia, łącząca Twórcę z stworzeniem, a ztąd jedyna prawdziwa: chrześcijańska (1). W tym też stosunku rozwijały się szczegóły ustaw, dziejów, sztuki, i będącej źródłem i kierowniczką wszystkiego—filozofii. Ostatecznym celem

(1) Trójca w Bogu, o której religia ta uczy, a która dla filozofów zmysłowych wydaje się pomysłem głupstwa, dla mistyków tajemnicą, dla rzetelnego filozofa widzi się prawdziwym i jasnym wyobrażeniem. Piérwiastek Istoty Bożej w swém oderwaniu jest rzeczywiście *Ojcem*; odbity w przedmiocie z zachowaniem natury swój Bożej—*Synem*; w połączeniu pochodzącym od obu, jest—*Duchem*. Równie filozoficzną jest ta nauka kościelna, która naucza; iż człowiek po uznaniu się w chwili rozdzielenia swego w swój fałszywości, przez komuniją napowrót łączy się z Bogiem. (Hegel).

tego rozwicia jest powrót i zamienienie się ludzi w najwyższą ideę. W sferze dociekań, mamy stać się kiedyś jako bogowie, wiedzący dobre i złe. Każdy krok wśród tej sfery (jako i w innych), jest więc zawsze krokiem postępu; każdy system filozoficzny jak był z poprzedniego wpływem, tak też mieścił odcień postępnym.

Ostatni (samego Hegla), musiał więc być w swoim czasie najwyższym postępnym; system ten przez to samo, iż doszedł do tego uznania, stał się poznaniem prawdy i miał sprowadzić na ziemię pod każdym względem byt prawdy.

Do uznania tego ostatniego skutku, iść mającego za wyraźnym doskonaleniem się myśli człowieka, doszli już byli i wskazywali nań poprzednicy Hegla: *Fichte* i *Schelling*, dzieląc dzieje ludzkości na kilka okresów, i wskazując na nadchodzący ostatni, jako wiek prawdy.

Skłonienie rozbioru myśli do sfery praktyki i oznaczenie dyalektyczne momentów rozwicia tak pośród sfery myśli jak praktyki, byłyto więc wypadkowe ziarna owego wielkiego okresu badania idealnego, czyli filozofii niemieckiej; i z tychto ziarn wyszli i rozpoczęli badania nowe nasi pisarze.

Wnet zastanowimy się bliżej nad tem, co wydał, co sprawił, do czego istotnie doszedł ów idealny okres; w czym był niższy głównie od poprzedniego, w czym się od niego odróżnił następny, czyli ten, do którego teraz przystąpić mamy. Obecnie przytoczymy pokrótce główne rysy utworów i dojsć tych naszych pisarzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# ROZBIÓR UWAG FIZYOLOGICZNYCH NAD ABECADŁEM POLSKIEM

przez Dra Ludwika Natansona,

zamieszczonych w Bibliotece Warszawskiej w zeszycie październikowym, 1849 r.

Nauki zupełnie różniące się między sobą główną myślą, jój kierunkiem, rozwinięciem i zastosowaniem, mają jednakże pewne punkta styczności, w których udzielają sobie wzajemnego światła. Do rzędu takich nauk mogą się policzyć fizjologia i grammatyka. Są one całkiem różne od siebie i treścią i celem, a jednak w niektórych szczegółach, pożytecznymi stają się dla grammatyki objaśnienia fizjologiczne. W tém zapewne przekonaniu p. N. pisał swoje *fizjologiczne uwagi nad abecadłem polskim*. Obaczmyż co jest w nich nowego, i jaką z nich korzyść może osiągnąć grammatyka?

Celem pisma p. N. było okazanie mylności dotąd używanego w grammatyce podziału głosek na *samogłoski* i *spółgłoski*, tudzież tych ostatnich na rozmaite rzędy.

Dla dojścia do zamierzonego celu, p. N. za zasadę podziału głosek na *samogłoski* i *spółgłoski*, przyjmuje trwanie czasu na wymówienie każdej z nich łożonego (str. 141 i 142). Na nięj się opierając, do rzędu samogłosek zalicza wszystkie prawie głoski, wyjąwszy sześć: *k, p, t; g, b, d*, (str. 142 i 146). Oczywiście tedy podstawą pomysłu p. N. stały się znane w grammatyce starożytnych języków *mutae* i *semivocales*. Pomysł ten nie unikał uwagi grammatyków krajowych, i dał powód do podziału spółgłosek na *trwające* i *chwilowe* (1). Cała zaś nowość systematu p. N.

(1) Obacz: *Feliksa Żochowskiego „Części Mowy Odmieniające się przez przypadki” — Warszawa, 1838, str. 42.* Jeżeli zaś p. N. nie znalazł tego podziału w grammatykach polskich, we właściwém tego wyrazu znaczeniu uważanych, to stąd pochodzi, że nie można było w nim upatrzeć zastosowania do wykładu mechanizmu mowy polskiej. Możemy wreszcie wskazać jedną z nowszych grammatyk, której autor (Dobromysł Łukowski), usiłuje upatrzeć jakiegokolwiek zastosowanie podziału spółgłosek na trwałe i chwilowe. (Skrócona Gram. str. 32.)

polega na tém, że dotychczasowe *samogłoski* łączy ze spółgłoskami *trwającymi*, i dowodzi, że grammatycy wszystkie te głoski, za samogłoski uważać powinni.

Nim jednak p. N. przystąpił do wyprowadzenia wniosków z obranej przez siebie zasady, wprzód rozważa inny podział głosek, oparty na ich *materji*, to jest na rozmaitych rodzajach głosu ludzkiego, w skład mowy wchodzić mogących, jakimi są *głos czysty*, *szczyenie* i t. p. Tę zasadę rozważając podług właściwego sobie widzenia rzeczy, dzieli głoski na:

*Samoistne* (a, e, i, o, u, y — j, l, ł, m, n, r).

Ciche czyli *Szmery* (h, ch, f, s, ś, sz, p, k, t).

Odpowiednie *Głosne* (— w, z, ź, ż, b, g, d). (str. 140).

Co przez samoistność głosek rozumieć należy, objaśnia to p. N. mianowicie przy rozważaniu sposobu wymawiania dotychczasowych samogłosek (str. 143); gdzie np. przy A mówi: „Jako *szmer* tworzy się w krtani . . . . Jako *ton* tworzy się przez drganie strun“ . . . . Samoistność przeto głosek polega na tém, że mogą się jawić w dwojakiej postaci: *szmeru* i *tonu* (1).

Głoski nazwane *głosnemi*, uważa p. N. za *akord* wynikły z połączenia raz *szmeru* i *głosu*, drugi raz *szmeru* i *tonu*; co objaśniają wyrazy: „*Szmer* (f) za dodaniem *głosu* przechodzi w głoskę *w*; *Szmer* (s) za dodaniem *tonu* przechodzi w *z*“. (str. 145). Inne znowu miejsce naucza, że te głoski uważać potrzeba za *akord*, powstający z jednoczesnego połączenia *szmeru*, *głosu* i *tonu*. Na stronie bowiem 141 p. N. mówi: „Głoski ciche są czystymi *szmerami* . . . (2) za przyłączeniem się do nich *głosu*, zamieniają się w odpowiednie *głosne*, których . . . bez *tonu* wymawiać nie można.“

W podziale głosek na *samoistne*, *szmery* i *głosne*, dwa ostatnie szeregi, są to znane w polskiej grammatyce spółgłoski *mocne* i *słabe*; z tą wszakże różnicą, że p. N. pomiędzy głoskami *h* i *ch* nie upatruje takiego stosunku, jaki widzi pomiędzy: *w* — *f*; *z* — *s*; *b* — *p* i t. p.

Ominąwszy trzeci podział spółgłosek podług organów mównych (str. 142 i dalsze), w którym mało jest uderzających nowości, dodać należy, że p. N. przedsięwziąwszy rozważać abecadło polskie, zamil-

(1) Objaśnienie to, równie jak i następne, podajemy tylko jako *studium* nad sposobem wyrażania się p. N., nie będąc pewni, czy one będą dla czytelnika zrozumiałemi.

(2) Wyraz *szmer* nie jest objaśniony w piśmie p. N.; zapewne więc bierze się w znaczeniu potoczném, które w Słowniku Lindego określają załączone synonimy: *gwar cichy*, *szalest*.

cza o głoskach *cz, dź, rz*. Prócz tego głoski *c, dz, dź*, uważa za złożone, i łączy je z *x*. Nakoniec za spółgłoski miękkie uważa tylko: *b', p', n', w'*, twierdząc, że one się składają z odpowiedniej głoski (domyślc się trzeba *twardéj*) z następującym zaraz *j* (str. 146 i 147).

Być może, iż takie twierdzenia mają swoją wartość fizyologiczną, ale w grammatyce, a mianowicie polskiej, żadnego zastosowania znaleźć nie mogą.

Dla wyjaśnienia powodów, skłaniających mię do takiego mniemania, widzę konieczną potrzebę przedewszystkiem zastanowić się nad pytaniem: *w jakim sposobie fizjologia na grammatykę wpływać może?* Rozstrzygnięcie zaś tego pytania, zależy będzie od okazania: *jakie podziały wyrazów i głosek do grammatyki wprowadzać należy?*

Celem grammatyki jest poznanie własności, jakie się objawiają w wyrazach, gdy się z nich tworzy mowa. Takie więc tylko podziały mogą w niej mieć miejsce, które się przyczyniają do wyświecenia tych własności. Że zaś nie wszystkie języki na jednakowych są utworzone zasadach, przeto i w grammatykach różnych języków, różne być muszą wyrazowe i głoskowe podziały. Lecz nie mogą one być czerpane z roztrząsań fizyologicznych, niezależnie od rozważania natury języków czynionych. Tak np. Polak, rzeczowniki swoje w liczbie pojedynczej rozdziela na trzy rzędy, zwane rodzajami (1); bo widzi, że przymiotniki zgadzając się z rozmaitemi rzeczownikami mogą przybierać trzy odmienne zakończenia. Francuz w swoim języku liczy tylko dwa rodzaje, stosownie do dwojakiego zakończenia przymiotników. Lapończyk i Węgier zgoła nie mają potrzeby wspominać o rodzajach, bo w ich mowie przymiotnik łącząc się z rozmaitemi rzeczownikami, nie zmienia zakończenia. Gdybyśmy chcieli tworzyć teorię rodzajowania na zasadach fizjologii, bez względu na naturę rozmaitych języków, niezawodnie mielibyśmy inną od przyjętą w przytoczonych językach. Może jeden angielski język najbardziej do niejby się zbliżał. W nim bowiem rodzaj pierwszy obejmuje rzeczowniki służące płci męskiej, drugi, ściągające się do płci żeńskiej, a trzeci obejmuje rzeczowniki nieżywotne, płci niewyrażające.

(1) Wyrazy *rodzaj* i *płeć*, przez nadużycie często biorą się za jednoznaczne. Lecz mieliśmy już zrzeczność gdzieindziej o tém wspomnieć, że rodzaje sąto rzędy, albo raczej rubryki, do których się z pewnych powodów te lub owe rzeczowniki wpisują; a zaś płeć jest jedną ze skazówek nauczających, który wyraz do jakiej rubryki zapisać należy. Wreszcie chcących poznać obszerniejszy tój rzeczy wykład, odsyłamy do „Odpowiedzi na recenzję” Mrozińskiego, str. 192 i dalsze.



Lecz taka teoria nie da się zastosować do innych języków, bo natura ich jest inna. Grammatyk zaś nie może marzyć o tworzeniu języków na nowych zasadach, lecz obowiązany jest poznać naturę już istniejących w ustach narodów; tak właśnie, jak fizyolog nie może myśleć o nadaniu nowej organizacyi człowiekowi, lecz o zbadaniu działania téj, jaką on z rąk Twórcy swojego otrzymał.

Weźmy inny przykład. Grammatycy języka polskiego postrzegłszy, że w rzeczownikach. ściągających się do płci męskiej, 4 przyp. liczb. poj. jest podobny do 2go, a zaś w nazwach rzeczy nieżyjących, do 1go; wprowadzili do swego wykładu podział rzeczowników na żywotne i nieżywotne, który oczywiście jest niepotrzebny w grammatyce języków, niemających téj własności. Fiziologia ostrzegła grammatyków, że nazwy roślin niewłaściwie przez nich są zaliczone do rzeczy nieżyjących. Grammatycy więc przydali uwagę, że chociaż rzeczowniki roślinne mają właściwe sobie życie, różniące je od istot nieorganicznych, jednak w przypadkowaniu ulegają tymże prawidłom, co i nieżywotne. Lecz pomimo przykładów, które znajdujemy u dobrych nawet pisarzy (np. *Widziałem ś. dęba* — Naruszewicz), nie mogli dotąd wymódrz na całym narodzie, iżby mówił: „*Widziałem rozłożystego kasztana, jawora, wiąza, pięknego gwoździka, tulipana, narcyza*“.

Uczony i głęboki badacz języka polskiego Józef Mroziński, rozważając kunsztowność mechanizmu mowy polskiej, widział, że dla utworzenia niektórych odmian grammatycznych, nie dosyć jest dodać właściwe zakończenie téjże odmianie, ale trzeba jeszcze zmieniać głoski przed tém zakończeniem znajdujące się (np. *ska-l-a*, *ska-l-e*; *świa-t* na *świe-ci-e* i t. p.). Śledził więc naturę każdej głoski, rozważając je pod wszystkimi względami, nie omijając i fizyologicznego, i przyszedł do wniosku, że zmiana głosek przybierających zakończenia odmian grammatycznych, polega na ich miękczeniu (1), biorąc ten wyraz w obszerniejszym od p. N. zakresie. Postrzeżenie to Mrozińskiego, nieprzydatne dla innych języków, w pracach grammatycznych języka polskiego stało się epoką; i odtąd każdy z piszących nawet grammatykę dla dzieci, mniej więcej szczęśliwie tę jego zasadę stosował. Pan N. nie zwrócił na to uwagi; owszem, pojęcie o spółgłoskach miękkich zupełnie skrzywił, ograniczając ich liczbę do czterech (b', n', p', w'); i zamiast wykazania zasług lub omyłek Mrozińskiego, wystąpił z dyatrybiczną napaścią na wszystkich bez

(1) Pierwsze Zasady Grammatyki Języka Polskiego. Warsz. 1822.

wyjątku grammatyków, nie troszcząc się o to, co oni dotąd zrobili, i co dla grammatyki języka polskiego jest potrzebném: bo naturę mowy polskiej, nie badając jój własności, postanowił, jakby jaką filozoficzną abstrakcją, *a priori* fizyologicznie rozstrzygnąć.

Z tego jednak, co się dotąd mówiło wnieść już można, że fizyologia nie jest tak wielowładną kierowniczką grammatyki (1), jak p. N. utrzymuje, twierdząc „że nauka o mechanizmie mowy jest *wyłącznie* przedmiotem fizyologii.“ (str. 139).

Anatomia może opisać narzędzia mówne, fizyologia wskazać ich przeznaczenie i sposób działania; ale grammatyk na tém przedstawiać nie powinien: on obowiązany jest wiedzieć o ile i w jakim sposobie który naród z tych narzędzi korzystał, do jakiego stopnia w sobie je wydoskonalił i w użycie wprowadził. Wszystkie narody obdarzone są jednakowemi organami mowy, ale nie wszystkie w swój mowie jednakowych używają głosek. Ileżto, nie mówię pojedynczych cudzoziemców, ale narodów nie może z łatwością polskiego *ł* wymówić? Grammatyk przeto, jakeśmy powiedzieli, nie może przedstawiać na tém, co mu fizyologia o narzędziach mównych podać jest zdolną; ale jeszcze powinien starać się o zbadanie tego, co jest w użyciu narodów mówiących rozmaitemi językami. Gdybyśmy w wykryciu mechanizmu mowy, chcieli przestać na samej fizyologii, byłibyśmy zbyt jednostronnemi, i nieraz przyszlibyśmy do bardzo mylnych wniosków. Pan N. czyni postrzeżenie fizyologiczne, że osoby na krtań cierpiące, mówią *topry*, zamiast *dobry* (str. 141). Gdybyśmy więc nie wzięli na uwagę przywyknień każdego narodu w użyciu organów mownych, i ograniczyli się jedynie postrzeżeniem fizyologiczném, musielibyśmy się zgodzić na to, że wszyscy Niemcy na krtań chorują. Bo wiadomo jest powszechnie, że chcąc Niemca źle mówiącego po polsku wystawić, trzeba mu w usta włożyć *topry*, zamiast *dobry*.

Wyjaśnwszy dostatecznie, jak się nam zdaje, stanowisko fizyologii względem grammatyki, możemy już przystąpić do ocenienia, choć przelotnego, systematu p. N.

(1) Z historyi grammatyki przekonać się można, że większą jój pod względem zbadania natury głosek przystugę wyświadczyli nauczyciele głuchoniemych, jak fizyologowie. John Wallis Anglik, który pierwszy podał nową i gruntownie rozważoną teorię głosek, był właśnie w ścisłych związkach z doktorem Amman, nauczycielem głuchoniemych w Amsterdamie.

W polskim języku, równie jak i w językach innych ukształconych narodów, jedne głoski mogą być podstawą syllab, drugie zaś nie. (1). Do pierwszych należą głoski polskie: *a, e, é, ę, o, ó, a, u, i, y*, które nazwano *samogłoskami*; innym zaś, nie mogącym być podstawą sylaby, dano nazwę *spółgłosek*. W definicyi tak jednych jako też drugich, grammatycy nie mogli przyjąć zasady *trwania czasu*, na której gruncie p. N. wznosi budowę swojego systematu: bo wiedzieli, że nietylko samogłoski, ale i znaczna liczba spółgłosek może mieć pewną trwałość. Zdaje się nawet, że i p. N. nie przywiązuje wielkiej wartości do swojej zasady; bo po jej wyłożeniu, mówi na str. 142: „Należy więc albo *definicją samogłosek i spółgłosek zmienić*, albo zachowując daną definicyą, zmienić układ i klasyfikacyą głosek.” A więc chce tylko przez dyatrybiczny wykład swojego systematu zmusić grammatyków do innej definicyi samogłosek i spółgłosek od téj, jaką im w swoim mniemaniu przyznaje. Szczęściem grammatycy dawno już życzenie p. N. uprzedzili.

Kopeczyński tak odróżnia samogłoski od spółgłosek: „Samogłoski w powszechności robią się samym otworem głosowej piszczałki, mocniejszém przez nią powietrza ciągnięciem. Różnica jednéj od dru-

(1) W niektórych językach piszą się tylko spółgłoski, a zaś samogłoski albo się opuszczają zupełnie, albo też znaczą się u spodu osobnemi kropkami, linijkami, ciągami. (Linde—Prawidła Etymologii. Rozdział II, §. 7). Lecz nie wynika ztąd wniosek, że w tych językach spółgłoski bez samogłosek mogą tworzyć sylaby. Sposób ten bowiem pisania dowodzi tylko, że we względzie etymologicznym, ważniejsze są spółgłoski od samogłosek; że wreszcie w językach, których budowa oparła na systemie spółgłoskowym, samogłoski podrzędne zajmują miejsce, tak dalece, że znaczenie wyrazu nie zmienia się, jeżeli w nim do utworzenia sylab ze spółgłosek, te lub owe użyją się samogłoski. W kraińskim np. języku wiele wyrazów tak wymawiają, że nielatwo rozeznac, jaka się właściwie samogłoska w syllabie odbija; ztąd jedni piszą *smert*, drudzy *smart* (śmierć). W czeskim zaś i bosnieńskim dyalekcie można znaleźć całe wyrazy bez samogłosek pisane, w których wymówieniu dodanie brzmienia samogłoskowego, zostawia się wprawie i upodobaniu mówiącego. Im jednak więcej kształcą się języki, tém bardziej ustalają się w nich dźwięki samogłoskowe. (Mroziński—Odpowiedź na recenzję str. 273 i dal.). Gdyby kto jednak nie przestając na tém objaśnieniu, chciał koniecznie utrzymywać, że wyrazy w niektórych językach bez samogłosek pisane, bez samogłosek też wymawiają się; toby wszakże nie mógł zaprzeczyć faktu istniejącego w polskim języku, o który rzecz się toczy, że w nim, równie jak i w innych ukształconych językach, sylaba nie może się utworzyć li tylko ze spółgłosek, bez dodania samogłoski. Przyimki *z, w* chociaż są wyrazami, jednak bez samogłoski użyte, nie tworzą sylaby. Toż samo można powiedzieć o wykrzyknikach *psst, hm!* przez p. D. L. przytoczonych, równie jak i o zgłoskach rozbióra p. H. S. (Obacz na str. 343 przytoczone tytuły dzieł tych pisarzy).

giej zawisła od różnego strojenia otworu krtani, ust (1) (Przypisy do Grammatyki na klas. III, wyd. 1809 r. str. 19)— Spółgłoski w powszechności większą niż samogłoski głosowemu narzędziu zadają pracę, bo ruch głosowego narzędzia, jaśniej się w nich niż w samogłoskach poznać daje. Dawno bardzo postrzeżono, że *do wydania spółgłosek, różne głosowego narzędzia części szczególniej pracują*” (ibid. str. 24). W tych nieco staroświeckich wyrazach, zawiera się odróżnienie samogłosek od spółgłosek, które M. Jakubowicz (2) przeniósł nawet do grammatyki dla dzieci przeznaczonęj, w takich wyrazach: „Głoski *a, q, e, ę, i, y, o, u*, zowiemy samogłoskami, że *sam głos tylko znaczą*, inne wszystkie *b, c, d, f, g* i t. d. zowiemy spółgłoskami, że *współ z głosem samogłosek wydają dźwięk, powstający z ruchu i działania na siebie wzajemnego narzędzi mównych, jakoto: warg, podniebienia, języka, gardła.*” (3) Odróżnienie to samogłosek od spółgłosek potwierdza p. N. Przebiegając bowiem sposoby tworzenia się głosek, mówi na str. 144: „Wszystkie więc *dawniej tak zwane samogłoski*, tworzą się w krtani.” Potem rozważając brzmienia spółgłoskowe, przy każdym wskazuje narzędzie mówne, które szczególnie, jak się wyraża Kopczyński, pracuje na wydanie takowego brzmienia. Szkoda, że p. N. dalej na tej drodze nie śledził różnicy *dawniej tak zwanych samogłosek* od *spółgłosek*. Lecz uczynił to Mroziński. Zgadza się on wprawdzie na to, że przez czas brzmienia samogło-

(1) Mroziński w „Pier. Zas. Gram.” str. 13, rzecz tę wyjaśnia dokładniej, wymieniając samogłoski, których brzmienie powstaje z odmiennego położenia warg, tudzież takie, które wymagają zmiany w położeniu języka.

(2) Pierwsze wydanie Grammatyki Maksymiliana Jakubowicza, wykonaném zostało r. 1823. We dwa lata zaś później, wyszło na widok publiczny skrócenie tejże Grammatyki, do użytku szkolnego zastosowane.

(3) Przytaczamy tu jeszcze definicye samogłosek i spółgłosek z dwóch nowszych grammatyk, do użytku uczącej się młodzieży przeznaczonych:

„Jeżeli tchnionemu powietrzu nie czynimy żadnego oporu, powstają głoski wyraźne czyli same o sobie, które dlatego samogłoskami, (samogłosami) nazywamy.

„Jeżeli zaś tchnionemu powietrzu czynimy opór wargami, zębami, językiem lub ścieśnieniem gardła; wówczas powstają głoski mniej wyraźne, które dlatego spółgłoskami (półgłosami) zowiemy, iż *jeno* za dodaniem do nich samogłosek zupełnie wyrażnemi się stają.” *Skróc. Gramm. Języ. Pols. przez D. Łazowskiego. Kraków, 1848 r. str. 5.*

„Samogłoska jest brzmienie, przy pewnym składzie ruchomych narzędzi mównych, ale bez poruszenia *takowych* wyrobione w przestrzeni *gęby*.

„Spółgłoska jest brzmieniem, *wyciśnioném* za pomocą ruchomych narzędzi mównych.” *Nauka Języka Polskiego dla uczącej się młodzieży, przez H. Sucheckiego. Lwów. 1849 r.*

sek, narzędzia mówne pozostają nieporuszone w stanie, w jakim się znajdowały w samém zaczęciu brzmienia (Odp. na Rec. stron. 118); a zaś do wydania brzmień spółgłoskowych w ogólności, potrzebne jest poruszenie się tychże narzędzi: znalazłszy jednak kilka spółgłosek, a mianowicie *s, z, sz, ź, ch*, przy wymówieniu których narzędzia mówne w ruch się nie wprawiają, śledzi naturę *materji* do wydania głosek potrzebnej, którą dzieli na trzy rodzaje: *głos, syczenie, dech*. (Odp. na Rec. str. 52 i dal.) Poczém uzupełnia definicyą samogłosek i spółgłosek, twierdząc, że pierwsze są *brzmieniem głosowém*, przy którego trwaniu narzędzia mówne nieporuszone zostają; drugie zaś są albo *brzmieniem głosowem, wydaném przy wprawieniu w ruch narzędzi mównych*, albo też *syczeniem lub dechem*, lecz w tych dwóch ostatnich zdarzeniach, wprawienie w ruch narzędzi mównych, niezawsze się wykonywa. (1). Oto są definicye samogłosek i spółgłosek, wyjaśnione obszerniejszém rozumowaniem w dziełach, przeznaczonych dla ludzi myślących. Ale nie mogą one być przeniesione całkowicie do książek pisanych dla dzieci, w których często ścisłość naukowa poświęca się łatwości dziecinnego pojęcia. Grammatyka Jakubowicza, pomimo znakomitych zkądinąd zalet, właśnie dlatego stała się niełatwo dostępną dla dzieci, że autor w definicyach, więcej niż inni zachowuje ścisłość naukową (2). Ztądto właśnie wynika, że w gramma-

(1) Zamierzywszy czerpać dowody jedynie z krajowych pisarzy, wstrzymujemy się od przytaczania, jak znakomici grammatycy innych języków, odróżniają samogłoski od spółgłosek. To jednak dodać możemy, że ich definicye w ogólności opierają się na zasadach przez Mrozińskiego rozważanych.

(2) Drugą przyczyną małego upowszechnienia się Grammatyki Jakubowicza jest zachowanie dawniej pisowni, i nie wprowadzenie do wytłumaczenia mechanizmu mowy, zasad Mrozińskiego, które zbyt jeszcze były nowymi. Oba ci bowiem grammatycy, prawie jednocześnie dzieła swe wydali.

*Doświadczeniem stwierdzona niepopularność grammatyki Jakubowicza pomiędzy uczącą się młodzieżą, zasługuje na to, aby ją zechcieli mieć na uwadze autorowie nowych grammatyk, z których wyżej przytoczyliśmy definicye samogłosek i spółgłosek, mianowicie wtenczas, gdy dzieła swoje stosować będą do użytku poczynających uczniów. Szczególniej to się ściągga do p. H. S., którego nowe pomysły powinnyby pierwiej dojrzeć w rozwadze samego autora i wytrzymać próbę publicznego sądu, nimby do szkolnego użytku wprowadzone zostały. Przymiędzy fabrykacyi dzikich wyrazów, nadany przez Srzeniawę (a po części i Deszkiewicza lubo w innym sposobie) silnie się odbił w książce p. H. S., i nadto jeszcze nacechowany został jakąś szczególniejszą rubasznością wysłowienia. Przypuszczając nawet trafność postrzeżeń, gruntowność zasad i dobry układ nauki, można bez ubliżenia prawdzie powiedzieć, że użycie książki p. H. S. dla początkujących, z powodu samego wysłowienia, więcej szkody jak pożytku przynieść może. Zasady gram-*

tykach dzieciennych, definicje samogłosek i spółgłosek są zwykle niedokładne, a nawet wyznajemy, że w niektórych mylnie (1). Pomimo to jednak, żaden ze znajomszych autorów grammatyki dla dzieci przeznaczonój, zaczawszy od Szumskiego aż do Sierocińskiego nie popełnił tak grubego błędu, jaki im p. N. przypisuje, mówiąc: „Resztę nazywają spółgłoskami dlatego, że niby bez pomocy samogłosek, *dluższy czas* wymawiane być nie mogą” (str. 141). Bo im nie szło o wyjaśnienie, która głoska może trwać *czas dluższy* lub *krótszy*, lecz o wskazanie, które głoski w polskim języku mogą być podstawą sylaby, a które nie.

Możnaby wprowadzić ten ostatni cel osiągnąć prostém samogłosek i spółgłosek wyliczeniem, unikając niedokładnych definicji; jednakże nie stanowi to jeszcze kacerstwa naukowego, gdy się uczącemu powie: samogłoskami nazywają się takie głoski, które same bez połączenia z innym dźwiękiem mogą być wymówione; a zaś spółgłoskami takie, których brzmienie wymawia się w połączeniu z jakąkolwiek samogłoską. Gdyby p. N. zechciał to wszystko rozważyć przed rozpoczęciem swój pracy, bez wątpienia nadałby jój zupełnie inny kierunek.

Pozostaje nam jeszcze o innych szczegółach systematu p. N. słów kilka powiedzieć.

Niektóre spółgłoski wymagają zupełnie jednakowego układu narzędzi mównych, i cała pomiędzy niemi różnica polega na mocniejszym lub lżejszym tychże narzędzi ściśnieniu lub wyprężeniu, tudzież na mocniejszym lub powolniejszym pędzeniu powietrza z płuc wychodzącego. O czém

*matyczne przeszedłszy w praktyczne zastosowanie, uleca z młodzieńczej pamięci; ale w niej utkwi głęboko lekceważenie zdań innych osób. i tok wysłowienia, który młodemu pokoleniu może dać pochop do tworzenia nowej odmiany (dialektu) języka polskiego. Historia piśmiennictwa krajowego wskaze kiedyś to dążenie, w znacznej części od wpływu niemczyzny pochodzące, jako odrębne od ogólnego kształcenia mowy polskiej. Co się tyczy wewnętrznych zalet dzieła p. H. S. sam autor dość je sumiennie ocenia, mówiąc na wstępie: „Dzielko niniejsze jest dorywczym wyciągiem latami nagromadzonych w rękopiśmie badań i docieczeń,” co wskazuje, że to nie jest książka „dla uczącej się młodzi”, jak tytuł objawia.*

(1) Do takich można policzyć wyrażenie, że „samogłoski są dźwięki proste, a spółgłoski złożone”. Spółgłosek nie należy uważać za dźwięki złożone dlatego, że ich brzmienia wymawiamy za pomocą samogłosek. Wszakże wody używamy za pomocą szklanki, ale nie możemy twierdzić, że woda składa się ze szkła i wody. Dusza objawia się za pośrednictwem ciała, lecz nie wynika ztąd wniosek, żeby dusza składała się z duszy i ciała. Ale błędów postrzeżonych u niektórych, nie należy brać za niewiadomość ogólną.

każdy przekonać się może, wymawiając głoski; *p-b; t-d; k-g; c-dz; sz-ż; ch-h; s-x; f-w*. Pierwsze z nich w grammatyce polskiej otrzymały nazwę *mocnych*, drugie *ślabych*. Pan N. zamiast tych nazwań, dosyć dobrze naturę rzeczy malujących, pierwsze mianuje *szmerami*, drugie *głośnemi* spółgłoskami. Gdyby nawet zmiana tych nazwań mogła posługiwać do wyjaśnienia rzeczy, w takim razie wypadaloby raczniej spółgłoski mocne uważać za głośne, a zaś *ślabe* za *ciche* (szmery), nie zaś przeciwnie. Prócz tego p. N. między głoskami *ch* i *h* nie upatruje takiego stosunku, jaki ma miejsce pomiędzy *p-b; t-d* i t. p. Wielu wprawdzie nie ma dostatecznej wprawy do wydania brzmień *ch, h*; i z tego powodu niektórzy pisarze chcieliby je uważać za jednobrzmiące (1). Lecz p. N. przyznaje im różne brzmienie, a tylko dla wytłumaczenia ich natury, powołuje się na paryżkie wymawianie głoski *r*, (str. 142). Ale nie czyniąc tak dalekich zachodów, można tę kwestyą rozstrzygnąć, opierając się na własności spółgłosek, od dwóch prawie wieków już grammatykom znanę, (2) a która w grammatyce polskiej w takich lub tym podobnych wyraża się słowach: Spółgłoski ślabe na końcu wyrazów i przed mocnymi, zamieniają się na odpowiadające im mocne; np. *Kraków, obowiązki, w kościele*, wymawia się: *Krakóf, obowiązki, f kościele*". (Gram. Jęz. Pols. Wilno, 1834 r. część I, str. 4). Niekiedy też mocne przed słabymi zamieniają się na odpowiadające ślabe, np. *prośba* wymaw. *proźba*. Zmiana ta glosek wszystkim językom wspólna, bo z natury organów mownych wypływa (3). Postrzeżenie względem tej zmiany glosek, p. N. z powodu użycia nowych nazw (*szmerów* i *głośnych*) podaje za nowe. Jakkolwiek bądź zawsze jednak przez to samo przyznaje, że postrzeżenie to jest prawdziwe.

Niechże więc zechce go zastosować do wyrazów: *schadzka, schnąć, schody, schować, schronić się, schwycić* i t. p., tudzież *zhardzić, zhasać, zholdować, zhukać* i t. p., a łatwo przyjdzie do wniosku, że na zasadzie przywiedzonego prawidła, tylko w odwrotnym użytego sposobie, *ch* wymagające przed sobą brzmienia *s*, należy do *mocnych* (podług p. N. do *cichych* czyli *szmerów*), a zaś *h*, mające przed sobą zawsze dźwięk *z*, do *ślabych* (podł. p. N. do *głośnych*). Jest jeszcze i druga własność tychże

(1) Obacz: „Uwagi nad pisownią polską” Krupskiego, drukowane niegdys w *Gazecie Codziennęj*.

(2) Już *Dangeau*, który całe życie strawił nad śledzeniem natury glosek, dzieli spółgłoski na *mocne* i *ślabe* (*fortes et douces*).

(3) Obacz: „Pierwsze Zas. Gram.” str. 9 i „Odpowiedź na Recen.” str. 26 i dalsze *Mrozińskiego*; tudzież *F. Żochowskiego* „Części Mowy odmieniające się przez przypadki” str. 47; także „*Amerykanke w Polsce*” *Tyszyńskiego*, i tym podobne dzieła, w które obfitą jest literatura krajowa.

głosek, objawiająca się wyłącznie w polskim języku. Nie wspomina o niej p. N., ale Mroziński ją postrzegł i wyraził w takich słowach: „Gdy zamieniamy w wyrazie spółgłoskę dla wyrażenia odmian grammatycznych, *močna* zawsze zmienia się na *mochną*, *staba* zaś na *stabą*, np. *ręka*, *ręce*, *noga*, *nodze*. Oczywiście jest więc rzeczą, że głoska *h*, która się zmienia na *stabą* *Sapieha*, *Sapieże*, jest *stabą*, spółgłoska zaś *ch*, która się zamienia na *mochną* *mucha*, *musze*, jest *mochną* (Odp. na Recen. str. 66).

Głoski *e*, *é* uważa p. N. za złożone z *ts*, *tś*, (1) równie jak *x* z *ks*; dodając, że *c* zmienia się na *dz*, a zaś *x* na *gz*. Objaśnia to jeszcze uwagą „że Grecy mają jeszcze głoskę *ps*, która dopełnia połączenia *samogłoski s*, z wszystkimi trzema cichymi spółgłoskami” (str. 146 i 147). Prawda, że u Greków litera ζ (dzeta) odpowiadała pod względem brzmienia dwóm polskim głoskom oddzielnie wymawianym *d-s*; co większa był czas, kiedy ją wymawiano jak *sd* (2). Ale każdy Polak dobrze wymawiający głoski swojego alfabetu, czuje to niezawodnie, że litery *c*, *dz*, *dź*, tudzież opuszczone przez p. N. *cz*, *dź*, *rz* (3), wyrażają pojedyncze dźwięki. O czém się i cudzoziemiec przekonać może, słysząc Polaka wymawiającego takie np. wyrazy: *dzwon*, *dzień* i *odzyskać*, *podziemny*; tudzież *rzut*, *umrzeć* i *marznąć*, *obmierzły*; albo też *drożdże*, *gwizdże*, *przejeżdżam się* i *zładże?* i t. p. Wszystkie te głoski *e*, *é*, *cz*, *dz*, *dź*, *dź*, *rz* wyrobiły się w ustach Polaka jako dźwięki pojedyncze, nie złożone. I dlatego litery, te głoski wyrażające, utrzymały się w alfabecie polskim; gdy tymczasem *x*, jako rzeczywiście będąca skróceniem dwóch liter *ks* lub *gz*, w polskich wyrazach nie używa się (nie pisze się *więxi*, ale *większ*) i dlatego do polskich liter liczoną być nie powinna (4).

(1) Podobną myśl, w formie algebraicznego wzoru wyrażoną, znajdujemy u p. H. S. (str. 6). Lecz tu tylko wykazane jest źródło, z którego powstać mogło brzmienie polskie *e*, *é*. Uważa je bowiem autor za zlanie się brzmień *ts*, *tś*, nie zaś za dwa oddzielne dźwięki jak *ks*; co się okazuje z wyrazów na str. 12 umieszczonych: „Zlew spółgłosek.” Jeżeli po podniebiennych *t*, *d*, *s*, *z*... nastąpi poddźwięk (Vorschlagslaut) *s*, wtedy *tamte* z *tym* w jedno brzmienie *kłęsną*, podług następującego wzorca (szematu): np. *bratski*, *bracki*.

(2) Obacz Grammatykę Stefazyusza, drukowaną w Warszawie, r. 1814, str. 2.

(3) O spółgłosce *rz*, takie są wyrazy p. D. Ł. (str. 14) „Jednakże w przesadnej spółgłosce *rz*, słychać właściwie skład obydwóch, jakby głoski *rz*, w jedno brzmienie złączone były.” Że brzmienia *rz*, tudzież *rz* w jedno się nie łączą, to już postrzegat Feliński, który w rozprawie o pisowni, na dowód swego twierdzenia przytacza wyrazy: *mierz*, *obmierz*, *dzierz*, *dzierzawca*, *rzysko*, *drzyć* (odzierać) i *drzyć* (od zimna) i t. p.

(4) Niektórzy w wyrazach przyswojonych używają głoski *x*, ale zład nie wynika wniosek, aby ta litera do alfabetu polskiego należała. W takim bowiem razie głoski niemieckie  $\begin{smallmatrix} e \\ a, o \end{smallmatrix}$  tudzież francuzkie *qu*, i t. p. używane w narwiskach obcych, do polskich liter liczyłyby wypadato.



Do miękkich spółgłosek p. N. liczy tylko: *b', n', p', w'*. Powinien był do nich policzyć przynajmniej jeszcze *ś, ź, m', dź, l, j*; bo wszystkie te głoski równie jak *b', n', p', w'* wymagają takich organów mównych nastrojenia, jakie jest potrzebne do wymówienia *i* cienkiego (1).

Nakoniec czyż w rzeczy samej p. N. mniema, że miękkie spółgłoski składają się z twardych i z następującego po nich *j*? Czyż o mylności tego twierdzenia nie powinny go były przekonać takie np. wyrazy: *zjem, zdjąć, wjazd, objawić* i t. p. gdzie właśnie głoski przed *j* umieszczone, twardo się wymawiają (2).

Nie popełniłby tych błędów p. N., gdyby nie uwierzył zbyt znacznie swjej tezie „że nauka o mechanizmie mowy *wyłącznie* do fizjologii

(1) Nic tu nie mówimy o systemacie miękczenia spółgłosek, wyrozumowanym przez Mrozińskiego, bo ten jest zupełnie obcy pismu p. N.

(2) P. P. D. Ł. i H. S. mówią także o utworzeniu się spółgłosek miękkich z twardych przez dodanie dźwięku *i, j*; lecz zawsze w tym sposobie, że się one *utworzyły*, to jest *wyrobiły* się w ustach Polaków, nie zaś *składają* się jak p. N. utrzymuje. Pomimo to jednak, nie daje się to mniemaniu usprawiedliwić. P. D. Ł. objaśnia „że przy miękkich spółgłoskach słycać połowę brzmienia *i*” (str. 12). Lecz trudno jest pojąć, jak połowę brzmienia głoski jakiej wymówić. I dlatego w rosyjskich grammatykach, gdzie *połgłoski* ważną rolę grają, teoria tych głosek zaczyna już tracić na swojej powadze, co mianowicie widać z pism, w których się porównywa język rosyjski z polskim. P. H. S. w swojej algebraicznej tabelce umieściwszy, że  $l+j=l$ ;  $n+j=n$  i t. p., wprowadza dla jej usprawiedliwienia *zespółgłoskowanie* samogłosek, dając przykłady: *ić—pójść; bić—bij; myć—myję* (str. 11) w których *i, y* podług jego zdania zamienia się na *j*. Lecz na następnej już karcie (str. 14) sam siebie zbija. Powiedziawszy bowiem: „*Przybywa (j) na końcu trzona w własności przegubu, do którego końcówki lgnąć mają*” daje przykłady: *zyć—szyj; gnić—gnij; kochać—kochaj*. Jeżeli więc w tych wyrazach *j* przybywa, to bez wątpienia przybywa i w wyrazach *bij, myję*, ale nie przetwarza się z *i, y*. Do słowa *ić* jest także na str. 14 objaśnienie, widocznie okazujące, że w wyrazie *pójść*, *j* nie utworzyło się z *i*. W takich jest ono wyrazach: „*cienkie j przed ciałą samogłoską i dotychczasowym zwyczajem ginie, np. jimię piszą imię*” Otoż zamiast *jić* piszą *ić*; gdy się więc tworzy *pójść* z *ić* (*jić*) wtedy *j* opuszczone przed *i* powraca, a zaś samo *i* opuszcza się. Jestto więc wyrzucenie czyli wyrzutnia (podług p. H. S. *wyrzut*) głoski *i*, nie zaś jej przemiana w *j*. Nie jestto jedyny usterk w dziele p. H. S.—A jednak p. H. S. nie pomnąc na to, nie szczędzi szyderczych przycinków dla innych pisarzy. Wszakże zdaje się, że wykład poważny i uprzejmość, znamionująca szczerą chęć przyczynienia się do postępu nauki, więcejby nam była przydatną, bo mogłaby połączyć pojedyncze siły do wzniesienia nauki. Wreszcie to przynajmniej zdaje się nam rzeczą pewną, że umieszczanie sarkazmów w książce przeznaczonj „dla uczącej się młodzi”, nie jest pedagogiczne. Młodzież trzeba uczyć rzeczy pożytecznych; a zaś przy jej wyobraźni żywej, uczuciu silniejszym od rozwagi, wrodzonj wesołości, rozwijającym się dowcipie, przycinki znajdują się i same przez się; bodajby tylko nie w większym nieraz wybijaniu, niżby zyczyć należało.

należy;" i gdyby się chciał cokolwiek zastanowić nad tém, co jest właściwego w wymawianiu rozmaitych narodów.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o sposobie wyrażania się p. N.

Pomimo pozornój jasności pisma p. N., niełatwo jest zrozumieć wielu zawartych w niém szczegółów. Przyczyną tego są wyrazy niezrozumiałe, lub w przeciwném powszechnemu użyciu brane znaczeniu, albo nakoniec do coraz innych pojęć przez samegoż autora stosowane. Przytaczam na to dowody.

Kilka razy w ciągu pisma powtórzony jest wyraz *zmianowanie*. Dotąd znane były wyrazy: *mianować* (nominować, zanominować), *mianownik* (w aryt. i gram.) tudzież *zmieniać*, *odmieniać*, *zmienianie*, *odmienianie*, *zmiana*, *odmiana* i t. p. Ale *zmianowanie*, źle użyty wyraz, bo niezrozumiały. Nikt nie zrozumie bez objaśnienia, co znaczy: *zmianowanie głosek*.

W powszechném użyciu, przez *znaki pisarskie* rozumiemy znaki przestankowe, tudzież zmianę głosu w ciągu czytania wyrażające, jakimi są: przecinek, kropka, znak pytania i t. p. Pan N. w przypisku, umieszczonym na str. 141, bierze je w znaczeniu liter (1).

Wyraz *ton* raz u autora znaczy to samo, co *dźwięk* różniący się od *głosu*, drugi raz znowu *głosne mówienie*. Na stronie bowiem 139 mówi: „*dźwięki* czyli *tony* tworzą się tylko w krtani”, i nieco wyżej: „Usta z zawartemi w nich organami..... służą do wydawania i *zmianowania dźwięków, głosów* i *szmerów*, składających mowę ludzką”. A zaś na str. 141: „*Głoski samoistne* wymawiać można *bez tonu* lub z *tonem*, czyli *cicho* i *głośno*”. W inném znowu miejscu (str. 140), są takie wyrazy: „Powietrze z płuc wyciskane, tworzyć może *szmery*, które albo same przez się, albo z *tonami* *słyszec dają*”, a na str. 141, „*Głoski ciche* są czystymi *szmerami* i *razem z tonem* *wymówione* być *nie mogą*; za przyłączeniem się do nich głosu, zamieniają się w odpowiednie *głosne*, których znowu bez tonu wymawiać nie można”. Niechże tu kto powie z pewnością, czy p. N. twierdzi, że *szmery* mogą się wymawiać z tonem, czyli nie? i co tu przez *ton* rozumieć należy? Nie przywiedzimy innych jeszcze sposobów użycia tak *tonu*, jako téż innych wyrazów; zdaje się bowiem, że i to cośmy dotąd powiedzieli, przekonać może, że pisma p. N. bez komentarza zrozumieć nie można.

(1) Wyrazy *litera* i *głoska* zwykle biorą się za jednoznaczne. Gdy jednak potrzeba odróżnić znaki pisma od głosów tworzących mowę, pierwsze otrzymują nazwę liter, drugie głosek. Obacz między innemi, Odpowiedź na Recen. Mroź. str. 32. P. H. S. *literę* nazywa *zrotłq*.

Zakończmy nasz rozbiór Uwag fizyologicznych abecadła polskiego, następną uwagą.

Nauki przybrały tak obszerny zakres, że nieraz gruntowne poznanie jednej z nich, zdoła zająć całe życie człowieka. I dlatego trudno jest znaleźć w jednej osobie dokładną i szczegółową znajomość wielu nauk, takich mianowicie, które nie należą do jednej i téjże samej gałęzi wiedzy ludzkiej. Prawda, wiek obecny, od człowieka oświeconego wymaga wielostronnego kształcenia się; ale to się ściąga do ogólnych wypadków, które filozofią nauk nazwać można, nie zaś do umiejętności specjalnej różnych przedmiotów. Wszyscy wiemy spopularyzowany wypadek badań Kopernika; ale poznanie całej drogi jaką przeszedł ten wielki astronom, nim stanął u kresu swych badań, dokładny wykład jego systematu i t. p. należą do poświęcających się wyłącznie astronomii. Do nich się udawać należy, chcąc się dowiedzieć o jakim specjalnym szczególe do téj się nauki ściągającym. Wiedzą o téj zasadzie grammatycy, i dlatego w rzeczach należących do *fizyki*, *anatomii* i *fizjologii*, nie wstydzi się zasięgać światła u znawców tych nauk; o czém przekonują nietylko takie dzieła jak Mrozińskiego, ale nawet i Kopczyńskiego, a mianowicie jego Grammatyka języka polskiego po zgonie autora drukowana (str. 9 i 10), tudzież Przypisy na klasę IIIcią (od 9—15 str.). Czy zaś fizyolog rozważający głoski abecadła polskiego, zachował podobne względy dla grammatyków, o tém sąd zostawiamy czytelnikowi.

*T. Kurhanowicz.*



# SYSTEMATYCZNY SPIS PTAKÓW

UWAŻANYCH W DAWNÉJ ZIEMI KRAKOWSKIEJ.

PRZEZ

*Haximiérza hr. Wodzickiego.*

---

**W** peryodycznych pismach o historii naturalnej, niemieckich i francuzkich, znajdujemy od lat kilku, skargi autorów na coraz znaczniejszy ubytek gnieźdzących się ptaków. Nam podobny brak czuć się nie daje, i długo jeszcze w dzikie ptastwo nasz kraj zamożnym będzie. W Niemczech i Francyi spławne rzeki, osuszone bagna, przeredzone lasy, ludność w olbrzymim wzrastająca stosunku, przymuszają lotnych mieszkańców szukać u nas spokojnego schronienia; co im pod każdym względem i w szerokich rozmiarach udzielamy z gościnnością staropolską. Polska (z smutkiem wyznać należy) posiada lasy w których noga ludzka nie powstała, w których niebotyczne drzewo rośnie na zgnitém i leżącym; bagna nieprzystępne, służące ledwie za nędzne pastwisko bydłu, brzegi rzek spokojne i odludne, przechowują dla potomności i dostarczają zachodniej Europie tych gatunków ptastwa, które przed człowiekiem i jego kulturą ustąpić musiały.

Ornitologowie niemieccy zazdrośnym okiem poglądają na obfitość świata ptaszego, u nas swobodnie żyjącego, wzywając nas zarazem do sumiennych prac i nowych spostrzeżeń; z naszej strony, będąc przy źródle niezgłębioném i niewyczerpaném, a od tak dawna zaniedbaném, możemy i powinniśmy dziś nowemi odkryciami wywdzięczyć się za tak znakomite i mozolne prace autorów zagranicznych, w przedmiocie nauki przyrodzenia.

Szczęśliwe położenie geograficzne naszego kraju, większą do tego sposobność nam podaje i ułatwia pracę. Rzeki liczne z odludnemi brzegami, wpadające do morza, służą wędrownym ptakom za bity gościniec;

dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni, dostarczają rzadkich i ciekawych exemplarzy w różnych barwach (1); szczególnież brzegi Wisły krzemieniste, piaszczyste i bagniste, zmieniające się tak często koryto téj rzeki, są obfitém w żér, i spokojném zaciszem dla wędrujących ptaków. Spotykaliśmy tam równie mieszkańców wysokiej północy, jak stron południowych. Klimat naszego kraju jest tak różny, tak odmienny według okolic, że w niektórych posiadamy gnieźdzące się nawet południowe ptaki, jak np. *Turdus saxatilis*, *Falco brachydactylus* i *Falco pallidus*; są bowiem w Tatrach i w Krakowskiem skały tak wystawione na promienie słoneczne, iż tameczny stopień ciepła w letnich miesiącach, równa się stopniowi południowych Alp lub Pireneów. To nam tłumaczy, dlaczego ptaki dawniej u nas nieznane, przed laty może w kilku tylko parach niepomyślnym wiatrem w strony te zapędzone, zostały na naszej ziemi. Znalazszy one dostateczne ciepło i żér, wracały co rok z potomstwem na to mieszkanie letnie, od północnych wiatrów zakryte, i dziś obywatelstwo polskie otrzymały. I tak drozd skalny (*T. saxatilis*), dosyć rzadki dawniej w Krakowskiem a niepostrzeżony w innych częściach Polski, dziś uprzyjemnia miłym i harmonijnym śpiewem nagie skały Ojcowa, Kobylan i Bętkowic, gnieźdząc się corocznie w dosyć wielkiej liczbie, mimo że srogo jest przesładowany.

Od lat dwunastu bacznie uważałem w każdej porze roku tak gnieźdzenie się jako i przelot ptaków: podaję tu spis gatunków które sam naocznie spostrzegałem, nigdzie nie zasażony na samém podaniu wiejskiego ludu, który tylu błędów w nauce przyrodzenia stał się przyczyną. Ptaki pomienionym spisem objęte, znajdują się w Muzeum uniwersytetu Krakowskiego, lub w moim własnym zbiorze. Wyszczególniłem gnieźdzące się, przelatujące i przypadkowo do nas zalatujące. Dodać muszę iż to są tylko postrzeżenia z lat dwunastu i czynione na jednej Krakowskiej ziemi, to jest w cyrkułach Wadowickim, Bocheńskim, Sandeckim, gubernii Radomskiej i obwodzie Krakowskim. Wieleżto zatem gatunków ukryć się jeszcze musiało! Ta część Polski nie ma ani stepów, ani wielkich jezior i bagien; ruskie cyrkuły Galicyi mają nieporównanie więcej i w ogólności, i gnieźdzących się takich które u nas tylko się wśród przelotu ukazują. Jest nadzieja że przy dzisiejszym składzie uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomici i niez mordowani członkowie jego, niebawem uzupełnią nowemi odkryciami podanie moje.

(1) W jesieni brzegi Wisły, na wiosnę brzegi Dniestru; pierwsze co do odlatujących, drugie co do przylatujących ptaków, nieograniczone pole do badań krajowym ornitologom przedstawiają.

Ptaki oznaczone w tym spisie jedną gwiazdką, gnieźdzące się spotykałem; oznaczone dwiema gwiazdkami, za przelatujące uważam; trzema zaś te, które przypadek do nas zapędził.

#### I Rodzaj AQUILA, ORZEŁ.

- 1 Gatunek *Falco fulvus* \* Linn. Orzeł przedni Rzącz: (O. bielik. O. zwyczajny). Gnieździ się tak w górach jak i w wielkich lasach równin.
2. *Falco chrysaëtos* \*\* Linn. Orzeł zyz Myślistwa Ptaszego (O. złotogłów): rzadki w Tatrach.
3. *Falco naevius* \*\* Gmel. Linn. Orzeł orlik M. P. (O. krzykliwy, (1) i t. p.).
4. *Falco albicilla* \* Linn. Orzeł białogon. W sandeckim cyrkule pojedyncze pary gnieźdzą się w zimie i do równin zalatują.
5. *Falco brachydactylus* \* Temm. Orzeł gadożer Piotr. (O. krótkoszpón Tyz.). Gnieździ się w skalistych górach, tak olkuskiego jak i krakowskiego obwodu.
6. *Falco haliaëtus* \*\* Linn. Orzeł rzeczny (O. rybitw). W jesieni i na wiosnę na ciągu spostrzegałem; w lecie nigdy.

#### II Rodzaj FALCO, SOKÓŁ.

7. *Falco peregrinus* \*\* Gmel. L. Sokół wędrowny. Jak poprzedzający.
8. *Falco aesalon* \* Gmel. L. Sokół drzemlik Rzącz. pospolity.
9. *Falco tinnunculus* Gmel: L. Sokół wieżowy (S. pustułka Rzącz.): pospolity.
10. *Falco subbuteo* \* Linn. Sokół leśny (S. kobuz Rzącz. S. kobiec): pospolity.

#### III Rodzaj ASTUR, JASTRZĄB.

11. *Falco palumbarius* \* Linn. Jastrząb gołębiarz (Sokół jastrząb): pospolity.
12. *Falco nisus*. \* Linn. Jastrząb krogulec Rzącz. pospolity.

#### IV Rodzaj MILVUS, KANIA.

13. *Falco milvus* \*\* Linn. Kania rdzawa. (S. kania Rz.): dosyć rzadki. (*F. ater*: odmiany ciemnej nie spostrzegłem nigdy w Krakowskim)

#### V Rodzaj BUTEO, MYSZOŁÓW.

14. *Falco buteo* \* Linn. Myszołów właściwy (S. k. myszołów Jundz.): pospolity.

(1) Nie umieszczam tu przyjętej nazwy plamistego orła, która się ściąga jedynie do *Falco clanga*.

15. Gatunek *Falco lagopus* Linn. \* Myszołów włochaty (S. k. włochaty Jar.): pospolity.

VI Rodzaj PERNIS, MYSZOŁÓW, PSZCZOŁOJAD.

16. *Falco apivorus* \* Linn. M. pszczołojad właściwy (S. k. trzmiołojad Tyz.): w Olkuskiem się gnieździ.

VII Rodzaj CIRCUS, BŁOTNIAK.

17. *Falco rufus* \* Linn. Błotniak trzciny (Bł. błotny Jundz.): pospolity.

18. *Falco pygargus* \* Linn. Błotniak zbożowy Tyz. pospolity.

19. *Falco cineraceus* \* Mont. Błotniak łączny (Bł. popielaty Jar.): (1) rzadszy od poprzedzających.

VIII Rodzaj STRIX, SOWA.

20. *Strix uralensis* \* Sowa uralaska (S. długoogonowa): pojedyncze pary gnieźdzą się w Tatrach sandeckich.

21. *Strix pygmaea* \* Linn. (*St. acadica* Gmel.). Sowa karliczka Tyz. rzadka, w obszernych lasach.

22. *Strix Aluco* \* Linn. Sowa puszczyk Jundziłł: pospolita.

23. *Strix flammea* \* Linn. Sowa płomykowata: pospolita.

24. *Strix Tengmalmii* \* Gm. (*St. dasypus* Bechs). Sowa tengmalma (Sowa pójdzka Tyz.): w Tatrach sandeckiego cyрку.

25. *Strix noctua* \* Retz. (*St. passerina* Linn.). Sowa sówka Rzącz. pospolita.

IX Rodzaj LANIUS, DZIERZBA.

26. *Lanius excubitor* \* Linn. Dzierzba wielka (Dz. srokosz Tyz.): pospolita.

27. *Lanius minor* \* Linn. (*Lanius italicus* Lath.). Dzierzba czarnoczarna Tyz. (Srokosz mały).

28. *Lanius ruficeps* Retz. (*Lanius rufus*. Briss). Dzierzba rdzawogłówa (Dz. rudogłówa): dosyć rzadka, gnieździ się w Olkuskiem.

29. *Lanius collurio* Linn. Dzierzba śpiewak (Dz. cierniokręt Tyz.).

X Rodzaj CORVUS, KRUK.

30. *Corvus Corax* \* Linn. Kruk właściwy Tyz. pospolity.

31. *Corvus Corone* \*\* Linn. Kruk czarna wrona (kr. wroniec Tyz.): tylko w przelocie widywana.

32. *Corvus Cornix* \* Linn. Kruk wrona Auct. Pol. pospolita.

33. *Corvus monedula* \* Linn. Kruk kawka.

(1) Bł. popielaty oznacza ptaka w 3cim i 4tym roku. Bł. zbożowy w tym wieku to samo popielaty.

34. Gatunek *Corvus pica* \* Linn. Kruk sroka.

XI Rodzaj GARRULUŚ, SOJKA.

35. *Corvus glandarius* \* Linn. Sójka właściwa: pospolita.

36. *Corvus caryocatactes* \*\* Linn. Sójka orzechówka (w niektórych tylko jesieniach widziana, i wtedy licznie przylatuje).

XII Rodzaj CORACIAS, KRASKA.

37. *Coracias garrula* \* Linn. Kraska gwarliwa Tyz. (Kr. europejska): gnieździ się w Olkuskiem; na ciągu pojedynczo i w Krakowskie zalatuje.

XIII Rodzaj BOMBYCILLA, JEMIOŁUCHA.

38. *Bombycilla garrula* Temm. Jemiołucha jedwabniczka Auct. Pol. w zimie wielkimi stadami w góry jałowcami zarosłe zlatuje, w Sandeckiem i Olkuskiem.

XIV Rodzaj ORIOLUS, WILGA.

39. *Oriolus galbula* \* Linn. Wilga czarnożółta (W. żółta Tyz.) posp.

XV Rodzaj STURNUS, SZPAK.

40. *Sturnus vulgaris* \* Linn. Szpak skorzec M. P. pospolity.

XVI Rodzaj PASTOR, GWAREK.

41. *Pastor roseus* \*\*\* Temm. Gwarek różowy (Pasterz różowy Tyz.): w Krakowskiem bywał zabijany.

XVII Rodzaj TURDUS, DROZD.

42. *Turdus pilaris* \*\* Linn. Drozd kwiczoł Rzącz. przylatuje wcześniej jak jemiołucha.

43. *Turdus viscivorus* \* Linn. Drozd paszkot (Dr. jemiołowy Tyz.): gnieździ się w górach sandeckich.

44. *Turdus musicus* \* Linn. Drozd śpiewak Auct. Pol. pospolity.

45. *Turdus torquatus* \* Linn. Drozd białobrzecz Tyz. (Dr. grzywka gmin.): w Tatrach sandeckich gnieździ się.

46. *Turdus merula* \* Linn. Drozd kos Rzącz. pospolity.

47. *Turdus iliacus* \* Linn. Drozd droździk (Dr. rdzawoboczny Tyz. dr. winiówka gm.): w małej ilości gnieździ się w Tatrach sandeckich, pod zimę pospolity.

48. *Turdus aureus* \*\*\* Poll. (*T. atrogularis* Temm.). Drozd Bechsteina (Dr. czarnogardlisty Tyz.): jeden exemplarz zabitym był nad Przemszą w Krakowskiem.

49. *Turdus saxatilis* \* Linn. Drozd skalny Auct. Pol. w Olkuskiem i Krakowskiem się gnieździ.



## XVIII Rodzaj CINCLUS, WODNOKOS (PLUSZCZ).

50. Gatunek *Cinclus aquaticus* \* Bechs. Pluszcz wodnokos (Pluszcz wodny Jar.): pospolity nad kamiennymi strumieniami.

## XIX Rodzaj MUSCICAPA, MUCHOŁÓWKA.

51. *Muscicapa grisola* \* Temm. Muchołówka szara Tyz. pospolita.  
52. *Muscicapa luctuosa* \* Temm. Muchołówka żałobna Tyz. mniej pospolita od poprzedzającej.

## XX Rodzaj SAXICOLA, PODKAMIONKA (RUDZIK, OPOCZNIK).

53. *Saxicola oenanthe* Bechs. Podkamionka popielata. (Op. białorzutka Tyz. podk. wielka Pietr.): Podkamionka pospolita, w kamienistych okolicach.  
54. *Saxicola rubetra* \* Bechs. Podkamionka łączna (Op. białobrowisty Tyz.): pospolita.  
55. *Saxicola rubicola* \* Bechs. Podkamionka czarnogłowa: jak Podk. popielata.

## XXI Rodzaj REGULUS, KRÓLIK.

56. *Regulus flavicapillus* \* Nau m. Królik żółtogłowa (Kr. czubaty, Tyz.): gnieździ się w górach sandeckich, w zimie wszędzie pos.

## XXII SYLVIA, GAJÓWKA.

57. *Sylvia philomela* \* Bechs. Gajówka słowik ogrodowy (g. s. szary Tyz.): pospolity.  
58. *Sylvia luscinia* \* Lath. Gajówka słowik leśny (Gaj. sł. rdzawy Tyz.): pospolity.  
59. *Sylvia suecica* \* Lath. *S. cyanecula* Mey. W. Gajówka błękitnopiers (Gaj. modra Tyz.): nad Wisłą się gnieździ.  
60. *Sylvia rubecula* \* Lath. Gaj. rudopiers (Raszka gmin. G. rudzik Tyz.): pospolita.  
61. *Sylvia phoenicurus* \* Lath. Gaj. rudogon ogrodowa (Gaj. ple-szka Tyz.): pospolita.  
62. *Sylvia thitys* \* Lath. Gaj. kopciuszka Tyz. (Gaj. kowalik gmin.): pospolita.  
63. *Sylvia nisoria* \* Lath. Gaj. krogulcowata (Gaj. jarzębata Tyz. G. rybiesko gmin.): w małej liczbie wszędzie są; na równinie się gnieździ.  
64. *Sylvia atricapilla* Lath. Gaj. czarnogłowa (Gaj. czarnołbista Tyz.): pospolita.  
65. *Sylvia hortensis* \* Bechs. Gajówka ogrodowa: pospolita.

66. Gatunek *Sylvia cinerea* \* Lath. Gaj. popielata Tyz. pospolita (G. cierniówka gmin.).
67. *Sylvia curruca* \* Lath. Gaj. piegża Tyz. (Gaj. mała) pospolita.
68. *Sylvia hypoleis* \* Lath. Gaj. szczebiotliwa Tyz. pospolita.
69. *Sylvia fitis* \* Bechs. (*S. trochilus* Lath.) Gaj. pierwiosnka Tyz. w jesieni i na wiosnę pospolita, w lecie zaś w górzystych lasach Sandeckich.
70. *Sylvia sibilatrix* \* Bechs. Gaj. leśna (G. swistunka Tyz.): w górach Sandeckich rzadsza od poprzedzających.
71. *Sylvia rufa* \* Lath. Gaj. rudawa Tyz. jak *S. fitis*.
72. *Sylvia phragmitis* \* Bechs. Gaj. rokitniczka Tyz. pospolita,
73. *Sylvia cariceti* \* Naum. (*S. striata* Auct.). Gaj. łączna: dosyć rzadka i nie w każdym roku spostrzegana nad Wisłą.
74. *Sylvia arundinacea* \* Lath. Gaj. trzcinna (Gaj. trzcionka Tyz.): pospolita.
75. *Sylvia palustris* \* Bechs. Gaj. błotna: dosyć rzadka nad Wisłą.
76. *Sylvia locustella* \* Lath. Gaj. świerszczak Tyz. jak poprzedzająca.
77. *Sylvia turdoides* \* Lath. Gaj. drózdzik: jak poprzedzające na wielkich stawach.

## XXIII Rodzaj TROGLODYTES, STRZYŻYK.

78. *Troglodytes parvulus* \* Koch. Strzyżyk mysikrólik (Mysikrólik) (Strzyżyk wole oczko; Strz. piecuszek Myśl. P.): gnieździ się w górach Sandeckich, później wszędzie pospolity.

## XXIV Rodzaj ANTHUS, SWIERGOTEK.

79. *Anthus arboreus* \* Bechs. Swiergotek leśny (Sw. drzewny Tyz.) pospolity.
80. *Anthus pratensis* \* Bechs. Swierg. łączny Jar. gnieźdzącego rzadko napotykałem; w jesieni i na wiosnę pospolity.

## XXV Rodzaj MOTACILLA, PLISZKA.

81. *Motacilla alba* \* Linn. Pliszka siwa (Pl. biała Jundz.): pospolita.
82. *Motacilla sulphurea* \* Bechs. (*Mot. boarula* Linn.). Pliszka gór-ska (Pl. wolarka Tyz.): na ciągu u nas widziana i latem w Tatrach.
83. *Motacilla flava* \* Linn. (v. *M. melanocephala*). Pliszka żółta Kl. pospolita.

## XXVI ACCENTOR, PŁOCHACZ.

84. *Accentor modularis* \* Koch. Płochacz popielaty, Płoch. pokrzywnica: w Tatrach Sandeckich.

**XXVII Rodzaj ALAUDA, SKOWRONEK.**

85. Gatunek *Alauda cristata* \* Linn. Skowronek dzierlatka Rącz. (Sk. pośmiecieszka gmin.): pospolita.
86. *Alauda arvensis* Linn. Skowronek rolny Tyz. pospolity.
87. *Alauda arborea* \* Linn. (Skow. firle, gmin tak od głosu nazywa; Sk. leśny, Sk. drzewny Tyz.): w górach Sandeckich się gnieździ, wczasie ciągu i równiny nawiedza.

**XXVIII Rodzaj EMBERIZA, POŚWIERKA.**

88. *Emberiza citrinella* \* Linn. Poświerka trznadel Rącz. (Pośw. sternal gmin.): pospolita.
89. *Emberiza miliaria* \* Linn. Pośw. łączna v. siwa, (Poś. prosowa Tyz.): pospolita.
90. *Emberiza nivalis* \*\* Linn. Pośw. śnieguła Auct. Pol. w twardych zimach zjawia się i na równinach.
91. *Emberiza schoeniclus* \* Linn. Pośw. trzcinna (Pośw. potrzos Rącz.): pospolita.

**XXIX Rodzaj FRINGILLA, ŁUSZCZAK.**

92. *Fringilla coelebs* \* Linn. Łuszczak zięba, pospolity w każdej porze roku.
93. *Fringilla montifringilla* \*\* Łuszczak jér, w jesieni i na wiosnę pospolity.
94. *Fringilla chloris* \* Temm. Mey. W. Łuszczak dzwonec: pospolity.
95. *Fringilla domestica* \* Linn. Łuszczak wróbel domowy: pospolity.
96. *Fringilla montana* \* Linn. Łuszczak wróbel polny (Wr. mazurek lub marcinek gmin.): pospolity.
97. *Fringilla cannabina* \* Linn. Łuszczak makolągwa Rącz. pospol.
98. *Fringilla linaria* \* Linn. Łuszczak czeczotka; pojedyncze pary gnieźdzą się w Tatrach Sandeckich, w zimie pospol. wszędzie.
99. *Fringilla carduelis* \* Linn. Łuszczak szczygieł Auct. Pol. pospol.
100. *Fringilla spinus* \* Linn. Łuszczak czyż (Ł. czyżyk gmin.): gnieździ się w Tatrach Sandeckich.

**XXX Rodzaj PYRRHULA, GIL.**

101. *Pyrrhula vulgaris* \* Briss. Gil właściwy Auct. Pol. gnieździ się w górach Sandeckich.

**XXXI Rodzaj LOXIA, KRZYŻODZIÓB—KRZYWONOS.**

102. *Loxia curvirostra* \* Linn. Krzyżodziób mniejszy. W górach Sandeckich się gnieździ, na jesień pospolity wszędzie.
103. *Loxia pityopsittacus* \*\* Bechs. Krzyżodziób większy (K. wielki): nie jest mi wiadomym czy się gnieździ.

104. Gatunek *Loxia leucoptera* \*\*\* Gmel. (*Loxia taenioptera* Glog). Krzyżodziób biało-skrzydlny Tyz. w niektóre lata do nas zalatuje.

**XXXII Rodzaj PARUS, SIKORA.**

105. *Parus major* \* Gessner. Sikora większa Auct. Pol. pospolita.

106. *Parus coeruleus* \* Gess. Sikora niebieskawa (Sik. modra Rządz. Sik. siniuk gmin.): pospolita.

107. *Parus cristatus* \* Gess. Sikora czubata Auct. Pol. w większych lasach się gnieździ wszędzie.

108. *Parus ater* \* Gess. Sikora ciemna (Sik. czarna Jundz.): w Tatrach Sandeckich się gnieździ.

109. *Parus palustris* \* Gess. Sikora czarno-główką (Sik. popielata Tyz. Sik. błotna Pietr.): pospolita.

110. *Parus caudatus* \* Gess. Sikora ogoniasta Jundz. pospolita.

111. *Parus pendulinus* \* Gess. Sik. remiz. (Remiz. rzemieślnik Tyz.): nad Wisłą się gnieździ.

**XXXIII Rodzaj SITTA, BARGIEŁ.**

112. *Sitta europaea* \* Linn. Bargieł kowalik Jundz. (Sikorożoła Kl. Dzieciół modry Rządz.): pospolity.

**XXXIV. Rodzaj CERTHIA, PEŁZACZ.**

113. *Certhia familiaris* \* Linn. Pełzacz zaskórnik M. P. (Kowalik szary gmin.): pospolity.

**XXXV Rodzaj UPUPA, DUDEK.**

114. *Upupa epops* \* Linn. Dudek właściwy Tyz. pospolity.

**XXXVI Rodzaj MEROPS, ŻOŁNA.**

115. *Merops apiaster* \*\*\* Linn. Żołna pszczołojad: bardzo rzadko w Krakowskie zalatuje.

**XXXVII Rodzaj ALCEDO, ZIMORODEK.**

116. *Alcedo ispida* \* Linn. Zimorodek europejski Tyz. pospolity.

**XXXVIII Rodzaj PICUS, DZIĘCIOŁ.**

117. *Picus martius* \* Linn. Dzieciół czarny Auct. Pol. (Dz. wielki). Gnieździ się w wielkich lasach płaszczyn i gór Sandeckich do 2,000 wysokości.

118. *Picus viridis* \* Linn. Dzieciół zielony p. pospolity.

119. *Picus canus* \* Gmel. Dzieciół pszczołojad (Dz. zielono-siwy Tyz.): pospolity.

120. *Picus major* \* Linn. Dzieciół pstry większy Tyz. pospolity.

121. *Picus medius* \* Linn. Dzieciół pstry średni Tyz. pospolity.

122. *Picus leuconotus* \* Bechs. Dzieciół biało-grzbietny Tyz. rzadszy od poprzedzających.

123. Gatunek *Picus tridactylus* \* Linn. Dzieciół trójpalczasty Jar. w Tatrach Sandeckich się gnieździ, zalatuje wyżej jak *P. martius*.

XXXIX Rodzaj YUNX, KRĘTOGŁÓW.

124. *Yunx torquilla* \* Linn. Krętogłów europejski (Kr. szaro-pstry Tyz.): pospolity.

XL Rodzaj CUCULUS, KUKUŁKA.

125. *Cuculus canorus* \* Linn. Kukułka właściwa Tyz. pospolita.

XLI Rodzaj HIRUNDO, JASKÓŁKA.

126. *Hirundo rustica* \* Linn. Jaskółka dymówka Auct. Pol. pospolita.

127. *Hirundo urbica* \* Linn. Jaskółka oknówka (Jask. piszczyk gmin.): pospolita.

128. *Hirundo riparia* \*\*\* Linn. Jaskółka brzegówka Jundz. (Jask. podleszczek gmin.)

XLII Rodzaj CYPSELUS, JERZYK.

129. *Cypselus apus* \* Ill. Jerzyk murowy Auct. Pol. pospolity.

XLIII Rodzaj CAPRIMULGUS, KOZODÓJ (LELEK).

130. *Caprimulgus europaeus* \* Linn. Kozodój lelek. Tyz. pospolity.

XLIV Rodzaj COLUMBA, GOŁĄB.

131. *Columba palumbus* \* Linn. Gołąb grzywacz. Auct. Pol. pospolity.

132. *Columba oenas* \* Linn. Gołąb siniak Auct. Pol. (G. polny lub hurkot gmin.): pospolity.

133. *Columba turtur* \* Linn. Gołąb turkawka Auct. Pol. pospolity.

XLV Rodzaj TETRAO, GŁUSZEC, (KNIEJOTOK).

134. *Tetrao urogallus* \* Linn. Kniejotok Głuszec (Gł. właściwy Rzą.): gnieździ się w górach Sandeckich.

135. *Tetrao tetrix* \* Kniejotok Cietrzew (Gł. cietrzew—trzetrzew gm.): pospolity w lasach Olkuskiego i Krakowskiego.

136. *Tetrao bonasia* \* Linn. Kniejotok Jarząbek (Gł. Jarząbek) pospol.

XLVI Rodzaj PERDIX, KUROPATWA.

137. *Perdix cinerea* \* Lath. Kuropatwa szara lub pospolita.

138. *Perdix coturnix* \* Lath. Kuropatwa przepiórka: pospolita.

XLVII Rodzaj OTIS, DROP.

139. *Otis tarda* \*\*\* Linn. Drop wielki (Dr. brodacz Tyz.): rzadko się pokazuje.

140. *Otis tetraz* \*\*\* Linn. Drop karzelek (Dr. strepet Tyz.): rzadko się pokazuje.

XLVIII. Rodzaj CHARADRIUS, SIEWKA.

141. *Charadrius auratus* \*\*\* Suck. Siewka złocista (Dżdżownik siewka Tyz.): rzadka.

142. Gatunek *Charadrius squatarola* \*\*\* Glog. Siewka północna: przypadkowo zalatuje do nas.
143. *Charadrius fluviatilis* \* Bechs. (*Ch. minor* Mey. W.). Siewka rzeczna: gnieździ się na strumieniach w górach Sandeckich i nad Wisłą—pospolita.
144. *Charadrius vanellus* \* Bechs. Siewka Czajka: pospolita.

**XLIX Rodzaj PHALAROPUS, PŁATKONÓG.**

145. *Phalaropus angustirostris* \*\*\* Naum. (*Phal. hyperboreus* Retz.): Płatkonóg cienkodziób (Pł. rdzawoszyjny Tyz.).

**L Rodzaj TRINGA, BIEGUS. Te ptaki rzadsze na wiosnę jak w jesieni.**

146. *Tringa variabilis* \*\* Mey. (*Tr. alpina*). W. Biegus odmienny (B. górny Tyz.): nad Wisłą.
147. *Tringa subarquata* \*\* Glog. Biegus Kuliczek Tyz. Kul. krzywo-dziób gmin.): nad Wisłą.
148. *Tringa minuta* \*\* Leiss. Biegus malutki Tyz. (Wróbel rzeczny gmin.): nad Wisłą.
149. *Tringa Temminckii* \*\* Leiss. Biegus Temmincka (Wróbel rzeczny gmin.): nad Wisłą.

**LI Rodzaj MACHAETES, BOJOWNIK (BATALION), na wiosnę rzadsze jak w jesieni.**

150. *Machaetes pugnax* \*\* Cuv. Bojownik odmienny. Są lata w których jest pospolity w jesieni.

**LII Rodzaj ACTITIS, ŁĄDZIK.**

151. *Actitis hypoleucos* \* Brehm. Łądzik piskliwy: niektóre pary nad Wisłą się gnieźdzą.

**LIII Rodzaj TOTANUS, BRODZIEC.**

152. *Totanus glareola* \*\* Temm. Brodziec leśny Tyz. na ciągu pospolity.
153. *Totanus ochropus* \*\* Temm. Brodziec samotny Tyz. pospolity.
154. *Totanus stagnatilis* \*\*\* Bechs. Brodziec brzegowy (Br. pławny Tyz.): rzadki.
155. *Totanus calidris* \*\* Bechs. Brodziec krwawodziób Jar. (Br. morski): na ciągu dosyć liczny.
156. *Totanus fuscus* \*\* Leiss. Brodziec ciemny (Br. śniady Tyz.): na wiosnę częściej nas odwiedza jak w jesieni.
157. *Totanus glottis* \*\* Bechs. Brodziec kwokacz Tyz. w jesieni dosyć pospolity na Wiśle.

**LIV Rodzaj SCOLOPAX, BEKAS.**

158. Gatunek *Scolopax rusticola* \* Linn. Bekas słomka Rzącz. wielka liczba się gnieździ w górach Sandeckich.
159. *Scolopax major* \*\* Linn. Bekas dubelt: pospolity na ciagu.
160. *Scolopax gallinago* \* Linn. Bekas kszyk Jundz. pospolity.
161. *Scolopax gallinula* \*\* Linn. Bekas mały Jundz. (Ficlaus gmin.).
- LV Rodzaj LIMICOLA, BEKASIK.
162. *Limicola pygmaea* \*\*\* Koch. (*Tringa platyrhyncha* Temm.). Bekasik brzegowy. (Biegus płaskodzioby Tyz.).
- LVI Rodzaj NUMENIUS, KULIK (KULON).
163. *Numenius arquatus* \*\* Lath. Kulik ugorowy Jar. w jesieni pos.
- LVII Rodzaj ARDEA, CZAPLA.
164. *Ardea cinerea* \* Czapla siwa Jar. pospolita.
165. *Ardea purpurea* \*\* Linn. Czapla purpurowa Kl. u nas tylko w przelocie.
166. *Ardea nycticorax* \*\* Linn. Czapla nocoryk. (Slepowron właściwy Rzącz.): jak poprzedzająca.
167. *Ardea stellaris* Linn. Czapla bąk właściwy Rzącz. pospolita. (Cz. huk gmin.).
168. *Ardea minuta* Linn. Czapla bączek Tyz. (Cz. huczek gmin.): pos.
- LVIII. Rodzaj CICONIA, BOCIAN.
169. *Ciconia alba* \* Briss. Bocian biały Auct: Pol. pospolity.
170. *Ciconia nigra* \*\* Bell. Bocian czarny. (B. śniady Tyz.): w Olkuskim niektóre pary się gnieźdzą, w Krakow. tylko w przelocie.
- LIX Rodzaj GRUS, ŻÓRAW.
171. *Grus cinerea* \*\*\* Lath. Żóraw pospolity: rzadko do nas zalatuje.
- LX Rodzaj RALLUS. CHRÓSCIEL.
172. *Rallus aquaticus* \*\* Linn. Chrósciel wodny (Chr. wodnik Tyz.).
173. *Rallus Crex* Linn. \*\* (*Crex pratensis* Bechs.). Chrósciel łączny (Derkacz gmin.): pospolity.
- LXI Rodzaj GALLINULA, KURKA.
174. *Gallinula porzana* \* Lath. Kurka nakrapiana.
175. *Gallinula Baillonis* \*\*\* Vieill. Kurka Baillona (K. karliczka Tyz.): rzadko bardzo.
176. *Gallinula pusilla* \* Bechs. Kurka zielonka Tyz: pojedyncze pary gnieźdzą się u nas.
177. *Gallinula chloropus* \* Lath. kokoszka wodna, pospolita, (kokoszka zielonego kol.).
- LXII Rodzaj FULICA, ŁYSKA.
178. *Fulica atra* \* Linn. Łyska czarna Jar. pospolita.

## LXIII Rodzaj COLYMBUS v. PODICEPS, NUREK (PERKOZ).

179. Gatunek *Colymbus cristatus* \* Linn. (*Podiceps cristatus* Lath.).

Nurek wielki (P. dwuczubny Tyz. pernikoza gmin.): pospolita.

180. *Colymbus rubricollis* \*\* Linn. Nurek rdzawoszyjny: rzadki na Wiśle.

181. *Colymbus auritus* \*\* Licht. Nurek uszaty: rzadki na Wiśle.

182. *Colymbus minor* \* Linn. (*Podiceps hebridicus* Lath.). Nurek mały (Perk. mniejszy Jar.): pojedyncze pary na bagnach się gnieźdzą.

## LXIV Rodzaj STERNA, RYBOŁÓWKA. (Rybitwa. Jaskółka morska).

183. *Sterna hirundo* \*\* Linn. Rybołówka rzeczna Tyz. pospolita.

184. *Sterna nigra* \* Linn. Rybołówka czarna (R. krzyżek Tyz.): pospol.

## LXV Rodzaj LARUS, MEWA.

185. *Larus fuscus* \*\* Linn. Mewa żółtonoga Tyz. rzadka w jesieni i na wiosnę nad Wisłą.

186. *Larus ridibundus* \* Linn. Mewa śmieszka Kl. pospolita.

## LXVI Rodzaj LESTRIS, WYDRZYK.

187. *Lestris cataractes* \*\*\* Temm. Wydrzyk wielki (W. białopiór Tyz.)

## LXVII. Rodzaj ANSER, GĘŚ.

188. *Anser albifrons* \*\*\* Bechs. Gęś białoczarna Jar. w jesieni rzadko do nas zalatuje.

189. *Anser arvensis* \*\*\* N. Gęś rolna: rzadka.

190. *Anser segetum* \*\* Bechs. Gęś posiewnica Jar. w jesieni pospolita.

191. *Anas cinerea* \*\* Mey. W. Gęś szara Tyz. w jesieni dosyć pospolita.

## LXVIII Rodzaj ANAS, KACZKA.

192. *Anas boschas* \* Linn. Kaczka krzyżówka. (K. krakwa Tyz.): pos.

193. *Anas acuta* \*\* Linn. Kaczka długosterna Tyz. Czy się gnieździ u nas, nie wiadomo mi.

194. *Anas penelope* \*\* Linn. Kaczka świstun: nie wiadomo czy się gnieździ u nas.

195. *Anas clypeata* \* Linn. Kaczka płaskodziób. (K. płaskonos Jundz.), k. łyżkodziób gmin.?

196. *Anas querquedula* \* Linn. Kaczka cyranka. Rzącz. pospolita.

197. *Anas crecca* \* Linn. Kaczka cyraneczka Kl. pospolita.

198. *Anas strepera* \*\* Linn. Kaczka grzechotka Kl. nie wiadomo mi czy się u nas gnieździ.

199. *Anas leucophthalmos* \*\* Bechs. (*An. nyroca* Gmel.). Kaczka białooka Jar. dosyć rzadka.

200. *Anas ferina* \*\* Linn. Kaczka podgorzałka Tyz. w jesieni pospolita.

201. *Anas marila* \*\* Linn. Kaczka ogorzałka Tyz. w jesieni pospolita,



202. Gatunek *Anas fuligula* \*\* Linn. Kaczka czernica Tyz. (K. czubata gmin.): na ciągu pospolita.

203. *Anas clangula* \*\* Linn. Kaczka krzykliwa Jundz. przed zimą nad Wisłę przylatuje.

204. *Anas glacialis* \*\* Linn: Kaczka lodówka Kl. tylko w zimie się zjawia w małej ilości.

LXIX Rodzaj *Mergus*, TRACZ. Te ptaki przylatują w zimie i w zimowej barwie.

205. *Mergus merganser* \*\* Linn. Tracz nurogęs Jundz. (Tr. wielki).

206. *Mergus serrator* \*\* Linn. Tracz długodziób Kl. (Tr. średni).

207. *Mergus albellus* \*\* Linn. Tracz bielaczek Jar: (Tr. mały).

LXX Rodzaj *Pelecanus*, PELIKAN.

208. *Pelecanus onocrotalus* \*\*\* Linn. Pelikan baba Jundz. (Pel. olbrzym Piotr.): kilka exemplarzy było zabitych na Wiśle.

LXVI Rodzaj *Carbo*, KORMORAN.

209. *Carbo cormoranus* \*\* Mey. W. Kormoran kruk morski Tyz. kilka par gnieździło się w Olkuskiem w r. 1842—43—44.

LXXII Rodzaj *Eudytes*, NUR. Przylatują w zimie i w zimowej barwie.

210. *Eudytes arcticus* Ill: (*Colymbus*). Nur czarnoszyj Tyz.

211. *Eudytes rufogularis* Mey: W. (*Eud. septentrionalis* Ill.). Nur rdzawoszyjny Tyz.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Przekłady poetów polsko-lacińskich, epoki Zygmuntofskiej. Zeszyt pierwszy. Poemata Klemensa Janickiego. Przekład Władysława Syrokomli. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. 1848. 8-ka, XVI, 144.*

**K**iedy po zmarłym Alexandrze Jagiellończyku w Wilnie, rządy państwa na sejmie piotrkowskim Zygmuntofskiemu podówczas księciu głogowskiemu powierzone zostały; Polska wyniszczona wojnami zewnętrznymi i niepokojem wewnętrznym, obiecywała sobie niejaki spokój i wytchnienie. Lecz nie tak losy mieć chciały! Silne i obszerne państwo, uległo wielu różnym ciosom politycznym, których ówczesna polityka bynajmniej nie przewidywała, a dla zapobieżenia im żadnych, albo małe tylko posiadała środki.

W tym czasie tak bogatym w odkrycia i wynalazki, od którego nowe dla Europy całej datuje się życie, wpływ z zewnątrz, przedarł się i na słowiańską ziemię; a wyrobiwszy w sobie siły oddziaływające, nie zmałał i nie zgasł w samym początku, ale owszem bystro się rozwinął i dziś dla nas wydatną stanowi epokę. Popęd naukowy, jaki się wtedy objawił, a mianowicie chęć poznania pisarzy starożytnych, spowodował, iż mnóstwo wyobrażeń, ciemnocie barbarzyńskiej nieznanych, odżyły na nowo. Ztąd, gdy zamiłowanie w naukach i rozprzestrzenianie ich, na większy się rozmiar wyrobiło, gdy pojawiły się talenta i gieniusze, które oprócz nabytych wiadomości drogą nauki, zdołały w sobie poczerpnąć siły i własnym badaniem a zastanawianiem, stanąć lub przynajmniej zbliżyć się do ideału doskonałości i piękności: wtedy i Polska tłumiąc polityczne wzburzenia Glińskiego, Kokoszej wojny, reformacji religijnej, intryg Bony i magnatów, równocześnie kształciła nauki, i dziś piękne dla naszego wspomnienia zostawiła zabytki.

W tymto właśnie czasie pojawia się dla nas owa epoka, słusznie złotym wiekiem literatury polskiej nazwana. Ograniczając się dotąd małą liczbą utworów i to po największej części w rękopismach krążących, olbrzymim teraz krokiem, po niedawném wynalezieniu druku, posuwała się naprzód: bo potężne talenta pisarzy, wspierane hojną ręką możnych mecenasów, nie pozwoliły upaść temu, jakby nowonarodzonemu dziecięciu; które kiedyś miało stać się młodzieńcem, a następnie mężem dojrzałym, pomimo przeciwności zła i bwa napotykanych, a wzrost i dojrzenie tamujących. Niewyrobiony dotąd, w kolebce jeszcze będący język polski, ręką niepospolitych talentów obrabiany, wystąpił odrazu jako młodzian czerstwy, nieznający kolebki; a w różnym zawodzie objawiając swą siłę i zalety, stał się wzorem do naśladowania dla przyszłych. Wymowa kaznodziejska Wujka, Grzegorza z Żarnowca, a potem Skargi; polityczna czyli dworska Reja, Górnickiego; historyczna Bielskich, Orzechowskiego; poezye Kochanowskiego: słowem, utwory mnóstwa innych pisarzy, którychbyśmy tu przywieść mogli, są dostateczną rękojmnią ówczesnego stanu literatury polskiej, prawie dopiéro co w narodową sukienkę przyodziewać się poczynającą.

Lecz ilekolwiek zdołalibyśmy przywieść imion, dziś z chlubą powtarzanych, to zawsze przyznać musimy, iż błędnie kierowany ówczesny duch wieku, znalazł odbicie i u nas, a mianowicie w popędzie i zamiętaniu ku zmarłemu językowi Rzymian. Ileż przez to straconych skarbów, piękności uczuciowych, wyrażeń lub wyrazów czysto polskich, które w martwą dla nas przyodziane powłokę, jak pod owe czasy nie dla wszystkich, tak równie i teraz dla małej tylko liczby, mogą być udziałem! Cóż z tego, że uczona kasta przyklaskiwała i stawiała przed wszechświatem imiona talentów i gieniuszów! Cóż z tego, że monarchowie i papieże, laurami wieńczyli skronia poetów!... gdy dziś wielu z nastychu powtarza innych, wielbiąc i szcząc się Janickim, Simonidesem, Sarbiewskim, a w istocie może nawet nie wiedząc co oni pisali, albo téż mało ich tylko rozumie! Szczęściem minęły te wieki, inne wyobrażenia i inny popęd zwróciły na właściwą drogę tych, którzyby z niej zbaczać chcieli, a zniewalając ich tém samém rozwijać swe zdolności na ojczystej niwie, dozwalała się cieszyć tym zabytkiem ich talentów, czerpać z nich naukę, lub dzielić z niemi smutki i rozkosze.

W tymto czasie, gdy zamiętanie łaciny walczyło z pojawiającym się zaczątkiem polszczyzny, urodził się i pisał jeden z najznakomitszych pisarzy polsko-łacińskich: Klemens Janicki. Z nizkiego po-

chodząc stanu, cheiwy nauki i wielkie z niej odnoszący korzyści chwycił się ówczesnego naśladownictwa łaciny, a kształćąc się na starożytnych wzorach, zapragnął naśladować je, i wkrótce swym mistrzom wyrównał. Przedwczesna śmierć tego poety, ukróciła zbyt szczerpłą liczbę dni jego, i tak ciężką przeplatanych chorobą; a dzieła wielbione od współczesnych, nieznanne prawie rodakom, wydawane po największej części przez cudzoziemców, którzy na nich jako na wzorach, życzyli kształcić swe pokolenia, pozostałyby zapewne w tej samej i nadal niewiadomości, gdyby nie znalazł się nowy talent, który przenikając i wdrazając się w piękności tego poety, dla ogółu mniej dostępne, nie postarał się poznać nas z tym wieszczem minionych wieków.

Lecz p. Wład. Syrokomla (*pseudonim*) nietylko na tém chce poprzestać, bo w kilku wyrazach służących jakoby za przedmowę, ba nawet i w tytule samym, wyraźnie mówi, iż *rozpoczyna* tylko ogłoszeniem poematów Klemensa Janickiego, które mają stanowić pierwszą część: *Przekładów poetów polsko-łacińskich epoki Zygmunto-wskiej*.

Rozbierając pracę p. Wład. Syrokomli, przytoczymy dosłownie podaną przez niego wiadomość o życiu Klemensa Janickiego, tém bardziej, że poeta ten mniej u nas jest znany; prostując w przypisach lub uzupełniając w czém chybił, lub opuścił.

„Klemens Janicki, niepospolity poeta elegiczny, był jednym z najrańszych naszych poetów. Żył w czasach, kiedy dyplomacya, literatura, i większa część społecznych stosunków usługiwały się łaciną, kiedy wykształcenie języka polskiego, nie odpowiadało jeszcze wykształceniu myśli narodowej, kiedy mowa rodowita była za ubogą dla orzeczenia uczuć serca, dla wyrażenia tego wszystkiego, z czém cywilizacya i nauki poznały już światłych wówczas Polaków; pisał więc, jak wszyscy owocześnie, po łacinie.”

„Krótkie, motyle życie utalentowanego poety, tak dobrze odbiło się w jego pismach, że nie potrzebując rozszerzać się nad jego biografią, dosyć jest wskazać te miejsca, gdzie sam o sobie mówi, i z jego własnych wyrazów, życiorys jego ułożyć.”

„Urodził się niedaleko Gniezna z ojca rolnika, d. 4 listopada 1516 roku (1). Od piątego roku życia przyjąwszy początkowe nauki w Gnieźnie,

(1) P. Syrokomla na poparcie tego przytacza elegią siódmą księgi *Tristium*; lecz tam wyraźniej jest oznaczoną okolica urodzenia Janickiego. Wedle porównań dzisiejszych, napotyamy nomenklaturę *Januszkowo* bardzo

następnie przeniósł się do kollegium Lubrańskiego w Poznaniu. Tam pod niejakimś Apolinarym nauczywszy się cenić piękności poetów rzymskich, przejął się nimi, sam uczuł się natchnionym i już od dziecka został poetą. W piętnastym jeszcze roku życia ułożył wiersz na pochwałę Lubrańskiego, który publicznie czytany, pozyskał mu oklaski i dobrą wróżbę na przyszłość."

„Wkrótce jednak przyciśniony niedostatkiem, z płaczem zmuszony był żegnać szkołę, nauki i drogą poezją; miał już wracać do domu, aby w pocie czoła na chleb pracować."

„Gdyby żył w naszych czasach (niech to społecznym nie obraża), pewno zapoznany zmarniałby nasz poeta, rzuciłby może nieogrzone społecznym pióro; ale w troskliwym o narodową chwałę XVI wieku, w świetne czasy Zygmunta Starego, znalazł rękę, co go wydzwignęła na widowię i nie dała zmarnieć młodzieńczym zdolnościom. Krzycki był ówczasie arcybiskupem gnieźnieńskim. Mąż znakomity, i wsławiony łaciński poeta, otworzył Janickiemu wrota swego pałacu, przyrzekł i dotrzymał opiekę jego muzie. Krótco się jednak Janicki cieszył opieką Krzyckiego, bo ten ostatni zmarł w 1537 r."

„Sławny Piotr Kmita, po śmierci Krzyckiego podał dłoń opiekunczą naszemu poecie, a tknięty snadź jego piękną nieznaczną prośbą, wysłał go na nauki do Padwy, miejsca, dokąd wtedy młodź europejska, biegła po światło."

„O! pod niebem klassyczném włoskiej ziemi błogo było poecie! Z oczarowaniem opisuje Włochy; a kiedy porównał rajski tameczny klimat z naszym północnym słońcem, ciszę przyjazną naukom z hałaśliwym bytem domowym rodaków, z wojnami zewnętrznymi; tak się zachwyił Italią, tak się uniół, tak się zapomniał, że nawet w różowym świetle wystawił charakter Włochów, że nawet zawołał, mimo całego patryotyizmu:

..... quanto felicior essem

Haec me tam felix si genuisset humus."

„Byłoto jednak tylko uniesienie, bo w iluż miejscach tęskni za swoim zimnym krajem, za dymem ojczystym!"

„Prócz téj tęsknoty, nie miał zresztą na co uskarżać się we Włoszech; cały swój tam pobyt poświęcił naukom i poezji, te mu sprzy-

blizko Znina, a wyrażenie łacińskie *Janusci*, niewiele od tego zbacza; data czwartego listopada jest zupełnie mylna, gdyż w elegii téj wyraźnie powiedziano: *lux mihi natalis, post Idus quarta Novembris*; co, wedle redukcji wypada na 17 dzień listopada; 4ty zaś listopad zwal się *pridie nonas novembris*,

jały, miał ciszę ulubioną muzom, miał środki kształcenia się. Łazarz Bonamikus sławny mistrz padewskiej szkoły, pokochał utalentowanego Polaka, i osypał go nieplonnemi dowodami swojej przyjaźni.”

„Lecz wkrótce w życiu Janickiego nastąpił przełom szczęścia ziemskiego, które go już na zawsze opuściło. Naprzód wieść o śmierci ojca go ubodła, potem śmierć jedyne go brata, nakoniec cierpienie febry i wodnej puchliny, zmusiły go rzucić nauki, opuścić Włochy, i szukać zdrowia pod wpływem klimatu macierzystej Polski. Bonamikus wsparł go zasiłkiem pieniężnym na drogę. Nim wszakże odjechał, dostąpił zaszczytu być uwieńczonym laurem poetycznym, ową zacną nagrodą owych czasów, nagrodą, której zaiste był godnym.”

„Wrócił więc do kraju, ale schorzał i niezdolny do zawodu publicznego, jaki mu, zdaje się, nastroczał Kmita. Lekarze tylko podtrzymywali go przy życiu. Że włożył jeszcze słabe zdrowie, które otrzymał od natury, i którego pewno nie podkrzepiły prace umysłowe, zawód poetycki, cierpienia moralne; winien był we Włoszech staraniom lekarzy Montana i Kassana, a w Polsce Jana Antonina. Oni, jak twierdzi, co dzień go wskrzeszali z grobu.”

„Młody poeta chyląc się ku grobowi, skreślił całe swe życie, przygody, charakter. Miało to być ostatnie jego pożegnanie ze światem; lecz jeszcze słabnącym głosem zdołał wyśpiewać *Epitalamion* na gody Zygmunta Augusta z Elżbietą austryacką i Życia królów polskich.”

„Umarł w roku 1543, mając lat 27.

„Rozdrażnione ciągłą chorobą nerwy, ubóstwo, miłość, wszystko to działając silnie na czujące serce poety, musiało koniecznie spowodować ton żalony, jakim tchną jego pienia. Nie lękajcie się jednak znudzenia czytelnicy! żalony pieśni Janickiego, nic nie mają wspólnego z terazniejszymi płacziwemi wierszami, które natchnął leniwy przesyt i odczarowanie, a które zdolne są w duszach czytelników obudzić też odczarowanie jeżeli nie do życia, to przynajmniej do czytania wierszów. Przejrzyjcie smutne pieśni Janickiego, naprzykład Elegię do Najświętszej Panny, lub zakończenie elegii 8, księgi pierwszej, (1) a dopatrzycie tam piękny pierwiastek, który nie mógł osuszyć duszy, doprowadzić do desperackich rezultatów; pierwiastek zdolny obficie podsycić poezją, z którym nie mogła zejść na pewną

(1) P. Syrokomla niewłaściwie księgę *Tristia* i *Elegie rozmatte*, podciągnął pod jeden tytuł Elegie.— Pierwszej księdze należałoby oddzielny zachować tytuł, a nawet spolszczywszy *tristia* na *Smutnianki*, niebardzoby się od etymologii oddalił.

liczbę konwencyonalnych fraz sarkastycznych, które się ustawicznie powtarzając, nudzą nas w dzisiejszej poezji.”

„Spółczesność oceniła Janickiego, znał go naród. Jędrzej Krzycki, Stanisław Hozyusz, Samuel Maciejowski, Jan Dantyszek, Tideman, kardynał Bembo, Łazarz Bonaquikus, Kromer: Kunita, byli to luminaarze swojego wieku, a jednak nie wahali się być cenicielami, dobroczyńcami i przyjaciółmi poety.”

Tłumacz podawszy wiadomość o dziełach Janickiego, kończy wreszcie pochwala języka i toku wiersza; lecz wiadomość o wydaniach dzieł tego poety bardzo jest niedokładna, czego łatwo mógł uniknąć, zajrzawszy tylko do *Historii Literat. Polskiej* przez Bentkowskiego. Niegodzi się przecież opuszczać sposobności wykazania ilości rozmaitych wydań, a tém bardziej samowolnie ubliżać poecie, mówiąc: „Dzieła Janickiego wyszły jeszcze za życia autora w r. 1542 u Floryana Unglera, a potem aż w roku 1755 staraniem Erenfrieda Boemiusa, a raczej Zaluskiego w Lipsku,” (1) jakby dwa tylko jego poezyj były wydania. Zresztą nie miał on tej pociechy, iżby wszystkie za jego życia drukowane były.

(1) Rzecz ma się zupełnie inaczej, bo oto szereg wydań podług Bentkowskiego:

1. *Tristium, Lib. I. Variarum elegiarum, lib. I. Epigrammatum lib. I.* w Krakowie u wdowy Floryana Unglera, 1542.
2. *Epithalamion Sigimundo Augusto*, (drukowane już po śmierci autora w Krakowie u wdowy Fl. Unglera. 1543.
3. *Vitae regum polonorum*; dzieło, którego kilka jest wydań, i tak:
  - 1563 — w Antwerpii u Wilh. Sylwiusza.
  - 1565 — w Krakowie u Łazarza Andrzejowczyka.
  - 1573 — — u Stanisława Szarfenbergera, z dodaniem opisu życia kr. Zygmunta Augusta przez Andr. Trzecieckiego.
  - 1575 — w Krakowie u Stan. Szarfenbergera, do którego Sebestyan Klonowicz dodał życie kr. Henryka Walezyusza i Stefana Batorego.
  - 1605 — w Krakowie u Łazarza, z dodaniem opisu życia tychże królów, wierszem polskim przez Jędrzeja Leechiusza Szkota.
  - 1621 — w Gdańsku u Jerzego Rhetiusza, ze zmienionym w ten sposób tytułem; *Chronicon dynastiarum Regni Poloniae* Cl. Janitii, recensitum a J. Gadebuschio; do tego dodano wiersz Janickiego *In polonici vestitus varietatem atque inconstantiam dialogus*.
  - 1670 — w Stendalu u Gussoviusa; przedruk z wydania 1563 z dotychczasem życiem królów aż do Michała Korybuta.

Prócz tego opis ten przedrukowany w dziełach Gwagnina, a raczej Strykowski, *Sarmatie Europae descriptio*, również w zbiorze *Rerum polonicarum* w tomie I; u Pistoryusza w zbiorze historyków polskich, na polskie

W końcu jeszcze jeden dodatek. Tłumacz mówi, iż o ile mu wiadomo, on pierwszy wiał się do przekładu Janickiego. Myli się p. Syrokomla, bo nie jest pierwszy; i już oddawna znane są przekłady niektórych tego poety elegij. Odznaczył się pod tym względem Józef Sygiert, człowiek młody, zdolny i pracowity, a również jak niegdyś Janicki niezamożny i chorobą nekany (1). Ztąd wierniejsze jest tłumaczenie Sygierta, a wiersz lubo dziś nie tak dźwięczny, więcej jednakże odpowiada duchowi oryginału, bo tożsamość położenia i uczuć, może więcej wpłynęły na przejęcie się myślą autora.

Ztémwszystkiém tłumaczenie p. Syrokomli, jakkolwiek niekiedy zbacza od oryginału, zadowalnia nas zupełnie. Wiersz i język jędrne, forma zewnętrzna więcej do nowszej poezji zbliżona, mile i gładko wpadają do ucha, i nie drażnią bynajmniej naciąganém rymowaniem.

Z księgi pierwszej elegji, przez Janickiego zwanój *Tristia* (Smutnianki), uderzającej piękności są zwroty w elegji pierwszej, gdy posyłając w świat swą książkę, poleca, aby naprzód udała się do Samuela Maciejowskiego biskupa krakowskiego i kanclerza, ośmielając ją słowy:

.....  
Boisz się czerni? i słusznie zaiste,  
Jeśli ci braknie żelaznego ducha!

przełożony przez Marcina Paszkowskiego, i drukowany w jego tłumaczeniu kroniki Gwagnina.

4. *Vitae Archiepiscoporum Gnesnensium* wyszło w Krakowie u Stan. Szarfenbergera 1574, staraniem And. Trzecieckiego, który dodał życia następnych po Krzyckim arcybiskupów aż do r. 1574.

5. Wszystkie te dzieła razem zebrane wydał dopiero Boehmsus w Lipsku, z przyłączeniem życia autora (które u Janickiego lepiej opisane) 1755.

Wiele z pojedynczych wierszy Janickiego weszło do układu książki elementarnej, tak zwanój *Selecta* czyli wypisy łacińskie na kl. III i IV, które wydawane były przez profesora Stefazyusza i X. Czarneckiego.

(1) Józef Sygiert urodził się w ziemi sanockiej około r. 1780, a powziąwszy zamiłowanie do nauk starożytnych, przykładał się najbardziej do języków łacińskiego i greckiego. Poznawszy piękności starożytnych poetów, zapragnął te zbiory na ojczysty przelać język i wytłumaczył z oryginalnego tekstu Tuczdydesa, Tyrteusza, Moscha i Biona, następnie wykazał ile Iliada Homera straciła w przekładzie Dmochowskiego, a naostatek wiele poezyj Klemensa Janickiego wierszem przełożył. Umarł w roku 1804, zajmując się zbieraniem materiałów do historii literatury polskiej, do czego miał wielką pomoc z biblioteki Józefa Maksymiliana hr. Ossolińskiego w Wiedniu, nad którą po ś. p. Bogumile Linde nadzór objął. Rękopiśma po nim pozostały w części przy hr. Ossolińskim, częścią przy Podoleckim ojczymie Sygierta, część zaś bardzo szczupłą przy Klemensie Urzowskim, który je w Almanachu lubelskim na rok 1815 drukiem ogłosił.



Bo najciemniejszy z najciemniejszych koła,  
 Będzie ci razem i sędzią i świadkiem;  
 Głośno twe błędy przed ludem obwoła,  
 By tryumfować nad naszym upadkiem.  
 ..... i t. d. (str. 4).

Daléj uczy ją, jak ma prosić o opiekę i wypowiedzieć treść w sobie zawartą.

.....  
 Proszę cię — wesprzyj moją drogę śliską,  
 Niech się twe serce do łaski zniewoli,  
 Pozwól mi nosić twój sługi nazwisko! —  
 Niech będzie głośném; że za mną stawacie,  
 Każ — niech mię w twoją purpurę okleją,  
 I niech mię zdepcą, gdy i w takiej szacie,  
 Jeszcze me karty nic nie zajaśnieją.  
 Bo (sami wiecie) w terażniejszym czasie,  
 Gdy cenią człeka po jego ubiorze,  
 Podłym być musi — kto chodząc w atlasie,  
 I w złotogłowie — świecić się nie może. —  
 .....

Elegia *druga*, w której prosi Najświętszej Panny o wytrwałość w czasie trapiącej febry, i *czwarta*, w której dziękuje za powrót do zdrowia, zawierają piękne myśli o wielkości Twórcy, i zarazem wysławiają biegłość i naukę ówczesnych lekarzy. W elegii *trzeciej*, którą do Piotra Kmity napisał, rozszerza się z pochwałą filozofii; w *piątej* żali się na niewygodę podróże, którą kończy pięknym zwrotem tęsknoty do kraju:

.....  
 Oto co cierpiał druh waszój młodości,  
 Co się tak krótko cieszył w waszém gronie;  
 Spieszył do kraju — aby zawlec kości,  
 Aby nie zamrzć na dalekiej stronie.  
 Bo czuł: że w bólu nad rady lekarskie  
 Lepszy jest promień ojczyzstego słońca.  
 Ty zaś co zdrowie i siły masz dziarskie,  
 Pieszczot nauki używaj do końca.  
 Niech ta nauka coś ulubił szczerze,  
 Z miłością kraju w tobie się skojarzy —  
 Ojczyzna blasku od ciebie nabierze,  
 A Bóg cię długim żywotem obdarzy. (str. 21)

W *szóstej* elegii do Łazarza Bonamika, pięknym rymem opisuje sprawy węgierskie; lecz w *siódmej*, gdzie mówi o samym sobie, z przeważném uczuciem maluje dobitnie swój stan i cierpienia, a tęsknota rozlana w całym wątku wiersza, porywa, zachwyca i silne ku cierpiącemu obudza współczucie. Pomimo niektóre usterki co do wierności

tłumaczenia (1), wiersh równie jak wszędzie gładki i przyjemny, dlatego przywodzimy tu mały urywek na próbę:

.....  
 Za ledwo piąte lato zacząłem,  
 Gdym już naukom dawał ofiary;  
 Bo ojciec czujny o dni dziecięce  
 Nie chciał mię trudom poświęcać wcale:  
 Nie dał mi sochy w niewprawne ręce  
 Ani pozwolił schnąć na upale.  
 Potem, o dzięki dobroci Pańskiej,  
 Umysł od miejskich mistrzów przetarty,  
 Wniosłem do szkoły, którą Lubrański  
 Świeżo założył na brzegach Warty.

Zaprawiony tam na greckich i rzymskich wzorach, probować zaczął sił własnych, i przy pracy zwyciężył trudności; lecz postuchajmy co sam mówi:

O pomnę, pomnę z jakim mozołem  
 I dni i noce dałem na prace!  
 Za nic mi praca, cóż ona znaczy  
 Przed młodocianym moim zapalem?  
 Pomnę, gdy pierwszy trud mój czytałem  
 W sali popisów, w gronie słuchaczy.  
 W cześć Lubrańskiego złożyłem pieśnię  
 Bom mu był winien pierwszą ofiarę.  
 Lud mię z oklaskiem przyjął nad miarę,  
 Dobrze o dziecku wróżąc zawczasie.—  
 Odtąd przodkując nad uczniów trzódką,  
 Skarbiłem serce mistrza nieznacznie  
 I roszem w chlubę. — O jak to słodko,  
 Kiedy bywało chwalić kto zacznie!

(1) Już wyżej wytknęliśmy błędne zrozumienie daty urodzenia autora; lecz napotyamy jeszcze anachronizm drugi, popełniony przez tłumacza w oddaniu wyrażenia:

Annua quo posuit lugubria tempore noster  
 Rex, quorum coniux mortua causa fuit.

P. Syrokomla tłumaczy:

W tym samym roku, kiedy śmierć blada  
 Przerwała życie polskiej królowej.

Ś. p. Sygiert lepij to oddał:

W roku, w którym żałobne najprzód z siebie szaty,  
 Zrzucił król nasz, płaczący małżonki swęj straty;

gdyż i szyk grammatycznie ułożony wskazuje wyraźnie *tempore, quo posuit annua lugubria rex noster*. Tak więc nie było to w tym roku, ale właściwie w rocznicę-czyli po upłynięciu czasu żałoby rocznej.

Lubiłem sławę, pragnąłem sławy,  
 Badałem drogi, co do niej wiodą.  
 Przebóg! ubóstwo, los niełaskawy,  
 Ciężką mym chęciom bywał przeszkodą.

Ubogi ojciec swoje ostatki  
 Wywłókł już dla mnie z rodzinnéj chatki.  
 Ślubować muzom nie było za czém,  
 Miałem je żegnać wolą, niewolą,  
 Gdy wielki Krzycki tknięty mym płaczem,  
 Czule pomysłał nad moją dolą.—

Lecz śmierć Krzyckiego przerwała pasmo dohrodziejstw, a wzięty od Kmity i do Włoch wysłany, z przyczyny trapiącej choroby wkrótce wracać musi, i cieszy się, że przynajmniej nie w obczyźnie kości jego złożą. W nagrobnym napisie, który dla siebie układa, głęboką zawiera prawdę:

„Obcy nadziei, strachom zgryzocie,  
 „Tu pod trumiennym leżę przykryciem;  
 „Tu jeno żyję prawdziwém życiem,  
 „I Bóg cię żegna, ziemski żywocie!“ (1)

W dalszym opisie swego charakteru, mówi, że i miłość poznał za-  
 wczasem, że wiele miłosnych pieśni napisał, lecz niemi komin podnie-  
 cił, bo to:

Pienie dziecinne wątle i blade,  
 Niegodne życia, ogniem spłonęło.  
 Dziś kończąc piątą Olimpiadę  
 Mógłbym na większe zdobyć się dzieło,  
 Lecz ginę wcześniej. O jakżem żądał  
 Ciebie ojczyzno opiewać czule!  
 Twe stare dzieje, twe zacne Króle  
 Czasy i ludzi, com ich oglądał.—  
 Gdy Augusta — w dobrej otusze  
 Króla z Cesarzem związki nadzieje,  
 Ale ojczyzno! żegnać cię muszę,  
 Niech cię szczęśliwszy śpiewak opieje.

Na zakończenie dziękuje Antoninowi, że go ratował w chorobie,  
 wychwalając jego naukę.

Elegia ósma do tegoż Jana Antonina lekarza, zawiera nieporówna-  
 ną piękności ustęp, w którym zawarta jest skarga uosobionéj stolicy  
 węgierskiej Budy, zajętej przez Turków.

(1) Równie pięknie a może nawet dobitniej oddał tę myśl autora, wspomniany  
 przez nas wyżej s. p. Sygiert:

„Bez nadziei, bez trwogi, leżąc pod tą kłodą,  
 „Żyje przecie: niech inni martwe życie wiodą.“

W elegii *dziwiątęj* do Seweryna Bonara, pali pochwalne kadzidła, oplakując śmierć Hieronima Łaskiego; pochlebstwa, których nie szczędzi, niebardzo dobrze pasują do reszty innych utworów poety. Elegia *dziesiąta* i ostatnia téj piérwszój księgi, do Rafała Wargawskiego jadącego z Włoch do Polski, napisana. W niéj maluje żywo tęsknotę do kraju, i narzeka na słabe swoje zdrowie; tęskni do domu, którego od lat siedmiu nie widział, boleje nad śmiercią ojca, i prosi niebios, aby mu dozwoliły wrócić i położyć napis na grobie ojca:

.....  
Przyspieszcie chwilę: niech wrócę do domu,

I dam mu napis na trumienne wieko:

„Tu leżę rolnik: nieznanym nikomu

„Syn miéj poeta rozstawił daleko.“ (str. 47)

Tłumaczenie téj elegii, jakkolwiek p. Syrokomla z całym swym uskutecznił talentem, jednak nie ma téj mocy, jaką w niektórych miejscach u ś. p. Sygierta napotyamy. Zda się, iż ten ostatni więcéj był duchem autora blizki, a jakeśmy wyżej zdanie nasze objawili, i swoim położeniem.

Księga druga właściwych elegij, zawiera dwanaście utworów po większój części bardzo różnorodnych i więcéj okolicznościowych. Przekład tychże przez p. Syrokomlę równych jest zalet, co i piérwszych; lecz tłumacz oddzielił utwór ostatni, to jest rozmowę między Władysławem Jagiełłą i Stanisławem Morozofem, o *niestałej rozmaitości odzieży u Polaków*, i podał go osobno jako dyalog. Nie będziemy się rozszerzać nad szczegółowym rozbiorem, i wytykaniem piękności tu zawartych; gdyż niektóre proby podane wyżej, dostateczną są rękojmią ich wartości. Z tłumaczeń téj księgi p. Sygierta, znamy tylko jedną elegię, z kolei u Janickiego *szóstą*, *Do Piotra Kmity*, w której prosi, aby mu pomógł wsparciem i wysłał na nauki do Włoch.

Następują Epigrammata.

P. Syrokomla z 76 oryginalnych epigrammatów Janickiego, wytłumaczył sześćdziesiąt cztery, opuścił zatém dwanaście. — Usprawiedliwił się wprawdzie dlaczego tak uczynił; mówi albowiem (na str. 112 w przypisie): „Jedne bowiem są właściwe tylko językowi łacińskiemu, drugie za śmiałe, jak np. *Sacerdotis poloni cujusdam dictum*, w innych nakoniec, nie dopatrzyliśmy koniecznego w epigrammatach *akumenu*.“ Zgadząmy się chętnie ze zdaniem p. Syrokomli, lecz nie należałoby robić tego uszczerbku poecie, który w epigrammatach niekiedy dowcipnie-rubasznych, maluje charakter ówczesnego społeczeństwa; nie należy tém bardziéj, gdy tłumacz z taką mocą i prawdą zdolny jest oddać myśl autora, jak np.

*Do pewnego.*

Nie skończywszy żywota, chcesz nagrobku słyszę;  
Kwapże mi się do śmierci, toć prędzej napiszę.

Albo téż:

*O śmierci Krzyckiego.*

Kochanek spokoju, gdy wojnę posłyszysz,  
Wszedł Krzycki do grobu, pewniejszy tam ciszy.

Zarzucamy tylko, iż tłumacz zbyt wyrażenia staroświeckie miłuje, używając słów: *na herb Rolitów, na herb Rawitów*, kiedy byłoby daleko lepiej: *na herb Rola, na herb Rawicz*. Ztémwszystkiem uchybienie to małoznaczne.

Więrsz kończący, to jest Epitalamion Najjaśniejszemu królowi polskiemu Zygmuntovi Augustowi na zaślubiny tegoż króla z Elżbietą austryacką r. 1543, w wielu miejscach piękne zawiera ustępy, a tłumaczenie niemniej od innych zbliżone do oryginału. Utwór ten poprzedzony cztero-wierszem *na orła, godło królewskie*, rozdziela się na dwie części: pierwsza zawiera pochwałę Zygmunta I, druga dotyczy zaślubin Zygmunta Augusta, i mieści w sobie niekiedy trafne uwagi i rady, jakie podówczas poddany mógł uczynić swemu monarsze.

Kończąc te słów kilka, które o wydaném przez p. Syrokomlę tłumaczeniu powiedzieliśmy, dodamy: iż jakkolwiek szkoda, że Janicki sam po polsku nie pisał; to przecież gdy znalazł dziś w pewnej części godnego siebie tłumacza, nie możemy już więcej czynić mu podobnego zarzutu. I dlatego dziękując tłumaczowi za to, co już ogłosił, niecierpliwie oczekujemy zapowiedzianych dalszych prac jego; z tą pewnością, iż nie zawiedziemy się bynajmniej w naszych oczekiwaniach. Przyczém nie możemy przemilczć i o p. Mikołaju Malinowskim. Szanowny ten uczony, zawsze chętny do poparcia prawdziwej zasługi, i nateraz nie odmówił swój pomocy; a udzieleniem not historycznych, pojaśnił wiele miejsc w autorze, bez tego dziś nie dla wszystkich w zrozumieniu dostępnych. Tak więc, dziełko to podwójną mając wartość, powinno być obecnie w ręku nietylko wszystkich o postęp literatury krajowej dbałych, ale i tych, którzy z przyjemnością i małym trudem, czegoś się dowiedzieć lub nauczyć pragną.

*St. Lisowski.*

*Pokojówka. Szkic obyczajowy, przez Tadeusza Padalicę. Wilno. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego, 1850. Str. 168, w 12ce.*

„Czy wiecie, co to jest pokojówka? Ale któż u nas nie zna pokojówki! zwłaszcza na Ukrainie, Podolu, Wołyniu, gdzie tyle młodzieży, gdzie tak bujnie rozkwitnęło barogolstwo, gdzie takie śliczne pokojówki! Pokojówki, sęto młode, wiejskie dziewczęta, z pełną piersią, giętkim i wysmukłym stanikiem, z czarnymi lub błękitnymi oczami, długimi kosami, i ładnie obrysowanemi ustami; słowem, są to—cudodziewczęta!”...

„Tu babunia piorunuje na dwudziestoletniego wnuka, za to, iż obaczyła go razu jednego w lustrze, jak mrugał za jęj plecami na Marylkę: tu żona wyrzuca mężowi, iż często zagłada do garderoby, kiedy to wcale nie rzecz jego; tu student bawiący się przez wakacye w domu, zaczyna widocznie nabierać gustu do Józi, a nawet razy kilka zostawił Hegla na płocie, a sam o zmroku, latał jak za chrząszczami niegdyś, około domu; tu blady, wymuskany palestrant, co niedawno jeszcze utrzymywał, iż nie masz nic lepszego, nad konstytucyą i kodex, widział się tylko parę razy z czarnobrewą Kasią, i bodaj, czy nie przyznał jęj względnej wartości w stosunku co do jurydyki: tu nakoniec twarda natura czterdziestoletniego ekonoma, i kawalerskie serce pana pisarza, widocznie i oczywiście uginają się pod jarzmo miłosnego uczucia ku *Horpynie* i *Pałazie*. A te wszystkie tak nadzwyczajne zmiany zrządza któż? jedna słaba, młoda dziewczyna, za którą nic nie przemawia prócz jęj koralowych ustek, nic nie zniewala prócz jęj palącego spojrzenia, nic nie broni prócz białych jęj ramion i słabych rączek. Muszą w tém być jakie tajemne czary, wielka choć niewidonia przeciw-siła, tak urągająca się bezkarnie i ciągle, z naszych środków. Na co tu długo; przypomnijmy tylko sobie nasze tak niedawne życie w rodzicielskich domach, i nasze wizyty u sąsiadów, i nasze pogadanki na polowaniu, przy winie i fajce, i przyznajmy się szczerze, czy nie około tego przedmiotu krążyliśmy ciągle? Czy nie on nas zajmował najbardziej? czy słuchał kto z nas ciekawiej rozpraw o tablicach kategorycznych Kanta, o ekonomii politycznej, lub o mowach Peela? Nie, jako żywo nie! Prawda, że byliśmy wtedy djable młodzi, djable roztargnieni, jeździliśmy ciągle konno, śmieli się zawsze z czołem podniesioném, i piosnką na ustach.”

Po takim wstępie, nasz autor przystępuje do bliższej charakterystyki pokojówki, i *garderoby* dworskiej.

„Pokojówka jest najmizerniejszą u nas dziewczyną, w epoce wstąpienia jęj do dworu. Jeśli to dwór państwa rozległych włości, dziewczę-

ta nabiérają się ze wsi okolicznych, na wiarę jakiego starego, karmionego szpakami sługi, który zna gust i pana i pani, i rozumieć do czyjzego więcej przychylić się trzeba. Jeśli to są obywatele o jednej wiosce, tam wszyscy ich włościanie są im znani mniej więcej, i tu już wybór zależy od przewagi, jakiej używa w pożyciu domowym którakolwiek strona. I tak np. jeśli mąż młody, żona zła i brzydka lub stara, tam ani życzę zazierać do garderoby... pewno same wybiorki. Dziewczęta ospowate, twarzy szpetnych, zbyt otyłe lub zbyt chude, głupie, nieumyte, odziane ubogo, i bez gustu. Dozorczynią nad nimi bywa zwyczajnie jaka stara jędza, najczęściej zézowata panna, ze wszystkimi pretensjami i kapryśkami, któremi tylko może ich obdarzyć szczodrobliva natura w zamian za wyrządzoną krzywdę—za panieństwo kwitnące do lat czterdziestu z górą. Tam zupełnie niema dla nas powabu: mąż równie omija przez dziesiąte pokoje ten harem. Rzecz się ma inaczej w domach, gdzie żona nie jest pod wpływem zazdrości, ma gust i nie ma podejrzania, kocha męża i nie domyśla się zdrad z tej strony; jest łagodną lub niewinną. O! tam, garderoba pełna jest ślicznych twarzątek i malowniczych ubiorów. Tam panna służąca bywa zwykle sentymentalna i romansowa, bardziej niż sama pani: tam mąż zazięra bardzo rzadko, pani ledwie razy parę i kilka słów powiedzieć raczy, a dziewczęta ciągle wzdychają i marzą. Panuje w tém wszystkiem jakaś harmonia, swoboda, i ciągła spokojność."

Tu daje nam autor obrazek ponętnej garderoby państwa Cześnikostwa, z której występuje główna bohaterka powieści, pokojówka *Julka!* A obok niej bohater syn Cześnikostwa Leon, przybyły na święta do rodziców. Zawiazuje się romans między dwojgiem młodych, który przeprowadzony przez wszystkie trudności, jakie *Julka*, dziewczyna z prawdziwem uczuciem, i niemają siłą charakteru, natrętnemu kochankowi stawia, i wreszcie zwyciężona potęgą swęj miłości, ulega, i ucieka z domu Cześnikostwa. Zwycięstwo Leona było zupełnem; namówił nawet kochankę, aby z nim do miasta wyjechała, gdzie kończył nauki wyższe. *Julka* była posłuszną.

„Właśnie (mówi autor) podówczas zawiązały się i rozrastały bujnie w naszych stronach towarzystwa *Baragołów, Skórkowych, Cichostępów*, i t. p., tej hucznej młodzieży, która napelniła głośną sławą kraj cały, i dała się we znaki wieśniaczkom, koniom, najtyczankom, i żydom. Któż u nas nie znał, któż u nas nie widział członków tych towarzystw? kwiat młodzieży należał do nich. Byłyż to skutki próżniactwa, czy rozpaczy? czy miała ztąd powstać nowa Sparta? Dalibóg, zdecydować trudno! Jeśli będziemy sądzić ze skutków, skutki wcale nastąpiły niekorzystne, ani dla ogółu, ani dla indywidualów; ale czyż i najpiękniejsze zamiary nie koń-

czą się na niczém? Może historycy zbadają przyczynę; co do mnie, zdałoby mi się, iż była w tém wszystkiego po troszce. Chodziło im najwięcej o to, aby zabębnić z całej siły... Zabębniiono, i postyszano ich aż za górami. Tymczasem, każdy młodzieniec z pieniędzmi i zdrowiem, o! jakież miał tu do popisu pole! Już nie miały więcej dla nich powabu salony, i śliczne damy nasze; te damy, którym winniśmy podobno najwięcej, jeśli błyszczym jakimkolwiek polorem i zdolnością do życia w towarzystwie. Nie miały dla nich powabu nauki, usługi dla kraju, pożyteczność dla ogółu; co więcej, nawet małżeńskie związki! Gdyby wyrwał się z tém ktoś sam jeden, dokazałby niewiele; ale w kilkudziesięciu, w kilkuset; o! to rzecz wcale inna! Jeden chłop sam przez się nie znaczy, ale *Hromada*, *wętykia czołowik*, mówi u nas przysłowie. Ta to *hromada*, zaszumiła i u nas. Rzecz godna uwagi, iż żadne prawidła nie były rozwinięte u nich tak estetycznie, jak te, które się tyczyły wprost *djabelka*, uniformy, wina i Epikureizmu. Co za rozkosz była palić z biczka na kozle, jeździć czwórka, w której orczykowy koń z prawej strony, miał być koniecznie srokaty, i nalegać na prawą nogę, dlaczego umyślnie mu zagwożdżono nogę przy okuciu! Jak dzielnym był uniform! Wysoka barankowa czapka w kształcie głowy cukru, czerkieski srebrem nabijany pasek, tartanowy surdut, i najszersze jakie tylko być mogą pantalone! Albo kurtka i spodnie z rzemienia, krzesiwko u boku, króciutka kozacka fajka w zębach, i kapszuk bakunu w kieszeni! Wino lało się zdrojami, złota było po niczemu, kobiety bez braku i wszędzie.”

W takim towarzystwie baragołów, Leon nie mógł się pokazać, że kieruje się jakim sentymentalnym uczuciem. Sprowadza Baragoła, w obec Julki oświadcza, że mu się już sprzykrzyła, i wychodzi. Julka dopędza na ulicy Leona i błaga go, aby odesłał ją do wsi rodzinnej, aby mogła matkę swoją przeprosić. Leon stanowczo odmawia, i spieszy pocieszyć się grą w karty. Gdy przegrał wszystko, gdy nie zważał na prośby starego sługi Grzegorza, który na znak podziękowania silny policzek otrzymał: rozpalony grą i trunkiem stawia na kartę Julkę, która się szczęśliwemu w sztosik baragołę, gdy dziś był z nim razem u niej, wielce spodobała. Ciągnie i przegrał.

Ale Julka w niemej rozpaczycy już z Kijowa wybiegła, a trawiona rozpaczą i gorączką, przechodzi stępy Głód, pragnienie, choroba wryły się na jej pięknym obliczu; cień tylko owój hożej dziewoi został. Już kilka wiorst od rodzinnej wioski; zbiera resztę siły, a nie chcąc się oczom matki do razu pokazać, do krewnego *Petra Mielnika*, z rzemiosła młynarza, przybywa. Poczciwy człowiek przyjął ją jak córkę, przygotował nawet matkę, że ją bez gorzkich wymówek przycisnęła do swego serca; niedosyc: wra-



cających z kościoła zaprosił Cześnikostwa do siebie, i równie wyjednał i ich przebaczenie. Cześnik sam się zajął, że Julkę wyswatał za Grzegorza, owego wiernego sługę Leona, i dał im na uhoczy futor z pasieką. Leon nie pokazał się w domu długo, a gdy przybył, gniewali się, gderali, wyrzucali marnotrawstwo, ale przebaczyli, choć najdroższe skarby swoje syn ich utracił, bo zdrowie i szlachetne uczucia. Cześnikostwo postarzelisię, pragnęli syna ożenić, ale nim spełnili te życzenia, oboje pomarli. Leon, przyciśnięty długami, pojął za żonę młodą, ładną, niewinną i bogatą Emilią. Autor tak nam kończy swój szkic obyczajowy:

Przybywszy do Leona, zaproszony został przez jego żonę na herbatę w miłe zawsze ustronie Emilii. Wyjechali więc razem konno.

„Wyjechaliśmy na podwórze. Ledwieśmy zsiadli z koni, gdy Julka ukazała się we drzwiach. Głowa jej była obwiązana, niewielką kolorową chusteczką; na szyi czerwieniło się kilka sznurków koralu: kształtny gorsecik, obrysowywał postać. Poznałem ją od razu. Była ona równie jak pierwiej piękną, tylko jej oczy przybrały jakiś melancholijny wyraz: pierś zachowała swój uroczy powab, tylko w pełniejszych nieco kształtach; a w rysach, jak w czystych topielach wód, przezierała wewnętrzna cisza i pogoda. Patrzałem przenikliwie na Leona. Widziałem, że spodziewał się tego spojrzenia i unikał go wszelkimi sposobami; nie patrzył na mnie, a czuł, że wzrok mój plątał siłą elektryczną promienie wzroku jego.”

„Julka przyjęła swą panią jak się zdawało najszczerzej. Na Leona spojrzała śmiałym, zimnym, jakimś matowym wzrokiem. Co w nim było? głębokili wyrzut, czy kamienna obojętność, rzecz trudno. Nic w nim pogardy, lecz jeszcze mniej uczucia.“

„Julka mnie znała z Kijowa dobrze; spojrzała, poznała i udała, że nie zna. Weszliśmy do środka. Już to nie była świetlica ukraińskiego chłopca, lecz pokój z obrazami, stołem, krzesłami, i kanapą. Podłoga była usypiana tatarskim zielem.“

— Widzisz pan, rzekła do mnie nasza towarzyszka siadając na kanapie, iż tu prawdziwie wiejską możem pić herbatę. Moja kochana Julka niedorównana pod względem przyjmowania gości; wszystko u niej czyste i porządnie. Nigdzie z taką przyjemnością nie piję herbaty.

— Dziękuję pani za dobre słowo, odpowiedziała Julka spuszczaając oczy.

„Poznałem z toku rozmowy dalszej, iż Emilia nie wiedziała wcale o przeszłych stosunkach. Piliśmy herbatę wesole, śmiejąc się, żartując, a co najbardziej czyniło śmiesznym nasze położenie, to naiwne skierowy-

wanie rozmowy przez naszą piękną towarzyszkę o Julce, i zapytanie w najniewinniejszej myśli, zadawane w tym przedmiocie.

— Gdzież twój swawolnik Józio? zapytała Emilia Julki. O! jaka ty niedobra, nie pokażesz nam swego chłopczyny. Przyrowadź mi go Julko.

— On... pani. Dałibóg taki opalony, nieumyty!

— Nic, nic, przyrowadź mi go zaraz.

Julka nie mogła się wymówić, wyszła, i za chwilę powróciła, prowadząc za rękę rzeźwego lat trzech chłopczyka. Na pierwsze spojrzenie, znalazłem w nim wierny obraz Leona, i mimowolnie, dla porównania, przerzuciłem z niego na dziecię kilka razy wzrokiem.

— Jak się masz Józiu! rzekła nasza towarzyszka, biorąc go za rączkę.—Patrz pan, wszak prawda, że ładny chłopczyk; a do kogo podobny?

Spojrzałem na Julkę i spostrzegłem, że była jak w ogniu.

— Do ojca, rzekłem z przyciskiem i uśmiechem.

— Cha, cha, cha! Co pan mówisz? Józio podobny do ojca! W moim zdaniu nic nie masz niepodobniejszego.—Spojrzałem na Leona, on puszczał tak gęsty dym z cygara, jakby się nim chciał zakryć od naszego wzroku. Chłopczyna był wesoły i ruchliwy. Bębnił ciągle, i milutko zaglądał swęj opiekunce w oczy. Widziałem ile to sprawiało ukontentowania téj, co już zdawała się pojmować uczucia matki, i jak pieśczośliwe były jęj pocałunki. Ale najszczęśliwszą była Julka. Oczy jęj pełne wyrazu miłości, śledziły nieoderwanie za najmniejszym ruchem dziecięcia, i za każdą pieśczołą jęj pani. Szczęście matki, biło z nich w pełnym blasku. Po skończonej herbacie, wyszliśmy na przechadzkę, z której już mieliśmy powrócić do domu. Nie pamiętam czegom zapomniał, dość, że trzeba mi było wrócić do izby. Otworzy drzwi, postrzegłem Julkę samą jedną stojącą przy stoliku z Józiem na ręku, i tak pogrążoną w zamyśleniu, iż mego nie postrzegła wejścia.

— O czém tak zamyśliłaś się?

— Ach to pan!

— Ja Julko. Powiedz, dlaczego nie przywitałaś się ze mną? Udałaś nawet, że mnie nie znasz.

— Ach! ja całej tamtéj przeszłości radabym nie znać! rzekła z uczuciem.

— Smutneż ci obudza wspomnienia?

— Pan to możesz wiedzieć bez mojęj odpowiedzi.

— A teraz posiadłażes spokojność i szczęście?

— Szczęście! powtórzyła Julka, utkwivszy wzrok pełen niewyraźnego uczucia, na uśmiechającą się do niej twarzyczkę Józia. Ot! gdzie moja spokojność, mój świat, moje złoto, moje całe dziś szczęście!

I to mówiąc, osypała go gorącymi pocałunkami, namiętnie przycisnęła do serca, i tak trzymała chwilę; potem nagle opuściła pokój. Łzy były w jej oczach.

Pojąłem to jej szczęście!

\* \* \*

Taka jest treść szkicu obyczajowego Tadeusza Padalicy. Przedmiot i jego światłą lub ciemną stronę, czytelnik z podanego wątku łatwo ocenić może. Co zaś do oddania takowego, lubo znać co do stylu niezupełnie wprawne pióro, odmówić nie możemy dosadności w obrazowaniu i malowaniu charakterów. Do odznaczających się wydatniej należy figura cześnika, Julki, Leona, i poczciwego Petra Melnika. Autor wzięwszy za godło:

„Coby było wśród okresu,  
Na którym ludzie rzućeni,  
Bez światła, ciepła, magnesu,  
I elektrycznych promieni.”

pod niem odmalował nam uroczą postać pokojówki, i jak widzieliśmy, *garderobę* dworską jako Eldorado dla młodzików ukazał.

W jednym z ustępów gdzie mówi: „Młodzieniec, dziewica idący za głosem potępionym przez świat, niech pierwój obliczą się dobrze z swemi siłami, i niech wyrozumieją, czy jego kochanka lub jej kochanek, równie będą niezachwiani, nieustraszeni podczas burzy. Gdy znajdą w sobie, w nich, jedną li sentymentalność tylko, a nie znajdą energii i mocy—o! niech zerwą te związki! Niech się żenią, i idą za mąż na wiarę rodziców, opiekunów, i *na niewidziane*, a będą szczęśliwsi, obejdą się, przywykną do siebie!“ Do tego to ustępu dodaje autor w przypisie następane *ważne ostrzeżenie*:

„Boję się, żeby czasami szanowni moi czytelnicy i czytelniczki, biorący często rzeczy zbyt literalnie, nie pomyśleli sobie, że oto namawiam publicznie młodzież do żenienia się z Horpynami, Ulanami, Pałażkami i t. p. A, broń Boże! Zbyt jestem troskliwy o czystość rasy, iżbym miał na widoczną krzywdę *karmazynu* rozsiewać podobne opinie!... To się mówi tylko à *propos* Julki!”

W całym tym szkicu, wyraźne mamy ślady dowcipu autora, nieraz silnej ironii. Jeżeli kto zapyta nas o sens moralny, odpowiemy mu, że sam tytuł szkicu obyczajowego, broni autora od obmyślenia w nim moralu. Zreżne opisanie zdarzenia wziętego z rzeczywistego życia, przy-

strojonego nieco fantazyą, dosadne odmalowanie charakterów, główne tu są rzeczy. Ale jest i strona moralna. Pragnął autor, jak to pokazali już inni, np. Kraszewski w *Ulanie*, a przed wszystkiemi najszczytniej J. Korzeniowski w *Góralach*: ukazać stronę uczuciową ludu. Zarzucić tu tylko szkicowi Padalicy możemy, brak prostoty w ustach Julki: bo za- nadto, jakby panna wyedukowana, wykwintniej używa inowy. Z małej téj jednakże próbki, możemy niewątpliwie sądzić, że wkrótce autor może być policzony do celniejszych naszych powieścio-pisarzy.

Zwrócić w końcu musimy uwagę, na szczególną pisarzy naszych za-Niemeńskich słabość pseudonymów. Zaczawszy od Pasternaka, mamy Tarszów, Bejtów, Bomby, Kefalińskich, Blepońskich, John of Dycalpów, Kostrowców, Syrokomłów, a teraz w dodatku i Padalicę. Nie widzimy celu, z ukrywaniem się własnego nazwiska: tém bardziej, że prawdziwy autor, nie ukryje się nigdy. Jestto bezpotrzebna mania, z której radzim się wyleczyć. Wszakże zawód autorski nie jest podtém rzemiosłem.

Wł.



# ROZMAITOŚCI.

---

## *Wykład Odpowiedzi Drabskiej*

w zeszytcie styczniowym zamieszczonej.

**G**dybyśmy znał w szczegółach dawne zwyczaje krajowe i język przodków naszych, nie kręśliłbym obecnych wyrazów dla wyjaśnienia *Odpowiedzi drabskiej*. Zanim zaś ktoś biegleszy objaśni tę *odpowiedź* z powszechném zadowoleniem, podaję mój wykład pod sąd publiczności.

W średnich wiekach, gdzie monarchowie europejscy nie utrzymywali, ani znali wojsk stałych, tworzyli na przypadek wojny, wojska złożone z lendów lub wazalów i ich służby, lub z pospolitego ruszenia, jak u nas szlachty. Gdy jednak wojsko tego rodzaju do służby wojennej nie-wprawne, karności wojskowej niezachowujące i nieznające, bardzo było niedogodnym do prowadzenia w pole i staczania walki; zjawili się przeto i nastęrczali mężowie, z upodobania wojnę, tak jak inni polowanie lubiący, którzy walki, zapasy i znoje wojenne uważając za swoje powołanie czyli rzemiosło, z pewną liczbą towarzyszków i podwładnych, wynajmowali się monarchom za pewną umówioną płacę, stosownie do ilości osób, pod wodzą swoją zostających, lub zaciągnąć i dostawić się mających.

Że i w Polsce znane były takowe rot-y najemnicze, żołnierzami zwane, dlatego, że żołd biorą, od włoskiego słowa *soldato, cui solidus datur* (podług Starowol. prawy rycerz), mamy dowody na każdej kartce dziejów naszych, mianowicie w XVtym i XVItym wieku.

W aktach głównego archiwum królestwa w Warszawie (z którego korzystałem, gdy i każdemu jest wolno zasięgać tam wiadomości) liczne są rewersa, mianowicie z czasów Kazimiérza Jagiellończyka, na należność rotmistrzom, niezaspokojonym za ich służbę, jako téż pokwitowania z częściowej upłaty lub z całkowitego należytości odbioru. Z roku 1469 jest takowych pokwitowań około 40 na pergaminie spisanych, z zawieszoną-

mi pieczęciami. Z początkowych 10 kwitów okazuje się, że po zrobieniu obrachunku i upłacie połowy należności, druga połowa do wypłaty za rok pozostająca, dla owych 10ciu rotmistrzów i ich towarzyszków, wynosiła 36,880 dukatów węg. Jednemu z tych rotmistrzów w 223 koni służbę czyniącemu, całkowita należność czyniła 6,224 dukatów. Summa na owe czasy ogromna.

Pod rokiem 1519 i 1520 znajduję w aktach metryki koronnej minuty zobowiązania monarchy dla wielu rotmistrzów (po 40, 60, 100 lub 200 ludzi dostawić mających), wydanego i zwanego *literae indemnitalis*, (*list zaszkodny* w polskich exemplarzach), którym król przyrzekał płacić za każdego pieszego po 5 złp. kwartalnie (około 65 złp. według Czackiego tablicy ewaluacyjnej), a za każdego jeźdźca po 10 złp.

Albert mistrz krzyżacki, siostrzeniec naszego Zygmunta I, wiedząc, że Smoleńsk przez W. księcia zdobyty i Litwa aż do pobliza Wilna najochana, nietylko od zachowania dawnych traktatów z Polską uchylał się, ale nawet pograniczne wsie polskie pustoszył, i wielkie czynił przygotowania do wojny. Zygmunt postanowił orężem popierać prawa swoje, i uniwersałem d. d. Kraków 14 października 1519 r., zwołał sejm do Torunia na dzień 25 listopada t. r. dla obmyślenia środków do prowadzenia wojny. Gdy zaś Albert po ukróceniu swych napaści powolniejszym się okazał i upokorzony przybywszy do Torunia, przyrzekł królowi Zygmuntovi złożyć przysięgę i zachować dawne traktaty z Polską; zawarte z nim przeto zostało zawieszenie broni. Lecz tenże Albert, dowiedziawszy się o nadciągających dla niego z Niemiec posiłkach, mimo zawieszenia broni, wsie województwa płockiego najeżdżał i pustoszył na nowo począł; wezwał naówczas Zygmunt, pierwszymi, drugim i trzecimi wiciami (*restes* po łacinie zwanymi) dnia 4 lipca 1520 r. pospolite ruszenie Wtwa płockiego, do zgromadzenia się pod wsią Białyniem, między Działdowem a Nidborgiem, na dzień św. Alexego (17 lip.). Następnie wydane zostały wici do województw pruskich i wielkopolskich, do zebrania się pod Wągrowcem (w Gniezn.). Rotmistrze zaś wojsk najemniczych, które same dotąd odpierały najazdy Prusaków, wypowiedzieli *uroczyście* Albertowi wojnę *odpowiedzią niniejszą*.

Wyraz ten w stariej polszczyźnie znaczył: wyzwanie na pojedynek, zapowiedzenie najazdu dóbr sąsiedzkich (czasami przez woźnego czynione), wypowiedzenie walki i wojny. Takowych *odpowiedzi* znajduje się w księdze metryki koronnej (34,287) trzy, jedna za drugą; pierwsza obecna *drabska*, M. Trzepieskiego, rotmistrza czyli dowódcy piechoty, gdyż drabami nazywano żołnierzy pieszych; druga *odpowiedź jezdnych*, rotmistrza Jakóba Secygniewskiego; trzecia *odpowiedź dworzan króla*

*Jmci, Stanisława, Jana, Piotra.* Wszystkie trzy pod jedną datą, w Grudniu w sobotę przed niedzielą oculi (t. j. 10 marca 1520 r.); wszystkie trzy tegoż samego brzmienia, tylko w kilku wyrazach odmienne, jakto się niżej okaże. Czyli inni rotmistrze wydawali podobne zapowiedzi? i dlaczego właśnie te trzy tylko pod r. 1519 i 1520 w aktach metryki kor. się znalazły? wznieca jakowąś wątpliwość. Nam się zdaje, że ich więcej nie było, i że te trzy tylko reprezentowały w pewnym względzie wszelkie rotę na żołdzie królewskim będące. Gdy jednak wojsko zaciężne do odparcia napaści nie wystarczało, udawano się do głównej siły narodu, pospolitego ruszenia szlachty. Walka więc z Krzyżakami przez wojska najemnicze prowadzona, była w pewnym względzie wojną króla samego, po której dopiero następowała wojna narodu całego, przez zwołanie pospolitego ruszenia, (Nawiasem wspomnę tu, że ponieważ na pospolite ruszenie, każdy właściciel ziemski resp. Wtwa, powinien był stawić się osobiście, pod karą utraty dóbr; dla wdów przeto, dla małoletnich, dla chorych lub z innych przyczyn, wydawał król pozwolenie dawania zastępcy. Otóż w tychże aktach d. d. Toruń 4 października, znajduję, iż na prośby królowej, Jan i syn jego Przeclaw Łasińscy uwolnieni są od stawienia się osobistego, ponieważ Przeclaw był mężem mamki królewicza; z obowiązkiem jednak wysłania z ich majątku zbrojnego jeźdźca).

Takowa odpowiedź, czyli po dzisiejszemu mówiąc, zapowiedź, oznaczała zarazem, iż rotę pod dowództwami powyższemi zostające, nie są bandą lub zgrają awanturniczą, ale wojskiem na żołdzie rządowym pod powagą królewską działającym, których honor wojskowy sam król zapewnia, *moją cześć ogradzając*, a w odpowiedzi dworzan (gdzie nie mówi dowódzca, ale *Stanisław, Jan, Piotr, dworzanie króla Jmci*, w liczbie mnogiej) *nasze czezy ogradzając*. W stariej polszczyźnie bowiem, *ogrodzić* znaczyło także: zapewnić, zatwierdzić, zaręczyć.

W odpowiedzi drabskiej, wyrazy: *kczemu swą pieczęć przyłożył*, mogłyby podać w wątpliwość, kto pieczęć swą przyłożył; czy król Jmć, czy też rotmistrz? gdyby jej nie rozwiązały wyrazy w zapowiedzi dworzan, że to była pieczęć rotmistrza; ponieważ tam powiedziano: „*kczemuśmy swe pieczęcie przyłożyli*”.

O czynach wojennych Trzepieskiego nie zdarzyło mi się natrafić w tej chwili wzmianki jakowej; o Secygniewskim zaś i jego rodzinie, w różnych wojnach odznaczającą się, pisze Niesiecki.

X. J.

*Wiadomości literackie i artystyczne.*

*Statystyka utworów piśmiennictwa we Francyi.* W jednym francuzkim czasopiśmie, wyczytujemy następny obrachunek przez P. Didot uczyniony, dzieł wyszłych od 1 stycznia do 1 sierpnia 1849 roku. Według jego obliczenia, w przeciągu tego czasu wyszło w całej Francyi dzieł rozmaitych, broszur, ogłoszeń i t. p. w ogóle 87,000. Przedrukowano łacińskich i francuzkich pisarzy klassycznych 3,700. Nadto wyszło tłumaczeń rozmaitych dzieł z języków nowożytnych do 4,000 tomów. Pomiędzy temi ostatniemi, tłumaczenia z angielskiego języka, trzecią część wszystkiego zajmują; po nim zaś następują tłumaczenia z niemieckiego i hiszpańskiego, najnniej zaś z języków szwedzkiego i portugalskiego. W tymże samym przeciągu czasu zjawilo się około 900 pisarzy dramatycznych, których sztuki były grywane na scenie, i drukiem ogłoszone, zaś nieprzyjętych albo niegranych dram i komedyj obliczył tylko 60. W przedmiocie nauk tajemniczych, jakimi są: kabalistyka, chiromancya, nekromancya i t. p. ogłoszono przeszło 200 dzieł rozmaitej objętości, zaś w oddziale heraldyki, genealogii i w ogóle zaszczytów szlachectwa, 75 tomów. Nauki polityczne zubożone zostały 20,000 tomami dzieł nowych, rozmaitej objętości i formatu. Nadto wyszło w ogóle 6,000 romansów i powieści, a około 800 podróży. Nakoniec P. Didot obliczył w ostatku, iż gdyby papier użyty na drukowanie wszystkich tych dzieł, na całą powierzchnię ziemi francuzkiej rozłożyć, to takowy przykryłby dwa razy wszystkie 86 departamentów i jeszczeby go podostatkiem zostało.

\* W końcu zeszłego roku założony został w Paryżu nowy dziennik, pod tytułem: *Le foyer domestique, Journal de la Famille*. Z wielorakich przyczyn wnosić można, iż powodzenie tego pisma może być niezwyčajne. Naprzód dziennik ten ma cel wielce moralny, i słynnych ze swego nazwiska współpracowników, następnie, iż ma być pysznemi drzeworytami, rycinami i litografiami ozdabiany. Już więc z obu tych względów nowe pismo może liczyć na wielu prenumeratorów i czytelników, lecz dowcipni ci wydawcy obmyslili nadto nowy jeszcze sposób zachęcenia i pomnożenia ilości takowych; ogłosili oni bowiem w prospekcie, iż każdy z prenumeratorów otrzymuje kupon z pięciu numerami na ogromną loteryą, utworzoną za zezwoleniem rządu. Zachęcenie to ma nader powabne korzyści; zapłaciwszy albowiem 12 franków za prenumeratę roczną, otrzymuje się prześliczny dziennik, a nadto można jeszcze wygrać na loteryi od 50 do 70,000 franków. Ale to nie dosyć: bo oto jeszcze każdy prenumerator natychmiast otrzymuje najpiękniejszą rycinę na stali, lub dziesięć numerów nut, najnowszych sztuk muzycznych, stosownie do swego własnego wyboru.

\* Ostatnia połowa zeszłego roku dla poetów niemieckich nadzwyczaj była niepomyślną, bo najwięcej ich w tym czasie wymarło. Wyliczamy tu kilku powszechniej u nas znanych. I tak: w dniu 24 sierpnia zmarł w Wenecyi *Henryk Stieglitz*, znany autor *Obrazów Wschodnich*, urodzony w r. 1803 w Arolsenie. Niedostatek i ubóstwo, zwyczajne niemieckim wierszopisom, nie były mu znane; bogaty albowiem jego stryja-



szek baron petersburski, Stieglitz, corocznie znaczne summy pieniężne pocie dosyłał. Wszakże gdy go opuściła czarująca jego Karolina (Charlotte), zwiódła zarazem i mużę naszego Stieglitza, czego dowodzi najlepiej jego ostatnia poezya, pod tytułem: *Der Gruss an Berlin*. Bądź co bądź, zawsze przejażdżka jego po Salzburgu i Tyrolu, artystyczne opisy Montenegro, Istrii i Dalmacyi, zostaną świetnym pomnikiem niewątpliwego talentu Stieglitza.

Daliej w początku września zmarł w Dreźnie *Fryderyk Laun*, autor więcej niż stu romansów i powieści, dziś zupełnie zapomnianych. Płodny ten pisarz urodził się w r. 1770, miał więc lat 79, a należał do tych wesółych i pobłażających starców, który na wszystkie wypadki, jakiegokolwiek by one były, chętnie przystawał, i do nich zastosowywał się. Kilka lat temu, Ludwik Tieck napisał przedmowę do wyboru dzieł Launa, które w sześciu tomach z druku wyszły.

Jednocześnie, bo we wrześniu, po długoletnich cierpieniach, umarł w Wiedniu *Ernest von Feichtersleben*, urodzony w r. 1806, znany wice-dyrektor tamecznej szkoły medycznej i lektor uniwersytetu, któreto obowiązki do marca 1848 roku sprawował. Za ministerstwa Doblhofa, był on mianowany sekretarzem wszystkich rządowych zakładów naukowych. Jako pisarz w literaturze austriackiej, należał do rzędu myślących prozaików, jakich jest niewielu. Dzieło jego o *Dyetetyce duszy*, zawiera w sobie nader szacowne filozoficzne aforyzmy, zaś wydaniem dzieł Meyerna, położył znakomitą w piśmiennictwie zasługę.

Nakoniec w sierpniu zmarła także w Töplitz kobieta poetka, która jednak oddawna już służyć muzom przestała. Była to szlachetna niewiasta surowej moralności, z bystrym i badawczym rozumem, a przytém wszystkiém z czułém, kochającém i cichém sercem. Nazywała się ona *Karoline von Alefeld*, a była autorką *Eroy* i innych znanych romansów.

F. M. S.

### *Wypadki finansowe i ekonomiczne zniesienia cel w Anglii.*

W nowszych czasach, Anglia zaczęła wyswobadzać się z systematu zakazowego i cel ochronnych, przechodząc stopniowo do systematu wolnego handlu.

Zboże i cukier były głównymi artykułami, które stały się przedmiotem walki stronnictw pod względem celnym. Nareszcie stronnictwo cel ochronnych uległo. W roku bieżącym, smutny stan kolonii angielskich w Indyach Zachodnich i południowych hrabstw rolniczych w samej Anglii, ożywił stronnictwo, przypisujące cało złe istniejące, systematowi wolnego handlu.

Przegląd Edymburski (z lipca 1849, Nr. 181) zbijając oskarżenie z tego powodu wnoszone, zamieszcza następujące wypadki, okazujące działanie obniżenia cel.

Cukier płacił do r. 1840:

produkowany w koloniach angielskich 24 szylingi od centnara.

zagraniczny

” 63 ” ”

Od roku 1840—1845, cło na cukrze bez względu na pochodzenie, podwyższono o 5 procent.

W roku 1845 zmniejszono cło:

Od cukru angielskiego kolonialnego do 14 szyllingów;

Od zagranicznego, z krajów w których niewola nie istnieje, do 24 szylling. 4 pensów.

Konsumcya wzrosła ze 206,472 beczek, w r. 1844  
do 242,831 „ „ 1845.

Na rok 1846 zniesiono różnicę między cłem zagranicznym z krajów w których nie istnieje, i tych w których istnieje niewola, i obłożono cukier zagraniczny cłem 21 szyl.

Konsumcya wzrosła do 261,012 beczek.

W roku 1847 różnicę cła między cukrem kolonialnym i zagranicznym znizowano do 6 szyl.

Konsumcya była 288,975 beczek.

W roku 1848 cło od cukru kolonialnego znizowano do 13 szyl.;  
od zagranicznego do 18 szyl. 6 pensów.

Konsumcya była 308,131 beczek.

Do października 1842 drzewo płaciło od 50 stóp sześciennych:

Zagraniczne 56 szyllingów, 6 pensów,  
Kolonialne 11 „ 6 „

Od téj epoki zmniejszono cło od drzewa kolonialnego do 1 szylina.; cło zaś od drzewa zagranicznego, stopniami zeszło do 15 „ Wypadki jednak z czasu przed i po 1842 porównać się nie dadzą, gdyż od tartego drzewa przed r. 1842 cło nie było pobierane od objętości sześciennój.

Od roku 1842 dowóz był następujący:

	<i>Kolonialne</i>	<i>Zagraniczne</i>	<i>Ogółem</i>	
1843	922,087	395,558	1,317,645.	
1844	941,221	544,136	1,485,357.	lounds po 50
1845	1,281,974	675,840	1,957,814.	stóp sze-
1846	1,214,442	810,497	2,024,939.	ściennych.
1847	1,086,070	806,752	1,892,822.	
1848	1,102,254	701,080	1,803,334.	

Ceny drzewa spadły w Londynie o większą ilość, niż wynosi zmniejszenie cła; niektóre tylko gatunki dla producentów korzystniejsze przedstawiają widoki.

Korzystny wpływ obniżenia cła na fabrykacyą rękawiczek i skór, przedstawia przegląd Edymb. w ogólnych wyrazach, nie opierając się na cyfrach.

Gallon wódki francuzkiej płacił do roku 1846 22 szyl. 10 pensów, lubo cena miejscowa tego artykułu była tylko 3 do 5 szyllingów.

W roku 1846 znizowano cło do 15 szyllingów. Wypadki są następujące:

Dowóz wynosił w roku 1843	1,052,260	} cło 22 szyl. 10 pensów.
„ 1844	1,037,937	
„ 1845	1,073,778	

Dowóz wynosił w roku 1846 1,561,629 }  
 „ 1847 1,574,068 } cło 15 szyllin.  
 „ 1848 1,632,710 }

Dochód skarbowy był:

W roku 1843 1,201,339 funtów szterlingów.  
 „ 1844 1,184,798 „ „  
 „ 1845 1,225,269 „ „  
 „ 1846 1,203,920 „ „  
 „ 1847 1,182,794 „ „  
 „ 1848 1,233,437 „ „

Równoczesna konsumpcya i dochód skarbowy z wódek i mocnych napojów angielskich i kolonialnych był:

W trzech latach do 1846 przecięcie roczne:

Kolonialnych gall. 2,257,147 funt. szter. 1,053,427.

Krajowych „ 20,865,148 „ „ 5,274,726.

W trzech latach 1846—48 przecięcie roczne:

Kolonialnych gall. 2,999,904 funt. szter. 1,230,105.

Krajowych „ 22,326,957 „ „ 5,561,815.

Do roku 1825 cło od wina było: od win francuzkich 13 szyl. 9 pens.  
 od win innych krajów 9 „ 1 „

W tym roku znizono cło pierwsze do 7 szyl. 3 pens.

cło drugie do 4 „ 10 „

W roku 1831 zrównano wina francuzkie z innokrajowemi.

Konsumpcya wynosiła w pięciu latach przed znizieniem w roku 1825 w przecięciu 4,751,104 gall.

W latach pięciu następnych w przecięciu po 6,539,855 gall.

w przecięciu z lat 1838—40 6,848,226 „

„ „ 1845—47 6,510,098.

Dalsze znizenie cła okazuje się widocznie potrzebne.

W roku 1846 znizono cło od wyrobów jedwabnych, pobierane ad valorem z 30 proc. do 15 proc. Fabryki jedwabne przecież nie tylko nie upadły, lecz wywóz ich wzrosł i wynosił w r. 1848, 400,000 funt. szter.

W tymże roku zniesiono wszelkie cło od wyrobów wełnianych; wszakże przywóz tylko niektórych gatunków merynosów francuzkich zwiększył się.

Płacono premią od wywozu lnianych wyrobów i nałożono cło od wyrobów zagranicznych, równające się 40 procent. wartości. W roku 1832 skasowano premią; w roku 1846 zniesiono cło; produkcya przecież wzrosła — w północnej Irlandyi zatrudnia ona 300,000 ludzi.

Z.



szerebnq 01 Jyza 22 ob 180.180.1 4121  
 1870.187.5 3181

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

WARSZAWA.

12. Powieści starego nauczyciela dla swoich młodych przyjaciół, przez T. Dziekońskiego b. Dyrektora Gimnazjum. Drugie wydanie. 8ka. Warszawa. 1850. Nakładem S. Merzbacha. Druk St. Strąbskiego. Kart 1 i str. 322. Ztp. 9.

13. W Alpach i za Alpami, przez Ł(ucya) z G(iedrojców) R(autenstrauch). Wydanie drugie. 8ka. 3 tomy. Warszawa. 1850. Nakładem S. Merzbacha, druk St. Strąbskiego. Tom I str. 243. II, 246. III, 240. W każdym napisów kart 2 i rejestru karta 1. (Z 12 rycinami na stali). Ztp. 36.

14. Prawo hipoteczne w Królestwie Polskiem (.) objaśnione przez Walentego Dutkiewicza, b. Professora Prawa Cywilnego, pomocnika naczelnego prokuratora w IX Departamencie Rządzącego Senatu. 8ka. Warszawa. Drukiem St. Strąbskiego. Napisów kart 2, przedmowy str. IX, rejestru str. XXXIII i 585. Ztp. 15.

15. Niezbędnie potrzebne wiadomości i rady dla rodziców, opiekunów i nauczycieli celem ustrzeżenia młodzieży od okropnych skutków samogwałtu (.) przez B. Rosenblum lekarza praktykującego w Warszawie. Drugie powiększone wydanie. Nakładem autora. 16ka. Warszawa. 1850. Druk pod firmą Kaczanowskiego. Str. 130 i karta 1. Ztp. 5.

WILNO.

16. Chęć pokorna przez serdeczne modły ku Stwórcy umaszająca się, zbiorem rocznych modlitw, tak do Niepokalanie poczętej N. Maryi P., jako innych świętych, i mianowicie do ulubionego ucznia Chrystusa Pana Jana świętego Ewangelisty, ozdobiona. 12ka. Wilno. 1850. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. XX i 628. (Z ryciną na stali). Ztp. 9.

## Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Księgarz Orgelbrand drukuje obecnie: „Kronikę polską z Xgo wieku”, p. W. A. Maciejowskiego.

— S. H. Merzbach zamierza wydawać w ozdobnej edycji dzieło, p. n. „Księga Świata”. Obejmować ma w sobie opisy krajów i okolic, ciekawe podróże, i artykuły w tym zakresie naukowe. Dzieło to mają zdobić ryciny kolorowe, staloryty i drzeworyty.

— „Galeryi Drezdeńskiej” wyszło 21 zeszytów, a „Życiorysów znakomitych ludzi” 5 zeszytów. „Pamiętnika religijno-moralnego” zeszyt 1szy, za m. styczeń.

— Juliusz Ascher wydał w tych dniach dzieło, pod tyt. „Nauka krawiectwa damskiego, czyli łatwy sposób nauczania się w krótkim czasie, bez obcej pomocy, brania miary, przykręcania” i t. d. Cena ztp. 15.

— Przygotowują się do druku 2 tomy „Poezji Wincentego Smacznińskiego, którego mamy już tłumaczenie Welleja Paterkula. Zawierać będą poezye oryginalne.

nalne i tragedją Sofoklesa. P. Smaczniński przekładał i Odyseę Homera wierszem, której próbki drukował po pismach peryodycznych.

— J. I. Kraszewski, oprócz dawniej zapowiedzianej powieści: „Jaryna”, przygotował do druku nową powieść w jednym tomie, pod nap.: „Tomko”. Ma ona się drukować we Lwowie. Tegoż dzieło: „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy”, wyjdzie w Paryżu ozdobione rycinami, staraniem J. K. Wilczyńskiego, wydawcy *Album Wileńskiego*. Tenże autor pracuje ciągle nad „Słownikiem artystów” i „Ikonotheką Polską”, które zamierza wydać w r. b.

— Częściowo drukująca się powieść w *Tygodniku Petersburskim* p. n. „Dziwadła”, ma być wydana oddzielnie we 2 tomach.

— J. Korzeniowski drukuje w Wilnie dalszy ciąg: „Pamiętników Oryginała”.

— Księgarz Kajetan Jabłoński we Lwowie, nabywszy prawo do drugiej edycji, wydał: „Pierwsze zasady grammatyki języka polskiego, przez Józefa Mrozińskiego. Cena 30 kr. m. k.

— Nakładem téjże księgarni wydane zostały: „Główniejsze wypadki w życiu królów i książąt polskich, jako téż i hetmanów”, skreślone w kilkunastu obrazach.

— Jan Nep. Kamiński, ogłosił drukiem we Lwowie farsę swoją p. n.: „Twardowski na Krzemionkach”.

— We Lwowie wychodzi od stycznia b. r., raz na tydzień, co sobota: „Pamiętnik Gospodarski”, w formacie arkuszowym, pod redakcją Stanisława Przyłęckiego, znanego wydawcę kilku ważnych pomników do dziejów polskich.

— Tamże, od stycznia r. b., zaczął wychodzić raz na tydzień w formacie 4kowym: „Tygodnik Polski, poświęcony literaturze, obyczajom i strojom.” Redaktorem odpowiedzialnym jest Jan Zacharysiewicz, wydawcą jak i dawniej, Tomasz Kulczycki, krawiec. Pismo to, mają wspierać prawie wszyscy literaci galicyjscy.

— Towarzystwo Naukowe w Krakowie, zaczęło wydawać: „Bibliotekę Naukową”. Tom Iszy wyszedł już zpod prasy drukarskiej i obejmuje: „Historją filozofii”, napisaną przez Józefa Kremera. Część druga wyjdzie w ciągu kilku miesięcy. Toż Towarzystwo wybrało oddzielny komitet do wypracowania i wydawania książek elementarnych, a drugi komitet do zbierania starożytności krajowych, i opisanie pomników historycznych, rozsypanych po ziemi naszej.

(Nadesłano).

....„Zabierając się do napisania rozprawy o giserstwie w Polsce, jako rzeczy wstępnej do dziejów sztuki odlewów, upraszam o naukową pomoc, i z wdzięcznością (z wyrażeniem imion nadsyłających), przyjmuję kopie napisów z znamienitszych dzwonów, odlewów na pomnikach i t. d., a szczególnie te, gdzie imię gisera jest wyrażone”.

Kraków, w styczniu 1850 r.

Józef Lepkowski  
ulica Floryańska, Nr. 548.

† Dnia 9 stycznia r. b. w Warszawie: Karol Korwell, tłumacz przy Sądzie Ap. Król. Pol., wydawca powrocznika „Niezapominajki”, tłumacz i autor innych prac literackich. Żył lat 41.

† Dnia 2 stycznia r. b. w Warszawie: Tekla z Kraszewskich Biesiekińska, autorka wielu ważnych artykułów w „Zorzy” i t. d. Żyła lat 40.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Grudzień 1849.***

**Grudzień 1849.**

**Dostrzeżenia w Obserwatoryi Astronomiczném Warszawskiem.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>,7 względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				Wielkość na 100 cz. sredn. dzienne	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z		
		6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	dé-	śnie	
		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	szczu	gu	
1		750.83	752.03	753.47	754.41	— 0°2	+ 0°2	— 0°8	— 0°5	98	pochmurny	pochmurny	napót pog.	pochmurny	—	—	W.	PnW.			
2		755.31	756.22	755.99	756.20	— 0.9	— 0.4	— 1.3	— 1.1	98	pochmurny	śnieg gęsty	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	PdW.			
3		755.64	756.90	756.34	756.03	— 3.3	— 5.1	— 7.4	— 8.6	97	pochmurny	śnieg pr.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
4		755.70	755.99	755.87	755.53	— 11.3	— 9.3	— 7.8	— 10.2	100	pogodny	napót pog.	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
5		754.88	755.94	755.56	756.28	— 8.0	— 6.3	— 6.4	— 6.0	100	pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
6	☾	756.00	757.00	756.84	757.68	— 2.6	— 1.6	— 4.4	— 5.5	97	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
7		757.26	757.33	757.00	756.92	— 5.8	— 5.7	— 5.3	— 6.0	99	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
8		756.01	756.47	756.18	756.78	— 0.0	— 3.9	— 6.7	— 5.5	99	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
9		757.49	758.78	759.12	760.41	— 5.8	— 5.7	— 6.7	— 10.7	96	pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	pogodny	PdW.	PdW.	W.	PdW.			
10		760.42	761.30	760.18	760.56	— 14.7	— 12.6	— 11.8	— 13.8	97	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	W.	PdW.			
11		759.80	760.75	760.55	761.48	— 17.4	— 14.2	— 11.6	— 14.5	100	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	W.			
12		762.26	762.44	760.70	760.45	— 16.8	— 15.3	— 13.6	— 16.8	100	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	PdW.			
13		758.57	759.68	758.52	758.62	— 20.5	— 18.5	— 15.8	— 18.1	100	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	—			
14		759.00	758.92	757.87	755.38	— 18.4	— 15.4	— 13.2	— 13.1	100	mgła	pr. pogod.	pogodny	napót pog.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.			
15		750.24	747.71	744.01	743.23	— 5.8	+ 0.9	+ 2.4	+ 2.9	100	pochmurny	pochmurny	dészcz dr.	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		3.6	
16		740.76	744.58	748.24	749.18	+ 1.8	+ 2.2	+ 1.1	+ 1.4	97	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	PuZ.	Z.			
17		745.38	745.00	742.58	738.65	+ 2.0	+ 2.3	+ 2.4	+ 1.8	100	pochmurny	mgła i desz.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	Pd.		0.5	
18		737.62	738.78	741.11	743.57	+ 3.0	+ 3.2	+ 2.9	+ 1.3	99	pochmurny	pochmurny	dészcz pada	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		6.4	
19		741.54	740.45	736.05	735.87	+ 0.4	+ 1.4	+ 1.3	+ 0.9	100	poch. mgła	mgła	dészcz	dészcz	Pd.	Pd.	Pd.	PdW.		9.0	
20		741.12	744.51	748.32	751.09	— 2.1	— 3.6	— 3.2	— 5.2	98	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.			
21		752.79	754.06	756.48	758.54	— 4.6	— 5.8	— 7.3	— 6.5	100	pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg pr.	PnW.	PnW.	Pn.	PnW.			
22	☾	761.23	761.76	763.46	763.26	— 7.1	— 6.5	— 9.6	— 13.3	100	pochmurny	pochmurny	napót pog.	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.			
23		763.37	763.92	762.01	760.45	— 15.0	— 14.7	— 11.8	— 12.9	100	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	Z.			
24		756.61	755.42	754.74	756.05	— 10.9	— 8.4	— 7.4	— 12.6	100	pochmurny	pochmurny	pochmurny	smugi	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.			
25		755.15	754.74	752.16	751.07	— 7.1	— 5.5	— 6.0	— 3.9	100	śnieg drob.	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		4.8	
26		746.64	746.12	743.06	740.29	— 4.2	— 3.2	— 2.6	— 1.8	100	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.			
27		736.04	735.52	731.97	730.76	— 2.5	— 2.9	— 1.8	— 3.9	100	śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		3.6	
28		730.24	731.23	731.40	733.44	— 6.2	— 4.9	— 3.5	— 6.1	92	pochmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.			
29		735.31	735.78	734.96	732.40	— 10.5	— 9.3	— 5.4	— 5.9	100	mgła	mgła	pochmurny	śnieg	W.	PnW.	PdW.	PnW.			
30	☽	734.01	735.83	737.46	739.02	— 9.9	— 9.1	— 8.3	— 7.8	100	śnieg	pochmurny	lek. zamgl.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Z.		8.0	
31		742.02	745.15	748.30	750.80	— 8.6	— 7.0	— 5.2	— 3.8	100	śnieg drob.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		4.8	
Śre.		750.622	751.301	750.984	751.110	— 7°06	— 6°05	— 5°64	— 6°64											19.5	27.2

Średnia wysokość barometru miesięczna	751.004	27	8.917
Najwyżej dochodził — d. 23 o g. 10 r.	763.92	28	2.643
Najniżej — — d. 28 o g. 6 r.	730.24	26	11.713
Średnia zmiana dzienna barometru	4.10		1.82
Największa zmiana dzienna barometru d. 14—15 o 4 g. w.	13.86		6.145
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.829		0.367
Średnia temperatura grudnia wynosi:	751.833	27	9.284
i ta jest niższa o	— 6° 35 C.	—	5° 08 R.
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	3.96	„	3.17 „
Największe ciepło dochodziło d. 18 o g. 10 r.	— 2.39	„	1.91 „
Najmniejsze d. 13 o g. 6 r.	+ 3.2	„	+ 2.6 „
(Termometrograf wskazał:	— 20.5	„	— 16.4 „
Maximum: + 3.0 R. d. 16 i 18			
Minimum: — 16.7 „ d. 13			
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.03	„	2.42 „
Największa zmiana dzienna d. 14—15 o g. 10 r.	16.3	„	13.0 „

Wody z deszczu spadło wysoko na 19.5 milim. czyli 8.64 linij paryz., z śniegu 27.2 milim. czyli 12.04 lin. par.; razem 46.7 milim. czyli 20.70 lin., paryz., to jest o czwartą część więcej jak zwykle.

Dni pogodnych było 5; napót pogodnych 5; pochmurnych 21.

— deszczu 4 (d. 15, 17, 18, 19).

— śniegu 11 (d. 1, 2, 3, 20, 21, 25, 27, 28, 29, 30, 31).

— mgły 3 (d. 14, 19, 29).

Wiatr panujący Południowo-Wschodni. Wichrów nie było.

Grudzień r. b. był pogodny i zimny; temperatura jego o 3° R. niższa od normalnej. Piérwsza połowa miesiąca była mroźna, dopiero 15 przy szybko spadającym barometrze, temperatura nad zero się wzniosła; tak trwało do d. 20, a przy obficie padających deszczach, śniegi na polach zupełnie stopniały. Ostatnie dni dziesięć były znowu dość mroźne. Śniegi często i obficie padały, szczególnie przy końcu miesiąca.



# O STOSUNKACH SPOŁECZNYCH KANTABRYI

CZYLI

## PROWINCYJ BASKICH.

PRZEZ

*Dra T. Tripplina.*

**W** badaniu dziejów świata, prawd które nas nauczają, domniemywań które nam nasuwają, ograniczamy się najczęściej na obznajmieniu się z przyczynami wzrostu i upadku wielkich narodów, które na losy ogółu ludzkości największy wpływ wywarły, lub też jeszcze wywierają. Wielkie mocarstwa, żyjące siłą własnej swój potęgi, lub też utrzymujące się przy bycie koniecznością równowagi zabezpieczonej traktatami dyplomatyki, zasługują zaiste na wielką uwagę. Ruchy z nich wychodzące wstrząsają znaczną przestrzenią świata, odgłos ich klęsk rozchodzi się daleko w sąsiedzkie państwa, każdy krok postępu lub cofania się w nich uczyniony, podnosi lub przygasa nadzieję w sercach sąsiadów. Znajomość tego co się działo lub dzieje w krajach i państwach pierwszego rzędu, jest tedy niezbędnie potrzebną historykowi. Ale niech na tém się nie ogranicza filozof, dochodzący w dziejach świata śladów postępu ducha ludzkiego.

Umysł dalej sięgające, żądają od nauki historyi czegoś więcej, jak faktów i dat chronologicznych; pragną wysledzić w najdalszych swych skutkach i w najodleglejszych szczelinach ziemi, wpływy wywierane przez wielkie zdarzenia historyczne, miotające ludzkością i przerzucające całe plemiona z jednego końca świata na drugi; pra-

gną z życia politycznego i towarzyskiego plemion w zakątkach zapomnianych, wnosić o postępie, jakiby cała ludzkość była zrobiła, gdyby ją burze z obranej sobie kolei nie były wyrzucały.

Opatrność (niezawodnie aby nam ułatwić środki poznania człowieka, swobodnie się rozwijającego w stosunkach swych towarzyskich, w położeniu swém przechodniém z członka rodziny do członka narodu) zechciała odosobnić pewne plemiona zaporami, przez które bez ich wiedzy ani dobre wejść, ani złe wtańgnąć nie mogło. O te zapory, o te góry nieprzebyte roztrącały się legiony barbarzyńców i huk dział nowoczesnych, bez naruszenia spokojności mieszkańców. Co do liczby, małoznaczne ludy rozwijały tu swe instytucye w sposób, jaki im się wydawał być najwygodniejszym, najprostszym i najzbawienniejszym. Dziś ludy te mogą służyć za przykład pod względem czystości obyczajów, zdrowia, porządku, a w niektórych zakątkach, nawet pod względem oświaty ogólnej.

Historykowi przyrody najmniejsze jestestwa są przedmiotami śledzeń i spostrzeżeń: z budowy ich organów odgadnie funkcyje nieznanne jeszcze organów podobnych w jestestwach daleko doskonalszych; wiemy, że poznanie zwierzątek mikroskopem tylko widzianych, podało nam klucz do odgadnięcia jednej z najważniejszych prawd fizjologii. Niech z tego przykładu korzysta historyk świata, niech nie gardzi znajomością mało głośnych plemion, a rozwijających się jednostajnie bez skoków i bez cofań. Może tą znajomością dojdzie do prawd więcej pocieszających, jak owe prawdy, do których nas doprowadziło śledzenie i zaślepienie się w historyi tego wielkiego narodu, który tyle zdawał się obiecywać, a nakoniec rozumowi ludzkiemu tak okrutny fałsz zadał.

Już po drugi raz występuję jako historyk narodów, mało uwagi na siebie zwracających, a przecież godnych wszelkiego szacunku ze względu na postęp, objawiający się w ich instytucyach i duchu praw. Pięć lat temu ogłosiłem krótki rys stosunków społecznych w Norwegii, kilka razy i w kilku językach od tego czasu przedrukowany. Filozofowie tegocześni, datujący wartość historyi świata od rewolucyi francuzkiej, przeczytawszy me dziełko przyznać musieli, że godność człowieka i prawa jego były już w Norwegii znane, nim je światu wykładali Voltaire i Rousseau w sposób bardzo teoretyczny, a Marat i Robespierre w sposób zabardzo praktyczny. A ileż to krwi szlachetnej z obu stron nie wylano na ochrzczenie tego mniemanego nowo-narodzonego bóstwa, które świetniejszy rodzajowi ludzkiemu miało zapewnić być!

Zwolennicy konieczności przyczyn ostatecznych, czyż powiedzą jeszcze, że nie można dość drogo okupić znajomości prawd żywotnych, które umysłowi ludzkiemu, pojęciu jego o swych prawach i powinnościach, nowy muszą nadać kierunek?

Dawszy odgadnąć czytelnikowi założenie, przystępuje do przedmiotu, i pomówię o innym mało znanym narodzie, w którym także wraz z gościnnością znalazłem obszerne pole do spostrzeżeń naukowych, o narodzie grającym przed kilkoma latami rolę tak dziwną, że ją rzadko kto pojąć zdołał. Dziś wypadki najnowsze na większym teatrze i przez wielki naród dokonane, ułatwiły pojęcie polityki Basków.

Na zachodnim schyłku Pireneów, leży kraj znany od wielu wieków pod nazwiskiem Kantabrya. Graniczy on ze wschodu z Francją, z północy z oceanem Atlantyckim, z zachodu z prowincją Santander i z Asturyą, z południa z królestwem Leonu, starą Kastylią i Arragonią. Niegdyś Kantabrya była obszerniejszą, Nawarra bowiem francuzka i prowincya Santander do niej należały; dziś jeszcze język, rysy twarzy i obyczaje mieszkańców, świadczą o wspólności pochodzenia.

Powierzchnia kraju Kantabrow przedstawi widok szczególny, uderzający: w jednej bowiem chwili zastrasza ogromem niebotycznych skał i potoków z szumem spadających, w drugiej chwili cieszy oko gaistemi pagórkami, bujnemi polami i kwitnącemi łąkami. Stań gdzie chcesz na jakimkolwiek bądź miejscu wzniosłóm, a ujrzysz opoki w kruszec, marmur i kryształ obfitujące, ujrzysz gęste lasy, strumienie rybne przebiegające błonia, ujrzysz łany zboża wzrastającego. Klimat przyjemny, powiewy morskie i wiatry od śnieżnych Pireneów, chłódzą powietrze rozgrzane palącemi promieniami słońca.

Tu na brzegu morza lub znaczniejszej rzeki, tam na wzgórzu panującym nad żyzną doliną, ujrzysz miasta schludnie i malowniczo wybudowane, a nadobne wsie i piękne dwory ujrzysz wszędzie, gdzie tylko skała, ziemia i woda pozwoli żyć człowiekowi. Tu jest Kantabrya odgraniczona morzem i górami, skałą i przepaściami od reszty świata, i tu od XXX wieków żyje wesóły, gościnny i piękny ród ludzki, którego krew nigdy się nie zmieszała z krwią cudzoziemców, chyba przelana na polu chwały.

Kantabr, czyli jak go dziś nazywają Bask, pięknym jest z oblicza, silnym i zręcznym, lubo rzadko bardzo wysokiego wzrostu. Oko jego orle rzadko jest czarnego koloru, ale częściej orzechowego; włosy jednak najczęściej czarne, lubo zdarzają się i jasne. Waleczność

jego znaną jest od niepamiętnych czasów; dziś jeszcze najlepszym jest żołnierzem w wojsku hiszpańskim. Rzetelnym jest i kochającym, dla obcych grzecznym i gościnnym, w obejściu się łatwym; lubi się bawić, lubi śpiewać i pracować, ale uczyć i kształcić się nie lubi, i wysokiego stopnia oświaty rzadko dostępuje. Praca do której się od dzieciństwa usposobił, wystarczy mu na utrzymanie i na swe szczęście, większego nie pragnie.

Córki zaś Kantabryi przechodzą jeszcze w piękności swych braci; jest to ogólne zdanie podróżnych, a nawet nieocenionego z swych opisów Humboldta. Są one wysokie, wysmukłe i nadobne, włosy ich nadzwyczajnie gęste i długie, ubiór zawsze bardzo czysty i malowniczy.

Język którym mówią, i który nie ma najmniejszego podobieństwa z żadnym językiem lub narzeczem europejskim, nazywają *euscarra*. Podług Humboldta, *euscarra* był pierwotnym językiem całej Hiszpanii. Baskowie idą dalej i utrzymują, że język ich był pierwotnym całej ludzkości, o чём wolno nam wątpić od czasu odkrycia, że Adam i Ewa mówili po słowiańsku; ale że ród i język Kantabrow najdawniejszej starożytności sięga, o tém nas przekonywają wszystkie najpoważniejsze źródła historyczne. Według podań ludowych, kraj Basków zdobytym został przez plemię, które bezpośrednio z raju pochodziło, i z niego przeniosło się później na stopy gór Kaukaskich. Ale wojny i zdobyczy chciwe dzieci Nemroda, pozazdrościli mu swych siedzib, i uderzywszy nań z przemocą, kraj ogarnęli. Dumni Kaukazu synowie woleli pójść w dalekie krainy szukać innej ojczyzny, niż pozostać w własnej. Tursis, synowiec Tubala i piąty syn Japheta, był wtenczas ich wodzem. Puścili się w podróż na okrętach, i powierzyli falom morskim i kapryswi burzy bez bussoli. Płynąc długo tu i owdzie, jak później Ulisses, przybyli nareszcie do ujścia rzeki Ebro. Tu im się spodobała okolica, wpłynęli więc w ujście, i dążąc coraz wyżej, dotarli aż do stóp gór Iberyjskich, gdzie osiedli w 523 lat po potopie. I tak powstała pierwsza osada iberyjska.

Celty, Fenicyanie i Kartagińczykowie, jedni za drugimi, krwawe wiedli spory z Iberyjczykami o podnóże gór Pirenejskich.—Długo się ci opierali, lecz nakoniec ustąpili na wyższe szczyty gór. Starannie zachowywali krew swą w czystości, i nie mieszały się z ludźmi niższego pochodzenia i szlachectwa.

Podczas wojen pomiędzy Rzymianami a Kartagińczykami, stali raz na stronie Scypiona, drugi raz na stronie Annibala, kierowani nie przymusem, lecz raczej własnym interesem. Wówczas już zaczęli być znanymi pod nazwiskiem Kantabrow. Połączywszy się z Cel-

tyberami, uderzyli raz na Rzymian, co spowodowało upadek i zagładę Celtyberom. Kantabrowie zdołali uniknąć klęski, i pokrzepiwszy się w siłach, weszli w przymierze z straszliwym Sertoryuszem, i z nim jeszcze raz na Rzymian uderzyli. Długo trwała wojna; podczas niej Calahorra została w perzynę obrócona, a Pampeluna zdobytą. Pompejuszowi udało się jednakże zmusić ich do sprzymierzenia się z Rzymem. Po upadku Pompejusza, Kantabrzy walczyli w legionach Juliusza Cezara, i podług największego prawdopodobieństwa, Rzym winien zmianę rządu swego na monarchiczny wpływowi republikańskich Kantabrow, dbających więcej o własny byt, jak o propagandę swych zasad. Rzym został cesarstwem; ale Kantabria zachowała swe urządzenia. August usiłował zmusić ją do poddania się, i rozpoczął wojnę wyćpiającą. Sta i tysiące padały pod mieczem rzymskim, ogromne mnóstwo innych znalazło śmierć męczeńską w cyrkach, gdzie śpiewających hymny lwy i tygrysy szarpali i pożerali. August myślał, że na wieki ukrócił dumę bitnych Kantabrow, i opuścił Hiszpanię, kiedy już nazajutrz ci się zemścili zabiciem wszystkich im przełożonych Rzymian, i stanęli zbrojno. Nowo wysłane rzymskie wojska odniosły kilka zwycięstw bezskutecznych na równinach; ale nie śmiały ścigać cofających się na góry i w pieczary.

Panowie świata widzieli się być zmuszonymi ofiarować pokój Kantabrom; ci go przyjęli, zastrzegłszy sobie zupełną wolność w zarządzaniu sprawami krajowemi. Od téj chwili datują owe sławne przywileje i swobody, które licznemi dodatkami przez wielu królów zbogaczone, stanowią prawo zasadnicze dzisiejszych Basków. Krótki rys prawa tego, znanego pod nazwiskiem „Fueros” jest niezbędnie potrzebnym do pojęcia najnowszych wypadków, których prowincye Baskie były teatrem.

Już za czasów rzymskich zbierali się pod cieniem odwiecznego świętego dębu w Biskai rosnącego, posłowie wszystkich prowincyj, aby większością głosów wybrać władze rządzące, i protektora, którego obowiązkiem było stawać w obronie praw ludu, przed cesarzem rzymskim i dowódcą legionów. Protektor ten dowodził także wojskiem. Kraj dostarczał Rzymowi pewną ilość wojska, lecz niemi dowodzili jedynie rodowici Kantabrowie, a wojsko nawet zachowało własne oznaki, własną taktykę i jurydykcyą.

Ziemia była równo podzielona pomiędzy ojców rodziny. Części były małe, ale na wyżywienie rodziny wystarczające. Nie można ich było ani przedawać, ani zastawiać, ani powiększać, ani rozdrabniać. Prawo zapobiegało wpadaniu w nędzę i wywyższaniu się zbyt

majątkiem: jedno bowiem i drugie było uważane za szkodliwe krajowi. Instytucja ta patryarchalna nie pozwoliła obywatelowi stawać się milionowym dorobkowcem, ani o komunizmie marzącym proletaryuszem. Głowa rodziny wyznaczała spadkobiercę z pomiędzy pozostałych dzieci lub synowców. Jeżeli przez zamezcie dwie posiadłości schodziły się do téjże saméj rodziny, natenczas inny członek rodziny odziedziczał jedną z nich.

Urząd sędziego sprawiała głowa rodziny, a władza jego rozciągała się nawet na członków prawodawczych ogólnego sejmku. Przy publicznych obradach, głosować mogli tylko posiadacze gruntowi, a to dlatego, żeby w obiegu będących pieniędzy nie nadużywano do frymarzenia głosami.

Ktokolwiek przez niedbałość lub złą wolę posiadłość swą zniszczył lub uszkodził, był z niéj wyciutym; i to często się zdarzało.

W śpichlerzu zamykano dziesiątą część zbiorów, aż do nowego żniwa, a to dla zabezpieczenia kraju od głodu.

Bachus nie był bożyszczem Kantabrow, lecz ich postrachem; wina nie było wolno wyciskać ani posiadać, tylko księżom dla chorych.

Góry, lasy i pastwiska pozostały własnością ogółu. Niewolno było zakładać szpitalów, domów ochrony i podobnych instytucyj dobroczynnych; przy ścisłym bowiem wykonywaniu prawa, każdy obywatel był w stanie wystarczyć na swe utrzymanie, i zaspokoić potrzeby chorego członka rodziny.

Oprócz zamian, niecierpiano żadnego handlu wewnątrz kraju.

Cezar nadał Kantabryi prawo łacińskie. Caracalla obdarzył Kantabrow obywatelstwem rzymskim; prawo to z tytułu zachowywano jeszcze długo po wkroczeniu Gotów.

Cóż mamy mniemać o tém urządzeniu patryarchalnym, którém się rządziła i po większej części jeszcze dotychczas rządzi Kantabria? Prawda jest, że podobna prostota obyczajów i surowość, znamionowała początkowe życie wszystkich prawie wielkich rodzin, szczególnie Słowian, Germanów i Persów; lecz gdzie jest na kuli ziemskiej naród, któryby dotychczas był zachował choć najslabszy ślad tych instytucyj? Jedyni Baskowie utrzymali się dotychczas przy wielkiej ich części.

Eurys król Gotów uderzył na Kantabryę, i po długich walkach opanował Pampelunę r. 522.

Recarredo odniósł podobnie zwycięztwo nad nawareńskimi Baskami. Skutkiem jedynym tego wtargnienia Gotów było, że się Kantabry cofnęli do samotności gór, pieczar i lasów, i że na gruzach swego szczęścia, tém zacieję się bronili.

W VII wieku, gdy węzeł łączący Rzym z Kantabryą rozwiązał się sam z siebie, ostatnia przyjęła protekcją Gotów; lecz także tylko pod warunkami, zabezpieczającemi w zupełności wewnętrzną niezależność. Wódz Gotów, Richmer, pierwszym był, który nosił tytuł księcia Kantabryi. Goci musieli, równie jak Rzymianie, uznać prawo zasadnicze, i święcie je dotrzymać. Legiony Rzymian, hordy najeźdźców wandalskich i chmary mahometańskie zalewały i opanowywały jedno za drugimi półwysep; ale odwieczna rodzina pirenejska pozostała nietkniętą, niezachwianą i niezgiętą, jak skała wśród fali morskiej.

Kiedy Goci musieli ustąpić nawałnicy saraceńskiej, góry Kantabryi pozostały jedynym przytułkiem religii chrześcijańskiej.

Bohater Pelago zdobył Asturyą za pomocą Basków, którzy zostali wiernymi sprzymierzeńcami Gotów, nawet po śmierci ostatniego ich króla, Rodryga. Później Kantabrya została podzieloną na cztery prowincje, zwane: Nawarra, Guipuzwa, Alava i Biscaya.

Nawarrę odziedziczyli później spadkobiercy Karola Wielkiego. Po bitwie pod Roncevalles (857), Nawarra została osobnym królestwem, rządzoną przez Don Garcia Ximenes.

Jeden z następców jego połączył Nawarrę cis-pirenejską z transpirenejską (970). Ferdynand Katolicki odzyskał ją dla Hiszpanii w roku 1512.

Inne prowincje Basków, doświadczyły także w swych stosunkach zewnętrznych pewnych zmian. Guipuzwa została przyłączoną do Kastylii pod Alfonsem VIII; Alava przyjęła protektorat królów Kastylii r. 1332; Biscaya zaś uznała króla Hiszpanii za swego pana (sennor). Wszystkie te zmiany zewnętrzne nie wpłynęły w niczym na stosunki wewnętrzne. Protektorat francuzki, kastylijski i hiszpański, dawał tylko godła prowincyi znak herbowy, i tyle miał wpływu na wewnątrz kraju, ile kogutek blaszany wskazujący kierunek wiatru, ma wpływ na dom na którym stoi. Bask pozostał zawsze starym Kantabrem, i Karolowi V, synowi nawet jego okrutnemu Filipowi, powtarzał: „Więdz panie, że starożytne nasze zwyczaje miłsze nam nad życie.”

Inkwizycya święta nawet nie mogła, pomimo wszystkich starań, rozciągnąć swe krwawe panowanie na ziemię Kantabrow. Poznali się na ptaku nim swe pazury wykazał, i przystęp mu odmówili.

Trzy prowincje, choć różnią się cokolwiek pewnymi odcieniami w zwyczajach i charakterze, i choć niezupełnie wolne od pewnych zazdrości, pochodzących od ducha miejscowości, łączą się prze-

ciw reszcie świata zawsze po bratersku i jednogłośnie. W chwili niebezpieczeństwa stanowią jedność. Godło na ich wspólnym sztandarze jest: „*Irru rak bat*” słowa kantabryjskie znaczące: „Trzy stanowią jedno.” To samo znaczą trzy krwawe ręce w tarczy herbowej.

Guipuzwa płaci królowi hiszpańskiemu jako panu swemu (senor) rocznie 18,000 zlp., i tę summę daje zawsze z nadmienieniem, że to jest *un donativo*, (to znaczy dar dobrowolny). Alava i Biscaya płacą do 30,000 zlp. daniny.

Fueros czyli prawa zasadnicze stanowią: że król hiszpański ma prawo nazywać się panem Kantabryi, jeżeli poprzysięże wierność konstytucyi; lecz że nie może odstąpić lub sprzedać żadnej części jój terytoryum. Wszyscy mieszkańcy są wolni od cła, podatku i roboty, nietylko za teraźniejsze, ale i za późniejsze posiadłości. Król sam żadnego prawa nadawać, ani téż ogłaszać nie powinien. Król mianuje 9 namiestników zpośrodku narodu Baskiego. Alcaldzi (t. j. naczelnicy) prowincyj, muszą być w nich urodzeni. Dla zapobieżenia niszczeniu lasów, zakazuje się zakładać hut żelaznych bez pozwolenia junty krajowej i prowincjonalnej. Wszyscy Baskowie równi są pomiędzy sobą, ale wszyscy są szlachcicami dlatego samego, że się Baskami urodzili; w Hiszpanii tedy mają używać praw i przywilejów, służących stanowi szlacheckiemu. Nikt nie może być wyzutyk ze swego domu, z broni i konia, chociażby największe miał długi.

Każdy dom Baska jest świętym przytułkiem dla prześladowanego; żaden urzędnik sądowy nie może w nim szukać przed srogością praw uchodzącego zbrodniarza politycznego lub nawet kryminalnego. Żaden Bask, w jakiegokolwiek bądź się znajduje części Hiszpanii, nie może być sądzonym, jak według praw narodowych i przez sędziego kraju swego.

Baskowie są wolni od konskrypcyi, którą tu nazywają poprostu *Contribucion de sangre* (podatek krwi), a milicya nie potrzebuje i kroku za granicę swój prowincyi występować; czego z boleścią serca swego Doń Carlos zmienić nie mógł. Granicę celną nie stanowi rzeka Bidassoa, lecz Ebro. Baskowie mogą do kraju swego wprowadzać wszystkie towary jakie im się podoba; wyprowadzać zaś do Hiszpanii tylko wyroby własnej ojczyzny.

Fueros rozciągały się nawet na stosunki duchowne. Nic tu nie wiedzą o hierarchii biskupiej. Proboszcz zależy zupełnie od swój parafii, dycecyza czuwa nad nim i napomina go w razie potrzeby, ale zrzucić go nie może bez zezwolenia parafian. Można powiedzieć, że proboszcz jest papieżem w swój parafii, tak jak Alcalde jest szejkiem gminy.



W dziejach i prawach narodu odbija się, tak jak w najczystszym zwierciadle, jego wartość i żywotność, jego duch i gieniusz. Z tego punktu widzenia wychodząc i oceniając charakter Basków, z tego cośmy dotychczas o nich wyczytali, jakież sobie zrobimy wyobrażenie o oświacie ludu, rządzącego się tak prostymi prawami?

Zdaje się, że żadna oświata, ani też żadne pojęcie wyższych przyjemności towarzyskich, nie mogły wzrosć w kraju, który sobie nie zdołał napisać sztuczniejszego kodexu praw. Maszynerya socyalna, której wszystkie koła i sprężyny przejrzeć można jednym rzutem oka, cóż może obiecywać? Udać się może tylko w narodzie pełzającym po ziemi, a niechęcącym lub też niemogącym wzniesć ducha swego w wyższe sfery poezyi! Tak powiedzą teoretycy, stanowiący większość pomiędzy ludźmi, dla których historia i charakterystyka ludów pewien ma powab.

Dla ułatwienia sądu zaproszę czytelnika z sobą, i przeprowadzę go po kraju dziś śmiejącym się i szczęśliwym, którego skreśliłszy długą przeszłość, miotaną najgwałtowniejszemi hurzami.

Powróćmy na brzegi rzeki Bidassoa, odgraniczającej Nawarrę francuzką od siostry swój Kantabryi hiszpańskiej; powróćmy na most łączący dwa jój brzegi. Pamiętne to miejsce w dziejach nowożytnych, ten most tęsknych westchnień! Tu Hiszpanie wszystkich odcieni politycznych zegnali się ze łzami w oczach z ojczyzną, i szli do Francyi żywić się gorzkim chlebem wygnania.

Tam ka zachodowi sterczą góry Guipozewa, główne ognisko téj dziwnej wojny domowej, pełnej romantycznych okrucieństw i prozaicznych intryg obozowych; wojny, w której wodzowie i mnichy pomieniali się z sobą na role, w której żądza rabunku i kontrabandy pobratała się z fanatyzmem religijnym i bohaterstwem wojskowym. Tu sztandar odwiecznej rzeczypospolitej powiewał w szeregach króla absolutnego; a kwitnące miasta znosiły się z sobą tylko za pomocą pochodni pożar roznoszącej i dzwonów alarmowych! Z jednej strony fanatyzm krzyżacki, z drugiej terrorizm rewolucyjny; a jedno i drugie, nie wiedząc o tém, w służbie nowoczesnych, prozaicznych interesów osobistych!

Krwawa maszkarada! Zdawało się, że wszystkie czarty i gieniusze drzemiące w głębi charakteru Hiszpanów, ocknęły się raz jeszcze, aby wyszaleć po raz ostatni, nim się rozwinie dzień jaśniejszy. Ale czy to prawdziwie tylko po raz ostatni? Czy jutrenka ta nie jest luną ludzącą?

Pierwszém miastem ze strony Francyi, bramą Kantabryi, jest Irun (Aranzo, językiem Basków), liczące do 6000 mieszkańców. Położenie miasta tego jest bardzo malownicze: ulice wąskie wiją się po stopie skały, a domy pną się po jej spadzistości. Ten sam budynek, który z frontu na trzy piętra wzniesiony, z tyłu ma tylko jedno piętro; ogrody wiszą nad kominami, a drzewa więdną w dymie. Z dwóch stron góry wysokie ściągają na miasto mgły i obłoki, tak, że nieraz zdaje się być kirem przykryte. Nad całym krajobrazem panuje wysoka skała, której stopy służą za podstawę miastu; z jej szczytów widok przepyszny na milową płaszczyznę.

W r. 1837 błonie to było teatrem klęski legii angielskiej, którą rycerski generał Evans przyprowadził na pomoc niewinnej Izabelli, czy też podobno więcej pięknej Krystynie. Sześć tysięcy czerwonych mundurów pierzchnęło przed natarczywością trzech tysięcy milicyantów baskich, zostawiwszy na polu bitwy trzecią część. Od tego czasu rozwiązała się legia angielska, a generał Evans otrzymał od dowódców londyńskich w nagrodę swęj wyprawy pochlebny tytuł hrabiego Irun (*Irun*, znaczy po angielsku: ja uciekam).

Mieszkańcy miasta, nawet najmłodsi, kobiety nawet, wzięły udział w bitwie; kilka z ostatnich odniosło chlubne rany i chętnie opowiadają podróżnemu historią dnia tak dla nich pamiętnego. Miły ludzek bardzo wesóły i grzeczny, choć tak wojowniczy. Godny widzenia jest kościół tutejszy i piękna marmurowa fontanna, umieszczona w środku jego zakrystyi. Z Irun do Fuentarabii dostać się można za godzinę, płynąc dobrém czółnem naprzeciw pędowi rzeki Bidassoa, na której brzegu leży. Pomiedzy dwoma miastami na brzegach wymienionej rzeki, którą Baskowie Anday nazywają, leży osada Amazonek wodnych, o których później bliżej pomówimy.

Fuentarabia (Four rapidus za Rzymian) dumnie położona na przedgórzu Oleanse, była niegdyś straszną twierdzą. Francuzi na próżno usiłowali zdobyć ją r. 1636. Ręka rewolucyi zwała mury, służące na obronę. Mieszkańcy podupadli żyją z kontrabandy i z połowu ryb. W zamku niegdyś królewskim, mieszka teraz gubernator. Kościół bardzo piękny, wybudowany w XVtym wieku, świadczy o dawnęj świetności miasta. Twierdza San-Telmo, wzniesiona przez Filipa II, ma jeszcze dziś być arcydziełem; czemu trudno uwierzyć, pomnąc, że sztuka fortyfikacyi znacznie się wydoskonaliła i zmieniła, nawet od czasów marszałka Vauban.

Ale bije dziesiąta godzina, dzwonią na sumnę w kościele, i cała ludność miasta bieży ku brzegowi rzeki. Zdaleka na zwiercie-

dle wody, płasają jak złote pstrągi czółna, w żywe kolory malowane, na ich masztach powiewają długie, czerwone bandery. Różowe wiosła padają razem i taktownie w wodę, i znów wznoszą się w powietrze jak skrzydła Ibis. Ale cóżto za rączki i ramiona, które robią tak żwawo wiosłem i kiernią sterem? Białe jak śnieg pirenej-ski, świecący się w promieniach słońca.

Nareszcie się zbliżają; poznamy nasze Amazonki, nasze Najady. Dobijają, zeskakują jak ważki na brzeg piaszczysty, wyciągają nań łodzie i poprawiwszy ubioru, otarłszy pot z czoła haftowaną chustką, idą w orszaku do kościoła. Fliski Bidassoy są prawie wszystkie uderzającej piękności, braterstwo to bowiem uzupełnia się tylko zpośród najpiękniejszych i najuboższych dziewcząt okolicy. Mieszkają razem w osobnej osadzie, i posiadają od kilku, inni mówią od kilkunastu wieków przywilej żeglugi i rybołówstwa na dwie mile od ujścia rzeki Bidassoa do oceanu. Wolna osada wolnych dziewic, żyjąca na wolnym żywiole, zdaleka od owych tyranów płci naszej—od mężczyzn! ach to urzeczywistnienie naszych najpiękniejszych marzeń! Tak zawoła może niejedna emancypantka, na widok naszych Świtezianek. Przykró mi jest niszczyć tak piękne illuzye, ale jako wierny historyk zapewnić muszę, że nasze Amazonki dlatego tylko puszczają się na fale burzliwe morza, żeby tém łatwiej dostać się mogły na fale prozaiczne małżeństwa. Tytuł Amazonki jest tak powabnym i sława braterstwa tak daleko sięga, że się kawalerowie z najodleglejszych stron schodzą, aby sobie zpomiedzy niego żonę wybrać. Dziś niedziela, mnóstwo młodych Basków, dziarskich i pięknie ubranych przybyło na małych, ale krępych konikach na mszę; dziś niejedna Najada złoży wiosło i chwyci za obrączkę ślubną.

I któżby nie pojął anioła takiego chętnie za żonę, choć mu żadnego nie przyniesie posagu, prócz swęj moralności, za którą ręczy dobra sława całego braterstwa. Prawie wszystkie, jak już mówiłem, są nadzwyczajnie piękne: wysokiej, wysmukłej i cudnie wygiętej kibici, włosy ich czarne jak heban, a zęby jak perły; wszystkie noszą czarne opięte axamitne kaftaniki, baskinki dość krótkie, z bardzo szerokim kolorowym ślakiem, zpod których wyglądają drobne i zręczne nóżki, obleczone w czerwone pończochy i płytkie trzewiki. Końce warkoczy są kolorowemi wstążkami do pasa przywiązane, aby się po ziemi nie wlekły; tak są długie.

Dodam jeszcze, że poszedłszy za mąż, odwiedzają miejsce w którym spędziły najpiękniejszą część młodości; wolno im tu pozostać trzy dni, ale nie więcej; mężczyznom zaś niewolno bawić w osadzie ama-

zońskiej dłużej jak godzinę; najstarsza Najada, pod której zwierzchnictwem wszystkie inne zostają, pilnuje porządku bardzo gorliwie.

Opuśćmy Fuentarabią i dążmy do San Sebastyan, leżącego u stóp tego świecącego niebotycznego kręgla, którego już z odległości trzech mil spostrzegamy. Góra ta szczególnego kształtu, nazywa się S. Urgull; miasto leży pomiędzy dwoma ramionami morskimi. Okolica bardzo nieurodzajna, choć ją krew ludzka nieraz przesiąkła. Nie ma prawie miejsca w świecie, któreby częściej nawiedzane było nieszczęściami; i dlatego też przezwane *ciudad de las desdichas* (miasto niedoli). W XII wieku, pod panowaniem króla Navarry, Sancho, przezwanego Mądrym, zostało obrócone w perzynę; trzy wieki później w gruzy pogrążone przez Ferdynanda Arragońskiego. Już się było odbudowało, najpiękniej, kiedy nadszedł rok 1813. Francuzi tu się zamykają, Anglicy i Portugalczycy ich oblegają, i d. 31 sierpnia szturmem biorą miasto. Następuje okropna pamiętna rzecz, w której mnóstwo obywateli, kwiat cały młodzieńczy ginie. Z 600 domów, pozostało tylko 36. Zaraza wyrodzona gniciem trupów niepochowanych, dokonała klęski. Miejsce to jednak ważne jako przystań i punkt obronny cytadellą, zwabiło znowu 12,000 mieszkańców. Miasto się odbudowało w guście zupełnie nowożytnym. Piękny, nadzwyczajnie obszerny rynek, otoczony jest z czterech stron domami na trzy piętra, spoczywającymi na 53 arkadach, służących jako miejsce przechadzki w zimie. Fabryki liczne broni, żelaza, lin; skórne garbarnie są w ciągłej pracy. Założono szkołę dla marynarki kupieckiej, szpital i dom ochronz. Odbudowano most na rzece Orumea, długi na 500, szeroki na 30 stóp.

Zakupiono bibliotekę dla zastąpienia téj, która w r. 1813 przepadła; wielu tu jest miłośników literatury pomiędzy mieszkańcami: cztery drukarnie w ciągłej pracy; wychodzi tu kilka pism peryodycznych w języku baskim i hiszpańskim. Damy, służące nawet, zaczynają smakować w czytaniu książek, co jest bardzo rzadkim widokiem w Kantabryi, oddanej przedewszystkiém zabawom, przechadzkom, muzyce i tańcom.

Blisko San Sebastyan, leży piękna dolina w ustroniu bardzo romantyczném; dolina ta nazywa się Loyola i jest miejscem urodzenia sławnego i często wzywanego świętego Ignacego. Wiadomo, że święty nasz w swéj młodości był żołnierzem bardzo walecznym i kawalerem nadzwyczajnie rozpustnym. Ranny bardzo niebezpiecznie w bitwie jednéj przeciw Francuzom, wszedł w siebie, uczuł skruchę, został księdzem, i choć bardzo małe miał nauki, wpadł na myśl, której

urzeczywistnienie wywarło ogromne skutki na świat cały. On jest założycielem tajemniczego, ciągle czynnego, a najczęściej zaczajonego zakonu Jezuitów. Nazwisko Lojola, przyjął od miejsca urodzenia swego.

Droga prowadząca z Sebastyan do Tolozy jest bardzo piękną i wygodną. Jedzie się pod cieniem ogromnych wiśni i innych drzew owocowych rozłożystych. Tą drogą jechał Don Carlos w r. 1834 do Tolozy, aby toczyć walkę ze swą bratanką Izabellą o koronę, z którą wtenczas nie wiedziała co robić, ale którą dziś umie wesoło używać. W Tolozie rezydował blisko lat pięć. Miasto to położone nad dwiema rzekami w ciasnej dolinie, między dwiema górami, liczy 6,000 mieszkańców. Ulice dobrze brukowane i oświetlone, domy piękne i mocno zbudowane, hotele przepyszne. tanie i czyste. W mieście tém handlowém i fabryczném, wyrabiają bardzo piękne płody, szczególnie sukna, kobierce i broń. Kupcy znani są ze swéj dumy szlacheckiej i prawdziwie bajecznej ucziwości. Słowo tutejszego kupca (a jest ich wielu i bogatych) więcej warte, niż stęplowane kontrakta innych synów Merkurego. Mieszkańcy wyższej klasy gościnni, ale poważni, ceremonialni i nadzwyczajnie religijni; lud zaś wesoły, ciągle gra w piłkę na wszystkich miejscach publicznych, co niebardzo jest wygodną rzeczą dla tych, którzyby chcieli po nich się przechadzać. Toloza jako starożytne miasto obfituje w wiele pomników, archiwów, księgozbiorów bardzo ważnych. Kościół farny jest bardzo wspaniały; dwie poboczne wieże zdobią facyaty, środkowa zaś zdumiewa swym ogromem. Klasztor Śgo Franciszka cały jest wyłożony marmurem z pobliskich gór Aldaba.

Z Tolozy puścimy się do Bilbao. Niedaleko od drogi, ukryte pomiędzy górami, w powabnych dolinach, leżą dwa miasteczka: Lecoreta i Villa franca; w ostatniej wojnie były one świadkami krwawych, okropnych scen. Dalej obszerna dolina Deva, sławna z swéj żyzności. Najpiękniejsze zboże tu wzrasta; bydło rogate przedziwnej rasy, tak piękne, jak w Tyrolu. O półtoréj mili ztąd Placencya, miłe miasto, posiadające fabrykę broni palnej, bardzo cenioną w Hiszpanii. Za 120 złp. można tu nabyć doskonałą dubeltówkę, z osadą wykładaną srebrem.

Mondragon, sławne w dziejach rycerskich, wysokim murem otoczone miasto, liczy 3,000 mieszkańców. Wiele z domów tutejszych, zbudowanych jest całkiem z jaspisu. W bliskości znajdują się dwa źródła mineralne gorące, temperatury 35° R. Woda należy do alkaliczno-słonnych i zbliża się bardzo charakterem swym chemicznym i skutecznością do wód karlsbadzkich; zawiera jednakże mniej sub-

stancij stałych niż ta ostatnia, i stosunkowo więcej soli kuchennój, niż glauberskiej. Osoby cierpiące na artrytyzm i reumatyzm, na choroby pochodzące z zatrzymania się żółci, znajdują tutaj wielką ulgę. Hotele bardzo wygodne w mieście, urządzone są umyślnie dla gości, biorących kąpiele. Okolice około Mondragon niewyczerpanym jest skarbem dla botanika i mineraloga; piękność i taniość miejsca, nadzwyczajnie dobroduszny charakter mieszkańców, lubiących namiętnie grać w piłkę, nadobność kobiet, zatrzymają tu każdego podróżnego dni kilka.

W mieście tém urodził się sławny historyk Esteban de Ganiba. On pierwszy napisał dzieje swego narodu w języku hiszpańskim, i jego dziełu winien jestem znajomość historyi interesującego narodu Basków, a Don Emmanuelowi de Cuennas szczegóły nowoczesne.

Jedno z źródeł mineralnych, wytryska o pół mili od miasta, u stóp skały Udalach, wysokości na 850 stóp, całej z jaspisu i kształtu piramidalnego. Pod samą opoką, przestraszającą swym ogromem, znajduje się niemniej dziwna jaskinia, głęboka na przeszło 650 stóp, a cała wyłożona najpiękniejszymi krystalizacyami i festonami stalaktytów zdumiewającemi pięknością. Jaskinia ta dostarcza całej Hiszpanii bolus armeński i kryształ górny.

Na boku zostawiliśmy miasto Bergara, zasługujące na wspomnienie. Leży w kwitnącej dolinie na brzegach rzeki Deva, i coś ma w sobie smętnego, do marzeń zachęcającego. Wysokie góry otaczające to miejsce, drzewa rozłożyste ocieniające je, woniejące kwiaty rozsypane hojnie po murawach, wreszcie malowniczy strój mieszkańców, zachwycają oko i duszę. Znajdują się tutaj szkoły łacińskie, fakultet filozoficzny i prawny, i seminaryum; niemasz w świecie miejsca stosowniejszego na siedlisko muz, zachęcającego więcej do pracy umysłowej; tak jest cichém, piękném i spokojném. Pomimo tego, niewielką odkryłem w ciele naukowém ochotę do uczenia się. Gimnazyści grywali od rana do wieczora w piłkę, akademicy w piłkę i na gitarze, a professorowie w piłkę, na gitarze i w karty. Bask chce się bawić przedewszystkiém; nie troszczy się nigdy o jutro, skromny i trzeźwy wie, że z głodu nie umrze: o więcej nie dba.

Nie opuścimy miasta Bergara bez wspomnienia ważnego zdarzenia, którem się roku 1839 wstawiło. Maroto, wódz naczelny wojska Don Karlosa, zgładziwszy kulą i prochem najwierniejszych jego zwolenników, poddał się z wojskiem Donnie Izabelli pod Bergarą. Tym czynem zakończył krwawy dramat wyludniający Hiszpanią, i nim zakończył swą karyerę!

Spieszmy dalej. Na drodze spotykamy ogromny głaz, przedstawiający zwierzę jakieś przedpotopowe. Napis w języku łacińskim zupełnie prawie zatarty, świadczy, że dziwny ten pomnik sięga czasów rzymskich. Droga prowadzi w górę pomiędzy gestemi lasami; staje się coraz uciążliwszą, nareszcie stajemy na szczycie i spostrzegamy dolinę, a w niej miasto Bilbao. Na tém samém miejscu stał generał Espartero, książę Zwycięstwa, podczas sławnej bitwy, która walecznemu Zumalacarregui kosztowała życie.

Miasto Bilbao lubo tylko 18,000 mieszkańców liczy, trzecim jest portem kupieckim w całej Hiszpanii; pięknie położone, wygodnie wybudowane, pełne ruchu, życia i wesołości, miejsce to podoba się wszystkim podróżnym. Niezliczone mnóstwo żeglarzy z wszystkich narodów i w najrozmaitszych strojach krąży około przystani dość odległej od miasta, leżącej w pobliżności miasteczka Portugalette. Biskajczycy, których Bilbao jest miastem stołeczném, są dobrze zbudowani i czynni, śmiały żeglarze, i rzetelni kupcy. Nie słychać tu nigdy o owych bankructwach, które w innych krajach robią z łotrów milionerów, a z łatwowiernych, żebraków. Córki Biskai są cudnie piękne, wysokie, wysmukłe, pełne życia i nadobności w ruchach. Damy zaczynają niestety już przyjmować strój europejski, i nosić na głowie owe trąbki i puszkę z papieru, jedwabiu i axamitu, które znamy pod nazwiskiem kapeluszy. Już zaczynają tu i owdzie znikać wysokie grzebienie, mantyle koronkowe, baskinki czarne atłasowe; ale pozostają zawsze jeszcze narodowe wachlarze, tak wymowne i wygodne; pozostają oczy czarne pełne ognia i czułości, dumy i zachęty.

Lud biskajski tak wysoko ceni swe przywileje, że króla nigdy nie nazywa inaczéj jak panem. Gospodarz domu w którym mieszkałem opowiadał mi, że dziad jego, handlarz wełny, miał raz powód żalenia się na komissarza królewskiego. Opasuje więc szpadę, którą jako Bask ma prawo nosić tak dobrze, jak każdy szlachcic hiszpański, i jedzie do Madrytu; wchodzi do pałacu królewskiego i na schodach spotyka Karola III, bardzo dobrego monarchę, który siedł bez gwardyi, bo go strzegła miłość swych poddanych. Biskajczyk znający króla tylko z portretów, zatrzymał się przed nim i spytał: „Sois Carlo terceiro, mi amo y mi Sennor?” (Jesteś Karolem trzecim, protektorem mym i panem?). „Soy” (jestem), odpowiedział król. Wtenczas Biskajczyk wręczył mu prośbę i dodał: „Leed i hazed justicia” (czytaj i wymierz sprawiedliwość). Król wziął prośbę i odpowiedział:

„Loharé” (wymierzę). Istotnie król dotrzymał wkrótce swego słowa.

Szlachetność i pobożność mego gospodarza tak była znaną w mieście, jak jego miłość prawdy.

Żyźność okolicy i czynność ludu postawiły miasto Bilbao w kwitnącym stanie. Najważniejsze przedmioty handlu wywozowego są: wełna, żelazo i kasztany, które tutaj w trudnej do uwierzenia obfitości rosną, i przesyłane są do Londynu, Bristolu, Amsterdamu i Hamburga. Handel przywozowy żywiony jest produktami kolonialnymi, tytuniem i sztokfiszem, którego tutaj nie mniej jak kilka tysięcy centnarów co tydzień otrzymują.

Czystość w domach wyrównywa holenderskiej; ulice nawet myte są codziennie. Nikomu niewolno jeździć po nich powozem. Zrobiono wyjątek dla jednego Ferdynanda VII, po powrocie do Hiszpanii r. 1815, ale żałowano tego później. Spacer publiczne, szczególnie Alameda tuż pod arsenalem, bardzo odwiedzane. Nic piękniejszego jak przejażdżka gondolą do morza, odległego o milę; kobiety mają tu przywilej gondolierek, również jak na rzece Bidassoa, ale są daleko mniej poetyczne jak tamte: piękne wprawdzie, ale zanadto silne i mężkie; pracują z usilnością zastanawiającą, wyladują okręta; wchodzą w wodę po pas, i ze zbytnej bojaźni żeby sobie sukni nie zmaczały, podnoszą ją o kilka stopni wyżej, niż wyobrażenia dziś przyjęte o przyzwoitości pozwalają. Tegoby Switezianki z Bidassoa nie zrobiły za nic w świecie.

Kraj, prowincya i miasto utrzymują tutaj kilka szkół; istnieje nawet fakultet chirurgiczny, w którym usposabiają młodzież kursami, w hiszpańskim języku wykładanemi i na 4 lata rozłożonemi, na wcale praktycznych lekarzy dla wojska i marynarki. Sześćdziesięciu uczniów utrzymuje rząd. Pomiedzy professorami poznałem dwóch młodzieńców, którzy podczas wojny Don Carlosa z Donną Izabellą, nie chcąc służyć ani w jednym ani w drugim obozie, udali się do Francyi i tam uczęszczali na wydział lekarski, za co ich powieszono *in effigie* w własnej ojczyźnie. Po końcu kampanii wrócili do kraju już doktorami; zdjęte z nich kłatwę, i dano im posadę professorów. Dziś są ozdobami swego ojczystego miasta.

W innej szkole uczą matematyki, marynarki, architektury, rysunków; angielskiego i francuzkiego języka. Prócz tego zakładają szkołę klassyczną i fakultet filozoficzny. Więcej tu ochoty do nauk pomiedzy młodzieżą, jak w Bergara.



Trzy mile od Bilbao, na brzegu morakim, leży na długim języku ziemi, wchodzącym daleko w morze, miasteczko Bermeo, którego mieszkańcy żyją z rybołówstwa. Jeszcze tu istnieje domek, w którym się urodził narodowy poeta Ercilla, sławny autor epopei Araucana, którą spisał w wyprawie peruwiańskiej własną krwią na małych świstkach papieru. Miasteczko to pierwsze oddaje głosy na juncie prowincjonalnej, dlatego, iż kiedyś było stolicą Biskai. Z dumą tutejsi obywatele pokazują kościół, w którym królowie potwierdzali przysięgę na wierność prawa „*fueros*”; pierwszą bowiem składali pod odwiecznym dębem przy Guernica. Monarchowie ani razu nie złamali tej przysięgi. Wymienione miejsce odległe jest stąd o dwie blisko mile. Dąb znany od 2000 lat, zdaje się, że przetrwać jeszcze może drugie tyle, tak jest zdrowym i silnym. Wyznaczono mu osobnego ogródnika, który starannie podlewa ziemię w razie suszy i umierzwia grunt. Dziś jak za czasów Cezara, wspominającego o sędziwym dębie, zbierają się pod cieniem jego deputowani dla wybierania naczelników rządu i dla słuchania sprawozdań.

Powróćmy na drogę prowadzącą do Wittoryi; jej opisaniem zakończymy wycieczkę naszą po kraju Basków. Idziemy błoniami wzdłuż rzeczki Montrica, słynnej z swych raków i węgorzy. Pierwszy wieśniak którego spotkamy, wyłowi ich, każdemu podróżnemu tyle, ile sam zechce, i nie przyjmie za to żadnej zapłaty; tak jest grzecznym i gościnnym ten ludek. Urodzeni i wychowani w patryarchalnym stanie, dusza ich nie skalana się brudami dzisiejszej cywilizacji.

Wchodzimy nareszcie na doskonale utrzymany trakt, prowadzący do prowincyi Alava. Myta i cła nie znają tutaj. Przebiegamy najpiękniejszą okolicę urozmaiconą górami, skałami, lasem i polem. Zostawiamy na boku kilka miasteczek, kilkanaście wsi, nareszcie dostajemy się w głębokie wąwozy, zasłaniające cały widok. Śpiew smętny i harmonijny, rozłożony na głosy, dochodzi nas tutaj; nuta tego śpiewu prostą jest, tak, jak zapewne były pierwotne muzyczne próby naszych naddziadów, i ciągle powtarzana w różno-głośnym a jedno-zgodnym chórze; a jednak pomimo tej prostoty, głębokie sprawia wrażenie. Któż mogą być ci śpiewacy, przybrani w dziwny sposób w burnusy z kapturami? Ciężko obciążeni, skaczą jak dzikie kozy ze skały na skałę, zślizgują się ponad przepaściami, chwytając się gałęzi i nareszcie schodzą w wąwóz, oglądając się z przezornością na wszystkie strony. Jest ich dziewięciu mężczyzn, kobiet i wyrostków. Sąto kontrabandziści obciążeni tiulem angielskim, biżuterją paryżką, je-

dwabiami lugduńskimi, koronkami bruxelskimi, zegarkami szwajcarskimi; wszystko to niosą do Hiszpanii, ale tu już obawiają się szpiegów, których jęj celnicy wysyłają na czaty.

Dzwonią na Anioł Pański na wieżach Wittoryi; wstępujemy w jęj ciasne, kręte, wysokiemi staroświeckimi domami ściśnione ulice. Miasto otoczone jest naokoło podwójnym wysokim murem i głębokimi fosami. Mieszkańców ma 12,000; rzeka Zadorra płynie obok. Ruchu niemało; fabryki aksamitu, kapeluszy, świec woskowych, sukna, płótna, broni i miedzi, zatrudniają wiele ludzi. Okolice obfitują w zboże i wyborną wełnę.

Jestto jedno z najstarszytniejszych miast w Kantabryi, założone w VI wieku przez Leovigilda, króla Wissigotów. Francuzi opanowali je w r. 1808, ale opuścili w r. 1813, odniósłszy dotkliwą porażkę.

Miasto dzieli się na stare, zamieszkałe przez wyrobników i inwalidów, i na nowe, zamieszkałe przez kapitalistów, kupców i urzędników. Niedawno założono tutaj szkołę wojskową dla młodzieży, poświęcającej się artyleryi, jako téż inżynieryi wojskowej i cywilnej. Mundurów nowoczesnych nie przyjęto dla milicyi narodowej; nosi ona zawsze jeszcze kamizelki czerwone, wyszywane srebrem lub włóczką po huzarsku, spancerki brunatne z wylotami, ogromnie szerokie czarne manszestrowe spodnie, przepaski czerwone i te sławne płaskie, okrągłe czapki nawareńskie, które tu zowią *boyna*. Kościołów pięknych jest kilka w Wittoryi. Kościół Panny Maryi szczególnie jest godny widzenia; ozdoby portалу zewnętrznego i wieży są przedziwnej roboty. Wewnątrz znajduje się jeszcze kilka bardzo pięknych malcwideł pędzla Murilla, Velasquesa i Ribeyry, które nie wiem jakim cudem uniknęły zaszczytu znajdowania się w Louwrze, lub w galeryi obrazów sławnego znawcy sztuk pięknych i metalów kosztownych marszałka Soult.

W pewnych godzinach w święta i niedziele, można tu przed obrazem Matki Boskiej widzieć rzewnie modlące się wszystkie wdowy całego miasta; w czarnych sukniach, klęczą na czarnych, białem lamowanych kobiercach. Jakież wyraz smutku, tęsknoty i pobożności w czarnych oczach i na bladych licach! Dobry praktyczny zwyczaj, ułatwia on Pannie Maryi sposób pocieszenia stroskanych; amatorowie filantropii i młodych wdów wiedzą, kiedy i gdzie mają szukać sposobności do dobrych uczynków. Widać jednakże, że nie musiano nadziwiać bardzo zwyczajowi tak naiwnego, kiedy trwa aż do dzisiejszego dnia; i to znów wielki cud pomnąc, że Francuzi, utrzymujący że posiadają więcej jak jeden sposób zawojowania świata, panowali w Wit-

toryi przez pięć lat. Warto także zwiedzić katedrę i kościół ś. Michała.

Niémasz w świecie miejsca, gdzieby klasa służebna była weselszą i zabaw chciwszą jak w Wittoryi. O siódmej godzinie wieczorem, nie utrzyma nikt żadnego służącego i żadnej służącej w domu; wszystko leci do fontan, nibyto czerpać wodę, ale prawdziwie na śmiechy, pogadanki, śpiewy, romanse i płasy. Nic nie wyrówna serdeczności z jaką się śmieją owe czarno-okie dziewczęta z długimi jasnymi warkoczami, chyba zapałowi z jakim kochają. Uciechy trwają aż do zachodu słońca; nareszcie każda czerpie wodę w swój dzbanek kształtu hetruskiego, i stawia go na głowę, podaje rękę swemu kawalerowi, i staje w koło. Teraz się zaczyna taniec najszaleńszy jakim widział: mężczyzna tańczy rodzaj kozaka, a dulcynea obraca się koło niego w takt, zrazu wolno, później szybko; znów formuje koło, cały łańcuch obraca się, zwęża, rozszerza, rozpada bijąc ręką w rękę i nogą o nogę, i to bez przelania jednej kropli wody. Taniec ten trudny i niebezpieczny, nazywa się *sorsico*; należy on koniecznie do kompletniej edukacji niższej klasy Wittoryanek, i młodszą nieumiejąca go tańczyć takby się wstydziła, jak u nas dobrze wychowana panna, nierozumiejąca Alexandra Dumas lub Pawła Kocka w oryginalnym i naturalnym języku.

Ale nagle rozpada się koło jak paralizem rażone: baletniczki z konewkami na głowie idą w jedną, a kawalerowie jak zmyci w inną stronę. Zgiełk i wrzawa, śmiech i tańce ustały; wszystko cicho. Któżto ten cud sprowadził? Oto ten jegomość z pogodną, poważną twarzą, dwoma swemi słowami: „Dzieci, już dosyć!”. Ten jegomość jest *el Zelador publico*, cenzor publiczny, cenzor moralności, cenzor *morum*, którego jest obowiązkiem przestrzegać porządku i przyzwoitości na ulicach i w miejscach publicznych. Urząd ten nie jest płatnym, piastować go winni obywatele, wybierani z pomiędzy najszanowniejszych z kolei. W razie oporu, cenzor ma prawo zawezwać władzy policyjnej, nawet wojskowej; ale za pamięci najstarszych ludzi nie zdarzyło się, żeby tego potrzebował. W narodzie w którym pijaństwo jest uważane za nałóg hańbiący duszę ludzką, niepotrzeba więzień i batów, groźb i klątw do utrzymania przystojności.

Przelecieliśmy lotem ptaka ponad Kantabryą, nie zatrzymując się dla wytchnienia jak w miejscach najwydatniejszych; jednak z tego cośmy widzieli, możemy sądzić o reszcie tego pięknego, pocziwego kraju. Pozostaje nam jeszcze dodać kilka słów o języku Basków, o tej do żadnego europejskiego narzecza niepodobnej mowie, którą

podług zdania Humboldta, w pierwotnych czasach w całej Hiszpanii mówiono.

Baskowie utrzymują poprostu, że ich językiem mówiono jeszcze w raju, i że wszystkie inne języki z niego pochodzą; ale Baskowie nie znają nic o filozofii języka, i co do tego na bardzo małą zasługują uwagę. Niektórzy z nich jednakże, którym się zdaje, że posiadają pewny stopień nauki, zadowalniają się mniemaniem, że ich język jest niczém mniej lub więcej, jak narzeczem fenickiego, i że Baskowie są potomkami osady fenickiej, osiadłej na stopach gór Pirenejskich w bardzo odległych czasach. O téj teoryi, czyli raczej o tém domniemywaniu, niestwierdzoném żadnym dowodem, powiemy tylko, że jeżeli mowa Fenicyan jest tylko narzeczem, pochodzącém z hebrajskiego (jak tego prawie dowiedli *prawdziwie uczeni* filologowie), byłoby rzeczą tak bezrozumną twierdzić, że język Kantabrów pochodzi od fenicyjskiego, jak jest rzeczą bezrozumną twierdzić, że język kamczatski pochodzi z greckiego.

Jest jeszcze inne zdanie o języku Basków, które zasługuje na większą uwagę dlatego, że najuczciwsi literaci Europy je podzielają. Chcę tutaj mówić o mniemaném celtyckim źródle tego języka, i o jego bliższej styczności z mową irlandzką; owém najwięcej uprawioném narzeczem celtyckim. Osoby, które utrzymują, że są doskonale obznajmione z tym przedmiotem, śmiały twierdzić, że tak mała istnieje różnica pomiędzy obu językami, że Bask spotkawszy Irlandczyka, porozumie się z nim za jedyną pomocą rodzinnéj mowy, to jest: że niemasz tu większej różnicy, jak pomiędzy francuzkim i hiszpańskim językiem.

Zdaniem jednakże pana Borrow, filologa najpraktyczniejszego, jakiego mi się zdarzyło poznać, niemasz w Europie dwóch języków mniej do siebie podobnych, jak baski z irlandzkim. Irlandzki język, jak największa część europejskich, jest narzeczem sanskryckiego, bardzo odległym, jak można wnosić z łatwością z odległości Irlandyi od wspólnej naszym przodkom ojczyzny wschodniej. Pomimo tego, mowa Irlandczyków jest tylko narzeczem tego czcigodnego i oryginalnego języka, nie tyle do niego podobnym, jak niemiecki, duński, angielski; słowem, wszystkie gotyckie narzecza: i daleko mniej niż słowiańskie, gdyż podobieństwo języków do tego, który jest ich wszystkich ojcem, rośnie w miarę jak się zbliżamy ku Wschodowi; ale jednak dyalektem zgadzającym się z sanskryckim co do budowy, co do podobieństwa słów, jakkolwiek już bardzo zatartego. Ale czemuż jest język baski i do jakiej rodziny języków należy?

Wszystkie narzecza, któremi teraz mówią w Europie, wychodzą z dwóch wielkich azyatyckich źródeł, istniejących jeszcze w książkach i będących mową dwóch głównych religij Wschodu. Mówię tu o języku tybetańskim i sanskryckim: o świętych językach zwolenników Buddy i Brahmy. Mowy te, lubo posiadają wiele tych samych wyrazów, (co łatwem jest do pojęcia pomnąc na bliskość miejsca z kąd wychodzą), różnią się jednakże bardzo od siebie z przyczyny budowy zupełnie innój języka jednego i drugiego. Nie tutaj jest miejsce rozwozić się, na czem zależy ta różnica; ograniczymy się na powiedzeniu: że narzecza celtyckie, gotyckie i słowiańskie, należą do rodziny sanskryckiej, tak jak na Wschodzie perskie, i w mniejszym stopniu arabskie i hebrajskie i t. d.; że zaś do tybetańskiej czyli tatarskiej rodziny należą w Azji narzecza manczuskie, mongolskie, kałmuckie i tureckie morza Kaspijskiego; a w Europie węgierskie i baskie *częściowo*.

Ten ostatni język jest prawdziwie dziwną zagadką i anomalią, tak, że łatwiej jest powiedzieć czém *nie jest*, jak, czém *jest*. Zawiera tyle słów sanskryckich, że jego powierzchnia zdaje się być niemi obsypaną; a jednak nie można go nazwać sanskryckim narzeczem, gdyż w umieszczeniu i porządku części mowy, kształt tatarski jest zachowanym. Znaczna ilość słów tatarskich znajduje się także w języku Basków, choć nietylko, ile sanskryckich.

Zastanowiwszy się bliżej nad duchem, kształtem, powinowactwem języków, pan Borrow, któremu winniśmy bliższą znajomość tych szczegółów filologicznych, umieszcza baski język raczej pomiędzy tatarskie, niż sanskryckie dyalekta. Ktokolwiek ma sposobność porównać sposób intonacji czyli głosowania Basków i Tatarów, odgadnie z samego ucha, nie rozumiejąc nawet języków, powinowactwo pomiędzy niemi. W obu językach zdarzają się peryody niezmiernie długie, podczas których głos stopniowo wznosi się do szczytu, a potem stopniowo spada.

Mówiłem o zadziwiającej ilości słów sanskryckich, zawartych w języku Basków. Szczególną jest rzeczą, że prawie we wszystkich wyrazach ze sanskryckiego źródła pochodzących, Bask opuścił spółgłoskę początkową, tak, żeby wyraz zaczynał się samogłoską. Niemasz też języka, w którymaby więcej było samogłosek jak w baskim, i to go robi miękkim i melodyjnym do wyższego stopnia jeszcze, niż nim jest język włoski.

Ale choć jest łatwym do wymawiania, trudnym jest do nauczenia się, z przyczyny szczególności kształtu swego i składni. Rzadko cudzoziemiec pojmie go tyle, żeby się nim mógł rozmówić, a Hiszpanie uważają trudności za tak zastraszające, że utrzymują, jakoby sam

szatan żyjąc siedm lat w Biskai, nie mógł się go nauczyć, i że nie rozumiejąc mowy ani téż nie będąc w stanie dać się zrozumieć, opuścił Biskaję.

Zresztą mało jest powodów do nauczenia się tego języka: język hiszpański znanym jest w całej hiszpańskiej Kantabryi, a francuzki w Nawarze, i one wystarczą na porozumienie się. A potem literatura Basków nie jest w stanie wynagrodzić pracę uczącego się; jest ona bardzo ubogą, i składa się prawie jedynie z ksiąg religijnych.

Nie brakuje Baskom hallad, dumek i sielanek, ale charakteru zaledwie zasługującego na nazwisko poezyi.

Jako przykład pięknego brzmienia języka, a zarazem ubóstwa myśli poetycznych, podaję tutaj zwrotkę jedną śpiewu żeglarzy, w której jeszcze najwięcej znalazłem poezyi:

„Iéiasoa urak aundi  
Estu ondorik ageri;  
Pasako nisakeni andik,  
Maitea ikustea gatik.”

co znaczy: „Wody oceanu nie mają granic, a dno nie może być dojrzone; lecz ja je przebędę jednakże, aby zobaczyć mą kochankę.”

Baskowie są raczej śpiewakami, niż poetami. Pomimo łatwości z jaką ich mowa szykuje się w rymy, nie wydali nigdy poety, mającego pewne prawo do sławy; lecz ich głos jest szczególnie miłym i giętkim, i znani są powszechnie jako doskonali kompozytorowie. Nazwisko narodu ma nawet pochodzić od dwóch słów baskich: *khantor* i *ber*, które znaczą: śpiewak słodki. Posiadają bardzo wiele wyższej muzyki z odwiecznych czasów, z której część została wydana w roku 1826 w Donostian (San Sebastyan). Nic wspanialszego i szczytniejszego, jak owe dzikie i przejmujące marsze, przy których odgłosie Kantabrowie schodzili z swych gór, dla spotkania się na krwawém polu z Rzymianami lub Maurami. Słuchając te marsze zdaje się, że jesteśmy blisko wściekłego boju, widzimy szarżę kawaleryi, słyszymy szcęk broni i jęk umierających.

Baskowie tłumaczą swe uczucia raczej muzyką, niż poezyą. Niewoli nie znoszą. Niechętnie nawet w obowiązki służebne wchodzą, i bardzo rzadko znajdzie Baska służącego Hiszpanowi. Ale to się tyczy jedynie mężczyzn. Kobiety nie rządzą się tym samym punktem honoru, i chętnie wchodzą w obowiązki. Kobiety nawet pomiędzy Baskami nie są szanowane należycie: azyatyckim zwyczajem mężczyźni uważają je za zdolne jedynie do pracy i do rozkoszy; pomimo, że w ogólności więcej od mężczyzn posiadają dowcipu, żywości i czyn-

ności. Sławne są na całym półwyspie jako kucharki, i w bardzo wielu pierwszych domach Madrytu, kucharka biskajska rządzi ważnym departamentem spraw kuchennych.

Naród Basków, któryśmy wystawili kochającym kraj swój od wieków, bił się jednakże w szeregach króla absolutnego, przeciwko konstytucyjnej Hiszpanii! Ale ten król zabezpieczył im używanie dotychczas posiadanych przywilejów, które konstytucya, nie mogąc ich nadać Hiszpanii, Baskom odebrać chciała. Możnaż się dziwić, że lud przyzwyczajony do patryarchalnych instytucyj, nie chciał nic wiedzieć o konstytucyi uszczuplającej ich przywileje? Wszystko jest względne na tym świecie, i co dla całego półwyspu było postępem, dla Basków było nieznośnym jarzmem.

Nieraz byłem przytomnym, kiedy *politykę szczytnie* pojmujący filozofowie, sztychli z ciasnego ducha miejscowości i upartej żądzy przywilejów Kantabrow. Zagadnięci górale odpowiadali najczęściej w tych słowach: „Nasze prawo zasadnicze może nie jest najlepsze, ale jest ono jedyne, które na naszym gruncie wzrosło, które nie zawiera w sobie nic pożyczanego. Żyjemy przeszło 20 wieków pod jego cieniem szczęśliwi i nie pragnąc nic lepszego; wasze zaś papierowe wolności zmieniają swój kształt za każdym powiewem wiatru z Anglii i Francji, i dziurawią się ostrogami każdego żołnierza dobiegnia (soldat parvenu). Cóż mamy sądzić o konstytucyi, w imieniu której profanowano nasze ołtarze, w imieniu której prawie wszyscy jej fundatorowie zakończyli życie na rusztowaniu lub jeszcze je znoszą na wygnaniu”.

Czémże tedy nazwać popieranie sprawy Don Carlosa przez naród wolny i wolnomysłny? Wiedział on dobrze, że Infant zostawszy królem, odda Hiszpanią panowaniu mnichów, dworaków i inkwizycji; ale jemu zapewnił święcie używanie praw narodowych. Czy stronicy inni Don Carlosa i cudzoziemscy kawalerowie, którzy go wspierali zapalem rycerskim, dbali więcej o utrzymanie republikańskich instytucyj Basków, jak o odbudowanie absolutyzmu w Madrycie?—to jest inne pytanie. Niech będzie jak chce, można zawsze nazwać wojnę Basków usiłowaniem dążącym do korzystania dla własnej swobody z niewolnictwa innych; i to jest, co ich oskarża o samolubstwo. Niestety! żądza, miłość i posiadanie swobód, nie wyzuwa jeszcze narodów z wrodzonego im samolubstwa! Że propaganda nie jest rekojmią szlachetności, o tém nas przekonały najnowsze wypadki, wprowadzone przez większy daleko naród.

Oddajmy jednakże sprawiedliwość Baskom, że obowiązkom swym jako sprzymierzeńcy, zawsze święcie odpowiadali. Przeciw cudzoziemcom, bronił Bask Hiszpanią jak własną zagrodę rodzinną. Wojny przeciw Francuzom są tego jasnym dowodem. Jeszcze pozostaje w pamięci wszystkich, co wtenczas śmieli górale dokazywali, z jakim ogniem walczyli, jak zimno umierali. Lecz kiedy niebezpieczeństwo minie, syn Kantabryi wraca do cienia swych dolin i najspokojniejszym jest stworzeniem. Gościnnie i serdecznie, wesole i przyjacielski u siebie, tak jest obojętnym na świat zewnętrzny, jak gdyby chińskim był przegrodzony od niego murem.

Od upadku pretensyi Don Carlosa, Baskowie nie zmienili położenia swego względem Hiszpanii; obstają przy swém postanowieniu nie poświęcenia ani najmniejszego tytułu swych „fueros”, które przez rząd centralny, zaczynający się czuć na siłach, zagrożone są dziś więcej niż kiedykolwiek. Baskowie wszyscy, mężowie, starcy, kobiety, dzieci i księża, gotowi są łączyć się pod sztandar z trzema rękoma, i walczyć za swe prawa.

Oby zakątek w którym panuje prostota i szczęście, nie stał się wkrótce teatrem scen krwawych!





# PODRÓŻ DO ŹRÓDEŁ WISŁY,

ODBYTA W R. 1849.

PRZEZ

*Ludwika Lejznera.*

Poznanie początku wielkich rzek niepospolity ma powab, a ten jest jeszcze wyższy, jeżeli rzeki te łączą się z życiem ludów, które cywilizacją, szlachetnymi uczuciami i oświatą, innym przewodniczyły albo przewodniczą.

Wszystkie wielkie i świetne dzieła narodów, mają najściślejszy związek z ich rzekami; i rozmyślając o jakim kraju, mimowolnie przychodzi nam na myśl ruchoma woda, która mu daje środki do wzniesienia swych bogactw i potęgi. Dlatego też kto myśl puszcza w upłynione wieki, i rozważa o Egipcie, niepodobna aby mu Nil nie stanął w myśli; kto tylko zastanawia się nad Indyanami i ich cudnym krajem, musi myśleć i o Gangesie—świętej rzece starożytnych Indów; a kto дума o Polsce, czyż może zapomnieć o Wiśle, prującej jej bogate niwy, zdobne złotą pszenicą, nad którą wznoszą się celne jej grody. Źródła Wisły, tej matki rzek polskich, tak są u nas niedokładnie poznane, że nawet poważniejsi, nowi pisarze, mylnie dają o nich wiadomości; dlatego sądziłem, że rozpoznanie ich może nie będzie bez interesu: a że samodzielne badania zawsze mają swoją właściwą wartość, przedsięwziąłem tę rzecz wyjaśnić, aby usunąć nadal wszelkie wątpliwości.

Nie zamierzam kręślić wyprawy trudnej do wykonania; przeciwnie, góry, gdzie się Wisła zaczyna, należą do najwyższej ucywilizo-

wanych okolic, w których mówią językiem polskim. Nietrzeba tutaj pokonywać tych niebezpieczeństw i zawodów, które od wieków utrudniają odkrycie źródeł Nilu, a które jednak nie mogły odwrócić śmiałych podróżnych od zamierzonego celu. Przed kilkoma laty, wysilenia te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, i odkryto wreszcie w środku Afryki, niedaleko równika, potężne góry, pokryte wiecznym śniegiem, dające początek Nilowi. Wiadomość ta, sprawiła wielkie wrażenie w świecie, zajmującym się wiedzą ludzką, i wywołała uszanowanie oświeconych, a obojętność tłumu ludzi, używających darów przyrody. To była cała nagroda, dla tych nieustraszonych mężów!

Wisła bierze początek w Szlązku austriackim, w górach Karpackich, w części zwanéj Bezkidami, i wypływa z nich przy pięknej wiosce Ustroń. Zanim opiszę jéj bieg i stosunek do znaczniejszych rzek europejskich, nie od rzeczy będzie rzucić pobieżnie kilka uwag na jéj znaczenie geograficzne. Wisła odgranicza właściwie zachodnią Europę od wschodniej; przepływa płaskie a żyzne kraje, zmierzając do morza Północnego. Dunaj, Elba, Ren i Wisła, są czterema głównymi rzekami środkowej Europy, mającemi prawie jednakie wymiary; i tak: odległość źródeł Wisły do ujścia, wynosi 72 mil geograficznych, długość jéj istotna 123 mil; tym sposobem zakrzywienia jéj wynoszą 51 mil, a zatem prawie  $\frac{2}{3}$  części prostéj długości. Odra ma nieco większą odległość od źródeł do ujścia, i ta wynosi 84 mil, ale jéj zakręty nierównie są mniejsze, i dlatego nietyle krajów zwilża. Znakomitszą rzeką od dwóch poprzednich jest Ren; odległość jego źródeł od morza wynosi 100 mil, a ze zakrętami 147; stosunek więc zakrzywień do prostéj długości nie jest tak wielki, jak Wisły, i dlatego prawie porzecza Renu i Wisły są jednakowe, bo zajmują prawie jednakową ilość mil kwadratowych. Powierzchnią kraju, poprzerywaną rzekami zmierzającemi do jednéj głównej rzeki, nazywam porzeczem (Stromgebiet). Porzecze Wisły wynosi 3,571 mil kwadratowych, a porzecze Renu przenosi nieco tę liczbę, gdyż ma 3,590 mil kwadratowych; nierównie mniejsze są porzecza Elby, bo wynoszą 2,800 mil kwadratowych, i Odry 2,070 mil kwadratowych.

Główny kierunek Wisły jest z południa na północ, i ten zachowuje od początku; zmienia go wszakże niedaleko za miasteczkiem Strumień (Schwarz Wasser), zwraca się prawie z zachodu na wschód, i tak płynie aż do Sandomierza, prawie równolegle od Bezkidów. Odtąd bieży prawie prosto na północ do morza Bałtyckiego, rozczę-

piwszy się, jak każda wielka rzeka, na kilka odnóg. Dziwne zaiste zachodzi podobieństwo pomiędzy źródłami a ujściem rzek; przy niektórych trudno jest powiedzieć, który strumyk jest początkiem, gdyż powszechnie kilka można z równym prawem za takowy uważać; podobnie i przy ujściu, trudno rozstrzygać, które z rozdzielających się ramion rzeki jest głównym korytem. Najznakomitsze rzeki, najwięcej zasilające Wisłę wodą, wychodzą z Karpat, i wpadają do niej w owym wielkim zwrocie ze zachodu na wschód; w dalszym przebiegu niewiele do niej wpada znaczniejszych rzek. Rzeki płynące z Bezkidów mają jeden główny kierunek; wszystkie zmierzają z południa na północ, tak jak w początkach i Wisła; ich kryniczne wody, jak łąza przezrocyste, pięknej, zielonej barwy, toczą się z niezmierną wartkością. Rzeki te zapuszczając swe odnogi po rozległych gruniach karpackich, nabrzmiewają gwałtownie w czasie deszczów wiosennych i letnich, i sprawiają wezbrania Wisły, nie pochodzące od topniejących śniegów, które się mają znajdować w jakichś wymarzonych, ośnieżonych, wysokich Karpatach. Wyjątek z tego czynią topniejące śniegi na wiosnę, które, jak wszędzie, są przyczyną powodzi. Główne rzeki Bezkidowe są: Soła, Skawa, Raba, Dunajec, Wisłoka i San; mniejsze zaś: Biała, rozdzielająca dwa pokrewne miasta, Białą i Bielsko, gdzie się rozwinął wielki przemysł, stanowi granicę pomiędzy Galicyą a Szlązkiem; Skawina, wpadająca do Wisły pod miasteczkiem tegoż nazwiska; Uświca płynąca przy Brzesku. Wszystkie te rzeki, prócz Dunajca, biorą początek w Bezkidach, a zatem w górach wznoszących się do 4,000 stóp paryzkich, a nad którymi wystają pojedyncze tylko szczyty na 1,500 stóp, z których znikają śniegi już w końcu kwietnia, pozostawiając małe smugi do początku maja. Nawet i Dunajca, biorącego początek z nierównie wyższych szczytów Tatrowych, nie zasilają śniegi, gdyż w końcu maja celne turnie Tatrowe, najbardziej ociemnione doliny, okrywają świeżej zieloności trawy i cudnej barwy holowe (alpejskie) kwiaty; w zlepkach tylko zostają białe wstęgi śniegu, które choćby odrazu wszystkie stopniały, nie są w stanie sprawić na jeden dzień powodzi Dunajca.

Od połączenia się z Sanem, staje się dopiero Wisła znaczniejszą rzeką, i odtąd pływają na niej większe statki. Tu nagle zwraca się nasza rzeka ku północy, i odtąd zmierza prosto w tym kierunku do morza Bałtyckiego. W tym przebiegu, zasilają ją jeszcze trzy znakomitsze rzeki: Wieprz, Bug i Pilica. Począwszy od rzeki Skawiny, na zachód, aż poza Wisłę i Olse, Karpaty oddzielają się bardzo wyraźnie od kraju pagórkowatego, który Wisła odgranicza od północy.

Spoglądając na tę okolice z gór wznoszących się nad Lipowcem lub z Alwerni, wydaje się ona jakby wielka równina; stoli rozpoznając ją zblizka, spostrzegamy, że to kraj pagórkowaty, okryty grubym pokładem gliny, w której nie można dostrzedz skał pod nią ukrytych. Dopiero na zachód od Soły, pagórki są wyższe, pokład gliny cieńszy, i na nieprzeliczonych miejscach widać pod nią wapień a nawet skałę ogniową, zwaną dyorytem, wznoszącą ten osad morza pierwotnego. Podobnie jak w Lombardyi i na równinach Wenecyi, od kilku wieków umiano trafnie korzystać z wód, spadających z gór. Ale sposób użytkowania, stosuje się do klimatu; pod szczęśliwem niebem włoskiem, wody ujęte w kanały, dwa razy do roku dają żniwo i nieprzeliczone sianożęcia (pod Medyolanem 10 razy w roku sieką trawę); u nas kanały dostarczają woły do stawów, w których przez 3 lata chowają się ryby, a przez drugie trzy lata też same dna stawów dają ziemię naturalnie umierzwioną. Na całej tej podkarpackiej przestrzeni, kraj ma szczególne wejście: zazwyczaj role otaczają wysokie wały, i nieraz można spotykać staw, za nim zasiane grunta, znów staw i tak dalej. Od kilku wieków widać zaprowadzono tutaj gospodarstwo rybne, bo szlachtę zamieszkującą tę okolice nazwano Karpikami; widać od ryby, najgęściej chowanej.

Już na zachód od Kobiernic, wznoszą się znaczniejsze pagórki; pod gliną sterczy szary wapień, dzielący się w mniej więcej grube warstwy, a na ich oddziałach w różnych miejscach pokazują się odciski morskiej, zaginionej rośliny, od paleontologów nazywaney *Chondrites Targionii*: przy Skoczowie zaś są miejscami nieco odmienne wapienie, bez śladu oddziału odpowiadającego warstwom, otoczone ze wszęch stron wapieniem, wydatnie warstwowanym. Piérwsze zawierają nieprzeliczone mnóstwo pozostałości zwierzkorzewów, w przecięciach podobne do gwiazd lub nader misternie wyrobioney siatki, wraz z rozlicznymi ślimakami, a nawet bywają małe raki morskie, nieoznaczone dotąd; sąto niewątpliwe dowody, że wszystek ten wapień osadził się z łona morza, i że w owych pierwotnych czasach, kiedy jeszcze człowiek do bytu nie został powołany, istniały podobne rafy i wyspy koralowe, jakie teraz natrafiamy na oceanie Południowym. Przy Skoczowie na nieprzeliczonych miejscach, poprzebijala skała ogniowa (dyoryt) te osady morza, potargala cały kraj, i powynosila pagórki; ale ta straszna sila zbawienną stala się w skutkach, gdyż okolica otrzymala malowne widoki, a rozkladajac się, wydalala ziemię odznaczajacą się urodzajem.

Tenże sam charakter co pod Skoczowem, ma kraj rozciągający się dalej na zachód ku Cieszynowi i Mistkowi nad Ostrawicą. W tym to kraju, pomiędzy rzekami Białą a Ostrawicą, mieszka właściwy szczerp ludu polskiego, odróżniający się pod wieloma względami od swych sąsiadów, mówiących tymże językiem. W ogólności cechują go: wyższe wykształcenie, większa znajomość uprawy roli, dobry byt, i z nim w parze idące szlachetniejsze obyczaje, połączone z ową prostotą duszy, i tą rzadką dobrocią, co zdoła człowieka. Gospodarnością i czynnością przyszli do znaczniejszego dostatku, i ten odbija się w całej zewnętrznosci kraju. Szlązacy niemal przyjęli cywilizacji od swych sąsiadów Morawiaków, i pod wieloma względami do nich się zbliżają, odróżniając się znacznie na pierwszy rzut oka od graniczącego polskiego włościanina. Chłopi porzucili pierwotny strój słowiański, a przyjęli niemiecki; co dowodzi, że na włościanina wpływa moda, podobnie jak na tych, co mieszkają w pałacach, tylko zmienia się wolniej. Ubiór Szlązaka składa się z granatowego sukienego szpanceru, z wielkimi białymi metalowymi guzikami, i podobnego koloru szarawar; głowę okrywają wysokim spiczastym kapeluszem, z szeroką aksamitną wstęgą; w zimie wdziewają płaszcz granatowy. Do nadgranicznych wiosek w Galicyi przeniósł się ten ubiór, i już jest powszechnym pomiędzy Białą a Sołą, a mianowicie w Kozach, Bujakowie, Kobiernicach i t. d. Jeżeli strój mężki nie ma w sobie nic pięknego, to niewiast odznacza się jeszcze niezwykłością i szczególną oryginalnością; zdaje się, że wszystkich dołożyły starań, aby zakryć cały wdzięk kibici. Postać ich podobna jest do snopka, z osadzoną głową na wierzchu. Ubiór ich składa się z krótkiej kamelarowej, ciemno-brunatnej, niezmiernie fałdowanej, zaledwie do kolan sięgającej sukni, u spodu obwiedzioniej wstążką jedwabną, pospolicie niebieską, rzadko jasno-zieloną. Jeżeli suknia ta na dole jest zakrótką, to w górze jest tak długą, iż zaledwie pozostaje miejsce na mały stanik, bogato złotem lub srebrem obsyty, i spięty na przodzie srebrnymi haftkami, z pod którego widać białą jak śnieg koszulę, z krótkimi rękawami. Zawsze noszą trzewiki, i czerwone welniane pończochy; po nich łatwo poznać ich zamożność. Im majątniejszy gospodarz, tém dłuższe nosi jego żona pończochy, bo dochodzą do 3 1/2 łokcia. Taka pończocha będąc zadługą, nie może gładko leżeć na nodze, i dlatego bywa w fałdy pomarszczoną. Aby według pojęcia o piękności szlązkich modnych niewiast, stosownie leżała pończocha na nodze, potrzeba na to zwyczajnie prawie dwóch godzin; wszystkie zmarszczki muszą być równe, i żadna ani mniejsza, ani większa od

drugiej. Mężatki noszą na głowie pięknie obwinięte białe chustki, spadające aż do połowy ciała; bogatsze wyszywają je zdobnym haftem, i obwodzą koronką. Prócz chustek na głowie, używają jeszcze białych płóciennych szali, któremi się owijają z niemałym smakiem. Dziewczęta czeszą włosy gładko, splatają je w długi warkocz, spadający do połowy ciała, a na końcu wplatają wielką kolorową wstęgę, zawiązaną w kokardę. Fartuch wreszcie z wygładzonego perkalu, z wielkimi czerwonymi kwiatami, uzupełnia strój wieśniaczek, kosztujący od 400 do 800 złp. Właśnie była niedziela, kiedym w Puńcowie, poblizkiej wiosce od Cieszyna, spoczywał pod wystawą domku włościańskiego. W świąteczne przyodziane szaty, z godną pochwałą czystością, wychodziły do kościoła te niezgrabne piękności szląskie: każda zwracała na siebie uwagę gospodyń domków, i o każdej umiały coś powiedzieć, jakby w największym mieście. Ten różnobarwny strój, niemało przyozdabiał dolinę. Wśród ludności wiejskiej czystopolskiej Szlązka, miasta są po większej części niemieckie, albo przynajmniej element germański w nich przeważa. Wyjątek z tego czyni Skoczów, mała miejscina, nieodznaczająca się niczem inném, jak tylko, że przy niém jest wielki most na Wiśle, przez który przejeżdża się z Galicyi do Szlązka i Morawii. Rzeka ta chociaż tu jeszcze bardzo jest wązka, niezmiernie wylewa, i powysypywała obszerne kamieńce (tak nazywają ławice żwiru, które osadzają wody rzeki).

Pięć ćwierci mili na wschód od Skoczowa, leży u stóp gór Ustronń znaczniejsza wioska. Podobnie jak wszystkie górskie, rozciąga się ona wpodłuż Wisły, ma miłą powierzchowność, porządne budynki, znakomite fabryczne zakłady, i dwa wielkie kościoły. Wysokie, bujne drzewa dodają jój niemałego wdzięku. Dwom przyczynom winna jest swój wzrost: zakładowi hutniczemu, i gościom używającym żętycy i kąpieli żuzlowych. Od stu lat wystawiony wielki piec, odznacza się w obecnym czasie wyborném urządzeniem i służy za wzór, jak z biédnych, mało co wydatnych rud karpackich, można z korzyścią otrzymywać żelazo. Jestto jak na nasze strony piec olbrzymiej wielkości, albowiem wydaje rocznie 30,000 centnarów wiedeńskich surowego żelaza. W poblizu wysokiego pieca, stoją pięknie wybudowane fryszerki, gdzie według najlepszych teraz metod, ze surowca przerabiają kute żelazo, a to według popraw uczynionych w prowincyi francuzkiej Comté, i ztąd komtejską nazywają tę metodę. Zasada się ona na tém, że niewielką ilość żelaza surowego, stapiają w piecu fryszerskim i natychmiast wykuwają. Do czynności téj wychodzi tylko połowa węgla, potrzebnego w zwyczajnej metodzie. W Szlązku

pruskim, w Galicyi, w Polsce, stapiają odrazu 6 centnarów surowca, następnie ostudzone drobią w kawałki, i powtórnie ogrzane dopiero przekuwają. Przy hucie ustronńskiej urządzone są ulewnie żelaza; we fryszerkach wyrabiają obręcze żelazne, pługi i inne przedmioty; w zakładzie machin różne narzędzia do rolnictwa potrzebne. Może jeszcze więcej do wzniesienia i uczynienia głośnym Ustronia przyczynili się goście używający żętycy, czyli serwatki z owczego mleka, i kąpiele, do których wodę ogrzewają żuzłami.

Nad Ustroniem wznosi się potężny grzbiet Czantorya, zwany od maliej roślinki czantoryjki, z pięknym czerwonym kwiatem, okrywającym jej boki. Po łacinie nazywają ją botanicy *Erythrea centaureum*, Person; Linneusz zaś dawniej *Gentiana centaureum*. Mnóstwo nazw polskich nadali tej roślinie nasi autorowie; i tak: Kluk (1) nazywa ją *Centaurea centaureum*, po polsku *Chaber jasieniec*; Jundziłł (2) wprowadził ogólnie używaną nazwę łacińską *Persona*, *Erithrea centaureum*, polską zaś dał *Czerwieniec serdecznik*; za Jundziłłem poszedł Dębosz (3), i nazywa ją *Czerwieniec gorycznik* albo *serdecznik*. Niewiadomo, dlaczego Jakóbowi Wadze (4) podobało się porzucić poprzedników, i utworzyć albo raczej przetłumaczyć z niemieckiego nową nazwę *Tysiącznik goryczka*. Lepiejby uczynił p. Jakób Waga, gdyby się obzajmił z tém, co polscy autorowie napisali poprzednio o naszej Florze, albo obcy o niej piszący, jakoto: Wahlenberg, Herbig; i trzymał się nazw utartych, wprowadzając do swjej książki podział roślin odpowiedni czasowi; bezpotrzebne bowiem tworzenie nowych nazw, nie ma żadnej zasługi w oczach ludzi znających przedmiot, i sprawia tylko zamieszanie chaotyczne w nauce. Raz więc jeszcze powtarzam, że wymienieni wszyscy autorowie niepotrzebnie potworzyli polskie nazwy, gdy oddawna żyje w ustach ludu nazwa ogólnie znana, dająca miano potężnej górze; dlatego sędzę, że wyraz Czantoryjka choć przyswojony, winien mieć pierwszeństwo przed wszystkimi wymienionemi.

Na wierzchu potężnej Czantoryi, rozciąga się obszerna trawiasta równina; kilka szalasów na niej stojących, dostarcza codziennie gościom ustronńskim świeżej żętycy, mającej nader zbawienne własności.

(1) W Dykeyonarzu roślinnym, tom I, 1805. Warszawa. Stron. 112.

(2) Opisanie roślin litewskich na Litwie, na Wołyniu, Podolu rosnących. Wilno. 1830. Stron. 88.

(3) *Tentamen florum territorii Cracoviensis Medicarum, sive enumeratio plantarum circa Cracoviam sponte nascentium, auctore Stanisl. Dębosz*. Bez roku, str. 31.

(4) *Flora polska jawnokwiatowych rodzajów*, przez Jakóba Wagę. Tom I, 1847, stron. 374.

Według pomiaru barometrycznego p. Lütza (1) oficera pruskiego, Czantorya wznosi się 2,835 stóp paryzkich nad morze; Ustronń zaś według pomiaru tegoż, leży 840 stóp paryzkich, a zatem Czantorya wznosi się 2,000 stóp nad tą wioską. Kąpiele żuzłowe wielce są pomocne zdrowiu; zdaje mi się, że sposób ich robienia nie jest znany, opiszę go więc pokrótce. Wody nie grzeją w kotłach jak zwyczajnie, tylko do zimnej wody w wannie, wkładają dwie lub trzy potężne bryły rozpalonego żuzła; ten nie tylko ogrzewa wodę, ale zarazem dodaje części siarkowych, pochodzących od rozpuszczającego się siarczku wapna, zawartego w żuzłach. Połączenie to siarki z wapnem będąc bardzo słabe, rozkłada się łatwo; siarka wydziela się w stanie wodorodu siarkowego, i działa dobroczynnie na skórę. Używanie żentycy i żuzłowych kąpielei, ma nawzajem sobie pomagać szczególniejszym sposobem.

Do godnych wzmianki osobliwości Ustronia, należy ogród pastora protestanckiego, p. Koczy, odznaczający się wytwornemi kwiatami. Chociaż już spóźniona była pora (początek września), kwitło mnóstwo pięknych niezwykłych róż i bratków (*Viola tricolor*), olbrzymiej wielkości. Ruchy zeszłoroczne przyłożyły się dziwnym sposobem do z bogacenia flory ogrodowej Ustronia. Pan Koczy, powszechnie szanowany w swjej okolicy, obrany został na deputowanego na sejm frankfurcki. Tam mając łatwość podróżowania, zwiedził celniejsze ogrody niemieckie, belgijskie, paryskie, i z niemałym plonem wrócił do domu. W tym roku wielce przyozdobił się ogród jego nieznanemi tutaj kwiatami; pomiędzy drzewami zasługuje na szczególną wzmiankę drzewo tulipanowe *Liliodendron tulipifera*, na pierwszy rzut oka podobne do naszych klonów lub jaworów. Dziwna to rzecz, że gdy ta roślina w botanicznych ogrodach krakowskim i warszawskim wyrasta tylko w niespore krzaki, w Ustroniu jest drzewem wysokopiennem, mającém stopę średnicy, z okazałą rozłożystą koroną. Trudno przypuścić, iżby w Ustroniu, tuż pod górami le-

(1) W czasie podróży p. Lütza, prof. Steczkowski robił równocześnie co dwie godziny odpowiednie obserwacje na obserwatoryum krakowskiem, i z nich wyrachował wyniesienie dla dwóch tych punktów, porównawszy poprzednio barometr p. Lütza przed i po podróży, z barometrem stałym obserwatoryum. Oto są wypadki tego obrachunku: Ustronń 12 i 13 sierpnia 1838 r.

S.	Barometr	Termom. Reaum.
		na baromtr.      wolny
	326" 53	+16" 2      +150,47
Kraków.	329" 25	+15, 8      +150 35
	Szczyt Czantoryi 13 sierpnia 1839 r.	
	303" 11	+150, 7      +180,76
	329" 53	+170 8      +180 73



zącém miejscu, 840 stóp nad morze wyniesioném, było cieplej aniżeli w wyżej wymienionych miastach. Zdaje się, że grunt niedogodny głównie wpłynął na skarłowacenie tego ozdobnego drzewa w botanicznych ogrodach.

Od Wadowic aż do Morawii, na całej przestrzeni, góry wyraźnie oddzielają się od kraju pagórkowatego; te naturalne różnice, są zarazem granicą dwóch szczepów polskich, niemających z sobą innej styczności prócz sąsiedztwa, a nienawidzących się nawzajem od niepamiętnych czasów. Góry zamieszkują górale, a kraj pagórkowaty Polacy; z tą różnicą, że we wschodniej części siedzi chłop polski, ubrany w białej guni z czarnymi wypustkami, a w zachodniej Szlązak, uprawiający doskonale swą wyborną ziemię. Góral musi żyć z przemysłu: mała ilość niewdzięcznej ziemi, daje mu tylko owies, ziemniaki i nieco lnu. Ustron leży właśnie na granicy dwóch wymienionych szczepów, dwóch elementów odpychających się nawzajem. Począwszy od Ustronia w górę, płynie Wisła w potężnej szczelinie, zaledwie  $\frac{1}{8}$  mili szerokiej. Po obu jej bokach wznoszą się malowne góry, pokryte smukłymi bukami; a na szczytach tych gór rozpościerają się obszerne równiny, wydające wonną paszę owcom i krowom. Jakby dla odjęcia jednostajności temu obrazowi, widać na smukłych gruniach pojedyncze szałaszy czyli domki letnie pasterzy. Wyborna droga ciągnie się doliną ponad Wisłą, aż do mieszkania myśliwca (tak nazywają tutaj leśniczych); można ją w powozie wygodnie w dwóch godzinach przebyć. Z Ustronia droga ma wejrzenie nader ucywilizowane; wysadzona jest bujnemi drzewami: jawory, klony i trześnie zmieszane rosną wesoło, i tym gatunkom drzew zdaje się właśnie sprzyjać ten klimat. Domy otaczają obszerne sady; dwa młoty z pięknymi zabudowaniami, niemało dodają powabu okolicy. Przejechawszy pół godziny, gubią się zwolna drzewa z nad drogi, dolina nabiera bardziej górskie wejrzenie, a po przebyciu mostu, spotykamy pierwsze domy długiej wioski Wisły, dającej nazwę rzece naszej, która jak każda inna góralska, rozciąga się wzdłuż rzeki, której nadała nazwę. Domy tu nie stoją w pewnych odstępach, ale tworzą kupki; w nich mieszkają rozrodzone familie, uprawiające teraz obszerną rolę, kiedyś ich przodkom nadaną.

Niemale trudności zachodzą, pytając się mieszkańców o domy, do jakiej wioski należą; nie rozumieją oni pospolicie takiego zapytania; wiedzą tylko nazwiska odwiecznych posiadaczy w nich zamieszkałych, czyli familij. Stosunki te żywo przypominają klany szkockich

gór. We Wisłach najliczniejsze są rodziny: Bajcarzy, Bujaków, Malinków, Reszków i t. d. Prawie w środku Wisły jest mały drewniany kościółek katolicki, i wielki murowany ewangelicki, a przy nim obszerny murowany dom ewangelickiego proboszcza, i równie znaczny na szkołę przeznaczony. Prawie cała ludność Szlązka austriackiego, mieszkająca w kraju pagórkowatym i w górach, z małymi wyjątkami jest protestancka; pomiędzy niemi żyje niewielu katolików, jak się łatwo domyśleć z opisu kościołów wsi Wisły. Mieszkańcy ci są czystymi góralami, noszą brunatną gunię, białe spodnie, a na nogach kirpce, okręcone wełnianymi powrózkami, barwy białej i brunatnej; na głowie zaś okrągły kapelusz, z mniej więcej szerokim rondem. Wiele mają rzeczywistego wykształcenia; we wszystkich dolinach tych umieją czytać, a wielka liczba pisze wyraźnie. Przyczynił się do tego głównie niedawno zmarły nauczyciel, pochodzący z tej wioski, który zrobił zadaniem życia wykształcić swych współmieszkańców, i dokonawszy tego zmarł, ogólnie uwielbiany i żalowany. Zaiste, byłto człowiek godzien szacunku każdego myślącego człowieka.

Od kościołów Wisły, pokazuje się w samym końcu widokrengu, w całej wspaniałości, potężny grzbiet Barani, cel naszej podróży. W górze tej biorą początek Czarna i Biała Wisła; ostatnia nazywana właściwie Białką. Postępując dalej przez dobrą godzinę, rozdziela się dolina i około 500 sążni przed domem leśniczego, wpada do Wisły mała rzeka zwana Malinka, stanowiąca jedno z trzech ramion, dających początek Wiśle. Malinka płynie z doliny, którą niżej opiszę; teraz tylko poprowadzę czytelnika do dwóch pierwotnych ramion Wisły, zwanych Czarna i Biała Wisła. Odtąd droga do domu myśliwca czyli leśniczego, ciągnie się w bardzo zwężonej części doliny, w istniej szczelinie, gdzie tyle tylko jest miejsca, że zaledwie starczyło na drogę, ciągnącą się śród czarnego ściérkowego lasu, wznoszącego się po obydwóch bokach. Tutaj Wisła w samych kaskadach spada ze skały na skałę. Piękny domek leśniczego, z ogrodem ozdobionym różnobarwnymi georginiami na boku nieco uprawnej ziemi, z przeciwnej zaś strony kilka domów włościańskich, stanowią kres, gdzie człowiek panuje nad siłami przyrody. Odtąd rozpoczyna się część leśna, i tylko widać skały, góry i wody spadające. Prawie wszystkie kamienie leżące nad brzegiem naszej zmałej Wisły i na przyległych bokach gór w tej okolicy, są jakby oblane czerwoną powłoką; rozbiwszy te kamienie, spostrzegamy, że się nie różnią od każdego innego piaskowca. Powłoka czerwona jest porostem, od botaników nazwanym *Byssus jolithus*, wydającym woń podobną do fiołków, i dlatego ka-

mienie takie nazywają poprostu kamieniem fiołkowym. Przyjemna ta woń trwa tak długo, dopóki nie zeschnie zupełnie roślinka; przez pewien czas można zapach ten na nowo wzbudzać przez zwilżenie, lecz po roku ginie on bezpowrotnie.

Nieco wyżej od opisanego domku, łączą się dwa ramiona Wisły: Białka i Czarna Wisła. Tu się kończy droga wozowa, a od-tąd prowadzi ścieżka do źródeł Wisły, w końcu tak niewyraźna, że wreszcie ginie zupełnie. Naprzód opiszę Czarną Wisłę, ramię pospolicie uważane za źródło Wisły. Z początku widać wśród lasów tu i owdzie domki włościańskie, a przy nich kilka morgów ornój roli, ale i te wkrótce giną, i tylko gęste lasy otaczają zewsząd podróźnego; uroczystą ciszę przerywa tylko szmer spadającej Wisły. Uszedłszy znowu godzinę drogi, zwęża się coraz bardziej Wisła, tak, że przechodziłem przez nią po kamieniach suchą nogą; koryto bowiem było zaledwie 10 stóp szerokie. Chociaż spóźniona była pora roku (początek września), znajdowałem na brzegach rzeki mnóstwo wybornych poziomek, a przy nich właśnie dojrzewały czarne jagody. Przy nader zwężonej Wiśle, spadającej po warstwach piaskowca, nieco ku południowi schylonych, wśród gęstego lasu świerkowego, postępować trzeba znowu przez godzinę aż do strumyka, zwanego Wolna (1). Czarna Wisła i Wolna (biorąca początek w górze Rubowska), przy połączeniu prawie równą mają ilość wody i jedną szerokość koryta, tak, że zupełnie jest dowolną rzeczą, które z ramion zatrzymało nazwę Wisły. Aby wyrazić jej zmniejszenie, nazywają ją od-tąd Czarną Wisłą, Wiselką. Od zdrobniałej Wisły trzeba przebyć z godzinę drogi do domu gajowego, stojącego wśród obszernych polan przy stawie, urządzonym dla spławu drzewa na wiosnę, a czasem i w lecie, gdy wody znacznie wzbierają. Miejsce to nazywają Na Przystopie. Dom ten zupełnie porządny, wystawiony jest z okrągłaków o piętrze. Kto sobie życzy tutaj dłużej zabawić, znajdzie dobry nocleg w pokoju leśniczego, i ludzi nadzwyczajnie uprzejmych a chętnych. Właśnie kiedym dnia 4 września 1849 r. zwiedzał te strony, dzień był bardzo piękny, słońce mocno przygrzewało, i niemało zdziwiłem się, gdy m zastał w izbach nieznośne gorąco. Na zapytanie dlaczego pala w piecu, gdy tego nie ma potrzeby, odpowiedzieli.

(1) Niniejszy opis różni się od opisu źródeł Wisły mojego szanownego przyjaciela, p. Apolinarego Tomkowicza, ogłoszonego w piśmie zbiorowém Stanisława Jaszowskiego, p. t. Stawianin, Lwów. 1837 r., str. 155, który podaje, że Wiselką nazywa się ta część rzeki, w której łączy się Czarna z Białą Wisłą, aż do wyjścia z gór przy Ustronia. Mój przewodnik inaczej mi tę rzecz opowiadał i tego się trzymałem.

że przez cały rok zwykli to czynić, bo drzewa mają dosyć i blisko. Widać, że wszyscy górale są jednakowemi, gdyż nieraz spostrzegalem toż samo na wysokich górach w Tyrolu i Szwajcaryi, a nawet w górach kruszcowych w Saxonii, gdzie każdego dnia, czy gorąco czy zimno, mają staranie około pieca. Gospodyni częstowała nas mlékiem, świeżem masłem i wybornemi ziemniakami, tutaj wyrosłemi; czyniła to z niewymowną dobrocią, której tylko w górach szukać trzeba. Właśnie zeszli się na obiadową godzinę drwale, rąbiący w sągi drzewo na przyszłą wiosnę; ci ludzie natury, zachowywali się nader przyzwoicie i uprzejmie. Niemało zdziwiłem się, spostrzegłszy w tym domu kilka książek polskich, a pomiędzy niemi Wiesława, Brodzińskiego. Sielanka ta podobała się szczególnie młodemu gajowemu; czytał ją z zachwyceniem, i wypytywał się, gdzieby żył ten Brodziński, i czy co innego nie napisał, również pięknego.

Dalsza droga do źródła Wisły, albo raczej Czarnéj Wisły, nadzwyczajnie jest przykra; przez godzinę trzeba znów iść po niezmiernych kamieniach, wywróconych drzewach i trzęsawiskach, na szczyt długiego grzbietu Barani, aż wreszcie wśród nieprzeliczonych pni świerkowych, w największym nieładzie poprzewalanych, przybyliśmy do początku naszej głównej rzeki, biorącej początek na północnej pochyłości Barani. W różnych miejscach, sączy się z cienkiej powłoki torfowej brunatna woda; nie sąto źródła, lecz ściekowiska, co téż potwierdza sama nazwa *Wykap ze Smreku*, (świerku). Miejsce to znalazł Lütz (1) wyniesione nad morze 3,519 stóp paryzkich.

Dobre pół godziny szliśmy dalej od Wykapu na szczyt Barani, przez gęste bory świerkowe i jodłowe do miejsca, na którym ustawili piramidę inżynierowie, którzy wykonali wyborną kartę Szlązka. Szczyt ten leży 3675 stóp nad morzem (2). Widok z niego nader jest obszerny; z północnej strony, oko spoczywa na niezmiernych czarnych lasach, okrywających grzbiety i doliny, gdzie się Wisła zbiera. Południowa pochyłość Barani bardziej jest stromą, aniżeli półno-

(1) Wyniesienie średnie z obserwacji, wykonanych d. 14 sierpnia 1838 roku.

	Barometr	Termom. Reaum. na baromtr.	wolny
	294 <sup>''</sup> 90	+ 9,095	+ 9° 95
Kraków.	330 <sup>''</sup> 16	+17,013	+14° 5

(2) Szczyt Barani 14 sierpnia 1838 r.

	Barometr	Termotr. Reaum. na baromtr.	wolny
	293 <sup>''</sup> 01	+ 9,00	+ 9° 05
Kraków.	330 <sup>''</sup> 16	+17,01	+14° 4.

cna; tworzy ona bok doliny Kameśnicy, gdzie według Puscha płynie Wisła. Wiadomość ta opiera się na nieznamości rzeczy. Na wschód zwróciwszy wzrok, ciągną się nagie grzbiety Bezkidów, prawie zupełnie bezleśne, aż do potężnej Babięj Góry; z boku pokazuje się zębaty łańcuch Tatrów, a wirchy Turczańskie i góry otaczające dolinę Wagu w hrabstwie trenczyńskiem, od południa zamykają widokrąg.

Również na przedłużeniu grunia Barania, zwaném Skalka, bierze początek źródło Białej Wisły czyli Białki, i równie wycieka z wód bagnistych, a nie z istotnych źródeł. Zstępując z polany Mokrzyszna, gdzie właśnie zastałem mnóstwo pasterek pasących krowy i chłopów koszących siano, znalazłem Białkę już jako potężny strumień, przedzierający się z niezmierną wartkością po skalistém korycie, i ten charakter zachowuje w całym swym przebiegu aż do połączenia się z Czarną Wisłą. Niedaleko ujścia, widać znaczniejsze uprawne pagórki i kilkanaście domów, należących do obszernej wioski Wisły. Dlaczego ten strumień nazywa się Białką, wyznaje, że nie byłem w stanie dociec: nie ma bowiem nic białego. Być może, że tak nazwano w przeciwieństwie do Czarnęj Wisły, której wody mają jakąś brunatną barwę. Niemasz tu wcale owych przezroczystych wód, szmaragdowej zieloności, co tak charakteryzują rzeki Tatrowe, co im nadają tyle wdzięku.

Trzecie główne ramię Wisły jest Malinka, strumień poczynający się w części Malinowego grunia zwanęj Kopiec, a przy zwężonej części głównej doliny wpada do Wisły przy znanęj nam kupce domków, zwanęj Bajcarze. Wszedłszy do tęg doliny, spostrzegamy, że się zwolna roztwiera, a wokół wysokie grzbiety, jakby wieniec, otaczają ją wokół. Za Bajcarzami idąc ku gruniowi Malinowemu, różne są gromadki domów: piérwsza gromada nazywa się Malinka, dalej Niedziedziówka, a wreszcie Sadowa, leżąca już na pochyłości wspomnianego grunia. Podobnie jak Barania, odgranicza i ten grun Szałk od polskich krajów, składających Galicyą. Malinów grun nazwany jest od malin, kiedyś na nim rosnących, po wyrąbaniu lasów. Długi ten i szeroki grzbiet, ma mniej więcej tę samą wysokość, co Barania. Boki i wierzch jego pokrywa gęsty las, w którym przeważają bujne buki i cudnęj piękności świerki. Na pochyłości od kupki domów zwanych Sadowa, znajduje się jama, o której wiele tajemniczego opowiadał mi przewodnik. Jak we wszystkich górach składających się z piaskowca, tak i tutejsza jama ani jest rozległą, ani głęboką. Właściwie jestto szczelina, powstająca przez wzniesienie gór,

mająca tenże sam kierunek co grun, t. j. południowo-zachodni; jest około 12 kroków długa, 4 szeroka, a 30 stóp głęboka. Po naturalnej drabinie, zrobionej ze ściętego ściwierku, na którym pozostały gałęzie, spuściłem się do pierwszego odstepu, lecz tam nie było widać nic innego, jak ściany wilgotne; a jeszcze niżej spuściwszy się, widać tylko ściany bardziej zbliżone. Bujna wyobraźnia mieszkańców, zagrzebała tutaj nieprzebrane skarby w najgłębszej części jamy, dokąd się nikt nie spuścił. Opowiadają, że w wielkiej izbie stoi stół, a na nim siedzi królik ze szczerego złota. Ci poczciwi nadwiślańscy górale marzą nawet skromnie, bo podhalanin wie, gdzie są wirchy szczerze złote, tysiące stóp wysokie turnie, a przy nich wszystkie kamienie rozrzucone są ze złota.

Pierwsza rzeka wpadająca do Wisły po wypłynieniu z gór, pomiędzy Ustroniem a Skoczowem, jest Brenna, poczynająca się w tychże samych górach, co właśnie opisane trzy ramiona Wisły; ale w oddzielnej dolinie, przedzielonej grzbietem właściwym. Nad Brenną ciągnie się wioska téjże nazwy, co rzeka. Dolina ma też samą fizyognomią, co dolina Wisły; jest niebardzo wązka, i grzbiety jęj téjże wysokości co Barania, okrywają lasy bukowe i ściwierkowe.

Dawne przysłowie niesie, że się ostateczności stykają; czego i tutaj mamy dowód. W węźle Bezkidów w których się Wisła poczyna, przy samej Barani, bierze także początek Olsa, rzeka należąca do zupełnie innego porzecza, t. j. do porzecza Odry, zmierzającej podobnie jak Wisła, prawie od nięj równolegle, z południa na północ ku morzu Bałtyckiemu. Olsa bierze początek w jednym z ramion Baranięj, zwanem Bezkidem. Jako znaczny strumień, płynie już przez obszerną, wysoko nad poziom morza wyniesioną wieś, Izdebną, znajdującą się właśnie na granicy Szlązka, Węgier i Galicyi. Olsa zrazu płynie ze wschodu ku zachodowi, wkrótce jednak zwraca się na północ przy pięknie położonem miasteczku, z wejrzeniem zupełnie górskim, Jabłunkowie. Chociaż przyległe góry nie są zbyt wysokie, jednak otaczające je grunta i zimne i nieurodzajne, świadczą o znacznem wyniesieniu tego miejsca nad poziom morza; niemało potwierdza to szara barwa domów drewnianych, tak doskonale charakteryzująca górskie okolice. Przez Jabłunków ciągnie się droga bita, prowadząca do Węgier przez okopy zwane Tureckimi, leżące na samej granicy hrabstwa trenczyńskiego. Z Olsą postępując ku Cieszynowi, okolica staje się coraz żywniejszą, roślinność obfitsza. Na téj drodze leżą dwie wioski godne wspomnienia: Gródek, z wielkimi łomami kamieni piaskowych, zdatnemi do cioselki, i długa wieś Bystryca, za-

wierająca w dwóch miejscach obficie w piaskowcach pokłady małych soczewkowatych skamieniałości wielkości piątki, pokryte drobnymi brodawkami. Przeciąwszy ich wnętrze, znajdujemy nader szczególną budowę, składającą się z linii ślimakowej z wieloma przegrodami. Według najnowszych zdań zoologów, te soczewki zwane nummulitami, były pływającymi zwierzkorzewami, nieprzytwierdzonemi do miejsca, jak to bywa z innymi, do tego działu należącemi zwierzętami. Zupełnie podobny gatunek nummulitów znajduje się także za Jabłonkowem w Liskim potoku, i podobnie jak w Bystricy, tworzy pokłady w piaskowcu, nazywanym karpatowym. Niepospolite trudności mają geologowie w rozstrzygnienu, czy te piaskowce szare, mniej więcej do siebie podobne, składające Karpaty, osadziły się w jednym czasie, czy też powstały w długich odstępach? Część piaskowców karpatowych, zawierająca ammonity i belemnity, należy z pewnością do spodniego ogniwa formacji kredy; nie wiadomo zaś, czyli tegoż samego wieku są podobne do nich piaskowce, zawierające nummulity. Nowsi paleontologowie utrzymują, że one wyłącznie charakteryzują trzeciorzędowy osad, następujący zaraz po formacji kredowej. Czasowi trzeba będzie zostawić rozstrzygnięcie tego ważnego pytania: czy ten problematyczny piaskowiec karpatowy należy do jednej formacji, i różne ogniwa różne skamieniałości zawierają, czyli też sąto piaskowce odmiennych formacji?

Za górami na północ, już w równinie, ale zawsze nad Olsą, wznoszą się obszerne zabudowania, należące do wielkiego pieca trzynieckiego, dobre pół mili odległego od Cieszyna. Najcelniejszy ten zakład hutniczy spadkobierców arcyksięcia Karola, służy pod wieloma względami za wzór, jak wyrabiać należy żelazo. Wdanie się w szczegóły procesu hutniczego, zadalekoby nas zaprowadziło; wspomnę tylko o niektórych sposobach przygotowania rudy, by ją uczynić zdatną do wytopienia. Aby wydzielić siarkę, znajdującą się w rudzie w bardzo małej części, a co wielki wpływ wywiera na mniejszą lub większą dobroć żelaza; aby, mówię, wydalić siarkę o ile być może, prażą najprzód rudę, następnie przez trzy miesiące wystawiają ją na działanie powietrza; wtedy znajdującą się siarka jako siarczyk żelaza, zamienia się w sole ukwaszone, to jest w siarkan żelaza, wapna, magnezyi, a może i aluminy. Te wszystkie sole łatwo rozpuszczają się w wodzie, i dlatego wyciągają je za pomocą wody następnym sposobem: w kupy złożoną rudę zanurzają pod wodę, i siarkany rozpuszczają się w niej, i powoli odpływają. Pomimo tych wszystkich zabiegów, pozostaje jeszcze jakaś część siarki w rudzie, i tę wypędzają przy topieniu, czę-

ścią przez ulotnienie, częścią przez połączenie z wapnem; wszystkie bowiem żuzle pochodzące z tego wielkiego pieca, czuć mocno siarką. Wspomnę jeszcze o jedném trafném zarządzeniu przy hucie trzynieckiej. W żuzlach powszechnie mniej albo więcej obficie znajdują się kulki żelaza, wielkości grubego śrutu albo małych lotek; o niektórych żuzlach wiadomo z doświadczenia, że obficie zawierają żelazo, te tłuką za pomocą stępów, wodą Olsy obracanych, następnie wypłukują na proch starty żuzel, a małe dzieci wybierają kulki żelaza. W Trzyńcu główna jest ulewnia żelaza; wielkie sztuki doskonale odlane z ozdobnemi formami, rozchodzą się ztąd daleko w różne kraje, mianowicie na Wschód. Zakład ten winien głównie swe świetne powodzenie p. Hobeneggerowi, równie czynnemu jak uczonemu hutnikowi, i jest dowodem, że tylko prawdziwe teoretyczne ukształcenie naczelników, jest w stanie zapewnić hutnictwu metody odpowiednie postępom czasu, a właścicielowi niemałe kōrzyści.

Rozległe boki i grzbiety gór, tudzież doliny, w których Wisła bierze początek, za staraniem porządnego zarządu arcyksięcia Karola, okrywają gęste lasy we wzorowym porządku utrzymywane. Dzielą się na poręby, i po wycięciu bywają natychmiast zasiewane lub zasadzane; na wielu miejscach widać młode, rozwijające się bujno drzewa świerkowe. Tylko na szczytach grzbietów nie można było dotąd wprowadzić ładu. Szczyt Barani okrywają nieprzeliczone wywrócone drzewa. Wśród tych lasów, żyje mnóstwo ptaków najrozmaitszych gatunków; zyczyby należało, aby zostały bliżej zbadane i opisane przez jakiego ornitologa, a tém samém źródła Wisły pod każdym względem byłyby wyjaśnione.

Wpodłuż całego pasma Karpat, począwszy od Morawii aż do Bukowiny, mieszkańcy nazywają pojedyncze ich grzbiety, Bezkid, Bezki-dek; tak nazywają potężną górę nad stawami Gąsienicowemi w łańcuchu Tatrów. Geografowie przenieśli tę nazwę Bezkid do części Karpat między źródłami Wisły, a ujściem Raby; ja rozciągnąłem ją do Sanu. Granice te wszakże są zupełnie dowolne; proponowana przezemnie wartaby była utrzymania, wychodząc bowiem ze stanowiska geograficznego, obejmuje rzeki zmierzające do Wisły. Część Karpat na zachód, ciągnącą się od źródeł Wisły do Morawii, nazywają Biesławskimi górami, a na wschód od Sanu aż do Bukowiny, Bieszczadami. Wielu zastanawiało się, jaki ma źródłosłów ten niezwyyczajny wyraz. Są i dziwaczne wyprowadzania, niemające żadnej podstawy; do tego rodzaju należy oparte na brzęku słów tłumaczenie, jakoby od biesa pochodziło. Uważając pilnieć wymowę mieszkańców,



sposstrzegamy, że mówią Bezkid; a zatem nazwa ta nie ma z hiesem żadnej styczności. Mnie się zdaje, że następującym sposobem można wytłumaczyć źródłosłów tego wyrazu. W Karpatach szlązkich i galicyjskich aż do Krakowa, używają słowa *kidać*, co znaczy spadać, przewalać się na przeciwne strony; i tak mówią: śnieg *kida*, znaczy śnieg pada; albo też: śnieg *rozkidać*, przedzielić, aby środkiem mogła iść droga. Kid znaczy u górali szlązkich grzbiet góry, z którego w jedną i w drugą stronę nachylają się boki, i dlatego mówią przechodząc przez grzbiet, że idzie *bez kid*, i stąd może pochodzić nazwa Bezkidów. W Skoczowie, nazywają tylną część Baranięj, *kidem* baranim. Może być, że te domysły pobudzą jakiego z naszych badaczy językowych, do zgłębienia tego mało co znanego, a po całych Karpatach upowszechnionego wyrazu.

W nader rozkosznym położeniu nad Olsą, leży Cieszyn, stolica Szlązka Górnego. Porządne to miasteczko, otaczają amfiteatralnie długie grzbiety Bezkidów, malowniczo ugrupowane; pagórki otaczające to miasto, odznaczają się wyborną uprawą i bujną roślinnością. Do najcenniejszych budynków Cieszyna, należy starożytny zamek Piastowski, wznoszący się na pagórku, ponad miastem nad Olsą. Tak niewiele pozostało dawnych murów, albo tak są poodmieniane, że trudno rozstrzygnąć, co należy do dawnych czasów, a co do terażniejszych. Ogród zamkowy założony ze smakiem, odznacza się wieloma pięknymi krzewami; niemało zdobią go bujane drzewa tulipanowe, prócz innych mniej pospolitych. Mnóstwo małych folwarków otaczających Cieszyn, odznaczają się porządkiem i świadczą o dobrym byciu ich mieszkańców, i o wyższej znajomości rolnictwa.

Trzy mile na zachód od Cieszyna, kończy się mowa polską; rzeka Ostrawica odgranicza dwa pobratymcze plemiona: polskie i morawskie. Język ostatnich jest przedawniałym czeskim, którym mówią Słowacy w górnych Węgrzech, w hrabstwach trenczyńskim, nitrzańskim, zwolińskim, liptowskim na Spizu i t. d. Jest on nieco odmiennym od teraz wykształconego czeskiego.

Do uzupełnienia opisu okolic otaczających źródła Wisły, wypada mi jeszcze skreślić stronę południową Barani, gdzie się Soła poczyna. Dwie drogi prowadzą ze Szlązka do dolin, w których bierze początek rzeka ta: pierwsza od Cieszyna ciągnie się nad Olsą do Jabłunkowa, i stąd zwraca się na wschód i po wyniosłych grzbietych Bezkidów do Ładebnej; druga prowadzi z Ustronia także aż pod samą wieś Wisły. Godzinę trzeba stąd jechać doliną Wisły. Pra-

wie przy początku wioski Wisły, rozchodzi się droga; na prawo prowadzi do Izdebnój nad szumnym potokiem Głębiaczek. Na boku zwanym Gubałąka jest wzorowo utrzymana droga, chociaż pod wierzchem przez połowę szerokości jest niedokończona; miejscami są ułożone wielkie kamienie, skośno ustawione, niektóre zaś miejsca obsypane zwirem, ale co kilka sążni znajdowały się małe odstępki. Na zapytanie, co by to znaczyło? taką otrzymałem odpowiedź: Sęto skutki 1848 r.; każdy włościanin posiadający dom, miał obowiązek sporządzić wyznaczony kawałek drogi, dwór zaś dostarczał kamieni do budowy drogi, cegieł wapna i drzewa do robienia mostu. Właśnie gdy rozpoczęto tę drogę, nastąpiły poruszenia zesłoroczne; włościanie odrazu odmówili dalej około niej pracować, więc droga ta pozostała niedokończoną i jest w połowie zdalna do jazdy, a w drugiej połowie zupełnie bezużyteczna. Życzyłoby należało, iżby obie dwie strony chciały poznać własny interes i poczyniły stosowne ustąpienia, a przynajmniej dokończyły rozpoczęte prace. Na szczycie Gubałąki widać tylko czarne lasy; odtąd wyborzym gościńcem postępowaliśmy przez pół godziny wśród nich, aż wreszcie otworzyła się obszerna równina, podobnie jak wszystkie wyżyny mało co urodzajna, a wdała ukazała się rozległa wieś Izdebnna, składająca się z kucpek rozrzuconych domków. Chociaż niema pomiaru barometrycznego Izdebnój, łatwo poznać wprawne oko, że 2,000 do 2,500 stóp wznosi się nad poziomem morza; dowodzi tego nieurodzajność roli, a na glinie powłoki białego porostu z różowymi kropkami, podobne do świeżo spadłego śniegu.

Z Izdebnój jechaliśmy przez godzinę ku Kameśnicy po wyborzym gościńcu; kraj nie zmienił wcale fizyognomii właśnie opisaniej; tylko długie grunie występowały jedno za drugimi, wszystkie bezleśne, przedstawiały widok monotony. Zdawałoby się, że tu odmienny rodzaj ziemi, jak na przeciwniej pochyłości. Przypuszczenie to niczem nie jest usprawiedliwione. W niezbyt dawnych jeszcze czasach, wszystkie wzgórza stanowiące dolinę Soły i Koszarawy, należały do domu Wielopolskich; czy przez nadmiar dobroci, czy przez nieuwagę, nie wzbraniali oni rąbania lasów, i nieznać grunie to, kiedyś okryte gęstymi drzewy jak przy źródłach Wisły, stały się zupełnie nagiemi, i zaledwie dają teraz nieco paszy. Spuściwszy się do doliny, do wioski Kameśnicy, znaleźliśmy się nagle wśród bujnej roślinności. Wioska ta dotyka końcem północnym Soły, i rozciąga się właściwie nad jednym z ramion do niej wpadających. Jeden bok tego górskiego strumienia jest nader skalistym, i widać warstwy

piaskowca ustawione prostopadle, albo pod stromym kątem ku południowi zapadające. W całej okolicy sławny jest ogród w Kameśnicy, założony z wytwornym smakiem przez hr. Marcellego Potockiego; bujne drzewa, świeżej zieloności trawniki z znajomością rzeczy ugrupowane, tworzą nader miłe przeciwieństwa; ale najwięcej podwyższają piękność tego ogrodu widoki na okoliczne góry. Z jednej strony spoczywa oko na dolinie, w której rozciąga się długa wioska Kameśnica, odznaczająca się jakąś niewymownie świeżą zielonością; z drugiej strony widać długi grun Barani, okryty czarnym lasem świerkowym. Potocki był wielkim miłośnikiem ptaków, i pozakładał w ogrodzie mnóstwo domków i klatek w wielkim wymiarze, dla różnych mieszkańców powietrznych. Do ogrodu przytyka zwierzyńiec, w którym chowa się znaczne stado danieli. Niedawno przeszła ta majątność na własność arcyksięcia Karola; dawny właściciel zachował sobie do końca życia używanie pałacu i ogrodu, ale i z tego nie korzysta, bo chory żyje ciągle w Wiedniu. Aby zaokrąglić swe dobra w Szlązku, wspomniany arcyksiążę skupił prawie wszystkie wioski nad Sołą aż poza Żywiec.

Dwie godziny drogi odtąd trzeba postępować ku południowi, aby dotrzeć do źródeł Soły, poczynając się w rozciąglonej wiosce Sól, położonej na granicy Galicyi, Szlązka i hrabstwa trenczyńskiego w Węgrzech. Postępując nad Sołą, przybyliśmy do wioski Rajcza, wielce ozdobionej przez jej właściciela, p. Siemońskiego; założył on także młot do kucia żelaza, ale od pewnego czasu zaprzestał tej czynności; znać, że więcej znajduje korzyści sprzedając swe smukłe świerki do budowli, aniżeli spieniężając je przez kucie żelaza węgierskiego. Za Rajczą prawie na godzinę drogi, odległa jest górską wieś Sól, leżąca pod wyniosłym grzbietem, czarnym lasem okrytym. Nazwa tego siola pochodzi od źródła solą kuchenną nasyczonego, tryszcącego w samym środku tej wioski. W dawnych czasach warzono tutaj sól, jak to zaświadcza trzy potężne zapadnięte szyby, teraz okryte murawą i krzakami; jeden z nich widać był głównym, bo go najwyższy wał otacza, mający 25 kroków obwodu. Kronika Komonieckiego burmistrza żywieckiego świadczy, iż tutaj w r. 1664 sól warzono, i korzec po ówczesnym półtalarze sprzedawano. Teraz nie ma i śladu tych zabudowań; wydobywające się słone źródło zabite jest kamieniami i łem, a na polu zawieszona tablica ostrzega, iżby się nikt nie ważył używać go pod surową karą. Żałować należy, że ustawy nie dozwolają korzystać z tego daru natury, a przez to zwiększać się bogactwu narodowemu; wiadomo bowiem, ile sól wpływa na po-

prawę chowu bydła. Z jakiego wieku skał wypływa to źródło, trudno jest rozstrzygnąć; tyle tylko pewnego, że otaczające piaskowce mają podobieństwo do towarzyszących źródłom słonym we wschodniej Galicyi, a nieco są odmiennie mineralogicznie od piaskowców, zawierających pozostałości organiczne formacyi krédowej, a mianowicie spodniego jój ogniwa zwanego Neocomien. W samym końcu wioski, w dolinie zwanéj Czerna, znajduje się kopalnia rudy żelaznej (iłowy sferosyderyt mineralogów) właściwa formacyi krédowej. Aczkolwiek ruda jest tylko cienkim pokładem, bo zaledwie ma 3 cale grubości, a w stu częściach zawiera 18 do 20 żelaza, przecież z korzyścią wyrabiają żelazo w wielkim piecu Węgierskiej Górki, milę od Żywca oddalonym. Wzniesienie tego zakładu winna ta okolica również bystrości p. Hohenegger, który za pomocą trafnych metod, umiał ten zakład tak urządzić, że nie ustępuje najcelniejszym w Europie. W r. 1847 pięć wielkich pieców wraz z fryszerkami arcyksięcia Karola, przyniosło 840,000 złp. czystego dochodu. Zewnętrzność w mowie będącego zakładu, ze wszech miar jest powabną. Zdała podobny do miasta, zabudowanego w podłużny kwadrat; na jednym końcu wznoszą się dwa wielkie piece z obszernymi budowlami, w których mieszczą się ulewnie żelaza; na przeciwnéj stronie stoi pałac, zajęty przez zawiadowcę zakładu i kancelaryę do tegoż należące. Przestrzeń pomiędzy dwoma temi gmachami, wypełnia ozdobny ogród, pełen najpiękniejszych krzewów i kwiatów; boki kwadratu stanowią czyste i schlujne domki, zajmowane przez robotników. Za wielkim piecem wznoszą się niezmierne kupy rudy, a dla każdej miejscowości jest oddzielny kopic.

Na drodze z Węgierskiej Górki do Żywca, naprzeciw długiej wioski Cięcina, znajduje się godna uwagi osobliwość paleontologiczna. Właśnie przy wznoszeniu się drogi, sterczą skały konglomeratu szarego, z ułamkami czerwonego granitu. W téjto skale znajdują się małe soczewkowate skamieniałości, zwane *Nannulitami*, wewnątrz zwinięte w linię ślimakowatą, poprzedzielaną licznymi przegrodami; pomiędzy temi przegrodami znajdujące się próżne miejsca, wypełnia mineral, zielony jak smaragd, dziwnie pięknie odbijający od białych części skorupy.

Ubiór niewiast w dolinie Soli, począwszy od Kameśnicy do Żywca, jest dziwnie piękny; odziewają się zupełnie biało aż do trzewika, który wyjątkowo bywa różowym. Właśnie była niedziela, kiedysmy się udali z Węgierskiej Górki przez Milówkę, Rajcę do Soli. Góralki ubrane z wyszukaną czystością w niedzielne szaty, wychodziły z ko-

ściola; w chwili rozbiegły się na wszystkie boki, i zdawało się, że duchy z innego świata snują się po górach. Mężczyźni odziewają się jak wszyscy inni górale: to jest w brunatną gunię, tylko odróżniają się kapeluszem z wielkim obwodem, co ich zbliża do Słowaków węgierskich, mieszkających w hrabstwie trenczyńskim. Na wschód od Rajczy, prowadzi droga do górskiej wioski Ujsol. Mógłby kto wnosić, że nazwa ta naprowadza, iż się tu sól albo słone źródło znajduje; nikt wszakże o nich nic nie umiał powiedzieć, a wielu zaręczało, że tam niemasz nawet i śladu słonego źródła.

Ciekawy zachodzi związek pomiędzy początkiem Soły a Wisły; dwie te rzeki zbiegają z południa na północ, i płyną środkiem głębokich dolin, a przybywszy na równinę, odmienny bieg otrzymują. Wisła zatrzymuje przez pewien czas pierwotny kierunek, a dalej zwraca się na wschód; Soła przeciwnie nie zmienia kierunku, i połączwszy się przy Żywcu z Koszarową, płynie środkiem doliny żywieckiej. Zdawałoby się, że się tutaj zwróci w bok ku Białej i popłynie wśród niskich pagórków; ale tak nie jest: wprost płynie na góry, przerywa łańcuch Bezkidów, i ciasną szczeliną przedziera się środkiem potężnych grzbietów, złożonych z twardego piaskowca karpatowego, a przy Kobiernicach, wiosce blizkiej Kentów, wypływa na równinę. Niewątpliwie sprawiły to też same przyczyny, co z łona ziemi wydzwignęły wysokie grzbiety Bezkidów, co następnie poprzedziły je w przeciwnym kierunku, i wyznaczyły tym sposobem rzekom jeden bieg. Uwaga ta stosuje się nie tylko do Wisły i Soły, ale i do rzek dalej na wschód płynących, t. j. do Skawy i Skawiny. Pasma Bezkidów naprzód wzniosło się mniej więcej ze wschodu na zachód, a następnie popękało prawie prostopadle, i przez te szczeliny wysłały wody na nie spadające.



## HISTORIA ANGIELSKA MACAULAYA.

### WILHELM KSIĄŻĘ ORANII.— BURNET.— WILHELM I MARYA.

---

Oddawna żadne dzieło historyczne nie miało tego powodzenia w Anglii, co historia angielska od wstąpienia na tron Jakóba IIgo, przez p. Macaulaya. Została ona w przeciągu roku kilkakrotnie przedrukowana, i wzbudziła w publiczności tak wielkie zajęcie, że czytelnie londyńskie (czytaliśmy doniesienie jednej z nich w Athenaeum angielskiem) miewały po sto egzemplarzy Macaulaya (1).

Rzeczywista wartość historyka nie odrazu się ustala; sąd o Macaulaya dziele teraz wydany, byłby przedwczesny. Łatwo przecież rozróżnić powody wziętości, jaką w krótkim czasie dzieło jego nabyło; winno ją głównie malowniczo (pittoresque) sposobowi opowiadania, tyle przypadającemu do współczesnego smaku. Ta malowniczość osiągniętą została przez zaczerpnięcie z źródeł, które dawniejszy historyk zaniedbywał, lub niemi pogardzał. Pamflety, pisma ulotne, listy prywatne, dzienniki pisane, wszystko to, co czasem żyje i z nim umiera, starannie przejrane, dostarczyło p. Macaulay mnóstwo drobnych na pozór, lecz charakterystycznych rysów, któremi umiejętnie obrazy swoje uwydatnił.

Jeden rozdział jego dzieła (IIIci), opisujący stan Anglii za Karola II, jest prawdziwą inkrustacją, mozaikowym obrazem, najżywsze wzbudzającym zajęcie, prywatnej strony życia ówczesnego społeczeństwa angielskiego.

(1) Pierwsza część tego dzieła dotąd wyszła na widok publiczny, zawiera panowanie Jakóba IIgo i zajmuje trzy tomy w wydaniu lipskiem Tauchnitza, a 8½ zeszytów w zbiorze autorów angielskich, który od początku 1849 r. w tygodniowych zeszytach wydają Baudry i Galignani. Nie wspominamy tu o wydaniach angielskich, jako bez porównania droższych. Jeden tom edycyi Tauchnitza kosztuje 3 złote; 52 tygodniowych zeszytów wydania Baudrego i Galignaniego 58 frank.

Kreśląc charaktery ludzi stanu wpływających na rządy Jakóba IIgo, czyto u steru władzy, czy przez opór jój stawiany; Macaulay według nas niewszędzie dorównał najznamienitszemu z poprzedników swoich Mackintoshowi, któremu śmierć nie dozwoliła dokończyć historyi rewolucyi 1688 r. Halifax i Jeffreys silniejszym, nadewszystko klassyczniejszym pędzlem, wystawieni zostali przez Mackintosha. Za to całą moc swojego talentu rozwinął Macaulay w obrazie Wilhelma z Oranii, będącym niewątpliwie koroną całego dzieła. Krytycy angielscy chwalą także charakter Jakóba IIgo.

Zyczylibyśmy, aby się kto zajął polskim przekładem całej historyi Macaulaya. Znalazłaby licznych czytelników. Dla zaznajomienia czytającej publiczności z tym autorem, dajemy tu w przekładzie ustęp, który poświęcił na skreślenie charakteru księcia Oranii (początek rozdziału VII).

---

„Wilhelm Henryk książę Oranii Nassau, zajmuje w historyi Anglii i ludzkości tak wielkie miejsce, że nie będzie od rzeczy skreślić w drobniejszych nawet szczegółach silne rysy jego charakteru.

W roku 1688 miał on lat 37; lecz ciałem i duszą starszym był niż być zwykli ludzie jego wieku. Możliwy nawet powiedzieć, że nigdy nie był młodym. Powierzchność jego znaną nam jest prawie tak dobrze, co jego własnym wodzom i ministrom. Rzeźbiarze, malarze i medalierzy, ubiegali się na wyścigi rysy jego przekazać potomności; a rysy te były takie, że żaden sztukmistrz nie mógł w uchwyleniu ich chybić; że raz widziane, już się nigdy w pamięci nie zatarły. Imię jego wywołuje i stawia przed nas wątłą i słabą postać, wyniosłe i obszerne czoło, nos zakrzywiony jak dziób orła, oko walczące z orłem o śmiałość i jasność wejrzenia, brew myśli pełną i trochę smutną, usta mocno odznaczone i ponure, twarz bladą, zapadłą, głęboko zoraną śladami chorób i troski. Niepodobieństwem jest prawie, aby ta zamyślona, surowa i uroczysta postać, należeć miała do szczęśliwego i wesołego człowieka. Za to oznacza ona bez zawodu zdolność, równą najtrudniejszym zadaniom, i mężstwo, którego przeciwności i niebezpieczeństwa zachwiać nie zdołają.

Natura hojnie uposażyła Wilhelma przymiotami wielkiego rządcy; wychowanie podniosło te przymioty do niezwykłej potęgi. Moc zdrowego rozsądku i rzadka siła woli, odznaczały go od piérwszej chwili, w której umysł jego otwierać się począł, i w której ujrzał się sierotą bez ojca i matki, naczelnikiem wielkiego lecz straconego ze szczytu i opadłego na sercu stronnictwa, dziedzicem obszernych i nie-

określonych uroszczeń, wzbudzających obawę i wstręt oligarchii rządzącej wówczas połączonemi prowincjami (Holandyi). Lud prosty, nawykły przez całe stulecie miłować dom jego, ilekroć go ujrzał, okazywał mu w sposób niedozwalający się mylić, że go uważa za swego prawego naczelnika. Zdolni i doświadczeni ministrowie rzeczypospolitej, śmiertelni wrogowie jego imienia, przychodzili co dzień do niego, składać mu obłudne hołdy, i uważać na postęp jego ducha. Troskliwie dozierało ocknienia się jego ambicyi; każde niestrzeżone słowo, które z ust jego wyszło, było zapisane; nie miał doradcy na którego zdaniu mógłby poledz. Zaledwie doszedł lat piętnastu, gdy zazdrosny rząd oddalił z pod jednego z nim dachu wszystkich służących wiernych jego domowi, lub posiadających w jakimkolwiek stopniu jego zaufanie. Z energią wyższą nad lata, oparł się temu Wilhelm, lecz napróżno. Czujni dostrzegacze, nieraz widzieli wtedy łzy w oczach młodego więźnia stanu. Zdrowie jego z przyrodzenia słabe, upadło na czas jakiś pod ciosem wrażeń, rozpaczliwem położeniem wywołanych. Słabe charaktery marnieją w takich położeniach; w silnych obudza się cała moc, jaka w nich leży. Wplątany w sidła, w których zginąłby zwyczajny młodzieniec, Wilhelm nauczył się stawiać krok swój mocno i ostrożnie. Długo przedtém zanim doszedł męskiego wieku, wiedział jak zachować tajemnicę, jak zbić z toru ciekawych przez odpowiedź suchą i ostrożną, jak pokryć wszystkie namietności jednym pozorem spokojnej powagi.

Postępy jego w naukach i światowém obejściu nie były znaczne. Obyczajom holenderskiej szlachty owego wieku zbywało na tym wdzięku i dworności, jakich wzory w najwyższém udoskonaleniu znaleźć można było wtedy pomiędzy szlachtą francuzką, jakie w niższym cokolwiek stopniu krasily dwór angielski: obyczaje zaś Wilhelma były zupełnie holenderskie. Właśni ziomkowie nawet uważali go za prostaka. Cudzoziemcom nieraz wydawał się nieokrzesanym. W obejściu światowém nie umiał, lub zaniedbywał użycia sposobów, które podwajają cenę wyświadczonój łaski, i nawet odmowie wydzierają bolesne żądło. Mało zajmowały Wilhelma nauki i literatura. Odkrycia Newtona i Leibnitza, poezye Drydena i Boileau, pozostały mu nieznane. Nudziły go widowiska dramatyczne; rad rozmawiał o sprawach publicznych odwracając się od sceny, w chwili szalenstwa Oresta, lub kiedy Tartuffe ścisnął rękę Elmiry. Miał dosyć usposobienia do sarkazmu, i nierzadko rozwijał, nie wiedząc o tém, naturalną wymowę, osobliwą wprawdzie, lecz silną i oryginalną. Żadnego przecież prawa nie rościł sobie do imienia mówcy, ani chciał słynąć z dowcipu. Uwa-



ga jego zwróconą była wyłącznie do tych nauk, które tworzą dzielnych i roztropnych ludzi stanu. Dzieckiem będąc, już słuchał z zajęciem rozpraw nad wyższemi kwestyami polityki, finansów i wojny. Geometrii tyle tylko się nauczył, ile było potrzebném do wystawienia przyszańca lub kunety. Obdarzony pamięcią dziwnie potężną, tyle umiał języków, ile potrzeba było aby zrozumieć i odpowiedzieć bez niczyjój pomocy na wszystko, co do niego mówiono i na każdy list odebrany.

Rodowitym językiem jego był holenderski. Rozumiał po łacinie, włosku i hiszpańsku; mówił i pisał po francuzku, angielsku i niemiecku, nie wytwornie wprawdzie i niepoprawnie, lecz płynnie i zrozumiale. Żadne uzdolnienie nie mogło być nad to przydatniejszém dla człowieka, który życie swe spędził na organizowaniu wielkich koalicyj i przywódzeniu wojskom z różnych krajów zebranych.

Jeden rodzaj pytań filozoficznych narzucił się jego uwadze zbiegiem okoliczności, i więcój go zajął, niż można było się spodziewać po ogólnym jego charakterze. Pomiedzy protestantami prowincyj połączonych, równie jak pomiedzy protestantami angielskimi, dwa były wielkie religijne stronnictwa, schodzące się prawie zupełnie z dwoma wielkimi stronnictwami politycznemi. Naczelnicy muni-cypalnej oligarchii byli Arminianami, w oczach pospólstwa uważanemi za mało co lepszego od katolików. Księżęta Oranii dziedzicznie dawali opiekę kalwińskiej teologii, i zawdzięczali w niemałej części popularność swą gorliwości, z jaką trzymali się dogmatów wyboru i ostatecznego wytrwania; gorliwości niezawsze oświeconej nauką lub miarkowanej ludzkością. Wilhelm z dziecka został troskliwie wychowanym w systemacie teologicznym, do którego rodzina jego była przywiązaną, i zapatrywał się na ten systemat z stronnością większą nawet niż ta, którą ludzie zwykle mają dla dziedzicznej wiary. Długo zastanawiał się nad wielkimi pytaniami o których toczyły się rozprawy na synodzie w Durt, i znalazł w surowej i nieubłaganej logice szkoły genewskiej coś takiego, co przystawało do jego umysłu i temperamentu. Wszakże nigdy nie naśladował przykładu nietolerancyi, danego przez niektórych swoich przodków. Czuł stale wstręt do wszelkiego prześladowania i wyjawiał się z tém otwarcie, nietylko tam, gdzie to wyjawienie zgodne było z polityką, ale tam nawet, gdzie interes jego zdawał się nakazywać dyssymulacją lub milczenie. Z większą stanowczością przecież trzymał się swych teologicznych opinij, niż nawet jego przodkowie. Wiara w przeznaczenie (prede-

stynacją) była kamieniem węgielnym jego religii. Oświadczał często, że gdyby miał tę wiarę porzucić, musiałby przestać wierzyć w kierującą Opatrzność, i stać się czystym Epikurejczykiem. Ten jeden przedmiot wyłączwszy, wszystkie zresztą siły jego ducha, wcześniej przeciągnięte były od teoryi do praktyczności. Przymioty potrzebne do prowadzenia wielkich spraw stanu, dojrzały w nim w epoce życia, w której zaledwie kwitnąć zaczynają w zwyczajnych ludziach. Od czasu Oktawiana, nie widział świat przykładu tak wczesnej mądrości stanu. Znakomici dyplomaci dziwili się głębokim spostrzeżeniom, jakie siedmnastoletni książę czynił nad sprawami publicznemi; zdziwienie ich rosnęło jeszcze, gdy spostrzegli, jak młodzieniec dorównywał im w zachowaniu niczém niezakłóconej spokojności w położeniach, w których można było spodziewać się, że zdradzi go silna napiętność. Mając lat ośmnaście, zasiadał w gronie ojców rzeczypospolitej, poważny, oględny i roztropny, jak najstarszy między niemi. W wieku lat dwadzieścia jeden, w chwili przerażenia i osłupienia powszechnego, stanął na czele zarządu. Mając lat dwadzieścia trzy, już był sławnym w Europie jako żołnierz i polityk. Uśmierzył domowe fakcye, stał się duszą potężnej koalicji i walczył w zaszczytnych, choć niezawsze szczęśliwych bojach, przeciw największym generałom swego wieku.

Osobiście więcej był zamilowany w wojnie, niż w polityce; tak przecie jak pradziad jego, milczący książę, założyciel batawskiej rzeczypospolitej, zajmuje Wilhelm daleko wyższe miejsce między ludźmi stanu, niż między wojownikami. Wypadek bitwy nie jest niemylnym znakiem zdolności wodza; niesprawiedliwością byłoby zwłaszcza względem Wilhelma, sądzić go według tego wypadku, bo przypadło mu z losu mieć naprzeciw siebie wodzów, będących mistrzami w swój sztuce i wojska wyższe w karności od tych, którym przywoził do walki. Są wszakże powody mniemania, że nie wyrównywał jako generał ludziom, daleko niższym od siebie w umysłowej potędze. Z ludźmi swojego zaufania, sam mówił o tém z wielkomyślną szczerością człowieka, który wielkie rzeczy zdziaławszy, może bez ujmy wyznać swoje niedostateczności w niektórych względach. Mówił wtędy, że nigdy nie dosługiwał się w wojenném rzemiośle, że w młodzieńczym wieku postawiony został na czele armii, a między oficerami swemi nie znalazł żadnego, któryby mógł stać się jego przewodnikiem. Własne pomyłki i ich następstwa, służyły mu za jedyną naukę. „Dałbym” zawołał raz, „dobrą część mych włosów za to, żebym mógł być odbyć kilka kampanij pod wodzą Kondeusza,

zanim stanąłem przeciw niemu do walki". Rzeczą jest do prawdy podobną, że okoliczności, które Wilhelmowi stanęły na przeszkodzie w nabyciu wysokiej biegłości w strategice, wpłynęły korzystnie na siły jego umysłu w ogólności. Jeżeli bitwy stoczone przez niego nie okazują w nim wielkiego taktyka, dają mu za to tytuł do nazwy wielkiego człowieka. Żadna porażka nie mogła ani na chwilę zachwiać jego stałości, ani pozbawić go używania całej potęgi umysłu. Przegrane naprawiał z tak dziwną szybkością, że zanim nieprzyjaciele odśpiewali *Te Deum*, był znowu gotowym do spotkania; przeciwnie, szczęście, nigdy go nie pozbawiło uszanowania i zaufania żołnierzy. To uszanowanie i zaufanie, winien był w niemałej części osobistej odwadze. Odwagę w stopniu jaki jest potrzebny żołnierzowi, aby nie ściągnął na siebie hańby w czasie kampanii, posiada, lub przy właściwej wprawie mogłaby nabyć wielka większość ludzi; lecz odwaga taka jaką miał Wilhelm, rzadko się zdarza. Przeszedł on przez wszystkie próby: wojnę, rany, bolesne choroby, burzliwe morza, grożące ciągle niebezpieczeństwo zamordowania, niebezpieczeństwo wstrząsające najsilniejszymi nerwami, przed którym zachwiało się nawet dyamentowe męstwo Cromwella. Nikt przecież nie zdołał odkryć, czy było coś na świecie, czegoby się obawiał książę Oranii. Poufni jego zaledwie skłonili go potrafilo do użycia jakichkolwiek środków ostrożności, naprzeciw pistoletom i pugiłom spiskowych (1). Starzy majtkowie dziwili się układnej spokojności, jaką zachował wśród pieniących się bałwanów na niebezpiecznym wybrzeżu. Na polu bitwy waleczność jego odznaczała go pomiędzy tysiącami walecznych wojowników, wywoływała podziwienie wojsk nieprzyjacielskich, i nigdy nie została podaną w wątpliwość, nawet przez zawiść nieprzyjaznych facyj. W ciągu pierwszych swoich kampanij, narażał się jak człowiek szukający śmierci: pierwszy w napadzie, ostatnim był w odwrocie; walczył z mieczem w rękę wśród największego ścisku; ugodzony kulą muszkietową w ramię, zboczony krwią ciekącą po zbroi, jeszcze dostał na miejscu, i czapką wywijał wśród największego ognia. Przyjaciele zaklinali go, aby więcej szanował życie tak niezbędne dla kraju, a najznamienitszy z jego przeciwników,

(1) Przyjaciele Wilhelma błagali go po pokoju ryświckim, żeby mówił z posłami francuzkiemi względem knowań morderstwa, ciągle układanych przez Jakobitów z St. Germain. Zimna wielkoduszność z jaką te przedstawienia przyjął, jest szczególnie charakterystyczną. Bentinckowi, który mu zastraszające wieści przesłał z Paryża, Wilhelm odpisał w końcu długiego listu o interesach, te słowa tylko: „Pour les assassins je ne luy en ay pas voulu parler, croiant que c'était au dessous de moy”. A. 2/12 maja 1698 r.

wielki Kondusz, powodził po krwawej bitwie pod Senef, że książę Oranii we wszystkiem sprawił się jak przystoi na starego generała, prócz tego tylko, że się narażał jak młody żołnierz. Wilhelm przeczył, żeby miał dać się unieść nierozważnej odwadze. Mówił, że jeśli był zawsze tam, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, czynił to z uczucia powinności i z chłodnym rozważeniem tego, czego wymagał po nim interes publiczny. Wojska któremi dowodził, mało były wprowadzone do boju, i unikały silnego starcia z weteranami francuzkich zastępów. Komiczném było, żeby dowodzący pokazał im, jak się wygrywają bitwy. W rzeczy samej, niejedna bitwa, która zdawała się przegraną bez nadziei, naprawioną została przez wytrwałość, z jaką zbierał złamane swoje szeregi i własną ręką rąbał tchórzów, dających przykład uciezki. Niekiedy przecież zdawało się, że doznawał dziwnój rozkoszy w narażaniu swój osoby. Zrobiono spostrzeżenie, że nigdy nie był tak ożywiony, że obejście jego nigdy nie było tyle ujmujące, co wśród zgiełku i krwawych mordów bitwy. W rozrywkach swoich nawet lubił bodźce niebezpieczeństwa. Nie wzniewcały w nim zajęcia karty, szachy i billard. Polowanie było mu ulubioną zabawą, a lubił je najwięcej wtedy, gdy było niebezpieczne. Konno skakał przez takie parowy, że najsmielsi towarzysze nie śnieli puszczać się jego śladem. Najtrudniejsze polowania angielskie zdawały mu się zniewieściami, i wśród wielkiego windsorskiego parku, żał mu było zwierzyny, za którą uganiał się po lasach Gueledryj; wzdychał za wilkiem, dzikiem i ogromnym jeleniem o szesnastu rogach.

Śmiałość Wilhelma zastanawiała tém więcej, że fizyczna jego organizacya była niezwyčajnie delikatną. Z dzieciństwa był słaby i schorzały. W kwiecie młodości uległ silnej ospie, która pogorszyła jeszcze stan jego zdrowia. Miał usposobienie do astmy i suchot. Wątlą jego postać, wstrząsał mocny i nieustanny kaszel. We śnie musiał mieć pod głową kilka poduszek, i tylko w najczystszej powietrzu mógł ciągnąć oddech. Często dokuczał mu srogi ból głowy; ruch i mocne ćwiczenia ciała, męczyły go rychło. Lekarze ustawicznie podniecali nadzieje jego nieprzyjaciół, naznaczając kręś, poza który, jeśli cokolwiek było pewnym w medycynie, zniszczony organizm dłużej wytrwać nie mógł. A przecież przez ciąg życia, które było jedną długą chorobą, w każdej wielkiej okoliczności, silny duch Wilhelma krzepił cierpiące i wątłe ciało.

Urodził się z gwałtownymi namiętnościami i żywym uczuciem; lecz nic w nim nie zdradzało światu siły wzruszenia. Przed tłumem

smutek jego i wesele, przywiązanie i nienawiść, okryte były jedną osłoną pogodnej flegmatyczności, która mu zjednała opinią najmniejszego z ludzi. Kto mu przyniósł wieść pomyślną, rzadko w nim dojrzał znak zadowolenia; kto go widział po przegranej, napróżno upatrywał w nim śladu frasunku. Dawał pochwały i nagany, nagradzał i karał, z nieporuszoną spokojnością wodza czerwonych Indyan; lecz ci co go lepiej znali, co go otaczali zblizka, wiedzieli, jak silny ogień gorzał pod tą lodu powłoką. Rzadko gniew odbierał mu władzę nad sobą samym; lecz straszny był pierwszy tego gniewu wybuch, gdy go przywiedziono do zapamiętałości. Wówczas nie było bezpiecznie zbliżyć się do niego. W rzadkich tych zdarzeniach przecież, jak tylko odzyskał panowanie nad sobą, starał się tak nagrodzić tym, którym krzywdę wyrządził, że brała ich pokusa drugi raz wystawić się na jego zapalczywość. Równie gwałtowny był w przywiązaniu, jak w gniewie. Gdy kochał, kochał z całą energią męskiego ducha. Gdy śmierć rozłączyła go z ukochanym przedmiotem, tych kilku co byli świadkami jego rozpaczy, drżeli o jego rozum i życie. Dla małego kółka zaufanych przyjaciół, na których wierności i dyskrecyi mógł zupełnie polegać, był on człowiekiem odmiennym, od tego skrytego i stoicznego Wilhelma, którego tłum uważał wyzutyk ze wszelkich ludzkich uczuć. Był życzliwy, serdeczny, otwarty; dobry do biesiady i żartu, gotów trawić godziny przy stole, i mieć równy z drugimi udział w uciesznój rozmowie.

Najwyższych względów Wilhelma doznawał Bentinck, jeden z jego dworzan, potomek szlacheckiego rodu w swym kraju, i założyciel jednego z pierwszych magnackich domów w Anglii, (książąt Portland). Wierność Bentincka okazała się w nadzwyczajnej próbie. Właśnie w chwili, kiedy połączone prowincje walczyły o swoje istnienie przeciw Francji młody książę ku któremu zwracały się wszystkie nadzieje, zachorował na ospę. Choroba ta stała się zgubną dla wielu członków rodziny Wilhelma; w jego przypadku przybrała szczególnie złośliwy charakter. Smutek powszechny był wielki. Ulice Hagi napełniały się od świtu do zmroku ludźmi, dopytującemi się o stan zdrowia Jego Wysockości. Nareszcie choroba przesiliła się. Ten obrot jój pomyślny, przypisano w części jego własnej stałości umysłu, w części niezmordowanój i nieustraszonój przyjaźni Bentincka. Zrak Bentincka jedynie Wilhelm przyjmował jedzenie i lekarstwa; Bentinck jeden podnosił go z łóżka i kładł napowrót. „Czy Bentinck spał lub nie spał przez czas mojej choroby”, rzekł rozczulony Wilhelm do Williama Temple (posła angielskiego w Holandyi), „o tém nie wiem; lecz to wiem, że

przez szesnaście dni i nocy nigdy niczego nie zażądał, żeby Bentinck nie był zaraz przy moim boku". Nim wierny sługa służbę swą ukończył, sam zapadł na zaraźliwą chorobę. A jednak wytrwał mimo znużenia i febry, aż dopóki nie uznano, że Wilhelm wraca do zdrowia; wtedy dopiero Bentinck prosił o pozwolenie odejścia do domu. Czas było po temu; nogi dźwigać już go nie chciały, popadł w wielkie niebezpieczeństwo. Przyszedszy do zdrowia, jak tylko łóżko porzucił, pospieszył do armii, i w ciągu kilku krwawych kampanij zawsze był przy boku Wilhelma tak nieodstępnie, jak wśród niebezpieczeństw innego rodzaju.

Taki był początek przyjaźni równie gorącej i czystej, jak którakolwiek ze wspomnianych w dawnych lub nowych dziejach. Potomkowie Bentincka dotąd zachowują wiele listów pisanych przez Wilhelma do ich przodka, i nie powiemy zawiele utrzymując, że nikt kto w listach tych nie rozczytał się, nie może utworzyć sobie dokładnego wyobrażenia o charakterze księcia. Ten, którego wielbiciele nawet, uznawali za najwięcej odpychającego i najzimniejszego z ludzi, zapomina tu o wszelkiej różnicy stanu, i myśli swe wynurza ze szczerością studenta. Wyjawia bez ogródki tajemnice największej wagi; wykłada z zupełną prostotą zamiary, dotyczące wszystkich europejskich rządów. Udzielenia o tak ważnych przedmiotach, pomieszane są z innymi wielce odmiennymi, lecz niemniej może zajmującymi. Wszystkie przydarzenia, osobiste uczucia, przeciągłe łowy na ogromne jelenie, karuzele na dzień świętego Huberta, udanie się plantacyj, nieurodzaj melonów, stan stadniny, żądanie nabycia wygodnego siedła damskiego dla żony, przykrość jakiej doznał dowiedziawszy się, że jeden z jego dworzan uwiódłszy pannę dobrego domu, nie chciał się z nią ożenić; napady choroby morskiej, kaszel, ból głowy, usposobienia pobożne, wdzięczność dla Boskiej opieki po wyjściu z niebezpieczeństwa, walki staczane z samym sobą, by poddać się woli Bożej po odniesionej porażce — opisane są w tonie pogadanki, którego trudnoby spodziewać się po najskrytszym i najpoważniejszym człowieku stanu swojego czasu. Więcej jeszcze zastanawia wylanie się nieudane jego czułości, i braterski udział w domowym szczęściu przyjaciela. Kiedy syn urodził się Bentinckowi „będzie żył spodziewam się” mówi Wilhelm „na to, żeby być tak dobrym jak ty jesteś; a jeśli bym miał mieć syna, dzieci nasze będą się tak kochały, mam nadzieję, jak myśmy się kochali.” Przez ciąg życia swojego nie przestał okazywać małym Bentinckom ojcowskiego przywiązania. Daje im pieśczośliwie zdrobniałe imiona, ma o nich staranie w czasie nieobę-

ności ojca; i choć mu z przykrością przychodzi odmówić im jakiej-bądź przyjemności, nie pozwala im jechać na polowanie, na którémby jelen mógł ich rogami skaleczyć, lub musieliby późno w noc siedzieć przy zbyt wesołej wieczerzy (1). Kiedy ich matka zachorowała w czasie nieobecności męża, Wilhelm wśród zatrudnień największej wagi, znajduje czas w ciągu jednego dnia kilkakrotnie przesłać kilka słów wiadomości o stanie jej zdrowia. Raz nawet, gdy po silnym paroxyzmie uznano że wyszła z niebezpieczeństwa, ksiązę gorąco wyjawia wdzięczność swoją Bogu: „Piszę” mówi „ze łzami radości w oczach”. Jest wdzięk szczególny w takich listach skreślonych ręką człowieka, który przez niezwalczoną energią i nieugiętą stałość wymuszał uszanowanie nawet na nieprzyjaciółach, który zimném i mało ujmującym obejściem odpychał przywiązanie prawie wszystkich swoich stronników, i którego dusza zajęta była olbrzymimi planami, mającemi zmienić postać świata.

Nie umieścił źle swego przywiązania: Bentinck wczesnie uznany został przez Williama Temple za najlepszego i najwierniejszego sługę, jakiego kiedykolwiek ksiązę jaki posiadał, i przez ciąg życia utrzymał się w tym zaszczytnym charakterze. Rzeczywiście, przyjaciele byli jeden dla drugiego stworzeni. Wilhelm nie potrzebował przewodnika ani pochlebcy; polegając mocno i słusznie na swoim własném zdaniu, nie był skłonny mieć doradców, którzyby lubili czynić mu zarzuty lub nasuwać swe myśli. Z drugiej strony, zawiele miał rozeznania i zbyt wzniosłą duszę, aby mu sykofanterya przyjemność sprawiała. Powiernik takiego księcia, nie potrzebował być człowiekiem obdarzonym wynalazczym gieniuszem lub potężnym duchem; lecz winien był być walecznym i wiernym, zdolnym do wykonania rozkazów dokładnie, do zachowania tajemnic święcie, do baczenia czujnie, na to, co się wkoło niego dzieje i do udzielania swych dostrzeżeń prawdziwie; takim człowiekiem był Bentinck.

Wilhelm niemniej był szczęśliwym w małżeństwie, co w przyjaźni. Małżeństwo przecież z początku nie obiecywało mu wiele domowego szczęścia. Wybór jego skierowany został głównie politycznemi względami, i nie zdawało się, żeby silne przywiązanie mogło powstać między piękną szesnastoletnią dziewczicą, dobrych usposobień

(1) Voila en peu de mots le detail de nostre St. Hubert. Et j'ai eu soin que Mr. Woodstock (Bentincka syn najstarszy) n'a point esté à la chasse, bien moins au soupé quoiqu'il fut icy. Vous pouvez pourtant croire que de n'avoir pas chassé l'a un peu mortifié, mais je ne l'ay pas ausé prendre sur moy, puisque vous m'avies dit que Vous ne le souhaitez pas. Loo. Nov, 4, 1697.

wprawdzie i naturalnie pojętą, lecz nieuczoną i skromną, a między oblubińcem, który chociaż nie skończył lat 28, starszym był w organizmie swoim od jój ojca, zimnym w obejściu, i zawsze zajęтым albo publicznemi sprawami, albo uciechą łowów. Czas niejaki Wilhelm był małodbałym mężem. Oddały go od żony inne kobiety, mianowicie jedna z dam jój dworu, Elżbieta Villiers, ogołocona z wdzięków ciała i zeszpecona brzydkim zezem, lecz posiadająca talenta, uzdatniające ją do dzielenia zajęć i trosk Wilhelma. Wstydzil się on swych błędów i nie szczędził starań, ażeby je trzymać w ukryciu; lecz mimo wszelkiej ostrożności z jego strony, Marya wiedziała że nie był jój wiernym. Szpiegi i obmówcy z poduszczenia jój ojca, starali się jak mogli podniecać jój urazę. Człowiek wielce odmienny od nich charakterem, zacny Ken, który był kapelanem Maryi w Hadze przez czas niejaki, tak dotkliwie uczuł jój krzywdę, że więcej żarliwy niż oględny, wygrażał się ostro zganić mężowi jego postępowanie. Ona wszakże znosiła urazę ze słodyczą i cierpliwością, które zasługiwały i w końcu zjednały jój szacunek i wdzięczność Wilhelma. Zostawała przecież jeszcze jedna przyczyna zobojetnienia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa miał nadejść czas, w którym księżniczka, którą wychowanie nauczyło tylko haftować, grać na szpincie i czytać biblią i „o obowiązkach człowieka”, miała stać się władczynią wielkiej monarchii, i trzymać w swych rękach wagę Europy; gdy tymczasem mąż jój, ambitny, wprawny w działania stanu i żyjący wielkimi zamiarami, miał nie mieć w rządzie angielskim żadnego miejsca dla siebie, i piastować władzę tylko z jój łaski i tak długo, jakby się jój podobało. Nie może zadziwiać, że człowiek tyle lubiący władzę co Wilhelm, czujący w sobie tyle gieniuszu rządzenia, uczuł mocno zazdrość, która w ciągu krótkich godzin królowania poróżniła Guildforda Dudley z Lady Joanną, i jeszcze traicniej rozerwała związki Darnleja z królową Szkotów. Księżna Oranii nie dorozumiewała się wcale uczuć, jakie zawładły jój mężem. Nauczyciel jój, biskup Compton, starannie wpoił w nią zasady religii i umysł jój uzbroił przeciw polemice rzymsko-katolickich teologów; lecz zostawił ją w głębokiej niewiadomości co do ustaw angielskich, i co do własnego jój położenia. Znała, że ślub małżeński obowiązywał ją do posłuszeństwa mężowi, i nigdy jój w myśli nie powstało, że stosunek jój do niego mógł kiedyś obrócić się naodwrot. Dziewięć lat była za mężem, zanim odkryła przyczynę niechęci Wilhelma, a nawet sama przez się nigdyby do téj wiadomości nie była przyszła. W ogóle temperament jój męża usposabiał go raczej do trawienia w sobie



swych żalów, niż do wyjawienia ich na zewnątrz; a w tym szczególnym razie, bardzo naturalna delikatność jeszcze ściślej usta jego zamknęła. Nakoniec, zupełne porozumienie i zgodę między małżeństwem, przywrócił staraniem swoim Gilbert Burnet.

Pamięć Burneta spotkała przeciwników szczególnie złośliwych i zawziętych. Oczerniano go jeszcze za życia, szkalowanie trwa z równą mocą dotychczas, choć więcej wieku i ćwierci, jak legł w grobie. Rzeczywiście był on takim celem pocisków, jakiego tylko stronnicza zawziętość i bujny dowcip życzyć sobie mogły. Wady jego umysłu i temperamentu, leżały na powierzchni; niepodobna było w nie nie ugodzić. Nie byłyto wady pospolite jego współziomkom; sam jeden z tylu Szkotów, którzy mieli powodzenie i dostąpili znaczenia w Anglii, miał charakter, jaki satyrycy, moralści i komicy, zgodnie przyznali irlandzkim awanturnikom. Bujność jego sił żywotnych, chępliwość, niezatajona próżność, dziwny brak logiki, oburzająca niedyskrecya, zuchwałość niepowściągnięta, stały się niewyczerpanym przedmiotem szyderstwa torysów. Nieprzyjaźni nie omieszkali nadto składać mu powinszowań, czasami więcej uciesznych, niż delikatnych, z powodu szerokich pleców, grubych łydek i powodzenia w małżeńskich zabiegach o bogate i rozkochane wdowy. Wszakże Burnet, chociaż z wielu względów wystawiony na śmieszność, a nawet zasługujący na poważniejszą naganę, nie był człowiekiem, którymby gardzić można. Miał umysł bystry, zabiegłość niezmordowaną; ocytany był szeroco i w rozmaitych przedmiotach. Dziejopis i starożytnik, teolog i kaznodzieja, pisarz pamfletów i parlamentarny mówca, czynny naczelnik politycznego stronnictwa; we wszystkich tych kierunkach odznaczał się pomiędzy tłumem zdolnych współzawodników.

Pisał wiele i z talentem o wypadkach czasowych; te jego prace są przecież dzisiaj znane tylko badaczom: lecz dotąd wychodzą nowe wydania jego *Historji meich czasów*, *Historji Reformacyi*, *Wykładu artykułów*, *Rozmowy o obowiązkach duchownych*, *Życia Halego*, *Życia Wilmota*, i mieszczą się w każdym dobrym prywatnym księgozbiornie. W obec takiego faktu, wszystkie usiłowania oszczerców Burneta są nadaremne. Pisarz, którego wielotomowe dzieła w różnych gałęziach piśmiennictwa, znajdują licznych czytelników w lat sto trzydzieści po śmierci, mógł mieć wielkie wady, lecz obok nich, musi także mieć wielkie zalety. Miał je Burnet; umysł jego był silny i obfity, styl choć daleki od bezbłędnej czystości, zawsze jasny,

często ożywiony, czasem wznoszący się do wymowy gorącej i uroczystej. Na kazalnicy, postawa jego szlachetna, giest patetyczny, podnosiły wrażenie mów, mianych zupełnie z pamięci. Przerывał mu często głęboki szmer słuchaczy, a kiedy po długiej mowie podniósł w górę szklany godzinnik, będący w owe czasy niezbędnym meblem kazalnicy, zgromadzeni w kościele w głos zachęcali go, by nie ustawał, dopóki piasek drugi raz się nie przesypie. Wielkie zalety przeważały wady jego charakteru i umysłu. Dając się często uwodzić przesądom i namiętności, był przecież w całym tego słowa znaczeniu prawym człowiekiem. Nieraz uległ ułudzie próżności; lecz ani chciwość, ani bojaźń nie miały na niego wpływu. Z przyrodzenia był życzliwy, szlachetny, wdzięczny, przebaczący (1). Żarliwość jego w rzeczach wiary, miarkowała wrodzona ludzkość i uszanowanie dla praw sumienia. Mocno przywiązany do tego, co uważał być duchem chrześcijaństwa, obojętnie spoglądał na ustawy, nazwiska i formy kościelnych urzędów, i nie był wcale skłonny do surowości względem niewiernych lub heretyków, których życie było czyste, których błędy zdawały się raczej być skutkiem jakiegoś przewrotności umysłu, niż złości serca. Wszakże, jak wielu innych zacnych ludzi swego czasu, wyjątek od tych zwyczajnych prawideł sądenia czynił względem rzymskiego kościoła.

Przez czas niejaki Burnet miał imię europejskie. Wszyscy protestanci przyjęli z głośnym oklaskiem jego *Historią Reformacji*; katolicy uczuli dotkliwie cios przez nią zadany. Największy doktor, jakiego kościół rzymski wydał od czasu rozdzielenia w wieku XVIym, Bossuet biskup meldeński, gotował odpowiedź na to dzieło. Burnet uczczonym został dziełczynieniem uchwalonym przez jeden z żarliwych parlamentów, zasiadających w czasie wzburzenia, wywołanego przez spisek prochowy, i wezwanym w imieniu izby niższej angielskiej do nieustawiania w dziejowych poszukiwaniach. Królowie Karol i Jakób przypuścili Burneta do poufnego towarzystwa; zostawał w ścisłej za-

(1) Nikt częścięj ani ostrzeż nie przeczył twierdzeniom Burneta nad Dartmouth'a. Wszakże sam Dartmouth mówi: „Nic mniemam, aby z zamiarem Burnet ogłosił cośkolwiek, o fałszu czego byłby przekonany”. Nawet Swift był tyle sprawiedliwym, że wyrzekł o Burnecie. „Cóżkolwiek bądź, przyznać trzeba, że był to człowiek szlachetny i dobry.”

Weszło w zwyczaj ganić Burneta, jako dziejopisa szczególnie niedokładnego; wszakże i ten zarzut jest niesprawiedliwy. Wydaje się dlatego tak niedokładnym, że opowiadanie jego poddane zostało krytyce nadzwyczaj ścisłej i nieprzyjaznej. Gdyby whig jaki podobnemu rozbiorowi poddał Reresbego pamiętniki, *Examen Northa*, *Opis rewolucyi przez Mulgrave*, lub życie Jakóba II wydane przez Clarka, okazałoby się, że Burnet daleko prześcignięty został w niedokładności przez drugich.

żyłości z znakomitemi ludźmi stanu, szczególnież z Halifaxem, i był przewodnikiem duchownym kilku innych znamienitych osób. Nawrócił z ateizmu i rozwiązłości jednego z najbliższych libertynów wieku, Jana Wilmot hrabiego Rochester. Lord Stafford, ofiara Oatesa, chociaż katolik, zbudowany został w ostatnich swoich chwilach napomnieniami Burneta w tych punktach, na które wszyscy chrześciance zarówno przystają. W kilka lat później, Burnet towarzyszył innemu osądzonemu, jeszcze znamienitszemu, Lordowi Russel w drodze z Tower na rusztowanie w Lincoln Inn Fields. Dwór nie zaniedbał żadnego środka zjednania sobie tak czynnego i zdolnego duchownego. Nie oszczędzano ani przymień królewskich, ani obietnic zyskownego uposażenia. Lecz Burnet, choć w młodych latach wpojono w niego zasady uległości, których się trzymało ówczesne duchowieństwo, z przekonania został whigiem, i przez wszystkie losu koleje stale trzymał się swych zasad. Nie miał przecież udziału w spisku, który tyle ujmy przyniósł i taką plamę rzucił na stronnictwo whigów, i nie tylko oburzał się na zbrodnicze zamiary Goodenougha i Fergusona, lecz nawet był zdania, że jego kochany i szanowny przyjaciel Russel, posunął się zadaleko w działaniach swoich przeciw rządowi. Nakoniec przyszedł czas, w którym niewinność przestała być dostateczną obroną. Zemsta dworu zaczęła ścigać Burneta, chociaż w niczem praw nie przekroczył. Udał się na ląd stały, i spędziwszy rok jeden na podróżach po Szwajcaryi, Włoszech i Niemczech, których zajmujące zostawił nam opisy, przybył do Hagi, i został tam przyjęty z poważaniem i życzliwością.

Rozmawiał często z księżną o polityce i religii, i w krótkim czasie został duchownym jój przewodnikiem i poufnym doradcą. Wilhelm okazał się daleko gościnniejszym, niż można się było spodziewać. Ze wszystkich wad, najdolegliwsze było dla niego wścibstwo i niedyskrecya; a przyjaciele nawet i wielbiciel Burneta przyznawali, że w następczaniu się i niedyskrecyi, nie miał sobie równego. Lecz roztropny książę dostrzegł także, że ten wielomówny ksiądz co chwila wygadujący się z tajemnicami, czyniący zapytania niestosowne i narzucający się z nieproszoną radą, był pomimo to prawym, odważnym i zdolnym człowiekiem, wielce obeznanym z usposobieniem i widokami sekt i stronnictw brytańskich. Sława wymowy i erudycyi Burneta rozeszła się szeroko. Wilhelm sam niewiele czytał. Lecz w owój chwili już od lat wielu stał na czele rządu holenderskiego, w wieku w którym prasa holenderska była jedną z najsilniejszych dźwigni poruszających opinią europejską, i chociaż nie smakował w piękno-

ściach literatury, zbyt był przenikliwy i uważający, aby nie dostrzedz, jaką mogła stać się pomocą.

Wiedział on, że popularny pamflet mógł czasem oddać tyle usługi, co zwycięstwo w polu. Czuł również potrzebę mienia przy boku swoim osoby dobrze obeznanej z tokiem spraw cywilnych i kościelnych Brytanii, a Burnet mógł wybornie służyć za żyjący słownik tych stosunków. Wiadomości jego lubo niezawsze dokładne, były niezmiernie rozległe, i mało było w Anglii i Szkocji znakomitych ludzi jakiegokolwiek politycznego lub religijnego stronnictwa, z któremiby nie przestawał. Z tych względów przypuszczony został do takiego udziału w łasce i zaufaniu księcia, jakie posiadał ktokolwiek z tych, co nie należeli do szczupłego grona prywatnych przyjaciół księcia. Gdy doktor zaczął pozwalać sobie, co mu się nierzadko zdarzało, jego protektor stawał się więcej niż zwykle zimnym i ponurym, i czasem wyrzekł suchy i krótki sarkazm, który byłby oniemiał każdego obdarzonego tylko zwyczajną dozą ufności w sobie. Pomimo takich wydarzeń przecież, przyjaźń między tą osobliwą parą nie zerwała się, i z wyjątkiem przerw chwilowych, dotrwała do śmierci. Nie było rzeczą łatwą zranic uczuć Burneta. Wewnętrzna satysfakcja, bujność sił żywotnych, brak taktu, sprawiała, że choć często drugich urażał, sam nigdy obrażonym się nie czuł.

Wszystkie właściwości jego charakteru, usposabiałały go do stania się pojednawcą między Wilhelmem i Maryą. Kiedy osoby, które powinnyby szanować się i kochać wzajemnie, zostają w rozdwojeniu, jak się często zdarza, z przyczyny, którą trzy słowa szczerego objaśnienia usunąćby zdołały; szczęściem jest dla nich, jeżeli znajdą zbyt otwartego przyjaciela, który całą prawdę wypowie. Burnet bez ogródki powiedział księżnie, jakie uczucia ogarnęły duszę jej męża. Dowiedziała się po raz pierwszy z niemalém swoim zadziwieniem, że kiedy posiedzie tron angielski, Wilhelm nie zajmie na nim miejsca. Z uczuciem oświadczyła Marya, że nie było dowodu małżeńskiej uległości i przywiązania, któregooby dać nie była gotowa. Wtedy Burnet z wieloma wymówkami i z uroczystém zaręczeniem, że żadna ludzka istota nie włożyła mu w usta tego, co miał powiedzieć, rzekł jej, że lekarstwo ma w swoim ręku. Kiedy korona przejdzie na jej głowę, mogłaby wtedy księżna, mówić dalej, skłonić parlament nie tylko do nadania tytułu królewskiego swemu mężowi, lecz nawet do przeniesienia w jego ręce przez akt prawodawczy zarządu władzy, „Lecz” dodał „Wasza Królewska Wysokość winnaś dobrze rzecz rozważyć, zanim takie swoje postanowienie objawisz. Jestto posta-

nowienie, które raz objawione, nie może bezpiecznie ani z łatwością być odwołaném". „Nie potrzebuję czasu do namysłu", odpowiedziała Marya, „dość dla mnie, że mam sposobność okazać moje poważanie dla księcia. Powiedz mu com rzekła, i przywiedź go do mnie, aby to usłyszał z własnych ust moich". Burnet poszedł szukać Wilhelma, lecz Wilhelm był oddalony o mil wiele, polując na jelenie. Nazajutrz dopiero stanowcze widzenie się nastąpiło. „Nie wiedziałam do wczoraj", rzekła Marya „że taka różnica zachodzi między prawami Anglii i prawami Boskiemi. Lecz teraz obiecuję Ci moje uległość na zawsze, a w zamian tego tylko żądam, że jak ja zachowam przepis nakazujący żonom posłuszeństwo dla mężów, tak ty zachowasz przepis chcący mieć, aby mężowie kochali swe żony." Tak szlachetne przywiązanie zjednało jój zupełnie serce Wilhelma.

Odtąd aż do smutnego dnia, w którym musiano go przemocą odprowadzić od śmiertelnego jój łóża, panowała między nimi zupełna przyjaźń i zaufanie. Przechowało się dotąd wiele listów Maryi pisanych do Wilhelma; zawierają one liczne dowody, że człowiek uchodzący w oczach tłumu za mało godnego kochania, natchnął piękną i cnotliwą kobietę, urodzeniem wyższą od niego, miłością posuniętą do bałwochwalstwa. Burnet oddał krajowi swemu usługę wielkiej wagi. Nadszedł czas, w którym zgoda zupełna między księciem i księżną, stała się rzeczą obchodzącą dobro pospolite.

Do chwili uśmierzenia powstania na zachodzie Anglii, istniały przyczyny poróżnienia, oddalające Wilhelma od whigów zarówno co od torysów. Z niezadowoleniem spoglądał on na usiłowania whigów, pozbawienia władzy wykonawczej niektórych atrybucyj, potrzebnych, według jego mniemania, do skuteczności i godności tej części rządu. Z większém jeszcze niezadowoleniem widział potuchę, daną przez znaczną część tego stronnictwa roszczeniom księcia Monmouth. Zdawało się, że opozycja chciała najprzód uczynić koronę angielską niewartą noszenia, a potem ją włożyć na głowę bękarta i samozwańca. Z drugiej strony przeciw religijne mniemania księcia różniły się wielce od tych, które były godłem torysów. Byli oni Arminianami i zwolennikami systemu episkopalnego. Z góry poglądali na protestanckie kościoły stałego ładu, i każdy wiérsz liturgii i rubryceli, uważali za mało ustępujący w świętości ewangelii. Mniemania księcia, przeciwnie, co do metafizycznej strony teologii były kalwińskie; mniemania jego co do rządu kościoła i sposobu oddawania czci Bogu, były wolnowierne (latitudinarian); przyznawał on, że rząd biskupi był dopuszczalną i stosowną formą rządu kościelnego; lecz

powstawał ostro i pogardliwie na bigoteryą tych, którzy utrzymywali, że wyświęcenie było istotną cześcią chrześcijańskiego społeczeństwa. Nie miał żadnego skrupułu w przedmiocie ubiorów duchownych i ceremonij, przepisanych przez księgę publicznego nabożeństwa (Book of Common Prayer). Lecz przyznawał, że więcej lubiłby obrządki kościoła anglikańskiego, gdyby mu mniej przypominały obrządki kościoła rzymskiego. Słyszano z ust jego złowróżby wykrzyknik niesmaku, gdy w prywatnej kaplicy swój żony ujrzał ołtarz nakryty sposobem anglikańskim, i zdał się być niezadowolonym, znalazłszy w jej ręku dzieło Hookera O zarządzie kościelnym.

Bacząc uważnie na spory stronnictw angielskich, Wilhelm nie czuł w sobie ku żadnemu z nich zbytniego pociągu. W rzeczy samej, do końca życia nie został whigiem ani torysem; brakowało mu do tego wspólnej podstawy obu kierunków; nigdy nie został Anglikiem. Ocalił Anglią, to prawda, lecz nigdy jej nie kochał, i nigdy nie zyskał jej miłości. Dla niego było zawsze kraj wygnania, odwiedzany niechętnie, opuszczany z rozkoszą. Nawet wtedy, gdy oddawał Anglii usługi, których do dziś dnia czują Anglicy szczęśliwe skutki, pomyślność Anglii nie była głównym jego celem. Cokolwiek było w nim patryotycznego uczucia, wszystko zachował dla Holandyi. W tym kraju wznosił się grobowiec wspaniały, w którym spoczywał wielki mąż stanu, którego krew, którego imię, którego temperament i gieniusz Wilhelm odziedziczył. W tym kraju sam dźwięk jego tytułu, miał urok zdolny wywołać, przez trzy pokolenia, entuzyazm przywiązania ludności wiejskiej i rzemieślniczej. Język holenderski był językiem Wilhelma od powicia. Między szlachtą holenderską wybrał sobie przyjaciół młodości. Zabawy, budownictwo, krajobrazy rodzinnej ziemi, uwieżyły jego serce. Do niej obracał się z zamiłowaniem od dumniejszej i piękniejszej rywalki. W galerji Whitehallu, wzdychał za rodzinnym domem w lasku pod Hagą, i nigdy nie był tyle szczęśliwym, jak gdy mógł zamienić przepych Windsoru, na skromniejszą daleko rezydencyą w Loo. Przez czas świetnego wygnania pocieszał się, starając tworzyć wokoło siebie widoki, któreby mu przypominały regularne gmachy z czerwonej cegły, długie kanały i symetryczne zagony kwiatów, pomiędzy którymi spędził wiek swój młody. Wszakże nawet przywiązanie do rodzinnej ziemi ustępowało pierwszeństwa innemu uczuciu, które wcześniej stało się panującym w jego duszy, które pobudziło go do zadziwiających przedsięwzięć, które dawało mu siłę gdy upadał pod ciężarem zgryzot, zawodów, choroby i troski, które pod koniec życia zdawało się gasnąć czas jakiś, lecz wkrótce wybuchło gwałtowniej-

sze niż kiedy, i nie przestało ożywiać go wówczas nawet, gdy czytano przy jego łożu modły za umierających. Tém uczuciem była nieprzyjaźń ku Francyi i ku pełnemu wystawności władcy, który w niejednym względzie był przedstawicielem swego narodu, łącząc do zalet i przymiotów prawdziwie francuzkich, tę niespokojną, niezważającą na nic, i częściej sławy pełną ambycją, co niejednokrotnie ściągnęła na Francją mściwy odwet Europy.

Nietrudno byłoby śledzić postępu tego uczucia, które stopniami posiadało całą duszę Wilhelma. Za ledwie wyrosł z lat dziecinnych, ojczyzna jego została napadniętą przez Ludwika z jawném pogwałceniem słuszności i prawa publicznego, ubieżoną, spustoszoną i wydaną na łup rabunków, swawoli i okrucieństwa. Przerażeni Holendrzy unieżyli się przed zdobywcą i błagali o łaskę. Odpowiedziano im, że jeżeli chcą mieć pokój, mają zrzec się niepodległości i corocznie składać hold domowi Burbonów. Skrzywdzony naród, przywiedziony do rozpacz, otworzył tamy i przyzwał morze na sprzymierzeńca przeciw jarzmu francuzkiemu. Konała już ta straszna walka; zatrwożeni włościanie uciekali przed zdobywcami, setne ogrody i letnie mieszkania znikły pod wodą, obrady stanów płzerywał jęk i głośny płacz starych senatorów, gdy Wilhelm powołany został do steru rządu. Czas jakiś mniemał, że nie było nadziei w oporze. Oglądał się naokoło za pomocą, i oglądał się napróżno: Hiszpania była bezsilną, Niemcy zajęte w innéj stronie, Anglia przekupiona. Zdawało się, że nie pozostawało młodemu Statuderowi nic więcej, jak zginąć z bronią w ręku lub zostać Eneaszem wielkiej emigracyi, i założyć nową Holandją w krajach poza obrębem tyranii francuzkiej. Wówczas żadna zapora nie wstrzymywałaby wzrostu domu Burbońskiego; kilka lat jeszcze, a dom ten mógłby przyłączyć do swoich państw: Lotaryngią i Flandryą, Kastylią i Aragon, Neapol i Medyolan, Meksyk i Peru. Ludwik mógłby posiadać koronę cesarską, mógłby umieścić księcia swojej familii na tronie polskim, mógłby stać się jedynym władcą w Europie od pustyń Scytyjskich do oceanu Atlantyckiego, a w Ameryce od krajów na północ zwrotnika Raka, do krajów na południe zwrotnika Koziorożca położonych. Takie widoki otwierały się przed Wilhelmem, gdy pierwszy raz wystąpił na widownię życia publicznego, i nie przestały go dręczyć aż do ostatniej chwili.

Monarchia francuzka była dla niego tém, czém rzeczpospolita rzymska była dla Hannibala, czém potęga ottomańska dla Scanderbega, lub południowe jarzmo dla Wallasa. Religia uświęciła tę wyteżoną i nieubłaganą nienawiść. Setni kaznodzieje kalwińscy głosili, że

ta sama moc, która z łona matki przeznaczyła Samsona na bicz Fili-  
stynów i od klepiska młocki obrała Gedeona na pogromcę Madyani-  
tów, wyniosła Wilhelma z Oranii na rycerza swobodnych naro-  
dów i nieskażonych ustaw kościoła. Wyobrazenie to nie zostało bez  
wpływu na niego. Zaufaniu, które bohater fatalista pokładał w wyso-  
kości swego przeznaczenia i świętości swój sprawy, przypisać w czę-  
ści należy osobliwszą jego obojętność na niebezpieczeństwa. Miał  
wielkie dzieło przed sobą, i zanimby spełnione zostało, nie nie mogło  
o szwank go przyprowadzić. Dlatego na przekorę przepowiedniom le-  
karzy, przychodził do zdrowia z chorób, które zdawały się śmier-  
telnymi; dlatego tłumy spiskowych napróżno godziły na jego życie;  
dlatego otwarta łódź, której powierzył się w noc bezgwiazdną, na  
wzburzonem oceanie, w pobliżu zradnego wybrzeża, bezpiecznie  
niosła go do lądu; dlatego w dwudziestu krwawych bitwach, kule  
armatnie przelatowały obok niego na prawo i na lewo. Zapal i wy-  
trwałość z jaką poświęcił się na wypełnienie swój misji, zaledwie  
mają coś podobnego w dziejach. W porównaniu z wielkiem swoim  
zadaniem, równie mało cenil życie drugich, co swoje własne. Naj-  
szlachetniejsi nawet i najwięcej przejęci uczuciem ludzkości wojowni-  
cy owego wieku, zanadto przyzwyczajeni byli lekce sobie ważyć  
rozlew krwi i spustoszenie, nieodłączne od wielkich wojennych prze-  
wag; a serce Wilhelma zahartowała nietylko nieczułość właściwa  
wojennemu rzemiosłu, lecz silniejsza jeszcze, którą wyradza uczucie  
powinności. Trzy wielkie koalicje, trzy długie i krwawe wojny,  
w których cała Europa od Wisty do Zachodniego oceanu stanęła pod  
bronią, przypisać należy niezwalczonój jego energii. Kiedy w roku  
1678 Stany wyczerpane na siłach, upadłe na sercu życzyły pokoju,  
głos jego ozwał się jeszcze przeciw zawarciu miecza w pochwę. Je-  
żeli pokój stanął, stanął jedynie dlatego, że Wilhelm nie mógł natchnąć  
drugich duchem tak palającym i tak stałym, jak jego własny. W osta-  
tniej nawet chwili spodziewając się, że przez to rozerwie układy prawie  
już ukończone, stoczył jedną z najkrwawszych i najzaciętszych bitew  
owego wieku. Od dnia, w którym pokój w Nimwedze został podpi-  
sany, począł myśleć o drugiej koalicji. Zatarga jego z Ludwikiem  
przeniesiona z wojennego pola do gabinetu, rozjątrzona została przez  
prywatną urazę. Współzawodnicy odśrodkowo różnili się od siebie  
w talentach, usposobieniu, obojętności i mniemaniach. Ludwik uprzejmy  
i pełen godności, hojny i oddany rozkoszy, lubiący okazałość, a uni-  
kający niebezpieczeństw, szczodry opiekun sztuk i nauk, srogi prze-  
śladowca kalwinów: przedstawiał dziwną sprzeczność z Wilhelmem,



skromnym w gustach, niezręcznym w obejściu, niezmordowanym i walecznym w boju, mało ceniącym wszystkie gałęzie wiedzy, służące ozdobie, i stale przywiązany do genewskiej teologii. Dwaj nieprzyjaciele niedługo zachowali te wzajemne względy, które ludzie ich stopnia, nawet na czele wojsk sobie przeciwnych, rzadko zachować zaniedbują. Wilhelm wprawdzie przeszedł przez formalność ofiarowania swych usług Ludwikowi; lecz grzeczność ta ocenioną została według istotnej wartości, i odwzajemnioną suchą reprimandą. Wielki król przybrał postawę udanej pogardy względem drobnego księcia, będącego w służbie konfederacyi miast kupieckich; na każdą oznakę pogardy, niezrażony niczem Statuder odpowiadał w sposób wyzywający. Wilhelm brał swój tytuł, który wypadki poprzedniego wieku zrównały z najświetniejszymi w Europie, od miasta leżącego na brzegach Rodanu, niedaleko od Awinionu; które lubo, tak jak Awinion, było opasane naokoło ziemią francuzką, stanowiło przecież lenność nie Francyi, lecz cesarstwa. Ludwik z tą przekorną wzgardą dla prawa publicznego, jaka go stale odznaczała, zajął Oranią (Orange), zniósł fortyfikacye i skonfiskował dochody. Wilhelm powiedział w głos przy swoim stole, że król arcy-chrześcijański odraża tej zniewagi, a zapytany przez hrabiego Avaux czy wyrzekł te słowa, nie chciał ani ich cofnąć, ani dać objaśnienia. Spór zaszedł tak daleko, że poseł francuzki nie śmiał okazać się w salonie księżnej, obawiając się zniewagi.

Uczucie z jakim Wilhelm spoglądał na Francją, wyjaśnia całą politykę jego względem Anglii. Jako człowiek publiczny, był on człowiekiem europejskim. Głównym przedmiotem jego pieczołowitości nie była Brytania, ani nawet rodzinna jego Holandia, lecz wielka społeczność narodów, którym groziła przewaga przemożnego mocarstwa. Ci, którzy błędnie uważają go za angielskiego człowieka stanu, muszą koniecznie całe jego życie widzieć w fałszywem świetle, i nie są zdolni wskazać jakkolwiek zasadę, dobrą lub złą, whigowską lub torysowską, do którejby główne jego działania można odnieść. Lecz gdy go będziemy uważali jako człowieka, którego właściwem zadaniem było połączyć mnóstwo słabych, zwaśnionych i zniechęconych państw w jeden silny i energiczny związek przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi; gdy go będziemy uważali jako człowieka, w którego oczach Anglia dlatego miała wielką wagę, że bez niej wielka koalicya, którą zamierzał, byłaby niepełną: zmuszeni będziemy przyznać, że żaden z dłuższych zawodów, o których historia

wspomina, nie był od początku do końca więcej jednostajnym, co  
zawód tego wielkiego księcia (1). F. Z.

(1) Nie mogę odmówić sobie przyjemności przytoczenia nieprzyjaznych  
wprawdzie, lecz trafnych i szlachetnych słów Massillona o charakterze Wilhelma.  
„Un Prince profond dans ses vues, habile à former des ligues et à reunir les  
esprits; plus heureux à exciter les guerres qu'à combattre; plus à craindre encore  
dans le secret du cabinet qu'à la tête des armées; un ennemi que la haine du  
nom Français avait rendu capable d'imaginer de grandes choses et de les exe-  
cuter; un de ces génies qui semblent être nés pour mouvoir à leur gré les peuples  
et les souverains; un grand homme s'il n'avait jamais voulu être roi” Oraison fu-  
nèbre de M. le Dauphin.

---

# WIEŚ KRUPA.

ZDARZENIE HISTORYCZNE Z 1715 ROKU.

PRZEZ

*Antoniego Dzieniarzkiego.*

---

## I.

Byłoto na wiosnę, roku 1715. Głód straszny w swoich skutkach, okropny dla biédnych, opanował całą Czerwoną-Ruś, i niemal całą Polskę, opustoszoną grabieżą wojsk obcych, i nierządem wewnętrznym.

Sasi, których August II sprowadził nibyto na obronę przeciw Szwedom, wyprzedzali w łupieztwie skandynawskich zbirów, i ślady swoje odznaczeni grabieżą i okrucieństwem.

Dymity się zgliczcza licznym miast i wiosek, gromady psów wyły w opustoszołych siedzibach, a nieszczęśliwi mieszkańcy w niedostępne bory unosili życie; na to tylko zapewne, aby doświadczyć okropniejszej męczarni — męczarni głodu.

Niedoli téj nie miał kto zapobiedz: bo owe świeczniki rzeczypospolitój, ci panowie, na których po większej części spoczywał rząd kraju, nie mieli czasu myśleć o poddanych i drobniejszych braciach, bo głowy ich obciążone były nadziejami starostw, buław hetmańskich, lasek marszałkowskich, lub pieczęci koronnych; nie mieli pieniędzy na wsparcie biédnych, ponosząc tak wielkie wydatki na kupno głosów i krések.....

Nędza i ucisk wywołały konfederacją Tarnogrodzką, na której czele stanęli ci, co nie mogli znośić obojętnie cierpień biédnego ludu.

Czy konfederacja ta odpowiedziała swemu celowi, każdy przekonana się z historii; my tylko opowiemy tu małe wprawdzie, ale dość interesujące zdarzenie.

W Krupie (1), wiosce pod Krasnymstawem, należącej niegdyś do słynnego w naszych dziejach Samuela Zborowskiego, okropna nędra przycisnęła biędnych wieśniaków. Wszystkie chaty nawiedził głód tak ciężki, że dzwony nie przestawały jęczeć nad nieszczęśliwymi jego ofiarami, i co dzień na kościelnym cmentarzu przybywało kilka lub kilkanaście świeżych mogił.

— Tatulu! chleba, chleba!— wołał w jednej z takich chatek mały chłopiec, siedzący koło komina, na którym już oddawna nie było ani isierki ognia.—Mnie się jeść chce, tatulu—izanosił się od płaczu.

— Cicho Jacusiu, cicho! Matula dadzą ci chleba, tylko ze dwora wróca—mówiła dwunastoletnia dziewczynka, tuląc małego brata.

Biędny ojciec stał oparty o ścianę z rękami w krzyż splecionymi. W ponurém jego spojrzeniu widać było tę rozpaczliwą myśl: pomrzemy z głodu!!...

— Kasiu, napal ognia, bo matula będą gotować wieczerzą. Pan da chleba i kaszy. Kasiu, napal ognia—wołało dziecko.

Dziewczynka chciała pójść do komina, ale zatoczyła się i upadła.

— Co ci to?— zapytał ojciec.

— Nic, potknęłam się....

— O Matko Boska! o święty Antoni Rodecznicki (2) ratuj nas!—zawołał biędny ojciec domyślając się powodu, który pocziwa dziewczynka ukryć przed nim chciała.

— Nie turbujcie się tatulu—odpowiedziało dziewczę patrząc zaszłemi od łez oczyma w blade lica nieszczęśliwego ojca—nie turbujcie się! Śnił mi się dziś św. Antoni, tak, jak go widziałam w obrazie w Rodecznicy; tylko zamiast gałazki, w drugiej ręce trzymał chleb, i ten nam podawał. Może téżto i tak będzie.

— A tymczasem pomrzemy!....

— Ej, kto wam to powiedział.... Żeby tylko Jacusia zaspokoić, to jabym jeszcze i dwa dni nic nie jadła....

— A po dwóch dniach?

— Po dwóch dniach.... Św. Antoni nas pożywi....

(1) Krupa, wieś pod Krasnymstawem. Dawniej własność Zborowskich, później z Kunegundą córką Samuela Zborowskiego przeszła w dom Gnoińskich, a od nich nabyli ją Skotubowie.

(2) Rodecznica, wieś pod Szczebrzeszynom. Słynna klasztorem OO. Bernardynów, zbudowanym na wyniosłej górze w miejscu, gdzie około roku 1670 objawił się kilkakrotnie św. Antoni. Liczne cuda, opisane szczegółowo w księgach klasztornych, zgromadzają do Rodecznicy po kilka tysięcy pobożnych z różnych stron; a zachwycające położenie zdobi to piękne i wznioste ustronie. Michał Korybut w czasie krótkiego swego panowania zwiedził te miejsca, i był przy poświęceniu kościoła.

— Daj to Boże!.... ale....

Nie dokończył, bo w progu chatki ukazała się jakaś postać bardziej do widma, niż do istoty żyjącej podobna.

— Matula! — krzyknął dzieciak, i dobywając ostatnich sił, jeszcze głośniej dodał — jeść! jeść!! — Potrzeba było wtedy widzieć twarz matki, aby oddać całą okropność tego obrazu.

Dziecię wołało chleba, a ta wracała do chaty z czém?... z próżnemi rękoma!....

— O mój Boże! o moje dzieci! — zawołała nieszczęśliwa, i z bolesnym jękiem rzuciła się na ławę.

— Franciszko! uspokój się, obejdzimy się jeszcze bez chleba — powiedział biedny ojciec, doświadczając już wszystkich męczarni głodu.

— Matulu nie płacz, nam się jeść nie chce — mówiła Kasia przyklękawszy przed matką, i obejmując drobnymi rękami jej szyję.

Jeden tylko Jacuś wołał: — jeść, jeść!....

— O! i gdzież on ma sumienie ten nasz pan! — zawołała rozpaczająca matka. — Zebrałam garści zboża, kawałka chleba; płakałam, mówiłam, że mi dzieci umierają z głodu.... A on!.... on kazał mię wypchnąć za bramę i powiedzieć, żeśmy więcej winni, jak warci z duszami!.... Pan, pan!.... ma komory pełne zboża, a nam każe umierać z głodu. O niech go Bóg ciężko skarże, nie za mnie, ale za moje dzieci!....

— Matulu, nie klnijcie tak strasznie! My nie pomrzemy, nam św. Antoni da chleba; ja go widziałam, ot tak, jak was widzę. Matulu, bądźcie spokojni — mówiło dziewczę łkając od płaczu.

— Jeść! jeść! — krzyczał chłopiec.

— Ha, pójdę ja jeszcze do niego — zawołał biedny ojciec, chwytając za siekiere; — pójdę, i jeżeli nie da nam chleba, to.... — i oczy jego domówiły resztę.

— Nie chodźcie tatulu — przemówiło dziewczę, obejmując go wpół. — Pan was każe obić. Nie chodźcie!

— Dałbyś pokój Pawle, u niego kamienna dusza.

— Zobaczę! — I rozpaczający ojciec odtrącił usiłującą zatrzymać go dziewczynkę, odwrócił się od żony, i miał wychodzić, gdy z podwórza ozwały się jakieś głosy.

### III.

— I tu panie wielka bieda — przemówił siwy starzec Jakób Pro-mik, najstarszy gospodarz wioski, otwierając drzwi izby i puszczając przed sobą dwóch ze szlachty, zbrojnych w szable i pistolety.

Kasia pobiegła schować się za piec, dziecię przestało krzyczeć.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— odezwał się szlachcic w granatowym kontuszu.

— Na wieki wieków. A co panowie chcą? ja nic nie mam, niedługo sam i z temi biédnymi dziećmi pomrę z głodu!....

— Dzieci! moje dzieci!—zawołała matka załamując ręce.....

Jacuś znowu zaczął płakać.

— Uspokójdźcie się moi ludzie, ja od was nic nie chcę—odrzekł szlachcic, wylotem kontusza ocierając kurz z czoła—ja może chcę wam co pomódz; ależ przecie macie pana, i do tego jeszcze bogatego?

— I cóż nam po jego bogactwie, kiedy nie ma nad biédnymi litości..... Panowie! u niego zboże pleśnieje, do niego zjeżdżają się kupcy Bóg wie zkąd, a my umieramy z głodu.

— I czemuż się do niego nie udacie?

— Tać żonka dopiero co wróciła.

— I cóż?

— Kazał ją wypchnąć za bramę i powieźć, żeśmy więcej winni, aniżeli z duszami warci.

— Szelma! ceni cudze dusze, a jego i pół tynfa nie warta!!—zawołał szlachcic chwytając za rękojeść karabeli; potém zaś obracając się do Jakóba Promika sołtysa, dodał:—A może to tylko gadki, może i on nie ma, może Sasi zabrali.

— Wielmożni panowie! jak Bóg żywy, u niego zboża pełne komory. Co dzień kilkadziesiąt ładownych wozów wywozi go w dalekie strony; a Sasi jak mieli zabrać, kiedy w zamku wały, okopy, i hajduków co niemiara; oni tylko biédnych ludzi obdarli.

— To się z nim pobawimy!—mruknął szlachcic, i obróciwszy się do swego towarzysza, dodał: — Waść, panie Otkiewicz, pojedziesz zaraz do Tarnogóry i powieśz Grabowskiemu, żeby mi jutro przed wschodem słońca, było tu z półtorasta tęgich zuchów, co to się i pęcaku, nietylko krupy, nie zlékną. Trzeba z tym pankiem porachować się, co jego dusza warta. A wy o tém nikomu ani mru-mru! bo we wsi są wierzby, a i postronków nie zabraknie.

— Ale Wielmożny panie, nasz pan będzie myślał, żeśmy na niego nasłali.

— Jużto nie twoja w tém głowa. Jedź panie Otkiewicz, a spraw się gracko!

— Jać to niezwykły inaczéj—odrzekł drugi szlachcic, i skłoniwszy się granatowemu, wyszedł z izby.

— No, ależto do jutra jeszcze daleko, a głodnemu leniwo słońce chodzi; pójdźno gospodarzu do mego pachotka i przynieś sakwy.

Starzec spełnił rozkaz, i po chwili wrócił, niosąc dwa rzemieńne worki, które przewieszano przez konia. Szlachcic dobył z nich bułkę chleba, kawał wędzonki, flaszkę gorzałki, i podał je kobiécie.

— Weź matko, pożywcie się choć trochę, bo to tylko do jutra.

Biédni, jakby cudem prawie ocaleni od strasznych męczarni głodu, rzucili się do nóg szlachcica, oblewając je łzami wdzięczności.

— Niéma za co dziękować — wołał szlachcic usuwając się — jutro dopiéro, jutro! — A potém obróciwszy się do starego wieśniaka, dodał: — Jakóbie, chodźmy daléj!

I wyszli, nieść taką samą radość w inne lepianki.

### III.

W krupiańskim zamku (1), co stare czasy i Zborowskich pamięta, mieszka pan Paweł Skołuba, szlachcic dawnéj parenteli, i jak się nazywa, pan z panów.

On się tak nazywa, ale ludzkie wieści inaczéj gwarzą; bo mówią, że Pawełek przed czterdziestą laty wycierał różne kąty, i nie z jednego pieca chléb jadał; że powstał z cudzych włości, i z cudzéj kieszeni, a nawet coś jeszcze gorzéj.... Ale że teraz ma zamek, włości i piéniądze, to tam na te baśnie nikt nie zważa; i one ulatują sobie swobodnie, nieprzejęte w drodze, nie powtórzone głośno, i malejące coraz bardziéj.

Widać, że one nawet zacierają się w duszy pana Skołuby, bo on dawniéj pragnął tylko piéniędzy, zamków, włości: dla nich gotów był wszystko poświęcić, i podobno poświęcił. Teraz zaś inne jakieś myśli go obsiadły, i brzęczą mu do ucha: starostwa, godności, urzędy.....

I jakaś niezwykła szczodrota opanowała go od roku. On, co dawniéj unikał ludzi, sprasza okoliczną szlachtę, częstuje, poi, i czapką i papką, jak to mówią, wszystkich przynęca. Nie musi to być bez celu, bo chociaż po każdéj uczcie w dwójnasób wyciska z biédnych

(1) Samuel Zborowski, ów burzliwy przewodnik partyi niechętnych, obawiając się ciągle kary, którą mu wielki Jan Zamojski przepowiedział, a chcąc na przekór udawać, że się jéj nie lęka i przebywać w obrębie jégo władzy, jako starosta krasnostawskiego; zbudował warowny zamek w Krupie, i często w nim przebywał. Gnoińscy, mając inne włości, rzadko w nim mieszkali. Teraz na miejscu zamku, już tylko gruzy widziéć można.

ostatnie prawie zasoby, jako człowiek rachunkowy nie marnowałby tak z potem sumienia nabytego grosza, gdyby na coś nie kroił.

Bo tak dawniej jak i teraz, w sercach ludzkich goszczą jednakie prawie namiętności; czas tylko dodaje im orężę i przystraja harcówników to w ciężkie puklerze, to w lekkie zamorskie stroje. Czyny są odbiciem wieku: w sercach zmieniają się tylko dekoracye.

Dzień nachylał się już do schyłku. Słońce ostatniem spojrzeniem obiegło błękitne sklepienia swego wielkiego gmachu; lekkim całunkiem powiedziało dobranoc zamkowym wieżom, i uciekło, jak figlarna dziewczeczka, kryjąca się w sypialni przed kochankiem, rozmazonym jój widokiem. Leciuchny wietrzyk poruszył młodemi listkami zieleniejących się krzewów, które westchnęły za słońcem, i wkrótce łzami żalu zrosiły swoje odzież.

Pan Skołuba siedział przy ulubionym kantorku i kreślił na papierze różne jakieś litery, z których zawsze prawie wiązały się te wyrazy: „Starostwo Hrubieszowskie”. Pan Skołuba mile na nie patrzył, bo to dzieci jego te myśli, pielęgnowane tak starannie, okupywane tyloma wydatkami!

Wtém przed zamek zajechała cztero-konna kolasa i dano znać, że pan starosta krasnostawski przyjechał w gościnę (1).

Pan Skołuba wdział lepszy kontusz, przypasał go słuckim amarantowym pasem, zamknął kantorek i wyszedł na spotkanie starosty.

— Witam pana mego i brata — przemówił starosta, podając rękę kłaniającemu się nisko Skołubie. — I cóż tu słyszeć?

— Złe starosto: głód, jeść się chce. Pan starosta o nas nie pamięta.

— Błuźnisz, panie mój i bracie, bluźnisz! Ty jeden swoim chlebem mógłbyś całe województwo wyżywić; ale wymawiasz się od téj świętej przysługi, a sprzedajesz zboże żydom, którzy biędny lud z ostatniej koszuli obdzierają.

— Miłościwy starosto! Kiedy są ludzie, co śmiać mówić, że z Krasnegostawu pisują się listy do króla Stanisława (2); dlaczegożby nie mieli się znaleźć i tacy, co spotwarzają biędnego szlachcica o tak niegodne czyny?

(1) Wacław Rzewuski, który był później pisarzem polnym koronnym.

(2) Dom Rzewuskich stale sprzyjał Stanisławowi Leszczyńskiemu, i po śmierci Augusta II wielełożył starań do powrócenia mu korony. Zob.: „Krótki opis krótszego panowania Naj. Stanisława Leszczyńskiego. Lwów, w drukarni Soc. Jesu, 1743”.



Starosta zchmurzył czoło; nie podobała mu się przymówka o liściach, wyrzeczona właśnie przez usta tego, który uchodził za saskiego stronnika.

Pan Skołuba aż się uśmiechnął w duszy nad zręcznie wymierzonym razem, którym ugodził starostę w tój właśnie chwili, kiedy ten chciał go złapać na słowo.

Weszli do komnaty, wysłanej kobiercami: jedyny zbytek, jakiego sobie pan Skołuba, i to dopiéro od roku pozwoił. I starosta usiadłszy za stołem, odrzekł:

— Bóg niech sądzi sprawy tych, co nie spełniają przyrzeczonej wiary, i tych, co niesłusznie potwarzają ludzi; my wróćmy do tego, co nas najwięcej interesować powinno: do głodu! Przyznasz, mój miły panie bracie, że aż strach przejechać po naszych wioskach; pogrzeb za pogrzebem. Wszystko to są skutki nieszczęśliwych zapasów i przyjacielskiej pomocy żołnierzy nadelbiańskich. Ale trudno! Bóg nas karze za nasze winy; przyjmijmy z pokorą te objawienia jego gniewu, i starajmy się, o ile możność nam pozwala, ulżyć niedoli bliźnich naszych. Nie wymawiajże się mój panie sąsiedzie, od obywatelskiej przysługi, i otwórz twoje składy dla biędnych okolicznych mieszkańców, tak, jak zrobili panowie Zamojscy w Szczebrzeszynie, Domaszewscy w Wysokiem, Stamirowscy w Żółkiewce; jak zresztą, nie chwając się, i ja zrobiłem. A potém, gdy klęska przeminie, podaj na moje ręce spisana wartość zboża, a ja szlacheckim słowem zaręczam, że ci wyjednam zapłatę taką, jakiej się nawet nie spodziewasz.

— Wszystko byłoby to bardzo dobrze, i może nikt nie wyprzedziłby mię w bratniej posłudze, gdyby składy moje były tak obfite, jak wymienionych dopiéro panów; ale trudno, mój miły i wielce szacowny starosto: ja sam muszę się łokciem, jak to mówią, mierzyć, aby i dla mnie wystarczyło.

— A cóż znaczą te ładowne fury, które widzę w podwórzu?

— One rozwożą zboże po moich wioskach; święty to, najpiérwszy obowiązek.

Starosta westchnął, bo poznał, że nic nie wskóra z zaciętym skąpcem, który wiedział, jak owe obietnice zapłaty były śliskie; i że ci tylko na nich polegali, co powodowani uczuciem ludzkości, nie myśleli o sobie.

— No i cóż? Więc odrzucasz moje prośbę, panie bracie; prośbę nie za sobą, ale za biędniemi?

— Kiedy dopełnić jój nie mogę!

— Żartuj zdrów! Ależ panie, powinienesz przecie obejrzyć się, że czyn taki doszedłby uszu króla, i że on ma w ręku sposoby wynagrodzenia go sownie.

Panu Skołubie w téj chwili stanęły w myśli wyrazy, które niedawno składał, i oczarowany ich brzmieniem, odrzekł:

— Więc, gdybym za własne pieniądze, z którymi się nie taję, zakupił w Kazimierzem zboże, i rozdał je biednym, czyn ten byłby przedstawiony królowi?

— Czy możesz o tém wątpić?

— I czy dałby mi nagrodę, jakiéby od niego zażądał?

— Nie wiem; żądania są czasem bez granic.

— Moje nie należy do ich liczby.

— Cóżbyś więc chciał, panie bracie?

— Hrubieszowskiego starostwa.

— Heł... zaprawdę, niezła chęćka; ale, jak sądzę, królby ci tego nie odmówił.

— Czy tak?

— O zapewne!

— I starosta dajesz mi swoje słowo, że się za mną wstawisz?

— Najchętniej.

— Zgoda.

— Jaktó?

— Jutro będę u starosty i dam ostateczną odpowiedź.

— Czemuż nie dziś?

— Wypada wprzód obrachować się z kieszenią.

— No niech i tak będzie; ale słowo.

— Słowo, że będę u starosty.

— Zgoda.

— Tomaszu! — zawołał pan Skołuba: — przynieśno tam z piwnicy parę pleśnianek, tych, co to wiész... — Po chwili wrócił Tomasz, niosąc dwie posiwiatle butelki i dwa dość spore kielichy. Na ich widok starosta aż się uśmiechnął; widać podobały mu się ich lica. Węgrzyn ubrał kielichy złotą obrączką; rozmowa się ożywiła, starosta zapomniał o listach pisywanych z Krasnegostawu, i żegnając pana Skołubę, zaklął się na *verbum nobile*, że będzie hrubieszowskim starostą.

Już pan Wacław Rzewuski siedział w kolasie, kiedy obrócił się raz jeszcze do gospodarza, i zawołał:

— Panie mój i bracie, pamiętaj, jutro!

— O tak, jutro niezawodnie.

I starosta odjechał, a pan Skołuba wrócił do siebie. W uszach brzmiał mu jeszcze wyraz: jutro niezawodnie....

Niezawodnie!... Jaki ten człowiek mały w pojęciu o jutrze.... On mówi niezawodnie, a rzeczywistość wykładając po kolei karty jego godzin, uśmiecha się z jego głupoty. Gdyby powiedział, że jutro niezawodnie słońce zejdzie, że wiosna ubierze drzewa kwiatem, nie omyliłby się pewnie; bo natura nie drży przed fatalnym dniem jutra. Ale, gdy powie, że jutro niezawodnie uczyni to lub owo, sam natrzęsa się ze swój słabości!

Człowiek i przeszłość to czyn. Człowiek i przyszłość — to nic.

#### IV.

Słońce zeszło, i nie spotkało żadnej chmurki. Młode jego dziatki poweselały z jego przyjściem; zwracały ku niemu swe piękne główki, z których słońce opiekuńczą swą dłonią, ocierało kroplistą rosę. Wiosna zajaśniała w każdym źdźble trawy, w każdym liście; przemawiała w każdym wiatru powiewie. Wszystko wychylało się z kolebki nowego życia, strojne jasnemi szaty; jeden tylko krupiański zamek, wypłowiałem okiem patrzył na te hasanki natury, bo on, doświadczony starzec, wiedział co to potem z tego będzie.....

Pan Skołuba wstał rano, ale oczy miał niewesołe: na twarzy znać było znużenie i walkę wewnętrzną. Przeszedł się kilka razy po swojej komnacie, wyszedł na podwórze, pogadał z kupcami, którzy z odległych stron po zboże przybyli, i raniiej jeszcze wstali. To go wprawiło w gorszy jeszcze humor. Obliczał, wieleby to dukatów weszło do jego szkatuły, gdyby nie to fatalne słowo; słowo, które obłożyło jego serce kilkoma centnarami ciężaru! „Ha! — pomyślał sobie — nie wyrzekłem przecież ostatecznie, że rozdram zboże; mogę się cofnąć. Cofnąć... ale w tej chwili przebiegła przez jego głowę myśl strojna w hrubieszowskie starostwo... i dodał: — nie, nie wypada.

Gdy pan Skołuba tak się biedzi, granatowy szlachcic, otoczywszy się swemi zuchami, co to, jak powiedział, i pęcaku, nietylko krupy się nie złączą, podstępnie pod zamkowe okopy.

Gdyby nie zbyt uczynna ufność właściciela zamku, że stronnikowi saskiemu nikt w oczy zajrzeć nie odważy się, niełatwoby granatowy szlachcic, choć ze swemi zuchami, dostał się do zamku, w którym niegdyś dumny pan Samuel bezpiecznym się sądził od siły groźnego przeciwnika. Gdy jednak pan Skołuba, zaufany kartą saskiego generała, rozpuścił utrzymywanych dawniej hajduków, i nie kazał poprawiać palisad, a nawet zaniechał zwodzić mosty; konfederaci znaleźli

przystęp bardzo łatwy, i kiedy znać dano panu Skołubie, że jakieś wojsko zbliża się do zamku, już wszystko było zapóźno.

— Zamykać bramy! — krzyknął — uzbroić ludzi; będziemy się bronić!...

Ale jednocześnie z temi słowy, kilkadziesiąt konfederatów, wysadziwszy krasnostawską bramę, wpadło w podwórzec zamkowy.

Łom upadającej bramy, brzęk zbroi, grzmot wystrzałów, zrzuciły straszliwą trwogę i zamieszanie. Służba kryła się w najcięższe zakąty, żydzi błagali litości; tłumy konfederatów zasypały podwórze i dolne komnaty. Pan Skołuba zaś przepadł bez wieści.

Co się z nim stało, gubiono się w domysłach: bo nikt go nie widział uciekającego, nikogo nie zabito, a nawet nie raniono; jednakże nikt go nie mógł wyszukać. Tylko granatowy szlachcic musiał coś wiedzieć, bo marszczył czoło, kiedy go o to pytano.

Słońce jasne, czyste świeciło na czystém niebie. Przed krupiański zamek schodziły się gromady ludzi, zajeżdżały wozy. Szlachcic w granatowym kontuszu dzielił pomiędzy nich zapasy pożywienia, a dzielił sprawiedliwie; upominał, aby nie marnowano datku, i proszono Boga za długoletnie życie pana Pawła Skołuby.

Biedni ludziska często z rzewnemi łzami wznosili ręce do nieba, i spieszyli co tchu do swoich chat, bo tam czekała ich rodzina; tam dziatki wyciągały wyschłe od głodu dłonie, tam wyglądano ich przybycia, jak wyroku życia, lub śmierci. Jakato jest wartość chleba!...

Tymczasem, choć ze wszystkich pobliskich wiosek gromadziły się liczne tłumy biędnych, choć im nie mierzono zboża na kwarty, komory zamkowe mało się wypróżniały. Szlachcic zostawił sobie trzydziestu swoich, a resztę rozesał w dalsze strony, aby i tam zanieśli wiadomość o dobroczynności pana Pawła Skołuby, dziedzica krupiańskiego zamku.

Lecz pan Skołuba nie wracał; i dziwniejsze jeszcze powstały domysły, gdy szlachcic zaczął wmawiać, że król August wezwał dziedzica Krupy do siebie, aby go wynagrodzić za ocalenie tylu ludzi od głodu.

— Niedługo już wróci — dodawał zawsze.

A dworscy kiwali głowami, i niebardzo wierzyli słowom szlachcica; zwłaszcza, że widziano go odwiedzającego co noc zamkowe podziemia, które w dzień jak najstaranniej zawsze były zamknięte.

## V.

Minął dzień piąty pobytu konfederatów w zamku krupiańskim. Piękny majowy wieczór, cichy, pogodny, zapełnił powietrze swoim wiosennym tchnieniem.

W wiosce ognie pogasły. Wieśniacy poszli spoczywać po całodziennych trudach; sen ich był cichy: z łaski pana Skołuby mieli chleb powszedni, a przy zdrowiu, nie im prawie ni trzeba więcej. I w zamku także sen się rozgościł; tylko przy bramach odzywały się szerokie kroki straży, odbite o kamienne chodniki.

Jednak granatowy szlachcic jeszcze nie spał: przechadzał się po izbie, a gdy było blisko północy, zapalił woskową świeczkę, dobył z za cholewy klucz, wziął jakieś naczynie z kominka, na którym dopalały się głównie grabowego drzewa, i małą flaszeczkę, napętnioną płynem, i wyszedł.

.....  
W ostatniej komorze zamkowego podziemia sklepionej w arkady, u wnijscia, tliła się lampa, rzucając blade, przelotne światło, przytłumione jeszcze zgęszczonemi wyziewami, które jak obłoki, unosiły się pod sklepieniem.

Ściany, porośnięte pleśnią, służyły za kryjówki owadom, wyglądającym z rozpadlin, jakie się dokoła znajdowały.

Światło, jakkolwiek bardzo słabe, dziwiło jednak tych mieszkańców ciemności; bo niemal w każdej rozpadlinie ujrzyć można było to głowę węża, to świecące oczy płatkowatej ropuchy, przyglądające się lampie.

Po prawej stronie od wejścia, stał stół nakryty, a na nim wędliny, chleb i bakalie. Po lewej, pod ścianą, na słomie, leżał człowiek w poszarpanej odzieży, z okropnym, przerażającym spojrzeniem. Czasem, jakby miotany wściekłością, zwłókł się z postania, czołgał się do stołu, i już był blisko, już go dosięgał, gdy zgrzytnął łańcuch którym był przykuty do ściany, i nie pozwolił mu ani kroku dalej postąpić. Wtedy rzucał się znów na słomę, targał włosy, darł odzienię, gryzł własne ręce. Doświadczał wszystkich męczarni głodu!

W tém sklepieniu powtórzył się najprzód skrzyp otwierającego się zamku, potem powolne kroki, i granatowy szlachcic stanął u wnijscia do komory.

— Szatanie! barbarzyńco!—zawołał więzień.—Idziesz urągać się moim męczarniom, przeklęty!—A potem dodał:—Litości, litości!

— A ty miałeś litość nad biédnemi? Przypomnijno sobie tę matkę, której dzieci umierały z głodu, a ty kazałeś ją wypchnąć za bramę!... One to samo cierpiały, co ty cierpisz!...

— Och winienem! zasłużyłem; ale już dosyć kary!

— Tu, na tym świecie, ale na tamtym? O, tam rachunek będzie trudniejszy. Odkryją się mogiły, powstaną ci, co z głodu w twoich wioskach pomarli, i szarpać będą twoje wnętrzności...

— Tak, jak teraz głód je szarpie! O straszne, o okropne męczarnie!

— Doświadczasz ich! a kiedy tysiące wyciągały do ciebie ręce, tyś zatykał uszy na ich prośby, i sprzedawałeś chleb, którego oni łaknęli.

— Litości, aniele czy szatanie, litości!... Albo dobij, niech się już dłużej nie męczę.

— Nie, ty żyć będziesz! ja tylko spełniłem mój ślub. Na progu chaty, w której znalazłem umierających z głodu, przysiągłem na Matkę Boską Częstochowską, że i ty go musisz doświadczyć. Spełniłem przysięgę; a teraz, jako dobry katolik, błagam cię w imię Boże, odpuść mi!

I otworzył spięcia łańcuchów, które z brzękiem upadły na ziemię. Potem odkrył przyniesione naczynie, i potroszku karmit przygotowaną pożywną potrawą więźnia. Co pół godziny, dał mu się napić płynu z flaszeczki; a po trzech godzinach takich starań, pan Skołuba, gdyż to on był tym więźniem, odzyskał tyle siły, że mógł wyjść z podziemia.

Szlachcic zgasił lampę, i ujawszy pod rękę chwiejącego się pana Skołubę, prowadził go powoli.

Przed wyjściem z podziemia zatrzymał się, postawił świecę i upadł mu do nóg.

— Teraz, panie mój i bracie, przebacz mi! Bóg widzi, że się nie lękam twojej zemsty, bom szlachcic tak dobry jak i ty; alem katolik, ale miłuję ukrzyżowanego Chrystusa, który kazał jednać obrażonych. Panie mój i bracie, dla miłości Boga, przebacz mi!

— Przebaczam z całego serca — odpowiedział pan Skołuba, i podał granatowemu drżącą od wzruszenia i braku sił, rękę.

Czuły, a dziś może niepojęty był uścisk prześladowanego i prześladowcy...

Wyszli, i za chwilę podziemie krupiańskiego zamku było puste.

## VI.

Nazajutrz wielki był rozruch w zamku, bo szlachcic w granatowym kontuszu gdzieś przepadł, zostawiwszy tylko polecenie do swoich, aby wrócili do regimentu; a pan Skołuba się zjawił, i witającym go dworzanom powiedział, że powrócił z Warszawy.

— Mój Tomasz, powiedz mi, którądy pan powrócił? — zagadnął piwniczny Jakób starego pacholka: — bo w nocy nie słyszałem, aby kto zajeżdżał i nigdzie nie widać kolasy.

Tomasz ruszył ramionami i przeżegnał się.

— Czegożto przedemną taisz? Tać stary Jakób wie, że trzeba trzymać język za zębami.

— Ot, to wszystko djable sprawy; nie matu co robić, i na starość trzeba szukać bezpieczniejszego kąta, żeby człek choć duszy nie zaplątał.

— Albo co?

— Ej, to aż strach mówić!

— No, przecież, cóż u kaduka? Tać my nie baby.....

— Posłuchajże: téj nocy nie mogłem czegoś zasnąć, bo już to wiész, że podejrywałem tego granatowego o jakieś djabelskie sprawy; siadłem, i zacząłem mówić pacierze. Przy dziewiątém Ojcie nasz zaczęło strasznie szumić na dworze, aż okna brzęczały, i wyraźnie słyszałem, jak coś sunęło się kominem. Potém taki był trzask w pańskiéj izbie, że aż mi włosy na głowie powstały; chciałem zbudzić wszystkich, ale coś mię trzymało jak przykutego do łóżka. Zdjąłem ze ściany obrazek św. Barbary, i jakoś trochę ucichło; jednak nie spałem, aż piérwszy kur zapiał. Powieździe, mój Jakóbie, czy to nie djabeł takie harce wyprawiał?

— Juści nie co innego.

— Ale musiał pana dobrze wymorzyć, bo taki blady, jak chuśta; a śniadania zjadł dzisiaj za czérech.

— Ze złem niełatwa sprawa: jak weźmie w obroty, to dobrze dokuczy. Może téż i nasz pan będzie teraz lepszy, bo skosztował trochę biédy.

— Daj to Boże!

.....

Tymczasem schodzili się ludzie z całego prawie województwa, a pan Skołuba dawał i dawał: zboże, chléb, piéniądze, co tylko miał. Czasem wzięła go dawniejsza chętka, ale jak sobie coś przypomniał, to był jeszcze hojniejszy.

Stu-gębna sława rozniosła po całym kraju szczodrotę dziedzica z Krupy. Starosta krasnostawski z łatwością dotrzymał obietnicy, bo król August II, na prośbę posłów ziemskich, obdarzył pana Pawła Skołubę starostwem hrubieszowskim.

Rok 1717 rozwiązał konfederacją Tarnogrodzką. Granatowy szlachcic przepadł bez wieści; o zdarzeniu w Krupie dyaryusz téj konfederacji zamilczał, i byłby o niém nikt nie wiedział, gdyby nie stary kalendarz z r. 1738, w którym na okładce Antoni Plichta szlachcic z pod Łukowa zabawkę w krupieńskim zamku opisał.

Takto zyskiwano bogate nadania i godności—i dla takichto pauków byli postrachem konfederaci!

Pisałem w Warszawie,  
dnia 23 października 1849 r.





**KOŚCIÓŁ**  
**Śgo ANDRZEJA I KANONICZKI**  
**W WARSZAWIE.**

PRZEZ

*Juliana Bartoszewicza.*

---

Część druga.

P R O B O S T W O.

Mysłał król Stanisław August, co zrobić z Jezuitami. Fundusze ich zajęto wprawdzie na edukacją młodzieży, bo dla edukacji, bogatemi zapisami potężny zakon wznosili dobroczyńcy; ale co było robić z osobami, które przez bullę Klemensa XIV straciły cel życia i wszelką sposobność do utrzymania się na ziemi? Ludzkość przyszła na pomoc sprawiedliwości, i młodzi Jezuici dostawali miejsca to po parafach, to zmieniając odzież zakonną, przechodzili pod władzę Kommissyi Edukacyjnej, i po szkołach obejmowali obowiązki professorów. Zabudowania kollegium jezuickiego na Starém-Mieście, rychło otrzymały nowe przeznaczenie; urządzono w gmachach z tyłu kościoła na Jezuickiej ulicy szkoły normalne i wojewódzkie, i oddano je nowemu zgromadzeniu nauczycielskiemu. Ale gmachy Śgo Krzyża zaszczerpie były dla pomieszczenia szkoły wyższej, i z początku zostawiono je losowi, zanim się sposób obmysli obrócenia ich na jaki użytek publiczny. Tymczasowo pomieszczono w gmachach jezuickich na Starém-Mieście kommissyą Rplitęj, wyznaczoną z ramienia sejmu delegacyjnej-

go do rozrządzenia dóbr zakonu Jezuitów, ruchomych i nieruchomości. Król miał prawo wyznaczać kommissarzy z senatu i ze stanu rycerskiego. Ci przed zafundowaniem swojej jurysdykcji mieli na-przód wykonać w grodzie warszawskim przysięgę na rotę przepisaną, a potem w opuszczonych gmachach pojezuickich rozpocząć swoje czynności. Obowiązki ich streściły się w lustrowaniu dóbr, spisaniu inwentarzy wszelkich ruchomości w kapitałach i srebrach, i w dochodzeniu prawnem wszelkich własności zgasłego zakonu. Następnie miała nastąpić sprzedaż dóbr, czyli raczej zastawa ich wieczysta dla tych, którzyby, stosownie do ocenienia przez lustratorów, procent po pięć od sta od kapitałów i dóbr opłacać chcieli. Wiele jest innych jeszcze przepisów w prawie sejmowem stanowiących o formie, o czasie, o wszystkich okolicznościach téj sprzedaży. Żeby sprawiedliwość zachować dla zgasłego zakonu, boć to fundusze jezuickie zabierał skarb; sejm wyznaczył pewne fundusze na utrzymanie pozostałych synów Lojoli, kazał utrzymywać księży przy tych kościołach, które w miejscu farnych powstały i zamieniły się w parafialne, a zresztą sprzedawać wszystkie sprzęty, domy i ruchomości Jezuitów, żeby ze sprzedaży nowe potworzyć kapitały, i nowe od nich pobierać procenta.

Młodziejowski zatem, jako prezes Kommissyi Rozdawniczej, podług brzmienia prawa zasiadł z wyznaczonemi przez sejm osobami, spisywać w gmachach pojezuickich na Starém-Mieście fundusze zgasłego zakonu (1).

Poprzednio jeszcze, w roku 1773, lustratorowie mianowani przez marszałków sejmu konfederacyjnego, przyjechali do Łązniewa, i spisali tam inwentarz bydła, trzody i drobiu dworskiego, którego jeden egzemplarz zostawili na gruncie, a drugi wzięli z sobą do stosownego użytku; nawet do takich przedmiotów rozciągała się pilność i uwaga ludzi, co rachowali fundusze edukacyjne, dlatego, żeby je potem lepiej rozdrapać mogli! — Jakiś dworek na Solcu i kamieniczka na Starém-Mieście, należały wtenczas do Jezuitów mazowieckich. Dworek zginął w ogólnej powodzi, nie się o nim dowiedzieć nie mogła Kommissya Edukacyjna; kamieniczki nie sprzedano, zostawiając ją na dalszy użytek. Plan był: kościół pojezuicki na Starém-Mieście oddać bractwu niemiecko-katolickiemu; otoż kamieniczka miała zostać własnością bractwa. Rzecz dziwna! Łązniewo nawet, wykazane w lustracji dóbr pojezuickich nie było na tabellach, które wykazywały przyszłe fundusze edukacyi narodowej. Sejm 1776 r. o to kwe-

(1) Protokół czynności delegacyjnych.

stą później wytoczył, kiedy już Łazienki stał się funduszem parafialnym.

Kommissya więc rozdawnicza, zajmowała się czynnie urządzaniem funduszów, które miały stanowić dochód edukacyi narodowej. W Warszawie wszystkie posesye pojezuickie, domy, dworki, kamieniczki, przedano więcéj dającemu przez publiczną licytacją. Był nawet, jak widzieliśmy, rozkaz sejmowy, żeby wszystko co pojezuickie, spieniężyć, a więc nawet srebro i skarbcie po kościołach, ażeby i z tego tworzyć nawet kapitały i oddawać na procent. Po prowincyi, działy się z tego powodu opłakane wypadki: łakomstwo i zdzierstwo, miały otwarte do działania nadużyć pole. Ale w Warszawie srebro zostało nietknięte przy kościołach: bo lękała się kommissya rozdawnicza, żeby działania jej nie uchodziły w stolicy za jakiś rabunek niegodny i nikczemność, gdyby przyszło zabieraniem i spisywaniem skarbców kościelnych, pozbawiać potrzebnéj ozdoby domy Boże i dawać ku zgorzeniu powód.

Królowi Stanisławowi Augustowi nie tak interes edukacyi narodowej był na sercu, co los tych księży Jezuitów, z którymi przestawał na zamku warszawskim. Kilku z nich miało to szczęście zwrócić na siebie uwagę Poniatowskiego. Na ich czele widzimy Adama Naruszewicza, za nim szedł Marcin Poczubut, Karol Wyrwicz, Ignacy Nagurczewski, Sebastyan Lachowski i inni. Wielu z nich Stanisław prosił na swoje obiady czwartkowe, cieszył się ich dowcipem, wiadomościami zachwycał, rozmową bawił, bo chciał koniecznie za króla uczonych uchodzić, wspierać światło w autorach i pisarzach. Żał mu było oddać uczonych Jezuitów z Warszawy: dlatego powiedzieliśmy słusznie, że starał się zapewnić im przyszłość, niekoniecznie przez wzgląd dla oświaty narodu.

W saméj rzeczy znalazł dla nich godności i posady, rozposażył ich po kapitulach, szkołach i probostwach. Naruszewicza zrobił dygnitarzem litewskim i biskupem; Poczubut wziął zarząd akademii wileńskiej; Nagurczewski został nauczycielem młodego księcia Józefa, synowca królewskiego; Sebastyan Lachowski dostał tytuł i posadę nadwornego kaznodziei i wieszal się wciąż przy zamku warszawskim. Innych Jezuitów uczonych umieszczali panowie po dobrach swoich; a w krótkim czasie ani śladu nie pozostało z wielkiego zakonu. Mury jego opustoszały, kościoły w inne przeszły ręce.

Zostawał jeszcze Karol Wyrwicz, człowiek uczony, jeden z reprezentantów epoki. W zgromadzeniu, które ze swojego przeznaczenia wyłącznie zajmowało się naukami, było jeszcze człowiek

uczony, i świecący innym, jak gwiazda. Pod koniec zakonu jezuitckiego na ziemi, wielu prawdziwie świątłych ludzi i obywatelskiego ducha, wydał dla Polski zakon Lojoli; a przecież Wyrwicz nie brał blasku od swoich, a swoim jeszcze dodawał świetności imieniem sławnym i pięknym. Był właśnie wtenczas w samej sile życia, w całej potędze naukowego znaczenia. Nie miał stylu, nie miał języka. Poważny i ciężki swoim sposobem pisania, opowiadać nie umiał, a wdziękami wyrażenia, potocznością wymowy wcale nie błyszczał. Miał twarz pełną powagi, spojrzenie miłe choć surowe; ale nie miał nic z tego, co stanowi dowcip, co stanowi życie towarzystwa. Śmiać się nie lubił, a pracy oddany, zrodził się tylko dla zakonu i modlitwy. Nie było jednak przeznaczeniem jego, poświęcić się mozolnej pracy nauczycielskiej. Wyrwicz nie miał daru wyłożenia rzeczy; owszem, czasem rzecz prosta, jasna, niepotrzebująca tłumaczenia, zaćmił tylko i splątał się sam w swoim opowiadaniu. Miał, przyciężką wymowę, skutkiem złe wyrobionego organu, a do tego i nie miał słów w ustach, bo namyślał się długo nim co powiedział; a co powiedział, niezręczne i mdłe było. Ztąd nie urodził się nigdy Wyrwicz ani na kaznodzieję, ani na nauczyciela. Świątły człowiek, znał dobrze przeszłość narodu, znał historią ludzkości, geografją, języki; znał całą literaturę starożytną, miał ogromne naczytanie się, pamięć wiele obejmującą, i niezmordowaną chęć do pracy. Ale wszystko co napisał, nie miało stylu, nie miało życia; przyciągało erudycją, tłumem cytacyj, całym morzem wiadomości, ale nie przywiązywało do siebie. Ztąd Wyrwicz szczerze powiedziawszy, nie urodził się nawet i na literata. Jego przeznaczeniem było zajmować się li tylko nauką, uczonym być w całym tego słowa znaczeniu. Ale do nauki potrzeba i zdolności. Nietylko uczony może dla narodu świecić. Zdolność jest darem koniecznie potrzebnym przy nauce. Uczoność sama bez zdolności martwą jest, bo nie wywoła cudów, nie wskrzesi obrazów, jakie stworzy człowiek zdolny, choć nieuczony. Zdolność może zrobić wysoki postęp i w samej nauce: uczony bez zdolności jest jakby dzwon bez serca, jest jakby professor bez katedry, kaznodzieja bez ambony.

Wyrwiczowi zbywało na zdolności, chociaż miał wielką naukę. Nadzwyczajnej pracy kosztowało go coś napisać, a przecież pisał, chociaż siłił się na koncept i wyrażenie, i o prace jego ubiegali się drukarze warszawscy. Dzisiaj nie przeczytalibyśmy jednej stronnicy jego kazania, albo opisu, w którym stara się rozumować i być wymownym; dzisiaj wzruszylibyśmy ramionami na jego dzieła i naukę, a przecież

byłto swojego czasu w samej rzeczy człowiek znakomity. Nie wienien był pewnie Wyrwicz, że Bóg mu nie dał zdolności, że usilną pracą nie nabył ukształcenia się w stylu, że nie przyswoił sobie wszystkich piękności języka. Język w rękę jego był grubą gliną, z której Wyrwicz garnuszka prawie ulepić nie potrafił. W kazaniach cięższy jeszcze i niesmaczniejszy; a jednak powtarzamy, zdumiewać się potrzeba ogromowi jego pracy i jego niezmierzonej erudycji. Weźmy w rękę dzieło, gdzie Wyrwicz nie potrzebuje się popisywać ze stylem, gdzie znajdziem tylko ślady jego nauki, badania o przeszłości, albo opisy miast naszych, rys geografii, a przyznamy, że w swoim czasie należał on do małej liczby ludzi najświetlejszych i najwięcej wziętych w narodzie, z czasów reformy Konarskiego. Po Naruszewiczu był Wyrwicz bez wątpienia, nie wyjmując nawet Albertandego, najuczeńszym człowiekiem swojego czasu.

Jako dowód jego erudycji, przytoczymy jedną z najmniej znanych prac literackich Wyrwicza, a jednak jak na czasy nasze bardzo ciekawą i ważną. Zdaje się, że uczonej nasz Jezuita wydawał może czas jakiś Kalendarzyk Warszawski w drukarni jezuićkiej, bo jedną jego tego rodzaju pracę, mamy pod ręką z roku 1762: byłto mały kalendarzyk, jaki w naszych czasach nazywamy politycznym. Prócz świąt roku całego, mieści się tam senat koronny W. ks. litewskiego, spis dygnitarzy, kawalerów orderu orła białego i dokładny rejestr urzędników ziemskich, jak w innych kalendarzach, których cel był jeden i treść zawsze jedna. Erudycyi Wyrwicza nie te spisy jednakże dowodzą, lubo i tutaj znajduje się wiele ciekawych rzeczy, którychby próżno szukać w innych kalendarzach téj epoki; np. spis oficerów zaciągu wojska koronnego i litewskiego, konnych, pieszych i cudzoziemskiego zaciągu, podług pułków i chorągwi ułożonych, dla nas bardzo szacowny, bo jest dokumentem historycznym i wiele ciekawych faktów o osobach zawiera. Dalej następuje spis porządny deputatów na trybunały koronny i litewski; spis ministrów dworów cudzoziemskich w Warszawie; potem spis kawalerów polskich i saskich, mających cudzoziemskie ordery, i lista dam polskich, ozdobionych krzyżem gwiazdowym austriackim. Nawet jest lista Kanoniczek warszawskich.

Erudycyi Wyrwicza dowodzi artykuł obszerny w kalendarzu, pod tytułem: „*Stan państwo europejskich*”. Przechodząc w tym artykule po kolei genealogią domów panujących w Europie, Wyrwicz pod każdym domem z rodowodem swoim cofa się w odległe wieki, i pięć albo sześć pokoleń w tył zawsze wywodzi. Pod każdym państwem

opisał też pokrótce trybunały i sądy wszelkiego rodzaju, opisując stopień i przywileje tych sądów; a tak dał krótki rys prawa publicznego w Europie pod jednym względem. Byłato wiadomość gruntowna, ułożona przez człowieka, który znał to co pisał; a w wieku XVIII, w chwilach reformy Konarskiego, praca ta uderzała sumiennością i była jakby zwiastunem nowój epoki, co miała gruntowność w nauce polskiej rozbudzić. Erudycją Wyrwicza widać jeszcze w przypisaniu kalendarza *Najjaśniejszej Maryi Antoninie Walpurdze, z książąt bawarskich królewicowej polskiej, księżnie elektorskiej saskiej*. Nas dziwi ta okoliczność, że kalendarzyki nawet dedykowano i komu jeszcze? księżniczkom krwi panującej. Ale pominąwszy to, Wyrwicz w długim napisie opowiada, komu poświęcił swoją książkę: oto córce Karola VII Albrechta cesarza, i Maryi Amelii, córki młodszego Józefa Igo; oto wnuczce Maxymiliana Maryi Emanuela trzeciego elektora bawarskiego, i drugiej jego żony Teresy Kunegundy Sobieskiej; oto prawnuczę Ferdynanda Maryi, drugiego elektora bawarskiego i Adelajdy Henryety księżniczki Sabaudzkiej i t. d. Tak w tył przechodzi aż w pokoleń trzydzieści i trzy. Wywiódł ród Walpurgi z hrabiów Wittelsbach, którzy poszli w prostą linię od Karola W.; potem dalej sięgając w przepaść wieków, dochodzi do św. Arnulfa. Zdaje się, że tu koniec; nie, Wyrwicz dotyka jeszcze Klodyona zwanego długo-włosym, króla francuzkiego i jego ojca, bajecznego Faramonda. Tu zatrzymał swój polot, i już dalej zgubił rachunek. W ciągu tej genealogicznej pracy, Wyrwicz nie opuścił ani jednej daty, o której mógł się tylko dowiedzieć: ani daty urodzenia, ani zaślubin, ani śmierci. Napomyka w swoim opowiadaniu i na postronne historyczne fakta, cytuje dzieła, bawi erudycją i krytyką historyczną, i na ślepo wierzy nowym genealogistom, co ród bawarski od Karola W. wywiedli. W ofiarowaniu „drobnej pracy swojej” opowiada Wyrwicz, że kres jej jedyny jest: „wielkie imiona, osoby świata czynić znajome, między którymi W. K. Mość dla wysokiego urodzenia swego i dla nieoszacowanych swoich przymiotów, pierwsze zabierasz miejsce”.

I cel spełnił uczony Jezuita: bo księżnie Walpurdze dał poznać wielkie imiona i osoby, które ją niby kiedyś przed wiekami rodziły, a o których ona dopiero może pierwszy raz w życiu słyszała. Kalendarz o którym mówimy, ma format kieszonkowych książeczek, był więc podręcznym dla każdego z obywateli w kraju. Nie możemy wątpić, że i w latach następnych Jezuita Wyrwiczowi polecili wydawanie kalendarzyka, i że nasz uczony popisywał się znowu w następnych latach ze swoją erudycją i krytyką.

Otóż tego człowieka król Stanisław August nie chciał wypuścić z Warszawy; bał się go prowincyi powierzyć, żeby stolica skarbu swojego nie utraciła: przyzwyczaił się do niego i zapraszał go często do siebie na zamek. Łagodny i przystępny Wyrwicz, dla wszystkich grzeczny, dla króla był z całym wylaniem się: bo w nim los swój przewidywał. Prosty i otwarty, mile był od panów widziany; szorstki w postępowaniu, dlatego, że całe życie z księgami w towarzystwie przebawił: nie odrażał jednak nikogo od siebie. Wszyscy w nim widzieli chodzącą uczoność, encyklopedyą nauk chodzącą. Miał czasem i błysk dowcipu zaprawionego ironią i trafny rozsądek. Mało mówił, wiele myślał, a zawsze był wyrocznią uczonych. Król latał się jak mógł jego wiadomościami i skarbami jego rozumu.

Przyszło na myśl królowi, żeby dla Wyrwicza zrobić nowe probostwo w Warszawie. W samej rzeczy, stara stolica Rzeczypospolitej na coraz więcej wzrastającą swoją ludność, na rozległość swoich zabudowań, za mało miała parafialnych kościołów: Św. Jan, Panna Marya i Św. Krzyż, podzielały pomiędzy siebie całą katolicką ludność Warszawy. To nie mogło już więcej być cierpianem, dla wzrostu samego miasta, dla jego przyszłości i wygody. Na piętnaście jurydyk rozdzielił się dawny gród nad Wisłą mazowieckich książąt, a skupił się tylko wiarą swoją i nabożeństwem do trzech głównych kościołów. Mieszkańcy oddaleni Leszna, Wielopola i Bielina, o pół mili musieli chodzić do parafii po chrzest i sakramenta, na wesela i nabożeństwo. Król kościół Śgo Krzyża pojezuicki postanowił przemienić na probostwo, a Młodziejowski chętnie za myśl tę uchwycił i potrzebne do tego rozporządzenia wydawał. Żeby uzyskać skutek, sprawa nie mogła być zadaniem dnia jednego; przewlokła się zatem rok, dwa lata nawet, ale zakończyła się zgodnie z życzeniem króla, zgodnie z interesem Warszawy.

Zdaje się nawet, że Młodziejowski uprzedził króla życzenia, i sam podał projekt ustanowienia nowej parafii w Warszawie. Do tego czasu, kolegiata Śgo Jana rozciągała w okolicy Jezuitów koronnych swoją duchowną jurysdykcyą.

Młodziejowski uważał, że kościół ten starożytny tak szerokie granice zakresił swojej władzy i tak ogromną połączył pod sobą ludność, że nawet sześciu wikaryuszów fundowanych wiecznie, razem z kolegiatą, obowiązkom parafialnym zadość uczynić nie mogło, a na wielkiej przestrzeni dopełniając postug religijnych w winnicy pańskiej, wszędzie zarówno dojrzeć nie potrafiło. Ludność jednakże więcej rosła jeszcze; nowa parafia stawała się koniecznością.

Na dniu 18 maja 1774 r. Młodziejowski utworzył tymczasowem postanowieniem biskupiem z kościoła śgo Krzyża pojezuickiego nowy parafialny kościółek w stolicy. Nie mógł odrazu wydać potrzebnej w takim razie erekcyi, dlatego, że sprawa dóbr pojezuickich i funduszów, nie była jeszcze ukończoną, a bez tego krokiem naprzód ruszyć się niepodobna było. Jednakże uskuteczniając to eo miał w swojej mocy, zmienił wtedy Młodziejowski tytuł nowój parafii, bo tytuł śgo Krzyża już nie odpowiadał widokom. Parafia Misyonarska nosiła już to imię, a potrzeba było koniecznie dla samego porządku w nabożeństwie, unikać kolizyi i nieporozumień w nazwaniach. Tytuł więc śgo Krzyża, nadany przez prymasa Potockiego, zamienił się teraz na tytuł śgo Andrzeja apostoła. Młodziejowski było patron, a biskup poznański uchodzić chciał za fundatora parafii.

Oznaczono więc tymczasowo granice nowego probostwa. Okolice śgo Andrzeja stanowiły teraz jądro, ognisko, około którego miało się kupić nowe grono pobożnych. Może był zakrój, żeby od innych trzech parafij warszawskich oddzielić wtedy od każdój po pewnej części jurydyki i ulice, które miały teraz do jurysdykcyi śgo Andrzeja należeć. Ztémwszystkiem najwięcej straciła kollegiata. Takim sposobem utworzyła się czwarta parafia w Warszawie, może obszernością rozleglejsza od trzech siostr starszych. Sięgała Senatorskiój ulicy, a potem szła Daniłowiczowską obok murów biblioteki Załuskiego na Bielańską i Długą; obejmowała Leszno, ulicę Chłodną i Elektorálną, całe Wielopole i Bielino, Marywil, opierając się o Mazowiecką, Królewską i Sto Krzyżką ulicę. W ówczesnym stanie Warszawy, mogła liczyć ludności dusz 6000 katolickich. Zresztą przyszła erekcyja miała zapobiedz wszystkim nieporozumieniom, i oznaczyć ściślej granice nowój parafii śgo Andrzeja.

Sam kościół pojezuicki był wtedy szczupły tak dalece, że wtenczas już porobiono plany, żeby go powiększyć na placach, które posiadał; ale i to odwlekło się do czasu, dla przyczyn, któreśmy wymienili.

Pierwszym proboszczem tego nowego parafialnego kościoła miał być Wytewicz. Młodzi Jezuici, którzy jeszcze na zapewnienie losu swego czekali, zmienili się na wikaryuszów. Seniozem wikarych został był rektor tutejszego kollegium ksiądz Tomasz Grodzicki, człowiek także z pewną nauką, z pewną zdolnością, z pewną sławą: poczciwy, cichy, bogobojny i skromnego serca, lubiony przez panów, i dziecko Warszawy, bo już dawno w niej gościł, znał jęj wszystkie



zakątki i tajemnice, jak i ona go znała. Porywali go wszyscy w stolicy, i czyto ślub dawać, czyto chrztem świętym zmyć w dziecku grzech pierworodny, nigdy żadna uroczystość nie odbyła się bez księdza Grodzickiego, bez jego błogosławieństwa, porady i modlitwy.

Stolica apostolska udzieliła ex-Jezuikom śgo Andrzeja i Wyrwiczowi uwolnienie od ślubów zakonnych, i prawem uświęcona stanęła nowa parafia w zupełnym porządku w r. 1774. Wyrwicz objął uroczyste nowy urząd z rąk Młodziejowskiego, który jako biskup miejscowy, uważany jest za założyciela parafii. Nie postrzeżono się jednak, że dla mieszkańców Warszawy, jako świątynia parafialna nie może być dogodnym kościół śgo Andrzeja. Szczerpły był więc, pomieścić nie mógł mieszczan trzech jurydk i kilkunastu oddzielnych uliczek. Mało w nim mieściło się ołtarzy, choć służba parafialna dosyć miała Lewitów, żeby sprawianie ofiary bezkrwawej i obowiązki w miejscu cierpiały. Jednakże pośpiech stanowił wszystko: szło tylko najprzód o umieszczenie Wyrwicza, reszta dopiero potem znaleźć się miała. Tę reszcie tak zaradzono, że powoli zaczęto przenosić nabożeństwo parafialne do kościoła Reformatów. Z początku odbywało się wszystko u śgo Andrzeja, ale z kolejną czasu, kiedy się przekonano, że w święto np. uroczyste w żaden sposób parafia kościołem własnym obyc się nie może; proszono zatem naprzód zakonników Reformackich, żeby pozwolili u siebie odbywać nabożeństwo, proszono raz i drugi, a potem w zwyczaj to weszło i nareszcie zamieniło się w prawo. Tak mniejsze uroczystości miała parafia u śgo Andrzeja, większe u Reformatów.

Ta nowa epoką dziejów naszego kościołka, ciągnęła się od roku 1774 do 1818 przez lat 44, blisko pół wieku. Epoka pierwsza jezuitcka, zacząwszy od dnia, kiedy fundamenta położył na kościół prymas Teodor Potocki, trwała więcęj troszkę jak lat 44. Cała ta przestrzeń dwojga epok, wiek cały obejmuje. W nowej parafii śgo Andrzeja dużo znalazło się mieszczan Warszawy i dostatnich i ubogich, ale też dużo i magnatów. Przypomnijmy sobie, że w tej stronie leżał pałac książąt Jabłonowskich, Mniszchów, dworzec Błękitny Czartoryskich, pałac Wielopolskich na Elektorálnej ulicy, Potockich na Rymarskiej, dworzec Poniatowskich na Bielańskiej, Wichertów na Elektorálnej, Lubomirskich na Wielopolu; po tych pałacach mieszkało i wiele innych ludzi utytułowanych, urzędników ziemskich, posłów na sejmy, deputatów na trybunały. Wszystko to teraz pod względem religijnym przeszło pod zarząd Wyrwicza, i z nim weszło w stosunki. Kościołów tylko miał niewiele w swojej parafii, a przynajmniej nietyle, co

inne parafie w Warszawie. Tutaj w jego jurysdykcji znajdowali się tylko Reformaci i Karmelici na Lesznie, kaplica Kanoniczek na Marywilu, i stary zepsuty kościółek Stój Trójcy pod okopami na rogu ulicy Bielarskiej i Długiej.

Wyrwicz był szlachcicem polskim, a nadzwyczaj systematycznym i porządnym człowiekiem; a zatem jako uczoney i jako szlachcic, zaprowadził zaraz księgi parafialne chrztu, ślubów i śmierci. Od dnia 22 maja 1774 r. zaczęto zapisywać w tych księgach różne daty o różnych osobach i różne okoliczności ich życia. Wzorowy porządek znać tam wszędzie, i widać zaraz uczoną rękę co kierowała dziełem, a lubiła wszystko ująć w rachubę i pod systemat. Jeżeli z parafii umarła jaka osoba, w aktach zanotowano wszystkie okoliczności jej zejścia, wszystkie szczegóły jej sieroctwa, opisana cała jej przeszłość familijna. Jest tam zapisane, czyjém dzieckiem był zmarły, wymienione są osoby ojca i matki, i kogo zostawił nieboszczyk wdową lub wdowcem, kogo sierotami. Są przy osobach żyjących i zmarłych zanotowane lata, jak na przykład daty urodzenia i szczegóły dotyczące się pogrzebu, albo innych okoliczności. Był to istotnie praca, i pilnował święcie Wyrwicz, żeby zapisywali wszystko księża wikaryusze Jezuiti. Sam zapewne mając szerokie stosunki, udzielał tych wiadomości podwładnym, a oni je skrzętnie i skwapliwie zapisywali. I w samej rzeczy, szukając po tych aktach jakiej daty śmierci, albo urodzenia się jakiego znanego w przeszłości naszej człowieka, napotykamy w nich nie tylko na tę wiadomość, ale i ciekawe podania genealogiczne, na czystej prawdzie oparte. Widzisz zaraz cały szereg przodków zmarłego albo narodzonego dziecięcia w tym systematycznym spisie, gdzie nic nie opuszczone, nawet szczegóły choroby, nawet rozporządzenia familijne i rozkazy. Czasem się i całe napotykają żywoty osób, zasługujących pod jakim bądź względem na uwagę, znakomitych czy powagą w kraju, czy pobożnością, czy skromnością serca. Rzekłbyś patrząc na te spisy Wyrwicza w aktach zejść i ślubów i t. d., że to są porządne wywody genealogiczne, że to herbarz szlachty polskiej jego czasu. Dzisiaj możeby nas nie zastanawiały te szczegóły, kto czym był synem, ile zostawił dzieci; ale kto wie, jak wielką ma wagę w poszukiwaniach historycznych wiadomość napozór mało znacząca, a znaleziona w miejscu, gdzieby się jej nikt nie domyślał, może pojąć jak trzeba cenić pracę Wyrwicza w zaprowadzeniu takich ksiąg parafialnych. Tém bardziej to uderza, że w współczesnych jemu księgach innych parafij, zamęt tylko i niedorzeczność. Zapewne robił to Wyrwicz wierny duchowi szlacheckiemu starożytnej Polski; ale nie

wchodzim w jego pobudki, dlaczego to robił — dosyć, że nam zostawił stopy akt ciekawych nie bez znaczenia i interesu. Następcy jego przy kościele św. Andrzeja czasami tylko naśladowali przykład Wyrwicza. Kto będzie pisał herbarz szlachty polskiej z czasów Stanisława Augusta, musi się koniecznie radzić akt św. Andrzeja, a niejednej wątpliwości pozbędzie, niejeden fakt mylny sprostuje. Na te notaty parafialne spuścić się można z zupełnym zaufaniem; Wyrwicz znał stosunki rodzinne panów polskich, żył w ich towarzystwie, i w układaniu tych notat wspierała go nadzwyczajna pamięć.

Jeżeli Wyrwicz tak porządnie prowadził zapisy i akta parafialne, z jakąż przyzwoitością, z jakim nabożeństwem iść musiała służba kościelna i obchody świąt uroczystych? Wyrwicz przestrzegał porządku, i gorliwym był o dobro swoich owieczek proboszczem. Nie opuścił więc nigdy sposobności, żeby im służyć gorliwie religijną pociechą. Za niego Młodziejowski otworzył *miłościwe lato*, które w dyecezyi poznań. trwać miało aż sześć miesięcy. 24 marca o 6tej wieczorem, dzwony całej Warszawy biły co kwadrans, zwiastując wielki jubileusz rzymski. Odtąd zaczęło się nabożeństwo, i z kościoła przechodziło do kościoła, po dwa tygodnie śpiewami pobożnymi rozlegając się w każdym. Nie po kolei następował odpust, a jednocześnie tu i tam się zaczynał; tam się kończył, tu był w środku w całym zapędzie religijnego uniesienia. Od 1 maja zaczął z dworem swoim, prałatami, kanonikami, w licznym orszaku obchodzić kościoły stolicy ksiądz Młodziejowski; zachowując jednak nałóg dawny i przywiązanie do Jezuitów, a przynajmniej do murów jezuickich, od mszy mianej u św. Andrzeja zaczął pobożną pielgrzymkę. Wtenczas pokazał szczególnież owe przymioty biskupie, o jakichśmy wspominali, mówiąc o chwilach ostatnich Jezuitów. Gdyby tak wszyscy, jak on wtenczas, modlić się umieli, a spełniali obowiązki chrześcijańskie, raj zakwitnąłby na ziemi. 19 maja sam Młodziejowski otworzył jubileusz u św. Andrzeja mszą śpiewaną; ale zagaiwszy nabożeństwo, wydał rozkazy, żeby je przenieść do Reformatów, dla szcuplego miejsca w dawnym pojezuickim kościele. Do Reformatów więc kupił się teraz lud pobożny, a co dzień nowe miał powody do skruchy i żalu. Zmieniali się biskupi kolejno u Reformatów: co dzień kto inny z ich grona celebrował, co dzień ktoś inny wstępował na ambonę, i uczył lud o przepisach wiary, powiadał im o zbawieniu i o moralności chrześcijańskiej. Związał się po kościele Wyrwicz, związał się ksiądz Grodzicki, Kantembryng, Maciej Fryze. Czujne oko proboszcza zajrzało wszę-

dzie: znalazło czas dla parafian, znalazło czas dla nabożeństwa. Msza za mszą wychodziła, a rzesistém światłem jaśniał kościół Reformatów. Panowie z panów, lud ubogi i mieszczenie wpośrodku, między temi dwoma krańcami społeczeństwa, zajeżdżali karetami przed kościół, albo szli piechotą i pchali się przez tłumy, żeby się dostać do środka kościoła, żeby choć osobę kapłana zobaczyć w świętych szatach przed ołtarzem. 1 czerwca o 6tej godzinie wieczorem, ksiądz biskup koadjutor chełmski Aleksandrowicz, ukończył dziękczynném nabożeństwem tę dwuniedzielną missyą u św. Andrzeja na cmentarzu księży Reformatów, a nazajutrz bierzmował tłumnie cisnących się ludzi.

Był Wyrwicz nie tylko gorliwym proboszczem: był on wyrozumiałym a i na nieszczęście, umiał zanieść pociechę w serce, które się rozbiło o przeciwności losu. Mówiliśmy, że dawnych Jezuitów prowincyi koronnej utrzymywał przy sobie w obowiązku wikaryuszów. Trzymał ich więcej jak potrzeba, jak wymagała służba około parafii. Ale on parafią swoją kochał, kochał swój kościół św. Andrzeja, gdzie był jak u siebie, gdzie był panem w dawnych gmachach Potockiego. Nie mógł zatem znieść, żeby parafia jego była bez należytej i szybkiej posługi religijnej. Wołał, żeby wikaryusze Jezuitci mieli mało roboty, jak żeby parafia jego czekała. Miał gorliwego pomocnika w Grodzickim. Pod tym względem proboszcz i jego wikary najstarszy, równą okazywali troskliwość, równy zapal co do spełniania obowiązków religijnych. Wszystko więc u św. Andrzeja szło jak w zegarku: nabożeństwo miejscowe i posługa w mieście. Znaleźli nawet czas wikaryusze wyręczać i innych księży w kościołach stolicy. Kapelanem Kanoniczek na Marywilu nie był nikt inny zapewne, jak ex-Jezuita wikary od św. Andrzeja. Dochody parafii znaczne też były; dzielił się nimi ksiądz Wyrwicz, a jak sam nie żądał wiele, tak i nikomu nie dał robić krzywdy.

Z wikarych jego, oprócz Grodzickiego, wspomnimy jeszcze Macieja Fryze. Młody ten człowiek, może krewny Chrystyana Gottliba, który zostawił kilka dzieł ważnych w przedmiocie dziejów kościelnych polskich, urodził się w roku 1746 w Królewcu, w Prusiech wschodnich. Od lat dziecińczych pokazując natchnioną pobożność, wstąpił do Jezuitów na niewiele przed epoką kassaty zakonu. Kassata zastała go przy kościele św. Andrzeja; tutaj więc został przy Wyrwiczu, przyjąwszy suknią świeckiego kapłana. Byłto gorliwy kaznodzieja, poczciwy człowiek, pobożny kapłan, wylany dla cierpiącej ludzkości; kochali go parafianie, kochali tak jak Grodzickiego, bo ci obadwaj podzielali ich boleści i radości familijne. Zawsze u nich zna-

laż każdy gotowość, i Fryze z Grodzickim lecieliby na kraj świata, żeby zbawić chociaż jedną duszę, żeby poświęceniem się swoim, chociaż jeden grzech bliźniego okupić. Grodzicki prawie starcem był przy Fryzem, bo o jeden rok tylko młodszy od Wyrwicza, włosy już swoje ozdobił śnieżną bielizną. Ci dwaj wikaryusze, stary i młody, starczyli za cały zakon Wyrwiczowi. Oni w myśl jego trafiali, i parafia św. Andrzeja godnego miała proboszcza, godnych wikaryuszów.

Wyrwicz naturalnie często był odrywany od swojego kościoła. Połączony ścisłemi stosunkami z całą kastą magnatów, jeżeli nie przez ród wysoki, to przez stopień; połączony z królem, który był szczęśliwy, że go dla siebie i dla Warszawy zachował: musiał się często do zwyczajów dworu stosować, i dla zamku nawet swój kościółek opuszczać: spokojny, że na zastępstwo siebie znalazł ludzi, którym mógł zawierzyć zupełnie.

Ale nietylko dla wikaryuszów, nietylko dla swoich terażniejszych stosunków wyrozumiałym i dobrym był Wyrwicz; on do kościoła św. Andrzeja przytulił i starość, jednego z rozbitków Lojoli, człowieka pochylonego nad grobem, którego cios bolesny ugodził w samo serce: człowieka powalonego nieszczęściem. Był tym starcem nieszczęśliwym ksiądz Jan Przyłuski, Jezuita. Z księgi zmarłych parafii św. Andrzeja dowiadujemy się, że Przyłuski rodził się 20 marca 1714 r., a więc, że starszy był o trzy lata od Wyrwicza. W roku dopiero 1732 został Jezuitą, a professyą czterech ślubów wykonał 2 lutego 1750 r. Po kassacie zakonu, u św. Andrzeja znalazł przytułek, znalazł serce Wyrwicza. Tu więc do grobu pozostał. Sędziwego starca otaczały wnuki i słodziły jego wiek podeszły; a on spokojny, błogosławiąc cichy kątek, siedział w murach, które niegdyś własnością były jego zakonu, i chociaż w tém znajdował lekką ulgę swoim cierpieniom. Tu jeszcze wszystko widział jezuickie; jeżeli nie zakonników i dawne zwyczaje, to przynajmniej osoby, które mu inny czas, inne chwile, chwile jego młodości i szczęścia przypominały. Jest w dyaryuszu sejmowym z r. 1776 wzmianka, że kommissya rozdawnicza do dóbr jezuickich, ustąpiła dziesięciny z łąnów barskich i komorowieckich, niegdyś należących do kollegium barskiego, *na utrzymanie zasłużonemu w zakonie jezuickim kapłanowi Jmć. księdzu Przyłuskiemu, wiekiem nachylonemu, i to ad vitae tempora*. Jeżeli tym Przyłuskim był nasz staruszek (a zdaje się, że to niezawodnie on, nie kto inny), to widzimy, że nie potrzebował łaski ksiądz Przyłuski; potrzebował tylko schronienia w domu rodzinnym. To schronienie dał mu Wyrwicz. Jeżeli zaś nie o nim mowa w konstytuoyi koron-

nój, to tém jeszcze szlachetniejszą rolę gra nasz uczony, tuląc na łonie swoim znękanego dolegliwościami starca. Ksiądz Jan Przyłuski umarł u św. Andrzeja dnia 3 maja 1777 r., w roku życia 64. Co sobota gotował się przez spowiedź, rozmyślania pobożne do śmierci; narreszcie śmierć zastała go zupełnie przysposobionym, żeby stanąć przed Boskim majestatem. Umarł téż w sobotę nagle z apopleksyi. Wyrwicz dał mu nawet miejsce na spoczynek ostatni w grobach św. Andrzeja. Pochowali go tutaj wnuki ze łzami boleści. W obchodzie pogrzebowym celebrował ksiądz biskup Aleksandrowicz.

Nie dziwimy się wcale temu zapewnieniu, że pod kościółkiem św. Andrzeja były groby Jezuitów: zakon każdy chował swoich professów w mieście, zawsze w sklepieniach swoich podziemnych. Ale nas to dziwić może, że sklepienia te były tak ogromne, bo starczyły nietylko dla księży miejscowych, ale i w grobach św. Andrzeja chowały się nawet osoby obce, i nienależące do kościoła. Tutaj np. spoczęła zmarła w roku 1778 dnia 30 września, Teressa z Potockich pierwszego ślubu Warszucka, wojewodzina łęczycka, powtórnego Wojciechowa Opalińska wojewodzina sieradzka, małżonka ostatniego magnata, z wielkiego niegdyś Opalińskich rodu. Nie dziwim się znowu wcale pobudkom, które zmarłą w parafii ujazdowskiej aż do grobów św. Andrzeja sprowadziły: wojewodzina była córką Stefana wojewody bełzkiego i Joanny Sieniawskiej, siostry rodzonej Mikołaja hetmana polnego; była zatém córką brata Teodora Potockiego prymasa, a wnuczką Stanisława kasztelana kamienieckiego i Eleonory Soltykownej, prawnuczką Mikołaja wojewody braclawskiego i Mohylanki gospodarówny z Wołoch. Była więc to synowica założyciela kościółka św. Andrzeja, i widzimy teraz, dlaczego tęskniła, i dlaczego chciała spocząć w grobach, które jój zacny stryj założył. Bo gdzież miała szukać sklepień zamkowych: w Warszawie, czy w Wielkiej Polsce? Wybrała drogę pośrednią, wolała spocząć pod cieniem fundacyi familijnej, wpośród stolicy murów, żeby świetniej pogrzebem swoim odbić znikomość rzeczy ludzkich. Nie chciała iść za drugim mężem; spoczęła téż w grobach zakonnych. Poważna matrona liczyła 85 lat życia; umierała zostawiając na świecie jedyne brata, sławnego w całej Polsce i Litwie, dzikiego fantazyą i dumą. Był nim Mikołaj starosta kaniowski, podówczas kawaler maltański.

Ze wspomnień kościółka św. Andrzeja za czasów Wyrwicza, wspomnimy jeszcze o exekwiach, jakie się wtedy odbyły 24 marca 1779 r. po zmarłym Hieronimie Wielopolskim, generale małopolskim, i o pogrzebie w grobach św. Andrzeja Eleonory z Godlewskich

Wodzińskiej, wdowy po podstolim liwskim, krewniaczki księdza biskupa smoleńskiego, Gabryela Wodzińskiego, który ją sam exportował do Brygidek, a tutaj chował w kwietniu tegoż roku. Ciało zaś Wielopolskiego przewieziono do grobów familijnych, znajdujących się w kościele ks. Reformatów w Krakowie (1).

Mówiliśmy dosyć o wypadkach, które tyczyły się kościoła św. Andrzeja za czasów Wyrwicza, mówiliśmy także dosyć o jego zasługach parafialnych. Chciały tak okoliczności, że nie do końca życia wytrwał na tym urzędzie uczony nasz proboszcz; objąwszy nowe obowiązki w roku 1774, opuścił je w roku 1780 swojemu następcy. Lat sześć i to jeszcze może niezupełnych, do dnia ostatniego był proboszczem św. Andrzeja. Pożegnał się zatem ze swojemi obowiązkami, pożegnał się z parafią, którą tyle kochał. Musimy więc teraz wystawić cały obraz, o ile to w możności naszej będzie, jego pracowitego i pełnego nauki życia. Boć przecie, jak za czasów jezuitckich, dzieje kościołka św. Andrzeja były dziejami Jezuitów koronnych, tak po kassacie zakonu, cała przeszłość naszego kościoła od roku 1774, da się streścić w dziejach jego proboszczów; a w chwili, kiedy żegnał parafią Wyrwicz, najwłaściwsze może będzie miejsce dla jego życiorysu.

Karol Wyrwicz urodził się w r. 1717 na Żmudzi, z rodziny naturalnie szlacheckiej, ale niewiadomego herbu: bo inaczej nigdyby nie doszedł do stopnia, na jakim stanął (2).

W dzieciństwie swoim posłany przez rodziców do szkół Jezuitckich, pokazał w szkołach przymioty, jakie się w nim potem w całej pełni rozwinęły: to jest bystry rozum, wielką pamięć, chęć do pracy posuniętej aż do niezmordowania i zdrowie żelazne. Jezuitci widząc w nim tyle rękojmi do przyszłej sławy, potrafili usidlić młodzieńca, który w roku 1734 wykonał śluby zakonne, i całe życie nie żałował swojego postępu. Celujący w naukach uczeń, został niedługo mistrzem, i zakon go użył do wykładu nauk rozmaitych po swoich kolegiach.

Bawił wtedy młody Jezuita czas długi w sławnym kollegium Chodkiewiczowskim w Krożach na Żmudzi, i serdecznie pokochał to miejsce, piękne położeniem i malowniczością okolic, sławne i po bytem Sarbiewskiego, który tutaj ody swoje nucił i śpiewał moznym

(1) Daty wszystkie tu podane, wzięliśmy z gazet ówczesnych i z akt parafialnych. O Przytuskim i o uposażeniu go przez Kommissyą Rozdawniczą, w protokule delegacyi.

(2) Dwie były w Polsce szlacheckie rodziny Wyrwiczów; jedna z nich nosiła przydomek Wasylewicz.

pochwały (1). Poznał wtedy Wyrwicza Jan August Hylzen kasztelan inflancki, człowiek uczony i dumny, jeden z reprezentantów dawniej szlachty niemieckiej, potomek rycerzy mieczowych, co poddawszy się Polsce za Zygmunta Augusta, wierni pozostali nowym swoim obowiązkom, i wygaśli nareszcie przywiązani niezmiennie do nowej ojczyzny. Kasztelan inflancki był rzeczywiście uczonym człowiekiem, nie uczonością metodyczną, pedancką, co scholastycznością trąciła.

Znał dzieje Rplitej, znał dzieje rodzinnego kraju, i z rozkoszą szukał po starych aktach wiadomości, z upodobaniem bawił się przeszłości wspomnieniami, ślęczał i przebierał stare archiwa i przywileje. Napisał i wydał dzieło po polsku o Inflantach, które dziś nawet, kiedy nauka pisania dziejów tak olbrzymim naprzód postąpiła krokiem, czyta się z przyjemnością, bo jest zbiorem faktów zawsze ciekawych, i dziełem pełnym erudycji; a nawet stało się źródłem, z którego czerpać można i cytować. Miał kasztelan syna Józefa, jedynego dziedzica i następcę dawniej rodziny Eklów. Ten skarb swój, ten majątek cały, powierzył pod dozór i opiekę Wyrwiczowi, i chciał, żeby pod jego okiem młody Józef ukształcił się na obywatela kraju, który go tak gościnnie przyjął na swoje łono.

Z młodym Hylzenem objechał tedy Wyrwicz Niemcy, Włochy, Francją, i całą prawie Europę. I zakon Jezuicki opatrzył go instrukcjami na drogę, kazał mu szkoły oglądać i zakłady naukowe, bo i zakon już się krzątał w Polsce około poprawy edukacji. Na stosunkach swoich, jak widzimy, z domem magnackim, zyskał osobiście nauczyciel i zakon Jezuicki; kto wie, czy nie te stosunki nawet dały go poznać wielkiemu światu stolicy, zjednały mu łaskę króla i wszystkich oczy obróciły na uczonego Jezuitę. Kiedy wrócili z podróży, błyskawicznie następowały po sobie wypadki. Hylzenowie osiedli w Warszawie w starym pałacu swoim na ulicy Przejazd, i tutaj codziennym gościem widzieli u siebie Wyrwicza. Przywiązał się do nich całym sercem nasz zakonnik. Spotykał w pałacu Hylzenów pierwsze znaki tożsamości swojego czasu, i zawiązywał z nimi stosunki. Zaczęli się wszyscy dziwić niezmiernie jego nauce, skarbowi erudycji, które sypał jakby z za rękawa. Tutaj jeżeli nie zaprzyjaźnił się, to się poznał przynajmniej z księdzem Antonim Ostrowskim, biskupem naprzód inflanckim, później kujawskim i prymasem, z księdzem Młodziejowskim i Okeckim, którzy jeszcze przyszłości czekali. Dom Hylzenów był dla Wyrwicza szczęściem, był przytułkiem, rozkoszą i całą nadzieją: był wszystkim.

(1) Jucewicz: Wspomnienia Żmudzi.



Kiedy Stanisław August wstąpił na tron, imię Wyrwicza już głośne było w Warszawie z nauki i ze sposobu skromnego życia; odrazu więc, jakby skinieniem ręki czarodziejskiej, cichy zakonnik stał się polityczną osobą. Król myślał z początku rządów swoich zenić się z arcyksiężniczką austryacką; trzeba było wysłać kogo do Wiednia z prośbą o rękę narzeczoną. Wybrany był na tę zaszczytną i wysoką misję ksiądz Wyrwicz (1765). Znał już dwór i obyczaje dworskie, znał takt pałacowy, bo się go u Hylzenów nauczył, przestając ze znikomitościami swojego czasu; umiał po niemiecku, a był uczonym: dużo więc powodów mówiło za nim. Król widać znał go wtenczas więcej jak innych, kiedy nie innym, nie tym, co nawet Wyrwicza ubiegli w jego sercu, ale naszemu zakonnikowi dał pierwszeństwo. Nie miało skutków to poselstwo uczonego Jezuity. Były powody i ze strony króla polskiego i ze strony cesarza, co opóźniły to małżeństwo, a potem nawet zerwały się zupełnie rokowania; przecież zawsze dowód ten zaufania króla, wysoko podniósł znaczenie Wyrwicza. Rplita już teraz patrzyła na niego.

Za powrotem został ksiądz Wyrwicz, za pośrednictwem króla, rektorem jezuickiego *Collegium Nobilium* na Starém-Mieście. Zakon chętnie teraz wzywał jego pomocy i pragnął skutków, to jest chciał zbierać owoce z nauki Wyrwicza i doświadczenia, jakiego nabył za granicą. Na tym urzędzie dał więc z siebie wzór nowy rektor dobrego rządu i gospodarstwa, i wysokich zdolności do kierowania naukowym zakładem. Zadłużyło się staromiejskie kollegium na kilkanaście tysięcy i musiało płacić procent, a nikt z rektorów nie pomyślał o tém, żeby uchylić klęskę, która w przyszłości groziła. Wyrwicz naprzód oczyścił dobrém gospodarstwem dom jezuicki z długów, i wziął się potem do poprawienia instrukcyi w szkołach. Zaprowadził porządną podług własnych planów układ edukacyi, obsadził katedry i pożyteczne umiejętności wprowadził do kollegium. Pojmował on dobrze całą ważność wychowania publicznego, jeżeli będzie kierowane duchem obywatelskim i myślą o przyszłości.

Usunął więc ostatnie ślady scholastyizmu, jeżeli jakie zastał w kollegium, i starał się, żeby uczniowie nabywali rzeczywistych nauk, nie uwodzili się pozorem. Sprowadził ludzi zdatnych i uczonych, ludzi nowego pokolenia, nowych wyobrażeń. Ci podług planu jego pracowali, a on sam drogę im przez lody torował, sam im przodkował poświęceniem się i pracą. Niedość na tém: pragnąc wzbudzić zajęcie do literatury, zaszczerpić smak do gruntownych wiadomości,

Wyrwicz postanowił ogłaszać drukiem owoce dotychczasowych prac swoich, dla ukształcenia własnego podjętych. Rzeczywiście było już wtedy mąż wpływu i doświadczenia.

Powziął myśl zatém związać się w towarzystwo z kilku uczonymi ludźmi, i wypracować wspólnie dzieje powszechnie obszerniej cokolwiek; nie dla szkół jedynie, ale dla czytającej publiczności. Myśl to była jedynie, bo nie zamieniła się w skutek. Ale Wyrwicz wziął się szczerze do wykonania przypadającej na niego pracy: on miał obrobić dzieje monarchij i królestw starożytnych. Wprzód jednak, mając na względzie postęp młodzieży w języku francuzkim, chciał wygotować niby szkic téj przyszłej pracy swojej, i wydał w r. 1766 w Warszawie, napisany przez siebie kurs dziejów starożytnych, pod tytułem: *Abrégé de l'histoire universelle*, na początek tom pierwszy. Księga ta miała być podręczną dla szkół jezuickich, a razem zaspokajała dwie trudności: była dziełem i dla historyi i dla języka.

Wydawali w tymże właśnie czasie Bohomolec z Gröllem starożytnych autorów naszych historycznych, np. Bielskich i Strykowskiego. Kniaziewicz jezuita do kroniki Strykowskiego dołączył swój przekład historyi rossyjskiej z la Combe'a. Ale że la Combe dużo pomyłek w swoim opowiadaniu poczynił, Wyrwicz obiecał Bohomolcowi sprostować te błędy, i drugi dodatek takim sposobem przyczynić do objaśnienia Strykowskiego kroniki. Ta nowa praca wyszła w Zbiorze Bohomolca 1766 r. Zapewne trudno w dziele owego czasu żądać krytyki i prawdziwych badań historycznych, kiedy nawet czasy tak niedawne jeszcze, a przed laty kilkunastu, robili pisarze nasi błędy nie do przebaczenia, a zwłaszcza w dziejach, tyczących się wschodniej Słowiańszczyzny. W czasach Poniatowskiego istniały jeszcze w całej sile przesady o Scytach, Sarmatach, o Wandalach i Skandynawach, i krytyka historyczna dopiero z Naruszewiczem zaczęła dawać pierwsze ślady istnienia i życia. Dlatego téż praca Wyrwicza, objaśnienia de la Combe'a, i w pierwszych warunkach historycznej pracy czasów naszych nie dorówna, jak my pojmujemy tę pracę. A zresztą, mało rozszerzone wiadomości o pokoleniach słowiańskich, fałszywe pojmowanie dziejów, źle obrane stanowisko historyka: niewiele wartości, jak w naszej chwili, zapewniają téj pracy Wyrwicza. Jak wszyscy, tak i on wiadomości swoje czerpał z pism i dzieł francuzkich, a cóż te wyroby rzemieślnicze, mogły objaśnić przeszłość pokoleń nadniemeńskich i naddnieprzańskich? Błędy więc spotykają się na błędy w objaśnieniach la Combe'a. Ale nie obwiniajmy człowieka; Wyrwicz był ofiarą pojęć swoich, był dzieckiem swo-

jego czasu, który się dopiero budził z uśpienia, a historią widział w zastarzałych przesądach, w kilku, kilkunastu podanych szczegółach o bitwach, o panowaniu tego albo tamtego, albo w dokładnie podanych datach. Jeżeli podług miary ówczasowych pojęć spojrzymy na tę pracę Wyrwicza, zobaczymy w niej jasnie to, cośmy o jego nauce i zdolnościach powiedzieli: znajdziemy tam całe morze erudycji, cały kurs historyi, jak ją czas pojmował, cały stos błędów, jakie błędy były za Poniatowskiego; znajdziemy dzieło nowe, jedno z tych, które mogły ustalić wówczas sławę człowieka, badającego przeszłość wieków oddalonych. I nie będziemy się wtedy wcale dziwili, jeżeli znajdziemy gdzie wzmiankę o samym dziele, wzmiankę pochwalną; jeżeli powiemy, że o pracę Wyrwicza mogli być drukarze zazdrośni, a książka Bohomolec szczerze mu dziękował za pomoc, z której się tak szlachetnie z chlubą dla literatury ojczystej wywiązał. Nie będziemy się dziwić, że później, w lat kilkadziesiąt, Franciszek Dmochowski widział w tej pracy Wyrwicza prawo do odbierania hołdów od wszystkich.

*Abrégé* nie obudziło zapewne tak rozległego zapалу, jak poprawki la Combe'a. I nie dziw; *Abrégé* było dziełem elementarnym dla dzieci; poprawki, dziełem uczonym dla ludzi. W tych dodatkach do Strykowskiego, francuzką księgę ze źródeł francuzkich poprawiał Wyrwicz, i cóż mógł nowego powiedzieć, co objaśnić, jak znaleźć prawdę w tych obcych podaniach? A jednak znajdujemy i tam pracę ciekawą, mającą wartość. Na końcu uwag swoich zamieścił uczony nasz registr pisarzów, którzy o państwie rossyjskiem od najdawniejszych aż do jego czasów traktowali. Płód to sumienny, praca w istocie ciekawa, najwięcej wartości mająca, a przynajmniej znakomitsza od wszystkich uwag i od wszystkich sprostowań la Combe'a. Z niej poznać naczytanie się Wyrwicza i obeznanie ze źródłami dziejów.

Prace naukowe Wyrwicza, przerwała na chwilę propozycja Przedzieckich, i wypadek bolesny dla jego serca. Miał Antoni Przedziecki podkanclerzy litewski syna Dominika oddać na naukę do sławnego kollegium *Theresianum* do Wiednia na prawo; przez wielkie zabiegi otrzymał ten zaszczyt dla siebie, który niewielu obcych spotkał. Nie mógł jechać sam podkanclerzy za granicę, zajęty pracą; prosił zatem Wyrwicza, żeby jako znajomy austryackiej stolicy, znajomy też osobiście Maryi Teressie, podjął się odwieść Dominika do Wiednia. Przystał chętnie Wyrwicz na uczyniony sobie wniosek, ale wprzód nim się puścił w drogę, umarł w Warszawie stary jego przyjaciel, Jan August Hylzen wojewoda miński, 14 lutego

1767. Syn zmarłego, a były uczeń Wyrwicza kasztelan inflantski, odziedziczył po ojcu wojewodzinańską dostojność. Oddawszy ostatnią przysługę dobroczyńcy swojemu, rektor *Collegium Nobilium* pojechał do Wiednia w końcu lutego, umieszcili podkanclerzycy w *Theresianum*, miał prywatne posłuchanie u cesarza Józefa i Maryi Teresy, a potem w pierwszych dniach marca powrócił do Warszawy, podzielił żal z wdową i synem jedynym, ze wszystkimi przyjaciółmi serca.

Odtąd jeszcze z prawa świętszej powinności bywał Wyrwicz w domu wojewodziny mińskiej; po pracach literackich, nauczycielskich tu osłode znajdował, tu się spotykał ze znajomymi, czasem coś posłyszał, czasem sam jakiejś nowiny udzielił; zawsze znalazł dom gościnny, otwarty, zawsze pełno uprzejmości i wdzięku. Lecił też tutaj zawsze stęskniony widzieć się ze znakomitościami stolicy, a w rozmowie nauczającej i miłej, nowych sił czerpać dla pracy, dla nowych planów, dla nowych widoków.

W roku 1768 wydał *Geografię czasów teraźniejszych* tom pierwszy. Podług obszernego bardzo planu rozpoczął tę pracę, jako ciąg dalszy dzieła dla edukacji poświęconych. Wykładał w tym dziele naprzód: geografią naturalną ziemi, potem astronomiczną, a wreszcie i polityczną. W tej ostatniej opisywał różne kształty rządów, początek prawa i jego rodzaje; wykładał wiary i sekty, i różne języki: kolory i postaci znanych wtedy czterech części świata. To było ogólne pojęcie, jakie dawał uczniom o geografii. Dalej zabiegał w szczegóły i opisywał każde państwo po kolei, najwyższą w niem władzę i urzędy; mówił o stanie handlu, rolnictwa, o przemyśle i oświacie, o postępie pod względem nauk i umiejętności. Przechodził potem po szczególe kraj cały, opisywał miasta, rzeki, budowle, zwracając uwagę na historyczne podania, które uświetniały różne miejsca na ziemi. Tom pierwszy zajęty był państwami Europy, a w drugim miał nastąpić opis Polski i innych części świata. Obszernej chciał Wyrwicz wypracować geografią swojej ojczyzny i dać jej bliższy zarys, pod każdym względem szacowny; ale nie wydał drugiego tomu. Domyślano się rozmaicie, co go spowodowało do tego kroku, boć dzieło musiało być gotowe już do druku. Powiadano, że dyplomacya wdała się w tę sprawę, i że poseł jednego z mocarstw powstał i na autora i na książkę, za wykład systematu rządu nieprzyjawnym piórem skreślony. Nie możemy sądzić czy to prawda: rzeczy takie, tajemnica nieprzezroczyta pokryła. Powiadają nawet, że egzemplarze tego wydania były wykupywane i tracone.

Wygotował drugie wydanie swojego dzieła ksiądz Wyrwicz, i oddał je do druku w roku 1770, pod tytułem już *Geografii powszechnej czasów terażniejszych*. W przemowie wyznaje sam, że „dla poważnych materyj, które nie były stosowne do pospolitego używania jego księgi przez młodzież krajową, uczącą się w szkołach publicznych i po domach prywatnych, to pierwsze wydanie musiał przerobić, a prostszym i do pojęcia łatwiejszym ułożyć sposobem”. Drugie to wydanie całkiem jest już elementarne, całkiem dla młodzieży poświęcone. Czerpał najświeższe wiadomości z krajopisarzów i wędrowników, a rzeczy rozłożył porządkiem stosownie do wieku uczących się, tak, że przedmioty łatwiejsze przodkują trudniejszym. Nowe wydanie dedykował księciu kanclerzowi Michałowi Czartoryskiemu, przez wdzięczność, że chociaż zatrudniony obowiązkami wysokiego urzędu, brał żywy udział w edukacyi młodzieży, a rzeczypospolitęj i samym obywatelom łaskawą i skuteczną oświadczał uprzejmość, kiedy bywał w *Collegium Nobilium* jezuickim, i dawał rady i przestrogi pełne chęci przyjaznej,

Spory tom zajmuje to drugie wydanie. Objął w niem całą geografią kuli ziemskiej i opisanie Polski. Naturalnie, szczegóły o państwach nie są tutaj tak rozwinięte, jak w pierwszym wydaniu. Wszędzie prawie wyrzucił Wyrwicz materyą o rządzie; za to w każdym szczegółowie państwie napomyka nietylko o handlu, przemyśle, ale nawet o charakterze i skłonnościach opisywanych narodów. Opisiwi Polski najwięcej, bo 50 stronnice poświęcił. Przechodząc wszystkie części świata, był tyle skrupulatny, że nawet o krajach zagubionych, o Atlantydzie, o Thuli i Utopii i t. d. ciekawe, jak dla młodzieży, napisał wzmianki. Zamknął dzieło geografią astronomiczną i polityczną, gdzie też same rozbiera kwestye, co w pierwszym wydaniu. Geografia polityczna jest zbiorem rozpraw, które pokazują, że z Wyrwicza mógł być znakomity swojego czasu publicysta. Nic nie spuści z uwagi, wszystkiego się dotknie, wszystko natrąci; w jego głowie cały systemat, cały porządek. Kwestye rozbiera jak biegły znawca, jak niejeden ekonomista polityczny. Rozprawy o handlu Europy, o jej ludności i mocy, o wojsku ojczystem, do dziś dnia zawierają bardzo interesujące wiadomości. O ile Wyrwiczowi przedmiot pozwoilił i zamiar, żeby wygotować elementarną księgę, o tyle znajdziemy tu wszystko ujęte w systemat i cyfry.

Naukę swoją dzielił na pytania i odpowiedzi, żeby geografia zupełnie miała szkolną postać. Opis Polski choć treściwy, stanowi je-

dnak wykończony i pełny obraz. To rys ze *Świata* Władysława Łubieńskiego w skróceniu, to *Starożytna Polska* naszej chwili.

Pierwsze wydanie geografii było także dla uczonych. Obszerne noty i przypiski, w których widać było wielką naukę i wielkie szperania, z których przodkowie nasi czerpać mogli dokładne wiadomości w materyach politycznych, zapełniały to wydanie. *Geografia czasów terażniejszych* mogła zastąpić spółczesnym Wyrwicza całą bibliotekę; *Geografia powszechna* była księgą dla uczących się ściśle, księgą elementarną, i odpowiadała wybornie wymaganiom czasu i stanowi nauki w kraju. Nie ma już w niej dopisków, które częściami w text się wsunęły; a polityka i astronomia przeniesione na koniec, jako dopełnienie a nie początek nauki.

Powiadają także, że odpowiedź dworom zagranicznym, którą pisał Felix Łojko, była w znacznej części dziełem Wyrwicza. Trudno sądzić w tej mierze; wiemy jednak, że Łojko był uczonym człowiekiem, że zajmował się literaturą. Mógł mu Wyrwicz dostarczać treści i wątku, mógł go nie w jednej rzeczy objaśnić; ale nie miał znowu powodu pracy własnej udawać za cudzą.

W roku 1771 wydał także drugi tom: *Abrégé de l'histoire universelle*.

Te prace i zasługi Wyrwicza zjednały mu względy królewskie, jakieśmy już powiedzieli. Niedosyć na tém, że go Stanisław August zapraszał na czwartkowe obiady, ale w roku 1772 bił jeszcze dla niego medal wdzięczności. Na jednej stronie medalu był napis łaciński: *Carolus Wyrwicz, Rector Collegii Nobilium Varsaviensis Societatis Jesu*, i wyobrażenie uczonego; na drugiej stronie wyrazy: *Juventutis institutione scriptisque de Patria et literis bene merenti, Stanislaus Augustus Rex. MDCCLXXII*; co znaczyło:

„Wychowaniem młodzieży i pismami, wiele względem ojczyzny i nauk zasłużonemu, Stanisław August król. 1772.”

Nie król tylko, a publiczność, a Warszawa, przedstawicielka rzeczypośpolitej w tym razie, oddawała sprawiedliwość uczoneму Jezuicie. Lat kilkanaście rządząc konwiktem zakonu swego i przodkując młodzieży, zasłużył sobie Wyrwicz na wdzięczność i miłe wspomnienia. Znali to dobrze spółcześni mu panowie, i nigdy może konwikt Jezuicki taką liczbą uczniów, co za niego, popisać się nie mógł. Zbiegała się pod jego opiekę młodzież chciwa nauki ze wszystkich stron Rplitej. Napływ był tak wielki, że nie było gdzie uczących się pomieścić. Skarzył się na niedogodność ksiądz Wyrwicz na zamku, jakby się przymawiając o łaski. Król Stanisław August wszedł w słu-

szność żądań rektora, i chciał nowy gmach stawiać w okolicy Starego-Miasta dla kolegium Wyrwicza, kiedy go nagle zaskoczyła bulla rzymska i rozproch zakonu. Budowa już nawet była zaczęta. Szacunek dla Wyrwicza wyraził się wtedy w niemój boleści tych, co go kochali, co w nim widzieli chlubę zakonu i pociechę narodu. Ostatni też Wyrwicz opuścił zakonne mury na Starém-Mieście, żeby się przenieść do niegdyś jezuickich murów, dziś nowego kościoła parafialnego św. Andrzeja. Lat kilkanaście przywoził młodzieży ku nauce, teraz miał przywozić duszom ku zbawieniu.

O zasługach Wyrwicza, jako proboszcza, jużśmy wspominali; w ciągu tych lat sześciu Młodziejowski który go poważał, ustąpił mu jeszcze opactwa hebdowskiego. Ten stopień wysoki w kościele; nadawał prawo Wyrwiczowi do wysokich dostojenstw, a nawet do wysokiej biskupiej godności. Ale nagle zmieniło się coś w naturze tego uczonego człowieka.

Czy obowiązki parafialne odciągały go od prac literackich, czy też zrobiła to tęsknota po zgastym zakonie, czy inne jakie okoliczności, których pobudek nie znamy, a które odgadnąć sililibyśmy się na próżno: dosyć, że Wyrwicz pokazywał jakiś przymus, jakąś niechęć do swojego obecnego położenia, do stanu, którego był ozdobą. Być może, przewidywał dla siebie los świetniejszy w łasce króla, w obietnicach magnatów; dosyć, że postanowił złożyć probostwo św. Andrzeja w inne ręce, a sam oczekiwać okoliczności i chwili.

20 marca 1780 r. po ciężkiej 9tygodniowej chorobie umarł ksiądz Młodziejowski, założyciel parafii, wypowiedany na śmierć przez Grodzickiego, wikaryusza św. Andrzeja. Na świetnym pogrzebie, który wystawnością przechodził wszystko, co od dawnego czasu widziała Warszawa, celebrowało pięciu biskupów i sam papieżki nuncyusz. Ostatniego dnia u fary, nad ciałem, powiedział Wyrwicz kazanie (1 kwietnia). Był w kościele cały świat wielki stolicy: senatorowie, dygnitarze, król z dworem. Wdzięczność na ambonę pociągnęła Wyrwicza: z Młodziejowskiego łaski miał Hebdów. Powiadają, że wzruszył obecnych. Starszy od biskupa, spodziewał się go poprzedzić na świat wieczny; mówił też ze łzami, a rozrzewnił wszystkich, kiedy wyliczywszy zasługi zmarłego, zegnał senat jego imieniem, króla i ministrów, Okęckiego następcę na biskupstwo, owczarnią, szlachtę, krewnych i przyjaciół, i sługi, i wrogów, jeżeli są jacy, mówił Wyrwicz. My nie wierzym tej wymowie. Pożegnanie nad grobem ma zawsze coś czulego, coś natchnionego, coś nie z tego świata. Samo pożegnanie wzrusza. Wzruszył też Wyrwicz

postacią swoją i głosem, ale wiele wagi mu przydała i cisza uroczysta w kościele, i massy ludu i grono świeckich wielkości. Sami chwalczy Wyrwicza, np. Dmochowski (1) powiadając o jego nauce, mówią, że niezawsze, a nawet bardzo rzadko łączy się z nią talent pięknego pisania. My zaprzeczym twierdzeniu: bo są talenta znakomite, obdarzone wysoką nauką, a mają zdolność. Ale nie zaprzeczym podaniom chwalców, odnosząc ich myśli do Wyrwicza. Nadęty, sadził się na wyrazy ksiądz proboszcz od św. Andrzeja; chciał mówić ozdobnie, i kuł peryody ciężkie i niesmaczne: chciał być jasnym, a był niezrozumiałym tylko. Przesadę widać nawet w każdym prostym zdaniu. Wyrwicz kiedy pisał swoją mowę, tak był widać głęboko przekonany, że musi mówić ozdobnie, że umyślnie wysilał dowcip i całą potęgę swojej wyobraźni; nie szło mu o prostotę wysłowienia, a o efekt. Ale właśnie efektu nie zrobił przesadą i dziwactwem. Nigdy on stylu nie miał, nigdy pod jego piórem język nie był giętkim, malowniczym i silnym; ale w kazaniu o którym mówimy, język ten był straszidłem. Pisze jasno, chociaż bez wdzięków, kiedy uczy; sypie wyrazy, spaja je sam nie wie jak i po co, kiedy chce wzruszyć i roztkliwić.

13 kwietnia sprawił Wyrwicz Młodziejowskiemu exekwie w swoim kościele, a w niespełna trzy tygodnie potem, dnia 30 kwietnia w ręce Grodzickiego złożył probostwo.

Może nowe widoki wpłynęły wiele na to postanowienie. Po śmierci Młodziejowskiego wakowała pieczęć wielka koronna, którą otrzymał Borch podkanclerzy. Podług prawa, rada nieustająca przedstawiła królowi trzech kandydatów do pieczęci mniejszej. Wszyscy trzej podani byli z duchowieństwa, bo pieczęcie alternatą chodziły: jedna zostawała w rękach świeckiego, druga w rękach biskupa. Ale zawiodły Wyrwicza nadzieje: ksiądz Okęcki, nowy biskup poznański, kiedyś koadjutor Młodziejowskiego, został podkanclerzym koronnym. Kiedy w pół roku potem umarł Borch i Okęcki dostał pieczęć wielką, Wyrwicz nie miał prawa na mniejszą; bo ją wtedy musiał otrzymać świecki, i dostał ją Jacek Małachowski. Okęcki niezawodnie tytułem swoim biskupim uprzedził Wyrwicza, bo położony wyżej w kościele, miał pierwszeństwo przed opatem hebdowskim. Ale z drugiej strony, Okęcki był już senatorem i znacznym dostojni-

(1) Dmochowski napisał życie Wyrwicza, które wydrukowane jest w piśmiech jego poetycznych, wydanych w r. 1826 w Warszawie. Ale Dmochowski pisał jak chwalcza, i nie widział błędów Wyrwicza. Myśmy nasz życiorys ułożyli na zasadzie gazet ówczesnych i wspomnień o uczonej rektorze, rozrzuconych po książkach z epoki Stanisława Augusta.



kiem w Rplitej, i nie było wcale potrzeby po godności jednej kłaść drugi na niego wysoki urząd. Wyrwicz może powinien był wtedy narzekać na niepamięć króla, chociaż i wybór Okeckiego był powszechnie chwalony dla cnót biskupich i charakteru nowego kancelerza.

Spokojny, sam jeden teraz, bez zajęcia, oddał się Wyrwicz pracy naukowej. Publicznie już nie występował, bo czuł, że zakończył swój zawód. Raz tylko jeszcze tegoż samego 1780 r. dnia 2 października, przy otwarciu sejmu walaego miał kazanie u św. Jana. Mówił o prawie i celu władzy sejmowej. Nie możemy przenieść na siebie, żeby choć krótkiego ustępu nie przytoczyć. Ten właśnie wyjątek objaśni nam naturę krasomówczych zdolności Wyrwicza. Kaznodzieja tak zaczął:

„Jako stworzenia ogólnosc z przepaścistych niczego wszechmocną Boską ręką wyprowadzona w czasie tajemników, początek swój do mocy twórczej odnosząc, koniecznie byt onęj od istoty nadwiecznej niedzielay stanowi, i tym jedynym wywodem, uważnie i bez uprzedzenia rozebrany, w najuporniejszym rozumu niedowiarstwie zacięte do uznania jestestwa nadprzyrodzonego nakłania; tak w przedziwnym rzeczy przyrodzonych szyku i układzie, mądrość Boska niepojęta się wydaje, a zamiar stworzenia naznaczony, miłość Stworzyciela chętną do czynienia dobrze narodowi ludzkiemu oznacza”.

Taka wymowa nie mogła zapewne wzruszać, choćby i na pogrzebie Młodziejowskiego. A jednak obadwa kazania, i pogrzebowe i sejmowe, oddał Wyrwicz do druku. Kazanie na exekwiach kancelerza i biskupa wyszło nawet w Warszawie w niemieckim tłumaczeniu, nie jako arcydzieło wymowy, a pewnie jako broszura zajmująca szczegóły o życiu Młodziejowskiego dla ciekawych Niemców. Kazanie sejmowe drukował Gröll zaraz w październiku 1780 r.

Dzień więc i noc trawił Wyrwicz na pracy naukowej. Przypomniało mu się wtenczas dawne przedsięwzięcie, żeby w spółce z innymi wypracować dzieło naukowo-histeryczne. Rozpoczął właśnie wtenczas spór literacki ze Świtkowskim redaktorem Pamiętnika historycznego i politycznego. Spór ten ciekawy obchodzić ma prawo badaczów literackiej przeszłości naszej, i znajdzie się ktoś zapewne, co wejrzy kiedyś bliżej w tę sprawę i opowie nam, jak się rzecz miała. My tylko powiemy, że Wyrwicz gniewał się na masę błędów, które w publiczności piśmie swoim rozrzucił niby uczony Świtkowski. Pragnąc zatem powiedzieć mu prawdę i wyśmiać zarozumia-

łość, Wyrwicz drukował raz po raz: *Pamiętnikowi historycznemu i politycznemu promemoria*. Trzy części wyszły tych promemoriów: w pierwszej roku 1783, wytknął błędy Switkowskiego względem geografii, w innych częściach inne znajdował i odsłaniał błędy. Część trzecia promemoriów dawno oczekiwana, wyszła dopiero w r. 1786, w styczniu u Gröll'a, i zawierała arkuszy druku 25 i pół, sprzedawała się zaś po złp. półczwarta, kiedy część pierwsza mniejsza znacznie, kosztowała tylko półtora złotego. Treść trzeciej części, którą wyłożył w przedmowie, drukował Gröll osobno i rozdawał *gratis* przy Gazecie Warszawskiej. *Promemoria* z czasem przybrało ton za ostry i zbyt karcący; zaczęło już nietylko Świtkowskiego Pamiętnik historyczny, ale i inne jego pisma. Ztąd Wyrwicz nieraz z księdzem Łuskiną układali przedmioty do sporów, bo Łuskiną ex-Jezuita nie mógł znieść żadnego pisma peryodycznego, obok swojej Gazety Warszawskiej. Sam chciał mieć monopol na Warszawian, a starym duchem owiany, wierząc w swoją wielkość i naukę, niechętnie spoglądał na usiłowania Świtkowskiego, który mógł mieć swoje błędy, niedoświadczenie, mógł nawet nie przeniknąć zupełnie w tajemnice nauki; ale przecież miał wielkie swoje zasługi, bo należał do ludzi nowszej już epoki, której Wyrwicz i Łuskiną nie pojmowali. Pracami swojemi, a zwłaszcza tym tak okrzyczanym *Pamiętnikiem*, Świtkowski budził niezawodnie umysłowe życie i wpływał znakomicie na społeczność.

Z historii powszechniej, którą miał wydać nasz uczoney Jezuita, Wyrwicz wziął najprzód dzieje Izraela. Do tego użył już przed kilkunastu laty wydanego przez siebie *Abrégé*. Przejrzał na nowo swoje dziełko francuzkie, poprawił co potrzebowało poprawy, rozszerzył i ogłosił po 6 złp. prenumeratę na dwa tomiki. Prenumeratę składać można było na ręce roznosiciela Gazety Warszawskiej i u prefekta nadwornej drukarni pojezuickiej. Ogłosił prospekt w październiku 1786 r., a w sierpniu 1787 r. okazał się w druku tom I, „Historii ludu Bożego i narodów starożytnych krótko zebranej”. Na druk łożył Stanisław Szymański. Miało być początek dziejów o monarchiach dawnych; ale skończyło się na tej pierwszej części. Miał wprawdzie Wyrwicz bogate zbiory przygotowane do druku, ale te częścią u współpracowników zaległy, częścią zginęły u samego autora. Nadechodził właśnie czas sejmów wielkich, a obudzona czynność literacka, rzuciła się więcej do kwestyj żywotnych, politycznych, jak do badań historycznych, do wspomnień o narodach dawnych. Nam się zdaje, że ten był powód, co wstrzymał Wyrwicza od dalszego

drukowania dzieła, któreby może mu najwięcej sławy i literackiego imienia przyniosło.

Że zajmował się wciąż pracą, i pracą ważną, świadkiem jest społeczny tłumacz Illiady, autor Sztuki Rymotwórczej. Zarzucony był podobno Wyrwicz rękopismami, których nawet nie znamy imienia, a o których ważności sądzić możemy z powieści Dmochowskiego. Miał podług niego nasz rektor ukończone już pismo, pod tytułem „*Liga Kambryjska*”, w której malował zdobycze Francuzów we Włoszech, i głęboką politykę rządu weneckiego. Miał drugie, pod tytułem „*Konfederacya Gołębiowska*”, w którym przedstawiał króla Michała Korybuta, jego zdolności i politykę w zupełnie inšym świetle, jak dotychczas pojmowano. Nie możemy odżałować tych monografij, straconych już dla nas. Dzieło historyczne, które o powszechnych dziejach opowiada, zawsze ma postać i wejrzenie elementarne, jeżeli na trzech, czterech tomach się kończy; zawsze uczy tylko, a nie stanowi obrazu wykończonego, jakiegóś całości. Monografia każda jest już pracą uczoną, ciekawą, piękną, za którą każdy weźmie się najprzód, żeby się z niej czegoś dowiedzieć i znaleźć fakt jakiś do dziejów ogólnych. Monografią właściwie nasz wiek stworzył. Dzisiaj nie obejmujemy już całości dziejów, a bierzemy miasto, prowincyą, ród jeden, kościół, jedną stronę życia, i piszemy tego wszystkiego dzieje. Na monografią choruje nasze stulecie. I dlatego serdecznie żałujemy téj pracy Wyrwicza. Może nie odpowiedziałyby już nadziejom naszym, oczekiwaniom; aleby zawsze miała swoje wartość, zbogaciłaby ubogą literaturę naszą historyczną, możeby innym wskazała przykład do naśladowania.

Co się tyczy króla Michała Korybuta, przyznajemy się, że sympatyą wielką obudził w nas Wyrwicz. I myśmy dawno rozpatrując dzieje księcia Wiszniowieckiego na tronie, znaleźli z dokumentów starych, z kronik drukowanych i ze wspomnień o nim napotykaných, że to był król, co miał wszelkie przymioty na zdolnego rządcę potrzebne. W niczém nie ubliżył Korybut sławie znakomitego ojca swojego Jeremiasza. Młode księżę wzięła na swój dwór królowa Marya Ludwika, a umierając powiedziała: że Michał najzdolniejszy do panowania w Polsce. Tego świadectwa nigdy nam pomijać nie potrzeba. Że panowanie Korybuta przeszło w burzach i niechęciach, na to innych potrzeba szukać przyczyn, a nie obwinać mniemanéj niezdolności Michała. Panowanie jego zaburzyli niechętni mu możnowładcy, bo zapomnieli, że Michał pochodził z rodu, któryby rodziny i największych możnowładców zagasił. Prażmowski i Sobieski byli winni,

nie Wiszniowiecki; w Polsce najłatwiejszym sposobem aby się tylko było szlachcicem, można było zostać i rodem możliwym. Jeżeli zdolność miał do intryg jaki pan wojewoda, który urosł nie z chleba, nie z soli, ale z tego co boli, jak powiadał człowiek bez zarzutu hetman Stefan Czarniecki; nie było mu wcale trudno wleźć pomiędzy rody uprzywilejowane. Sobieski był właśnie takim możnowładcą. Gniewał się na Michała, że młodszy od niego, że bez zasług, że bez tytułów, bez stopnia w narodzie; pamiętał tylko na jego obecne ubóstwo i nędzę, a zapomniał, że to był Wiszniowieckich potomek, któryby mógł utrzymać na swoim dworze stu Sobieskich i podobnej jemu szlachty. Co zdolność poradzi, przeciw intrydze i zawiści?

Praca Wyrwicza o konfederacyi Gołębiowskiej, chociaż nie doszła nas, daje autorowi prawo do naszego szacunku: bo widać, że nie szedł owczym pędem za innymi, a miał swój własny rozum, własny sposób widzenia rzeczy, i wznosił się nad przesady, na które jeszcze i wiek nasz, skutkiem braku krytyki historycznej, choruje.

Zebrałiśmy wszystko, cośmy tylko wiedzieli o Wyrwicza piśmami. Może szereg monografii miał się ciągnąć długo, bo jak powiadamy, wiele miał papierów, notat, rozpraw, wypisów, uczony ex-Jezuita. Król i panowie polscy, co o tych pracach wiedzieli, mieli na drukłożyć. Żałujemy raz jeszcze, że o tym wszystkiemu wiemy tak mało. A teraz trzeba nam przyjrzyć się życiu tego pracowitego człowieka aż do chwil ostatnich, i raz przecie o Wyrwiczu skończyć.

Między króla i przyjaciół podzielony, był proboszcz śgo Andrzeja już teraz nie tylko skupował książki, ale zaczął robić i pieniądze. Miał ich zapas niemały, bo okoliczności były mu bardzo na rękę w ciągu całego życia. Czy nauczyciel w domu Hylzenów, czy rektor jezuickiego kolegium, czy proboszcz śgo Andrzeja, czy przyjaciel króla Poniatowskiego, czy opat hehdowski, czy wreszcie autor wstawiony. Wyrwicz znalazł wszędzie sposobność powiększać zbiory i majątek. Puścił się na banki. Za granicą kupował papiery, lokował summy, zbierał procenta. Miał też samą słabość i jego przyjaciel ksiądz Łuskiński, wydawca Gazety Warszawskiej. Obadwaj Jezuiti, kochali się bardzo. Dwaj rozbitki wielkiego zgromadzenia, obaj zostali w Warszawie i pocieszali się nawzajem. Z Gazety miał i Łuskiński ogromne dochody, bo posiadał na nie wyłączny przywilej, i prawem dochodził piśmem, co chociaż literackie, podsuwały się cokolwiek pod politykę. Obadwaj naradzali się wspólnie i rozprawiali o swoich kapitałach. Ale ludzie uczeni, nie byli praktycznymi ludźmi, i na nauce finansów niebardzo się znali; zbiory ich rozproszyły się,

korzystała z nich zła wiara, i ogromne fundusze zebrane trudem i pracą, zmarniały i za granicą i po krajowych bankach. Skarzył się raz Wyrwicz opowiadając o swoim nieszczęściu i wielkich stratach przed Łuskina. Łuskina więcej filozof, odpowiedział wesoło: „Nie troszczmy się o to, niechaj się nasi dziedzice niepokoją o swoje skarby: bo ich to był, nie nasz majątek”. Widoczne było, że już starość na obudwu przyjaciół działała, kiedy zbierali nie dla siebie, a tak dlatego, żeby mieć pieniądze. Łuskina wtedy i ksiądz Reptowski składali towarzystwo domowe opata hebdowskiego.

Jednakże musiał się znać Wyrwicz na ekonomice i na sztuce robienia pieniędzy, powiększania dochodów z dóbr ziemskich, kiedy się w tym względzie wiele osób uciekało do niego po radę. Powiadają, że w wielu miejscach Polski i Litwy, zaprowadził opat hebdowski światłą ekonomikę, która nie pozorne, ale gruntowne korzyści przynosiła. Opinia nawet o jego zdolnościach gospodarczych tak była upowszechnioną, że przypisywano mu nawet dzieła pisane o gospodarstwie, które jednak Albertrandi w r. 1770 drukował. Że był porządnym przeciw i przezornym człowiekiem, dowód stawi kolegium jezuickie, które z długów oczyścił. Umiał zatem obchodzić się z pieniędzmi; cudze ratował, ale własne stracił. Winować mógł los o stratę, ale nigdy siebie.

Od króla miał także zlecenia i gościł ciągle na zamku. W nagrodę, w roku 1783 dostał krzyż śgo Stanisława, a w roku 1784 razem z Okęckim i Naruszewiczem zasiadał w imieniu króla w lipcu na examinach szkół wydziałowych akademickich w Warszawie. W roku 1786 utracił jedyne go ucznia, do którego czuł przywiązanie ojca, bo w Rzymie dnia 31 sierpnia t. r. umarł w lat pięćdziesiąt życia Józef Hylzen, teraz już wojewoda mścisławski. Uczuwszy bardzo tę stratę, Wyrwicz tém mocniej przywiązał się do dworu. Łagodny i nieopryskliwy, przyjmował żarty i śmiechy nawet z siebie strojone. Znajoma jest powszechnie anegdota, przy stole królewskim, kiedy odkorkowując butelkę, ktoś zrobił uwagę, że niema wyrazu polskiego na oznaczenie trybuszona. Wszyscy dobieżeli słów i wyrazów, żeby trybuszon wytłumaczyć, a Naruszewicz wyrwał się: „Najwłaściwiej będzie Wyrwicz podobno” wśród głośnego śmiechu obecnych. Ksiądz opat hebdowski nie rozgniewał się, a śmiał się równie z innymi i równie jak tamci serdecznie.

Ale w czasie sejmu wielkiego znikł nagle Wyrwicz. Wtenczas, w téj epoce nadziei zbudzonych, kto żył, to drukował, i pisał jak umiał i co umiał: jeden głos Wyrwicza zamilkł i zamilkł na zawsze,

Dlaczego życie tamtęj chwili nie wyciągnęło go z głębokiego zamyślenia? trudno zgadnąć. To tylko pewne, bo widoczne, że w tym czasie nowe pokolenie żyło nadzieją i radością, a ludzie serca starego, ludzie jasno widzący rzeczy, a jednak przytém i prawdziwi obywatele kraju, jak np. Krasicki, Naruszewicz, również zamilkli. Cała ta epoka sejmów wielkiego jakby z nóg ich ścięła. Naruszewicz np. nie wierzył zupełnie królowi i usunął się ze stolicy; Krasicki pisał nowy satyryczny, pełen zółci poemat; zapomniany starzec, Wyrwicz, złożył wtedy i swoje opactwo hebdowskie, całkiem obierając sobie na przyszłość samotne życie. Hebdów dostał się w ręce księdza Pokubiatty, potem posła Rzeczypospolitej w Wiedniu. A Wyrwicz oddaliwszy się na ustronie, sprzedał nawet swoje książki na niewiele lat przed śmiercią generałowi Działyńskiemu; porzucił nawet chęć ulubioną do pracy, która mu dotąd rozrywką była i weselem. Mieszkał wprawdzie w Warszawie, ale już go wtenczas w stolicy czujne oko miłośnika wspomnień nigdzie nie dostrzeże, bo się ukrył jak na dnie morza, i żył tylko ze swojemi myślami i ze swojemi przyjaciółmi. Zdaje się nawet, że przestał bywać i na dworze.

W takim osamotnieniu, śmierć go nagle zaskoczyła. Mieszkał wtedy nie w parafii św. Andrzeja, ale w sąsiedztwie. Cierpiął na astmę, i gwałtowny napad choroby razu pewnego śmierć mu natychmiastową zapowiedział; posłał czémprędzej po księdza do parafii św. Andrzeja, jakby się chciał pożegnać z dawną owczarnią. Ksiądz przybiegł, ale gwałtowna astma spadła na piersi, i posłannik Boga miłosierdzia, nie zastał już przy życiu uczonego Wyrwicza. Umarł w Warszawie dnia 6 czerwca 1793 r. Miał lat 76 (1).

Księdza Reptowskiego scholastyka kolegiaty św. Jana wyznaczył exekutorem swojego testamentu. Później już w lat dziesięć, Józef Maxymilian Ossoliński chciał Wyrwiczowi wystawić pomnik za długoletnie prace, i chciał opisać życie jego literackie. O szczegóły biografii z Wiednia do Warszawy pisał do Reptowskiego, ale skończyło się na niczym.

Wyrwicz nie był rzeczywistym proboszczem, bo kiedy złożył urząd parafialny, erekcyi parafii jeszcze nie było. Był komendanzem, miał jedynie *curam animarum* w swojej stolicy; powagą jednak biskupią, nie kanonicznym obrzędem był zawsze proboszczem św. Andrzeja (*praepositus*).

Za Grodzickiego czasów, wydał następcę Młodziejowskiego, Okęcki, właściwą erekcyą kościoła.

(1) Akta zejścia św. Andrzeja.

Urodził się Grodzicki w rok po Wyrwiczu, d. 21 Grudnia 1718 r. w województwie brzesko-litewskim, z rodziców ubogiej szlachty; w szesnastym roku życia przyjął już jezuicką sukienkę. Właśnie w czasie bezkrólewia po Augustcie Mocnym 1734, wykonawszy professyą i zakonne śluby przybył do Warszawy i dał się poznać stolicy przez pracę gorliwą i pobożność.

Niezmordowany na missyach i w opowiadaniu słowa Bożego, niczego się nie lenił, a podejmował się pracy, która przechodziłaby siłę innego, a jego cieszyła owocem zabiegów i tylu starań. Niedługo znała go cała stolica Polski, a magnaci go polubili i rwali po domach swoich, jak drogi kamień z rąk do rąk. Brali go do siebie na spowiednika, kapelana, doradcę, przyjaciela. Miączyńska wojewodzina podlaska pierwsza otworzyła mu serce swoje i sumienie (około 1751); odtąd lat kilkadziesiąt był jej opiekunem, stróżem. Dwadzieścia lat strawił na pracy mozolnej; uczył się jak ma być dozorcą moralności, ojcem swoich owieczek: został nareszcie rektorem kollegium św. Krzyża. Pod Wyrwiczem sprawiał obowiązki pierwszego wikaryusza; zakonnikiem był lat 39, nareszcie od 1go maja został drugim proboszczem św. Andrzeja w roku życia 62. Odtąd lat 22 przewodził parafii, a był jej wzorem żywej pobożności, był jej cnoty przykładem.

Grodzicki na śmierć dysponował Młodziejowskiego, i miał nad ciałem jego przemowę, przy exportacyi z pałacu na Miodowej ulicy do św. Jana. Zmarły biskup ocenił cnotę byłego zakonnika jeszcze za swojego życia; Grodzicki zawsze był jego spowiednikiem. Później Grodzickiego wołał idąc na śmierć Jacek Ogrodzki sekretarz W. K.; używała Miączyńska wojewodzina, Łącki kasztelan sandomierski, zmarły w pałacu Jabłonowskich na Senatorskiej ulicy. Możemy nawet nie wyliczyć tych prac Grodzickiego, do których był używany przez konających, a które pokazywały miłość i szacunek, jakimi dla siebie wszystkich natchnąć potrafił. Nie zapomniał też dobrodziejstw i cenił pamięć ludzi, co go kochali. Co rok w datę śmierci Młodziejowskiego, wyprawiał za niego u św. Andrzeja nabożeństwo żałobne, i codziennie za dobroczyńców swoich modlił się. Z Reptowskim wspólnie śmierć Młodziejowskiego oplakiwali. To znowu, kiedy rzadszej uroczystości familijnej, np. ślubu złotego, dożyło dwoje małżonków starych, nie kto inny, tylko Grodzicki musiał ich błogosławić na dalszą podróż na ziemi. Tak (w r. 1780, 10 września) wiązał ręce i przemawiał czułymi wyrazami do Władysława na Koprkach Manowskiego i Brygidy z Rochalów Szopskiej. Nie u siebie nawet, nie

u św. Andrzeja, ale w innych kościołach śluby dawał proszony przez państwo młodych. Franciszka Wojnę z Teresą Czaplicówną połączył u Sakramentek (w roku 1781 w lipcu); a ślubów innych nie zliczyć.

Jak nie miał być znajomy, popularny w Warszawie ksiądz Grodzicki, kiedy w stolicy całe strawił prawie życie swoje, lat sześćdziesiąt przeszło, kiedy był wszędzie? To też Grodzickiego i każde dziecko znało w Warszawie, słyszało o nim, wiedziało do niego drogę. Byłto w swoim czasie może człowiek jedyny; i jak cień przy obrazie, tak on nieodbicie się płące około wspomnień Warszawy, z czasów zwłaszcza ostatnich Stanisława Augusta. Byłto człowiek, którego obraz nawija się myśli wszędzie, kiedy tylko po niedawnej przeszłości naszego miasta umysł zechce pobujać.

Ale najważniejszym czynem za czasów Grodzickiego, który epokę jego uświetnił w dziejach Warszawy, jest erekcja kościoła św. Andrzeja, przez Okęckiego wydana. Ksiądz Reptowski i Grodzicki to dzieło przyprowadzili do skutku. Właśnie rozwijając zaczęte przez Wyrwicza i Młodziejowskiego prace, Grodzicki wybudował kamienicę z lewej strony kościoła, czyli przyszłej jego facyaty. Bo w głowie zacnego ex-zakonnika zasiadła myśl, że kościół stanąć musi, żeby się nie naprzykrzać Reformatom; już nawet w tym celu Grodzicki poprowadził na gruncie linie, jak miała iść nowa budowla. Dla wymurowania kamienicy znalazł fundusze z własnej oszczędności i w składkach pobożnych Warszawian. Myślał zatém, że jeżeli nie znajdzie dobroczyńcy, składką nową kościół Panu wybuduje; a miał przed sobą Boduena przykład.

Zadosyć czyniąc gorliwości Grodzickiego, w chęci uspokojenia wreszcie tej sprawy, biskup Okęcki na dniu 6 grudnia 1782 r. wydał w lat ośm po założeniu parafii erekcyą dla św. Andrzeja. Przytoczymy w treści dokument ten ważny dla dziejów Warszawy.

Okęcki w akcie erekcyi opisywał wprzód starania Młodziejowskiego około założenia parafii, starania, których owocu widzieć zmarłemu biskupowi śmierć przeszkodziła. Sam zaś przywodząc myśl do skutku, w r. 1781 dnia 24 marca zawarł ugodę ostateczną w tej mierze, i na jej mocy nadawał erekcyą. Na fundusz dla proboszcza, budowy przyszłe i utrzymanie trzech wikaryuszów, przeznaczał wieś Łązniewo z prawami, jakie służyły Jezuitom. Na mieszkanie dla proboszcza i wikarych służył klasztor pojezuicki; prócz tego, do uposażenia parafii należała nowa kamienica, którą co tylko wybudował Grodzicki, i płace: jeden mały po lewej stronie kościoła ku téjże



kamienicy, szeroki na łokci 21, a długi na 25, i drugi po stronie prawej, mający stajnie, szeroki jak tamten, a długi na 27 łokci. Do tego należał mały pałacyk pomiędzy placem a ogrodem, ogród dosyć obszerny i oficyna murowana, zbudowana z tyłu kościoła; na placu większym była jeszcze jedna oficyna świeżo postawiona w r. 1780 po spaleniu się, a dalej szły wozownie.

Proboszczem po rezygnacyi Wyrwicza stanowił Okęcki Grodzickiego, odebrawszy od niego wyznanie wiary; przytaczamy kilka wyrazów erekcyi, które nam wskażą, jakie miał zachowanie zacny proboszcz u władzy swojej dycieczalnej:

„Nie bez rozkoszy zaś umysłu naszego widzimy”, słowa są wspomnionój erekcyi, „że tenże czcigodny kapłan, Tomasz Grodzicki, nie tylko w popieraniu czci Bożej i w posługach parafialnych, i w staraniu się o ozdobę świątyni Pańskiej pokazuje się zawsze przykładem i wzorem; ale jeszcze i w powiększaniu nawet doczesnych korzyści, jak to widać z kamienicy, którą zbudował... co właśnie powinno coraz więcej zachęcać duchowieństwo tego kościoła do pełnienia z pilnością wszelkich obowiązków na nie włożonych”.

Do pomocy proboszczowi chce Okęcki, żeby zawsze, jak i przed erekcją, było trzech wikaryuszów parafialnych, i stanowi, że ciż mają wciąż mieszkać przy kościele. Jeden z nich przynajmniej musi dobrze umieć po niemiecku, bo wielu katolików tego narodu mieszka w parafii św. Andrzeja. Ta okoliczność objaśnia nam może i samę tajemnicę ustanowienia parafii. Dotąd Niemcy rozproszeni po Warszawie, nie mieli ogniska, do którego by się zbierali przy nabożeństwie. Kościół św. Benona odpowiadał tylko w części ich potrzebom. Zdaje się więc, że św. Andrzej miał to przeznaczenie: brak dopełnić, niedostatek zastąpić. Musiały zatem bywać tutaj kazania niemieckie, i czasami nawet niemieckie nabożeństwo. Wikaryusze mieli podług erekcyi podlegać władzy proboszcza, który sam ich wybierał, ale za potwierdzeniem biskupów poznańskich albo konsystorza warszawskiego. Proboszcz też oddawał wikarych, jednakże znowu za potwierdzeniem władzy, ale bez żadnego prawnego procesu. Zastrzegł jednak Okęcki, że jeżeli potrzeby wiernych w parafii wymagać tego będą, a dochody kościoła pozwolą na utrzymanie większej jeszcze liczby wikaryuszów, proboszcz będzie miał powinność przyjąć jeszcze czwartego księdza.

Zatwierdzał następnie biskup nowy tytuł kościoła, i przytaczał sprawiedliwe powody tego kroku. Odtąd zapewne i wyobrażenie św. Andrzeja, umieszczono nad dawnym obrazem w wielkim ołtarzu.

Oznaczał dalej Okęcki ściśle i ostatecznie granice parafii. Zaczawszy od lewej strony kościoła z ulicy Senatorskiej, linia graniczna szła ku Daniłowiczowskiej ulicy, i przez nią obok biblioteki Załuskich, dalej wychodziła na Bielańską obok Mennicy, dawnego pałacyku Poniatowskich, które do parafii nie należały; szła po brzegu lewym ulicy Bielańskiej aż do Długiej wprost zbrojowni, i odtąd na Nowolipie, zawsze po lewej stronie, przez całe Łeszno aż do granic parafii wolskiej. Z drugiej strony zaczawszy od Marywilu, linia graniczna szła do kościoła Reformatów przez całą Senatorską ulicę po obu stronach, przez Żabią, Graniczną i Grzybowską z prawej strony, znowu aż do parafii wolskiej. Dla lepszego oznaczenia parafii, mapę umieszczono przy akcie erekcyi z wymienieniem ulic i pałaców, które teraz do kościoła św. Andrzeja należały. Widzimy z tego opisanie, że kościół stał na samych granicach, na samym cyplu ogromnego obszaru miasta, i że takim sposobem niewygodą nie w zupełności dla katolików usuniętą została. Niby przez wzgląd wielkiej rozległości parafii św. Jana, rozbito ją na dwie połowy, a teraz w tej drugiej rozbitej połowie, wikaryusze mieli także ogromny kawał do chodzenia i biegania, jeżeli np. chory wzywał, gdyż św. Andrzej był nie w środku, a na kraju parafii.

Stanowiła dalej erekcyja przepisy finansowe kościoła; proboszcz miał wyłączne prawo do pobierania dochodów, a bez jego wiedzy wikaryusze nie mogli się mieszać do tego; dawał im mieszkanie, i płacił rocznie po 800 złp. pensyi, to jest 400 na stół a 400 na inne potrzeby. Stół powinien być wspólny, a w takim razie proboszcz te 400 złp. zatrzymywał u siebie, i płacił wikaryuszom wtedy, kiedy ustawała wspólność; czego, że sobie nie życzył biskup, widać z erekcyi. Nie wszyscy księża przy kościele św. Andrzeja obowiązani byli do miewania kazań do ludu. Erekcyja więc stanowiła, że ci dwaj z czterech, rachując w to i proboszcza, którzy się tego podejmą, żeby po kolei co drugie święto i w niedzielę mówić z ambony, mają pobierać rocznie jeszcze po 500 złp. bez względu na ciężki czas i okoliczności, jakieby wypadły. Reszta dochodów należała świętym prawem do proboszcza: na jego utrzymanie, na budowę, na zachowanie wioski, fabrykę kościoła, ciężary publiczne, i inne jakiegokolwiek wydatki.

Co się zaś dochodów styły tyczyło (*accidentia stolae*), erekcyja chciała, żeby wszystkie z tych wpływów pieniądze, wkładały się do skrzynki zamkniętej na dwa klucze; z tych jeden u proboszcza, a drugi u starszego wikaryusza. Co kwartał następował obrachunek w obecności wszystkich księży od św. Andrzeja. Najprzód proboszcz

odkładał z tych wpływów pensją dla organisty, zakrystyana i dwóch dziadów przy kościele, potem osobno potraçał koszta na światło, na olej, na lampę co gorzała przed Najświętszym Sakramentem, na pranie rzeczy i bielizny kościelnej i naprawę ich, a resztę dzielił na trzy części: jedną brał sobie, a dwie zarówno pomiędzy wikarych dzielił. Pieniądze na msze składane były w zakrystyi, i wikary tygodniowy regularnie wpływy ztąd zapisywał do księgi, dla łatwiejszego obrachowania się. Piędzmi temi stosownie do swojej woli proboszcz rozporządzał, ale podług roztropności i sumienia, to jest: dzielił je na wikaryuszów, a jeżeli ci wydołać nie mogli, zapraszał innych księży do kościoła dla wygody parafii, i płacił im za msze zakupione; każda msza odprawiona miała się zaraz zanotować w księdze wpływów, dla porządku i lepszego porozumienia się.

Naznaczał także Okęcki proboszczowi za powinność, żeby utrzymywał swoim kosztem szkołkę parafialną, w której dzieci uczyły się mogły wiary, czytać, pisać i początków liczenia bez żadnych opłat. Pensją dla rektora sam proboszcz określał.

Prawo prezenty dla probostwa wydzielono na wieczne czasy dla biskupów poznańskich, jako miejscowych (Loci ordinarii).

Następowały zobowiązania i warunki: bo beneficium, mówił Okęcki, daje się za coś (*beneficium datur propter officium*); biskup zatem następny porządek nabożeństwa zaprowadził w kościele św. Andrzeja. Co niedziela i święto o 6tej rano, miała się odprawiać msza czytana, potem godziny poranne; potem akty cnót teologicznych wiary, nadziei i miłości miał kapłan razem z ludem odmówić przed ołtarzem jasnym i wyraźnym głosem; następnie śpiewać się miały hymny. O 8mej druga msza, o 9tej trzecia, obiedwie czytane. O 10tej pokropienie wodą i msza śpiewana dla parafian, a w czasie jej kazanie, albo katechizm większy z ambony. Przepisy te obowiązywały tylko księży miejscowych, bo obcy kapłani przychodzący do kościoła, mogli zawsze kiedy chcieli ze mszą wychodzić. Po południu o 2giej dzwon zwoływał pobożnych, a wpół do 3ciej zaczynały się śpiewy świętych hymnów, a potem katechizm przez tygodniowego wikaryusza dla ludu ciemnego. Następowały nieszpory. W dni inne nieświęteczne o 6tej rano prymarya, potem miał ksiądz z ludem odmawiać modlitwy niedzielne i poranne, i akty wiary, nadziei i miłości; następnie trzy msze śpiewane o 7mej, 8mej i 9tej zamykały nabożeństwo. Proboszcz na każdy tydzień stanowił porządek modlitwy, to jest wyznaczał zawczasu, kto będzie z wikaryuszów tygodniowym, kto o której godzinie ma wyjść ze mszą, a dla wiadomości parafian przybijał

to swoje rozporządzenie wydane na cały tydzień, na drzwiach od zakrystyi.

Mszami fundowanemi jeszcze za Jezuitów, kommissya edukacyjna rozporządziła inaczej; zginął zatem dla księży od św. Andrzeja obowiązek modlić się za dawnych dobroczyńców zakonu, a zwłaszcza za opiekunów b. kollegium na Senatorskiej ulicy. Zato następowały nowe zobowiązania, już w czasie parafii zaciągnięte, i na te zobowiązania zwracał jeszcze uwagę Okęcki. Naznaczał więc w erekcyi msze nowy biskup poznański za dusze Młodziejewskiego co miesiąc jedną, dalej za duszę Doroty z książąt Woronieckich Miączyńskiej wojewodziny podlaskiej, po dwie co miesiąc. O tej pani mówiliśmy już wyżej, że Grodzicki był jej spowiednikiem. Dalej za duszę Konstancyi Kołudzkiej sędzianki ziemskiej inowrocławskiej, kanoniczki niższego chóru, co miesiąc mszę jedną. Za Fabiana Romana i małżonkę jego Agnieszkę z Kawczyńskich po dwie msze co miesiąc; wypadło zatem co miesiąc po sześć mszy funduszowych, z tych dwie miał odprawić proboszcz, a cztery inne wikaryusze pod obowiązkiem sumienia: dlatego też każdą mszę odprawioną mieli notować w księdze protokołów.

Erekcyja zawiera jeszcze jedną ciekawą wiadomość. Przy kościele św. Andrzeja istniało bractwo Boskiej Opatrzności, udarowane odpustami rzymskimi. Dotąd to bractwo skrywało się przed oczami naszymi, nie widzieliśmy ani śladu. Okęcki chce, żeby proboszcz jednego z wikarych wyznaczył za promotora tego bractwa, którego obowiązkiem być miało, odprawić co poniedziałek wotywę o Najśw. Trójcy, ile tylko razy przepisy kościelne dozwolą, że msza śpiewana być może; dalej promotor obowiązany był uroczystości brackie co kwartał odprawiać i zaojdować się na wyborach urzędników rzeczonoego bractwa: zato proboszcz miał promotorowi płacić 500 złp. rocznie, i to z do chodów kamienicy, którą w r. 1781 wybudował Grodzicki.

Na publiczne processye w Boże Ciało i w inne uroczystości, dwóch przynajmniej księży kościół św. Andrzeja miał wysyłać do kollegiaty św. Jana; drudzy dwaj mogli zostać przy parafii.

Kończył życzeniami Okęcki. Mówił: że przyjemnieby mu było, gdyby proboszcz miał stół wspólny zawsze z wikaryuszami, jak to za jego czasów miało miejsce. Jeżeli w skutku okoliczności czasowych, wikaryusze nie będą mogli razem się stołować z proboszczem: wtedy stanowił biskup, że powinni wybrać z pomiędzy siebie jednego, który zawczasu skupować miał wszystko, co potrzeba było do stołu, a obiad i wieczerzę tak miał urządzić, żeby wszyscy wspólnie jeść mogli. Go-

spodarcz wikaryusz winien był co kwartał rejestra wydatków przedstawiać towarzyszom.

Kłótnie między wikaryuszami, proboszcz miał ostatecznie godzić, a winni mu byli zupełne posłuszeństwo. Miał on ich prawo karać nawet odtrąceniem pewnej części dochodów, za każdą razą kiedy spostrzegł, że opuszczają chór, nie śpiewają niesporów i godzin duchownych, albo nie bywają na processyach parafialnych.

Do oryginału erekcyi, dołączył biskup w jednym dokumencie opisanie kościoła, domu dla kapłanów, mieszkań dla najęcia, placów, sprzętów kościelnych i domowych. Dalej następował inwentarz zakrystyi, opis srebra kościelnego, cyny, miedzi i żelaza. Niewielkiemi bogactwami, jak widać ze spisu, mógł się wtedy szczycić kościół św. Andrzeja. Prócz świeczników, pacyfikału i krzyża, które ofiarował prymas Potocki z przyczyny ślubu wojewody kijowskiego w r. 1732, nic tam wielkiego nie było. Być może, zginęło wiele rzeczy za czasów kassaty zakonu, i chociaż kommissya rozdawnicza zaręczała, że z kościołów warszawskich nie zabierała wcale sreber, wątpliwość jakoś przychodzi na myśl, kiedy się wspomni, że to był kościół fundacyi Potockich. Ornatów dosyć było, ale wiele już świeższej daty, z podarunku np. Alexandry z Czartoryskich Ogińskiej hetmanowej W. L., Urszuli z Potockich Wielopolskiej starościny krakowskiej, albo księcia Stanisława Jabłonowskiego kasztelana krakowskiego.

Miał kościół śgo Andrzeja i bibliotekę, objętą spisem własności. Była szczupłą, bo zawierała tylko dzieł 45, a tomów 122. Po największej części składały ją kazania po francuzku Girarda, dla użytku proboszczów wydane, Franciszka Neumajera, Euzebiusza Niremberga, kazania wielkopostne Pawła Olizy i Maxymiliana Deza; nadto sześć tomów Bourdaloue'go. Z niemieckich dzieł mieli księża śgo Andrzeja także Neumajera, Hunolta, Massyllona w tłumaczeniu, Harnischera, Klemensa opata, Franciszka Murotla, Marcina Pallu, Jana du Fay i t. d. Z polskich był tom Skargi, 2 tomy Ubermanowicza, 5 Balsama, 2 tomy Płochockiego, nauki moralnej księdza Henri z francuzkiego tłumaczonej 2 tomy, i Janiszewskiego 6 tomów. Oprócz kazań, z dzieł pod innemi tytułami wyliczonych była w bibliotece śgo Andrzeja biblia, 9 tomów objaśnień Korneliusza a Lapide, kawałek dzieł Lucjusza Ferraris, dzieła la Croix 8 tomów, Teologia dogmatyczna i spekulacyjna Józefa Momcheim, także 8 tomów i t. d. Z ksiąg ascetycznych były po polsku: Rekolekcyje księdza Hektoreusza Kamilla tom 1. Księdza Wielowiejskiego 2 tomy; były

*Theses asceticae* przez Chojeckiego tom 1. Obserwacye święte tom 1, oraz dzieło: Naprawa rozsądku i obyczajów księdza Rogacyusza, tom 1. Wszystko to były, jak widzimy, duchowne dzieła dla zakonników. Świat ich mało interesował, i ztąd z dzieł nieduchownej treści, mieli tylko jeden Klimakter Kochowskiego, Historją Krucyat Maimburga tom 1, i *Consilium Burgofontanum* tom 1.

Biblioteka ta, widzimy, nie sięgała Potockiego czasów. Dzieła mniej są nowsze; Kazania Ubermanowicza, Płochockiego, Balsama, bardzo blizkiej sięgają epoki. Nam się zdaje, że dzieła te nawet nie nabyte są kupnem, a dostały się tylko w podarunku dawnemu kościółkowi śgo Krzyża, dzisiaj śgo Andrzeja. Odrąciwszy to, co świeżej daty, mało zostanie, a Potocki zapewne z parą książkami nie wysadzałby się. Dziwi jednakże, że uczone zgromadzenie Jezuitów koronnych w Warszawie miało tak szczupłe zasoby naukowe. Nie sądzim, żeby cień podejrzenia padał na kommissyą rozdawniczą; rzecz ważną bierze się, ale książki niechaj leżą w kącie. Zresztą, Jezuiti koronni niedawno mieli kościół w Warszawie, od pół wieku nie więcej, nie mogli więc i mieć zasobów tak pięknych w dziełach, żeby się na nie połakomić.

Jednakże Grodzicki w budynkach św. Andrzeja, które nam wystawił, jedną wielką izbę przeznaczył na bibliotekę. Był mały pokój przy zakrystyi, który dotąd do przechowywania ksiąg służył. Grodzicki chciał mieć izbę. W oczekiwaniu aż się pomnożą te skarby naukowe św. Andrzeja, izbę wielką w komorne puścił; tak samo zupełnie, jak w oczekiwaniu aż się wybuduje wielki kościół, grunt już rozmierzył i linie nowój budowy wytknął. Miał zawsze szlachetne pobudki przed sobą, zawsze się do wielkich gotował rzeczy; niemile był zawiedziony w nadziejach. Co do biblioteki powiemy jeszcze, że w spisie sprzętu domowego znaleźliśmy szaf wielkich do ksiąg dwie, szaf mniejszych cztery. Było więc w istocie, jak na początek, w czém mieścić literackie zbiory, które dotąd w jednej szafie wygodnie chować było można.

Opis Łazniewa zamieszczony także przy akcie erekcyi, zawiera ciekawe szczegóły, które nam dadzą miarę o wielkości parafialnego gospodarstwa. Dwór wznosił się od przyjazdu z Warszawy, nowy, drewniany na podmurowaniu, dachówką nakryty; stanął jeszcze za Wyrwicza w r. 1776. Mieszkania było dosyć: sala obszerna, której okna wychodziły na ogród, a po każdój stronie po trzy pokoje; było więc pokoi 6, prócz sali. Folwark był także od przyjazdu warszawskiego, nowy, z drzewa zbudowany dobrego w r. 1781, dachówką

pokryty, z piwnicą do nabiału murowaną; mieszkał w nim ekonom i tam mieściła się izba czeladna. Dalej stał browar nowy, przed kilku laty do stariej izby przystawiony, także kryty dachówką; potem spichlerz o dwóch piętrach w węgiel budowany, gontami nowo pobity. Za nim trzy stodoły z pięcią klepiskami, wszystkie nowo przesypane i pokryte; dalej obory i owczarnia. Ogrodów aż trzy było przy dworze w Łązniewie: pierwszy włoski, ciągnący się wzdłuż dworu, spichlerza i starych wiązów, parkanem, wałem, rowem, jakby twierdzą jaką otoczony, podzielony na ulice i mający już 130 sztuk drzew owocowych. W końcu tego ogrodu był gaik z drzewa różnego zasadzony, dla cienia w skwar letni. Drugi ogród przeznaczony na warzywo, osadzony był za folwarkiem wierzbiną. Trzeci warzywny za stodołami, stajnią, wozownią i wołownią, posiadał kilka drzew gruszkowych i mały pszczolnik. Była jeszcze w dziedzińcu dworskim sernica na czterech słupach, a za dworem młyn, wiatrak z chałupą, i karczemka przy samej wiosce. Ale młyn, zepsuty był, a karczemka wcale do mieszkania niezdatna, i dlatego właśnie zaczęto wtedy przygotowania do budowy nowego domu dla gospody.

Nie wdając się w drobniejsze szczegóły, powiemy w ogólności, że inwentarz Łązniewa obejmował w roku 1773: bydła sztuk 10, koni folwarcznych 4, macior chlewnych 7 i prosiąt 15, owiec z jagniętami sztuk 49, indyków 6, gęsi 35, kaczek 14, kur sztuk 11. Sprzęt także był w zupełności; niczego tam nie brakowało, najmniejszy porządek zanotowany w inwentarzu.

Co do ziemi, grunta dworskie i wiejskie na dwa dzieliły się pola: jedno pole zasiewało się oziminą i jarzyną, drugie rok cały ugorowało. W roku 1782 było wysiewu pszenicy ozimki korcy 32, żyta 40, jęczmienia 21, owsa 43, grochu 3, gryki 2, prosa garncy 10, rzepaku gar. 4: razem korcy 141 i gar. 14. Siana zebrać można było fur 12, a przytém młynarz z wiatraku miał w dzierzawie dawać wymiaru na rok żyta korcy 12.

Chałup chłopskich było we wsi 10; mieszkało zatém 10 gospodarzy, a rachując ludność całą z żonami i dziećmi, Łązniew miał wtedy osiadłych ludzi na gospodarce 32; prócz tego komorników płci męskiej i żeńskiej było 25, razem z tamtymi osób 57. Zbiegłych gruntowych ludzi w roku 1782 było 8; zato na ich miejsce dużo przychodniów mieszkało w Łązniewie. Robocizny winni byli chłopi dworowi dni ciągłych 21, dni kobiecych 30, razem na tydzień dni 51. Załogi mieli chłopi wołów sztuk 14, krów 5, koni także 5.

Oprócz tego chłopci zaciężni prócz dni 6 na tydzień, przysyłać kolejnie musieli do trzody pastuchów; stróży nie odprawiali, czynszów i żadnej daniny nie dawali: płacili kominowe i dziesięciny pieniężnej złp. 16 do Rokitna.

Otoż i cały akt erekcyjny przywiedziony w skróceniu; datowany jest 6 grudnia. Reptowski nadesłał go w osobnej księdze oprawny, porządnie, pięknie i czytelnie na papierze odpisany, opatrzony pieczęcią biskupią, i aż czterema podpisami Okęckiego, przy grzecznym liście połączenie, zamieszczonym na końcu aktu z dnia 8 grudnia. W piątek 23 maja 1783 roku, erekcyja była wciągnięta urzędowo w akta konsystorza warszawskiego, jak to zaświadczył w końcu oryginału podpisany ksiądz Cypryan Sowiński, pisarz generalny spraw konsystorskich. Teraz już Grodzicki był na własnym gruncie i prawdziwym proboszczem. Urządzał zatém swoją parafią, zaprowadzał w niej nowe zwyczaje, nowe porządki, i myślał ciągle o budowie kościoła; ale przed erekcyą jeszcze, stracił gorliwego pomocnika. Byłto ksiądz Maciej Fryze, o którym jużesmy pod Wyrwiczem wspominali. Musiałto być kaznodzieja niemiecki św. Andrzeja. Zachorował ciężko jakoś pod koniec r. 1780, i cierpiał strasznie. Grodzicki wysłał go o 4 mile od Warszawy do Grodziska na świeże powietrze; tam umarł po pięciu miesiącach i ośmiu dniach choroby, w roku życia 35, dnia 8 maja 1781 r. Płakali po nim parafianie i jechali na pogrzeb do Grodziska. Exekwie u św. Andrzeja za jego duszę odbyły się 12 maja. Piękną pochwałę jego umieściły akta zejścia parafii, kiedy podając o jego śmierci, powiedziały, że: „strata tego męża nigdy dosyć opisana, nigdy oplakana dosyć” (*jactura hujus viri nunquam satis describenda, nunquam satis deflenda*).

Pamiętając że był Jezuitą Grodzicki, starał się w Rzymie u Piuso VI, ażeby mógł zaprowadzić do św. Andrzeja bractwo, założone w stolicy świata katolickiego, w kościele jezuickim *Collegii Romani*, i po wszystkich kościołach zakonu Lojoli po całej ziemi rozszerzone; spóźnił się troszkę, jeżeli w tym razie chciał korzystać z przywilejów jezuickich. Bractwo to nazywało się zgromadzeniem Zwiastowania Matki Boskiej. Posiadało wielkie odpusty, było sławne w katolicyzmie, nosiło tytuł sodalisostwa. Papież pozwolił zaprowadzić więc uroczyscie to bractwo do kościoła, na święto właśnie Zwiastowania Matki Boskiej w 1785 r. 24 marca w wilią dnia tego Ciecieszowski biskup kijowski, otworzył nabożeństwem przepisaniem w takim razie bractwu Zwiastowania podwoje św. Andrzeja. Byłto dzień dla całej Warszawy ważny, bo niezmierna liczba panów zajęła kościół,



i lud tłoczył się tylko, a wniknąć nie mógł; zajął więc w grupach pobożnych plac przed Marywilem. Kazanie miał ksiądz Augustyn Lipiński, kanonik płocki, rzeczywiście jeden z lepszych za czasów Poniatowskiego kaznodzieja.

W roku 1787 Grodzicki przy swojej parafii nowego, czwartego już zaprowadził wikaryusza. W przywileju erekcyjnym zastrzeżone było, jak to sobie przypomnim, że jeżeli dochody probostwa pozwolą, a potrzeba wiernych tego wymagać będzie, przełożony kościoła zostanie zobowiązany przyjąć jeszcze dla pomocy i wygody parafii czwartego wikarego; w krótkim czasie pokazała się tego potrzeba, a dochody św. Andrzeja przez powiększającą się ludność Warszawy tak wzrosły, że z samych kamienic stojących przy kościele, fundusz już można było zebrać dostateczny. Grodzicki murował widać ciągle, bo jest wzmianka w postanowieniu biskupa o którym zaraz powiemy, że dochód ten już pochodził z półtrzeciej kamienicy. Ludność parafii z sześciu na dziewięć tysięcy wzrosła wtenczas. Zapobiegł nową niedogodności *articulus seperatus*, dodany do erekcyi przez biskupa Okęckiego. Proboszcz św. Andrzeja obowiązany był teraz już na wieczne czasy zatrzymać czwartego wikaryusza, którego przyjął właśnie Grodzicki. Zastrzeżono jednakże, że jeżeli potrzeba znowu się okaże, a dochody pozwolą, z następstwem czasu i piątą wikary ma się przy kościele umieścić. Artykuł ten oddzielny, wydał Okęcki w Warszawie 27 stycznia 1787 r. Nastąpił na niewiele przedtém do św. Andrzeja ksiądz Wojciech Komorecki; onto być musiał tym czwartym wikarym.

Do obowiązkowych mszy opisanych w erekcyi, dodawał jeszcze biskup tém oddzielném postanowieniem, nowe nabożeństwo. Urszula z Potockich Wielopolska, wdowa po Hieronimie, o którego śmierci zaszłej w parafii św. Andrzeja wspominaliśmy za czasów Wyrwicza, świadczyła wtedy wielkie dobrodziejstwa parafii Grodzickiego. Szła w téj myśli za natchnieniem Potockiego prymasa; sama Potocka, Potockich dzieło wspierała. Okęcki zawdzięczając jój te starania, za obowiązek nakazywał proboszczowi św. Andrzeja co sobotę w tydzień, żeby się odprawiała msza czytana za duszę Hieronima, a w rocznicę jego śmierci msza śpiewana, to jest dnia 13 marca, requiem i officium za zmarłych; prócz tego msze czytane, które mieli odprawiać wikaryusze. Toż samo nabożeństwo miało się odprawiać po śmierci Urszuli w sobotę, a w rocznicę jój zejścia wielkie nabożeństwo, jak za męża.

O jakich dobrodziejstwach Urszuli Wielopolskiej mówi tutaj Okęcki, objaśnić nie umiemy. Nie o zapisach tu mowa, bo zapisy dopiero po śmierci dobroczyńcy mają znaczenie, a biskup za życia jeszcze Urszuli urządzał nabożeństwo za nią i za jej męża. Nie może tutaj być także mowy o obietnicach, bo obietnice często zawodzą, i spuszczać się na przyrzeczenia niepodobna; a potem, śmiesznieby nawet było, okazywać wdzięczność jeszcze przed spełnieniem nadziei. Pochlebiać się może człowiek prywatny, nigdy publiczny; zdaje się, że tu więc w tym akcie dodatkowym do erekcyi mowa jedynie o jałmużnach pani starościny krakowskiej. Może dała jakie piękne ornaty, może sprzęt jaki drogi sprawiła, może zdobiła ołtarze, albo obiecywała kościół wybudować: zawsze te dobrodziejstwa musiały być znakomite, kiedy biskup uważał je jako wieczysty fundusz i zobowiązania się przyjął dobrowolnie.

Ale najdroższej myśli Grodzickiego nie stało się wcale zadosyć. Kościółek ś. Andrzeja nie rosnął w nowe kaplice, w nowe się ołtarze nie przystrajał. Nastaly czasy krytyczne, i chwila ciężko nad Warszawą, nad krajem całym zawisła; i jakże nie miała zawisnąć nad domem Bożym? Znaleźli się jednak i wtedy dobroczyńcy, co trafili w myśl Grodzickiego; ale ta myśl już nie miała rodzić owoców. Były dwie święte, poważne matrony w Warszawie, które w sercu znalazły skarby poświęcenia się i nie odrobinę miłości dla bliźnich, a całą miłość przynosiły dla nich w ofierze. Jedną z tych matron była Helena z Ogińskich Ogińska także, kasztelanowa wileńska, a drugą Barbara z Duninów Sanguszkowa, wdowa po Pawle marszałku Wiel. Lit. Rozsypując hojną jałmużnę pomiędzy nieszczęśliwych, obie pobożne niewiasty pomyślały i o kościele śgo Andrzeja; świadczyły mu już wiele i przedtém, a teraz Ogińska 40000 złp. ofiarowała na mające się rozpocząć budowy, i na stały fundusz probostwa, Sanguszkowa zapisywała także na ten cel 7000 złp. Ale pomarły niedługo bogobożne niewiasty, które były całą nadzieją Grodzickiego: Ogińska w 91 roku życia, Sanguszkowa w 73, prawie jednocześnie, prawie w jednej chwili, a cios ten był dotkliwém dla proboszcza nieszczęściem. Wymierali także wtenczas starcami i dawni znajomi, naprzód Wyrwicz, potem biskup Okęcki; a wojna zbliżała się, nareszcie i Warszawę płomieniem swoim zajęła. Ze stolicy wynosili się panowie polscy i dobroczyńcy kościoła śgo Andrzeja; wśród powszechnego zubożenia, niedoli i klęski, o budowie ani można było pomyśleć. Ze wszystkich nadziei, które uprzyjemniały starość Grodzickiego, doszło go tylko 200 dukatów z zapisu San-

guszkowej, których użył do budowania domu po prawej ręce kościoła na Senatorskiej ulicy.

Grodzicki zamknął się wtedy ze swojemi parafianami, i z niemi tylko przestawał. Prawdziwy duchowny ojciec owczarni, przemawiał do nich co niedziela, co święto z ambony, i przykładami moralności chciał ocucić ducha wiary, chciał zamiast zwątpienia, rozniecić w sercach nadzieję. To była jedyna rozkosz, jedyna jego osłoda w dniach przykrych. Zbierał swoje kazania, ułożył je w cztery grube tomy, i dał do druku w r. 1795, dla wygody parafian, co nie mogli być na nich w kościele; ofiarował zatem dzieło swoje owieczkom do czytania po domach. Wyszły te cztery grube tomy z drukarni pojezuickiej. Nie ma tam wymowy, nie ma natchnienia, ale jest wszędzie moralności wykład, dostępny dla pojęcia każdego i nauki, sąto raczej rozmowy, poufne zwierzenia się, dysputy religijne. Cały tok rozumowania księdza Grodzickiego, więcej na objaśnienie tajemnic wiary, jak na naukę wygląda. Kazania jego to raczej homilie, to objaśnienia tekstu, to rozprawki, gdzie wszystko na raz się znajdzie: i wiara, i zabobon, i nauka, i uczucie, i patetyczność. Bierze często Grodzicki przykłady z dziejów, cytuje wypadki świata. Nietylko apostołowie figurują w jego kazaniach; tam grają jeszcze rolę i Alexander Macedoński i Karol W. i Bolesław Śmiały. Są tam Rzymianie i Grecy, Arabowie i Turcy; są żywoty niby świętych, są nad ich życiem różne uwagi, które podyktowała pobożność. Niejedna rzecz powiedziana dziś z ambony, obrażałaby uszy nasze i pojęcie, jakie mamy o piękności i o wymowie kaznodziejskiej; ale wtedy uchodziło to wszystko. Kazania Grodzickiego są bez pretensyi, bez wystawności; prawdziwie to książka do czytania dla ciekawych, co chcieliby się dowiedzieć jakich szczegółów z życia świętych, z dziejów kościoła, albo tajemnic. Mozajka to kaznodziejska.

Książk Grodzicki wszystkich przedmiotów dotyka po kolei, nad żadnym zastanowić się nie lubi: bo on téż pisał wrażenia tylko swoje i notował myśli, a bez związku, nieporządnie nastęrczały się te myśli jego wyobraźni, i Grodzicki nie układał systematycznych wywodów, nie obrabiał jednego tekstu, a mówił tylko do parafian o rzeczach pożytecznych, a dotyczących zbawienia. Grodzicki rozprawia o Sakramentach, o pożytkach postu, o wieczności, o chorobach duszy, o śmierci, o rozmyślaniu, o miłości Bożej, nawet o królestwie djabłów.— Wszędzie pełno cytacyj łacińskich, skutkiem wyobrażeń ówczesnych o wymowie.

Między kazaniami czwartego tomu, dalszy regestr stronnice dwieście trzydzieści zajmują mowy świąteczne; jedna z nich miana była w rocznicę 73letnią poświęcenia kościoła śgo Andrzeja (wr. 1795?) Ksiądz Grodzicki mówił wtedy o uszanowaniu kościołów. Drugą mianą z tego powodu, wyjął po większej części, jak powiada, z kazań księdza Jana Kowalskiego, ex-Jezuity, który na poświęceniu katedry lwowskiej popisywał się z wymową. Znajdujem w tém drugim kazaniu rozprawę o świątyniach całego świata, od pogańskich czasów aż do chwili Jana Kowalskiego, podane szczegóły o budowie albo o kosztach budowy. Ciekawe to w samą rzecz krasomówstwo, co zamiast zachwycić umysł, podnieść serce, zajmuje się liczbą i anszlagami. Grodzicki rozbiera poważnie rzecz o skarbach Dawida, o robotnikach, których użył Salomon do świątyni w Jeruzalem; obrał nawet, co kosztowały naczynia kościelne większe i mniejsze. Wyrachował, że robotników np. do łupania kamieni użyto aż do 80,000, do noszenia ciężarów 70.000; przełożonych nad temi było 3,600. Nadto ci wszyscy byli dopiero cudzoziemcy: z Izraelitów zaś 30,000 pracowało nad budową kościoła, pod nadzorem 3,300 przełożonych, oprócz Syryjczyków, Egipcyan i Sydonów, użytych do drzewa. Rzemieślników osobno porachował Willapandus, bo ci tylko murowali: było ich aż 400,000. W podobnej seryo postawie, Grodzicki rozbiera materye o innych kosztach Salomona; liczy naczynia święte, podając zawsze z uczonego Willapanda szczegóły o świątyni Dyanny w Efezie, i t. d. Minąwszy starożytność, kaznodzieja nasz powiada o Śtym Henryku cesarzu, który 1000 wystawił kościołów; o Jakóbie królu arragońskim i Sycylii, że ich 2009, wybudował; wspomina i o naszym Piotrze Duninie, którego chociaż za wielkiego dobroczyńcę księży uważaliśmy, widzimy jednak, że może zbyt pospiesznie, bo jego siedmdziesiąt kościołów niknie obok tych podanych i liczonych tysięcy.

Następują szczegóły, i znowu ciekawe szczegóły o dochodach starozakonnego duchowieństwa. Jak w uczonej rozprawie liczy te dochody Grodzicki: popiérwsze to, po drugie tamto i t. d. Pisze o podatkach, jakie składali Lewici do skarbu publicznego; i mówiąc już w duchu hierarchii, ubolewa nad odmiennym stanem téj materyi za jego czasów. Biogoslawi pana Boga, „że stan duchowny dla wyższych przyczyn postanowiwszy, i stanowi świeckiemu, osobliwie przedniejszej kondycyi, uczynił przez to wygodę i zapewnił sposób utrzymania się: osobliwie w krajach obfitujących w szlachtę, równie na wszystkie potomstwo fortunę dzielących. Powiada albowiem, że szla-

chcic żonaty w Polsce żeby mógł utrzymać się przystojnie, potrzebuje rocznego dochodu dziesięć tysięcy złotych przynajmniej, a kapłan szlachcic chociaż dygnitarz kościelny, obędzie się pięciu tysiącami; zakonnik zaś nareszcie, chociażby téż z książęcego był rodu, ma dosyć w klasztorze złotych tysiąc, kiedy na świecie zmarnowałby skarby. A gdyby się zaś w takich państwach wszyscy żenili, kończy tę materią tak ksiądz Grodzicki, i na potomstwo fortunę dzielili, przypadłoby z czasem ledwo nie dwóch szlachty na jeden zagon; jak już nie mało rzemieślników i oraczów poszło z zacnych familij” (Tom IV Mów parafialnych stron. 337.)

Dużo takich ciekawych wyjątków z kazań Grodzickiego wypisaćbyśmy musieli; odbija się w nich w znacznej części duch epoki już nie Stanisławowskiej a czasów przed reformą Konarskiego. Te wyjątki i uwagi posłużą tylko do ocenienia zasług Grodzickiego, pod względem kaznodziejskim. Człowiek zacny, poczciwy, zasłużony i uczony nawet jeżeli chcecie, nie miał pojęcia o cudownym wpływie kazalnicy. Wierzył we wszystkie nadprzyrodzone rzeczy, nawet w zaklinanie i uroki, bo przypisywał to wszystko wpływowi djabła, który z Chrystusem dzielił panowanie świata. Wierzył w cuda, popisował się z nimi; a jednak nie ma w kazaniach Grodzickiego nieprzyzwoitości epoki przed Konarskiego, nie ma obrzydliwych wyrażen, śmiesznych teoryj, zabawnego wykładu pisma: jestto człowiek epoki już zamarłej, ale oświatą nowszych czasów złagodzony. Pisał jednakże w dobrej wierze, w najlepszych dla swój owczarni chęciach.

W lat trzy po wydaniu Kazań niedzielnych, drukował ksiądz Grodzicki: Nauki Chrześcijańskie katechizmowe z różnych pism gruntownych zebrane, w kościele parafialnym warszawskim pod tytułem Śgo Andrzeja miane i t. d. Wyszła ich część I, w drukarni Pijarskiej w r. 1798 w ćwiartce; czy dalej wychodziły tomy następne, nie wiemy: widać jednak, że Grodzicki te Nauki katechizmowe chciał drukować całkiem dla wygody parafian, co nie słyszeli ich wykładu w kościele.

Prócz tych Mów parafialnych i Nauk i Przemowy przy wyprowadzeniu ciała Młodziejowskiego, niema innych prac księdza Grodzickiego w druku. Zapewne téż nie pisał nic więcej.

Opuszczony od wszystkich, doczekał się smutnych dla kościołka swojego czasów ksiądz Grodzicki. Rząd pruski zabrał dobra ziemskie duchowieństwa, a więc i Śmu Andrzejowi Łażniewo; zamiast tego małe wynagrodzenie przeznaczył. O budowie kościołka już ani mowy być nie mogło. Te czasy pamiętne tém jedynie, że parafia Śgo Andrzeja razem z parafią Śgo Jana i Panny Maryi, zyskała nowy

cmentarz obszerny, od dawniejszego bliższy i dogodniejszy na Powązkach, wiosce Izabelli Czartoryskiej. Warszawa także zerwała związki religijne, które ją od niepamiętnych czasów z Poznaniem łączyły. Król pruski postanowił nowe biskupstwo warszawskie i dawna stolica Polski przeszła już teraz pod zarząd swoich własnych pasterzy.

Starością i poświęceniem się znękany, umarł nareszcie i Grodzicki. Podług swego zwyczaju przytomny wszędzie, gdzie tego cześć Boża wymagała, proboszcz Śgo Andrzeja, w ostatni dzień wiosennych dni krzyżowych 1802 r., po skończoném nabożeństwie u Karmelitów na Lesznie, prowadził mnogi lud za sobą do swojego kościoła na suplikacye, które często odprawiał. Ośmdziesięcio-cztero-letni starzec, biegł na czele tego tłumu pobożnych, kiedy nagle poczuł chorobę straszliwą, i paraliż tak mu odebrał całą przytomność umysłu, wszystkie siły, że napół żywy upadł na ulicy. Wszczął się rozruch, przerażenie; konającego starca wniesiono tymczasem do przyległego domu: chwila życia już mu zostawała, sprowadzono wóz i ledwie z trudnością przeniesiono go do cel klasztornych Śgo Andrzeja. Trzy dni walczył jeszcze ze śmiercią Grodzicki; nakoniec pozbawiony zupełnie uczucia we wszystkich członkach, zakończył życie 28 Maja.— Został mu chlubny na zawsze przydomek Apostoła Warszawy (1).

Nie zabawim długo o następcach Grodzickiego na probostwie. Chociaż mieli zasługi swoje i ci następcy w Warszawie, przecież nie wyrównali dworn poprzednikom. Wyrwicz obchodził nas więcéj, jako znakomitość swojej epoki; Grodzicki jako osoba najpopularniejsza w swoim czasie w Warszawie, znany przez wszystkich, kochany przez wszystkich.

Po śmierci Grodzickiego, Józef Miaskowski piérwszy biskup warszawski, probostwo śgo Andrzeja oddał w kommendę trzeciemu ex-Jezuicie księdzu Janowi Bartschowi na żądanie parafian; było również uczony człowiek i pełen zasług w stolicy.

(1) Oto jak księga zejść parafii św. Andrzeja opisuje zasługi Grodzickiego: *Praeco Evangelii indefessus, piorum librorum partim typis vulgatorum, partim in MSS. relictorum auctor praeclarus, conscientiarum moderator prudentissimus, sacramentorum administer sedulus, in lucrandis animabus, in solandis evita abeuntibus, in promovenda ubique pietate versatissimus, calamitosorum atque indigentium verus pater, elemosynarum dispensator fidelissimus, ultimi Poloniarum Regis Confessarius, afflictis ac miserabilibus perquam utilis, vir intota vita pietate, patientia in adversis, mansuetudine, zelo gloria Dei, studio proximorum salutis procurandae, omni virtutum genere ornatissimus, atque omnia omnibus, ut ait Apostolus, ad extremum usque halitum factus. Następują szczegóły śmierci i ostatnia pochwała: non immerito Varsaviensium Apostolus nuncupatur.*

Dla ciekawych załączamy tu liczby, wyjęte z akt parafialnych, które najlepiej dadzą nam poznać ruch ludności téj strony Warszawy za czasów Grodzickiego. W parafii św. Andrzeja było:

Urodził się w Warmii r. 1747, w miasteczku Ressel, które do dóbr biskupich należało. Zasmakowawszy w pracy i zakonném życiu, w latach bardzo młodych Bartsch wstąpił do Jezuitów w pro-

W roku	Ochrzczonych dzieci			Narodziło się z obcych wyznan		Zmarło dofo- stych			Zmarło dzieci			Razem zmarło wzyskich	Więcej urodzo- nych jak zmar- łych o	Ślubów	Do spowiedzi Melkanoncy przystępowało
	pleci męż- kiej	pleci żeń- skiej	RAZEM	chrze- ścian	ży- dów	pleci męż- kiej	pleci żeń- skiej	RAZEM	pleci męż- kiej	pleci żeń- skiej	RAZEM				
1783	—	—	555	—	—	—	—	74	—	—	241	315	240	124	7750
1784	268	298	566	8	3	42	29	71	132	119	251	322	244	151	7896
1785	292	278	570	—	3	46	30	76	131	154	285	361	209	154	7910
1786	302	282	584	mez.5	kob.6	44	25	69	133	111	244	313	271	143	8200
1787	299	265	564	3	—	60	41	101	145	129	274	375	189	130	8203
1788	280	250	530	3	—	51	39	90	128	122	250	340	190	110	8939
1789	265	302	567	3	—	50	44	94	106	72	178	272	295	131	8950
1790	309	279	592	1	—	51	63	114	79	83	162	276	316	146	10100
	4ry przyb. późn.														
1791	309	262	571	5	—	72	47	119	156	143	299	418	153	150	8566
1792	319	296	615	2	—	65	51	116	98	84	182	298	317	101	8236
1793	298	326	624	3	—	56	62	118	87	104	191	309	315	162	7976
1794	328	358	686	—	2	127	87	214	121	123	244	458	228	97	—
1795	201	182	383	3	—	74	97	171	100	66	166	337	46	134	5600
1796	251	210	461	—	—	45	49	94	91	100	191	285	176	105	6500
W ciągu lat 14tu			7868	49	—	—	—	1521	—	—	3158	4679	3189	1928	Średn. liczba parafi: 7850
1804	—	—	—	—	—	—	—	82	—	—	110	192	—	—	—
1806	—	—	—	—	—	78	62	140	78	67	165	305	—	—	—
1807	—	—	—	—	—	217	222	(razem z dziećmi)		—	439	—	—	—	—
1808	—	—	—	—	—	143	125	—	—	—	—	268	—	—	—

Dla porównania liczb tutaj zamieszczonych, kładziemy niżej jeszcze liczby nieobojętne dla statystyki Warszawy.

Podług zaprowadzonego widać przez Młodziejowskiego porządku, z parafii stolicy szły z końcem roku raporta o liczbie urodzonych i zmarłych i t. d. do konsystorza warszawskiego. W pierwszych dniach stycznia ogólną cyfrę podanych faktów, co rok regularnie ksiądz Łuski drukował w swojej gazecie. Zasadzamy się więc na powadze tych gazet, co do wiadomości następujących:

W r. 1777 było ochrzczonych dzieci w całej Warszawie męż. 1673, kob. 1407, razem 3080; umarło męż. 1068, kob. 948 i dzieci m. 557, ż. 490, razem umarło 3063; ubytek osób 13; ślubów było 914. (Gaz. Warsz. 1778, nr. 1).

wincyi litewskiej, i cały przeciąg od początku panowania St. Augusta aż do kassaty zakonu, przebył w Warszawie. Był wtedy pod Wyrwiczem professorem w *Collegium Nobiliusum*, kiedy zakon upadł. Bartsch, jako uczony człowiek, wezwany potem został na adjunkta przy bibliotece Żaluskich. Pracował więc tam pod kierunkiem Janockiego i Koźmińskiego, razem z Wulfersem i Kopczyńskim. Gruntownie uczony i światły, a zamiłowany w dawniej literaturze, był Bartsch w bibliotece jak we własnym żywiole, a zasługi które wtedy położył, a które mu prawo do wdzięczności zjednały, wyłożył autor Ksiąg Bibliograficznych właśnie w tych księgach. Pracował niezmiernie dzień i noc, spisywał katalogi, porządkował dzieła podług materji i treści.

W r. 1778 ochrzczono dzieci 3351, tojest męż. 1730, kob. 1621. Na parafie licząc, ochrzczono u św. Jana męż. 283, kob. 268; u Panny Maryi męż. 461, kob. 432; u św. Krzyża męż. 560, kob. 553; u św. Andrzeja męż. 252, kob. 246; w Ujazdowie męż. 174, kob. 122. Z tego widać, że parafia św. Andrzeja była czwarta z porządku co do ludności rodzącej się. Inny stosunek co do umarłych. Umarło w t. r. w Warszawie ludzi 3107, tojest męż. 1685, kob. 1422; na parafie: u św. Jana umarło męż. 180, kob. 152; u Panny Maryi 329 i 289; u św. Krzyża 637 i 523; u św. Andrzeja 467 i 387; w Ujazdowie 76 i 71. Ślubów było w tym roku rachując porządkiem jak wyżej parafie: u św. Jana 211, u Panny Maryi 251, u św. Krzyża 197, u św. Andrzeja 122, w Ujazdowie 98. W porównaniu z r. z. ślubów mniej 32, ochrzczonych więcej 381, pochowanych więcej 44. (Gaz. Warsz. 1779 nr. 2).

W r. 1779 ochrzczono dzieci męż. 1691, żeń. 1634, razem 3325; umarło dorosłych m. 776, k. 556, dzieci m. 551, ż. 520, ślubów 873. Umarło razem 2403. (Gaz. Warsz. 1780, nr. 2 supplement).

W r. 1780 ochrzczono męż. 1808, żeń. 1758, razem 3566. Umarło dorosłych męż. 856, żeń. 647, razem 1503, dzieci 1183 i 1208, razem 2391. Umarło wszystkich 3894; ślubów było 839. Nawróciło się do katolicyzmu osób 53, żydów ochrzczono 15. (Gaz. Warsz. 1781. nr. 1).

W r. 1781 ochrzczono dzieci 1940 i 1898, razem 3838. Umarło dorosłych 987 i 618, dzieci 1537 i 1287, razem wszystkich 4429; ślubów 911. Nawróciło się dysydentów 12, żydów 22. (Gaz. Warsz. nr. 1 suppl.).

W r. 1782 ochrzczono dzieci 1784 i 1781, razem 3565; umarło wszystkich 4684; ślubów było 820, nawróceń 37. (Gaz. Warsz. nr. 1).

W r. 1783 ochrzczono dzieci męż. 1996, żeń. 1738, razem 3734. Umarło dorosłych męż. 809, żeń. 545, razem 1354, dzieci 878 i 778, razem 1657. Umarło wszystkich 3011; ślubów 799; nawróceń męż. 14, kob. 10. Prócz tego żydów m. 12, k. 9.

W r. 1784 ochrzczono 1571 i 1452, razem 3023, umarło dorosłych 746 i 702, razem 1448, dzieci 1124 i 1074; razem 2198; umarło wszystkich 3646; ślubów 837. (Gaz. Warsz. 1786 nr. 5).

W r. 1785 ochrzczono 1735 i 1668, razem 3403; umarło dorosłych 678 i 501, razem 1179, dzieci 707 i 747, razem 1454; umarło wszystkich 2633, ślubów 949, żydów nawróciło się męż. 10, kob. 7. (Gaz. Warsz. 1786, nr. 5).

Jeżeli podane liczby nie zmieniły się potem w stosunku, i jeżeli jednakowo rosła i upadała ludność Warszawy, to za czasów Poniatowskiego najludniejsza parafia w Warszawie była Święto-Krzyżka, potem szła Panna Marya, potem św. Andrzej, św. Jan i na końcu Ujazdów. Bystro stolica wzrastała w ludność aż do czasów sejmu wielkiego. Widzimy po św. Andrzeju przykład do r. 1783: było u spowiedzi w tej parafii osób 7750, a w r. 1790 już 10,100, już o 2350 różnica. Narost szedł ciągle, i dopiero z wojną 1791 r. zaczął upadać.



Bartsch nie był autorem, ale zrodził się na bibliotekarza. Miał pamięć ogromną, miłość do książek niezmierną.

Kiedy był bez zajęcia, właśnie po Grodzickiego śmierci, parafianie uprosili biskupa, i Bartsch został komendantem Sgo Andrzeja, a wreszcie już w r. 1805 rzeczywistym proboszczem. Miał wtedy 50 kilka lat wieku.

Biegły w dziejach świata, Bartsch znał i sprawy kościoła. Roztropny i pobożny, skromny i cichy, miał gorliwość Grodzickiego i pilnie chodził około pracy zbawienia. Był więc dobrym pasterzem, i święcie przestrzegał obowiązków swego urzędu. Potrafił też choć w części Grodzickiego zastąpić, i zjednać sobie przywiązanie parafii.

Władza duchowna zrobiła go po kolei examinatorem młodych księży, potem sędzią prosynodalnym i cenzorem. Dostał też Bartsch i kanonią honorową łeczycką; godność o którą się nie ubiegał, o którą nie prosił.

Jako proboszcz Sgo Andrzeja, spłacił około 7000 złp. długu, które zostawił po sobie Grodzicki; nadto z dochodów parafii własnym nakładem postawił nowy dach nad kościołem i domem mieszkalnym, bo dawny groził ruiną. Nazywano go dlatego, i słusznie, odnowicielem probostwa. (*Instaurator praepositurae*).

Był pasterzem wielkiej parafii w Warszawie, w czasach bardzo krytycznych. Ciągłe przechody wojsk przez miasto, utrzymywały jakąś tymczasowość: nieraz kwaterą po domach rozstawiono żołnierzy pruskich, a trzeba ich było podejmować i myśleć o ich wygodzie. Bartsch znosił ciężary jak obywatel osiadły w kraju, mający nieruchomość w mieście; ale też czuwał nad nimi jako ojciec duchowny.— Katolikom zanosił słowo wiary, biednych i ubogich pielegnował, żywił własnym kosztem. Był rządym, miał więc ciągle dochody; do niczego się nie wziął, jeżeli wprzód środków i skutków nie obmyślił. Stały w postanowieniu, szczerzy w przyjaźni, był wylany dla tych, co potrzebowali. Nigdy żaden nędzarz od jego progów bez wsparcia nie odszedł. Mówili o nim wikaryusze jego po śmierci, że był prawdziwie wzorem miłości, jaką opisał Paweł apostoł w liście do Koryntyan w rozdziale 13. Sąd to nie podejrzan, bo wydany po śmierci Bartscha. Kochał proboszcz cześć domu Bożego, w którym zostawił widoczne ślady swojej pobożności. Lat 30 łagodnym słowem przemawiał z kazalnicy. Do ostatniej chwili życia poświęcał się z zapalem nauczaniu ludu, i wskazywaniu mu prostych dróg zbawienia. Miał wielką w mówieniu łatwość i dar jasnego wyłożenia

myśli; nabył téj wprawy przez ciągle przestawanie z księgami, których aż do śmierci nie rzucił. A czytał wiele, niezmiernie wiele; całą literaturę starożytną i polską znał na palcach, i mógł się jéj nauczyć wybornie w bibliotece Załuskich: pomagała mu do nabycia tylu wiadomości w językach, umiał bowiem doskonale po łacinie, po polsku, po francuzku, po niemiecku i po grecku; każdym językiem mógł biele mówić i pisać.

Nie dospał nocy, a życie całe w pracy spędził; był umiarkowany i wstrzemięźliwy, jadł tyle, żeby uspokoić głód, pił tyle, żeby ugasić pragnienie; nic więcej. Ciągłą tą pracą wyniszczył się i stracił na siłach. Księgi parafialne prowadził porządnie i wzorowo, sposobem Wyrwicza. Nie ma tam już w jego notatach wiele pamiątek szlacheckich i genealogii, ale jest treść, jest jasność. Zapisy jego w aktach są wszystkie porządne i interesujące; zapisy wikaryuszów pozbawione życia. Pisał téż sam wyraźnie i pięknie.

Phtysis zniszczyła Bartscha. Nie słuchał przestróg dawanych mu ze szczerości lekarzy; nikał więc coraz bardziej, nikał powoli, aż wreszcie umarł po ośmiu latach pasterskiego urzędu, dnia 26 stycznia 1810 r.; żył lat 63. Na pamiątkę tych zasług, niemiecki wikaryusz kościoła wpisał o nim w akta zejścia tę krótką pośmiertną jego pochwałę, którąśmy tutaj przytoczyli. Bartsch żadnych po sobie pism nie zostawił; z uczonością swoją poszedł do grobu.

Za niego dnia 11 grudnia 1803 r. umarł na suchoty Wojciech Komorecki, zasłużony od r. 1785 wikaryusz Śgo Andrzeja, w roku życia 50. Był żywy i prędko w postanowieniu: kaznodzieja dobry, łagodny w obejściu się, dla ubogich miłosierny; płakali go także wszyscy. A po Bartschu umarł już Jan Powahl, jeszcze Grodzickiego pomocnik, starszek siwy, dnia 27 maja 1812 r.; ten ze starości skończył życie. Pochowani obadwaj na cmentarzu swojej parafii na Powązkach, gdzie i Bartsch spoczął na wieczność. (1)

Czwartym proboszczem Śgo Andrzeja został kanonik katedralny warszawski, Maciej Węgierski, potomek dawnéj rodziny, z której pochodził sławny dowcipem i gustem za króla Poniatowskiego, Kajetan starosta korytnicki. Już w roku 1811 objął probostwo, w czasie którego dostąpił wysokich w kościele godności: został dziekanem metropolitalnym, kawalerem orderu ś. Anny i ś. Stanisława. Naj-

(1) Zdaje się, że Bartsch był synem Bartscha dyrektora loteryi, którą zaprowadzono w Warszawie w ostatnich latach panowania Augusta III. Przyjechawszy z ojcem z Warmii, w stolicy mógł wstąpić do zakonu Jezuitów. Rodzina Bartschów była zresztą zasłużona od dawnych lat zakonowi.

dłużej ze wszystkich proboszczów Śgo Andrzeja pełnił obowiązki pasterskie, bo lat 26 prawie. Umarł w starości za naszych już czasów 1836 r., tylko co przed nominacją na arcybiskupa Stanisława Kostki Choromańskiego.

Za niego zakończyła się druga epoka dziejów kościołka Śgo Andrzeja w roku 1818. Kiedy gmachy Marywilskie zajmowano na budowę nowych okazałych gmachów, probostwo przeniesiono do kościoła księży Reformatów, a mury Śgo Andrzeja oddano wynoszącym się z Marywilu Kanoniczkom. Zatem w pierwszym wieku swojego istnienia, dom Boży założony przez Potockiego prymasa, trzy wielkie przebył chwile, trzy przesilenia: z zakonnego stał się parafialnym, z parafialnego znowu niby zakonnym.

Krótko żył, a wiele już widział czasów, wiele razy oddychał nadzieją i wracał znowu do dawniej spokojności, do dawnego jakby odretwienia. W tym przeciągu, lata od roku 1774 do 1818 były dla niego najwięcej znaczące, a czas Grodzickiego czasem największej pomyślności, największych na przyszłość nadziei.

Powiemy o losach kościołka za Kanoniczek w następnym rozdziale. Tutaj musimy skończyć o parafii, żeby powiedzieć wszystko, co się da jeszcze powiedzieć.

Po śmierci Węgierskiego, ksiądz kanonik metropolitalny Michał Wierzbowski miał zostać proboszczem Śgo Andrzeja, mianowany na ten stopień przez arcybiskupa Choromańskiego. Ale rząd sprawę tę odniósł do Rzymu, bo zaprojektował, żeby wiecznemi czasy probostwo Śgo Andrzeja przeznaczyć na uposażenie suffraganów warszawskich. Bullą swoją z d. 11 grudnia 1839 r. przyzwolił na to papież Grzegorz XVI. Odtąd probostwo Śgo Andrzeja ma zostać jakby infulacją, siedliskiem biskupów.

Pierwszym takim proboszczem był Tomasz Wieniawa Chmielewski, proboszcz katedralny płocki, sufragan warszawski, biskup gracyanopolitański, zmarły w Warszawie w lipcu r. 1844. Że zaś z jego śmiercią zawakowała godność sufragana stolicy, probostwo z administracją dostał kanonik metropolitalny Jakób Szarkiewicz, niegdyś professor w uniwersytecie warszawskim, a potem w akademii duchownej. I ksiądz Szarkiewicz świat ten pożegnał dnia 30 września 1846 r. w Warszawie, w roku 71 życia.

Parafia Śgo Andrzeja od czasu swojego założenia wzrosła ludnością znakomicie: w roku 1774 za Wyrwicza miała 6,000 mieszkańców, w roku 1787 już 9,000. Widzieliśmy jak rosła ta ludność w miarę wzrostu Warszawy. W roku 1790 do spowiedzi wiel-

kanoenój przystępowało już przeszło 10,000 osób. Klęski i wojny to raz podnosiły, to zniżały tę liczbę. Ale za czasów królestwa polskiego, kiedy od roku 1815 nastąpiła spokojność, a miasto coraz więcej rozwijać się zaczęło, parafia Śgo Andrzeja znowu ludnością tak narosła, że dzisiaj największym i najdawniejszym parafiom Warszawy zrównać może. W roku 1820 liczyła dusz 15,086, w roku 1844 dochodziła do liczby 19,010; dzisiaj już i tę liczbę przechodzi.

(Część trzecia i ostatnia nastąpi).

---

# Wiadomość o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, przejrzanych po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych, a zwłaszcza rzymskich w latach 1846 i 1847.

PRZEZ

*Alexandra Przewdzieckiego.*

(Dokończenie).

## V.

### **Biblioteki Medyolańskie, Parmeńska i Florenckie (1).**

#### **I. Medyolańskie.**

**W** Medyolanie są dwie znakomite biblioteki publiczne: jedna *Ambrosiana*, fundacyi kardynała Fryderyka Boromeusza (krewnego św. Karola); druga przy akademii sztuk pięknych, w pałacu *Brera*. W pierwszej zwłaszcza jest dość rękopismów, tyczących się rzeczy polskich.

#### **I. Biblioteka *Ambrosiana* (2). (Numerów 13).**

D. 172, (Pars Inf.). *Artykuły* żądane od Polski r. 1596, co do ligi przeciw Turkom (po włosku).

D. 208, (P. I.). *Miscellanea Polonica* (1557—1595).

1) *Dyalog* o elekcji króla, między Polakiem a cudzoziemcem (*Dialogus (Sarmati) de Regis Poloniae electione inter Polonum et peregrinum*).

(1) Przy zdarzonej zrzeczności zwiedzenia części Włoch północnych, mogłem dodać wiadomości bibliograficzne z kilku bibliotek więcej, nad te, które ogłoszone zostały we wstępie. Ob. Bibliotekę Warszawską na r. 1847, posyty na lipiec, październik i listopad.

(2) Katalog Mss. jeszcze nie spisany, i z trudnością mógł uprzejmy bibliotekarz tomy, w których zawierają się rzeczy polskie, (po części w dziele p. Ciampi wskazanem) odszukać.

2) *Posła francuzkiego de Montluc*, mowa do stanów polskich, na sejmie warszawskim.

3) *Warunki* przez Karola IX króla francuzkiego Polakom podane, jeśli zechcą brata jego Henryka, królem obrać; (wraz z ich refutacją).

4) *Propozycje* posłów czeskich.

5) *Poselstwo* margrabi brandeburskiego do Polaków, w celu utrzymania swoich przywilejów.

6) *Ewangelików* polskich żądania, posłom króla francuzkiego podane w Płocku 15 maja 1573 r.

7) *Pakta* pomiędzy Polakami a królem Henrykiem, zawarte 16 maja 1573 r.

8) *Akta* elekcyi króla Henryka.

9) *List* Henryka do Polaków, za powrotem do Francyi, i odpowiedź Polaków, 18 września 1574 r.

10) *Relacya* z sejmu elekcyjnego cesarzowi Maxymilianowi uczyniona, 10 lipca 1575 r., i *List* nuncyusza przy dworze cesarskim (po włosku).

11. *List* Stefana Batorego elekta do Polaków, z potwierdzeniem paktów konwentów, z *Kamiony* 6 maja 1575 r.

12) *Niektóre punkta* traktowane pomiędzy królem polskim a Gdańszczanami, r. 1577 (po włosku).

13) *Zarzuty* (*Obiectiones*) przeciw królowi polskiemu (Zygmuntowi Augustowi) ze wszelką wolnością spisać się mające (*libere scribendo*).

14) *Listy* Zygmunta Augusta do Bernarda *Bonioanni*, bis. di Camerino, nuncyusza w Polsce, z 6 marca i 27 paźdz. 1561 i 2 sierpnia 1562 r.; a królowej Katarzyny do tegoż z 23 lutego 1563 r. W *piérwszym* wymawia się z tego, że biskupi polscy nie mogą udać się do Trydentu na sobór, dla spraw krajowych; ale opatów na synodzie warszawskim zebranych, chciałby tam posłać. W *drugim* dziękuje za list kardynała Karola Boromeusza, z którego widzi, że papież starania czynił w interesie jego (zapewne sukcesyi po matce) u króla hiszpańskiego. W *trzecim* usprawiedliwia biskupa chełmińskiego, nominata gnieźnieńskiego, z zarzutów nieprawowierności.

15) (\*) *Relacya o Polsce* nuncyusza Bernarda Bonioanni, bis. di Camerino z r. 1560 (1).

(1) Ta sama, która znajduje się po wszystkich niemal bibliotekach rzymskich.

16) Listy sultana tureckiego do cesarza, 15 stycznia 1576 r. a Mehemeta paszy 30 stycznia tegoż roku, prosząc, aby nie mieszał się do spraw polskich.

17) Listy Jana króla szwedzkiego i królowej Katarzyny do Stefana Batorego, z d. 20 i z 8 lipca 1582 roku, co do Estonii i pokoju z Moskwą.

18) Relacya o legacyi moskiewskiej do Polski; z Wrocławia 28 czerwca 1581 r.

19) Rozruch tatarski z roku 1583. (*Tumultus Tataricus*).

20) O rzeczach polskich; z Paryża r. 1573 (po włosku).

21) List Stefana Batorego do kardynała bis. warmińskiego, (Hozyusza), z d. 4 lutego 1578 r. z Warszawy. Oświadcza w nim gorliwość swoją dla wiary katolickiej, ale co do wytępienia herezyi, sądzi, że to byłoby niewczesnym lekarstwem, któreby, broń Boże, wojnę domową sprowadzić mogło. „*Intempestivis remediis ac violentioribus attractionibus exacerbari magis et irritari quam curari videantur*”.

22) Rozprawa o nowej elekcji króla polskiego (po włosku).

23) Artykuły pokoju pomiędzy arcyks. austryackimi a królem polskim, 9 marca 1589 r. zawarte (w Będzynie).

24) List bis. Massy, (Alberta *Bolognetti*) nuncjusza w Polsce, do kardynała di Como, sekretarza stanu, z Warszawy 14 sierpnia 1582 roku, o zdaniu króla Stefana co do ligi przeciw Turkom (po włosku).

25) Przywileje i Constitucie sejmu walnego koronacji królewskiej r. 1588. W Krakowie, z drukarni Łazarzowej, 1588 roku (po polsku).

26) Relacya o uwolnieniu arcyks. Maxymiliana.

27) Medyka i astrologa krakowskiego *Reticus*, pytanie: czyli panowanie tego monarchy długie będzie, i czyli pod innym rząd będzie lepszy; 1 kwietnia 1563 r. (*Quaestio utrum istius Principis est diu duraturum imperium; an sub alio melior futura gubernatio?*)

28) List Jana Zamoyskiego do kardynała Cyntyusza Aldobrandini, z 12 sierpnia 1594 r., o przejściu Tatarów przez Pokucie (*De transitu Tartarorum. Druk w Krakowie t. r.*).

29) Mowa posłów węgierskich do Zygmunta III, na sejmie krakowskim miana, 2 marca r. 1595. (Druk. w Krakowie t. r.).

30) Mowa posłów Rudolfa cesarza do Zygmunta III, na sejmie, 27 lutego 1595 r. (Druk. w Krakowie t. r.).

31) Odpowiedź posłów polskich, na poselstwo cesarza Maxymiliana, 12 kwietnia 1573 r.

32) (\*) *Relacya o Królestwie Polskiem* nuncyusza Aloizego Li-pomana bis. Werony, z r. 1557, (po włosku; niekompletna).

4. 155) (P. I. Nr. I) O stanie religijnym i politycznym królestwa szwedzkiego, i o tém, co nastąpiło gdy Zygmunt III udał się tam dla objęcia rządów; oraz o Szwecyi, o Polsce i t d., (po włosku, podobno O. *Possewina*).

Nr. 2) *Instrukcyja* nuncyuszowi do Polski bis. di Reggio (*Ran-goni*), z roku podobno 1603 (po włosku) (1).

Nr. 7. *Instrukcyja* kardynałowi *Caetani* legatowi do Polski, 13 kwietnia 1596 r. (po włosku).

P. 215 (P. I.) *Instrukcyja* kardynałowi *Caetani*, co do ligi pomiędzy cesarzem, królem polskim i ks. siedmiogrodzkim, przeciw Turkom. 13 kwietnia 1596 r. (Odnosi się do instrukcyi danéj w styczniu tegoż roku Benedyktowi *Mandino*, bis. di Caserta) (po włosku).

Q. 115 (P. I.) List króla polskiego do stanów belgijskich, i odpowiedź stanów, z Hagi 22 lipca 1596 r.

Odpowiedź królowéj angielskiéj na mowę posła polskiego (Działyńskiego) (2).

Q. 120 (P. I.) *Relacya o Polsce* opata Ruggieri, z r. 1568 (po włosku).

R. 94) (Pars. Super.) Nr. 4) Borysa Fedorowicza W. ks. moskiewskiego list do Aloizego *Cornelio* patrycyusza weneckiego. Dziękuje mu za przysłanych uczonych ludzi i zaprasza do siebie. (Druk. w *Ciampi Bibl. Criti.*).

Nr. 5) List rektora nowéj akademii zamoyskiéj, do akademii padewskiéj o nowéj chorobie kołtunie (*plica polonica*).

Nr. 7) Pakta konwenta pomiędzy stanami polskimi a Maxymilianem cesarzem, obranym królem polskim, 17 grudnia 1575 r.

Nr. 8) (\*) List Stefana Batorego do hana tatarskiego. Oznajmuje mu o swojej elekcyi i prosi, aby więźniów polskich za okupem uwolnił. 24 grudnia 1575 r.

Nr. 9) List Amurata sultana do stanów polskich, polecając im elekcyą Stefana Batorego; ostatniego września 1575 r.

Nr. 10) List Polaków do cesarza o sejmie elekcyjnym. 15 grudnia 1575 r.

(1) Instrukcyi téj w żadnej innéj bibliotece nie widziałem.

(2) To samo znajduje się w obszerniejszej negocyacji Działyńskiego w *bibl. Vatic. Mss. Urbin.* 861.



Nr. 11) Odpowiedź cesarza Maxymiliana na list stanów polskich.

Nr. 12) Mowa Jerzego Blandraty do stanów polskich, za Stefanem Batorym ks. siedmiogrodzkim.

Nr. 13) Wyciąg z artykułów roztrząsanych na zjeździe w Andrzejewie, 18 stycznia 1576 r. (po włosku).

R. 109 (P. S.) List Henryka Walezyusza króla francuzkiego i polskiego do stanów polskich r. 1574.

R. 113 (P. S.) 1) O sprawach polskich po śmierci króla Stefana, aż do podwójnej elekcji. (*Rzecz Possewina. Druk. w Ciampi Bibl. Crit.*).

2) Korrespondencya Possewina. Do rzeczy polskich odnoszą się dwa listy: a) *Wincentego Corbanti* do *Possewina*, z Pragi 9 czerwca 1587, w którym mu donosi, że rozrzucił kopią listu jego do arcyks. Maxymiliana, dla zbicia potwarzy rzuconej na Possewina, jakoby on nie okazał się gorliwym dla domu austryackiego, w interesie elekcji (po włosku). b) *Possewina* do arcyks. *Maxymiliana*, z Brunzberga w kwietniu 1587 r. Tłumaczy się, że jadąc do Prus w interesie zakonu, ani za królewiczem szwedzkim listy pisał, ani nawet chciał widzieć się z królową, przejeżdżając przez Warszawę. Co do elekcji, idzie mu jedynie o to, aby nastąpiła za zgodą powszechną, i padła na króla katolika; a to nie mocą pieniędzy, ale z woli Bożej, bo nie utrzyma się budynek na kruchych fundamentach wzniesiony: „*non stabit aedificium, quod caducis fundamentis nitetur*”.

R. 115 (P. S.) Wiérz łaciński na przyjazd królewicza Władysława do Rzymu, r. 1623. (Druk. w *Torrighio: Le sacre grotte Vaticane* (p. 206).

R. 119 (P. S.) Warunki pokoju przez króla polskiego, posłom moskiewskim podane, w czerwcu 1581 r.

R. 121 (P. S.) 1) Rozprawa o elekcji nowego króla, r. 1587, przez Horacego Spannocchi (po włosku).

2) Relacya Filipa Persztyna posła cesarskiego do Moskwy, w r. 1579 (po włosku).

3) *Relacya bezimienna o Moskwie*. (Początek: *Dovendo descrivere le cose.....* koniec: *et io a Dio vilascio Laus Deo*) (po włosku).

4) *Rozprawa o Moskwie* (po włosku).

S. 78 (P. S.) 1) Mowa Mikołaja Firleja z Dąbrowicy, woje. krakowskiego, do cesarza miana, po zaprzysiężeniu paktów przez tegoż (r. 1597).

2) (\*) List Jana Zamoyskiego do arcyks. Maxymiliana o zwłóce co do jego uwolnienia. 20 lipca 1589 r.

3) Sukcessa polskie, aż do wzięcia w niewolę arcyks. Maxymiliana (od nominacji elektów, a zwłaszcza od 14 paźdź. 1587 r.), z Krakowa, 6 lutego 1588 r. (po włosku). Mss. spółczesny, a nazwiska polskie, inną ręką, tegoż wieku, poprawione.

4) Sukcessa arcyks. Maxymiliana pod Krakowem.

5) List arcybiskupa gnieźnieńskiego do króla polskiego, o obrzędach heretyckich, obchodzonych na pokojach jego siostry.—Odpowiedzi króla i królowej Anny Jagiellonki, tłumaczące się z tego.

6) List Jana Zamoyskiego do kardynała Aldobrandini z Zamościa 27 września 1588 r. o traktacji pokoju z Austryą, a przy końcu wynurzenia wspaniałych uczuć z powodu śmierci córki jedynaczki: „De aliis rebus quid scribam non habeo, nisi quod proxima die 27 mensis hujus filiola unica mihi obierit; quo casu, et si non possum negare, me non mediocriter ictum esse, tamen et cum in omnibus rebus humanis vicissitudines intervenire soleant, et praecipue mihi post laeta, aliquid semper adversi accidisse observaverim; ita casum eum fero, ut defunctum me potius fortunae hac invidia gaudeam, quam Deum omnium et commodorum et incommodorum auctorem accusem, *potius que privata hac calamitatae, publicam si quae reipublicae imminebat redemisse me sperem*” (1).

7) Mowa posłów szwedzkich na sejmie warszawskim.

8) List sultana tureckiego do stanów polskich, aby z nieprzyjaciół jego (Niemiec, Francji, Hiszpanii, Anglii i Moskwy) króla nie obierali. 22 czerwca 1587 r.

9) *Wolfganga Covachich* kanclerza siedmiogrodzkiego mowa w obozie pod Warszawą miana. 14 sierpnia 1587 r.

10) Posłów elektorów cesarstwa mowa na sejmie elekcyjnym miana.

11) Klemensa *Severiani* mowa za arcyks. Ernestem.

12) Klemensa *Severiani*, cenzura mowy Łukasza Chwałkowskiego, na pochwałę królewicza szwedzkiego mianej.

(1) W niepewności czyli ten list Zamoyskiego jest lub nie jest drukowany, nie mogłem wstrzymać się od umieszczenia tu w texcie, i w tłumaczeniu polskich słów, malujących całą wielkość duszy tego męża: „O innych rzeczach nie mam co donieść, chyba, że dnia 27 b. m. umarła mi córka jedynaczka. Lubo nie mogę zaprzeczyć, iż mnie ten wypadek ciężko dotknął; jednak ponieważ we wszystkich rzeczach ludzkich zmiany następować zwykły, a na sobie zwłaszcza uważałem, że po radosnych wydarzeniach zawsze mi coś niepomyślnego wypadło: wypadek ten znoszę, raczej ciesząc się, że mi się pozbyt zawiści losu, aniżeli szemrząc na Boga, sprawcę pomyślności i nieszczęść; *owszem tuszę sobie, że mi tą prywatną klęską, publiczną (jeśli jaka rzeczypospolitęj zagrażała), odkupił*”.

13) Ryszarda Strain (pod zmyśloném nazwiskiem Fausta Bonawentury) mowa za arcyks. Maciejem.

## II. Biblioteka Brera. (Numerów 4).

A. Nr. 11 *Polonia*. Summaryusz wszystkich spraw tyczących się historii politycznej polskiej od r. 1595 do r. 1597 (po włosku). Zaczyna się ten spis od 1) *Summa Consilii Guillelmi Brunssii de suscipiendo bello adversus Turcas*. Następuje potem spis rozmaitych listów nuncyuszów, stanów polskich, cesarza i innych osób, i spis rozmaitych dokumentów; 2) Brewe papieża do króla polskiego, upominające go, i strofujące o czynności kanclerza k. w. Mołdawii. 8 list. 1595 r. 3) Wiadomości z Polski, w których rozprawia się o śmierci i testamencie W. ks. moskiewskiego, i jak on sobie życzył mieć następcą po sobie arcyks. Maxymiliana. 4) List cesarza do Kozaków, względem ich nieprzyzwoitych postępów w Polsce.

D. Nr. 11. List polski o postępowaniu rzeczypospolitej polskiej w r. 1751 (*Lettre polonaise sur la conduite de la République de Pologne*).

Mss. IX, 17. Nr. 13) Instrukcja kardynała Borghese nuncyuszowi do Polski *Simonetti* bis. z Foligno. 11 list. 1606 r. (po włosku). Między innymi poleca, by podatek świętopietrze, choćby na pożytek samego polskiego kraju, odnowić.

Nr. 14) List do bis. *Reggio Rangoni*, po którym *Simonetti* nuncyuszem został (po włosku).

Nr. NN.) List Augusta III w obronie Jezuitów.

Mss. VIII, 11. Nr. 9) Opisanie Szczecina na Pomorzu; Mss. z XVI wieku. Wspomina się w nim, że wiara chrześcijańska doszła tam w r. 1115 za sprawą Ottona bis. bamberskiego, pod księciem Warcisławem i dwoma jego synami, którzy także w *Julinie*, tojest *Wolinie* biskupstwo ustanowili, a w Szczecinie poświęcono kościół św. Jakóbowi.

## II. Biblioteka książęca w Parmie. (Numerów 6).

Z katalogu Mss. téj biblioteki, z kartek pod literami alfabetu złożonego, wypisałem następne rękopisma, tyczące się rzeczy polskich.

C. C. IV. 52—346—403. *Fannietum*. Zbiór wierszów miłosnych Kallimacha do Fannii Świętochny. Mss. wieku XV (1). Po

(1) Te same wiersze Kallimacha znajdują się w Mss. XV wieku *bibl. weneckiej S. Marka*, w dwóch Mss. *bibl. watykańskiej* i jednym *bibl. Barberini*.

przedza: *De Callimachi Experientis Fannieto commentariolum* (\*). Dedykacja autora, Aynolfowi Thedaldi.

Mss. X, 22. Siemienowicza Kazimierza, *Ognie sztuczne (Ignes artificiales)*, dziełko wyjęte z jego *Ars magna*, wydane w Amsterdamie r. 1694. Mss. in 4to.

N. N. V. (numer tymczasowy) *Miscellanea z różnych relacyj.*

a). Memoryał podany Urbanowi VIII papieżowi przez księdza Orsi, rezydenta polskiego w sprawie promocyi kardynała *Visconti* (po włosku).

b). Prośba Władysława IV do papieża, aby Jozefata Kuncewicza do rzędu świętych męczenników zapisał.

(Bez numeru) *Instrukcyje* różnym nuncyuszom, dane przez Mgr. Aguccio z rozkazu Grzegorza XV.

1) (\*) Instrukcyja nuncyuszowi do Polski Mgr. di Torres r. 1621.

2) Instrukcyja nuncyuszowi do polski Mgr. Lancelotti, r. 1622. (obie po włosku).

Do téj biblioteki książęcój, przybyła znakomita biblioteka *Rossi*, z samych Mss. hebrajskich z różnych czasów i narodów złożona. W katalogu drukowanym znalazłem dwa oznaczone: *Codices Poloni*, a jeden: *Codex Russicus*; obejrzałem je starannie i zjąłem *fac-simile* z samego pisma i tytułów.

*Cod. Polon I.* (Bibl. Rossi, II, VII, 175). *Estheris liber, Canticum Canticorum Ruth, Threni, Eccl.* Mss. na papierze z wieku XV w języku rabinicznym (*salique*) pisany. Przy końcu podpis: *Ani hasofer Abraham bar elia izi*; co znaczy: *Ja pisarz Abraham, syn Eliasza, niech żyje!* (1).

*Cod. Polon. II* (bibl. Rossi II, VII, 176).

1) Psalterz z tekstu hebrajskiego na język żydowsko-niemiecko-polski przetłumaczony. Mss. na papierze r. 1510, pisany w Brescia, przez *Mojżesza*, syna *Mardocheusza Farlag* (Dicitur ad Calcem. Completus feria I die 21 Marcheovan an. 271 nim. supp. hic. Brixiae, dicit. Moses filius Mardocheaei Farlag. fel mem.).

Oto wyjątek z tego dzieła wraz z tłumaczeniem:

(1) W drukowanym katalogu Mss. hebrajskich bibl. Rossi wyczytałem, że te dwa rękopisma hebrajsko-polskie pisane są literami rabinicznymi w języku polskim. Nie znając liter rabinicznych, zjąłem tylko, o ile umiałem, *fac-simile* z tytułów i zakończeń, dla przedstawienia ich znawcom języka hebrajskiego. Jakoż we Florencyi, udałem się do kawalera *Basevi*, niegdyś kanclerza gminy żydowskiej w Liwurnie; a ten z największą uprzejmością podjął się z pomocą uczonego młodszego liwurneńskiego rabina *Ehenamozes*, dać mi objaśnienia, które to umieszczam.

„Mode begen ich zu far dir got, mein got, *un got meiner mami*, das mein heiling in deiner gewald in mein tot in deiner gewald, in es sol sein wissin zu fer dir, das du solst mein teil ins gan eden in reinig mich Lolam haba, di du ist behaltin zu den zadikime. Amen.”

„Ja oznajmuję przed Tobą Boże, mój Boże, i Boże mojej matki, że moje wyzdrowienie jest w Twojej mocy, i moja śmierć w Twojej mocy, i niech to będzie wiadome przed Tobą, abys mi dał mój udział w ogrodzie Edenu, i oczyścił mnie do przyszłego świata, który zachowany jest dla sprawiedliwych. Amen. (1)“.

2) *Inne dzieło polskie* następuje bez tytułu i nazwiska autora, ale dokończony w Mantui, XIII *Sivan* tegoż roku. Oto sam text:

„Da ich das buch uns schreib, du rechenst in Schwat las noch oder lengre sechs wochen jud gimel siwin 271. Lefag in muschwe”.

„Gdy ja tę księgę sobie piszę, ty rachujesz w miesiącu *Schevat*, daj jeszcze porachować sześć tygodni 13 miesiąca *Sivan*. 271 w *Muschwe* (2)“.

*Cod. Russ. Liber Precum cum Calendario*. Mss. XVI wieku na pergaminie (3). Rękopism ten dziwnego kształtu, składa się z dwunastu kart pergaminowych, od 1 do 6 włącznie we czworo złożonych, od 7 do 10 włącznie w sześcioro; a 11ta i 12ta znowu we czworo; tak, że format rękopismu jest małe in 12mo; nie otwiera się jak książka, ale karty spojone są z sobą jednym kautem skówką żelazną z kruczkiem do zakładania za pas. Pisany jest charakterem cyrylicznym w języku ruskim, ale zdaje się być tłumaczeniem z hebrajskiego. O ile mogłem wyczytać, na jedénastu kartach, są rozmaite kabalistyczne tłumaczenia dni tygodnia, miesięcy i pór roku; np. zaraz na piérwszój karcie:

„W deń łuni Adam bi sazden, ta deń dobar na wsedito, siiety, woszcze sady, łowity, kupowaty, i prodawaty, u nowu rizu obłoczyty, uput' chodity, a czy ti pobinie obratese, rodise żywo, tay bud wol is cielié”.

(1) Zdaniem rabina liwurneńskiego, wyrażenie *Gott meiner mami* (Boże mojej matki), jak z jednéj strony barbarzyńsko zepsutym językiem pisano, tak z drugieój strony, pisarzom żydowskim jest obce.

(2) Wedle rabina liwurneńskiego, ta data wypada na lat około 335 wstecz, a zatém na rok ery chrześcijańskiéj 1512; może dokładniejszy jest rok 1510 w katalogu *Mss. hebrajskich bibl. Rossi*. Ale in *Muschwe* czy nie znaczy raczój w *Moskowie* niż w *Mantui*? Rozwiąże to może jaki znawca języka hebrajskiego, mając pod ręką text oryginalny w Parmie.

(3) Tak jest oznaczony w katalogu drukowanym.

Na czwartéj karcie na miesiąc kwiecień jest przepowiednia, że jeśli urodzi się chłopiec (otraże), to będzie miał łeb żelazny (*bude lip z zeliza*), a jeśli dziewczyna (diwica), to męża pochowa (muża pohrebe) i za drugim będzie.

Na ostatniej karcie powtarzają się ciągle litery *a, w, g, d, e, z*, a przy niektórych są takie napisy:

*Smert wana Stipana (1).—Smert krala Twertka.—Smert krala Dawisza.—Izhoń krala Ostoje.—Poboy Ulaszwi.—Smert Cherji.—Petra ubisze kral Twert jako izde isturik.*

Pomiędzy drukami biblioteki parmeńskiej, znajduje się znakomity zbiór kompletny owych pysznych wydań *Bodoniego*, które Napoleon przekładał nad druki Didota. Pomiędzy niemi jako wzór druku polskiego jest:

*Świątynia Wenery w Knidos* (tłumaczenie z Monteskiusza), w Parmie, w drukarni *J. B. Bodoni*, 1807 r.

Pomiędzy włoskimi drukami:

*Księdza Moreali Widzenie poetyczne*, przypisane Stanisławowi Augustowi królowi polskiemu, W. ks. litewskiemu, w pierwszą szczęśliwą rocznicę konstytucyi polskiej, t. j. 3 maja 1792 r.

### III. Biblioteki Florenckie.

Ze wszystkich miast włoskich po Rzymie, Florencyja ma najwięcej bibliotek bogatych w rękopisma. Taką jest znakomita biblioteka *Lorenzana* przy kościele śgo Wawrzyńca; *Magliabecchiana* w pałacu degli Uffizii; *Riccardiana*, nakoniec *Marucellana*; wszystkie publiczne, we wszystkich znalazłem rękopisma tyczące się rzeczy polskich. W pałacu *Pitti* jest biblioteka prywatna wielkich ksiąg toskańskich, zwana *Palatina*, bogata zwłaszcza w autografy znakomych pisarzy florenckich. Po wielu domach dawnych rodzin florenckich, są biblioteki i archiwa ciekawe: w bibliotece margrabiów *Ginori* jest wiele Mss. tyczących się rzeczy polskich. Ale najobfitszym źródłem dla dziejów naszych jest bez wątpienia archiwum Medyceuszów, (*archivio Vecchio Mediceo*). Rodzina Medyceuszów, nawet nim panującą została, miała obszerne korespondencye z całym

(1) Ban *Stepan* bosnijski. Córkę jego *Elżbietę* poślubił w 1353 r. *Ludwik* król węgierski; a brata jej *Twertka* ozdobił godnością króla bosnijskiego około roku 1369. W r. 1411 rządził tym krajem *Twertko II. Ostoja Chrysticz*, był także królikiem Bosnii, i sprzymierzeńcem *Stefana Laskowicza Wdy siedmiogrodzkiego*. (Ob. *Wapowskiego* kronikę, tłumaczenie *Malinowskiego*. T. I, p. 319 w przypisku).

A więc jestto kalendarzyk Słowian południowych, zapewne w języku serbskim pisany.

światem. Objąwszy zaś rządy, utrzymywali po wszystkich dworach agentów, którzy codziennie niemal donosili panom swoim o najmniejszych wydarzeniach politycznych, z krajów, w których przebywali. Ogrom materyałów nie pozwolił dotąd objąć ich zupełnie dokładnym katalogiem. Wiele już zrobiono jednak, a więcéj jeszcze spodziewać się należy po światléj gorliwości archiwisty pana *Moïse*, który sam był w Polsce, i obiecał szczególną uwagę zwracać na wszystko, coby się do rzeczy polskich znalazło, w przerzucaniu plik i układaniu materyałów do nowego katalogu (1).

### I. Biblioteka Lorenzana. (Numerów 7).

Pluteo XVI Cod. 12) Traktat akademii krakowskieéj o władzy soborów powszechnych, oraz przystąpienie téjże akademii do soboru bazylejskiego i do papieża (antypapieża) Felixa V. (*Tractatus alme Universitatis Cracoviensis, super autoritate sacrorum generalium Conciliorum*). Mss. XV wieku (in folio) (2).

Pl. XVI C. 11) Dekreta soboru bazylejskiego. Mss. XV wieku in folio p. 30 (Sessio XXXIII) Litterae Regis Polonie retinere nolentis pecunias indulgentiarum Archiepiscopi Ruthenorum tanquam venientis ad Concilium.

Pl. XXI C. 31) *Marcina* z *Ilkusza* kantora S. Floryana, sposób zreformowania kalendarza rzymskiego. Mss. wieku XVI in quarto. Kalendarii Romani quoad Equinoctium et decennovennalem aureum Cyclum prorecte Pasche observatione, verissimus reformationis modus; cum additione duplicis kalendarii, secundum duplicem Equinoctii Ecclesie magis congruam locationem: in quorum utroque duplex ordo Aurei numeri, pro Neomeniis designandis; unus secundum antiquam observationem qua huiusque usa est Ecclesia, et alius a novo principio videlicet ab Anno Domini 1507, inchoatus regulariter; est inscriptus: *Ex Studio Cracoviensi*. Dedykacya rektorowi akademii krakowskieéj Janowi *Amicino* bis. laodycejskiemu:

„R. in Christo Patri D. Joanni Amicino Ep. Laodicensi, ac Rectori Univ. Studii Cracov. ceterisque ex Universitate Patribus et ma-

(1) W archiwum Medyceuszów pracował długo zasłużony professor uniwersytetu warszawskiego, i korespondent K. R. Oświecenia, Sebastyan *Ciampi*, i z niego miał wypisane owe listy i inne dokumenta, drukowane po różnych dziełach jego, a przedrukowane później w jego *Bibliographia-critica*. Wiedząc, że żyje dotychczas w okolicy Florencyi, odwiedziłem starszka; ale z wielkim żalem moim zastałem go w stanie zupełnéj nieprzytomności umysłowéj; zdzieciniał i oddany został w kuratelę, w której na początku 1848 roku życie skończył.

(2) Ten sam traktat znajduje się w *Bibl. Vatican.* Mss. *Ottobon.* 32, p. 103, a z Mss. Florenckiego drukowany w *Allegrini Novae Erudit. Dalic.* Floreul. 1788.

ioribus, Martinus de Ilkusz artium et sacre Theologie Doctor, Cantor Ecclesia S. Floriani, cum humili obedientia salutem dicit". (Wspomniany rok 1516).

Pl. XXXIX Supl. 73). Wiersze Kallimacha. Callimachi Carmen heroicum ad Franciscum Ugolinum et alia.

Pl. L XV. C. 58) Marcina Polaka kronika. Mss. XV wieku (bez bajki).

Pl. LXXVI C. 51) Różne dziełka Piotra *Illicinus* prawnika (1). p. 1) Dedykacya D. Mediceo, ex Hungaria Idib. Maii 1561. p. 38—112). Mowa w Krakowie miana, *O wychowaniu młodzieży*. De malorum nostrorum causa et de iuventutis instituendo cura, eiusdem Autoris sermo in Regno Poloniae, Cracoviae factus. (Same ogólniki).

Pl. XCI Supl. 42). Kalimacha *Elegie do Fannii Świętochny*. Mss. XV wieku. Callimaci poetae Clarissimi ad Fanniam Svethocam. Elegiacum carmen feliciter incipit. (2).

## II. Biblioteka Magliabecchiana. (Numerów 21).

Class. VIII. Cod. 48 (Nr. 17 p. 155) Wiadomości z obozu polskiego przeciw Tatarom. 29 wrześ. 1595 r. Wyprawa Zamoyskiego na Wołoszczyznę.

Cod. 74 p. 121) *List* królowej Bony do kardynała *Puteus* arcybis. barskiego, skarżący się na officyała barskiego, za to, że w kilku interesach, na jej wstawienie się względu nie miał. Z tego powodu oskarża księży barskich o gorszące obyczaje. Z *Ben* 23 paźdz. 1557 r. *Odpowiedź* kardynała z *Rzymu* 13 listop. 1557 r. Z wielką godnością tłumaczy officyała, obiecuje wejrzyć ściśle w prowadzenie się księży, i dodaje, że doniósł Ojcu Sw.: 1) O wojnie inflantskiej koniecznej, ponieważ król JM. został niesprawiedliwie zaczepionym; 2) o przeniesieniu bis. chełmińskiego na bis. kujawskie; 3) o koadjutorji gnieźnieńskiej dla podkomorzego chełmińskiego. To ostatnie najtrudniejsze, ponieważ nie ma na kogo spuścić się co do osoby podkomorzego. Prosi przeto królowę, aby nie odmówiła dać o nim wiadomości, jakie sama posiada. (Oba listy drukowane w *Ciampi, Notizia dei Leoli XV et XVI*).

Class. XXIV Cod. 4) *Anonyma*, zbiór aktów dowodzących, że Francya podburzała Węgrów i Turków na cesarstwo (po włosku).

(1) Był professorem literatury greckiej w akademi krakowskiej, po śmierci Jerzego *Libanus*, Szlązaka, przy końcu panowania Zygmunta I.

(2) Ten sam wiersz znajduje się w bibl. *Barberini* Mss. 1731.



1) Odkryty spisec Francyi (*Lascoperta Cabala della Francia*).

2) Mowa rezydenta cesarskiego, *Zierowskiego*, na publiczném posłuchaniu u króla polskiego; miana w obecności posłów króla francuzkiego i innych monarchów, w Jaworowie, 6 paźdz. 1682r. (1).

3) Memoryał tegoż i korespondencya hrabiego Tekely z posłem francuzkim Du Vernay.

Cod. 29) *Historya polska* przez Mgr. *Giovanni Ciampoli*. Autor, po długim wstępie, w którym wiele o Szwecyi pisze, rozwodzi się nad panowaniem Zygmunta III, wychwala gorliwość w wierze tego króla, i o początkach panowania Władysława IV wspomina. Mss. in 4to, po włosku pisany, zdaje się że *autograf*. (Druk. w *Rzymie* 1667 r.

Cod. 53, p. 299. Księdza Jakóba *Fantucci* (audytora nuncyatury polskiej), relacya o sposobie elekcyi króla polskiego, następcy Jana Kazimiérza.

P. 309. Sebastyana *Cefali* (sługi marszałka W. Jerzego Lubomirskiego), relacya stanu politycznego i wojskowego Polski r. 1664.

P. 357, Krzysztofa *Masini* (sekretarza królewskiego) pod pseudonymem *Franciszka di Subiaco*, objaśnienia do *Relacyi Seb. Cefali*.

P. 367. Krzysztofa *Masini*, list do sekretarza kardynała Litta, mający służyć za instrukcyą dla osoby przeznaczonéj na posła nadzwyczajnego do Polski; z Rzymu, 16 lutego 1664 r. (najwięcej o etykiecie i sposobie urzędzenia dworu).

P. 369. *Tegoż*, uwagi o prawie nominacyi korony polskiej do kardynałatu przy promocyi. 7 marca 1667 r.

P. 390. Listy Jana Kazimiérza do papieża, i do kardynałów, z powodu téj promocyi. NB. druk. u *Ciampi Bibl. Crit.*

P. 401. Hrabiego Krzysztofa *Masini*, posła nadzwyczajnego rzeeczypospolitéj polskiej do książąt włoskich, w 1674 r., o szkodliwych skutkach niedania pomocy Polsce.

P. 417. (\*) *Pawła Minucci*, relacya negocyacyi prowadzonéj na dworze polskim, o zapewnienie elekcyi dla księcia Macieja toskańskiego, r. 1658—1659.

Wszystkie dokumenta w tym Mss. są w języku *włoskim*.

Cod. 58, N. 10). Instrukcyja sekretna papieża (Klemensa VIII), Bartłomiejowi (zapewne *Panufno*) komornikowi swojemu, posłane-

(1) Mowa ta znajduje się także w bibl. *Monachijskiej* Cod. Ital. 96, wedle notatki br. Edwarda Raczyńskiego.

mu do nuncjusza polskiego, jak ma postąpić podczas koronacji Zygmunta III na króla szwedzkiego. 1 sierpnia 1593 r. (po włosku) (1).

N. 11) Wyjątki z różnych listów nuncjusza polskiego bis. di Sansevero (*Malaspina*) do kardynała S. Giorgio sekretarza stanu, w tymże interesie (po włosku).

Cod. 64. Zbiór aktów dowodzących, że Francya podburzała Węgrów i Turków na cesarstwo, r. 1682. (po włosku) (2).

Cod 65. *Jana III* króla polskiego odpowiedź na brewe papieża Innocentego XI; z doniesieniem, że idzie na odsiecz Wiednia. 15 sierpnia 1683 (po włosku) (3).

*Jana III* list do papieża o wiktoryi wiedeńskiej, posyłając mu sztandar turecki przez sekretarza *Talenti* zpod Wiednia 14 września 1683 (po włosku).

Mowa ks. Denhofa opata mogińskiego, przy oddaniu sztandaru tureckiego.

*Jana III* list do doży weneckiego, z opisaniem zwycięstwa pod Wiedniem, 14 września 1683 r. (po włosku).

Krystyny królowej szwedzkiej, list do Jana Sobieskiego z powinszowaniem zwycięstwa (po włosku). NB. Druko. po wiele razy.

Cod. 68, (\*) 15) *Relacya o Polsce*, nuncjusza Aloizego Lipomana, r. 1557 (po włosku).

16) *Relacya o Polsce*, nuncjusza Ruggieri, r. 1568 (po włosku).

17) *Relacya o dworze polskim*, r. 1662. przez pana *Caillet*, posłanego do Polski przez księcia de Condé, dla zapewnienia elekcji dla ks. d'Enghien. *Caillet* wzmiankuje o życzeniu króla zapewnienia następstwa po sobie arcyks. Karolowi, i opisuje dokładnie dwór polski znakomitszych panów (po francuzku).

Cod. 70. 23) List Zygmunta I kr. polskiego do Pawła III papieża o soborze; z Piotrkowa 7 list. 1547 (druk. w Ciampi *Bibl. critic*).

Cod. 71, 12) *Alexandra Cilly*, list opisujący wojnę Polski z Moskwą o Inflanty, i pokój zawarty. Z Wilna, 31 stycznia 1582 r. (po włosku, druk. Ciampi w *Bibl. Crit.*).

Class. XXVII. Cod. 78. Zbiór różnych wierszów na oswobodzenie Wiednia pisanych, przez *Villifranchi*, *Tozi*, *Firceschi*, *Maryą Buonaccorsi-Alexandrini*, *Adimari*, *Menzini*, *Faggioli* i t. d. Niektó-

(1) Obacz *Instrukcyę* w Mss. Urbin. 866 bibl. Watyk. p. 323.

(2) To samo, co wyżej w Cod. 4.

(3) List ten i następujący, znajdują się także w bibl. Casanat. Mss. XV. 34, i w wielu Mss. bibl. florenckich.

re z nich są po łacinie, inne po włosku, niektóre naśladują hymny kościelne, np.

Lauda Sion Salvatorem  
Lauda Ducem Defensorem  
Et Viennae Protectorem  
in hymnis et Canticis (1).

Class. XXX. Cod. 163. 14) (\*) *Relacya o Polsce*, nuncyusza Ruggieri z r. 1568.

15) *Relacya o Polsce*, nuncyusza Aloizego Lipomana r. 1557.

16) Rozprawa o nowój elekcyi króla polskiego (wszystkie po włosku).

Cod. 231, p. 457. List Zygmunta króla polskiego do papieża Pawła III o soborze; z Piotrkowa, 7 list. 1547 r. (2)

P. 461. List arcybiskupa gnieźnieńskiego do papieża, tłumaczący, dlaczego na sobor zjechać nie mógł. 20 paźdź. 1547 r.

NB. List ten oznaczony jest w spisie rzeczy, umieszczonym na czele Mss., ale karty na której miał się znajdować, brakuje. Była jednak przed kilką laty, ponieważ list ten równie jak poprzedzający, i dwa następujące, drukowane zostały z tego Mss. u Ciampi *Bibl. Crit.*

P. 803. List w imieniu Pawła III papieża do króla polskiego pisany, przez nuncyusza Martinengo podany, o soborze trydenckim, 14 września 1548 r.

P. 808. Odpowiedź Zygmunta Augusta, który tłumaczy biskupów polskich, z niemożności udania się na sobor trydencki.

Cod. 232, p. 26. Przysięga wykonana przez Henryka Walezyusza Polakom.

P. 30. List cesarza Ferdynanda do Iwana W. ks. moskiewskiego, z prośbą, aby się od wojny z zakonem inflanckim wstrzymał. Z Wiednia 19 paźdź. 1559 r. i *odpowiedź* W. księcia, że Inflantczycy zasłużyli na swój los, gdy wiarę luterską przyjęli. (Druk. u Ciampi *Bibl. Crit.*)

P. 71. List papieża Pawła III do Zygmunta Augusta, z kondolencją na śmierć ojca.

(1) Dostałem we Florencyi Mss. in folio wieku XVII, złożony z kilkudziesięciu utworów poetycznych, na oswobodzenie Wiednia pisanych. Pomiędzy niemi są niektóre te same, co w niniejszym Mss., inne drukowane; np. znakomitego poety *Filiccia*, wraz z korespondencją jego z *Janem Sobieskim*. Rękopism ten złożyłem w bibliotece wilanowskiej, jako w zbiorze pamiątek po Janie Sobieskim.

(2) Ten sam, co w Cod. 70 Clas. XXIV.

Class. XXXVII. Cod. 32 (\*) List obedyencyonalny Zygmunta Augusta do papieża, 24 kwietnia r. 1548. Mowa Kromera, posła polskiego, przy oddaniu tego listu, i odpowiedź *Blozyusza* w imieniu papieża. (1).

Cod. 35. Uwagi króla polskiego (podobno Władysława IV) o nominacyi Mgr. Visconti na kardynała (po włosku).

Cod. 76. 4) Instrukcja nuncyuszowi do Polski, *Lancellotti*, r. 1622 (po włosku).

5) (\*) Instrukcja nuncyuszowi do Polski *de Torres*, r. 1621 (po włosku).

Cod. 158. List Władysława IV do sultana Amurata, z prośbą, aby miejsca święte w Palestynie, zakonnikom katolickim oddać kazał. Z *Warszawy* w styczniu 1639 r.

Class. XXXVIII. Cod. 48. Marcina Polaka kronika o papieżach (tłumaczenie włoskie). Mss. XV wieku.

Cod. 73. Życie śgo Hieronima przez S. Cyrylla (tłumaczenie włoskie). „*Girolamo fugliuolo de Usebio, nobilissimo huomo, efuato in Castello Stridone*”....

### 3. Biblioteka Riccardiana (Numerów 20).

Nr. 228. *Cenci Camerarii Liber Censuum*. Mss. wieku XIII, in folio na pergaminie.

Nr. 229. *Toż samo*. Mss. na pergaminie, in folio, pisany r. 1388, przez ks. Antoniego *Landus*.

Nr. 397. Marcina Polaka kronika, in folio.

Nr. 660. Mss. wieku XV, na pergaminie in 4to.

1) List kardynała Izydora metropolity kijowskiego do kardynała Bessaryona z *wyspy Krety*, 6 lipca 1453 r. o wzięciu Konstantynopola przez Turków (2).

2. List Władysława króla polskiego i węgierskiego do miasta Florencyi o wojnie z Turkami. Z *Budy*, 2 lipca 1444 r. (Druk. w *Palacki: Italienische Reise*).

Nr. 670. Mss. wieku XV na papierze, in 4to.

List kardynała Izydora Rusina, do starszyny miasta Florencyi, o upadku Konstantynopola, i o potrzebie ligi chrześcijańskiej przeciw Turkom. Z *Kandyi*. 7 lipca 1453 r. (Druk. *Ciampi* w *Bibl. Critic.* ale w dacie zamiast *Candia*, wyczytał *Rossia*).

(1) Te trzy dokumenta (z których pierwszy drukowany u *Ciampi* *Bibl. Critic.*) znajdują się także w *Bibl. Vatic. Mss. Urbin.* 1113, i *Vatic.* 3457.

(2) Drukowany u *Dachera* *Spicilegium* T. VIII i w *Calcondilo* *Laconico* p. 327, a z Mss. *bibl. Riccard* przedrukował *Lami* w *Katalogu Mss. tej biblioteki.* *Ob. Ciampi Bibl. Crit* II, p. 18).

Nr. 863. Marcina Polaka kronika.

Nr. 1226. Kallimacha wiersze. Mss. XV wieku na pergaminie, in 4to (\*). Przedmowa do Aynolfa Thedaldi. Tytuł. „Ad Fanniam Svethocam nostri evi mulierem speciosissimam elegiarum libellus feliciter incipitur in hunc modum”. Rękopis ten najbardziej zgodny z watykańskim. Mss. Vatic. 5156 (*Ciampi* nie wspomina o nim, wyluczając znajome mu rękopisma Kallimacha).

Nr. 1827 i 1906. Wiersz mieszany (*Carmen macaronicum*) na oswobodzenie Wiednia. 2) Wiersz (*Canzone*) hr. Lorenzo Magallotti, do króla polskiego z tegoż powodu.

Nr. 2126, p. 93. Rozmowa Polaków z cesarskimi, co do ligi przeciw Turkom, ze wzmianką o propozycjach nuncjusza Malaspina (po włosku).

Nr. 2128, p. 53. (\*) List poety *Filicaja* do Jana Sobieskiego z pochwałami zwycięstwa pod Wiedniem; i odpowiedź króla (po włosku).

Nr. 2134. List Krystyny królowej szwedzkiej do Jana Sobieskiego (po włosku).

Nr. 2146. Dwa listy Galileusza, o systemacie Kopernika (kopie po włosku).

Nr. 2695, p. 127—173). Dziennik własnoręczny I. B. *Faggioli*, poety włoskiego, który był w Polsce z nuncyuszem *Santa-Croce* od 17 czerwca 1690 r. do 16 czerwca 1691 r. po włosku).

Nr. 2778. Ponińskiego marszałka, list do króla i mowa do ministrów królewskich; z 14 paźdź. 1733 r.

Nr. 2975. Marcina Polaka kronika.

Nr. 3160. Uwagi o żądaniem przez króla polskiego prawie nominacyi do kardynałatu. 7 marca 1667 r.

*Appendix*. R. II, III, 2114. Karola XII manifest za elekcyą królewicza Jakóba Sobieskiego. Z *Heilsberga* 2 stycznia 1704 r.

Augusta II pokój altransztacki, 20 paźdź. 1706 zawarty.

Jana III list do papieża o wiktoryi wiedeńskiej, 14 września 1683 r.

*List Horna* wodza szwedzkiego do Wdy wileńskiego, z *Karlielhe*, 9 list. 1678 r. i *odpowiedź* Wdy z *Gorzd*. 21 list. t. r.

List Klemensa XI do Maryi Kazimiery wdowy Sobieskiego, o jej synach uwięzionych. 20 m. r. 1704.

Listy Jana Kazimiérza do papieża i kardynałów, o prawie nominacyi kardynała. 5 kwietnia 1667 r.

S. I, XXXVI. Mowa Polaków do nuncjusza papieżkiego (w czasie traktowania ligi przeciw Turkom).

S. II, XLII. Jana III list do senatorów polskich, z Jaworowa 4 sierpnia 1679, i odpowiedź senatorów.

Deklaracya cesarska, co do wojny z Turkami, i aliansu z Moskwą.

4. Biblioteka *Marucellano*. (Numerów 4).

A. CCLVII. (P. 5). List Jana III do papieża, z doniesieniem, że idzie na odsiecz Wiednia, 15 sierpnia 1683 r. (po włosku).

C. XXIX. (P. 358) (\*). Instrukcyja nuncyuszowi do Polski de Torres (po włosku).

C. LXXXI. (P. 8). Ceremoniał podczas pobytu królowej wdowy Sobieskiej w Rzymie, r. 1698 (po włosku).

C. CLXXXI. (P. 14). Stanisława Leszczyńskiego króla polskiego instrukcyja dla córki Maryi, królowej francuzkiej, 27 września 1725 r. (po włosku).

5. Biblioteka *Palatina*. (Numerów 2).

Do polskich rzeczy znajduje się tylko:

I. List Władysława IV. z Wilna, 19 kwietnia 1636 r. do Galileusza z prośbą o szkła do teleskopu, i *brulion* własnoręczny odpowiedzi Galileusza.

II. List Jana Kazimiérza do kardynała Medycyusza, z grzecznościami, z 1649 r.

6. Biblioteka *Ginori*. (Numerów 11) (1).

Cod. CXXX. (P. 3). Drzewo genealogiczne królów polskich.

Filza (tojest plika) 37. Wiérsz (Canzone) hr. Magalotti, na pochwałę Jana Sobieskiego.

Fil. 79. Wspomnienia hr. Lorenzo Magalotti, w podróżach do Polski zebrane.

Fil. 135. (P. 34). Mowa Gurzyńskiego posła króla J. M. polskiego, miana w obozie pod Szczecinem do elektora brandeburskiego.

Fil. 148. (P. 477). Wyciąg z długiego listu sekretarza króla polskiego, *Masini*, do kardynała *Vidoni* z Prus, o stanie politycznym Polski w r. 1672, i o ambicyi Sobieskiego, który zbrojno przybył do dworu w celu utworzenia sobie drogi do tronu, ponieważ król przymuszony będzie do abdykacyi albo do ucieczki.

(1) Biblioteki i archiwum (zupełnie prywatnych) domu *Ginori*, nie mogłem zobaczyć, dla nieobecności właściciela. Uprzejmości przyjaciela domu, pana *Luigi Passerini*, urzędnika heroldyi, winienem zakomunikowanie niniejszego katalogu. Zdaje się, że prawie wszystkie dokumenta są w języku *włoskim* pisane.

(P. 481). Traktat pomiędzy Michałem królem polskim, a sułtanem tureckim, zawarty 17 paźdz. 1672 r.

(P. 483). Zdanie sprawy o zakończeniu sejmu polskiego z 1669 r.

(P. 489). Uwagi o prawie nominacyi króla polskiego do kardynałatu, odrzuconém na promocyi 7 marca 1667 r. posłane referendarzowi Morsztynowi 8 kwietnia t. r.

Fil. 151. (P. 85). Podwójna negocyacya Bonifacego *Vanozzi* (sekretarza kardynała Gaetani, legata w Polsce), z kanclerzem Zamojskim co do ligi przeciw Turkom r. 1596 (1).

(P. 175). Instrukcyja Klemensá VIII papieża dana Alexandrowi *Comuleo*, przeorowi św. Hieronima w Rzymie, posłanemu do Teodora W. ks. moskiewskiego, dla namówienia go, aby się połączył z Polską, na obronę chrześcijaństwa od Turków; r. 1594 (2).

Fil. 156. (P. 159). Instrukcyja nuncyuszowi do Polski M<sup>so</sup> Lancelotti, r. 1622.

(P. 203) (\*). Instrukcyja nuncyuszowi do Polski M<sup>sr</sup> de Torres, r. 1621.

Fil. 160. (P. 176). Relacya o Polsce nuncyusza stolicy apostołskiej, w pierwszych latach XVII wieku (może Malaspiny?).

Fil. 167. (P. 120). Ułamek historyczny, jak arcyks. Maksymilian musiał opuścić Polskę w 1588 r.

Fil. 184. (P. 1). Pawła V papieża brewe do Zygmunta III, pozwalające Andrzejowi bis. łuckiemu kilka beneficjów razem trzymać; r. 1618.

P. 2. Pawła V drugie brewe w tym samym przedmiocie.

P. 3. Listy Władysława IV do Urbana VIII za nuncyuszem *Visconti*, odwołanym z Polski r. 1635.

P. 5. Protestacya professorów akademii krakowskiej przeciw Jezuitom, którzy chcieli otworzyć kollegium w Krakowie.

P. 8. Negocyacya kardynała Magalotti sekretarza stanu papieża Urbana VIII, z postem polskim, o sprawach duchowieństwa polskiego r. 1628.

P. 20. List Władysława IV do Urbana VIII, z prośbą o nadanie bogatego biskupstwa prałatowi Alexandrowi *Rangoni*.

P. 24. Spis królów polskich od Lecha do Władysława IV.

(1) Ten Mss. znajduje się w bibl. *Albani*, w bibl. *Casanat.* w bibl. *Borbon. Neapol.* i w bibl. *Zamojskich*, do której odstąpił go *Ciampi*.

(2) Ta instrukcyja znajduje się także w bibl. Watyk. Mss. *Urbini.* 866 i w bibl. *Barberini*.

P. 25. Napis grobowy z rozkazu Zygmunta III położony nad kośćcami żołnierzy poległych w wojnie na Północy.

P. 26. Więrsz J. B. Rinalducci na pochwałę Alexandra królewicza polskiego.

P. 27. Napis grobowy Zygmunta III.

P. 29. List Władysława IV do Urbana VIII, prosząc o kardynała, dla Kapucyna Waleryana Magni, wielce zasłużonego w Polsce; oraz list własnoręczny tego Kapucyna do kardynała Magalotti, z uzalenieniem się, że prośbie króla zadość nie uczyniono.

P. 31. Więrsz łaciński (*Carmen lyricum*) przez młodzież akademii wileńskiej ofiarowany nuncyuszowi *Visconti*.

P. 32. Instrukcja nuncyuszowi do Polski M<sup>sr</sup> *Filonardi*, r. 1636.

P. 37. Mowa nuncjusza *Visconti* w senacie w czasie elekcji r. 1632 miana.

P. 38. List Stanisława Radziejowskiego do Urbana VIII, prosząc, aby mu oddano syna, którego Jezuita chytrąścią zwabili do swego zakonu r. 1626.

P. 41. List własnoręczny Zygmunta III do kardynała Magalotti za nuncyuszem Lancelotti bis. di Nola, o kapelusze kardynalski dla niego.

P. 44. Mowa posła szwedzkiego, zapraszająca Polaków do ligi przeciw Niemcom, r. 1632.

Fil. 213. N. 7). Pięć listów własnoręcznych Zygmunta III do kardynała Lorenzo Magalotti.

Nr. 8). Dwadzieścia ośm listów Władysława IV do tego kardynała; przy wielu z nich dopiski własnoręczne króla.

## 7. *Archivum Medyceuszów* (1). (Numerów 51).

(Archivio Mediceo Vecchio).

### A). *Affari di Polonia*.

Filza I. Listy oryginalne królów, królowych, książąt i panów polskich do dworu tokańskiego, pisane od r. 1541 do r. 1625, po większej części po łacinie.

Nr. 1. List Zygmunta I, do Koźmy I, z r. 1541, polecający sławnego prawnika Filipa *Valentini*, brata Jana Andrzeja kanonika krakowskiego, lekarza swego i sekretarza. (Druk w *Ciampi Bibl. crit.*).

(1) Mimo kilkotygodniowej pracy nie mogę powiedzieć, żebym zupełnie wyczerpał tak obfite źródło, jakim jest archiwum Medyceuszów. Wszystko co przejrzałem, znajduje się w następujących podziałach. Dokumenta są prawie wszystkie w języku włoskim.



dalej: listy *Bony*, *Zygmunta Augusta*, jego żony *Katarzyny*, *Anny Jagiellonki*, *Stefana Batorego* (między innymi polecające *O. Possewina*, i *Pawła Uchańskiego* hrabiego ze *Służewa*, posła swego; z kwietnia 1578 r.); *Zygmunta III* i żony jego *Anny* i *Konstancyi*; *Jana Zamoyskiego*, *margrabi z Mirowa Myszkowskiego*, *Władysława IV*, *Leona Sapiehy*, w rozmaitych interesach; np. z poleceniem interesów rodziny *Montelupi*, także dziękczynne za odebrane prezenta z mozaiki florenckiej (np. za dwa stoły *Zygmuntowi III*, przysłane w r. 1593) lub lekarstwa z apteki *W. książęcej*.

Nr. 121. List *Jerzego Mniszcha* *Wdy sandomierskiego* (z 21 grudnia 1605 r.) obiecujący *W. księciu* wyrobić wolność handlu w *Moskwie* dla *Florentczyków*.

Nr. 145. List *Dymitra II samozwańca*, do *Wolskiego M. W. K.* (2 stycznia 1608 r. z *Brańska*), z podziękowaniem za doznaną pomoc, i prośbą o dalszą.

Inne listy dotyczące się poselstw toskańskich do *Polski*:

1. *Mateusza Botti* w celu wieszowania *Zygmuntowi III* zaślubin (1592).

2. *Roderyka Alidosio di Mendoza*, dla powieszowania zwycięstw nad *Karolem ks. Sudermanii*, i odebrania *Inflant*; oraz dla otrzymania wolności handlu z *Moskwą* (r. 1605).

3. *Margrabięgo Bevilaqua* dla doniesienia o śmierci *W. księcia Ferdynanda I* (r. 1609).

4. *M<sup>re</sup> Juliana dei Medici* dla kondolencji o śmierci królowej hiszpańskiej i cesarza *Rudolfa* (1612).

5. *Margrabięgo Jana Krzysztofa Malaspina*, dla doniesienia o śmierci *Koźmy II* i wstąpienia na tron *Ferdynanda II*, (1621).

Filza 2. 1) Rozmaite wiadomości o *Polsce*, *Litwie* i *Inflantach*, od r. 1559 do r. 1599, przez różnych agentów florenckich przysyłane, jakimi byli: *Soderini*, *Seb. Montelupi*, *Marek Agrimoni*, *Cagnoli*, *Szymon Genga* (inżynier w służbie polskiej), *Faust Socyn*.

2. Mowy kardynała *Commendon* i posłów francuzkiego i cesarskiego, w czasie elekcji *Henryka*.

3. Akta elekcji *Stefana Batorego*; także poselstwo sultana r. 1578, z podziękowaniem za ukaranie śmiercią *Jankuty*, i żądaniem zwrotu jego skarbu.

4. Różne pisma dotyczące się legacyi kardynała *Aldobrandini* do *Polski*, r. 1588.

5. Jana Zamoyskiego list do kardynała Aldobrandini, 12 sierpnia 1594, o przejściu Tatarów przez Pokucie. (*De Transitu Tartarorum* etc. (Druk. w Krakowie).

6. Korrespondencya Franciszka *Sernigi* z W. księciem; z Warszawy od 16 kwietnia do 18 listopada 1598 r.

7. Negocyacya kawalera *Vinta*, sekretarza W. księcia, w Rzymie, o wysłanie kardynała legata do Polski; r. 1588.

Filza 3) Listy i wiadomości z Polski od r. 1600 do 1626, pisane przez *Cagnazzi* (sługę Myszkowskiego), *Alexandra Cilly* (kapelmajstra nadwornego) do *Belizaryusza Vinto*, sekr. W. księcia; *Jana Luna* (z obozu pod Smoleńskiem do *Alexandra Cilly*); *Waleryana* i *Karola Montelupi*, *Gelsomini*, *Bibboni*, *Gherardo Priami*, *J. B. Titi* (do *Curzio Pichena* sekr. W. księcia) (1).

Filza 4) Listy oryginalne *Władysława IV*, *Jana Kazimiérza* i różnych panów polskich, do W. książąt toskańskich, od 1626 do 1653 r.

Filza 5) 1) Korrespondencya hr. de *Watzdorf*, posła *Augusta II* we Florencyi, ze sekretarzem stanu toskańskim (1724—1726), świadcząca o niespokojnym charakterze tego posła.

2) Korrespondencya *Grzegorza Agdolf*a, posła *Augusta III* we Florencyi, ze sekretarzem stanu toskańskim (1740—1742) nic nie znacząca.

Filza 6. 1) *Marcina Kromera*, *Polonia*, tojest *Opisanie Polski*. Mss. XVI wieku, in folio z 74 kart złożony.

2) *Anonima*, *Rerum Polonicarum Liber Decimus tertius*, tojest *Historya polska* od śmierci *Stefana Batorego*, do wzięcia w niewolę arcyks. *Maxymiliana*. Mss. XVI wieku, in folio z 32 kart złożony. Drugi egzemplarz tego Mss. widziałem u pana *Ciampi*, który wydrukował go, pod tytułem: *Rerum Polonicarum ab excessu Stephani Regis ad Maximiliani Austriaci captivitate, liber Singularis editus cum additamentis. Florentiae, 1827, in 8vo.* W przedmowie przypisuje *Ciampi* to dziełko *Janowi Michałowi Bruti*, historyografowi króla polskiego *Stefana Batorego*.

(1) Wiele z tych listów wypisał *Ciampi* i wydrukował przy kilku dziełach swoich, a zwłaszcza w *Bibliografia Critica*. Niektóre ja wyjąłem z archiwum w kopiach autentycznych, i zamierzam je przy innych materyałach historycznych wydrukować. Ale wartoby wszystkie korrespondencye agentów toskańskich w Polsce zebrać, wypisać, i jako jedną całość stanowiącą, razem wydać. Najbardziej zajmujące i najliczniejsze są listy: *Pawła il Magnifico* (1574), *Filipa Talducci* (1578—1582), *Szymona Genga* (1580—1587), *Franciszka Sernigi* (1598—1605), *Alexandra Cilly* (1582—1620), *Mikołaja Siri* i *księdza Martinozzi* (1657—1659), *Sebastjana Cefali* (1666), *Koźmy Brunetti* (1674—1680), *Santi-Bani* (1676—1684), *Tomasza Talenti* (1684—1693), *hrabiego Mariani* (1691—1697).

B) *Miscellanea di varie notizie attenenti a diverse Corti di Europa e a quella di Toscana.*

Filza 51) Protestacya Henryka króla francuzkiego przeciw Polakom, r. 1579.

Filza 54. 1) Relacya o Polsce Hieronima Lipomana, posła weneckiego, r. 1574.

2). List obedyencyonalny Stefana Batorego do Grzegorza XIII papieża. 3 lipca 1576 r. (Druk. w ed. Lipsk. Długosza).

3) Pakta konwenta w czasie koronacyi króla zawarte; r. 1588.

4) Manifest wojenny króla, 29 lutego 1588 r. (po łacinie).

5) Do rzeczy tureckich. a) List posła multańskiego do wojewody z poradą, aby wojnę podniósł na Polaków; w sierpniu 1587 r. b) Relacya poselstwa tureckiego do Polski. c) List sułtana do cesarza o elekcyi polskiej, 4 paźdz. 1587. Radzi mu, aby jego bracia nie mieszali się do rzeczy polskich (tłumaczenie Macieja del Sarre).

6) Rozprawa o sposobie dostania pieniędzy w Polsce; r. 1590, 18 kwietnia (z polskiego na łaciński język przetłumaczona).

7) List Władysława IV do księdza *Orsi*, o kardynałacie prałata *Visconti*; r. 1643.

8) Relacya o ugodzie, zawartej między Polakami a Siedmiogrodzianami, wyjęta z listu pisanego z obozu królewskiego pod Krakowem, 6 sierpnia 1657 r.

9) Poselstwo margrabiego *Luigi Bevilaqua* do Polski, r. 1609. Listy jego, a także *Alexandra Cilly* i *Montelupi*, i dyaryusz podróży, (mało ważne).

10) Różne drobne pisma o sprawach polskich.

11) Rady co do przyszłej elekcyi następcy Jana Kazimierza. (Avis aux Etats de Pologne sur l'élection et désignation d'un futur successeur à Jean Casimir).

12) Dyaryusz sejmu 1666 r.

13) Negocyacya o lidze przeciw Turkom, r. 1595.

14) Listy własnoręczne *Sebastjana Cefali* (sługi marszałka K. Jerzego Lubomirskiego) o stanie politycznym i wojskowym Polski; r. 1666.

15) *Obrona narodu polskiego* przeciw przedmowie *Alda Manucci* (przy dziele *Liber de Comitibus*), r. 1585, przez *Adama Preckowskiego*, Polaka.

16) Jana Zamoyskiego list do kardynała *Aldobrandini* o przejściu Tatarów przez Pokucie; r. 1594 (po łacinie).

17) Opisanie wjazdu Bieniawskiego i innych posłów polskich do Moskwy, z języka polskiego na łaciński przetłumaczone, i podane *Koźmie III* Medyceuszowi, w przejeździe przez Hamburg, r. 1668, przez Stanisława z Lubienic Rolickiego, szlachcica polskiego.

18) Wiadomość o znakomitszych rodzinach polskich, (pod koniec panowania Jana Kazimiérza pisana).

19) Relacya o Polsce Hieronima Lipomana posła weneckiego; r. 1574 (2gi egzemplarz).

20) Relacya o Polsce *Ludwika Fantoni*, r. 1714.

21) Prezenta ofiarowane żonie Zygmunta III, Annie, r 1593.

22) Protestacya Henryka króla francuzkiego przed Grzegorzem XIII papieżem, przeciw elekcyi króla polskiego.

Filza 57. List sultana do królowej angielskiej z 12 czerwca 1590 r. Obiecuje zawrzeć pokój z Polską, przez Kozaków zakłócony, byleby król polski zawarł przymierze z Anglią przeciw Hiszpanii.

Fil. N. N. Różne akta tyczące się wojny arcyks. Maksymiliana z Polską, jego niewoli i paktów Będzińskich (po łacinie).

Fil. 60. Relacya o Polsce *Leliusza Arrivabeni* posła księcia mantuańskiego do traktowania ważnych interesów (R. 1598—1601).

### C) *Legazioni di Germania e di Polonia.*

Fil. 34 do 47 włącznie. *Wiadomości z Polski* (Avvisi di Polonia) i korespondencye kilku agentów toskańskich z Koźmą III, oryginalne, wraz z brulionami odpowiedzi W. księcia, od r. 1665 do r. 1697, a mianowicie: *Wawrzyńca Dominika dei Pazzi* (1665—1680), *Koźmy Brunetti* (1674—1680), *Santi-Bani* (1676—1684), *Tomasza Talenti*, sekretarza króla Jana Sobieskiego, od r. 1684 (po podróży do Włoch, dokąd odwiózł sztandar turecki i inne łupy, zdobyte pod Wiedniem r. 1683), do r. 1693 (w którym umarł); *Piotra Dominika Colonna* (w zastępstwie Tomasza *Talenti* r. 1693); *hrabiego Mariani* (1691—1697); *Lampugnani* (do r. 1697).

W niektórych z tych plik znajdują się także listy panujących i panów polskich, zwłaszcza Stanisława Jabłonowskiego, ks. Denhofs, i Paca biskupa wileńskiego. Tego ostatniego korespondencją z W. ks. toskańskim przy przesłaniu relikwii śgo Kazimiérza, wydrukował *Ciampi w Bibl. Crit.*

### D) *Appendice della Legazione di Germania.*

Fil. 1542—1575. Różne urywkowe wiadomości z Polski, zwłaszcza z Inflant. List *Andrzeja Dudith* (z Krakowa 22 wrześ. 1567r.) do nuncjusza; tłumaczy się ze swego ożenienia.

Fil. 1580—1589. Różne urywkowe wiadomości o Polsce i o wojnach inflanckiej i z arcyks. Maksymilianem.

E) *Strozzi* (1)

Fil. 24. List Jana Kazimierza do Kosmy III, z kondolencją o śmierci ojca; r. 1670.

Fil. 288. Treść testamentu królowej Bony.

Fil. 299. Różne pisma dotyczące się wiktorii wiedeńskiej, jakoto: listy Innocentego XI do królów francuzkiego i hiszpańskiego; odpowiedź Ludwika XIV; rysunek sztandaru Mahometa; mowa ks. Denhofs przy oddaniu go w Rzymie; list króla Jana Sobieskiego do żony; list królowej Krystyny do Sobieskiego i t. d.

Fil. 302. 20) Memoryał dla pobudzenia Polski do wojny tureckiej, na żądanie Alexandra VII papieża.

30) Akta abdykacyi Jana Kazimierza, r. 1668.

41) Propozycye prymasa przed nową elekcyą.

43) Mowa o elekcyi.

47) Odpowiedź na nią.

52) Dyalog pomiędzy prymasem a kanclerzem, o sposobie otrzymania wolności w rządzie.

57) Rozprawa o kandydatach do korony polskiej.

69) Różne sprawy sejmowe z 1669 r.

71) Pisma przeciw ks. neuburskiemu.

72) Ks. *Fantucci* relacya o sposobie elekcyi w Polsce (2).

73) Opisanie exekwiy ks. Lubomirskiego 23 maja 1667 r.

84) Listy Jana Kazimierza do Alexandra VII papieża i do kardynała Chigi, w sprawie nominacyi do kardynalatu.

Fil. 303. 1) Relacya o Polsce z r. 1628.

2) Mowa (ablegata Roraryusza r. 1540) w imieniu papieża do króla polskiego.

3) Akt elekcyi Henryka Walezjusza i poselstwo do Paryża wysłane (po łacinie).

4) Relacya o Polsce; z Krakowa 1605 r.

5) List Karola *Soderini*, 6 lutego 1574 r. do *Concini*, posła toskańskiego w Wiedniu, o wjeździe króla Henryka do Poznania, przy pochodniach i okrzykach radości; i o przyszłej koronacyi jego w Krakowie, a exekwiyach Zygmunta Augusta.

(1) Jestto część archiwum możnego dotąd domu *Strozzi*, która zapewne przez sukcesyą dostała się Medyceuszom.

(2) Ta sama relacya znajduje się także w Mss. 53. Class. XXIV. bibl. *Magliabecch.*

6) Listy *Pawła* zwanego *il Magnifico* o tychże wypadkach, i o pojedynku Zborowskiego, oraz (\*) ze szczegółami o dworze Henryka; r. 1574.

7) Listy Henryka do stanów i różnych panów polskich, przy wyjeździe z kraju; r. 1574.

8) Manifest Polaków na zjeździe w Steżycy, r. 1575.

9) List Franciszka *Gorini* do posła tokańskiego w Wiedniu, o podwójnej elekcji Batorego i cesarza Maxymiliana. Z Rzymu 1576 r.

10) Różne pisma i mowy dotyczące się bezkrólewia po złożeniu z tronu Henryka; między innymi, mowa *Jerzego Blandraty* za Batorem (1), i mowa posła księcia Ferrary i Modeny (sławnego poety włoskiego I. B. *Guarini*.) Obiecuje pokój zachować z dyssydentami, (etiam inter dissidentes de religione), i *księstwo karnutów* we Francji zapisać Polsce.

11) Listy Filipa *Talducci* do posła tokańskiego w Wiedniu (r. 1578 — 1582) (\*) o *śmierci Podkowy*, o wojnie inflanckiej, i pokoju z Moskwą, zawartym przez Possewina.

12) Różne listy, między innymi jeden Zamojskiego z 8 czerwca 1606.

13) Opisanie Litwy i żubrów (dość błędne).

14) Drukowane relacje o niektórych wypadkach wojennych z 1651 i 1652 r. (np. o bitwie *beresteckiej*).

15) Relacja sekretarza W. księcia, *Tartaglino* o pokoju zawartym pomiędzy Polską a Moskwą r. 1635 (o wjeździe posłów moskiewskich do Warszawy, zaprzysiężeniu paktów, i zwróceniu ciał zmarłych Szujskich).

Fil. 307. Spis prezentów posłanych królowi polskiemu z powodu ożenienia z arcyks. Anną (r. 1592); kontrakt ślubny królowej, która zrzekła się wszelkich sukcesyj w Austrii.

Fil. 309. Relacja o Polsce Hieronima Lipomana posła weneckiego r. 1574.

Fil. 310, p. 1) Spis prałatów i panów polskich, z r. 1548. (spółczesny).

P. 9) List króla polskiego do W. mistrza inflanckiego, i Jana Mieleckiego hetmana do tegoż, o rozpoczętej wojnie; r. 1557.

P. 23) Krótkie opisanie rzeczy inflanckich.

P. 24) List cesarza Ferdynanda do W. ks. moskiewskiego o rzeczach inflanckich, i odpowiedź tegoż.

(1) Ta mowa znajduje się także w Mss. R. 94 bibl. *Ambros.* w Medyolanie.

Fil 314. (\*) 1) Relacya o Polsce nuncyusza *Bernarda Bonioanni* bis. di *Camerino*; r. 1560.

2) Rozprawa o nowój elekcyi w Polsce.

3) Listy Zygmunta Augusta i królowej Katarzyny do nuncyusza *Bonioanni*, z lat 1561, 1562 i 1563, zwłaszcza o soborze trydenckim i t. d. (1).

Fil. 315. Rozprawa Horacego *Spannocchi* o elekcyi w Polsce.

Fil. 319. Relacya Sebastjana *Cefali* o stanie politycznym i woj-skowym Polski; r. 1664 (2).

Fil. 326. Relacya o Polsce Hieronima Lipomana, posła weneckiego, r. 1574.

Fil. 330. Artykuły pokoju między królem polskim a hanem tatarskim i Kozakami; r. 1667.

#### F). *Carte d'Urbino* (3).

Class. D. IV. G. Filza 71 (\*). List własnoręczny *O. Possewina* do ks. Urbino, z 27 września 1606 r. z Bononii, o smutnych wieściach o Dymitrze; z Moskwy.

Fil. 253. I) Listy Zygmunta III, z lat 1614 i 1619 do ks. Urbina, za powracającym do kraju swego muzykiem królewskim *ven. Fabricius Tiranus*.

2) List nuncyusza *Wincentego del Portico*, do ks. Urbino, z 12 czerwca 1572 r., o tém, że nie mógł listu jego oddać królowi, złożonemu ciężką chorobą.

3) (\*). List komtura *Pucci* do ks. Urbino, o negocyacji kard. *Aldobrandini*, i ze szczegółami o Zamojskim, o królownej szwedzkiej, i o arcyksięciu *Maxymilianie*. Z *Krakowa*, 12 paźdz. 1588 r.

4) Listy *Alexandra Cilly* do ks. Urbino, o dworze i nowinach z Moskwy (1613—1615).

Fil. 265. List królowej *Bony*, do *Eleonory* księżnej Urbino, z podziękowaniem za przysłane piękne czepekki (*scuffietti*). Tłumaczy się, że nie własną ręką pisze, dla chwilowej niemocy. Z *Krakowa*. 20 lipca 1527 r.

#### G). *Carteggio privato de Medici, avanti il principato*.

Filza. I (\*). List oryginalny (na pargaminie) *Jakóba* z *Dębna*, kanclerza polskiego do *Wawrzyńca Medyceusza*. 6 paźdz. 1469 r.

(1) Te listy znajdują się także w Mss. D. 208 Bibl. *Ambros.* w Medyolanie.

(2) Znajduje się także w Mss. \*3. Class. XXIV Bibl. *Magliabecch.*

(3) Archiwum wygasłego domu książąt Urbino, których biblioteka przeszła do watykańskiej.

z prośbą, aby rękodzielnicy Florencyi u których obstalował był tkani-ny jedwabne złotem przerabiane, dla króla Kazimierza, poczekali kilka tygodni na zapłatę (po łacinie).

H). *Scritture diverse attinenti a Cosimo I.*

Filza 66. Nr. 23 (\*). List oryginalny Zygmunta Augusta do Koźmy I. W. ks. tokańskiego, z poleceniem sługi swego Leliusza Socyna, 29 grudnia 1558 r.

J). *Documenti originali.*

Filza 9. Listy Zygmunta III do ks. Franciszka Medyceusza, z grzecznościami.

K). *Carteggio del Segretario Vinta.*

Filza 1584. Nr. 64). List Szymona Genga do Belizaryusza Vinta sekr. W. księcia tokańskiego, z Wenecyi 12 wrześ. 1584 r. Donosi mu, że udaje się do Polski do służby króla Stefana.

L). *Carteggio del Principe Mattias di Toscana.*

Filza 3. Listy oryginalne Jana Kazimierza, Maryi Ludwiki i inne (1652—1654).

Fil. 11 1). Korrespondencya Mikołaja Siri, agenta tokańskiego w Wiedniu, i księdza *Martinozzi*, audytora nuncyatury polskiej, z księciem Maciejem tokańskim, w interesie zastawienia klejnotów królowej Maryi Ludwiki, i przygotowania elekcji ks. Macieja, w razie wakansu tronu (1657—1659).

2). W tymże interesie listy (\*) Pawła *Mincucci* (1), ks. *Giovanelli* (Barnaby), sekretarza królowej *Desnoyers*, T. *Livio Burattini*, *Paolo Doni* i t. d.

3). Oprócz tego są listy Maryi Ludwiki, ks. Denhofa, księcia Bogusława Radziwiłła, w różnych interesach pisane.

M). *Carteggio di Cosimo III.*

Fil. 1690—1693 *Teste Coronate.*—Listy Jana Sobieskiego z r. 1690 i 1695 z rekomendacyami.

Fil. 1674 *Particolari Diversi.*—*List Koźmy Brunetti* z obozu pod Braclawiem, 2 stycznia 1674 r. posyłając drukowaną informacją, *Dello Stato della Polonia* (2).

(1) Ten sam, któremu poruczona była negocyacya elekcji ks. Macieja, której opisanie znajduje się w Mss. 53 Clas. XXIV. Bibl. *Mogliobecch.*

(2) Tyle mogłem odszukać i przejrzeć z rzeczy polskich, znajdujących się w archiwum Medyceuszów. Bez wątpienia znalazłoby się jeszcze więcej porzucanych po tysięcznych *plikach* (filze). Z czasem dopiéro i dzięki obiecanemu staraniu archiwisty pana *Moise*, praca ta może da się uzupełnić.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Pamiętnik naukowo-literacki, pismo zbiorowe umiejętności, literatury i sztuki. Pod redakcją Romualda Podbereskiego. Zeszytów trzy, stanowiących tom Iszy. W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego, 8ka, 1849.*

**R**ocznik Literacki, którego jeden ozdobny poszyt corocznie wychodził w Petersburgu, a czwarty i ostatni w Bibliotece Warszawskiej z miesiąca czerwca z. r., jak równie i w Tygodniku Petersburskim ocenionym został; ustąpił miejsca nowemu pismu zbiorowemu, pod tytułem wyżej wymienionym. Znany i staranny wydawca Roczniaka, przeniósłszy swe zamieszkanie do Wilna, tam przeniósł i redakcją nowego swego zbioru, którego trzy spore zeszyty, stanowiące tom Iszy, mamy pod ręką.

Pismo to zmieniwszy nazwisko, zmieniło oraz sukienkę, a w części i charakter. Wychodząc w Wilnie, stało się bardziej miejscowem, bardziej litewskiem, czego mu szczerze winszujemy; a chociaż nie jest tak ozdobne jak był Rocznik, nie straciło wszakże ani na dobroci papiéru, ani na wyrazistości i poprawności druku. Obszerniejsze tylko przybrało rozmiary, gdyż każdy zeszyt składa się z 6 do 7 arkuszy, a takich na rok sześć ma wychodzić. Żałujemy tylko, żeśmy nie znaleźli także jakiej zmiany co do litografij, umieszczanych na czele zeszytów. Jak w ostatnim Roczniku był lichy portret Moniuszki, tak i Pamiętnik, wierny wiadać w tej mierze rocznikowej tradycji, umieścił na czele Igo zeszytu portret Karola Mujszela, równie lichy, i jakby od niechcienia przy samym końcu éwiartki niezgrabnie i krzywo wybity. Lepiejby już dać pokój tym sztukom pięknym, kiedy nie mają być piękne.

Pisma zbiorowe mają właśnie tę korzyść przed peryodycznemi, że peryodycznemi nie są, a zatem nie potrzebują na gwałt zapelniać

kolumn swych lada czém, gdy koniec miesiąca zawoła. Za to wszakże czytelnik ma prawo więcej wymagać po swobodnym i nieterminowym wydawcy, i żądać lepszego i pożywniejszego doboru, składających zbiór cały artykułów. Z tego względu, nie możemy zupełnie uwolnić od zarzutu wydawcę niniejszego pisma. Do czego np. może posłużyć kompendyum historii Litwy, zamykające rzeczy powszechnie znane (1)? Czemu wydawca nie uprosił p. Moraczyńskiego, aby wyrzucił ogólne uwagi o malarstwie religijno-historycznym, pełne filozoficzno-poetycznej preten- syi, a zostawił tylko tak piękną i tak interesującą historią swego obrazu św. Romualda? Czemu sam wydawca tak szeroko rozpisał się o Jaro- sławie Linowskim, który mógł być osobistym przyjacielem wydawcy, ale nic takiego nie zrobił, aby na tak obszerną biografią u nas zasłużył? Na co wreszcie aż tyle o tój Kalifornii, z którą wszędzie spotykać się trzeba i która wszędzie nudzi, bo nam ani złota, ani nauki nie daje. Z drugiej strony zważając wszystkie trudności, z którymi walczyć musi zbieracz artykułów; zważając jak gorzko mu one przychodzą; ile się musi na- chodzić, napisać i naprosić; jak leniwi są ludzie zdolni, jak próżni, natrętni i gniewliwi niezdolni: szczerze wdzięczni jesteśmy wydawcy za wiele rze- czy dobrych, użytecznych i pięknych, które zdołał do zbioru swego zgro- madzić, i które nagradzają mierne lub niepotrzebne, które może musiał umieścić.

Ale przystąpmy do szczegółów.

I. Trzy te zeszyty zamykają wiele urywków poetycznych równie oryginalnych, jak tłumaczonych. Tak odwykliśmy dziś, nie mówię od poezyi, bo poezya może wniknąć wszędzie, wszystkie formy wypełnić, i gdzie tylko jest piękność i życie, tam i ona być musi; ale tak odwykliśmy od wierszów w dawnym, pocziwem *mowy wiązanej* znaczeniu, że każ- dy niemal z czytelników czyto pism peryodycznych, czy zbiorowych, gdziekolwiek spotka się z tą rymaryą, rad ją pomija i odwraca się od niej, jakby od wczorajszego obiadu. Jestto zwykła niesłuszność ludzka ku wszystkiemu, co się wysłużyło. Doznają jój rzeczy i ludzie, płody lite- rackie i ich autorowie. Co do wierszów, sprzeczać się o tém z nikim nie będziemy, przyznając się szczerze, że i na nas taki sam grzech ciąży. Wszakże, jeżeli kto zdoła przemódz, czy wstręt słuszny, czy niesłuszne uprzedzenie i przejrzy w niniejszym zbiorze poezye Odyńca, Innocentego Staruszkiewicza, a nadewszystko przekłady Sarbiewskiego Władysława Syrokomli i jego oryginalne płody, sownie za to wysilenie nagrodzonym zo- stanie. Z pięciu poetycznych kawałków znakomitego autora *Felicity*, ce-

(1) Sam wydawca to przyznaje, że je umieścić raczej jako pamiątkę, niż jako materiał.

luje powagą myśli i świeżością kolorytu: *wiersz do hr. Tyszkiewicza*, naiwna zaś dobroduszość i owa szczerą polską serdeczność, cechują *Invitacyą do przyjaciół*, a szczególnie *Okólnik do sąsiadów*.

Prace wierszowane Innocentego Staruszkiewicza (także Ed. Odyńca), sąto właściwie satyry, pod inną tylko, mniej odstrasżającą niż dawniejsza, formą. Piérwsza z nich wymierzona jest przeciwko sknérstwu bogaczów; druga przeciwko wychowaniu kobiet wyższego towarzystwa, to jest przeciwko ich upędzaniu się za formą i sztuką, ze szkodą ducha i natury, z uszczerbkiem téj wrodzonej miłości ku wszystkiemu, co swoje. Tak wychowaną panią nazwał poeta Lafiryndą; jak się zaś ona formuje, następujące strofy uczą:

Bóg-ci nie dał nikomu,  
Rodzić się bez rozsądku;  
Lecz tylko w pańskim domu,  
Można wnet niemowlątku

Dać bonę, pedagoga,  
By przez najpiérwsze lata,  
Dzieło w niém Pana Boga,  
Prcestować wedle świata.

A tylko na nie lada  
Pensyą i podarek,  
Dają się zwabiać stada,  
Francuzek i Szwajcarek.

Ach! bez nich niestety!  
Przez żaden mus, ni względy,

Z żadnej naszej kobiety,  
Nie zrobisz Lafiryndy.

Bo krew przodków nie woda,  
Bo nad świata przycinki,  
Śmielsza Polki swoboda,  
Szérsza tkliwość Litwinki.

A tu właśnie rzecz na tém,  
Wypléć wszystko przyrodne,  
By módz zasiać jak kwiatem,  
Wszystko cudze i modne.

W czém jedynie się nadać  
Może metoda taka,  
Jaką się uczy gadać,  
Papugę albo szpaka? i t. d.

Kończymy naszą cytacyą na tych znaczących wyrazach, dodając, że obie te satyry dają się czytać z uciechą i smutkiem. Cieszy w nich żywość obrazów, a smuci ich prawdziwość. Wszakże, gdy prawdziwość ta jest względną, bo nie wszyscy bogacze są sknery, a nie wszystkie nasze damy, mimo najlepszej chęci, wychodzą na Lafiryndy, gdyż często bez ich wiedzy i woli przemaga *swoboda Polki* i *tkliwość Litwinki*: dlatego znajdujemy, że obie mając dziś wyjątkowe zastosowanie, grzeszą tu i owdzie przesadą. Najprawdziwszą, najszerzej niestety zastosować się mogącą jest trzecia, przeciwko próżniactwu i złemu życiu paniczów wymierzona, pod tytułem *Wieczór kawalerski*. Polecamy ją wszystkim takim kawalerom zamiast zwierciadélka do przejrzenia się, nim się na opisaną tam zabawę udadzą. Charakterystyczne są strofki, w których dawniejsze pokolenie, także hulające, do dzisiejszego przyrównywa:

Prawda, każde broiło,  
Aż ściągnęło gniew boży;

Ale jeśli źle było,  
Toć dziś wszystko jest gorzej.

Sięgam pamięcią czasów,  
Bachusowego szału,  
Co trwał u nas od Sasów,  
Do końca Trybunału.

Żal wspomnieć, co iskrzących  
Serc, myśli, Bożych darów,

Naksztalt gwiazd spadających,  
Zgasło w głębi puharów.

Ale był duch, mosanie!  
Było życie i siły;  
I w Bachusa rydwanie  
Szły lwy—nim się popiły.

A wy co? i t. d.

Na tém porównaniu dzisiejsze pokolenie naturalnie nie najlepiej wychodzi; wszakże ostro, pełne życia i gorzkiej prawdy przymówki, które mu autor czyni, kończą się, jak się zwykle kończy każda polska zrzęda, udobruchaniem się i powrotem do nadziei poprawy, mającej swą zasadę w dobrym gruncie tych, przeciwko którym wymówki wymierzone. Podzielamy i my tę nadzieję, i chętnie z autorem mówimy:

Lecz choć wiecher na wodzie,  
Łódź przez maszty w głąb' nurzy,  
Dobry balast na spodzie,  
Zbawi okręt od burzy.

Najpiękniejszą ozdobą tego oddziału są przekłady pięciu ód Sarbiewskiego przez Władysława Syrokomlę. Młody ten poeta słusznie i gruntownie oceniony i w Bibliotece naszej i przez Kraszewskiego w Tygodniku Petersburskim, dawszy nam uczuć piękności Klemensa Janickiego, i przeodziawszy tkliwe jego żale w tak wierną i piękną sukienkę, w przekładzie tych kilku ód dał nam jeszcze lepiej poznać, jak dobrze pojmuje ducha poetycznego dawnych naszych pisarzy, których chęć sławy europejskiej i rzymskiego lauru, na pole Rzymian zagnęła. Przyklaskujemy z całym społeczeństwem użytecznej i śmiałej pracy, która nam przywróci poetę, gruntowniej może znanego za granicą niż u nas. Że p. Syrokomla nie lekko, nie bez należytego przygotowania podjął się tego trudu, niech służy za dowód wzmianka o Sarbiewskim, nie co do jego życia i bibliograficznych o nim wiadomości, bo to są rzeczy znane, wielokroć powtarzane, i dokładnie w Bentkowskim objęte, ale co do ocenienia jego wielkich zdolności, jego stanowiska w literaturze w porównaniu z Horacym, oraz co do sposobu, jakiego w przepolszczeniu takiego poety trzymać się należało. Nie zrobimy zapewne przykrości czytelnikom Biblioteki Warszawskiej, kiedy parę tych miejsc przedrukujemy. Tak p. Syrokomla stawia obok siebie dwóch wielkich liryków, rzymskiego i polskiego:

„Formą liryczną zbliżał się Sarbiewski do Horacyusza, ztąd nazwano go Horacyuszem polskim. Zasłużony epitet, tytuł chlubny, jeśli go z punktu pojęć klasycznych uważać zechcemy. Nasze jednak inne jest

zdanie o Sarbiewskim: choć nieraz zapożyczył wyrażenia, sparafrazował myśl starożytnego pisarza, Sarbiewski jest sobą samym. Między rzymskim dworakiem a polskim Jezuitą nie widzimy wielkich podobieństw, wyjąwszy może palenie kadzideł możliwym tego świata; co u Sarbiewskiego było wadą stanowiska, u wieszczki zaś rzymskiej wadą ledwo że nie własną. Zresztą, jeśli duchem rzymskim zwykliśmy nazywać ducha mężki, energiczny, twardy i ślepy, gdzie idzie o cnotę, toć prędzej nazwę Rzymianinem Sarbiewskiego, niż Horacyusza. Sarbiewski w poezji jest klasyk, erudyt; u niego wzory i poetyka są bóstwem. A przecież jak jest niespodziany w swoich myślach i zwrotach, jak silny w uczuciu, jak oryginalny w słowie! Prosimy tylko przejrzeć te gorące ody, któremi ten godny poprzednik Bajrona wołał na Europę, aby skruszyła kajdany ziemi Helenów; te jego religijne westchnienia, lub ten głos do swoich przyjaciół i opiekunów? Czy jest to naśladownictwo, czy raczej mężka rywalizacja z ubóstwionymi przez się klasykami? czy sucha deklamacja? czy nazwa naśladowcy Horacyuszowego przynosi Sarbiewskiemu chlubę, czy ubliżenie?"

Wspomniawszy p. Syrokomla dlaczego próby dawniejszych przekładów Sarbiewskiego nie udały się, wyklada jakiego sposobu w tym zawodzie trzymać się można i jakiego się trzymał. Powtórzymy jeszcze te jego wyrazy tém chętniej, że się zupełnie zgadzają z naszym tój rzeczy widzeniem, i że się do każdego tłumaczenia wielkich obcych poetów zastosować dadzą.

„Godzi się zatem (mówi) tłumaczowi poezji, zostawić grammatykom ślęczenie nad mistrzowską dykcją Sarbiewskiego, a w zamian starając się (ile siła stęrczy) o podobny kunszt w języku polskim, używać zresztą tój swobody, ile zwykliśmy jój mieć tłumacząc prozą; godzi się zapomnieć, że krytyka może postawić wyraz przeciw wyrazu i gromić nas za drobiazgową niewierność. Trzeba tylko przejąć się, przejąć się i przejąć się duchem poety, każdą myśl jego przewarzyć w sobie, czasem przeciąć węzeł gordyjski, zamiast go rozwiązać, czasem mniej skrupulizować z jakim pogańskim bóstwem; niekiedy Tethys nazwać morzem, a Feba słońcem, i zawsze tłumacząc *kogoś* być *sobą*. Szanować myśl, liczbę wierszy, a nawet o ile można wyrazy, ale przedewszystkiém szanować duszę i nie uronić jój ani cząstki w przenoszeniu na inny język.”

Że młody nasz zapaśnik ze wszystkich trudności, jakie ta metoda przedstawia, szczęśliwie wybrnie i prawdziwą przysługę literaturze krajowej zrobi, przekonują próby wspomnianych pięciu ód, które mamy przed sobą. Dla braku miejsca nie możemy wszystkich przytoczyć, ale mniemamy, iż to miłém będzie czytelnikom Biblioteki, gdy choć niewiele przywiedziemy, aby sami sądzić mogli.

Taki jest początek ody XI księgi I do Stefana Paca, na wytworne zbytki stroju rycerstwa polskiego:

Złote brzękotki, płaszcz z purpury,  
Nie doda hartu waszój zbroi.  
Wdziewać brylanty, sute sznury,  
Wojackim piersiom nie przystoi.

Głowa żelazem przyodziana,  
Pocóż piórami jeszcze mży się?  
Poco ta kita rozczochrana,  
Na niedołącznym drga kirysie?

Nie będą straszne dla nikogo,  
Przyłbice ptasiem piérzem wzdęte,  
Na jedno tylko służyć mogą:  
Żarłocznym sępom na przynęte.

Kule z warkotem świszczą w dali,  
Grzmocą rusznice—oto słyszę,  
Gromem, piorunem działa pali,  
Błyszcą się włócznie, berdysze.

Na nic ta kita nie wystarczy,  
Na nic grzechotka brzękająca,  
Na nic ten polor, lustr na tarczy,  
Po której biega połysk słońca.

Kołczanem wrogi się nie zgniotą,  
Gdy tępą strzała, zła cięciwa;  
Porzuć błyskotki, porzuć złoto,  
Niech ci ramion nie skowywa.

Ty twarz wyzótkłą przez swywołę  
Barwisz, rozkoszy wychowanek;  
Piękniejsza krésa, co na czole,  
Bo to wczorajszej bitwy wianek. i t. d.

Równie energiczną i pełną zapału jest oda XX z księgi III, którą jako krótką możemy przytoczyć całą. Sarknąwszy w niej poeta na niedołączność i rozpustę społecznej młodzieży szlacheckiej, opiewa dzielność szlachcica Wiszniowskiego, który gdy za kraj poległ, Turcy serce jego między siebie podzieliwszy, pożarli dla nabrania podobnego męztwa:

O młodzieńcy! o szlachetni!  
Patrz Lewiński! cześć im, cześć!  
Jak tańczą taktem fletni,  
Jak umieją toast wznieść!

Z swych pawęży stół zrobili,  
Z hełmów puhar—co'ę się zda?  
Spełni rycerz w jednej chwili,  
Szyszak wina aż do dna.

Lecz Wiszniowski, mąż sarmacki,  
 Inszy pewno rycerz był,  
 Co w gorącej bitwie Trackiej,  
 Wstrzymał zapęd trackich sił.

Wpośród krwawych kup Tataro,  
 On się dzielnym Marsem zda,  
 Krew szlachecka, krew mu stara,  
 Niedaremno w sercu drga.

Tego Turków dzicz szalona,  
 Kiedy w moc porwała swą,  
 Wyrąbała serce z łona,  
 I jelita z ciepłą krwią.

I pożarła rojąc w głowie,  
 Nabrać męztwa, pozbyć strach.  
 O zbryzgani krwią Getowie!  
 Nie wam bić się, jak ów Lach.

Potomności! uderz w miecze  
 I wojenny zagraj śpiew,  
 Niech się Turka pierś rozsiecze,  
 I Sarmacką odda krew.

Wiszniowskiego krew wypita,  
 Na co ma w ich żyłach stać,  
 I zwierzęce ich jelita,  
 Babatérskiém ciepłem grzać?

Łagodniejsze, ale pełne męzkiej siły, a co do polszczyzny przypominające obrotы Jana Kochanowskiego są obrazy w odzie XXIV księgi IV do rycerstwa polskiego, która się tak zaczyna:

Jakim się wiekiem potomność poszczyci,  
 Ja wam wywieszczę (1).

Opisuje w niej poeta jak słodkiego pokoju używać będzie Polska, gdy zwali potęgę turecką i gród Konstantyna i państwo jego wskrzesi. Takie jest zakończenie téj pięknej pieśni :

A potem miecze zbite na poganach,  
 W miłym pokoju zawiesim na ścianach,  
 I mąż babatér z zapalem na twarzy,  
 Dzieła wojenne małżonce wygwarzy.

Na łonie pełném bohaterkiej cześci,  
 Mężką prawicą dziatwę swą popieści,  
 Żelazny pancerz i przyłbice krwawe,  
 Małym wnuczętom odda na zabawę.

(1) Quos sera gignent saecula posteros  
 Narrabo yates....

I wondrous lichwą nie upadnie wioska,  
 Nie zgubi ludu przedajność sędziowska,  
 Prawda zagodzi wszelki proces główny,  
 Lub przy kielichu żarcik polubowny.

A chciwość zysku, lub żądza honorów,  
 Przestanie pukać do bogatych dworów,  
 Nie wezwie mężów droga stomilowa,  
 Żona nie będzie samotna, jak wdowa.

Na zawsze wstąpi rolnikom do łona,  
 Szacowna miłość sielskiego zagona,  
 Czy przyjdzie żniwem pracować we skwarze,  
 Czy wiosną skibę skroić na poparze.

Na wiernój roli nie próżne oranie,  
 Zboże kłosiste, jako las powstanie,  
 Bowiem zagonów, co płużą dla ludzi,  
 Pérz nie zagłuszy, zielsko nie zabrudzi.

Lecz krasne róże i białe lilije,  
 I śnieżny *Nardus* liście swe rozwije,  
 A na zagonach z nadzieją widoczną,  
 Kłosać jak fala kołysać się poczną.

Znijdzie obfitość Opatrzności Bożej,  
 W ulicach miejskich mieszkanie założy;  
 Zazielenięją pagórki i knieje,  
 I róg obfity skarby swe rozleje.

O! niech się ziści, co widzę mym wzrokiem,  
 Nazwą mnie wielkim wieszczem i prorokiem;  
 Letni starcowie i dziatwa i panny,  
 Hymn mój zanucą w odgłos nieustanny.

A choć nie dojdą uwielbienia ku mnie,  
 Choć będę truchllec popiołem w swój trumnie,  
 To przecież ciemne grobowisko moje,  
 Opaszą laury, bluszcze i powoje.

Porównywaliliśmy te próby z oryginałem. Nic one na tém nie straciły. Wprawdzie, niewszędzie jest ta skrupulatna wierność, z której często wychodzi koszlawy przekład; w wielu miejscach Sarbiewski jest kwiecistym i śmielszym od swego tłumacza; ale w ogóle wszędzie prawie ten sam duch, taż sama energia, taż udatność wyrażenia. Jeżeli tłumacz tak szczęśliwie całą pracę dokona, czego z serca życzymy, żaden z czytelników polskich, choćby nawet po łacinie nie umiał, nie zadziwi się, dlaczego *ad Sarbiewii lyram* wznosiły się pochwalne pieśni najślawniejszych ówczesnych mężów, dlaczego ziomek nasz był tylekroć razy w ró-



źnych miejscach Europy przedrukowywany, obok wielkiego poety Rzymu postawiony i ozdobiony laurem, który czoło Petrarcki i Tassa ocieniał. Dotąd chwaliłiśmy się Sarbiewskim po większej części na wiarę Europy, gdyż mało kto miał go w rękę; dziś i ogół czytelników naszych przekona się, że Europa miała racją. Oryginalne poezye p. Syrokomli ukazują umysł, umiejący w każdej rzeczy poetyczną stronę upatrzeć, a nade wszystko okazują rzadkie dziś mistrzostwo w obrazowaniu myśli, w zastosowaniu tonu i wyrażeń do przedmiotu, i w tém pełném zdrowiu i świeżości użyciu mowy, która jak zwierciadło maluje każdy stan duszy poety, każde poruszenie jego imaginacyi odbija. W zeszytach tych umieszczoną jest *Gawęda z żebrackiego żywota o chwale Bożej i chwale królewskiej*, gawęda pod tytułem: *Bywało*, i śliczny wierszyk: *Westchnienie majowe*. Zajmą one czytelników i zdołają zdanie nasze usprawiedliwić. Nawet rubaszna przypowieść szlachecka pod tytułem: *Kradzione*, mająca też same zalety, nową stronę talentu jego pokaże. Czekamy niecierpliwie więcej takich odgłosów szczęśliwego natchnienia i całkowitego ich wydania.—O innych kawałkach poetycznych i niby poetycznych, umieszczonych w tym zbiorze, niewiele mamy do powiedzenia. Ciekawych wszakże poznać, jak się wysnuwa dwadzieścia kilka stronic wierszy, zamykających wysokie marzenia o przyjaźni i miłości, baladę pełną czarów, sny fantastyczne i t. d. z tkliwej dwojga kochanków rozmowy, zaczynającej się od tych słów: *Czy pani lubi śledzić?*, odsyłamy do poematu pod tytułem: *Trzy razy w życiu i raz po śmierci*, Leona Janiszewskiego. Nie jestto rzecz bez talentu w pojedynczych szczegółach, bo jużci p. Janiszewski, który kiedyś tak ładnie i z taką łatwością przełożył *Cyganów* Puszkina, o którego poetycznej podróży do Tyflisu zaraz wspomniemy, ma go niezaprzeczenie; ale zdaje się nam, że w tym humorystyczno-fantastycznym płodzie chciał siebie przewyższyć, i dlatego widać wysilenie, które i czytelnika nuży, i prowadząc go wysoko i daleko, do niczego nareszcie nie przyprowadza.

II. Drugi dział niniejszego zbioru stanowią obrazy obyczajowe współczesne i trochę dawniejsze, oraz powiastki swoje i z niemieckiego naśladowane.

Z pierwszych mile daje się czytać rzecz pod tytułem: *Samojedy salonowe*, znowu pod pseudonimem Zofii Jaskółki. Jestto obraz obyczajowy, złożony „z dwóch stron tegoż samego medalu”. W pierwszej autor czy autorka maluje świat, tak nazwany wyższy, przesuwa go przed oczami czytelnika na szlichtadzie, a pierwój jeszcze na balu u jakiejś hrabiny, która (jak mówi autor) „sama dla siebie była heroldyą” przyznawszy

sobie samowolnie ten tytuł. Że obraz ten skreślony jest z życiem, z prawdą i talentem, to przyznajemy chętnie; ma tylko tę wadę, że chociaż w ogóle jest obrazem, w którym się całe tego rodzaju towarzystwo mniej więcej przejrzeć może, ale w wielu szczegółach jest także zeszepeczonym trochę portretem towarzystwa jednego miasta. Obowiązkiem jest bez zapreczenia tego rodzaju pisarza zbierać wzorki, bo inaczej jakżeby się nauczył życia i jego prawdziwego wyrazu? ale takie portretowanie, w którym się i pan D\*, i pani K\* i pani Z\* poznać mogą, zakrawa cokolwiek na pamphlet. Rodzaj ten może być dowcipnym, zabawnym dla miejscowych; ale najprzód niebezpiecznym jest dla autora, a co główna, sprowadza sztukę z rozległej krainy poezji, przystępnej dla wszystkich, do ciasnych ulic jednego miasteczka, w których tylko jego mieszkańcy zorientować się mogą. Druga strona medalu zamykać będzie *świat prawdziwy*, czyli jak go autor nazywa, *świat prawy*. Jestto oczywiście świat pracy i zajęcia serca i myśli, wystawiony jako kontrast do owego świata próżnowania, zbytków i wszelkiego rodzaju próżni. Mamy tu dopiero pierwszy zarys tego *prawego* świata, dla którego naturalnie widać już sympatyą tego, co go kręślił. Jeżeli i tu będą tak wierne sylwetki osób znanych i miejscowych, to oczywiście spotkamy się w tym *prawym* świecie i z portretem samego autora, w dobrém zapewne świetle postawionym. Wtenczas dowiemy się, czy to jest rzeczywiście bezbronna jaskółka, czy może jaki z ostremi szponami krogulczyk, gdyż w urywku tym kobiecego stylu nie upatrujemy.

Wspomnienia uniwersyteckie, dające wierny obraz życia studentów dawnego wileńskiego uniwersytetu, malują chwile egzaminowe i wyjazd na wakacje tej młodzieży pełnej życia, pełnej zapala i owój swobody umysłu, jaką daje młodości wiara w złote nadzieje i ufność w siły niezużyte przez próżne trudy i doznane zawody. Obraz ten skreślony jest z prawdą, ze znajomością szczegółów, z miłością przedmiotu, i pewni jesteśmy, że niejeden z dawnych wychowanców tej znakomitej szkoły, przeczyta go z rozrzewnieniem, słodko wspomni najpiękniejsze chwile swego życia, i uśmiechnie się do nich z tęsknotą, postrzegłszy nawet charakterystyczną postać poety Krystalewicza, i posłyszawszy jego logiczny galimatias, który prawi studentom na pożegnalnej herbacie. Z całej grupy wystawionej tu młodzieży, wybitnie maluje się oryginalny i pełen prostoty i szlachetności charakter studenta Marcinkiewicza. Jeżeli, jak się zdaje, przyda jeszcze autor w dalszym ciągu jakie interesujące zdarzenie, i użyje go za tło do żywszego odmalowania rozmaitych faz studentkiego życia i do wyraźniejszego odkreślenia kilku indywidualności, bar-

dziej charakterystycznych, będzie to rzecz ciekawa, zajmująca i stanie się interesującą pamiątką niepowrotną już przeszłości.

O przygodach człowieka, który sprzedał swój cień, powieści fantastycznej z niemieckiego naśladowanej, o obrazach obyczajowych z rękopismów hr. z Mniszków Potockiej, w których szczególna postać hr. Owybitnie jest określona, tudzież o drobnej powiastce, pod tytułem: *Wieczór stój Katarzyny*, której treścią jest niestałość kobiety, a zatem przedmiot dawny i znany, nie mamy nic do dodania. Powiemy tylko w ogóle, że cały ten oddział literatury powieściowej, którym dziś wszystkie pisma peryodyczne i nieperyodyczne, jakby jaką omastą półmiski swoje okraszają, w niniejszym zbiorze nie jaśnieje niczym oryginalnym, uderzającym i mogącym silnie obudzić sympatyą naszych czytelników; zaleca się wszakże językiem, nie nudzi rozwlekłością, i przyjemnie czytać się daje.

III. Z podróży więcej nas interesujących, niż Kalifornia, mamy tu wzmiankowaną wyżej podróż do Tyflisu przez Leona Janiszewskiego i humorystyczny kaleidoskop Faustyna Wszędobylskiego (znowu pseudonim samego wydawcy), w którym są wzmianki i opisy niektórych okolic Wilna i Grodna.

Podróż p. Janiszewskiego jest raczej poetyczną niż topograficzną. Zamyka ona więcej marzeń, natchnionych przez miejsca, przez które autor przejeżdża, niż opisów tychże miejsc i historycznych o nich napomnień. Przyznać musimy, że marzenia te są często więcej warte, niżby warte były opisy; tak są niekiedy rzewne, pełne tęsknoty i poezji. Wspomniałszy na tak dziwną piękność tych krain, tyle usposabiających do dumania i smutku, na położenie poety, który samotnie przesuwiał się po tych nieograniczonych przestrzeniach, nie dziwimy się wcale, że myśl jego nastroiła się na ten ton pół rozpaczliwy, pół ironiczny i tęskny; że oko jego, zasłonięte łzą, więcej patrzyło w głąb zranionego serca i w przeszłość pełną drogich wspomnień, niż na ludzi i kraje, które się przed nim przesuwały. Przywiedziemy tu zakończenie tej poetycznej podróży, którą daleko wyżej cenimy, niż wspomniany już przez nas poprzednio poemat tegoż samego autora: „Jestem za Donem; pierś moja wznosi się wysoko; czuję, że jestem na woli. Step pod błękitnym niebios namiotem, to nieskończoność w miniaturze. Ja jestem Noe: step, to oceany potopu, myśli moje, to gołębnice korabia. Wypuściłem myśl jedną, i ona nie powróciła do mnie. Ona była burzliwa i tajemnicza, a nazywała się „rozpacz”. Poleciała w zatargi z wichrem i burzą; silniejszy wiatr zwichnął jęj skrzydła, i utonęła w potopie. Wypuściłem myśl drugą, i ona nie powróciła do mnie. Ona była smutna i tęskna, a nazywała się „miłość”. Poleciała między drogich sercu, na ukochane miejsca, i tam została na zawsze. Wy-

puściłem myśl trzecią i ta wróciła do mnie. Była zaś wesołą i rzewną, fantastyczną i rozumującą, śmieszna i zapłakana, swawolną i poważną, a nazywała się ta myśl „wspomnienie”. Nieścignionym lotem ona zwiedziła tysiące miejsc i powróciła do mnie obciążona drobnymi, ale drogiemi dary. Gołębica Noego przyniosła mu jedną tylko gałązkę; moja gołąbka przyleciała z listkiem, uszczknionym w Dobośnie, ze wstążeczką na szyi zawieszoną w Krzyczynie, z motylkiem złowionym na błoniach Wołczyna, z pieśnią Nimfy Lubowskich gajów, z kamykiem z mogiły Hipolita, z ziarnkiem piasku z nad Proсны, z kroplą łzy tych, których nie obaczę więcej”.... Miejsce to nie potrzebuje pochwały, ani objaśnienia. W Kalejdoskopie oprócz pięknego i tkliwego opisu odwiedzin domu matki autora, mamy ciekawe notaty o żupach stokliskich, obraz Druskienik przy końcu pory kąpielowej, wzmiankę o Ondynie Druskienickiej, o jej redaktorze i przyczynach jej upadku, najobszerniej zaś o Grodnie. Z tego wszystkiego co o tém mieście powiedziano, najbardziej interesującą jest wzmianka o zasługach, zakładach, bezprzykładnej gorliwości i niewytłumaczonym dotąd upadku podskarbiego Tyzenhauza. „Po trzech dniach pobytu (mówi autor), w piękny poranek wrześnieowy, przez miejsca usiane pomnikami Tyzenhauza, przez rozkosznie zazieleniałe przedmieście *Roskoszną* zwane, z konusowemi domkami, niegdyś majstrów niemieckich, ze smutkiem opuszczałem to miasto, które tylko wspomnieniami, szczerkami lub rozwalinami o dawniej świetności świadczyło: oto pałac Druckich-Lubeckich, oto dom, w którym Gliński Zabrzezińskiego zamordował, oto, gdzie król polski mieszkał, a oto pałac ks. Czetwertyńskich, gdzie uczone Żylibert nauki wykładał.... Żylibert, który tyle przyczynił oświaty tej stronie przez wpływ na młodzież chciwą nauki, a który za dyssekcją trupa był od pospólstwa na ulicy urągowskiem i kamieniami spotkany... Oto nareszcie brama, przez którą wjeżdżał jako tryumfator, luminaż, dobroczyńca ludzkości, ten sam wielki podskarbi, czczony i uwielbiany, który w lat kilkanaście później zhańbiony i sponiewierany i odarty przez tę samą bramę wyszedł w łachmanach, o kiju żebraczym. Nagły ten upadek pozostaje dotąd niewyjaśnionym; przynajmniej przyczyny onego nikt mi dokładnie wytłumaczyć nie umiał(1). Dość, że długo jeszcze mieszkał w Pirmoncie pod Wilnem ubogi ksiądz Pijar, który mu dawał przytułek w szczupłej komnatce u siebie, i dostawszy sam kurę pieczoną od jakiejś wiernej duszeczki z owczarni swojej, w kieszeni obwiniełą w papierze Antoniemu Tyzenhauzowi przynosił”. Niezmiernie ceniły podróże po kraju naszym, tak mało znanym w swoich

(1) Dziwna rzecz, że familia nie stara się tego wyjaśnić, chociaż, jak się dowiadujemy, ma dostateczne do tego materyały.

szczegółach, a przecież tak ich pełnym. Gdyby każdy, lubiący wędrówki i mający przytém czas i pieniądze, przygotowawszy się wprzód do jakiej wycieczki, zlustrował choć bliższy sobie kawał ziemi, na której było wprzód tyle ruchu i życia; gdyby wyszukał jego ślady, i swoją zdobycz i wrażenie łatwo, bez pretensyi i z wdziękiem opisał: ileżby się rzeczy wyświeciło, ileby się uprzedzeń sprostowało? Dlatego pochwalamy szczerze p. Wszędobyjskiego za dobrą chęć w kontynuacyi tego, co kiedyś Kraszewski i Przędziecki rozpoczęli. Wszakże życzylibyśmy, aby w przyszłym kalejdoskopie wziął zawód swój bardziej seryo, więcej nam dał szczegółów, a mniej kart poświęcał humorystyce, która mu się niezawsze udaje; bo zły humor, jaki w nim *czapkowi przyjaciele*, *brak samowara* i *wywrót w jezioro* obudza, nie jest owym prawdziwym humorem, od jakiego niewinnie kalejdoskop swój pod rubrykę *humorystyki* podciągnął.

IV. Opuszczając niektóre drobniejsze artykuły i korespondencyą gospodarską, o której treści sądzić nie możemy, ale której pomieszczenie w Pamiętniku znajdujemy chwalebne i użyteczne; wspomnimy jeszcze o trzech listach w materyach literatury i krytyki. List wydawcy Pamiętnika do Alberta Gryfa o celach i samoistności sztuki, zamyka wiele uwag zdrowych, wiele sądów trafnych i pokazuje, że autor stoi na właściwem stanowisku, z jakiego na dzieła imaginacyi zapatrywać się należy. List p. Ant. M\* do wydawcy Pamiętnika, rzuca uwagi o literaturze naszej peryodycznej; ostro, a w części i zasłużenie przymawia Tygodnikowi Petersburskiemu i kończy ogólnem wejrzeniem na sztukę w jej stosunku do obyczajów. Nie mamy nic przeciwko temu, że autor staje murem w obronie dążeń i natchnień p. Ant. Sowy, chociaż znajdujemy to niepotrzebnem, bo talent tego pełnego nadziei poety został uznany i dążenia jego ocenione. Ale co nam dziwnem się wydaje, to owa górna, pełna erudycyi, a zgubna przepowiednia o Athenaeum, nim jeszcze po upadku swoim powstało i znowu się pojawiło. P. Ant. M\* w liście tym prorokuje, że biedne Athenaeum nie będzie miało jednéj, ożywiającej całość idei, że materyały, które zebrał wydawca, nie skleją się w jednę budowę, „że zatem nie będzie myśli twórczej, coby wykuła kolumny i wystawiła je wedle zarysu powstałego w duchu; coby poprowadziła łuki wiążące je w sklepieniu: nie będzie jedném słowem boskiego Demiurga, coby wcielił w głązy prototyp, wzniesiony w świątnicy ducha, z niebieskiej ojczyzny człowieka”. Cała stronnica pełna podobnych, zabójczych dla przyszłego Athenaeum prorocत्व, a to wszystko dlatego, że p. Kraszewski „nie objaśnił, co sobie założył, co odbić miał w odrodzonym już pod inną prasą, swém piśmie”. Równie pełny złości, choć nie tak górny

i nie tak wyraźny wyskok przeciwko p. Kraszewskiemu znajdujemy i we wspomnionym już liście samego wydawcy Pamiętnika. To nam daje do myślenia, że pan Ant. M\* (jeżeli tylko to M\* nie jest także pseudonimem) napisał swój list jedynie przez wielką przyjaźń dla wydawcy Pamiętnika i dla odpłacenia p. Kraszewskiemu za ostry sąd jego o Roczniku literackim w Tygodniku umieszczony. Z tego może powodu i Tygodnikowi się tak dobrze dostało. Szczérze żałujemy, że wydawca tak do serca bierze sądy ludzkie, kiedy zasługi jego niezaprzeczone; że zamiast korzystać z uwag, jeżeli na to zasługują, choćby były w jaki gorzki żart obwinęte, zamiast iść dalej i dalej, zatrzymuje się i na tak niepotrzebny fechtunek czas i siły zużywa. Ale przejdźmy do trzeciego listu. Znany autor Listopada, jako szermierz biegły i wprawny, lubi czasem cięcia śmiałe i niespodziewane, któremi stara się zmieszać swego przeciwnika, i uśmiecha się potem w duchu patrząc na jego kłopot i zadziwienie. W ostatnich numerach Tygodnika Petersburskiego z r. 1848 ogłosił on kilka listów, w których twierdzi: że do uformowania człowieka uczonego, książki nie wystarczają; że jeżeli kto czyta bez przewodnika, to mu się to na nic nie zda; jeżeli zaś tym przewodnikiem jest własny rozum czytającego, a ten tyle jest zdolnym, że mu się powierzyć można, *to zdolność tę musiał wydobyć z kądziąd, niż z czytania książek*; że jeżeli kto myśli, że naukę żywotną można wyprowadzić z mądrości człowieka pojedynczego, to nie rozumie co to jest nauka, *bo żadna nauka nie była wymyślona, ale dana*; że każdy pojedynczy mędrzec, czy go nazywać będziemy Arystotelesem, czy ś. Tomaszem z Akwinu, czy Kopernikiem, czy Leibnitzem, zawsze był wyrobem podań swojej społeczności i dał jój środki do nabycia tychże samych prawd, których zarodki od niej tajemniczym sposobem pochwyił, a potęgą gieniuszu usystematyzował; że tylko pojaw wieszczów, będąc pierwowzględnym skutkiem potężnego fiat Opatrzności, logicznie wyrozumowanym być nie może, ale każdy mąż nauki podlega wszystkim warunkom czasu i miejsca; że natura inteligencji ludzkiej jest taka, że w niej nic nie pobudzi wiary, a zatem najpotężniejszego czynnika ducha, tylko intuicya i powaga. Jako do naturalnej konsekwencji z powyższych twierdzeń przyszedł autor i do tego przekonania, że druk nie posłużył tyle naukom, ile się to zdaje tym, co myślą, że rozmnożenie książek, jest oznaką wzrostu nauk.—Teto twierdzenia pobudziły do odpowiedzi Alberta Gryfa, pełnego zdolności, energii i nauki współpracownika Gwiazdy kijowskiej. Zamknął on ją we wspomnionym wyżej liście do wydawcy Pamiętnika Naukowego. W piśmie tém krótkim, bo ledwie jedenaście stronnic druku zajmującym, nie wyczerpnął wprawdzie tej obszerniej materji, bo nawet nie dotknął twierdzenia

o druku, o owój intuicji i powadze, do których autor powyższych listów tak lubi się odwoływać; ale z właściwą sobie energią i siłą rehabilitował, że tak powiem, mądrość indywidualną, określił jój znaczenie i znaczenie mądrości ogólnej, ich wzajemny na siebie wpływ, wskazawszy, że ta ostatnia przez pierwszą tylko może żyć i w niej tylko posuwać się do pełności rozwoju, gdyż każda pojedyncza mądrość powraca na nowo do ogólnej całości uniwersalnego ducha, jako nowa korzyść w jego postępie, ruchu i życiu. Zwracamy uwagę czytelników naszych na tę krótką, ale pełną treści pracę młodego myśliciela, jeżeli chcą kwestyą tę z innej strony obaczyć, a nie lękają się filozoficznego rusztowania, którym zdrowe oblicze myśli mojej, w najistotniejszym punkcie swój odpowiedzi, cokolwiek zasłonił.

V. Zakończymy nasze zdanie o Pamiętniku Naukowym kilku słowami o ważnej pracy p. T. Granowskiego, na którą także przyjemnie nam zwrócić baczenie czytelników Biblioteki. Jestto zdanie sprawy z dzieła Adl. Szmidta, wydawcy znanego w Niemczech czasowego pisma, poświęconego historycznym badaniom. Dzieło to ma tytuł: *Historia swobody myśli i wyznań (der Denck-und Glaubensfreiheit)* w pierwszym wieku rzymskiej monarchii i chrześcijaństwa. 1847 r. Praca p. Granowskiego czyta się z zupełnym zajęciem i okazuje umysł dojrzały i własnym myśleniem i nauką do ocenienia takiego dzieła dobrze przygotowany. W obszernym tym sprawozdaniu p. Granowski wprowadzając czytelnika na główne stanowiska, z których najlepiej przypatrzeć się można życiu intelektualnemu i moralnemu dawnego świata, w stanowczej chwili jego przełomu i przeradzania się, wskazuje niedostatecznie rozwinięte miejsca swojego autora, i niektóre jego widoki trafnie prostuje. Mówiąc o zupełnym wygaśnięciu wiary w dawniejsze podania, o nagięciu się wszystkich sekt filozoficznych do ogólnego krytycyzmu tego, co było, dodaje: „Na granicy między kończącym się i powstającym peryodem historycznego rozwoju, filozofia staje się dwólicym Janusem. Ale wyraz obu tych twarzy niejednakowy: obrócona nazad ku przeszłości, spokojna i surowa; nieruchome rysy postradały możność odbijania ulotnych wrażeń bytu; widać, że walka zjawisk ucichła, że porachunek z życiem skończony, że odpowiedziała na zadane pytania. Nie tak w dal pogląda twarz, obrócona ku przyszłości: niespokojna myśl ulata ponad czołem, w oczach widać młodzieńczą nadzieję, niecierpliwą żądzę. Ale ta nadzieja niejasna, ta żądza niewyraźna. Zaprzeczając obecność, filozofia usprawiedliwia czas przyszły, chociaż nie uznała go jeszcze w jego istocie, i wczesniej lub później podda go rozbiorowi, jakiemu ulegli jego poprzednicy”.

„Nie naciągając (mówi dalej p. Granowski) nieekszystujących analogij, jak to robi p. Szmidt, można pojąć całą ważność epoki przezeń rozbierną dla objaśnienia praw historycznego rozwoju w ogólności. Wciągniętych częściowo pojęciami, niemiecki uczony patrzył na swój przedmiot nie z tego pewnego i jedynie odpowiedniego dzisiejszej nauce stanowiska. Postępowy ruch ludzkości przestał być enigmą dla większej części ludzi myślących naszego wieku; lecz gzygzakowy postęp tego ruchu, jego zewnętrzna nieregularność, wywołują ze strony jego uporczywych przeciwników zarzuty, mające niejakię prawdopodobieństwo. Teorya ich wspiera się głównie na dwojakim charakterze postępu, który, jeżeli go rozważać będziemy tylko z jednej strony, zawsze objawia się jako zepsucie czegoś istnącego, wiadomego, na *kąto* czegoś nieekszystującego, nieprzywołanego do życia. Takie stopniowe skażenie formy, wskazanej na śmierć, może się długo przeciągać i być tém odrażliwszém, im piękniejszą ona była w porze swęj dojrzałości, im więcęj wyraźnie występują na zewnątrz abrysy nowęj, jeszcze nieukształconęj formy. Ale odwoływanie się do tego zjawiska, wielekroć powtarzające się w losach całej ludzkości i każdego osobnego, historycznego narodu, wskazuje w obrońcach teoryi wsteczny ruchu—jednostronność poglądu, albo co tóż bywa często, niesumienną, dobrowolną ślepotę.”

Tak zapatrujący się na rzeczy i tak tłumaczący się pisarz, następującemi słowy sprawozdanie swoje kończy:

„Szczegółowie rozpatrzyliśmy godną uwagi książkę p. Szmidta. Wartość jęj niezaprzeczoną, wszakże oprócz wskazanych niedostatków jest jeszcze jeden, wyciskający na całym dziele piętno jednostronnego, niedokładnego poglądu. Wyraz chrześcijaństwo znajduje się na tytule książki, lecz autor nie pokazał w jakim stosunku stanęła prawda ewangeliczna do rozpadającego się świata pogańskiego. W historii, ostateczny, oskarżający się wyraz konającego porządku rzeczy wymawia się nie przezeń, lecz przez nowy, zastępujący jego miejsce porządek. Aby pojąć rzymską społeczność czasów Imperyi, trzeba ją postawić twarzą w twarz z chrześcijaństwem, trzeba ją zmusić do powtórzenia głęboko smutnego pytania, które Piłat zadał Zbawicielowi: Co jest prawda?”

Jak użyteczną byłoby rzeczą dla nas, gdybyśmy mieli więcęj takich studyów nad dziełami ważnemi, o których wiadomość u nas z taką trudnością i tak nieprędko do ogółu się przedziera; jaką przysługę robiłyby czytelnikom swoim pisma peryodyczne i zbiorowe, gdyby je częściej w kolumnach swoich zamieszczały, o tém mówić nie potrzebujemy—to widoczna.

Mamy nadzieję, że i wydawca Pamiętnika, którego zasługi dla czytającej publiczności uznajemy, z powyższęj uwagi naszęj także korzystać nie zaniedba. Wyglądamy więc następnych zeszytów jego zbioru, spodziewając się, że z wielkięj obfitości artykułów, o któręj nam zapowiada, wybierze co najlepsze; że wśród znanych już chlubnie imion Odyńca, Syrokomli, Alberta Gryfa, Antoniego Sowy, spotkamy się znowu i nie z pseudonimem p. Granowskiego, którego miło nam będzie zawsze powitać, tak się nam odrazu poważnie i po mężku zarekomendował.

*J. Korzeniowski.*



# ROZMAITOŚCI.

## Nowo odkryte ułamki 98 księgi Liwiusza.

Księgi historii Liwiusza obecnie nam znane, nie odrazu pojawiły się w druku. Pierwsze wydanie rzymskie z r. 1469 obejmuje tylko pierwsze ksiąg dziesięć, a z dalszych księgi 21—32, 34—39 i 36 rozdziałów księgi 40. W roku 1518 odkryto brakujące rozdziały księgi 40 i koniec księgi 33 od rozdziału 17. W r. 1531 wyszły w Bazylei księgi 41—45. W r. 1616 wydano początkowe 17 rozdziałów księgi 33.

Odtąd nastąpiła przerwa w odkryciach Liviańskich. Poszukiwania czynione w Stambule i na wyspie Chios, okazały się bezskuteczne. Dopiero w roku 1773 Bruns i Giovenazzi odkryli w jednym z watykańskich palimpsestów ułamek księgi 91, którego poprawione wydanie sporządził Niebuhr w r. 1820.

Doktor Heine podróżując po Hiszpanii, kupił u księgarza w Toledo kawałek pergaminu, zapisany pismem nader starożytnym z wieku VIIgo, zawierający część komentarza St. Hieronima nad Jezajaszem. Po powrocie swoim p. Heine darował rękopis ten bibliotece berlińskiej, której dyrektor, znany wydawca źródeł dziejów niemieckich, Pertz, po śladach dawniejszego pisma poznał palimpsest, a domyślając się w niem resztek klassycznej literatury, postanowił wywieść na jaw przed wiekami zatarte pismo. Jakoż usiłowania jego nie były bezwocne. Pismo zapisane (dawne) przedstawiło kilka kolumn łacińskiego pisarza, które styl Liwiuszowi przyznać każe, a dochowane nagłówki, do 98 księgi dziejów tego znakomitego historyka odnoszą. Ułamki odczytane brzmią jak następuje:

..... intolera  
*bilis saevitia. Qua re fati  
gata plebes, forte consu  
les ambo Q. Metellum cui  
postea Cretico cognomen  
fuit, vel candidatum  
praetorium Sacra via de  
tectis cum magno tu  
multum invadit, fugien  
temque secuta ad Octavi do  
mum qui pro Praetore erat in  
propugnaculum pervenit—*

*Drugi ułamek odczytany ma:*  
§ Q-Lentulus Marcelli F  
eodem actore quaestor  
in novam provinciam  
Curenas missus est quod  
ea mortui regis Appionis  
testamento nobis data  
prudentiore quam inde  
pergentis et minus glo  
riae avidi imperio compo  
nenda fuit. Praeter ea di  
verserum ordinum—

Miejsca podkreślone nie znajdują się w rękopiśmie, którego karty zostały pocięte przed obróceniem ich do nowego użytku.

Z dwóch innych kolumn zostały się w rękopisie tylko pojedyncze wyrazy, niedające sensu; dlatego ich tu nie kładziemy.

Metellus, zdobywca Kreta, sprawował konsulat w r. 69 przed Chrystusem; lata zaś 68, 69 i 70 były opisane w 98 księdze Liwiusza. Wypadki lat tych mamy opisane w Appianie i Plutarchu; mimo to, oba wypadki o których dowiadujemy się ze świeżo odkrytych ułamków, były nam nieznane. Nie wiedzieliśmy ani o powstaniu ludu rzymskiego przeciw konsulom swoim Hortensiusowi i Metellowi; ani o postaniu w r. 69 nowego naczelnika prowincyi do Cyreny. Co do téj ostatniej prowincyi, rozmaite były zdania względem czasu, w którym rzymskiemu panowaniu uległa (1). Liwiusz nazywając ją pod r. 69 nową prowincją, i mówiąc o odwołanym z niéj kwestorze, nastrocza wniosek, że w r. 70 lub mało co wcześniej, Cyrena w prowincją zamienioną została.

Ważniejszym może jeszcze jest nowo odkryty rękopis do ustalenia zasad paleografii starożytnéj. Pochodzi on z VIIgo wieku po Chrystusie i jest pisany wielkimi głoskami (majuscula) zbliżającemi się w stosunku wysokości swéj do szerokości, do kwadratu. Wydawca usiłował z kształtu głosek tego rękopisu, tudzież innych dawniej znanych, wywieść historją paleografii rzymskiéj i nader ciekawe dostrzeżenia swoje pod tym względem, zamieścił w piśmie p. t.

„Ueber ein Bruchstück des 98 Buches des Livius, von G. H. Pertz, Berlin. Reimer. 1848.“

Dwie tablice na miedzi ryte, przedstawiają stare i nowe pismo rozbieranego rękopisu. Z.

### *Stan piśmiennictwa rossyjskiego w roku 1848.*

W roku 1841 redakcyja Biblioteki Warszawskiéj mając udzielane sobie ciągłe wiadomości o stanie literatury rossyjskiéj, takowe gwoli ciekawości i interesu umieszczała. Później, gdy nadsyłanie tychże ustało, znaczna przerwa nastąpić musiała. Aby więc nadal i w téj mierze publiczność zajmująca się biegiem stanu rzeczy, obznajmioną być mogła, zamierzyłem podawać w ciągu bieżącego roku najprzód stan piśmiennictwa z dwóch lat ostatnich, a następnie umieszczać osobne rozprawy, mogące dać wyobrażenie w krótkości o stanie rozwoju każdéj ważniejszej nauki i umiejętności w Rossyi.

Podług najdokładniejszych urzędowych sprawozdań, ogólny stan piśmiennictwa rossyjskiego w ciągu całego 1848 roku możnaby podzielić na trzy oddziały, tojest na: 1) piśmiennictwo belletrystyczne i 2) na przewodniki, tojest książki naukowe podręczne (Руководства) czyli jaśnień

(1) Thrige. Res Cyrenensium. Hafnice 1828.

mówiąc, na piśmiennictwo przyjemne i pożyteczne. Do pierwszych zatem policzone być mogą: romanse, powieści, dramy, komedye, wodewille, a nakoniec i poezye. W drugiej mieszczą się słowniki i przewodniki, przeważnie w literaturze rossyjskiej liczbą i treścią odznaczające się, a takimi były: zasady historyi powszechnej, historyi rossyjskiej, geografii, nauki krajowego i zagranicznych języków, t. j. nowe wydania rozmaitego rodzaju grammatyk i słowników. Dalej podobnie podręczne książki w nauce krajowego prawa, a nakoniec w przedmiotach gospodarstwa wiejskiego, technologii, medycyny, architektury i t. p. W ogóle w ostatnim tym oddziale wychodzące dzieła, miały na celu zastosowanie teoryi do praktyki i wprowadzenie do życia zdrowych prawideł nauki.

Ponieważ zaś w każdej rzeczy są wprawdzie ostateczności, lecz jest także i środek, a zatem i w literaturze rossyjskiej 1848 roku pomiędzy dwoma temi oddziałami przyjemności i pożytku, pewna była przerwa, którą zapelniały dzieła wyszłe w przedmiotach badań historycznych, poszukiwań literackich, nowe a doskonałe wydania starożytnych ruskich latopisców, akt rządowych, zbiory pomników starożytności ruskich, sztuk pięknych, nakoniec zborniki zajmujące się objaśnieniem dawnego życia, obyczajów, przysłów i t. p. starożytności rossyjskich, i te stanowiły oddział trzeci.

Który z tych oddziałów literatury rossyjskiej w r. 1848 był najobfitszy, nie licząc w to pism peryodycznych, o których później powiemy? Jeżeli zechcemy zważać wyłącznie na liczbę książek, tedy wyżej wymienione przewodniki pierwsze zajmują miejsce; po nich idzie belletrystyka, a dopiero w trzecim rzędzie stają prace historyczne. Przeciwnie, jeżeli sądzić mamy podług wartości wydanych dzieł, to pierwsze będą ostatniemi, to jest, iż nalcejnieszkie miejsce przed obudwoma innymi oddziałami zajmą starożytności. Aby wywody te łatwiej sprawdzić, przedstawiamy następane liczby wszystkich dzieł w roku 1848 w Rosyi nowo wyszłych, lub przedrukowanych. I tak, wydano w ogóle:

1)	Elementarzy, grammatyk i słowników . . . . .	48
2)	Przewodników do historyi, geografii i statystyki. . . . .	18
3)	— do matematyki, fizyki, nauk przyrodzonych i chemii	23
4)	— w medycynie. . . . .	29
5)	— w oddziałach przemysłu, handlu, gospodarstwa wiejskiego i technologii . . . . .	37
6)	— w przedmiocie prawa . . . . .	10
7)	— w teologii . . . . .	16
8)	— filozofii . . . . .	2
9)	— dla nauki dzieci. . . . .	36
10)	— rozmaitości . . . . .	25

Razem dzieł . . . . . 244

To jest w pierwszym oddziale literatury rossyjskiej. W drugim czyli w oddziale literatury nadobnej, nowych lub powtórnie wydanych romansów, zbioru powieści, sztuk dramatycznych, tudzież poezyi w ogóle wyszło dzieł 82. W trzecim zaś oddziale dzieł 48.

A zatem w pierwszym, to jest książek naukowych tak zwanych przewodników lub w przedmiotach za takowe uważać się mogących, wydano

w ciągu roku 1848 razem dzieł 244. W drugim zaś i trzecim oddziale razem dzieł 130, czyli w ogóle dzieł 374.

Widziemy tedy, iż książki naukowe stanowiły niemal trzy części wszystkich; z liczby zaś tych, elementarze, grammatyki, słowniki, książki wydane dla dzieci i rozmaitości wyłącznie dla młodzieży poświęcone, stanowią także prawie połowę pierwszego oddziału, bo 108 dzieł.

Wszakże podział ten, mianowicie co do pierwszych, lubo nie mógłby ściśle biorąc przewodnikami nazywać się, ze względu jednakże, iż dzieła te po większej części obejmowały pierwsze zasady przedmiotów naukowych, do takich zatem policzone zostały. Wyjątkiem atoli pomiędzy niemi w części filologicznej, to jest w badaniach nad językiem narodowym, stanowią dwa nader ważne dzieła; jedno jest: słownik cerkiewno-słowiańskiego języka w trzech tomach (Словарь Церковно-Словянскаго языка), długoletnia praca, którą się najcelniejsi uczeni rossyjscy zajmowali; a drugie Busłajewa, o wpływie chrześcijaństwa na język słowiański (О влиянии Христіанства на Словянскій языкъ). Lubo ostatnie to dzieło, jest tylko pierwszą próbą do rozstrzygnięcia tego z najważniejszych filologicznych zadań, języka ruskiego. Dalej pomiędzy odznaczającemi się dziełami w przedmiotach geografii i statystyki, celniejszymi były pierwsze próby statystyki wojennej Miliutyna część 2ga (Первые опыты Военной Статистики) i 4 część hydrografii państwa rossyjskiego Sztukenberga, po niemiecku. W naukach przyrodzonych i chemii; Frołowa wyszło doskonałe tłumaczenie pierwszej części Kosmosu Humboldta; z dzieł medycznych szczególnie chwalone jest Puszkarewa o chorobach umysłowych (О душевныхъ болѣзняхъ) i t. d.

Jeżeli przejdziemy teraz do piśmiennictwa lekszego czyli belletrystyki, pomiędzy nowemi nie znajdujemy szczególnie odznaczających się, a najlepsze pomiędzy tego rodzaju dziełami, były tylko przedrukowania znanych poprzednio utworów, jak np. wydanie klasyków ruskich przez znakomitego księgarza Alexandra Smirdina, a mianowicie zwyczajnej historii Gonczarowa (Обыкновенная исторія, Гончарова). Prześliczny i z rzadkim talentem napisany romans a raczej powieść obyczajowa, z której wyjątki Biblioteka Warszawska umieściła, dzieło rzadką prawdą i wiernością skręślonych charakterów odznaczające się: *Biędnych ludzi* przez Dostojewskiego (Бѣдные люди, Ф. Достоевскаго), powieść miejscowość Petersburga, a szczególnie wewnętrzne życie uboższych tamiecznych mieszkańców doskonale opisująca, a w zajmującym sposobie i z wielkim talentem ułożona. Nakoniec do celniejszych należą także opowiadania, powieści i romanse Grebienki. W tłumaczenia jak zwykle i w r. 1848 nader była obfita literatura rossyjska; wszakże gdy takowe były w większej części ze spekulacyi księgarskiej z pośpiechem i niedbałe wykonywane, nie zwróciły więc na siebie uwagi; a zatem nie w literaturze, lecz w spisach katalogowych miejsce zajęły. Jedynym z tego wyjątkiem jest pierwszy poszyt tłumaczenia dzieł Szekspira, przez p. Keczera przedsięwziętego.

W oddziale trzecim zasłużyły na wielkie pochwały prace i wydania, które słusznie pierwsze w literaturze rossyjskiej miejsce zajmują. Takimi są: Czytania Towarzystwa historii i starożytności rossyjskich przy

uniwersytecie moskiewskim (Чтения въ Императорскомъ Обществе Истории и древностей Россійскихъ, при Московскомъ Университетѣ); których dziewięć numerów wyszło, a w ostatnim nader ważny zbiór *pieśni narodowych ruskich* Kirjewskiego jest umieszczony; następnie Królestwo Bosforskie przez Aszyka, (Воспорское Царство, Ашика); Stan rossyjskiego narodu Tereszczenki (Быть Русскаго народа) dzieło zwyczaje, obyczaje, zabawy, pieśni, zabobony, gusła, przysłówia i t. p. wewnętrzne życie ludu ruskiego opisujące, a które nader zajmujące i pracowicie zebrane materiały zawiera. Niemniej ważne są dzieła, np. badania o religii pogańskiej dawnych Słowian Srezniewskiego (Исследования о языческомъ Богослуженіи древнихъ Славянъ) i badania starożytniej ruskiej historii tyżące się, akademika Kruga (Исследования, относящіяся къ древней Русской Исторіи). Zresztą w oddziale wyłącznie literatury krajowej, znakomite dzieło księcia Wiazemskiego pod tytułem: *Fon Wizin* i t. d. W ogóle można powiedzieć, iż oddział ten oprócz pracy księcia Wiazemskiego, o tyle był ważny, o ile dzieła wydane dawnymi pomnikami zajmowały się; sąto zaś, wyjąwszy znowu p. Srezniewskiego, raczej materiały do dalszych badań zebrane, niżeli samostne oryginalne utwory.

Taki był stan literatury rossyjskiej w oddzielnych książkach, w roku 1848 wydanych. Zwróćmy teraz uwagę na tameczne piśmiennictwo czasowe, a znowu przekonamy się, iż od lat kilkunastu a z postępem czasu coraz bardziej, cała literatura w nich się skupia, tak, iż one właściwie całą jej treść, ważność i znaczenie stanowią. Jakoż, dość spojrzeć na objętość książek co miesiąc jak najregularniej wychodzących, pomiędzy którymi są, co zawierają od 40 do 50 arkuszy zwyczajnych, ścisłego i oszczędnego pod każdym względem druku, w formacie wielkiej ósemki. Takich przecież dzienników jest kilka: np. Pamiętnik i Ojczyście; Współczesny; Biblioteka do czytania w Petersburgu; Moskwičanin w Moskwie i t. d., które w skład swój przyjmują wszystkie utwory tak oryginalne narodowe, jako i tłumaczenia celniejszych dzieł lub rozpraw zagranicznych. Nadto, każda niemal specjalna nauka, tudzież w kilku ministerstwach mają swoje wyłączne, a również obszernie czasopisma. Z celniejszych pomiędzy niemi, które już wziętość mają ustaloną, są np. dzienniki ministerstwa oświecenia narodowego, ministerstwa spraw wewnętrznych, dóbr skarbowych, komunikacji lądowych, inżynieryi, górnictwa, leśnictwa, handlu i rękodzieł, gospodarstwa, sztuki dramatycznej, muzyki, medycyny i t. d. W takiejto znacznej ilości czasopismów, mieszczą się prace tak poczynających autorów, którzy w nich zachętę znajdują i sił swoich próbować mogą, jako i pisarzy, którzy już wybór i okrasę literatury krajowej stanowią. Tam nauki, ścisłe i uczzone badania, surowa lub żartobliwa a bezwzględna krytyka, równie jako i lekkie piśmiennictwo, tudzież najdokładniejsza kronika literacka i jeszcze obraz tego wszystkiego co za obrębem wielkiego kraju, jakim jest Rossya dzieje się, do umieszczenia znajduje miejsce. Nic więc dziwnego, iż w dziennikach rossyjskich, znaleźć możemy prawdziwy obraz stanu literatury narodowej, jej dążenia i kierunku: bo w nich, jakieś wyżej mówili, niemal całe umysłowe życie narodu zgromadza się i objawia. Ztąd także literatura nieperyodyczna, w miarę jak czasopisma wzrastają, co-

raz bardziej w ilości a częstokroć i ważności zmniejsza się. I inaczej być nie może, gdy wszyscy, co tylko nauką i talentem odznaczają się, lub z jakąkolwiek zdatnością władać piórem umieją, garną się do obszernych kolumn czasopismów, bo u nich prawie tylko zyskują przyszłą sławę, i terażniejszą sowitą materyalną nagrodę, która dostatecznie dumę krajową zaspokaja, i trudy hojnie opłaca.

*F. Max. Sobieszczański.*

---

*Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

### **Zarzut na zarzut.**

*Sine ira.*

W zeszycie Biblioteki Warszawskiej na miesiąc grudzień r. z. str. 607, podał baron Edw. Rastawiecki artykuł: *Spominki historyczne i artystyczne*, w których wznawiając wiekopomne imię Jana Tarnowskiego, przytacza dzień i rok jego zgonu we wsi Wiewiórka zwanęj. Poczém mówi: „o téj własności i rezydencyi wielkiego w dziejach krajowych męża, hetmana Jana Tarnowskiego, wsi i pałacu Wiewiórka, nie znajduję *najmniejszej* wzmianki w opisach historyczno-geograficznych dawnéj Polski; jestto przecie historyczne miejsce, na wiadomość i wspomnienie zasługujące”. Ponieważ apostrofa ta wymierzona jest do autorów dzieła *Starożytna Polska* i t. d., unieważnić mi zatem wypada nieśluszenie uczyniony zarzut, zwłaszcza, iż ja właśnie opisywałem b. Wtwo sandomierskie, gdzie włość wzmiankowana leży. I jakoż nie przepomniałem podać dość nawet obszernéj wiadomości o tém miejscu, zamieszczając i datę śmierci sławnego hetmana. Zastanawia mię przeto niepomału, jak mógł szanowny autor artykułu przeoczyć *Wiewiórkę*, opisaną w T. II, na str. 476, i objętą nawet w spisie rzeczy w tymże zawartych tomie; chyba, że szukał w inném, a nie w sandomierskiém województwie. Ponieważ druk pracy naszej przecie się ukończył, spodziewać się należy, że znajdą się światli i wytrawni w dziejach ziomkowie, którzy zajmą się rozbiorem dzieła, a wskazując nam uchybienia i usterki, rzucają większe światło tak na całość, jak i na szczegółowo obrobione części. Uprzedzić wszakże winniśmy, aby nie zarzucano nam opuszczenie jakowéj wiejskiéj lub miejskiéj posady, gdyż jak sam tytuł dzieła opiewa, nie zamierzaliśmy bynajmniej ułożyć dykcyonarza czyli słownika geograficznego.

*Tymoteusz Lipiński.*

## WIADOMOŚCI

### na drodze postępu nauk przyrodzonych.

#### ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

**M**ierzenie prędkości światła na powierzchni ziemi. Ważne doświadczenie optyczne wykonane w r. z. przez fizyka francuzkiego Fizeau, dowodzące prędkości światła, opisane z wzorową jasnością i dokładnością w *Journal des Débats* z d. 20 Grudnia r. z. przez L. Foucault, ze względu na ważność przedmiotu i nowość pomysłów, zasługuje abyśmy je dali poznać czytelnikom Biblioteki, i dlatego artykuł umieszczony w powyższem piśmie, podajemy tu w przekładzie.

Myśl przystosowania prędkości do biegu światła, musi w pewny sposób zadziwiać tych, którzy sobie po raz pierwszy myśl tę tworzą. Łatwo pojmujemy prędkość pociągu na kolei żelaznej, prędkość kuli wyrzuconej z działa, a nawet chyżość ciał niebieskich, ponieważ ścigamy wzrokiem pociąg, kulę lub gwiazdę w jej różnych następnych położeniach. Oznaczono, lubo z większą trudnością, prędkość rozchodzenia się głosu w powietrzu, uważając, iż przy tych samych okolicznościach, dostrzegamy, że huk potrzebuje tém dłuższego czasu, im większą ma przestrzeń do przebieżenia. Lecz gdy światło zabłyśnie w jedynym punkcie, czyliż punkt ten nie jest widzianym w téjże samej chwili we wszystkich odległościach? Gdy nagle błyskawica zaświeci, czyż oczy wszystkich nie są rażone blaskiem w téj samej chwili, i czyż można ocenić czas jakkolwiek mały, potrzebny do przebieżenia dla pierwiastku światła? Wszystko to odbywa się około nas na powierzchni ziemi, jak gdyby rozchodzenie się światła było momentalnem i jednoczesnem, a ta pozorna jednoczesność niewiele dopomogła do przyznania światłu téj wyższości, jaką mu zdaje się dawać nad materją.

Dla uczonego jednak przyczyna powinna zawsze poprzedzać skutek, dlatego szybkość światła z jaką ono przebiega odległość jakkolwiek małą, nie będzie dla nas bezwzględnie jednoczesną. Jeżeli zatem światło tu na ziemi zdaje się nie potrzebować czasu, jeżeli elektryczność zdaje się przebiegać jednocześnie z jednego na drugi koniec naszych konduktorów telegraficznych, nie [potrzeba z tego wnioskować, że dwa te silniki przebiegają nieskończenie szybko; inaczéj, utrzymując że te dwa działacze powstają w téj samej chwili, należałoby przypuścić, że skutek może poprzedzić przyczynę.

Za czasów Galileusza nie imano jeszcze żadnego wyobrażenia o chyżości światła. Do owéj epoki nie mogło naprowadzić na myśl oznaczenia jéj ważności. To daje się łatwo pojąć, gdyż chyżość ta może być tysiąc razy większą lub tysiąc razy mniejszą bez najmniejszej zmiany uważanych wokoło nas zjawisk. Nienależy zatem lekceważyć pierwszego doświadczenia za pomocą którego sławny uczony florencki starał się rozwiązać ważne zadanie prędkości światła. Zrobił on w tym celu dwie latarnie ciemne, opatrzone zasuwkami zasłaniającymi, które można było dowolnie podnosić i zniżać. Jedną latarnię dał swemu pomocnikowi wprawnemu, i polecił mu, ażeby pod noc stanął na szczycie wzgórza, i powtarzał dawanie znaków świetnych skoro tylko podobne dostrzeże. Galileusz sam z swéj strony wziął drugą latarnię i udał się na szczyt drugiego wzgórza położonego w odległości pięciu lub sześciu mil fr. od pierwszego stanowiska. Następnie zaczął zakrywać i odsłaniać światło swéj latarni pokilkakroć naprzemian: światło błyskając i znikając dawało pomocnikowi znaki, które on nawzajem w téjże saméj chwili przesyłał, a które uważane były z stanowiska z którego najprzód wychodziły. Tym sposobem Galileusz postępując, postrzegł: że dawane znaki powracały z tą samą prędkością, jak gdyby doświadczenie odbywało się w pokoju w najinniejszej odległości. Zdawało mu się, mówił, jak gdyby on sam poruszał zasłonę latarni swego pomocnika. Z tego się widocznie pokazuje, że czas jakiego światło potrzebowało do przebieżenia podwójnej odległości stanowisk, był niedostrzegalny; wypadło przeto zaniechać tak słabych środków, a ważność liczebna jaką później znaleziono na chyżość światła, pokazała jak dalekim był Galileusz od prawdy. Musiał porzucić na wypadku przeczącym, mówiąc do siebie, iż jednak chyżość światła nie jest nieskończenie małą. Astronomowie szczęśliwsi byli, albowiem przestrzenie które oni rozrządzają, są nieporównanie większej rozległości, aniżeli te, jakie przedzielają wierzchołki dwóch wzgórzów widzianych nawzajem jedno z drugiego. Są pewne ciała na niebie, które się pokazują peryodycznie w odległościach bardzo odmiennych, jakby rodzaj latarni ciemnych, które się zapalają i gasną same przez się bez udziału pomocnika: takimi są księżycy Jowiszowe; gdyby więc światło było obdarzone chyżością daleko większą od téj, jaką ma rzeczywiście, nie powinno się znacznie opóźniać w przestrzeniach planetarnych. Naokoło Jowisza krążą jednostajnie cztery księżycy podobne we wszystkiém do naszego, wyjąwszy, iż Jowisz będąc daleko większym od ziemi, rzuca za siebie ostrokąg ciemny bardzo rozległy z podstawą znacznie szeroką, iż za każdym obiegiem księżycy doświadczają tego, co się niekiedy tylko przytrafia naszemu księżycowi, to jest znikają pograżając się w ostrokregu ciemnym, a pokazują się znowu wynurzając się z cienia; a że z przyczyny ogromnej masy planety, bieg księżyców jest szybki, znikanie i pokazywanie się księżyców następują wyraźnie i dogodnie dla postrzegaczy.

Tak więc znikanie każdego księżycy następuje w przedziałach czasu równych; toż samo dzieje się przy wynurzaniu się z cienia. Wszelako zjawisko to z ziemi uważane, zdaje się niejednostajnie następować, gdyż przez jedną część roku peryody te są krótsze, a przez drugą część są dłuższe. Nierówności te odkryte w drugiej połowie XVII wieku



przez Dominika Cassiniego i Roemera, uważane były z początku jako niejednostajności biegu, lecz gdy Roemer spostrzegł że peryody są krótsze wtenczas gdy Jowisz i ziemia zbliżają się do siebie, a przeciwnie peryody były dłuższe gdy oddalenie dwóch planet powiększa się, wniósł on wkrótce, że nierówności te peryodów były tylko pozorne, że przyczyną tego jest goniec świetny, który wtenczas gdy planety oddalają się, musi przebiegać odległość coraz większą, a gdy planety się zbliżają, widzi swój bieg wolniejący stopniowo. Wszystkie te opóźnienia zbierając się w przedziale postrzeżeń i wszystkie wyprzedzenia gromadząc się z przeciwnej strony jedne do drugich, dały poznać widocznie przez podwójne doświadczenie czas jakiego światło potrzebuje do przebieżenia średnicy drogi ziemskiej, a który wynosi 16 minut i 26 sekund; albo dla przebieżenia odległości od słońca do ziemi 8 minut 13 sekund, co nadaje prędkość światłu 70 tysięcy mil francuzkich na sekundę, albo 42 tysiące mil geograficznych.

Widzimy z tego o ile Galileusz dalekim był od osiągnięcia prawdziwego wypadku. Potrzebował on dla poruszenia swój zastłony, czasu tysiąc razy dłuższego aniżeli światło potrzebowało do przebieżenia podwójnej odległości stanowisk. Odkrycie Roemera oparte było na długim szeregu postrzeżeń i polegało na znajomości wymiarów naszego układu słonecznego; nie mogło przeto przedstawiać wątpliwości chyba tym którzy nie dają wiary wypadkom astronomicznym, albo też którzy się nigdy niemi nie zajmowali. Wszelako odkrycie to przez pewny czas było w wątpliwość podawane, i możeby jeszcze w tym stanie pozostało, gdyby prędkość rozchodzenia się światła nie była go utwierdziła przez odkrycie Bradleya w sposób całkiem odmienny i zupełnie potwierdzający. Sposób, jakiego trzymał się Roemer, nie jest widocznie dowodzącym, dopóki jasno nie wystawimy położen względnych planet i ich biegu w przestrzeni, to jest słońca w środku, a ziemi krążącej około niego, Jowisza zaś przebiegającego swą drogę zewnątrz ziemi z orszakiem 4 księżyców. Sposób Bradleya polega na postrzeżeniach daleko subtelniejszych, lecz ponieważ chcemy prędzej przystąpić do przedmiotu głównego niniejszego artykułu, dlatego ograniczymy się na prostym wskazaniu rzeczonoego sposobu. Bradley uważał iż wszystkie gwiazdy, które nazywano jeszcze wtenczas stałemi, zdawały się podlegać ruchowi odbywającemu się ściśle w ciągu jednego roku, a którego rozległość pozorną, jest dla wszystkich gwiazd taż sama. Ruch ten zmienia się i przechodzi od linii prostej przez elipsę do koła, a to stosownie do położenia gwiazdy względem płaszczyzny ekliptyki; tak iż dla którejkolwiek z nich, dwa położenia skrajne gwiazdy podpierają zawsze na niebie kąt wynoszący 40 sekund łuku.

Nic nie mogło zdawać się rzeczą bardziej niepodobną do przypuszczenia, jak rzeczywistość podobnego ruchu w ciałach tak niezależnych od siebie i tak niejednostajnie rozrzuconych na niebie. Ruch ten jednakowej trwałości, téj saméj rozległości i wymiaru dla wszystkich gwiazd, przechodząc stopniowo od jednych do drugich, stosownie do ich położenia względem ekliptyki, ruch podobny musiał być tylko pozornym, i wynikał ze skutku złudzenia optycznego nowego rodzaju, pochodzącego od

zjawiska jeszcze niedostrzeżanego, a które odtąd nazwano *aberracją światła*; zmiana ta sprawia: iż nie widzimy gwiazd w ich prawdziwych położeniach, lecz opisujące w ciągu roku małe elipsy, równoległe do ekliptyki czyli do płaszczyzny drogi ziemskiej. W ogólności aberracja światła dla każdego dostrzegacza przenoszonego ruchem szybkim, sprawia: iż promienie wówczas tak się dają widzieć, jak gdyby ich początek był zmieniającym się w kierunku ruchu. Skutek tego daje się czuć wtedy tylko, gdy postrzegacz jest przenoszony z chyżością, która nie będąc równą chyżości światła, może się przynajmniej z nią porównać. Jakoż, co się przytrafia nam mieszkańcom ziemi, unoszonym z prędkością 7 mil fr. na sekundę, światło przebiega dziesięć tysięcy razy prędzej. Więc gdy chcemy postrzegać gwiazdę położoną w kierunku poprzecznym do kierunku naszego ruchu, potrzeba nam nie wprost celować lunetami, lecz je nieco nachylić, nasuwając szkło przedmiotowe w kierunku tego ruchu, o ilość równą jednej dziesięcio tysięcznej długości lunety. Ta jest zasada zmiany pozorniej gwiazd. Gdy ta zmiana dochodzi swój największej ważności, jej wymiar daje wielkość aberracji, która jest tylko wyrażeniem stosunku między prędkością światła a prędkością biegu postrzegacza. Ponieważ zaś ruch ziemi na jej rocznej drodze jest oddawna znany, ztąd prędkość światła wyznaczy się bezpośrednio, a nowa ważność jaką Bradley otrzymał w ten sposób, zgadza się zupełnie z ważnością jaką Roemer znalazł z dostrzeżenia zaćmień księżyców Jowiszowych. Wypadek Bradleya nie jest prostym potwierdzeniem wypadku Roemera; ma on całą ważność wielkiego odkrycia, wyświeca widocznie nową własność światła, wskazującą przyczynę złudzenia szczególnego, dowodzącego że ruch postępowy ziemi odbija się w pewny sposób w najdalszych ciałach niebieskich, dowodzącego że światło gwiazd przebiega z tą samą szybkością co i światło słońca, jakakolwiek jest odległość którą już poprzednio przebiegło. Tak ważne wyjaśnienie winni jesteśmy astronomii. Fizycy przyjęli je z całą ufnością. Ażeby go wątpliwości poddać, należało okazać względem królowej umiejętności rzadkie niedowiarstwo; ale też astronomowie nie są fizykami, i nie psując harmonii jaka pomiędzy nimi panuje, wolno jest oddającym się postępowi optyki, usiłować znaleźć na powierzchni ziemi jakikolwiek sposób sprawdzenia tego wypadku. Wolanoby raczej zacząć na doświadczenie fizyczne, któreby nie podając wymiarów, czyniło tylko widocznym trwanie przejścia światła; czekano z niecierpliwością aż Pan Arago urzeczywistni doświadczenie, które wymyślił od kilku lat, a za pomocą którego miał rozstrzygnąć czy światło bieży prędzej lub wolniej przez środki coraz bardziej łamiące promienie. Dwa promienie wybiegające w tej samej chwili przez iskrę elektryczną, miały padać na zwierciadło obracające się po przebieżeniu jednej kolumny płynnej wody albo siarczynu węgla, a drugiej powietrza, tej samej grubości. Na zwierciadle obracanym z prędkością od dwóch do sześciu tysięcy razy na sekundę, najmniejsza różnica między prędkością dwóch promieni powinna się w ich zboczeniu po odbiciu się okazać. Od kilku lat mechanizm przeznaczony do sprawienia tego ruchu obrotowego tak szybkiego, wyszedł z rąk Pana Bregueta, który w wykonaniu go wiele nowych

pomysłów i biegłości okazał. Wnosić jednak należy, że nie wszystkie jeszcze trudności pokonywał ten ważny mechanizm, gdyż doświadczenie nie mogło być wykonanem. Zresztą różni się ono we wszystkiem od doświadczenia które Pan Fizeau wymyślił, urządził i wykonał w ciągu kilku miesięcy, a które polega na zasadzie zupełnie nowój. Pan Fizeau nietylko dowiódł rozchodzenia się kolejnego światła na powierzchni ziemi, ale nadto podał sposób mierzenia jego prędkości z dokładnością nadspodziewaną, a który zapewne nie ustąpi w niczem sposobom astronomicznym wyżej wspomnianym. Ogłoszenie téj pracy jest ważnym wypadkiem dla nauk, a chwala jój pojawienia się będzie na zawsze pamiętną w dziejach umiejętności. Wzniesie ona optykę do takiej wysokości, iż po raz pierwszy może astronomia postępując od małego do wielkiego, winna jój będzie sprawdzenie jednego z oznaczeń liczebnych najważniejszych. Ale opiszmy raczej to znane nam piękne doświadczenie, podziwiając najdrobniejsze jego szczegóły. Niech czytelnik zechce zwrócić uwagę, i niech nam pozwoli udać się do Suresnes, niech wejdzie z nami do jego belwederu opatrzonego oknem, którego widok rozciąga się wzdłuż okolicy wsi, aż do wysokości Montmartre. Gdy nadejdzie wieczór, gdy atmosfera jest czystą i spokojną, z tego okna wychodzi promień światła sztucznego, który wraca po przebieżeniu długości drogi 4 mil, i dosięga ściśle swego punktu wyjścia. Zobaczymy jaką sztuką p. Fizeau przyszedł do kierowania tego promienia w tak długiej jego drodze i wymierzenia czasu jego podwójnego przebiegu. Dla uproszczenia tego subtelnego wykładu, zaczniemy od przypuszczenia przeciwnego wszelkiej fizycznój możności, aby jeden promień matematyczny wychodził z punktu A, umieszczonego w pokoju w Suresnes, któryby wyszedłszy oknem, biegł poziomo w linii prostój i bez osłabienia dosięgając szczytu Montmartre, wpadał do mieszkania przez okno otwarte i prostopadle uderzał na zwierciadło ustawione poprzednio. Założmy nadto, że promień ten odbity od niego, wraca tą samą drogą, i po téj samój linii poziomój; wreszcie przechodzi przez punkt A do swojego ogniska; i jeżeli postrzegacz stanie z tyłu za tym punktem, ujrzy go jako ciągły blask nie wiedząc o długiej drodze promienia świetnego, którą przebiega i czyni go widzialnym. Mała odległość łącząca punkt A z okiem dostrzegacza, przebiegana jest tylko przez promień wracający, lecz linia bez porównania dłuższa, która się rozciąga od punktu A do zwierciadła, nieustannie jest przebieganą przez promień wchodzący i promień wracający. Dwa są sposoby zakrywania punktu A przed okiem postrzegacza. Można wprost pomiędzy niem a punktem A postawić przeszkodę, a wtedy wracający tylko promień jest wstrzymanym poza punktem A. Można także umieścić przeszkodę przed ogniskiem, a wtedy promień nie może wybiegać w przestrzeń. Wtenczas nie będzie już ani promienia wychodzącego, ani wracającego. Przeszkoda którą umieścimy w ten ostatni sposób, jest brzeg koła zębatego, albowiem dosyć będzie obracać to koło z prędkością zmienną, dla przerywania i przepuszczania naprzemian przelotu promienia w przedziałach czasów dłuższych lub krótszych. Tym sposobem doświadczenie sprowadzone jest do samych głównych pierwiastków. Przejdźmy więc teraz do postrzeżenia.

Gdy koło jest w spoczynku i ustawione w ten sposób, ażeby promień światła przechodził i wolno wracał pomiędzy dwoma zębami koła, dostrzegacz umieszczony za punktem A, jak powiedziano, postrzeże punkt A; jeżeli potem zaczniemy obracać koło bardzo wolno, wówczas jego zęby tworzyć będą przeszkodę w następnych chwilach oddzielnych, co sprawi iż postrzegacz zobaczy pokazywania się i znikania punktu A. Lecz gdy nadamy ruch kołu nieco prędszy, nadejdzie koniecznie chwila, że błyski punktu A tak się do siebie zbliżą, iż przestaną być oddzielne, i w końcu zleją się z sobą przez trwanie ciągłe wrażenia w oku, i punkt A zdawać się będzie błyszczyć ciągle z mocą światła o połowę mniejszą od jego prawdziwego natężenia. W taki to sposób sznur albo pręt który wibruje, zdaje się rozczepiać i dozwala widzieć jakby przez przezrocze, przedmioty przez lekki cień, jaki zajmuje w przestrzeni cała rozległość w której się odbywają wibracje ciała rzeczywiście ciemnego. Nie potrzeba nadawać kołu zębatemu wielkiej chyżości obrotu, aby jego zęby nie dały się rozróżnić, i tworzyć na całym jego obwodzie powierzchni przezroczyściej. Dostyc jest, aby zęby nadchodziły po sobie co 10ta część sekundy, co jest prawie miarą trwania fizyologicznego wrażen (ściągań) nerwów optycznych. Tak więc Fizeau, którego koło ma 720 zębów, nie potrzebuje zrobić jak jeden obrót w jednej minucie, aby nadać wrażeniu świetnemu pozorną ciągłość. Lecz rozbierzmy co się dzieje w tych okolicznościach, i starajmy się przewidzieć co pociągnie za sobą powiększenie kolejne ruchu obrotowego.

Przy prędkości jednego obrotu na sekundę, już wrażenie jak powiedzieliśmy jest ciągłym, lecz nie potrzeba się odstręczać jego zjawieniami. Ale cóż się dzieje? oto za każdą razą jak zakrywa ząb przyjscie promienia, jest ciemność, potem gdy następuje wolny przedział, to jest *międzyzęb*, promień przebiega; a że jego prędkość jest nadzwyczaj wielką w porównaniu z prędkością koła, zatem co tylko wyleciał wraca natychmiast, aby przejść przez ten sam przestwór; a tém samym błyszczy po swoim powrocie w czasie całego trwania przebiegu przez międzyzęb. Toż samo ma miejsce dla międzyzębów następnych i wszystkie te wrażenia zbierając się razem w oku, dają sumnę światła zupełnie równego połowie światła, któreby wróciło do punktu A, nie natrafiając na żadną przeszkodę.

Powiększmy teraz prędkość obrotu koła, tak aby czas obrotu dwóch zębów po sobie idących był niezupełnie równy, ale mogący się porównać z czasem jakiego potrzebuje promień do przebieżenia z Suresnes do Montmartre, i powrócenia z Montmartre do Suresnes; potem weźmy pod rozbiór zjawisko jak poprzednio. Jeden ząb mija, ciemność następuje, potem nadchodzi międzyzęb, promień przebiega, i dochodzi do Montmartre, pada na zwierciadło i wraca szybko: lecz koło już część obrotu zrobiło, międzyzęb naprzód nadbiegł o jedną dziesiątą, lub o  $\frac{1}{4}$  albo o  $\frac{1}{3}$  swój szerokości, i gdy promień napowrót przychodzi, znajduje otwór zmniejszony do  $\frac{9}{10}$ , do  $\frac{3}{4}$  albo do  $\frac{2}{3}$  swój prawdziwej szerokości, resztę promienia ginie na pozostałej części nadbiegającego zęba. Toż samo następuje dla innych przedziałów, a wszystkie te wrażenia nadchodząc jedne po drugich, łączą się przez ich następowanie szybkie, zbierają się

w oku dostrzegacza, dają summe światła, która nie wynosi więcej nad  $\frac{9}{10}$ ,  $\frac{3}{4}$  albo  $\frac{2}{3}$  ilości światła, które przebiegło w powrocie przez punkt A.

Gdy nakoniec obrót koła coraz się będzie powiększał, nastąpi wreszcie chwila gdzie czas przejścia przedziału międzyzębowego będzie zupełnie równy czasowi przelotu światła, a wtedy promień powróciwszy znajdzie otwór zamknięty; ponieważ zaś zęby są równe przedziałom próżnym, zatem całe światło wybiegłe w czasie przejścia każdej z tych próżni, uderzy o ząb następny w całej jego szerokości. Ta prędkość koła szczególna, ma ten konieczny skutek, iż zrządza zniknięcie punktu A dla oka postrzegacza.

Lecz powiększajmy ciągle prędkość obrotu koła, i prowadźmy dalej rozumowanie z tą samą ścisłością. Gdy prędkość staje się coraz większą, koniec promienia wybiegłego w chwili przejścia międzyzęba, zaczyna przechodzić przez międzyzab następny, i punkt A zaczyna na nowo się pokazywać. Dla prędkości jeszcze większej, każdy promień przechodzący przez międzyzab, przebiega cały, to jest jego początek i koniec przez międzyzab następny, i punkt A odzyskuje w oku postrzegacza największy stopień swego blasku. Posuwając coraz dalej toż samo rozumowanie, okazalibyśmy iż dla prędkości koła zębatego coraz rosnącej, punkt A powinien naprzemian pokazywać się i znikać. Cóż znaczy pierwsze zaćmienie czyli zniknięcie promienia? Oznacza ono że w tej walce prędkości między światłem a materją ciężką, koło to ostatnie obróciło się o ważność kątową jednego zęba, w tym czasie gdy światło wychodzi i powraca pomiędzy dwoma stanowiskami. Drugie zaćmienie oznacza, że koło obróciło się w tym samym czasie, o wielkość kątową dwóch zębów i o przedział który je oddziela; inaczej mówiąc, że się obróciło trzy razy prędzej aniżeli podczas pierwszego zakrycia. Dla trzeciego zaćmienia prędkość obrotu powinna być posunięta do pięć razy większej. Prawo następstwa wypada w sposób oczywisty dla zaćmień po sobie następujących; prędkość obrotu koła powinna postępować jak szereg liczb naturalnych nieparzystych 1, 3, 5, it. d., ten jest wypadek rzeczywisty który doświadczenie potwierdza; mamy zatem dowód że prawo to odbywa się ściśle i bez żadnego nieprzewidzianego zakłócenia. Jeżeli teraz obrachujemy liczbę porządkową zaćmienia któregokolwiek, prędkość obrotu odpowiednią i odległość dzielającą dwa stanowiska, wyprowadzimy ztąd bezpośrednio i niewątpliwie prędkość światła na powierzchni ziemi.— Odległość tarczy koła obróconej ku zwierciadłu, wynosiła około 8,633 metrów, a promień światła idący po sobie samym, miał do przebieżenia długość 17,266 metrów. Krąg koła mający 720 zębów, połączony był z układem kół poruszanych za pomocą ciężaru, a wykonany przez biegłego mechanika, p. Fremont. Każdy przeto ząb zajmował rozległość równą jednej 1,440 części obwodu kręgu; skazówka ruchoma służyła do wymierzania prędkości obrotu. Pierwsze zakrycie promienia nastąpiło przy chyżości 12, 6 obrotów na sekundę, to jest że światło przebiegło drogę 17,266 metrów, w czasie gdy koło zrobiło  $\frac{1}{1440}$  część całego obrotu. Lecz podług skazówki rachującej obroty, część ta obrotu odbyła się w  $\frac{1}{18,000}$  sekundzie czasu, albo co na jedno wychodzi, licząc proporcjonalnie, 70 tysięcy mil (25 licząc na stopień), albo 42,000 mil geogr. w je-

dnęj sekundzie. Dostrzeżenie drugiego zakrycia dało prawie ten sam wypadek co wprzód, a liczby te różne zgadzają się bardzo blisko z wypadkami, jakie otrzymano za pomocą sposobów astronomicznych. Moglibyśmy już na tém zupełnie poprzestać, i uważać nasze dochodzenia jako blisko ukończone; nie mamy zamiaru posuwać dalej rozbioru doświadczeń, ażeby nie przerywać naukowego ciągu. Pragnący obszerniejszego wykładu, mogą udać się do rozpraw pierwiastkowych. Staraliśmy się jak można było, dać poznać naszym czytelnikom osobliwy pomysł doświadczalny, wprowadzony w wykonanie przez p. Fizeau. Być może iż zadowolniając ich umysł ogólnym wykładem, obudziliśmy w nich ciekawość poznania głowniejszych szczegółów doświadczenia. Jakoż skoro weszliśmy w przedmiot, idzie nam tylko o punkt A, to jest źródło promienia świetnego, któremu przyznaliśmy wiele własności, jedne więcej niepodobne do prawdy, i nadzwyczajniejsze niż drugie. Zakładaliśmy bowiem iż punkt A zdolnym jest przesyłać jeden tylko promień światła, jak gdyby podobny promień kiedy widziano, jedynie okiem umysłu. Oprócz tego przypuściliśmy iż promień ten tak dobrze był skierowanym, że pada dalej w odległości większej niż o milę na zwierciadło którego położenie nadto tak jest utracone, że ten mniemany pojedynczy promień wraca po sobie i przechodzi ściśle przez swoje ognisko. Potrzeba ażeby ten ostatni warunek był dopełniony z całą ścisłością, inaczey wszystkie nasze rozumowania upadną, i żadnego użytku z doświadczenia nie można będzie odnieść. Maż to być płomień świecy, któraby odgrywała rolę punktu świetnego A? Pewno że nie, ponieważ ten płomień rzuca światło na wszystkie strony zarówno, naprzód jako też i w tył, na prawo jak i na lewo. Lecz będzie to wiązka zbiegająca się światła, idąca od lampy, utworzona przez szkło powiększające i rzucona w przestrzeń przez szkło przezroczyste, ustawione pochyło przed miejscem ogniska. Wiązka ta po odbiciu się zbiera się na ostatku w ognisko, które posiada wszystkie własności wymagane, wyjąwszy tylko jednę. Całe światło które wyrzuca, wychodzi na zewnątrz; nie jest więc widzialne przez siebie samo na przodzie, lecz punkt tego ogniska może być przebiegany przez promienie wracające, i te będą widzialne bez przeszkody, ponieważ będą miały do przejścia tylko szkło przezroczyste. Całe światło wychodzące z tego ogniska, nie składa się z jednego tylko promienia, lecz z wiązki rozchodzącej się, któraby rozbiegała się i zarazem słabiała, gdyby nie zaradzono temu. Ażeby się przeto zbliżyć do warunków teoretycznych jednego tylko promienia sprowadzimy tę wiązkę rozszczepiającą się do równoległości, przeprowadzając ją przez szkło przedmiotowe; inaczey mówiąc, położymy ognisko światła odbitego A w ognisku lunety skierowanej na dom na wzgórzu Montmartre, a wtedy kolumna światła wychodząc z lunety, pójdzie w kierunku prostym do okna wspomnianego domu. Tam tedy wypada nam się teraz przenieść, wzięwszy z sobą drugą lunetę i małe zwierciadło dokładnie wykonane. Przybywszy na stanowisko Montmartre, upatrywać będziemy za pomocą drugiej lunety okna belwederu Suresnes, gdzie są ustawione narzędzia, i postrzeżemy błyszczącą soczewkę przedmiotową (objektywę) pierwszej lunety; tutaj lunetę ustawimy na środek drugiej, nastawimy ją na punkt A, umieścimy w miejscu szkła ocznego małe zwierciadło utwierdzone w osadzie oddzielnej, tak aby powierz-

chnia jego odbijająca przypadła w ognisku lunety; przez to jesteśmy pewni, że natychmiast kolumna światła wpada napowrót do lunety w Suresnes i zbiera się w jedno ognisko, ściśle w tym samym punkcie z którego wyszła. Powróćmy przeto na stanowisko w Suresnes i weźmy się do czynienia postrzeżeń; zobaczymy przez nachylone szkło przezroczyste, używając do tego jeżeli potrzeba szkła ocznego, punkt bardzo mały świetny, jakby gwiazda błyszcząca, a który może przybrać silny blask, jeżeli w miejsce lampy zwyczajnej użyjemy, jak to zrobił p. Fizeau, końca rurki prowadzącej gaz kwasorodny i wodorodny. Aby się zapewnić że punkt w którym błyszczy ta sztuczna gwiazda, jest rzeczywiście punktem z którego wychodzą wszystkie promienie tworzące go znowu po swoim powrocie, albo co na jedno wychodzi, chcąc się przekonać czy punkt ten ciągle jest przebiegany przez promienie wchodzące i wracające, oraz ażeby poznać że tym sposobem p. Fizeau otrzymał ten osobliwy wypadek, że promienie przebiegające dwie mile przez okolicę, wracają bez zbroczenia, aby przejść na nowo przez tenże punkt blisko na setną część milimetra. Dostyc jest wziąć zastłonę z brzegiem wyraźnie zakończonym, np. ostrze brzytwy, i przeciągać ją we wszystkich kierunkach po płaszczyźnie obrazu gwiazdy, a postrzeżemy że niepodobna go zakryć ani osłabić, tylko stawiając tę przeszkodę na samym obrazie, co pokazuje że niewątpliwie promienie przez ten sam punkt przechodzą i powracają. Tak więc w tym wielkim przyrządzie optycznym, który się rozwija w odległości dwóch mil, światło przebiega z właściwą sobie chyżością, wraca po sobie samém ściśle pod pewnymi nieodbitemi warunkami, z których p. Fizeau potrafił zrobić konieczną potrzebę. Dla uzupełnienia doświadczenia pozostaje tylko wprowadzić krąg ruchomy; miejsce gdzie ma zakrywać obwód jego zębaty, jest dostyc wyraźnie wskazane; oczywiście jest ono tam gdzie światło zgromadzając się w jednym punkcie, zdaje się zbliżać do warunku jednego tylko promienia; a właśnie to następuje w punkcie zbiegania się promieni wychodzących i wracających, to jest w owym punkcie A, który tu po raz ostatni przywodziśmy, że zęby mają przeznaczenie walczyć z prędkością światła, to jest z pierwiastkiem przeznaczonym do odstąpienia nam wspaniałości stworzenia.

Nauka może już dziś ogłosić, że światło przebiega blisko 70 tysięcy mil fr. (42,000 mil geogr.) na sekundę. Postrzeżenie zaćmienia księżyców Jowiszowych dowodzi, że prędkość ta odnosi się do światła słonecznego. Wymiar aberracyi pokazuje, że prędkość światła jest też sama dla wszystkich gwiazd, a piękne doświadczenie któreśmy opisali, przekonuje że tej samej prędkości podlega i sztuczne światło ziemskie. Dwa pierwsze sposoby nastęrczyły się bystrym umysłem dwóch wielkich astronomów, jakby same przez się, lecz aby one stały się widocznymi, przyjąć należy znajomość układu słonecznego; a ich ściśłość zawisła od wymiarów średnicy drogi ziemskiej. Dla tego ktoby zaprzeczał ruch postępowy ziemi, wypadki pomienionych astronomów byłyby nieistniejące. Przeciwnie nowy sposób tu opisany, jest całkiem bezpośredni; wynaleziony on był we wszystkich częściach przez p. Fizeau, i jest wystarczającym zupełnie dla siebie samego. Gdyby Ptolomeusz zjawił się na ziemi jako zapalony obrońca swego systemu, byłby zmuszonym przyznać, że światło przebiega 70 tysięcy mil fr. na sekundę, i podług wszelkiego

prawdopodobieństwa p. Fizeau miałby z pewnością przekonać go o prawdziwym układzie świata i zniweczyć w tym wielkim umyśle teorię cyklów. Jeżeli w matematyce przyjmujemy chętnie różne dowodzenia tej samej prawdy, tém bardziej zjawiska fizyczne zasługują, aby je przedstawiono pod wszystkimi względami. Wielość sposobów, jedność wypadków, sąto dla nas zasady pewności. *J. B.*

---

#### FIZYKA.

Person w akademii nauk w Paryżu, czytał notę o ilościach deszczu, spadających w różnych wysokościach, będących wypadkiem obserwacji, czynionych w Besançon, w dwóch stacyach przyległych, których jednak różnica wzniesień wynosiła 200 metrów. Z tabelli obejmującej wypadki spostrzeżeń z 3 lat i 8 miesięcy wypada wniosek, że różnica ilości deszczu spadłych w tych stacyach podczas ciepłych miesięcy (czerwiec, lipiec, sierpień), jest prawie połową różnicy, znalezionej podczas pozostałych dziewięciu miesięcy. Ze ten wypadek nie jest skutkiem szczególnej miejscowości, dowodzi to, że w Paryżu i Nowej Grenadzie, podobne obserwują się rezultata. Przyczynę tego zjawiska Person widzi w znaczniejszym rozciągnięciu atmosfery wilgotnej w czasie lata, aniżeli w innych epokach roku. Podczas deszczu, hygrometr nigdy nie wskazuje nasyczonej parami atmosfery, więc spadające krople deszczu w przejściu ku ziemi, mogą znacznie się jeszcze zmniejszać, w skutek parowania. To jednak parowanie kropli deszcz składających, daleko musi być większym podczas lata, gdyż wówczas warstwy dolne powietrza są daleko cieplejsze, i więcéj im brak wody do nasycenia. Ztąd pochodzi, że latem wyniosła chmura w deszcz się rozwiązująca, może nie przysłać ani kropli deszczu na ziemię; tak silne będzie parowanie spadających cząstek wody. Jest to zjawisko, podobne do sposobu używanego przez żołnierzy biwakujących pod gołym niebem, w celu uchronienia się przed deszczem: zwykle wtedy otaczają szeroko rozniecone ognisko. Warstwa pary zawarta między stacyami, na których ustawione są deszczomiary, nie dostarcza wody dolnej stacy; ta warstwa wysoka np. na 200 metrów w porównaniu z grubością warstwy atmosfery, zawierającej parę wodną podczas lata, jest prawie nic nieznaczącą; i z tego więc powodu różnica w spadłych ilościach deszczu musi być mniejsza. Lecz zimą, przy niżéj rozciągającej się warstwie atmosfery, zawierającej pary wodne, wysokość 200 metr. może być znacznym ułamkiem całkowitej grubości warstwy, parą wodną przesiąkniętą; ztąd i w górnym deszczomiarze znacznie mniej wody znajdować się będzie, aniżeli w dolnym. To właśnie potwierdzają obserwacje w Besançon, Paryżu i Nowej Grenadzie czynione. Tak więc dwie przyczyny: parowanie mocne latem kropli deszczowych podczas spadania ku ziemi, i różna grubość warstwy atmosfery parą wodną przesiąkniętą, tłumaczą dostatecznie dostrzeżone różnice latem (czerwiec, lipiec, sierpień); i w pozostałych epokach roku, co do zbieranych ilości wody deszczowej na stacyach rozmaicie nad poziom wyniesionych. (*L'Inst. nr. 819*).

*S. P.*

---



## CHEMIA.

P. Combes na posiedzeniu akademii umiejętności paryżkiej, czytał długie sprawozdanie o wyrabianiu cerusy we Francyi, ze względu na zdrowie robotników. Po zastanowieniu się nad rozmaitemi sposobami używanymi w rękodzielniach Lille i okolicach Paryża, sprawozdawca sądzi, że jeszcze potrzeba niejakich ulepszeń dla oddalenia przyczyn szkodliwych; w tym celu radzi przyjęcie sposobu dotychczas wyłącznie używanego w Anglii, to jest przy wszystkich częściach roboty węgla ołowiu, zastosowania wody, poczynawszy od odczepienia téj farby z blach metalowych, aż do czasu takowego jój wyrobienia, jak ma iść w handel. Sposób ten podług zdania sprawozdawców odpowie swemu zadaniu pod względem zdrowia. (*L'Institut* 21 Novembre 1849).

\* P. Despretz czytał w paryżkiej akademii umiejętności, trzecie zawiadomienie o topliwości i lotności metalów. Objął on w niém spostrzeżenia, uważane przy wystawianiu na działanie bardzo mocnego stosu (600 ogniw) krzemu (silicium), boru, tytanu, tungstenu i platyny.

Krzem wystawiony przez p. D. na działanie ognia elektrycznego, z łatwością się stopił w kulkę nieco szklistą na powierzchni. Odłam krzemu w téj kulce był ciemny, podobny do węgla, tenże odłam krzemu wygładzony, jeszcze był ciemny; barwa proszku krzemu także nie zupełnie znikła, bo się okazała na jednéj części powierzchni. Krzem tak stopiony, nie rysuje szkła.

Krzem ten otrzymany był przez p. Laroque, sposobem Berzelius'a; miał zaś wszystkie cechy, jakie mu naznacza chemik szwedzki, to jest barwę brunatno-orzechową, nietopliwość i niepalność w podwyższonej temperaturze.

Część boru użyta przez p. D. otrzymaną była przez p. Robiquet syna, a druga część przez p. Laroque. Jedne z obudwóch otrzymano wypadki, chociaż miały pozór bardzo różny. Bor p. Robiquet był czarny jak sadza, a p. Laroque brunatnawy.

Przy działaniu ciepła, bor roztopia się w kulkę nieco także szklistą na powierzchni; miała ona odłam ziarnisty, czarny, podobny do węgla. Pierwiastek ten był topliwszy i lotniejszy od krzemu, a nie okazywał znacznej twardości.

Powyższe doświadczenia tyżące się krzemu i boru, uskutecznione były w saletrorodzie.

Tytan dany do doświadczenia, otrzymany został na wystawę przemysłu przez p. Rousseau z chlorku tytanu; był on w postaci proszku brunatnego.

Przy piérwszém doświadczeniu w próżni maszyny pneumatycznej, w znacznej części się ulotnił, i osadził się w pewnej ilości na talerzyku porcelanowym, umieszczonym nad tygielkiem, w postaci kosmków brunatno-czerwonawych z odbiciem światła metalowego. W tygielku mieszczącym węgiel z cukru, wsypany proszek tytanu, pozostawił słabą powłoczkę biało-żółtawą.

W czasie drugiego doświadczenia, uskutecznionego w gazie saletro-rodnym, talerzyk porcelanowy oblókł się w warstawkę pięknie błękitną. W tyglu pozostała blaszka biaława, a pod nią ściany tego naczynia pokryte były małemi kuleczkami, z których jedne były koloru złoto-żółtego, a inne odbijały różne kolory tęczowe.

*Tungsten* tak stopiono jak tytan, bor i krzem, w tyglu zawierającym węgiel z cukru, pod dzwonem napelnionym saletrorodem. Wtedy okazała się na talerzyku porcelanowym tak ustawionym, jak wspomnieliśmy, warstewka cienka brunatnawa, a na ścianach tygla znaleziono dwie cienkie blaszki biało-szarawe. W inném doświadczeniu metal stopił się w kuleczkę, ale potem rozrzucił się po ścianach naczynia.

Metal ten może przybrać bardzo piękny połysk; odłam jego jest taki, jak dobrej hartownej stali, zaledwo ziarnisty. Twardość znaczna, bo ściera pilniki, rysuje kwarzec (kwarc), kamienie kosztowne, a nawet rubin.

P. Gaudin chcąc nadać połysk niektórym ciałom trwardym, otrzymanym przez p. D., wygładził ścianki rubinowi szmirgłem i glinką sproszkowaną; ale dla wygładzenia tungstenu, musiał użyć sproszkowanego dyamentu.

P. Despretz w powyżej przytoczonych doświadczeniach, używał 600 ogniów Bunsen'a, w sześć oddziałów ustawionych. Stos podług niego służyć może do topienia metalów, bez dodawania obcych części. Zaden bowiem dotąd metal nie oparł się działaniu ognia elektrycznego; i tak np. stopił 80 gram. palladu, a sądzi, że to z platyną zrobić także będzie w możności. (Tamże).

J. B...a.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

---

1849.

W I L N O.

72. Felicyta czyli męczennicy Kartagińscy. Dramat w pięciu aktach, przez Antoniego Edwarda Odyńca. 12ka. Wilno 1849. Drukiem T. Glücksberga. Str. XVI i 264. ztp. II.

73. Rubon. Pismo zbiorowe, poświęcone pożytecznej rozrywce. Wydawca Kazimierz Bujnicki. Z godłem:

*Meine Ufer sind arm, doch höret die leisere Welle,  
Führet der Strom sie vorbei manches ermunternde Lied.*

Schiller.

Tom IX (z rycinami) 8ka. 2 tomy. Wilno. 1849. Drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. XXII i 266. Tom II. str. 289. Ztp. 16.

L W Ó W.

74. Francuzka grammatyka praktyczna Kaspra Hircla (,) przez Jana Juliana Szczepańskiego, profesora języka polskiego w c. k. lwowskiej akademii technicznej, a podług czternastego wydania Konrada Orella, profesora w Zurichu (,) pomnożona i poprawiona przez Karola Piechorskiego... 8ka. 1849. Lwów, Stanisławów i Tarnów, nakład Jana Milikowskiego, druk J. P. Sollingera wdowy w Wiedniu. Kart 4 i str. 652. Ztp. 11.

75. Początkowe praktyczne budownictwo. Ułożył Stanisław Kowalski. Z 55 rysunkami. 8ka. Lwów. 1849. Nakład Kajetana Jabłońskiego [Bez miejsca druku]. Kart 3 i str. 160. Ztp. 8.

1850.

W A R S Z A W A.

17. Historya prawa polskiego (,) napisana i wykładana przed rokiem 1830 w b. warszawskim Aleksandryjskim uniwersytecie przez Jana Wincentego Bandtkie Steżyńskiego.... Dzieło pogrobowe. 8ka. Warszawa. 1850. Druk Banku Polskiego. Kart 2, str. VIII i 728. Rejestru str. XVI i prenumeratorów str. 4. Ztp. 26 gr. 20.



## Doniesienia literackie.

---

W A R S Z A W A.

„Życiorysów znakomitych ludzi wstawionych w różnych zawodach”, wyszedł zeszyt 6ty. W tym zeszycie czytamy następane uwiadomienie: Redakcja „Życiorysów znakomitych ludzi”, ma zaszczyt upraszać każdego, co by posiadał ryciny lub wiadomości do biografii znakomitych literatów, mających związek z piśmiennictwem krajowém, aby raczyli takowe nadesłać franco do księgarni Bernstejna przy ulicy Miodowej, Nr. 483”.

— Część druga, drugiego tomu: Kodexu dyplomatycznego Rzyszczewskiego i Antoniego Muczковского, wkrótce wyjdzie z pod prasy drukarskiej.

— „Opis historyczny miasta Sandomierza” przez Chądzyńskiego urzędnika sądownego napisany, w przyszłym miesiącu druk opuści.

— Księgarnia J. Zawadzkiego, zajmuje się wydaniem zupełném wszystkich pism Józefa Korzeniowskiego.

— Tom IV Kroniki Wapowskiego, wyjdzie wkrótce z drukarni T. Glücksb erga.

*Wiadomość o ósmym tomie Historji literatury polskiej, Michała Wiszniewskiego.*

Druk tego ważnego dzieła rozpoczyna się teraz w drukarni akademii Jagiellońskiej w Krakowie, a przed św. Janem b. r. ukończonym zostanie. Oto jest spis szczegółowy rozdziałów i §§.

*Tom VIII. Rozdział XIV. Dalszy ciąg literatury historycznej z epoki Zygmunto wskiej.*

§ 1. Dzieje krajowe przez pięciu polskich hetmanów pisane. Poselstwa posłów polskich za granicę, i zdawane przez nich sprawy, czyli *relacye*.

§ 2. Relacye posłów zagranicznych o Polsce.

§ 3. Źródła historyi polskiej. Akta Tomickiego; akta bezkrólewio w; listy królo w, ich posłów. Drukowane zbiory historyków polskich; dyaryusze sejmowe; *nowiny* czyli gazety.

§ 4. Historia krajów z Polską w XVI i XVII wieku połączonych.

§ 5. Historia cudzoziemska. *Polidamus*. Historia literatury, i historia powszechna.

§ 6. Historyczne opisy pomniejszych zdarzeń i sprawy elekcyjne.

§ 7. Autobiografie.

§ 8. Biografie Polaków, przez cudzoziemców i Polaków pisane.

*Rozdział XV. Historia kościelna.*

§ 1. Żywoty biskupów polskich.

§ 2. Żywoty Jezusa Chrystusa i żywoty świętych i patronów Polski.

§ 3. Bzowski, Skarga.

§ 4. Historia polskich zakonów, klasztorów i opactw.

§ 5. Historia Akatolików przez nich samych pisana, tudzież przez katolików; również źródła i dokumenta do takiej historyi. Opis odbytych dysput z Akatolikami.

§ 6. O Jezuitach, ich historyi; o książkach za i przeciw nim wydanych.

*Rozdział XVI. Historia literatury i kościoła ruskiego.*

§ 1. Źródła historyi kościoła ruskiego i rozdwaniania cerkwi wschodniej w Polsce.

§ 2. Historia drukarni kirylickich w Polsce.

§ 3. Język i literatura słowiańska czyli cerkiewna. Biblia Ostrogska.

§ 4. Język i literatura białoruska. Przekłady pisma św. przez Potoczana, Franciszka *Skorynę* na język białoruski.

§ 5. Przekłady z greckiego i z polskiego, na język słowiański lub białoruski i czerwonoruski.

§ 6. Środki kształcenia się Rusinów w Polsce. Szkoły i biblioteki, i jaki miała wpływ Turko-Grecya na ich oświecenie.

Do tego tomu dodane będzie odbicie *tytułu akafistów wydanych w Wilnie przez Skorynę*; z exemplarza zachowanego w bibliotece akademii Jagiellońskiej w Krakowie.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Styczeń 1850.***

Styczeń 1850.

## Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

## Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>,7 względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	752.50	752.82	751.89	751.86	- 5.4	- 4.6	- 5.8	- 6.5	
2	751.80	752.99	753.14	753.00	- 6.3	- 5.8	- 5.9	- 7.8	
3	751.17	751.24	751.91	751.71	- 11.7	- 10.9	- 10.6	- 11.9	
4	750.42	750.35	748.50	746.51	- 21.4	- 19.1	- 15.0	- 12.4	
5	742.91	743.18	742.16	743.19	- 17.0	- 15.2	- 13.6	- 13.6	
6	745.58	747.28	749.20	750.50	- 11.6	- 9.6	- 7.8	- 13.2	
7	748.78	751.68	752.84	755.24	- 8.2	- 5.0	- 6.0	- 6.3	
8	758.13	760.57	762.61	764.01	- 5.6	- 5.1	- 6.4	- 6.3	
9	763.51	764.20	761.08	760.31	- 10.1	- 10.6	- 5.0	- 9.5	
10	759.14	758.70	758.12	757.85	- 9.7	- 9.7	- 12.1	- 15.0	
11	757.57	758.23	758.20	759.29	- 14.5	- 15.6	- 13.5	- 14.8	
12	759.30	759.45	757.10	756.26	- 19.3	- 19.3	- 19.2	- 20.6	
13	754.29	754.68	754.07	755.32	- 25.1	- 22.1	- 17.2	- 17.5	
14	755.79	756.35	756.45	755.70	- 15.5	- 14.6	- 13.8	- 14.2	
15	754.53	754.77	752.86	751.84	- 11.9	- 10.1	- 8.1	- 10.0	
16	748.83	748.58	746.45	745.84	- 9.5	- 8.9	- 8.4	- 8.8	
17	745.84	747.07	749.01	750.69	- 8.6	- 8.3	- 9.2	- 9.2	
18	752.03	753.06	752.06	751.27	- 11.3	- 10.7	- 12.6	- 13.2	
19	749.34	749.22	747.12	747.12	- 14.8	- 13.9	- 14.8	- 19.5	
20	750.29	752.82	755.33	760.21	- 21.9	- 19.8	- 17.1	- 19.4	
21	765.71	768.52	769.53	772.29	- 21.0	- 17.7	- 15.7	- 20.4	
22	772.51	773.94	773.28	771.50	- 25.3	- 27.1	- 20.6	- 23.5	
23	764.74	763.20	755.58	746.54	- 26.1	- 22.9	- 14.3	- 11.8	
24	747.94	751.71	752.64	746.79	- 8.8	- 8.3	- 5.8	- 3.5	
25	741.95	741.85	740.41	739.44	+ 0.2	+ 0.5	+ 0.3	+ 0.0	
26	734.68	734.02	727.25	721.66	+ 0.9	+ 0.9	+ 0.5	+ 0.6	
27	734.40	743.02	753.74	760.12	- 11.8	- 13.3	- 14.5	- 18.9	
28	760.22	759.83	756.14	751.84	- 13.3	- 11.0	- 8.9	- 8.0	
29	741.56	738.52	733.69	736.11	- 6.3	- 10.7	+ 0.6	- 2.6	
30	742.82	745.14	748.80	752.05	- 8.6	- 10.1	- 11.0	- 12.9	
31	757.53	758.29	757.17	756.85	- 17.0	- 14.5	- 10.4	- 12.4	
Śre.	752.123	753.074	752.527	752.352	- 12° 79	- 11° 84	- 10° 43	- 11° 71	

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- ga
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		6.0
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		
śnieg drob.	pr. pogod.	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Z.		
pogodny	napót pog.	śnieg pr.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	lek. zamgl.	Pd.	Pd.	Pd.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdW.	Pd.	Pd.	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	W.	PdW.		
pochmurny	śnieg dr.	pochmurny	śnieg drob.	W.	W.	PdW.	PdW.		
pochmurny	śnieg dr.	pr. pochm.	pogodny	PdW.	PdW.	W.	W.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	—		
pogodny	pogodny	pr. pogod.	pogodny	W.	PnW.	PnW.	PnW.		
pogodny	smugi	smugi	pochmurny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	W.	W.		6.0
śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	W.		
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	W.		4.0
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	W.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.		
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	PnW.		
pogodny	pogodny	pogodny	śnieg drob.	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
smugi	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
pogodny	pogodny	pogodny	smugi	Pn.	PnZ.	Z.	—		
smugi	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	Pn.	Pn.	PdZ.	Pd.		
dészcz	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		0.7
śnieg	śnieg	dészcz	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	Z.		
pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		2.8
pochmurny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
Śre.								0.7	18.8

Średnia wysokość barometru miesięczna	752.519	27	9.625
Najwyżej dochodził — d. 22 o g. 11 r.	774.04	28	7.643
Najniżej — — d. 26 o g. 10 r.	721.66	26	7.909
Średnia zmiana dzienna barometru	6.78		3.01
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27.	38.45		17.04
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	1.242		0.587
	751.277	27	9.038
Od lat 24 barometr w tym miesiącu ani razu tak wysoko się nie wznosił ani tęż tak nisko nie opadł.			
Dotąd najwyżej w styczniu barometr doszedł w 1828 r. d. 18 po poł.	773.47	28	6.876
Najniżej w styczniu barometr doszedł w 1834 r. d. 1 w.	723.62	26	8.778
Średnia temperatura stycznia wynosi: i ta jest niższa o	— 15 <sup>o</sup> .69 C.	—	9 <sup>o</sup> .35 R.
od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	6.07 „		4.85 „
	— 5.62 „	—	4.50 „
Największe ciepło dochodziło d. 26 o g. 6 i 10 r.	+ 0.9 „	+ 0.7 „	
Największe zimno dochodziło d. 22 o 10 godz. rano	— 27.1 „	— 21.7 „	

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 1.<sup>o</sup>1 R. d. 26 w.

Minimum: — 23.1 „ d. 23

Mróż taki raz tylko jeden zdarzył się d. 22 stycznia 1829 r.

Wody z deszczu spadło wysoko na 0,7 milim., czyli 0,31 lin. par.,  
z śniegu 18,8 milim. czyli 8,33 lin. par., razem z deszczu  
i śniegu 19,50 milim., czyli 8,64 lin. par. co jest o  $\frac{1}{3}$  mniej od  
ilości, która zwykle w tym miesiącu spada.

Dni pogodnych było 7; napół pogodnych 6; pochmurnych 18.

Dni deszczu 1 (d. 25).

Dni śniegu 10, (d. 1, 2, 3, 4, 9, 10, 15, 16, 19, 29).

Styczeń r. b. pogodny, wietrzny i bardzo mroźny o 5<sup>o</sup> R. bli-  
zko zimniejszy jak w stanie normalnym. Mrozy trwały ciągle,  
prócz dwóch dni odwilży (d. 25 i 26), termometr niżej zera przez  
cały miesiąc się utrzymywał. Zmiany barometru częste i bardzo  
wielkie. W d. 26—27 przy szybkiej zmianie temperatury barometr  
w przeciągu doby spadł na 17,04 lin. Wielkim zmianom barome-  
tru towarzyszyły zwykle wichry gwałtowne.

Wiatr panujący Wschodni i Zachodni.

Wichrów było 9; t. j. PnW. 1; W. 1; Pd. 1; PdZ. 2; Z. 4.

## SPROSTOWANIA

*w tomie I szym.*

<i>Stron.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
16	5	po wyrazie z Dowgiałłów dodać Jundziłłów	
29	2	owych	nowych
36	3 od dołu	gazety Ruski:	gazety: Ruski
118	7 od dołu	takie; w końcu	takie w końcu
133	9 od dołu	nic przez owę śmierć nie nie stracili	nic przez owę śmierć nie stracili
388	16 od dołu	zniesienia	zniżenia





**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1850.**

**Tom drugi.**

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXVIII.



P  
117152  
**WARSZAWA.**

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,  
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1850.

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*



# ŁUKASZ GÓRNICKI.

PRZEZ

*Wacława Alexandra Maciejowskiego.*

## W S T Ę P.

Uczony Władysław Trębicki, w wybornym swym artykule do Biblioteki Warszawskiej (1) podanym, udzielił nieznanę dotąd szczegóły o życiu Górnickiego, dostawszy ich z rękopisów, które świeżo szanowny Ignacy Kułakowski wynalazł. Nadto ogłosił drukiem poezją Łukasza polską, recenzją wydań dzieł jego staranniej, jak kto inny zrobił, i tak ułatwił mi napisanie tego tu szkicu literackiego. Na pracy tej uczonego męża, i na spostrzeżeniach własnych wspierając moje śledzenia, pobieżnie przejdę cośmy dotąd wiedzieli o Górnickim, a głębiej, ile zakres pisma dozwoli, zapuszczę się w dzieła jego, których szereg pomnożyły listy z rękopisów wydobyte przezemnie (2).

## Bieg życia.

Urodził się w Krakowskiem Górnicki, niepewno kiedy, rok bowiem 1520, który p. M. Podczaszyński podał, niewiadomo na czym się opiera. Naprzód w Krakowie, a następnie w Padwie we Włoszech pobierał nauki. Powróciwszy do kraju, bawił jako dworzanin u Samuela Maciejowskiego, biskupa krakowskiego i wielkiego kanclerza koronnego, po którego śmierci r. 1545 pozostał w tymże charakterze u jego następcy w biskupstwie, u Andrzeja Zebrzydow-

(1) R. 1843. III. 77 następ.

(2) Retoryki, którą też miał napisać Górnicki, nigdzie się dostrzedz nie dało.

skiego aż do r. 1550, w którym ten prałat zszedł ze świata. Około r. 1553 był dworzaninem księdza Przyrębskiego, zmarłego arcybiskupem gnieźnieńskim r. 1562. Jeszcze przed śmiercią tego dygnitarza przeniósł się do Filipa Padniewskiego biskupa krakowskiego i kanclerza wielkiego koronnego, bawiąc u niego już r. 1559, jak o tém sam pod tym rokiem w *Dziejach* wspomina. Zalecony przez tegoż Zygmunta Augustowi, został królewskim sekretarzem tudzież bibliotekarzem, i urząd ten aż do r. 1565 piastował, w którym starostą wasiłkowskim i tykocińskim zrobiony, mieszkał odtąd częścią w zamku tykocińskim, częścią w Lipnikach, włości do starostwa należąc. Ztamtąd bowiem przypisał tegoż roku Dworzanina swego Zygmunta Augustowi; ztamtąd datował listy do Mikołaja księcia Radziwiłła. Żył Górnicki jeszcze r. 1601, a nawet roku 1602, jak świadczy ostatni list, tudzież własny podpis jego na akcie urzędowym, z rękopisu przez p. Kułakowskiego odkrytego, położony (1).

### **Dzieła.**

Dzieła, które pozostawił, są częścią naśladowane, i te słusznie miane są za najlepsze; częścią oryginalne, a i mierne być się okazują; częścią przekładami będąc, takież są wartości. Przejdę je tą koleją, mając na uwadze pierwotne wydania tylko, zresztą zaś czytelnika do wyżej wzmiankowanego artykułu p. Trębickiego odeślę.

### **Arcydzieło.**

Pierwsze i najważniejsze dzieło Górnickiego jest *Dworzanin polski* (2), ułożony na wzór włoskiego *Il libro del cortegiano*, wydane-go przez hrabiego Balcera Castiglione, które po raz pierwszy wyszło w Wenecyi r. 1528. Chociaż Polak ogólnej myśli do jego układu od Włocha pożyczył, przecież całe to dzieło jest zupełnie polskie, przedstawiając się jako wierny obraz sposobu myślenia i humoru najucywilizowańszej klasy polskiego obywatelstwa XVI wieku, a pod względem stylu pomnikiem będąc mowy naszej, olbrzymim krokiem ku udoskonaleniu postępującą. W niém dowiódł Górnicki, że doskonale pojął świat, na którym spędził najpiękniejsze swe lata. Od-

(1) O tém wszystkiém mówi sam Górnicki w *Dziejach* wydania drugiego. (Porównaj 3, 4, 45, 67, 151, 173, w *Rozmowie Polaka z Włochem*; porównaj 82, wydanie bez miejsca i roku) w *Przypisaniu Dworzanina* wydania pierwszego.

(2) Pierwsze wydanie wyszło roku 1566, następnie trzy razy jeszcze pokazało się: są więc cztery wydania dzieła tego.

malowane w niém, jak sam (w przypisaniu) mówi, polskie dworzaństwo, rozmowy jego wyrażone, i obejście się opisane, przedstawiają najpiękniejszy obraz wyższych towarzystw narodu w owym wieku, wyrażając wiernie wizerunek tegoż z natury zdjęty. Bo w nim występują na scenę najznakomitsze ówczesnego wieku osoby, rozprawiają i działają, pozwalając zupełnie wejrzeć w tajniki swego serca, dając przeniknąć bystrość rozumu, oglądać piękność ożywiającej ich duszy, na licach swych wyczytać pozwalając co się wewnątrz dzieje, a powierzchowną swoją układnością przekonać się o tém, że z ówczesnych europejskich narodów przodkowie nasi potrafili najlepiej pogodzić wytworność manieri włoskiej z prostotą obyczajów północnych ludów. Porównyując obrazy dworzan XVI wieku, które wystawił włoski i polski pisarz, przyznać łatwo, że nasz dworzanin nie był li tylko człowiekiem wielkim do małych rzeczy, a małym kiedy wypadło prawdziwie praktyczne rozwinąć życie, pięknie rozprawiającym o naukach i sztukach, w których się wyćwiczył, dlatego głównie, ażeby błyskotą niemi w małym zakresie okazałych ówczesnych dworów drobnych książątek włoskich, i na ich scenie ważne swoje odgrywał role, intrygując i miłostkując: ale przeciwnie, że był nasz dworzanin człowiekiem, który nawet i wtedy, gdy na łonie dworskiego życia wpośród miękkości i pieszczot rozkoszował, pamiętał o tém że jest obywatelem, człowiekiem wielkiego narodu, wiodącego życie w politycznym zawodzie głośnie, mającego w każdym względzie pierwszeństwo w ówczesnej Europie północnej, piersiami swemi zasłaniającego Zachód od przeważnej Turków siły, a wewnątrz kraju czuwającego nad tém, ażeby wolność wyznawania mniemań religijnych i objawiania politycznych zdań szanowaną była, i żadnego ztąd nie poniosła uszczerbku, od morza do morza szeroko rozciągająca się jego rzeczpospolita. Takiego króla dworzanin, a oraz współobywatel takiego narodu, nawet „i wśród zabaw dworskich obmyślał (1) dobro pospolite, i pamiętał o tém, że powinien zawsze tak działać, ażeby odnosząc za pocziwe sprawy sławę y pochwałę, nie zszedł milczkiem ze świata, jako nieme zwierzęta zchodzą”. Tak porachowawszy kroki, które miał baczenie stawiać po ślizkiej przestrzeni dworskiego życia polski dworzanin, okazał mu następnie Górnicki (w drugiej księdze), jak ma żywot swój prowadzić, strzegąc się przesady (wydwarzania): i ubezpieczywszy tym sposobem pleć męzką, wytknął ścieszkę i dla płci niewieściej, żyjącej na dworach (dworne

(1) Słowa są Górnickiego, we wstępie do księgi I. wyrzeczone.

panie), po którejby postępowały z cnotą i światowością zgodnie (księga trzecia). Rzecz całą ładnie i składnie wyłożywszy, obiecał dworzaninowi (w czwartej księdze) spokojną i uczciwą starość, miłą Bogu, szanowaną od ludzi współczesnych, a uwielbianą od potomnych, i zakończył dzieło swoje temi słowy: „A tu dopięro ostatni, y błogosławiony kres, y koniec naydziem naszym żądnościom (życzeniom): Tu odpocznie każdy z prac ziemskich: Tu wytchnie z nędzy, w których opływa człowieczy żywot: Tu się ulęczą cielesne choroby: Tu będzie naypewniejszy port nam wszystkim, którzy na świecie, iako na rozniewanym i niebezpiecznym morzu, mieszkamy”.

Rozważając go po szczególe, uderza w Dworzanie mowa i humorystyka, która wywarła wpływ wielki na pisma polskie, nauce i zabawie poświęcone. Plastyczną jest mowa Reja, nosząc na sobie zewnętrznie i wewnętrznie wydatne piętno pierwiastku ludowego; w rubasznych i thrustych wyrazach, w podobieństwach i porównaniach, pokazując jawnie, że używający jój pisarz wziął ją od ludu, który nie umie udawać, który się takim, jakim istotnie jest, okazuje. Plastyczną jest i Górnickiego mowa, lecz insze weale widzimy jój przyrodzenie, gdyż z innego wypłynęła źródła. Dworujący, chociaż nie wydwarzający, czyli delikatnie a z serca przemawiający nią pisarz, na sam rzut oka poznać daje, że od gładkiego Cycerona (którego zdaniem zbijac lubił mistrza swojego, i od którego pożyczał dla swojego Dworzanie potrzebnych mu wiadomości), że od Seneki do rozumowań i rozumkowań nawykłego, pożyczwszy dla niej krasy, używał ostrożnie, nie śmiejąc ani kroku postawić za dworskie życie, nie waząc się ani słówka powiedzieć wbrew przyjętemu zwyczajowi na dworach pańskich; a używał nie na szkodę, ale owszem na dobro języka narodowego. Pod piórem albowiem Górnickiego przybrała ona nową postać, z ludowej dworską się stając, i tak do wyższej się potęgi wznosząc. Nie sądzmy, ażeby się przez to wyrodzić, i lepsze swe przyrodzenie miał na gorsze zmienić nasz język, z polskiego w rzymski się tok przelewając: plastyk bowiem, który go tak ukształtował, miał na celu sam tylko wyraz, a nie ducha. Chciał zetrzeć z języka dawną szorstkość, a przez to wynaleźć dla myśli pęta, ażeby ta wyłobowywając się na jaw, objawiała się z wszelką na dworność oględnością, bez uchybienia w czémkolwiek grzeczności. Dobrze albowiem mniemał, że dworski człowiek skoro prawidłom sztuki podda swe słowa, tém bezpieczniej będzie umiał stawiać kroki wśród dworujących mężczyzn i niewiast, nauczy się popisować z myślami i mową, nie dlatego, by co inszego w sercu, a co inszego na języku

mając, łudził i odводził od wynurzenia prawdy; ale owszem dlatego, by wiedział, jak ją, bez obrazy przyzwoitości, wynurzyć ma jawnie, jak rzucić zasłonę na objawiające się słowa, a przez to jak stawać się użytecznym dwojako, bo pod skromności, a więc moralności i szczerości względem. Jakoż tak uważana Górnickiego mowa, przedstawia coś osobliwego, coś nadzwyczajnego, coś aż do zjawienia się Dworzanina nieznanego w Polsce. Tęj plastyki, która drugi okres ojczystego krasomówstwa, w przestworze przebieżonych od nas wieków stanowi, nie można się było snadź nauczyć w kraju, gdy się na nią żaden z pisarzy przed Górnickim nie zdobył, i gdy dopiero od czasu pokazania się jego Dworzanina wszedłszy w życie, stała się odtąd powszechną. Tego życia, nie byłaby snadź mogła nabrać polska mowa, i nie byłaby się mogła rozwijać własną potęgą, gdyby ją był sztukmistrz nie okuł pozornie w rzymskie pęta, gdyby jęj w świetną nie był przybrał szatę. Tęj gruntowności myśli, tego czucia, które dziś jeszcze ma swoje wartość, nie miałyby były Górnickiego pisma, gdyby był obcych nie naśladował wzorów. Nic jednakże mowa nasza przez to na swój nie straciła mocy: bo wyzuta z gminnej odzieży, i w nową piękność a powab, wzniosłość nawet, przybrawszy się, przystała lepiej odtąd wyrazowi uniesień wyższych.

Jest Rej humorystą, jest nim i Górnicki: ale jego humorystyka przyzwoita, dowcipna, skromna nawet tam, gdzie jest dwójznaną: co wszystko przeciwnie się ma u Reja, którego dykteryjki, w Przypowieściach mianowicie objawione, sprawiają ekliwość, gdyż są częstokroć piętnem bezwstydu nacechowane. Właśnie takowe podchwyciwszy Górnicki, na wspak obrócił je, i z niechlujnych uczynił przyzwoite; drugie wziął za przykład, i w miejsce jałowych położył dowcipne; inne nakoniec nastroił tak, iż, powleczone zasłoną przezroczywą, zamiast obrażać dwójznanością, umacniają owszem w obyczajności, i niewinności strzegą. Jak Rej, już to w Przypowieściach, już w Zwierzyńcu, wywiódł na pole dowcipów różnego rodu polskich obywateli, i począwszy od króla przebiegł wszystkie stany królestwa; jak różnego wieku, płci, powołania ludzi przepędził przez różgi, nie już satyrą uszczypliwą, lecz częstokroć grubym ochłostawszy ich żartem: tak Górnicki, zacząwszy od monarchy, przeszedł wszystkie, duchowne i świeckie stany, dostojenstwa i urzędy, naukowe, rolnicze, kupieckie zatrudnienia, słabości wreszcie ludzkie, namiętności, zabobony; mówiąc o tém co się Polakom, Litwinom, Niemcom spolszczonym, powiedzieć wydarzyło dowcipnie, w kraju i za



granicą. Wszystko zaś po większej części nie z swojej opowiedział głowy, lecz, w czém jego największa leży zasługa, wyjął z życia, czyli w obiegu świeżo będące: bo za starego i młodego króla (za Zygmunta I i za Zygmunta Augusta) wydarzone przypadki pocieszne, i trefne o nich pogadanki, uwijające się w wyższych i niższych warstwach polskiego społeczeństwa zebrawszy, w usta je powkładał, przekęsem dowcipnie wojujących dworzanów polskich. Prawi Rej o tém, jak ktoś zapomnianych pierścieni królowi nie wrócił, co i jak przytrafiło się Litwinowi, Niemcowi, Tatarzynowi, księdzu (którego do kozła przyrównano): o chłopach i wilku, o niewiastach i t. p. rozprawia. Mówi i Górnicki pociesznie o tém, jak Zygmunt Stary postradał swoje pierścienie, co mu dowcipnego powiedział o skarbowych pisarzach Chalecki, Litwin, jak Grabowiecki starosta mławski (spolszczony Niemiec) przedstawił się światu, jak się biskup wileński ubawił, posłuchanie dając tatarskiego hana posłowi, co obywatelowi sandomierskiej ziemi nazwiskiem Kozieł dowcipnie powiedział prosty pacholek z imieniem jego igrając, co się Włochom nocującym w lesie wydarzyło z wilkami, co o niewiastach prawił Rej, z czaplami je porównywając (1).

Ta szczególnieć część dzieła (stanowi drugą księgę Dworzanina) zrobiła wielkie wrażenie na czytającej publiczności. Widziano w niej wierny obraz sposobu myślenia i humoru polskiego narodu, we wszystkich słojach społeczeństwa uważanego. I rzucili się, ale mali tylko pisarkowie, do naśladowania Górnickiego, liczne na podobieństwo jego popisawszy dzieła; lecz nie sprostali wzorowi swemu, i dziwna rzecz, że sam nawet piszący go żadnym dziełem, które następnie wydał, lub w rękopiśmie pozostawił, nie zrównał swemu Dworzani-nowi; że cokolwiek odtąd bądź tworzył, bądź układał, daleko za tém pozostało pismem. Tak więc Dworzanin jest początkiem i zenitem sławy Górnickiego, za który nie poszedł wyżej dowcip jego, jak zaraz wykażemy.

### **Dzieła małej wartości.**

Puścił się naprzód na pole poezyi, lecz mu się na niém nie powiodło. Nie znaliśmy dawniej téj poezyi, teraz ją poznaliśmy. P. Trębicki bowiem odkrył Górnickiego tren, który ułożył na śmierć

(1) Jeżeli mi kiedyś przyjdzie wydać powtórnie Polskę pod względem obyczajów, umieszczę w niej wszystkie te żarty.

swój żony Barbary z Bezdzięde Broniewskiej r. 1587 zmarłej. Koniec jego (1) podobał się nam:

„O! śmierci krwi niesyta, czemuś nie zabiła,  
Mnie, abym dał swoy żywot za tę co mnie miła.  
I podobniey mnie było w leciech podeszłego  
Wziąć, niż tę co nie miała roku trzydziestego;  
Aleś y tak złośliwa mnie nie ominęła,  
Boś w ciele moiey lubey mnieś większą część wzięła.  
Dokonay już bezecna a tym mnie przepraszysz,  
Gdy tak mnie iako żonę twą ostrą pokosisz.“

Następnie przełożył z tak zwanego Seneki tragika (2) jedną tragedję (3), niby naprzykład (mówiąc Górnickiego słowy, w przypisaniu dzieła Piotrowi Wiesiołowskiemu sekretarzowi królewsk. wyrzeczonemi) „mogą li tym kształtem wchodzić w polskość rzeczy językiem greckim lub łacińskim pisane”.

Odtąd wziął się znowu do naśladowania, i jak z włoskiego dworzaniina, tak z łacińskiego, dzieło O dobrodziejstwach Seneki filozofa spolszczył (4). Sam o tém mówi w przypisaniu swój pracy Zygmuntovi III zeznając, że ją ułożył „dogadzając wyrozumieniu łatwemu a nie rzeczam, obyczajom y ludziom rzymskim czasów onych, a y tu y owdzie przydawaiać nieco swego; a niektórych rzeczy dla pewnych y ważnych przyczyn nie tykając, y niektóre téż odmieniaiać.”

Nakoniec w krótkiej przemowie do czytelnika, jaśniej tłumacząc się w tym względzie, mówi: że w przekładzie tym „przestąpiło się abo co tym czasom nie służy, abo to, czego lepiej nie wiedzieć niż wiedzieć.” Pogaństwo i zabobony z chrześcijaństwem niezgodne opuścił, i dzieło całe przyswoił raczej polskiej narodowości, anizeli wytłumaczył je wiernie. Dlatego téż w przekładzie tym występują w przykładach Moskwa, Tatarzy, Węgrzyni i kanonicy (5). Przywiedziony od Seneki wyjątek z piérwszej sielanki Wirgiliusza, wy-

(1) Porównaj Bibl. Warsz. r. 1843. III. 80. 81.

(2) Beziemienny a nadęty poeta uzyskał imię Seneki, z przyczyny, iż i Seneka filozof tragedye pisał. Porównaj Kwintyliana VIII. 3. 31. IX. 2. 8. Lecz sposób pisania tragedyi, które do nas doszły, a z których jedną z najlepszych przełożył Górnicki, wykazuje, że ich Seneka filozof pisać nie mógł.

(3) Troas, tragedia z Seneki, w Krak. u Łazarza 1589 według Juszyńskiego, bom ja nigdzie oglądać jęj nie mógł.

(4) Jak dobrze osądzili już to pismo inni, porównaj Sobolewskiego u Joch. I. 168, których niestusznie gani p. Trębicki Bibl. Warsz. tamże 102, tłumaczeniem go zowiąc. Wyszło w Krak. 1593 pod napisem: *Rzecz o dobrodziejstwach z Seneki wzięta*. Doczekało się i drugiego wydania r. 1790, o czém tamże 91 zobacz.

(5) I. 6, IV. 14, VI. 13. 19. VII. 10. Resztę w téj mierze z. u Jochera w *Obrazie* I, 168.

tłumaczył wierszem, dowolnie, ale dosyć zgrabnie. Cokolwiek od-  
tąd pisał, pozostawił w rękopisie, z kąd synowie zmarłego wydawali  
pośmiertne te miernéj wartości dzieła.

Przejdę je po kolei.

Występuje naprzód: *Demon Socratis albo rozmowa złodzieja z czartem, wydany 1626 z poprawą* (jest w Warsz.). Przerobione więc snadź przez którego z synów zmarłego, wyszło to dzieło. Treść jego następująca: „Złodziej namiętnie kochający dobre panie (nierząd-  
dnice) stał się zbrodniarzem z poczciwego człowieka. Rozpoczął obrzydłe swe rzemiosło od kradzieży srebrnego pasa. Gdy długo kradłał, schwytyany wreszcie został i osadzony w więzieniu. Tam, roz-  
myślując nad swym losem, kląć zaczął czarta, który go przywiódł ku złemu. Wtém staje przed nim czart, i dowodzi, że nie djabeł, lecz i owszem sam złodziej, folgując namiętności, skusił siebie, poz-  
był cnoty, i piekłu oddał się w ręce: które wszakże nie będzie miało mocy nad grzesznika duszą, jeżeli ten przyznawszy się do winy, z chę-  
cią odda się na pokutę, a wycierpiawszy mękę, zamieni życie niecne na błogi żywot po śmierci.” Widać i ztąd, jak lichym był poetą wzorowy nasz stylista, gdy tyle cnót przypisał djabłu, i jak stosownie do pojęć ludu o djable polskim prawił, gdy te słowa włożył w usta szatanowi. „Alem ja jest z tych duchów, co na powietrzu mieszkając, jest im to wolno z tym lub owym stowarzyszyć się człowiekiem, y abo w tym abo w owym przemieszkiwać miejscu, przykrości nie czyniąc nikomu, owszem się podczas w rzeczach potocznych człowiekowi zachowując, i jego z większego złego do mniejszego prowadząc. Jakoż miewałem ja wielokroć towarzystwo z ludźmi, a z Sokratesem wiodłem największe, człowiekiem cnotliwym y mądrym na świecie. Otoż mając ja litość nad tobą, chociaż ty nie mnie, ale tym którzy w piekle mieszkają świeczki stawiał, radbym ci tak pomógł, żebyś jako na umyśle tak i na ciele, tu na tym świecie odcierpiał: bo możesz mi wierzyć, że y ci w piekle czartowie, nie wszyscy pragną zguby ludzkiej, mała to rozkosz jest mieć towarzysza boleści.”

Następuje dzieło, które również jak Dworzanin byłoby wielką zrobiło sławę Górnickiemu, gdyby mu był sprostął. Znam dwa wydania jego. Jedno (jest w bibl. gimnaz. warsz.) mające napis: *Rozmowa Polaka z Włochem o wolnościach y prawach polskich*, które wyszło bez miejsca i roku (1).

(1) W ćwiartce stronnice 101, ostatni znak druku N. 3. Tytuł jak podailiśmy, ma wkoło obwódkę i flores w środku. Treść niby rozdziałów, wyrażona jest po marginesie, tudzież wypisani są celniejsi pisarze, z których rzecz wyjęto,

Drugie ma tytuł następujący: *Rozmowa o elekcyey, o wolności, o prawie, y obyczaiách polskich. Pod czás Electiey króla Zygmunta III czyniona. Teraz nowo wydána przez Potomki iego, za pobudką umknienia Tytułu y własności Authora prawdziwego. W Krakowie u Dziedzicow Jakuba Siebeneychera. Roku Pańskiego 1616* (czytałem w Kurn.). Wydawcy Jan i Łukasz Górniccy uczynili „w Głowie 20. Augusti Roku 1616”, dzieła tego przypisanie „Adamowi Konstantemu książęciu Ostrogskiemu Hrabi na Tarnowie”, gdzie między innymi mówią: „że Łukasz Górniccki dzieło swe napisawszy, dał do odczytania Krzysztofowi Radziwiłłowi, Janowi Zamojskiemu, Markowi Sobieskiemu wojewodzie lubelsk. i wielu innym. Ci radzili, ażeby wyborne to pismo nie zaraz było drukowane, lecz raczej ażeby poczekano, „ażeby naród nasz sam przez się rząd sobie zasmakował. Do czego gdyby przyszło, dopięroby te rzeczy sprawić co dobrego mogły.” I tak się stało. Byłoby długo leżało to dzieło, gdyby je był pewny szlachcic z ziemi przemyskiej (1) za swoje wydrukować nie kazał, przypisawszy je temuż Adamowi Konst. książęciu Ostrogskiemu. To było pochopem synom zmarłego, że dzieło ojca wydobyli i drukiem powtórnie go ogłosili.

Miało następnie kilka wydań to dzieło, a nawet na język niemiecki r. 1753 (2) przełożone będąc, po dwakroć w swym przekładzie wytłoczone (3) zostało (4), co już samo za wielką jego wziętością przemawia. W ścisłym zostaje ono związku z drugim Górnicckiego dziełem, *Dzieje w koronie polskiej* (5), tudzież z trzecim i ostatniem, które pod tytułem: *Droga do zupełnej wolności* syn jego Łukasz, sześćdziesięcioletni starzec, dziekan warmijski, podał do druku r. 1650 w Elblągu (6), z rękopisów je po ojcu pozostałych wydobywszy.

Nie w tym porządku lat, jak je wydawano, powstawały te dzieła: naprzód bowiem napisał Górniccki *Dzieje*, następnie *Rozmowę* ułożył, nakoniec *Drogę do wolności* wskazał; o czém syn jego Łukasz wyraźnie wspominając w przypisaniach (*Dzieje* przypisał Władysławowi IV, *Drogę* Janowi Kazimiérzowi), okazuje i to, iż stosownie jak

(1) Podług Niesieckiego III. 241, Piotr Suski pisarz grodzki przemyski.

(2) Czytałem w bibliotece tak zwanéj ś. Bernarda na Nowém-Mieście w Wrocławiu; myli się więc p. Trębicki, rok 1752 wyjścia jego naznaczając.

(3) Drugie wydanie 1762 wyjść miało.

(4) Porównaj zresztą p. Trębickiego wyżej przywiedziony artykuł, 92 nstpn.

(5) Wyszło po raz pierwszy w Krakowie 1637; następnie cztery jeszcze wydania uzyskało.

(6) Porównaj artykuł p. Tręb. 98.

tego okoliczności wymagały, lub jak pisma owe odkrywał w papierach po ojcu pozostałych, ogłaszał je drukiem. Jakoż, gdyby nie postępek Suskiego, nie byłby się jeszcze na wydanie Rozmowy odważył. Że zaś do niej nie przydał Drogi, i razem z tamtą w świat jej nie wyprawił, był ten powód, iż ją dopiero r. 1628 (1) między rękopisami ojca odkrył. Nie sądził być bezpieczną rzeczą wydać ją za Zygmunta III lub za panowania Władysława IV, wtedy bowiem wiele znaczyła szlachta, przeciwko której pismo to wystosowanem zostało. Tak więc wyjść naprzód musiały Dzieje, a dopiero przy wstąpieniu na tron Jana Kazimiérza pokazać się mogła Droga, gdy walące się na kraj nieszczęścia przez kozackie bunty, dawały otuchę, iż prędzej teraz posłucha szlachta cierpkiej prawdy, i dane sobie przestrogi na rozwagę weźmie.

Ojciec przeto i syn, jak ztąd widzimy, mieli odwagę mówić i głosić prawdę, lecz jej ani wynurzyć bez ogródki, ani w dogodnym czasie wypowiedzieć nie śmieli. Jawnie to wykazuje, że trudno, by dworak był dobrym historykiem, i że nie mogąc nim być, nie może też politykiem zostać. Greckiego mędrca zdanie „poznaj siebie samego”, stosuje się do pojedynczego i zbiorowego człowieka, jakim jest każde państwo. Poznaje się sam człowiek, gdy bacząc na stosunki, które go z towarzyską społecznością wiążą, według nich stawia swe kroki; gdy z namysłem i ostrożnie w każdej sprawie działając, postępuje z wszelką na siebie i świat oględnością. Toż samo się o zbiorowym człowieku rozumie: i on bowiem w podobnychże, lubo daleko rozciąglejszych zostając do świata stosunkach, winien baczenie zwracać oko na siebie i na to wszystko, co go otacza. Doświadczeniem uczony, miarkuje obecność przeszłością, z tego co było wnioskując o tém co jest i będzie. Właśnie to jest mu pewnikiem działania, jest podstawą prawdy, jest przekonaniem o tém, że nie mylnie stawia swe kroki, że tą postępując drogą, dojdzie do celu swych życzeń. A ponieważ tém jaśniej, im wielostronniej wychodzi na jaw prawda, i znowu ta z różnej uważana strony różnie się pokazuje: przeto pojedynczy i zbiorowy człowiek tém lepiej siebie i swój do świata pozna stosunek, im bliżej i głębiej ludzkość rozważając, z właściwego się na nią stanowiska zapatrywać nauczy. Któż schowany na łonie pięknej przyrody, będzie się jej umiał z właściwego przypatrzyć stanowiska, podziwiać, pojmować, rozmawiać z nią, jeżeli nie zna jej języka? Któż rozważając siebie i świat, poznał swe jestestwo

(1) Jak sam mówi w przekładzie Jana Borklajusza, który pod napisem *pa-raenesis* tegoż roku wydał.

i w sercu tych, z którymi obcuje czytać potrafił, jeżeli nie poznał świata, czyli zbliżka się z tym nie obeznał, z którym wszedł w stosunki? Któż da sposobność drugim do odgadnienia, czego sam nie odgadł, jeżeli zimnym i martwym dla niej będąc, nie odkryje im prawdy, lub wyjawi ją po niewczasie? kiedy już ostygną dla niej serca, i sama stanie się umarłą lub nawet dziką dla tych, co jój służyć i pojmować nie chcieli? Zaiste, nie poznał siebie Górnicki, i Polska nie mogła o sobie przeświadczyć się z jego nauki, gdy mniemał, że jak w mowie, tak i w dziejach dworować można, gdy historykiem nie będąc, politykował, gdy sądził, że dobrze ten czyni, który ludziom nie głosi prawdy, kiedy jój słuchać nie chcą: jak gdyby piękne słówka stanąć mogły za rzecz, jak gdyby ten, co nie poznał ludzkich stosunków, mógł uczyć drugich, jak świat pojmować mają, jak gdyby miłośnik prawdy nie miał obowiązku głosić jój i tym, którzy nateraz są dla niej głusi, jak gdyby słuchacz mógł sobie dośpiewać piosnki, której nigdy nie słyszał, a ten, na którego ustach ostygła i umarła prawda, mógł się spodziewać, iż nią trafi do serc potomnych.

Przytaczając na to dowody, com wyrzekł, usprawiedliwiam powództwo moje, na pisarza przed sąd historyi wytoczone, własném jego zeznaniem. Wydał bowiem Górnicki Pamiętniki swojego czasu, w których zamknął wszystko, co widział od r. 1532 do r. 1572 lub czego miał wiadomość dostateczną, liche napisawszy dzieło. Gdyż nietylko nie postąpił w niém dalej od swoich poprzedników w sztuce pisania dziejów, lecz nawet wsteczny krok uczynił. Pominąwszy formę (którą zupełnie od starożytnych pisarzy przejął, włożywszy w usta występujących na widoku dziejów, mowy niby ich własne), nie widać w rozwinięciu dzieła zalet greckim i rzymskim historykom właściwych, lecz widać błędy, które przejął od nich, przez co zagroził sobie drogę do zapatrywania się na dzieje z politycznego stanowiska. Bo naprzód ubliżał prawdzie, inaczej jak było o głównej osobie, o królu Zygmuncie Auguście, podawszy. Powtóre, przywiódł drobne okoliczności, a pominął ważniejsze w kraju wypadki, o których jako żyjący pod boki monarchy, jako polityk, powinien był mieć wiadomość dostateczną, gdy ją mieli inni, z położenia swego mniej świadomi krajowych zdarzeń. Po trzecie, drobnostek nawet tych nie przywiódł dokładnie. Po czwarte, dał nam za rzecz piękne słówka, wypadki dziejów krasomówstwem zastąpiwszy. Zgoła też same popełnił błędy, co Liwiusz, którego naśladował, a który również jak nasz pisarz, dworował, drobnostkował, szczegółów się chwycił, a ogół spuszczał z uwagi, rzymskiemu Augustowi i patry-

cyuszom z ujmą ludu nadskakując, wyliczaniem zjawisk natury zabawiając czytelnika, a ducha polityki Rzymu nie ukazując mu. Lecz ogrom rzeczy opowiedzianych, i inne od Polaka w opowiedzeniu ich cele, każą nam o tych usterkach rzymskiego zapominać historyka; gdy przeciwnie zniewalają do przyganienia Górnickiemu właśnie dlatego, iż na dziejach rozwój politycznego stanu Polski oparłszy, właśnie nie zgłębił tego, co chciał w praktyczne wprowadzić życie. Że nie zgłębiał rzeczy, i nie szukał prawdy, dowodem na to jest rzecz o Skartabelach, której w Rozmowie Polaka z Włochem dotknąwszy, twierdził, że to byli tacy obywatele, którzy nie chcąc się poczuwać do obowiązków szlacheckich [nakazujących by każdy obywatel, który imię (majątek ziemski, dobra nieruchomości) posiadał, służył w myśl prawa rycerskiego (szlacheckiego) w wojsku], i dlatego wyprzedając się z imion, przenosili się do miast i w nich jako *skrytobyłowie* (jako ludzie żyjący skrycie) ukrywali się przed wojskowością. Lecz o Skartabelach, jako szlachcie po miastach nieukrywającej się, mówi właśnie ten statut (wiślicki w statutach Łaskiego), na który się powołuje Górnicki, o czém wiedzieć należało temu, który rozważał prawa polskiej szlachty. Tamże mówi, że kokosza wojna ztąd nazwisko swoje wzięła, iż podczas pospolitego ruszenia za Zygmunta I, szlachta nie dopuszczając się wielkich na majątkach współobywateli gwałtów, same im tylko kokosze na żywienie dla siebie zabierała: co za dobrą monetę wzięwszy inni (1), toż samo powtarzali, chociaż na podoręczu mieli właściwe nazwiska téj wojny znaczenie, która jakoby na gdakaniu kur, czyli na próżnej skończyła się gadaninie (2). Poświęciwszy swe dzieło przedstawieniu obrazu nieszczęść kraju, które z lekceważenia praw i źle zrozumianej wolności wynikły, i obraz ten na widok publiczny wystawić zamierzywszy, dał Górnicki do obejrzenia temu, który nie chciał i chcieć nie mógł, by w sposób tu wskazany miała nastąpić poprawa rzeczypospolitej (3). Jan Zamojski, jak się spodziewać należało, radził wstrzymać druk dzieła. I usłuchał go dworak Górnicki, nie poszedłszy torem sławnego poprzednika swego, z którego wypisał (4); nie podawszy, jak Ostrorog, uwag swych do wiadomości publicznej, uwag, któremi lubo w XV wieku

(1) Porównaj Lindego p. w. *kokosz*.

(2) Inne usterki wytyka Witwicki w *Wieczorach Pielgrzyma I*. 299. nstpn.

(3) Porównaj w trzecim tomie tego dzieła opisaną broszurę, mającą napis: *Exorbitantie które sie działy przess Osobe kanclerską J. Zamoyskiego*.

(4) *Joan. Ostrorog monumentum pro comitiis generalibus regni sub rege Casimiro pro reipublicae ordinatione coagestum*. Dziełko pisane około r. 1460. Z rękopisu wydał go, roku i miejsca druku nie wyraziwszy, w Warszawie 1831, Jan Wincenty Bandtkie, wraz z polskim przekładem.

wzgardził sejm, jednakże w XVI przyjął je, i po większej części w prawo zamienił. Tuszę, żeby także samo, a przynajmniej ponieważ, miało Górnickiego dzieło powodzenie, gdyby się był odważył przemówić do narodu za życia: dziwna bowiem jest potęga słowa, i zwykle więcej robi wrażenia na publiczności wydane za życia piszącego, niż pośmiertne dzieło. Gdy mu wspaniałomyślny zamysł, uderzył nasz polityk w inną stronę, i w duchu pańskości napisał dzieło politycznej treści, *Drogą do szczęścia* nazwawszy je. Przejawszy się za młodą tą myślą, że narody mogą być szczęśliwe tylko pod rządem monarchicznym lub republikańskim tym, w którym rej wodzi arystokracja pańska, i będąc tego przekonania, że współrządy średniego stanu (a niby taki składała szlachta w Polsce) do bezrządu wiodą; radził władztwo Polski na wzór rzeczypospolitej weneckiej przeistoczyć, i namawiał naród, ażeby takowe złożył w ręce panów wyłącznie, którzyby je sprawowali przez radę nieustającą (1). Ażeby zaś rzeczypospolitej tak urządzonej na radach pańskich nigdy nie zabrakło, powtórzył daną już w Rozmowie radę, by w domach magnackich urządzono branie dziedzictw sposobem majoratów; skutkiem czego najstarszy w rodzie dziedziczyłby, wykluczwszy od majątku rodzicielskiego resztę rodzeństwa. W takiej rzeczypospolitej (mówi Górnicki) byłoby króla obowiązkiem doglądać tylko „iżby każdy przełożony urzędowi swemu dosyć uczynił. Sam nie będzie nic mógł, ale ze wszystkimi władać wszystkiem będzie. Będzie on wprawdzie niewolnikiem wpośród wolnych panów; ale święta to niewola mieć się dobrze, mieć wielkie dochody, dwór ozdobny, używać przejazdów w łowy, być we czci u wszystkich, electorem być wszystkich dostojenstw, a nie kołatać się po drogach”.

Nietylko rady te, lecz zgola wszystkie myśli, które w swych dziełach (w Rozmowie i w Drodze mianowicie) o poprawie rzeczypospolitej objawił, nic nowego nie zawierały. O nadużyciach bowiem, które wytykał, wiedziano powszechnie; szło tylko o to, ażeby poważny jaki pisarz (takim właśnie był Górnicki) przemówiwszy o takowych, zrobił wielkie na narodzie wrażenie: zwłaszcza gdy słowa Skargi, w każdym niemal sejmowym kazaniu w toż samo godząc, do serca nie trafiały sejmującym stanom, wielu bowiem protestantów liczył sejm: w swoim gronie, którzy się z słów mówcy, jako Jezuitę, natrzęsając, z wiatrem je puszczali. Samym nawet katolikom szło w niesmak, o czym do nich przemawiał Skarga, gdy ich temi (2)

(1) *Sejmem ustawicznym*, nazwał ją w Rozmowie: *urzędem górnym* mianował ją w Drodze do zupełnej wolności.

(2) W kazaniu czwartym sejmowym „o monarchii” mianem.



upominał słowami: „przezacni panowie, nie czyńcie z królestwa Polskiego niemieckiego rzeskiego miasta; nie czyńcie malowanego króla, jako w Wenecyey, bo weneckich rozumów nie macie, y w iednym mieście nie siedzicie”. A oni właśnie pielęgowali oddawna myśl, by tak czynić, by wszystko jak radził Górnicki zrobić; zwłaszcza, gdy przed wieki wszystkie słowiańskie ludy miały demokratyczno-arystokratyczną zasadę rządu, która aczkolwiek się już zupełnie była zużyła, i, za wolą samychże panów w szlachecko-demokratyczną zasadę przeszła, jednakowoż ją znowu ożywić, i przez nią rzeczpospolitą polską na pańsko-arystokratyczną obrócić chciano. Rozbierzmy zasadę takiego rządu.

Wrodzone to sobie mając człowiek, by do lepszosci zdązał i ubiegał się za wyższością, właśnie przez to samo zostaje, nawet mimo wiedzy i woli, arystokratą; jak chłop polski, który w kwestyi o małżeństwie najarystokratyczniejszymi kieruje się zasadami; jak każdy zgoła pojedynczy i zbiorowy człowiek, z samego przyrodzenia jest arystokratyzmem przejęty: bo, jak rzekłem, za lepszoscią i wyższością ubiega się, czyli za arystokratycznością (według wyrażenia się Greków, twórców nazwiska arystokracji i najgłówniejszych jój w starożytnym świecie rozkrzewicieli) goni. Początkowo trzyma się człowiek źródła, z którego mu wyobrażenie o rzeczy płynie, i do urodzenia pojęcie arystokracji przywiązuje; lecz z czasem sięgając wyżej, i coraz wyżej, zacność naprzód, następnie różne, według różnych od wyobrażeń w narodowości swojej uzasadnionych, kładąc wyższości warunki, mierzy pojęć swych stopą wyższość ową, oddalając się coraz więcej od pierwotnego źródła, czyli niekoniecznie już do rodu przywiązując arystokracji znaczenie. Tak z czasem sami Grecy przyznawali wyższość tym tylko rodom, które dobrze krajowi się zasłużyły, i nabyły przez to prawa do uważania się za coś wyższego od reszty obywateli. Tak Rzymianie, którzy te pojęcia dalej rozwijali, prawem uświęcili, ażeby było wolno dobrze zasłużonym dla kraju mężom, zewnątrzniemi się oznaki, od reszty obywatelstwa odróżniać (1); ażeby nawet ci, którzy ze świetnych nie pochodząc rodów, położyli wielkie zasługi w kraju (2), tegoż samego prawa byli uczestnikami. Po Grekach i Rzymianach, Słowianie i Niemcy najbardziej arystokracji sprzyjając, kładli jój za warunek naprzód obywatelskość (jak to było u Słowian) i kastowość rodową (jak było u Niemców); następnie zaś, mianowicie od czasu zetknięcia się z Rzy-

(1) *Jus imaginum.* (2) *Homines novi.*

mianami, rycerskość wiążąc z rodowością, na dwóch tych zacnościach wyższość zasadzali obywatela. Dwa te (naprzód odrębnie, następnie zaś, od czasu wystąpienia Franków na widowni dziejów, łącznie pokazując się u europejskich ludów) pojęcia arystokracji, walczyły z sobą zawsze o pierwszeństwo, próbując, która przemoże którą. Pierwsza mocno zakorzeniwszy się u naddunajskich Słowian, przebiegała razem z nimi południową Europę, i doszła aż do gór alpejskich, szczególnie się nad rzeką Lechem w Bawaryi, tudzież w przepysznym Wenecyan rozgościwszy grodzie (1). Drugą przez kastowych Niemców upowszechnioną na północy, zwichnął żołnierski duch Rzymian, tém łatwiej zmianę wyobrażeń w tej mierze zrządziwszy, gdy duchem wojskowości przejęci Frankowie, rycerskość kładli za główny warunek wyższości obywatelskiej. Duch ten owiał i przesiedlonych Słowian z za Karpat przed Karpaty; od czasów zaś zjawionych między nimi Lechów, zamieszkał u nich na zawsze: z kąd powstała walka zastarzałych wyobrażeń z nowymi, gdy dawne rody nie tamując drogi postępowi nowych myśli, bierne jednakże raczej, niż czynne znaczenie przyznać chciały zasłudze. Krótko mówiąc, chciały tego dawne rody (panowie), ażeby rycerskim czynem zasłużony krajowi obywatel (szlachcic), miał cześć i poszanowanie osobiste, a wpływał na rządy kraju w dalszém dopięro pokoleniu; gdyby szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało się jego następcom zachować świetne przodków imię, odświeżać przez nowe czyny nabytą sławę, i tak ciągłym następstwem zasług utrzymywać w swym domu blask wstawionego imienia, wynosząc je przez to do rzędu rodowych kraju znakomitości. Gdyby, czci owéj osobiście posiadanej nie na samém poszanowaniu ją ograniczając, chciały były starożytnie rody, stosunkowo do zasług, zlewać na zasłużonych takie korzyści, jakich kraj dostarczał, a nie garnęły ich do siebie wyłącznie: byłby cel dopięty; lecz gdy się przeciwnie działo, a szlachta miała po sobie prawo, przeto zasada ta chwiać się zaczęła, kołatana będąc wpływem stronnictw, co znowu zasadę rządów kraju wstrząsało.

Powiedzieliśmy we wstępie, z kąd i jak potworzyły się w Polsce stronnictwa, i jak na pańsko-szlachecką polską wykierowawszy się rzeczpospolita, żyła w nierówności praw; gdy jedno stronnictwo z krzywdą drugiego ciągnęło do siebie korzyści, rej wodząc w rządach kraju. Domagano się przeto naprawy rzeczypospolitéj, i tego miał do-

(1) Według *lex Bajuvariorum* z szóstego po Chr. wieku, wybrana liczba znakomitych rodzin stała u steru rządu. Toż samo było w Polsce, i w Czechach niegdyś.

kazać Zebrzydowskiego rokosz, który, jak tamże napomknęliśmy, różne nadto miał na widoku cele. Gdy zamiar nie dopisał, widoczna była odtąd przewaga stronnictwa pańskiego nad szlacheckim; tém bardziej, gdy stojący dotąd wpośrodku obudwóch monarcha, przechylił się na stronę panów, i musiał się przechylić, przekonawszy się o tém, że oni wespół z Jezuitami utrzymali go na tronie. Atoli król jak się na jedną naklonił stronę, tak również mógł jój odstąpić, do przeciwnego przeszedłszy stronnictwa; zwłaszcza, gdyby osiadł na tronie człowiek przedsiębiorczy, i przez szlachtę chciał poniżyć panów, czyli wpływ ich na rządy kraju ograniczyć. Tego się obawiając panowie, przedsięwzięli teraz sami przywieść do skutku naprawę rzeczypospolitój, i gdyby nie wojny kozackie, byłiby swój zamiar do skutku przywiedli, mając na to dawne ukute plany. Oddawna bowiem zwracali uwagę na państwo, które w nader małym zamknięte obrębie, bo w jedném skupione mieście, niemając ziemi władło przestrzenią, obszerne lądy i wielkie posiadając wyspy; które drewnianym obwarowane murem, bezpiecznie spoczywało poza lasem swych masztów, które stojąc na złotym piasku, wstrząsało podstawą państw na granitowej osadzonych skale; które napozór słabo, bo od wielu rządzone (mających na swém czele lalkę, postawioną na to, by dawane sobie i milionom ludów rozkazy podpisywała), wpływało silnie na rządy potężne, bo woli jednego ulegające; które nie przez rycerski, lecz kupczący lud wspierane, kierowało według woli ogromnemi massami zbrojnych i do oręża zrodzonych narodów. Taką była Wenecya, taką jój na polityce wspierające się rządy. Podziwiali je polscy panowie, i podróżując po Włoszech, najdłużej w Weneckim przesiadywali grodzie, ucząc się wielowładnego miasta sądów i rządów, rozważając jego o władzy prezydenta rzeczypospolitój czyli doży postanowienia, podziwiając rozkazy dawane rządcom prowincyj (1), przemyślując nad tém, ażalibysię nie dało rządów tych zastosować do Polski. Lecz do tego potrzeba było wiele warunków, przedewszystkiem zaś, jak dobrze powiedział Skarga, potrzeba było weneckich ro-

(1) W bibliotece ordynacji Zamojskich czytałem ciekawe pergaminy, na których stoi wypisana z r. 1507. *Institutio data a Leonardo Lauretano duce Veneciae in dignitate Rectoris insulae Cretae, actus potestatis, r. 1519. in potestate terrae Martinenghi, 1524. Rectori insulae Canae, Institutio in potestate civitatis Bergoni data ab Andr. Gritti; r. 1530 actus potestatis supra civitatem Veronae.* Tamże znajduje się: *ordo consilii ducalis in Venetia, constitutio proconsularis reipublicae Venetiarum, z lat 1565, 1569.* Zamojski Jan doradzał zaprowadzić do Polski postępowanie sądowe Wenecyan, Andrzej Wolan (porównaj Mich. Bałińskiego Pisma histor. III. 20. nstpn.) wystawił r. 1572, za przykład urządzenia praw do zabezpieczenia rzeczypospolitój zmierzających instytucye weneckie.

zumów (nauka z bezsumiennością i wytartém czołem, uczyła tych rozumów), na które gdy się następnie zdobyła Anglia (1), przeto téż, rządy takowe potrafiła zaprowadzić u siebie, i niemi dotąd stoi. U nas nie mogły się przyjąć te rządy, nawet i w części. Przyczyna tego leżała w samém źródle kast obywatelstwa polskiego, które z rycerskości powstawszy, tém samém postępowe miało o arystokracji pojęcie, które z powołania swego na rząd kraju wpływając (każdy bowiem polski obywatel był ojczyzny swój wazalem, i dlatego żołnierzem, przez co właśnie wyosobniał się od obywatelstwa reszty Europy), nie mogło być pozbawione tych praw, i wówczas, gdy w myśl Górnickiego część takowych rządów wprowadzono do Polski, radę nieustającą (sejmem wiecznym, 'urzędem górnym nazywałby ją Górnicki) postanowiwszy. Szeroce się o tém, da Bóg przy dziełach Stanisława Konarskiego (który, jak mówią, miał wiele korzystać z Górnickiego) rozwiode, gdy mi historiją literatury XVIII wieku rozważać przyjdzie. Tu potrąciłem o ten szczegół, w kilku słowach rzecz o arystokracji znaczeniu, według własnych wyobrażeń zamknąwszy, a potrąciłem przeto, ażebym usprawiedliwił wyżej o Górnickim, jako dziejów pisarzu i polityku, wyrzeczone zdanie (2).

(1) Istny ona dziś jeszcze przedstawia obraz weneckich rządów, po wzięciu na tron r. 1689 Wilhelma Stathudera Holandyi, a bardziej jeszcze po obraniu elektora hanowerskiego r. 1693, królem Wielkiej Brytanii ustanowionych.

(2) Reszty o arystokracji, jój postępie i wpływach na rządy kraju, doczyta się kto zechce, w Pierwotne dzieje Polski i Litwy, w Kronikę Lechicką, w Historiją prawodawstw, przez nas napisaną, zajrzawszy.



# PIENIADZE I KLEJNOT SZLACHECKI.

P O W I E Ś Ć.

---

Część trzecia.

X.

Pan Levrault był bardzo nieszczęśliwy. Widział on wszystkie swe nadzieje zawiedzione, wszystkie marzenia z dymem ulatujące, wszystkie swe ambitne zamiary zdruzgotane, stratowane jak groch przy drodze. Dla ocalenia swój godności, nadrabiał miną; ale wkrótce wpadł w pewien rodzaj gnuśności, z której nic wydobyć go nie zdołało. Straciwszy swego wice-hrabiego, stracił także żywość, wesołość, szczęście swojego życia. Niestety! nie byłto więcej ten sam wielki przemysłowiec, któregośmy poznali, zawsze w dobrym humorze, zawsze głośno rozprawiającego, z radosném obliczem, napełniającego okolicę na dwie mile odgłosem swoich bogactw. Wiara i nadzieja zamarły dla niego. Załedwie wierzył jeszcze w znakomitość swego stanowiska. Jego sen, niegdyś tak spokojny, przedstawiający tylko uśmiechające się obrazy, był przerywany przerażającemi marami; często mu się przywidywało w senném marzeniu, iż sprzedaje sukno na ulicy Bourdonais. Jeżeli jego nocy były nieznośne, to dni od nich nie były lepsze. Hrabia Kerlandec i kawaler Barbanpré wpadli w taką niełaskę, co i wice-hrabia Motflanquin. Zamek w Trelade stał się tak milczącym, jak grobowa mogiła. Konie stały w stajni, powozy w wozowni. Słudzy, którzy się w cichości cieszyli niepowodzeniem pana, mieli szydzące lub osłupiałe oblicza.

Pan Levrault nie wychodził z pokoju, tylko dla przewietrzenia nudów pod cieniem parku. Z schyłym czołem, rękami w tył założonemi, przechodząc się płakał swoich tytułów, barona

i nominacyi na para. Ale to jeszcze nie wszystko. Ostatnia rozmowa jaką prowadził z panem Stefanem Jolibois, pozostawiła w jego umyśle ślady, które zamiast ostudzić, drażniły owszem wyobraźnię.

Z początku śmiał się z proroctw notaryusza, ale skończyło się na tém, iż na prawdę lękać się zaczął. Do duszy pana Levrault łatwo miały przystęp wszelkie wrażenia. Nie chcę utrzymywać, żeby to była dusza bojaźliwa, tchórzowska, ale to pewna, że téż i nie rycerska.

Od ostatniego widzenia się z notaryuszem, z bojaźnią badał widokrąg polityczny, zaglądał tylko ze drzeniem w kolumny swego dziennika, i od dnia do dnia oczekiwał na odebranie nowiny, o zatopieniu monarchii przez srogie bałwany rewolucyi. Tym sposobem nic nie brakowało do jego kłopotów; wszystko sprzysięgło się, aby go wtrącić w czarną przepaść smutku. Rzeczpospolita była prześladowającą go marą; majaczył on, czyby nie wypadało opuścić Francyi, wyszukać gościnnego zakątka ziemi, gdzieby mógł swą głowę i swe talary uchronić przed zemstą i żarłocstwem ludu.

Mówiąc bez ogródki, pan Levrault nie wiedział czego się jąć, i jakiego się trzymać planu. Wahał się między dwoma przeciwnymi stronnictwami, a gdzie tylko się obejrzał, widział same niebezpieczeństwa, pułapki na siebie zastawione i katastrofy wszelkiego rodzaju. Doświadczenie jakie niedawno przebył, niesłychanie ostudziło w nim zapal do szlachty. Wszędzie spostrzegał zasadzki na miliony, sidła rozpięte przez arystokracją, na złapanie wielkiego przemysłowca. W jego oczach Bretania była wielką knieją łotrów. Nadewszystko czuł nieufność do zamku La Rochelandier, który uważał za jaskinią, gdzie mieli siedlisko Szuanie, jako gniazdo spiskowych, jako nareszcie punkt środkowy intryg i matactwa legitymistów. Przypomnijcie sobie, że wtedy, kiedy Kasper chyłkiem uchodził z zamku Trelade, pan Levrault krzychał grzmiącym głosem aby zaprzężono, dla wyjechania do La Rochelandier; z jego strony było tylko dowcipny wybieg, w celu zadania ostatecznego ciosu Kasprowi.

Czy miał słusność lub nie, trudno sobie wytłumaczyć; dosyć, że niecierpiał La Rochelandierów. Nie umiem objaśnić, jak sobie nasz walny mieszczanin wyrezonował, jak doszedł do tego przekonania, że wszelkie nieszczęścia od nich się rozpoczęły. W głębi duszy oskarżał ich o to, iż z chwilą, kiedy jego córka postawiła stopę w zamku margrabiny, zaczęły się téż i niepowodzenia; spokój i szczęście uleciały z Trelade w tymże czasie, kiedy tam wszedł młody margrabia. Pan Levrault niedalekim był od uwierzenia, że bez La Rochelandierów, wice-herabia byłby rzeczywiście tém wszystkiém, za ja-

kiego chciał uchodzić: wzór rycerskości, zwierciadło arystokracji. Jeżeli Kasper był ladaco, byłato wina La Rochelandierów. Nakoniec wielki fabrykant przypominał sobie dobre rady pana Jolibois; wykręcił się z jednych sideł, to też nie miał ochoty wleźć w gniazdo jaszczurek i padalców.

Kiedy pan Levrault upadał pod ciężarem zmartwień, jęczał jak sowa w swym samotnym kącie; Laura wesola i lekka jak ptaszek, żyła tylko w krainie nowych nadziei. Powiedziałem i powtarzam, dlatego abyście nie marzyli o charakterze naszej heroiny, że Kasper byłby w jej oczach upostaciowanym honorem i uczciwością, byłby nawet młodym i przyjemnym, jedném słowem wszystkiém, czém nawet nie był w rzeczywistości, gdyby nie zaszła zmiana w sercu Laury. Wice-brabia musiał zblednąć, cień padł na niego, skoro się ukazał margrabia; zgasł jak perła przy dyamencie, zciemniał jak gwiazdy przy wschodzie słońca.

Laura nie obserwowała ani Gastona ani jego matki; w czasie przejażdżki od gotyckiego zamczyska aż do Trelade, Gaston ani jedném słowem nie podsylił marzeń swój pięknej towarzyszki; jego postępowanie z Laurą było poważne, surowe, cokolwiek litośne, a nawet dumne. W salonie wielkiego przemysłowca był tylko kilkunastominutowém zjawiskiem; wyszedł ztamtąd jak i wszedł z wyniosłością; a jednakże Laura nie traciła nadziei. Obliczyła ona już wszystkie szczeble powodzenia i niepowodzenia swych dumnych zamiarów. Roztrzepanie nie było jej wadą, jej ojczyzna nie należała do krain marzeń; wcześniej ona przywykła zamieszkiwać w prozaicznej siedzibie rzeczywistości. Jak wszystkim duszom zimnym, jak wszelkim umysłom przesyconym, tak i pannie Levrault nie zbywało na przymiotach badacza; dla niej dosyć było jednych odwiedzin w zamku La Rochelandier, ażeby umieć ocenić majątek margrabiny. Kilka słów jakie się pani La Rochelandier i jej synowi wymknęły, dostateczne były do wtajemniczenia się w ich los i przeznaczenie. Im więcej rozważała przyjęcie jakiego doznała, tém więcej utwierdzała się w przekonaniu, że wszystkiego może się spodziewać. Nie chciała się ona mamić, co do znaczenia tych uprzedzających grzeczności, które ją margrabina obsypała; Laura pojęła bez trudu i bez uporzenia, że pochlebstwa szlacheckiej damy, nie były hołdem składanym jej piękności, ale jej bogactwu; — nie pragnęła też niczego więcej.

Co się dotyczy odrazy swego ojca, tą sobie głowy wcale nie zaprzątała. Co córka pragnie, to sam Bóg chce; mówiła sobie też

Laura, że skoro nadejdzie dzień dla niej w którym zapragnie, to pan Levrault jak dziecko da się jój poprowadzić do zamku La Rochelandier; przeczuwała nareszcie, że nieprzyjazne usposobienie jój ojca, niedługo opierać się będzie wdziękom, łechczywym pochlebstwom dziedziczki zamku. I rzeczywiście, sześć tygodni nie upłynęło od czasu niełaski wice-hrabiego, a margrabina zatknęła na Trelade sztandar La Rochelandierów.

Łatwo domyśleć się możecie, że pan Levrault nie odwiedził margrabiny bez oporu, jak ów muł, który pierwszy raz czuje wędzidło w pysku, lub juki na sobie, ostrogi lub poganiacza: ale Laura najlepiej wiedziała, jakim sposobem brać się do rzeczy, jak go osiodłać, i znaglić do biegu. Zresztą, co ją mogły obchodzić polityczne zdania margrabiny i jój syna? Czyż nie wiedziała opuszczając Paryż, że Bretania była ostatniem schronieniem legitymistów? Mogłaż się dziwić, iż jeden z najznakomitszych domów téj rycerskiéj ziemi, z religijną czcią zachowywał poszanowanie dla nieszczęścia i wygnañców? Dzięki Bogu, nie wszystka szlachta stworzona była na wzór Kaspra.

Prócz tego, tym razem nie chodziło tu o ubieganie się za zięciem, któryby im otworzył drzwi do zaszczytów i godności; nie było tam mowy o spokrewnieniu się z La Rochelandierami. Szło tu tylko, aby nie być nadal celem obmów złośliwych języków téj okolicy, aby podnieść się z upadku, jakiego niedawno doświadczyli. Cóż mogli mówić ludzie o panu Levrault, który po to sprowadził się z szumem i traskiem do Trelade, aby być igraszką dla wydrwigrosza? Musiano serdecznie wycinować dawnego handlarza.

Tyle koni, lokajów, tyle powozów, do czegoż miały doprowadzić?—do wice-hrabiego Montflanquin? Trzeba więc było odzyskać sławę, przez krok głośny, stanowczy;—pokazać głupim i zazdrosnym, że Levraultowie nie byli wazalami szlachty, i kiedy tylko zechcą, mogą się równoważyć z ukoronowanemi herbami arystokracji.

Nakoniec, niepodobna się było uwolnić od odwiedzenia La Rochelandierów, choćby raz jeden, pod karą uchodzenia w ich oczach za ludzi źle wychowanych, uprzędzonych mieszczuchów.

Wielki przemysłowiec tym ostatnim argumentem został pokonany. Sądził on, że po spełnieniu prostéj formy grzeczności, rzeczy pozostaną na dawnéj stopie; ale Laura i margrabina, każda ze swéj strony, inaczej o tém sądziły. Jakim cudem ten dzielny człowiek mógł się oprzeć dwom kobiecym wolom, które się nawzajem rozumiały, milcząc pojęły, do jednego celu zdążyły, i wzajemnéj pomo-



cy udzielały? Znałem daleko przezorniejszych, którzy ulegli. Powoli wzajemne stosunki zawiązały się między obudwoma zamkami, i krótko mówiąc, łatwiej byłoby Laokonowi wyswobodzić się z uścisków węży, jak panu Levrault wywinąć z siodeł margrabiny, które w ciągu sześciu tygodni umiała nań zastawić.

Z początku pan Levrault trzymał się na ostrożności: z kolei, użyję wyrażenia pospolitego, kto się raz sparzył na gorącym, to na zimne dmucha; to też wielki przemysłowiec zabardzo się sparzył, aby nie miał dmuchać. Jednakże, kiedy pierwszy raz ujrzał margrabinę La Rochelandier, wspaniale wstępującą na wschody przedsiönka pałacu w Trelade, kiedy sam pospieszył otworzyć jój podwoje na oścież, skoro ją ujrzał wchodzącą do salonu z imponującym wdziękiem, głową wzniesioną, i z całą powagą się uśmiechającą: pan Levrault ledwie żył z radości i pychy, gdyż mu się zdawało, że widzi u siebie królowę. Jakkolwiek mało odczytany, uważał się przecież za Lejcesterą, przyjmującego Elżbietę w zamku Kenilworth. W istocie przyrzekł on sobie unikać wdzięków czarodziejki: jak ów rycerz, który za godło przyjął obojętność, a w niespełna sześciu tygodniach uczuł całą swą stałość, nieufność i uprzedzenie znikające, stopniowo upadające.

Jeszcze to też sama margrabina, o której mówił wice-hrabia, ponura, zuchwała, napuszczona ze swoich przodków, wieczna nieprzyjaciółka nowości, żalująca rządów feudalnych, i marząca w swym waliącym się zamku, o przywróceniu wazalstwa i pańszczyzny? Wprawdzie szczyciła się ze swego imienia, ale ta hutność wdzięk u niej stanowiła. Zamiast uporczywie zagrzebywać się w przeszłości, umysł jój z koleją czasu postępował. Oddawała ona przynależną cześć wyższemu przemysłowi, zawsze wyrażała się z pochwałami o jego wynalazkach i zasługach. Bez upokorzenia przed nową arystokracją, pierwszą była, co uznała i głosiła jój tytuły.

Byłaż to też sama margrabina, którą pan Jolibois przedstawiał jak Joannę d'Arc legitymistów, jako głównią pozogi i wojny domowej, jako pochodnię wiecznie gotową do podniecienia w kraju pożaru? Jój serce pozostało wierne nieszczęściu; spieszyła ona myślą za potomkam: śgo Ludwika na obcą ziemię. Jak jaskółka, co bnduje gniazdo wpośród zwalisk, duszą mieszkała z wygnańcami; nie ukrywała jednakże błędów restauracyi, i nie łudziła się słabemi nadziejami pretendentą.

Czego sobie najwięcej zyczyła, to stopniowego rozwinięcia instytucyj postępowych, które jedynie mogły zapewnić wielkość i po-

myślność Francyi. Chętnie téż powtarzała, że druga restauracya pod tymi tylko warunkami mogła przyjść do skutku, skoro szczerze uda się drogą postępu, i będzie się wspierać na mieszczaństwie.

Jeżeli się jój niekiedy zdarzyło marzyć o powrocie starszej linii, to zawsze wyrażała się ze skromnością o młodej dynastyi. Dla królowej miała najwyższy szacunek, nie kochała króla, ale szanowała w nim wybrańca narodu. Od niej wiele zależało poruszyć Wandę, rozniecić zarzewie źle ugaszone; jednakże jawnie zganiała ostatnie zaburzenia, i nieustannie starała się pracować nad uspokojeniem stron przeciwnych, nad ich zjednoczeniem.

Taką była margrabina La Rochelandier; pan Levrault nie mógł wyjść z podziwienia. Zastanawiał się nadewszystko nad tém, że mu tak swobodnie przy niej było. Zżymał się przedwcześnie na samą myśl, iż będzie go trzymać w podległości, i że mu da uczuć jego pochodzenie, przypomni handel jego ojców. Daleka od tego, nie tracąc nic ze swój godności, ze swego pięknego obejścia, udało się margrabinie ugłaskać Levraulta. Wkrótce téż odzyskał dawną wesołość; nie zajmował się wprawdzie różanemi marzeniami, ale żył obok nich, jeżeli nie z niemi.

Zamek w Trelade nową postać przybrał. Nowe życie w nim zabłysło i brzmiało w miejscu, gdzie Kasper zostawił zniszczenie, niepokój i cichość. Pan Levrault wrócił do dawnego trybu życia. Jeżeli kiedy pomyślał o przepowiedniach pana Jolibois, to dlatego, ażeby się z nich uśmieł. Jak on mógł powątpiewać o trwałości lipcowego tronu, kiedy sama margrabina o niej ani na chwilę nie powątpiewała? Z tą subtelnością pojęcia, które go rzadko zawodziło, powoli przyszedł do tego, iż zaczął niedowierzać bezinteresowności i dobrem chęciom notaryusza i pytać się, czy ten hultaj nie usiłował także sięgnąć po miliony wielkiego przemysłowca; cieszył się sam z sobą myśląc o panu Jolibois, jakby on wtedy wygłądał przy swoim urzędzie, gdyby to przyszło do skutku.

Bądźmy więc spokojni, nasz Levrault został nam wrócony. Niepowodzenie pogrążyło go chwilowo w smutku; ale teraz jego głupstwo i próżność z większą mocą odżyły, więcej zakwitły niż kiedykolwiek. Aby dorównać wspaniałości znakomitej pani, podwoił jeszcze okazałość swego domu, i jak mówią marynarze, rozwinął wszystkie żagle. Nigdy jego talary nie narobiły tyle odgłosu, nigdy téż nie sadził się na taki zbytek, i przepych; ani dwór, ani żadne miasto nie byłoby uraczyło lepiej swych gości, jak p. Levrault swych przyja-

ciół. Kiedy udał się dla odwiedzenia margrabiny, naumyślnie objeżdżał kilka mil, aby mógł przybyć w powozie zaprzężonym we cztery konie; tym sposobem mścił się za jęz zębate wieżycy i rodzinne portrety.

Trzeba jednak wyznać prawdę, że wielki rękodzielnik nie był zupełnie szczęśliwy. Brakowało mu coś do jego pomyślności, tak, brakowało mu zięcia. Gaston nie zastąpił Kaspra; pan Levrault wiedział dobrze, że spokrewnienie się z stronnictwem legitymistów, do niczego nie może doprowadzić. Napróżno Laura prawiała mu o blizkim powrocie Henryka V, a w oczekiwaniu, o honorze być przyjmowanym u książąt na przedmieściu Saint-Germain: pan Levrault nie chciał tego słuchać. Mało on dbał o szlacheckie przedmieście, i czuł dobrze, iż nie mógł wznieść się i błyszczyć, jak tylko przy ozywającym blasku promieni słońca mieszczańskie. Nadto, stanowisko młodego margrabiego, jego obejście, nie miało w sobie nic zachęcającego. Jeżeli i Gaston miał chętkę na miliony wielkiego przemysłowca, to przynajmniej nie zdawał się być usposobiony do schylenia karku, aby je podnieść. Pozostawił on swęj matce kierowanie oblężeniem; zbyt dumny, aby sam atak przypuścił, ale też nie odpychał myśli zajęcia stanowiska natychmiast, kiedy bramy będą dlań otwarte.

Byłoto uczciwe serce, ale nie poetyczna dusza, skłonna do marzeń, zupełnie oderwana od dóbr tego świata. Chociaż młody jeszcze, jednakże zakosztował już w rzeczywistém życiu. Niecałą młodość spędził pod dachem swych rodziców. Nie błyszcząc dostatkami, żył przecież w Paryżu śród eleganckiego świata: lekki, rozrzutny, jednak pełen godności, zdązał tam, gdzie powinien być czynnym aktorem, gdzie mogło błyszczyć jego imię, jego dowcip i piękna postawa.

Po kilku latach, ippojmując, że resztki ojcowizny nie pozwalają mu utrzymać godnie stanowiska w złotęj sferze, skazany na bezczynność z powodu tradycyjnych obowiązków swęj rodziny, zbyt uczciwy aby miał pójść w ślady Montflanquin'a: musiał zrobić bohaterskie poświęcenie, i usunąć się do zrujnowanego zamku swych przodków, gdzie wraz z matką w całym znaczeniu umierali z nudów i smutku, wówczas, kiedy pan Levrault przybył osiedlić się w Trelade.

Nasz przyjaciel Kasper niebardzo pochlebny obraz margrabiny zeszkicował Levraultowi, ale dosyć podobny. W całej okolicy nie mówiono o niczym, tylko o głupocie i milionach wielkiego przemysłowca. Od niejakiego czasu pani La Rochelandier, której pycha w walce z ubóstwem zmusiła ją do spuszczenia z tonu, aby się wznieść z czasem, marzyła dla swego syna jakkolwiek niestosowne, ale ko-

rzystne związki, któreby pomogły do odbudowania fortuny ich rodziny, i dozwoliły spokojnie oczekiwać powrotu prawej dynastji. Panna Levrault zjawiała się dla niej jak gołębek, zapowiadający ustanie popołu. Margrabina znając wszystkie twarze z okolicy, odrazu odgadła, że młoda dziewica, owa piękna Amazonka, nie mogła być kim innym, jak tylko córką wielkiego fabrykanta. Reszty się domyślacie.

Na uczynione sobie przedstawienie zaślubienia panny Levrault, oburzył się zrazu Gaston; potem wahał się; zresztą skończył na tém, że się musiał poddać. Jego odwiedziny w Trelade obudziły w nim żądę na bogactwa pana Levrault. Laura go nie zajęła, ale sam przed sobą chciał się okazać prawdziwym szlachcicem, który zdolny jest zaślubić bez miłości młodą i piękną osobę, lecz obarzoną milionem posagu. Nie zwodził on się względem uczuć panny Levrault, i powiedział sobie: ponieważ nie widzi w nim tylko tytuł, on téż ze swój strony, może nie upatrywać w niej tylko bogactwo.

Od dwóch miesięcy trwało oblężenie, a miliony się nie poddawały. Znużona oczekiwaniem margrabina, postanowiła raz skończyć, i w tym celu ostatni szturm przypuścić. Znała ona pana Levrault tak dobrze, jak my go znamy. Zbadła całą jego słabą stronę, wszystkie miejsca do których atak przypuścić mogła, i żadna ulomność wielkiego przemysłowca nie uszła jój uwagi. Ta nauka, prawdę mówiąc, niewiele pracy kosztowała. Dusza pana Levrault była przepaścią, którą łatwo było zgruntować, labiryntem w którym dla kierowania się niepotrzeba było nici Aryany. Ażeby tam widzieć jasno, trzeba tylko było oczy otworzyć; zrobienie dwóch kroków było dostatecznym, aby rozpoznać wszystkie zakręty. Zwierzenia się Laury uzupełniły badania margrabiny. W nadziei, że szlachetna dama będzie umiała z nich korzystać, młoda dziewica wydała klucze obronnego miejsca.

Pewnego dnia w którym obiadowała w zamku Trelade, pani La Rochelandier uchwyciła rękę Amfitryona, i pod pozorem użycia świeżego powietrza, wprowadziła go do parku. Tego dnia Gaston nie towarzyszył matce; Laura cokolwiek cierpiąca, wcześniej się do swego pokoju oddaliła. Wieczór był pięknym, wietrzyk letni i napelniony wonnością pierwszych chwil jesieni; lecz nie to zajmowało margrabinę i pana Levrault.

Rozmawiając, doszli do jednéj najsamotniejszój alei, i postępowali zwolna pod sklepieniem liści, zbudowaném ze spletających się gałęzi klonów i jaworów. Nigdy ramię poważnéj damy nie opierało się tak czule na rękę wielkiego rękodzielnika; nigdy i w żadnéj rozmowie, głos jój nie był tak przenikającym, tak pieśczołliwym. Mó-

wiła ona o nudach swój samotni, o przyjemności przyjaźni: ile ję życie zmieniło się, ile upiękniło, od czasu kiedy śliczna istota przyleciała jak gołębek, i usiadła przy drzwiach starego zamczyska. W jakichże to zaczarowanych sferach, w jakich cudnych krainach, rozkwitnie ten zbiór wdzięków i piękności? Następnie zwracając mowę z pewnym smutkiem do siebie, pytała, co się z nią stanie, jeżeli pan Levrault nie myśląc pozostać na zawsze w téj okolicy, opuści Trelade? Na samą myśl serce ję się ścisnęło, bo on i jego córka byli drugą wiosną w ję życiu.

Na tę rozprawę, jak pan kruk trzymający sér w dziobie, Levrault sądził się być Fenixem gościnności w Bretanii. Nadął się, odpowiadał półgębkiem ni to ni owo, częstokroć wyrwał się z płaskim konceptem, który margrabina umiała z rzadką zręcznością podnieść do godności, nadać mu dowcipne znaczenie. Pożyczać rozum głupim, jest najpewniejszy sposób pochlebiania im.

Robiąc ciągle zastosowania i zwroty, margrabina nareszcie dotarła do poufnych zwierzeń, serdecznych zapytań. Dziwiła się, że w epoce w której zdolności mogły po wszystko osiągnąć, człowiek téj wartości co pan Levrault, nie miał ambicyi wynieść się na widownię, nie starał się zająć miejsca, jakie mu w społeczeństwie bez zaprzeczenia przynależało. Nie pojmowała, aby z tém doświadczeniem w interesach co on, z tak wybornemi przymiotami, poświęcił się na bezczynność, zapomnienie, poprzestając na skromném używaniu swego majątku, kiedy tłum miernostek niemogących się z nim mierzyć, chciwie ciśnie się i drapie bez granic w wyższe sfery zarządu krajowego. Bez wątpienia, pięknie to jest wznieść się do krainy zamożności, na skrzydłach własnego gieniuszu: nie znała ona szacowniejszych zdobyczy, chwalebniejszych i godniejszych; ale dla ducha szlachetnego, bogactwo jest tylko narzędziem, punktem oparcia: tylko pospolite umysły uważają je za najwyższy cel przeznaczenia ludzkiego.

Wyrazy margrabiny z wiatrem nie ulatywały. Ośmielony współczuciem jakie okazywała mu jego towarzyszka, pan Levrault odsłonił ję tajemnice swego serca, wynurzył skrytości zalegające w ję duszy. Porwany prądem wymowy szlachetnej damy, wywnętrzył się z swojemi nieumiarkowanemi żądzami. Opowiedział z prostotą, jak słodkie marzenia sprowadziły go do Bretanii, i jak srogiemu zawodu doznał na téj obiecanéj ziemi. Margrabina od czasu do czasu, przez poruszenie cechujące nieodparty pociąg, coraz więcej zachwycała pana Levrault; piękna i biała ję ręka wspierała się na grubéj rę-

ce dawnego handlarza sukna, który przybiérał wówczas minę zwycięzcy, i zapytywał z nieporównaną głupotą, co téż sobie myśli pani Levrault, jeżeli ta godna kobiéta patrzy z wysokości niebios na to, co się w téj chwili działo w głębi parku zamku Trelade. Kiedy już skończył opowiadanie o swych niepowodzeniach, margrabina pozostała milcząca, i zdawała się w duszy rozmyślać nad tém, co dopiero słyszała.

— Mój przyjacielu—rzekła nakoniec z powagą—pojmuję i pochwalam myśl, która cię powiodła do Bretanii. Twój ambicyi nikt nie powinien i nie może się dziwić; co do mnie, nie znam domu, któryby nie otwarł się dla pana, coby się nie uczuł szczęśliwym i dumnym, że może przyjąć w swych progach anioła, jakiego ci panie w twój córce udzielił. Tego tylko nie mogę sobie wytłumaczyć, pomijając nawet sposób myślenia wice-hrabiego Montflanquin, dlaczego udałeś się do szlachty świeżo nawróconej, zamiast podać prawicę téj rycerskiej arystokracji, której wiary nie zachwiać nie zdołało, i która w głębi swych samotnych zamków dąsa się na teraźniejszość.

Na te wyrazy pan Levrault nadstawił uszy. Nie zapomniał przestróg udzielonych sobie przez pana Jolibois. Do czegoż zmierziała margrabina? Oddany ciałem i duszą sprawie nowój dynastji, poświęcony dla lipcowego tronu, pod cieniem którego spodziewał się wzrosć, zyskać przewagę, który za swój tron uważał, za swoje dobro, swą własność, wielki przemysłowiec bynajmniej nie był usposobiony swoje miliony oddać na usługi legitymistów; ostrożny, nie dał się tak łatwo podejść.

— Pani margrabino—odrzekł z powagą—nie pojąłem dobrze' coś chciała wyrazić.

— Wkrótce mnie pan zrozumiesz—odpowiedziała margrabina tonem słodkiej powagi.—Uważam i badam pana od dwóch miesięcy. Żadna z wielkich kwestyj wzruszających obecnie towarzystwem, nie jest ci ani obcą, ani obojętną; mam takie przekonanie, że posiadasz pan zdolności, które tworzą ludzi stanu. Jakąż to myśl miałaś, szukając środków spokrewnienia się z arystokratycznymi rodzinami? Twoje serce, twój szlachetny umysł, byłże tylko posłusznym uczuciu samolubstwa? Nie, mój luby przyjacielu. Przedewszystkiém myślałeś zbliżyć dwie klasy, zbyt długo od siebie oddalone, dać przykład zapomnienia o przeszłości, przebaczenia; chciałeś pan jedném słowem, doprowadzić do skutku zjednoczenie szlachty z mieszczaństwem.

— To szczerą prawdą, pani margrabino, nie zaprzeczam, — odpowiedział pan Levrault ze skromnym potwierdzeniem.

— A więc mój przyjacielu, aby dopiąć wzniesłego celu jaki sobie zamierzyłeś, należało udawać się do szlachty już pojednanej, i z tronem lipcowym połączonej? do szlachty przychylniej nowym instytucjom? Czyż pan nie pojmujesz, że pokrewieństwo między nim a tą szlachtą, byłoby bezcelne, bez znaczenia, nareszcie bez żadnej wagi w oczach przyszłości? Byłby to pewien rodzaj podwójnego poczęcia, pleonazm, niepłodna zamiana wpływu interesów i żądź tychże samych. Pojmujesz pan nakoniec, iż zamiast szukać zatknięcia waszego sztandaru na murach fortecy, która się już poddała; zamiast wejść jako zwycięzca w kraj już podbity, powinieneś zwrócić wzrok do tej nieprzyjaznej szlachty, o której dopiórom panu mówiła. Jest jeszcze czas po temu. Jakież tryumf dla pana! jakież zaszczyt wyrwać jakiego młodego Achillesa zpod nieprzyjacielskiego namiotu, odnowić blask rodziny, która groziła pozostawieniem próżnych kart w historii, przywrócić do życia publicznego jedno z wielkich imion dawniej monarchii, wskrzesić na niebie Francji jedną z gwiazd, która już miała zagasnąć na zawsze! Z punktu widzenia twój osobistej ambicyi:.....

— Jak pani margrabino, z punktu widzenia mój osobistej ambicyi?—zapytał pan Levrault, dotychczas zbyt błaho zadowolony z przedstawionych mu nadziei, zresztą zbyt dłań zamglonych i niezrozumiałych.

— Jakte panie? — zawołała margrabina — nie upatrujesz żadnych korzyści z podobnego związku? nie czujesz, że zaślubiając twą godną uwielbienia córkę, z synem wielkiej rodziny, która dla dawniej wiary niezachwiana pozostała, tym sposobem zapewnisz sobie karierę w świecie politycznym? A przecież to jest rzecz bardzo prosta. Bo jednoczysz twego zięcia, przywiązujesz do lipcowej korony kosztowny brylant, wydarty z dyademu świętego Ludwika. To uczyniwszy, czyż możesz jeszcze wątpić, aby nowy dwór mógł ci co odmówić?

— Ależ pani margrabino—zawołał pan Levrault, który jak szlachetny rumak zadrzał na odgłos trąby—arystokracja o której mówisz jest zagorzale uparta.... zbyt rycerska—poprawił się z uszanowaniem—aby kiedykolwiek skłonić się miała na stronę rządu z r. 1830. Jeżeli dotąd uparła się dąsać w swych samotnych zamkach, toć nie mnie się uda wyrwać ją z tych odosobnień; toć nie przedemną odprzysięże się zastarzałych nienawiści i swoich mniemań,

— Mój przyjacielu — rzekła z uśmiechem margrabina — wszystko się naprzykrzy, a tém więcej nudy. Nudota jestto cierpka władczyni, która nie jedną duszę zwyciężyła, niejedno przekonanie zachwiała. Jużto od dwudziestu lat, jak zamieszkuje z nami, każdego dnia zasiada do naszego stołu, przy naszych ogniskach, każdej godziny nieznośniejsza, cierpsza, jak dni poprzednich. Dąsać się chwilowo, może być przyjemnie; ale dąsając się przez lat dwadzieścia, mimowolnie czujemy nieodbitą potrzebę rozrywki, zabawy, potrzebę życia jak inni ludzie, i stawienia wesołego czoła przed resztą świata. Powiadam panu we cztery oczy, i przed nim się tylko wynurzam, chciej to zatrzymać przy sobie: śród naszych zamków naradzamy się w cichości, gdyż nasza wierność ciężyc już nam zaczyna — dodała margrabina tajemniczo.

— Ah! dzięki Bogu — zawołał pan Levrault w chwili zapału, którego już stopniowo drażniła rzucona ponęta. — Kiedy tak jest, dlaczego nie zrobicie jawnego rozdziału ze stronnictwem bez przyszłości? które, jeżeli mam wyznać prawdę, nigdy nie zyskało méj sympaty, ani mojego potwierdzenia. Pani margrabino, nie w twoim to wieku będąc tak piękną jeszcze, osłaniają się całunem, i żywcem wstępują do grobu. Dlaczego nie udasz się do Tuileries? Jestem pewny, że król i królowa ujrzeliby cię tam z przyjemnością.

— Nie, mój przyjacielu, nie — odparła pani La Rochelandier ze smutkiem. — Często bywałam w Tuileries, abym tam mogła kiedyś powrócić, a przynajmniej w dniu.... ale się już tego nie spodziewam. — Tak, muszę powtórzyć, moje dni szczęścia już się skończyły; dla mnie samój, niczego się na téj ziemi nie spodziewam. Nie udam się do nowego dworu; Gaston tam się przedstawi, ale, sam bez matki.

— Co słyszę!.. pan Gaston, syn pani....

— Niech Bóg broni, abym jego życie miała uwięzić w ciasnym kółku moich żalów i mych uczuć. Gaston jest młodym, i żadnych z przeszłością nie zawarł zobowiązań. Nigdy nie znał swych prawych władców; najwięcej, kiedy ze wszystkiego przypomina sobie burzę, która strzaskała stary tron Francyi, i skazała na wygnanie ostatnich potomków królewskiej rodziny. Gaston jest dzieckiem teraźniejszości. Wzrósł bez przymusu, w atmosferze wyobrażeń postępowych. W szkołach siedział w tych samych ławkach, co i książęta młodszej linii; kocha ich, i bynajmniej z tém się nie ukrywa. Ponieważ może pojednać się z niemi bez wstydu, niechże więc płynie z porywającym go potokiem, niech się spełni jego przeznaczenie!



— Tym sposobem, pani margrabinio — zapytał pan Levrault, mówiąc z przyciskiem każdy wyraz — jestto ostateczne życzenie p. Gastona, syna pani, jego niezachwiane postanowienie, jasne i nieodwołalne, przyłączenia się do nowój dynastyi? a pani nie kładziesz żadnej tamy, nie starasz się go od tego postanowienia odwrócić?

— Co pan chcesz? cierpię trochę, popełniłabym kłamstwo, gdybym inaczej utrzymywała, i pan nie wierzyłbyś mi. Cierpię, utyskuje w cichości; ale powtarzam, że nareszcie jakakolwiek chorągiew powiewać będzie na Tuileries, będzie to zawsze chorągiew Francyi. Powiedz mi mój przyjacielu, czy moje przekonanie podzielasz?

— Czy dzielam, pani margrabinio! — zawołał wielki przemysłowiec, połknąwszy już haczyk z przynętą — nie pani, nie dzielam, ale cię uwielbiam. Niechaj Bóg dozwoli, ażeby wszyscy legitymiści byli podobni pani. Rozum, mądrość, udzielają się przez twoje usta. Zawsze to będzie chorągiew Francyi! To szczytnie; nie podobnego nie czytałem w mojej gazecie.

— A jednakże, wyznać ci to muszę, znajdują się chwile wahania, w których czuję, iż me serce albo się oburza, albo też opada myśląc o moim synie, że jeden z La Rochelandierów swoim imieniem wesprze tron, przed którym żaden z jego naddziadów nie schyliłby czoła, nie zgiął kolana. Zdaje mi się niekiedy, że portrety jego przodków rzucają na mnie wzrok zagniewany; zdaje mi się czasami, że ich usta otwierają się, dla uczynienia wyrzutu mojej niegodnej słabości.

— Inne czasy, inne obyczaje, pani margrabinio. Kiedy żyli owi przodkowie pana Gastona, to działali według swego zdania; skoro pomarli, niechże więc nie mają za złe panu Gastonowi, że będzie robił według własnego rozumu. Pytam się pani, jakim świat byłby dotąd, gdyby od dnia stworzenia, każde pokolenie postępowało niewolniczo, krok za krokiem, za śladami poprzednich pokoleń? Ubieralibyśmy się dotąd w skóry zwierząt. Ludzkość nie jest wiewiórką zamkniętą w klatce, koniem zaprzężonym do kieratu. Wszystko się zmienia, wszystko odradza, wreszcie wszystko się doskonali. Koleje żelazne zastąpiły drogi bite; monarchia konstytucyjna dawne prawa. Moi ojcowie mieli takie wyobrażenia o wyższym przemyśle, których ja podzielać nie mogę; możnaż się dziwić, że syn pani w polityce ma inne, i własne zasady, niż wyznawali jego przodkowie?

— A więc niech się przyłączy! — powiedziała margrabinia z wyrazem ostatniej rezygnacyi. — Będzieto solenny dzień dla nowój dynastyi, ów dzień w którym La Rochelandier uczyni jój wyznanie wiary,

i swoje holdy złoży. Tego dnia panie będą się radować w Tuileries, a przywdzieją żałobę w Frohsdorf.

— A zatem, pani margrabino, niech przywdzieją żałobę w Frohsdorf. Ponieważ podoba się panu Chambord uważać się za pretendenta, i odgrywać rolę króla Francji w swoim zamczku w Niemczech, toż dlatego nasza szlachecka młodzież ma drzémac z założonemi rękami, w zaciszu swych posiadłości, wstrzymywać się od udziału w interesach kraju!

— Tak, niech się przyłączy! — powtórzyła margrabina z westchnieniem. — Nie chcę i nie powinnam być zaporą w przeznaczeniu mojego syna. Jednakże królestwo z r. 1830 zdaje się panu trwale ugruntowane? Mniemasz, że w łonie narodu mocno się zakorzeniło? Sądzisz je być niewzruszonem? Radziłabym jednak Gastonowi, aby się nie spieszył; chciałabym, aby jako bezinteresowny widz, badał postępek wypadków, aby jeszcze jakiś czas zaczekał.

— Ale pani, jestże potrzeba dłuższego oczekiwania? — zawołał pan Levrault, pragnąc z niecierpliwością pozyskania i pogodzenia swego zięcia. — Kto wyobraża królestwo z r. 1830? — Mieszczanie. Kto reprezentuje mieszczaństwo? — cały naród. A jeżeli to jest niezbitą prawdą, jakim więc sposobem lipcowy tron może być wywrócony? Potrzebaby chyba, aby cała Francja zgodziła się na samobójstwo. Nie tajno mi, że znajdują się tu i owdzie pewni ludzie, którzy sobie pozwalają ganić dążenia rządu, którzy nie wstydzą się mówić jawnie o blizkiem ogłoszeniu rzeczypospolitej.

— Rzeczypospolitej? — odparła margrabina z pogardą; — co za głupstwo! Ludzie ci są szaleńcami. Rewolucya jest nadal niepodobienstwem we Francji. Jeżeli naród swych praw używając, zgodzi się na skruszenie tronu, który wznosił własnemi rękoma, nie wątpię, że to nie może nastąpić, jak tylko w celu powrotu do wielkiej zasady legitymistycznej. Nie jestto niepodobienstwem, aby zasada ta kiedyś wrócić nie miała. Cokolwiek nastąpi, jestem spokojna, nie mam powodu lękania się o polityczne stanowisko mojego syna w przyszłości. Tron lipcowy może się w gruzy zamienić, bez zasypania pod swemi szczątkami Gastona: połączony z nową dynastją, nie przestanie należeć do dawniej przez swe imię, przez swą matkę, przez wspomnienia swój rodziny. Jacykolwiek będą gospodarze, Tuileries z dumą i zawsze otworzą swe bramy dla La Rochelandierów.

Tutaj margrabina zamilkła, aby jój ostatnie wyrazy miały czas wcisnąć się w umysł swego towarzysza, i wydać pożądany skutek.

Milczący jak i ona, pan Levrault kosztował z rozkoszą upajającego napoju, który kropla po kropli sączył się z ust towarzyszki; kraina zaszczytów i godności przed nim się odsłoniła. Droga do władzy, na nowo została usłana dla stóp jego. Wszystkie nadzieje odżyły i drgały w duszy dawnego handlarza. Stokrotnie odzyskał to wszystko, co utracił, tracąc wice-hrabiego. Onto pogodzi swego zięcia z nową dynastją, jemuto więc w udziale należć się będą wszystkie honory, wszelkie korzyści. Zjednoczyć margrabiego La Rochelandiera, jakaż to gratka! Dwór zaciągnie dług względem niego; a pan Levrault drogo swój towar sprzedać postanowił. La Rochelandiera za bagatelę nabyć nie można; trzeba, aby zań oznaczyli nagrodę, wysoką cenę. Co jeszcze na szali korzyści przeważało, to usunięcie obawy zmiany dynastji; tego się już lękać nie potrzebował, bo cokolwiek nastąpi, Gaston oprze się na własnych nogach, a on na swoim zięciu.

Tym sposobem wszystko mu się uśmiechało, wszystko pociągało; w którąkolwiek stronę spojrzał, wszędzie tylko radość widział, zadowolenie, przyrzeczenia i spokój. Nie chodziło więc jak tylko o to, aby skłonić margrabinę do zezwolenia na zawarcie związku z Levraultami. Wielki przemysłowiec posiadał w sobie tyle zasobów dowcipnych, ten szalenciec czuł się tak chytrym, tak przebiegłym, iż bynajmniej nie wątpił o możności dopięcia celu, i uwikłania margrabiny w swoje sidła.

— Wróćmy się do twoich zamiarów, mój przyjacielu; dosyć mówiliśmy o Gastonie—odezwała się znowu pani La Rochelandier. Na czémże stanęliśmy? cóż ci przed chwilą mówiłam?

— Pani margrabina—odrzekł chytry Levrault—mówiłaś, że nie znasz tak znakomitej rodziny, któraby nie uważała sobie za przyjemność połączyć się z nami, któraby nie była dumna i szczęśliwa z przyjęcia w swych progach anioła, jakiego mi Bóg w mój córce zesłał.

— A zatém, mój przyjacielu?..

— A zatém! jeżelibym pewnego dnia przyszedł do pani, i przypomniał jój te piękne wyrazy? jeżeli wzięwszy córkę za rękę, powiedziałbym; pani margrabino, nasze dzieci się kochają, stanowią tylko jednę i też samą rodzinę?...

— Ah! odpowiedziałabym, witaj mi przyjacielu!—zawołała margrabina z wylaniem.—Niech będzie błogostawiony dzień, w którym córkę pozyskuje...

— I który mi syna udziela!—krzyknął pan Levrault okrywając niesmacznemi pocałunkami białą rączkę margrabiny, którą ścisnął w swych niezgrabnych rękach.

Potém, w najwyzszém uniesieniu, poniósł chustkę do swoich oczów.

— Jakto? mój przyjacielu,—zapytała margrabina z współczuciem,—miałebyś nieszczęście stracić?...

— Ah! pani, prześliczne dziecię, blondynek, biały i rumiany! Stracony, niestety, tak pani, stracony! Okropne wspomnienie!...Było to w Paryżu, pewnego wieczora w czasie uroczystości ... wyprawiano sztuczne ognie na placu Concorde...

— Mój przyjacielu—odrzekła margrabina, niebardzo ciekawa usłyszenia reszty--nie bądźmy niewdzięcznymi dla przeznaczenia, nie mieszajmy wcale smętnych obrazów z lubą rozkoszą obecnój chwili. Wszakże sam to wyrzekłeś, że mój syn zastąpi utraconego.

W godzinę po téj rozmowie, margrabina wróciła do swego zamczyska, a pan Levrault z tryumfującą miną do pokoju swéj córki.

— Pani margrabino—zawołał — uściskaj swojego ojca!

— Mój synu—rzekła margrabina do Gastona—uściskaj twoje matkę, masz miliony!...

## XI.

Bretania dotrzymała wszelkich przyrzeczeń: panna Levrault została margrabinią. Kilka miesięcy jeszcze, a wielki przemysłowiec przedstawi się u dworu, dzielnie wsparty na margrabim, swym zięciu. Król go uściśnie i zrobi hrabią. Tytuł barona nie zaspokajał już ambicyi pana Levrault. Hrabia Levrault! daleko lepiej brzmi w uszach. Zresztą, niewielka rzecz, że teść margrabiiego jest hrabią. Co do parostwa, o to nie było kwestyi; hrabia Levrault wejdzie do pałacu Luxembourg jak osioł do młyna. Wyśmienity człowiek—mówił sobie nieraz drapiąc się za uchem, choć go ten margrabia, zięć, trochę zadrogo kosztował; ale się téż pocieszał myślą, że pieniądze dobrze są umieszczone, nie rachując rozkoszy, iż może co dzień, w każdéj chwili wołać: margrabino, moja córko! mój zięciu, margrabiio!

Jeżelibyście chcieli mieć dokładne wyobrażenie o przepychu i wspaniałości, jakie pan Levrault rozwinął przy ślubie swéj córki, to sobie przypomnijcie wesele Gamasza. Naprózno margrabina i jój syn wymagali, aby cały obrzęd odbył się spokojnie, bez blasku. Uroczystość cały tydzień trwała: nie brakowało niczego, tylko miłości. Wyjąwszy hrabiiego Kerlandec i kawalera Barbanpré, którym pan Levrault nie mógł przebaczyć, iż służyli za kmotrów Kasprowi, wszystka arystokracja z okolicy była zaproszona, i przyjęła skwapliwie

zaproszenie: już dla uważania, jaką będą mieli minę La Rochelandierowie, już dla uśmiania się z nich cichaczem. Wyniosły ton margrabiny, znany był w całej okolicy: bez trudności domyślano się ile ona ucierpiała, nim się zgodziła na zawarcie tak niestosownych związków. Wietrząc zbliżka miliony dawnego handlarza sukna, szlachta i wdowy pojmowali, że ugrzążnawszy w takiej słodyczy, najbardziej gorzka pigułka łatwo się połknie, i warta jest noworocznych cukierków. Jeżeli uwzięli się wyśmiać margrabinę, to dla pocieszenia siebie samych. Nie było tam ani jednego, któryby się nie chciał znajdować w skórze młodego margrabiego, ani jednej, któraby nie chciała się znajdować na miejscu matki Gastona: wszyscy byliby spełnili ów kielich bez zmarszczenia.

Jednakże margrabina nigdy tak wysoko głowy nie nosiła, nigdy przyjaciółom i nieprzyjaciółom nie okazała tak wesołego, tak jaśniejącego radością oblicza. Z tego wnioskuje wolno mniemać, że djabeł nigdy nic nie straci. Przez ośm dni ciągnęły się same bale, uczty, wycieczki na polowania. Pan Levrault upędał się za jeleńcem z margrabią swym zięciem. Galaor, który przez swój rzadki przywilej, łączył rzeźkość konika polnego, z przewidywaniem mrówki, i obmyślał już dla siebie zapasy na zimę, przez te ośm dni nie przestawał krążyć około Trelade, skradając niejeden smaczny kęs; kiedy tymczasem kawaler Barbanpré, siedzący smutnie przy oknie w swoim zamczku, patrzył melancholicznym wzrokiem, przez szczeliny liści, na Eden, z kąd był wypędzony, a gdzie tak wyśmienite zjadano obiady.

Wspomnijmy sobie o naszym przyjacielu Kasprze. Ofiara prawodawstwa, którego błędy wszyscy dłużnicy uznali, Kasper pokutował w więzach za kilka wybryków młodości, i skracał sobie nudotę więzienia, wynajdywaniem nowych kombinacyj w rulecie i lancknechcie. Co do pana Jolibois, jego zdrady i przeniwierstwo otrzymały sprawiedliwą nagrodę: nie tylko że nie był wezwany do napisania intercyzy ślubnej, ale nadto pan Levrault, nie dowierając mu, od ostatnich odwiedzin nie chciał mieć sankulota w swoim domu, i nie zaprosił go na wesele, zawiadamiając go tylko oddzielnym biletem. Nieszczęśliwy! nie przewidywał zemsty, jaką mu gotował Jolibois, za ten nierycerski postęp.

Z tego, co nasza przenikliwość mogła wyczytać w sercach bohaterów tej powieści, nie możemy się ludzi nadzieją, ażeby Laura i Gaston kosztowali w Trelade słodyczy miodowego miesiąca. Mimo tego, pora roku była jeszcze piękną. Wrzesień zaledwie się skoń-

czył; październik nie odarł ogrodów i lasków z zielonych ozdób. Ptaszki śpiewały jakby na wiosnę. Klomby i łąki zdobiły się kwiatami; po miedzach ścieszek, głogi ustroiły się amarantowemi bisiorami. Jak narzeczona, która czuje zbliżający się koniec jej życia, pragnie skonać w swój świątecznej szacie: tak i natura przeczuwając swój skon, ubiera się w najświetniejsze barwy, i ostatnim uśmiechem odpowiada na ostatni uśmiech żegnającego ją słońca.

Dla młodych kochanków, miło jest zapuścić błędne kroki wśród żółknących niw, potoczystych pagórków; tam w wzajemnym uścisku dłoni obudzać wspomnienia, zbierać lub potrącać zwiedłe liutki, które im drogę tamowały. Nawet wśród upojenia namiętności, zawsze jest coś smutnego, co tak jednoczy się z melancholijnym obliczem jesieni; ale to wszystko nie obchodziło Laury i Gastona. Bo rzeczywiście co ich mogło obchodzić milczenie pól, tajemniczy urok gajów, mech ścielący się u stóp dębów? Jakież pociąż mógł ich zatrzymywać wśród wiejskich zagród? Cóż mieli sobie do wynurzenia? Jaką tajemnicę mogli powierzyć bóstwom sielskiej samotni? Nie byli to pasterze z Arkadyi, dwie gruchające synogarlice!

Gaston prawie od trzech lat umierając z nudów pod dachem swych przodków, dosyć miał czasu nasycić się poezją sielską; jego myśl nigdy nie zabląkała się wśród gajów, lub nad brzegami strumyka. Nawzajem, Laura nie przybyła do Bretanii, aby oddychać woniejącym powietrzem łąk, patrzeć na żółknące liście, skrapiać swe włosy ranną lub wieczorną rosą.

Nakoniec, nie ludzili się wzajemnie co do wartości swych uczuć, które ich do siebie zbliżyły. Gaston bardzo dobrze wiedział, dlaczego Laura z nim się połączyła; nie tajemnym było dla Laury, co skłoniło Gastona do zaślubienia jej. Przypominacie sobie, jak obojętne było ich obejście przy pierwszym spotkaniu. Kiedy mu dozwolono składać hołdy, Gaston nie okazał się ani czulszym, ani energiczniejszym; skrupulatnie stał on na straży wszelkich wzruszeń swego serca. Nie kochał swój narzeczonej; a gdyby ją nawet kochał, to duma nie dozwolilaby mu tego okazać; obawa, aby nie uchodzić za pochlebę bogaczom, sparaliżowałaby jego uczucia, i potrójnaby pieczęcią usta mu zamknęła.

Co do Laury, to nasz przyjaciel Kasper gruntownie ją wyleczył z romansowych marzeń. Gaston był margrabią; uważała się zadowoloną z tytułu, i niczego więcej nie pragnęła. Tym sposobem dla tych dwojga dzieci, małżeństwo miało cechę wzajemnego interesu, mó-

więc jaśniej, było prostą zamianą, frymarkiem i nic więcej. Pieniądze i klejnot szlachecki wzajemnie się o siebie ubiegały, stanowiły cały watek kokieterji i pochlebiania. Sprawiedliwy Boże! oboje byli młodzi! dwadzieścia lat życia, a piękność i wdzięki w udziale!...

Tak jest, byli młodzi; nie znikła dla nich nadzieja, że skoro się połączą, to z czasem, przez nieodzowną skłonność wieku, odezwie się w nich przywiązanie, miłość, której z początku nie szukali. Być może, iżby się odezwało to wrodzone uczucie pod sklepieniem pałacu Trelade; ale już Gaston znecierpliwiał się osiągnąwszy korzyści z nie-stosownego związku, a Laura wykluwszy się z swój pupki, otrząsnąwszy z tego niemilego nazwiska Levrault, które omroczyło jój młodość jakby ponurym całunem, wzdychała, aby jak najprędzej mogła się przed światem poszczycić tą metamorfozą. Pan Levrault nie zataił przed swoją córką zamiaru margrabiego, swego zięcia, przedstawienia się w Tuilleries, a ciesząc się i kołysząc nadzieją, że będzie przyjmowaną przez księżnę z przedmieścia Saint-Germain, młoda margrabina czuła, jak na samą myśl wzdymało się jój serce z radości, drżało z ukontentowania, że będzie na królewskim dworze.

Jak córka, tak niemniej i papa Levrault niecierpliwiał się ze swym zięciem niemożnością opuszczenia Trelade. Pałał żądzą dotarcia jak najprędzej do wyższej sfery, do której uważał się, iż jest urodzony. Już wspaniały pałac, położony przy ulicy Varennes, wśród dziedzińca i ogrodu, oczekiwał nań w Paryżu. Pan Levrault z początku się wahał, czy ma osiąść przy Chaussée d'Antin, czy też na przedmieściu Saint-Honoré i dzielnicy Magdaleny; ale margrabina jak najzupełniej przekonała go, że należało mu osiedlić się w sercu przedmieścia Saint-Germain, gdzie przez krok śmiały i stanowczy swego gieniuszu, powinien rozpiąć swój namiot, zatknąć swój sztandar.

W rzeczy samej, czegoż pragnął, czego szukał wielki przemysłowiec? Jakieżto były jego marzenia? myśli polityczne, cel jego ambicji? Nie byłożto zbliżenie dwóch klass zbyt długo od siebie oddalonych, danie z siebie przykładu zapomnienia przeszłości, przebaczenia, jedném słowem zjednoczenie szlachty z mieszczaństwem? A więc, należało mu nie gdzieindziej, ale w samym środku arystokracji się osiedlić, w tém ostatniem jój schronieniu, w tym ostatnim zakątku, trzeba mu ją było zwyciężyć. Trzeba było, aby pałac Levraulta stanowił ogniwo, łączące prawy z lewym brzegiem Sekwany, jakby złotą klatkę, gdzie prędzej lub później będą śpiewać zadąsane ptaszki legitymistyczności,—jako punkt środkowy zjednoczenia, zgody i zlania się wzajemnego w jedną całość, gdzie szlachta i mieszczenie

ocierając się każdego dnia nawzajem, powinni skończyć na podaniu sobie przyjaznej dłoni.

Te myśli tak wielkiej wagi, żywo dotykały umysł pana Levrault. Jeżeli podobało się margrabinie upatrzeć w nim zdolności człowieka stanu, to wzajemnie uznał w niej wszelkie przymioty znakomitej kobiety. Pozwolił wmówić w siebie, że wszyscy ludzie znakomici w polityce, mieli swoją Egeryą na pod ręczu. Jakażto Egerya mogła być z margrabiną? Słuchając jej rad, wiedziony przez tę rzadką roztropność, czyż nie mógł wzdychać, iż może się wznieść do wysokiego stopnia w sferze, do której dążył. Jakieś tajemne przeczucie szeptało mu, że ma pod ręką jedną z tych nadprzyrodzonych władz, jeden z tych tajemniczych wpływów, które wznoszą i strącają ministrów: a tu gołąbki pieczone same do ust jego przylatywały. Szło tylko o to, czy margrabina zechce tak nagle zmienić swe przyzwyczajenie do domatorskiego życia? czy skłoni się do opuszczenia starego zamczyska? porzuci wiejską samotnię, odstąpi od prostoty swego upodobania, od żądz skromnych, od tych miłych radości, które tak dobrze umiała ocenić jej dusza tkliwa i lubiąca dumać? Nie śmiał tego spodziewać się pan Levrault.

— Świat już utracił to wszystko, co mnie dawniej nęciło do niego; — mówiła margrabina z cichym smętkiem. — Zestarzyć się w spokoju, w głębi mej samotnej doliny, oto moja cała ambicya. Moje marzenia nie wybiegają za widokrąg, który otacza tutejsze pola. A jednakże czuję, iż moja obecność w Paryżu nie byłaby bezużyteczną dla ciebie; czuję, że w niejednym zdarzeniu, mogłabym ci niejako przynieść pomoc. Są chwile, w których moja troskliwość przeraża mnie, czułość przestrasza; chwile, gdzie oskarżam się o samolubstwo, w których pytam się, czy moja obecność nie jest konieczną przy tobie. Nasza godna uwielbienia córka, jest jeszcze za młoda, aby się zajmowała zarządem domowym, gospodarstwem takim, jak twoje; aby bezwzględnie robiła honory w salonie, gdzie się będą ciśnić, spotykać, wszystkie znakomite postaci, wszystkie wielkości terażniejszej epoki. W zapasach publicznego życia, czuleś, jaką próżnię w twoim domu zrzuciła śmierć pani Levrault. Nie chciał się mamić, mój luby przyjacielu, jestto przykra ścieszka, którą masz do przebycia, ścieszka nierówna, i pełna przepaści. Jeżeli nie staram się od niej cię odwrócić, to dlatego, że rozum nakazuje szanować zamiary Opatrzności, to dlatego, że na tym padole muszą się spełnić wszelkie przeznaczenia. Skowronek kryje swoje gniazdeczko w bruzdzie, orzeł buduje na szczytach skał. Idź więc, gdzie cię wiedzie



przecucie, gdzie głos Boga wzywa; idź mieszać się do walk parlamentarskich, do których jesteś stworzony, i obyś nigdy nie potrzebował przyjaznej dłoni, któraby cię podtrzymywała, ocierała pot z twojego czoła.

Potém dodała słodkiuchnym głosem:

— Wpośród twój pracy, śród upojenia z tryumfów, nie zapominaj, nigdy nie zapominaj, że masz starą przyjaciółkę nad brzegami Sevres. Każdego roku po zamknięciu izb, przybędziesz mój drogi przyjacielu spocząć przy mnie po szlachetnych trudach. Przywiesz także nasze dzieci; pod cieniem dębów przepędzimy razem kilka czarownych miesięcy. Miałeś zamiar kupić zamek w Bretanii; masz jeden, który cię nie kosztuje. Zamek La Rochelandier jest twoim, należy do ciebie, jest twoją wyłączną własnością. Pragnę i wymagam, aby odtąd nosił nazwisko: zamek *Levrault*. Każemy naprawić blanki wież, przeniesiemy doń cały przepych z Trelade; odkupimy grunta, które niegdyś tworzyły dobra naddziadów Gastona; na koniec niczego nie będziemy szczeni do dźwignienia, odświeżenia blasku dawnego zamku, którego jesteś panem i dziedzicem.

Rozczulony aż do łez, wielki przemysłowiec, na kilka dni przed odjazdem do Paryża, kazał do zamku La Rochelandier, który teraz stał się zamkiem Levraultów, przenieść wszystkie meble, obicia, przeprowadzić powozy, konie i psiarnię: hałas, ruch, życie, z Trelade przeniosły się do zamku Levrault. Wielki rękodzielnik, który zawsze zarzucał pałacowi w Trelade jego cokolwiek mieszczkańską architekturę, nie mógł się nauwielbiać rycerskiej postaci, feodalnej struktury swego nowego pomieszkania; tylko chciałby widzieć na dziedzińcu i tarasie łuczników, halabardników, a na dolinie, margrabinę i swoją córkę, jadące pod baldakinem, z jastrzębiami na ramieniu. Nazywał wazalami chłopów, żałował muskając się pod brodę, niektórych przywilejów szlachty; mówił o ustawieniu nad bramami herbu swój rodziny, i nieraz zapytywał sam siebie, czy niema jakiego podobieństwa między jego twarzą a portretami zdobiącymi mury salonu. Mniemam, iżby niebardzo był zdziwiony, gdyby mu powiedziano, że to są wyobrażenia postaci jego przodków.

Jednakże, jakim sposobem nakłonić margrabinę, ażeby mu towarzyszyła do Paryża? Pospolity umysł przestraszyłby się podobnym przedsięwzięciem; ale dla pana Levrault takie zadanie, było tylko zabawką. Chciejcie sobie przypomnieć, przez jakie to dowcipne obroty, przez jak delikatne podejścia, nareszcie skłonił margrabinę do rzućenia mu syna w jego objęcia. A więc! kiedy szło o to, aby spro-

wadzić do Paryża panią La Rochelandier, pan Levrault niemniej znalazł się dowcipnym, niemniej zręcznym. Nadaremnie margrabina zasłaniała się namiętném upodobaniem w samotności, daremnie przytaczała swoje przywiązanie do wiejskiego życia: tą razą jeszcze, porywająca wymowa pana Levrault tryumfowała nad wszystkimi przeszkodami, nad wszelkim oporem.

W piętnaście dni po ślubie, powóz pocztowy, zaprzężony w cztery konie, unosił do Paryża Gastona i jego żonę, pana Levrault i margrabinę wdowę La Rochelandier.

## XII.

Z początku wszystko szło dobrze. Patrząc na margrabinę jak się wzięła do dzieła, wielki przemysłowiec coraz bardziej cieszył się ze zdobyczy, i lepiej niż kiedykolwiek pojmował, jakie ztąd korzyści może osiągnąć. W pierwszych zaraz dniach margrabina stała się duszą pałacu Levraultów: dobroczynna jęj obecność dała się czuć nawet w drobnośtkach. Uchwyciła natychmiast cugle gospodarstwa domowego, a Laura bynajmniej nie myślała zaprzeczyć jęj tego prawa. Margrabina miała oko na wszystko: nic się nie działo bez jęj rozkazu. Ponieważ nic nie przedsiębrała bez porady swego lubego przyjaciela, i ponieważ zdawało się, że nie ma innęj ambicyi, jak tylko przyzwoicie utrzymać dom i jego chwałę, luby przyjaciel nie lekął się powierzyć jęj całej władzy, i znajdował wszystko dobrém, co się margrabinie zarządzić podobało. Dzięki pani La Rochelandier, na całym przedmieściu Saint-Germain nie było pałacu wspanialszego nad pałac *Levraulta*. Przybywszy tam oświadczyła, że wszystko powinno odychać przepychem i obfitością; nie przepychem, któremu zły smak przewodniczy, i jaki wprowadził Jolibois do pałacu w Trelade, co to na miłą czuć można dorobkowicza, ale przepychem surowym, nie naganym, któryby nie poniżał stopnia, jaki zajmował w świecie teść La Rochelandiera. Gdyby tylko o nią chodziło, nie byłoby o czém myśleć. Znano powszechnie skromność jęj smaku, okazałość nie była jęj wadą. Całe życie szukała tylko odosobnienia i cichości, jak inni blasku i zgiełku. Była to kobieta zdolna żyć nawet w chatce; ale dla swego miłego przyjaciela, nie mogła żądać zawiele. Dla niego uczuła próżność, odzyskała całą pretensyą. Aby upiększyć mieszkanie znakomitego człowieka, przeznaczonęgo do zajęcia wysokiego stanowiska, mniemała, że niema nic dla niego zbyt kosztownęgo, zbyt wspaniałęgo. Chciała, ażeby klatka godna była ptaszka, ramy godne

obrazu, i nieraz żalowała, że nie posiadała czarodziejskiej różeczki, albo lampy Aladyna.

Po każdej takiej rozprawie, wielki fabrykant rozdziawiał dziób, i coś więcej niż sér upuszczał. Margrabina sama przewodniczyła przy ozdobieniu sławnego salonu, gdzie miało się spełnić owo skojarzenie szlachty z mieszczaństwem. Służący z Trelade w galonach i żółtych aksamitnych spodniach, zostali zastąpieni przez lokajów czarno ubranych; pan Levrault ciągle się zapominając chciał do nich przemawiać z odkrytą głową. Jego stangret biało upudrowany, ustrojony był w trójrogatą perukę; strzelec miał 6 stóp wysokości.

Przez tę delikatność, której margrabina nigdy nie szczędziła dla swego lubego przyjaciela, cały serwis stołowy, wszystkie pałacowe srebra, ostępłowane zostały herbem La Rochelandierów, który znajdował się nawet na sztućcach i porcelanie. Uprzejmość posuniętą została do tego stopnia, że i kieliszki pana Levrault otrzymały mitrę margrabiowską.

Pan Levrault nie był też nieczułym na tak uprzedzające z nim postępowanie. Pokój margrabiny otwarty był w każdej chwili dla niego, wyjeżdżała z nim w powozie dla przechadzki pa lasku, częściej jednakże dla zwiedzenia magazynów. Odnowiła związki z dawnymi przyjaciółmi, przesłała tu i owdzie zaproszenia, którym chętnie odpowiadano; wkrótce salony pałacu Levraultów zaczęły się napępniać arystokratycznymi postaciami. Dzieło pojednania było na dobrej drodze; zima rozpoczęła się pod szczęśliwą wróżbą. Kilka miesięcy jeszcze, a nie samego margrabiego swego zięcia, ale całe przedmieście Saint-Germain w massie, przez dawnego handlarza sukna jednym zamachem zjednane zostanie dla dynastji z roku 1830; jeszcze kilka miesięcy, a legitymiści nie doliczą się ani jednego stronnika z lewego brzegu Sekwany. I któż zostanie podchwycony? — pan Chambord w swym niemieckim zamczku.

W czasie, kiedy margrabina i jój luby przyjaciel oddawali się urokowi poufałości, dwoje nowożeńców żyło po swojemu, w zupełnym odosobnieniu. Wymagania namiętności, niepokój miłosny, sprzeczki i pojednania, żadna z tych lubych scen, które się rozwiązują śród pocałunków i przy wdzięku uroczym miodowego miesiąca, nie zmieszały ich dusz spokoju. Tak jest, nie zachmurzyło pogody ich dni, świetnych i zimnych jak dyamenty, w które Laura swą głowę stroić lubiła. Czyż nie byli szczęśliwi? Cóż do ich swobody brakowało? Laura szczyliła się tytułem, Gaston opływał w dostatki; ona była margrabiną a on milionerem: czegoż mogli żądać więcej?

W niedostatku miłości, bawili się próżnością, wzajemnie nią zachęcali. Laura patrząc na męża strojącego się w jej bogactwa, sądziła, że mu nic nie jest dłużna. Gaston poglądając na żonę pyszniącą się jego imieniem, mniemał, że się z nią pokwitował. Nie potrzebuje tu nadmieniać, że stanowisko margrabiego La Rochelandier względem swojej młodej małżonki, było prawdziwego szlachcica; jego grzeszność, odznaczający się sposób wysłowienia, i jego obejście więcej pochlebiało Laurze, niż najtkliwsze wyrażenia czułości. Laura oddawna nabyła tego przekonania, że inaczej nie dzieje się między ludźmi zajmującymi wyższe stanowisko, i że miłością w małżeństwie zajmują się tylko mieszczanie.

Oczekując na powrót arystokracji, przebywającej w swych parkach z liści ogołoconych, Laura przygotowywała świetne stroje i brylanty; Gaston skupował najpiękniejsze konie w Paryżu. Młodość jego żony, jej wdzięki, piękna postać, zasłaniały go przed złośliwością obmowy, i powinny służyć za wymówkę w oczach całego świata; pocieszał się swoim teściem, rozrzucając jego talary. Oddajmy mu przecież sprawiedliwość, że nie będąc bohaterem, poetą, przecież godnym był podarunku, jaki mu los zesłał. Kochał się w przepychu, jak kwiaty w słońcu; fortuna nęciła go do siebie tylko przyjemną i świetną swą stroną. Pojmował i uwielbiał sztuki. Posiadał uczciwe serce, szlachetny umysł. Jeżeli oddał się beczynnemu życiu, to dlatego, że mu tak jego imię, które nosił, nakazywało, a nakaz ten nie mniej był wymagającym, jak wola jego matki. Nieraz rúmienił się za swoje słabość i nicość, nieraz złorzeczył przesądom swjej kasty, podaniom rodzinnym, które wyobrażenie honoru i godności przewrotnie sobie tłumacząc, narzucały mu beczynność jako najpiérwszy i święty obowiązek. Jeżeli zgodził się na zawarcie niestosownego związku, to dlatego, że nie wiedział jak krętemi drogami margrabina doszła do celu; i chociaż w rzeczywistości, poświęcił swą dumę dla ambicyi, to przecież nie byłby uchybił starodawnjej uczciwości swjej rodziny. Pragnąc milionów, nigdyby się jednak nie poniżył, aby dla nich pochlebiać; jeżeli i on kadził złotemu cielcowi, to spełniał to bez schylenia czoła, bez zgięcia kolana.

Tym sposobem wszystko szło jak najlepiój; nie zdawało się, aby mogło coś przerwać ciągu tylu radości i pomyślnego stanu. Jednakże po upływie sześciu tygodni, najwięcej dwóch miesięcy, doświadczony wzrok badacza, w miłej poufności margrabiny z lubym przyjacielem, byłby odkrył jedną z tych chmurek, co to marynarze nazy-

wają kwiatem burzy. Zaledwie trzy miesiące ubiegło, a już gromy huczały nad szczytami pałacu Levraultów. Coż tam zaszło? co się tam działo? Nic, czegoby umysł umiejący cokolwiek przewidywać, nie był odkrył jeszcze przed trzema miesiącami.

Skoro margrabina została panią placu, dla zdobycia którego nie wahała się unżyć, zmalć, pochlebiać, teraz zaczęła podnosić głowę. Jój duma znalazła się w swoim żywiole; dawniejsze nawyki powoli brały górę. Nadaremnie pan Levrault szukał téj wspaniałej matrony, którą znał dawniej uśmiechającą się, łagodną, bez pychy i wyniosłości, przystępną i słodką w pożyciu, niegdyś tak miłego humoru: szukał jój, i nie mógł znaleźć. Margrabina oszczędzając lubego przyjaciela, nie przez przychylność, ale dla własnego interesu, nie chciała nań surowo nacierać: to téż bez zdraśnięcia, bez walki, dopięła nareszcie tego, że nieznacznie zamieniła z nim stanowisko, stopniowo przekształciła swoje obejście. Usunąć pana Levrault delikatnie na swoje miejsce, wyznaczyć mu podrzędne stanowisko, powoli zepchnąć go ze sceny za kulisy: oto był cel, do którego nieustannie i silnie dążyła.

Możeby mu przebaczyła jego głupstwo, i niskie urodzenie; ale upokorzenia, które musiała strawić w milczeniu, téj pozornój przyjaźni, jaką mu okazywała, owych obrotów do których zniewolona była się udać, dla pozyskania jego ufności, o! tego wszystkiego przebaczyć mu nie mogła. Głos jój utracił ów wdzięk pieścący, który panna Levrault aż do głębi duszy wzruszał. Z lubego przyjaciela, pozostał tylko pan Levrault, krótko i węzłowato. W pewnych chwilkach miała zwyczaj wymawiać nazwisko Levrault, które napępniało strachem dawnego kupca sukna, wpychało napowrót do jego sklepu. Co się to stało z owemi tkliwemi zwierzeniami, z owemi poufnemi rozmowami?...

Taż sama margrabina, która niegdyś rozprawiała o swych zbyt skromnych żądaniach, o prostocie swego gustu, i którą gwałtem trzeba było wydrzeć z spokojnego schronienia: taż margrabina, niegdyś rozmiłowana w skromném zaciszu, teraz nie żyła, nie oddychała tylko próżnemi błyskotkami świata. Wstąpiła ona z tryumfem w monarchiczne towarzystwo, gdzie błyszcziała żywym blaskiem podczas restauracyi, a które się okazywało coraz mniej surowe w sądzie o niestosownych związkach. Jój znakomite imię, jój przywiązanie do stronnictwa legitymistów, doświadczona gorliwość dla świętej sprawy, otworzyły dla niej wszystkie podwoje szlacheckiego przedmieścia.

Rozumić się, że pan Levrault nigdzie jęj nie towarzyszył; mniemała margrabina, że otoczyć się tajemnicą, nie było bezużytecznym krokiem. Wyjeżdżała i wracała nie troszcząc się bynajmniej, czy on istnieje na Bożym świecie. Mówiąc prawdę, nie było Egerya, o jakim marzył. Ale to niedosyć: pan Levrault w swoim pałacu, przypominał owych beczynnych królów z naszej historyi.

Jak niegdyś marszałkowie, tak margrabina pochłoneła całą władzę, i odtąd nie radziła się nikogo, tylko siebie samęj. Rządziła wszechwładnie, i z regentki, została królową. Byłaby się przyzwyczaiła do izdebki, nawet żyła szczęśliwą w chatce; nim jednak to mogło nastąpić, tymczasem zajmowała najwspanialsze apartamenta w pałacu. Służba, konie, powozy, zależały od jęj rozkazów; rozrządzała wszystkiem jak swoją własnością, używała wszystkiego według swęj fantazyi. Onato każdego poranku przepisywała program całodzienny, przyjmowała gości, i nawzajem ich odwiedzała, stanowiła listy osób zaprosić się mających.

Pan Levrault, chociaż nie literat, znał jednakże bajkę o charcicy i jęj towarzysze. Z początku cieszył się, że codziennie widział przy swoim stole piętnastu lub dwudziestu biesiadników; ale wkrótce zrozumiał, iż rzeczywistym Amfitryonem niezawsze jest ten, u którego obiadowano. On sam nie był niczém, tylko jednym gościem więcej; Amfitryonem, była margrabina.

Wieczorem pani La Rochelandier tronowała w salonie, kiedy pan Levrault, na którego nikt nie zważał, smutnie błakał się pomiędzy tłumem. Krążąc wpośród grona gości, niedostrzeżony częstokroć czuł to zadowolenie, iż słyshał jak chwalono przepych i elegancyą, panującą w pałacu La Rochelandierów. Często się jednakże zdarzało, iż któryś z szlachetnie urodzonych panów zaczął pana Levrault, podał mu rękę i pociągnąwszy w zagłębienie okna, prawił mu z uśmiechem o jego gieniuszu, o jego pracach; perora ta kończyła się zwykle wezwaniem do udziału w pewnym przedsięwzięciu, do uczestnictwa w jakim zamiarze przemysłowym, do którego wielki fabrykant przystępował z gotowizną, a wielki pan tylko ze swoim imieniem. Uważając wielu ze szlachty zapraszanych przez margrabinę, badając ich obyczaje, które były właściwe ówczesnej arystokracji, pan Levrault mógł mniemać, iż bynajmniej handlu nie porzucił, że się o przemysłowy stan ociera.

Zgodził on się bez urazy, bez szemrania, na dziwną rolę, którą mu margrabina narzuciła: bo niedaleką była owa chwila odwetu, świetnego odwetu o jakim marzył. Raz usiadłszy na ławkach w pa-

łacu Luxembourg, raz odziawszy się w płaszcz gronostajowy, który bez wątpienia będzie przywrócony, to i on z kolei wzniesie głowę; wszystko postać zmieni, a margrabina rozkazująca teraz bez kontroli w jego domu, będzie się uważała za szczęśliwą przyjąć gościnność w jego wspaniałym pałacu, której dotychczas bez zmarszczenia jęć używał.

Dotychczas milczał, bo powinien milczeć. Margrabina była duszą jego domu; ona zaludniała salony, które bez niej, stałyby pustkami. Ściągała do nich tłumy przez swoje wdzięczne obejście, przykuwała niejako swą rozmową ludzi, których imiona jaśnieją w historii Francji, a którzy bez wdzięku téj syreny, nigdyby nie zrobili kroku za próg salonu w pałacu Levraulta. Gdyby pan Levrault tak dobrze się znał na wyrażeniach poetycznych, jak na cenach sukna z Elbeuf i Louviers, byłby chętnie porównał margrabinę, z uwięzionym skowronkiem, jakiego używa ptasznik, do złapania łatwo-wiernych towarzyszków. Nie szukając wszakże dla swój myśli tak delikatnego określenia, ileż on nie poklaskiwał swój przebiegłości, swój cierpliwości? Ileż uwielbiał swoje poddanie się losowi, swe uniżenie! Jakżeż się uśmiechał serdecznie, widząc margrabinę, jak mu na pewny strzał naganiała zwierzynę!..

Jednakże dni i tygodnie upływały, a Gaston ani wspomniał o zamiarze udania się do Tuileries. Jako człowiek dobrze wychowany, jako mieszczanin umiejący żyć, i znający całą wartość delikatnego obejścia w stosunkach z ludźmi, pan Levrault nigdy na seryo nie mówił o tém z zięciem. Upewniony zdaniem umiarkowanemi Gastona, jego sposobem myślenia, sympatją jaką zawsze okazywał dla młodych książąt i panującej rodziny; pan Levrault ani na chwilę nie powątpiewał, aby margrabia nie zgadzał się lub nie uwzględniał jego zamiarów. Wprawdzie Gaston nic nie przyrzekał, ale margrabina dała słowo, a syn spełniając przyrzeczenie matki, uściłby tylko tajemne życzenia swojego serca; wszakże jego chęci miały być za zjednoczeniem z nową dynastją: z téj strony wielki rękodzielnik bynajmniej się nie obawiał. W każdym razie, kiedy w obec zięcia zrobił zastosowanie do swoich marzeń, do swych nadziei, Gaston nie znając tajemnej ambicji teścia, odpowiadał z uśmiechem, a pan Levrault brał ten uśmiech za znak potwierdzający. Poczciwy człowiek zasypiał bezpiecznie, i gdyby nawet już miał w kieszeni podwójny patent na hrabiego i para, nie byłby może spokojniejszym. Nadszedł jednakże dzień, w którym owa spokojność zachwiana została,

Ośmielona pokorną postawą pana domu, margrabina, która dotychczas nie mówiła o nowój dynastyi jak tylko ze względnością, teraz przybrała ton żartobliwy, poniżający, co pana Levrault w głębokie osłupienie pogrążyło. Ta kobieta, niegdyś tak łagodna, dobrodusza, z charakterem tak miłym, umiarkowanym, która zgadzała się z obecnością bez obrazy, żałowała przeszłości bez goryczy, teraz szydziła bez litości z całego dworu i z nowych instytucyj. W salonach w których miało się spełnić zjednoczenie szlachty z mieszczaństwem, słyshał tylko rozmowy pełne sarkazmów i żółcią napojonych epigramatów. Po tych, następowały jawne wynurzenia nadziei. Nie rozprawiano tam o przeszłości, jako gmachu oddawna grożącym zawaleniem, uniesionym bezpowrotnie przez burze rewolucyjne, ale jako o pałacu, którego kamienie na chwilę rozproszone, zwolna się gromadziły i dawniejsze miejsce zajmowały. Teraźniejszość miała być zatarta, jak senne marzenie, a tron Ś. Ludwika miał znowu być wzniesionym.

Słyszając tak śmiałe rozmowy, zadrżał pan Levrault, nadstawiał uszy jak muł, który wietrzy burzę, i pytał się z przerażeniem, czy go przypadkiem słuch nie zwodzi, czy się znajduje u siebie, czy nie jest igraszką sennego widziadła.

Nieraz brała go ochota nakazać milczenie tym niegrzecznym gościom, tym zuchwałym deklamatorom; mądrość nakazywała mu zawsze powściągnąć sprawiedliwy wybuch obrazy, zamykała mu usta. Zaprzeczyć im, zamknąć przed nimi drzwi swego domu, nie byłożto narażić, zniszczyć w jednym dniu owoc niezmordowanej cierpliwości? A więc się powstrzymywał, ale ta przydłuższa cierpliwość była źródłem trawiącej go nieufności. Margrabina, która w zamku La Rochelandier, wśród alei parku Trelade, tak czule pieściła jego ambitne marzenia, teraz ich bynajmniej nie podniecała, nawet przez zbaczające zastosowania. Miotany tajemnym przecuciem, pan Levrault z niespokojnością poglądał na wszystko, co się koło niego działo.

Chociaż związek Laury z Gastonem pozornie zatrzymał jednostajną barwę, ich pożycie przecież ukrywało zaród niesnasków i rozwojenia. Przedmieście Saint-Germain, gdzie Laura spodziewała się użyć tyle radości, pozyskać tryumfy, nie dotrzymało swój obietnicy. Towarzystwo to, którego podania i wyszukane obejście z początku ją omamiły, teraz zdawało się jej cokolwiek za zimne, jednostajne. Nieraz w sprzeczności z przekonaniem, dostrzegała, że ją do swego grona w zupełności nie przyjęto; zaczęła pojmować, że te wielkie damy, jakkolwiek okazywały dlań gościnność, przecież nie zapominały, jaka



przestrzeń rozdziela ich od siebie. Niedosttrzeżony uśmiech, to niby roztargnienie, i wyniosłość w spojrzeniu, powitaniu, jawnie mówiły, że pierwotny stan jej ojca nie był tajemnicą dla nikogo. Rzecz dziwna!.. przebaczone Gastonowi że się aż do niej zniżył, a Laurze nie chciano darować tego, że się chciała wzniesć do Gastona.

Wpółśród świetnych uroczystości, czuła swe odosobnienie; powietrze, którym oddychała było złodowaciale. Tajemna boleść uciśkała jej duszę. Wróciwszy Laura do domu, oddana sama sobie, przebiegała w myśli wszystkie wyrazy, które słyszała: owe spojrzenia, półuśmiechy, jakie dostrzegła, i tłumaczyła je z okrutną przenikliwością. Gaston oddany zabawom, całodziennym rozrywkom, nie domyślał się ile łez wylała jego żona, a on znajdując się zdala od niej, nie mógł ich ukoić.

Wtedy mówiła sobie Laura, że dwór byłby więcej pobłażającym; niż stara arystokracja; tam, jak na neutralnej ziemi, szlachta i mieszczaństwo spotykało się, podawało ręce; młoda, piękna, cały świat holdowała jej tytułowi, nikt nie odważyłby się przypomnieć jej pochodzenie. Wkrótce Laurę jedna tylko myśl zajmowała — znajdowania się na królewskim dworze. Również jak jej ojciec przekonaną, że Gaston miał szczere życzenie połączenia się z dynastją z roku 1830, tą wiarą pocieszała się i łagodziła doznane upokorzenie; marząc o świetnym odwecie, boleść swą koła. Ale upływały dni i tygodnie, a za każdym razem, kiedy Laura wspomniała Gastonowi o odwiedzeniu pałacu Tuileries, Gaston, który w tém życzeniu upatrywał tylko chętkę dziecinną, kaprys bez celu, i nic więcej, zwykle odpowiadał uśmiechem, albo milczeniem.

Laura więcej od ojca przewidująca, niedługo zostawała w błędzie; co do przyjętej taktyki przez margrabinę, co do zwierzchnictwa jakie sobie przywłaszczyła i którego używała jako prawa jej przynależnego. Jej teściowa żartowała sobie z łatwowierności pana Levrault; Gaston byłżeby jej współnikiem? Podejrzenie to, skoro się raz wcisnęło w umysł Laury, z każdym dniem wzrastało. Zbyt dumna, aby miała upominać się o to, co uważała jako niedodżowném spełnieniem umowy, Laura coraz bardziej odsuwała się od męża; wątpiąc o jego rzetelności. Nie nalegała więcej na niego, ale nie mogła zwyciężyć tajemnej obrazy, wzrastającej w cichości, która też wkrótce prawie w nienawiść się zamieniła.

Pan Levrault niecierpliwiąc się coraz bardziej, zaczął córkę dla dowiedzenia się, co ma sądzić o zamiarach zięcia. Odpowiedź

Laury podwoiwszy jego niepokój, rozjątrzyła go do ostateczności. Postanowił więc udać się wprost do swego zięcia. Kilkakrotnie szukał sposobności do pomówienia z nim otwarcie; ale z dwóch przyczyn jego nadspodziewana odwaga bez skutku zostawała. Gaston tak urządził swój tryb życia, że tylko przy obiedzie spotykał się z panem Levrault; często nawet kilkanaście dni upłynęło, w których się wcale nie widzieli. Nadto, jego grzeczność jednostajna w każdej chwili, w każdym miejscu, zdolna była utrzymać pana Levrault w pawném oddaleniu. Napróżno teść starał się przybrać z nim ton poufaly. Gaston odpowiadał na jego uprzedzające postępowanie w taki sposób, że go zawsze zniechęcił.

Jednakże pewnego poranku, pan Levrault wszedł do pokoju młodego margrabiego. Gaston kończył się ubierać, i oczekiwał na swego przyjaciela, z którym miał się udać do lasku. Jakkolwiek było dopiero luty, jednakże zjawilo się kilka z tych dni ciepłych, które już wiosnę zwiastują. Wszedłszy pan Levrault, rzucił się na krzesło, i wodząc wzrokiem po pokoju z ciekawością i zadowoleniem, zawołał:

— Dalipan, panie margrabis, uważam z przyjemnością, że codziennie robisz nowe i piękne nabytki. Oto brzozy, których wcale nie widziałem. Dzięki Bogu! twój pokój prawdziwe muzeum stanowi. Nie można uczynić lepszego wyboru. Poznaje twój dobry smak w każdej rzeczy. Wszędzie chwala twoje zaprzęgi i konie. Uwielbiałem niedawno na dziedzińcu wierzchowca czystej krwi arabskiej, którego wczoraj kupiłeś, a na którym masz się udać do lasku. To przedziwnie panie margrabis, pięknie umiesz przepędzać twą młodość; ale całe twe życie ubiegać tak nie może. Stajnie są już w zupełnym porządku, w cieplarni masz najrzadsze rośliny ze starego i nowego świata, twoja galerja obrazów jest bardzo ładna, jak o tém powszechnie mówią; jednakże całe życie na takich zatrudnieniach upłynąć nie może. Naprzykład co teraz myślisz robić?

Na takie zapytanie, Gaston spojrział na teścia z podziwieniem.

— Co myślę robić, panie? Co robiłem wczoraj, co robię dzisiaj: dzielić mój czas między wymagania świata i przyjaźni; z rana w lasku, wieczorem na operze w teatrze włoskim; wynajdywać dla mej żony miłe rozrywki; odwiedzać malarzy, rzeźbiarzy mających sławę; znajdować się na wyścigach w Chantilly, zakładać się, niekiedy samemu puszczając się na gonitwę: czyż to jest mało do zapelnienia swego życia?

— Wszystko to, panie margrabio, wystarczy do zapelnienia chwil żywota człowieka bez osobistój wartości; ale ty nim nie jesteś. Twoje imię, wychowanie, twoje związki z Levraultami nakazują ci ważniejsze obowiązki; wiem, że je znasz dobrze; jesteś ożywiony szlachetną ambicyą!....

— O jakiej ambicyi chcesz pan mówić? — zapytał Gaston jeszcze więcej zdziwiony.

— Należysz do dzieci terażniejszego wieku — odrzekł pan Levrault, przypominając sobie wyrażenia margrabiny; — nie zawarłeś żadnych umów z przeszłością. Wzrosłeś swobodnie, bez bojaźni, w atmosferze wyobrażeń postępowych; zaledwie przypominasz sobie burzę, która strzaskała tron św. Ludwika. Słyszałem, żeś się zawsze wyrażał z pochwałami o nowój dynastyi; kochasz młodych książąt.

— Nie zapieram się tego — odparł Gaston, szukając napróżno, do czego teść w swój rozprawie zmierzał. — Siedziałem w szkole na tychże ławkach, co i książęta. Później przypadek postawił mnie na téjże co i oni drodze. Spotkałem ich w Fontenebleau, na polowaniu, i nigdy ten rozkoszny dzień wpośród nich spędzony, nigdy z méj pamięci nie wyjdzie. Sąto dzielni młodzieńcy, rzetelnie swojemu krajowi służący.

— A więc! czegoż oczekujesz? — zapytał pan Levrault z miną tryumfującą.

— Oczekuję panie, abys mi raczył się jaśniej wytłumaczyć — odparł młody margrabia.

— Ejże! mój zięciu, twoje życzenia dla nikogo nie są tajemnicą. Pojąłeś obowiązki do twego imienia przywiązane, pałasz chęcią pozyskania udziału w interesach publicznych. La Rochelandier nie powinien pozostać w tyle, zapomniany, z założonemi rękoma. Teraźniejszość i przyszłość cię wzywają. Chcesz się z lipcowym tronem zjednoczyć, i masz zupełną słuszość.

— Ja się chcę zjednoczyć? — zawołał Gaston, jak człowiek nagle ze snu obudzony; — ja pojednać? Któż to przypisuje mi takie zamiary? Każdy pojmuje obowiązki po swojemu, jakie mu urodzenie nakazało. Nie czuję nienawiści do nowych instytucyj, kocham młodych książąt, moje wspomnienia z przeszłości żadna gorycz nie zatrzuwa; ależ pomyslnie do jakiej rodziny należę? Mój ojciec zostawił mi szlachetny przykład, którego się nie wyprę. Jeżeli nie działam wielkich rzeczy, to przecież nie zaprzeczę, nie podepczę podań mojej rodziny.

— Tym sposobem, panie margrabio — zawołał pan Levrault nagle powstawszy — nigdy pan nie miałeś zamiaru zjednoczenia się z lipcowym tronem?

— Nigdy o tém nie pomyślałem — odparł spokojnie Gaston; — ale jeszcze jedno: proszę pana, kto mu powiedział podobną bajkę?

— Kto mi powiedział? twoja matka, panie margrabio.

— Moja matka? — odrzekł Gaston z dumą; — moja matka! Nie rozważyłeś tego panie, że gdybym pomyślał o połączeniu, a matka o tém dowiedziata się, toby rzuciła na mnie przekleństwo.

W téj chwili otworzyły się drzwi, i wszedł młodzieniec ubrany w kurtkę służącą do jazdy konnej, ze szpicrutą w rękę; poczem uderzając Gastona po ramieniu, przywitał się z nim poufale. Gaston, który nie pojmował nalegań swego teścia, i nie odgadywał jak wielką wagę przywiązywał pan Levrault do podobnych zapytań, wytłumaczył się w kilku wyrazach, pożegnał go z uszanowaniem i wyszedł. Pan Levrault blady, oniemiały z osłupienia, upadł napowrót na krzesło. Słyszając skrzypienie drzwi od bramy dziedzińcowej, podniósł się machinalnie i stanął w oknie; jego zięć dosiadłszy śmiało rumaka czystej krwi arabskiej, ruszył z kopyta, i żegnał go końcem swój szpicruty.

Pan Levrault zrobił tylko jeden skok z pokoju Gastona do gabinetu margrabiny; ale margrabina tylko co wyszła. Zażądał swego pojazdu: wzięła go margrabina. Pierwszy raz zrozumiał, dlaczego kazala wymalować koronę margrabiowską na drzwiczkach jego powozu; teraz pojął wszystko. Co się z nim działo, każdy odgadnie, nie trzeba tego objaśniać. Mistyfikowany i wyszydzony jak jaki chudy pacholek, mieszczuch, nie mógł ustać na miejscu; poszedł pieszo, kierując swoje kroki ku Tuileries. Rachował na ciągły zgiełk i ruch, aby swój gniew przytłumić; próżne było jego oczekiwanie.

W miarę jak postępował, zwiększało się téż jego wzruszenie. Zdawało się, iż na wszystkich twarzach dostrzegał szydery uśmiech, wszyscy których w przechodzie potraçał, patrzeli nań z drwiącą miną, jakby znali tajemnicę jego okrutnego zawiedzenia.

Przybywszy przed Tuileries, widok pałacu jeszcze go bardziej drażnił. Słońce żywym blaskiem jaśniało, odbijając swe promienie w szybach okien pałacowych; lekka i miła architektura Filiberta Delorme, kąpała się w potokach światła, i całe swe bogactwo przed oczy stawiała. Wsparty o posągi Aryusa i Pety, z założonemi na piersiach rękoma, pan Levrault długo stał pogrążony w dumaniu, i rozpatrywał się w budowie pałacu, który dzisiaj miał uroczystą postać.

Zatopiony w myślach, pytał się z rozpaczą, czy bramy tego pałacu kiedyś otworzą się dla niego, czy téż był wskazany, aby nigdy tych progów nie przestąpił. Mimo ostrzeżeń pana Jolibois, wpadł

z Charybdy na Scyllę, z pazurów Montflanquin'a dostał się w łapki margrabiny. Wstyd i wściekłość miotają jego sercem.

Stojąc przeszło godzinę jakby skamieniały, nareszcie zaczął się wielkimi krokami przechodzić po ogrodzie, a kiedy słońce zaczęło się schylać ku zachodowi, w przekonaniu, że margrabina powrócić już musiała, spieszenie przebył most królewski, aby się dostać na ulicę Varrennes. Kiedy się zbliżył do swego pałacu, ujrzał na nim napis złotymi literami nad drzwiami wyryty; jakież było jego podziwienie czytając na czarnym marmurze: *Pałac La Rochelandier!* Był to kropla wody, która przepelniła naczynie już i tak pełne. Margrabina właśnie co powróciła, pan Levrault udał się do niej.

W téjże godzinie Gaston opuścił lasek Buloński, pędząc drogą ku Paryżowi. Przebywając ulicę Varennes, rozważał wyrazy pana Levrault, których nigdy nie brał na seryo i poczytał je za przywidzenie. W rzeczy saméj, jakim sposobem możnaby uwierzyć, aby jego matka coś podobnego przyrzekła? Jednakże przebiegając przez lasek, powoli przypominał sobie postępowanie margrabiny w Trelade, jój nadskakiwanie panu Levrault, kadzidla sypane jego córce. Nie raz cierpiał on, widząc jak jego matka pochlebiała głupocie i próżności swego gospodarza; cierpienia jego dotąd niewyjaśnione, przybierały teraz hańbiącą dlań postać i dla jego rodziny. Przypominał sobie także, jak silnie nalegała Laura, aby się udał do dworu; dąsania żony, które zaledwie dostrzegał, obecnie stanęły mu w pamięci, a porównawszy je z rozmowami w Trelade prowadzonymi, objaśniły go nadspodziewanie. Zbierając wszelkie wspomnienia, Gaston uczuł rumieniec występujący mu na policzki. Trawiony okrutną niepewnością, nie mógł pokonać rodzącego się w nim niespokoju; dał więc dzielną ostrogę rumakowi, i pospieszył do Paryża, dla wyciśnienia prawdy z ust margrabiny.

### XIII.

Pani La Rochelandier widząc wchodzącego do gabinetu pana Levrault, pojęła natychmiast, że to idzie o stanowcze wyjaśnienie wątpliwości, jakie się w jego duszy wyrodziły; a więc się zawczasu przygotowała.

— Pani margrabino—rzekł p. Levrault bez żadnego wstępu—chciałbym wiedzieć, czy pani znajduje się u mnie, czy ja u pani; czy pałac który zamieszkujemy, jest domem Levraulta, czy téż La Rochelandierów?

— Dziwne mi pan robisz zapytanie—odrzekła pani La Rochelandier bez poruszenia się z miejsca.—Nie pojmuję cię, co chciałeś przez to wyrazić.

— Zaraz mnie pani zrozumie, mości margrabino. Przeczytałem w tej chwili napis na pałacu, któryś pani kazała umieścić.

— A więc, mój panie?...

— Więc pani, widziałem i czytałem własnymi oczyma: pałac La Rochelandier.

— Ah! to o to się gniewasz, mój przyjacielu!—odpowiedziała margrabina słodziuchnym i pieszczącym głosem, którego często używała pod cieniem parku w Trelade; a który czarodziejskim sposobem teraz odzyskała. Cóż prostszego, co może być naturalniejszego? Pałac La Rochelandierów nie nazywał się teraz zamkiem Levrault? Kładąc na twoim pałacu nazwisko naszej rodziny, sądziłam, że ci zrobię przyjemność. Upatrywałam w tém tylko silniejsze utwierdzenie naszych związków, które w tak delikatny sposób okazać ci pragnęłam.

— A więc, pani margrabino, winienem ci wdzięczność, za to jeszcze mam ci podziękować?

— Między nami, mój przyjacielu, wiesz dobrze, nie powinno być mowy o wdzięczności ani o podziękowaniach. Co zrobiłam dla ciebie, zrobiłam to z rozkoszą. Wkrótce spodziewam się, że wchodząc do swego domu, przeczytasz: pałac Levrault-La-Rochelandier. Wspomniałem o tém kanclerzowi państwa, i mam nadzieję, że ci pozwoli do swego nazwiska dodać imię swego zięcia.

— Moje nazwisko, pani margrabino, moje nazwisko, takie jakim jest wystarczy dla mnie—odparł pan Levrault dumnie podnosząc głowę.—Nie mam herbów, moi przodkowie nie walczyli w czasie krucyat; ale przez moje prace, przez moje talenta, wzbogaciłem kraj ojczysty; chwała ta zrównoważy się z inną. Zresztą—dodał spokojnie, jak ten, co jest zadowolony z powrócenia mu honoru, i zadośćuczynienia jakie właśnie pozyskał—pani margrabina rządzisz tu z nieograniczoną władzą.

— Jestże to wymówka dla mnie? panie.

— Jestto naga prawda. Nie łudzę się względem roli jaką mi pani tutaj naznaczyłaś, i cieszy mnie, że ci to mogę powiedzieć. Któż wybiera gości, którzy siadają do mego stołu? kto ich zaprasza? Czyliż nie pani? Kto zaludnia moje salony? czyż nie twoje jedyne widzimi się?

— Mój przyjacielu, jesteś niewdzięcznym — odparła margrabina z anielską słodyczą.—Czegoż więc spodziewałeś się mój przyjacie-

lu, przyzywając mnie tu do siebie? Żyłam spokojnie w moim zamku, w głębi méj doliny. Dla ciebie, namyśliłam się wejść na widownię świata. Dla ciebie, dla ciebie jedynie, poświęciłam moje nawyki i moję cichą samotnię. Od trzech miesięcy, aby ci się przyodobać, żyję wśród zgiełku i uroczystości. Twoje szczęście jedynie mnie obchodzi, świetność twego imienia wyłącznie mnie zajmuje. O cóż się więc masz powód skarżyć? Czyż nie zgromadziłam w twoich salonach kwiatu arystokracji?

— Bez wątpienia, pani margrabino. Przyznaję, twoje stronnictwo wybornie jest reprezentowane w moim salonie; ale moje? ale mieszczanie? Nie jestem u siebie sam jeden z mojemi opiniami? Prawdziwie pięknych rzeczy się tam nasłuchałem! Jeżeli mówią o nowój dynastji, to każdy wysila się na jakiś docinek. Wasi przyjaciele bez ceremonii głośno o tém mówią co myślą; byłby ten bardzo głupim albo szaleńcem, któryby nie rozumiał waszych chęci, pomylił się na waszych życzeniach. Mówiłaś mi pani w Trelade, o zbliżeniu, o pojednaniu szlachty z mieszczaństwem. Pięknie się biorą do tego, i w jak dziwny sposób! Czyżto wysławiając przeszłość, a szkalując terażniejszość, spodziewacie się dopełnić zamiaru zlania i zjednoczenia?

— Nie zapominaj, że w spełnieniu twoich zamiarów, mój przyjacielu, każdy miał oznaczony swój obowiązek. Dopełniłam mojego, twój się rozpoczyna. Zobowiązałam się sprowadzić do ciebie arystokracją; nie dotrzymałamże słowa? Teraz do ciebie należy przywołać klasę mieszczańską. Kto cię wstrzymuje? Dalej, postawmy oko w oko z sobą mieszczan i szlachtę; niech się słuchają, niech się o siebie ocierają, wzajemnie porozumią, a wtedy ujrzymy nasze marzenia spełnione.

— A zatém! pani margrabino—powiedział pan Levrault idąc prosto do rzeczy—jeżeli szczerze życzysz sobie, aby się nasze marzenia spełniły, dlaczego twój syn piérwszy nie daje przykładu pojednania? na co się ociąga, aby się połączyć?

— Mój syn jest usamowolniony, i od nikogo nie zasięga rady, tylko od własnego sumienia. Niech się oświadczy za zjednoczeniem, a nie będę go od tego odwodzić; ale pojmujesz dobrze mój przyjacielu, że go do podobnego kroku nakłaniać nie mogę.

— Wszakże mi pani mówiła, że to są jego życzenia?

— Tak sądziłam o tém, mój przyjacielu, i dlatego ci powiedziałam.

— A! to tylko pani tak mniemałaś!—zawołał Levrault, który się ledwie mógł pohamować—a słuchając cię, byłaś tego pewna, i na to rachowałem.

— Nie dałam panu słowa za mojego syna, nie mogłam upewnić o jego zamiarach; lecz dlaczego przy tym punkcie tak obstajesz? jak wielkiej wagi interes wiąże cię do tego kroku?

— Dlaczego? jaki interes? pani wieśz, pani znasz moje ambicyę.

— Ej mój przyjacielu! czy możesz żądać szczęśliwszego życia jak twoje? Co brakuje do twój pomyślności? Otoczony rodziną która cię kocha, przepędzasz zimę wśród zabaw i uroczystości. Nadchodzi wiosna, masz zamek Levrault, który do siebie przyzywa, ręce do ciebie wyciąga. Ah! mój przyjacielu, jesteś niesprawiedliwy względem Opatrzności! Będąc takim bogaczem nie potrzebujesz tylko wyrzec słowo, aby zgromadzić resztki ojcowizny La Rochelandierów. Wtajemniczony we wszystkie odkrycia i wynalazki dzisiejszej nauki, na niwach przez ciebie odnowionych, kto ci zabrania działać to dla rolnictwa, coś uczynił dla wzniesienia przemysłu?

— Nie tak mówiłaś pani w Trelade, mościa margrabino!.. Upatrywałaś we mnie materyał, z którego się tworzą ludzie stanu, oddawałaś mi sprawiedliwość. Mówiłaś wówczas, że moje miejsce było na trybunie w radzie. Daleka od potępiania moich nadziei, owszem podtrzymywałaś je. Dziwiłaś się, że człowiek z takimi zdolnościami, wskazał się na bezczynność, na zapomnienie, kiedy tłum miernostek uganiał się za urzędami w wyższych sferach władzy; pochwalałaś nareszcie myśl, która mnie zaprowadziła do Bretanii.

— I cóż? mój przyjacielu—rzekła margrabina z rezygnacją— jeżeli nie czujesz ceny twojego szczęścia, jeżeli unikasz spokoju, jeśli życie pańskie nie ma powabu dla ciebie, jeżeli ambicya jest twojém bożyszczem, jeżeli nakoniec rachowałeś na mojego syna, udaj się do niego, on sam może ci odpowiedzieć.

Tutaj pan Levrault zerwał się z krzesła pobladły ze złości.

— Pani margrabino, żartowałaś ze mnie!... Dzisiaj jeszcze, tego poranku, widziałem się z jej synem, przedstawiłem bez ogródki o co chodzi. Zamiaru, któryś mu przypisywała, nigdy nie miał. Nic nie uczynił, nic nie mówił, aby cię pani w błąd wprowadził. Znasz jego myśli, i wieśz czego pragnie. Teraz i ja wiem co są warte twoje piękne słówka. Umierałaś pani z nudów w twoim zrujnowanym zameczku. Dla podniesienia z upadku twojego domu, dla wstąpienia na widownię świata, unżyłaś się aż do pochlebstwa, aż do



głaskania kramarza, którym dzisiaj pogardzasz. Nienawidzę twego stroonictwa, i nigdy się z tém nie tailem. Zawsze pogardzałem twoją kastą; między Levraultem i p. Chambord, istnieć nie może nic wspólnego. Gdybyś nie wmówiła we mnie, gdybym był nie uwierzył, że kiedyś twój syn pojedna się z nową dynastyą, nigdybym nie oddał mu mojej córki, i części mego majątku. Zawierzyłem waszej uczciwości, a wyście mnie niegodnie oszukali.

Zaledwie pan Levrault wymówił te wyrazy, Gaston, który co tylko wszedł, stanął we drzwiach salonu, blady, milczący, nieporuszony. Margrabina miała odpowiedzieć, ale ujrawszy syna, zamilkła.

— Moja matko — rzekł zimno Gaston postąpiwszy ku niej kilka kroków — zrozumiałem wszystko: zrobiłaś handel z mojego imienia. Byłoby tysiąc razy lepiej, gdybyśmy byli pozostali ubogimi, albo trzeba mnie było nauczyć pracować, abym był w stanie odzyskać nasz majątek. Zawarłaś kontrakt w celu spekulacyjnym, którego ja nie podpisałem, ale który dotrzymam.

Potém obróciwszy się do pana Levrault, rzekł:

— Bądź spokojny, panie, pojedziemy do dworu.

I Gaston odszedł nie dodawszy ani słowa, zostawiając margrabinę jakby piorunem rażoną, a pana Levrault upojonego radością.

(Część czwarta i ostatnia w następnym zeszytcie).



# NOWA EPOKA

## LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD.

PRZEZ

*Juliana Bartoszewicza.*

---

Rozwija się literatura, bo rozwija się i życie i ludzkość. W pochodzie swoim, za każdym krokiem, będąc wcieleniem się pewnej idei, literatura odbijać musi i ducha społeczeństwa, wśród którego wzrosła i żyła. Kiedy więc w świecie wypadków, jedna zmiana wywołuje drugą, a popęd z góry jest dany dla wszechstronnego rowoju: i literatura zrzucać musi zmurszałą swoją sukienkę i w nowym społeczeństwie o nowych zaświadczać potrzebach i o nowym umysłowym życiu. Literatura jest jakby drogowskazem dziejów. Kwitnąca czy upadająca, ona znaczy każdy krok ludzkości. Ludzkość jestto jeden wielki zbiorowy człowiek, a literatura—to dzieła, które ten człowiek napisał, —to myśli jego w danej epoce. Kto będzie pisał żywot tego zbiorowego człowieka, skreślić musi i dzieje myśli jego, i dzieje ducha jego.

W naszym wieku, wszystkie literatury europejskie zagrały nowym życiem. Dokonała się w nich albo jeszcze dokonywa się w chwili obecnej reforma wielka. Duch się ocknął, i nawet tam, gdzie zdaje się żadnego już nie było życia, występuje życie. Z początku znakomite poetyczne gieniusze świeciły nad zaraniem naszego stulecia. Po wielkich wstrząśnieniach politycznych, z upadkiem mocarza Zachodu, nastął czas cichego rozwoju dla ludów europejskich; a spokojność tak długa, jak nigdy, wydać musiała swoje owoce. Wiek nasz, nazywają wiekiem przemysłu i postępu. To prawda. Ogromny krok ku przyszłości, ku udoskonaleniu się swojemu zrobiła ludzkość. Same żelazne koleje i parowe maszyny, zmieniły całkiem towarzyskie

życie nasze. I w przeciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, Europa niezawodnie przeżyła więcej uczuć, znalazła więcej nauki, przebyła więcej doświadczenia, jak w ciągu może jednego i drugiego wieku.

Literatura rozwinęła też z kolei olbrzymie swoje siły, i ona to, a nie kto inny, tyle dokazała cudów. Wszystkie siły społeczeństwa skupiła w sobie literatura. Ona wskazała drogę do przemysłu, otworzyła podwoje poszukiwaniom i nauce, i zastąpiła Europie wojny i wszystkie środki oświaty. Ogromny też widzimy postęp w każdej gałęzi wiedzy ludzkiej. My tylko wskażemy na jedną stronę rozwoju.

Jesteśmy właśnie świadkami wielkiej pracy ludów europejskich, jak grzebią w dawniej swojej przeszłości, odtwarzając nauką przodków szlachetne postaci. Wszędzie, gdzie tylko zajrzała tegoczesna cywilizacja, widzimy jakiś zwrot nagły ku tym badaniom przeszłości i pamiątek starych, ku pracom powiemy kolosalnym, któremi się słusznie wiek XIX może zaszczyścić. Już to nie przedsięwzięcia pojedynczych osób, odrębne, nieskupione, wyrastające z ziemi; a zatrudnienie całych korporacyj, całych towarzystw. I wtenczas, kiedy np. chemik co chwila nowe cuda odkrywa w istotach i ciałach organicznych, kiedy odkrycia swego używa do zastosowania w przyszłości, ogromne obiecującego skutki; uczony badacz wieków, co chwila odkrywa w świecie starym, znajomym dla siebie, nowe nieznané przedmioty; to mu się lepiej teraz uwydatnia rys jakiś charakteru, jakiś sposób myślenia: to inaczej widzi i wypadki i ludzi. Dostrzega sprężyn postępowania pewnych historycznych osób, czyta im w sercu i widzi w głębi tego serca ukrytą szlachetność, dumę, albo niecny interes własny. Czasem błyskawica niespodziana czasy nadzwyczaj odległe i prawie zapomniane rozświeci, a przy jój odbłasku czarownym, i leśiste dzikie postaci, przemówią zrozumiale i do serca i do wyobraźni. Albo rzuciwszy szczegóły i wypadki, badacz przeszłości, historycznym rzutem oka, stara się objąć cały ogrom dziejów, i patrzy na ludzkość jak przebywała różne koleje aż do XIXgo stulecia. Widzi rozwój, widzi przez wieki działającą Opatrzność. Zbliża wypadki podobne, i widzi skutki jednakowe; a z zadziwieniem postrzega, że są prawa także w moralnym, jak i w fizycznym świecie. Nieraz więc wpada w zapał i przepowiada, bo przekonał się, że ludzkość nie stoi, a rozwija się ciągle.

Byli i dawniej badacze wypadków. Filozofia dziejów nie od dzisiaj także wzięła swój początek, chociaż to jeszcze bardzo młoda nauka. Ale dzisiaj dopiero, zrozumieliśmy coś więcej w tej przeszłości. Dzisiaj prawdziwie nowy świat otwiera się oczom naszym. Ludzkość, z młodzieńczego wieku, przechodzi teraz w wiek

mężki, dojrzały. I badanie więc dziejów dzisiaj inną przybrało cechę jak dawniej, a filozofia dziejów jest już dowodem, że w samej rzeczy dojrzeła ludzkość.

W ostatnich latach trzydziestu, w Europie więcej wydrukowano i napisano dzieł historycznych, ważnej, naukowej treści, jak w całym reszłym wieku: lubo i wiek XVIII rozległą szczyił się działalnością. Ten fakt przecie uderza i może dostarczyć do charakterystyki naszej epoki, kilka dokładnych rysów. Kiedy literatura dzisiaj stała się potęgą i bronią, historia każdego narodu dziś więcej, jak kiedy indziej, stać się musiała świątynią każdej narodowości. I gdzie więcej rozkwitła literatura historyczna, tam niezawodnie więcej jest życia, więcej cywilizacji społecznej; gdzie więcej poszukują pamiątek dawnych, tam więcej niezawodnie uczucia godności własnej; gdzie więcej użonych sporów, tam niezawodnie naród więcej myśli, więcej zna siebie i odznacza się większym światłem pomiędzy tyłą narodów.

Tysiącem węzłów powiązani z Europą, która najsiłniej odbija w sobie ludzkość, i myśmy także nową epokę zaczęli w dziewiętnastym stuleciu. Przesilenie nastąpiło i u nas, bośmy także częstką ludzkości.

Przed trzema dziesiątkami lat, literatura polska zaczęła wchodzić w nowe zaczarowane koło swojego życia. Przewidzieć było można już wtenczas, że nie w poezji jedynie odbije się myśl natchniona, która zupełnie nowe i do tego pięknie zapowiadała czasy. Poezją zdradziło się tylko uczucie, które już na dzień serc spoczywało, i zabłysnęło nagle, jakby z popiołów fenix. Pierwszym tylko zwiastunem nowej epoki, był poeta-geniusz. Przyszedł on razem z wiekiem, bo przyjść musiał, bo tak mu kazały wyroki Opatrzności. I dzisiaj tak świetnym kwiecieniem rozblęła w literaturze naszej poezja, że przecucie dawne już prawdą być zaczyna; i wierzyliśmy niegdyś, dzisiaj powiadamy z pewnością, że widaliśmy nową epokę literatury polskiej. Bo za poezją pójść musiała po drodze rozwoju i nauka. Pieśń rodzinna głosząc cuda o dawniej przeszłości, zbudziła powieść i zapal do poszukiwań w starych pergaminach i drukach. Co pieśń natchnieniem zrobiła, to zamilowanie przeszłości musiało przetrwać w nauce i pokazać, że pieśń się nigdy nie myli. Rozповідаjąc o bohaterach dawnych, o wspomnieniach zamierzchłych, o czasie już starym, pieśń tak świętą musi wystawiać prawdę, jakby historyk z tomami dziejów w ręku. Inaczej pieśń, pieśniaby nie była: byłbyto akkord fałszywy.

W czasie panegiryków jezuickich, zapomnieliśmy, że wiekom Zygmuntońskim przyświecał Reja i Kochanowskiemu genjusz. Myśmy zapomnieli, że literatura rodzinna, stała na drodze prawdziwej, bo wystawiała społeczeństwo Polski Jagiellońskiej. A później naśladownictwo francuzczyzny zabiło w nas wszelkie pojęcie rodzinnej prawdy. Kołowaliśmy długo w obcój nam sferze, a soki któreśmy ciągnęli z pojęć obcych, nie szły nam na życie, a na głębsze uśpienie umysłowe. Przecież obudzał się zapoznany narodu genjusz i brzmiał Woronicza pieśniami. W owój epoce, nauka nasza i całe życie naśladownictwem trąciło. Nic zakwitnąć nie mogło na ziemi naszej, nic przetrwać się w duchu rodzinnym. Więc, kiedy nastąpiło przesilenie, i duch raz już wstąpił na drogę własną, bo zanucił pieśnią zupełnie swojską, wszędzie musiała nastąpić zupełna zmiana w pojęciach: bo kiedy w nową fazę weszło życie, i literatura rozwinęła się w cudownych barwach, świeżości, wdzięku i siły. To był konieczny skutek przesilenia.

Literatura nasza dzisiejsza jest prawdziwie obrazem chwili, obrazem naszego społeczeństwa, a nie świata konwencyjnych stosunków, jak była jeszcze niedawno. Literatura nasza ma dopiero świetne zaczątki, a przecież badawcze oko może odgadnąć jej przyszłość. Zygmuntońskie czasy ustąpią jej pierwszeństwa; złota epoka Reja i Kochanowskiego będzie podlejszém złotem świeciła. Bo oto w niedługim lat trzydziestu przeciągu, rozwinęła się literatura polska takim ogromem, że dzisiaj doprawdy zdumiewa ten ogrom. Żyje i porusza się w kilku, w kilkunastu ogniskach, do których się skupiła na ogromnej przestrzeni ziemi. Pomnożyła się nadzwyczaj liczba piszących i pism peryodycznych, które stały się naprawdę organem, echem rozmaitych stron ziemi polskiej. Księgarnie i drukarnie wzrosły także w liczbę. Na handlu księgarskim zarabiają już spekulanci znaczne summy, kiedy niedawno nie wychodzili na swójem, drukując dzieła prawdziwie ważne i znakomite. Zajmowanie się nawet literaturą i pracą, stanowi już pewien dochód, a to fakt zupełnie nowy dla dziejów piśmiennosci naszej. Dotąd literat nic nie miał, a księgarz tracił na przedsięwzięciach. Zdarzają się nawet już coraz częstsze spekulacye na publiczność i dobrą wiarę, piszą się dzieła na obstalunek. Zapewne sąto zewnętrzne fakta, o których nie wspomną dzieje literatury, a dzieje handlu księgarskiego; aleć te fakta pokazują spólczenie ogółu dla piszących i mówią dosyć do przekonania, że pomnaża się liczba czytelników, że obudzona jest ciekawość, że myśl wstąpiła w społeczeństwo nasze. Wszystko to dopiero za-

wiązek, aleć jednak niema już dzisiaj u nas ani śladu literatury koteryjnej. Co piszemy i drukujemy, wszystko interesuje ogół. Literatura polska otwarła teraz szranki swoje dla wszystkich znakomości umysłowych, czy te stroją się w kapotę wieśniaczą, czy w jedwabie magnatów. Doprawdy, my wiemy, żeśmy synami ojców naszych, a zdaje nam się, żeśmy już wnuki. Postąpiliśmy wiele, równie jak ten wiek nasz kolei żelaznych. Zdaje nam się, że niedawno zeszło dla ludzkości XIXste stulecie; zdaje nam się, żeśmy z niém razem poczęli życie; a oto wiek ten w połowie, a my z młodzieńców mężami.

Ta myśl, co sprawiła w nas cuda, przyszła na ziemię naszą razem z XIXstym wiekiem. Wszystko więc, co dokonało się u nas pod względem umysłowym w ciągu kilkadziesiątu lat ostatnich, i ta nasza świetna literatura, co pojawiła się tak nagle, i te pojęcia nasze, i te zasady, które mamy, a które powoli przechodzą w krew i ciało naszego społeczeństwa, ta jutrenka nowego życia: wszystko to skutkiem XIXstego wieku. Ledwie zdążamy iść za popędem myśli. W ćwierć wieku, myśmy dwa wieki przeżyli.

Epoka nasza jest przedewszystkiém epoką Słowiańszczyzny. Dlatego w ogóle literatura dzisiejsza słowiańskich narodów ma przed sobą wielką przyszłość. Co dzień widzimy, jak ta literatura, to tam, to owdzie puszcza odrostki pełne siły i życia. Myśmy się tylko polskim kwiatem chcieli nalubować. Kwiat ziemi naszej uderza pięknoscią kolorów i barwą tęczy. Może z jego nasienia także wyrosną kwiaty na dalszej ziemi słowiańskiej. Uważaliśmy już, że pieśń rodzinna rozbudziła miłość dla wieków ubiegłych, a miłość ta nie taka jak wprzód: miłość to nie dziecka już i młodzieńca, a męża. Nauka idzie w ślad za taką pieśnią. Za poezją rodzinną rozwijać się zatém musi i historia rodzinna. Ale w życiu wszystko musi być ruchem, i jedno kółko zawadza o drugie; nietylko więc dzieje, a porusza się u nas i krytyka rodzinna. Za krytyką idzie filozofia. Mówią nam, że Germania w systemacie Hegla kwiat swój wydała, i że na płodnym gruncie słowiańskim nasienie przyjmie się teraz i puści latorośle, ładniejsze jak pod Hegla słońcem. My wierzym temu całą duszą. Filozofia rodzinna poruszy znowu jakieś ogniwo w nauce słowiańskiej, i nowy rozwój w literaturze i w życiu nastąpi. Przypatrujmy się faktom tylko.

Znakomity pisarz, spoglądając na obraz świetny poezji naszej spółczesnej, skreślił jój charakterystykę i dzieje, i napomknął o jój przyszłości, kiedy pisał rozprawę *O nowej epoce poezji polskiej*. Kie-

dy znakomity ten pisarz ogłaszał swoje myśli, nasza literatura historyczna zaczynała dopiero puszczać kiełki; a dzisiaj, tak niedawno jeszcze od owój chwili, literatura historyczna polska stanowi obraz wspaniały. Wierzmy znowu serdecznie, że to jeszcze zaczątki, i że dzieje nasze przez wydanie pomników, przez nowe prace uczone, w nową się zupełnie postać przyobleką. Ale fakt dokonany: my oglądamy już *nową epokę literatury historycznej polskiej*.

I dlatego wzorem tego znakomitego pisarza, myśmy postanowili ze swojej strony, ukazać na tę nową epokę literatury historycznej, która się datuje od siedemnastu, ośmnastu lat ubiegłych. Myśmy chcieli ukazać tylko na to, co te lat siedemnaście ostatnich zrobiły dla dziejów, ale tylko dla dziejów polskich. Historia powszechna jakby nas dotąd wcale nie obchodziła. Na tej drodze nie mamy jeszcze samodzielnych pisarzy, i nie dziw, bo pierwsza miłość od siebie. Ale dla dziejów kraju własnego, myśmy już wiele zrobili. Zbierzemy fakta w tej nowój epoce.

Jak pieśń rodzinna trafiła na właściwą sobie drogę, tak i badanie dziejów ujrzało nowe dla swojego rozwoju warunki. Pracujemy teraz dla przeszłości naszej już nie jako jej miłośnicy, lecz jako jej miłośnicy i znawcy. Zrodziła się u nas przecie i krytyka historyczna, już nie ta krytyka bojaźliwa, drobiazgowa i dziecinna, co się opierała na widzimni się autorów i wywodach etymologicznych, już nie krytyka co obala, a ta co buduje i wznosi. Głębiej myślą wniknąwszy w przeszłość, myśmy i dawne podania długo uważane za bajeczne, wzięli teraz za ubarwioną tylko dodatkami prawdę. Dojrzelśmy w pojęciach, i dlatego nie dziwi nas, nie upokarza chociażby i smutna prawda. My się nie wstydzim nieszczęść i klęsk narodowych. Przodkowie nasi np. za nic w świecie nie przystaliby na to, żeby przyznali Niemcom prawo do hołdów naszych z krajów słowiańskich za Łabą. W tém mieli jakiś punkt honoru, żeby nie ustąpić Niemcom. Nas to jednak nie wstydzi; przyznawszy prawdę, widzimy tylko w dawnych ksiągach naszych albo rzeczywistą niemoc, albo niedołężność, kiedy ulegali. Pojmujemy dalej ludzi i wypadki w ramach czasu w którym żyli, nie nakręcając wszystkiego do pojęć naszych. Nie upatrujemy tam ojczyzny w walkach ksiąg dawnych z nieprzyjacielem, gdzie był jedynie interes osobisty na celu. W przeszłości dojrzelśmy zupełnie nowych ludzi i nowe pokolenia występujące na scenę. Przekonywamy się, że ich nie ożywiały namiętności nasze, wyrobione tylko życiem i walką. Nie kryjemy wad narodowych pod płaszczyk, bo te wady nie szpecą nas, a owszem i wady i cnoty przed-

ków naszych kochamy: bo te wady i cnoty stanowiły obraz właśnie dawnego życia. Widzimy jasno, że prawda tylko stanowi historią, że całość jest tylko obrazem. A nie ma być uidealizowaną ta całość; owszem, powinna i wzniosłe i niskie przykłady stawić przed oczy potomności. Wyrzuciliśmy wszystkie półcienia z obrazu. Dzieje nasze muszą być prawdą, muszą być pełnią i całością.

Oto pokrótce znaki i cechy, po których poznać można nową epokę literatury naszej historycznej. Postęp nadzwyczajnie wielki w wyobrażeniach naszych; cała tu przepaść oddziela nas od poprzedników literatów, którzy jeszcze tak niedawno pracowali nad dziejami kraju. Dawniej ta praca była zabawką. Historyk mając fakta pod ręką, pomijał to, co mu się nie zdało, albo co w jego pojęciu stanowiło brzydki obraz, mogący splamić dzieje i przeszłość. Inny przedstawiał jednostronnie i z uprzedzeniem wypadki, które brał z ksiąg i kronik. Były wielkości w dziejach naszych, których żadne pióro historyczne nie śmiało dotknąć jakimś podejrzeniem, i te wielkości pokolenie jego chwaliło za drugim pokoleniem, ubóstwiała nawet. A były znowu osoby z pieczęcią przekleństwa na czole, skazane na hańbę i ohydę wieczną, z rodu w ród, z pokolenia w pokolenie. Nikt tych ofiar opinii bronić się nie ośmielił, bez pewnej bojaźni sumienia, bez przeczucia, że go za to okrzyczą nieukiem. Tak rosły przesady historyczne o ludziach i wypadkach; sprawa raz zawyrokowana nie mogła iść pod roztrząsanie wyższej instancji, chociaż od czasu do czasu pokazywały się i nowe dowody prawne. Inni znowu historycy sądzili, że w życiorysach pojedynczych królów i panów, w opisie ich wojen, tkwi historia narodowa; i dlatego częstowali powszechność okropnymi obrazami pożóg i morderstw. Skracali opisy, to jest wyrzucali z pomników dawnych to, co uważali za zbyteczne. Jeden znakomity bardzo w swoim czasie uczoney, który nadrukował kilka tomów ciekawych bardzo pamiętników historycznych, przytaczając np. opisy kraju przez nuncyuszów, przez posłów zagranicznych, albo co większa, mając pod ręką ważne, ceny złota, pamiętniki społecznych znakomitych osób, np. z epoki Jagiellońskiej, przytaczał te drogie a nieznanne szczęty w kawałkach, urywkach, w treści; poobcinane, pokaleczone niemilosiernie, sądząc, że robi przez to wielką usługę dla dziejów, a daje wyobrażenie o autorze. Obrął się sam sędzią ostatecznie wyrokującym, co z tych pamiętników może obchodzić społeczność, a w nich jednak wszystko obchodziło dzieje, i ktośby szukał w tych szczętach szczegółów do historii miast, a inny szczegółów do historii osób np. Inny znowu uczoney tamtęj chwili drukując listy jakiego hetmana lub



kanclerza, opuszczał całe wyrażenia podług niego nieprzystojne, i gładził mowy te, żeby miały Cycerońską potoczystość. Obrzucał więc tę dawną erudycją ojców naszych francuzką salonowością, jak sam może zamiatał śmiecie w salonach swojego czasu. Tak dosadne wyrażenia przodków, ich duch, ich język dosadny i rycerski, kryć się musiały pod płaszczykiem wymuskanych uprzedzeń, jak niegdyś kontusz we frak się zamieniał. Wyglądały te wyszukane frazy w ustach Polaków dawnych, jakby wyglądała paryzka maskarada w podziemiach Pompei. Sadzono się wtedy na dowcip i deklamacye. A niosąc ci historycy ubiegłej epoki dla nas, dla swojego potomstwa, te niby obrazy przeszłości polskiej, pokaleczone dziwnie, poobcinane bez miłosierdzia, postrojone w salonowość, sądzą, że budują dzieła wiekopomne, a skronie swoje zdobią sławą niepożytą.

Lat kilkanaście — i tak się ogromnie wyobrażenia zmieniły. Z twarzy historyków niedawnych świeciła (prócz kilku ludzi rzeczywistej zasługi) zarozumiałość; z naszych jedynie zasługa. Dumni i bardzo dumni byli ci historycy zeszłej epoki, i z uczuciem wysokiej godności własnej, ledwie spoglądać raczyli na wzrastające pokolenie literackie. A jednak to pokolenie teraz ich sędzi surowo. Niejeden z tych dawnych historyków całe tomy napisał, cudzemi kawałami się łątał, stworzył całą bibliotekę prac swoich; a mniej w całym tym jego ogromie pracy wątku, jak w niejednej dzisiejszej rozprawie. Dawniejsi, nawet pomników, które mieli w rękę wydać nie umieli. Ale umarł już bezpowrotnie historyk-dziecko, co się bawił przeszłością. Powstał teraz historyk-mąż, który się uczy i bada drogi Opatrzności.

Ogromne stopy prac dziejowych zalegają teraz księgarnie. Co chwila coś nowego ukaże się zpod prasy. Pojedynczy człowiek dokonywa teraz, sam jeden więcej, jak niegdyś uczone zgromadzenia. Edward Raczyński niechaj służy za przykład. My, nowe pokolenie, nie silim się już na układanie historii, a zbieramy do niej materyały. Drukujemy akta, listy, przywileje, pamiętniki całe niepoobcinane, a mowy niewyglądzone stylem społecznym. Dzięki tchnieniu XIX wieku, ubiegłe już życie nasze interesować zaczyna pobratymców i cudzoziemców nawet. Muchanow wydaje w Moskwie nieocenione pamiętniki Żółkiewskiego i akta dyplomatyczne, przez co nabywa prawa do wdzięczności naszej, bo to skarbiec prawdziwy te Żółkiewskiego pamiętniki. Roepel bez uprzedzenia dla narodu pisze systematyczny rys dziejów polskich, i zadziwia rzadką znajomością rzeczy. Zbieramy wszystkie pamiętniki, a nie robimy pomiędzy nimi wyboru, jak to robili historycy ubiegłej epoki. Objaśniamy tylko pomniki, ale ich nie psujemy. Spi-

sujemy zamki i rozwaliny, drukujemy starożytności, rozpowszechniamy rysunki dawne, drzeworyty, stare wydania powtarzamy i nie spisujemy tylko książek jak dawniej, ale wnikamy w ich treść, czytamy je i piszemy o nich całe traktaty i rozprawy. Książka czy mądra, czy dziecinna, aby tylko trąciła przeszłością, już ma prawo do naszego szacunku. Z pojmowaniem rzeczy, widzimy więc, zmieniła się znacznie i forma pracy naszój. I dlatego wszystko, co tylko pod względem literatury historycznej chwila nasza stworzyła, nosi na sobie cechę wyższej myśli i świętszego natchnienia. Już nie *ilość*, a *jakość* daje nam prawo do pamięci w literaturze.

Oczarowani jednakże tém mnóstwem materyałów, które niewiadomo jak i kiedy mnożą się i mnożą bez końca, i myśmy zawołali w uniesieniu, że się zanosi u nas na historiją narodu. Marzymy więc o całości dziejów. Powtarzamy bezustannie, że zjawi się kiedyś przyszły historyk, co z naszych materyałów sok wycisnie i odtworzy nam w malowniczym języku, w prawdy obrazach, rozmaitą i śliczną całość. Przyznajemy jednakże sami, że nie czas jeszcze na tego historyka, bo nawet nie sądzim, żeby możebne były u nas już dzisiaj nawet życiorysy historycznych osób polskich. Ale zawsze jednak mamy nadzieję, że jeżeli nie dla nas, to dla naszego potomstwa zjawi się przecie ten oczekiwany dziejopis, ten przeszłości prorok. My błędzimy w uniesieniu; taki dziejopis się nie zjawi!

Mógł wiek Stanisława Augusta ludzić się długo, że ujrzy historiją narodu. Mogli pracując nad odgrzebaniem pamiętek Naruszewicz i Czacki sądzić, że z tych szczątków przeszłości ułożą dzieje. Ale myśmy się już ludzić nie powinni w XIX wieku. Przekonywamy się coraz bardziej, że objąć całość, jest zadaniem Boskiem, nie ludzkim. A historya w naszych czasach podniosła się na tak wysokie stanowisko, jakiego dotąd nie zajmowała, bo w jój ramy wchodzi całość. Historya dzisiaj, jestto opowiadanie o wszystkiem, co tylko zaszło na ziemi; jestto całej przeszłości obraz, jestto, że tak się wyrazim, przeszłość w słowo ludzkie wcielona. Na zbyt wysokim stanowisku wiek nasz postawił historiją. Bo któż całą przeszłość mógłby wcielić w słowo, jeżeli nie Bóg sam? Zastanówmy się nad tém cokolwiek w zastosowaniu do historyi polskiej, bo to da jaśniej poznać i nasze, spólczesne pojęcie o samej historyi, i wskaże nam właśnie, czego się ma spodziewać społeczeństwo nasze w tój nowój dobie dziejowój swojej literatury.

Niéma wątpliwości, że Naruszewicz znakomite dziełem swoim położył zasługi, i że mieć będzie we wspomnieniach naszych nie-

śmiertelność, o ile człowiek może dać człowiekowi tę nieśmiertelność. Wiek społeczny miał jednak Naruszewicza za historyka narodu; wiek dzisiejszy powiada, że to bluźnierstwo. Stanisławowscy literaci patrzali na uczonego biskupa oczami swojej chwili; my jego dzieło oceniamy stosownie do naszych wyobrażeń i pojęć. Któż z nas dzisiaj, weźmie w dobrą wiarę Naruszewicza za historyka narodu? Nie widzimy sami, jak mu wiele niedostaje? Ułożył on, objaśnił, uporządkował wy padki i oczyścił z błędów i z bajek przeszłość Polski: idzież za tém, żeby to już była w jego dziele cała przeszłość Polski? Powiedział wszystko, co tylko mógł powiedzieć w swoim czasie o naszych dziejach: w tém właśnie wielka jego zasługa, w tém prawo na wdzięczność naszą. Ale jednak, dzieło jego jestżeto historia narodu, jestżeto historia wszystkich osób działających, jestżeto obraz cnót i zwyczajów Polski? Naruszewicz w swoim czasie szczerze sądził, że napisał dzieje: bo z wiekiem całym miał swój społeczny sposób widzenia rzeczy. My dziś inaczej pojmujemy historią: my posiadamy nierównie więcej od niego źródeł, a nierównie więcej badań krytycznych rozlało światło na czasy zamierchłe narodu; my przecież nie możemy pisać i nie będziemy pisali historii narodu. My nawet czasów ostatnich, blizkich nas, a których nie widzieliśmy, nie napiszemy historii, jeżeli nie napisali jęj współcześni w opowiadaniach tego, na co sami patrzali; jeżeli ta przeszłość nie odbiła się w ich pieśniach, w naukach, w literaturze, we wszystkiém. Bo do historii nie należy dzisiaj fakt tylko polityczny, a całe życie, jak się to życie przejawia naprzód w myśli, potem w słowie i w czynie nareszcie. Kiedy więc nie potrafimy napisać historii czasów nam blizkich, z których zostały nam odgłosy, jakby pieśni archaniołów gubiące się w sfer przestrzeni, jakże napiszemy historią wieków dawno ubiegłych, kiedy te odgłosy już przebrzmiały?

W Polsce jakże pisać dzieje rzeczypospolitéj? Nasz kraj zajmował ogromną przestrzeń ziemi dawno-słowiańskiej, a w niezliczonych stronach téj naszej ziemi biło szlacheckie, druzynne życie. Aten, Sparty, pierwotnego Rzymu całość dziejów pochwycić, to nad siły; jakże objąć życie Polski? Tysiące helleńskich rzeczypospolitych mogłaby w łonie swoim pomieścić ziemia nasza; a żyła tak wszechstronném, tak wszędzie bijacém życiem, że trudno porachować ogniska, do których się kupił duch narodowy.

Więc jeżeli zbierzemy opisy wszystkich zamków, grodów, wsi, miast, uroczysk i kościołów; jeżeli zdołamy opowiedzieć rok za rokiem co się działo w każdym zamku, grobowcu, kościele, to już niejednego na tych badaniach upłynie życie: a to nic jeszcze dla ogro-

mu całości dziejów. Potrzeba jeszcze historyi rodzin. Między szlachtą polską było wiele rodzin ciągle wspominanych w dziejach, bo ciągle odznaczających się zasługą, więc mocno historycznych. A zresztą któreż prawdziwie szlacheckie nazwisko polskie historyczne nie jest? Napiszmy więc dzieje rodzin, rozpowiedzmy wspomnienia każdego wojewody, kasztelana, starosty, urzędnika ziemskiego; objaśnijmy jego związki familijne, opiszmy historią jego dzieci i jego fantazyj—to dopiero zrobimy krok drugi. Boć to wszystko należeć będzie do całości dziejów. Przyjrzyjmy się domowemu pożyciu, zajrzyjmy szlachcicowi do serca, i zobaczmy, jak mu bije. Ale to nie koniec jeszcze. Zajrzyjmy na Ruś i Litwę, bo tam w pierwiastkach były zupełnie inne warunki życia. Po zamkach i ostrogach panowały tam długo jeszcze rody starożytne kniaziów, pomimo tego, że ich mitra zbladła już wiele przed świetnością królów i książąt. Na Rusi i na Litwie, dawne nawet rody bojarów otaczał jakiś szacunek patryarchalny. Nie potęgą już i władzą, chociaż czasem i rzeczywistą władzą, ale wspomnieniami dawnymi, światłem z kronik i z podań, kniaziowie ci i bojarzy jaśnieli, i do ich dworów kupiło się życie dawniej ruskiej i litewskiej szlachty, która już zachwyciła obcego wpływu, a jednak dawnym podaniom została wierna. Trzeba zatem opowiedzieć dzieje Ostrogskich, Stuckich, Sołomereckich, Hołowczyńskich, Wiśniowieckich, Zaslawskich, Zbarażskich i Poryckich kniaziów, Czartoryskich książąt i Radziwiłłów, a dopiero wtenczas pojmiemy ducha ruskiej i litewskiej szlachty, ale jeszcze nie Ruś i Litwę....

Dla historyi ogólnej kraju, potrzeba będzie jeszcze skrócić dzieje sejmów walnych w Piotrkowie, Krakowie, Lublinie; dzieje sejmów wspólnych od unii i nareszcie historią powiatowych i ziemskich sejmików. Wszakże i w stolicy i w miasteczkach zbierała się szlachta butna z kordem u pasa, z konfederatką na podgolonej czuprynie. I tu i tam myślała, radziła o losie kraju i o wojnie z nieprzyjacielem. Opiszmy następnie dzieje tych wojen i bitew, a ile ich to było w ciągu lat tysiąca! Dzieje pochodów i marszów, dzieje pospolitego ruszenia, a nawet interesują pojedyncze oddziały i zbiegowiska szlachty, które się wyradzają w konfederacye albo w rokosze, albo tylko w wojnę *kokoszą*. Lisowczyków dzieje stanowią tutaj mogą ustęp pełen piękności i interesu. Dalej opisać potrzeba stroje, ubiory, oręż szlachty i jej sposób życia; jej wiarę czy też niewiarę, jej chęć czy niechęć do nauki i pracy; słowem jedném, jej wady i cnoty. Opisać potrzeba powozy szlachty i konie, jej stajnie, siodła, czapraki i rzędy bogate;

jój przepych i całe jój bogactwo, co kapie srebrem i złotem. Wielkie to zadanie, praca niemała! Na taką pracę i kilkunastu uczonych życia nie starczy, bo tu zawsze mogą się wykryć nowe fakta, nowe podania wyświecające przedmiot. A jednak opisawszy to wszystko, i tysiąc, milion jeszcze innych podobnych rzeczy, dopiero mieć będziem szkic niezupełny i słaby o szlachcie, co nosiła oręż przy boku. Do historyi polskiej należy więc każdy szlachcic, bo każdego szlachcica życie i sposób myślenia mogły oddziaływać na kraj i na braci. Wiemy, że jedno *veto* niszczyło obrady sejmowe, że jeden szlachcic, nie poseł nawet, zatamował elekcyą Władysława Wazy. Gdzież znajdziemy wiadomości dokładne o życiu osób, które działały, a nie opisywały działań swoich? gdzie znajdziem coś o tych, o których milczą pomniki? Życie np. wstrzymującego elekcyą króla Władysława, jest nam zupełnie nieznanie, nie wiemy nawet jego nazwiska; a przecież ten człowiek trzymał chwilę jakąś w rękach swoich losy Rzeczypospolitej. Góż wiemy o Sicińskim i tylu innych? A bez tych wiadomości możemyż znać dzieje całej szlachty?

Następują dzieje kościoła. Tysiące sekt i wiarek żyło na ziemi naszej, a każda ma swoje przeszłość i świątynie, i modlitwy i kapłanów i nabożeństwo. Jakżto praca nadzwyczajna skręślić dzieje katolicyzmu w Polsce! Dzieje prymasów, arcybiskupów, biskupów, mogą zająć niejedno życie i nie wypełnią jeszcze tego życia. Siedemnaście katedr łacińskich czeka na historyka, ze sto kollegiat, z kilkadziesiąt opactw, ze dwieście świeckich i zakonnych kapituł. W kapitułach tyle jest prelatur i kanonij! Trzeba rozdzielić dyecezyą na archidyakonaty, w archidyakonatach opisywać kościoły i probostwa. Każdy kościół miał uposażenie, prawa swoje i przywileje. Zebrać to wszystko potrzeba. Na wszystkich urządach i dostojnościach kościelnych zasiadała szlachta wyłącznie, prócz kanonij doktoralnych po kapitułach i w akademii krakowskiej. Ciekaweby to nadzwyczaj były dzieje tych stosunków wzniesionych przez naukę mieszczan, ze szlachtą katedralną. Potém następują synody, a to prawdziwe sejmy duchownej szlachty; synodów polskich prowincjonalnych naliczym z pięćdziesiąt, dyecezalnych więcej jeszcze. Potrzeba więc opisać obrady na tych posiedzeniach synodalnych, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, i potrzeba śledzić na tych sejmach księży, biskupów, doktorów i mówców. Z Rzymu zajrzyjmy na Ruś, do Kijowa i do Halicza. Tam nad Dnieprem, Horyniem i Sanem, są także biskupstwa, monasterzy i cerkwie byzanckiego stylu, wschodniego wejrzenia. Tam znajdziemy także z piętnaście dyecezyj i z kilka set monasterów. Opiszmy

zatem stosunki wewnętrzne duchowne Rusi i zewnętrzne z łacińskim klerem, unię z jej następstwami i wpływ Rzymu, kiedyto po Rusi coraz więcej upowszechniały się zwyczaje duchowieństwa polskiego, a kapituły powstawały w Łucku, w Ostrogu i w Chełmie. Dalej powinna zwrócić naszą uwagę ogromna liczba szkół parafialnych. W łacińskiej hierarchii scholastycy doglądali tych szkół, jak archidyakoni objeżdżali kościoły, kantorowie śpiewu uczyli, kanclerze od kapituły przemawiali, a kustosze strzegli skarbnicy. Te urzędy przenikały na Ruś, i tam łacińskim zwyczajem dziekan stawał się prezesem kapituły, a drugie po nim miejsce zajmował zwykle proboszcz katedralny. Kiedy to było i jakim sposobem? czyj wpływ w tém działał i jaka siła? Wszystko to powinna opowiedzieć historia. Zastanówmy się i nad tém, że biskupi łacińscy ustanowili potem sobie do pomocy urząd sufraganów, i że ten zwyczaj przeniósł się także do Rusi. Urząd ten doprawdy, jak i wiele godności kapitulnych, kształcił się, rozwijał, nabierał znaczenia; i tak obok kanonicznego prawa rzymskiego, myśmy mieli i odrębne kanoniczne prawo polskie, które nie zmieniało wprawdzie ustaw powszechnego kościoła, ale odcechowało się wybitnie swoją oryginalnością pomiędzy prawami i zwyczajami innych katolickich kościołów Europy. Tych np. częstych przenoszeń się z biskupstwa na biskupstwo, nie było nigdzie tyle co w Polsce; a tém oryginalniejszą była postać każdego z biskupów naszych, że on z urzędu swojego zasiadał w wielko-radzie rzeczypospolitej. Nie mieli jednak żadnych praw politycznych jako duchowni, pasterze Rusi, chyba głosowali na sejmikach jak szlachta. Nastąpiło jednak z czasem pomieszanie się obojga obrządków. Łacinnicy przyjmowali obrządek ruski i dostawali bogate biskupstwa i opactwa po monasterach. Papież hojnie i łacińskiemu i ruskiemu duchowieństwu sypał tytuły biskupstw w ziemiach niewiernych. Mnożyło się zatem u nas coraz więcej wysokich dostojników kościelnych, dźwigających pastorały. Ale to jeszcze nie koniec. Dużo biskupstw na ziemiach polskich ustało, dużo upadło: trzy biskupstwa inflantskie, dwa pruskie, dwa na Pomorzu, jedno w Lubuszu, Wrocławiu, Spizu, jedno bakońskie na Wołoszczyźnie. I tych dzieje należą do dziejów kościoła polskiego. Obejmijmy ten ogrom myślą, a samych biskupów z suffraganami, którzy Polakami byli, albo mają pewien stosunek do Polski, naliczymy przeszło trzy tysiące. Cóż dopiero rachować członków kapituł! Nie przesadzamy: obraz nasz owszem zmniejszony. A kiedy zrobim to wszystko, dopiero będziemy mieć szkielet dziejów duchownej szlachty.

A potem dzieje innych niekatolickich obrzędów: dzieje Aryanów, Socynianów, Anabaptystów, ewangelików, reformowanych, braci czeskich, ateistów wszelkiego rodzaju i stopnia. Bo w Polsce wszystkie były wierki i systemata religijne, wszystkich wiarek i systematów odcięcia. Działali tutaj i swoi i obcy, i szlachta i nieszlachta razem. Napiszmy dzieje wpływu duchowienstwa na naród, napiszmy dzieje wpływu tych religijnych systematów na naród, zbierzmy potem zwyczaje i prawa kościelne i katolickie i niekatolickie; a ten cały ogrom okropny, imponujący, zabijający każdą żywą zdolność, to dopiero będą dzieje kościoła polskiego i dzieje szlachty duchownej.

A ta szlachta duchowna i rycerska żyła i działała w przestrzeni. Następują zatem dzieje księstw, województw i powiatów. Do dziejów Polski należą zupełnie dzieje: Prus, Warmii, Kurlandyi, Inflant, Estonii, Kozaczyzny, Wołoch, Multan; dzieje Szlązka, kaszubskiego i szczecińskiego Pomorza, Mazowsza, Kujaw, Litwy i Rusi.... to znowu przerażający ogrom.

Zejdźmy teraz do niższych szczebli społeczeństwa polskiego. Dzieje miast i mieszczan zwrócą tu przedewszystkiém uwagę naszą. Były niegdyś znaczące grody w Polsce, co należały do hanzeatyckiego związku, albo rządziły się prawem magdeburksiém. Kazimierz Wielki jeszcze wznosił miasta, ale czasy Jagiellonów niszczą miast potęgę i znaczenie. Następnie koszteln pałaców wiejskich i zamków, padają grody w poniewierkę. Szlachta nie troszczy się o miasta, bo jej całe życie upływa albo w bojach, albo wpośród włości dziedzicznych, na łonie natury. Zład wszędzie, po wszystkich zakątkach rzezypospolitej, stoją piękne pałace i gmachy wiejskie, albo obronne zamki strzelnicami i basztami jeżą się pod niebo; a miasta niszczejā i niéma w nich kamienic murowanych, jak za Kazimierza Wielkiego, bo świecą tylko nędzą i drewnianemi chałupkami. Miasta nasze tak są biędne, że lepsze wioski za granicą; pałacami wiejskiemi tymczasem i zamkami mogłyby się poszczycić nawet stolice europejskie. Widać, że to życie szlachty, o którém mówiliśmy, swobodne i drużynne, rozwijać się tylko może po domach, po ustroniach wiejskich. Nad inne miasta wznoszą się tylko Kraków, Warszawa, Wilno, Lwów, Poznań, Lublin, Gdańsk, Kijów.... Sam nawet Piotrków, gród trybunalski i sejmowy, gród Barbary, w okropném opuszczeniu, a piękna i wielka kiedyś Łomża, stolica Anny Jagiellonki, miasto o dwudziestu tysiącach mieszkańców, marnieje i ściska się na pięć razy mniejszej jak przedtém przestrzeni. Nareszcie i miasta stołeczne tracą starożytnie swoje znaczenie. Mieszczanin usiąść nie śmie przy

szlachcicu, a chociaż w stolicy ma prawo i szablę nosić, chociaż wasy zapuszcza i podpisuje królów elekcyę, zawsze to łyczak, pogardzona istota. Tylko miasta pruskie wznoszą się pięknymi budowlami swojemi nad inne; lud w nich ubrany, szczęśliwy i dostatni. Wtém z góry spłynęło światło na naród, i prawo 18 kwietnia zapowiada szczęśliwszą miast przyszłość; ale Opatrzność myli wyrachowania ludzkie.— Pomyślmy teraz, ileto miast było w Polsce, ile z postępem czasu upadło, ile ze wsi wzniosło się grodów prywatnych. Nie liczym nigdy tych miast, miasteczek i grodów. A w każdym jednakże są cechy, prawa, nadania, przywileje i bractwa po kościołach religijne. To wszystko trzeba opisać. Mają miasta swoje podania historyczne, co interesują ogół narodu; mają i swoje wspomnienia rodzinne, swoje historią wewnętrzną. I w miastach było życie, chociaż nie szlacheckie, nie sejmikowe, a jednak oryginalne i swoje. Do 1,200 miast opisała *Starożytna Polska*, a to wszystko jeszcze zamało. Czyż w Starożytnej Polsce wzmianka o każdym mieście, jest już historią miasta? czyż wyświeca jego całą przeszłość? Ileż w Starożytnej Polsce opuszczeń, już nie mówimy co do wspomnień dziejowych, ale i co do miast samych! Gawarecki, Mazur, w pismach peryodycznych, pamiętnikach, noworocznikach, broszurach, opisywał tylko mazowieckie miasta; a jego opisy razem w jedno dzieło zebrane, zajęłyby więcej druku, co *Starożytna Polska* w opisie miast całego kraju. Niesposób było autorom *Starożytnej Polski* rozszerzać się więcej, a przecież to tylko zaczątek prac w tym rodzaju. Tu jeszcze cały ogrom do zrobienia, bo opisy miast i wspomnienia miast, jestże to miast historia? W szlacheckiej Polsce, dzieje szlachty obrabiali wszyscy; ale kto myślał o dziejach wewnętrznych miast? Szlachta rzeczpospolitą stanowiła, i dzisiaj dopiero pojmujemy tę prawdę, że w obrazie dziejów naszych mieścić się winna i przeszłość miast polskich, bo bez tego obraz będzie jednostronny, bez cienia. Wiek nasz, wiek XIX zajął się dopiero miastami polskimi.

Tak samo i dzieje ludu wiejskiego, w tym ogromie historii naszej, stanowić także powinny oddzielnie zbiór ogromny. Lud prosty ze swoją wiarą, ze swojemi zabobonami i przyzwyczajeniami, ze swoim sposobem życia, zasługuje także na uwagę historyka. A przecież nikt do naszego wieku nie zajmował się tym ludem wiejskim, żeby ujrzyć i zrozumieć ten krwawy pot jego. Lud wiejski przecież pracą swoją żywił całą machinę życia narodowego. W całym narodzie stanowił najliczniejszą klasę, przez jakąś dziwną fatalność zapomnianą i pogardzoną—więc nieszczęśliwą. A przecież i lud ten je-



dnak wznosił się kiedyś uczuciem do pojęcia godności własnej, bo miał serce i ma jeszcze swoich bohaterów, ma swoje wspomnienia, które klęskami były dla całego narodu.

Dzisiaj zbierają pieśni ludu, bo dzisiaj historia śledzi i lud wiejski w jego rozwoju przez wieki. Z pieśni gminnych, chcemy życie ludu odgadnąć i serce jego zrozumieć. Pieśni malują wprawdzie ducha ludu, ale pieśni czy to lud sam? Dla ludu Rusalki kąpią się po stawach i rzekach, dla ludu morowa dziewica płachtą śmierci powiewa, dla ludu zaczarowane księżniczki siedzą po komnatach pałacowych, dla ludu zabijają oczy urocze. Ależ te piękne powiastki odbijają tylko fantazją ludu: gdzie lud sam, gdzie jego historia? Tysiąc miast i miasteczek w Polsce, ale wiosek kilkadziesiąt tysięcy. Pod strzechą wiejską, w chałupach całej Polski, była ludu wiejskiego historia. Któż ją teraz zbierze, kto opowie tak jak tego warta, tak, żebyśmy słuchali, wstuchali się i zapomnieli o sobie, o świecie, a myśleli tylko o ludu, o tym biednym ludu, który przeżył tak długie lata niedoli? Odbijała się w pieśniach przeszłość ludu, to prawda; ale pieśni, czyż to jego przeszłość? Marło pokolenie za pokoleniem, a nikt nie notował dziejów ludu. Ileżto wspomnień, ile cierpień przebrzmiało dla nas bez śladu? Wiek XIX tchnął wyłącznie tylko miłością ludu, i ludowi, badaniom przeszłości jego wyłącznie się poświęcił; nie odtworzył jednak już całości, bo roztopiła się ta całość w stuleciach.

Kiedy jeszcze od społeczeństwa polskiego podniesiemy myśl do ducha, zobaczymy, że przebiegliśmy dotąd tylko kawałek drogi. Trzeba teraz śledzić myśl w jej pojawach, a to nowy wszech-ogrom. Jak się ta myśl wcieliła w pismo, i w drzewo, i w marmury, potrzeba śledzić. Następują zatem dzieje sztuk: budownictwa, malarstwa, snycerstwa, rzeźby; dzieje literatury, dzieje ze wszech miar ciekawe drukowanej i niedrukowanej myśli polskiej od *Boga Rodzicy* i *Galla*, aż do *Krasickiego* i *Naruszewicza*. Massa lat i wypadków!

Teraz uważmy:

Dzieje szlachty i sejmów, dzieje kościoła i duchowieństwa, dzieje sekt, dzieje miast i ludu wiejskiego, historia sztuk pięknych i literatury: wszystko sąto części ogromnego gmachu, w którym zamknięta jest historia dawniej Polski. Myśmy tu kilka napomknęli podziałów, a tych podziałów liczbę prawie do nieskończoności pomnożylibyśmy mogli. I któż teraz w stanie opowiedzieć nam historią rzeczypospolitej w całym jej ogromie, w niezmierzonosci?

Nie zwodźmy się zatem napróżno. Ani Polska, ani żaden naród Europy, nigdy nie może mieć historii opowiedzianej w jednym

dziele, tak, żeby ta historia odpowiadała wszystkim wymaganiom czasu, tak, jak wiek XIX pojmuje historią.

Ale może nam kto zarzucić, że takim sposobem żaden wiek nie miał historyi, że historia w słowie jest urojeniem, i gotów nam zacytować Tacyta i Thucydyda. My odpowiadamy: każdy wiek miał swoich kronikarzy i dziejopisów, każdy wiek spoglądając na dzieła swoje historyczne, które wydał, mógł się cieszyć, że ma historią, że pamiątki swoje przekaże odległej potomości. Pamiątki, zgoda: ale historyi nigdy.

Weźmy na uwagę tych samych właśnie autorów starożytności. Tacyt i Thucydydes są znakomitemi dziejopisarzami. Thucydydes przedstawia nam prawdziwie cudowny i wierny obraz namiętności dawnych i życia. Widzimy w jego dziejach peloponezkiej wojny, jak żyją, jak się ruszają, jak myślą małe rzeczypospolite Hellady. Thucydydes miał wysoki poetyczny talent, bo nie opowiadał zimno, a tworzył. Dzieło jego jest dowodem znakomitym, że i starożytni umieli pojmować, że nie w suchej treści, a w pełnym życia opowiadaniu, że w obrazach spoczywa cała wartość dzieł historycznych. Thucydyd pisał malowniczo. A Tacyt znowu, to wielki filozof, znakomity także dziejopis, i już pisze *sine ira et studio*. Ale Tacyt jest bez namiętności; jestto sędzia ludzi, których czasy opisał, i jego *Annales* doprawdy przejmują zimnem. Obadwaj ci wielcy pisarze zostawili nam dzieła nieśmiertelne; ale któż nam jednak zaręczy, że w nich zogniskowane całe życie epoki? W Tacycie wymowny obraz Tyberyuszowych czasów; ale któż przypuści, że cały, więc że i prawdziwy? Zbliża się Tacyt do prawdy, bo to gieniusz światły, co wyprzedził wiek swój. Ale i jego dzieło i Thucydyda dzieło, to skielec tylko: bo to obadwaj ludzie uczeni, a namiętności w nich nie znać, jak gdyby to człowiek mógł być bez ciała, krwi i kości!

Napisać więc historią ludu jakiego, tak jak my historią pojmujemy, to przechodzi możebne siły człowieka: bo dzieje, to cały ogrom, to niezmierność.

Duch nasz, bo z Boga pochodzi, może coś rozumieć z działań Opatrzności; i duch nasz dojrzał też w istocie, że ludzkość postępuje, że rozwija się życie. Ale kiedy zejdziemy do ciała historyi, do wypadków, duch nasz nie widzi wszystkiego co było. Pracujemy dla dziejów, zbieramy wypadki; ale jednak całą przeszłość naszą możemy tylko wystawiać w ułamkach.

Zajmujemy się więc przeszłością, bo ma to do siebie umysł człowieczy, że lubi badania w tych wiekach dawnych, że tęskni do

przeszłości, że ją kocha. Człowiek przywiązuje się zawsze mocniej do tego, co traci. I są światli ludzie, co przodkują swojemu narodowi, co czują konieczność pewnych zmian w społeczeńskim życiu, a jednak przez miłość przeszłości nie chcą naruszać tej przeszłości pamiątek. Nie mamy nigdy spólcucia dla tego, co nas otacza. Chcielibyśmy zmienić naokoło nas wszystko, ale często zmienić na coś takiego, coby wyglądało jak przeszłość. Żeby ta przeszłość najdziwniejszą była, zawsze w oczach naszych jest piękną, dlatego samego, że jest przeszłością. Naród, co wrze burzami wewnątrz, nie pamięta o tém, że i walki jego są piękne, że i on przedstawia obrazy czasami wzniosłe, chociaż martwe; czasami piękne i pełne życia. Nie pamięta ten naród, że za lat sto i więcej, potomność tak będzie na te walki patrzyła, z takimże samém uniesieniem i czcią, jak on na swoją spogląda przeszłość. Bo w oddaleniu wszystko nam się w czarownych rysach przedstawia i w kształtach olbrzymich. Mamy zawsze uczucie dla naszego ojca i miłość dla matki. Ołóż właśnie jestto przywiązanie dla ojca i matki, kochać tę przeszłość. Przejdą lata, a dzieje nasze tak samo będą wnuki nasze kochali, jak my swoją kochamy przeszłość.

Nic więc dziwnego, że badamy i szukamy w tej przeszłości. Nic dziwnego, że drukujemy zabytki dawniej literatury, że zbieramy wszystko bez wyjątku, co ma tylko związek z przeszłością. Nic dziwnego, że przypatrujemy się gmachom i rysujemy ruiny zamków, że portrety stare i malowidła litografujemy, że zaglądamy nawet do kopców, do grobów i mogił; bo i z mogił wykopujemy urny z popiołami, stare pieńki, naczynia, czasami zbroje; bo i w mogiłach znajdujemy świat cały, świat zamarty poznajemy poza granicami życia. Gdyby znalazł się jaki naród, coby pamiątek nie kochał swoich, mielibyśmy go za dzicz barbarzyńców, bez świadomości, bez pojęcia, co życie.

Boć przeszłość jest drogim każdego narodu spadkiem: więc badać w tej przeszłości, przyglądać się, poznawać ją powinien każdy, kto ma rozum i serce. Przeszłość objaśnia nam całe narodu życie. Dzieje powiadają nam o losach ziemi. Dzieje są śliczną księgą, która mówi nam o przeszłości. Zająć się badaniem dziejów, jestto uznać się we własnym jestestwie. Więc niema nauki nad naukę dziejów.

Ale jak badać w tej przeszłości? Zdaje się, że w wieku naszym jestto najwięcej się zasłużyć nauce dziejów, wydawać wszystko, co ma tylko związek z przeszłością, to jest pomniki, rękopisy i druki stare. Takim sposobem wskrzesi się przed potomnością postaci naddziadów, o ile człowiek wskrzesić je może, ograniczony przestrzenią i czasem.

Ale zdarza się nieraz, że ciekawość ludzka zajmie się wyłącznie jednym przedmiotem. Uczony wtenczas z dawnych kronik, podań, broszurek, zbiera i wypisuje wiadomości, które potem w pewny szykuje porządek, żeby ten przedmiot wyświecić. Zdarza się nieraz, że dostrzeże błędy w podaniu kronik, bo znalazł dowody, które objaśniają punkt sporny. Czasem też i dla nauki drugich, nie ubiegając się bynajmniej za twórczością, rozpowiada o tém, co było. Zagłębia się i w przepaści wieków, i szuka w ciemnościach, żeby prawdę wyłamać z podań rozmaitych. Z tego to rozmaitego badania dziejów, tworzą się w naszym wieku różne rodzaje prac historycznych.

Tak wydane akta przeszłości, stanowią gruby *materyał*. Tak opracowanie jakiego przedmiotu, stanowi *monografią*. Tak oczyszczenie z błędów kronik jest *krytyką dziejową*. Tak przedstawienie dla nauki i dla pojęcia innych całości dziejów, jest *systematem*. Na te dzisiaj gałęzie prac historycznych rozdziela się literatura historyczna; w tych ramach i my będziemy prowadzili nasz przegląd.

Monografie właściwie nasz wiek stworzył. I oczywiście, przy ogromie dziejów, łatwiej zająć się częścią dziejów, jak ich całością. Najlepiej jest wybrać sobie jaki wypadek z przeszłości, zbierać do niego materyały, wyświecać przedmiot, i takim sposobem pisać monografie. Monografie wyświecają pojedyncze wypadki w życiu narodów, albo jedną rzecz jaką. Im więcej monografij, im więcej prac historycznych oderwanych, bez związku: tém lepiej pojąć, schwycić, zrozumieć możemy i samą przeszłość. Siły ludzkie prędzej są w stanie przedstawić, o ile można, żywy obraz prowincyi, powiatu, miasta, jak obraz przeszłości całej krainy. Ale monografia ma tak nieoznaczone granice, że niewiadomo gdzie jej koniec, gdzie początek: zupełnie jak całość dziejów. Dzieje np. księstwa jakiego, można uważać za monografią względem dziejów całego kraju, a i ta sama historia księstwa rozpaść się jeszcze może na niezliczoną liczbę monografij. Monografia także nigdy zupełną być nie może, tak, żeby opowiedziała wszystko, co o danym przedmiocie opowiedzieć można. A jednak w naszym czasie monografia ma przed sobą przyszłość, i zdaje się, że niedługo cała literatura historyczna ludów europejskich, składać się będzie mogła jedynie z monografij. Bierzmy tylko siebie za przykład. Przed naszą epoką silili się wszyscy opowiadać dzieje, albo zbierać materyały. Dzisiaj nikt o całości dziejów nie pomyśli, a wychodzą wciąż u nas: to *Wilno*, to *Opis Poznania*, to *Lisowczyków dzieje*, to *Dzieje Szkół*, to gotuje się historia Radziwiłłów nieświeżskich, a wszystko to są monografie.

Jeżeli kto z nas zechce wystawić cały obraz dziejów, ponieważ nie w stanie jest zbudzić wszystkiej przeszłości, daje nam szkic tylko, daje nam swój *systemat*, swój sposób widzenia rzeczy, i na dowód że widzi, grupuje wszystkie wypadki, o jakich tylko wiedział albo słyszał. *Krytyka* jest, jak uważaliśmy, dociekaniem prawdy, i ma na celu wyjaśniać wypadki. *Krytyka* i monografii dotknie, jeżeli jej wskaże błędy i pokaże, że opis różni się z rzeczywistością, i na dowód tego zacytuje fakta. Jeżeli o wypadku danym monografia mogła powiedzieć więcej, jak powiedziała, krytyka wytknie monografii niezajomość literatury, źródeł, albo lenistwo. *Krytyka* jest nieodbitie potrzebną i dla oczyszczenia dziejów i dla nadzoru nad pracami historycznymi. Nie ma ten naród literatury, co nie ma krytyki. Od ilości *systematów*, to jest opowiadań dziejowych o całym okresie, od ilości monografij, zależy bogactwo historycznej każdego narodu literatury.

Monografia powinna jaśnieć pięknym, malowniczym językiem; powinna przed oczy nasze stawiać szereg obrazów z przeszłości. Kto pisze monografie, powinien być artystą, to jest powinien mieć poetyczną siłę: bo monografia już tworzy, kiedy krytyka rozjaśnia, a *systemat* wyklada. Dla wszystkich tych jednakże trzech rodzajów prac historycznych potrzeba nauki: bo minęły już te czasy, kiedy za lada wierszyk można było zostać poetą, za lada nędzne pisemko zasłużyć na tytuł starożytnika i badacza przeszłości. Dzisiaj w naszym wieku, nie godzi się już być półmędrkiem i pół tylko powiedzieć prawdy. Trzeba opowiedzieć wszystko, co się wie i nie opowiedzieć byle jak, dawnym kronikarskim sposobem, kiedy wszystko wiązało się do dat i liczb tylko. Według tego, jak kto opowiada i co opowiada, krytyka dziejowa wydaje wyrok, gdzie go mieścić: między pisarzami dla literatury, czy między pisarzami dla bibliografii? Że z przeszłości dzisiaj możemy tworzyć tylko monografie i krytyczne przeglądy dziejów, albo układać *systemata* i nasz sposób widzenia rzeczy, kiedy obejmujemy epokę całą albo pewien okres; że te *systemata* wskazują stanowisko nasze, z jakiego zapatrujemy się na tę epokę, na ten okres, na całe zresztą dzieje czy ludu jednego, czy całej ludzkości; że zresztą robim to wszystko w XIX wieku: niechże prace nasze mają cechę XIXgo wieku—dojrzałość i gruntowność.

Ani monografia, ani krytyka, ani *systemat* nie będą jednak dziejami, a tylko próbą opowiadania dziejów przeszłości. Grzebiąc w dawnych wiekach, znajdujemy wszędzie i cud i piękność. Instynktem poznajemy i przeczuwamy dawne życie i uczymy się tylko. Dzieła nasze o przeszłości, jeżeli to nie będą materiały, nigdy nam nie za-

stąpią pomników społecznych. W społecznych kronikach i pismach — życie; w dziełach uczonych o przeszłości, wieje chłód mogiły. My tylko wszyscy piszemy naszą społeczną nam historią, bo my tylko jedni i na Północy i na Południu, na Wschodzie i na Zachodzie, każdy u siebie, wszyscy jednocześnie opowiadamy wypadki kraju. Ktoś po nas w lat trzysta, dwieście, zatęskni do swojej przeszłości, to jest do naszych czasów, i o naszych chwilach będzie pisał monografię, zebrawszy pisma, to jest materiały, które zostawimy: bo i z nami wielka część przeszłości roztopi się w czasie. Jeżeli zostanie bogatą po nas literaturę, odmaluje się mu w imaginacji duch naszej chwili, i rozświetli tém w sobie pojęcie o wiekach minionych, lubo niecałe. My toż samo robimy z przeszłością naszą. W materiałach, które zbieramy, oglądamy szczątki i złomy, kawałki dziejów; ale nie same dzieje. W monografiach, krytyce i systematach tworzymy sami niedokładne powieści o tych dziejach. A że tych monografij pojawia się u nas coraz więcej, że krytyka w coraz dalszą przeszłość słowiańską Lechii zanurza wzrok swój badawczy, że tworzymy już całe systematy i filozoficzném okiem spoglądamy na doby naszego rozwoju; że możemy już teraz pojmwować posłannictwo Słowiańszczyzny wpośród ludzkości, a posłannictwo Polski wpośród Słowiańszczyzny; że oczywiście pojmujem przez to ogólną harmonią wszechświata, i że filozofia narodowa dziejów puszcza już u nas swoje zawiązki: wszystkośmy to winni temu ogromnemu moralnemu przesileniu, które utworzyło wiek XIXsty, wszystkośmy to winni temu XIXmu wiekowi, który i u nas sprowadził *nową epokę literatury*.

Zachodnia Europa z ogromnemi zasobami wzięła się teraz, w naszym czasie, do wydawania pomników swojej przeszłości i do badań uczonych. My niedawno, bo od lat dwudziestu ostatnich, dajemy nową epokę literatury dziejowej u nas. Przed dwudziestą laty, z wielu pracowników, jeden tylko pracował, jak prawdziwy geniusz. A jednak pomimo rozmaitych przeszkód, jakich nie znała zachodnia Europa, my ze słabemi siłami przy szczupłych bardzo zapasach, zrobiliśmy nadzwyczaj wiele, tak, że możemy pochwalić się przed sąsiadami naszymi. Zmieniwszy sposób zapatrywania się na rzeczy; zmieniwszy i samą formę pracy, myśmy się zupełnie tém odróżnili od ojców naszych przed laty dwudziestą. I nic w naszej *nowej epoce literatury dziejowej*, niedawnych jeszcze czasów nie przypomina. Ale powinniśmy byli dojrzyć i pod tym względem, kiedy pieśń rodzinna zapowiedziała nam nowe życie. Powinniśmy byli dojrzyć, bo i w całej Słowiańszczyźnie błysnęła myśl wielka i święta, badania w po-

mnikach narodowości. W Rosyji przedewszystkiém lat kilkanaście pracy, cuda stworzyło. Kommissya *Archeograficzna* w Petersburgu zasłużyła się tyle dla dziejów ojczystych, co żadne jeszcze towarzystwo na świecie. W Czechach *Palacky* napisał piękny systemat dziejów swojej ojczyzny. W jednym zawodzie pracowali z nim Szaffarczyk, Kopitar, Boczek. Toż samo życie przejawia się i w Illiryi, w Węgrzech słowiańskich i w braciach napót słowiańskich, jak Wołoszczyzna, Multany. Jak nie mieliśmy dojrzyć, kiedy takie wszędzie życie obok nas? kiedy nawet i te prace pobratymców naszych, rozjaśniając ich przeszłość, niejedno miejsce i w naszej historii rozwidniły światłem słonecznym. Fakt niejeden dziejów Rosyji i Czech wiąże się z dziejami polskimi. Z prac pobratymców możemy korzystać. Pracując oni dla siebie, pracują i dla nas; a my rozważając, badając w przeszłości naszej, rozjaśniamy i ich przeszłość. Tak w jeden piękny łańcuch wiążą się dzieje całej Słowiańszczyzny. Wszyscy mamy teraz u siebie już zaranie nowój literatury historycznej. Myśmy w tém tylko wyżsi od niejednego plemienia pobratymców, że nasza literatura historyczna od Galla i Kadłubka zacząwszy aż do Naruszewicza chwili, różne przechodziła fazy, kiedy u niejednego słowiańskiego ludu, ma do dziś dnia jeszcze tylko klechdy i kronik kilka. Krytyką nawet uprzedziliśmy pobratymców, a Naruszewicz jak był najpierwszym co do czasu, tak i najznakomitszym w całej Słowiańszczyźnie krytycznym badaczem dziejów. Po Naruszewiczu, dwóch, trzech tylko znajdziemy w literaturze naszej ludzi, którzy dla przeszłości kraju, pracowali z natchnienia, bo mieli do tego szczególne namaszczenie z niebios, jak kapłani starego zakonu. Inni pisarze historyczni byli belletryści i miłośnicy tylko dziejów. Za naszych czasów zmienia się ten stosunek.

My właśnie chcemy pokazać tę zmianę i udowodnić faktami, żeśmy nową zaczęli epokę. Naszym zamiarem jest wystawić w obrazie jednym wszystko, cośmy zrobili, my i pobratymcy nasi, dla dziejów polskich od czasu nowych pojęć naszych. Chcemy przez to oznaczyć bliżej stanowisko nasze w ruchu ogólnym całej Europy. Do obrazu więc naszego wejda i prace pobratymców Słowian, o tyle tylko, o ile te prace rozwidniły własne nasze dzieje; wejda do obrazu i prace cudzoziemców o Polsce. Zastanowiliśmy się dłużej nieco nad wstępem, nad przygotowaniem do naszego obrazu. Chcieliśmy rys prac dziejowych ująć także w formy pewnego systematu; chcieliśmy, żeby w naszym obrazie, każdy pojaw zajmował właściwe sobie miejsce. Dlategośmy pisali jak rozumiemy dzieje, czyli jak we-

dług naszego przekonania, wiek XIXsty rozumié dzieje. Dlategośmy rozwijali pojęcia nasze, co się dotyczy samego obrabiania przedmiotu dziejów. Z ułożonym raz porządkiem pójdzie nam lepiej. Wszystko potrafić zmieścić w ramy nasze, podciągnąć pod formy podziałów naszych. Ocenim prace o ile na to zasługują. Nad dziełem jedném zastanowimy się więcej, mniej nad drugim. Czasem tylko zrobimy wzmiankę, że to a to jeszcze zrobione, wydane, przygotowane do druku. Chcielibyśmy, żeby obraz nasz był kroniką prac dziejowych naszego czasu; że nie wszystkie jednak prace warte są wspomnienia szczegółowego, nie wszystkie rozbierzem. Ale zawsze w obrazie naszym będą umieszczone prace główne, wszystkie, że się tak wyrazim, światła.

W obrazie jednak całym rozróżnim dwie części. Opiszemy osobno cośmy sami zrobili dla dziejów naszych, opiszemy osobno, co dla nas zrobili pobratymcy i cudzoziemcy. Zobaczymy więc gorliwość własną o swoje pamiątki, i porównamy ją z gorliwością o przeszłość polską sąsiadów.

Niedosyc na tém. My chcemy porównać gorliwość w szlachetném dziele jednéj prowincyi i drugiéj. Dlatego obraz nasz rozpadnie się na tyle części, ile jest ogniw umysłowego życia na całej ziemi dawnéj Rzeczypospolitéj. Zaczniemy oczywiście od Warszawy, bo to największe pod niejednym względem ognisko. Przejdziemy potem na Ruś i na Litwę, na Chrobotów ziemię, i na jądro narodu, ojczyznę Piasta i Ziemowita. Tak po kolei będziemy spoglądali na ilość i jakość dzieł historycznych, a z tego wszystkiego wniesiemy, która strona i jakie położyła zasługi.

Te pojedyncze wielkie części naszego obrazu, rozpadną się i na inne mniejsze. Myśmy już wskazali na zasadę naszego podziału, kiedyśmy mówili, jakie są możebne prace historyczne w XIXtym wieku. Są ludzie co zbierali tylko, są, co obrabiali. Piérwsi podawali nam suchy materyał, często go objaśniając; drudzy, tworzyli powieści, ustępy dziejowe, nawet obejmowali w pracach swoich cały ogrom dziejów narodu. Rozdzielimy więc części główne podług stron ziemi na dwie części podrzędne. W jednéj obejrzymy *materyały*, w drugiéj *utwory*. Tamte będą dla nas echem zamarłego już świata, te ostatnie będą dowodem pracowitości naszéj. Materyały opiszemy jakie są i jaka wartość ich wydania, jaka się wreszcie należy wdzięczność wydawcom. Wskażemy na treść ich i obrobienie, zbierzemy skrzętnie napotykané w nich częstokroć nowości, żeby pokazać, gdzie te materyały rozjaśniają ciemne przeszłości krainy, i co przez



nie zyskuje historia, co zyskuje naddziadów życie, co zyska na nich historyczna powieść polska, kiedy się z czasem rozwinie. Materiały tę mają nad utworami przewagę, że są doprawdy echem wieków oddalonych i mogą nam wiele nowego powiedzieć; kiedy utwory rozpowiadają nam tylko to, co znajome z wydanych już materiałów. Utwory mogą nas zająć tylko formą obrobienia artystyczną, albo świadczącą o bezdarności autora. Utwory surowo ocenia z nas każdy, jeżeli dostrzeże, że nie odpowiadają światłu wieku i wymaganiom społecznej nauki. Tymczasem materiały w jakiejś formie podane, choćby razily i stylem i wyrażeniem, zawsze są dla nas drogim i pożądanym zabytkiem. A cóż dopiero, jeżeli to będą Polska pamiętniki! Niejeden dyaryusz dawny, opis, zdarzenie, był pisany przez kogoś tylko dla pamiętki, dla wspomnienia i odczytania na lata stare, nie myślał nigdy oglądać druku i butwiało długo w *silva rerum*, jakiego kontuszowego Polonusa. A każdy utwór społeczny, zdradza już po autorze pretensją, bo albo uczyć chce, albo opowiedzieć coś, albo przedmiot jakiś poruszyć.

W części materiałów nie znajdziemy poddziałów żadnych; ale za to znajdziemy poddziały tam, gdzie będziemy pisać o *utworach*. Wskazaliśmy już wyżej w rozumowaniu naszym te poddziały, a przekonani jesteśmy, że istnieją. Wierzymy mocno, że prace historyczne społecznej Europy, mogą wychodzić tylko jako monografie, jako krytyka dziejowa i jako systematy. W tych trzech rodzajach pracy historycznej, możemy objawiać umysłową działalność naszą pod względem badania dziejów. Otóż jeżeli pisarz nam społeczny będzie rozjaśniał dzieje odległe, zastanawiał się, cytował świadectwa, wyprowadzał z nich wnioski, nie mając na widoku całego ogromu dziejów a starożytności narodu, to jest jeden albo drugi ciemny, nierozwidniony punkt w jego przeszłości; my pracę jego ocenim pod działem *krytyki*. Jeżeli obejmie całe dzieje, znajdzie dla siebie i dzieła swojego miejsce pod nazwą: *systematów*. Jeżeli nareszcie opowiadać będzie jaki wyjątek, jaki ustęp z przeszłości, poznamy go bliżej i powiemy o wartości jego pracy pod napisem: *monografie*.

Przekonani aż nadto, że nikt z piszących autorów nie jest w stanie wystawić całości dziejów, jak były; nie będziemy wymagać po nich tego, czego niepodobna, i nie będziemy narzekać, jak to robią niektórzy, że autorowie ci nie powiedzieli wszystkiego. Bo wszystko wiedzieć nie w mocy jest ludzkiej. Ale pismo historyczne, jeżeli ma nosić na sobie cechę XIXtego wieku, i jeżeli ma być pismem naszej *nowej już epoki*, powinno zawsze obejmować w sobie wszystko, czę-

go tylko dostarczyły nam materiały. Być może jednak, że wymknie się i tak coś z pod uwagi piszącego, a krytyka mu wskaże to opuszczenie i autor pismo dopełni lub poprawi: to jeszcze nie tak wielka wada, bo to błąd niedoskonałości ludzkiej. Ale zresztą pismo każde historyczne, jeżeli ma na sobie nosić pieczęć nową epoki, powinno się już zastosować do tej epoki. Dzisiaj np. nie popłacają już same bez związku, nicią sztuczną powiązane fakta bez życia; bo to będzie tylko wznowienie kronikarstwa. Dzisiaj w dziele historycznym potrzeba żeby błyszczała i myśl i życie, a więc musi być obraz za obrazem, styl i obrobienie, musi być całość artystyczna. Co tego w sobie nie będzie miało, to jest myśli albo obrazu, to może sobie wygodnie należeć do epoki zeszłej. Jak poetyczna zdolność tworzy pieśni i dumy i epeje narodowe, tak poetyczna myśl powinna tworzyć i dzieła historyczne. Poeta pieśni może idealizować prawdę, może tworzyć obrazy wysnute z imaginacji; ale poeta dziejów powinien ubrać prawdę w piękną tkanę wyrażenia i obrazów. Poeta pieśni ma wolne pole nawet dla zmyśleń; poecie dziejów zmyślać nie wolno: on tworzy, ale tylko z faktów podanych. A ma mniej w tym wolności poeta dziejów, niż nawet powieściopisarz historyczny, który jest także poetą. Powieściopisarzowi wolno zmyślać osoby, rzeczy; ale na kanwie dziejowej, żeby nie zatrzeć kolorytu wieku, żeby nie popełniać anachronizmów. Wielkie podobieństwo między temi trzema wieszczami; ale jeden i drugi, jeżeli na historyi się oprą, mają pole dla fantazyi szerokie, i potrzebują tylko wypowiedzieć prawdę względną dziejową. Dziejopis ma wystawić prawdę bezwzględną. A wszyscy trzej są artyści.

My w przeglądzie naszym zwrócimy uwagę i na artystyczność robót. Będziemy więc mogli widzieć nie tylko każdą prowincyą osobno, jak odznaczyła się w pracy, ale i każdego autora osobno, jak twórcze pokazał siły. Przejrzemy każdego zasługi i sposób zapatrywania się na rzeczy. Są pomiędzy autorami naszymi i zimni szperacze i zdolni artyści, co umieją rzecz ubarwić, przedstawić ją w malowniczych kształtach: kiedy dzisiaj wszyscy piszą malowniczo o dziejach. Zobaczymy więc i szperaczów i artystów; a zastęp to niemały i jednych i drugich, bo w zaczątkach nową epoki naszej historycznej, naliczyliśmy aż do stu autorów mniejszych i większych, którzy się badaniom dziejów polskich poświęcali. Już ta sama okoliczność, to mnóstwo pracujących wskazuje, że nowe czasy literatury historycznej nastają.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# ODPOWIEDŹ

## NA ROZBIÓR UWAG FIZYOLOGICZNYCH NAD ABECADŁEM POLSKIEM,

napisany przez p. T. Kurhanowicza

w Bibliotece Warszawskiej w zeszycie lutowym na rok 1850.

---

*Sum cuique.*

**Z**wielką przyjemnością spostrzegłem, że uwagi moje nad abecadłem polskim, nie zostały przez grammatyków milczeniem pominięte, i wywołały rozbiór p. K. Ponieważ jednak nie zdołałem przekonać o ich słuszności, zmuszony jestem, odpowiadając na zarzuty mi czynione, stanąć w obronie mego zdania.

1) P. K. twierdzi, że nauka o mechanizmie mowy nie należy wyłącznie do fizjologii, i zdaje się nawet utrzymywać, że to, czego fizjologia uczy, nie może znaleźć żadnego w grammatyce zastosowania. Chociaż daleką była odemnie myśl, aby fizjologia miała być wielowładną kierowniczką grammatyki, utrzymuję jednak, że nauka o mechanizmie mowy jedynie do fizjologii należy. Ażeby atoli to twierdzenie należycie zrozumieć, potrzeba rozróżnić mowę i język, jako dwa zupełnie różne przedmioty. Mowa, zastosowanie głosu ludzkiego do objawienia myśli przez ruch narzędzi głosowych, jest czynnością czysto fizjologiczną, tak jak chodzenie czynnością nóg, jak trawienie czynnością żołądka. Mowa mniej lub więcej wykształcona, jest własnością wszystkich ludzi i ludów, a nawet niektórych zwierząt; mowa jako czynność pewnych organów ciała, zależy od stopnia ich rozwinięcia, kształcenia i wprawy: ustaje z ich rozstrojeniem, zmienia się w chorobie. Język, jestto właściwy sposób zastosowania mowy do wyrażania pojęć i myśli, przez właściwe jej odmiany, zależące od zwyczajów towarzystwa i wielu innych okoliczności. Można być niemową, a znać języki. Jeżeli więc język nie ma prawie nic wspólne-

go z fizyologią, albo tylko odległy bardzo związek, to przeciwnie mowa, a szczególnie nauka o jej mechanizmie, wyłącznie należy do fizjologii. Grammatyka nie uczy mowy, ale uczy języka; fizjologia nie zajmuje się językiem, ale tylko mową. Niechże mi dlatego p. K. wybaczy, że nie zajmując się grammatyką, ale tylko mową, nie poszedłem w ślad za Mrozińskim, w jego badaniach nad miękzeniem się głosek przy przemianach wyrazów i ich zakończeń.

2) Na stronie 337 p. K. utrzymuje, że celem moich uwag było okazanie mylności dotąd używanego w grammatyce podziału głosek na samogłoski i spółgłoski, tudzież tych ostatnich na rozmaite rzędy. Wyznać muszę, że cel ten był tylko podrzędnym; głównym zaś moim celem było, wskazać fizjologiczne różnice pomiędzy rozmaitemi rodzajami głosek, i istotny sposób ich tworzenia się.

3) P. K. utrzymuje, że skrzywiłem definicje grammatyków co do samogłosek i spółgłosek, kiedy powiedziałem, że *samogłoskami* zwykle zowią głoski, które same przez się wymówić się dają, resztę zaś nazywają *spółgłoskami*, dlatego, że niby bez pomocy samogłosek dłuższy czas wymawiane być nie mogą, i dodaje, że grammatycy nie mogli w tym względzie przyjąć zasady trwania czasu. Przyznaję, że do definicji, znalezionych w niektórych grammatykach, dodałem wyrazy: *dłuższy czas*, które powinienem był umieścić w nawiasie; ale uczyniłem to przez grzeczność, nie przypuszczając, ażeby znalazł się grammatyk, któryby utrzymywał, że spółgłosek bez samogłosek *wcale* wymówić nie można. Albowiem kto tylko chce, jeżeli nawyknie nie zastępuje u niego woli, może bez trudności wszystkie głoski chwilowo wymówić bez samogłosek: Mroziński zaś wyraźnie uważa trwałość jako istotną cechę samogłosek: „W samogłosce nie można dostrzedz więcej, jak brzmienie, *trwałość* i akcent” (Odp. na rec. str. 123.); dalej: „.....traci trwałość, która jest stanowczą własnością samogłosek.” Ale Mroziński ani w Piérwszych zasadach, ani w Odpowiedzi na recenzję, nigdzie nie daje definicji samogłosek, ani spółgłosek. Najbardziej się skłania do definicji Dumarsais’go, ale i tę uważa za niedokładną (Odp. na rec. p. 117); błędzi zaś, kiedy utrzymuje, że do wydania brzmień spółgłoskowych w ogólności potrzebne jest poruszenie się narzędzi mównych, albowiem *m, n, l, s, f*, można wymówić bez poruszania tych narzędzi; ma się rozumieć podczas wymawiania. Naturalnie, że przed wymówieniem jakiej głoski, potrzeba poruszyć narzędzia mówne, dla ułożenia ich w stosowny sposób, jeżeli przedtém narzędzia te były inaczéj ułożone. Ale to samo stać się musi dla wymówienia samogłosek; np. chcąc wymó-

wieć *a*, trzeba otworzyć usta, jeżeli były zamknięte; jak dla wymówienia głoski *m* potrzeba je zamknąć, jeżeli były otwarte.

Żochowski mówi: „Samogłoska jestto litera, która bez pomocy cudzego brzmienia może być wymówiona, np. *a*. Spółgłoska zaś tylko z samogłoską byt swój objawia, np. *b*, za pośrednictwem samogłoski *e*”. Czując niedostateczność tych definicyj, dodaje „Samogłoska więc jest czystym głosem z płuc wychodzącym, spółgłoska brzmieniem z głosem połączonym”. Pomijając błędne wyobrażenie, jakoby głos z płuc wychodził, przypomnę, że tak zwane spółgłoski są i takie, które wcale z głosem nie są połączone, np. *s*, *f*, *p*.

Sierociński (Piérwsze zasady grammatyki, 1838) mówi: „Głoski są dwojakie: jedne brzmią czyli wymawiają się same, i dlatego nazywamy je samogłoskami; drugie wymawiają się nie inaczej, jak tylko za pomocą samogłosek, i dlatego nazywamy je spółgłoskami”.

Waśniewski (Nauka czytania i pisowni) pisze: „Samogłoski są to głoski, których brzmienie, chociażby *jak najdłużej* przeciągnąć, jednostajnie słyszeć się daje. Spółgłoski po tém się poznają, że mają brzmienie *nie trwałe*.” Grammatyk ten więc wyraźnie zasadza różnicę w tych rodzajach głosek, na możliwém trwaniu brzmienia. Jeżeli to więc jest niedorzecznością, to nie ja to powiedziałem, ale p. K. Definicje Łazowskiego i Suheckiego przytoczył p. K., ale i te są fałszywe. Łazowski tém błędzi, że utrzymuje, *jakoby samogłoski tworzyły się wtenczas, kiedy tchnionemu powietrzu nie czynimy żadnego oporu*; albowiem wymawiając samogłoskę *i*, stawiamy powietrzu daleko większy opór, aniżeli wymawiając tak zwaną spółgłoskę *h*, „*spółgłoski zaś dlatego tak zowiemy, iż jeno za dodaniem do nich samogłosek wyraźnemi się stają*.” Każdy wie, że *s*, *sz*, *z* i *t*. *p*. można najwyraźniej bez samogłoski wymówić. Suhecki jest w grubym błędzie, jeżeli utrzymuje, że samogłoski wyrabiają się w przestrzeni gęby, albowiem miejscem ich tworzenia się jest krtań. Podobnie błędną jest definicya, którą daje p. K. na str. 345 swego rozbioru.

W innych grammatykach niemasz definicyi tych dwóch rodzajów głosek, ale muięj więcęć błędne i niedostateczne opisywania i omówienia.

Czas możliwego trwania jakiej głoski jest bardzo ważnym względem przy rozróżnianiu głosek, i dlatego grammatycy niektórzy oddzielali głoski trwałe od głosek chwilowych, i pod tym względem głoski *b*, *g*, *d*, *p*, *k*, *t*, które nazwałem spółgłoskami, znacznie się różnią od wszelkich innych głosek. Jeżeli pod względem grammatycznym rozróżnić należy głoski, mogące być podstawą zgłosek czyli

syllab, od tych, które nie mogą stanowić podstawy syllab: to można to prawo wyrazić tak, że głoski krtaniowe mogą być podstawą syllab, inne zaś nie. Są jednakże, chociaż w językach ucywilizowanych narodów bardzo rzadkie przykłady, w których wyrazy wcale samogłosek nie mają, np. *pst, brr* i t. p., i chociaż wyłączone są z języka, jednakże bez żadnej tak zwanej samogłoski wymówione być mogą. Wyraz *zdzierstwo* na siedm tak zwanych spółgłosek ma jedną samogłoskę, a jednak łatwo się wymawia, bo w nim właściwie są tylko dwie spółgłoski istotne: *d* i *t*.

4) Następnie rozbiera p. K. mój podział głosek na *samoistne, ciche* i *głośne*, zarzucając mi niejasność lub niekonsekwentność w definicyi tych podziałów. Muszę tu więc dla objaśnienia dodać następujące uwagi. Chociaż wyraz *głos* używany bywa zwykle w daleko obszerniejszém znaczeniu, jednakże jako antyteza wyrazu *szmer*, nie może być inaczéj rozumiany, jak tylko za jednoznaczny z wyrazem *ton*. Tonem czyli dźwiękiem w fizyce nazywają drgania ciał, jeżeli ilość tych drgań na sekundę dochodzi pewnej w nauce oznaczonej liczby. Drgania ilością téj liczby niedochodzące, nie mają wartości muzycznej, i zwane są szmerami czyli szelestami. W fizyologii mowy nazywamy tonem czyli dźwiękiem, drganie strun głosowych, jeżeli ilość tych drgań na sekundę dochodzi naznaczonej w fizyce liczby, i ma wartość muzyczną. Stosownie do wzrastającej ilości drgań, tony przemieniają się w coraz wyższe, i stanowią skalę tonów. Zbiór tych tonów, cała skala razem wzięta, stanowi głos ludzki. Ton ma się do głosu, jak część do całości. Łatwo więc pojąć, że w zastosowaniu do tworzenia się głosek, mogłem bez różnicy używać wyrazów *ton* i *głos* dla oznaczenia muzycznych drgań strun głosowych. Wszelkie zaś drgania, czyto strun głosowych, czy innych narzędzi mownych, niemające wartości muzycznej, nazwałem, jak w fizyce, szmerami. Jeżeli więc są głoski, które tworzą się przez drgania organów mowy, niemające wartości muzycznej, należało je odróżnić od tych, które tworzą się tylko wtedy, kiedy z krtani wydobywa się ton czyli głos, czyli, kiedy im towarzyszą drgania muzyczne strun głosowych. Jedne nazwałem *szmerami* czyli *głoskami cichemi*, drugie *głoskami głośnemi*. Łatwy jest sposób odróżnienia jednych od drugich, jeżeli daną głoskę probujemy przeprowadzić przez skalę tonów; czego nie można wykonać ze szmerami, jak *t, s*, a łatwo się udaje z głoskami głośnemi, jak *w, z*. Ale oprócz tego, uwagi godném jest, że kiedy jedne głoski mogą być wymówione jako szmery cicho, czyli bez tonu, i zarówno głośno czyli z tonem, nie zmieniając w obu razach swego brzmienia, jak

*a, e, i*; są inne, których razem z tonem wymówić nie można, jak *f, s*; i inne jeszcze, których znowu bez tonu wymówić niepodobna, jak *tc, z*. Pierwsze, to jest głoski w obu razach niezmiennające brzmienia, dające się wymówić zarówno z tonem i bez tonu, nazwałem *samoistnemi*; drugie, nie mogące być z tonem wymówione, *cichemi*; trzecie, które tylko z tonem wymówić można nazwałem *głośnemi*. Oprócz tego, zwróciłem i na to uwagę, że głoski ciche i głośne są, co do sposobu tworzenia się, jedne i te same, i zmieniają tylko swe brzmienie, stosownie do tego, czy im ton towarzyszy lub nie. I tak, *f* i *w* są jedną i tą samą głoską, okazującą się z tém dwojakiém brzmieniem, stosownie do obecności lub braku tonu. Że zaś *h* i *ch* nie są do siebie w takim stosunku jak *f* i *w*, to się można o tém przekonać, że ani *h*, ani *ch* nie można przeprowadzić przez skalę tonów, a zatem, że obie są ciche. Co się zaś tyczy przemiany głoski *h* na *ż*, którą p. K. znalazł w wyrazie *Sapieha, Sapieże*, zdaje mi się, że *h* w tym wyrazie pochodzenia litewskiego lub małopruskiego, zastępuje nasze polskie *g*, z którego w dalszych przemianach powstaje *ż*; tak jak *porohi* (progi), *Zaporoże* i t. p. Jednakże z tego samego rodzaju wyrazów mógłbym przytoczyć *Weryha, Werysze*, gdzie *h* przechodzi na *sz*. Tym sposobem, spostrzeżenie Mrozińskiego względem jednorodności przemieniających się na siebie głosek, utrzymuje się w całej sile; tylko wyrazić je należałoby, że głoska głośna zamienia się na inną głośną, cicha na cichą, nie zaś jak wyraził Mroziński, mocna na mocną, słaba na słabą. Co się tyczy przytoczonych na stronie 336 przykładów, któremi p. K. chce dowieść, że *h* należy do głosek słabych, dlatego, że głoska *z* przed *h* pozostaje w swoim brzmieniu; zwracamy uwagę na to, że wprawdzie *z* jako znak pisania pozostaje w tych wyrazach, ale wymawia się wszędzie jak *s*. P. K. utrzymuje, że grammatycy dawno już znali różnicę między głoskami głośnymi i cichymi, tylko że jedne nazywali słabymi, drugie mocnymi; i dodaje, że cała pomiędzy nimi różnica polega na mocniejszym lub lżejszym narzędzi mownych ściśnieniu lub wyprężeniu, tudzież na mocniejszym lub powolniejszym pędzeniu powietrza z płuc wychodzącego. Łatwo spostrzedz możemy, że nazwania te, i pojęcia z nimi połączone, są nieuzasadnione, jeżeli zważymy, że przy dobrej woli, tak zwane słabe głoski można mocno wymówić, a tak zwane mocne za najlżejszym technieniem powietrza wydać, i że w obu razach bez względu na moc wymawiania, brzmienie tych głosek pozostaje to samo. Mocne i słabe wymawianie (*forte* i *piano*), pochodzące z mocniejszego lub lżejszego pędzenia powietrza z płuc, nigdy samo przez się nie zmienia brzmienia głosek.

W tém właśnie widzę błędne pojęcie grammatyków o sposobie tworzenia się tych głosek. Na stronie 341 wnosi p. K., że „ponieważ osoby na krtań cierpiące mówią *topry* zamiast *dobry*, a Niemcy najczęściej tak samo wymawiają te głoski, wypadaloby, że wszyscy Niemcy na krtań chorują.” Takimże prawem możnaby powiedzieć, że ponieważ Niemcy jedzą i Polacy jedzą, więc wszyscy Polacy są Niemcami. Nie potrzebuję przypominać p. K. jak w logice nazwane są takie syllogizmy; dodam tylko, że kto ma słuszne zdanie, ten go podobnemi twierdzeniami i wnioskami bronić nie potrzebuje.

5) Niesłuszném się zdaje p. K., że uważam głoski *c*, *ć*, *dz* za złożone z *ts*, *tś*, i *dz*; owszem uważa p. K. te głoski jako pojedyncze. Mnie się zdaje, że każda głoska pojedyncza zachowuje jednorodne swe brzmienie przez cały czas swego trwania; w złożonych zaś koniecznie, przy dłuższém ich wymawianiu, ostatnią tylko słyszeć można. Jeżeli więc głoska przy dłuższém wymawianiu, inaczej brzmi w początku, a inaczej w końcu, koniecznie musi być złożoną, i to z brzmienia początkowego i brzmienia końcowego. Głoski *ch*, *sz*, *rz* chociaż oddane przez dwa znaki alfabetyczne, brzmią przy najdłuższém wymawianiu zawsze jednakowo; przeciwnie głoski *c*, *ć*, chociaż jedną literą pisanę, przy dłuższém wymawianiu dają się słyszeć z początku jak *t*, a w końcu jak *s* lub *ś*. Również *dz*, *dź*, *dż* i *cz* (*tsz*) ulegają temu samemu prawu. Łatwość zlewania się głosek, zależy od łatwości wykonania przejścia w układzie organów mownych, potrzebnego do wymówienia następujących po sobie głosek. Jeżeli *ks*, *ps*, *gz*, *bz* nie tak łatwo się zlewają, to dlatego, że *k* i *g* wyrabiają się w gardle, *b* i *p* na wargach, a mające się złąć z niemi *s* i *z* między językiem a podniebieniem; potrzeba więc nawet przy najprędszém wymawianiu, ażeby organa mowne ułożyły się w odpowiedni sposób do wymówienia głoski końcowej. Przeciwnie *t* i *d* wyrabiają się w tém samym miejscu co *s* i *z*, i dlatego można je tak szybko po sobie wymówić, że czas przedzielający wymówienie jednej głoski od drugiej, jest nadzwyczajnie mały, i końcowa zdaje się tylko dalszym ciągiem początkowej głoski. Złożenie głoski *c* z głosek *t* i *s*, a *ć* z głosek *t* i *ś* jest jeszcze oprócz tego bardzo widoczne w wyrazach pochodnych; np. *bractwo* od *brat*, *kacenie* od *kot*, *zwrocenie* od *zwrot*, *lecić* od *lot*, *młócić* od *młot*, i t. p. Z tego zlewania się głosek jednakże nie wynika, ażeby głosek składających głoskę złożoną, nie można było osobno wymówić, a mianowicie kiedy każda z nich do innej sylaby należy, jak w wyrazach złożonych, przytoczonych przez p. K. na str. 347. Gdyby Mroziński



zwrócił na to uwagę, nie byłby formował podziału głosek na odbite i nieodbite, ani prawideł z tego podziału wywodzonych.

6) P. K. zarzuca mi, że opuściłem *cz*, *dź*, *rz*. O głoskach *cz* i *dź* mówiłem przy głosce *sz*, nadmienając, że *cz* tworzy się za dodaniem *t* do głoski *sz*, i że w połączeniu z tonem przechodzi na *dź*. Głoskę *rz* opuściłem istotnie; albowiem właściwie brzmienie jej niczem się nie różni od brzmienia głoski *ż*. Zachowujemy tylko tę formę alfabetyczną złożoną, dla etymologicznego oznaczenia, że pochodzi od głoski *r*, gdy *ż* pochodzi od głoski *g*.

7) P. K. utrzymuje (str. 348), że do głosek miękkich powinienem był dołączyć głoski *ś*, *ź*, *m'*, *dź*, *l*, *j*. Głoski *ś*, *ź*, *l*, *j* wymieniłem poprzednio jako głoski pojedyncze, i wspomniałem tu tylko o głoskach miękkich, złożonych z głoski odpowiedniej twardej i głoski miękczącej *j*, pomiędzy którymi problematyczna głoska *m'* przez zapomnienie opuszczoną została. O głosce zaś *dź* wspomniałem przy głosce złożonej *ć*, z której za dodaniem tonu się tworzy. Nie wierzy p. K. że głoski miękkie powstają przez dodanie do nich *j*. Pomimo tego utrzymuję, że *j* jest głoską miękczącą zawsze, jeżeli tego w odmianach wyrazów zachodzi potrzeba, jak to już powiedział Zochowski (Cz. Mo. odm. § 21). Ale zmiękczenie to dzieje się przez zlanie mniej więcej zupełne głoski *j* z odpowiednią twardą, tak, jak przez zlanie głosek *t* i *s* tworzy się *c*. I w rzeczy samej, wymawianie głoski *j* tak jest łatwe, że po każdej innej głosce szybko i łatwo nastąpić, a zatem i złąć się z nią może. Nie słychać jej oddzielnie w miękkich *l*, *ś*, *ź*, które się w tém samym wyrabiają miejscu, t. j. na środku podniebienia, ani w głosce *ń*, przy której wymówieniu język jest prawie zupełnie tak ułożony, jak przy wyrobieniu głoski *j*; wyraźniej występuje w głoskach *m'*, *b'*, *p'*, *w'*, i zmięczonych *k* i *g*. Przy zmięszczaniu głosek *t* i *d* zastępują ją *ś* i *ź*, wyrabiane cokolwiek bardziej na przodzie podniebienia, w témże miejscu, w którym *d* i *t* się wymawiają; dlatego, że łatwiej przejść z *d* na *ź*, z *t* na *ś*, aniżeli z *d* i *t* na *j*. Przemiany zaś *k* na *c* i *cz*, głoski *ch* na *sz*, *g* na *ż* i *dz* nie są wcale zmięcczeniem, choć je tak nazywa Mroziński dla objęcia tych przemian w jedno prawidło, ale przemianą właściwą językowi polskiemu, co do istoty różną od zmięcczenia. Przemiana głoski *r* na *rz* stanowi przejście pierwszego sposobu przemian do drugiego. Mroziński aby usprawiedliwić to uogólnienie, mieści głoski *sz*, *cz*, *ź*, *dz* między miękkimi, chociaż sam czuje, że niemi nie są: bo nie podlegają temu ogólnemu prawidłu, że głoski miękkie nie mogą bezpośrednio stać przed *y*. Z tego co wyżej o zlewaniu się głoski *j* powie-

działem, nie wypływa jednakże, ażeby nie można było wymówić oddzielnie głoski *j* od innych głosek, czyli, ażeby zawsze była miękczącą lub zlewającą się. Tak samo tu się rzecz ma jak z głoskami *t* i *s*, *d* i *z*, a mianowicie, jeżeli głoska poprzedzająca *j* należy do jednej sylaby, a *j* do innej, np. w wyrazach złożonych, które p. K. na stronie 348 przytoczył. Wszystkie tak liczne prawidła o miękczeniu, które Mroziński podaje, możnaby niezmiernie uprościć, mając wzgląd na podane tu uwagi.

8) P. K. przyznaje mi (str. 349) *pozorną jasność* stylu, a jednak dodaje, że niełatwo zrozumieć szczegółów w mojem piśmie zawartych. Nie pojmuje *pozornej jasności* stylu. W stylu nie ma światła-cienia. Jeżeli którakolwiek własność stylu może być pozorną, to pewno nie jasność. Ciemność mego pisma głównie widzi p. K. w pomieszaném użyciu wyrazów *ton*, *dźwięk* i *głos*, z którego zdaje mi się, że już wyżej dostatecznie się usprawiedliwiłem. Pochlebia mi to zresztą bardzo, jeżeli myśli moje, w tym tak trudnym i suchym przedmiocie, wyłożyłem z *pozorną chociaż jasnością*. Nie podoba się p. K. wyraz *zmianowanie* głosek, którego użyłem dla oddania obcego wyrazu modyfikowanie. Wyraz ten często używany bywa w gospodarstwie wiejskiém, gdzie mówią o zmianowaniu gruntów. Zamiast wyrażenia *znaki pisarskie*, które p. K. stosuje tylko do znaków przestankowych i t. p., p. K. woli wyraz *litery* albo *znaki pisma*. Być może, że tak lepiej.

9) Uwagę moję, że grammatycy, nie zasadzając się na fizyologicznej różnicy głosek, porobili dziwne ich podziały i różnym rzędem nadali błędne definicye, p. K. nazywa *diatrybiczną napaścią*. W krótkiej mojej rozprawie nie miałem ani zamiaru, ani miejsca do wyszczególniania znakomitej massy błędów, jaka się spostrzegać daje we wszystkich grammatykach pod względem rozróżniania, dzielenia i mianowania głosek. Praca podobna wymagałaby znacznego czasu, i napsułaby bez wielkiej korzyści wiele papieru i czcionek. Nie chciałem wytykać, co gdzie jest złego lub niedorzecznego, ale chciałem pokazać, jak jest mojem zdaniem lepiej. A jednakże to, co powiedziałem jest szczerą prawdą, która niestety w swój nagości zawsze jest nieznośną i przykłą.

Ze definicye i podziały głosek u grammatyków są błędne, tego dowodzi już to, że każdy zarzuca cudze, a swoje własne, odmienne, nowe podaje. Dzieje się to jak w medycynie, gdzie ogólną jest regułą, że choroba tém trudniejszą jest do uleczenia, im więcej zalecano przeciw niej środków; a jeżeli wiele środków zalecano przeciw jokiej

chorobie, to pewno wszystkie na nic się nie zdały. Trudnoby rozbiierać szczegółowo te tak różne, a mylne zawsze, zdania grammatyków; ale, ażeby kilka dać przykładów, przytoczę tu niektóre zdania z celniejszych dzieł grammatycznych, ażeby pokazać, że sąd mój nie był bez zasady. Już wyżej wyszczególniłem błędne i niedostateczne definicje samogłosek i spółgłosek u Mrozińskiego, Żochowskiego, Sierocińskiego, Waśniewskiego, Łazowskiego i Sucheckiego. Co do podziału głosek i wykładu o ich tworzeniu się u Jakubowicza, który w dwóch edycjach sam z sobą się nie zgadza, wyręczył mnie Żochowski. Mroziński (Piérw. Zas. str. 6) mówi: „Natura téj litery (*s*) jest zupełnie odmienną od natury tamtych czterech głosek (*p, f, t, k*). Tamte (*p, f, t, k*), nie mogą mieć żadnej trwałości. Są dziełem jednego momentu”. Wiadomo zaś, że *f* jest równie trwałą, jak *s* i jak *a*. Mroziński pomieszał głoskę *f* trwałą z głoskami *p, t, k*, chwilowemi. Na str. 7 nazywa głoskę *sz* syczącą gardłową, gdy tymczasem *sz* tworzy się między językiem a podniebieniem. Str. 8. „*C* jest brzmienie syczące momentalne, na podniebieniu odbite. *Cz* jest litera sycząca gardłowa odbita”. Może to kto zrozumieć, ja przyznaję, że nie rozumiem, co Mroziński chciał wyrazić przez wyraz *odbita*; głoska *cz*, która jest wyraźnie złożona z *t* i *sz* nie ma nic do czynienia z gardłem. Str. 9. „Ilość powietrza użyta do wymówienia spółgłoski słabiej, nie jest dostateczną aby spółgłoska była słyszana bez pomocy samogłoski, np. *ż, z, h*. Niepodobieństwem jest wytrzymać ich brzmienie czas niejaki (p. K. zarzucił mi, że o czasie trwania grammatycy nie mówili) nie wspierając go na brzmieniu głosowém. Przeciwnie dla wyrobienia spółgłosek mocnych, więcej daleko potrzebujemy powietrza, anizeli dla wyrobienia samogłosek i t. d.”. Każdy nieuprzedzony może na sobie spróbować i przekonać się, że to wszystko tak się Mrozińskiemu zdawało, ale że to w naturze tak nie jest. Str. 11. „Głoskę nosową *m* wyrabiamy wargami jak głoski *b, p*..... w momencie otwarcia ust staje się głoską *m*”. Gdyby Mroziński spostrzegł, że można przy zamkniętych ustach długo wymawiać *m* bez ich otwarcia, pewnoby nie napisał, że tę głoskę wyrabiamy wargami. Str. 13. „Głoska *e* jest brzmieniem pośredniém między głoską grubą i cienką”. Tego znowu nie rozumiem. Dodajmy do tego pojęcia błędne o mocnych i słabych, o pojedynczych i złożonych, o odbitych i t. p., a będziemy mieli wyobrażenie o stanie nauki o głoskach, u najbardziej myślącego z grammatyków naszych.

Żochowski, oprócz niedostatecznej definicji samogłosek i spółgłosek, dzieli wyobrażenia Mrozińskiego o mocnych i słabych. *M* li-

czy do głosek wargowych (str. 3). Naturalnie, jeżeli tę głoskę chcemy wymówić nie samą przez się, ale tak jak w szkołach uczono, *em*, to trzeba po *e* zamknąć usta przez poruszenie warg, tak jak trzeba je otworzyć, kiedy przy zamkniętych ustach chcemy wymówić *a*; ale kiedy kto ma zamknięte usta, może wymówić *m*, i to długo, bez niepokojenia swych warg. Oprócz głosek *m*, *n*, *a*, *e*, przy wymawianiu wszystkich głosek zamykamy mimowolnie i mimo wiedzy *tylne nozdrza* (choanae narium) przez *miękkie podniebienie* (palatum molle). W przeciwnym razie, jak się to dzieje u tych, którzy nie mają miękkiego podniebienia, albo kiedy ta część jest rozdwojoną (wilcza paszcza), albo przedziurawioną, cała mowa staje się nosową. Pomimo tego jednak, nie nazywamy głosek nienosowych miętko-podniebiennymi, chociaż miękkie podniebienie jest tu w ciągłym działaniu, wypełniając czynność klapy. Myli się p. Ż. jeżeli sądzi, że przy wydaniu głoski w zęby drgają, i że z ich drgania pochodzi dźwięk téj głoski (str. 6). Nie zęby to, ale struny głosowe w krtani drgają, a dowodem tego jest, że ludzie, u których struny głosowe są popsute, nie mogą wymówić głoski *w*, a nawet przy najmocniejszym pędzeniu powietrza z płuc, tworzy się u nich w tém samym położeniu zębów i warg, tylko głoska cicha *f*. Cała więc teorya o drganiu zębów, o niszczeniu tych wibracyj przez wargi, jest mylna. Niebardzo trafnie p. Ż. nazywa *c*, *d*, *dz*, *l*, *n*, *t*, *r*, *s*, *z*, podniebiennymi: „dlatego że wyrabiamy je na podniebieniu za pomocą języka; który tu ma być tylko pomocnikiem, sługą”. Owszem język tu jest artystą, majstrem, a podniebienie nieruchome, nieczynne, punktem oporu; język jest więc panem; tak jak kiedy artysta gra na klawiszach fortepianu, nie mówimy, że klawisze grają, ale artysta, muzyk. Str. 8. „Spółgłoski *h*, *ch*, *g*, *k*, są gardłowemi, bo się istotnie w gardle wyrabiają; pierwsze dwie w kanale oddechowym otwartym, drugie w zamkniętym”. Kanał oddechowy w obu razach jest otwarty; tylko przy *g* i *k* *gardziel* (fauces) od przodu się zamyka, przez zetknięcie osady języka z miękkim podniebieniem. Różnicę w tworzeniu się głosek *dż* i *cz* widzi p. Ż. w mocniejszym sprężeniu końca języka; tymczasem sprężenie to wcale nie wpływa na tę odmianę, ale tylko dodanie lub wstrzymanie tonu w krtani. Również mylnie wytłumaczone jest tworzenie się *sz* i *ż*; albowiem ostatnie tworzy się z poprzedzającego, również przez samo dodanie tonu z krtani. Czemu p. Ż. (str. 23) mówiąc o podniebiennych miękkich, pominął pod *s* odpowiednią *ś*. Głoskę *h* uważa p. Ż. za mocną, *ch* za słabą.

Poprzestaną na tych kilku przykładach, nie przytaczając wyjątków z grammatyk Waśniewskiego, Deszkiewicza, Jakubowicza i innych.

Nie wypada jednak z tego, ażebym grammatyki wyżej wymienione uważał za złe, lub odmawiał ich autorom należytego uznania pożytecznych prac i pomysłów; owszem, sądzę, że niemasz nic trudniejszego, jak napisać grammatykę, niemasz nic piękniejszego, jak badania Mrozińskich, Zochowskich, co do natury języka polskiego. Wiem i rozumiem, że badania takie nie w rok, ani w lat kilka doprowadzają do rzeczywistych wypadków, że tu nie przypadek, ale głębokie tylko rozmyślenia i zdrowy sąd naprowadzają na prawdziwą drogę. Dlatego protestuję z całej siły przeciw zarzutowi lekceważenia prac grammatycznych.

Kończę też samą uwagą co i p. K., że nauki przybrały tak obszerny zakres, że trudno znaleźć w jednej osobie dokładną i szczegółową znajomość wielu razem nauk, szczególnie odrębnych. Dlatego też nikt nie weźmie za złe grammatykowi, jeżeli nie zna szczegółowo fizyki, anatomii i fizjologii; ale nikt też nie pochwali, jeżeli grammatyk z pogardą odrzuca to, co mu podaje fizjologia, i złowieszczym prorokuje głosem: *że to się na nic nie przyda*. A może jednak?... pomysłmy cokolwiek.

Dr. Natanson.



Dopełnienia i poprawki pierwszej części rozprawy p. Juliana Bartoszewicza, pod tytułem:

## KOŚCIÓŁ Ś<sup>go</sup> ANDRZEJA

W WARSZAWIE,

w Bibliotece Warszawskiej na miesiąc luty r. b. umieszczonej.

PRZEZ

*F. M. Sobieszczańskiego.*

---

Ponieważ p. J. B. przyznaje się, iż do pracy swój, wiadomości z archiwów w Warszawie nie czerpał, dając za przyczynę, iż pod ręką ich nie miał, zaś o innych gdzieby się znajdowały nie wiedział; a nadto utrzymuje, iż niektóre wiadomości przez siebie podawane są *na domysłach i przypuszczeniach* oparte, spodziewając się, iż je *może niedługa przyszłość w fakt zamieni*: dla dobra tedy pisma w którym artykuł tak zbliżka naszą publiczność obchodzący umieszczony został, jako też dla samego przedmiotu, uznałem za stosowne moje poszukiwania, które w ogóle nad całą historią miasta Warszawy, a w szczególności i o kościele przez p. Juliana Bartoszewicza opisywanym dotąd czynilem, teraz ogłosić; zwłaszcza, iż pochodzą one właśnie ze źródeł pominiętych, a przedstawiają rzecz zupełnie w inném świetle, i na drogę prawdy domysły prowadzają. Przewszystkiemu atoli żałuję mocno, iż autor lubo dobrze mi znany, nie miał tyle zaufania, aby poprzednio mojej lub czyjśkolwiek rady zasięgał; a przecież nie tajną mu jest owa prawda, iż we wszelkiej nauce i umiejętności, pierwszą a ważną jest zasadą umieć się pytać. Tak wszyscy nasi i obcy dawni pisarze czynili, a na żadnej poradzie, nikt nie stracił. Atoli gdy inaczej się już stało, zobaczymy, ile przed-

miot a zatém i autor na pośpiechu i swojej nieogłędności zyskał, i jaką w historyi a szczególnie w monografii, domysły i przypuszczenia mogą mieć wartość.

Wiadomo każdemu z naukami historycznymi obeznanemu, iż dzieje jakiegokolwiek miasta, równie jako i pojedynczych znakomitszych w niém gmachów, jeżeli gdzie były dobrze a nie w sposobie powieści lub romansu napisane, to tylko za pomocą archiwalnych źródeł. Tém bardziej wymagają tego podobne prace o naszym mieście i w naszym piśmiennictwie czynione, że dzieła drukowane albo są niewystarczające, albo z drogi bezwzględnej prawdy łatwo sprowadzić mogą. Przeciwnie, archiwa warszawskie są liczne i w wiadomości nader bogate, a przystęp do nich łatwy, i uczynność urzędników tamiecznych znana. Gdyby był więc szanowny autor tych wiadomych mu źródeł nie omijał, nie byłby zaczynał historyi kościoła Ś. Andrzeja od mów parafialnych ks. Tomasza Grodzickiego w roku 1795 z druku wydanych, w których wprawdzie znalazł ślad i datę poświęcenia kościoła, lecz to bynajmniej nie upoważniało go do zdania, iż gdy wypadki krajowe lat poprzednich nie były przyjazne do wznoszenia jakiego kościoła, tedy Teodor Potocki nie mógł go wcześniej jak od roku 1717 stawiać, Jezuitom prowincyi polskiej go oddać, grunt im na ten cel w Warszawie kupić, długo miejsce wybiierać, materiały zgromadzać, i t. d. Bo oto jak się ma rzecz w całej swojej prawdzie.

W roku 1614 sprowadzeni z Krakowa do Rawy Jezuici prowincyi polskiej, w lat dziesięć posiadali tam już znakomite kolegium, które w latach następnych licznymi darami, ofiarami i zapisami obdarzane, bogactwem i swoją czynnością słynęło. Pomiędzy takowemi dobroczyncami znalazł się jeden, który grunta zwane Daniłowiczowskie do pałacu Daniłowiczów należące, tojest na terażniejszej Senatorskiej i Daniłowiczowskiej ulicy położone, temuż kolegium rawskiemu zapisał; a uczynił to albo sam Jan Mikołaj Daniłowicz podskarbi wiel. kor., zmarły w r. 1650, albo téż jego spadkobiercy. Wszakże na to wszystko dowodów, pomimo usilnych poszukiwań, nie znalazłem, i zapis ten albo był w testamencie tegoż Daniłowicza uczyniony, albo istniał osobny: wszakże i pierwszego i drugiego dotąd znaleźć mi się nie udało, a szukałem tego wszędzie, chociażby wzmianki, nietylko w archiwach, lecz nawet po rozmaitych dziełach drukowanych, mowach pogrzebowych i panegirykach familijnych. Bądź co bądź to tylko pewna, iż w aktach tak dawnych miejskich jako i sądowych, w metrykach koronnych jako

i aktach grodzkich zapisów, donacyami zwanych, w aktach pojezuickich, w konsystorzu i tym podobnych archiwalnych źródłach w Warszawie istniejących, również jako w spisach wszystkich gruntów i domów Warszawy od roku 1655 do 1685 sporządzanych, a w archiwum magistratu warszawskiego akt dawnych, lub w moim zbiorze znajdujących się, nigdzie tam pomimo usilnego starania nie odkryłem dotąd śladu, aby Jezuiti prowincyi polskiej kollegium rawskiego, w Warszawie jakkolwiek posiadłość mieli. Dopiero w roku 1697, ciz Jezuiti w imieniu całego kollegium działający, rozpoczynają w dniu 14 maja proces przed sądem wójtowskim i ławniczym miasta Starój Warszawy, przeciwko Adamowi kanonikowi łuckiemu i Franciszkowi miecznikowi gostyńskiemu, braciom Szałapskim, o grunta w Warszawie do pałacu Daniłowiczów należące, własnością tychże Jezuitów będące, a przez Szwedów zniszczone, które jakoby ciz Szałapscy nieprawnie sobie przywłaszczyli. Pozew ten brzmi w następujących słowach: „Wam JWW. i t. d. z dóbr waszych wszelkich naszej jurysdykcji cywilnej podległych, na mocy praw nam służących rozkazujemy, abyście przed nami i sądem naszym na dzień 8 czerwca r. b. się stawili, i na powództwo OO. Jezuitów prowincyi polskiej kollegium rawskiego odpowiedzieli, którzy domagają się, iż wy doskonale wiedzieliście, iż grunta przez Szwedów zniszczone, oddawna do pałacu Daniłowiczowskiego zwanego dziedzicznego, OO. Jezuitom przybyłe i należące, wy podczas terażniejszego bezkrólewia część znaczną tychże zajęliście, nie udowodniwszy ani prawa, ani własności; budynki tamże postawiliście, a tak krzywdę i obrazę prawa dziedziców popelniliście: przeto abyście się stawili, na powództwo odpowiedzieli” i t. d. (1). W skutek tego, w dniu 4 lipca b. r. ustanowieni obrońcy: dla Jezuitów Adam Łowicki syndyk miasta Starój Warszawy, dla Szałapskich Skalski. Rozpoczęcie atoli sprawy wstrzymane zostało, a excepcya w dniu 22 sierpnia t. r. założona ze strony Franciszka Szałapskiego, z powodu, iż ten stawić się nie mógł, gdyż obrano go posłem na elekcyą. Sąd tedy w dniu 19 października naznaczył termin do ostatecznego rozsądzenia, na który gdy pozwani w dniu 22 tegoż miesiąca nie stawili się, na nowe odroczenie procesu zezwolono, a w dniu 5 listopada t. r. naznaczona została wizya na grunt i inkwizycya, gdyż dotąd tylko słowami się ucierano (2). Sprowadzeni z jednej i drugiej strony przysięgli świadkowie, na po-

(1) Akta Starój Warszawy wójtowskie i ławnicze, ks. 567, f. 479.

(2) Tamże, f. 492, 507, 544, 546, 550, 553.



dane przy inkwizycyi zapytania, tak zwane *interrogatoria*, czynią zeznania, które gdy nader ciekawych tak do miejscowości, jako i w téj sprawie dostarczają szczegółów: dla tém wierniejszego przedstawienia stanu rzeczy, dosłownie je tutaj umieszczamy. Pierwsza inkwizycja ze strony Szalapskich w dniu 19 listopada 1697 r.

*Ad instantiam Admdum. Rndum. Szalapski Testes infrascripti ad perpetuam rei memoriam ac omnem meliorem eventum inducti et examinati contra PP. Jesuitos Societatis Jesu recognoverint in hunc qui sequitur modum. 1) Testis Joannes Poluski deposuit.* Widziałem kiedy wyjechał ksiądz Jezuita, nie wiem czy starszy, czy téż prokurator z panem Tłozkiewiczem w jednéj karecie, i obadwa, tak JP. Tłozkiewicz jako téż ksiądz Jezuita byli na gruncie Jeznickim, jako téż i księdza Szalapskiego, i słyszałem i widziałem, gdy ksiądz Jezuita proponował JPanu Tłozkiewiczowi, to JP. Tłozkiewicz uznawał i twierdził, ale nie wiem co (1). *Tantum deposuit quod juramento firmavit. 2) Testis Petrus Laudański deposuit.* Widziałem, kiedy przyjechali na grunt księży Jezuitów i księdza Szalapskiego, o który kontrowersya idzie: domagano się o dokumenta dawne, *ex utraque parte* żadnych *ostenderunt*, tylko *nudis verbis* z sobą się umawiali, a żadnych spraw i dokumentów nie pokazywali, i tak widząc tę niezgodę, deputowani rozjechali się. *Tantum deposuit etc.*

Pierwsza inkwizycja ze strony Jezuitów w dniu 23 listopada: „*Ex instantia Admdum. RR. PP. Soc. Jesu Collegii Ravens. contra Perillum. Adm. R. Szalapski Canonicum Luceoriens ad perpetuam rei memoriam ratione certorum fundorum ejusdem Collegii educa per testes infrascriptos inquisitio.* t

1. *Testis Martinus Koziński mendicus in Xenodochio s. Joannis Varsaviae degensde, posuit.* Ad 1). Podczas wojny króla Gustawa miałem lat cztery. Podrósłszy służyłem przy dworze, tojest przy JWP. Ossolińskim kanclerzu W. kor., przy Opalińskim marszałku, Miaskowskim sekretarzu i innych panach; bywałem często w pałacu i w ogrodzie Daniłowiczowskim. Dwór był we środku drewniany i murowany, ogród przed pałacem albo kamienicą był, a dworek JPanów Szalapskich był między ogrodem Daniłowiczowskim, a pałacem JPana Tarła. Ad 2). Przed wojną szwedzką bywałem na tém miejscu, pomnę był ogród włoski, agrest, kwatery i drzewa różne. Ad 3). Przed kamienicą ten ogród był wielki, ciągnął się od ulicy Miodowej aż do ulicy

(1) Tłozkiewicz Wawrzyniec Józef występuje często w aktach radzieckich jako sekretarz królewski i patron sądów zadwornych JKMci (*S. R. M. secretarius et judiciorum postcurialium S. R. M. patronus*).

Bieleńskie do samej drogi. Żołnierze potym drzewo powycinali. Podczas Szwedów, była tam jabłoń, gdzie się pobudował piekarz teraz. Ad 4). Na boku dworu Daniłowiczowskiego były dworki JPanów Szalapskich i parkan był do drogi św. Trójcy (1). Ad 5) *Nescit*. Ad 6). O wrotach do dworku JPanów Szalapskich nie pamiętam w którym miejscu były; tylko pamiętam, iż między parkanem coś za wrota jakoby szubienica stały ku dworowi JPanów Szalapskich od ogrodu Daniłowiczowskiego: czyje były, nie wiem. Ad 7). Od wrót Daniłowiczowskich i od ulicy św. Trójcy był parkan aż do wrót podle dworu teraz Weslowskiego JWgo wojewody mazowieckiego. *Tantum etc.*

2) *Testis Krzysztof Bieszkiewicz Ferrifaber Civis Vars. citatus deposuit ad interrogatoria*. Ad 1). Kamienica Daniłowiczowska stoi po szwedzkiej wojnie ku ulicy Bieleńskiej. Ad 2). Przed tą kamienicą do samej drogi podle pałacu JWgo Wessla był ogród włoski, agrest i drzewa różne i figarnia była od ulicy, gdzie się Karaś, piekarz pobudował. Ad 3). Ogród Daniłowiczowski był wielki; ciągnął się aż do samej drogi placu Bieleńskiego. Ad 4) *Affirmat*. Na boku ogrodu Daniłowiczowskiego były dwory panów Szalapskich; jeden przy ulicy Bieleńskiej, drugi na boku kwater tegoż ogrodu, jak teraz piwnica murowana za parkanem dworu JMci księdza Szalapskiego stara leży; trzeci dwór był między temi dwoma dworami JPanów Szalapskich. Ad 5). Dwory JPanów Szalapskich dzielił parkan prosty od ogrodu Daniłowiczowskiego. *Ad reliqua nescit* o tym gruncie, bom się tam pobudował był i lat kilkanaście mieszkałem na tym placu, potym sprzedałem mój budynek, *quod juramento firmavi*" (2).

Ponieważ zaś wyrok wójtowski na dniu 23 listopada t. r. zapadły nie rozstrzygnął ostatecznie tej sprawy, lecz odesłał ją do wyższej instancyi, to jest do assessoryi koronnej, gdzie też pozwy wydane zostały; dalsza więc inkwizycya z następnych świadków, których snadź ze strony nie mogły odrazu zebrać, tamże ciągniona, służyła do tém lepszego poparcia i objaśnienia assessoryi. Odbyła się zaś w dniu 29 listopada t. r. i podaje nam następne szczegóły ze strony Szalapskich:

3) „*Testis Sebastyanus Paleczny Civis Vars. citatus deposuit*. Słyszałem gdy OO. Jezuici prosili Adama Cyrulika, aby on granicę tego gruntu inak pokazał, mówiąc, będziesz miał za to nagrodę od nas, ale się on i wymawiał od tego, że ja nie wiem o tych gruntach

(1) To jest do kościoła św. Trójcy Panien Brygidek, który stał przy ulicy Długiej, tam, gdzie teraz arsenał i laboratorium wojskowe pod nr. 561.

(2) Akta inkwizycyjj radzieckich, ks. 458, pod d. 19 i 23 listopada 1697 roku.

i granicach, bo ja więcej leżę aniżeli chodzę. *Tantum* etc. A ze strony Jezuitów:

3) *Testis Petrus Serziant Mercator Civis Vars. citatus deposuit.*  
 Ad 1). Bywałem przed Szwedami i po Szwedach w pałacu Daniłowiczowskim. Ad 2). Pamiętam, że przed tym pałacem były cztery kwatery z bukszpanu od ulicy Bielańskiej, za kwaterami drzewa były; od pałacu pani Morsztynowej uliczka była przez ogród z agrestu, którą chodzono do pałacu Daniłowiczowskiego; parkanu po Szwedach nie było. Ad 3). Ogród był wielki, który się ciągnął za dworek JPana Szalapskiego do drogi św. Trójcy; przez ten plac drogi nie było. Ad 4). Na boku był dworek stary, gdzie teraz są piwnice w ziemi murowane; czyj był, nie wiem. Był drugi dworek w boku kwater ogrodu Daniłowiczowskiego; o trzecim dworku nie pamiętam. Ad 5) O parkanie przed Szwedami jeżeli jaki był między dworem panów Szalapskich a Daniłowiczów, nie pomnę, bo je Szwedzi spalili. Ad 6) *nescit. Tantum*" etc. (1).

Sprawa więc pomimo, iż przez Szalapskich ciągle była przeczoną, silnie jednak, bo nawet pieniądze, jak o tém w księgach rezygnacyi rektorów kollegium rawskiego przekonywamy się, ze strony Jezuitów popierana (2), wygrana była i przysądzona tymże wyrokiem assessoryi koronnój na dniu 24 stycznia 1698 zapadłym, który stanowi, iż ponieważ Szalapscy jakoby wyrokiem wójtowskim pokrzywdzeni do assessoryi apellowali, a assessorya bynajmniej téj krzywdy nie widzi; przeto téż apellacyą oddala, odsyłając strony do stanowczego rozsądzenia w sądzie wójtowskim (3). Zaś wyrok wójtowski z dnia 4 lutego t. r. potwierdził wyrok powyższy assessorski, powiadając, iż ich apellacya jako niczém niepoparta, oddala się; o czém obszerniej miało być w pozwach, których jednakże nigdzie śladu nie zostało. Jednocześnie zaś w dniu 6 lutego z przyczyny zimy i niemożności obejrzenia granic, naznaczony został termin do wizyi na dzień 8 kwietnia. Gdy jednakże w dniu 15 t. m. czytane były inkwi-

(1) Akta inkwizycyi radzieckich, k. 458 pod dniem 29 listopada 1697. r.

(2) *Negotia Collegii.* Insuper ad exolvenda debita Provinciae, pro anno 1697 et pro anno 1698 relinquo flor. 500, qui sunt in aresto Varsaviae apud Notarium Civitatis Antiquae Varsaviae, de quibus scit p. Bartochowski. Vel si placebit, hac pecunia uti ad continuandum negotium cum Perillustri Szalapski et cum Ilmo. Castellano Inovladislaviensi Grzybowski, ratione fundi avulsi Varsaviae. Jam in hoc negotium Collegium expendit mille florenos, et est valde negotiumi n nostram partem inclinatum, finiendum omnino parvo praetio, magnum damnum patiatur Collegium. *Resignatio Rectoratus R. P. Stanislai Leszczyński R. P. Stanislao Trzebicki Rectori Collegii Ravensis S. J. Anno 1699, die 4 Januarii; in MSS.* Zobacz notę 5 na str. 98.

(3) Akta Assessoryi koronnój. Ks. 130 f. 13.

zycye, które strona Szałapskich przeczyła, przeto nowy termin naznaczono (1). Wizyą tę wykonali nakoniec w dniu 17 t. m. Marcin Martensohn, Archiscabinus, Franciszek Loupia, Jan Łosacki, Wilhelm Czamer i Stanisław Niegocki ławnicy, tudzież Jan Zejdlic pisarz sądowy miasta Starój Warszawy, czyniąc na gruncie rozgraniczenia podług pierwszego duktu, który w następnych słowach jest opisany: „Zaczynając od stajen Kryszpinowskich naprzeciw Marywilu, a ciągnąc go z Senatorskiej ulicy na ulicę Bielańską aż do tego budynku nowo przez księdza Szałapskiego postawionego, przy którym budynku stanąwszy *recta linea* od pierwszego węgła *demonstrarunt* nam *tractum* gruntu, jakoby Daniłowiczowskiego, aż do gruntu *ad praesens possessionis* WWPP. zakonnic Karmelitanek bosych konwentu warszawskiego, *quondam* nieboszczyka wojewody mazowieckiego, twierdząc to, jakoby tenże nieboszczyk JW. wojewoda mazowiecki parkanami z obu stron, tak z boku gruntu Daniłowiczowskiego, jako i od ulicy Bielańskiej na przeszło jedno od lat kilkunastu nowym parkanem wystawionym zajął, którą swoją *asserçyą mediante inquisitione atque documentis literatoriis* dowodzić zabierali się.”

Drugi dukt: „Począwszy z ulicy Bielańskiej od zajętego parkanu koło dworu *ad praesens* WWpanien Karmelitanek bosych, prowadzili aż do furki ogrodu WW. OO. Kapucynów konwentu warszawskiego, od której parkan *citatae partis* coraz to bardziej ukosem na grunt *ut asseruerunt* Daniłowiczowski wdający się pokazali, który *in rectam lineam dimensurando* na mniej jednem przesłem występny od WWpanien Karmelitanek bosych, i stajnie przy nim przez JMć księdza Szałapskiego na tymże gruncie z parkanem pobudowane widzieliśmy.”

Trzeci dukt: „Począwszy od uliczki poprzecznej przeciw dworku JMć pani podkoniusznej litewskiej prowadzili, gdzie pokazawszy wydzielone czynszownikom po lewej stronie ku Marywilu grunta *allegarunt*, że plac ten, który od pałacu Daniłowiczowskiego pusty, aż do ulicy Bielańskiej ciągnie się, jest dziedziczny Daniłowiczowski, na którym *quondam* ogród włoski, poczynający się od pałacu, także różne sadowe drzewa aż do ulicy Bielańskiej być miały; w czém się *ad probationes hoc in passu retulerunt*, to *subinferendo in vim probationis fundi proprietarii*, że okien tak wiele, nawet i nizko na ten plac z pałacem prospekt mających, jest wymurowanych, który gdyby miał być *citatae partis* własny a nie nieboszczyka JPana Daniłowicza, nie mógłby mieć tego ile na cudzy grunt; który *ad praesens* ma prospekt i okna

(1) Akta S. W. ks. 567 f. 570, 604, 607 i 641.

z drugiej strony raczój ku miastu *in tanta copia* placu, a nie ku drodze i ulicy Bielauskiej danoby było" (1).

Poczém sąd assessoryi koronnój wydał na dniu 27 czerwca dekret, którym z przyczyny niestawania Szalapskich, wskazuje tychże na kondemnatę, i apellacją oddala, likwidacją kosztów przez Jezuitów na złp. 350 podaną, do złp. 100 moderuje, odsyłając zawsze sprawę do sądu wójtowskiego po ostateczne rozsądzenie (2). Sąd powyższy wyrokiem swoim z dnia 12 lipca t. r. potwierdza w zupełności sąd assessorski, powiadając, iż ponieważ Szalapscy żadnego prawa do zabrania gruntu nie mieli i wystawienia tamże budynków, jak to widać i inkwizycya na ich rzecz potwierdza; przeto skazani są na oddanie gruntów i budynków w sporze będących. Wykonanie czego miało nastąpić w przeciągu tygodnia, z zastrzeżeniem zwrotu OO. Jezuitom straconych szkód i korzyści (3).

W takim stanie rzeczy, Szalapscy mając silnych przeciwników, dla poratowania jeszcze o ile można swój fortuny, zbyli w roku 1698 dom swój za bramą krakowską, niegdyś własnością Prażmowskich będący, na rzecz Grzybowskiego kasztelana inowrocławskiego (4), a nadto przedali i przelali na niego swoje prawa do gruntów i budynków na Daniłowiczowskiej i Senatorskiej ulicy leżących, a przez Jezuitów im odebranych. Grzybowski tedy na nowo wziął się do dzieła, rozpoczął z Jezuitami proces, a nawet chciał od nich całkowicie ich pretensye zakupić; lecz ci już wtenczas szacowali swoje własność na sumę 16000 złotych, jak o tém w rezygnacyi Stanisława Leszczyńskiego rektora collegium rawskiego, następcy swemu Stanisławowi Trzebieckiemu w roku 1699, wyczytujemy (5). W tym celu wyznaczona była znowu nowa inkwizycya i nowi świadkowie wezwani, którzy w dniu 14 sierpnia 1698 zeznali jak następuje:

*Ex Instantia Illris. et Magnific. Francisci Grzybowski Castellani Inno Vladislaviensis contra Admdum. Rndos. Patres Soc. Jesu Col-*

(1) Akta Starój Warszawy ks. 567, f. 643. (2) Akta Assessoryi ks. 130, f. 108. (3) Ak. ass. warsz. ks. 567, f. 692. (4) Akta Starój Warszawy ks. 567, f. 663 i 664. (5) *Negotia Collegii*. *Negotium ratione fundi Varsaviensis omnino urgendum cum adversariis Perillustris Szalapski canonicus Luceriensis domum extruxit in nestro fundo. Jure processu cum illo expenditque Collegium in hoc negotio mille florenos, ubi praedictus canonicus secure ad actum vidit a nobis; ne a civitate ferretur decretum appellavit ad cancellariam, ne iterum a cancellario ferretur decretum, vendidit dictum domum et fundum Illustrissimo Grzybowski castellano ino Vladislaviensi, cura quo omnino urgeri debet hoc negotium. Non facili iam negotio finiri praest, juramenta pro nobis ex duabus commissionibus iam sunt parata. Insuper quia hic fundus quem nobis adversarii volunt adimere constat millibus sexdecim ut taxatus a civitate. (Liber resignationum Collegii Ravensi Societatis Jesu, in Mss).*

*legii Ravensis citatos per testes infrascriptos ad perpetuam rei memoriam etc.*

1) *Martinus Stecki lignifaber incola Varsaviensis extra Interrogatorium deposuit.* Chodziłem do JP. Cieszkiewicza, natenczas pisarza wójtowskiego warszawskiego, prosząc o pozwolenie i radząc się u niego, jeżeliby się mógł pobudować na gruncie tym, gdzie teraz nowy budynek stoi Jmci księdza Szalapskiego (rozumiejąc, że to był grunt Jezuicki). Odpowiedział JPan Cieszkiewicz: żeby to był grunt Jezuicki, tobym pozwolił wam się budować, ale że to grunt JPanów Szalapskich dziedziczny, ja do tego nie należę. Pobudowała się była jedna wdowa na tymto gruncie bez żadnego pozwolenia, ale nieboszczyk pan Szalapski przyjechawszy, ludziom swoim kazał zrzucić ten budynek z swego gruntu na ulicę; ale ztémwszystkiem, że ten grunt zdawna się zwał i nazywa się dotychczas Szalapszczyzną. Pytałem jednego razu u Matyasza furmana, który sprzedał swoje domostwo Karasiowi, Karaś, potym Kozłowskiemu teraz trzymającemu, czemu by miał takie podwórze wysokie, i czemu by téj pustej Szalapszczyzny nie przyjął sobie? Odpowiedział mi ten furman, iż pan Szalapski mi tak zakazał; żebym trochę wystąpił w grunt p. Szalapskiego, toby mi budynek zrzucił. Stajnie był pobudował jakiś p. Kozierski na tém miejscu, gdzie teraz stoi nowy budynek JMć księdza Szalapskiego; ale nie pamiętam, jeżeli JMć ksiądz Szalapski czyli téż gospodarz zrzucił. *Plura nescit quod juramento firmavit.*

2) *Testis Laboriosus Petrus Gil de villa Powsinek subditus recognovit ad interrogatoria ex memoriatus, quorum tenor talis pro parte Illustris JJ. reliqua exproducto.* Ad 1. *recognovit.* Pamiętam, że gospodarz na imię Jan Zaniel JPana Szalapskiego jeszcze, mieszkał tam, gdzie nowy teraz budynek stoi JPanów Szalapskich. Za tym budynkiem były szopy i stajnie, w których ja z drugimi podwodnikami stawałem. Pamiętam, że były wrota wielkie i wierne podle tego budynku; za tym budynkiem i stajniami dalej dwór wielki stał. Był także mniejszy dworek przy ulicy samój. Ad 2. Te dwory i stajnie wyż wspomniane na własnym gruncie stały panów Szalapskich. Dwa budynki zaś i część parkanu, które teraz pobudowano, zajęły szmat gruntu p. Szalapskiego: bo pamiętam, gdzie ten parkan i budynek stoją, były szopy nieboszczyka p. Szalapskiego, i przez to znacznie gruntu ujęto p. Szalapskiego. Ad 3. *nescit.* Ad 4. Żadnemu człowiekowi nie pozwalał p. Szalapski budować się na swoim gruncie. Ad 5. *nescit.* Ad 6. Wiem, że zajęły grunt JPana Szalapskiego budynki piekarza i Porucznickiego krawca, teraz nowo wystawione. Ad

7. I to wiem, że gdzie teraz nowo wybudowany budynek p. Szałapskiego, stał przedtém gospodarski budynek na tém miejscu. Ad 8. Były wrota wielkie, wierne, podle budynku gospodarskiego, któremi z ulicy do dworu wjeżdżano. Ad 9. Prawda, że były dwa dwory panów Szałapskich: jeden mniejszy przy ulicy samój, a większy tam, gdzie teraz sklepy naprawione są. Ad 10. Był grunt panów Szałapskich przedtém niezagrodzony, pusty, ale wiem to, że dziedziczny panów Szałapskich jest grunt, bo ja jak mogę pamiętać, lubo te pustosowały place a niezagrodzone były, jednakże się nazywały Szałapszczyzną. Ad 11. Za panowania ś. p. króla Władysława bywałem w tych dworach; słyszałem od różnych ludzi, że to grunt panów Szałapskich dziedziczny. Ad 12. Pamiętam, iż do pałacu Daniłowiczowskiego wjazdy dwa były: jeden z uliczki Koziój, drugi ku OO. Reformatom środkiem sadu; ale wrotami, które stały wedle budynku gospodarskiego, tylko do samego dworu JPanów Szałapskich wjeżdżano. *Et solum deposuit quod juramento firmavit.*

3) *Testis Nicolaus Sobiepan, recognovit et ad interrogatoriam examinatus solum ad unum punctum sciunt.* Że będąc za woźnicę u pana Szałapskiego pamiętam, kiedy przyjechał był na swój dwór, a dowiedziawszy się od kogoś o pobudowaniu się jakiejś wdowy na swoim gruncie, zaraz kazał swojej czeladzi i mnie przy nich, aby ten budynek tegoż czasu rozrzuć: jakoż my tumultem poszedłszy, zaraz rozrzućiliśmy: której to wdowie słyszałem od niektórych ludzi, że mieli OO. Jezuici rawscy pozwolić. *De caetero nescit Tantum. etc. (1).*

W tym sposobie sprawa jeszcze przez trzy lata ciągnęła się; snadź jednak silniej od Szałapskich była prowadzoną, bo lubo Grzybowski wszystkiego nie uratował, jednak znaczne osiągnął korzyści. W roku 1701 dnia 15 lipca zapadł ostateczny wyrok między nim a Jezuitami, w którym rozbierając poprzednie wyroki w tej sprawie zapadłe, wizye, inkwizycye i t. p., grunta puste Jezuitom określa i przyśadza, budynki zaś już postawione w posiadaniu Grzybowskiego zostawuje (2). A tak proces ten przez lat pięć ciągnący się, ukończony został. Dodać tu wszakże winniśmy, iż nie jedni Szałapscy zapozywani byli o grunta w témże miejscu położone, do których Jezuici rościli sobie prawo: bo w tej samej księdze i w tychże latach, znajduje się mnóstwo kondemnat i spraw z tegoż samego tytułu toczących się. Nadto weszły do sporu i Karmelitki warszawskie, u których czę-

(1) Akta inkwizycyj radzieckich, ks. 458, pod dniem 14 sierpnia 1698 r.

(2) Akta assesoryi kor. ks. 130 f. 13, 108, 116, ks. 131 f. 146.

ści gruntu Jezuici równie żarliwie a jednocześnie upominali się, utrzymując w pozwach, iż te zakonnice podobnie grunta Daniłowiczowskie po wojnie szwedzkiej opustoszałe, sobie przywłaszczyły. Wszakże na wszystkie ich pozwy Karmelitki ciągle nie stawały, a sprawa przez lat dwa odraczana, urwała się (1); snadź więc albo się polubownie pogodzili, albo też Jezuici nie mając przeciwko nim dowodów, sami zaniechali.

Odtąd mamy już ciągle ślady bytności Jezuitów prowincji polskiej w Warszawie, tak w archiwum głównym, jako też w aktach jezuickich, do kollegium rawskiego należących. W tych ostatnich natrafiamy nawet już na wydatki i przychody, pochodzące z gruntów warszawskich, *Terragium Varsaviense* zwanych, a pod rokiem 1702 czytamy, iż rzeczone kollegium zaciągnęło dług 3000 złotych, użytych na reperacyą pałacu w Warszawie. Dalej zapisy pieniędzy z czynszów ztąd pobieranych i tym podobne wzmianki, które aż do roku 1713 były ciągle notowane; dopiero w następnym roku w papierach Jezuitów rawskich, ślad zależności gruntów warszawskich zupełnie niknie (2). Natomiast występują oni często w aktach Starój Warszawy, w rozmaitych sprawach i czynnościach, z których przekonywamy się, iż stale już tutaj zamieszkiwali. I tak: pod rokiem 1714, dnia 27 kwietnia, czytamy, iż OO. Jezuici prowincji polskiej, na gruncie Daniłowiczowskim istniejący, mieli sprawę z Gawlińskim szewcem o reperacyą domu ich własnego, a przez tegoż zamieszkałego (3); zaś w roku 1715 występują jako osobna rezydencya warszawska, o czém przekonywa manifest Kiińskiego prokuratora generalnego prowincji polskiej, w imieniu rezydencji warszawskiej działającego, przeciwko urzędowi grodzkiemu rawskiemu o nieprzyznanie jurysdykcji i t. d. (4).

Rozszerzyliśmy się zaiste nad początkiem przybycia Jezuitów prowincji polskiej do Warszawy; wszakże oprócz nowych szczegółów w téj mierze, sądzimy, iż dostatecznie stają one w sprzeczności z tém, co p. J. Bartoszewicz podał: bo widzimy, że ich nikt, tém bardziej Teodor Potocki, tutaj nie sprowadzał. Wtedy bowiem, gdy ten był jeszcze kanonikiem krakowskim i proboszczem przemyskim, Jezuici polscy już w Warszawie mieszkali i posiadłości swoje mieli. Następnie zostawszy w roku 1699 biskupem chełmińskim, gdy po-

(1) Akta Starój Warszawy ks. 567, f. 641, 643, 648, 650, 657, 671, 676, 735 i 740.

(2) Liber resignationum. Mss.

(3) Akta Radzieckie Starój Warszawy ks. 58, f. 138.

(4) Księgi metryczne 221 f. 926.



dobąło się, może nie bez jakowego celu lub własnego jego starania, Mikołajowi Wyżyciemu biskupowi chełmskiemu darować temuż Potockiemu swój pałac naprzeciwko kościoła OO. Reformatów, pomiędzy pałacami Leszczyńskich i Lipskich leżący, który w darze od Jana III Sobieskiego otrzymał (1); nie dziwnego, iż Potocki, uczeń i wychowaniec Jezuitów, a mąż już wtedy w polityce i na dworze znaczący, do nich, jako swych sąsiadów zbliżył się i pańską hojnością obdarowywać począł, a następnie kaplicę im i dwa domy zupełnie nowe a ozdobne, na gruncie tychże Jezuitów wystawił: o czém i doktor Erndtel, opisujący Warszawę w r. 1728, zeznaje (2). A zatém wypadki krajowe początku XVIII stulecia, żadnego na rzecz w mowie będących Jezuitów wpływu nie miały. Teodor Potocki nie potrzebował długo myśleć, *gromadzić fundusze, wybierać miejsce na kościół, kupować place i materyały, a z Jezuitami naradzać się*. Nie sądzę także, aby budowla *kilka razy miała być rozpoczynaną i przerywaną dla okoliczności czasowych* i t. d. Przekonywamy się zároveň, iż nowe te gmachy nie w pustej stronie miasta, nie za wałami, lecz w ich obrębie były wznoszone, bo ówczesne wały do iéro za klasztorem OO. Reformatów rozpoczynały się (3). A gdy rzeczone budowle stanęły, w niczém nie przyczyniły się ani do wzrostu, ani do początku ulicy Senatorskiej i Bielańskiej, bo te oddawien już istniały, i przed r. 1659 znacznie a ozdobnie były zabudowane. Wprawdzie znakomitsze gmachy wojna szwedzka zniszczyła, jednak w krótkim przeciągu czasu znowu one powstały, i uliceapełniały.

Myli się także szanowny autor utrzymując, iż w tej stronie miasta była w r. 1722 jurydyka Bieliny, bo ta dopiéro w r. 1757 utworzoną została. Zajmowała zaś ulice w przeciwniej stronie miasta le-

(1) Ks. metr. księga 219 f. 290.

(2) E regione splendidi hujus aedificii (mówi tu o Marywilu). Patres S. J. Regni, ad distinctionem Lithuanorum ita vocati, Terragidm, uti appellare solent, possident; quod Celsissimus Princeps et Primas Regni hujus temporis, Potocius gente, sacello cum duplici domicilio ex fundamentis lapideo ornavit, et adhucdum variis aedificiis et palatio lateraliter juncto perquam magnifice auget. *Erndtel Warsavia physice illustrata. Dresdae, 1730 4to p. 17.*

(3) O położeniu wałów miasta w tej stronie, najlepiej przekonywa akt w dniu 5 września 1693 r. wydany, mocą którego Alexander z Stradomia Stradomski i Barbara Toczyska małżonkowie, od Jana Bonawentury Krasińskiego podówczas starosty warszaw. otrzymali plac a raczej ostatek okopu i wału, wzdłuż łokci 200, wszerz łokci 100 mający, w miejscu za klasztorem OO. Reformatów przeciwko dworowi niegdy JW. Reja wojewody lubelskiego, za drogami na samym końcu ulicy Senatorskiej z miasta idąc po lewej ręce położony między dworami z jednej strony pani Lipskiej starościny sądeckiej, a z drugiej p. Leszczyńskiego starosty kowelskiego, z dozwoleń rozkopania go, rozwiezienia i wystawienia różnych budynków; którąto donacją król Jan III w tymże samym roku potwierdził. Ks. metr. 216, f. 411.

zące, to jest ulice: Święto-Krzyżką, Jasną, Szkolną, Marszałkowską, Zielną, Wielką, Pańską, Mokotowską i Wilczą (1). Teodor Potocki stawiając Jezuitom nową świątynię, nie miał na celu dobro miasta i chęć ułatwienia posługi religijnej mieszkańcom téj okolicy, na którą im brakowało: bo wiemy, iż naprzeciwko była kaplica pod wezwaniem N. Panny Maryi w Marywilu, przez królową Maryą Kazimiérę w r. 1695 założona, która lubo niedokończona, do nabożeństwa jednak służyła; niedaleko stał kościół OO. Reformatów, wprost końca ulicy Bielańskiej kościół św. Trójcy PP. Brygidek, a na Lesznie kościół OO. Bonifratrów, w roku 1654 tam sprowadzonych, i już w r. 1664 swój kościół mających. Niestuszenie oraz użala się p. Bartoszewicz, że żaden pomnik piśmienny nie powiedział mu wszystkiego, co potrzeba o kościele księży Jezuitów na Senatorskiej ulicy, bo z tego co dotąd przytoczyliśmy przekonać się można, iż tych pomników wcale nie szukał, lecz co gorsza, opisując tak szczegółowo monografią jednego gmachu, lubo w Warszawie zamieszkały, przede wszystkim obejrzyć go zapomniał; bo gdyby był spojrział na obszerną marmurową tablicę, nad głównymi drzwiami tegoż kościoła umieszczoną, a dla każdego przechodzącego widoczną, przeczytałby następny napis, wyraźnymi a znacznymi co do wielkości łacińskimi głoskami wykuty i złocony: *„Deo homini passo, ex humili recognitione, Thaumaturgo Xaverio ex voti gratitudine Societati Jesu Provinc(iae) Polonae, ex liberali pietate, aedem hanc crexit, Celsissimus S(acri) R(omani) I(mperii) Princeps, Illsm. (Illustrissimus) Rndsm. (Reverendissimus) Domin(us) Dominus Theodorus a Potok Potocki Episcopus Varmiensis et Sambiensis, hanc gratam memoriam anno Dni (Domini) 1722 posuit, fundatori suo, obligata Societas Jesu. Co znaczy: „Bogu człowiekowi umęczonemu, wedle pokornego uznania na imię cudotwórcy Xawerego, w zamiarze wdzięczności, dla zgromadzenia Jezusowego prowincyi polskiej, ze szczodrej pobożności świątynią tę wystawił Jaśnie Oświecony świętego rzymskiego państwa książę, najprzewielebniejszy ksiądz Teodor na Potoku Potocki biskup warmiński i sambiński; tę pamiątkę wdzięczności roku pańskiego 1722 położyło, fundatorowi swemu obowiązane Towarzystwo Jezusowe.”*

Sądzymy, iż napis ten byłby oszczędził p. J. Bartoszewiczowi wiele słów i czasu: kto stawił, kiedy i pod jakim tytułem ów ko-

(1) Obacz mój: Rys historyi Warszawy, str. 86 i Wejnerta: Starożytności Warszawskie, T. 1, str. 199.

ściół. Nadaremnie także szukał powodów nazwiska tegoż, którego pierwiastkowe miano, mógłby być znaleźć w Niesieckim, Konarskim i tylu innych drukowanych nawet dziełach (1), gdzie byłby przeczytał, iż Potocki szczególném nabożeństwem do drzewa Krzyża św. przejęty, stawiał pod tém wezwaniem ołtarze i kaplice, a w herbie nosił Pilawę, to jest półtrzecia krzyża. Wszystko to nie mało przyczyniało się, iż niezważał bynajmniej nato, iż w Warszawie był już jeden kościół św. Krzyża ks. Missyonarzy na Krakowskiem - Przedmieściu. Lubo i tu szanowny autor omylił się, bo nie jeden, lecz dwa kościoły pod tém wezwaniem pod tę porę było, a nawet drugi do Jezuitów warszawskich prowincyi litewskiej należał; był zaś za Nowém - Miastem, na gruncie należącym do szpitala św. Ducha, któremu magistrat Starój-Warszawy pragnąc dochód powiększyć, tymże Jezuitom za pewne opłaty w roku 1694 odstąpił (2). Kościółek ten znany był później pod nazwiskiem Gwardyackiego, stał zaś na ulicy Gwardyi, tam, gdzie teraz kamienica i magazyn rządowy pod nr. 1975.

Wiemy tedy, iż Potocki nie kościół, lecz kaplicę, jedynie na chwałę Bożą i zbawienie duszy swojej wystawił. Wszyscy współcześni pisarze zgadzają się, iż ją ozdobnie i kosztownie wybudował; lecz jak ona wyglądała, tego dotąd powiedzieć nie możemy. To jednak jest niewątpliwe, iż zupełnie od terażniejszej postaci kościoła św. Andrzeja różniła się, wbrew temu, jak się naszemu autorowi zdaje. Wszakże gdyby był się zapytał ludzi wiekiem od siebie starszych, nawet tych, którzy rok 1817 pamiętają, wiedziałby, iż kościół rzeczony nie miał do owego czasu nawet facyaty, lecz snadź później przerabiany i niedokończony, drewnianymi tarcicami miał ją zastawioną, że cztery kolumny również nie były dokończone, mur przed kościołem będący na ulicę wystawał i t. d., co wszystko teraz znikło, gdy z woli rządowej Kanoniczki z Marywilu do kościoła i gmachów probostwa św. Andrzeja przenieść postanowiono. Wtedy bowiem z polecenia JOKsięcia Namiestnika królewskiego z dnia 5 sierpnia 1817 roku, wyznaczona była summa 55,000 złp. na reperacyą tegoż kościoła, która podług planu i anszlagu Piotra Aignera była wykonana. Zresztą w aktach magistratu dla każdego przystępnych, są dość obszerne i dokładne opisy dotyczące tegoż przerobienia, a z nich przekonać się można, że oprócz ścian i drzwi środkowych, reszta wszystko stanęło

(1) Niesiecki T. III, str. 706. Konarski: Genealogia domus Potocciorum, w dziele: Opera omnia Pauli Potocki. Varsaviae, 1747 f. 341 i t. d.

(2) Akta Radzieckie m. S. War. ks. 50 f. 42.

nowe, to jest dach, facyata, gzyms, sufit, cztery kolumny, mur nad frontem i t. d. (1).

Prawda, iż Teodor Potocki uposażył kaplicę św. Krzyża wsią Łaźniewo; nie uczynił tego jednak zaraz po wybudowaniu, lecz dopiero w roku 1736, a zatem w lat 14 potem. Wieś ta poprzednio nie była jego dziedzictwem, lecz prymas i w tém jak w budowie kaplicy, tylko Jezuitom hojnością swoją dopomagał. Ci bowiem mieli już na Łaźniewie pewne summy, gdy w roku 1731 „Stanisław z Windyk Grzybowski dziedzic i successor dóbr w Łaźniewie, zaradzając swój i familii potrzebie i niedostatkowi wielkiemu, dla splacenia siostr swoich i długów po bracie pozostałych, sprzedał Łaźniewo JO. Teodorowi Potockiemu arcybiskupowi gnieźnieńskiemu za sumę 15,000 złp., którą z rąk plenipotentą tegoż, księdza Wilhelma Lindemejera superyora rezydencyi warszawskiej OO. Jezuitów prowincyi polskiej otrzymał”, jak o tém komplancya tegoż Grzybowskiego ze swoją familją i kontrakt między nim a Lindemejerelem o kupno Łaźniewa uczyniony, poświadcza (2). Wreszcie na téj wsi mieli jeszcze część swoją OO. Augustyanie warszawscy, od których wyżej wspomniany plenipotent prymasa, w tymże roku za sumę 6,242 złp. ją nabył. To wszystko uczyniwszy, Teodor Potocki zrobił znowu na dniu 27 marca 1732 roku kontrakt z Wilh. Lindemejerelem jako superyorem, w którym czytamy i powód fundacyi, i zamiary jego co do uposażenia kaplicy w następujących słowach: „Ponieważ Jaśnie Oświecony książę JMć prymas korony polskiej i W. ks. Lit. *ex munificentissima et piissima manu sua* na chwałę Bożą *et suffragium animae suae* fundował kaplicę *sub titulo Sanctae Crucis* w Warszawie na Przedmieściu - Krakowskim *cum omni decore et apparatu ecclesiae* także i *domicilium* dla wielebnych OO. Jezuitów prowincyi polskiej ze wszystkiemi murowanemi wygodami znacznym kosztem swoim *na gruncie onychże erexit*, co wszystko ku większej chwale Bożej tymże OO. Jezuitom prowincyi polskiej oddał *et praesenti transactione* oddaje i aplikuje. *Insuper* dla dalszego sustentowania pomienionych OO. Jezuitów polskich *etiam* i sumę 24.000 złp. *currentis monetae jure et modo reemptio* na dobrach swoich Łaźniewie *sortibusque ejusdem juribus perpetuis et cessionariis* przez

(1) Akta przeformowania kościoła św. Andrzeja, w archiwum magistr. warszawskiego.

(2) Łaźniewa, dóbr warszawskich Jezuitów koronnych stosujące się dokumenta autentyczne (w rękopiśmie).

siebie nabytych w ziemi warszawskiej w powiecie błońskim, pomienionym OO. Jezuitom dnia dzisiejszego, *coram Actis Metrice Regni* zapisał” (1). W moc czego, dobra rzeczono puszcza im w dzierżawę nic sobie nie wymawiając, pozwala im budować się i wszelkie ulepszenia robić, z zapewnieniem zwrotu wszelkich kosztów, gdyby ich ztamtąd rugować miano, w razie splacenia przez następców zapisanej im summy i t. d.

Byłoby jednak tylko forma prawna, zwłaszcza, gdy w r. 1735 ostatni posiadacze części Łązniewa Kaliszowie, tymże samym sposobem przez Potockiego za summę 7,500 złotych splaceni zostali, i jednocześnie też summa na tychże dobrach Jezuitom była zapisana, „na opalenie lampy przed N. Sakramentem, na воск, wino i inne potrzeby do kaplicy na gruncie Daniłowiczowskim istniejącej” zlewając ją do summy poprzednio zapisanej, na ogólną, 31.000 złp. razem stanowiącą (2). A tak obciążwszy nowo nabyte dobra, tym sposobem na własność Jezuitom przelał. I w tym więc uczynku prymasa przekonywamy się, iż Potocki podarowaniem Łązniewa nie uszczuplał dochodów własnych i rodziny, czyli przyszłych swoich dzieci, ani też w swój ofierze miał na celu szkołę dla okolicy Marywili i podanie ręki dobroczynnej dla oświaty dzieci mieszczan tej strony Warszawy. Jakoż szkoły ani szkoły tu żadnej nigdy nie było, zwłaszcza, iż niekoniecznie i niewszędzie zgromadzenie Towarzystwa Jezusowego nauczaniem dzieci trudniło się. I u nas w Polsce wiele było rezydencyj i missyj Jezuickich, przy których żadnych szkół ani szkółek nie znajdowało się; a tak właśnie było i przy rezydencyi warszawskiej Jezuitów prowincyi polskiej, chociaż ich tu więcej niż dwóch się mieściło. Wszystkie więc obszerne pod tym względem przypuszczenia naszego autora, iż gdzie dwóch było Jezuitów, już tam i szkoła i młodzież ucząca się być musiała, a zatem i Jezuici na Senatorskiej ulicy trudnili się zapewne początkową edukacją młodzieży, którą im dosyłali rodzice z przedmieść Warszawy i t. d., same z siebie upaść muszą.

Rozbierając następnie wiadomości, które p. J. Bartoszewicz w monografii kościoła Ś. Andrzeja umieścił, przyznajemy chętnie, iż ciekawe nam podaje szczegóły domowego życia prymasa. Pozwalamy jednak sobie i tu zrobić uwagę, iż przedstawiają one nam tego męża stanu ze strony zbyt ascetycznej. Był on wprawdzie pobożny

(1) Księga autentycznych dokumentów dóbr Łązniewa i ks. metr. 258 f. 95.

(2) Tamże i ks. metr. 258 f. 95.

litościwy i dobroczynny, czego liczne zostawił dowody; ale lubił przytém zawsze życie towarzyskie, przepych i wygody dobrego stołu, na co się wszyscy współcześni zgadzają, i co postać i powierzchowność prymasa potwierdzać zdaje się (1). Na wszystkich także portretach, które nam widzieć zdarzyło się, przedstawiony jest z twarzą pełną i rumianą, żywymi oczyma, grubemi i obwisłemi wargami, z poważnym podwójnym podbródkiem i niemniej pulchną dalszą połową ciała. Wszystko to są znamiona, które dziwnie sprzeczne podają nam wyobrażenie z tém, co autor o nim opisuje; jak np. że unikał zgietku świata, krył się w ustronia ciasnych celek Jezuickich, i wolał bawić wśród zakonników, z którymi mógł się namodlić ze łzami w oczach na niebo spoglądając, niż przebywać na dworze i ucztach ówczesnych możnowładców polskich. Tego jednak domysłu zbijać nie myślimy, iż może prymas miał w kościele ś. Krzyża i tron swój arcybiskupi, a jeżeli nie, to krzesło, albo klęcznik przynajmniej. Ale są dowody przeciwne temu twierdzeniu, jakoby Potocki po przyznaniu Augusta III królem, wróciwszy do Warszawy, oddalił się ztąd i nie zaglądał już do stolicy, tęskniąc za swym wybrańcem, iż sposepniał i siedział odtąd ciągle w oddali od dworu, że nie lubił Warszawy i t. d. Bo właśnie od owego zdarzenia prymas bywał często w Warszawie, i gdy król był obecny ciągle miewał u niego audyencye, uczęszczał na rady ministrów, i żadnej nie opuszczał sposobności, aby przekonać monarchę o swój gorliwości i przychylności do jego domu i sprawy. Nigdy żadnej gali dworskiej i festynów nie mijał; owszem, jak mówi jeden pisarz współczesny „zauważano, iż księżę prymas pomimo sędziwych lat swoich i niemocy ciała, nie opuszczał żadnych w stolicy festynów i assambli, bawiąc się tak wesoło, jakoby jeden z najmłodszych magnatów.” A wdzięczny król chcąc straty jakie poniósł w czasie ostatnich zamieszek nagrodzić, wyznaczył mu 3,000 talarów miesięcznie ze swój własnej szkatuły (2). Bywał tedy co rok w Warszawie, bawił w niej dość długo, i tu umarł nie w celi Jezuitów, lecz w pałacu Prymasowskim, z kąd ciało jego z wielkim przepychem do Gniezna było wyprowadzone (3). Ba-

(1) Ciekawe pod tym względem szczegóły dostarczają akta nuncyatury papieżkiej w Warszawie, w archiwum główn. znajdujące się, mianowicie foliat p. l.: *Processus informativus super vita, moribus, doctrina, et idoneitate caeterisque requisitis R. P. P. Theodori Potocki, an. 1698.*

(2) *Leben und Thaten des jüngst verstorbenen Primas Regni von Pohlen Theodori Potocki. Leipzig, 1738 8-vo.*

(3) Przy tej sposobności, ponieważ nigdzie nie mamy dotąd krytycznie zebranych faktów do życia tego prymasa, podaję je tutaj tak, jak w skróceniu i treści w najlepszych znanych mi źródłach znalazłem. Teodor Potocki trzeci syn Pawła

więc zaś w Warszawie lub w Łowiczu o Jezuitach na Sanatorskiej ulicy pamiętał, po śmierci swoje im serce zapisał, a za życia do samego prawie skonu, jak dawniej tak i po roku 1735 ciągle im dobrodziejstwa świadczył.

Nieszluszenie zatem dalej uzala się także p. Julian Bartoszewicz na milczenie kroniki Warszawy, bo ta dla każdego stara-

kasztelana kamienieckiego i Eleonory Sołtykowny, urodził się w r. 1663; nauki pobierał od Jezuitów, i przez nich w językach, historyi i polityce ukształcony, odbywał podróże po obcych krajach, uczęszczał do najznacześniejszych szkół za granicą. W Rzymie w seminarjum i kollegium tamecznych Jezuitów teologią odbywszy, za powrotem do kraju w Krakowie w r. 1683 dnia 17 kwietnia pierwsze święcenie kapłańskie przyjął; we cztery lata, jeszcze jako subdyakon od króla Jana III kanonią krakowską i probostwem przemyską obdarzony, dopiero w r. 1688 dnia 21 listopada w Przemysku na księdza mszalnego wyświęcony został. Odtąd bawił ciągle na dworze królewskim lubiany i poważany z pobożnego oraz wesołego życia; za panowania Augusta IIgo, we 4 lata po śmierci Kazimierza Szczuki biskupem chełmińskim w roku 1699 wyświęcony, do krzesła senatorskiego i rady królewskiej był przypuszczony. Jako wierny stronnik tego monarchy, dzielił z nim ówczesne jego losy i z całą gorliwością sprawie domu saskiego dopomagał. Po zrzeczeniu się korony polskiej przez Augusta, Stanisław Leszczyński chcąc snadź na swoją stronę go przyciągnąć, nominował go w roku 1707 biskupem krakowskim; lecz nietylko pieczę tej godności nie potwierdził, ale i sam Potocki wówczas zupełnie się na ustroniu trzymał. W nagrodę tedy przychylności do Augusta IIgo, po śmierci Andrzeja Załuskiego w r. 1712 mianowany biskupem warmińskim, a po śmierci Stanisława Szembeka 1722 prymasem arcybiskupem gnieźnieńskim. Wzrost atoli domu Poniatowskich, których król szczególnie w ostatnich latach swego panowania zaczął wynosić, osłabił wierność prymasa, tak, iż po śmierci tegoż monarchy 1733, jawnym przeciwnikiem domu saskiego, a przychylnym Leszczyńskiemu został, i tego ostatniego królem 12 września t. r. ogłosił. Gdy atoli stronnictwo przeciwnie wsparte zbrojną siłą wojsk sprzymierzonych do Warszawy zbliżyło się, nowo obrany król wraz z prymasem opuścili to miasto, i do Gdańska udali się, które przez też wojska obleżone, nie mogąc długo utrzymać się, gdy król i ztamtąd ucieczką ratował się, prymas ze swemi stronnikami sam w d. 1 lipca 1734 wojsku sprzymierzonemu poddał się. Nie chcąc atoli uznać Augusta III nowoobranego i koronowanego króla, dopóty był w Elblągu i Toruniu więziony, dopóki tego nie uczynił. Jakoż po siedmio-miesięcznej niewoli w roku 1735 zyskał przebaczenie i do łaski przypuszczony; był znowu wiernym i gorliwym Augustowi III. Nie opuszczał żadnej sposobności okazywać to wszędzie; obecny zawsze na dworze i galach, gdy król bawił w Warszawie, czynny na sejmach 1735 i 1736, jedynie w roku 1738 na zwołanej przez króla we Wschowie radzie, dla ciężkiej choroby nie znajdował się. Wyszedłszy jednak z niej nieco, obecnym i czynnym był znowu w Warszawie na sejmie w r. 1738; końca atoli jego nie doczekał, gdy po kilkotygodniowej powrotnej chorobie, życia dokonał dnia 12 listopada 1738 r., o godzinie 10 w wieczór, w pałacu Prymasowskim warszawskim, z kądem następnie z wielkim przepychem przez dwunastu prałatów infułatów, przy obecności licznego grona dostojników państwa i tłumu zgromadzonego ludu, do Gniezna wyprowadzony został. Tam ciało, a serce w Warszawie w kaplicy sw. Krzyża u Jezuitów prowincyi polskiej, na Sanatorskiej ulicy, pochowane zostały. (O życiu Potockiego piszą najdokładniej akta nuncyatury, tudzież w piśmie peryodycznym, od roku 1731 do 1738 w Lipsku wychodzącem, pod tytułem: *Der Genealogisch-historische Archiwarius*, w którym w roku 1738 umieszczone jest: *Leben und Thaten des jüngst verstorbenen Primas Regni von Pohlen Theodori Potocki*, p. 491 — 507; nakoniec Konarski: *Genealogia domus Potocciorum*, umieszczona w dziele: *Opera omnia Pauli Potocki. Varsaviae, 1747 f. p. 341*).

jącego się poznać jej dzieje, wymowną być może. Gdyby więc szanowny pisarz do archiwów zajrzał, o aktach Jezuickich, gdzieby były, dowiedział się, nie wątpiąc przytém, iż w naszym czasie łatwo je znaleźć można, kto tylko się o nie zapytać zechce; byłby wiedział, iż Teodor Potocki tak w latach 1735, 1736, 1737, a nawet jeszcze w r. 1738 przed samą śmiercią, Jezuitom polskim znaczne zapisy czynił, a nadto jednocześnie z nim prawie, od samego początku, byli inni równie zamożni tego zakonu dobroczyńcy. A lubo ze śmiercią jego bez wątpienia wiele stracili, jednakże ciągle na pobożnych zapisach im nie brakowało, tak, iż w r. 1754 mieli oprócz znacznych summ, na różnych dobrach ulokowanych i własnej wsi Łażniewo, w samej Warszawie 14 kamienic lub domów, na ulicach: Senatorskiej, Bielańskiej i Daniłowiczowskiej położonych, jak o tém przekonywa lustracja miasta Warszawy przez Jerzego Dawidsona sporządzona. Po kassacyi zaś w r. 1773, podług inwentarza ich kamienic i domów w Warszawie znajdujących się mieli na Senatorskiej ulicy kamienic 2, na Bielańskiej 3, a na Daniłowiczowskiej 14, czyli razem 19 posiadłości. Jasny dowód, iż w zamożności swój nie upadali.

Widzimy tedy, iż do roku 1756 w opisywanych dziejach kościoła św. Andrzeja chociaż pewne różnice znalazły się, w całości jednak są ze sobą w związku; dopiero po tym roku wiadomość, iż jedna z prowincyj jezuickich w Polsce na dwie rozdzieliła się, a przeoczenie, że we trzy lata potém i druga to samo uczyniła, tak, iż w r. 1759 było ich cztery: to wszystko mówię sprawiło, iż odtąd cała pierwsza część tej rozprawy nie na swoim jest miejscu, a bynajmniej ani do dziejów kościoła ś. Andrzeja, ani do historii Jezuitów prowincyi polskiej nie należy. Służy to zaiste za dowód, jak trudne są do opisywania pojedyncze monografie, które jeżeli mają być dokładne, wymagają koniecznie obeznania się z całością historii. Gdyby więc p. Bartoszewicz przystępując do części historii Jezuitów, starał się poznać dzieje całego zakonu w ogóle, a w szczególe w Polsce, do czego materiałów już drukowanych miałby podostatkiem; byłby wiedział, że zakon ten dzielił się na assystencye, których było pięć, tojest: włoska, luzytańska, hiszpańska, francuzka i niemiecka. Assystencye dzieliły się na prowincye, te zaś na kollegia, rezydencye i missye. Owoż gdy w r. 1564 Jezuici wprowadzeni byli do Polski, odtąd należeli do assystencyi niemieckiej, a pierwiastkowo nawet do prowincyi austryackiej. W dziesięć lat atoli, t. j. w r. 1574 z powodu rozmnożonej liczby kollegiów w Polsce i na Litwie, utworzona została osobna prowincya polska, która tak szybko wzrastała, iż w r.



1597 dla zbyt oddalonych od siebie seminaryów, musiano utworzyć nową wice-prowincją litewską, następnie już w r. 1599 osobną prowincją stanowiącą (1). Przed tym jednakże podziałem, gdy król Zygmunt III w r. 1596 stolicę państwa z Krakowa do Warszawy przeniósł, przybyły z nim nadworny kaznodzieja ksiądz Piotr Skarga Jezuita z dwoma innymi, którzy na dworze króla bawili; postarali się zaraz o utworzenie tutaj nowój kolonii dla swego zgromadzenia, co też w r. 1598 przyprowadzili do skutku. Tym sposobem powstała rezydencja warszawska, mieszcząca w sobie pierwiastkowo jednego superyora, trzech księży mszalnych i jednego braciszka. W następnym zaś roku, gdy prowincja litewska powstała, rezydencja warszawska z podziału swego przeszła pod zarząd téjże, i odtąd ciągle zostawszy domem professów i kollegium, aż do r. 1759 zostawała (2). Dwie tedy prowincje: polska i litewska, na obszernój przestrzeni dawnój Polski swobodnie rozszerzały się i coraz bardziej w liczbę zakładów pomnażały. Wszakże podział ten, mianowicie litewskiej, ze wszech miar im nie dogadzał, gdyż ta prowincja najbardziej swoje kolonie po Prusiech, Inflantach, Kurlandyi miała rozproszone, a jak widzimy, aż do Mazowsza sięgała. W tym więc celu już w r. 1639 podawano generałom Jezuitów projekta i prośby o nowy podział prowincyi litewskiej, które po kilkakroć w latach 1641 i następnych powtarzane, dla rozmaitych przeszkód przyjść wtedy do skutku nie mogły. Tymczasem Jezuiti z Rawy do prowincyi polskiej należący wnieśli się, jak widzieliśmy do Warszawy, i tu rezydencją swoją założyli, a tym sposobem rzadki stał się wypadek, aby w jedném mieście z dwóch osobnych prowincyj Jezuiti pochodzący, swoje posiadłości i zakłady mieli. Prowincja tedy polska, gdy zbyt licznymi kollegiami i seminaryami była obciążona, wyrobiła sobie w r. 1756 rozdział na dwie, które przyjęły nazwiska Wielkopolskiej i Małopolskiej, a w ślad za nią w r. 1759 za generała Wawrzyńca Ricci, i litewska w równój ilości kollegia, seminarya i rezydencje z polską mająca,

(1) W tych ostatnich datach poszedłem za współczesnymi rocznikami jezuitkami (*Annuae Litterae*), które w Lugdunie corocznie wychodziły i gdzie obszernie są szczeźóły do historyi Jezuitów w Polsce, przez nich samych podawane; tudzież za Juwenciusem: *Historiae Societatis Jesu. Pars V. Romae*, 1710 fol. pg. 284. Rostowski albowiem w dziele *Lithuanicarum Societatis Jesu Historiarum Provinciarum Pars I. Vilnae* 1768 fol. pg. 175 i 197 powiada, iż to był tylko projekt do podziału, który się nie udał aż dopiéro w roku 1608 (p. 232). Dlaczegożby Roczniki Jezuitkie z polecenia ich generała wychodzące, umieszczały relacye z osobna o litewskiej prowincyi już w r. 1599? Zdaje nam się tedy, iż w tym Jezuita Rostowski błądzi.

(2) *Annuae Litterae Societatis Jesu*, anni 1589, pag. 436. Anni 1599 pag. 494 i Rostowski l. c. pag. 1.

podzieliła się na litewską i mazowiecką. Piérwsza, to jest litewska, miała odtąd kollegia, rezydencye i missye w Wilnie, Grodnie, Nowogródku, Kownie, Słonimie, Żydyczynie na Litwie; w Bydgoszczy, Reszlu, św. Lipce, w Warmii; w Królewcu, Tylży, w Prusach; w Krożach i Poszawsku na Żmudzi; Dynaburgu, Illukszcie w Inflantach; Mittawie i Szonbergu w Kurlandyi i t. d. Druga zaś mazowiecka: w Warszawie, Pułtusku, Łomży, Płocku, na Mazowszu; Połocku, Nieświeżu, Orszy, Slucku, Mińsku, Witebsku, Mścislawie, Mohilewie, Bobrujsku, Pińsku, Drohiczynie i t. d. W tym stanie rzeczy rezydencya prowincyi polskiej w Warszawie, która nigdy kollegium nie została, przy podziale w r. 1756 włączona została do prowincyi małopolskiej, a Jezuiti tutejsi zwali się odtąd małopolskimi lub częściej jeszcze *koronnemi*; zaś kollegium prowincyi litewskiej na Starém-Mieście, przy podziale w r. 1759 do mazowieckiej policzone, dawniejsze nazwisko Jezuitów litewskich na *mazowieckich* przemieniło, która to zmiana aż do kassacyi całego zakonu dotrwała (1).

Wszystko to uszło wiadomości p. J. Partoszewicza, który natrafiwszy w gazetach, iż w roku 1756 prowincya polska na dwie się rozdzieliła, wniósł, iż gdy „zakon Lojoli tak się w Polsce rozmnożył, że mu już nie wystarczał podział na dwie prowincye: koronną i litewską, większą zatem z prowincyi rozłożono znowu na wielkopolską i małopolską. Że zaś w nowój małopolskiej prowincyi najwięcej było kościołów w Mazowszu, że Mazowsze nawet w całym tym obszarze krajów Rplitej największą część zajmowało, *wbrew nazwaniu urzędowemu, które Rzym przyswoił, Jezuitów Małopolskich zaczęto nazywać Mazowieckimi, i całą prowincyą Mazowiecką.*” Uczyniwszy to ze wszech miar nietrafne przypuszczenie, nie zważając nawet na te same gazety, z których tak troskliwie swoje wiadomości czerpie, odtąd aż do końca piérwszej części rozprawy, wszystkie sprawy i czynności Jezuitów mazowieckich na Starém-Mieście, przenosi i przelewa na Jezuitów małopolskich na Senator-skiej ulicy, spokojnie sobie mieszkających. Buduje im kollegia, wznosi szkołę szlachecką (*Collegium Nobilium*), którą nie wie gdzie pomieścić: czy przy kościele św. Krzyża, czy na Starém-Mieście w kamienicy *księży Jezuitów koronnych*, zapominając, iż byli już według niego Jezuiti mazowieccy i litewscy: z kądże się wzięli koronni? Gdyby był się zastanowił, miał już tu nitkę, po której do kłębka

(1) Rostowski l. c. pag. 349, 355 i 1. Poszakowski: Kalendarz Jezuicki większy na r. 1740. Bystrzanowski: Honor N. Maryi czyli Kalendarz osobliwy na r. 1741, str. 206. Bielski Jan: Widok Królestwa Polskiego. Poznań 1763. T. II, str. 211.

prawdy byłby doszedł, ale na to nie zważając, idzie dalej, prowadzi na popisy uczniów, które z gazet dokładnie wypisuje, i dziwi się, dlaczego dotąd nie znajdował wzmianki o szkołach warszawskich prowincyi mazowieckiej, teraz zaś spotkał się kilka razy z tym nowym zakładem i t. d. A dla dopełnienia całości obrazu, przenosi obchody, nabożeństwa i uroczystości z kościoła jezuickiego na ulicy św. Jańskiej odbywane, do kościoła św. Krzyża na Senatorską ulicę; w tém mocném przekonaniu, że wiadomości o tychże, które w gazetach wyczytał że się odbywały u Jezuitów mazowieckich, do małopolskich należą.

Po tém wszystkiém, cóż mamy powiedzieć o pracy w tym sposobie dokonanej? Mamyż szanownemu autorowi powtarzać to, co tak dobrze sam w teoryi ogłasza, a co w wykonaniu przeciwnie czyni? Jakąż wartość mogą mieć monografie, w których wyobrażnia i domysły większą niżeli prawda grają rolę? Dobrze zaiste w drugiej części téj rozprawy jest powiedziano, iż monografia każda jest już pracą uczoną, ciekawą, piękną, za którą każdy weźmie się najprzód „żeby się z niej czegoś dowiedzieć i znaleźć fakt jakiś do dziejów ogólnych.” Lecz czyż jest taką monografią, nad którą uwagi teraz czynimy? „Monografią, mówi dalej, właściwie nasz wiek stworzył. Dzisiaj nie obejmujemy już całości dziejów, a bierzemy miasto, prowincyą, ród jeden, kościół, jedną stronę życia, i piszemy tego wszystkiego dzieje. Na monografią choruje nasze stulecie.” Atoli zapomniał dodać, że można nie obejmować całości historii, lecz nie można jój nie znać; że nasze stulecie wymaga przedewszystkiém prawdy i pracy, któraby także nowożytną krytykę wytrzymać mogła.



NAPIS NA CHRZCIELNICY w KOŚCIELE S<sup>W</sup>. JANA w TORUNIU

udzielony przez Generała Krasimskiego.

Ω D X A G O Θ X B Θ O B O V Γ D T T C C T O B A T T H V V A T

Ω d y a b o t y, w t o w o, i s, y d, t j e, s t o w a t i, t i v i y, e a t  
Ω d y a t t a m i w t o w o w s u s g o s p o d c h c e s t e m a ć c i e b i e - w o

D V Δ, T Ω, Ω R S T V O D T V A D V A F Ω D P B A R T T T D O A B P D O O A Ω N

d u m, t a, i w, z i w o t, v a d v a, t a, z d r ā j a n, - p d o j a, t u d o w i, - -  
d a t a i z y w o t w o d a t a z d r o w i e n p o d a j e l u d o w i

Ω d y a b o t y w l e w o I s u s G o s p o d c h c e s t e m a ć c i e b i e w o d a t a i z y w o t w o d a t a z d r o w y p o d a j e l u d o w i!

A p a g e d i a b o l e - I s u s D o m i n u s v u l t a s p e r g e r e t e a q u a h a c, e t v i t a m a q u a h a c s a l u t i s p r a e b e t p o p u l o.

**NAJDAWNIEJSZY**  
**ZABYTEK POLSZCZYZNY.**

PRZEZ

*Andrzeja Kucharskiego.*

(Z ryciną).

---

Na chrzcielnicy w kościele św. Jana w Toruniu, znajduje się napis osobliwszemi literami, którego dotąd nikt przeczytać nie mógł. Kopia tego napisu udzielona mi została za pośrednictwem W. Bałińskiego przez JW. gen. Winct. Krasieńskiego, czybym go przeczytać i wytłumaczyć nie potrafił. Znając różnego gatunku starożytne charaktery różnych języków, znając runy, glagolicę, cyrylicę; mając w czytaniu zabytków starożytnych pewne doświadczenie, przypuściwszy, że napis jest słowiański, i mogąc rzeczy nawet kluczem pisanym odcyfrować: przyszedłem w usilności mojej i pracy do pewnego wypadku.

Niemasz wątpliwości, że napis jest polski; niemasz wątpliwości co do myśli w ogóle; ale czy szczegóły niektóre co do języka dobrze czytam, mianowicie tam, gdzie litery niektóre raz tylko są użyte, pewności nie mam. Czemu przypisać niektóre trudności i osobliwości tego napisu? Czy niedokładności kopii, czy niedokładności artysty, czy temu, że kładący ten napis był może cudzoziemiec, czy Polacy tak wówczas wymawiali? Może wszystkie razem te okoliczności wpływały na ten napis. Nakoniec są jeszcze dwie litery, z których pierwszą biorę za z lub s, druga mi nieznaną; może rok oznaczają.

Kiedy kościół św. Jana wystawiony—nie wiadomo. Długosz na k. 565 pod r. 1192 wspomina pierwszy raz o mieście Toruniu, ale Naruszewicz nie może tego pojąć, przywołując Dusburga kronikarza Krzyżackiego, który twierdzi, że dopiero w r. 1231 założony był zamek Toruń (zob. Naruszewicz, Hist. pol. T. IV str. 81 i 242, wyd. 1783 r.), i ztąd Naruszewicz wnosi, że w następnych dopiero latach powstało obok zamku miasteczko. Jednakże nowe badania prof. Dominika Szulca na dyplomatach oparte wykryły, że miasto Toruń zwane, dawniej Tarnów, jest starsze od r. 1222, gdyż w tym roku biskup płocki ze swoją kapitułą ustąpił między innymi i z Tarnowa swoich praw duchownych, jakie miał w ziemi chełmskiej, dla nowo utworzonego biskupstwa pruskiego i pierwszego biskupa Chrystyana (zob. Dom. Szulca: O znaczeniu dawnych Prus. Warszawa, 1846, str. 147). Tenże uczyony na str. 32 mówi: „Nietylko Toruń istniał przed Krzyżakami, ale był miastem dosyć znacznym, stanowiącym stolicę powiatu”. Tenże na str. 36, że: „kościół św. Jana Chrzciciela ufortyfikowany (eccl. munita), leży w starym mieście Toruniu”. Na str. 43 wspomina o starożytnej parafii św. Jana, że za Krzyżaków Niemcy ten kościół zajęli (str. 47), i że Kopernik za życia swego spoglądał codziennie na starożytny pomnik z czasów mazowieckich, na kościół św. Jana (str. 49). A tak widzimy, że kościół św. Jana zbudowany jest przed rokiem 1222.

Zważając na litery napisu, które są runiczne, a częścią zdają się być greckie i gładolickie, przypuścić można, że głoski te narodo-wo-polskie, pochodzą z czasów pogańskich, a napis zaś niemi w mo-wie będący, sięga niezawodnie wieku XIgo.

Warszawa, d. 13 października 1849 r.



# PORÓWNANIE

PRAWODAWSTWA PRUSKIEGO Z NASZYM, CO DO POMIESZANIA (CONFUSIO)  
W JEDNÉJ OSOBIE PRZYMIOTÓW DŁUŻNIKA I WIERZycIELA HYPOTECZNEGO,

Z ODNIESIENIEM DO KREDYTU ZIEMSKIEGO NA KAPITAŁ OBROTOWY ROLNICZY.

PRZEZ

*Adama Bagniewskiego.*

---

**W** uwagach do art. 120 prawa hipotecznego z r. 1818, autor wydanego w r. b. dzieła o témże prawie (1) mówiąc o zniesieniu długu przez pomieszanie praw wierzyciela i dłużnika w jednej osobie, i przywołując „że jeżeli nabywcą właścicielem jest successor beneficyalny skutkiem spadku: wierzycielność swoją na dobrach zahypotekowaną, tak jak każdy inny zachowuje”; powołuje się w tém miejscu na § 52 dodatku do powszechnego prawa pruskiego.

Osnowa powyższego przepisu jest następująca (2):

„Prawa hipoteczne nie zostają uchylone przez to tylko, że własność ich przechodzi na właściciela nieruchomości niemi obciążonej, dopóki nie nastąpi wymazanie onychże na wniosek posiadacza, który więc aż to nie nastąpi, prawo takowe hipoteczne ważnie na innego złać może”.

Przepis ten nie w tém miejscu potrzebował być powołanym, bo na zasadzie innego dawniejszego rozporządzenia prawa pow. pruskiego, nabywca dóbr będący successorem beneficyalnym przechowywał swoje prawa wierzyciela, tworząc wyjątek od zasady pomie-

(1) Prawo hipoteczne w królestwie Polskiem, objaśnione przez Walentego Dutkiewicza str. 459.

(2) Allgemeines preussisches Landrecht. Berlin, 1817. bei G. C. Nauck. Powyższy dodatek zamieszczony jest przy § 484, tytułu 16 części 1.

szania praw w jednej osobie; późniejszy zaś przepis paragrafu 52 dodatku, choć zmienił ogólną zasadę pomieszczenia przy prawach hipotecznych, a tém samém choć ustalonej u nas praktyce sądowej na art. 1,300 k. c. i art. 119 prawa hipotecznego z r. 1818 opartej, jest wprost przeciwny, nie został jednak już nigdzie przez uczonego autora powołany, i niezwrócona nań uwaga czytelników naszych.

Nie jest przecież bez interesu, a w obecnej zwłaszcza chwili stać się nawet może ważną wiadomość:

1) na jakiej zasadzie i dla jakich powodów namieniony wyżej przepis tak dalece od naszych pojęć prawa i praktyki sądowej odmienny, został później przyjęty i do prawa powszechnego pruskiego dodatkowo wprowadzony;

2) dlaczego nie przeszedł i do naszej hipoteki bądź w sposób wyraźny, bądź przez *usus fori*.

3) a wreszcie czy, i jak dalece zachodzi i u nas potrzeba podobnego przepisu.

Wszystko to według sił i znajomości moich wyśmienicie postanowiłem obecnie, a postanowiłem nietylko dlatego, że porównanie pod tym względem dwóch sąsiednich prawodawstw uważam interesowne dla prawników, ale i dlatego, że przedmiot jest i pod względem kredytu tudzież pomyślności rolnictwa krajowego wielkiej nader wagi, a co mam tu głównie na względzie.

I. W roku 1802 wytoczona została w Prusach w drodze urzędowej, i do najwyższej decyzji monarszej przedstawioną kwestya:

czy wierzytelność w hipotece zapisaną, uważać należy za umorzoną, bądź jeżeli własność jej przechodzi z jakiegokolwiek tytułu na właściciela obciążonej nią nieruchomości, bądź jeżeli tę ostatnią wierzyciel nabywa;

czy też właściciel gruntu bez względu na pomieszczenie w jednej osobie praw wierzyciela i dłużnika, wierzytelność powyższą ważnie cedować może?

W przedmiocie tym król od ówczasowej Kommissyi Prawodawczej zażądał opinii (1), którą tu, jako nader ciekawą podam w treści skróconej, nie jednak ważniejszego, nie opuszczając.

Kommissya Prawodawcza zaczyna od oświadczenia, że wprawdzie nie zdaje się ulegać wątpliwości, iż jeżeli wierzyciel hipoteczny stawszy się nabywcą nieruchomości, odstąpi wierzytelność swoją trze-

(1) Neues Archiv der preussischen Gesetzgebung und Rechtsgelehrsamkeit. T. II fol. 457 i następn. Berlin, bei G. C. Nauck, 1803.



ciemu, który o tém połączeniu praw *nie wiedział*, i wyda mu dokument na tę wierzytelność wystawiony, nikt nie ma prawa występować przeciw takiej cessayi, ani nie może żądać uznania pomieszczenia praw wierzyciela i dłużnika w jednej osobie (1).

Ale wątpliwszym już uważa ten wypadek, gdy wierzytelność hipoteczna odstąpiona jest trzeciemu, który o nastąpnioném pomieszczeniu w jednej osobie praw właściciela i wierzyciela, *wiadomość posiadał*.

I tę drugą kwestyą Kommissya Prawodawcza zdaje się zrazu rozwiązywać w taki sposób, w jaki dotąd i u nas jest uważana, a przynajmniej przywodzi to wszystko, co tylko w jej obronie powiedzieć można.

I tak: według § 482 t. 16 część 1 prawa powszechnego pruskiego (mówi Kommissya Prawodawcza) pomieszczenie praw właściciela - dłużnika, i wierzyciela, nastąpione z tytułu nieodwołalnego, umarza nawet prawa na rzeczy, to jest: rzeczowe z przedmiotu (Rechte auf die Sache).

Według § 55 tytułu 20 część 1, prawo zastawy umarza się głównie przez umorzenie pretensyi dla której bezpieczeństwo wystawione zostało.

Według § 520, 521 i 522 (tamże) zastosowanie powyższej zasady do praw hipotecznych o tyle tylko znajduje wyjątek, że dopóki umorzona należność z hypoteki rzeczywiście wymazaną nie zostanie, zawarte przez trzeciego w dobrej wierze czynności z wierzycielem w hipotece zapisanym, nie mogą być na szkodę tegoż trzeciego wzruszane; co nawet znajduje poparcie i w ordynacyi hipotecznej, która w § 61 (2) tytułu 1 i § 261 (3) tytułu 2, wygaśnięcie wierzytelności hipotecznej przez pomieszczenie, uważa jako skutkujące umorzenie w saméjże hipotece. A przytém gdy się uważy, że prawo p. pruskie położywszy w § 482 i 483 tytułu 16 c. 1 zasady względem wygaśnięcia praw tak z przedmiotu, jak z osoby rzeczowych (das objectiv und subiectiv dingliches Recht), w następu-

(1) Prawo powszechne pruskie jest pod tym względem zgodne z naszym, całą więc argumentacją jaką Kommissya Prawodawcza w tém miejscu zamieściła, pomijam z umysłu.

(2) „W trzeciej kolumnie wymazywań wyrazi się, gdy ingrossowana pretensya realna, przez zapłacenie, skwitowanie i zrzeczenie się, albo innym prawnym sposobem zostanie znowu umorzona.”

(3) „Skoro dług do ksiąg zaciągniony wygaś przez konsolidacją, nie można zaiste żądać kwitu; nie powinien jednak być wymazanym z hypoteki inaczej, jak za złożeniem oryginalnego skryptu i jego kassacyi”.

jącym zaraz § 484 dozwala tylko względem prawa ze względem na osobę rzeczowego utrzymać jego ważność, przez zapisanie w hipotece wyrażonej przeciw pomieszeniu protestacyi; zdawać się istotnie może, że właściciel wierzytelności hipotecznej nie jest upoważnionym odstępować ją drugiemu, albo też przechowywać dla siebie prawo wierzyciela hipotecznego, jak skoro w jego osobie nastąpiło pomieszenie praw dłużnika i wierzyciela; ztąd zaś płynie następstwo, że i nabycie takiego prawa nie będzie ważne, jak skoro cessionaryusz o pomieszeniu tém wiedział (1).

Wszakże przywiedziona dopiéro, a z prawa ogólnego pruskiego wyczerpana argumentacya, nie doprowadza Kommissyi Prawodawczej do bezwarunkowego w téj mierze zdania; oświadcza albowiem zaraz następująco:

„Że prawo pruskie nie miało rzeczywiście zamiaru umarzać prawo hipoteczne przez pomieszenie do takiego stopnia, iżby cessya tych praw nie była już dopuszczalną”; a zdanie to popiera następującym wywodem:

„Zawarta w prawie pow. pruskiem (cz. 1 t. 16 § 476 i nast.) teorya pomieszenia jest widocznie zatrzymana z prawa rzymskiego, według którego w razie połączenia w jednej osobie praw wierzyciela i dłużnika, albo własności rzeczy i rzeczowego jój zobowiązania, zniesienie takich praw i zobowiązań *ipso jure* następuje, a to dlatego, że nikt własnym swoim dłużnikiem być, ani téż prawa płynącego z własności swojej rzeczy z różnych tytułów posiadać nie może. Ale i prawo rzymskie w materji téj nie tak bezwarunkowo tłumaczyć należy. Cytując zdanie Cocceji Jus civil. controv. t. 6 § 11, że zniknięcie praw, jakie w prawie rzymskiem skutkiem pomieszenia następuje *ipso jure*, ma miejsce nie w zupełności, ale tylko względnie osobistych zobowiązań tego, w którego osobie schodzi się prawo i obowiązek; i uważając to zdanie za gruntowne, Kommissya Prawodawcza wywodzi ztąd, że w tych wypadkach, w którychby dawny wierzyciel poniósł stratę, gdyby po zniesieniu przyczyn pomieszenia, skutki jego dłużej istnieć miały, prawa rzymskie pozwalają mu niewątpliwie restytucji swego prawa, chyba, że na zupełne jego zniesienie wyraźnie zewolił.

(1) Pr. p. pr. cz. 1 ty. 10 § 24. „Ktokolwiek wié, że ten, od którego jego prawo pochodzi nie jest jego prawdziwym właścicielem, ten ani drogą intabulacyi, ani przez oddanie, prawa własności nie może dostąpić.”

§ 522 t. 20. „Dłużnik zaniedbujący wymazanie z hipoteki zaspokojonej należyłości, nie może na szkodę trzeciego powstawać naprzeciw czynnościom, które tenże trzeci na zasadzie księgi hipotecznej w *dobrej wierze* z zahypotekowanym wierzycielem przy zachowaniu przepisów prawa zawierał.”

Utrzymuje dalej: że dokładne zgłębienie prawa p. pruskiego doprowadza do przekonania, iż obok przejęcia z prawa rzymskiego teorii o pomieszaniu praw, nie zamierza ono przecież odstąpić od powołanej dopiero zasady, i tylko w układzie swoim chciało wyraźniej oznaczyć prawne wyjątki od przyjętego za regułę pomieszania praw.

I tak: w rozdziale traktującym o tém pomieszaniu, przyjęto wprowadzić bez wyjątku za zasadę, że przez czas jego trwania prawa i obowiązki wtedy tylko spoczywają z możliwością wrócenia się do nich, kiedy umowa lub czyn, z którego pomieszczenie następuje, są odwołalnymi.

Obok tego jednak w następnym zaraz § 481 powiedziano: że przy kupnie dziedzictwa, prawa i obowiązki choć nieodwołalnego dziedzica względnie osoby spadkodawcy i rzeczy do spadku należnych, pozostają niezmienione, i że w takim wypadku, tak ma być uważane, jak gdyby dziedzictwo spadło wprost na kupującego, a nie na sprzedającego; chyba by inaczej między stronami ułożone zostało.

Ztąd wypływa, równie jak to i w prawie rzymskiém miało miejsce, że przynależne dziedzicowi pretensye przeciw spadkodawcy, pomimo pomieszania praw, pozostają przecież w swój mocy; że zatem prawa i obowiązki pierwszego dziedzica do spadku, wracają do życia nie tylko w tym wypadku (jak to z § 481 zdawaćby się mogło) kiedy spadek nieodwołalnie odziedziczonym został, ale i wtedy, kiedy następnemu dziedzicowi zwróconym być musiał.

Toż samo, jakkolwiek w § 484 tyt. 16 powiedziano:

że przeszkodzić wygaśnięciu prawa ze względu na osobę rzeczowego, można jedynie przez wyraźną przeciw konfuzji protestacją w księdze hipotecznej zapisać się mogącą; to jednak w rozdziale o służebnościach gruntowych (§ 53, 54, tyt. 22 część 1) zastrzeżono:

że jeżeli ten, w osobie którego schodzi się własność rzeczy prawo do służebności mającej, i własność rzeczy nią obowiązaną, nie wyzwał zahypotekowaną na niej służebności, albo też dozwolił trwać oznakom o bycie téjże służebności świadczącym, a rzecz zobowiązana przechodzi następnie w trzecie ręce: służebność gruntowa wraca przecież do dawnego bytu; co także okazuje, że przyjęta we właściwym tytule teoria pomieszania praw, tłumaczoną być winna nie dosłownie, ale według ducha i osnowy prawa pow. pruskiego w całej swój rozciągłości uważanego.

Pomimo więc tego, co już poprzednio przytoczono o umorzeniu prawa zastawy przez pomieszczenie, nie zdaje się niewłaściwém (mówi dalej Kom. Prawodawcza) takie tłumaczenie *Landrechtu*, iż pomiesz-

nie praw nie bezwarunkowo ma miejsce, ale że względnie prawa hypotecznego zawisło od woli tego, w osobie którego schodzi się to prawo z własnością zastawionej nieruchomości; że zatem pomieszczenie wtedy dopiero rzeczywiście ma miejsce, gdy na wniosek właściciela następuje samo wykreślenie z hypoteki.

Ztądto także wypływa, że nigdzie nie włożono na sądy obowiązku czuwania nad wykreślaniem z hypoteki pozycyj przez pomieszczenie praw lub konsolidacją zgasłych, ale że to zawisło od żądania właściciela gruntu (1);

że powrócenie się do dawnego zabezpieczenia w razie uznania nieważności nastąpionój nowacyi, lub przywrócenie służebności gruntowój w razie oddzielenia gruntu służebnością obciążonego od gruntu służebność posiadającego, prawo pruskie (2) czyni zawislém od tego, czy wierzyciel dawne zabezpieczenie swoje, albo ten, w którego osobie połączyła się własność obu gruntów, zahypotekowaną służebność z hypoteki wykreślić dozwoli, lub nie;

i że nakoniec właściciel dóbr może być zarazem, i bez sprawienia pomieszczenia praw, właścicielem zaciągniętych na nie listów zastawnych, będących również dokumentami hypotecznymi.

Wyłożone wyżej (mówi dalej Kom. Prawodawcza) zasady prawnego zniesienia praw i zobowiązań przez pomieszczenie, nie znajdują zastosowania do wierzytelności hypotecznych o tyle przynajmniej, o ile zachodzi pytanie: czy wierzyciel, który nabył prawo własności dóbr, lub na odwrót, właściciel dóbr, który spłacił wierzytelność hypoteczną, może z hypoteki téj robić jaki użytek, lub téż ją uważać za wygasłą przez pomieszczenie?

Gdyż idzie tu tylko o to: czy właściciel dóbr wierzytelnościami hypotecznymi obciążonych, stawszy się właścicielem jednéj z nich, a zatem takiej, która z wyłączeniem innych wierzytelności szukać mogła swego zaspokojenia w porządku hypotecznym z oznaczonój, a przez siebie zajmowanój części szacunku dóbr, mocen jest wierzytelność tę zatrzymać do swojój dalszój dyspozycyi, i takową bez naruszenia praw ponizszych wierzycieli spieniężyć?

(1) § 244 i 261 Ord. Hyp. Pr. i § 521 tytuł 20. c. I prawa p. pruskiego.

(2) § 475 ty. 16 c. 1. § 52, t. 22. c. 1. „Służebności tak jak inne prawa rzeczowe, przez zniście się ich w jednéj osobie utracone być mogą”. § 53. „Ten więc w którego osobie schodzi się własność rzeczy prawo do służebności mającej i własność rzeczy nią obciążonój, mocen jest kazać wymazać zahypotekowane na niej służebności gruntowe, lub znieść założenie byt onychże oznaczające”. § 54 „Jeżeli to nie nastąpiło, a rzecz zobowiązana następnie przechodzi na posiadacza, dawna służebność gruntowa do dawnego bytu powraca”.

i czy funduszu na téj drodze uzyskanego, właściciel ma prawo używać na inne jakie potrzeby, a niekoniecznie na zaspokojenie swoich wierzycieli?

Prawo takie nie wypływa z samego przymiotu właściciela; przymiot albowiem ten nadaje mu tylko prawo rozporządzania tą częścią wartości dóbr, jaka po odtrąceniu wszystkich hypotecznych wierzytelności wolną się okazuje; ale ze względu na te wierzytelności potrzebuje on oddzielnego jeszcze na to tytułu, a tytuł ten posiada jako *Creditor hypothecarius cum jure praelationis*. Tak więc niema w tém nic sprzecznego, gdy właściciel nieruchomości, zatrzymuje przymiot wierzyciela hypotecznego, ani téż zgodzić się nie można na to, aby prawo hypoteczne z prawem własności nie było dopuszczalne, i temu ostatniemu jako mocniejszemu ustąpić musiało, albo téż przez zlanie się z niémi, oddzielny swój byt utracalo.

Stosownie do powołanych jak wyżej w § 481 tyt. 16 i § 52 i. t. d. t. 22 c. 1, prawo rzeczowe ze względu na osobę, może nie wygasnąć przez pomieszanie; dlaczegozby więc to miejsca mieć nie miało i względem praw hypotecznych, jako praw rzeczowych ze względu na przedmiot (*Rechte auf die Sache*)? Wprawdzie zdawałoby się mogło, że zasada przyjętej tu różnicy w tém leży, że prawo subiektywnie rzeczowe połączone jest nie z osobą właściciela, ale z rzeczą; przy bliższej jednak rozwadze, pozór ten znika. Już albowiem § 483 tytułu 16, mówi:

„że tak samo, jak to ma miejsce z wygaśnięciem praw *na rzeczy* przez pomieszanie (§ 482) ustają także prawa rzeczowe ze względu na osobę, jak skoro osobiście zobowiązany przychodzi do posiadania rzeczy obciążonej, lub gdy właściciel téjże rzeczy przejmuje na siebie obowiązek osobiście zobowiązanego;” a przytém w § 128 tyt. 2 cz. 1 powiedziano: „Prawa, które ze względu na osobę której służą, są rzeczowemi, mogą być względem ich przedmiotu albo osobistemi, albo prawami *na rzeczy*”.

Chociaż więc wzmiankowane w § 484, a przez pomieszanie nie nikaące prawo rzeczowe, przywiązane jest do rzeczy; to jednak w związku z niémi będące zobowiązanie, przywiązane być może do osoby; że zaś prawo to nie może zniknąć bez ustania zarazem i zobowiązania, a tylko osoba posiadacza rzeczy obciążonej jest tym subiektem, dla którego następuje zejście się prawa z zobowiązaniem (1); w różnicy zatém zachodzącej pomiędzy prawem rzeczowém ze względu na

(1) § 476 t. 20 i § 53 t. 22 c. 1.

osobę, a prawem na rzeczy, nie można upatrywać przyczyny, dla jakiejby pomieszczenie ze skutkiem ustanienia praw, zawisłóm być miało od woli właściciela tylko przy prawie piérwszém, a nie i przy drugiém.

Zdaje się nawet niewątpliwém:

że w powołanych § 482—484 zaszła pomyłka, która zawartym w *Landrechtie* rozporządzeniom daje pozór jakoby umyślnego pod tym względem rozróżniania tych dwóch rodzajów praw. Gdyby wreszcie pomyłki téj uznać nie chciano, na to koniecznie przynajmniej przystać trzeba:

że w materji pomieszczenia, *Landrecht* nic nie rozstrzyga względem takich praw na rzeczy, które subiektywnie są tylko osobistemi, a nie są zarazem rzeczowemi i ze względu na subjekt do jakiego się odnoszą (1);

a skoro tak jest, przywiedzione wyżej zasady tém więcej są dostateczne do uznania, że w tego rodzaju prawach na rzeczy osobie przynależnych, jakimi są prawa do wierzytelności hipotecznej, zależy od woli właściciela, czy przez pomieszczenie mają ustawać lub nie.

Tak więc (mówi dalej Kommissya Prawodawcza) tę tylko mieć można wątpliwość, czy taki sposób widzenia rzeczy ponizéj zahypotekowanym wierzytelnościom uszczerbku nie przynosi; lecz i ta wątpliwość usunięta zostaje przez § 22 i 24. Tyt. 20 cz. 1 prawa powszechnego pruskiego, według których „kto raz przyjął bezpieczeństwo ustanowione zastawem lub hypoteką, winien zaprzestać na niem aż do czasu zapłaty. Właściciel rzeczy zastawionéj mocen jest nią rozrządzać tak dalece, ile przez to prawom i bezpieczeństwu wierzyciela nie uwłacza.”

Idzie zatém, że wierzyciele hipoteczni pod N. 2—3 i t. d. nie mają właściwie prawa do téj części własności, która zajęta jest wierzytelnością z N. 1 hipoteki niewykreślóną, a jeżeli zostanie wykreślóną, jestto dla nich przypadkowe tylko zdarzenie; i dlatego téż tém bardziej zbywa im na prawnej zasadzie do wchodzenia mimo woli właściciela w miejsce poprzedniego wierzyciela, czego téż prawa pruskie nigdzie wyraźnie nie postanowiły,

Zgoła Kommissya Prawodawcza konkluduje: „że prawa hipoteczne przez proste w jednéj osobie pomieszczenie praw wierzyciela i dłużnika obciążónéj nieruchomości nie są zniesione; ale, że rzeczywiście ustają dopiéro na wniosek posiadacza względem wykreślenia

(1) § 129 t. 2 c. 1.

z hypoteki; że zatem posiadacz władnym jest, takie nieumorzone jeszcze prawo hipoteczne drugiemu ważnie ustąpić.“

Opinia ta spowodowała najprzód, reskrypt ministryalny z dnia 11 sierpnia 1802 roku, ze specjalnego rozkazu królewskiego wydany, konkluzją powyższą w całej rozciągłości potwierdzający (1), a następnie osnowa tego reskryptu w słowach na wstępie przywiedzionych, weszła w skład dodatku do powszechnego prawa pruskiego; który patentem publikacyjnym z dnia 11 kwietnia 1803 roku, zyskał moc obowiązującą, z poleceniem zamieszczenia go w nowój edycji tego prawa, we właściwych miejscach.—Po upływie lat kilkunastu, zaszła w sądach wątpliwość, czy zastosowanie tego nowego przepisu ma mieć miejsce nawet wtenczas, gdy właściciel dóbr spłaci zahypotekowaną na nim wierzytelność?

Wątpliwość atoli ta rozkazem gabinetowym z dnia 3 kwietnia 1824 roku (2) na wniosek ministra sprawiedliwości, i za wysłuchaniem zdania rady państwa, rozstrzygniętą została w sposób nietylko w niczém przywiedzionej dopiéro opinii kommis. prawodawczej nie uwłaczający, lecz i owszem w sposób jeszcze rozciąglejszy; postanowiono albowiem: „że właściciel dóbr, który spłaci zahypotekowaną na nich sumę, a takowój z hypoteki nie wykreśli, używać ma wszystkich praw cessionaryusza téjże hypoteki, i bez różnicy, czy przy wypłacie wystawioną mu została formalna cessya, czy téż udzielone samo pokwitowanie, które w takim razie tak ma być tłumaczone, jakby wyrażną obejmowało cessyą.”

Aby prawo to miało być później, to jest po rozkazie gab. z dnia 3 kwietnia 1824 roku zniesione, o tém nigdzie nie znajduję wiadomości. Owszem, w statutach instytutu kredytowego szlązkiego, dekretem króla pruskiego z dnia 8 czerwca 1835 roku zaprowadzonego, wyczytuje zastrzeżenie, (3) że powołany wyżej § 52 dodatku do powszechnego prawa pruskiego, nie ma mieć zastosowania do spłaconój części pożyczek przez instytut ten udzielanych, którą téż właściciel dóbr rozporządzać nie ma prawa.

Wyjątku takiego nie znajduję zresztą ani w statutach towarzystwa kredytowego poznańskiego z d. 15 grudnia 1821 r. (4), który pierwszy przyjął system amortyzacyjny, przez instytut kredytowy szlązki w 1835 roku dopiéro naśladowany, ani w późniejszych dekreтах dotyczących konwersyi i amortyzacyi listów zastawnych Po-

(1) Neues Archiv der preussischen Gesetzgebung, vol 2.

(2) Gesetzsammlung für die königlichen preussischen Staaten (Nr. 856).

(3) Gesetzsammlung für die kön. pr. Staaten N. 1619 (§ 63).

(4) Gesetzsammlung Nr. 691.

meranii, (1) wschodnich (2) i zachodnich (3) Prus, tudzież szlązkich (4), do których amortyzacja najpóźniej przywiązana została. Przyjęta więc w § 52 dodatku ogólna zasada, istnieje i dotąd; wyjątek zaś, jaki od niej zrobiono w statutach instytutu kredytowego szlązkiego z r. 1835 potwierdza ją tylko; nastąpił zaś, nie dlatego, że instytut kredytowy szlązki przyjął amortyzację, jakiej w ogólności Landszafty pruskie podówczas, to jest w r. 1835 nie znały, bo tak wcześniejsze statuta Landszafty poznańskiej (z r. 1821) jak i statuta późniejsze dotyczące konwersyi listów pomorskich, Prus wschodnich i zachodnich, tudzież szlązkich (z r. 1837, 8 i 9), które przyjęły amortyzację, wyjątku takowego przecież nie zrobiły; ale nastąpił, jak łatwo domyśleć się, dlatego tylko, że instytut kredytowy szlązki udziela pożyczki w listach zastawnych lit. B, na takie tylko dobra, na jakich jest już pożyczka landszaftowa, połowę szacunku dóbr zajmująca, a udziela je do  $\frac{2}{3}$  wartości dóbr, niekiedy nawet wyżej. Pożyczki takie wyczerpują nieledwie już całą tę część szacunku dóbr, jaka zwykle wierzytelnościom hipotecznym bezpieczną lokacją w dobrach ziemskich zapewnić może; dla wierzycieli więc prywatnych, poniżej jeszcze landszafty i instytutu pożyczkę udzielających, ważną się zdawać musiała pewność stopniowego ulepszania wątpliwego już bezpieczeństwa, i bez jakiej to pewności, jużby może na dobra tak dalece odłożone, wypożyczać nie chcieli.

Tém zaś łatwiej instytut kredytowy szlązki mógł przyjąć taki wyjątek, że celem jego jest nie tylko udzielać pożyczki do  $\frac{2}{3}$  wartości dóbr, ale zarazem i starać się utrzymać terażniejszych właścicieli dóbr przy ich posiadaniu, względem czego statuta instytutu szczegółowe obejmują przepisy; z kąd płynie i to następstwo, że udzielający pożyczkę poniżej landszafty i instytutu kredytowego, zyskując prawo stopniowego podwyższania się w hipotece w miarę amortyzacji pożyczki przez instytut ten udzielonej, może mieć niejako ugruntowaną nadzieję, że do korzystania z amortyzacji tej przeszkodzonym nie będzie wystawieniem dóbr na sprzedaż wywłaszczoną, w której jako wierzyciel końcowy, mógłby nie znaleźć zaspokojenia.

Taką jest historia zewnętrzna przepisu w § 52, dodatku do p. p. n. objętego; ale historia jego wewnętrzna musi mieć i inne jeszcze przyczyny, a nie samą interpretacją praw już obowiązujących, która

- (1) Gesetzsammlung Nr. 1841 z dnia 10 grudnia 1837 r.
- (2) tamże Nr. 1854 z d. 21 grud. 1837 r.
- (3) tamże Nr. 1871 z d. 24 lutego 1838 r.
- (4) tamże Nr. 2014 z d. 20 maja 1839 r.



przecież nie bez powodu powstała tak późno i nie gdzieindziej, tylko w Prusach. Mimowolnie nasuwa się tu uwaga, że w powstaniu tego przepisu grać musiały rolę i towarzystwa kredytowe ziemskie, których kolebką są także Prusy, i z których najdawniejsze datują od roku 1770, a zatem tylko na lat 32 przed formalnym wcieleniem powyższego przepisu w ogólne prawo pruskie.

I w rzeczy samej, pierwiastkowe te towarzystwa jeszcze nie amortyzacyjne, pozwalając właścicielom dóbr prawa wypowiedzenia landszafom jednorazowej spłaty w części lub w całości wypożyczonych listów zastawnych, wymagały szczegółowych co do takiej spłaty przepisów.

Owoż w przepisach tych znajduję i ten, że jak skoro właściciel dóbr przyszedłszy do posiadania listów zastawnych na inne dobra wypożyczonych, wypowiedział landszafie te, które na własne jego dobra wypożyczone zostały, i jak skoro landszafsta ściągawszy je od właściwego posiadacza przy opłacie procentów, wydała je właścicielowi dóbr; tenże mógł listy te będące tytułem wierzytelności na własnych jego dobrach zabezpieczonćj, albo skassować przez wykreślenie ich z hypoteki, albo na wypadek przyszłej potrzeby przy sobie zatrzymać, zachowując w tym ostatnim razie przymioty dłużnika i wierzyciela landszafy. W tym dwoistym przymiocie był on i wtedy, jeżeli nie mając żadnych długów hypotecznych, zaciągnął jednak pożyczkę w listach zastawnych, i listy te specjalnie na swoich dobrach zabezpieczone przy sobie, a jak się prawo wyraża, na zapas zatrzymał.

Opłata wzajemna procentów odbywała się za okazaniem listów landszafie, i jednoczesnym zapisaniem procentów w przychód i rozchód; samo zaś zlanie praw wierzyciela i dłużnika, nie skutkowało jeszcze zniknięcia pozycyi hypotecznej, co nie inaczej, jak za skassowaniem listów i wykreśleniem z hypoteki odpowiedniej im pozycyi nastąpić mogło (1).

Już więc na parę dziesiątek lat przed wprowadzeniem w ogólne prawo przepisu § 52 dodatku objętego, istniały w Prusach, co do tych pozycyj hypotecznych, na jakie listy zastawne wypuszczone zo-

(1) Statuta landszafy Prus zachodnich z d. 19 kwietnia 1787, część III, roz. I, § 36, r. 4 § 17 i roz. 6 § 22, 25.

Statuta landszafy pomorskiej z d. 13 marca 1781, część III r. 1 § 40, r. 4 § 19, r. 6 § 20 21.

Statuta landszafy Prus wschodnich z r. 1788, poprawione w r. 1808, część III r. 8 § 382.

Statuta landszafy szałzkiej z d. 9 i 15 lipca 1770, część III, r. 4 § 18 r. 7 § 21.

Statuta Nowej Marchii część, III r. 6, § 283.

stały, wyjątkowe pod względem pomieszczenia praw prawidła, które ordynacją hipoteczną pruską w r. 1783 zebraną i ułożoną, uszanosowane zostały. Ordynacja albowiem ta, jakkolwiek o tych wyjątkowych prawidłach nic po szczególe nie mówi, obejmuje jednak w § 198 i 240 tyt. II roz. 3, ogólne co do landszaftów dyspozycye, według których wszystko to, co tam rozporządzone zostało w przedmiocie wydawania i hipotekowania listów zastawnych, tudzież w przedmiocie cessyj, subinskrypcyj i aresztów zaintabulowanych długów, nie rozciąga się do listów zastawnych przez towarzystwa kredytu ziemskiego wygotowywanych, a wystawianych nie na oznaczonego posiadacza, ale że i owszem w téj mierze trzymać się należy szczegółowych przepisów o tychże towarzystwach kredytowych.

Można zatem zasadnie utrzymywać, że powodem wprowadzenia do prawa p. pruskiego przepisu § 52 dodatku, co dopiero w roku 1803 nastąpiło, stała się nietylko owa interpretacja i analogia istniejących już w témże prawie i w ordynacji hipotecznej pruskiej przepisów, ale że jak zaprowadzenie landszaftów wywołane zostało potrzebą uorganizowania kredytu ziemskiego, tak samo i rozciągnięcie przepisu już wyjątkowo w statutach tychże landszaftów znanego do wszelkich długów hipotecznych, tudzież wprowadzenie go w prawo ogólne krajowe w sposób ogólny i organiczny, wywołane zostało potrzebą dawniej nie w takim przynajmniej stopniu czuć się dającą, dalszego jeszcze ułatwienia i wykształcenia kredytu ziemskiego, już nietylko na spłatę długów, ale i na dostarczenie kapitału obrotowego, wymaganego; tak, iż ostatecznie kredyt ten jako objawienie nowych potrzeb i stosunków towarzyskich, stał się téż powodem wprowadzenia nowego przepisu, który najprzód sposobem wyjątkowym wszedł w statuta stowarzyszeń ziemskich, a dopiero później, bo w r. 1803 uzyskał charakter ogólnego prawidła, i jako taki w prawie powszechném pruskim domieszczony został.

II. Wiadomo powszechnie, że hipoteka nasza z roku 1818 urządzoną została na podobieństwo hipoteki pruskiej, i do niej najwięcej się zbliża. Aby w téj mierze żadna już wątpliwość zachodzić nie mogła, przywiode w tém miejscu niektóre ustępy z mów niezgasłej pamięci Antoniego Wyczechowskiego, mianych w d. 20 i 22 kwietnia 1818 r. w izbie senatorskiej i poselskiej przy wprowadzeniu projektu, którego był twórcą i który następnie przeszedł w moc prawa dotąd nas obowiązującego. Wykazawszy w rzeczonych głosach (1) niedostateczność i niestosowność podówczas obowiązującej

(1) Dyaryusz sejmu król. Polskiego z r. 1818 T. I, fol. 77; T. III fol. 21.

u nas hypoteki francuzkiej, i dawszy przytém treściwy zarys hypotek dawniej polskiej, austryackiej i pruskiej, jako na naszej ziemi wykonanych, mówi między innymi: „Prawodawstwa północnych narodów od najdawniejszych czasów zmierzały zawsze do tego celu, aby gotowizna obróconą była na ożywienie rolnictwa, jako najważniejszego źródła pomyślności krajowej“.

„Powszechnie życzenia są za systematem hypotek pruskich. Dwa są powody, dla których przyznać im musimy pierwszeństwo: raz, że połowa kraju doświadczyła już jego skutku, drugi raz, że przywracając ten systemat, unikniemy tak mocnego wstrząśnienia stosunków prawnych, jakieby wynikło z zaprowadzenia systematu austryackiego, który choć prawie zgodny w ogólnych zasadach, znacznie się jednak różni w szczegółowym ich rozwinięciu od systematu pruskiego.“

W inném miejscu wykazawszy niemożność oczekiwania ze zmianą całej księgi ustaw cywilnych, mówi:

„Nasze położenie jest takie, iż musimy przyjąć hypotekę, a nie możemy z nią przyjąć całego systematu praw pruskich; zawsze więc, czy prędko czy późno, zająć się powinniśmy zjednoczeniem przepisów kodexu cywilnego, z systematem hypotek pruskich.“

Dalój „sędzia, który potrafi zastosować prawo do przypadku, potrafi oraz zastosować prawo do prawa, i chętnie poświęci utrudnienie z tego względu, może nieco powiększone, kiedy się przekona, iż praca jego będzie oraz materyalem do przyszłego prawa. Systemat hypoteczny wcale na tém nie cierpi. Zasady w projekcie objęte są nietykalnemi, bo polegają na doświadczeniu. Prawo hypoteczne nie będzie się stosowało do kodexu cywilnego, lecz kodex cywilny powinien się stosować do prawa hypotecznego.“

Ale skoro nasza hypoteka wzorowaną została na zasadach hypoteki pruskiej, pytanie zachodzi, dlaczego nie została w niej uwzględnioną zasada § 52 dodatku do prawa powszechnego pruskiego, praw hypotecznych dotycząca?

Uwzględnienie takie nie dlatego miejsca nie miało, żeby zasada powyższa podająca właścicielom dóbr możność uzyskania funduszu za zabezpieczeniem go na spleconej już, a jeszcze niewyextabulowanej pozycji hypotecznej, miała być poczytana za nieodpowiednią potrzebom kraju, bo prawodawca uznawał potrzebę skierowywania gotowizny i kredytu na ożywienie rolnictwa krajowego, jako najważniejszego środka pomyślności krajowej; nie była także uważana za niesprawiedliwą, boby zapewne jako taka wytkniętą została. Ale raczej

wnosić można jedno z dwojga; albo: że prawodawca znając ten przepis, i nie uważając go wcale niesprawiedliwym lub potrzebom kraju nieodpowiednim, przemilczał o nim z umysłu, tak, jak przemilczał o wielu innych szczegółach od zasad obowiązującego u nas kodexu francuzkiego odstępujących, pozostawiając to wszystko dalszemu rozwinięciu, do jakiego położył nawet skazówkę w przywiezionych dopiero słowach; albo też, że przepis ten jako nieobjęty samą ordynacją hipoteczną pruską, której układ nastąpił wcześniej, t. j. w roku 1783, lecz zamieszczony dopiero na skutek patentu publikacyjnego z dnia 1 kwietnia 1803 r. w formie dodatku w nowej edycji prawa p. pruskiego, uszedł uwagi światłego prawodawcy, skierowanej głównie na ordynacją hipoteczną, do której, jako dotyczący wyłącznie praw hipotecznych mógł być i może właściwiej, zostać w nowej edycji dołączonym w formie dodatku. Takie pominięcie jest tém więcej do prawdy podobne, że w roku 1818 nie mieliśmy jeszcze tow. kr. ziem. które z powodu amortyzacyi, byłoby zapewne przepis ten na pamięć przywiodło. A przytém dopuścił się go i wprzód jeszcze, to jest w r. 1808 tłumacz ordynacyi hipotecznej pruskiej (1), który lubo dołączył do niej zbiór późniejszych patentów i urzędzeń, sprostowanie lub uzupełnienie porządku hipotecznego na celu mających, i lubo w zbiorze tym pozamieszczał także i przepisy dodatkiem do prawa p. pruskiego objęte, jak skoro ściągały się do praw hipotecznych, a między innymi lubo zamieścił decyzją Kommissyi Prawodawczej z roku 1788, cessyi praw hipotecznych dotyczącą, a w § 53 dodatku p. p. p. ujętą: to jednak pominął w nim przepis w § poprzednim, to jest 52 zamieszczony, wyłącznie do praw hipotecznych odnoszący się, i z przedmiotu swojego tak ważny; a pominął chyba dlatego, że wówczas przepis ten, jako dopiero od roku 1803 obowiązujący, nie mógł być mu tyleżnanym, ile np. wcześniejszy, bo z roku 1788 przepis § 53, i że zapewne w edycjach dzieł źródłowych, z których formował uzupełnienia urzędzeń hipotecznych pruskich, nie był jeszcze zamieszczony. I to także przywieść tu można, że gdy przepis powyższy nastąpił dopiero pod koniec panowania pruskiego nad prowincjami w skład b. księstwa warszawskiego, a następnie i królestwa Polskiego weszłemi, i gdy przytém stać on się mógł do-

(1) Ogólna ordynacja hipoteczna dla państw pruskich, z niemieckiego na język polski przełożona przez Ignacego Stawiarskiego, Warszawa, 1808. Rok wydania, data przedmowy z dnia 8 marca t. r. i sama jej osnowa okazują, że tłumacz miał już wówczas, że wszelki porządek hipoteczny, jaki u nas zaprowadzonym zostanie, nie będzie mógł wiele odstępować od hipoteki pruskiej, którą też wytłumaczył wtenczas nawet, kiedy już u nas obowiązywać przestała.

statecznie jawnym dopiero z późniejszych edycji prawa powszechnego pruskiego dodatki obejmujących, nie dziwnego, że uszedł uwagi tłumacza ordynacji hipotecznej pruskiej, i że następnie przy zaprowadzeniu hipotek z roku 1818, nie została nań skierowaną uwaga naszych prawodawców, a tém samém téż nie dziwnego; że w takim położeniu rzeczy praktyka nasza sądowa zapatrując się na niezmiennione dotąd zasady kod. cywil. fran., które co do głównych zasad pomieszania praw, zgodne są z prawem p. pruskiém, wyrobiła ustaloną już u nas teorią, jaka przed rokiem 1802 i w Prusach przeważała, t. j. że należność spłacona choć nieextabulowana, gaśnie bez powrotu i nigdy odżyć nie może, i że dłużnik spłaconą a niewyextabulowaną pozycją nie może bez naruszenia dobrej wiary rozporządzać, lecz że miejsce spłaconego wierzyciela zajęte jest *ipso facto et jure* przez poniższych wierzycieli hipotecznych.

Wychodząc wyłącznie ze stanowiska prawnego, możnaby i dziś jeszcze przywożyć za przepisem § 52 dodatku d. p. p. mniej więcej to wszystko, co w roku 1802 przywiodła w téj materji Kommissya Prawodawcza pruska, a od podobnej interpretacji w roku 1818, lub wkrótce potem, nie potrafiłby zapewne odprowadzić naszych prawników art. 1300 k. c., tak jak od niej nie odprowadził § 476 tyt. 16 czę. I p. p. p., który również jak tamten przyjął zasadę na naturze rzeczy opartą, że połączenie w jednej osobie przymiotów wierzyciela i dłużnika; znosi wzajemne prawa i obowiązki, ani art. 119 prawa hipotecznego z r. 1818, który podobnie jak § 61 tyt. I § 261 tyt. II ordynacji hyp. pr. stanowi, że przez zaspokojenie wierzytelności hipotecznie ubezpieczonej, umarza się prawo rzeczowe wierzyciela.

Nie szłoby téż wcale o ubliżanie zasadzie pomieszania praw wierzyciela i dłużnika w jednej osobie, ale raczej o zastosowanie jój do wierzytelności hipotecznych w taki sposób, aby opróżnione takowém pomieszczeniem miejsce w hipotece, nie było zajmowane przez kolejne posuwanie się wszystkich wierzycieli hipotecznych, z pozycji niższej na wyższą, a to samém przez się prawem, bez uzyskania przyzwolenia dłużnika lub wyroku sądowego; lecz aby służyć mogło za przedmiot zabezpieczenia na właściwej drodze dla wszystkich tych wierzycieli, którzy nie mają żadnego, lub tylko niedostateczne bezpieczeństwo rzeczowe, i którzy tém samém w myśl art. 116 pr. sejm. z r. 1818, są wylegitymowani żądać dodatkowego zabezpieczenia; albo téż aby pozostało wolne do dalszej dyspozycji właściciela.

W materji téj nawykliśmy, lecz niewłaściwie, brać miejsce hipoteczne za prawa i obowiązki miejscem tém zabezpieczone. Te osta-

tnie skutkiem pomieszczenia ich w jednej osobie znikają zawsze, i odżyć już nie mogą, chyba, że wykreślenie ich z hypoteki nastąpiło w sposób niezależny (art. 121, 122 prawa hypotecznego z r. 1818); ale miejsce jakie w hipotece służyło dla zabezpieczenia tych praw nie niknie, i o to tylko chodzić może, czy i kto je ma zająć i w jaki sposób?

Idąc za świadectwem Strombecka (1), powołującego się na rekskrypt z d. 26 lipca 1814 r. (zapewne ministeryalny, gdyż go w zbiorze praw pruskich nie znajduję), właściciel nieruchomości w Prusach wnieść może do hypoteki wpis na summę oznaczoną dla wierzyciela przyszłego z imienia wymienionego, lub dopiero wymienić się mającego.

Podobnego przepisu ustawa hypoteczna z r. 1818 nie obejmuje, lecz i u nas nie widzę w prawie przeszkody, aby takie zastrzeżenie wpisu na przyszłość nie mogło być w hipotece robione i właściwego sobie skutku uzyskiwać nie miało; a nawet wiadomy mi jest przykład, w którym podobny wniosek przez tutejszy wydział hypoteczny zatwierdzony został, dozwalając na wpisanie do wykazu, obok zahypotekowania pewnej summy, jeszcze wzmianki „iż przed summą tą ma pierwszeństwo zaciągnąć się jeszcze mogąca pożyczka na dobra niemiejsze złp. 50,000 wynosząca.” A skoro tak jest, nową w tém widzę pobudkę utrzymywać, że zasada prawa pruskiego co do pomieszczenia praw hypotecznych, da się pogodzić z naszą hypoteką, i nie jest nawet przeciwną duchowi kodexu cywilnego.

I tego jeszcze uwagą pominąć nie można, że wówczas, to jest w r. 1818, nie było jeszcze pożyczek tow. kred. z wyraźną wzmianką w wykazach, iż są splacalne procentem amortyzacyjnym ściśle oznaczonym i nieodzwrotnie opłacać się winnym; że zatem nie było jeszcze takich wierzycieli hypotecznych, którzyby tu mogli prawa swoje za naruszone w czémkolwiek poczytywać.

Owszem, zaprowadzone w lat kilka po ustawie hypotecznej z r. 1818 Tow. Kred. z systematem amortyzacyjnym, byłoby tylko ów *usus fori* utwierdziło, bo jakkolwiek wykaz hypoteczny nauczałby wierzycieli hypotecznych, że zapisana w pierwszym miejscu pożyczka Tow. Kred. musi być w sposób oznaczony amortyzowaną, to przecież wiedzieliby zarazem, że pomimo téj amortyzacji prawa ich pozostaną nie tylko w tym samym numerze wykazu, ale w téj samej wysokości szacunku, to jest w tém samym miejscu i bez żadnej zmiany.

(1) Ergänzungen der allgemeinen Hypoteken, und Depositall Ordnung für die Preussischen Staaten, von Fr. H. von Strombeck. Halberstadt 1827 (§ 117)

Cały ten wywód prawny dowodzi tego tylko, że zaraz po wprowadzeniu hipoteki z r. 1818, mogła być ustalona u nas odmienna, a do prawodawstwa pruskiego zastosowana praktyka, co do pomieszczenia w jednej osobie praw hipotecznych wierzyciela i dłużnika, i że gdyby niedość było na interpretacji przepisów prawnych już istniejących, byłoby nietrudno przez wydanie dodatkowego przepisu nakształt § 52 dod. do p. p. p. pogodzić pod tym względem ducha hipoteki naszej z zasadami kodexu cywilnego, bez obrazy czyichkolwiek już nabytych praw. I nie byłoby w tym nic niespodziewanego; prawodawca albowiem z r. 1818, zaraz przy wniesieniu projektu zapowiadał potrzebę *zjednoczenia przepisów kodexu cywilnego z systematem hipotecznym* (a jak się wyraził) *pruskim*, a nawet ostrzegał: że pogodzenie to nastąpić winno przez *zastosowanie kodexu cywilnego do prawa hipotecznego, a nie prawa hipotecznego do kodexu*.

Alé dziś inne jest położenie.

Przeszło trzydziestoletnia zawsze jednostajna, a nadto z dawniejszą hipoteką kodexową zgodna praktyka sądowa, ustaliła już u nas zasadę, iż skutkiem pomieszczenia w jednej osobie praw wierzyciela i dłużnika, wierzyciele hipoteczni nabywają prawa do podniesienia się w lokacyi *ipso jure*, bez jakiegokolwiek ze swój strony przyczynienia się, a nabywają go choćby wierzytelność spłaconą natychmiast wyextabulowaną nie została; prawo zaś do extabulacyi spłaconej wierzytelności utracają wtedy tylko, kiedy ta mimo spłacenia nabytą została przez trzeciego przed extabulacją i w dobrej wierze: lecz w takim razie wierzyciele poniżsi mają znowu akcyą stelionatu przeciw cedentowi, który wierzytelność swą cedował mimo, że o jej zapłaceniu nie mógł wiedzieć. Tego rodzaju *jus quaesitum* musi zawsze być uszanowane; należy przeciw uważać, że rozciągać się ono może tylko o tyle, o ile wierzytelności poprzednie zostały rzeczywiście spłacone, spłata albowiem długu choćby już z ubiegłym i z hipoteki jawnym terminem wypłaty, może za wspólnym zezwoleniem stron zostać odłożoną do późniejszego czasu, bez zapytywania o to poniższego wierzyciela; a przytém dłużnik korzystając z możności art. 1250 k. c. w ustępie drugim dozwolonej, może przy zachowaniu przepisanych tamże form, zaciągnąć nową pożyczkę na spłacenie dawnego długu, podstawiając pożyczalnika w prawach spłaconego wierzyciela, nawet bez wpływu woli niższych wierzycieli. Tak więc choćby w wykazie hipotecznym było objawione, że wierzytelność poprzednia będzie w oznaczonym terminie zapłaconą w części lub w całości, nie nadaje to jeszcze prawa poniższemu wierzycielowi do żądania, iżby w terminie tym została extabulowaną; chy-

ba, gdyby z wykazu było także jawne zezwolenie wierzyciela poprzedniego, że tylko do owego czasu chce być na hipotece ubezpieczonym, i żąda, aby po jego upływie został wykreślonym, nawet choćby zapłata w terminie nie nastąpiła, lub się o nią z dłużnikiem w inny sposób porozumiał; albo, jak to ma miejsce z pożyczkami towarzystwa, gdyby objawiona w wykazie hipotecznym spłata, następowała w sposób ściśle prawem oznaczony i przymusowy, a tém samém żadnych zmian niedopuszczający.

W takich to tylko szczególnych wypadkach, wierzyciel hipoteczny ma dobrze nabyte prawo nietylko do rzeczywistój, ale nawet i do ewentualnej dopięro spłaty poprzednich wierzytelności; a i tu jeszcze jest do uważania, że gdy prawo o towarzystwie kredytowém ziemskim z r. 1825 (art 81), dozwala dłużnikowi jednorazowej spłaty w całości lub części nad obowiązek amortyzacji dwuprocentowej, a nigdzie przytém nie zawiera przepisu, któryby odejmował prawo subrogacji bądź dłużnikowi chcącemu w taki sposób spłacić towarzystwo, bądź towarzystwu jako wierzycielowi chcącemu w taki sposób odebrać swoje należność, idzie za tém: że gdyby bądź towarzystwo kredytowe, bądź dłużnik chcieli z tego niewzbronionego sobie prawa korzystać, wierzyciele poniżsi nie mieliby zdaje się prawa przeciwić się takiemu podstawieniu, które równie jak w innych zwyczajnych podstawieniach miejsce mieć może bez ich wiedzy i zezwolenia, a ten nowy w miejsce pożyczki T. K. wstępujący wierzyciel, jak z jednej strony nie miałby praw do wyjątkowej exekucyi prawem z r. 1825 przepisanej, i tylko władzom T. K. służyć mogącej, tak z drugiej miałby zdaje się prawo, układać się z dłużnikiem, jak każdy inny wierzyciel, o zmniejszenie stopy amortyzacyjnej lub przyjęcie terminu stałego do spłaty długu, a następnie mógłby termin ten odrazać, a to wszystko bez wpływu i zezwolenia poniższych wierzycieli hipotecznych; co także okazuje, że prawa wierzycieli dziś już na hipotece będących do przyszłej dopięro amortyzacji nie są tak mocne i tak niewątpliwe jak te, które służą do amortyzacji już dokonanej, i że między nimi zachodzi różnica, któraby potrzebowała być uwzględnioną, gdyby na podobieństwo § 52 dodatku do p. p. p. przyjść miało u nas do zmiany zasady pomieszczenia w jednej osobie praw dłużnika i wierzyciela hipotecznego.

III. Ale kwestyą tę pozostawiając dalszemu rozbirowi prawników, dołączam jeszcze kilka uwag, dotyczących samej potrzeby i użyteczności podobnej zmiany w ustawie naszej hipotecznej.



Najprzód należy przyjść do jasnego pojęcia mechanizmu skutków, jakie prowadzi za sobą zastosowanie jednej lub drugiej zasady, co do pomieszczenia w jednej osobie praw dłużnika i wierzyciela hipotecznego.

Obciążenie hipoteki składa się z jednej lub więcej wierzytelności. W pierwszym razie, zastosowanie téj lub owéj zasady, musi być obojętném tak dla właściciela od długu zwolnionego, jak i dla jedynego, a już zaspokojonego wierzyciela; w drugim atoli razie doprowadza ono do odmiennych, a kredyt rolniczy zbliżka obchodzących rezultatów.

I tak: jeżeli wierzytelności hipoteczne nie dochodzą lub najwięcej dorównywają szacunkowi, jaki w każdym razie za dobra uzyskać można, mimowolne podnoszenie się w szacunku, jakie dziś następuje skutkiem jednorazowej lub częściowej spłaty jednej z pomiędzy wierzytelności w pierwszych pozycjach wykazu zahypotekowanych, jest zwykle obojętne dla poniższych, a jeszcze niewątpliwie ubezpieczonych wierzycieli, i tylko pod względem rychlejszej realizacyi ze spodziewanej w czasie pożyczki Towarzystwa Kredytowego interesować ich może; a i to nie zawsze, gdyż pomiędzy nimi, mogą być i tacy, którzy nie potrzebując funduszu do bezpośredniego użytku, i nie chcąc mieć trudu powtórnej lokacyi, uważać będą prawa swoje naruszonemi w tém, że mogą zostać zmuszeni odebrać z pożyczki Towarzystwa wierzytelność, której termin nie nadszedł, i którą przynajmniej aż do tego terminu na téjże hipotece pozostawić pragnęli.

Ale dla właściciela dóbr nie jest wcale obojętném, czy zwolniona skutkiem spłaty pozycja hipoteczna, mieści się na początku, w środku lub na końcu szacunku dóbr. Kredyt albowiem jaki uzyskać zdoła na hipotekę końcową, przyjdzie mu zawsze pod uciążliwszemi warunkami, niż gdyby go zaciągał na pozycją wyżej w szacunku dóbr położoną. A przytém, jeżeli użyteczność kredytu ziemskiego, na niewątpliwą część szacunku dóbr, co właściwie nazwę zrucho-mieniem tegoż szacunku, jest już u nas dostatecznie poznaną, wątpliwą jeszcze być może użyteczność podobnego zrucho-mienia, ostatniej części tegoż szacunku. Właściciel albowiem z długami całkowity szacunek wyczerpującemi jest w tém położeniu, że przy jakiegokolwiek znaczniejszej klęsce losowej, traci wszelki interes do dóbr, i zaniedbuje gospodarstwo, co ostatecznie idzie na szkodę nie tylko jego samego i wierzycieli, ale i ogółu, którego pomyślność jest wszędzie i zawsze z pomyślnością rolnictwa ściśle powiązaną.

Jeżeli znowu wierzytelności hipoteczne przenoszą szacunek, jaki w każdym razie za obciążoną niemi nieruchomości uzyskać można, mimowolne podnoszenie się w lokacyi interesuje rzeczywiście tych tylko wierzycieli, którzy się mieszczą na samym końcu rzeczywistego szacunku dóbr, a więcej jeszcze tych, którzy wątpliwą swoją lub zupełnie niepewną lokacyą zamieniają tym sposobem na lokacyą bezpieczną. Interes tych ostatnich końcowych wierzycieli, jest istotnie ściśle powiązany z terażniejszą praktyką sądową, ale obok nich, mogą pomiędzy wierzycielami wyżej zahypotekowanymi być tacy, którym mimowolne podnoszenie się do wyższej jeszcze lokacyi, a w następstwie i przymusowa spłata z pożyczki towarzystwa mogą nie być pożądane, a przytém mogą być jeszcze i wierzyciele niehypoteczni, a pomiędzy niemi i tacy, których tytuły są dawniejsze, lub więcej godne uwzględnienia, albo którzy ufając więcej osobistemu charakterowi dłużnika, nie żądali hipoteki we właściwym czasie, lub też obok wyczerpanego szacunku już jej żądać nie widzieli powodu. Interes tych ostatnich wierzycieli jest tu zupełnie pominięty, a jednak trudno dopatrzeć się słusznego powodu, dla jakiego wierzyciel uzyskujący hipotekę na przeczerpanym, a zatém już na nie-  
 exystującym rzeczywiście szacunku dóbr, sam przedmiot hipoteki stanowiącym, ma z ewentualnej spłaty poprzedniej wierzytelności w czystym szacunku dóbr mieszczącej się, na jaką spłatę rachować nie mógł, i która dla niego przynajmniej tylko za przypadkową uważaną być winna, korzystać sam jeden, z wyłączeniem wszystkich wierzytelności niehypotecznych. Wprawdzie w pojęciu czysto-prawném, wierzyciele hipoteczni choćby na szacunku dziesięcio-krotnie przeczerpanym, mają prawo rzeczowe, jakie nie służy wierzycielom niehypotecznym, choćby wewnętrzny przymiot ich tytułów był dawniejszym, lepszym i sprawiedliwszym; w pojęciu jednak zwyczajném, mają oni tylko formę prawa rzeczowego, a nie jego istotę, prawo albowiem rzeczowe, przywodzi koniecznie na myśl bezpieczeństwo na rzeczy, a oni mają tylko akt zahypotekowania bez istotnego bezpieczeństwa. Co do interesu właścicieli dóbr długami przeciążonych, ten przy dotychczasowej praktyce sądowej, jest tu już zupełnie z uwagi pominięty; wszelka albowiem spłata długu hipotecznego, nie jest mu zdolną otworzyć choćby uciążliwego na końcową hipotekę kredytu, ani mu na żaden bezpośredni nie idzie pożytek.

Doprowadza to właścicieli odłużonych albo do zaniedbania gospodarstwa, albo do aktów symulacyjnych sprzedaży dóbr lub nabycia wierzytelności hipotecznych pod nazwiskami podstawionemi:

W obu wypadkach kończy się dramat wywłaszczeniem, za szacunek część tylko wierzytelności hipotecznych pokrywający. Wywłaszczenie zaś nietylko odejmuje wierzycielom na szacunku dóbr nie utrzymującym się ową nadzieję podnoszenia się do coraz wyższej lekacyi, co uważane jest za główną korzyść terażniejszej zasady co do pomieszenia w jednej osobie praw dłużnika i wierzyciela hipotecznego, ale jeszcze, zwłaszcza przy sprzedażach ze skróconém postępowaniem, sprawia niekiedy i to, że nawet ci wierzyciele hipoteczni, którzy dawniej mieścili się w rzeczywistym szacunku dóbr, ujrzą się spadłymi z hipoteki bądź dlatego, że nie mieli środków dostatecznego praw swoich dopilnowania, bądź że skutkiem zaniedbania gospodarstwa, sam szacunek dóbr obniżonym został.

Tego rodzaju wywłaszczenia dla wierzycieli niespodziewane, a częstokroć w interesie samegoż właściciela będące, miały do roku 1818 przeciwwagę w tém, że właściciel nabywca z wolnej ręki, nie udając się do aktów symulowanych, miał możność znaglenia wierzycieli, aby ci w oznaczonym czasie żądali publicznej sprzedaży dla uzyskania wyższej ceny, ręcząc przytém za podniesienie jęj o dziesiątą część wyżej, albo aby dobra za szacunek przez niego umówiony w jego ręku pozostawili (art. 2181 — 2192 k. c.). Od roku 1818 przepis ten już nie obowiązuje. Odtąd samemu tylko wierzycielowi pozostawione jest, kiedy i w jaki sposób należności swojej ma poszukiwać (art. 69 pr. z roku 1818); lecz przepis ten z duchem hipoteki pruskiej zgodny, i który znajduję sprawiedliwym, wymaga właśnie dopełnienia go takim, jaki jest objęty w § 52 dodatku do p. p. p.

Bez takiego przepisu nabywca z wolnej ręki odpowiedzialnym będąc z nabytego majątku za wszelkie długi na nim przed nabyciem zahypotekowane, choćby te rzeczywisty szacunek dóbr przewyższały, a nie mogąc już znaglić wierzycieli do wystawienia dóbr na sprzedaż, dla dojścia do oczyszczenia hipoteki jest zniewolony oczekiwać na to, póki który z wierzycieli nie wystawi ich na sprzedaż. Wierzyciele końcowi i w wątpliwęj części szacunku zamieszczeni, zwykle téj czynności nie rozpoczynają; przekładają albowiem choć widok stopniowego w przyszłości ulepszenia bezpieczeństwa swego, jakie w skutku koniecznych upłat z pożyczki towarzystwa kredytowego, ciągle choć zwolna następować musi, nad wywłaszczenie dla nich nie obiecujące. Toż samo wierzyciele dobrze umieszczeni, mogą także nie znaleźć interesu w rozpoczęciu téj przykręj i kosztownęj akcyi; nie im albowiem przynieść ona nie może nad to, czego i tak stracić nie obawiają się, a stawia ich niekiedy w potrzebie szukania powtórnej lo-

kacy dla swego kapitału. Idzie więc za tém, że przy odłużeniu dóbr nad wartość (co miewa miejsce z dobrowolnych układów, lub z ubezpieczeń na drodze sądowej uzyskanych) sam właściciel stara się zwykle o oczyszczenie hipoteki przez sprzedaż sądową, do czego w tém właśnie znajduje podjętę, że dopóki sprzedaż taka nie nastąpi, wszelka dobrowolna spłata długu dobrze umieszczonego, lub też przymusowa amortyzacja pożyczki towarzystwa, nie może mu podać sposobności zaopatrzenia się w kapitał obrotowy; lecz jak to już wykazano, idzie ostatecznie na korzyść wierzytelności, na samym końcu hipoteki umieszczonych, które mogły nie być przez ostatniego właściciela dóbr wypożyczone, a nawet mogą przenosić cenę istotnemu szacunkowi dóbr odpowiadającą, jaką tenże z wolnej ręki byłemu właścicielowi postąpił.

I w rzeczy samej doświadczenie uczy: że znaczna ilość sprzedaży wywłaszczonych następuje w interesie i z natchnienia samychże dłużników, a mniejsza tylko z poręki tych wierzycieli hipotecznych, dobrze na szacunku zamieszczonych, którzy z jednej strony są w potrzebie podniesienia swego kapitału, a z drugiej nie potrzebują oczekiwać na mimowolne lub przypadkowe podniesienie się w lokacyi, które też, (wyjąwszy umorzoną część pożyczki towarzystwa kredytowego, jaka aż do zupełnej swój spłaty na imię tegoż towarzystwa w hipotece pozostaje), uprzedzane zwykle bywa aktami symulacyjnymi, tak, iż przy dobrach mocno odłużonych, rzadko tylko następuje, a i w tych rzadkich wypadkach idzie ostatecznie na pożytek tylko wierzycieli końcowych, z wątpliwego do niewątpliwego szacunku przechodzących.

Taki tryb postępowania i to jeszcze prowadzi za sobą, że właściciel dóbr nad wartość odłużonych zwykle wtedy tylko spłaca wierzytelność wymagalną, kiedy w terminie jej spłaty znajdzie nowego pożyczalnika, który w myśl art. 1250 k. c. podstawia się w miejsce dawnego wierzyciela; jeżeli jednak takiego pożyczalnika nie znajdzie, nie ma interesu dokładać starania o uzyskanie funduszu na innej drodze, ani nawet choćby już posiadał własny fundusz, nie użyje go przecież na spłatę długu, który mu bezpośrednio żadnego nie przynosi pożytku. Idzie za tém: że ze szkodą ogólnego kredytu ziemskiego, terminy wierzytelności w niewątpliwym szacunku pomieszczonych nie są zwykle dotrzymywane, i częstokroć dlatego właśnie, że są wysoko pomieszczone, i że po nich następują inni jeszcze wierzyciele. Wreszcie idzie za tém i to: że udzielający pożyczkę na dobra z terminem oznaczonym, ma rzeczywiście interes pragnąć, aby poniżej należności

jego nie były zaciągane dalsze długi, które tylko dłużnika do niewypłacenia jęj w terminie powodować mogą.

Taki jest szereg następstw, jakie mają miejsce w systemacie naszej hipoteki na podobieństwo pruskiej wzorowanej, bez przyjęcia z nięj zasady co do pomieszania praw właściciela i wierzyciela hipotecznego § 52 dodatku do p. p. p. wprowadzonęj.

Z przyjęciem takięj zasady, ma się rozumieć tylko na przyszłość, następstwa te byłyby innemi. Kilka słów o nich domieszcze.

W systemacie pruskim, właściciel dóbr spłacający wierzytelność hipoteczną, ma prawo, własność téjże summy na swoje imię przepisać, nie znosząc jeszcze jęj bytu przez pomieszanie w jego osobie przymiotów wierzyciela i dłużnika.

Jeżeli z prawa tego nie korzysta i na wykreślenie z hipoteki dozwoli, wszystkie poniżęj zapisane wierzytelności podnoszą się w szacunku, każda ze swego miejsca o całą wysokość dopełnionęj spłaty. I w tém tylko jest różnica, że u nas podnoszenie się takie, następuje samém przez się prawem, choćby wierzytelność spłacona wykreśloną nie była (jak to naprzykład ma miejsce z umorzoną pożyczką Towarzystwa), w systemacie zaś pruskim następuje tylko w skutek wykreślenia z hipoteki za zezwoleniem dłużnika, a nie na żądanie wierzycieli dokonanego,

Jeżeli znowu właściciel dóbr nie zezwala na wykreślenie spłaconęj wierzytelności, lecz takową na swoje rzecz zatrzymuje, do czego wystarcza mu samo pokwitowanie wierzyciela bez formalnéj cessyi, bezpieczeństwo rzeczowe wierzycieli hipotecznych, poniżęj spłaconego długu zapisanych, żadnego samém przez się prawem nie doznaje ulepszenia. Pozostaje ono jak było ani lepsze, ani gorsze, i to w każdym razie, czy szacunek dóbr jest długami w części tylko lub w całości wyczerpany, lub nawet przeczerpany.

Tylko w porównaniu z położeniem w jakim są przy dotychczasowém u nas postępowaniu, jest ono dla nich mniej przyjazne, w razie albowiem ewentualnéj spłaty poprzednich długów, tracą prawo do podnoszenia się w lokacyi *ipso jure*; ale zato nie może już mieć miejsca ten wypadek, w którym mimowolne podnoszenie się w lokacyi, postawi wierzycieli w konieczności odebrania z pożyczki Towarzystwa Kredytowego należności, której termin nie nadszedł, i której odebrania może sobie nie życzyli; a przytém wierzyciele poniżęj spłaconego długu zahypotekowani, w szczególnych prawem przewidzianych wypadkach, nabywają prawa żądania dodatkowego na

splaconej pozycyi ubezpieczenia (1), którego to prawa nabywają także i bez ograniczenia wierzyciele żadnego ubezpieczenia rzeczowego niemający; a to do czasu, póki właściciel splaconą pozycyą hipoteczną inaczéj nie rozporządzi.

Nie przeto wierzyciele hipoteczni nawet końcowi, którzy ostatecznie korzystają sami z mimowolnego podnoszenia się w lokacyi, skarżyć się na to mogą: bo jeżeli wierzyciel ma prawo wymagać, aby ubezpieczenie rzeczowe, jakie sobie raz wyjednał, nie było bez wpływu jego zmniejszane lub obniżane, nie może przecież rościć pretensyi i do prawa, iżby ubezpieczenie to i bez jakiegobądź z jego strony przyczynienia się, ulepszało się samém przez się prawem. Szłoby więc tylko o uwzględnienie tych praw do podniesienia się w lokacyi, jakie już dotąd przez wierzycieli nabyte dobrze zostały, a co téż, jak zbytecznie już powtarzać, miejsce miećby musiało.

Pozostaje jeszcze wypadek, kiedy niewykréslona i na rzecz właściciela zatrzymana wierzytelność zostanie trzeciemu odstąpioną, lub nowym długiem obciążoną wprzód, nimby na nią dotychczasowi wierzyciele hipoteczni lub niehipoteczni uzyskać mogli dodatkowe lub nowe zupełne ubezpieczenie.

Można nie wątpić, że z możności téj właściciel wtedy właśnie najczęściej korzystać będzie, kiedy dobra jego znacznemi długami będą obciążone, kiedy zatém na końcową hipotekę żadnego już długu, lub tylko pod uciążliwemi warunkami uzyskać zdoła.

Zarzut, że tym właśnie środkiem pada mu się możność przyjscia do funduszu, który nie będąc użyty na dalszą spłatę długu zmarnotrawionym być może, należy pominąć i jako niewłaściwy uważać.

Bo najprzód sama dobrowolna spłata długu hipotecznego wysoko umieszczonego, która dopiero podaje możność przyjscia do funduszu, okazuje, że właściciel działał porządnie i z oględnością.

Gdyby chciał marnotrawić, krótsząby miał drogę użyć na to funduszu, jakiego z własnej woli użył poprzednio na spłatę długów. Tylko więc do tych opłat, które nie są dobrowolnemi, i które pod nieodzownym rygorem nastąpić muszą, jak np. do opłat na umorzenie pożyczek Tow. Kr. Ziem., budowlanych i innych t. p. zarzut powyższy mógłby być stosowalnym; ale znowu właśnie dlatego, że wła-

(1) Pr. p. p. część I § 20, 22, 23. „Kto raz przyjął ubezpieczenie ustanowione zastawem lub hipoteką, winien zaprzestać na niem aż do czasu wypłaty. Może jednak żądać dostateczniejszego ubezpieczenia, gdy przez własne czyny dłużnika, przez przypadki zewnętrzne, lub następnie dopiero odkryte wady i niedostatki rzeczy, wartość jej zostanie zmniejszoną do tego stopnia, iż już zamówionego nie okazuje ubezpieczenia. Art. 116 prawa hipotecznego z roku 1818.

ściciel musi zapłacić tę amortyzacją choćby mu przyszło na lichwę pożyczyć lub produkt zmarnować, możliwość korzystania z niej w epoce odnowienia powinienby mieć przede wszystkim on, nie zaś wierzyciel hipoteczny po pożyczkach tego rodzaju umieszczony, który do tej przymuszonej, a często z ofiarą połączonj amortyzacji w niczem się nie przyczynił, a przecież, jak to dotąd ma u nas miejsce, sam jeden bierze w niej wyłączny udział. Wzgląd na podanie właścicielom stowarzyszonym środków do ciągłego utrzymywania gospodarstw w dotychczasowym stanie, i niedopuszczania ich deteryoracji mimo klęsk przypadkowych, zwyczajnemi towarzystwami assekuracyjnemi niezabezpieczonych, a na czem dopiéro wierzyciele tracą, przemawiałby raczej za tém, aby na przyszłość właściciele mieli nie tylko możliwość korzystania z tej amortyzacji, ale nawet aby w pewnej jakiej części, nikt inny już z niej korzystać nie mógł. Mądrym jest zaiste przepis, że właściciel byle odbudował pogorzałe budynki, ma prawo podnieść do rąk bonifikacją aresztom i zajęciu sądowemu nieulegającą (§ 9 ustawy o zabezpieczeniu od ognia budynków), dla czegożby więc nie miał mieć nadanego sobie podobnego prawa i co do amortyzacji opłacanych w sposób również konieczny jak składki ogniowe, byle tylko dobra utrzymywał w dobrym stanie, lub je amehorował. Na tego rodzaju zapewnione sobie prawo, właściciel dóbr mógłby w nagłej potrzebie znaleźć zawsze kredyt; a czyżby to wówczas nie mogło stać się raczej assekuracją przeciw upadkowi gospodarstw, niż powodem do marnotrawstwa.

Ale zresztą dopuszczanie marnotrawstwa prowadziłoby logicznie do uznania, że same pożyczki Tow. Kr. też samj właścicielowi podają łatwość; że zatem albo ich wcale udzielałby nietrzeba, albo tylko wyłącznie na spłatę długów hipotecznych, tak, aby właściciel nie odbierał nigdy pożyczki do rąk; lecz i w tym nawet razie jeszczeby nie miano pewności korzystnego użycia zaciągnionj z towarzystwa pożyczki, bo właściciel dlatego właśnie potrafilby dostać z kądinąd funduszu na cel marnotrawczy, że dający go na hypotekę, miałby prawo być spłaconym pożyczką towarzystwa, na spłatę długów przeznaczoną.

Należy więc i owszem przyjąć, że właściciel uzyskujący tym sposobem fundusz, używać go będzie na cele użyteczne, a w szczególności na podniesienie gospodarstwa rolniczego, które jest jego przemysłowem zatrudnieniem, czyli na kapitał obrotowy w rolnictwie.

Dalekoby mnie odprowadziło od założenia, gdybym chciał tu dowodzić, jak dalece ten ostatni rodzaj kredytu jest w rolnictwie użytecznym i potrzebnym, zwłaszcza w epoce w której wydatki grunto-

we coraz więcej zaczynają się odbywać w gotowiznie, a nie jak dawniej w usługach osobistych; jak wielkie on korzyści dla podźwignięcia rolnictwa przynieść, a nawet samą wartość dóbr podnieść, i ogólny dobry byt w kraju, tudzież dochody kraju powiększyć może.

Dowodząc tego potrzebowałbym wykazać zarazem, że taki dopiero kredyt ziemski zasługiwać może na nazwisko kredytu, i że dobrze uorganizowany, i w połączeniu ze środkami ukształcenie przemysłowe na celu mającemi, tudzież z instytucjami wartość dóbr do granic możliwości zruchoamiającemi, staćby się mógł niejako dopełnieniem środków, jakie władza dla pomysłności rolnictwa przedsiębrać może.

Przedmiot to zbyt ważny, aby tu nawiasowo dał się dostatecznie wywieść; ale i bez naukowego wywodu każdy z naszych ziemian, któremu nie jest obcym stan europejskiego rolnictwa i coraz więcej ustalającej się na płody przemysłu rolniczego swobody handlowej, pojmie dostatecznie, że jak z kapitałem obrotowym i za przykładem (którego nie zbraknie) coraz liczniejszych przodowników wzorowego gospodarstwa, wartość dóbr wzrastać, i wartości ich w sąsiednich krajach dorównywać, a tymczasem wysoki procent od dzisiejszego szacunku dóbr przynosić zdoła; tak znowu bez takiego kapitału, nietylko trudnym jest w tanioci produkcyi sprostać zagranicznym, ale nawet niełatwym utrzymać dobra w téj wartości, jaką dziś mają, i mieć z nich jakkolwiek odpowiedni dochód.

Powtarzam więc, wywód tego wszystkiego odprowadził mnie daleko od założenia; w tém miejscu téż dosyć na samém wskazaniu:

1) że możność zachowania przez właścicieli pożyczki hypotecznej dobrze w szacunku umieszczonej, poda już jeden ze środków uzyskiwania pod nieuciążliwemi warunkami tak mocno upragnionego kredytu na kapitał obrotowy w gospodarstwie, a to bez podstawianych sprzedaży dóbr, lub nabywania pod obcém nazwiskiem długów na własnych dobrach zapisanych, lecz za pośrednictwem jawnych i nietajonych pożyczek, i nie skutkując licznym a najczęściej w interesie samego dłużnika prowadzonych, a zawsze kosztownych i do frymarki dobrami wiodących wywłaszczeń.

2) że podwyższona skutkiem dobrze i z siłą prowadzonego gospodarstwa wartość dóbr ziemskich, do czego owa możność uzyskiwania kapitału obrotowego podaje właśnie sposobność, idzie na użytek nietylko właściciela dóbr, ale i wierzycieli hypotecznych w wątpliwym szacunku zamieszczonych; ciż sami albowiem wierzyciele, którzy przy dotychczasowém postępowaniu, sami na mimowolnym



i stopniowém podnoszeniu się w lokacyi zyskiwać mogli, a rzeczywiście w tych tylko nielicznych wypadkach zyskiwali, w których dobra pomimo znacznego obciążenia, pozostawały długo w ręku tych samych posiadaczy, ciż sami mówię wierzyciele, korzystać będą przed innymi z podwyższającego się szacunku dóbr, których przytém frymarka i sprzedaż na drodze sądowej oczyszczenie długów skutkującej, mniej już pochopną i mniej niejako konieczną się stanie, tak, iż przeciw takiej zmianie prawa nietylko nic mieć, ale nawet w dobrze zrozumianym swym interesie pragnąć jej przed innymi powinni.

3) i że obok koniecznego spłacenia pożyczek Tow. Kr. na najznacniejszej części dóbr w kraju zaciągnionych, nietrudną okazałaby się kombinacja kredytowa, dążąca do uogólnienia w sposób organiczny, na skalę dosyć rozległą, i wszystkim nieledwie dohrom ziemskim przystępną, kredytu na kapitał obrotowy, co bez wątpienia stałoby się potężną dźwignią dla rolnictwa krajowego, będącego *quantitative* najważniejszą gałęzią przemysłu krajowego.

Przekonany, że znaczna liczba kwestyj dotąd ściśle za prawne uważanych, rozbieraną dziś być powinna i ze stanowiska ekonomicznego, i że na téj tylko niejednostronnej drodze poprawa prawodawstwa potrzebom towarzystwa odpowiedzieć zdoła, kończę wynurzeniem życzenia: aby jedna z tego rodzaju ważnych kwestyj, jaką w piśmie tém znowu poruszam, stać się mogła i to teraz właśnie, dla dobra rzeczy, i w duchu prawdy, przedmiotem rozbióru, któryby ją ze stanowiska ekonomiczno -prawnego dostatecznie wyczerpał.



## KRONIKA LITERACKA.

*Felicyta, czyli Męczennicy Kartagińscy. Dramat w pięciu aktach, przez Antoniego Edwarda Odyńca. Wilno, 1849 r.*

Rzecz dramatu *Felicyta* dzieje się w Kartaginie, w wieku IVtym od zamknięcia kraju tego w prowincyą rzymską, a na początku IIIgo ery chrześcijańskiej, kiedy na tronie rzymskim po zgonie Sewera, zasiadli dwaj jego synowie: Giete i Karakalla.

Oto są szczegóły treści tego dramatu, porządkiem aktów:

*Akt I*szy przedstawia wyłącznie w działaniu pogaństwo kartagińskie. W grodzie niegdyś Annibalowym, na forum, zebrał się lud kartagiński, kapłani i kapłanki, a na krześle kurulném, przed krużgankiem świątyni Feba, zasiadł *Olympiusz Priscus* prokonsul Afryki. Gród obchodził pamiątkę tryumfu Romy. Arcykapłan na czele chorów, uczył prokonsula. Chóry śpiewały hymny na cześć Romy, równając ją do Feba i Zeusa. Ale *Olympiusz Priscus* nie zważał na hymny, arcykapłan był niespokojny, bo nie było tą razą długo na miejscu córki jego, młodej kapłanki Feba, *Felicyty*. Arcykapłan miał w podejrzeniu oddawna miłość i zabiegi wielkorządcy, i gdy wysłany kapłan wrócił i doniósł, że dziewica znikła z ustroni swój świętej, że snąc porwana, zelżył prokonsula. Ale *Olympiusz* był niewinny, zniewadze nawet przepuścił, i sam rozesłał gońców szukać porwanój.

Okrzyki ludu zapowiedziały w téj chwili przybycie gońca, posła z Rzymu. Posłem tym był *Cajus Vulpiscus*, ulubieniec cesarów nowych. Czas zmiany cesarów, był téż zwykle czasem zmiany prokonsulów. O knowaniach *Vulpisca*, uprzedził już był *Olympiusza Asper* (prefekt Kartagi), świeżo z Rzymu przybyły. *Vulpiscus* przywoził do obwieszczenia nowy edykt cesarów. Przytoczymy tu w słowach textu, początek audyencyi posła i treść edyktu; przytoczenie to (oprócz zaznajomienia z dalszą osnową treści) wskaże téż, jak autor dramatu umiał w nim odbić w słowach i myślach historyczny koloryt wieku, i zachowywać poetyczność toku w przedmiocie, najwięcej nawet prozaicznym.

*Forum. Zgromadzenie jak wyżej.*

**Vulpiskus.**

Olympitusza Priska, prokonsula  
Libii i Afryki, memi usta  
Pozdrowia Senat i oba Augusty:  
Co jako Kastor i Pollux na niebie,  
Na tronie Romy świecą obok siebie.

**Olympiusz** (*powstając*).

Cześć im obudwom! Łaska ich utula  
Zal w sercu mojem, którym zgon Sewera  
Przejął świat cały.

**Vulpiskus.**

Rozkaz mój zawiera

Inną też dla mnie, smutniejszą powinność.  
Lecz biada temu, ktoby w państwach Romy,  
Na szali uczuć swych ważyć śmiał czynność,  
Którą mu złości świata Bóg widomy.

(*Zwracając się do kapłanów*).

W obec więc was, kapłani, i zebranych  
Obywateli rzymskich i poddanych,  
Olympiuszu! słuchaj, coć obwieści  
Edykt cesarów. (*Rozwija zwój pergaminu i czyta*).

„Doszły do nas wieści,

Ze powierzona ci w Afryce władzę  
Niedbałą dzierżysz ręką, i w Kartadze,  
Stolicy twojej, z niewiadomych względów  
Dopuszczasz sprosnych, bezbożnych obrzędów  
Wiary chrześcian, bluźnierców i wrogów  
Nieba i Romy;— za co pomsta bogów  
Ciężkimi klęski karze nasze kraje:  
Wojny, pożogi, głód, nieurodzaje,  
Tępią ich ludy tchem zabójczym moru.  
Sama natura ze zwykłego toru  
Wyszła i działa wspak ludzkiej potrzebie,  
Złowrogie znaki grożą wciąż na niebie;  
Jakby na hasło morzu, co swe prądy  
Wzbrawszy, wpada na mieszkanę lądy,  
I wstrząsa ziemią, co sama ku niebu  
Zionie z wulkanów ogniami Erebu.  
Bo wszystkie bóstwa złączyły się wspoły,  
W zemście na wspólne swe nieprzyjacioły.  
I z ich to natchnień, im równy na ziemi,  
Co dziś w Olympie ucztuje już z niemi,  
Septimus Sewer, grom prawa surowy,  
Zatlił w swych rękach na przestępców głowy,  
By przebłagali bogów, lub zginęli.

Olympiuszu! biadaż ci, jeżeli  
 Dłoń się twa leni, a myśl się odważa  
 Przesądzać wyrok bogów i cesarza,  
 Co jak grom Zeusa, gdy błysł przed oczyma,  
 Świat go nie zwróci, Olymp nie przytrzyma;  
 Jeśli się jednak, jako pragniem sami,  
 Z pozorów winy oczyścisz przed nami,  
 Tą razą jeszcze raczym ci łaskawie,  
 Dać czas i pole ku dalszej poprawie.  
 Przytém zwiastujem Afryce i światu:  
 Że z woli naszej, za zgodą senatu,  
 Pamięci Ojca naszego i Pana,  
 Boska cześć odtąd ma być oddawana,  
 A posąg jego w pierwszych bogów rzędzie,  
 Na równi z Marsem postawiony będzie.

Olympiuszu! wola przeto nasza,  
 Którą ci Kajus Vulpiscus ogłasza,  
 Sługa nasz wierny i wielce nam miły,  
 Jest: by się w mieście Kartadze odbyły  
 Święte igrzyska, wśród których Sewera  
 Posąg niech pierwszą boską cześć odbiera.  
 Ty sam, kapłani i lud cały społem,  
 Palcie kadzidła i bijcie mu czołem.  
 Kto zaś doniesion byłby do urzędu,  
 Jako uczestnik chrześcijań obrzędu,  
 Ten prócz palenia kadzidł i pokłonu,  
 Winien poprzysiądz u podnóża tronu,  
 Cześć naszym bogom i nam posłuszeństwo.  
 Łaska pokornym, śmierć za przeciwieństwo!  
 Ty sądz, jakiego wart kto będzie losu,—  
 Pożarcia zwierząt, miecza, albo stosu.”

Olympiusz wykonał rozkaz, i na dzień następny igrzyska uroczyste i składanie czci posągowi Sewera obwieścił. Gońce, wysłani szukać Felicyty, wrócili bez niej, donosząc tylko, iż rano jeszcze widziano ją, jak z drugą jakąś niewiastą uchodziły ku stronie mogił chrześcijańskich.

*Akt IIgi* przedstawia w działaniu chrześcijań Kartagi.

W eiemnej, sklepionej budowie, oświeconej kagańcem, w środku której stał ołtarz, zebrani byli chrześcijanie około swego pasterza (biskupa Kartagi). Przedmiotem ich rozmowy była ich wiara i los jej. Przytoczyliśmy scenę, określającą pogaństwo wieku; przytoczymy teraz część tej rozmowy, dla przedstawienia, jak twórca dramatu umiał wcielać się i przejmować odcieniami uczuć i myśli chrześcijań owego wieku. Rozmowę tę czyli rodzaj sporu, miarkowanego słowami pasterza, prowadzą tu: *Deodatus* chrześcijanin—*żołnierz*, *Artaxiusz* chrześcijanin—*filozof* i *Kwin-tus* chrześcijanin—*fanatyk*.

Trybun legii afrykańskiej *Deodat*, chciałby tryumf wiary chrześcijańskiej przyspieszyć orężem i wywrócić pogańską Romę.

„Ach! czyliż nie pora już (mówił) ojczel! czyż nie pora?

.....  
Długoż krzyż tylko ma być męki godłem?

.....  
Wszak przyjdzie chwila, że całą w ramiona

Ziemię objąwszy, przytuli do łona;

Że nowy potop łaski a nie kary,

Wodą chrztu jego świat odrodzi stary.

Co ma być kiedyś, czyżby ludzką siłą

Nie można sprawić, aby rychlej było?

Ojczel! tyś święty w kościele, twe słowo

Życie i siłę może tchnąć w myśl nową.

Tysiące braci, jak dziś na męczeństwo,

Czyżby nie radzi biegli na zwycięztwo,

By z mocy piekiel niebu podbić ziemię.

**Biskup Satur** (*kierujący rozmową według nauki tradycyjnej*).

O Deodacie! tybys krwią Chrystusa

Chciał tylko spełnić dzieło krwi Brutusa.

.....  
O Deodacie! w duszy twój Rzymianin

Nazbyt żyw jeszcze, aby obok niego,

Jak w rzymskim państwie nowy chrześcianin,

Mógł ożyć w pełni życiem Mistrza swego.

Jako duch z ciałem, tak węzły mocnemi

Serce człowieka do rodzinnej ziemi

Sam Bóg przywiązał; lecz jako duch w ciele

Z pomocą ciała, wyższe, boskie cele

Pełnić tu winien, aby z nim i ciało

Na nieśmiertelne życie zmartwychwstało:

Tak chrześcianin w ojczyźnie widomiej

Nie służyć tylko jej chwale znikomiej,

Lub grzesznej pysze; lecz całą swą siłą

Czynić ma, Bogu by się stała miłą;

A w jakich cnót ją chce widzieć ozdobie,

Takie ma naprzód rozwijać sam w sobie.

Wtenczas, jeżeli Pan przyjmie te chęci,

W pomoc mu zejdą aniołowie święci. i t. d.

**Artaxiusz** (*filozof alexandryjski*).

Prawdes rzekł ojczel! nie siłą oręża

Prawda się krzewi, walczy i zwycięża.

Bóg sam jest prawdą; Jego tylko droga

Prowadzi do niej;—a jako u Boga

Przed wszystkim było *słowo*, a nie *ciało*,

Nim przez nie wszystko stało się, co stało,

Tak i przez słowo tylko, pośród ludzi,  
Prawda się najprzód objawia i budzi,  
Nim stworzy ciało swe; i biada ciału,  
Aby przed słowem z pychy czy zapału,  
Moc swą za prawdę śmiało stawić w czynie.

.....  
W słowie więc naprzód w ludzką myśl i serce,  
Idźmy siew prawdy siać choć po iskierce,  
A Pan wie porę, gdy tchem swego ducha,  
Iskry te w ogień ofiarny rozdmucha,  
Aż świat jak niebo, zajaśnieje cały  
Jedną światłością, jednej Bożej chwały.

### Satur.

Bracie! w twych słowach jest prawda dla ucha,  
Lecz czy sam dobrze znasz prawdę ich ducha?

.....  
Błąd byłby w tobie, jeżeli rozumiesz,  
Że ucząc tylko co sam wiesz i umiesz,  
Mistrza już prawdy stałbyś się obrazem.  
W słowie Chrystusa był czyn i cud razem:  
Czyn—Bóg w człowieku, cud—moc Ojca w Synu,  
Nam grzeszynom cuda nie dane, lecz czynu  
Na wsparcie prawdy naszych słów potrzeba,  
By w nie cud łaski moc swą natchnął z nieba.  
Pewniejsza przeto myśli naszych droga,  
Nie jak wieść drugich, lecz jak iść do Boga....

.....  
Lecz że fałsz często, jako mgła od ziemi  
Prawdę, jak słońce oczom ludzkim ciemi:  
Błogosławiony mędrzec chrześcijański!  
Co jako powiew, w którym tchnie duch Pański,  
Mgłę tę porusza, rozwiewa dopóty,  
Aż się lub we łzy rozplynie pokuty,  
Lub naksztalt dymu błagalnych kadzideł,  
W niebo ją wzniesie wiatr anielskich skrzydeł!

### Kwintus (młody Libijczyk).

Dobrze to, ojcze! lecz prawdy i wiary  
Cóż jest owocem i znakiem?—Ofiary:  
Bóg nam nie tylko rzekł swój prawdy słowo,  
Lecz je sam stwierdził ofiarą krzyżową.  
I czém ta prawda rośnie tak zwycięzko,  
Czy tylko słowem, czy i krwią męczeńską?

Przebacz mi, ojcze! Lecz żar mego ducha  
Płomieniem wstydu na twarz mi wybucha,  
Ilekoć wspomnę, jak mało odwagi,  
Jak mało ognia w kościele Kartagi.

Gdy świat wkoło nas od końca do końca,  
 Brzmi czią i chwałą wyznawców tysiąca,  
 Co w ogniach stosu lub zwierząt paszczęce,  
 Męczeńskich zwycięstw osiągnęły wieńce:  
 My jak pisklęta bez sił i bez lotu,  
 Jak trwożna trzoda na sam odgłos grzmotu,  
 Tulim się w cieniu, którym nas otula  
 Skrzydło rzymskiego łaski prokonsula,  
 I wielbiąc tylko poświęcenie drugich,  
 Trwonim czas sami na rozprawach długich,  
 Lub na posługach;—w czém nas każda z miasta,  
 Wyrećzyć lepij potrafi niewiasta,  
 W kojeniu chorych, lub starych pociesze.

Ale ja czuję, czuję, że nie zgrzeszę,  
 Gdy duch mój śmiały, niepamiętny na nic,  
 Wyrwie się naprzód z wiążących go granic,  
 I wpośród Forum, śród świątyń ich progów  
 Wyzwie do walki Romę i jej bogów.

.....  
 W kim duch mnie równy, za mną na męczeństwach  
 Im więcj ofiar, tém bliższe zwycięstwo.

#### Satur.

Synu! mój synu, oby słów twych w niebie,  
 Pan nie dosłyszał. ....

.....  
 Bo serce twoje w pychę cię uwiodło.

.....  
 Tak jest, Bóg żąda ofiary od ludzi,  
 Bo mu za wszystkie łaski Jego dary,  
 Ludzie nie mogą dać nic, prócz ofiary.  
 Ale mój synu! jak prawda i wiara,  
 Tak jedna tylko jest święta ofiara,  
 Ofiara Boska: gdy Mu w niej dajemy  
 Co on mieć pragnie, nie co mu dać chcemy:  
 Co duch sumieniu natchnie, nie krew ciała,  
 Ofiara z powinności, a nie z szału;  
 Ofiara z posłuszeństwa, a nie z pychy.  
 Czyniąc inaczej, czyżby się proch lichy  
 Nie równał z Panem? jakby się śmiał ważyć  
 Świadczyć mu łaski, lub go wzajem darzyć.

Lecz chcieć być nadto, w uniesieniu dzikiem  
 Nie już ofiarą, lecz i ofiarnikiem:  
 Prześladowania stawać się pochodnią!  
 O! to już nie jest szaleństwem—to zbrodnią.  
 I biada temu! tu i tam na sądzie,  
 Gdy sprawiedliwość na wyrok zasiądzie,

Biada szaleńcy! co krwią swego brata,  
Chciał był okupić choć zbawienie świata....

Rozmowę tę przerwało przybycie dwóch niewiast. Byłyto: córka arcykapłana Feba i niegdys jój piastunka, sługa domu arcykapłana (*Kryspina*). Felicjta składa szczerą i żywą spowiedź z kroków swych przed pasterzem. Już matka Felicjty umarła potajemnie chrześcianką, chrześcianką była Kryspina; wiarę tę wyznawała i Felicjta, ale ją porwał był świat i próżność chwały jako kapłanki. Tę miłość siebie i świata, pokonała i zastąpiła w niej była—miłość, którą ją natchnął Olympiusz, prokonsul przybyły z Rzymu. Ale Olympiusz, przekroczywszy ustronie święte, chciał zelżyć jój czystą miłość;—Felicjta odepchnęła go z dumą, ale odtąd nie śmiała, nie mogła już występować przed nim w ofiarach; i właśnie, gdy nakazane były dziś nowe, uszła do chrześcian, błagając o poradę, i jeżeliby to być mogło—o chrzest. Felicjta przyjmuje chrzest.—Wieść i rozmowa o nowym edykcie.—Obrząd chrztu.—Hymny chrześcian. W czasie ich, żołnierze arcykapłana odkrywają schronienie niewiast, więżą chrześcian—i neofitkę.

*Akt IIIci.* W pałacu prokonsula, *Asper* trwoży go działaniami *Vulpiska* i zachęca, iżby się pozbył go siłą; ale w myśli prokonsula była więcej Felicjta, jak poseł Romy. Duma *Prisków* ugięła się, i Olympiusz chce zaślubić kapłankę. Z wieścią tą i słowem błagalnym, udał się arcykapłan sam do więzienia córki. Próba i walka były ciężkie, ale nowa chrześcianka pozostała przy wierze i przy więzieniu.

*Akt IVty.* Olympiusz rozpacza w pałacu. Felicjta, stawiona przed nim, powołuje go do chrześciaństwa. Skazani na spalenie za niezłożenie holdu posągowi Sewera, chrześcianie, gotują się na śmierć w więzieniu; między niemi i Felicjta. *Asper* przyrzeka prokonsulowi, iż zdoła ją potajemnie uchronić od kary stosu.

*Akt Vty.* *Vulpiskus* wszczyną rozruch między ludem, lecz prokonsul uwięzić go każe. Olympiusz zasiada na forum na czele liktorów, i przeprowadzanych na męki chrześcian usiłuje nawracać. Przyprowadzona i Felicjta. Olympiusz każe jój podać lutnię; Felicjta chwyta ją i śpiewa pieśń o przyszłości kościoła na nutę Apokalipsis. Śpiew ten nie zbawił śpiewaczki, i poprowadzona z innemi na śmierć. Usiłowania *Aspera* były próżne. Przybyły przed prokonsula żołnierz, opowiada szczegóły męki i śmierci chrześcian w płomieniach stosu, a między innemi *Satura*, *Kryspiny* i Felicjty. Kara spełniona stała się hasłem nawróceń. Lud rzucił się i rozchwycił kości męczenników. Sam Olympiusz wyrzekł się władzy, odstąpił ją *Vulpiskowi*; i powoławszy *Aspera* i arcykapłana, oddała się z niemi na pustynię, służyć tam Bogu Felicjty.



Takie są główne rysy osnowy dramatu p. Odyńca.—Jestto, widzimy, dramat, należący nietylko do sfery poezji, lecz historyczny. Okres owszem, z którego wzięty, jest jednym z tych, które były głównego zajęcia, a najgłówniejszego znaczenia w rozwiciu dziejowém. Okres ten jedynym był z tych, w których spełniane fakta odznaczają na skale jasne, już nietylko bieg życia i dziejów tego albo innego kraju, tego albo innego ludu, ale całej ludzkości; które przypominają, iż lubo rozdzielona zewnętrznie, ludzkość ta jest jednak jedną wewnątrznie, spólny i łączny żywot przebywającą;—i że jakkolwiek żyjąc na ziemi, wywyższona jest nad wszystko na ziemi, jest jednak pod wpływem i w rękę Siły, która obraca jak pragnie i nią, i ziemią.

Epoką dramatu *Felicjta*, byłto słowem ów czas, gdy ludzkość w swém pierwotném rozwiciu, doszedłszy szczybla swojej materyalnej potęgi i zmysłowego wyłącznie życia, fakt ten uosobiła była w państwie rzymskiém;—i gdy zrodzona śród jego cienia, a na ostatnim szczyblu życia towarzyskiego, mała z pozoru i wątła idea czysto-duchowa (chrześcijańska), wystąpiwszy bez ziemskiej broni z ową potęgą walczyć, przemagać ją i w końcu obelżywe wieku owego godło swe—*krzyż*, na najpotężniejszym tronie światowym, a na miejscu świątyni *wszechbogów* (Panteon), osadzić miała. Zadanie to miały spełnić pierwsze trzy wieki chrześcijaństwa. Wiara i nauka chrześcijańska miały być wypadkiem tych wieków;—wiara i nauka chrześcijańska były więc głównym przedmiotem zwrotów szczególnych jednostek, główném uczuciem postępném w rozwiciu wieku. Ścigane z przeczucia i wypleniane przez władze pogańskie, wiara ta i nauka z drugiej strony obudzały się, i przyjmowane były przez każdą myśl czulszą, duch żywszy i szlachetniejsze serce, i przeciskały się tysiączném korytem w rodziny i klasy wszelkich szczyblów społecznych. Fakt równy był głównie zapewne wypadkiem działania wyższej woli; patrząc dziś jednak już ze stanowiska wypadków, możemy też rozsądzać, okręślać, w jakim stosunku sprawiły go i wole jednostek. Wole te pośród ludzkości z wiarą wygasła, przeżytej zmysłowie, szły za pociągającemi moralnie i duchowie cechami nauki chrześcijańskiej. Nauka ta przynosiła pewność na miejsce zwątpień, byt w miejsce nicości, nadzieje w miejscu przesyty; nauka ta była zwłaszcza zgodną w swych prawdach z tém, co leżało na dnie serc każdego stworzonego człowieka, a co było przybitém tylko chwilą danego świata, światem;—wszelki więc zwrot życia, wypadek, który to przybicie uchylał, odrywał od świata, jakiś spór unoszący nad *chwilę*, rozpacz, miłość, męka przesyty, przykład i t. p., wszystko to wiodło do przyjmowania nowej nauki, i przyoblekania się w szaty ducha nowego. Wszelki obraz, wzięty z wypadków domo-

wych owych wieków, na całej przestrzeni państwa rzymskiego, przedstawić musi widok, przykład wciskania się i szerzenia w ten sposób owego ducha; i przedstawił go właśnie z swego zadania dramat *Felicyta*.

Widzieliśmy treść i trafność autora dramatu, w kręśleniu (jakkolwiek językiem nowszym) słów i odcieni myśli pogan i chrześcian wieku, o którym mówi; przytoczymy tu teraz rysy charakterów szczególnych, w pomysle i przedstawieniu których też trafność umiał zachować.

Ojciec bohaterki dramatu, *arcykapłan*, jeden z charakterów drugiego rzędu w dramacie, dobitnie jednak, a z odznaczeniem sobie właściwej cechy, jest nakręslonym. Charakter ten uważać się może w ogóle za typ charakteru ówczesnych kapłanów pogańskich. Czczący w posągach bogów, wraz z ludem, nie przypomnienia bogów, ale same posągi, sam strażnik i twórca ich, czuł żywiej niżli ktokolwiek fałsz równej czci, i strzegł wiary jedynie z miłości siebie, miłości urzędu. Słowa jego tchnęły nieraz zagorzałą czcią bogów, nienawiścią dla chrześcian; lecz źródłem tego zapалу, tej nienawiści była raczej *bojaźń* tej wiary, która go urzędu jego pozbawić mogła. Odcień jego jednostkowości wewnętrznej, odznaczała jego krajowość. Kartagińczyk i Afrykańczyk, syn ziemi, klimatu ostateczności, łączył i przedstawiał rysy ostateczności. Już zawziętość, już obojętność, już nagłą zapalność, już upadanie na duchu do czołgania się i t. p. Tak kiedy np. w akcie Iszym (w sytuacji, o której wspomnieliśmy), powziął był pierwszą wiadomość o zniknięciu swjej córki, do prokonsula, którego chwilę przedtém nazwał obrazem boga Romy, rzucił się z zapomnieniem na urząd.

Ale po wieści o rzeczywistym losie córki, w więzieniu jej, arcykapłan nie było już lew afrykański. Felicyta była całym przedmiotem jego życia, główném i owszem jedyném jego bożyszczem; przeklinać ją, wyrzuty jej czynić, nie mogło nawet powstać w myśli arcykapłana,—umiał ją tylko błagać, i usiłując rozrzewnić, wołał:

„Wspomnij, o córko! na czyich to rękach  
Sen cię usypiał? przy czyich piosenkach  
Marzyć w kolebce lubiłaś z uśmiechem?” i t. d.

Ten zapalny i słaby, lecz w gruncie oświecony i dobry umysł, potrzebował tylko wypadku, hasła, do nawrócenia;—strata i przykład córki, przykład prokonsula, stały mu się dalej tém hasłem.

Z innym odcieniem myśli, odcieniem serca, staje w obrazie *Olympiusz* (charakter, który z *Saturem* i *Felicytą* należy do charakterów pierwszego rzędu w dramacie). Olympiusz, to typ, reprezentant klasy, gasnącego, lecz przeciągającego się jeszcze wówczas patrycyatu rzymskiego. Potomek starożytniej rodziny Prisków, zwycięzca w bojach, ulubie-

niec cesarów, muz wychowanek, prokonsul, nie byłto ów charakter słaby i zmienny, zapalny albo stygnący; byłto owszem charakter kroku pewnego, a grunt jego odznaczał raczój przesyty, jak samolubstwo. Członek klasy, która z warunków swoich łączyła, łączyć mogła, wszelkie korzyści, zdobycze postępu upłynionego (materiałne jak i moralne), lecz mniej zdolna do ofiar, poświęceń (tych przykładów idących z klas niższych), nie mogła być narzędziem nowego, i umiała tylko niekiedy podziwiać owe przykłady;—Olympiusz był przedstawcą kierunku losów podobnych serc i równego stanu. Olympiusz był u szczytu szczęścia ziemskiego, lecz nagle niełaska cesarów, a więcj jeszcze zrodzona śród serca miłość i (nieznane mu dotąd) odepchnięcie przez przedmiot miłości, ucieczka Felicyty, i zaparcie się przez nią miłości świata dla jakiegoś niewidomego, zawały i wzruszyły z gruntu jego uczucia. W téj chwili, z tym stanem duszy, przedstawionym jest właśnie w dramacie.—Trafném przedstawieniem, wyrazem téj duszy i tego jój stanu, jest *monolog Olympiusza* na początku aktu IVgo, jedno z najpiękniejszych miejsc dramatu. Upadający prokonsul rozmyśla w nim, bada stan swój;—a nie wiedząc na jakiej wierze, uczuciu, śród nieszczęść może się oprzeć, narzeka i łaje wszystkiemu, co wychowało mu młodość, zbytkom, tryumfom, władcom, samym mędrcom i wieszczom swojego wieku i kraju, i w końcu zmuszonym jest wyznać i w pewien sposób wykazać swą niższość przed ową słabą dziewczicą, którą ukochał.

Przytaczamy tu, jako wzór, ten monolog.

Autor w nim, zdaniem naszym, oprócz odcieni owego charakteru przesyty i dumy spadkowej, umiał téż odbić w dykcji polor i miękkość wypieszczonego światem patrycyusza.

*Aktu IV, scena I,*

*Olympiusz* (po wieści o coraz zuchwalszych między ludem działaniach Vulpiska i losie uwięzionej Felicyty, wychodzi) *sam.*

Tak jest; czuję, żem u mety,  
Gdzie gieniusz méj fortuny,  
Lub skrzydlate jój bieguny;  
Wstrzymać musi, lub niestety!  
W chmury tylko i pioruny,  
Dalsza moja pójdzie droga.

O młodości! jakżeś błoga,  
Jak szlachetna, wzniosła, śmiała  
Kwitła we mnie: gdy mię chwala,  
Gdy mię cnota Scypionów  
Po nagrodę nieznikoma

Wyzywały do przegonów,  
Z półbogami z dawną Romą!

.....  
Imię moje w bitw odgłosie,  
W tryumfalnym zwycięstw hymnie,  
Szło grzmąc gromem w kraje wrogów,  
Brzmiało w Romie jak cześć bogów,  
Gdy wóz mego tryumfatu  
Ślad swój znaczył w krwawém polu,  
Od Dunaju do Eufratu,  
Aż na szczyty Kapitolu.

O wspomnienia! i cóż z tego?  
Gdzie jest człowiek, com dla niego  
Przelał morze téj krwi, z której  
On brał szarłat do purpury?

.....  
Cóż żeń dzisiaj?— garść popiołu,  
Ach, a ze mnie? jego syny  
W mych zasługach tylko winy,  
W chwale widzą powód trwogi,  
Z przyjaciela synów—wrogi.

.....  
O wy! kłamcy słów świętości,  
Filozofy! rodzie lichy!  
W masce prawdy i mądrości  
Mistrze fałszu, słudzy pychy!  
Tchem to waszych ust trucizny,  
Wiarę w sobie struła dusza;  
Gdym dla bogów i ojczyzny,  
Zajrzał śmierci Kurcyusza.

I wy z niemi;—wy syreny  
Mętnych źródeł Hippokreny,  
Wieszczę pochlebstw i rozpusty!  
Co pijanemi winem usta,  
Ach, i czarem lutni złotéj,  
Podzegli serce młode  
Brać swawolę za swobodę,  
I w objęcia méj pieśczoły  
Pchnęli rozkosz zamiast cnoty!

Biada! biada wam zwodnicy!  
I mnie biada, żem bez sromu  
W ślad wasz oślep brnął w ciemnicy,  
Aż niewinnéj wzrok dziewicy  
Spadł w mą duszę ogniem gromu,  
I oświecił... cóż?—wnątrz ciemną,  
Przesyt za mną, czczość przedemną!  
Czczość bez celu, prócz jéj saméj,

Co jak Irys z nieba bramy  
 Zbiegła ku mnie łukiem tęczy;  
 I jak Hebe, z niebios czary  
 Podawała mi nektary,  
 Ach! by wskrzesić duch młodzieńczy,  
 Duch miłości, cnoty, wiary!....  
 A ja! Biada wam Nazonie!  
 Wam Horacy! wasze sidło,  
 Waszych ogniów dym w mém łonie,  
 Przeraziły jasno-skrzydłą,  
 Że znów pierzchła i ucieka.  
 Jak niebianka od człowieka,  
 Zostawując tylko drogę,  
 Ach! gdzie za nią dojść nie mogę.

Olympiusz szedł do końca krokiem szlachetnym i pewnym; w rozmowie z Felicytą nie odwodził jój nawet od wiary, i tylko do pozorów ją skłaniał; idących na śmierć pragnął jeszcze ratować, krów ich oszczędzać;—Felicytę uratować był pewnym;—lecz strata jój, ta strata jedyne go przedmiotu, który od przesytu go chronił, do świata wiązał, jój przykład, kazaly mu rzucić ten świat, i powołał drugich do opuszczenia.

Téjże wagi co Olympiusza, pod poetycznym, większej jest jeszcze pod historycznym względem charakter *biskupa Satur*. Satur z urzędu swego był pasterzem, kierownikiem owój idei, nauki, walkę prowadzącj ze światem, a która w końcu miała zatryumfować;—to pasterstwo i kierownictwo jest więc obrazem warunków, drogi, którą ma postępować wszelka, choćby najmniejsza idea dziejowa, jeśli w końcu jak owa chrześcijańska ma skończyć. Główném zajęciem Satur było przechowywanie ducha, zostawionego przez Mistrza, strzeżenie i kierowanie jego według nauki tradycyjnej (1);—było téż razem i apostołstwo. Potępiał on lekkie

(1) Kiedy np. *Artaxius*, widzieliśmy, powoływał w swój nauce jedynie do słów z zaniechaniem uczynków, Satur potępił tę jednostronność; kiedy *Kwintus* pragnął dobrowolnego jątrzenia swych prześladowców, Satur nazwał to pychą.—Dodajmy jednak z okoliczności téj sceny, iż Satur w szczegółach swoich przestróg, zdaleko zdaje się nam w nich posuwać bierność duchową, i że gdyby nie inne sceny dramatu, w téj scenie wzięlibyśmy go raczej za jakiegoś kwietystę z południa Azyi, jak apostoła nauki, przyjęcie którój, sam Mistrz jój do „przyłożenia ręki do pługa” (narzędzia czynności i postępu) przyrównywał. W odpowiedzi Artaxiusowi Satur potępiał np. nie tylko, iż jednostronnie uczy, ale nawet, iż uczy; jakkolwiek Artaxius z wezwania nawet swojego był nauczycielem, miał powierzonym sobie kształcenie daru nauki. Gdyby pierwsi chrześcijanie, przestając na samolubném pełnieniu uczynków, trzymali się tego kierunku, chrystyanizm pozostałby dotąd przy mieście Jeruzalem i okolicy; lub znowu, raz osiadłszy na tronie Byzancyum, dałby światu i dziejom ludzkim tylko Byzancyum.—W przestrodze zwróconej do Kwintusa, Satur mówi:

nawet odstępstwa w wykładzie pisma, potępiał fanatyzm, nie opuszczał jednak chwil, z narażeniem się, dla pozyskania chociażby jednej duszy dla chrześcijaństwa; i gdy przyszło świadectwo dać wierze, pierwszy za to świadectwo śmierć poniósł. Nauka Satura powiedziana do chrześcian, gotujących się na śmierć, a w wigilią męczeństwa (aktu IV, scena VII, również jak *śpiew przy lutni Felicyty*, przy końcu sztuki) należą do najpiękniejszych liryczno-religijnych miejsc w dramacie.

Charaktery Satura i Olympiusza są charakterami pierwszego rzędu mówimy; przedstawienie ich jednak i rozwinięcie nie zacierają bynajmniej charakteru postaci, około której wszystkie inne postaci i charaktery wiążą się, do której w swych działaniach należą;—postaci słowem, która jest główną w dramacie i od której nazwisko ma dramat—*Felicyty*. Charakter ten nagle nawróconej poganki i męczenniczki, przedstawionym jest w dramacie wiernie i (jakkolwiek w akcji nieprzenoszącej doby) w jego zupełnym rozwinięciu. Przykładów nagłego nawrócenia do chrześcijaństwa i poniesionej wnet mężnie i z upodobaniem śmierci, pełne są opisy krzewienia się pierwotnego chrześcijaństwa, w pismach z owego wieku;—do określenia historii myśli i uczuć duszy w tym stanie, autor, jak sam wyznaje, korzystał z notatek uczuć (pamiętników) św. *Perpetui* męczenniczki, z tegoż czasu właśnie idących. Charakter Felicyty przedstawionym i przeprowadzonym jest w dramacie przez wszystkie te główne sytuacje, jakie jej położenie nowe stworzyć musiało,—i te już w opisie, już dyalogu dobitnie i w odcieniach autor określił. Pierwsze przybycie do chrześcijaństwa, pierwsze wyznania przed pasterzem, obrząd chrztu, widzenie się z ojcem, widzenie się z prokonsulem i kochankiem, gotowanie się na śmierć, godzina śmierci: wszystkie sceny te przedstawione są w akcji i dyalogu. W pierwszych wyznaniach Felicyty, rozwiniętych w jej opowiadaniu malownym i szczegółowym, widać jeszcze pewną słabość duchową, wahanie się, pewną żalność za światem, duszę w pół jeszcze chrześcianki; w scenach dalszych (w rozmowie z ojcem, kochankiem), widne są już energia i pewność;—dalej wzgardzenie światem, żądza inne-

„Biada szaleńcy! co krwią swego brata  
Chciałby okupić choć *zbawienie świata*”.

Jesteśmy pewni, że w pierwszych wiekach chrześcianin, a zwłaszcza apostoł-chrześcianin, nie wprowadziłby w słowie w tak zimne porównanie zbawienia świata i krwi jednostki. Już nie dla samego zbawienia, ale dla przechowania pamiętek zbawienia, Pasterze chrześcijańscy powoływali następnie do bojów i zatwierdzali zakony rycerskie. Przestrożę tę wreszcie, właściwiej mógł być zwrócić Satur do Deodata, jak do Kwintusa, który nawet ściśle mówiąc, powoływał nie do ofiar z krwi brata, ale z krwi własnej,—co też jest summą zasługi, według nauki ewangelicznej. (*Jan XV, 13. I. Jan, III 16*).

go; dalej żądza męczeństwa; w końcu wreszcie, przygotowania na śmierć, ekstazy i duch proroczy. Jako na scenę, przedstawiającą w całej już pełni rozwicia ten charakter chrześciance wieku, wskazujemy tu na dyalog między Felicytą i Olympiuszem w akcie IV. Prokonsul kazał przywołać przed siebie uwięzioną kapłankę, mając nadzieję skłonić ją do odstępstwa; ale Felicyta umiłowała raz prawdę, nie pojmowała już, coto jest kochać prawdę i zdradzać ją. Kochając Olympiusza, i kochać go mając prawo (albowiem powoływał ją na małżonkę), pragnęła go przedewszystkiém widzieć godnym rzetelnój miłości, widzieć wyznawcą prawdy. Olympiusz, który miał ujrzyć przez sobą lub błagającą przebaczenia zbrodniarkę, lub przyjmującą poradę kochankę, ujrzał apostołkę. Oryginalność téj sceny pół miłosnej, pół apostołsko-chrześcianańskiej, określił najlepiej sam Olympiusz, gdy śród niéj mówił do Felicyty:

„Kochasz mię, mówisz, i chcesz bym pospołu  
Z tobą miał stać się, czém?—garścią popiołu”.

Dla przykładu słowa i myśli téj głównej bohaterki dramatu, przytaczamy tu zakończenie téj sceny. Olympiusz przebaczał jéj apostołstwo i obmyślił, podawał środek, który mógł, zdaniem jego, obie strony pogodzić.

„Nie Felicyto! (mówił) nie! jest inna droga,  
Możesz być moją, i czić twego Boga.  
Pozorem tylko rozbrój prawo Romy.

**Felicyta.** Co! ja bałwanom nieść cześć?

**Olympiusz.** Pozór marny,  
Szczyptę kadzidła rzuć w ogień ofiarny.

**Felicyta.** Ha! i mą duszę rzucić w ogień piekła!  
I chcesz, bym dla cię i Boga się zrzekła?  
I, by twój żądzny nasycić pragnienie,  
Wiare, niewinność, prawdę i sumienie,  
W prochu na wieki skałała nikczemnie?....

*O Rzymianinie! cóż ty kochasz we mnie?*  
Mojażto tylko złudzona powieka  
Dojrzała w tobie wielkiego człowieka?  
Że ci tak obce—nie duch chrześciance,  
Lecz cześć dziewicy i świętość kochanki.  
Ty, co czcisz przecie swych niewiast odwagę,  
Co śmierć przeniosły nad wstyd i zniewagę;  
Ty, co się chelpisz z cnoty Regulusa!....  
Co on dla Romy—jażbym dla Chrystusa,  
Co on dla chwały—jażbym dla zbawienia,  
Lękać się miała mąk i poświęcenia?....

Stało się! zegnaj! Tyś sędzia, jam branka.  
Sądź jak syn Romy! ja jak chrześciance

Zniosę sąd; o nic nie będę cię winić.  
 Czyń, co rozumiesz, żeś powinien czynić.  
 Lecz gdy prośb moich Pan wysłucha w niebie,  
 Olympiuszu! krew ma zbawi ciebie.”

Prócz charakterów i figur *Felicyty, Olympiusza, Satura, arcykapłana*, dramat też obejmuje inne podrzędne, a tych wszystkich tak słowa, jak sytuacje, równie wiernie jak głównych, w duchu wieku, stosownie do świadectw dziejowych, są nakreślone. Takimi są np. poświęcenie Kryspiny, przykład odprzysiężenia przy mękach; nawrócenie nagłe żołdaka *Pomponiusza*, który przybywszy więzić chrześcian, poznał pomiędzy niemi straconą żonę swą z dzieckiem na ręku, i t. p.

Takie i tak określone są charaktery w dramacie; winniśmy jeszcze rzec o *dykcyi i expozycyi*.

Co do dykcyi, téj nie potrzebujemy długo określać, przykład jój bowiem sam już widzi czytelnik. Dykcya ta, zdaniem naszym, zastosowaną jest do rodzaju gałęzi. Dykcya ta nie jestto ani zbyt poetyczny liryzm, odziewający się w metafory i przenośnie lub wyrażenia trudne; lecz też nie jestto tok prozaiczny, któryby nam kazał zapomnieć, że zostajemy wśród sfery sztuki. Wiérsz dramatu Felicjta jestto wiérsz słodki poetów litewskich w ogóle, budową gładką, złożeniem jój ze słów mowy potocznej, i odcieniami uczuć odznaczony, a dyalogowi dramatycznemu (który właśnie najbardziej zbliżonym być winien do potocznego toku), najwięcej zapewne właściwy.

Co zaś do ogólnego wreszcie wydania dramatu, expozycyi, (wyrażamy tu zdanie, które być może jest tylko wyłącznie naszym), téj nie zostaliśmy wyznajemy, zupełnemi zwolennikami. Zdaniem naszym, forma dramatu nie jest najprzystajniejszą formą dla talentu p. Odyńca.

Przypominamy, iż już przy najpiérszém wystąpieniu autora, forma, która zjednała mu była najwięcej głośności, pociągnęła naśladowników: byłato opisowość, nie dramatyczność. Poematy np. lub fragmenta poematów opisowych autora, jak *Góra, Powrót jeńca, Pożegnanie*, nawet *ballady, powiastki* i t. p. nader więcej odznaczone były odrębnością i poetycznością, niż dramat *Izora*. Gdyby p. Odyniec wydał był tylko *Izorę* (dramat zimny o materialnych formach sztuki francuzkiej), nie byłby uważanym ani za twórcę, ani za współbudownika nowego okresu w naszej poezyi, jako jest dzisiaj. Ta cecha talentu autora wyrosła z naturą myśli i pozostała w nim. Autor, którego pióru tak dobrze przystoi liryczne a niekrępowane unoszenie się, nie rozumiemy, dlaczego z umysłu ujmować je pragnie w więzy dramatu, a więzy te ścieśnia jeszcze do form, wymaganych niegdyś przez krytykę materialną. Właśnie i w expozycyi dramatu *Felicjty*, usilność ścieśnienia akcji dramatu do



godzin 24ch, sprawiła np. ten nacisk wypadków w akcie Jój 1szym (przybycie z Rzymu Aspera, téjże chwili szczegóły uroczystości, i wnet przybycie i posłuchanie uroczyste Vulpiska i t. p.); naznaczenie uroczystości hołdu posągowi Sewera zaraz na dzień następny (jakkolwiek miał być dopiéro jeszcze odlewany nowy bożek), rozwijanie akcji przez *przypomnienia, opowiadania* i t. p. Figury nadto p. Odyńca w ogóle, nie mają zdaniem naszym, w dramacie swobodnego ruchu dramatycznego; jeżeli prowadzą rozmowę, prowadzić ją zdają się raczej dla zaznajomienia z jakimś wypadkiem czytelnika, nie z własnej potrzeby; mówią raczej do czytelnika, niżeli do siebie.

Tak np. zimna figura *Aspera* (nie wiemy, jakim i dlaczego takim lub innem uczuciem związana z Olympiuszem, Felicytą i t. p.), zdaje się na to tylko co chwila występować, iżby zawiadamiać czytelnika z myślą i zamiarami Olympiusza, i odegrywać rolę powierników albo powiernic dramatów szkoły francuzkiej.

Prawie z każdego dyalogu przytoczyliśmy mogli słowa i wyrażenia, zdradzające raczej żywioł liryczny, będący na myśli autora, jak dramatyczny. Tak np. kiedy arcykapłan ujrzał kapłana, przynoszącego mu wiadomość o zniknięciu córki, woła do niego:

„Gdzież jest Felicyta?  
Cóż to? ty milczysz?—zkąd to pomieszanie,  
Ten strach w twych oczach?—Mów! *zwierzchnik* cię pyta,  
*Ojciec* cię błaga—mów!”

Te dowody i przypomnienia przymiotów osoby zapytującego, nie były, sądzimy, potrzebne dla słuchającego kapłana.

Kiedy Felicyta, określając w swém opowiadaniu przed pasterzem zuchwałość Olympiusza, który, przekroczywszy ustronie święte, chciał ją gościem obrazić, dodaje:

„O! wtenczas, ojczy! jak blask błyskawicy,  
I gniew i siła afrykańskiej lwicy  
Zawrzały we mnie.” i t. d;

ten opis malowny (jakkolwiek trochę za samolubny) jest podobnie, sądzimy, dla czytelnika, nie dla Satura;—tém więcej, iż Felicyta, wspominając o lwicy w Afryce, nie potrzebowała dodawać, iż wspomina o *afrykańskiej*.

Charaktery w dramacie *Felicyta*, wprowadzie, jak to właśnie widzieliśmy, rozwinięte są w rozróżnieniu dobitném, w odcieniach, z właściwym nawet sobie językiem;—co jednak odokręśla głównie te charaktery, nie jest *dyalog*; wszystkie miejsca i szczegóły głównej piękności w dramacie, nie są więc ze sfery dramatyczności.—Śpiewy np. kapłanów

pogańskich i hymny chrześcian w akcie Im, IIm i Vm, audyencya Vulpiska, opowiadanie *Felicyty*, polemika *chrześcian*, monologi *Olympiusza* i *Felicyty*, nauka *Satura*, *śpiew przy lutni*, opowiadanie *żołnierza* o szczegółach męki chrześcian i t. p., wszystkie te miejsca głównie mało-wne i poetyczne w utworze, sąto raczej piękności ze sfery poezyi lirycznej lub dydaktycznej, nie dyalogi.

Przekonani jesteśmy, iż byłoby właściwszém pióru autora, gdyby przedmiot swój określił raczej w kształcie i szacie poematu opisowego, nie dramatu. Mimo to jednak *Felicyta*, tak jak ją dał nam autor, nie przestaje być utworem, będącym składem mnogich poetycznych piękności, i jest owszem dopiéro drugim lub trzecim oryginalnym dramatem w naszej literaturze z równym ich zasobem.

Ożywiająca i głównie charakteryzującą dramat *Felicyty* cechą jest ogólny duch jego; — ów duch zapału i wiary, i pogardy świata i t. p., który jak właśnie rzekliśmy, odznaczał piérwsze wieki chrześciańskie, był ich główném zadaniem, i jakby (mówiąc językiem dzisiejszym) modą wieku; *Felicyta* wydana w jednym z tych wieków, byłaby na tysiące rąk przepisywana, rozchwytana, w pamięci zatrzymana, spalona. Ta jednak wiara chrześciańska, przyjęcie której przez ludzkość, było celem owego ducha, w końcu przyjętą została. A wiara ta nie byłato jakowaś nauka o idei oderwanój i martwój;—ale nauka *żywa*, pełna w swych słowach *pro-roctwo* i *tajemnic*:—przychodząca nietylko jako teoria, ale jako mająca przejść kiedyś w praktykę. Ta praktyka szerzyć się, stawać miała zwolna i harmonijnie, a na różne jój fazy, oddzielne czasy i wieki, z oddzielném zadaniem, misją, zostały ustanowione;—pismo więc, utwór sztuki, któryby główny zapal, spólcucie pozyskał wśród synów (głównych przedstawców) wieku, musi iść z tego głównego zadania swojego wieku.

Kiedy przy końcu zeszłego stulecia, rozwinięcie i doprowadzenie do krańców systemu materialnego myślenia, doszedłszy do tychże prawie praktycznych wypadków na regułę chwili co wiara, uznały już za niepotrzebną ją samą, i wszystkich jój wyznawców, jak niegdyś na stosy płomienne, wiodły na rusztowanie: śpiewak kraju, który był placem tych skutków, równych widowisk, wydał był także znany poemat: *Męczennicy* (*Les Martyrs* Szatobryana), a poemat ten zyskał był spólcucie powszechnie wśród swego kraju.

*Felicyta* p. Odyńca nie wychodzi w szczegółach swoich z głównego zadania czasu, nie obudzi téż więc zapału i nie pozyska nagłych i żywych oklasków czasu. Jako wszakże obraz przeszłości według jój prawdy, jako utwór bogaty w istotne piękności liryczne, psychologiczne,—

dramat ten jest rzetelnój wagi utworem, pięknym dla poezji naszej nabytkiem, i owszem zostanie, sądzimy, przedmiotem czci stałej, cichój serca miłości, a nawet historyzoficznój nauki, po *wszystkie* czasy.

T.

---

*Wiadomość o założeniu uniwersytetu krakowskiego, napisał Józef Muczkowski, P. i B. U. J. w Krakowie. W drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego, 1849 r. W 8-ce, str. 103 i fac-simile.*

Praca obecna p. Muczkowskiego jest dalszym ciągiem prac ważnych i ciekawych, dla wyświecenia dziejów akademii krakowskiej. *Rękopisma Radymińskiego, Mieszkania i postępowanie uczniów krakowskich* i kilka innych drukowanych już rozprawek, odkrywają nam zupełnie świat nowy, ziemię dotychczas nieznaną a pełną cudów, do której się przywiązać mamy prawo. Przed półtrzecia wieku mawiał o akademii krakowskiej rektor Dobrocieski, że ona komu nie małą, to pewnie jest babką. a mówił to stosując do przodków naszych. My potomkowie tych odległych pokoleń, w akademii krakowskiej widzimy ognisko narodowej oświaty, widzimy gwiazdę przewodniczkę, co miała wpływ na losy literatury ojczystej, i to scholastycyzmem, to zabobonnością zarażała naród, to znowu kilką wielkościami jaśniała, to wreszcie otrząsała się z zadawniałych przesądów, stosownie do postępu światła w Europie, i do budzącej się myśli w narodzie. Dlatego wszystko dla nas ciekawe co tylko wiedzieć możemy o akademii krakowskiej; wszystko dla nas ma wartość: jój błędy i jój zasługi, jój ciemnota i jój światło. Dlatego prace p. Muczkowskiego zawsześmy witali jak na to zasługiwały—z serdeczném spółczuciem.

W broszurce, którą teraz mamy pod ręką, rozbiera uczony professor ważne a nierozstrzygnięte dotąd z pewnością pytanie: kiedy właściwie, to jest, w którym roku akademia krakowska założoną została? Aż do jedénastu różnych epok, odnoszą się liczne podania autorów, którzy o tém założeniu pisali; i dziś nie wiemy z pewnością jeszcze, komu akademia winna być swój pierwiastkowy, Kazimiérzowi W. czy Władysławowi Jagielle?! Daty albowiem są następane: 1,335, 1,337, 1,340, 1,343, 1,344, 1,347, 1,361, 1362, 1,364, 1,400 i 1,401. Każdy pisarz, co o akademii wspominał, wybierał jeden rok z tych lat jedénastu, i podług swojego widzieli się, to Kazimiérza W., to Jagiellę z Jadwigą uważał za pierwszego założyciela szkoły głównej w Krakowie. Tymczasem dwaj najdawniejsi autorowie, którzyby z pewnością mogli objaśnić całą wątpliwość,

jak piérwszy rektor akademii, Stanisław ze Szkalmierza i Długosz, nie zostawili nam szczegółowego opisu, jak i kiedy się odbyła nroczystość zaprowadzenia szkoły głównej, a Marcin Radymiński, który po nich najbliższy był źródła, ułożył powieść, którą upstrzył erudycją i dodatkami swoimi. Rzec w takim stanie doszła aż naszych czasów, i p. Muczkowski przedsięwziął usunąć wątpliwość.

Ze wszystkich tych różnych powieści, najwięcej upowszechnioną była, najwięcej wiary znalazła Radymińskiego powieść: że Kazimiérz W. ciągle namawiany przez arcybiskupa Jarosława Bogoryę ze Skotnik, zaprowadzając lepszy w kraju porządek, i nadając prawa dla wielkiej i małej Polski, postanowił wreszcie i ognisko dla nauk otworzyć w swojej stolicy. Jan Grot biskup krakowski posłany do Rzymu o przyspieszenie sprawy z Krzyżakami, którzy ani z Pomorza, ani z Kujaw ustąpić nie chcieli, miał odebrać rozkaz od króla, żeby, po załatwieniu swojego posłannictwa przepatrzył francuzkie akademie, a przedewszystkiém paryzką, i przywiózł z sobą za powrotem kilku professorów prawa i filozofii, zapewniając dla nich na przyszłość i uposażenie, i łaskę królewską. Grot w samą rzecz sprowadził tych kilku professorów do Krakowa, i w lat dziesięć już potóm, Kazimiérz W. widział błogie skutki swoich usiłowań. Wzniósł zatém nowe gmachy, i akademią na większą skalę rozwinął. Podróż Grota do Rzymu wypadła na rok 1337, a zatém w r. 1347, Kazimiérz ukończył już zupełnie fundacyą szkoły głównej.

Pan Muczkowski z porównania dat i rozmaitych niedokładności w tém opowiadaniu Radymińskiego wnosi, że schodziło historykowi akademii krakowskiej, na usposobieniu do badawczego kreślenia dziejów, i że zatém nie można polegać z ufnością na jego podaniach. Dowody, które p. Muczkowski pokładł dla dowiedzenia téj prawdy są tak jasne, że niepodobna się z nim nie zgodzić. Radymiński drobiazgowością opisu, wielą szczegółami, a zresztą i różnaitością podań swoich, bo sam trzy epoki założenia akademii naznacza, zasłużył na to mniemanie o sobie, jakie już teraz o nim w dziejach literatury naszej pozostanie na zawsze. W dawniejszych od niego kronikarzach i powieściach o założeniu akademii, w pismach bliższych nierównie epoki Kazimierza W. nie ma tylu szczegółów, tylu opisów uroczystości przy założeniu akademii, a z kądże je wziął Radymiński, piszący już za panowania królów z domu szwedzkiego? Oczywiście zmyślał w swojej powieści, bo nie cytuje żadnych aktów, ani rękopisów, z którychby czerpał podane wiadomości.

Druga upowszechniona powieść Długosza, o lat kilkanaście później epokę założenia akademii naznacza, to jest na rok 1361. Ojciec historyków naszych zlekka dotyka tak ważnego wypadku, jakim było utworze-

nie w Krakowie szkoły głównej. Powiada, że Kazimierz W. na wiosce kapitulnej Bawołem zwaną, zbudował ozdobne gmachy, sale, czytelnie i komnaty na mieszkanie doktorów i mistrzów w r. 1361, i że do Awinionu do Urbana V zaraz wysłał znakomitych mężów duchownych i świeckich, prosząc o potwierdzenie akademii. Dodaje potem Długosz, że Jakób Swinka arcybiskup gnieźnieński, na mocy szczególnego zezwolenia stolicy apostolskiej, zatwierdził krakowską szkołę Kazimierza W., ale że zawczesna śmierć króla w samym zarodzie zniszczyła jego piękne zamiały. Niewiele na to trzeba erudycy, żeby obalić to twierdzenie Długosza. Zapomniał się bardzo nasz historyk. Jakób Swinka arcybiskup umarł r. 1313, a więc nie mógł na mocy szczególnego pozwolenia stolicy apostolskiej w r. 1361 zatwierdzać akademii. Co do gmachów wystawionych przez Kazimierza, Długosz powiada pod r. 1478, że na ich miejscu chciał założyć klasztor Kartuzów, ale sprzeciwili się temu mieszkańcy. Tak więc w lat 117 po założeniu gmachów Kazimierza, już ani śladu domów i ogrodów akademickich nie było, a Jagiełło wznosząc na nowo z Jadwigą szkołę główną na ulicy św. Anny, domy po Stefanie Pęcherzu mieszczaninie krakowskim, na ten cel skupować musiał. A więc i w r. 1400 gmachów Kazimierza W. już nie było, w lat 39 po pierwszej fundacyi. To wszystko naprowadza p. Muczkowskiego na wniosek, że Kazimierz W. w r. 1361 ani nie założył akademii, ani też gmachów na jej potrzebę nie dźwignął. Za Długosza jednak powieścią poszli Miechowita, Bielski i Kromer.

Tak więc na rok 1364 zgadzają się wszystkie podania i krytyka historyczna. W tym roku wydana była erekcyja Kazimierza, której oryginał posiada akademia, i w tym roku nastąpiła *submissya* magistratu krakowskiego, uczyniona królowi, względem utrzymywania i szanowania praw uniwersyteckich; w tym roku wydaną także została bulla Urbana V zatwierdzająca i erekcyą i *submissyą*, a nakoniec list papieżki w téjże treści do króla pisany, a w archiwum akademii do dziś dnia zachowany. Bulla Urbana V zaginęła wprawdzie po roku 1765, ale znajduje się po wielu rękach w rozlicznych wiarogodnych odpisach.

Zastanawiając się potem nad pierwiastkową historją Kazimierzowój szkoły, p. Muczkowski przychodzi do wniosku bardzo sprawiedliwego, że akademia na samym tylko przywileju skończyć się musiała, i że wydział filozoficzny po krótkim kwitnieniu, może z czasem zupełnie upadł. Śmierć Kazimierza W. niezawodnie była straszną klęską dla poczynającego życie zakładu. Urban V nie pozwolił na wydział teologiczny, a p. Muczkowski domyśla się, że z tego powodu i z powodu braku profesorów, Kazimierz W. poprzestał początkowo na utworzeniu tylko szkoły filozofi-

cznej i prawa kanonicznego: bo że w Krakowie uczono filozofii w drugiej połowie XIV wieku, dowodzą to stopnie udzielone pięciu akademikom na bakalarstwo, z których trzech potem w Pradze czeskiej kończyło nauki. Piotr Wysz krakowski biskup i professor akademii, za granicą uczył się prawa, a z tego także naturalny wniosek, że prawny wydział nie musiał być wtedy w szkole Kazimierza W. w zupełności urządzony. Wszystkie te uwagi naprowadzają na myśl, która także faktem się stanie zapewne w dziejach naszych, że syn Łokietka miał szczerą chęć i zamiary, że chciał rozwinąć swój zakład, że zakład ten zakwitnąłby jeszcze nawet za jego życia, przy sprzyjających okolicznościach, ale król wielki łamać się musiał z wielą przeszkodami, i umarł zostawiwszy akademię w zawiązku, bez sławy, bez znaczenia, li tylko z tytułem akademii, ale bez jój zasług, bez jój wpływu, bez potrzebnego rozwinięcia. A i tak jeszcze śmierć jego była dla szkoły klęską, bo niszczała zupełnie za Ludwika, tak, że nawet wspomnień nie zostawiła z tego czasu aż do Jagielly.

Jan archidyakon gnieźnieński, współczesny Kazimierzowi W. i kronikarz jego panowania, nie pisze nic o założeniu akademii przez tego króla, a rozwlekł opisując pogrzeb swojego pana, wyszczególniając cały obrządek na tej smutnej uroczystości dla narodu, nie wspomina też nic i o akademii; a przecież gdyby istniała, zająłaby powinna jakie miejsce w okazałym obrzędzie pogrzebowym, bo nie sposób, żeby nie miała zwracać uwagi przynajmniej oświeconej części narodu, jaką było wówczas duchowieństwo krajowe. Do przekonania mówią te uwagi.

Ważnego jeszcze dowodu, że akademia prawie nie istniała za Kazimierza W. dostarcza księga znajoma, pod tytułem: *Liber Decanorum facult: phil: Univ: Prag:* W Pradze uniwersytet dzielił się na cztery narody, a między innymi i polski. Od r. 1367 do 1400 przeszło stu Polaków, a z samego Krakowa 23 nie rachując w to Szlązanów, ubiegało się w Pradze o stopnie bakalarskie i mistrzowskie w wydziale filozoficznym. Ztąd wypada, że przez ten czas najmniej do 1000 samych Polaków uczęszczać musiało na uniwersytet pragski. Kazimierska szkoła upadła więc w samym zawiązku, bo pocóżby biegła młodzież nasza do Czech, gdyby miała w Krakowie nauki tak wykładane, jak przystało akademii? I Jadwiga w roku 1397 nie potrzebowałaby fundować kollegium Litwinów w Pradze, i Jagiełło zakładając na nowo akademię w Krakowie 1400 roku, nie sprowadzałby do niej professorów z Czech, i nie ubliżałby pamięci Kazimierza W., którego kochała Jadwiga, powiadając w akcie erekcyi, że jest prawdziwym założycielem akademii.

Jadwiga zatem uprosiła męża, a Jagiełło pierwszy fundował szkołę główną w Krakowie. Myśl należała do Kazimierza W., ale czy jest własnością świętą Jagielly.

Z akt uniwersyteckich dowiedział się p. Muczkowski, że akademia otwartą została w sam dzień św. Magdaleny (22 lipca), i że pierwszą w niej prelekcją z prawa kanonicznego miał w poniedziałek po ś. Jakóbie Piotr biskup krakowski, 1400 r.; 24 lipca rozpoczęto zapisy w księdze matrykuł, a na czele téj imię króla Władysława, prócz imion innych dygnitarzy. 26 lipca wygotowano przywilej erekcyi; tegoż dnia Wysz rozpoczął wykład, o którym dopiero co wspomnieliśmy. Na zasadzie tych wiadomości urzędowych twierdzi p. Muczkowski, że cały opis uroczystości otwarcia, który z taką pompą wystawił Radymiński, a który Michał Wiszniewski w *Dziejach Literatury polskiej* powtórzył, nie ma w sobie ani odrobinki prawdy. Radymiński poetyzował, a Michał Wiszniewski, potężny także twórczą fantazyą, dopełnił obrazu, szkoda że fałszywego, bo doprawdy piękny. Stachowicz odmalował na ścianach sali Jagiellońskiej w r. 1821 kosztem Sebastjana Sierakowskiego rektora, cztery obrazy przedstawiające niby chwile założenia akademii. Wiszniewski zapatrzył się na te obrazy, i poszedłszy za fantazyą artysty pisał z nadętością, że Jagiełło zasiadł na tronie, a brodaci senatorowie na ławach, że rektor na kłęczkach odbierał od kanclerza dyplomaty erekcyjny i t. d. Pokazuje się, że to wszystko przypuszczenie, że to nie fakt, a domysł ubrany w szaty poetyczne.

P. Muczkowski położył nowe zasługi dla wdzięczności publicznej tą sumienną i ciekawą pracą. Nas jednak dziwi ta okoliczność, że musiał w piśmie swoim prowadzić polemikę z autorem *Historji literatury polskiej*. Że p. M. rozjaśniał fakta podane przez Długosza, Miechowitę, Radymińskiego, to było jego powinnością, jako historyka, który postanowił wyjaśnić przedmiot ciemny a nadzwyczaj interesujący; ale że z Wiszniewskim wdawał się w piśmienną walkę, że mu błędy i opuszczenia wytykał, to doprawdy, powiemy raz jeszcze, ma prawo nas dziwić. Wiszniewski napisał dzieło piękne, jedno z najważniejszych dzieł w naszym okresie. Żelazna to była praca, owoc lat długich, owoc może całego życia, a niezawodnie poświęcenia się dla nauki. W takim dziele jak jest *Historja literatury*, wszystko powinno być prawdą, powinno być faktem. Tę książkę Wiszniewskiego cytujemy już dzisiaj, będą ją cytować i następcy nasi. Dlaczegoż p. Muczkowski pozwolił, żeby do téj książki wkradły się błędy tak grube? Kiedy wiedział lepiej prawdę o założeniu akademii krakowskiej, kiedy za pomocą rozumowań swoich, ujrzał się bliżej źródła prawdy, winien był ostrzedz o tém Wiszniewskiego. Autor *Historji literatury* byłby sprostował swoje pojęcia i wiadomości, a dziełoby jego na tém zyskało: mybyśmy wszyscy na tém zyskali. Dziś czy-

tając Wiszniewskiego, czyż każdy i dziełko o którym piszemy, zaraz mieć hędzie na myśli? Człowiek uczony, człowiek fachu, pamiętać będzie o poszukiwaniach i odkryciach p. Muczkowskiego; ale ta powszechność, co czyta książki dla przyjemności, albo dlatego, żeby przecie coś wiedzieć, ta powszechność fałszywego wyobrażenia o początkach akademii z dzieła Wiszniewskiego nabędzie. A my o to mamy prawo obwiniać, li tylko autora *Wiadomości o założeniu uniwersytetu krakowskiego*.

Wiszniewski Michał jest niezawodnie człowiekiem wysokich zdolności i ma spory zasób poetycznej siły. Inaczéj nie napisałby nic z życiem, nie stworzyłby ani jednego obrazu. A przecież w Historji literatury, błyszczy ta piękna iskra, która umie rozświetlić przeszłość dawną. Niewszędzie ją widać, ale jest przecież. Przyznamy, że w dziele Wiszniewskiego nie ma twórczości w pomyśle ogólnym, ale jest często poezya w szczegółach; są rzeczy napisane ślicznie, zdaje się, widzisz obrazy Stachowicza. Nieszczęściem często jest dla historyka ten bystry polot fantazyi, który w nim góruje. Uwiedziony wspomnieniem, myślą, obrazem, historyk tworzy, ale już to wtedy nie opowiadać przeszłości, a poeta; twory jego mają wtedy poetyczną wartość, ale historycznej prawdy za podstawę nie mają; są marzeniami, snami na jawie. Widzimy, że Michał Wiszniewski tworzył czytając dawny opis Radymińskiego. P. Muczkowski więcéj zimny, więcéj przywiązany do słowa kroniki, może nawet i większy szperacz dziejowy, nie pomyli się nigdy zapewne w swoich pomysłach i opowiadaniach. Powinien był téż ostrzedz towarzysza prac akademickich, a byłby zyskał i jego i naszą wdzięczność; jak teraz bowiem wygląda ta sprawa?—za spór dwóch ludzi jednego powołania, z których jeden mówi: „ja wiem dobrze”, a drugi „ja wiem lepiej, ale powiem wszystkim, nie tobie, bo tybys mnie ubiegł i rozplótl tajemnicę”.

Przyznajemy serdecznie jednak, że żałujem tego obrazu założenia akademii krakowskiej, skreślonego przez autora Historji literatury polskiej. Cbielibyśmy, żeby ten obraz był historyczny, bo jest piękny. Żałujemy go tyle, ile prawdziwie majestatycznej i wzniosłej powieści o Pawle księciu Holszańskim biskupie wileńskim, który w uroczystém ubraniu zatrzymał na czele swojej kapituły króla Zygmunta Augusta, jadącego z królewskiego zamku do zboru na Łukiszkach. Wiszniewskiego obraz obalił p. Muczkowski; Holszańskie wzniosła postać, zbladła przed krytyką Wizerunków wileńskich.

Do swojej wiadomości o założeniu akademii krakowskiej dodał p. Muczkowski trzynaście dowodów i fac-similia. Dowody te ciekawe, ważnym są nabytkiem dziejowym, a zajmują większą połowę książki. Obejmują wstęp z kroniki Miechowity o założeniu uniwersytetu wraz



z uwagami Jana Broscyusza w pisemku „*De literarum in Polonia vetustate*”; dalej swobody przez Kazimierza W. wsi Bawoł pod Krakowem 19 lutego r. 1335 nadane w Sandomierzu (XI kal. Martii), dokument ważny, pierwszy raz wydany z archiwum rządzącego senatu miasta Krakowa. Dalej idzie przywilej założenia uniwersytetu krakowskiego przez Kazimierza W. wydany w Krakowie na Zielone Świątki 1364 r. Znany był ten przywilej już z dzieła Wiszniewskiego w przekładzie polskim i w oryginale łacińskim, ale przepisany tam był nie z oryginału, tylko z przedruku w zbiorze, wydanym z polecenia Kołłątaja. Oryginał był jednak w archiwum uniwersytetu i wydrukował właśnie z oryginału ten przywilej p. Muczkowski. Czemuż zatem Wiszniewskiemu, który widać nie widział tego przywileju, a znał go jedynie z przedruku, nie pokazał oryginału p. Muczkowski? Następuje z archiwum uniwersytetu pierwszy raz wydany dyplom, w którym radni, ławnicy i przysiężni miasta Krakowa, czynią królowi Kazimierzowi zaręczenie, iż nadanych uniwersytetowi swobód przestrzegać będą i bronić; datowany także w dzień Zielonych Świątek 1364 r. Pomiędzy innymi podpisami, które tu są zamieszczone jako dowód obecności przy wydaniu aktu radnych Krakowa, zwraca przedewszystkiém uwagę Nicolaus Wirzingi. Niezawodnie to sławny w dziejach Kazimierza W. Mikołaj Wierzynek. Prócz jednego wielkiego faktu, w którym imię tego wiernego swojemu panu sługi jaśnieje, mało wiemy szczegółów o życiu tego znakomitego niezawodnie człowieka. Otóż wydanie aktów autentycznych, jako dowody przy *Wiadomościach* p. Muczkowskiego, jeszcze jedną ma zasługę, że przyczynia się bliżej do poznania szczegółów życia Mikołaja Wierzyńka. Dalej idzie brewe Urbana V z odpisu Jana Onufręgo Rafałowicza, zrobionego w r. 1765, a datowane r. 1364, dnia 1 września, w którym papież zatwierdza przywilej Kazimierza W., dany akademii z wyłączeniem nauki teologii. Następuje wreszcie nadzwyczaj ciekawy przywilej Jadwigi na kollegium Litwinów w Pradze r. 1397 nadany, z datą w Krakowie 10 listopada. Odpis tego dokumentu z Balbini *Bohemia docta*, porównany z jego kopią znajdującą się w *Liber Decanorum facul. philosoph. Univ. Prag.* winniśmy uprzejmości uczonego Wacława Hanki. Żałować tylko przychodzi, że nieznanym ten dotąd w literaturze naszej pomnik, w oryginale pewnie gdzieś zaginął. Dalej jako dziewiąty dowód przytacza p. Muczkowski bullę Bonifacego IX z Rzymu w styczniu 1397 wydaną, a wyjętą z oryginału w archiwum uniwersytetu, mocą której papież dozwala uczyć teologii w szkole Jagiellońskiej. Następuje akt erekcyi Władysława króla, z dnia 26 lipca 1400 r., znany już z Wiszniewskiego, ale tutaj starannie wydany. Potem idą ustępy z Długosza, odnoszące się do dziejów uniwersytetu krakowskiego.

Nareszcie ustępy z Radymińskiego: *Annulium Almae Acad. Cracov. Centuria prima* i z początku drugiej, objaśnione krytyką.

Za temi wszystkimi dowodami następuje spis Polaków, którzy w uniwersytecie pragskim od r. 1367, do 1467 akademickie stopnie otrzymali, wyjęty z tyle razy wspomnionój księgi dziekanów. Spis to nadzwyczaj ciekawy. Znajdujemy w nim imiona ziomek naszych, oznaczone albo prowincją, np. Rosalus de Cuyavia, albo miastem z jakiego pochodzili. Ten spis niejedyn szczególny może z czasem w historii miast naszych i uczonych naszych wyświecić. Dziwim się naprzykład, że do Pragi na uniwersytet uczęszczała młodzież z małych dzisiaj miasteczek, które wtedy musiały być przecież ogniskiem jakiegoś ruchu umysłowego. Z Opoczna wślawionego miłostkami Kazimiérza W. jest tu trzech czy czterech uczących się; z Ujazdu pod Łęczycą także kilku. Są uczniowie z Płocka, z Kalisza, z Sandomierza, Wiślicy, Czerska, z Tyńca, z Miechowa, z Przedborza w Sandomierskiem. Spis ten dowodzić będzie, jak dawne miasta nasze czuły potrzebę światła i nauki. Są i z Warszawy: jeden wspomniany pod r. 1404 Paweł *de Versevia*, drugi pod r. 1413 Piotr, napisany już czystiej *de Warssowya*. Za tym ciekawym spisem idzie do fac-simile dodany wyjątek z piérwszój matrykuty uniwersyteckiej pargaminowój, obejmujący spis senatorów, którzy wraz z królem Władysławem Jagiełłą imiona swoje dali wpisać do téj właśnie księgi matrykult na dniu 24 lipca 1400 roku. Po królu idzie Piotr Wysz biskup i Michał z Kurowa kanclerz, dalej Jan z Tęczyna kasztelan krakowski i Klemens z Moskorzowa podkanclerzy. Prócz nich zapisało się jeszcze tegoż dnia dwunastu prałatów i kanoników, dwudziestu ośmiu proboszczów, i dwustu pięciu uczniów. Spis ten drukowany objaśnia fac-simile na końcu książki. Drugie fac-simile jest w texcie, a odnosi się do przywileju Kazimierza W. Czyta w niém p. Muczkowski *providerimus*, nie *providemus*, a to zmienia treść myśli.

Jest prócz tego wiele jeszcze w téj *Wiadomości* rozsianych trafnych uwag, szczegółowych objaśnień, jak np. ten szczegół: że Władysław Jagiełło na akademią kupił nie dom Stefana Pancerza, jak to dotąd wszyscy powtarzali, ale dom Stefana Pęcherza, jak mówi p. Muczkowski, a p. Muczkowski umie przekonać. Są inne jeszcze uwagi, co wartość broszurki podnoszą; ale do niój samój odsyłamy czytelników zapewniając wszystkich, że czas przyjemnie spędzą nad przeczytaniem tego pod każdym względem pięknego dziełka.

*J. Bartoszewicz.*

*Hersylia. Powieść obyczajowa przez Ewę Felińską. Wilno, 1849.*  
2 tomy, w 12ce; str. 245 i 264.

Córka poczciwego ojca, pana chorążego i matki, miłującej kokieterią i wielki świat, Hersylia, smutne dni wiezie swojej piérwszej młodości. Nielubiona od chorążynéj, nieodbierająca pieśczoł należnych jéj wiekowi, ma tylko pocieszycielkę w osobie babki, która, przez przywiązanie dla syna, zapisała mu cały majątek i wlokła przy nim ostatnie lata, pełne gorczy, zmartwień i dolegliwości, jakich powodem była choroba i postępowanie synowicy. Oprócz babki, Hersylia znajduje pociechę w modlitwie. Doznawane przeciwności, wyrobiły w niéj tęgość charakteru i niezwykłą moc ducha. Oprócz tych przeciwności, biédna dziewczica musi znosić kaprysy guwernantki, czuć przykrość, kiedy z jéj bratem obchodzą się lepiej jak z nią, kiedy jego wykroczenia z pobłażaniem puszczają w niepamięć, a ją często niezasłużenie strofują. Nadchodzi jednak chwila, w której i dla Hersylii zabłyśło szczęście. Osądzona na zamknięcie w klasztorze, albo na poślubienie starego i niegodziwego sędziego, poznaje serce, odpowiadające drżeniu jéj serca, poznaje Oskara, byłego oficera Napoleońskiego, który za zjawieniem się, zachwyca wszystkich w całej okolicy. Z niechęcią matka przystać musi na pobranie się Oskara i Hersylii. Ale i to szczęście dla bohaterki powieści trwa niedługo, jakby na dowód, że niéma szczęścia na ziemi. Hersylia, widząc w mężu człowieka, który był zwolennikiem filozofii francuzkiéj zeszłego stulecia, utracą spokojność, utracą nadzieję przyszłego życia. Opuszcza więc męża, i trucizną skraca dni swoje.

Taką jest treść istotna téj dwutomowéj powieści. Wiele bowiem osób, wiele wypadków w niéj nagromadzonych, służy tylko do powiększenia objętości książki, a nie do podniesienia jéj zalet. Autorka, znana już poprzednio ze swego dziennika, prowadzonego w Tobolsku, a umieszczonego w Athenaeum, wystąpiła piérwszy raz na polu powieściowém. Wystąpienie to jednak wcale nie odpowiedziało oczekiwaniom naszym. Tok powieści z początku jest dosyć zajmujący; cały nawet piérwszy tom czytać jeszcze można z pewném zajęciem, pomimo ostrości rysów niektórych osób, w skład jego wchodzących; lecz natomiast część druga zupełnie bez potrzeby jest napisana; tak tu wszystko naciągnięte, rozwlekłe, nieprawdopodobne, nudne. W powieści, jak i w każdym innym literackim utworze, musi być cel, powinna być podstawa; jeżeli zaś w opowiadaniu są tylko błabe szczegóły, te przynajmniej obrobieniem swoim, piękném uwydatnieniem niechaj każą zapomnieć o swojej czczości, o swojej nicości. Jaki cel miała nasza autorka—trudno odgadnąć. Jeżeli chciała wy-

stawić zgubne skutki, wywołane nauką filozofów francuzkich z końca XVIII wieku, to wystawienie tych skutków, zamieniło się w przesadę, nie mając tém samém poparcia w praktycznym zastosowaniu. Czyliż wyznając zasady Woltera, Russa, trzeba już być koniecznie zbrodniarzem, lub nierozsądnym katem domowego szczęścia? Tym zbrodniarzem w powieści jest Oskar, mąż Hersylii. Pytamy: czyliż nie większą była od niego zbrodniarką chorążyna, która stłumiła w sobie macierzyńskie uczucie, podeptała je nawet; czego, jak zkądinąd wiadomo, najgorsza kobieta, najohydniejszy wyrzutek społeczeństwa, rzadko się kiedy dopuści? Czyż nie był przez swoją słabość dla żony, katem własnego dziecięcia pan chorąży? Czyliż nie była występna przez swoją płochość, guwernantka Hersylii? Chociaż te osoby, z wyjątkiem chorążyny, były religijne, podług pojmowania autorki, bo jeździły do kościoła i modliły się z wielką gorącością ducha. Na co zresztą wybierać tak drażliwe kwestye, kiedy rozwiązać je przechodzi czyje siły? Owszem, byłoby tryumfem nauki katolickiej, gdyby bohaterka powieści, zamiast porzucać męża, wyrzekać się na zawsze pojednania z nim, znosiła cierpliwie jego postępowanie, alho mniej na nie zważała; a przeciwnie starała się o ile możności przebaczać mu, w ostatnim zaś razie—wytrwać do końca w obowiązkach, jakie względem niego zaprzysięgła u stóp ołtarza. Ale pani Felińska przeciwko temu zarzutowi zdaje się bronić położeniem, że Hersylia zachwiała się w wierze, i, słuchając ciągłych nauk Oskara, straciła ją. Niepodobna przypuścić, aby kobieta, która przez całe życie czerpała tylko jedyną pociechę w świętym źródle wiary, mogła tak prędko, tak stanowczo bez powrotu ją utracić. W każdym razie położenie to, jest nader drażliwe i nie przyczynia się bynajmniej do podniesienia utworu, ani do obudzenia w nas jakiegokolwiek zajęcia.

Już w pierwszych trzech rozdziałach powieści, smutek pana chorążego Owerły, jego słabość dla leniwój i dziwacznej żony, tudzież obraz jego matki, złożonej ciężką i trawiącą chorobą, wieje na nas jakimś przykrém, chłodnym uczuciem, i jest jakby przepowiednią, że w takim domu, przy takiej gospodyni, nie będzie porządku, nie będzie szczęścia; że pod taki dach spokój, tyle upragniony, tyle pożądaný w rodzinném kole, nigdy nie zawita. Zaraz potem następuje życiorys panny Emilii Chapańskiej, córki traktowniczkki wileńskiej, a obecnie guwernantki Hersylii. Panna Emilia, za pierwszym wystąpieniem na scenę świata, zyskuje grono otaczających ją wielbicieli, ma jednak największy pociąg do oficerów, kwaterujących w Wilnie; za wystąpieniem na scenę w powieści, prowadzi miłosną korespondencyą z guwernerem brata Hersylii. Rozmowy nawet romansowe odbywają się przez dziurkę od klucza, w przytomności elewy.

Piękny ten przykład kochania bliźnich w praktycznym zastosowaniu zupełnie nie jest w miejscu, i zdaje się, że zdarza się w bardzo wyjątkowym sposobie. Rzadko gdzie są takie matki jak pani Owerło, któreby powierzały córki wyłącznej opiece wątpliwego prowadzenia się guwernantek.

W czasie prowadzenia rozmowy, bardzo interesującej dla panny Emilii i pana Wojkowicza, nauczyciela małego brata Hersylii, lecz dosyć nudnej dla czytelnika, nadchodzi chorąży i znajduje we wspomnionej dziurce od klucza, wiérse na cześć panny Chapańskiej pisane. Tu zaczyna się jedna z tych scen, którychbyśmy nawet w powieści spotykać, ani oglądać nie chcieli. Cóż kogo mają obchodzić, te brudne, drobiazgowo wypadki, których oddanie nie ma już najmniejszego wdzięku, nawet pod piórem znakomitego pisarza. Dosyć już tych pokątnych brudów, które nikogo nie nauczą i nie zabawią, a tylko wszystkich znudzić mogą. Podobny wypadek, opisany w jednej z powieści Kraszewskiego: *Milion posagu*, zaszyły pomiędzy pijanym hrabią a niemką z Wiednia, aklimatyzowaną w kraju, obudził słuszne i wszechstronne zarzuty. Minęły więc już, dzięki postępowi, czasy, w których obrazy pokątnych miłostek jątrzyły naszą ciekawość i wystawiały świat tylko z najgorszej strony.

Pierwsze znalezienie się Hersylii przy młodym gościu chorążyny, Alfonsie, powabnie odmalowane, nie może jeszcze zatrzeć wrażenia, wywołanego powyższym opisem; nie zgładza go, nie niszczy nawet zadróść matki, w każdym jej słowie wybijającą się. Zadróść ta, połączona z nienawiścią i ciągłym prześladowaniem niewinnej ofiary, stanowi posępne i mocno zachmurzone tło opowiadania, boleśnie oddziaływającego na naszą wyobraźnię, i boleśniej jeszcze rozdzierającego serce przy uwadze, zwróconej baczenie i ciągle na los, na położenie Hersylii, na widocznego robaka, który się lęgnie w bujnym kwiecie życia tej niewinnej dziewczycy; a nikt go nie może wyrzucić ze świeżego, wonnego kielicha i zdeptać, jak na to istotnie zasługuje. Znowu więc spotykamy drażliwe położenie, przeciwko któremu powstaliśmy. Jestto dopiero początek tych wypadków, jakie autorka, w miarę rozwijania się powieści, rozwija przed oczyma naszymi. Tak widzimy dalej, w tej galerii smutnych obrazów z domowego pożycia matkę, przeznaczającą szesnastoletnią córkę staremu sknerze, sędziemu, który własnych krewnych pozbawił majątku.

Podobny sędzia zajmuje często niepospolite miejsce w powieściach litewskich. Była nawet osobna powieść, przed kilkunastu laty w Wilnie u Blumowicza wydana, pod nazwą: „Pan Sędzia”, w której sprawujący ten urząd, w najokropniejszy sposób jest odmalowany. Zabija żonę, czy córkę, morzy głodem woźnicę, który w jego domu spełniał

wielorakie obowiązki; sam zaś ginie w pożarze, czy też apopleksyą tknięty. Otoż podobną postać, przywołuje autorka na scenę swjej powieści. Sędzia w „Hersylii”, to ów obraz różnych powieściowych sędziów w daleko obszerniejszych rozmiarach. Synowców, jak powiedziałem, pozbawiwszy majątku, dawał pieniądze na lichwiarskie procenta, skąpym był nadzwyczaj. Ale to wszystko znajduje się i w opisach innych powieściowych sędziów. Dla wybitniejszego więc odróżnienia go od innych, autorka nadała mu pewną właściwość, pewne wyłączone widzi się w jego postępowaniu. Cała różnica zależy na tém, że inni, zawsze powieściowi sędziowie, karmili się suchym chlebem, lub spożywali cudze obiady; sędzia zaś w „Hersylii” karmił się *spartańską polewką*. Zresztą, cały ustęp o panu sędzi, jakkolwiek postaci zanadto już zużytej i wyczerpniętej w utworach podobnego kroju i treści, jest jednak najlepiej obrobionym w powieści. Przytaczamy tu mały wyjątek, o wybieraniu się pana sędziego z wizytą do państwa Owerłów.

„Kolaska zielono malowana, niepospolicie wązka a wysoka, rażąca tém bardziej sprzecznością, że używano wówczas powozów krągłych jak kule i bardzo niskich, stała przed gankiem domu sędziego, zaprzężona trzema końmi strokatemi w angielskich półszorkach. Byłto ekwipaż, używany w bardzo ważnych okolicznościach. Równie jak powóz, niezwykła wytworność gotowalni świadczyła, że sędzia zabierał się do jakiegoś aktu, niepowszedniego w życiu.

„Zpod fraka granatowego tylko co od krawca, z bardzo krótkim stanem według ówczesnej mody, emancypował się brzuch niepomierniej objętości, z trudnością mieszczący się w obcisłych *szarawarkach* z nankinu żółtego; krótkie nóżki, wetknięte w buty ze sztylpami, zdawały się dźwigać z ciężkością bryłowatą część wyższą postaci, i wyglądały jak rożenki, na których dzieci zwykły piec jabłko przed ogniem. Szerokie żaboty, sterczące zpod białej kamizelki, zdawały się wyzywać do walki nos mięsisty, panujący nad blademi i zaciśnionemi usty. Miąższość policzków zdawała się oskarżać o potwarz krążące wieści, że sędzia karmił się jedynie *spartańską polewką*, ze krwi, upuszczonej z uszu nierogacizny, lub też nasuwała się myśl, że ten pokarm arcy pomysłnie przyswaja się niektórym organizmom *ludzkiego pokolenia*. Sędzia tak ustrojony, spojrział się w zwierciadło, nagarnął włosy na łysinę, pożyczając je u tylniej części głowy, nieco bogatszej. W siwych oczach, osłonionych białemi rzęsami, zabłysnął wyraz zadowolenia. Dał kilka szcztków swojej sukni, jeszcze raz spojrział w zwierciadło, jeszcze podsunął wyżej żaboty, poczem dobył z kieszeni klucze, otworzył spory kufer czarno malowany, ciężko kuty żelazem, przyszrubowany do podłogi, w którym chowały się

pieniądze i kosztowniejsze zastawy, który sędzia *pieszczenie* (!) nazywał zawsze swym kochanym *murzynkiem*, a dobywszy ze sporój, owalnej tabakierki, zgiętej z kory brzoźowej, w *prostym stylu narodowym*, kilka pierścieni z kosztownymi kamieniami, ponasuwał je jak mógł, na swe grube palce, dając różne ruchy niezgrabnej ręce, dla wydobycia blasku z kamieni."

Pomimo brylantów, Hersylia nie mogła znieść samego widoku staro-ego skąpcza, a cóż dopiero zostać jego dozgonną towarzyszką. Sędzia odjechał do siebie, niezrażony przyjęciem młodej panienki, zwłaszcza, że jej matka robiła mu pewne nadzieje. Hersylia zapadła w ciężką chorobę; wszyscy już zwątpili o jej wyzdrowieniu. Przesilenie choroby tej było powolne, jak równie i powrót bohaterki do zdrowia; lecz przesilenie to nastąpiło właśnie w chwili, kiedy piorun uderzył w zabudowania sędziego, który chcąc ratować kufer z pieniędzmi, padł przy nim bez życia.

Na tém się kończy tom pierwszy tej „obyczajowej powieści”, jak ją nazwała autorka, a razem pierwsza epoka życia Hersylii. Tom drugi jest dalszym ciągiem i dokończeniem kroniki tej nieszczęśliwej kobiety. Kilka tylko pierwszych kartek zawiera malowniczy obraz niewinnego szczęścia młodej istoty, która już od lat dzieciennych musiała tyle znieść, tyle wycierpieć niezastuzenie. Mąż miał zastąpić jej ojca, słabego dla żony, matkę nieprzyjaciółkę; dom jego miał zamienić miejsce jej urodzenia. W tym domu oczekiwała odetchnienia po walkach życia, po burzach, przebrzmiałych nad jej głową. W mężu spodziewała się znaleźć radę, pociechę po przeciwnościach, jakie ją zewsząd obarczały, spodziewała się znaleźć zapomnienie przeszłości. Nadzieję tę zdaje się podzielać czytelnik, strudzony już wypadkami, poprzednio, jak złowrogie widma, przesuwanymi się przed jego wyobraźnią.

Hersylia przecież zawodzi się okropnie, ho uderza ją cios w najdotkliwszą strunę jej serca. Oddana religii i pobożności, posuniętej prawie do fanatyzmu, widzi obok siebie człowieka, z którym całe życie przepędzać musi, człowieka, który nie przywiązuje wielkiej wagi do powierzchownych oznak nabożeństwa. Zapytany o przyczynę, tłumaczy się niejasno, nie po mężku, opierając się głównie na tém, że miłość jedynie może im obojgu zapewnić szczęście, o ile to śmiertelnikom w udziale jest dane. Powoływał się na honor, na uczciwość, która powinna go była zasłonić od pokus innej miłości; pomimo to jednak, w kilka lat po ożenieniu, zaczął hołdować innemu uczuciu przywiązania do innej kobiety. Wypadek ten dla bohaterki był nowém nieszczęściem, równie jak miłość następna, która zapłonęła w sercu Oskara do ciotecznej Hersylii siostry, a która była przyczyną śmierci ostatniej.

Autorka z zimną krwią chciała przeprowadzić swoją bohaterkę przez wszystkie rodzaje cierpień, jak gdyby nie obudziła już w nas współczucia dla niej, w opisie jej dni dziecinnych, oraz dni pierwszej jej młodości. Przecież pomimo to wszystko spodziewaliśmy się w końcu powieści znaleźć powrót jej na łono religii, powrót do szczęścia, któreby pociągnęło za sobą rozsądne postępowanie Oskara. Ale nie taki był cel autorki: chciała pokazać, że kobieta, która aby na chwilę zachwieje się w wierze, już jej nigdy nie odzyska; że dla słabej istoty niema już drogi do poprawy, skoro raz wstąpiła na drogę moralnego zepsucia. Tém zdaniem, bolesném dla myślących, zakończył swój dramat: „Umarli i żywi”, znakomity nasz pisarz, Józef Korzeniowski. Zdania tego bezwzględnie nie podzielaliśmy z dobrze zastużonym piśmiennictwu naszemu autorem; nie podzielamy tém bardziej z panią Felińską. Trudne-bo wprowadzić nawrócenie kobiety, lecz do wykonania nie jest niepodobne. Twórca wspomnianego dramatu miał pewne dowody na poparcie swojego twierdzenia; dowody naszej autorki są niedostateczne. Czyliż Hersylia nie mogła odzyskać utraconego dobra w wspieraniu niedoli? czerpać rady—w naukach i przykładzie babki? uniknąć wreszcie rozpaczego kroku, odebrania sobie życia trucizną—w przywiązaniu do dzieci? Względ ostatni, będąc rzeczywistym i najsilniejszym bodźcem dla kobiety, do wszystkich szlachetnych postępów, autorka najwięcej powinna była mieć na uwadze. Nie zastanawiając się nad nim, chybiła celu; i utworem swoim pomnożyła jeszcze bolesne myśli, które i bez tego tłoczą niezmiernie umysł prawdziwych przyjaciół ludzkości.

Nie rozwodząc się dłużej nad wewnętrzną stroną powieści, powiemy słówko o jej zewnętrznej szacie. Układ cały, pomimo dosyć gładkiego stylu, rozciągłością swoją i wielu błahemi wypadkami odrywa często od głównej treści naszą uwagę i prawie niecierpliwi. Rozmowy, niekiedy bez żadnego zajęcia przelane na papier, są obrazem potocznych rozmów, obojętnych nawet dla prowadzących je, a nienauczających i niewykrywających przynajmniej charakteru osób. W ogóle, zawód powieścio-pisarSKI, nie zdaje się nam być szczęśliwie, jak widzimy, wybranym przez autorkę „Hersylii” zawodem.

J. R. S.





# ROZMAITOŚCI.

---

## *Odmęt Maelstrom w północnej Norwegii.*

(Wyjątek z Revue étrangère).

....**N**a najwyższym cyplu stromych tych skał, zatrzymaliśmy się chwilę: stary rybak, wycieńczony już nieco podróżą, stanął milcząc chwil kilka; zdawało się, jakoby to widoczne zmęczenie poniżyło go w własnych oczach.

— Niedawno jeszcze, zawołał nareszcie, byłem śmielszym i rzeźwiejszym jak dzisiaj przewodnikiem, stąpałem tak lekko po tych urwiskach, jak syn mój najmłodszy. Niestety! trzy lata temu, w tych miejscach, zdarzył mi się wypadek, który rzadko kto z ludzi przeżyć, a tém samém i opowiedziećby zdołał. Sześć godzin najokropniejszego położenia i bojaźni, odjęły mi na zawsze wiele z sił życia i podstarzały przedwcześnie umysł i ciało... Wydaje się starym, nieprawdaż?— dodał po chwili.— Otóż dowiedz się pan, że potrzeba było dnia jednego, co mówię? sześciu godzin, by włosy niegdyś ciemne zbieleły, silne członki niemoc ogarnęła, a nerwy osłabły do tego stopnia, że lękam się cienia własnego, i dostaję drżenia w całym ciele po najmniejszym wysileniu. W téj oto nawet chwili odurza mnie wspomnienie, a tém bardziej widok z naszego przylądku.

Przylądkiem, o którym mówił z wyrazem jakiegoś pogardy na ustach, była stroma ściana skalista, przynajmniej tysiąc pięćset stóp wysoka, wznosząca się majestatycznie nad sąsiednimi skałami, których ostre wierzchołki tworzyły u jój spodu pewien rodzaj granitowego morza, z czarnemi i nieruchomemi falami. Przewodnik mój wyciągnął się na samym krańcu téj ściany, tak, że większa część jego ciała zawieszona była nad przepaścią; równowagę winien był jedynie wystającemu odłamowi granitu, na którym silną i żyłastą rękę opierał. Za całe skarby świata,

nie odważyłbym się nigdy zostawać w tém położeniu, nawet o kilka stóp odległości od miejsca, gdzie się rybak znajdował: sama myśl o niebezpieczeństwie mego przewodnika, drzeniem mnie przejmowała; mimowolnie więc położyłem się na skale i tak wyciągnięty, nie śmiałem nawet oczu wznieść do góry. Zdawało mi się ciągle, że silny wichur obali opierającą się jego wściekłości skałę, i że już nawet podstawa téjże chwiać się zaczyna. Uplłynęło z pół godziny, zanim przyszedłem do siebie, i usiadłszy zdołałem rzucić okiem na otaczający widok.

—Cóż u kata, zbierz pan przytomność—rzekł mój przewodnik, który dotychczas nucił przez zęby jakąś piosenkę—Zaprowadziłem go aż tutaj, żebyś mając przed oczyma miejsce wypadku, który zamierzam ci opowiedzieć, mógł lepiej i jaśniej jego wielkość osądzić. Ale przedewszystkiém czy wiesz gdzie teraz jesteśmy? Jesteśmy—powtórzył nie czekając mojej odpowiedzi—blisko brzegów Norwegii, pod 68 stopniem szerokości geograficznej, w prowincyi Nordland, w okręgu zwanym Loffoden. Górę, która nam zastępuje krzesło, nazywają Helseggen czyli górą obłoku... A teraz podnieś się pan cokolwiek, i jeżeli się lękasz, to choć na czworakach przybliż się nieco, i patrzaj dalej, poza ten tuman wyziewów, co nam najbliższe fale zastania.

Rzuciwszy wzrokiem w oznaczonym kierunku, ujrzałem niezmierną przestrzeń czarną i w ciągłym ruchu. Nigdy wyobraźnia ludzka nie jest w stanie wymyślić tak okropnej panoramy. Na prawo i na lewo, tak daleko jak tylko wzrokiem sięgnąć było można, rozciągały się niby świata krańce, długie skał szeregi, których świecące grzbiety wyglądały, jak kirys olbrzymiego Skarabeja. Czarne fale białem runem piany okryte, pędziły ku nim i z głuchym szumem rozbijały piersi o ich granity. O pięć lub sześć mil odległości, rozróżnić było można wysepkę, a przynajmniej przeczuc ją po wstędze wyżej skaczących i pieniających się w jęj obwodzie bałwanów. Drugą taką wysepkę widać było bliżej stałego lądu. Woda morska między temi wyspami, przy tém szczególniej wybrzeżu, właściwy, że tak rzekę, nosiła na sobie charakter. Pomimo bowiem że silny wiatr dał naonczas, i pędził w kierunku stałego lądu niewielką łódź rybacką, której żagielek zaledwie dojrzyć było można; przecież część morza bliższa owych ścian skalistych, nie ulegała wpływowi tego wiatru. Bałwany téj części pluskały, skakały, toczyły się to w tę to w ową stronę, ale zupełnie nie w kierunku wiatru, ani za jego podmuchem.

— Wyspę najwięcej oddaloną—ciągnął dalej mój przewodnik—nazywają w dyalekcie norweskim Wurrgh (Wer); tę znów na pół drogi, Moskoe; o milę ku północy widać Ambaren, poniżej leżą Islesen, Hot-

holm, Keidhelm, Snarben, i Bucklholm: przy pięknej pogodzie, można czasem nawet widzieć Otteholm, Flimen i Sandflesen. A teraz patrzaj pan, czy nie widzisz jak nieznacznie obraz przemienia się?...

W rzeczy samej, nie upłynęło jeszcze dziesięciu minut od czasu, jakżeśmy się znajdowali na Helseggen, a morze przybierać zaczęło postać zupełnie odmienną. Powstał jakiś głuchy szum, rosnący co minuta, szum podobny do odległego ryku stada bawołów. Powierzchnia oceanu zaczęła niejako układać się do równowagi; od wschodniej ku zachodniej stronie utworzył się prąd oraz to widoczniejszy. Prąd ten co chwila silniejszy, osiągnął wkrótce szybkości nadzwyczajnej. W kilkanaście minut całe morze wzburzone i gnane jakąś niewidzialną siłą, pędziło w danym kierunku ku stronie wyspy Wurrgh. Głównie jednakże najszaleniej rozkołysany prąd, dostrzedz było można między stałym lądem, a brzegiem wyspy Moskoe. W szerokiém tém morskiém łożu, fale brzdowane i rozdzierane tysiącem pomniejszych i zwyczajnych prądów nadbrzeżnych, wstrząsane konwulsyjnie tém starciem, to znów wydęte i świszające, wirowały i pędziły, walcząc z wszystkiemi przeciwnościami, a ciągle w jednostajnym kierunku od wschodu ku zachodowi.

Niedługo potem, scena zmieniła się. Nierówna powierzchnia morza, zaczęła się wygładzać; pomniejsze wiry, jeden po drugim znikaly, a gęsta piana okoliła całą przestrzeń, przed chwilą jeszcze tak wzburzoną. Srebrnymi niemi piany określona najwyraźniej, dana przestrzeń zdawała się tylko oznaczać nowy i większy jakiś wir, który już poprzednio tylemniejszych w sobie pochłonał. Zjawisko to nagle urzeczywistniło się, skoro średnica przestrzeni doszła długości mili. Natenczas niespodzianie przygotowana otchłania tworzyć się zaczęła; i dziwna! lubo brzegi jej obwiedzione były szeroko tą gęstą i białą pianą o której wspomniałem, ani jedna kropla téjże nie oderwała się i nie spadła w tę czarną i gładką jak marmur otchłania, która z horyzontem utworzyła kąt czterdzieści pięć stopni nachylenia mający. Oko zaledwie dostrzedz mogło szybki obieg wody w téj milowej otchłani, która najdziwaczniejszy i zarazem okropny odgłos wydawała z czarnego łona.

Góra na której byliśmy, zatrzęsa się; straciłem po raz drugi odwagę i położywszy się znowu na skale, zapytałem rybaka:

— To chyba musi być ów wielki i sławny morski odmęt, nazwany Maelstrom.

— W rzeczy samej — odrzekł — nazwisko to często mu nadają; my zaś Norwegczycy, nazywamy go Moskoe-ström, a to ze względu na ową wysepkę, którą panu przed chwilą pokazałem.

## II.

To, co czytałem o tym nadwyzczajnym odmęcie, niezbyt dokładnie przygotowało mnie do widowiska, jakie miałem przed sobą. Opis tegoż przez Jonasa Ramus, najwięcej drobiazgowy ze wszystkich, jakie miałem przed oczyma, nie może dać najmniejszego wyobrażenia o jego przerażającej i okropnej, lecz zarazem wspaniałej wielkości.

Z opisu tego przeczuć nawet nie można, ile widok podobnej sceny wzbudza podziwu, bojaźni i lęklivego uwielbienia w człowieku, który go po raz pierwszy ma przed oczyma. Nie wiem z którego miejsca i w jakim czasie wyżej wspomniany pisarz studyował ten odmęt; ale to pewna, że nie z wierzchołka Helseggen i to jeszcze podczas burzy. Zamieszczam tu jednak parę ustępów, które lubo nie są w stanie wyjaśnić pojęcia o fizyognomii i artyznie natury tego zjawiska, zawierają jednak w sobie kilka drobiazgów, określających nieco ten fenomen.

„Między Lofoden i Moskoe, mówi tenże, głębokość wód dochodzi do trzydziestu sześciu, a nawet do czterdziestu sążni; ale z drugiej strony, od strony Wurrgh (Wer), głębokość ta zmniejsza się do tego stopnia, że najmniejszy bez ładunku okręt, nie jest w stanie przepłynąć w tych miejscach, a nieraz już przy najpiękniejszej pogodzie, niejednen z nich osiadł ne mieliznie.

„W czasie podnoszenia się morza, prąd morski między Lofoden a Moskoe, szybko i z wielkim szumem pędzi. Słychać go na kilka mil wokół, a wietrzne wiry są natenczas zwykle tak silne, że każdy okręt wciągnięty w to atmosferyczne koło, zostałby uniesiony na dno przepaści i tam rozbity o skały.

„W czasie opadania morza, resztki i ułamki wszystkiego tego, co poprzednio pochłoniętem zostało, ukazują się na powierzchni. Te chwile spokojności nie trwają dłużej nad kilkanaście minut i to tylko w czasie najniższego stanu wody; zwykły stan wrzenia wód i formacji odmętu powraca stopniami. W czasie, kiedy najsilniejszy jest odmęt, i gdy jeszcze przypadkowa burza powiększy jego wściekłość, niebezpiecznie nawet znajdować się o milę ztamtąd. Wiele już szalup, jachtów i mniejszych statków porwanych zostało tym sposobem, głównie z braku doświadczenia i uwagi na odległość. Nieraz zdarzy się, że wieloryby pociągnięte są tą niczém niezwalczoną siłą; walcząc naprózno z nieubłaganą siłą odmętu, giną bezpowrotnie. Razu jednego ogromny niedźwiedź chcąc przepłynąć z Lofoden na Moskoe, jak zdźbło słomy porwany został; pędzony ku otchłani ryczał tak okropnie, że z lądu go słyszano. Olbrzymie sztuki modrzewiów i sosen schwywane odmętem, powracają na ląd podarte i kędzierzawe, niby jakieś kudłate, nieznane mor-

skie potwory. To naprowadza na myśl, że dno odmętu wyłożone jest ostremi i sterczącymi skałami, któremi to skałami, niby zębami, ów potwór rozdziera i miażdży swe ofiary. Peryodyczne działanie tego odmętu jest w bezpośrednim stosunku z podnoszeniem się morza, i regularnie co sześć godzin się powtarza. Na początku roku 1645 tak silnie objawiło się to zjawisko, że na stałym lądzie dało uczuć się niezwykle trzęsienie, a kilka nawet domów uległo zniszczeniu.”

Przytoczyłem tu zdanie dobrodusznego kronikarza, nie potrzebując dodawać, że opis ten jest zbyt umiarkowanym. Dziwi mnie tylko, jakim sposobem i w którym czasie mógł tenże sprawdzić wód głębokość. Bez wątpienia mówiąc o 40 sążniach głębokości, brał za miarę miejsca kanału najbliżej zbliżone do Lofoden i Moskoe. Że miara niniejsza jest tylko prostém przypuszczeniem, najlepiej przekonać się można nawet gołem okiem, spojrzawszy na straszną tę otchłań z miejsca, gdzie znajdowałem się wraz z moim przewodnikiem, to jest ze skały Helseggen. Uczciwy Jonas Ramus także niezbyt przesadził, mówiąc o porwaniu wielorybów i niedźwiedzi przez ten ryczący odmęt; co do mnie, przekonany jestem, że nie tylko niedźwiedzie lub wieloryby, ale największy okręt liniowy uległby temu losowi.

Co do naukowych wyjaśnień tego zjawiska, różnorodne zdania o niém czytałem; dlatego do dziś dnia nie mogę mieć rzetelnego o témże pojęcia. Myśl najogólniej przyjętą, najtreściwiej orzekła *Encyclopedie Britannique* pisząc: „Tak jak owych trzech mniejszych odmętów w bliskości wysp Färoe, tak i tegoż czynnikiem i przyczyną jest ruch podnoszących się i zapadających bałwanów, w czasie zwykłych przypadłości morza, w otchłań obwiedzioną murem skał, które niby stawidła zatrzymując wody, zmuszają je do gwałtownego spadku i tworzenia katarakty. Ztąd téż im większe podnoszenie się morza, tém gwałtowniejszy spadek, a z podwójnego tego ruchu wód, wynika ów wirowy odmęt, którego siłę chłonna i porywczą, sądząc z doświadczeń na mniejszą skalę robionych, łatwo przewidzieć i ocenić można.”

Kircher oraz inni naturaliści i geologowie przypuszczają: że w środku kanału, w miejscu gdzie Maelstrom, znajduje się bezdenna przepaść, sięgająca aż do środka ziemi, i będąca w połączeniu z inną odległą częścią wód naszego planety. Kircher jeszcze śmieliej wnioskował, twierdząc, że Maelstrom łączy się bezpośrednio z odnogą Botnicką. Hypoteza ta jakkolwiek na niczém nieuzasadniona, bardzo pochlebila mojej wyobraźni; objawiłem ją mojemu przewodnikowi, ale ten z uśmiechem niedowiarstwa odrzekł, że ani to, ani owo zdanie zupełnie go nie zaspokaja; że zaś

miał niejako prawo tak sądzić, prosił mnie, bym zebrał rozproszoną uwagę i posłuchał jego opowiadania.

## III.

„Posiadałem wraz z dwoma memi braćmi niewielki *smack*, łojest szoner, którym zwykle wypływałem na połów nadbrzeżny. Nie od rzeczy będzie powiedzieć panu, że w czasie burzy i podnoszenia się morza, w chwilach, gdzie najwięcej tworzy się prądów, połów bywa bardzo obfity; należy tylko uzbroić się w odwagę i korzystać z czasu. My jedni spośród wszystkich mieszkańców wybrzeża wypływaliśmy w takich chwilach na połów; inni zwykle udawali się ku południowi, gdzie niepotrzeba było mieć względu ani na czas, ani na przeciwności. Jednak ja i bracia moi, przenosiliśmy wycieczkę w strony, gdzie z niejakiem narażeniem można było obfitszy plon zebrać. Był to rodzaj spekulacji: narażenie życia zastępowało usilność i pracę, a odwaga była kapitałem.

„Przy pięknej pogodzie korzystaliśmy z owych kilkunastu minut spokojności i przepływali kanał, ma się rozumieć zawsze w przyzwoitej od Maelstromu odległości, a potem zarzucali kotwicę koło Sandflesen lub Otterholm, w miejscach najmniej zmiennego gruntu. Przeczekawszy aż do drugiego peryodu uspokojenia Maelstromu, wracaliśmy tą samą drogą napowrót. Lubo takowe postępowanie nasze niebardzo zgadzało się z roztropnością, mieliśmy przynajmniej tę wymówkę, że zawsze poprzednio upewnieni byliśmy co do pomyślnego kierunku wiatru. Czasem rachuby nasze nie ziściły się dokładnie, dlatego dwa razy zdarzyło się (wprawdzie w przeciągu lat sześciu), żeśmy trafili na zupełną ciszę i zmuszeni byli noc całą na kotwicy przepędzić. Razu pewnego, w podobnym położeniu, przepędziliśmy cały tydzień. Ciężka była to sprawa, bo nam już i żywności brakować zaczynało. Przyczyną tego była niespodziana burza, a potem silny wiatr trwający dni kilka, który nas zmusił do pozostania na miejscu. Nie byłbym w stanie opowiedzieć mu tysiąca drobniejszych niebezpieczeństw, na jakie nieraz narażani byliśmy podczas tych przepraw; jednak zawsze szczęśliwie udawało nam się koło straszego Maelstromu przemykać.

„Czasami widząc, że możemy go uprzedzić lub spóźnić się chociażby o minutę, przestach ścisnął mi serce okropnie. Ośmastoletni syn mego starszego brata, oraz dwaj moje wyrostki, mogliby nam nieraz dopomóc w tych wycieczkach; ale trzeba było nie mieć serca, żeby ich z sobą zabierać, zważając na możliwość niebezpieczeństwa; a że ono było strasznym w istocie, najlepiej się pan wkrótce przekonasz.

„Trzy lata temu, było to dziesiątego lipca (dzień ten nie tak prędko zapomną nadbrzeżni mieszkańcy: straszny huragan wyrwał go nazawsze

w ich pamięci), od rana, co mówię, w południe jeszcze łagodny wiatr powiewał, a słońce rzucało jasne i niczém niezachmurzone promienie; dlatego najstarszy marynarz nie mógłby przewidzieć tego, co wkrótce nastąpić miało.

„Razem z dwoma memi braćmi, puściliśmy się na zwykłą przejażdżkę, i minawszy szczęśliwie niebezpieczne miejsce kanału, wkrótce pośród wysepek, gdzie zwykle odbywał się nasz połów, stanęliśmy. Zégarek mój wskazywał siódmą z wieczora, kiedy zabieraliśmy się do powrotu, rachując, że przepłyniemy koło prądu właśnie w chwili najniższej wody, tojest punkt o ósmej. Płynęliśmy jakiś czas z pomyślnym wiatrem, statek lekko i szybko ślizgał po wodzie, i żadnemu z nas nie śniło się nawet o niebezpieczeństwie, jakiegobądź rodzaju. W rzeczy samej, nie mieliśmy żadnej przyczyny do niewczesnej obawy. Nagle, od strony Helseggen niespodziany wiatr powiał. Było w tém coś nadzwyczajnego, nigdy jeszcze nic podobnego nie przytrafiło nam się w czasie owych wycieczek: jakiś przestach mnie ogarnął. Zwinęliśmy żagiel, ale wiatr przeciwny i tworzące się nagle coraz liczniejsze prądy, nie pozwoliły ani krokiem dalej postąpić. Podałem myśl wrócenia na nasze stanowisko i zarzucenia kotwicy, ale obróciwszy się poza sobą, zobaczyliśmy cały widokrąg miedzianą chmurą osłonięty. Pędziła ona coraz szybszym krokiem, i co chwila większy ocieniała zakres.

„Po chwili wiatr ustał zupełnie, jakaś głucha nastąpiła cisza, a nasz statek zaczął tu i owdzie biegać, w kierunku rozmaicie krążących i spotykających się prądów. Niedługo zostawaliśmy w tém położeniu; parę minut zaledwie upłynęło, a burzę mieliśmy już, jak to powiadają, za kołnierzem. Cała powietrzna osłonięta została ognisto-ryżą chmurą; z jednej strony ciemności, z drugiej piana, co nam aż w oczy bryzgała, a smack nasz na woli i fantazyi rozwijającego się huraganu: takie było wówczas nasze położenie.

„Szaleństwem byłoby chcieć panu opisać tę burzę czyli raczej trąbę; nikt z żyjących do dziś dnia w północnej Norwegii nic podobnego nie widział. Zaraz za pierwszym zionięciem burzy oba nasze maszty, jakby podcięte u podstawy, przewróciły się i wyrzucone zostały. Młodszy mój brat, który z bojaźni jednego z nich się ućzepił, został wraz z tylnie porwany.

Trudno sobie wyobrazić nad ten nasz smack, coś lżejszego i zgrabniejszego; prawdziwy korek: był on płaski i miał szczelnie zamykany pomost, pod którym dyszała obfita nasza morska zwierzyna. Tę lekkości i płaskiej formie statku, winni byliśmy ocalenie, gdyż nie przesadzając, kilka razy byliśmy już zupełnie pod wodą. Do dziś dnia nie wiem

jak sobie brat mój starszy prradził, że nie utonął; co do mnie, wyciągnięty na pomoście trzymałem się metalowego kółka, które tkwiło u spodu zdruzgotanego masztu. W tém położeniu prawie bez myśli, bez czucia, zostawałem chwil kilka. Jakem wyżej wspomniał, wicher zanurzał po kilkakroć statek w wodzie zupełnie; nie mogąc wytrzymać powtarzającego się, a coraz dłuższego braku powietrza, zebrałem wszystkie siły, i ukląkszy na pomoście, podniosłem się nieco. Szczęściem głowa moja znalazła się nad powierzchnią zalewającej nas wody; prawie w téj chwili statek nasz wstrząśnięty nową siłą, niby pies topiący się, na wierzch wyskoczył: zebrałem natenczas całą przytomność umysłu, chcąc zdać sobie sprawę z tego, co się działo, gdy nagle uczulem się schwytyany za rękę. Byłto brat mój starszy, o którym sądziłem, że równie jak i młodszy został porwany. Zrazu ucieszyłem się znalazłszy go obok siebie; wkrótce jednak owa radość w okropne przerażenie się zmieniła, gdy tenże nachylając się ku mnie, ochrzypłym głosem zawołał:

„Moskoe-strom!!”

W oczach mi się zaćmiło i zimny dreszcz mnie przeszedł na te słowa. Wiedziałem, co chciał przez to powiedziéć, zrozumiałem całą okropność i pogrózkę tego wyrazu. Wiatr, za którego pędem gnała łódź nasza, popychał nas prosto w kierunku odmętu, i nic, tak, nic już wybawić nas nie było w stanie.

Wspomniałem już, że przepływając kanał, trzymaliśmy się zawsze w przyzwotém od przepaści oddaleniu, nawet wtenczas, kiedy morze było spokojne i gładkie; cóż więc za nadzieja mogła nam pozostać teraz, kiedy pędzeni byliśmy ku niéj silnym wiatrem i to w czasie burzy? Któż wie, pomyślałem, może zanim prąd zapędzi nas w odmęt, nastanie owa chwila najniższej wody; zostaje nam więc jeszcze iskierka nadziei: po chwili jednak przeklinałem podobne szalone myśli. Miałem to przekonanie, że gdybyśmy nawet statek nasz zamienili na liniowy okręt o 100 działach, nieby już nas od zguby uratować nie mogło. Po chwili burza zmniejszyła się, i niebo nową postać przybrało. Zewsząd naokoło, powietrzniak była jeszcze czarna, jak przedtém; nad głowami tylko naszemi w prostopadłym kierunku przeglądała strzelnica, błękitna, jasna, której środek wspinał się księżyc oświecał. Parę razy chciałem do mego brata zagadać, ale hałas rozbujanych koło nas fal był tak wielki, że nie mógł mnie usłyszeć. Zobaczyłem tylko, jak zbladł nagle i wskazał mi ręką na kieszeń od zegarka. Wyciągnąłem go, spojrzałem na cyferblat i mimowolnie zadrzałem. Zegarek stanął, a krótsza skazówka czerniła się na siódméj; w złości rzuciłem go w morze.



Kiedy statek dobrze zbudowany i niezbyt przeładowany, w czasie silnego wiatru bałwany podsuwają się, przeslizgują pod nim lub wynoszą go i pozornie zanurzają: natenczas statek, jak zwał po naszymu, przewraca koziółki. Dotąd koziółkowaliśmy więc szczęśliwie, bez szwanku, a olbrzymiej wysokości bałwany porywały nas i w prostopadłym prawie kierunku spychały lub wynosiły ku górze. Zwykle dosięgnąwszy szczytu, statek przewracał się i zsuwał w przepaść, niby jakiś przedmiot spuszczonej po gładkiej marmurowej płaszczyźnie, po której ani biegu opóźnić, ani zatrzymać już nie można. Jednakże udało mi się w czasie wyniesienia w górę spojrzeć przed siebie, i przekonać się gdzie byliśmy w téj chwili. Odmet Moskoe-strom oddalony był o jakie ćwierć mili, ale w niczem nie był podobny do tego, któryś pan widział niedawno. Gdybym naprzód nie wiedział, gdzie i dokąd płyniemy, nigdybym miejsca tego nie rozeznał, tak często zdala widzianego. Obraz jego był tak przerażający, że mimowolnie zmrużyłem oczy, jakby pod wpływem spazmu nerwowego. Parę minut upłynęło, a olbrzymie bałwany złożyły nas na łożu z ciemnej i gęstej piany. Statek nasz dał pół obrotu i nadzwyczaj szybko w odmiennym ruszył kierunku. Zarazem głuchy i rozległy huk bałwanów zastąpiony został ostrym, dzikim, nieustającym szumem. Wystaw sobie pan kilkanaście tysięcy statków parowych, w których naraz, klapy bezpieczeństwa otworzone zostały. Znaleźliśmy się w owéj czarodziejskiej i szerokiej wstędze piany, która otacza bez ustanku odmet; miarkując po szczególnej szybkości pędu, sądziłem, że za lada chwilę będziemy na dnie przepaści. Statek nasz jak bańka mydlana, wirował i ślizgał po wzburzonych falach. Szczególniejsza, w owéj chwili, kiedy mając tyle przytomności, że mogłem osądzić coraz bliższe niebezpieczeństwo, nareszcie w obliczu co chwila zbliżającej się śmierci, nie straciłem odwagi; owszem, widząc niechybną zgubę, wprost przeciwne bojaźni myśli mnie opanowały. Nie mam tyle zarozumiałości, ażebym sądził, że stan ten był naturalnym następstwem wypadków dnia tego; stare przysłowie, że tonący brzytwy się chwyta, oraz instynkt zachowawczy do każdego, a tém samym i do mnie zastosować było można; pomimo to w owéj chwili bojaźń śmierci ustąpiła ciekawości, a myśl o ratunku zastąpiło ścisłe rozważanie miejsca i skutków chłonej siły odmetu. Zdaje mi się, że do podobnego stanu usposobił mnie nieco nadzwyczaj szybki ruch wirowy statku, który mi zwykłą rozwagę i zmysły w dziwny sposób pomieszał. Nie wiem jak długo statek obiegił jak szalony pieńjące koło, aż wreszcie zmieniwszy kierunek, spadł niby ktoś rzucony na głowę w przepaść. Znowu zamknąłem oczy będąc pewny, że już ostatnia chwila wybiła: gdy nagle smack zatrzymał się, i zaczął biegać

jak poprzednio. Spojrzałem, statek znowu wirował, ale już w głębi, nie na wierzchu otchłani i wedle odmiennych praw statyki. Przyczepiony jednym tylko końcem jakby nitką do gładkiej płaszczyzny odmetu, biegł po powierzchni zachowując równowagę, i tylko od czasu do czasu zapadając głębiej, by znów rozpocząć zwyczajny obieg wirowy. Nad nami i pod nami rozmaite zagarnięte w czasie burzy przedmioty, ulegały podobnemu do naszego zapadaniu i biegowi; patrząc na nie dostrzegłem, że takie, które najwięcej zbliżały się do kształtu okrągłego, najdłużej na jedném wirowały miejscu i daleko wolniejszym i rzadszym ulegały spadkom; przeciwnie, forma cylindrowa przedmiotów, najwidoczniej sprzyjała szybkości tychże.

Lekkość także gatunkowa, oraz i objętość, niemało wpływały na wolniejsze lub szybsze spadanie. Zauważywszy to wszystko i widząc, że wiele przedmiotów wyprzedza nasz statek dążąc na dno przepaści, a wiele innych zostaje nad nami, zebrałem resztę sił, i odczepiwszy z wielkim trudem próżną beczkę od naszego smacku, objąłem ją i przywiązaawszy się do niej moeno liną, opuściłem nasz statek wraz z moim bratem, który już dawno wszelką przytomność utracił. To widać uratowało mi życie, bo w kilka chwil potem straciłem siły i władzę myśli i uczuć, wycieńczone już tyloma wrażeniami owego dnia nieszczęsnego. Widać, że zanim beczka mogła dna dosięgnąć, nastąpiła owa oczekiwana poprzednio przez nas chwila niskiej wody, i uspokojenia się Maelströffu. Bądź co bądź, dość, że w godzinę niespełna znalazłem się w raz z moją beczką wyrzucony zachodnim wiatrem na piaszczyste nadbrzeże, żywy, niepotłuczony, niezmiażdżony, ale bezsiłny, podstarzały, i osiwiwały.

Długi czas kofedzy moi nie wierzyli mojemu opowiadaniu, i kto wie, czy i dziś jeszcze wierzą temu; niejeden obcy, niejeden uczonej podróży zachodził już do mojej chaty i pytał mnie pomimo tego o szczegóły owego wypadku. Od nich to opowiadając i powtarzając często toż samo, nauczyłem się dużo rzeczy; nie dziw się więc pan moim niiby wiadomościom i większej od innych rybaków nauce: drogo je opłaciłem, a jednak nie żałuję tego. W przeznaczeniu widać leżało, żebym oglądał to, czego dawno żaden człowiek dotąd, a może i później nigdy nie zobaczy."

M. M.

*Wspomnienia koncertowe.***Zofia Bohrer, Lubowski.**

Nazwisko Bohrer znane już oddawna muzykalnej Europie, ale zapomniane potrochu, silnym znów zabrzmiało w niej głosem za sprawą Zofii Bohrer. Kiedyś, prawie od początku bieżącego stulecia, zrazu czterej, a gdy dwóch tylko zostało, dwaj bracia, Antoni skrzypek i Maksymilian wiolonczelista, przebiegając Europę od zachodu na wschód, z północy na południe, wszędzie niesłychany pobudzając zapał, za pierwszych a przynajmniej pierwszym równych okrzyknięci, dziś po półwiecznym niemal zawodzie, liczeni są jeszcze do zachodzących gwiazd muzycznych. A kto wejrzy w niektóre szczegóły ich biograficzne, gotów przypuścić, że geniusz muzyki do ich rodziny należy i duchowym swym wpływem kieruje ich losami. Z potężnego kontrabasu wykwitł kwartet młodzieńczy, w którym skłonni do mistycyzmu Germanowie, prócz koniecznych wzorowemu kwartetowi zalet, upatrywali szczególną solidarność ducha między pojedynczymi członkami. Niestety! wkrótce z czterech dwóch tylko zostało, ale solidarność owa nic nie zesłabła, owszem, jakby podwojoną dzielnością związała pozostałych. Wspólność nietylko jedną odziała cechą kształcenie się w zawodzie artystycznym dwóch braci, nietylko obudwu jedną po Europie wozila drogą, towarzyszyła w licznych przygodach (szczególniej w 1812 r. podczas wojny na Północy), jednym ich skronie otaczała wieńcem: ale obudwóch serca do jednej skłoniła rodziny, i dwie siostry, obie znakomite fortepianistki, w Monachium, z losami braci Bohrerów spłotła. Nie tu koniec szczególnego zbiegu okoliczności. Owe dwie siostry wysokie swe uzdolnienie muzyczne winne były przedewszystkiemu matce, i dziś, zadziwiająca nas Zofia, matce swojej najwięcej winna! Czemuż tak ciągle mistyczny Hoffmann nie doczekał tego! On, tak wtajemniczony w działanie sił duchowych, tak widzący styczność, gdzie inni różnice tylko dopatrują, cóżby nie odkrył tam, gdzie dla tępszego nawet oka dotykającego prawie jest tyle!....

W Antonim Bohrer, któregośmy na koncertach Zofii poznali, nie spotykamy już cech, które go na pierwszym między skrzypkami stawiały miejscu. O! czas to wielki niszczyciel! zabierze ci siłę i zapał młodzieńca, głębokość meża i dzielność, i starganemu starcowi zostawi wspomnienia, które tylko jemu samemu wystarczą. A przecież i dziś jeszcze inny to Bohrer w kwartecie: w sali koncertowej dla jego córki pierwsze miejsce. A o niej cóż powiedzieć nad to, cośmy powiedzieli? boć cały ten wstęp

choć pośrednio o niej mówi, uwielbienie nasze, dla niej tłumaczy. Przybyła z wątpliwym poleceniem rozchodzącej się sławy o sobie, mało komu wiadomój; przybyła do jednego z najniemuzykalniejszych miast w Europie, i co gorsza do miasta, mającego się za niezmiernie muzykalne: a daje więcej koncertów jak Hummel, Dreyschok, Döhler, Thalberg, więcej jak Liszt nawet! Powody tak niesłychanego u nas powodzenia, leżą przede wszystkim w niewypowiedzianym mechanizmie panny Bohrer. Wszędzie, a u nas więcej jak wszędzie, trzeba naprzód zadziwić, żeby zająć i zhołdować; a mechanizm panny Bohrer z którejkolwiek obejrzyć zechcemy strony, zawsze jest zadziwiający, a trudności, czyto one z *gamy*, czy z *trylu*, czy z *oktaw* pochodzą (bo do nich, jako wymagających to palców, to dłoni, wszystkie się odnoszą) równie są, niezawodnie równie łatwo pokonane, równie poprawne i wykończone. W kategorii skoków zastosowanych w *Pompa di festa* Willmersa, niezachwiana pewność wirtuozki na chwilę się zachwiała; a byłoto właśnie przy końcu, gdzieby potrzeba było sztuki prawie szatańskiej albo cudu, by wyjść bez szwanku; sztuka ziemianki, choć nią była Zofia Bohrer, nie starczyła. Ciekawą byłoby rzeczą posłyszć samego autora, jakby się z tego wywinął: bo że to graniczy z niepodobieństwem jeśli niemi nie jest jeszcze (uważając na szalone tempo, przed którym się panna Bohrer ani na chwilę nie cofnęła), to niezawodne. Ten usterk, jestto mętna kropla w oceanie kryształu, a jeśli tu o nim mówimy to tylko dlatego, by zwrócić uwagę wszystkich, których przewaga mechaniczna panny Bohrer do rozpacz doprowadza, że niema niezawodności w części fizycznej, a raczej mechanicznej sztuk pięknych; że do pewnych tylko granic posunięta praca fizyczna, rzetelną korzyść przynosi, dalej, raczej szkodę sprowadza, dlatego już samego, że rozwinięcie się ducha ogranicza, zabija go niekiedy, z człowieka automat czyni. Niech się w nim jedna sprężynka zepsuje, cały poprzedni urok niśnie. Nieodżałowany nasz Szopen nie rad widział uczniów swych zbyt mechanizmowi się oddających, bo w części duchowej sztuki tyle jest wiecznie zjawiających się nowości, taka rozmaitość z głębi uczucia płynąca, tak nieodparta siła pociągająca, że drobiazg olbrzymie zyskać ztąd może wymiary; gdy obraz imponujący pozorną wielkością, samym tylko mechanizmem rozwinięty zkarłowacieje, zdrobnieje, tak, że się w ramy miniatuury zmieści.

Grzechem jest przecież, którykolwiek z darów natury odłogiem zostawić; kto ma wrodzoną zdolność do wykwintnego mechanizmu, niech go nie zaniedbuje, boć on wysoko posunięty sam przez się niekiedy wrażenie robi, a zawsze swobodne wylanie się ducha ułatwia. Od czasu posłyszenia pierwszej wielkości wirtuozów, którzy na Warszawę łaskawi

byli, a więc podobno od ośmiu lat nie słuchaliśmy z takim zajęciem owych kompozycji na błyszczenie obrachowanych, na których czele dzisiejsze fantazyje stoją. W wykonaniu panny Bohrer zyskują one wartość, a raczej nie potrzebują jej mieć wcale; artystka była tu wszystkiem, kompozycje czémśiś drobném pozostały. Słuchając ich, jesteśmy porwani w jakiś świat ułudny, w którym nic nie rozumiemy, a przynajmniej nic z pojętego zatrzymać na długo nie umiemy—bo to fałsz; wygląda jak bajki o złotych jabłkach i dyamentowych górach, jak okolica różno-kolorowym bengalskim ogniem na chwilę oświecona i pokrajana zarazem, postrzelana gęsto raketami, gwiazdami pływającemi chwilę w powietrzu przystrojona, skłamana, ale czarowna. Im więcej było blasku, tém grubsza potem ciemnica, i albo uciec trzeba, albo co prędzej na nowo czarom się poddać, dopóki się nie znudzi wszystko. Ileżto razy na koncertach nudzić się przychodzi!

Ale koncerta panny Bohrer bogate niesłychaną sztuką, bogatsze jeszcze były rozmaitością, bo na każdym, obok dwukrotnego *intermezzo* pana Antoniego Bohrer, znakomite utwory sztuki posłyszć można było; a program ostatniego koncertu mnogi repertoar wirtuozki pokazujący, zapałem dla niej napelniał obojętnych dotąd, pysznych swoim Lisztem lub Thalbergiem w proch strącił, zwolenników dawniejszej szkoły pocieszył w zwątpieniu, wszystkich zadziwił i nauczył. Zaiste, życie wieku całego muzyczne od Bacha do Willmorsa umieć wedle wyboru przedstawić, trudność to niemała i zasługa nie mniejsza!—Źródło z któregośmy czerpali wiadomości niektóre o rodzinie Bohrer (Lexicon Schilling'a) opowiada, że w Paryżu, dwaj bracia Antoni i Maksymilian w massie publiczności zaszczepili smak do klasycznych autorów muzyki niemieckiej. Łatwo temu uwierzyć wnosząc po wrażeniu, jakie u nas zrobiły dzieła np. Beethowena, przez pannę B. wykonywane. Żeby je pokochać, dosyć je słyszeć; a więc kto bywał na koncertach panny B., pokochał Beethowena i nieprędko go zapomniał. Taki przykład i nauka, dane publicznie przez tak znakomitą artystkę kilka razy do roku, innymby nasz smak muzyczny wkrótce uczyniły; może i do tego byśmy doszli, że i stary Bach mógłby nas na chwilę chociaż zająć. Dziś Bach dla nas jeszcze niedostępny i podobno nigdy inaczej nie będzie, dopóki jakim cudem osobiste studia nad wszystkiem co istotne, do zrozumienia tego olbrzyma muzycznego nas nie powiodą. Żeśmy od tego o całe niebo odlegli, dowodzą wyrazy pewnego recenzenta w jednej z gazet naszych, utrzymującego przed kilkoma laty, że Bacha należy już schować *ad acta*. Boże mu odpuść jego zuchwalstwo, bo niewiedomość i my odpuścić możemy; ona tak na-

turalna u nas!... Wyznać należy na nasz zaszczyt, że przy wywoływaniu imienia Bach, żadne inne imię wezwane nie było; dowód to powszechnego szacunku dla wielkości, a podobno i ciekawości: jak też wygląda utwór Bacha, a jeszcze *fuga*? Ci co zblizka rzeczy nie znają, niewiele skorzystali choć postyszeli. Wprawdzie panna Bohrer wywiązała się jak można było najlepiej; staranność w odznaczaniu każdego nowo wstępującego *głosu*, precyzja w przeprowadzeniu każdego, *expressya* nawet, co już najtrudniejsze w tym rodzaju tyle zwickłym: to wszystko nie pomogło do zrozumienia tym, którzy do tego stosownego przygotowania nie posiadają, i byłoby to zupełnym zaparciem się samych siebie, gdyby go drugi raz postyszeli żądali. Szkoda, że panna Bohrer właśnie *fugę* wybrała, bo i ton fortepianu nikły, rozległością sali koncertowej osłabiony, słabym tu był dla niewprawnych słuchaczy tłumaczem. Inaczej z Beethovenem, bo on nierównie bliższy naszych czasów, a jego *Sonaty* przedstawione z pojęciem i po większej części z prostotą, tém lepiej odsłoniły nam głębokość jego myśli. Na pytanie, czy tak właśnie grał sam Beethoven swe dzieła? potwierdzająco byśmy odpowiedzieli; mamy bowiem ufność w doskonałej szkole wedle której panna B. prowadzoną była widocznie, w uwielbienie którym każde niemieckie serce tchnie dla Beethowena, w tradycją świeżą niemal jeszcze, której Niemcy pełne, nadto w ducha nieśmiertelnych tych kompozycyj, aż nadto wydatnie się objawiającego. Osobiste pojęcie artystki zgodne mniej więcej z naszym pojęciem bywało, i chociaż z żalem, ale z potrzeby porównania przypominamy, komu to obojętne nie jest, pojęcie Beethowena przed pół rokiem objawione przez pana Wernik. Tam słyszeliśmy Beethowena na torturach przesadzonej pieśczoły omdlewającego, maniernością pociętego na sztuki; tu samoistnego ducha w wielkim odlewie. Poddaniem się myśli kompozytora z uległością, stworzone zostało pojęcie i rozwikłało, co niby zgmatwane, objaśniło co ciemne; szczerą prawdę tłumaczyła.

Przecież nie z równą przenikliwością przedstawiła nam panna B. Szopena: czyto dlatego, że go mniej studyowała i nie posiadała go jeszcze, czyto dlatego, że nie każdy głęboki autor równie jej sposobowi widzenia dogadza. Tak, że tylko dwa dzieła Szopena wymienimy: *Berceuse* nikt nie rozumiał, szczególnież początku, snadź i sama artystka nie rozumie, a polonez mimo przepychu wykonania, nie był tém, czém być był powinien; chcemy tu mówić o trio. W pierwszej jego części kokieterya wirtuozki niestosowną szybkością tempa popsuła poważny rytm poloneza, chociaż z drugiej strony to miejsce właśnie należy do tych, które mechanizm i łatwość panny B. najlepiej okazały; w drugiej części tria brakło tkliwości i boleści Szopena, a pomysły to cechujące wszystkie jego dzieła

i miarkujące wrażenie pomysłów poprzednich, dopełniające je nawet. Brak to wrodzony, czy z planu wypływający?—rozstrzygać niepodobna. Być może, że liczne zebranie słuchaczyw nieznanym, wystawność koncertowa, i ta powściągliwość i obawa, z jaką zamykamy w sobie najgłębsze uczucia, niepewni jak przyjęte byłyby, pozbawiły nas owego wylania się serdecznych wzruszeń, na godziny swobody lub nieodpartej tęsknoty zachowanych. Zato nie posłyszeliśmy owęj przesadnej sentymentalności, którą udawać tak łatwo, w którą uwierzyć tak niepodobna. Słowem, poprawność, wierność, prostota, a gdzie potrzeba brawura: oto cechy gry panny Bohrer. O kompozytorach jęj cöz możemy z drobiazgów wnosić. Że odbyła i pod tym względem studia surowe nawet, świadczy program ostatniego koncertu (1), obiecujący słuchaczom na zażądanie fugę Zofii Bohrer. Ale słuchacze dosyć mieli Bacha, i dostali mazura.

Piękny talent pana Lubowskiego, fortepianisty, o którego koncercie w d. 24 marca r. b. mamy teraz mówić, urosł znacznie od czasu pierwszego jego u nas wystąpienia przed kilkoma laty. Mechanizm jego, mimo pamięci na brzmiące prawie jeszcze koncerta panny Bohrer, znakomitym nazwać można, a zdrowy ton i czerstwość gry w ogóle, któreśmy już wtenczas wyróżniali, i dziś mu pozostały. Jest siła, jest precyzja i pewność (mimo uchybień łatwo wytłumaczyć się dających, szczegółólnem i niezbyt miłym położeniem każdego koncertanta), ale nie ma tego, co byśmy woleli jak te wszystkie przymioty—nie ma dążności zacnych. Program pana Lubowskiego składał się z czterech jego własnych kompozycy, jednej Thalberga i dwóch Szopena. I przeciw temu, że pan L. chciał być jak można najwięcej nowożytnym, a raczej modnym, wieleby powiedzięć się dało; nateraz przestaniemy na zwróceniu uwagi słuchaczyw na jednostronność i rodzącą się z nięj monotonią, podobnego koncertu. Cztery kompozycye pana L. należą do tych, w których nie muzykę, ale autora jęj, a raczej wykonywającego widzimy, chociaż nie można zaprzeczyć, by w nich nie było pewnej oryginalności i wynalazku; ale to tylko wynalazek, nic więcj. Fantazy z tematów Macbetha Verdego, mogła sobie być taką; niektóre względy na słuchającą publiczność, łatwo istnienie jęj objaśnia. Czemuż jednak Nocturno zapowiadające istotnie cöz nowego, skończyło się tak powszednio? widocznie była zrazu myśl, ale wkrótce otaczające ją przybory zabiły niebogę. Jakim sposobem tyle kokieteryi i pretensyi do *nocturna* należęć może, nie umiemy sobie wystawić; ani tego, jakim sposobem prostota mazura nadać się może do sztuk łamanych, jakby już nie było tyle sposobności popisania się z tēm gdzieindziej. Że

(1) Mówimy tu o koncertach, afiszami zapowiedzianych.

tak się z mazurem obchodzą cudzoziemcy, mniejsza o to; oni się nam chcą przypodobać i robiąc jak rozumieją, dowodzą właśnie czego nie rozumieją; my mazura naszego mazurem zostawmy. Zato etiuda *la fontaine* (rozumie my tu raczej źródło niż fontannę), doskonale się autorowi udała; nie myślimy jęj tu opisywać, ale powiemy, że się zbliża dokładnością przedstawienia i uludą do słynnych trzech szkiców Sterndal'a Bennet, o których powiedzieć można, że mimo wody wszędzie w nich płynącej, nic wodnistej nie mają. W tém różnica, że u Benneta figury naśladowcze są zarazem znaczną częścią treści i skromniejsze, u pana L. świetniejsze i mniej z treścią zrosłe. Z dwóch kompozycji Szopena przeciw wykonaniu *walca* nic nie mamy, a raczej nie powiemy, bo wyszczególnienie tego, co tu i owdzie nie znajdujemy trafnie, do drobiazgowości nas powiodło, i raczej uczynimy to przy *marszu żałobnym*, jako powszechnie znanym. Dlatego właśnie, że powszechnie już znany i ciągle słyszany, marsz ten do koncertu muzyka z powołania wybranym być nie powinien. Co się słabościom dyletantów wybacza, wybaczyć muzykowi nie można; powinien wiedzieć, że część większej całości od nięj barwę przyjmuje i swojęj jęj udziela. Przekonani jesteśmy, że Szopen nie dlatego wtrącił marsz żałobny do swęj sonaty, że mu tam odpowiednie upatrzył miejsce, ale dlatego, że rodzaj jego pomysłów w poprzednich *allegro* i *scherzo*, na ten pomysł go naprowadził. Powszechnie uznana głębokość Szopena jako kompozytora, innego pojmowania prac jego przypuszczać nie dozwala, i zawsze w duchu ganimy podobne odosobnianie części, bo to jest nie uznawać właśnie *miejscowego* ich znaczenia; myśl jakakolwiek nie zyskuje na stosowności pomieszczenia, w niestosowności jego nie traci? Oderwana od całości z której wytryła, żeby zyskała wagę, potrzebuje szczególnych wysileń, niepotrzebnych w naturalnem położeniu. Tak też się dzieje z owym marszem Szopena; jako wspomnienie poetycznej i bolesnej chwili, jako modlitwa przepelnionego łzami serca, cudowny, w cóż się obraca na chłodnym koncercie? W coś sztucznie wypieszczonego, wyrachowanego; każdy dźwięk wygląda wówczas podobny do owego promienia włosów, do owego fałdu sukni z całą sztuką perukarza i modniarki ułożonych; to prawie świętokradztwo! Co do pojmowania dzieł Szopena, jakie się u nas coraz więcej rozpościéra, nie możemy zaprzec w sobie pytania, które przedewszystkiém muzykom z powołania (przypuszczamy, że w nich znajduje się głębsza znajomość sztuki i trochę z filozofii) czynimy; mniemają, że Szopen nie umiał powiedzieć tego co chciał? czy chcąc coś powiedzieć, nie miał do tego przyjętych i upowszechnionych sposobów? Jeśli umiał i znał sposoby, za cóż nie szanujecie jego woli, za cóż własne urojenia na miejsce widomej rzeczy-



wistości kładziecie? By być poetycznym, trzebaż być niewiernym i przesadzonym? Kto tak robi, dowodzi, że albo nie rozumie przedmiotu swego, albo winien jest pobłażania niewczesnego tam, gdzie ma być przewodnikiem i przykładem.

Ulżywszy sercu, wracamy do p. Lubowskiego; powodem był tych pytań i wyrzutów, i częśćka jemu się także należy. Kończymy prośbą do wszystkich, którzy nasz głos słaby posłyszają i koncertami udarować nas zamierzają, by na nie znakomitsze dzieła Szopena wybiérali; nie dlatego, byśmy wymagali od koncertantów pokonywania zawsze wielkich trudności albo drobne utwory mniej cenili, ale dlatego, by ogół publiczności zaznajomić z tém, co dla niej mniej przystępne mechanizmem i duchem. Kto ma pierwszy, niech się stara objaśnić drugi—pokazać rzeczy nieznanne ile można; większa ztąd dla niego chwała, dla nas korzyść i rozkosz.

*J. Sikorski.*

### *O bankach na słowo uczciwości.*

Monitor ogłosił następujący okólnik ministra spraw wewnętrznych:

Mości prefekcie! Wszelkie pomysły użyteczne i dobroczynne, których wykonanie może polepszyć stan moralny i materyalny cierpiącej strony ludu, zasługują na współdziałanie i zachętę rządzącej władzy. Z tego względu miło mi jest przedstawić uwadze pańskiej projekt instytucji prywatnej, która przybrać może nazwisko *banku pożyczki honorowej*; instytucji, istniejącej już w niektórych gminach Francji, a oddawna działającej we Włoszech.

Myśl ta, zaleca się sama przez się celem, jaki objawia, sposobami jakich używa, uczuciami do których się zwraca; wreszcie dobrem, jakie urzeczywistnić zdoła.

Upowszechnić kredyt, na moralności, zamiłowaniu pracy i szacunku publicznym oparty; rozciągnąć jego dobrodziejstwa, od tych, co posiadają legalnie, do tych, co uczciwie pracują; przenieść go pod strzechę rolnika, jak i do pracowni rzemieślniczej: oto jest cel, niezmiernie moralny, który osiągnąć, do życzenia byłoby.

Pomiędzy przyczynami zwiększającemi ubóstwo, po wsiach szczególnie, na pierwszym postawić trzeba miejscu zgubną konieczność lichwiarskiej pożyczki. Ileż rodzin mogłaby wesprzeć szczupła pożyczka, która dopomagając lepszej uprawie roli, zaopatrzeniu się w bydło, pozwoliłaby korzystnej doczekać pory, w spieniężeniu produktów; a przysparzając

mienie godziwie nabyte, uspokoiłaby oględność na jutro. Iluż wyłączeniom nieszczęśliwym, dniom wolnym od pracy, kalectwom nieprzewidzianym, i innym tego rodzaju wypadkom, możnaby zapobiedz lub ich nie dopuścić małą kwotą pieniędzy, opłacającą w sam czas dług konieczny, sprawiedliwy utrzymać proces, opłacić prawo wpisu, wytrzymać chwile gorzkich prób życia, a nawet honor ocalić!

Te to powody nędzy, a tém samém demoralizacyi. *bank honorowój pożyczki* radby pokonać i zniweczyć. Dla osiągnięcia tego celu, odzywa się do współczucia tych, których serce cierpi na widok ran, codziennie rozdieranych ręką lichwy; ucieka się do współdziałania tych, których interesa wystawia na szwank szemranie, złemi namiętnościami ciągle podburzane i jątrzone.

Pojmujesz przeto mości prefekcie, że wszystko jest w téj instytucyi przewidziane i uorganizowane, tak, że pójść może postęp moralny, w parze z materyalnym postępem.

Bank pożyczki honorowój stwarza nową istotę kredytu. Tą istotą nie jest bynajmniej kapitał, ale honor: honor pracy, honor rodziny, honor szacunku zobowiązania!

Powołanie banku pożyczki honorowój, nie jest czém inném, jak tylko duchem rodziny, wzmocnionym, rozszerzonym, i do godności społecznego ducha wyniesionym. Ażeby ta cecha tém wydatniejszą być mogła, administracya onego składa się właśnie ze wszystkich wpływów opiekuńczych, moralnych i prawych, a jego kapitał tworzy się ze składek dobrowolnych, które niczém inném nie są, jak ufnością bogatych i poleganiem na oszczędności i uczciwój pracy potrzebującej klasy, tym sposobem zabezpieczonój od pokus niedostatku i lichwiarskiego ucisku.

Statut instytucyi, który panu załączam, uwalnia mnie od wszelkich szczegółów, co do jego ekonomiki i organizacyi, wychodzących z głównego ogniska departamentu, celém rozpromienienia się po wszystkich gminach.

A że wiele zależy na tém, aby żadnej nie uszkodzić instytucyi kredytowój już istniejącej, bo chodzi jedynie o to, aby przyjść w pomoc, wyzuty z pierwszych potrzeb życia: maximum téj pożyczki ogranicza się do 200 franków.

Przed zaciągnięciem pożyczki, rada wyznaczy jednego ze swych członków, który wyrozumie powód i ważność potrzebującego, wybada prowadzenie się, przeszłość i obyczaje pożyczającego. Członek ten zda sprawę, oświeci radę o konieczności pożyczki, niemniej o warunkach zaliczenia, które umiarkować należy, aby możność dania być mogła rozciąglejszą i zawsze gotową.

Po dopełnieniu przedwstępnych warunków, pożyczający staje przed radą. Stanie przed nią w towarzystwie żony i dzieci lub rodziców, a to, aby zobowiązanie się jego miało świadków, którzyby takowe głęboko w jego sercu wyryć mogli. Hipoteka, w ten sposób na honorze całej rodziny oparta, zwraca i podwyższa mienie biédnego.

Dwie rubryki otwarte są przed oczami pożyczającego: jedną jest wielka księga publicznego szacunku całej gminy i w niej są zapisane imiona, zadość czyniących i wywiązujących się ze swych zobowiązań; w drugiej mieszczą się nazwiska tych, którzy swych długów nie wyptacili. Innego nie ma środka pewności: będzie li on dostatecznym? Doświadczenia sprawdzone w sąsiednim kraju, mogą nas uspokoić w tym względzie i nieograniczoną ufność obudzić są w stanie. Wszakże w naszej Francyi, z wiekami rosnącej szlachetnością i gieniuszem, podobny środek najpewniejszą rękojmią się stanie.

Pojmujesz zapewne mości prefekcie, ile w zakładzie i rozwoju *banku pożyczki honorowej* mieści się użytku, owoców i moralnego dobra. Dobroczynność tak kwitnąca w naszym kraju, potrzebuje tylko dobrego nią kierowania, aby zmienić się mogła na użyteczną instytucyą, na światłą i zawsze czuwającą opiekę. Jedyne nieustanną gorliwością w działaniu dobrém, tryumf nad złem odniesiemy.

Im bardziej błąd jest rozmysłnym, tém więcej prawda czynną być powinna. Przeciwno teoryom przewrotnych, które wiodą do nędzy i upodlenia, nieustannie stawić trzeba szlachetne i odwieczne cnoty, które uczą człowieka miłości pracy i religijnej uczciwości.

Jestto instytucya i czynność prywatnych, mości prefekcie; ją to pańskiej poruczam opiece, przekonany, że w granicach swojej możności przychylił się współdziałaniem do dzieła, którego wykonanie, najpomyślniejsze przyniesie owoce.

Przyjm mości prefekcie, zapewnienie szczególnego upoważnienia i t. d.  
Minister spraw wewnętrznych, *Ferdynand Barrot*.

Paryż, 20 lutego, 1850 r.

### *Statut banku pożyczki honorowej.*

*Art. 1.* Zakłada się w departamencie... pod nazwaniem *Banku pożyczki honorowej*, instytucya, której przeznaczeniem przyjąć w pomoc wszelkim legalnym potrzebom klasy pracującej a ubogiej, zwyciężać energicznie nadużycia lichwy, wycieńczające wsie i pomniejsze industrie, tudzież ustanowić kredyt dla klas pracujących, na zasadach świętej religii honoru, w całej Francyi poważanego.

*Art. 2. Pożyczki honorowe* wyłącznie są przeznaczone dla ludzi poczciwych i pracowitych, których pogorzałość, słabość, kalectwo, lub inny jakikolwiek tego rodzaju powód, czasowie postawi w stanie niedostatku i niedoli.

*Art. 3.* Pożyczki te, nie są objęte żadnym zapisem notaryalnym, żadną hipoteką, żadnym zobowiązaniem się na piśmie. Nie mogą nigdy dać powodu do poszukiwań prawnych, pod żadnym względem.

*Art. 4.* Ażeby przypuszczonym być do pożyczki, potrzeba być sprawowania się nieposzlakowanego, i uznanym za takiego, na mocy warunków poniżej objętych; należy przekonać o konieczności zasiłku, stawiając przed radą czterech z uczciwości znanych świadków.

*Art. 5.* Instytucyi téj wyłącznym będąc przeznaczeniem wsparcie i pomoc klasie pracowitej a ubogiej, pożyczka przenosić nie ma 200 fr.

*Art. 6.* Niemający lat 21 przynajmniej, nie może być przypuszczonym do udziału pożyczki honorowej. Zastrzega się wyjątek dla sierot płci obojg.

*Art. 7.* Ten tylko może być przypuszczonym do pożyczki honorowej, kto zamieszkał od lat 20 przynajmniej w gminie.

*Art. 8.* Pożyczający powinien złożyć swoją prośbę do rąk jednego z członków komitetu, który tym sposobem przedstawi i objaśni powody wymagające pożyczki, ilość kwoty, tudzież sposoby uiszczenia się, które wymienić należy.

*Art. 9.* Komitet rozpozna na osobności, czy przyjmie lub odrzuci żądanie. Objawi swe zdanie przez głosowanie na piśmie. Pożyczka będzie przyznana, jeżeli pożyczający uzyska dwie części głosów przychylnych.

*Art. 10.* Że wiele zależy na tém, aby wzajemnie zawarować sobie uiszczenie się, jak równie zapewnić dziełu *pożyczki honorowej* kapitały, które duch oszczędności gromadzi, a częstokroć na nieużytek wskazuje, następane warunki ustanowią stosunek finansowy, który z jednej strony być ma pomiędzy instytucją a uciekającymi się do pożyczki; z drugiej strony, pomiędzy instytucją a temi, którzy zechcą kosztem niewielkiej ofiary z własnego dobra, przyłożyć się do dzieła pomocy światłej i postępowej. Instytucya zapewnia procentu 3 fr. 65 cen. od 100 od summ złożonych. Pożyczający zapłacą 5 od 100 procentów od kwoty zaciągniętego długu. Wypadłość procentowa 1. fr. 35 cen. od 100, użytą będzie na pokrycie kosztów registratury, druku, korespondencyi i t. p. na które to koszta, instytucya nieodzownie narażoną być musi.

*Art. 11.* Wszyscy mieszkańcy departamentu....którzy są przejęci duchem światłego współczucia dla klas potrzebnych, i którzy usiłują poko-

nać niesłuszne przesady, wywołujące częstokroć oplakane walki, zaproszeni są do współdziałania, celem ustanowienia banku pożyczki honorowej.

*Art. 12.* Ażeby być założycielem banku pożyczki honorowej, potrzeba złożyć albo zobowiązać się złożyć 500 fr. co najmniej, w przeciągu jednego roku, w zamian za kwit, przynoszący rocznego procentu 3 fr. 65. cen.

*Art. 13.* Wszelkie summy złożone przez założycieli, będą wprost przyjęte do kass generalnego poborcy, lub też wpłynąć mają do kass szczegółowych poborców. Summy te przynosić będą 5 procentów od 100 na korzyść instytucji.

*Art. 14.* Wyższa rada może ogłosić instytucją za otwartą, jak skoro zebranych mieć będzie stu stowarzyszonych (*Abdhesion*); więcej nad tysiąc przyjąć nie może.

*Art. 15.* Tytuły zakładnicze będą mogły być przelewane za pomocą indosu; do wartości ich imienną przyrastać będzie wysokość przypadłych procentów, obliczonych w stosunku jednego centymu dziennie od każdych 100 franków. Wypłata procentów nastąpi pierwszego lipca każdego roku, za mandatem kontrolera instytucji; bieg procentów rozpocznie się z dniem całkowitego uiszczenia summy podpisanej. Procent od wnoszonych zaliczeń, pójdzie na korzyść instytucji.

*Art. 16.* Instytucja zostaje pod zarządem wyższego komitetu, zgromadzać się mającego co 6 miesięcy, w głównym mieście departamentu, pod przewodnictwem prefekta. Rada składa się: 1) z biskupa, a w braku onego, z dziekana probostw głównego miasta; 2) z generała dowodzącego dywizją lub departamentem; 3) z mera głównego miasta; 4) z generalnego poborcy finansów; 5) z trzech członków rady ogólnej, przez prefekta wybranych; 6) z prezesa trybunału handlowego; 7) z prezesa sądu biegłych (*de prud' hommes*); 8) z dziesięciu założycieli, którzy największe złożyli summy do tej instytucji; 9) a podczas działania téjże instytucji, z jednego delegata, wybranego przez każdą gminę, w której będzie biuro pomocnicze (*succursale*) banku pożyczki honorowej.

*Art. 17.* Zebrana rada wybierze, na przedstawienie prefekta, jednego członka, który pod nazwą kontrolera, wygotować powinien zdanie sprawy, wykazujące postęp instytucji, statystykę udzielonej pomocy, uczynionych zobowiązań, wypełnionych przez jednych, niedotrzymanych przez drugich. Zdanie to sprawy, powinno jeszcze zawierać wykaz szczegółowy kapitałów do użycia i już umieszczonych. Winno także wyszczególnić ilość summ zebranych przez 1 fr. 35. cen. od 100 bonifikacji procent-

towój; podsummować ogół wszelkich wydatków na druk, korespondencye i t. p., a nadto, policzyć wynagrodzenie 1,200 fr. najmniej, a 2,000 fr. najwięcej, kontrolerowi generalnemu instytucyi.

*Art. 18.* Wyższa rada wskaże gminy, w których utworzyć należy wydziały pomocnicze pożyczki honorowój; zawsze wybierać winna miejsca, które najwięcej dostarczyły członków założycieli.

*Art. 19.* Wyznaczone summy dla każdego zakładu pożyczki honorowój, mają być przez wyższą radę ustanowione, wzięwszy na uwagę ilość ludności, zapomogi potrzebującej.

*Art. 20.* Wyższa rada wtenczas mieć będzie prawo działania, kiedy 9ciu członków będzie obecnych.

*Art. 21.* Pożyczka jest udzieloną przez zgromadzony komitet, przed którym winien się stawić pożyczający, w towarzystwie czterech świadków, żony, rodziców, albo swych dzieci, jak wypadnie. Odczytane mu będą warunki pożyczki honorowój; zobowiąże się uroczyście wypłacić, sposobem przez niego samego wyrażonym. Okazane mają mu być dwa spisy, z których jeden zawiera imiona ludzi, którzy się godnie ze swego wywiązali zobowiązania; a drugi, w którym będą imiona tych dłużników złej wiary, którzy uchybili swemu honorowi, nie wypełniając warunków własnego zobowiązania się.

*Art. 22.* Każdy z pożyczających odbierze od komitetu miejscowego kwit (bon), którego wartość przy ogólnój przedstawi wypłacie, lub przy wypłacie właściwego okręgu, lub wreszcie gminy swojój. Kwit ten, wtenczas prawny będzie, kiedy opatrzonym zostanie podpisem trzech członków komitetu, a za wiarogodność podpisów przez mera stwierdzonych.

*Art. 23.* Miejscowy komitet składać się ma: 1) z proboszcza, prezydującego; 2) z mera; 3) z notaryusza wskazanego przez prokuratora rzeczypospolitej; 4) z doktora wybranego przez prefekta; 5) z poborcy gminy; 6) z sześciu wskazanych mieszkańców, trzech przez proboszcza, a trzech przez mera. Komitet ten ma być zebrany pierwszój i trzeciój niedzieli każdego miesiąca.

*Art. 24.* Członek pełniący obowiązek sekretarza komitetu miejscowego, powinien doręczyć pożyczającemu pismo z wyrażeniem mającego się zaciągnąć długu, jego ilość, warunki, nadto na co użytą być ma pożyczająca się kwota.

*Art. 25.* Spłata pożyczki nastąpi w rocznych i równych ratach, ustanowionych w stosunku do wysokości summy zapożyczonój, i do ilości lat, przez które pożyczka trwać ma. Raty umorzenia obliczone będą z dodaniem procentu pięciu od sta; liczba tych rat nie może przechodzić dziesięciu.

*Art. 26.* Wyplaty winny być zastosowane ile możności do jednej daty dla mieszkańców jednej gminy.

*Art. 27.* Żadna kompensata miejsca mieć nie może pomiędzy długiem należnym instytucji, a wierzytelnością którego z założycieli, lub z członków komitetu.

*Art. 28.* Spadkobierca pożyczającego, który umrze nie uściwszy się, nie będzie przypuszczonym do pożyczki aż po udowodnieniu, że opłacił należność nieboszczyka.

*Art. 29.* Po upłynionych ośmiu dniach terminu wypłaty nieuiszczonej pożyczki, komitet, po zwołaniu i wysłuchaniu świadków obecnych pożyczce, zadecyduje, czy można jeszcze przedłużyć termin wypłaty ociążającemu się, czy zaraz wpisać jego imię na listę tych, którzy własnemu uchybili honorowi.

### *Do szanownej redakcy Biblioteki Warszawskiej.*

Jestem istotą niesłusznie prześladowaną i bez żadnej przyczyny, ani winy z méj strony, zpomiedzy swoich wypędzoną, szukającą napróżno opiekunów i obrońców, a niemogącą nawet dociec tego, przed jaki trybunał albo areopag mam zanieść moję skargę; dlatego postanowiłem użyć pośrednictwa twojego pisma, szanowna Redakcyo! aby się odwołać do litości i sprawiedliwości całej czytającej i piszącej publiczności naszej.

Od czasów Homera zajmowałem spokojne miejsce między dwudziestu kilkoma kolegami, na którym siedziałem sobie z nogami na krzyż założonemi, jakoby muzulman jaki, zawsze w zgodzie z sąsiadami memi, i gotów na usługi każdego, kto miał prawo powołać mię, abym maszerował przed jego nazwiskiem dla okazania godności do niego przywiązanej. Tém się to stało, że byłem w kraju naszym, ciągle na służbie przy wielkich dygnitarzach mitrą krytych, przy wszelkiego rodzaju duchownych, począwszy od prymasa i arcybiskupa, aż do proboszcza, i że w podwojonej liczbie całe nawet konwenta i kapituły reprezentowałem, tak, iż kiedy ja stałem przy nazwiskach tych duchownych i świeckich panów, to każdy już wiedział, jak pana mego tytułować: czy czapką, czy kolaniem pokłon mu oddać. A tu ni ztąd ni zowąd, chociażem panom moim zawsze wiernie służył, i ku ich chwale krzyżyk mój przed niemi dźwigał, dają mi odprawę, i to jeszcze bez wymówienia mi służby, bez zapowie-

dzenia przynajmniej na kwartał naprzód. Nie było nawet tego, kto by pierwszy mnie odprawił, tylko wszyscy razem, jakby była zgoda na to, nastąpiła między panami, co jednak tak się rzadko między niemi zdarza.

Nie żałby mi jeszcze było, żeby mię to kto zasłużeńszy odemnie zastąpił, i gdyby ztąd jaka korzyść dla dawnych panów moich nastąpiła. Ale przecież to rozum sam uczy, że co jeden może zrobić, do tego dwóch używać nie należy; a jednak teraz, kiedy mnie już nie chcą, muszą dygnitarze duchowni i świeccy, dwóch pachołków w mojem miejscu używać: jeden prosty, sztywny, z ręką i nogą do góry podniesioną, a drugi całkiem koślawy, jakby wąż w dwa półkregi zwity. Zresztą zależy to od gustu, ale mnie się zdaje, że gdy wypada w mnogiej liczbie o tych panach wspominać, to bezpieczniej jest XX, jak KK. przed niemi ustawić.

Wolno panom jako panom dać mi odprawę i innych na mojem miejscu przyjąć; ale chciałbym wiedzieć, komu służyło prawo rugowania z miejsca od tyłu wieków w alfabecie zajmowanego, bo rugowanie samo-wojne jest wszelkiemi prawami zakazane, a każdemu piśmiennemu i czytelnemu człowiekowi wiadomo, że alfabet kończył się dotąd temi tak pięknie brzmiącemi, nawet pewny prozodyjny dźwięk mającemi wyrazami: *iks*, *ipsylon*, *zet*. Któryż żak z infimy lub elementarnej szkółki nie wie o tém, że *x* był i jest na świecie? Któraż kobieta nie gniewała się w młodości o to, że przy *x* malowano w elementarzach kobietę z telegraficznym ruchem rąk, *Xantypą* zwaną, będącą prototypem złej żony? Prócz tego wszystkiego odwołuję się do was panowie astronomowie, matematycy, i rachmistrze wyższego rzędu, którzy mnie używacie od wieków jako tajemniczego nieznanego, mającego wykryć ostateczny rezultat waszych głębokich wnioskowań i rachub, powiedzcie, czy ja jestem wam potrzebnym, lub nie? czy możecie na to pozwolić, abym z poczetu alfabetycznego wyrugowany został? Możecież wy się bez *ixa* obejść? a raczej cóżbyście bez niego znaczyli?... Cały szereg innych liter do waszych twierdzeń i dowodzeń używanych, czyni tylko służbę prostych żołnierzy, wykonywających różne ewolucye; ale ja, *x*, jestem poniekąd tym generałem, który się zdaleka téj całej rewii przypatruje, bo wie o tém, że ostatecznym jej celem jest on sam, że o to idzie, aby wykryć, jakiego humoru, jakiego znaczenia jest ten *X*. generał, że cała rewia na nic się nie przyda, jeżeli *X* zadowolony nie będzie.

Przypuśćmy na chwilę, że niemasz *ixa* w algiebrze, i że zwykli jego zastępcy owe *kzesy* i *giesy* w jego miejsce do formuł wchodzą: co to wtenczas będzie za zamieszanie, za chaos?

Ale powiedzą mi na to moi przyjaciele: możesz być potrzebnym w rachunkach algebraicznych, ale co w pisowni zwyczajnej, to się bez



*łwa* zupełnie obywać można, bo go zawsze można *kaesem*, i *gieesem* zastąpić. To jest taką samą prawdą, jak to: że niema potrzeby zaprzęgać konia do wozu, aby furę piasku przywieść, kiedy kilku ludzi taczkami toż samo wykonać może. Bo jak mię samego przed którąkolwiek samogłoską postawią, to ja już będę tak sykał, aby każdy wiedział o co chodzi; każdy zaś z moich nibyto zastępców, a właściwie antagonistów, potrzebuje pomocy *esa*, aby podobnie zasykał, i to jeszcze tak nieznośnie dokonywa, że aż w gardle drapie, jak *np.* w *egzaminie*, i że za każdym razem trzeba trącić głosem jakby się natrafiło na jaką zaporę, albo doznać w gardle uczucia podobnego do tego, jakie się doznaje po nieumiarkowanym użyciu pokarmów i napojów. Czy ja to kiedy wchodzę w drogę panów *G* i *K*, albo temu wścibskiemu *S*, który gra rolę sługi całego świata i przyczepia się do tych dwóch kolegów swoich, aby trzeciemu chleb odbierać. Ciekawym, co by znaczyli ci panowie *G* i *K*, gdyby mi się udało przekupić kolegę *S*, lub przekonać go, że się to nie godzi zawierać przymierza z dwoma na zgubę trzeciego? Nie, to nie jest po koleżeńsku, to się nie zgadza z obowiązkami obywatelskimi, i gdyby kolega *S* chciał się tylko zastanowić nad swoim postępowaniem, toby się powinien runienić tego, że się stał narzędziem zguby najdawniejszego kolegi swego, który od Greków i Rzymian z nim razem ród swój wywodzi. Nie dziwiłbym się jeszcze, gdyby się czegoś podobnego dopuścili panowie: *ą, ę, ć, ł, ś, ź, ż, i t. p.* nowszego pochodzenia istoty; ale stary sługa pisarzy tak blisko ze mną jednemiz gzygzakami i kulasami pokrewiony, nie powinien się być przeniewierzyć względem kolegi i powinowatego swego.

Może być, że to jest właśnie skutek wpływu obecnego ducha czasu, który zdaje się być przeciwnym wszelkim starożytnościom, tradycjom i dawnym pochodzeniom, i że ja mam paść ofiarą w powietrzu będącej dążności do reform i do obalenia wszystkiego, co jest dawnym; w tym razie niech mi przynajmniej wolno będzie zapisać protestacją przeciw temu samowolnemu wyrugowaniu mnie z posady, od wieków przeze mnie piastowanej, aby zapobiedz preskrypcyi praw moich, których w swoim czasie i przy sprzyjających okolicznościach dochodzić niemieszka.

X.

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WARSZAWA.

76. Godzina rozrywki (.) Zbiór powieści, szkiców i obrazów (,) przez Paulinę z L. Wilkońską. Z godtem:

Rzućmy i grosz wdowi do skarbnicy ogólnej. Wszakżeż i sen nasz bywa więcej błogim, jeżeliśmy się w ciągu dnia strudzili, tak samo i spokój w życia naszego zimie, gdy nam to przekonanie jaśnieje, żeśmy nie zmarnowali przyszłości.

8ka. 2 tomy. Warszawa, 1849. Druk pod firmą Jul. Kaczanowskiego. Tom 1, str. 268, II 188. Złp. 10.

77. Nauka chrześcijańska z pisma świętego i życia Jezusa Chrystusa czerpana. Wolny przekład z niemieckiego uskutecznił D. Puchalski. 12. Warszawa, 1849. Druk J. Ungra. Str. 107.

78. Powieści moralne dla włościan (,) ułożone przez D. Puchalskiego. 12ka. Warszawa, 1849. Druk J. Ungra. Str. 107.

79. Rady dla włościan pod względem zachowania zdrowia (,) podane przez D. Puchalskiego (.) Z dodatkiem wiadomości o ratowaniu w nagłych przypadkach pozorniej śmierci. 12. Warszawa. 1849. Druk J. Ungra. Str. 95.

KRAKÓW.

80. Wykład systematyczny Filozofii (,) obejmujący wszystkie jej części w zarysie. Dla miłośników tej umiejętności pragnących dokładniej się z nią obeznać, skreślił Dr. Józef Kremer Czł. Tow. Nauk. Kr. Tom I. Fenomenologia. Logika. 8ka. Kraków, 1849. Nakładem autora. Druk uniwersytetu Jagiellońskiego. Str. XIV i 492. Złp. 15.

1850.

WARSZAWA.

18. Czterdziestu pięciu [.] przez Alexandra Dumas. Tłumaczył S. P. 12ka. 7 tomów. Warszawa. 1850. Nakład B. Lessmana, druk Wyszomierskiego. Tom I, str. 220. II, 224. III, 215, IV, 226, V, 196, VI, 220, VII, 200, Złp. 25.

19. Rocznik urzędowy [.] obejmujący spis naczelnych władz Cesarstwa, oraz wszystkich władz i urzędników Królestwa Polskiego na rok 1850. Warszawa, w Drukarni przy Kom. Rząd. Sprawiedliwości. [Po jednej stronie po polsku, po drugiej po rosyjsku]. Kart 8 i str. 942. Złp. 7 gr. 20.

WILNO.

20. Jaryna. [Ostap Bondarczuk]. Część II. Powieść, przez J. I. Kraszewskiego. 12ka. Wilno. 1850. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Kart 4 i str. 280. Złp. 7.

21. Obrazy litewskie [.] przez Ignacego Chodźkę. Serya piąta i ostatnia. Dworki na Antokolu. 2 tomy. 12ka. Wilno. 1850. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Tom I, str. 239. II. 291. Złp. 14.

22. Pan i szewc. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. 8ka. Wilno. 1850. Drukiem J. Zawadzkiego. Str. 135. Złp. 6 gr. 20.

*Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

Nakładem księgarza Orgelbranda wyjdą wkrótce następujące dzieła, będące już pod prasą:

1) *Roczniki i kroniki polskie i litewskie* najdawniejsze, przez W. A. Maciejowskiego.

2) *Dzieje panowania Augusta IIgo króla polskiego.*

3) *Joachima Bielskiego* dalszy ciąg kroniki polskiej, zawierającej dzieje od 1587 do 1598 r. w rękopiśmie odkrył i do druku podał, oraz historyczno-bibliograficzny opis żywota i prac Marcina ojca i Joachima syna Bielskich, napisał i przyłączył F. M. Sobieszczański.

4) *Wiadomości historyczne o sztukach pięknych* F. M. Sobieszczańskiego t. 2.

5) *Powieści i Legendy* A. Kosińskiego. 3 tomy.

6) *Tajemnice z wyspy św. Heleny.*

— Z drukarni rządowej przy Kommissyi Rząd. Sprawiedliwości wyszedł z druku: *Rocznik Urzędowy*, obejmujący spis naczelných władz cesarstwa rosyjskiego, oraz wszystkich władz i urzędników królestwa polskiego na rok 1850.

— Z drukarni St. Strąbskiego wyjdzie wkrótce dzieło, pod tyt., „Wiadomość bibliograficzna o rękopisach, zawierających w sobie rzeczy polskie, przejranych po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych w latach 1846—1849, przez Alexandra Przedzieckiego.” Jestto przedruk z niektórymi dodatkami artykułu, który częściowo w Bibliotece Warsz. był umieszczony. Praca ta nader ważna i do historyi krajowej wielce pożyteczna, przynosi niemałą zasługę autorowi, który zwiedzając obce kraje, umiał podróże swoje tak korzystnie dla dobra nauk poświęcić.

— Nakładem R. Friedlejna, w drukarni Ungra, drukuje się: „O Pomorzu zaodrzańskim”, przez *Dominika Szulca* (z mapą). Dzieło to ma być nader pracowicie obrobione, i kilkoma nieznanymi dyplomatai wzbogacone.

— Nakładem księgarni Merzbacha wkrótce wyjdzie: „Historja Hiszpanii i Portugalii, podług najlepszych źródeł ułożona przez T. Dziekońskiego,” 2 tomy.

— W drukarni S. Orgelbranda rozpoczął się już druk dzieła, pod tyt., „Słownik malarzów polskich, tudzież obcych w Polsce osiadłych, lub czasowo w niej przebywających, przez E. bar. *Rastawieckiego.*” Dzieło to wyjdzie na pięknym welinowym papierze, w 2 tomach, ozdobionych wizerunkami sławniejszych malarzy polskich, przez J. Piwarskiego na cynku wykonanemi.

— W m. październiku r. b. staraniem *Pauliny z L. Wilkońskiej* wyjdzie dzieło zbiorowe, pod napisem: „Wiązanka literacka” złożone z celniejszych utworów w poezyi i w prozie tegoczesnych pisarzy naszych. Przedpłata wynosi złp. 20.

— Księgarnia Jana Glücksberga wkrótce wyda: 1) *Świat i jego mieszkańcy. Opis wszystkich krajów, kulę ziemską składających, ich mieszkańców, obyczajów, zwyczajów, religii, praw, osobliwości, sztuki i tworów przyrodzonych trzech królestw natury*, przez W. Szymanowskiego; a G. L. Glücksberg wyda: „Księgę natury” przekład z niemieckiego.

— Do powieści krajowych przybędzie nowa powieść: *Bitwa pod Grundwaldem, czyli Krzyżacy z czasów Władysława Jagielły*, powieść historyczna przez E. Bogusławskiego. 3 tomy.

Do już i tak licznych przekładów romansów francuzkich przybędą: 1) Łowy królewskie, romans historyczny p. P. Feval. 2) Askanio, przez Alex. Dumas'a. 2 tomy. 3) Róża i Blanka, przez J. Sand'a.

— W języku rossyjskim wyjdzie w Warszawie dzieło, pod tyt: 1) Описание Варшавы и ея окрестности, t. j. Opis Warszawy i jej okolic, przez Piotra Dubrowskiego, ozdobiony kilkoma rycinami na stali i planem Warszawy. Nakład Wsiewołoda Istomina, komissionera Okręgu Nau. War. i 2) karta: Горы Россійской Имперіи соч. Остросаблина, t. j. góry cesarstwa rossyjskiego przez Ostrosablina, inspek. Gim. Real. w Warszawie.

— Księgarnia J. Bernszteina wydała swoim nakładem: *Poesies enfantines, fables et compliments en vers, recueillis et publiés par L. M. Bigot.*

— Wkrótce mają się tu jeszcze ukazać następane nowe dzieła:

a) Jeszcze słów kilka o górach kaukaskich, do dziełka szkice Kaukazu, przez Dobrskiego.

b) Opis Piotrkowa trybunalskiego pod względem historycznym i statystycznym, przez Oskara Flatt. [Jestto przedruk z Gazety Rolniczej i Handlowej, wychodzącej przy Gazecie Codziennej].

c) Historia powszechna krótko zebrana, przez Böhlichera. Tłumaczenie według ostatniego wydania niemieckiego.

— Athenaeum (Nowa Serya wydana przez samego J. I. Kraszewskiego) tom III. opuścił prasę drukarską, i zawiera:

— *Litwa za Witolda*: opowiadanie historyczne J. I. Kraszewskiego (ciąg IIIci). *Pan i Szewc*, powieść tegoż (dokończenie). *Spowiedź*, ustęp z życia mego przyjaciela napisał Adam Ptug. *Cztery miesiące w Kalifornii*. Dziennik dra Tyrwhill Brooks. Żukowy Borek, gawęda za Gawędę Władysławowi Syrokomli, przez A. Ptug. *Okruszyny* czyli Rozmaitości.

— Nakładem i drukiem *Józefa Zawadzkiego*, wydane: „Badania archeologiczne nad zabytkami przedmiotów sztuki i rzemiosł w dawniej Litwie i Rusi litewskiej (z rycinami), Eustachego hr. Tyszkiewicza. Dzieło to można uważać jako ciąg dalszy wydanego przed kilką laty: „Rzut oka na źródła archeologii krajowej.” Obadwa badania ciekawe i nieznanne rozjaśniają nam szczegóły, w zapadłej tych plemion przeszłości.

(Z listu).

„Wiadomo już, jaką klęskę ponieśliśmy przez pożar zamku w Baranowie nad Wisłą w Galicyi. Ten starożytny zamek ogromnym nakładem Stanisława Leszczyńskiego króla polskiego, przez niewolników tatarskich zbudowany, zawierał przeszło 20 pokojów na piętrze, i tyleż na dole, prześliczną, starożytną i kosztowną robotą przyozdobionych. W ogromnych salach arabeski i gzymsy, na barkach posągów kolosalnej wielkości z białego marmuru oparte, odrzwia, kominy, a nawet posadzki z czarnego marmuru były powyrabiane. Galerya obrazów znakomitych malarzy, biblioteka składająca się z kilku tysięcy tomów, a między niemi wiele dzieł polskich dawnych autorów, rękopis arcybiskupa Krasieckiego in folio, w pięknej oprawie, cały własną ręką czysto i wyraźnie pisany, z podpisem: „*Pisma moje wierszem i prozą, synowcowi Janowi ofiaruję*”. Krzesło po tymże i stolik, na którym stała wielka z kości słoniowej czarnem hebanem wyrabiana warcabnica, z takimiż warcabami naszego poety. Piękne starożytne porcelany, alabastry, brzozy, stoły mozaiką wykładane, muszle morskie, miniatury; starożytna broń, czapraki, rynsztunki na konie po śp. Janie Krasieckim majorze wojsk polskich, zgola wszystko cokolwiek tu zgromadziła prawie królewska zamożność Potockich i Krasieckich, wszystko to na dniu 24 września r. z. (1849) wperzynę obrócone zostało. Literatura nasza w wielu zabytkach, jak dzieje polityczne i wewnętrzne w wielu pomnikach, niepoważowane klęski poniosły.”



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Luty 1850.***

Luty 1850.

## Dostrzeżenia w Obserwatoryi Astronomiczném Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>, 7 czyli w łuku 18°41'25", 5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				Względność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- ży
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
1		759.78	759.60	756.64	750.04	-16°.5	-13°.9	-12°.4	-14°.7	—	pochmurny	pochmurny	pogodny	pochmurny	Pn.	W.	Pd.	PdW.		
2		738.17	736.62	738.88	744.32	-11.3	-10.8	-7.3	-8.2	—	śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		4.8
3		742.84	741.25	737.55	736.70	-6.5	-4.2	-2.8	-2.7	—	śnieg	mgła	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	Z.	Z.		
4	☾	736.69	736.88	738.70	742.18	+1.5	+1.1	+0.4	+0.7	—	dészcz	śnieg i dész.	dészcz	dészcz	Z.	Z.	Z.	Z.	3.0	
5		743.82	744.52	745.22	743.29	+0.6	+1.3	+0.8	+0.2	95.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. zachm.	Z	Z.	Z.	PdZ.		
6		734.75	731.18	726.76	726.21	-1.4	+1.3	+1.8	+0.8	82.5	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdW.	Pd.Z		
7		727.21	727.59	730.23	734.55	0.0	+1.8	+2.1	-0.3	94.2	napót pog.	smugi	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	—		
8		736.87	738.05	740.84	744.87	-2.6	-1.6	+1.1	+0.5	—	napót pog.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	—		
9		743.82	743.77	742.61	743.00	+0.1	+0.8	+2.6	+3.0	—	pochmurny	śnieg	dészcz	pochmurny	PdZ.	Pd.	Z.	PnZ.	0.2	
10		738.70	739.61	740.96	742.27	+3.0	+3.5	+2.6	+2.3	84.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	2.2	
11		744.04	745.53	746.76	746.99	-0.2	+1.3	-0.7	-1.3	95.5	pochmurny	dészcz	pochmurny	napót pog.	Z.	Z.	Z.	Z.		0.7
12	☉	740.76	738.38	734.40	735.84	-0.7	+1.1	+1.6	+0.1	90.2	pochmurny	śnieg	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
13		732.73	734.89	737.08	741.87	+1.1	+3.0	+1.4	-1.9	91.2	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
14		747.63	750.12	754.04	757.06	0.0	-0.2	-0.6	-5.8	—	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	—		
15		755.69	754.84	751.46	751.24	-6.3	-1.1	+0.2	+1.0	94.0	pogodny	pochmurny	dészcz	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	Z.	3.2	
16		749.48	748.07	742.34	738.43	+1.8	+2.8	+2.5	+3.5	96.2	pochmurny	pochmurny	dészcz	dészcz	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	6.0	
17		741.63	741.88	740.25	743.02	+1.3	+1.8	0.0	-0.2	89.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	4.0	
18		747.85	749.53	750.01	749.75	-3.8	-1.0	-1.3	-2.3	97.0	pr. pogodny	śnieg	pogodny	pogodny	—	PnZ.	Z.	Pd.		
19	☾	746.72	746.34	749.37	750.89	+1.6	+2.6	+4.1	+3.4	99.2	mgła	dészcz	dészcz	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.	0.3	
20		751.46	751.53	749.65	749.15	+2.6	+4.0	+5.5	+5.9	96.8	mgła grub.	mgła	pr. poch.	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	Z.		3.6
21		746.52	747.01	742.94	733.59	+3.6	+4.3	+4.4	-4.0	94.8	dészcz	pochmurny	pochmurny	dészcz	Z.	Z.	Z.	Z.		0.6
22		725.90	727.13	730.33	737.06	+0.7	0.0	+0.2	-0.7	88.7	pochmurny	śnieg	pochmurny	śnieg	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
23		743.70	747.11	759.41	752.13	-0.3	+0.7	+1.3	-0.9	88.5	pochmurny	pochmurny	napót pog.	pogodny	PnZ.	Pn.	PnZ.	Z.		
24		748.80	747.77	746.41	748.11	+0.7	+1.6	+2.8	-1.9	96.5	śnieg	śnieg	dészcz dr.	pr. pogod.	Z.	Z.	Z.	PnZ.	1.2	
25		755.12	759.04	763.93	766.67	-1.0	-1.1	-1.7	-4.3	96.5	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	—		
26	☉	766.91	766.78	763.02	763.16	-5.1	-1.1	+1.4	-2.0	88.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	—		
27		761.17	760.71	759.77	760.06	-3.5	+0.7	+3.7	-2.0	88.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
28		760.42	761.32	761.67	760.36	-1.8	+0.1	+4.5	-1.3	92.2	mgła	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	—	—		
Śre.		745.328	745.610	745.420	746.172	-1°55	-0°04	+0°65	-0°69	92.4									18.5	11.3

	mm.	c.	i.
Średnia wysokość barometru miesięczna	745.632	27	6.535
Najwyżej dochodził — d. 26 o g. 6 r.	766.91	28	3.96
Najniżej — — d. 22 o g. 6 r.	725.90	26	9.79
Średnia zmiana dzienna barometru	7.49		2.24
Największa zmiana dzienna barometru d. 1—2 o g. 6 r.	21.6		9.57
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	4.96		2.20
Średnia temperatura lutego wynosi: i ta jest wyższa o	750.59	27	8.74
od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	— 0 <sup>o</sup> .41 C.	—	0 <sup>o</sup> .33 R.
Największe ciepło dochodziło d. 20 o g. 10 w.	2.73 „		2.18 „
Największe zimno dochodziło d. 1 o godz. 6 rano.	— 3.14 „	—	2.51 „
Termometrograf wskazał: Maximum: + 6.0 <sup>o</sup> R. d. 20 po połud. Minimum: — 13.2 „ d. 1 z rana.	+ 5.9 „	+ 4.7 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 16.5 „	— 13.2 „	
Największa zmiana dzienna d. 15—16 o godz. 6 rano.	2 55 „	2.04 „	
Wilgotność powietrza średnia miesięczna jest 92.4 „ na 100; albo co do wagi 4.83 gramów na jednym metrze sześciennym po- wietrza.	8.1 „	6.5 „	
Ilość wody spadłej z deszczu wynosi 18,5 milim., czyli 8,2 lin. par., z śniegu 11,3 milim. czyli 5,0 lin. par., razem spadło wody z deszczu i śniegu wysoko na 29,8 milim., czyli 13,2 lin. par.			
Dni pogodnych było 4; napół pogodnych 5; pochmurnych 19.			
— deszczu 9 (d. 2, 4, 9, 10, 12, 15, 16, 19, 21).			
— śniegu 6 (d. 4, 9, 12, 17, 22, 24).			
— mgły 3 (d. 3, 9, 18).			
Wichrów było 6; t. j. Z.=3; PdW.=1; PnZ. 1; Pn. 1.			
Wiatr panujący: Zachodni.			
Luty r. b. był łagodny, wilgotny, przeszło o 2 stop. R. ciepłej- szy jak zwykle, w deszcz i śnieg obfity. Pod względem pogody zbliżał się do stanu normalnego. Zmiany temperatury były czę- ste i znaczne. Najcieplejsze dni były d. 19, 20, 21, 24. Najzimniej- sze d. 1, 2, 3, 18, 25.			
Wody z deszczu i śniegu spadło o 2,66 lin. par. więcej jak zwykle.			
Dnia 15 o godz. 8 z rana, pokazało się słońce boczne, po pra- wej stronie rzeczywistego.			
Dnia 27 o godz. 3 po połud. lody na Wiśle pod Warszawą po- wyżej mostu ruszyły.			

# Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatorium Warszawskim w roku 1849 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>, czyli w łuku 18° 41'25",5 na wschód względem południka Paryżkiego.

ROK 1849	WYSOKOŚĆ BAROMETRU w milimetrach sprowadzona do 0°					TEMPERATURA podług termometru stupniowego										Psychrometr. Wilgotność średnia biorąc 100 az zupełne na- sycenie				STAN NIEBA								Ilość wody spadłej w milimetr. z		KIERUNEK WIATRU									
	średnia					średnia					średnia					Dni pogod.				deszczu		śniegu		Północno- Wschodni				Północno- Zachodni											
	Miesiąc	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiecz.	10 go. wiecz.	miesięcz.	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiecz.	10 go. wiecz.	miesięcz.	najwyższa	najniższa	6 g. r.	10 g. r.	4 g. w.	10 g. w.	mie- sięc.	Dni pogod.	Dni półpog.	Dni pochm.	Dni deszczu	Dni śniegu	Grudów	Mgły	Grzmotów	Błyskawic bez grzmotów	Wichrów	deszczu	śniegu	Północno- Wschodni	Północno- Zachodni	Wschodni	Poludniowo- Wschodni	Poludniowo- Zachodni	Zachodni	Północno- Zachodni		
Styczeń	747.825	748.875	748.490	747.605	748.198	765.04 d. 21	727.83 d. 14	- 5.77	- 4.93	- 4.87	- 5.72	- 5.32	+ 6.0 d. 19	+ 25.4 d. 11	99.0	95.9	96.3	98.7	95.7	1	11	19	9	11	1	2	..	6	16.6	38.3	6	17	8	6	9	10	54	11	
Luty	749.430	749.935	749.810	750.386	749.891	766.32 d. 3	727.17 d. 23	- 1.55	+ 0.20	+ 0.52	- 0.86	- 0.42	+ 7.5 d. 4	- 19.1 d. 4	97.8	92.3	90.9	95.3	94.0	3	12	16	10	10	1	2	..	7	17.9	15.1	7	4	8	7	7	64	18		
Marzec	748.462	748.966	748.005	748.529	748.490	761.68 d. 5	735.35 d. 7	- 2.45	+ 0.18	+ 1.14	- 1.18	- 0.58	+ 12.6 d. 7	- 13.0 d. 19	97.1	81.9	82.2	94.5	88.5	3	12	16	8	10	..	..	..	9	9.3	17.9	13	7	8	25	3	1	33	30	
Kwiecień	745.696	746.275	745.567	746.158	745.923	753.03 d. 1	730.01 d. 15	+ 3.07	+ 7.04	+ 9.19	+ 4.81	+ 6.02	+ 21.2 d. 26	- 6.0 d. 20	90.9	68.6	63.0	82.3	76.2	3	13	14	12	2	3	1	1	7	35.5	7.9	9	11	7	57	10	7	7	3	
Maj	750.430	750.902	749.820	750.695	750.462	759.05 d. 28	743.30 d. 15	+ 11.17	+ 16.32	+ 19.28	+ 12.01	+ 14.68	+ 32.2 d. 29	+ 1.6 d. 15	82.3	59.1	50.9	77.7	67.5	8	15	8	11	..	2	1	1	66.9	..	18	18	23	22	10	7	7	..	7	
Czerwiec	749.060	749.673	748.720	749.006	749.114	758.10 d. 4	738.64 d. 9	+ 13.78	+ 17.93	+ 20.63	+ 13.24	+ 16.41	+ 32.5 d. 5	+ 5.4 d. 30	77.3	56.5	52.9	79.3	66.4	6	16	8	8	..	1	2	3	43.3	..	11	4	2	11	10	8	46	17		
Lipiec	749.645	749.866	749.222	749.561	749.573	762.36 d. 7	739.80 d. 18	+ 14.11	+ 17.98	+ 20.84	+ 14.28	+ 16.80	+ 29.8 d. 24	+ 6.5 d. 12	85.0	63.2	56.5	79.7	71.6	7	16	8	13	..	2	4	3	75.6	..	15	5	..	6	20	19	38	11		
Sierpień	748.718	749.181	748.621	748.793	748.828	756.34 d. 21	742.48 d. 4	+ 12.84	+ 17.56	+ 19.75	+ 14.65	+ 16.21	+ 30.6 d. 13	+ 7.2 d. 4	80.0	74.3	62.3	85.5	77.9	3	11	17	14	..	2	1	52.5	..	22	10	..	13	7	58	12				
Wrzesień	751.029	751.330	750.511	750.991	750.965	761.72 d. 22	738.12 d. 13	+ 8.46	+ 13.84	+ 15.82	+ 10.74	+ 12.21	+ 27.5 d. 15	- 2.2 d. 29	93.3	74.7	67.0	87.3	80.6	6	14	10	10	..	4	..	41.0	..	27	14	7	6	15	4	24	15			
Październik	750.118	750.972	750.577	750.808	750.620	766.44 d. 19	734.49 d. 9	+ 5.40	+ 8.27	+ 8.73	+ 6.65	+ 7.26	+ 22.5 d. 4	- 4.5 d. 16	93.9	82.9	82.9	91.8	87.9	1	12	18	16	1	6	..	79.5	..	9	19	12	7	20	15	32	4			
Listopad	748.765	749.463	748.891	749.044	749.042	760.65 d. 11	737.32 d. 16	+ 1.24	+ 2.42	+ 2.61	+ 1.75	+ 2.00	+ 22.9 d. 5	- 14.5 d. 26	97.6	92.6	93.0	95.6	94.7	1	5	24	10	8	..	12	25.6	18.7	14	8	12	8	29	5	41	6			
Grudzień	750.622	751.301	750.984	751.110	751.004	763.92 d. 23	730.24 d. 28	- 7.06	- 6.05	- 5.64	- 6.64	- 6.34	+ 3.2 d. 18	- 20.5 d. 13	91.2	76.5	72.5	87.9	82.0	5	5	21	4	11	..	3	19.5	27.2	17	11	18	35	16	7	20	7			
Roczna	749.151	749.728	749.102	749.392	749.343	766.52 d. 3 Lutego	727.17 d. 23 Lutego	+ 4.44	+ 7.56	+ 9.00	+ 5.31	+ 6.58	+ 32.5 d. 5 Czerwca	- 25.4 d. 11 Stycznia	91.2	76.5	72.5	87.9	82.0	44	142	179	124	53	12	36	8	7	38	483.2	125.1	158	128	87	184	162	90	428	141

Średnia wysokość roczna barometru	749.343	27	8.181
Najwyższy barometr dochodził d. 3 Lutego	766.52	28	3.796
Najniższy barometr dochodził d. 23 Lutego	727.17	26	10.351
Zmiana roczna barometru	39.35	1	5.445
Średnia zmiana miesięczna	1.707	0	0.756
Średnia zmiana dzienna	3.84	1	1.703
Największa zmiana dzienna przypadła d. 13-14 Stycznia o 10 g. w.	22.82	10	1.2
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzednich	0.598	27	8.446
Średnia wysokość barometru była wyższa w Maju, Czerwcu, Lipcu, Sierpniu i Wrześniu; przeciwnie: w Styczniu, Lutym, Marcu, Kwietniu, Październiku, Listopadzie i Grudniu niższa niż w stanie normalnym tychże miesięcy.			

Średnia temperatura roczna wynosi: + 6.58 C. = + 50.26 R. i ta jest niższa o 0.84 .. 0.67 ..  
od stanu normalnego z 23 lat poprze. + 7.42 .. + 5.94 ..  
Największe ciepło dochod. d. 5. Czer. + 32.5 .. + 26.0 ..  
Największe zimno d. 11 Stycznia - 25.4 .. - 20.3 ..  
Zmiana roczna temperatury ..... 51.9 .. 46.3 ..  
Średnia zmiana miesięczna ..... 3.98 .. 3.18 ..  
Średnia zmiana dzienna ..... 2.81 .. 2.25 ..  
Największa zmiana dzienna d. 4. Lutego o 6 g. r. .... 18.8 .. 15.04 ..  
Uważając miesiące: Grudzień (1848), Styczeń, Luty za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj, za miesiące wiosenne; Czerwiec, Lipiec, Sierpień, za letnie; Wrzesień, Październik, Listopad za jesiennie, wypada:  
Temperatura zimy -- 10.84 C. i ta jest wyższa o 1.96 C. wiosny + 6.71 .. niższa o 0.60 .. lata + 16.47 .. niższa o 1.74 .. jesieni + 7.16 .. niższa o 0.64 ..  
od średniego stanu tychże pór.

Miesiące cieplejsze od stanu normalnego były: Styczeń o 0.31; Luty o 2.84; Listopad o 1.38; miesiące zimniejsze: Marzec o 1.35; Kwiecień o 1.61; Maj o 1.14; Czerwiec o 1.20; Lipiec o 1.96 Sierpień o 1.95; Wrzesień o 1.66; Październik o 0.90; Grudzień o 3.96.  
Rok 1849 pod względem temperatury, należy do lat zimnych; prócz pory zimowej ciepłej od stanu normalnego, trzy inne były znacznie zimniejsze.  
Wilgotność średnia roczna wynosi 82.0 biorąc 100 za zupełne nasycenie parą wodną atmosfery; albo 6.34 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest równa normalnej.  
Ilość wody z deszczu wynosi 483.2 mil. czyli cali 17 10/20 z śniegu ..... 125.1 .. " .. " 4 7/46 razem z deszczu i śniegu ..... 608.3 .. " .. " 22 5/66 to jest o 51.4 mil. czyli 26.40 lin. więcej od ilości wody (550.9 mil. czyli 20 cali 4.20 lin.), jaka zwykle w roku u nas spada. Najwięcej, bo dwa razy tyle wody co zwykle spadło w Styczniu, najmniej w porównaniu do lat innych w Czerwcu i Sierpniu.

W całym roku było dni pogodnych 44, napót pogodnych 142, pochmurnych 179; dni deszczu 124, śniegu 53, gradu 12, mgły 36, grzmotów 8, błyskawic bez grzmotów 7, wichrów 38. — Wiatr panujący Zachodni, częste PdW. i Pn.  
Jeżeli rok uważać będziemy jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy dni pogodne, napót pogodne i pochmurne, wypadnie w średnim przecięciu z 23 lat poprzedzających (od r. 1826—1848) stosunek dni pogodnych do napót pogodnych i pochmurnych jak 15:34:51. W roku 1849 stosunek tych dni jest jak 12:39:49, co pokazuje że rok ten był mniej pogodny jak zwykle. Miesiące najpogodniejsze były: Maj i Grudzień; niepogodne: Sierpień i Październik.  
Zima w ogólności była łagodna, zmienna, wilgotna, dżdżysta, więcej w deszcz niż w śniegu obfita. Początek Stycznia był tylko mroźny. W nocy d. 29—30 t. m. była taka zadymka śnieżna, że ilość wody z śniegu wynosiła więcej niż w innych latach w całym miesiącu.  
Wiosna z początku mroźna i dość pogodna, sucha i wietrzna; średnia temperatura tej pory roku o 0.60, niższa od normalnej. Kwiecień prawie ciągle był chłodny, poranki mroźne, z tego po-

wodu roślinność znacznie spóźniona. W końcu tego miesiąca drzewa jeszcze nie rozkwitły, koniec tej pory (Maj) był pogodny i ciepły, poranki tylko oblaśnieły po deszczach były chłodne.  
Lato znacznie, bo o 1.74 zimniejsze od stanu normalnego, z początku suche, potem w deszcz obfite, które przy wietrze północnym znacznie oziębiały powietrze.  
Jesień zimna i wilgotna. Początek tej pory zwykle u nas pogodny i suchy, byt r. b. chłodny, wilgotny i zmienny; mrozy nader wczesne. Liście na drzewach już w połowie Września pozółkły, a w końcu tego miesiąca opadać zaczęły. Tak wczesne opadanie liści rzadko się u nas zdarza.  
Wista śnieżna d. 4 Stycznia puściła d. 26 Stycznia powtórnie śnieżną tego roku d. 27 Listopada.  
Koto białe otaczało księżyc 15 Stycznia, 1 Marca, 11 Maja, 23 Października.  
Koto białe otaczało słońce d. 23 Marca, 11 Czerwca, 29 Września.  
Słońca boczne d. 8 Maja, 8 Czerwca, 6 Października.  
Nad zachodzącym słońcem wznosił się stęp świetny d. 27 List. Zorza północna widziana d. 18 i 27 Lutego.



MATERIAŁY DO STATYSTYKI  
**KRÓLESTWA POLSKIEGO.**

PRZEZ

*Ludwika Wolskiego.*

---

LUDNOŚĆ.

Ludność jest najważniejszym elementem kraju: dobrze urządzona jest jego duszą, jego potęgą, bogactwem, chwałą; dlatego jest ona przedmiotem najrozlicniejszych badań statystycznych, a rozważanie jej coraz większej nabiera wagi, bo coraz większe przedstawia korzyści. Aby gruntownie tę ludność poznać, niedosyć jest wiedzieć tylko ogólną jej liczbę i niektóre podziały; potrzeba poznać wszystkie te podziały, odnieść je do epok dawniejszych, porównać je z drugimi i wykryć wpływ, jaki wzajemnie na siebie wywierają. Tym tylko sposobem możemy poznać prawa organizacyi ciała towarzyskiego; tak podobnie, jak do poznania organizmu ciała pojedynczego człowieka niedosyć jest, że kto wprowadziwszy nas do sali gabinetu anatomicznego, wskazywać będzie: oto jest mózg, to nerwy, to serce; powinien wskazać, jakie jest przeznaczenie każdego organu, jaki być winien jego stosunek do innych, czy on był w zdrowym, czy w chorobliwym stanie.

Jedne z elementów ludności mogą być z całą, zupełną dokładnością podane, lecz o większej ich części powiedzieć tego nie można. Żadna jeszcze statystyka nie doszła do zupełnie dokładnego oblicze-

nia całkowitej ludności. Bo też obliczenie ludności, będącej w ciągłym ruchu, ile to przedstawia trudności! Do ustanowienia wyrazu tego, obejmującego miliony, wznosić się trzeba od pojedynczego domu do całej osady, całego powiatu, gubernii, kraju. Ludność tę pod wieluto uważamy względami: to liczymy ją podług płci, to wieku, miejsca zamieszkania, religii i t. d. Cóż więc dziwnego, że przy obliczaniu takiego ogromu, takiego chaosu, wpadniemy na małe niezgodności. Zbliżywszy dopiero do siebie takowe data, jedne przez drugie poprawiamy i przychodzimy do ustanowienia średniego wyrazu. Wyraz ten niewiele od rzeczywistości różnić się będzie: a jednak wykazana niezgodność dat statystycznych staje się powodem, że wielu zadowolonej nie chcą im dawać wiary: chcą oni, aby fakta statystyczne były tak pewne jak wypadki działań oderwanych matematycznych, albo jak rachunki finansisty. Wprawdzie pożądanymby to było, lecz zupełna dokładność jest tu niepodobna; starać się tylko należy o zbliżenie się do niej. Już przytoczone powyżej okoliczności wykazują niepodobieństwo tej dokładności; a jeszcze, liczymy ludność gromadząc w jedną masę wszystkich mieszkańców; lecz jeden z nich jest starcem zgrzybiałym, inny złożony ciężką chorobą; ten napozór kwitnący zdrowiem, a nosi w sobie zaród blizkiej śmierci; po zamknięciu więc spisu może zaraz ziemię opuszczą, podobnie może też zaraz ludzkość nowego przybysza powita. Ścisłość więc uczynionego poprzednio obliczenia, jeżeli to nam się udało, już upadła, mamy tylko przybliżenie. Wstrzymajcie ruch tego chaosu, a przyjsć możecie do posiadania dokładnej statystyki. Że jednak spis ludności wykaże więcej lub mniej pewną ilość osób na ludności kraju, wynoszącej kilka milionów, to nie osłabi ważności uwag statystycznych. Jeżeli artysta robi portret podobny do osoby, już na nim poprzestajemy, chociaż przy skrupulatnym sprawdzeniu nie w jednym miejscu wykryłoby można uchybienia. Otoż podobnie się dzieje z liczbami statystycznymi: mimo tylko zbliżenia się do dokładności, dają nam obraz rzeczywisty kraju, i dlatego zastosowanie ich jest rozliczne i sięga odległych czasów. Historia ukazuje nam je u pierwszych społeczeństw na ziemi, ukazuje u Egipcyan, Greków i Rzymian, którzy używali ich do rozwoju tej zadziwiającej cywilizacji; sami widzimy ich zastosowanie teraz tak w publicznym jak i w prywatnym życiu. Stosownie zbliżone i uważane na wielkich massach, przedstawiają bardzo ważne, ciekawe prawa. Biorąc pojedyncze na przykład małżeństwa, spostrzegamy, że u jednych rodzą się sami chłopcy, a u drugich same dziewczęta; tu równa liczba chłopców jak i dziewcząt, tam

# Wykaz ogólny ludności kraju.

Bibl. Warsz. m. woj str. 207.

Nazwisko gubernii	Nazwisko Powiatu	Rozległość w milach geograficznych	Ludność ogólna z roku				Ludność względna z roku		LUDNOŚĆ ROKU 1848																						
			1832		1848		1832	1848	Podług płci		Podług wyznania							Podług miejsca zamieszkania													
									Mężczyzn	Kobiet	Chrześcijań							W miastach			We wsiach										
											Prawa-slawnych	Rzymsko-katolików	Greko-Unitów	Ewangelik. Augsburgsk.	Frangeli-ków Re-formow.	Menonistów	Braci Moraw-czyków	Jednow. i Ras-kol-ników	Ogół Chrześc.	Zydlów	Maho-metan.	Cyga-nów	Ogół nie-chrześc.	Chrześc.	Niechrześc.	Razem	Chrześc.	Niechrzes.	Razem		
Augustowska	Maryampolski . . .	71.69	127.268	143.732	1.775	2.005	9	19	70.622	73.110	1	114.637	5	11.969	2	„	„	„	„	„	126.614	17.110	8	„	17.118	4.430	14.638	19.068	122.184	2.480	124.664
	Kalwaryjski . . .	47.53	94.149	108.133	1.980	2.275	23	10	53.470	54.663	10	79.064	„	10.423	36	„	„	„	„	„	89.708	18.308	117	„	18.425	7.718	16.732	24.450	81.990	1.693	83.673
	Sejnieński . . .	52.80	92.281	83.385	1.369	1.579	35	33	41.219	42.166	„	66.470	36	3.619	24	„	„	„	„	1.843	71.992	11.359	20	14	11.393	4.342	7.744	12.086	67.650	3.649	71.299
	Augustowski . . .	85.03	105.331	122.622	1.238	1.442	16	39	60.961	61.661	35	85.581	7.852	4.957	9	„	„	„	„	1.454	99.886	22.733	„	3	22.736	17.040	19.336	36.576	82.846	3.200	86.046
	Łomżyński . . .	84.86	134.438	159.521	1.599	1.879	5	24	79.860	79.661	32	133.937	449	1.578	34	„	„	„	„	„	72	136.102	23.418	1	„	23.419	11.317	17.031	28.348	124.785	6.388
Płocka	Ostrolecki . . .	52.58	71.992	86.777	1.369	1.634	33	31	43.155	43.622	„	74.285	„	1.658	„	„	„	„	„	4	75.947	10.815	„	15	10.830	5.768	6.432	15.200	67.179	4.398	71.577
	Pultuski . . .	49.95	73.462	94.860	1.470	1.899	30	22	46.716	48.144	„	74.437	2	4.323	17	„	„	„	„	„	78.779	16.068	„	13	16.081	7.610	11.864	19.474	71.169	4.217	75.386
	Przasnyski . . .	46.65	71.655	82.570	1.536	1.769	37	28	40.669	41.901	„	72.150	2	1.957	„	339	„	„	„	„	74.448	8.122	„	„	8.122	5.640	6.369	12.009	68.808	1.753	70.561
	Mławski . . .	53.42	72.423	83.119	1.355	1.536	36	35	40.466	42.653	„	72.422	1	2.704	„	„	„	„	„	„	75.127	7.992	„	„	7.992	7.888	7.295	15.183	67.239	697	67.936
	Płocki . . .	46.83	72.677	99.653	1.551	2.128	26	13	49.024	50.629	396	76.820	3	7.624	7	„	2	„	„	„	84.852	14.801	„	„	14.801	11.601	11.217	22.818	73.251	3.584	76.835
Lipnowski . . .	54.02	83.656	98.455	1.547	1.822	27	25	46.646	51.809	„	72.764	„	19.038	„	„	„	„	„	„	91.802	6.653	„	„	6.653	7.070	5.975	13.045	84.732	678	85.410	
Warszawska	Włocławski . . .	55.31	88.250	116.928	1.596	2.114	18	14	56.501	60.427	1	90.435	„	16.905	12	„	„	„	„	„	107.353	9.575	„	„	9.575	18.516	9.215	28.031	88.537	360	88.897
	Gostyński . . .	45.36	81.728	114.176	1.801	2.517	19	8	56.103	58.073	„	88.234	„	15.829	9	512	104	„	„	„	104.688	9.458	„	30	9.458	9.927	8.415	18.342	94.761	1.073	95.834
	Łęczycki . . .	39.57	103.575	143.425	2.617	3.624	10	1	69.753	73.672	30	92.426	6	34.324	115	„	551	„	„	„	127.452	15.973	„	„	15.973	37.541	14.436	51.977	89.911	1.537	91.448
	Rawski . . .	60.46	112.318	131.872	1.857	2.015	12	18	64.887	66.985	17	101.157	3	15.983	13	76	30	„	„	„	117.279	14.593	„	„	14.593	15.655	12.800	28.455	101.624	1.793	103.417
	Łowicki . . .	33.72	57.362	74.851	1.701	2.219	39	11	36.613	38.238	13	61.147	1	5.637	„	„	„	„	„	„	69.798	5.053	„	„	5.053	6.254	4.913	11.167	63.544	140	63.684
	Warszawski . . .	71.01	112.051	146.932	1.577	2.069	8	15	71.860	75.072	15	420.752	„	10.360	317	522	„	„	„	„	131.912	14.997	„	23	15.020	11.146	10.903	22.049	120.766	4.117	124.883
	Stanisławowski	56.03	70.824	88.241	1.264	1.575	32	34	43.799	44.442	1	73.883	„	3.360	7	20	„	„	„	„	77.271	10.970	„	„	10.970	7.430	8.200	15.630	69.841	2.770	72.611
	Koniński . . .	53.59	101.914	134.229	1.901	2.510	11	9	62.543	71.386	3	103.420	„	22.564	233	34	„	„	„	„	126.254	7.975	„	„	7.975	18.863	7.835	26.698	107.391	140	107.531
	Kaliszki . . .	53.78	115.746	148.974	2.152	2.772	7	2	72.539	76.435	36	122.110	20	15.892	33	„	6	„	„	„	138.097	10.877	„	„	10.877	23.551	9.802	33.353	111.346	1.075	115.621
	Sieradzki . . .	50.49	103.232	128.604	2.044	2.547	14	6	63.529	65.075	9	103.555	„	11.815	1.681	„	58	„	„	„	117.118	11.486	„	„	11.486	18.643	8.490	27.133	98.475	2.996	101.471
Piotrkowski . . .	84.29	139.698	172.907	1.657	2.046	3	17	84.732	87.775	50	146.232	„	13.429	113	„	4	„	„	„	159.528	12.679	„	10	12.679	19.677	10.015	29.692	140.151	2.664	142.815	
Wieluński . . .	68.46	127.198	129.534	1.858	1.898	13	23	61.478	68.456	19	117.383	24	1.759	15	„	„	14	„	„	119.214	10.720	19	11	10.720	17.889	9.638	27.527	101.325	2.082	102.407	
Radomska	Olkuski . . .	60.99	137.882	159.184	2.260	2.610	6	4	78.507	80.677	9	145.927	1	90	7	„	„	„	„	140.034	13.150	„	„	13.150	22.105	12.257	34.362	123.929	693	124.622	
	Miechowski . . .	40.75	98.683	111.692	2.421	2.741	22	3	53.790	57.902	5	108.226	2	5	„	„	„	„	„	108.238	3.454	„	„	3.454	7.960	2.558	10.518	100.278	586	100.864	
	Kielecki . . .	53.08	84.843	94.101	1.598	1.772	31	27	44.795	49.306	16	86.763	1	239	4	„	„	„	„	87.023	7.078	„	„	7.078	13.177	5.615	18.792	73.846	1.463	75.309	
	Stopnicki . . .	36.89	86.785	95.868	2.354	2.598	29	5	46.265	49.603	19	81.672	„	649	10	„	„	„	„	82.350	13.514	„	4	13.518	9.769	12.398	22.167	72.581	1.120	73.701	
	Sandomierski . . .	33.90	70.230	85.507	2.071	2.522	34	7	40.504	45.003	8	74.117	„	206	„	„	„	„	„	74.331	11.176	„	„	11.176	14.559	9.932	24.491	59.772	1.244	61.016	
	Opatowski . . .	56.42	78.134	96.125	1.384	1.704	28	30	46.474	49.651	1	595	„	„	„	„	„	„	„	86.157	9.968	„	„	9.968	15.293	8.696	23.989	70.864	1.272	72.136	
	Opoczyński . . .	84.10	124.958	161.071	1.485	1.915	4	21	79.817	81.254	6	145.283	„	1.072	„	„	„	„	„	146.361	14.710	„	„	14.710	12.413	14.340	26.753	133.948	370	134.318	
Radomski . . .	72.74	97.936	126.759	1.346	1.742	15	29	62.446	64.313	57	109.129	„	2.568	30	8	1	„	„	„	111.793	14.889	„	77	14.966	17.673	11.231	28.904	94.120	3.735	97.855	
Lubelska	Łukowski . . .	64.15	82.943	104.496	1.292	1.629	24	32	51.686	52.810	4	91.750	„	1.916	24	19	„	„	74	93.787	10.709	„	„	10.709	9.220	6.019	15.239	84.567	4.690	89.257	
	Siedlecki . . .	63.36	93.714	113.631	1.479	1.793	21	26	54.341	59.290	78	92.974	4.938	3.046	„	„	„	„	„	101.036	12.595	„	„	12.595	9.464	11.970	21.414	91.572	625	92.197	
	Biański . . .	51.26	71.964	76.924	1.403	1.501	38	38	37.748	39.176	16	21.346	45.255	25	2	„	„	„	„	66.644	10.153	120	7	10.250	9.093	9.561	18.654	57.551	719	58.270	
	Radzyński . . .	79.69	98.295	121.447	1.233	1.521	17	37	60.254	60.993	12	43.641	58.801	474	„	„	„	„	„	102.928	18.319	„	„	18.319	15.413	16.988	32.401	87.515	1.331	88.846	
	Lubelski . . .	86.52	132.205	177.403	1.528	2.030	2	16	86.788	90.615	20	144.783	947	662	1	„	„	„	„	146.413	30.990	„	„	30.990	24.500	27.603	52.103	121.913	3.337	125.250	
	Krasnostawski . . .	66.49	84.515	102.021	1.271	1.534	25	36	50.334	51.687	2	62.400	28.774	518	„	„	„	„	„	91.694	10.327	„</									

mała przewyżka jednych względem drugich. Biorąc pojedyncze familie widzimy, że członkowie jednych żyją do zgrzybiałej starości, a innych w kwiecie wieku umierają; tu mrą same kobiety, tam sami mężczyźni; mieszkaniec miasta cieszy się zdrowiem, kiedy niejeden wieśniak za ledwie wlecze życie wśród ciągłych chorób. Jakież z tego ogólny wniosek?—żaden; te pojedyncze spostrzeżenia do niczego nas nie doprowadzają. Kiedy wszakże weźmiemy wieś ludną, miasto znaczne, a tém więcej powiat, kraj cały, przekonywamy się, że jest niezmiennie prawo, które ustala wszystkie te oscyllacye i na scenę świata wprowadza więcej mężczyzn, aniżeli kobiet; przekonywamy się, że jest prawo, co szale śmiertelności przeważa na stronę pierwszych; co wielkie miasta chciwe znaczenia, sławy, bogactwa, karze śmiertelnością, jakiej ubogi rolnik nigdy nie widzi około siebie, albo wtedy tylko ją ujrzy, kiedy gniew niebios ześle na niego jaką srogą epidemią. Sąto prawa niezaprzeczone, niezmiennie, a jednak poznaliśmy je z dat statystycznych, zbliżających się tylko do dokładności. Powtarzamy więc, że statystyka rozumowana może poprzestawać na datach zbliżonych do dokładności, i na zasadzie tego utrzymujemy, że data jakie podamy tu o ludności królestwa polskiego, jakkolwiekby były niezupełnie dokładne, (choćaż wszakże jako zaczerpnięte z akt rządowych, mają za sobą całą rękojmią pewności, albo przynajmniej wielkiego zbliżenia się do niej) dadzą nam dokładny obraz przedmiotu. Wszelkie data odnoszące się do innych krajów brałem ze znakomitego dzieła: *Eléments de Statistique par Alex. Moreau de Jonnés* i innych dzieł, które we właściwém miejscu wskażę. Co się tyczy ogólnego uważania rzeczy, korzystałem wiele ze światłych uwag pana W. Górskiego, profesora h. uniwersytetu wileńskiego, obecnie kierującego czynnościami statystycznymi w Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych.

\* \* \*

Ludność królestwa polskiego z końcem 1848 roku przedstawia załączający się wykaz. Według wykazu tego, całkowita ludność kraju wynosiła głów 4,790,061. Podziały jej są następujące:

<i>Pod względem płci:</i>	mężczyzn . . . . .	2,341,832
	kobiet . . . . .	2,448,229.

<i>Pod względem wieku:</i>	niziej lat 20	2,173,435
	od lat 20 do 60	2,451,131
	wyżej lat 60	165,495

*Pod względem miejsca zamieszkania:*

W gubernii augustowskiej	617,393
„ płocekiej.....	545,434
„ warszawskiej.	1,530,673
„ radomskiej..	930,307
„ lubelskiej...	1,002,436
W mieście Warszawie...	163,818
W miastach zamieszkuje.	1,114,484
We wsiach „	3,675,577

*Pod względem wyznań:*

Prawosławnych.....	4,198 (*)
Rzymsko-katolików.....	3,731,579
Greko-unitów.....	235,437
Ewangelików augsburgs..	260,324
„ reformowan.	3,852
Menonistów.....	1,532
Braci morawczyków.....	756
Jednowierców.....	416
Bezpopowców raskolników	3,269
<hr/>	
Razem chrześcian...	4,241,363
Zydów.....	548,179
Mahometan.....	285
Cyganów.....	234
<hr/>	
Razem niechrześcian...	548,698

Te liczby stanowiąc będą zasadę, z której wysnujemy szczegółowe postrzeżenia i uwagi o ludności kraju.

Urodzenie i śmierć są dwiema granicami życia, stanowiącego peryod mniej więcej długi. Stosownie do tego, w piśmie tém przedstawimy najprzód ogólną ludność i jej przybyt, dalej przejdziemy do urodzeń, śmiertelności, długości życia i stanowisk jakie człowiek w towarzystwie zajmuje.

(\*) W tę liczbę nie wchodzi garnizony w fortecach i ludność czasowa w kraju przebywająca; jestto jedynie ludność księgami statemi objęta.

## Ludność ogólna.

Ludność kraju nie jest wszędzie jednako rozłożona; ogólna tabela ludności przedstawia, że prawie każdy powiat ma inną ludność ogólną i względną na milę kwadratową.

Co do bezwzględnej ludności, największa jest gubernia warszawska, dalej lubelska, radomska, augustowska, płocka; powiaty zaś idą w następnym porządku: 1) zamojski, ludność ogół. głów 192,707; 2) lubelski, 177,403; 3) piotrkowski, 172,507; 4) opoczyński, 161,071; 5) łomżyński, 159,521; 6) olkuski, 159,184; 7) kaliski, 148,974; 8) warszawski, 146,932; 9) maryampolski, 143,732; 10) łęczycki, 143,425; 11) koniński, 134,229; 12) rawski, 131,872; 13) wieluński, 129,934; 14) sieradzki, 128,604; 15) radomski, 126,759; 16) augustowski, 122,622; 17) radzyński, 121,247; 18) włocławski, 116,928; 19) gostyński, 114,176; 20) hrubieszowski, 114,007; 21) siedlecki, 113,631; 22) miechowski, 111,692; 23) kalwaryjski, 108,133; 24) łukowski, 104,496; 25) krasnostawski, 102,021; 26) płocki, 99,653; 27) lipnowski, 98,455; 28) opatowski, 96,125; 29) stopnicki, 95,868; 30) pułtuski, 94,860; 31) kielecki, 94,101; 32) stanisławowski, 88,241; 33) ostrołęcki, 86,777; 34) sandomierski, 85,507; 35) sejneński, 83,385; 36) mławski, 83,119; 37) przasnyski, 82,570; 38) bialski, 76,924; 39) łowicki, 74,851. Tak więc największą ludność ma powiat zamojski, najmniejszą łowicki.

Po odtrąceniu ludności m. Warszawy od ludności całego kraju, wypadnie, że ludność wszystkich powiatów wynosi głów 4,636,243, a więc średnio na powiat przypada głów 118,622. Tym sposobem siedmnaście powiatów mają ludność większą niż średnia, na każdy powiat przypadająca, a pozostałe powiaty mają ludność mniejszą.

Porównawszy ludność z rozległością kraju, wynoszącą mil kwadratowych geog. 2,320, na milę takową wypada mieszkańców 2,064. Gdy na całą Europę przypada średnio na milę kwadratową 1,470 mieszkańców, kraj więc nasz można już uważać jako dobrze zaludniony, bo średni stosunek dla całej Europy znacznie przeważa. Wprawdzie nasza ludność względna (średnia na milę kwadratową) jest niższa niż we Francyi, gdzie dochodzi 3,384, w Prusach 3,090, w Austrii 3,057, lecz wyższa jest od Grecyi, Turcyi, Danii, Szwecyi, Norwegii, która ostatnia liczy tylko 108 mieszkańców na milę kwadratową.

Względna ludność, to jest ludność wypadająca średnio na milę kwadratową, następnie porządkuje powiaty: 1) łęczycki, głów 3,624; 2) kaliski, 2,772; 3) miechowski, 2,741; 4) olkuski, 2,610; 5) stopnicki, 2,598; 6) sieradzki, 2,547; 7) sandomiński, 2,522; 8) gostyński, 2,517; 9) koniński, 2,510; 10) kalwaryjski, 2,275; 11) łowicki, 2,219; 12) hrubieszowski, 2,171; 13) płocki, 2,128; 14) włocławski, 2,114; 15) warszawski, 2,069; 16) lubelski, 2,050; 17) piotrkowski, 2,046; 18) rawski, 2,015; 19) maryampolski, 2,005; 20) zamojski, 1,936; 21) opoczyński, 1,915; 22) pułtuski, 1,899; 23) wieluński, 1,898; 24) łomżyński, 1,879; 25) lipnowski, 1,822; 26) siedlecki, 1,793; 27) kielecki, 1,772; 28) przasnyski, 1,769; 29) radomski, 1,742; 30) opatowski, 1,704; 31) ostrołęcki, 1,654; 32) łukowski, 1,629; 33) sejneński, 1,579; 34) stanisławowski, 1,575; 35) mławski, 1,556; 36) krasnostawski, 1,534; 37) radzyński, 1,521; 38) białski, 1,501; 39) augustowski, 1,442.

W całym kraju średnio na milę kwadratową wypada 2,064 mieszkańców; więc 15 powiatów mają ludność względną większą od takiejże ludności na cały kraj przypadającej, a pozostałe mniejszą. Z pierwszych piętnastu powiatów, trzy tylko: hrubieszowski, kalwaryjski i płocki leżą na prawym brzegu Wisły, wszystkie zaś inne po lewym. Bo też na lewym brzegu, a osobliwie od południa i zachodu rzeki tej, jest główne siedlisko fabryk, i tu ziemia obfituje w różnego rodzaju bogactwa: w jednych miejscach grunta najurodzajniejsze z całego kraju, w innych we wnętrzościach ziemi złożona ruda miedziana, żelazna, galman, ołów, węgle i t. d.; a przytém, jako na wzniesionych miejscach, powietrze czyste, zdrowe: tu jest więc największe nagromadzenie ludności. Najmniejsze stosunki ludności przedstawiają, z małym wyjątkiem, powiaty blizkie prawego brzegu Narwi, tudzież zawarte między tą rzeką i rzekami Bugiem i Wieprzem: bo też tu bagna, trzęsawiska, jeziora lub piaski zalegają naprzemian znaczne obszary, i grunt w wielu miejscach tak mało urodzajny, że mimo usiłowań rolnika, ziemia nie wynagradza odpowiednio prac jego.

### *Przybył ludności.*

Według spisów z roku 1808, ludność ówczesnego księstwa warszawskiego, rozdzielonego na sześć departamentów: warszawski, poznański, kaliski, płocki, bydgoski, łomżyński, rozległych w ogóle na 1713 mil kwadratowych, wynosiła głów 2,319,396, a mianowicie:

*Departament warszawski.*

	Ludność ogólna
Powiat warszawski . . .	27,791
(bez m. Warszawy i Pragi)	
» błoński . . . . .	24,250
» czerski . . . . .	34,276
» sochaczewski . . .	35,017
» gostyński . . . . .	36,591
» rawski . . . . .	35,870
» brzeziński . . . . .	31,427
» orłowski . . . . .	27,266
» łączycki . . . . .	58,152
» zgierski . . . . .	

*Departament poznański.*

» poznański . . . . .	44,991
» babimostski . . . .	44,131
» gnieźnieński . . . .	85,449
» powidzki . . . . .	
» wągrowiecki . . . .	35,864
» kościański . . . . .	
» krobowski . . . . .	37,446
» wschowski . . . . .	49,865
» krotoszyński . . . .	49,278
» międzyszycki . . . .	40,696
» pyzdrowski . . . . .	32,737
» szrodzki . . . . .	21,382
» obornicki . . . . .	30,625
» szremski . . . . .	31,628

*Departament kaliski.*

» kaliski . . . . .	43,419
» odoianowski . . . .	47,897
» koniński . . . . .	39,939
» wartyński . . . . .	22,932
» szadecki . . . . .	28,129
» sieradzki . . . . .	18,576
» piotrkowski . . . . .	37,464

*Departament kaliski.*

	Ludność ogólna
Powiat radomski . . . .	39,132
» wieluński . . . . .	26,731
» częstochowski . . .	32,533
» ostrzeszowski . . .	41,609
» pilicki . . . . .	26,227
» lelowski . . . . .	32,487

*Departament bydgoski.*

» bydgoski . . . . .	38,141
» kamieński . . . . .	21,680
» walecki . . . . .	24,922
» inowrocławski . . .	26,676
» toruński . . . . .	31,901
» chełmiński . . . . .	32,507
» Michałowski . . . . .	39,537
» brzeski . . . . .	26,033
» kowalski . . . . .	18,662
» radziejowski . . . .	23,364

*Departament płocki.*

» wyszogrodzki . . . .	55,307
» pultuski . . . . .	54,644
» lipiński . . . . .	60,302
» mławski . . . . .	41,100
» przasnyski . . . . .	49,642
» ostrołęcki . . . . .	46,238

*Departament łomżyński.*

» łomżyński . . . . .	48,166
» biebrowski . . . . .	49,669
» tykociński . . . . .	46,612
» wigierski . . . . .	88,676
» dąbrowski . . . . .	
» kalwaryjski . . . . .	86,599
» Maryampolski . . . .	88,800





<b>Zebrańie:</b> Departament krakowski. . . .	<b>365,048</b>
„ radomski. . . . .	<b>354,895</b>
„ lubelski . . . . .	<b>479,712</b>
„ siedlecki . . . . .	<b>312,527</b>
<b>Razem . . .</b>	<b>1,512,182.</b>

Rozległość zaś ziem tych wynosi mil kwadr. 1002,37, więc średnio na milę wypadło głów 1,508, a średnia ludność pierwszych departamentów wynosiła głów 1354.

Dalój ludność była następna:

R o k	Ludność ogólna	W porównaniu z rokiem poprzednim	
		pr zy by ło	u by ło
1816	głów 2,717,287		
1829	„ 4,137,634	1,420,347	
1831	„ 3,762,003		375,631
1832	„ 3,914,665	152,662	
1833	„ 4,037,925	123,260	
1834	„ 4,059,517	21,592	
1835	„ 4,188,112	128,595	
1836	„ 4,251,334	63,222	
1837	„ 4,298,962	47,628	
1838	„ 4,344,392	45,430	
1839	„ 4,392,585	48,193	
1840	„ 4,488,009	95,424	
1841	„ 4,547,703	59,694	
1842	„ 4,623,312	75,609	
1843	„ 4,700,374	77,062	
1844	„ 4,770,290	69,916	
1845	„ 4,798,658	28,368	
1846	„ 4,867,129	68,471	
1847	„ 4,857,700	„	9,429
1848	„ 4,790,061	„	67,639
	<b>Razem . .</b>	<b>2,525,473</b>	<b>452,699</b>
	<b>Więc rzeczywiście. .</b>	<b>2,072,774</b>	

Widzimy więc, że ludność do r. 1829 zwiększała się; zmniejszona w r. 1831 znów ciągle wzrastała, dopiero w latach 1847 i 1848 uległa zmniejszeniu, tak, że gdy w r. 1847 strata wynosiła

9,429 głów, w roku następnym strata takowa wzrosła aż do 67,639. Jestto nadzwyczajny ubytek kiedy zważymy, że od r. 1832 do 1846 w średniem przecięciu przybywało rocznie 68,035 osób. Zmniejszenie to głównie miało miejsce w guberniach warszawskiej i radomskiej, chociaż i w innych czuć się dało; w warszawskiej ubyło 25,286, w radomskiej 23,777.

Oto jest wykaz porównawczy ludności 1847 i 1848 roku.

Gubernia	L u d n o ś ć		Ubyło
	r. 1847	r. 1848	
Augustowska.....	619,907	617,393	2,514
Płocka .....	547,319	545,434	1,885
Warszawska .....	1,555,959	1,530,673	25,286
Radomska. ....	954,084	930,307	23,777
Lubelska.....	1,013,434	1,002,436	10,998
Miasto Warszawa ..	166,997	163,818	3,179
Razem .....	4,857,700	4,790,061	67,639

Na zmniejszenie to głównie wpłynęła zmniejszona liczba urodzonych, a nadzwyczajna śmiertelność; w r. 1848 urodziło się tylko 171,918, kiedy począwszy od r. 1833 najmniejsza liczba urodzonych była w roku 1835, i ta wynosiła 183,663 osób, zwykle zaś rodziło się około 200,000; śmiertelność zaś w r. 1848 zbyt wzrosła, umarło bowiem 226,810, kiedy średnia z lat poprzednich śmiertelność była około 140,000, a w r. 1837, w roku grasującej cholery, doszła tylko do 151,757 głów. To następnie bliżej zobaczymy.

Odrzućmy więc lata 1847 i 1848, jako zboczenie od praw stałych, i zobaczymy postęp ludności od r. 1816 do 1846. W peryodzie od 1816 do 1829 r. przybyło w ogóle 1,420,347, to jest rocznie w przecięciu 109,257 czyli 1 na 31, 3; w peryodzie od roku 1832 do 1846 przybyło w ogóle 952,484, to jest rocznie 68,035 czyli 1 na 129. Przy pierwszym więc przybyciu ludność kraju podwoiłaby się mogła w ciągu lat 25; przy drugim w ciągu pięćdziesięciu siedmiu. Uważając zaś ludność od r. 1816 do 1848 widzimy, że przybyło w ogóle 2,072,774 czyli rocznie 64,774, a więc 1 na 116, i tym sposobem ludność podwoiłaby się mogła w ciągu lat 79.

Szczegółowo rozważając powiaty przekonujemy się, że ludność ich obecna w porównaniu z ludnością roku 1832 powiększyła się we wszystkich; lecz zwiększenie to nie jest jednakowe, albowiem na miłę kwadratową przybyło: W łęczyckim 1007, kaliskim 620, ko-

nińskim 609, gostyńskim 716, płockim 577, lubelskim 522, wło-  
cławskim 518, łowickim tyleż, sieradzkim 503, warszawskim 492,  
sandomierskim 451, opoczyńskim 430, pułtuskim 429, piotrkowskim  
399, radomskim 396, zamojskim 375, olkuskim 350, łukowskim  
337, miechowskim i opatowskim po 320, siedleckim 314, stani-  
sławowskim 311, hrubieszowskim 305, kalwaryjskim 295, radzyń-  
skim 288, ostrołęckim 285, łomżyńskim 280, lipnowskim 275, kra-  
snostawskim 263, stopnickim 244, przasnyskim 233, maryampol-  
skim 225, sejneńskim 210, augustowskim 204, mławskim 201, kie-  
leckim 174, rawskim 158, bialskim 98, wieluńskim 40; średnio  
w całym kraju 377. A guberniami: w warszawskiej 471, radomskiej  
343, lubelskiej 329, płockiej 328, augustowskiej 246. Ludność  
przeto najwięcej wzrastała tam, gdzie odznacza się gospodarstwo wiej-  
skie; gdzie krzewiły się fabryki, i rozwijało się górnictwo; tu i kra-  
jowcy więcej się gromadzą, i z zagranicy przybywali przemysłni cu-  
dzoziemcy.

Archiwa statystyczne innych państw Europy przedstawiają na-  
stępny wzrost ich ludności:

	Wzrost roczny		Peryod podwojenia się ludności.	
	przybywa	1 na	mieszkań.	lat
Belgia.....	1	na	60	41
Holandya.....	1	„	62	42
Sardynia.....	1	„	62	42
Norwegia.....	1	„	73	50
Irlandya.....	1	„	72	50
Austria.....	1	„	74	52
Hiszpania.....	1	„	82	57
Szkocya.....	1	„	82	57
Szwecya.....	1	„	85	59
W. Brytania z Irlandyą	1	„	90	62
Włochy.....	1	„	94	66
Prusy.....	1	„	103	70
Neapolitańskie.....	1	„	108	75
Anglia.....	1	„	112	78
Niemcy.....	1	„	116	79
Dania.....	1	„	120	83
Ces. Rosyjskie.....	1	„	137	95
Szwajcarya.....	1	„	140	97
Portugalia.....	1	„	140	97
Francya.....	1	„	170	118
Polska jakieśmy powy- żej widzieli.....	1	„	116	79

Faktem uderzającym jaki tabella ta przedstawia jest najprzód, rozmaitość wyrazów wzrostu ludności: na dwudziestu jeden wyrazach, tylko cztery znajdujemy dwa po dwa sobie równe. Nic nie przedstawi dobitniej wzajemnego związku pierwiastków, z jakich składają się te towarzystwa. Urodzenia, życie, śmierć przedstawiają się tu w zbyt różnych stosunkach. Więc płodność pokoleń, ich trwałość, stopniowe powiększanie się wcale nie są sobie podobne; różnice są zbyt znaczne. Te różnice wyraźnie dowodzą, że stan fizyczny i ekonomiczny każdego kraju, stan fizyologiczny i towarzyski każdej ludności, daleko mniej są do siebie podobne, aniżeli by to zdawać się mogło sądząc z tego, że niektóre z nich albo z sobą graniczą, albo pochodzą z jednego szczepu.

Belgia, która jest sąsiadką Francyi, której ludność jest tego samego pochodzenia, ma też same instytucje i wiele innych podobieństw, Belgia ta wzrasta w ludności 1 na 60, to jest w stosunku trzy razy szybszym niż Francya, a podwojenie ludności téj ujrzyć może za lat 41, gdy we Francyi epoka ta na lat 118 jest obliczona. Przyjmując średnie wyrazy nawet bardzo nizkie, znajdziemy, że w r. 1880 Belgia liczyć może 7,000,000 mieszkańców, albo przeszło 11,000 na milę kwadratową, co nie daje więcej jak pół morga na jednego mieszkańca, licząc już w to ziemię pod uprawą, pod lasami, drogami, zabudowaniami, a u nas wypada 47 morgów na jednego człowieka. Jestto jeszcze bardzo umiarkowany rachunek, ściślejszy zapowiada jęj do 17,000 mieszkańców na milę. Attyka liczyła niegdyś 13,800 głów na milę kwadratową swęj małej obszerności; lecz handel żywił Ateny, a osady oswobodzały je od zbytku ludności. W naszych czasach wyspa Ré, której powierzchnia nie obejmuje całej półtoręj mili kwad., ma 17,000 mieszkańców, a więc 11,000 na milę. Lecz połowę téj ludności składają marynarze, którzy więcej przebywają na oceanie, aniżeli przy domowém ognisku.

W Holandyi i Sardynii wzrost ludności jest prawie równie wielki, i rokuje im smutną przyszłość, że ujrzą podwojenie téj ludności w 42 lata, jeżeli zostaną zamknięte w swém terytoryum jak prowincye Belgii. Lecz Holandya jest jak Attyka: żywi ją jęj handel morski, który wraz z osadami porywa jęj znaczną część ludności. Co się tyczy Sabaudyi i Piemontu, ich ludność jest daleko mniej nagromadzona, a zwyczajne rozchodzenia się po świecie, dozwalają jęj wszędzie znajdować pracę i nową ojczyznę.

Norwegia i Austrya posiadają dopiéro zaledwie połowę ludności, którą ich ziemia wyżywić może; nie potrzebują więc obawiać się

podwojenia téjże ludności. Dla innych krajów peryod podwojenia się ludności jest dalekim, i tak z natury gruntów jako téż i instytucyj swych, także obojętnie na to podwojenie oczekują. Lecz zupełnie przeciwnie dzieje się z Irlandyą. Najmniejszy wyraz, jaki można oznaczyć na wzrost jój ludności jest 1 na 72; przy tym wzroście, ludność w pół wieku dojść może do czternastu albo piętnastu milionów. Odtrącając od ziemi użytecznej wszelką nieprodukcyjną, ludność w r. 1890 byłaby 11,000 osób na milę kwadratową. Żadna z klęsk, jakie nawiedzają ludzkość, nie wyrówna téj pladze. Uragan Antyllów burząc miasta, w tym samym czasie sprowadza zdrowe przewiewy, niszczy miazmata, wstrzymuje epidemie w ich zabójczym biegu; wody rzeki wystąpiwszy z brzegów, pustoszą nadbrzeżne okolice, lecz zaledwie powrócą do zwykłego stanu, a już bujne plony pokrywają te łany, które poprzednio dźwigały masę wody na kilkanaście stóp wysoką; po wojnach morderczych następują błogosławieństwa pokoju: zgoła nie ma żadnych plag ludzkości, któreby nie były połączone z nadzieją odrodzenia. Wyrzeknijcie się wszakże téj nadziei, gdy kraj zalegnie tak wielka ludność, że już nie może wynaleźć środków wyżywienia się. Wtedy czas nawet, który leczy wszystkie nieszczęścia towarzyskie, tu przeciwnie powiększa jeszcze to utrapienie publiczne. dorzucając co rok liczbę mieszkańców i zwiększając tym sposobem obręb ich potrzeb. Wyżywienie wtedy staje się coraz trudniejsze, jego cena wzrasta, i biedna klasa mieszkańców nie mając środków nabywania go, zmuszona jest żywić się pokarmami niezdrowymi, które osłabiają jój budowę, i do nędzy łączą choroby a nawet zarazy. Zysk dzienny, który w czasie nędzy winien się zwiększyć, przeciwnie znacznie się zmniejsza przez współubieganie się pracujących, a potrzeba utrzymania życia coraz więcej liczbę ich pomnaża. Wkrótce wędzidło praw staje się bezsilnym do zwrócenia nędzy z drogi zbrodni. Głód nie wstrzymuje się przed prawem własności, nie wzdyga się przed zabójstwem, gardzi powagą władzy i kary się jój nie lęka; a władza umysłowa ludu, która ma służyć do wyrobienia dobrego bytu towarzyskiego, teraz zwraca się do rabunków, zabójstw i pożarów.

Tak smutny stan, jest skreślony farbami historycznymi. Jestto wierny obraz Irlandyi, najpiękniejszej z wysp oceanu po Wielkiej Brytanii. Bez wątpienia część tych cierpień wypływa i z innych źródeł; lecz czyni je sroższymi i uwiecznia powiększająca się bez granic ludność. Ludność ta w ciągu stu-pięćdziesięciu lat trzy razy już

się podwajała i grozi czwartém podwojeniem się prędkiej, jak w pół wieku; bowiem była następująca:

r. 1692	głów	1,034,000		
„ 1712	—	2,099,000	powiększenie o	1,065,000
„ 1792	—	4,088,000	—	1,989,000
„ 1841	—	8,205,000	—	4,117,000

Dobrowolne przenoszenie się Irlandczyków do Kanady, wtargnięcie ich do zachodnich prowincyj Anglii, słabą tu tylko przynoszą ulgę, nic nie przyczyniając się do ogólnego dobra. Te emigracje są bardzo szkodliwe dla krajów, które je przyjmują, a prawie nic nie zaradzają krajowi, z którego wychodzą. Cóż znaczy wydalenie się trzydziestu lub czterdziestu tysięcy ludzi, gdy jeden albo dwa ich miliony obciążają towarzystwo; jakąż ulgą dla towarzystwa tego, że jeden na stu tysiącach dobrowolnie wyrzeknie się swojej ojczyzny. Zważmy jeszcze, że w tym razie jestto zawsze wybór ludności i robotnicy, i że po wyjściu ich pozostaje ludność nieprodukcyjna, uboga, starców, kobiet i dzieci.

Takięto klęski przeludnienie sprawia; peryod podwojenia się ludności u nas dochodzi do 79 lat: wtedy będziemy mieli ludność wynoszącą przeszło dziewięć milionów, czyli średnio 4,128 osób na milę kwadratową. Dziś niektóre powiaty już mają ludność względną zbliżającą się do trzech tysięcy, a nawet Łęczycki liczy 3,624; mimo to wszakże każdy w szczególności powiat, gdyby dziś został zamkniętym i własnym tylko swym pozostawiony środkiem, jeszcze bezpiecznie mógłby się wyżywić. Cóż dopiero mówić o powiatach rolniczych: miechowskim, sandomierskim i innych? Z całkowitej produkcji rolniczej kraju: wynoszącej, pszenicy około 1,560,000, żyta do sześciu milionów korcy, po dostatniem zaopatrzeniu potrzeb wewnętrznych i wojska, które w podane przez nas liczby nie wchodzi, jeszcze wysyłamy za granicę pszenicy do 600,000 korcy: ilość zawartą między połową i trzecią częścią całkowitej produkcji; jakąż jeszcze ludność wyżywić możemy? Powiększenie się ludności rodzi nowe potrzeby: obudza więc działalność, rozwija przemysł. Gospodarstwo wiejskie już dużo u nas postąpiło, ale jeszcze wielką ma przed sobą drogę; jeszcze znaczne leżą obszary ziemi nieprodukcyjnej, straconej dla rolnictwa; jeszcze produkcja rolnicza jest zbyt u nas mała: bo gdy w Anglii zwykły plon dochodzi ziarn 20, a w Niemczech dziesięciu, u nas plon ziarn pięciu już się za obfity uważa. Przy postępie więc rolnictwa, jakże daleko większą ludność wyżywić będziemy w stanie; a postępu tego możemy rokować, bo jaka to zie-

mia żyzna, jaki to lud dzielny do jój uprawy! Powiększanie się więc ludności, jój podwojenie, które dla innych krajów jest klęską, przez nas oczekiwane być winno jako prawdziwe błogosławieństwo niebios.

### Urodzenia.

Od roku 1832 następny był stan urodzeń:

w r. 1832 urodziło się 167,712 czyli 1 na 23,3 mieszk.

„ 1833	„	189,523	„	21,3	„
„ 1834	„	208,908	„	19,4	„
„ 1835	„	183,663	„	22,7	„
„ 1836	„	198,149	„	21,4	„
„ 1837	„	209,749	„	20,5	„
„ 1838	„	194,511	„	22,7	„
„ 1839	„	209,686	„	20,9	„
„ 1840	„	216,124	„	20,7	„
„ 1841	„	205,417	„	22,1	„
„ 1842	„	218,966	„	21,1	„
„ 1843	„	218,161	„	21,1	„
„ 1844	„	211,122	„	22,1	„
„ 1845	„	192,163	„	24,9	„
„ 1846	„	195,745	„	24,8	„
„ 1847	„	186,728	„	26,0	„
„ 1848	„	171,918	„	27,8	„

Razem urodziło się. 3,378,245 „ 22,5 „

Od r. 1832 liczba urodzeń corocznie uważana, to wzrastała, to zmniejszała się: zawsze wszakże oscylowała około 200,000, i wzrost jój był widoczny; dopiero dosięgłszy w r. 1842 największej wysokości, odtąd ciągle zmniejszać się zaczęła, i nareszcie w r. 1848 zesła do 171,918. Średnio uważana daje 198,715 urodzonych rocznie, czyli 1 na 22,5 całkowitej ludności.

Największe stosunki urodzeń przedstawiają lata 1834, 1837, 1839 i 1840, to jest lata następujące po wyludnieniu kraju przez cholera. Powiększone urodzenia skompensować miały ubytek ludności, zrzadzony przez tę epidemię.

W innych krajach następne są stosunki urodzeń:

W prowincyi Wenecyi.....	1 na	22,5
„ królestwie Neapolitańskiem.....	„	23,5
„ Lombardyi, Toskanii, Rossyi europejskiej.....	„	24
„ Prusach.....	„	24,5
„ Austryi.....	„	25



W Hanowerskiém, Wirtembergskiém i Meklemburg..	1 na 26
„ Niemczech właściwych, Szwajcaryi, Sardynii, Hiszpanii i Portugalii .....	„ 27
„ Bawaryi, Szwecyi.....	„ 28
„ Holandyi, w kantonie Lucerny.....	„ 29
„ Danii, Belgii.....	„ 30
„ Francyi r. 1811, 1817, 1820, 1821, 1822, 1826.	„ 31
Na wyspach Wielkiej Brytanii i w państwie kościelném.	„ 32
We Francyi od r. 1828.....	„ 33
W Norwegii, księż. Holszt. i Szlezwigu.....	„ 34
„ Anglii.....	„ 35
„ Szwecyi roku 1836 1 na 36, a w r. 1801 1 na 44.	

Pod względem więc stosunku urodzeń, stoimy na czele wymienionych tu państw.

Na stosunek urodzeń przeważnie wpływa klimat i stan towarzystwa. W krajach północnych: Norwegii, Szwecyi, Szkocyi, Danii, stosunek rodzących się dzieci jest mniejszy o trzecią część od takiegoż stosunku Lombardyi, Toskanii, Neapolu, krajów położonych pod pięknym klimatem: bo w pierwszych średnio rodzi się 1 na 32, w drugich 1 na 24 całkowitej ludności. Bliższe wszakże postrzeżenia uczą nas, że wpływ klimatu nie jest tu bezpośredni, że ten nie czyni ludzi mniej lub więcej płodnymi; w Antyllach, Gujanie, na wyspie Burbon, stosunek urodzeń jest 28, taki sam jak w Szwecyi, blisko koła biegunowego. Klimat więc pośrednio tylko tu działa. W ciepłym klimacie ziemia jest płodniejszą, i może więcej mieszkańców wyżywić; tam zbliżenie się dwóch płci jest łatwiejsze i częstsze, zima nie zamyka rodziny w domach prawie przez pół roku, a nędza nie jest tak często pod ich drzwiami, jak w krajach północnych, gdzie tyle trzeba łożyć starań dla otrzymania produktów do życia potrzebnych. W Neapolu zboże daje do 20 ziarn plonu; nagromadzenie téż ludności jest tam znaczne; wypada bowiem 2,400 mieszkańców na milę kwadratową, a stosunek urodzeń jest 1 do 21. W Norwegii zaś zboże wydaje tylko 4 ziarna, to téż prowincya najwięcej zaludniona zawiera tam 108 mieszkańców na milę kwadratową, a jedno urodzenie wypada na 34 osób.

Dlaczegoż u nas stosunek urodzeń jest tak wysoki i równa się stosunkowi dla państw na południu Europy położonych? To samo u nas się dzieje, co ma miejsce i w Rosyi europejskiej: chociaż pozbawieni jesteśmy korzyści klimatu, jednak kraj nasz nie jest jeszcze zbyt zaludniony, a ziemia urodzajna, ludność więc znajduje pracę i łatwiejsze środki utrzymania życia.

Wpływ stanu towarzystwa na stosunek urodzeń jest równie pewny, równie wielki, jak i wpływ klimatu: Francya, Brytania, Niemcy, Holandya, Belgia, kraje gdzie cywilizacya najwyżej jest posunięta, dają 1 urodzenie na 31 mieszkańców, wówczas, gdy inne dają jedno na dwadzieścia kilka. Trudność utrzymania rodziny wśród tylu wymagań towarzyskich, rachunki egoizmu i ambicyi, równie jak i mądrzej przeczności; skupienie ludności w miastach wielkich, gdzie środki utrzymania się są daleko trudniejsze i mniej pewne; śluby zakonne i uważanie w wielu krajach życia samotnego za zasługę religijną; kobiety wolnych obyczajów, które we wszystkich stolicach odejmują małżeństwu potęgę potrzeby: oto są ważniejsze powody, które zmniejszają liczbę urodzeń. Pan Moreau de Jonnès, wykazuje w dziele swém *Elements de Statistique*, że w miarę postępu stanu towarzystwa, i urodzenia odpowiednio ulegały zmniejszeniu. I tak:

w Niemczech w ciągu lat	17	zmniejszyły się o	$\frac{1}{13}$
„ Szwecyi..	61	„	$\frac{1}{9}$
„ Rosyi...	28	„	$\frac{1}{8}$
„ Hiszpanii.	30	„	$\frac{1}{6}$
„ Danii....	82	„	$\frac{1}{4}$
„ Prusach..	132	„	$\frac{1}{3}$
we Francyi ..	70	„	$\frac{1}{3}$

w Anglii w ciągu jednego wieku zmniejszyły się więcej jak o  $\frac{1}{3}$  część.

Z liczby więc urodzeń możemy mniej więcej wnosić o stanie towarzyskim, i przeciwnie z postępów towarzystwa możemy przewidzieć stosunki urodzeń; zawsze wszakże zważajmy między innemi okolicznościami i na zaludnienie kraju.

Liczbę urodzeń w kraju naszym z podziałem na płeć i prawność, przedstawia następnny wykaz:

R o k	Całkowita liczba urodzonych	W tej liczbie urodzonych mieści się				Urodzenie nieślub. 1 na ślub
		podług płci:		podług prawności		
		płci męz.	płci żeń.	ślubnych	nieślub.	
1837	209,749	106,888	102,861	202,903	6,846	1 na 29
1838	194,511	101,025	93,486	188,449	6,062	1 — 31
1839	209,686	107,565	102,121	203,691	5,995	1 — 34
1840	216,124	110,370	105,754	209,110	7,014	1 — 29
1841	205,417	105,827	99,590	198,884	6,533	1 — 30
1842	218,966	111,572	107,394	212,506	6,460	1 — 32
Razem	1,254,453	643,247	611,206	1,215,543	38,910	1 — 31
Srednio rocznie....	209,076	107,208	101,868	202,591	6,485	1 — 31

Z wykazu tego widzimy, że rodzi się więcej chłopców aniżeli dziewcząt, tak, że na tysiącu urodzonych jest pierwszych 512, a drugich 488. I to nie tylko u nas ma miejsce.

W Anglii od 1801 do 1830 urodziło się w ogóle 9,887,466 dzieci, a na tej liczbie była przewyżka chłopców o 213,890 czyli 1 na 46, w roku zaś 1840 i 1841 na 1,034,120 urodzeń obojęd płci, była przewyżka chłopców o 25,853, czyli 1 na 40; czyli, że przewyżka ta powiększa się.

We Francji od 1801 do 1836 liczba całkowitych urodzeń wynosiła 33,226,422; przewyżka dzieci płci męskiej była o 1,044,226 czyli 1 na 32.

Wykaz ten przedstawia nam także i drugi fakt: przedstawia liczbę dzieci urodzonych prawnie i nieprawnie. Stosunek pierwszych do drugich jest taki, że na 31 urodzeń ślubnych wypada 1 nieślubne. Porównajmy wykaz ten z liczbami podobnemi dla miasta Warszawy. W mieście Warszawie urodziło się:

R o k	Ogólna liczba urodzeń	W t é j l i c z b i e		1 urodzenie nieślub. wypada na ślubnych
		ślubnych	nieślubnych	
1837	5,316	5,015	301	16,6
1838	5,263	4,983	280	17,6
1839	4,885	4,580	305	15,0
1840	4,853	4,502	351	12,8
1841	5,064	4,673	391	11,8
1842	6,118	5,667	451	12,5
Razem ..	31,499	29,420	2,079	14,1
Średnio rocznie	5,249	4,903	346	14,1

Otóż w Warszawie jedno dziecko nieślubne wypada na 14 ślubnych, a w całym kraju wypada, jakśmy powyżej widzieli, 1 na 31 ślubnych. Nadto, gdy w całym kraju stosunek dzieci nieprawych zdaje się dążyć do zmniejszenia, w Warszawie przeciwnie widocznie się powiększa. Niedosć więc, że sama natura urodzenie się człowieka łączy z tylu niebezpieczeństwami: dziecko przychodzi często na świat zmarłe, umierające, albo niewczesne, a więc słabe i chorowite; ludzie jeszcze te kłeski powiększają. Gdy dziecko winne jest życie występki, wtedy po większej części pozbawione bywa starania, imienia i dziedzictwa swoich rodziców, a często bardzo skazane jest na powiększenie liczby tych istot, które po to tylko

świat ten ujrzały, aby przezeń jak meteor jaki zstąpić do grobu. Dobroczyńcy ludzkości zajęli się zwalczaniem tych klęsk, i niczego nie zaniedbują, coby usiłowania ich mogło uwieńczyć pomyślnym skutkiem: zakłady dobroczynne, zasiłki pieniężne przez rząd udzielane, zapisy i dary prywatnych: wszystko to się łączy dla osłodzenia losu tych niewinnych ofiar. U nas dzieciom takowym miejsce rodziców zastępuje zakład szpitala Dzieciątka Jezus. Ciągłe wzrastająca liczba dzieci na fundusz szpitalny przekazywanych, dowodzi, że wielka jest liczba osób, co zagłuszyły w sobie najszlachetniejsze uczucia i nie poczuwają się do obowiązków względem istot, którym życie dały. Lecz co gorsza jeszcze: z dzieci tych do stu rocznie dotkniętych bywa zabójczą chorobą syfilityczną. Takito dar z rąk dawców życia odbierają; ten albo niedługo wtrąca je do grobu, albo dopełnia miary niedoli, jaka w dalszém życiu udziałem ich bywa.

Porównawszy liczbę dzieci nieprawych z całkowitą liczbą urodzeń w innych krajach, znajdujemy prawie jeden stosunek dla Francyi, Szwecyi, Holandyi, Norwegii, Bawaryi, Hanoweru, Prus. Jest on większy dla Danii, Saxonii, Wirtembergu, Czech, arcyksięstwa austriackiego, a nawet Islandyi pod kołem biegunowém; mniejszy jest we Włoszech, co się tłumaczy przez młody wiek, w jakim kobiety wchodzą w związki małżeńskie. W Anglii roku 1842 wypadło jedno dziecko naturalne na 15 całkowitych urodzeń, a we Francyi 1 na 14,10.

Wielu utrzymuje, że liczba dzieci naturalnych jest matematycznym wyrażeniem stanu moralności; świadectwa jednak statystyczne niezupełnie zdanie to potwierdzają. Wielkiej liczby urodzeń nieprawych nie można przypisywać rozwiązłości, bo doświadczenia wszystkich wieków i krajów uczą nas, że ta nie jest płodną. Inne więc powody, a nie moralność, wpływają na liczbę urodzeń nieprawych. Bliżej przypatrując się temu, przekonani zostajemy, że są one bardzo skomplikowane i głębiej zakorzenione, aniżeli to zdawaćby się mogło. Główne z nich są:

1. Małżeństwa w późnym wieku zawierane, kiedy już człowiek jest mniej albo wcale niepłodnym, i kiedy przepędziwszy w stanie bezżennym wiek namiętności, obdarzył społeczność dziećmi naturalnymi. Lecz usprawiedliwiają to trudności i kłopoty, jakie pociąga za sobą zawieranie związków małżeńskich, przez co dla wielu osób małżeństwo staje się przedmiotem bojaźni, a tę powiększają jeszcze częste nieraz przykrości małżeńskiego stanu.

2. Na zmniejszenie liczby małżeństw wpływają téż i wymagania postępowej cywilizacji, która kładąc zbytek w liczbie potrzeb, skazuje na stan bezzenny wiele panien z class wyższych niemających posagu i każdego mężczyznę, który nie ma ustalonego położenia w towarzystwie.

3. Nagromadzenie się ludności w wielkich miastach, gdzie obie płci żyją w pewnej niezależności i zbliżeniu, których niebezpieczeństwa nie zmniejsza ani czujność rodziny, ani bojaźń publicznej opinii.

4. Poufałe zbliżenie się, jakie szczególnie ma miejsce przy pracach fabrycznych.

### Śmiertelność.

Wykazy statystyczne przedstawiają następną liczbę zmarłych w kraju naszym:

w r. 1832	zmarło	164,615	czyli	1	na	23,7	mieszk.
» 1833	»	136,522	»	»	»	29,5	»
» 1834	»	132,027	»	»	»	30,7	»
» 1835	»	131,470	»	»	»	31,9	»
» 1836	»	134,203	»	»	»	31,7	»
» 1837	»	151,757	»	»	»	28,3	»
» 1838	»	129,694	»	»	»	33,5	»
» 1839	»	140,307	»	»	»	31,3	»
» 1840	»	130,467	»	»	»	34,4	»
» 1811	»	140,910	»	»	»	32,2	»
» 4842	»	139,960	»	»	»	33,1	»
» 1843	»	144,471	»	»	»	32,5	»
» 1844	»	135,170	»	»	»	35,3	»
» 1845	»	150,514	»	»	»	31,8	»
» 1846	»	150,839	»	»	»	32,2	»
» 1847	»	188,020	»	»	»	25,8	»
» 1848	»	226,810	»	»	»	21,1	»

Razem zmarło 2,527,756 czyli 1 na 30,4 mieszk.

W peryodzie więc od 1832 do 1848 r. umarło 2,527,756 osób, a więc przecięciowo umiera rocznie 148,691, czyli 1 na 30,4. Największą liczbę zmarłych przedstawiają lata 1832, 1837, 1847, a szczególnie rok 1848; w roku tym wypada 1 zmarły na 21,1, a w roku 1847 zmarły 1 na 25,8. Śmiertelność r. 1848 pochodzi głównie z cholery, przyłączył się téż do niej nieurodzaj w r. 1847 ziemiopłodów.

Epidemia cholery, jedna z największych plag, jakimi Opatrzności podoba się dotykać ludzkość, w ciągu lat 18 po raz trzeci nawiedziła kraj nasz w roku 1848, i nie straciwszy na zabójczej swój sile, w przebiegu swym zagarnęła tysiące ofiar, nie oszczędzając ani rozkwitającego życia, ani zgrzybiałej starości. Ta sroga plaga nieba, przewidywana już w końcu 1847 roku, pojawiła się w mieście Krasnymstawie w pierwszej połowie sierpnia, a nie znając żadnego hamulca w swoim postępie, wkrótce cały kraj zaległa.

Liczba jej ofiar w r. 1848 była następująca:

W mieście Warszawie . . .	zachorowało	3,955,	zmarło	1,529
„ gubernii warszawskiej . .	—	11,431	—	5,635
„ radomskiej . . . . .	—	6,021	—	3,103
„ lubelskiej . . . . .	—	16,384	—	6,798
„ płońskiej . . . . .	—	7,562	—	3,706
„ augustowskiej . . . . .	—	8,824	—	2,985

Razem zachorowało 54,177, zmarło 23,756

Takato była śmiertelność r. 1848; przewyższyła ona liczbę zejść wszystkich lat poprzednich; lecz średnia śmiertelność z lat wszystkich wynosi 1 na 30,4. W innych krajach następujące są stosunki:

W Neapolitańskim . . . . .	1 zmarły na	29
„ Półwyspie włoskim . . . . .	—	30
„ Austrii . . . . .	—	33
„ Holandyi . . . . .	—	33
„ Hiszpanii . . . . .	—	34
„ Prusach . . . . .	—	38
„ Belgii . . . . .	—	42
„ Francyi . . . . .	—	44
„ Anglii . . . . .	—	45
„ Szwecyi . . . . .	—	49
„ Norwegii . . . . .	—	50

Jak w urodzeniach, tak i w śmiertelności dwie wielkie przyczyny: klimat i stan towarzystwa, przeważnie wpływ swój wywierają.

Najmniejsza śmiertelność w Europie ma miejsce w krajach nadmorskich, blizkich koła biegunowego: w Szwecyi, Norwegii, Islandyi; największa w Neapolitańskim, na półwyspie włoskim; a więc klimat zimny, ostry, jest zbawiennym dla człowieka. W okolicach z pięknym niebem, palącym słońcem, życie na największą niepewność jest wystawione: we wdzięcznej Italii napotykamy o połowę więcej wypad-

ków śmierci, jak w zimnej Szkocyi, a pod pięknym niebem Grecyi, życie o połowę też jest mniej pewne, jak wśród lodów Islandyi.

Wpływ klimatu na śmiertelność jest tak wielki, że w jednym i tym samym kraju zmiana pór roku już inne przedstawia stosunki śmiertelności. Zobaczmy to w kraju naszym:

Data pod tym względem, zebrałem od urzędników stanu cywilnego w Warszawie z lat od 1838 do 1849 włącznie; dat podobnych odnoszących się do całego kraju nie posiadam, lecz gdy następnie dla porównania śmiertelności, przedstawię wypadki dostrzeżeń meteorologicznych czynionych w Warszawie, a zjawiska atmosfery w każdym miejscu inaczej objawiać się mogą: do rozważania więc kwestyi obecnej właściwemi są fakta do Warszawy odnoszące się. Te, jako obejmujące przeciąg dwunastu lat, a w nich 76,128 wypadków śmierci, mogą już w części posłużyć za zasadę do ogólnych wniosków. W tych dwunastu latach dwa lata: 1848 i 1849 były epidemiczne; cholera dużo zagarnęła ofiar: przedstawimy tu więc następane wypadki:

- 1) ze wszystkich lat dwunastu;
- 2) z dwóch lat w których grassowała cholera;
- 3) z lat dziesięciu, pozostałych po wyłączeniu dwóch lat powyższych z całkowitego dwunastoletniego przeciągu czasu; i naostatek:
- 4) wykaz dzieci w wieku od pierwszych chwil życia do lat siedmiu skończonych, zmarłych w przeciągu czasu od 1842 do 1849 włącznie (z akt cmentarza powązkowskiego).

Następny wykaz przedstawia fakta pod temi czterema względami:

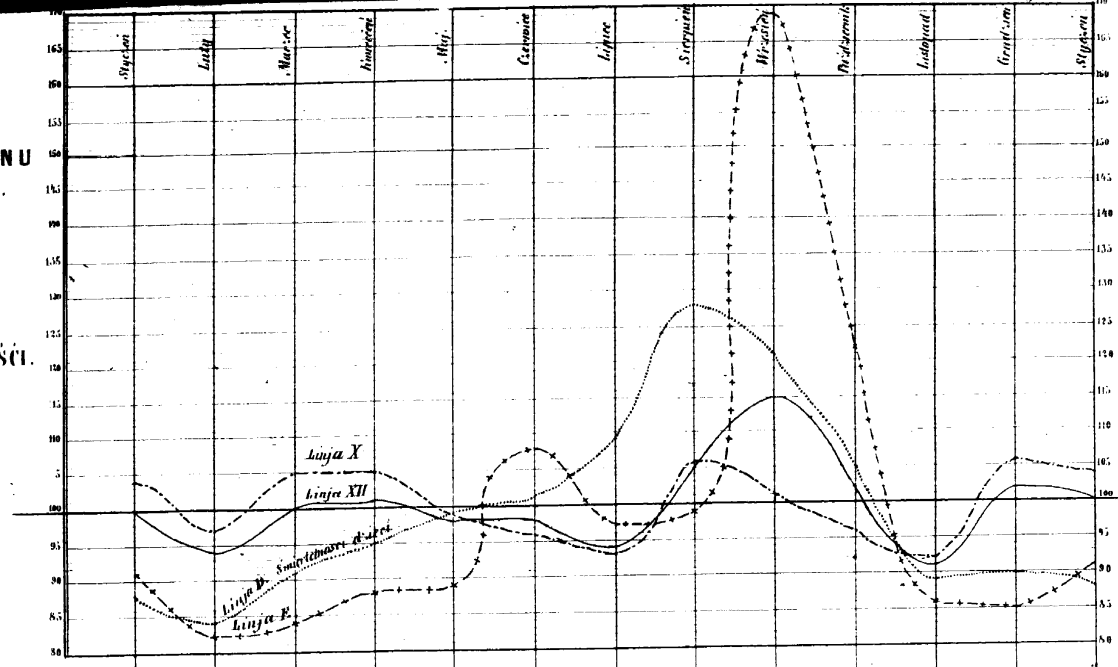
M i e s i a c	W ciągu całkowitego dwunastoletniego okresu	W dwóch latach cholerycznych 1848 i 1849	W ciągu lat 10 od 1838 do 1847 włącznie	Dzieci w wieku od lat 0 do 7 skończonych
Styczeń. . . . .	6,310	1,169	5,141	2,336
Luty. . . . .	5,977	1,057	4,920	2,242
Marzec. . . . .	6,378	1,078	5,300	2,417
Kwiecień. . . . .	6,437	1,134	5,303	2,541
Maj . . . . .	6,184	1,149	5,035	2,593
Czerwiec. . . . .	6,234	1,394	4,840	2,693
Lipiec. . . . .	5,990	1,255	4,735	2,920
Sierpień . . . . .	6,643	1,280	5,363	3,430
Wrzesień . . . . .	7,300	2,179	5,121	3,232
Październik . . . . .	6,450	1,569	4,881	2,822
Listopad . . . . .	5,751	1,115	4,636	2,412
Grudzień. . . . .	6,474	1,094	5,380	2,435
Razem. . . . .	76,128	15,473	60,655	32,073

# TABELLA

## ŚMIERTELNOŚCI I STANU

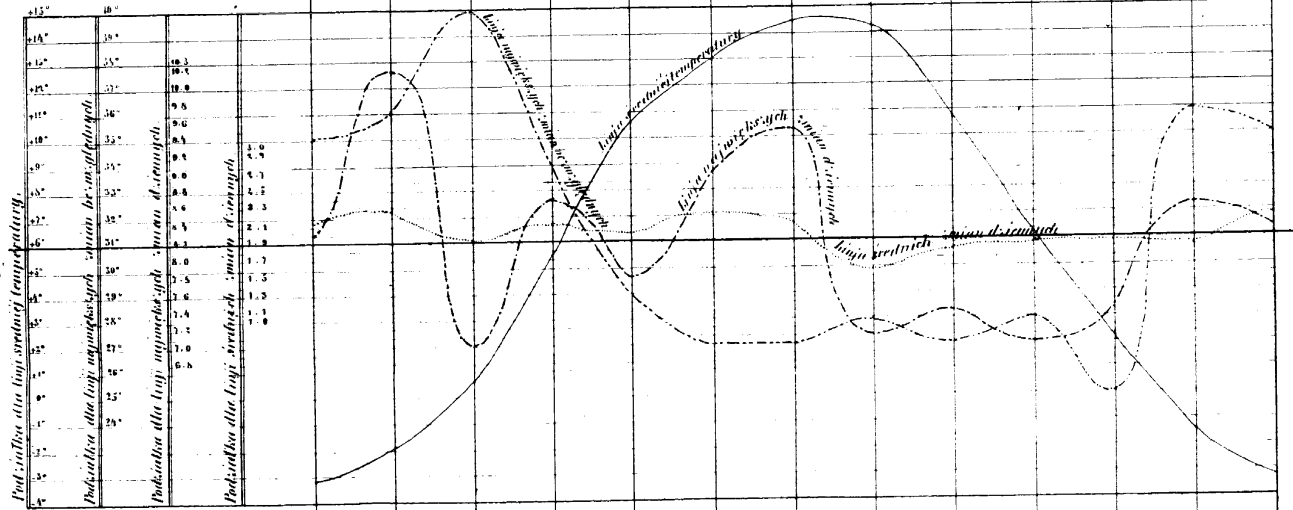
### TERMOMETRU I BAROMETRU.

#### LINJE ŚMIERTELNOŚCI.



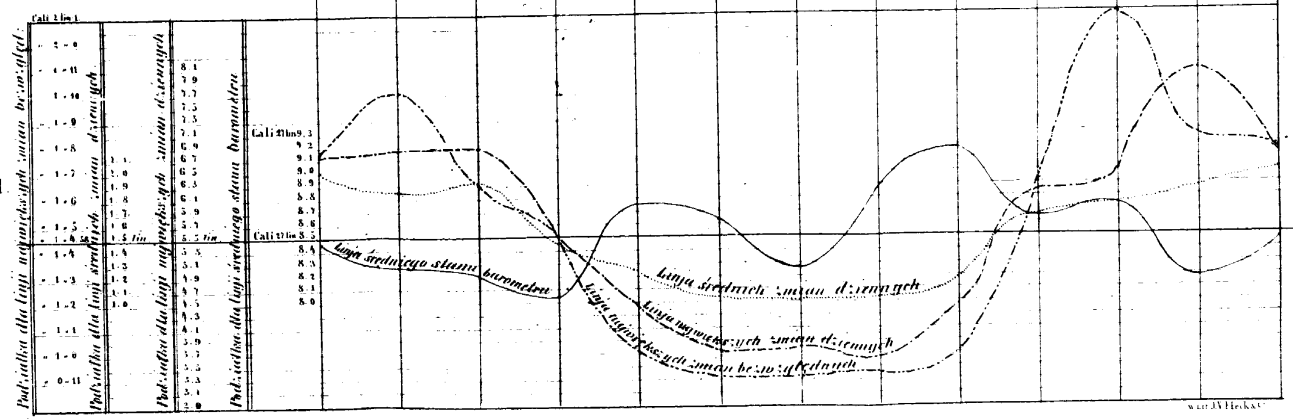
#### LINJE

#### TERMOMETRI



#### LINJE

#### BAROMETRI





Uważając zaś całkowitą liczbę umierających za 1200, liczba ta następnie rozłoży się podług miesięcy:

M i e s i ą c	W ciągu całko- witego dwuna- stoletniego pe- ryodu.	W dwóch la- tach cholery- cznych 1848 i 1849	W ciągu lat 10 od 1838 do 1847 włącznie	Dzieci w wieku od lat 0 do 7 skończonych
Styczeń. . . . .	100	91	104	88
Luty . . . . .	94	82	97	84
Marzec . . . . .	100	84	105	91
Kwiecień. . . . .	101	88	105	95
Maj . . . . .	98	89	99	99
Czerwiec. . . . .	98	108	96	101
Lipiec. . . . .	94	97	93	109
Sierpień . . . . .	105	99	106	128
Wrzesień . . . . .	115	169	101	121
Październik . . . . .	102	122	96	105
Listopad . . . . .	91	86	92	89
Grudzień. . . . .	102	85	106	90
Razem . . . . .	1,200	1,200	1,200	1,200
Średnio miesięcznie.	100	100	100	100

Dla zupełnej ścisłości, wypadaloby mieć na względzie nierówność miesięcy; lecz nierówność ta nie robi znacznej różnicy w stosunkach zmarłych, dlatego jej nie poprawiamy.

Otrzymane stosunki zmarłych przeniósłszy na figurę, otrzymamy cztery linie krzywe, oznaczające bieg śmiertelności. Linia odciętych odpowiada śmiertelności miesięcznej 100, rzędne odpowiadają przewyżkom śmiertelności *in plus* lub *minus* nad tę średnią śmiertelność. Dla skrócenia wyrażenia się, oznaczamy linią śmiertelności z lat dwunastu przez XII, z lat dziesięciu przez X, z dwóch lat epidemicznych przez E, linią śmiertelności przez D.

Zastanawiając się nad liniami temi, spostrzegamy:

Co do linii E. Epidemia najsilniej działała we wrześniu, październiku i czerwcu, a tym sposobem najmniejsze stosunki zmarłych wypadły na miesiące: luty, marzec, listopad.

Co do linii XII. Największa śmiertelność we wrześniu, sierpniu, październiku, grudniu; najmniejsza w listopadzie, lipcu, lutym.

Linia X pokazuje, że największa śmiertelność w sierpniu, grudniu, dalej marcu i kwietniu; najmniejsza w listopadzie, lipcu, czerwcu, październiku.

Dzieci najwięcej umiera w sierpniu; najmniej w lutym, styczniu, listopadzie, grudniu.

Wpływ atmosfery na zdrowie ludzkie jest tak wielkim, że bez głębokich rozważań każdy go czuje i każdy grabarz cmentarzowy powie nam, że gdy naprzykład w lecie przez pewien czas jednaki jest stan atmosfery, liczba umierających idzie prawidłowo; lecz kiedy ciepła nagle się podniosą, kiedy po suszy nagle nastąpią ulewy, zgoła kiedy będą nagle, znaczne zmiany termometru i barometru, śmiertelność zaraz się powiększy. Porównajmy więc linie śmiertelności ze zjawiskami meteorologicznymi.

Ponieważ rozważając śmiertelność, winniśmy mieć na względzie nie tylko te zmiany atmosfery, które stale następują po sobie i wydają pory roku, ale winniśmy też zwrócić uwagę i na nagle zmiany, jakie się w krótkim przeciągu czasu wydarzają, zmiany tém więcej niebezpieczne, że często nie mamy czasu przygotowania się przeciwko nim; do karty więc klimatologicznej profes. Jastrzębowskiego wprowadzamy niektóre pod tym względem fakta, wyprowadzone z dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatorium Astronomiczném warszawskiem. Załączająca się tabella przedstawi je.

W tabelli téj stan termometru najwyższy, najniższy i średni, tudzież stan średni barometru, zamieszczone są z karty p. Jastrzębowskiego; zmianyienne barometru wyprowadzone są z dostrzeżeń w Obserwatorium Astronomiczném zlat od 1826 do 1845 włącznie, wszelkie zaś inne data są wypadkiem z dostrzeżeń od 1841 do 1849 r.

Nakreślmy linie wszystkich tych wypadków; nadpisy dostatecznie każdą linią wskazują; linie termometru i barometru z nadpisami bezwzględnych zmian, są liniami faktów, objętych w rubrykach 3, wykazu stanu atmosfery.

Rozważając śmiertelność w porównaniu z liniami atmosfery, znajdujemy: że postępując od stycznia, śmiertelność w lutym się zniża, w marcu i kwietniu podwyższa; wszystkie linie termometru z nizkiego stanu w styczniu podnoszą się w lutym, śmiertelność więc idzie za nimi w miesiąc. W czerwcu i lipcu jest niska śmiertelność; trzy linie termometru przez marzec, kwiecień i maj stoją także nisko, linie zmian barometru opadają; i przez czerwiec, lipiec i sierpień są w swoim najwyższym stanie. Powiększające się od lipca ciśnienie atmosfery, tudzież upały czerwca i lipca, zrzadzają największą śmiertelność w sierpniu, przedstawioną przez linie X i D i we wrześniu, przedstawioną przez linie E i XII. Od sierpnia linie termometru opadają, choć barometru stoją wysoko, a jednak śmiertelność

# Tabella stanu atmosfery.

Bibl. Warsz. m. maj. str. 228.

Miesiące	Wiatry.								Termometr w stopniach Reaumura						Barometr w calach i liniach											
	Północny	Północno-wschodni	Wschodni	Południowo-wschodni	Południowy	Południowo-zachodni	Zachodni	Północno-zachodni	Stan termometru			Zmiany dziennne			Stan barometru			Zmiany dziennne		6) Średni stan barometru						
									1) Najwyż.	2) Najniż.	3) Różnica	4) Najwik.	5) Średnie	6) Średni stan termometru	1) Najwyższy		3) Różnica	4) Najwyższe	5) Średnie							
															cale	linie					cale	linie	cale	linie		
Styczeń . . . . .	7	11	19	28	15	10	20	8	8	-27	35	8.3	2.15	-	3.2	28	5.29	26	9.40	1	7.89	6.76	2.00	27	8.47	
Luty . . . . .	7	6	5	21	14	13	27	7	10	-26	36	10.2	2.28	-	1.8	28	3.79	26	5.68	1	10.11	6.84	1.85	27	8.28	
Marzec . . . . .	10	6	6	22	15	10	35	10	16	-24	40	7.0	1.92		0.7	28	4.47	26	9.88	1	6.59	6.89	1.91	27	8.23	
Kwiecień . . . . .	15	9	11	18	9	12	23	12	23	-11	34	8.7	2.11		5.5	28	2.14	26	9.64	1	4.50	5.49	1.46	27	8.05	
Maj . . . . .	22	11	11	16	7	5	22	11	25	-	4	29	7.8	2.01		10.6	28	1.58	27	1.57	1	0.01	4.47	1.24	27	8.76
Czerwiec . . . . .	17	7	5	11	9	9	33	14	27	0	27	8.9	2.23		13.0	28	0.07	27	0.86	„	11.21	3.75	1.03	27	8.63	
Lipiec . . . . .	16	5	5	8	10	12	36	19	30	+	3	27	9.5	2.12		14.6	28	1.02	27	1.87	„	11.15	3.79	1.00	27	8.27
Sierpień . . . . .	15	11	11	20	8	10	20	8	29	+	1	28	7.1	1.58		14.3	28	2.18	27	2.86	„	11.32	3.66	1.03	27	8.87
Wrzesień . . . . .	13	10	10	16	12	7	27	9	25	-	2	27	7.4	1.80		10.8	28	1.91	27	1.71	1	0.20	4.45	1.18	27	9.18
Październik . . . . .	6	3	9	26	16	19	31	5	20	-	8	28	7.0	1.85		6.2	28	4.14	26	9.51	1	6.63	6.17	1.67	27	8.66
Listopad . . . . .	6	5	10	29	16	16	21	7	13	-	12	25	7.4	1.87		2.2	28	4.61	26	3.59	2	1.02	6.50	1.74	27	8.74
Grudzień . . . . .	5	6	16	22	13	12	32	7	10	-	26	36	8.6	1.83	-	1.4	28	5.69	26	9.37	1	8.32	8.03	1.88	27	8.19
Wypadki roczne . . . . .	12	8	10	20	12	11	27	10	30	-	27	31	8.16	1.98		5.97	28	5.69	26	3.59	1	4.58	5.57	1.50	27	8.529

ciągle się zmniejsza, i w listopadzie dochodzi do minimum. Ta więc śmiertelność ma miejsce po umiarkowanym cieple września i października, przy małych zmianach temperatury i największej obfitości wilgoci; w listopadzie bowiem, według karty klimatologicznej, największa jest wilgoć powietrza i prawie najwięcej dni wątpliwéj pogody. I u nas więc stwierdza się, że umiarkowane ciepło i wilgoć sprzyjają zdrowiu; kraje nadmorskie, jakieśmy powyżej widzieli, przedstawiają niskie stosunki śmiertelności.

Z powyższego zdaje się, że temperatura ma największy związek ze śmiertelnością. Wpływ jéj szczególniejszy spostrzegać się daje na dzieciach: linia D od lutego wznosi się ciągle aż do sierpnia, gdzie dochodzi najwyższego swego stanu; odtąd stopniowo się zniża. Prawie zupełnie podobny jest bieg średniej temperatury, tylko wcześniejszy o miesiąc.

Człowiek zostaje wśród tylu wpływów działających na jego zdrowie i życie, że istotnie dziwić się należy, iż w obec nich wpływ atmosfery widocznie uczuwać się daje, a zarazem wniesć ztąd winniśmy, jak wpływ ten jest silny. Wprawdzie tu nie wykazujemy go dokładnie, bo téż najprzód wypadki nasze pochodzą z małej liczby lat, dalej nie mamy tu względu na odmiany światła księżyca i położenie jego względem ziemi, a lekarze wiedzą, jaki wpływ zmiany te wywierają; lecz co daleko ważniejsze, że rozważamy wszystkich w ogóle umierających bez względu na ich wiek: wiemy przecie, że inne jest działanie atmosfery na nowo-narodzone dziecię, jak na człowieka rozwijającego się lub już rozwiniętego fizycznie. Wypadałoby więc mieć wykazy umierających z podziałem na lata, a nawet co do dzieci, trzebaby mieć ich liczbę miesiącami życia. Nie posiadając wykazów takowych, zniwoleni jesteśmy poprzestać na tém, co podaje p. Quetelet w piśmie swém: *de l'influence de saisons sur la mortalité aux différens age dans la Belgique Bruxelles. 1838.* Uprzedzamy wszelako, że gdy położenie kraju naszego tak pod względem towarzyskim jak i geograficznym jest inne aniżeli Belgii, prawa więc śmiertelności tam wykryte, u nas może nie będą miały miejsca.

Pan Quetelet powiada:

Zbierając to, co poprzedziło, zdaje mi się, że można następnie wyprowadzić wnioski.

1) Oceniając w Belgii wpływ pór roku na śmiertelność, życie ludzkie przedstawia dwa główne peryody: jeden obejmujący czas rozwijania się fizycznego, i ten rozciąga się aż prawie do 25 lat, drugi obejmuje resztę życia.

2) Dla człowieka rozwiniętego najniekorzystniejszą porą jest zima; inne pory roku idą w następnym porządku: wiosna, jesień, lato.

Maximum bezwzględne zejść ma miejsce w lutym, a minimum w lipcu; różnica, jaka zachodzi pomiędzy wyrazami dla tych dwóch pór roku ciągle się powiększa aż do końca życia: około dwudziestego piątego roku jest ona jak 125, a w końcu jak 255 do 100.

3) Dla człowieka rozwiniętego zachodzi stosunek bardzo wyraźny pomiędzy termometrem i śmiertelnością; przynajmniej po miesiącach najgorętszych, które są najmniej obciążone zmarłymi, znajdujemy widoczne powiększenie się śmiertelności. Miesiąc październik, który następuje po tém powiększeniu, przedstawia minimum śmiertelności względnie do miesięcy, pomiędzy którymi się znajduje.

4) Biorąc człowieka podczas jego rozwijania się, i rozważając pierwszy rok jego życia, rok, w którym dziecko zjednoczone jest pod pewnym względem z matką która je żywi, znajdujemy, że wypadki śmierci następnie są rozdzielone: minimum ma miejsce w lipcu, a maximum od miesiąca stycznia, epoki największych mrozów. Powiększenie śmiertelności w skutek upałów, przedstawia się więcej u dzieci jak u rozwiniętych ludzi. To powiększenie śmiertelności po najwyższych upałach a nadewszystko mrozach, a które dotyka dzieci w pierwszym roku ich istnienia, wykryli już, mianowicie co do pierwszych trzech miesięcy życia, pp. Villermé i Milne Edwards. W każdym wszakże razie wpływ lata nie jest wcale widocznym w pierwszym miesiącu życia, lecz dochodzi maximum około szóstego miesiąca.

5) Po pierwszym roku aż do dwunastego, maximum śmiertelności oddala się od stycznia, zbliżając się przy oscylacjach do maja, gdzie przez pewien czas utrzymuje się; potem w wieku od 16 do 25 lat zwraca się, i dąży do ustalenia się na lutym, gdzie już ciągle utrzymuje się aż do schyłku życia.

Minimum śmiertelności, zaczynając od pierwszego roku, umieszcza się mniej więcej regularnie w odległości pięciu albo sześciu miesięcy po maximum, i od pierwszego aż do ósmego roku pada na sierpień. Odtąd aż do dwudziestego roku przenosi się na październik, gdzie, jakśmy to już widzieli, tworzy następnie minimum względne aż do najpóźniejszej starości.

6) W czasie rozwijania się człowieka, już po pierwszym roku, nie spostrzegamy w lipcu minimum śmiertelności; podług śmiertelności, następny znajdujemy tu porządek pór roku: zima, wiosna, jesień, lato.

W wieku *dojrzałości*, pory roku układają się w porządku cokolwiek różnym od pierwszego: wiosna, lato, zima i jesień; wówczas, gdy dla człowieka rozwiniętego porządek jest: zima, wiosna, jesień, lato.

7) Od dwunastu aż do dwudziestu pięciu lat znajdujemy jeszcze minimum względne zejść w styczniu, który dla innych lat jest miesiącem najbardziej obciążonym wypadkami śmierci.

8) Wprowadzając różnicę płci, znajdujemy: że dla różnych epok życia wziętych oddzielnie, najwyższe i najniższe tak względne jak i bezwzględne stosunki padają prawie zupełnie na jedne miesiące, i wartości tych stosunków dla każdej płci są też same.

9) Nie znajdujemy już tej zgodności, gdy porównujemy nie stosunki, ale rzeczywistą liczbę umierających mężczyzn i kobiet w każdym wieku życia; różnice wtedy są zbyt wielkie.

Albowiem:

zaraz po urodzeniu na czterech chłopców, trzy zaledwie umierają dziewczęta.

Ta różnica niekorzystna dla chłopców, zmniejsza się stopniowo aż do drugiego roku życia, i odtąd liczba zmarłych obojęd płci jest prawie zupełnie ta sama, aż do dwudziestu lat.

Od dwunastu do dwudziestu lat liczymy więcej zmarłych kobiet jak mężczyzn;

w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu przeciwnie.

Od 25 do 30 lat umiera równa liczba mężczyzn jak i kobiet;

od 30 do 50 umiera więcej kobiet niż mężczyzn;

od 50 do 65 przeciwnie;

po sześćdziesiątym piątym roku liczba zmarłych kobiet przewyższa liczbę mężczyzn.

Słowem że:

równo umiera mężczyzn jak i kobiet w wieku od lat 2 do 12, od 25 do 30, od 50 do 65;

zejścia męskie liczniejsze są: zaraz po urodzeniu, w wieku pomiędzy 20—25 lat, i od 50 do 65;

mniej zaś liczne od kobiecych są: w wieku od lat 12 do 20, od 30 do 50 i po 65 roku.

10) Wpływ pór roku i płci na dzieci nieżywo urodzone jest prawie taki sam, jak na nowo urodzone, jakkolwiek mniej wyraźny.

11) Różnica miejsca zamieszkania w miastach, we wsiach, nie wprowadza rzeczywistej zmiany w porach roku, w których przypadają

najwyższe i najniższe stosunki śmiertelności, lecz odległość pomiędzy temi stosunkami jest daleko znaczniejsza na wsiach jak w miastach.

Pod temi wszystkimi względami starać się będziemy rozważyć następnie śmiertelność całego kraju, lub choćby tylko miasta Warszawy, jeżeli uda się otrzymać z lat kilkunastu liczbę umierających w każdym roku życia.

Co się tyczy wpływu pór roku na choroby, zasłużony ludzkości Dr. A. de Wolf, w rozprawie swój: „Rys Topografii medycznej miasta Warszawy” zamieszczonej w tomie XXI Roczników Towarzystwa Król. Warsz. Przyjaciół Nauk, szczegółowo na zasadzie wieloletnich postrzeżeń rozebrał stan ludności miasta tego pod względem zdrowia; przedstawił, jakie, w jakim stosunku i kiedy spostrzegać się dają choroby, wykazał ich powody i zamieścił swe o nich uwagi.

Wpływ, jaki postęp cywilizacji wywiera na życie jest niemniej wielki, niemniej pewny, jak i wpływ klimatu. Oznaczyć go można, porównywając z sobą stosunki śmiertelności jednego kraju w epokach, których okres odznaczony był ulepszeniami towarzyskimi. Oto data statystyczne, które przedstawiają to nauczające i zachęcające porównanie:

Szwecya. . . . .	od r. 1754 do 1763	umierający	1 na 34	całkow. lud.	
—	— 1821 — 1824	—	1 — 45	—	
Dania. . . . .	— 1751 — 1756	—	1 — 32	—	
—	— 1817 — 1819	—	1 — 45	—	
Niemcy. . . . .	w r. 1788	—	1 — 32	—	
—	— 1825	—	1 — 45	—	
Prusy. . . . .	— 1717	—	1 — 30	—	
—	od r. 1821 — 1826	—	1 — 39	—	
Austria . . . . .	w r. 1822	—	1 — 40	—	
—	od r. 1828 — 1830	—	1 — 43	—	
Holandya . . . . .	w r. 1800	—	1 — 26	—	
—	— 1824	—	1 — 40	—	
Anglia . . . . .	— 1690	—	1 — 30	—	(1)
—	— 1844	—	1 — 45	—	
—	od r. 1780 — 1784	—	1 — 40	—	(2)
—	— 1804 — 1809	—	1 — 53	—	
Francya . . . . .	w r. 1772	—	1 — 25	—	

(1) Według Moreau de Jonnés.

(2) Według dzieła: Cours d'Economie politique, p. J. B. Say, str. 159.

Francya . . . . . w r. 1844	umierający	1 na 44	całkow. lud.
Pańs. rzymskie . — 1767	—	1 — 21	—
— — 1829	—	1 — 28	—
Lombardya . . . od r. 1769 — 1774	—	1 — 27	—
— — 1828	—	1 — 31	—

Pan Dufau w dziele swém: *Traité de Statistique* podaje, że postrzeżenia czynione r. 1802, 1803 i 1804 w departamencie Ain, okazały następujące stosunki śmiertelności, ze względu na położenie miejsc:

W położeniu górzystém	umiera	1 na 38,3
nad rzekami	—	26,6
na równinach	—	24,6
bagnistém	—	20,8

Dziwna, że na przestrzeniach tak małych wykryto jakieś różnice; rozważanie u nas powiatów całych jeszcze do niczego nie doprowadza.

Jakoż weźmy najwyżej położony w kraju powiat olkuski, odznaczający się szczególną urodzajnością miechowski, i powiaty sejneński, augustowski i łukowski, zawierające rozległe wody i błota. Ponieważ zaś lata 1847 i 1848 stanowią wielkie wyboczenie co do liczby urodzonych i zmarłych, przeto do postrzeżeń tych wprowadzamy średni stosunek z poprzednich lat czterech, to jest od 1843 do 1846 włącznie. Ten pokazuje, że umiera:

w oluskim . . . . .	1 na 29
„ miechowskim.	— 27
„ sejneńskim . . .	— 40
„ augustowskim	— 35
„ łukowskim . . .	— 28

W powiatach więc sejneńskim i augustowskim, tak zalanych wodami, mniejszy jest stosunek zmarłych, aniżeli w oluskim i miechowskim; chociaż znów oluski, porównany z łukowskim, mógłby ten wpływ okazać. Szukajmy więc tego wpływu na większych przestrzeniach, weźmy całe gubernie, i tu śledźmy stosunki śmiertelności. Te przedstawią nam następujące wykazy:



## a. Wykaz ludności całkowitej.

Rok	W g u b e r n i i					W mieście Warszaw.	Razem w ca- łym kraju.
	Augustow.	Płockiej	Warszaw.	Radoms.	Lubels.		
1843	620,090	531,095	1,488,647	929,724	979,078	151,740	4,700,374
1844	622,817	536,885	1,510,734	944,625	1,001,151	154,078	4,770,290
1845	625,730	539,252	1,508,821	961,832	999,309	163,714	4,798,658
1846	617,062	543,328	1,548,550	974,767	1,018,292	165,130	4,867,129
Średnio rocznie	621,425	537,640	1,514,188	952,737	999,458	158,665	4,784,113
Ludność względ.	1,817	1,771	2,253	2,170	1,773	38,699	2,062

## b. Wykaz zmarłych.

Rok	W g u b e r n i i					W mieście Warszaw.	Razem w ca- łym kraju.
	Augustow.	Płockiej	Warszaw.	Radoms.	Lubels.		
1843	17,387	13,740	45,510	32,908	29,825	5,101	144,471
1844	15,265	12,368	44,708	30,540	27,076	5,121	135,078
1845	19,543	16,032	48,086	25,473	36,034	5,346	150,514
1846	22,344	14,617	44,089	29,062	35,288	5,439	150,839
Razem	74,539	56,757	182,393	117,983	128,223	21,007	580,902
średnio rocznie	18,635	14,189	45,598	29,496	32,056	5,252	145,226
Wsp. umie- ra i na	33,3	37,8	33,2	32,3	31,1	30,2	32,2

Widzimy więc, że najmniejszy stosunek śmiertelności przedstawia gubernia płocka, dalej idzie augustowska, warszawska, radomska, lubelska, a największy miasto Warszawa.

Dla wyśledzenia przyczyn takowego rozdziału stosunków śmiertelności, porównajmy je z zaludnieniem. Gubernie i miasto Warszawa pod względem zmniejszania się zaludnienia i stosunków śmiertelności, następnym idą porządkiem:

*Zaludnienie.**Śmiertelność.*

M. Warszawa. . . . .

M. Warszawa.

Gubernia warszawska.

Gubernia lubelska.

„ radomska . . . . .

„ radomska.

„ augustowska.

„ warszawska.

„ lubelska.

„ augustowska.

„ płocka . . . . .

„ płocka.

Trzy więc wyrazy odpowiadają sobie: miasto Warszawa, gubernia radomska i płocka; toż samo zajmują miejsce co do porządku

w zaludnieniu, jak i w śmiertelności. Największe zaludnienie Warszawy i największa w niej śmiertelność, najmniejsze w gubernii plockiej i najmniejsza też tam śmiertelność; radomska stoi pośrodku, a augustowska także niewiele chybia owęj odpowiedności, bo pod względem zaludnienia stoi na czwartém miejscu, a pod względem śmiertelności na piątém.

Tylko gubernia warszawska i lubelska wielkie przedstawiają różnice: lubelska stoi na piątém miejscu pod względem zaludnienia, a na drugiem pod względem śmiertelności; w warszawskiej przeciwnie, zaludnienie większe, a śmiertelność mniejsza. Roztrząśnijmy to bliżej. Gubernia warszawska z wyłączeniem niektórych okolic, ma grunta urodzajne, w kilku tylko miejscach północno-zachodniej strony ma znaczne błota; lecz i te przy ciągłym postępie gospodarstwa wiejskiego osuszaniem zostają, a więc nie ma widocznych przyczyn powiększenia śmiertelności, i owszem przeciwnie, dostatek pożywienia wpływać koniecznie musi na jej zmniejszenie. Dlatego gubernia ta zdrowsza jest, aniżeli by być winna w stosunku do swego zaludnienia. Co do gubernii lubelskiej téj nie możemy tak ogółowo na całej przestrzeni rozważać; zupełnie jest inna natura dawnego województwa lubelskiego a inna podlaskiego. W pierwszym powiat hrubieszowski, krasnostawski odznaczają się szczególną urodzajnością; dwa też pozostałe powiaty: zamojski i lubelski, niepoślednie pod tym względem trzymają miejsce. O drugiem, to jest o podlaskiem nie można tego powiedzieć, bo tu i więcej gruntów niezrynych, i błot też nie brakuje. Następny wykaz przedstawi ogólną rozległość powiatów, tudzież rozległość błot i bagien:

*Dawne województwo lubelskie:*

Powiat lubelski. . . . .	zawiera włók	28,265	na tych błot	307	włók.
„ krasnostawski.	—	21,722	—	339	—
„ zamojski. . . . .	—	32,514	—	128	—
„ hrubieszowski	—	17,154	—	124	—
		<hr/>			
	Razem	99,655	—	898	—

*Podlaskie:*

Powiat łukowski . .	zawiera włók	20,957	na tych błot	3,523	włók
„ siedlecki . .	—	20,699	—	617	—
„ bialski. . . . .	—	16,748	—	1,235	—
„ radzyński. .	—	26,033	—	1,078	—
		<hr/>			
	Razem	84,437	—	6,453	—

Czyli, pierwsze zawiera błot jedną sto jedenastą, a drugie jedną trzynastą część całkowitej rozległości, a więc w podlaskiem stosunkowo do rozległości jest dziewięć razy więcej błot jak w lubelskiem. Zaludnienie téż i stosunki śmiertelności nie są jednakie: w lubelskiem wypada na milę kwadratową 1,906, w podlaskiem 1,617 osób; stosunek śmiertelności w pierwszym jest 1 na 34,1, w drugim 1 na 27,8. Według więc tego, podlaskie najmniej jest zaludnione, a największy z całego kraju wypada na niego stosunek śmiertelności; nawet przewyższa stosunek dla Warszawy przypadający. Wnieść więc należy, że strony te są bardzo niezdrowe; cholera także to wykazywała, bo tam najdłużej i najsilniej grassowała.

Pomiędzy dawném mazowieckiem i kaliskiem, sandomierskiem i kieleckiem niema znacznych różnic pod względem położenia; gubernii więc warszawskiej i radomskiej nie rozdzielamy na te części. Stawiamy więc raz jeszcze obok siebie rozważane przestrzenie kraju:

<i>Zaludnienie.</i>	<i>Śmiertelność.</i>
Miasto Warszawa.	Gubernia podlaska
Gubernia warszawska.	Miasto Warszawa
„ radomska . . . . .	Gubernia radomska
„ lubelska.	„ warszawska
„ augustowska . . . . .	„ augustowska
„ plocka.	„ lubelska
„ podlaska.	„ plocka

Z okazji téj następuje się pytanie: w jakim stosunku zostaje liczba lekarzy do śmiertelności.

Według ogłoszonego drukiem spisu lekarzy, znajduje się ich:

W mieście Warszawie . . .	112	czyli	1	na	1,417	ogólnej	ludności.
W guber. radomskiej . . .	79	—	12,059	—			
„ lubelskiej . . . . .	75	—	13,326	—			
„ warszawskiej . . . . .	104	—	14,559	—			
„ plockiej . . . . .	31	—	17,343	—			
„ augustowskiej . . . . .	28	—	22,194	—			

Razem w całym kraju 429 czyli jeden na 11,152 osób.

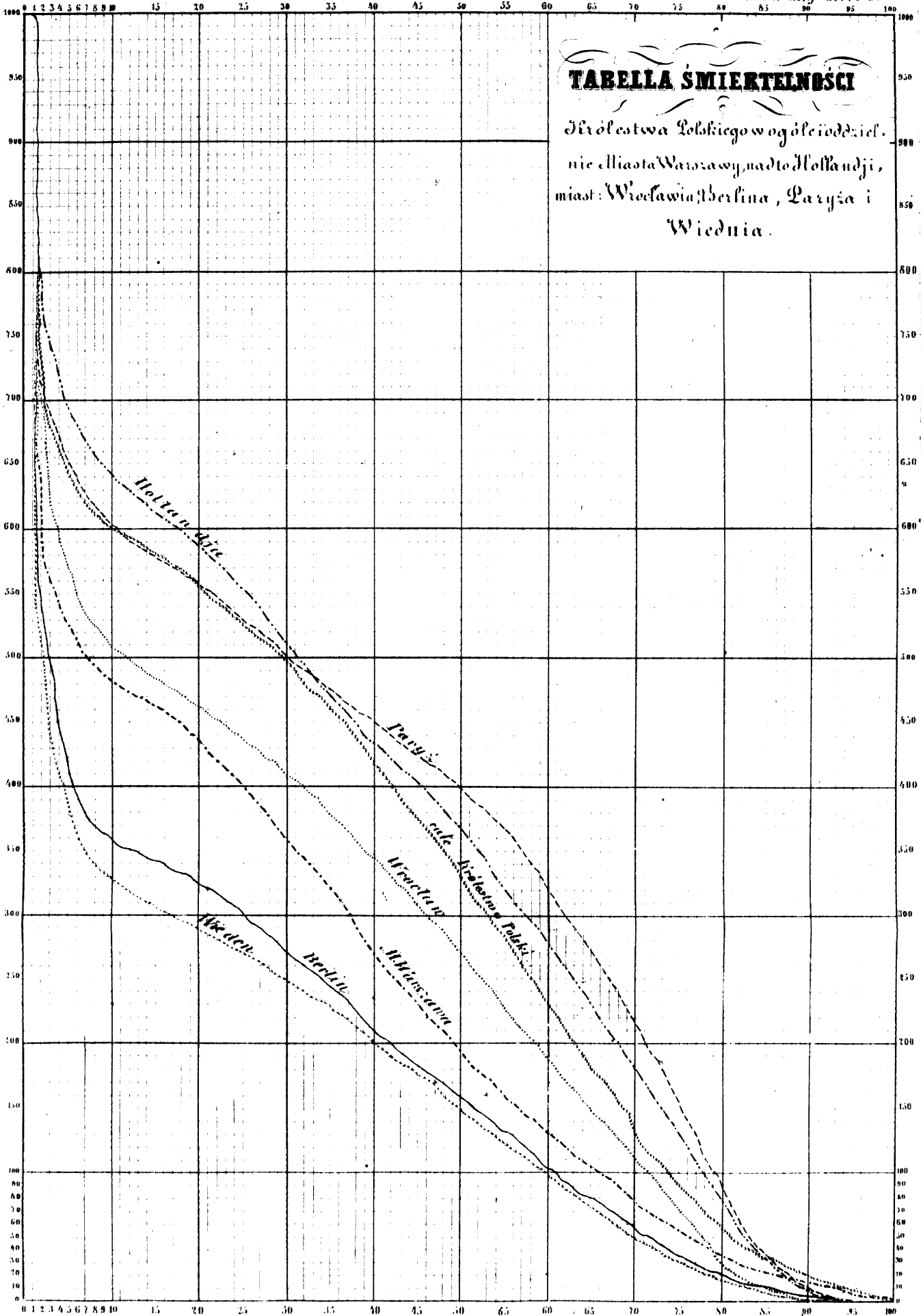
Stosunki te prawie równo idą ze stosunkami śmiertelności: za większą śmiertelnością idzie większa liczba lekarzy. Sądźmy więc, jak jest niekorzystny pod względem zdrowia stan Warszawy, kiedy mimo znacznej liczby znakomitych lekarzy, niosących z taką umiejętnością i gorliwością pomoc cierpiącym; kiedy mimo tylu starań o usuwanie wszystkiego tego, coby zdrowiu zagrazać mogło; kiedy wśród możliwości utrzymania wygodnego przy pracy życia: znajdujemy w niej przewyższający stosunek śmiertelności.

Jestto skutek nagromadzenia ludności.

Nagromadzenie się ludności, a osobliwie przy fabrykach, wszędzie znacznie powiększa stosunki śmiertelności; inna jest śmiertelność wielkich miast w Anglii, inna po wsiach. Śmiertelność miast: Manchester, Birmingham, Liverpool jest uderzającą. W Manchester i okręgu podmiejskim w przeciągu lat siedmiu na 163,856 wymarło 39,922, czyli rocznie 1 na 28, kiedy pomiędzy ludnością rolniczą Surey i okręgu miejskiego, ze 187,863 osób w tym samym przeciągu czasu umarło 23,777, czyli rocznie 1 na 55. To jeszcze jest boleśnieszem, że śmierć w tych miastach zwykle dotyka dzieci nieletnie. Z dzieci mniej niż lat 5 liczących, zmarło w ciągu siedmiu lat: w Surey 7,364 z 43,523 czyli 1 na 41; w Manchester zaś 20,726 z 21,152 czyli 1 z 7 rocznie. W Liverpool i w ogóle we wszystkich wielkich miastach Anglii, napotykamy podobną liczbę tych niewinnych ofiar, zamordowanych na korzyść przemysłu. Takito wpływ, jak wykrył p. William Farr, znakomity statystyk angielski, wywierają fabryki na życie człowieka. Praca uporczywa w fabrykach, zatrzymuje matkę daleko od domu; potrzeba więc zmusza ją do użycia środków niegodziwych: nie mogąc zaspokoić głodu dziecięcia, daje mu opium oraz inne narkotyki mordercze. Czyż można się dziwić, że dzieci nie wytrzymują tego systematu życia i zwykle stanowią dwie trzecie części całkowitej ludności umierających, i to w mieście najbogatszem w świecie, w kraju najbardziej cywilizowanym. Takąto ceną płacić potrzeba bogactwa kraju! My nie mamy tak wielkich miast, tak znakomitych fabryk; różniцы więc śmiertelności w powiatach fabrycznych i rolniczych, mimo skrupulatnych dochodzeń statystycznych, nie znajdujemy. Wszakże śmiertelność Warszawy jest, jakęśmy powyżej widzieli, większa aniżeli w reszcie kraju.

Śmiertelność w różnych epokach życia i podług płci, przedstawia następujący wykaz:

Wymienienie wieku	Całkowita ludność kraju			Zmarłych			Umiera 1 na ludności		
	mężczyzn	kobiet	razem	płci męskiej	płci żeńskiej	razem	męż.	żeń.	razem
od lat 0 do 12	602.405	604.435	1.206.840	43.515	39.764	83.279	13.8	15.2	14.4
— 12 — 14	158.793	160.935	319.728	5.360	4.976	10.336	29.6	32.4	30.9
— 14 — 17	136.494	139.946	276.440	3.518	3.448	6.966	38.8	41.6	39.7
— 17 — 20	170.113	200.314	370.427	5.684	6.233	11.917	29.8	32.0	31.0
— 20 — 25	210.006	224.420	434.426	3.755	3.882	7.637	55.9	57.7	56.8
— 25 — 30	180.772	184.603	365.375	2.980	3.628	6.608	60.7	50.9	53.8
— 30 — 35	224.737	270.793	495.530	10.281	10.580	20.861	23.8	25.6	23.7
— 35 — 40	138.448	143.767	282.215	5.352	5.033	10.385	25.8	28.6	27.1
— 40 — 45	131.300	132.777	264.077	5.708	5.309	11.017	23.0	25.0	23.9
— 45 — 50	116.232	116.742	232.974	6.184	6.084	12.268	18.8	19.1	18.9
— 50 — 60	189.031	187.503	376.534	13.237	12.151	25.388	14.3	15.4	14.8
— 60 — 100	83.355	81.914	165.269	10.546	9.482	20.028	7.9	8.6	8.2
przeszło 100	146	80	226	52	68	120	2.9	1.2	1.9
Ogółem. .	2.341.832	2.448.229	4.790.061	116.172	110.638	226.810	20.1	22.1	21.1



NOTA. Liczby w danym wieku odejście zostały pomnożone liniami wiatraczającymi lata wieku, samost na linjach takomych.

Z wykazu tego widzimy, że śmiertelność idzie równo ze stanem sił człowieka: w wieku dzieciennym do lat 12 umiera 1 z 14, dalej coraz mniej umiera; w wieku od lat 20 do 30, w punkcie zupełnego rozwinięcia i największej mocy sił człowieka jest minimum śmiertelności, bo umiera 1 z 56; potem w miarę słabienia sił i śmiertelność stopniowo się powiększa, a w wieku od lat 60 do 100, zabiera jednego z ośmiu. Wszakże tabella średniej długości życia w kilku miejscach inne przedstawi nam rezultaty.

Pod względem śmiertelności w różnych epokach życia, znajdujemy wielkie różnice za zmianą miejsc. Tabela śmiertelności królestwa Polskiego w ogóle, oddzielnie miasta Warszawy, nadto Holandyi, miast Wrocławia, Berlina, Wiednia i Paryża, wielkie przedstawiają różnice. Są one ułożone w ten sposób, że ludność w wieku od 0 do skończonego pierwszego roku życia, uważana jest w nich za 1,000, a liczby następnych lat wykazują, wiele z tego tysiąca na rok dany pozostało się osób.

Zamiast przedstawienia ich, liczby niemi objęte przenosimy na figurę; co nam jeszcze wyraźniej rzecz przedstawi. Otrzymamy ztąd dla każdego kraju i miasta oddzielną linię. Układ figury tej jest taki sam, jak i tabell powyżej podanych śmiertelności i stanu atmosfery: odległości linii poziomych od pierwszej linii pionowej, oznaczają lata życia; odległości zaś linii pionowych od głównej linii poziomej, oznaczają liczbę osób żyjących. Tak na przykład, aby znaleźć liczbę osób żyjących w pięćdziesiątym roku, biore linię pionową, odpowiadającą podziałowi oznaczonemu nr. 50, na tej linii znajduję różne punkta odpowiadające liczbom zamieszczonym przy pierwszej linii pionowej, i na zasadzie tego powiadam: że osób liczących 50 lat życia znajduje się:

w Paryżu . . . . .	402
„ Holandyi . . . . .	370
„ Król. Polskiem . . . . .	325
„ Wrocławiu . . . . .	275
„ Warszawie . . . . .	200
„ Berlinie . . . . .	162
„ Wiedniu . . . . .	153

Znając użycie tej tabelli patrzmy, jakie ona przedstawia stosunki śmiertelności w różnych miejscach. Odległości linii wyrażających te stosunki są bardzo wielkie. Z tysiąca urodzonych w Holandyi znajdujemy w dziesiątym roku 646, wtenczas, kiedy w Wiedniu jest ich zaledwie 331. Jak to wielka jest śmiertelność dzieci w tém

ostatniem mieście! Podobnie i co do innych lat widzimy, że Wiedeń stoi najniżej, bo gdy najwięcej utracą dzieci, już nie może zrównać innym miejscom w ogólnej liczbie osób żyjących w dalszym wieku.

Dla królestwa Polskiego tabella ta jest dosyć pocieszająca; śmiertelność całego kraju nie jest bardzo znaczna. Warszawa wprawdzie większe przedstawia stosunki, lecz zawsze mniejsze niż w Berlinie i Wiedniu. Przyniesione więc powyżej prawo, że śmiertelność miast przy innych okolicznościach idzie w stosunku nagromadzenia się w nich ludności, i tu znowu się stwierdza.

Uważając ogólną liczbę umierających mężczyzn i kobiet, spostrzegamy, że więcej umiera pierwszych aniżeli drugich, tak, że na tysiącu zmarłych, wypada mężczyzn 512, kobiet 488; w tym samym stosunku jak i urodzenia. A więc przebieg życia mężczyzn jest szybszy niż kobiet: więcej się ich rodzi, więcej też umiera, tak, że u nas wszędzie i zawsze całkowita ich liczba jest mniejsza niż kobiet. Tylko wiek od lat 17 do 35 i wyżej nad lat 100, jest dla kobiet niekorzystny; więcej ich w tych peryodach życia umiera aniżeli mężczyzn. Bo też w pierwszym z nich narażone są one na ciężkie cierpienia, które liczbę śmiertelności znacznie podwyższają; ludzkość za nowo przybyłego utracą nieraz tę, co mu dała życie.

Wszakże stosunki liczby umierających do liczby odpowiedniej ludności wszędzie wypadają na korzyść kobiet, z wyłączeniem tylko jednego peryodu od 25 do 30 lat; w tym bowiem umiera jeden mężczyzna na 60,7 mężczyzn, a jedna kobieta na 50,9 kobiet.

Te prawa śmiertelności mężczyzn i kobiet niezupełnie zgadzają się z wypadkami przez p. Quetelet podanemi, które powyżej zamieściliśmy.

(Dalszy ciąg nastąpi).





# EMERYT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

*Józefa Kozłowski.*

---

(Ciąg dalszy) (\*).

## VI.

Jestto niemały przywilej pisarza powieści, że współnikiem jego w pracy opowiadania i opisów, jest nie oko czytelnika, ale jego imaginacya; że zatem może polegać na jój sile i dzielności, i być pewnym, że ona mu daleko lepiej usłuży, niżby to zrobiły słowa i obrazy przez niego skreślone.

Powodowani tém przekonaniem i spodziewając się, że przez te drzwi, któreśmy na końcu poprzedzającego rozdziału otwarte zostawili, imaginacya czytelników naszych wprowadziła już do salonu p. Winickiej tę panią, której wejścia p. Roman z natężeniem oczekiwał, że ją zatem wyobrazila im daleko lepiej, niżbyśmy tego dokazać mogli naszym nieudolnym piórem; opisywać tu nie będziemy ani jój samej, ani sposobu jakim weszła i jak się p. Romanowi wydała; ale powiemy kilka słów o jój rodzinnych stosunkach z panią Winicką, i o jój położeniu towarzyskiem na wielkim ukraińskim świecie.

Krystyna Rożewska, z domu Winicka, była stryjeczną wnuczką męża zacnej staruszki, do której teraz przybyła. Rozwódka od lat trzech, młoda, bogata, pełna wdzięków i rozumu, przytém niesłychanie żywa, mówiąca wszystko wszystkim w oczy, jak gdyby głośno myślała, była przedmiotem zabiegów licznych konkurentów, których wodziła zgrabnie, przywabiała i kokietowała, póki nie przyszło do

(\*) Zob. Bibl. Warsz. rok 1849 m. luty, str. 330, marzec, str. 569, i kwiecień, str. 132.

oświadczenia. Przy tym stanowczym momencie zmieniała ton i postać; przybierała jakąś komiczną powagę, puszyła swoje małą figurkę, recytowała każdemu całe jego *curriculum vitae*, wykladała przed oczy wszystkie jego zdrożności i wady, i dowiódłszy, że nie może być ani dobrym mężem, ani przykładnym ojcem rodziny, że nie ma dla niej najmniejszego przywiązania, że zatem chce się żenić sam nie wie dlaczego, odprawiała go z kwitkiem.

Skonfundowany kawaler odchodził, ten z gniewem, sarkaniem i obrazą, inny ze śmiechem, i przebacząc rozumowi i wdziękowi swawolę i jakby zuchwałość. Ale że wieś pani Rożewskiej była ogromna, dom jej pełen najwytworniejszych elegancji, doskonałe konie, piękne ekwipáže; że wszystko co ją otaczało było ładne i pełne gustu, a obyczaje jej, mimo swobody, pozorniej zalotności i mnóstwa pokus, które ją otaczały, niczem nieposzlakowane: nie zrażali się konkurencji losem swoich poprzedników, i gdy jeden z nich odważywszy się na formalne oświadczenie dostał odprawę, miejsce jego natychmiast zastępował inny.

Ze wszystkich krewnych męża, ją jedną p. Winicka lubiła: raz dla powabów i żywości umysłu, a także dlatego, że Krystyna sama przez się bogata, do majątku swojego stryjecznego dziadka, który p. Winicka swoim krewnym przeznaczyła, żadnej nie rościła pretensji. Była więc zawsze kontenta, ile razy młoda kobieta, którą swawolną rusalką nazywała, kilka dni u niej gościła, przewracając cały dom do góry nogami, psując wszelki porządek i śniadania i obiady, zaglądając do każdego kąta, krytykując wszystkie staroświeczyzny, i prosząc nadewszystko babuni, aby jej nie swatała i nie wydawała za męża, gdyż w takim razie zaskarży testament swojego dziadka i wytoczy jej ogromny proces.

Śmiała się staruszka i ścisnęła swawolnicę; nie przestawała jednak tajemnie nasyłać jej konkurentów i zogródka perswadować, aby już raz zaprzestała tego życia, które może jej reputacją na szwank narazić.

— Niechże mi się który podoba — odpowiadała Krystyna — to ja się sama wydam i pierwsza mu powiem: podaj mi pan rękę; zrób mi pan tę przyjemność i połatyguj się ze mną do ołtarza. Ale cóż, kiedy oni wszyscy do pana Rożewskiego podobni. Takie same gospodarskie spojrzenie, taki sam, jakby hreczany uśmiech bez smaku i sensu, takie same wąsy i obcasy, taka sama antypka z ogromnym bursztynem, który im zapycha gęby, że nie mają czasu rozumnego

słowa powiedzieć. A nadewszystko jedzą strasznie wiele, tak jak p. Rożewski, *et cela me deguâte.*

Na początku lata p. Rożewska wyjechała do Odessy i tam do tój pory bawiła. Staruszka zajęta silnie układaniem partyi dla swego siostrzeńca z pomiędzy tych, które się same nastęrczały, zapomniała jakoś o nieobecnej. Nie dziw więc, że z pewnym rodzajem wyrzutu wykrzyknęła, że jój wyszło z myśli stworzenie tak miłe, tak oryginalne i tём hardziej podniecające działalność jój ducha, że je trudno było uchodzić i do jakiegoś postanowienia skłonić.

Niewielki to był pokój, w którym pani Winicka na krześle swoim siedziała. I tą razą więc p. Roman nie mógł się przypatrzeć wchodzącej, gdyż prawie jednym skokiem przemknęła się ode drzwi do krzesła staruszki, której rękę serdecznie ucałowała.

— Jak się masz moja droga rusalko!—rzekła pani Winicka i podniosła ręce obejmując jój głowę.

— Aj! babuniu! mój kapelusz!—krzyknęła Krystyna odskakując na bok—panna Landeau zemdlałaby, gdyby obaczyła, że jój arcydzieło tak się gniece.—W rzeczy samój kapelusik był biały, materalny, świeży, foremny, pełen gustu, chociaż zakrywał twarz Krystyny przed p. Romanem, który stał z boku.

— To zdejmże go—rzekła staruszka.—Tak dawno cię nie widziałam, że cię muszę ucałować!

— Widzisz babuniu, jak to dobrze rzadko się pokazywać! Zaraz rusalka staje się miłszą i droższą.

To mówiąc, ruchliwa i pełna zgrabności kobieta małą rączką, obciśniętą paliową rękawiczką, odpinała haftkę przytrzymującą kapelusz, i z figlami i grymasikiem do twarzy zdejmowała go, jakby wytrząsając z niego swoje główkę. Potém obróciła się raptem patrząc, gdzieby go położyć. I właśnie gdy p. Roman przysuwał się, chcąc go wziąć z jój rąk, rzuciła kapelusz na blizką kanapę, tak, że przeleciał mimo twarzy p. Romana, że go zaszyły wonie, jakimi był przejęty, że wstążeczka jego musnęła prawie po jego ustach. P. Roman cofnął się zmieszany, a Krystyna postrzegłszy to, uśmiechnęła się i zawołała:— Ach! przepraszam pana.— Potém przyklękawszy przy nogach staruszki i oparłszy się na jój kolanach, rzekła:

— Teraz babuniu całuj ile zechcesz, i napięć się ze mną do woli.

Staruszka z widoczném ukontentowaniem pogładziła jój czoło, i pocałowała ją kilka razy w głowę; a potém objawszy rękami jój ładną twarzyczkę, i patrząc jój w oczy, rzekła:

— Zkądże wracasz teraz swawolnico?

— Prościuteńko z samego dna Czarnego morza, moja babciu! gdzie mam śliczny ogródek z samych koralii.

— Dobrze wyglądasz!

— Nieprawdaz? Odmłodniałam, wyprzystojniałam trochę, i jestem teraz jakoby do ludzi podobna. A w zimie źle bardzo wyglądałam, i już mię rozpacz brała, że mię wszyscy konkurenci odstąpią.

— A maszże ich wielu?— zapytała p. Winicka spojrzawszy na p. Romana, który się zapatrzył na klęczącą, na jój ciemny i duży warkocz, na jój lśniące włosy, które obejmowały białe czoło, na jój figurkę drobną, wciętą i cudnie rysującą się w błękitnym atlasowym szlafrocuku.

— Teraz?— odpowiedziała Krystyna przysiadając na nogach. — Poczekaj babuniu, niech porachuję — i przechyliwszy główkę niby w zamyśleniu, i przymrużając cokolwiek ciemne, piwne, ale iskrzące oczy, zaczęła liczyć na palcach lewój ręki paluszką prawój. Staruszka się uśmiechała, a p. Roman przypatrywał się. Po chwili Krystyna podnosząc głowę, dodała: — Teraz moja droga babciu jest tylko trzech. A ten pan — rzekła ukazując na p. Romana — będzie naturalnie czwartym.

P. Roman osłupiał i zupełnie nie wiedział co powiedzieć. P. Winicka parsknęła ze śmiechu widząc i figlarną minę Krystyny, patrzącej śmiało na zmieszanego młodzieńca, i jego ambaras i zadziwienie. Po chwili, uradowana widać, że rzeczy odrazu taki obrot biorą, pocałowała Krystynę w czoło i rzekła:

— Chodź tu, chodź Romanie! bardzo będę rada, jeżeli się bliżej poznacie. Mój siostrzeniec, Krzysiu! Roman Wyżopolski — do dała rekomendując.

P. Roman uklonił się, a Krystyna powstawszy, rzekła:

— Więcto to jest ów fenomen młodzieży warszawskiej, o którym babunia na cztery końce świata rozpisałaś tyle cudów — hm! hm! hm! — mówiła kiwając głową, a potem przystąpiwszy parę kroków i kłaniając się zgrabnie dodała: — *Votre servante, Monsieur!* Krystyna Rożewska, z domu Winicka; rozwódka od lat trzech po panu Klemensie Rożewskim; trochę wdzięków, jak pan widzisz, trochę rozumu, jak pan to obaczysz później, dużo kaprysów, uległości żadnej, ale serce niezłe. Przytém dwudziesty czwarty rok i czterdzieści tysięcy intraty. Nim panu zawróci się głowa, bo o sercu w tym wieku postępu niema co z panami gadać, podaj mi pan tu krzesło, weź sobie drugie, usiądźmy i poznajmy się bliżej.

Gdy się stało, jak chciała, gdy pani Winicka z ukontentowaniem słuchała téj oryginalnej rekomendacji, a p. Roman, przyszedłszy już do siebie, poglądał na nią z uśmiechem i czekał, co dalej powie; Krystyna posiedziawszy tak przez chwilę i znudzona widąc milczeniem p. Romana, obróciła się raptem do staruszki i zapytała:

— Babuniu! czy ten pan umie mówić?

— Ale umie, swywolnico, umie — odpowiedziała pani Winicka. — I nie dziwię się, że teraz milczy i nie może jeszcze zebrać się z myślami. Upadłaś przed nim raptem, jak fajerwerk różnokolorowy. Ja sama, co cię znam dobrze i przywykłam do twojej oryginalności, nie wiem co ci powiedzieć. Wchodzę więc bardzo w położenie Romana, i widzę to, jak mu trudno zawiązać z tobą rozmowę.

— A! rozumiem — rzekła Krystyna — ten pan szuka w myśli pierwszego słowa; prawda, to czasem trudno. Poczekaj babuniu, ja mu to ułatwię. — Potém obracając się do p. Romana, zapytała: — Proszę pana, co téż pan sądzisz o klimacie Pobereża?

Pan Roman zaczerwienił się, jak gdyby się obraził tym niespodziewanym zwrotem śmiałej kobiety; rzekł jednak po chwili z uśmiechem:

— Wolalbym, żebyś mnie pani zapytała, co sądzę o pani.

— Jakto? tak prędko mógłbyś pan uformować sobie o mnie pewne zdanie? — odpowiedziała, rumieniąc się lekko.

— Czemuż nie? — rzekł p. Roman — daleko pewniejsze, niżby było zdanie pani o mnie.

— Dlaczegożto proszę pana? — zapytała prędko, przechylając głowę i patrząc mu w oczy.

— Mam tę wyższość nad panią — odpowiedział pan Roman — zem milczał, a pani mówiłaś. O milczącym można sądzić dwojako, i trudno co pewnego wyrzec. Kto zaś mówi, wydaje się; a do tego, gdy kto tak głośno myśli, jak pani, i opisuje siebie tak szczerze i otwarcie, o tym nietrudno uformować sobie zdanie bardzo blizkie prawdy.

— Czy wiesz babuniu! — zawołała Krystyna — że to, co ten pan powiedział, podoba mi się i trafia do mego przekonania. Powie mi pan teraz — dodała zwracając się do p. Romana — co o mnie sądzisz?

Młody człowiek spojrział na nią seryo, bo mu w téj chwili ni ztąd ni zowąd przyszedł na myśl ogród Krasińskich, i rzekł:

— Pozwól mi pani odłożyć odpowiedź na to pytanie do dalszego czasu; to jest do téj chwili, gdy i pani poznawszy lepiej trochę mnie, będziesz mi się mogła wzajemnością wypłacić.

— Rozumiem — rzekła Krystyna patrząc mu bystro w oczy — pan sądzisz, że ja oczekuję komplementu, i chcesz go unikać.

— To być bardzo może — odpowiedział p. Roman; a czując, że tak długo dowcipować niepodobna, ukłonił się i wyszedł.

Staruszka rada była w duszy, że się jój siostrzeniec nie dał po bić; bała się wszakże, żeby się Krystyna nie obraziła i nie zepsuła tego planu, jaki się już snuł po jój głowie.

Ale obawy jój były niestuszne. Znalezienie się p. Romana zupełnie przeciwny sprawiło skutek. Krystyna, przywykła swoją śmiałością, swemi żarcikami, zagadywaniem zniecka i czasem dowcipnym, mieszać i zbijać z konceptu mężczyzn, którzy zajęci byli czy jój powabami, czy jój majątkiem; zdziwiła się, natrafiwszy na młodego człowieka, który przy piérwszój znajomości dał jój uczuć, że trochę za śmiała, zanadto szczerą i zanadto pewną siebie. Ten brak nadskakiwania i zwyczajnej uległości w mężczyźnie, który kwalifikował się na konkurenta, o którym pewna była, że stanie w ich rzedzie, zainteresował ją, a powierzchowność jego, ułożenie i wyraz twarzy przystojnej i miłej, podobały się. Gdy więc pan Roman wyszedł, patrzyła za nim długo, i potém zwracając się do pani Winickiej, zapytując ją nieśmiało: jak się jój młody człowiek podoba, rzekła:

— Niepodobny wcale do pana Rożewskiego.

Ucieszyła ta odpowiedź ciotkę; ośmielona więc uwagą i milczeniem Krystyny, mówiła jój obszernie o przymiotach serca i umysłu pana Romana, o jego sądzie zdrowym i bezstronnym o wszystkich osobach, które się jakby same nastęrczały, o jego ułożeniu pełnym delikatności i dobrego wychowania; nakoniec, jakby zniecka, o jego wieku, o przystojnej postawie, uprzejmém wejrzeniu i pięknym uśmiechu, co mu rzeczywiście dodawało wielkiego powabu. Ale gdy pani Winicka zbyt się zapędziła w pochwałach powierzchownych zalet swojego faworyta, Krystyna, która z początku słuchała pilnie, wróciła nagle do swojej figlarnój minki, i z uśmiechem ironicznym zaczęła niby potakiwać i potwierdzać jój słowa. Postrzegła się staruszka i umilkła. Wtenczas Krystyna nadawszy swojej twarzy wyraz niezmiernie seryo, rzekła:

— Bardzo żałuję, moja droga babciu, że ci będę musiała zrobić przykrość; ale z tego wszystkiego, co mówisz, widzę, że mi przyjdzie wziąć się do prawa, zaskarżyć testament mojego dziadka, i pójść choćby do senatu, jeżeli tu przegram.

— Zkądże ci to przyszło do głowy? — zapytała zmieszana cokolwiek pani Winicka, zapomniawszy w téj chwili o dawniejszych groźbach młodej kobiety.

— Zkąd? ztąd moja babciu, że kobiéta z charakterem powinna dotrzymać, co raz powie.

— Tyle paplesz nie do rzeczy— rzekła staruszka pół żartem, pół seryo — że gdybyś chciała dotrzymać wszystko to, co ci się wyrwie przez swawolę, to nie wiem, czyby ci sił stało.

— Otóż na to stanie, obaczysz moja babciu! choćbym się miała na proces ten zupełnie zrujnować. Bo to nie jest wcale swawola, ani żart, ale rzecz niezmiernie ważna. Z tych pochwał, które dajesz p. Romanowi widzę dobrze, że chcesz mnie wyswatać. A ja ci zapowiedziałam, że jeżeli ci to kiedykolwiek przyjdzie do głowy.....

— A, a, czyto to?—przerwała uśmiechając się pani Winicka. Zapomniałam o téj groźbie twojej.— A potem, niby odwracając rzecz, której tak mocno pragnęła, dodała zniechcenia:—jednak wiesz moja Krzysiu! zdawało mi się, że głębiej rzeczy bierzesz. Ale jak widzę, tą razą próżność odjęła ci właściwą tobie przenikliwość.

— A to jak?—zapytała Krystyna niespodzianie zagadniona, i założywszy ręce, stanęła przed babką, czekając co powie.

— Cóż naturalniejszego — odpowiedziała poważnie p. Winicka — jak mówić dobrze o tym, kogo się kocha, przed osobą także miłą i która nie zna tego, o kim się mówi. Gdybym cię mniej ceniła, nie rzekłabym o nim przed tobą ani słowa. Ale że i ciebie kocham i jego kocham, i chciałabym abyście byli dobrimi znajomemi i przyjaciółmi, mówiłam ci o jego przymiotach, o jego rozsądku, o jego wychowaniu i delikatności, abyś powzięła dla niego szacunek, na jaki zasługuje; a ty wniosłaś zaraz, że mi co innego przyszło do głowy. Chyba, że ci się to wyrwało żartem.

— Być to bardzo może — rzekła Krystyna — zem się pospieszyła i jak zwykle głośno pomyślała. Ale powiedz mi babciu, dlaczego mówiłaś tak wiele o jego figurze, o jego miłym wejrzeniu i tak pięknym uśmiechu? Jużci gdyby był nie tak wcięty w pasie, gdyby mniej miło spozierał i nie tak bardzo ładnie uśmiechał się, mogłabym go dlatego szacować.

Pani Winicka po tych ostatnich słowach Krystyny podniosła na nią wzrok, i obaczywszy w jej twarzy i oczach coś takiego, co ją utwierdzało w powziętych myślach, zawołała wyciągając do niej ręce:

— Chodź tu, choć, moja ty śliczna filutko! niech cię najprzód uściskam, a potem ruszaj sobie i poztywaj mię.

— A widzisz babciu, zem cię złapała na u zynku — odpowiedziała śmiejąc się Krystyna, i ukląwszy znowu przed nią, pozwoliła się ścisnąć i pieścić.

Gdy podano herbatę, Krystyna poglądała co moment ku drzwiom, wyglądając zapewne p. Romana. Pani Winicka także się dziwiła, że nie przychodził, ale nie chcąc pokazać, żeby rada była widzieć ich razem, nie zrobiła żadnej o nim wzmianki. Obie więc rozmawiały o sąsiadach, o sąsiadkach, o Odessie; a nareszcie gdy nie stało materji i każdy przedmiot rozmowy prędko się urywał, zaczęły mówić o gospodarstwie. Zbliżyła się tym sposobem i godzina dziesiąta, o której zwykle p. Winicka szła na spoczynek. Niespokojna wszakże, co się z siostrzeńcem dzieje, zapytała służącego. Odpowiedział jej, że p. Roman dawno już wyjechał konno i dotąd nie wrócił. Spojrzała p. Winicka na Krystynę i postrzegła na jej twarzy lekki rumieniec, i minę niby gniewu, niby nadąsania się na ustach, co ją mocno ucieszyło. Nie pokazawszy jednak nic po sobie, zaprowadziła ją do jej pokoju i oddały sobie dobranoc. Okno tego pokoju wychodziło na dziedziniec. Że noc była pogodna, widna i ciepła, zostało otwarte, i długo w niem widać było piękną główkę z rozpuszczonemi włosami, na śnieżnej ręce opartą. Koło północy już dał się słyszeć na dziedzińcu tętent galopującego konia. Główka wychyliła się, białe rączki ściągnęły chustkę na obnażonej szyi, a gdy twarz jeźdźca zwróciła się ku temu oknu, i koń jego jak wryty stanął, główka i rączki znikły, i okno się zamknęło.

Okolo godziny dziewiątej rano zwykle w domu pani Winickiej wszyscy zbierali się na kawę. Przyszła staruszka, przyszedł i p. Roman skromnie, po rannemu, ale bardzo starannie ubrany. Krystyny jeszcze nie było.

— Ta rozkosznisia — rzekła gospodyni poglądając z nienacka na siostrzeńca — musi się jeszcze wysypiać. — Pójdź, daj znać p. Rożewskiej, że ją czekamy z kawą — dodała obracając się do lokaja.

— Pani Rożewska — odpowiedział tenże — jeszcze przed siódmą wyjechała. — Spojrzeli po sobie oboje, i znowu na twarzy siostrzeńca, z wielkiem ukontentowaniem ciotki, pokazał się rumieniec i usta jego, jakby od nieukontentowania zacisnęły się.

— Po modnemu i bez pożegnania wymknęła się — rzekła po chwili p. Winicka. Właściwie pożegnanie było, ale na piśmie. Inny służący przyniósł bilecik zostawiony przez Krystynę, w którym były te słowa: „Przypomniałam sobie ważny interes, moja droga babciu, który mię powołuje do Braclawia. Mam termin dziś, i dlatego musiałam tak rano wyjechać, aby stanąć na godzinę. Przepraszam cię droga babciu; całuję twoje rączki i polecam się twojej pamięci”.

Pani Winicka czytała to głośno i pomyślała sobie: kłamie filutka. Pan Roman słuchał, to samo pomyślał i uśmiechnął się. Czy



był kontent, czy inay miał powód, to zostawiamy domysłom czytelników.

Takim sposobem zawiązała się znajomość tych dwojga ludzi. Zaczęli od robienia sobie na złość, a zatem postawili się w konieczności myśleć o sobie i nawzajem się sobą zajmować.

21go sierpnia w dzień ś. Jobanny Fremiot, bywał corocznie bal o trzy mile od pani Winickiej, u pani marszałkowej Osinowskiej. Była kobieta już niemłoda, niegdyś piękna i zalotna; lubiła wszelkiego rodzaju ostentacją, i dozywając wesoło i pokaznie ostatki lat i ostatki fortuny, miała dom otwarty i zgromadzała u siebie wszystkich, co do jakiegokolwiek dystynkcyi bądź z rozumu, bądź z urodzenia, bądź z majątku mieli prawo. Pan Osinowski właściwie był, alè nikt o nim nie mówił, i jeżeli mu się kto zarekomendował, to z łaski i osobliwej grzeczności. Należał on do liczby tych cichych i wygodnych mężów, co nie stukają i nie gniotą jak pantofle, służą czasem do domowego użycia, ale mając raz naznaczony sobie kącik, nie nastawiają się obcym, i nie mają pretensyi do celowania glansem i formą. W czasie wizyt i zgromadzeń, pan Osinowski bywał na sali, ale nikt się nim nie zajmował, nikt do niego nie zwracał mowy; on téż ze swojej strony nikomu się nie uprzykrzał i nikogo nie zaczepiał. Czasem tylko, gdy widział, że który z gości, poważniejszy wiekiem, ale niższy od innych znaczeniem i majątkiem, stoi za plecami bogatszej młodzieży, która naturalnie tyłem się do niego obraca, podchodził do nudzącego się i upokorzonego biedaka, i dla pocieszenia go i zrównoważenia z innymi gośćmi, częstował go tabaką. Dom państwa Osinowskich był duży, murowany, świeżych i okazałych form, z gankiem o sześciu koniecznych kolumnach, jakiemi ozdobione są prawie wszystkie zamożniejsze mieszkania w tym kraju bogatym i nowym, w którym dawniej były tylko folwarki panów, gdzieś daleko mieszkających, a dziś na ich miejscu stoją pałace lub pełne elegancyi i świeżości dwory dzisiejszych właścicieli. Ta namiętność do murów i kolumn, charakteryzuje Ukrainę i Pobereże. Wprawdzie majątki są wielkie, intratae, a możność stracenia proporcjonalnie mniejsza niż gdzieindziej, bo wszystkiego do życia Bóg dał więcej niż trzeba; przecież długi niejednego pana zaczęły się od kolumn jego murowanego domu, i poszły dalej i dalej postępem rosnącym, którego ostatni wyraz równa się liczbie dusz męskich całego majątku, pomnożonej przez 75 do 80 dukatów. Blizkiemi téj cyfry widzieli się i państwo Osinowscy; że zaś byli bezdzietni, nie troszczyli się o to, i sala ich obszerna i mozaikowana, była często pełna gości, a dziedziniec duży, mający na środku

wielkie koło murawy, ogrodzone ośmiogrannymi słupkami, połączonymi grubą liną wysmarowaną smołą i reprezentującą łańcuch, zryty był i skopany kołami powozów i kopytami koni.

Bal na wsi zaczyna się zwykle od obiadu, na który zjeżdżają się najbliżsi i najpoufalsi, i którego termin przesuwa się z góry na dół, od godziny drugiej do czwartej, piątej i szóstej, w miarę rosnącej pretensji gospodarza do lepszego urodzenia i wyższego tonu. Zdarza się nawet, że krótka przejażdżka za granicę, lub wejście do rodziny utytułowanej synowej lub zięcia, który był w Paryżu, przerzuca raptem obiad z godziny pierwszej na czwartą, z wielkiem zgorszeniem dawniej klucznicy i codziennymi kłótwami starego kredencera, co niegdyś ułatwiwszy się wcześniej, i pozamykawszy wszystkie szafy, lub grał sobie swobodnie w maryasza, lub drzymał gdzie w kącie aż do wieczora. Państwo Osinowscy jadaliby także o godzinie 5tej, bo choć nie mieli synowej hrabianki, ani zięcia, który pływał po jeziorze Genewskiém, ale przyjmowali u siebie kilku grafów, jedną księżną i mieli wielkie długi. Na tym obiedzie było kilka dam z pannami, które wszystkie miały jeszcze przemieniać toaletę, aby ubrawszy się na miejscu, świeżej wyglądać, niż te, któreby już ubrane przybyły, a zatem zakassować strojem sąsiadki i przyjaciółki. Ale szczególnie było wielu młodych mężczyzn. Mężczyźni zjechali się wcześniej wcale nie dla tej przyczyny, co damy. Jużto teraz nie ten wiek, aby im szło o świeżość i elegancją stroju. Ponieważ jeszcze nie dopełniły się czasy fraka i przyzwoitość koniecznie go wymagała, przyjeżdżają we frakach; woleliby wszakże przynajmniej wygodne surduty, tak znajdują wszelkie żenowanie się przeciwném szczęściu ludzkości. Liczne ich zjechanie na obiad poprzedzający bal dzisiejszy, miało daleko ważniejsze powody: myśli i pojęcia o postępie rodzaju ludzkiego pleśnieją w domu, ale przy dobrym obiedzie, zwłaszcza pani Osinowskiej, której kucharz był doskonały, i która w miarę rosnących swych długów lubiła nastawiać ucha na rozmowy demokratyczne, wchodził zapal do serca, poświęcenie wylewało się z ust obrośniętych wąsami i brodami, grzmiąły głosy energiczne, pełne niezbitych rozumowań i niesłychanej pogardy dla wszelkiej arystokracji, wszelkiego samolubstwa i wynoszenia się nad ludzi. Główny zaś powód był ten, że znajdowało się w okolicy dwóch młodych arystokratów, z których każdy miał przeszło po sto tysięcy intraty, którzy unikali domów młodych właścicieli i zgromadzeń kawalerskich, i których spodziewali się u pani Osinowskiej zastać, do zielonego stołu zaciągnąć i znacznie poddemokratyzować.

W takimto domu i wśród takiej kompanii znalazł się tego dnia i p. Roman. Pani Winicka czując się niezdrową, sama przybyć nie mogła; za to siostrzeńca swego tém wcześniej wyprawiła, aby ją przed sąsiadką i przyjaciółką wytłumaczył. P. Roman niebardzo się zdragał, i chętnie rozkaz ciotki wykonał: raz, że ciekawy był tak wielkiego zebrania na Ukrainie, a potem, że mimo wspomnień Śto-Jerskiej ulicy i modlitwy porannej, którą właśnie dziś na swojej książeczce odczytał i nieraz westchnął, spodziewał się spotkać z p. Rożewską, o której, dwa tygodnie przeszło nie słyszał, a której oryginalna i śliczna postać chodziła mu po głowie, pukała czasem drobną rączką do jego piersi i parę razy nawet zbudziła go ze snu.

Przy hucznym obiedzie p. Roman niewiele się odzywał. Nie lubił on oddawna tego pałaszowania językiem, nie wierzył w tę gotowość do ofiar; i słuchając kilku ultra-demokratów, którzy wybierając z podawanego im półmiska same piersi i skrzydła kapłona, piorunowali na arystokracją i egoizm, pomyślał sobie: to zupełnie tak, jak i u nas w Gostyńskim, jak w Kujawach, jak przy granicy Szlązka, jak nad Bugiem i Wieprzem. Oprócz tego, p. Roman i nie miał czasu przysłuchać się tym rozmowom. Sąsiadka, przy której siedział, miała córkę niebrzydką wprawdzie, ale niezbyt posażną. Korzystając z chwili, rada była złowić dla swojej jedynaczki młodego człowieka, którego powierzchowność, skromność i ukształcenie, zwłaszcza przy pewności sukcesyi po ciotce, nadzwyczajnie ją ujęły. Najlepszy na to sposób był postawić córkę w główném świetle, wszystkie zaś inne panny, wdówki i rozwódki, zasunąć trochę w cień, złożony z plamek, niechęcy, misternie i po chrześcijańsku rzuconych.

Nie będziemy tu przechodzić całego szeregu tych miłosiernych uwag, tego kursu anatomii sąsiedzkiej, z któregooby się czytelnicy niewiele nauczyli, gdyż sąsiadka p. Romana dyssekowała osoby zupełnie nam obce. Sam p. Roman słuchał jęj z unudzeniem, póki kolej nie przyszła na p. Rożewską. Tu już nadstawił ucha, a czy umyślnie, czy mimowolnie pochwaliwszy swoją kuzynkę, dołał oliwy do lampy, która mocniejszym zagorzała płomieniem i żywiej najtajemniejsze skazy jęj ciała i obyczajów oświeciła.

— Więc pan ją znajdujesz ładną?— rzekła pani marszałkowa Z\*, gdyż tam wszystkie panie wyższego towarzystwa są marszałkowe.

— Znajduję ją żywą, powabną, dowcipną i bardzo interesującą — odpowiedział p. Roman.

— To mię dziwi doprawdy. Chyba żeś pan nie miał czasu przypatrzeć się— odpowiedziała żywiej.— Oko jedno większe niż dru-

gie, usta zawsze spierzchłe, zęby nierówne, czoło zanizkie, jedna łopaska wyższa, choć tego pod silnym gorsetem nie widać. Tyle tylko, że żywa, fertyczna, ruchliwa, tak, że nie można się jój dobrze przypatrzeć, bo coraz to z innój strony twarz i postać swoją pokazuje. Robi to umyślnie, bo zna swoje wady i nie daje czasu postrzegaczowi do zastanowienia się nad czémkolwiek.

— Przyznøm się pani — rzekł uśmiechając się p. Roman — że ta żywość wydała mi się bardzo naturalną i nie mającą tych celów, o których pani wspominasz.

— Sztuka, sztuka, panie kochany, do najwyższego stopnia pounięta — odpowiedziała marszałkowa Z\* — Pomów pan o tém z Władziem, to on panu lepiej to wszystko opisze.

— Któż jest ten Władzio? — zapytał p. Roman.

— Ten oto na prawo wysoki mężczyzna z wielkimi wąsami i brodą, co tam takim basem peroruje — odpowiedziała marszałkowa.

— Więc ten potężny Władzio zna ją tak zblizka? — rzekł p. Roman trochę ciszej i bez uśmiechu.

— Hm! — odpowiedziała, sznurując pobożnie usta — starał się o nią, jeździł za nią do Kijowa, i do Odessy; a wszyscy ci, co się o nią starali, poznawszy bliżej i rozpatrzywszy się jak to tam jest, zwiijają chorągiewkę i dają za wygraną.

— Bo im zapewne odmawia — rzekł p. Roman żywiej.

— Tak to oni mówią, przez delikatność — dodała marszałkowa. — Bo juźci byłaby to nieludzkosc kompromitować młodą kobietę, która i tak kompromituje się sama. To co mówię, niech będzie między nami, ale wierz mi pan, że tu przy tym stole jest takich pięciu, coby pana mogli w wielu rzeczach objaśnić.

— Przynajmniej dowcipu nikt jój nie ujmie — rzekł p. Roman.

— Śmiałości, to prawda — odpowiedziała marszałkowa. — Ale czy śmiałość jest przymiotem kobiety, która ma wnieść szczęście i pokój w dom męża?

Słowa te wymówiła głosem głębszym i przeniknionym; a po tém poglądając na córkę siedzącą naprzeciw, dodała: *Modestie! vous ne mangez pas, mon enfant.* Zwrot ten był wyrachowany. Chciała p. marszałkowa, aby w tym punkcie rozmowy, gdzie szło o wniesienie szczęścia i pokoju w dom męża, panienka podniosła na nich łagodne, błękitne oczy, i aby p. Roman przekonał się, jak dalece mogą one być tegoż szczęścia rękojmią. Ale p. Roman, któremu ta rozmowa wcale nie podobala się, nie patrzył na oczy panny Modesty. On zwrócił całą uwagę na owego Władzia z wąsami

i brodą, który jeszcze perorował, a którego mu marszałkowa jako żywą kronikę wszystkich wad i niedoskonałości p. Rozewskiej wskazała. Nie wierzył on wcale temu wszystkiemu, co marszałkowa mówiła; nie kochał p. Rozewskiej, bo p. Katarzyna z całym swoim powabem, z całym wyrazem pięknej swej twarzy, z całym oczarowaniem głębokiego przywiązania, które się w niej malowało, była w głębi jego serca; a jednak nie zwracał oka z owego oratora i zaraz po obiedzie postanowił z nim się poznać. Przesadzone jego wyobrażenia, niemające charakteru szczerego przekonania, nie obudzały w p. Romanie szacunku i życzliwości. Owszem, zarozumiałość, poleganie na sobie, wzgardliwe odzywianie się o wszystkich, co mieli w kraju jakąkolwiek wyższość czy przez urząd, czy przez obywatelskie usługi, czy przez zdolności umysłowe, mocno mu się nie podobały; a przecież coś go do niego ciągnęło, jakby tajemne przeczucie, że ten człowiek na los jego wpłynie. Tymczasem p. marszałkowa widząc, że p. Roman już jej nie słucha, i na Modestya nie patrzy, czując, że wszystko co mówiła padło jak groch na ścianę, wzięła potężny kawał indyka, położyła kilka łyżek doskonałej sałaty i zaczęła się tym sposobem pocieszać po stracie skutków swej wymowy. Jednej rzeczy p. marszałkowa nie wiedziała. Córka jej urodziła się d. 13 marca i właściwie nazywała się Katarzyną. Ale na nieszczęście tego samego dnia jest Stój Modesty. Matka więc, która w domu zowie ją zawsze Kasią, w wielkich kompaniach, a zwłaszcza przy mężczyznach, którzy mogą być konkurentami, nazywa ją dla lepszego efektu tém drugim imieniem, tłumacząc go zwykle francuzkim wyrazem: *Modestie*. Gdyby ją była poprostu nazwała Kasią, lub *Catherine*, imię to przypomniawszy p. Romanowi czarowne jego przechadzki po Warszawie, zwróciłoby pewnie jego uwagę na pannę, rzeczywiście niebrzydką, i której błękitne oczy były aż nadto godne widzenia. Lecz z okazji téj niefortunnej Modesty, wszystkie zabiegi dobrej matki spęzły na niczém. Takto u nas pretensya gubi wszystko.

Po obiedzie, nimby przyszła pora przebrania się do tańca, starsze damy zostały z gospodynią domu, oczekującą co moment nowo przybywających gości, młodsze poszły do ogrodu przejść się w towarzystwie poważniejszych mężczyzn i owych dwóch młodych arystokratów, którzy i tu pod robaczkim zrecznie ku nim rzuconym, postrzegli haczyk wędki i młodych unikali; młodzież zaś z fajkami i sigarami wyszła na dziedziniec, przelazła przez linę wysmarowaną smo-

łą i zgromadziła się na wielkiem kole murawy, o którym wspomnieliśmy wyżej. Tu dobrze było pogadać, bo i głos w interesie ludzkości podnoszony odbijając się o blizkie mury, wydawał się bardziej grzmiącym, a zatem niósł głębsze przekonanie, i ręce do giestykulacyi mającej popierać argumenta, miały więcej swobody, i przybywający coraz nowi goście z całym arystokratycznym wysileniem, jako na bal tak świetny, poddawali coraz nowy przedmiot do uwag, pełnych filantropii i dążeń, ogólnemu dobru braci-ludzi najbardziej odpowiadających. Nie będziemy rozmów tych powtarzać. Wiadomo, co się wówczas działo we wszystkich głowach na wszystkich końcach Europy, nim je ostatnie wypadki trochę wytrzeźwiły, nim ugruntowało się to przekonanie, że czasu gwałcić nie można, że na nic się nie zda uczyć go chodzić, kiedy on jeszcze chce pelzać; lub naodwrot kazać mu chodzić, kiedy mu już wyrosły skrzydła, które może rozwinąć i zaszumić niemi w powietrzu.

Wśród tej rezonującej kompanii znalazł się i p. Roman. Jeden ze znajomych poznał go z owym Władziem, do którego go jakaś fatalność ciągnęła. Mimo łatwości, z jaką się zwykle młodzież polska zapoznaje i zaprzyjaźnia, ci dwaj młodzi ludzie widocznie do siebie nie przystawali. Obojętną rozmowę niedługo prowadzili, i jakby wzajemnie od siebie odpychani, wkrótce się rozeszli, i ani jeden ani drugi nie miał już ochoty zbliżyć się i na poufalsze wynurzenie się ośmielić. Tymczasem rozmowa ogólna wrzała, spory coraz głośniejsze dawały się słyszeć, każdy dowodził swojego, nikt przeciwnika nie słuchał; słowem, było obraz owęj harmonii, jaką dają próby muzyki rógowej, gdzie wszyscy razem grają, ale każdy w swoje tylko dmie nutę.

Wtém zdaleka nadjeżdżająca karéta, przerwała ten socjalno-szlachecki hałas. Karéta była błękitna i konie siwe.

— To Rożewska—zawołał jeden. P. Roman obrócił się prędko, spojrział bystro na drogę, którą sunął się powóz, a potem na p. Władysława Iskryckiego, to jest na owego Władzia. Potężny Władzio stał spokojnie i gładził brodę, nie okazując bynajmniej ani ciekawości, ani niepokoju.

— Nie, to nie ona—rzekł drugi.

— Ja ci powiadam, że ona—mówił pierwszy.

— Zapytajcie się Władzia—zawołał inny, ze znaczącym uśmiechem.— On to musi najlepiej wiedzieć.

— Nie ona—rzekł stanowczo p. Władysław. P. Romanowi dziwnie nie podobała się ta pewność, którą jakby potwierdzał to, co

tylko-co z przycinkiem powiedziano. Zaczerwienił się sam nie wiedział dlaczego, zacisnął wargi i odszedł na bok. W rzeczy samej było zupełnie kto inny.

— Widzicie państwo — rzekł ów młody, co się do sądu p. Władysława odwoływał — ja wiedziałem, że Władzio ma wzrok najbystrzejszy z nas wszystkich.

— Ale czemuż to Rozewskiej do téj pory niema — zapytał inny.

— Jeszcze się nie doanieliła — odpowiedział miękkiem głosem bładny, z niewielką czarną bródką młodzieniec. — Nim wygrzebieni włosy, wygorsetuje kibić, wyatłasi się i wykoronkuje, na to potrzeba czasu.

— Masz racją wieszczu! — rzekł pierwszy. Ja się z tobą sprzeczać nie będę, bo ty duchem widzisz daleko i wysoko. Chyba, że ci Władzio zaprzeczy, bo daruj, on to lepiej wie, niż ty, dlaczego jęj do téj pory niema.

P. Władysław znowu nie zaprzeczał, tylko gładził spokojnie brodę; a ów młody wieszcz, zwolennik wielkiego poety, z którego poetycznych sposobów dostrzegł tylko ten, jakim on z rzeczowników formuje słowa, i w tym go jedynie naśladować umiał, dodał: — Zapewne, jeżeli Władzio zdanie swoje wygłosi, ja umilknę i mojego nie wylutnię.

P. Władysław z zimną krwią dohył zegarka, i rzekł:

— Przyjedzie za pół godziny.

— Obaczymy — zawołało kilku, i kilka rąk do zegarków sięgnęło. — Będzie to najlepszy dowód — rzekł pierwszy uśmiechając się. Czego to miał być dowód, co miał o tém wszystkiém myśleć p. Roman, sam nie wiedział. Czy to była fanfaronada ze strony p. Władysława, czy wiadomość ugruntowana na widzeniu się, na znowie, nie był już pewnym. Ale wspomnienie na słowa marszałkowej, stwierdzające się i opinią kolegów i miną samego p. Władysława, przykre uczucie, którego ztąd doznał, odmalowało się na jego twarzy; i gdy jeden z młodych przystąpił do niego i zapytał go, czy zna p. Rozewską?

— Nie znam jęj wcale — odpowiedział z niechęcią, umilkł, i opuściwszy kompanią, z którą nie mógł sympatyzować, poszedł do sali. Idąc jednak, mimowolnie spojrział na zegarek, a gdy minęło pół godziny, przybliżył się do okna, z którego widać było dziedziniec i podjazd. W kilka minut rozległo się klaskanie z bicza, i błękitna, elegancka karétką z pięcią dzielnymi siwoszami stanęła przed gankiem. P. Roman odwrócił się od okna, nie kontent z siebie i z otaczających go ludzi, schylił głowę ku ziemi, i w téjże samej chwili, gdy p. Rozewska wchodziła, gdy wszystkie oczy zwróciły się na młodą piękność,

jaśniejącą całym powabem młodości, wdzięków i stroju, nasz bohater pogrążony w myślach wywoływał miły obraz p. Katarzyny, ubierał ją w bogactwa swojej imaginacji, dodawał wyrazu jej oczom, słodczy jej uśmiechowi, rozkosznych form całej postaci, słuchał duszą rozmarzoną jej głosu, jakby echa z ojczyzny w kraju wygnania; słowem, pięknym tém widziadłem zastawiał się niejako jakby tarczą przeciw pokusie, której czuł bliskość, a na którą wzroku podnieść nie śmiał. Wszakże stan taki nie mógł trwać długo: raz, że dąsanie się nie wiedzieć z jakiego powodu stałoby się w jej oczach śmiesznym, a potem, że sprawa nieobecnych jest zawsze zła i bliska przegranej. Wkrótce więc zaczął podnosić nieznacznie wzrok ku tej stronie, z kąd go dochodził jej głos, z kąd rozlegał się jej śmiech czysty jak dzwonek, serdeczny i swawolny jak śmiech dziecka. Krystyna siedziała z brzegu półkola dam w postawie naturalnej i wdzięcznej. Szyja jej i część pleców jaśniały łabędzim połyskiem. Odziana była w białą atlasową suknię, ozdobioną szeroką koronką, której lekkie fałdy kamelie różowe i białe podpinały; główka jej foremna ubrana była tylko bogactwem lśniących włosów i kilku wrzuconemi w nie sztucznie kameliami, podnoszącemi ich blask i kolor; w rękę miała przesliczny biały wachlarz, którym się bawiła, a nóżka jej nieznacznie zpod sukni wysunięta, w białym trzewiczku, wydawała się jeszcze mniejszą i formniejszą niż była wówczas, gdy ją p. Roman raz pierwszy obaczył, i na niej melancholiczny wzrok swój zatrzymał. Widok tej cudnej postaci, na którą oczy p. Romana coraz częściej się podnosiły, na której coraz dłużej spoczywały, odciągał jego myśli od przeszłości, tak, że każde machnięcie jej ślicznej rączki, każdy ruch pierzastego jej wachlarza, rozwiewał to słodkie widziadło w szarej sukience, w słomkowym kapeluszu, z wejrzeniem pełnym skromności i uczucia, z uśmiechem pełnym słodczy i nadziei, którym tylko co starał się zasłonić, a które coraz bardziej rozplywało się i w oddaleniu nikło. A gdy wpatrzył się w twarz Krystyny, gdy ona obróciwszy się nagle postrzegła to, i lekko zaczerwieniona, kiwnęła mu główką i uśmiechnęła się; p. Romanowi zdało się w téjże samej chwili, że widzi gdzieś daleko, od smutku piękniejsze jeszcze lice Kasi, a w jej oku łzę kroplistą i błyszczącą, jaką płacze anioł opiekuńczy, kiedy grzesznika opuszcza i od niego odlatuje. Zadrżał więc p. Roman na to wyobrażenie, i zbliżył się do uśmiechającej się do niego Krystyny.

Gdy przystąpił i ukłonił się, przywitała go tym znaczącym i ledwie dojrzanym uśmiechem, tém lekkim kiwnieniem głową, jakim ładne kobiety witają dobrą, dawną znajomość, jakie się wybranym tyl-



ko dostaje w publicznych zebraniach, z czego dumni są i kontenci, bo wiedzą, że w chwili samotnej, o szarym wieczorze czeka ich słodszy, wyraźniejszy uśmiech, szczerza rozmowa, a może i ściśnienie ręki pełne nadziei. P. Roman był dziwnie kontent i zapomniał o przykrych uczuciach, jakich przed chwilą doznał. A gdy patrzył na nią i może dziękował jój wzrokiem za tak niespodziewane przywitanie po tak krótkiej znajomości i tak szczególném rozstaniu się, Krystyna rzekła mu ciszej:

— Pan tu? a babunia?

— Chora — odpowiedział.

— Chora? — zapytała jakby z zadziwieniem.

— Pani się dziwisz? Zdaje mi się jednak, żeś musiała odebrać wczoraj list od niej, i w nim uwiadomienie, że ma się niezupełnie dobrze.

— List odebrałam. Ale czyż pan myślisz, że babunia teraz pisze cokolwiek o sobie? Cały list był o panu — dodała uśmiechając się.

— O mnie? — odpowiedział pan Roman czerwieniąc się trochę.

— Mógłby wiedzieć z ust pani, co o mnie ciocia pisała?

— List był tak długi, iż muszę się panu przyznać, że go nie doczytała — rzekła Krystyna. Ale słowa te mówiły usta, oczy zaś wyraźnie kłamstwo im zadawały. Pan Roman jeszcze mocniej się zaczerwienił, bo wolał wierzyć oczom, niż ustom ślicznej figlarki, która coraz mu się piękniejszą wydawała. Gdy tak słuchał mowy tych ocz jasnych, błyszczących i utkwionych w jego twarz jakby z magnetyczną intencją, Krystyna, spojrzawszy nagle na bok, dodała:

— Nie widziałeś pan tu czasem pana Władysława Iskryckiego? — Wstrząsł się pan Roman na te słowa i odpowiedział zaciskając wargi:

— Nie znam go wcale.

— Poznaj się pan z nim, to bardzo miły człowiek. To powiedziawszy odwróciła się i zaczęła z sąsiadką swoją jakąś interesującą rozmowę.

Panu Romanowi zdało się, że jest w Grefenbergu i w rękach Prysznica, tak mu się zimno zrobiło. Nie mógł pojąć, co znaczył ten nagły zwrot jój mowy, dlaczego się od niego odwróciła: czy obraziła się jego wpatrywaniem się, czy chciała ukryć swój rumieniec wzmianką pana Władysława wywołany? Nie mógł sobie tego wytłumaczyć, dlaczego kazała mu się raptem poznać z tym człowiekiem, który jak zmora jaka od niejakiego czasu go prześladowe. Nie chciał

on jęj o to zapytywać, sądząc, że mu to sama objaśni. Został więc jeszcze przez chwilę na miejscu; ale gdy postrzegł, że ciągle z sąsiadką swoją rozmawia, że na niego uwagi nie zwraca, zły i upokorzony odwrócił się i postrzegł, że pan Władysław stoi zdaleka, na nich pogląda, i brodę swą gładzi. Odszedł więc p. Roman, i usiadłszy samotnie pod oknem, rozwikływał w duszy kapryśne i splątane pasmo myśli ładnej kobiety.

Tymczasem sala napelniała się. Skrzypka zaczęła się odzywać, hasetla pomrukiwała, szukając zgody z mniejszą swą, ale krzykliwszą i rej wiodącą siostrą, a klarynet, odzywając się kiedyniekiedy, jakby dawał znać o sobie że jest, i że go nikt nie przekrzyczy, fałszywym i przeraźliwym piskiem budził z zadumania naszego bohatera.

Zaczęły się tańce. Przeminał walc, którego pan Roman prawie nie widział. Zaczął się kadryl. Jeden z młodych znajomych przyszedł prosić go, aby z nim stanął jako *vis á vis*. Pan Roman się ruszył, chciał zamówić Krystynę, aby miał sposobność z nią pogadać i może zapytać, dlaczego mu kazała poznać się z panem Władysławem; lecz ledwie parę kroków zrobił, gdy spostrzegł ją stojącą do tańca właśnie z tymże panem Władysławem. Cofnął się więc na dawne miejsce, i przed partnerem swoim wymówił. Poglądając wszakże kiedyniekiedy, widział ją przesuwającą się zgrabnie i lekko w kole tancerek; każde jęj ruszenie, każdy giest okazywał nową w nięj gracyą i tę swobodę, jaką mają osoby dobrze wychowane, uważające taniec za rozrywkę, nie za trud i zajęcie, do którego by warto było jakąś ważność przywiązywać. Gdy nie tańczyła, mówiła z panem Władysławem; ale mówiła z powagą, bez kokieteryi, raczej odpowiadając na jego pytania, niż wabiąc go i zaczepiając. Zdało się nawet panu Romanowi, że roztargniona, że okiem i myślą kogo innego szuka. Rozbroił go ten widok, ujął i dał mu to przekonanie, że to on jest tym przedmiotem, za którym jęj piękne oko nurza się w głęb grupy otaczających taniec mężczyzn. Gdy więc muzyka uci-chła, powstał i przybliżył się do nięj, chcąc ją do następnego kadryla zaangażować.

— Przybywasz pan zapóźno — odpowiedziała z jakimś dziwnym połączeniem powagi i ironii. Ale jeżeli pan zechcesz być cierpliwym, po mazurku mogę panu służyć do walca, i niestety do jednego tylko.

Pan Roman uklonił się i odszedł. W tęg chwili dało się słyszeć klaskanie z biczów i od hurkotu kilku powozów zadzwoniły okna. Gospodyni domu, która widać uprzedzoną była o nowych i tak późno przybyć mających gościach, wyszła aż do przedpokoju. Taniec

jeszcze się był nie zaczął i wszyscy z ciekawością obrócili się ku drzwiom. Wkrótce drzwi się otworzyły i weszła gospodyni prowadząc z sobą trzy poważne damy, za któremi szło ośm młodych i ładnie postrojonych panienek.

— Kto to? kto to? zewsząd powstały zapytania, przyglądania się i szepty. Pokazało się wkrótce, że jedną z tych dam była księżna W\* dobrze znajoma pani Osinowskiej, i dla której, jak powiedzieliśmy wyżej, obiad w tym domu zsunął się z godziny drugiej na piątą. Dwie drugie byłyto jój blizkie krewne: jedna księżna P\* z Wołynia, druga hrabina Z\* z Podola. Zjechały się przypadkiem przed kilkoma dniami, i korzystając z blizkiego a tak świetnego balu, na którymby mogły zaprezentować Krezusom poberezkim cztery hrabianki i cztery księżniczki, bo każda z nich miała po tyle córek, za namową i upoważnieniem krewnej swojej same się na ten bal zaprosiły. Pani Osinowska niezmiernie była uszczęśliwiona tym nowym przybytkiem dystygowanych tancerek, i tym blaskiem, jaki padnie na jój salon od tyłu mitr i hrabiowskich punktów.

Rumor zrobił się na sali, zaczęły się witania i zapoznawania, a młodzi demokraci dowiedziawszy się, że to hrabianki i księżniczki, zapomnieli o szlachciankach, które pozamawiali, i hurmem rzucili się do nowo przybyłych, prezentując się, jak który przez kogo mógł i angażując je do wszystkich następnych tańców. Stał więc ogromny kadryl. Wszyscy mężczyźni, którzy tylko tańczyli, byli zajęci, oprócz p. Romana, który postrzegłszy, że Krystyna znowu z panem Władysławem stanęła, był w najgorszym humorze i postanowił wcale nie tańczyć. Panienki, zapomniane przez swoich tancerzów, z żalem, a może i łzą w oku pouisały przy matkach; tym więc sposobem ściana, pod którą rzędem siedziały, została prawie pustą. Gdy p. Roman stojący z boku rzucił tam okiem, postrzegł jedną tylko panienkę, białą, skromnie, ale z gustem ubraną, która tam sama jedna, jakby w osieroceniu siedziała. Coś smutnego było w jój ładnej twarzy. Widać, że ją żenowało to opuszczenie, że nie miała zapewne matki, pod której skrzydło schronićby się mogła, że zostawszy na szarym końcu, nie śmiała przejść pomiędzy damy, może nieznaną, a tak dumne u nas i bez litości dla tych, których nie znają z urodzenia i majątku. Żal się p. Romanowi zrobiło biędnej sieroty, a raczej przyszła mu myśl odwetować Krystynie, pokazać jój, że o nią nie dba i utrzymać się w téj roli przekory, jaką od pierwszego poznania się rozpoczęli. Zapytał więc jednego z obecnych, kto jest ta panna.

— Jestto córka emeryta — odpowiedział zapytany.

Ten wyraz jak iskra elektryczna przebiegł po jego ciele, odrzucił go daleko od tego miejsca, gdzie się znajdowali, i tém mocniej zainteresował go położeniem panienki.

— Zapewne nie ma matki?—zapytał znowu p. Roman.

— Już oddawna—odpowiedział zagadniony.—Jest tu zupełnie obcą, nikogo nie zna, bo niedawno przybyła do ojca z Warszawy, gdzie wychowanie brała przebywając u ciotki.

— Z Warszawy—rzekł pan Roman, coraz bardziej zaintrygowany.—A jéjże ojciec?

— Ten stary, siwy, który tam w kątku stoi i którego p. Osinowski tabaką częstuje. Był nauczycielem w Niemirowie. Teraz ma emeryturę, a żeby nie próżnować, wziął tu niedaleko mały folwarczek w dzierzawę, na którym dość po łacinie gospodaruje. P. Osinowska, która ma pretensyą i do literatury, i jego czasem zaprasza; a stary, chociaż bojaźliwy i skromny, chociaż wie, jak smutna rola takiego jak on biédaka między naszym państwem, przyjechał dla córki, żeby jéj świat nasz ukraiński pokazać.

— Pan znasz go zapewne dobrze—rzekł p. Roman.

— Jestem jego sąsiadem—odpowiedział.

— Chciéj pan mnie z nim zapoznać.

Sąsiad emeryta dopełnił chętnie żądania p. Romana. Zdziwił się stary pedagog, że młody jakiś elegant, a do tego Warszawianin, przystąpił do niego ze skromnością i uszanowaniem. Wkrótce jednak ośmielił go wyraz dobroci, charakteryzujący twarz p. Romana, i ta łatwość i brak wszelkiej pretensyi, z jaką rozmowę z nim rozpoczął. Usunęli się eokolwiek na bok; p. Roman rozmawiając kierował kroki staroego ku miejscu, gdzie siedziała jego córka. A gdy byli tuż przy niej, gdy uradowana panienka, że już nie była samą, podniosła się z miejsca, gdzie jakby przykuta siedziała, przystąpiła do ojca i uchwyciła się jego ramienia, p. Roman niby niechęć zapytał:

— To zapewne córka Pana Dobrodzieja?

— Moje jedyne dziecię—rzekł poglądając na nią z miłością.—Długo żyłem samotnie, ale nie chciałem przerywać jéj edukacyi. Od pół roku dopiero mam ją przy sobie.

— Chciéj pan zaprezentować mi swojej córce—rzekł p. Roman.

— Pan Wyżopolski z Warszawy—mówił stary.

— Pan z Warszawy?—zawołała ożywiona i zarumieniona pani. Jak pan siedleś z moim ojcem, poznałam zaraz, żeś pan nietutejszy.

— Czy pozwoli pani zamówić się do następującego mazurowa?—zapytał p. Roman.

— O! z ochotą — odpowiedziała — potańczymy po warszawsku. Przypomnienie miejsca, w którym się wychowała od dzieciństwa, radość, że tu, w stronie zupełnie obcej jój oczom i sercu, obaczyła kogoś, co oddychał tém samém powietrzem, znał wszystkie zabawy stolicy, wszystkie nawyki jój mieszkańców, wszystkie gmachy, które ją tyle razy zastanawiały, wszystkie kościoły, w których się modliła; ta myśl, że tenże ziomek tak greczny, tak uprzejmy, iż ją zaprosił do tańca, że tańcząc będzie mogła się nagadać o tém wszystkiém, co kochała: dała dziwny wyraz jój twarzy, podniosła i wyprostowała jój kształtną kibić, ożywiła ją wdzięcznemi ruchami Warszawianki, i prawie piękną zrobiła. P. Roman patrząc na tę nagłą zmianę, cieszył się w duszy, nie przez wzgląd na biedną dziewczynę, którą tak uradował, ale przez wzgląd na swoją kuzynkę, do której już przez cały bal, a nawet do tego jednego walca, którego mu obiecała, powracać nie myślał.

— Józiu! — rzekł ojciec, — ponieważ ci Pan Bóg dał tak grzecznego tancerza, nim się zaeznie mazur, usiądź tu; ja mam jeszcze parę słów sąsiadowi memu powiedzieć.

— Ale pan mnie nie odstąpi — rzekła patrząc z obawą na p. Romana, gdy ojciec odszedł. — Tak mi tu było straszno i przykro samém, że pan nie uwierzy.

— Siadaj pani — rzekł p. Roman — ja tu przy pani usiądę.

— O! to bardzo dobrze; teraz już nie dbam, że o mnie mój niegreczny kawaler zapomniał — mówiła Józia siadając i robiąc miejsce koło siebie p. Romanowi, który tém miliej jój słuchał, że była w jój akcencie owa wdzięczna warszawska śpiewność, tak melodyjna w ustach kobiet naszych, jeśli lepiej wychowane, i pozbyły się gminnej ostrości i krzykliwości. Usiadł p. Roman i zaczęli rozmawiać. Józia była rozmowna, prawie szczebiotliwa; tak jój miło było wspomnieć o dawnych latach, o przechadzkach po ogrodach warszawskich, o fajerwerku w Łazienkach, na którym raz była z ciotką, o teatrze warszawskim, który także kilka razy widziała. P. Roman niewiele się odzywał, więcej słuchał mówiącej i poglądał kiedynkiedy na tańczących. Postrzegła go tam Krystyna; i gdy się kadryl skończył, wzięwszy pod rękę drugą młodą kobietę, przechadzała się po sali, poglądała na rozmawiającego, i coraz bliżej podchodząc przypatrywała się panience, która tak silnie uwagę p. Romana zajęła, że jój nawet nie widział, a przynajmniej nie chciał widzieć. Cieszyło to p. Romana, i z téj ciekawości ładnej figlarki,

której wypowiedział wojnę, dobre wyciągał wnioski. Zaczął się wreszcie mazur. P. Roman poprowadził swoją tancerkę i stanął niedaleko od Krystyny, przy której znowu p. Władysława obaczył. Gdy przyszła na niego kolej, puścił się z całą żywością i prawdziwie mazowieckim akcentem, tak trudnym do naśladowania. Jego tancerka doskonale odpowiadała jego ruchom; uszczęśliwiona i zarumieniona szukała oczami starego ojca, aby go radością swoją ucieszyć, a zwracając się zgrabnie i lekko, padając z wdzięcznym i swobodnym opuszczeniem na ramię swego tancerza, gdy się z nią obracał, zwróciła wszystkie oczy na siebie.

— Kto to? kto to? co to za jedna? jak ładnie tańczy, jaka lekka i zgrabna. Czy wiesz, że wcale niebrzydka; śliczne ma oczy i figurę cudną.

Takie były rozmowy mężczyzn o biédnej dziewczynie, na którą przed chwilą nikt nie patrzył, a którą zły humor p. Romana wprowadził na scenę, wyświecił jój wartość, a młodemu synowi owego sąsiada, którego p. Roman o nią najpierw zapytywał, pokazał, że ma pod bokiem brylant, na którym się nie poznał i którego blasku dotąd nie widział.

Przez cały ciąg mazura p. Rożewska była nadąsana, i ani słowa z p. Władysławem nie mówiła. Widział to p. Roman, i był tém weselszym i tém żywiej i uprzejmiej z Józją rozmawiał. Jak zwykle w każdej ruchawce komendę dostaje najbiegły, tak i tu p. Roman, dziecię Mazowsza, zaczął rodzinnym tańcem swym dyrygować, wymyślając coraz nowe, coraz poetyczniejsze figury. Nikt mu tego pierwszeństwa nie zaprzeczał, a Józia ze wszystkimi sekretami mazura oznajomiona, dumna i szczęśliwa, że się ujrzała niespodzianie tak znaczącą osobą, pojmowała go szybko, wykonywała wszystko biegle, i tém lżej i zgrabniej przebiegała podziwiające ją koło, im grzeczniejszym był dla niej jój tancerz, im żywiej jój dziękował gdy skończyli. Wszakże Józia nie wiedziała o tém, że on jój dziękował za to tylko, że Krystyna była nadąsaną.

Gdy się mazur skończył, p. Roman odprowadziwszy tancerkę swoją do miejsca bliższego środka sali, z którego mógł widzieć Krystynę i być od niej widzianym, usiadł przy niej i rzekł:

— Zabawiłaś się pani naszym kochanym mazurem.

— O! bardzo—odpowiedziała—bo téż niéma jak mazur.

— Jestto król wszystkich tańców—rzekł p. Roman.—Jeden walc do niego się zbliża, jakkolwiek różny jest charakterem.

— Ja wolę mazura—odpowiedziała Józia czerwieniąc się, że się ośmielała ze zdaniem swoim odezwać—on nas zupełnie maluje. My lubimy wesołość trochę szaloną, trochę zapominającą się, może trochę zanadto huczną i stukającą, ale chcemy, żeby była wspólną, żeby ją wszyscy z nami dzielali. Walc przeciwnie, jakoś za-smuca.

— Dlatego—odpowiedział pan Roman—że go nie wesołość stworzyła, ale namiętność. Mazur łączy całe towarzystwo do wspólnej uciechy; walc wyłącza z niego dwoje ludzi, którzy pragną ucieszyć się sami, zapomnieć się wśród tłumu. Im szybszy, im gwałtowniejszy jest ten wir taktowy, tém miłszy mężczyźnie, na którego łasce jest piękna jego tancerka. Unosi on ją tam, gdzie chce, postawi tam, gdzie mu się podoba; a to połączenie siły i zręczności mocniejszego, z poddaniem się i niemocą bezbronnej piękności, wyobraża dobrze życie w chwilach, kiedy niém namiętność rządzi i ze zwyczajnej je kolei wyrzuca. Dla obojętnych nawet taniec ten ma wiele powabu; cóż dopióro dla dwojga ludzi, którzy pragną do siebie należeć, których jakaś tajemna siła ściąga, gdy się tak zbliżą, gdy siebie tylko widząc i czując, oddadzą się tym szybkim taktom, odpowiadającym tak dobrze przyspieszonemu biciu ich serca.

Cała ta analiza walca powiedziana była z intencją, głośniej i jakby z zapalem, bo pan Roman postrzegł przed chwilą, że Krystyna w kompanii owjej młodej damy, z którą spacerowała piérwój, i teraz zbliżyła się, stanęła niedaleko, i tak, że go słyszeć mogła. Uśmiech jakiś przebiegał po jej pięknych ustach, a wzrok politowania padał na biędną dziewczynkę, która perory tēj młodego Warszawianina ze spuszczonei oczami słuchała. W tējże chwili muzyka zaczęła grać walca. Pan Roman powstał, spojrział nieznacznie na stojącą obok Krystynę, która jakby dopominała się sama o taniec, który mu przyrzekła, a którego powab z taką mocą odmalował. Postanowienie jego zachwiało się; przypomniał sobie swoje ostatnie słowa; już myślą dotykał atłasów tēj delikatnej i wiotkiej kibici, już patrzył zblizka w te oczy, co tak umiały obiecywać i zawodzić, już ją unosił i miał w swoim ręku, ale po chwili zreflektował się.— Służe pani—rzekł głośno do Józi, i puścił się z nią wkoło sali przed ustępującemi im miejsca i patrzącemi na ich lekkie i zgrabne obroty. Tą razą zwyciężył pan Roman. Krystyna zachmurzyła się widocznie; usiadła między starszemi kobietami i nie tańczyła już wcale.

Ojciec Józi przystąpił do pana Romana i dziękował mu, że z jego łaski córka jego tak się dobrze bawi.

— Nie mam w tém żadnej zasługi—rzekł młody człowiek czerwieniąc się; a potém dodał: — Córka Pana Dobr. tak zgrabnie, tak lekko tańczy, że tylko z taką tancerką można mieć przyjemność w téj zabawie, która mnie rzadko przywabia. Musiała pani mieć dobrego nauczyciela—mówił obracając się do panny.

— Dobra pani S\*—odpowiedziała Józia—na której pensyi wychowywałam się, nie żałowała na to i miałyśmy najlepszego metra.

— Jako—zawołał z zajęciem pan Roman—pani wychowywałaś się na pensyi pani S\*?

— Czy pan zna ten zakład?

— Mam tam małą siostrzenicę, którą téj wiosny oddałem. Dawnoż pani opuściłaś tę pensyą?

— Już blisko półtora roku. Wyszło nas wtenczas ośm. Poczciwe, dobre dziewczęta! jak mi żal, żem od nich tak daleko—dodała panna, której miło było wspomnieć te chwile i towarzyski młodości.

— Czy pamięta pani—rzekł pan Roman z bijącym sercem—nazwiska wszystkich swoich koleżanek?

— Otożby było ładnie, żebym je zapomniała! Myśmy się kochały jak siostry, chociaż były między nami bogatsze. Ze wszystkich jednak najwięcej mi żal jednej, córki biédnego nauczyciela, jak i ja, ale piérwszej między nami i pięknoscią, i rozumem, i dobrocią. Oto z tą gdybyś pan potańczył! ja jestem kłoc w porównaniu. Nigdy nie zapomnę ostatniego wieczora, który nam pani S\* po examinie publicznym wyprawiała. Kasia otrzymała najpiérwszą pochwałę. Ubrałyśmy ją więc cudnie, aby na wieczorze była piérwsza strojem, tak jak była piérwsza pięknoscią i nauką. Co która miała najdroższego i najpiękniejszego, a mogło się przydać do jój ubrania, to jój ustąpiła. Trzeba było widzieć podziwienie wszystkich, gdy weszła do sali pełnej gości. Wierz mi pan, gdyby się tu pokazała, wszystkieby zgasyły, nawet ta prześliczna, malutka pani w atlasowej sukni, która tu najładniejsza ze wszystkich.

Pan Roman słuchał ze spuszczoną głową, i łza zakręciła się w jego oku. Był on szczęśliwy i smutny razem. Rad był, że znalazł towarzyszkę i przyjaciółkę téj, którą sercem pokochał, która mu jój obraz z takim spółczuciem i w tak jasnych farbach skreśliła; z drugiej strony wyrzucał sobie, że go tu ciągnął inny powab, że próżność jego wdała go w grę niebezpieczną z rzeczywistym wdziękiem, z kokieterią pełną siły i zręczności, z całym tém oczarowaniem, jakim wychowanie, swoboda i blask bogactwa piękną kobietę otacza. W takim stanie przebył resztę balu, to dumając gdzie



w kącie, to przechodząc przez ten pokój, gdzie damy zasiadły do stołu, i gdzie Krystyna jaśniała pomiędzy wszystkimi, jak gwiazda; to znowu wracając do Józki, która po wieczery miała już stałego tancerza z syna swojego sąsiada, aby przy niej przysiadł gdy nie tańczyła, i znowu rozpoczął rozmowę o pannie Katarzynie, o jej dobroci, rozumie i wdziękach.

Już szarzyć poczynąło, i świt zaglądał do okien. Pan Roman stał oparty o odrzwirek drugiego pokoju i patrzył melancholicznie na kręcące się koła, gdy poczuł lekkie dotknięcie swojego ramienia. Wstrząsł się jak zwykle człowiek zamysłony, obrócił się i postrzegł najprzód pierzasty, ze słoniowej kości wachlarz, który delikatnie leżał na jego ręku, potem rączkę w białej rękawiczce, co go trzymała, potem usta uśmiechające się z wdziękiem i groźbą razem, co się nim nieraz w krytycznej chwili zasłaniały, nareszcie białą atlasową suknią obciskającą cudne kształty, i tę nóżkę czarownicą, która przedewszystkiem zwróciła jego uwagę.

— Która godzina? — zapytała Krystyna. P. Roman dobył zegarka, i uwiadomił ją, że już czwarta. — Czas już jechać. Dość tych nudów — dodała tłumiąc niby poziewanie. — *Aurez vous la bonté de faire avancer ma voiture?*

P. Roman skłonił się i wyszedł. Gdy wrócił i wyszukawszy ją, dał jej znać że powóz na nią czeka:

— Podajże mi pan rękę — rzekła, i oparłszy się na jego ramieniu, przechodziła przez salę. Józka postrzegła przechodzących i spojrzała na p. Romana wielkimi oczami. Nie wiedziała ona, że on zna tę piękną, atlasową panią, która się jej tak powabną, tak miłą wydała. Wspomniała sobie o biednej Kasi, gdyż zmiarkowała z rozmowy p. Romana, że go przyjaciołka jej mocno zajmowała. A gdy p. Roman jakby zawstydzony przeszedł i na nią ócz podnieść nie śmiał, pomyślała sobie w duchu: Biedna Kasiu! gdybyś ty widziała z jaką on czarodziejką prowadzi się pod rękę! To samo i p. Roman pomyślał i przyspieszył kroku. Gdy byli w przedpokoju, młody człowiek wziął salopę z rąk lokaja i starannie rozgrzaną Krystynę okrył. Przypadkiem palec jego dotknął obnażonych jej ramion i dotknięcie to przebiegło po wszystkich zakątkach jego piersi.

— Niech pan jeszcze tu zepnie — mówiła obracając się i jakby senna — bo ranek musi być chłodny. — P. Roman spinał z przodu salopę na białej szyi, czuł jak piersi alabastrowe podnoszą się szybszym oddechem, i patrzył zblizka w oczy wpół przymykające się od znużenia, a jednak patrzące głęboko i przenikliwie.

— Pozwoli pani odprowadzić się do powozu?

— Czyż pan mi nie winieneś wiele wynagrodzenia—rzekła niby żartem, wzięła podaną rękę, zwiesiła się na jego ramieniu, i jakby padając od fatygi sunęła się ze schodów i przechylała główkę ku jego ręce, tak, że go prawie dotykała włosami. Wszystkie pulsa były w żyłach młodego człowieka; nie wiedział co jój powiedzieć, tak się myśli jego splątały; szedł tylko coraz powolniej, aby przedłużyć drogę, aby mieć ją dłużej przy sobie.

— Już dzień—rzekła Krystyna, gdy byli przed gankiem—Mój Boże! ileżesmy czasu stracili! nieprawdaż panie Romanie?—dodała ze znaczeniem.—Ale proszę pocałować rączki babci. Odpiszę jutro na jój długi list; i mój będzie długi. *Au revoir Monsieur!*

To powiedziawszy kiwnęła mu główką i wskoczyła do karéty. Gdy powóz ruszył, p. Roman jakby odurzony potarł ręką czoło, i obróciwszy wzrok na lewo, postrzegł pod ostatnim filarem ganku p. Władysława, obwiniełego w płaszczu i zapalającego sygaro. W téjże chwili podjechał jego koczyc; p. Władysław wszedł, i dzielna czwórka pomknęła się tegim klusem za sunącą się wolniej karétą.

W półgodziny potem p. Roman siedział także w otwartym koczycu i spieszył do domu. Ranek był prześliczny, chociaż świeży i trochę chłodny. Słońce już wrześnie wyglądając zwolna zpoza pagórków wschodu, rozległych, żyznych, bujną ściernią pokrytych, złociło nierówne, lecz niezmierzone pola, na których tu i owdzie kołysały się jeszcze łany owsa, czerwieniła się dojrzewająca hreczka, i piętrzyły się jakby ogromne pałace sterty pszenicy, których olbrzymiej massy żadne gumna zebrać i zamknąć nie mogły. Im wyżej podnosiło się nad horyzont ogniste jego koło, tém świetniej kolorowały się pola, łąki i zielone ubocza parowów, tém jaśniej błyskała kroplista rosa na każdym źdźble ściernia, na każdej trawce łąk, na każdym kwiatku zapóźnionym, co jakby spiesząc odżyć swe życie i uciec z barwami swemi przed nadchodzącą jesienią, tém świetniej je rozwijał. Ileto tam bogactwa, ile darów bożych w téj błogiej ziemi! Ilebyto tam szczęścia i pokoju zmieścić się mogło!

Ale p. Roman tego wszystkiego nie widział. Myśli jego, jak skrzypka rozstrojona probowały rozmaitych tonów; ale wszystkie odzywały się fałszywie i bez harmonii. Jak sługa dwóch panów sam nie wiedział, którego słuchać, do którego przyłgnąć, któremu się poświęcić. Miłość i próżność szarpały go w przeciwne strony; przeszłość i obecność, ułuda terażniejsza i powab wspomnienia ciągnęły go razem i targały jego sercem. Zmęczony wreszcie tak niesforne-

mi marzeniami, utrudzony całonocnym czuwaniem, ukołyszany jednostajnym ruchem powozu, toczącego się szybko po drodze suchej i gładkiej, otuliwszy się płaszczem i wsparłszy na poduszce skołataną głowę, przymroził oczy i zasnął. Gdy konie raptem stanęły przed ganikiem w Bykównie, pierwsza myśl, z którą się obudził, pierwszy obraz, który mu imaginacja przedstawiła, byłato postać p. Władysława, który na niego z ironią patrzył, i spokojnie brodę swą gładził.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# PIEŚŃ ŻYCIA.

---

**S**traszno czas pędzi przez życie,  
Straszno prąd jego rwie rzeki:  
Człowiek, liść, chwila i wieki,  
Wszystko to leci gdzieś skrycie,  
Zmieszane z sobą pospołu,  
Leci w głąb jednego dołu,  
I w nim przepada na wieki.

Myśl zaroi, pierś powzdycha,  
Płacze rozpacz nad mogiłą;  
I znów dzwon śmierci ucicha,  
I zapomnienie okryło,  
Co łąką lub szczęściem poilo,  
Co marą, czuciem, rozkoszą.

Bo wichry czasu z pośpiechem,  
Rozwiewają i unoszą,  
Co swoim trącą oddechem.  
I rdza tylko, plamka blada,  
Niedotarty ślad w przechodzie,  
Pozostaje na obwodzie  
Ludzkiej duszy. Najprzód głucho,  
Niby przez sen—coś na ucho,  
Z upłynionych chwil powiada;  
Potém głuszej, coraz głuszej,  
Rwie się cały myśli watek,  
I na sercu—żywěj duszy,  
Z dawnych wrażeń i pamiątek,  
Aż ostatni z śladów, z cieni,  
Ginie w czasie i przestrzeni....

Bo to ziemia! to mieszkanie,  
Którego los zagadkowy;  
A zagadki rozwiązanie  
Tam—gdzie w polu głąz grobowy!

Bo to ziemia! gdzie pospołu  
Wszyscy tylko marzym, roim,  
Ten o swoim—ten o swoim,  
A z tych marzeń—garść popiołu!

Bo to ziemia niestateczną,  
Raj stracony—gdzie pospołu,  
W ustach czucie, miłość wieczna,  
A z uczucia—garść popiołu!

Bo to życie! A co życie?  
Któż powiedzieć o tém może?  
Jestto troska i życie,  
Jakaś podtóż w brzydkiej potrze,  
Coś z uśmiechu, coś z nadziei,  
Kilka chwilek tak uludnych,  
Kilka spojrzeń tak przecudnych:  
A to wszystko po kolei,  
Albo razem—taka rzeka  
Łez oblewa, i w kął zcienia,  
Że się biedne serce czeka  
W proch rozsypie, lub w glaz zmienia!

A w tym ścieku, zbiegu, burzy,  
Piękna z brzydkim, z dobrem złego,  
Tchu trucizny, z wonią róży,  
Tak dni biega—tak dni biega,  
Że się trudno pomiarkować  
Gdy się ujrzy śmierci gońca:  
Czy kląć życie, cieszyć z końca,  
Czy ubiegłych lat żałować!

Lecz cóż z tego zrozumiecie?  
Bo ja nie wiem, co to życie...  
Sen—czy jawa?—mara senna,  
Cień uludny, wietrzny, mglisty,  
Czy byt prawdy oczywisty?

Ależ prawda niemienna,  
Ojczyznę jej kraj daleki,  
Jak Bóg jasna i promienna,  
Trwa od wieków i na wieki.  
I cóż z tego zrozumiecie?  
Bo ja nie wiem, co to życie!

Czemuz ludzkiej władzy cecha,  
Niewiedomość siebie, losu!  
Życie—może jestto echo  
Téj harmonii, tego głosu,  
Co od Boga z niebios spada—

Jakiś akord, nuta blada,  
Zabłąkana na świat zimny,  
Echo pieśni—której hymny  
Chór aniołów Bogu składa:

Drży rozkoszą, dumnie nuci,  
Coś z przeszłości przypomina,  
Uwięzione—więc przeklina,  
Na wygnaniu—więc się smuci....

Ach! powiedzcie—czy w tej chwili,  
Gdyście duszę utopili  
W słodkich marzeń czystym stoku,  
A miłości łza drży w oku,  
A miłości pieśń uczuta,  
Do rajskiego snu was tuli:  
Czyście wtenczas nie uczyli,  
Że w tém echu—boska nuta!

Kiedy zapał rozpromieni,  
Uśpionego w głębi ducha,  
I z popiołu myśl rozdmucha,  
I myśl, wolę, w czyn zamieni;  
Gdy z niedoli pierś rozkuta,  
Dobroczynną dłoń przytuli:  
Czyście wtenczas nie uczyli,  
Że w tém echu —boska nuta!

\* \* \*

Przeleciawszy człek przestworze,  
Ziemskiej nędzy i użycia:  
Jakąż pieśń zanucić może,  
Na ostatnim progu życia?

Maż ta pieśń być tylko płaczem,  
Że świat nędzą—on tułaczem?  
I w zwątpienia gorzkiej nucie,  
Hymn zadumać nad mogiłą,  
I to, co go ubóstwiło  
Przekląć—przekląć myśl i czucie!

Precz z tą pieśnią! serce woła,  
Precz z tą pieśnią! myśl mu wtórzy:  
Prawda! człowiek ledwie zdoła,  
Przenieść tyle trosk i burzy;  
Nieraz do krwi pierś rozdarta,  
Jęczy na ziemskiej pokucie,  
Ale przebóg! cóżby warta  
Cała życia twego karta,  
Gdyby nie myśl, nie uczucie!

Obleć całe dni twych koło,  
 Ileś z uczuć pił kielicha?  
 Patrz—niemowlę się uśmiecha,  
 Widząc lube matki czoło.

Ledwie życia drga osnową,  
 Już wyciąga oczki żywe,  
 I nim ma na czucie słowo,  
 Patrz, jak czuciem już szczęśliwe!

Wzrosło dziecko w wiek młodzieńczy,  
 O! niech tylko pierś otworzy,  
 Jakże cudny ten świat boży,  
 Gdy go wkoło miłość wieńczy!

Stają przed nim ziemskie bogi,  
 Matka, ludzkość, przyszłość cała;  
 Słodkie ciernie, słodkie głogi,  
 Gdy pierś dla nich ogniem pała.

W wianku twego przeznaczenia,  
 Nieprzekwitłym błyszczą majem,  
 Patrz, kobieta!—Twe marzenia  
 To kobieta!—Twe cierpienia  
 To kobieta!—a cierpienia  
 Te, są rajem!

Jak bluszczy w losy twę wpleciona,  
 Snuje życia twego przędzę;  
 Nieczułością odpłacona,  
 Daje miłość. Za łzy, nędzę,  
 Daje miłość. W płaczu duszy,  
 W udręczeniu serca srogiem,  
 Łzę miłości łzy osuszy,  
 Bo miłością walczy z Bogiem!

Chyba tylko aniołowie,  
 Wypowiedzieć będą w stanie,  
 Co to w sercu jój kochanie;

Chyba tylko aniołowie,  
 W arf niebieskich czystym pienu,  
 Nazwą ci ją po imieniu.

Bo z śmiertelnych któż wypowie,  
 Kto wyrazi, kto wyczyta,  
 Co to miłość, co kobieta!

I starości słońko świta,  
 Kiedy serce czuciem bije,  
 Bo na wszystko jest godzina!  
 Młodość marzy—marą żyje,  
 A wiek stary przypomina.

Wszystko toczy się koleją;  
 Po upale, słodko w cieniu;  
 Co w młodości jest nadzieją,  
 To ma starość w przypomnieniu.

Kres ja blizki nie zasmuca,  
 Wierzy bowiem całą siłą,  
 Że odnajdzie co porzuci,  
 Że jest życie za mogiłą.

Jakież, jakież to ogniwo  
 Co tak wiąże, strąci, splata,  
 W jedną nutę pełną, żywą,  
 Rozstrojony organ świata?

Co urokiem piękność krasie,  
 Ogień smutku łzą ugasi;  
 A gdy orłem w niebo wzłata,  
 Drży, za lada listka drżeniem?

Śpiewa z ptaszkiem, śni marzenia,  
 I gotowe prześnić lata,  
 Jedną dumką i wspomnieniem?  
 W pączku róży się uśmiecha,  
 Drga w przyrody każdej nucie,  
 Ryczy z burzą—w fali wzdycha?

To uczucie! to uczucie!  
 Co muzyką Serafinów,  
 Gra na duszy harmonice,  
 Świeci w oku, pali lice,  
 I do wielkich budzi czynów.

A czy we łzach, na pokucie,  
 Czy wśród ciężkiej doli ciosów,  
 Ma pociechę i przecucie,  
 Swoich wielkich gdzieś tam losów—  
 To uczucie! to uczucie!

O! dziękuję tobie Boże,  
 Za uczucie.—Ja, z powicia,  
 Wyrzucony na przestworze  
 Samych ciemni i łaz życia;  
 Z gwiazdką nieszczęść pośród czoła,  
 Tylko tego głos anioła,  
 Strzegł mą łódkę od rozbicia.

Wiatr od ludzi wiał wciąż bole,  
 Wszystko w jednej zgasło trumnie,  
 Świat—wrogę patrzył gorzko, dumnie,  
 Nikt nie otarł łez sierociel



I pobiegly dni w tęsknocie,  
 Myśl w słoneczném wzrosła kole,  
 Padła jak grom na niedole;  
 I od myśli, jak od gromu,  
 Posypały się pod nogi,  
 Unoszące pod niebiosy,  
 Omamienia złote kłosy,  
 I najdroższych mar półbogi.....

I zostałem śród poziomu,  
 Sam—sierota—i ubogi,  
 Sam—i tęskny jak przecucie,  
 I ktoś ze mną—moje czucie!.....

O! dziękuję tobie Boże,  
 Za uczucie:—z dóbr jedyne,  
 Którém płynę i dopłynę  
 Do podnóżka twego tronul

Życie, to cień—to dźwięk tonu,  
 Rzuconego na przestworze:  
 Niech czas tylko skrzydłem skinie,  
 Cień przypadnie, dźwięk się skruszy,  
 I bez śladu wszystko zginie.

Ale to, co wyszło z duszy,  
 Co wyczute—wykochane,  
 Krwią obmyte, wyplakane,  
 To Bóg zgarnie—i jak kwiecie,  
 Do korony swój zaplecie.

D. 28 maja, 1849 r.

*Henryk Cieszkowski.*



# O ZWIĄZKU KREDYTU W OGÓLNOŚCI,

a mianowicie

KREDYTU ZIEMSKIEGO, Z INSTYTUCYAMI ZABEZPIECZENIA OD LOSOWYCH  
WYPADKÓW.

PRZEZ

*W. Luszczyńskiego.*

---

**W** stosunkach przemysłowych i handlowych, kredyt nabrał w naszych czasach tak wielkiej wagi, rozciągnął działania do tak obszer-nych granic, i przyodział się w tak rozliczne kształty, że wszystko co do wzmocnienia i zasilenia jego dąży, wpływa bezpośrednio na bogactwo krajowe. Kapitały, znajdując w kredycie to ciągle odmładniające je źródło, które dla owoców pracy, cudownym prawie sposobem rozmnażanie przysparzają. Jakiegokolwiek zaś teoretyczne zasady dla kredytu przyjąć będziemy chcieli, zawsze zgodzić się musimy na to, że obszerność kredytu, mianowicie prywatnego, zależy z jednej strony na bezpieczeństwie przedstawionem wierzycielowi, iż należność w oznaczonym czasie niezawodnie z umówionym procentem odzyska; z drugiej strony na możliwości podanej dłużnikowi użycia produkcyjnie pożyczonego kapitału. Zapewnienie wierzycielowi zwrotu jego wierzytelności, zawisło niemal wyłącznie od przepisów prawa cywilnego i handlowego; pomijając więc ten szereg myśli, który do zakresu niniejszego pisma nie należy, zwrócić szczególniejszą uwagę na drugi warunek kredytu odnoszący się do dłużnika, to jest na postawienie go w możliwości uiszczenia kapitału z umówionym procentem, i osiągnięcia zysku przez produkcyjne zużycie pożyczki.— Środki zapewnienia tego celu, nie ograniczają się na samych przepisach prawa, lecz zależą także od wszystkich nader rozlicznych okoliczności,

produkcją krajową zasilić lub utrudnić zdolnych. Nadto producent o tyle liczyć może na owoc pracy, o ile ma pewności, że wartości przez niego zarobione, na zamianę będzie mógł użyć, że zatem nie będzie onych pozbawiony bez otrzymania równo-wartości. Otóż do rachuby téj rzadko wchodzi wzgląd na przypadki losowe, które właśnie bezzwrotnie wartości niszczą. Gdyby rolnik mógł zawczasu przewidzieć, które lata będzie miał nieurodzajne, jak często dozna klęski gradu lub pomoru bydła; gdyby rękodzielnik wystawiony na szkodę ze spalenia całego zakładu mógł tę stratę kapitału przy rozpoczęciu przedsiębiorstwa do wydatków policzyć; gdyby handlujący wiedział, które statki jego z ładunkiem rozbijają się, jaki spadek dzieciom będzie mógł zostawić: wtedy rolnik, przedsiębiorca, handlujący, użycie sił produkcyjnych stosowaliby do nastąpić mających kosztów i do ich wysokości podnosiliby pracę, natężaliby kredyt. Pominiecie téj rachuby, a często niemożność jéj przewidzenia, wystawia przemysł pojedynczych producentów na zniszczenia, i znajduje odbicie w kredycie nietylko prywatnym, ale i publicznym. Takim stratom zapobiegają właśnie instytucje zabezpieczenia od losowych wypadków: ten pierwszy zatem rzut oka przekonywa, jak bezpośrednia jest styczność tych instytucyj z przemysłem, handlem i kredytem.

Stopień i siła kredytu publicznego, zależą wprawdzie widoczniej od ogólniejszych względów politycznych, finansowych, handlowych, tudzież od ogólnej masy produkcji krajowej: ogólne téz także wypadki instytucyj zabezpieczeń w kraju, mają tylko wpływ na publiczny kredyt. Lecz kredyt prywatny wzmacniający siły pojedynczych producentów, stanowiących żywiół kredytu ogólnego, daleko bliżej i wydatniej szuka i znajduje pomoc w ochronnych od losowych wypadków zakładach. Dość przytoczyć różne rodzaje kredytu i wskazać, które z nich już weszły w konieczny z ubezpieczeniami związek.

Kredyt na nieruchomościach oparty, jako najprostszy, i jeżeli tak rzecz można, najbardziej materyalny, niedość jeszcze z ubezpieczeniami jest związany: bo wierzyciel nie lęka się zupełnej utraty przedmiotu bezpieczeństwa, to jest gruntu. Wszakże co do zabudowań niema już podobno kapitalisty, któryby chętnie na dom pożyczył, jeżeli nie pozyska przekonania, że dom ten od pożaru jest ubezpieczony. Ale co do nieruchomości ziemskich ponizéj okażemy, jak dalekie są one jeszcze od przedstawienia dla kredytu tych wszystkich źródeł, które przedstawić są zdolne.

Kredyt na ruchomościach, już w obecnym stanie instytucyj społecznych, najściślej połączony widzimy z różnemi rodzajami ubez-

pieczeń. Sam nawet zastaw nie jest dostatecznym do zupełnego zapewnienia wierzyciela, bo ruchomość w jego ręku zostająca, ulega równie niebezpieczeństwu przypadkowego zniszczenia, jak gdy pozostaje u dłużnika. To też przedsiębiorcy udzielający zaliczenia na surowe płody lub wyroby, pilnie przestrzegają, aby przedmioty te na składzie zostające, od pożaru były zabezpieczone; a jeżeli mają być drogą handlową na właściwy im targ przesłane, obawa utraty w czasie przewozu, skłania i właściciela i zastawnika do zabezpieczenia wartości towaru od szkody, wyniknąć ztąd mogącej.

Kredyt osobisty, tak ważne zajmujący miejsce w handlowych stosunkach, stałby się niewątpliwie ponętniejszy i łatwiejszy, gdyby do pewności moralnej jaką przedstawia wierzycielowi, dołączyć mógł materialną. Już wielu znakomitych pisarzy uważało, że do dopięcia celu tego najskuteczniejszymi być mogą zabezpieczenia na życie, w rozlicznych przedstawiające się kształtach; bo przez ich zastosowanie, spodziewana praca producenta już w kapitale może być wyrażona, i w postaci świadectwa ubezpieczenia czyli polisy, stać się przedmiotem takich samych obrotów, jak inne wartości obiegowe. W najgorszym nawet razie, wierzyciel wystawia się tylko na ciężar spełnienia warunków ubezpieczenia w zastępstwie dłużnika, lecz samej wierzytelności na utratę nie naraża. Lubo i u nas takie zbawienne rozwijanie kredytu na nowej podstawie zaczyna się okazywać; lubo w innych krajach stojących wyżej w społecznym gospodarstwie, skutki te daleko są rozciąglejsze i przez ogół mieszkańców więcej poznane: zdania jednak najbieglejszych publicystów przyznają, że na tej drodze bardzo znaczny postęp jest jeszcze do spodziewania.

Jawną jest tedy wzajemna zależność kredytu i instytucyj zabezpieczeń; nie idzie jednak za tém, aby rozwijanie się ich w jednakowym postępowało stopniu. I owszem, ubezpieczenia jako bardzo świeży objaw w zakresie życia społecznego, działają w najzamożniejszych nawet krajach, pojedynczemi, oderwanemi siłami, bez związania jeszcze czynności ich w całość organiczną. Wszędzie prawie zostają na drodze przemysłowego przedsiębiorstwa, w nadziei, że ogólne prawa współubiegania pracy, zawsze skierują działalność towarzystw zabezpieczenia tam, gdzie przemysł i handel wymagać onej będą.

Ale liczne już głosy odzywają się za wprowadzeniem systematów zabezpieczeń na właściwą im społeczną drogę; bliższe rozpoznanie zasad na których opierać się powinny, doprowadzić musi do przekonania, że gdzie idzie o pokrycie klęsk bez przecięcia

kontrybuentów, tam zarobkowania przemysłowego kosztem klęsk tych dopuszczać się nie godzi; że ochrona od losowych przypadków, tak jak zapewnienie wszelkich towarzyskich korzyści, należy do zakresu opieki powszechnej, a nie do spekulacji prywatnych przedsiębiorców. Już doświadczenie i to stwierdzać zaczyna, że współubieganie czyli konkurencya między towarzystwami zabezpieczeń, nie może zastąpić ogólnych względów użyteczności publicznej, tém bardziej, że ograniczenie konkurencyi przez układy między przedsiębiorcami pojedynczych towarzystw zabezpieczenia, następuje bez udziału tych właśnie, którzy z ochrony strat od wypadków losowych korzystać mają. Dowód tego świeży mamy w sąsiednim nam państwie, na ubezpieczeniach towarów wodą przewożonych. Kilka towarzystw pruskich przyjmowało te ubezpieczenia na wodach w Prusach i w królestwie Polskiem; każde na swoje działając rękę, przez stanowienie różnych opłat i warunków, coraz nowe stawiało i napotykało trudności. W końcu więc roku zeszłego, w listopadzie, odbył się w Berlinie zjazd pełnomocników siedmiu tego rodzaju towarzystw, to jest: berlińskiego, wrocławskiego, trzech szczecińskich, gdańskiego i kolońskiego, które zgodziły się na jedne zasady postępowania i jedną ogłosiły taryffę opłat. Czyż taka zмова przedsiębiorców, nie jest rzeczywistém ogarnięciem monopolu tém szkodliwszego, że nim sam interes tychże przedsiębiorców kieruje? czyż to nie jest raczej odpowiedzią na niesłuszny zarzut monopolizowania ubezpieczeń tam, gdzie one weszły w liczbę środków ogólnej potrzeby, i gdzie miarą ich nie jest interes kilku kapitalistów, lecz interes całej producentów i handlujących powszechności!

Nie ma wątpliwości, że położenie kraju naszego pod względem rozwinięcia przemysłu fabrycznego i handlu, dalekiem jest od porównania z innymi krajami europejskimi. To téż i instytucje nasze kredytowe do tych gałęzi przemysłu odnoszące się mniej będąc rozwiniętymi, mniej téż bezpośrednio pomocy od instytucyj zabezpieczeń wymagają; wszelako tak jedne jak drugie wzajemnie wzrastając, wspólnie do wzrostu sobie dopomagają. Kredyt fabryczny i handlowy działając ogromnymi kapitałami na pewne punkta i w pewnych chwilach, szczęśliwym zbiegiem okoliczności nastęrczonych, potrzebuje rzeczywiście takich instytucyj zabezpieczeń, któreby z wielkiem nawet własném narażeniem, zastępować mogły w takich właśnie danych warunkach kapitały losowymi wypadkami zniszczone. Rozwinięcie zaś ogólnego systematu ubezpieczeń w kraju nie jest ani ta-

twém, ani w krótkim czasie urzeczywistnić się dającém. Ale przemysł rolniczy w znacznie różném znajduje się pod tym względem położeniu. W nim siły produkcyjne, sama natura po całej przestrzeni kraju, z niewielkimi stosunkowo zmianami, rozlała; siły te nie są sztucznie na pewien czas natężone, lecz stale i ciągle działają. Dla rolnictwa więc główną staje się potrzebą otwarcie i zapewnienie nieprzerwanego źródła tak kredytu, jak i zwrotu strat w ciągu produkcji przypadkowo doznawanych.

Otóż pod względem rzeczywistych ekonomicznych potrzeb rolnictwa, kraj nasz, może być podobno sówicij od wielu innych krajów europejskich zaspokojony: bo oprócz ogólnego działania Banku Polskiego, posiada dwie instytucje szczególnie ku dobru gospodarstwa wiejskiego skierowane, z których jedna kredyt ziemski wysoko rozwija, druga kredyt ten zasila, osłaniając pojedynczych właścicieli od straty, z nieszczęśliwych zniszczeń wynikającj.

Ale wzajemny wpływ tych dwóch instytucyj niedość jeszcze jest oceniony i poznany. Godną zatem uwagi jest rzeczą bliższy jego rozbiór.

Wartość każdego gospodarstwa rolnego, rozdzielić można na trzy części, tojest: na wartość samego gruntu, na wartość kapitału obrotowego, i na wartość rocznego w każdym danym czasie dochodu. Nie wchodzi w to zakłady przemysłowo-rolnicze, z których każdy właściwie oddzielną całość stanowi.

Towarzystwo Kredytowe tak jak i każdy prywatny wierzyciel udzielając pożyczkę, musi mieć głównie na względzie kapitalną wartość dóbr, bo bezpieczeństwo wierzytelności, polegając ostatecznie na środku wywłaszczenia, wywołuje konieczność przekonania się, że dobra w żadnym razie nie są niższej wartości od summy wypożyczonj. Pomocniczym tylko względem jest rozpoznanie kapitału obrotowego i wysokości dochodu; bo przy zupełnym nawet braku intraty w którym roku, przy zniszczeniu inwentarzy, jeszcze znajdzie się nabywca, który zasiliwszy gospodarstwo kapitałem, nowe życie produkcyjne obudzi. Ale skutkiem takiego uważania rzeczy musi być to następstwo, że kredyt ogranicza się na przyjęciu za podstawę samej wartości ziemi, pomija zaś wartość kapitału obrotowego, a tém bardziej wartość rocznych zbiorów. I to następstwo jest loicznym póty, póki zostaje rzeczą pewną, że ziemia zawsze swe własności produkcyjne posiada, a narzędzia do jój uprawy służące i samez jój płody, mogą być nieprodukcyjnie zużyte i zupełnie uronione. Gdyby zaś istniały środki zapewnienia się, że kapitał obrotowy gospodarski nigdy nie zostanie z gruntu usu-

nięty; że i plody rolnicze z uszczerbkiem miejscowej produkcji nie będą uronione: w jakimże ogromnym stosunku ogólna wartość dóbr podniosłaby się, a zatem i wyższy otrzymała kredyt!

Dla osiągnięcia celu tego, wielorakie czynione były usiłowania. Wskazanie prawem, które ruchomości gospodarskie za przywiązane do gruntu przy exekucyi uważać należy, innego nie miało powodu. Prócz tego podawane są myśli zapewnienia dobrom kapitału obrotowego, przez kombinacje hipoteczne; ale środki te okazują się tém trudniejsze do urzeczywistnienia, że wystrzegać się należy narażenia na szkodę praw osób trzecich.

W ogólności uważając przedmiot ten pod względem tylko ekonomicznym, przyznać musimy, że zwiększenie lub zmniejszenie produkcji rolniczej polega na dwojakich zupełnie różnej natury czynach:

*jedne* zależą od woli i staranności producenta rolnika,  
*drugie* pomimo jego woli działają.

Przypuściwszy, że w obu szeregach tych czynów, wszystko ku dobremu wypadkowi zmierza, gospodarz zdoła łatwo nie tylko utrzymać istniejący kapitał obrotowy, ale nadto ciągle zwiększać coroczną produkcją.

Bo jeżeli umiejętnie gospodarstwo prowadzi, jeżeli duchem porządku i oszczędności kieruje się, jeżeli niezmordowanie pilnuje zasilania tych szczegółów, które największej pomocy potrzebują; jeżeli z drugiej strony staranna uprawa gruntu wynagrodzoną zostaje obfitym urodzajem, chów inwentarza wysokim zyskiem, i ani nieprzyjemna pora, ani upadek bydła, ani zniszczenie przez wodę lub ogień na przeszkodzie nie staje: wtedy gospodarz pewnym być może, że ciągle zamożność jego wzrastać będzie.

Ależ wyjątki takie, jeżeli się zdarzają, jakżeż są daleko od zamienienia się w ogólną zasadę!

Choćby nawet wykształcenie ogólne doszło do wysokiego stopnia, nigdy jednak społeczność nie osiągnie tego skutku, iżby każda wola była prawą, każde usiłowanie nieomylném. Takie wszakże przekonanie, nie powinno zbijać z toru ciągłego dążenia do ulepszeń, do udoskonalenia. Na tém polega tajemnica społeczna, aby odwracać złe, które przez postęp rozumu da się usunąć, i z jednej strony nie opuszczać rąk dlatego, że wszystkiego odrazu osiągnąć nie można, z drugiej strony nie mamieć się możliwością wprowadzenia bezwzględniego dobra.

Jeżeli więc w produkcji ziemiańskiej pozostawić trzeba ogólnemu rozwojowi to, co wykształcenie gospodarza stanowi; nie należy dlatego pomijać usunięcia przeszkód takich, które i przy najwyższym wykształceniu, wszelkie usiłowania niweczyć mogą.

Nieustannie słyszymy rolników narzekających, że im gospodarstwo źle idzie. Ale sąsiedzi bardzo dobrze w tém narzekaniu rozróżnią, co na karb samego gospodarza, a co na rachunek nieszczęśliwych wydarzeń policzyć należy. Najlepszy gospodarz dotknięty nieurodzajem, wylewem, pogorzela, pomorem inwentarza, nieprędko straty powetować może. Środki więc od tych strat osłonić zdolne, muszą przeważnie wpływać na pojedynczą i ogólną produkcją.

Ubezpieczenia rolnicze z przeznaczenia swego powinnyby zastępować gospodarzy wiejskich od wszelkich strat przypadkowych. Że zaś te szkody mogą dosięgać tak samą wartość nieruchomości, jako też inwentarze i narzędzia do gospodarstwa potrzebne, nakoniec i zbiory coroczne: wynika ztąd, że gdyby ubezpieczenia rolnicze wszystkim odpowiadały warunkom, zapewnioną byłaby właściwie cena ziemi, utrzymanym obrotowy kapitał, i utrwalonym dochód roczny.

Bez wątpienia tym wszystkim warunkom instytucje ubezpieczeń, w stanie terażniejszego ich rozwinięcia, zadosyć uczynić nie zdołają; ale wielu już w tej mierze potrzebom odpowiedzieć mogą, a w przyszłości obszerniejsze zastosowanie znaleźć pewnie potrafią.

Sama wartość nieruchomości ziemskiej, mniej podległą jest zniszczeniom przypadkowym, jak wszelkie płody przemysłu.

Zmiana natury gruntu lub onego oderwanie przez wylewy albo przez nadzwyczajne zjawiska przyrodzenia są tak rzadkie, że pod względem ogólnym ekonomicznym na mniejszą zasługują uwagę.

Przeciwnie nader częste szkody wynikają w tém, co na gruncie znajdując się, nierozdzielnie z nim jest połączone i wspólnie nieruchomość stanowi. Tu głównie należą wszelkie zabudowania i lasy.

Co do pierwszych, zniszczenie zabudowań pochodzi zwykle albo ze starości, albo z pogorzeli, albo z wywrotu przez burzę. Pierwsza przyczyna, to jest ciągle przez czas zużycie, będąc od samej natury każdej budowy nieodłączną, wchodzić musi zawsze w rachunek wartości zabudowań, i dlatego pokrycie straty ztąd wynikającej, zawczasu przewidzieć się dającej, dopełniane jest prostém odliczeniem pewnego procentu na naprawy i utrzymanie budowli.

Dwie drugie przyczyny zniszczenia zabudowań, działając inaczej, to jest niespodziewanie i z wielkiem natężeniem, pokryte być mogą tylko środkiem ogólnym instytucyj zabezpieczających. Zburzenie za-



budowań przez nawałnice, w niewielu dotąd towarzystwach assekuracyjnych, pokrycie strat znalazło; nie jest jednak niepodobne do wynagrodzenia na téj drodze, ale jako rzadko zdarzające się, mniej gwałtownie potrzebę ochronnego środka wywołuje.

Najdotkliwsze i najczęściej przytrafiające się zniszczenia zabudowań pochodzą z pożarów. Oddawna téż szkody te stały się przedmiotem ubezpieczeń, a kredyt ziemski widząc w pogorzelnach zabudowań, znakomity ubytek saméjże nieruchomości wartości, na której się opiera, uznał prawie powszechnie, konieczną niemal potrzebą, szukanie wsparcia w zabezpieczeniu ogniowém.

Wiele towarzystw kredytowych ziemskich, kładzie za warunek niezbędny ubezpieczenie zabudowań przez cały czas należenia do towarzystwa. Ustawa towarzystwa kredytowego poznańskiego w § 20 wyraźnie to przepisuje. Prawo o towarzystwie kredytowém saskiem wkłada nawet na władze tegoż towarzystwa w § 43 obowiązek przestrzegania, aby odbudowanie w odpowiedniej nastąpiło wartości.

U nas lubo art. 24 prawa z roku 1825 o towarzystwie kredytowém ziemskim przepisał ogólnie, że „dobra Towarzystwu zastawione mają być zabezpieczone w kassie ogniowej przez cały przeciąg czasu ich zastawy w Towarzystwie”; jednak instrukcyja z d. 14 marca 1826 r. prawo rozwijająca, zwolniła ten obowiązek przepisem § 157, ograniczającym zabezpieczenie do budynków dworskich i folwarcznych, niemniej karczem, młynów i t. p. Ztąd wynikło naprzód, że zabudowania włościańskie w wielu dobrach Towarzystwu Kredytowemu zastawionych, wcale nie były ubezpieczone; powtóre, że właściciele dóbr zastawionych, chcąc tylko uczynić zadosyć literze prawa bez wchodzenia w jego ducha i rzeczywisty cel przepisu, podawali do ubezpieczenia zabudowania w summie nader niskiej, niepokrywającej nawet części ich wartości. Wiele budowli ubezpieczonych było po 25 i 50 złotych, a wydarzające się pogorzele oprócz mitręgi i kosztu, nie zapewniały zwrotu straty. Dopiero przez nowe urządzenie ubezpieczenia zabudowań w r. 1844, które poczytane zostało za ogólny środek zarządu krajowego, i dlatego stało się obowiązującym dla wszystkich właścicieli ziemskich, tudzież przez wydanie przepisu, że budowla żadna niżej trzech czwartych części rzeczywistój wartości do ubezpieczenia podaną być nie może; osiągnięty został cel prawem z r. 1825 dla towarzystwa kredytowego zamierzony: bo skoro przepis art. 24 tego prawa uznany był za potrzebny, zwodnicze jego wykonanie zaspokajającym być nie mogło. I w istocie liczby przekonywają, że przepis ubezpieczenia zabudowań dla towarzystwa kredytowego ziemskie-

go obojętnym nie jest; bo przypuszczając, że dobra posiadające 330 milionów złotych istniejących obecnie pożyczek, są połową wszystkich dóbr w królestwie, okazuje się, że wartość zabudowań po wsiach, które z końcem roku 1849 ubezpieczone były na sumę blisko 90 milionów rs. czyli 600 milionów zł., a zatem w połowie dóbr towarzystwu kredytowemu zastawionych na sumę 300 milionów złp.; równa się prawie udzielonym przez Towarzystwo Kredytowe pożyczkom, to jest części wartości dóbr przez też pożyczki zmobilizowanój. A chociaż natura nieruchomości budowlanych, zupełnie jest różną od własności nieruchomości gruntowych, gdyż te ostatnie nie przestają nigdy ukrywać w swém łonie siły produkcyi przyrodzonój; to wszelako w znaczeniu ciągłego ekonomicznego działania, zniszczenie zabudowań stanowi przeciwny, to jest ujemny postęp bogactwa krajowego, którego zgubne skutki usuwać, jest równie zadaniem ekonomisty, jak dodatni postęp produkcyi wzmagać. Doświadczenie przekonywa, że corocznie ogień niszczy u nas zabudowań wiejskich przeszło na 450,000 rs. czyli za 3 miliony złotych, to jest, że pół procentu ogólnego w budowlach znajdującego się kapitału, corocznie przez same pogorzele ubywa. Gdyby więc te trzy miliony nie były pokrywane źródłami instytucyi ogniowego zabezpieczenia, spadłyby na ciężar pojedynczych właścicieli, odwracając ich kapitały od produkcyjnego użycia, albo szukaćby musiały pokrycia w kredycie, podnosząc tém samém uciążliwie dla producentów stopę procentu.

Drugi rodzaj wartości bezpośrednio z nieruchomością połączonej, to jest lasy, ulegają rozlicznym wypadkowym zniszczeniom, ze zjawisk natury pochodzącym, których instytucye zabezpieczenia dotąd lękają się poręczać. Lecz najznakomitsze nieszczęścia w własnościach leśnych, wynikające z przypadkowych pożarów, są w wielu krajach przedmiotem ubezpieczenia. U nas, zaniedbanie jeszcze leśnego gospodarstwa, i produkcyja drzewa przewyższająca krajową potrzebę, sprawiają, iż lasy rzadko podług rzeczywistój wartości są cenione, a zatem i obawa strat wielkich nie tak silnie działa. To téż nie zaszło podobno jeszcze do krajowój instytucyi ubezpieczeń, żądanie zabezpieczenia lasu na pniu od pożaru; powiększająca się jednak liczba okolic bezleśnych, mianowicie w bliskości fabrycznych zakładów, potrzebę tę bez wątpienia wkrótce wywoła. W krajach więcéj już z lasów огоłoconych, instytucye kredytowe ziemskie zwracają szczególną i nader troskliwą uwagę nietylko na porządne gospodarstwo leśne, ale nadto na zasłonięcie się od strat z przypadkowych zniszczeń i pożaru lasów. Towarzystwo kredytowe poznańskie, a szczególniej

szlżakie, wydały w tój mierze bardzo staranne przepisy. I dla naszego Towarzystwa Kredytowego przedmiot ten staje się coraz ważniejszym.

W ogólności jednak jest rzeczą niezawodną, że dotąd kredyt ziemski najtroskliwszym okazał się w obmyśleniu przez instytucje zabezpieczeń środka ochrony dla tój części nieruchomości, która w budowlach jest zawarta: bo nietylko część ta najwięcej przypadkowym zniszczeniom ulegająca, do produkcyjnego gospodarstwa rolnego jest niezbędną, ale nadto dotyka samój kapitalnej wartości dóbr, która jakėmy już wyżej uważali, właśnie rękojmią kredytu ziemskiego stanowi. Jak zaś ważnym jest dla kredytu tego zabezpieczenie od strat innych części wartości rolniczych, zaraz okażemy.

Kapitał obrotowy, a właściwiej mówiąc kapitał ruchu gospodarskiego, stanowią po największej części inwentarze żywe i martwe, do czego doliczyć należy ziarno na zasiėw.

Roczny zaś przychód z dóbr polega głównie na zbiorze corocznym, i na zysku z inwentarza żywego.

Trzy zatėm rodzaje przedmiotów, są dla rolnika i dla wierzycieli jego szczególniej szacowne, jako stanowiące przychód z ziemi i możność osiągnięcia tego przychodu, to jest: krescencya czyli zbierane z pól, łąk i ogrodów zboża, pasze, owoce; inwentarze żywe, to jest zwierzęta bądź prace rolnicze wykonywające, bądź płody do konsumpcyi wydające; wreszcie narzędzia i sprzęty rolnicze, do robót gospodarskich konieczne.

Wszystkie części tego majątku gospodarza, podlegają bądź wspólnym, bądź właściwym tylko dla niektórych stratom przez przypadkowe klėski; a skoro z tój liczby wyłączymy zaniedbanie, nieumiejętność lub złą chęć właściciela, przedstawimszy już wyżej, że środki zaradcze przeciw takiemu złemu do oddzielnego szeregu uwag należą; szukać nam wypada w zakresie nauki ekonomicznój sposobów zapewnienia, aby straty w tych przedmiotach, produkcji i użycia ich nie niweczyły.

Straty przypadkowe w krescencyi, spowodowane być mogą do czterech głównych przyczyn, to jest tych właśnie, które zwykle w umowach dzierżawnych zastrzegane bywają, jako tytuły do zwalniania warunków kontraktowych; to jest: nieurodzaj, pogorzel, gradobicie i wylew wody. Do klėsk tych dołączyć należy zniszczenie urodzajów przez mrozy, upały, szkodliwe owady, burze i nawałnice. Wszystkie te prawie szkody, z wyjątkiem tylko może szkód z wylewu wody, stały się już przedmiotem bądź w obszernych, bądź w ściślejszych granicach, instytucyj zabezpieczeń. Wylewy dotykając tylko właścicieli nadbrzeżnych, a sprawiając odrazu ogromne szkody, wtedy tylko

mogłyby szukać pomocy w systemacie wzajemnego zabezpieczenia, gdyby bardzo wielka ilość miejscowości na tego rodzaju klęski wystawionych, wspólnie działanie assekuracyjne przedsięwzięły. Potrzebaby podobno na to współdziałaniu kilku krajów, aby dostateczny zasilek obok umiarkowanej opłaty pozyskać. Co się tyczy nieurodzajów i sprowadzających je częściowych przyczyn, jakoto: zbytniego zimna lub gorąca, zepsucia przez owady i t. p., lubo w wielu miejscach towarzystwa zabezpieczeń czyniły usiłowania i próby, powracania strat ztąd wynikających, nigdzie jednak na wielką stopę działań rozwinąć nie mogły, z tój jak się zdaje głównie przyczyny, że trudno jest dostatecznie określić i rozróżnić, co w nastąpionym nieurodzaju wypływa ze zléj i zaniedbanéj uprawy, a co z rzeczywistego nieszczęśliwego wydarzenia. Najpospolitsze tóż, a w skutkach straszne klęski w ziemiopłodach przez pogorzele i gradobicia zrządane, wywołały najznakomiciej po wszystkich krajach rozszerzone i ciągle rozwijające się zabezpieczenia.

Godną jest jednak uwagi rzeczą, że w krajach zachodniej i południowej Europy, zabezpieczenie od ognia ziemiopłodów mniej jest znakomite od zabezpieczenia innych wyrobów przemysłowych i użytkowych. Przeciwnie u nas zaprowadzone dopiero od lat kilku ubezpieczenie krescencyi, w sposób do potrzeb krajowego rolnictwa zastosowany, ten zastanawiający podał wypadek, że z ogólnej masy zabezpieczeń wszelkich ruchomości, wynoszącej przeszło 30 milionów rub. sr. czyli 200 milionów złotych, blisko dwie trzecie części stanowią same ubezpieczenia zboża i paszy. Jestto nowy dowód naturalnego kraju naszego kierunku ku rolnemu przemysłowi, i przekonywa, jak dalece ubezpieczenie to, zupełnie dobrowolnemu przystępowaniu właścicieli pozostawione, z istotnej krajowej potrzeby wynika. A wszakże ta wartość ubezpieczonej od ognia corocznie krescencyi, jest bez wątpienia niewielkim ułamkiem, całej krajowej w ziemiopłodach produkcji, bo zaledwie około dwóch do trzech tysięcy dóbr do tego ubezpieczenia przystąpiło, a wiadomo, że samych w Towarzystwie Kredytowém stowarzyszonych dóbr jest przeszło 5,800. Jednak i ta już część majątków prywatnych ziemiopłodami wyrażonych, która ubezpieczenia od ognia w krajowej instytucyi szuka, pozyskuje zwrot szkód ztąd ponoszonych w wysokości około 90,000 rub. sr. czyli 600,000 złotych rocznie.

Gradobicia mają to zatrważające, że odrazu znaczne przestrzenie kraju niszczą. Dlatego lubo instytucyom ubezpieczeń trudno jest zapewniać bezwarunkowo zupełne wynagrodzenie strat przez

grady zrzadzanych, jednak tego rodzaju zabezpieczenia już się znokomicie w krajach zagranicznych utrwaliły. U nas ostatnie szczególnie lata, tak znaczne w gradobiciach przyniosły klęski, że zabezpieczenie od szkód z nich wynikających, staje się coraz pożądanśm i wiele głosów zaprowadzenie tego zabezpieczenia wywołuje. To też o ile nam wiadomo, Dyrekcyja Ubezpieczeń ma w krótkim czasie działania swoje do ubezpieczeń od gradobicia rozciągnąć.

Druga część majątku rolniczego, to jest inwentarze żywe, nie mniej ważna w intracie od piérwszój, a największego znaczenia w samém działaniu produkcyjnym, ulega wprawdzie mniejszój liczbie wypadków nieszczęśliwych, jak ziemiopłody; ale za to wypadki te okropniejsze są w skutkach, bo wymagają natychmiastowego wyłożenia kapitału na zastąpienie straty. Tu należą choroby zaraźliwe zwierząt domowych i spalenie się ich w ogniu. Nie może być mowy o zwyczajnym upadku inwentarzy ze starości lub przypadkowych chorób, bo to zużycie, czasem i zwyczajnym biegiem wypadków wywołane, do rachunku wartości inwentarzy pospolicie jest wprowadzane.

Ale choroby epidemiczne, w naszym szczególnie krajy wielkie zrzadzają spustoszenia, mianowicie między bydłem rogatém, którego zaraza znana pod nazwiskiem księgosuszu, dotąd żadnemu skutecznemu środkowi lekarskiemu nie uległa. Inne choroby bydła, tudzież owiec i koni, lubo także bardzo w skutkach niebezpieczne, nie są jednak zupełnie pozbawione sposobów leczenia. Upadek bydła stanowi prawdziwą dla rolnika klęskę i wywołuje konieczną potrzebę zasiłku, którego obecnie w kredycie tém trudniej znaleźć, że właściciel zmuszony jest wierzycielowi udzielać rękojmią inną, nie mając już inwentarza, przed upadkiem znakomitą wartość gospodarską przedstawiającego. A że wartość bydła jest bardzo znaczną, przekonują podania statystyczne. Wprawdzie podług podań tych ma się znajdować w kraju tylko 1,850,000 sztuk bydła; lecz osoby bliżej przedmiot ten znające zapewniają, iż liczbę tę jeszcze o połowę podnieść można; a przyjmując w przecięciu wartość jednój sztuki na rub. sr. 15 czyli zł. 100, przychodzimy do znakomitój summy 280 milionów złotych, wyobrażającój wartość bydła rogatego. Z tego, wedle doniesień do urzędu doszłych, pada na sam księgosusz w przecięciu z lat kilkunastu po 2,000 sztuk rocznie, czyli za 200,000 zł.; a były lata, w których zaraza zabierała po 12,000 i więcj sztuk bydła.

Od lat już wielu podawane są u nas projekta zaprowadzenia ubezpieczenia od zarazy bydła; lecz dopiero obecnie zamiar ten zdołano

przyprawić do możności wykonania, i jest niepełna nadzieja, że wkrótce rolnictwo pozyska tak potrzebny dla krajowego położenia środek utrzymania i wsparcia majątku gospodarzy wiejskich.

Ochrona inwentarza żywego od strat z pogorzeli wynikających, już jest od lat kilkunastu zaprowadzoną, i przedstawia 7 milionów rub. sr. czyli 40 kilka do 50 milionów złotych wartości w zwierzętach domowych od ognia zabezpieczonej, z której ulega zniszczeniu corocznie przez ogień i wynagrodzeniu właścicielom poszkodowanym około 24,000 rub. sr. czyli 160,000 złotych.

Ostatnią część własności rolniczej do jej kapitału obrotowego należąca, stanowią sprzęty, narzędzia i maszyny gospodarskie, których ogólna wartość lubo nie może iść w porównanie z wartością ziemiopłodów lub inwentarza żywego, posiada jednak wysoką wartość użytkową w produkcji rolniczej. Straty w tych przedmiotach, pomijając ubytek wartości z samego ich zużycia, pochodzą wyłącznie prawie z pogorzeli, i znajdują w ubezpieczeniu od tej klęski ochronę; korzystają zaś z niej dotąd do wysokości 1,200,000 rub. sr. czyli 8 milionów złotych.

Tak tedy okazuje się, że skoro zaprowadzone będą w kraju ubezpieczenia od gradobicia i od pomoru bydła, obok istniejącego już ubezpieczenia od ognia: najważniejsze i najliczniejsze klęski kapitału obrotowego i wartość rocznych przychodów rolnika dotykające, znajdą dostateczny środek ochrony od strat, tę część bogactwa krajowego umniejszających.

Niedostatecznym byłoby mniemanie, że majątki pojedynczych właścicieli i ich kredyt, znajdują tylko materialne wzmocnienie w tej summie, jaka przez instytucje ubezpieczeń za straty z losowych wypadków jest wypłacaną.

Ubezpieczenia inny jeszcze ogólniejszy wpływ na stosunki ekonomiczne wywierają.

Pierwszym ważnym w tym względzie skutkiem jest utrwalenie wartości ruchomych przedmiotów, których zniszczenie jest równą stratą dla właściciela, jak i dla jego wierzyciela. Lubo zaś kredyt ziemski, ostatecznie wartości kapitałowej majątku patrzy, jednak dochód z kapitału tego i zapas do obrotu produkcyjnego potrzebny, stanowi konieczne źródło ciągłej siły, kredyt ożywiającej. Skoro tedy ziemiopłody i inwentarze nie są wystawione na przypadkowe a tak liczne uronienia, podają w całej wartości silniejsze bez porównania zapewnienie, że i dla produkcji korzystnie będą mogły być użyte, i dla wierzyciela w razie potrzeby dostateczny fundusz na pokrycie

kredytu przedstawia. Im bardziej wielostronnemi ubezpieczeniami majątek rolnika jest osłonięty, tém wierzyciel może być spokojniejszy, że przypadki utraty jego rękoi będą rzadsze. Ubezpieczenia więc zbliżają naturę majątku ruchomego gospodarskiego, do własności przez nieruchomości posiadanych, bo wierzycielowi pozostaje tylko zasłonić się od złej wiary lub podstępą dłużnika, ale o utratę samej materialnej rękoi swój wierzytelności obawiać się już nie ma powodu.

Ztąd wynika, że właściciel dóbr ma zasadę do spodziewania się obszerniejszego i pod korzystniejszymi warunkami kredytu, gdy wierzycielowi przedstawia świadectwa, jako własność jego od największej liczby klęsk jest zasłonięta.

Ale też z drugiej strony wierzyciel ma prawo żądać, aby majątek jako rękoi mu przedstawiany, na straty ze szkód przypadkowych nie był wystawiony.

Ten wzajemny stosunek dłużnika i wierzyciela, dla obu znakomite zapewnia korzyści.

Co do właściciela, pomijając ogólne względy spokojności, jakiej w życiu domowém i społeczném przez zabezpieczenie majątku swego nabywa, pomijając i te skutki moralne, które rozwinięcie ducha przeczności sprawdza; staje on się rzeczywiście bogatszym, skoro usuwa możliwy ubytek swych zasobów. Pewny jest, że w nieszczęściu, kiedy najtrudniej pomocną znaleźć rękę, pod ciężarem niedoli nie upadnie, a co mu kredyt przy ofiarowaniu istniejącego majątku niezawsze dostarczy, to właśnie po utracie majątku tego od instytucji zabezpieczenia uzyskuje.

Wierzyciel, lubo zwykle wystawiany jako pozbawiony litości i czucia na upadek dłużnika, którego wtedy najsilniej nęka, nieraz jednak na przekór tym, co o dobroci natury ludzkiej wątpią, ulega miłosiernemu wrażeniu przez niedolę bliźniego wywołanemu, ale ulega z własną ofiarą, która w zakresie ekonomicznym znaczenia nie jest pozbawioną. Skoro zaś widzi, że dłużnik pomimo doznanej klęski, jest w możności zobowiązaniom zadosyć uczynić, godzi on wtenczas własny interes z uczuciami szlachetnego współczucia, bez straty w owocach swojej pracy.

Jeżeli kredyt pojedynczych mieszkańców taki zasilek w zabezpieczeniu się od strat przypadkowych znajduje, to instytucje kredytowe, tym samym, ale w obszerniejszym daleko zakresie ulegają prawom.

I położenie właścicieli względem instytucji w których kredytu szukają, na tych samych opiera się zasadach.

Trzeba bowiem raz przyjść do tego przekonania, że szkody w majątkach przez losowe wypadki zrządzone, są rzeczywistym długiem, który właściciele wypłacić muszą. Ale dług ten jest bez porównania uciążliwszy od każdego innego dobrowolnie zaciągniętego. Nieszczęśliwe wydarzenia ani summy zawczasu nie oznaczają, którą właścicielowi odebrać mają, ani terminu nie wskazują, w którym z tém wymaganiem się zgłoszą. A wszakże dług do uiszczenia tajemnemu porządkowi przyrodzenia, jest niewątpliwy w massie ogólnej, choć zakryty dla pojedynczych dłużników. Ostra to solidarność społeczna, społecznemi więc środkami zadosyć jój czynić potrzeba. A jeżeli kto zasypia spokojnie dlatego, że jeszcze nieszczęścia z wypadkowej kłęski nie doznał, to niechże pamięta, że podług prawideł rachunku prawdopodobieństwa, jest właśnie bliższym niespodziewanej straty od tych, którzy już jój ulegli. Nikt się nie uprosi takiemu wierzycielowi jak ogień i grad, lub pomór; w własnych więc siłach szukać powinien możności jego zaspokojenia.

Ubezpieczenia niczém inném nie są, jak amortyzacją długu, a korzyści z instytucyj kredytowych także na stopniowém umarzaniu wierzytelności w znacznej części polegają. O ile zaś amortyzacja jest upłacona, o tyle kredyt na nowo działać może. Ależ systematy ubezpieczenia, przez opłaty składki zapewniają właśnie ciągły i do tego całkowity fundusz umorzenia szkody, zrządzić się mogącej. Stawiają więc w możności coraz nowego wydzielania się kredytu na wartość, której zwrot jest zapewniony.

Odnosząc te uwagi do kredytu ziemskiego u nas, przyznać musimy, że dotąd związek jego z ubezpieczeniami nie mógł się rozwinąć, dlatego, że sameż ubezpieczenia dopiero w początkującym są stanie; ale rozszerzenie ich od zespolenia z kredytem właśnie wielce zależy, tak jak i zasilenie kredytu przez ubezpieczenia, nader znakomicie postąpić może.

Nie wracając się tu już do ubezpieczenia zabudowań, które jako dziś w kraju obowiązkowe, do zupełnie osobnej kategorii od innych ubezpieczeń należy, a którego pomoc dla Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, od samego początku jego utworzenia uznana została; wspomnieć należy, że kredyt, jaki Bank Polski dotąd przemyślowi rolniczemu zapewnia, zostaje w ścisłym z ubezpieczeniami związku.

Zawdzięcza dotąd kraj zbawienną myśl przed kilkunastu laty zjiszczoną, kiedy przy okazującym się braku bydła roboczego, Bank Polski znaczne jego ilości na dogodne spłaty rolnikom udzielał. Ale



wieluż właścicieli z tego kredytu korzystający, tracąc przez ponawiającą się ciągle zarazę wartość, którą dopiero spłacić mieli, pogrążeni zostali w większą jeszcze niedolę. Gdyby ubezpieczenie od zarazy już wówczas istniało, środek bankowego kredytu bez porównania korzystniejszy wydalby był skutki.

Udzielanie przez Bank zaliczeń na kupno machin gospodarskich jest prawdziwem dla rolnictwa dobrodziejstwem. Ale kredyt ten nie jest właściwie na wartości machin oparty, tylko będąc stosowany do podatku gruntowego, stanowi dalsze wyczerpanie kredytu, na samej wartości ziemi spoczywającego. W ciągu ostatnich lat 8miu kredyt ten doszedł blisko do 700,000 rub. sr., czyli w przecięciu rocznie do 87,000 rub. sr. to jest 580,000 złotych. Właściciele z zaliczeń korzystający, znajdują pewnie ulgę w wypełnieniu zobowiązań z nich wynikających, skoro ubezpieczają sprawiane maszyny od pożaru, jako szkody, która pozbawiając ich zapożyczonego kapitału, zniewała szukać zwrotu onego w innych obcych mu źródłach.

Zaliczenia przez Bank na zboże udzielane, które w jego składach zostają, są zawsze wsparte ubezpieczeniem od ognia; ale kredyt ten więcej już do zakresu kredytu handlowego, jak czysto ziemskiego należy.

Prawo ustanawiające nasze Towarzystwo Kredytowe, nie mogło obejmować żadnego przepisu, odnoszącego się do ubezpieczeń kapitału gospodarskiego i corocznych zbiorów z dóbr, z powodu nieistnienia wówczas w kraju stosownych instytucyj ubezpieczających.

Inne zagraniczne towarzystwa kredytowe nie wydały w tej mierze wyraźnych rozporządzeń, oprócz jednego towarzystwa kredytowego poznańskiego, które okazując się o wiele oględniejsze tak w własnym, jako i stowarzyszonych interesie, przepisało w § 21 ustawy:

„ Ze obowiązani są także właściciele dóbr, przystąpić do towarzystwa assekuracji od pomoru bydła i gradobicia, skoro takowe w ciągu okresu amortyzacyjnego utworzone zostaną. ”

Ale wszystkie niemal towarzystwa kredytowe, pośrednio miały na pilnej uwadze szkody, przez nieszczęśliwe losowe wypadki w ziemiopłodach i inwentarzach zrzędzane, przepisując, w których razach te szkody służyć mają za powód do ulgi w obowiązkowych opłatach, od stowarzyszonych należnych.

W towarzystwie kredytowem galicyjskiem, fundusz rezerwowy instytucyi służyć ma wedle § 77 ustawy, na zapewnienie pomocy w opłacie należności od właścicieli przez dotkliwe szkody podupa-

dłych; ale zapewnienie téj ulgi, wyłącznie od uznania władz towarzystwa zależy.

Towarzystwo kredytowe kurlandzkie w § 98 ustawy, wyraźnie zastrzega, że szkoda mająca dać prawo do ulgi, nie powinna pochodzić z winy właściciela.

Takież sam przepis posiada towarzystwo kredytowe poznańskie w § 278 ustawy.

Nasze prawo o towarzystwie kredytowém ziemskim zastrzegając podobnie w art. 97, że tylko nadzwyczajne wydarzenia, nie z winy właściciela pochodzące, mogą być powodem ulgi; bliżej objaśnia, jakie klęski do tych nieszczęśliwych wypadków liczone być mają, i wymienia ogień, gradobicie, wylew wód, pomór bydła, zupełny nieurodzaj.

Te wszystkie przepisy, a mianowicie nasze, przekonują, że prawodawcy opierali się na zasadzie, jako zniszczenia przypadkowe w gospodarstwie, niemogące być przez właściciela powetowane, dawać mu powinny słusne prawo do ulżenia w bieżących opłatach, przez ich dogodniejszy na dłuższe terminu rozkład.

Ależ widoczną jest rzeczą, że jeżeli podane są właścicielom środki ochrony się od wielkiej liczby strat, z wymienionych wyżej klęsk pochodzących, jeżeli mianowicie, jak w naszym kraju, zapasy w zbożu i paszy, tudzież inwentarze na zniszczenie przez ogień wystawione, mogą być za pomocą ich ubezpieczenia, ciągle od szkody téj ochraniać; jeżeli środki także podane zostaną dla ochrony zbóż od gradobicia, a bydła od pomoru: w takim razie nie możnaby już bezwarunkowo położenia poszkodowanych uważać za wolne od zarzutu, iż sami dobrowolnie zaniechali środków odwrócenia straty. Zapewnianie większych dogodności stowarzyszonym mniej troskliwym o własne dobro, jak z jednej strony trudniejsze byłoby do usprawiedliwienia przed innymi oględniejszymi i przezorniejszymi właścicielami, tak z drugiej strony nie uniknęłoby słusznej uwagi, że jest zachęceniem do obojętności na ogólne rozszerzanie ducha porządku i gospodarności.

Godném jest zatem bliższego ocenienia i rozbioru pytanie: czy takie pośrednie zniewalanie właścicieli z kredytu ziemskiego korzystających, do zabezpieczenia kapitału obrotowego gospodarskiego i corocznych zbiorów od licznych klęsk przypadkowych, nie odpowiedziałoby i interesowi samychże stowarzyszonych, i potrzebie towarzystwa, przez zapewnienie lepszej jego dłużników wypłacalności.

Ale i z uwag w ciągu pisma tego przedstawionych, i z przykładu towarzystwa kredytowego poznańskiego, następuje się drugie pytanie, czy środek zabezpieczenia od strat przypadkowych majątku ruchomego rolników, nie powinienby być, już nietylko pośrednio, ale bezwarunkowo z udzielaniem kredytu ziemskiego zespolony?

Terazniejszy wzajemny stosunek towarzystwa kredytowego z właścicielami dóbr, ograniczony jest obowiązkiem, dla każdego stowarzyszonego prawem wskazaniami. Towarzystwo poszukując swych należności, nie może wchodzić w to, czy dłużnik jego jest w stanie zadosyć uczynić przyjętym zobowiązaniom.

To też trzymając się zawsze téj pierwszej zasady, że sama kapitalna wartość nieruchomości, wierzytelność jego pokryć musi; nie mogło towarzystwo rozciągnąć przepisów aż do troskliwości o zapewnienie odpowiednich z dóbr dochodów i utrzymanie żywotności kapitału obrotowego. Rozporządzenia bowiem art. 98 i 140 prawa, które polecają przestrzeganie dobrego stanu gospodarstwa w dobrach stowarzyszonych i przedsiębranie środków zaradczych, nie wskazują bliżej sposobów dojścia do tego celu; zawsze tylko dobro towarzystwa jest miane na względzie, i bezpieczeństwo jego pożyczki: bo zawsze pewnym jest towarzystwo, że skoro do ostatecznego środka ekucyi, to jest do sprzedaży dóbr przyjdzie, należności jego pokryte zostaną. A wszakże te środki zagnajające, które są koniecznym prawem następstwem, to wywłaszczenie z włości, jeżeli jest zawsze smutną koniecznością, jakąż cechę nieubłaganéj surowości prawa nosi, kiedy niewypłacalność właściciela z istotnych nieszczęść, z niezasłużonych klęsk pochodzi! Dopóki nie istnieją środki zapobieżenia takim klęskom, dopóty bezwzględność prawa jest zupełnie do usprawiedliwienia; ale skoro przedstawia się możność uprzedzenia, aby właściciel dóbr nie podupadł, aby i owszem w nieszczęściu pomoc znalazł, czyż prawodawca sposobność taką pomijać winien? Samo towarzystwo, gdy skutkiem zaległości w zarząd dóbr wchodzi, kładzie wedle § 93 instrukcyi, obowiązek na ustanawiającego się administratora, aby gospodarstwo jak dobry ojciec rodziny prowadził; a do dobrego gospodarstwa, do troskliwości głowy rodziny, nie należyż przezorność w postępowaniu, wczesne przewidzenie i zapobieżenie złemu? Tém zgodniejszą zatem jest rzeczą z celami towarzystwa, aby takie oględne postępowanie było właściwie drogą dla samychże właścicieli wskazaną i zapewnioną.

Ale i właściciele dóbr, w terazniejszym stanie przepisów Towarzystwa Kredytowego, nie mają żadnego bezpośredniego środka

do usiłowania, aby położenie ogółu stowarzyszonych, coraz pomyślniejszém się stawało; aby straty przez nich ponoszone zmniejszały się; a jeżeli solidarność prawem zastrzeżona, nie znalazła dotąd, i jak się spodziewać należy, nie znajdzie nigdy zastosowania: to wszakże wzajemność w ciężarach i w ulgach, silniejszym pewnie byłaby bodźcem do przestrzegania wszystkiego, co do dobra ogółu towarzystwa odnosi się, jak kiedy odpowiedzialność wspólna, nie we wszystkiém zapewnia wspólne także korzyści. Ubezpieczenia od losowych wypadków na wzajemności oparte, właśnie do tego udziału w pomocy ogółu przypuszczają i dopomagają. Otoż przez takie połączenie obowiązku zabezpieczania majątku rolników, z przepisami Towarzystwa Kredytowego; i toż towarzystwo i stowarzyszeni, oprócz zamienienia działania swego w ogólne wspólne dobro, znaleźliby wzmocnienie własnego interesu: Towarzystwo przez regularniejszy wpływ należności, właściciele przez uchylene przeszkód w możliwości uiszczania opłat.

Tu także należy uwaga na jedną z głównych sprężyn społecznego układu, to jest na obowiązek społeczeństwa działania dobroczynnego w zastępstwie tych jego członków, którzy korzyści z działania takiego albo nie rozumieją, albo uznać nie chcą. Nie mogą i nie powinny instytucje publiczne stawiać wyżej interesu pojedynczych mieszkańców, od interesu ogółu: ofiary nawet pojedyncze w takim celu są potrzebne i usprawiedliwić się dadzą. Ale kiedy interes prywatnych pozornie tylko w pewnych danych okolicznościach, na uszczerbek zdaje się wystawiony, a w istocie z interesem ogółu jest zgodny: wtedy prawodawca z wyższego poglądu na prawdziwe dobro zapatrując się, nie powinien uchylać się od zapewnienia dobra tego, choćby z chwilowém niektórych mieszkańców utyskiwaniem.

Myśl bowiem zobowiązania właścicieli dóbr w Towarzystwie Kredytowém udział biorących, do ciągłego zabezpieczenia krescency i inwentarzy od klęsk, jakim przedmioty te ulegają, tak dalece byłaby ważną dla towarzystwa pod względem zapewnienia wypłacalności stowarzyszonych, a dla nich samych tak korzystną przez zapewnienie pomocy w chwilach najtrudniejszego położenia, że nie znalazłaby żadnej w przywiedzeniu do skutku trudności, gdyby nie ten zarzut z każdej pewnie strony do spodziewania, że tym sposobem przybyłby dla właścicieli dóbr nowy ciężar, nowe, dotąd tylko od dobrej woli zależące, opłaty. To pewna, że zabezpieczenia od strat przypadkowych w inwentarzach i w ziemiopłodach darmo nabyćby nie można. Ale tym nieprzezornym gospodarzom, którzy o dniu dzisiejszym tylko pa-

miętając, najstaranniej odsuwają myśl o tém, co ich jutro i dni następnych dotknąć może, wypada przedewszystkiém dwie zrobić uwagi:

Najprzód, że w terażniejszym nawet stanie ubezpieczeń w kraju, opłaty od wszystkich trzech rodzajów ubezpieczeń, to jest od pożaru, gradobicia i pomoru, niewieleby przeniosły półtora procentu ubezpieczonej wartości inwentarzy żywych, martwych i wszelkich ziemio-płodów; bo składka od ubezpieczenia ruchomości tych od ognia, wynosi obecnie około  $\frac{3}{4}$  procentu; od gradobicia niewiele więcej może uczyni jak pół procentu, a od pomoru bydła jak  $\frac{1}{3}$  od sta. Tym sposobem z solwarku, z którego krescencya roczna może być waita 20,000 zł., a inwentarze 10,000 zł., opłata od wszystkich ubezpieczeń wyniosłaby 450 zł. rocznie, to jest wartość trzech lub czterech sztuk padłego na zarazę bydła, albo jednego spalonego stogu siana. A wszakże spodziewać się należy, że z powiększeniem liczby ubezpieczonych, składki zmniejszałyby się, i że sameż szkody, troskliwością o wzajemny interes, stawałyby się coraz rzadsze.

Powtóre, niedługi byłby czas potrzebny do zamienienia opłat od ubezpieczeń, w ciężar gruntowy do wartości dóbr przywiązany, skoroby te opłaty powszechnemi się stały. W miarę przechodzenia własności z rąk do rąk, nowonabywcy nie czuliby się już przeciążonemi powimościami, w rachunek ceny sprzedażnej weszłemi. Dla pierwszych więc tylko właścicieli przybyłby nowy obowiązek, ale niedaremny, bo korzyściami z wynagradzania strat zrównoważony.

Pomimo tych wszystkich uwag, które znakomitym szeregiem korzyści w społecznym i gospodarskim porządku zwiększyćby można; pomimo przekonania, że przepis wymagający zabezpieczenia od strat-przypadkowych majątku rolniczego w dobrach, do towarzystwa kredytowego należć mogących, byłby rzeczywistym ekonomicznym postępem; wątpliwą jest rzeczą, ażali myśl ta nie ulegnie przed obawą chwilowych i miejscowych trudności. Byłoby to odkładać nadal to, czego pozyskanie im spiesniejsze, tém pożądańsze.

Ależ i w takim nawet razie zwróciłyby się należało do rozważenia, czy tymczasowe, na innéj drodze rozszerzenie kredytu ziemskiego, z korzyściami instytucyj zabezpieczeń pogodziłyby się nie dało.

Już wyżej przełożyliśmy, że Towarzystwo Kredytowe tak jak każdy wierzyciel, miałoby prawo żądania, iżby właściciel, dobra za rękojmią pożyczki przedstawiający, zabezpieczał od strat kapitał obrotowy i dochód coroczny tych dóbr. Ale obok tego postawiliśmy drugą zasadę, że ubezpieczenia te zwiększając ofiarowaną rękojmią,

nadają słuszny tytuł dłużnikowi do korzystania z kredytu w obszer-  
niejszych granicach.

Kredyt do ruchomości gospodarskich wtedy tylko mógłby być z większą pewnością rozciągnięty, gdyby istnienie tych przedmiotów stając się trwalszym za pomocą ubezpieczeń, nie było w każdej chwili wystawione na zniszczenie. Wtedy inwentarze i ziemiopłody stałyby się prawdziwem źródłem kredytu ziemskiego, to jest kredytu, na wzmocnienie siły produkcyjnej ziemi użytego. Dodatkowy taki kredyt mógłby działać odrębnie od głównego systematu kredytowego, aleby się na nim opierał i wzajemnie go zasiliał.

Towarzystwo nasze Kredytowe, które przez mądre i szczęśliwe urządzenie, doszło do wysokiego stopnia pomyślności, czyżby nie było w stanie ułatwić rozciągnięcia działania kredytowego do tej części wartości dóbr, która w kapitale ruchu gospodarskiego, i w zbieranych corocznie ziemiopłodach spoczywa? Zobowiązanie się dobrowolne właściciela dóbr do ciągłego przez czas zostawania w Towarzystwie, zabezpieczania od najgłówniejszych i najsroższych klęsk, całych zbiorów i wszystkich inwentarzy: podałoby nowe bezpieczeństwo dla umiarkowanych, a do potrzeb miejscowego kapitału obrotowego zastosowanych pożyczek. Wprawdzie obok obowiązku ubezpieczania majątku ruchomego rolniczego, potrzebne zapewne okazałyby się inne dodatkowe warunki, zabezpieczenie na majątku tym stanowiące; ale główny warunek rękojmią utrwalający i wzmacniający, w samém zobowiązaniu się do ubezpieczenia spoczywałby. Byłybyto tylko czasowe gospodarskie zapomogi, i rozciągłość ich działania zależałaby głównie od wysokości funduszu, na cel taki użyć się mogącego; już jednak w terażniejszym nawet stanie Towarzystwa Kredytowego, obmyślenie takiego funduszu nie byłoby rzeczą niepodobną. Zasilki wielkich summ zapewne nie dosięgałyby; ale gdyby ciągle kredyt tego rodzaju, choćby w dość szczerpłych granicach stał otworem, osłoniłby wielu, mianowicie mniejszych właścicieli od lichwy, działającą srożej jeszcze na drobne, jak na znaczne kwoty.

Jakiegokolwiek uwagi w piśmie niniejszém zawarte znajdą przyjęcie; zawsze dopną celu swego, jeżeli przyłożą się do rozjaśnienia i uznania ścisłej łączności, zachodzącej między kredytem i zabezpieczeniami od losowych wypadków, a mianowicie, jeżeli wywołają jaki na nie wzgląd przy dalszym rozwoju naszych instytucyj krajowych kredytu ziemskiego i ubezpieczeń.

# POCZĄTKI FILOZOFII KRAJOWEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

*A. Tyszyńskiego.*

---

(Dalszy ciąg).

Odbijanie scholastycyzmu, empiryi, systemu materialnego, niezdołnym było, jako już rzekliśmy, obudzić w pisarzach naszych siły żywotnej. Najzdolniejszymi może piórami przepowiadany i popierany system Locka (1), upadł najgłośniej. Kraj, który miał głównie w badaniach i dociekaniach swoich wychodzić ze stosowania, częścią przepowiadaniu temu wnet faktami zaprzeczył, częścią nie słyszał go. Siłę ową, zdolną była, miała dopiero obudzić, filozofia niemiecka. Już w roku 1822 wydana przez Józefa Gołuchowskiego w Erlangen rozprawka filozoficzna w języku niemieckim: *O stosunku filozofii do życia krajów*, odbicie nauki Szellinga, przybliżenie się czasu nowego dla biegu krajowego myślenia zapowiedziała. Wkrótce nadeszli pisarze myślenie to w odrębniejszych jeszcze słowach i myślach, a myślach nowy system moralny coraz jawniej kształcących, wnet odbili i rozwinięli.

Lecz oto po rozwiciu myśli, a badań myśli jakie widzieliśmy, po rozwiciu a doprowadzeniu do swoich krańców systemu materializmu, po rozwiciu i doprowadzeniu do krańców systemu idealizmu: czyliż jeszcze potrzebnym być może, i czyliż nawet być może, pośród sfery dociekań, jaki nowy, odrębny system?

Czyli i jakie się ukazały nowe szczegóły badań, w utworach pisarzy naszych?—to ujrzyć mamy; co zaś do systemu nowego, dodaj-

(1) Jan Sniadecki w *Traktacie o filozofii*, i w rozprawach stosujących ten system do krytyki sztuki.— Książk Anioł Dowgird w dwóch obszernych tomach swjej *Lotki* i t. p.

my tu tylko: iż jako leśne drzewo, albo kwiat polny, rosną a w swoim wzroście łącząc się z światłem, ciepłem, powietrzem i t. p. zadość czynią warunkom chemicznym, jakkolwiek nie znają chemii; tak też nieraz taki lub inny system tkwić może w daném piśmie pisarza albo pisarzy, bez wiedzy nawet o tém samych pisarzy. Stronnicy systemu materialnego sądząc, niegdyś iż badają w swych pismach zarówno naturę wewnętrzną jak i zewnętrzną, w gruncie jednak badali tylko zewnętrzną; pisma filozofów niemieckich (zwłaszcza tak między niemi zwanych filozofów natury) zaczynały zawsze swój wykład od potępienia jednostronności, a od uznawania i badania obustronności, a jednak kończyły zawsze na pierwszej (idealności natury); — tak też i twórcy tych pism, o których rzecz teraz mamy, jakkolwiek przy ich utworze mniemać mogli, iż naśladowają w nich tylko jaki poprzedni system, lub mniemając, iż budują jakowy nowy a łączny (np. rzeczywistości), pojmowali mylnie tę rzeczywistość; w gruncie jednak mogli istotnie kształcić w nich system odrębny, sobie właściwy, i nawet *spólny*, jakkolwiek do samopoznania swego przyjść dopiero kiedyś mający.

Pisarze o których rzecz mamy, wszyscy prawie wyszli z poprzedniego poznania i poprzedniej uprawy filozofii niemieckiej; jedni z nich wszakże teorią tam rozwiniętą badania za doskonałą i ukończoną uznając, skłaniają ją wprost do stosowań; inni przed przystąpieniem do praktyki, pragną najprzód poprawiać samą teorią. Jak zaś powiedzieliśmy wyżej, mamy tu szczegółowiej rzecz o autorach *Metapolityki*, *Loiki*, *Filozofii chrześcijańskiej*, *Modlitwy* i *Odpowiedzi*.

### Autor *Metapolityki*.

Autor, którego pisma poczytujemy za ziarno (t. j. za skład pierwotny a w sobie żywotny) tych wszelkich cech, które w dalszych filozoficznych utworach naszych pisarzy, odrębność ich ukształciły; autor *Prodromu do Messyanizmu*, *Messyanizmu* i *Metapolityki messyanicznej*, filozoficzny system swój, jak to sam wyznaje, zaczął od stosowania teorii Szellinga i Kanta.

Autor ten (Hoene Wroński) rodem z Polski, lecz od początku stulecia bieżącego zamieszkały we Francyi, językiem tego kraju wyłącznie piszący, kraj ten głównie za przedmiot swych badań i porad biorący; jakkolwiek wychodzi w swych pismach z systemów nowszej filozofii i jakkolwiek te pisma swe ogłosił z początkiem trzeciego dziesiątka naszego stulecia, na przedmiot jednak który w nich dotyka, na



ludzkość i cechy rozwijania się jęj, patrzy jako na takie, które były jeszcze przy początku tego stulecia, a raczej przy końcu zeszłego; według tych cech i tój szaty winien tęż być pojmovany w swoich zasadach.

Wroński z pierwotnego powołania swojego był matematyk; przedmiotem więc który uprawiał najprzód piśmiennie (i uprawiał dotąd *najszczególówiej*) była *matematyka*. Matematyka jest właściwie nauką form świata, autor dotykał jęj jednak nietylę jako nauki form, ile raczej jako nauki badającęj przyczyn tych form; to jest: w pismach swoich matematyce poświęconych, rozwijał nietylę *matematykę właściwą praktyczną*, ile raczej *filozofią matematyczną*.

Matematyka, jak uprawiano ją dotąd, jest zbiorem, rozbiorem prawd ze sfery zewnętrznych granic natury, prawd na jawności dowodów opartych, niemylnych, ale cząstkowych. Jest w przyrodzie jedna prawda ogólna; matematyka jest jedną z cząstek tēj prawdy. Jako prawda absolutna jest jedna, tak tęż być musi i w swym odcieniu, jedna „absolutna prawda matematyczna”. Docieczeniu tēj „absolutnėj prawdy matematycznėj” zajął się autor w swych pismach, i dociekłszy, oznaczył ją wynalezioną przez siebie *formułą*. Wszystkie prawdy matematyczne już znane, już które poznać się dadzą, są to według autora, oderwania i rozwinięcia tēj jego formuły (1).

Po zastosowaniu w ten sposób nauki przyczyn do nauki form (filozofii do matematyki), autor postąpił dalej, i pragnął otrzymać wypadki z działania na odwrót czyli z zastosowania nauki o formach do nauki przyczyn, t. j. matematyki (z nową, już jęj zdobyczą) do filozofii.

Prawa formy istnieją nietylko w świecie widzialnym, lecz tęż i niewidzialnym. Jak jest jedna absolutna formuła filozoficzno-matematyczna dla rozwić *zewnętrzných*, tak tęż musi być jedna matematyczno-filozoficzna dla rozwić *wewnętrzných*. Wszelki szczegół rozwinięcia ludzkiego: umiejętność, filozofia, historia, sama religia, muszą posiadać w swęj treści żywioł odbicia, być rozwinięciem owęj jednėj formuły absolutnėj. Jakaż jest? i jak dociec i oznaczyć możemy tę formułę?

Wszelkie zjawiska świata moralne jak i fizyczne, są podobnymi sobie w swojém rozwiciu; jeśli więc poznamy i oznaczymy doby rozwicia jednego ze zjawisk świata, poznamy i oznaczymy tēm samém doby rozwicia wszystkich. Autor badał i doszedł, że w rozwinięciu

(1) Filozoficzno-matematyczne pisma Hoene Wrońskiego, tu odnoszące się są: *Wstęp do filozofii matematyki*. *Filozofia techniki*. *Zbicie teorii funkcij analitycznych Lagranża*. *Filozofia nieskończoności*. *Krytyka teorii funkcij tworzących, Laplasa*. *Wykład ogólny równań* i t. p., wszystkie w języku francuzkim.

każdego zjawiska naszego świata (fizycznego jak moralnego) warunkiem są trzy następne części czyli pierwiastki:

1. Ustawa pierwotna czyli *najwyższa* (la loi suprême), źródło prawd absolutnych w każdej umiejętności.

2. *Zadanie ogólne* (problème universelle).

3. *Spółdziałanie celowe* (concours téléologique) czyli przejawiająca się skrycie tajemna łączność systematów, jako cel ostateczny nauk.

Trzy te części kształcić muszą każdy szczegół rzeczywistego rozwicia w składzie i biegu ludzkości, czyli jak mówi autor: „Ta trichotomia architektoniczna, jest charakterem budowy absolutnej każdego systemu rzeczywistości”. I tak np. trzy prawa te trichotomii w *historii filozofii*, są według autora następujące:

1. *Ustawa najwyższa* — prawo postępu.

2. *Zadanie powszechne* — rozwinięcie się ostateczne ludzkości przez *samodzielność* (siłę swęj woli), w okresie celów rozumowych czyli bezwzględnych.

3. *Spółdziałanie celowe* — rozwinięcie się pierwotne ludzkości, sprawione przez celowość ziemi w okresie celów fizycznych czyli względnych.

W *filozofii bezwzględnej* czyli absolutnej:

1. *Ustawa najwyższa* — sam absolut czyli bezwzględność, jako bezwarunkowa zasada każdej rzeczywistości.

2. *Zadanie powszechne* — tworzenie własne człowieka.

3. *Spółdziałanie celowe* — rozwiązanie tajemnicy ustawy stworzenia, gdzie (mówi autor) wyłożonemi być mają: *fatalność* i *wolność*, *ogólność* i *jednostkowość* i wszelkie kwestye.

W *religii bezwzględnej* czyli absolutnej:

1. *Ustawa najwyższa* — dogmat słowa w Bogu i człowieku jako siła twórcza.

2. *Zadanie powszechne* — celowość przepisów moralnych w odrodzeniu się duchowém człowieka.

3. *Spółdziałanie celowe* — rozwiązanie tajemnicy upadku człowieka, gdzie wyłożone zostaną: *łaska* i *zasługa*, *odkupienie* i *własne zbawienie* i wszelkie kwestye.

Oprócz tych praw ogólnych, autor w swym wstępie (Prodro-mie) do *Messyanizmu* i w rozprawach: *Messyanizm* i *Metapolityka mesyaniczna*, określił nadto i szczegółowięj, jak uważa ostatecznie cele ludzkości, bieg do nich; jak uważa środek zbawienia (t. j. ów Messyanizm), który ma przybliżyć te cele, kierować ten bieg.

Zjawiska w rozwiciu ludzkości tak jednostkowie brane, jak i społeczne, są skutkami, uważa autor, częścią *rozumu* ludzkości, częścią jój bezwzględego uczucia czyli *wiary*. Wiara i rozum postępowały dotąd odrębnie, t. j. działając nawzajem przeciwko sobie, a skutki tego działania, następnie wyraziły się w dziejach.

*Rozum bezwzględny* czyli *bezw warunkowcy* przychodząc do swego wzrostu, a wychodząc z prawd jedynie sobą zdobytych, (empirycznych) sprawił był zrazu w religii *reformacyą*, w filozofii system *materalizmu*, w społeczności rząd przez *Ustawę*. Czyniąc jednak wkrótce krok dalej, wszelki przedmiot oporu przeciwko sobie za fałsz i więzy poczytał, i dziś (mówi autor, patrzący jak rzekliśmy w swych teoriach na świeże skutki zeszłego stulecia) dziś, ostatecznym rozumem celem jest, w religii: zniesienie wszelkiej; w filozofii: sycenie wyłącznie zmysłów; w urzędzeniu społeczném: *radyzalizm* (autor mówi *republikanizm*). Praktycznym objawieniem się tego czysto racjonalnego dążenia, był przy końcu zeszłego wieku fakt zwany *rewolucyą francuzką*. Stronnicy tego systemu noszą, według autora, nazwisko *liberalistów*.

Z drugiej strony *wiara bezwzględna* odbywając także swą drogę, a w kierunku swym odrzucając ściśle to wszystko, co było dojściem rozumu, i pragnąc tylko utrzymać *in statu quo* to wszystko, co raz znalazła, w *filozofii*, *religii*, *stosunkach społecznych* i t. p. doszła do wprost przeciwnych wypadków. Co do filozofii, wyrazem tego dążenia jest gałąź téj nauki, według jednych zasad od początku religii chrześcijańskiej rozwijana, a spótcześnie nam, zwana *Filozofią Chrześcijańską*; reprezentantami dziś której (mówi autor) są w filozofii stronnicy szkoły *wiedeńskiej* (jako Fryder. Szlegel, Görres i t. p.). Wyznawcy tego systemu przemogli wyznawców pierwszego. Są kraje, mówi autor, które są przedstawcami z całą ścisłością idei téj. Idea ta ma wreszcie po wszystkich krajach swoich stronników, a stronnicy ci noszą (zawsze według autora) nazwisko *antiliberalistów* (t. j. jakoby przeciwników wszelkiej swobody). Taki jest, dodaje autor *Prodromu*, stan obecnego bytu ludzkości: dwie naprzeciw siebie stojące partye w społeczeństwach czyli *antynomia socyalna*. Skutki téj antynomii, jak wszelkiej, muszą być smutne: *zaburzenia*, *opory*, *uciski* i t. p. A stan ten uważa autor, jest tém smutniejszy, iż w trwaniu jego nie może się nawet przewidzieć żaden ratunek. Ratunkiem mógłby być tylko postęp, lecz oto równie stronnicy wiary *bezw warunkowej*, którzy twierdzą: iż człowiek w stanie grzechu pierwotnego niezdolnym jest do poznania, bez objawienia, żadnych

prawd nowych; jak i stronnicy rozumu bezwarunkowego, którzy utrzymują, iż źródłem prawd poznawanych są tylko nasze zmysły (które z natury swojej są zawsze niezmiennie), są w gruncie równie nieprzyjaciółmi postępu. Stan taki czyliż więc ma być stanem już ostatecznym ludzkości? Stan *antynomii*, wiemy z kądinąd, nie może być ostatecznym. Przemiana moralna w tym stanie, jakoż może się stać? Zmiana moralna nie otrzymuje się jak przez działanie moralne. Zbawić ludzkość z tego jej stanu, może tylko nowe działanie moralne. Działanie to jeżeli mamy mu nadać jaką nazwę szczególną, nie może być mianowane ani *filozofią*, albowiem musi mieć cele jakby extra-filozoficzne; ani *religią*, albowiem wkracza na pole, obce na pozór religii; ani *polityką*, bo nie dotyczy wyłącznie polityki, t. j. zewnętrznego stanu społeczności; działanie to ze względu na cel i naturę swą, da najwłaściwiej nazwać się *Messyanizmem* (1).

Jakież ma być w szczególności zadanie i cel tego messyanizmu? Zadaniem i celem messyanizmu tego ma być: zniesienie antynomii socyalnej; pogodzenie stanu i dążeń *rozumu bezwarunkowego*, który za cel ma prawdę bezwarunkową i *wiary bezwarunkowej*, która za cel ma: cnotę bezwarunkową.

Filozofia bezwarunkowa stając się messyaniczną, weźmie charakter przeczący, zależący na wprowadzeniu pod obszar docieczeń rozumu *wszelkiej rzeczy (chrema)* istnającej, i będzie się zwać mogła *achrematyzmem*.

Religia bezwarunkowa stając się messyaniczną, zachowa charakter twierdzący, zależący na dołączeniu do moralności: celu rzeczywistego, przez chrystyanizm objawionego, oraz poznanego-przez rozum, a ztąd mogący mieć nazwę *sehelianizmu* (od hebrajskiego *rozum*).

Formy społeczne przybiorą cel messyaniczny, t. j. popierania celu messyanicznego.

Ludzkość przy równym działaniu filozofii, religii i form społecznych, dojść w końcu musi do straty gryzącej ją antynomii.

Religia mająca na celu cnotę bezwarunkową, dojdzie na drodze tej do uznania prawdy bezwarunkowej.

(1) *Messyanizm* ten, autor uważa, nie będzie to żadna sprzeczność, żadne przeciwieństwo chrystyanizmowi, będzie to owszem (jakoby w dalszym swym ciągu) ów przepowiedziany przez ewangelią, przyrzeczony uczniom przez Zbawcę: *Pocieszyciel*, *duch prawdy*, który ma nauczyć nas z czasem wszelkiej prawdy. Nauka ta messyanizmu autora, zawartą jest w następnych jego pismach: *Prodrom do Mssyanizmu*, *Messyanizm*, *złączenie ostateczne religii i filozofii*, *stanowiące filozofią bezozględną*; *Metapolityka messyaniczna*; *Apodyktyka messyaniczna* i t. p.

Filozofia na drodze tój, mającój na celu prawdę bezwarunkową, dojdzie do uznania cnoty bezwarunkowój (1);

Filozofia, religia, społeczność znikną w końcu w swych nazwach;

Czas ten harmonizuje się zbliży, ze stopniowém wyrobieniem się woli (*samodzielności*) człowieka. Byt absolutnej woli, rozumu absolutnego i nieśmiertelność staną się udziałem ludzkości.—Cel absolutny rozwić otrzymanym zostanie.—Zniknie z ziemi królestwo śmierci i złości, a przyjdzie *Boże*.

### Autor Loiki.

Jak Wronski, wyszedłszy w swym systemie i pismach filozoficznych ze spólczesnej sobie teorii filozoficznój *Szellinga*, wiódł ją do praktyki; tak autor o którym teraz rzecz mamy, a którego od głównego pisma jego dotąd ogłoszonego, nazywać będziemy autorem *Systemu loiki*, wyszedł równie z systemu spólczesnej sobie filozofii niemieckiej (*Hegla*). Przed skłonieniem jednak tój teorii do praktyki, przedsięwziął najprzód zmienić, udoskonalić samą teorią.

Filozofie któreśmy mieli dotąd, nie byłyto ściśle mówiąc filozofie, ale byłyto tylko gałęzie filozoficzne, rzekł autor. Treścią istotną świata jest zarówno materya i duch. Ostatnia filozofia niemiecka, a w szczególności system w niej *Hegla*, jakkolwiek w treści swój nader jest wyższą od filozofij poprzednich, które nie dopuszczały prawdy ducha, była jednak w tém nader niższą, iż zaprzeczyła bytu materyi, która przecież także jest prawdą. Filozofia rzetelną nie ściąga się wyłącznie do materyi czyli realności, ani wyłącznie do ducha czyli idealności, ale do materyi i ducha w ich złąciu czyli *rzeczywistości*. Tylko filozofia oparta, wychodząca z zasad rzeczywistości, z uznania rzeczywistości, będzie filozofia istotna *uniwersalna*. „Tę wam filozofię istotną uniwersalną przynoszę w miejscu waszój cząstkowój” rzekł autor do kraju w którego języku ogłosił swe pierwsze pisma, i za główne źródło poznania w człowieku uzna-

(1) W pierwszych dniach po przewrocie społecznym w Paryżu w roku 1830, autor do nowo utworzonego wówczas rządu podał projekt zaprowadzenia w kraju *dwóch izb*, z którychby pierwsza będąc wyrazem *prawdy bezwarunkowój*, miała za cel kierowanie do cnoty bezwarunkowój; druga zaś będąc wyrazem *cnoty bezwarunkowój*, miała na celu kierowanie do prawdy bezwarunkowój. Autor w przedmowie do swego traktatu o messyanizmie umieścił odpowiedź otrzymaną od właściwego ministerjum, w której oznajmiono mu, iż projekt ten jego nie mógł być wzięty pod dalszą rozważę.

wszy tkwiącą w nim siłę, która nie jest ani *umysłem*, ani *zmysłem*, ale raczej ich obu pierwiastkiem czyli zlanem, jakowymś prawdowidzem (*Wahrnehmung*); ze stanowiska tego w dwóch dziełach swych: (*Zasada filozofii uniwersalnej*, 1837 r. i *Umiejętność natury*, t. II 1839 i 1840 r.) wykład rozwicia natury i naszych docieczeń moralnych opowiedział.

Zawarty w tych dziełach system, autor jednak ze zmianą języka w pisaniu, częścią odmienił, częścią znacznie rozwinął i w nowy sposób rozjaśnił. Dzieło jego: *System krajowej loiki* (II t. 1844) jeden z najznakomitszych utworów myślenia nam społecznego, a na polu czysto dyalektycznego myślenia najznakomitszy utwór w naszej literaturze filozoficznej, jest i ostatnim najszczególowszym (co do zasad) jego wykładem. Rys systemu autora podamy tu więc podług tego, jak się w tém dziele wyraża (1); jakkolwiek trzymając się zawsze w wykładzie więcej punktów stosowań, jak szczegółów rozważanej metody i dyalektyki.

Każda rzecz ma swą stronę zewnętrzną — *materyą*, i wewnętrzną (prawa, myśl rzeczy) — *duch*; zlanie obu stanowi *istotę* rzeczy. „Filozofia jestto poznawanie *istoty* rzeczy”. Filozofie które mieliśmy dotąd, jakkolwiek rozprawiwały nieraz o stronie jednej i drugiej rzeczy stworzonych, t. j. i materyi i duchu, wiązały się jednak zawsze w jedną; to jest, albo uznawały najwyższość w materyi, zmysłach, mając za nicosć ducha, albo widziały najwyższość i wszystkość w duchu, a nicosć w materyi.

Poznawanie, które miało za hasło wiarę wyłącznie w materyą, byłoto, właściwie mówiąc, nie filozofia, ale *empirya*.

Poznawanie, które się zwracało głównie do ducha czyli myśli rzeczy, byłoto właściwie nie filozofia, ale *spekulacya*. Poznanie, które się zwróci razem do obu tych stron, ich zlania, całości, będzie dopiero *filozofią*.

Empirya, jeśli ją filozofią zwać mamy, byłoto filozofia materyi czyli *realności*; spekulacya, byłoto filozofia ducha, czyli *idealności*; filozofia materyi i ducha w ich zlaniu czyli filozofia rzetelna, będzieto filozofia *rzeczywistości*.

Wiedzę naszą chcemy zmienić w rzetelną czyli filozoficzną, t. j. podnieść ją do poznania *istoty* rzeczy; jakoż skutecznymy to? Nasze

(1) Krytykom, którzy rozbiorowi zasad autora o którym mówimy, poświęcili oddzielne pisma, jako autorom, dzieła: *Początki filozofii chrześcijańskiej*, i rozprawy: *O stosunku filozofii bezpośredniej do religii i cywilizacyi naszej*, nieznaném jeszcze było to ostatnie pismo.

ja, które chce mieć tę wiedzę, jest (jak wiemy to dobrze) częścią ja materyalne czyli cielesne, częścią niematerialne, czyli niecielesne. Świat który jest wokół, ma równie obie te strony. Nasze ja materyalne jest w bezpośrednim związku ze światem materyalnym, i dokładnie poznaje ten świat; nasze ja niecielesne jest w bezpośrednim związku z światem niecielesnym i poznaje ten świat; jeśli przeto poznać pragniemy całość, musimy ją sądzić przez całość: t. j. iż ma sądzić nie *ja cielesne* lub *ja niecielesne*, nie ja, które jest materją, albo téż ja, które jest duchem; ale ja, które jest i materją i duchem, albo właściwie mówiąc, które nie jest ani materją ani duchem, ale zlewem, przyczyną zjawiska obudwu; nasze *ja rzeczywiste* — *jaźń*.

Nasza *jaźń*, mała wszechcałość, zbiór cząstek, może sądzić nie tylko przez swą całość, lecz czątki; któraż z władz jego widzi *rzeczywistość*?

Świat cielesny, *jaźń* nasza poznaje przez swój punkt związku z tym światem, t. j. przez *zmysły*; świat duchowy przez łączność swą z światem duchowym, t. j. przez *umysł*; lecz władza która ma sądzić *całość*, jestto władza, która stanowi całość, t. j. która jest razem umysłem i zmysłem, a raczej która nie jest ani zmysłem ani umysłem, ale jest zlanie i źródłem obu, t. j. nasz *mysł*. Zmysł nasz widzi realność, umysł idealność, *mysł rzeczywistość*. Zmysł nasz mówi „czuję, więc jestem”; umysł mówi „myślę, więc jestem”; *mysł* zaś mówi „żyję, więc jestem”. *Empirya* uczyła nas o tém, co widzą *zmysły*; *spekulacya* o tém, co widzi *umysł*; filozofia rzetelna będzie dopiero ta, która objawi nam to, co widzi *mysł*. „*Empirya* i *spekulacya*, mówi autor, to nasze *Karpackie góry*, mające być przyszłej filozofii naszej *podnóżami*”. *Empirya* i *spekulacya* byłyto naturalne przejścia, ale dopiero przejścia do filozofii. Byłyto doby i zwroty poznania ludzkości, będące jakby moralnym odbiciem i podobieństwem losów samej ludzkości. Przejście z *empiry* do *spekulacyi*, było, rzecz można, śmiercią ciała i czasu uwolnionego od ciała bujania dusz nieśmiertelnych; przejście zaś ze *spekulacyi* do filozofii, będzieto owe przepowiedziane przez chrześcijaństwo *ciężkie zmartwychwstanie*, t. j. „przybieranie się dusz w dawne ciało, ale skuteczniejsze i lepsze”.

Ta siła, przez którą poznaje nasz *zmysł*, zowie się *rozum*, a towarzyszy mu *pamięć* i *wyobraźnia*. Siła, przez którą poznaje *umysł* jest *rozsądek*, a towarzyszy mu *um* (czyli *fantazyja*) i t. d. Zaś siły przez które poznaje nasz *mysł*, sąto *uwaga* i *rozważa*.

*Rozum*, ten nasz *empiryk*, patrząc na świat zewnętrzny, patrzy tylko na zewnętrzne, oddzielne szczegóły, i widzi w ten sposób tylko

*bezwzględną różnią. Umysł docieka praw skrytych i szykując swe docieczenia, ukazuje nam względną jednię; myśl wreszcie łączy oba te względy, i daje nam filozoficzną różnojednię.*

Świat ten, materya świata, to wielka stojąca jedność. „Świat ten rozsypałby się natychmiast w atomy, albo raczniej w chaos, gdyby węzłem jego *wszystkości* nie była jedność”. Źródłem różności w tym świecie jest *duch* (formy ciał, myśli i t. p.) a złączenie obu tych stron jest istotą. Materya więc jest *twierdzeniem*, duch jest *przeczeniem* (1), istota zaś *kojarzeniem*.

Jak się mają do siebie *materya* i *duch*, tak się mają do siebie *prawda* czyli *przyroda istnąca*, i *wiedza* czyli *myśl* nasza zastosowana do tej przyrody. Natura jest *twierdzeniem*, wiedza *przeczeniem*, poznanie ich, *kojarzeniem*.

Naturze niewzruszonej i niedopuszczającej różności, odpowiada *wiara*, wiedzy *nauki*. Wiara więc jest *twierdzeniem*, nauka *przeczeniem*; zlanie zaś dopiero obu tworzy w nas należne *poznanie*. To poznanie w filozoficznej (i zdaniem autora, nader filozoficzniejszej nad wszelką) mowie naszej, zwane jest *przekonaniem*, i słusznie, gdyż przychodzimy do niego jakoby przez *konanie* wiary, gdy jesteśmy w momencie metafizycznym, i *wiedzy*, gdy ją z *twierdzeniem* wiary zlewamy. (Serce nasze w chwili równego poznania zniszczywszy przejścia, staje się rzecz można, przez porównanie, *sercem dziecka*, mówi autor).

*Religia*, która jest formą wiary, niedostateczną jest przez się; *nauka*, która jest formą wiedzy, niedostateczną jest przez się; prawdziwym zaś środkiem poznania jedynie więc jest *filozofia*. Do poznania Boga i prawdy, właściwie mówiąc, może dojść tylko *filozof*. Filozofia

(1) Główną wadą filozofii niemieckiej, tej filozofii o tyle złądiną wyższej nad wszystkie poprzednie, było właśnie to, iż brała (powtarzamy tu zawsze myśli autora) *duch* za *twierdzenie*, *ideę* za *rzeczywistość*. Metoda ta wiodła w końcu do *poznawania* siebie, nie *rzeczy*. Złąd loika, która była wyrozumowaniem *pojmowania* tej filozofii, loika Hegla, „była *wszystkiem*”, mówi autor, tylko nie *loiką*. To co widzimy zewnątrz siebie, nie jest to jedynie *idea* czyli *myśl* naszej wypadek, lecz ma *myśl* równie *własną* *wewnętrzną*, jak *stronę* *zewnątrzną*, ma *rzeczywistość* w *sobie*. Podmiot więc czyli *subjekt* *rzeczy* nie w nas jest, ale w *istocie* *rzeczy*, jest on *nie tylko* *wewnątrz*, ale i *zewnątrz* nas. *Spekulacja* (filozofia germańska) *mniemała* *przeciwnie*; brała ona *podmiot* za *przedmiot*, a *przedmiot* za *podmiot*, złąd *falsz* całej tej *spekulacji*. Niemcy *zmieszali* *Subjectivität* mit *der Individualität*, *naszą* *pojedynczość* z *ogółem* *podmiotowości*; *nasza* *pojedynczość* nie jest ani *wyłącznie* *podmiotem*, ani *wyłącznie* *przedmiotem*, ale jest *zlanie* *obu*, *całością*, jest *miotem*. „W czasie *poznania* *człowieka*, nie stoi, jak *utrzymują* Niemcy, z *jednej* *strony* *podmiot* a z *drugiej* *przedmiot*, lecz z *jednej* *strony* *miot* *będący* *jaźnią*, a z *drugiej* *miot* *będący* *światem* lub *inną* *rzeczywistością*, którą *dociekamy*. *Miot* w nas *poznaje* *miot* za *nami*.”



nie odrzuca ksiąg świętych, jak to uczyniła *empirya*, ani też walczy z niemi, jak czyni to *spekulacya* „lecz usiłuje rozumić je należycie.” Ona nie odrzuca żadnego twierdzenia, ale je kojarzy z przeczeniem.” „Religia jest chrztem świętym, a filozofia bierzmowaniem naszego myślu, przychodzącego do unii z Bogiem”.

Jakież są prawdy, których dociekła i które podała nam pojęta w ten sposób filozofia przez autora? to jest: które ujrzał i objawił nam jego *myśl*, przeprowadziwszy *myśl* naszą w *Loice* przez kategorie i podkategorie *prawdy*, *wiedzy*, *poznania*, (1) i kojarząc w tych ostatnich, dostrzegany zmysłem majestat natury, z całą różnicą widzianych umysłem nauk?

Prawdy główne, które autor w badaniu istoty rzeczy dostrzegł, jak mówi, myślem, objął *poznaniem*, a które określają praktyczniej cechy systemu jego, są mianowicie następujące:

Pierwiastkiem stworzonych rzeczy jest ich przyczyna — *Bóg*. Bóg jest nie tylko duchem, lecz i materją, albo właściwie mówiąc nie jest ani duchem ani materją, ale jest *wszystkiem*. Nie możemy oglądać go zmysłem, ani pojąć umysłem, ale poznajemy go myślem. Bóg, że tak wyrazić się można, jest otoczony słoneczni słońce, światami światów, a rozwinięwszy z swęj woli cały rząd stworzeń, w ostatecznym wypadku ich, na podobieństwo tych praw, które nam są widome (jak np. w roślinie, gdzie ziarno wydaje ziarna) odtworzył się sam w podobieństwie swojem, którem jest *człowiek*.

Człowiek, ostateczny wykwit stworzenia, jest podobieństwem swego pierwiastku — Boga; jest jednak stworzeniem, nie stwórcą, skutkiem a nie przyczyną: jest *bóstwem*, lecz *bóstwem zatwardwanem*.

Człowiek jest podobieństwem Boga, Bóg przeto jest podobieństwem naszym; — jest w nim *prawda*, *wiedza* i *znanie*.

Prawda, wiedza i znanie złane są w Bogu, są Trójcą w Bogu. Bóg chciał ujrzeć swą prawdę za sobą, i stworzył *świat*; swą wiedzę, i stworzył *prawa światowe*; swe znanie, i stworzył *człowieka*. W wszechświecie jest Bogiem *Ojcem*, w prawach jego jest Bogiem *Duchem*, w człowieku, jest Bogiem *Synem*. — Bóg jest *stnieniem*, — natura *istnieniem*, człowiek zaś (połączenie natury i ducha) jest *istniostnieniem* (2).

Natura przez myśl Bożą stworzona, jest w sobie martwą: jak są martwe w sobie te głoski, które kładzie człowiek wyrażając myśl

(1) *Prawdoblamy* — *wiedzoblamy* — *poznanioblamy*; — *podprawdoblamy*, *podwiedzoblamy* *podpoznanioblamy*.

(2) „Bóg jako zewnętrzne *stnienie* stworzył nieskończone *istnienie*, a jako wewnętrzne *stnienie*, chciał *istnienie* to przywieść do świadomości i tchnął *stnieniem* w *istnienie* — czyli stworzył człowieka.” I. 77.

swoję; a które pojąć tylko może czytelnik mniej więcej do pisarza podobny. Natura nie wie o sobie, a zna ją tylko Bóg w niebie, i poznaje człowiek na ziemi.—Człowiek jest połączeniem natury martwej i ducha żywego, jest *słowem Bożem*, jak słowo nasze jest połączeniem *myśli* naszej oraz materji (głosu).

Człowiek ziemski, który w chwili stworzenia stał się wprawdzie zawarowanem bóstwem lecz bóstwem; dlaczegóż przedstawcą jest *nędry, nieszczęść, śmierci*, jakby jakiegoś ciężącego nad rodem swoim *przekleństwa*?

Skrzywienie *wolnej woli* sprawiło ten upadek godności człowieka; skrzywienie to stało się pierworodnym grzechem ludzkości.

Jestże i jakież jest środek ratunku? — Co było źródłem upadku, być téż winno (przypominamy, iż powtarzamy tu zawsze twierdzenia autora) źródłem dźwignienia; jedynym środkiem dźwignienia, wydobyć się z następstw tych, jakie na nas złał grzech pierworodny, jest restaurowanie swój woli—*samodzielność*.

*Samodzielność* jestto wyswobodzenie naszych uczynków i sądów ze stanu, w który fałsz je przyodziął;—wzniesienie naszej woli i wiedzy do wysokości Bożej. Naukę a razem przykład samodzielności takiej, dał nam *Zbawiciel*.

Środkiem samodzielności naszej jest *wola*, oraz ten a nie inny cel woli. Wolą każdy ma wolną; cel jej wskazać może tylko *poznanie*, rozwijanie tego *poznania (filozofia)*. Jako bowiem Bóg pragnął przyjść do odbicia się swego w człowieku, i łączy się z nim przez węzły istnienia; tak nawzajem człowiek przez utwory i kształcenie utworów swój myśli, naodwrot przychodzi do poznania, ujrzenia i połączenia się z Bogiem. „Bóg chcąc ujrzeć samego siebie za sobą, to jest człowieka, stworzył troiste wszech istnienie: naturę, ducha i świat. Człowiek znowu chcąc ujrzeć samego siebie za sobą t. j. Boga, stworzył troistą umiejętność, t. j. empiryę, spekulacyę i filozofię. Twórczość człowieka jest odwróconą twórczością Boga. Bóg jednoczy się z człowiekiem przez węzły istnienia, człowiek zaś z Bogiem przez węzły umiejętności. Jakże wielka, mówi autor, i jak wspaniała jest umiejętność. Za jej pomocą tulimy nieskończoność, wieczność i wszechobecność do maliej piersi naszej; za jej pomocą

Ze względu na ten stosunek, istota *Trójcy w Bogu*, jako *Różnojedni*, może się jeszcze, według autora, w ten sposób wyrazić: „*Stnienie w Bogu* jako pierwiastek twórczy istnienia oraz istniostnienia jest *Ojcem*; *istnienie w Bogu* (nie w świecie) jako powód wolny, stworzenie świata rodzący, jest *Synem*; a *istniostnienie w Bogu*, należące równie do Ojca i Syna, jako święty powód do stworzenia natury z przeświadczenia czyli człowieczeństwa, jest *duchem*.” ↓ 140.

rozszerza się jaźń nasza bez granic, i zaczyna oddychać godnym siebie powietrzem, t. j. boskością.”

Samodzielność zwrócona do wiary nie odrzuci tej wiary, lecz ją przeprowadzi przez wiedzę i złączy obie. Samodzielność dojdzie w ten sposób, że jest Bóg, nieśmiertelność i cnota. Samodzielność nie tylko da poznać co cnota, lecz też siłę do pełnienia tej cnoty. Samodzielność nas ludzi-zwierząt zamieni w ludzi znających; ludzi grzesznych, w cnotę pełniących; z synów ziemi, przyjaciół występku i złości, uczyni nas synami Bożemi i Zbawiciela braćmi.

Ten system i te zasady ogólne swego systemu, rozwinął autor w swój *Loice*. *Loika* bowiem, która od Arystotelesa do Hegla uważaną była za naukę „form myślenia,” od Hegla nazwaną i rozwiniętą została jako „umiejętność czystej idei”, według autora jest to „objawienie praw Bożych, według których myślenie nasze rozwijając się do samodzielności przychodzi.”

W innych swych pismach, autor system ten poznawania stosował do szczególnych gałęzi praktycznych, jako *religii*, *ustaw społecznych*, *szczegółów wychowania*, *ocenienia zjawisk duchowych* i t. p. przeprowadzając wszędzie poznanie przez momenta swojej metody, t. j. *twierdzenie*, *przeczenie* i *kojarzenie*, czyli *bezwzględną różnię*, *względną jednię* i *filozoficzną różnojednię*; czyli (także) rozpoznając dany przedmiot *zmysłem*, *umysłem*, i w końcu *mysłem*.

W traktacie poświęconym rozprawie religii chrześcijańskiej, t. j. w artykule noszącym napis: „*O stosunkach filozofii do teologii*”, autor dochodząc, jaki jest najprawdziwszy odcień tej religii, kościół tradycyjny chrześcijański stawia jako twierdzenie, ateizm nam współczesny jako przeczenie, a jako *kojarzenie* przedstawia przyszły kościół chrześcijański filozoficzny.

W traktacie: O urządzeniu społecznym, jako twierdzenie stawia *jednowładztwo*, jako przeczenie *ludowładztwo*, jako *kojarzenie* *jednowładztwo z ustawą*.

W ocenieniu zjawisk bezpośrednio *duchowych* (jako w śnie magnetycznym, przywidzeń i t. p.) autor wiarę w zjawiska te kładzie jako twierdzenie, niewiarę w nie jako przeczenie, w *kojarzeniu* zaś twierdzi: iż byt ich jest rzeczywisty, lecz że stan ludzki, który je przynosi, jest rodzajem choroby moralnej, że przeto stan czysto-duchowy człowieka jest niższy jak filozoficzny.

Autor podobnie stosuje metodę swą do szczegółów wychowania, badania nieśmiertelności duszy, i wszelkich kwestyj. O części tych twierdzeń autora, jako też i o innych z metodą związanych,

wnet jeszcze powiemy niżej; tu zaś ten rys jego systemu i twierdzeń, zakończymy przytoczeniem tych słów, któremi sam zakończył główne swe pismo. Autor dyalektycznie zawsze loiczny, więc na strzeżenie samodzielności tak swojej jako też obcej pomny, wykład swego systemu loiki temi słowy zakończył: „Prosimy przecież równie dzisiejszego jak przyszłego czytelnika, ażeby się nie spuszczał na nasze słowa i nie przysięgał *in sapientiam magistri*. O! takie rzeczy nie były nigdy naszym celem i zabolatyby nas zgoła w grobie. My roztwieramy szerokie pola nie dla poddańców naszej myśli, lecz dla przyjaciół samodzielności i badania niepodległego.” *Myśl. II. 491.*

### Autor Filozofii chrześcijańskiej.

Jak niegdyś przy początku nowego okresu filozofii niemieckiej, twórca nowego systemu w niej, *Kant*, znalazł nieodstępного ścigacza siebie i przeciwnika (*Jakobi*), pobudzonego przez tego ducha żywego i zawsze czujnego, który jest w tradycyjnym kościele chrześcijańskim, a przestrzegającego w nauczaniach praw swoich; tak autor Loiki za ledwo przemówił i wymówił swoje wyznanie, wnet znalazł swego. Pismo, które umieściło ten traktat o religii autora Loiki, o którym dopiero rzekliśmy, wnet téż otrzymało i umieściło odpowiedź pióra spółmiłośnika i spółtowarzysza prac filozoficznych autora, lecz w przyjęciu i rozwijaniu ich, z poprzedniej nauki tradycyjnego kościoła chrześcijańskiego, wychodzącego. Autor Loiki powstał był w swym traktacie na możność bezpośredniego objawienia, i postawił nad nie poznanie filozoficzne; autor odpowiedzi na traktat, wskazał przeciwnie na bytność objawienia lubo w różnych stopniach w każdym człowieku, i wniósł, że objawienie to nie jest przeciwném wcale poznaniu filozoficznemu: „Skoro bowiem to objawienie, rzekł tu między innymi, nie jest przeciwnie naturze ludzkiej, jakże może być przeciwném mądrości lub filozofii, z téjże natury ludzkiej wypływającym” R. 1843. *III, 128.*

Na objawione wszakże zasady przez autora Loiki w książkach oddzielnych (wydanych w języku niemieckim i *Pedagogice*); autor odpowiedzi na traktat (p. *Felix K.*) odpowiedział także książką oddzielną. Książką tą jest dzieło autora w 2ch tomach (w języku polskim), p. n. *Początki filozofii chrześcijańskiej*. Tom 1szy tego dzieła obejmuje ogólne uwagi i przebieżenie systemów filozoficznych, tom 2gi system własny autora, z drobiazgowym rozbiorem systemu i twierdzeń autora Loiki. System filozoficzny p. *F. K.* jakkolwiek równie

jak system autora Loiki ma pierwiastek swój w filozofii niemieckiej, jest jednak własny autora i jest w odbiciu o duch bezwzględny chrześcijański (nie zaś jednostkowy filozoficzny), pomysłany. Przytoczymy tu kilka głównych rysów tego systemu.

Całość rzeczy składają: *natura*, której wpływem głównym jest *człowiek*, oraz *duch* rządzący i kierujący wewnątrz naturą tą i człowiekiem, Bóg. Zład *filozofia chrześcijańska*, uważa autor, dzielić się musi: 1) na *filozofią* natury czyli *ludzką*; 2) *filozofią boską* czyli nauczającą o Bogu żywym; i 3) *filozofią życia*, będącą połączeniem ludzkiej i Boskiej.

To, co człowieka odróżnia od reszty natury jest *przeświadczenie o sobie*, t. j. o swym bycie, początku, celu, stosunku do Twórcy i t. p. Wyższym stopniem przeświadczenia o sobie jest *poznanie*; poznanie połączone z przeświadczeniem o sobie, tworzy *wiarę*, ta *miłość*; miłość Boga ogląda. To środki są filozofii ludzkiej.

W filozofii boskiej, pięć przedstawia się głównych momentów do rozważania: 1) przyczyna jej Bóg; 2) związek Boga z człowiekiem w osobie Zbawcy; 3) związek Zbawcy z ludzkością w istocie kościoła, „za pośrednictwem głównie 4) kapłaństwa; co wszystko dzieje się 5) z łaski, nie zaś przez zasługę ludzkości. O treści filozofii boskiej nauczają nas księgi boskie, a o treści tych ksiąg wykład kościoła, który jest bezpośrednim spadkobiercą i nieprzerwanym strażnikiem ducha ich pierwotnego. „Ta myśl, że własnym tylko rozumem bez łaski i przyczynienia się Ducha Sw. pismo święte zrozumieć można, lubo w dzisiejszym tak zwanym świecie filozoficznym, mówi autor, jest powszechna, jest wszakże dowodem największej nieloiczności; bo jakże można słowa Boże zrozumieć bez ducha Bożego, jakże np. zrozumiesz pismo jakiego filozofa, bez zrozumienia i pojęcia jego ducha?” II, 199.

Punktem związku filozofii ludzkiej i boskiej czyli praktyką obu, jest *filozofia życia*. W życiu tém, Bóg się łączy z człowiekiem, nie stając się człowiekiem; człowiek łączy się z Bogiem, nie stając się Bogiem. Założoném królestwem bożém na ziemi jest *kościół*, życie i wzrost kościoła zależy od coraz doskonalszego pełnienia zostawionych mu prawd; pełnienie podanych prawd zasada się na uznaniu własnej słabości; głównym więc kluczem zasługi, kluczem do odkupienia, jest *pokora*. Kościół jest społeczeństwem, i jest (ile w bycie dzisiejszym) złożonym ze szczególnych społeczeństw. W owém społeczeństwie kościelném, bytem jest *wiara*, środkiem *miłość*, celem postępnie urze-

czywistnienie królestwa Bożego na ziemi, a przeto *nadzieja*. W społeczeństwie oddzielnie wziętém, wiara czyli byt jest to samo, co *lud*; miłość *prawo*, nadzieja *rząd*, pożywie *naród*.

### Autor Modlitwy.

Autorowie *Metapolityki* Messyanicznój, systemu *Loiki* i początków *filozofii chrześcijańskiej*, jakkolwiek w gruncie swych pism, mieli głównie przed sobą na myśli praktykę, i schodzili w końcu do praktyki; w *wykładzie* jednak, jak widzieliśmy, zajmowali się raczej teorią, tworzeniem nowój. Wprost przeciwną odznaczona są cechą pisma autora, o którym teraz rzecz mamy. Autor ten w pismach swych dotykał wprawdzie także w części teorii, jak jednak punktem wyjścia i celem, tak też treścią tych pism głównie jest sfera praktyki. Praktyka czyli stosowanie—żywioteł głównym; teoria tylko—wzmianką podrzędną albo faktem posługującym, jest w pismach tego autora.

Ostatecznym wyrazem, znaczeniem tego, co nazywamy praktyką, jest czyn nasz, nasze *codzienne uczynki*; dzienne uczynki jednostek kształcą życie, dzieje jednostek, *historią*. Jak zatem z poznawania ilości, natury, dziennych uczynków, idziemy do poznania całości dziejowój; tak znowu, z poznania téj całości dziejowój, jój biegu, jój dalszych celów, będziemy mogli dojść do rozwiązania najważniejszego dla każdego z ludzi zadania, to jest do tego, jakie mianowicie być winny każdego *dzienne uczynki*. Tak autor pojął *historią*, tak *filozofią*; a znajdując filozofią niemiecką (której teoretyczne dociekania zkadinał za szczyt poczytał) w tém tylko niedostateczną, i nawet teoretycznie ranną, iż podając siebie za ostateczny wypadek w rozwoju ludzkości, podawała za ten wypadek *myśl oderwaną*: błąd ten jój postanowił wykazać i zarazem krokiem postępnym zmasać; i w tym celu przenosząc ją wprost na pole historii, ogłosił swe pierwsze nie obszernój, ale ważnej treści pisemko w języku niemieckim, pod napisem: „*Wstęp do filozofii historii* (czyli *Prolegomena do historyozofii*)” (1).

Zaprzecząc autor w tém piśmie kierunkom zwrotu do praktyki teorii filozofii niemieckiej w ogóle, a w szczególności *Hegla*, nie zaprzeczał jednak samój teorii, i owszem w ocenianiu całości dziejowój, z gruntów jój wyszedł. Całość tę (dzieje ludzkości) autor uważa jako rozwijającą się absolutnie (2) w swoim przedmiocie, czystą myśl Bożą, a w przejściu tém trzy doby (przez pojęcia ludzkie w historii ka-

(1) 1838 r. (2) „Die ganz absolute Construction der Weltgeschichte.” *Hegel*.

zdój myśli widziane), jakoby *twierdzenie*, *przeczenie* i *kojarzenie* odbywającą. Filozofowie niemieccy od Fichtego zajmując się oznaczeniem epok moralnych w rozwięciu dziejów, i rozdzielając je na 1, 2 i 3 i t. p. w końcu do powszechnie prawie śród siebie przyjętego przyszli wypadku, iż wyrazem 1ej epoki ludzkiej była wprost *natura* (piękność i sztuka); drugiej *uczucie* czyli religia; 3ej będzie i jest już *poznawanie* czyli *filozofia*. Autor rzekł, iż *filozofia* niemiecka istotnie była ostatecznym wypadkiem nowego okresu ludzkości; —gdy jednak ta filozofia jest w sobie jedynie myślą, a myśl przeczeniem: oczywiście więc epoka ta, którą uwieńczyła i zakończyła filozofia niemiecka, była tylko przeczącą, i że epoka trzecia twierdząca i budująca, ma przyjść dopiero. Wyrazem epoki 1ej był *bgt* (niewiedzący się w sobie) czyli twierdzenie; epoki 2ej *myśl* czyli przeczenie; wyrazem epoki 3ej będzie połączenie bytu i myśli czyli *uczynek*, (świadomy sobie) *twórczość*. Pogaństwo było twierdzeniem, — *chrystyanizm* przeczeniem; *kościół* przyszły (jakkolwiek zawsze chrześcijański) kojarzeniem. Wyrazem epoki 1ej była natura, a zatem jej przyrodzona cecha, *piękność* (ztaąd sztuka); wyrazem epoki drugiej *myśl* czyli *poznawanie* (ztaąd *filozofia*); wyrazem trzeciej będą *uczynki* —(ztaąd *cnota*, *Gute*). Wola ludzka, która za epoki 1ej pełniła uczynki podług *fatalności*, za epoki 2ej według *świadomości*; w epoce przyszłej 3ej stanie się *twórczą*. Filozofia, która w epoce 2ej była dociekaniem, w epoce 3ej zniknie i zastąpioną zostanie przez *znanie*. Bóg, który w filozofii niemieckiej ginął w *przedmiocie*, w okresie nowym (według dzisiejszej dyalektyki naszój) stanie się *Bogiem cnoty*, — *Bóg myśli*, *Bogiem rzeczywistości*.

Autor w naturze swój myśli, t. j. w pierwiastku jej tworzącym, z gruntu praktyczny, w następnych już krótszych już dłuższych piśmiach swych, (w kilku językach ogłaszanych) zwracał się do kwestyj *ekonomicznych*, *urządzeń społecznych*, *sztuki* i t. p. W piśmie czysto filozoficzném *Bóg i Palingenesia*, bronił (przeciw filozofom niemieckim) wyobrażenia *osobowości* Boga i duszy ludzkiej, zajmując się jednak zawsze przedewszystkiém rozważą uczynków dziennej, i owym nowym, o którym sam przepowiadał dyalektycznie, mającym przyjść wiekiem; —dojście swe i naukę w tym względzie, w oddzielném w końcu, a szczególnój szaty w sferze dociekań filozoficznych, wyraził piśmiem. Uznając myśl za przeczenie, nie za twierdzenie, a pragnąc wychodzić z twierdzenia, autor w swych dociekaniach, tojest formie swego wykładu, odrzucił téż i szatę metod dyalektycznych. Praktykę nad teorią, uczynki przenosząc nad myśl, autor w wyborze *pierwiastków* które nam

wzbogaciły skarb pojęć, przeniósł *objawienie* nad *dociekanie*, *religię* nad *filozofię*; — i w dalszym ciągu nauki swojej, zamiast z docieczeń filozoficznych, z twierdzeń ksiąg religijnych wyszedł. O owym w przyszłości wieku, tym wieku powszechnej cnoty, wyłącznej *prawdy*, który ma kiedyś nadejść, a który ma obrócić „w popiół wiek stary” i „odnowić oblicze ziemi”, śpiewa co dzień w świątyniach swoich kościół chrześcijański. Wiekowi tego dają gotowe nazwisko księgi chrześcijańskie. Zbawiciel, który go zbliżył, o zbliżeniu się jego oznajmił i o *przyjście* jego codziennie prosić rozkazał, podał też razem naukę i środków jego zdobycia.

Z nauki Zbawcy, z próśb, które nam kazał powtarzać, a zwłaszcza z téj modlitwy, której nas sam nauczył; autor przedsięwziął bliższe uczynić wnioski o owym wieku. To właśnie zadanie ma spełnić zapowiedziane przez autora dzieło: *Modlitwa Pańska*. Dzieła tego tom Iszy (1) (najobszerniejsza z prac dotąd ogłoszonych przez autora), objął dopiero *wstęp*, t. j. historyzoficzny rzut oka na ogólne rozwicie ludzkości, a w szczególności pod względem jęj *religii*, *nauk* i *działań społecznych*.

Treść tego tomu I jest rodzajem dawnych *prolegomenów* autora, lecz *rozszerzonych*; wzrostem pewnym rozwagi i myśli, w szczegółach *odznaczonych*, i na szatę więcej twierdzącą jak dyalektyczna przeprowadzonych.

Jak *System krajowej loiki* jest dotąd najznakomitszym pismem na polu naszej filozofii teoretycznej, tak tom ten Iszy *Modlitwy*, jest takimiż na polu naszej filozofii praktycznej.

O niektórych głównych nawet twierdzeniach tego pisma powiemy dopiero w rozbiorze; tu zaś, dla zapoznania z wykładem i treścią jego, przestaniemy na uczynieniu i zbliżeniu kilku przytoczeń.

Mając wychodzić w swém piśmie z zasad przez ewangelię podanych, szczegółów w ewangelii spisanych, a pisząc w kraju (Niemczech), gdzie właśnie polemika o autentyczność kart jęj była obudzoną, autor oświadcza z góry, iż nawet nie będzie wchodził w sferę téj polemiki, już bowiem samo zamilowanie w nią, byłoby krokiem wstecznym i martwym. „Kto tylko niszczyć lub wytępiać umie (mówi), ten zaprawdę nie wnijdzie do *ziemi obiecanej*, bo ta ziemia wymaga takich, coby ją *sprawić* i upładniać umieli.” Tym, którzy przeciw autentyczności ewangelii wątpliwość obudzić usiłowali, autor dołączył tylko krótką, ale zdaniem naszym stanowczą od-

(1) 1848, w języku polskim.



powieź: „Jeżeli sądzicie, mówi, że ją (ewangelią) zmyślono, to sami przyznajecie owemu zmyśleniu cudowniejszą, a więc bardziej boską, niż samej rzeczywistości potęgę.”

Wiek światła, uważa (przystępując do wykładu swego rzutu oka na dzieje) autor, inylnie dzielone są zwykle na *stare*, *średnie* i *nowe*. Dzieje świata przedstawiają dotąd właściwie tylko dwie epoki. „Dwóch tych epok punktem granicznym i zwrotnym jest Chrystus; wszystko co przed nim do niego się ściąga, wszystko co po nim z niego wychodzi.” „Dwie te epoki (przed i chrześcijańska) w istotnych piętach swoich ujrane, są sobie wręcz przeciwne, a jednak, uważa autor, dyalektycznie sobie odpowiednie; czyli, mają się do siebie jak *pozycja* do *negacyi*, jak *thesis* do *antithesis*, jak *byt* do *myśli*, jak świat do *za-swiata*.”

Świat za okresu pierwszego byłto świat *bytu* (praw zastanych), okres życia rodu ludzkiego w stanie *natury*.

Stan natury jestto stan, w którym się duch *bezwiednie* znajduje; po erze tej nastąpiła era *myśli*, oderwania od świata; era ta przez kierunki bytowi przeczące, przez cierpienia i męki, ma przejść i przeprowadzić nas do nowej, tojest do zdobycia sobie *żywota ducha*. „Pierwszą erę zaczął *Adam*, człowiek ziemski; drugą *Chrystus*, człowiek niebieski, sprawca trzeciej zwany jest w objawieniu *Parakletem* (pocieszycielem).”

„W tychto trzech kierunkach, dodaje autor, *pogrążenia*, *oderwania* i *skojarzenia*, w tychto trzech stanowiskach *Adama*, *Chrystusa*, i *Parakleta*, w trzech wreszcie bożych imionach Ojca, Syna i Ducha świętego, zawiera się cała historia ludzkości.”

Autor oznacza dalej szczegółowiej charakter i różnicę epok przebytych, i mówi między innymi: człowiek w Grecyi ujrzał się *jakim jest* w świecie, ale się nie odróżnił jeszcze od *świata*, nie uznał *jakim być powinien*; „a więc skupił się właśnie w sobie, ale nie rozłożył się; a przecież, aby się poznać, musiał się rozłożyć i rozsądzić.” Pierwotne *wszech bóstwo* i *wszech władztwo* (panteizm i despotyzm), w Grecyi postąpiły do *wielo-bóstwa* i *wielo-stanu*. „W Grecyi bowiem zrodziły się prawdziwe *przeczcucie* i *uczucie* swobody ducha, a tém samém jój domagalność, ale hynajmniej nie *świadomość* jój istoty; duch ludzki w Grecyi nietylko nie doszedł do wolności wedle *czynu*, ale nawet wedle *myśli*, i doszedł tylko wedle *bytu*. Grek a nawet Rzymianin jeżeli czuł się swobodnym, to tylko jako mieszkaniec danego państwa, lecz hynajmniej nie jako człowiek.”

Autor określa ten stan upadku okropnego tak ducha jak czynów, jaki był pośród ludzkości całej za ostatnich czasów pogaństwa; i pyta: jakiz był środek zbawienia? „Co mogło owe próchniejące lub rozkładające się właśnie atomy znów skojarzyć i ożywić? co mogło pojedyncze duchowe istoty z absolutną istotą, od której tak stanowczo się oddaliły, z podobnemi sobie istotami (bliźniami) na nowo pojednać? Dziwną zdaje się odpowiedź, a przecież jest istotną: *jeszcze dalsze rozpadnięcie się, ale stanowcze, ostateczne, rozpadnięcie się indywidualów już nie między sobą, ale w samych sobie; uznanie, iż owe oderwane cząstki, owe społeczne atomy, nie mają same przez się żadnego istnienia, że to jest proch i próchno, że ów stan jest tylko stanem przechodnim, niezgodnym ani z naturą ani z przeznaczeniem ducha, lecz że w ich wnętrzu tkwi dynamiczna spójnia, którą odkryją skoro się tylko w sobie samych rozróżnią, rozłożą, spolaryzują. Tento polarny elektro-magnetyzm działając sprzecznie biegunami swemi, do wyższych powinowactw miał je wnosić. Aby człowieka z Bogiem (rodzicem wszech rzeczy), z innymi ludźmi (bracią swą) pojednać, potrzeba było człowieka nie tylko ze światem, ale i z samym sobą rozbratać”.*

I skutek taki nastąpił, „skoro albowiem człowiek dojrzał nieskończonego uprawnienia swego, a to wbrew światu i wszelkim jego stosunkom, skoro się uznał wolnym w sobie choćby był niewolnikiem; a natomiast niewolnikiem w świecie, choćby był wyzwolonym: oczywista, iż wszystkie dotychczasowe świata potęgi, wystarczyć mu już nie mogły, i że zwrócił się do tego, czego dotąd nie było.”

To oderwanie się powiodło nawet zrazu do przesady, i owszem wydało rząd wieków, których stan i widok stał się nawet dla wielu źródłem i powodem potępienia nauki i drogi nowój.

„Tak jest, chrześcijaństwo pomnożyło i potępiło świat ziemski, mówi autor, temu nikt zaprzeczyć nie może, ktokolwiek porówna urok świetnych dni starożytności, ze zmrokiem średnich wieków. Upadek to świata głęboki, powszechny, okropny, jakiego przedtem nie było, ani potem nie będzie. A jednak to poniżenie było wywyższeniem, a jednak to potępienie było istnym zbawieniem”. Albowiem byłoby ostatecznym podeptaniem starego świata, a przez oderwanie się szło wielkim krokiem do zgotowania i przybliżania drugiego świata. „Tam (w starożytnym wieku) przy blasku społecznego słońca, niepodobna było pojedynczych gwiazd się dopatrzeć; ta społeczne słońce zasłało, a natomiast miliony gwiazd przyświecać zaczęły. A lubo każda z tych gwiazd w istocie jeśli nie więcej, to tyle warta, co owo jedno słońce; przecież przy jednym słońcu mieliśmy dzień, a przy

krociach gwiazd mamy tylko noc. Bo téż owo słońce świeci dla naszego świata, gwiazdy zaś do naszego świata nic nie mają, o naszą ziemię nie stoją, i tylko o inne światy się troszczą”.

„Starożytność, życie miała za życie, śmierć za śmierć; chrześcijaństwo życie uznało za śmierć, a śmierć za życie”, i słusznie: „Świat stary tak był upadł, iż ledwo już pożądał pożądania, ledwo dążył do dążenia; potępienie tego przytępionego już świata było aktem anielskiej miłości”, przez postępną potępienie tego, co było w nim ujemnym, przez stopniowe kształcenie oderwanej już od świata *myśli*; więc równolegle: *nauk, sztuk, stosunków społecznych*, ludzkość przeszła i już przechodzi, do zdobycia dla siebie szczęśliwszych wieków.

Trzy *reformy*, uważa autor: społeczna, naukowa i religijna, odznaczyły trzy ostatnie stulecia; czasy tych reform dla niejednego żywotnego kroku, który wmieściły, wiekami nowymi zostały nazwane, wszakże rzeczywiście były tylko *obaleniem*, a nie budową. Przemiana społeczna we Francji przy końcu wieku zeszłego (jój rewolucya) stanowczo wprawdzie wieki zwane średnimi *rozwiązała*, ale nowych wieków jeszcze nie zawiązała; dlatego téż skoro pokusiła się o zmianę chronologii, skoro zaczęła od siebie liczyć nową erę świata, stara era niebawem zadała jój kłamstwo. Autor zwraca uwagę na szkody, które przynoszą rewolucye i jest nieprzyjacielem rewolucyj. „Ludzkość, mówi, wymaga nowego *przybytku*, a rewolucye niosą jój tylko *ubytki*”. Porękę przemiany jój moralnej, jój w przyszłości wieków szczęśliwszych, autor widzi w kształceniu się ducha, w odbiciach i zjawiskach postrzeganych (widomych) tego kształcenia. „Wszakże nie darmo, mówi, krzyżują się ludzie i myśli, uczucia i potrzeby, po nieznanym dotąd rodowi ludzkiemu kolejach; wszakże nie darmo czas i przestrzeń widomie nikną; wszakże nie darmo wzmaga się umysłowe i przemysłowe narodów obcowanie. Maluczko więc, a znów spojrzycie, a stare przejdzie i wszystko nowém się stanie” (1).

Jakż jest świecki (tego świata) środek, narzędzie ziemskie, do przyspieszenia zbliżenia nowego wieku? Środkiem który jest w tym celu w mocy człowieka, jest wola człowieka, zamięnienie najprzód *ślepej, fatalnej* woli w świadomą wolę, a następnie tej woli świadomej w *czyn*. Świat stary wiedział tylko *co jest*; świat nowy wie nietylko *co jest*, ale *co być powinno*; — świat trzeci połączy te światy, i to, co być

(1) „O ludzkości. rzec więc można, co napisano o Chrystusie, mówi autor, iż warstała w mądrości i łasce u Boga, dopókiaby przez próby, krzyże, cierpienia, i doświadczenia nie doszła do pełnej dojrzałości, do chwały swojej przygotowanej od wieków.” „A jako zamrtychwstał i w niebo wstał Pan, tak zamrtychwsta i w niebo wstąpi cała ludzkość.”

powinno, *zamieni w co jest*. Świat stary z swą fatalnością, z swą przewagą natury, był zaiste szczęśliwym w sobie światem. „Lecz o ile dzieciństwo w dziecku jest ładne, o tyle w mężu jest nieskładne” „Jak człowiekowi, tak i człowieczeństwu trzeba się wznieść z dziecinnój ładności do męskiego ładu, do praktycznej ducha harmonii, do *mężnej cnoty*.” A to wzniesienie ducha nie nastąpi inaczej, jak przez własne *doświadczenie się* i własne wyrobienie się ducha. Bo żeby dojść do zupełnej *świadomości* siebie, trzeba się samemu doświadczyć (1); aby dojść do samodzielnego istnienia, trzeba się samemu wyrobić”. Duch bowiem, jak i natura, jest także tworem Boga „ale tworem *niedokonanym*, a przez to właśnie *doskonalszym* jeszcze niż natura i nawet *najdoskonalszym*; albowiem obdarzonym zdolnością własnowolnego *dokonywania się*, w *sobie* samym posiadający możność doskonalenia się. „Praca, poświęcenie i męki, są środkiem i drogą jedyną do pozyskania świata nowego. Minął czas łaski (mówi autor) nastał czas zasługi, „do gotowego gdzieś Eldorado niech wzdychają tylko leniwcę, my nasze zdobyć musimy.”

W drugiej epoce dziejów odrzucił człowiek od siebie ów świat jaki był i zażądał innego; — aliści dziś uczuwa (Opatrzność objawia mu to), iż rezygnacya nie jest ostatniem słowem ducha; — lecz że w samym człowieku tkwi dalsza i wyższa potęga zbawić go mająca, zdolna skojarzyć na nowo ów oplakany rozwód. Tą potęgą, tą władzą nad władzami jest właśnie, wola. „Ona czucie z wiedzą kójarzy, byt z myślą; a owocem poślubienia tego ma być — *czyn*.”

Jak zatem kamieniem węgielnym 1go świata był *byt* — zakon natury; jak kamieniem węgielnym 2go świata był (jest) *myśl* — zakon wiary; tak kamieniem węgielnym 3go świata jest (ma być) *czyn*, wolne dzieło ducha, czyli według wyrażenia pisma św. *zakon woli i wolności*.

### Autor Odpowiedzi.

O kilku jeszcze znakomitszej treści pismach filozoficznych krajowych wspomnimy niżej; tu zaś przed uczynieniem uwag o autorach o których rzekliśmy, dodamy jeszcze treść krótką pisemka, nie obszer.

(1) „A tak (ze względu na tę uwagę, dodaje autor), co rzekł Mojżesz ludowi swemu po 40-letniej wędrówce ku ziemi obiecanej, to my właśnie powtarzamy dziś ludzkości po tyłowiekowej wędrówce ku obiecanemu królestwu.” „I pamiętać będziesz na *wszystką drogę*, którą cię przeprowadził Pan Bóg twój, aby cię trapił i doświadczał — i aby wiadomo było, co w sercu twojem tkwito.” *Deut. VIII. 2.*

nego wprowadzie, ale nader z pewnej strony ważnego, dla rozwijającego się myślenia krajowego, zawarcia. Pismo to tak się ma właśnie do poprzedniego (*Modlitwy Pańskiej*), jak *Początki filozofii chrześcijańskiej* do pism autora *Loiki*. Pismo to ma za przedmiot także sferę filozoficzną praktyczną, czyli przenoszenie i stosowanie zasad religijnych chrześcijańskich do dziejów; ale w stosowaniu tém wychodzi wyłącznie z pojmowania nauki chrześcijańskiej, według ducha kościoła tradycyjnego. Autor *Modlitwy* stosując naukę pisma do dziejów, w rozumieniu tego pisma w niejednym punkcie (jak o początku dziejów i rzeczy, ich końcu, żywocie wiecznym, naturze woli i t. p.) wychodzi z dociekania jednostkowego, z nauki więc o której nie wiemy jeszcze, czyli będzie miała swoich wyznawców;—autor zaś pisma o którym rzecz mamy wychodzi z nauki, żywotność której poświadczoną już jest biegiem wieków, wyznawcy której ziemię już dziedziczą, i przepowiadanie której (w języku nawet, którym pisze autor) przez tysiączne koryta przechodzi ledwo nie co dzień do pojęć milionów słuchaczy, do pojęć niewiedzących nawet nieraz zkądinąd, co jest nauka.

Chcemy tu, słowem, rzec o piśmie niedawno zmarłego, a znanego z poświęcenia religijnego swojego życia, ks. Stanisława Choloniewskiego (1), wydanego pod nazwą: *Odpowiedzi* (2).

Autor pisma tego, gorliwy wyznawca i strażnik wiary świętej, a razem czujny świadek wszelkiego około siebie (t. j. stworzonego człowieka) rozwicia, stając w kwestyach sobie spółczesnych, przedsięwziął był w swój rozprawie rozważyć i to rozjaśnić: czyli słowo *postęp* (postęp w naukach, sztuce, stosunkach społecznych), wyobrażenie tego postępu, zgodnym jest z pojmowaniem czystej nauki ewangelicznej—i kościoła strzegącego ducha jej tradycyjnie? Pismo to autora (jakkolwiek odznaczone od początku do końca żywością słowa) nie wychodzi w swoim wykładzie z żadnego systemu dyalektycznego, i nie tworzy nowych teoryj; jest zaś tylko poprostu jakby nauką kościelną opowiedzianą częścią dla tych, którzy będąc przyjaciółmi czystych dociekań i pragnąc łączyć je z tradycją religijną, nieobeznani są z całością ducha tej tradycyi: częścią dla tych, którzy opowiadając wy-

(1) Ks. Stanisław Choloniewski (hr.) zrazu oddany światowi, młodo jeszcze porzucił go był i z powołania oddał się zawodowi duchownemu; po powrocie z stolicy chrześcijaństwa (Rzymu) osiadłszy w swych dobrach (m. Janowie gubernii podolskiej), w nich do końca życia pełnił sam obowiązki kaznodziei i kapłana, oddającego się gorliwie posługom chrześcijańskim.

(2) *Odpowiedzi ks. St. Choloniewskiego. 1847. Wilno.*

łącznie tradycją religijną, nieobeznanymi są z tém, i potępiającymi są wszystko to, o czém rozprawia nauka.

Cel swojej rozprawy o *postępie*, autor wyraźnie oznaczył w samym napisie rozprawy, który jest: *Odpowiedź na pytanie: co znaczy słowo postęp ludzkości w duchu nauki Chrystusowej.*

Autor w początku téj rozprawy zastanawia się najprzód nad pytaniem: czyli postęp w życiu ludzkości istnieje lub nie istnieje? a raczej nie zastanawia się nad niém, i tylko zwraca uwagę na fakt. „Postęp w wieku obecnym, mówi autor, azali potrzebuje dowodów? azali byt słońca na niebie dowodzi się?”

Lecz oto stawanie się i objawianie wszelkich faktów widomych, w ostatecznym swém źródle jest skutkiem ducha; skutkiem więc rzeczywistego postępu, jest jedynie rzeczywisty postęp ducha; rzeczywisty więc postęp, leży jedynie w rzeczywistém prawie religijném ludzkości i jego losach. „Jedynie w nauce kościoła powszechnego, mówi autor, wyraz postęp ludzkości ma zupełnie dokładne znaczenie, bo rzeczywiste ludzkości doskonalenie jest fundamentalnym jego warunkiem.”

Autor wskazuje na fakt, który stał się przy założeniu chrześcijaństwa, „fakt połączenia się natury Bożej z ludzką”, na obietnice, poręki, drogę naznaczoną do przebieżenia, tkwiące w tym fakcie i jego następstwach, i wskazuje na istnienie w nich odpowiedzi na zapísane pytanie.

Zbliżenie owe „to połączenie, mówi autor, człowieczeństwa z Bogiem, w całej rodzinie Adamowej ma przyjść do skutku. Chrystus więc nietylko życiem i śmiercią swoją zadość uczynił sprawiedliwości Boskiej w imieniu rodu ludzkiego, lecz go jeszcze z gruntu odnowił, naprawił, i uczynił go zdolnym nowego postępu, obdarzając go nauką niebieską, oraz siłą dla sprawdzenia onéj czynem. Nie przestał na tém, lecz dla zabezpieczenia tego postępu i nadania mu stałego kierunku, założył na ziemi wielką szkołę Bożą, której on sam jest najwyższym Mistrzem; uposażył tę szkołę *postępu* do Boga funduszem swych zasług, otworzył w niej katedrę wiecznej prawdy, w Jego Boskim słowie i piśmie objawiającej się. W tym Chrystusowym kościele czytamy napis: „Bądźcież wy tedy doskonałymi, jako i Ojciec wasz niebieski doskonałym jest.” Sąto słowa Zbawiciela, godło więc najwyższego postępu, jest téż godłem kościoła jego”.

Autor nakręśla historią postępu ducha ludzkości; a w kręśleniu tém postrzegamy już w samym zaczęciu, iż nie podziela w zasa-

dzie wniosków téj szkoły filozoficznej, która jedynie duch jako rzeczywiste istnienie uważała, lecz wychodzi z uznania stron obu w rzeczywistości.

„Zapowiedziano mu (t. j. pierwszemu człowiekowi), mówi autor, iż jest także królem *natury* go otaczającej, że ustawą skróśloną przez Boga dla wolnych istot, on, duch wolny powinien przewodniczyć naturze niewolnej do celu wszech stworzeń, do udziału w szczęściu Bożém, że wiernego piastowania tego wysokiego urzędu, nagrodą być miało, przedziwne połączenie *człowieka* i *natury* z bóstwem. Stwórca bowiem w osobie pierwszego naszego rodzica obie te natury błogosławieństwem swém poświęcił; a ztąd jaśnie się pokazuje jak błędném jest to manichejskie zdanie, a które w niektórych terazniejszych sektach znowu się na jaw dobywa, że materya przez się złym jest utworem, przeznaczona od Boga na karę i więzienie ducha.”

Po określeniu losu pierwszego człowieka, autor wskazuje dalej na historią upadku człowieka, jego skutki, na obudzoną dalej potrzebę postępu.

„Bóg Adamowi, mówi, objawił swą wiedzę przez swoje słowo, swą miłość przez udzielenie mu berła natury, i żądał od niego, ażeby on z swój strony ten raj szczęścia sprawował i strzegł; lecz drogę tę wnet obróciła w niwecz w błąd wprowadzona wola Adama. Przesząpił on prawo swojego Stwórcy, wypowiedział mu posłuszeństwo i zapragnął na równi z nim stanąć. Byłto pierwszy krytyczny moment w dziejach ludzkości (mówi autor), pierwszy krok wstecznego ruchu, fałszywego postępu (1), w którym już nie Stwórca miał być ostatecznym końcem człowieka, lecz człowiek odrywając się od Boga, usiłował sam zostać celem całego ziemskiego utworu.” To zerwanie stosunków z Bogiem, pociągnęło za sobą zerwanie stosunków z naturą. Człowiek przez swój upadek zubożony na duchu, ogołoconym został z mocy Boskiej nad naturą; wewnątrz i zewnątrz siebie wypowiedziała mu ona posłuszeństwo, bo już nie widziała na jego zbuntowaném, ponurém obliczu, znamienia namiestnictwa Bożego.”

„Nie chciał Bóg jednak, dodaje autor, iżby upadek człowieka stał się tak nieodzownym jako upadek anioła, skazał go tylko na śmierć doczesną i ciężki znój ziemski; i owszem, zwiastował mu zaraz, iż z własnego rodu jego powstanie Zbawca, który pojedna go z Stwórcą i śmierć zwycięży.”

(1) Autor wspomina w swém piśmie o różności kierunków postępu.

Ta nowa droga, którą miał odtąd człowiek przebywać, było drugą kreacyą cudowniejszą od poprzedniczej; w tamtej bowiem Stwórca dobył z nicstwa stworzenie w niczym mu nieoporne, w tej zaś podźwignął je z otchłani grzechu, walczące z jego miłosierdziem skażoną swą wolą. Ztąd więc wynika, że i postęp człowieka, po upadku wyższym się ukazał (1) od postępu, który miał być jego działem, gdyby był pozostał w niewinności. W pierwszym bowiem razie istota wprawdzie ograniczona, lecz zostająca w prawym stosunku z Bogiem, miała do niego dążyć przy wsparciu jego łaski; a w drugim, istota oderwana od Boga, przedzielona od niego przepaścią występku, miała ją przebyć i wznieść się do źródła swego szczęścia. Potężniejsze więc siły niebieskie musiały być w poruszeniu w drugim, niżeli w pierwszym położeniu człowieka, ażeby go uczynić zdolnym postępu”.

Autor wspomina dalej o drugim wielkim krytycznym momencie dziejowym, którym było: wyjście z Chaldei i założenie nowego narodu pośród narodów przez Abrahama; i mówiąc o tej missyi Abrahadowej, dodaje: „Rzekłbyś, że całe życie tego wielkiego męża było wielkim krokiem przeczącym przeciwko światu wówczas zanurzonemu w politeizmie, uroczystym wyznaniem, że prawdziwa pomyślność społeczeństwa ludzkiego w przyjaźni z Bogiem znajduje się, a najwyższym jego powołaniem jest pielgrzymka przez doczesność do Boga. To jest prawdziwy postęp. Zadanie, bieg życia, znaczenie tej nowej (przez Abrahama założonej) społeczności, stało się też jakoby pierwszą lekcją, wskazówką, czem jest, jak się w swém rozwinięciu ma spełniać wszelka odrębna krajowość. Los owej społeczności, mówi autor, pokazał: że wszelka krajowość jest jednostką moralną, ożywioną jakowąś ideą, od Boga natchnioną. „Rozwijać takową ideę i praktycznie ją objawiać na korzyść całej ludzkości, jest powołaniem, missyą owej jednostki”. Zwrot ten do jednostek zbiorowych, i zadań ich, przenieść musiał wykład autora wprost do sfery dziejów, do oznaczenia charakterystyki ich, momentów, a wychodząc w swém rozważaniu zawsze ze stanowiska jednego (religijnego), autor tu zwraca mianowicie uwagę na wielkie odróżnienie ich, od czasu objawienia i przepowiadania (jakkolwiek mówiącej o innym królestwie) ewangelii. Odtąd, mówi autor (od ewangelii) nowy duch wstąpił do życia ludów, a życie to nowe objawiło się przez potężniejsze rozwinięcie wielce rozmaitych narodowości, i skojarzenie ich nie moralną, lecz

(1) Autor zdaniem naszym powinien był tu dodać: „na skalę oka naszego.”



duchową siłą w jedno ciało moralne, w którym (wedle głębokiego porównania Pawła św.) Bóg człowiek jest głową, każdy naród jest członkiem szlachetnym, i nie ma w tém ciele tak niskiego, któremu by znakomitszy mógł powiedzieć, nie jesteś mi potrzebnym; lecz wszyscy w przedziwnéj zgodzie pracują na wspólną korzyść. W stosunkach pogańskiego świata, społeczeństwa łącznie zacierały swój charakter rodzimy za zetknięciem się z potężniejszymi ludy od siebie: bo te stosunki nie były oparte na żadnej, wyższej nad ziemskie cele idei kojarzącej; przeciwnie w społeczeństwie Chrystusowém wszystkie acz napozór mało znaczące ludy, zachowują całe swe oblicze narodowe, a utracają lub utracą je wtędy tylko, kiedy duchem wystąpią z rzeczypospolitéj chrześcijańskiéj. Jakoż w niej tylko widzimy szczęśliwe, zupełne pogodzenie tych dwóch niby sprzecznych z sobą warunków najwyższego *postępu*, to jest: doskonałą jedność w głównych zasadach i celu społeczeństwa, obok najobfitszej różnaitości jednostek moralnych do tegoż celu dążących; słowem, najwyższe panowanie jednoczącego prawa, połączone z najwspanialszym rozwinięciem osobistości swobodnej."

Autor oglądając zbawienie ludzkości w postępném jéj rozwinięciu się, w coraz czystszej jedności i prawdzie, zwraca uwagę na smutne z téj strony skutki, nastąpionego w ostatnich wiekach rozdziału pośród ludzkości chrześcijańskiéj.

„Nieszczęścia mówi autor, idące z reformy wieku XVI wprowadzonej, najgłówniejsze te były: rozwód ludów w jednym kościele połączonych z tymże kościołem; rozwód wiedzy z wiarą; rozwód politycznych i przyrodzonych nauk i kunsztów z piérwotną ideą chrystyanizmu; rozwód serca i rozumu człowieczego z sercem i rozumem bożym; słowem: wielki rozwód znacznej części rodziny Adamowéj z jéj Stwórcą, uroczysta niejako protestacya przeciwko wspaniałemu związkowi, który ich wprzódy kojarzył". Rozdział ten jednak, dodaje autor, może być właśnie poprzednikiem owego ostatecznego połączenia, „Oto jest bowiem, mówi, prawo dziejowe: po każdéj epoce mocnej wstecznej dążności, następuje z kolei żywszy jeszcze ruch postępnny. Każde silniejsze odpadnięcie od Boga, jest jakoży zwiastunem rażniejszego powrotu, większego zbliżenia się do Boga; tak, iż ostatecznie stanowisko ludzkości względem Boga, pomimo peryodycznego zaburzenia, zawsze wyższém okazuje się od tego, które je poprzedziło."

Uwagi te o postępie, kończy autor dodaniem odpowiedzi na dające się niekiedy słyszeć zarzuty, iż wyobrażenie postępu przeciwne jest nauce chrześcijańskiéj; a to najprzód dlatego, iż nauka chrze-

ściańska zawsze jest jedną prawdą, i że owszem żadne wieki nie wydały dusz tak świątobliwych jak pierwsze wieki chrześcijaństwa, jako np. Matki Zbawiciela, Apostołów i t. p.; i że powtóre, wyobrażenie postępu przeciwne jest niektórym prorocstwom zapisanym w ewangelii, jako np. gdy ta mówi: „Wszakóż syn człowieczy przyszedłszy (na sąd), zaliż znajdzie wiarę na ziemi”?

Co do tego ostatniego zarzutu, autor zwraca uwagę, iż według tegoż prorocstwa, owa niewiara wielka ma być tylko na krótko przed ostatecznym sądem, lecz że ten czas ma poprzedzić czas jednej owczarni.

Co zaś do pierwszego zarzutu, mówi: iż nie ukazywanie się jednostek (choćby najdoskonalszych), ale mnożenie się mass chrześcijańskich i wzrost stosowania zasad chrześcijańskich do społeczności, stanowią rzeczywisty postęp chrześcijański; iż w rozwiciu kościoła, jak w rozwiciu tego wszystkiego co ziemskie, dopuszczone zostały pewne prawa (sam Zbawca przyrównywał je do wzrostu zasiewu na roli), i że te prawa w tym ruchu, jakkolwiek różność zjawisk, ale tę różność w gruncie swym, zawsze postępną przedstawiać muszą. „Duch ludzki, mówi autor, krąży w swym wolnym biegu koło ducha Bożego, jak planeta koło swego słońca. Nie wyrwany gwałtownie z swój kolei, lecz tajemnie przezeń przyciągany czerpa z niego wyższe światło i ciepło; a jako w systemacie naszym planetarnym, niższego rzędu ciała niebieskie, jasność udzieloną przez środkowe słońce przesyłają sobie nawzajem i swym księżycom: podobnie i w świecie duchów, stosownie do ich położenia, ciągnęła się okazuje, że tak rzecz można, rewolucya światła, które na nie szorokim strumieniem zlewa słońce Boskiej mądrości”. „Niedoskonała i zmienności podległa wola człowieka, łącząca się przy wsparciu Boga z jego doskonałą niezmienną wolą, stanowi dopiero prawdziwy postęp ludzkości; — ztąd téż (dodaje autor patrząc na fakt dziejowy) jako jest błędem przeciw wierze twierdzić: iż Boska nauka kościołowi podana, jój prawa zasadnicze, jój moralność i świętość nie w zupełności zostały objawione przez Chrystusa, i innych oczekują Messyasów; równie jest grzechem przeciw historii twierdzić: że ród ludzki we wszystkich swych stosunkach z Bogiem i naturą tę Boską wiedzę tak doskonale w społeczeństwie rozwinął i czynem objawił, iż mu już żaden nie pozostął postęp po téj drodze; bo meta przez Zbawiciela zatknięta: Bądźcie doskonałymi jako wasz Ojciec Niebieski doskonałym jest, — zbyt jest jeszcze daleka.”

Autor przy zakończeniu traktatu swego dodaje uwagę, iż nawet wzgląd tylko chrześcijański, loicznie może dopuszczać postęp, i wyznaje, iż nie rozumie postępu takiego, o jakim twierdzi czysta racjonalność. Skracając odcienia i krytykę, autor dzieli racjonalistów na *deistów*, jakoby szkołę filozoficzną końca XVIII wieku, którzy wierzyli w byt Boga oderwanego, a w wypadkach ziemskich widzieli tylko *przypadkowość przypadkowości*, i pyta się: jestże zgodue z jasnym rozumem wierzyć w konieczność postępu pośród przypadkowości? oraz na *panteistów*, jakoby stronników filozofii spekulacyjnej (niemieckiej), którzy uznają naturę jako rozwijanie się ducha Bożego, i mówi: „*Bóg doskonalący się nie będziez to wieczna sprzeczność rzeczownika z przymiotnikiem?*”

(Dalszy ciąg nastąpi.)



## JESZCZE SŁÓW KILKA

O POMIESZANIU W JEDNĘJ OSOBIE PRZYMIOTÓW DŁUŻNIKA I WIERZYCIELA  
HYPOTECZNEGO.

PRZEZ

*Adama Bagniewskiego.*

---

**Z**amieszczając w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc kwiecień r. b. porównanie prawodawstwa naszego z pruskiem, co do pomieszania w jednej osobie przymiotów dłużnika i wierzyciela hipotecznego; ośmieliłem się wynurzyć życzenie (nie wywodząc go ani z przepisów naszego prawa, ani nawet z przepisów § 52 dodatku do p. pr.), aby na przyszłość właściciele dóbr mieli nietylko możność podnoszenia do rąk listów zastawnych, jakie w miejsce umorzonych pożyczek Tow. Kred. mogą być wystawione, ale nawet, aby w podniesieniu przynajmniej części takowych pożyczek umorzonych, nie mogli być przez nikogo przeszkodzeni; a zatem, żeby część ta podając właścicielom dóbr środki do utrzymania gospodarstw mimo klęsk przypadkowych, zwyczajnemi towarzystwami assekuracyjnemi zabezpieczonemi być nie mogących, tudzież do ich ulepszenia, nie ulegała areztom i zajęciu sądowemu, tak, jak dziś nie ulega jój bonifikacya ogniowa za pogorzałe budynki.

Wówczas nie miałem pod ręką dzieła, w którym podobny temu, lecz rozleglejszy, bo do wszystkich spleconych wierzytelności stosujący się wniosek, uważany jest nie już jako pożądany, ale jako wynikłość prawna z przepisu § 52 dodatku do p. p. p.

Pospieszam więc podać jeszcze do wiadomości czytelników teorią, jaką w téj materji wyrobił sobie jeden z najznakomitszych prawników pruskich, z kilku z mojej strony uwagami (1).

(1) Systematische Darstellung des Preussischen Civilrechts, vom Kammergerichts-Rath Dr. W. Bornemann. Berlin, 1836 r.

Poczytując hypotekę tylko za prawo akcesoryjne, a nie za prawo główne, uważa on przecież, że jak skoro hypoteka tylko przez wpis powstać, a przez wymazanie zniknąć i skonsolidować się może; zaspokojenie jęj, lubo samém przez się prawem znosi główne zobowiązanie, nie znosi jeszcze hypoteki, na jego zabezpieczenie przekazanej, i hypoteka ta jakkolwiek jest tylko prawem akcesoryjnym, pozostaje aż do jęj rzeczywistego wykręślenia. Ale to, co pozostaje, nie jest ani głównym zobowiązaniem, które w chwili pomieszania praw ustalo, ani też nie jest abstrakcyjnym miejscem hypotecznym, jak to dwoma reskryptami ministeryalnemi z r. 1831 niewłaściwie (według Bornemanna) uznane zostało (1); ale jest raczej oddzieloným od głównego zobowiązania, a przez naturę ubezpieczonej wierzytelności bliżej określonym prawem akcesoryjnym, które dozwala właścicielowi przywiązać do niego powtórnie główne zobowiązanie, a wierzycielom poniżej zamieszczonym nie nadaje prawa do podniesienia się w szacunku, ale tylko prawo żądania, aby to nowe główne zobowiązanie odpowiadało piérwszemu, i w warunkach swoich nie było uciążliwsze: czego też i zwierzchność hypoteczna z urzędu przestrzegać ma obowiązek, a to zapatrując się zawsze na naturę i warunki piérwszego głównego zobowiązania.

Wprawdzie zdaje się, jakby to było w sprzeczności z naturą prawa będącego tylko akcesoryjnym, jakie dopuszcza zawsze istnienie zobowiązania głównego; ale pozór tęg sprzeczności jest wyływem samego układu hypoteki, według której podobny zupełnie stosunek

(1) Powołane tu reskrypta ministeryalne z dnia 24 marca i 13 maja 1831 r. przyjmują, że właściciel nieruchomości rozporządzać może opróznioným z jakiegobądź powodu miejscem hypotecznym, a to bez względu na naturę wierzytelności, lub jęj konfuzyą; że zatem, jeżeli na jedną i też samą wierzytelność właściciel wystawił kilka oddzielnych hypotek, a wierzyciel zezwala na zwolnienie jednej z nich, można w jęj miejsce zaciągać oddzielne nowe zobowiązanie.

Tutaj hypoteka uważana jest nie już jako akcesoryjne, ale jako samoistne prawo, a opróznione miejsce w hypotece jako rzeczywisty przedmiot, którym właściciel rozporządzać może.

Taki sposób widzenia rzeczy jest zdaniem Bornemanna niewłaściwy; wówczas albowiem właściciel miałby prawo rozporządzać miejscem po zniesionej kaucyi, po odrzuconęj protestacyi *pro consevando loco*, albo po wierzytelności usuniętej excecpcją nieodebranęj waluty, a nawet mógłby w miejsce kaucyi lub wierzytelności na kilku dobrach zabezpieczonej, zaciągać na każde z tych dóbr oddzielne zobowiązanie, wyrównywające wysokości pierwiastkowej wierzytelności.

Cóźkolwiekbądź, zachodziła w tęg mierze nawet w praktyce rozmaita interpretacya; Bornemann albowiem przywodzi w tęg miejscu, że sądy odmawiały wprowadzenia nowęj wierzytelności w miejsce usuniętej kaucyi, lub odrzuconęj protestacyi *pro consevando loco*.

nastaje, gdy właściciel dóbr zatrzymuje sobie miejsce na oznaczoną sumę z pierwszeństwem przed hypoteką, na jakiej zapisanie zezwala.

Z takiego zapatrywania się na ten przedmiot, Bornemann wyprowadza następujące wnioski:

1) Nie każdą zwolnioną hypoteką właściciel rozporządzać może; ale z § 52 dodatku do p. p. p. i R. G. z roku 1824, wtedy tylko dla niego prawa wypływają, gdy hypoteka zastrzeżoną była dla należności zdolnej do scedowania, i gdy nastąpiło umorzenie, i konfuzja téjże należności. Prawa te nie mogą być rozciąglejszemi od tych, jakie do umorzonej należności przywiązane były; a zatem właściciel nie może zaciągać nowego długu w miejsce umorzonej kaucyi, w miejsce zniesionej protestacyi *pro conservando loco*, albo w miejsce zniesionej wierzytelności *excepcją* nieodebranę waluty; w miejsce zaś umorzonej, a na kilku hypotekach zabezpieczonej wierzytelności, ma prawo zaciągnąć jedno tylko zobowiązanie, z rozciągnięciem go na wszystkich tych nieruchomościach lub na jednej z nich. Obojętném jest tu zresztą, czy wierzytelność spleacona, miała przywiązany warunek spłaty, który tylko na korzyść udzielających pożyczkę, a nie na korzyść poniższych wierzycieli stosowanym być może; albo téż, czy właściciel splecający wierzytelność, jest osobiście (lub téż; jak to ma miejsce względem pożyczek landszaftowych) tylko rzeczowo zobowiązany.

2) Gdyby właściciel nieruchomości, który splecił zahypotekowaną na nięj wierzytelność, poczytany być miał koniecznie jako wierzyciel hypoteczny, należałoby wówczas spleconą wierzytelność uważać jako *activum* do jego majątku należące, a tém samym wierzyciele byliby upoważnieni iść do tego *activum*, jak do każdego innego w majątek ten wchodzącego. *Activum* takie mogłoby więc być przedmiotem aresztu i zajęcia sądowego, a w razie wytoczenia konkursu nad majątkiem dłużnika, musiałyby być uważane jako należące do wspólnej *massy*.

Ale właściciel nieruchomości, jak już okazano, nie jest rzeczywistym właścicielem spleconej przez siebie wierzytelności, tylko pozostaje dla niego połączone z tą wierzytelnością prawo *accessoryjne* hypoteki, które on według woli wykreślić, albo innemu wierzycielowi przekazać może. Tak więc, owo prawo hypoteczne, tylko przez dołączenie do niego nowego głównego zobowiązania, znaczenie uzyskać może, a względem trzecich osób jest ono bez rzeczywistości, i nie może być uważane jako *activum*, ale tylko jako opróżniona pożyczka hypoteczna.

Idzie ztąd:

że takie prawo hipoteczne nie może być przedmiotem exekucyi; że położenie na nim aresztu dopuszczalném być może tylko wtedy, kiedy się zamierza wzbronić dłużnikowi samego rozrządzenia dobrami na rzecz trzeciego (*protestatio de non amplius intabulando*), jak to np. ma miejsce po objawieniu w hipotece rozpoczętej subhastacyi;

że w razie konkursu nad majątkiem dłużnego właściciela, wierzyciele osobiście nie mają prawa doliczać do wspólnej masy wysokości spłaconej wierzytelności: bo prawo rozrządzenia miejscem, jakie służyło właścicielowi dóbr aż do otworzenia konkursu, nie przechodzi na jakąkolwiek klasę wierzycieli, ale wszyscy razem nabywają prawa do całego jeszcze pozostającego majątku, z mocy którego mogą go spieniężyć, i takowy między siebie w miarę nabytych przed otwarciem konkursu praw, rozdzielić (1); a wreszcie:

że ma to zastosowanie nawet wtenczas, kiedy właściciel spłaconą wierzytelność przepisze formalnie na swoje imię; albo w razie nabycia dóbr przez wierzyciela, jeżeli tenże posiadaną dawniej wierzytelność pozostawi w hipotece na swoje imię zapisaną. Dawne albowiem połączenie głównego zobowiązania z prawem akcesoryjnym hipoteczném nie może być utrzymaném, i tylko pozostaje w hipotece to drugie prawo; dlaczego téż, zdaniem Bornemanna, przepisywanie na swoje imię wierzytelności spłaconej, jest operacyą zupełnie bezużyteczną.

3) Opinia Kommissyi Prawodawczej na której oparty został przepis § 52 dodatku do p. p. p. nie nadaje właścicielowi prawa rzeczywistego wierzyciela, ani téż spłaconej wierzytelności nie uważa jako *activum* należące do majątku tegoż właściciela, ale tylko nadaje mu prawo dysponowania miejscem w hipotece wakującym. A chociaż rozkaz gabinetowy z d. 3 kwietnia 1824 r. wyraźnie przepisuje, że właściciel dóbr, który spłaconą przez siebie wierzytelność z hipoteki nie wykreśla, używa wszystkich praw *cessyonaryusza* téjże hipoteki; to jednak przepis ten nie może być tłumaczony w sposób, jakoby służyć wierzycielowi hipotecznemu prawo wystawiania dóbr na subhastacyą, służyć także miało i ich właścicielowi, który wierzytelność tę spłaciwszy, chciałby do zrealizowania jój tegoż samego chwycić się środka.

(1) Za świadectwem Bornemanna, niejednostajna jest w téj mierze praktyka sądowa pruska. Niektóre sądy przyjęły zasadę, że w razie wytoczenia konkursu nad majątkiem dłużnego do dóbr, wysokość wierzytelności spłaconej, a z hipoteki niewymazanej należy do wspólnej masy, inne zaś oddalały ją z pretensjami do takich wierzytelności.

Przepis rozkazu gabinetowego tłumaczyć więc należy w taki sposób, że właściciel dóbr nabywa wszystkie prawa cessionaryusza, ale tylko pod względem możności przelania spleconej wierzytelności na rzecz trzeciego, co głównie i jedynie § 52 dodatku do p. p. p. zamierzone było.—

Pozostaje mi jeszcze wskazać niektóre szczególne powody dla jakich Bornemann uważa, że miejsce spleconej wierzytelności nie może być przedmiotem exekucyi, na czém w materji téj ze stanowiska ekonomicznego bardzo wiele zależy.

W dopuszczeniu takiej exekucyi (mówi Bornemann), położenie wierzycieli osobistych właściciela byłoby z tego względu nierównie korzystniejsze od położenia wierzycieli jego hipotecznych; pierwsi albowiem mogliby w każdym razie iść do spleconej wierzytelności, drudzy zaś wtedy tylko, gdyby zrzekłszy się prawa swego rzeczowego, chcieli czynić poszukiwania jako wierzyciele osobiści, co przecież wolno im jest jedynie wtedy, gdy właściciel nieruchomości jest zarazem i ich osobistym dłużnikiem.

Również i właściciel dóbr miałby wówczas odjęte sobie prawo wyboru pozostawienia w hipotece wierzytelności spleconej, lub jej wykreślenia; w samej albowiem chwili jej spłacenia lub zniesienia przez konfuzyą, mogłaby ona zostać obłożona aresztem na satysfakcyą długu osobistego, do exekucyi lub do zahypotekowania usposobionego. Takie zaś obłożenie aresztem uniepodobniając wykonanie wniosku właściciela o wykreślenie spleconej wierzytelności, i ograniczając pod tym względem jego prawo, byłoby tém samym wprost przeciwne duchowi § 52 dodatku do p. p. p., który praw właściciela nie chciał ścieśnić, ale owszem rozszerzyć i zapewnić mu środki uzyskania kredytu.

Wreszcie ani same przepisy prawa objęte § 52 dodatku do p. p. p. i rozkazem gabinetowym z d. 3go kwietnia 1824, ani nawet motywa tychże przepisów, nie wzmiankują nigdzie o prawach wierzycieli osobistych, na zasadzie jakich mogliby rozciągnąć exekucyą do spleconego, a z hipoteki niewykreślonego prawa hipotecznego, i tym sposobem wykreśleniu jego przeszkodzić.

Taką jest teoria Bornemanna.

Czy—i jak dalece teoria ta, a w szczególności zdanie co do niemożności poszukiwania satysfakcyi z miejsca pozostałego po wierzytelności konfuzyą umorzonej, są dostatecznie usprawiedliwione? nie chcę wdawać się w tém miejscu, i pozostawiam to ocenieniu prawników.



Dla mnie byłoby dosyć zwrócić tu raz jeszcze uwagę czytelnika: że historyi wewnętrznej tego prawa w Prusach, szukać należy *w zapewnieniu właścicielom dóbr* (jak to i Bornemann wyznaje) *środków uzyskania kredytu*:

że wychodząc z tego ekonomicznego stanowiska, wypada i w naszym prawie hipotecznym, na hipotece pruskiej wzorowanym, przyjmując podobną zasadę, a to obok zasady art. 1,300 k. c. o pomieszeniu, która także sama była i jest znana w prawie p. pruskiem;

i że przy samym wprowadzeniu u nas hipoteki z r. 1818, przewidywano potrzebę pogodzenia kodexu cywilnego z hipoteką, a to przez zastosowanie kodexu do hipoteki pruskiej, a nie hipoteki do kodexu; co przecież dotąd jak w wielu względach, tak i pod tym, o którym tu mowa, nie nastąpiło. —

Ale mając sposobność mówić raz jeszcze o tym przedmiocie, i przekonany mocno o wysokim stopniu użyteczności projektowanej zmiany w prawie naszym hipotecznym, czuję potrzebę kilka jeszcze uwag w tym przedmiocie dołączyć. —

I u nas, lubo umorzenie prawa rzeczowego, zawisłem jest od zaspokojenia wierzytelności (art. 119 pr. z r. 1818), uwolnienie jednak dóbr i praw hipotecznych od obowiązków, którym ulegają, powinno stać się jawne przez *wykreślenie* wpisu z ksiąg hipotecznych (art. 9).

I u nas więc, równie jak w Prusach, pozostaje jeszcze pewnego rodzaju prawo, nawet *po zaspokojeniu* wierzytelności, i aż do chwili jego wykreślenia;

a różnica w tém tylko zachodzi, że u nas z tego pozostającego prawa właściciel wcale użytkować nie może, i stoi ono odłogiem do czasu wykreślenia; w Prusach zaś może go upożytecznie zaciągnięciem w to miejsce nowój pożyczki.

Rozumowanie to nie zdaje się sprzecznem objawionemu już zdaniu autora „Prawo hipoteczne objaśnione”. W materji o wykreśleniu wpisów, najmniej zaspakajająco w prawie naszym załatwionój, wyraża się między innymi:

„Prawo rzeczowe jak nie powstaje tylko przez wpis, tak się nie umarza tylko przez wykreślenie.”

„Szczególneby to było umorzenie, kiedy prawo to na trzeciego nabywcę ważnie przeniesione być może, kiedy nawet nie zaczyna się przedawnienie. Cóż za użytek z tego, że art. 119 mówi, iż się prawo rzeczowe umarza, kiedy ono istnieje w stosunku do trzecich na-

bywców w dobrej wierze. Dokładniejby było powiedzieć, że przez zaspokojenie wierzytelności, umarza się prawo *osobiste*".

W inném znowu miejscu:

„Prawo rzeczowe może być umorzone, a trwać prawo osobiste; i wzajemnie: może być umorzone prawo osobiste, a *trwać* prawo rzeczowe”.

Jakkolwiek więc pan D. materji obecnie nas zajmującej specjalnie nie traktował, i jako z prawa naszego wprost niewypływającej, ale dopiero pożądaną być mogącej, niekoniecznie traktować potrzebował: można z przytoczonych tu myśli, blizki z tą materją związek mających, niejako domyślać się jego zdania,

Nie należy też całego tego przedmiotu uważać za coś pojęciem prawnym przeciwnego: bo i dziś już dopuszczane są tak blizko graniczne z nim stosunki prawne, iż trzeba nawyknięcia, aby między niemi nie dostrzegać podobieństwa.

Wszakże i dziś, według zasad k. c. termin zapłaty wierzytelności hipotecznej odraczany być może za zgodą właściciela i wierzyciela, i bez wpływu wierzycieli poniższych.

Wszakże i dziś, właściciel władnym jest w terminie wypłaty podstawić innego wierzyciela, jeżeli go tylko znaleźć zdoła, a to z nowym terminem, bez wpływu wierzycieli poniższych?

Wszakże i dziś, wydziały hipoteczne zatwierdzają wnioski właścicieli, dążące do zatrzymania w hipotece miejsca na sumę oznaczoną, z pierwszeństwem przed zaciągającą się wierzytelnością, czego nikt nie nazwie jeszcze, posiadaniem wierzytelności na własnych swoich dobrach?

Dlaczegożby więc nie miało być wolno dłużnikowi w miejsce spłaconej wierzytelności zaciągnąć inną, bez wpływu poniższych wierzycieli, dla których wychodzi to zupełnie na toż samo, jak gdyby i również bez ich wpływu, nastąpiło rzeczywiste podstawienie osoby innego wierzyciela?

Dlaczegoż nie dozwolnić właścicielowi spłacić *dziś* dług i dziś uzyskać pokwitowanie, a dopiero *jutro* w miejsce spłaconej, lecz nie- wykręślonj wierzytelności podstawić nowy dług; tak samo, jak można dziś kupić, a dopiero jutro zapłacić.

Czyliż ten przedział czasu między zakwitowaniem a uzyskaniem nowj pożyczki, który mniej więcej może być długi, a może i dnia jednego nie przenosić, ma tu stanowić tak ważną różnicę?

Dlaczego zmuszać właściciela do extabulacyi własnym funduszem dług spłacającego, kiedy fundusz ten mógł być poprzednio od innego

wypożyczonym, a gdyby był i własnym jego funduszem, kiedy on potrzebując go na inny jaki użytek, tylko dlatego spłaca nim długi, że w samym terminie wypłaty nie mógł znaleźć pożyczalników, chcących wejść w prawa wierzycieli, spłaconemi być potrzebujących; i kiedy sama niemożność lub trudność w wynalezieniu takich pożyczalników na termin, jest w znacznej części skutkiem terażniejszego trybu postępowania, który odejmując właścicielom bodziec do dotrzymywania wypłat w terminach umówionych, szkodliwie na sam kredyt ziemski wpływać musi, i rzeczywiście wpływa?

Dlaczego, powtarzam, zmuszać właściciela do téj extabulacji, kiedy ta może nie być w jego widokach; kiedy obok istniejących już przepisów, żaden z poniższych wierzycieli nie miał prawa ruchować na nią (wyjąwszy jedynie na amortyzacyą pożyczki Tow. Kred. jako sposobem przymusowym i na zasadzie wyjątkowych przepisów uiszczaną); kiedy nawet zachodzić może ten wypadek, że mimowolne podniesienie się wierzyciela skutkiem extabulacji poprzedniego długu, narazić go może na konieczność odebrania z pożyczki Tow. Kred. kapitału, przed terminem do jego wypłaty umówionym, czego on mógł nie pragnąć, i co za naruszenie praw swoich, i słusznie, poczytywać może?

Dlaczegoż w tych wszystkich razach, w których właściciel nie może wystarać się na termin nowego pożyczalnika, dawać mu zachętę do obchodzenia skutków prawa aktami symulowanemi, i wywoływać wywłaszczenia, które idą także i głównie na szkodę wierzycieli hipotecznych, wątpliwie w szacunku umieszczonych: to jest tych właśnie, których do terażniejszego trybu postępowania przy konfuzjach są najwięcej interesowani;

i czyliż nie lepiej przyjąć system, który pozwalając zatrzymania w hipotece pożyczki (1) po spłaconej wierzytelności, i zaciągnięcia później w to miejsce nowéj pożyczki, odpowiada dobrze zrozumianemu interesowi tak właścicieli, jak wierzycieli, i niczym prawom nie ubliża; który przytém obok koniecznego spłacenia pożyczki Tow. Kred. ziemskiego, a tém samém obok powtarzać się mogącego od czasu do czasu odnawiania tych pożyczek, podać może łatwość do wytworzenia kombinacyi kredytowej, dozupelniającej niejako system kredytu ziemskiego udzielaniem pożyczek, bezwarunkowe bezpieczeń-

(1) W Bibliotece Warsz. z kwietnia r. b. czytaj na str. 140 w wierszu 26tym, zamiast wyrazu *pożyczki*, wyraz *pożyczki*, a na str. 131 w wierszu 27ym zamiast wyrazu *wiedzieć*, wyraz *nie wiedzieć*.

stwo mających, już nie na spłatę długów, ale do rąk, na kapitał obrotowy w rolnictwie, co było trudnym zawsze zadaniem.

Powtarzam więc: cały ten przedmiot nie jest niczym niesłychanym, a subtelnym zdawać się może dlatego tylko, że w tym kierunku nie nawykliśmy zapatrywać się na skutki konfuzyi.

Dla tych przecież, którzy koniecznie jakieś upatrywać w nim zechcą odstąpienie od ogólnych pojęć prawa, to tylko jeszcze nadmienię: że jest niem nieskończenie mniej od przyjętej (wbrew ogólnej zasadzie, że nikt lepszych praw zbyć nie może, od tych, jakie posiada) ważności nabycia prawa hipotecznego spłaconego, lecz niewykręślnego, ilekroć nabywca jest w dobrej wierze.

Mówię nieskończenie mniej, bo dłużnik, który nie dopilnował extabulacyi, może być zniewolony dwa razy jedną wierzytelność zapłacić; sama zaś zmiana trybu postępowania przy konfuzyi, nietylko takiego skutku nie sprawia, ale nawet niczych praw nie pogorsza, i tylko nie zrząda mimowolnego tychże praw ulepszenia.

Hypoteka, kredyt, zruchowienie wartości dóbr, są pojęciami blizkoznacznymi; kiedy więc dla jawności hipoteki, będącej warunkiem kredytu, przyjmuje się tak ważne od ogólnej zasady prawa odstąpienie, i takowe nietylko nie razi, ale jest powszechnie za użyteczne uznane; czemużby dla tegoż samego kredytu nie miano w postępowaniu przy konfuzyi przyjąć trybu wprawdzie odmiennego od trybu dziś w użyciu będącego, ale jednak niczym prawom nie ubliżającego.

Tylko zapewnienie dla miejsca hipotecznego, po spłacie długu pozostającego, zwolnienia od aresztów i zajęcia sądowego, uważałbym w materyi téj za największą wyjątkowość; ale i tu dość nadmienić:

że zwolnienie takie podwyższa wprawdzie użyteczność proponowanej zmiany w prawie hipotecznym, ale ja przynajmniej mniemałem, że nawet i bez takiego zwolnienia jest ona pożądaną; i

że kiedy to, co ja wychodząc ze stanowiska ściśle ekonomicznego, chciałem mieć zastosowane tylko do części pożyczek Tow. Kred., znakomity prawnik pruski uważa jako *wynikłość prawną*, z przepisów tamże obowiązujących, i z zastosowaniem do wszystkich wierzytelności spłaconych, a z hipoteki przez właściciela niewykręślonych. Objawione zatem przezemnie życzenie nie ma także w sobie nic nadzwyczajnego, i przynajmniej w tym zakresie, w jakim namieniłem, zasługuje na urzeczywistnienie.

# SPÓR

## EKONOMII POLITYCZNEJ Z RZECZYWISTOŚCIĄ,

niewłaściwie wszczęty przez p. Felixa Zielińskiego.

W zeszyte styczniowym Biblioteki Warszawskiej z r. 1850, mieści się artykuł p. Felixa Zielińskiego, pod tytułem: „Ekonomia Polityczna i stan jej w naszym kraju.” Artykuł ten z początku bardzo interesujący, jak zwykle wszystko, co zpod pióra uczonego Felixa Zielińskiego wychodzi, zamienia się w końcu w wycieczkę przeciwko jakiemuś pismu gospodarsko-ekonomicznemu, ani z tytułu, ani z autora niewymienionemu. W każdej polemice, której mamy być świadkami, radziłyśmy wiedzieć: kto jest ten przeciwnik, przeciwko któremu strzały wymierzono; a jeżeli to jest niepodobnem, gdyż mogą być dzieła bezimienne: jaki przynajmniej jest tytuł krytykowanego pisma, abyśmy go całe przeczytać, ducha jego, dążność jego w całości ocenić, i krytykę z samym jej przedmiotem w oryginale porównać mogli.

Co do samego autora, jakkolwiek niewymienionego, postawił nas p. Felix Zieliński w możności zrobienia sobie o nim przynajmniej ogólnego wyobrażenia: że to jest jakiś szlachcic ograniczony, z naukami a mianowicie z ekonomią polityczną nieobeznany, a jednak, w rzecz nie swoją się wdawszy, o niej wyrokujący, i zapatrujący się na świat nie z punktu ogólno-krajowego, ale z ciasnego stanowiska swojej Wólki lub Woli, nie będąc w stanie poznać wzajemnej wypadków zależności i związać je w jeden łańcuch rozumowania. Do takiego przynajmniej wyobrażenia, upowaznia nas następujące wyrażenie się p. F. Zielińskiego:

„Zamiast tych wypadków, na doświadczeniu i teorii opartych, jakież zdanie upowszechniło się u nas? Co czytamy dziś jeszcze w piśmie, z powszechnym prawie okłaskiem przyjętych?—Oto stosunki najmu, przez nas wykazane jako normalne, kładzione są na karb lenistwa włościan, których, gdy jeść co mają, do pracy nakłonić ma być niepodobna! O głównej zaś i stanowczej przyczynie podrożenia i braku najmu w latach tanich, trudno doczytać się i słowa.”

„Niełacno uwierzy temu czytelnik, nieobeznany z przedmiotem; obwini nas może o przesadę; przytoczymy więc wyjątki dosłowne z jednego z pism gospodarsko-ekonomicznych, znacznej wziętości używających.”

„Oto co w niém czytamy“:

(„Że łatwość wyżywienia daje u nas wielką potuchę lenistwu, że przeto główną jest przyczyną braku najemnika, tego mamy najlepszy dowód w latach nieurodzaju, albo podczas tak nazwanego *przednówka*. Wówczas liczba robotników najmu szukających mnoży się w cudowny sposób, tak, że się dziwić wypada, z kąd się ich tyle wzięło, kiedy ich w inną porę wcale nie ma”) (1).

„Zdziwienie o którym tu mowa, ustałoby zapewne, gdyby zamiast puszczać reflexyą samopas po wypadkach, starano się poznać wzajemną ich zależność i związać je w jeden łańcuch rozumowania; gdyby pamiętano o tém, że stosunki ekonomiczne są stosunkami ogólnokrajowymi, że więc nie można poglądać na nie ze stanowiska partykularnego, ze stanowiska Wólki lub Woli, lecz że je z punktu ogólnokrajowego uważać należy.”

„Nie czytaliśmy równie i tych słów po części przeciwnych pierwszym, po części sprzecznych ze wszystkiém, co najświetlejsi dzisiejsi ekonomiści utrzymywali i utrzymują:

(„W Anglii, we Francji, w Niemczech mnóstwo jest ludzi nie posiadających i z głodu prawie umierających, których na zarobki wypędzać nie trzeba, bo sami ich szukają, gdyż głód miejsce włodarza najskuteczniej względem nich zastępuje;... ale u nas, w Polsce, nie mamy dotąd tego szczęścia posiadania milionów ludzi nie posiadających i ciągłym prawie głodem zagrożonych”).

Otóż co do autora, jakiego on rodzaju być może, te ustępy dają nam niejaki wyobrażenie, ale co do pisma samego, trudno z temi dwoma wyjątkami przyjść do księgarni, i rzec: „proszę mi dać tę książkę, w której takie są ustępy!” Cóżby to za sławne dzieło być

(1) Słowa kłamrami zajęte, wyjęte są z owego niewiadomego pisma.

musiało, żeby niepotrzeba ani tytułu, ani stronnicy cytować, i że dosyć jest dwa małe wyjątki przytoczyć, a cała publiczność ma już wiedzieć, z kąd one wzięte i do czego to wszystko zmierza. Wszakże z ewangelii, jeżeli co przytaczają, cytują zwykle rozdział i wiersz, chociaż ona najbardziej upowszechniona. A jednak radzibyśmy czytać całą książkę, aby dokładniej wiedzieć, o coto tam idzie, i czylito ten prosty szlachcic istotnie zasady ekonomii politycznej chce obalić, i najświetlejszym dzisiejszym ekonomistom myśli się sprzeciwiać. W braku więc bliższej informacji, musimy przestać na tych dwóch małych wyjątkach, które nam udzielono, i o więcej się nie troszczyć.

Jak z nich się wykazuje, cała rzecz o to idzie, że ten prosty szlachcic na brak najmu narzeka, i *główną (ale nie jedyną) tego przyczynę* w lenistwie włościan naszych upatruje; gdyż w latach nieurodzaju, albo podczas tak nazwanego przednowku, liczba robotników najmu szukających mnoży się w cudowny sposób, kiedy ich w innej porze wcale niéma.

P. Felix Zieliński widzi w tém wielkie wykroczenie przeciwko głównym zasadom ekonomii politycznej, i szeroko dowodzi, że przyczyna braku najemnika u nas w latach urodzaju nie w lenistwie włościan, ale w téj okoliczności *jedynie* leży, że w latach urodzajnych, przy obfitszych zbiorach, dwa razy a przynajmniej znacznie więcej roboty potrzeba, aniżeli w nieurodzajnych; gdy więc massa robocizny tak znacznie się powiększa, a za nią żądanie roboty: to téż i cena jój w górę idzie, a być może, że nawet robotnika zabraknie. Jeżeli zaś nieurodzaj jest, mało jest do zbierania, ztąd następuje we wszystkich kategoriach mało zatrudnienia. Stosunek więc robotników zarobku szukających się powiększa, a przez to samo cena robocizny spada, i cały fenomen z głębokich zasad ekonomii politycznej prostemu szlachcicowi nieprzystępnych, jak najnaturalniej się tłumaczy.

Przypuśćmy, że w latach urodzajnych dwa razy więcej albo znacznie więcej robotnika potrzeba:—choć się i to nie do wszystkich, tylko do niektórych kategorii ściąga, bo my wieśniacy wiemy dokładnie, że np. jedna kobieta, jeden kosarz na jednej i téj samej przestrzeni w razie urodzaju dwa razy więcej zeźnie, dwa razy więcej skosi; jak w przeciwnym razie, to samo, że jeden człowiek do ściu korcy kartosli na dzień, gdy się urodzą nakopie, gdy tymczasem podczas nieurodzaju z téj samej przestrzeni ledwo jeden korzec na dzień zbierze—a jednak to są trzy rodzaje najważniejszych w rolnictwie robót, i na cenę najmu najwięcej wpływających; przypuśćmy mówię to wszystko, czego p. F. Zieliński żąda, to jednak jeszcze daleko do te-

go, ażeby większa lub mniejsza cena najmu *wyłącznie*, jak on twierdzi, od większego lub mniejszego urodzaju zależała. To tylko stoi, że większe żądanie robocizny podwyższa cenę jej, mniejsze zniża ją; ale na mniejsze lub większe żądanie onęj z jednej strony, i na mniejsze lub większe ofiarowanie z drugiej strony, mnóstwo okoliczności wpływać może, w najdziwaczniejszy sposób się częstokroć krzyżujących albo kombinujących, a nietylko mniejszy albo większy urodzaj. Tak np. pomimo nieurodzaju, może być wielkie żądanie chwilowe roboty podczas żniw, jeżeli nadzwyczajne upały dla obawy wypadnięcia ziarna, albo nadzwyczajne słoty dla braku sprzyjającej pory, czynią to żniwo nagłym. Przeciwnie być może wśród najobfitszych urodzajów, jeżeli pora pod każdym względem jest sprzyjająca, i przez to dłuższy czas do zbiorów zostawiająca. Podobnego gwałtu doznawaliśmy wśród największego nieurodzaju kartofli, jeżeli dżdżysta pora i słuszną obawą wczesnych mrozów ich zbiorowi zagraża; a wielki urodzaj dał się nieraz z mniejszym kosztem sprzątnąć, jeżeli pora była potem sprzyjająca i zima późna: coby jednak podług abstrakcyjnego tłumaczenia teorii p. Zielińskiego zupełnie musiało być przeciwnie. Tak samo w ofiarujących robotę najróżnorodniejsze wpływy miejsce mieć mogą, i cenę jej w sposób niedający się zawsze naprzód przewidzieć, modyfikują. P. Zieliński w kłótni, której samo chcąc z tym szlachcicem szuka, rzecz sobie niezmiernie łatwą zrobił, że sobie siłę pracującą i przedmiot pracy tylko pod jednym względem, t. j. pod względem mniejszej lub większej ilości wyobraza, i że podobnie, jak siła ciężkości zawsze działa, tak téż wystawia on sobie, że i siły pracujące w naszym przypadku, jako siły fizyczne, ciągle działać muszą, podług prawli tylko matematycznych.

Krytyk jednak zapomniał, że te siły pracujące sąto ludzie, którzy chociaż do pewnego stopnia koniecznym potrzebom fizyczności podlegają, mają jednak wolą, różnemi względami, wyobrażeniami, zwyczajami, przesądami, żądzami i imaginacyami kierowaną, w bardzo różnych stopniach energii się objawiającą, której w wieloraki sposób i od matematycznych praw odmienny użyć mogą, a co się matematycznie naprzód obrachować nie da, i dlatego dopiero przez doświadczenie ocenionem być musi. Gdzie człowiek na scenę wychodzi, tam przybywa nowy pierwiastek: pierwiastek psychiczny, duchowy, który jakkolwiek natury obalić nie jest w stanie, jednak przewidziane wypadki rachuby nadzwyczajnie zmienić może. Ma on swoje mocną i słabą stronę, swoje cnoty i swoje wady, i te wszystkie w praktyce nie są martwemi świadkami, ale wpływają jako działające potęgi,



zmieniające całkiem postać rzeczy na złe lub dobre, stwarzające bogactwa, gdzie ich nie było, a wtrącające w nędzę, pomimo, że naokoło wszelkie elementa zamożności się znajdowały.

P. Felix Zieliński, który szlachcicom z Wólki lub Woli naukę ekonomii politycznej wyklada, powinienby przecie wiedzieć, że skoro ekonomia polityczna o bogactwach rozprawia, pierwszym źródłem wszelkiego bogactwa prywatnego czy publicznego jest — *praca*. Praca zaś jest natężeniem, wysileniem. Gdzie jest wysilenie, tam może być i brak onego, albo mniejszy lub większy stopień energii jego, obok mniej lub więcej sprzyjających okoliczności. Ztąd tak nadzwyczajna różnica bogactw, tego owocu pracy, jaka się u pojedynczych ludzi i u całych narodów napotykać daje. Ztądto pochodzi, że człowiek, a nawet naród początkowo ubogi ale pracowity, przychodzi do wielkich bogactw; gdy tymczasem bogaty skoro w gnusność zapadnie, do stanu największej nędzy, która była punktem wyjścia, wraca. Mniejszy stopień wysilenia w pracy jest właśnie to, co nazywamy *lenistwem*; przeciwnie, nieustająca zabiegliwość, korzystająca z każdej chwili, ciągle się natężająca i nie opuszczająca żadnego zarobku, jeżeli się gdzie jaki nawija w jakimkolwiek zawodzie, nigdy nie zakładająca rąk, ale po zaspokojeniu pierwszych potrzeb życia, o zbieraniu zasobów na przyszłość przemyśliwająca: nazywa się *pracowitością*. Z lenistwa i z pracowitości, t. j. z pracy w różnych stopniach energii wykonywanej, składa się niemal cała historia cywilizacji, i jak cień obok światła, tak lenistwo obok pracy, widzimy. Cały świat o ile przez człowieka stworzony jest tego pełny, i te są dwie charakterystyczne cechy, które najwięcej się do odróżnienia pojedynczych ludzi i całych narodów przyczyniają.

Podług twierdzeń p. F. Zielińskiego, Polska jest tym szczęśliwym krajem, gdzie wcale nie ma lenistwa, a nawet wcale go być nie może. Zasady ekonomii politycznej przez niego wytłumaczone najoczywiściej tego dowodzą, że lud polski nie może być leniwym, a jeżeliby się kto poważył zarzucić mu lenistwo, byłoby to sprzecznym ze wszystkiem, co najświetlejsi dzisiejsi ekonomiści utrzymywali i utrzymują. „Jestto zatem nędzna kalumnia na lud polski rzucona; i jeżeli co pod tym względem nie jest tak, jak być powinno, to zapewne, jak niejeden gotów tajną z tego wyprowadzić konsekwencją, temu panowie są winni”.

Z dowodzeń p. F. Zielińskiego nawet się więcej jeszcze, bo to okazuje, że wcale lenistwa nietylko w Polsce, ale na świecie być nie może. U niego nic więcej niema, tylko zawsze jedne i te same

sily z małemi tylko odmianami zawsze pracujące i nigdy niespoczywające, a tém mniej jeszcze lenistwu się oddające. Różnica tylko ta jest, że jeżeli większy przedmiot pracy, to następuje większe onéj żądanie, a ztąd większa jój cena; jeżeli zaś mniejszy, żądanie także jest mniejsze, a że wszyscy pracować chcą, cena się zmniejsza. Wątpić jednak wypada, ażeby tak świątly człowiek, jak p. F. Zieliński, zapalczywie uganiając się za tym szlachcicem z Wólki lub z Woli, aż do takich nedorzeczności miał w myśli się posunąć. A jednak wyznać trzeba, że na to się zaniósł, bo zawiele dowiódł. Lecz wiadomo, że kto zawiele dowiódł, nie dowiódł, bo i w dowodzeniu trzeba umiarkowania. Sądzę, że ten spór naszego krytyka zawsze niemałego kłopotu nabawi, jeżeli ciągle uporczywie pierwiastkiem psychicznym, duchowym, w ocenieniu pracy ludu naszego pogardzać będzie, jak sobie tego nadaje minę.

Wreszcie ten szlachcic z Wólki lub z Woli nie zdaje się nawet zupełnie tak głupi, jak go krytyk robi: bo on tylko powiada, że lenistwo jest tylko „główną” (a zatém nie jedyną) przyczyną (u nas) „braku najemnika.” Tak przynajmniej krytyk sam jego słowa cytuje. Więc on innych przyczyn, a zatém i zasad ekonomii politycznej, bynajmniej nie wyłącza. Nie zdaje się także, żeby jego dzieło, o ile z tych dwóch ułamekó w i samego zdania krytyka wnosić można, wykładowi ekonomii politycznej było poświęcone. Owszem, ma to tylko być „pismo gospodarsko-ekonomiczne.” Trudno zatém od niego wymagać, żeby za każdym słowem, ekonomią polityczną przypomnieć mogącém, zaraz całe rozdziały z niéj w swoje ograniczone ramki wtrącał, i tego rodzaju rozprawami, co chwila takowe szpikował. Ale zdaje się, że gdyby się tylko z nim gdzie zejść można, onby znaczną część twierdzenia naszego krytyka bez najmniejszego sporu przyjął. Toby jednak jego twierdzenia w niczém nie obaliło, że w ocenianiu stosunków, z pracy ludzkiej wynikających, wielką rolę gra pierwiastek psychiczny, duchowy, i że on, stosownie do różnych charakterów narodów, częstokroć nawet wszystkie inne przewyższać może. Ekonomia polityczna, któraby temu zaprzeczyć chciała, chybaby ślepa była na rzeczywistość, która przez wszystkie kraje i wieki dla widoku wszystkich jest rozłożona. Ten pierwiastek psychiczny należy do rzędu pierwiastków nieważkich, i z tego względu trudno go pod rachunek podciągnąć. Ale pomimo tego ma on ogromną siłę i moc zburzyć całe państwa, przeistoczyć wszystkie społeczne stosunki i obalić choć chwilowo najsilniejsze zasady. Wprawdzie nie może on się zupełnie spod pewnych prawideł wyła-

mać, ale zdaje mi się, że cała zarozumiałość ekonomii politycznej i jej zwolenników na ich ocenienie nie wystarczy.

Jeżeli robotnicy między sobą koalicją zrobią: nie jestżeto pierwiastek psychiczny?—duchowy? Jeżeli wszystkie klasy pracujące w całym narodzie się połączą, i porządek polityczny obalą, a z nim ekonomiczny przeistoczą, jak to w wielu krajach miejsce miało: nie jestżeto pierwiastek psychiczny? Jeżeli w wytkniętych zawodach spokojnie, ale usilnie pracować, lub jeżeli spać albo drzymać i mało się natężyć, ale się téż małą rzeczą kontentować będą: nie jestżeto psychiczny pierwiastek? To żądza człowieka, która li psychicznej jest natury, która albo na bardzo małych rzeczach przestać, albo do najwyższego stopnia zapędy swe posunąć, i do najwyższych wysileni pracy przez to człowieka pobudzić może, w której tkwi główna sprężyna działań ludzkich: niczem nie jest i na żadną uwagę nie zasługuje, dlatego, że może zakres ekonomii politycznej przechodzi? Czyliżto ekonomia polityczna jest Alfa i Omega naszej mądrości? I już niewolno sięgać po to, co za jej granicami leży?

Nasz krytyk ogromnie się tém powiedzeniem gorszy: „że w Anglii, we Francyi, w Niemczech mnóstwo jest ludzi nic nieposiadających i z głodu prawie umierających, których na zarobki wypędzać nietrzeba, bo sami ich szukają, gdyż głód miejsce włodarza najskuteczniej względem nich zastępuje. Ale u nas, w Polsce, nie mamy tego szczęścia posiadania milionów ludu nic nieposiadających, i ciągłym prawie głodem zagrożonych.” Powiada, że to przesadzony obraz „i że to przeciwne jest wszystkiemu, co najświetlejsi ekonomiści dzisiejsi utrzymywali i utrzymują.”

Jakto? p. Felix Zieliński nie wiedziałby nic, albo umyślnieby zapomniał o proletaryacie za granicą i o okropnym jego położeniu! Nie wiedziałby nic o téj chorobie cywilizowanych krajów! Nie wiedziałby, że miliony proletaryuszów nie mają ani jednej piędzi ziemi, i że jedynie z pracy rąk swoich utrzymywać się muszą; że zatém nieproszeni zarobków szukają, i żeby z głodu umarli, gdyby nie pracowali! A jeżeli lepiej jedzą, lepiej się ubierają, jedynie większemu wysileniu i lepszéj pracy swojej to winni! Tegoby nie wiedział, że u nas proletaryatu prawie jeszcze niéma, bo znaczna część włościan na rolach osadzona, a znaczniejsza jeszcze przy nich i we dworach, zgoła zawsze przy roli się wiesza, i ztąd ma zapewnione utrzymanie, a ztąd nie jest zmuszona, siły swoje tak wyężyć, jeżeli czego więcej osiągnąć nie pragnie? To niepodobna. Chyba, żebyto był jaki inny Felix Zieliński, kłótlivy i z ciemnymi szlachcicami burdy szukający.

Ale tego przypuścić nie można, bo początek jego artykułu wcale jego pióra godzien.

Przeoczył jeszcze krytyk jedną okoliczność, do której się prosty szlachcic z Wólki lub z Woli odwołuje. Ten utrzymuje, że o najemnika w naszym kraju nietylko w czasie nieurodzaju jest łatwo, ale każdego-rocennie w czasie przednowku. Otóż przednowek nie jest to nieurodzaj, tylko te kilka tygodni, które żniwo poprzedzają. W tych nasz chłopiek nawet w urodzajne lata zwykle cierpi niedostatek, w skutek początkowego marnotrawstwa, złego rządzenia się, zbytnej chęci do zabaw, i obojętności na nasuwające się zarobki, póki go bięda nie przymusza. Więc jak bięda przyjdzie, żadnego zapasu nie ma, i dopiero wtenczas na gwałt roboty szuka. My to wieśniacy własnymi oczyma rok rocznie na to się patrzemy, ledwo nie wszyscy prawie tego doświadczamy, perswadujemy ludowi, żeby się tój opieszalności nie dopuszczał, i żeby staranniej zarobków wtenczas szukał, póki jeszcze bięda nie przyciska, bo to z większą korzyścią dla niego. Ten lud przyznaje, że istotnie mamy rację, że dałoby się było co zarobić; ale podobnie jak grzesznik po spowiedzi, gdy bięda samochcąc sprowadzona minie, znowu do dawniej słabości wraca. Cóż nam tu teorya naszego krytyka wyjaśni? Urodzaj był, bo przednowek i w najurodzajniejszym roku może mieć i ma miejsce. Potrzeba robotników w dwojnásób powiększyła się, ponieważ podług dowodzeń naszego krytyka, dwa razy więcej było do zbierania. Ztąd cena robocizny poszła w górę. Dłaczegóż się na przednowku dla tych, co opieszalsi byli w szukaniu zarobków raptem wszystko zmieniło, gdy tymczasem ci, co do zarobkowania żadnej okazji nie opuszczali, przednowku nie znają?

Wreszcie niech krytyk nasz sto razy z zasad ekonomii politycznej dowodzi, że lenistwa w naszym kraju niema, i że go nawet być nie może—co to wszystko nada, kiedy my go jako fakt niezaprzeczony własnymi oczyma widzimy, i własnymi rękami prawie się go dotykamy. Bo jako bliźcy świadkowie naszych włościan, na każdy ich krok patrzemy, i co oni w każdej chwili robią, zwłaszcza po małych wioskach, widzimy; i właśnie się przez to przekonujemy, że jak bięda nie przymusza, nie korzystają z każdej chwili, pomimo, żeby się zarobki nasuwały, tylko wiele czasu na różnych zabawach, częstokroć całe tygodnie po weselach, po jarmarkach, i t. p. trawią, i zbiory swoje nieraz marnują, tak, że częstokroć zmuszeni jesteśmy sami w to wglądać, i ich ruinie zapobiegać. To są fakta, które się żadnymi teoryjami zdmuchnąć nie dadzą.

Jeżeli uczoney Felix Zieliński, który niezaprzeczenie do znakomitości literackich naszej stolicy należy, jakiemu prostemu szlachcicowi z Wólki albo z Woli, którego gdzie w wędrówkach swoich przydybie, uszu natrze, i zasoby swój obszernej nauki dla jego korzyści przed jego oczyma rozwinię, albo po sznurach niewidzialnych sztucznej abstrakcyi na wielkie jego podziwienie skakać zacznie: to przeciwko temu nic nie mamy. Ale jeżeli się tak daleko posunie, że najoczywistsze fakta, które każdy z nas widzi, zaprzeczać zacznie, dlatego, że się w swych abstrakcyach uwikłał, albo dlatego, że tych faktów w palestrze, w swój bibliotece, lub w salonach nie napotyka; jeżeli nadto jeszcze z tego tytułu kłótni szuka z jakim nic nieznaczącym szlachcicem z Wólki lub z Woli: to to wcale nieroztropnie robi. Bo ten szlachcic, chociaż ciemny i ograniczony, stojąc przy rzeczywistym fakcie, pewny jest swego: podobnie jak ślepy, ale płotu się rękami trzymający, i powoli postępujący pewniejszy jest, aniżeli ten, co w samych abstrakcyach zatopiony, tak wysoko się wzniósł, że rzeczywistość zupełnie z oczu stracił; albo téż ten, co ufny w nieomylność tych pajęczyn od życia oderwanych, które tylko o tyle znaczenie mają, o ile z życiem są połączone, tak się zarozumiałością książkowego rozumu upoił, że miarę przebierze i w swoim upojeniu wszystkich z góry traktować zacznie.

W wszelkich zaś kolizyach abstrakcyi z rzeczywistością, abstrakcyja jakkolwiek uczona, zawsze rzeczywistości ustąpić, albo zmodyfikować się musi, jeżeli z rzeczywistością nie da się pogodzić. Niechże w téj kłótni, której p. Zieliński samochcąc z jakimś tam ograniczonym szlachcicem szuka, i jak się zdaje bez żadnych słusznych powodów; mówię, niechże się ten szlachcic odwróci, a jaki niezaprzeczony fakt na drogę mu zwali, to go w wielki kłopot wprowadzi: bo abstrakcyja przed takim faktem ustąpić musi, jak nocny upiór przed dziennym światłem rzeczywistości. Pokonać zaś takiego przeciwnika nie jest wielkim zaszczytem, bo nie stoi na wysokości nauki; ale oberwać co od niego, to może być bardzo nieładnie, zwłaszcza między uczonemi, którzy są zwykle zazdrośni, i radzi, jak kto współzawodnikowi jaką łatkę przypnie.

Nawet trudno się domyśleć, co p. Zieliński mógł mieć za powód do szukania kłótni z tym szlachcicem; bo te powody, do których się przyznaje, zdają się tak mało znaczące, że niewarto było pióra o to w kałamarzu zmaczać.

Że jakiś tam szlachcic ograniczony wydał jakieś tam pismo gospodarsko-ekonomiczne, które miało znacznej wziętości używać, to

zapewne tylko między gospodarzami, między temi współszlachcicami, którzy teraz więcej jak kiedykolwiek o gospodarstwie między sobą rozmawiają, i na różne biedy się gotują. Ludzie zajmują się nieraz różnemi fraszkami: więc téż i tu tak być musi. Pobawią się czas jaki, potem porzucą i zapomną. To w niczem nie mogło na zawadzie stanąć ugruntowanej sławie uczonych, którzy i tak na niewdzięcznym polu gospodarskiem nie mają potrzeby wawrzynów szukać.

Zważając na błahość powodów téj kłótni, mimowolnie nasuwa się myśl, że nasz uczoney Felix Zieliński jest względem tego biednego szlachcica rodzajem admirała Parker, który w tych czasach z flotą angielską najechał małe królestwo greckie, i najbliższą w świecie przyczepkę do niego sobie wyszukał, tak, że cała Europa dziwić się musi, jak można dla tak nieznaczającej rzeczy, tak wielkie siły rozwijać, tyle hałasu w Europie narobić. Wszyscy się więc domyślają, że rząd angielski pod pretekstem tych pretensyj, coś innego ma na wątrobie, z czém się wyjawić nie śmie. Podobnie téż i p. Felix Zieliński musi mieć jakąś inną anse do pisma tego szlachcica, do której się przyznać nie chce. Może, że hałas o niém jego uszy obraża, bo z przyciskiem o téj mniemanéj głośności, o której tu nie słyhać na wsi, mówi; może tam coś takiego jest, że tego strawić nie może: może téż jaki inny tajny powód.

Bo sądząc podług tych akt, jakie nam sam przed oczyma przedstawił, niéma się zgoła o co spierać, gdyż i p. Zieliński w pewnym zakresie ma racyą, i szlachcic ma racyą; a ekonomii politycznej ani jeden włos z głowy nie spadnie, przez to, że szlachcic nasz lud zaleniwy znalazł. Jest więc nadzieja, że się ten spór podobnie jak spór grecki da załatwić, tylko że brakuje pośrednika. Gdyby nie to, że sam jestem wieśniakiem nieznaczającym, tobym się na takiego pośrednika przedstawił, i w ten sposóbbym sprawę zagodził. P. Zielińskiemu widać idzie o to, że szlachcic wadę lenistwa głównie na chłopów zwalił. Jabym więc proponował dodatek, jeżeli go tam niema, że i szlachta jest równie leniwa. Ale ponieważby to może było jeszcze olej lać na ogień, gdyż i jedni i drudzy jeszcze bardziejby się obruszyli, z powodu, że to lenistwo nieładnie brzmi, gdyż do tego przywiązuje się zaraz wyobrażenie wady moralnej: więcbym się poprawił, i wniósłbym, że owszem, i chłopci i panowie są bardzo czynni, bardzo ruchawi, jak istotnie jest, nawet bardzo pracowici, ale nietyle na to, żeby produkować, jak raczej, żeby konsumować. To jest istotny charakter naszej pracowitości, ciągnący za sobą także rozwinięcie wielkiej czynności, ale która często gęsto niejednego in

*minus* prowadzi. Dlatego i chłopom i panom tak często brakuje. Ale to jest zawsze brak honorowy, tylko, że ci zbyt porządni i skrupulatni gospodarze nazwali to marnotrawstwem; a jeżeli kto przez marnotrawstwo poniesionych ubytków za pomocą wysień pracy nie nagrodi, to to oni nazywają niegrzecznym wyrazem, lenistwo. I tego zapewne prosty szlachcic użył, a przez to p. Zielińskiego jako obrońcę ludu obraził. Dlatego trzeba było armaty ekonomii politycznej wytoczyć. Jednak i ta fatyga nie była potrzebna, bo lepiej jest chłopom i panom prawdę nagadać, wady nasze wytknąć, do poprawy wezwać, aniżeli zrobić się pochlebcą ludu, i przywary jego uwiecznić, albo jakim się muślinem przezroczystym, abstrakcyjną sztuką utkanym, na próżno pokrywać, bo to każdy widzi.

W Lublinie, dnia 29 marca 1850 r.

Do powyższej krytyki na krytykę, krótkie tylko pozwolę uczynić sobie przypisy, aby polemicznych wywodów nie rozszerzać bez końca.

Sz. przeciwnik dziwi się, dlaczego wziąłem za cel moich uwag dzieło ciemnego, jak mniema, szlachcica? Sz. przeciwnik myli się w tém przypuszczeniu, które dowolnie uczynił, mogąc z przytoczonych przezemnie ułamków, lepszego nabrać przekonania. Nie wiem nazwiska autora, domyślać się go nie pragnę; lecz pismo nacechowane wysokim usposobieniem i dziwną wyrazistością stylu — zdradzającą blizkie pokrewieństwo ze sposobem pisania sz. Lublinianina: każe go szukać nie w rządzie ciemnej szlachty, ale niestety! w rządzie światłych kraju obywateli. To właśnie stało mi się powodem, żem na dzieło, im ponętniejsze, tém więcej szkody przynieść mogące, baczność zwrócić się starał; pism bez znaczenia bowiem rozbiierać nie zwykłem.

Pod jednym przecież względem przypuszczenie sz. krytyka nie jest może zupełnie pozbawionem zasady. Przyrównał on dość trafnie pisarza w którego obronie staje, do ślepego, który trzymając się płotu, bezpieczne stawia kroki. Taka metoda chodzenia, nie przeczę, ma swoje zalety i pomyslnie udawać się może — na dobrze ogrodzonej Wólce. Lecz wątpię, czyli płot zaprowadził kiedy naszego autora aż na wioskę, która w jego okolicach nieco odległą od folwarku stawianą być musi. Wreszcie niechby tak już sobie chodzili ślepi z natury, ale po co oczy zamykać nam, którzy dobrze widzimy? Tak jednak postąpił sz. mój przeciwnik. Zamaszyste cięcia, któremi ugodzić mnie pragnie, śmigają po powietrzu nie przyniosły mi szkody; widocznie sąto razy wymierzone na ślepo: a gdy wpra-

wną widać z nich rękę, tém mocniej żałować mi przychodzi dobrowolnej, na jaką się sz. krytyk skazał, ociemniałości.

Szanowny krytyk występuje w przymiocie gospodarza obserwatora. Z góry pogląda na nitki pajęczce, na przezroczysty muślin teorii; fantazyjnie wymarza sobie we mnie teoretyka zatopionego w abstrakcyi, a skończywszy swój wywód, z tryumfem woła: „Oto są fakta, które się żadnymi teoryjami zdmuchnąć nie dadzą!” Zobaczmyż więc te fakta, i jakim sz. krytyk jest ich obserwatorem.

Drugą część mojej pracy, tę właśnie, o którą sz. krytyk zaczął, poświęciłem na wykazanie wpływu, jaki lata urodzajne wywierają w naszym kraju na ceny najmu. Oparłem się na tym fakcie, że:

w roku tanim daleko większa u nas zachodzi potrzeba pracy, niż w roku drogim;

podąłem nawet niektóre zasady do wyrachowania tej przewyżki potrzebnej pracy, i rachunek ten, na ogół kraju, sam w części wykonałem; mówię w części, bo dla braku dat statystycznych, w całości wykonać go nie mogłem.

Czytając przez krytyka mego uczynioną zapowiedź faktów, sądziłem, że właśnie względem najważniejszego z przytoczonych przezemnie znajdę w piśmie jego sprostowania, udokładnienia lub objaśnienia; że nam poda wypadki starannie utrzymywanych rejestrów, że z doświadczenia i w zupełności wykaże względem jednej wioski to, co ja z przypuszczenia i niezupełnie obliczyłem na ogół kraju, t. j. że wykaże stosunek, w jakim się stawia w rolnictwie praca potrzebna w roku tanim, do pracy potrzebnej w roku drogim. Takie wskazania byłyby niezawodnie uzupełnieniem mojego rozbioru; przyjąłbym je z wdzięcznością, jako fakt dobrze obserwowany. Skwapliwie zatem wziąłem krytykę sz. Lublinianina do ręki, cóż w niej przecie natomiast znalazłem?

„Przypuśćmy, tak zaczyna sz. krytyk, że w latach urodzajnych dwa razy więcej (o tém nie mówiłem) albo znacznie więcej (tak twierdzą) robotnika potrzeba, niż w roku drogim; przypuśćmy to wszystko, czego p. Zieliński żąda.”

Takimżeto obserwatorem i znawcą faktów jest nasz krytyk? Mieni się być doświadczonym gospodarzem. a o tém nie wie, ile potrzebuje robotnika, kiedy mu się urodzi, a ile, kiedy mu się nie urodzi? Faktom przezemnie przytoczonym nie śmie ani wręcz zaprzeczać, ani ich przyznawać; i tylko—zapewne przez względność dla mnie—bez wewnętrznego przeświadczenia, z łaski niejako, przypuszczać je raczy.

Cóż zatem sz. krytyk obserwował przez cały czas swojego gospodarczego zawodu, kiedy elementarne fakta statystyki gospodarskiej, fakta do-



brze znane w ekonomii politycznej od czasów Adama Smitha, (p. Ks. I. dzieła: O bogactwie narodów), są mu obce? Mamyż jedyny wypadek jego dostrzeżeń widzieć w twierdzeniu—że, jak mnie łaskawie poucza „jedna kobieta, jeden kosarz, na jednej i tej samej przestrzeni w razie urodzaju dwa razy więcej zeźnie, dwa razy więcej skosi, jak w przeciwnym razie.” Lecz na to nie potrzeba doświadczonego gospodarza; nie jestem nim, a przecie mogę zapewnić sz. krytyka, że o tém pisząc mój artykuł i wiedział i miał to na względzie; a jeśli zapewnieniu nie da wiary, niech raczy odczytać to, com napisał na str. 109, a tam to samo, innemi tylko słowy powiedziane znajdzie (1).

Innych faktów, któreby były wypadkiem dostrzeżeń sz. krytyka wcale nie widzę. Okoliczność, że najemnika jest dużo na przednówku, powszechnie jest wiadomą i łatwo się tłumaczy tém, że przednówek jest właśnie porą czasu, w którym dni są najdłuższe, a roboty stosunkowo mało. Nigdzie też nie twierdził, jakoby cena najmu *wyłącznie* od większego lub mniejszego urodzaju zależała (2); wykazałem owszem przeciwnie, iż w kraju przemysłowym jak Anglia, wpływ ten lubo zawsze silny, ustępuje pierwszeństwa wpływowi innego rodzaju, które mniej lub więcej w każdym kraju działają. Wielkie roboty publiczne np. (wskazałem na kanał Augustowski) wpływają bezsprzecznie na żądanie pracy, a więc i na cenę najmu. Lecz wszystko to nie uwłacza tej prawdzie, że w kraju przeważnie jak nasz rolniczym, cena najmu *głównie* zależy od potrzeby pracy, wywołanej urodzajnością lub nieurodzajnością roku. Więcej nie twierdę.

Byłoby prawdziwą stratą czasu, gdybym chciał odpierać wszystkie płonne zarzuty, jakich mi sz. przeciwnik nie szczędzi, gdybym wymawiał się od wszystkich dziwacznych twierdzeń, jakie w usta moje kładzie. Nie cel własnej obrony podaje mi pióro do ręki, tak jak nie mniemane fakta, których nie przytacza, spowodowały wystąpienie sz. krytyka. Zapelniał on pismo swoje nie faktami, bo tych powtarzam, nie ma, choć się nimi ciągle przechwala, ale rozprawą z natury swój teoretyczną, o pierwiastku duchowym; rozprawą w której to ciekawego znajduję, że nam głąb serca sz.

(1) Bibl. Warsz. styczeń, 1850 r., str. 109 w. 4—8. „Nie każda z prac, których plony ziemi są przedmiotem, wzrasta w stosunku ściśle odpowiednim pomnożonej ilości plonu. Żniwo np. w roku obfitym, wymagać nie będzie pracy dwa razy większej niż ta, której wymagało w roku nieurodzaju”.

(2) Sz. krytyk sam przywiódł słowa moje przeciwko autorowi dziełka, które broni, wymierzone: „że u niego o *główniej i stanowczej* przyczynie podrożenia i braku najmu w latach tanich nie ma i słowa”, jakby dla ostrzeżenia czytelników, aby mu nie dawali wiary, kiedy w ciągu swego pisma zarzucać mi będzie, że ja tę przyczynę podaję, za *jedyną i wyłączną*.

krytyka i trzymających z nią odkrywa. Na dnie ich przekonań leży głęboka, niczém nieuleczona niewiara, i z trudnością zaledwie tajona niechęć ku wszelkiej teorii, wszelkim zasadom, wszelkiej nauce. Taktyka przy tém zachowuje się niezmiennie następująca. Z początku okazuje się zupełne uszanowanie dla teorii, i całe staranie obraca się tylko na to, aby się od jęj zastosowania, jak najdłużej będzie można, uchronić. Gdy wreszcie na to zastosowanie się zabiera i teoria o swój udział w życiu się upomina, odręca się natrętną, obwinia o zarozumiałość, lub wręcz zaprzecza możności nawet jęj istnienia; byle tylko spokojnie brnąć w uprzedzeniach, do których się nawykło. Tak sobie postąpił mój przeciwnik. Nie szczędzi pochwał dla piérwszej części mojego artykułu, bo to część teoretyczna; gani bez miary część drugą, bo ta grozi zastosowaniem teorii do praktyki.

Lecz ja nie pochwał żądam, ale uznania prawd, które głoszę. Dalekim jest od tego mój krytyk.

Zarzuca mi, że zapomniał w badaniach moich „o pierwiastku psychicznym, który jakkolwiek natury obalić nie jest w stanie, jednak przewidziane wypadki rachuby nadzwyczajnie zmienić może”.

Zarzut ten jest nieszczerzy. Sz. przeciwnik wie dobrze, że całą piérwszą część mojego artykułu, którą chwali, poświęcił właśnie na odznaczenie roli, jaką odgrywa pierwiastek psychiczny, a jak ja nazywam, pierwiastek woli w naukach społecznych, a w szczególności w ekonomii politycznej. Sam też sz. krytyk wkrótce ten zarzut porzuca i oskarża mnie już nie o pominięcie pierwiastku duchowego, ale o to, że pierwiastek ten pod jakieś prawidła poddać usiłuje.

Oto co mówi sz. krytyk o dwie strony dalej:

„Ten pierwiastek psychiczny należy do rzędu pierwiastków nieważkich (1); z tego względu trudno go pod rachunek podciągnąć. Ale pomimo to ma ogromną siłę i moc zburzyć całe państwo, wszystkie społeczne stosunki, i obalić choć chwilowo najsilniejsze zasady. Wprawdzie nie może on się zupełnie zpod pewnych prawideł wyłamać, ale zdaje mi się, że cała zarozumiałość ekonomii politycznej i jęj zwolenników na ich ocenienie nie wystarczy.”

Ta przynajmniej sz. krytyk szczerze myśl swoją wynurzył; zarzut jego przecież spada nie na mnie, który nic temu nie jestem winien, że wypadki nauki podaję tak, jak są, ale na samą naukę, której bytu nawet zaprzecza. Czędnże bowiem, jeżeli nie zaprzeczeniem możności bytu ekonomii politycznej i wszystkich nauk społecznych, nazwać możemy twierdzenie sz. krytyka, że element psychiczny, t. j. wolność ludzka, wprowadzona w grę ruchów społecznych, pod żadne prawidła podciągnąć się nie da, a przynajmniej, że tych prawideł poznać nie możemy?

Nikt więc odemnie nie ceni zdrowego, na doświadczeniu opartego zdania; nikt chętniej z rad doświadczenia nie korzysta i do niego się nie odwołuje. Gdyby pismo sz. krytyka na doświadczeniu, jak twierdzi, było opartem, skwapliwie korzystałbym z sposobności sprostowania, co w mojej pracy niedostatecznego być może. Lecz doświadczenia, faktów, pismo sz. krytyka nie zawiera żadnych; sprostowanie twierdzeń moich nie było nawet jego celem; nie sposobowi wykonania przedsięwzięcia, ale samemu przedsięwzięciu mojemu okazał się nieprzychylnym; a odwołując mnie „od szukania wawrzynów na niewdzięcznym polu gospodarskim”, usiłował, jak się wyraża, zwalić mi na drogę jaki fakt niezaprzeczony, zapewne, aby nim, jakby kamieniem, przejście mi zagrozić. Cóż mi innego pozostaje do zrobienia, jak tylko za uczynność podziękować, kamień odwalić, i nie bawiąc się nad nim dłużej, drogą iść dalej?

F. Z.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Krótki rys dziejów ludu Izraelskiego od jego początku aż do naszych czasów (dla Izraelitów) ułożył A. Paprocki N(auczyiel) S(zkoły) R(a-binów). Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda przy ulicy Miodowej nr. 496. 1850. 12ka. IX. 327.*

Otoż przed nami pierwsza w swoim rodzaju książka, bo mająca za cel obznajmienie nas z dziejami synów Izraela od najdawniejszych do obecnych czasów; z dziejami ludu, który niegdyś w historii świata niepoślednie trzymał miejsce.

Już wprawdzie autor zaraz z początku zaślania się tarczą, iż nie dla ogółu dzieło swe ułożył, ale wyłącznie dla Izraelitów; lecz ponieważ rzecz swą wyklada po polsku, i o pokoleniu, które obecnie złało się ściśle z narodowością wszystkich okolic, które zamieszkuje: zmuszeni przeto jesteśmy dziełku temu bliżej się przypatrzeć. Albowiem z prawa i słuszności autor zupełnie na to zasługuje, jeżeli nie za samo wykonanie swego zadania, to przynajmniej za chęć przysłużenia tak młodym współwyznawcom, jako i innym ciekawym wiadomości czytelnikom: bo dzisiaj wreszcie każdy krok na drodze postępu naukowego uczyniony, wszystkich zajmować i obchodzić powinien.

Izraelici początkiem swoim najodleglejszych sięgają czasów; ich dzieje i wywód pochodzenia, opiera się o najpiękniejszy zaród ludzkości przy stworzeniu. Tysiące lat minęło, a z nimi jakby mgła, jakby cień pozostało wspomnienie tylko mnóstwa różnych narodowości, które się to rozwijały. to nikły naprzemiany, aż do zupełnego zatarcia się samego ich nazwiska. Nad Izraelitami jednak, czyto że opieka wszech Twórcy czuwa, czy téż wedle wyobrażeń dawniejszych, że ścigająca za grzechy ojców *Nemesis* zaginać im nie dozwala, i naksztalt zbrodniczego piętna utrzymuje ich byt oddzielny; Izraelici przetrwali wieki, oparli się wielu

reformom, i dziś z małą różnicą więcej powierzchowną, niż wewnętrzną, znajdujemy ich takimi, jakimi byli przed wieki.

Lecz rzućmy przypuszczenia i sofizmata; głównym powodem tej kastywości niejako Izraelitów, jest ich religia i połączone z nią mnóstwo zabobonów, których pomimo ogólnego oświecenia wieków, stanowczo nie porzucili, nie mając najmniejszego względu ani na obyczaje i zwyczaje, ani na prawa narodów, u których gościnne znajdując schronienie, osiedlili się, i gdzie tym sposobem cząstkę narodowości stanowią. Z tego wychodząc stanowiska, należy zapatrywać się na dzieje Izraelitów, nie jako na dzieje osobnego narodu, bo był nim wtedy tylko, gdy zajmował na własność osobny a wyłączny udział ziemi, gdy wyznanie Mojżesza było ogólném i panującym w ich ojczyźnie, gdy nakoniec mieli narodowy język i udzielne prawa. Dziś napróżno tego szukać. Dziś stanowczo powiedzieć można, że niema *ludu izraelskiego*, ale są tylko wyznawcy starego zakonu, przez Mojżesza niegdyś nadanego: bo gdybyśmy lud ten za osobny naród obecnie przyjąć chcieli, wypadłoby przyznać im i oddać kraj jakiś na ojczyznę, śledzić tamże formy samoistnej rządu tak wewnątrz jako i na zewnątrz, badać ich narodowy język, o ile się on od pierwiastkowego już przez wykształcenie, już przez zepsucie różni; gdy tymczasem wyznawcy Mojżesza w każdym zakątku ziemi są inni: w Anglii Anglikami, we Francyi Francuzami, w Niemczech Niemcami i t. d.; rządzą się prawami tych stron, które zamieszkują, a dyalekta ich tak są różne i niepodobne do pierwotnego hebrajskiego, że pewnie ani Abraham, ani Mojżesz dzisiejszego swego potomka, bynajmniejby nie zrozumiał, i to nietylko pod względem języka, ale i pod względem pojęcia, dążności doczesnego zachowania swego bytu. Dawna prostota i uczciwość, z postępem źle zrozumianej cywilizacyi, z komentarzami pisma starego zakonu, z pojawieniem się rozmaitych sekt, przerodziła się na zatwardziały egoizm; a jeżeli od tego znajdują się niekiedy wyjątki, to te jak kropla wody nikną w powodzi czasu, nie zostawiając za sobą widocznego śladu, lub długotrwałego wspomnienia.

Na tej więc opierając się zasadzie, iż żydzi nie są dziś osobnym narodem, tylko pierwszą część dzieła autora za historią ludu izraelskiego przyjąć możemy: a jakkolwiek ta jest niedokładną i zakrótką, bo w napisanej niegdyś dla szkół a dziś wyszłej z użycia (przez księdza Bielskiego pijara) więcej i lepiej obrobionych napotkać można szczegółów: to przecież i p. Paprocki może być czytany z zadowoleniem przez ludzi niełubiących wdawać się w drobiazgi, to jest niezastanawiających się nad skutkami i niebadających przyczyn, ale poprostu przyjmujących wszystkie wypadki zi-

mno i obojętnie w tém przekonaniu, że to tak być powinno. Cały ciąg wypadków od stworzenia świata aż do Chrystusa, skręślony lekko i pobieżnie, wcale nie daje poznać nam, ani ducha ludu bożego, ani jego spraw tak rozlicznych, ani stosunków jakie na zewnątrz prowadził, ani nakoniec wewnętrznych urządzeń. Wszystko zlekka dotknięte, wiele opuszczone, a przecież nie jest zadaniem wieku dzisiejszego, ograniczać się samemi tylko faktami, albo też chronologiczném uporządkowaniem szeregów zdarzeń, po kronikarsku do wiadomości podanych. Dziś w historyi żądamy filozoficznego a razem poetycznego poglądu w przeszłość, przedstawienia jój nie w sposób zawily, ale owszem rozjaśniający szczegóły krytycznie. Streścić stary testament, lub z niego porobić wyciągi, nie przynosi zasługi. Stary testament cały tak jak jest, przedstawia najwierniej charakterystykę żydów, aż do czasów bardzo blizkich Chrystusa, i niewiele szczegółów tam się opuścić daje. W życiu politycznym i moralnym tego ludu, sprawiedliwie bożym zwanego, jak nam biblia przedstawia, natrafiamy wiele pięknych epizodów, których przykłady napróżno u innych narodów ówczesnych szukaćbyśmy chcieli. Począwszy od Abla i Kaima czyli piérwszój zbrodni, jakże wiele wydatnych pojedynczych nawet osób i wypadków, których odbicie widzimy tylko u późniejszych! A gdy świat poznał wojnę i jój skutki, iluż prawdziwych w tym narodzie napotykamy bohaterów! Widząc ich w niewoli egipskiej, a później po wielu latach tułactwa na puszczy wracających do swój ojczyzny; widząc cuda jakie tworzył Mojżesz, aby wyzwolenie współbraci u Faraona wyjednać: mniej w nas to wszystko obudza podziwu lub współczucia, ile czyn poświęcenia się braci Machabeuszów. Ztąd w całej części piérwszój dzieła p. Paprockiego, daremnie szukać śladów wielkości ludu izraelskiego. Wszystko co może obudzić i zapalić młodociany umysł, wszystko co może natchnąć artystę czyto malarza, czy poetę, czy rzeźbiarza: wszystko to powtarzamy, jakby z umysłu usunięte zostało, a czytelnik widzi tylko przed sobą karty technące zimnem skrzywionego scholastycyzmu minionych wieków, pedanteryi słusznie potępionój w dzisiejszych czasach. Piérwsza zatém część dziełka autora, mająca wystawić wielką, poważną, wspaniałą, a razem okropną i smutną historiją Izraela, zbita na 166 dwunastkowycń stronniczkach, jest tylko wyliczeniem kolejną czasu następujących glówniejszych wypadków zaszłych w tym narodzie. Wzmianka przytém dawnych praw, zwyczajów i charakterystyki wewnętrznej samego ludu, nie dając obrazu ani całości, przelotne chyba zostawi po sobie wspomnienie. Ztąd przyjdziemy do poznania nadzwyczaj małej liczby faktów, w których Izraelici glówną przedstawiają rolę; a przecież cała ich samodzielność zamknięta wyłącznie w peryodzie do Chrystusa, w okresie czasu

prawie trzy razy większym jak od Chrystusa aż do nas. Od téj epoki aż do naszych czasów, wedle proroctw i przeznaczenia wyższą wytkniętego ręką, zajmują długo podrzędny a raczej ostatni stopień społeczeństwa, pogardzonego, poniewieranego i deptanego od tych, którym wzajemnie wypłacali się obłudą i egoizmem, rozwiniętym aż do stopnia zupełnego wyparcia się samoistności. Później dopiero, ze wzrastającą tolerancją, podniosło się ich znaczenie, jako członków stanowiących część ludzkości.

Nie lepszą jest jednakże i część druga, w której dzieje rozproszonych żydów po zburzeniu drugiej świątyni, aż do naszych czasów przedstawione być miały. Wieki pierwsze odznaczają się okropnościami prześladowania; liczne wychodztwa i w rozmaite strony, rozproszyły i rozdrobniły ten niegdyś samoistny naród. Autor przebiegając w krótkości te pierwsze wieki nowéj chrześcijańskiej ery, zwraca więcej uwagę i objaśnia już nie stan społeczny, ale rozwój umysłowy w dziełach literatury żydów. Naprzód pojawia się z sześciu części złożona *Miszna*, to jest zbiór wszelkich ustnie podanych objaśnień i praw, oraz ogłoszonych przez *Sanhedryn* rozporządzeń (*wielki sąd*), łącznie z różnemi zdaniem uczonych, i szkół w wątpliwych a nierozstrzygniętych w zakonie wypadkach; dalej *Talmud jerozolimski*, czyli objaśnienia Miszny przez *Ameraim* (mówców); za niemi *Talmud babiloński*, od poprzedniego daleko jaśniejszy, a naostatek szereg dzieł po największej części teologicznej treści, aż do tąd. Z pojawieniem się żydów w Europie, widzimy ich przesądny ucisk przez chrześcian, nakładanie drogiej opłaty za przywilej wolnego mieszkania, wzbronienie odbywania obrzędów swego wyznania, tak, że one tylko w skrytości dopełniać mogli. Na wzór, albo raczej za przykładem tworzenia się sekt chrześcijańskich, pojawiają się i między żydami rozmaite sekty, między któremi sekta *karaimów* albo *karaitów* (założycielem jój był *Anan*, r. 754) wydatne zajmuje miejsce, przez charakterystykę swoich obyczajów i moralności. W rozwijaniu kolejnym dziejów żydowskich, po rozmaitych krajach osiadłych, napotykamy wszędzie też samą krótkość, zbywanie czytelnika ogólnikami, a zatém i niedokładność. Prześladowania wpośród zabobonnej ciemnoty wieków średnich, odnawiają krwawe rany tych, których zasada religijna Chrystusa za swych braci uważać każe; coraz nowe ściągają uciski, aż nareszcie w niektórych miejscach zupełne ich wypędzenie postanowiono. Ztąd przemysł, do zachowania ciężką pracą nabytego lub odziedziczonego przez spadek po przodkach mienia, ztąd wynalazek dziś upowszechnionych i wszędzie przyjętych weksli. Autor jednak stale się swéj zasady trzyma: nie wchodzi w przyczyny, nie bada skutków, ale podaje te wypadki obojętnie. Wystawiając niekiedy dobrą stronę Izraelitów, milczy o ich wadach: jest więc tylko stronnym sędzią, i dlatego

niezupelnie na zaufanie zasługuje. Autor wierny swemu założeniu, to jest być krótkim, ściśle tego dopełnił; lecz jeżeli był treściwym co do wypadków w historii żydów w obcych krajach, to wiele zgrzeszył, iż pisząc po polsku, i spodziewając się być przez Polaków czytany, równie krótko i zlekka stan żydów w Polsce opisał. Wszakże dotąd żadnego dzieła (prócz kilku rozmaitej treści i wartości rozpraw) o żydach w Polsce nie mamy. Godziłoby się przecie poznać nas bliżej z gośćmi, którzy już tak dawno w naszych osiedli stronach. Chętniejbyśmy przyjęli dzieło takie, chociażby i z pewnym niedostatkiem, chociażby jako materiał dla przyszłego pisarza, aniżeli ten krótki zbiór ogólnych faktów, na wzór *Josta* ułożony. Więcej wypadków w samych dziejach, mniej wyliczeń osobistych w literaturze, którą osobno traktować można, wolelibyśmy widzieć w tém dziełku podręcznym, które tylko za plan dobrze obmyślany większego dzieła uważać należy. Przewaga dzieł literackich, jaka się w drugiej téj części maluje, zbyt znaczna i chybiona: bo autor w wielu miejscach pomieszał Niemców z Polakami. Słowem, ani pierwsza, ani druga część dziełka p. Paprockiego niezupelnie odpowiada swemu celowi, bo wspominając zlekka tylko o wypadkach, jestto, jakśmy już powiedzieli, podręcznik wiele obudzający ciekawości, lecz nie odsyłający ciekawego do źródeł, chociażby nawet w obcych językach pisanych. Ztąd czytelnik niewiele mogąc z tego dziełka się nauczyć, jest w konieczności szperania po rozmaitych dziełach obcych, a w tym przypadku, może się obejść bez dziełka p. Paprockiego, gdyż obecna literatura zagraniczna wielką ich ilość do wyboru przedstawia. Sprawiedliwość wszakże oddajemy zasłudze autora, za dobrą chęć przysłużenia się swym uczniom dziełkiem, pisaném w języku téj ziemi, na której ich ojcowie przed kilkaset laty osiedli.

S. Lisowski.

---

*Wymarzony kochanek, przez Tadeusza Strzemięca. Wilno. 1848, w 12ce. Str. 179.*

Z nowym pseudonimem, przybyła z Litwy nowa powieść. Autor nawet do tego stopnia jest skromny, że w tytule, jak widzimy, swojemu utworowi nie chciał nadać żadnej nazwy. Zresztą ten obrazek obyczajowy, czyli, jak go nazwaliśmy, ta powieść nie ma pretensyi do powieści, zawierającej, jak *Bigos hultajski*, obszerne rozprawy o wszystkich kwestiach, zajmujących pewną okolicę, prowincyą, a nawet część kraju. Nie



chce też uchodzić za owe psychologiczne badania pani Szyrmer, co trzymają czytelnika od pierwszej aż do ostatniej karty jak na rozpalonych węglach, jak na Madejowém łożu, które podanie ubrało w najsrozsze męki. Historyi ani śmieć dotknąć, chyba dziejów prywatnych; bo na inne czy trudno nam się zdobyć z małemi wyjątkami (powieści Czajkowskiego, Budzyńskiego: *Biała kniehini*, *Wyprawa pruska* i t. p.), czy już przeszła moda—nie umiemy stanowczo odpowiedzieć. Jestto więc poprostu opowiadanie wypadków powszedniego życia, historia, raczej kronika młodej pani, która sobie uroiła ideał kochanka, ale której serce było jeszcze, jak się wyraża autor: „próżniuteńkie”.

Wstęp do tej powiastki jest tak skromny, jak sam tytuł. „Znużony jesteś zapewne, opiewa on, kochany czytelniku, bezsennością, pracując nad filozofią, nad historią, nad prawem; albo zagłębiając się w teoriach, dociekaniem sposobów, dążących do udoskonalenia przemysłu krajowego, rozszerzenia handlu, do pomnożenia fabryk, rękodzielni, *wywyższenia* (to jest *podniesienia*) rolnictwa, ulżenia stanowi biednych kmiotków. Męczysz się, biedzisz i spać nie możesz. Otoż ja, któremu najwyższe wyroki dały przeznaczenie (sądziliśmy, że pióro w rękę, jak powiedział Karpiński) nieść ulgę cierpiącym i usypiać bezsennych, spieszę z powieścią, żeby cię wyrwać z tego okropnego położenia. Przeczytaj ją: króciuteńka; zaśniesz nim skończysz.

„Powiastka moja nie ma pretensyi do tego, żeby zasługiwała na imię *skończonego obrazu*, bo na to, podług mnie, szkoda czasu i atłasu. Napisałem ją tylko dla rozerwania się, będąc w zupełnie przeciwném położeniu, jak ty, kochany czytelniku. Czytając ciężko-filozoficzne i głębokouczone dzieła, zadrzymałem się; a dla odpędzenia snu, który mię *zawsze w takich razach napada*, umyśliłem stworzyć powieść do kołysania ciebie. Jeżeli kto do tego stopnia jest już osłabionym, że go nietylko dwie drachmy opium, ale i ta powieść usnąć nie będzie w stanie, a doczyta ją do końca: niech mnie nie posądza, ażeby charaktery, odmalowane w niej, były wzięte z osób rzeczywiście istniejących,—żeby to były czyjekolwiek portrety. Proszę mię nie obrać: najmniejsze podejrzenie w tym względzie, byłoby dla mnie największą obelgą. To mówię nie żartem. Nie żartem też zaręczam, że portretów tu nie ma, a jeśli kto przypadkiem ujrzy siebie w tém lusterku, nie moja w tém wina; ani też, jeśli jakie zdarzenia są mniej lub więcej podobne, do opowiadanych przezemnie wypadków i t. d.”

Takim więc sposobem nasz autor zabezpieczywszy swoje stanowisko od wszelkich pocisków zoilów, czyli krytyków prowincjonalnych, przystępuje do malowania ideałów. Będąc jednak tyle cierpliwymi, ile że książ-

żka ta nietylko nas nie uspiła, lecz owszem dosyć przyjemnie kilka chwil czasu zajęła, że przeczytaliśmy całą do końca,—śmiemy objawić wprost przeciwne zdanie co do ideałów. Nie znaleźliśmy tam żadnego ideału, oprócz samój bohaterki powieści, Anieli. Ale i téj postaci nawet sumiennie nie możemy nazwać ideałem, marzonką; bo lata młodzieńcze inniej więcej każdą dziewicę robią idealną, marzącą, czyli istotą, dla której wszystko, co ją otacza, w piękniejszych przedstawia się kształtach, jak i sama jój przyszłość, którą widzi w złocistej tęczy nadziei i szczęścia. Młodość bowiem, ten kwiat najpyszniejszy życia człowieka, zdolna jest jedna tylko podnieść każdą rzecz zwykłą, obojętną dla zimnego oka, do potęgi ideału; jedna tylko młodość zdolną jest tworzyć cuda.

Tak jest, nie znaleźliśmy ideałów w powieści: „Wymarzony kochanek”, bo czyż można nazwać ideałem pana prezesa? „który zażywał tabakę ze srebrnej tabakierki, a nigdy inną tylko francuzką, a nigdy inaczej, tylko nad tabakierką, bo pan prezes żył z kalkulacją. Palił fajkę z długiego cybucha z piórkiem, z rana po kawie, wieczorem po herbacie i do łóżka na noc: trzy razy na dzień ani mniej, ani więcej. Wstawał o piątą, jadt o dwunastą, kładł się spać o dziewiątą. Nikt regularniejszego życia nie prowadził nad prezesa. Jak tylko wstał, zaraz miał zwyczaj pójść do stajni, obejrzyć, czy konie poczyszczone i nakarmione; ztamtąd szedł na tok (klepisko), albo jechał wózcikiem na resorach; ale nie jeździł i nie chodził co dzień, więc zjawiał się znienacka. Wróciwszy, rozprawiał z panią prezesową o gospodarstwie, z panną prezesówną o muzyce; po obiedzie lubiał sypiać, a nim się położył, czytał dla rozrywki: *Tomdzona, Podróż do Ciemnogrodu, Pana Podstolego*, albo co z porządku następowało na pulkach, na których podług wysokości i otyłości tomów, ułożone były pięknie oprawne książki, odziedziczone po nieboszczyku ojcu. Wieczór przepędzał jak Bóg dał: to z gośćmi rozmawiając o pogodzie, o zasiewach, o wydatku zboża, o cenie produktów; to z ekonomem, dając mu różne dyspozycye i zaczynając rozmowę zawsze od słów: „Cóż tam słyhać?” Na co mu ekonom zawsze odpowiadał: „Żle!” Czasami zagłębiał się w polityce, brał gazetę, mrugał brwiami, uśmiechał się, wzdychał, kiwał głową, potem wywracał świat do góry *nogami*: tych godził, tamtych waśnił, tym wypowiadał wojnę, z tamtymi pisał traktaty, tych z tronu zrzucał, tamtych na tron osadzał, a w końcu dodawał: „Ja dawno mówiłem, że tak będzie”. Trzeba tu jeszcze dodać, że pan prezes był człowiek rozsądny. Szanowali go sąsiedzi, bali się żydzi, wodziła za nos żona i okradali słudzy. A kto się spyta o genealogią, powiem mu tylko tyle, że jego przodkowie, zacząwszy od pra-pra-pradziada, byli zacni i uczeni ludzie; a pan prezes, przeszedłszy parwę, infimę, grammatykę i retorykę

u Pijarów, dostawszy na drogę dukat święcony i błogosławieństwo ojcowskie, wstąpił do palestry i przy pomocy boskiej dorobiwszy się znacznego majątku, osiadł w pięknym domku, otoczonym rozłożystymi drzewami i szemrzącym strumykiem, i siadł na wysokim krześle z poręczami, obitym amarantowym axamitem i złotymi galonami. Prztym był tłusty, łysy, wyższy od nieboszczyka ojca, niższy od nieboszczyka dziada.”

Czyż można nazwać ideałem panią prezesową, córkę kasztelana, synowicę arcy-biskupa, siostrzenicę referendarza, wnuczkę kanclerza, prawnuczkę hetmana polnego, praprawnuczkę hetmana koronnego, która także zażywała tabakę, tylko ze złotej tabakierki, modliła się cztery razy na dzień, a najczęściej na książce pod nazwą: *Ziarno gorczyczne*; która robiła bez gości pończochę, w parafialnym kościele miała osobną ławeczkę, a na balach pierwsza zaczynała poloneza? Możnaż nazwać ideałem Mężnickiego, pierwszego pretendenta do ręki Anieli, który w prostej linii od Piasta pochodząc, szczęśliwie grał w karty, często cierpiał migrenę i katar, w czem zapewne nie był podobny do swego protoplasty;\* albo pana Mateusza Kapuścińskiego, drugiego pretendenta do ręki Anieli, który miał znaczny majątek, chodził w długim surducie, nie palił fajki, nisko się kłaniał, ciągle mówił o urzeiwości, o Bogu, śmiał się, kiedy się inni śmieli, płakał kiedy inni płakali; albo pana Bonawenturę Faradowskiego, trzeciego pretendenta do ręki Anieli, który gwizdał wybornie, śpiewał niezłe różnemi językami, umiał mnóstwo sztuk z kart i ze wszystkimi poufale się obchodził; albo też Euzebiusza Wruczniewskiego, czwartego pretendenta do ręki Anieli, który umiał wszystkich poetów krajowych i zagranicznych na pamięć, pił często wodę z cukrem, pisał dramata i sonety, i miał słabe nerwy; albo nareszcie Jacka Szumitłę, piątego i ostatniego pretendenta do ręki panny Anieli, dzielnie strzelającego bekasy, zawołanego pojedynekowicza, który jednak mniej krwi, a więcej wina przelewał: słowem, wiejskiego zucha, żeby nie powiedzieć, baragołę?

Nie, takich figur ideałami nazwać nie można. Właściwiej postąpimy, skoro nadamy niektórym z nich imiano oryginałów. Oryginalnym jest także w tej powiastce pułkownik, oryginalną panna Agata, stara, niestety, panna, lecz za to, „prawa ręka jójmości, obiedwie jegomości, dusza całego domu, kronika chodząca i najnowsza gazeta.” Wszystko więc, co autor mówi we wstępie, że skreślił *ideały*, nie zaś *portrety*, kładziemy na karb jego skromności. Owszem, widzimy w całej powieści charaktery bardzo prawdopodobne, nawet może wzięte z życia obywateli wiejskich: i to jest właśnie, co ten mały obrazek upiększa i czyni zajmującym, co obudza ciekawość w czytelniku, a na każdej kareie, po-

mimo często zaniedbanego stylu, rozlewa pewny powab miły i świeży, jak zapach pól, jak szum drzew i szczebiotanie ptasząt nad rodzimą strzechą, jak miękkie promienie słońca w pięknym majowym poranku nad cichą, domową zagrodą.

Wśród takiej domowej zagrody, nad strumykiem, mieszkała Aniela z rodzicami. „Domek był miły, biały, ocieniony rozłożystemi drzewami; ogród zamieciony, usypany piaskiem, ubarwiony kwiatami, a kwiaty roznosiły wokół czarującą woń i nęciły pszczoły z przyległej pasieki; strumyk szemrał jakieś tajemnicze słowa, któremi matka-natura do śmiertelnika przemawia. Aniela, mieszkająca w tym domku, przy tym ogrodzie i nad tym strumykiem, była bardzo piękna i dobra jak anioł. Powiedziałbym co o kruczycach warkoczach, niebieskiem oku, łabędziej szyi, alabastrowej twarzy, koralowych ustach i perłowych ząbkach; ale na nieszczęście, Aniela tego wszystkiego nie miała. Kolor jej włosów podobny był więcej do piór przepiórki, jak kruka; oczy miała piwne, ale, jak utrzymywali ci, co znają się na poezji, było w nich wiele poezji; szyjka nie łabędzia, jednak zgrabna, twarz śniada, zatem oryginalna, usta blade, bo, jak się dowiedziecie później, paliła ją nieustanna gorączka (miłości do wymarzonego młodzieńca); zębów nie widziałem, bo nigdy się nie śmiała. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że była piękna; nie dlatego, że Aniela, ale rzeczywiście piękna.”

„Aniela była bogata jedynaczka. Sąsiedzi liczyli jej posąg, dodając do liczby 2 i 3 po pięć zer. Dalsi po pięć zer dodawali do 4 i 5; jeszcze dalsi do 6 i 8. Nic więc dziwnego, że Aniela miała mnóstwo starających się kawalerów. Ale jej serce było jeszcze próżniuteńkie. Czytała wiele, i żadne słowo uczuciowe, żadna myśl wielka, żaden postępek bohaterski nie uszły jej uwagi. I chciała być wyższą od najwyższych, sławną choćby po ukończeniu świata, albo przez nieszczęście, wielką choćby pod piórem poety.,, Zebrawszy z bohaterów starego i nowego świata, o jakich tylko czytała,” po trochu różnych przymiotów, dodała co potrzeba, odrzuciła co niepotrzebne, i takim sposobem utworzyła sobie jednego *męża wielkiego na ziemi*. On też najbezpieczniej rozgościł się w sercu Anieli. Kochała z całą siłą namiętnych uczuć młodej, niewinnej dziewczyny, z całą czułością pieszczonego dziecka, z całym poświęceniem się exaltowanej kobiety, kochała *go*. *On* był większy od największych, męźniejszy od najmężniejszych, rozumniejszy od najrozumniejszych, czulszy od najczulszych, lepszy od najlepszych, piękniejszy od najpiękniejszych. Aniela rozmawiała z *nim*, wyznając swoją miłość bez granic, bez końca; przysięgała *mu* wierność; pytała *go*, czy prawdziwie ją kocha, czy się dla niej nie zmieni. Wymawiała *mu* opóźnienie

się, dawała *mu* poznać lekkie niedowierzanie, nieufność, przepraszała *go*. Ścisnęła ze drżeniem jego rękę, z bojaźnią kładła głowę na jego ramieniu, całowała *go* w usta. Płakała, uciekała, gniewała się, przebaczała; czasem śpiewała mu i grała, potem słuchała z rozrzewnieniem, z czcią *jego* dźwięcznego głosu, *jego* pełnej mądrości mowy—i była szczęśliwą.”

Starający się o rękę Anieli, nie wiedzieli wcale, że mają tak niebezpiecznego rywala; nie wiedzieli, nie domyślali się, że tylko z tego powodu wszystkie ich grzeczności młoda panienska przyjmowała mile, lecz nie odpowiadała niczem, cohy mogło dać poznać, że się niemi zajmuje. Trzeba wiedzieć, że Arnolda Mężnickiego, pierwszego konkurenta do jej ręki, protegowała pani prezesowa; drugiego, Mateusza Kapuścińskiego, pan prezes; Faradowskiego, trzeciego pretendenta, panna Agata; czwartego zaś, Wruczniewskiego, lubili wszyscy trochę; a piątego, Jacka Szumiłłę, nie zaszczycała niczyja protekcya.

Nadchodziły właśnie imieniny matki Anieli, a z niemi wieczór czy bal, na którym każdy ze starających się, pragnął podbić serce młodej panny i wymódtz choćby mimowolnie jakąś oznakę współczucia dla siebie. W dzień imienin przyjechał pułkownik, brat prezesa, wielki miłośnik smacznych zakąsek i stariej wódki, w którym sążnisty Jacek Szumiłło znalazł wielbiciela i największego protektora. Nadszedł i wieczór, zjechali się mężczyźni, dobijający się o rękę panny prezesówniej. Aniela, chociaż młoda, niedoświadczona, umiała przecież, jak doświadczony żeglarz, bez szwanku przeprowadzający łódź swoje pomiędzy skałami, umiała na tym wieczorze tak grzecznie i z taką układnością obejść się z pretendentami, że każdy z nich, nie powziawszy żadnej nadziei, nie był jednak zawiedzionym, a przynajmniej nie poczuwał się do tego. Podobnież ani protektorowie, ani protektorki nie wąpili aby na chwilę o wpływie, jaki ich protegowani wywarli na młodą dziewicę. Jakież ich było zdziwienie, kiedy po odbytej radzie familijnej i po wybadaniu Anieli, okazało się, że ona nie kocha ani jednego z protegowanych, ani jednego ze znajomej młodzieży. Pomimo tego, prezes chciał koniecznie wydać córkę za mąż, i postanowił wydać ją za swego ulubieńca, pana Kapuścińskiego.

„Wyrok zapadł na Anielę. Wiedziała ona, że przyszła na nią pora, kiedy miała pożegnać się z swobodą, kwiatkami, książkami, ulubionym pokojem; że miała zostać mężatką, panią, gospodynią. Może jeszcze nikt w jej wieku nie myślał mniej o małżeństwie, jak ona. Nie znając dotąd nikogo, ktoby się jej podobał, z całą szczerością wyznała przed matką, że nikt nie był godzien jej ręki. Kochając *go* niezmiennie, była szczęśliwą, i zdawało się jej, że tak mogłaby marzyć całe życie, wieki. Zapo-

mniała, że była na ziemi! I nic dziwnego, bo w swojej wyobraźni stworzyła niebo i istotę, którą uwielbiała, ubóstwiała. Nie wierzyła w to, że nie ma szczęścia na ziemi; litowała się nad temi, którzy z własnej woli obrywali listek po listku z najpiękniejszych, najrozkoszniejszych iluzyj, któremi młodociany umysł barwi gałąź życia. Przekonaną była, że próżnoby szukała szczęścia koło siebie, w świecie zewnętrznym, gdyby go nie znalazła w sobie. Nic ją rozczarować nie mogło. Zastanawiając się nad sobą, przebiegając myślą zdarzenia z rzeczywistego życia, o których słyszała, czytała; ze smutkiem czasem widziała swoje marzenia, ulatujące w kształcie lekkiej pary i z żalem przewidywała, że jój idealne szczęście, zamknięte w kruchój tylko lepiance, która z czasem mogła się rozkruszyć. Ale na to umiała sobie poradzić. Aniela postępowała sama po ścieszcze swojego żywota, a jeżeliby kogo spotkała w tój wędrówce, chciała się z nim złąć, spoić, zjednoczyć, jak dwa ciała, w których jest chemiczne pokrewieństwo. Tém chemiczném ciałem był dla niój *on*. Jednak, chociaż tak była zajęta sobą w swoim sercu i w głowie, jak w laboratorium, jednakże nie zapomniała, że są wkoło niój biedni, chorzy, kalecy, nieszczęśliwi. Cieszyła się, kiedy niewiedomie pomagać im mogła; w głębi duszy była spokojną, wesołą. Ale troskliwi rodzice z kolei marząc po swojemu, wymarzyli dla niój inne szczęście. Niepokoiły Anielę szept, narażdy, przymówki, żarty. Przewidywała, że wielka burza przygotowywała się nad jój głową, wielkie wstrząśnienie miało nastąpić w jój duszy; że rodzice, stryj, ciotka czynnie zajęci byli jój losem, o czém ona sama dotąd tak mało myślała. Wiedziała, że familijna rada zebrała się na to, ażeby uchwalić, komu należało oddać mirtowy wieniec z liczby starających się *kawalerów*. Tryumf miał odnieść ten, który miał silniejszego protektora”.

Jednakże ani rada familijna, ani żadne namowy nie mogły zniewolić Anieli do wyboru sobie towarzysza na całe życie. Pan prezes się gniewał, pani prezesowa sinuciła się, panna Agata zanosila gorące modły do nieba; jeden tylko pułkownik, ze spokojnością prawie stoicką, przypatrywał się wszystkiemu, rozważał, badał synowicę, ale nic jój nie mówił o zamąż pójściu. „Pan pułkownik z całą prostodusznością wierzył, że jeden Jacek Szumitło może się podobać Anieli, bo najwyższy ze wszystkich i najgłośniej gadał; a wiadomo, że wiele osób ma tych za najrozumniejszych, co umieją wszystkich zakrzyczyć. Im kto głośniej i więcej mówi, ten (podług nich) uczeńszy, i tém więcej wygrywa w towarzystwie. Nie zostawił więc bez nadziei swojego klienta. Wiedział, że rodzice życzyli sobie mieć za zięciów tych, których Aniela nie kochała; wiedział, że panna Agata protegowała Faradowskiego, a będąc prawie pewnym swoich domysłów, znając skryty charakter Anieli, chciał jój w dzień urodzin zrobić

niespodziankę: skłonić wszystkich na stronę pana Szumilty, sprawić na-  
prędce zaręczyny i uświetnić tę ceremonią jakąś wielką uroczystością,  
do czego nawet artylerzystów z sąsiedniej wsi sprowadził. Postrzegłszy  
na owym familijnym kongresie różność zdań; wiedząc, że wszyscy osobno  
wydawali Anielę za mąż bez jej wiedzy, tém szczerzej zajął się jej losem  
i chciał przyczynić się do jej szczęścia. Lecz później przekonawszy się  
o niewinnych podstępach cioci Aguni; odkrywszy, że pan prezes, licząc na  
swoję powagę w domu, przyrzekł Kapuścińskiemu rękę Anieli, nie pyta-  
jąc się o to żony; a pani prezesowa, niewiele dbając o męża, umówiła się  
z Mężnickim w tém może przekonaniu, że zapewni swój córce szczęście;  
zobaczywszy nakoniec, że panna Agata zwycięża, a Aniela zdała się na  
kapitulacyą: postanowił tak prowadzić całą rzecz do końca, żeby w jednym  
dniu pozbawić ją wszystkich starających się kawalerów. W jednej pou-  
fatłej rozmowie, przed rocznicą urodzin Anieli, zbadał ją, że Aniela nie-  
nawidzi Faradowskiego, nie kocha Mężnickiego, nie cierpi Kapuścińskie-  
go, nie lubi Szumilty, nie wyszłaby za Wruczniewskiego. Tu dopiero  
postrzegł swój błąd pułkownik. Energicznie odmalował jej Szumiltę:  
nic nie pomogło. Ani wzrost, ani szerokie plecy, ani organ mówienia,  
ani kręsa na czole, nie zachwyciły Anieli. Ztémwszystkiem dobry puł-  
kownik, nie miał potrzeby zaniechania swoich planów. Do ułożonej przez  
niego komedyi czy tragedyi, miała przybyć jeszcze jedna ofiara. Wszyscy  
się oszukali, pułkownik plac otrzymał. „Łzy radości Anieli były dla niego  
gwiazdą brylantową”. Aniela bowiem była rada, że ją opuścili natrętni  
konkurenci, którzy *in pleno* dostali formalnego odkosza.

Tak więc Aniela została samotna, opuszczona od wszystkich, zosta-  
ła ze swemi myślami, jak powiedział wielki poeta. „W ośm dni, to jest  
w oktawę urodzin Anieli, mówi autor, Aniela siedziała smutna, w kącie  
bawialnego pokoju. Co wtedy myślała, tylko te panny mogą wiedzieć,  
które miały mnóstwo starających się kawalerów, a potem raptem wszy-  
stkich nie stało. Może i Aniela myślała o przebrzmiałej sławie, o minio-  
nych dniach tryumfów, kiedy komplementa ze wszystkich stron leciały jak  
grad, a ona przyjmowała je z dumą, nawpół z wzgardą; może wdychała  
do przeszłości i chciałaby ją zwrócić, ale już byłoby zapóźno. Może za-  
łowała swego postępkę, a może...może ja się mylę. Kto tam wie, co  
panny w takich razach myślą!—żadna się nie przyzna. Nie, Aniela o tém  
nie myślała. Ona marzyła „o wielkim Bogu, o jasnych aniołach”, gdy  
wtém otwierają się drzwi, wchodzi p. Krescenty Młoczanowski (dawny  
znajomy i przyjaciel pana prezesa), a z nim—*jasny anioł*”.

— Ach, to on!— krzyknęła pomimowolnie Aniela.

„Drżąca, blada, wita przybyłych. P. Krescenty bierze *jasnego anioła* za rękę i przedstawia go Anieli, jako swego syna. Aniela niezgrabnie kłania się, i zaczyna rozmowę podobną od pogody.”

Koniec końcem, Władysław Młoczanowski był tym „wymarzonym kochankiem” młodej panienci, od której powieść otrzymała swoją nazwę. Władysław pokochał Anielę, Aniela pokochała przeczutego Władysława, i oboje chętnie otrzymali rodzicielskie błogosławieństwo—ku wielkiemu zadowoleniu pana pułkownika.

Poznaliśmy więc, jakiego rodzaju jest osnowa obrazku nowego litewskiego pseudonimu. Na tak zamkniętym widnokręgu, trudno jest wydatnie wielki jakiś charakter, ukazać jakąś niezwykłą postać. Obrobienie szczegółów, odpowiada w tej powiastce głównemu założeniu. Autor rzuca od niechcienia szkice, które niekiedy uderzają prawdopodobieństwem, niekiedy błyszczą nieudanym, niewymuszonym dowcipem. Naturalnością tchnie postać pana przezesa, pani prezesowej, ich ekonom, który zresztą zostaje w cieniu i żadnego udziału nie przyjmuje ani w rozwijaniu, ani w zakończeniu tego małego dramatu; naturalnym jest nade wszystko p. pułkownik, lubiący starą wódkę i dobre zakąski, ale też i lubiący robić wszystko dobrze i rozważnie. Pod względem opowiadania, autor przypomina bardzo charakter opowiadania ś. p. Kleofasa Fakundata Pasternaka; życzylibyśmy, aby jak z tamtego, tak i z naszego autora—z małej, nie powiemy *szpetnej* gąsienicy, piękny się motyl wyrobił. Zarzucić p. Strzemieńcowi tylko można częste ustępy liryczne, czyli wyrażając się jaśniej, częste przypominanie się czytelnikom ze swoją osobistością; co nie z wielką przyjemnością, zauważaliśmy także w powieściach Michała Kwiatopolskiego. Cokolwiekbądź, „Wymarzony kochanek” zostanie jako drobny przyczynek do historii naszych domowych zwyczajów i obyczajów, które, na nieszczęście, od pewnego czasu coraz więcej zacierać się i niknąć poczynają.

J. R. S.





# ROZMAITOŚCI.

---

## *Wiadomości naukowe i literackie.*

(Z listu korespondenta z Podgórze).

**Słowiańszczyzna.** W górnej Luzacyi literatura Serbów wielce zajmujący przedstawia obraz. Wychodzi tam pięć czasopismów: *Tyżdeńskie nowiny* (Tygodniowa gazeta polityczna).—*Jutnicka* (Jutrzenka, dziennik literacki).—*Zerniczka* (Zorza, dzien. kościelny).—*Czasopis Maczicy Srbskeje* i *Misonkie Powjescje* (Sprawozdania missyjne).

W dolnej Luzacyi, w Kottbus, wychodzi: *Bramborski Czasnik*, pod redakcją p. Nomki. *Maczica Srbska* wydała w zeszłym roku wiele książek dla oświaty ludu.

W Budyszynie (Bautzen) w górnej Luzacyi wyszła z końcem zeszłego roku czcionkami K. B. Hiki, pierwsza książka w języku polskim: *Obraz dziejów Szlązka dla ludu szlązkiego*, przez J. Ł. w 12ce, str. 83. Stylem prostym a zrozumiałym językiem, ludowi szlązkiemu opowiedział autor dzieje jego pod zwierzchnictwem Polski, udzielnemi książętami linii Piastowskiej, w końcu pod rządami Austrii i Prus. W przypisie napotykamy wielce zajmujący dokument historyczny w tłumaczeniu polskim, obejmujący: testament Mikołaja księcia opolskiego, ściętego w Nissie r. 1497.

Od połowy zeszłego roku wychodzi w Budyszynie: *Stadło*, tygodnik rzeczom polskim i słowiańskim poświęcony, pod redakcją p. Smolara.

Były książę panujący w Serbii Miłosz Obrenowicz, wydał napisane przez siebie dzieło: *Miłosz Obrenowicz czyli rys dziejów Serbskich od r. 1813—1839*.

*Matica ilirska* wydała: *Słownik Drobnicza ilirsko-niemiecko-włoski, w dodatku z grammatyką ilirską w języku niemieckim i włoskim, przez prof. Babukicza*.

**Czechy.** Wacław Hanka dyrektor muzeum pragskiego wydał w Pradze: *Obrazy dziejów czeskich*. Są tu opisane w sposób popularny wydatniejsze czyny bohaterów czeskiej historii.

Czescy literaci zawiązali stowarzyszenie, mające za cel dopełnić przekłady wszystkich greckich i rzymskich klasyków, wraz z komentarzami. P. Nebesky rozpocznie czynności stowarzyszenia wydaniem *Komedyj Arystofana i Rozmów Platona*; p. Szohaj: *Tragedye Sofoklesa, Enejdę Wirgiliusza i Georgiki*; p. Tomek: *Tacyta*; p. Żyrownicki: *Dzieła Juliusza Cezara*.

**Szląsk.** W Cieszynie już drugi rok wychodzi: *Tygodnik Cieszyński i Przegląd wypadków politycznych*. Piérwszy poświęcony oświacie ludu szląskiego, wychodzi na pół arkusza co sobota; drugi, na całym arkuszu w każdą ostatnią sobotę miesiąca.

Nadto powstały w Cieszynie zakłady, mające oświatę i ludzkość na celu. Założono przez dobrowolne składki i pomoc sąsiednich prowincyj: bibliotekę dla ludu kraju cieszyńskiego; czytelnia polską dla ludu; dom dla sierot; preparande dla przygotowania nauczycieli, na dwu-letni kurs rozłożoną.

**Morawa.** W końcu z. r. w Bernie stolicy Morawii, utworzyło się towarzystwo pod nazwą: *Narodni Jednota Sv. Cyrilla i Metouda* (związek narodowy św. Cyryla i Metoda). Celem towarzystwa jest wpływać na wykształcenie ludu morawskiego, przez wydawnictwo dobrych dzieł, wspomaganie bibliotek, zbiorów naukowych i przyrodzonych, na wzór *Maticy czeskiej* od roku 1830 już istniejącej. Towarzystwo otrzymało przyzwolenie rządu i wydało odezwę i statuta. Odezwa do przyjaciół morawskiego ludu, obszernie cel i zadanie towarzystwa wyjaśnia, a między innymi mówi: „Kto rozważy stan naszej ojczyzny, temu nie będzie tajno, że rodakom naszym słowiańskim nie objawiły się dotąd bogate skarby literatury, z której płynie wszechstronna oświata. Aczkolwiek język i literatura czeska pięćdziesięcio-letniem usiłowaniem wydobyła się z pierwotnego, blisko dwa wieki trwającego omdlenia, atoli Morawia nie była w stanie przynieść taką pomoc literaturze ojczyźnej, jakiejby życzyć i spodziewać się należało po dawniejszém historycznym stanowisku tego kraju.” Posag związku narodowego św. Cyryla i Metoda składać się będzie: z podatku członków, z dobrowolnych wniosków pieniężnych, jako téż innych darów, jakoto: książek, mapp, obrazów, przedmiotów historii naturalnej. Członkami związku są: założyciele, członkowie czynni i pomocni. Założycielem jest ten, który 100 zlr. na jeden raz złoży, albo w dziesięciu latach rocznie po 10 zlr. reń. Czynnym członkiem jest, kto 100 zlr. złoży, w dwudziestu latach rocznie po

5 złr. Członkiem pomocnym jest ten, kto rocznie daje po 2 złr. Członkiem związku może być także każdy, dla zasług swoich przez komitet za takiego uznany. Założyciele i członkowie czynni otrzymują dzieła, wydawane kosztem związku; członkowie zaś pomocni za cenę niższą, którą komitet wyznacza. Dochody pieniężne rozrządzone będą w ten sposób: że połowa utworzonych ztąd kapitałów oddana będzie hipotecznie na procent, a reszta użyta według przepisów związku. Dziennik *Morawskie Nowiny* wychodzący w Bernie, przyjmuje ogłoszenia dotyczące towarzystwa.

**Galicja.** We Lwowie z bieżącym rokiem wychodzą następujące naukowe pisma peryodyczne:

*Pamiętnik Gospodarski.* Pismo poświęcone sprawie gospodarstwa wiejskiego, przemysłu i handlu. Redaktor i wydawca Stanisław Przyłęcki. Pismo to od paru lat istniejące, obok rozbioru żywotnych kwestyj gospodarstwa wiejskiego, ściśle określonego danym położeniem kraju, podaje najdokładniejsze wiadomości o postępie gospodarstwa wiejskiego w ogólności, i pojedynczych jego gałęziach w szczególności; oraz ze względu na potrzeby kraju, wyświeca szczególne praktyki rolnictwa podług okolic i miejscowości.

W drukarni zakładu Ossolińskich wychodzi w tygodniowych zeszytach, pod redakcją F. ks. Bełdowskiego: *Przyjaciel Dzieci*, tygodnik z rycinami, poświęcony nauce i zabawie dzieci, rok IIgi. Pismo to obejmuje: powieści biblijne, naukę religii, nauki przyrodzone, opis ziemi, historią, powieści moralne i historyczne, oraz moralne wierszyki.

*Wianki*, pismo miesięczne dla płci żeńskiej, poświęcone oświacie duchowej, umysłowej i przemysłowej, pod redakcją pani Julii Goczałkowskiej. Wianki ozdobione bywają ryciną mód i arkuszem haftów; obejmują artykuły: O wychowaniu kobiet, rozprawy moralne i naukowe, powieści, poezye, rys piśmiennictwa polskiego, różne wiadomości dla płci pięknej z dziedziny nauk ściślejszych; opisy mód, haftów i robót ręcznych. Współpracownikami tego pisma są: pp. Supiński, Pilat, Kor. Ujejski, Widman, Celarski; panie: H. I. Pomczańska, Marya Macudzińska i t. d.

*Tygodnik rolniczo-przemysłowy*, pod redakcją T. W. Kochańskiego. Tygodnik wychodzi nakładem towarzystwa rolniczo-gospodarskiego galicyjskiego, rok IIgi.

*Tygodnik Lwowski*, pismo literackie. Wydawca K. Wild, księgarz, redaktor K. Widman. Wychodzi co sobota. Jest nad wszelkie spodziewanie nędzne pismo, bez ducha i tendencji. W każdym artykule przebijają szkoła niemieckiej filozofii i małaletniość współpracowników.

Nie dowiesz się z Tygodnika o stanie obecnej naszej literatury, ani o ruchu umysłowym w stolicy Galicyi lub jego postępie. Słowem, pismo to stoi o pięćdziesiąt lat poza wiedzą dokonanego już biegu literatury polskiej, i dlatego też excentryczne w swoim rodzaju, bo oderwane od żywotnej jej całości.

Księgarz K. Jabłoński wydał swoim nakładem:

*Pierwsze zasady grammatyki języka polskiego, przez Józefa Mrozińskiego.* Jestto powtórne wydanie grammatyki tego autora. Dla rozpowszechnienia sprzedaje się exemplarz po złp. 1 gr. 12.

*Francuzka grammatyka praktyczna Kaspra Hirela, przełożona przez Jana Juliana Szczepańskiego prof. języka polskiego w C. K. akademii technicznej lwowskiej, a podług 14go wydania Konrada Orela prof. w Zurychu pomnożona i poprawiona przez Karola Piechorskiego prof. języka francuzkiego i literatury w C. K. wszechnicy i w C. K. akademii technicznej lwowskiej, wyszła nakładem Jana Mikowskiego.* Cena złp. 7. Wydawca napisał w ogłoszeniach szumny na tę książkę panegiryk pochwalny.

P. Zabierzowski wydaje: *Encyklopedyą*, zeszytami. Jestto tłumaczenie z *Universum Majera* i *Conversations-Lexiconu* i t. p. Ta ramota odznacza się niesłychanym w piśmiennictwie polskim dziwactwem w tworzeniu niewłaściwych wyrazów, dzikości, wymuszonego stylu i pisowni przeciw wszelkim zasadom i zwyczajowi języka. Będzie też to pierwsza w polskim języku książka, którą się wydawca dzielnie przyczyni do uposłedzenia mowy ojczystej. I tak: medycynę nazywa *lekarstwo*, historią naturalną *różnoznanstwo*, teologią *bogoprawstwo*, *Conversations-Lexicon* *słownik biesiadniczy*, *Mayer's Univ. Majera wszechności*, *odrysy lekarcze*, *wyobrażenia rodotworów* i t. p. Wszystkie zaś przymiotniki ryczałtem bez względu na ich rzeczowniki pisze przez *e* kreskowane, np. szkół powiatowócb, rolniczócb, technicznócb, gmianócb, ogólnócb zamiarów i t. d.

*Pamiętnik Mikołaja Jemiołowskiego towarzysza lekkiej chorągwi, ziemianina województwa bełzkiego, obejmujący dzieje Polski od roku 1648 do 1679, spólcześnie porządkiem lat opowiedziane.* Lwów, w drukarni zakładu narodowego Ossolińskich, 1850, w 8ce, XVI, str. 287 rege. IX. Cena złp. 3. Znany zaszczytnie w literaturze naszej August Bielowski, wydał wynaleziony przez siebie rękopis pamiętników. Wydawca długim mozolem odkrył nazwisko i wiadomości niektóre do życia autora. Pamiętnik Jemiołowskiego jest więcj kroniką jego czasów, aniżeli właściwym pamiętnikiem. Byłto żołnierz, który oręż na lemiesz zmieniwszy, oświecałszy od innych swego wieku, obdarzony do tego praktycznym rozsądkiem, a dosyć obeznany z historią własną i obcą, i stanem ów-

czesnym kraju, wziął pióro do ręki, i zostawił rys historyczny epoki najniezwyklejszej w wypadki. Przytacza Jemiołowski mowę Jana Kazimierza, mianą na sejmie r. 1661, i kazanie biskupa Trzebickiego na pogrzebie Jana Kazimierza i Michała, którą współcześni kronikarze opuścili. W opowiadaniu jest ciężki, zawiły i bez ujmującego zachwyty.

W ostatnim numerze kończącego się kwartału Tygodnika Lwowskiego czytamy ogłoszenie, iż redakcyja nabyła dla swego pisma powieść: *Tomko Prawdzic*, napisaną przez p. J. I. Kraszewskiego, a od p. K. Szajnochy zbiór artykułów historycznych i literackich, jak np. *Opanowanie Rusi Czerwonej przez Kazimierza W.*; *O bohaterstwie Polaków za granicą w XVI wieku* i t. d. Z tą zapowiedzią jest nadzieja, że Tygodnik zyska lepsze i odpowiednie zadaniu swemu siły, stanie się może pismem polskiem, a nie niemieckiej szkoły, jak dotąd, karłem.

P. Szajnocha wydaje dwa dramata: Jerzy Lubomirski i Maryna Mnischówna.

Grono professorów gimnazjalnych tarnowskich (w mieście obwodowym Tarnowie), wydało odezwę do obywateli galicyjskich, wzywając ich do składania darów książkowych lub pieniężnych na założenie *w Tarnowie biblioteki gimnazjalnej*, dla uczącej się młodzieży. Wszelkie książki w języku polskim, greckim, łacińskim, niemieckim, francuzkim lub innym nowożytnym; krajobrazy, ryciny, zbiory pomocnicze do nauk przyrodzonych, przyjmują z wdzięcznością. Zgromadzenie professorów dobrze pojęło dzisiejsze powołanie swoje w obec stanowiska nauk i uczących się. Wykład ustny wyjaśniający przedmiot, może nadać kierunek młodocianym umysłom, wzniecić zamiłowanie do nauk i zachęcić do pracy; ale nie może zastąpić niedostatku ksiąg i wzorów, na którychby się młodzież sama kształciła, i z którychby czerpała pokarm duchowy.

*Tyta Liwiusza: Dzieje Rzymskie, przekład Józefa Maxym. hr. Ossolińskiego.* Lwów, 1849 i 50, wychodzą w trzech zeszytach.

*Żywoty hetmanów Królestwa Polskiego i W. Ks. Litewskiego, z materiałow po Samuelu Brodowskim w Podhorcach znalezionych, wydał Żegota Pauli.* Nakładem Milikowskiego, w Lipsku, drukiem Breitkopfa i Härtla, 1850 w 8cc. Wydanie ozdobione pysznemi rycinami i drzeworytami herbów. Jestto szkielec faktów i dat żywotów naszych hetmanów, bez malowidła i barwy, ajak mówi krytyk w *Dodatku literackim do Czasu*, n. 8: „Książka ta nie obejmuje nic nowego, jak co mieści w sobie lada obszerniejszy rys dziejów polskich. Wstępna wiadomość o stanie wojska i urzędzie hetmańskim w Polsce, zawiera dobrze zebrane szczegóły; szkoda, że wydawca nie obrobił każdego żywotu: zapewne w tej pracy ani ślad

z Brodowskiego nie byłby pozostał, co wszakże najmniejszego uszczerbku nie przyniosłoby literaturze historycznej."

**Kraków.** Towarzystwo Naukowe krakowskie, połączone z uniwersytetem Jagiellońskim, z początkiem b. r. zajęło się dwoma następnymi celami, które, jak nam pisma publiczne ogłosiły, kładziemy tu w skróceniu:

P. Karol Kremer dyrektor budownictwa i członek Tow. Nauk. zwrócił uwagę Towarzystwa Naukowego w czytanéj przez siebie rozprawie na ważność zabytków sztuk pięknych, na naszej ziemi będących; a to nie tylko ze względu, iż są najdobitniejszym dowodem stopnia kultury, którego doszli przodkowie nasi, i drogiem dziedzictwem po przeszłości; ale nawet ze względu na wartość ich ze stanowiska ogólnego, europejskiego. Wykazawszy zatem w krótkości ważność tych zabytków, przedstawił wspomniany członek potrzebę zgromadzenia ich w jedno ognisko, a takim właściwiej będzie stara Jagiellonów akademja, obok muzeum starożytności. Zamiar takowy tém łatwiej da się wykonać, iż akademja posiada już wiele przedmiotów, dawniej zebranych, mogących być niby pierwszym zakładem rzeczzonego muzeum. Budujący się zaś wspaniały gmach biblioteczny, daje niemyślną nadzieję, pomieszczenia rzeczonych pomników i pamiątek. P. Kremer z tym pomysłem połączył drugi: zebrania dokładnych spisów, opisów i rysunków tego wszystkiego, co może być policzone do dziedziny sztuk pięknych i pomników historii i starożytności ojczystych. Jako środek ku temu celowi podał sposób, którego się z pomyślnym skutkiem chwyciło było Towarzystwo Skandynawskie. Tym zaś jest rozesłanie po całym kraju arkuszków drukowanych z pytaniami tak ułożonemi, iżby na nie odpowiedzieć z łatwością każdemu przychodziło, czyto właścicielom wiejskim, czy plebanowi, czyli komukolwiek bądź, choć nieoddajacemu się powołaniu naukowemu. Takim sposobem przychodząc do inwentarycznej niejako znajomości tego wszystkiego, co dzieje i sztukę obchodzić może; wiedząc już czego gdzie szukać, na co uwagę zwrócić: łatwiej postaraćby się można o bliższe wiadomości, o dokładniejsze opisy i rysunki. Uważa w końcu p. Kremer, że sposób podany ochroni zarazem od zagłady dalszej wiele zabytków; bo wstrzyma niewiadomość niszczącą już nabyte przekonanie o wartości rzeczy, którą posiada, a swawolę wstrzyma wstyd i pewność, że jest opieka nad własnością jego, będącą zarazem własnością przeszłości. Myśl powyższa przedstawioną została komitetowi spólnemu Towarzystwa Naukowego, który postanowił ją w życie wprowadzić; dla bliższego zaś rozwinięcia i szczegółowego zajęcia się tym przedmiotem, wyznaczył kommissyą z grona Towarzystwa, złożoną z członków: pp. profes. Józefa Muczковского, profes. Wincentego Pola, Karola Kremera, i Teofila Żebrowskiego. Komitet ten, jako ciało pomocnicze Towarzystwa Nauko-

wego, na pierwszym zgromadzeniu zaprosił do przewodniczenia sobie profes. Muczkowskiego.

Co wyznaczona kommissya dotąd zrobiła, nie wiadomo; zdaje się jednak, że nie. Nie można zaiste jak tylko winną cześć oddać członkowi Towarzystwa, który zwrócił jego uwagę na niknące zabytki starożytności naszych, ile z drugiej strony nie zgadzamy się w zupełności na środki ich ocalenia, powyżej podane. Wśród niejednej wycieczki po kraju, poświęconej poszukiwaniom starożytności, mieliśmy sposobność zanadto dobrze poznać nasz kraj. Inteligencya wiejska i duchowieństwo (z małemi bardzo wyjątkami), nie znają wartości zabytków sztuki, ani zwykli się troszczyć o ich odszukiwanie; przeciwnie, niszczą je ilekroć sposobność się nadarzy, i to najczęściej przez niewiadomość ich wartości. Wszelkie projektowane spisy inwentaryczne nie osiągną w setnej części swego celu; zbywać im będzie na dokładności, znajomości rzeczy i prawdzie. Praktyczna bowiem tylko znajomość przedmiotu, wyższe naukowe wykształcenie, dokładna znajomość dziejów, umiejętne odczytywanie napisów i charakterystyczne cechy wieków: winny być nieobcemi dla spisującego lub podającego wiadomość o zabytkach sztuki lub starożytności, a tych usposobień żądać tylko można od osób wyłącznie obznajmionych i zamiłowanych w poszukiwaniu przeszłości naszej. Niewiadomo, jak wspomniona kommissya sobie postąpi. My z naszej strony możemy tylko powiedzieć, że Towarzystwo Naukowe nie dojdzie do żadnych pomyślnych rezultatów, jeżeli nie utworzy oddzielnego wydziału archeologicznego, lub nie zawiąże towarzystwa archeologicznego. Przez zespolenie wszystkich miłośników i znawców starożytności, przez wydawanie pisma wyłącznie archeologii poświęconego, przez udzielanie materialnych zasobów dla objeżdżających i spisujących wszystko, co dotyczy tego przedmiotu: może osiągnąć pożądane skutki swego zadania. Towarzystwo zaś naukowe krakowskie pozostawiłoby przezto wiekopomną pamięć żywota swego, nie odznaczywszy się przez trzydzieści przeszło lat istnienia niczem uwagi godnym ani dla kraju, ani dla nauk.

Drugie postanowienie Towarzystwa Naukowego dotyczy się obmyślenia książek elementarnych dla szkół polskich, mianowicie gimnazyj i szkół realnych w Galicyi. W skutek organizacyi dla szkół wydanej przez ministerjum, Towarzystwo Naukowe na posiedzeniu komitetu wspólnego, utworzyło *komitet do ksiąg elementarnych*, do którego powołano z wydziału akademickiego profesorów: Muczkowskiego, Trojańskiego, Mecherzyńskiego i Mułkowskiego, z wydziału zaś rozszerzenia oświaty, profesorów: Steczkowskiego i Łuszczkiewicza, dyrektora szkoły wydziałowej Morełowskiego i J. ks. Jakubowskiego. Na zebraniu komitetu za-

proszony został J. ks. Jakubowski na przewodniczącego, i postanowiono przygotować uwagi nad książkami, przez organizacją ministeryalną do wykładu nauk w szkołach zaleconemi, a oraz zająć się przejrzeniem ksiąg elementarnych polskich, które pierwszej potrzebie szkół, przed wydaniem stosowniejszych, zaradzićby mogły.

Senat akademicki uniwersytetu idąc w myśl objawionój przez większą część publiczności, a mianowicie damy tutejsze, chęci słuchania wykładów uniwersyteckich, otworzył z dniem 17 lutego b. r. cztery kursa nadobowiązkowe. Każdy z kursów objęty jest 10ma odczytami, przypadającymi raz na tydzień z każdego przedmiotu. Opłata za jeden kurs wynosi złp. 10. Jeżeli cel tych kursów nie odpowiada bezpośredniemu pożytkowi, to niesie za sobą przynajmniej korzyść obznajmienia się z wyższym naukowym wykładem dla téj części publiczności, którój ustawy uniwersyteckie nie pozwalają korzystać z zwyczajnych odczytów, jak równie podaje sposobność do lepszego użycia czasu, który najczęściej najnie wdzięczniej bywa marnowany. Uniwersytetowi zaś podaje sposobność urzeczywistnienia dawniej powziętego zamiaru, obmyślenia pewnej liczby wolnych stołów dla młodzieży przybyłej do nas na nauki z małym lub żadnym zasiłkiem. Professorowie wydziału filozoficznego przyjęli na siebie wykład kursów nadobowiązkowych, w przedmiotach najwięcej zajmujących, w sposób następujący: prof. Kuczyński: o zjawiskach, skutkach i zastosowaniach galwanizmu, z objaśnieniem przez doświadczenia. Prof. Zejszner: rys obrazu świata. Prof. Kremer: o duchu dziejów, czyli filozofią historii powszechnój. Prof. Pol: geografiją północnego wschodu Europy, mianowicie sarmackich i karpackich krajów. Liczba słuchaczy i słuchaczek przeszło 200 uczęszcza na wszystkie cztery kursa.

D. 9 lutego b. r. odbyło się publiczne posiedzenie Towarzystwa Naukowego krakowskiego, złączonego z uniwersytetem, na uczczenie pamięci 32 letniego istnienia swego. Posiedzenie otworzył rektor uniwersytetu a prezes towarzystwa Dr. Józef Majer, przemową objaśniającą trzy obchody, przypominające trzy główne okresy życia Towarzystwa. Następnie prof. Pol czytał rozprawę: *Opis Ukrainy*, a po nim L. Siemiński: *O tłumaczach i tłumaczeniach Homera*, zakończywszy posiedzenie odczytaniem ustępu z *Odyssei* własnego tłumaczenia.

Uniwersytet postanowił wysłać młodzieńca na trzy lata za granicę, celem wykształcenia się w hydraulicznej i architekturze, udzielając mu na tę podróż 3,800 złp. a to z legatu ś. p. Joanny Leduchowskiej przeznaczonego. Ogłoszony konkurs do d. 21 marca b. r., wymaga od kandydata następujących kwalifikacyj: być zrodzonym Polakiem, posiadać języki ojczysty, francuzki i niemiecki, znać dokładnie teorię architektury i hydrau-



liki, liczyć lat 24. Wątpić należy, aby się kto zgłosił, gdyż fundusz na ten cel przez władze akademickie wyznaczony jest za niemożliwy do spełnienia z korzyścią warunków trzechletniego za granicą pobytu.

Ministerjum oświecenia ustanowiło nową katedrę w uniwersytecie *geografii powszechnej*, i zamianowało na profesora téjże znanego z tylu pięknych utworów wieszca naszego p. Wincentego Pola. Na dniu 10 stycznia b. r. o godzinie 6tej wieczorem, wśród nader licznie zgromadzonych słuchaczy obojój płci, rozpoczął p. Pol pierwszy odczyt swego przedmiotu.

Towarzystwo gospodarczo-rolnicze W. Ks. krakowskiego na walnym zebraniu w dniu 18 lutego b. r. przyjęło przedstawiony sobie przez komitet projekt wydawania z d. 1 kwietnia r. b. *Tygodnika rolniczego*. Postanowienie to zamierzono przywieść do skutku puszczeniem w obieg 136 sztuk akcji, każda po 25 złp., a to celem zastąpienia zebranych funduszem wydatków, na redakcją i koszta druku. Akcyonaryuszom zapewniony został do rozbioru w końcu b. r. cały wpływ z prenumeraty i oszczędzonego z akcji wydatku. Na tém zebraniu czytali rozprawy ks. rektor Jakubowski: *O rokowaniu ze stanu atmosfery na urodzajność*. P. Józef Zapalski: *O środkach mogących wpłynąć na polepszenie stanu tutejszych właścicieli ziemskich, przez zaszłe zmiany w stosunkach, w niemożności czynienia nakładów na gospodarstwo postawionych*. P. Ludwik Szumańczowski: *O przeszkodach, stawiających zawadę gospodarzom wprowadzenia w użycie polepszonych rolniczych narzędzi, i o środkach usunięcia tychże przeszkod.*

Wysła tu zapowiedź na pismo tygodniowe, pod tytułem: *Przewodnik*, które pod redakcją p. Jana Bętkowskiego w jasnym i popularnym wykładzie obejmować ma: 1) treściwe rozprawy, powiastki, obrazy i myśli dotyczące człowieka pod względem jego moralnej zacności. 2) Historyczne i geograficzne wiadomości, wywodzące postępowanie i postępowy rozwój człowieczeństwa. 3) Co pożyteczne, nowe i zajmujące w obszarze nieba i ziemi; co przemysł i gospodarcza zabieglwość pracę człowieka podnieść i celom jego usłużyć może. 4) Życiorysy ludzi cnotliwych, obrazy piękna wierszem i prozą, i wszystko, co zmysł estetyczny i świadomość własnej obudza godności. 5) Wiadomość o nowych a dobrych książkach, zachęta do ich czytania. *Przewodnika* tendencją będzie zastosowanie nauki ku obudzeniu, rozwinięciu i utrzymaniu człowieczeństwa w warstwie społeczności; a więc będzie pismo obyczajowo-naukowe. Pierwszy numer ma wyjść z początkiem kwietnia b. r.

P. Stanisław Gołębiowski budowniczy, ogłosił przedpłatę na wytłoczyć się mający: *Słownik budowniczo-rzemieślniczy, czyli zbiór wyrazów technicznych polskich, odnoszących się do budownictwa, miernictwa*

*i rzemiosł, w związku z temi przedmiotami będących.* Liczny zapas wyrazów w ciągu kilkoletniej praktyki autora, po większej części między ludem wieśniaczym wyszukanych, zasilony nierównie liczniejszym ze starych ksiąg wyczerpanych i od współzawodników jego lub rzemieślników nabytych; uposażony nareszcie znacznym i pracowitym tychże zbiorem p. Radwańskiego, tutejszego profesora budownictwa: spowodował autora do zgromadzenia takowych, dopełnienia brakujących, uporządkowania przedmiotowo, opisanie każdego po szczególe, i wydania na widok powszechny w jednej księdze. Cena przedpłatnia złp. 13 gr. 10.

P. Leon Mikocki ogłosił w Wiedniu w języku niemieckim: *Spis monet i medali przeszło 3,000 sztuk polskich, lub z dziejami naszymi styczność mających, których sprzedaż przez publiczną licytacyą w Wiedniu w dniu 1go kwietnia rozpoczętą zostanie.* Przyczém dołączone są cztery litografowane karty rzadkich pieniędzy i medali. W dokładnie sporządzonym tym spisie, wyrażone są: wielkość, waga, stopień rzadkości każdej sztuki, oraz wskazówka, gdzie każda z nich jest opisaną w znanych dziełach o numizmatyce lub o monetach piszących. Zbiór ten jest jeden z godnych uwagi i większego zajęcia. Samych średniowiecznych monet aż do Władysława Jagiełły, obejmuje 326 sztuk; z późniejszych, wiele dziś osobliwości, rzadko w większych zbiorach dających się natknąć.

*Do Historyi ustawodawstwa karnego i sejmów prawodawczych b. Rplitej krakowskiej, napisał Hilary Meciszewski.* W drukarni Czasu.

*Grammatyka języka polskiego przez J. Muczkowskiego.* Wydanie trzecie. Cena złp. 5.

*Mała Grammatyka języka polskiego przez J. Muczkowskiego.* Cena złp. 3.

Nakładem księgarni D. E. Friedleina wyszły; *Assarmot, zabawa historyczna, ułożona dla dzieci przez autorkę „Pamiętki po dobrej matce.”* Wydanie drugie poprawne.

*Potok książąt i królów polskich od r. 900 do 1818, wraz z krótkim opisem historycznym, tudzież tablicą genealogiczną.* W drukarni uniwersyteckiej, 1850 r.

*Ūdciski drzeworytów, w różnych dziełach polskich używanych przez drukarzy krakowskich w XVI, XVII, i XVIII wieku, które ta księgarnia dziś posiada, 1850 r.* (Bez objaśnień, wydane na bibule.)

Księgarnia Juliusza Wilda sprzedaje po zniżonej cenie: *Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętności, w 6 poszytach wyszły, za złp. 6* (cena dawna złp. 40).

Nowo założona księgarnia i *czcionarnia* (drukarnia) pod Sową (p. Lesława Łukaszewicza), zajmuje się wydawnictwem wielu pożytecznych i godnych uwagi dzieł. Z téj drukarni wyszły: *Konstytucya austryacka*, w 16ce.

*Książka do nabożeństwa królowej Jadwigi*. Jestto przedruk pierwszego wydania w Poznaniu, przez prof. Motte.

*Rys geografii powszechnej*, wydał L. Ł(ukaszewicz). 1850. w 8ce str. 156.—*Powinności nauczyciela, mianowicie zaś w szkołach parafialnych i sposoby ich dopełnienia; dzieło ks. Piramowicza*, wydał powtórnie L. Ł(ukaszewicz). 1850, w 8ce, str. 130.

*Instytucye Justyniana, z łacińskiego przełożył Alex. Cukrowicz* (zastępca prof. prawa w uniwersytecie), w 8ce. 1850.

Zakład trudniący się wydawnictwem dzieł katolickich, ogłosił wiadomość o będącym w druku dziele: *Dziennik 12-letniej missyi na Wschodzie, przez ks. Mansweta Aulichę reformatu krakowskiego, odbywającego przez kilkanaście lat missye apostolskie w Turcyi i Persyi*. Tomów 3.

Obecnie zaś wyszły z tegoż zakładu:

*Obrazy Wielkiej Soboty, z odpowiedniami rozmyślaniami przez ks. W. S(erwatowskiego)*, w 16ce, str. 58:

*Listy o duchu Bożym, do przyjaciół*, w 8ce, str. 158. (autor ks. Antonowicz jezuita).

*O sztuce chowu koni i utrzymania stadu*, przez Władysława księcia Sanguszkę (wydanie drugie) 1850 r.

Z drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego wyszły:

*Wiadomości początkowe z geometryi dla praktycznego użycia* (obejmujące planimetrię), przez Teofila Żebrawskiego Dr. filo. Cz. Tow. Nauk. Krak. w 8ce. Książka szczupłej objętości, treściwie obejmuje przedmiot obok przystępnego i zrozumiałego wykładu. Dopiął autor celu, dając młodzieży szkolnej sposobność, pierwsze téj nauki zasady gruntownie pojąć, a nadto mniej wykształconym rzemieślnikom sposobność nabycia koniecznych wiadomości do ich zawodu. Książka ta korzystne zajmie miejsce w szkołach, którym zbywa zupełnie na elementarnych wykładach. Wkrótce zpod pióra tego autora otrzymamy *Solidometryę*.

Oddo wna bardzo zapowiadziane dzieło, wyszło nareszcie w téj drukarni:

*Statuta nec non Liber promotionum Philosophorum ordinis in Universitate Studiorum Jagellonica ab anno 1402 ad an. 1849, edidit Josephus Muczkowski, Bibliografiae prof. et Bibliothecae Universitatis Praefectus. Cracoviae, Typis Universitatis. 1849, in 8-vo p. 562. Cena złp. 30.*

*Wstęp do anatomii*, napisał L. Bierkowski Dr. Med. i Chir. prof. w uniwer. Jagiellońskim.

*Uwagi nad Rongim i Czerskim, kapłanami katolicko-chrześcijańskimi w przedmiocie religii objawionej*, przez Felixa Słotwińskiego prof. uniwer. Jagiel. w 8ce.

*Wykaz cen jednego arkusza druku z odbiciem 500 egzemplarzy, a następnie i większej liczby, do różnych formatów i gatunków czcionek zastosowanych, ułożył Tomasz Szczurkowski, prowizor drukarni Uniwer. Jagiel. 1850, w 4ce.*

W drukarni *Czasu* (dziennika politycznego) wyszły w b. r.:

*Posag Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Wiadomość historyczna* przez (Hilar. Meciszewskiego). Przedruk z feuilletonu *Czasu*, osnowany na autentycznych aktach urzędowych, stanowi ważny przyczynek do dziejów naszych, a mianowicie tej starodawniej szkoły Jagiellońskiej.

*O cholerye epidemicznej i sposobie jej leczenia*, przez J. Warszauera Dr. Med. i Chir.

*Dawne zabytki miasta Krakowa. Przypomnienia przeszłości o niektórych starożytnych zwyczajach mieszczan krakowskich; o bramach, basztlach i wszelakich tej niegdyś stolicy kraju obronach, z dodatkiem różnych do dziedziny pamiątek należących wiadomości.* Podał Ambroży Grabowski. (Z kilku rycinami).

W tej drukarni rozpocznie się druk dzieła pod tytułem: *Historja Rplitej krakowskiej (od d. 3 maja 1815, do d. 26 listopada 1846 r.) napisana przez Hilaręgo Meciszewskiego czł. Tow. Nauk. z Uniwer. Jagiel. połączonego.* Historia sama obejmować będzie 3 tomy, w 4tym zbiór najciekawszych dokumentów, korespondencyj i wyciągów z pamiętników osób, współczesnych epoce bytu Rplitej krakowskiej, dotyczących głównie: organizacyi w. m. Krakowa (1815—1818); zajść uniwersytetu Jagiellońskiego z rządem Rplitej (1821—1826); sejmu przez trzy dwory protegujące, w r. 1828 unieważnionego; zachowania się Rplitej krakowskiej w czasie powstania w królestwie polskiem w r. 1830/1; reorganizacyi Rplitej w r. 1833; zaprowadzenia konferencyi rezydentów w r. 1834, okupacyi wojennej w. m. Krakowa przez trzy mocarstwa protegujące w r. 1836; wypadków zaszłych w Krakowie w r. 1846; negocyacyi nareszcie i usiłowań ze strony w. m. Krakowa w Warszawie, Berlinie, i Wiedniu czynionych, a epokę wcielenia Rplitej krakowskiej do monarchii austriackiej poprzedzających.

Dzieło obrabiane z akt urzędowych, oparte na datach i wiadomościach autentycznych, stanie się ważnym materiałem do współczesnej hi-

stori krajów polskich w ogóle, a w szczególe stanowić będzie najdokładniejszą historią owego politycznego zjawiska, zwanego rzeczpospolitą krakowską. Dzieło powyższe wychodzić będzie tomami; każdy tom kosztować będzie w handlu księgarskim złp. 12; w drodze przedpłaty złp. 10. Wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne upoważnione są do przyjmowania deklaracyj, że dzieło, o którym mowa, po jego wyjściu wziętym będzie. Deklarujący w ten sposób i podpisujący deklaracją, nie potrzebują składać pieniędzy; złożą dopiero takowe po odebraniu każdego tomu zosobna.

Nakładem księgarza J. Wilda wyszła broszura pod napisem:

*Cholerae ejus naturam medendique rationem a magistratu invitatus breviter descripsit H. S. Rosenzweig.* Cena złp. 1.

Nakładem księgarni i drukiem Józefa Czecha wyszły:

*Dzieje Polski pod panowaniem Augusta II od roku 1696 do 1728, opisał współczesny Erazm Otwinowski.*— 1849. (rzeczywiście b. r.) w 8ce wielk. III, 363.

Pierwsze wydanie tego dzieła uskutecznił śp. Edward hr. Raczyński w Poznaniu w r. 1838, pod napisem: Pamiętników Erazma Otwinowskiego. Wyczerpnięcie dziś z handlu księgarskiego, podało sposobność nakładcy do niniejszego wydania. Rękopis znajduje się w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego, i z niego tak śp. Raczyński, jak i p. Czech wydanie swoje uskuteczнили; obaj jednak z znaczną różnicą. Pierwszy opuszczał, przerabiał słowa i myśli, ujmował lub dodawał według własnych widoków i potrzeb; p. Czech wydał zaś rękopis Otwinowskiego dosłownie, a przeto sumiennie, w przekonaniu, że jako źródło historyczne nie małą przyniesie korzyść dla badaczy dziejów naszych. Otwinowski świadek brzemiennej w wypadki epoki, kreślił ją z umiejętnością historycznego pisarza, łącząc szczęśliwie nić wypadków i malując postaci owego wielkiego dramatu z dziwną dokładnością. Znał dobrze stan ówczesnej polityki europejskiej i wszystkie stronnictwa w Polsce, ich sprężyny i motorów. Dzieło to ze względu ważności przedmiotu i epoki, której nikt nie dotknął, pięknym i starannym wydaniem, najlepsze znaleźć winno powodzenie.

*Opis Kalifornii pod względem geograficznym, statystycznym i geologicznym,* 1850 r. w 8ce, str. 31.

*O obrocie handlu zbożem i innemi płodami ziemskimi w Gdańsku  
w r. 1849.*

W roku upłynionym 1849 przybyło do Gdańska:

Z król. Pols. łasz.	Pszenicy	żyta	jęczm.	grochu	owsa	siem. ln.	rzep.
60-szeflowych . . .	13,535	464	„	„	„	„	„
Z prow. rossyjskich.	2,268	82	„	6	„	„	„
Z prow. prus. wodą.	10,180	4,040	2,260	1,074	400	95	870
Z prow. prus. lądem	2,000	2,500	2,009	400	„	„	500
	<b>27,983</b>	<b>7,086</b>	<b>4,269</b>	<b>1,480</b>	<b>400</b>	<b>95</b>	<b>1370</b>

Dla blokady Sundu exportacja zboża za ledwo w połowie sierpnia otworzona, już w końcu listopada, dla silnych i gwałtownych mrozów, została zamknięta. W tym krótkim, bo ledwo trzymiesięcznym peryodzie, port gdański wysłał:

do Anglii łasz.	Pszenicy	żyta	jęczm.	grochu	owsa	siem. ln.	rzep.
56½-szefl. . . . .	23,610	278	2,865	1,268	100	96	63
Do wysp Jersey i Guernsey . . . . .	608	„	32	„	„	„	„
Do Holand. . . . .	4,073	151	„	7	„	„	„
Do Norwegii i Danii .	95	1,614	2	35	„	„	„
Do Belgii. . . . .	11	„	„	„	„	222	„
Do Meklemburga . . .	„	„	„	„	„	82	186
	<b>28,397</b>	<b>2,043</b>	<b>2,899</b>	<b>1,310</b>	<b>100</b>	<b>400</b>	<b>249</b>

Po 1-szy stycznia b. r. zostało na spichrzach:

Pszenicy łasztów 60-cio szeflowych	10,901
Żyta	3,970
Jęczmienia	300
Grochu	247
Owsa	47
Siem. lnian.	90
Rzepak	190

Za najpiękniejszą buźną pszenicę, oraz najwyższe gatunki Sandomierki płacono od 150 do 160 tal.; średniej od 130 do 140 talarów; ostatnie gatunki od 115 do 130 tal.; żyto od 55 do 65; groch 60 do 75 tal.; owies od 35 do 40 tal.; siemię lniane 115, a rzepakowe od 180 do 200 talarów.

Belki sosnowe 3-jej klasy, można było sprzedać od 4 do 4½ sr. gr., a drugiej od 6½ do 7½ sr. gr. za stopę kubiczną.

Za piękne kłody sosnowe płacono chętnie od 420 do 500 tal. za kopę.

Dyle najpiérwszego gatunku od 3 do 4 cali grube, a nad 30 stóp długie, były poszukiwane do Anglii, i do 6 tal. za sztukę dochodziły. Za średni gatunek zaś i 3 tal. dostać nie można było.

Dyle 1 i 1 1/2 calowe płaciły się 1/3 1/2 2/3 i 1 sr. gr. za bieżącą stopę.

Poprzeczniki do kolei żelaznej, nie miały odbytu, i nawet po bardzo zniżonej cenie nie znajdowały kupców.

Dylów dębowych w tym roku 20,311 sztuk mniej przyszło, jak w 1848. Za kopę (Schock) 720 stóp kubicznych, ofiarowano od 1000 do 1020 tal.

Klepka, rozmiarów francuzkich, znajdowała kupców na 26 tal. za kopę (1200 sztuk).

Drzewo do budowli okrętów płacono od 10 do 20 sr. gr., a nawet i wyżej za stopę kubiczną.

W całej kampanii wysłano:

	do Anglii,	Francyi,	Holandyi,	Danii i in- nych kraj.	Zostaje w Gdańsku
Belek sosnowych. . . sztuk	49,228	3,065	4,763	1,631	108,693
Łat mularskich. . . . . „	4,177	7,378	122	1,024	62,547
Dyl. sosn. 1 i 2 gatunku	37,071	11,566	19,455	84,291	„
Balów dębowych. . . . .	3,738	989	10	1,590	9,446
Desek „	25,817	4,057	144	4,786	40,443
Klepek. . . . . (kop)	2,054	5,457	206	2,101	4,038
Poprzeczników . . . . .	220,625	„	„	„	„
Belek sos. okrągłych	„	„	„	„	55,158

Zabito i po osoleniu wysłano do Anglii 4,450 wieprzów, oraz 1,400 wędzonych szynek.

Port królewiecki, w ciągu ostatniego roku wyeksportował:

Pszeniczy łasztów	8100	zostało na spichrzach	4600
Żyta „	8000	„	5900
Jęczmienia „	4800	„	1050
Owsa „	4200	„	1200
Grochu „	2900	„	1400
Bobu „	1200	„	600
Nasiona lnian.	4200	„	1500
Lnu cent.	25,345	„	centna. 32,000
Konopi cent.	2484	„	„ 27,400

Ceny średnie królewieckie: za białą pszenicę od 130 do 140 tal. za łaszt; za zwyczajną czerwoną 120 do 125; żyto 50 do 60; groch 50 do 70; owies 30 do 35; jęczmień 40 do 45 tal. za łaszt.

Oto jest krótkie zebranie ruchu handlowego, w dwóch portach głównie prowincye polskie i rossyjskie interesujących; lecz że zniesienie cła od wchodzącego zboża do Anglii w d. 1 lutego 1843 w wykonanie wprowadzone, zdaje się zmieniać kompletnie pozycyą zbożowego handlu: czujemy się w powinności zwrócić uwagę obywateli naszych na tak ważny, i tak blisko bogactwo krajowe dotykający przedmiot.

Przed rokiem 1842 zagraniczna pszenica, nie była przypuszczona do Anglii, jeżeli cena krajowej nie przechodziła 80 szyl. za kwarter (1).

Prawo to uświęcając protekcyą angielskiemu rolnictwu, otwierało drogę spekulantom do kupowania zboża tanio, i oczekiwania wolności wprowadzenia przy wysokich cenach.

W ostatnich latach przyjęto ruchomą skalę, według której, gdy średnia cena angielskiej pszenicy zeszła do 48 szyl. za kwarter, cło od zagranicznej podnosiło się do maximum, to jest do szyl. 10. Z podniesieniem się zaś krajowej pszenicy do 53 szyl., cło schodziło do minimum, to jest do 4 szyl.

Łatwo się pojmuje, że pod opieką tak skomplikowanej taryfy, dającej pewną około 6 szyl. za kwarter zbożu krajowemu korzyść, spekulanci i na cło i na cenie prawie pewne otrzymywali zyski.

Ten stan rzeczy zmienił się dziś kompletnie. Z wprowadzeniem stałego cła po jednym szylingu od kwarteru, kraj angielski stanął otworem dla całego świata. Z całej Europy, z Egiptu, Ameryki, a nawet odległych kolonij ciągle przybywa zboże i natychmiast idzie na konsumcyą. Szczupłe zapasy na spichrzach się zmniejszają, a o odnowieniu ich nikt nawet nie myśli. Spekulanci usunęli się ze sceny, młynarze zaś i piekarze, tyle tylko kupują, ile na codzienną konsumcyą potrzeba. W obecném położeniu targ zbożowy angielski można porównać ze zwyczajnym targiem każdego miasta, gdzie rolnicy prowadzą swoje produkta, a regulując ceny według obfitości dowozów, wprost z konsumentem traktują.

Ci, którzy zboże posyłają do Anglii, wolą sprzedać tanięj z okrętu, jak iść na spichrze, i dla niepewnych korzyści narażać się na pewne koszta. Konkurencyja więc między sprzedającymi tak dalece zniżyła ceny, że chleb, który był dawniej artykułem zbytowym, stał się w ciągu jednego roku głównym i najtańszym pokarmem klas nawet biedniejszych. Z taniością chleba, mięso i inne produkta stania-

(1) Kwarter angielski jest trochę mniej od 3 korcy warszawskich; 20 szyl. równe są 42 złp. mniej więcej.



ły, a ludność miejska i rzemieślnicza używa materialnego dostępu i obfitości, w dziejach Anglii nieznanych.

Kraj ten z ogromną ludnością, której ledwo 10-ta część oddaje się uprawie roli, nigdy własnem zbożem wyżywić się nie mógł, i corocznie wielkie massy zagranicznego ziarna potrzebował; lecz po zniesieniu cła, konsumcyja się już potroiła, a samo miasto Londyn z dwoma milionami trzykroć sto tysięcy ludności, około 75,000 korcy warszawskich pszenicy co tydzień zużywa.

Według urzędowych raportów, w końcu upłynionego roku ogłoszonych, od 5 stycznia do 5 grudnia 1849 roku, weszło z zagranicy do Anglii:

Pszenicy kwart.	3,656,910	mąki psz. cent.	3,071,120
Jęczmienia „	1,270,505	„ jęczm. „	213
Owsa „	1,205,655	„ owsian. „	38,037
Żyta „	236,167	„ żytniej „	19,023
Grochu „	202,059	„ groszk. „	398
Bobu „	438,399	„ bobo. „	2
Kukurydzy „	2,129,360	„ kukur. „	101,844
Różn. ziarn „	1150	„ różnej „	675
	<u>9,140,205</u>		<u>3,231,312</u>

Oprócz tego, w powyższym peryodzie z dawniej nagromadzonych zagranicznych zapasów, spożyto 973,433 kwarterów rozmaitego zboża i 663,266 cent. mąki.

Wolny zbożowy handel niedość jeszcze długo w Anglii eksystuje, aby konsekwencye jego z niejaką pewnością dały się ocenić. Potrzeba na to czasu, a szczególnież rozmaitych warunków urodzaju. W ostatnich trzech latach cała Europa obfite zebrała plony, i każdy kraj mógł wielką masę zbywających nad wewnętrzne potrzeby produktów wysłać do Anglii, i to było główną przyczyną ciągłego upadku cen. Chociaż na mniejszą skalę, exportacyja zawsze będzie miała miejsce, a południowa Rosyja, Litwa, Egipt, wyspy greckie, i niektóre kolonie, tak wiele zboża i tak tanio produkują, że przy niskich nawet cenach, właściciel dostateczny znajdzie zarobek.

Ameryka również silną już w zaopatrzeniu targów robi konkurencyją, a exportacyja z téj strony coraz bardziej handlowi zbożowemu zagraża. Przy taniości gruntów, doskonałej uprawie, nadzwyczaj ułatwionych wewnętrznych komunikacyach, Stany Zjednoczone mają jeszcze awantaż na frachcie: bo gdy kwarter zboża do Anglii kosztuje z Odessy 7 do 8 szyl. z Gdańska i Królewca 4 do 5; z Ameryki, lubo droga bez porównania dłuższa, przewozu opłata nie dochod-

dzi zwyczajnie 1 1/2 szyl. od kwarteru. Różnica ta zrazu uderzającą, da się wytłumaczyć łatwością żeglugi na oceanie; a szczególnie pewnością dostania ładunku na powrót z Anglii, co się nigdy prawie nie zdarza z portami Czarnego lub Bałtyckiego morza, gdzie okręta po zboże, z ballastem tylko iść muszą.

W miesiącu listopadzie r. z. w niektórych portach amerykańskich wiele się nagromadziło okrętów, a dla niskich cen zboża w Anglii, exportacya musiała się zatrzymać. Armatorowie, wiedząc, że w Liverpool statki są poszukiwane, ogłosili, że celem usłużenia produkcji krajowej, bezpłatnie zboże i mąkę do Anglii zawiozą, i 47,000 worków mąki, tudzież wielką masę pszenicy i kukurydzy, rzucono na targ angielski z oczywistą szkodą krajowego i polskiego zboża. Pierwszy to był zapewne w dziejach handlowych wypadek, lecz nie raz jeszcze powtórzyć się może.

Ale dla Anglii niebezpieczeństwo jest daleko większe. Tam bowiem ogromny kapitał leży w ziemi i budowlach gospodarskich, podatki są wysokie, robotnik drogi, instrumenta rolnicze kosztowne, skomplikowane, i tylko przy cenach na pewnej stopie utrzymujących się, rolnictwo może się opłacać.

Średnia cena pszenicy w 1815 r. na 80 szyl. oznaczona, ciągle się zniżała, a w 1848 r. jeszcze się utrzymała, przy ciele protekcyjnym, na 54 szyl. za kwarter. Lecz w pierwszych 6ciu miesiącach po zniesieniu cła, zeszła na 42 szyl., a dziś już 39 nie dochodzi.

Przy terażniejszym stanie targu, gospodarstwo angielskie kosztów nie może pokryć, a dzierżawcy (farmers) nie są w stanie dotrzymać kontraktów, na zasadzie dawniej wartości zboża zawartych.

Z drugiej strony, właściciele ziemi widząc niepodobieństwo ścisłego obstawania przy umowie, dobrowolnie zmniejszają 10 do 15% z rocznej dzierżawy; inni większe nawet przyjmując obniżenie, wkładają kapitały na osuszenie rurami podziemnymi łąk i gruntów, i powiększenie nawozu. Zrzekają się wolności polowania na wydzierżawionej roli, oraz każą wycinać drzewa i żywe płoty, które i miejsce zabierały, i cieniem szkodziły.

Głównym zadaniem gospodarstwa angielskiego jest dzisiaj zwiększenie produkcji zboża i ułatwienie komunikacyi. Ilością zbioru zmuszeni są wynagrodzić stratę z upadku cen zboża. Nieuprawne grunta już zaczynają obrabiać, i według urzędowych wiadomości, obszary, około 5000 włók polskich, wygonów komunalnych, w ciągu ostatniej jesieni albo pszenicą zasiano, lub do wiosennego siewu przygotowano (1).

(1) Dla polskich i rosyjskich gospodarzy, nic nie pozostaje jak naśladować Anglików, i doskonałą uprawą gruntów już obsiewanych i tych, które odlogiem

Komu znajome są zasoby Anglii, wytrwałość i narodowa energia, ten wątpić nie będzie, że zbożowa produkcyja tam się wkrótce podniesie; lecz naturalnym prawem ekonomii politycznej, konsumpcyja oraz ludność w większej jeszcze progressyi pomnażać się będzie.

Zboże więc polskie zawsze tam łatwy znajdzie przystęp; ale zdaje się oczywistą rzeczą, iż przy konkurencyi całego świata, ceny wysokie być nie mogą, i dlatego właśnie producenci polscy i rossyjscy, biorąc przykład z Anglii, wszystkimi siłami powinni starać się, aby produkcyą zboża powiększyć, i nowe środki najkorzystniejszego spieniężenia obracać.

Nie jest przedmiotem niniejszego pisma wskazywać, jakim sposobem pierwszy cel osiągnięty być może, bo to zależy od miejscowości i względnych każdego majątku stosunków; lecz mamy za obowiązek z głębokiego naszego przekonania oświadczyć: że jedynym warunkiem przyszłości rolnictwa polskiego, jest usunięcie pośrednich spekulantów; a zaprowadzenie stosunków wprost między producentem, a exportatorem zboża w portowym mieście.

U nas dotąd z małemi wyjątkami dzieje się przeciwnie. Spekulant, najczęściej podrzędny, cudzemi na 12 lub 18 procentów pożyczonemi pieniędzmi handlujący, przyjeżdża do obywatela z zamiarem kupienia zboża, wełny i t. p. Obywatel formuje żądanie, albo radząc się tylko własnego instynktu, lub biorąc za regułę sprzedaż, które w okolicach mogły mieć miejsce.

Kupujący zaś zna doskonale wartość produktu, i wie, że doprowadziwszy do portowego miasta, weźmie cenę, która i koszta i procenta pokryje, i czysty mu jeszcze zarobek zostawi.

Układ się więc robi w bardzo nierównych warunkach, bo producent nie zna waloru rzeczy, którą sprzedaje, a spekulant traktuje na pewno.

Zboże to idzie do Gdańska, a często już z zarobkiem we Włocławku się sprzedaje, i z trzeciej ręki przychodzi do portu, gdzie je kupują albo domy angielskie, albo też miejscowi kupcy, zajmujący się exportacją.

Ktokolwiek jeden moment zaстанowi się nad tym w Polsce i Rossyi praktykowanym zwyczajem sprzedaży ziemskich produktów, ten koniecznie spotkać się musi z tą myślą, że gdyby obywatel produkt swój na własny rachunek posłał do portu, to jest tam, gdzie go pośredni spekulanci prowadzą, wszystkie zyski tych pośrednich spekulantów zatrzymałby przy sobie, i za zboże swoje dostałby wartość prawdziwą, targami zagranicznymi regulowaną.

leżały, starać się wysiewy pomnożyć, a tём samém zbiory zwiększyć, ażeby większą ilością zboża wynagrodzili sobie ceny nizkie,

Nie mamy bynajmniej zamiaru zachęcać obywateli do odległych zamorskich spekulacyj; do tego potrzeba i kapitałów, i wolnego czasu i specjalnych wiadomości handlowych, zanadto mało w kraju naszym rozprzestrzenionych. Lecz spławu do Gdańska lub Królewca, naturalnym biegiem rzek wskazanego, z żadnym niebezpieczeństwem (przy istniejących assekuracjach) niepołączonego, nie należy uważać jako przedsięwzięcie ryzykowne lub wielkiej determinacji wymagające. (Obok tego, obywatel wysyłający swe produkta do portów, jeżeli potrzebuje gotówki, dostanie jej od komisanta swego za daleko niższy procent, jak w kraju, bo na 4, a najwięcej na 5 procentów rocznie.

Może nawet nie wszystkim właścicielom wiadomo, że różnica 15 na 100 między miarą warszawską a miarą pruską, aż nadto koszta spławu pokrywa, a tym sposobem fracht nawet produktu nie obciąża.

Zdarza się wprawdzie czasem, że obywatel lepiej wyszedł sprzedając na miejscu, gdyż z upadkiem cen ku wiosnie, kupiec tracił lub się zrujnował.

Taki wyjątkowy przypadek za regułę służyć nie powinien, bo jak z jednej strony, na stracie lub ruinie kupca spekulować się nie godzi, tak z drugiej, podobne wypadki bardzo być muszą rzadkie, gdyż handlowe transakcye stałyby się niepodobnemi, a przecież te ciągle i bez przerwy odbywają się.

Rozsądne i porządne obliczenie intraty, nie na jednorazowej i niejako podchwytowej sprzedaży, lecz na przecięciu cen lat 10 trzeba opierać. Ktoby gruntownie życzył zgłębić ten ważny dla rolnika przedmiot, niech z tego peryodu porówna średnie ceny miejscowe, ze średniemi cenami portowemi, a przekona się z zadziwieniem, jak znacznie na stronę ostatnich szala się przeważa.

Piszący te uwagi, słyszał z ust zasłużonego w handlu polskim obywatela, który w ciągu długiego i pracowitego życia, czterdzieści kilka razy sam zboże do Gdańska prowadził, że z wyjątkiem dwóch lub trzech lat, zawsze tam ceny wyższe jak w kraju otrzymał.

Lecz nie można także zaprzeczyć, że w dzisiejszym położeniu rzeczy, spław do Gdańska, przez każdego z osobna właściciela ziemi przedsiębrany, z niemałemi trudnościami jest połączony: bo i kłopotliwe umowy z szyprami, i konieczność podróży do portowego miasta odrywają obywatela od roli, i pomnażają koszta.

Lecz gdy (czego należy się spodziewać), sprzedaż w portowych miastach, za regułę będzie przyjęta, uformują się wówczas nad Wisłą, Narwią, Bugiem, domy ekspedycyjne, które wysyłką zboża trudnić się będą, odpowiadając za miarę, wagę i dobrą kondycją. Domy

takie, mając stałych szyprów i regularnie ich zatrudniając, otrzymać będą w możności tańszy fracht, i skuteczniejszy dozór zaprowadzić. Tym sposobem, rozstrzelona dziś nawigacya żaglowa uorganizuje się, porządek się zaprowadzi, wiele kosztu i wiele czasu oszczędzi, a obywatel znajdzie wielkie ułatwienie, bo tylko do rzeki produkt dostawić będzie musiał, ztamtąd zaś za pewną małą opłatą, produkt takowy, pod odpowiedzialnością expedycyjnego domu, dojdzie do wskazanego w porcie komisanta, z którym stosunki przez korespondencyą dadzą się ustalić.

Zakład żeglugi parowój, z takim poświęceniem dla rzeczy publicznej otworzony, ważne posługi krajowemu handlowi przeznaczony jest oddać. Spodziewać się należy, że to pierwsze wielkie przedsięwzięcie, całym zaufaniem i wdzięcznością obywateli poparte, coraz bardziej zakres działania swojego i materyalne środki rozwijać będzie; że bezpośrednio między rolnikami a portowemi miastami ułatwiając stosunki, obecnym potrzebom zbożowego handlu odpowie. Wszyscy więc obywatele, błogosławić i wspierać powinni to szlachetne przedsięwzięcie żeglugi parowój, bo od jój najobszerniejszego rozwinięcia zależy ich dobro, tém samém i bogactwo kraju.

Dopóki zboże wysoką miało wartość, po odtrąceniu nawet kupieckich zysków, jeszcze się obywatelowi dostało dosyć na pokrycie kosztów gospodarstwa: mógł więc trzymać się najwygodniejszego, lubo nienajkorzystniejszego sposobu spieniężenia produktów na miejscu; ale dziś, kiedy według wszelkiego podobieństwa, ceny na nizkiej zostaną stopie (z wyjątkiem nieurodzaju), i kiedy zboże polskie na angielskim targu z dowozami całego świata będzie musiało o pierwszeństwo się ubiegać, koniecznym jest, aby właściciel ziemi przejął się tą prawdą, że mu spekulant nigdy nie da tyle, co zboże warte w portowém mieście, bo jeżeli kupuje, to w nadziei pewnego zarobku. Dlaczegoż więc nie miałby sam szukać targu nie na ślepym trafie, lecz na pewnych podstawach opartego, i rok w rok, na własny rachunek sprzedając, wziąć całą wartość produktu, zyskami i procentami pośrednich kupców nie obciążać?

Posiadacze ziemi polscy i rossyjscy przetrwali wieki w dobrowolnej małoletności pod względem przemysłowym. Zamykając się w ciasnych granicach rolnictwa, ruch i obrot handlowy zdali na cudzoziemców, do których powoli całe krajowe bogactwo przeszło. Czas, aby się teraz sami swemi interesami handlowemi zajęli, zwłaszcza, że przy stałych cenach zboża, tak mało jest zysku, że się niemi dzielić nie godzi.

Gdańsk, dnia 25 lutego 1850 r.

*Alexander Mukowski.*

Gdańsk, 12 lutego 1850 roku.

Mam honor zawiadomić, że dom mój handlowy, od lat dziewięciu na lutejszym placu exystujący zamykam, dla połączenia się z p. Alexandrem Makowskim, i utworzenia wspólnie z nim kommissowego handlu pod firmą: *Makowski, Kendzior et Comp.*

Zostaje z wysokim szacunkiem

*Ludwik Kendzior.*

Gdańsk 12 lutego 1850 roku.

Zaledwo rok jeden upłynął od zniesienia w Anglii cła na zboże zagraniczne, a już pozycya i warunki handlu zbożowego zupełnie uległy przeistoczeniu. Lubo jeszcze niepodobna ostatecznych téj odmiany skutków z pewnością obliczyć, już jednak dwa wielkie, nowe, wyrodziły się fakta: 1) Że w pierwszym roku konsumpcya chleba w Anglii się potroiła. 2) Że niższe ceny zboża tak wielkim jak dotąd fluktuacyom ulegać nie mogą, bo targ dla całego świata otwarty, nawet w latach cząstkowego nieurodzaju, dostatecznie zaopatrzone zostanie.

Przy cenach miernych i stałych, spekulacya nie ma elementów życia. Jakoż w Holandyi i Anglii, operacye tego rodzaju na ogromną skalę prowadzone, zupełnie ustały. Ztąd naturalna konsekwencya, że i w kraju naszym handel pośredni utrzymać się nie zdoła, skoro właściciel ziemi zechce się przejść tą prawdą, że posyłając na własny rachunek swoje produkta do miasta portowego: to jest tam, gdzie je spekulant prowadzi; zysk pośrednich kupców przy sobie zatrzyma.

Obecna pozycya zbożowego handlu powinna zwrócić uwagę obywateli polskich i rossyjskich. Zgłębić gruntownie stan rzeczy, a do nowych potrzeb nowe i trafne zastosować środki, jest dziś obowiązkiem każdego; bo od rozwiązania téj kwestyi i bogactwo krajowe i cała przyszłość rolnictwa zależy.

Sądząc, że w tak stanowczej chwili, sumienne i gorliwe usługi nasze, mogą być więcej niż kiedy przydatne: postanowiliśmy otworzyć w Gdańsku dom kommissowy pod firmą:

*Makowski, Kendzior et Comp.*

Zarzekłszy się wszelkich spekulacyj, z zupełnym poświęceniem i gorliwością oddamy się wyłącznie interesom kommissowym.

Na konsygnowane nam zboże, drzewo, wełnę, spirytus, damy zwyczajny awans, całej dokładając usilności, aby je najprędzej i najkorzystniej sprzedać.

Wszelkie sprawunki i kupna towarów kolonialnych, trunków, żelaza, koni, bydła, owiec i t. d. po najtańszej cenie z pierwszej ręki wykonamy, a dyskonty kupieckie na korzyść korrespondentów naszych odstępimy.

Jeden z nas praktycznie z fabrykacją machin obeznany, w razie potrzeby nawet osobiście, bądź we Francji, bądź w Anglii zajmie się obstalunkiem lub z drugiej ręki kupnem, oraz przyjęciem i wyexpedowaniem aparatów cukrowych, gorzelnianych, instrumentów rolniczych, machin parowych i wszelkiego rodzaju fabryk i narzędzi.

Korrespondencje i rachunki nasze będą zwyczajnie w języku polskim; wszakże zastosujemy się w tej mierze do życzenia naszych kommitentów.

Pracować nad zniesieniem zakorzenionych nadużyć, wprowadzić rzetelność miary i wagi, oszczędzić i o ile można zniżyć koszta spichlerza i przeróbki, będzie głównym zadaniem naszego przedsięwzięcia; a jeśli przychylność obywatelska nas wesprze, celu tego ku powszechnemu dobru spodziewamy się dopiąć.

P. Józef Kurierow, współnik nasz, mieszkający w Warszawie, na Miodowej ulicy w domu nr. 495, wszelkich bliższych co do naszego handlu objaśnień udzieli, zawiązanie stosunków między właścicielami produktów a domem naszym ułatwi, i w razie potrzeby, najęciem statków, tudzież expedycją zboża się zajmie.

Przyrzekając wszystko co w naszej mocy czynić, aby położone w nas zaufanie usprawiedliwić, prosimy o zanotowanie naszych podpisów, i przyjęcie zapewnienia wysokiego szacunku.

*Makowski, Kendzior et Comp.*

### *Wypadki z dostrzeżeń meteorologicznych, robionych w roku 1849 w Mińsku (na Litwie).*

Dostrzeżenia meteorologiczne były robione przy mińskim gimnazjum gubernialnym, w roku 1849, w pierwszych sześciu miesiącach po sześć, a w następnych po cztery razy na dzień. Szerokość geograficzna Mińska jest 53° 54' 15"; długość w czasie 1<sup>h</sup> 40<sup>m</sup> 53<sup>s</sup> czyli w łuku 25° 13' 15" na wschód względem południka paryzkiego. Czas oznaczony jest według starego stylu. Wysokość barometru podana jest w półliniach angielskich, których w calu angielskim jest 20, a 12 takowych calów stanowią jedną stopę angielską, równą 0,9383 stopy paryzkiej.]

1849 r.	Średnia miesięczna temperatura na term. Réaumura	Średnia miesięczna wysokość barometru sprowadzona do 130 <sup>1</sup> / <sub>3</sub> term. Réaum.
Styczeń . . . . .	— 2,8	581,33
Luty . . . . .	— 0,5	577,64
Marzec . . . . .	— 0,9	585,57
Kwiecień . . . . .	+ 8,1	582,28
Maj . . . . .	+ 14,0	584,99
Czerwiec . . . . .	+ 13,2	583,61
Lipiec . . . . .	+ 14,4	581,56
Sierpień . . . . .	+ 13,3	583,37
Wrzesień . . . . .	+ 8,3	584,50
Październik . . . . .	+ 4,2	587,28
Listopad . . . . .	— 3,3	586,66
Grudzień . . . . .	— 5,7	584,09

pólinij angielskich.

Średnia wysokość barometru roku 1849, przy 130<sup>1</sup>/<sub>3</sub> term. Réaum. jest 583,57 pólinij angielskich; a średnia temperatura roczna + 5,2 term. Réaum. Najwyżej barometr dochodził 597,99 dnia 7 października w południe. Najniżej barometr spadł 563,98 d. 3 stycznia w południe. Największe ciepło było w cieniu + 22<sup>o</sup>,0 d. 28 czerwca po południu; a na słońcu + 28,5 d. 13 lipca o godzinie 3 po południu. Największe zimno—18<sup>o</sup>,5 przypadło na dzień 31 grudnia o godzinie 8 rano. Uważając miesiące styczeń, luty i grudzień za zimowe, a czerwiec, lipiec i sierpień za letnie, wypada średnia temperatura lata + 13,6, a średnia temperatura zimy—3,0 termometru Réaumura.

Ztąd daje się obliczyć wyniesienie Mińska nad poziom morza. Wypada, że miejsce dostrzeżeń w Mińsku podniesione jest nad powierzchnią morza o 783,27 stóp angielskich, czyli 734,92 stóp paryzkich.

Podniesienie Wilna nad powierzchnią morza, według Jana Śniadeckiego, jest 305 stóp 8 cali, 9 linij paryzkich. A zatem Mińsk leży wyżej od Wilna o 429 stóp, 2 cale i 4 linie paryzkie.

Rodziewicz.

*Sprostowanie błędu botanicznego, popełnionego przez p. Ludwika Zejsznera, w jego artykule pod napis.: Podróż do źródeł Wisły, w zeszycie Bibl. Warsz. na marzec r. b. umieszczonym.*

P. Ludwik Zejszner, znany ze swoich chociaż krótkich ale licznych artykułów treści geologicznej, które przez różne pisma czasowe ogłasza,



skutkiem zapewne niedostatecznego wypracowania ich, podlega często niedokładnościom osłabiającym wiarę w jego naukę. Przyzwyczajony do znoszenia jego błędów, nie mam zamiaru prostowania wszystkich: uczynię to tylko względem najświeższego, jako imiennie przez p. Zejsznera wyzwany. P. Zejszner cokolwiek na Karpatach znajdzie, za osobliwość uważa, i dziwi się nam, mieszkańcom równin, a nawet przygania, że nie znamy tego, co góry mają. I tak, znalazłszy na wierzchołku jednej *tysiącznik* (*Erythraea centaurium*, nie *Erithrea* i *centaureum* jak p. Zejszner pisze), przygania nam (Bibl. Warsz. na marzec r. b. str. 427), że nie wiedzieliśmy, iż tę roślinkę w miejscowości, którą pierwszy raz p. Zejszner zwiedza, nazywają *czantoryjką*; poniżej zaś oświadcza, iż ta nazwa *ogólnie (?) znana*, winna mieć pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. Pomijając, że w tém miejscu loika p. Zejsznera nie jest zdrowszą jak w samym wstępie do jego uczonego artykułu, w którym *poznanie początku wielkich rzek niepospolity ma powab, wszystkie wielkie i świetne dzieła narodów mają najściślejszy związek z ich rzekami*, w którym *Wisła jest matką rzek polskich*, w którym autor rozumuje, że *ponieważ źródła Wisły są u nas niedokładnie poznane, przeto rozpoznanie ich może (!) nie będzie bez interesu*, i że *przedsięwziął tę rzecz wyjaśnić, aby usunąć nadal wszelkie wątpliwości*, a to dlatego, że *samodzielne badania zawsze mają swoją właściwą wartość*" i t. d. zapewniamy szanownego geologa, że ta sama roślina, wszędzie w kraju naszym znana, pewnie nie mniej licznie jak w Karpatach, rośnie w wielu miejscach równin, jakoto np. w okolicach Jabłonnym pod Warszawa, gdzie lud polski nazywa ją *tysiącznikiem*, a kobiety wiejskie pod tem nazwiskiem co rok przynoszą znaczne jój ilości dla aptekarzy i piwowarów warszawskich, i że tam ten wyraz *tysiącznik* jest tak pospolity i znany, jak *rumianek* i *pokrzywa*; że więc nazwy téj bynajmniej nie utworzyłem ani przetłumaczyłem z niemieckiego, jak mi p. Zejszner zarzuca. Pozwoli mi teraz p. Zejszner nazwę przez siebie podaną, czyli raczej swoją erudycją ocenić. Wyraz *centurzyjka*, to jest *centurzya* (słownik Lindego), *centurya*, który p. Zejszner pisze przez niewiadomość (1) *czantoryjka*, znajduje się w pierwotnych zielnikarzach naszych, jak np. w Urzędowie, w Syreniuszu, zatem nie mógłby być ani moim poprzednikiem, ani mnie nieznanym; jakoż w mojej Florze pod Syreniuszem go kładę. Ale wyraz ten jest widocznie zepsuciem łacińskiego *Centaurium* (od mitologicznego Centaura), nieczysty, i dla téjto przyczyny żaden z botaników pol-

(1) To *czan* jest tylko akcentem w *cen*, jak Wielkopolanów *Pon* w *pan*, co p. Zejszner powinien był objaśnić, i nie wprowadzać tonu gminnego w język wykształcony.

skich go nie użył. Do p. Zejsznera należało wywieść, jakim sposobem i w jakim czasie ten wyraz, tchnący widocznie erudycją łacińską dawnych akademików krakowskich, przeszedł na nazwisko grzbietu góry. Ale p. Zejszner nie uczynił tego; zapewne skutkiem uniesienia się na botaników stracił z uwagi swój obowiązek, a co większa pozbawiony przytomności, wpadł w wawoz, z którego dla dobra nauki wydźwignąć go muszę; p. Zejszner mówię, grubo się omylił, powiadając, że Kluk nazywa tę roślinkę *Centaurea centaureum* (!) a po polsku *Chaber jasieniec*, bo ani *Centaurea centaureum* (*Centaurium*) nie jest nazwą Kluka, tylko Linneusza, ani chaber nie jest tém, co tysiącznik (1). Niewiele zapewne polegać można na podaniach takiego badacza, który tysiącznik bierze za chaber. To więc, co p. Zejszner dobroczynnie mi radzi, zaczynając od wyrazów: *Lepiejby uczynił* i t. d. większém pewnie prawem mógłbym obrócić do niego samego, a mianowicie do tych w jego artykule wyrazów o *nummulitach* (str. Bibl. 440): „ *pomiędzy temi przegrodami znajdujące się próżne miejsca, wypełnia minerał zielony jak szmaragd, dziwnie pięknie odbijający od białych części skorupy*”. W tenżeto sposób mineralog dzisiejszego wieku uczyć powinien poznania minerału?

Upraszając szanowną redakcyą Biblioteki Warszawskiej o umieszczenie w swoim piśmie tego wytłumaczenia się mojego z zarzutu, który mi niespodzianie i niestlusnie p. Zejszner uczynił, zostaję i t. d.

W Łomży d. 13 marca 1850 r.

Jakób Waga.

### Wyjątek z listu J. I. Kraszewskiego do A. Przędzieckiego.

....Zacznę więc od najważniejszej, przedsięwziętej dawno pracy, od *Słownika artystów i Ikonotheki polskiej*. Ogrom niespodzianych i ważnych zebranych materyałów, które codziennie wzrastają; odkrycia, poczynione po zapomnianych księgach, a których tysiące, bez przesady, przerzucić przyszło: zmieniły pierwiastkowy plan tego dzieła. Szkoda mi dziś ogromnej pracy mojej, zamykać w niedostrzeżone ramy słownika: chcę ją w systematyczny plan ująć, i napisać o naszej historii sztuki i wszelkich jej u nas zabytków. W początku kontentowałem się słownikiem, jaki dla

(1) Tę zaś roślinę o której p. Zejszner mówi, nazywa Kluk (Dykc. pod *Gentiana Centaur*). *Goryczka żółc ziemna*. Dębosz, ledwie zasługujący na przytoczenie, to Kluka *goryczka*, przeistoczył błędnie na *gorycznik*: nazwisko wcale innych roślin *Erysimum*.

Czech zrobił Dłabacz, dla Bawaryi Lipowski, dla Szwajcaryi Füssli z dodatkiem *Ikonothekei*, któraby była archeologią razem malowniczą; ale dziś żal mi materyałów tak rzucać, i to jest powodem zwłoki w wydaniu dzieła. Nie wiem, jak potrafię je ułożyć, ale to wiem, że materyały są niespodziewanego bogactwa i rozmaitości, że rzuca nowe i wielkie światło na część historyi naszego bytu dawnego. Cóżbyto za rozkosz była, gdybym mógł zebrane ryciny i sztychy, jak d'Agincourt, dodać do dzieła. Niechby tylko *trait*, sprzęty, zbroje, budowy, ubiory i t. p. Ale na to potrzeba ogromnych summ, a ja i tak się już podurjnowałem na to dzieło. Plan jego wielce mnie teraz zajmuje: nie mogę się kontentować żadnym cudzym, ani wziąć i przepisać Kuglera pomorskich studyj, ni aryngę; już kilka miesięcy robię i przerabiam sam szkielec: ogromnie trudne zadanie. Obfitość i różnolitość materyałów utrudnia je jeszcze: zupełny *embarras de richesses*.

Posprowadzałem katalogi naszych zbiorów, niektóre jeszcze sam pojadę obejrzyć; namówiłem K. Świdzińskiego, że mi czynnie dopomaga, a niemal co tygodnia coś przybędzie. Niezmierną też ilość katalogów dzieł sztuki, licytacyj dawnych, zapomnianych, lexykonów, broszur i t. p. trzeba często i zmudnie przeglądać miesiącami, aby z nich utopioną notatę lub wzmiankę jaką ciekawą wycisnąć. Praca niezmierna i niewdzięczna, bo są ludzie co pytają: „sztuka? piszecie o sztuce? byłaż u nas sztuka rodzima?” Odpowiadam: była—i dowiodę.

To pierwsze i główne zajęcie moje, a drugie i nieustanne, to *Athenaeum*, które od roku sam wydaję, znalazłszy kilku akcyonaryuszów, co mi po 100 czerwonych złotych złożyli i w pomoc mi do tego przyszli. Znaleźć 9 osób takich u nas, to sztuka—i chlubię się z nią niezmiernie. Niech pan przeszłoroczne zobaczy *Athenaeum*, a przekonasz się o jego postępie. O artykuł do niego, o notaty z podróży, o co zechcesz wreszcie, najmocniej proszę: wielką to będzie pomocą dla mnie i otuchą. Artykuły składać proszę w księgarni Zawadzkiego w Warszawie...

*Biblioteka* chce odemnie powieści i ja chcę jęj służyć z całego serca; o czas tylko proszę, a wygotuję, jak tylko będę mógł najspieszniej i najlepšíj. Cieszę się, że mojej *Litury* tom II wyjdzie nareszcie, bom się o tém tam dosyć już kłopotał i t. d.

# WŁADOMOŚCI

## na drodze postępu nauk przyrodzonych.

---

### FIZYKA.

**P**odczas zorzy północnej, wycinek świetny otaczający zorzę, wyrzuca z siebie mnóstwo promieni świetnych, poruszających się z dołu do góry z wielką chyżością, równoodlegle od kierunku magnetyzmu ziemskiego, które łączą się z sobą w zenicie magnetycznym, to jest punkcie, na który trafia przedłużenie osi igły nachylenia. Przyczynę tych świetnych słupów, Eberhard, Frisi i inni, widzą w elektryczności rozlanej po atmosferze, która w wyższych sferach, gdzie powietrze jest rozrzedzonym, ma się stawać świecąca, podobnie jak to spostrzegamy w próżni Torricellego. Morlet przyjmując powyżej wzmiankowany początek promieni świetnych, wznoszących się z samej zorzy aż do jej wieńca, w następny sposób tłumaczy łuki foremne, jasne, otaczające zorzę północną, i zawsze przedstawiające się jako część obwodu koła sfery niebieskiej.

Ta jednostajność kształtu tych łuków, każe pocztywać to zjawisko za fenomen optyczny, podobny np. do tęczy. Promienie świetne wychodzące z jednego brzegu zorzy i dochodzące do oka obserwatora, są tworzącemi, ostrokągu prostego, a tém samym muszą z pewną stałego położenia linią, osią ostrokągu, tworzyć kąty równe. Morlet przypuszcza, że promienie światła z zorzy wychodząc, odbijają się od ścianek małych kryształków lodu, posiadających kształt prostej piramidy, o podstawie sześciokąta foremnego. Te kryształki unoszą się w materji zorzy północnej, albo bardzo blisko niej; każda ścianka odbija nieregularnie promienie światła, pochodzące z zorzy i rozsiewa na wszystkie strony wiązki światła, których natężenie zależy od nachylenia ścianek odbijających; tak, iż w tej ściance na którą promień pada prostopadle, odbicie dochodzi swego maximum. Oko obserwatora znajdując się na przedłużeniu tej prostopadłej, ujrzy w tym kierunku punkt świetny, albo raczej szereg punktów, które następnie od-

rzucając, wskaże na sferze niebieskiej część obwodu koła pod kątem równym nachyleniu ścian do podstawy kryształu. Aby wyjaśnić szerokość łuku świetnego otaczającego zorzę, dochodzącego niekiedy 10—12°, Morlet przyjmuje, iż w kryształach nachylenie ścianek do podstawy nie jest jednakie, lecz tylko zawarte między pewnymi granicami. Od ilości kryształów posiadających nachylenie ścian odpowiednie którejkolwiek z tych granic, zależy większa ostrość z jaką zakończony jest łuk świetny. Jeżeli zaś kryształki mają pochylenie ścianek środkujące między granicami, wtedy przy sprzyjających okolicznościach, w miejscu jednorodnego łuku pojawia się szereg łuków cienkich, jakby włókien świetnych, otaczających zorzę.

Bytność w atmosferze kryształów pryzmatycznych o podstawie sześciokątnej znaną jest i stwierdzoną oddawna z obserwacji polotek śniegu; lecz na istnienie kryształków piramidalnych dotąd bezpośredniego nie posiadamy dowodu. (*Annales de Phys.—Gay Lussac 1849 Sept*).

\* Wertheim rozróżnia dwa gatunki dźwięków wydawanych przez sztabę żelazną magnesowaną; pierwszy ma wtedy miejsce, gdy strumienie elektryczne krążące naokoło sztaby, wywołują z niej głos, drugie powstaje, gdy strumień przepływa wskrós sztaby żelaznej. I z licznych swych poszukiwań wnioskuje, że podczas magnesowania sztabka dźwięk wydająca podlegać musi dwom rodzajom drgania: jednym podłużnym, drugiemu poprzecznym; podłużne zawsze istnieją, poprzeczne zaś stają się zerem, skoro sztaba żelazna umieszczoną jest w samym środku spiralnej, po której płyną strumienie wywołujące w niej magnetyzm. Te rodzaje oscylacyj, Wertheim uważa nietyle za fenomen molekularny, jak raczej za skutek mechaniczny siły przyciągania, zachodzącej między spiralną a sztabą lub drutem w jej środku umieszczonym.

De la Rive śledząc przyczyny wahań, wykonywanych przez cząstki żelaza magnesowanego, w środek spiralnej, pionowo ustawionej, umieścił bardzo drobne opiłki żelazne lub delikatny proszek żelazny. Skoro strumień elektryczny przebiegał po spiralnej, opiłki układały się w małe piramidki podługowate w kierunku osi; a więc cząstki żelaza pod wpływem magnetyzmu i przy wymienionych okolicznościach, usiłują się zbliżyć w kierunku poprzecznym, a układają się w kierunku podłużnym. Przeruwając strumień cząstki żelaza wracają do swego pierwotnego położenia. Takie układanie się cząstek, tłumaczy odkryte przez p. Joule zjawisko, dlaczego druty i sztabki żelazne poddane na działanie magnesu zwięzają się w kierunku poprzecznym i przedłużają się w kierunku osi spiralnej.

Przytoczone fenomena wyraźniejsze są na zwykłym żelazie, aniżeli na stali lub żelazie twardém; w pierwszym bowiem cząsteczki łatwiej zmie-

niać mogą swe położenia naokoło swego punktu równowagi. Gdy strumień jest przerywany, w przerwach ztąd powstających dają się słyszeć dźwięki, a ich przyczynę De la Rive w tém upatruje, że cząstki wyprowadzone ze swego normalnego położenia, nie zaraz wracają do niego, lecz dopiero po pewnej mniej lub więcej znaczóej liczbie oscyllacyj.

Dawniej już De la Rive okazał, że pręty z metali magnesujących się, wydają wyraźne dźwięki, jeżeli zostaną umieszczone bardzo blisko pod elektromagnesem lub w środku spiralnej, po której płynie strumień elektryczny przerywany. Teraz w ogóle okazał, że gdy po jakimkolwiek przewodniku stałym, płynnym lub gazowym, przebiega strumień elektryczny, wtedy magnes lub układ strumieni elektrycznych, posiadających własności magnesu, działa tak, iż nadaje cząstkom przewodnika, położenia odmiennie od ich normalnego względem siebie stanowiska. Ztąd wynika, że jeżeli strumień jest przerywany, cząsteczki muszą ciągle się wahać między swém normalném położeniem, i tém, jakie im nakazuje przyległy magnes: a to właśnie daje początek dźwiękom. (*Annales — Gay Lussac 1849 Juin.*)

S. P.

---

#### CHEMIA.

\* *Tworzenie się tłustości w roślinach.* Blondeau przy dojrzewaniu oliwek spostrzegł, że w nich tworzy się oliwa w skutku działania garbnika na włókno drzewne, którego to włókna ilość się zmniejsza w miarę tworzenia się oleju; jednocześnie powstaje kwas węglowy i woda. (*Journal für praktische Chemie N. 15 z r. 1849*).

\* *Ilość krwi we zwierzętach.* Podług doświadczeń Vanner'a robionych w rzeźnicach paryzkich, ilość krwi w zwierzętach wynosi stale blisko  $\frac{1}{20}$  wagi całego ciała; spostrzeżenia powyższe robił na bydłe, skopach, a nawet i królikach. Uważać jednak potrzeba, że tu mówiono tylko o krwi wypłynionej z ciała, ta zaś co w niém pozostaje, nie może wchodzić do podanej wagi. (Tamże).

\* *Szczególne własności cukrów.* Podług p. Reinsch, jeżeli zmiesza się w właściwym stosunku kwas saletrowy z siarkowym, i w tę zimną mieszaninę wsypie się powoli nieco mniej cukru nad  $\frac{1}{5}$  wagi użytych kwasów; nie zapali się cukier, ale nasamprzód zrobi się lepkiem, a po 4 godzinach żółtawym i twardym. Wtedy należy część zsiadłą odcedzić, i nasamprzód na powietrzu, a potem w  $+38^{\circ}$  wysuszyć. Otrzymany tym sposobem proszek jest śnieżno biały, mocnego gorzkiego smaku. Na rozpalonej blasze, zapala się on mocno i huk, toż samo za uderzeniem go

młotem. Rozpuszcza się w wyskoku, a po odparowaniu osadza z niego gwiazdkowate przezroczyste kryształki. Podobnie zachowuje się w powyższej mieszaninie i *cukier mlékowy*, ale proszek powstały nie jest gorzki. *Mannit* przerobiony sposobem poprzednim, i wysuszony w  $+50^{\circ}$  jest śnieżno-biały i prawie bez smaku; na blasze rozgrzanej puka z okazaniem się jasnego płomienia. Dziesięć centygramów tego przetworu uderzone młotem na kowadło wydały bardzo mocny huk. Siła tego proszku po spaleniu, zdaje się być większa jak merkuryusza piorunującego, dogodniejszy zaś jest od tego ostatniego, bo się bez niebezpieczeństwa otrzymać daje i przy rozcieraniu nie zapala. Rozpuszcza się on w wyskoku i eterze, a nie rozpuszcza w wodzie.

*Krochmal* i *gumma* podobnie przerabiane, wydają proszki własności zbliżających je do proszków z cukrów. (Treść z pisma *Journal für praktische Chemie* N. 16 z 1849 r).

\* Rozbiór żołądźi świeżych, skuteczniejszy został przez Braconnot'a. Z pracy téj dowiadujemy się, że jednym z celów autora było wyszukanie sposobu pozbawienia żołądźi garbnika, czyli ich smaku ściągającego, aby przez to uczynić je zdatnymi na pożywienie, podobnie jak służą żołądźie niektórych gatunków dębów hiszpańskich, portugalskich i algierskich używających się zamiast słodkich kasztanów. Oświadcza jednak autor że dotychczas z zwyczajną żołądźią celu tego nie osiągnął. Skład zaś żołądźi dębu *Quercus racemosa* i *sessiliflora* był następujący:

wody . . . . .	31,80
krochmalu . . . . .	36,94
włókna . . . . .	1,90
ciała zwierzęcego (leguminu) zmieszane nego z garbnikiem . . . . .	— 15,82
wyciągu . . . . .	5,00
cukru niekrystalicznego . . . . .	7,00
cukru mlekowego ilość nieoznaczona, oleju zsiadłego . . . . .	— 3,27
kwasu cytrynowego ilość nieoznaczona. potażu . . . . .	— 0,38
siarkanu potażu . . . . .	0,19
chlorku potasu . . . . .	0,01
fosforanu potażu . . . . .	0,05
fosforanu wapna . . . . .	0,27
krzemionki, i niedokwasu żelaza ślad . . . . .	—

---

 102,63

(Treść z pisma *Annales de Chimie et de Physique* Decembre 1849).

\* Na posiedzeniu Akademii umiejętności paryzkiej, udzielił jój pan Despretz po czwarty raz, wiadomość o topliwości i ulatnianiu się ciała przez ciepło wywiązane działaniem stosu Volty. W tém sprawozdaniu uwiadamia on o głównych wypadkach swych doświadczeń tyczących się węgla; ponieważ praca ta jest nader ważną i nadzwyczajnie ciekawą, w całkowitości przeto ją podług pisma *L'Institut* z 19 Decembre 1849 r. podajemy.

Węgiel osadzony w walcach używanych do otrzymywania gazu wodorodu węglowego przeznaczonego do oświetlania, równie jak antracyt, grafit czyli ołówek, węgiel pozostały z wypalenia cukru, i zebrany z rozkładu olejku terpentynowego, wreszcie dyament: służyły do poszukiwań pana Despretz.

Dawniej już okazał ten uczony, że węgiel jest lotny, i że téj własności mieszać nie należy z przenoszeniem się tego ciała z jednego bieguna do drugiego. Poznać można rzeczone ulatnianie, po dymach czarnych wydobywających się z całej powierzchni węgla, i osadzających się, po największej części na ścianach naczynia w którem robi się doświadczenie. Te doświadczenia powtarzał p. D. kilkakrotnie tak w próżni, jak i w gazach, a nawet można było spostrzegać te same wypadki przy szczególnych ulatnianiach rozmaitych metalów np. żelaza, platyny i t. d.

Używając przyrządzeń właściwych, p. D. robił doświadczenie w wyższym ciśnieniu od atmosferycznego. W tych doświadczeniach laseczki węgla zmiękły, zgięły się, i były blizkie stopienia. Podczas tych robót odrywały się cząsteczki i odpadały: posiadały zaś własności grafitu, nie rysowały szkła, podobnie jak węgiel z którego powstały. W jedném z powyższych doświadczeń, kilka małych kawałków węgla z cukru, umieszczono w tygielku ołówkowym, i wystawiono na pęd kwasorodu, ogrzewając jednocześnie powyższe węgle za pośrednictwem stosu; wtedy one spoiły się tak pomiedzy sobą jako téż i z tygłem.

Antracyt prawie czysty, w podobnych powyższym okolicznościach, rozpostarł się po tyglu, tworząc w nim powłoczkę podobną do szkła czarnego. Kawalek tego ciała pod słabém działaniem stosu, w ciągu licznych doświadczeń rozdzielił się na listki. Część na którą działało ciepło, zrobiła się szaro-błękitną: było grafit czyli ołówek łatwy do rozpoznania. Część zaś która znajdowała się przy brzegach tygla, była mniej twarda, ale nie zmieniła się jeszcze w grafit.

Spostrzegłszy p. D. że wszystkie gatunki węgla zmieniają się w grafit pod działaniem mocnego ciepła, chciał się przekonać jak w podobnych okolicznościach zachowywać się będzie sam grafit czyli ołówek. W tym celu ogrzewał najsamprzód ołówek angielski aby go zmniejszyć aż do



czwartej części jego objętości; ale ciało to wcale się nie zmieniło, i zawsze pozostało grafitem.

Doświadczenia te powtórzono w wodorodzie węglowym, ale się przekonano, że wtedy tworzy się osad węglowy, mogący dać powód do błędnego uważania rzeczy; w niedokwasie węgla wypadki były te same jak w saletrorodzie. Laseczki węgla bardzo cienkie pogięły się i ulotniły pod działaniem stosu pana Faraday. Stos ten miał tylko 60 ogniów, szerokości 0,45 metr. grubości 0,25 metr.

P. Despretz robiąc doświadczenie na dyamencie, chciał uniknąć rozpryskiwania się tego ciała, które zwykle następuje przy ogrzewaniu go w mocnym ogniu. Ogrzewał więc dyament zamknięty w rurce zrobionej z węgla, zatkanęj zatycką także węglową. W pierwszym doświadczeniu, umieścił w niej dyament około 3 milimetrów średnicy mający, stos był osłabiony przez ośmiodniowe doświadczenie, a składał się z 6 oddziałów zawierających po 100 ogniów. Rurka z początku słabo się zaczerwieniła, ale potem rozpalila się do czerwonej białości. Doświadczenie przerwano po 20 minutach trwania. Dyament zwiększył swą objętość, stał się czarno-szarawy jak grafit; przeprowadzał elektryczność, a na papierze pozostawiał rysę jakby ołówek. W drugim doświadczeniu trwającym tylko 10 minut, dyament rysował jeszcze szkło, a nie przeprowadzał elektryczności. Wiele jeszcze robiono doświadczeń z różnymi skutkami, stosownie do natężenia ciepła, i długości doświadczenia.

Tak więc dyament zrobił się pod wpływem mocnego ciepła, węglem przeprowadzającym elektryczność, a prawie natychmiast ołówkiem. Przy ciągłym ogrzewaniu, powstają z niego małe kuleczki stopione, podobne do otrzymanych z węgla: ale nie należy ich równać z temi kuleczkami szklistemi, niekiedy w pół przezroczystemi, czasami bezbarwnemi, ale prawie zawsze zafarbowanemi na czarno, które tworzą się z antracytu i nieczystego ołówka wystawionych na działanie stosu, lub wielkiej dmuchawki, albo ogrzewanych za pośrednictwem mocnej soczewki: wiele i tych ostatnich kuleczek jest przyciąganych od magnesu, i składają się z krzemionkanu i go żelaza; inne są krzemionkanami ziemnymi; i nie otrzymuje ich się nigdy z węgla wypalonego z czystego cukru, ani z węgla z olejku, ani z dyamentu, a rzadko powstają przy robocie z antracytem bardzo czystym.

Wreszcie p. Despretz tak streszcza swe zawiadomienie.

1) „Węgiel w próżni widocznie się zmienia w parę, w temperaturze takiej nabyć może pod działaniem stosu od 500 do 600 ogniów Bunsen'a zawierającego; te ogniwa ustawione są w 5ciu lub 6ciu oddziałach.

W gazie, parowanie to jest powolniejsze, ale także następuje.

2) „Węgiel w temperaturze uskuteczionych doświadczeń, może być gięty, spajany i stopiony.

3) „Jakikolwiek węgiel, tém jest miększy, im dłużej mocno ogrzewany będzie. W ogóle zmienia się na grafit.

4) „Grafit najczystszy, ulatnia się powolnie przez ogrzewanie; część nieulotniona jest zawsze grafitem.

5) „Dyament zmienia się przez działanie stosu przyzwoicie mocnego w grafit, jak wszystkie rodzaje węgla; tworzy on jak węgiel małe kuleczki stopione, skoro będzie przez długi czas ogrzewany.

6) „Porównywając te doświadczenia z tworzeniem się grafitu w piecach wielkich, oraz kształt krystaliczny grafitu naturalnego, czyli sześcian, zupełnie przeciwny ósmiościanowi regularnemu; można wyprowadzić ten wniosek, że dyament nie jest utworem działania mocnego ciepła na jestestwa organiczne lub zwęglone.

J. B...a.

---

## HISTORIA NATURALNA.

---

### Zoologia.

Podług W. A. Pike, nie sama zérafa podczas chodu obiedwie na jednej stronie nogi odrazu stawia; czyni to samo wiele innych zwierząt, np. wielbłąd, lew, tygrys, lampart i wilk, w ogólności wszystkie do rodzaju kota i psa należące zwierzęta. Nawet koń i osiel, lubo bardzo rzadko, na ten sposób inochodem postępują. (*Fror. Not. n. 221 z The annals and mag. of nat. hist. nr. 19. 1849*).

\* W pracach Filadelfickiej akademii um. przyrodzonych, dr. Morton opisał nowy, w zachodniej Afryce żyjący gatunek konia rzecznego pod nazwiskiem *Hippopotamus minor*, ale że to nazwisko użyte już zostało przez Cuviera do oznaczenia kopalnego gatunku, powyższe przeto zastąpiono inném *Hippopotamus (Tetraprotodon) liberiensis*. Zwierzę jest powolne i ociężałe, waży 400 do 700 funtów. Zamieszkuje rzekę św. Pawła, która wypływa z gór Gwinei, przeryna kraj Dey i Liberia, i na północ od przylądka Mesurado w ocean Atlantycki uchodzi. Dr. Morton opisał go ze dwóch czaszek, które ma w swoim posiadaniu. (*Id. nr. 231 z Am. Journ. of Sc. and Arts. vol. VIII. nr. 22. p. 152*).

\* Dront, jeszcze przed 200 laty na wyspie Maurycyusza ptak żyjący, według Brandta, należy do rzędu *Grallae*. Dokładne zbadanie

czaszki jego, wskazało petersburskiemu zoologowi niektóre drobne kostki, temu tylko rzędowi ptaków właściwe. (*Id. nr. 227 z The Edimb. new phil. Journ. April to July 1849*).

\* Jedyném pożywieniem węża gładkiego (*Coluber levis*) którego p. Martin w Bunzlau chował, były kropelki wody ściekające z wilgotnego mchu, użytego na zatyczkę do słoja w którym wąż zostawał. „Kropelki te, mówi p. Martin, chciwie niekiedy ze szkła zlizywał. W środku sierpnia przypadło lenienie się jego: chcąc mu wtedy dać coś lépszego do jedzenia, szukałem jaszczurek. Miałem zamiar kilka małych złowić, ale mi trafiła się tylko jedna, niezwyklej wielkości, bo prawie 8 cali długa. Niewiadomo z kąd mi przyszło rzucić na pożarcie wężowi zwierzę, daleko grubsze od niego. Wkrótce jednak, po niespokojnościach jaszczurki i ognistych węża spojrzeń, poznałem jak się ta rzecz skończy. W 5 zaledwie minut, z błyskawicy szybkością rzucił się wąż na jaszczurkę, i tylną swojego ciała częścią trzykrotnie ją opasał, a zaraz przy tém tak się ułożył, że mu łatwo było nasadzić paszczę na zdrewniałą ze strachu głowę jaszczurki. W miarę jak rozwarta paszcza coraz głębiej chłoneła jaszczurkę, ogonowe sploty węża coraz się bardziej zsuwały z jęj ciała, aż w przeciągu niespełna 10 minut całe wielkie zwierzę połkniętém zostało. Wtedy wąż z zadowoleniem przeczołgał się wokół, kilka razy paszczę otwierając, znowu kropelki ze szkła zlizywał i dawał się brać spokojnie. Widać ztąd, że pomieniony gatunek węża, tylko jaszczurkami żyje.” (*Id. nr. 241 z Allgem. deut. naturh. Zeit. herausgg. von C. Tr. Sachse, 2. Jahrg. pag. 387*).

\* J. F. J. Blisson w Rocznikach Tow. entomologicznego francuzkiego (1848 tom VI), opisuje gąsienice szczypankowatego chrząszcza *Nebria brevicollis*. Są one długie, z bardzo wyraźnych pierścieni złożone, lśkniącą skórą pokryte, na głowie, tułowiu i aż do środka grzbietu brunatne, na bokach i członkach słomiasto-żółte. Nogi u nich są cienkie i długie, odwłok kończy się tylną rurką i dwiema długimi, jasnymi przysadkami. Przemieniają się wczesnie pod koniec zimy, zazwyczaj około 20 lutego. Gąsienice te mieszkają na polach i w ogrodach których grunt jest piaszczysty. Są bardzo zwinne. Dla odbycia przemiany szukają miejsc mocno ubitych, np. ulic w ogrodzie, i zatrzymują się na ich brzegu, albo téż na brzegu wydeptanych ścieżek, tam gdzie ziemia jest stała, ale świeża i lekka. Stałość gruntu chroni je od wielu niebezpieczeństw: nietylko od prześladowań gąsienic mięsożernych pod ziemią żyjących, ale i od zgniecenia w mieszkaniu sklepióném, co się często po wielkich ulewach wydarza. W dzień nigdy się widzieć nie dają: kopiają zawsze w nocy, a ich robota dosyć już postąpiła, gdy dzień

zaczyna, tak iż nie potrzebują wtedy na powierzchnię wychodzić. Do miejsca, w którym się przemienić mają, przerabiają najprzód jamkę, niekiedy pionową, a zwykle ukośną około 5 milimetrów szeroką, a na 0,028 do 0,056 mil. głęboką. Dla wydrążenia gruntu, biorą żuwaczkami jedno lub kilka ziarna piasku, zanoszą go nad wejście do jamy, i usypują tym sposobem niby kretowinkę. Doszedłszy już do głębokości potrzebnej, rozszerzają przechód niby w małą pieczarę, i wybiieranym ztamtąd piaskiem zatykają miejsce pionowo, czyniąc to takim sposobem. Każdy wybrany piasek noszą na wierzch kretowinki, którą od spodu poruszają, przez co ona obsypując się, przyległą jamkę zarzuca. Ziarna umieją tak układać, że one bez żadnego cementu, stałe sklepienie tworzą. Rozprzestrzeniwszy jak trzeba mieszkanie, wykończają je wewnątrz. Całą robotę uskuteczniają zwykle w 30-36 godzinach. Gdy wszystko jest skończone, przez 3 do 4 dni odpoczywają po pracy, niekiedy po mieszkaniu przechodząc się, jakby znużone bezczynnością do której je czas skłania. Tak czekają na swoje przemianę. Kiedy jej chwila nadeszła, wpadają w rodzaj letargicznego uśpienia, przyczém zwykle na grzbiecie albo na boku leżą: ciało ich nabrzęka, co pewny czas konwulsyjnie się kręca, a przeleżawszy 4-5 dni (raz przy mroźném powietrzu dni 10), przechodzą w stan poczwarki. Ten znowu stan trwa dni 18 do 20, poczem dojrzałemi chrząszczami się stają. Chował te gąsienice p. Blisson bez żadnej trudności w kieliszkach szklanych z dnem wązkiem, w  $\frac{2}{3}$  lekką, nieco wilgotną ziemią napełnianych. (*Id. nr. 227*).

\* Gąsienica nadwodnego chrząszcza *Donacia sagittariae*, która przy podstawie liści wstężeńca gałęzistego (*Sparganium ramosum*) pod wodą żyje, według Ed. Perris, nie psuje tkanki téj rośliny, ale się tylko jej sokiem żywi. Nie ma ona skrzeli, przeto Perris domyśla się pewnego endosmotycznego oddychania przez błonkę zamykającą przetchlinki. Dla odbycia przemiany, gąsienica ta zchodzi do korzenia rośliny, tam otacza się eliptycznym oprzędem, który jest nietylko z przędzy ale i ze stwardniałej gumowatej masy złożony, a ma grubość papieru. Ta powłoka chroni ją od wody. (*Id. nr. 223 z Ann. de la Soc. Ent. de France 1848, tome IV p. 33*).

\* Według tegoż, wólkowaty chrząszcz *Lixus angustatus*, żyje tylko na ślazowatych roślinach. Mając nieść jaja, przekąta dziobkiem swoim głęboki kanał w łodydze rośliny, i składa w niej jedyne jaje. Wykluta z niego gąsienica, rozprzestrzenia sobie mieszkanie w łodydze i łązi po niém. Zazwyczaj kilka gąsienic żyje w jednej łodydze, nigdy się wszakże nie zdarza, ażeby jedna wkraczała w dziedzinę drugiej. Obydwa końce wydrążenia zatkało są trocinami. Niżeli gąsienica w stan poczwarki

przejdzie, przegryza część kory aż do naskórka, i tamtędy potem dojrzały owad wychodzi. (*Id. ex eod.*).

\* Proszkowata powłoka u chrząszczów z rodz. *Lixus* i niektórych innych podobnych, według pp. Boulbène i Follin, składa się u zdrowych zwierząt, z zarodników (*sporulae*) i nitek; zgoła przedstawia ona wszystkie elementa prawdziwego grzyba. Na owadach żywych powłoka ta, starta odnawia się, co niedzieje się na nieżywych. (*Id. nr. 228 z Bibl. univ. de Genève, nr. 42.*)

\* Newport odkrył u skrzydlatego owadu *Pteronarcys regalis*, podwójny przyrząd do oddychania: skrzela do życia pod wodą, a zarazem przetchlinki do oddychania wprost powietrzem. Tę osobliwość organizacji i sposób życia za nią idący, szczegółowo opisuje autor. (*Id. nr. 227 z Ann. and. mag. of nat. hist. August 1848.*)

\* P. Barrande z Pragi, pracując nad dziełem o sylurskim gór ukladzie w Czechach, poczynił godne uwagi odkrycia w przedmiocie trylobitów czeskich. Udziela tych odkryć w liście swoim, do Sir Roderyka Murczyssona (*Athenaeum* 1132). Pierwszy on śledził rozwijanie się trylobita (jego *Sao hirsuta*) od stanu embryona do dojrzałości wieku, na co doszedł 20 po sobie następujących stadyów, w których się okazują bardzo osobliwe przemiany od prostych szybowatych ciał, do całkowicie wykształconego trylobitu z 17 wolnymi działami piersiowymi i 2 przegubami ogonowymi. To odkrycie jest niemniej dla zoologa jak i dla geologa ważne, ono bowiem zmniejsza liczbę tak nazwanych gatunków, i rzeczą jest niezawodną, że w nowszym dziele Hawlego i Kordy o trylobitach czeskich, 19 rodzajów i 18 gatunków powstało z jednej tylko części tego stopniowego rozwijania się w gatunku *Sao hirsuta* Barr. (*Id. nr. 231.*)

\* Em. Blanchard postrzega, że nerwowy układ bezkręgowych zwierząt, może być klasyfikacji ich zasadą (1). Badał on nądowsztyko układ trzewiowych nerwów u zwierząt miękkich i stawowatych, i znalazł że odsiężenia jego w zadziwiający sposób wskazują naturalne gromady, rzędy, familie i t. d. i najpewniejszym są środkiem na dochodzenie powinowactw między temi zwierzętami. Podziały główne winny iść za układem nerwowym zwierzęcego życia, dalsze za trzewiowym układem. Szczegółami uwagi godnymi są np. następujące: u wszystkich pierścienic trzewiowe gangliony leżą nad pokarmowym kanałem, u wszystkich miękkich pod nim, u małżów są one zupełnie rudymenarne. (*Id. nr. 222 z Comptes rendus, 18 grudnia 1848.*)

(1) Porów. *Bibl. Warszaw. 1849 tom III str. 427.*

\* Ostrzyga, według najświeższych badań p. Quatrefages, nie jest, jak sądzono dotąd, dwupłciową, ale ma płeć rozdzieloną. Potwierdziły to już i badania p. Blanchard, który rozbierał mnogość gatunków i indywidualów tych zwierząt; w pewnej roku porze jednocześnie znajdował jaja i spermatozoj na osobnych indywidualach. (*Id. nr. 225 z The American Journ. of sc. and arts. vol. VII nr. 21*).

\* Gdy mniemano dotąd, że pąkle (*Balanus*), równie jak wszystkie wosoplawy są bez oczu, tymczasem dr. Leidy odkrył te organa u gatunku *Balanus rugosus*. Na każdym boku skorupy, pod ciemnoczerwoną skórą brzeg jej obwodzącą, postrzegł oko: małe, okrągłe i czarno zafarbowane, otoczone błoną i złożone z soczewki, którą w  $\frac{2}{3}$  rozległości od przodu, czarny pigment powłóczy. Do oka idzie sznurek nerwowy, który aż do ganglionu, pod kanałem pokarmowym leżącego, śledzić się daje. (*Id. nr. 227 ex eod.*).

\* Albany Hancock, tłum. sposobu jakim niektóre miękkliwe zwierzęta, skały świdrują. W Bibl. Warsz. za czerwiec r. z. wspomnieliśmy na str. 659 o mniemaniach Hancocka co do sposobu, jakim niektóre zwierzęta miękkliwe przewiercają ciała stałe. Wyłożymy tu myśli autora porządkiem, jakim one wyczerpać się dały z nr. 10 pisma *Annals and magazine of natural history*, na rok 1848.

„Z wielu w tej mierze teoryj, trzy tylko jakieś prawdopodobieństwo odznacza. Według jednej, zwierzę ma za pomocą skorupy, jakby za pomocą świdra albo piły, na kamień działać; według drugiej, ma nawet pewną rozpuszczającą ciecz wytłaczać, i nią kamienie, mianowicie wapienne, wydrążyć. Według trzeciej teoryi, którą Garner ustanawia, utrzymywanie się ma ruchem rżęs zrzadzany ciągły strumień wody, ku miejscu kamienia na przewiercenie obranemu skierowany, gdy siłę tego strumienia wspiera to gwałtowność z jaką zwierzę wodę wyrzuca, to może nawet i skorupa nakształt piły działająca.

Autor roztrząsa te trzy teorye, i wszystkie zbija. Zastanawiał się on nad otworami które wywiercają świdraki, i nie nabył ztąd przekonania, ażeby zwierzę tawiercąc wykonywały ruch obrotowy. Nie mogą także skorup do wiercenia używać skalotocze (*Pholas*), bo wiercą w kamieniach nie tylko wapiennych, ale nawet i krzemienistych, zatem daleko twardszych od ich skorupy, która nadto miewa na sobie miękkie naskórek, ten zaś nigdy nie jest starty. Zwykle przyznajemy zaskalcom (*Saxicava*), cienką i kruchą pokrytą skorupą, że wypuszczają kwas dla przerobienia nim otworu w kamieniu, ale autor żadnego śladu kwasu u tych zwierząt nie znalazł, lubo z wielką troskliwością poszukiwania robił. Nadto, zaskalce przewiercają nie same wapienne kamienie.

Gatunki z rodz. *Clavagella*, które z pewnością nie używają skorup do wiercenia, znajdujemy zapuszczone nawet w krzemieniste konglomeraty. Gdyby u tych zwierząt była jaka ciecz roztwierająca, musiałaby ona nie kwasu mieć naturę, tylko osobną, własną swoją zdolność rozpuszczania wapna, muszli, piaskowców, krzemieni, drzewa, a taka działałaby i na samą skorupę zwierzęcia, bo się to często zdarza, że żywe okazy gatunku *Saxicava rugosa*, poprzedziurawiane są przez inne tegoż rodzaju. W kanałach powywiercanych przez zaskalce, nieraz znajduje się miękki proszek, który się burzy z kwasami. Podobny proszek okrywa skorupę w rodzaju *Gastrochaena*. Nawet przednia część samego zwierzęcia zaskalców, musi być okrytą mechanicznie utartym kamieniem wapiennym, ponieważ ta część sprawia burzenie się za najmniejszym zetknięciem z nią kwasu; gdyby zaś wolny kwas miała, nie mógłby na niej leżeć węglan wapna. Niektóre skalotocze, jakoto *Pholas dactylus*, *parva* i *candida*, które podług Turtona na brzegach Devonshire w miękkim wapieniu się gnieźdzą, podług Montagu znajdują się także w drzewie. W kawałku drzewa stoczonym przez świdra, *Teredo navalis*, znalazł autor każde zwierzę pokryte miłkiem próchnem koloru tegoż drzewa. Everard Home, który to samo uważał, sądzi że rzeczony zwierzę żadnego pożywienia z drzewa nie ciągnie, co też niezmienny stan drzewa zdaje się potwierdzać. Nakoniec teoria Garnera, jakoby pęd wody zrzadzony poruszeniem rzęs, kamienie i drzewo miał wydrążyć, według autora, całkiem nie nadaje się do przyjęcia. Zważyć bowiem najprzód wypada, z jaką szybkością przedziurawienia powstają. Według Thompsona, dno płaskiego okrętu we 4 lub 5 miesięcy świdrak zupełnie zniszczył; dyl we 40 dniach poprzebijał. Zaskalce i pobliskie im rodzaje, równie jak i skalotocze, wiercą przechody, które z wzrostem zwierzęcia stają się coraz przestronniejszymi, zatem lejkowatemi: wypada przeto sądzić, że gdy zwierzę przestanie już rosnać, wtedy w niem ustaje i zdolność wiercenia dalszego; kanały bowiem odtąd powinny by mieć średnicę wszędzie równą, co nie zdaje się bywać. Pęd przez zwyczajne rzęsy zrzadzony, jest nadto słaby: gdyby on, jak przypuszcza Garner, zyskiwał na sile i szybkości ze strony pędu pochodzącego z części ciała dłuższej i rurkowatej, siła taka kalęczłaby delikatne rzęsy. Rzęsy znajdują się u wielu małżów, nawet takich, które nie świdrują, i służą im zapewne do utrzymania w czystości téj powierzchni na której przebywają. Nie dziw przeto, że są u skalotoczków; nadto u tych ostatnich rzęsy nie znajdują się ani na wyłęczystości ciała rurkowatego, ani u płaszcza, a właśnie te części są narzędziami wiercenia. Podobnie u zaskalców niema rzęs w przedniej połowie ciała, tylko są jak u innych

małżów, przy nodze. Wszystko to, według autora, przeszkadza są-  
dzeniu, ażeby pęd wody ruchem rżęs zarządzony, mógł przedziurawienia  
sprawiać.

Niektóre brzuchopełzy, jakoto czaszółki (*Patella*), *Hipponyx* i t. d.  
podobnie zagłębiają się w skały i różne ciała twarde. *Patella vulgata*  
zachodzi niekiedy do głębokości na  $\frac{1}{2}$  do 1 cala w miękki kamień. Gray  
przypisuje to zjawisko środkowi rozpuszczającemu, ale ona nietylko  
w wapnie, lecz i w twardym piaskowcu to samo czyni, a głębokość jej  
wydrzeń stosuje się do twardości kamienia. Garner i to przyznaje pę-  
dowi wody zarządzanemu rżesami. Ale u czaszółek płaszcz nie jest osa-  
dzony rżesami, lecz tylko spodnia powierzchnia nogi, chociaż te zwie-  
rzęta wywiercają dolki odpowiednie płaszczowi. Oprócz tego rżesy ich  
są tak delikatne, że tylko najmocniejsze powiększenia mikroskopu, wido-  
cznymi je czynią. Daleko widzialniejszymi okryta jest noga w rodz.  
*Doris*, *Limapontia*, *Purpura* i *Littorina*.

Na muszlach jako też i kamieniach w które się czaszółka wwierciła,  
zawsze można postrzedz kresy w pewny oznaczony sposób ułożone, zwy-  
kle bardzo delikatne, a które z pewnością nie pęd wody, tylko mechani-  
czne środki zrzażyły. Autor namienił już na początku, że przednią część  
zwierzęcia za narzędzie wiercenia uważa. U *Teredo* i *Pholas* składa się  
ta część z nogi i brzegów płaszcza. które przednią szparę skorup całkowi-  
cie zapelniają; u *Saxicava* i *Gastrochaena* powstaje ta część z samego  
tylko połączenia się z sobą brzegów płaszcza. Noga i płaszcz u *Teredo*  
wystęrcza ze skorup; noga jest zaokrąglona, przy wierzchołku wklęsnię-  
ta; i zapewne na ten sam sposób co u *Pholas* działa. Everard Home  
nazywa ją ryjkiem; ma ona podług niego robakowato się poruszać i mieć  
na sobie naskórek, podobny błonie rogowej oka. Nie znajduje się żaden  
w tym ryjku otwór; Home sądzi, że on przyparłszy do drzewa, jak wierz-  
chołek świdra działa, gdy tymczasem zwierzę skorupą wierci. Autor  
nie widział świdraków żyjących: o ile zaś mógł upewnić się na zacho-  
wanych w spirytusie, mniemanie Homego do przekonania mu trafiało; za-  
kończenie nogi kształtem i wielkością odpowiadało zupełnie zakończeniu  
wywierconego kanału. U *Pholas crispata* noga jest zupełnie taka jak  
u *Teredo*; wytyka się ze skorup, jest wielka, na końcu wypukła; koniec  
ten, który zawsze do dna kanału z siłą jest przywarty, odpowiada zupeł-  
nie tego dna kształtowi. Wolne brzegi płaszcza otaczające nogę, razem  
z nim dokładnie zapelniają dno kanału. Zupełnie taką budowę ma prze-  
dnia część u *Pholas candida* i *parva*; przeciwnie skorupa u dojrzałych  
zwierząt gat. *Pholas papyracea* i *striata*, zamknięta jest od przodu;  
ale że Sowerby okazał iż *Pholas laminata* piérwszej, *Pholas minuta* dru-



gię jest młoda, a obiedwie w niczem nie różnią się od innych skałotoczów, autor przeto sądzi, że *Pholas papyracea* i *striata* tylko w młodym wieku otwory wiercą, równie jak otwory wszystkich małżów czynione są w czasie, w którym zwierzę jeszcze rośnie. Skoro zaś wiercenie się skończy, u obudwu ostatnich muszli, nie tylko zamyka się szpara skorup na przodzie, ale zapewne i wymiar nogi się zmniejsza.

Także i u *Saxicava rugosa* dno wywierconego otworu, ma zupełnie kształt części która uskutecznia wiercenie. U niej, podobnie jak u *Gastrochaena pholadia*, płaszcz, który ją wkoło otula, jest na przodzie, bardzo zgrubiałą, tworzący poduszkowatą eliptyczną nabrzmiałość, nieco ku tyłowi podającą się, a którą zwierzę stosownie do woli, ze skorupy wypychać może. Dno wywierconego kanału, ma, jak się już powiedziało, zupełnie kształt téj poduszki. Też poszukiwania rozszerza autor i do mniej znanych sobie rodzajów: *Petricola*, *Clavagella*, *Lithodomus*, i w autorach je opisujących, znajduje wiele na poparcie swojego zdania.

Przewiercone kanały małżów, na zetknięciu się swoim z powierzchnią kamienia lub drzewa, nie tworzą nigdy kąta prostego; są raczej zawsze nieco na bok zwrócone. Dziury świdraków z początku tylko ten kierunek mają; dalej zaś idą kierunkiem bardzo rozmaitym, podług woli zwierzęcia. Dziury zaskalców i skałotoczów zachowują niekiedy pierwotny kierunek, niekiedy jednak zwracają się na bok. Ta ukośność kanałów mówi przeciwko obrotowemu ruchowi, i daje się tłumaczyć tylko przez boczne położenie zwierzęcia w skorupie, przez co powierzchnia krająca raczej na jeden bok działać musi.

Po tych uwagach przystępuje autor do głównego swojej pracy przedmiotu, to jest do okazania co w przedniej części ciała zwierzęcia, właściwe uskutecznia wiercenie. Badał on nogę świdra gat. *Teredo norvegica*, w spirytnie zachowanego: powierzchnia jej była ścisła i skórzasta, a wszędzie drobnymi, niemierzytelnymi kropeczkami obsiana. Włożywszy część téj powierzchni pod mikroskop, ujrzał w pomienionych kropeczkach mnogość krystalicznych, błyszczących, po większej części pięciobocznych ciałek, i doszedł że się znajdują takie nie tylko na nodze, ale i na częściach płaszcza ją otaczających.

Podobne ciała, częścią ciemne, częścią przezroczyste, znalazł na wypukłej powierzchni nogi u *Pholas crispata*. Wnosi także, iż ciemne plamy gruczołowatego wejrzenia, które Owen na płaszczu u *Clavagella* opisuje, są zapewne podobnymiż kryształkami. U *Saxicava rugosa* znajdują się także na przedniej części zwierzęcia, nawet większe, mocniejsze, i gęściej skupione. Postrzegal je i na zgrubiałej części płaszcza u *Gastrochaena*, lubo dla niedostatku okazów tego zwierzęcia, nie mógł po-

mienionego szczegółu tak dokładnie jak w innych rodzajach badać. Noga i płaszcz u *Patella vulgata*, również je przedstawiają, lubo mniejsze niż u wszystkich poprzedzających. U jednego gatunku czaszki amerykańskiej, która skorupę innej przebiła, znalazł je autor bardzo rozwiniętymi: były pięcio i sześcioboczne, wielkie, a tak twarde, że rysowały szkła od naciskacza mikroskopu.

Te krystaliczne ciała są, według autora, odsiężonemi łuszczkami przyślužniowemi, i różnią się od zwyczajnych komórek przyślužni twarłością, siłą łamania światła i krystalicznym wejrzeniem. Mocno naciśnięte, rozkruszają się na ostre, kątownate kawałki. Kwas, nawet zgęszczony saletrowy, nie działał na nie: zdają się zatem złożonemi być z krzemionki, czyli krzemianami jakiej zwierzęcej materji, co autor tym śmieliej uznaje, że niedawno postrzeżono, iż ciernie na języku niektórych bruchopelzów, są krzemianem. Jeżeli więc są rzeczywiście kryształami krzemianu, łatwo wytłumaczyć jak za ich pomocą zwierzę przeciera kamień lub drewno. Noga i płaszcz u *Teredo*, *Pholas* i *Patella*, a zgrubiała część płaszcza u *Saxicava*, *Gastrochaena* i poblizkich, jest na swojej powierzchni tęp samym, co ów papier klejem nasmarowany i obsypany proszkiem szkła tłuczonego, używany od stolarzy do wycierania drzewa przed politurą. Oczywiście, że ta ostra powierzchnia, poddana jest silnemu działaniu przyległych mięśni: w rzeczy samej widać wszędzie gęste i tęgie krzyżowania się ich włókien. Nie potrzebuje żadne z tych zwierząt obrotowego ruchu czyli kręcenia przy wierceniu: szlifują one kanał kurcząc się i wyciągając robakowato, jak to uważał Everard Home we względzie nogi świdraka.

Z tego wynika, że tylko te miękkie zwierzęta mogą mieć własność wiercenia, u których albo noga znacznej szerokości dochodzi, albo u płaszcza jest widoczna, występująca naprzód zgrubiałość. Do takich przeto należeć musi: *Venerupis perforans*, lubo to jeszcze wątpliwością jest, czy ona rzeczywiście wierci. Na brzegach Northumberland, gdzie leży mnóstwo miękkich skorup i wszelkiego gatunku kamieni, nigdy ona nie wierci, lecz tylko zagnieżdża się w opuszczonych dziurach skałotoczów i zaskalców. To samo jest i z gatunkiem *Kellia suborbicularis*; może ją zatem, a jeszcze i wiele innych, zupełnie bezzasadnie jako wierzące muszle obwołano.

W końcu zastanawia się autor nad własnością płaszcza u niektórych bruchopelzów, że ścięra własną skorupę. U *Buccinum undatum*, bardzo pospolitego na brzegach angielskich trąbika, znajduje się często przy osi (*columnella*) zagłębienie, które się przez całą długość ujścia skorupy ciągnie i u żyjącego zwierzęcia odpowiada zupełnie obwodowi płaszcza.

Podobnymże sposobem ścierają ós *Fusus antiquus* i *Purpura lapillus*. Już Gray uwagę zwracał na to zjawisko, licząc je do wsarknień (absorbeyi), na co nie zgadza się autor, ponieważ między płaszczem a osią, żadne nie łączy naczyń; przeczy nawet téj uwadze Graya że miękkie zwierzęta, chociaż kamienie i własną skorupę ścierają, nie mogą jednak przeszkodzić rozwijaniu się gatunków pasorzytnych, na ich skorupie osiadających. Na małym okazie trąbika, *Buccinum undatum*, osiadła rurówka (*Serpula*), która całkowicie przecięta była; przy osi u wrzecionka, *Fusus antiquus*, osiadły dwa okazy zwyczajnej pąkli (*Balanus communis*), obydwie przecięte, jak domyśla się autor, przez wrzecionka, za pomocą płaszcza. Autor więc przyjmuje, że płaszcz, przynajmniej w rodzaju *Buccinum*, chroni muszlę od nieproszonych gości, jój wzrost tamujących, czyniąc wszakże uwagę, iż ta ochrona bezskuteczną jest tam, gdzie pasorzyt domek swój z ziarek kwarcowych ulepia, jak *Terebella lumbricalis*. Gdyby w tém zachodziło działanie kwasu, musiałby on popsuć przynajmniej naskórek, a następnie i skórę jednoczącą ziarka; ale płaszcz u *Buccinum undatum* okrywają takie kryształki, jak u muszli wiercących; zdaje się nawet, że i tu zwierzę tylko dopóki jest młode, ściera skorupę przy osi, ażeby sprawić więcej swobody rozrastaniu się swojemu.

Jeszcze jedną przywodzi okoliczność, tyczącą się mięsożernych brzuchopelzów. Na brzegu Durham, wspólnie z Ryszardem Howse, który tam szkarłatniki (*Purpura*) odkrył, miał sposobność widzenia jak takie zwierzę przebijało zwyczajnego omulka (*Mytilus*), swą najpospolitszą zdobycz. Dziury miały  $\frac{1}{10}$  cala średnicy, to jest zupełnie tę wielkość, że ryjek szkarłatnika przez nie przechodził. Bardzo długi, tasiemkowy język szkarłatnika, osadzony jest w poprzek rzędami kwarcowych kończatości; jest on daleko węższy od przebitego kanału: przednie kończatości na nim są albo zużyte, albo nie dosyć rozwinięte. Przewiercony otwór zwykle jest okrągły, czasem nieco otwarty; przechodzi często przez naskórek, u omulka rogowy i tegi. Tu więc naskórek nie rozdziera się, tylko jest przewiercony okrągło, równie jak i skorupa. Naprowadza to autora na myśl, że język szkarłatników działa podobnie jak noga i płaszcz wiercących muszli. (*Fror. Not.* 1849 nr. 226, 227).

\* Najwięcej wiadomości do naszych doniesień o postępie zoologii, czerpaliliśmy z niemieckiego pisma *Notizen aus dem Gebiete der Natur- und Heilkunde*, oznaczając je skróceniem *Fror. Not.* a często *F. N.* jako zawdzięczające początek Ludwikowi Fryderykowi von Froriep, przed trzema laty zmarłemu (Bibl. Warsz. z r. 1848 tom IV str. 214). M. J. Schleyden wspólnie z Robertem Froriep, synem zmarłego, dotąd wydawali to pismo, nie zmieniając ani objętości ani formatu jego.

Rzeczony pismo, w nr. 235 z grudnia r. z. oznajmia, że po 28 latach bytu swojego, doszedłszy statomowej objętości, z następnym rokiem (1850) zmienia swój tytuł i format, podług załączonego prospektu i czterech początkowych zeszytów nowego ciągu.

Nowy ten ciąg przybiera format in 8vo i zmienia tytuł na *Tagsbericthe über die Fortschritte der Natur-und Heilkunde*, przeto wiadomości, jakie z niego wyczerpniemy, będziemy odtąd skróceniem (T.) oznaczali.

A. W.

### Minerologia.

Nie chcąc zamieszczać licznych badań nad minerałami dawniej już znanymi, które wprawdzie rzucają nowe światło na gatunki poszukiwane, i bliżej dają poznać ich naturę, lecz rozwlekłością koniecznie w tym razie potrzebną przechodziłyby zakres tego krótkiego przeglądu; poprzestaniemy na przytoczeniu tu niektórych ważniejszych minerałów nowo odkrytych, a mianowicie:

1. *Chiolit* zbliża się bardzo do kryolitu; znaleziony został w granicę koło Miasku; należy on do małej liczby minerałów fluor w sobie zawierających; podług rozbioru p. Rammelsberg dwa są jego gatunki, które następnymi formułami wyrażone być mogą:  $3\text{Na Fl} + 2\text{Al Fl}$  i  $\text{Na Fl} + \text{Al Fl}^2$ . Sąto więc podwójne fluorki sodium i aluminium, w dwóch odmiennych z sobą połączone stosunkach. (*Poggendorfs Annalen t. LXXIV, str. 314*).

2. *Vanerdan miedzi* znaleziony w Friedrichsrode (las turyngski) w glinie brunatnej, w środku żyły manganowej przerzynającej stary piaskowiec czerwony. Dwie przedstawia odmiany: jedna zielona, krystaliczna, w małych blaszkach, nieprzezroczysta, c. g. 3,495; jest składu dającego wyrażenie  $5\text{Cu} + \text{V}_a + 2\text{Ca} + \text{V}_a + 7\text{H}$ ; druga szara, zbita, drobnoziarnista, odłamu nierównego, c. g. 3,86, składa się podług formuły  $3\text{Cu} + \text{V}_a + 2\text{Ca} + \text{V}_a + 5\text{H}$ . (*Poggendorfs Annalen t. LXXIV, str. 547*).

3. *Haneryt* znajduje się w kopalni Kalenka, niedaleko Altsohl w Węgrzech; krystalizuje jednokształtnie z pirytem żelaznym, to jest podług systemu regularnego (tesseralnego); blasku jest dyamentowego, koloru czerwono-brunatnego; co do składu chemicznego jest siarczkiem manganu  $\text{Mn S}^2$ . (*Pogg. Ann. t. LXX str. 149*).

4. *Astonit ruda srebrna*, bardzo obfita w gminie Wermskog (Werm-land) w Szwecyi, podobny jest do szarokruszu srebrnoosnego; zawiera około 33% miedzi, 6 cynku i 3 srebra. Skład jego, podług pana Svanberg, odpowiada wyrażeniu  $7\text{MS} + \text{Sh}^2\text{S}^3$ , w którym M oznacza różne jednokształtne metale. (*Annales des Mines IV, S. T. XV, str. 44*).

5. *Medzyt* i *Liebigit* znalezione zostały koło Adryanopola. Pierwszy jest podwójnym siarczanem uranu i wapna ( $\text{U}^3\text{Su}^3 + \text{Ca Su}^3 + 15\text{Ag}$ ). Jest pięknego koloru zielonego, przezroczysty, odłamu szklatego; znajduje się w kształcie narostów. (*Ann. d. M. IV, S. T. XV, str. 77*).

6. W roku 1847 spadł na jeden okręt angielski wśród oceanu Atlantyckiego, *kurz meteoryczny*. Zawierał on w sobie 18,53% wody i ciał organicznych; pozostała reszta wypalona w tyglu, podług p. Gibbs składała się:

z 45,6 krzemionki
20,5 glinki
9,4 niedokwasu żelaza
4,2 — manganu
11,8 węglanu wapna
2,2 magnezyi
3,6 potażu
2,3 sody i
0,3 niedokwasu miedzi

99,9. (Poggend. *Annal.* t. LXXI, str. 559).

7. *Monazytoit* odkryty w pokładzie urano-tantalitu, na zachód jeziora Umen koło Miasku, zbliża się do towarzyszącego mu monazytu, kształtem krystalicznym; różni zaś od czarnego z ziemistym odłamem u. o. nazytu, kolorem brunatnym i odłamem żywicznym. Podług Hermanna jest fosforanem ceru i lantanu (*Ce, La*) P. (*Journal für praktische Chim.* t. XL, str. 21).

8. *Neolit* jest krzemionkanem magnezyi; tworzy się on ciągle w okolicach Arendalu w kopalni żelaznej Näskil, w skutku przesiąkania wód, które go osadzają po przejściu skał, mniej lub więcej w magnezją bogatych. Łatwo sobie można wytłumaczyć moc rozpuszczalną tych wód, gdy dodamy że działają pod ciśnieniem kolumny wody 200 metrów przechodzącej, co odpowiada więcej niż 20 atmosferom. Zdaje się że i kwas węglowy ważny wpływ w tém zjawisku wywiera. (*Pogg. Ann.* t. LXXI, str. 288).

9. *Wodnian niedokwasu niklu* został znaleziony jako powłoka, rzadziej w stalaktytach na chromku żelaza z Texas (hrabstwo Lancastre w Pensylwanii). Jest koloru szmaragdowego, przezroczysty, blasku szklistego, odłamu nierównego i łuskowatego, ciężk. gat. 3,05. Skład jego wyraża się przez Ni i H<sup>2</sup>, sztucznie zaś otrzymany jest Ni H. (*Ann. d. M.* IV S. t. XV, str. 87).

10. *Rozbiór złota z Kalifornii* przez p. Henry.

1. Małe ziarenka spłaszczone: c. g. 15,63.

2. Bryłki po 1<sup>gr</sup>,5 wazące: c. g. 15,96; składa się:

1.	2.
z 86,57	88,75 złota
12,33	8,88 szebry
0,29	0,85 miedzi
0,54	ślądu żelaza
„	1,40 krzemionki

99,73 99,88. (*Ann. d. Min.* IV S. t. XV, str. 89).

11. W okolicach Algieru w znacznej obfitości znajduje się nowa odmiana krzemionki wodnistej, w stanie bardzo lekkiego proszku. W temperaturze 100° C. traci połowę swęj wody, a po wypaleniu nawet rozpuszcza się w sodzie i potażu. Rozbiór, chemiczny dał jęj wyrażenie: 6 Si + Aq. (*An. de Phys. et de Chim.* 3 S. t. XXIV, str. 348).

W końcu wspomnieć musimy o dwóch ważnych pracach pp. Kühlmann i Ebelmen, wyjaśniających sposób tworzenia się niektórych minerałów w naturze.

P. Kühlmann (1) zwraca uwagę na działanie alkaliów przy tworzeniu się minerałów na drodze mokrej. Z doświadczeń swych wniósł, iż krzemionkany wapienne i gliniaste, powstały z rozkładu węglanów tychże ziemi przez krzemionkan potażu lub sody. Przeciwnie zaś agat miał się utworzyć przez powolne działanie kwasu węglowego w powietrzu się znajdującego, na krzemionkany alkaliczne w wodzie rozpuszczone.

Wapno gaszone w zetknięciu z roztworem wodnistym krzemionkanu lub glinikanu potażu, tworzy krzemionkan lub glinikan wapna w wodzie nierozpuszczalny. Toż samo się dzieje biorąc zamiast wapna kredę lub gips.

Oddziaływanie krzemionkanów alkalicznych na wyżej wymienione ciała, zasada się na prawie: iż, ile razy znajdzie się w zetknięciu sól nierozpuszczalna z roztworem soli, której kwas z zasadą soli nierozpuszczalnej może utworzyć jeszcze więcej nierozpuszczalną, następuje zawsze zamiana kwasów, ale najczęściej tylko cząstkowa. P. Kühlmann opierając się na tej zasadzie, zamienił na krzemionkany: węglany wapna, baryty, stronciany, magnezy i ołowiu; siarczan i fosforan wapna i chromian ołowiu.

P. Ebelmen (2) przekonał się iż kwas boryczny, boraks, kwas fosforyczny i fosforany alkaliczne, rozpuszczają niedokwasy metali w pewnej temperaturze, i te znowu w daleko wyższej opuszczają, zostawiając je często w stanie krystalicznym. Ciała te więc zachowują się względem niedokwasów w wysokiej temperaturze, podobnie jak w niższej woda względem ciał w niej rozpuszczonych.

Mieszając np. glinę i magnezyą w stosunku w jakim się znajdują w spinelu, z kwasem borycznym przetopionym, i po wystawieniu takiej mieszaniny na działanie najwyższego gorąca pieca porcelanowego, otrzymuje się ośmiościany regularne, posiadające wszelkie własności i skład spinelu.

P. Ebelmen tym sposobem otrzymał cymofan, i wiele innych glinikanów skryształizowanych, niektóre odmiany chromku żelaza w ośmiościanach, szmaragd i korund krystaliczny.

Na tem kończę ten przegląd, pomijając wszelkie drobiazgowo poszukiwania i badania natury minerałów dawniej znanych, a skutkiem których mało tylko znaczne zmiany zaszły, albo dokładniejsze tylko wyrażenia składu chemicznego dla nich osiągnięto.

J. Bocheński.

(1) Sur l'intervention della *potasse* ou de la *soude* dans la formation des chaux hydrauliques, des cimens, et en général des espèces minerales naturelles produites par voie humide: par M. Kühlmann. *Annales de Phys. et de Chim.* 3 Sér. t. XXI str. 364.

(2) Sur une méthode pour obtenir par voie sèche, des combinaisons cristallisées, et sur ses applications à la reproduction de plusieurs espèces minerales, par M. Ebelmen. *Ann. d. Phys. et de Chim.* 3 Sér. t. XXII str. 211.

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

WARSZAWA.

23. Domowy lekarz i domowa apteka. Teoryczna i praktyczna nauka jak sobie przyrządzać i używać lekarstw, zachować zdrowie lub wyleczyć się jak najprędzej i małym kosztem z większej części chorób uleczyć się dających, oraz jak przynieść sobie ulgę równą prawie zupełnemu wyzdrowieniu w chorobach nieuleczonych lub chronicznych, sposobem dla każdego przystępnym, wyłożył F. V. Raspail. Przekład według trzeciego paryżkiego w r. 1849 wydania. 12ka. Warszawa. 1850. Nakład i druk Orgelbranda. 2 tomy. Tom I str. 176. II, 349. Złp. 6 gr. 20.

24. Nauka sztuki krawiectwa damskiego czyli łatwy sposób nauczania się w krótkim czasie, bez obcej pomocy, brania miary, przykrawania, i w ogólności kompletnego i gustownego robienia wszelkiego rodzaju sukien damskich, przy względzie na zmianę mód, uzasadniony na nowo-wynalezioną i praktycznie doświadczoną metodzie, wypracowany i wydany przez Juliusza Ascher nauczyciela kunsztu krawieckiego, poparty poszytem tablic litografowanych, obejmujących 98 figur. 12ka. Warszawa. 1850. Druk A. Krethlow. Str. 89. Złp. 15.

25. Nauka życia, czyli jak i dlaczego żyć trzeba. Dzieło zawierające praktyczne uwagi o zdrowiu, dyecie i długim życiu, oraz wyjątki z teoryi popularnych Liebiga o życiu, zdrowiu i chorobach. Ozdobione figurami anatomicznymi (.) Napisane w języku angielskim przez Dra Samuela L'Amert. ... 12ka. Warszawa. 1850. Nakładem G. L. Glücksberga, drukiem Jaworskiego. Str. 267 i kart 4. Złp. 8.

26. Przewodnik leśny czyli zbiór treściwy najważniejszych działań gospodarczych z stosownym podziałem przedmiotów, oraz wskazaniem właściwego czasu, w jakim dla utrzymania w dobrym stanie lasów wykonywane być mają, przy dodaniu niektórych wiadomości łowieckich. Ułożony dla użytku rządów dóbr, nadleśnych i leśniczych (.) przez Antoniego Auleitnera b. nadleśnego lasów rządowych. 8ka. Warszawa. 1850. Drukiem J. Tomaszewskiego. Str. IV i 122. Złp. 5

27. Przewodnik rozmów potocznych w językach: francuzkim, niemieckim, polskim i rosyjskim (.) zawierający w sobie: 1<sup>o</sup> Wybór najużywanych wyrazów; 2<sup>o</sup> Wybór rozmów różnej treści; 3<sup>o</sup> Wystowienia; 4<sup>o</sup> Główniejsze przysłowia czterech języków. Przez Karola Bigot nauczyciela języka francuzkiego i literatury, autora wielu dzieł pedagogicznych. 12ka, Warszawa. 1850. Nakładem J. Bernstejna. Druk Jaworskiego. Kart. 4 str. 429 i rejestru kart 7. Złp. 5.

28. Przysmaczki polskiej kucharki (.) przez Fruzię z Kucharzewa Kucharkiewiczównę (.) dawną kuchareczkę pani Kucharowskiej. Z godłem:

Choćby też smażyć, choćby i gotować,

Byleby tylko zawsze pracować

Trala la la....

*Pieśń pocziwoych kucharek.*

12ka. Warszawa. 1850. Drukiem J. Kaczanowskiego. Str. 26. Złp. 1.

29. Rozmowy francuzkie (,) ułożone przez Eugenią de Rochetin Bocquel, przełożone na język polski przez J. K. Skibińskiego. Piąta edycja przejrzana i poprawiona. 8ka. Warszawa. 1850. Druk Banku Polskiego. Str. 465. Złp. 8.

30. Szkice Kaukazu (,) przez I. Dobrskiego. 12ka. Warszawa. 1850. Druk J. Ungra. Str. 275. Złp. 6. gr. 20.

31. Zamek Bergenheim (Gerfaut) (.) Powieść Karola Bernarda [,] przełożona z francuzkiego. 12ka. Warszawa. 1850. 3 tomy. Nakładem Merzbacha, drukarzem J. Ungra. Tom I, str. 276. II, 257. III, 198. Złp. 15.

#### KRAKÓW.

32. Justyniana Instytucje (,) z łacińskiego przełożył Alexander Cukrowicz O. P. D.,—C. K. Prokurator przy Trybunale Miasta Krakowa i jego Okręgu,—Z. Professor Prawa Rzymskiego w Uniwersytecie Krakowskim. 12ka. Kraków. 1850. Nakładem i drukiem księgarni pod Sową. Str. VIII i 356. Złp. 11.

#### WROCLAW.

33. Dzieje Starego i nowego Przymierza z Ewangeljami na niedziele i święta całego roku (:) podług przekładu Pisma Świętego ks. J. Wujka, ułożył i objaśnił ksiądz W. Lewandowski, nauczyciel religii król. katolickiego gimnazjum w Ostrowie. Z mapą Palestyny i wizerunkami Jeruzolimy i kościoła Salomowego. 12ka. Wrocław. 1850. Nakładem Zygmunta Schlettera. Kart 2 i str. 187. Złp. 2 gr. 10.



### Doniesienia literackie.

#### WARSZAWA.

Nakładem Leona Glücksberga wyszedł czwarty poszyt: *Przeglądu dwóch światów*, i obejmuje: Arystokraci i demokraci rzymscy. Listy o Indyach. Dania i związek niemiecki. Zdarzenia emigranta Francuza w Stanach Zjednoczonych.

Tenże wydał tom V. Pamiętników pogrobowych Chateaubriand'a.

Księgarz S. Orgelbrand ukończył druk dwóch dzieł: 1) Wiadomości o sztukach pięknych w Polsce, F. M. Sobieszczańskiego tom 2gi, i 2) Kronikę polską przez W. A. Maciejowskiego, które własnym nakładem wydał.

S. H. Merzbach ogłosił prospekt i prenumeratę na pismo zbiorowe pod n. „Księga Świata”, mające wyjść w XII poszytach w 4ce, z rycinami tak kolorowanymi, jak drzeworytami, i stalorytami. Dwa poszyty już wydane zostały w edycji ozdobnej.

J. I. Kraszewski pisze obecnie nową powieść, p. n.: *Komedyanci*. Powieść *Drzwadla*, wychodząca częściami w *Tygodniku Petersburskim*, ukończoną zostanie w r. b., i osobno we 2 tomach będzie do nabycia.

W księgarni Glücksberga w Wilnie i Kijowie wyjdzie w ciągu 1go półroczia z pod prasy dzieło pod tytułem: „Dzieje literatury w Polsce”, od pierwiastkowych do naszych czasów, pokrótce opowiedział Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz), 2 tomy w 8-ce.





**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

**Marzec 1850.**

Marzec 1850.

Dostrzeżenia w Obserwatoryi Astronomiczném Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>,  
czyli w łuku 18°41'25",5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				Wzrost cz. średn. dzienna	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
	6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	dé-	śnie-
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	szczy	gu
1	759.42	759.44	756.31	754.34	+ 1.2	+ 1.1	0.0	- 0.3	97	pogodny	pogodny	mgła	pochmurny	-	-	Pd.	PdZ.		
2	753.76	753.30	751.18	749.82	+ 1.6	+ 2.8	+ 4.3	+ 5.0	98	pochmurny	mglisto	dészcz b. dr.	dészcz	Z.	-	Z.	Z.	2.8	
3	750.39	751.66	751.12	750.87	+ 5.6	+ 6.2	+ 5.8	+ 2.9	96	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	-		
4	747.88	746.26	743.23	743.79	+ 2.4	+ 7.8	+ 11.9	+ 5.1	79	pogodny	smugi	napót pog.	dészcz	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PnZ.	1.0	
5	750.49	754.02	759.24	759.16	0.0	+ 0.1	- 1.3	- 1.5	10	napót pog.	pr. pogod.	napót pog.	lek. pochm.	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.		
6	753.42	753.29	751.08	748.43	+ 0.2	+ 0.7	+ 2.8	+ 4.5	99	dészcz rosi	śnieg	dészcz b. dr.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	9.2	
7	745.76	745.96	745.63	748.08	+ 8.1	+ 7.5	+ 7.1	+ 6.7	79	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
8	750.36	749.05	744.55	746.60	+ 4.7	+ 4.8	+ 7.7	+ 4.9	84	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnZ.	Z.	Z.	PnZ.		
9	752.44	754.76	751.00	758.63	+ 0.8	+ 2.8	+ 2.1	- 2.3	68	pogodny	pr. pogod.	napót pog.	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.		
10	756.69	755.00	748.26	746.02	- 4.2	- 0.7	+ 5.6	+ 4.0	83	pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Z.		
11	741.77	741.23	740.55	740.99	+ 2.0	+ 1.9	+ 1.9	+ 1.9	80	napót pog.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	PnZ.	2.4	
12	745.39	747.65	749.20	752.92	+ 0.9	+ 0.5	+ 0.6	- 1.9	88	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
13	753.63	753.05	748.02	744.57	- 2.2	- 0.5	+ 0.4	+ 1.4	10	pochmurny	pochmurny	śnieg	dészcz	PnZ.	Z.	Z.	Z.	2.8	
14	743.00	743.99	745.03	746.82	+ 1.8	+ 2.2	- 2.0	- 5.9	82	pochmurny	napót pog.	napót pog.	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	5.6	
15	747.42	746.93	747.58	748.78	- 7.0	- 6.3	- 7.2	- 9.0	91	pr. pogod.	pr. pogod.	pochmurny	napót pog.	Pn.	Pn.	Pn.	PnW.		
16	748.82	748.08	748.31	749.84	- 10.6	- 8.5	- 6.7	- 8.5	10	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	0.5	
17	749.39	750.59	751.54	752.89	- 9.2	- 9.0	- 8.2	- 8.5	98	śnieg drob.	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.	0.4	
18	752.32	751.53	749.46	745.36	- 8.9	- 5.9	- 5.9	- 6.9	93	pochmurny	pochmurny	śnieg	śnieg drob.	Z.	Z.	PnZ.	PdZ.	5.0	
19	740.54	740.01	739.59	741.48	- 6.5	- 3.1	- 0.9	- 7.0	98	śnieg	pochmurny	napót pog.	pochmurny	Pd.Z	PdZ.	PdZ.	PnW.	4.8	
20	744.92	746.15	747.27	747.70	- 7.4	- 3.9	- 3.0	- 4.5	87	napót pog.	pochmurny	napót pog.	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	Z.		
21	746.19	745.80	744.67	747.45	- 5.9	- 2.0	- 1.1	- 8.0	93	pochmurny	smugi	pochmurny	śnieg	Z.	PdZ.	PdZ.	Pn.	1.0	
22	748.90	749.21	748.05	747.65	- 14.0	- 6.4	- 4.6	- 11.4	10	pogodny	pr. pogod.	napót pog.	pr. pogod.	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.	4.1	
23	744.24	741.96	736.03	734.20	- 15.5	- 4.5	- 4.5	- 2.8	10	pogodny	pochmurny	śnieg	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.	4.8	
24	732.95	733.39	734.74	735.36	- 2.1	+ 2.1	+ 3.0	- 0.6	92	pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	PdZ.	Pd.	Z.	Pd.		
25	733.35	733.65	736.48	739.18	- 0.8	+ 3.6	+ 1.6	- 1.3	81	śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	7.6	
26	742.77	744.05	741.67	747.16	- 5.8	- 3.6	- 4.4	- 10.0	94	pogodny	napót pog.	napót pog.	pogodny	Pn.	PnZ.	Z.	Z.		
27	747.96	748.34	749.35	750.19	- 9.2	- 4.7	- 4.1	- 8.0	94	pr. pogodny	pogodny	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
28	750.18	750.82	750.20	751.31	- 10.1	- 1.7	+ 2.7	- 4.0	98	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogod.	PdZ.	Pd.	Z.	PdZ.		
29	751.83	751.71	752.88	753.77	- 4.7	+ 1.9	+ 1.0	- 4.3	86	pogodny	pogodny	pr. pogod.	pr. pogod.	PdZ.	Pd.	PnZ.	Z.		
30	754.12	754.80	754.81	755.36	- 4.0	+ 2.6	- 2.1	- 4.0	85	pr. pochm.	pochmurny	śnieg	pochmurny	Z.	PnZ.	Pn.	-	3.0	
31	756.23	756.14	755.45	755.82	- 7.1	- 2.1	- 1.9	- 4.7	91	smugi	pochmurny	napót pog.	pr. pochm.	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.	0.8	
Śre.	748.275	748.469	747.790	748.214	- 3.42	- 0.42	+ 0.03	- 2.54	91									13.0	24.8

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.186	27	7.667
Najwyżej dochodził — d. 2 o g. 10 r.	759.44	28	0.657
Najniżej — — d. 24 o g. 6 r.	732.95	27	0.914
Średnia zmiana dzienna barometru	4.96		2.20
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 4 w.	16.01		7.10
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	0.722		0.323
Średnia temperatura marca wynosi: i ta jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	— 1 <sup>o</sup> .60 C.	—	1 <sup>o</sup> .28 R.
	2.29 „		1.83 „
Największe ciepło dochodziło d. 23 o godz. 4 wiecz.	+ 0.69 „	+ 0.55 „	
Największe zimno dochodziło d. 4 o godz. 6 rano.	+ 11.9 „	+ 9.5 „	
	— 15.5 „	— 12.4 „	

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 13.<sup>o</sup> R. d. 4.

Minimum: — 12.9 „ d. 23.

Średnia zmiana dzienna temperatury 3.31 „ 2.65 „

Największa zmiana dzienna d. 23—24  
o godz. 6 rano. 13.4 „ 10.7 „

Wody z deszczu spadło wysoko na 13,0 milim., czyli 5,76 lin. par.,  
z śniegu 42,8 milim. czyli 18,96 lin. par., razem 55,8 milim.,  
czyli 24,72 lin. par.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 91,3 biorąc 100  
za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną albo 5,40 gra-  
mów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 5; napół pogodnych 9; pochmurnych 17.

— deszczu 4 (d. 2, 4, 6, 18).

— śniegu 11 (d. 6, 11, 13, 16, 18, 19, 21, 23, 25, 30, 31).

— mgły 2 (d. 1, 2).

Wichrów było 11; t. j. Pn.=5; PnW.=1; Z.=3; PnZ.=2.

Wiatry panujące: Zachodnie i Północne.

Marzec r. b. był mroźny, w śnieg obfity w pierwszej połowie  
zmienny; druga połowa miesiąca prawdziwą zimę przedstawiała.

Śniegi często i obficie padały. Średnia temperatura miesięczna  
jest blisko o 2 stopnie R. niższa od normalnej. Dni 16, 17, 18, 22,  
23, 27, 28, były bardzo mroźne. Dni 2, 3, 4, 7, 8, były ciepłe.

D. 24 i 28 koło białe otaczało księżyc.

D. 25 pięć plam znacznych widziano na słońcu.

W nocy z d. 28 lutego na 1 marca lody na Wiśle poniżej mo-  
stu, a d. 3 lody górne ruszyły i masą płynęły. Wylew Wisły  
w skutek ruszenia lodów i przez zatamowanie się tychże, wiele  
szkód poczynił w okolicach nadwiślańskich.

# PRZYWILEJ

## KAZIMIERZA WIELKIEGO Z R. 1350

SPYTKOWI KASZTELANOWI KRAKOWSKIEMU, NA KOPANIE RUD  
KRUSZCOWYCH W WŁASNYCH TEGOŻ DOBRACH.

Tłumaczony z oryginału łacińskiego, przepisany w archiwum ks. Sanguszków w Zaslawiu  
wołyńskim,

PRZEZ

*Alexandra Przedzieckiego.*

---

**W** imię Boże amen. Godzi się, aby to, co majestat królewski na pożytek królestwa swojego i jego mieszkańców uczynić postanowił, siłę wiecznej trwałości otrzymało. Przeto niech zna wiek terażniejszy i przyszły, iż My Kazimierz z Bożej łaski król polski, tudzież ziemi krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łeczyckiej, kujawskiej i pomorskiej pan i dziedzic, rozważywszy wierne i godne usługi, które nam wielmożny mąż, pan Spytek kasztelan krakowski, na pożytek całego królestwa naszego, a zwłaszcza szukaniem wszelkiego rodzaju kruszców, wielorako i stale okazywał; w nagrodę zatém tychże zasług, od dziś dnia tegoż pana Spytka kasztelana, synów jego i sukcesorów prawych, wraz z innemi górnikami głównymi i poślednimi (*montanos principales et posteros*), gdziekolwiek kruszec jakiegobądź rodzaju: złota, srebra, miedzi i ołowiu, w imionach tegoż pana Spytka znalezionym został, wedle prawa górniczego, którego inne kopalnie (*montana*) we wszystkich ziemiach używać zwykły, za rzeczywistego i prawego dziedzica z jego potomstwem ogłaszamy, i łaskawie zachowujemy;

warując sobie jednak prawa i własność (*dominium*) naszego majestatu królewskiego. Dla téjże rzeczy świadectwa i zupełniejszej jawności, rozkazaliśmy list niniejszy wydać, pieczęcią naszą obwarowany. Dan we Lwowie (*In Lamburga*) nazajutrz po św. Wawrzyńcu męczenniku, (11 sierpnia) roku pańskiego 1350, w obecności tych świadków: *Wilczka* kasztelana sandomierskiego, *Jaranda* kasztelana rospierskiego i starosty sieradzkiego, *Henryka* kasztelana wiślickiego; *Dobiesława* krakowskiego, *Klemensa* sandomierskiego, podstolich; *Staszka* krakowskiego, *Abrahama* sandomierskiego podczaszych, i innych wielu wiary godnych. Dan przez ręce *Przybysława*, dworu naszego pisarza.

Oryginał na pergaminie z oderwaną pieczęcią, znajduje się w archiwum ks. Sanguszków w Zaslaviu na Wołyniu (1).

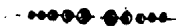
(1) Wydanie tekstu łacińskiego tego dyplomu zachowując do *Dyplomatarjusza Rzyszczewskiego i Muczkowskiego*, zakomunikowałem go tylko uczonemu autorowi *Górnictwa polskiego*, sądowi jego zostawując ocenienie ważności tego dyplomu, pod względem prawodawstwa górniczego w Polsce; o czém p. Łabęcki uprzejmie pospieszył tu załączającą się, osobną rozprawkę napisać. Ale pod względem historycznym przedstawia się także jeden szczegół do objaśnienia, a mianowicie osoba *Spytka kasztelana krakowskiego* w r. 1350.

*Niesiecki* w spisie kasztelanów krakowskich umieszcza *Spicimira* h. Leliwa do r. 1336 tylko, a po nim *Jana z Melsztyna* do r. 1352; *Długosz* już pod r. 1333 nazywa *Jaśka z Melsztyna* kasztelanem krakowskim (Ed. Lips. L. IX p. 1030).

Jednakże:

- R. 1335 Kazimierz W. wysłał w liczbie posłów swoich do Jana króla czeskiego, *Spitkonem* Castellanum nostrum Cracoviensem (*Ludewig Reliquiae Manuscript* I. p. 585.)
- R. 1337 W przywileju Kazimierza W. w liczbie świadków wymienia się, *Spicimiro* Castellano... Cracoviens. (Cod. Dipl. Polon. I p. 190.)
- R. 1342 *Spithimirus* Castellanus Cracoviensis wydaje przywilej, zachowany w oryginale w archiwum dubieńskim (niegdyś ordynacyi Ostrogskiej).
- R. 1346 *Spicimirus Castellanus Cracoviensis*, wymieniony jako świadek w przywileju na miasto *Nowytarg*. (Metryk. 23. f. 625).
- R. 1350 Tenże sam *Spytko* jeszcze jest kasztelanem krakowskim. Nowy dowód, jak błędne i niedostateczne są dotychczasowe spisy dawnych urzędników polskich.

Osoby wymienione jako świadkowie w niniejszym dyplomie, znajdują się także w dyplomatach od 1346 do 1354 r. w *Cod. Dipl. Polon.* T. I p. 196, 204, 206; i w dyplomatach z 1352, 1356 i 1359 r. w *Bandtkiego: Jus Polonicum*.



## SŁÓW KILKA Z POWODU PRZYWILEJU

### KAZIMIÉRZA WIELKIEGO Z R. 1350

DLA SPYTKA Z MELSZTYNA, NA KOPANIE RUD KRUSZCOWYCH W WŁASNYCH TEGOŻ DOBRACH.

PRZEZ

*Hieronima Labęckiego.*

---

Panujący Piastowie dopuszczali wyjątkowo, a sprzecznie zasadom ciągle rozwijającego się prawa polskiego ziemskiego (*jus polonicum, terrestre vel militare*), wciskania się do kraju użycia praw obcych z Zachodu, zwłaszcza w nowo powstających osadach czyto z krajowców, czy przybyszów. Nadawanie praw tych obcych, jakoto: miejskich magdeburskich, szredzkich, chełmińskich, lub pod ogólnem nazwaniem praw niemieckich (*jus theutonicum*) znanych, tudzież górniczych węgierskich, czeskich i innych regaliałnych, pochlebiało władzy monarchy; w udzielanych bowiem nowym osadnikom, duchowieństwu i szlachcie przywilejach, zachowywać sobie mogli zwierzchni wpływ do własności, czego dowodzą w dawnych dyplomatach wyrazy: *salvo jure et dominio nostrae regiae majestatis*. Zastrzegali tym sposobem również pewne korzyści wynikające z własności gruntu, jakoto: powinności i posługi, czynsze z zasadzonych na obcém prawie miast i wsi, dziesięciny z otwieranych kopalń, rybołówstwo, polowanie, chowanie dla monarchy psów, bobrów i t. p. lub niemi na korzyść obdarowanych przywilejem, szafowali (1).

(1) Więcej o tém w rozprawie mojej: O prawie własności wnętrza ziemi, w Bibliotece Warszawskiej z r. 1845, tom II od str. 485.

Pomijając inne względy, rzucimy okiem na same przywileje górnicze, to jest kopania dotyczące. Tego rodzaju są nadania Leszka Białego dla kościoła krakowskiego (1), a Bolesława Wstydliwego dla klasztoru wąchockiego na sól i szukanie rud kruszcowych z r. 1249 (2), wymieniające między innymi dozwoleń kopania różnych rud bez obowiązku oddawania monarsze dziesięciny górniczej; słowem, odstępujące tymże w ich dobrach *jus ducale*, czyli prawa panującym wyłącznie służącego (3). Podobne są nadania Bolesława Wstydliwego dla klasztoru w Mogile z r. 1244 na źródło solne pod Wieliczką, i Kazimierza Wielkiego na źródło solne w Uteropie z r. 1367 (4).

Z czasem szlachta dorastająca w swych prawach przywilejów panującemu służących, a skrzętna o ustalenie się w niezawisłej własności gruntu (*in jure terrestri*), przestała się dopraszać o to, bez czego obejść się już poczuwała. Za Piastów dostrzegamy, iż brała jeszcze szlachta pozwolenia na kopanie w własnych dobrach, za Jagiellonów otrzymywały je różne osoby już tylko na poszukiwanie lub kopanie w dobrach królewskich; a jakkolwiek czasem napotyka się wyrażenia ogólne dozwoleń szukania minerałów w dobrach czyichbądź (*cujusvis*), albo w całym kraju (*in toto regno*), wątpić jednak należy, aby upoważnienia te w takiej rozciągłości były cierpliwie przez właścicieli gruntu dopuszczane, i zapewne pozostawały czczym, niewykonywanym zastrzeżeniem. Mieszczanie jednak krakowscy, posiadając ziemskie własności, brali od króla pozwolenia na używanie praw niemieckich, zarówno jak i na kopanie u siebie rud kruszcowych, np. Mikołaj Kisinger w roku 1415. (5).

Właściwie za czasów Jagiellońskich wydawane bywały pozwolenia na poszukiwanie rud kruszcowych w dobrach mianowicie królewskich (*litterae inquisitoriae minerarum*), a to na wzór podobnych pozwoleń w sąsiednich krajach, według tamecznych praw górniczych, z wolnością przybierania spółników, jeżeli tych imiennie przywilój nie wymieniał, sprowadzania górników i robotników, i pod obowiązkiem oddawania królowi dziesięciny z rudy kruszcowej ukopanej, olborą zwaną. W pozwoleniach tych, wymieniane są tylko rudy kruszców droższych.

(1) Życie Prandoty, ks. Gładysiewicza, 201 i 202.

(2) Dyplomatarjusz Rzyszczewskiego, Muczkowskiego i Helcia, tom I, str. 54.

(3) Kromer, Chron. libr. IX str. 563, libr. X str. 571 editio Pistorii.

(4) Górnictwo w Polsce, tom II str. 100.

(5) Górnictwo w Polsce, tom II str. 133.

Kopalnie kruszcowe np. pod Olkuszem, Chęcunami, Nowym-targiem w Karpatach, jako pod miastami zasadzonymi na prawie niemieckim, podobnie urządzone były na zasadzie praw górniczych niemieckich albo raczej węgierskich i czeskich zwyczajowo, dopóki pierwszy statut górniczy Jana Alberta i Alexandra z roku 1505 (1), stosunków tych bliżej nie oznaczył. Służył on odtąd za zasadę rozwijaniu się praw górniczych krajowych, które jednak ducha praw obcych zatrzymały, dotycząc głównie gwarków (właścicieli kopalń), prowadzących kopalnie przy miastach, na prawie niemieckim osiedlonych i rządzonych.

Są na to dowody w wyrokach sądowych, że szlachta w posiadłościach swych ziemskich kopiąc, od dziesięciny górniczej, czyli olbory, za Jagiellonów zupełnie się wylamała; zachowało się jednak w całej rozciągłości stosowanie ustaw regaliałnych górniczych, co do własności ziemi w kopalniach w gruncie królewskim lub pod miastami rządzonymi prawem niemieckim, gdzie istniały gwarcetwa czyli towarzystwa do prowadzenia kopalń, wspólnym nakładem i na wspólną korzyść zawiązane.

Co do soli oddzielne zachodziły stosunki; a jakkolwiek i tu przepisy praw obcych górniczych wpływały, gdyż panujący wydawali prywatnym pozwolenia na poszukiwanie, kopanie i warzenie soli i w wiekach późniejszych, lecz już za Kazimierza Wielkiego, spisane zostało oddzielne urządzenie (*ordinatio salinarum*) w roku 1368 (2), będące zbiorem praw zwyczajowych w salinach królewskich Wieliczki i Bochni, w którym po większej części zasady prawa polskiego przeważają.

Najdawniejszy znany dotychczas przywilej na osiedlenie górników i roboty gwareckie, jest olkuski z r. 1374 (3), Elżbiety Łokietkownej matki Ludwika króla.

Co do pozwoleń na poszukiwania górnicze, w księgach metryk koronnych, sięgających w archiwum warszawskim tylko roku bitwy warneńskiej 1444, znalazłem najdawniejszy przywilej na poszukiwania w całym kraju z roku 1448 (4) dla Sobowskiego mieszczanina z Kleparza, przedmieścia Krakowa. Jako najdawniejszy znany podobny przywilej przytacza Czacki (5), dany w roku 1504 niejakiemu Tarnowskiemu z Poznania; w wydaniu jednak

(1) *Górnictwo w Polsce*, tom II, str. 196.

(2) *Górnictwo w Polsce*, tom II str. 105. Vol. Leg. I, fol. 159.

(3) *Górnictwo w Polsce*, tom II str. 124.

(4) Tamże str. 144. W archiwum głównym, księga G. str. 9.

(5) *O litewskich i polskich prawach*, wydanie I. tom II str. 198.



dziel Czackiego przez Edw. Raczyńskiego (1) jest wzmianka, iż w królewieckiej zamkowej bibliotece, ma się znajdować księga metryczna z r. 1441, a w niej przywilój dla Przecysława z Kobylina, na poszukiwania *in quibusvis locis*; zatém o kilka lat wcześniejszy od przytoczonego powyżej z r. 1448.

Udzielony mi przez hr. Przeddzieckiego, w odpisie z oryginału w Zaslaviu znajdującego się, przywilój Kazimierza Wielkiego pod rokiem 1350 dla Spytka z Melsztyna kasztelana, na szukanie rud w jego dobrach, jest nadzwyczajnie ważnym i ciekawym, a to z następujących względów:

1. Jest najdawniejszym tego rodzaju zabytkiem znanym, a o sto lat blisko od dotychczas wiadomych pozwoleń wcześniejszym; nadto jest on o 24 lat starszym od przywileju Elżbiety dla kopaczy olkuskich.

2. Dowodzi, iż monarchowie Piastowie rozciągali swe prawa królewskie i do dóbr ziemskich czyli prywatnych, czego już za Jagiellów, tak wręcz wyrażonego nie dostrzegamy: bo napotykanie wystowienie pozwalające poszukiwać w jakichbądź miejscach (*in quibusvis locis*), jest dwuznaczném i niepewném, skoro nie ma śladu, aby je na mocy podobnych pozwoleń gdzieindziej jak w dobrach królewskich w wykonanie wprowadzić poważono się, gdyż nienaruszanie prywatnej własności było wyptywem rozwijania się i podniesionego znaczenia zasad prawa ziemskiego krajowego.

3. Powołuje się na prawo górnicze używane, zatém bez wątpienia obce; albowiem rok 1350 poprzedza daty najdawniejszych statutów górniczych polskich.

4. Wskazuje, iż do regaliów liczone u nas wtedy tylko rudy droższych kruszców: złota, srebra, miedzi, ołowiu, lecz że nie podciągano rudy żelaznej, której i następne *litterae inquisitoriae minerarum* nie wymieniają, a to zwyczajem obcych krajów, gdzie pod regale liczoną ona nie była.

Tak więc przywilój ten dla Spytka, dotychczas przez nikogo nieprzywiedziony ani rozbiérany, z ukrycia wydobyty, wyraźniej objaśnia stosunki, które do téj pory domyślnie tylko tłumaczyć musiano, i stanowi dowód historyczny względem rozciągłości *juris regalis* w gruntach szlacheckich aż do czasów Kazimierza Wielkiego.

(1) O Litewskich i Polskich prawach, w wydaniu 2giém, tom II str. 193.



# PIENIĄDZE I KLEJNOT SZLACHECKI.

P O W I E Ś Ć.

---

Część czwarta i ostatnia.

## XIV.

**W** ośm dni po téj scenie, którąśmy właśnie opowiedzieli, Laura przygotowywała swój dworski ubiór. Pan Levrault nie wątpiąc, że po przedstawieniu zięcia nastąpi jego prezentacya na dworze, kazał sobie zrobić wspaniały ubiór narodowy. Zupełnie był przekonany, że nie może się inaczej pokazać przed królem, jak tylko w krótkich spodniach, przy szpadzie ze stalową rękojeścią. Królewska rodzina była wystawioną na okrutną próbę, a Gaston dla przedstawienia się w Tuilleries, oczekiwał tylko na ukończenie wielkiej żałoby. Nadaremnie margrabina groziła mu przekleństwem; pozostał głuchym na wszelkie uwagi i niewzruszonym w swoim postanowieniu. Wściekła, upokorzona, w własne siła schwyтана pani La Rochelandier usunęła się do swoich pokojów, i nie pokazywała się nawet u stołu. Pałac Levraultów, niegdyś tak ożywiony, gdzie taki ruch panował, stał się milczącym, prawie opustoszałym. Przepadły bale, zniknęli goście.

Jednakże wielki przemysłowiec kąpał się w radości, wyciągnął już rękę dla pochwylenia parostwa i patentu hrabiowskiego. Codziennie z rozkoszą pracował nad ułożeniem swojego herbu. Gorliwie przesiadywał na posiedzeniach izby wyższej, nie jako widz pospolity, ale jako aktor, który przed swoim pierwszym wystąpieniem, idzie posłuchać swoich towarzyszków, aby się przyzwyczaił do desek teatralnych. Wybrał on już dla siebie miejsce.

Stawiał się w położeniu mówcy którego słuchał, ostro sądził jego wywody, jego akcją, a kiedy zabrzmiały oklaski, mieszał się, i niekiedy nawet kłaniał się, jakby dla podziękowania.

Szcześliwszy jeszcze we śnie, wstępował na mównicę, i głosem donośnym czytał rozprawę z religijném (milczeniem słuchaną. Uśmiechano się doń na ministeryalnych ławkach. Powracał na miejsce podając na prawo i na lewo swą prawicę, dla przyjęcia lub oddania uścisków. Pewnej nocy, lokaj nagle przebudzony, wbiegł z przerażeniem do pokoju pana Levrault, i ujrzał go na łóżku, jak machał rękoma, a razem wołał piskliwym głosem: żądam głosu w przedmiocie obrazy osobistój! Człowiek godny zazdrości, doświadczał wszystkich rozkoszy ambicyi, bez żadnej goryczy.

Bezczynność jego nie znała unudzenia; przez cały dzień nie miał ani jednej chwili wolnej. Każdego poranku dla wprawy swego języka, deklamował w ogrodzie kilka sporych ustępów z Mirabeau; potem nim poszedł do pałacu Luxembourg, przechadzał się przed Tuilleries, i badał ten gmach z każdój strony, jak chciwy spadkobierca krąży około majątku, który się mu może wysliznąć. Powóz w którym przybywał przed kraty ogrodowe, odwoził go przed kraty karuzelu, gdyż lubił przechodzić przez przedsionek, i przypatrywać się wspaniałym schodom prowadzącym do sali marszałków.

Kilka dni jeszcze, mówił sobie, a i ja z kolei będę przebiegał te schody, które tylu znakomitych ludzi widziały. Godzina sprawiedliwości długo się przeciągała. Jakiżto niepokój! jakie oczekiwanie, ile przeciwności! ale mój gieniusz umiał zniweczyć wszelkie przeszkody. Zajmę nareszcie stopień, jaki się mi przynależy. Potem wyobrażał sobie wściekłość margrabiny; byłato niemała radość dla niego. Jednakże jego szczęście nie było zupełne. Myślał o Tymoleonie, o swoim synu zatraconym od lat tylu, i częstokroć mówił sobie z goryczą, że imię Levraultów wraz z tytułem hrabiowskim razem z nim zaginie; ale te żale zaledwie zasępiły czysty błękit jego duszy, i wkrótce jak chmury przed wiosenném słońcem znikaly.

I Laura nie mniej od ojca była wesołą. Dwór dla niej był jedyném marzeniem w czasie najpiękniejszych dni młodości. U dworu to chciała spotkać swoje dawne towarzyski z pensyi, które starały się ją upokorzyć przez szykanę i ponizanie; w salonach Tuilleries powinna wszystko odwetować. Upojoną swém szczę-

ściem, za ledwie zważała na ponure oblicze Gastona, a jeżeli to dostrzegła, to bynajmniej nie trudziła się odgadnieniem przyczyny. W sferze w której się urodziła i wychowała, któż jej mógł wyłożyć obowiązki, jakie wkłada znakomitość rodziny, i stare podania o wierności. W dniu, kiedy Gaston oznajmił jej swe postanowienie, poklasnęła w dłonie i podskoczyła z radości jak dziecko; a tymczasem jej mąż patrząc z utajonym gniewem na ten wybuch zadowolenia, potępiał ją w duszy, że nie pojmuje wielkości jego poświęcenia, na jakie się odważa, a zarazem oskarżał, że podobnie jak ojciec, spekulowała na nazwisko La Rochelandierów.

Tym sposobem, zostały role zamienione. Uczucia, jakich w sercu doznawała Laura, przeniosły się do duszy Gastona. Im bliższy był dzień przedstawienia, tém więcej humor młodego margrabiego był drażliwszym. Widoku teścia zniesć nie mógł; nawet obecność żony stała się dlań nieznośną; jej szczęście do rozpacz go przywodziło. Przeklinał głupotę pana Levrault, próżność jego córki, a nawet złorzeczył swęj własnej słabości, która skrepowanego porzuciła na pastwę przewrotnemu charakterowi i chciwości jego matki.

Haftarze skończyli dworski strój pana Levrault. Pewnego poranku obudziwszy się pan Levrault, ujrzał frak rozłożony na krześle, krótkie spodnie z kazimiérku białego, nad którymi unosiła się szpada z stalową rękojeścią w skórzanęj pochwie, i trójgraniasty kapelusz z plumażem. Nie mógł się oprzeć chęci powtórzenia swęj roli w kostiumie, zeskoczył więc z łózka. Przyszły prawodawca, stojąc przed zwierciadłem, od godziny się w niém przeglądał, i nie mógł się nacieszyć tym przyjemnym widokiem.

W téjże chwili wszedł lokaj, i na srebrnej tacy podał mu jego dziennik, z którego wielki przemysłowiec od lat kilkunastu, czerpał swoje wiadomości i przekonanie. Pan Levrault usiadł naprzeciw wielkiego lustra, i niedbale przebiegał nowinyienne. Słyszał on wczoraj o jakimś poruszeniu w Paryżu, ale żadnej wagi do niego nie przywiązywał. Zrozumiał, że zamieszki rozszerzają się; lecz pełen ufności, ruszył ramionami, i nawet nie skończył swojej gazety. Tak był uradowany ze swego ubioru, że go z siebie wcale nie zdejmował i pozostał cały dzień w domu. Przecho-  
dząc miarowym krokiem wszystkie pokoje pałacu, głaskał sobie podbródek z nadzwyczajną pociechą, i to za każdym razem, kiedy

przeglądał swą postać, kilkakrotnie odbijającą się w licznych zwierciadłach.

Za nadejściem wieczoru, ubrał się skromniej i wyszedł piechotą, dla przekonania się na własne oczy o postawie Paryża. Przyszedszy na bulwary, widział defilujące wojsko, które zmierzano do koszar, domy oświetlone jakby w dniu uroczystym, tłumy cisnące się przez aleje i sąsiednie ulice. Porównywając ów widok, jaki się jego oczom przedstawiał, z wiadomościami tego poranku w gazecie zamieszczonemi, pierwszy raz w życiu zaczął powątpiewać, o przenikliwości swego dziennikarza. A więc owo poruszenie które miało być tak niebezpieczne, rzeczywiście było czczym dymem!... Pan Levrault wrócił do domu wesóły i tryumfujący, położył się w łóżko i zasnął kołysany najrozkoszniejszymi marzeniami. Widok haftowanej sukni, bieg jego myśli nagle skierował w inną stronę. W swój żywej wyobraźni, wystawiał sobie pan Levrault, iż po tryumfie zyskanym na mównicy, nastąpią tryumfy w sali balowej. Widział się już ze szpadą przy boku, figurującym w kadrylu naprzeciw młodych księżniczek. Kobiety poglądając na niego szeptały między sobą, i dopytywały się o jego nazwisko. Adjutant królewski odpowiadał po cichu: to jest hrabia Levrault.

Nazajutrz obudził się zdrów i rzeźki, z wesolą twarzą. Ujrzawszy swą gazetę, odepchnął ją z pogardą, jakby za karę, iż go kłamliwemi doniesieniami uwiodła. Lokaj ośmielił się napomknąć, iż tej nocy słyszał wieści niepokojące. Pan Levrault zmył mu głowę uczciwie, opowiedziawszy, co wczoraj własnymi oczyma widział na mieście, mówiąc z przyciskiem każdy wyraz, i ze znaczącym spojrzeniem, jakby ów bohater, którego sama obecność jest dostateczna do powstrzymania rozruchu, i jak Neptun nowoczesny, który swym trójzębem usmierza rozhukane bałwany.

Zjadłszy śniadanie, zwolna jak prawdziwy smakosz, wolen od trosków, poszedł do ogrodu, gdzie zajął się ułożeniem mowy, którą w dzień swego przedstawienia miał wypalić do króla. Jak pan Jourdain zwracając komplement do pięknej margrabiny, tak on potrzebował profesora filozofii, któryby kierował jego mozolną nauką. Jednakże po dwugodzinną ciężką pracę, udało się mu ułożyć i utrwalić jeden okres; tak, jeden, ale ten jeden wart był dziesięciu: „Najjasniejszy Panie, to zięć mój przedstawił mnie Waszej Królewskiej Mości, ale Wasza Królewska Mość mnie wilen mojego zięcia”! Szczęśliwy i dumny z wydania na świat tak

wymownego okresu, pobiegł do biurka, spiesznie napisał ten frazes, aby nie być niezależnym od dziwactwa swojej pamięci, i złożywszy starannie jak drogocenną perłę schował go do pugilaresu!

Po południu chciał ujrzyć swoje drogie Tuileries—teatr przeznaczony dla jego blizkich tryumfów. Szedł zamysłony przez ulicę Bac, powtarzając półgłosem ranną improwizacją, radząc się co chwila pugilaresu, kiedy go pamięć zawiodła. W chwili, kiedy już po trzydziesty raz powtarzał z coraz większym zadowoleniem: „Najjaśniejszy Panie, to zięć przedstawił mnie Waszej Królewskiej Mości, ale Wasza Królewska Mość mnie winien mojego zięcia”, kiedy właśnie wychodził na pobraże, ujrzał niezwykle ruch na ulicach i placach panujący.

\* \* \*

W czasie, kiedy zaszły wiadome wypadki w ostatnich dniach lutego 1848 r. pan Levrault stanął oniemiały, patrzył i słuchał wszystkiego, jakby nagłym ciosem odurzony. Wtém zdawało mu się, że jakaś obca ręka wsparła się na jego ramieniu; pogląda więc za siebie, i kogóż ujrzał—zgadnijcie—kmoitra Jolibois.

— A co?—.. zawołał ostatni, — nie mówiłem ci, nie przepowiedziałem tego, co teraz się stało? Wówczas nie chciałeś mi wierzyć. Mam dobry nos, oddawna zwietryłem co miało nastąpić.

Pan Levrault wydał tylko jęk przytłumiony.

— Nie chciałeś za zięcia ubogiego notaryusza—mówił dalej Jolibois—chciało ci się margrabięgo; cóż z nim teraz poczniesz? Uprzedzam cię, że mi wiadomo, iż twój pałac jest gniazdem szuanów; strzeż się, i wykręć się z biedy jak możesz!

Powiedziawszy to Jolibois, wyrwał się z rąk pana Levrault, który się doń przyczepił, jak do ostatniej gałązki ocalenia i pospieszył gdzie wielu spieszyło.

Zostawszy znowu sam z sobą, pan Levrault mniemał, że każdy z tłumu słyszał jego rozmowę z Jolibois, zna jego stan, nazwisko i mieszkanie. Zdawało się nieszczęśliwemu, że cyfra jego majątku i tytuł margrabiowski zięcia, wypisane były na jego kapeluszu. Błady, drżący, z osłupiałym spojrzeniem, jeszcze jakiś czas błąkał się tu i owdzie, nie śmiejąc wrócić do domu, kiedy ujrzał robotnika niesionego na tragach. Myśl jak błyskawica przebiegła mu po głowie. Na jego przyjacielskie skinienie zatrzymano tragi, poczem pan Levrault donośnym głosem zawołał:

— Gdzieżto niesiecie tego zucha?

— Do szpitala.

— Do szpitala?... nie, nie, wy go zaniesiecie do mnie, do mojego ubogiego domu, do Wilhelma Levrault. Pójdźcie za mną towarzysze, uspokójcie się, na niczém nie będzie mu zbywać.

Tymczasem Laura i margrabina z niespokojnością wyglądały powrotu Gastona i pana Levrault. Margrabina nie wiedząc rzeczywistego stanu rzeczy, brała je stosownie do swoich widoków, do swych nadziei. W jej oczach wypadki te nie mogły sprowadzić innego skutku jak tylko powrót hrabiego Chambord na tron swoich przodków; uważała je nawet za cud oczywisty, gdyż samo przeznaczenie nie chciało, aby jeden z rodziny La Rochelandierów stał się krzywoprzysięcą. W swém uniesieniu, margrabina przebaczyła Laurze, panu Levrault, swe urazy puściła w niepamięć, myśląc o przyszłości, bo przecież odzyska w Tuileries swój taboret, który za czasów restauracyi zajmowała.

— Uspokój się moja córko—mówiła margrabina głosem pełnym uczucia.—Czegóż się lękasz? cóż utracisz? chciałaś bywać w Tuileries, pojedziemy tam razem; teraz sama cię tam przedstawię. Wkrótce Henryk V urządzi swój dwór i wybierze swoich gości. Pociesz się przeto, moje lube dziecko, młody monarcha nie odmówi dla La Rochelandierów.

Gaston w tej chwili wszedł do salonu.

— A cóż mój synu?—zawołała margrabina z ciekawością.

— Czegóż spodziewasz się moja matko?—zapytał z powagą Gaston.

— Ujrzymy nareszcie naszego drogiego Henryka, naszego prawego monarchę—mówiła margrabina coraz z większym zapalem. Idź, pospiesz mój synu naprzeciw niego! Ach! czemuż nie mogę przyprawić ci skrzydeł.

— Ale moja matko jesteś w błędzie—odparł Gaston potrząsając głową—nie jesteśmy uczestnikami zmartwychwstania monarchii św. Ludwika.

— Co mówisz? to niepodobna!—zawołała margrabina.

— A więc wszystko przepadło!—zawołała Laura z najżywszym uniesieniem.

— To niepodobna!—powtórzyła margrabina—Uspokój się moja córko—on nie wie co mówi—on nie zna, co zaszło w Paryżu.

Zaledwie wymówiła to margrabina, kiedy w téjże chwili otwarły się drzwi do salonu, i wszedł pan Levrault, podtrzymując własnymi rękami chwiejącego się robotnika, który razem z nim

wszedł do salonu. Gaston, Laura i margrabina poglądali z zadziwieniem na te szczególne odwiedziny.

Pan Levrault obróciwszy się do swego zasmolonego gościa, rzekł:

— Mój przyjacielu, jesteś tu jak we własnym domu; uważaj, że co tu widzisz, co się tu znajduje, zarobiłem w pocie czoła: szczęśliwy, że się mogę podzielić z wami owocem mojej ubogiej pracy. Oto moja rodzina, uważaj ją za swoją.

Na takie zapowiedzenie, obrażona margrabina z dumą opuściła salon, a za nią wyniósł się i Gaston. Laura podobnie chciała postąpić, ale błagające spojrzenie ojca, zatrzymało ją mimo nie przyjemnego wrażenia, jakie sprawiał na niej przybyły nieznajomy.

— Mój przyjacielu—odezwał się znowu p. Levrault—jesteś tu u Wilhelma Levrault, byłego tkacza w Elbeuf.

Potém p. Levrault zadzwoniwszy kazał przynieść wina, a skoro jego rozkaz spełniono, nalał pełny kielich i ofiarował go swemu gościowi, oraz tym, którzy go przynieśli. Stuknięto kieliszkami przy okrzyku: niech żyje Wilhelm Levrault!

— Moi przyjaciele—rzekł raniony ponurym głosem, powąchawszy swoich sumiastych wąsów—mieście się na bacności, bo to jest arystokratyczne wino.

Mimo tego ostrzeżenia, towarzysze rzemieślnika napełnili znowu kielichy i duszkiem je wychyliwszy, poglądali na siebie z głupowatą i niedowierzającą miną.

Raniony robotnik mimo wysilenia zemdłał. Pan Levrault kazał go przenieść do ciepłego pokoju, położyć w wygrzaném łóżku, posłał po lekarza dla opatrzenia jego rany, a towarzyszów robotnika zaprosił na dobrą wieczerzę, którzy téż nie dali się dwa razy o to prosić.

## XV.

Spełniły się więc przepowiednie pana Jolibois; rzeczpolita została ogłoszona. Postanowienia rządu tymczasowego jak rześisty grad spadały: dwa uderzenia z tego gradobicia dotknęły pałac pana Levrault, to jest: zniesienie wszelkich tytułów i parostwa.

Byłyto dwa bardzo ciężkie ciosy dla Gastona. Młody margrabia sądził, iż się skwitował ze swoją żoną, nadawszy jej tytuł margrabiny; obecnie znajdował się względem niej w położeniu dłu-



znika niewypłacalnego, którego wierzyciel ani na chwilę nie opuszcza i wiecznie nad nim czuwa. Bez wątpienia, w oczach Gastona zniesienie tytułów, nie miało żadnego znaczenia; wiedział on dobrze, że jedno posunięcie piórem nie mogło zatrzyć przeszłości; w swoim przekonaniu uważał się dzisiaj być tém samém, czém był i wczoraj; ale znał dziecinną próżność Laury, i żałował tego cacka danego w zamian za bogactwa, które tak prędko zostało zniszczone. I w samej rzeczy, Laura nie przyjęła tego obojętnie. Nie zaślubiła ona Gastona jak tylko dla jego tytułu; zamieniła swe talary na margrabiowską mitrę; kiedy więc jego mitra została skruszona, jego tytuł podarty, to targ nierozsądnie był dokonany. Wstydby ją było uzalać się; bo jakież mu wyrzuty czynić miała? Mogłaż mu sprawiać kłopot z powodu wypadków spełnionych? Jednakże Gaston odgadł, co się w jęj duszy działo.

Czytając postanowienie znoszące parostwa, zdawało się panu Levrault, że jest zrabowany. Pewnego razu zamknął się na cały dzień, aby mógł dowoli zgłębić przepaść, w której pograżono jego nadzieje. Poglądał on ze smutkiem na owe herby, na ten owoc swych trudów i rozmyślań, na unoszącą się nad niemi mitrę hrabiowską, na tego Mirabeau, który mu miał udzielać wymowy. Zginęły tytuły, zniknął dwór, nie ma izby wyższej!... Jego zięć przywiódł go do bankructwa.

Margrabina budziła się co dzień bardziej zdesperowana, niż dnia poprzedniego; zlorzeczyła całemu światu i mówiła o wyjeździe do Frohsdorf, albo o powrocie do swego zamku, dla podburzenia całej Wandei. Byłyto chwilowe zamiary, układane w zapędzie uniesienia; ale Gaston zawsze je umiał zniweczyć. Nie dzielając panicznego przestachu swęj matki, sądził, że jego miejsce jako człowieka honoru i z odwagą, było na wyłomie, w Paryżu, i wpośród niebezpieczeństw.

Łatwo sobie można wyobrazić w jakiej nieprzyjaźni żyły te cztery osoby, pod jednym dachem zgromadzone. Każdego dnia następowały nowe rozprawy, to jest nowe sprzeczki. Pan Levrault kazał zamknąć u siebie drzwi przed wszystkiemi osobami, któreby go mogły skompromitować. Przeniósłszy się do swego pałacu, objął go sam na siebie, aby się tym sposobem zemścić, za doznany zawód na margrabinie i Gastonie. Ten sam Levrault w którego ustach dawniej było pełno książęcych i margrabiowskich imion, teraz nie uznawał innego tytułu, tylko obywatela.

Każdego wieczoru, rozłączano się z goryczą w ustach i sercu, a jednakże nazajutrz wspólny niepokój łączył ich na nowo.

Ranny przyjęty w domu przez pana Levrault, zamiast swą obecnością uspokoić go, przeciwnie stał się dlań nowym powodem przestachu, zachowując nieprzyjacielską postawę, i oczekując tylko chwili swego wyzdrowienia, aby pałac opuścić. Nadaremnie pan Levrault, który chciał z niego zrobić swojego zbawcę, starał się ugłaskać i przywabić do siebie; Solon *Marsz zawsze* (byłoto imię i przydomek bohatera) odpychał wszelkie przysługi. Margrabina i jej syn nigdy nie chcieli go odwiedzić, pani La Rochelandier, mimo swego przestachu, nie mogła się odważyć na to poświęcenie, a Gaston, który w każdym innym razie nie byłby się wahał uścisnąć mu ręki, obecnie rumieniłby się zjednoczyć przez taki krok z gburowactwem swojego teścia.

Przyjaciele ranionego, których pan Levrault przyjął u siebie jako nadmiar bezpieczeństwa, byli tylko nowym powodem zgiełku i nieporządku. Jedli dobrze, pili jeszcze lepiej, wchodzili i wychodzili każdej godziny, napelniając cały dom krzykami. Rozjątrzony Gaston mówił, że ich wypędzi; ale pan Levrault stanowczo oświadczył, że się na to nigdy nie zgodzi. Pewnego dnia ze wschodem słońca, w całym pałacu nagle wszyscy zostali przebudzeni wystrzałami z karabinów: przyjaciele Solona przybyli na dziedziniec zasadzić drzewo wolności, zdobne wstęgami i sztandarem trójkolorowym, na którego grocie osadzona była czerwona frygijska czapka. Pan Levrault drżący zeszedł na podwórze, aby spełnić z nimi toast braterski.

Przestach jego z każdą chwilą wzrastając, skłonił go do tego, że po całych dniach błąkał się po publicznych placach, po ulicach i rynkach, mieszał się między stojące tłumy, i słuchał z ciekawością ulicznych mowców. — Zapomniał o Tuileries dla ratusza; niewyciężony pociąg wiódł go najczęściej do dzielnic najbardziej rewolucyjnych. — Każdą razą, kiedy który z członków nowego rządu pokazał się na balkonie dla przemówienia do ludu, pierwszym był pan Levrault w rozpoczęciu oklasków.

Po upływie kilku dni, jego niezmordowany szalony entuzjazm, jego powitania braterskie, których nie szczędził dla rzemieślników, pozyskały dlań pewny rodzaj popularności. Skoro się pokazał, słyszał między tłumem, jak z ust do ust przebiegało jego nazwisko, jak szeptano: patrzcie, oto Wilhelm Levrault. Jego grube i podkute trzewiki, chińskie pończochy, jedwabne krótkie spodnie, kamizelka z czerwonego sukna, i jego

surdut niebieski z dużemi metalowemi guzikami, nadawały mu pozór majstra w świąteczny ubiór wystrojonego, i zwracały nań uwagę. Nigdy nie przeszedł koło skarbonki przeznaczonej dla ranionych, aby nie wsunął tam garści srebrnej monety.

Jego gwałtowna mowa, obudzając sympatyą w otaczających słuchaczach, tajemnym strachem go przejmowała. Wyrazy przezeń wymówione, które jakby usłużne echo powtarzało, zdawały się być samemi pogrozkami. — Deklamując przeciwko szlachcie, przeciw złym bogaczom, przeciw samolubstwu możnych i ciągnięciu korzyści z człowieka przez człowieka, za powrotem do domu czuł przestach w swój duszy. A jednakże wracał nazajutrz, aby się mieszać do podobnych scen, do rozpraw ulicznych. Powoli jego ambicya, która zdawała się być zagrzebaną pod zwaliskami monarchii, podniosła głowę, cel swój zmieniwszy. Nie ma króla, nie ma parostwa: nieszczęście zwyciężonym! Dlaczegożby Wilhelm Levrault nie miał zyskać udziału w owocach zwycięstwa?

Wzburzony sennemi widmami, jednego dnia przechodził się po bulwarach. Mijając róg ulicy Kapucyńskiej, spotkał się oko w oko z wice-hrabią Kasprem Montlanquin, któremu zniesienie prawa przymusu osobistego wolność przywróciło. Wice-hrabia jaśniejący radością, przystąpił do pana Levrault, jak protektor przystępuje do swego klienta. Jego oblicze oddychało dumą i zadowoleniem.

— I cóż mój drogi panie Levrault? co się z panem dzieje, co pan porabiasz? Pewnie się nie domyślał, co obecnie zaszło. Jeżeli hrabia Chambord przybędzie do Paryża, to wówczas możesz do wszystkiego wzdychać, dzięki twojemu zięciowi: wprawdzie dzisiaj fortuna nie jest na stronie hrabiego Chambord. Czy gniewasz się na Rzeczpospolitą? Co do mnie, nie mogę się na nią skarżyć; ona oddała mi sprawiedliwość. Jestem uszczęśliwiony naszym spotkaniem, gdyż mam sposobność pożegnać pana. Jutro odjeżdżam; zostałem mianowany konsulem generalnym w Oceanii.

— Konsulem generalnym! — zawołał pan Levrault; — jakieżto tytuł miałeś, aby pozyskać tak wysoki urząd?

— Najpierwszy ze wszystkich tytułów: byłem więźniem politycznym. Jęczałem w lochach monarchii, kiedy godzina uwolnienia dla mnie uderzyła. Rzeczpospolita winna mi była dać świetne zadośćuczynienie; i wynagrodzony też zostałem: wczorajszego wieczora moja nominacya została podpisana. Spodziewasz się

pan, że na tém nie poprzestane. Oceania jest tylko wstępem do dalszej karyery. . . . . Ale muszę pana pożegnać, mój drogi panie Levrault; wyjeżdżam jutro, a mam jeszcze tyle interesów do załatwienia. Jeżeli twoje spokrewnienie się z La Rochelandierami będzie przyczyną jakiego nieszczęścia, co mi wolno przewidywać, nie zapominaj pan, że znajdziesz zawsze na Oceanii, w konsulacie generalnym, bezpieczne schronienie.

Powiedziawszy to, wice-hrabia Kasper Montflanquin wyskoczył pirueta, i szybko się oddalił. Pan Levrault nie mogąc wyjść z podziwienia, stał na jedném miejscu, jakby skamieniały. Wzruszony, upokorzony, udał się nareszcie leniwym krokiem drogą ku swemu pałacowi. Kiedy przechodził koło ulicy Grenelle, został powitany przez pana Jolibois.

— Do licha!—zawołał Jolibois klepiąc go po ramieniu,—jestem uradowany, że cię spotykam; mam ci udzielić pewne zawiadomienie. Powiedz La Rochelandierom, jeżeli kiedy powrócą do swego gołębnika w Bretanii, aby się mieli na ostrożności, aby czuwali nad swoim prowadzeniem się, gdyż postanowiłem nic im nie przebaczać, ja, Stefan Jolibois, kommissarz generalny rzeczypospolitój w departamencie l'Ouest. Wszystkie ta drobna szlachta, jeżeliby chciała wznowić szuaneryą, będzie widziała z kim ma do czynienia; zapewniam ich o tém.

— Kommissarz generalny rzeczypospolitój!—zawołał pan Levrault z osłupieniem;—to się ma rozumieć, mój drogi panie Jolibois, że jesteś zaszczycony urzędem podobnym do prefekta?

— Co, ja prefektem? mości panie—dyktatorem! ani mniej ani więcej. Moja władza jest nieograniczona; nie zależę od nikogo, tylko od mojego sumienia. Za mojem przybyciem wszystkie władze są zawieszane. Prowincya, którą mi powierza rzeczpospolita, nie ma innych praw, tylko moję wolę. Wojsko i wszystkie urzędy, zależą od mojej dyspozycji. Jeżeli twoja postawa, jeżeli twoja mowa zdawać mi się będą podejrżane, jeżeli wymknie ci się jakie słówko przeciw demokracji: to za jednym pociągnięciem pióra, jedném skinieniem głowy, mogę posłać do więzienia ciebie i twojego zięcia. Jestem żyjącem prawem; trybunały nie mogą się mieszać do tego, co raz postanowię. A zatem powtarzam ci, mój kochany panie Levrault, ty i twoi, miejcie się na ostrożności. Znacie oddawna moje niewzruszone zasady; mimo przyjaźni, jaka nas wiąże, nie zdradzę moich obowiązków.

— Pana zasady są razem mojemi. Ostatnie błędy monarchii otwarły mi oczy. Jakżeś szczęśliwy, że służysz Rzeczypospolitej! Ileż ci zazdroszczę!

— Trzeba ci było margrabiego za zięcia. Coś zasiał, to teraz zbierasz. Nie użalaj się panie; ciesz się raczej, że masz całą głowę na karku. Zresztą, mój panie Levrault, masz zawsze we mnie przychylnego przyjaciela. Za dwa dni odjeżdżam; jeżeli mogę być w czem użytecznym, chciéj mnie odwiedzić, oto mój adres.

Następnie Jolibois pożegnał się, a pan Levrault poszedł do swego pałacu, z sercem przepelnioném boleścią, i umysłem rozstrojonym smutnemi myślami. Dwaj zięciowie, którymi pogardził, zyskali urzędu; zięć przez niego wybrany, daleki od tego, aby mógł dogodzić jego ambicyi, był tylko dla niego zaporą. Za nadejściem wieczoru, w obecności margrabiny, Gastona i Laury, cały swój zły humor objawił.

I cóż!—mówił p. Levrault przechodząc się po salonie jak niezgrabny niedźwiedź,—tego Kaspra Montflanquin, którego za nic nie mieliście, dziś właśnie spotkałem; patrzcie na jaką wszedł drogę, po której może dojść do wszystkiego. Być może za rok, zobaczymy go ambasadorem w Wiedniu, albo w Londynie! Na początek, został zanominowany konsulem generalnym francuzkim w Oceanii. A Jolibois, którego uważaliście za sankiulota, Jolibois, któremu zamknąłem drzwi przed nosem przez nikczemną powolność, ten Jolibois jest mianowany kommissarzem generalnym Rzeczypospolitej w departamencie l'Ouest. Poróżniliście mnie z tym poczciwym człowiekiem, a teraz jeżeli powrócimy do Bretanii, nasza wolność, nasze życie, zostają na jego łasce. Jego władza jest nieograniczona. Rozrządza jako dyktator armią, władzami cywilnemi: on jest żyjącém prawem.

— Wistocie—odpowiedziała margrabina—jeżeli wice-hrabia Montflanquin został mianowany konsulem generalnym, nowy rząd wysmienity zrobił wybór: niechaj raczy przyjąć moje szczere życzenia.

— Wybór zły albo dobry, obywatel Montflanquin jest dlatego konsulem generalnym; więcéj to przecieź warto, niż siedzieć z założonemi rękami.

— Czyż każdy z nas—odparł Gaston—w czasach w których żyjemy, niema wytkniętych dla siebie obowiązków? Dla służenia Francyi, niekoniecznie trzeba się poświęcić dla Rzeczypospolitej.

— Mój zięciu, — rzekł żywo pan Levrault — rzeczpospolita i Francya, nierozdzielna jedność stanowią.

— Wiédz o tém mój panie — zawołała margrabina z dumą — że Francya św. Ludwika, nie jest Francją Robespiera!

— Szanuję twoje przesady pani, — odrzekł pan Levrault tonem szlachetnego politowania; — ale dzięki Bogu, wcale ich nie podzielam.

Gaston widząc, że się zanosi na sprzeczkę, jak to zwykle bywało, wyniół się cichaczem. Uwolnieni od jego obecności, margrabina i pan Levrault, bez przeszkody czynili sobie wyrzuty, nie szczędzili wzajemnych obwinień.

Napróżno Laura starała się ich uspokoić; kłótnia coraz bardziej wzrastała. Wyczerpawszy niemalże zapas przycinków, miało już przyjść do gwałtownych przymówek, kiedy wtém zbrojna banda przyciągnęła przed pałac. Blask pochodni oświecał dziedziniec. Trzysta głosów zaczęło śpiewać Marsyliankę. Margrabina i Levrault pobledli, i spoglądając na siebie z przestraczem, zamilkli: bojaźń ich pogodziła.

Pan Levrault nim poszedł do swego pokoju, chciał piérwój odwiedzić Solona, u którego cały dzień nie postał. Znalazł on ranionego przy ciepłym kominku, z opartemi nogami o galeryjkę, z fajką w ustach; siedział zamyślony.

— I cóż mój przyjacielu! — zapytał z uprzejmością, — jakże się masz dzisiejszego wieczora? Czyli ci czego nie brakuje? Czy już zaczynasz się przyzwyczajać pod dachem Wilhelma Levrault?

— Za kilka dni spodziewam się być zupełnie wyleczony — odpowiedział Solon opryskliwie — i twój dom opuszczę, który wcale dla mnie nie przystoi. Nie zbywa mi na opiece, ale Solon nie powinien zasypiać pod tym samym dachem, co i margrabia.

— Co ci mój zięć może obchodzić? Nie jesteś u mnie, u Wilhelma Levrault, fabrykanta wełny, jak ty rzemieślnika?

— Niezle mieszkasz jak na rzemieślnika. Zdaje się, że musiałeś mieć niejeden dzień szczęśliwy, a twój pryncypał wspaniale dzielił się z tobą swojemi zyskami. Czyto za książeczkę z kassy oszczędności, kupiłeś sobie ten pałac? Daj pokój, Solona nie uspisz podobnemi bajkami. Wiem dobrze u kogo się znajduję. Jesteś mieszczaninem, twój zięć arystokratą. Skoro się tylko zagoi moja rana, pójdę połączyć się z mojami braćmi. To miejsce nie dla mnie. Nienawidzę bogactwa, ale nie jestem niewdzię-

cznym; i żeby cię o tém przekonać, zapomnę drogi do twego pałacu. Moi towarzysze dla mnie tu tylko pozostają; wszyscy cię razem opuścimy.

— Chcesz mnie opuścić mój przyjacielu! i dlaczegożto? Co ci brakuje, na czém zbywa? Nie jesteś u mnie, jakbyś był w własnym domu? Nie jesteś u swego brata?

— Czy mniemasz, że jestem głuchy i ślepy? Czy sądzisz, że nie widzę co się koło mnie dzieje? co koło mnie mówią? Czyliż twoja córka, twój zięć i jego matka, uważają mnie za brata? Oczekują na mój odwrót z niecierpliwością, jestem tego pewny. Nie doświadczą tyle rozkoszy widząc mnie odchodzącego, ile ja, kiedy ich porzucę.

Pan Levrault napróżno usiłował przekonać go o swém poświęceniu; Solon nie odpowiadał tylko mruczeniem, i rzucił mu w twarz czarne kłęby dymu. Z bojaźni, aby nie był uważany za arystokratę, pan Levrault z początku nie tracił miny; ale wkrótce otoczony chmurą dymu, zaczął niemiłosiernie kaszleć, i musiał ratować się ucieczką.

Kiedy znalazł się sam na sam, wtedy przebiegł pamięcią całodziennego wrażenia. Solon, który powinien go osłaniać, ocalić, coraz go więcej przestraszał goryczą swoich wysłowień. Okropny sen przyczynił jeszcze strachu, i do najwyższej potęgi podniósł męki pana Levrault.

Wściekła banda napadła na pałac z pochodniami w rękach, a Solon zamiast odeprzeć napastników, sam przewodniczył im do pokojów, zachęcał do rabunku, wziął udział w łupieży, i podłożył ogień na czterech rogach pałacu. Laura i margrabina z rozwianymi włosami przebiegały schody w płomieniach. Gaston ich poprzedzał od stóp do głów uzbrojony. Wtém nagle drzewo wolności zasadzone w środku dziedzińca, przemieniło się w widmo olbrzymiego rozmiaru; chorągiew, która u szczytu powiewała, upadła i odsłoniła postać Solona, stryczkiem uzbrojonego. Już margrabina, Laura i Gaston przeniesli się do wieczności, a rabusie tańcowali około drzewa, jak zgraja ludożerców. Przyszła kolej na pana Levrault. W téj stanowczej chwili, pan Levrault obudziwszy się, skoczył równemi nogami, obłany zimnym potem. Naprzód pomacał szyję, i złożył dzięki panu Bogu, że ja znalazł całą, oraz, że się znajdował zdrów na swém łóżku.

Jednakże niezupełnie ochłódl z przestachu. Podniósł się, wstał i ze świecą przebiegł cały pałac; następnie, otworzywszy okno, nadstawił ucha, i dopóty nie wrócił do swego pokoju, dopóki nie przekonał się, że wszystko w milczeniu spoczywało.

Cóż ten sen miał znaczyć, co objawiał? czyto była dlań przestroga z nieba? Pan Levrault bał się na nowo zasnąć, i zaczął myśleć nad swoim przeznaczeniem. Jak działać, aby ocalić swój majątek i swoje życie? Spotkanie z Montflanquinem i Jolibois podźegało jego ambycją; bojaźń wskazała mu w ambicyi jedyny środek ocalenia. Nie było dwóch stron, którychby się mógł chwycić: trzeba było jawnie, przy dniu białym służyć Rzeczypospolitej. Przypomniał sobie ofiarowaną przysługę przez pana Jolibois, postanowił też udać się do niego skoro tylko zaświta.

Zaledwie dniało, kiedy już pan Levrault pospieszył w drogę. Wszedłszy do pana Jolibois, znalazł przedpokój napelniony suplikantami. Lokaj zbliżył się doń i zapytał o nazwisko; po godzinném oczekiwaniu, został nakoniec wprowadzony do gabinetu Jolibois.

— Mój drogi panie Levrault—rzekł mu generalny kommissarz, moje godziny są policzone. Przystąp do rzeczy; w dwóch słowach powiedz, czego odemnie żadasz.

— Całą noc myślałem nad wczorajszą naszą rozmową. Jestem przygotowany służyć Rzeczypospolitej, i przybywam prosić pana, abys zechciał pomówić o mnie. Niczego nie żądałem za upadłego rządu; daleki byłem, abym miał bezwzględnie chwalić jego politykę. Jeżeli nie zostałeś moim zięciem to dlatego, że Laura tego nie chciała. Byłbym szczęśliwy i dumny nazywać cię moim synem. Znalazłbym w tobie drugiego Tymoleona. Twa wiara polityczna jest razem moją, do Rzeczypospolitej należę duszą i ciałem, ona jedynie odpowiada moim nadziejom.

— W tym względzie, jak uważam panie Levrault masz wyborne usposobienie; lecz jakie są do tego pańskie prawa, abys wszedł w służbę Rzeczypospolitej? Zobaczymy: czy byłeś pan w więzieniu? należałeś do spisku? czy miałeś związki z sierżantem w Rochelli? czy walczyłeś przy klasztorze Saint-Merry?—Pan Levrault został odurzony tym potokiem zapytań.

— Pojmujesz pan—mówił dalej Jolibois, ciesząc się z jego zakłopotania,—że Rzeczpospolita zanim powierzy staraniom pana swoje interesa, musi wymagać rękojmi.



— Niestety! — odrzekł pan Levrault zmieszany — nigdy nie cierpiałem ani walczyłem za Rzeczpospolitą, ale mam stałe postanowienie jój służyć.

— Wiem, jakie było twoje prowadzenie po upadku monarchii. Przyjąłeś do siebie rannego, miałeś o nim wszelkie starania; to dobrze, ale to niedosyć. Czy przypadkiem nie zapisałeś się pan z jakim darem dla ranionych lutowych? gdyż nie widziałem pana na liście ofiar patryotycznych.

— Jeszcze nie — wyjąkał pan Levrault ze wstydem.

— Jeżeli chcesz, mój drogi panie Levrault, abym przemówił za tobą, potrzeba nieodzownie, aby twoje nazwisko figurowało w jutrzejszym *Monitorze*; niechaj się odznacza w pierwszym szeregu, na liście darów patryotycznych i ofiar dla ranionych w lutym. Masz wiele do zwalczenia aby ci przebaczone, nie chciej o tém zapominać. Zamieszkujeś pałac na przedmieściu Saint-Germain, jesteś spokrewniony z La Rochelandierami, z bogaciłeś się potem twoich kommissantów. Czujesz pan, że już czas zwrócić ludowi część, którą mu zabrałeś.

— Nic nie wziąłem ludowi — odpowiedział pan Levrault; ale żeby go wesprzeć, nie cofnę się przed żadną ofiarą.

— Słuchaj pan — ciągnął Jolibois głosem prawie ojcowskim — pan Rothschild podpisał się na dziesięć tysięcy franków: jest on cudzoziemcem, i tylko był baronem.

— Ale ja jestem niczém — odparł pan Levrault z dumą.

— A twój zięć, nie byłże margrabią? Powtarzam ci mój kochany panie Levrault, potrzebujesz wiele zrobić, aby ci przebaczone. Zanieś do Elisée twoje półmiski srebrne, podpisz z szlachetną dumą wspaniały dar dla lutowych ofiar, a jutro odwiedź mnie znowu; możesz wtedy na mnie rachować. Rząd tymczasowy niczego mi odmówić nie może. Otrzymam dla ciebie, według własnego wyboru, posadę administracyjną albo dyplomatyczną.

— Mój wybór naprzód uczyniłem, mój drogi Jolibois; po wszystkie czasy czułem się zrodzony do dyplomacyi.

— A więc! — odrzekł Jolibois — będziesz usłużony według życzenia.

Tegoż samego dnia, pan Levrault zaniósł swe półmiski srebrne do Elisée i podpisał się z ofiarą dwudziestu tysięcy franków dla ranionych w lutym; nazajutrz ten podwójny dar figurował w pierwszych stronnicach *Monitora*.

## XVI.

Nakoniec pan Levrault miał odegrać swoje rolę; otóż i karyera polityczna przed nim się otwierała. Nie byłoby bez przyczyny, że przeniósł dyplomacją nad posadę administracyjną; wiedział on, iż wszędzie osoba ajenta dyplomatycznego była święta i nietykalna, a nadto wydarzała się sposobność, noszenia na jakim zagranicznym dworze munduru haftowanego. W oznaczonej więc godzinie przedstawił się panu Jolibois.

— Chciój przyjąć moje powinszowanie—powiedział pan Jolibois wyciągając doń rękę.—Wyczytałem tego poranku nazwisko pana w *Monitorze*; postąpiłeś sobie jak znakomity obywatel, prawdziwy patriota. Nie może rzeczpospolita okazać się niewdzięczną, i będzie umiała wynagrodzić cię godnie. Widziałem się wczorajszego wieczoru z szefem gabinetu spraw zagranicznych; oczekuje na pana: pójdźmy, nie trać czasu. Miejsce, jakie panu przeznacza, zazdrość nie w jednym obudzi.

Pan Levrault nie posiadał się z radości: brakowało mu słów dla podziękowania. W godzinę potem, pan Jolibois wprowadził swego klienta do pałacu ministerstwa spraw zagranicznych. Serce pana Levrault biło jakby młotem. Szwajcar ujrawszy pana Jolibois, otworzył natychmiast podwoje gabinetu. Mężczyzna mający zaledwie lat trzydzieści, zbystrém spojrzeniem, szydném obliczem, siedział przy biurku, obciążoném papierami i kartonami.

— Mój luby przyjacielu,—odezwał się Jolibois,—przyprawiam ci kandydata, o którym wczorajszego wieczoru mówiliśmy.

— Witaj nam panie!—powiedział przyjaciel protektora, odwracając się do pana Levrault—siadajcie panowie, teraz z sobą pomówimy.

Pan Levrault, któremu się wzrok przyćmił, nogi dygotały, upadł raczej niż usiadł na krześle.

— Stefan objaśnił mnie o pańskich życzeniach. Oddawna pana nazwisko było mi znane; nie jesteś pan dla mnie obcym. Zapomnienie w którym dotychczas wędniałeś, nie pierwszym to błędem jest upadłego rządu. Gdyby rodzina Orleańska położyła była zaufanie w podobnych mu ludziach, obecnie nie znajdowałaby się w Claremont.

Pan Levrault skłonił się, i nie znalazł wyrazu, aby odpowiedzieć.

— To prawdziwie trudno uwierzyć, że monarchia nigdy nie zrobiła użytku z talentów pana. Minister mówił mi o panu dzisiaj w najpochlebniejszych wyrazach.

— Nie użalam się na monarchią—powiedział pan Levrault, któremu język przestał kołowacić.—Nic mi nie ofiarowała, ale też nic od niej nie byłbym przyjął. Niewzruszony w moich zasadach, wierny mojemu przekonaniu, cierpliwie oczekiwałem godziny mojego odwetu.

— Nie mówiłem ci prawdy — zawołał Jolibois,—obywatel Wilhelm Levrault jest wypróbowanym republikaninem. Co myśli, co pragnie dzisiaj, to zawsze myślał i pragnął. Nie jest on tą chorągiewką, co się obraca z kąd wiatr zawieje.

— Dzięki Bogu! rzeczpospolita nie jest tak zaślepioną, jak monarchia— odrzekł mniemany szef gabinetu.—Obywatelu Levrault, ona zna twoją wartość, i dziś udziela ci dowód świetnego zadośćuczynienia, ufności. Ciało dyplomatyczne potrzebuje zmian znacznych i rozważnych. Każde poselstwo wymaga specjalnego człowieka, a to, które przeznacza rzeczpospolita, zdaje się być jedynie dla ciebie panie stosowném. Z początku miałem zamiar powierzyć ci posadę reprezentanta handlu francuzkiego przy miastach hanzeatyckich; ale minister po piérwszych wyrazach, odsunął to przedstawienie:—„Poselstwo handlowe dla obywatela Levrault?!.. zawołał, co mówisz? jemu należy się ambasada!”

— Rzeczywiście,—rzekł Levrault—pan minister tak raczył o mnie się wyrazić?

— Wiernie powtarzam jego wyrazy. Tak mówił pan minister: „Trzeba mu ambasady, lecz jakąż mu ofiarujemy? Wczoraj rozrządziłem posadami w Wiedniu i Londynie. Petersburg i Berlin w połowie już są przyrzeczone. Madryt niewiele ma znaczenia; jakże mniemasz, czy przyjmie ambasadę w Konstantynopolu”? Wahałem się z odpowiedzią, nie śmiejąc zobowiązywać się za pana, kiedy minister przeciał trudności.—„Wiem czego potrzeba”—odrzekł uderzając się w czoło.—„Dla umysłu tak niezwykłego, tworzę wyjątkową posadę, poselstwo, które równych nie miało. Francya odzyskała popioły Napoleona; winna też swemu honorowi, swój godności, ażeby odzyskała popioły Karolowingów”.

— Popioły Karolowingów!—przerwał Levrault z podziwieniem.

— „Francya lutowa—rzekł do mnie minister, którego wzrok coraz się zapalał—nie wypiera się przeszłości, nie lęka się wspomnień o królach, i uważa Karolowingów za zacnych ludzi. Pru-

sy, któreśmy niegdyś zwyciężyli, zachowują dotąd w Akwizgranie głowę Karola Wielkiego, oprawioną w złoto, jako świętą relikwią, złożoną tam przez Fryderyka Barbarosę. Francya nie może patrzeć obojętném okiem, ażeby przy jęj progach złożony był taki skarb, bez osiągnięcia po niego swęj ręki. Tylko doświadczony patryota może mówić w jęj imieniu, odzyskać prawa, i dlatego zwróciłem mą uwagę na obywatela Wilhelma Levrault”.

— Tym sposobem, — zapytał pan Levrault—sprowadzę do Francyi głowę Karolowingów ?

— Tak obywatelu, spodziewałem się, że chętnie się na to zgodzisz; czyż się omyliłem?

— Przyjmuję z wdzięcznością, — odpowiedział pan Levrault bełkocząc.

— Teraz mam obowiązek objaśnić panu całą ważność posłannictwa, które mu powierzają. Minister obarcza pana trudnym obowiązkiem; ale skoro godnie go spełnisz, a co do mnie, nie powątpiewam o tém, twoje imię przejdzie do najodleglejszęj potomności. Ambasadorstwa w Wiedniu i w Londynie nie mogą iść w porównanie pod żadnym względem z posłannictwem, jakie przyjmujesz. Bo téż to nie jest interes pospolity; nie chcięj się pan pomylić. Dopnij zamierzonego celu, a Francya odzyska w Europie stopień, który się jęj należy. Mów śmiało o prawie, prawdzie, zagnlij Prusy do oddania nam głowy Karolowinga, a w trzy miesiące odzyskamy nasze granice nad Renem. Francya zawdzięczając tę posługę, powita cię jako swego odnowiciela. Prusy nie odmówią ci głowy Karola W.; będziesz mówił w imieniu Francyi. Gabinet berliński na poparcie twego żądania ujrzy stotysięczną armię, a wtedy głos twój będzie wysłuchany. Twoje posłannictwo, panie, jest tém zaszczytniejsze, że jest połączone z niebezpieczeństwem; być nawet może, iż cię spotka los posłów francuzkich w Rasztad.

— Jaki los?—zapytał pan Levrault.

— Jeżeliby śmiano podnieść rękę na ciebie, nastawać na twoje życie, bądź spokojny. Francya pomści się twego honoru.

— Jakiz więc los spotkał posłów francuzkich w Rasztad?

— Zostali zdradziecko zamordowani.

— Zamordowani!—zawołał pan Levrault.

— Czybyś się cofnął przed niebezpieczeństwem?

— Nigdy!—krzyknął Levrault trzęsąc się ze strachu.

— Ręczę za nim— dodał Jolibois.—Jeżeli zbladł słuchając pana, to z oburzenia, nie zaś z bojaźni. Tragiczne to wspomnienie, zachwiać go nie zdołało.

— Kiedyż pojedę?—zapytał pan Levrault głosem, w którym się przestraszył przebijał, że aż litość obudzał.

—Kiedy pan przeczytasz swoją nominację w *Monitorze*, chcielibyśmy przybyć po listy wierzytelne; następnie udasz się natychmiast na miejsce swego przeznaczenia. Polecam panu zachowanie najściślej tajemnicy. Nie wspominaj nikomu o swém poselstwie. Interes wymaga, aby twój wyjazd do Berlina, znalazł nieprzygotowanych wszystkich kanclerzów w Europie.

— A więc!—rzekł Jolibois, przyszedłszy z panem Levrault na bulwary,—masz już teraz nogę w strzemieniu; od ciebie zależy posunąć się naprzód. Co za wspaniała karyera otwiera się przed panem! Jeżeli unikniesz losu posłanników francuzkich w Rasztad, być może, iż za powrotem będzie ci powierzona teka ministra spraw zagranicznych.

Pan Levrault milczał. Jolibois mówił dalej:

— Możesz bardzo łatwo zabezpieczyć swoje życie. Wystaraj się o stalową, drucianą koszulę, zdolną wytrzymać ciosy sztyletów i kul, ukryj ją pod twój mundur dyplomaty, a wtedy możesz sobie żartować ze wszystkich spisków.

— Przyznaję—rzekł nakoniec pan Levrault ze smutkiem—że wolałbym być reprezentantem handlu francuzkiego przy miastach hanzeatyckich.

Czy to na seryo mówisz?—zapytał Jolibois surowym tonem. Rzeczpospolita, jak szlachetna matka, daje ci sposobność służenia z narażeniem swego życia, a ty się wahasz? A więc omyliłem się rachując na pana? Nie masz nieustraszonego serca, duszy republikańskiej? Pomyliłem się, mówiąc naprzód i zaręczając za pana? Powiedziałem bowiem: poręczam za Wilhelma Levrault, jak za samym sobą. Będę się przeto rumienił za pana? Żałujesz danego słowa? Jeszcze czas, możesz go cofnąć; ale chcielibyśmy pomyśleć, jeżeli nie pojedziesz, nie ręczę nadal ani za twój majątek, ani za twe życie.

— Pojedę,—odpowiedział pan Levrault,—nie potrzebujesz się rumienić za mnie. Tylko sądzę, że wszędzie osoba ajenta dyplomatycznego jest święta, nietykalna; nie wiedziałem o losie posłanników francuzkich w Rasztad.

— Mój dobry przyjacielu—powiedział Jolibois—dyplomacya republikańska nie jestto dyplomacya monarchiczna, życie pełne rozkoszy, rozpraw: jestto walka równie czynna, równie niebezpieczna jak żołnierza; czy o tém nie wiedziałeś?

— Pojadę,—powtórzył pan Levrault z rezygnacją ofiary prowadzonej na katusze.

— Ale mój panie,—rzekł pan Jolibois,—czy pomyślałeś o swoim ubiorze? Czas nagli, jutro może twoję nominacją wyczytasz w *Monitorze*. Czy znasz mundur agentów dyplomatycznych odrodzonej Francyi?

— Nie, mój Boże!

— Obcisłe pantaloney, buty ze sztylpami, kamizelka biała Robespierka, frak niebieski z wązkiemi połami. Na piersiach potrójne godło rzeczypospolitej, to jest czapka frygijska, libella, dwie ręce nawzajem się ściskające. Co się dotyczy koszuli drucianej, pójdź ze mną, dostaniesz za sto talarów też samą, którą nosił Franciszek I podczas bitwy pod Pawią.

W pół godziny potém, weszli do sklepu na bulwarze Malaquais. Pan Levrault bez targu zapłacił sto talarów, i zabrał z sobą koszulę drucianą z fabryki medyolańskiej.

— Mając ten pancerz—rzekł Jolibois, skoro już wyszli ze sklepu,—możesz sobie spać najspokojniej; aby tylko siepacze nastłani nie uderzyli cię w głowę, nie potrzebujesz obawiać się żywej duszy.

To powiedziawszy ścisnął za rękę swego towarzysza, i zostawił go prawie napół żywego, z jego drucianą koszulą pod pachą. Czyż potrzebuję dodać, że owo poselstwo udzielone panu Levrault, było tylko wesołą igraszką, mistyfikacją, która daj Boże, aby była jedyna w owych czasach.

## XVII.

Ambicya pana Levrault była zaspokojona: miał reprezentować Francją w ważnym przedsięwzięciu; ale jego przerażenie doszło do najwyższego stopnia. Nim zakosztował kropli z kielicha wielkości, już żałował pospolitego stanowiska, swego sklepu przy ulicy Bourdonnais! Nie czytając wierszy Lukrecjusza o żeglarzu, który usiadłszy na brzegu, przypatruje się spokojnym wzrokiem okrętowi miotanemu burzą, pojął jednakże całą wartość spokoju, wszystkich zwodniczych nadziei ludzi. Jako prenumeratorem *Moni-*

torą, co rano ze drzeniem zaglądał do jego kolumn, i dopiero wtedy odetchnął swobodnie, kiedy niespokojnym okiem przejrzawszy całą część urzędową, swęj nominacyi nie dopatrył.

Każdej nocy wpośród snu, widział głowę Karolowinga i za każdą razą kiedy posięgnął po nią, wymykała mu się spod ręki z szyderstwem. Jedna tylko rzecz pocieszała go wpośród tych cierpień: koszula drucziana Franciszka Igo była jakby dla niego zrobiona. Tak mu w niej było swobodnie, tak sobie podobał w tej królewskiej zbroi, że ją zwykle wdziewał i nosił w swoim gabinecie. Bezsilna pociecha! Polityka zagraniczna całą jego uwagę zajmowała. Jakażto była chwila żądania głowy Karolowinga! Nie mógł on pomyśleć o swoim poselstwie, nie porównawszy siebie ze skromnością do Daniela we lwiej jaskini. A jednakże nie tu miał być koniec jego przestachu. Pewnego dnia, kiedy we wszystkich kierunkach przebiegał przedmieście św. Antoniego i św. Marcina, wrócił do domu w stanie trudnym do opisania. Widział i porachował jakie sto chorągwi, zatkniętych na domach tych upartych właścicieli, którzy obstawali przy pobieraniu opłaty za najem pomieszkania. Słyszał dzikie pogrozki. Gromady do których się przyłączał, śledziły go niedowierzającymi oczami. Nim dopadł nareszcie swego pałacu, po drodze doszły go jeszcze straszniejsze pogłoski: zapowiedziano na tę noc rabunek przedmieścia Saint-Germain.

Kiedy już wszedł do pałacu, dowiedział się, że wszyscy przyjaciele Solona wynieśli się w tej chwili. Gastona nie było. Pan Levrault znalazł margrabinę i Laurę same w salonie, i opowiedział im co widział, co słyszał po drodze.

— Jeden człowiek może nas zbawić, — rzekł z determinacją — Solon, którego nie chciałyście przyjąć, Solon, którego nigdy nie przypuszczaliście do stołu. Wszyscy jego przyjaciele odeszli, Bóg tylko wie z kim i jak powrócą! Jedyne Solon może nas zasłonić, obronić i ocalić. Jeżeli rabusie tu przybędą, potrzeba, ażeby go znaleźli w naszym gronie, jako naszego przyjaciela, naszego brata. Pójdę po niego, aby go tu sprowadzić, i spodziewam się, że go uprzejmie przyjmiecie.

— Niechże więc przyjdzie! — rzekła margrabina, składając ręce.

Niedługo potem, pan Levrault powrócił, a razem z nim wszedł bohater lutowy, wspierając się na jego ramieniu. Solon, którego dotychczas tylko pan Levrault odwiedzał, dozwolił się wprowadzić do salonu bez oporu; jego dumie pochlebiało niezmiernie, że został według prawideł grzeczności zaproszony, czego się wcale nie

spodziewał. Margrabina ujrawszy jego bluzę i brodę, nie mogła utaić swego obrzydzenia; skinieniem oczów pan Levrault nakazał jęj umiarkowanie. Solon usiadł na berzerce i rozmowa się rozpoczęła. Mimo dziwactw jego obejścia i zasad, byłoto dobre chłopczysko. Oryginalność i zapal z jakim bronił swoich zdań, czyniły go więcéj ciekawym, i bynajmniej nie pobudzały do gniewu. Laura i margrabina słuchały go z rezygnacją; pan Levrault poklaskiwał jego dwójzycznym wyrażeniom, opryskliwym odpowiedziom. Dla pozyskania więkšej laski swego gościa, prosił go, ażeby im opowiedział historiją swego życia.

— Opowiedz nam, upraszam cię drogi towarzyszu, jakim sposobem przyszedłeś do poznania prawd, jakie dzisiaj ogłaszasz. Dotąd, wyznaję, nie miałem o tém żadnego pojęcia. Odstonieś mi świat zupełnie nowy; któz w nim był twoim przewodnikiem.

— Moja świadomość i historia mojego życia—odpowiedział dumnie Solon, bawiąc się ze swoją brodą.

— A więc opowiedz nam twoję historiją.

Margrabina przytłumiła westchnienie, myśląc o opowiadaniu, które jęj uszom groziło.

— Widzisz we mnie—rzekł Solon—ofiare zepsutej cywilizacji. Nie znałem moich rodziców. W trzecim roku życia, znalazł mię ubogi mieszczanin, żonaty od lat dwudziestu, który wąpił aby się kiedyś doczekał potomstwa. Jego radość była tak wielka skoro mnie ujrzał w swoim domu, że zaniechał wszelkich starań, aby się dowiedzieć o nazwisku i mieszkaniu mojęj rodziny. Na niczém mi nie zbywało: dobrze żywiony, dobrze odziewany, spałem w czystej pościeli, w ciepłym mieszkaniu; wszelkie moje potrzeby były zaspakajane. Moja dusza szlachetna z natury poczowała się do wdzięczności; ale wkrótce poznałem samolubny cel moich mniemanych dobroczyńców. Miałem zaledwie dziewięć lat, kiedy mój przybrany ojciec wypalił do mnie długie kazanie, dla przekonania o potrzebie, o użyteczności pracy, i tegoż dnia posłał mnie do szkoły.

Zaledwie nauczyłem się czytać, pisać i rachunków, kiedy mój przybrany ojciec powiedział mi drugie kazanie: o potrzebie obrania sobie jakiego stanu. Kiedy rozmyślałem nad zagadnieniem: co to jest praca i odpoczynek, wielkie zdarzenie wskazało mi moje prawdziwe posłannictwo. Walcząc na barykadach w czerwcu, uczułem się powołanym do przewodniczenia. Miałem zaledwie lat piętnaście, ale starzejem się szybko w szkole nieszczęść. Zwyciężyliś-



my i zmusili do ucieczki obcych najemników; piérwszy wszedłem do Luwru.

Rozgniewana margrabina, chciała wstać i odejść; śpiew *giron-dystów* który było słyhać za oknami, przykuł ją do krzesła.

Solon mówił dalej:

— Przebiegając złocone salony owego pałacu, który był świadkiem tylu nikczemnych intryg, uczulem podwójną niechęć do bogactw, uczulem, że byłem wybrany przez Opatrzność do zniszczenia bezpowrotnie, do obalenia na zawsze arystokracji i mieszczaństwa. Wierny temu przekonaniu, od lat ośmnastu brałem udział w każdej zamieszce, w każdym poruszeniu. Mój przybrany ojciec, który nie pojmował szczytności mego powołania, zapomniał się do tego stopnia, iż mi śmiał uczynić niektóre uwagi: odwróciłem się nie wysłuchawszy go. Zamiast przygnębiać moje pojęcie służebną i najemną pracą, jak tylu moich współbraci, których umysłu nie oświeciły jeszcze prawdy socyalne, rośłem wśród tej niezależności, którą bezmózgowi mieszczenie nazywają próżniactwem. Kiedy moi współbracia, pogrążeni w ciemnocie niewiedomości, zarabiali w pocie czoła na chleb codzienny, dla wyżywienia swoich żon, dzieci, i głupio zajęci byli przyszłością, do Boga tylko należąca, samowolnie wskazywali się na oszczędność: ja zasiadałem do ich stołu, i wspaniale płaciłem moję część pożywienia, udzielając im chleb prawdy. Uczestnik towarzystw tajnych, wspierający karbonaryą, podkopywałem monarchią, i przygotowywałem wielkie dni lutowe.

— Nakoniec—rzekł pan Levrault zacierając ręce—teraz jesteś zadowolony, zdobyłeś rzeczpospolitą; godzina spoczynku wybiła dla ciebie.

— Co mówisz o wypoczynku? Nie istnieje on dla mnie. Nie jestto bez powodu, że moi bracia nazwali mnie—*Marsz-naprzód*. Rewolucya lutowa jest tylko pośredniem stanowiskiem w pochodzie ludzkości. Bojaźliwi i ślepi chcą się już zatrzymać; ja mam zamiar iść dalej jak niez mordowany pionier, i bez litości niszczyć zapory, które nas powstrzymują.

— A zatem rzeczpospolita nie jest waszym ostatnim celem? przerwał pan Levrault.

— Ostateczny cel zostanie dopięro osiągnięty przez ostatniego człowieka. Rzeczpospolita została ufundowaną, trzeba ją wyrócić. Jestem, ogłaszam to jawnie, nieprzyjacielem tego wszystkiego co *jest*, gdyż przeczuwam co *będzie*.

— Arcy interesujący młodzieńcze,—przerwał pan Levrault,—przez jakie zdarzenie, jakim trafem nieszczęśliwym, zostałeś rozłączony ze swoimi rodzicami?

— Nic prostszego. Pewnego wieczoru podczas uroczystości, mój ojciec, głupi mieszczanin, poprowadził mnie na plac Zgody, i wziął na ręce, aby mi lepiej pokazał sztuczne ognie...

— Wielki Boże!—krzyknął pan Levrault—co mówisz? sztuczne ognie....jakież to promień światła! Dokończ mój przyjacielu, byłoby na placu Zgody....Twój ojciec wziął cię na ręce....

— Miano puszczać ogniste wieńce; cały plac był pogrążony w ciemności. Tłumy tłocząc się jak wściekłe bałwany, uniosły mnie z rąk ojca. Następnie zostałem znaleziony na rogu ulicy Śgo Florentyna przez człowieka, który chciał ze mnie ciągnąć korzyści.

— O święta Opatrzności, jakże twe wyroki są niezbadane!.. —zawołał pan Levrault podnosząc ręce do nieba.—Mów mój przyjacielu; nie miałeś nic na sobie, co by cię mogło naprowadzić na ślad wyalezienia twoich rodziców?

— Niestety! byłem ubrany jak syn uprzywilejowanego; moje koszule były ustrojone falbankami.

— Oznaczone literami *T* i *L*—zapytał pan Levrault głosem drżącym.

— W istocie—odrzekł Solon zadziwiony.

— A czy nie masz znaku na piersiach?

— Plamę czerwoną, godło krwi—odpowiedział Solon rozpinając swoje bluzę.

— Tymoleon!...krzyknął p. Levrault, —Tymleonie chodź w moje objęcia! chodź mój synu, odzyskałeś swojego ojca!

I przyciskał Tymleona do swego serca, zrosił łzami brodę swego syna, który nadaremnie chciał się wydrzeć z uścisków ojcowskich. Margrabina z osłupieniem przyglądała się tej niespodziewanej scenie. Laura, nie znając swego brata i nigdy nim się nie zajmując, niebardzo była uradowana, znalazłszy go w postaci Solona *Marsz-zawsze*.

— Ale,—zawołała margrabina zaledwie mogąc swój gniew pohamować—powiedziałeś pan, żeś utracił swego syna?

— I powiedziałem prawdę. Straciłem, teraz go znajduję.

— Oszukałeś mnie—odparła margrabina.

— Chciój sobie pani przypomnieć moje wyrazy. Nigdy nie mówiłem o jego śmierci. Od dwudziestu siedmiu lat nie wiedziałem, co się z nim stało. Opatrzność mi go zwraca, czy cię to dziwi, że się tém cieszę?

— Zwiodłeś mnie niegodziwie!—dodała margrabina, nie posiadając się z rozjątrzenia.

— O cóż pani możesz się uzalać? Lękasz się, ażeby Tymoleon nie przeszkadzał twojemu synowi? obawiasz się, ażeby nie żądał części ojcowizny? Zapominasz pani o jego zasadach.

— Zatrzymaj się!—krzyknął Tymoleon, ochłonawszy ze swego podziwienia;—nie mieszajmy interesów. Nowy świat o którym ci mówiłem, jeszcze zbyt od nas jest oddalony. Oczekując aż ludzkość postawi swe stopy w tej nowej krainie Chanaan, podajmy się stariej rutynie cywilizacyi.

Margrabina wyleciała jak huragan, rzuciwszy na pana Levrault gniewliwe spojrzenie. Laura udała się za nią w milczeniu.

Tymoleon zostawszy sam z ojcem, uczuł się swobodniejszym, gdyż mimo całej zarozumiałości, postawa margrabiny trochę go krepowała. Krótko skończył z uniesieniami pana Levrault, a wypytawszy się o stanie jego majątku z naleganiem i cierpkością godną inkwirenta, odezwał się nareszcie głosem uroczystym:

— Któżby mi kiedy przepowiedział, że znajdę siostrę zaślubioną z margrabią? Kiedy moi przyjaciele dowiedzą się, że jestem twoim synem, kiedy mnie zapytają o to dziwne małżeństwo, cóż im odpowiem?

— Ah! mój synu—odpowiedział pan Levrault z miną zakłopotaną —twoja siostra nabawiła mi niemało zmartwienia. Wybrałem jęj za męża Jolibois, którego znasz bez wątpienia, który uderzył na Izby, a za którym spieszyłem w chwili, kiedy cię spotkałem. Laura zawiodła moje nadzieje. Twarzyszki na pensyi zawróciły jęj głowę: Laura koniecznie chciała zostać margrabiną. Mamże ci opowiedzieć, co wycierpiałem patrząc na spełnienie tego związku, tak przeciwnego moim wyobrażeniom? Ah! lepiej pokryjmy to milczeniem.

— A więc—odpowiedział Tymoleon—przebaczam małżeństwo mojej siostry, ale powątpiewam, aby moi przyjaciele tak łatwo go przebaczyli. Dla zatarcia wielkiego błędu, dla pozyskania od nich przebaczenia, trzeba dać jaką rękojmią.

—Rękojmią!—zapytał pan Levrault przestraszony—wytlumacz się Tymoleonie, cóż trzeba zrobić?

— Trzeba im dowieść przez szlachetne poświęcenie, iż rzeczywiście masz wiarę w nasze zasady. Dotąd nasza sprawa nie posiadała organu; daj mi ojciec sto tysięcy franków dla utworzenia dziennika, który się będzie nazywać: *Prawda socyalna*.

—Sto tysięcy franków!—zawołał pan Levrault;—sto tysięcy dla prawdy socyalnej, dla prawdy, której zjawienia nie doczekamy; wszakżeś to sam powiedział. Sto tysięcy dla jednej prawdy, z której dotąd ani jednego słowa nie słyszałem!

— Czy mniemasz, że na to dosyć jednego dnia, jednego tygodnia? to całego miesiąca potrzeba do wytłumaczenia, co było dziełem myśli, pracą całego mojego życia! Daj mi tyle, abym miał za co ufundować *prawdę socyalną*, a nasi bracia będą cię błogosławić.

Nadaremnie pan Levrault nalegał o objaśnienie téj zagadki: Tymoleon osłonił się niedocieczoną tajemnicą, i pozostał głuchy na wszelkie zapytania.

Druga godzina po północy uderzyła. Pan Levrault zbyt późno objaśniony o prawdziwych zasadach Tymoleona, a dotyczących spadkobierstwa, żalując niezmiernie, że tak nieroztropnie rzucił się w objęcia syna, uczuł także, iż nie może mu odmawiać stu tysięcy franków, dawszy milion posagu jego siostrze. Przyrzekł więc dopomódz do założenia gazety *Prawdy socyalnej*.

Ojciec i syn rozłączyli się dla wypoczynku; pan Levrault przemyśliwając nad ocaleniem swojego worka, a Tymoleon przyrzekając sobie, od chwili kiedy się dowiedział, iż jest synem bogacza, pożegnać jak można najprędzej swoich towarzyszków, którzy objadali jego ojca.

## XVIII.

Pałac Levrault'a przeistoczył się w prawdziwe piekło. Tymoleon chciał korzystać bezwzględnie ze wszystkiego, do czego mu nadawało prawo jego nowe stanowisko. Oczekując na sumnę, jaką mu miał ojciec zaliczyć na założenie *Prawdy socyalnej*, przyjął tymczasowo kilka garści złota, i rzucił swoje bluzę w krzaki. Przeistoczony od stóp do głów, rozkazywał po pańsku, przemawiał do służących ostro i wyniosłe, sprzeciwiał się we wszystkiém margrabinie i Gastonowi, sztydził z ustereków pana Levrault, i wyrzucał bez litości swęj siostrze, jak on nazywał, niestosowne związki. Pożegnał swoich braci, i nie wspomniał już o swoim posłannictwie.

Margrabina ponizona w swęj dumie, kilkanaście razy postanowiła wrócić do zamku La Rochelandier, ale zawsze odkładała swój zamiar, gdyż nie czuła w sobie dosyć siły, do wyrzeczenia

się tego opływającego we wszystko bytu, który ją tyle ofiar kosztował: gardziła Tymoleonem, i pozostała dla czuwania nad korzyścią. Nadto, kiedy ujrzała rzeczpospolitą, której z początku samo nazwisko przestraszało, tak łaskawą dla strony zwyciężonej, dźwignęła głowę, i chwyciła się wszystkich małych intryg, już wówczas w cieniu się snujących. Gaston badał z niecierpliwością, szukał dla siebie roli, i czekał. Laura, która całe swe życie skupiła w jedną myśl, gorzko płakała niepowetowanego zniszczenia wszelkich swoich nadziei; jak gdyby dwór opuszczając Tuileries, uniósł z sobą jej wdzięki, jej piękność, młodość. Mniemała ona, że jej życie się skończyło, jej przeznaczenie chybiło.

Jednakże Tymoleon ciągle naprzykrzał się o danie mu stu tysięcy franków, które mu ojciec przyrzekł. Pan Levrault nim rozwiązał worek, chciał piérwój poznać dokładnie myśli Tymoleona. Pewnego dnia, kiedy syn natarczywie żądał przyobiecanej summy, rzekł:

— Dotrzymam mojego słowa; lecz nim wyliczę ci moje talarzy, radbym piérwój poznać, co to jest prawda socyalna.

— Powtarzam ci mój ojcie, że tego, co ci powiem, nie zdołasz zrozumieć bez osłupienia. Od przesądów między którymi zestarzałeś się, tak wielka jest przestrzeń do szczytnój myśli, jaką ci mam objawić, że nawet lękam się o twój ojcie rozum.

— A więc! — odparł pan Levrault — choćbym go miał postradać, ciekawość przewycięza. Za jakąbądź cenę pragnę poznać prawdę socyalną.

— Dotąd ograniczałem się na wyłożeniu ogółowo, do czego zmierza mój systemat. Pozostaje odślonić sposoby, którychbym użył; lecz nim rozedrę zasłonę pokrywającą tajemnicę, muszę zażądać od ojca najsolenniejszój przysięgi.

— Jakiój przysięgi — przerwał pan Levrault, który się już widział wciągnionym w towarzystwo masonskie.

— Przysięż mi ojcie — mówił dalej Tymoleon — że zachowasz dla siebie samego tajemnicę, którą ci odkryję. Idzie tu o moję chwałę. Pomyśl, że gdyby się kto dowiedział o tém, co tu wyjawię, nieochybnie użyłby na swoje korzyść prawdy socyalnej. Ja, nowy Kolumb, zostałbym pozbawiony nowego świata, który odkryłem. Przysięż mi więc milczenie najzupełniejsze, niewzruszone.

— Bądź spokojny; zachowam dla siebie samego tajemnicę, którą mi masz odkryć: przysięgam ci na to.

— Teraz mój ojciec chciój podwoić swą uwagę. Zasada, którą wskażę, jest ścisłości matematycznej; lecz jeżeli twoja rozważa choć na chwilę się zachwieje, jeżeli podczas moich dowodzeń i porównań idei, wymówisz aby jeden wyraz, całą rozprawę muszę rozpocząć na nowo.

— Słucham z wszelką uwagą.

— Tutaj każdy wyraz ma swoje znaczenie. Proszę dobrze uważać. Co każde pięć lat, wykonywanie profesyj będzie losem oznaczone. Obowiązek wzięcia udziału w ciągnienu zaczyna się po skończeniu lat dwudziestu, gdyż każdy człowiek w dwudziestym roku życia zdatnym jest do wszystkiego. Nikt nie będzie miał prawa żalić się na swój wybór, gdyż los oznaczy obowiązek dla każdego, a przytém następne ciągnięcie każdego obywatela stosownie wynagrodzi. Ponieważ tego nieodzownie potrzeba, aby wszyscy byli jednego wzrostu, jednej tuszy; a zatém co pięć lat, zanim się rozpocznie ciągnięcie, wszyscy obywatele zostaną jak najskrupulatniej zważeni; wszyscy którzy będą mniej wazyć, niż wymaga oznaczona waga, jako ideał siły i zdrowia, będą przypuszczeni do ciągnięcia losów oznaczających profesye, które wielkich trudów nie wymagają; ci zaś, którzy będą wazyć wyżej nad sprawiedliwą miarę, zmuszeni zostaną do wyciągnięcia losem zatrudnień mozolnych i większej siły potrzebujących. Tym sposobem dojdzie się powoli do zrównowazenia sił i tuszy. Jednakie pożywienie, wychowanie, wykonywanie rozmaitych zatrudnień i profesyj, utworzą między wszystkiemi tożsamość charakterów, równość absolutną w pojęciach. Niech tylko ściśle i odważnie zachowują mój systemat, a zanim dwa wieki upłyną, nie będzie na świecie tylko jeden człowiek, i jedna kobieta.

Panu Levrault zdawało się, że marzy. Mimo wątpliwości jaką miał o prawdzie socyalnej, uważałby się przecież za szczęśliwego, gdyby się mógł pozbyć Tymoleona, wyliczywszy mu sto tysięcy franków;—ale zkąd ich tu dostać? Koszta osiedlenia się w Trelade, a później zakupienie pałacu na ulicy Varennes, wyczerpały jego kapitał w gotowiznie. Największa część majątku pana Levrault umieszczona była w pewnym domu handlowym, a reszta spoczywała w papierach publicznych. Pożerany niepokojem, chodził codziennie na giełdę, i wracał z niej więcej zakłopotany. Ale tał w sobie zmartwienie, które go trawiło. Dom handlowy w którym umieścił milion jako wspólnik, zagrożony już był smutnemi wypadkami. Renty spadły do pięćdziesiąt za sto, i jeszcze mo-

gły spaść niżej. Śród takiego przerażenia, pan Levrault tracił głowę, i spieniężył po niesłychanie niskiej cenie rentę, za dwadzieścia pięć tysięcy liwrów. Nazajutrz renty się podniosły. Odкупił je w nadziei, że ciągle wzrastać będą; nazajutrz spadły jeszcze niżej. Pan Levrault zaciekał się w spekulacji giełdowej, i wkrótce znalazł się nad brzegiem przepaści. Nakoniec odebrał zastraszające wieści o domie w Elbeuf, w którym posag swój córki ulokował. Ileżto wstrząśnień i zmartwień, nie mówiąc już o głowie Karolowinga!

Pewnego dnia, podczas godziny obiadowej, margrabina siedząc na berzerce, zadumana poglądała na meble salonu, i toczyła wzrokiem po wszystkich bogactwach, jakie ją okalały.—Po tém wszystkiém—mówiła ona sobie—rzeczpospolita przeminie, i hrabia Chambord włoży na głowę koronę św. Ludwika; spodziewam się, że szczęśliwe zdarzenie uwolni nas od tego głupca Tymoleona, a majątek mojego syna dozwoli nam utrzymać godnie stanowisko na nowym dworze.

Siedząc przy kominku, Gaston w milczeniu poprawiał dopalające się główne. Laura i Tymoleon się sprzeczali. Piérwszy raz tego poranku Tymoleon swoją siostrę odwiedzał. Przepych pański w jej mieszkaniu panujący, zazdrość w nim obudził. Przejrzał on stajnie, wozownie Gastona, i wracając do siebie pytał się, dlaczego i on nie miałby jak jego szwagier prowadzić rozkosznego życia. Teraz sto tysięcy franków były dlań niewystarczające.

— Mój ojciec—mówił do Laury—każe się usilnie prosić o trzy kroć sto tysięcy franków, sądząc, że się tak łatwo od niego odcepie, i że mnie taką bagatelą wykwituje. Zastanowiłem się nad mojem stanowiskiem. Od dwudziestu siedmiu lat nic ojca nie kosztowałem. Nie wymagam już zaległości, jestem skromny w moich żądaniach. Niechaj mi tylko da to, coby mi wydzielił przy dojściu do pełnoletności, gdyby Opatrzność kierująca moimi krokami, nie rozdzieliła mnie od rodziny.

— Czy nie jesteś dosyć szczęśliwy—mówiła mu Laura—skoro cię tutaj tak pielęgnują, że się już więcej nie tułasz? Czyż nie powinienesz dziękować Bogu, znalazłszy schronienie ciche i bezpieczne? Nie radzę ci się uzalać. Na czémże ci zbywa? Jestże co takiego czego zapragniesz, aby twojemu żądaniu natychmiast zadosyć się nie stało?

— Mój Boże! moje żądania są bardzo skromne. Ty masz milion posagu; mój ojciec niech mi da pięć kroć sto tysięcy franków, a po jego śmierci porachujemy się z resztą.

Na te wyrazy margrabina nadstawiła uszy.

— Pięć kroć sto tysięcy franków, z warunkiem obrachowania się później!... Pięć kroć sto tysięcy dla apostoła! Pan Levrault, którego nazywasz ojcem, nie będzie tak głupi, aby je wyliczył. Zresztą, kto nas przekona, że jesteś jego synem? Masz na piersiach znak czerwony; jestże to dowód nieodparty?... Pierwszy śmielszy awanturnik nie mógłżeby podobnego znamienia okazać?

— Co pani mówisz o awanturniku?—krzyknął Tymoleon zacierwieniony od gniewu.—Tak jest, moje życie pełnem było niebezpieczeństw i awantur; ale za czyny do przeszłości należące rumienić się nie będę, gdyż z działań każdodziennych wyliczyłbym się potrafił. Jestem tu w swoim domu, a jeżeli żądam połowy tego, co otrzymała moja siostra w posagu, któż mnie o chciwość posądzi? Ponieważ z téj strony ze mną zaczynacie, to oświadczam, że ani piędzi z moich pretensyj nie ustąpię. Żądam pięć kroć sto tysięcy franków, wiem o tém, i później policzę się z moją siostrą.

— I cóż dalej!—przerwała margrabina z pogardą.

— Moja matko, daj pokój temu—odezwał się Gaston. I obróciwszy się do Tymoleona:

— Chciój dowieść swoich praw, mój panie; nie do nas należy o nich sądzić. Pozwól mi jednakże sobie powiedzieć, że niepomалу zostałem zadziwiony słysząc pana w ten sposób rozprawiającego. Zasady jakie wyznajesz, twoje posłannictwo, zdawały się zapowiadać, że będziesz więcej bezinteresownym.

— Nie żyjemy w czasach—odparł Tymoleon,—kiedy apostołowie dla pozyskania świata odbywali wędrówki pieszo. Teraz złoto jest jedyną dźwignią, i uchybiłbym mojemu posłannictwu, gdybym nie żądał bogactw, które do mnie należą.

Właśnie w téj chwili drzwi salonu się otworzyły, i pan Levrault wszedł, a raczej wpadł blady, pomieszany, z listem w ręku.

— Jestem zrujnowany!—zawołał.

— Zrujnowany! — zawołali nawzajem Tymoleon, Laura i margrabina.

— Zrujnowany bez ratunku!—odrzekł pan Levrault upadając na krzesło.

— A więc panie, — odezwał się Gaston bez wzruszenia—odbierz posag twojej córki.

— Posag mojej córki?—powiedział pan Levrault—przeczytaj tę wiadomość, którą właśnie odebrałem.



Posag Laury był utracony przez bankructwo.

— Nic mi nie pozostaje,—mówił dalej,—jak ofiarować wam gościnność w zamku Levrault.

—A moje sto tysięcy talarów!—krzyknął stentorskim głosem Tymoleon.—Śmierć i przekleństwo! Los zażarty wziął się mnie prześladować. Utonąć przy samym porcie! Być zrujnowanym niczego nie używszy!... Ale mój ojciec, to być nie może, nie zostałeś ze wszystkiego ogołoconym, przecie ci coś pozostać musiało?

— Pozostał mi w Bretanii zniszczony zamek, gdzie wam wszystkim ofiaruję gościnność.

— Ja mam z wami jechać do Bretanii! nigdy—krzyknął Tymoleon.—Solon *marsz-naprzód* puści się swoją drogą. Ponieważ nie możesz ojciec dać mi sto tysięcy talarów dla rozszerzenia spokojnie prawdy socyalnej, w imię Boże! wracam do mojego karabina; znajdę ja jeszcze miejsce przy stole, i pod dachem moich współbraci.

Tymoleon powiedziawszy to, wyszedł.

W ośm dni potem, Laura i Gaston, p. Levrault i margrabina, we czworo jechali dylizansem Laffitte i Caillard. Laura pozbawiona była tytułu, który sobie za posąg kupiła; Gaston zaś bogactw, które swoim imieniem zapłacił.

## XIX.

Powrót naszych znajomych do zamku La Rochelandier był tak wesołym, jak orszak pogrzebowy. I w rzeczy samej, nie było to pogrzebanie ich próżności i ambicji? Zniknął dwór, przypadły parostwa, stracone miliony, worek próżny; nawzajem się oszukano, wszystko czworo w tym handlu wystrychnęło się na dudków. Wielki Boże! cóżto za podróż była? Na tej samej drodze, na której przed kilku miesiącami widziano ich tryumfujących, pijanych radością i rozpierających się na miękkich poduszkach w pocztowej karecie; teraz każde przytulone do kącika dylizansu, milczało; nie mieli oni dla pocieszenia się lub rozweselenia, nawet powodów do wzajemnych wymówek.

Gaston i Laura nie śmieli spojrzeć na siebie. Margrabina w płaszcz otulona, opakowana futrami, ukrywając ręce w ciepły rękawek, zawstydzona jak kotka, której się mysz wymknęła, pogrążyła się w dumaniach niebardzo świetnej barwy. Niekiedy здавало się jej, że jest igraszką obrzydliwej mary; ale obecność na-

przeciw siedzącego pana Levrault, wnet przypominała i przywozowała na oczy smutną rzeczywistość. Uboga jak piérwój, wracała aby żyć w swym zameczku, mając pana Levrault na karku: otóż do czego ją doprowadziły zbyt mądre obroty. Czy uwierzycie, że z tych czworga ludzi najmniej zmartwionym, najmniej smutnym był pan Levrault. W tych ostatnich czasach tyle napotykał zgryźliwych kawalków, tyle gorzkich i kłopotliwych dni przepędził, że obecnie wzdychał tylko do spoczynku. Dla przeznaczenia nie był niewdzięcznym, i uważał się za szczęśliwego, że śród rozbicia utracił tylko swoje pieniądze. Utrata majątku uwolniła go od Tymoleona, i od poselstwa do Berlina dla rozdarcia traktatów. Dniem piérwój przed swym wyjazdem napisał i przestał ministrowi zrzeczenie się missyi tak chwalebnej. Skromne zacisze i ubóstwo, zdawały się mu teraz jedynym portem zbawienia. Nie lękał się pożarów, morderstw i rabunku; los postanników w Rasztad nie napawał go przestachem, nie widział już, nie słyszał więcej w swych arzeniach msennych naigrawań głowy Karolowingów. Nareszcie, z rozkoszą pieścił się w myśli doznany zawodem przez margrabinę; byłato najzabawniejsza strona jego upadku.

Poglądając na nią z szyderskiem obliczem, ze swoją niby dobroduszną miną, śmiał się serdecznie w duszy, i zacierał ręce, jakby się naumyślnie zrujnował, aby jój tylko wypłatać figla, i zemścić za wszystkie psoty, które od niej doświadczył. Zadolenie z uchronienia swój skóry, ruch i kołysanie pojazdu, który go unosił zdala zamętu rewolucyjnego, miły widok spokojnego życia, postać pani La Rochelandier coraz więcej się zachmurzająca, usposobiły ducha pana Levrault do niezwykłych wrażeń, nadały mu ucinowy charakter. Nigdy pocziwiec nie znajdował się w tak rozkosznym chumorze. Za zbliżeniem się do Nantes, w całej swój postaci miał coś tak pociesznego, rzeźkiego i szydnego, że to prawie do rozpaczy matkę Gastona przyprowadzało.

— I cóż! moja luba przyjaciółko,—mówił pan Levrault naśladowując pieścizotliwy głos, którego niegdyś używała margrabina pod cieniem parku w Trelade,—nareszcie docieramy do końca naszych ciężkich doświadczeń. Jeszcze kilka godzin, a ujrzymy wieżyce zamku Levrault; tam to szczęście nas oczekuje. Poznałem twe skromne chęci, nienawidzisz świata, boś go nigdy nie kochała. Zawsześ lubiła samotność i zacisze, jak inni zgiełk i czcze blaski. Wiedziałem, ile cię to kosztowało, jakiego wymagało z twój strony poświęcenia, aby wyrzec się lubyh nawy-

knień, domatorstwa; bądź przekonana, że nigdy w mém życiu nie zapomnę tak szlachetnej rezygnacyi. Raduję się z moich przygód majątkowych, prawie błogosławię cios, który we mnie uderzył, myśląc, że to wszystko wraca cię do twój ulubionej samotni, wszystkim tym słodkim pociechom, do których jesteś zrodzona. Ach! moja przyjaciółko, jakże rozkoszne życie pędzić razem będziemy w pięknym zameczku, który jestem winien twój wspaniałości. Nie znajdziesz w zamku Levrault owój świetnej gościnności, jakąś mi ofiarowała w pałacu La Rochelandier; lecz czemuż są uciechy z bogactw czerpane, w porównaniu z pociechą serca? Dobrze powiedziano, że ani złoto, ani wielkość nie robią nas szczęśliwymi. Tylko w zjednoczeniu dusz tkwi prawdziwie stan błogi; tylko w skromnych żądaniach zawarte jest prawdziwe bogactwo. Na tém się więc opierając, któż tu na ziemi może powiedzieć, że od nas jest szczęśliwszym albo bogatszym?

Margrabina zaledwie swój gniew tłumila, i na tę piękną przemowę odpowiadała tylko wzrokiem pantery, gotowój rzucić się na pożarcie swój zdobyczy.

Za nadejściem zmierzchu, lichej wózek, na który wsiedli w Nantes dla ukończenia swój podróży, zatoczył się w cichości na podwórze zamku Levrault. Zaledwie zsiadli z niego, pani La Rochelandier spiesznie przebiegła schody tarasowe, i oddaliła się do swojego pokoju, nie troszcząc się bynajmniej o swoich gości. Czula ona potrzebę swobodnego puszczenia cugli swojemu gniewowi. Widoku pana Levrault znieść nie mogła; i zaledwie młodość i piękność Laury, w oczach jój jakiś wzgląd znalazły.

Inaczéj pojmował Gaston powinności, jakie mu upadek pana Levrault nakazywał; nie potrzebował on czekać na to zdarzenie, ażeby nowe obowiązki przyjął z chęcią na siebie. Zajął się więc pomieszczeniem swój żony z tą grzecznością, jaką posiadał z wrodzonego daru. Co do pana Levrault, znajdował on się u siebie, i jak pan domu rozkazywał. Biegał, łajał służących, dawał rozkazy do przyrządzenia wieczerzy, i cały dom swoim głosem napelnił, którego dźwięki aż do uszu pani La Rochelandier wdowały dolatywały.

— Czy słyszysz?—zawołała margrabina obracając się do Gastona, który w téj chwili wszedł do jój pokoju.— Ten szaleniec bierze nasz zamek za oberżę, zamek twoich ojców, zamek La Rochelandier! Czyż niedosyć wycierpieliśmy wstydu i upokorzenia? Ten zrujnowany mieszczuch, codziennie ma zasiadać przy

naszym stole?... Jesteśmy doń przykuci jak zbrodzień do łańcucha. Każdego dnia będzie nas głuszył swojemi krzykami. I czyż to ścierpisz mój synu? Czyliż nie wynajdziesz sposobu, żebyśmy się go mogli raz na zawsze pozbyć? Do tego wszystkiego brakuje tylko zjawienia się Tymoleona. Nienawidzę tego-Levraulta. Niech będzie przekłeta owa godzina, w której jego córka pierwszy raz postawiła swe stopy na naszym progu! Jeśli Levrault tu pozostanie, oświadczam, że wyjadę do Frohsdorf.

— Moja matko—odrzekł Gaston—wszakżeś sama tego chciała. Pan Levrault używa praw, przez ciebie mu przyznanych. Pochlebiałaś jego głupstwom, potakiwałaś im, kiedy był bogatym; teraz, skoro zniszczony, podupadły, słuszném jest, aby zasiadł do naszego stołu, abys go znosiła matko. Teraz będzie na naszym chlebie; czyliż nie była na jego? Bierze nasz zamek za swoje własność, czyż jego pałacu za swój nie wzięłaś? Jeżeli by ktokolwiek śmiał uchybić względem, jakie się przynależą mojej matce, natenczas potrafię przypomnieć mu winny szacunek i poważanie; ale nawzajem spodziewam się, że moja żona, która nosi me nazwisko, będzie tu traktowaną tak samo jak ty moja matko.

Margrabina spuściła oczy, i nie miała co odpowiedzieć.

Role zostały zamienione: teraz pan Levrault królował w zamku La Rochelandier, jak dawniej margrabina na ulicy Varrennes. Nadaremnie margrabina usiłowała podburzać syna, i nakazać milczenie człowiekowi, którym tak długo rządziła. Po upływie kilku dni, zrozumiała, że trzeba się wrócić do swoich dawnych zwyczajów, to jest do podejść i oszukaństw. Przybrała więc na nowo ton pieścizotliwy, swój uśmiech ujmujący, i pochlebne obejście. Powzięła ona nadzieję, że potrafi przez swe rady oddalić niewczesnego gościa, którego nie mogła wypędzić przez brutalstwo.

Pewnego wieczoru oboje siedzieli przy kominku. Pan Levrault rozkosznie spoczywał w najlepszym krześle z całego salonu, i milcząc kiedyniekiedy rzucił szydne spojrzenia na panią La Rochelandier. Margrabina nie zwracając uwagi na te milczące drwinki, szukała myślą sposobu, jakimby skłoniła pana Levrault do wyniesienia się za próg domu, którego drzwi byłyby już dlań na zawsze zamknięte. Trzeba go było grzecznie wyprosić, obudzić w nim chęć wyjazdu; trzeba, aby zapragnął opuścić to schronienie, dla rozpoczęcia znowu czynnego życia: stanowiło to ciągle jej zajęcie, byłoto jedyną jej myślą.

— Obawiam się mój przyjacielu — odezwała się nakoniec margrabina, przybrawszy jak tylko mogła ton najśłodszy: — aby to samotne życie nie znudziło cię nareszcie. Od kilku dni zwracam na ciebie uwagę, badam cię z niespokojnością. Jesteś bladym, chudniesz widocznie, gnuśniejesz w bezczynności.

— Twoja przychylność pani w tym względzie zbyt daleko cię unosi — odrzekł pan Levrault słodziuchnym głosem; — jak teraz, nigdy się lepiej nie miałem, nigdy nie jadłem z tak dobrym apetytem. Spię spokojnie, z rana obudziwszy się słucham z rozkoszą piania kogutów, z radością pozdrawiam promyk słońca, wkradający się do mojego łóżka. Czyste powietrze którym oddycham, cichość i spokój jakie nas otaczają, wszystko mnie odżywia; zdaje się, jakbym miał lat dwadzieścia.

— Zapewniam cię mój przyjacielu, że słuszne są moje obawy; pobladłeś, schudłeś. Wiejskie życie nie zgadza się z twojém usposobieniem. Takie pojęcie jak twoje, i umysł przyzwyczajony do czynności w wielkich przedsięwzięciach, nie są stworzone do zacisza domowego. Możesz co chcieć utrzymywać, możesz wychwalać swoje położenie, ale tego we mnie nie wmówisz, czuję to dobrze, że nie jesteś obecnie szczęśliwym. Jesteś zrodzony do ruchu, do walki; niepokój jest twoją potrzebą, twoim żywiołem.

— Nie uwodź się moja lubo przyjaciółko. Niech sobie kto chce szuka walk; co do mnie, z teraźniejszego bytu jestem zupełnie zadowolony. Aby tylko przyszłość podobna była życiu jakie obecnie prowadzimy, o resztę przyjemności nie stoję; uważam się za zaspokojonego.

— Czy to być może, mój przyjacielu, abyś swojej wartości nie znał, abyś tak dziwnie pojmował potrzeby własnej natury? Bardzo dobrze uważam, że nikniesz widocznie, mimowolnie nudota cię pożera. Strzeż się mój przyjacielu; kilka bezczynnych miesięcy będą dostateczne do podkopania twego zdrowia.

— Proszę cię, uspokój się: jestem silnie zbudowany. Mój ojciec i dziadek żyli po sto lat, a i ja spodziewam się tego wieku co oni doczekać. Coś mi szepcze, moja miła przyjaciółko, że się razem zestarzejemy jak Filemon i Baucis.

— Doprawdy, muszę cię uwielbiać, a zaledwie cię pojmuję. Co za szczególne złudzenie! Mogę ci z mojej rodziny przytoczyć przerażający przykład, który nigdy z méj pamięci nie wyjdzie, a który dla ciebie powinien być zbawienną przestrogą. Jeden z moich braci, oficer marynarki, chciał jak ty w kwiecie wieku,

porzucić czynne życie; chciał również zamknąć się w tym zamku, jak ty chwalił swoje ustronie. Po upływie jednego roku, blade, wychudły, ledwie do poznania, zgasł na naszych rękach; jak ty uchybił swemu posłannictwu, a natura się za to przekroczenie pomściła. Wierzaj mi, nie usypiaj w nieroztropnej spokojności. Trzeba dla ciebie ruchu, twój umysł wymaga celu, ambicyi; dla czegoż nie miałbyś powrócić do twoich przedsięwzięć, do dawnych interesów? Dlaczego nie miałbyś myśleć o dźwignieniu twego majątku? Czyliż ta nadzieja nie uśmiecha się do ciebie? Nie byłobyż to z chwałą, gdybyś stanął na nowo w szrankach, gdybyś rozpoczął zapasy z niesprawiedliwym losem, i odzyskał przez twój gieniusz bogactwa, z których tak szlachetnie korzystać umiałeś.

— Nie słuchałem twoich rad, aby o tém pomyśleć—rzekł pan Levrault potrząsając głową.

— A więc—mówiła dalej margrabina z tryumfującą miną, która się już w myśli na tarasie zegnała z Levraultem, odjeżdżającym do wielkiego miasta—kto cię zatrzymuje, kto ci wzbrania o tém myśleć? Czy czasowe okoliczności i kredyt zachwiany? Mogąż cię zastraszać podobne przeszkody? Zbogacić się w pomyślnych czasach, jestto dziełem pospolitych umysłów; walczyć z nieufnością, nie okazać bojaźni, przygarnąć do siebie złoto, które się kryje, jestto bez wątpienia trudne przedsięwzięcie, ale godne twójego umysłu.

— Tak, bez wątpienia, to trudne usiłowanie mogłoby skutzić podobnego do mnie człowieka, ale nieszczęściem muszę go zaniechać.

— A to dlaczego?

— Jestem tylko chudopacholskim mieszczaninem, to prawda; zbogaciłem się sprzedając sukno, jak i mój ojciec w handlu przy placu Niewiniątek, nie zaprzeczam tego; ale żyć umiem, znam obowiązki jakie na mnie włożyła twoja rodzina, z którą się połączyłem. Rzeczpospolita mogła zniweczyć tytuły; dla mnie zaś zawsze jesteś margrabiną La Rochelandier. Twoje nazwisko i mego zięcia wzbraniają mi powrotu do handlowych interesów. Wiem co ci się należy, i tego nigdy nie zapomnę. Kiedy się ma honor należeć do rycerskiej rodziny, to nie wypada, aby ją znie-szlachetnić. Cóżby na to powiedzieli przodkowie twego syna, coby rzekły te wszystkie szanowne postacie, które na nas tu poglądają, które nas słuchają, gdyby teść La Rochelandiera mieszał się do handlu lub przedsiębiorstw przemysłowych? Nie posiadam herbów, ale powinienem dbać o twoje.

— Szlachetny przyjacielu, twoje skrupuły cześć ci przynoszą; jednakże zadaleko je posuwasz. Mimo głębokiego uszanowania, jakie Gaston ma dla swoich przodków, jestem przecież pewna, żeby cię widział bez zmartwienia, bez gniewu, gdybyś rozpoczął odbudowę twojej fortuny; a co do mnie, wcalebym ci tego za złe nie wzięła.

— Pojmuję szlachetna przyjaciółko wszystko, co się zawiera w twój wielkodusznej powolności; ale nie mogę, nie powinienem jej nadużywać. Zawsze wyznawałem i będę wyznawać cześć dla zwyciężonych; twój tytuł tém świętszym staje się w moich oczach, że cię rewolucya z niego odarła.

— A zatem — rzekła znowu margrabina, nie odstępując jeszcze od swojej nadziei — jeżeli nie chcesz pracować pod naszymi oczami dla przywrócenia pierwotnego majątku, jeżeli obawiasz się, aby nasze imię nie mieszało się z twoimi spekulacyami, czyż nie możesz udać się za morza, pojechać do Ameryki? Przy twój zdolności i śmiałości, kilka lat wystarczą do odzyskania tego, coś utracił, a wtedy wrócisz do nas używać owoców twego gieniuszu.

— Ameryka! nieraz o niej myślałem. Tam zaiste wielkie nieszczęścia w kilku latach się zacierają. Mam w mojej rodzinie żywy i zachęcający przykład, a który nigdy nie wyjdzie z mojej pamięci. Jeden z mych wujów, prowadzący handel materiałami aptecznymi na ulicy Lombardowej, zbankrutowawszy pojechał do Ameryki; wrócił ztamtąd po upływie lat pięciu z kolosalnym majątkiem.

— A ty jeszcze się wahasz! — zawołała margrabina. — Ach mój przyjacielu na cóż oczekujesz? Jakkolwiek szczupłą jest nasza ojcowizna, ale jeżeli na naładowanie okrętu potrzeba będzie sprzedać część naszych dóbr, to przed żadnym poświęceniem kroku nie cofniemy.

— Szlachetna przyjaciółko, poznaję po tej ofierze twoje wspaniałe serce, i będę umiał okazać się godnym twój pięknej przyjaźni.

— Takim sposobem powzięłaś już zamiar, i chcesz go wykonać?

— Tak, powzięłem nieodwołalny zamiar.

— Kiedyż więc myślisz wyjechać?

— Tak, pragnę się okazać rzeczywiście godnym twój przyjaźni; nie opuszczę cię nigdy. Czyż mogłaś aby na chwilę powątpiewać, abym się zgodził na rozdział z tak czułą przyjaciółką, z takim poświęceniem dla mnie żyjącą, tak nareszcie wierną; mogłaś

myśleć, abym pozbawił się słodyczy twój poufności, dla pożegłowania za ocean i szukania tam kilku nędznych worków pieniędzy? Mniemałaś, że palam żądzą bogactw; naucz się lepiej mnie poznać: pozostanę więc przy tobie. W mych oczach niema takiego na świecie szczęścia, któreby wyrównało widzeniu cię, słyszeniu zawsze i wszędzie.

Margrabina zaledwie oddychała, drżąc, zaledwie mogła powstrzymać krzyk wściekłości: czuła ona, że ten człowiek z którego tak długo szydziła, teraz pacy jej odwetem. Oddajmy sprawiedliwość panu Levrault: jeżeli z radością szydził z margrabiny, jeżeli z rozkoszą kosztował zerasty, przecież w jego wyrażeniach mieściła się część prawdy. Było mu dobrze w zamku Levrault; po tylu burzach i zawodach, spoczynek stanowił dla niego rzetelne szczęście, które mógł chwalić bez popełnienia kłamstwa. Podobny do rozbitka spoczywającego na brzegu, błogosławił Opatrzność za ocalenie, i nie żałował bogactw zatopionych przez morskie bałwany.

Jego poselstwo do Berlina tak nieroztropnie przyjęte, uleczyło go na zawsze ze słabości ambicyi, a nadewszystko z ambicyi dyplomatycznej. Jeżeli przypadkiem zdarzyło się mu rzucić okiem na swą haftowaną suknię, to tylko dostatecznym do rozpedzenia troski, skoro spojrzal na drucianą koszulę Franciszka I nad jego łóżkiem zawieszoną. Zamożny stan sprowadził mu tyle nudów, tyle zgiełku, że bez trudu przywykł do mierności. Szczątki posagu Laury, połączone ze szczątkami majątku La Rochelandierów, dozwalały tej małej kolonii żyć bez kłopotów: pan Levrault nie żądał też niczego więcej. Nieszczęścia rozwinęły i ukształciły jego praktyczny rozum, niespodziewaną mądrość. Tyle razy połknąwszy fatalną wędkę, tyle razy dając się uwikłać w sidła, nauczony z własną szkodą, nareszcie zmądrzał, jak ów szczupak, który z dziesięć razy chwytal za haczyk z ponętą, a teraz mija sieci i śmieje się z rybaka.

Daleki od zgiełku, poruszeń ulicznych, uwolniony od Tymoleona, którego nie spodziewał się ujrzeć, każdego dnia winszował sobie tego niczém niezachmurzonego spokoju, w którym życie upływało. Ta samotna dolina zdawała się mu błogiem schronieniem, gdzie straszne wiry rewolucyjne nie zamają pogody w niej panującej. Wszystko spokojnie żyło wokoło niego. Nierozsądne nadzieje margrabiny szybko zniknęły; Gaston daleki od podzielenia ślepoty matczyną, z niezmordowaną gorliwością pracował nad



uspokojeniem umysłów. Pojął on, że rola Wandej już się skończyła w obliczu całej Francyi, powołanej do zdecydowania o swém własnym przeznaczeniu. Jednakże pan Levrault nie wychylił jeszcze do dna całego kielicha goryczy.

Po zawieszeniu broni przez kilka dni trwającym, zawiedziona margrabina, na nowo kroki zaczepne rozpoczęła, na nowo wyzywającą postawę przybrała. Mimo tego, że pan Levrault dalekim był od niebezpieczeństwa, i nie miał żadnego powodu do zatrzymania swych zasad republikańskich, głosił je przecież, zapalczywie stawał w ich obronie, a to dla dokuczenia tym sposobem margrabinie. Między temi szczególnymi przyjaciółmi, wszystko było powodem do sprzeczek. Każdy z portretów zdobiący salon, dawał hasło do maóstwa przycinków, które jakkolwiek nie były zbyt ostre, kłuły przecież jego przeciwniczkę, jakby jęj kto dokuczał śpilkami. Prawie wszystkie wieczory spędzali razem z sobą. Dziwna rzecz! wzajemnie się nienawidzili, a nie mogli żyć bez siebie. Pomagali sobie czas zabijać, tego śmiertelnego nieprzyjaciela ludzi, żyjących w bezczynności; każde z nich w rozjątrzeniu swego przeciwnika, znajdowało niewyczerpane źródło pociechy. Margrabina przeklinała rzeczpospolitą; Pan Levrault ciągle powtarzał o zniesieniu herbów familijnych, mówił z przekąsami o tych ostatnich śladach odznaczenia się szlachty we Francyi, i pytał, czyby nie był już czas przerobić na gołębnik zębatą wieżycę, której bohatera obrona, zapisana została w kronice rodzinnej La Rochelandierów. Takie sprzeczkę bez końca, w których Gaston i Laura nie brali udziału, często do północy się przeciągały. Pewnego wieczoru, kiedy szli z zazartością w zapasy, i po raz setny wznowili wieczną kwestyą o klejnot szlachecki i wiezyce, na dosłyszany odgłos wjeżdżającej karety na dziedziniec, nagle zamilkli, i oboje spoglądali na siebie z zadziwieniem. Prawie w téjże chwili z trzaskiem drzwi się otwarły i wszedł pan Jolibois, ustrojony w trójkolorową szarfę, a za nim wkroczył do salonu brygadyer żandarmeryi. Margrabina i pan Levrault jakby przykuci do krzesełek zostali.

— O! tak!—zawołał Jolibois zakładając zwolna ręce na piersi—pięknych rzeczy się dowiaduję. Nie omyliły mnie moje przypuszczenia; przewidziałem, że zamek La Rochelandier jest gniazdem Szuanów. Nie przywódcie mnie do ostateczności. Wiem o tém, jestem pewny, że działacie przeciw rzeczpospolitej. Nie brón-

cie się, byłby to czas tracony, gdyż moi ajenci o wszystkiém mnie uwiadomili.

Pan Levrault, który w sumieniu nie miał sobie nic do wyrzucenia, spojrział znacząco na margrabinę, a spojrzenie to wyrażało: To są twoje czyny, a nie moje. Otworzył usta, aby się usprawiedliwić, ale margrabina z pośpiechem obróciwszy się do niego, rzekła:

— I cóż, nie mówiłam ci, po sto razy przepowiadałam, co dzisiaj nastąpiło. Jesteś niepowściągliwym w swój mowie; zaślepienie, zuchwalstwo posunęłoś do szaleństwa. Nie szanujesz nikogo, szydzisz z wszystkiego. Raz się rozgadawszy, już cię nic powstrzymać nie zdoła. Twój zmijowaty język, musiał wcześniej czy później ściągnąć na nas nieprzyjemne skutki. Przepowiadałam ci kilkakrotnie, a teraz moje proroctwo zupełnie się sprawdziło. Masz, na co zasłużyłeś. Co do mnie, umyvam ręce od wszystkiego, broń się jak możesz.

Zagłuszony pan Levrault, nie mógł wyrzec ani słowa; zadziwienie, gniew, oburzenie i przestach, miały naprzemian jego sercem, tłoczyły piersi jakby ogromnym ciężarem przywalone.

— Więc to pan!—zawołał Jolibois—chcesz zniweczyć stan obecny, podkopać Rzeczpospolitą—ów pigmejczyk, karzełek!...

— Ja!—wyrzekł nakoniec pan Levrault, czerwieńszy od koguciego grzebienia.—Jeżeli tu jest kto winnym, to nie ja, ale ta pani.

— To pan—przerwała żywo margrabina—pan czolgawszy się, uniżywszy przed nowym stanem rzeczy, teraz mścisz się nędznymi postępkami, za swą bojaźń, której chwilowo uległeś.

— Śmieiesz mnie pani oskarżać?... zawołał pan Levrault, nie będąc już panem siebie,—chcesz we mnie wmówić własne wyrazy, własną nienawiść. Na szczęście, moje zasady są powszechnie znane, a twoje również nie są tajemnicą dla nikogo.

— Przyznaję, że obecnego stanu nie pragnęłam, ale przyjąłam go z rezygnacją. Wysokie światło pana generalnego kommissarza, oraz szlachetne jego serce, bez trudu pojmuje, com winna méj rodzinie, i jakie tradycyjne względy wiążą mnie z jej zasadami. Nigdy jednakże nie mieszałam się do polityki, i nie jestem taką, jak pan gaduła.

— Czy słyszysz, panie Levrault — wyrzekł surowym tonem Jolibois.—Nie idzie tu już o to, co mi moi podwładni donieśli o tobie, ale cię członek twój rodziny oskarża, matka twojego zięcia. Pomimo czulej przyjaźni jaka nas łączy, nie mogę jednak dłużej ociągać się ze spełnieniem moich obowiązków: proszę iść zemną.

— Iść z tobą? gdzieś mnie chcesz poprowadzić?—zapytał p. Levrault, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach.

— Do więzienia—odpowiedział Jolibois.

— Do więzienia! krzyknął pan Levrault zbladły ze strachu, i zrobił poruszenie jakby do ucieczki; ale już brygadyer położył na ramieniu szeroką rękę, uzbrojoną w rękawicę z łosiej skóry. Widząc takie położenie biednego p. Levrault, uśmiechnęła się nieznacznie zaciekle margrabina. Kmotr Jolibois dał znak do odjazdu, i powiódł nieszczęśliwego, a następnie umieścił obok siebie w głębi powozu. Brygadyer wskoczył na siodło, powóz ruszył galopem. Nacieszywszy się jakiś czas przestachem swego więźnia, przerwał nareszcie Jolibois milczenie.

— Czegoż drżysz, mój drogi. Do szatana! mężczyzna nie tak łatwo powinien zwątpić o sobie i poddać się losowi. Czego się lekasz? Twój błąd jest wielkim bez wątpienia, nie taję przez tobą, będziesz sądzony; ale przecie ci wiadomo, że kara śmierci jest zniesiona za podobne wstępki. Najgorsza jaka cię może spotkać, jest skazanie na deportacyą.

— Deportacyą!... zawołał z westchnieniem Levrault; —jestem niewinny, ani jednego słowa niema prawdy w tém, co powiedziała ta niegodziwa margrabina. Znasz mnie mój drogi Jolibois.

— Niestety! znam cię aż nadto mój przyjacielu; twoje postępowanie mówi przeciwko tobie, stwierdza oskarżenie. Rozważ tylko: zostałem twoim obrońcą, patronem, przedstawiłem cię naczelnikowi gabinetu ministra, prosiłem, nalegałem i otrzymałem dla ciebie zaszczytną missyą, jakiej nikt dawniej nie dostał; a ty, po przyjęciu jęj, nikczemnie uszedłeś z placu, porzuciłeś swe stanowisko!.. Ty, któregoś chwalił, z odwagi przedstawiał jako lwa, umknąłeś jak bojazliwy zając? Utrzymujesz, że margrabina oskarża cię niesprawiedliwie; mówisz, że sprzyjasz teraźniejszemu stanowi kraju, a dlaczego mu nie chcesz służyć?

— Ah! mój drogi Jolibois, Bóg świadkiem, żebym był pospieszyl z radością, nawet z damą wypełnić moje poselstwo, ale w chwili mego wyjazdu, dowiedziałem się o upadku naszego majątku. Zrujnowany, nie mogłem już godnie zająć przeznaczonego mi stanowiska, musiałem odstąpić posłannictwa, które piérwój z rozkoszą przyjąłem.

— To są tylko wybiegi—odparł Jolibois.

— Mimo mojego ubóstwa, byłbym pojechał, gdybym był sam, bez rodziny; ale teraz muszę czuwać nad przyszłością mojej córki, nad zgromadzeniem resztek jęj posagu.

— Nędzne wymówki—zawołał Jolibois. Czy wiesz, co się stało przez twoją nieprzezorność i wielomówstwo? oto straciliśmy najpiękniejszą sposobność, która drugi raz może się nie zdarzyć. Musimy na długo pozostać przy naszych dotychczasowych granicach, a komu będziemy zawdzięczać to upokorzenie? tobie obywatelu Levrault, tobie samemu!

— Jeżeli tajemnica mego poselstwa została rozgłoszona, to nie mnie trzeba winić o niedyskrecyę; nikomu jój nie udzieliłem. Na wszystkie zapytania mojego zięcia, mojej córki, dotyczące drucianej koszuli, byłem niemy, niedocieczony; nie mam sobie nic do wyrzucenia.

— Nic do wyrzucenia! a więc za nic liczysz twoje zuchwałe deklamacye, twoje potajemne knowania w téj okolicy?

— Niestety! mój drogi Jolibois, przekłeta margrabina niegodnie mnie oczerniła, a za błąd, którego się nie dopuściłem, grozisz mi deportacyą!

— Mój Boże! tak, może nastąpić deportacya; to nie moja rzecz, ale sądów: trzeba żebyś sobie przybrał obrońcę. Nie ukrywam przed tobą, że twoja sprawa wymaga zręcznego obrońcy. Oto widzisz do czego prowadzi złe towarzystwo. Chciałeś się pobratać z margrabiami, teraz zapłacisz za twoje zaślepienie.

W téjże chwili, błyskawica oświeciła niebo. Grzmot zahuczał; grad pomieszany z dészczem ulewnym spadł na pola, i tłukł niemiłosiernie w szklane drzwiczki pojazdu: zaprzestano rozmowy. Pan Jolibois nagle pogrążył się w myślach i siedział milczący. Pan Levrault śledził jego wyraz twarzy niespokojnym wzrokiem, jakby chciał wyczytać swój wyrok na czole generalnego kommissarza. Burza wzrastała. Konie zaledwo postępowały po kolei zasypanej gradem i zalanéj wodą. Promień łaśki błysnął na czole Stefana Jolibois.

— Słuchaj—rzekł nareszcie jakby był nagle natchnionym—pomimo wszystkich błędów, mimo twój nikczemności, czuję, że cię jeszcze kocham; przyjaźń moja trwalszą jest, nad wszelkie doświadczenia losu. Gdybym cię oddał sądowi, już moje pośrednictwo nicby ci nie pomogło, na nicby się nie przydało; sędziowie musieliby słuchać litery prawa. Mam tylko jeden sposób do twego ocalenia.

— Jaki?—zapytał pan Levrault drżącym głosem.

— To jest uwolnić cię natychmiast. I uwalniam cię: idź mój drogi, i nie grzész więcej.

Domawiając tych wyrazów, Jolibois otworzył drzwiczki powozu. Nie czekając dłużej, pan Levrault skoczył śród kałuży, i dostał się do zamku La Rochelandier, mimo ulewnego deszczu. W przeciągu godziny przemokły do nitki, zabłocony po kostki, doszedł do bramy pałacowej i zadzwonił. Resztę zostawiam domyślności czytelnika, który łatwo odgadnie, jaką miała minę margrabina, ujrzawszy tak prędko wracającego przekłętą gościa, o którym mniemała, że się go już na zawsze pozbyła.

## XX.

Tymczasem tajemnicza zmiana spełniła się w sercach Laury i Gastona. Dwoje tych młodych ludzi nie urodziło się złemi, wychowanie skrzywiło ich dobre skłonności, ale nie do tego stopnia, aby nie mogli być uleczonemi. Gaston z początku zmartwiony ruiną majątkową swego teścia i swojej żony, uczuł teraz, że się znajduje względem nich w zupełnie odwrotném położeniu. Dług, którego nie mógł wypłacić, czyż sam przez się nie upadał? Laura podobniez myślała; każde z nich czuło, że ma ręce rozwiązane. Teraz wolni, zwrócenii własnej naturze, nawzajem się uważali; spostrzeżenia ich z ciekawości dopełniane, doprowadziły ich nareszcie do odkrycia w sobie skarbów, o których pierwój nawet nie pomyśleli. Laura, która idąc za męża, nie marzyła tylko o dworskich uroczystościach, która tracąc swą ulubioną marę, mniemała się być wskazaną na nieuleczone i bez końca nudy, spostrzegła z podziwieniem, że rozkosz wypływająca z próżności, nie jest jedyną rozkoszą tego świata. Jój próżność nie będąc podsycaną, zamarała z głodu. Przypominacie sobie, że panna Levrault pracowała z korzyścią w muzyce i malarstwie. Ulokowana w pokojach z elegancją, ale razem z prostotą przez Gastona ozdobionym, wróciła do swoich dawnych zatrudnień; talenta zaniedbane przez nią śród roztargnień wspaniałego życia, teraz pocieszały ją, rozweselały w cichój samotni, i w jój ubóstwie.

Wracała wiosna, Laura powitała ją z niespodziewaném szczęściem. I to zapewne przypominacie sobie, że jednego dnia, w kilka tygodni po przybyciu do Trelade, to jest tego samego dnia kiedy po raz pierwszy spotkała Gastona, pola i gaje zrobiły niejaki wrazenie na jój młodej wyobraźni; ale to poetyczne uczu-

cie, zbyt krótko trwało obok światowych zajęć wówczas nią wstrząsających: na tenże sam widok, tym razem jój uczucie było trwalsze, silniejsze, a natchnienie jakie dusza Laury poczuła w téj chwili, obecnie bez skutku nie pozostało. Gaston lubiący poezją, zgromadził w pokoju żony niewielką liczbę, ale doborowych ksiązek, a Laura z tajemną dumą znajdowała w tych upajających dziełach wyrażenia czyste, i dokładne jój własnych myśli, jój własnych marzeń. Codziennie rozwijało się pojęcie młodej małżonki Gastona, do jój serca coraz więcej znajdowały przystęp tkliwe, lube uczucia. Poeci odsłonili jój piękną stronę natury, a obecna w jój oczach przyroda, nawzajem nauczyła ją lepiej pojmować poetów.

Pewnego wieczora, Laura usiadła do fortepianu, kiedy Gaston przechadzał się po parku; ostatnie promienie zachodzącego słońca zagłądały przez szczeliny drzew i klombów. Kilka chwil ręka Laury przebiegała z niechcenia po klawiszach słodkiego instrumentu; nareszcie zaczęła grać jeden z prześlicznych utworów Ludwika Lacombe, *Wieczór*: tę lubą sielankę, w której poeta-muzyk opowiada z dziwną dokładnością, ze szczególną delikatnością, owe dźwięki, szemrania, owę tajemniczą rozmowę łąk i gajów, w chwili, kiedy gwiazda dnia ciemnieje. Miły poemat, zupełnie wiejski, w którym można dosłyszeć i bek trzody wracającej do owczarni, i śpiew pasterzy, i dzwonek odzywający się na *Anioł pański*: wszystkie pomieszane dźwięki przy zapadającej nocy, jakby jedną modlitwę ziemi unoszącą się do nieba.

Gaston zbliżywszy się, stanął przy oknie. Paluszki Laury zdawały się zaledwie dotykać fortepianu; wietrzyk unosił jój piękny splot włosów; jój szyja nachylona, podobna była do szyi labędzia. Gaston poglądał na żonę z podziwieniem, jakby ją pierwszy raz w swoim życiu ujrzał. Rzeczywiście w téj chwili, Laura była dlań nową kobietą. Wzruszona, rozczulona, przejęta prawie religijném uczuciem, zaczęła śpiew głośem jasnym i przenikającym psalm Marcella. Dawniej jój głos popsuty przez pieszczotę i afektację, teraz wydobywał się czysty i przejrzysty, oddając z porywającą prostotą boską melodyą natchnionego mistrza.

Kiedy przestała śpiewać, Gaston odszedł zamysłony. Pojął on całą cenę skarbu jaki posiadał, i czuł się zawstydzonym, że go tak długo nie umiał odkryć, że go tak długo zaniedbał. Czegóż było potrzeba aby uprawiać pole, na którym odkrył tyle bogactw?

Wyplenić szczątki chwastów, wykorzenieć niektóre dziecinne nawyki, lekkomyślne żądze, płytkie wyobrażenia, którym wzrość dozwolono, a które podsycano przez obojętność. Nieszczęsny los zdziałał to, czego Gaston zrobić nie umiał.

Laura, widząca tylko margrabiego w swoim mężu i nic więcej, teraz ujrzała w nim zupełnie nowego człowieka. W istocie, dawniej Gaston obchodził się z nią zbyt zimno, obojętnie; duma i bojaźń, aby nie uchodzić za pochlebiającego bogactwu zamykały mu usta i nie dozwoliły wynurzyć się z całą szczerością uczuć; ale skoro raz owa bojaźń zamarła, to też łatwo mu przyszło objawić swe dobre zamiary w głębi jego duszy dotąd spoczywające. Odtąd zaniechał on tej obojętnej grzeczności, która wszystkie popędy serca poddaje pod panowanie etykiety, otacza życie złodowaciałą atmosferą. Ów młodzieniec niegdyś lekkomyślny, zajęty tylko powozami, psami i końmi, stał się poważnym, zadumanym, rozmawiał z żoną o przedmiotach większej wagi. Słuchała go ona z obojętnością, i oskarżała nawzajem, że nie została zrozumianą. Tym sposobem prawie niepostrzeżenie doszli do miłości, której bynajmniej nie szukali; ale wspomnienia ich małżeństwa, zawartego pod wróżbą podwójnych przyrzeczeń, a które podwójnie ich zawiodły, zabijały na ich ustach poufne wynurzenia nadziei, tajemne uczucia serca, jakie się w nich zrodziły. Falszywy wstyd wstrzymywał oboje od wypowiedzenia sobie serdecznego przywiązania, obecnie ich ożywiającego; każde z osobna kochało, nie wiedząc i nie będąc pewne wzajemności; każde z tych dwojga młodych małżonków wyrzucało sobie, że nie umiało na wzajemną miłość zasłużyć.

Nareszcie Gaston rozumiał, że nadeszła chwila, gdzie niewolno mu było pozostać w bezczynności, że trzeba okazać się na koniec mężczyzną, i że jedyny sposób odzyskania serca niewiasty, jest zdobycie własnej godności. Dochody jego jakkolwiek skromne, dozwalały mu przecież żyć w Paryżu bez uszczerbku rodzinnego majątku. Postanowił więc pojechać sam do stolicy, otworzyć sobie karierę, i pracować dla wyrwania żony z tego mizernego bytu, jaki musiała znosić w zamku La Rochelandier. Cóż tedy przedsięwzięcie?—niewiadomo; ale mając lat dwadzieścia pięć, pojętność, odwagę, rachował na Stwórcę, który wspiera ludzi dobrą wolą ożywionych, i upaść im nie dozwala.

Tak rzeczy stały. Gaston jeszcze nikomu nie powierzył swoich zamiarów, kiedy niespodziewane zdarzenie, spełnienie ich na długi czas odwlekło.

Byłoto w połowie maja. Laura, Gaston, pan Levrault i margrabina kończyli skromną wieczerzę, a wtém nagle usłyszeli odgłos pomieszanych krzyków, które ich z przedpokoju dochodziły. Wkrótce wszedł parobczak do jadalnej sali z oznajmieniem, że jakiś człowiek w bluzie, z długą brodą, gwałtem wdziera się do pokoju. Prawie w téj chwili wpadł Tymoleon, powaliwszy lokaja, który mu na drodze zastępował.

— Mój syn!—mruknął p. Levrault, zasłaniając twarz rękoma.

— Nieszczęśliwy! zawołała margrabina—po coś tu przybył?

— Czy uwierzycie—rzekł Tymoleon odwracając się do ojca, i nie zwracając bynajmniej uwagi na niegościnne przyjęcie,—czy uwierzycie, że ten śniatek odważył się wzbraniać mi wejścia do salonu, a nawet do zamku Levrault? Napróżno krzychałem mu w ucho, że jestem waszym synem; wziął się wbrew mi zaprzeczając. Jestem ścigany, szukam schronienia; czyliż mi go odmówicie?

I wymówiwszy to, bez ceremonii zasiadł sobie do stołu.

— Ponieważ jesteś ścigany—rzekł młody La Rochelandier, tonem nieprzypuszczającym żadnej wątpliwości, a tém więcej odpowiedzi,—znajdziesz u nas schronienie; ale wiedz o tém, że nie jesteś u siebie, ale w moim domu. Najpóźniej w ośm dni, trzeba żebyś opuścił Francją. Później sam sobie wybierzesz miejsce dalszego pobytu, a my poniesiemy koszta twojej podróży.

Tymoleon zostawszy sam z ojcem, opowiedział mu po swemu, roztargnienie ludu w dniu 15 maja. On sam był jednym z tych roztargnionych, za co teraz jest prześladowany. Skoro skończył opowiadanie swoich wypadków od chwili rozstania się z ojcem, dodał:

— Mój ojciec—nie udało się rozszerzać méj nauki w Paryżu; przybyłem na prowincją, aby ją udzielać wiejskiemu ludowi. Rachuje na twoją pomoc.

— Ach! mój Tymoleonie—odpowiedział pan Levrault, drżąc cały ze strachu—nie znasz bretońskich wieśniaków. Prędzejby wszyscy poginęli, niżby dozwolili mówić przeciw ich panom, i dla ocalenia pól, które uprawiają w pocie czoła. Nie uwierzysz do jakiego stopnia są zaciekli: gdyby mi naprzykład przyszła ochota podpalić mój zamek, wszyscy przybiegliby na ratunek, i pótyby pracowali, dopóki nie ugasili ognia. Daj pokój, to ziarno nie przyjmie się na tutejszej ziemi.



— Jestem nieustraszony; nic mnie nie odwiedzie od przedsięwziętego zamiaru.

— Idź więc, gdzie ci się podoba.

— Bez wątpienia tak uczynię; ale chciój mój ojciec udzielić mi na drogę tego brzydkiego metalu, bez którego nawet dobrze działać nie można na tym świecie.

— Przecież wiesz, że utracił cały majątek.

— Ba! zechciój tylko ojciec poszukać, a jeszcze niejedyn stary grosz wynajdziesz.

Dla kupienia sobie spokoju, i ażeby mieć opinią człowieka wspaniałomyślnego, pan Levrault wyjął worek, i rzucił go Tymoleonowi, z wdziękiem i obojętnością margrabiego w dawnych komedjach.

W dniu następnym, jako w dniu niedzielnym, Tymoleon snuł się po sąsiedniej wiosce. Kiedy wieśniacy wychodzili z kościoła, znalazł sposobność zawiązania rozmowy z dwoma młodemi parobkami, pociągnął ich do karczmy, i kazał dać flaszkę najlepszego wina. Za ledwie usadowili się za stołem, Tymoleon zaczął im wykladać swoje zasady. Niezwykła rozmowa, długość jego brody, ściągnęła doń wielką liczbę słuchaczy.

Kiedy się już dosyć narozprawiał nad niestosownym podziałem majątków, pól, z których korzyści między gminę rozdzielone mieć zyczył, kiedy już dosięgał szczytu swęj improwizacyi, nauka jego nagle została przerwana przez jednego z wieśniaków, następującem zapytaniem:

— A więc—rzekł krępy Janek—pole, które mi ojciec zostawił w spuściznie, a które uprawiając jakoś nie lada zaokrągliłem dodawszy doń kilka morgów, a więc tego pola nie mam prawa zostawić mojemu synowi.

— Nie, bez wątpienia.

— Tym sposobem—zapytał ojciec Michał—zamiast cobym miał moje zboże wywieść na targ, i za nie oddać mojej kobięcie kilkanaście talarków, według twojego zdania powinienem podzielić się niemi z kilkoma próżniakami, wałęsającemi się w gminie, którzy przesiadują najczęściej w karczmie z założonemi rękoma?

— Powinieneś się podzielić!

— To także—pytał Maciej—gdybyśmy mieli ochotę urządzić sobie biesiadę, i potrzeba nam było ćwierci wołu, albo barana, w takim razie moglibyśmy pójść do obory i owczarni naszego pana, i tam zabrać coby się nam spodobało?

— I to także byłoby wam wolno, bo woły i owce byłyby wspólną własnością.

— A więc dla nauczania nas tylu pięknych rzeczy przyszlicie aż do nas z Paryża?— zapytał silny Franciszek.

— Tak, moje dzieci. Przybyłem was oświecić, sprowadzić wam bogactwa.

— A to smyk, grabieżca!—zawołali wszyscy słuchacze. I w téjże chwili Tymoleon został obsypany gradem kulaków i uderzeń pięści. Zbity, okryty sińcami, wygwizdany, wymknąwszy się z karczmy, uciekał co mu nóg starczyło. Wieśniacy za nim téż ścigali. Kiedy mu przyszło mijać bagna, wtedy Maciej i Franciszek zastąpiwszy mu drogę, pochwycili go w silne swoje ręce, i rzucili go w sam środek największego błota. Skoro się oddalili wieśniacy, zadowoleni udzieleniem podwójnej zapłaty za dobrą lekcją, Tymoleon wydobył się jak mógł z przykrego położenia, i wyglądając niby bożek wodny w stanie godnym litości, przykołatał się do krat zamku Levrault.

Nauka chłopów była zbawienną, gdyż musiano Tymoleona położyć w łóżko. Przesłęczawszy z tydzień o kleiku i śród bandaży, nareszcie zaprosił ojca do siebie.

— Miałeś słuszną mój ojciec—mówił Tymoleon z niepoczesną miną—uczułem silnie, że Bretania jest wskazana ażeby wiecznie pozostała w ciemnościach; wyrzekam się nawracania. Niech się pocieszy twój zięć, który mnie tak uprzejmie przyjął, gdyż opuszczam Francją.

— Gdzieś myślisz się udać—zapytał pan Levrault w duszy ucieszony.

— Do Ikaryi! jestto jedyny zakątek ziemi, gdzie prawda socyalna liczy kilku gorliwych uczniów. Tam się osiedlę, dla znalezienia spokoju, a może i szczęścia.

Mała osada zamku Levrault złożyła się dla zapłacenia kosztów podróży nowoczesnego apostoła; we trzy dni potem, Tymoleon wsiadł na okręt w Havre dla odplynienia do Kalifornii.

## XXI.

W zamku zaczął na nowo panować ruch i życie. Nic już nie powstrzymało Gastona, mógł wyjechać spokojny: dobry byt zapewniony był Laurze. Odstąpił on jęj największej części swych dochodów, zatrzymując dla siebie tylko tyle, ile nieodzowne potrze-

by wymagały. Dla siebie wyłącznie miał rozpocząć życie pełne trudów, zaparcia się i poświęceń. Nikt w zamku nie przeczuwał postanowienia, jakie młody La Rochelandier w skrytości uczynił, bo chciał uniknąć przedstawień matki, a swój zamiar miał dopiero w chwili odjazdu odkryć Laurze.

Dniem piérwój przed opuszczeniem zamku swych przodków, żenił się syn jednego z czynszowników, a Gaston wraz z Laurą przyrzekli znajdować się na tém weselu. Wsiadli więc do koczyska, i udali się do folwarku. Laura w swój muślinowej sukni i słomkowym kapeluszu, sto razy była piękniejszą niż niegdyś w Trelade i wśród salonów na ulicy Varennes, jasniejąca świetnym ubiorem. Drogę do folwarku przebyli w milczeniu; ich myśli mimowolnie skierowały się do dnia ich wesela. Za przybyciem zostali przyjęci z uniesieniem i serdecznością. Laura była wzruszoną, ogarnioną miłym uczuciem, jakie się z serc poczciwych wieśniaków mimowolnie cisnęło, jakie się na wszystkich twarzach malowało. Widziała, że jej mąż był od swych włościan kochany, a częśćka téj miłości i jej się udzielała. Szczera radość i prawdziwe szczęście jaśniało w oczach nowożeńców. Laura i Gaston poglądali na nich z pewnym smutkiem, a kiedy się ich spojrzenia spotkały, każde odwracało głowę, jakby lękali się wzajemnego odgadnienia swych uczuć.

Dwoje młodych małżonków, którzy się tego dnia pobrali, nie byli obciążeni ani tytułami, ani bogactwem; ale się nawzajem serdecznie kochali, i byli téż szczęśliwi. Laura rozpoczynając zabawę z nowożeńcem, słuchała jego z duszy płynących zwierzeń, ale słuchała je z ciekawością i ze smutkiem. Podobnie Gaston tańcząc z panną młodą, której chwilowo został powiernikiem serca, słuchał z prostotą kreślonych przez nią uczuć, roztargniony, a nawet zadumany. Tak marząc i słodko dumając przez resztę wieczoru, Laura i Gaston mówili z sobą wzrokiem, tym wymownym językiem kochanków. Jakże małej rzeczy potrzeba aby zostać szczęśliwymi; miłość do tego wystarcza, a ubóstwo równie a może częściej jak bogactwo, ma swoje chwile prawdziwej rozkoszy.

Wieczór był prześliczny, więc Laura i Gaston postanowili wrócić do domu piechotą. Wzruszeni i drżący szli obok siebie, albowiem widzieli to, o czém marzyli. Piérwszy to raz od chwili swego małżeństwa znajdowali się sami i razem wpośród pól i nocy. Gwiazdy błyszczały nad ich głowami, powietrze woniejące kwiatami niw okolicznych, powiększało jeszcze

wzruszenie ich serc dziewczycych. Nieraz na zakręcie ścieżki Laura opierając się na ramieniu męża, przytulała się do niego, jój włosy muskały twarz Gastona, ich oddech mieszał się nawzajem.

Jużto zatrzymywali się dla podstuchania ginącej w oddaleniu muzyki, albo szmeru rzeki Sevres; już zwalniali kroku, dla spojrzenia ukradkiem na siebie, słuchając uderzeń swego serca, zdziwieni i zawstydzeni, jakby byli narzeczonymi z dnia wczorajszego.

Oboje milczeli, a jednakże nigdy się lepiej nie zrozumieli. Kilkakrotnie wrywało się z piersi wyznanie wzajemnej miłości, a przecież wspomnienia ubiegłych chwil tłumily wyrazy, które konały na ich ustach; myśl, czy jedno dla drugiego nie jest obojętnem natchnęła ich bojaźnią, a ta powstrzymywała wylanie uczuć wzajemnych.

Tak przybyli do zamku nie powiedziawszy sobie ani słowa. Gaston żegnając się z Laurą na progu jój pokoju, przycisnął ją tkliwiej niż zwykle do piersi, i kilka chwil się jój przypatrywał. W dniu, po którym miał swą żonę na długi czas opuścić, powiedziałoby, że chciał wyryc jój obraz w pamięci, zaczerpać w tym pocałunku pożegnalnym siłę i odwagę, tak bardzo dlań potrzebną. Zdawało się, że Laura dopięła celu swego szczęścia; wtém Gaston oddalił się, nie mając dosyć mocy do uprzedzenia jój o swym wyjeździe.

Laura zostawszy sama, kosztowała naprzód rozkoszy upajającego uczucia, wynikającego z tego pierwszego miłosnego uścisku. Siedząc przy otwartém oknie, pogrążyła się w dumanii; na widok pogodnego nieba i gwiazd błyszczących, zdawało się jój, że powietrze nigdy nie było tak czyste, tak woniejące; czarujący obraz nocy podwajał wzruszenia Laury, i wszystkie jój umysłowe władze. Wkrótce niepokój zajął miejsce szczęścia. Co miało znaczyć to pomieszanie Gastona? ten jego konwulsyjny uścisk? Dlaczego Gaston wybiegł z pośpiechem przytuliwszy ją do piersi? Miłość jest bojaźliwa, byle czém się niepokoi; owa młoda kobieta niegdyś tak obojętna, która nieraz widziała wychodzącego męża, nie robiąc sobie zapytania gdzie on idzie; która nigdy nie oczekiwała dla dowiedzenia się, co on robił przez dzień cały: teraz przypomniała sobie z przerażającą dokładnością wszystkie wyrazy, jakie Gaston wymówił od chwili powrotu do zamku La Rochelandier.

Zmieniona postać Gastona, jego roztargnienie, zbacza-  
jące odpowiedzi, kiedy się toczyła rozmowa o przyszłości: wszy-  
stko ją uprzedzało, że knuł jakieś zamiary, które chciał przed  
nią zatrzymać w tajemnicy. Wyobraźnia Laury powiększała je-  
szcze niebezpieczeństwo, jakie przewidywała wśród samotności  
i milczenia. Już od dwóch godzin małżonka Gastona w stanie  
gorączkowym zostawała, siedząc ciągle przy otwartém oknie,  
kiedy spojrzawszy do parku, ujrzała błyszczące światło w poko-  
ju męża, z którego okno na taras ogrodowy wychodziło. A więc  
Gaston nie spał jeszcze. To długie czuwanie, w każdym innym  
razie byłoby ją bynajmniej nie zastanawiało, ale teraz wprawilo  
ją w najwyższą niespokojność. Uniesiona nieodpartą siłą, Laura  
pobiegła do pokoju męża.

Właśnie Gaston skończył przygotowania do podróży, i za-  
bierał się do napisania listów, tak do swój matki, jako téż do  
żony, kiedy weszła Laura, blada, drżąca, z rozwianym włosom.  
Za jednym rzutem oka wszystko zrozumiała.

— Odjeżdżasz! — rzekła drżącym głosem.

A kiedy Gaston wahał się z odpowiedzią:

— Sam odjeżdżasz, bezemnie?... nie chcesz mi powierzyć  
swoich zamiarów? Rozumiem, nic cię już przy mnie nie zatrzy-  
muje. I dlaczegóżbyś miał do mnie się przykuwać? Nie ko-  
chasz mnie, wiem o tém; nie przybyłam tu aby ci robić wyrzuty  
za twoją obojętność; ale jestem twoją żoną, nie mogę się więc  
zapytać, co myślisz przedsięwziąć? Czyż zamierzasz utaić prze-  
demną gdzie udać się postanowiłeś?

Gaston ujął rękę swój żony, i posadziwszy ją na kola-  
nach, rzekł:

— Posłuchaj moje dziecię: dotąd źle żyłem, trwoniąc bez-  
czynnie najpiękniejsze lata mojej młodości. Teraz czuję wielkość  
popelnionego błędu; ale czas, aby go naprawić. Wykształcenie  
naukowe jakie odebrałem, głupia duma mojej rodziny, z bezczyn-  
ności uczyniła kardynalny warunek honoru. Jestem niczém, i ru-  
mienię się przed sobą samym. Chcę powstać z upadku, zmienić  
moje położenie. Każdy człowiek powinien odkryć w sobie boga-  
ctwo, niezależne od trafu losu. Odjeżdżam, udaję się do Paryża,  
aby tam wyszukać sobie miejsca stosownego do moich sił i zdol-  
ności. Praca była i będzie zawsze wynagradzana; ufam téj pra-  
wdzie, a raczej temu prawu, w które dotąd nie wierzyłem.

— I odjeżdżasz bezemnie!

— Wierzaj mi kochane dziecię, że gdybym mógł zdziałać coś dla twego szczęścia, nigdybym cię nie opuścił; ale cóż uczynić mogę? Tego, czegoś we mnie szukała, już teraz nie posiadam.

— A jaż nic nie straciłam?—odpowiedziała Laura spuszcza-  
jąc oczy.

— Nie, moje dziecię, nic nie utraciłam—odparł Gaston czule przyciskając żonę do piersi.—Los nie mógł ci wydrzeć wdzięków twój młodości. Gdybyś mnie kochała, powiedziałbym: Jedźmy razem, pójdź podzielać moje życie, pełne trudów i niedostatku. Będiesz moją pociechą, mojem szczęściem. Twoja obecność podwoi mą odwagę. Czując cię obok siebie, pracując dla ciebie, zapomnę o mém ubóstwie. Ale ty mnie nie kochasz, nigdyś nawet nie kochała; wszak prawda mój Aniele. Bo i za cóż miałabyś mnie kochać, cóż zrobiłem w ciągu naszego pożycia, ażeby zasłużyć na twoję miłość?

— Pojedziemy razem!—zawołała Laura wieszając się mężowi u szyi.—Byliśmy oboje nierozsądni, a raczej dwoje rozpieszczonych dzieci. Bóg nas upokorzył; ale on nam przebaczył, bo nas natchnął miłością.

W téj chwili Laura i Gaston uczuli mimowolnie lżę spadającą po licach, i długo jeszcze pozostali razem. Nim opuścili zamek La Rochelandier, chcieli się piérwój okazać odrodzeni, czysti i wolni od wszelkiej żądzy, jaką czuli pod cieniem pałacu Treladé, w obliczu téj spokojnej doliny i gajów, owych świadków ich płochości, a teraz szczęścia i radości. Po odbyciu takiej pielgrzymki w okolicy, odjechali pewnego poranku, przy wschodzie słońca, kiedy jeszcze wszyscy w zamku w głębokim śnie byli pogrążeni.

\* \* \*

Margrabina i pan Levrault nie mogąc przyzwać na pomoc miłości, aby się pocieszyć, oskarżywszy swe dzieci o niewdzięczność, rozpoczęli dawne z sobą niesnaski, odnowili uszpięcone targi, jakby nieskończoną partya rumel pikiety. W téj chwili, kiedy kończycie tę powieść, partya między niemi jeszcze trwa nierozegrana. Pan Jolibois zasiadając czasowo na ławkach zgromadzenia narodowego, następnie zniknął w cieniu tłumu, jak wielu z jego kolegów; postradawszy swoich klientów, pocieszał się lepszą przyszłością. Pan Kasper Montflanquin chcąc uprzyjemnić wolne chwile swego konsulatu, których miał podostatkiem, wykladał grę rulety i lancknechta dzikim mieszkańcom Oceanii.



MATERIAŁY DO STATYSTYKI  
**KRÓLESTWA POLSKIEGO.**

PRZEZ

*Ludwika Wolskiego.*

(Dalszy ciąg).

---

LUDNOSC.

**Długość życia.**

Naturalną granicą życia ludzkiego zdaje się być lat 80 do 90; mało ludzi przeżyje dalej, większa ich część umiera nie doszedłszy wieku tego. Jednak zdarzają się przykłady szczególnie długiego życia. Według Makrobiotyki dra. Huffelanda, Keutering, znany pod imieniem Saint-Mungo, założyciel biskupstwa Glasgen, żył lat 185; w r. 1670 umarł H. Jenkins w hrabstwie York licząc 169 lat wieku; Th. Parre, ubogi wieśniak angielski zmarły r. 1635, liczył 152 lata; Duńczyk Draakenberg, majtek, zmarł r. 1773 w 146 roku życia swego. W Statystyce Europy p. F. Kozłowski przytacza: Piotra Czarten, który zmarł w Węgrzech r. 1724, mając 185 lat życia; Jana Rowin lat 172 i jego żonę liczącą 164 lata wieku.

Wykaz zmarłych w r. 1841 pokazuje nam, że i w kraju naszym ludzie dochodzą późnej starości: mających więcej jak sto lat umarło w jednym roku siedmdziesiąt ośm. Uważając szczegółowo podług miejscowości, następnie liczba ta się rozkłada:

W dawnéj gubernii :	W wieku lat					
	od 100 do 110		od 110 do 120		od 120 do 125	
	mężcz.	kobiét	mężcz.	kobiét	mężcz.	kobiét
Kieleckiej . . . . .	„	1	„	1	„	„
Sandomierskiej . . . . .	3	1	1	1	„	„
Kaliskiej . . . . .	12	9	„	„	„	„
Mazowieckiej . . . . .	2	7	1	1	„	1
Podlaskiej . . . . .	2	„	„	„	„	„
Lubelskiej . . . . .	4	5	1	„	„	„
Augustowskiej . . . . .	2	5	„	1	„	„
Płockiej . . . . .	3	5	1	1	„	„
W mieście Warszawie . . . . .	„	7	„	„	„	„

czyli razem mężczyzn 32, kobiet 46. Widzimy więc, że w późnym wieku więcej umiera kobiet niż mężczyzn. Stosunek umarłych mężczyzn do kobiet jest jak 3 : 4, a tylko kobieta jedna w roku 125 umarła; widać więc z tego, że kobiety dłużej żyją.

W Warszawie i dawnéj gubernii podlaskiej już nie znajdujemy zmarłych w wieku wyżéj nad lat 110, wtenczas, kiedy w mazowieckiej jest ich trzech, w sandomierskiej i płockiej po dwóch, w kieleckiej i augustowskiej po jednym. W kaliskiej nie znajdujemy téż wprawdzie osób zmarłych w tym peryodzie życia, ale za to liczba ich w wieku od 100 do 110 lat wynosi 21 i przewyższa liczbę wszystkich zmarłych w każdej szczegółowo gubernii.

Dr. Huffeland w Makrobiotyce swojej przedmiot ten wszechstronnie rozważa, gruntując wszystkie swe postrzeżenia i wnioski na liczbach. Wymienia on tam osoby, które w różnych czasach, w różnych miejscach dosięgły późnej starości, roztrząsa ich sposób życia, okoliczności w jakich się one znajdowały, i na zasadzie tego podaje gruntowne zasady przedłużenia życia.

Nie możemy się wstrzymać, aby w tém miejscu nie przytoczyć kilku uwag z dzieła z taką umięjetnością, i gruntowną rozważą skreślonego.

Na długość życia, według znakomitego lekarza tego, ma wpływ klimat czyli położenie kraju. Na czele krain pod względem długości życia stoją: Szkocya, Szwecya, Norwegia, Dania, Prusy, Anglia, środkowe okolice państwa rossyjskiego i niektóre oddziały Węgier. W tych krajach żyli w różnych czasach ludzie najpodeszlejszego wieku, bo po lat 130, 140 i 150. Zpomiędzy 1712 przykładów późnej starości, 170 są wzięte ze Szkocyi, a między niemi 180letni starzec z księstwa Kentu. W państwie rossyjskiem w roku 1801



umarło dwunastu żyjących lat 120, dwóch żyjących lat 121, jeden żyjący lat 123, jeden żyjący lat 124, dwóch żyjących lat 125, dwóch żyjących lat 128, i czterech żyjących lat 130; zaś w r. 1804 umarło trzydziestu czterech w wieku od lat 110 do 115, trzydziestu sześciu od 115 do 120, piętnastu od 120 do 125, pięciu od 125 do 130, a jeden między 140 i 150 latami.

Lubo północna strefa podeszłemu wiekowi tak sprzyja, jednak zawysoki stopień zimna niemal w odwrotnym jest stosunku z trwałością życia. W Islandyi i północnych częściach Azji (Syberyi) najdłużej ludzie żyją od 60 do 70 lat.

Prócz Anglii i Szkocyi, jeszcze i Irlandya słynie ludźmi późnego wieku. W jednym dość mierzalnym miasteczku Dunsdorf w Irlandyi, liczone 80 osób przeszło 80letnich, a Bakon mówi: że nie ma w całym kraju żadnej wioski, w którejby nie można znaleźć ośmdziesięcioletniego starca.

We Francyi nietyle bywa podeszłych starców; jednak w r. 1757 umarł tam pewien człowiek, mający lat 121.

Toż samo co do Włoch, gdzie jednak są przykłady podeszłej sędziwości w północnych prowincjach i Lombardyi. W Hiszpanii zdarzają się, lubo rzadkie, przykłady ludzi do 110 lat żyjących.

Piękna i zdrowa Grecya słynie zawsze z osób podeszłego wieku; nawet w Egipcie i Indyach Wschodnich trafiają się przykłady bardzo długiego życia; kilka okolic Węgier uchodzą za przyjazne długiemu życiu ludzi. Niemcy mają bardzo wiele sędziwych osób, ale mało przykładów nadzwyczajnej starości. Znajdują się i w Holandyi, ale w małej liczbie. W tym kraju życie stuletnie jest bardzo rzadkie.

Nieobojętną będzie rzeczą przytoczyć tabelę, którą ułożył Dr. Huffeland ze zbioru przykładów p. Supeint. Schröter, tyczących się rozmaitej długości życia ze względu na stan i rodzaj zatrudnień.

Zpomędzy 744 ludzi, którzy 80 lat przeżyli, było: aptekarzy 2, lekarzów 6, astronom 1, wieśniaków 87, mieszczan 55, poetów 3, książąt i hrabiów 5, ogrodników 4, duchownych 26, rękodzielników 8, rzemieślników 71.

Z ostatnich, którzy największe dali przykłady długiego życia, było: piekarzów 3, rzeźników 4, garbarzów 2, młynarzów 3, krawców 3, szewców 5, pończoszników 11, cieśli 3.

Daliej w powyższej liczbie 744 osób, było: akuszerów 2, pastuchów 3, marszałków dworu 3, kardynałów i biskupów 6, kupców 11, malarzów 3, majtków 2, muzykantów 2, ekonomów 10, ofice-

rów 21, a między tymi feldmarszałków 3, papież 1, filozofów 18, prawników 23, nauczycieli 4, żołnierzy 12, ministrów 4, grabarz 1, chirurgów 6. Z następujących rzemieślników: białoskórników, powoźników, malarzy, drukarzy, kotlarzy, górników i hutników nie ma żadnego przykładu długotrwałości. Nawet górnicy i hutnicy szczególnie odznaczają się krótką trwałością życia.

Zdawałoby się, iż lekarze, podając innym tyle środków zachowywania zdrowia, zajmować powinni znakomite miejsce w rocznikach długiego życia. A jednak Dr. Huffeland podaje, że nieszczęściem inaczej się dzieje. Do nich szczególnie zastosować można: *aliis inserviando, consumuntur; aliis medendo, moriuntur*. Między praktycznymi lekarzami śmiertelność jest bardzo wielka i większa, jak w innym jakimkolwiek zawódzie. Oni najmniej mogą się stosować do prawideł higieny, które innym przepisują; przycém mało jest powołań, któreby zarazem tak wielkie ciała i duszy niszczenie za sobą pociągaly. Głowa i nogi muszą zawsze wspólnie pracować. Jednak tylko w pierwszych dziesięciu latach praktyki śmiertelność jest największa. Lekarz, który je szczęśliwie przepędził, nabywa pewnego hartu i nieczułości na mozoly i chorobliwe przyczyny; przez nawykienie, nawet szkodliwe wyziewy i zaraźliwe jady stają się mniej niebezpiecznymi; mniej go już obchodzą codzienne, serce rozdzierające widoki, tysiączne niesprawiedliwości i moralne zgryzoty, jego powołaniu towarzyszące; i lekarz, który czas próby swojej szczęśliwie wytrzymał, może dojść do podeszłej sędziwości, czego dalej doktor Huffeland przytacza przykłady.

J. dr. Kasper podaje różnice, jakie różność sposobów zatrudnienia sprawia w długości życia. Wynałazł on następne wyrazy na długość życia.

Średnia długość życia wszystkich ludzi jest lat 29, miesięcy 6; sposoby zatrudnienia następnie ją przedłużają:

Teologowie.	Średnia długość lat	65	miesiące	1
Negocjanci.	—	62	—	4
Urzędnicy..	—	61	—	7
Rolnicy...	—	61	—	5
Wojownicy	—	59	—	6
Adwokaci.	—	58	—	9
Artyści...	—	57	—	3
Nauczyciele	—	56	—	9
Medycy ..	—	56	—	8

Lecz to wypada dla tych tylko osób, które należąc do klasy zamożnej, unikły przytém burzy młodości. A i tak nie twierdzimy stanowczo, aby stosunki te wszędzie w różnych krajach mogły mieć miejsce.

Opinia publiczna bardzo często źle uważa prawdopodobieństwo przypadków śmierci, na jakie pewne sposoby życia mają narażać. Mniemają naprzykład, że wszystkie niebezpieczeństwa gromadzą się przeciw żeglarzowi; jestto prawda, nieszczęśliwe przypadki dużo zabierają ludzi, których morze jest żywiołem, lecz ci co ich unikną, zyskują na długim życiu. R. 1812 w Portsmouth odbyła się rada złożona z dwunastu admirałów angielskich, których summa wieku wynosiła 1,000 lat; mieli oni udział we wszystkich bitwach morskich naszego, a części i ubiegłego wieku.

### *Srednia długość życia.*

Zanim podamy tu data pod tym względem, za konieczne uważamy kilka zasadniczych przytoczyć uwag.

Jeżeli summę wszystkich lat, jakie pewna liczba ludzi przeżyła, rozdzielimy przez liczbę tych ludzi: iloraz ztąd otrzymany będzie *średnią długością życia*. Bliżej to objaśniamy: bierzemy ludzi żyjących lat 100, jest ich np. 67; ponieważ każdy z nich przeżył lat 100, więc wszyscy razem przeżyli lat  $100 \cdot 67 = 6,700$ ; dalej bierzemy ludzi w 99 roku, jest ich np. 173, przeżyli więc lat 10,494 i t. d. Iloczyn więc 6,700, 10,494 i wszystkie inne otrzymane dla każdego wieku życia dodajemy do siebie, summę ich dzielimy przez liczbę osób  $67 + 106 +$  i t. d., a iloraz ztąd otrzymany będzie *średnią długością życia*. Jestto jedyny sposób praktyczny, chociaż niezupełnie dokładny; właściwie może on mieć miejsce wtedy tylko, gdy ludność przez cały naprzykład wiek jest stała, nieuległa powiększaniu ani zmniejszaniu; gdy urodzenia są zawsze jednokie i zawsze równe śmiertelności, albo przynajmniej gdy zmiany te są bardzo małe. Przy znacznych zmianach już sposób ten nie jest dokładny; już trzeba mieć wzgląd na każdoroczne urodzenia i zejścia; lecz gdy do tego potrzebaby wykazów podobnych przynajmniej z lat stu, a takowe niewszędzie znajdują się kompletnymi, poprzestać więc należy na podanym sposobie obliczenia *średniej długości życia*, i ten téż jest powszechnie przyjęty.

*Srednią długość życia* uważaliśmy dla wszystkich ludzi, poczynając od pierwszych chwil życia; można ją wszakże uważać i od in-

nego jakiegokolwiek wieku. Pytamy się naprzykład: jaka jest średnia długość życia, poczynając od lat 10, 20 i t. d. Stosunek całkowitej liczby lat życia wszystkich ludzi poczynając od danego wieku, do całkowitej liczby tych ludzi, da *średnią długość życia wieku*, który rozważamy.

*Prawdopodobna długość życia* jestto liczba lat, po upływie której znajdziemy tylko połowę ludności w danym wieku. Naprzykład: w czternastym roku życia jest 58,711 osób; połowę ich, to jest 29,356 znajdujemy w roku pięćdziesiątym czwartym, więc prawdopodobną długością życia osób tych jest lat 54, czyli, że jeszcze żyć mogą lat 40 i miesięcy 4.

Wyrażenie więc *prawdopodobna długość życia* uważać należy za skrócenie wyrażenia: wiek w którym równa jest liczba przypadków dojścia lub niedojścia jego dla ogółu ludzi, a odnosząc to do pojedynczego człowieka, powiadamy: że on jeszcze może żyć taką a taką liczbę lat. Na tém gruntują wszelkie ubezpieczenia życia.

*Niebezpieczeństwo roczne* albo prawdopodobieństwo zakończenia życia w tym samym roku jest szczególnym przypadkiem prawdopodobnej długości życia; otrzymuje się ono z rozdzielenia liczby zmarłych danego wieku przez całkowitą ludność wieku tego; jestto wprost stosunek śmiertelności każdego roku życia.

Przystępujemy do przedstawienia dat pod powyższemi względami. Chociaż właściwie zadania względem wyznaczenia średniej i prawdopodobnej długości życia nie należą do statystyki, lecz są częścią arytmetyki politycznej; zamieszczamy je wszakże jako wyprowadzone z dat statystycznych, a więc wykazujące tak wszechstronne zastosowanie tej umiejętności.

Przedstawi je następną tabella długości życia:

Lata życia	Ogólna liczba zmarłych w czasie od 1837 do 1841 włącznie	Liczba osób żyjących w każdym roku	Liczba zmarłych z ludności rubryki 3	Prawdopodobna długość życia		Niebezpieczeństwo roczne
				lat	mies.	
Od 0 do 1	184,602	100,000	22,438	29	1	0,2244
— 1 — 2	66,807	77,562	6,837	42	1	0,0887
— 2 — 3	35,602	70,725	3,335	45	4	0,0474
— 3 — 4	21,989	67,390	2,017	45	11	0,0299
— 4 — 5	16,468	65,373	1,541	45	9	0,0236
— 5 — 6	11,738	63,832	1,186	45	5	0,0186

Lata życia	Ogólna liczba zmarłych w czasie od 1837 do 1841 r. włącznie	Liczba osób żyjących w każdym roku	Liczba zmarłych z ludności rubryki 3	Prawdopo- dobna dłu- gość życia		Niebezpie- czeństwo roczne
				lat	mies.	
Od 6 do 7	9,010	62,646	997	45	0	0,0159
— 7 — 8	6,643	61,649	608	44	7	0,0098
— 8 — 9	5,225	61,041	560	43	11	0,0091
— 9 — 10	4,791	60,481	498	43	3	0,0082
— 10 — 11	4,201	59,983	450	42	7	0,0071
— 11 — 12	3,940	59,533	426	41	10	0,0071
— 12 — 13	3,826	59,107	396	41	1	0,0067
— 13 — 14	4,923	58,711	495	40	4	0,0084
— 14 — 15	3,045	58,216	344	39	7	0,0059
— 15 — 16	2,541	57,872	327	38	9	0,0056
— 16 — 17	2,895	57,545	380	38	0	0,0065
— 17 — 18	4,215	57,165	504	37	1	0,0088
— 18 — 19	4,288	56,661	625	36	4	0,0110
— 19 — 20	4,044	56,036	585	35	7	0,0104
— 20 — 21	3,798	55,451	546	34	11	0,0098
— 21 — 22	4,227	54,905	592	34	2	0,0108
— 22 — 23	3,760	54,313	552	33	6	0,0101
— 23 — 24	4,450	53,761	666	32	11	0,0124
— 24 — 25	4,118	53,095	633	32	3	0,0119
— 25 — 26	3,730	52,462	585	31	8	0,0111
— 26 — 27	2,965	51,877	481	31	0	0,0093
— 27 — 28	4,008	51,396	662	30	6	0,0129
— 28 — 29	4,248	50,734	665	29	3	0,0131
— 29 — 30	4,838	50,069	650	28	10	0,0129
— 30 — 31	5,430	49,419	861	28	2	0,0174
— 31 — 32	4,362	48,558	677	27	6	0,0139
— 32 — 33	3,878	47,881	590	26	10	0,0123
— 33 — 34	3,493	47,291	598	26	2	0,0126
— 34 — 35	4,623	46,693	769	25	5	0,0164
— 35 — 36	4,363	45,924	807	24	9	0,0176
— 36 — 37	4,606	45,117	848	24	2	0,0188
— 37 — 38	5,726	44,269	717	23	7	0,0162
— 38 — 39	5,753	43,552	989	22	10	0,0227
— 39 — 40	6,031	42,563	1,019	22	4	0,0239
— 40 — 41	6,121	41,544	1,025	21	10	0,0246

Lata życia	Ogólna liczba zmarłych w czasie od 1837 do 1841 r. włącznie	Liczba osób żyjących w każdym roku	Liczba zmarłych z ludności rubryki 3	Prawdopo- dobna dłu- gość życia		Niebezpie- czeństwo roczne
				lat	mies.	
Od 41 do 42	5,768	40,519	964	21	4	0,0238
— 42 — 43	4,210	39,555	672	20	11	0,0169
— 43 — 44	4,005	38,883	864	20	3	0,0222
— 44 — 45	4,617	38,019	643	19	9	0,0169
— 45 — 46	5,100	37,376	819	19	1	0,0219
— 46 — 47	4,995	36,557	832	18	7	0,0227
— 47 — 48	6,182	35,725	1,057	18	0	0,0296
— 48 — 49	6,162	34,668	1,097	17	7	0,0316
— 49 — 50	6,018	33,571	1,232	17	3	0,0367
— 50 — 51	5,701	32,339	1,005	17	0	0,0310
— 51 — 52	5,337	31,334	852	16	5	0,0271
— 52 — 53	4,661	30,482	810	15	9	0,0266
— 53 — 54	5,281	29,672	1,003	15	2	0,0338
— 54 — 55	5,345	28,669	1,019	14	7	0,0355
— 55 — 56	4,498	27,650	860	14	2	0,0311
— 56 — 57	4,855	26,790	874	13	7	0,0327
— 57 — 58	5,653	25,916	1,062	13	0	0,0409
— 58 — 59	5,934	24,854	1,010	12	6	0,0406
— 59 — 60	5,880	23,844	1,123	12	0	0,0471
— 60 — 61	5,986	22,721	1,105	11	6	0,0486
— 61 — 62	5,401	21,616	1,013	11	4	0,0468
— 62 — 63	4,956	20,603	979	11	0	0,0475
— 63 — 64	4,517	19,624	829	10	9	0,0422
— 64 — 65	4,409	18,795	939	10	4	0,0499
— 65 — 66	4,224	17,856	869	10	0	0,0492
— 66 — 67	4,127	16,987	881	9	7	0,0519
— 67 — 68	5,062	16,106	1,102	9	3	0,0684
— 68 — 69	4,644	15,004	1,012	9	2	0,0674
— 69 — 70	4,820	13,992	1,042	9	0	0,0745
— 70 — 71	4,697	12,950	1,030	8	8	0,0798
— 71 — 72	3,978	11,920	873	8	5	0,0732
— 72 — 73	3,257	11,047	710	8	0	0,0642
— 73 — 74	2,970	10,337	709	7	7	0,0686
— 74 — 75	2,828	9,628	724	7	3	0,0752
— 75 — 76	2,934	8,904	712	7	0	0,0799

Lata życia	Ogólna liczba zmarłych w czasie od 1837 do 1841 r. włącznie	Liczba osób żyjących w każdym roku	Liczba zmarłych z ludności rubryki 3	Prawdopodobna długość życia		Niebezpieczeństwo roczne
				lat	mies.	
Od 76 do 77	2,155	8,192	579	6	10	0,0707
— 77 — 78	3,049	7,613	745	6	9	0,0978
— 78 — 79	2,650	6,868	636	6	8	0,0926
— 79 — 80	2,647	6,232	686	6	8	0,1101
— 80 — 81	2,475	5,546	617	6	8	0,1112
— 81 — 82	1,903	4,929	482	6	8	0,0978
— 82 — 83	1,624	4,447	431	6	6	0,0969
— 83 — 84	1,514	4,016	385	6	3	0,0958
— 84 — 85	1,070	3,631	302	5	11	0,0832
— 85 — 86	1,238	3,329	369	5	8	0,1109
— 86 — 87	885	2,960	272	5	6	0,0919
— 87 — 88	1,027	2,688	318	5	3	0,1183
— 88 — 89	1,002	2,370	298	5	1	0,1258
— 89 — 90	896	2,072	269	4	9	0,1298
— 90 — 91	720	1,803	221	4	4	0,1225
— 91 — 92	630	1,582	196	4	0	0,1239
— 92 — 93	575	1,386	176	3	5	0,1269
— 93 — 94	659	1,210	234	2	9	0,1934
— 94 — 95	641	976	180	2	4	0,1844
— 95 — 96	553	796	249	1	9	0,3128
— 96 — 97	436	547	193	1	5	0,3528
— 97 — 98	472	354	181	1	0	0,5113
— 98 — 99	295	173	106	0	9	0,6163
— 99 — 100	187	67	67	0	6	1,0000

Tabella ta ułożona została na zasadzie wykazów śmiertelności w latach 1837 do 1841 włącznie. Naprzód z tych wszystkich lat wzięta była ogólna liczba umierających, a z uwagi, że ludność nie jest stała, lecz ulega powiększeniu, wszystkie liczby przeprowadzone zostały przez stosunek wzrostu ludności. Wzrost ten następnie obliczony:

Z początkiem r. 1837 ludność kraju wynosiła głów . . .	4,251,334
W ciągu lat od 1837 do 1841 włącznie:	
Urodziło się . . . . .	1,035,487
Zmarło . . . . .	693,643

Ludność więc powiększyła się o 341,844  
 tojest w stosunku 8,04% czyli kaźdo-  
 rocznie w stosunku 1,0156%.

W ciągu tych lat pięciu ubyło ludności. 45,475

Z końcem więc r. 1841 ludność wyno-  
 siła głów . . . . . 4,547,703

cośmy widzieli w tabelli wzrostu ludności.

Układ tabelli długości życia (1) łatwo daje się zrozumieć: ru-  
 bryka pierwsza oznacza wiek życia, druga, całkowitą liczbę zmarłych  
 w tym wieku z lat 1837 do 1841; trzecia, liczbę osób żyjących  
 w danym wieku, biorąc liczbę dzieci w wieku od lat 0-1 za 100,000;  
 zresztą nadpisy w kaźdej rubryce dostatecznie wyjaśniają znaczenie  
 liczb nią objętych.

Odbyszy z liczbami tabelli téj działania w sposób powyżej  
 wskazany, znajdujemy, że średnia długość życia w kraju naszym wy-  
 nosi lat 35 miesięcy 8.

Prawdopodobną długość życia wskazuje tabella. Z niej wi-  
 dzimy: że dla rodzącego się dziecka prawdopodobna długość życia  
 jest lat 29 miesiąc 1; w latach następnych prawdopodobieństwo to  
 powiększa się, a w czwartym roku życia jest maximum i wynosi  
 lat 45 miesięcy 11. Odtąd ciągle stopniowo się zmniejsza.

Niebezpieczeństwo roczne także jest znaczne dla dzieci nowo  
 narodzonych, potem coraz się zmniejsza i nareszcie w roku szesna-  
 stym jest najniższe. Od tego roku zwolga się powiększa; lecz  
 w późniejszym wieku, po ośmdziesięciu naprzykład latach, wzrost  
 jego jest bardzo szybki.

Średnia długość życia obliczona z wykazów lat 1837 do 1841  
 wynosi lat 35, miesięcy 8; we Francyi w tym czasie była: w r. 1836  
 lat 33, miesięcy 9; w r. 1841 lat 35.

Średnia długość życia nie jest stałą, nie jest jednaką we wszy-  
 stkich epokach; we Francyi przechodziła ona przez następne wyrazy:

(1) Materiałów do ułożenia tabelli téj jak równie i tabelli śmiertelności  
 w różnych krajach (do str. 239) udzielić mi raczył p. Stomiński naczelnik Kassy  
 O oszczędności w Warszawie.



w r. 1772	średnia długość życia	lat	24	miesiące	6
— 1784	—	—	25	—	8
— 1801	—	—	29	—	9
— 1806	—	—	31	—	—
— 1821	—	—	31	—	6
— 1826	—	—	32	—	—
— 1831	—	—	33	—	—
— 1836	—	—	33	—	9
— 1841	—	—	35	—	—
— 1845	—	—	36	—	—

Tak podaje p. Moreau de Jonnés w tyle razy cytowanym już dziele; chociaż dzieło: *Patria, la France ancienne et moderne etc. Paris, 1847*, średnią długość życia we Francyi następnie przedstawia.

W całej Francyi . . . . .	lat	33	miesiące	8	dni	11
— Calvados . . . . .	—	44	—	7	—	—
— Pyreneach wschodnich	—	28	—	1	—	—

A podług płci:

	dla mężczyzn		dla kobiet
w całej Francyi	lat 40	miesiące 7,	lat 48
w depart. Lot et Garonne		tylż	miesiące 10
w Finistère . . .	— 26	— 11,	— 29 — 6

W Genewie według p. Saya (*Cours complete d'economie politique par. I. B. Say. T. 2 fol. 161*) średnia długość życia była następująca:

w wieku XVI	lat	18 1/2
— XVII	—	23 1/2
— XVIII	—	32 1/2

To przedłużenie życia jest najwspanialszym rezultatem postępów towarzystwa i zarazem najpewniejszą ich miarą. A wiele to ono przedstawia korzyści! Osoba, która żyje lat 60 zajmuje w świecie toż samo miejsce, co trzy osoby żyjące jedna po drugiej po lat 20; różnica zaś między nimi jest niezrównana. Nauki, doświadczenie, usposobienie do różnych usług w towarzystwie nabywają się długą, mozolną pracą. W życiu dłuższém człowiek dłużej żyje w stanie dojrzałości, korzysta przez czas dłuższy z tego, co tak pracowicie nabył, jest więc użyteczniejszym. Przy krótkim życiu, zaledwie wyjdzie z bezprodukcyjnego niemowlęctwa, zaledwie zacznie się rozwijać, zaledwie nabył jakich wiadomości i zajął odpowiednie w towarzystwie miejsce, a już opuszcza to stanowisko, już ustępuje miejsca

innym, którzy znów następują po nim, aby odegrać krótką scenę życia. Gdzie tu doświadczenie? jakiegoż tu spodziewać się można postępu towarzystwa? Wszystko szybko postępuje: urodzenie prawie się łączy ze śmiercią. A w takim przebiegu ileżto cierpień moralnych i boleści fizycznych! Narodzenie się okupione jest srogim bolem a często śmiercią matki; zejście człowieka wieleto zrywa słodkich związków towarzyskich, wieleto nieszczęść sprawia! Przyjaciel opłakuje przyjaciela, brat brata, a dziecka nieletniego po śmierci rodziców, jakże często nędza udziałem zostaje. Dlatego bolesny jest widok tego towarzystwa, którego ludność utrzymuje się albo powiększa przez częste odnawianie, to jest gdzie urodzenia i śmierci są liczne. Przedłużenie więc życia jest głównym zadaniem; nie należy się troszczyć o utrzymanie ludności w tej samej znacznej liczbie, albo ciągle jej powiększenie, ale troszczyć się należy o przedłużenie życia. Widzieliśmy w urodzeniach i śmiertelności, że stosunki ich coraz się zmniejszają, a ludność ogólna się powiększa; przedłużyło się i ciągle się przedłuża życie i my szczęśliwsi jesteśmy, bo więcej korzystać możemy z nabytych nauk i doświadczenia, mniej będąc wystawionemi na te nieszczęścia, jakie towarzyszą odnawianiu się towarzystwa. Tego dokonywają postępy towarzystwa. W miarę ich, mamy wygodniejsze zaopatrzenie potrzeb naszych; przy obfitości produkcji i mniej zamożne klasy mieszkańców mogą z nich korzystać; pomnażają się środki przedsiębrane do usuwania wszystkiego tego, co zdrowiu zagrażać może, mianowicie po miastach, gdzie właśnie z powodu nagromadzenia się ludności, potrzeba ich jest tak niezbędna; błota, których wyziewy zarażają powietrze, osuszone zostają; w szkołach, szpitalach, kościołach, teatrach i innych zakładach publicznych coraz więcej ulepszeń pod względem zdrowia; medycyna, chirurgia już dzielniej teraz władają środkami zaradczemi; porządek, wygoda mieszkań bez zaprzeczenia są teraz wyższe niż przedtém; więcej podejmujemy starania o dzieci, i śmierć téż mniej ich porywa. Ale tu nie możemy tak bezwarunkowo twierdzić: postępy sztuki lekarskiej więcej okazują się na dorosłych ludziach, aniżeli na dzieciach. Lekarz angielski p. Watt, ze spisów osób zmarłych w Glasgowie w czasie od 1783 do 1813 r., to jest na lat 15 przed wprowadzeniem wakcyny i tyleż po jej wprowadzeniu, przekonał się, że chociaż po wprowadzeniu wakcyny liczba dzieci zmarłych na ospę znacznie się zmniejszyła, jednakże liczba ogólna zmarłych dzieci zawsze prawie ta sama pozostała. Co ospie wyrwano, to uległo innym chorobom właściwym dzieciom.

Podobne postrzeżenie uczynioném zostało w Pawii przez p. Rusconi. Od wprowadzenia wakcyny śmiertelność dzieci zmniejszyła się w samém mieście w stosunku z 41 do 30 na 100, lecz na przedmieściu Tessino, wilgotném i zaludnioném, śmiertelność w tym samym czasie powiększyła się w stosunku z 58 do 60 na 100 (1).

Kiedy więc słyszymy pochwały wakcyny, że ta zachowawszy życie stu tysięcy ludzi, powiększyła o tę liczbę ludność ogólną, poklaskujemy temu środkowi, chociaż uśmiechamy się z błędu, bo to, co ospie wydarto, legnie pod ciosami innych chorób właściwych dzieciom, lub wyrodzonych z innych powodów, jeżeli je nie usuniemy.

Wpływ więc wakcyny jest zbawienny nie dla samych dzieci, bo ich prawie ta sama liczba zawsze umiera, ale dla dojrzałych ludzi, których od ospy ochroni.

W każdym razie chwala tym, co dla dobra spółbraci działają, co troszczą się o zdrowie czy to pierwszego zawiązku, czy téż pełni i schyłku życia; chwala i tym, co wykryli i wykazują, że praca umiarkowana a ciągła, i wywalczony nią dobry, wygodny byt, oto przedłuży nasze życie. I w istocie słabemi są wszelkie środki lekarskie tam, gdzie nie będzie wygodnego utrzymania życia; i przeciwnie nie zrządzą wielkiego zniszczenia epidemie tam, gdzie jest podostatkami środków takowego utrzymania, gdzie są obfite produkcyje. W tym ostatnim razie znaczny nawet ubytek prędko się przybytem ludności wynagrodzi. Przez produkcyje o jakich mówimy nie należy rozumieć samych tylko produkcyj rolniczych, które bezpośrednio tylko do utrzymania życia służą, ale i wszelkie inne produkcyje, które w połączeniu z tamtymi utrzymują i uprzyjemniają życie; rozumieć więc należy produkcyje fabryczne, handlowe, umysłowe, zgoła sumnę ich wszystkich. Im gdzie summa ta więcej przeważa, tém lepszy byt narodu; tém ludność większa, tém średnie życie dłuższe: do tego stopnia, że biorąc ludzi jednych, posiadających pewien stopień ukształcenia, a drugich zupełnie w stanie natury, w równych zresztą pod innymi względami okolicznościach, średnie życie pierwszych będzie dłuższe, aniżeli drugich.

Niedość więc, że praca dostarczając produkcyj zapewnia nam środki utrzymania życia, niedość, że rodzi nowe postępy, które uprzyjemniają i uzacniają to życie: ona jeszcze wpływa na przedłużenie jego. Lecz tu się rozumie praca produkcyjna, praca korzystna dla pojedynczych i ogółu: szuler albo rozbójnik choć dużo użyją mozołów,

(1) Say w cytowanym powyżej dziele.

na wiele narażają się niebezpieczeństw, aby wydrzeć komu mienie go-  
dziwą pracą nabyte, nie powiększą ogólnej produkcji krajowej, nie  
przyczynią się do postępów towarzystwa, nie zapewnią ani sobie ani  
drugim dłuższego życia.

### *Ludność podług płci, wieku i zdolności do pracy.*

#### **P ł e ć.**

*Płeć* dzieli ludzi na dwa wielkie działy: mężczyzn i kobiet. Wy-  
kaz ludności podaje, że u nas jest mężczyzn 2,341,832

kobiet 2,448,229

to jest na tysiącu ludności wypada mężczyzn 489, kobiet 511. Że jest  
więcej podanych kobiet aniżeli mężczyzn to nas wcale zadziwiać nie  
powinno, bo chociaż zdaje się, że równa winna być liczba jednych  
jak i drugich, wszakże wykazy statystyczne pokazują nam, że we  
wszystkich krajach i zawsze kobiet jest więcej aniżeli mężczyzn. Wi-  
dzieliśmy, że więcej się rodzi płci męskiej aniżeli żeńskiej, lecz wi-  
dzieliśmy także, iż więcej umiera mężczyzn niż kobiet, tak, że ogólna  
liczba mężczyzn jest mniejsza od kobiet. Cokolwiek poniżej zoba-  
czymy jeszcze, że stosunkowo do ogólnej ludności jest więcej męz-  
czyzn niezdatnych do pracy aniżeli kobiet.

#### **W i e k.**

*Wiek* dzieli towarzystwo ludzkie na pewne oddziały, ustos-  
pniowane od roku do roku, poczynając od urodzenia aż do późnej  
starości. Tworzy on grupy osób, które mają też same lub podo-  
bne potrzeby, prawa i obowiązki.

Według powyżej zamieszczonego wykazu, peryód rozwijania  
się i kształcenia przyszłych obywateli, to jest wiek od pierwszych chwil  
życia aż do roku piętnastego obejmuje  $\frac{1}{3}$  całkowitej ludności  
kraj; osoby od lat 20 do 60, będące w pełni i dojrzałości sił  
i które właściwie stanowią duszę kraju, osoby te składają połowę lu-  
dności; szósta część ludności męskiej jest w wieku zdolności do  
służby wojskowej, to jest od lat 20 do 30; kobiet w wieku od lat 17  
do 40, który jest najważniejszym pod względem przybytu ludności  
jest  $\frac{1}{3}$  całkowitej ich liczby; nakoniec starcy po sześćdziesiątym roku  
życia stanowią trzydziestą część ludności kraju. W ogóle rozdzie-  
liwszy ludność na trzy wielkie działy: małoletnich do lat 14, wiek  
mężki i starców, znajdujemy:

Pierwszych . . . . . 1,526,568 czyli 1 na 3,18 całkow. lud.,  
 Starców po 60 roku życia 165,495 — 1 — 28,94 —  
 Osób w wieku od lat

14 do 60. . . . . 3,097,998 czyli 64,6 na sto.

Stosunek ten nie jest jednaki dla wszystkich krajów; zachodzi tu tak wielka różnica, że kraje sąsiadnie nawet, a jeź różnią się co do tych pierwiastków ludności. Jedne przedstawiają przewyższającą liczbę dzieci, u innych starcy stanowią zbyt wielką liczbę; znajdujemy też takie, u których osoby w pełni życia inny przedstawiają stosunek, aniżeli gdzie indziej.

Te różnice są istotne albo przynajmniej pozorne; ostatnie pochodzą mogą z niedokładności dokumentów, służących za zasadę do postrzeżeń; pierwsze zaś wynikają z przyczyn naturalnych, trudnych do oceny i przypadkowości, których działania nie można zaprzeczyć, chociaż nie mamy ich rozległości, ani trwałości. Wojny długie i uporczywe, które zapelniły koniec wieku zeszłego i pierwsze sześćnaście lat wieku bieżącego, sprawiły zmniejszenie ludności dojrzałej, a stąd znaczną przewyżkę dzieci. Nieudokonalona cywilizacja, która pozostawia dzieci bez starania, bez obrony przeciw wszystkim tym klęskom, jakie istnienia ich zagrażają, nie ustąpi wcale, jak to zdawaćby się mogło, ich stosunku do ogólnej liczby; przeciwnie nawet, im większa jest ich śmiertelność, tém więcej się ich rodzi, tém więcej ich liczba wzrasta. Roku 1788 na dwudziestu czterech milionach ludności urodziło się ich we Francji tyle, a nawet daleko więcej, aniżeli przed kilku laty na ludności wynoszącej trzydzieści trzy miliony. Wynika więc ztąd, że stosunkowo do ogólnej ludności, śmiertelność pierwszych lat życia i w ogóle dzieciństwa, była wtedy znaczniejsza niż dzisiaj.

Skutki podobnych różnic są widoczne. Jeżeli z dwóch mass ludzi równych co do liczby, jedną obejmuje więcej dzieci i starców aniżeli drugą, tą, w której znaczniejsza jest liczba w średnim wieku jest koniecznie silniejsza pod względem fizycznym i moralnym, chociaż składa się z tej samej liczby ogólnej ludności. Odpowiednio tym różnicom w składzie ludności, znajdujemy też różnice i w historii narodów.

Poznanie przeto ludności pod względem wieku jest zbyt ważne, a jednak bardzo niepewne posiadamy tu fakta. Jestto najmniej dokładniejsza część statystyki, bo można powiedzieć, że jest jedną z tych, które najwięcej napotykają zawał. I dlatego p. Moreau de Jonnés

podając niżej zamieszczone wyrazy, ostrzega, że za zupełną ich dokładność nie ręczy, chociaż zaczerpnął je z najlepszych źródeł.

### 1. Dzieciństwo do 15 roku życia.

Londyn . . . . .	1 dziecko na	2,40	mieszkańców.
Irlandya . . . . .	1	—	2,44
Wyspy W. Brytanii. . .	1	—	2,52
Anglia . . . . .	1	—	2,60
Szkocya . . . . .	1	—	2,63
Szwecya . . . . .	1	—	3,
Francya . . . . .	1	—	3,
Paryż . . . . .	1	—	3,30

W Polsce wypada według spisu ludności dziecko 1 na 3,13 całkowitej ludności, a według tabel śmiertelności. . . . 1 na 3,49.

### 2. Środek życia od skończonych lat 14 do 60.

Francya . . . . .	na 100 mieszkań.	wypade osób w tym wieku	59.
Szwecya . . . . .	—	—	59.
Irlandya . . . . .	—	—	56.
Paryż . . . . .	—	—	56.
Anglia . . . . .	—	—	54.
Wyspy W. Brytanii . . . . .	—	—	54.
Londyn . . . . .	—	—	53.
Szkocya . . . . .	—	—	50.
W Polsce według spisów ludności	—	—	64.6
„ „ tabel śmiertelności	—	—	62.1

### 3. Starość od lat 60.

Paryż . . . . .	1 starzec na	9.50	mieszkańców.
Francya cała . . . . .	1	—	12.15
Szwecya . . . . .	1	—	12.40
Szkocya . . . . .	1	—	12.40
Wyspy W. Brytanii. . .	1	—	13.70
Londyn . . . . .	1	—	18.20
Irlandya . . . . .	1	—	26.20
W Polsce . . . . .	1	—	28.94 według spisów ludności.
„ „ . . . . .	1	—	10.07 według tabel śmierteln.

Gdy położenie kraju naszego jest przyjazne, jakieśmy to już nieraz w artykule tym widzieli, rozwijaniu się ludności, i nie takiego nie

znajdujemy, coby życie nasze tak skracać miało; spisom więc ludności, co do téj okoliczności, znaczną niedokładność przypisać musimy i liczbę starców przyjmujemy, jako wynoszącą 1 na 10,07 całkowitej ludności, tak jak ją tabella śmiertelności podaje.

Z liczb tych następane wyprowadzamy rezultaty:

*Co do dzieci.* Największa liczba dzieci stosunkowo do ludności znajduje się w Londynie, Irlandyi; mniejsza w Szwecyi, Francyi, Polsce. W pierwszych wypada dwoje dzieci na pięciu, w drugich tyleż dzieci na sześciu mieszkańców. Zbyt widoczna zachodzi różnica pomiędzy Paryżem i Londynem.

Klasa ludności, która obejmuje średni wiek jest najliczniejsza w Polsce, dalej we Francyi i Szwecyi; najmniejsza w W. Brytanii, a mianowicie w Londynie i Szkocyi. Ostatni wypadek przypisać należy życiu morskemu pełnemu tylu niebezpieczeństw, a osobliwie przemysłowemu, którego śmiertelność jest tak wielka.

Liczba starców jest największa w Paryżu i w Polsce; najmniejsza w Irlandyi, gdzie prawie trzecią część pierwszej stanowi.

### *Zdolność do pracy.*

W całkowitej ludności mieści się:

Zupełnie zdrowych i zdatnych do pracy . . . . . 4,381,740  
Kalek, chorobliwych, w ogóle niezdatnych do pracy: . . . . 276,716

Co wykaz następany bliżej objaśnia.

w Gubernii	Zupełnie zdrowych i zdatnych do pracy			Kalek, chorowitych i niezdatnych do pracy		
	Mężcz.	Kobiet	Razem	Mężcz.	Kobiet	Razem
Augustows.	261.765	285.337	547.102	24.642	25.924	50.566
Płockiej . . . .	248.207	260.731	508.938	18.469	18.097	36.566
Warszawskiej	683.554	740.252	1.423.806	38.679	36.828	75.507
Radomskiej . .	406.608	449.164	855.772	18.318	19.682	38.000
Lubelskiej . . .	454.493	472.512	927.005	35.323	34.671	69.994
M. Warszawa	52.489	66.628	119.117	3.192	2.891	6.083
<b>Razem</b>	<b>2.107.116</b>	<b>2.274.624</b>	<b>4.381.740</b>	<b>138.623</b>	<b>138.093</b>	<b>276.716</b>

Lecz dzieci do lat 14, których liczba wynosi . . . . 1,526,568  
i ludzie po 60ym roku życia, których wykaz podaje . . . . . 165,495  
w wielkiej bardzo części tylko do pomocy w pracach, a nie do samej

pracy użytymi być mogą. Ostatni głównie dopomagają radą, ugruntowaną na doświadczeniu, nabytém w ciągu długoletniego życia. A z ludzi zdatnych do pracy, wieluto czas na niczém trwoni i tylko kosztem innych żyje! Właściwie więc niepracujących naliczyćby można przeszło dwa miliony, a w takim uważaniu rzeczy połowa ludności utrzymuje swą pracą drugą połowę, składającą się jużto z pokolenia nowego, stanowiącego zaród przyszłości, rozwijającego się dopiero i kształcącego swe fizyczne i moralne siły do różnych rodzajów usług w społeczeństwie, jużto generacji, wyszlęj z tego pracowitego koła po wyczerpaniu zasobów sił swoich, już téż nakoniec z ciężaru tylko społeczeństwa.

Ogólna liczba kalek, chorowitych, w ogóle niezdatnych do pracy, podaną została na 276,716 osób czyli 58 na tysiącu całkowitej ludności. Przy ogólnej liczbie kobiet, znacznie przewyższającej liczbę mężczyzn, kobiet niezdatnych do pracy jużto z powodu kalectwa, już chorowitości jest mniej, aniżeli mężczyzn; jest ich bowiem 138,093 czyli 57 na tysiącu, kiedy mężczyzn liczy się 138,623 czyli 59 na 1000. Bo téż roboty kobiece są łatwiejsze od męzkich: kobiety nietyle są wystawione na te ciężkie prace, co nieraz prawie przewyższają siły człowieka: bo one nieznają tych zaszczytnych lecz okropnych bliźn, na polu sławy wojennej zdobywanych; nie znają ciężkich, niebezpiecznych prac górniczych; mało znają te maszyny fabryczne, przy których jakżeto łatwo o nabycie wiecznego kalectwa, i te używane przy różnych wyrobach fabrycznych rozczynniki, jad trujący w sobie zawierające. A prace umysłowe, kłopoty o utrzymanie rodziny, wieluto mężczyzn zdrowie rujnuje i życie skraca? Dodajmy do tego i nałogowy zwyczaj używania trunków, co bez wątpienia daleko częściej spostrzeżemy u mężczyzn niż u kobiet, a przy zbiorze tych wszystkich okoliczności nie będziemy się dziwili przewyższającej liczbie mężczyzn niezdatnych do pracy i większej pomiędzy nimi śmiertelności.

Widzieliśmy, że położenie miejsca wiele wpływa na śmiertelność; zobaczmy jeszcze, ile położenie takowe wpływa na stan zdrowia mieszkańców. Spójrzmy więc na gubernie. Porównywając całkowitą liczbę osób niezdatnych do pracy, z ogólną ludnością gubernii, znajdujemy na tysiącu całkowitej ludności następną liczbę niezdatnych do pracy: w gubernii augustowskiej 82; płockiej 67; warszawskiej 49; radomskiej 41; lubelskiej 70; w m. Warszawie 37; średnio w całym kraju 58.

Jakież nawet porównanie stanu zdrowia mieszkańców gubernii augustowskiej i lubelskiej zatopionych wodami, z mieszkańcami gub.



radomskiej i warszawskiej? Niezdatnych do pracy w pierwszych jest w porównaniu z ogólną ludnością blisko dwa razy więcej, aniżeli w dwóch drugich. Jeżeli tylko władze w północnych powiatach nie są zbyt względni i nie zawiele uwalniają osób od pracy.

Ciekaweby też było widzieć podobne wykazy z lat, budowę i otwarcie kanału Augustowskiego poprzedzających; bo gdy przy budowie kanału tego osuszono tyle miejsc, gdzie przedtém rozlegały się obszerne bagna, trzęsawiska i niezgruntowane topiele, niezaprzeczenie więc znacznie to wpłynęło na stan zdrowia tamecznych mieszkańców. Lecz wykazów tych nie posiadamy.

### *Ludność pod względem związków małżeńskich.*

Wśród tylu wpływów, jakie nieustannie grożą zerwaniem nici dni naszych, ważnym zadaniem życia jest przekazanie go następnym wiekom, a środkiem towarzyskim do takowego przekazania jest małżeństwo. Pod tym względem ludność kraju jest następnie rozdzielona:

### Wykaz ludności pod względem związków małżeńskich.

Wymienienie gubernii	Małżeństw istniejących par			Zaślubin w ciągu roku odbytych		
	chrześ.	niechrześ.	razem	chrześ.	niechrz.	razem
Augustowska	93.187	15.662	108.849	4.474	645	5.119
Płocka . . . . .	94.002	11.582	105.584	4.526	466	4.992
Warszawska	243.830	22.910	266.740	13.473	1.051	14.524
Radomska . .	146.187	16.816	163.003	7.120	701	7.821
Lubelska . . .	181.482	25.424	206.906	8.620	1.109	9.729
M. Warszawa	20.673	10.538	31.211	945	334	1.279
<b>Razem</b>	<b>779.361</b>	<b>102.932</b>	<b>882.293</b>	<b>39.158</b>	<b>4.306</b>	<b>43.464</b>

Dalszy ciąg wykazu ludności pod względem związków małżeńskich.

Wymienienie Gubernii	Mężczyzn niezonych w wieku od lat 17 do 60			Kobiet niezamężnych w wieku od lat 15 do 50			Wdowców i rozwodników			Wdów i rozwódek		
	chrześc.	niechrz.	razem	chrześc.	niechrz.	razem	chrześc.	niechrz.	razem	chrześc.	niechrz.	razem
Augustowska . . .	45.369	6.184	51.553	50.784	6.061	56.845	9.178	1.203	10.381	9.808	1.580	11.388
Płocka . . . . .	30.085	2.764	32.849	33.753	3.166	36.919	6.827	821	7.648	9.075	1.095	10.170
Warszawska . . .	91.961	9.511	101.472	123.408	10.863	134.271	17.484	1.783	19.267	26.478	2.269	28.747
Radomska . . . .	51.475	3.954	55.429	56.079	4.572	60.651	8.728	1.037	9.765	16.294	1.503	17.797
Lubelska . . . . .	53.821	22.069	75.890	56.339	6.188	62.527	11.406	1.634	13.040	17.586	2.355	19.941
M. Warszawa .	13.251	6.192	19.443	14.741	6.039	20.780	1.432	1.258	2.690	2.617	1.691	4.308
Razem	285.062	50.674	336.636	335.104	36.889	371.993	55.055	7.736	62.791	81.858	10.493	92.351

Według więc wykazu tego znajduje się:

	chrześcian	żydów	razem
Osób w stanie małżeńskim:	1,553,722	205,864	1,764,586
Osób w stanie bezzennym ze wszystkich kategorii wykazem objętych . . . . .	757,979	105,792	863,771.

Lecz do téj liczby osób w stanie bezzennym będących dodać jeszcze należy i mężczyzn po latach 60, tudzież kobiety po latach 50, węzłami małżeńskimi niepołączonych; ogólna liczba osób w stanie bezzennym wynieść może do miliona, nie licząc w to dzieci. Osób będących w wieku zdolności do związków małżeńskich to jest, kobiet od lat 16, mężczyzna od 18 jest, według wykazu ogólnej ludności, około trzy miliony, a osób związkami temi połączonych jest, jak wyżej wykazano, 1,764.586, wypadła więc ich tylko 0,57 rzeczonój ludności, a 0,36 całkowitej ludności kraju.

Kiedy stosunek małżeństw u żydów wynosi 191 na 1000 ludności, u chrześcian na takiejże ludności 183 dochodzi, pojąć więc możemy szybszy wzrost ludności żydowskiej. W Warszawie stosunek ten bardzo wielkie przedstawia różnice; kiedy bowiem u chrześcian stosunek ten wypada 171, u żydów dochodzi aż do 244; więc w porównaniu z całym krajem stosunek małżeństw w Warszawie jest dla chrześcian mniejszy wprawdzie o 12, lecz za to u żydów przeważa o 53. To da się wytłumaczyć. Stosunek małżeństw zależy wiele od łatwości utrzymania się; dla chrześcian Warszawa trudniejsze przedstawia utrzymanie, aniżeli reszta kraju, a wyższa oświata, inny zupełnie rodzaj życia niż na wsi lub po małych miastach, znacznie tu powiększają potrzeby, i każą być więcej oględnymi w zawieraniu związków małżeńskich.

Żydzi zaś warszawscy zupełnie w przeciwném są położeniu: tu właśnie, jako w najważniejszym punkcie handlowym i miejscu największego nagromadzenia się ludności, mają najłatwiejszy sposób zarobkowania.

Te same powody zastosujemy i do następnych liczb, wykazujących zaślubiny roczne.

W peryodzie lat sześciu od 1815 do 1820 r. włącznie, zawarto związków małżeńskich 216,693; w peryodzie od 1837 do 1842 r. zawarto ich 288.603, a mianowicie: 1837 r. 47,659; 1838 r. 41,532; 1839 r. 54,361; 1840 r. 47,013; 1841 r. 50,657; 1842 r. 47,331; nakoniec w r. 1848 zawarto ich 43,464. Odniośszy liczby te

do całkowitej ludności kraju, ujrzymy, że w pierwszym peryodzie średni stosunek zaślubin był 13,2 w drugim 11,1 a w 1848, r. 9 na tysiącu ludności. Tak zmniejszonej liczby zaślubin nie można czemu innemu przypisać, tylko coraz trudniejszemu utrzymaniu się, wynikającemu z powiększenia się ludności. W Anglii stosunek ten wynosi 7,7, we Francyi 8,2 na tysiącu ludności; u nas więc więcej zawierają małżeństw, aniżeli w tych krajach; ztąd widać, że u nas łatwiejsze jest utrzymanie się.

Odniesiona liczba dzieci do małżeństw okazuje, że jedno urodzenie, rocznie przypada na cztery małżeństwa.

### *Ludność pod względem religij.*

Gdy prawami krajowemi wolność wyznania jest zabezpieczona, mieszkańcy więc kraju różne wyznają religie: religia dworu jest prawosławna grecko-rossyjska; większa część ludności wyznaje religią rzymsko-katolicką, przez Mieczysława Igo w r. 965 wprowadzoną. Istnieją tu jeszcze wyznania: unickie, powstałe w r. 1596 z przyłączenia się części wyznawców obrządku grecko-rossyjskiego do kościoła rzymsko-katolickiego; protestanckie, które dzieli się na ewangelicko-augsburskie i ewangelicko-reformowane, wprowadzone do kraju 1550 r.; dalej anglikańskie, menonistów, braci Morawczyków, mojżeszowe istniejące w kraju od r. 1097, mahometañskie, Rascolników i mała liczba Cyganów.

Sekty: Aryanów, Socynianów, Dulcynów, Flagellantów, i Husytów, jakkolwiek wcisnęły się do kraju, nigdy jednak cierpieniami nie były i bardzo też krótko tu istniały.

Stan i przemiany ludności każdego poszczególne wyznania, przedstawia następująca tabella:

Rok	Chrześciana								Niechrześcianie			Całkowita ludność wszystkich wyznań
	Prawosławni	Rzymsko-Katolicy	Greko-Unicy	Ewangelicy Augsburscy	Ewange. Reformowani	Menoniści	Bracia Morawczycy	Raskolniki	Żydzi	Mahometanie	Cyganie	
1834	937	3.211.099	216.983	212.698	2.201	912	199	3.567	410.062	601	258	4.059.517
1837	2.498	3.397.765	233.850	206.524	4.474	422	79	2.274	450.568	508	—	4.298.962
1838	1.788	3.432.024	233.179	212.304	4.432	1.095	144	3.532	455.330	564	—	4.344.392
1842	3.550	3.619.422	238.389	240.352	3.437	1.074	320	3.882	512.342	305	239	4.623.312
1843	3.684	3.680.698	240.547	241.805	3.195	1.266	330	3.812	524.481	295	261	4.700.374
1846	4.299	3.794.276	239.911	260.430	3.790	1.252	546	4.090	557.895	303	337	4.867.129
1848	4.918	3.731.579	235.437	260.324	3.852	1.532	756	3.685	548.179	285	234	4.790.061

Widzimy więc, że ludność wszystkich wyznań wzrasta, oprócz tylko Mahometan i Cyganów; pierwszych w roku 1834 wykazano 601, w r. 1846—303, drugich w 1834—258, w 1848—234.

Jeżeli zaś przypuścimy, że całkowita ludność w różnych epokach była milion, i stosownie do tego ludność wszystkich wyznań oznaczymy, otrzymamy następujący wykaz:

1834	231	791.005	53.450	52.395	542	225	49	879	101.012	148	64	1,000,000
1837	582	790.369	54.397	48.040	1.041	98	18	529	104.808	118	—	
1838	411	789.989	53.674	48.869	1.020	252	33	813	104.810	129	—	
1842	768	782.864	51.562	51.987	743	232	69	840	110.817	66	52	
1843	784	783.065	51.175	51.444	680	269	70	811	111.583	63	56	
1846	883	779.572	49.292	53.508	779	257	112	841	114.625	62	69	
1848	876	779.035	49.151	54.345	804	313	158	769	114.441	59	49	

Wykaz ten pokazuje, jak stosunki dla ludności wyznań rzymsko-katolickiego, grecko-unickiego, Raskolników i Cyganów zniżają się przy wzroście stosunków dla innych wyznań.

To powiększenie się lub zmniejszenie ludności różnych wyznań następnie wyjaśniamy. Powiększenie się ludności pochodzi: z przewyżki urodzonych nad zmarłymi, z napływu ludności zagranicznej, albo z obudwu tych źródeł; przeciwne przyczyny rodzą ubytek.

W ciągu lat sześciu od 1838 do 1843 włącznie, następny był stan urodzeń, śmiertelności, a więc i wzrostu ludności każdego wyznania.

Wymien. wyznań	Urodziło się	Zmarło	Przewyżka urodzonych nad zmarłymi	Przewyżka ta dodana do ludności z r. 1837 wynosi	Ludność roku 1843	Więc w r. 1843 ludność podana od wypadającej z dodania przewyżki była		Stosunek przewyżki do ludności 1838 roku	Stosunek urodzeń	Stosunek zmarłych
						większa	mniejsza			
Prawosławnych .	882	614	268	2.766	3.684	918	—	1 na 6.7	1 na 2.0	1 na 2.9
Rzymsko-Katoli.	1.027.777	665.216	362.561	3.760.326	3.680.698	—	79.628	1 — 9.5	1 — 3.3	1 — 5.1
Greko-Unitów . .	64.832	48.100	16.732	250.582	240.547	—	10.035	1 — 13.9	1 — 3.6	1 — 4.2
Ewan. Augsburs.	57.172	37.322	19.850	226.374	241.805	15.431	—	1 — 10.7	1 — 3.7	1 — 5.7
„ Reformo.	1.095	810	285	4.759	3.195	—	1.564	1 — 15.5	1 — 4.0	1 — 5.5
Menonistów . . .	193	105	88	510	1.266	756	—	1 — 12.4	1 — 5.7	1 — 10.2
Braci Morawczyk.	49	27	22	101	330	229	—	1 — 6.5	1 — 2.9	1 — 5.4
Raskołoików . . .	541	330	211	2.485	3.812	1.327	—	1 — 16.7	1 — 6.5	1 — 10.7
Żydów . . . . .	110.273	73.208	37.065	487.633	524.481	36.848	—	1 — 12.3	1 — 4.1	1 — 6.2
Mahometan . . . .	51	66	—15	493	295	—	198	1 — 37.6(-)	1 — 11.1	1 — 8.5
Ogółem	1.262.865	825.798	437.067	4.736.029	4.700.113 (1)	—	35.916	1 — 9.9	1 — 3.4	1 — 5.2

(1) Tu nie pomieszczamy Cyganów, których w czasie rozważanym nie podawano urodzeń ani zejść.

Ludność wyznań: rzymsko-katolickiego, unickiego, reformowanego i mahometańskiego, według spisów z roku 1843 przedstawiała mniejsze liczby, aniżeli powinny wypaść po dodaniu przewyżki urodzonych nad zmarłymi do ludności 1837 roku. Na dwóch pierwszych głównie oparty jest obowiązek osobistej służby wojskowej; kalwini łączą się z lutrami, a u mahometan śmiertelność znaczna i dosyć ich wynosi się do swych współbraci w sąsiednich prowincjach cesarstwa rosyjskiego zamieszkałych.

*Ludność pod względem pochodzenia.*

Pod względem pochodzenia ludność królestwa składa się: ze Słowian, Litwinów, Niemców, Żydów, Tatarów, tudzież w bardzo małej części Anglików, Francuzów, Włochów, koczujących Cyganów i innych pojedynczo zamieszkałych.

Słowianie zamieszkują w całym kraju; Litwini w gubernii augustowskiej, mianowicie w powiatach: maryampolskim, kalwaryjskim i sejneńskim; Niemcy głównie w powiatach fabrycznych, bo oni właściwie cały przemysł fabryczny utrzymują; żydzi rozproszeni po całym kraju, najchętniej wszakże gromadzą się po miastach, gdzie trudnią się handlem, spekulacją, i w części rzemiosłami; Tatarzy, wyznawcy Mahometa, żyją w guberniach augustowskiej i lubelskiej; Anglicy, Francuzi, Włochy, stanowią bardzo małą, prawie nic nieznaczącą co do liczby część ludności krajowej; głównie zamieszkują w Warszawie.

Liczby dokładniej wykazanych plemion dla braku dat statystycznych podać nie możemy, lecz że po największej części rozdział na plemiona jest prawie odpowiedni rozdziałowi na religie, Słowianie bowiem i Litwini wyznają z małym wyjątkiem religią rzymsko-katolicką, unicką i greko-rossyjską prawosławną, Niemcy ewangelicką, Tatarzy i Żydzi swego trzymają się wyznania, Cyganie także zostali wykazani przy podziale na religie, a podobnie jak i żydzi w zbyt małej liczbie przechodzą na wyznania chrześcijańskie, przyjęć więc można, że znajduje się w kraju:

Słowian.....	około 3.700.000
Niemców.....	„ 350.000
Litwinów.....	183,916
a mianowicie:	
w powiecie maryampolskim.....	112,562
„ kalwaryjskim.....	66,406
„ sejneńskim.....	4,948

Żydów . . . . .	548,179
Tatarów . . . . .	285
Cyganów . . . . .	234

Polska jest położona w środku Europy; jej więc mieszkańcy trzymają środek między zbytnią żywością południowych, a odrętwiałością północnych narodów. Słowianie szczerzy, gościnni, są więcej żywi niż poważni, w ogólności więcej zdolni do pracy fizycznej, jak do spokojnego, głębokiego myślenia. To też historia ukazuje nam u nich prawie wyłącznie dzieła rycerskie i prace rolnicze; przemysł, handel nie jest jeszcze w ich naturze. Nawet niezbyt jeszcze dawno oddawanie się handlowi poczytywano za ubliżenie godności szlacheckiej. Przy takim to uważaniu rzeczy nie dziwny się, że powstałe w świetnych epokach Polski, przy jej obszernych, ważnych stosunkach zagranicznych: przemysł, handel, licznie wznoszące się znaczne miasta, już w końcu wspomnienie tylko swych wielkości przedstawiały. Otrząsamy się z tych uprzedzeń wieków dawnych: już pracy użytecznej nie uważamy za plamę klejnotu szlacheckiego, dlatego też przemysł i handel zaczynają się wznosić, oświata nawet pomiędzy najniższymi klasami się upowszechnia. Już dziś nie uznajemy za zasługę, za chlubę, tego, że kto ma *tegą głowę*, że może pokonać swych kielichowych szermierzy, spełniając zdrowia dopóki jako zwycięzca nie legnie obok zwyciężonych. Przebrzmiały te czasy, przebrzmiało jeszcze niezbyt dawne wezwanie, zaczynające się od słów: „za króla Sasa”. Lubownik bachusowych szermierstw, może i teraz zapamiętałe odbywać potyczki, ale już one będą pojedyncze, po największej części egoistyczne, a przynajmniej pozbawione chwały i wawrznów. Dziś innej tegości głowy wymagamy; za prawdziwą chwałę co innego poczytujemy: dziś chwałę prawdziwą stanowią starania o stanie się użytecznym innym i sobie, a przyjaźń, gościnność nie na opajaniu się gruntujemy. Dlatego dziś śmiało kmiotków naszych i inne niższe klasy odwodzimy od pijaństwa, śmiało im zgubne skutki jego wystawiamy; bo wiemy, że oni tych rad do nas samych nie zwrócą, że nie powiedzą, iż my im przykład dajemy. Nie powiedzą, że dajemy im przykłady niesnask, nieporozumień, sporów bezzasadnych; bo z pijatyką przepadły najczęstsze do nich powody, bo przepadła palestra, która te kłótnie uwieczniała. Nie powiedzą, że dajemy im przykłady nietolerancji; bo od czasu jakśmy zaczęli wyżej na rzeczy spoglądać, bliżej im się przypatrywać, w każdym człowieku szanujemy człowieka i wymierzamy mu sprawiedliwość. Już dziś żyd, nie dlatego będzie w naszym



przekonaniu złym, pogardy godnym, że jest żydem, ale dlatego, jeżeli istotnie nieuczciwie będzie postępował. Nie powiedzą nam, że dajemy przykład pozostawania w ciemnocie; bo kiedy dawniej obok świetnych talentów zdarzyło się nieraz, że nawet i magnat wielki ledwie podpisać się umiał, bo zresztą utrzymywał, że jako pan nie powinien się tém zajmować, miał ludzi, którzy za zapłatę będą za niego myśleli, pisali; dziś mało kto się znajdzie coby nie myślał o kształceniu się; dużo lub mało, wiele można, aby naprzód. A jeżeli pod temi wszystkimi względami znajdujemy wyjątki, to przynajmniej tém się nie chlubią.

Niemcy rzetelni, pracowici, przemyślni, oddają się głównie przemysłowi fabrycznemu i handlowi, a ich gospodarstwa wiejskie nie są tylko czysto-ziemne, są one zarazem przemysłowemi. Kiedy nasz kmiołek z kilku lub kilkunastu morgów często wyżywić się nie może, i w ogóle w niezamożnym pozostaje stanie, choć pracuje od pierwszego brzasku do ciemnej nocy, choć mu często pot krwawy czoło oblewa; Niemiec tymczasem z małego kawałka gruntu żyje sobie dostatecznie, bo u niego ręka i głowa pracuje. Niedosć jest pracować, ale trzeba pracować rozsądnie, znać cel pracy, rozmyślać nad środkami przy jakich do celu tego łatwiej dojść można; i samym korzystać z swój pracy, a nie dać jój komu sobie uszczuplać, jak to po większej części ma miejsce co do rolników właściwie krajowych. Niemcy zaś przy zamięłowaniu w pracy i porządku, przy prowadzeniu gospodarstw na swoje rękę, przy troszczeniu się o przyszłość i zbieraniu oszczędności, czego na nieszczęście braknie włościaninowi naszemu; czynią znaczne postępy w zawodach swoich i bezstronnie wyznać możemy, że dobrze wywiązują się krajowi za udzieloną gościnność, za zachęty i ułatwienia, jakie im czyniono przy osiedlaniu się tu w kraju.

Litwini z przeciwnej strony kraju niż Niemcy osiedli, a jednak pod względem pracy zupełnie są do nich podobni. Kilka słów tu o nich powiemy.

W granicach królestwa Polskiego jest kilkanaście mil kraju, pośród których mieszkańcy innych części jego znaleźć się mogą prawie cudzoziemcami, obcymi mowie, zwyczajom i wszelkim miejscowym stosunkom. Takimi są w znacznej części powiaty maryampolski i kalwaryjski, tudzież mała część sejneńskiego, ze swymi mieszkańcami Litwinami, których liczbę widzieliśmy.

Dotąd nie mała część tych mieszkańców litewskich zupełnie nie rozumie mowy polskiej, używając jedynie tylko języka rodzinnego. Ten zachował się w całej swojej pierwotności, jak wiadomo, z żadną z słowiańskiego szczepu mową nie ma on pobratymstwa. Nie zby-

wa mu na licznych odcieniach, w każdej okolicy odmiennych, w ogólności na miłym dźwięku. Litwin umiejący po polsku, mówi językiem tym starannie i czysto. W ogólności jest on pobożnym, chociaż nie-trudno upatrzeć w nim niejaki ślady przed-Jagiellowego pogaństwa, zwłaszcza w obrzędach ślubnych i pogrzebowych: oplakiwanie nader rzewliwe jest zwyczajem ciągle trwającym. Krzyżów po drogach napotyka się wiele ozdobnych w całą mękę Chrystusa, starannie i z kosztem wykonaną. Kiermaszu i uroczystości okolicznej Litwin nigdy nie opuści. Kmiotek litewski jest skrzętny, zabiegły, chytry. Lud powiada: mądry Litwin nie po szkodzie, w obietnice nie wierzy, więcéj podejrzliwy niż otwarty, wielką życzliwością i sprzyjaniem za-ledwo zobowiązać go nieco można. Do czynszów chętny i usposobiony, nienawidzi pańszczyzny i jak najopieszaléj ją odbywa. Przy miejscowości sprzyjającéj hodowli bydła i koni, a razem uprawie lnu; przy położeniu handlowém okolicy, przy swym charakterze skrzętnym, i przy zadawnionéj opiece jakiéj doznaje, zwłaszcza skutkiem niedopiéro już upowszechnionego oczynszowania lub umiarkowanéj pańszczyzny; kmieć litewski jest zamożnym. Osiedli w powiecie kalwaryjskim, a szczególniéj maryampolskim są najbogatszymi w całym kraju. W ostatnim nawet powiecie włościanin miejscami przeistaczać się zaczął na surdutowego majątnego gospodarza.

Popęd Litwinów do oświaty odznacza się, czego dowodem szkoła maryampolska, po większej części synami włościańskimi zapełniona, a która dlatego, z woli wyższej, przemysłowo-rolniczy otrzymała kierunek. Niemaló téż synów włościan litewskich mieści się w rzędzie hierarchii duchownéj.

Co się tyczy włościan polskich i żydów, tych nastépnie poznamy; zobaczymy się téż jeszcze i z Niemcami.

### *Ludność pod względem ukształcenia.*

Według wykazów statystycznych znajduje się w królestwie:

	chrześcian	niechrześcian	razem
Umiejących tylko czytać i pisać	291,277	129,026	420,303
Posiadających wyższe ukształcenie	65,782	5,638	71,420
<b>Razem</b>	<b>357,059</b>	<b>134,664</b>	<b>491,723</b>

Reszta wcale nieukształconych.

Według więc tego, na tysiącu całkowitéj ludności kraju, wypada ukształconych 103. Rozrzucając stosunek ten na ludność podług wy-

znani, znajdujemy: u chrześcian 84, u niechrześcian 245; chociaż żydzi utrzymują, że u nich prawie nie zdarza się, aby który mężczyzna nie umiał czytać.

Pod względem miejscowości następuje stosunek ten wypada:

w gubernii augustowskiej	ukształconych	108	na tysiącu
—	płockiej	—	88
—	warszawskiej	—	115
—	radomskiej	—	73
—	lubelskiej	—	67
w mieście	Warszawie	—	415 —

Statystyka angielska korzysta z aktów stanu cywilnego, by dać obraz ukształcenia ludności: z nich doszła, że 67 mężczyzn, a 51 kobiet na 100 umiało podpisać swe nazwisko na aktach parafialnych. U nas powyższe obliczenie zrobione było przez urzędników administracyjnych.

Dla kształcenia młodych ludzi istnieją w królestwie: 1) zakłady naukowe zostające pod sterem Okręgu Naukowego Warszawskiego; 2) zakłady naukowe specjalne duchowieństw; 3) zakłady specjalne wydziału lekarskiego. to jest szkoły: farmaceutów, felczerów, akuserek, weterynarzy; i 4) zakłady dobroczynne.

O tych wszystkich zakładach gdzieindziej powiemy.

### *Ludność miast i wsi.*

Zaludnienie miast, jako warunek i skutek większej uprawy społecznej i lepszego bytu towarzyskiego, tak dalece wpływa na gospodarstwo krajowe, że może być pewną miarą jego wzrostu lub upadania. Skupienie ludności na małych przestrzeniach nietylko mnoży nowe potrzeby i podaje środki łatwego i lepszego ich zaspokajania, ale jeszcze działa pomyślnie na sąsiednie okolice, które znajdując pewny i większy odbyt dla płodów swoich, same się coraz więcej zaludniają i bogacą. W ogólności postrzeżenia we wszystkich krajach czynione przekonywają, że przy równych okolicznościach większa lub mniejsza czynność przemysłowa, mniej lub więcej kwitnący stan rolnictwa, zgoła dobry byt narodu, są w ścisłej z ludnością miast zależności.

Z całkowitej ludności kraju, wynoszącej, jakśmy widzieli, 4,790,061 osób, zamieszkuje w miastach 1,114,484, we wsiach 3,675,577, czyli zamieszkuje w miastach 0,23 całkowitej ludności. Inne kraje przedstawiają nam następujące w tym względzie stosunki:

W Anglii . . . .	mieszka w miastach	0,50	całkowitej	ludności.
„ Francyi. . . .	—	0,33	—	—
„ Prusach . . . .	—	0,27	—	—
„ Austryi. . . .	—	0,23	—	—
„ Rosyi . . . .	—	0,12	—	—

W porównaniu z r. 1816, stan ludności miejskiej i wiejskiej jest następny w kraju naszym:

#### Zamieszkiwało.

w roku	w miastach	we wsiach	razem
1816	527,332	2,189,955	2,717,287
1848	1,114,484	3,675,577	4,790,061
Więc przybyło	587,152	1,485,622	2,072,774
czyli na 1,000	1,114	678	763.

Więc w miastach prawie dwa razy jest szybsze przybywanie ludności, aniżeli po wsiach; i kiedy w r. 1816 ludność miejska wynosiła 194, w roku 1848 wynosi 232 na tysiącu całkowitej ludności kraju. Ludność miast wzrosła; widać, że przemysł i handel także poczyniły postępy.

#### Ludność pod względem sposobów zarobkowania.

Przyjmujemy tu cztery działy: gospodarstwo wiejskie, przemysł fabryczny i rękodzielny, handel, nakoniec wszelkie inne sposoby zatrudnienia.

#### Gospodarstwo wiejskie.

Wymienienie rodzaju zatrudnienia	Liczba osób głównych i pomoeniczych	Liczba osób składających familie
Dziedzice dóbr . . . . .	5,748	13,271
Dziedzice części szlacheckich . . .	34,492	89,967
Dzierżawcy dóbr . . . . .	3,387	9,694
Czynszownicy . . . . .	122,405	366,646
Koloniści . . . . .	31,652	109,576
Rolnicy pańszczyzniani . . . . .	325,846	1,029,945
Chałupnicy . . . . .	75,883	247,546
Ogrodnicy . . . . .	4,051	10,216
Parobcy . . . . .	159,438	151,514
Służące wiejskie . . . . .	143,564	13,053
Owczarze . . . . .	7,783	19,954
Pachciarze krów . . . . .	2,921	9,010
Rybacy . . . . .	1,111	4,455

## Przemysł fabryczny i rzemiosła.

	Liczba osób głównych i pomocni- czych		Liczba osób głównych i pomocni- czych
Bednarze . . . . .	3193	Fabrykanci złota i srebra	
Białoskórnicy . . . . .	133	ciągnionego . . . . .	84
Blacharze . . . . .	636	—    żelaza lanego. . . . .	1817
Brukarze. . . . .	245	Farbiarze . . . . .	557
Cieśle . . . . .	3475	Felczery i cyrulicy. . . . .	886
Cukiernicy . . . . .	333	Folusznicy . . . . .	231
Dekarze . . . . .	405	Garbarze . . . . .	2148
Dekatyżujący sukno . . . . .	53	Garncarze . . . . .	2398
Destylatory wódek . . . . .	102	Gonciarze . . . . .	602
Dranicarze. . . . .	204	Gorzalani . . . . .	2060
Drelicharze . . . . .	779	Górnicy . . . . .	3226
Dziegiarze . . . . .	70	Grabarze . . . . .	481
Fabrykanci cukru . . . . .	253	Grzebieniarze . . . . .	296
—    cykoryi. . . . .	66	Guzikarze. . . . .	34
—    drutu . . . . .	33	Gwoździarze . . . . .	1113
—    fajan. i porcel. . . . .	136	Haftarze i haftarki. . . . .	89
—    krochmalu . . . . .	105	Hamernicy . . . . .	122
—    laku . . . . .	21	Iglarze. . . . .	68
—    oleju . . . . .	688	Introligatory . . . . .	493
—    ołówków . . . . .	13	Jubilerowie . . . . .	162
—    octu . . . . .	179	Kamieniarze . . . . .	285
—    papieru. . . . .	305	Kapelusznicy. . . . .	492
—    pojazdów . . . . .	110	Kołodzieje . . . . .	2033
—    instrumentów		Kominiarze . . . . .	726
muzycznych . . . . .	79	Konwisarze . . . . .	38
—    salety . . . . .	5	Koszykarze . . . . .	125
—    świec łożow. . . . .	418	Kotlarze . . . . .	493
—    woskowych. . . . .	29	Kowale . . . . .	9583
—    stearynowych. . . . .	31	Krawcy . . . . .	15141
—    szkła . . . . .	613	Krześlarze . . . . .	46
—    tabaki i tyton. . . . .	52	Kuśnierze i czapnicy. . . . .	2791
—    terpentyny . . . . .	73	Lakiernicy . . . . .	390
—    wyrobów lnia- nych i baweł. . . . .	2471	Liniarze i powroźnicy . . . . .	608
—    wyrobów weł- nianych . . . . .	864	Lulkarze . . . . .	25
		Malarze . . . . .	523
		Młynarze. . . . .	6570

	Liczba osób głównych i pomocni- czych		Liczba osób głównych i pomocni- czych
<b>Modniarki</b> . . . . .	<b>733</b>	<b>Smolarze.</b> . . . . .	<b>820</b>
<b>Mosiężniki</b> . . . . .	<b>355</b>	<b>Snycerze.</b> . . . . .	<b>43</b>
<b>Mularze</b> . . . . .	<b>4274</b>	<b>Stelmachy</b> . . . . .	<b>1407</b>
<b>Mydlarze</b> . . . . .	<b>438</b>	<b>Stolarze</b> . . . . .	<b>4482</b>
<b>Nożownicy.</b> . . . . .	<b>75</b>	<b>Strycharze</b> . . . . .	<b>798</b>
<b>Orgarmistrze</b> . . . . .	<b>230</b>	<b>Studniarze</b> . . . . .	<b>59</b>
<b>Oprawcy.</b> . . . . .	<b>214</b>	<b>Sukiennicy.</b> . . . . .	<b>4784</b>
<b>Parasolnicy</b> . . . . .	<b>38</b>	<b>Szczotkarze</b> . . . . .	<b>98</b>
<b>Pasamonicy i szmuklerze</b>	<b>549</b>	<b>Szewcy</b> . . . . .	<b>20248</b>
<b>Perukarze i fryzjery</b> . . .	<b>192</b>	<b>Szklarze</b> . . . . .	<b>1011</b>
<b>Pieczętarze.</b> . . . . .	<b>41</b>	<b>Szlifierze.</b> . . . . .	<b>73</b>
<b>Piekarze.</b> . . . . .	<b>5356</b>	<b>Śpilkarze</b> . . . . .	<b>44</b>
<b>Piernikarze.</b> . . . . .	<b>178</b>	<b>Sztukatory</b> . . . . .	<b>16</b>
<b>Piwowary</b> . . . . .	<b>733</b>	<b>Sztycharze.</b> . . . . .	<b>54</b>
<b>Płóciennicy</b> . . . . .	<b>1210</b>	<b>Szwaczki.</b> . . . . .	<b>842</b>
<b>Pompiarze</b> . . . . .	<b>113</b>	<b>Tapicery.</b> . . . . .	<b>132</b>
<b>Pończosznicy.</b> . . . . .	<b>138</b>	<b>Tkacze</b> . . . . .	<b>7680</b>
<b>Postrzygacze.</b> . . . . .	<b>181</b>	<b>Tokarze.</b> . . . . .	<b>682</b>
<b>Potażnicy i popielarze</b> . .	<b>107</b>	<b>Torfiarze</b> . . . . .	<b>120</b>
<b>Puszkarze i rusznikarze.</b>	<b>107</b>	<b>Tracze.</b> . . . . .	<b>1664</b>
<b>Rękawicznicy.</b> . . . . .	<b>283</b>	<b>Tragarze.</b> . . . . .	<b>547</b>
<b>Rymarze.</b> . . . . .	<b>724</b>	<b>Waciarze</b> . . . . .	<b>703</b>
<b>Rzeźbiarze</b> . . . . .	<b>38</b>	<b>Wapniarze.</b> . . . . .	<b>313</b>
<b>Rzeźnicy</b> . . . . .	<b>5054</b>	<b>Węglarze</b> . . . . .	<b>686</b>
<b>Siodlarze</b> . . . . .	<b>493</b>	<b>Zduny</b> . . . . .	<b>1587</b>
<b>Sitarze.</b> . . . . .	<b>866</b>	<b>Zegarmistrze.</b> . . . . .	<b>340</b>
<b>Ślusarze</b> . . . . .	<b>1278</b>	<b>Złotnicy</b> . . . . .	<b>342</b>

*Handel.*

<b>Bankiery.</b> . . . . .	<b>66</b>	<b>bydła, zboża, drzewa i t. d.</b>	<b>4219</b>
<b>Berlinkarze</b> . . . . .	<b>104</b>	<b>Kupcy i kramarze</b> . . . .	<b>7832</b>
<b>Drwale</b> . . . . .	<b>331</b>	<b>Kommissanci kupców</b> . . .	<b>192</b>
<b>Dystrybutorowie tabaczeni</b>	<b>858</b>	<b>Liweranci</b> . . . . .	<b>156</b>
<b>Faktory</b> . . . . .	<b>1914</b>	<b>Przekupnie.</b> . . . . .	<b>6108</b>
<b>Furmani najemni.</b> . . . .	<b>2629</b>	<b>Przewoźnicy</b> . . . . .	<b>393</b>
<b>Flisy.</b> . . . . .	<b>2282</b>	<b>Szypry.</b> . . . . .	<b>307</b>
<b>Galanternicy.</b> . . . . .	<b>321</b>	<b>Tandecjarze</b> . . . . .	<b>670</b>
<b>Handlarze różnych przed-</b>		<b>Utrzymujący handel win.</b>	<b>218</b>
<b>miotów, jak:</b>		<b>Wexlarze</b> . . . . .	<b>45</b>

*Wszelkie inne rodzaje zatrudnienia.*

	Liczba osób głównych i pomocni- czych		Liczba osób głównych i pomocni- czych
Aktorzy . . . . .	269	Niestalego sposobu życia	39513
Akuszery . . . . .	71	Nierządnice . . . . .	988
Akuszarki . . . . .	338	Oberżysci . . . . .	500
Aptekarze . . . . .	366	Officyaliści prywatni . . .	10442
Berajtery . . . . .	23	Possessorowie emfiteutycz.	1041
Bilarzysci . . . . .	231	Praczkki . . . . .	1063
Chirurgowie . . . . .	163	Rządcy domów . . . . .	451
Dentyści . . . . .	12	Służący i lokaje . . . . .	21002
Dorożkarze . . . . .	304	Służące i panny . . . . .	18570
Duchowni różnych wyznań	6246	Stróże domów . . . . .	3645
Guwernerowie i guwern.	368	Traktyernicy . . . . .	328
Inżynierowie . . . . .	64	Uczniowie szkół . . . . .	83402
Kapitaliści procentowi . .	455	Urzędnicy i officyaliści	
Kollektorowie loteryi . .	243	rządowi . . . . .	10817
Księgarze . . . . .	58	Weterynarze i konowaly	115
Kuglarze . . . . .	13	Właściciele posesyj miej-	
Lekarze . . . . .	429	skich . . . . .	72399
Mechanicy . . . . .	151	Woziwody . . . . .	701
Miernicy i geometrowie .	98	Wystużeni i emeryci . .	5075
Muzycy . . . . .	848	Wyrobncicy . . . . .	42686
Nauczyciele . . . . .	1944		

Rolnictwu więc poświęca się osób blisko 920,000. Familie ich także należy policzyć do oddających się temu rodzajowi zatrudnienia; a więc całkowita liczba osób pracujących około ziemi

wynosi do . . . . . 3,000,000

W zakładach fabrycznych i około rzemiosł trudni się osób 156,579

Handlem wyłącznie . . . . . 28,615.

Kraj więc nasz jest rolniczym; prawie  $\frac{3}{4}$  części całkowitej ludności pracuje nad wydobyciem produktów rolniczych,  $\frac{1}{30}$  nad produkcjami fabrycznymi, a reszta oddaje się innym rodzajom zatrudnienia.

Poznajmy bliżej niektóre z wymienionych tu podziałów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# WEZWANIE DO MODLITWY.

(Z WIKTORA HUGO).

**M**ódl się dziewico! Zciemniałe przestworza,  
 Niepewnym blaskiem gwiazd, przecina zorza;  
 W drżących zarysach malują się skały.  
 Spoczynek—cisza.—Słuchaj echa śpiewów,  
 Patrz, jak oddechem wieczornych powiewów,  
 Drzewa, pył dzienny z listków swych zdmuchały.

Zmiérzch osnuł ziemię. W ciemném nocy łonie,  
 Tysiące iskier bladym ogniem płonie.  
 Rąbek karminu blednie na zachodzie,  
 Noc srebrzy fale na wody przestrzeniach.  
 Wszystkie zarysy zlewają się w cieniach,  
 Łudząc wędrowca w spóźnionym pochodzie.

Skonał trud dzienny i zawiści zmija.  
 Jasna, poważna noc modlitwie sprzyja,  
 I stary pasterz, i wiatr w złomach wieży,  
 Jeziora, wody, żyjotka pod wrzosem,  
 Wszystko zawodząc pienia tęsknym głosem,  
 Do snu, modlitwy i miłości bieży.

Gdy my do zabaw biegniemy zwykłym torem,  
 Dzieci, z aniołów rozmawiają chorem.  
 Ziożywszy rączki, padłszy na kolana,  
 Małe dzieciątka oczki w niebo wznoszą,  
 Wspólną modlitwą za nas Ojca proszą,  
 A ich modlitwa czysta, nieskalana.

A potem zasną. I wtedy wśród cieni,  
 Zstąpią gromadnie z bezdennych przestrzeni



Sny złotopióre—i okolą zcicha  
 Łoza niemowląt, pojąc się ich tchnieniem:  
 Jak pszczołek roje za wiosny skinieniem,  
 Słodycz z wonnego kwiatów ssą kielicha.

O śnie niemowląt!—modlitwo dziecinna!  
 To pieśń pieszczotą i pociechą słynna!  
 Błoga religia w uśmiechów gonitwie!  
 Przedspiew do nocy czarownej harmonii!  
 Jak ptak pod skrzydła senny dziobek chroni,  
 Tak umysł dziecka zasypia w modlitwie!

Módl się dziewico!—a za tę najwięcej,  
 Co przy kołysce twojej niemowlęcej  
 Nocy trawiła;—co dawszy ci życie,  
 Duszę twą z nieba przeniosła na ziemię;  
 Za tkliwą matkę, co goryczy brzemię  
 Sama w młodości twój dźwigała skrycie.

I za mnie módl się: więcej niżli ona,  
 Ja potrzebuję modłów twego łona.  
 Podobna tobie dobrocią, prostotą,  
 Jej serce czyste i czoło pogodne.  
 Cierpień i uciech koleje zawodne,  
 Znosi nie szemrząc, i zwycięża cnotą.

Obyś jak ona nie znała niedoli,  
 Któremi serce krwawi się i boli!  
 Tych uciech zwodnych, udręczeń sumienia,  
 Tych żądź próżności, co czczym blaskiem łudzą,  
 I kryształ duszy pianą swoją brudzą,  
 Rumieńcem wstydu karząc swe wspomnienia!

Ja znam już życie; zaczekam téj pory,  
 Kiedy zapragniesz nauki, podpory:  
 Powiem ci wtedy, że widma jaskrawe  
 Władzy, majątku, sztuki, uwielbienia,  
 To szal i nicość—gra bez powodzenia,  
 Gdzie zyskasz hańbę, stawivszy na sławę!

Dusza zużywa się życiem—starzeje;  
 A choć przebywszy zdradliwe koleje  
 Zbrodni i fałszu, uczuje zgryzotę,  
 Jęczy pod jarzmem zwątpienia i błędu!  
 Na cierniach musi zostawić śród pędu  
 Owca, garść wełny—człowiek, swoje cnotę!

Módl się więc za mnie; módl się czystą duszą,  
 Niech się o słowa twe usta nie kuszą.

Nie strój swój próśby w kwieciste obrazki,  
 Lecz niech ją z serca czysta miłość nieci.  
 Wołaj: „Panie nasz, Ojczel my Tve dzieci!  
 „Tyś dobry! wielki! złej na nas Tve łaski!”

Wszystko ma dążność wskazaną na ziemi:  
 Rzeka do morza spieszy z nurty swemi,  
 Każda istota wie czego jój trzeba:  
 Pszczółka zna w kwiatach słodczy zasoby,  
 Orzeł ku słońcu wzłata—sęp na groby,  
 Słowik ku wiosnie—modlitwa do nieba.

Gdy pieśń twa za mnie hymnem w niebo płynie,  
 Ja, jak niewolnik, co w miłej dolinie  
 Spoczywa, ciężar zrzuciwszy na ziemię,  
 Czuję się lżejszym: bo twych modłów cudem,  
 Spada z mych ramion jęczących pod trudem  
 Niedoli, błędów i zawadów brzemie.

Módl się za braci!—by za twém wstawieniem,  
 We śnie ich osnuł skrzydeł swoich cieniem  
 Anioł niebiański. Tchnienie twe przeczyste,  
 Niech z ich oblicza zmazy grzechów zetrze,  
 Aby ich serca jak niebios powietrze,  
 Odżyły świeższe, niewinne, przejrzyste.

Módl się za wszystkich, co żyją  
 Na naszym płaczu padole;  
 Za tych, których serca kryją  
 Nieznanych udręczeń bole;  
 Za szaleńców w zaślepieniu,  
 Co swe szczęście na odzieniu

Lub garści złota budują!  
 Za wszystkich co cierpią w znoju  
 Pracy, lub dusz niepokoju.  
 Za tych, co cnocie holdują,  
 Jak i za złego ofiary,  
 Co pijąc z rozkoszy czary,

Nurzają się w uciech kale;  
 Którzy modlitwy godziny,  
 Spędzają w sromie i szale,  
 Wieńcząc swe czoła w wawrzyny,  
 Zdobyte w uczy nadmiarze.  
 Ich żywot ubogi w czyny,

Jak bałwochwalców ołtarze  
 Runie bez żalu po sobie!

Módl się i za tych, co w grobie  
Znaleźli ciche mieszkanie.  
Wszak czarne śmierci otchłanie,  
Ciągłe rozwarte pod nami!

Wszystkie w niełasce dusze,  
Dręczone ciała więzami,  
W milczeniu znosząc katusze,  
Potrzebują wybawienia.  
Wspomóż więc swemi modłami,  
Te ofiary potępienia.

Módl się i za tych, których białe kości,  
Jak nieme świadki zamartłej przeszłości  
Zaległy liczne ojczyste mogiły.  
Przyciśnij usta do tej świętej ziemi,  
Którą do głębi krwią i łzy gorzkiemi,  
I prochem przodków wieki uświęciły!

*Kl.*



*Czy strona, która w procesie cywilnym czuje się być obrażoną na sławie zarzutami, jakie przeciwko niej druga strona w piśmie obrończém na audyencyi sądowej przywiodła, może tę drugą stronę pociągnąć przed sądy karne po wymiar kary?*

---

Pytanie to jest owocem dorywczej jurysprudencji: bo w ciągu upłynionej od lat 40 epoki, odkąd u nas trzy związkowe kodexa francuzkie obowiązują, nikogo nie frasowało. Gdy jednak na piérwszy rzut oka, umysłem świeżym, w misterstwo procesów cywilnych niewnikającym zdawać się może, że strona, która w toku rozpraw obrończych sławę drugiej strony spotwarzała, karze poprawczej popaść powinna: przeto rozbiór rzuconego pytania nie będzie zbyt cennym, zwłaszcza, że od trafnego rozwiązania jego, właściwa swoboda obrony cywilnej zależy, która bezpośrednio niezbędnym jest warunkiem dobrego wymiaru sprawiedliwości, pośrednio zaś silną dźwignią moralności społeczenskiej stać się może.

- Nadto wywołane pytanie stanowi jedną z kwestyj kompetencyjnych, która zastanowienia się nad różnicą materji cywilnej i kryminalnej wymagając, na poznanie granic sądownictwa cywilnego i kryminalnego zawodzi.

Ztąd więc kwestya na pozór mała, w istocie jest zajmującą. Rozstrzyga ją zaś artykuł 1036 kodexu postępowania cywilnego w tém brzmieniu:

„ Służy trybunałom moc w sprawach przed niemi wytoczonych, w miarę okoliczności mniej lub więcej obciążających, dawać napomnienia nawet z urzędu; zakazać pisma, uznawać je za potwarcze i rozporządzić, ażeby uchwalone w tym względzie wyroki, przez gazety były ogłoszone, i w izbie ustępowej wywieszzone.”

Na mocy tego artykułu ukrócenie potwarzy w piśmie obrończém cywilném napotkanéj, należy wyłącznie do trybunału cywilnego

go, a sądom karnym niewolno mieszać się do wewnętrznej treści procesów cywilnych, niewolno rozpoznawać i karać zarzutów potwarczych, z obrony cywilnej czerpanych, ani z urzędu, ani na zaskarżenie strony.

Tymczasem z textu francuzkiego tak brzmiącego, „*Les tribunaux, suivant la gravité des circonstances pourront dans les causes dont ils seront saisis prononcer*” i t. d., a mianowicie z jednego słowa *pourront*, niektórzy dziś wnoszą, że sądy cywilne wprawdzie mogą użyć nadanej im attribucyi, lecz że to nie przeszkadza stronie obrażonej szukać zemsty w sądzie karnym poprawczym.

Zapominają tu przedewszystkiém o pierwszej konsekwencji z ich wniosku wypływającej, czyli raczej inkonsekwencji, któraby główne zasady każdego prawodawstwa obrażała, że strona za jeden i tenże sam czyn ulegałaby podwójnej karze: jednej przez sąd cywilny, drugiej przez sąd karny wymierzonej; bo każdy człowiek honorowy to czuje, że ogłoszenie przez gazety wyroku uznającego jego obronę cywilną za potwarczą albo jego samego za potwarcę, za oszczercę, byłoby bardzo dotkliwą karą.

Zapominają następnie, że w dalszej konsekwencji z ich mniemania wynikającej, pisma obrończe, które w wyższych sądach, w trybunale, w sądzie apellacyjnym albo w najwyższej instancyi sądowej już były rozpoznawane i osądzone, jeszczeby rozbiorowi i ocenieniu niższych sądów poprawczych podpadały. Byłoby to przecież największą obrazą wszelkiego porządku hierarchicznego. Jakoż w uwagach trybunału do art. 91 kodexu postęp. cywil. znajdujemy taką uwagę: „*L'article ne prévoit pas le cas où le délinquant ne pourrait pas être saisi à l'instant, et cependant il est juste, il est nécessaire, que, dans ce cas, le tribunal, qui a été outragé puisse venger lui-même l'injure faite à l'autorité publique. Il serait bien extraordinaire et contraire à toutes les règles de la décence publique, au moins en matière correctionnelle, qu'un tribunal tout entier, fût obligé d'envoyer son procès verbal à un officier instructeur qui eût le droit de déclarer qu'il n'y a pas lieu à poursuite.*”

Wyraz *pourront* ściąga się widocznie do poprzedzającego i po nim następującego frazesu, i w logicznym związku z niemi tę myśl wyraża, że sądom cywilnym w sprawach przed niemi wytoczonych władzę dyskrecyonalną w tém znaczeniu nadaje, że im wolno użyć środków stopniowo coraz surowszych na ukrócenie nieprzyzwoitych lub złośliwych pism obrończych, nigdy zaś w tém znaczeniu, że jeżeli władzy swój nie użyją i milczkiem przepuszczą zarzutom potwarczym,

wtedy sądy karne przyjdą im w pomoc i nauczą ich, w jaki sposób zarzuty potwarcze ocenić i ukarać należy.

Niewłaściwość sądów karnych do rozpoznania obron cywilnych, mniemane lub rzeczywiste zarzuty potwarcze w sobie mieszczących, zasadza się nie na jednym li artykule 1036, lecz raczej na porządku organicznym, ustanowionym podług różnicy i rozdziału kodexów i procedur tak cywilnych jak kryminalnych.

Chociaż artykuł 1036 położony jest w ogólnych przepisach kodexu postępowania cywilnego, jednakże logiczny ma związek z tytułem tegoż kodexu o audyencyach trybunałów, ich publicznym odbywaniu i przestrzeganiu porządku w czasie ich odbywania, a w szczególności z artykułami 85, 87, 88, 89, 90, 91 i 92, a nawet z artykułami 10, 11, i 12 o audyencyach sędziego pokoju, niemniej z ustawą z dnia 30 marca 1808 r. o porządku policyjnym i dyscyplinarnym w sądach cywilnych.

Wprawdzie niektórzy z naszych jurystów żadnego związku między art. 1036 a powoływaniem dopiero artykułami znaleźć nie mogą, lecz nie zastanowili się nad tém, że przecież podług procedury cywilnej, trybunał cywilny lub handlowy albo sąd apellacyjny nie mogą się inaczej dowiedzieć o treści i brzmieniu pism obrończych, jak tylko za pośrednictwem audyencyi sądowej. Wszelkie bowiem sprawy ulegają porządkowaniu, stosownie do ustawy z dnia 30 marca 1808 r. i łącznych z nią urządzeń wewnętrznych sądowniczych. Pisma obrończe najprzód na stole sądowym w ręce pisarza składają się, a potém kolejną przywoływania spraw z wokandy, wprowadzane są na audyencyi sądowej przez głośnie rozprawy obrońców.

Wszelkie artykuły, wszelkie przepisy, które się porządku audyencyonalnego dotyczą, czyli ogólniej mówiąc, porządku publicznego, jaki w sądach cywilnych, zwłaszcza na audyencyach przeznaczonych do wprowadzenia spraw, wydawania i ogłoszenia wyroków zachowywany być powinien, są z sobą w związku mechanicznym lub logicznym, chociażby po kodexach lub innych ustawach były porozrzucane. Potrzeba tylko, jak w innych umiejętnościach, podobnie i w jurysprudencji, umieć znaleźć wspólną naturę, wspólny cel i wyższy związek logiczny rozmaitych szczegółów jednorodnych.

Uszykowanie przepisów porozrzucanych w systematyczną teorią, jest zadaniem jurysprudencji; ta zaś sprawować się powinna jako nauka pomocnicza nauki prawodawczej kodexami objętej. Postępując za tym celem natrafiamy znowu na mylne mniemanie, jakoby dozwolone kodexem postępowania cywilnego środki na ukrócenie prze-

kroczeń porządku audyencyonalnego, tylko poszanowanie i powagę magistratury na celu miały, z wyłączeniem zatargów pomiędzy stronami procesującymi się lub innymi osobami, na audyencyą przybyłymi.

Wszelkie owszem wykroczenia przeciwko porządkowi audyencyonalnemu z dwojakiego względu uważane być mogą: bądź o ile są wymierzone wprost przeciwko powadze sądu lub jego członków, bądź o ile się dotyczą stron procesujących lub innych osób z publiczności albo obrońców i innych oficyalistów przy sądzie urzędujących. A zatem, gdy w obliczu magistratury każdy przyzwoicie zachować się i przyzwoicie wyrażać się powinien; przeto wszelki czyn lub słowo nieprzyzwoite, acz bez zamiaru uwłaczania magistraturze objawione, byłoby obrazą magistratury. Przekroczenia więc porządku audyencyonalnego można rozróżnić na pośrednie i bezpośrednie. Jakoż w rzeczy samej wyraźne przepisy kodexu postępowania cywilnego czyli dozwolone niemi środki na ukrócenie wykroczeń przeciwko porządkowi audyencyonalnemu, widocznie podanej tu różnicy odpowiadają, jak to się zaraz okaże.

W rozbiorze przekroczeń porządku audyencyonalnego, nie można pominąć wzmianki o wyższém pojęciu porządku publicznego, którego porządek audyencyonalny jest tylko ułamkiem podrzędnym. Albowiem w toku procesów cywilnych nietylko porządek audyencyonalny, lecz i porządek publiczny obrażony być może.

Porządek publiczny ogarnia cały stan społeczński, czyli obowiązki względem społeczeństwa i rządu w łącznej jedności pojętych. Otóż, gdy sprawy cywilne do kompetencji sądów cywilnych należą, a w ich zarodzie i toku wydarzyć lub objawiać się mogą przestępstwa przeciwko porządkowi publicznemu: ztąd wywiązują się rozmaite punkta zetknięcia się materji cywilnej z kryminalną, które nader ważne kwestye kompetencyjne sądownictwa tak cywilnego, jak kryminalnego dotyczące się wywołują.

Punkta zetknięcia się materji cywilnej z kryminalną, nie są i nie mogły być pominięte w trzech związkowych kodexach, a mianowicie cywilnym, handlowym i postępowania cywilnego; ztąd wszelkie czyny karygodne, które z sprawami cywilnymi związek mają, a tém samém w zakres materji i kwestyi kompetencyjnych wchodzą, podzielić można:

I) na przekroczenia porządku audyencyonalnego w właściwém znaczeniu;

II) na przestępstwa przeciwko porządkowi publicznemu czyli na występki lub zbrodnie.

Te drugie w ogólności są własnością jurysdykcji kryminalnej; jednakże nie są one zupełnie wyłączone z pod dyspozycji, a nawet jurysdykcji sądów cywilnych, jak to się niżej okaże.

Już powyżej nadmieniono, że z przepisów kodexu postępowania cywilnego o audyencyach tak trybunałów, jak sędziego pokoju wynika następujący podział przekroczeń porządku audyencyonalnego, a mianowicie:

A) na przekroczenia pośrednie przeciwko powadze sądu lub sędziego;

B) na przekroczenia bezpośrednie przeciwko powadze sądu lub sędziego.

Pierwszy rodzaj przekroczeń objęty jest najszczególniej w art. 89, 10, 1036, i 90; drugi zaś w art. 91 i 11; nakoniec o przestępstwach, prócz wielu szczególnych przepisów, ogólna jest wzmianka w art. 92.

Uprzedzić tu wypada, że środki i kary policyjne ku zapewnieniu porządku audyencyonalnego kodexem postępowania cywilnego przepisane, nie stosują się do sędziów ani do prokuratorów (magistrats,) jako pod władzą policyjną lub dyscyplinarną sądu, którego są członkami niestojących. Środki te wymierzone są tylko przeciwko osobom z publiczności, przeciwko stronom, których sprawy są wprowadzane, przeciwko obrońcom i innym ofycyalistom przy sądzie.

Do wykroczeń pośrednich przeciwko porządkowi audyencyonalnemu pod lit. A objętych należą:

a) zrzędzenie szmeru, zgietku jakimkolwiek bądź sposobem; głośne śmiechy, pochwały, nagany, zgoła przerywanie spokojności audyencyonalnej podczas rozpraw obrończych, i wszelkie jakiegokolwiek bądź rodzaju nieprzyzwoitości lub niedorzeczności;

b) nieumiarkowane, namiętne, obelżywe lub gorszące wystąpienia się stron procesujących lub ich obrońców, jednych względem drugich.

c) zarzuty potwarcze czyli w ogólności wszelkie przytoczenia w pismach obrończych objęte, które sławie, charakterowi, godności jednej z stron procesujących uwłaczają.

Wszelkie wykroczenia pod lit. a, b, objęte, ulegają za pierwszą razą napomnieniu, przywołaniu do porządku, w trybunale przez prezydującego, w sądzie pokoju przez sędziego pokoju lub podsędka; za drugą razą w sądzie pokoju skazaniu przez podsędka na karę pieniężną aż od 10 franków (16 złp.) z możliwością obwieszczenia wyroku po gminach właściwego okręgu; w trybunale zaś rozkazowi przez pre-



zydującego, ażeby się przewinający natychmiast oddalił, a gdyby nie był posłusznym, przytrzymaniu i osadzeniu w areszcie na 24 godzin za piśmienném rozporządzeniem prezydującego, o którym w protokule audyencyonalnym wzmianka uczyniona być powinna.

Obok tych służą jeszcze następujące środki:

Gdyby strona procesująca, broniąc się sama przed trybunałem lub sądem appellacyjnym, obelżywemi lub potwarczemi wystowieniami miotała; albo gdyby namiętność stron w ciągu rozpraw obrończych nie mogła być pohamowaną słowném upomnieniem przez prezydującego i miała za sobą pociągnąć zgorzenie lub wielkie nieprzyzwoitości: natenczas w piérwszym przypadku może trybunał zakazać stronie osobistego wprowadzenia obrony i dalszą rozprawę jój obrońcy polecić; w drugim przypadku postanowić, ażeby sprawa przy zamkniętych drzwiach wprowadzoną była.

Wzbronienie stronie osobistego wprowadzenia obrony nie jest atrybucją prezydującego, lecz kompletu sądowego. Niepotrzeba wszakże w tym względzie decyzji na piśmie; dostateczném jest, gdy prezydujący, po zebraniu głosów bez wywołania ustępu, zakaz wyrzeczy.

O decyzji wprowadzenia lub kontynuowania obron przy zamkniętych drzwiach, trybunał prokuratorowi przy sądzie apellacyjnym, sąd apellacyjny ministeryalnej władzy donieść powinien.

Urzednicy lub ofycjaliści, którzy przy sądzie do pewnego rodzaju działań prawnych lub czynności sądowniczych albo do obowiązków służbowych są ustanowieni, ulegają za naruszenie lub zamieszanie spokojności audyencyonalnej tymże samym, co wyżej środkiem lub karom policyjnym, a nadto karze dyscyplinarnej zawieszenia w urzędowaniu, za piérwszą razą najwięcej do trzech miesięcy.

Ztąd więc np. obrońcy, którzyby w rozprawie audyencyonalnej na przeciwników swoich miotali zarzutami sławie lub godności uwłaczającemi, ulegaliby: w sądzie pokoju skutkom artykułów 10 i 90 kodexu postępowania cywilnego, obrońcy zaś w trybunale lub przy sądzie apellacyjnym, skutkom z art. 89 i 90 tegoż kodexu.

Wszelkie wyroki w przedmiocie wykroczeń przeciwko porządkowi audyencyonalnemu, są podług art. 12 i 90 kodexu postępowania cywilnego, tymczasowo wykonalnemi. Atoli tém samym zapellowane być mogą, stosownie do przepisów organicznych, za podaniem się wszakże exekucyi.

Rozumié się samo z siebie, że w użyciu tych środków i kar, nie ma potrzeby postąpić z ścisłością matematyczną: gdyż wszystko

tu od okoliczności mniej lub więcej obciążających zależy. I za drugą razą i trzecią, częstokroć proste napomnienie lub zgromienie okaże się być dostatecznym, a nawet podług dotychczasowego doświadczenia bez przesady twierdzić można, że audyencye sądowe publiczne stały się poniekąd szkołą przystojnego zachowania się publiczności *in foro*, w obec władzy.

Przystępujemy teraz do najważniejszego punktu naszej rozprawy powyżej pod *lit. c* objętego, a mianowicie do wyjaśnienia przyczyn, dla których sądy karne ani z urzędu, ani nawet na skargę strony nie były i nie są mocne zajmować się rozpoznawaniem i poskromieniem zarzutów potwarczych, czerpanych z obron cywilnych.

Jeżeli w istocie było celem kodexu karnego z r. 1818, ażeby, oprócz osobistych obelg słownych i czynnych, (art. 439) zwyczajna potwarz bądź słownie, bądź na piśmie rozgłaszana, czyli tak zwane fałszywe przypisanie czynu dobrej sławie szkodzić mogącego, (art. 436, 437, 438) dochodzeniu z urzędu ulegało: tedy zasada ta, już sama z siebie niepraktyczna nie stosowała się bynajmniej do pism obrończych cywilnych, poczytujących drugiej stronie czynu lub działania niemoralne lub podstępne.

Albowiem kodex ten nie tylko w niczem nie ścieśnił atrybucyj jakie sądownictwu cywilnemu z kodexów cywilnych służą, ale nastąpił w epoce, w której obowiązującą była uchwała sejmowa z dnia 18 marca 1809 r. zmiany w prawie kryminalnym zaprowadzająca, która w art. 2, obok wyszczególnienia niektórych pewnych wypadków zetknięcia się materji cywilnej z kryminalną, ogólnie wyrzekła: że sądy kryminalne, w przystosowaniu praw karnych, w niczem przepisów kodexu cywilnego, a tém samym i przepisów kodexu postępowania cywilnego nadwierać nie mają. Uchwała ta wprawdzie przestała obowiązywać z dniem ogłoszenia kodexu karnego z r. 1818, lecz objawiona przez nią zasada w art. 2, jako *organiczna*, dotąd w swojej nienaruszonej mocy stoi, tém pewniej, że jest ponowioną w art. 10 obowiązującej dotąd organizacyi sądownictwa kryminalnego z dnia 26 lipca 1810 r.

Ztąd więc obok mocy obowiązującej artykułu 1036 kodexu postępowania cywilnego, sądownictwo kryminalne nie mogło się mieszać z urzędu do obron cywilnych, w celu wyszukania w nich występku potwarzy.

Dziś pod powagą nowego kodexu kar głównych i poprawczych, który od dnia 1 stycznia 1848 r. obowiązuje, uwagi te stają się zbytecznymi, ponieważ kodex ten w przypiskach do art. 1018 i 1026

dochodzenie z urzędu nie tylko osobistych obelg i zniewag, ale i potwarzy i rozszerzania pism sławie uwłaczających wyraźnie wzbronit.

Nader ważne są argumenta, dla których i samej stronie procesującej niewolno domagać się przed sądami karnymi ukarania strony przeciwniej za mniemaną lub rzeczywistą potwarz, w jej pismach obrończych napotkaną. Wszystkie te argumenta leżą w naturze procesów cywilnych.

Pomimo organicznego rozdziału tak kodexów prawa i procedur, jako też sądownictwa na cywilne i kryminalne, natura pewnego rodzaju procesów cywilnych nader jest zbliżona do ogólnej własności spraw kryminalnych.

Powinowactwo to zachodzi nie tyle w czynach zewnętrznych, ile w pobudkach wewnętrznych. Jak w czynach kryminalnych, ogólnie przestępstwami zwanych, dochodzony jest stopień złej woli działającej pod nazwą winy lub złego zamiaru albo rozmysłu, tak w czynach cywilnych ogólnie aktami lub czynnościami cywilnymi zwanych, dochodzone bywają *culpa*, *culpa levis*, *culpa lata*, *dolus*, *fraus*, *dolus malus*, *mala fides*, wina, zła wiara, podstęp, oszukanie, fałsz. Z takichto pobudek pochodzące czyny lub działania cywilne, leżą na granicy pojęć prawa kryminalnego i prawa cywilnego. Coby zaś w nich za przeważające uważaném być powinno lub jest uważaném, czy materia cywilna czy kryminalna; albo jakie środki na ich powściągnięcie byłyby najstosowniejszemi, i któremu sądownictwu, czy kryminalnemu lub cywilnemu, ich użycie i zastosowanie powinnyby służyć albo też służy: to zawisło od wewnętrznych pierwiastków i przyrodzonych usposobień każdego prawodawstwa, od jego ducha i przezorności.

Stan prawodawstwa tak cywilnego jak kryminalnego u nas obowiązującego nie nasuwa tyle punktów ujęcia, ażeby z nich teorią ogólną zasad kompetencyjnych, w materji mieszanej cywilno-kryminalnej ułożyć można. Ta wszelako zasada ogólniejsza, acz tylko negacyjna przyjętą być może, że nie wszystko, co w procesach cywilnych ma barwę lub cechę przestępstwa, do kompetencji sądownictwa kryminalnego należy; że owszem wiele przedmiotów tego rodzaju wyłącznej jurysdykcji sądownictwa cywilnego ulega. Następujące pojedyncze przykłady to wyświeca.

Dłużnik pozawierał rozmaite akta, które wierzycieli jego na utratę kapitałów, na wyzucie z majątku narażają. Wolno wierzycielom wystąpić przeciwko niemu i jego współnikom z zarzutami podstępu, oszukania, zмовy, symulacji. Ktokolwiek z nich przegra, czyto dłużnik, czyto wierzyciele, nikt wszakże przed sądem karnym

odpowiadać nie jest obowiązany, ani dłużnik za oszustwo, ani wierzyciele za wyrzuty sławie uwłaczające.

Kto się podstępnie swojego podpisu na rewersie lub wexlu wypięra, dopuszcza się zaiste czynu występnego, gdy przez to zamierza oszukać swojego wierzyciela. Tymczasem, po sprawdzeniu podpisu, wypięrający się, nie ulega odesłaniu do sądu karnego, tylko stosownie do art. 213 kodexu postępowania cywilnego, oprócz zapłacenia powodowi wygrywającemu jego należitości, jako téż kosztów i wszelakich szkód, skazanym będzie przez sąd cywilny na 150 franków (240 zł. pol.) na rzecz skarbu, a to w miarę uznania przez trybunał, pod przymusem osobistym nawet i co do głównej należitości.

Sprawy cywilne o fałsz incydentalny, które wyraźnie i ogólnie piętnem kryminalności są poszlakowane, częstokroć w sądach cywilnych się kończą, bez względu na to, że bezpośredni obwinieni żyją. Powód zaś, który zarzut fałszu lub sfalszowania uczynił i przegrał, nigdy ani z urzędu, ani na skargę strony wygrywającej, przed sąd karny w zarzucie potwarzy pociągany być nie może; tylko stosownie do art. 246 kodexu postępowania cywilnego skazanym będzie przez sąd cywilny przynajmniej na 300 franków (złp. 480), tudzież na zapłacenie szkód według okoliczności.

Widzimy więc, że kodex postępowania cywilnego wyłączył spod jurysdykcji kryminalnej pewne czyny, które w toku procesów cywilnych bądź pozorną barwą, bądź rzeczywistą cechą występku na jaw występują, pozostawiając je wyłącznie ocenieniu i poskromieniu przez sądownictwo cywilne.

Do tych wyłączeń należy w szczególności zarzut potwarzy fałszu, wyrokiem cywilnym uznany, podług art. 246 kod. postępowania cywilnego i wszelkie zarzuty potwarcze w obronach cywilnych czynione, podług art. 1036 tegoż kodexu.

Nie zachodzi w tém bynajmniej pobłażanie czynom występny, poniżenie cudzej sławy na celu mającym, lecz przezorność na wielostronném doświadczeniu oparta; albowiem kto miał sposobność poznania misterstwa procesów cywilnych i praktyki prawniczej w jej rzeczywistych ścieżkach, ten zaiste poznał, ile złej wiary podstęp, oszukania i fałszu pod rozmaitemi postaciami i pozorami w procesach cywilnych się przemyka, bądźto skutkiem ułożonej z ręcznie tkaniny rozmaitych aktów prawniczych lub działań procesualnych prawnością formalną ubarwionych; bądź skutkiem zaufania, nieostro-

żności, nieumiejętności, lekkomyślności albo prostoty stron aktami dobrowolnemi powiązanych; bądź nakoniec skutkiem niezdolności środków prawnych do dochodzenia prawdy służących, i teorii dowodowej, albo téż ułomności ludzkich, jakim prowadzenie i ocenienie procesów cywilnych ulega.

Zła wiara, przezorna w swoich widokach, wcześniej przygotowuje się do działań odpornych lub nawet zaczepnych. Otaczając się aktami lub zasadami formalnemi zręcznie przysposobionemi, zamyka się w nich jakoby w niedostępnej warowni. Przed tą warownią prawa formalnego roztrąca się częstokroć rzetelne prawo materialne, i na jego gruzach zapada wyrok, który biegiem instancji sądowych oblicze swe po kilka razy zmieniwszy, ogłasza nakoniec tryumf prawa formalnego, nie wiedząc, albo nie chcąc wiedzieć, że w jego kryjówkach przebywa zła wiara, nieprawych korzyści zdobywczyń.

Trudno częstokroć udowodnić złą wiarę, podstęp, symulację, zmowę, oszustwo cywilne.

Cóżto oznaczają te opinie kaligrafów, te relacje biegłych, te inkwizycje świadków? Wątpliwości to są dowody, które to w prawdę, to w błąd wprowadzają. Nie ma wszakże zdolniejszych środków prawnych i ostatnią próbą zawsze pozostaje zdanie sędziego.

W sprawach w których zaskarżone są zła wiara, podstęp, zmowa, symulacja, oszukanie, fałsz i tym podobne bezprawia, obiedwie strony między sobą procesujące się byłyby niejako na odpowiedzialność przed sądami karnymi wystawione, gdy w ostatecznym rezultacie procesu cywilnego zawsze jedna z nich mogłaby być poniekąd uważaną albo za oszusta, albo za potwarcę.

Z powodu więc zachodzącej często niemożności udowodnienia złej wiary, symulacji, oszukania lub fałszu; z powodu wątpliwości środków prawnych i niepewności dowodów lub poszlak; z powodu wydarzającej się często sprzeczności między prawem formalnem a prawem materialnem, czyli między prawnością a moralnością sprawy, gdy za wygrywającym pierwsza, za przegrywającym druga przemawia; z powodu ułomności intelektualnej i moralnej ludzi środkami prawa kierujących lub władających: słowem z powodu niedoskonałości prawa, jego środków i organów, skutkiem czego częstokroć zła wiara nad dobrą wiarą, albo prawo formalne nad prawem materialnem, albo prawność nad moralnością tryumfuje: niewolno stronom procesującym się ani z rezultatu, ani z toku procesów cywilnych rozwijać procesów kryminalnych, wyjąwszy li te wypadki, w których

prawo wyraźnie tego dopuszcza, jak np. podług art. 250 kodexu postępowania cywilnego, lub podług art. 588. 590 kodexu handlowego.

Argumenta te, z natury procesów cywilnych wywiedzione, widocznie opierają się możliwości zaskarżenia strony przez stronę przed sądami karnymi, o wystowienia lub zarzuty jakoby potwarcze, w piśmiach obronczych upatrywane: bo że dłużnik na zasadzie formalnego prawa pokonał swych wierzycieli na szkodę narażonych i na podstępne działanie dłużnika uzalających się; że wypierającemu się podpisu swojego na wexlu, albo skarżonemu w drodze cywilnej o fałsz lub sfałszowanie, udało się na zasadzie wątplych opinij i zdań wygrać sprawę: to nie dowodzi, ażeby przegrywający mieli się dopuszczać złośliwych zarzutów potwarczych, za które ich odpowiedzialność poprawcza spotkać powinna. Wszakże już jurysprudencya rzymska przezornie a ogólnie o wyrokach cywilnych prawomocnych wyrzekła: „*Res judicata pro veritate habetur*”.

Zaledwie to na uwagę zasługuje, że nawijające się w procesach cywilnych zarzuty barwę lub cechę potwarzy na sobie noszące, nie są téj natury, co występki potwarzy, kodexami kryminalnymi określone, ani z pochodzenia ani z celu swojego. Sąto czyny i okoliczności, które jako towarzyszące zobowiązaniom i tokowi interesów cywilnych, przemysłowych, handlowych, ku obronie i prawnemu lub moralnemu poparciu sprawy są przywiedzione, rozmaicie pojęte i wytłumaczone być mogą, i bynajmniej warunków występku poprawczego w sobie nie zawierają.

Ich nawet sprawdzenie i ocenienie przez sądy karne, nie mogłoby inaczej nastąpić, jak za wprowadzeniem przed nimi całej sprawy cywilnej, za poznanem wszelkich jęj szczegółów w całym swoim związku.

Nakoniec zważyć potrzeba, że w zwyczajnym toku interesów cywilnych, przemysłowych, handlowych, spekulacyjnych, ich zawiązaniu, prowadzeniu, kończeniu się lub rozwiązaniu, zwykle towarzyszą czyny, działania, okoliczności, których wiedza sędziemu cywilnemu niezbędną lub pomocną być może do gruntownego poznania sprawy, do zgłębienia i ocenienia przyczyn prawnych lub nieprawnych, do postawienia sędziego w możliwości wydania wyroku sprawiedliwego.

Czyny tego rodzaju tak pod względem prawa cywilnego, jak pod względem swęj wartości moralnej nader są rozmaite, i strony poszukujące swęj krzywdy rzeczywistęj lub mniemanęj, mogą w nich słusznie czy niesłusznie upatrywać działanie złęj wiary, podstępu, oszukania i tym podobnych bezpraw, a w ich związkowém wystawie-

niu i wyjaśnieniu przed sądem, skuteczność obrony i usprawiedliwienie swych poszukiwań. Gdyby więc przytoczenie podobnych czynów, działań, obrotów i okoliczności, gdy te rzeczywiście złą wiarą, lub podstępem, lub zamysłem oszukania nastąpiły, miało strony narazić na odpowiedzialność przed sądami karnymi, jakoby za potwarz: natenczas bacząc na trudność ich zupełnego udowodnienia, na problematyczny wypadek sporów dowodowych, a przenosząc krzywdę cywilną nad zagrażającą karę poprawczą, byłyby zniewolone zamilczeć tego rodzaju czyny i działania: to zaś krępowałoby swobodę obrony cywilnej; zatamowałoby bowiem możliwość wyjaśnienia i wykazania prawdy; nie dozwoliłoby poznać sprawy wszechstronnie i przez to nadawałoby to rozprawie sędzię fałszywy kierunek, i wywierałoby szkodliwy wpływ na trafność wyrokowania.

A nawet co gorsza, pozostawienie stron cywilnych między sobą procesujących się pod groźbą odpowiedzialności przed sądami karnymi za wysłownia honorowi ubliżające, lub za przywiedzenie czynów i okoliczności, mniej lub więcej potwarczych, ośmieliłoby tych co złą wiarą się żywią, do przedsiębrania tém skwapliwiej wszelkich działań cywilnych a podstępnych, bez względu na krzywdę cudzą, byleby sami wszelką korzyść acz nieprawą osiągnęli. Albowiem ubezpieczeni obawą przeciwnika, któryby się lękał pociągnięcia do procesu poprawczego za wyrzuty złej wiary, podstępu, symulacji, zmywy, oszukania, nie znalazłszy żadnego hamulca złej wiary swojej, nie obawialiby się możliwości udowodnienia im działań niegodnych i narażenia ich na poniesienie publicznego zawstyżenia przez rozprawę audyencyonalną i na bolesniejszą dla nich utratę domierzonych nieprawych korzyści.

Dopóki jest w poszanowaniu publiczném sława dobrego imienia, *existimatio*, potrzeba pozostawić obronom cywilnym wszelką swobodę, ażeby w procesie, w ścieraniu się dobrej wiary z złą wiarą, pierwsza mogła wykazać bez ogródki kręte drogi ostatniej, która działając przezornie, tajemnie, ostrożnie, umie upozorować nieprawości swe formą dobrej wiary, a nawet częstokroć śmiało oblicze prawości przybiérając, poważa się targnąć na sławę rzetelnego przeciwnika, w mniemaniu, że tym obrotem dopnie swojego celu.

Tym sposobem swoboda obrony cywilnej stanie się zaporą złej wiary, strażą dobrej wiary, dźwignią moralności publicznej, prawodastwem cywilnym zawarowaném.

Przeciwko nadużyciom téj swobody, przeciwko rozprawom obrończym przekraczającym granice przyzwoitości wysłownia; przeciwko wyrzutom potwarczym, jakieby strona stronie niesłusznie w pi-

śmie obrońcém uczynić mogła, służą środki pohamowania i poskromienia kodexem postępowania cywilnego ustanowione; służy jedynie jurysdykcyja cywilna bądź na wniosek strony obrażonej, bądź z urzędu; służą jedynie kary cywilne z wyłączeniem wpływu sądów karnych, jako szkodliwego swobodzie obrony cywilnej i dochodzeniu prawdy w toczących się procesach cywilnych.

W tymto duchu pojąć należy przepis artykułu 1036 kodexu postępow. cywil., który obok innych szczególnych przepisów, ogólnie wszelkie zarzuty potwarcze w obronach cywilnych napotkane, pod wyłączną jurysdykcyą trybunałów czyli sądów cywilnych zagarnął.

Lubo redaktorowie kodexu postępowania cywilnego nie zapuszczali się w tak obszerne wyjaśnienie tegoż artykułu, jednakże na utwierdzenie przywiedzionych zasad przytoczyć należy dosłownie to, co mowca trybunatu *Mallarmé* przed zgromadzeniem prawodawczém przytoczył (*Loché, Legislation de la France, Tom 23, procedure civile, str. 446*).

„*Puissent-ils (les tribunaux) aussi user, avec une inflexible sévérité du pouvoir que leur donnera la loi de prononcer des injonctions; supprimer, dans les causes dont ils seront saisis, les écrits calomnieux qui porteraient atteinte à l'honneur et à la réputation des parties! Il n'est que trop fréquent de voir les plaideurs recourir à la calomnie et à la diffamation, dans la vue de rendre leurs adversaires odieux. Ce moyen ne peut être avoué par la justice. Son temple, toujours ouvert à la vérité ne doit jamais l'être à l'imposture. Plus son enceinte est respectable, plus il importe, qu'elle ne soit pas profanée impunément.*”

Pominąwszy uroczyste wystowienie się, jakiego *Mallarmé* bez potrzeby użył, okazuje się widocznie, że artykuł 1036 nadał trybunałom cywilnym w sprawach przed nimi wytaczanych wyłączną władzę umorzenia pism obrończych potwarczych, lub nawet wymierzenia za nie kary tymże artykułem ustanowionój.

Nic niedowodzącém byłoby przytoczenie téj uwagi przeciwko powyższej teorii, że w sprawach zaocznie wprowadzonych strona zaocznie spotwarzona nie miałaby żadnego środka pomszczenia się za krzywdę obelgową. Albowiem w takim przypadku dostateczny jest dozór trybunałom zalecony, ażeby z urzędu wystowienia potwarcze z obrony wymazać kazały. Jeżeliby zaś trybunał, ani w tym przypadku, ani nawet w przypadku obecności strony lub jéj obrońcy, gdy nie było żądania o naganienie i zniszczenie pisma barwę lub cechę potwarzy mającego, nic nie wyrzekł: w takim przypadku przypuszczać



należy, że trybunał naturę mniemanych zarzutów potwarczych właściwie ocenił podług rodzaju i ducha całej sprawy cywilnej, która na stronę acz cywilnie wygrywającą mogła sięgnąć wyrzuty, które pod względem moralnym uważane, mogły być mniej lub więcej zasłużone.

Nakoniec zważyć trzeba, że pisma obrończe do wprowadzenia na audyencyi sądowej przysposobione, ulegają poprzedniczej komunikacyi pomiędzy obrońcami. Ztąd więc obrońca strony mniemającej się być spotwarzoną ma sposobność zapobieżenia wczesnie głoszeniu potwarzy na audyencyi sądowej, podaniem stosownych żądań i wniosków do trybunału, przed którym sprawa ma być wprowadzoną. Samym zaś obrońcom za nadużycie swobody obrony cywilnej zagraża odpowiedzialność dyscyplinarna z artykułów 102, 103 urządzenia wewnętrznego z dnia 30 marca 1808 r., które prócz tego tak różnicę przekroczeń audyencyonalnych i nieaudyencyonalnych, jak i wyłączność jurysdykcyi cywilnej w tego rodzaju przekroczeniach stwierdzają.

Osobiste zaś pisma strony procesującej się, które obrońcy strony przeciwniej nie były komunikowane, których więc osnowa i wysłowienia nie są mu wiadome, nie mogą i nie powinny być na audyencyi sądowej odczytywane. Dozwolenie jednak tego przez sąd, byłoby uchybieniem przeciw procedurze cywilnej i urządzeniom wewnętrznym: nad czém prokurator z urzędu czuwać jest obowiązany.

Oдноśnie do kategorii pod nr. II wytkniętej, pozostaje do wyjaśnienia teoria kompetencyj, względem przestępstw na karę główną lub poprawczą zasługujących, któreby na audyencyi sądowej cywilnej wydarzyć się lub z toku spraw cywilnych wykryć się mogły.

Ogólną w tym względzie zasadę podaje kodex postępowania cywilnego w art. 92, wyłączając zpod kompetencyi sądownictwa cywilnego przestępstwa, *délits*, na audyencyi sądowej popełnione, któreby na karę główną lub hańbiącą, *peine afflictive au infamante* zasługiwały, i stanowiąc, że winowajca, po przytrzymaniu, do właściwego sądu karnego odesłany być ma po ukaranie.

Gdy kodex karny francuzki, *code pénal*, acz później zredagowany, pod przestępstwami, które *peine afflictive ou infamante* za sobą pociągają, rozumie przestępstwa zbrodniarskie *crimes* zwane; gdy nad to kary te daleko większe są od kar poprawczych, *peines correctionnelles*, przeto oczywista, że art. 92 jedynie do przestępstw zbrodniami (*crimes*) będących stosuje się, i że zamierzył pozostawić sądownictwu cywilnemu możność skazywania na kary poprawcze, za przestępstwa należące do rzędu występków, *délits*.

Interpretacya ta znajduje wyraźne poparcie nietylko w art. poprzedzającym 91 kodexu postępowania cywilnego, ale nade wszystko w uchwalonym później kodexie postępowania kryminalnego, *code d'instruction criminelle*, albowiem powołany artykuł 91 upoważnił trybunały cywilne I instancyi do wymierzenia kary aresztu, najwięcej miesiąca jednego i łącznie kary pieniężnej od 25 do 300 franków (od 40 do 480 złp.) za dopuszczenie się zniewagi lub groźby względem sędziów, *juges* lub urzędników sprawiedliwości, *officiers de justice* (1), podczas ich urzędowania; czyny zaś te oczywiście są występkami, a rodzaj kary jest karą poprawczą.

Co większa, kodex francuzki postępowania kryminalnego, w rozdziale o przestępstwach przeciwko powadze władz publicznych, od art. 504 do 509 upoważnił sądownictwo cywilne do wykonywania jurysdykcji kryminalnej nietylko co do występków, *délits*, ale i co do zbrodni, *crimes*, na audyencyi sądowej lub gdzie się instrukcyja sądowa odbywa wydarzonych, a w szczególności sędziów pokoju i trybunały do wyrokowania względem występków, z dozwoleństwem obwinionemu apellacyi, zaś sąd kassacyjny i sądy apellacyjne względem zbrodni.

Co się tyczy zbrodni wydarzonych na audyencyi sędziego pokoju lub trybunału: te, po przytrzymaniu obwinionego i spisaniu protokołu, istotę czynu, *corpus delicti* wyjaśniającego, odesłane być mają do właściwych sądów karnych po wymiar kary.

Wprawdzie sądy cywilne krajowe nie mogą sobie przyswajać atrybucyi karniej, opartej na kodexie francuzkim, ani też użyć w pomoc analogii, zwłaszcza po zgaśnięciu praktycznej różnicy przewinień, występków i zbrodni; lecz z ducha i założeń kodexu postępowania cywilnego, jako też z ogólnych sterujących zasad organizacyi sądownictwa tak cywilnego jak kryminalnego, ta stanowiąca wykrywa się zasada, że im służyć powinna atrybucya początkowania procesu kryminalnego względem wszelkich przestępstw większych lub mniejszych, na audyencyi sądowej lub w miejscu gdzie sędzia lub prokurator z urzędu, działali wydarzonych, albo z toku procesu cywilnego wykrywających się; że więc bez decyzji właściwego sądu cywilnego sprawę do procesu karnego odsyłającą, niewolno sądom karnym ani z urzędu, ani na skargę strony cywilnej, chyba prawo wyraźniej w tym względzie wyjątek objawiło, pociągać pod swą jurysdyk-

(1) Do liczby tych należą, zdaje się, nietylko prokuratorowie, ale oraz obrońcy i pisarze.

cyą jakichkolwiekbądź czynów wydarzonych lub wykrytych w toczących się procesach cywilnych.

Zasada ta acz nie wyraźnie, ale ogólnie w obowiązującym prawodastwie cywilnym lub kryminalnym wytknięta, jednakże, prócz powoływanych artykułów 92 i 91 kodexu postęp. cywil. innemi wypadkami zetknięcia się materji cywilnej z kryminalną usprawiedliwić się daje.

Nie pomnąc rozmaitych wypadków karalnych, w ciągu niniejszej rozprawy wymienionych, zważyć potrzeba, że chociaż art. 139 kodexu postęp. cywil. pisarzowi, któryby główny wyciąg wyroku przed podpisaniem oryginału przez prezydującego stronie wydał, odpowiedzialnością kryminalną zagraża; jednakże obwiniony nie mógłby być przed sąd karny pociągniętym bez wyraźnego upoważnienia przez właściwy sąd cywilny, czyli bez decyzji kwalifikacyjnej, pomimo nawet skargi przez stronę interesowaną do sądu karnego zanesionej.

Podobnie, na poparcie powyższej zasady czerpać się daje przykład z art. 1363 kodexu cywilnego, stanowiącego „że po wykonaniu przysięgi deferowanej, lub odznaczonej, strona przeciwna nie będzie dopuszczoną do dowodzenia krzywoprzysięstwa”. Chociaż bowiem krajowe sądy karne, na proste skargi *prywatne* przyjmują tego rodzaju sprawy do instrukcji i wyrokowania; jednakże, gdy dochodzenie krzywoprzysięstwa, nie w sądach cywilnych, lecz jedynie w sądach karnych miejsce znajduje: przeto praktyka taka, jako niwecząca przezorny przepis artykułu 1363, za mylną uważana być powinna. Nie jest wszakże przecięta zupełnie droga dochodzenia krzywoprzysięstwa względem wykonanej przysięgi deferowanej lub odznaczonej, jak to artykuł 366 kodexu karnego francuzkiego, będący dalszym rozwinięciem artykułu 1363 kodexu cywilnego objaśnia, lecz dochodzenie nie może być rozpoczęte na prywatną skargę strony cywilnej, tylko jedynie za początkowaniem prokuratora.

Gdy w sądownictwie francuzkiem urząd prokuratora tak cywilnego, jak kryminalnego w jednej i téjże samej osobie prokuratora przy trybunale cywil. I inst. jest połączony, przeto w naszym sądownictwie w którym oddzielne urzędy prokuratorów cywilnego i kryminalnego są ustanowione, początkowanie tego rodzaju procesów karnych pochodzić powinno od prokuratora przy trybunale cywilnym, w którym sprawa na zasadzie wykonanej przysięgi deferowanej lub odznaczonej rozsądzoną została, a nawet ściśle biorąc, byłaby tu potrzebną kognicya i decyzja trybunału cywilnego na wnioski prokuratora. Jakkolwiekbądź, zawsze jednak prawo wymaga wpływu i początkowania

prokuratora, nie dopuszczając bezpośrednich skarg prywatnych ani działań sądów karnych z urzędu.

Podobny i nader ważny przykład zetknięcia się materii cywilnej z kryminalną, znajdujemy w kodexie handlowym, w sprawach upadłości, gdy przeciwko podupadłemu walczy podejrzenie bankructwa zwyczajnego, podpadającego karze poprawczej przed sądem poprawczym, lub podstępного, podpadającego karze hanbiącej przed sądem przysięgłych, *cour d'assises*.

Możliwość pociągania podupadłego w zarzutach bankructwa do procesu karnego, pozostawiona jest prokuratorowi, oraz wyjątkowo co do bankructwa zwyczajnego syndykowi upadłości, a nawet każdemu pojedynczemu wierzycielowi.

W tej możliwości postąpienia, kodex handlowy wprowadził nie ograniczył ani prokuratora, ani syndyków, ani nawet prywatnego wierzyciela, nie wymagając odesłania sprawy przed sądy karne za pośredniczącą decyzją trybunału handlowego: czuli jednak redaktorowie kodexu handlowego, że do wytoczenia *uzasadnionej* sprawy karnej przeciwko podupadłemu, wpływ kuratorów, syndyków tymczasowych lub ostatecznych (488 k. h.), jak niemniej sędziego-komisarza i trybunału (art. 466, 455 k. h.) nader jest potrzebny, obowiązując pierwszych do udzielenia prokuratorowi przybliżonego wykazu stanu upadłości i jej przyczyn, okoliczności, jako też jej cech właściwych; sędziego-komisarza zaś do zdania sprawy trybunałowi o przybliżonym stanie interesów zaraz po opieczętowaniu upadłości, w celu rozstrzygnięcia, czy podupadły, jeżeli był przytrzymany, może być za listem glistowym na wolność wypuszczony.

Téjże saméj natury co sprawy przeciwko podupadłym o bankructwo, jest wypadek w art. 479 k. h. objęty: że wierzyciel, którego tytuł uznany był za podstawiony zmownie między nim a podupadłym, ulegnie karom za współnictwo bankructwa podstępного, gdyż uznanie, że tytuł wierzyciela był na szkodę innych wierzycieli podstawiony, tylko do trybunału handlowego i wyższych instancji sądowych cywilnych należeć może.

Nie ma wszakże wyraźnego uznania zasady, że początkowanie procesu karnego, bądź przeciwko podupadłemu, bądź przeciwko wierzycielowi zmownie z nim działającemu, od decyzji trybunału handlowego zawisło; tylko pewne około téjże zasady krążenie, bez zupełnego jej wyrobienia, w przepisach kodexu handlowego spostrzeżać się daje. Pochodziło to zapewne z niezgłębienia przyczyn,

utrudających możliwość udowodnienia drogą procesu karnego przestępstw, których istota czynu na płóych lub zmyślonych operacjach handlowych polega. Tego rodzaju przestępstwa daleko snadniej zasadami prawa cywilnego i handlowego, i środkami procedury cywilnej, mocą rozpraw sądowniczych, przed trybunałem handlowym udowodnione być mogą. Z drugiej strony znowu, sam podupadły znajdzie tu słuszniejsze i pewniejsze uznanie swojego nieszczęścia, i w każdym razie zyskałaby na tém trafność wymiaru sprawiedliwości.

W praktyce krajowej przepisy kodexu handlowego, upowazniające syndyków upadłości, prokuratora lub pojedynczego wierzyciela do wytoczenia bezpośrednio przed sądy karne procesu o bankructwo lekkomyślne lub podstępne, bez wymagania decyzji formalnej właściwego trybunału, mało użytecznymi się okazały. Byłoby nawet stosowniej karność bankructw wprost sądom cywilno-handlowym, przy powiększonym ich komplecie powierzyć, nie poprzestając nawet na zasadzie niedopuszczenia sprawy karnej w materji cywilno-handlowej bez poprzedniego rozpoznania i wyroku trybunału handlowego.

Tymczasem ostatnia zasada znalazła bezwarunkowe prawie poparcie w innym wypadku, gdyż ustawa przechodnia z dnia 11 listopada (v. s.) 1847 r. w art. 42 wyrzekła, że sprawy o lichwę, przed wyrokiem ostatecznym lub prawomocnym sądu cywilnego lub handlowego, *istnienie lichwy* uznającym, do sądów karnych wnoszone być nie mogą.

Nakoniec, gdy rozprawa niniejsza nie miała bynajmniej na celu wyczerpięcia teoryi postępowania w nader rozmaitych wypadkach i przypadkach zetknięcia się materji cywilnej z kryminalną; przeto wracając do założonej kwestyi kompetencyjnej w sprawach o obelgi lub potwarze, bądź słownie, bądź piśmiennie na audyencyi sądowej w toku rozpraw w procesach cywilnych nastąpione, pozostaje do przytoczenia, że podług ducha wyłożonych zasad prawa, żadne odeślanie tego rodzaju spraw przez sądy cywilne do sądów karnych miejsca mieć nie powinno, chyba w przypadku nadzwyczajnej niesforności.

Nakoniec w poparciu wyjaśnionych zasad kompetencyjnych nie możemy pominąć powoływania się na zapadły niedawno w X departamencie Rządzącego Senatu wyrok z dnia 7/19 lutego r. b., którym w sprawie o obelgi słowne, jakich się jedna z stron procesujących się, względem drugiej na audyencyi wydziału pojednawczego sądu pokoju dopuściła, wyrok sądu apellacyjnego skazujący zaskarżonego, z mocy artykułu 439 KK. z r. 1818 na dni 10 aresztu lub na karę

pieniężną rubli 10, zniesionym został *dla niebytu czynu do rozpoznania w drodze karnéj należącego*, z uwolnieniem zaskarżonego od kary i kosztów, czyli dla inkompetencji lub niewłaściwości sądownictwa karnego, a to przy wyraźném uznaniu następujących zasad organiczno-kompetencyjnych „że pisarz wyręczający sędziego pokoju, stosownie do art. 10 kodexu postępowania cywilnego, powinienby był postąpić; że art. 10, 88 do 92 i 1036 tegoż kodexu, zobowiązawszy same sądy cywilne do czuwania nad tém, aby przy wprowadzaniu spraw, strony lub ich obrońcy, z granic właściwych niezbędnej obrony nie wychodzili i nie pozwalali sobie używać wyrazów sądowi, stronie przeciwnéj lub osobom trzecim uwłaczających, pozostawiły tymże sądom powściąganie i karcenie popełnionych w tym względzie wykroczeń; że w duchu tych przepisów prawa, niemniej z uwagi na to, iż sam tylko sąd cywilny sprawę rozpoznający może należycie ocenić, o ile przez użycie, przy jéj wprowadzeniu, pewnych wyrażéń, kto należyte granice służącój mu obrony przestąpił: popełnione w tym względzie wykroczenia wówczas jedynie mogą być na drodze karnéj dochodzone, gdy właściwy sąd cywilny, wyczerpawszy względem wykraczającego służących mu w tym celu środków skarcenia, *zastrzegł* pociągnięcie go do odpowiedzialności karnéj.”

*Heylman.*



# NOWA EPOKA

## LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

*Juliana Bartoszewicza.*

(Ciąg dalszy).

---

DZIEŁA HISTORYCZNE WYDANE W WARSZAWIE.

*Oddział materiałów. Dyplomatarjusze. Dyplomatarjusz Rzyszczewskiego.*

**P**ředewszystkiém mówić będziemy o dyplomatarjuszach. W czasach późniejszych, w czasach większej oświaty, wiele osób, historycznych nawet, pisało u nas pamiętniki. Pamiętniki tém są droższe, im autor, który je pisał, wyższe zajmował miejsce w społeczeństwie polskiem; tém więcej mają interesu, im lepszy związek panuje w nich pomiędzy częściami obrazu, im więcej życia. Ale w czasach bardzo dawnych nie pisano pamiętników, a tylko kroniki. Kroniki układał jaki uczony ksiądz z podań niepewnych, z tego co od ojców, dziadów swoich słyszał, albo z jakich niedźnych ramot klasztornych. Dlatego kroniki często grzeszą, ale nienaumyślnie: rzadko bardzo złą wiara kierowała piórem kronikarza. Pamiętniki zaś i dyaryusze zawierają powieści spółczesnych ludzi, którzy na wypadki albo patrzeli, albo nawet brali w nich udział. Dlatego, dla czasów dawnych, dyplomatarjusze zastępować mogą kroniki, bo w nich czysta prawda, nieskażana zmyśleniem. Im któren naród ma więcej dyptomatów, tém więcej zarazem posiada faktów do swojej dawniej historyi. Z mnóstwa dyptomatów uporządkowanych chronologicznie, możnaby dopiéro ułożyć kronikę, którejby Gallus i Kadłubek pozazdrościł. W téj kronice możeby nie było o wojnach, o zwycięztwach, o pieśni: „Witaj nam, witaj miły Hospodynie”; aleby w niéj wszyst-

ko było czystém złotem, niepodpadającym pod krytykę. I ztąd pochodzi, że my dyplomata więcej cenim, jak nawet ciekawe pamiętniki społecznych, dlatego samego, że przechowały się tak długo, że w nich tkwi głęboka i święta starożytność, że z nich wieje duch, nie ojców, nie dziadów naszych, ale tych dawnych patryarchów, co to jeszcze z Bolesławem zabijali po rzekach słupy żelazne, albo z Krzywoustym walczyli pod Nakłem i chrzcili Pomorze.

Najcudniejszym więc kwieciami na polu historycznym, są bez zaprzeczenia dyplomatury, czyli tak nazwane kodexy dyplomatyczne. Zwracać też przedewszystkiem powinny na siebie uwagę ludzi, badaniom dziejowym poświęconych. Nasz wiek prawdziwie cuda pod tym względem okazał uczonemu światu. Zjawiły się za dni naszych olbrzymie przedsięwzięcia. Pertz nadrukował wiele tomów z kronikami, które w części dyplomatury zastępują, a wydanie jego zainteresowało całą ludność europejską, i do naszej przeszłości dostarczyło faktów. Prócz tego Niemcy nazbierali i nadrukowali dużo kodexów, już nietylko szczególnych prowincyj, ale i miast nawet, które oddawna własnym oddychały życiem, własną jaśniały narodowością. Duch wieku musiał oddziaływać i na ziemię polską.

Zdobyliśmy się tedy na dyplomatury. Przedtem pojedynczo uczeni drukowali po książkach i pismach peryodycznych różne akta, jakie posiadali pod ręką. Byłyto usiłowania pojedyncze, bez celu, nieskupione. Powinniśmy przecie byli o porządnym dyplomatury pomyśleć. Powinniśmy także byli, idąc za przykładem Pertza, przedrukować, potłumaczyć i wydać z objaśnieniami kronikarzy naszych. Kroniki wydrukowane umiejętnie i zebrane w jedno dzieło dyplomata, byłyby kamieniem węgielnym dla prac historycznych naszych i potomstwa. Ale do dziś dnia, nie myśleliśmy ani o jednym, ani o drugim: bo usiłowań pojedynczych nie można liczyć na karb narodu. Kroniki nasze Niemcy wydali: Długosza Hujsen w Lipsku, a cały zbiór dawnych pisarzy historycznych, Sommersberg. Ale w tych wydaniach sam text tylko, sam pomnik bez krytyki. W naszej nowej epoce wiele jeszcze zrobić zostaje. Trzeba wydać prócz kronik i Volumina legum, i wiele innych zabytków, które dziś są rzadkością, a bez których w badaniach naszych obyć się nie możemy. Ale przyjdzie czas na wszystko. Przedruków i wydań mnoży się coraz więcej. Korona Niesieckiego doczekała się aż nazbyt pięknego wydania; wielka szkoda, że posłużyła tylko kilku dzisiejszym samochwałom do pomnożenia zaszczytów swoich familijnych, a historii dawniej szlachty prawie w niczem nie objaśniła. Maciejowski myślał o wydaniu kronik



i do druku przygotował już Bogusławę. Działyński prawa dawne drukował w Poznańskim.

Ale zresztą o kronikach i o przedrukach jeszcze glucho u nas. Dopiero tworzą się projekta. Tymczasem zdobyliśmy się na dyplomatury, a że i tu i tam nagle, jakby zpod ziemi pokazały się w druku te stosy akt i dokumentów starych, widzimy w tém ciężącą nad nami wieku naszego konieczność.

Mieliśmy przed oczyma wzór świetny, chociaż jedyny w dziejach naszej literatury. Przed stą laty żył w społeczeństwie naszym znakomity człowiek, zakochany w tych przeszłości szczątkach, co je dyplomatami zowiemy. Sam, własną siłą, bez żadnych zasobów, bez majątku, zwiedził wszystkie prowincje dawniej Polski, i za granicą nawet kopał się po archiwach i aktach, zbierając przywileje polskie i nadania książąt i królów dawnych. Jego zamiar był olbrzymi. Źródła, które posiadał w skutku licznych podróży, biblioteki i archiwa familijne panów i rządowe, które wszędzie dla niego stały otworem, zapowiadały prawdziwy skarbiec, i Dogiel mógł się zawczasu chlubić najświetniejszym powodzeniem swojego przedsięwzięcia; ale praca jego nie doszła do skutku, tak jak zamierzoną była. Trzy tomy tylko ukazały się w druku, a reszta gotowych rękopisów rozpięzchła się po wielu rękach i znikła jako kropla w morzu. Jednąkże Dogiel na siedm, ośm tomów in folio obrachował swój kodex dyplomatyczny. Byłoby prawdziwa kłeska dla dziejów naszych, ta śmierć przedwczesna człowieka, w którego głowie urodził się i rozwinął wielki pomysł.

Za Stanisława Augusta czasów krzątano się bardzo mocno około opracowania systematu dziejów polskich i około pozbierania dawnych pomników piśmiennych. Dogiel pracował sam jeden. Za Stanisława Augusta pracowało wiele świątłych ludzi dla przeszłości rodzinnej; w zbieraniu jednak dyplomatów najwięcej odznaczył się Albertrandi. Zbiory, które on zgromadził były wielką rzadkością; każdy tam dyplomata był jakby nieznaną i nowo odkrytą wyspą, na oceanie dziejów. Praca ta Albertrandego zdumiewającą była; umyślnie dla zbierania pomników odbył podróż do Szwecyi i do Rzymu. Że jednak Albertrandi zbierał materiały nie dla wydania kodexu dyplomatycznego, a dlatego, żeby Naruszewiczowi grunt uprawić, zbiory jego rozsypany się także, i w naszych czasach w części gorliwością wydawców ocalały się przed zapomnieniem.

Wspomnimy i Czackiego, i jego bogatą bibliotekę w Porycku. Czacki miał pisać po Naruszewiczu i dlatego zbierał dyplomata; nie

napisał nie jednak: a gdyby wydał chociaż jeden tom kodexu, nabyłby więcej prawa do wdzięczności naszej, jak za wszystkie swoje dzieła i rozprawy, dzisiaj już prawie zapomniane.

W naszym dopiero czasie, za przykładem Europy, w skutku rozbudzonego literackiego życia, i myśmy się zdobyli na dyplomatarjusz. Jak wszędzie, gdzie o rzecz wielką i szlachetną chodzilo, dał wzór z siebie Edward Raczyński: wyłożył znaczny nakład, i wydał dwa dyplomatarjusz, o których na właściwem miejscu powiemy. Warszawa poszła w ślad za Raczyńskim. U nas na czele większego jeszcze nierównie jak było poznańskie przedsięwzięcia, stanął Leon Ryszczewski, jeden z obywateli, co poświęcił się nauce, a zasmakowawszy w jej słodyczach, potrafił wyznaczyć cel przyszłym zajęciom swoim. Myśl Ryszczewskiego, powiedzieliśmy, w rozleglejszych chciała wcielić się rozmiarach: bo w Warszawie nie miał się drukować dyplomatarjusz Litwy, ani Wielkiejpolski, ale dyplomatarjusz całego niegdyś państwa polskiego. Ryszczewski nie mówił, że wydrukuje dwa, trzy tomy; a obiecywał, że póty drukować będzie, póki mu starczy materyałów. Ryszczewski chciał wybierać wszystkie piśmienne zabytki dyplomatyczne z czasów dawno-polskich, i w druku chciał je dać poznać uczonemu światu. Dzieło jego miało zawierać całość jako zbiór części; w dyplomatarjuszu tym miały się znajdować dyplomatarjusz całych prowincyj, miast: wszystkie, jakie tylko można było zebrać. Gromadząc zatem skarby historyczne, Ryszczewski zarazem sprawiedliwie zwrócił uwagę i na tę okoliczność, że nie masz prawie jednego dzieła poświęconego przeszłości polskiej, w którémby nie można było znaleźć, czasem jednego, czasem kilku lub kilkunastu dyplomatów, odnoszących się do pewnej epoki dziejów. Po pismach peryodycznych znajdujemy także często wspomnienia, cytacye, a nawet dyplomata. Oczywiście pojedynczo drukowane te ułamki dziejowe, wydarte były zapomnieniu, ale za to porozprasane po tak wielkiej liczbie dzieł i książeczek, że żadnego użytku nie mogły przynieść dla uczonych, co pracowali na tém polu. Stanowiły te porozrzucane dyplomata bogaty materyał, ale niczyja pamięć nie mogła objąć ich treści, a biblioteki uczonych nie były zapewne tak bogate, żeby pochwalić się mogły zupełnym zbiorem tych skarbów. Na to chyba starczyły Poryck albo Puławy. Ryszczewski wychodząc z zasady, że porządny kodex dyplomatyczny powinien obejmować wszystko, wziął się naprzód do spisywania dokładnej listy tych drukowanych zabytków, o jakich mówiliśmy. Postanowił w swoim dyplomatarjuszu drukować tylko nowe rzeczy, a rejestra wydanych poprzednio i porozrzu-

canych dyplomatów wydać osobno, wskazując dzieło w którym są umieszczone, na treść jaką zawierają i układając te spisy w porządku chronologiczny systemat. Oczywiście praca taka nie mogła iść przedko, bo trzeba było stopy książek swoich i obcych przewrócić; ale było praca konieczna, było jedyny a konieczny wstęp do dyplomatarjusza, jaki wydać zamysłał, było prawdziwa przysługa dla uczonych i dla całej nauki dziejów. Przy wydaniu pierwszego tomu Dyplomatarjusza, Rzyszczewski przyznał, że mało mu zostaje pracy do zupełnego wykończenia regestrów. Już wtedy przerzucił około 50 dzieł prawnych i historycznych polskich, i porobił wypisy z dzieł niemieckich, francuzkich, angielskich, szwedzkich i włoskich; już blisko 70 przejrzał, w których znalazł dyplomata bezpośrednio tyczące się Polski. Nie ma wątpliwości, że wydanie regestrów tych, powinno było poprzedzić druk samego Dyplomatarjusza, ale zważywszy, że w takim rodzaju pracy, każdy dzień opóźnienia może przynieść korzyść; Rzyszczewski wziął się do samego dyplomatarjusza, bo rejestra żeby dokładne były i stanowiły prawdziwą pomoc uczonemu przy badaniach dziejowych, powinny obejmować *wszystko*.

Dyplomatarjusze mogą być i będą zawsze niekompletne, bo wiele pomników już zaginęło, a wiele co dzień znaleźć się może, dziś, jutro lub pojutrze; ale rejestra, które mają obejmować spisy rzeczy już wydanych, kompletne być mogą i powinny. Człowiek nigdy nie wie co zrobi, ale wie co zrobił, a przynajmniej powinien wiedzieć. Dajmy na to, że te rejestra już wydano, a wtém znajdzie się jeden, drugi dyplomata drukowany gdzieś, a niepomieszczony w rejestrach: otoż i całe wydanie już niedokładne, już rejestra obejmują część tylko znacznych skarbów, a nie wszystko.

Mamy już kilka dyplomatarjuszów, a do dziś dnia nie mamy jeszcze tych regestrów. Przy coraz więcej obszerniejszych przedsięwzięciach, dla wydania pomników dawnych literatury i dziejów, już nawet w dyplomatarjuszach poszukiwać nam trudno, bo trzeba się spuścić na pamięć, a pamięć zawodzi.

Z ogromnemi przeszkodami walczył Rzyszczewski chcąc myśl piękną zamienić w skutek; i nie dziw, potrzeba było razem zbierać materiały i drukować dyplomatarjusz. Chciał obudzić współczucie dla swojego wydania i poruszyć zastarzałych samolubów, co mieli piśmienne zabytki, a dusili je w swoich bibliotekach, bez sławy dla siebie, bez pożytku dla ogółu. A obudzić ich spólczenie można tylko było czynem, bo niejedna obietnica zawiodła. Dalej musiał Rzyszczewski starać się o pomoc ludzi naukowych w przed-

siewziętej pracy, bo sam nie mógł wydolać wszystkiemu; zresztą chodziło o dokładność roboty. Dogiel pracował sam jeden, zmarnował życie, a przecież wiele zostawił błędów, które przypisujemy dzisiaj jemu, bo imieniem swoim pokrył te niedostatki wielkiego dzieła, które jednak mogły być winą przepisywaczów, bo jemu czasu nie starczyło, żeby wszystko przejrzał należycie, z oryginałami porównał, ze źródeł wyczerpał. Czynną pomoc przy wydawaniu dyplomatarjusza ofiarowali Ryszczewskiemu: Antoni Muczkowski adjunkt archiwum głównego w Warszawie, i Zygmunt Helcel profesor krakowski. Muczkowski przeglądał materiały, porównywał kopie z oryginałami, a Helcel robił przypiski uczone dla objaśnienia drukujących się dyplomatów, to jest wziął na siebie część krytyczną przedsięwzięcia. Ryszczewski zbierał dyplomata,łożył nakład i kierował całym wydaniem; spodziewał się, że przykład jego wywoła skutki, że mu nowe skarbcie otworzy, i nie zawiódł się w swoich oczekiwaniach, jak to zobaczymy niedługo. Przy wydaniu pierwszego tomu już miał materiałów na dwa tomy następne. Dzięki współczuciu jakie obudził, mógł myśl swoją pierwiastkową tak rozwinąć, że już zamyslał o dyplomatarjuszach prowincyj całych: o Kujawach, o Łęczycy, o Mazowszu. Postępując dalej w pracy, możeby więcej rozszerzył swój Dyplomatarjusz, bo przedsięwzięcie Ryszczewskiego, wyznajemy to z pewnym rodzajem tęsknoty, jak kiedyindziej mówilibyśmy z radością, miało przed sobą ogromną, świetną przyszłość: — mogło zostać prześlicznym pomnikiem naszych czasów dla odległego potomstwa.

Główne źródło przy wydaniu tomu Igo, stanowiło archiwum królestwa, znane pod imieniem Metryki koronnej. Wiele zwojów pergaminowych zachowanych w tém archiwum, zawierało ciekawe wiadomości, — cały skarbiec dla dziejów. Ale prócz metryk koronnych, znalazł Ryszczewski obfite źródło w bibliotece ordynatów Zamojskich, którzy pomiędzy innemi dyplomatami posiadali zbiór przywilejów opactwa czerwińskiego, w bibliotece Radziwiłłów z Nieborowa, którzy byli przy samém źródle dziejów dawniej Litwy, kiedy królowie i W. książęta pozwolili im w Nieświeżu zachowywać w archiwum oryginały wszelkich akt urzędowych. Dlatego téż dyplomata Radziwiłłowskie, pomieszczone w dziele Ryszczewskiego, sięgają już dobrze późniejszej epoki czasów Jagiellońskich; ale za to pod względem treści są ważniejsze od dyplomatów innych, w których tylko nadania klasztorom, albo przywileje dla sołtysów i wój-

tów. Prócz tych głównych źródeł pomocy, miał Rzyszczewski sam kilka, może kilkadziesiąt dyplomatów, które wydrukował, a drugie kilkanaście z bogatych zbiorów swoich pozwolił mu przepisać Józef Rusiecki z Trojańki. Kazimierz Stronczyński także sporym zasobem powiększył materiały, bo prawdziwie uczony badacz ten, odbywał podróże po kraju, li tylko dlatego jedynie, żeby zbierać szczątki przeszłości. Znalazł skarby w bibliotece Raczyńskich, i w drugim archiwum w Poznaniu, które mieściło w sobie akta po suprymowanych klasztorach; miał także wypisy z akt kapituły kujawskiej, płockiej i poznańskiej; miał dyplomata, niegdyś własność klasztoru w Busku. Z archiwów galicyjskich także czerpał; zresztą dosyłali Rzyszczewskiemu materiały Józef Muczkowski z Krakowa, Komirowski, nawet Röppel z Niemiec udzielił dyplomatów kilka, które dla jego użytku z archiwum królewskiego wypisał Voigt, historyk naszego Pomorza. Z archiwum sieradzkiego nadeszły także szacowne wypisy; z akt kapituły gnieźnieńskiej, akta przez pisarzy kapitulnych Franciszka Walińskiego i Walentego Ryczywolskiego ułożone, dostarczyły również materiału.

Ignacy Lojola Rychter miał kilka przywilejów sulejowskich, wypisanych z akt tego opactwa; znalazły się i przywileje z klasztoru Dominikanów krakowskich, dostarczył i zbiór dyplomatów po Naruszewiczu.

Żeby objąć całość, Rzyszczewski nietylko z oryginałów drukował. Bywały w przywilejach królów potwierdzających nadania dawnych książąt, dawne dyplomata. Z transumptów tych wylamywał oryginały przedwiekowe Rzyszczewski. Tą drogą dostarczyły mu obficie wątku księgi w archiwum koronnym zachowane, pod tytułem: Zapisy trybunału lubelskiego. Nadto zdarzało się, że dyplomata jaki drukowany był gdzieindziej, np. w Themidzie polskiej, w Początkowym prawodawstwie polskim, w Bartoszu Paprockim, a oryginał, który miał Rzyszczewski pod ręką, zawierał ważną, uderzającą różnicę od dyplomatu już wydrukowanego. Rzyszczewski słusznie w swym Dyplomatarjuszu nową tego oryginału gotował redakcją. To o źródłach, z których powstał tom Iszy pięknego dzieła.

Zasady, któremi się przy wydaniu nagromadzonego skarbu rzadził Rzyszczewski, pokazywały także, że godnym był stanąć na czele tak znakomitego przedsięwzięcia. Rok 1506 wziął za kres swoich poszukiwań. Tę całą epokę pięcio-wiekową dziejów polskich chciał przedewszystkiem wyczerpać. I w samem rzeczy, z tego czasu powinniśmy poszukiwać dyplomatów, bo później, kiedy się już życie szla-

checkie rozigrało w całej sile, dyaryusze, sejmowe pamiętniki i mowy, były płynącą w kraju historią.

Co rok miał wyjść tom jeden i zawierać mniej więcej 200 dyplomatów, i każdy tom miał stanowić całość, ułożoną porządkiem chronologicznym z właściwym sobie indexem. Tak, z wielu tomów, jeden od drugiego oddzielnych, miał składać się jeden wielki dyplomatarjusz. I nie mogło być inaczej: bo w miarę materyałów, miało się i samo dzieło drukować, i dlatego nieprzerwanym ciągiem nie mógł iść przez tomy porządek chronologiczny, boby nie stało miejsca dla przybywających źródeł, o które się ciągle starała redakcyja. Drukować miał Ryszczewski wszystkie znajdujące się pod ręką materyały, albo nawet i wypisy z oryginałów, jeżeli ich źródło nie podpadało żadnej wątpliwości. Dalej na czole każdego dyplomu miała być w krótkich słowach zamieszczona treść jego i zamiana ówczasowej daty, wyjętej z oryginału, na dzisiejszą, dla ułatwienia poszukiwań uczonym. Noty do dyplomatów miały zawierać opisy samych dyplomatów, pieczęci przy nich i warianty, jeżeliby się okazały dublety; dalej wiadomości zkad wzięty dyplomaci i dalsze objaśnienia, jakie będą konieczne dla sprostowania, np. imion miejsc i osób, często w tekście przekształconych, w skutku błędnej ortografii albo nieumiejętności piszących. Żadnego wyboru nie kładł Ryszczewski pomiędzy dyplomatami: prywatne czy publiczne, przywilej królów czy książąt, akta dóbr świeckich czy duchownych, prywatne czy publiczne, miejskie czy szlacheckie: wszystkie dawne akta z przed Zygmunta Starego czasów znalazły miejsce w jego zbiorze. Szło tylko o poprawne wydanie; każdy oryginał był przejrany, przepisany, wydrukowany, i jeszcze raz przeglądany przy korekcie. Zachowano zupełnie w oryginałach ortografią, i jedynie tylko dla ułatwienia czytającym, wydawcy wprowadzili do tekstu swoją interpunkcyą, bo w dyplomatach zupełnie jej nie było.

Wystawiliśmy historią pierwszego tomu zbioru historycznego, który wyszedł w r. 1847 pod tytułem: *Codex Diplomaticus Poloniae*: teraz zajmiemy się jego treścią, żebyśmy poznali, co historia polska zyskała przez wydanie Dyplomatarjusza Ryszczewskiego.

Trudno w treściwym obrazie przedstawić, jak wielkie bogactwo wypadków rozjaśniło za pośrednictwem tego dyplomatarjusza i dzieje kościołów naszych i dzieje miast i ziem całych; i jak wielkie rzuciło światło na stosunki domowe rodzinne polskich praocjów. Wskazemy tylko na głównejsze rysy, a będą to już zajmujące i treścią i samem naszym wyliczeniem obraz.

Był przez dawnych pobożnych mnichów naszych dość upowszechniony, a godny wiecznej pamięci zwyczaj, że opisywali dzieje klasztorów, w którychli wykonywali śluby zakonne, albo wpośród których wzrosli i uczyli się cnoty. Jako dowody, kładli zawsze na końcu text dyplomatów odnoszących się do miejsca swego pobytu, jakie tylko znaleźli w archiwum klasztorném, albo o jakich znaleźli gdzie wiadomość. Tak tworzyli dyplomatarjusze swoich zakonów, z których dzisiaj pełną ręką czerpiemy. Winniśmy im wdzięczność, bo gdyby nie ich gorliwość i prace, do téj chwili możeby mole i myszy pogryzły te szczątki drogie, możeby je Szwed wywiózł za morze, albo pośród wojen domowych spalili konfederaci lub niesforne żołnierstwo. Dzisiaj oryginałów nie mamy, ale mamy oblatę tych akt dawnych w drukowanych księgach, a to najpewniejsze i jedynie porządne, i jedynie wieczne archiwum.

Pracą taką powstała Szczygielskiego „Tinecia”, Nakielskiego „Miechovia”. Szczygielski i Nakielski unieśmiertelnili się w tych dziełach swoich, zostawionych nam li jako źródła, bo z czasem zmienia się i sposób widzenia rzeczy i sam sposób pisania. Jako historycy, pisarze dziejów, nie przeszliby wcale do potomności; jako kompilatorowie, zbieracze źródeł, zasłużyli na pamięć.

W Iszym tomie Dyplomatarjusza Rzyszczewskiego znajdujemy całe zbiory takich dzieł jak Tinecia, jak Miechovia. Wiele tu jest akt i przywilejów, odnoszących się do opactw dawnych w Sulejowie, w Łędzie w Czerwińsku, w Byszowie; samych aktów sulejowskich w pierwszym tomie naliczyliśmy 19, oprócz tych, któreśmy potem w dyplomatarjuszu kujawskim znaleźli. Tak więc, co Szczygielskiemu i Nakielskiemu całe życie kosztowało pracy, tutaj razem zebrane widzimy na nierównie rozleglejszą skalę, bo z tych akt ułożyłby się dała i *Sulejovia* i *Landenia*, i *Czervinia*. Tyle jeszcze bogactw znajdujemy w kraju własnym, w samém dzisiejszém królestwie Polskiem. Cóż to być jeszcze aktów oryginalnych musiało za panowania np. Zygmunta Wazy?

Najdawniejszy akt tego zbioru jest przywilój z r. 1145 przez Mieczysława Starego wydany, mocą którego prócz innych dobrodziejstw, 17 wiosek darował ten książę dla klasztoru Cystersów w Łędzie. Wiemy zkądnąd, że Mieczysław Stary w tymże roku założył opactwo łędzkie: możeto zatem przywilój fundacyjny, możeto erekcyja. Jest tutaj i przywilój fundacyjny opactwa sulejowskiego, wydany przez Kazimierza Sprawiedliwego pod d. 10 sierpnia 1176 roku (dypl 4); są nadania i przywileje dla klasztoru Norbertanów w Busku i w Im-

bramowicach, które kiedyś za czasów Piastowych nazywały się Dłubnią (dypl. 55, 62). Znajdujemy tutaj fundacyą klasztoru Klarysek w Zawichoście pod r. 1257 (dypl. 46) i opactwa w Łeknie r. 1153 (dypl. 2). Są i przywileje dla kościołów płockich i opactwa. Wiadzimy z tego krótkiego przeglądu, że w samej rzeczy historia klasztorów i kościołów polskich dużo w przyszłości będzie winna p. Ryszczewskiemu. O fundacyi tych pomników dawnych, o ich początkach, rozmaite dotąd mieliśmy podania i wieści, jeżeliśmy jeszcze je mieli. Dzisiaj znikła wątpliwość. Z Dyplomatarjuszem w ręku, teraz z pewnością możemy chodzić po ziemi polskiej, i odbywać podróże po grobach naddziadów. Wiemy już teraz, kiedy, gdzie i jak przejawiała się ich pobożność, i jakie gorliwości swojej zostawiali zabytki. Jużto fakt dawno postrzeżony, że kościoły i duchowni składali niegdyś całą historją Polski; bardzo łatwo domyśleć się, dlaczego. Kanclerzami, pisarzami, doradcami książąt mogli być tylko duchowni, jako stan pierwszy w narodzie, a wiara wtedy była jeszcze w peryodzie swoim patryarchalnym: i dlatego jeżeli nie wrzała walka za granicami kraju swojego z wrogiem obcym, albo domowa wojna z nieprzyjacielem wewnętrznym, Polacy Piastowskich czasów stawiali dony Boże i modlili się razem z duchowieństwem. W życiu ich zewnętrzném grał rolę oręż, a w życiu wewnętrzném, duchowném, modlitwa i pobożność. Dlatego żaden pan więcj nie był wtedy obywatelskim jak duchowny, żaden pan nie znaczył tyle radą i wpływem swoim co biskup lub opat. Nic więc dziwnego, że w dyplomatach dawnych znajdujemy najczęściej nadania, które podyktowała pobożność albo wiara; nic dziwnego, że w nich się często napotykamy albo z pastorałem biskupim, lub infułą prymasowską. W dyplomatarjuszach zatém jakiegokolwiek bądź rodzaju, przywyczailiśmy się już widzieć i czytać o majątkach kościołów, o pracach biskupów, o przywilejach dla duchowieństwa. Tak więc i w tomie I Dyplomatarjusza naszego, nadania duchowne, dzieje kościoła, największą część zajmują, a pomiędzy temi nadaniami jeszcze, o klasztorach i opactwach czytamy najwięcej. Gdybyśmy policzyli dyplomata odnoszące się do klasztorów i opactw, liczba ich przeniosłaby połowę dobrze większą tomu Igo, a jest wszystkich 200 oryginałów, wydrukowanych w tej części naszego Dyplomatarjusza. Dzieje Czerwińska i Sulejowa przedewszystkiem dałyby się bardzo szczegółowo z tych dyplomatów ułożyć, i ręka artysty doprawdy potrafiłaby piękny z przeszłości tych klasztorów ułożyć obraz, przyozdobiwszy jeszcze zarysy ładnemi wspomnieniami z dziejów.



Prawie żadne z opactw polskich nie pominięto w tym Dyplomatarjuszu; każde coś zyskało dla dziejów swojej przeszłości. Między nadaniami znajdujemy i ciekawe wiadomości o kopalniach i żupach solnych. Bolesław Wstydlivy d. 25 lipca 1249 r. darował klasztorowi wąchockiemu Cystersów dziewiątą część swoich dochodów, jakie pobierał z Bochni; ale widać upowszechniona była wówczas myśl o bogactwach wewnętrznych tych stron Polski, kiedy książę w tymże samym dyplomie oświadczał, że jeżeli kiedy na przyszłość odkryją się nowe pokłady soli, ołowiu, miedzi lub cyny w księstwie krakowskiem albo sandomierskiem, trzecią część ich dochodów klasztorowi wąchockiemu ustąpi, a jeżeli będąto kopalnie złota i srebra, wtedy część piątą ofiaruje (dypl. 35). Ze słów samego dyplomaty widzimy, że Cystersi wąchoccy poszukiwali albo przynajmniej mieli zamiar poszukiwać tych skarbów w łonie ziemi ukrytych. Fakt to zupełnie nowy dla dziejów. Rozumiemy teraz i przyczynę hojności Bolesława Wstydlivego; bo zapewne rzecz to uwagi godna, że przywileje i nadania przed czasem, to spekulacja z przyszłości.

Na dzieje zakonów w Polsce błysnęło zatem z Dyplomatarjusza Ryszczewskiego całe morze światła. Benedyktyni, Cystersi, Augustynie, Kanonicy regularni, a nawet Kartuzi (dypl. 137) znajdują tutaj wątek dla swojej historyi, jeżeli na łonie klasztorów znajdzie się kiedy człowiek, co będzie kochał te szczęty wspomnień, zachowane dla nauki potomstwa.

Stosunkowo mało znaleźliśmy w tym Dyplomatarjuszu aktów, któreby świadczyły o dawnych związkach lechlickich ziem z Rzymem i głową katolickiego kościoła. Oprócz przywileju Adryana III z roku 1155 (dypl. 3), przez który obiecał opiekę swoje klasztorowi czerwińskiemu, i oprócz listu Opizona legata stolicy apostolskiej, wydanego także pod r. 1254 dla Czerwińska, prawie nie znajdujemy nic o tych stosunkach z Rzymem. To w samej rzeczy może nas dziwić.

Zyciorysy za to historycznych osób zyskały dosyć. Będziemy o tém mieli jeszcze sposobność mówić przy przeglądzie drugiego tomu Dyplomatarjusza. Tu napomkniemy, że pomiędzy innemi, do żywota Iwona z Końskich Odrowąza biskupa krakowskiego, kilka ciekawych przybyło szczegółów. Znakomity ten człowiek w kościele polskim już dawno zasługiwał na to, żeby mu zostawić pomnik w literaturze przynajmniej taki, na jaki zdobył się niedawno ksiądz Gładyszewicz dla biskupa Prandoty z Białaczewa, także Odrowązów rodu, a nawet bliższego krewnego Iwona. Jarosław Bogorya Skotnicki odkreślił się także dla nas nieco wybitniej przez kilka dyplomatów drukowanych w Iszym tomie.

Dzieje miast polskich i wiosek znalazły tu prawdziwe skarby. Teraz na locie chwycić możemy narodowość niemiecką, jak się rozszerzała po ziemi polskiej. Widzimy, jak wioskom nawet, nietylko miastom, księżta nadawali prawa szrodzkie (*jus teutonicum novoforensis*). Im więcej tych faktów przybywa, tém silniejsze podziwienie nasze, jak wpośród tak bardzo sprzyjających okoliczności, do szczętu nie wzięczala Polska, podobnie jak Szląsk, jak Pomorze. Nie było prawie miasta w dawnej Polsce, żeby nie miało wpośród ścian swoich osad Niemców, żeby nie rządziło się prawem niemieckim. Księżta zdaje się jeden przed drugim biegli w zawody, żeby cudzoziemcami obsadzić kraj polski; mieli w tém jakiś punkt honoru. Zaczynali od stolic swoich, a potem lada mieścinom rozdawali niemieckie przywileje. Kiedyś za wydaniem wszystkich dyplomatów, co doszły do czasów naszych, będziemy mogli opierając się nie na domysłach tylko, a na licanych i dokładnych faktach, opowiedzieć historią miast naszych za czasów Piastowych księząt, kiedy te miasta wywierały jeszcze wpływ znakomity na losy kraju. Dzieje miast zyskują zawsze na wydaniu dyplomatarjuszów, chociażby w aktach urzędowych nie było nic w samych miastach. Przywileje wszelkie muszą być gdzieś datowane, a wydawały się od imienia księcia lub biskupa, który i świadków obecnych do przywileju zaciągać kazał, podług dawnych zwyczajów kancelaryjnych. Z tego wypada, że za każdym dyplomatem wiemy, kto był wtedy w mieście kiedy przywilój wydawano, i wiemy, jakie osoby otaczały wtedy księcia albo biskupa. Te drobne okoliczności już rozjaśniają przeszłość dawnych osad; cóż mówić dopiero o dyplomatach wyłącznie prawom miast poświęconych? Mamy w Dyplomatarjuszach Ryszczewskiego przywileje datowane w miastach większych, jak: Kraków, Gniezno, Płock, Kalisz, Lublin, Łęczyca, Piotrków, Sandomierz; mamy i pomniejszych, jak: Warszawa, Czerwińsk, Błonie, Gliniany, Trojanów, Lelów, Skaryszew nawet. A zajrzyjmy w treść wewnętrzną Dyplomatarjusza, znajdziemy w nim wiele bogactw pod tym względem. Natrafiamy np. na przywilój Łokietka, zatwierdzający w r. 1314 dawne prawa Kalisza (dypl. 105) i na przywilój Jadwigi z r. 1386, zatwierdzający także prawa dla stolicy Czerwenój Kusi, dla Lwowa (dypl. 138). Wiemy, że w r. 1398 Władysław Jagiełło pozwolił mieszczanom w Radomiu postawić łaźnię za murami (dypl. 140). Widzimy, jak się w Krakowie w r. 1399 zaczęły budować sukiennice, boć o sukiennicach musi mówić przywilój Jagiełły, w którym daje pozwolenie mieszczanom krakowskim budować *niginti quinque cameras pannorum* (dypl. 141). Tenże król

pozwolił Sandomierzanom w r. 1390 sól z zup bocheńskich i wielkich przewozić jaką zechcą drogą na swój użytek, czy lądem przez Nowe-Miasto Korczyn, czyli téż wodą przez Wisłę (dypl. 42). Przywilój ten wydany w Radomiu, którego historia teraz więcéj się rozwidnia przez nowe poszukiwania w pomroce dziejów. Znajdujemy w Dyplomatarjuszu i lokacye miast zupełnie nowych, o jakich dzisiaj już ani słybać, np. wydany przez Kazimiérza W. przywilój w r. 1356 dla jakiegoś Piotra Herborda na zabudowanie nad rzeką Sitnikiem miasta, które ma się nazywać Woluość Piotrowa (może Wola Piotrowska, Libertas Petri w oryginale dypl. 121). Znajdujemy także lokacyą na miasto Łask, z prawem magdeburskiém, wydaną w czasie wyprawy krzyżackiej w r. 1422 dla jednego z dziedziców téj sławnej niegdys osady przez króla Jagiełłę, datowaną nad jeziorem Mielna (dypl. 169). Jest i przywilój na prawo magdeburskie dla miasta Bobrka, w ziemi lwowskiej, gniazda Ligezów, wydany już późno przez Kazimiérza Jagiellończyka w r. 1469 (dypl. 190). Jest i o lasach Kołomyi wyrok, wydany w r. 1424 przez Swidrygiellę, rozstrzygający spór dawny, który toczyło miasto, stolica piosnek ruskich, z jakimś szlachetnym Prokopem Teptukowiczem (dypl. 170). Znajdujemy i ślady nadawanych jarmarków i targów, w przywileju z r. 1377, Świętosławowi Reczywie dziedzicowi Magnuszewa, udzielonym przez Ziemowita młodszego księcia mazowieckiego (dypl. 135).

Wspomnijmy także i o stronach okolic naszych. Okolice Warszawy będą się mogły popisać teraz większą jak przedtém historycznością, znaczniejszą liczbą pamiątek. O Błoniu np. wiedzieliśmy dobrze, że należało dawno do funduszów opactwa czerwińskiego; ale pełno o tém było dziwacznych w przeszłości bajek, tak, że ani wiedzieliśmy z pewnością, kto zrobił ten fundusz, ani téż w którym roku; teraz z pewnością możemy wiedzieć, że Konrad syn Ziemowita mazowieckiego książe na Czersku 1 września r. 1288 wcielił kościół św. Trójcy w Błoniu do opactwa czerwińskiego. Znany szperacz dziejowy, badacz starożytności mazowieckich, któremu tyle winna przeszłość okolic naszych, Gawarecki, pisząc przed kilku laty artykuł o Błoniu do Pamiętnika Religijnego, jeszcze błądził w ciemnościach i teraz zapewne serdecznie się ucieszy na to nowe światło, co zagnała zabłyśło dla Błonia. Cudy on znajdzie dla prac swoich w tym nieocenionym Dyplomatarjuszu. Ale wracając do Błonia, dyplomata o którym mówimy (170) uczy nas, że książe Konrad razem z tą mieścina ofiarował do Czerwińska wsi: Wolę, Wawrzyszew i Nieznajewo (w dypl. Swola, Nawrzisewo i Nesnawgewo). Wiadomość nadzwyczaj interesująca dla okolic przymiejskich Warszawy. Tak więc Wola, potém sławna królów

elekcyami, i Wawrzyszew, liczą już na wieki swoje życie. Dyplom ten w Jazdowie wydany, i to nowy szczegół do dziejów tego pięknego miejsca. W dyplomatach czerwińskich często wspomniana jest Łomna, mała wieś, leżąca w stronie północnej Warszawy, o milę dobrą po drodze do Nowego Dworu. Dla historyi okolic Warszawy, czyżto nie skarby? Takimi szczegółami wyjaśnił się już niejedyn błąd historyczny Długosza, a coraz więcej przybysza wątku dla przyszłego wydawcy tego najznakomitszego kronikarza naszego: boć i to żadnej wątpliwości nie podpada, że za pomnożeniem się bogactw naszych historycznych, dzisiejsza potrzeba krytycznego wydania i objaśnienia Długosza stanie się wreszcie koniecznością, i znajdzie się ktoś wtedy uczony, taki, jak dzisiaj Mikołaj Malinowski, a ojciec historyków naszych wtedy dopiero dokładnie zrozumiany i oceniony będzie.

Wspomniemy jeszcze dla dziejów Płocka i kościoła tamecznego dokument ważny, mocą którego Ziemowit Trojden mazowiecki książę wyznaje w r. 1378, że jest synem i uczniem kościoła, że zatwierdzi wszystkie jego prawa i przywileje, nadane przez poprzedników, że bierze kościół w opiekę, a wolności jego i dobra tak pilnować będzie, jak swoich; że biskupa Dobiesława ma za ojca i przyjaciela, a jego księży w całej diecezyi jak kapelanów swoich kochać będzie (dypl. 136).

Znajdziemy w Dyplomatarjuszu i ciekawe szczegóły, które wyjaśniają coraz więcej życie domowe i rodzinne przodków naszych. Kilka dyptomatów o posagach, pozwoliło nam wnikać głębiej w tajemnice komnat i pałaców dawnych. Pod tym względem wszystko, co tylko wiedzieć możemy, nie będzie dla nas zanadto. Zajmują nadzwyczaj szczegóły, jak Wincenty ze Smogorzewa połowę dziedzictwa swego Wiskidna, oddał zięciowi swemu Janowi z Ruczowa w r. 1327 (dypl. 108); albo jeszcze ważniejsze szczegóły, jak Henryk landgraf Heski w r. 1341 obiecał Kazimięrzowi Wielkiemu, że mu wypłaci posagu za córką swoją Adelją w ciągu roku następnego 2,000 sexagenów groszy pragskich, i pięciu zakładników a krewnych swoich wyznaczył wtedy landgraf i obowiązał się uroczyście, że jeżeli nie spłacił tego dobrowolnego długu w ciągu roku, zakładnicy czyli ręczyciele, będą mieli prawo upomnieć go, a wtedy albo w ciągu miesiąca zapłaci wszystko, albo sam przyjedzie do Krakowa i odda się w ręce zięcia Kazimięrza króla aż do chwili, kiedy się zupełnie z zobowiązania swego nie uiszczy (dypl. 110). Są w Dyplomatarjuszu i układy familijne pomiędzy członkami jednej rodziny: wszy-

stko osłonięte albo zatwierdzone powagą panującego księcia lub królewską. Między innymi czytamy list Ziemowita księcia mazowieckiego na Czersku zatwierdzający 1359 r. zgodę pomiędzy nim, a stryjenką Elżbietą wyszogrodzką, którą do skutku doprowadził król Kazimierz Wielki (dypl. 122); i drugi list księcia kujawskiego z r. 1362, którym zatwierdza się przemiana dóbr ziemskich Mszczycza wojewody kujawskiego z jego krewnymi; szkoda wielka, że nadpsuty bardzo (dypl. 124).

Znajdujemy w zbiorze innych, akta sądownicze i prawodawcze. Władysław Jagiello w r. 1399 przepisuje mieszczanom krakowskim drogę postępowania przy rozstrzyganiu sporów i dochodzeniu sprawiedliwości, stanowiąc zarazem, że obywatele stolicy, zapozwani przed sąd inny nie krakowski, mogą nie stawać osobiście w miejscu, z którego wyszedł zapowiedź (dypl. 150) Napotykamy też często w Dyplomatarjuszu na sprzedaż wójtostw i sołtystw (*scultetiae et advocatiae*); okoliczność, co wiele rozjaśnia prawa ziemskie i stosunki rodzinne. Mamy nawet daty założenia wójtostw, jak np. w Ostrzeszowie w r. 1386 (dypl. 139). Mamy ważnych bardzo kilka aktów, które rzucają światło na stosunki dawnych panów z kmięciami, jak np. przywilej z r. 1449 Piotra proboszcza kościoła Świętej Maryi Magdaleny za murami Płocka, w którym jest rozkład dla poddanych wsi Bronisława, jakie prace do nich należą, i jakie wiśni dworowi składać ofiary (dypl. 185). Ciekawo bardzo szczegóły, które dowodzą, jak bardzo już wtedy w znaczeniu i w sile upadał stan kmięcy dla pożytku szlachty. Stosunki Władysława Jagielly z panami i kwestye prawne, z tego powodu wynikłe pomiędzy tronem a poddanymi, zawierają kilkanaście dyplomatów (np. dypl. 155-161). Są i libertacye od podatków (np. dypl. 123 Kazimierza W. z r. 1361). Jest i nobilitacya ochrzczonego żyda Stanisława Oszejki (dypl. 195 z r. 1499 Jana Olbrachta). Jest wyrok za morderstwo i kara: ośmiu braci Goskich, kosztem dóbr własnych, okupiło śmierć Jędrzeja Goskiego ojca Jachny w r. 1490 (dypl. 193).

Wszystko to są szczegóły, co rozjaśniają prawodawstwo i domowe życie przodków. Myśmy tylko za cel mieli w wyliczaniu naszym pokazać, jak wielkie zasoby spoczęły w łonie tej urodzajnej niwy dyplomatarjuszków. Podane tu przez nas fakta rozbiorą potem i ocenią uczeni badacze, każdy stosownie do swoich potrzeb i poszukiwań. Wtedy pokaże się wielkość przysługi, jaką dla dziejów ojczyzno naszego kraju wyświadczył p. Rzyszczewski. Należy nam jeszcze zastanowić

się chwilę nad tém, co zyskały dzieje polityczne samego kraju przez wydanie Igo tomu Dyplomatarjusza.

Znajdujemy pomiędzy tym stosem urzędowych dokumentów wielką liczbę przywilejów książąt mazowieckich. Ale kto wie, jak mocno są zaciemnione dzieje Mazowsza w ogólnej historii polskiej, ten może pojąć, ile tu radości dla miłośnika pamiątek przynieść musi taka liczba nagromadzonych mazowieckich aktów. Dotąd nie byliśmy w stanie ułożyć porządnej genealogii książąt, co ród swój wiedli od Konrada, brata Leszka Białego. Co krok spotykały się w tej genealogii niepewności i sprzeczności takie, że żaden gieniusz nie mógł przełamać zapory i rozświecić cokolwiek dzieje okolic naszych. Te ciągłe działy mazowieckich książąt, te kłótnie, niezgody pomiędzy niemi, ta niechęć dla centralnego rządu w Krakowie, ta przychylność dla odległych Czechów, te wreszcie związki z Krzyżakami, dotąd pomimo tylu prac już wydanych, grubą jeszcze dla nas pokryte tajemnicą: wszystko to budziło interes najwyższy dla dziejów Mazowsza. Ajednak do dziś dnia jeszcze nie rozwiązaliśmy zagadki, jaką kolejną starszeństwa, następowali po sobie rozrodzeni książęta na Mazowszu, i do jakiej dzielnicy przywiązane było starszeństwo w rodzie: do Płocka, do Czerska, czy do Warszawy? Płock i Czersk były stolicami dwojga dawnych dzielnic; później dopiero pojawiła się Warszawa i, jak się zdaje, wywyższyła się nad stare mazowieckie miasta, i najdłużej zatrzymała udzielną, chcielibyśmy powiedzieć narodową na Mazowszu. Zresztą w kronikach spotykamy często książąt zakroczymskich, wyszogrodzkich, liwskich, rawskich, gostyńskich, ciechanowskich i sochaczewskich, a obfitość faktów pod tym względem tak wielka, że prawie domyślać się przychodzi masy księstw i państw nieznanych, które uszły przed okiem historyka. Takim sposobem miałyby każde miasteczko mazowieckie być stolicą księstwa, być ogniskiem oddzielnego życia? Tak nie było; a przecież z podań, któreśmy w spadku po odległych wiekach dostali, takby wypadało wnosić. Niepewność ta zniknie przecież, spodziewamy się tego, skoro więcej nadrukujemy dyplomatów. Już tom Iszy Rzyszczewskiego wiele dopomoże do poszukiwań przyszłych, do objaśnienia kiedyś dokładniejszego dziejów Mazowsza. Zaczawszy od Konrada pra-ojca książąt płockich, czerskich i kujawskich, którego kilka dyplomatów znajdujemy w tym zbiorze z tytułem księcia krakowskiego i mazowieckiego, aż do Janusza władcy na Warszawie, snuje się w Dyplomatarjuszu Rzyszczewskiego szereg dokumentów mazowieckich książąt ważnych dla dziejów sa-

mych książąt i dla dziejów ziemi ich rodzinnej. Przeglądając tylko Dyplomataryusz, natrafiłiśmy na szczegóły zajmujące w tym względzie: cóż będzie dopiero, kiedy się w akta lepiej wejrzymy z miłością i z przywiązaniem?

Rzuciwszy Mozowsze, nie możemy zapomnieć, że pomiędzy innemi wydatnieje świetnie wielka postać Łokietka. Bohatér król, dobroczyńca Lechii, prawdziwy założyciel państwa polskiego, winien w całej swojej piękności pokazać się oczom naszym. I istotnie znajdujemy go tu, znajdujemy wszędzie w całej jego historii od czasów, kiedy wstąpił na tron sieradzko-łęczycki, aż do chwili, kiedy uciekać musiał z Krakowa, z murów zamkowych; a potem od czasów, kiedy doznawszy biedy i prześladowania, wytrawiony życiem, mąż z doświadczeniem, stanął z powrotem na ziemi polskiej, powitany serdecznie przez ziomków i nazwał się księżciem, dziedzicem królestwa polskiego, aż do sławnej pod Płowcami bitwy. Poznajemy z Dyplomataryusza jego stosunki, jego dwór, jego przyjaciół; widzimy, jak dbały o dobro kraju, nakłada podatek zbożowy w księstwie kaliskim w r. 1298, dla naprawy mostów na Prośnie (dypl. 91); jak później zatwierdza związek miast Gniezna, Kalisza i Pyzdr, dla poskromienia łotrostwa, które wtedy rabunkami nawiedziło W. Polskę, w skutku roztarganych węzłów ówczesnego społeczeństwa (dypl. 92). Fakt to nowy i dla dziejów Łokietka, i dla dziejów Polski; fakt, co ściera plamę z wielkiego króla, że z początku potakiwał łotrostwom i łupieżom, nadzwyczaj zagęszczonym w kraju. Widzimy potem, jak Łokietek w styczniu 1306, układał się z Pawłem Paelsteinem gubernatorem czeskim w Polsce o rozejm, za pośrednictwem rodzinnego Brześcia w Kujawach, oraz biskupów kujawskiego i chełmińskiego, za staraniem mistrza Krzyżaków w Prusach i stanowił sobie na ośm miesięcy pokój od Czechów, żeby w tym czasie wytargował co dla swojej ojczyzny i jej niepodległości (dypl. 99). Do tego przymierza przystąpili inni książęta; ale Łokietek jednak musiał chwycić za oręż dla obrony praw swoich i narodu. Widzimy w tym Dyplomataryuszu, jak potem w r. 1310 wynagradza zasługi Gierka mieszczanina z Raniejowa, który mu na wygnaniu służył sercem i wiarą (dypl. 99). Widzimy, jak hojną ręką obsypuje klasztory, jak podnosi miasta, jak jest pobożny, jak natchniony. Do koronacyi pisał się zawsze w dyplomatach księżciem królestwa Polskiego; od r. 1319 Łokietek był już królem polskim.

Z czasów czeskich znajdujemy tutaj kilka dyplomatów i aktów urzędowych wydanych przez gubernatorów, nadsyłanych z Pragi.

Wspomnieliśmy już o Paelsteinie, wspomnimy tu o książęciu Mikołaju opawskim, którego jeden dyplomata także znajdujemy z r. 1301 (dypl. 95); jestto nadanie wsi Koszuty dla klasztoru łędzkiego.

Do czasów i osoby Kazimiérza W. znajdujemy także w Rzyszcze-wskim kilkanaście odnoszących się dyplomatów. Do wypadków politycznych, interesujących cały ogół kraju za tego króla, policzmy akt urzędowy, którym mieszczanie krakowscy, sandomierscy i sądeccy z rozkazu króla w r. 1343 przyrzekają mistrzowi pruskiemu, że ani królowi polskiemu, ani téż nikomu pomagać nie będą, ktoby z mistrzem zerwał sojusz, i że owszem usilnie zabiegać będą, żeby zgoda szczerza Krzyżaków z Polską istniała (dypl. 111); i drugi akt, przez który sędzia polubowny Jarosław arcybiskup gnieźnieński, rozstrzyga na stronę biskupa plockiego spór o dobra pomiędzy tymże biskupem, a Władysławem książęciem łęczyckim i dobrzyńskim w r. 1348 (dypl. 114). Takie akta dają nam poznać coraz bardziej wpływ i potęgę na losy kraju arcykapłanów narodu, którzy zamieszkiwali stare książęce Gniezno.

Kilka przywilejów wydanych przez Władysława opolskiego, rozświetla coraz bardziej tę zamierzchłą jedynie oddaleniem czasów, ale nadzwyczaj znakomitą historyczną postać. Jest tylko jeden dyplomata Jadwigi, o którym wyżej wspomnieliśmy, wydany już po chrzcie i koronacji Jagielly, a zatwierdzający przywileje Lwowa. Ta okoliczność daje nam wnosić, że Jadwiga za mężem nawet nie traciła praw majestatu, i że Jagiello tylko przez nią i przy niej był królem. Mogła przewodniczyć znakomitej królowa ludowi wojennemu, bo sama nieraz dźwigała oręż dla obrony ziemi, która była już teraz jój rodzinną ziemią. Później widać ustąpiła praw swoich Jagielle, który rządził ciągle widać w jój imieniu, kiedy wiemy z pewnością, że po śmierci żony, chciał powrócić do Litwy, bo sądził, że skończyły się wszystkie jego stosunki z koroną polską. Usunąwszy się od rządu i spraw wojennych Jadwiga, poświęciła się całkiem narodowi skromną cnotą niewieścią, ile sił jój starczyło, zbliżała chwilę potęgi, która potem tak świetnie rozbłysła. To jedna z pięknych cech jój charakteru, który przedstawiła w pełni: — królowej i chrześcianki.

Władysława Jagielly panowanie zyskało także przez wydanie tego Dyplomatarjusza, na kilku ciekawych i pięknych szczegółach. Widzimy z akt urzędowych, że stosunki jego z Granowskiemi, czyli raczej z panem Nakielskim Wincentym, później generałem wielkopolskim zawiązały się jeszcze za życia Jadwigi, bo w r. 1393 zapisał mu król za wierne usługi 100 marek groszy, na wsi Krzywogórze (dypl. 145). Nie posądzamy bynajmniej Jagielly, aby za życia zawierał te



stosunki z matką Wincentego: temu przypuszczeniu sprzeciwia się cały szereg faktów i charakter Władysława, ale złapaliśmy nitkę, za pomocą której kiedyś złapać możemy cały wątek tych stosunków, które się ślubem skończyły. Przez Wincentego kasztelana poznał się zapewne król Jagiełło z panią Zofią Granowską, i poznał się bardzo wcześnie na lat przeszło 20 przed wypadkiem zamęzcia, który tak bardzo oburzył szlachtę polską. Znajomość to była stara, i więcéj zapewne zalotności pani Granowskiej, jak przywiązaniu króla, przypiszemy późniéj tak ścisłe związki, które te dwoje osób połączyło.

Znajdujemy nastépnie w Dyplomatarjuszu (dypl. 151), dokument, mocą którego stany koronne zgromadzone na sejm w Radomiu 1401, zatwierdzają prawa i przywileje W. Ks. litewskiego. Dyplomata, to zupełnie nowy i fakt dla dziejów polskich nieznanym, wyjęty z archiwum Radziwiłłowskiego. To jeden ślad uroczyste zaręczonéj unii korony z W. księstwem, tak potém często powtarzanéj, że kiedyś potrzeba będzie ułożyć osobne krytyczne dzieło o tych uniach i fakt wyswiecać faktem, dlaczego powtarzała się wciąż jedna scena, i co spowodowało, że ta unia rwała się tak często. Ale wracając do naszego dyplomaty, znaleźliśmy dotąd jeden dokument urzędowy z tegoż roku 1401, wydany w Wilnie przez stany litewskie w dniu 18 stycznia; dokument umieszczony prawie po wszystkich dziełach, które zawierały zbiór politycznych praw polskich, jakoto: w Woluminach Legum, Statucie Łaskiego, Herburta, Przyłuskiego. Teraz Dyplomatarjusz Rzyszczewskiego przedstawił nam drugi takież dokument o unii ze strony stanów koronnych, na d. 11 marca wygotowany, a zatém o dwa miesiące prawie późniéj. Dla dziejów bardzo ważny nabytek, a dla życia Radomia fakt jeden z najświetniejszych. Widzimy teraz politykę międzynarodową Polski i Litwy, i chwytamy ją na razie, patrzymy na nią jak się zmieniała, jak z kolejną czasów odmienne przybierała formy. W roku 1386 unia była osobistą, a w r. 1401 już urzędową; ale dyplomata wiecznego sojuszu osobno układała i wcześniéj Litwa, osobno i późniéj korona. W r. 1413 unia potwierdziła się znowu, ale już na sejmie wspólnym w Horodle. Aktów horodelskich do tego czasu dwa już znaleźliśmy. Jeden był dyplomatem wydanym przez panów litewskich przystępujących do unii, i w nim znajdujemy wzmiankę o herbach, jakie Litwini przyjmowali od Polaków, drugi zawierał potwierdzenie unii przez króla Władysława i W. ks. Witolda. Brakowało jeszcze trzeciego dokumentu, przez który panowie polscy zobowiązywiliby się do unii z Litwą. Ten trzeci dokument, który takim sposobem uzupełnia dzieje sejmu horodelskiego i całej unii

z r. 1413, wydrukował nam teraz p. Rzyszczewski także z archiwum nieborowskiego (dypl. 182); nowe herby litewskich panów wylicza także dyplomata. Zwrócimy jeszcze na to uwagę, że sejm horodelski nazywali wtedy koronni panowie *Parlamentum, seu Conventio generalis*.

Przy zdarzonej sposobności, skończyć musimy tę materią o unii Litwy z koroną, o ile ten wielki wypadek dziejowy potrafił wyświecić nasz Dyplomatarjusz. Unią piotrkowską z r. 1501, teraz dopiero dobrze i jasno widzimy. To, cośmy dotąd o niej wiedzieli, było niepewne i zagmatwane tak, że trudno było dojść całej prawdy. Są w Dyplomatarjuszach dwa dokumenta drukowane, pod d. 3 października tegoż 1501 r. W pierwszym panowie polscy pod przewodem prymasa i kardynała Fryderyka Jagiellończyka oświadczają się, że uznają starożytną unię; a w drugim panowie litewscy przez posłów swoich wyznaczonych umyślnie do Piotrkowa na sejm, dla dokonania wielkiej sprawy oświadczają, że we wszystkich punktach zatwierdzają tę unię, jak ją stany koronne określili (dypl. 196, 197). Od Litwy posłował wtedy biskup Tabor, książę Alexander Holszański kasztelan wileński i Jan Zabrzeziński wojewoda trocki i marszałek, prócz wielu innych.

Te kilka dyplomatów, któreśmy tu wyliczyli, są najważniejszej historycznej treści. Fakta pod tym względem tak się mnożą, a taka już ich obfitość, że niedługo, jak dzisiaj układamy spisy chronologiczne sejmów, spisy bibliograficzne książek, tak będziemy układali i spisy unii politycznej Polski z Litwą, z kolei rok za rokiem, dyplomata za dyplomatem.

Wracając do Władysława Jagielly wskażemy jeszcze na kwit, który w r. 1415 w lipcu dał królowi w Krakowie Mikołaj Szaksz rotmistrz najemnego oddziału wojska, użyty w czasie wyprawy krzyżackiej. Szaksz umówił się z Piotrem Szafrąncem podkomorzym krakowskim i Piotrem Medellanem, (?) że będzie królowi towarzyszył w tej wojnie, za opłatą 60 marek średaich groszy; aktem urzędowym (dypl. 164), o którym mówimy, skwitował króla z tych 60 marek Mikołaj. Okoliczność ta objaśnia nam tajemnice ówczesnych wojen i powoli przychodzimy do wniosku, że zwyciężką mogła być jedynie bogatsza strona. Nie stosujemy jednak tego do króla Jagielly. Bogaty mógł najmować wojska, a wtenczas do boju leciał każdy niezajęty pracą, bo w wojnie znajdował środek utrzymania życia. Krzyżacy też nieraz tak potężne siły wystawiali do boju, że zdawało się, cała Europa zwała się na Pomorze lub Polskę. Żałujemy, że zamiast kwitu nie mamy układu, jaki zawarł z Szakszem Piotr Sza-

franiec; żałujem, że nigdzie nie mamy wymienionych rycerskich zasług tego najemnego rotmistrza, a nawet, o ile nam się zdaje, nie czytaliśmy nigdzie tego imienia w kronikach.

Z aktów politycznych Jagiellońskich wskażemy jeszcze na przykładzie Władysława króla z W. ks. litewskim Zygmuntem, zawarte w Krakowie d. 3 stycznia 1433 (dypl. 175), i dalej na akt zgody pomiędzy temi osobami, zawarty w Korczynie 27 lutego 1434 (dypl. 176). W r. 1437 posłowie koronni z sejmu sieradzkiego zaręczyli w Grodnie W. ks. Zygmuntowi, że korona nie będzie wspierała żadnych zamachów Swidrygelly łuckiego na Litwę (dypl. 177). Jest dalej dyplomata Warneńczyka z r. 1440 mocą którego zatwierdza wszystkie poprzednie przymierza pomiędzy ojcem Jagielly a stryjem Zygmuntem, o jakich dopiero mówiliśmy (dypl. 180).

Z dyplomatycznych aktów Kazimierza Jagiellończyka, wskażemy na przywilej ziemski, nadany Litwie w r. 1457 (dypl. 183). Był to już zupełnie wpływ Polski, co wtenczas działał na Litwę i domagał się dla W. Ks. tychże samych praw i przywilejów, co i dla ziem koronnych. Przycoczylibyśmy tutaj cały ten dokument, gdyby nam nie chodziło jedynie tylko o przegląd Dyplomatarjusza Rzyszczyńskiego; tak każdy wyraz przywileju królewskiego jest ważny dla dziejów Rzeczypospolitej. Podobnyż przywilej nadał dla Litwy Alexander Jagiellończyk w r. 1492, niedługo po śmierci ojca (dypl. 194). Pod względem treści, ważniejszy on jeszcze od poprzedniego dyplomatu. Zakończyły tom pićrwszy trzy przywileje Zygmunta Staroego, jeszcze tylko W. księcia litewskiego: jeden z października 1506 r. z Wilna, zawiera obietnicę zachowania na przyszłość wszystkich przywilejów Litwy; drugi z listopada tegoż roku z Grodna, w którym stany litewskie, wysyłając posłów do Piotrkowa na sejm elekcyjny, dają im zupełne pełnomocnetwo; trzeci także w Grodnie wydany, w którym Zygmunt, dotrzymując obietnicy zatwierdza przywileje i wolności księstwa przez poprzedników zawarowane (dypl. 198, 199 i 200).

Widzieliśmy ogromne skarbów bogactwo. Na zaletę wydania wspomniemy jeszcze o indexach. Bez indexów nie obejdzie się żaden dyplomatarysz. Bez indexów błędzilibyśmy po stosach akt dawnych napróżno, bez żadnej korzyści dla nauki. Dlatego niedosyć wydrukować dyplomata, potrzeba jeszcze do nich ułożyć dokładne indexa, żeby ułatwić poszukiwania. Właśnie po ułożeniu tych indexów, poznajemy sumienie i zdolność historyczną wydawcy. Suche, zimne indexy, stanowią już część pracy naukowej, kiedy wydanie diploma-

tów, jest pracą czysto mechaniczną, powiemy nawet więcej, całą wartość dyplomatarjuszków stanowią dobre indexa.

Rzyszczewskiego indexa są przecudowne: ułatwiają tak znakomicie pracę, że zaraz na pierwszy rzut oka, można znaleźć wszystko, co się tylko chce znaleźć w tym ogromnym lesie. Index pierwszy obejmuje alfabetyczny spis osób wspomnianych w Dyplomatarjuszu; drugi spis wiosek, miast, miasteczek, zamków, osad, klasztorów, lasów, rzek, strumieni i t. d. Z pierwszego wielkie znajdzie ułatwienie, kto będzie kiedyś pisał życiorysy osób historycznych, z drugiego, kto będzie opowiadał o życiu miasteczek i każdego zakątka ziemi polskiej. W tym indexie pod tytułem: miast, są spisy i wszelkich urzędników biorących od miasta albo od ziemi nazwanie, spisy dokładne i nadzwyczaj ciekawe. Index trzeci zawiera spis imion barbarzyńskich i używanych w łacinie średniowiecznej, oraz wszelkich innych wyrazów, które w poprzednich indexach nie znalazły miejsca. Jest tu wiele wyrazów polskich, z dyplomatów wyjętych, a łacińskich średniowiecznych są tłumaczenia w języku lepszym. Jednym słowem, spisy te nie do życzenia nie zostawiają. Indexa te z Dyplomatarjusza zrobiły prawdziwie encyklopedyą polską; pracować uczyonym przyjdzie teraz z łatwością.

Przedsięwzięcie szlachetne Leona Rzyszczewskiego nie mogło nie obudzić spółczucia, boć i wiek już inny, i ludzie inni na świecie. Po wydaniu pierwszego tomu ilość materyałów wciąż przybywających, tak się znakomicie powiększyła, że p. Rzyszczewski był w stanie rozwijać dalej myśl swoje, i już nie wydawać dyplomatarjuszków dotyczących w ogóle Polski, a dyplomatarjuszków całych prowincyj koronnych. Oczywiście interes wzrastać musiał. Teraz w porządnym spisie dyplomatów, mogliśmy prędzej schwytać jakąś całość i przeglądać dzieje ziemi tej lub owej, nie przenosić się z miejsca na miejsce, z Pomorza od Krzyżaków pod Tatry, do Węgier i Rusi, z Wilna do Krakowa, na Mazury i na Kujawy. Nie mieliśmy opracowanych krytycznie dziejów ziem naszych, powiatów, księztw; teraz mamy te dzieje uwieszone, skryształizowane w dyplomatach. Wspomnieliśmy dawniej o niepewnościach w historii Mazowsza, teraz ginie coraz więcej ta niepewność. Teraz już możemy liczyć kujawskie księstwa i samych kujawskich książąt, wyznaczać granice ich dzielnic i rysować historyczne mapy części dawniej Polski z XIII i XIV stulecia.

Kiedy wychodził na świat tom 2gi Dyplomatarjusza w r. 1848, przygotowanych materyałów było już na 4 i 5 następnych tomów.

Tom drugi zawierał już dyplomata dotyczące się samych wyłącznie Kujaw, a liczba dyptomatów była tak wielka, że trzeba go było już na dwie rozdzielić części. Mamy pod ręką już część pierwszą, druga drukuje się właśnie. Część ta zawiera dyplomata od r. 1148 do r. 1433. Druga część zatem obejmie przestrzeń czasu od r. 1433 do r. 1506, przeszło półtora wieku. Z tego już sądzić możemy o bogactwie materyałów i o spólczuciu dla Dyplomatarjusza, kiedy tom 2gi rozdzielić się musiał na części, a część każda objętością przewyższa tom pierwszy. Tom drugi zatem trzy razy blisko obszerniejszy będzie od poprzedniego.

Dla związku rzeczy i całości obrazu, dobrze zrobili wydawcy, że w dyplomatarjuszu kujawskim, drukowali i przywileje mazowieckie, bo Mazowsze z Kujawami kiedyś jedną składały całość: winni więc to byli zrobić dla stosunków rodzinnych panujących książąt; na mocy téjże zasady i dyplomata łeczyckie weszły do obrazu Kujaw. Dalej przywileje książąt krakowskich i sandomierskich i akta książąt pomorskich, jako władców ziemi, do której rozciągała się władza duchowna biskupów kujawskich, musiały wejść do tego dyplomatarjusza. Że zaś w pierwszym tomie wydrukowano już poprzednio kilkadziesiąt dyptomatów, mających styczność z przeszłością Kujaw; że rozmaite akta objaśniające dzieje téj prowincyi, ojczyzny Łokietka, wydane już były poprzednio w rozmaitych dziełach i porozpraszane nie stanowiły całości: wydawcy ułożyli spis chronologiczny wszelkich dyptomatów kujawskich, i drukowali go w texcie przeplatając aktami, które mieli pod ręką. Akta te po raz pierwszy wypuszczali na widok publiczny. Tak w pierwszej części tomu drugiego mamy albo text, albo wiadomość, gdzie ich szukać, o 386 dyptomatach. Wytrąciwszy z téj liczby 131 dyptomatów, o których tylko czytamy wzmiankę: w téj części znajdziemy 255 dokumentów, to jest o część czwartą przeszło więcej, jak w całym tomie pierwszym (1).

Do wydania dyplomatarjusza kujawskiego, przyczynili się najwięcej Wacław Alexander Maciejowski i Kazimierz Stronczyński. Pierwszy dostarczył odpisów wielu dyptomatów, które zebrał w skutku licznych naukowych pielgrzymek, a najwięcej z bogatych pod tym względem bibliotek galicyjskich; drugi wyjednał nietylko dla redakeyi same oryginały dyptomatów, złożonych w archiwum kapi-

(1) Na liczbę jest dyptomatów numerowanych w téj części 385, ale że przez pomyłkę ner. 236 jest podwójny, liczba kompletna będzie 386. Nieznanych zupełnie w tych 2ch księgach dyptomatów jest 455,—całe morze dla historyi!

tuły kujawskiej, ale nadto ofiarował nowe odpisy swoje z akt po supprymowanych klasztorach w Poznańskim. Fatalném zrządzeniem nastąpił wtedy właśnie wyjazd z Warszawy Józefa Rusieckiego, który tom pierwszy obficie zasilął; wydawcy stracili tę chętną pomoc przy wydaniu tomu drugiego. Za to pokazały się tak ogromne skarby w aktach kapituły wrocławskiej, że ani na myśl nawet przyjść nam nie mogło, trudno nawet można było przypuszczać, żeby tak ogromne zbiory oryginałów z lat tak dawnych znajdowały się gdzie w takiej ilości i zachowane tak pięknie, jak w Wrocławku. Fakt to dla nas uderzający. I przyjdzie późno teraz błogosławić pamięć tych zacnych biskupów, co święte skarby zachowali wśród powodzi wojen aż do naszych czasów i uchronili pergaminy stare przed mieczem szwedzkim, albo brandeburskim. Ta okoliczność jeszcze nam jedną bolesną myśl natrąca: potrzeba było aż Dyplomatarjusza Rzyszczewskiego, żeby te skarby wynurzyły się z głębi oceanu, jak wyspy nęcące kwieciami i zielonością, potrzeba było aż pracy i zabiegów Stronczyńskiego, żebyśmy o tych dyplomatach powzięli jakąś wiadomość, a Wrocławek ledwie mil kilkanaście od Warszawy, i kujawska ziemia zawsze dzieliła losy Mazowsza! Widzimy, że kraj nasz jeszcze dla nas samych jest prawdziwie zamkniętym rajem, *terra incognita* starożytnych. I w takiej ogromnej liczbie, w takim szeregu wieków, nie znalazł się nikt; a wstyd dla nas tém większy, że nikt i za chwil niedawno przedłych, kiedy to jeszcze pracował Naruszewicz i Czacki, żeby rozpowiedzieć coś narodowi o tych ukrytych skarbach dyplomatycznych. Najcięższa wina spada bez zawodnie na członków kapituły kujawskiej. Oni byli przy źródle; oni więc powinni byli poznać naród z bogactwami swojemi. Ale zapewne leżały gdzie te dyplomata pokryte kurzem na pastwę molom, a nikt nie zajrzał do nich. Za to odkrycie cześć i sława Stronczyńskiemu i Dyplomataryszowi. Otóż i jeszcze jedna wdzięczność, jaką kraj zobowiązany p. Rzyszczewskiemu.

Zacniemy przegląd nasz drugiego tomu Dyplomatarjusza od dziejów kościoła polskiego.

Na czele spotykamy brewe apostolskie, wydane w Rheims 4 kwietnia. 1148 przez Eugeniusza IIIgo, w którym papież przyjmuje pod swój bliższy nadzór kościół i katedrę w Wrocławku, i zatwierdza granice biskupstwa, zakreślone od Idziego z Tuskułam i Bolesława księcia (dypl. 1). Wydaniem dyplomatu tego poprawia się błąd Damalewicza, który utrzymywał, że brewe to wydane zostało w Rzymie. Następują liczne nadania książąt dla biskupa ku-

jawskiego i dla kapituły. Spotykamy dalej bardzo ważny dyplom z r. 1321, datowany w Rawie (dypl. 240), w którym Janisław arcybiskup i Domarat biskup poznański, jako sędziowie polubowni oznaczają bliżej granice diecezji kujawskiej i płockiej. Takich dyplomów więcej, a bajek nie będzie wcale w historii polskiej.

Postaci historyczne biskupów odznaczone są żywymi farbami w imaginacji naszej po przejrzaniu tego Dyplomatarjusza. Co krok, to nowe spotykamy podanie, nowe wiadomości. Wydatnie więcej nad innych znakomita postać Mikołaja Godziemby, pierwszego z Polaków biskupa na wrocławskiej stolicy. Za nim przesuwają się postaci biskupów: Wolimira, Wojciecha, Wisława, Gerwarda, i Macieja Golanczewskiego. Nie ma jednego z kujawskich pasterzów, żeby ten Dyplomatarysz nie dodał coś do jego życiorysu. Jan książę opolski Kropidło, Henryk lignicki, Mikołaj z Kurowa jako biskup, Jan z Niewiesza, każdy znalazł wspomnienie, zarobił na historyczność. Poznańscy biskupi i płoccy zyskali także, chociaż nie grali głównej roli w dyplomatarjuszu kujawskim. Korzystając z akt urzędowych, będziemy teraz mogli starowniej ułożyć listy biskupów, jak to zrobił Niesiecki. Im więcej mamy do czynienia z pomnikami przeszłości, tém bardziej się przekonujemy, że jego listy są niekompletne i wcale niedokładne. Dotąd znaleźliśmy rażące omyłki w *Koronie polskiej* i poprawiliśmy źle podane w Niesieckim daty śmierci biskupów tak znakomych, jak np. Michał Godziemba. U Niesieckiego umarł on w r. 1250, tymczasem w dyplomatarjuszu znajdujemy akta, w których Michał żyje i działa jeszcze w końcu r. 1252. Toż samo powiemy, że o innych nie wspomnim, i o następcy jego Wolimirze. Niesiecki śmierć jego na r. 1271 odnosi, kiedy z dyplomatarjusza przekonujemy się, że Wolimir żył jeszcze w r. 1274, a więc o trzy lata później. Jasna rzecz teraz, ile skorzystały na wydaniu tych aktów życiorysy historycznych osób, biskupów np., a przez to i dzieje samego kościoła i kapituł polskich.

Michał Godziemba był znakomitym politykiem swojego czasu. Już z pierwszego tomu widać to było, a teraz z drugiego, gdzie mamy większą próbkę dyplomatycznej jego działalności, przekonujemy się, że to był jeden z najznakomitszych ludzi swojego czasu: kilkadziesiąt dyptomatów poprze prawdę naszego twierdzenia. Czyto w prywatnych stosunkach, jako posiadacz dóbr kapitulnych, czy w działaniach swoich jako obywatel, Michał zarówno wszędzie pokazuje się czynnym, energicznym, zabiętym człowiekiem. Nietylko książęta, ale i arcybiskup Pełka, ale i prywatni ludzie nadawali za niego, do-

brami kapitułę kujawską. I Michał urządzał się, sprzedawał, skupował, zawierał kontrakty, zamieniał jedne posiadłości na drugie. Zarwał z Gdańszczanami, a raczej z jakimś księżątkiem panującym nieprawnie w tamtej stronie Pomorza, i godził się potem z niemi w r. 1238 (dypl. 23). W lat trzy potem zawierał traktat i godził się z Samborzem księżęciem Pomeranii r. 1241 (dypl. 29); znalazł nawet tyle łaski i przyjaźni u Samborza, że w miesiąc po zgodzie zawartej w Toruniu, tenże książę pomorski nadał biskupowi kasztelaniją gorrenczyńską (w dypl. Goruchino; może to za wolne tłumaczenie wydawców) i siedmnaście wiosek, bo biskup oświadczył chęć swoją, że chce po kolei to na Kujawach, to w Pomeranii, dla lepszego nadzoru nad owczarnią czuwać (dypl. 30). Miał później biskup częste stosunki z Mestwinem, z Gdańskiem, z Oliwą. Dyecezya téż jego rozdzieloną była pomiędzy księztwa, w których panowali Piastowie i ziemie, które zagarnęli potomkowie Świętopełka mordercy Leszka Białego w Gązawie. Tak więc z samego położenia swojego Michał pośrednikiem być musiał pomiędzy szczepami nieprzyjaznych władców, a osobą swoją wiązał ściślej rozerwaną na północy jedność ziem lechickich. Musiał mieć wysoki szacunek pomiędzy książętami. Lat 40 blisko siedział na biskupiej stolicy; nie dziwimy się zatem temu szacunkowi, kiedy zastanowimy się jeszcze, jaką rozwijał czynność. Dla niego Kazimierz książę łęczycki zrzekł się praw swoich do mianowania proboszcza katedralnego w Kujawach, członka kapituły w r. 1250 (dypl. 45). Do niego potem uciekał Sambor z Pomorza, przez Świętopełka wygnany (dypl. 56). Jednym słowem, Michał Godziemba wyrosł w oczach naszych na wysoką, pełną znaczenia postać historyczną, którejśmy wcale nie znali z historii Naruszewicza. Wielkością swoją zaćmi on wszystkich w swojej chwili: wszystkich kujawskich, łęczyckich, mazowieckich, wielkopolskich książąt.

Zwrócimy także uwagę i na znaczenie dawniej kollegiaty kruświckiej. Wiadomo, że biskupstwo kujawskie pierwotkowo w tém mieście miało swoje katedrę i stolicę, przeniesioną potem do Włocławka. Ta okoliczność wpłynęła zapewne znacznie i na ważność czasową kollegiaty kruświckiej, na którą wskazujem. Na każdym akcie urzędowym biskupa kujawskiego są pomiędzy świadkami wliczeni członkowie kapituły włocławskiej, i są zawsze obok prałaci i kanonicy kruświcy. Zdaje się, że to są dwie kapituły połączone w jedną, że Kruświca i Włocławek, sąto stolice biskupstw niezawisłych, które się z czasem zwały w jedną dyecezyą, tak zupełnie, jak dziś np. Poznań i Gniezno. Ta nawet okoliczność, że zawsze są pomie-



szczeni na aktach i prałaci kruświcy, naprowadza na wniosek, że by-  
 ło jakieś prawo kapitulne, może zatwierdzone przez Rzym przy prze-  
 niesieniu katedry, które kanonikom kruświckim warowało równość  
 z kanonikami wrocławskimi, i które pod gwarancją obojga kapituł,  
 oddawało wszelkie wyroki i postanowienia biskupie. W dyplomataryu-  
 szu kujawskim spostrzegaliśmy przez półtora wieku przeszło wszędzie  
 tę solidarność, tę jedność, o której tu wspominamy. Kapituła kruświ-  
 cka później zmalala i straciła na znaczeniu, ale w wieku XIII i XIV,  
 a więc i wcześniej jeszcze (podajemy to za domysł dziejowy, usprawie-  
 dliwiony faktami), musiała być wciąż jeszcze katedralną, a później  
 spaść na stopień warszawskiej kollegiaty św. Jana, która katedralną  
 nie będąc, miała jej stopień i powagę, a wreszcie mogła spaść jeszcze  
 niżej, tak, że zapomniano o dawniej świetności kapituły.

Uderza także druga okoliczność. Z dyplomatarjusza uczymy  
 się, że niegdyś zupełnie co innego pod kasztelanią rozumiano, jak my  
 rozumiemy teraz. Według naszych dotychczasowych pojęć, kasztelan  
 byłto komendant w twierdzy, a kasztel była to forteca dzisiejsza. My-  
 śmy sądzili, że jak Marchie stawały na granicach Niemiec, tak kasztele  
 stały nad granicami dawniej Polski, dla obrony kraju od zewnętrznego  
 nieprzyjaciela. Myśmy sądzili, że kasztelan był dostojnikiem narodu,  
 i że potem dopiero, kiedy się już formował senat polski, namnożyło  
 się wiele kasztelów i wewnątrz Lechii. Z dyplomatarjusza przeko-  
 nywamy się, że instytucya kasztelanów, którą dotąd Bolesławowi  
 W. przypisywano, wcale była odmienną, wcale inniej natury. Ka-  
 sztelanie byłyto dziedzictwa, własności, nakształt starostw później-  
 szych, albo może dzierżaw wieczystych. Widzieliśmy już poprzednio,  
 że książę pomorski nadawał Michałowi Godziembie kasztelanią gor-  
 renczyńską, a z dyplomatarjusza na wielu miejscach przekonujemy  
 się, że kasztelania, nie byłato żadna wysoka dostojność, chyba nad-  
 użyto wyrazu, i dwa pojęcia jednem słowem: znaczone. Zawsze to  
 jednak fakt, że kasztelanów mieli i prywatni właściciele ziemi, nietyl-  
 ko sami królowie i książęta. Kasztelania byłoto coś jakby powiat,  
 jakby ekonomia, klucz dzisiejszy, a rządzący nią kasztelan, był jakby  
 go dziś nazywano rządcą, kommisarzem, ekonomem, albo jak za  
 czasów polskich mówiono na Ukrainie, gubernatorem. Z tego mo-  
 glibyśmy domyślać się, że Bolesław Chrobry pierwszy stanowiąc ka-  
 sztelanów, nie robił komendantów w twierdzach pogranicznych,  
 a rządców swoich, ekonomów, jakby gubernatorów różnych powiatów.  
 Osadzał ich w kasztelach: ztąd poszło przekonanie, że byli kasztelano-  
 wie rządcami twierdzy. Pokazuje się jednak, że to była jednocześnie  
 władza, nietylko wojskowa, ale i administracyjna w całym znaczeniu

tego wyrazu. Wojewoda ówczesny byłto późniejszy hetman i do rządu krajem wcale są nie wdawał. Kasztelan zatem był rządcą ziemi z ramienia króla albo księżęcia, razem administracyjnym i ekonomicznym. To wszystko rzuca wielkie światło i na zarząd Lechii, jaki zaprowadził król Bolesław Chrobry.

Musiła być niezawodnie różnica pomiędzy kasztelanami króla, a kasztelanami prywatnych obywateli. Różnica ta potem wybitniej się odznaczyła, kiedy kasztelanowie panujących weszli do rady koronnej, a kasztelanowie prywatnych zeszedli na urząd podstarościch. Badaczów starożytności mogła jednak długo zwodzić ta okoliczność. W senacie polskim zasiadało w ostatnich czasach 34 wielkich kasztelanów, a 53 mniejszych. Tytuły ich znamy na pamięć. A jednak prócz tytułów znanych, spotykaliśmy jeszcze liczne po dawnych dyplomatach wspomnienia o kasztelanach np. kostrzyńskim, bnińskim, zbąskim, siewierskim, wolborskim, szabelskim, czerwńskim, krośnieńskim i t. d.; tytuły wcale nieznanne w senacie polskim. Ileto jeszcze imion i grodów kasztelańskich nieodkrytych! Co chwila nowe spotykaliśmy tytuły i osoby. Teraz będzie już musiała krytyka historyczna, która się weźmie z czasem do ułożenia porządniejszych spisów osób, składających dawny senat polski, w dawnych Piastowskich czasach, brać się z wielką ostrożnością do kasztelanów i robić pomiędzy nimi różnice, żeby się do senatu jakie imię nieświęte nie wkradło. Dlatego trzeba będzie dobrze poznać dzieje miejsc, w których powstały kasztelańskie grody. Jeżeli te grody będą własnością kraju, kasztelan był członkiem rady książęcej; jeżeli są prywatne, kasztelan był tylko rządcą dóbr ekonomicznym.

Królowie i księżęta kasztelanów rozdawali na własność: jestto fakt wiele znaczący. Kasztelanów w znaczeniu klucza znajdujemy jeszcze w Naruszewiczu za Władysława Hermana, kiedy biskup łucki wspomina o Łagowie i Pabianicach. Z Dyplomatarjusza dowiadujemy się, że kasztelania łagowska była własnością stołu biskupa kujawskiego. Należała do tegoż biskupa i kasztelania wolborska, bo często znajdujemy o niej wzmiankę nawet w tomie I. Jakimś tytułem feudalnym rozdawane były te ziemie, a i to wiele objaśnia. W dyplomacie 128 n. czytamy przywilej Leszka Czarnego, wtedy już krakowskiego księżęcia z r. 1286, w którym znajdujemy ciekawy szczegół, że kasztelania wolborska miała obowiązek książąt sieradzkich raz do roku kiedy znajdowali się w Wolborzu, częstować obiadem. Obowiązek ten był zawarowany przywilejami dawnych sieradzkich książąt, ale przywileje te nie mówiły, jakito miał być obiad i z czego złożony. Widać

że z tego powodu zaszyły nieporozumienia pomiędzy biskupem kujawskim a książętami panującymi w Sieradzu, kiedy Leszka biskup Wiśław upraszał o dyplom, żeby oznaczył ściślej tę powinność kasztelanii, dla zapobieżenia na przyszłość sporom. Leszek postanowił, że raz do roku, kiedy książę sieradzki, zjedzie do Wolborza na obiad jego, biskup ma zabić krowę i dużą owcę, jeżeli to będzie w lato, a jeżeli w zimę, mają być na stole dwie szynki, 30 sztuk drobiu, sto jaj, prócz innych jeszcze przysmaczków.

Prócz tego kasztelania miała za każdym pobycem księcia wyznaczyć tyle wozów, ile będzie potrzeba, ażeby odwieść księcia z całym jego orszakiem na granice wolborskie. Biskup Wiśław był widać także bardzo porządnym obywatelem w kraju: urządzał dobra swojej kapituły, i w Dyplomatarjuszu znajdujem, że właśnie na rok prawie przed tym przywilejem Leszka Czarnego, wyznaczeni z jego ramienia urzędnicy ziemscy, oznaczali granice kasztelanii wolborskiej (dypl. 126). Od tych dwóch dawniejszy jeszcze dyplom znajduje się w tomie I. z r. 1228, w którym Grzymisława wdowa po Leszku Białym, Michałowi Godziembie biskupowi kujawskiemu pozwała, a raczej przywraca dawne prawo polowania w lasach kasztelanii wolborskiej, która zamyka się w granicach rzeki Pilicy, Pirsny, Sraby, Wolborycy i Jesny (T. I. dypl. 19). W innym dypl. z r. 1274 (dypl. 103) Leszek Czarny z uwagi, że Wolborzanie dobrowolnie naprawili mosty w Sieradzu, o co właśnie książę z panami swojemi wchodził w układy, nadawał im nowe przywileje. Oznaczeni są w tym dyplomie Wolborzanie przez wyrazy: *homines de villis vogboriensibus*. Czyż to nie *klucz* wyraźnie, ta kasztelania?

Doprawdy tak często i tak rozmaicie spotyka się Wolborz w tych starych dyplomatach, że kronika téj małej i zapomnianej od r. 1795 miejsciny, ułożona na zasadzie aktów już drukowanych, byłaby bardzo piękną i ciekawą monografią.

Jak Wolborz, tak znakomitego w przeszłości Kujaw znaczenia, nabył teraz w oczach naszych Raciąż, uczczony także tytułem kasztelanii i rezydencyonalne miasto biskupów. Przeszłość téj małej osady więcej teraz zawierać będzie faktów, i szczegółowszą przez to same historią, jak dzieje samej Warszawy. W Raciążu bardzo wiele dyplomatów i przywilejów wydali biskupi kujawscy. Byłato ich prawdziwa stolica, a ileż mieli stolic podobnych! Pisali téż zawsze jak panujący książęta: dan w grodzie naszym Raciążu, dan w naszej kasztelanii raciążskiej (dypl. 375 np.).

(Dalszy ciąg nastąpi.)



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Opis królestwa polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym. Warszawa, w drukarni Gazety Codziennój. 1850. 8ka, część druga. Z sześcią rycinami.*

**Z**daliśmy sprawę z pierwszego poszytu niniejszego dzieła; pospieszamy zwrócić uwagę naszych czytelników na część drugą, w której autor opis całego powiatu olkuskiego czyli ziemi dawniej krakowskiej, dopełnia.

Wiedzie nas naprzód od *Dąbrowy* do granicy powiatu miechowskiego:

„Przed niedawnym czasem (mówi), bo jeszcze w roku 1842 przestrzeń od Dąbrowy do Olkusza przebywali podróżni, tylko potrzebą lub zyskiem w tę małą *Saharę* wiedzeni. Droga, jak wiele dawniejszych, już po trzęsawicy, już po litym piasku kolejną wozów odznaczona była. I któż, nawet miłujący cudne *wizerunki* (?) natury, miał odwagę puścić się w te strony? kto chętnie opuszczał rozkoszne okolice Dąbrowy, aby ujrzeć tyle głośny Olkusz, owę polską Szwajcaryą, która się za tą pustynią znajduje”.

Dziś wyborna droga ułatwia wszystkie związki. Pierwsza przy niej kopalnia galmanu, rudy cynku, zatrzymuje autora. „Górnicy galmanowi, jak z jednej strony nie są narażeni na takie niebezpieczeństwa, co wydobywający węgle kamienne, np. uduszenie gazem, zapalenie się kopalni; to z drugiej, praca ich jest mozolniejszą, i w porównaniu z tamtymi mniej korzyści przynosi. Ztąd kopacz galmanu jest uboższym, rzadko przychodzi do bytu zamożniejszego od prostego włościanina, z którego sfery też nie wychodzi. Ale przywiązanie do rodzaju swego zatrudnienia jest tak silne, iż mało się trafia przykładów, aby górnik galmanowy, mimo duczającej nędzy, przeszedł do innej, choćby zyskowniejszej, lecz w odległym punkcie naznaczonej roboty.”

„W czasie zawieszenia produkcji w kopalniach, górnicy jakby błędne dzieci, snują się wokoło nich z pochmurném licem, z kilofem na ramieniu. Często dzień minie o głodzie; lecz niechaj sztygar zapowie, że się rozpoczynają roboty, wtedy ów kopacz wraca z wesołą twarzą, spuszcza się w podziemny labirynt ze śpiewką, zapomina miniętej troski i dotkliwego niedostatku. Takim jest zwykle polski górnik”.

Przechodzi dalej autor, i zatrzymuje uwagę przy *Sławkowie*, a po wspomnieniu *Bolesława*, obszerny stawia nam obraz sławnego *Olkusa*, zalecający się dokładnością, i wielu nowemi szczegółami. Ruiny rabsztyńskiego zamku, *Sułoszowa i Przeginia*, są przed wstępem do opisu owéj polskiej *Szwajcaryi*, jak *Pieskowa Skała, Grodzisko, Ojców i pieczary Ojcowskie*. Wieloliczne tych ostatnich okolic mamy już opisy, a zaprawdę skreślony przez p. Wisliekiego, odczytaliśmy z całą przyjemnością: tyle ma barwy, świeżości na sobie i wdzięków w opowieści. *Skała, Ibramowice, Jangrot, Szreniawa i Wolbrom*, dopełniają opisu całego powiatu olkuskiego. Odsyłając czytelników naszych do samego dzieła, które zasługuje, ażeby w ręku każdego szanującego krajowość było, zatrzymamy uwagę nad opisem tych stron ludu naszego.

„Tutejsze skały niegdyś z Karpatami całość stanowiące, popchnięte straszną powodzią, albo tu nagromadzone były, albo też przez długie wieki, pod zwierciadłem wysychających wód się uformowały. Pośród zburzenia starego ładu, ogromne zasy potworzywszy w różnych kierunkach wzgórze i doliny, na kilka mil kwadratowych okolice *Pieskowej Skały, Ojcowa* i dalej zapełniają. Na tych podnóżach Karpat, zamieszkał lud rodzimy, w różnych epokach różnie nazywany, mający swych braci na równinie *Krakowa*, który jeden i ten sam do dni naszych przetrwał. Lud ten, ma swoją historią, dającą się wyczytać w legendach, pieśniach, powieściach, które niejako zrosły się z ich życiem, i ojcowistemi skałami. Zrodzony na ziemi wzgórzami pokrzyżowanej, podobien jest w części do mieszkańca nizin, w części zaś do podgórzan; a jako stary sąsiad dawnéj stolicy, więcéj zbliżony do panów, wczesnie się usamoistnił”.

„Uważany pod względem ciała, różni się on od sąsiadów ze ściany olkuskiej, jak jego twarda posada, od tamecznych wiotkich piasków. Zwyczajnie miernego wzrostu, odznacza się wyrazistemi rysami twarzy, w których otwartość i odwaga, bez zuchwałości się malują: oczy bystre, a ruchy postawy śmiałe; zwłaszcza, kiedy dosiada swego konika. Krępy ale krzepki, nie da się nigdy w pracy wyprzedzić. Kobiety nie odznaczają się wprawdzie owym powabem jak miechowianki, ale i nad *Prądnikiem* nie brak urodnych dziewczoi. Ubiór ich mało różniący się od reszty *Krakowianek*, składa się z kolorowego gorsecika, białej wyszywanej koszulki, przykrytej od

pasa centkowaną spodnicą, i takimże lub białym fartuszkim. Zameżne niewiasty nie stroją głów wiankiem, ani wstęgami, i wdziewają krótką sukmankę niebieskiej barwy, podobną do téj, jaką noszą mężczyźni."

„Wieśniacy nie używają tu *kerezyi*, bo te dopiero w okolicach *Ibra-mowie* zaczynają być znane. Ubiór ich zwyczajny jest sukmana płócienna, na święto wełniana biała lub niebieska, ze stojącym kołnierzem czerwono oblamowanym, rzęsto sznurkami i pętlcami na przodzie wyszywana. Czapka rogatka z barankiem; koszulę fałdzistą spinką pod szyją zapiętą, i na spodnie spuszczoną, ściska u bioder pas, guziczkami nabity, u którego brzęczą kółka metalowe, kozik i krzesiwko. Spodnie, w lecie płócienne, a w zimie skórzane, kryją się w butach na wysokich żelaznych podkówkach, które są wspólne ludowi z tutejszych okolic”.

„Uważany jako gospodarz, rolnik, jest pilnym, lecz obrabia ziemię trybem swoich przodków: bo czując się tylko jednorocznym jój dzierżawcą, nie stara się naśladować ulepszeń, jakie niekiedy widzi na dworskich gruntach. Pracowity kmieć, utrzymuje się tu z rodziną dostatnio, rzadko potrzebując dworskiej pomocy. Chociaż nieznanym mu inny przemysł, tylko domowy wyrób płótna, a mała część oddaje się zarobkom przy tartaku, i robieniu gontów; wszelako powoli dorabia się skromnego mienia”.

„Najpewniej osądzimy tutejszego kmiotka z jego mieszkania, które więcéj niż gdzieindziej zachowuje dawną swą postać. Chałupka zawieszona na pochyłości wzgórza lub przytulona do skały, umajona wierzbi-  
ną, z małym okienkiem, mieści w sobie izbę wybieloną, czysto utrzymaną, oraz komorę. Wejdziemy do niej: a naprzód zwróci naszą uwagę łóżko, główny przedmiot, na którym do pułapu piętrzy się pościel. Nad niem wisi obraz Matki Boskiej częstochowskiej, św. Antoniego lub innego patrona. Obok stoi skrzynka w różno-kolorowe pasy, albo centki pomalowana, w której oprócz świątecznego ubioru męża i żony, znajdzie się bicz koralowy, i parę *bitych* (talarków). Stół utkwiony w ziemię, i ławka przy piecu, zapełniają resztę izby, bo komora jest tylko składem żywności. Chłopek tutejszy prawie odosobniony od reszty świata, nie pstrzy mieszkania malowankami, jak w innych okolicach, gdzie niemieckie wyroby stokróć gorsze od częstochowskich, ozdabiają chaty. Co najwięcéj odznacza tutejszych kmięci, to ten zdrowy, praktyczny rozsądek, i nieskażony język. Niechętnie rozprawia on z nieznanym, zwłaszcza z szlachcicem, chociaż nie pomija go bez zwykłego pozdrowienia, lub zapytany o rzeczy potoczne, wprost i uprzejmie odpowiada. Ale kiedy ośmieli się łagodnym obejściem, i niejako zaznajomi z obcym, wtedy mówi o przedmiocie sobie znanym, jasno, czysto, często nawet łączy satyryczność z prostotą.

„Kmiotek z okolic *Pieskowcej Skąty i Ojcowa*, ściśle jest religijnym, lecz wolny od przesądów. Nie zna innych *gadek*, oprócz dawnych powieści o zamkach i swoich skałach, które wiernie powtarza. Nauka czytania, niewiele tu rozkrzewiona, jednakże zamożniejszy kmić, podobnie jak mieszczanie małych miast, chętnie posyła syna do szkoły w nadziei pokierowania go na księdza, bo ten stopień społeczński uważa oddawna za najwyższą godność, i na dostąpienie go, nie żałuje zebranego grosza.”

„Charakter tutejszego kmiotka, to ma wspólnego z innemi mieszkańcami okolic *Krakowa*, że jest wesołym, i wesołość ta, nietylko towarzyszy mu w uroczystych chwilach życia, ale osładza jego pracę. Za ledwie błysną pierwsze promienie wiosennego słońca, i na dolinach śniegi topnieją, grają wesołe pieśni na wierzbowych fujarkach, dziewczki piorąc w *Prądniku* śpiwają krakowiaki, oracz każdą skibę nową zwrotką rozpoczyna. Jestto ogólny hymn na powitanie odrodzonej natury. Aż do zasypania gór śnieżną zamiecią, tutejszy rolnik śpiwają, a nawet i wtedy pierś jego nie milknie.

„Ale nadewszystko trzeba go widzieć i słyszeć wracającego z jarmarku, jadącego na zrękowiny, lub wesele. Zwykle wesela nie w karczynie, jak gdzieindziej, ale w chałupie rodziców *młoduchny* się odprawiają, poczem nazajutrz lub trzeciego dnia idą *przenosiny*. Wprawdzie i tu wódka z gorzelnicy dziedzica, niemałą odgrywa rolę; wszelako wesołość i rzeźkość tutejszego kmiotka, nie płynie z trunkiem rozmarzonego umysłu. Śpiwają on, i krzesze ognia podkówkami; wywija tak dziarsko z dziewczkami przed napitkiem, jak i wtedy, kiedy już liczne okrażały kielichy. Skrzypek i dudacz na basach, siedzący za stołem przy oknie, skoro się odezwą tą ulubioną nutą, która mu prosto trafia do serca, to wtedy i bez użycia trunku w oku zabłyśka wesołość. Rzuca on krótką fajeczkę i dopadłszy ulubionej dziewczki, tnie rodowego tańca. Trzeba ich wtedy widzieć, jak się zwijają w prawo, w lewo, jak się niby gonią wzajem; trzeba patrzeć, jak jednym zamachem stanąwszy przed grajkiem, śpiwają dziewczce pełną piersią zwrotki jej miłe, do serca przemawiające”.

Na takim obrazie ludu kończy p. Wiślicki tom pierwszy, zapowiadając, że przy opisie okolic *Skalbmierza i Miechowa*, da nam poznać zwyczaje i obrzędy weselne, które są jednakowe w całym tym plemienu dziarskich sielan.

Oczekiwać będziemy nowych poszytów *Opisu Królestwa Polskiego*, tak ważnych treścią i wykładem, pewni, że autor znajdzie spó-

czucie za szlachetne usiłowania, w z bogaceniu bardzo ubogiej tej gałęzi literatury naszój.

Zeszyt ten zdobi sześć rycin litografowanych, przedstawiających: *zamek będziński, Olkusz i kopalnię; ruiny zamku rabsztyńskiego; zamek w Pieskowej Skale; pustelnię w Grodzisku, i Ojców.*

Wł.

*Godzina rozrywki. Zbiór powieści, szkiców i obrazów, przez Paulinę z L. Wilkońską. Warszawa, 1849 r., t. 2 w 8ce; str. 268 i 188.*

Na tle miejscowości, na tle współczesném pani Wilkońska kreśli swoje obrazki. Na wszystkich wyraźne piętno uczciwości, niekiedy ławej, tęsknej, prawdziwie kobiecój, na wszystkich leży ta przejrzysta gaza, przez którą można dojrzeć wszystkich przedmiotów, lecz zawsze przedmioty te będą się wydawać w słabszym świetle, a zatem niezupełnie prawdziwie. Tam tylko, gdzie obraz jest oddany z dopełnieniem wszelkich warunków poetycznej prawdy, lub też wzięty z rzeczywistości, bez wątpienia ubarwionój kwiatami wyobraźni autorki: tam tylko jasność i dążność pocziwa znaczą każdą niemal stronicę. Ale nie wszędzie ta dążność, ta celowość osiągnięta być może, z powodu samego położenia przedmiotu, lub stanowiska, jakie zajmuje ten przedmiot w stosunku do obecnego czasu. Tak jedną z powiastek, składających „Godzinę rozrywki”, pod napisem: *Białe róże*, uważamy za bezcelową i nieprawdopodobną. „Dwa ustępy z życia nieznanego wieszca” są zbyteczne w tym zbiorze, bo rzecz to już dawno rozbierana przez niejedno pióro, wyczerpana, a więc obojętna. Trudno obudzić współczucie do poety, kiedy poezya odbija się dziś wyraźniej nie w wierszach, ale w romansie, ale nawet w historii; kiedy poetę inaczej już sobie przedstawiamy, niż piszącego same ballady, sonety i ody.

Najlepiej autorce naszój udają się powieści czysto obyczajowe, a lubo i tam niekiedy ustępy niewykończone, obrazki w półcieniu, charakteru niewytrzymane do końca,—to przecież całość jest tak jasną, tak prawdziwą iub prawdopodobną, że usterki i wady pomienione z łatwością zapomnieć można. W piérwszej już powieści: „Marya Wrzoskowna”, cel piękny przeważa te częste opisy śniadań, obiadów, podwieczorków, kolacyj, składających się najczęściej ze świeżego, *wiejskiego* masła, séra, owoców, śmietany, a przedewszystkiém smacznego chleba. Czyliż opisując wieś, koniecznie potrzeba opisywać śniadania, obiady, podwieczor-



ki, kolacye, zapewne dobre, smaczne i zdrowe, zapewne z apetytem, jakiego dodaje czyste powietrze, spożyte: kiedy te opisy tak są nam obojętne, okliwe, zwłaszcza przez częste ich powtarzanie, jak owo posilanie się na scenie w niemieckich komedjach?

Streścimy w krótkich o ile możliwości słowach każdą powiastkę porządkiem, jakim się mieszczą w „Godzinie rozrywki”. Łatwiej przez to wykazać potrafimy charakter tych powiastek i stanowisko autorki pod względem sposobu zapatrywania się na rzeczy, na kwestye żywotne. Nam tu bowiem najwięcej chodzi o to stanowisko. Prawda była, jest i będzie prawdą; lecz właśnie zapatrywanie się na nią, wyświecanie jój w rozmaitych stosunkach życia społecznego, zależy od talentu pisarza. Często-kroć zbyt nago wyrażona idea, traci na swojej mocy, kiedy upiękuszona, podniesiona do sfery mniej więcej idealnej, niezmiernie na tém zyskuje, bo łatwiej się przyswaja ogółowi i weń wciela.

Nazwę „Marya Wrzaskówna” bierze powiastka od młodej sieroty, którą matka opuściła w latach dziecińczych, zakończywszy dni swoje pod krzyżem przy drodze. Biedna Wrzaskowa umarła z wycieńczenia i boleści po mężu, którego wzięto do wojska. Szczęściem przeznaczenie zsyła młodej Maryi, opiekunkę i drugą matkę w osobie półkownikowej Modliszewskiej, dziedziczki znacznych włości. Pod jój okiem, córka ludu odbiera najstaranniejsze, najświetniejsze wychowanie; lecz grunt jój serca nie może się przejąć salonowością, nie umie tęsknić do czczości światowej; grunt serca pozostaje niezmiennym. Istotnie Marya kocha kwiaty, wielbi naturę, a z nią wszystko, co piękne, szlachetne, wzniosłe. Duma i próżność nie przemknęły się nawet przez myśl jój, uśmiech pogardy nie zabłąkał się nigdy na jój ustach. Przybrana matka zachowuje w tajemnicy jój urodzenie, jój stan pierwiastkowy; bo chce ją wydać za swego krewnego Romana. Jestto młodzieniec, goniący za czczym blaskiem, za bogactwem; nie zna więc rozkoszy prawdziwego przywiązania, bezstronnej miłości. Nie kocha Maryi, tylko jój posag; nie żeniłby się z nią, gdyby mu nie tajne było jój urodzenie. Ale serce młodej sieroty należy już do Wojniłły, najgodniejszego człowieka z Litwy. Wola przecież drugiej matki, jest dla niej prawem; i dlatego, pomimo boleści wewnętrznej, Marya zgadza się na oddanie ręki Romanowi. Wtém przybywa stary żołnierz, w którym bohaterka powieści ojca swojego poznaje, i w obec Romana wita go, jak prawdziwej córce przystoi witać dawno widzianego rodzica. Krewny pani Modliszewskiej, po tym wypadku, cofa dane słowo i wyjeżdża, pożegnawszy listem pułkownikową. Wojniłło pojmuje Maryę za żonę.

Dążność, o której mówiliśmy, tkwi już w samej treści opowiadania; wyjaśnia się w jój rozwiciu. Wypadki skreślone, są prawdopodobne, co

wielką stanowi zaletę autorki, bo takie przypuszczalne wypadki, dla dobra całego społeczeństwa, w rzeczywistości są pożądane. Obecna powieść, jak również: „Bez przesady”, pierwszy raz w r. 1848 wydrukowana i zamieszczona w jednym z pism krajowych, mają więc łączność, mają pewne i blizkie między sobą powinowactwo. Nie podzielać zasad autorki, w jednym i w drugim utworze objawionych, byłoby zaparciem się oczywistości. Wydanie jednak, uprzytomnienie, słowem dosadniejsze ich rozwinięcie nie straciłoby na tém, gdyby nie przydługie niektórych szczegółów opisy i nie częsta mieszanka w rozmowie słów, a nawet całych wyrażen francuzkich. Zresztą taką cechą odznaczają się prawie wszystkie płody naszej autorki. Jestto rzecz podrzędna; a płody te przy mniejszem używaniu obcych wyrazów zapewne wieleby zyskały, nie tracąc bynajmniej głównej swój charakterystyki.

„Skutki wychowania”. Rozbiera tu autorka przedmiot, wszechstronnie już i wielokrotnie rozbierany. Gdy jednak, jak powiedzieliśmy naszym zadaniem nie było dotykać samego przedmiotu, lecz uważać patrzącą na ten przedmiot, a raczej uważać samo nań zapatrywanie się; przeto zastanawiając się nad ostatniem, powiemy, że w rozwijaniu znajomego przedmiotu, natrafiamy na pewne nowe szczegóły, które mogą być tylko wyłączną właściwością tego, lub innego powieściopisarza. Szczegóły te w obecnej powieści, maluje autorka powabnie i z wdziękiem. Niekiedy przebija się w nich zaniedbanie stylu, będące skutkiem uczuciowości, wszędzie rozlanéj niepomierne. Naturalność przecież w ustępach większego rozmiaru, z pominięciem już głównego celu, przeważnie mówi na korzyść pani Wilkońskiej.

Bez przesady tu uwypatnia ona domowe życie rodziców Cecylii i jej krewnéj Emmy. Cecylia wychowana bogobojnie, w cnocie i w szczerości, jak się wyraził jeden ze znakomitych wieszczów polskich, jest w wielkiej sprzeczności z Emmą, której jedynym celem życia, błyszczyć i kokietować. To téż i skutki takiego wychowania są sprzeczne. Cecylia za popędem serca, oddaje rękę poczciwemu Konradowi, wielkiemu przyjacielowi włościan; Emma wychodzi za Omińskiego, człowieka słabego serca i słabszej jeszcze głowy, który straciwszy wiele na stroje żony i zbytki, pozaciągał ogromne długi. Rzuca go więc wkrótce potem miłośnica salców: i zaślubia cudzoziemskiego bogacza. W końcu następuje przesyt w jej duszy, a za nim w ślad idzie: wspomnienie kraju, tęsknota, żal i rozpacz. Dwa obrazy uzupełniają naostatek powieść. Jeden wystawia domowe szczęście Cecylii, drugi nieznośne położenie Emmy, usychającej z nudy na łonie bogactw i przepychu.

„Idiota”, wiejski chłopczyk, lubiący przesiadywać pod krzyżem, wtenczas tylko odzyskiwał naturalny rozsądek, kiedy Irena, córka pana Kozeckiego, właściciela Dąbrowej, przemawiała do niego. W czasie niebytności państwa Kozeckich w domu, napadają na dwór złoczyńcy, rabują, i wszystko, co im się nawinęło pod rękę, niszczą. Ten wypadek niezmiernie zubożył pana Kozeckiego i zwichnął jego zamiar połączenia córki z niebardzo majątnym Kajetanem. Kajetan kochał i był kochanym. Wyjechawszy dla interesów za granicę, nie wiedział o nieszczęściu, jakie dotknęło blizkich jego sercu. Tymczasem w okolicy zjawił się jakiś magnat Tworzycki, ponury i samotny, jak Lara w poemacie Byrona. Nowy ten sąsiad Kozeckiego, pragnął pojąć Irenę za żonę. Zmuszony okolicznościami, ojciec młodój i zawsze kochającój nieobecnego Kajetana, dziewicy, przystaje na żądanie bogatego sąsiada. Przybywa nareszcie piérwszy kochanek Ireny, a dowiedziawszy się o wszystkim, oddaje się rozpacz. Już następują zaręczyny, kiedy Idiota spostrzegłszy przez okno Tworzyckiego, wydaje krzyk okropny: „Krew! krew! zbójca.... to on, on!” i tym sposobem odkrywa przywódcę bandy rabusiów. Związek więc został przerwany. Lecz zemsta Tworzyckiego spotkała biédnego Idiotę; bo kiedy ubogi chłopiec siedział jak zwykle pod krzyżem, rozgniewany złoczyńca zastrzelił go; a sam, trawiony zgryzotami sumienia, w najokropniejszych męczarniach zakończył życie w swoim pałacu.

Nie potrzebujemy, zdaje się, nic dodawać do téj treści. Celu tu, ani dążności żadnej nie widzimy. Cały ten plód uważamy za bajkę i za najslabszą ze wszystkich powiastek autorki. Jeden tu tylko charakter biédnego Idioty, zasługuje na obszerniejszą cokolwiek wzmiankę. Ignaś jak kwiaty w słońcu, głównie w Irenie czerpał życie; przy niéj tylko znajdował przytomność umysłu. Zapomniany i pomijany od wszystkich, jak cień za przedmiotem, wiejski chłopak szedł za młodą panną Kozecką. Najświeższe, najwonnejsze polne kwiaty składał jéj w ofierze, bez wątpienia wraz z sercem. Musiał czuć miłość, bo inaczej tego tajemnego pociągu, tego cichego, pokornego przywiązania, nazwać nie zdołamy. Stróż wierny i cierpliwy drogiego mu skarbu, zatapiał swoje oczy w niebie, albo téż w obliczu ziemskiego anioła. Takim aniołem przynajmniej wydawała się mu Irena. Przywykł do niéj od dzieciństwa, jako świadek jéj zabaw niewinnych, jéj przechadzek po łąkach, dalej rozwijającój się miłości w jéj sercu i stosunków z Kajetanem. Jéj radość była radością Idioty, smutek—jego smutkiem, nieszczęście—jego nieszczęściem. Podobne więc uczucie było wyższe nad miłość zwyczajną, od zazdrości, a niekiedy i gniewu nieodłączną. Takiemu to przy

jacielowi Irena zawdzięczała swoje ocalenie, takiego pamięć słusznie mogła uświęcić długo-trwałém wspomnieniem. Charakter więc Ignasia podniosła autorka do ideału. Pomimo więc założenia powiastki niezręcznego i bajecznego, z przyjemnością myśl zatrzymuje się na postaci wiejskiego chłopca, który chociaż upośledzony od natury, jednak przez wielką miłość potrafił stać się pożytecznym dla bliźnich, i tém uczuciem wywyższyć się nad ciasny i zamknięty obręb, jaki mu przeznaczenie od przyjsia na świat zakreśliło.

„Białe róże” rosły nad grobem Haliny, która ratując w czasie powszechnéj zarazy niewiernego kochanka, i wrywając téj strasznej chorobie wiele ofiar po wsiach, sama padła jéj ofiarą. „Róża biała, mówi autorka, jest znamieniem dziewicy, którój się ziemskie nie uśmiechnęło szczęście; kolce, które otaczają kwiat smutny, znaczą bolesne jéj życia cierpienia.” Ztąd nazwa obrazku, o którym napomknęliśmy już wyżej. Z rozwinięciem szczegółów téj osnowy opowiadania, dowiedzielibyśmy się, że Halina była sierotą, doznającą od stryjostwa najprzykrzejszego obojęcia się, a od kochanka, z którym się widywała, jak się zwykle widywały dziewice średnich wieków ze swojemi rycerzami w pieśniach ówczesnych minstrelów, ciągłych i jawnych dowodów niewierności. Dowiedzielibyśmy się potem, że Halina zaszła „mimo wiedzy prawie, uczuciem (raczej *przecuciem* lub *domyślnością*) serca wiedziona” do Powojewa, majątności Henryka, nieść mu pomoc; dowiedzielibyśmy się nareszcie, że kiedy już wyrwała go śmierci, „wówczas pochyliła się nad nim, dotknęła się ustami jego czoła, pożegnała go westchnieniem, i drżąca, zarazą przejęta, chwiejącym się krokiem ze dworu (Henryka) wybiegła. Już jéj siły nie stało do niesienia pomocy tym, którzy jeszcze jéj ratunku wzywali. I tam, gdzie na zieloném wzgórzu wśród krzewin ciernia i głogu Boża męka się wznosi, tam upadła, wysiłona bolem ciała i boleścią duszy. Wdzięczni wieśniacy twierdzą, że krzewina, pod którą jéj głowa spoczęła, licznym okryła się kwiatem, różami białymi; że dziw ten powtarza się w każdą rocznicę jéj śmierci. Dodają oni, że owo kwiecie jest cudowném lekarstwem na wszelkie słabości.”

„Po namyśle” Teressa u ołtarza odmówiła narzeczonemu, przekonawszy się wkrótce przedtém, iż on głównie dla posagu chce ją pojąć za żonę. Cała wartość téj anegdoty, bo powiastką nazwać jéj nie można, leży w tém, iż autorka czerpała ją z rzeczywistości, jak to sama oznaczyła na jéj początku.

„Straconych złudzeń”, które właściwiej nazwalibyśmy próżnemi marzeniami młodego malarza, doświadczył on w skutek przekonania

się, iż jego ulubioną próżność tylko kieruje. Nie dzisiejsza to historia i nie wczorajsza dopiero; nie pierwsza i nie ostatnia. Powstawanie na próżność bogatych pańienek, stanowi cel główny obrazku.

„Córka leśnika”, była przed kilku laty zamieszczona w Bibliotece Warszawskiej. Jój treścią—połączenie się syna właściciela ziemskiego z biedną córką leśnika; jój zaletą—dobra celowość i wierne oddanie w najdrobniejszych szczegółach opowiadania pani Sierzechulinéj, staréj dworki u państwa mieczników.

„Dwa ustępy z życia nieznanego wieszcz”, utwor, który zdaje się należeć do epoki, kiedy nieszczęścia wieszczów zapoznanych grały w powieściach wielką rolę, był już tu przez nas wspomniony.

Zbierając nareszcie tu i owdzie rozrzucone uwagi nasze o zbiorze obecnym powieści pani Wilkońskiej, który odpowiednią bez wątpienia nosi nazwę „Godziny rozrywki”, taki najtreściwszy i najogólniejszy znajdujemy wypadek:

1. że dążność i cel autorki, są prawie wszędzie szlachetne;
2. że rozwlekłość opisów i mieszanina francuzczyzny, niekiedy zaciemniają myśl główną i niekorzystnie wpływają na jój rozwinięcie;
3. że uczuciowość zajmuje pierwsze i najwydatniejsze miejsce we wszystkich powiastkach; co może jest wynikiem saméj natury autorki; i
4. nakoniec, że strona artystyczna tych powiastek, jest często niższa od samego ich założenia.

J. R. S.



# ROZMAITOŚCI.

---

## SFRAGISTYKA.

Wiadomość o pieczęciach polskich, z autografu ś. p. Tadeusza Czackiego.

---

*Do szanownej redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

Sfragistyka, czyli nauka o pieczęciach, jeszcze u nas bardzo mało zajmowała piszących, i prawie jest nietkniętą. Następna wiadomość przepisana z autografu ś. p. Tad. Czackiego, aczkolwiek w sobie żadnej nie stanowi całości, i jest tylko zbiorem notat, piórem tego wszechstronnej nauki męża dorywczo na papier rzuconych; przecież jako materiał dla przyszłego naukę tę traktującego pisarza, szacowną może być pomocą, i z tego względu upraszam szan. redakcyą, aby ją do kolumn pisma swego przyjąć zechciała.

Pisałem w Krakowie, 1850 r.

*Ambroży Grabowski.*

\* \* \*

Rok 1088, na dziale Lubomirskich Szeczecha herb Topor.

Rok 1113. Dział Jaśka i Vitala de Wielopole, na pieczęcie z wosku szarego, pieczęć Skarbimira VV., naokoło napis: *Scarbimirus Palat. Crac...* Pieczętka na zawiasce.

*Kazimierz książę kujawski.*— R. 1263, w zapisie kompromissarskim z Krzyżakami. *Or. Ar. R.* Osoba z napisem: *Casim. Lanc. et Cuj. Dux.* (Czacki nie dał wyjaśnienia co znaczy *Or. Ar. R.*; lecz to jest skróceniem *Orig. in Archivo Regni.*) Za Bolesława Wstydlivego. Kolor żółty (*pieczęci czy sznurka?*).

*Leszek Czarny.*— Osoba z napisem. R. 1286.

*Leszek książę kujawskie.*—R. 1303. W zastawie ziemi michałowskięj Krzyżakom; herb kujawski: pół orła i pół lwa, z napisem.

*Henryk obrany przeciwko Łokietkowi.* — R. 1310, w darowiznie dziesięciu jatek w Wschowie. *Or... Regni.* Osoba cała na pieczęci; sznurek paliowy.

*Elżbieta matka Ludwika.*—Jéj osoba z berłem; r. 1325, na miasto Brzeźnicę. Sznupek *verde pons.*

*Krzyżacy.*— W wyznaniu Jana de Plock, *Or. Ar. Re.*, że różne dary od Przemysława mają. Na pieczęcie ucieczka Najśw. Panny do Egiptu i napis czyja była pieczęć.

R. 133... w zawieszeniu broni z Kazimiérzem W. położona jest jedna pieczęć: głowa wołowa z krzyżem między rogami.

*Książęta Oświęcimscy.* Sznupek szafirowy.

*Kazimiérz W.*—Sznurek zielony.

*Książęta mazowieccy.* — R. 1326, zjednoczenie się książąt mazowieckich z Krzyżakami. *Or. Ar. R.* Sznupek granatowy z białym. Osoba ksiązęcia mazow. Waclawa, w jednej ręce tarcza, w drugiej kopia. W tranzakcy z Czechami; ponsowy (sznupek?).

*Jan król czeski.*— R. 1329 w układzie z Krzyżakami. *Or. Ar. R.* Osoba na koniu z mieczem.— Toż samo w przedaży ziemi dobrzyńskiej Krzyżakom r. 1330.

*Olgerd, pieczęć litewska.*— W traktacie r. 1366 Olgerda z bracią a Kazimiérzem W.; na jednéj pieczęci osoba na koniu z kopią, a na drugiéj osoba z mieczem w jednéj, z tarczą w drugiéj ręce. Napisy ruskie.

*Władysław książę opolskie.* — Nazywający się *Dominus Russiae*, w darowiznie wsi Dressowa w Samborskiem r. 1375 d. 29 czerwca. Na koniu w szyszaku; sznupek ponsowy.

*Jadwiga.*— R. 1385, w potwierdzeniu przedaży Odrowąża. Kobieta w czepku, koło niéj orzeł. Sznupek zielony i czerwony.

*Władysław Jagiełło.*—R. 1386 d. 12 marca, w postanieniu przez Jagiełłę Skirgajła do Litwy. Pogoń.

*Zasławskie książę.* — R. 1386 d. 12 Jun. w przyrzeczeniu Michała ksiązęcia zasławskiego, że powróci na rozkaz króla; herb lew rozpięty.

*Władysław Jagiełło.*—R. 1387: układ z Skirgajłem. Pogoń, orzeł, niedźwiedz, głowa żubra. Sznupek karmazynowy.

*Władysław Jagiełło co do Polski.*—W rozejmie czyli zawieszeniu broni r. 1389, między kommissarzami polskimi a Czolnerem mistrzem krzyżackim. Sam tylko orzeł.

*Anna, Witolda żona.*— R. 1392, Anna w zapewnieniu wierności Jadwidze królowéj i koronie. Na pieczęci kobieta piastująca dwoje dzieci

na łonie; i w drugim podobnym piśmie r. 1392 d. 4 sierpnia Jagielle; także pieczęć. Sznurek karmazynowy.

*Witold.*— R. 1392 d. 4 Aug. podobne zapewnienie. Herb Pogoń.

*Witold.*— R. 1412, w przymierzu Jagielly, Witolda i Zygmunta cesarza, jest taka pieczęć Witolda: na jednej stronie sama tylko Pogoń, na drugiej osoba siedząca na majestacie. Po prawej ręce są dwie tarcze, na wyższej krzyż, na niższej niedźwiedz. Po lewej stronie także dwie tarcze: na wyższej Pogoń, na drugiej osoba z kopią i napis na obydwóch stronach pieczęci.

*Mordrygajło.*— R. 1430, zapewnienie pokoju Władysławowi Jagielle. Pogoń.

*Michał, syn Zygmunta.*— R. 1432, w zapewnieniu wierności Polsce. Pogoń.

*Książę mazowiecki.*— R. 1433. Bolesław książę mazowiecki Stanisławowi z Makowa nadaje młyn. Osoba na dół spuszcza miecz.

*Swidrygajło.*— R. 1434, wieś Borszczówka Piotrowi Myszcycowi. Pogoń.

*Władysław III.*— R. 1438, potwierdzenie praw Zygmunta do Litwy. Król siedzi na majestacie, jabłko i berło trzyma. Naokoło siedm tarcz, na których herby województw. Sznurek różowy, biały i czarny.

*Zygmunt W. książę.*— R. 1439, w potwierdzeniu pierwszej umowy r. 1431; na jedwabiu ponsowym. Siedzi na tronie z mieczem w ręku. Na dwóch tarczach po prawej stronie krzyż i niedźwiedz, na drugiej Pogoń i osoba z kopią. Pierwój r. 1434 toż samo.

*Kazimierz Jagiellończyk.*— R. 1442, nadanie Deniskowi Mokosiejowi. Pogoń herb.

*Władysław III.*— R. 1443, w zapisaniu stu grzywn na Oltuscykowie Stogniewowi z Szumska. Cztery pola, dwa orły i dwie Pogonie z napisem.

*Sanguszek.*— R. 1443, w wyznaniu, że Ratno od króla wdzierzawie trzyma. Człowiek na koniu do smoka kopią zmierza.

*Kazimierz Jagiellończyk.*— R. 1456. *Or. A. R.*, w zastawie Rowa i Iwanowic Odrowążowi; orzeł, Pogoń, zubrza głowa i półłwa, grzbietami do siebie obrócone. Lecz r. 1457 w zastawieniu Rogoźna w 300 grzywnach, sama Pogoń. Toż r. 1458 w zastawie Rogozinca Sbańskiemu w stu grzywnach.

*Księżęta mazowieccy.*— *Or. A. Re.* 1461. Konrada, Kazimierza, Bolesława i Jana książąt, przywilój na młyn Klemensowi z Prasnysza. Osoba z chorągiewką, a w drugiej ręce z mieczem na dół. Sznurek granatowy.



*Książę mazowiecki.*— R. 1480. Janusz książę mazowiecki pozwala kupić wójtostwo w Łomży. *Or. Arch. Re.*—Osoba z mieczem stoi, na spodzie orzeł, w drugiej ręce tarcza i napis.

*Konrad książę mazowiecki.*— R. 1487, w sprzedaży trzech morgów w Brodycz. Osoba na koniu z chorągiewką. Pod spodem cztery orły i dwa wiersze napisu.

### *Nekrolog ś. p. Sylwestra Grozy.*

Sylwester Groza urodził się r. 1793, 7 stycznia, na Podolu, w Międzyborzu, z Pawła i Teofili z Kopczyńskich Grozów, ludzi prawdziwie religijnych i cnotliwych. W r. 1800 z rodzicami przeniósł się na Ukrainę, którzy w gubernii kijowskiej w powiecie taraszczańskim zadzierżawili wieś Dzwiniacz, i ztąd Sylwester w r. 1802 oddany został do szkoły humańskiej, utrzymywanej przez OO. Bazylianów. Do r. 1809 zostawał tu na naukach, które korzystnie ukończywszy, wstąpił do palestry w Winnicy. Winnica do ostatnich czasów była stolicą województwa braclawskiego; dużo w niej pozostało pierwiastków przeszłego życia, a nadewszystko liczna palestra i dobór mecenasów. Sylwester Groza trzy lata pracował pod okiem mecenasa Zawadzkiego, człowieka najpiękniejszego charakteru i wysokich cnót chrześcijańskich; ztąd się udał do Kamieńca Podolskiego, gdzie dla swych zdolności i pracy spodziewał się znaleźć obszerniejsze pole, i w istocie wkrótce poznany i oceniony, miał sobie poruczone interesa wielu współobywateli. Gdyby dalej szedł tą drogą, mógłby odnieść znakomite korzyści; ale jego dusza zupełnie była niematerialną, on prawnictwa nie chciał uważać za rzemiosło, ale za środek, którym można służyć bliźniemu, i zaczął tęsknić do innego życia, w którémby swobodniej było jego uczuciu, różniej sercu.

W tym czasie w jednym z domów swój rodziny poznał 14letnią sierotę Wincentę Odyńcównę, piękną, niewinną; pokochał ją, i 26 r. życia zawarł z nią związek małżeński. Wincenta miała rodzonego ośmioletniego brata, a tak żeniąc się, brał na siebie ciężar opieki nad małoletnim; ciężar tém dotkliwszy, że majątek żony i brata z powodu różnych wydarzeń i przez podstępny zły ludzi, znalazł się w niezmierném zawikłaniu i procesach.

Opuścił na zawsze Kamieniec, osiadł na małej dzierżawie we wsi Ryszkach (w guber. podolskiej w powiecie lityńskim), i zajął się opieką i interesami małoletniego, dla których zmuszony był kilkanaście razy

odwiedzić różne województwa królestwa i Warszawę; aż zwyciężył pie-  
niactwo, i majątek czysty i piękny oddał w ręce swego pupila, który go za  
to do śmierci jak ojca kochał i szanował.

Pomimo długiego i zawikłanego procesu, a ztąd wypadających róż-  
nych nieprzyjemności, lata swego mieszkania w Ryszkach, a potem  
w Kuryłowcach (także w lityńskim powiecie), zwykł był zaliczać do naj-  
szczęśliwszych w życiu i wspominał zawsze o nich jak o minioném nie-  
powrotném szczęściu. Młody, szlachetny, skromny, przy młodej, pię-  
knój, jak sam szlachetnej i skromnej żonie; przestając na małym, nazwa-  
wszy dom swój całym swym światem, poza którym niczego nie pragnął  
i nie szukał: nie dziw, że był szczęśliwym. Chwile wolne od zatrudnień  
prawnych, od zajęć gospodarskich, poświęcał czytaniu, a czasem i napisa-  
niu jakiego wierszyka, który mu uczucie podyktowało.

W 1834 r. za posag żony i swój niewielki kapitał, kupił na dzie-  
dzictwo w guber. kijowskiej, powiecie machnowieckim połowę wsi zwa-  
nej Bezimienną, i na własnej grzędzie na skromny kawałek chleba pra-  
cował. Nie mając interesów, co mu dotąd czas zabijały, oddał się cią-  
glejszemu czytaniu, a kiedy młodszy jego brat Alexander zaczął wydawać  
pismo zbiorowe, pod tytułem: *Rusałka*, to i on zniewolony jego zachętami,  
kilka swych artykułów w tym zbiorze umieścił; między innymi była po-  
wieść, pod tytułem: „*Przygoda Fabiana Kulińskiego*”, sprawiedliwie wy-  
soko ceniona.

W 1840 r. w Wilnie wydał: „*Mysli nad niektórymi zdrożnościami  
ludzkiemi*”; w 1842 tamże: „*Powieści Podolsko-Ukraińskie, tomów II.*”;  
1846 tamże: „*Justynian żeniący się*”; 1848 w Warszawie: „*Hrabia Sci-  
bor na Ostrowcu*”; 1848 w Wilnie: „*Pamiętki i wspomnienia*”.

Prócz tego pisał wiele artykułów do Athenaeum i zostawił w rękopisie dwa tomy powieści i tom pism rozmaitych wierszem i prozą.

Życie to ciche, a takie czynne i piękne razem, do gruntu wstrząsnio-  
ne zostało: żona, z którą 24 lat jak dzień przeżył, po kilkodniowej chorobie  
umarła. Nie spodziewał się, nie przewidywał tego ciosu. Chrześciana nie  
z nazwiska, ale z ducha, poskramiając w sobie żal i boleść, odprowadził  
swą najdroższą do miejsca wiecznego spoczynku, powrócił do osierocia-  
łego domu, osierociałego w całym znaczeniu tego wyrazu, gdyż dzieci  
nie miał.

Zajmował się dalej gospodarką i literaturą; i zdawało się napozór,  
że obojętnie swe nieszczęście znosi. Mieszkając blisko miasteczka Ma-  
chnówki, gdzie na cmentarzu katolickim złożone jej zwłoki zostały, ile ra-  
zy był w Machnówce (a bywał bardzo często), nie omieszkął odwiedzić  
ukochanego grobu, obsypać go kwiatami. Nad grobem wznosił marmu-

rowy krzyż, a na jego podstawie położył z biblii napis, który i wielkość straty, i przymioty zmarłej i boleść niepokieszonego męża wyrażał.

Upłynęły trzy lata, a w myślach, uczuciach i sposobie życia S. Grozy żadnej nie było różnicy; ten sam co zawsze: czynny, pracowity, gotowy drugim na posługę, odwiedzający grób żony, mówiący o niej z rozrzewniem, w wielki czwartek r. 1849, w rocznicę śmierci żony wyjechał do Machnówki i na kochanym grobie długo się modlił i zład udał się do kościoła; ale tam wkrótce uczył się słabym. Wyprowadzono go na świeże powietrze, zdało się, że się orzeźwił: odjechał do jednego z mieszkańców Machnówki; ale zaledwie wysiadł z powozu, zaraz został rażony apoplexyą i przez pół paraliżem; natychmiast użyte wszystkie środki lekarskie zatrzymały uciekające życie. Przyszedł do siebie, ale pamięć prawie zupełnie utracił; we trzy miesiące ponowił się atak, i pomimo najusilniejszych starań, d. 4 sierpnia t. r. otoczony gronem kochającej go rodziny, po przyjęciu Św. Sakramentów oddał ducha Bogu.

W pismach S. Grozy najlepiej jego sposób myślenia szlachetny, jego dusza cnotliwa się malują. Wziął się do pióra z tego wewnętrznego głębokiego przekonania, że to, co mu na sercu ciążyło, powinien światu wypowiedzieć; pisał jak żył i myślał: prosto, serdecznie. Kochał ludzkość i pragnął jej szczęścia: to téż każde jego pismo tchnie prawdziwem obywatelstwem; bije na wady, ale uwielbia prawą cnotę i zasługę. Krytyka bliżej rozpatrzywszy wszystkie pisma S. Grozy, wyda kiedyś o nich sąd sprawiedliwy i bez wątpienia przyzna im prawdziwe uczucie, ciągłe dążenie moralne i charakter czysto narodowy. Pisma ś. p. S. Grozy ostatecznie przez niego przejrzane i poprawione, wkrótce we 4ech tomach wyjdą z druku.

---

### *Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

Temi dniami (w marcu r. b.) otrzymałem za pilnem staraniem p. Karola Wilda księgarza lwowskiego zeszyt Biblioteki Warszawskiej na miesiąc sierpień r. 1849, w którym umieszczony jest tyle zajmujący artykuł o Szlązku, oraz znajdują się obok niemieckich nazw miejsc różnych, słowiańskie na Szlązku, Łuzacyi i Morawach używane. Pozwoli szanowna redakcyja, abym spis ten tak ciekawy, powiększył jeszcze niektórymi nazwami, które obecnie udzielam. I tak, w Szlązku pruskim dodać możemy:

Goldberg, Złotorya; r. lignicka, ob. złotoryjsko-Hajuna. Kosel, Koźle; r. opol. ob. kozł. Wünschelburg, Hradec. Reinerz, Dusznik, r. wrocławska, ob. kładzki.

W Szlązku austriackim: *Ernsdorf*, Jaworz. *Jablunkau*, Jabłonkow. *Jägerndorf*, Karnow. *Weichsel*, Wisła. *Szwarcwasser*, Strumień.

Na prawym brzegu Ostrawicy, naprzeciw morawskiego miasta Morawskie Ostrowy, leży wieś zwana Polskie Ostrowy. W Galicyi między rzekami Białą i Sołą, na północ miasta Biały, leży klucz bestwiński, teraz do J. C. W. A. Ks. Albrechta należący, w którym kilku wsiom nadane zostały, ile się zdaje przez gorliwych książeńcych urzędników, niemieckie nazwy: Alzen, Halenów. Schreibersdorw, Pisarzowice. Wilhelmsdorf, Wilamowice

Miasto Kęty, po niemiecku Luwen; lecz i Niemcy rzadko kiedy téj nazwy używają; nazwali oni także Żywiec *Seybusch*, Nowy targ, *Neumarkt*, a trudne dla nich do wymówienia staropolskie nasze Stary i Nowy Sącz, zamienili na *Alt* i *Neu Sandetz*.

Lud szlązki w byłym obwodzie cieszyńskim góry zamieszkujący, nie różni się ani ubiorem, ani mową od górali polskich obwodu wadowickiego, w dolnej zaś części zachował on czystą mowę naddziadów, choć długą suknię przemienił na kusy spencer; kobiety zaś wiernie dochowały ubiór na głowie, *zawicie*, które i za Piastów w nosiły, wsie także zupełnie do polskich podobne, choć domy lepiej zbudowane i obszerniejsze, ale leżą tak jak u nas na podgórzu, otoczone sadem. Każdy ma swoje podwórze, ogród otoczony plotem z wrotami. Szanują stare lipy i świerki; w ogóle miłe są te *zielone wsie*, wiejskiem życiem oddychające. I za Ostrawicą jeszcze są podobne, dopiero w Psastawicach widzimy pierwszą hanack wieś, mrowaną z surowki, szarą, bo tylko okna obielone; dom się z domem styka, ani podwórza, ani drzewa, ale symetria za to niemiecka. Mowa za Ostrawicą jeszcze polska, choć mniej czysta niż na Szlązku; mowa dopiero przed Nowym Jeżynem (Nowy Gitschen według pisowni czeskiej) morawska poczyna być w użyciu. Dołączam tu niektóre nazwy miast w Morawach i Czechach po niemiecku, czesku lub morawsku. Morawskie narzecze bardzo mało się różni od czeskiego. Dotychczas język czeski był także językiem piśmiennym Morawców; teraz zaś chcą i oni oddzielną stanowić narodowość i oddzielną tworzyć literaturę, w skutek równouprawnienia wszystkich narodowości w monarchii austriackiej.

#### *W Morawach:*

Bern, Brno, po polsku Berno. Bodenstadt, Podstata. Bisenz, Pisek. Göding, Hadonin. Hodolein, Hodolany. Hradisch, Hradisztie. Hullein, Ho-

lany. **Kogetein**, **Kojetin**. **Kremsier**, **Kromieryże**. **Muglitz**, **Mogielnice**. **Ollmütz**, **Holomuce**, po polsku **Ołomuniec**. **Propnitz**, **Prostiejów**. **Rausnitz**, **Rusinów**. **Prerau**, **Przerów**. **Leipnik**, **Lipnik**.

*W Czechach:*

**Prag**, **Praha**, po polsku **Praga**. **Kuttenberg**, **Kutna Hora**. **Alt-Bunzlau**, **Stara Bolesława**. **Jung-Bunzlau**, **Młada Bolesława**. **Leitmeritz**, **Letomierzycy**. **Raudnic**, **Rudnice**. **Saatz**, **Zatecz**. **Schlan**, **Słone**. **Hohenelbe**, **Wrehlabi**. **Hohenmauth**, **Wysokie Myta**. **Beraun**, **Bierun**. **Czaslau**, **Czasław**. **Steken**, **Stoki**. **Pilgram**, **Pelhrimów**. **Budweis**. **Budziejowice**. **Krumau**, **Krumlow**. **Wittingau**, **Strzeboń**. **Schuttenhofen**, **Suszyce**. **Königsaal**, **Zbrasław**. **Bettlern**, **Żebrak**. **Klattau**, **Klatow**. **Ellbogen**, **Loket**. **Pilsen**, **Pilzno**. **Königgrätz**, **Krałowi Hradec**. **Wildenschwerdt**, **Oustie**, **Rakonitz**, **Rakownik**. **Strassdorf**, **Straszow**. **Huhnerwasser**, **Kurziwody**. **Oschitz**, **Osieczno**. **Scharingen**, **Żdziarek**. **Arnau**, **Hostinne**. **Neustädte**, **Westrzew**. **Starkstadt**, **Starkow**. **Platz**, **Straż**. **Böhmisch Eiche** **Czeski Dub**.

W Wielkiej Polsce, w Prusach dużo miejsc dwojake mają nazwy, zupełnie do siebie niepodobne, żadnej nawet analogii z sobą niemające, jak n. p. **Osieczno**, *Storchnest*; **Międzychód**, *Birnbaum*.

Racz szanowna redakcyo udzielić te uwagi zajmującym się poszukiwaniem słowiańskich nazw; ile nazbieram więcej takowych, nie omieszkać udzielić szanownej redakcyi.



# KRONIKA ZAGRANICZNA.

---

*Dziennik ekonomistów z roku 1848.*

**P**ředewszystkiém winniśmy się czytelnikom usprawiedliwić z powodów, które nas skłoniły do bliższego ich zapoznania z jedným ze znakomitszych pism peryodycznych francuzkich poświęconych poważnym przedmiotom nauk społecznych, i dlatego wybraliśmy rok 1848 za początek dalszych naszych sprawozdań.

Właściwém jest podobuo słabości ludzkiej, że łatwo wpadać w ostateczności, a trudno środek utrzymać. Dlatego też częściej napotykać można zaciętych obrońców dawnych nawyknień z jednój strony, a żarliwych głosicieli nowych wyobrażeń z drugiej, jak rozważnych i serdecznych zarazem zwolenników stopniowego rozwoju umysłowego, wspierającego się na przeszłości z wykrytymi jój już niedostatecznościami, i sięgającego uroczych zawsze obietnic niepewnej przyszłości. Ależ, pomimo tych namiętnych skłonności, prawdziwy postęp należy się ciąglój a niezmordowanej pracy; chwilowe, niezwykle wysilenia, rzadko stałe zapewniają korzyści. Słusznie też powiedziano, że gieniusze, które zdają się jednym skokiem ludzkość daleko posuwać, są tylko działaczami zmieniającymi w czyn to, co już w ludzkości rozlane i wyrobione było. Otóż przybywanie do zakresu wiedzy ludzkiej nowych nauk, nowych w życiu przewodników, jest najlepszym dowodem, że postęp choć powolny, pozostaje konieczny, ciągły. Potrzeba niemało pracy, niemało ofiar, więcej jeszcze rozwianych urojeń, zanim nowy szereg prawd, przeświadczenie prawdy pozyska. Doprowadzenie nauki do tój pewności zasad, jest bezwątpienia wielką zasługą, bogatym nabytkiem. W naszym wieku jedną z najplodniejszych w skutki ogólne nauk, nauką nową jest ekonomia polityczna. Pod tą nazwą, którą u nas właściwiój na miano *gospodarstwa społecznego* zmienićby należało, objawiła się, blisko od stu lat, cała budowa przepisów, kierować mających wielką częścią stosunków między

ludźmi istniejących. Zadanie zaiste wielkie, lecz też i trudności w jego rozwiązaniu nie mniej liczne. Nie dziw więc, że w chwili, kiedy właśnie sumienni pracownicy mniemali już osiągnąć utrwalenie głównych zasad nauki, przez powszechne ich uznanie, napotkali na zdania zaprzeczające tym pierwszym, najważniejszym zasadom. Z tych samych przyczyn, nauka Kopernika zwalczyć musiała najzaciętszych przeciwników, nimi w powszechną przeszła prawdę; dlatego także za naszych już czasów chemia dopiero na zwaliskach flogistycznych bezowocnych kombinacyj, utwalić się zdołała. Otoż rok 1848 był właśnie rokiem, w którym nauka gospodarstwa społecznego, najsilniejsze wytrzymała pociski; a przeszedłszy srogą próbę ognia, wychodzi z niej cała, lecz w doskonalszej, bo już oczyszczonęj postaci i z tą korzyścią, że z ogromnej masy różnorodnych rozbiorów, niemało lepiej wyświeconych pierwiastków przyswoić sobie będzie w możności.

W szeregu poszytów dziennika *Journal des Economistes* z r. 1848, to ścieranie się na polu naukowym zdań wielce napozór różnych, choć w dążeniach zbliżonych, wyraźnie się odbija. Dlatego przytoczenie ważniejszych prac w piśmie tém zawartych, stać się może zajmującym; a gdy czytelnicy Biblioteki Warszawskiej, w dawniejszych latach mieli już podawane niektóre z tegoż dziennika wyjątki: obecnie będą mogli sobie utworzyć dostateczniejsze wyobrażenie o całości zbioru.

Dziennik Ekonomistów z r. 1848 znalazł tedy pole, występowania w obronie pierwszych zasad nauki. Obok zaś tych ogólnych widoków, podawał rozbiór wielu pojedynczych zjawisk, rozwijał pytania najmocniej społeczność obchodzące; wreszcie dotykał także bieżących wypadków, lecz domieszczane względem nich przewidywania i wyprowadzane wnioski, najmniej zająć nas mogą, gdy dalszy szereg zdarzeń już inne zastąpił odpowiedzi. Ta więc część pracy ekonomistów francuzkich jest dla nas ciekawszą, która bądź teoretycznego zakresu nauki dotyczy, bądź naturę i budowę pojedynczych ekonomicznych instytucyj wyjaśnia.

## I.

Sucha to zawsze rzecz teoria; niechętnie ima się tych umysłów, które, w chwalebnej może zkadinał skwapliwości, chciałyby odrazu skutki widzieć, pragnęłyby zastosowanie użytkowe w obecnej już chwili osiągnąć. A pomiędzy ekonomistami większa może jak między zwolennikami jakiegokolwiek innej nauki, znajduje się liczba takich gorliwców, tłumaczących się tém, że gospodarstwo społeczne opiera się wyłącznie na praktycznych objawach, że zatem to, co nie jest zastosowaniem, chybia właściwego celu.

I dlatego są tacy, co naukę ekonomii politycznej biorą za sposób urządzenia ryczałtowego społeczeństwa; wymagają po niej, aby stała się cudownym lekarstwem na wszystkie niedostatki porządku towarzyskiego. Jest toż samo, co żądać od geometryi, żeby podała środek wystawienia najdogodniejszego budynku, albo od archeologii, żeby powszechny język wynalazła.

Nie ochronimy się zatem od badań teoretycznych, tam, gdzie płodne skutki w zastosowaniu osiągnąć pragniemy; a jeżeli oba szeregi badań w jeden złączyć zechcemy, wyrodzi się ztąd tylko zamieszanie, z większą jeszcze do rozjaśnienia trudnością.

Dlatego nie możemy się zgodzić ze zdaniem niedawno u nas objawionem, „że oderwane traktowanie ekonomii politycznej, nie jest ani potrzebnem, ani pożądanem”; bo jeżeli, jak to samo zdanie dalej rozwija, takie traktowanie sprawić może, że „badacz łatwo pomiesza świat rzeczywisty z umysłową krainą swojej teoryi”: to znowu w praktycznej budowie zasad ekonomicznych, ogólne prawdy nauki muszą zawsze służyć za przewodników i podstawy.

Wyjaśnienie tych ogólnych widoków, znalazło podjętę w Dzienniku Ekonomistów z r. 1848 w tém, że ówczesowy rząd we Francyi zniósł katedrę ekonomii politycznej ogólnej w kollegium francuzkiem, a zamierzył rozczłonkować ją na kilka kursów ekonomii stosowanej.

To właśnie było wydaniem sądu, że oderwane teoretyczne badania w nauce gospodarstwa społecznego, są zbyteczne, i że jej wielkość, jej użyteczność na bezpośredniem stosowaniu do danych okoliczności i szczegółów zależy.

W zeszycie z d. 15 kwietnia, Dziennik Ekonomistów dziwi się na-przód, dlaczego ekonomią polityczną, przewano ekonomią generalną, i pod tą nazwą, do której dodano zarazem statystykę, utworzono pięć kursów ekonomii generalnej i statystyki ludności; rolnictwa; kopalni; sztuk i rzemiosł; robót publicznych, tudzież finansów i handlu. Zdaje się mówi dziennik, że twórcy projektu nie zdali sobie dostatecznie sprawy z tego, co przez ekonomią generalną rozumieć zamierzali. Jeżeli chcieli powiedzieć, że przed podaniem np. statystyki ludności, podać trzeba ogólny wykład ekonomii społecznej, to jest sposób, w jakim społeczeństwo pracuje, produkuje i zużywa: dlaczego nie użyli poprostu wyrazu ekonomii politycznej, tak, jak to już de Quesnay Turgot, Adam Smith czynili. Przyznajemy, że nazwisko ekonomii politycznej nie jest zupełnie szczęśliwe; ależ zamiana jeszcze mniej dokładna. Chyba chciano zarzuć naukę, jakoby już *starą*, a *nową* w jej miejsce podstawić. Ależ trzeba było wyraźnie to oświadczyć, a nie usiłować zastąpić ekonomią poli-



tyczną, przez statystykę ludności, kopalni i t. d. Albożto przedmiot nauki ekonomicznej nie potrzebuje w swoim ogóle filozoficznego wywodu? alboż podania stytystyczne nie są tylko uzupełnieniem wielkiego jój zakresu? Wszak rozrzucone członki nie mogą ani życia, ani własności całkowitego ciała posiadać.

Ekonomia polityczna, mówi dalej p. M. Chevalier, którego właśnie kurs był zamknięty, jest nauką teoretyczną, przeznaczoną wprawdzie do kierowania praktyką, lecz w ogóle od zastosowań w odległości stojącą; jest nauką rozumowania, nieodrzucającą spostrzeżeń, ale nie samą tylko znajomością faktów i doświadczeń; uważa ona produkcją i rozdzielenie bogactw z punktu widzenia ogólnego, zamiast ograniczenia się wyłącznie do rolnictwa, rzemiosł lub handlu.

W następnym zaraz zeszyście podane jest przełożenie, uczynione przez towarzystwo ekonomii politycznej przeciwko zniesieniu katedry téj nauki. „Wszelka nauka, mówią ci mężowie, jest zawsze niezupełną; umysł ludzki tylko stopniami i z wolna, do poznania prawdy przychodzi. Tutaj ani prawda bezwzględna, ani dobro bezwzględne nie istnieje. Ekonomia polityczna chociaż jeden z ostatnich nabytków ludzkich wiadomości, znacznie już wszelako rozwinięta; główne zasady jeszcze w XVIII położone wieku, ciągle się rozszerzają i już cechę katechizmu przywdziały. Świat moralny posiada prawidła, przez nikogo niezaprzeczone. Dlaczegożby porządek materialnego bytu, co drugi świat tak blisko z tamtym połączony stanowi, nie miał, w rozwoju swym ulegać podobnymże prawom? A właśnie ekonomia polityczna jest dla pracy tém, czém moralność dla sumienia”.

Takto zwolennicy téj wielkiej nauki przymuszeni byli piérwszych podstaw budowy bronić, w obawie, aby ich podkopanie całego owocu prac nie wyróciło.

Lecz co raz nauka nabyła, już utraconém być nie może; jak brzmienia głosu nikt nie cofnie, jak chwili upłynionej nie zwróci: tak i tego, co w ogólną przeszłość wiedzę, pomroka niepamięci nie zasłoni. I w tém téż leży pociecha nauki, bo widzi każde użyteczne usiło wanie prawdziwym uwiecznione skutkiem. Każde silne starcie zdań przeciwnych, wywołuje owszem nowy nauki postęp. A choć w ogólności kierunek prac w Dzienniku Ekonomistów zamieszczanych, raczej ku wolnemu, ecz rozważnemu jak nagłemu postępowi nauki zmierza; to jednak znajdujemy w nim silnych przedstawicieli idei dojrzałych, na nowych spostrzeżeniach wyrobionych. Do najznakomitszych pod tym względem pisarzy tegoczesnych, należy bez wątpienia Fryderyk Bastiat, dość hojnie Dziennik Ekonomistów obdarzający. Z wielu zaś jego artykułów uważamy za jeden z najważniejszych ten, któ-

ry właśnie odnosi się do przedmiotu dotąd przez nas dotkniętego, to jest do oznaczenia zakresu i natury ekonomii politycznej. Urywek ten (patrz poszyt I września), stanowiący jeden z rozdziałów nader ważnego dzieła, zawiera tyle zasad nowych i jest tak głębokim zebraniem najnowszego w granicach rozumowych postępu nauki ekonomicznej, że czujemy się w obowiązku w całkowitości prawie ten rozdział przytoczyć.

„Przedmiotem ekonomii politycznej, mówi p. Fr. Bastiat, jest *człowiek*. Ale nie cały człowiek. I tak nauka ta nie trudni się stosunkami jego do przyszłych przeznaczeń: z pewnej tylko oznaczonej strony człowieka uważa.

Staraniem więc naszym być powinno z tej strony badać człowieka, i dlatego odnieść się winniśmy do pierwotnych zjawisk *czucia i działalności* ludzkiej. Niech jednak czytelnik nie lęka się, abyśmy długo w inglistycznych krainach metafizyki go zatrzymali; czerpniemy tylko z nauki tej proste, jasne, i jak się spodziewamy, nieulegające zaprzeczeniu podania.

Dusza, albo raczej (usuwając wszelkie wątpliwości spirytualizmu) człowiek opatrzony jest *czuciem*. Czy uczucia spoczywają w duszy, czy w ciele, zawsze człowiek, jako istota *bierna*, podlega *wrażeniom* miłym lub nieprzyjemnym. Jako istota *czynna* wykonywa *usiłowania* dążące do pomnażania jednych a oddalania drugich. Wypadkiem jest pewne *zaspokojenie*.

Z ogólnej więc idei *czucia*, rodzą się idee dokładniejsze *chęci, żądź i potrzeb*.

Z ogólnej idei *czynności* rodzą się idee dokładniejsze *usiłowań, znużenia, pracy, produkcji*.

Z ogólnej idei *zaspokojenia*, rodzą się idee dokładniejsze *przyjemności, rozkoszy, zużycia*.

*Uczucie* jest osobistém; *przyjemność* lub *ból* dotyka pojedynczą istotę. *Usiłowanie* ku tym wrażeniom zwrócone, z jednej także wpływa osoby. Całość zaś tych zjawisk stanowi *interes osobisty*, będący wielką sprężyną świata społecznego.

Z tychto pierwszych zasad wpływa wyobrażenie *własności*. Skoro pojedyncza istota odbiera *wrażenia*, wykonywa *usiłowania*, do niej więc *zaspokojenie* należeć powinno; w przeciwnym razie *usiłowania* nie miałyby żadnego powodu.

Toż samo stosuje się do prawa *spadku*. Żadna teoria, żadne rozprawy nie dokażą, aby ojciec i matka nie kochali dzieci; a choć ludzie lubiący układać nowe w swój wyobraźni społeczeństwa, niechętnie na to się godzą: taki jednak stan rzeczy zawsze pozostanie. Ojciec, jeżeli nie więcej, to pewnie tyle dokłada *usiłowań* do zaspokojenia dzieci, jak siebie

samego. Gdyby więc przeciwne przyrodzeniu prawo, wzbrouiło przechodzenia własności z ojca na syna, pewnie połowa przynajmniej usiłowań ludzkich do nieczynności byłaby sprowadzona.

Nie sądzę, aby jaka nauka, *sama w sobie*, miała naturalne i niewzruszone granice. W obrębie idei, równie jak w obrębie faktów, wszystko łączy się, wiąże; wszystkie prawdy jedne w drugie spływają, a każda nauka gdyby miała być zupełną, wszystkie inne objąćby musiała. Dlatego też słusznie powiedziano: że dla pojęcia niczern nieograniczonego, jedna tylko byłaby prawda. Słabość nasza, zmusza nas do badania oddzielnie pewnych szeregów zjawisk, i dlatego wynikające ztąd podziały, zawsze pewnej podlegają dowolności.

Prawdziwą jest zasługą wykazać dokładnie fakta z ich przyczynami i następstwami. Daleko zaś mniejszą i czysto względną, oznaczyć nie ściśle (bo to niepodobna), lecz rozumowo, porządek zjawisk będących przedmiotem badania.

Mówię to dla usunięcia wątpliwości, jakobym chciał przyganiać moim poprzednikom, naznaczając *ekonomii politycznej* inne cokolwiek granice od tych, jakie oni stanowili.

W ostatnich czasach bardzo zarzucano ekonomistom, że się zanadto do badania *bogactw* przywiązywali. Chciano wprowadzenia do nauki wszystkiego, co zblizka lub zdala, do szczęścia lub cierpienia ludzkości przyczynia się; a nawet mniemano, że ekonomiści zaprzeczają wszystkiemu temu, czém się nie trudnią: naprzykład zjawiskom pierwiastku sympatycznego, równie naturalnego w sercu ludzkim, jak pierwiastek interesu osobistego. To właśnie jakby posądzać mineraloga, że zaprzecza istnieniu królestwa zwierzęcego. Albożto prawa produkcji, rozdzielienia i zużycia *bogactw*, nie stanowią dość obszernego i ważnego przedmiotu szczególnej nauki? Słusznym tylko byłby zarzut wówczas, gdyby wnioski ekonomisty stały w sprzeczności z polityką lub moralnością. Możliwym wtenczas powiedzieć: „Zbłąkałeś się przez zbytne ograniczenie twego zakresu, bo dwie prawdy przeciwne sobie być nie mogą.”

*Potrzeby, usiłowania, zaspokojenie*: oto główne podstawy wszystkich nauk, których przedmiotem człowiek.

Ale nie idzie za tćm, aby ekonomia polityczna, tak obszerny zajmowała zakres.

Oddychanie jest *potrzebą*. Wymaga *usiłowania*, sprowadza *zaspokojenie*. A wszakże nikt zjawiska oddychania do zakresu ekonomii politycznej nie policzy.

Człowiek *usiłuje* pozyskać szacunek, przychylność, poważanie innych: nagrodą, osiągnięciem celu. Możnaż dlatego powiedzieć, aby to stanowiło przedmiot badań ekonomisty?

Toż samo stosuje się do *usiłowań* jednych, aby nabyć sławy, drugich, aby otrzymać wieniec wybranych.

Pojąć tedy można, że nauka nie zdoła w poszukiwaniach objąć wszystkich wrażeń, usiłowań i środków zaspokojenia w porządku fizycznym, duchowym i moralnym.

Naznaczać ekonomii politycznej ten obszerny zakres, byłoby to żądać, aby się stała nauką powszechną, aby nie mogła zakreślić granic badaniom swoim.

Trzeba, iżby zjawisko do ekonomii politycznej należące, zawierało w sobie wszystkie trzy pierwiastki: potrzeby, usiłowania, zaspokojenia. Ale ponieważ nie wszystkie zjawiska te trzy cechy noszące, w jej zakres wchodzi, jak poznać te, co odłączyć wypada?

Ten wzgląd, wyznaję, stał się powodem rozdziału między ekonomistami.

W ogólności szukali oni w ostatnim z tych trzech wyrazów, to jest w rozpoznaniu idei *zaspokojenia*, cechy i granicy nauki ekonomicznej.

I to prostém było następstwem zamiaru badania samego *bogactwa*. Bo nie mogąc znaleźć onego ani w *potrzebach* naszych, ani w *usiłowaniach*, szukali tam, gdzie bogactwo rzeczywiście istnieje, to jest w przedmiotach służących do *zaspokojenia* naszych chęci.

Adam Smith wymagał dwóch warunków, aby rzecz stała się *bogactwem*, to jest: iżby była zdolna do *wymiany* i do *nagromadzenia*. Te zaś dwa warunki pociągały za sobą trzeci, aby rzecz była *dotykalna*, czyli *materyalna*, bo jakież pojąć coś niematerialnego a zdolnego do nagromadzenia?

Na nieszczęście, na tej danej utworzył się język ekonomii politycznej. Dlatego też wszystkie wyrażenia do słownika jej wchodzące, materialnością są nacechowane, a szczególniej dwa ostateczne wyrazy: *produkcyja* i *zużycie*.

Wedle takiego określenia, Smith powinien był wiele zatrudnień poza obrębem ekonomii politycznej pozostawić, wyłączając wszystkich ludzi, którzy nie stwarzają *plodów* dotykalnych, tylko czynią *usługi*, jak: urzędnicy, pisarze, kapłani, prawnicy, wojskowi, lekarze, artyści, nauczyciele, kupcy, bankierowie i t. p. A jednak bardzo się niemi zajmował, przedstawiając na twierdzeniu, że te zatrudnienia są *użyteczne*, ale *nieprodukcyjne*, choć w samém tém wyrażeniu błędność jego już wykazywała się.

Niedokładność ta wielce wpłynęła na zaćmienie wyobrażenia o *wartości*.

J. B. Say zbliżył się wielce do prawdy w piérwszém dziele, to jest w wykładzie nauki (*Traité*); doszedł zaś jój istoty w drugiem, to jest w *Kursie ekonomii politycznej*.

Zrazu przyjął był sposób widzenia Smitha; lecz wkrótce głęboko badającym umysłem przekonał się, że rozróznienie *plodów* od *usług*, oddziela rzeczy mające ten sam cel, te same skutki, tenże początek i naturę.

Dlatego téż w drugiem dziele, wprowadził już zupełnie *usługi* do ekonomii społecznej, uznając w nich wartość, jako podstawę bogactwa. Daléj nawet zaszedł w listach do Malthusa, bo twierdził, że *wszelka wartość jest niematerialna*. Tém samém uznał, że plody nawet o tyle tylko posiadają *wartość*, o ile mogą *usługę* przynieść.

Tak tedy J. B. Say jest prawdziwym wynalazcą tego, co naukę rozszerzyło i rzeczywiście jój zakresliło granice.

Ale czyliż z wynalazku tego wszystkie wyprowadził wnioski? Wątpić o tém się godzi, bez uwłaczania powadze obszernych prac jego. Lepiej od kogobądź J. B. Say wiedział, że żadna ludzka nauka nie jest skończoną, bo ten, co najwięcej ma nauki, najlepiej téż zna, co do nauczania się pozostaje. To nie uczony, głębokim oddający się badaniom, ale tylko poeta w zapale mógł zawołać: „Niech nie do powiedzenia po nas nie zostanie”.

I w istocie byłoby to niemal sprzecznością, aby ten, co pomimo powagi poprzedników i własnych zdań pierwiastkowych doszedł pracowitemi i ciągłemi badaniami do niespodziewanego wypadku, opierał na tym właśnie wypadku podstawę wykładu swego. Takiego skutku trudno od przemijającego życia jednego człowieka spodziewać się. Dość wielka chwała dla uczonego, gdy piękną ideę, płodne nasienie następcom przekazuje. Jakżeż ma z niego zbierać owoce, gdy to właśnie owoc gieniuszu jego? Takto postępują nauki; co mistrza było chlubnym *zakończeniem*, to się staje dla ucznia łatwym *początkiem*, bo, wedle wyrażenia samegoż Say'a, pokolenia bezprzestannie skarby wiadomości pomnażają.

Nie należy zapominać, że J. B. Say oparł się na idei Smith'a. Długo zwracał uwagę na to, co nazywamy *plodami* (*produktami*). Lecz dopiero silne logiczne wnioski doprowadziły go do uznania wartości w *usługach*. Nie mógł więc przypuszczać zupełnego zlania się tych dwóch żywiołów, a tém mniej zupełnego pochłonięcia piérwszego z nich przez drugi. Mógł je obok siebie postawić, ale nie zjednoczyć. W dziełach jego, zachowana jest niejaka wyższość dla *plodów*: bo *usługi* tworzą tylko osobny i dodatkowy ich oddział, pod nazwiskiem *plodów* (*produktów*) *niematerialnych*. Wszelako dziwne jest połączenie tych dwóch wyrazów; bo umysł ludzki nigdy nie zgodzi się na poczytanie za produkt tego,

co jest *niematerialne*: jak śpiew pani Malbran, zdanie sędziego, rada lekarza lub obrońcy, wykład nauczyciela.

Wynikło ztąd, że wynalazca *niematerialności* w wartościach, pozostawił słownictwo już w ekonomii politycznej uświęcone, posiadające we wszystkich wyrazach, jak *produkcya, konsumpcya* cechę materializmu; i zaiste obawiać się wypada, ażali nauka nie będzie jeszcze przez długi czas dźwigać tego ciężaru niedoskonałości: bo któż znajdzie się dość śmiały do przerobienia języka?

Jednak po takim stopniowém zbliżaniu się do rozstrzygnięcia zadania, nadeszła chwila stanowczego kroku. Opierając się na téj zasadzie, że *wartość jest niematerialna*, okazać można wzajemną ważność *plodów* i *usług*. *Usługi* nie dlatego są *plodami*, że posiadają *wartość*, ale przeciwnie *plody*, o tyle tylko mają *wartość* o ile są *usługami*, tak, że w istocie te ostatnie wyłącznym stają się zakresem nauki.

W każdym razie Smith nie mógł znaleźć prawdziwego przedmiotu i rozumowych granic nauki w badaniu *zaspokojenia*, a tém bardziej poszukując gatunkowej tylko w niém różnicy, to jest materialności. Ten sposób postępowania jest dowolny i empiryczny, a sam Smith niedostateczność onego dowodzi. Czemże może być ekonomia społeczna, jeżeli rolę społeczeństwa z badań wyłącza, albo jeżeli do tych badań ją przypuszczając, musi podawać wypadki niezgodne z własnymi wnioskami?

Szukajmy więc innego rozwiązania.

Zpomiedzy tych wyrazów, obejmujących całą ludzką przeznaczenie, to jest uczucia, usiłowań i zaspokojenia, dwa wyrazy: pierwszy i ostatni, łączą się zawsze i koniecznie w jednej osobie. Nie można rozdzielić ich pojąc; pojmuje się uczucie bez zadosyćuczynienia; ale nikt nie zrozumie *potrzeby* w jednym człowieku, a *zaspokojenia* jej w drugim.

Gdyby się tak samo rzecz miała co do wyrazu średniego, to jest *usiłowania*, człowiek stałby się zupełnie odosobnioną istotą. Byłoby nagromadzenie osób, ale nie społeczność; mogłaby istnieć ekonomia *osobista*, ale nigdy ekonomia *polityczna*.

Nie tak jest jednak w istocie. Przyznać musimy za rzecz możliwą i często wydarzającą się, że *potrzeba* jednego znajduje *zaspokojenie* w *usiłowaniu* drugiego: to fakt niewątpliwy. Każdy z nas rozbiegając sposób w jakim do zaspokojenia potrzeb przychodzi, przyznać musi, że zaspokojenie to winien po największej części cudzym, a nie swoim usiłowaniom; i nawzajem, praca przez każdego z nas w różnych zawodach wykonywana, zawsze prawie przeznaczona jest na zaspokojenie żądań obcych, a nie naszych własnych.

To nam wskazuje, że pierwiastku społecznego i porządku ekonomii politycznej, nie należało szukać w potrzebach ani w ich zaspokojeniu, bo to zjawiska czysto osobiste i niedające się drugim udzielać, ale właśnie w wyrazie średnim, to jest w *usiłowaniach ludzkich*.

W istocie téż, ta władza ludziom jednym pomiędzy wszystkimi zwierzętami nadana, *pracowania jednych dla drugich*; to wzajemne udzielanie sobie usiłowań, ta zamiana usług nieskończenie w miarę warunków czasu i przestrzeni przedstawiająca się: *to właśnie* stanowi naukę ekonomiczną, wskazuje jej powstanie i określa granice.

Twierdzę więc, że:

Zakresem ekonomii politycznej jest każde *usiłowanie zaspokojenia*, z obowiązkiem wzajemności, *potrzeby* innej osoby a nie tej, która usiłowania dokłada; że nadto w obręb nauki wchodzi potrzeby i zaspokojenia, odnoszące się tylko do tego rodzaju usiłowań.

Biorę za przykład przytoczoną wyżej czynność oddychania i mówię, że nie należy do nauki ekonomii politycznej, choć posiada wszystkie trzy wyrazy stanowiące ekonomiczne zjawisko; dlatego, że wyobraża *usiłowanie* niedające się innej udzielić osobie. Nikogo nie potrzebujemy do oddychania; ani odbieramy ani świadczymy żadnej usługi; jestto czyn osobisty a nie *społeczny*; nie należy więc do nauki czysto względnej, jak o tém samo jej nazwisko świadczy.

Ale, jeżeli w szczególnych okolicznościach ludzie potrzebują wzajemnie sobie pomagać do oddychania, kiedy naprzykład nurek w dzwonie na dno morza się spuszcza, albo gdy lekarz działa na przyrząd oddychania chorego, albo gdy policya przedsięwzięje środki do oczyszczenia powietrza; wtedy potrzeba zaspokaja się już usiłowaniem innej osoby, usługa zostaje wyświadczoną, i dlatego pod względem pomocy i zasilenia, oddychanie nawet wchodzi w dziedzinę ekonomii politycznej.

Choć umowa niedokonana, byle była możliwa, już *praca* nabiera natury ekonomicznej. Rolnik zboże na własną potrzebę uprawiający, wykonywa działanie ekonomiczne przez to tylko, że zboże zdolne jest do zamiany.

Dołożyć usiłowania do zaspokojenia cudzej potrzeby, jestto wyświadczyc drugiemu usługę. Jeżeli nawzajem usługa zostaje warowaną, mamy zamianę *usług*; a ponieważ to się zdarza najczęściej, możemy zatém powiedzieć, że ekonomia polityczna jest *teorią zamiany*.

Jakkolwiek gwałtowna dla jednej strony potrzeba, a dla drugiej możolne usiłowanie, zawsze obie usługi zamienione, są *równie warte*, jeżeli zamiana była dobrowolną. Wartość więc polega na porównywaniu, ocenieniu wzajemnych *usług*, i dlatego można znowu powiedzieć, że ekonomia polityczna, jest *teorią wartości*.

Dodać tu winienem uwagę, okazującą, jak nauki stykają się z sobą i niemal mieszają.

Wedle powyższego określenia, *usługą*, jest *usiłowanie* dokonywane przez jednego człowieka, wtedy, gdy *potrzeba* i *zaspokojenie* leżą w drugim. Ale czasem usługa oddaje się bez żadnego wynagrodzenia, bez żadnego usiłowania usługi wzajemnej. Wtedy już wypływa raczej z pierwiastku sympatycznego, jak z interesu osobistego, staje się darem, a nie zamianą. Dlatego też zdaje się, że nie należy już do ekonomii politycznej, jako teorii zamiany, tylko do moralności. I w istocie czyny te, ze względu na pobudki je sprowadzające, są więcej natury moralnej, jak ekonomicznej. Przekonać się jednak możemy, że w skutkach obchodzą naukę ekonomiczną. Podobnie usługi wkładające wzajemny na drugą stronę ciężar, i z tego powodu czysto ekonomiczne, nie są wszelako w skutkach obce moralności.

Jakoż te dwie gałęzie wiadomości w niezliczonych łączą się szczegółach; a ponieważ dwie prawdy sprzeczne sobie być nie mogą, jeżeli więc ekonomista przypisuje szkodliwe następstwa jakiemu zjawisku, gdy moralista przyznaje mu skutki szczęśliwe, pewnym być można, że jeden albo drugi błądzi. Takto nauki wzajemnie się sprawdzają."

P. Fr. Bastiat w tym wywodzie pełnym ścisłej logiki i głębokiego, lecz oględnego zamiłowania prawdy dowiódł, że może stanąć mistrzem wśród pracowników, którzy chętnie ulegają popędowi przez silny umysł nadanemu, skoro popęd ten ciemne poszukiwania rozjaśnia, a błędne mniemanie, poważnie odsuwa. To też dalsze rozwijanie zasad przez p. Bastiat, położonych w kilku oddzielnych rozprawach: o układzie społecznym naturalnym i sztucznym (poszyt styczniowy); o zwodniczych marzeniach tak zwanego prawa do pracy (poszyt marcowy); o własności i prawie (poszyt 15 maja) i w innych, noszą cechę wyższości i stawiają autora w rzędzie najznakomitszych ekonomistów naszego wieku.

Lecz ogólne zarzuty ekonomii politycznej czynione, znalazły w piśmie, które rozbieramy, innych jeszcze obrońców. P. Alcéd Fonteyraud w dowcipnym i pełnym życia artykule, pod napisem: *Słowa prawdy o ekonomii politycznej*, odpięra śmiało wszystkie pociski na naukę tę rzucane. Przyznaje, że ścisłych granic zakresić jej trudno, ale dowodzi, że ze wszystkich nauk moralnych, ekonomia polityczna w ciągłej pracy umysłu ludzkiego, najprędzej podobno osiągnęła gruntowne podstawy i cel pewny. Któryż ekonomista, mówi on, zaprzecza, że praca jest główną zasadą nauki, świętym źródłem wartości; nie przyznaje korzyści podziału pracy i podniesienia jej stowarzyszeniem sił i rozumów; któryż z nich pragnie ograniczać użycie wszelkich władz ludzkich w ciągłym



rozwijaniu pracy; któryż nie dąży do zmniejszenia ubóstwa, do sprowadzenia taniści życia, do upowszechnienia dobroczynności, jako prawdziwej cechy braterskiego współczucia?

P. Hippolit Passy rozbierając nierówność bogactw i przyczyny tego zjawiska (poszyt lutowy), wyprowadza nietylko z natury ludzkiej, ale i z historycznego stanowiska, że nierówność majątkowa nie jest ani przypadkiem, ani surowym Opatrzności wyrokiem; że i owszem jest potrzebą w własnym interesie ludzkości spoczywającą, bo ją stawia w konieczności rozwijania całej siły władz swoich, i ciągłego postępu w rozumie, godności i dobrym bycie. Wynika ztąd, że ta nierówność bogactw, którą nauka ekonomii politycznej przyjmuje i dopuszcza, nie powinna być używana za broń, prawdy téj nauki zwalczyć mającą.

W téj samej postępując myśli, p. Karol Coquelin (poszyt 1 kwietnia) wykazuje prawdziwość wielkiej zasady w zeszłym wieku położonej: *laisser faire, laisser passer*; dowodzi, że ci, co chcą obecnie do przemysłu wprowadzać porządek sztuczny i narzucony, zamiast pozostawienia naturalnemu rozwojowi doskonalenie się dzieła, postępują przeciwko odwiecznym prawom Opatrzności i filozofii.

Tyle o zakresie i naturze ekonomii politycznej w ogólności. Dostatecznymi są te przytoczenia do okazania, że Dziennik Ekonomistów w niczem nie zbacza od wyznania szkoły Adama Smith'a i jego następców, ale dopuszcza zarazem kształcenie się nauki na zasadach już wykrytych i ciągle udoskonalać się mających.

Przejdźmy teraz do uwag o niektórych szczególnych przedmiotach, w zbiorze ekonomistów rozbieranych.

Najważniejsze artykuły odnoszą się do kwestyj dotyczących handlu i statystyki, instytucyj kredytowych, tudzież finansów. Uważanie rolnictwa ze względu ogólnego ekonomicznego, mało zostało w Dzienniku dotknięte. Rok 1848 obejmuje tylko w poszycie marcowym 4ty list o rolnictwie p. V. de Tracy, który będąc dalszym ciągiem pracy w roku poprzednim ogłoszonej, nie może nam służyć za materiał do rozbioru. List ten przedstawia narzekania na mały popęd we Francyi właścicieli i posiadaczy ziemskich, ku trwałemu udoskonaleniu rolnictwa. Przedmioty odnoszące się wyłącznie do administracyi kraju, niewiele także w Dzienniku tym są obrobione. Przywieśoby można tylko wykład z zastosowaniem do Francyi o centralizacyi p. Gust. du Puynode (poszyty 15 lipca i 1 sierpnia), więcej szczegółowy w tym samym przedmiocie artykuł p. Am. de Cesena (poszyt 1 października) i kilka innych prac mniej ważnych.

W. Ł.

(Dokończenie nastąpi).

*Najnowsze romanse w Niemczech (1).*

Nowy romans, był w literaturze niemieckiej osobliwością przez ostatnie dwa lata. Dawniej, skoro tylko jakie zdarzenie zwróciło było na siebie powszechną uwagę, wnet też zjawiał się pisarz, który układał romans z tego zdarzenia. Wypadki z miesiąca marca 1848 r. były tak nagłe, iż uniosły w swoim potoku i pióra romansotwórców; każdy z nich w owym czasie, albo biorąc w nich udział sam stawał się bohaterem wielkiego dramatu, lub musiał się odosobniać i znikać.

Przesilenie, jak to łatwo można było przewidzieć, nie mogło trwać długo; przesilenie to musiało w końcu lub wszystkich zdruzgotać, lub uspić, a przynajmniej do spokojnego rozmyślenia pociągnąć. Od zdruzgotania uchroniliśmy się tą razą, i wypadki owszem do spokojnego biegu wzięły kierunek. Dzienniki politycznej treści, które niedawno jednym były żywiołem zajęcia się publiczności, część tylko zatrzymały swych zwolenników; reszta wtoruje im tylko chórem, i powraca do dawnych prac swoich. Liczba tych ostatnich jest znaczna, i między nimi to obudzili się i przyjaciele tak zwanąj pięknej literatury. Wspomnieć tu mianowicie musimy o plei pięknej, która i dziś, jak zawsze, przed innemi uganiamy się za tém, co nowe. Przywykła jednak przedewszystkiém do obrazów z zakresu miłości, pożycia małżeńskiego, rodziny, do romansów francuzkich, nie tak rychło otrzyma to, czego wygląda; pisarze bowiem powieści, mający już większy, już mniejszy udział w wypadkach publicznych z dwóch lat ostatnich, kształcić muszą i swoje utwory ze swoich wspomnień. Jakoż najnowsze powieści, które przed sobą mamy i o których powiedzieć zamierzylismy, wszystkie, z wyjątkiem jednego, zajęte są opisem dni naszych. Zaczynamy tu od wyjątku.

1. *Für Stadt und Land* (Dla miasta i dla wsi) von *E. Spindler*. 1849.  
*Stuttgart*. 2 tomy.

Autor tych powieści (Spindler), zdaje się należeć do owych pisarzy, którzy się odosobnili w czasie ostatnich wypadków; w dziesięciu bowiem powiastkach, zawartych w dwóch tomach, nie znajdujemy i śladu odbicia

(1) Wzmiankę tę o kilku nowych powieściach niemieckich, podajemy z dziennika lipskiego: *Blätter für literarische Unterhaltung* z r. b. nr. 28, 29, zostawując odpowiedzialność za zdania krytyczne temuż dziennikowi. Z artykułu tego, noszącego napis: *Romanliteratur*, wnieść wszakże można, że gałąź powieściowa w literaturze niemieckiej, jeżeli dziś nie jest jeszcze zupełnie uschlą, nie jest dziś jednak kwitnącą.

dzisiejszych czasów. Jedyna powieść, która w tym zbiorze, z powodu rozwinięcia przedmiotu, jest godną pióra Spindlera, jestto ostatnia z Ilgo tomu, pod napisem: *Pasterz klasztorny (Der Klosterhirt)*. Powieść drugiego tomu, *Die Auswanderer* (Wędrownicy), miała na celu dać charakterystykę ludzi, którzy mają skłonność do wychodźstwa; charakter przedstawiony w powieści, nie może być jednak uważany za typ. Powieść tegoż tomu *Siejba i Żniwa*, ma znakomite zadanie; że jednak tak w tej powieści jak innych autora los osób nie wypływa z ich czynów, ale zależy od przypadków, przeto i założenie: *jak posiałeś, tak będziesz żął*, bez znaczenia pozostać musi. Bohatér tej powieści, lekarz *Radenbuch*, wcale nie sieje, lecz otrzymawszy odmowę od *Klementyny*, którą kochał, wpada w rozpacz i kończy na samobójstwie. Możemy żałować bohatera, że mu brak charakteru; lecz téż dlatego właśnie równie śmierć jego, jak życie, nie obchodzą czytającego.

2. *Moderne Intriganten oder Enthüllungen der Aristokratie* (Dzisiejsi intryganci, czyli tajemnice arystokracji). *Ein Roman, von Adolf Schirmer. 1850. 2 tomy. Hamburg.*

Książka ta przedstawia nam wypadek, który należy do przedmarcowych, ale że autorowi sposób usypiania chloroformem nie był jeszcze znany, wniesć musimy, że jeszcze przed rokiem 1847 była pisana, i tylko dla ówczesnych okoliczności nie była wydana. Główną figurą tej powieści, jest syn jakiegoś księcia, a zamiarem osób, które go otaczają, jest: uwikłać go w takie drogi, któreby zdolne były usunąć go, jeżeli nie ze świata, tedy od następstwa po ojcu, a na miejsce jego wprowadzić jednego z braci pobocznych. Do tego celu użytą najprzód została aktorka, potem faraon, oraz inne *szlachetne* zabawy ludzi możniejszych. W tymże czasie jeden z przewodników księcia, niejaki *Roué* odkrył w którejś prostej szynkowni ładną lat 15 dziewczynkę, a że przyjmowała za ostro jego zaloty, postanowił uspić ją eterem siarkowym. Księżę przeszkodził tej niegodziwości, a piękność i niewinność owój dziewczynki tak go ujęły, iż zamierzył poślubić ją. Przestraszona matka księcia nadbiegła ratować go, lecz wtém: zjawia się ojciec dziewczynki, jakiś polski magnat, i matka nic nie ma przeciw małżeństwu. Poznajemy tu także dwie damy wyemancypowane: księżniczkę, która właściwie przeznaczoną była dla księcia, i małżonkę *Roué*'go. Obie tak dalece narażają swą sławę, iż w końcu szukać muszą schronienia: księżniczka w Anglii, a jej przyjaciółka we Włoszech. Obrazy w całym tym romansie, złożonym z 17stu rozdziałów,

zrećznie wybrane, skreślone i w szczegóto wém rozwinięciu przedstawione. Mianowicie żywo jest odkreślona sprzeczność światności i nędzy, jakkolwiek koteryom z wyższego koła towarzyskiego, zbywa na prawdzie. Obrazy te wreszcze są nam odbiciem tego, co było w niektórych miejscach wstydem i hańbą 33-letniego pokoju, i już z tego względu książka ta nie bez pożytku przeczytana być może.

3. *Fürst und Volk. Historischer Roman aus der Berliner Märzrevolution* (Książę i lud. Romans historyczny z wypadków marcowych), von *L. Schubar*. Berlin. 1849.

Kto chce wiedzieć, jak książka pisać się nie powinna, może się nauczyć z tej powieści. Z ludu poznajemy w niej tylko dwóch mieszczan berlińskich, którzy przy początku tej części kilka słów z sobą mówią, o wypadkach zaś marcowych dowiadujemy się dopiero na ostatniej stronie części 2ej, z tém nadmienieniem: iż przedmiot tak obfity, wymaga oddzielnj książki, i chyba kiedyś część IIIcia będzie stanowić. Co ma za związek z wypadkami marcowemi rok 1745, który zajmuje całą część Iszą, dostrzedz się nie daje, i tylko na to zdaje się być wprowadzonym, aby kilka nowych anegdot z życia króla Fryderyka IIgo opowiedzieć. Te ostatnie nader nieprawdopodobne być się zdają i mają tylko na celu: króla tego, jako strasznego okrutnika przedstawić. Zresztą, spotykają tu nas co chwila dziwne błędy dziejowe. Bohaterem głównym wypadków w powieści, ich przywódcą i kierownikiem jest niejaki kuglarz *Filadelfia*, który rzeczywiście w lat 30 później znanym był w Niemczech. Zarazem występuje przed nami (nie wiemy po co) *Dama biała*, która i z pozorów, i z czynów wcale nie jest podobną do tego, jak ją znamy z legendy. Zjawisko to wywołał i sprawił oczywiście mistrz *Filadelfia* za pomocą swojej latarki czarnoksiężki. Tu także występuje i *Casanowa*. Pamiętniki Casanowy nigdzie wprawdzie nie oznaczają dat; jestto jednak jasnym, iż bohater ten dopiero wojnie 7-letniej znajdował się w Berlinie; przybył on tam z Londynu, gdzie żona jego likwidowała pretensye swego małżonka z czasów owj wojny, a trzy córki dobiły się sławy historyczności. Autor sprowadził Casanowę do Berlina na to, aby korespondencyą *Trencka* z księżniczką *Amelią* wydać w ręce królewskie. Gdyby w tém był choć cień prawdy, Casanowa nie przepomniałby zapewne tego w swych pamiętnikach. Autor miał oczywiście na sercu, jak najściślej czytelnika ze swym bohaterem zapoznać, i w tym celu obszernie okoliczności życia jego wyjaśnia, i dwie anegdoty opowiada. Jedna i druga są zbyteczne,

do rzeczy bowiem żadna nie należy, a pamiętniki Casanowy powszechnie są znane. Do szczególności części Iszej należy jeszcze, że Fryderyk II nazywanym tu już był od swych spółczesnych starym, chociaż król ten w r. 1745 był jeszcze prawie młodzieńcem. Część IIga przedstawia nam całkiem nową historią, złożoną z nieprzeniknionych tajemnic, które zapewne w części IIIej (jeżeli tylko ów nader obfity na to dozwoli) znajdą wyjaśnienie.

4. *Berlin und Breslau* (Berlin i Wrocław). 1848 — 1849. *Roman von Max. Ring. 2 tomy.*

Romans ten zawiera właściwie dwa romanse, dlatego téż oba tomy noszą nadto oddzielne napisy: „Marya”, „Wanda”. Marya, to przedmiot czulej miłości maszynisty Rolfa. Uwodzi ją jakiś panicz i naturalnie rzuca. Panicz ten jednak miał się za szlachetnego, i postanowił połączyć Maryą i Rolfą. Marya przenosi śmierć. On zaś sam, stara się, i ze skutkiem, o rękę Wandy.— Widzieliśmy nieraz przedstawiane w romansach kobiety, tak zwane emancypowane, widzieliśmy je nieraz w życiu, może kto znajdzie, iż bywają niekiedy godne miłości; lecz iżby która była piękna i rzeczywiście szlachetna, nikt zapewne nie znajdzie. Mają one, rzecz można, podobieństwo do kobiet z towarzystwa sztucznych jeźdźców: patrzmy na nie z uśmiechem kiedy widzimy je w cyrku, ale poznając je bliżej, zostajemy pod każdym względem rozczarowani. Jeżeli jednak Wandę do emancypowanych liczymy, to tylko dlatego, iż duch jój żywy wznosił ją istotnie nad salonowe lalki i owe stworzenia dwupłciowe. Poznała ona prędko, iż jój kochanek byłoto tylko zero arystokratyczne, które nic nie wie i nic nie umie, i tylko ma ten instykt, iż aby coś znaczyć, musi postawić przy sobie jaką liczbę. Pewnej nocy marcowej, Rolf przynosi z szanćów ulicznych w Berlinie, ciężko ranionego doktora Dörner do domu Wandy; słodka skłonność w skutek przygody téj, obudza się między doktorem Dörner a Wandą, a Bettina (jakaś figura, której znaczenie nie-trudno zgadnąć) błogosławi téj czulej skłonności. W tomie IIgim bohaterów dramatu spotykamy w Wrocławiu, dokąd w ogóle bohaterowie marcowi, z Berlina i dalszych Niemiec przenieśli się. Tu téż znajduje się Marya, którą śmierć oszczędziła, i której daje przytułek dom Wandy. To, czego się dowiaduje Wanda od Maryi, sprawia: iż zrywa nietylko z swym narzeczonym, ale i z całym kołem w którym pierwój żyła. Oddaje Dörnerowi swą rękę, i oddalają się razem z Maryą do Wirtemberga, aby tam w wiejskiem ustroniu dni spędzać. Tu téż równie znajduje się Rolf, który po utracie kochanki, rzucił się w odmęt zawichrzeń; z tych zaś szczęśli-

wie wydobyty, znalazł tu wreszcie także spokój.—O części politycznej w tej książce lekko tu tylko wzmiankujemy, bo wielkie wypadki krajowe nazbyt są znane. Dodać wszakże musimy, że opisane są z ręcznie i z wdziękiem; oddaje on wszędzie słuszność prawu i prawdzie.

Książkę tę w figury i sytuacje charakterystyczne bogatą, a tu ledwie naszkicowaną, z zajęciem istotnym przeczytaliśmy i pewni jesteśmy, iż wielu zwolenników pozyska. Musimy tu wszakże, na wzór starych krytyk, zamknąć to doniesienie podkreśleniem twierdzenia w tomie Iszym książki umieszczonego, a którym obaj Schleglowie, Tieck, Nowalis i cała tak zwana dawna szkoła romantyczna potępiona została. Twierdzeniem tym jest: że romantycy podkopali moralność rodzin, pomieszali pojęcia wiary i miłości, i cześć winną instytucji małżeńskiej unieczemnili. Wielby o tym rzecz dało się. Nie wspominając wszakże o wizerunkach swego czasu przez Casanowę, już i w *Historji XVIII stulecia*, wydanej przez *Schlossera*, kiedy jeszcze nie narodził się był na świat żaden romantyk, Niemcy stają przed nami jakby zepsuty Paryż. Prędzej zauważyć można, i nieraz już to zarzucono romantynom, iż przeniewierzyli się Niemcom, iż nie umieli im wskazać określonego celu, i silnego dążenia utworzyć. Młode Niemcy także usiłowały napróżno przybrać pewny charakter. Upodobały one w porozrywaniach, i pragnąc dać obraz prawdziwy swych ukochanych Niemiec, dali nam bajki. Musimy tu wreszcie zrobić uwagę, iż w ogóle nie literatura kształci czas, ale iż czas jest matką literatury. Jeżeli kiedyniekiedy zjawi się w czasie jakiś szczególny gieniusz, to pewnie w tymże czasie szukać trzeba warunków i jego zjawiska, i wyniesienia się. Miłosne pioski, może mogą zepsuć jednego albo drugiego człowieka, ale nie miasto, nie kraj, nie cały naród.

5. *Ines und Ortigosa, oder Erinnerungen aus der Schweiz. Eine Novelle. (Inez i Ortigoza czyli wspomnienie Szwajcaryi. Nowella).*  
1849. Hamburg.

Książkę tę odnieść musimy wreszcie także do rzędu powieści. Był czas w naszej literaturze, że opisy sentymentalne podróży, nacechowane nieładem, były nader upodobane. Był to skutkiem mody, którą sprawiła *Sentimental journey* Yoricka. Kto dziś w podobnym zawodzie chciałby się odznaczyć, nie powinienby przynajmniej za przedmiot swych obrazów wybierać krajów, które już z tysiącnych opisów podróży są nam aż nadto znane; do takich zaś krajów należy właśnie Szwajcaryja. Część powieściowa w nowelli jest całkiem bez związku; figury tu i ówdzie ukazują się wśród pejzaży, jakby zjawiska. Gdybyśmy w ich losach, ich

czynach, ich zwrotach, widzieli jakie życie wewnętrzne, mogliśmy pochwalić nowellę, bo na szlachetnych popędach jęj niebraknie; obecnym jęj charakterem jednak jest tylko chaos. Nie odmawiamy bynajmniej zdolności jęj autorowi, życzylibyśmy tylko, aby w utworach dalszych więć jęj chciał pamiętać na sztukę i samodzielność.

### *Ruch umysłowy w Hiszpanii.*

Po długich i ciężkich próbach, w chwili gdy Francya, Włochy i Niemcy zatrzęsły się w posiadach swoich, Hiszpania zaczęła zbierać owoce cichęj umysłowęj pracy. Z bolesnęj trzydziestoletnęj przeszłości, pozostała jęj dziś podwojona czynność duchowa, oraz prawdziwa nauka, jaką ludy zbierają zwykle na krwią zlanęj niwie.

Podwójny bezrząd cisnął zaprawdę półwysep iberyjski. W literaturze podania przekazane przez wielkich mistrzów XVI wieku, walczyły naprzemian z klassycyzmem i romantyzmem, wprowadzonemi prawie jednocześnie. Takż sam nieład panował w polityce, a naśladownictwo Francuzów i Anglików, nie odpowiadało potrzebom narodowym. Hiszpania pozostawiona bez przewodnika, na obszerném polu wątpliwości rzucała się na wszystkie strony, a nauczona smutném doświadczeniem i zawodami, odkryła nakoniec właściwą dla siebie drogę. Słowem, zyskała nakoniec ustaloną tak literaturę, jak i politykę zastosowaną do potrzeb krajowych: piérwszą z bogaconą nowemi wyobrażeniami, nie ćmiącemi przecież samodzielności gieniuszu narodowego; drugą zarówno narodową, albowiem obce jęj piętno, zroszone krwią, głęboko zapuściło korzenie w rodzinną ziemię.

Hiszpanie zaniechali nakoniec zgubnego w polityce naśladownictwa. Obecnie prawa swoje pragną zastosować do własnych potrzeb, i we właściwęj przeszłości szukają stałych zasad na przyszłość.

*Historya Grenady* przez *Lafuente Alcantara*, oraz *Historya prawodawstwa hiszpańskiego* przez *Antequerra*, są dowodem znakomitych narodowych usiłowań.

Trudno zaprawdę przypuścić, aby historia miasta, jakkolwiek owe miasto było stolicą kalifów, jakkolwiek śladem jego są wspaniałe zwaliska Alhambry, objęta jeszcze w czterech wielkich tomach w 8ce, nie nużąc czytelnika, zajmowała ciągle. A jednakże tak jest rzeczywiście: pod skromnym napisem historyi miasta, skreślił p. *Alcantara* dzieje południo-

wój Hiszpanii, którą Grenada opromieniała chwilowo niezrównanym blaskiem. Ów ciasny widnokrąg, ze stanowiska autora przejrany, nabiera w oczach naszych olbrzymich rozmiarów, bo trzydzieści wieków wyryło na nim niezatarte piętno. Zaczawszy od Fenicyan aż do Francuzów: Kartagińczycy, Rzymianie, Saraceni i Barbaryjczycy pozostawili tam wydatne przejścia swojego śladu. Okolice Grenady w rzeczy samej skazane są na dziwne koleje. Czyli to piękny klimat, o którym marzył już stary Homer, ze wszech stron przynęcał zaborców, czyli też, że położenie geograficzne, na krańcach dwóch światów, stawiało ostateczną zapórę szerzącej się cywilizacji; na ową piękną ziemi odbywały się najstraszniejsze sceny wielkiego dramatu ludzkości. Tamto nasamprzód Tyr i Sydon, owe dwie królowe biblijnego wschodu, w kształcie osad założyły pierwsze podwaliny przyszłej swój potęgi. Tam wzrosła Kartagina, tam Annibal przedsięwziął nieśmiertelną włoską wyprawę, która ledwie nie zdeptała potęgi zwycięzkiego Rzymu. Tamto upadły kolejną rzeczpospolita rzymska z Pompejuszem, monarchia Gotów z Rodrygiem, państwo arabskie z Boabdilem. Tam nakoniec na opłakanym w pamięci polu bitwy pod *Bailen*, Napoleon zwątpił po raz pierwszy o potęgę swych orłów, niedaleko miejsca, gdzie przed dwudziestu wiekami usuwały się kolejno orły pierwszego Scypiona, i ostatniego Pompejusza: I gdzieżby dziejopis mógł znaleźć obszerniejsze i więcej zajmujące pole? Pan *Alcantara* wywiązał się po mistrzowsku z wielkiego zadania. Uprawiał on z zamiłowaniem ową bujną niwę, na której każdy kamień jest starożytnym odłamem dziejowym, każdy odłam początkiem zgasłej cywilizacji. Nawet imion, dat, wypadków, nie obciąża swobodnego rozwoju dzieła, nie przeszkadza bynajmniej jego treściwości. Jeżeli się autor niekiedy zatrzyma w swój opowieści, to jedynie aby skreślić przelotnie obraz całości, w chwilach stanowczych przemiany dziejowych okresów. Zarysy obyczajów, legendy, wszelkie wspomnienia sztuki i poezji, tak bujnie niegdyś kwitnących pod pięknym niebem Grenady: wszystko to razem ożywia dzieło p. *Alcantara*, i okazuje skromność tytułu samego dzieła, bo jest zaprawdę historią cywilizacji hiszpańskiej.

*Historia prawodawstwa hiszpańskiego* p. Antequerra, może posłużyć za uzupełnienie historii Grenady; gdy *Alcantara* badał przeszłość Hiszpanii w jej zmianach dziejowych, ten bada ją w pomnikach jej prawodawstwa. Jasność i dokładność dzieła tego, budzi tylko żal, że ramy jego nazbyt są ścieśnione. Trudno zapewne rozwikłać w zakresie jednego tomu, ów odmet ustaw różnorodnych i sprzecznych, stanowiących prawodawstwo hiszpańskie, w którym sama ta sprzeczność jest charakterystyczną stroną. Autor ograniczył się na ogólnych zarysach, celem wykaza-



nia najwydatniejszych cech każdego prawodawczego okresu. Dzieło to jest wielkiej wagi, bo upowszechnia naukę prawa, tak potrzebną Hiszpanii w dzisiejszym jéj stanie, gdy właśnie od lat 30 pracuje nad ustaleniem prawodawstwa, zastosowanego do ducha i potrzeb narodowych. Mają już obecnie kodex karny i handlowy, ale w prawodawstwie cywilném zasadą są ustawy *Alfonsa Mądrego*, a nawet kodex z czasów *Wissygotów*. Czasby już zapewne pomyśleć o nowém prawie cywilném; nie należy przecież porzucać bez względu owych starych pomników narodowej mądrości, wzniesionych jak widać na silnych podwalinach, skoro te przez XIII wieków utrzymały się niezachwiane, pomimo strasznych burz, jakie wstrząsały Hiszpanią. Dzieło p. Antequerra otwiera i ułatwia drogę nowym prawodawcom.



## WIADOMOŚCI

### na drodze postępu nauk przyrodzonych.

---

#### FIZYKA.

Przed kilku miesiącami Bois-Reymond powszechną wzbudził uwagę doświadczeniem, wykonaném w Berlinie w przytomności wielu uczonych, wskazującym że strumienie elektryczne mogą być wzbudzane w przewodnikach przez szybkie naciąganie mięśni ręki. W tym celu użył bardzo czułego galwanometru, którego końce opatrzone blaszkami platynowymi, wyciętymi z jednej tafelki tegoż metalu, pogrążone były w dwa naczynka zawierające roztwór nasycony soli kuchennej. Nurzając w naczyniu palce odpowiednie obu rąk, igła galwanometru zboczeniem wskazała bytność strumienia elektrycznego, krążącego po drucie owiniętym na tym instrumencie; jednakże kierunek zboczenia nie podlega żadnemu prawu. Gdy jeden palec był skaleczony, zboczenie było znaczniejsze i takie że ręka skaleczona odgrywała rolę cynku w stosie cynko-miedzianym podstawionym w miejsce ciała ludzkiego. Skoro igła po pewnym czasie wróciła na punkt 0° tarczy galwanometru (nie wyjmując palcy z naczyn), zboczenie na nowo się okazało jeżeli mięsny i ściągacze jednej ręki szybko zostały wyteżone i to powtórne zboczenie wskazywało zawsze kierunek strumienia elektrycznego idącego od ręki do ramienia.

Autor tym sposobem mógł zboczenie doprowadzić do 30°.

Te ciekawe doświadczenia powtórzone w przytomności Humboldta, J. Müllera, Mitscherlicha, zdawało się że nie podlegają żadnemu zarzutowi i jak Humboldt wyraził się w liście do p. Arago są niewątpliwe.

Ważność tego odkrycia wprowadzającego galwanizm na nowe pole odkryć i wykazującego związek między strumieniami elektrycznymi a działaniem mięśniarnym, skłoniła uczonych do powtórzenia i dal-

szego śledzenia. Despretz w Paryżu zachowując wszelkie ostrożności, nadto urozmaicając warunki doświadczenia p. Bois-Reymond, a przytém używając żab jako najdelikatniejszych galwanoskopów nie mógł dojść do żadnych pewnych rezultatów.

Waióśł więc ze swych obserwacyj że działalność muskułów ręki nie wzbudza strumieni elektrycznych. Do podobnie przeciwnych wypadków doszli Bequerel i Matteucci.

W tym stanie kwestyi Buff (z Giessen) powtórzył jeszcze raz doświadczenie wyżej opisane biorąc w pomoc galwanometr na którym nawinięty był 3,000 razy drut cienki na  $\frac{1}{10}$  linii. Doświadczenia nie wiodły do żadnych stanowczych wniosków. Wpadł wówczas na myśl aby w miejsce powiększania czułości galwanometru zwiększyć siłę wzbudzającą elektryczność, a to przez pomnożenie siły muskularnej. Dlatego postosowném ustawieniu, szesnastu osób trzymających się za ręce, które jednocześnie natężyły to prawe to lewe ramię, obserwował swój galwanometr i przekonał się, że rzeczywiście działanie muskułów wywołuje elektryczność w przewodnikach, i że strumień galwaniczny przybierał różny kierunek stosownie do tego czy prawe czy lewe ramię było natężane. Zboczenie jakie tą drogą zdołał otrzymać nie było wszakże większe od  $10^{\circ}$ — $12^{\circ}$ . (*L'Institut*, nr. 826). S. P.

---

#### CHEMIA.

Przed niedawnym czasem w Bibliotece Warszawskiej wspomniane było aż dwa razy, o doświadczeniach wyjętych z dziennika chemicznego Erdman'a i Marchand'a, tyjących się zamrażania merkuryuszu w rozpalonym do czerwoności tyglu; nieco później opisano doświadczenia pana Boutigny tyjące się niespalności ciała ludzkiego, podług dziennika chemicznego pp. Gay-Lussac, Arago i Regnault; dzisiaj zaś jeszcze podajemy wiadomość niniejszego przedmiotu dotyczącą, wyjętą z dziennika *L'Institut* z 20 lutego 1850 w następującej osnowie:

„P. J. Pegal przestał akademii francuzkiej zawiadomienie o zjawiskach, któremi kilkakrotnie już ją zajmowano; przywodzą się zaś one do następującej treści: że jeżeli zwilgoci się rękę cieczą szybko parującą np. eterem: można ją bezkarnie zanurzyć w rozpalony surowiec, albo roztopiony ołów, lub inny metal topiący się; pospolicie w takich razach nie doznaje się żadnego wrażenia, a jeżeli zaś jest jakowe, to będzie uczucie zimna, ale wcale nie ciepła. Zjawisko to prawie dotąd niewiadome uczonym, bo p. Boutigny piérwszy zawiadomił o nién akademią, zdaje się że oddawna znane było robotnikom wytapiającym metale. Od pewnego czasu wiele razy powtarzano te doświadczenia, które dziś już

nie ulegają żadnemu zaprzeczeniu. Można zresztą z łatwością z tego zdać sobie sprawę, przypuszczając, że ciecz parująca, którą poprzednio zwilgocono rękę, po zanurzeniu jej w metal roztopiony, ulatniając się szybko, tworzy naokoło ręki jakby jaką powłoczkę ochraniającą; rodzaj osłony, przeszkadzający zetknięciu ciała z metalem."

Dotychczas robiono tylko doświadczenia z rozpalonemi metalami. P. Pégal zaś zanurzał rękę zmoczoną eterem, w wodę wrzącą, i nie doznał w niej żadnego uczucia ciepła.

\* W piśmie *Annales de Chimie et de Physique*, Fevrier 1850, czytamy dalsze zawiadomienie p. Boutigny udzielone akademii umiejętności paryżkiej o *chwilowej niespalności ciała ludzkiego w stanie żyjącym* i t. d. Treść praktyczną z tego podania, słowami autora przytaczamy:

„Wątpiono o prawdzie, niespalności chwilowej ciała ludzkiego, a rzecz ta tak była zaraźliwa, że ja sam powątpiewać o tém zacząłem, i zadałem sobie pytanie, czyli nie wpadłem w jakowe złudzenie; aby dojść do pewności, postanowiłem na nowo rozpocząć doświadczenia, powiększyć ich liczbę, urozmaicić je, i w ten sposób uprościć, aby każdy sobie mógł je powtórzyć.

Zwilgociłem palec wodą, i zanurzyłem go w roztopiony ołów, wtedy uczułem tylko ciepło. Wilgociłem palec wysokiem, i także uczułem ciepło, ale bardzo umiarkowane. Zwilgociłem znowu palec eterem, i nie uczułem w ołowiu żadnego ciepła, ale przeciwnie uczucie przyjemne chłodu. To ostatnie doświadczenie wielokrotnie powtarzałem bez najmniejszych złych skutków.

Uważać jednak potrzeba przy tych doświadczeniach, że gdyby po zmoczeniu palca eterem, nie włożono go natychmiast w roztopiony metal, uczułyby można ciepło, bo eter jużby się poprzednio mógł ulotnić.

Nie należy również zanurzać palca w metal, gdy tenże już krzepnąc zaczyna, bo wtedy cząstka metalu mogłaby się do niego przyczepić i mocno oparzyć.

Wysok i eter dobre są do doświadczeń z roztopionym ołowiem, ale wcale nie są przydatne przy doświadczeniach z ciekłym surowcem żelaznym, bo temperatura wtedy tak jest wysoka, że te ciecz zapaliłyby się mogły; o czém się sam przekonałem.

Na jedną rzecz przy tych doświadczeniach zwracam uwagę, że części ręki niezanurzone w roztopiony metal mogą się poparzyć, a zanurzone będą nietknięte i zdrowe."

\* *Potwierdzenie doświadczeń p. Boutigny przez p. Plueker z Bonn.* Pod tym napisem pismo *L'Institut* z d. 3 kwietnia 1850, umieściło co następuje:

Doświadczenia na które p. Boutigny zwrócił uwagę fizyków, w wielu miejscach były powtarzane i wszędzie się potwierdziły. Powszechnie przyznano, że były one oddawna znane hutnikom, chociaż się jeszcze nie upowszechniły. Nowe potwierdzenie ich znajdujemy w wiadomości udzielonej przez p. Plueker z Bonn, ogłoszonej przez pisma zagraniczne, której treść jest taka:

„P. Fessel z Kolonii pisał do mnie niedawno, w skutek udzielenia mu ustnego przezemnie wiadomości o doświadczeniach p. Boutigny, że

zanurzał palec w roztopiony ołów do najwyższego stopnia gorący, że w czasie tego zanurzenia, część wystająca paznoccia spaliła się, ale reszta palca pozostała całkiem nietknięta. Doniósł mi również, że pewien robotnik z zakładu pp. Behren i Spółka, robił doświadczenia z roztopionym surowcem, i chciał powtórzyć je przedemną. W tym celu udaliśmy się do Kolonii w towarzystwie wielu ciekawych osób. Robotnik w mój przytomności dotknął się szybko i nie bez pewnego rodzaju obawy końcami swych palców *nie wilgotnych*, powierzchni surowcu wypływającego z pieca w zbiornik, dla ulania wielkiej sztuki do pieca. W czasie gdy starannie oglądałem końce palców robotnika, jeden z dwóch pomocników gabinetu fizycznego mi towarzyszących, przytknął całą wewnętrzną powierzchnią ręki poprzednio zmoczonej we wodzie, i to z taką gwałtownością do roztopionego czerwonego surowcu, że aż tenże rozprysnął się. Drugi pomocnik uderzył w tęż ciecz także ręką wilgotną. Według tych spostrzeżeń, robionych bez zachowania ostrożności wskazanych przez p. Boutigny, aby nie uderzać w masę, doświadczenia które z przezorności chciałem robić przed zanurzaniem, były już niepotrzebne. Zwilgociłem sam rękę, i zanurzyłem wskazujący palec prawie całkowicie w ciecz roztopioną, a poruszając nim zwolna, wyjąłem go po kilku sekundach; czułem jak żelazo się poruszało pod ciśnieniem mego palca, ale *nie czułem najmniejszego* ciepła (1). Sądziłem, że temperatura żelaza wynosząca około 2732° F. nie miała więcej jak 96° F; bo wyjęty palec był zaledwo tak ciepły, jak u drugiej ręki. P. Fessel i trzy inne osoby mi towarzyszące powtarzały też doświadczenia z pewnemi zmianami; jedna z nich miała rękę suchą, druga uważała, że ręka wprzód zanurzona we wodzie, była po wyjęciu jój suchą w miejscach niezanurzonych; trzecia osoba wzięła nieco surowcu w dłoń, wtedy włoski na palcach spaliły się, ale paznoccie zostały nietknięte, i nie uważano, aby ciepło przenosiło się przez pierwiastek rogowy paznoccia. Ręka po wyjęciu wydawała słaby zapach przypalenizny, ale nie była ani sparzoną, ani też mocno rozgrzaną. Zrobiłem jeszcze doświadczenie, którego wypadek był do przewidzenia. Palec od rękawiczki skórzanój dobrze zwilgocony, osadzony na pręcie drewnianym, trzymałem przez blisko minutę w roztopionym surowcu; po upływie tego czasu, rękawiczka nietylko się nie spaliła, ale jedynie rozgrzała do blisko 132° F.

\* Według licznych doświadczeń p. Ad. Chatin, jod znajduje się w składzie wszystkich roślin słodkich wód. (*L'Institut* z 26 marca 1850).

J. B...a.

(1) Przed dwudziestu laty professor H. Rose zwiedzał topielnie Avestad w Szwecyi, i widział robotnika, który za małą zapłatę czerpał z tygla gołą ręką miedź roztopioną, i rzucał ją na mur. (Uwaga p. Poggendorffa).



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

---

1849.

WILNO.

81. Zanon. Powieść Edwarda Lyttona Bulwera. Przekład Franciszka Kaweckiego. 12ka. 2 tomy. Wilno. 1849. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I, str. 444, II 510. Złp. 12.

1850.

WARSZAWA.

34. Mańja (tak) do wierszów. Komedja wierszem w 5ciu aktach. Naśladowana z francuzkiego. 16ka. Warszawa. 1850. Druk Ungra. Str. 151. Złp. 3 gr. 10.

35. O Pomorzu Zaodrzańskim, przez D(ominika) Szulca. 8ka. Warszawa. 1850. Nakładem R. Friedlejna, druk Ungra. Kart 4 i str. 84. (Z mappą). Złp. 6 gr. 20.

36. O uprawie buraków cukrowych (.) Przekład z niemieckiego. 8ka. Warszawa. 1850. Druk St. Nowakowskiego. Str. 27. Złp. 2 gr. 10.

37. Poezye Wincentego Smaczińskiego. 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1850. Drukiem Orgelbranda. Tom I str. 154. II, 144. i w każdym kart 2. Złp. 20.

38. Roczniki i Kroniki polskie i litewskie najdawniejsze, przez Wacława Alexandra Maciejowskiego. I. Roczniki i kroniki Polski przedlechickiej, z uwagą na wszystkie ziemie pierwotnej Polski najdawniejsze. II. Roczniki i kronika Lechów i Lechii (z dwiema mapami). 8ka. Warszawa. 1850. Nakład i druk Orgelbranda. Str. V. i 281. Złp. 12.

39. Wiadomość bibliograficzna o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie (.) przejranych po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych w latach 1846—1849. Przez Alexandra Przeddzieckiego. 8ka. Warszawa. 1850. Nakładem Ig. Klukowskiego, drukiem Strąbskiego. Kart 4, str. II i 175.

KIJÓW.

40. Pisma Klemensa Protasza (Hilary Leonowicz Zaleski). Tom pierwszy. 8ka. Kijów. 1850. Drukiem T. Glücksberga. Napisów kart 2 i str. 471. Złp: 20.

41. Ukraina dawna i terazniejsza (.) przez Michała Grabowskiego członka odeskiego towarzystwa historyi i starożytności. Tom pierwszy. O zabytkach najgłębszej starożytności. Z 18 tablicami rysunków. 8ka wielka. Kijów. 1850. Nakład i druk Teofila Glücksberga. Napisów i rejestru kart 4 i str. 172. Złp. 26 gr. 20.

WILNO.

42. Pisma Świętego Bernarda (.) przełożył z łacińskiego Michał Bohusz Szyszko tłumacz Wyznań świętego Augustyna. 8ka. Wilno. 1850. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 391, i kart 2. Złp. 13 gr. 10.

43. Podarek dobrej matki czyli powieści moralne (.) przez autorkę „Pamiętki po dobrej matce”. 12ka. 3 tomy. Wilno. 1850. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I str. 349. II, 405. III 352. Złp. 8.

44. Poszukiwacze złota na wybrzeżach rzeki Sacramento. Wspomnienie podróży odbytej do Kalifornji w roku 1848. Z opowiadania Karlosa Urriaga (.) spisane przez Pawła Duplessis. Przekład z francuzkiego. 12ka. Wilno. 1850. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 124. Złp: 4.

KRAKÓW.

45. Opis Kalifornii pod względem jeograficznym, statystycznym i geologicznym. 8ka. Kraków. 1850. Druk Józefa Czecha. Str. 31. Złp. 2.



### Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Stanisław Gołębiowski budownik ogłosił w Krakowie przedpłatę na wytoczyć się mające dzieło, pod nazwą: Słownik budowniczo-rzemieślniczy czyli zbiór wyrazów technicznych polskich, odnoszących się do budownictwa, miernictwa i rzemiosł, w związku z temi przedmiotami będących. Przedpłata wynosi złp. 13 gr. 10.

Henryk Natanson księgarz ogłosił prospekt na: „Słownik geografii powszechniej. Opis geograficzno-statystyczny państw, krajów, okolic, miast, mórz, rzek, jezior, wysp i t. p. ułożony wedle najlepszych dzieł niemieckich, francuzkich, angielskich i polskich, przez Romana Lisickiego. Format wielka 8ka w 2ch tomach, złożonych z 12 zeszytów. Cena prenumeraty złp. 54 na zwyczajnym, a na weli nowym papierze złp. 60. Po wyjściu zaś zeszytu 6go, cena dzieła stosownie do objętości podwyższoną zostanie.

Athenaeum pod redakcją Kraszewskiego na rok 1850 wyszedł tom I i II; następne już są pod prasą.

Z drukarni Teofila Glücksberga w Kijowie wyszły dzieła:

1) Ukraina dawna i terażniejsza przez Michała Grabowskiego członka odeskiego towarzystwa historyi i starożytności. Tom Iszy: O zabytkach najgłębszej starożytności. Z 18 tablicami rysunków (litografowanych). Kijów. 1850 r. w 4ce, str. 172, oprócz rejestru.

2) Pisma Klemensa Protasza. Tom Iszy. Kijów. 1850 r. w 8ce, str. 471. Zawiera: Szkoła mężów, komedia (nowy przekład czyli raczej naśladowana i przestosowana z Moliera). Gawędka z okoliczności tej komedyi. Gawędka na gawędkę. Mieszaniny obyczajowe. O poezyi. O lojolizmie. Jeszcze słówko o gawędkach (Jestto pismo zbiorowe).

W Kijowie zapowiedziano nowe dzieło Klemensa Protasza, p. n. *Antidotum*, w jednym tomie. Także ma się ukazać: „Grosz wdowi” pismo zbiorowe, wydawane przez Alexandra Grozę. Tamże wyszły „Poezye Felixa” Pietkiewicza, i „Proza i wiersze Jana Barszczewskiego”.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Kwiecień 1850.***





	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	718.653	27	7.874
Najwyżej dochodził — d. 29 o g. 10 r.	756.04	27	11.150
Najniżej — d. 11 o g. 4 w.	742.20	27	5.015
Średnia zmiana dzienna barometru	2.28		1.012
Największa zmiana dzienna barometru d. 29—30 o g. 10 w.	7.25		3.21
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	0.301		0.13
Średnia temperatura Kwietnia wynosi: i ta jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	+ 70.31 C.	+ 59.85 R.	
	0.85 „	0.21 „	
Największe ciepło dochodziło d. 22 o godz. 4 wiecz.	+ 7.56 „	+ 6.05 „	
Największe zimno dochodziło d. 1 o godz. 6 rano.	+ 17.0 „	+ 13.6 „	
Termometrograf wskazał:			
Maximum: + 15.°5 R. d. 21 w.			
Minimum: — 7.0 „ d. 1.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.83 „	1.46 „	
Największa zmiana dzienna d. 11—12 o godz. 10 rano.	7.5 „	6.0 „	

Wody z deszczu spadło wysoko na 35,1 milim., czyli 15,55 lin. par., to prawie tyleż co i w stanie normalnym.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 80,7, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 6,79 gramów, najednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest blisko o 8 setnych większa jak zwykle.

Dni pogodnych było 6; napół pogodnych 10, pochmurnych 14.

— deszczu 11 (d. 7, 8, 10, 11, 13, 19, 21, 23, 25, 26, 27).

— gradu 1 (d. 21).

— mgły 3 (d. 7, 12, 13).

— grzmotów 1 (d. 13).

Wichrów nie było.

Wiatry panujące: Wschodnie, Południowo-Wschodnie i Północne.

Kwiecień z początku był mroźny, potem ciepły, w końcu chłodny; trzynaście dni od dnia 13 do 26, to jest od Nowiu do Pełni księżyca, były najcieplejsze; w ogóle jednak, miesiąc ten, jest o 0.2 stop- R. zimniejszy jak zwykle. Pod względem pogody, zbliżał się do stanu średniego; deszcze padały często, ale nieobficie; po wietrze było spokojne, ale znacznie wilgotne.

	Stron.
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	198, 407, 599
<b>Doniesienia literackie</b> .....	199, 408, 600
<b>Wiadomości naukowe i literackie</b> .....	361
<b>Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém:</b>	
za miesiąc luty b. r. ....	201
— — marzec b. r. ....	409
— — kwiecień b. r. ....	601
<b>Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryum warszawskiém w r. 1849 robionych.</b>	



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82